SPIS RZECZY,

zawartych w roczniku 1896.

Poezya

Felieton.

Beletrystyka.

Z estrady i sceny.

Rozmaitości.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego" w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej Nr. 28 (Telefon Nr. 334.)

Nr. 1. Poznań, niedziela 5-go stycznia 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: Piekary nr. 6.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: Piekary 6. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer: w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen

Treść:

KONKURS.

Redakcya „Przeglądu Poznańskiego“ przypomina, że 11 sierpnia br. ogłosiła konkurs na pracę „O życiu i dziełach Karola Marcinkowskiego“.

Warunki konkursu są następujące:

1) Dzieło uznane za najlepsze otrzyma 1000 marek nagrody. Fundusz ten zebrała w drodze składek redakcya „Przeglądu Poznańskiego“.

2) Dzieło winno obejmować przynajmniej 10 arkuszy druku (8-vo).

3) Dzieło winno zawierać:

a) charakterystykę społeczno-politycznych stosunków W. Ks. Poznańskiego w tej epoce, w której żył i działał Karol Marcinkowski; b) życiorys Karola Marcinkowskiego i dokładną charakterystykę jego społeczno-politycznych i filantropijnych dążeń i działań: c) historyę instytucyi powołanych do życia p. Karola Marcinkowskiego lub z współudziałem jego stworzonych; d) charakterystykę wybitniejszych działaczy politycznych w Księstwie z okresu Karola Marcinkowskiego.

4) Prace nadsyłane pod adresem redakcyi „Przeglądu Poznańskiego“, powinny być bezimienne i zaopatrzone w godło, znajdujące się także na zamkniętej kopercie, zawierającej nazwisko i dokładny adres autora.

5) Ostateczny termin nadsyłania rękopisów upływa z dniem 31 grudnia 1896 r.

6) Premia uzyskana winna być przedewszystkiem użytą na ogłoszenie drukiem nagrodzonego dzieła. Redakcya „Przeglądu Pozn.“ zastrzega sobie jednak prawo publikowania bezpłatnie w łamach pisma swojego niektórych ustępów premiowanej pracy przed ogłoszeniem jej całości.

* * *

Do składu **jury** konkursowej należą: pp. Bernard Chrzanowski, Dr. Bolesław Erzepki, prof. Marceli Motty, A. Niesiołowski z Szarleja, Kaźmierz Puffke, Dr. Wł. Rabski, Dr. Józef Stasiński.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Ekonomista z 17 stulecia.

W czasach wielkich przewrotów w Anglii, w epoce nieszczęśliwego a butnego Karola I i absolutnego a zimnego Cromwella przybył na ziemię angielskie człowiek, którego dzieła i życie nieco nas obchodzą: Samuel Hartlib czyli jak inni piszą Hartlieb. Jest on z urodzenia Niemcem a nawet protestantem, lecz urodził się na polskiej ziemi. Rodzice jego zamieszkiwali w głębi rzeczypospolitej, czy to jednakże względy religijne, czy też inne powody zniewoliły ich do tego, dość, że z głębi kraju wyprowadzili się do Elbląga. Z powyższych więc kilku danych wypływa, iż Hartlib przez czas dłuższy żył pod naszem niebem i znał nasze stosunki. Bez wpływu nie były one na późniejsze jego działanie. Żył w siedemnastym wieku, a więc w wieku, w którym nie mieliśmy wprawdzie Cromwellów lecz Zebrzydowskich, butnych panów, stawiających hardo czoło królowi, magnatów urządzających na własną rękę wyprawy, które nie korzyść, lecz szkodę przynosiły rzeczypospolitej, a zwiększały tylko niesforność szlachty i przygotowywały już wtenczas początki owego rozprzężenia, które nie było wyłączną przyczyną upadku, lecz torowało drogę do rozbioru Polski, przez ościenne mocarstwa. Otóż niepodobna, aby człowiek tak bystry i tak głęboko wnikający w jądro rzeczy nie był zabrał z sobą do Anglii wybitnych wspomnień rozpoczynającego się u nas rozkładu. Pisze on prawie tylko o stosunkach angielskich które o wiele były opłakańsze, niż u nas, lecz pisze o nich dla tego z takiem zrozumieniem, iż krytycyzm jego — w czasie pobytu w rzeczypospolitej się zaostrzył i w chwili przybycia do Anglii odznaczał się dojrzałością pewną. Hartlib opuścił Elbląg w r. 1630, a przybywszy do Anglii natychmiast żywy wziął udział w walce o reformy na polu społecznem. Początkowo oddawał się pedagogii przetłómaczył kilka dzieł słynnego Commeniusza na język angielski, sam próbował sił swych w wynajdywaniu metod i prawideł wychowawczych; dalej starał się o podniesienie rólnictwa, pszczelarstwa i sadownictwa. Wątpić wcale nie można, iż prace o rólnictwie i pasiecznictwie opierał na doświadczeniach nabytych w Polsce — a przynajmniej rolnictwo, u nas wówczas na bardzo pierwotnej znajdujące się stopie, mogło mu dać asumpt do starań ku podniesieniu jego wogóle. Prace te zwróciły uwagę „wiecznego parlamentu“ który mu w r 1646 wyznaczył, uznając jego zasługi, pensyą 100 funtów st. podwyższoną w następnym roku na 300 funt. Suma to jak na owe czasy pokaźna, lecz Hartlib taki był hojny, iż wszystkie pieniądze między potrzebujących rozdawał, stąd nigdy nie miał grosza, a gdy pod koniec rzeczypospolitej zatrzymano mu pensyą, położenie jego było więcej niż mierne.

W pracach jego, które wszystkie wydawał w języku nowej swej ojczyzny, widoczny jest wpływ utopii Morusa. W r. 1641 ogłosił on rzecz w formie „Utopii“ o ekonomiczno-politycznych zadaniach państwa; dość długi tytuł tej pracy brzmi: „Opis słynnego państwa Makarii, który to opis przedstawia znakomity rząd kraju, w którym mieszkańcy w wielkiej szczęśliwości, w dobrem zdrowiu i w stanie błogości żyją, rząd króla słucha, rycerstwu zaś i wszystkim ludziom dobrej woli należytą cześć oddaje itd. itd. Rozmowa pomiędzy uczonym a podróżnym“*. Hartlib nadmienia, że idee swoje ubrał w formę opowieści, gdyż to mu się wydaje najprzyjemniejszym rodzajem przedstawienia rzeczy, oprócz tego przyznaje się otwarcie, iż naśladuje Thomasza More czyli Morusa i lorda Franciszka Bacona. „Makaria“ (tyle co „miejsce szczęśliwych“), nie przedstawia jakiegoś typu społecznego ustroju, lecz wprost urządzenia i ustawy państwa, które są w tak ogólne ujęte formy, iż łatwo je można dostroić do teraźniejszości. Zasadnicza ich podstawa jest następująca: państwo ma dozór nad produkcyą i proteguje ją wszelkim możliwym sposobem, niewykluczona jest w

* Makaria znajduje się w „Harleyem Miselanies“.

owem państwie własność osobista, lecz do niej przywiązano wykonanie ściślej określonych obowiązków; gdy właściciel ich nie wypełni, własność jego przechodzi na własność państwa. W Makarii jest pięć osobnych departamentów, w nowoczesnem pojęciu ministerstw, z których jedno zajmuje się rólnictwem, drugie rybołóstwem, trzecie handlem i przemysłem krajowym, czwarte handlem zamorskim, piąte koloniami. Oczywiście ministerya funkcyonują idealnie doskonale, protegują postęp i wynalazki a z powodu tego dobrobyt kwitnie, rozwijają się nauki, bieda znajduje najtroskliwszą opiekę. Z powyższych kilku zdań wynika, iż w Makarii przedstawiono *państwo jako wielki zakład pracy*. Tej myśli przewodniej trzyma się Hartlib wytrwale przez całe życie. Na podstawie Makarii wydał ktoś inny, nadużywając jego nazwiska, obszerniejsze dzieło parodyjujące Makarią, pod tytułem „Olbia" (szczęśliwa). Lecz to tylko nawiasem.

Rozpatrując się w zasadniczej idei Makarii dochodzimy do przekonania, iż jest ona urzeczywistnieniem państwowego socyalizmu, różni się zaś od programu obecnego utopijnego socyalizmu, zatrzymując pewną indywidualność, którą dzisiejsi socyaliści wykreślają z swego programu, dalej pozostawiając pojedyńczym członkom własność osobistą. Hartlib starał się też o podniesienie zamiłowania do przyrodnictwa na uniwersytecie londyńskim. Później usiłował zasady w Makarii wyrażone urzeczywistnić, lecz plany te nie znalazły oddźwięku w ówczesnem społeczeństwie. Dla marzyciela-ekonomisty było to może korzystnem, iż nie zrobiono żądanej próby, byłby się bowiem ze smutkiem przekonał, jak wielu innych po nim utopistów, iż teoretycznie dobre zasady uszczęśliwienia ludzkości w praktyce okazują się zupełnie niemożliwemi; rozbijają się one o właściwości psychiczne, stanowiące integralną cząstkę natury ludzkiej.

Po tych nieudanych próbach zwrócił się Hartlib stale ku podniesieniu rólnictwa i znowu napisał rzecz o długim tytule: *„An Essay for Adwrancement of Husbandry-Learning or Propositions for the erecting a Colledge of Husbandry* (Rozprawa w celu propagowania wiedzy w gospodarstwie czyli propozycya urządzenia Collegium rólniczego). Rozprawa zrobiła pewne wrażenie, lecz i ten plan nie znalazł należytego poparcia i dopiero w dwieście lat później pomyślano o utworzeniu uniwersytetu rólniczego. To jednakże zaznaczyć trzeba, iż wszelkie prace Hartliba, mianowicie rólnicze, wielce w owym czasie były cenione.

Hartlib jednakże nie ustaje w swoich pomysłach zaprowadzenia ulepszeń społecznych. Wielce to pomysłowa była głowa, mąż, który wyprzedzał spółczesnych o całe wieki. To, nad czem dzisiaj pracują, i co jako użyteczne a nowe wprowadzić chcieliby w życie, o tem Hartlib przeszło 200 lat przed nami już pisał. Proponował on utworzenie *„towarzystwa wskazującego punkta zbytu i nabywania towarów"*. Prawdopodobnem jest, iż Hartlib zamierzał otworzyć instytucyę, oczywiście do lokalnych potrzeb i do czasu zastosowaną, podobną w działaniu do zadań, jakie sobie stawiło nasze *tow. handlowo geograficzne galicyjskie*.

W Poznaniu w r. 1895 szczycimy się jako wielkiem społecznem ulepszeniem „Centralnym zakładem wskazywania pracy", otóż Hartlib już przed 200 przeszło laty nawoływał do urządzenia takiego zakładu. Mienniejsi mieli płacić za informacye 2 pensy, biedni mieli otrzymać informacye darmo. Dalej przemawiał Hartlib za wolnością korzystania z wszystkich wynalazków, wreszcie wydał ocenę projektu banku krajowego.

W obec tego wszystkiego powiedzieć można słusznie z Ben-Akibą „wszystko już było". Czytając Hartliba rozprawy, zastanawiając się nad myślami ich zasadniczemi, patrząc na projekty wybiegające hen daleko po za widnokrąg wieku, zdaje się, iż czyta się rzeczy z dziewiętnastego stulecia, dzieła ekonomisty tegoczesnego o pewnem zabarwieniu komunistycznem.

Koniec pożytecznego uczonego nie był zbyt pogodny; umarł w roku 1662 w nędzy. Był to mąż szerokiej wiedzy, żywy biorący udział w ówczesnym ruchu naukowym i społecznym. Pozostawał też w ciągłych stosunkach z najwybitniejszymi duchami epoki, duchami wyciskającymi na niej swoje piętno. Milton poświęca Hartlibowi rozprawę o wychowaniu, tak samo William Petty, wobec którego Hartlib odegrał rolę mecenasa. Comenius pisze o Hartlibie, iż mało kogo zna, któryby jemu dorównywał w ogromie wiedzy.

Należy nam pod koniec rozważyć, do jakiej narodowości zaliczyć naszego ekonomistę? Rodzice Hartliba są Niemcami-protestantami, lecz Hartlib urodził się na ziemi polskiej, tam też odebrał wychowanie, tam się ukształtował jego sposób myślenia. Z uczonymi niemieckimi w żadnej nie pozostawał styczności, a pisał tylko po angielsku. Niepodobna też, aby pobyt w szkołach Rzeczypospolitej, zetknięcie się z Polakami nie miało wycisnąć na nim pewnego niezatartego piętna. Jesteśmy dalej przekonani, iż umysł tak bystry dostrzegł wszystkie usterki naszego ustroju społecznego i twierdzić prawie można, iż zasady w jego Makarii wyłożone są niejako kontrastem, podyktowanym rozprzężeniem naszej Rzeczypospolitej. Dalej jego gorące zajęcie się rólnictwem zdaje się wskazywać, iż nie bez wpływu na niego był dłuższy pobyt w kraju tak przeważnie rólniczym, jak rzeczpospolita polska. Kautsky, Niemiec, nazywał go pół Niemcem pół Polakiem. Nie był on więc ani Niemcem, ani Polakiem, lecz uczonym, który znalazł ojczyznę we wiedzy i nauce. Dla nas jest on o tyle interesującym, że urodził się na naszej ziemi, pierwsze nauki tutaj odebrał i pozostawał przez czas dłuższy pod wpływem cywilizacyi polskiej i polskiego ducha.

Iks.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

W i w i s e k c y a. — W „Orędowniku" (Nr. 297) czytamy:

---

1)

OLA HANSSON.

BEZDOMNY.

Tłomaczyła

I......i Łodzia.

I.

Niedawno byłem w mej wiosce rodzinnej. Nad wieczorem wyszedłem na przechadzkę. Drogi zmoczone były jesiennym deszczem — krople perliste spadały z gałęzi drzew, a niebo w szarej mgle zdawało się z ziemią zlewać w jedną całość. Ponurość krajobrazu przytłaczała mą duszę i budziła tęskne uczucia. Zdawało mi się, że nigdy nie wyszedłem po za obręb tej mgły, że nigdy z niej się nie wydostanę, że — gdyby mnie ona szczelniej otoczyć miała.... otulić — spałbym pod nią tak spokojnie i bezpiecznie, jak się w dzieciństwie zasypia na łonie matki. Wszystko co zdobyłem i czem byłem w świecie, z tamtej strony mgły, — węzły, które mnie z ludźmi łączyły, czyny, które zdziałałem, cierpienia i radości, uśpione marzenia, szare cienie doznanych zawodów — cała ta budowa zdawała mi się chwiejną, jak dom z kart — i w tym całym fantastycznym obrazie odkryłem przepaść straszną, ponurą... jak deszczowe chmury, zawisłe na niebie. Zdawało mi się, jakobym przez długich lat piętnaście starał się uciec przed własnym swym cieniem; albo jakobym był chciał swoje jestestwo za obcą przefrymarczyć nicość i te piętnaście lat opadły z drzewa mego żywota jak piętnaście uschniętych liści i zdawało mi się, że to ja tam idę we mgle, ziarno siejąc w ziemię, lub też pasąc ojca mego krowy.

Nagle usłyszałem nad głową krzyk dzikich gęsi — dzikich gęsi, które w podróży na południe z obłoków do słońca dążyły. I zdawało mi się, że piętnaście listków zazieleniło się na drzewie, i znowu nowe jestestwo moje, zdobyte na podstawie nauki, odbijało jaskrawo od starego. Opadły mi bielma z oczu: okolica w około mnie nie była już tą samą, co dawniej, zabudowania, twarze były inne; jedno zniknęło, przybyło drugie. Wpadło mi na myśl, że tutaj zboże piętnaście razy się zazieleniło i tyleż razy ścięte zostało; że dzwony kościelne codziennie dzwoniły przez te lat piętnaście; pomyślałem o licznych mogiłach tymczasem na cmentarzu usypanych i przed oczyma stanął mi nieubłagany upiór przeistoczenia, przeszłości — to co minęło na nowo powstało, a jam patrzał znowu w dwie ciemne otchłanie: w białej czaszki trupiej próżne oczodoły.

Stałem przed małym dworkiem w czworobok zbudowanym, rozpadającym się prawie, i patrzałem w dwa okna... dwa ciemno lśniące okna w biało malowanej ścianie. Cienki dach słomiany mchem był pokryty; z zgarbionych i popękanych ścian lepianki w wielu miejscach opadło wapno. Ściany były niskie, okna maleńkie, z wyjątkiem jednego w skrzydle, które do drogi zwrócone było. Zaschnięte krzewów łodygi wskazywały, że ongi miejsce to upiększonem było, dziś — ogołocone z tej ozdoby, wystawione na słońca żar i wiatru podmuch. Kamienne mury, wysokie sześcioszybowe okna, drzwi oszklone i weranda po drugiej stronie domku — wszystko to jaskrawo odbijało od rozpadłych ścian, jak nowe ubranie na brudnym żebraku.

Stałem oparty o mur kamienny, który ciągnął się wzdłuż drogi i sadu; przez pnie starych lip patrzałem na nagie ciemne okien fasady... i dalej na ogród. Klomby kwiatów i trawniki leżały tak samo zaniedbane jak grządki warzywa, altany i żywopłoty stały nieobcięte jak broda starca. Z zamieszkałego skrzydła wyszła z wiadrem stara kobieta... na mój widok przystanęła i prędko wróciła do domu. Zżółkłe liście z buków i lip opadały, układając się na ziemi obok tych, które poprzednio spadły. W lipie odwiecznej coś się poruszyło: wrona, trzepocąca skrzydłami w gnieździe.

Zmienność! Nietrwałość! Wzrok mój uczepił się znowu szyb okna..., tam pomiędzy pniami drzew. Patrzały one na mnie jak ciemne, niezgłębione, pytające oczy, wystraszone, jak gdyby ktoś stał za niemi i

„W sprawie jubileuszu p. Fr. Dobrowolskiego, naczelnego redaktora „Dzien. Pozn.“, poruszonej na ostatniem zebraniu Kat. Tow. Rzemieślników Polskich. otrzymaliśmy dokładniejsze szczegóły. Sprawa niemiała tak spokojnego przebiegu, jak nam początkowo referowano, przeciwnie odbyła się w formie bardzo drażliwej i pożałowania godnej.

Mówcy, mówiący za i przeciw, pozwolili sobie prawdziwej wiwisekcyi co do osoby p. Fr. Dobrowolskiego — i to na punkcie jego uczuć katolickich. Prowadzono spór zacięty, czy chodzi do spowiedzi czy nie i kiedy był u spowiedzi. W tym guście toczyła się cała dyskusya, przy czem padały rozmaite słówka i twierdzenia.

Redakcyą pisma naszego jubileusz p. Fr. Dobrowolskiego ani ziębić, ani parzyć nie może. Nie chodzi nam też tu wcale o jego osobę, ale o sposób traktowania spraw podobnych. Do czego to ma doprowadzić, jak Towarzystwa będą się stawiały na równi z konfesyonałami i będą od redaktorów żądały świadectwa z odbytej spowiedzi! Nie jeden redaktor będzie się musiał kryć z spowiedzią, aby nie dać powodu do mowy, że pokazuje się w kościele tylko na to, aby ludzie widzieli, że chodzi do spowiedzi. Co redaktorom, to się może przytrafić także innym i może dojść do tego, że członkowie, zapaliwszy się w dyskusyi, będą sobie nawzajem wytykali: ty chodzisz tylko raz na rok, a ja cztery razy na rok do spowiedzi, dla tego — moje zdanie lepsze.

Nie należy mieszać spraw świętych z sprawami pospolitemi.

Wina za to spada na tych, którzy chcieli po prostu wyzyskać publiczność z okazyi jubileuszu pana Fr. Dobrowolskiego. Jubileuszów dość ludzie na świecie obchodzą; niech p. Fr. Dobrowolskiemu ci wyprawią jubileusz, którzy czują tego potrzebę, jak się wszędzie dzieje.

Niedźwiedzią przysługę wyświadczyli p. Fr. Dobrowolskiemu ci, którzy odezwy rozesłali po Towarzystwach. Słyszymy, że i Towarzystwo Młodych rzemysłowców otrzymało taką odezwę. Na prowincyi będzie z pewnością tak samo. Czyżby ci ludzie chcieli gwałtem prowokować takie sceny, do jakich przyszło w Kat. Tow. Rzemieślników w Poznaniu?“

* * *

W Nr. 72 gazety gnieźnieńskiej „Lech“ znajdujemy artykuł następujący p. t. „G ó r n i c y p o l s c y n a S z l ą s k u“:

W kopalniach szlaskich pracowało w roku 1894 przeszło 52.000 górników, pomiędzy nimi było 5400 zamężnych kobiet i dziewcząt. Gdzie pracują niewiasty, tam zwykle płaca jest najniższa. Stwierdza to urzędowa statystyka, gdyż dowiadujemy się z niej, że górnik przecięciowo zarabia rocznie:

w kopalniach dortmundskich w Westfalii	946 m.
„ Saarbruecken	925 m.
„ dolnoszlaskich	729 m.
„ górnoszlaskich tylko	661 m.

Liczby te przedstawią się w daleko więcej ponurem świetle, jeżeli zważymy, że górnicy pracują dziennie

w dortmundskich kopalniach	8 i pół godzin
w kopalniach w Saarbruecken	9 „
w dolnym Szląsku „	10 „
w górnym Szlasku „	12 „

Zatem polski górnik pracuje najdłużej a pobiera najmniejszą płacę.

Kobiety i dziewczęta górnoszląskie pracują po 11 godzin a zarabiają dziennie tylko 78 do 86 fenygów. Praca kobiet przyczyniła się do obniżenia płacy mężczyzn.

Właścicielami górnoszląskich kopalni są: książę Pszczyński, (który wydaje rocznie 200,000 mk. na pielęgnowanie zwierzyny: w jego lasach znajdują się nawet żubry); książę Hohenlohe, książę na Ujeździe, hr. Matuschka, hr. Ballestrem itd. Są to ci, którzy w okręgu pszczyńsko-rybnickim chcieli koniecznie przeprowadzić wybór Huenego na posła do parlamentu, a teraz rzucają gromy na lud polski, że śmiał wybrać Radwańskiego.

W kopalniach rządowych płacą robotnicom 90 fen. do marki; magnaci górnoszląscy. którzy w znacznej części powydzierżawiali kopalnie żydom, płacą biednym kobietom prawdziwie psie ceny.

Przeciw tym nadużyciom walczy dzielnie „Katolik“. wychodzący w Bytomiu, a jeszcze więcej „Praca“, pismo poświęcone wyłącznie sprawom górników i hutników górnoszląskich. Dla tej przyczyny panuje wielka nienawiść ku wydawcom i redaktorom tych dwóch pism polskich, a znaczna część księży górnoszlaskich, niestety! występuje nieprzyjaźnie przeciw ludowi polskiemu, gdyż dążenia w celu polepszenia płacy zowią socyalną demokracyą.

Strach pomyśleć, jakie skutki wywołuje praca kobiet w kopalniach i hutach pod względem moralnym! Dozórcy i urzędnicy dopuszczają się tam grzechów, wołających o pomstę do Boga. Zepsucie doszło do tego stopnia, że dzieci nieślubne już tam nikogo nie rażą.

* * *

Hr. S z u w a ł o w.' — W „P r z e g l ą d z i e W s z e c h p o l s k i m (Nr. 22) czytamy:

Wszyscy ci. którzy niezachwianie wierzyli w zmianę prądu polityki rosyjskiej z chwilą mianowania hr. Szuwałowa generał-gubernatorem warszawskim, zawiedli się w oczekiwaniach swoich i stopniowo przekonali się o tem, że tendencye nowego wielkorządzcy w gruncie rzeczy nie różnią się wcale od dążeń poprzedniego „panowania“, że doskonale odpowiadają hasłom Hurki, tej metodzie gnębienia żywiołu polskiego, jaka w ciągu ostatnich lat wycisnęła niezatarte piętno na stosunkach politycznych w Kongresówce. Jeszcze się nie zadomowił hr. Szuwałow w Warszawie, jeszcze ma duszę pełną wspomnień berlińskich, a już zdążył zaznaczyć swoją działalność i coraz jaskrawiej i dobitniej manifestuje sympatye dla dawnego systemu, mającego na celu rychłe i zupełne stopienie „*Priwislinija*“ z resztą państwa. Jako dyplomata *par excellence* jest on może trochę ostrożniejszy i woli w niektórych wypadkach zgrabne lawirowanie od postawienia kwestyi na ostrzu, bądź co bądź jednak skutki są zawsze jedne i te same, jak jedne i tę samę chorobę wywołuje trucizna, przyjęta czy to w zwykłych kryształkach, czy też w zgrabnie utoczonej pigułce...

To też hr. Szuwałowa zaczynają już dzisiaj rozumieć w Warszawie nawet ci, którzy początkowo optymistycznie nań spoglądali i dopiero *ex ungue* mieli sposobność przekonać się, z kim mają do czynienia.

Oszlifowany i układny hrabia, europejczyk w całem znaczeniu tego słowa, arystokrata z urodzenia i z przekonań, chwycił w ręce swoje cugle władzy administracyjnej i — okazało się, że mimo całej delikatności swojej potrafi trzymać je krótko i ściągać w miarę potrzeby nie gorzej od swego poprzednika, który ani arystokratą, ani europejczykiem nie był, a poprzestawał na godności wyobraziciela brutalnej siły absolutyzmu.

Wobec tego stosunki warszawskie bynajmniej się nie poprawiły, ale — przeciwnie — wciąż idą ku gorszemu. Dowodem tego niechaj będzie wydane ostatnio przez generał-gubernatora rozporządzenie odczytywania manifestu carskiego po rosyjsku przez księży katolickich. w świątyniach tego wyznania.

Wiadomo, że w roku zeszłym, kiedy po raz pierwszy zażądano od duchowieństwa, aby informowało wiernych o łaskach monarszych w języku państwowym, szlachetniejsza część kleru, mianowicie wielu księży z Warszawy i prowincyi sprzeciwiło się temu stanowczo, za co jednych skazano na grzywnę, innych przeniesiono za karę na mniej intratne probostwa. Wszystko to odbyło się po cichu i dla tego przeszło niemal niepostrzeżenie, nie budząc oddźwięku w szerszych kołach społeczeństwa i nie znajdując wyrazu w żadnym śmielszym proteście. Wielu nie wiedziało nawet za co i dla czego tranzlokowano księży. Dziś, kiedy już zapomniano zupełnie o tej sprawie, z racyi manifestu, wydanego w dzień urodzin carowny, hr. Szuwałow polecił duchowieństwu, ażeby odczytało go w kościołach po rosyjsku. Wprawdzie biskupi oświadczyli, że kurya rzymska poleciła im odczytywać tego rodzaju dokumenty po polsku i istotnie po polsku manifest czytano, ale hr. Szuwałow stanowczo żądanie swoje zaznaczył. Zmusić biskupów nie mógł, bo w takich sprawach spornych. decydować władza administracyjna nie ma prawa.

Rozporządzenie takie mówi samo za siebie i nie potrzebuje komentarzy, tembardziej, że towarzyszą mu inne, będące w związku z pozaczynanemi przez hr. Szuwałowa robotami rusyfikacyjnemi. Mamy tu na myśli projekt oderwania od królestwa ziemi chełmskiej i utworzenia w ten sposób nowej gubernii kraju południowo-zachodniego — sprawę, o której pisaliśmy już poprzednio, dalej popieranie przedsiębiorstwa budowy cerkwi, tych „twierdz prawosławia“ w Warszawie i na prowincyi, dzięki czemu niebawem będziemy je liczyli na dziesiątki, wreszcie dążenie w kierunku obdarzenia Warszawy stałym teatrem rosyjskim, co jakoby uważa hr. Szuwałow za swoją misyę cywilizacyjną u nas.

A to wszak dopiero początek działalności b. ambasadora na stanowisku wielkorządzcy w Królestwie polskiem.

Co będzie dalej przewidzieć nie trudno.

—ski.

---

badał zagadkę człowieczego cierpienia. Czekałem, czy postać tego kogoś nie odrysuje się na ciemno lśniącym tle szyb, bo wiedziałem, że będzie to wtedy postać dobrze mi znana. Lecz jeden tylko wicher przyszedł i zaszumiał w gałęziach — zaszeleściało jakoby z całunu trupa, zabrzmiało jak wspomnienie pogrzebowego psalmu. Wtenczas ocknąłem się.

W jednej z tych altan przed pięcioma laty siedziałem z młodzieńcem, rówieśnikiem moim. Był wątłym blodynem o chłodnem obliczu, i szarych oczach, błyszczących jak stal, lub krople rosy, gdy na nie słoneczne padają promienie. Zwał się Andrzej Torson i był właścicielem tej posiadłości. Urodzony synem chłopa, przeistoczył się w mędrca, ostatecznie powrócił jednak do stanu swych praojców. Jak kwiat egzotyczny wśród roślin zwyczajnych wyrastający, tak wyglądał w ową noc letnią, gdy mi opowiadał historyę swego życia, historyę tak fantastyczną, jak cienie padające na ziemię przy świetle księżyca!

Ta dawno miniona noc letnia i ta opowieść z martwych powstały, gdy się znów po latach tylu oparłem o mur kamienny, gdym w owe szyby spojrzał, podczas gdy wicher szumiał w gałęziach, a w gnieździe trzepotały się ptaki. Jak nić z kłębka tak niewidzialne ręce odwijały moje wspomnienia; zmrok zapadał — a jam szedł dalej wśród coraz to większej ciszy. Dwoje szarych oczu trzymało mą duszę w uwięzi dwoje oczu, świecących jak stal, lub krople rosy, gdy na nie słoneczne padają promienie. — Jak ongi w jasnoksiężycowej nocy, słyszałem teraz głos znajomy, opowiadający mi historyę życia — czy we mnie, czy przy mnie, nie wiem.

Oto, co usłyszałem:

II.

— Historya moja rozpoczyna się z chwilą, w której w popołudniowych godzinach dnia kwietniowego siedziałem w małem Café du Lac w Kopenhadze samotnie, czytając dziennik, popijając kawę. Kelner kręcił się pomiędzy stołami, odbierając zamówienia, goście rozprawiali, a pokoje pełne były dymu. Było duszno, otworzyłem więc okno, przy którem siedziałem. Lekkie niebieskie obłoki suwały się po niebie, powietrze było miłe, orzeźwiające. Nie wiem czemu ogarnęła mnie nagle tęsknota i niechęć. — Niechęć — do czego? — Tęsknota — za czem? — Nie umiałem odpowiedzieć sobie; uczucia te były nieokreślone i przemijające jak lekki podmuch wiatru, falujący powierzchnią wody. — Wyszedłem. Na ulicy wrzało życie; piastunki pchały wózki dziecięce, oczęta siedzących w nich dzieci błyszczały w pięknym świetle słońca, panowie szli w odpiętych paletotach, panie jasno ubrane. U każdego widoczne było znużenie, poprzedzające lato. Przeszedłem wzdłuż botanicznego ogrodu: leżał on w niebieskiej mgle, wydobywającej się z wilgotnej ziemi. Widok powstającej mgły obudził we mnie to dziwaczne uczucie, jakie się odzywa w duszy, gdy myśl jaka budzi się z uśpienia, niejasna jeszcze i niewyraźna. Niepokój, niechęć, zwątpienie opanowały mnie, nie wiedziałem ani co począć, ani gdzie się udać. Bezmyślnie chodziłem po bulwarze, później po parku, gdzie łabędzie pływały po niebieskiej powierzchni wody, w której się odbijały lazur nieba i białe obłoki. W parku było spokojnie i cicho, więc coraz lżej robiło mi się na duszy, jak gdybym był odnalazł to, czegom szukał. Gdym jednak z pobocznej ulicy usłyszał turkot omnibusów i wrzawę przechodniów, zmrok pokrył znowu mą duszę, co dopiero pełną jasności, i znów niechęć do niej się wtłoczyła. W następnej chwili uderzyła fala silniejsza od pierwszej i ukazał mi się obraz nowy; białe łabędzie na pogodnej wód przestrzeni, białe obłoczki na lazurze nieba, wreszcie mgła a za nią i przed nią inny wyłonił się obraz — tęskniłem za nim jak za wspomnieniem pierwszej miłości: pragnąłem ujrzeć równinę nad morzem i usłyszeć na polach krzyk czajek. Wstręt uczułem do wszystkiego, co mnie otaczało, do śmiechu mężczyzn, tualet kobiet, do twarzy ludzkich, bruku ulic i do przepychu wystawnych okien. Uciekłem do siebie.

Noc się zbliżała. Napaliłem w kominku, rzuciłem się na kanapę, badając stan mej duszy, mego serca. Gdyby mi tak przyszło zdać sprawę z tego, co w ciągu

LITERATURA I SZTUKA.

Piśmiennictwo poznańskie.

(Roczniki Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu. Tom XXI.)

Nie wiem napewno, ile członków liczy Towarzystwo Przyjaciół Nauk; ale założyłbym się prawie, że nie ma pomiędzy nimi ani jednego, któremu by się chciało rozciąć gruby tom świeżo otrzymanego „Rocznika“ i przeczytać go od deski do deski. Ten i ów przejrzy pobieżnie który z ciekawszych artykułów, inny nekrolog krewnego lub przyjaciela, i na tem koniec. Większość egzemplarzy dostaje się wprost z poczty na depozytorium pomiędzy stare papiery, rejestra gospodarcze lub księgi kościelne, pokrywa się grubą warstwą pyłu, i oczekuje chwili, kiedy pokojówka na podpał je zużyje lub na strych wyrzuci myszom na pożarcie. Niejeden już tom taki znalazłem pomiędzy rupieciami, szperając po prowincyi za staremi pismami, a żaden nie był rozcięty. Tak oto szanuje się u nas owoc całorocznych trudów instytucyi naukowej...

Ale nie trzeba brać rzeczy zbyt tragicznie. Przeciętny „inteligentnik“ — a do nich należy przecież zaliczyć większą część członków Towarzystwa — u nas jak i gdzieindziej, w trosce o chleb powszedni, w walce o byt polityczny, dorywczo tylko i pobieżnie zajmuje się sprawami naukowemi, o ile nie dotyczą jego zawodu; nie ma ani czasu, aby przestudyować tom gruby, ani ilość znajomości rzeczy, aby zainteresować go mogły studya specyalne o wszelkich możliwych sprawach. Jeżeli tylko „Roczniki“ same zasługują na uwagę świata naukowego, jeżeli zawierają rzeczywisty dorobek naukowy i służyć mogą za podwalinę dla nowych badań, mniejsza już o to, czy kilkaset egzemplarzy nierozciętych na strych się dostanie.

Ale „Roczniki“ naszego Towarzystwa Przyjaciół Nauk nie są tem, czemby być mogły i powinny. Minął niestety czas, kiedy nad brzegami Warty bujnie krzewiła się wiedza i literatura kiedy Poznań należał do głównych ognisk umysłowego życia w Polsce. Dziś powymierały olbrzymy ducha, a miejsce ich zajęli epigoni, i usadowiwszy się wygodnie na laurach przez nich zdobytych, poustawiali naokół ich popiersia, i powiedzieli sobie: Jacyśmy wielcy!

I stało się, jak inaczej być nie mogło. Z gorączkowem pragnieniem wiedzy ustąpiła chęć do uciążliwych studyów gruntownych, i zdrzemnęła się uczona instytucya. Badania naukowe zastąpiło przeżuwanie rzeczy starych, argumentacyę ogólniki, pożyteczną pracę naukową pracowita zabawa. Jakie towarzystwo takie i „Roczniki“. Nie chciałbym powiedzieć, żeby nie zawierały nic godnego uwagi. Znajdzie się w nich tedy i owedy rozprawka, świadcząca, żeśmy nie usnęli zupełnie, że wśród rozdrzemanego społeczeństwa ten i ów czuwa jeszcze, myśli i pracuje: ale gdyby tak ożył który z dawnych filarów Towarzystwa, Libeltów, Jarochowskich, Cegielskich i zobaczył znachodzące się w „Rocznikach“ liczne dziwolągi, załamałby ręce z rozpaczy i pospiesznie wróciłby do grobu.

Weźmy oto „Rocznik“ ostatni. Zawiera on rzeczy wcale ciekawe i poważne. Jest tam krótki niestety urywek z II tomu „Ojcze nasz“ Augusta Cieszkowskiego, niezgodny wprawdzie z dzisiejszym stanem filozofii, ale pełen myśli wzniosłych i oryginalnych. Dalej następuje sympatyczny, gładki przekład pieśni Anakreonta przez dr. Ludwika Mizerskiego, jedna z największych ozdób „Rocznika“. Dr. Koehler zamieścił pracę o kościańskich drukach leszczyńskiego drukarza z XVII wieku Wiganda Funcka, bezładną nieco i zaniedbaną co do formy, ale bogatą w nowe szczegóły historyczne. Dr. Danysz znów uzupełnił w krótkim artykule opartym na dziele polyhistora holenderskiego z 17 wieku, Gerarda Vossiusza, cenną pracę A. Kraushara o Krzysztofie Arciszewskim — jednej z najciekawszych postaci polskich 17 wieku. Stanisław Kujot ogłosił dokumenta odnoszące się do spornej sprawy toruńskiej z roku 1724, uzupełniając w ten sposób zamieszczoną w zeszłym „Roczniku“ rozprawę; dr. Bolesław Erzepki podał do druku znaleziony w archiwum Towarzystwa nieznany wiersz Chrościńskiego i próbki gwary mazowieckiej z XVII wieku i obadwa zabytki w cenne zaopatrzył komentarze.

Gdyby na tem „Rocznik“ zamknięto, przedstawiałby się mniej okazale wprawdzie co do formy zewnętrznej, ale tem poważniej co do treści. Niestety! dla różnych względów i względzików umieszczono w nim także kilka rzeczy nie licujących wcale z powagą naszej „Akademii“. Nasamprzód: „Natura północy“, cykl wierszy szwedzkiego poety Roberta Kraemera, przekład hr. Engestroema. Nie umiem po szwedzku, nie mogę zatem sprawdzić, czy przekład ten odpowiada orginałowi. W każdym razie nie należał on do „Rocznika“. Jeżeli jest wiernym, dla tego, że Roczniki nie są na to, aby w nich drukować utwory jakiegoś obcego poety trzeciorzędnej wartości, jeżeli zaś mało lub wcale nie dorównuje oryginałowi, tem mniej było powodu zapychać nim przeszło dwa arkusze wydawnictwa naukowego. Wiersze same są sztywne i płaskie, a dla Polaka nie obeznanego jak najdokładniej ze Szwecyą, niestrawne, bo niezrozumiałe — tak zapchane jeograficznemi imionami skandynawskiemi, że czytają się jak ujęty w wiersze słownik jeograficzny. Dość powiedzieć, że przekład sam zajmuje 17, objaśnienia z przedmową 16 bitych stronnic druku.

Innego rodzaju curiosum podał do „Rocznika“ dr. F. Chłapowski. Jest to artykuł „O stosunku śp. Augusta Cieszkowskiego do nauk przyrodniczych wogóle, a do wydziału przyrodniczego w szczególności.“ Że mąż taki jak Cieszkowski nie mógł zamykać oczu na postępy nauk przyrodniczych, lecz musiał liczyć się z nowemi odkryciami i zająć wobec nich jakiekolwiek stanowisko, leży na dłoni; wiadomo jednakże, że osobiście w badaniach tych nie brał udziału i jak pisze autor „nie obrobił sam ani jednej cegiełki do budowy wspaniałego gmachu tych umiejętności“, nie wyłożył nigdzie swych osobistych zapatrywań w tej mierze. Do pracy, jakiej się podjął dr. Chłapowski, nie

---

dnia robiłem byłbym się musiał cofnąć myślą wstecz do wczoraj, przedwczoraj i dalej, dalej aż do czasu, w którym zdawało mi się, iż załatwiłem wszystkie obrachunki z życiem.

Wiesz... tak samo jak gdy mniemamy, żeśmy zrobili odkrycie jakieś, lub natrafili na ślad jakiejś rzeczy — myśl wyłamuje się najpierw ze stosa żużli, który ją przygniatał, jak iskra z zgasłego ognia, a gdy później myśl owa w jaśniejszych przedstawi się barwach, w górę się wzbija jak ogień słupem płomieni, słupem przeżytych wypadków.

Przedemną świeciła pewność niezaprzeczalna — uwydatniająca się jak droga mleczna zimową porą: istnienie moje na tej ziemi było zwichnięte, bo żyłem w cudzem mi otoczeniu. Siliłem się, by iść przeciw prądowi wiatru. Rozumiesz mnie?! Praojcowie moi, pokolenie w pokolenie, całe setki lat trudnili się tym samym zawodem, w tej samej nawet okolicy. Rysy charakteru, odrębności, które stan wieśniaczy w człowieku przeciętnym wytwarza, musiały się zaostrzyć przez dziedzictwo wiekowe! Są prawa natury, których wykonanie, zastosowanie jest od tychże tak nieoderwalne, jak w geometrycznym stosunku jedna z dwóch równolegle obok siebie biegnących linii od drugiej, — tak niezbite jak prawo rosnącej szybkości spadającego kamienia... Chciałem spadający kamień zatrzymać... chciałem zmienić dowolnie kierunek jego! Próbowałem zmienić mą duszę, malując na niej obrazy i zasady wyczytane w książkach — zmienić ją podług ideałów innych towarzyskich klas! Często, gdy myśli podobne do głowy się cisnęły, odwracałem się od nich, lecz wreszcie przekonałem się, że w nich jedynie prawda leży — i pochwyciłem je silnie, jak schwytane ptaszę. I do tego wyniku doszedłem, że nierozerwalny węzeł wiąże mnie z ziemią mą rodzinną.

Zerwałem się, wrzuciłem w torbę podróżną najpotrzebniejsze przedmioty; zawołałem gospodynią, kazałem jej spakować moje rzeczy i nazajutrz rychło rano mnie obudzić. Sam zaś poszedłem do biura telegraficznego, by jednego z krewnych zawiadomić o mem przybyciu. Opuszczałem miasto na zawsze.

Jedynego tam miałem serdecznego przyjaciela — trzeba się było z nim pożegnać. Odszukałem go i poszedłem z nim do „etablissement national“. Ani przedtem ani potem nigdy tak wesołym, jak wtedy, nie byłem... stan febryczny prawie. Muzyka grała walca, podobnego do szumu wody, a ja siedziałem szczęśliwy jak człowiek, marzący o niebiańskiej miłości. W szansonetkach... w akrobatycznych sztukach znajdowałem upodobanie dotąd nigdy nie doznane; przytem powtarzałem sobie: „nie należę do was, wy, którzy przychodząc tu codziennie śmiertelnie się zanudzacie. Zasiadam pośród was jak obcy, który zatrzymał się w przejeździe, a jutro dalej w świat się puści, nie wiedząc, czy kiedykolwiek dotąd jeszcze powróci“.

Około dwunastej przyjaciel mój chciał odejść, ale go zatrzymałem — zabrałem go z sobą do kasyna; tańczyliśmy, wzięliśmy lożę — i piliśmy szampana.

III.

Parowiec był prawie pusty — spotkałem tylko kilku drzemiących mężczyzn. Poszedłem do jadalni na śniadanie. Wracając zobaczyłem młodą kobietę w ciemnem podróżnem ubraniu, opartą o parapet okrętowy. Wysmukła jej postać odbijała od pozłacanego pomostu. Stała tam patrząc na cieśninę Sund, która przy pogodnem powietrzu bliską się być wydawała. Włosy miała z tyłu pod górę zaczesane i upięte: na szyi wiły się blond loki, cień na nią rzucając. W chwili, gdym na nią spojrzał, przechyliła na bok głowę, podpadająco małą — poznałem ją zaraz po tym ruchu, bo jedne tylko istotę znałem, która w taki sposób przechylała głowę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

było więc nigdzie materyałów. To też wypadła tak ogólnikowo jak najpobieżniejszy artykuł dziennikarski. Czytelnik nie dowiaduje się z niej literalnie niczego, chyba tego, co się samo przez się rozumie: że Cieszkowski „cieszył się każdem odkryciem naukowem, zajmowała go każda, nowa teorya nie odrzucał z góry żadnej, choćby najsprzeczniejszą była z panującemi poglądami“. Ogólniki, ogólniki bez końca, okraszone kilku szczegółami z życia zmarłego przed dwoma laty prezesa Towarzystwa.

Dalej nie należy do „Rocznika“ artykuł I. Łubieńskiego o glinie (aluminium). Mniejsza już o to, że nie jest oparty na samodzielnych badaniach, lecz tylko zestawieniem tego, co o tem przedmiecie inni napisali — że nie jest pracą naukową, lecz czysto informacyjną; ale co gorsza nie odpowiada on już bynajmniej stanowi rzeczy, bo napisany przed „paru laty“ dopiero w tym roku ukazał się w druku. Komu zaś wiadomo, z jaką szybkością właśnie ta gałęź przemysłu się rozwinęła, ten osądzi łatwo, czy należało drukować w organie czysto naukowej instytucyi pracę, w której wielu a wielu bardzo rzeczy nie uwzględniono.

Pozostaje nam jeszcze jedna rozprawka Leszka Maryi Dziamy o zapatrywaniach politycznych Kaspra Miaskowskiego. Umieszczono ją w Roczniku, ponieważ dotyczy poety wielkopolskiego, ale znalazłaby stosowniejsze miejsce w któremkolwiek z czasopism peryodycznych, nie posiadających tak wybitnie naukowego charakteru. Dla „Roczników“ jest ona za pobieżną i jednostronną. Brak przedewszystkiem autorowi gruntownej znajomości 16 wieku, oparł się na utworach samego poety tylko, nie uwzględnił należycie stosunków lokalnych i czasowych i wpływu jego otoczenia. Nie dziw więc, że nie umiał wytłomaczyć sobie sprzeczności rzekomych w jego postępowaniu, — — że nie rozumie, jak ten sam człowiek mógł napisać „Apologią na paskwil“ i „Pugna Andabatorum“, a utrzymywać stosunki serdecznej przyjaźni z Szczęsnym Herburtem i pisać wiersze pochwalne na cześć Mikołaja Zebrzydowskiego. Miaskowski Leszka Maryi Dziamy jest człowiekiem dwulicowym, a choć autor nie wypowiada tego, odbiera czytelnik wrażenie, jakoby jedno z jego uczuć było nieszczerem, jakoby albo udawał monarchistę, lub też przyjaciela rokoszu. Jest to błędem zasadniczym, i obowiązkiem Towarzystwa było nie umieszczać w „Rocznikach“ swych pracy, która przyczynić może się tylko do skrzywienia pojęć o poecie wielkopolskim.

Nasze Towarzystwo Przyjaciół Nauk nie jest tem, za co by chciało uchodzić: „poważną instytucyą naukową w rodzaju akademii“, — liczy jednak pomiędzy swymi członkami garstkę ludzi poważnych, gruntownie wykształconych i dbałych o los i sławę instytucyi. Jakże oni mogli na to zezwolić, aby oszpecono „Rocznik“ takiemi lichotami, które najstosowniejsze znalazłyby miejsce w koszu redakcyjnym! Wina spada przedewszystkiem na naszą bezgraniczną grzeczność, czyli mówiąc wyraźnie brak odwagi. Członkowie Towarzystwa kierują się nie samemi tylko względami naukowemi lub estetycznemi, ale także względami osobistemi i towarzyskiemi. Wzdrygają ramionami i przesyłają sobie ukradkiem ironiczne spojrzenia, słuchając odczytu, noszącego wielkie znamiona miernoty umysłowej; mało kto jednakże odważy się powiedzieć autorowi w oczy — że praca jego nic nie warta, a przynajmniej nie nadaje się do umieszczenia w „Roczniku“, mianowicie jeżeli autor ten jest wybitną osobistością, posiada rozgałęzione związki i koligacye i mógłby zaszkodzić śmiałemu krytykowi, albo też jest przyjacielem, a choćby tylko dobrym znajomym.

A sama organizacya Towarzystwa, sposób podejmowania uchwał dotyczących druku odczytów! Nadesłano do wydziału historyczno-literackiego studyum specyalne — powiedzmy o neoplatoniźmie. Praca ma być czytaną i ocenioną na posiedzeniu wydziału. I oto stawia się dwóch filologów słowiańskich, dwóch księży, wydawca dzieł popularnych, inżynier i gawędziarz-poeta. Połowa z nich nie słyszała w życiu słowa o neoplatonizmie, z pozostałych jeden lub dwóch zaledwie obeznanych jest jako tako z filozofią. I grono to mieszane ma wydać sąd o specyalnem studyum filozoficznem, rozstrzygnąć czy można je drukować w „Rocznikach“, a każdy z obecnych ma równe prawo głosu! Jeżeli praca zbyt jest obszerną, aby można ją odczytać na jednem lub dwóch posiedzeniach, porucza się jej ocenę specyalnej komisyi. A do komisyi tej wstępuje kto się właśnie zgłosi, bo zgłasza się niewielu, a niepodobna przecież być niegrzecznym i zgłaszającego się nie przyjąć. Czy komisya ta jest dobraną, czy zna się należycie na rzeczy, czy można polegać na jej sądzie? — a któżby się o to pytał! Nie wypada!

Nie dziw, że w takich warunkach dostają się do „Roczników“ artykuły i wierszydła niegodne figurować w podrzędnem pisemku litarackiem.

Przejrzyjmy ostatnie „Roczniki“ Towarzystwa, a przekonamy się, że artykułów takich coraz więcej się mnoży. Czas, aby nareszcie ludzie dobrze myślący i troskliwi o sławę naszej, bądź co bądź jedynej instytucyi naukowej, postarali się o gruntowną jej reorganizacyę, a co najmniej już o rzeczową i fachową ocenę prac nadsyłanych do druku przez wybierane ad hoc komisye specyalne. Inaczej nadejść musi chwila, kiedy wydawnictwa Towarzystwa Przyjaciół Nauk przestaną należeć do poważnych wydawnictw naukowych, a staną się pośmiewiskiem uczonego świata.

Z. Oleski.

Z liryki współczesnej.

Wiktor Gomulicki: „Nowe pieśni“. Petersburg, nakład K. Grendyszyńskiego, 1895.

Gdy z drzew umarłych jesień straca liście,
Śpiewaj o czarach nieśmiertelnej wiosny;
Gdy z pól cmentarnych chór płynie żałosny,
Śpiewaj o lecie, co trwa wiekuiście.

Taki cel wyznacza poecie głos bezimienny, zachęcając go, aby po długiem milczeniu wziął znowu lirę do ręki. Łatwiej jednak było na czele nowego zbioru pieśni postawić taki program niżeli go wykonać.

K. ROJAN.

W ŚWIAT.

(Ciąg dalszy.)

Nadto wszystko przyjechał z uniwersytetu młody Dyniecki, pierwszy elegant w Kołczanowie, znakomity chłopiec, tancerz co się zowie, deklamator jakich mało, a piękny i miły jak nikt na świecie.

Wprawdzie popsuły go trochę niewiasty w Krakowie — lecz cóż to wadzi, jest tem bardziej zajmujący.

Dyniecki jest jedynakiem bogatego młynarza, którego oceniają sąsiedzi na sto tysięcy z górą, należy więc do najwyższej arystokracyi tego miasta, nadto kształci się na doktora. Nie w każdym on domu mieszczańskim bywa, wybiera jeno niektóre i tym zaszczyt czyni. Obecnie zaszczyt ten jest tem większy, że Dyniecki od czasu jak jest na uniwersytecie w Krakowie i w wielkim obraca się świecie, stał się nader wymagającym i woli w urzędnicze zaglądać progi, niżeli odwiedzać „sąsiadów“ swego ojca.

Kobiety ogólnie zachwycają się jego urodą. Jest on mężczyzną wysokim, zgrabnym, ma płeć białą jak kobieta, różowe, namiętne usta, czarne wąsiki i śliczne oczy. Gdy tylko wieść gruchnęła po mieście, że młody Dyniecki przyjechał na święta, zaraz znajome panie przekazują przez sąsiadów i proszą, by o nich nie zapominał, lub też chcąc go ujrzeć bodaj z daleka, spieszą na rynek. na bruk kostkowy, po którym młodzieniec zwykł jest przechadzać się codziennie.

Wówczas szepcą sobie panie i panienki z uśmiechem:

— Nic się nie zmienił, taki ładny jak był przedtem.

On zaś rzuca im w odpowiedzi ogniste spojrzenia, kłania się zgrabnie, jeżeli mu są znane i idzie dalej. Dopiero na zakręcie rynku staje, odwraca się i patrzy.

Dyniecki nie bywał dotąd u Borajskich.

V.

Do pokoiku Smolarza wpadły wśród śmiechu i chichotu oba dziewczęta, a za niemi Łasiecki z kajetem w ręku.

— Franek chodź, chodź prędko — wołała Anulka i porwawszy brata za rękę, ciągnęła go w kurytarzyk wiodący do jadalni.

— Pan będziesz grał z nami w teatrze — krzyczała Lola, z drugiej strony eskortując Smolarza — potrzeba nam jeszcze lokaja.

— Cóż znowu? — wypraszał się Smolarz pociesznie — ja się na tem zupełnie nie rozumiem.

Łasiecki postępując za nimi, śmiał się głośno i pocieszał przyjaciela.

— Nie bój się Franek, rola lokaja to właśnie taka głupia, że nie trzeba się na niczem rozumieć.

Usiedli przy stole w jadalni i Łasiecki rozpoczął natychmiast czytanie. W drugim pokoju odbywała się jakaś narada między Borajskim, Szelągiem, Ranieckim i Szołomiejskim. Dwaj ostatni sprzeczali się bez przerwy i co chwila do czytających dolatywały głosy. to krótkie, urywane, zjadliwe słowa Ranieckiego, to Szołomiejskiego poważne i przewlekłe. Pani Marcysia wydawszy zarządzenia w kuchni, usiadła przy stole w jadalni. Oparłszy bródkę na splecionych palcach, przysłuchiwała się uważnie czytanej komedyi. Sztuka tłomaczoną była z francuzkiego. Bohater jej pan Letourneaux, przechrzconym był przez czytającego na Leturnoksa. Mimo przekręcenia nazwisk, Łasiecki czytał płynnie, cieniował dyalog wyraźnie i wszyscy słuchali go ze skupioną uwagą.

Gdy czytanie skończył, rozpoczęły się narady, komu powierzyć role: Łasiecki jako reżyser i najwyższa w tym względzie instancya postanowił, że w sztuce grać muszą koniecznie: panna Lola, panna Anna i Franek.

Grać w teatrze amatorskim było dla Kołczanowian, zwłaszcza płci nadobnej, nie lada odznaczeniem. Łasiecki przeznaczając główne role dla Loli i Anusi, dał przez to wyraz głębokiej przyjaźni dla rodziny Borajskich.

Dla czego? Bo lira Gomulickiego ma dużo podobieństwa do eolskiej harfy. Grają na niej podmuchy i wietrzyki, grają prądy czasu, nastroje chwili, grają smętne powiewy, które niosą z sobą tęsknicę wiekową.

Zresztą poezya nowożytna daleko więcej skarży się, wybucha cierpieniem i buntem aniżeli hymnem radości życia. Gdy z duszy człowieczej płyną najgłębsze jej dźwięki, zawsze słychać w nich ból prometeuszowy, szarpiący się z przemocą losu.

Nic więc dziwnego, że wiosenne i pogodne głosy nie stanowią górującej nuty w tym nowym szeregu pieśni. Na wstępie we „Wzlotach“ poeta głosi hołd dla myśli i uczucia, rozdzielonych od siebie wedle dawnej idealno-realnej recepty, potem twierdzi, że „prawda w poezyi tylko się mieści, bo wiedzę nierozwikłane dręczą zagadki“ — że jedynie poezya „wśród zgiełku życia umie wyśledzić myśl bożą“. Możnaby się o to sprzeczać ze stanowiska filozoficznego, lecz poecie taka wiara przystoi.

Każdego twórcę rozgrzeszyć należy, gdy jednostronnie przecenia wartość swej sztuki albo swojego jej pojmowania. Wiara taka może być ciasną, może nawet w pewnych wypadkach razić samochwalstwem, ale stanowi siłę rozpędową, Poezya zresztą nietylko przeczuciem „sięga do istoty rzeczy“, ale posiada czasem dar uskrzydlania dusz robaczych i pełzających w pospolitości

Za dogmat swej wiary Gomulicki uważa także odrębność i wiekuistość ducha, który jest „jeden i jednakowy“, a ciało „tylko dla niego lutnią w ręku“. Ono odpowiada za ułomności człowiecze, ono jest winne. gdy „melodya życia niepewna i głucha splątanem pasmem się przędzie“.

W tych „wzlotach“ potrącających o myśl filozoficzną Gomulicki jest idealistą starego kalibru, nie może stanąć obok takich mistrzów jak Asnyk lub Sully-Prudhomme, którzy oryginalnie bratają filozofię z poezyą.

Ale zstąpiwszy z dziedziny ogólnych i metafizycznych zagadnień do kwestyi szczegółowych, w cyklu „Rozmyślań“ daje kilka wierszy, w których myśl głęboka połyska niby płomień w lampie złotej wysadzanej klejnotami. Tchnieniem żywotnem bije śliczny wiersz „Pnie i korzenie“, w którym poeta zestawia majestat drzew wielkich i powab lasu haftowanego kwiatem z wężowiskiem pokręconych czarnych splotów, które żer ciągną z ziemi.

Więc prawd odwiecznych gwałcić nie trzeba,
Zgodność dzieł wielkich jest duszą, —
Żeby pnie mogły piąć się do nieba,
Korzenie w ziemi tkwić muszą!

Szeroko da się tłomaczyć idea tego wiersza pod względem socyologicznym. Przypomina on, że dla podtrzymania w życiu tego, co kwitnie i bujnym okrywa się liściem, co strzela ku słońcu pniem wyniosłym, korzenie muszą mieć siłę, a chociaż się kryją w ziemi, na tem właśnie polega ich znaczenie, że ciągną soki bezpośrednio z wielkiego zbiorowiska zasobów życia.

Duma także poeta nad ludzkością, która nigdy nie jest szczęśliwą, jako „głodów wieczysta ofiara“, gdy tymczasem w naturze wszystko się zgadza z swym losem „ani się płazom śni lataczów władza, ani o pląsach myślą ciężkie góry“ — jedna ludzkość nosi w swym duchu żądzę „by sięgać myślą nieudolną — dalej i wyżej niżli sięgać wolno“. Ale w tym stanie „bez spoczynku — bez szczęścia“ mieści się jej przeznaczenie — „bo może śmierć znalazłaby w spoczynku?“

To prawda. Szczęście bywa tylko oddechem chwilowym piersi znużonej walką życia, spoczynek tylko wytchnieniem w wiekuistem dążeniu naprzód. Jeśli tę prawdę poeta dobrze rozumie, to dziwić się można, dla czego w wierszu „Za wcześnie“ twierdzi, że „postępu hucząca fala materyi służy jedynie, zwierzęcość udoskonala, nie wie o ducha dziedzinie“. Cała historya cywilizacyi przeczy takiemu zrzędzeniu.

W cyklu „Pod ciosem“ silnym dźwiękiem odzywa się ból duszy, w którą uderzyło wielkie nieszczęście. W oczach poety zbladły ponęty życia, natura nie ma uroku, a jego wzrok w ziemię wbity ponuro, nieśmie się podnieść i szukać znaków na niebie.

Chociaż ciążyła dłoń twa nademną,
Zawszem przed tobą stawał w pokorze,
Prosząc o światło na drogę ciemną,
Boże! Boże!

Dziś, gdy w istnienia pasmie zawiłem
Nić się splątała — zerwać się może,
Nawet do ciebie drogę zgubiłem
Boże! Boże!

Gdy myśl poety dręczona cierpieniem kołysze się „Pod muzykę dzwonów“, staje przed nią „śmierci widmo blade, żałosne wstęgi dymu przesłaniają radość każdą tej ziemi“ — wszystkie ponęty i zagadki życia wydają mu się marnością.

Wszystko nieprawość i wszystko kłam,
Jak sen to życie przepływa. —
I tylko jedną prawdę tu znam:
Ból, co mi serce rozrywa!

Cały ten cykl jest sznurem poetycznych pereł. Czarne one, ale bardzo piękne. Uczucie boleści żywej, szarpiącej duszę, wybucha tu jękiem silnym, skargą przenikającą.

Czuć w tym bólu indywidualnym rozszerzenie duszy ludzkiej, która zwraca się do głębin i mroków życia wogóle. W wierszach „Vita brevis“, „Jutro“, „Im dalej“, „Bez cudu“, „Tu a tam“, „Mors“, „Nihil“, „Jęk“ — odkrywa poeta bezmiar uczucia skupionego, które w poruszeniach swoich brata się z myślą o nędzy istnienia. Boleść ta robi tem silniejsze wrażenie, że nie miota się, nie wybucha, a jednak czuć w niej jakby krajanie nożem w wnętrznościach duszy. To ból męża, który zaciska zęby, aby ludziom nie pokazać kurczów, łamiących rysy oblicza. Wiemy, że płynie on ze źródła nieszczęść i strat najsilniejszych, jakie może człowiek przechodzić, gdy natura wydziera mu to, co ukochał nad życie. Poeta jednak chowa przed oczyma ludzi stronę osobistą cierpienia. To jest świętość smutku, który do cierpiącego tylko należy, to jest wyłączność bólu rzeczywistego, który nie szuka pomiędzy ludźmi wspólnika. W poezyi przetapia się ten ból na uczucie ogólniejsze, przybiera jakby odcień nieosobisty i ukaja się wreszcie w pragnieniu ciszy, w tej świadomości, że i cierpienie przemija jak wszystko na świecie. W ślicznej „Modlitwie“ błaga poeta:

Nadmiarem bolu zaciete wargi
Rozwiąż Panie,
Usta, co mieca klątwy i skargi,
Ucisz Panie!
. . . .

Dziewczęta były zachwycone. Rumieńce wystąpiły im na policzki, oczy pałały ogniem.

— A teraz jeszcze kto będzie panem Letourneaux? — wołała Lola kręcąc się na krześle — a kto tym zazdrośnym mężem?

— Mężem będzie młody Józef Raniecki.

— E nie, on tego nie potrafi — protestowała Lola.

— Potrafi, on w jesieni już raz grał i to wcale dobrze.

— A kto będzie grał Letourneaux?

— Dyniecki.

— Co?...... Dyniecki? — zawołały prawie równocześnie Lola i pani Borajska.

Ta ostatnia zaś dorzuciła:

— To on już przyjechał?

— Tak jest, widziałem go wczoraj na ulicy. Pytałem się, czy grać będzie. Powiedział, że dobrze.

— Pan go zna?

— To mój kolega ze szkół. Wprawdzie teraz wielki pan się z niego zrobił, ale ja z takimi umiem się obchodzić. Jak on nos do góry, t... to ja jeszcze wyżej i zaraz się rozumiemy.

— Ach, jakżeby to było pięknie, żeby Dyniecki z nami grał! — cieszyła się Lola, klaszcząc w dłonie. — On tak ślicznie gra. Pamiętasz Anulko zeszłego roku?...

— Pamiętam, ślicznie.

Łasiecki zaręczał, że na Dynieckiego można z wszelką liczyć pewnością.

Pani Marcysia po krótkim namyśle zapytała:

— A możebyś pan inną jaką sztukę wybrał?

— Inną, proszę pani?

— No, taką.... żebym i ja w niej grać mogła.

— Kiedyżbo takiej nie mam. Ale prawda, zdaje mi się że jest tam jeszcze w kuferku jedna, gdzie jest rola starej babki.... możeby tę wybrać. Pani mogłaby być babką.

— Ja nie chcę być babką — oburzyła się pani Marcysia i wstała od stołu obrażona.

Lola wybuchnęła na to głośnym śmiechem. Łasiecki zrozumiawszy, że strzelił bąka, zaczerwienił się, Smolarz i Anulka zamienili spojrzenia.

W chwilę potem wróciła jednak pani Borajska do stołu bez gniewu i rzekła:

— Jakbyście mieli na prawdę dawać to przedstawienie, to u nas robilibyście próby, prawda?

— Tak jest, oczywiście.

— I Dyniecki musiałby do nas przychodzić.

— To się rozumie.

— W takim razie, niech go pan poprosi, żeby przyszedł do nas w niedzielę. Niby to dla przeczytania sztuki, niby coś podobnego... Dobrze?

Łasiecki przyrzekł, że to zrobi.

— A potem trzeba go będzie zaprosić na trzynastego, na moje imieniny.

— Lola i Anulka przyklasnęły temu postanowieniu.

Gdy tak przy stole w jadalni bawiono się przedstawieniem amatorskiem, w przyległym pokoju odbywało się prawdziwe amatorskie przedstawienie, podczas którego główne role spoczywały w rękach Ranieckiego i Szołomiejskiego, a treścią sztuki była kasa zaliczkowa z ograniczoną poręką.

Szołomiejski, człek światły, oczytany, posiadający szeroki na świat pogląd, wyłuszczył właśnie sąsiadom projekt założenia pierwszej kołczaniańskiej kasy zaliczkowej i ostatkiem argumentów starał się utrwalić wrażenie, wywołane w ich umysłach jasnem, dosadnem przedstawieniem sprawy.

— Wierzajcie mi panowie — kończył właśnie basowym, przewlekłym głosem — powiadam wam szczerze i sumiennie że byłoby to prawdziwem dla nas wszystkich dobrodziejstwem.

Raniecki, który wygadawszy się już poprzednio przestał na razie mówić, aby wysapać się i zaczerpnąć świeżego powietrza, zakrzyczał znowu, uśmiechając się ironicznie:

— Wszystkich jak wszystkich, ale przynajmniej dla tych, co mają ciągle pustki w kieszeni.

Był to przytyk do Szołomiejskiego, który mimo niezwykłej uczoności, w ciągłych bywał kłopotach pieniężnych.

— A kto dzisiaj nie ma pustek w kie-

Którym duch krzepki rwie się do boju
Moc daj, Panie —
A którym trzeba tylko spokoju —
Odpoczywanie!

Z pomiędzy mrocznych poezyi wyróżnia się jeszcze śliczny wiersz „W katedrze“, gdzie cisza wielka każe „zapomnieć o męce istnienia“ a duch poety ukojony błogosławi tych, „co zaklęli w kamień i drzewo myśli najświętsze“, błogosławi kolumny strzelistą linią biegnące do szczytów. Błogo się robi pod wrażeniem tego złagodzenia duszy zmęczonej, dobrze nam, gdy czujemy ciche rozpłynięcie się w smutku, w wielkiej nawie, nawie, której łuki i sklepienia toną w mroku. Dusza ludzka czuje się wtedy objętą czemś wielkiem, napoły nieokreślonem. Myśl i oko w zadumie błądzi u gzemsów i kapitelów; ślizgając się po łukach i sklepieniach wyławia z mroku nowe zarysy i kształty, które się spływają z ogólnym nastrojem.

Z tych mroków poeta wychyla się na światło dzienne w cyklu „Przy słońcu“, przypominającym dawne jego jasne pieśni, które kąpały się w blaskach, tchnieniem wiosny owiane. Kilka tych wierszy, a zwłaszcza „Gdy błyszczy maj“, „Ekloga“, „W starym sadzie“ pełne są subtelnego a raźnego szczebiotu; w „Dwu słowikach“ wraca nuta melancholii — a wiersz „W upojeniu“ kipi warem zmysłowości. Wprawdzie we wierszu „Wszechmoc człowieka“ poeta radzi „okiełznać żądze, a myślom dać skrzydła, jeśli chcemy posiąść moc, co targa wszystkie losów sidła“, jednakże zapomniawszy o tej radzie praktycznej z porywającą prawdą oddaje się tej miłości, co jest „obłędem bachicznym, grzesznym, boskim, dzikim“ — co w pocałunkach duszę wypija a w uściskach płynie gdzieś w zaświaty, mdleje, roztapia się i ginie. Poezya bierze zwykle w obronę prawa namiętności i spełnia przez to swą rolę przyrodzoną, bo i ona płynie z popędów nieświadomych a potężnych, i ona rodzi się we wrzeniu młodzieńczem, i ona jest cząstką i głosem wszech-duszy, ożywającej istnienie i budzącej do życia.

Okiełznanie żądz jest potrzebą i wymaganiem postępu duchowego człowieka, ale poezya broni, aby to ujęcie w karby nie było niewolą lub zanikiem, jest naturalną rzeczniczką miłości, rozkoszy i ponęt życia.

Dla tego też przebaczamy tej żądzy „W upojeniu“, że jest zmysłową, ponieważ prąd jej ognisty stwarza harmonię dwu istnień, ponieważ te słowa namiętne budzą w każdym z nas pragnienia, albo wspomnienia chwil szczęśliwych.

W „Obrazach i zarysach“ bardzo miłe wrażenie robią dwa wiersze z życia mieszczańskiego „W kamienicy pod okrętem“, łączące ton archaiczny z humorem oryginalnym. Udało się poecie wskrzeszenie dawnych postaci, ojca, handlarza win, i synka eskulapa, którzy in illo tempore porali się z trudnościami żywota. W „pieśniach weneckich“ mało jest obrazowości, gdyż poeta przetapia wrażenia rzeczywiste w jakieś fantazyjne majaki. W „Strofach ulicznych“ spotykamy dawny dar osłaniania poezyą prozy mieszczańskiej. Są to bardzo ładne i barwne akwarele, przejrzyste w tonie, czasami przymglone obłokiem tęsknoty, ale napróżno byśmy w nich szukali tego płomienia pogody młodzieńczej, który ongi „Na kanonii“ rozjaśnał poecie mroki poddasza.

W cyklu „Umarłym i żywym“ prześlicznym jest wiersz poświęcony „Pamięci J. I. Kraszewskiego“, rzewny, szczery, podobny do melodyi, która wpada do duszy, jak pieśń do górskiego parowu, a przebrzmiawszy budzi echa i dośpiewy. Wiersze „Pomnik Moniuszki“ i „Pamięci Jana Matejki“, chociaż okolicznościowe, tętnią uczuciem i chwytają za serce.

Pominąwszy inne szczegóły i fragmenty, można powiedzieć, że w tym obfitym zbiorze talent Gomulickiego wykazał dawne mistrzostwo formy, przybrał pewną określoną fizyognomię. Dawniej był to wirtuoz, grający z równą biegłością na różne sposoby, obecnie góruje w jego poezyi nuta bólu. Cały jej horyzont stał się bardziej mrocznym, tu i owdzie tylko widać na nim skrawek mały lazuru, albo obłok biały, przepojony drganiem słonecznem.

Porzucił poeta dawniejszy rozmach deklamacyjny, porzucił szeroki ton epiczny, którego świetnie użył w „El mole rachnim“, albo w wierszu „Szekspir“ — stał się teraz wyłącznie lirykiem, bardziej indywidualnym i lotnym.

Plastyka ustąpiła obrazowości, rozta piającej się w uczuciu, obrazy stały się przejrzyste. Poeta pomimo szczerości rzadko wypowiada swe uczucia bezpośrednio, wyraziście, ale przepuszcza je przez indywidualny pryzmat, w którym załamują się one, nie tęczowo jednak, ale powiewnie. Liryka jego tętni większą niż dawniej prawdą, nie roztapia się w kokieteryi frazesów, nie ma przesubtelnionego aromatu, jest mniej kunsztowną, bardziej przemawia do duszy — ale płynie zawsze falą dźwięków lekko tłumionych, strojnych i delikatnych. Forma, jak dawniej, znakomita, melodyjna, nie jest tak kryształowo rytmiczną jak n. p. u Asnyka, ale faluje miękko, wytwornie, pieści ucho, posiada wykończenie i lekkość nieporównaną. Zawsze spojona z myślą lub uczuciem, nie razi pustym szumem dźwięków.

Mówiąc po malarsku, cała liryka Gomulickiego jest harmonijnie stonowaną, subtelną i bardzo oryginalną. Wirtuoz przeszedłszy przez chłostę cierpienia, odrzucił precz świecidełka frazeologiczne, sztuczną kokieteryę rymów i stał się poetą w całem znaczeniu tego słowa, dorzucając kilka głębokich i pięknych dźwięków do wieczystej pieśni człowieczego bólu.

Z pomiędzy wielu klejnotów liryki jego najpiękniejszą jest następująca „Prośba“:

Gdybym koniecznie już miał
Przecierpieć mękę istnienia,
To duszy mojej, o Boże,
Daj ciche senliwe łoże
I wybierz dla niej z miliona ciał —
Ciało kamienia.

Gdybym koniecznie już miał
Rosnąć i więdnąć na ziemi,
To duszy mojej, o Panie,
Daj niskie, proste posłanie
I jej doczesny porównaj dział
Z trawy polnemi.

W trzeciej strofce, którą pomijam, poeta nie jest już tak jasnym i przekonywającym, ale te dwie nietylko nęcą czarem muzykalnym, ale ślicznie wyrażają bezbrzeżną tęsknotę i pragnienie spokoju, którego łakną napróżno synowie ziemi, wirem życia miotani i goryczą jego zatruci.

Józef Kotarbiński.

---

szeni? — odciął przeciągłym basem. — Dzisiaj panie, książę — dzisiaj panie, hrabia — dzisiaj panie, Bóg wie jaki arystokrata, każdy ma długi. Dziś panie każdy zadłużony po...

Przesunął palcem po czole.

— Ja ani książę, ani hrabia, ani żaden arystokrata, a przecież długów nie mam, he, he! — zakrzyczał wesoło Raniecki i uderzył się po kieszeni.

— Ba!

Już może po raz setny gruby Raniecki uszczypliwymi docinkami, wymierzonymi ku wnioskodawcy, przerywał poważną rozmowę i sprowadzał ją na bezdroża.

Szeląg, Borajski i Wywrót godzili wciąż powaśnionych, to biorąc Szołomiejskiego w obronę, to gromiąc Ranieckiego.

I tym razem stanął Szeląg po stronie kołczanowskiego filozofa, odpowiadając Ranieckiemu.

— No, nie trzeba myśleć tylko o sobie panie Ignacy. Kredyt, to ważna rzecz u nas, nie ma co mówić! Wam samym nieraz zdałby się znaczniejszy kredycik, gdy przyjdzie większe robić zamówienia. Nieprawdaż?

Raniecki nic na to nie odpowiedział.

— Co do mnie, ozwał się Borajski — to ja nie byłbym od tego, aby taką kasę założyć. Myśl, bądź co bądź, dobra.

— Rozumie się — zawołał Szołomiejski, a czując większość po swej stronie, podczesał palcami sterczące włosy i z zapałem ciągnął dalej. — Taż to panie, gdzieindziej, za granicą wszystkie stany mają takie kasy zaliczkowe: urzędnik swoją, kupiec swoją, rzemieślnik swoją, a włościanin, najbiedniejszy z nich wszystkich, także swoją — tylko u nas wszystko idzie, panie, jak z kamienia. Gdybyśmy tylko ułożyli statuta i uzyskali zatwierdzenie, reszta już fraszka. Jak raz gruchnie wieść po mieście, że kasa jest, ten i ów wnet swój kapitalik do niej złoży i spokój.

— Piękny mi spokój! — zauważył Raniecki nawiasem.

— A dla nas, którzyśmy tę kasę do życia powołali urósłby wielki zaszczyt z tego powodu. Słowo uczciwości daję.

— Nie, nie, to się nie uda, to się w żaden sposób nie uda — przeczył uporczywie Raniecki, trzęsąc niecierpliwie głową.

— Przepraszam! Dajże mi pan ważny powód, dla czego nie miałoby się udać.

Na takie niespodziewane zapytanie nie miał Raniecki w zanadrzu odpowiedzi, lecz nic namyślając się długo, odciął złośliwie:

— Bo pan, panie Szołomiejski, masz pech w rękach. Gdy co chcesz związać, to już się pewnie rozwiąże albo urwie. Tak samo było z tą spółką dostaw dla wojska. Gdybym był w czas nie postawił wniosku, żeby spółkę rozwiązać, to dziś musielibyśmy wszyscy spać w miejskim ogrodzie na ławkach pod kasztanami, jeść świeże powietrze i okrywać się listkami jak Adam i Ewa w raju. Oni zresztą byli do tego przyzwyczajeni, ale ja nie, panie, ja nie... pan zaś... no, jak się panu podoba, ale ja nie.

— I jak tu mówić rozsądnie z takim człowiekiem, co wszystko zwala na jakiś tam „pech“. Ja tego słowa wcale nie rozumiem. Może się nie udać to i owo, ale to jeszcze nie dowód, że inna się rzecz nie powiedzie. I wielkim wojownikom na świecie nieraz się nie wiodło, jak naprzykład Napoleonowi Bonapartemu, którego wywieźli na wyspę świętej Heleny, albo temu..... tam staremu Hanibalowi co przez góry szedł — a przecież dokonali obaj wielu pięknych dzieł na świecie.

Historyczna tyrada znudziła Ranieckiego.

— E, bo pan zaraz z historyą wyjeżdżasz — zawołał niecierpliwie — a nie, to z astronomią. U mnie panie dobrodziejaszku historya, to tutaj (uderzył się po kieszeni), a astronomia, to tych dziesięć palców.

— Chyba tak — mruknął lekceważąco Szołomiejski. — Kto nie czyta nic, ten nic nie wie. Koń także nic nie czyta.

— A kto za wiele czyta, ten traci oczy, chodzi w okularach, a dobytek dyabli biorą. Zapatrzyła się raz krowa na gwiazdy i myśli, że jest uczona — tymczasem przyszedł złodziej i za rogi: chap!...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z estrady i sceny.

(Niobe. Krotochwila w 3 aktach p. Paultona. — Debiut panny Barskiej — Koncert Sokołów).

Królestwo Francuzów w dziedzinie farsy ma się ku końcowi. Przez długie lat dziesiątki panowali oni tak wyłącznie w zakresie najlżejszej twórczości scenicznej, że wszystko, cokolwiek reszta Europy ulepiła z materyału humorystycznego bezsensu i śmiechu dla śmiechu, nosiło stempel francuzki. Nazwiska były niemieckie lub angielskie, miejscowość Londyn lub Berlin, lecz typy, zawikłania, dowcipy nawet, zdradzały zawsze ojczyznę nadsekwańskich bulwarów. W ostatnich jednak latach Niemcy a mianowicie Anglia zuchwale stają do wyścigu o palmę pierwszeństwa. John Bull, ten poważny i flegmatyczny dziwak, śmiać się zaczyna, a śmieje się tak, że wschód i zachód wita go grzmotem oklasków. „Dom waryatów“, — „Rodzina Furjozów“, — „Niebieska grota“, — „Ciotka Karola“ — znacie te utwory. Przebiegły one wszystkie sceny europejskie i porywały tłumy wesołością swoją. Żaden z nich jednak nie dorównał najświeższej premierze poznańskiego teatru, która przed czterema laty wystawiona w Londynie, kilkaset razy z rzędu wstąpiła na deski, później obiegła z równym sukcesem Paryż, Berlin, Wiedeń, Lwów i Warszawę a wreszcie zawitała do Poznania. Imie premiery: „Niobe“. Posłuchajmy fabuły utworu.

Jakiś dyrektor banku zabezpieczeń, obdarzony kochającą małżonką i Ksantypą — siostrą małżonki, otrzymuje jako depozyt z rąk bogatego lorda, rozmiłowanego w sztuce i archeologii, drogocenny posąg Nioby. Dyrektor, człowiek nowoczesny par excellence zamierzał właśnie w owym czasie przeprowadzić światło elektryczne z ulicy do własnego domu, a robotnicy nie zdążywszy na razie drutów prądonośnych ukryć pod podłogą, okręcili je około nóg rzeźby wspaniałej. Wieczór zapada, rodzina dyrektorska spieszy do teatru, a wreszcie znika i lord archeolog, wyśpiewawszy miljony zachwytów nad arcydziełem sztuki i piękną legendę, jakoby ta klasyczna Niobe nie była dziełem dłuta rzeźbiarskiego, lecz na skinienie bogów w kamień zamienioną kobietą. Dyrektor sam pozostaje i sen mu klei powieki. Przejrzysta kurtyna z gazy zapada, po chwili znów się podnosi, na scenie rozgrywa się sen bohatera sztuki.

Śnią mu się cudowne rzeczy. Wspomnienia drutów elektrycznych kojarzą się z wspomnieniem opowiadań lorda. I oto schodzi z piedestału posąg, wskrzeszony elektrycznością do nowego życia, — zmartwychwstaje Niobe, cała grecka, klasyczna i starożytności pełna. Co począć z tym fantem? Biedny dyrektor głowę prawie traci, słysząc skargi tradycyjne i pojęcia stylowo-archaiczne żywego posągu. Gdy jednak miękkie ma serce, a zbudzona ofiara Feba mianuje władzcą i kochankiem wskrzesiciela swego, postanawia nie wypędzać jej w świat daleki, lecz przebrawszy w europejskie szaty płaczącą Niobe, przedstawić ją rodzinie swojej jako „nową guwernantkę“, zgodzoną przed niedawnym czasem i oczekiwaną niecierpliwie w tym domu. Rozpoczyna się tedy szereg najpocieszniejszych zawikłań, jakie kiedykolwiek ujrzały światło kinkietów. Nie opowiem ich czytelnikom moim, nie zdradzę sekretu, zalecam jednak wszystkim lubownikom pustej wesołości korzystać z okazyi i przekonać się osobiście o wstrząsającym humorze tej w świat nowoczesny przeniesionej Nioby:

Śmiech jest dobry, śmiech jest zdrowy,
Uspakaja słabe nerwy,
Cały Olimp bóstw różowy,
Nie wyjmując i Minerwy
Śmiać się lubi. . . .

Cóż z tego, że efekt humorystyczny oparty jest w Niobie na takim podkładzie nieprawdopodobieństwa, że Paulton przyzwał Morfeusza na pomoc — co zresztą nie jest nowym wynalazkiem — i w krainę snu przeniósł dziwaczną fabułę. Byleby tylko śmiech sztuki zagłuszył zdrowy rozsądek, to fundament może sobie być najfantastyczniejszym bezsensem, — byleby tylko rozwój akcyi był logicznym, to premisa może być pustem dziwactwem. Oto recepta dobrej krotochwili rozgrzeszająca pomysł Nioby. Humoru tam tyle, że zagłuszona refleksya o prawa swoje się nie upomina. Fałsz czy prawda, bajka czy rzeczywistość, — nie pytamy o to, gdy klasyczny posąg wstępuje na scenę, prawi o hoplitach i sykofantach, deklamuje w jambach i trocheach, a wreszcie wspina się na dachy i ręce wyciąga do boga sztuki i słońca. Ten kontrast dwóch cywilizacyi, reprezentowany przez grecką Niobe i dyrektora banku zabezpieczeń wraz z rodziną jego, mieści w sobie tyle porywającej wesołości, że salwy śmiechów i oklasków rotowym ogniem sypią się ku scenie. W zakończeniu tylko należałoby dorzucić kilka szczypt soli atyckiej, — bo finał suchy jest nieco i blady.

Rolę tytułową odtworzyła na scenie poznańskiej p. Vernon. Artystka nie posiada odpowiednich warunków zewnętrznych, aby wcielić posągowe piękno i koturnowe ruchy greckiej Nioby, — po za tem jednak gra panny Vernon odznaczała się właściwym patosem klasycznym, tworzącym kontrast humorystyczny na tle nowoczesnego salonu. Stylowa ta deklamacya i mimika artystyczna zjednały artystce zasłużone oklaski. Równe uznanie należy się panu Łaskiemu za doskonałą interpretacyę bohatera sztuki. Gra jego była pełną pociesznego zakłopotania i dyskretnego humoru. Z innych artystów wyróżniała się korzystnie pani Skirmuntowa w roli starej, jadowitej panny.

* * *

W środę ubiegłą debiutowała na scenie poznańskiej p. Barska w jednoaktowej fraszce p. t. „Mąż pieszczony“. Jest to rodzaj szkolnego ćwiczenia — rodzaj egzaminowego popisu z gimnastyki głosu i mimiki. Patentu dojrzałości przyznać nie mogę młodej debiutantce. Gra jej była monotonna, koloryt szary, pozbawiony różnorodności tonów i półtonów. Wszystko tam zlewało się w jakąś masę bezkształtną i jednostajną. Nie widziałem ani typu sentymentalnej, ani typu namiętnej, ani typu zazdrosnej małżonki, słyszałem tylko lekcyę opanowaną pamięciowo, lecz wygłoszoną bezbarwnie. Gdybym według środowego debiutu wróżyć miał o scenicznej przyszłości panny Barskiej, to horoskop mój nie byłby wesoły, — przyznaję jednak że młoda adeptka sztuki posiada pewne warunki zewnętrzne, niezbędne dla teatralnej karyery: Głos słaby ale miły, ruchy nie pozbawione pewnej elegancyi, sympatyczne rysy i włosy rzadkiej piękności. Jest to „coś“ zawsze, — czy to „coś“ jednak wystarczy. aby laury zbierać na scenie?

Pannie Barskiej sekundował bez zarzutu utalentowany artysta pan Wostrowski.

* * *

Na zakończenie dzisiejszej pogadanki teatralnej poświęcam krótką notatkę koncertowi Sokołów. Sokolskie zabawy cieszą się w Poznaniu niezwykłą popularnością, a lubo sąd szerokiej publiczności błędnym jest często i niesprawiedliwym, to tu bez wahania uznanie moje tam adresuję, gdzie vox populi zwraca sympatye swoje. Publiczne występy Sokołów poznańskich odznaczały się zawsze doborowym programem, a ostatni koncert przyczynił się niewątpliwie do utrwalenia pochlebnej opinii. Orkiestra amatorska pod batutą druha Zaremby, złożyła nowy dowód artystycznego postępu, a uznanie to spotęguje się znacznie, skoro zważymy, w jak trudnych warunkach pracuje dzielne kółko amatorów. Z utworów wykonanych na poniedziałkowym koncercie wyróżniał się korzystnie marsz „Czołem“, nowa kompozycya utalentowanego kierownika orkiestry. Z artystów teatru pznańskiego, biorących udział w koncercie, zasługuje na wyszczególnienie piękny barytonowy śpiew p. Majdrowicza, którego zalety ujawniły się dokładniej na sali koncertowej niż w mało akustycznych murach teatralnych. Dwukrotny występ p. Majdrowicza przy artystycznym akompanjamencie panny Vernon, uczennicy petersburskiego konserwatorjum, zjednał sobie frenetyczne oklaski. Równy zapał zbudziła silna deklamacya p. Paszkowskiej. „Mój Testament“ Słowackiego brzmiał w interpretacyi artystki serdecznym bólem, ironią i dumą, a gdy oklasków nie było końca, dorzuciła deklamatorka wiersz Nowickiego „Na kresach krzyżackich“. I tu była siła, tylko miejscami cieniowanie słabło. — Dyalog „Przyjaciele“, odegrany przez pp. Wostrowskiego i Grabowieckiego, nie zaleca się wybitniejszemi przymiotami literackiemi i scenicznemi, — wykonanie jednak odznaczało się energią i życiem. Obaj artyści wystąpili nadto w solowych deklamacyach, powitanych nader przychylnie przez liczną a w znacznej części doborową publiczność. P. Wostrowski porwał słuchaczów pięknym wierszem Tetmajera p. t. „Evviva l'arte“, a p. Grabowiecki rozwinął wiele entuzyazmu i subtelnego artyzmu w deklamacyi „Orła“ Czerwińskiego.

Żywe uznanie należy się również oddziałowi gimnastyków sokolskich pod komendą druha Gładysza. Wolne ćwiczenia i popisy na poręczach odznaczały się precyzyą, zręcznością i siłą, a piramida zbudowana na zakończenie występu śmiałością pomysłu i artystycznym układem. Niechaj to czytelników moich nie dziwi, że w tej rubryce poświęconej sztuce rozpisuję się o zaletach gimnastyki. Ćwiczeniom Sokołów naszych nietylko atleta lecz artysta przyklasnąć musi, — piękno jest również w sile i zręczności ciała, — w Olympii obok poetów występowali siłacze i zapaśnicy.

W. R.

Na Wyłomie.

(Noworoczne życzenia. — Dwuetnia służba. — My a oni. — Polityka a religia.)

Cóż wam przy Nowym Roku życzyć mam czytelnicy „Przeglądu“? W północ Sylwestrową lub rankiem nazajutrz śpiewano wam o błogosławieństwie bożem w dzieciach i dobytku, o majowych uśmiechach miłości, o zaszczytach może i laurach. Kości wasze trzeszczały, gdy wam w staropolskich uściskach krzyczano do ucha, by w nowym roku żołądek dobrze trawił, romatyzm nie strzykał po stawach, a trzos z pieniędzmi się wydął do rozmiarów olbrzymiego balonu. Mamże tę samą odśpiewać litanię lub stylem jednego z czasopism prowincyonalnych na czoło numeru wysłać gromki okrzyk: „Do siego roku czyli zdrowia szczęścia i pomyślności życzy czytelnkiom redakcya“. Duserami tego gatunku kar-

miono was już do syta, niechaj więc nasze „Z. P. N. R.“ z innego tonu przemówi dziś do czytelników „Przeglądu“.

Dwa lata służby mamy już za sobą, dwa lata razem ramię przy ramieniu walczymy o jutro, o infuzyę krwi świeżej do anemicznego organizmu społeczeństwa, o prawa obywatelstwa dla humanitarnych prądów i postępowych idei, o emancypacyę uczuć narodowych zgłuszonych fajerwerkami lojalizmu i grzechotem klerykalnych legionów, o zmartwychwstanie literatury i piękna na poznańskim gruncie, o tolerancyę przekonań, swobodę myśli i głos dla gwałconych bezprzykładnie praw etyki i równości obywatelskiej. Dwa lata walki! Ileż tam upojeń zwycięzkich, zachwytów, zawodów, bólów i doświadczeń! Zrazu garść ludzi rwie się do bitwy i broni „wyłomu“. Szaleńcy! Im to porywać się przeciw zwartym kolumnom uprzywilejowanych obrońców starego porządku, — im to kusić się o ścieranie rdzy gryzącej od lat 20 społeczeństwo poznańskie. — im to pozować na Herkulesów i czyścić stajnie Augiasza! Zrywa się krzyk potępienia, zagrały bębny na alarm. „Dziennik“ i „Kuryer“, konfesyonał i ambona, plotka i kalumnia, bojkot i nienawiść stają do szeregu i jak lawina toczą się z wyżyny. Zaduszą garstkę zuchwałych! Tak się przynajmniej zdawało. Lecz minął rok i drugi już mija a w obozie „Młodych“ rojno i gwarno, chorągiew dumnie wznosi się na szańcach i życie rośnie, — nie cisza śmiertelna.

Spoglądam w około. Tam wszyscy prawie w szeregu. Zaledwie kilku słabego ducha a próżności pełnych opuściło wartę i wrogi mundur przywdziało, — zaledwie kilku „zjadaczów chleba“, karyerowiczów i z męstwa wyzutych filistrów obcym dziś Bogom przysięga, — to wyjątki rzadkie, — ogół „buntowników“ mówi głośno: Jestem! A ileż tam nowych twarzy, ile nawróconych! To, co w pierwszem słowie programowem musiało z natury rzeczy rozpływać się w mgle ogólników, przybrało kształty wyraźne w dwuletnim istnieniu. Wśród wojennych strzałów zdołaliśmy się wypowiedzieć. Niejeden dwuznacznik stracił barwę zagadkową, niejeden złośliwy domyślnik przeciwników naszych rozbił się o potęgę faktów, niejeden moment politycznego życia stwierdził w całej pełni słuszność naszych obliczeń i protestów. A w miarę rozwoju programu naszego rosną młode siły, — ułamek staje się poważną cyfrą. To jest rzeczywistość, panowie „ładu i porządku“, — to jest rezultat dotychczasowych zapasów. A morał? Czyż jeszcze nie pojmujecie, że waszą taktykę przekleństw i bojkotów uwieńczyło kapitalne fiasko? Czyż nie rozumiecie, że w społeczeństwie poznańskiem dokonuje się przewrót na całej linii, którego nie powstrzyma żaden teroryzm? Wy macie za sobą zbutwiałą tradycyę, my służymy naturalnej ewolucyi społecznej, podyktowanej siłą wypadków ekonomicznych. Wy hołdujecie abdykacyi narodowej i budujecie jakieś trzy lojalizmy i trzy patryotyzmy, pragniecie nawet zdusić tak polskość w uściskach katolicyzmu, by łachman tylko z niej został, — my nie abdykujemy z praw narodowych, na bramach przeszłości nie godło śmierci, lecz znak zmartwychwstania kładziemy i uznając krzyż obok orła, krzyża bez orła nie uznamy nigdy. Czyż wątpicie, przy kim będzie zwycięstwo? Czy kiedykolwiek prąd narodowy żywiej grał w społeczeństwach Europy niż dzisiaj? Gdzie tylko spojrzycie, wszędzie duch narodu się budzi i woła o prawa swoje, — nawet wśród zagasłych ludów jakiś ruch się zaczyna, nawet wśród kilkutysiecznych niedobitków, na ziemiach pochłoniętych obcą cywilizacyą odzywa się separatyzm narodowy i odrodzenie zwiastuje. Duch wieku stoi za nami, — przemówił Szląsk, przemówiły Mazury, — a „Kuryer poznański“ chce polskość katolicyzmem zastąpić!

Szatan pragnął niegdyś zniszczyć dary Boże i ludziom ukraść ziarno pszeniczne. Więc porwał je i w ziemi ukrył starannie. Nastała wiosna i ziarno kłosem strzeliło.

Głupiec chciał mrówkę zadusić, — więc wziął garść ziemi i przykrył małe żyjątko. Po chwili mrówka wesoło na powierzchni tańczyła.

Taki sam efekt uwieńczy dzieło „najserdeczniejszych naszych“, którym przy nowym roku życzę przedewszystkiem łaski Ducha Świętego. Wtedy zrozumią może, że szerokie masy narodu drwić sobie zaczynają z politycznych bałwanów Kuryera i Kuryerowiczów, — wtedy uznają, że naród, ogłuszony zrazu majestatem różnych autorytetów i otumaniony błędnym ognikiem sofizmatów dyplomatycznych, wraca do przytomności i w głos się śmieje lub pięści zaciska zuchwale. A lubo społeczeństwo nasze jeszcze do tego stopnia jest sklerykalizowane, że na publicznych zebraniach roztrząsa kwestye, jak często ten lub ów z redaktorów wyznaje grzechy przed konfessyonałem, i według liczby odbytych spowiedzi sądzi o człowieku, to przecież rosnąca oświata, nie dziś to jutro, kres położy bezprzykładnemu wyzyskiwaniu religii w celach politycznych. Jest to paląca kwestya najbliższej przyszłości. Tu nastąpić musi poważne rozrachowanie i uczciwa prasa ludowa z całym naciskiem w tym właśnie kierunku rzucić powinna garść jasnych promieni, aby zapobiedz minującej robocie, której głosy gdzieś z pod ziemi znowu nas dolatują.

Jakie stanowisko zwolennicy pisma naszego zajmą w tej walce, która wkrótce może z podwojną siłą wrzeć będzie w całym zaborze pruskim, o tem dwóch opinii chyba być nie może. Bunt przeciw gwałceniu przekonań politycznych w imię religii jest zasadniczym postulatem programu naszego i w nowym okresie życia przeciwnicy nasi znajdą nas zawsze na posterunku. Jeżeli zaś dziś kwestyę tę wyprowadzam znowu na widok publiczny i prezentuję ją u bram noworocznych towarzyszom broni, to słowa moje płyną z przekonania, że my nieraz za późno spieszymy na pole bitwy i na gruncie nieprzygotowanym bój rozpoczynamy. Kto w krytycznej chwili dopiero za broń chwyta, ten znajdzie może pozycye zajęte i największe męztwo pójdzie tam na marne. Niechaj inteligencya, grupująca się około P r z e g l ą d u poznańskiego, o tem nie zapomina, niechaj grunt do walki przygotuje, niechaj wejdzie w lud i tam tłomaczy różnicę dwóch światów: polityki i religii, — niechaj w nizinach społeczeństwa sieje oświatę, bo tylko lud o ś w i e c o n y będzie sprzemierzeńcem naszym.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA

„Przegląd literacki“. Poważnie, na nasze stosunki prawie imponująco, przedstawia się pierwszy numer krakowskiego „Przeglądu literackiego“, wydanego przez tamtejszy „Związek literacki“. W krótkim, spokojnym, przedmiotowym artykule wstępnym, podaje redakcya pogląd na krytykę wogóle, a w szczególe na krytykę naszą i tłómaczy zarazem cel i zadanie „Przeglądu“. Po tym artykule następuje szereg recenzyi i sprawozdań. Ocenione są: „Nowe pieśni“ Gomulickiego, „Miłość“ Jana Kasprowicza, „Zyzma“ i „Na szerokim świecie“ Sewera, „Marzenia“ Rawity, „Iluzja“ Kowerskiej, „Tarantula“ Glińskiego, „Humoreski“ Bąkowskiego, „Zwyciężony“ dramat Rabskiego, dwa obrazki sceniczne Przybylskiego, dzieło „O współczesnych poetach polskich“ Chmielowskiego, „Mikołaj Rej“ Windakiewicza, „O prasie“ Wojciechowskiego, „Warszawa ilustrowana“ Czajewskiego, „Katakumba św. Pryscyli“ ks. Bilczewskiego, „Postrzyżyny u Słowian i Germanów“ Potkańskiego, „Muzyka grecka“ Fryzą, oraz kilka rozpraw z dziedziny prawa Makarewicza i Kasparka. Wszystkie recenzje noszą cechę fachowości i przedmiotowości, są więc prawie całkiem odmienne od większej części naszych tak nazwanych „krytyk“, które zazwyczaj wyglądają na panegiryki lub paszkwile. Na przytoczone recenzje złożyły się pióra: prof. dra. Tretiaka, Kazimierza Bartoszewicza, Romana Zawilińskiego, dra. Feliksa Konecznego, prof. dra. J. Fijałka itd. Z kolei podaje nam „Przegląd“ obszerną bibliografię czasopism polskich z ubiegłego miesiąca; znajdujemy w niej około 300 tytułów ważniejszych prac i artykułów, ułożonych alfabetycznie. Redakcya jednak nie poprzestała na samych tytułach, ale bardzo często w kilku wierszach zaznaczyła ich treść, lub podniosła ciekawsze z nich szczegóły. Osobny dział stanowi spis ważniejszych recenzyi i sprawozdań w pismach polskich pomieszczonych. Zaraz po nim mamy bibliografię przekładów z polskiego i artykułów o rzeczach polskich w obcych literaturach. Dalszą rubrykę „Przeglądu“ stanowią obszerne „Wiadomości literackie“ z literatury polskiej, z literatur słowiańskich i obcych. Kończy pierwszy numer streszczenie pogadanek w „Związku literackim“ dra. Konecznego (O wystawie etnograficznej w Pradze), K. Bartoszewicza (O poezyach Kasprowicza), Antoniego Beaupré'go (O nowelli polskiej), prof. Dobrowolskiego (O wykształceniu kobiet w wiekach średnich) i L. Glatmana (O awanturniczej lekarce polskiej z w. XVIII). Jak widzimy pierwszy numer „Przeglądu“ jest w treść bardzo bogaty i każe przypuszczać, że pismo to stanie się nieodzownie potrzebnem dla każdego literata i miłośnika literatury, będzie bowiem dokładnym obrazem całego naszego bieżącego ruchu literackiego, nie zapominając o ruchu literackim za granicą i w Słowiańszczyznie. Redakcya „Przeglądu“ spoczywa w rękach komitetu złożonego z wybitnych uczonych i literatów krakowskich. Redaktorem głównym jest p. Kazimierz Bartoszewicz, wydawcą i sekretarzem redakcyi p. L. Glatman. Kończąc naszą krótką wzmiankę o „Przeglądzie“, dodajemy ze szczerego przekonania, iż dawno w naszej perjodycznej literaturze nie ukazał się organ, któryby tak świetnie zaspakajał rzeczywistą potrzebę naszego piśmiennictwa. A nie założył go żaden mecenas literatury lub bogaty wydawca, — „Przegląd“ bowiem powstał bezinteresowną pracą i funduszem ludzi pióra, którzy u nas, jak wiadomo, nie opływają w dostatkach. Ztąd ze słuszną dumą mogli się odezwać założyciele „Przeglądu“: „Dajemy mu nasz grosz i naszą bezinteresowną pracę, a w zamian spodziewamy się, iż miłośnicy literatury ocenią naszą dobrą wolę i ocenie tej dadzą wyraz przez popieranie pisma, którego jedynym celem: służba literaturze ojczystej“.

* * *

*** Wisła,** t. IX, zeszyt 3: lipiec, sierpień wrzesień 1895.

Każdy pojawiający się zeszyt „Wisły“ wzbogaca wiadomości nasze w zakresie folklorystyki krajowej. Badania ludoznawcze, przedtem po dyletancku u nas prowadzone, zyskały na systematyczności i metodyczności, dzięki właśnie wpływowi i inicjatywie tego tak umiejętnie redagowanego wydawnictwa. Skupiło ono nadto cały szereg pracowników, pogłębiło ich badania, pobudziło znowu in-

nych do pracy we wspomnianym kierunku. Jestto zasługa niemała. Po wyjściu 4-go zeszytu t. IX-go podamy obszerniejsze sprawozdanie z całego tomu: tymczasem notujemy tu tylko ogólnikowo zawartość obecnego zeszytu.

Nasamprzód mamy tu w dalszym ciągu kilka odmianek pieśni o treści zbliżonej do opowieści o królu Learze („Do króla Leara"). P. Konstanty Rayski daje resztę „Spiewek i zagadek ze wsi Białej błotnej (powiat włoszczowski); p. Z. Kowerska wielce ciekawą „Pieśń o Starej Kowalce" (rodzaj ballady czy dumki) oraz dokończenie obszernego zbioru „Podań i opowiadań z W. Ks. Poznańskiego" Ottona Knoopa, w przekładzie z niemieckiego. Taż sama autorka ogłasza tu bajki „O wypluwance i o pożyczance" i „O trupigłówce" z Czernięcina w pow. krasnostawskim, zapisane w gwarze miejscowej. P. Aleks. Łętowski opowiada o niektórych obyczajach Białorusinów w art. „Z życia ludu białoruskiego". P. Karłowicz podaje, po dłuższej przerwie parę przyczynków do swej ważnej rozprawy p. t. „Systematyka pieśni ludu polskiego". Mamy dalej d-ra K. Matyasa „Przezwiska ludowe w powiatach Tarnobrzeskim, Niskim i Brzeskim w Galicyi" oraz ciekawy artykulik zmarłego Wł. K. Zielińskiego o „pochodzeniu i niektórych zwyczajach Cyganów polskich". Zeszyt ten zamyka „Kronika geograficzna za r. 1894" p. Wł. Nałkowskiego, wreszcie zwykłe działy: „Poszukiwania", „Bibliografia i Krytyka" i „Przegląd czasopism". Notujemy tu jeszcze p. Strzelbickiego „Notaki antropologiczne" i odezwę tegoż, tyczącą się zbierania danych co do „Koloru oczu i włosów u ludu naszego". Zeszyt zdobi rysunek, przedstawiający typy włościan z pow. nowomińskiego.

Jak widzimy, treść zeszytu bogata i urozmaicona, powinna więc zaciekawić miłośników naszego folkloru.

* * *

*** Dr. Oskar Panizza.** Das Liebeskonzil. Monachium 1895.

Na karb jednostki wprawdzie, ale zawsze jako *signum temporis*, trzeba kłaść dzieło d-ra Oskara Panizzy, niedawnego lekarza wojskowego w Monachium, p. t. *„Das Liebeskonzil"*, dramat w 4 aktach. Autor korzysta ze sposobności, że w bieżącym roku mija właśnie 300 lat od pojawienia się w Europie strasznej choroby "lues", i przedstawia w sposób dramatyczny genezę tej choroby, podług pojęć ludowych, tj. jako karę, zesłaną z niebios za niesłychane zepsucie wieku, które objęło swą gangreną wszystkie warstwy społeczeństwa włoskiego — pod przewodnictwem niejako ówczesnej papiezkiej rodziny Borgia. W formie dramatycznej przenosi autor pojedyńcze akty swego dzieła do nieba i do piekła, do sal papiezkich i na ulice Rzymu. Jego sposób traktowania przedmiotu ma być satyrycznym, a jest w rzeczywistości encyklopedyą najszaleńszych bluźnierstw i najwyuzdańszych scen, które kiedykolwiek w druku się pojawiły. Recenzenci pytają w pismach: w którym zakładzie obłąkanych przebywa autor, któremu zresztą kunsztu pisarskiego odmówić nie podobna? Sąd monachijski wyznaczył mu atoli inną siedzibę, więzienie, i to na przeciąg jednego roku.

* * *

Agitacyjna broszura. Związek Hakatystów rozesłał nową broszurę w celu podniecenia szowinizmu niemieckiego. Tytuł książeczki: „Fälle polnischen Boykotts". Broszura zawiera liczne wyjątki z gazet polskich i niemieckich, składające rzekome do wody polskiej nienawiści i nietolerancyi wobec niemieckich kupców i przemysłowców. Znana taktyka krzyżacka! Napastników przedstawia się jako uciśnionych, a tych, którzy bronią się przed wytępieniem, za tępicieli.

* * *

*** Recenzye amerykańskie.** Sława recenzyi amerykańskich dawno jest ustaloną, nie zaszkodzi jednak od czasu do czasu przypomnieć ją światu.

W Chicago amatorzy polscy odegrali komedyę Blizińskiego „Pan Damazy". Wychodzące w tem mieście „Kropidło" przyznaje, iż, jak na amatorów, grano „znakomicie", ale były usterki. I rozpoczyna „Kropidło" wyliczać cały szereg tych usterek, z których kilka przytaczamy:

Oto p. Dillon, wypowiadając słowa: „Mańka, ja cię kocham", tak ułożył swą twarzyczkę, że dla widza dalszego, który słów nie dosłyszał, widocznem było, że pan Dillon woła: „pani, jak mnie rżnie w brzuchu". P. Dillon jeszcze inne, według „Kropidła", popełniał usterki, bo np. chciał się „przylepiać" do Mańki i za często tyłem odwracał się do publiczności, „widocznie uważał, że z tej strony lepiej się przedstawia". P. Grabowiecka znowu „zasadzała naiwność na woltyżerskich kroczkach". P. Barszczewska okazała na scenie że ma „lekkie uczucie", bo nie bardzo ją wzruszało, kiedy ją amant opuszczał. Pani Uczciwek grała dość uczciwie. P. Wojnicki, mówiąc o swej miłości, mówił to tak obojętnie, jakby opowiadał: „jeść mi się chce, chciałbym zjeść choć chleba z masłem".

W taki sposób jest dalej prowadzona recenzya z przedstawienia, na którem „grano znakomicie". Po przedstawieniu były tańce — i o nich też „Kropidło" wyraża swoje zdanie. Najwięcej „Kropidło" zgorszyło się mazurem. „Kilka par widocznie usiłowało frunąć w powietrze, ale coś je wiązało z ziemią, to też biedacy wymachiwali rękami i nogami ale nic nie pomogło; żeby to było w wodzie, to możeby trochę popłynęli, ale na piasku ani rusz". W dalszym ciągu radzi „Kropidło" jakiemuś panu redaktorowi od „Śmietnika", aby nie chodził na przyszłość po sali ze swoją połowicą... gdyż jest od niej o połowę mniejszym.

Dość będzie tych próbek sprawozdania polsko-amerykańskiego.

* * *

*** Henryk Ibsen** *Studyum przez d-ra Ludomiła Germana. Lwów 1895.*

Znany germanista, tłómacz „Nibelungów", wzbogacił naszą literaturę pracą, która tak ze względu na temat, jak i jego pogłębienie, zasługuje na uwagę. Ibsen nie jest naszej literaturze obcym; jak to często u nas bywa — mamy więcej studyów o nim niż tłomaczeń jego dzieł. Prócz mnóstwa artykułów, znamy osobne o nim prace hr. Engestroma, Wollernera, Bogusławskiego, Biegeleisena; dr. German doprowadza charakterystykę twórczości swego bohatera do ostatnich czasów, obejmując wszystkie jego dzieła, z wyjątkiem „Małego Eyolfa". Daleki od jednostronności, widzi dr. German w Ibsenie przedewszystkiem wielkiego artystę i z wielkiem poczuciem estetycznem podkreśla w każdem jego dziele głębokie i niezwykłe piękności, chociaż, naszem zdaniem, zamało uwydatnia rewolucyjne oryginalne znaczenie Ibsena dla techniki dramatycznej. Bardzo pięknym jest ustęp, w którym skreślony jest wpływ przyrody norweskiej i stosunków tamtejszych miasteczek, o całe niebo różniących się od naszych, na psychologię Ibsena, poczem idzie subtelna analiza dramatów jego romantycznych i filozoficznych. Z młodości jego i stosunków, w których się rozwijał, wywodzi genezę tego pesymizmu, którym prawie wszystkie dzieła są przesiąknięte; Ibsen na chwilę w „Cesarzu i Galilejczyku", zdawał się ustąpić wyższym, pozytywnie idealnym dążeniom, lecz wybuchnął na nowo, z większą jeszcze siłą, gdy z wyżyny ogólnoświatowych problemów zeszedł na ziemię i zaczął studyować ponure tajniki. Za mało jednak zwraca dr. German uwagi, że nie jest to pesymizm beznadziejny, Schopenhauerowski, lecz według wyrażenia Brandesa, „pesymizm oburzenia", wynikający z wpatrzenia się w zbyt wysokie, absolutne, ułomności ludzkiej niedostępne ideały etyczne. Rozdźwięk ten, między pragnieniem a rzeczywistością, staje się z biegiem lat u Ibsena coraz silniejszy; wyobraźnia, potężna u syna północy, żąda swych praw i nie może się zgodzić z trzeźwą obserwacyą i niby umiejętną spekulacyą; ztąd — zdaniem dra Germana — charakter symboliczny, który noszą dzieła Ibsena z ostatniej doby. Na to tłomaczenie nie wszędzie można się zgodzić, ale zawsze daje ono czytelnikowi dużo do myślenia. Całe studyum pisane bardzo zajmująco, stylem jędrnym i z pewnym polotem.

Kronika powszechna.

Wiadomości społeczne i polityczne. W Carogrodzie dokonano nowych aresztowań. Rozchodzi się pogłoska, że Armeńczycy zamierzają powtórzyć demonstracye. — Biuro Reutera otrzymało telegram o częściowem zajęciu Zeitunu przez Turków. Zwycięstwo to nie rozstrzyga jednak o dalszych losach powstania. Wojsko tureckie dziesiątkowane mrozem, chorobami i napadami powstańców, wstrzymały dalsze operacye wojenne. — W Filadelfii przyszło do groźnych zaburzeń. Tłumy ludzi przeciągają ulice miasta, wyrywają szyny tramwajowe, niszczą druty telegraficzne itp. — W Petersburgu odkryto między studentami wielki związek socyalistyczny. Dwustu akademików wyjechało za granicę, chroniąc się przed aresztowaniem. — Na wyspie Kubie hiszpański marszałek Campos pobił na głowę powstańców. Walka była zacięta. Straty Kubańczyków są nader znaczne. — W niemieckiej partyi konserwatywnej panuje wielki popłoch z powodu aresztowania bar. Hammersteina, naczelnego redaktora „Kreuzztg." Sensacyjny proces skompromituje nie zawodnie wielu wybitnych członków stronnictwa, którzy znać musieli długoletnie nadużycia głośnego obrońcy „prawa religii i porządku" a równocześnie zwykłego oszusta i złodzieja.

Teatr i muzyka. W najbliższy czwartek ukaże się na scenie poznańskiej „Odetta" na benefis p. Skirmunta. Sztuka ta, od lat kilkunastu na scenie naszej nie grana, odznacza się wszystkiemi zaletami, któremi Sardou zjednał sobie prawo trwałego obywatelstwa na scenach europejskich; to też nie wątpimy, że publiczność szczelnie wypełni loże i krzesła, tembardziej, że beneficyant jest nietylko artystą pierwszorzędnym, lecz najstarszym filarem sceny poznańskiej. Pan Skirmunt obchodzić będzie niebawem srebrny jubileusz pracy scenicznej w teatrze naszym. — Antoni Kątski, pianista, odbywa obecnie tournée koncertową po Japonii. Na koncertach grywa nową kompozycyę swoją: „Marsz tryumfalny". Marsz doznaje niezwykłego powodzenia w kraju Mikada. — Dowiadujemy się, że p. Barska zaliczoną została do składu trupy poznańskiej. — W operze paryzkiej ukaże się niebawem niegrana jeszcze opera Glucka: Helena i Parys. — P. Katarzyna Jaczynowska, pianistka, wystąpiła z koncertem na sali Bechsteina w Berlinie. Krytyczna publiczność berlińska przyjmowała z zapałem artystkę, obdarzoną niepospolitym talentem i kształconą u Rubinsteina. — Na warszawskiej scenie debiutowała bez powodzenia pani Selens.

Odpowiedzi Redakcyi.

Dołęga. Wystarcza adres: Dyrekcya teatrów rządowych w Warszawie. Plac teatralny.

Mi. Artykuł nadesłany kwalifikuje się do pism codziennych.

M. T. Władysław Okoński jest pseudonimem Al. Swiętochowskiego. Z licznych dramatów autora tego wymieniamy: "Niewinni", „Ojciec Makary" „Piękna" i „Aspazya". Z dzieł filozoficznych polecamy: „O powstawaniu praw moralnych" i „Dumania pesymisty". Zwracamy wreszcie uwagę na niepospolite utwory nowellistyczne, np. „Karol Krug", „Chawa Rubin" i „Klemens Boruta". Adres „Prawdy": Zórawia 34.

Jeden z abonentów. Temat dobry. Musimy jednak wprzódy przeczytać artykuł, zanim o przyjęciu jego stanowczą wydamy opinię. Prosimy o nadesłanie.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego" w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28.

Nr. 2. Poznań, niedziela 12-go stycznia 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: Piekary nr. 6.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: Piekary 6. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen

Treść:

O naszych konkursach.

Kto śledzi uważnie ruch umysłowy w dzielnicy naszej, powinien przyjść do przekonania, iż w ostatnich latach to i owo się ku lepszemu zmieniło. Widać często dobre chęci i zakusy, — przeprowadzenie ich tylko pozostawia niejedno do życzenia. Dla tego za obowiązek i zadanie nasze uważać musimy, zwracać w tym kierunku uwagę społeczeństwa i służyć publiczności radą, gdzie tego okazuje się potrzeba, lub też podejmować dyskusyę w celu bliższego wyjaśnienia sprawy. Poruszaliśmy w piśmie naszem już kilkakrotnie kwestyę publicznych konkursów jako środka używanego u narodów cywilizowanych dla uzyskania liczniejszego zastępu rywalizujących pracowników przy rozwiązaniu zadań literackiej lub artystycznej natury; dziś zaś chcielibyśmy zastanowić się nad tem, co w ostatnim czasie u nas w tym kierunku zdziałano lub też zdziałać zamierzono. Ze swej strony i my rozpisaliśmy konkurs na dzieło pamiątkowe o Karolu Marcinkowskim i chętnie powitalibyśmy dyskusyę, mogącą nam wykazać, czy i o ile społeczeństwo solidaryzuje się z zamysłami naszemi. Jako coś charakteryzującego ustrój naszych stosunków podnieść tu musimy, że kiedy o rozpisanym przez nas konkursie prawie wszystkie pisma polskie po za granicami Księstwa umieściły jednorazowe lub kilkakrotne notatki i wyrazy zachęty, jeden „Dziennik“ i „Kuryer Poznański“ uważały za stosowne w tej sprawie grobowe zachować milczenie.

Z przyjemnością wyczytaliśmy na początku zeszłego roku ogłoszenie, iż główny zarząd związku naszych towarzystw przemysłowych rozpisał konkurs na broszurkę, mającą dać pogląd na rozwój cechów naszych ze względu na nowsze prawodawstwo cechowe. Zadanie to było wdzięczne, ale rozpisanie konkursu — pomijając stosunkowo za niską premię i termin do nadsyłania broszur za krótki — było po części o tyle niejasne, iż nie wynikało z ogłoszenia, kto sądzić miał o wartości prac nadsyłanych; gdyby bowiem wszyscy podpisani pod ogłoszeniem konkursu członkowie komitetu o pracach sąd wydawać mieli, to — pomijając już inne skrupuły — liczba ich niewątpliwie byłaby za wielką. Wynik takiego rozpisania pozostał dotąd również niejasnym, gdyż dalszych wiadomości o tym konkursie nie wyczytaliśmy w pismach publicznych.

Drugiego konkursu potrzebę uznało w końcu września tutejsze towarzystwo t. zw. starych przemysłowców, chcąc w ten sposób uzyskać pracę poglądową pod tyt. „Wystawa poznańska a nasz przemysł i handel“. Jako cel wydania takiej broszury podano „potrzebę poznania dodatnich i ujemnych stron naszego przemysłu i objaśnienie szerszej publiczności, gdzie w poszczególnych gałęziach przemysłu i handlu może potrzeby swoje załatwiać“. Konkurs ogłoszono na początku października 1895 r. a termin nadsyłania broszur naznaczono na 15 listopada tegoż roku w zamiarze drukowania broszury w 10,000 egzemplarzy jako podarku gwiazdkowego! Dla autora najlepszej pracy mającej wynosić 4—6 arkuszy wyznaczono 200 marek (!) honoraryum, wykluczając go od wszelkiego współudziału w zyskach z tak licznie ukazać się mających egzemplarzy. „Jury składać się miało z członków dyrekcyi Towarzystwa i kooptowanych przez nią sędziów.“ Pomiędzy innemi żądano, aby broszura zawierała nietylko skorowidz wystawców Polaków, ale i „wykaz znaczniejszych przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych w Poznaniu, które udziału we wystawie nie wzięły“.

Wobec takich warunków był rezultat konkursu do przewidzenia; nikt w konkursie nie wziął udziału, do czego przyczyniło się niezawodnie i to, że dyrekcya towarzystwa, składająca się głównie z kupców i przymysłowców, aż do terminu nadsyłania broszur ani składu kooptowanych przez siebie sędziów nie ogłosiła i, o ile słyszeliśmy, aż do dnia 15 listopada wcale ich nie obrała. Lubo przeciwko takiego rodzaju konkursowi odezwały się zaraz wobec miarodawczych osobistości głosy krytyki, opierające się na zasadach przyjętych ogólnie przy konkursach, uwzględnić ich nie raczono; wynik zaś okazał, że wątpliwości wyrażone były nie bez podstawy. Streścimy je tutaj pokrótce.

Tematu wybranego nie można nazwać łatwym; wymaga on bowiem wielkiej znajomości stosunków poznańskich, dokładnej, na dłuższych studyach opartej znajomości wystawy naszej, dalej sporo zmysłu krytycznego i znajomości zawodowej w różnych kierunkach. Ogłosiwszy to zadanie na konkurs *już po zamknięciu* wystawy, skazało poniekąd Towarzystwo przemysłowe autorów, nie mających wystarczających zapisków, na czerpanie materyału ze sprawozdań o wystawie, ogłaszanych w gazetach codziennych, które często grzeszyły samochwalstwem lub reklamą. Wobec takich trudności do odpowiedniego opracowania podobnej broszury mogłoby się z widokami powodzenia zabrać u nas bardzo mało osób fachowych. Żądanie nietylko ścisłego zestawienia nazwisk wystawców polskich lecz i podania tych firm poznańskich, które w wystawie udziału *nie* brały, uważamy za zbyt daleko sięgające: naszem zdaniem byłby to materyał surowy, któryby Towarzystwo Przemysłowe przez obesłanie kwestyonaryusza po tutejszych firmach łatwiej wydobyć mogło, aniżeli pracujący nad broszurą autor-jednostka. Po co niepotrzebnie wykonywać tę statystykę konkursową przez kilka osób równocześnie, kiedy jednorazowe zestawienie tego materyału zupełnie wystarcza! Kto chce rozpisywać konkursy, nie powinien wszystkiego zostawiać autorom, lecz ze swej strony przygotować należycie wszelkie prace przedwstępne, jeżeli konkurs nie ma być bezowocnym.

Ważną rzeczą dla udania się konkursu jest wybór jury i wczesne ogłoszenie nazwisk sędziów konkursowych; ich bowiem nazwiska stanowią rękojmię, że konkurs bezparcyalnie i prawidłowo podług właściwej wartości prac rozstrzygniętym zostanie. Dlatego pomiędzy członkami jury powinna być większa część rzeczywistych znawców; tym też należy przedłożyć do oceny program i warunki konkursu jeszcze *przed* ogłoszeniem, a zmiany przez nich proponowane powinny o ile możności znaleźć uwzględnienie. O możliwości bowiem przeprowadzenia jakiegoś programu wytrawni znawcy *inny* sąd wydać mogą, aniżeli rozpisujący konkurs, którzy częstokroć po raz pierwszy się do tego rodzaju pracy zabierają. Koszta połączone ze sprowadzeniem znawców, choćby ze stron dalszych, gdzie tego potrzeba, nie powinny zrażać rozpisujących konkurs, gdyż nieraz opłacają się one dobrze wskutek ulepszeń programu, podyktowanych radą fachową. Dalej mogą ci znawcy ocenić, czy odpowiednim jest stosunek wyznaczonej premii do żądanej przez rozpisujących pracy literackiej lub artystycznej, czy też przy zbyt nizkiej nagrodzie należy może uwieńczone dzieło przez widoki współudziału w zyskach, z rozsprzedaży wynikających, korzystniej wynagrodzić; zwykle pra-

wo publikacyi lub innego sposobu zużycia nadesłanej pracy konkursowej pozostaje przy autorze, które mu zupełnie odbierać byłoby niesłusznem.

Również w sprawie oznaczenia terminu, do którego praca konkursowa z uwzględnieniem różnych okoliczności może być snadnie wykończoną, rada doświadczonych jurorów bywa cenną wskazówką. Wyznaczenie terminu zbyt krótkiego nie doprowadza zwykle do rezultatu., jak to się przy konkursie Towarzystwa Przemysłowego okazało, którego plon konkursowy równa się zeru. O nagrodę nikt się nie pokusił. Na tem zamykamy uwagi nasze, pomijając niejeden szczegół, który prócz motywów powyżej scharakteryzowanych, spowodował fiasko zupełne konkursu Tow. Przemysłowego, — a fiasko to, mimo przedłużenia terminu do 15 lutego rb. i mimo ostatecznej publikacyi nazwisk jurorów, w danych okolicznościach łatwo powtórzyć się może. Przytoczymy tylko pokrótce — si parva magnis comparare licet — jak w podobnym razie postąpiono sobie po zamknięciu przed dwoma laty wystawy lwowskiej.

I tam uznano potrzebę pamiętnika, który „ma zdać sprawę z wyników wystawy we wszystkich jej szczegółach, ma utrwalić za pomocą przystępnej dla ogółu publikacyi wszystko to, coby rychło ulotnić się mogło z pamięci zwiedzających wystawę, ma podać do wiadomości, w jakich gałęziach produkcyi i w jakim kierunku poczyniono postępy, jakiemi siłami te gałęzie produkcyi rozporządzają, jakie luki są do wypełnienia, jakie pola dla ekonomicznej przedsiębiorczości do wyzyskania". Publikacyę taką uznane we Lwowie za przekraczającą siłę jednej osobistości, a podjęła się jej, rozdzielając prace pomiędzy różnych specyalistów autonomiczna władza krajowa kosztem funduszu krajowego, z którego wyznaczono 15000 złr.! Dzieło całe obejmować ma około 200 arkuszy druku i zaopatrzone będzie licznemi ilustracyami.

A u nas?.... Dobre chęci i zamiary, które swoją drogą zupełnie uznajemy, nie wystarczają; i na tem polu trzeba więcej znajomości rzeczy i uwzględnienia zwyczajów, gdzieindziej już przyjętych.

To, cośmy o powyższych 2 literackich konkursach powiedzieli, możnaby z małemi zmianami powtórzyć i o architektonicznym konkursie, w porodzie jeszcze będącym, na budowę kościoła w Jeżycach pod Poznaniem. Nie wchodzimy w to, o ile konkurs taki dla kościoła przedmiejskiego, jako nieprzedstawiającego poważniejszych trudności do rozwiązania jest w naszych stosunkach uzasadnionym, — wyobrażamy sobie, że trudności te polegać będą głównie na wystawieniu odpowiedniego rozmiarami, a nie kosztownego przybytku Bożego. Samą myśl konkursu zaś uważamy już o tyle za szczęśliwą, iż konkurs taki usuwa przypuszczenia, że protekcyą cieszyć się będą obce nam żywioły, a da architektom naszym sposobność okazania, co własnemi siłami zdziałać potrafią. Wobec tego, iż na kościół ten pod wezwaniem Najsłod. Imienia Jezus grosz publiczny zbiera się z naszych kieszeni, dalej, że parafia ma się jeszcze znacznie na przyszłość zadłużyć, uważamy rozpisanie konkursu dla architektów — katolików za rzecz jedynie naturalną i to w języku, jaki jest językiem większości dozoru kościelnego. Jeżli zaś będą uwzględnione zasady, przyjęte dla publicznych konkursów pomiędzy architektami w Niemczech, to przy poparciu, jakiego ta sprawa u ks. arcybiskupa Stablewskiego doznaje, można mieć nadzieję, iż kościół w Jeżycach samodzielnie, o naszych własnych siłach zbudowany będzie. Spodziewamy się, że osoby zajmujące się tym konkursem odpowiedniej nim pokierują, niż inicyatorzy dwóch powyżej scharakteryzowanych literackich konkursów.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

* *Konieczność reform na Szlązku cieszyńskim.* Korespondent cieszyński „P r z e g l ą d u W s z e c h p o l s k i e g o" pisze w nr. 22:

Pisano już nieraz i dużo o zniemczeniu miast szląskich, o tem naprzykład, że w takim Cieszynie ludność polska absolutnie po polsku nie czyta, chociaż „Czytelnia ludowa" posiada „piękny i bogaty księgozbiór", zawierający co najmniej 20 tysięcy tomów itd. Otóż w początku września rb. założono tu pod firmą politycznego stowarzyszenia „Związku szląskich katolików" bezpłatną wypożyczalnię książek polskich, z której ludność, i to nie tylko katolicka zaczęła skwapliwie korzystać. Wypożyczalnia ta c raz lepiej się rozwijała, książki zewsząd !nadpływa i zdawało się, że nareszcie Cieszyn doczeka się ważnej instytucyi, oddającej rzetelne usługi spraw narodowej. Lecz jest w Cieszynie pewna grupa dzi wśród t. zw. „narodowców", trzymająca w swoi rękach „Czytelnię ludową", Tow. „Domu narodowego" itd., która wprost wrogo odnosi się do wszelkich objawów życia, mających istotną doniosłość społeczno-narodową. Owi to panowie śledzili bacznie rozwój tej wypożyczalni i zapewne przez zawiść, że sami nic w tym kierunku nie robią, chociaż mają ogromne środki, ofiarowane przez całą Polskę, postanowili młodocianej instytucyi kark skręcić. I stała się rzecz ciekawa, ale i bardzo smutna. Ksiądz Swieży, prezes „związku szląskich katolików", człowiek zapewne najlepszych chęci, ale dający się tym panom powodować, uległ widocznie podszeptom kliki i w końcu zeszłego miesiąca tak piękne nadzieje rokującą instytucyę kazał zamknąć. Zamknięcie to ma być czasowe, pod pozorem, że właściwie statut „Związku szl. kat." nie przewiduje podobnej instytucyi, trzeba więc naprzód statut zmienić, a potem dopiero wypożyczalnię na nowo otworzyć. Dlaczego jednak ks. Swieży dopiero teraz wpadł na tę myśl, że należy statut zmienić? Dlaczego jeszcze w czerwcu, wbrew zdaniu dra Kreisla, adwokata z Jabłonkowa, zapewniał, że statutu zmieniać nie potrzeba, bo według niego „Związek" ma prawo zakładać czytelnie ludowe, a przecież bezpłatna wypożyczalnia nie jest niczem innem, ale właśnie czytelnią ludową.

Fakta podobne są na porządku dziennym; całego numeru by nie wystarczyło, gdyby chcieć je tutaj wynotować, choćby za przeciąg ostatnich kilku miesięcy. Cóż więc dziwnego, że nawet starostwo

---

2)

OLA HANSSON.

BEZDOMNY.

Tłomaczyła

I......i Łodzia.

(Ciąg dalszy).

Zatrzymałem się jedną nogą na pokładzie, drugą na schodkach, chciałem się cofnąć. Ona była jedną z tych, które dziś najmniej ze wszystkich spotkać chciałem. Stała tam jak wcielenie wszystkiego tego, com poza sobą chciał pozostawić. Delikatnością swych kształtów równa mimozie, przedstawiła mi się jak nić pajęcza, zagradzająca mi drogę. Nie wiedziałem, czy ją przerwać zdołam.

Szedłem nie wiedząc co począć: wrócić, czy zostać? Czy doprawdy była ona czemś, co mnie do życia wiązało, a co porzucić chciałem? Była to Aniela Lindblom. Z bratem jej wiązały mnie serdeczne stosunki, więc często w domu rodziców ich przebywałem. Ojciec jej miał wiejską posiadłość. Nie wiem jak określić stopień mej zażyłości z panną Lindblom. Nie k o c h a l i ś m y się, a w p r z y j a ź ń pomiędzy kobietą a mężczyzną wierzyć nie mogę.

Jeżeli dwie kule napełnione elektrycznością postawimy jedną obok drugiej, to albo złączą się, albo odepchną się wzajemnie. To samo nastąpić musi, gdy się młodzieniec zbliży do kobiety. Odczują fizyczną sympatyą lub antypatyą. Pierwszy przypadek nazwijmy jak chcemy, będzie to zawsze tylko grą słów; chociażby stosunek taki miał nie wiem ile stopni, jedna tylko może zachodzić różnica, różnica w mniejszem lub większem spotęgowaniu się uczuć, a czy się mówi, iż miłość jest zbiornikiem tychże, czy też najwyższym punktem kulminacyjnym — to nie należy do rzeczy. Nigdy nie wymówiliśmy słowa: kocham, — jest to jeden z tych wyrazów, których my — ludzie „nowocześni" instynktownie boimy się powiedzieć. Nawet flirtu salonowego nie uprawialiśmy: nigdyśmy się nie całowali, nigdy nie zamieniali ani czułych spojrzeń, ani tajemnych uściśnień ręki. Stosunek nasz był całkiem otwartym tak, że świat mógł go osądzić, jak mu się podobało — sąd ten też w rozmaity sposób się utwarzał. Niejedni posądzali nas o coś zdrożnego. My — nie zważając na to — opowiadaliśmy sobie dzieje naszego życia, przędliśmy wspólnie różową nić nadziei, dzieliliśmy się zawodami, myślami, które w ten sposób wracały nam się jako zdwojony kapitał. Zgłębialiśmy ducha naszego wzajemnie.... Złe widzieliśmy w jeszcze gorszem świetle, dobre w lepszem. Spoglądaliśmy na życie z jednego punktu widzenia, — świat w równych przedstawiał nam się kolorach, — jednem słowem: charaktery nasze były jednego pokroju.

Widziałem, jak wydobywszy lornetkę, skierowała ją na Malmö, gdzie dachy błyszczały w jasnej pozłocie słońca, a dym z kominów fabrycznych bił prosto w obłoki. Od roku już nie widziałem panny Anieli: wysoka, wiotka jej postać podziałała na mnie tak przyjemnie jak ulubiona melodya. Od dawna nic o niej nie słyszałem — jedyne, co wiedziałem, było to, że udała się do Szwajcaryi; odgadłem, że prosto z tamtąd do domu powraca. Ale dla czego przypadek dziś właśnie na mojej postawił ją drodze? pytałem siebie z niepojętym niepokojem.

Dwaj zaspani gentelmani nadchodzili z hałasem, panna Aniela obróciła w mą stronę dziecięco małą swą twarzyczkę. Zobaczyłem z przyjemnością, że na mój widok radość ją opromieniła, — podeszła ku mnie:

„Wędrowne ptaki spotykają się w locie do krainy ciepła i słońca!" zawołała wesoło.

Poczęliśmy wzajemnie opowiadać sobie przeżyte wypadki. Ponieważ na pokładzie zaczynało się chłodno, zeszliśmy do dużego salonu, był on próżnym zupełnie, zasiedliśmy więc na kanapce do poufnego tete à tete. Maszyna pracowała ciężko, ale miarowo, lampy wiszące dzwoniły; w około nas było cicho, spokojnie. Zdawało mi się, że nie na parowcu się znajduję, tylko w domu jej ojca, w jej ładnym budoarze, gdzie — oparty o szezlong — wsłuchuję się w melodyjny jej głos.

Zwykle do maja przesiadywała w Kopenhadze, lub w Sztokholmie, wyraziłem

zaczyna żywioł polski zupełnie ignorować; oto w październiku rb. przed wyborami uzupełniającemi do rady państwa rozesłano wyborcom w Cieszynie kartki wyborcze w języku niemieckim i — czeskim!! To samo oddawna robi urząd pocztowy, a rada gminna nigdy innych nie rozlepia obwieszczeń, tylko niemieckie, jak gdyby wcale Polaków w Cieszynie nie było.

Rzecz dziwna, że tutejsi Polacy, tak blizko stykając się z Czechami, nie nauczyli się od nich, jak należy stawiać kroki na arenie walki o równouprawnienie. Ludność czeska w Cieszynie (około 800 głów) jest wyłącznie napływowa, od lat kilku posiada tu towarzystwo p. t. „Snaha“, (literarni a zabavni klub), od roku już wydaje swoją gazetę „Noviny Tesinske“, które wychodziły dotąd 3 razy na miesiąc, obecnie już są tygodnikiem, podczas gdy nasza „Gwiazdka Cieszyńska“ już jest tygodnikiem od urodzenia t. j. od 1848 roku i dotychczas tak lichym, że pisać o tem przykro. To samo można powiedzieć o innych pisemkach tutejszych, wydawanych przez ewangelików polskich.

Nasi narodowcy chcą wmówić w innych, że marzeniem ich jest stworzyć organ ogólno-polski, wychodzący co najmniej 2 razy tygodniowo, ale gdyby pragnęli szczerze, toby już dawno go mieli, bo i fundusze by się znalazły. Tu przypominam, że panowie ci mają w Tow. „Domu narodowego“ 20,000 złr., z któremi nie wiedzą, co zrobić, bo domu takiego budować napewno nie będą, zresztą on w obecnych warunkach byłby marnotrawstwem nie do darowania, kiedy daleko pilniejsze potrzeby gwałtem wołają o wsparcie. Ale to już taka taktyka, aby projektować i mieć na widoku bardzo odległe plany, a od tego, co można i trzeba zaraz rozpocząć, dyskretnie się usuwać.

Jedyny ratunek dla ludu polskiego na Szląsku cieszyńskim w założeniu niezależnego organu, z człowiekiem wytrawnym i energicznym na czele, któryby nie dał się oplątać siecią intryg, jakie zaraz roztaczają stańczycy z Cieszyna nad każdym nowoprzybyłym rodakiem. Jedyny ratunek w piśmie, któreby broniło dzielnie i odważnie ludu przed uciskiem germanizacyi i wyzyskiem, a zarazem wykazywało na każdym kroku nieszczerość tej koteryi, która od wielu lat mylnie przedstawia stan rzeczy u nas, przez co osłabia naszą odporność na wrogie czynniki i paraliżuje najzacniejsze usiłowania ludzi, pragnących działać w inny skuteczniejszy sposób.

Do rzeczy najpilniejszych należy dalej, założenie księgarni polskiej w Cieszynie, gdzieby ludność polska zaopatrywać się mogła w dobre książki, jakich teraz nabywać nie ma gdzie, bo oprócz księgarń niemieckich istnieje tutaj tylko jakiś Feitzinger, wydający przeważnie nędzną tandetę i za drogie pieniądze. Następnie należałoby raz pomyśleć o założeniu szkółki ludowej z językiem polskim, a przy niej ochronki i ogródka freblowskiego, aby usunąć dziatwę z pod wpływów germanizacyjnych. Ale założywszy instytucye, trzeba ich lepiej strzedz i bronić, aniżeli bronimy dotychczasowych.

Społeczeństwo polskie mogłoby zażądać zwrotu 20,000 złr., przeznaczonych niby na „Dom narodowy“ i z nich odpowiednie sumy na te cele asygnować. A jeżeli nie można tej sumy odzyskać, to przecież jest kwota 10,000 złr., przeznaczona „na potrzeby najpilniejsze Szląska cieszyńskiego“ przez dra Hassewicza z Karlsbadu, a czyż w obecnej chwili jest coś pilniejszego i ważniejszego, niż poważny, niezależny organ polski w Cieszynie? Czcigodny zapisodawca zapewne z całą chęcią przychyli się do tego, jeżli tylko ktoś poważny a bezinteresowny zechce go przekonać. Na założenie takiego pisma, któreby na początek wychodzić mogło 2 razy na tydzień, nie potrzeba znowu tak wiele, sądzę, że jakieś 3 tysiące wystarczyłyby zupełnie.

* * *

W sprawie emigracyi. W obronie Tow. św. Rafała, skompromitowanego w rozprawach Koła polskiego we Wiedniu, takie wypowiada opinie organ emigracyjny, lwowski „Przewodnik handlowo-geograficzny“ (Nr. 10):

Coraz bardziej wzmagająca się emigracya ludu naszego spowodowała wreszcie, iż Koło polskie we Wiedniu, zajęło się na dwóch posiedzeniach kwestyą emigracyjną. Dyskusya wykazała, iż z wyjątkiem posła Wielowiejskiego żaden niemal z posłów nie ma należytych informacyi o całym ruchu wychodźczym, o przyczynach i znaczeniu tegoż, że żaden z nich nie zadał sobie trudu, choćby pobieżnego, przestudyowania warunków wśród jakich odbywa się emigracya i kolonizacya rolnicza. Podobnie jak niemal cała prasa galicyjska tak i posłowie nasi przedstawiają sobie Brazylię jako jednolitą pod względem klimatycznym całość i nie rozróżniają emigracyi zarobkowej na plantacyach (zgubnej dla naszego ludu) od emigracyi rolniczej do południowych Stanów, wedle relacyi naszych sfer urzędowych korzystnej (przy należytej organizacyi) dla wychodźców. Ten brak znajomości rzeczy pp. posłów pod tym względem był powodem, dla czego ci panowie tak pohopnie podnosili wszelkie zarzuty, a nawet potwarcze wieści, rozsiewane przez agentów przeciw Tow. św. Rafała, na którego czele stoją ludzie jak hr. Potulicki, prezes Rady powiatowej glinianskiej, p. Edward Jędrzejewicz członek Wydziału krajowego, ks. Paweł Sapieha, ks. kanonik Lenkiewicz, ks. prałat Gnatowski, rektor Thulie itd.. a których nikt przecież nie posądzi, iżby pragnęli wywołać emigracyę, lub że lekkomyślnie albo w złej wierze działają. Gdyby pp. posłowie dokładnie sprawę tę zbadali lub choćby tylko przeczytali publikacye włoskiego lub niemieckiego Tow. św. Rafała, — byliby się przekonali, że „piekło brazylijskie“ leży właśnie w braku opieki nad wychodźcami i że usuwając tę opiekę, pcha się ludzi w to piekło. Przekonaliby się dalej, jak błogie owoce wydała dla wychodźców opieka Tow. św. Rafała. Wszystkie niemal ekspedycye były wzorowo prowadzone, ani jedna jednostka nie zmarnowała się, wszystkie transporty wychodźców osiadły na roli i dziś już każdy wychodźca znajduje się na własnym gruncie, rozpoczyna uprawę. Sam zaś fakt, że ktoś się opiekuje wychodźtwem sprawił, iż tak agenci jako i sam rząd brazylijski traktowali wychodźców z troskliwością.

—*ski.*

SPRAWY EKONOMICZNE.

Kwestya cukrownicza

na zebraniu nadzwyczajnem Centralnego Towarzystwa rolniczego na W. Ks. Poznańskie.

Ostatnie nadzwyczajne zebranie Centr. Tow. rólniczego na W. Ks. Poznańskie nosiło na sobie piętno życia. Właściwie dodatek *„piętno życia“* wydaje się zbytecznym, a jednak potrzebnym jest koniecznie, gdyż właśnie to zebranie odróżniało się korzystnie od innych dawniejszych, noszących na sobie piętno martwoty. Tym razem zebranie opuściło mgliste tory ogólnych rozpraw, zaczynających się od stereotypowego *„Jak zaradzić“* itd. — a kończące się zawsze albo utopijnemi radami, albo przyznaniem, że jest źle, lecz zaradzić temu nie można. Stąd rozprawy dawniejsze nie uderzały słuchacza ani jędrnością, ani utrafieniem w sedno, przeciwnie mdły ton dyskusyi, owijanie rzeczy, kręcenie się w kółko ogólników, robiło wrażenie pewnej suchości; wydawało się słuchaczowi, iż mówcy braknie przekonania do przedmiotu, o którym mówi, a ci, którzy brali udział w dyskusyi, wywierali wrażenie marjonetek, które nakręcał stary zwyczaj — ukrywający się za słowami: *przecież trzeba coś powiedzieć, aby nie mówiono, że się nic nie robiło.*

Inny obraz przedstawiało ostatnie zebranie; porzucono ton oschły akademicko-teoretycznych odczytów i życie żywem zapulsowało tętnem; mdły ton dyskusyi zastą-

---

więc moje zadziwienie nad tem, że tym razem tak rychło myśli zakopać się na wsi.

Odpowiedziała mi, że bardzo lubi pierwszy początek wiosny — „wiosnę budzącą się! Po długiej zimie, spędzonej w mieście, jest to doprawdy rozkosz prawdziwa, módz swobodnie stąpać po nawpół roztajałej ziemi. Czy może mnie pan sobie wystawić, chodzącą pod gałęziami, które już kiełkować zaczynają, uśmiechającą się do siebie, z rękami w szal otulonemi?...“

— O tak! — zawołałem!

— Gdy po spacerze do domu powracam, zmienia się nagle usposobienie moje. Płaczę nawet czasami — doprawdy płaczę! Ze zmęczenia naturalnie... Wiosna budzi we mnie znużenie i smutek... no., wreszcie nie sama wiosna... może jest tam i inny powód. Najpierw... to tak miło, obejrzeć sobie znów wszystko, co się kochało w dzieciństwie — przypomina pan sobie ciemnobrunatne wzgórze pod modrawym połyskiem nieba, gdzie na pniu jesiona wyryto: „Fleurir — Mourir — Renaitre? — Peut — être!“? To wszystko zachwyca n a j p i e r w, p o t e m przestaje być nowem i staje się okropnem nawet. — Nie jestem stworzoną na pustelnicę; potrzeba mi ludzi. Wie pan... niekiedy szczęśliwą jestem, gdy służąca z jakiembądź zapytaniem przychodzi do mnie na górę: to przynajmniej głos ludzki! — powraca pan do Kopenhagi? — spytała przerywając opowiadanie.

— Nie!

— Dokąd więc — ale nie uważaj pan tego za prostą ciekawość — dokąd się pan udaje?

— Na wieś.

— Na długo?

— Na zawsze.

— A — cóż znowu?!

— Mówię poważnie. —

— Chce pan zostać wieśniakiem? Pan!

— Wieśniakiem? Cóż Pani określa tem słowem? Czy istotę, którą panująca klasa wystawiła sobie jako przeciwieństwo swego własnego typu, sądząc, że dotąd istnieje? A może rodzaj zwierzęcia, które śpi, je i pracuje jak każde inne zwierzę? Mogę panią zapewnić, że zwierzę takie dziś już nie istnieje; zostało pogrzebane, więc nigdy już się nie zjawi.

— Taki zakątek ziemi musi być pustelnią, pocóż pan do niej ucieka?

— Bynajmniej nie uciekam. Pragnę tylko stworzyć sobie „un milieu“... Pani, panno Anielo, zrozumie mnie może. Od nikogo nie doznałem tyle przyjaźni ile od państwa. A jednak nieraz czułem się intruzem, znoszonym z grzeczności. Zwyczaje wasze w domu, w salonie, przy stole, są dla państwa — że tak powiem — dziedziczne; mnie przedstawiały się jako coś wystudyowanego, uważałem je za zewnętrzną formę... za naklejoną etykietę, która opiewała, że do waszego towarzystwa nie należę. Spotykałem się nieraz z wejrzeniem pełnem zdziwienia, lub z uśmiechem, gdym to lub owo powiedział, lub zrobił. Wmawiałem to tylko może w siebie, zastanawiając się, czym nie postąpił słowem lub uczynkiem przeciw „dobremu tonowi“.. wstyd i gorycz uczuwałem. Nawet pani była dla mnie egzotyczną rośliną, do której zbliżyć się nie śmiałem i nie umiałem. To też nie byłem wobec pani tem, czem są wobec niej mężczyźni waszej sfery i dla tego to poznałaś człowieka, który nazwisko moje nosi, poznałaś go zamaskowanego!... Policzyłaś mnie pani do grona wieśniaków rodzinnej mej ziemi... Oni może będą mnie męczyć, obrażać, obrzydzenie we mnie budzić — pośród nich jednak będę się mógł swobodnie poruszać, bez obawy, że mnie wyśmieją. Nie zatracę tam ani mej „uczoności“ ani form towarzyskich pomimo, że stanę się tam znów wieśniakiem, chociaż nie takim, jakim go sobie pani wyobraża; podróżowałem po obcych krajach — teraz do domu powracam.

Panna Lindblom słuchała mnie z zajęciem, wreszcie rzekła: „Pan masz olbrzymią fantazyę — jesteś człowiekiem sercowym i — dodała z miłym uśmiechem — wielkiem dzieckiem!“

Parowiec zatrzymał się w porcie w Malmo Towarzyszkę moją oczekiwali znajomi, pożegnaliśmy się więc na pokładzie.

— Nie skamieniej pan tam czasem, — zresztą nie spuszczę pana z oczu. Zjawię się, gdy pan najmniej spodziewać się tego będziesz.

— Ucieszę się wtedy bardzo!...

— A jeżeli znajdę pana zniechęconym i zażądam obrachunku?...

— Wtedy, panno Anielo, będzie to główna wina pani!...

Spojrzała na mnie smutnym, pytającym

biły rozprawy oświetlone jasnemi blaskami krytyki rzeczowej, ostrej, wnikającej w istotę przedmiotu, znikł szablon, a miejsce jego zajęły rozwagi i rozpatrywania z pod najrozmaitszych kątów widzenia.

Dla czego teraz tak było, a dawniej inaczej? Bo znaleziono przedmiot nader żywotny i traktowano go z głębokiem zainteresowaniem i zrozumieniem.

Odstąpiono od zasady zapełnienia czasu długiemi, nużącemi odczytami, które zazwyczaj nie są niczem więcej, jak mniej lub więcej zręcznemi kompilacyami, a czasem po prostu przytaczaniem wyjątków z tego lub owego ekonomisty, z tego lub owego profesora, z tego lub owego słynnego agronoma — teoretyka, zazwyczaj Niemca.

Tym razem cały ten balast agronomiczno-ekonomicznej pseudo-uczoności wrzucono między rupiecie, — ztąd nawa dyskusyi bujała swobodnie a mimo to niepozbawiona pewnego steru i kierunku dążącego prosto do rozwiązania zadania.

Przedmiotem tym, który, rzec można, sprawił przewrót w dotychczasowym sposobie traktowania kwestyi żywotnych na zebraniach Tow Centr. roln., to sprawa nowego projektu cukrowniczego. Już referat p. dr. Mieczkowskiego, krótki, zwięzły, rzucający pełne światło na wady nowej ustawy, musiał obudzić ogólne zainteresowanie. Referent skonstatował w dłuższych wywodach, co tutaj w krótkiem następuje streszczeniu:

Rząd zamierzał przyjść rolnictwu w pomoc, — mianowicie zagrożonemu przemysłowi buraczanemu, a) kontyngentując produkcyę cukru, aby zapobiedz nadprodukcyi, b) podnosząc premię wywozową, aby zwiększyć eksport. I jedno i drugie w formie przez rząd proponowanej chybia celu, i grozi ruiną przemysłowi buraczanemu; kontyngentowaniem produkcyi bowiem podcina się rozwijający przemysł cukrowniczy na Wschodzie, gdyż Wschód głównie ponosi koszta tego niedorzecznego pomysłu. (Bliższe wytłumaczenie znajdzie czytelnik w broszurce p. L. v. G. (Lucyan Grabski) „Betrachtungen über das neue Zuckersteuergesetz“) Dalej z kontyngentowania produkcyi odniesie korzyść tylko zagranica, która natychmiast zajmie lukę powstałą z ograniczenia tutejszej produkcyi, a z biegiem czasu może nawet wyprzeć całkiem cukier niemiecki z rynku światowego. Punkt drugi błyszczacy i ponętny widokami podniesienia premii! lecz blask to fosforyzującego próchna, błędny ognik wiodący wędrowca na zgubne manowce. Wiemy, iż dzisiaj istnieją *jeszcze* premie wywozowe na cukier, które przyczyniają rządowi do 20 miljonów wydatków z ogólnej kasy państwowej. Otóż według nowego projektu premie wywozowe mają być zwiększone do 4 mk. Lecz kto je ma płacić? Nie rząd — bo rząd schowa nawet dawniejsze 20 miljonów do kieszeni, koszta premii wywozowych mają być pokryte przez podatek progresywny, obrotowy i fabryczny, nałożony na cukrownie, — dalej przez podwyższenie podatku konsumcyjnego o 3 mk. na ctr. cukru. Tym sposobem rolnik nic nie płaci, tylko fabryka i konsument, lecz wszystko to *de facto* wypłynie z sakiewki rolnika w postaci zniżonej ceny za buraki. Dalej tym razem premia wywozowa nie będzie miała ożywiającego wpływu na podniesienie ceny za cukier, gdyż o ile więcej się wywiezie, o tyle mniej się zużyje cukru w kraju. Konsumcye bowiem krajową nie tylko spęta w rozwoju, lecz znacznie obniży zwyższenie podatku konsumcyjnego na cukrze.

Po tych wywodach, cóż pozostaje z nowego projektu? Może zasada, na której oparty jest projekt? Zasada, na której opiera się projekt, brzmi wzniośle: ukuto ją w imię obrony słabszego wobec mocniejszego.

Takiemu pojmowaniu kwestyi zaprzeczył p. dr. Szułdrzyński, wywodząc, że zasada, na której projekt spoczywa, jest niemoralną.

I tak jest w istocie. Któż bowiem jest słabszy, a kto mocniejszy?

Ustawa mówi: słabszym jest Zachód i jego małe cukrownie, a silnym jest Wschód i jego wielkie cukrownie. W całej tej argumentacyi jest tyle prawdy, iż rzeczywiście na Zachodzie jest *dużo małych*, a na Wschodzie *kilkadziesiąt dużych* cukrowni. Ilustrował sprawę tę nie bez humoru, charakteryzując znajomość niemieckich rzeczoznawców, a mianowicie profesora-wnioskodawcy Paaschego, p. dr: Witołd Skarzyński, ekonomista wybitny, jasny w wywodach i ostry dyalektyk. Pan *Turno* nie mniej rzeczowo stwierdził, iż cała ustawa warta kosza — ale nie buraczanego. Z zebranych ten i ów dorzucił swoje uwagi trafne, a wszystkie nastrojone na jedną nutę: *ustawa nie jest rolniczą, lecz antyrolniczą.*

Wówczas prezes tow., p. St. hr. Żółtowski, odczytał rezolucyę potępiającą cały projekt, motywując dobitnie, jasno, a nadewszystko słusznie wadliwość ustawy. Zebranie przyklasnęło potępiającej rezolucyi. W rozstrzygającej chwili jednak zabrał głos p. dr. W. Skarzyński, przypominając obecnym zasadę „*pis aller?*“ Z dwojga złego należy wybierać mniejsze złe, należy dać posłom naszym drogę wyjścia, gdyby rząd koniecznie chciał błędną ustawę przeprowadzić. Mówca poleca zatem dodanie uwagi, że gdyby rząd pewne zmiany zaprowadził, (kontengentowanie ad maximum, kontengentowanie areału) w takim razie niechaj posłowie przychylą się do ustawy.

W sprawie tej zabrał powtórnie głos p. hr. St. Żółtowski w obronie pierwotnej rezolucyi, twierdząc, że mniejsze złe, przedstawione przez p. dr. W. Sk., nie jest bynajmniej mniejszem, gdyż mieści w sobie niesprawiedliwość wobec tych którzy w przyszłości mieliby zamiar plantowania buraków. Rozpoczyna się dyskusya argumentowa, ścisła, pomiędzy przewodniczącym p. hr. St. Żółtowskim a p. dr. W. Skarzyńskim. Jest to najwięcej interesujący moment w całym przebiegu obrad. Zebranie sympatyzuje z wywodami p. hr. St. Żółtowskiego, które popiera pan hr. H. Kwilecki, a utwierdza zdanie p. Łubieńskiego z Kiączyna; mimo to ostra, zręczna, zwinna, bystra dyalektyka p. dr. W. Skarzyńskiego działa frapująco; widzimy, że przeciwnik wobec wywodów p. dr. W. Sk. zastanawia się. Pan hr. St. Żółtowski czuje, że w gruncie rzeczy słuszność po jego jest stronie, to samo uczucie mają zebrani, — nie wie tylko nikt stoso-

---

wzrokiem Poczem odeszła prędko, głową śląc pożegnanie.

Kilka godzin później siedziałem w pociągu; wiózł mnie na wieś. Coraz bliżej celu, coraz częściej spotykałem znajome twarze, poznawałem wsie i miasta. Chmury pokrywały widnokrąg. Gdym nareszcie na mojej wysiadł stacyi, tak mi było, jak gdybym wracał z kąpielowego miejsca. . Spokój i cisza dnia wiosennego roztaczały się coraz więcej — w nieskończoność...

IV.

To samo uczucie swobody, jakie nas ogarnia, gdy oswobodzeni z ciężkich trosk, lub wyleczeni z długiej choroby pierwszy raz lekko oddychamy, albo wreszcie, gdy po uciążliwej nudnej podróży powróciliśmy do siebie, nie opuszczało mnie w ciągu całej wiosny, całego lata.

Jesienią kupiłem tę małą posiadłość. Przez długie lata była zupełnie zaniedbaną. Wiesz co za hołota poprzednio mieszkała tutaj. Cała rodzina trudniła się złodziejstwem. Poza szczelnie zaryglowanemi drzwiami snuli plany kradzieży. Zdarzało się nieraz, że jeden z pobliskich sąsiadów widział o północy wóz wyjeżdżający z podwórka, a drugi o brzasku dnia spotykał go powracający... Po takich nocnych spotkaniach rozchodziły się wieści o napadach, kradzieżach koni.. Każdy domyślał się sprawców, lecz nikt nie śmiał wydać złoczyńców. Wreszcie policya w to się wdała, szajkę złapano, a ja na licytacyi własność jej nabyłem.

Niemiłe ogarnęło mnie uczucie, gdym po raz pierwszy przestąpił próg mego nowego domu. Doznawałem wrażenia, jakby poprzednicy moi tutaj jakieś coś po sobie zostawili — co? nie wiedziałem; czułem je jednak instynktem w bezpośredniej bliskości — w dusznem powietrzu, w obdartych tapetach — wszędzie i nigdzie! Małe szyby spoglądały szyderczo i zdawały się przemyśliwać nad tem jak się zemścić za to, że tu się wdarłem; niskie pokoje pełne były zapachu wódki, pełne klątw i krwawych planów. Starałem się, zatrzeć te ślady, doprowadzając dom do porządku, przebudowując skrzydło, zakładając ogród

Minęła jesień i zima. Zagospodarowałem się, przy pomocy licznej, rozgałęzionej korespondencyi śledziłem każde poruszenie uczonego świata. W otaczającej mnie ciszy słuchałem polotu olbrzymiego ducha czasu — niejedno słowo, zdradzające przyszłość, przyniosła mi otaczająca mnie cisza, w mieście gwar byłby je przytłumił. Do sąsiadów moich należał pomiędzy innymi jeden z niedalekich krewnych mej rodziny. Z żoną i córką, jedynaczką, zasiadał spokojnie na swojem gospodarstwie. U nich to spędzałem długie zimowe wieczory, tak nudne na wsi. Siedzieliśmy zazwyczaj w pokoju po staroświecku umeblowanym; ściany prawie do połowy tapetowane, poniżej tapet wąska wstążka, pod nią malowane pola. Wielkie łoże, pulpit i oszkloną szafkę, zawierającą niewielki zapas książek, — kanapa, poszyta ceratą, zegar ścienny, stół czworboczny i kilka krzeseł o staroświeckich poręczach, oto całe umeblowanie. Nad małemi okienkami wisiały niewielkie firanki.

W tym pokoju przesiedziałem niejeden wieczór zimowy paląc nędzny tytoń i popijając puncz z taniego araku; z panem domu rozmawiałem o polityce, z paniami o najnowszych ploteczkach. Robiąc ręczne roboty, opowiadały mi, co kto powiedział, co ten zrobił, co ów widział itd. Pauzy w naszej rozmowie wypełniał dębowy zegar swojem tykaniem. Niekiedy dochodziły nas dźwięki katarynki wędrownego kataryniarza, albo ujadanie i wycie psów podwórzowych oraz wrzaski parobków. — Czasami też usłyszałem niejedno słowo pełne mądrości o dawnych czasach, które minęły bezpowrotnie, ustępując innym, pełnym zepsucia..... Wielki świat, w którym myślą żyłem, zatrzymał się dla mnie, gdym próg tego pokoju przestąpił: tylko ten zakątek, odkrojony z niego, był dla mnie wszystkiem. Było mi dobrze, miło w staroświeckim tym pokoju, zdobił go urok ubiegłych czasów, a że z głębokiem przywiązaniem patrzałem na zacną staruszkę w czepeczku, na starca w ciemnem ubraniu z srebrnemi guzikami, nie uczułem nigdy dusznej atmosfery tamtejszej.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

wnego sposobu odparcia zręcznego ataku wstępnym bojem działającego przeciwnika, przytaczającego własne adwersarza słowa na pobicie jego. Pan hr. St. Żółtowski wie, iż dodatki p. dr. W. Sk. działać będą osłabiająco na skutek, jaki rezolucya ma wywrzeć, tak samo myśli zebranie, a jednak dyalektyk odnosi zwycięztwo nad przeciwnikiem swoim. Zebranie przyjmuje rezolucye z dodatkami p dr. W. Sk. jednogłośnie. Zgodzono się także na przyłączenie kilku praktycznych dodatków, przedstawionych przez p. Malczewskiego z Odrowąża.

Posłowie nasi, licznie na tem zebraniu obecni, okazywali wiele interesu i zrozumienia dla sprawy. *Bi.*

LITERATURA I SZTUKA.

Forpoczty.

Aurea sunt vere nunc saecula! — zawołałem z Wergilim, gdym dobiegł do końca ostatniej „Forpoczt“ stronnicy.*) Nie mamy, dalipan, czego zazdrościć ani Niemcom ich osławionej korupcyi dziennikarskiej, ani Francuzom ich zamiłowania do skandalu w literaturze. Mamy bowiem — acz w zmniejszeniu — wszystko, co tamtych „odznacza“, u siebie, w stolicy umysłowego naszego życia, w naszych Atenach, ognisku naszej literatury, jak jeszcze zwykli nazywać Warszawę — Warszawiacy. Mamy to wszystko — jeźli wierzyć na słowo autorom „Forpoczt“, uzasadniającym teoretycznie i popierającym dowodami — *actenmässig*, powiedziałby sędzia śledczy niemiecki — wszystkie gromkie swoje zarzuty, wytaczane przeciwko całej warstwie „mężów od pióra“ lub kilku jednostkom. A jednak — korupcya i skandale nasze (scilicet warszawskie), są przecież oddmiennemi od tamtych. U nas (sc. w Warszawie) nie sprzedaje się *en masse* przekonań politycznych za brzęczącą monetę lub synekurę, — bo na ten towar nie ma kupców — i nie robi się skandalów w celach politycznych — bo celów tych nawet ujawniać nie wolno; ale się uprawia korupcyę literacką, zduszającą każdy talent piśmienniczy, każdą indywidualność samodzielną, która, zanim wystąpi w szranki, nie złoży czołobitności wielkim mandarynom poezyi i prozy, dzierżącym ster literatury; „robi się“ skandale — za pomocą plotek, którychby w Europie powstydziła się rajfurka wielkomiejska! — a skutek przewyższa jeszcze zagraniczne machinacye, bo osięga się to, czego w Niemczech i Francyi i nigdzie indziej dopiąćby nie zdołano. Oto: ogół, oświecony, inteligentny, krytyczny nasz ogół nie demaskuje Lindau'ów, nie zdziera szaty świętoszka z Bourgetów, nie policzkuje geszeftciarskich Ohnetów, ale jak stado baranie uznaje w nich owczarzy-przewodników swoich, biegnie za nimi i bekiem radości wyraża uznanie dla „szczytnej“ swych menerów działalności.

Jak rzadko słyszy się wobec tego zgodnego chóru uwielbienia — głos ognistego protestu, któryby świadczył, że są jeszcze ludzie, umiejący oprzeć się owczym pędom bierności — a skoro się go czasem usłyszy, jakże słabem jest jego brzmienie w porównaniu z wrzaskliwym bekiem stugębnej reklamy. Nareszcie jednak zabrzmiał donośny protest — z trzech piersi wyrwany: — Protest, poparty poczuciem własnej krzywdy tych, którzy go podnieśli, podpisany nazwiskami trzech pisarzy, z których dwaj zajęli już w literaturze naszej stanowisko pewne, a trzeci — względnie trzecia, gdyż jestto kobieta — ma wszelkie prawo do tego, aby widzieć w niej dobrą zapowiedź talentu. I ta trójka — złączona z sobą wspólną krzywdą. wspólnemi pragnieniami, dążnościami i zapatrywaniami na zadania literatury, jej stan obecny, jej luki, potrzeby i środki nie wahała się pod sąd opinii oddać wizerunek korupcyi i skandalu, o których tylko tym danem było dotąd wiedzieć, którzy ich skutki na własnej odczuli skórze. Forma, w jakiej się to stało, grzeszy może zbytnim bombastem, emfazą przesady, (naturalnej zresztą i zrozumiałej w każdym okrzyku protestu i oburzenia), lecz to właśnie gorące przejęcie się własną sprawą, które kazało autorom „Forpoczt“ widzieć w niej sprawę ogólno — jeśli nie — ludzką, to — narodową — usprawiedliwić musi zajęcie się nasze; od tych lokalnych stosunków warszawskich stoimy wprawdzie z daleka, ale stan ich przecież odczuwany, a wiemy dobrze że do oburzenia i protestu podstawy były i są aż nadto silne! Przypatrzmy się tedy bliżej temu wizerunkowi.

Na pierwszy rzut oka uderza tytuł dziwaczny. „Forpoczty“? — cóż to znaczy? Wytłomaczenie znajdujemy na samym wstępie książki, gdzie p. Nałkowski, znany geograf, daje nam definicyę „forpoczt“. Są to mianowicie typy o przewadze życia wewnętrznego nad zewnętrznem, duchowego nad cielesnem, ludzkiego nad zwierzęcem, refleksyjnego nad czynnem! Typy z organizacyą duchową niezmiernie wrażliwą i subtelną, nie mogące wyżyć w atmosferze pospolitości, ale zarazem chromające na wielką nieproporcyonalność pragnień do możności, a nawet możliwości ich urzeczywistnienia; przeto szarpane niezadowoleniem wewnętrznem. Typy to — jak dalej objaśnia p. N. — dostarczające największej ilości nowych idei, ale zarazem największej ilości obłąkanych i samobójców, typy, które ze stanowiska fizyologicznego możnaby nazwać nerwowemi („nerwowcami“, „mózgowcami“), ze stanowiska zaś psychiczno-ewolucyjnego (cytuję słowa pana N) — typami ewolucyjnemi czyli *„forpocztami ewolucyi psychicznej“*. — Definicya (jak widzimy) ścisła i — prawdą a Bogiem — niegrzesząca kokieteryjną miłością własną. — Wszyscy, którzy nie podpadają pod kategoryę typów powyższych — otrzymali nazwę troglodytów („Forpoczty ewolucyi psychicznej i toglodyci“ str. 5—50), z jakich składa się „tłum“, uważający nerwowców za typ zwyrodniały, skazany na zagładę — a przyszłość, jako należącą do silnych — t. zn. do troglodytów. Zapatrywanie to — zdaniem pana N. — naturalnie z gruntu fałszywe i błędne! owo mniemane

*) Książka zbiorowa przez Wacława Nałkowskiego, Maryę Komornicką i Cezarego Jellentę. Lwów 1895. Nakł. autorów, str. 270.

K. ROJAN.

W ŚWIAT.

(Ciąg dalszy.)

— Moi panowie — wmieszał się Szeląg — wy dziś widocznie nie przestaniecie. Czy to ładnie sprzeczać się bez ustanku.

— Czy ładnie, tego nie wiem, ale że zdrowo, to pewna. Piwo lepiej smakuje. Ot, dajmy dziś kasie spokój, niech się w głowie uleży jak niedojrzała gruszka. Tymczasem chodźmy do Bronarza. Szołomiejski wymyślił dziś ograniczoną kasę w rękawiczkach. czy jak on ją tam nazwał, więc niech pomysł swój obleje, aby rósł. No, chodź tu stary, daj pyska.

I dwaj szermierze padli sobie w objęcia. Tak to już od wielu lat bywało.

Należy jednak dodać, że tym razem pojednanie nie było zupełnie szczere. Raniecki żywił od pewnego czasu niechęć ku uczonemu sąsiadowi i docinał mu przy sposobności ostrzej niż zwyczajnie, a i Szołomiejski podejrzywając Ranieckiego o chęć krzyżowania jego zamiarów, czuł w sercu żal do niego.

Szołomiejski pragnąc poprawić złe stosunki materyalne syna swego Macieja, postanowił ożenić go z Lolą Borajską i w tym celu nawiązał raz już nawet serdeczniejszą rozmowę z ojcem hożej Loli. Syn jego, nicpoń, hulaka był niskim urzędnikiem pocztowym i potrzebował koniecznie żony: raz dla tego aby się ustatkować, powtóre aby jej posagiem długi popłacić.

Borajski nie dał stanowczej odpowiedzi, tłomacząc się, że Lola zbyt jeszcze młoda i że zresztą zostawił jej zupełną wolność w wyborze męża.

Gdy o tej rozmowie Szołomiejskiego z Borajskim dowiedział się Raniecki, zakipiał ze złości. I on miał syna Józefa, takiego samego pędziwiatra jak Maciuś Szołomiejski, i on żywił zamiar ożenienia Józefa z hożą Lolą — tymczasem ten w okularach Szołomiejski wchodzi mu w drogę.

Niebawem też, porozumiawszy się z żoną, oświadczył Józefowi, aby się co rychlej starał o rękę Loli, żeby go inni nie ubiegli. Nie przypadło to wprawdzie do gustu Józefowi, któremu więcej od Loli podobała się Mania Wywrotówna — ale ostatecznie gotów był uczynić zadość woli rodziców, w szczególności zaś dla przypodobania się matce, przed którą drżał ze strachu.

Tymczasem stary Raniecki wybrał się na poufną rozmowę z Borajskim. Wyłapał go w domu samego.

— Przychodzę do was sąsiedzie w ważnej sprawie — rzekł, zagajając rozmowę. — Ja tam nie umiem gawędzić słowami z książki na sposób Szołomiejskiego, więc też prosto z mostu, szczerze, po sąsiedzku powiem o co mi chodzi. Ja mam syna, wy macie córkę... piękną i dobrą córkę. Mój syn także niczego sobie. Otóż co z tego wyniknąć może?

Borajski uśmiechnął się i ruszył ramionami, udając niedomyślnego, Raniecki zaś ciągnął dalej:

— Powiada mi dziś Józef: „Idź no ojcze i zapytaj się pana Borajskiego tak naprawdę, czyby mi nie dał panny Loli za żonę, bo jeżeli nie, to kopnę się do Mani Wywrotównej“. Otóż przychodzę i pytam.

Borajski podrapał się palcem po skroni.

— Kiedyż bo, kochany panie Raniecki, doprawdy nie wiem, co na to odpowiedzieć. Wasz syn... no, tęgi chłopiec nic mu zarzucić nie można — tu Borajskiemu przyszło właśnie na myśl, że kłamie, więc się zawahał na chwilę — ale proszę Was — ciągnął wreszcie dalej — trzebaby najpierw z Lolą, co ona na to, wszakże o nią tu chodzi, nie o mnie; a po drugie... no, nie wiem czy dobrze sądzę, ale myślałem sobie nieraz, żeby ją tak wydać za Smolarza...

— Za Smolarza? — zdziwił się Raniecki — jaki kaduk znowu? Taż to nie nasze plemię.... obcy jakiś ród, a przytem goły jak bizun.

— Ba, nie goły on: sprytny, pracowity i w moim fachu uczony, mógłby kiedyś objąć warsztat i dalej go na własną rękę po mojej śmierci prowadzić.

— Nie? to nie! — ozwał się na to Raniecki, wykrzywiając twarz lekceważąco

bowiem zwyrodnienie, to niezwyrodnienie, ale ewolucya, oddalenie się od natury pierwotnej (troglodytów), która przecież nie jest chyba ideałem ludzkości. Prawda, że w życiu zwyciężają natury pierwotne, troglodyci, a „ludzie“ giną, ale ich idee żyją i „zjadaczy chleba gniotą niewidzialne“; wyciskają wreszcie na ich twarzy rumieniec wstydu, opanowują ich, podnoszą ich, lubo z trudem, na wyższy poziom duchowy ogólny, nad który wznoszą się następnie pojedyńczo nowe „forpoczty“ i tak dalej w nieskończoną dal wieków.

„Troglodyci“ zarzucają „mózgowcom“ (że już użyję terminów przyjętych w „Forpocztach“) pesymizm, wypływający z niezdolności osobistej i chęci nadawania sobie uroku wyższości nad innymi. — Wyznawcy idei Nietzsche'go („natury pokrewne mózgowcom“ por. str. 20), idei indywidualności o potężnych instynktach brutalnych, — zarzucają „mózgowcom“ brak siły, koniecznej do ziszczenia ideału, „nadczłowieka“. Oba rodzaje zarzutów są bezzasadne i bądź złą wolą dyktowane, bądź z fałszywego wytaczane stanowiska. Z pierwszemi rozprawiać nie uznaje p. N. potrzeby, w drugich błąd tkwi zasadniczy. Idea Nietzsche'go nie może być uważaną jako ewolucya, lecz jako reakcya, i tylko jako taka, jako środek. a nie jako cel ludzkości, jako chwilowy wybuch zwrotny ku pierwotności — traktowaną być winna. W niej bowiem tkwi idea „powrotu do natury“ — niemożliwa do spełnienia choćby nawet powrót taki był upragniony; w nim bowiem streściłaby się rezygnacya z cywilizacyi; byłby zadanym kłam zasadzie walki o byt, będącej czynnikiem rozwoju. Ideałem ludzkości nie jest natura lecz siła (str. 106), nie odpoczynek, nie żywot rajski na jej łonie, nie nirwana, lecz walka. Tęsknota zaś do natury jest (zdaniem p. N.) objawem znużenia, objawem podobnem do uczucia tego smakosza i i viveura, który długi czas obiadał się ostrygami, pasztetami, homarami, spijał benedyktynki, chartreusy, szampany, a młodość strawił wśród elegantek paryskiego półświatka.. „Tęskni“ on za — grochem z kapustą i chlebem razowym, za „czystą“ wódką, która trąci karczmą, za prostą dziewczyną wiejską... (str 107). Tęsknota do natury wyradza się czasem w takie dziwaczne zamiłowania, jak... „knajpizm“ i „chłopomaństwo“. — Zdarza się atoli także — co *przyznaje* p. N. (str. 111) — że tęsknocie do przyrody, obok maniaków (!) i zacofańców rzuconych w wir cywilizacyi, podlegają nieraz właśnie ludzie, „najwyżej uorganizowani duchowo“ (idem), — albowiem oni właśnie w obecnej, śród nienormalnych warunków toczonej walce o byt zużywają się najbardziej (podczas gdy filistrzy prosperują); są to właśnie owi *siłacze*, zmuszeni dźwigać ciężary zbyt wielkie i zrywający czasem swe siły mimo ich tęgości. Są to atoli objawy sporadyczne; „*stały* powrót do natury jest szkodliwym, lub przynajmniej bezużytecznym z powodu walki o byt“; „w przyszłości ludzkość nie będzie nawet miała do czego wracać, bo... natury nie będzie“.

Wspomniałem poprzednio, że zdaniem pana N. ideałem ludzkości nie jest natura, lecz siła. „Mózgowcy“ nie liczą się atoli do wyznawców Nietzschowskiego ideału „nadczłowieka“; czcząc bowiem siłę nie widzą koniecznie jedynego jej wyrazu w instynktach pierwotnych, a jedynej jej miary nie upatrują w powodzeniu. Dla wyjaśnienia tej różnicy dzieli p. N. probierz wartości ludzkiej na absolutno-dynamiczny (biologiczny) i względnie-dynamiczny (społeczny). Zasadniczą wartość człowieka stanowi jego siła absolutna, o stałej wartości; realną zaś jest forma objawienia się tej siły, czyli stosunek tego objawienia do potrzeb społecznych. Wartość tej drugiej zmienia się stosownie do zmiany stosunków społecznych; pierwsza jest ważniejsza ze stanowiska ogólnego ewolucyi, druga ze stanowiska danej chwili lub fazy rozwoju. „W ocenie człowieka pierwszorzędne znaczenie powinna mieć jego siła absolutna, a możliwe spotęgowanie tej siły musi być ideałem ludzkości“! (str. 115).

W kwestyę t. zw. „transmisyi sił“, którą p. N. tłomaczy sobie wszelkie ważniejsze zagadnienia — wdawać się nie będę, nie chcąc zbytecznie przekraczać ram niniejszego artykułu. Powyżej starałem się możliwie zwięźle przedstawić teoryę „ewolucyi psychicznej“ — którą na pierwszy plan swego „protestu“ wysunęli bojownicy „forpoczt“. W krytykę tej „teoryi“ wdawać się nie będę, interesuje mnie bowiem w całym wykładzie pana N. nie jego wywód filozoficzny, ale stanowisko, jakie trójca autorów naszych zajęła w swoim proteście. Sądząc z tonu i formy rozpraw p. Nałkowskiego — przypuścićby można, że „Forpoczty“ zwiastują jakąś nową siłą odrodzenia w literaturze; z tem mniemaniem zdradza się nawet p. N. w rozbiorze dzieł i ocenie talentu swoich współtowarzyszy. Jednakowoż tego znaczenia wystąpieniu autorów „Forpoczt“ nie mogę przypisać. Przyznać trzeba, że stanowisko, jakie zarówno p. N. jak i p. C. Jellenta zajmują w artykułach krytycznych, zamieszczonych w „Forpocztach“ — różnem jest od tego, na jakiem stoi cała niemal — współczesna krytyka polska — choćby jednak stanowisko to było racyonalnem — a o to w wielu punktach możnaby się posprzeczać z autorami — to — odrodzenia literatury nie zwiastuje ono jeszcze!

Próbki talentu pp. Jellenty i Komornickiej, zamieszczone w „Forpocztach“ — niezdolne są dać jego miary. Z urywków i krótkich szkiców poetycznych o całości sądzić niepodobna; co najwyżej możnaby jakiś lekki przedsmak całości odczuć; lecz to bywa zazwyczaj zwodniczem. Zresztą nie chciałbym o talencie p. Komornickiej wydawać sądu na podstawie jej „Powrotu ideałów“, będącego dyalogowanym pamfletem, który właściwie krytyce literackiej podlegać nie powinien. W „Spowiedzi zbira“ p. Jellenta odsłania tajniki zajścia, które zdaje się było końcowym efektem długiej tajnej walki między naszymi „mózgowcami“ a przeważającym tłumem troglodytów, — zajścia zbyt osobistego, aby się nadawało do traktowania publicznego w niniejszym artykule. Dla autorów „Forpoczt“ spowiedź ta musi mieć niezaprzeczoną wagę oskarżenia wniesionego przed forum opinii publicznej; dla czytelnika „Forpoczt“ jestto ilustracya dosadnia tego stanu rzeczy, który na początku niniejszego artykułu scharakteryzowałem. Nasuwa się tylko pytanie, czy dla zabicia kilku much, warto było wytaczać ciężkiego kalibru armatę?

Na pytanie to nie powinno być dwóch

— do wójta nie pójdziemy. Powiem Józefowi niech tnie koperczaki do Mańki Wywrotównej.

— Ależ ja wam nie odmawiam — zaprzeczył Borajski — ja tylko tak sobie myślałem. Zresztą, wiecie co dobrodzieju, oni oboje tacy jeszcze młodzi, mogą czekać. Niech się w tym czasie zbliżą lepiej, poznają, no i gdy się pokochają, ja z mej strony nie będę miał nic przeciw temu. Więc zaczekajmy.

Ospowate oblicze Ranieckiego wypogodziło się.

— Hm, jest i w tem racya. Po co się spieszyć. Tylko, że ten wisus Józek.... ale co! — musi błazen czekać i kwita.

Przed domem Borajskiego przechadzał się Józef i oczekiwał spokojnie na odpowiedź. Gdy się więc Raniecki wychylił z za furtki ogrodowej, przypadł do niego, nawołując już z daleka:

— Pst, pst, ojciec!

— Aha, dobrze, że czakasz jeszcze. Myślałem żeś już pogonił.

— A co mówił ojciec ze starym?

— To się wie:

— I co? ile daje?

— A no, nic nie daje.

— Jakto: nic?.. przecież ja się bez pieniędzy żenić nie będę.

Natarczywe pytania zniecierpliwiły Ranieckiego. Ujął się więc rękami pod boki i mało dbając, że to ulica, wsiadł na syna:

— Powiedz mi błaźnie jeden, czego się tak spieszysz?! Nie wiesz, że co nagle, to po dyable?

— Ta przecież ojciec sam wczoraj...

— No, cóż z tego. Co było wczoraj, to nie dziś. Będziesz czekał i kwita.

— A co na to matka powie?

— Głupiś.

— Aha, dobrze ojcu tak mówić, a mnie matka już żyć nie daje: Ożeń się, ożeń, i końca temu nie ma.

— Osioł jesteś. Co zważasz na matczyne gadanie. Każdy młody człowiek powinien wyszumieć, i ty także. A gada, niech gada. Póki ciebie ma na oku, mnie nie widzi.

— Aha, mądryś! Już ja wolę, żeby matka ojca miała na oku, a nie mnie. Zresztą — dodał po chwili, ogryzając paznogcie — ojciec mówi całkiem dobrze. Spieszyć się nie ma czego. Albo mi to źle być jeszcze kawalerem?... Phi!

— Rozumie się!

— Oczywiście!

— No pewnie!

Po takiem wzajemnem porozumieniu się, poszli w zgodzie do domu, obmyślając po drodze w cichości, każdy na własną rękę sposób obrony przeciw matce i żonie.

— Od tego jednak czasu nie dowierzał Szołomiejski Ranieckiemu i na odwrót Raniecki obawiał się Szołomiejskiego, twierdząc w duchu, że mu źle coś z okularów patrzy.

VI.

Trzynastego stycznia wielkie przygotowania u Borajskich.

Pani Marcysia uwija się w kuchni od świtu, Lola i Anulka porządkują w pokojach, ścierają prochy, przyrządzają zakąski, zaprawiają świece w lichtarzach i oglądają co chwila z zachwytem nowe sukienki, porozwieszane na krzesłach.

Po południu wybiegły obie na miasto, Lola po różową wstążeczkę do włosów, Anusia dla jej towarzystwa. Wprawdzie wstążeczkę różową można było kupić w sklepie na „nowem mieście“ ale obie uznały bez poprzedniej narady, że w rynku u Walca będzie taniej i kupiec lepszą da miarę. Więc poszły do rynku.

Mróz był silny, powietrze zdrowe, orzeźwiające, dzień pogodny, słoneczny.

Obie biegły szybko i twarzyczki ich pokraśniały rumieńcami. Lola, ubrana w ciemno-granatowy, prawie czarny kubraczek, bramowany białem futerkiem i w białą czapeczkę barankową, z pod której wychylała się gruba, złoto blond kosa, bardzo dodatnie czyniła wrażenie. W każdem jej poruszeniu, uśmiechu, lub głośniej wyrzeczonem słowie, przebijał ogień młodości, krewkość, rozkoszne życie. Anulka odznaczała się również urodą, aczkolwiek w odmiennym zupełnie rodzaju. Cerę miała białą, twarzyczkę szczupłą, małe usta, czarne rzęsy i duże czarne oczy, których oprawa świad-

odpowiedzi: Czy autorowie „Forpoczt“ dobrze zrobili, że do książki swojej załączyli akta czysto osobistego procesu, — to kwestya; że jednak wydanie drukowanego protestu przeciwko niesłychanemu nepotyzmowi, jaki wprost zanieczyszcza od lat wielu atmosferę dziennikarsko-wydawniczą w Warszawie, a tem samem oddziaływa szkodliwie na całą Polskę, — przeciwko korupcyi, która jawnie się odbywa, i geszefciarstwu, nie znającemu tamy — był na miejscu, nie ulega najmniejszej wątpliwości. Jeśli doszło, jeśli dojść mogło do tego, że autorom, którzy upomnieli się o doznaną zniewagę, zamknięto wstęp do pism publicznych, odcięto drogę do ogółu, jeżeli do tak haniebnej, bezprzykładnej presyi pociągnąć się dały nawet te redakcye pism, których uczciwość wyższą jest nad wszelkie potępienie, i to jedynie dla tego, aby nie narazić się wszechpotężnym mandarynom, „dzierżącym ster dziennikarstwa i literatury“ to głośny, publiczny protest był czynem moralnym, spełnieniem obowiązku publicystycznego, zasługującym na pochwałę każdego uczciwego człowieka — bez względu na jego przekonanie.

Potrzebnem było też odezwanie się takie, jak p. Jellenty w jego „Cieplarni bezducha“, wykazanie szkód, których już dokonała u nas owa krytyka niepowołana i kłamliwa, co to nie zajrzy nigdy do wnętrza dzieła, jeno nadchrobocze je z wierzchu jak szczur i nie mogąc ugryść, obrzydzi je ludziom, albo zasłaniając się obawą, iż zbytnia surowość zabija talenty, opiekuje się charłactwem duchowem mandaryńskich lutnistów i.... — risum teneatis amici! — ich epigonów. Czas było naprawdę zapytać się śmiało: gdzie się podział u nas polot i zuchwałe, mozolne wspinanie się na wyżyny? Dokąd zajdziemy, hodując z taką pieczołowitością miernoty — kosztem prawdziwych, a nieuznawanych, zgniatanych talentów, których się nie zabija uczciwą krytyką, ale obuchem złośliwej frymarki powala? Brak szerszego poglądu na świat i ludzkość, brak poczucia łączności z najżywotniejszymi prądami społecznemi, ubóstwo myśli, sztuczność uczucia — oto cechy dzisiejszej literatury naszej.

Czarnego tego obrazu nie rozjaśnia żaden świeży, wybitny talent, któryby dawał rękojmię przyszłości. Stare gwiazdy, choć świecą snopem promieni, — niedługo jaśnieć mogą, a co potem? Co będzie, gdy nie stanie literaturze polskiej Sienkiewicza, Prusa, Orzeszkowej, Konopnickiej; — gdzie ich spadkobierców duchowych szukać mamy? Czy będą nimi: — Gawalewicz, Kosiakiewicz, Jankowski, O r o t e t u t t i q u a n t i?

W autorach „Forpoczt“ drga nuta niepospolitej samowiedzy i pewności siebie. Z utworów ich i rozpraw przegląda ufność, że im danem będzie zajaśnieć słońcem na ciemnem tle literatury. Co najmniej widzą wzajemnie w sobie materyał przyszłości.

Nie chcę przesądzać, czy jest w tem racya. Cez. Jellenta dał się poznać jako krytyk bystry, nie zawsze może ważący ściśle swoje sądy, ale opierający je na silnem przekonaniu i znajomości współczesnych kierunków literackich i jako taki zajął już stanowisko, z którego go nie zepchnie brutalny bojkot gazeciarski. W. Nałkowski, umysł oryginalny, bystry spostrzegacz i bezwzględny krytyk — znający tylko jeden wzgląd, wzgląd na prawdę — nie ma równego u nas pisarza pod względem ścisłej znajomości przedmiotu, którym się zajmuje. Marya Komornicka, młoda poetka, próbująca sił swoich na różnych polach, — nie dostarczyła dotąd podstawy do stanowczego o sobie sądu.

Zapał często tworzy cuda — oby i tym razem udało się cudem jakimś wyplenić ten chwast nepotyzmu i miernoty z niwy dziennikarskiej, którym ona od lat tylu tak obficie zarosła, że niezadługo padnie pod głuszącym jego wpływem i ta odrobina roślinności pożywnej, która się jeszcze na niej ostała. Gdyby w apatycznem naszem społeczeństwie „Forpoczty“ wywołać zdołały choć dziesięć razy mniejsze echo, niżli swego czasu mała i pusta broszurka Bleibtreu'a „Revolution in der Litteratur“ w Niemczech — moglibyśmy uwierzyć w odrodzenie literatury naszej.

Dr. Ignacy Suesser.

Artysta i świat.

W papierach pośmiertnych Karola Gounoda znaleziono rękopis, zawierający wiele rozumnych uwag o stosunku artysty współczesnego do współczesnego ogółu. Oto ważniejsze ustępy z tej pracy:

Zadziwiający rozwój stosunków społecznych wywiera na stosunki i dzieła artystów wpływ raczej zgubny, niż dodatni. Ongi, nie tak nawet dawno, artysta tak samo jak uczony uważany był za członka jednej z wielkich korporacyi robotników myśli. Widziano w nim rodzaj indywiduum wyodrębnionego z całości, którego cela była niedostępną, nietykalną i poświęconą; odczuwano pewien wyrzut sumienia, gdy odrywano go od ciszy i spokoju, gdy przeszkadzano mu w skupieniu, bez którego niepodobna tworzyć dzieł potężnych, żyjących dłużej, niż chwila bieżąca.

Dziś artysta nie należy do siebie; należy on do całego świata. Jest to tarcza, do której wszyscy strzelają. Jego życie indywidualne i produkcyjne jest zaabsorbowane, konfiskowane, rozdrobnione na monetę zdawkową przez rzekome obowiązki życia w społeczeństwie, a zobowiązania te, płytkie i małe, plączą go w sieć nici nie do rozwikłania. Jednem słowem, dziś artysta pożerany bywa przez otoczenie.

Otóż z czego składa się to otoczenie artysty nowoczesnego? Przeważnie z ludzi, którzy boją się nudów. Molière scharakteryzował to dobrze w słowach, zwróconych do ministra Colberta:

Do pracy i do wizyt trzeba mieć talent osobny,
Kto oddaje się światu, ten wyrzeka się swojej sztuki.
Umysł rozerwany rzadko coś tęgiego płodzi,
Bo wysiłki artyzmu pochłaniają całego człowieka.

Niechże kto zachowa „umysł nierozerwany“ w dzisiejszych warunkach, gdy artysta, zwłaszcza ubogi, a więc potrzebujący ludzi, utrzymywać musi stosunki, które mu kradną czas, myśl, talent, życie. „Ależ to wina artysty! — zawołacie — niech zamknie światu drzwi przed nosem, a będzie panem swojego czasu, myśli, pracy, talentu“. Łatwiej to powiedzieć, niż wykonać. Ludzie ci, co się nudzą, przyjdą i do drzwi zamknię-

czyła na pierwszy rzut oka, że jest siostrą Franciszka Smolarza.

— Obejdziemy rynek na około. Dobrze? zapytała Lola.

Anusia uśmiechając się skinęła głową na znak zgody. Zaledwie uszły kilkanaście kroków, Lola zatamowała oddech i nagle westchnęła.

— Idzie! rzekła półgłosem.

W oddali ukazał się piękny młodzieniec, ubrany modnie, po wielkomiejsku, w cylindrze na głowie, w rękawiczkach, z cienką laseczką w ręku. Piękny wzrost, niezwykła dorodność oblicza i zgrabne, elastyczne ruchy, wyróżniały go znacznie z pomiędzy snujących się po rynku licznych przechodniów.

Mijając je, uchylił Dyniecki zgrabnie kapelusza i uśmiechnął się, jak do dobrych znajomych.

Lola odpowiedziała na ukłon rumieńcem, który zadrwił sobie z mocy ośmnastostopniowego mrozu.

Szła dalej szybko. Dopiero na zakręcie oglądnęła i ujrzała, że Dyniecki przystanął i również śledzi ją wzrokiem. Oczy ich się spotkały. Zawstydzone dziewczę zawróciło prędko w boczną uliczkę, pociągając za sobą towarzyszkę.

Dyniecki był przed tygodniem u Borajskich, przywiedziony przez Łasieckiego. Spiesząc się na inną wizytę, bawił bardzo krótko, przyrzekł jednak, że w teatrze amatorskim grać będzie. Również obiecał przyjść na imieniny pani Marcysi.

Stąd pochodziła bliższa znajomość Loli z pięknym kołczaniańskim młodzianem.

Za powrotem do domu miały dziewczęta tyle jeszcze wolnego czasu, aby bez świadków wysłuchać wymówek pani Borajskiej za niepotrzebne a długie uganianie po mieście i spokojnie przywdziać nowe sukienki. Niezwłocznie bowiem poczęli schodzić się goście i napełniać cztery obszerne pokoje mieszkania Borajskich.

Przyszli Wywrotowie z trzema córkami, Ranieccy z Józefem, Szelągowie z Mańką, dwaj bracia pani Marcysi, mydlarze Grzybińscy z żonami i córkami, Łasiecki, Smolarz i wiele innych osób.

Cała gromada dzieci od lat sześciu do trzynastu należących do różnych rodzin i domów, uwijała się wśród starszych, wrzeszcząc, śmiejąc się, rozbijając stołki, komody, drzwi i każdego, który im na zawadzie w wzajemnym pościgu stawał.

Co chwila musiała pani Marcysia, krzątająca się w jadalnym pokoju, wyciągać z pod głównego stołu jakiegoś bębna, który urządzając sobie tam kryjówkę, groził ściągnięciem obrusa wraz z kosztowną zastawą i pieczywami, mozolnie przez nią wyrobionemi.

Pokoje napełniły się śmiechem, gwarem, dymem tytoniowym i złotym humorem.

Pan Storch, sławny muzyk, przybył już także i dla pospiechu zajadał przy osobnym stoliku zimne przekąski, aby co prędzej usieść do fortepianu.

Lola, w różowej sukience, z różową wstążką w długim złotym warkoczu, uwijała się wśród gości, zapraszała mężczyzn na wódeczkę i przekąski, sadzała starsze kobiety na kanapie, odpowiadała od razu na dziesięć pytań, ściskała małe dziewczątka co się do niej gromadnie garnęły, a wśród tego rzucała co chwila na drzwi ukradkowe spojrzenia.

Wreszcie rozwarły się one i wszedł ten, kogo tak gorąco oczekiwała.

Łasiecki i Smolarz zacisnęli się w kącik pod okno i z tamtąd spoglądali od dłuższego czasu na zebrane tłumy gości.

Satyryk Łasiecki mówił wciąż półgębkiem, zasłaniając usta dłonią. Obmawiał i nicował w pierwszym rzędzie kobiety, ale i dla mężczyzn nie był pobłażliwym.

Smolarz słuchał go z rozprószoną uwagą, uśmiechał się i milczał.

— A jakże, było to na tańcach zeszłego roku — ciągnął właśnie Łasiecki, mrugając oczyma ku Dynieckiemu. Sam widziałem, jak Boga kocham. W ubieralni było ciemno, a ja właśnie wieszałem burnus na szaragach i szukałem czegoś w kieszeni, więc się nie ruszałem. W tem ona wychodzi z sali i nie widząc mnie mówi:

„Nie wolno tu, nie wolno“. A on: czemu nie wolno?“

— Bo mi podwiązka spadła i muszę założyć.

tych. I oto rozpocznie się rozmowa następująca:

— Przepraszam, czy nie przeszkadzam?

— Ależ.. tak.. owszem.

— A więc przepraszam. Odchodzę. Powrócę kiedyindziej.

— O, nie!

— Aha! Ależ kiedy można pana widzieć, nie przeszkadzając?

— Proszę łaskawego pana, wizyta przeszkadza mi zawsze, ilekroć jestem w domu.

— Czy tak? Jesteś tak zawsze i tak bardzo zajęty?

— Zawsze, dopóki mi nie przeszkodzą.

— A, mój Boże, jakże mi przykro! Ale ja zajmę panu zaledwie parę minut.

— To właśnie tyle, ile potrzeba do przerwania myśli. Zresztą, skoro pan już jesteś, mówmy.

Tak dzieje się codziennie. Najbardziej narażeni są na to muzycy. Malarze, rzeźbiarze mogą od czasu do czasu zamknąć się u siebie. Ale muzycy! Mogą pracować w dzień, więc wieczorami wzywani są na rauty. Jeżeli zaś na rautach bywać nie chcą, proszą ich o udział w „porankach“. Bo tak łatwo komponować! Kto ma talent, komponować będzie zawsze, nawet bez skupienia! Muzyk, zwłaszcza muzyk głośny, jest w czasach obecnych, w ścisłem tego słowa znaczeniu, własnością narodową. Przez dom jego prowadzi ulica. Życie jego oddane jest na pastwę próżniaków, ciekawych, ludzi próżnych, wpływowych.

Takie stosunki są złe i niezdrowe. Dziewiczość duszy, którą podtrzymuje się jedynie przez skupienie, pierzcha i z każdem dniem więdnie w zetknięciu z tłumem próżnym, próżniaczym, bogatym, wpływowym. Zegnajcie godziny ciszy, spokoju, w których artysta powinien słuchać głosów swojej duszy!

Do takiego stanu rzeczy przyczynia się w znacznym stopniu mniemanie, iż talent nawet prawdziwy musi mieć za sobą protekcyę świata, jeżeli chce dojść do czegoś. Protekcya świata! Ależ nic nad to niepewniejszego, bardziej chwiejnego, bardziej zwodniczego. Na domiar *świat ofiaruje swoją protekcyę tylko tym, którzy doszli już do wziętości, sławy, powodzenia.*

Jednym z najbardziej utartych frazesów, którym ludzie nudzący się usiłują oderwać artystów od pracy, jest ten:

— Ależ pan się zabijasz! Pracujesz za dużo! Trzeba odpocząć. Przyjdźże pan do nas, rozerwiesz się trochę.

Nic nad to fałszywego. Praca zabija? Co znowu! Kto tak mówi, nie zna, co to praca. *Zabija praca jałowa, bezduszna, niesympatyczna, traktowana jako rzemiosło, ale nigdy praca twórcza, dająca zadowolenie sama w sobie.* Nie, praca nie jest tak okrutną, ani tak niewdzięczną, aby zabijać miała człowieka jej oddanego. Najpracowitszym robotnikiem jest podobno serce człowieka, bo pracuje wciąż, od początku do końca istnienia, bez przerwy, bez umęczenia, na jawie i we śnie, we dnie i w nocy. Coby powiedziało serce, gdyby mu nakazano odpoczynek, pod pozorem, że praca zabija. *Otóż praca dla życia umysłowego artysty jest tem właśnie, czem serce dla życia fizycznego człowieka.* Jest to karmienie, ruch i oddychanie inteligencyi. Jest to praca nużąca tylko dla tych, którzy jej nie prowadzą systematycznie. *Nie myślcie, że pracu jest karą; przeciwnie jest ona szczęściem i zdrowiem.* Ziemia ciągle uprawiana i w wysokiej pozostająca kulturze jest naprawdę zdrowa; ziemia pozostawiona odłogiem staje się zachwaszczoną, a więc niezdrową. Nie, nie praca zabija, ale bezpłodność; *płodność w artyzmie, to młodość i życie.*

Nie chcę bynajmniej, aby artysta był koniecznie mizantropem, dziwakiem, odludkiem. Ale czy tak zw. stosunki światowe zastąpią owe chwile uroczyste i świetlane, które zowią się, słusznie czy nie słusznie, natchnieniem? Czy przyjemność płynąca z owych stosunków może być porównana do chwil samotności, dających tematy, oświetlenia, pomysły? Artysta, który szuka wciąż świata, podobny jest do człowieka, który opuszcza świątynię, aby udać się do pałacu, choćby to był pałac z Tysiąca i jednej nocy.

Nie każdemu dano być geniuszem; nie każdemu dano być wspaniałą rzeką, zrasząjącą ogromne przestrzenie; ale i w drobnym talencie, w drobnym strumyku odbijają się promienie słońca i błękity nieba.

Jeszcze jedna uwaga — kończy Gounod. Kto szuka wciąż świata, ten słyszy wokoło tyle zdań różnych, opinii, pochwał, krytyk, iż powoli zatraca świeżość swojego własnego zdania i opinii. Artysta w tym młynie, który się ścieraniem zdań nazywa, traci wiarę w samego siebie, traci pewność amego siebie, traci pewność poglądu, staje się bezwiednie pionkiem w ręku „większości“, myślącej tak lub owak, słowem, traci najcenniejszy przymiot artysty: oryginalność. Przytłacza go to, co Józef de Maistre tak słusznie nazwał „ciężarem pustki“. Kto słucha dzwonu, słyszy ton; ale kto słucha wielu dzwonów na raz — jakąż słyszy kakofonję!...

K. W.

Z księgi „Kohelet“.

(Rozdział I, II, III i początek IV-go.)*)

1. Ja kaznodzieja, ja syn Dawidowy,
Ja mędrzec Pański, władca Izraela,
Szukałem prawdy i poznałem wiela, —
A oto księgę piszę temi słowy:

2. Marność jest wszystko, marność nad marności —
I nic człek nad to nie ma z swojej pracy;
Dzieło rąk jego roztoczą robacy —
A koniec wszystkich rzeczy jest w nicości!

*) Powyższe strofy są przekładem pierwszej części księgi „Ecclesiastes“ (hebr. Kohelet) króla Salomona. Starałem się o wierność przekładu, o ile tylko forma wierszowa na to pozwalała. W niewielu miejscach jedynie odstąpiłem nieco od oryginału, lub pozwoliłem sobie dodać jaką strofę lub wiersz, — a to dla uzyskania ciągłości w toku myśli, której często brak wywodom mędrca biblijnego. Zdaje mi się jednak, że duch całości nie ucierpiał na tem.

Zaiste! niniejsze rozdziały księgi Kohelet powinniby czytać wszyscy pesymiści dzisiejsi, którzy sądzą, że zwątpienie ich jest czemś nowem, jakimś wyjątkowym i dziwnym objawem „końca wieku“.... Pierwszy pesymista, o którym wieść nas doszła, potężny i mądry król Salomon, wypowiedział na swój sposób i w krótkich słowach wszystkie te zwątpienia i rozdźwieki, które później tłoczyły piersi filozofów, — od „ciemnego mędrca z Efezu“ począwszy, a na Schopenhauerze, Hartmannie i Nieztschem, skończywszy. A blisko już temu trzy tysięce lat! Nihil novum sub sole!...

— T... to ja pomogę — powiada i chce naprawdę pomódz.

Uderzyła go wachlarzem po palcach, a on porywa ci ją wpół, przypiera do kąta i zaczyna całować. Ona zaś t... tylko chichocze i niby to się broni. Dopieroż jak ja sobie nie chrząknę, nie chrząknę z pomiędzy paltotów po ludzku!... Mówię ci, jakby piorun trzasł t... tak ich z ubieralni wysadziło. Ho, ho, znam ja go!... to wesoły sobie ptaszek! On potrafi w trzech naraz się kochać i wszystkie trzy jednego dnia uszczęśliwi, tyle ma w sercu ognia... Ja ci mówię Franek, nie bądź ciarachem i kuj żelazo póki czas. Ot, patrzaj, przysiadł się do twojej panny Loli... Dalibóg, on ci chapnie pannę i dwa domy i warsztat i szczęście z przed nosa. A doprawdy, że nic a nic nie będę cię żałował, bo sam sobie jesteś winien... No, przypatrz się tylko, jak oni z sobą rozmawiają.

W tej chwili odesłała pani Marcysia Lolę do Szelągowej, a sama przysiadła się do Dynieckiego. Łasiecki spostrzegłszy to, zauważył znowu:

— Aha, przysiadła się druga. Zaczekaj tylko trochę, a obaczysz, że i tej w mig głowę zawróci. On mężatki woli n... nawet niż panny, sam to powiada... a p... pani Marcysia nie chce być jeszcze babką w teatrze.

Oblicze Smolarza w miarę uwag Łasieckiego zasępiło się. Wcisnął się jeszcze więcej w kąt, złożył ręce na krzyż i przestał patrzeć na ludzi.

Tymczasem pan Storch usiadł do fortepianu i zagrał skocznego mazura. Wnet potworzyły się pary i jak kto umiał tak czynem cześć oddawać począł zacnej patronce Terpsychorze. Niektórzy z mężczyzn, z Józefem Ranieckim na czele, walili obcasami w podłogę, trzymając się reguły, że im więcej znaków będzie w posadzce, tem skoczniejszy mazur.... niektórzy zgubiwszy raz takt, próżne czynili wysiłki, by się napowrót dostać do utraconego raju, inni znowu atakowali zabawnie jedną i tą samą nogą przestrzeń lub poprzedzającą parę, wlokąc drugą w rezerwie i wiele tam jeszcze było innych ulepszeń mazurowego kroku, lecz... mój Boże, któż o to pytał?... kto się tem martwił?

Dyniecki, prowadzący tańce, sam tańczył świetnie, to też oczy obecnych połączone z nim nierozerwalnym zda się promieniem, ścigają go bez ustanku; na innych nie zważano.

Dokoła sali siedząc na krzesłach, ławkach, zaścielonych dywanami i na kanapach kobiety starsze i mężczyźni, przytrzymując w objęciach lub też za ubrania małą gawiedź, aby niewczesnem wmięszaniem się w grono tańczących, nie naraziła ich na upadek a nóg własnych na rozmiażdżenie podczas skocznego hołupca.

Raniecki, nie usuwając się od towarzyskiego obowiązku, dzierży na kolanie sześcioletnią Zosię, córeczkę Wywrotów. Oczy śmieją mu się rozkosznie, jedną nogą wybija takt na podłodze, a grube palce wygrywają w ślad za panem Storchem hołupce po sukience dziewczątka. Taniec bardzo go podnieca, omal sam nie podskoczy do pani Szelągowej lub innej jakiej poważniejszej niewiasty z zaproszeniem do mazura. Wstrzymuje się jednak i tylko lekkiem poruszeniem łokcia od siebie, przywołuje uwagę sąsiada Szeląga:

— Ten ci dopiero zawija!... niech go drzwi ścisną — powiada, wskazując nosem na Dynieckiego, a po chwili dodaje — Ale i mój Józef, panie dobrodziejaszku także nie od macochy, co?... prawda?... ha?...

On i Łasiecki należą do tych istot szczęśliwych, którym się nigdy usta nie zamykają, a gdy się kiedy wydarzy, że się obaj przypadkiem zejdą razem, wówczas mówią równocześnie, nie słuchając jeden drugiego.

Dziś niepodobna aby to nastąpiło, gdyż Łasiecki puścił się wraz z innymi w tany i hula bez pamięci.

Skończył się mazur, skończyła polka i kilka innych odbyło się jeszcze tańców, wśród których nikt z tańczących nie miał wytchnienia.

Dopiero przed kolacyą nastąpiła większa przerwa.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

3. Człowiek się rodzi, wzrasta, żyje, ginie,
W miejsce wymarłych nowe wstają ludy
Na nowe prace, boleści i trudy, —
A w zapomnieniu imię ich przeminie!

4. Nad ziemią wstaje jasna tarcza słońca,
Wznosi się świeci i na zachód dąży, —
Gaśnie, znów wschodzi i po niebie krąży
Drogą tą samą — i tak wciąż bez końca...

5. Wszystkie strumienie uchodzą do morza,
Lecz morze nigdy nie wykracza z brzegu,
Wody wracają, w wieczno-krężnym biegu
Płyną bez zmiany przez te same łoża.

6. Wiatr na południe z północy przelata
I znów na północ skrzydła swe przeważa;
Wszystko przemija i znów się powtarza,
A niewzruszone są podstawy świata!

7. Ażali człowiek wypowiedzieć zdoła
Nieprzeliczonych wszystkich rzeczy miana?
Ani mu słyszeć wszystkich moc jest dana,
Ani zobaczyć wszystko dookoła.

8. A wszakże wszystko, co było, znów wraca,
I co się stało, znowu dziać się będzie;
I tak bez końca pasmo dni się przędzie,
Ze starych — nowe.... Czemże ludzka praca?

9. Kedyż jest, ktoby dzieło życia swego
Mógł nazwać nowem? Wszystko co się dzieje,
Znały minionych już wieków kol je —
I nic pod słońcem tem nie ma nowego!

10. A pierwszych rzeczy pamięć już u ludzi
Zgasła i dawnych słów przebrzmiały dźwięki, —
A któż przypomni dzieła naszej ręki,
Kiedy pierś naszą w grobie śmierć wystudzi.

11. Przetoż ja, mędrzec, władca Jeruzalem,
Ja, kaznodzieja i król Izraela,
Widząc to wszystko lat strawiłem wiela
Na myślach łzami zaprawnych i żalem.

12. I rozmyśliłem w sercu mojem badać
I dowiadywać się o wszystkiem mądrze,
Zarodka prawdy w każdej rzeczy jądrze
Szukać, a cobym znalazł, w księgi składać.

13. Bo tę najgorsza dla tej ziemi syna
Bóg dał zabawkę, aby się nie bawił:
By na szukaniu mądrości czas trawił
I poznał w końcu — wszystko proch i glina!

14. I wszystko marność, marność nad marności,
I wszystko próżne utrapienie ducha!
Głupi rad mędrca nie łacno posłucha,
Ni się przewrotny odwieść da od złości!

15. Myślałem: Otom wielki na tej ziemi,
A mądrość moja w Izraelu sławna,
Ni jej dorówna jaka wiedza dawna,
Ni się powtórzy między potomnemi!

16. Poznałem rzeczy, które są pod słońcem,
Poznałem mądrość, głupstwo, cnotę, błędy;
A oto przyznam, iż marność jest wszędy,
Marność i boleść wszystkich rzeczy końcem!

17. A to wam głos mój na wsze czasy wieści,
Że udręczeniem jest rozumu pycha,
A gorycz na dnie mądrości kielicha:
Kto wiedzę mnoży, przyczynia boleści!

*

18. Więc rzekłem sercu; szalej serce moje!
Zażywaj dobra i zaznaj rozkoszy,
Niech myśl posępną brzęk pucharów płoszy,
Smutek niech z czoła scałują dziewoje!

19. Ale poznałem, że i to jest marność,
Śmiech mi szyderstwem wydał się i grzechem, —
A więc rozkoszą wzgardziłem i śmiechem,
I znów do myśli mych wróciła czarność..,

20. Rzekłem rozkoszy: Czemu zwodzisz darmo?
Jałowa jesteś, niesyta i pusta!
I powściągnąłem od wina me usta,
A łzy wciąż były mą codzienną karmą...

21. I znowum pytał, kędy mądrość mieszka?
I czem się różni rozum od głupoty?
I jakim czynom nadać miano cnoty?
I jaka wiedzie, gdzie, do szczęścia ścieżka?

22. Czyż skarby moje i moja potęga
Zadowolenia dla serca nie dadzą?
Toż mocny jestem, pod moją władzą
Mam lud i złoto z krańców widnokręga!

23. Począłem tedy gromadzić dostatki
Rozwielmożniłem wszystkie dzieła moje,
Stawiałem domy, a złote podwoje
I strop z cedrowych belek dałem gładki.

24. W koło rozkoszne sadziłem ogrody,
Winnice moje umaiły wzgórza,
A woda cystern rosi ich podnóża,
A do cysterny setne ciągną trzody!

25. A w domu moim wezgłowia z purpury,
A stu lutnistów w struny cytar dźwięczy,
A sto służebnic przy mem łożu klęczy —
Wszystkich ziem świata najpiękniejsze córy!

26. Okręty moje, jak stado żórawi,
Ciągną ze złotem przez morskie głębiny —
A dziesięć krain zsyła mi daniny,
A dziesięć ludów mądrość moją sławi!

27. I nie broniłem oczom mym wesela,
Anim postawił sercu jakiej miedzy,
A tom za dział swój miał z bogactw i wiedzy
Sławny po ziemi, ja król Izraela!

28. Lecz kiedym spojrzał wesołem obliczem
Na bogactw moich niezliczone krocie,
Na dzieła w trudzie zdziałane i pocie,
Poznałem: wszystko marnością i niczem!

29. Wszak mija wszystko pod słońcem jak mara,
I nie trwa wiecznie nic, co zdziałał człowiek;
Więc po co trudem spędza sen z swych powiek,
Na co buduje i o co się stara?

30. Próżność człowieczych zabiegów poznawszy,
Poszedłem światła szukać i rozumu,
Patrzeć, czem mędrzec od szaleńców tłumu
Różny i w czem jest żywot nań łaskawszy?

31. I zobaczyłem mędrca i głupiego —
I wiem: jak różna od nocy jaśń dzienna,
Tako jest mądrość od głupstwa odmienna;
Wszelakoż jeden koniec jest wszystkiego...

32. I rzekłem w sercu: jeśli będzie jedna
Śmierć dla głupiego i mędrca pospołem,
Obaj są równo prochem i popiołem —
I nic mi mądrość na ziemi nie zjedna — —

33. Wszystkich się ludzi w proch obrócą szczątki,
Wszystkich zarówno skryje zapomnienie,
Ani ich wspomni przyszłe pokolenie,
Ani zostaną w czasie ich pamiątki...

34. Więc lubom lata, szukając mądrości,
Strawił, nic nie mam, — pocilem się próżno—
A śmierć mi jedna nie zostanie dłużną;
Więc i to marność, jak inne marności!

35. Przeto obmierzły mi już dni żywota,
Gdy wszystko złem jest i wszystko boleścią,
A utrapienie ducha całą treścią
Rzeczy pod słońcem — i wieczna zgryzota!

36. Wstrętne mi pracy stały się zdobycze,
Jąłem się brzydzić dziełem mojej ręki,
Wszystkiem bogactwem, owocem mej męki —
I odwróciłem odeń swe oblicze...

37. I odmówiło serce moje trudu,
I odmówiła ręka ma pracować,
Bo nie wiem komu mam te skarby chować,
Na jakie czas, dla jakiego ludu?

38. Mamci dziedzica zostawić po sobie,
O którym nie wiem, zali nie roztrwoni
Dobytków moich i pracy mych dłoni,
Którą zdziałałem w mego życia dobie.

39. A któż mi marność gdzie większą wymyśli!
Człowiek przez wszystkie dni swego żywota
Pracuje, składa, dręczy się, kłopota,
By trwonić mieli co dziedzice przyszli!

40. I to nieszczęście! Na cóż mi więc praca,
Co mi ze złota, wiedzy i zasobu?
Wszakże nie wezmę z sobą nic do grobu,
Gdy śmierć zawita, co wszystko wywraca!

41. I gdzież pod słońcem pożytek człowieka!
Pełne dni jego boleści i znoju,
Ani śpiąc w nocy zaznaje pokoju,
Ni wie, pracując, co go jutro czeka!

42. Żali nie lepiej pić i jeść bez troski,
Żali nie lepiej wypróżniać puhary
Na łonie dziewic, przy dźwiękach cytary,
W pląsach i śmiechu? A toć jest dar boski!

43. Dał Bóg wesele temu, kto go słucha,
Dał szkarłat, bisior, i jadło i trunek, —
A głupcom jedno ból dał i frasunek, — —
Lecz i tam marność a strapienie ducha!...

*

44. Wszystkiemu czas jest pod słońcem i pora,
Wszystko na świecie krąży bez ustanku
I wszystko mija! Jestci czas poranku,
I czas południa jest i czas wieczora...

45. Jest czas początku i czas końca rzeczy,
Jest czas zasiewu i jest czas zbierania,
Czas pląsów, śmiechu, jest i czas płakania, —
A cóż ma nad to z prac swych syn człowieczy?

46. A wszystko dobrem wyszło z ręki bożej,
Lecz niedostępne dla tej ziemi syna
Ścieżki poznania, bo on proch i glina,
I źle mu było — i jest mu wciąż gorzej!

47. Darmo by myślą wzlecieć chciał do nieba
I darmo poznać odwieczne wyroki:
Dziedzictwem jego znikomość i mroki —
I zawsze boleć mu i tęsknić trzeba!

48. Niechaj się zatem nie zrywa do lotu,
Niech nic nie szuka, bo nie nie odkryje, —
Niech się weseli jedno, je a pije,
Boć to jest jego — okrom łez i potu!...

49. Wszystko ma drogi niewzruszone, wieczne,
A człek nie zdoła zmienić ich porządku;
To jest i będzie, co było z początku,
A co Bóg zechce, wszystko jest konieczne.

50. Gdym podniósł oczy, obaczyłem wszędzie
Na miejscu sądu niezbożność i zdradę,
W miejscu prawości podłość i szkaradę —
Wszelakoż wszystkim rzeczom koniec będzie.

51. Dla wszystkich przyjdzie czas sądu i śmierci;
Człek sprawiedliwy, jako i niezbożny,
Pomrą zarówno w dzień on wszystkim trwożny—
A czerw ich kości spróchniałe przewierci...

52. A Bóg dopuścił marność na tę ziemię
I zdeptał synów Adamowych pychę,
Aby poznali jak ich życie liche,
I że bydlętom równe ludzkie plemię!

53. Bo cóż ma człowiek więcej jak bydlęta?
Równy obojga stan jest i skończenie
I życie równe, równy los i tchnienie,
Nieświadomości wiecznej równe pęta!

54. Wszystko jest marność! — i wszelakie ciało,
Człowiek i bydlę, drogami jednemi
Na jedno miejsce muszą iść — do ziemi;
W proch się obraca, co z prochu powstało!

55. A któż mi powie zali ma co więcej
Syn Adamowy — i gdy śmierć rozkrusza
Ciało, wstępuje w górę jego dusza,
A w dole miejsce jest duszy bydlęcej?

56. Doczesne wszystko i wszystko jest marne,
Rozkosz nie syci, praca prożno trudzi,
I nieświadomość klątwą wszystkich ludzi —
A któż odgadnie, czem jutro ciężarne?

*

57. Widziałem pychę, zbrodnie i potwarze,
Łzy uciśnionych, mrących bez pomocy,
I żądnych światła pogrążonych w nocy,
I splugawione widziałem ołtarze!

58. A żaden nie wstał cierpiących obrońca,
Ani kto pomścił shańbione świątynie,
Żyje bezbożny, sprawiedliwy ginie,
A równo obu świeci tarcza słońca!

59. Więc sprawiedliwość pustem słowem jedno,
A łez rozlanych w górze nikt nie liczy;
Łańcuchem cierpień ten żywot pątniczy —
A tam przed nami — ciemności bezedno!

60. Przeto — iż boleść ziemi syna chlebem —
Więcej umarłe, niźli żywe chwalę,
A najszczęśliwszy niezrodzony wcale,
Co jeszcze złego nie widział pod niebem!

Jerzy Żuławski.

A jednak — — wielka jest różnica między zwątpieniem ludzi dawnych, a wątpieniem dni dzisiejszych:

Dawniej się trzeba było zużyć, przeżyć,
By przestać kochać, podziwiać i wierzyć;
Dziś — pierwsze nasze myśli są zwątpieniem,
Nudą, szyderstwem, wstrętem i przeczeniem...

powiada Kazimierz Tetmajer najsilniej może i najszczerzej czujący z naszych młodych poetów polskich.

I jeszcze jedno... Król Salomon zwątpił o wszystkiem i wszędzie zło znalazł, — nie zwątpił jednak o samym sobie. Nad padołem łez, płaczu, marności i nędzy duch jego unosił się jak orzeł — i czuł, że jest wyższy, silniejszy, nad to, czem gardził i nad czem się litował. A dziś?... Dziś wątpimy przedewszystkiem o samych sobie... Widzimy nieraz, że świat jest piękny, że nie wszystko na nim złem jest i marnością, ale — czujemy równocześnie swą własną niemoc, swą marność, która, jak rak na dnie własnej naszej duszy zagnieżdżona, toczy nam serca i mózgi...

Jak do pozazdroszczenia szczęśliwszym był król Salomon!

„Dwie są bowiem melancholie, jedna jest z mocy, druga ze słabości; pierwsza jest skrzydłami ludzi wysokich, druga kamieniem ludzi topiących się.“

Nasza melancholia — zdaje się — jest... tą drugą... (Przypisek autora.)

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Kronika Wiedeńska.

(Namiestnik czeski a Młodoczesi. — 463 Wychodźców do Brazylii. — Wieczory mazurowe. — Nowa premiera w Carl-Theater i Zimajerowa).

6. stycznia 1896.

Wewszystkich krajach koronnych Austryi odbywają się teraz sejmy krajowe. Gorące debaty trwają już od kilku dni w Czechach, gdzie urządza się ze strony młodoczeskich posłów formalna walka przeciwko Namiestnikowi hr. Thunowi. Chwycił i on „żelazną ręką“ za rządy w Pradze, ale Czesi nie chcą na to pozwolić. Hrabia Thun, inspirowany przez Prezydenta ministrów Badeniego, chciał porobić ze swojej strony pewne ustępstwa, ale ustępstwa te zostały odrzucone i z całą konsekwencyą stawia się żądanie: dymisya Namiestnika. Jest to w każdym razie zawiść osobista do osoby hr. Thuna, ale zawiść ta tworzy kwestyę austryacką. Dla hr. Badeniego wyłania się z tego następująca kwestya: Jeżeli zechce zatrzymać hr. Thuna pomimo opozycyi w Sejmie, to postąpi wbrew swoich układów z partyą umiarkowaną Czech i straci widoki na przeprowadzenie ugody Czechów z Niemcami. Jeżeli zaś zezwoli na jego upadek, w takim razie straci na opinii „człowieka który prowadzi“, a jakim być zamierzał. Hrabia Thun upiera się przy stanowisku namiestnika Czech nietyle z ochoty do urzędowania ile z moralnego przymusu, jako przywódzca stronnictwa konserwatywnego i feudalnej szlachty. Jest on pewnego rodzaju t r a g i c z n y m c h a r a k t e r e m, ale zapomina o tem, że losem takich charakterów bywa zawsze upadek.

Poseł Rutowski narobił wiele hałasu w „Kole polskiem“ emigracyą chłopów galicyjskich do Brazylii, i podejrzywał dra. Kłobukowskiego o rozmaite dwuznaczne sprawy. Spostrzegłszy, że za daleko zaszedł, cofnął się i po części to, co mówił, odwołał w artykułach o gorączce brazylijskiej, ogłoszonych w „Przeglądzie“. Były one doskonale i fachowo napisane, ale nic nowego nie wypowiadały, odwołując się do opieki kraju i państwa nad ludem uciekającym przed śmiercią głodową. W parlamencie postawiono wnioski o obostrzenie przepisów w sprawie emigracyi, a stawiali je dr. Rutowski, hr. Piniński, Lewicki, Wielowiejski i ks. Chotkowski. Wszystko to nie zatrzymuje jednak dalszego wyjazdu chłopów, a przedewszystkiem nie daje im jeść w kraju. Przeciwnie, wystąpieniem swojem spowodował dr. Rutowski rozwiązanie stowarzyszenia Św. Rafała, i teraz jedzie chłop bez najmniejszej dyrektywy i opieki, a w drodze do Wiednia już jest przez ajentów tak oskubany, że dostaje się do Brazylii jako b i a ł y n i e w o l n i k. Ajenci każą sobie płacić „Schiffskarty“ pomimo, że kart tych udziela darmo rząd brazylijski. Wiele g a d a ć i psuć umiemy, ale konsekwentnie poratować swoich nie chcemy. Dowodem tego ponowny transport emigrantów w liczbie 463, którzy w Tarnopolu pod koła pociągu rzucić się chcieli, kiedy im starosta nie pozwolił na wyjazd. Dopiero wdanie się b. ministra Jaworskiego położyło koniec tej tragedyi i emigranci w tych dniach przyjechali do Wiednia. Czekają tu na dalszy transport żywego towaru, a tymczasem snują się polscy wychodźcy jak mary, na pół omdlali, koło dworca kolei południowej, gdzie o ś m domów emigracyjnych rozbiło swoje namioty. Kiedyż, Boże mój, chłop polski i rusiński przestanie być uważanym przez swoich posłów za bydło?!

W Wiedniu karnawał się już rozpoczął na dobre. Towarzystwa polskie „Strzecha“ i „Biblioteka polska“ krzątają się koło tańców i pikników. „Komitet wieczorów mazurowych“ również rozesłał zaproszenia, zredagowane w tym roky wreszcie p o p o l s k u. Uważam jednak cenę wstępu stanowczo za wysoką: bilet 3 guldeny od osoby, — familijny 8 guld., na wszystkie trzy wieczory 20 guld. Narzekamy tak strasznie na biedę, a jak hulać, to zawsze potrafimy gdzieś te pieniądze wyszukać!

Teatr Karola, podniesiony wysoko przez dyrektora Jauera i najlepiej w obecnym sezonie zwiedzany przez publiczność, wystawił w tych dniach nową operetę angielską Gilberta z muzyką O. Carra p. t. „Gubernator“. Treść dość zabawna opowiada o złośliwym gubernatorze jakiejś tam wyspy, który z nudów różne figle wymyśla dla poczciwych mieszkańców; figle te naprawia i łagodzi szlachetny książe, przybyły incognito na wysepkę. Książe, uważany przez gubernatora za artystę dramatycznego, w końcu daje się poznać i degraduje gubernatora, który z jenerała zostaje prostym żołnierzem. Do tej treści dorobiono masę śpiewów i tańców szkockich, a doskonała gra artystów i znakomita reżyserya spowodowały entuzyastyczny aplaus publiczności. Z grających wysunęła się znowu na pierwszy plan Zimajerowa, która w charakterystycznej roli bogatej starszej panny jest wprost wyborną. Wskrzesiła ona na nowo te zalety, które już dawno, bo od śmierci Galmajerowej i ustąpienia ze sceny Finali, przeszły w zapomnienie albo w karykaturę. Pełna gracyi, swobody i pikanteryi w grze i śpiewie, ma nasza artystka powodzenie ogromne tak u publiczności jak i krytyki, podziwiającej jej talent i inteligencyę.

Mieszkający stale w Wiedniu rzeźbiarz L e w a n d o w s k i skończył naturalnej wielkości figurę p. t. „Ż n i w i a r k a“ i wysłał ją na konkurs rzeźbiarski do Warszawy. Figura ta bardzo naturalnie pojęta przedstawia młodą kobietę z okolic Krakowa przy żniwie. W prawej ręce trzyma ona sierp, a w lewej „garść“ pszenicy, którą dopiero co użęła. Studya do tej figury poczynił p. Lewandowski w lecie w Bronowicach pod Krakowem. Figura jest pełna życia i realizmu, nie wpada przecież w trywialną przesadę.

Xi.

Listy z Belgii.

I.

(*Nowy uniwersytet*).

Od dwóch lat funkcyonuje w Brukseli Instytucya, która ze wszech miar zasługuje na obszerniejszą wzmiankę niż ta, jaką nam pozwalają skreślić szczupłe ramy niniejszej korespondencyi: mówimy o Nowym Uniwersytecie brukselskim i przyłączonym do niego Instytucie wyższych studyów (Institut des hautes Etudes). Przypomnijmy okoliczności jakie towarzyszyły założeniu tego dzielnego i sympatycznego zakładu. Od lat 60 istniał w Brukseli stary uniwersytet t. zw. „Uniwersité libre“ założony przez Verhoegen'a, który w dziele swem widzieć chciał przybytek nauki niezależnej z jaknajwiększem zastosowaniem zasady wolnego badania (principe du libre examen). Przez parę dziesiątków lat Uniwersytet stary spełniał zadanie, zakreślone przez swego założyciela; powoli jednak czasy owe przeszły do tradycyi, a Uniwersytet, którego Rada administracyjna zmonopolizowaną została przez żywioły konserwatywne, zdoktryneryzowany został do gruntu. Taki stan rzeczy przygotowywał powoli coraz energiczniejsze objawy protestu ze strony bardziej niezależnych profesorów i studentów, które wyrodziły się w burzę w lutym 1894 r. Bezpośrednim powodem tej burzy było zawieszenie przez Radę administracyjną dla przyczyn, nie mających nic wspólnego z nauką, wykładu geografii porównawczej Elizeusza Reclus. Znaczna część studentów założyła protest przeciw temu barbarzyńskiemu rozkazowi; pomiędzy profesorami wielu stanęło po stronie studentów, a rektor uniwersytetu Hector Denis podał się do dymisyi, nie chcąc nadal stać na czele instytucyi. Po zakończeniu wypadków lutowych grono poważnych i niezależnych uczonych przedsięwzięło wykonanie dzieła, które ze względu na olbrzymie trudności wydawało się podówczas prawie niewykonalnem: szło o założenie nowej wszechnicy, która przyjmując dawne tradycye zgnuśniałego dziś starego uniwersytetu, miała być nieskalaną świątynią nauki, wzniesioną na wspaniałych fundamentach zasady wolności badania. W ciągu miesiąca zebrano przeszło 60 tysięcy franków i założono dwa, na początek, fakultety, prawny i filozoficzno-literacki, z bogatem i uczonem ciałem profesorskiem. Dziś do tych dwóch wydziałów zdołano dodać fakultety medyczny oraz fiz.-matematyczny i przyrodniczy, szkołę politechniczną i Instytut wolny wyższych studyów! Skompletowany w ten sposób uniwersytet uzyskał dla wychowańców swoich wszystkie prawa, z których korzystają studenci innych uniwersytetów belgijskich, czyli tak ważny ze względów praktycznych przywilej na formowanie adwokatów, lekarzy, nauczycieli fizyki, matematyki i przyrody oraz inżynierów. Jakże różni się jednak nowy zakład od innych „Uniwersytetów“ belgijskich, które dziś śmiało nazwać można wyższemi szkołami profesjonalnemi. Oprócz wykładów, narzuconych przez regulaminy prawne, znajdzie tu młodzieniec szukający obok banalnego wykształcenia profesyonalnego — prawdziwej i niezależnej wiedzy, szereg wykładów, pozwalających mu zoryentować się jaśniej w całym obszarze wiedzy współczesnej, i jednocześnie wyspecyalizować się w pewnej ciaśniejszej gałęzi nauki, znajdzie je w przyłączonym do uniwersytetu „Institut des hautes Etudes“. Aby dać pojęcie o siłach profesorskich Nowego Uniwersytetu wystarczy nam zaznaczyć, że katedrę socyologii obejmuje Guillaume de Greef; katedrę encyklopedyi prawa i prawa cywilnego Edmund Piccard: katedrę geografii Elisée Reclus; pedagogię wykłada Paul Robin, b. dyrektor zakładu dla sierót; kryminologię socyologiczną Enrico Ferri, prof. uniw. w Rzymie; historyę literatury Camille Lemonnier, Georges Ekhoud i wielu, wielu innych. Ciało profesorskie przechodzi dziś liczbę stu uczonych — fakt tem bardziej godny zaznaczenia, że szczupłe fundusze instytucyi nie pozwalają jej na odpowiednie wynagradzanie tych ludzi, ofiarujących na usługi studentów swą wiedzę; większość profesorów wykłada zupełnie bezinteresownie.

Szybkość z jaką rozwija się Nowy Uniwersytet brukselski udowadnia niezbicie jego żywotność i prawo bytu i sprawdza w zupełności słowa, jakie wypowiedział Edmund Piccard w artykule umieszczonym niedawno w „Société Nouvelle“: „Nowy uniwersytet brukselski jest wytworem potrzeb współczesnej ewolucyi społecznej“.

M. H.

Z estrady i sceny.

(Wieczór Fredrowski).

Zdawało mi się, że wieczór Fredrowski stanie się obrazem talentu, przekazanego prawem dziedziczności z ojca na syna i wnu-

ka. Przypuszczenie okazało się mylnem — publiczność spoglądała na obraz stopniowego bankructwa talentu, — na miljonera, który w drugiem pokoleniu przedstawił się jeszcze jako zamożny obywatel, w trzeciem natomiast zstąpił w niziny, gdzie godłem jest pusta sakiewka. Fredro-wnuk nie dorósł do kostek ojca, nie dorósł nawet do kolan syna, lubo po kilku udatnych wierszykach, zaprezentowanych publiczności, zdawać się mogło, że iskra talentu nie zgasła w trzeciem pokoleniu. Jako liryk dowiódł Fredro-wnuk pewnej zręczności artystycznej, jako komedyopisarz nie zdradził żadnych zdolności. Jego utwór jednoaktowy, zaopatrzony interesującym tytułem „Stowarzyszenie kobiet wyższych“, jest produktem z góry powziętej tezy satyrycznej, skierowanej przeciw naukowej emancypacyi rodzaju żeńskiego. Przyznaję tendencyi i satyrze prawo obywatelstwa na scenie, ale teatralny Juvenal bez poczucia prawdy i sprawiedliwości, bez dowcipu i zmysłu scenicznego niesmak tylko zbudzi. Utwór hr. Fredry-wnuka nie jest satyrą, lecz pamfletem najniższego gatunku. *Furor satiricus* wykrzywił do tego stopnia zmysł obserwacyi u początkującego autora, że nawet typy spotykane na kartach „Fliegende Blätter“ odznaczają się mniej karykaturalną charakterystyką. Gdybym był najzacieętszym wrogiem emancypacyi kobiecej, opuszczałbym teatr z uczuciem żalu i rozczarowania, bo wstydziłbym się przeciwników moich, że tak niesmacznie walczy mój obóz w obronie swoich sztandarów. I rumieniłbym się zaiste, gdyby emancypantka jaka spojrzała mi w oczy, pytając z ironicznym uśmiechem: „Gdzież to wnuk Fredro zbierał wzory swoje? Gdzież widział chociaż dalekie podobizny swoich kobiet-adwokatów i lekarzy? Gdzież obserwował operetkowe stosunki, których obraz rzucił w „Stowarzyszeniu“ na scenę? Jakże słabym być musi arsenał argumentów waszych, jeżeli fajerwerkami pamfletu przeciw nam walczycie?!“

A gdybyż przynajmniej humor i zręczność sceniczna były ekwiwalentem krzyczącego fałszu. Ale dowcip hr. Fredry-wnuka jest płaski, budowa sztuki zlepkiem rozlicznych kawałów i kawałków, węzeł intrygi źle zadzierzgnięty, finałowy tryumf autorki 365 obiaców nad idyotycznym lekarzem i adwokatem w spódnicy mdły i banalny. Taka napaść nie ośmiesza emancypacyi, ośmiesza tylko autora. Gdy Fredro-syn rozpoczął karyerę sceniczną nikłym drobiazgiem p. t. „Przed śniadaniem“, krytyka przyjęła utwór oziębłe, lecz była bądź co bądź w tym utworze jakaś drobna iskierka, która później w „Drzemce pana Prospera“ i „Consilium facultatis“ jasnym strzeliła płomieniem. U Fredry-wnuka naprożno szukam nadziei, że z czasem wstąpi w ślady dziada i ojca.

Wykonanie jednoaktowej premiery na scenie naszej nawet skromnym wymaganiom zadość uczynić nie mogło. Sztuka toczyła się jak ciężki wóz po małomiejskim bruku. Dyalog urywał się i haczył, a były chwile, w których artyści zdradzali widoczny ambaras, co począć z swojemi figurami. Na wyszczególnienie zasługuje jedynie gra panny Vernon.

Korzystniej natomiast przedstawiały się dwa inne utwory literackiej rodziny: Znakomicie zbudowane i mistrzowskie w charakterystyce „Dwie blizny“ Fredry-ojca i na nieprawdopodobnem założeniu oparta, ale nie pozbawiona życia i humoru „Posażna jedynaczka“ Fredry-syna. Znam jednak wśród jednoaktowych komedyi drugiego pokolenia Fredrów niejeden utwór, przewyższający znacznie pod względem scenicznej wartości „Posażną jedynaczkę“.

Z artystów Fredrowskiego wieczoru odznaczył się p. Królikowski wyrazistością charakterystyki i niepospolitym humorem w roli litewskiego szlachcica, a w „Dwóch bliznach“ zjednała sobie zasłużone oklaski wojskowa sprężystość i stylowość pana Knapczyńskiego w roli kapitana, oraz dobrze pojęta i odczuta, choć gdzieniegdzie chropowata gra p. Grabowieckiego w roli wywiedzionego w pole dyplomaty. W „Posażnej jedynaczce“ rozwinęła pani Majdrowiczowa wiele sympatycznej, rzadko u tej artystki spotykanej filuteryi; pani Jakubowska była świeżą jak kwiat wiosenny, swobodną, naturalną amazonką z leśniczówki. *W. R.*

Na Wyłomie.

(Jeszcze o jubileuszu p. Dobrowolskiego. — Powitanie Górnoszlązaka. — Trzeźwość czy romantyzm?)

Że sala Bazarowa w dzień jubileuszu p. Dobrowolskiego wywierała wrażenie wielkiej cukrowni, to nikogo, najzacietszego nawet wroga, dziwić nie powinno. Gdy dwoje staruszków obchodzi złote wesele, to przecież żaden z mówców jubileuszowych nie wygłosi takiej oracyi:

„Przezacna paro! Przez lat 50 kłóciłaś się z sobą aż miło! Ty zacny jubilacie lubiłeś nocne hulanki, ty matrono jubileuszowo zamykałaś drzwi szczelnie, gdy przyjaciel domu wchodził do mieszkania. Ponieważ jednak mimo wszelkich „ale“ wychowałaś dzieci wzorowo, ponieważ dom wasz stanowił ognisko życia towarzyskiego, ponieważ sprawie publicznej składaliście nieraz ofiary z trudów i mienia, zatem dziś w dzień złotego wesela my puchar na cześć waszą spełniamy.“

Przemówienie takie byłoby może prawdziwem i sprawiedliwem, lecz na festynie złotego wesela to mucha w rosole.

W samej istocie obchodów jubileuszowych tkwi pewna jednostronność. Uroczystość taka nie jest chwilą rzeczowego obrachunku z wszystkich plusów i minusów ukoronowanej złotym lub srebrnym wieńcem jednostki, — lecz jedynie ostentacyjnem sumowaniem zalet jubilata. Z chwilą, gdy przestępujemy próg sali jubileuszowej, zostawiamy za drzwiami wraz z laską i paletotem objektywny krytycyzm, i spełniając toast uroczysty, pamiętamy jedynie o tem, co mianem zasługi w długim żywocie bohatera dnia nazwać się godzi.

Więc cukrowe potoki płynące w ubiegłą niedzielę na sali Bazarowej nie zdziwiły mnie wcale. Można było bezstronnie rozpatrywać wady i zalety p. Dobrowolskiego przed jubileuszem, można było w prasie pokusić się o ścisły rachunek z jego czynów, zasobów umysłowych i właściwości moralnych, można wreszcie każdej chwili powołać przed sąd publiczny publicznego człowieka, ale tam na estradzie należało tylko mieć cukier na języku i tylko cukrem karmić jubilata.

Kto na jednostronność zdobyć się nie umiał, kto nie był w stanie wziąć chwilowego rozbratu z objektywnym krytycyzmem, kto wreszcie nie dzielił zapatrywań, że cytra dodatnich czynów i wpływów jubilata, przeważa cyfrę ujemnych, ten bądź to wcale progu sali Bazarowej nie przestąpił, bądź też zasiadł wśród publiczności jako prosty widz i słuchacz. Byli nawet tacy, którzy uznali potrzebę publicznego oświadczenia, że w żadnej formie w jubileuszu udziału nie brali, gdy jedno z pism niemieckich mylne w tym względzie podało wiadomości. Znalazło się także pewne pismo na poznańskim bruku, które niegrzeczną ręką sięgnęło aż do antenatów (!) jubilata, by zdyskredytować Bazarową uroczystość.

Wyrzekając się oceny takiego postępowania, pragnąłbym tylko zwrócić uwagę na jeden moment jubileuszowej uroczystości — moment charakterystyczny, nie pozbawiony głębszego znaczenia.

Na estradę wstępowali rozmaici mówcy, niektórzy z nich zaliczają się do luminarzy społeczeństwa, niektórzy przemawiali doskonale pod względem formy i treści, — publiczność jednak skąpiła oklasków. Nagle wśród frakowych przedstawicieli najrozmaitszych korporacyi zjawia się skromny człowieczek w skromnym surducie i zalęknionem okiem spogląda na ten świat elegancki, otaczający fotel jubilata. Gospodarz sali prezentuje go widzom: To Górnoszlązak! Zrywa się burza oklasków, z sekundy na sekundę rośnie entuzyazm, słychać okrzyki radości, — na sali robi się ciepło. Wreszcie zapanowała cisza. Górnoszlazak zaczyna mówić. Mówi że przychodzi jak brat do braci, że niesie hołd od ludu górnoszląskiego, przebudzonego magicznem słowem „Ojczyzna“, że pragnie pokłon oddać temu, który na odrodzenie uśpionego ludu przychylnem spoglądał okiem i dużo serca okazał synom zmartwychwstającej ziemi w czasie wystawy poznańskiej. Przybył z Opola, jako wysłaniec towarzystwa polsko-katolickiego, lecz nie jeden związek, jedno miasto, jeden powiat mówi przez niego, — nie, to Szląsk manifestuje, że polskie serce bije w piersiach ludu i umie ocenić zasługi położone koło wspólnej ojczyzny. —

Takie słowa płynęły z ust Górnoszlązaka, a my słuchaliśmy tych prostych, w strojne okresy nie ułożonych wyrazów jak cudownej pieśni. Było to jakieś grzmiące „Alleluja“, pieśń wiosny, pieśń zmartwychwstania. Zdaje mi się, że z takiemi uczuciami wita matka dziecię ukochane, gdy po długim, do śmierci podobnym letargu, budzi się i ręce ku niej wyciąga.

A takie powitanie należało się ludowi Górnego Szląska, bo zawiniliśmy w ostatnich latach nie mało w obec tej ziemi. Nie przypominam tu owego głośnego interwiewu z redaktorem „Börsen-Couriera“, gdzie Poznań wyparł się Szląska, ale prezentuję tylko dzieje pamiętnej wizyty z Bytomia, Opola i Raciborza, złożonej stolicy Księstwa w sezonie wystawy. Poruszono jakieś tajne sprężyny i w imię „wyższej polityki“ zrobiło się dziwnie pusto w około gości naszych. Na sali Bazarowej jednak nie zdążono aplikować publiczności zimnych okładów i Szląsk ujrzał serce w wielkopolskich braciach. Taka chwila łączy i wiąże, — polityka lojalnej abdykacyi odpycha, a dla nas poznańczyków gotuje rządową figę, jak wszystkie inne obiecanki, — „wielkanocne jajka“, okazujące się w rezultacie zbękiem.

Nie wierzę jednak, aby najwidoczniejsze pomyłki i zawody mogły wyleczyć lojalistów naszych. Dyplomacyę „ugody“ ochrzczono u nas mianem trzeźwej polityki, jak wogóle w najświeższych czasach „trzeźwością“ nazywa się wszystko, co stąpa po drodze kompromisów, każde silniejsze drgnienie uczuć narodowych stempluje godłem romantyzmu, każde żywsze „Jeszcze Polska nie zginęła“ i każdy silniejszy protest narodowy chrzci imieniem junakeryi politycznej. A przecież, kto z tą armią ugodowców naszych miewał dłuższe i częstsze rozprawy polityczne, ten musiał dostrzedz symptom trudny do pomieszczenia w pojęciowych ramach „trzeźwości“. Nie byli to po większej części praktyczni politycy, szukający ostrożnie nowego gruntu, lecz najzagorzalsi fanatycy ugody, oślepieni słońcem tronowem, hypnotyzowani wzorem galicyjskiej dyplomacyi. Cóż z tego, że fakt po fakcie zadawał kłam ich marzaniom, cóż z tego, że hr.

Stanisław Tarnowski oświadczył posłom naszym wyraźnie, — a było to w czasie sprowadzenia zwłok Mickiewicza na Wawel — że ślepe naśladownictwo Galicyi musi w naszych stosunkach wyrządzić krzywdę sprawie narodowej i skończyć się bankructwem, — oni rozwinęli żagle lojalizmu, — *Vogue la galère!* płyniemy do Berlina. Był to jakiś rodzaj egzaltacyi, — był to również intenzywny romantyzm z tą tylko różnicą, że dawniejszy nosił miano zasadniczego protestu, obecny zowie się oparciem tronu, trzeźwością, ugodą itp.

Opowiadał mi ktoś o egzystencyi pewnego marzyciela, który wierzył nieuchronnie, że Bismarck Polskę zbawi. Winszował mu zatem rok w rok urodzin, pisał nawet na cześć jego panegiryczne broszury, a gdy nastała era wielkiej kampanii żelaznego księcia przeciw narodowi naszemu, on przykładał palec do nosa i mówił: „Zobaczycie! to wszystko wyższa dyplomacya“ — lub: „On wykonuje tylko rozkazy innych. On m u s i, choć mu się serce krwawi“. Taka wiara chorobliwa była znamienną cechą całej farsy ugodowej na poznańskim gruncie. Praktyczny polityk bada, szuka, cofa się, awansuje — oni wierzyli, a ich zelotyzm tak był potężny, że miewali nawet widzenia i halucynacye słuchu. Ten zobaczył dobrotliwy uśmiech cesarski, tamten opowiadał cudowne rzeczy o uroczystych obietnicach rządowych, jednem słowem szli dalej i dalej w galopowem tempie jak ludzie dotknięci manią religijną gonią nieraz widma aniołów, słyszą kuszące wołania Chrystusa i giną na bagnach lub w głębinach jeziora.

Trzeźwość? W zastósowaniu do polityki wyraz ten oznacza taką dyplomacyę, w której pierwiastek rozumowy króluje nad porywami uczucia, która nie jest krępowaną żadnym z góry powziętym dogmatem politycznym, która wszystko dokładnie oblicza, transakcye gwarantuje ściśle po kupiecku i nie mogąc zdobyć milionów, kontentuje się dziesiątkami, z tym tylko warunkiem, aby zdobycz ta była rzeczywistym, nie pozornym zyskiem. U nas miano trzeźwości przywiązano do pewnej *zasady* politycznej, — trzeźwość identyfikowano z lojalizmem — kto nie wierzył w jutrznię łaski tronowej i nie uznawał bezwzględnego posłuszeństwa wobec życzeń rządowych, nawet z zaparciem narodowej godności, ten nie miał prawa zaliczać się do grona trzeźwych. I tak powstała u nas cała armia polityków, szczycących się tym tytułem, lubo nie zimny rozsądek lecz marzycielska wiara, nie ostrożny sceptycyzm lecz aprioryczny dogmat, nie handlowa ścisłość i przezorność, lecz kredyt lekkomyślny, nie dorobek narodowy, lecz straty materyalne i moralne były charakterystyczną cechą całej t. zw. akcyi ugodowej.

I niechaj nikt się nie łudzi, że prądy te dziś do umarłych zaliczyć można. Jeden i drugi trzeźwiejszy opuścił kadry lojalne, — większość jeszcze wierzy, jeszcze się łudzi, jeszcze wygląda „Wielkiejnocy“. Cóż, że nadzieje tylokrotnie zawiodły? Rzuć im słowo, że polityka ugodowa zbankrutowała, — oni odpowiedzą z uporem fanatyków: „Otwieramy handel powtórnie, a jutro... jutro... zobaczycie!“

Sulla.

KRONIKA LITERACKA

* **Tołstoj o kwestyi polskiej.** Hr. Tołstoj, uproszony przez jednego z literatów o napisanie wstępu do broszurki mającej wyjść po za granicami Rosyi pod tytułem „Ideały religijno-polityczne narodu polskiego“, uczynił zadość życzeniu, a w swem artykule potępia stanowczo i z najwyższem oburzeniem postępowanie władz rosyjskich z Polakami.

Artykuł ten, który ze względu na stanowisko autora w społeczeństwie rosyjskiem i w literaturze europejskiej ma wielką doniosłość moralną, podajemy poniżej w skróceniu.

„Te straszne gwałty, jakich się dopuszczają dzikie, głupie i okrutne władze rosyjskie nad wiarą i językiem Polaków, wystawione są jako dowód patryotycznej działalności. Lecz ja tego nie widzę. Dla tego, aby się na te gwałty oburzać i przeciwko nim ze wszech sił występować, nie trzeba być ani Polakiem, ani patryotą, lecz tylko chrześcianinem.

„W danym wypadku, ja naprzykład, nie będąc wcale Polakiem, gotów jestem iść w zawody z każdym Polakiem co do stopnia wstrętu i oburzenia na te głupie środki rosyjskich figur rządowych, jakich one używają przeciwko wierze i językowi Polaków; również gotów jestem iść w zawody co do chęci przedziwdziałania tym środkom i to nie dla tego, ażebym kochał katolicyzm więcej, jak inne wiary, lub język polski więcej, jak inne języki, lecz dla tego, że staram się być chrześcianinem“.

Kronika powszechna.

— **Z pracowni rzeźbiarzy polskich w Berlinie.** Władysław Marcinkowski kończy obecnie w Berlinie większych rozmiarów dzieło, przeznaczone do katedry gnieźnieńskiej. Są to 4 prawie naturalnej wielkości figury klęczące, przedstawiające typy polskie w strojach zastosowanych do epoki, z której pochodzi sarkofag św. Wojciecha — rycerza, mieszczanina, kapłana i chłopa. Figury te pomyślane są jako podstawa pod sarkofag ze szczątkami patrona katedry gnieźnieńskiej. Sarkofag będzie spoczywał na ramionach figur, które wraz z pierwszym wykonane będą w metalu i srebrzone. Figury rycerza i mieszczanina już zupełnie skończone i odlane w gipsie, dwie drugie figury już na dokończeniu. Znakomicie udało się artyście uchwycić typowość każdej postaci: a we wszystkich uderza wielka powaga. Całość na widzu robi niesłychanie podniosłe wrażenie, a już z tego, co obecnie jest wykończonem, przewidzieć łatwo, że dzieło Marcinkowskiego godne jest miejsca historycznego, w którem ma stanąć. Że i w szczegółach uderza nadzwyczajna staranność, — tego o rzeźbach Marcinkowskiego nie potrzeba dodawać.

Na jedno wszelako warto zwrócić przedewszystkiem uwagę; we figury swoje artysta umiał wlać duszę. Tak w ruchu rąk jak i w wyrazie twarzy znać dziwne przejęcie się i rozmodlenie. A mimo tego sharmonizowania wszystkich figur do jednego nastroju, — każda wyraża się indywidualnie, każda posiada sobie właściwe życie.

Oprócz tego Marcinkowski pracuje nad pomnikiem dla śp. ks. Kanteckiego, przeznaczonym do kościoła w Strzelnie. Pomnik będzie z kamienia. Skończone też już są 2 płaskorzeźby, które wykonane będą z marmuru, i to medalion portretowy byłego prezesa Koła Polskiego Wł. Taczanowskiego do kościoła w Mieszkowie i wielka płaskorzeźba portretowa z dwoma postaciami kobiecemi, jedną w siedzącej, drugą w stojącej postawie. Płaskorzeźba ta technicznie należy do najlepszych prac Marcinkowskiego, nie mówiąc o uchwyceniu porywającego czaru i dystynkcyi kobiet portretowanych. Ostatnią tę pracę artysta przeznacza na wielką wystawę berlińską.

Spostrzegliśmy także na sztalugach w pracowni dwie miniaturowe rzeźby: relief przedstawiający Chrystusa pośród dziatek, a z dwóch stron zakonnice, uczące i pielęgnujące chore dzieci, oraz grupę przedstawiającą biedną matkę z dwojgiem maleńkich. Artysta zapytany o przeznaczenie tych rzeźb z uśmiechem odparł: „To moje wolne chwile“. Łatwo się było domyślić, że te wolne chwile poświęcone były filantropii.

* * *

— **U Gurlitta** w Berlinie znajdują się 4 rzeźby p. Franciszka Flauma, ziomka naszego, (rodem z Poznania) który po dłuższych studyach w Paryżu osiadł na stałe w stolicy niemieckiej. Tytuły rzeźb są następujące: 1. Na skale, 2. Pokusa, 3. Tęsknota, 4. Ewa i Abel. Krytyka berlińska wydała nader pochlebną opinię o utworach rodaka naszego.

* * *

Wiadomości społeczne i polityczne. Sprawa transwalska stanowi w dalszym ciągu interesującą *question du jour.* Zaostrzył ją telegram cesarza Wilhelma, winszujący prezydentowi Krügerowi zwycieztwa nad angielskimi napastnikami. W Anglii wzburzenie rośnie z dnia na dzień. Najświeższe telegramy donoszą o mobilizowaniu armii lądowej i floty. Manifestacye przeciw Niemcom przybrały wielkie rozmiary. — Położenie Hiszpanów na Kubie pogarsza się bezustannie. Powstańcy odnoszą jedno zwycieztwo po drugiem. Marszałek Martinez Campos zamierza złożyć dowództwo. — Łagodny wyrok sądów niemieckich, wydany w sprawie potwornego barbarzyństwa, którem w Kamerunie popisywał się asesor Wehlau, spowodował ostrą krytykę wolnomyślnych czasopism niemieckich. Prokurator założył apelacyę. — Po długich konferencyach pomiędzy hr. Badenim a węgierskimi ministrami Banffym i Perczelem postanowiono sprawę Morskiego oddać pod uznanie sądu rozjemczego. Uchwała ta jest niepokojąca. Zależy wszystko od tego, komu oddany będzie sąd rozjemczy i jakie stanowisko wobec sądu zajmie rząd austryacki. — Hamb. Nachr. proponują ni mniej, ni więcej, tylko odebranie socyalistom prawa wyborczego. Coraz lepiej! — Petersburski dziennik „Swiet“ obstaje za utrzymaniem przy uniwersytecie warszawskim katedry literatury polskiej i proponuje nadto założenie katedr takich przy innych uniwersytetach rosyjskich. W motywach tej propozycyi ukazuje się pazur moskiewski. Autor oświadcza bowiem, że znajomość literatury polskiej nie jest potrzebną dla Polaków, lecz dla Rosyan, w celu pilnego badania wrogiego piśmiennictwa, mianowicie historycznego i politycznego.

* * *

Teatr i muzyka. W najbliższy czwartek 16 bm. odegranym będzie „T o w a r z y s z p a n c e r n y“, komedya w 3 aktach Michała Wołowskiego. Sztuka ta uzyskała w roku ubiegłym p i e r w s z ą n a g r o d ę na konkursie wydziału krajowego we Lwowie. Autor, znany literat i publicysta, a obecnie dyrektor teatru łódzkiego, pozwolił chwilowo, w skutek nieporozumień z dyrekcyą poznańską, tylko na j e d n o r a z o w e przedstawienie sztuki, i zapowiedział przyjazd swój na premierę do Poznania. Wyrażamy nadzieję, że publiczność przez wzgląd na utwór premjowany i zasłużonego około sceny naszej beneficyanta, wypełni teatr po same brzegi. — W czwartek ubiegły wznowiono na scenie poznańskiej starą komedyę Wiktoryna Sardou p. t. O d e t t a. Z artystów występujących zdobyli sobie gorące uznanie p. S k i r m u n t (beneficyant) oraz panna P . . s z k o w s k a i O g i ń s k a. — Władysław Mierzwiński wystąpi po dłuższej pauzie, spowodowanej nadwątlonem zdrowiem, na warszawskiej scenie. — W teatrze łódzkim ma być przedstawioną sztuka Daniela Zglińskiego p. t. M ś c i c i e l. — Karol Brzozowski napisał dramat „Joanna Neapolitańska“.

Odpowiedzi Redakcyi.

Pasek. Dziękujemy za wycinek, — ale dłuższej polemiki nie warto poświęcać Kuryerowej farsie, uzasadnionej nadomiar nieudolnie, iście po kwarcianersku, nie chcąc silniejszego użyć wyrazu. Katolicyzm a klerykalizm to dwa odmienne pojęcia, lecz interes Kuryera wymaga, aby oba słowa identyfikować i na podstawie takiego pomieszania teroryzować społeczeństwo. P e i n e p e r d u e! My dobrze czuwamy i drwimy sobie wraz z lepszą częścią społeczeństwa z trzaskających karmelków Kuryera Poznańskiego.

W. D. Niech pan się zgłosi do dyrekcyi teatru poznańskiego. My w tej sprawie pośredniczyć nie możemy. — 2) Wiersz nadesłany jest nacto osobistej natury, by w łamach „Przeglądu“ umieścić go można, posiada jednak ustępy prześliczne. Prosimy o dalsze współpracownictwo.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28.

Nr. 3. Poznań, niedziela 19-go stycznia 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: Piekary nr. 6.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi w Poznaniu **4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: Piekary 6. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer: w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.

Treść:

Szkoły ludowe w Rosyi.*)

I.

C'est en comparant le passé avec le présent, qu'on peut augurer de l'avenir.
Michelet.

W r. 1866 mianowany został hr. Dymitr Tołstoj ministrem oświaty ludowej, zatrzymując równocześnie urząd nadprokuratora św. synodu. Nowy minister przedstawił Aleksandrowi II opinie swoje o wykształceniu ludu, których najciekawszym ustępem, ogłoszonym w „Czasopiśmie ministerstwa oświaty ludowej“ (r. 1867, nr. 1) była argumentacya, od jakiej to klęski hr. Dymitr Tołstoj wybawił Rosyę, obalając projekt poprzednika swego Gołowina, dotyczący założenia seminaryi nauczycielskich. „Światły“ minister uznał specyalne szkoły dla nauczycieli ludowych nietylko za zbyteczne, lecz nawet za szkodliwe z powodu „grożącej im zarazy nihilistycznej“, natomiast uznano duchowieństwo, mianowicie kandydatów stanu duchownego i — zakrystyanów, za odpowiednich i przyrodzonych nauczycieli ludu.

O poziomie inteligencyi wśród rosyjskich popów świadczy referat jednego z „Błagoczynnych“ (proboszczów) jakaterynosławskiej gubernji, dotyczący pojawienia się sekty Sztundystów w jego parafii. W referacie tym czytamy, że „duchowni okoliczni, jako ludzie niewykształceni, wojny z sekciarzami prowadzić nie mogą,“ (str. 1380, nr. 87), lubo według tej samej relacyi „dwóch członków sekty zalicza się prawie do analfabetów, a reszta zupełnie.“ Wobec tego plany hr. Tołstoja oddające szkołę ludową w ręce popów i zakrystyanów — plany obecnie wznowione i wykonane przez Pobiedenescowa, — równały się zniszczeniu oświaty ludowej.

Prąd liberalizmu jednak, wiejący wonczas na wyżynach cesarstwa nie sprzyjał Tołstojowskim zakusom.

W roku 1869 urzędy prezesów w kolegiach szkolnych otrzymują marszałkowie szlachty, z wyraźną instrukcyą, by na etyczne wychowanie ludu baczną zwracali uwagę, a równocześnie powstają świeccy inspektorowie szkół ludowych, kontrolujący nauczycieli i kolegia. Oczywiście nowa maszynerya funkcyonuje słabo i nieprawidłowo. Liczba szkół się mnoży — ale brak sił nauczycielskich dotkliwie daje się we znaki. Na 9000 zakładów szkolnych przypada w r. 1879 tylko 60 inspektorów, a w r. 1880 skarży się komisya Czernigowa, że mnóstwo najróżniejszego gatunku urzędników miesza się do rządów szkolnych i paraliżuje do tego stopnia działalność pedagogów, że nauczyciele popychani to w tę, to w ową stronę, nie wiedzą ostatecznie, kogo słuchać i tłumnie ze szkół uciekają. Bądź co bądź jednak kierunek humanitarny przejawia się coraz enegiczniej i lubo w chwili przełomowej gra mnóstwo dysonansów i zamęt panuje ogólny, wychowanie ludu wkraczać poczyna na jaśniejsze tory.

Potem wstępuje na tron Alexander III. i sytuacya zmienia się natychmiast. Reakcyjne stronnictwo z Pobiedenoscewem na czele staje u celu, kończy się kokietowanie z liberalną opinją publiczną, dewizą staje się: Cerkiew i samowładztwo. W dniu 13. czerwca 1883 r. otrzymuje charakter parafialny szkół ludowych, zapoczątkowany przez hr. Dymitra Tołstoja, lecz unieruchomiony przez liberalizm Aleksandra II., sankcyę cesarską, a w r. 1893 święci Rosya uroczyście dziesięcioletni jubileusz zwycięstwa cerkwi w dziedzinie szkolnej: „Dziś mija lat dziesięć, — mówi Aleksander III. w reskrypcie wystosowanym przy tej sposobności do archireja Hermana — odkąd powołałem duchowieństwo do odnowienia przynależnej mu działalności oświecającej, — odkąd szkołę ludową w duchu prawosławnej wiary połączyłem z kościołem i parafią“. Słowa te rozbrzmiewały na urzędowych zebraniach, — z jakiem jednak uczuciem inteligencya rosyjska przyjęła królestwo popów w szkole ludowej, o tem świadczy list głośnego krytyka Belińskiego wystosowany do Gogola: „Duchowieństwo nasze — mówi Beliński — jest przedmiotem ogólnej pogardy rosyjskiego społeczeństwa. Większość naszych księży odznaczała się zawsze tylko brzuchem grubym, scholastyczną pedanteryą i dzikiem nieuctwem. Kościół prawosławny był zawsze podporą knuta i sługą despotyzmu“. To mówi znakomity pisarz rosyjski, — powaga w dziedzinie literatury i pedagogii. Aby jednak w całej jaskrawości uwydatnić charakter szkół parafialnych w Rosyi, przytoczymy tu słowa prawosławnego księdza Jana Fudla, który w konserwatywnem czasopiśmie „Russkoje Obosrenie“ (wrzesień 1894) tak charakteryzuje cel szkoły parafialnej: „Głównem zadaniem szkoły parafialnej jest czynny współudział dzieci w nabożeństwie i dla tego najważniejsze miejsce w planie otrzymał śpiew kościelny. Szkoła parafialna jest tylko częścią wielkiej całości noszącej miano: „Starania kościoła około zbawienia człowieka“, lub: „Kierownictwo kościoła dla zbawienia ludzkiego“. Inne części tej całości są: Nabożeństwa, sakramenty, kazania i t. d. Szkoła przygotowuje dzieci do świadomego udziału w życiu kościelnem i dla tego podstawowym żywiołem szkoły parafialnej jest kościelność. To jest rzecz główna, a nie programy, książki szkólne i pedagodzy. Niech sobie zakres nauki w szkołach parafialnych będzie niższym niż w szkołach gminnych, duch pierwszych pozostanie zawsze kościelnym.“

Oto jest opinia i definicya szkoły ludowej, wypowiedziana przez reprezentanta tej klasy, w której rękach de iure i de facto pozostaje całe wychowanie i całe życie duchowe 120 milionów ludzi.

*) Artykuł powyższy oparty jest na rozprawie zamieszczonej w listopadowym zeszycie czasopisma „Russische Zustände“.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

W sprawie zachodnio-pruskich towarzystw ludowych.

W czasopismach polskich zaboru naszego wszczęła się żywa polemika z powodu statutów zachodnio-pruskich towarzystw ludowych, przepisujących, iż prezesem jest każdorazowy proboszcz nie z oboru, lecz z urzędu. Mianowicie „Gazeta Gdańska“ (Nr. 4.) oświadczyła się przeciw takiemu klerykalizowaniu towarzystw, osłabiającemu ich charakter narodowy, i następujące przy tej sposobności wypowiedziała uwagi.

... W Prusach Zachodnich jest znaczna ilość zacnych Polaków, którzy w życiu swem nie zrozumieli nigdy dobrze, bo nie odczuli dość silnie „świe-

tej miłości kochanej Ojczyzny". Rana otwarta narodu nie krwawiła im nigdy serca, jego ból ich nigdy za gardło nie chwytał. Mają serca z przyrodzenia czułe, nie ich wina, że stosunki, w jakich żyli, nie wskrzesały iskier z popiołów. Są wszakże bardzo religijni.

I takim zawsza starczy, jeżeli coś „po katolicku" zrobione. Po za kościołem rozumieją w społeczeństwie tylko pracę zawodową i płacenie cesarzowi, co jest cesarskiego. Ta reszta niepotrzebna, bo, może być szkodliwą! Hasła narodowe n. p. cuchną im coś pogaństwem. Miłość ojczyzny streszcza się dla nich w miłości do języka, a bywają i tacy, dla których język ojczysty dla tego głównie jest pożądanym, bo to organ najlepszy do wyuczenia się religii. Bo o cóż chodzi na świecie — jak rozumieją — o zbawienie duszy, o nic więcej. Więc czyń dobrze, a o żadne tam mrzonki i ideały się nie pytaj.

Takie pojęcie zadania człowieka na świecie jest równie jednostronne jak dla bytu narodu i głębokości wiary niebezpiecznem.

... Dzisiaj więcej niż kiedykolwiek potrzebuje lud zachodnio-pruski rozbudzenia w sobie uczuć narodowych, inaczej narodowość tę stracą dziesiątki tysięcy tego ludu. Rozbudzenie uczuć narodowych podniesie zarazem uczucia wiary i religii, które staną się wówczas niejako właściwością usposobienia, istotną własnością jego duszy.

I lud czuje instynktowo tę potrzebę. Tu i owdzie już rozgorzał, a wszędzie ucho nadstawia żarliwie, gdy mu o narodzie polskim wspomnieć. Ale jak mało ze starszej braci wspomina mu o nim? Lud widzi, że w czasie, gdzie szkoła niemczy mu dzieci, gdy emigracya za morze i na zachód Niemiec go nęci, gdy nęcą go wielkie miasta ze sposobnością większego zarobku, gdy tysiące urzędników, a teraz nawet cały naród niemiecki patrzy i czycha, jakby mu narodowość odebrać, że dziś nie na czasie jego stare, zachodniopruskie lelum polelum, według którego chłop żenił się z Niemką katoliczką przyszedłszy do miasta i godził się na niemczenie swych dzieci, boć „Ojciec święty też po polsku nie mówi" i do dziś dnia (i niestety w dziesiątkach tysięcy przykładów) razem ze swą żoną P o l k ą nie widzi różnicy, czy dziecko wróciwszy ze szkoły, po polsku czy po niemiecku z rodzeństwem rozmawia.

„Toć oni i tak pozostaną katolikami". Hola! i to wielkie pytanie! Pastorzy twierdzą, że p o l s k o ś ć wielce zawadza protestantyzowaniu Prus Zachodnich, i — mają racyą. Proszę nam pokazać protestanta P o l a k a w Prusach Zachodnich. Za jednego my pokażemy tysiąc protestantów, którzy b y l i P o l a k a m i. Zwracam uwagę, że protestantyzowanie w Księstwie tylko w z n i e m c z o n y c h okolicach, a specyalnie w obrębie rejencyi bydgoskiej zrobiło postępy.

Kończymy tedy twierdzeniem:

Przodownicy ludu naszego, gdziekolwiek są i czem są — powinni w nim rozbudzać poczucie narodowościowe.

* * *

Polskie fawory wobec niemieckich agronomów.

„Dziennik Poznański" zamieścił w najświeższym czasie kilka zdrowych artykułów poświęconych naszym wadom narodowym. Z artykułów tych, oznaczonych literą M., cytujemy ustęp, karcący zakorzeniony wśród naszych wielkich właścicieli ziemskich zwyczaj oddawania zarządu dóbr swoich w niemieckie ręce. Pod tyt. „Rozmyślania na czasie" czytamy:

„Z góry jesteśmy przekonani, że odezwa się głosy, iż ta stosunkowo niewielka liczba posad, oddawanych przez naszych obywateli ziemskich w ręce obcych, nie wchodzi w rachubę i pozostaje bez wpływu na rozwój nasz ekonomiczny. Mylne to zupełnie przypuszczenie. Chociażby u nas było tylko s t o takich posad, a tyle jest ich co najmniej, chociażby każde udotowane było tylko 2000 do 3000 marek rocznie, przeciętnie zaś lepiej są udotowane, boć wiadoma rzecz, że obcoplemieńcy zajmują u nas właśnie najlepsze posady, to już roczna strata nasza, roczny podarunek nasz na rzecz tych, którzy bynajmniej równą życzliwością nam się n e odpłacają, wynosi 200 do 300 tyś. m., a więc jak na nasze stosunki, jak na biedę naszą, kwota wcale znaczna. Ale strata ta to jeszcze bynajmniej nie najgorsza strona smutnej tej sprawy. Trzeba je zresztą brać podwójnie, ponieważ taka suma nietylko płynie z polskich kieszeni do rąk obcych, ale o tę samą sumę ubożeje rocznie i z a r o b k o w o ś ć p o l s k i e g o żywiołu. Stanowisko urzędnika gospodarczego, zwłaszcza w dobrach, gdzie dziedzic sam nie mieszka, może być bardzo wpływowe tak pod względem ekonomicznym, jak i politycznym.

Ludność robotnicza dominiów naszych wynosi przeciętnie 100 do 200 dusz. Pomnożywszy liczbę tę przez sto otrzymamy rezultat taki, że co najmniej 10 do 20 tysięcy ludu naszego oddajemy dobrowolnie pod wpływ częstokroć bardzo nieprzyjaźnie dla nas usposobionych obcoplemieńców.

Zależność robotnika dominialnego od chlebodawcy swego jest pod niejednym względem znacznie większą, niż zależność robotnika przemysłowego, więc też i wpływ chlebodawców na wsi jest znacznie większy, niż wpływ chlebodawców w mieście. Ze zaś urzędnicy niemieccy nie wywierają wpływu tego w duchu i kierunku dla nas korzystnym, to chyba nie ulega żadnej wątpliwości. Przeciwnie, znamy dużo wypadków, iż urzędnicy Niemcy w dobrach polskich właścicieli nadużywali i nadużywają dziś jeszcze stanowisk swoich w celach germanizacyjnych, że zmuszają polski lud roboczy, aby używał w stosunkach służbowych tylko języka niemieckiego, że wywierają nań nacisk w tym kierunku, aby tylko u Niemców kupował, albo też rugują n. p. polskich włodarzy, ekonomów, pisarzy oraz rzemieślników dominialnych i zastępują ich Niemcami. Zachodzą wprawdzie wyjątki, ale bardzo nieliczne, któreby można na palcach policzyć. A weźmy dalej na uwagę inne skutki dziwnej tej polityki wielu naszych właścicieli ziemskich, jej moralne następstwa.

Czyż lud, patrząc na to, jak pan, jego rodak, złączony z nim węzłami krwi i wiary, najlepsze stanowisko, zastępstwo swoje, które równać się powinno ojcowstwu w szerszem tego słowa znaczeniu, powierza obcoplemieńcom? Czyż lud, patrząc na to, nie musi tracić zaufania do tych panów swoich, czyż nie musi wkraść się do serc jego podejrzliwość, że pan patryotyzm ma tylko na ustach a nie w sercu, że nie dba o dobro swych rodaków, swego społeczeństwa? I czyż przykład taki nie musi w sercach ludu oziębić także poczucia narodowego i obywatelskiego? Szkody tak moralne jak i materyalne, jakie ztąd wyniknąć mogą i wyniknąć muszą dla społeczeństwa naszego, są więc bardzo znaczne, bardzo dotkliwe. Jest to wogóle czysta ironia, że właśnie w chwili, w której zagrożeni jesteśmy na każdym kroku w naszym bycie narodowym, gdy powinniśmy wytężyć wszelkie siły do obrony narodowości naszej, sami sprowadzamy i osiedlamy między nami pionierów germanizacyi, sami rozbudzamy gorycz i obojętność w ludzie naszym, zamiast dobrym przykładem wzbudzać w sercach jego miłość i zaufanie do „starszej braci", do kraju i duchowej ojców spuścizny."

* *

Konserwatyzm warszawski. A l e k s a n d e r Ś w i ę t o c h o w s k i tak charakteryzuje konserwatyzm warszawski w swojem „L i b e r u m v e t o", zamieszczonem w nr. 1 „Prawdy":

„Cały konserwatyzm obecny naszego dziennikarstwa mógłby dziad wędrowny zapakować w swoją torbę i zmieścić jeszcze w nią kromki chleba z dziesięciu wsi. Jest to garść plew, która tylko przez ciągłe rozdmuchiwanie przybiera postać tumanu i zasypuje ludziom oczy kołaczemi łupinkami. Po za czterema, pięcioma ludźmi, którzy szczerze wierzą w to, co głoszą, reszta przedstawia zbieraninę najmitów, którym jest zupełnie obojętnem, co mają sobie włożyć w usta do wyplucia, aby tylko wkładali w nie coś smacznego do połknięcia, z dezerterów wszelakiego znaku, którzy wczoraj rąbali się językiem i piórem za Darwina, a dziś zaciągają się do pułku ks. Dębickiego, wogóle z mydłków, którzy upatrują w życiu ścieżek, wysypanych złotym piaskiem. Taki mydłek, wsunąwszy się na pole literatury ze zdatnością do gładkich rymów lub szumnych frazesów, rozgląda się, wyciąga nos ku wiatrowi i węszy, z której strony zalatuje go najsilniejsza woń przynęty. Czasem długo błąka się, myli i dopiero po pewnym czasie wpada na właściwe tropy. Ach, ileż tych lisów przesunęło się około naszej redakcyi! Przychodzi do nas jakiś emigrant z prasy galicyjskiej lub tutejszy klejnocik i z możliwie słodką miną mówi:

— „Byłbym panom bardzo wdzięczny, gdybyście w swem czcigodnem piśmie znaleźli dla mnie jakiś kącik. Nie chodzi mi jedynie o zarobek, ale także o zaszczyt pracowania w tak wzniosłym organie, pod tak dostojnym sterem. Od dawna było to mojem marzeniem, które dopiero dziś ośmielam się itd."

Doświadczenie nauczyło nas wielkiej wprawy w wyłuskiwaniu prawdy z takich uwielbień i dla tego po krótkiej indagacyi odpowiadamy:

— Jakkolwiek niezmiernie zaszczytne i miłe są dla nas te oświadczenia, jednakże sumienie każe nam ostrzedz pana. Nie gub się dobrowolnie! Naprzód my jesteśmy biedni i nigdy twej pracy nie wynagrodzimy należycie, powtóre, nie mamy stosunków, któreby panu pozwoliły zdobyć jakąś soczystą posadkę. Po trzecie, związek z nami utrudni panu karyerę. Z tych względów radzimy, zapukaj pan do redakcyj, które mają w swem ręku dobrodziejstwa losu.

Młodzieniec uśmiecha się z pełnym wdzięczności ukłonem i odchodzi. Wstrzymujemy go:

— Jeszcze słówko. Debiutując, nie zapomnij

---

3)

OLA HANSSON.

BEZDOMNY.

Tłomaczyła

I......i Łodzia.

(C i ą g d a l s z y).

Tymczasem czas upływał i nagle pokazało się, że w dziwnym tym zakątku zakwitła miłość idyliczna w ojców stylu. Zdawało mi się czasami, że ja sam nie jestem tym, którym dotąd byłem, zdawało mi się, że przybrany jestem w starodawny strój, jaki ongi młodzieńcy tutajsi nosili a dusza moja cofnęła się o sto lat w stecz-... Córa domu miała lat dwadzieścia, pełna inteligencyi, z ciemnemi oczami.. Wiedziałem wprawdzie, z jaką nieufnością śledziły mnie te oczy i jak szorstko nieraz brzmiały jej słowa, ale brałem to za staroświecki zabytek pruderyi dziewiczej.... A gdy głos jej łagodniał i oczy spoglądały z ufnością, doznawałem dziwnej radości.

Pewnego majowego wieczoru — podczas Zielonych Świątek — gdy młodzież w lesie przy blasku księżyca tańczyła ochoczo, w tej urokiem poezyi owianej chwili popełniłem wielkie głupstwo, a popełniłem je dla tego, bom — jakkolwiek nie młody już i zużyty życiem — rozkoszy doznawał, gdy o n a ścisnęła mi rękę i tej rozkoszy, która nawpół jest boleścią....

Później dopiero poznałem, że w samym środku mego szczęścia kolec tkwił w najtajniejszych kątkach ciemnych ócz cień pytającej nieufności.... Powiew zimnego powątpiewania wionął z nich ku mnie.

Niepotrzebuję dodawać, że ona nosiła imię każdej sielankowej bohaterki: imię Anny.

V.

Mniej więcej w rok potem stałem w dzień czerwcowy ot! tam, na wzgórzu. Dołem przejeżdżał powóz z dwoma paniami. Jedna z nich, pąsowo ubrana, chustką poczęła ku mnie wiewać. Odkłoniłem się zdumiony — poznałem ją jednak zaraz po poruszeniu głowy.

W kilka godzin później odebrałem od pastora poblizkiej gminy zaproszenie z dodatkiem, że dobrą znajomą spotkam u niego. Prócz tego był tam jeszcze inny liścik, następującej treści:

„Pamięta pan spotkanie nasze przed dwoma laty na parowcu? Dziś nadszedł dzień obrachunku!

Proszę się tylko nie spóźnić! Tęskniłam za panem i mam Mu do zadania mnóstwo pytań.

Aniela Lindblom.

Siedziałem w otwartem oknie mego pokoju. Pszczoły brzęczały w ogrodzie. Koguty piały wesoło, podnosząc około siebie tumany kurzu, a wierny pies mój ogrzewał się w słońcu.

Zły byłem na Anielę; mogła była nie zakłócać spokoju mego, nie stawać na mej drodze. Niechęć jak pijawka wpiła się w mą duszę. A niechęć powstająca z pragnienia, by zmienić to, co zmienionem być nie może, równa się hydrze, której s t o nowych głów wyrośnie, gdy jej j e d n ę utniemy — równa się robakowi, który żyje mimo przecięcia na dwoje i pająkowi, wydającemu z własnej swej substancyi sieć, w którą usidla cały aparat duszy, którą łowi wszystkie bez celu bujające wspomnienia, aby się krwią ich nasycić.

Zimą spędziłem dni kilka w Kopenhadze. Magnesem przyciągającym był tam karnawał, muzyką i tańcem wabiący do rezydencyi nietylko ładne kobiety, lecz i całą inteligencyę. Ale jakże smutnym był powrót do domu!... Zimno, chłodno, obco mi tu było. Znalazłem

pan z pierwszej lepszej kałuży cisnąć błotem na redaktora „Prawdy“ i innych „pozytywistów warszawskich“. Są u nas znakomitości literackie, które temu tylko bohaterstwu zawdzięczają swoją sławę. To i panu bardzo dobrze zrobi.

Usłuchało wielu tej rady. Ci, którzy zapewniali mnie w listach, że „prędzej sobie palce odgryzą, niż przeciw mnie pisać będą“, których musiałem powstrzymywać, ażeby mi nie całowali rąk. ci wszyscy, — naturalnie zwymyślawszy mnie szeroko otwartemi buziami, — stanowią chlubę konserwatyzmu i zdobyli sobie w nim nawet wysokie rangi. Nie, ja nie tracę nadziei, że ten obóz kiedyś mi się odwdzięczy za zwerbowanie mu dzielnych szermierzy!

Szewc z „Pięknej Heleny“, przerobiony na majora, ciągle wychodzi ze swej świeżej roli i chce obecnym brać miarę na buty. Podobnie. czynią konserwatyści warszawscy. Pamiętają oni, że w sprawach miejscowych trzeba wygwizdywać pewne kuranty i zniesławiać pewne osobistości, ale gdy zaczną mówić o rzeczach i ludziach obcych, zapominają o swym konserwatyzmie i w mundurach majorów okazują się szewcami. Niedawno właśnie zdarzył im się znowu taki fatalny wypadek. Nie wiedzieli oni wcale, że Watykan wszystkie utwory Dumasa wprowadził na listę dzieł zakazanych i surowo zakazał wiernym je czytać. Tymczasem nasi konserwatyści, biedne skopy upieczone a la sarna, nie spostrzegając chmury i nie przeczuwając gromu z pogodnego nieba, złożyli na grobie wyklętego nieboszczyka mnóstwo wieńców za rozmaite cnoty, a między innemi także za wspaniałą naukę moralności. „Przegląd katolicki“ zdrętwiał ze zgrozy. Wprawdzie on często przekonywa się ze smutkiem, że jego owce wydają jakieś niezwykłe ryki, że zamiast kopytek mają pazury. że włażą na wysokie drzewa do barci i uganiają się w powietrzu za gołębiami, słowem, że zdradzają naturę nieowczą, ale żeby śmiały mianować apostołem moralności libertyna, — tego już zanadto! Więc też oburzony pasterz trzasnął biczem nad niesforną trzodą, która w przerażeniu umilkła i przysięgła sobie, już nigdy głośno o Dumasie nie beczeć.

Jakkolwiek położyłem już wiele zasług dla konserwatyzmu warszawskiego, zwłaszcza dając znaczne części jego nieustraszonych zapaśników sposobność do odznaczenia się męztwem i wydobycia z siebie „barwy“, którejby sami przez się nie okazali, służę mu jeszcze jednem noworocznem życzeniem: niech on... skonserwatywnieje, niech sobie — bodaj z Irlandyi lub Tyrolu — sprowadzi ludzi jednolitych, szczerze wierzących, bo te jego wilkołaki liberalno-konserwatywne już nam obmierzły i wreszcie chcielibyśmy doczekać się poważnych i godnych szacunku przeciwników“.

— *ski.*

SPRAWY EKONOMICZNE.

Cena ziemi.

Parę miesięcy temu podaliśmy czytelnikom „Przeglądu“ wiązankę uwag, dotyczących formowania się cen zbożowych. Zamierzaliśmy w ten sposób rozjaśnić do pewnego stopnia tak jeszcze ciemną, a jednak tak bardzo ważną kwestyę agrarną. Oczywista, nie mogliśmy pomieścić w ciasnych ramach dziennikarskiego artykułu szczegółowej analizy wszystkich pytań, wchodzących w jej zakres. Ograniczyliśmy się więc do naszkicowania tylko naszych poglądów na jeden z najważniejszych jej działów, mianowicie na kwestyę cen rolniczych produktów.

Dzisiaj zamierzamy uzupełnić potroszę ów szkic dawniejszy i zarazem rozjaśnić wątpliwości, na które nie dawał on dostatecznej odpowiedzi, rozwijając dalsze konsekwencye zajętego wtedy przez nas stanowiska, odnoszące się do kwestyi cen ziemi.

Zagadnieniu temu poświęcono całą masę najprzeróżniejszych teoryi. Nie będziem ich tu wszystkich wyliczać. Wspomnimy tylko najważniejsze.

1) Teorya Ricarda głosi, że cena ziemi podlega tym samym prawom, co i ceny wszelkich innych dóbr gospodarczych, a więc kształtuje się pod wpływem dwóch czynników, z których jeden zasadniczy, mianowicie ilość skrystalizowanej pracy, określa wartość gruntów, a drugi t. j. stosunek podaży do popytu reguluje wahania pieniężnego wyrazu tej ostatniej.

2) Wedle Rodbertusa cena ziemi jest skapitalizowaną rentą gruntową, która ma znów swe źródło w różnicy kosztów rolniczej i przemysłowej produkcyi. Gdy bowiem przemysł prócz kapitału zmiennego (kosztów najmu) wymaga jeszcze olbrzymich wydatków na narzędzia i materyały produkcyi, rolnictwo czerpie te ostatnie z własnych swych zasobów. Tymczasem przeciętna cena wytworów określa się w obu wypadkach zawartą w nich pracą. Stosunek więc kosztów produkcyi do otrzymanych zysków jest w rolnictwie znacznie mniejszy niż w przemyśle. A ponieważ konkurencya ustanawia na całym obszarze narodowego gospodarstwa normalną stopę procentową, musi więc owa stała przewyżka rolniczych dochodów przybrać w naszej świadomości formę odrębnej kategoryi ekonomicznej. Zwiemy ją rentą gruntową, przypisując w ten sposób jej pochodzenie władaniu ziemią i przyznając gruntom zdolność stworzenia nowych wartości. Od tej chwili nie można wszakże uznawać i samej ziemi za rzecz bezwartościową, lecz oceniamy ją wedle otrzymywanych z niej korzyści, obliczając jej cenę na zasadzie renty, którą ona przynosi, i normalności stopy procentowej. Gdy n. p. ta ostatnia będzie wynosić 6 proc., a renta będzie się równać 6000 mk., wtedy oszacujemy odpowiednie grunta na 100,000 m.

3) Wiedeńska czyli psychologiczna szkoła rozróżnia dwa rodzaje ekonomicznych dóbr: konsumpcyjnych i produkcyjnych. Wartość pierwszych określa się ich użytecznością i ich rzadkością. Oba te czynniki wpływając wzajemnie na siebie, tworzą w ostatecznym swym rezultacie jednolitą skalę cen. Dobra zaś produkcyjne nie posiadają żadnej bezpośredniej wartości, gdyż ich użyteczność jest również tylko pośrednią. Całe ich gospodarcze znaczenie tkwi wyłącznie w ich pomocniczej roli podczas procesu produkcyi. Cenimy je tylko dla tego, że bez nich nie moglibyśmy posiadać dóbr konsumpcyjnych. Wartość tych ostatnich stanowi też jedyne kryterum ich wartości. W dziedzinie rolnictwa produkcyjnemi dobrami są: praca, narzędzia, budynki i ziemia. Wartość ich równa się sumie wartości wytworzonych przy ich pomocy dóbr konsumpcyjnych. Ponieważ jednak zarówno praca jak narzędzia i budynki wchodzą w skład całej masy innych kombinacyi produkcyjnych dóbr — nie trudno więc określić wartość każdego z nich w szczególności i w ten sposób otrzymać wartość ziemi.

Dwie te ostatnie teorye godzą się na zdanie, że wartość ziemi jest pochodną, że zależy ona każdorazowo od wartości jej płodów. Twierdzeniu temu przyznajemy jak najzupełniejszą słuszność. Jest ono bowiem naukowo tylko sformułowaną prawdą, aż nadto dobrze znaną wszystkim rolnikom, że ze wzrostem lub upadkiem cen zboża podnosi się lub spada cena ziemi. Objaśnienie jednak powyższego faktu brzmi odmiennie u Rodbertusa niż w dziełach wiedeńskich ekonomistów. I musimy przyznać, że żadne z nich nie zadawalnia nas w zupełności. Rodbertusowi bowiem możnaby zarzucić, iż nie wskazał on dostatecznej przyczyny, czemu dążność do przeciętnej, normalnej stopy procentowej, wszechpotężna w dziedzinie handlu i przemysłu — jest bezsilną w obec rolnictwa, co tem mniej jest zrozumiałem, że różnica kosztów rolniczej i przemysłowej produkcyi nie jest większą, niż zachodząca między poszczególnemi gałęziami przemysłu.

---

wszystko brzydkiem i głupiem, znalazłem wszystkich brzydkimi i głupimy, ogołoconymi z poprzedniego uroku. — Długo trwało, zanim mi się otoczenie moje przedstawiło w dawniejszych kształtach i barwach.

Cóż to znaczyło?.... Zresztą prócz tego coś jeszcze napełniało mnie trwogą. W czasie mego narzeczeństwa niejedne przeżyłem chwilę, przykrą ciężką... Siedząc obok Anny zdawało mi się chwilami, że pomiędzy nami stoi niewidzialna dla oka zapora. W takich chwilach zimnym dla niej byłem... tak, jakoby nic nas nie wiązało. Zdawało mi się, że mi nie ufa, że stroni odemnie, że instynktownie lęka się zbliżyć do mnie — jakobym był przedmiotem nieznanej konstrukcyi, który zepsuć się boi. Ile razy nieufne jej spojrzenie na mnie spoczęło, pytałem sumienia, czym jej jakiej nie wyrządził krzywdy.

Było to następnego dnia po obiedzie u pastorów. Jedna z córek zasiadła do fortepianu, druga zabrała moją narzeczoną, podczas gdy ja z panną Anielą cofnąłem się w najodleglejszy kąt salonu. Na polu huczał wicher, deszcz bił o szyby, a rozłożyste gałęzie gruszy gięły się jak trzcina, uderzając z łoskotem o okna pokoju; woda wpadająca do rynny, szumiała, a w salonie mimo rychłej pory, zmrok zapadł. Wszystko to zwiastowało jesień ze słotą i wyciem wiatru, tęskno działającą na usposobienie ludzkie. Zdawało się, że jak dzieci czekamy na jaką bajeczkę.... Panna Aniela usadowiła się wygodnie w rogu kanapy; ubraną była w kolor czerwony — modny w tym roku — lampa oświetlała ją, rzucając na nią rodzaj tęczy, uwydatniającej się najwyraźniej na jej bladej twarzy. Siedząc obok Anieli na krześle, spoglądałem na jej białą, długą rękę, opartą o poręcz kanapy.

— Więc? — spytała Aniela.

— Co?

— Chce się pan wyspowiadać?

— Owszem!

Nachyliła się ku mnie, pytając z powagą:

— Jesteś pan szczęśliwy?

— Tak!

Milczenie zapanowało.... Zobaczyłem, że zasępiły się jej rysy, cofnęła się w głąb kanapy, bawiąc się wstążką.

— Dla czego, tak jak dawniej, s z c z e r y m pan ze mną nie jesteś?...

Co doprowadza panią do mniemania, że nim nie jestem?

Pan cierpi!... Nie ukryje pan tego przedemną, w oczach pana coś dziwnego się błąka — myśl jakaś. Dawniej pomagało panu, gdym mu rękę na skroń kładła.... Czy dla tego, że jesteś narzeczonym, nic uważasz mnie pan za godną zaufania?

Bez dłuższego wahania, opowiedziałem jej wczorajsze spostrzeżenia moje...

— ...A ponieważ dziś panie obie razem widzę, zastanawia mnie istniejąca pomiędzy wami różnica — mniejwięcej jak prosta i wygięta linia. Narzeczona moja, skromna i bez wymagań, jest wpierw wymienioną linią. Taką też jest jej dusza, takiem jest jej usposobienie. Radość objawia się w niej spokojnie, jak promień słońca na pogodnem niebie! Jeżeli cośkolwiek podziw jej obudzi, to wypowie wprawdzie wszystko, co, i jak czuje, ale wypowie w formie zwyczajnej. Nie zadziwi ona nigdy niczem niespodziewanem, nieumotywowanem, ani żadnym nagłym zwrotem uczucia. Anna jest obrazem codziennego życia, prędzej samą sobą nie zostanie, dopóki nie zasiędzie przy kolebce swego dziecięcia. Taką też kocham ją.

— Pani przy niej przedstawiła mi się jak zjawisko z dawno minionych czasów. W pani przeciwieństwo zaostrzyło wszystko; stanowi to indywidualność twoją. Myśli pani są ruchliwe jak jej długie smagłe palce, a dusza odmienia się jak mimoza i umie podnieść się tak wysoko, jak wesoła fanfara, czego — a boleśnie to odczuwam — nie zauważyłem nigdy w mojej narzeczonej. Przytem marzy też pani czasami jak a d a g i o,

Teorya Böhm-Baweka, przedstawiciela psychologicznego kierunku jeszcze mniej nadaje się do przyjęcia, przedewszystkiem dla tego, że cały jej rozdział wartości jest z gruntu fałszywy*), a następnie, że logiczna jej konsekwencya doprowadziłaby nas do przyznania ziemi nieograniczenie wielkiej ceny. Jeśli bowiem odliczymy od wartości rocznego plonu najmniejszą choćby jej cząstkę na rachunek gruntu i pomnożymy ją przez ilość lat, na czas których ten ostatni zachował swą produkcyjną rolę, (a nie straci jej aż do końca świata), to otrzymamy nieskończoność. Gdyż $a \times \infty = \infty$.

Sądzimy natomiast, że prawda znajduje się w środku między temi teoryami. „Die Wahrheit ruht in der Mitte“! Zwodnicza to często zasada i nieraz służy ku przykryciu duchowego ubóstwa. W danym wypadku jest ona jednak na miejscu. Choćbyśmy się więc nawet mieli narazić na zarzut niesamodzielnego myślenia, przyznajemy się do niej otwarcie.

Uznajemy więc wraz z Rodbertusem, że cena ziemi jest skapitalizowaną rentą, znajdując potwierdzenie tego w fakcie, że, *ceteris paribus*, stoi ona w prostym stosunku do dochodu netto, a w odwrotnym do *quantum* obrotowego kapitału, potrzebnego dla kultywowania odnośnych gruntów. Tak np. lasy i łąki droższe są u nas od roli, nie dla tego, by więcej od niej rentowały, lecz ponieważ w razie jednakowego dochodu netto wymagają mniejszego nakładu kapitału, niż uprawne pola. Godzim się również na twierdzenie, że renta gruntowa wypływa z różnicy kosztów produkcyi i ich stosunku do dochodu brutto w rolnictwie i w przemyśle. Lecz z drugiej strony sądzimy, że przyczyny, warunkujące ową różnicę, nie są jedynie natury objektywnej, ani nawet czysto gospodarczej.

Ażeby bowiem zrodzona pod wpływem konkurencyi, dążność do ujednostajnienia procentowej stopy tak odmiennemi szła drogami na polu przemysłu i rolnictwa, iż redukując po prostu lub też zwiększając wedle potrzeby ceny produktów w pierwszym wypadku, w drugim ucieka się do skomplikowanego wybiegu i tworzy nowe ekonomiczne pojęcie — renty gruntowej, której oddaje część dochodu przewyższającą normalny procent — na to wszystko trzeba było już głębokiej, zasadniczej różnicy między produkcyą rolną a przemysłową. I różnicę tę wykazuje nam cała dotychczasowa historya gospodarki europejskich narodów. Gdy bowiem przemysł już na najpierwszych stopniach swego rozwoju oparł się na pieniężno-handlowej podstawie, rolnictwo przez cały niemal czas starożytnej historyi znajdowało się w stadyum gospodarki naturalnej, a przez przeciąg średnich wieków następnie, aż niemal do połowy naszego stulecia, zajmowało pośrednie stanowisko między naturalną a pieniężną ekonomiką. Ważniejszym jeszcze był fakt, że gdy przemysłem mógł się zajmować każdy, posiadający odpowiednie zdolności i gotówkę, rolnikiem mógł być tylko ten, co posiadł ziemię (mniejsza z tem, czy w zupełne, czy też lenne władanie a ziemia została z dawien dawna przywłaszczoną przez określoną liczbę uprzywilejowanych. Prywatne władanie ziemią zrodziło jej wartość. Zyskała ją ona w ten sam sposób, w jaki zdobywają ją sobie dziś koncesye na zakładanie aptek w Niemczech lub cukrowni w Rosyi. Nie wytwarzają one nowych wartości, ani też same nie są wytworem pracy, a jednak posiadają swą wartość. Tak samo dzieje się z ziemią. Oszacowujemy ją, bo jest ona koniecznym warunkiem jednej z wielu gałęzi produkcyjnej i rentującej się pracy. Brak jej wszakże wewnętrznego, w niej samej zawartego punktu wyjścia tej oceny; nie posiada bowiem bezpośredniej wartości, nie będąc ani wytworem pracy, ani też przedmiotem użytku. Musimy więc szukać kryteryum oceny po za nią, a mianowicie w dochodzie, który nam daje praca na roli. Potrącamy zeń pewną część jako procent od obiegowego kapitału, a resztę kapitalizujemy wedle normalnej w danym kraju i czasie stopy i zwiemy tę sumę ceną gruntu. Taką jest geneza cen ziemi. Zrozumiawszy ją, możemy śmiało zawyrokować, iż jedyną możliwą w dzisiejszym społeczeństwie formułą cen ziemi jest dynamiczne prawo ich stosunku do renty gruntowej.

Str.

*) Krytyka jej zajęłaby tu zbyt wiele miejsca. Odsyłam więc ciekawszych czytelników do obszerniejszych mych rozpraw: 1) Ateneum. 1894. Historya teoryj wartości i 2) Deutsche Worte. 1895. Böhm-Bawek als Kritiker Marx.

LITERATURA I SZTUKA.

Akordy jesienne.

I.

Wiatr w pożółkłych huczy drzewach — niebo pełne [czarnych chmur,
A z ich kłębów kotłujących księżycowy martwy blask
Spłynie czasem ponad ziemię, co spoczywa niby twór,
Ulepiony z mgieł i błota, od promiennych zdala łask.

* * *

Nieodrodne dziecko ziemi, jej słabości niby wzór,
Sam się wlokę, jak ów rycerz, gdy mu wzięto tarcz i kask
W jakimś strasznym, ciężkim boju — lub jak ptak, [odarty z piór,
Tak się wlokę, ogłuszony, w tej wichury szum i trzask.

* * *

Ktoś mi szepce — widać jakiś odrętwieniu wrogi [duch —
Że ta ziemia pierś podnosi i że jęczy na swój los —
Nic nie widzę! — nic nie słyszę! na to-m stracił [wzrok i słuch,

* * *

Tylko zmilknie wichr na chwilę, księżyc chmur roz-[pędzi tłok,
Wówczas jakbym pierś tę widział i rzerzący słyszał [głos —
I przeklinam wichr i księżyc; żem miał znowu słuch [i wzrok.

II.

Cóż, że jestem dziś samotny, jak smagany wichrem [głóg?
Cóż, że barwną swą koronę pośród zimnych tracę burz?
Wszak naturze, matce wielkiej, zaciągniętym spłacił [dług —
I jam z pola wszak nie schodził, jak leniwiec albo [tchórz,

* * *

Niech mi syczy głos zawistny: więdniejące liście złóż!
Niech odpycha mnie od siebie znikczemniałe plemię [sług!
I jam rzucił plonne ziarna, z których wzrosną pęki [zbóż!

porówno z moją duszą. Ja się odmieniam jak Kameleon, ale i pani także....

Ty jesteś bliską mojemu sercu, ale do ciebie nie jest przywiązane to samo j a, które kocha prostą linię i te ciemne rozumne oczy i widok matki, dziecka, kołyski. Jestem samym sobą, a jednak jestem innym — — —

Podano wino — pastorówna wstała od fortepianu i zbliżyła się do nas; przerwaliśmy rozmowę.

Gdyśmy późnym wieczorem zabierali się do powrotu, słyszałem jak panna Aniela odezwała się do mojej narzeczonej:

Nieprawdaż: zaprzyjaźnimy się serdecznie i często widywać się będziemy?

Nie zrozumiałem odpowiedzi Anny, lecz czułem, że miała owe odpychające zimno w wejrzeniu, które zawsze w nim leży, gdy komu nie ufa; — wyraz ten tak na mnie działa, jakby ktoś ująć nie chciał dłoni mojej, serdecznie ku niemu wyciągniętej.

VI.

Nieprzyjazne uczucia narzeczonej mojej żywione dla Anieli, odnosiły się do dawnej przyjaźni naszej, wiedząc, że panna Lindblom posiada wpływ na mnie, bała się jej współzawodnictwa. Prócz tego był tam jeszcze drugi powód i tento dopiero dodawał niechęci kolcy, goryczy smutku gorzkiego. Był to wstręt jednej klasy ludzkości w obec drugiej: nieprzyjaźń instynktowna, podła, niewolnicza na polu spółczesnem i duchowem niżej postawionego, skierowana ku wszystkiemu co wyżej stoi. Annie zdawało się, że Aniela z wszystkiego, co ona robiła, lub mówiła, naśmiewać się musi: upokarzające uczucie, jakiego doznawała, raniło jej duszę — w szczerej swobodzie tamtej nie upatrywała nic więcej prócz kokieteryi, mieszczącej w sobie brak szacunku dla niej.

Aniela z swej strony była zupełnie bezradną w obec tej córy wieśniaczej. Ona — której rozum do takich wzniósł się wyżyn — traciła go tutaj zupełnie, i to ją gniewało. Pojęła, że pomiędzy niemi przepaść się otwiera, a nie czując się winną, całą winę przypisywała tamtej. Widząc wszystkie starania swoje, by zbliżyć się do Anny, bezowocnemi, trzęsła się z uburzenia na chłód narzeczonej mojej.

A ja sam: — jam stał w środku pomiędzy temi dwoma przeciwieństwami. Położenie moje pogarszało się codziennie. Jednakowoż nie w t e m leżało moje fatum, przeciwieństwa leżące p o z a mną, istniały i we mnie. W mojej duszy toczyła się ta sama walka przeciwieństw, — toczyła się jeszcze krwawiej, rozdzierającej, bezlitośnie.

Nie byłem dłużej panem położenia. Byłem rozpołowiony. Jedno moje jestestwo kochało prostą linię — drugie wygiętą. Nieraz, gdy nawał czułości przyciągał mnie do narzeczonej, otoczył mnie nagle przypływ z przeciwnej strony, doprowadzał do zastanowienia i w połowie drogi zmuszał powrócić do domu. Wreszcie zdarzało się, że nieraz w obecności dwóch tych kobiet źle mi było.... że mi się zdawało, jakoby mnie darto w dwie części, — jak owych nieszczęśliwych z czasów barbarzyńskich, których wiązano między dwa konie, w dwóch przeciwnych pędzone kierunkach. Dwie te kobiety równały się magnesom, w których się nagromadziły zapasy sił dwóch przeciwnych klas społeczeństwa; w moim jestestwie znajdowały się im pokrewne żywioły i przyciągały je do siebie.

(Dokończenie nastąpi).

By wzbogacić człowieczeństwa ten otwarty, wielki [bróg!

* * *

Szalej, wichrze! zrywaj liście! mieć śnieżycą! dżdżami [pluj:
Siecz po skroni! włos rozwiewaj! aż do ziemi krzyże [gnij!
Płaszcz potargaj na łachmany, z rąk podróżny wy- [trąć kij!

* * *

Mogę stanąć, jak wylękły, mogę jęknąć na ten znój,
Mogę skrzepłą krwią rozpaczy o niebieski rzucić skłon,
Lecz tej dumy mi nie wydrze twój, szalony wichrze, gon!

III.

Pełzam nieraz, jak gadzina, śród bagnistych skryta łąk,
Jak potulne bydlę w jarzmie, tak swój twardy zgi- [nam kark
Nie śmiem wichrom spojrzeć w oczy, nie śmiem [wznieść ku chmurze rąk
I światłości niszczycielce cisnąć groźby z spiekłych [warg.

* * *

Nieraz patrząc, jak o skarby, które pośród krwawych [mąk
Zdobył wielki duch ludzkości, tłum szachrajski wie- [dzie targ,
Ledwie wzgardę mam na ustach, ledwie słowo, go- [dne ksiąg
Zniewieściałych trubadurów, ledwie łzawe krople skarg.

* * *

Nieraz — duszo nie kłam sobie! tych złowróżbnych [słuchaj tchnień,
Wiatr jesienny ci urąga! Do swej dawnej mocy wróć —
Nie wystarczy, coś posiała za ubiegłych, wiernych lat...

* * *

Zwiędnij, duszo! lub łzy swoje na płomienne gromy [zmień,
Skargi przemień w błyskawice i z wyżyny swojej rzuć
W to roisko karlich płazów, plugawiących boży świat.

Jan Kasprowicz.

K. ROJAN.

W ŚWIAT.

(Ciąg dalszy.)

Pozbawiony towarzystwa Smolarz przeniósł się do przedpokoju i ztamtąd przez rozwarte drzwi przyglądał się cały czas wirującym parom.

Podczas przerwy mężczyźni wybiegli do przedpokoju na papierosy.

Do Smolarza zbliżył się Dyniecki, zapalił cygaro od jego papierosa i rzekł, patrząc przez drzwi do wnętrza sali.

— Piękne masz pan kobiety w domu, jak Boga kocham.

— No, cóż.

— Ta Lola chwacka sobie dziewczyna, mama Borajska także niczego kobietka, a ta trzecia, jak się tam nazywa, ta... czarniutka, może nawet ładniejsza od tamtych. Taż tu panie można żyć jak Mahomet w siódmem niebie.

— Hm.

— W jakim ona pokrewieństwie z Borajskimi.

— Anulka, myśli pan?

— Ta czarniuśka, co tam siedzi pod lustrem; nie wiem, jak jej na imię.

— Tak, Anulka. Ona nie jest żadną krewną państwa Borajskich.

— A dla czego mieszka u nich?

— To moja siostra, panie. Nie mamy rodziców więc... ona tu jest zemną.

— A, tak.... to pańska siostra?... No proszę nic nie wiedziałem. Ładną masz pan siostrę.

— Hm — uśmiechnął się Smolarz i ruszył ramionami.

Dyniecki odrzucił niedbale cygaro za siebie na środek izdebki, między palących, splunął bez ceremonii w kąt i wszedł na salę. Tutaj odrazu z przesadnie niedbałego, umyślnie cynicznego w ruchach, słowie i spojrzeniu, zmienił się w obec kobiet w eleganta pierwszej wody.

Przysiadł się do Loli.

— Panie Dyniecki — przemówiła z pewnym pospiechem, promieniająca radością dziewczyna — zaraz będzie kolacya. Gdyby mama chciała posadzić pana wyżej przy stole, to niech się pan wyprosi i usiądzie niżej, obok Anulki.

— Dlaczego pani?

— Dla tego bo... bo ja będę musiała być mamie pomocną, a więc do stołu siadać nie mogę. Ale obok Anulki będzie wolne krzesło, przeznaczone dla mnie i dla matki na przemiany. Pan takie piękne rzeczy opowiadałeś mi w tańcu o Krakowie, że chciałabym jeszcze dalej słuchać...

— Życzenie pani jest dla mnie rozkazem — odrzekł Dyniecki, uśmiechając się i patrząc jej przenikliwie w oczy. — Lola spuściła wzrok na splecione ręce.

Pani Borajska ze wspaniałą wystąpiła kolacyą: Była tam pieczeń z dzikim sosem i włoskim makaronem, gęś pieczona z kompotami, szczupak na simno, słodka legomina z konfiturami, ciasteczka, cukierki, pomadki, pomarańcze, rodzynki, zagraniczne jabłka, dalej napitki, szwechackie piwo, dobre stare wino, słodkie wódki, owocowe nalewki i t. d. Żona radnego miasta, właściciela dwóch domów murowanych i sławnej na całą okolicę pracowni ślusarskiej, mogła pozwolić sobie na różnego rodzaju zbytki.

Podczas kolacyi siedział Dyniecki obok Anulki i żartował z nią wesoło. Kręcił gałki z chleba, układał z nich różne osobliwe zagadki, dopomagał w ich rozwiązywaniu, wypytywał się czem się w domu zajmuje, jak się jej w szkole wydziałowej powodzi, groził nawet, że pójdzie dowiedzieć się u pana dyrektora o jej zachowaniu i postępach w nauce. Po każdej zmianie półmisków przysiadała się do nich Lola i rozmawiała żywo z widocznym pospiechem, aby jak najwięcej wygadać się i nasłuchać, nim ją pani Borajska z krzesła usunie. Usuwanie to odbywało się dość często, bo i pani Marcysia miała nadobnemu młodzieńcowi również wiele do powiedzenia. Nie podobało się to wreszcie Loli, więc przy czwartej zmianie zauważyła, „że jest zmęczona i że chciałaby już raz trochę posiedzieć“. Jakiś niewyraźny syk i zjadliwe spojrzenie pani Borajskiej były odpowiedzią na tę uwagę.

Ostatnia powieść Jeske-Choińskiego.

(*Gasnące słońce.* Powieść z czasów Marka Aureliusza).

Półtora roku temu mniejwięcej, kiedy Sienkiewicz przystąpił do opracowania „Quo vadis“, wygłosiły pisma warszawskie zdziwionemu światu, że pan Teodor Jeske-Choiński, autor wielu studyów, powieści i dramatów, postanowił z twórcą „Bez dogmatu“ wystąpić do walki o palmę pierwszeństwa i przygotowuje do druku również powieść z pierwszych czasów chrześcijaństwa. W poważnych kołach literackich przyjęto tę zapowiedź obojętnie; za to obudziła ona wśród czytającej publiczności wielkie zaciekawienie. Zaczęto sobie opowiadać, że pan Choiński gruntownie studyuje Rzym Cezarów, że bawił podobno nawet k i l k a dni w stolicy świata, zwiedzał katakomby i wszystkie stare budowle, zbadał rozkład ulic, że nagromadził mnóstwo materyałów, a powieść jego zaciemni wszystko, co dotąd wydała literatura. Mimo tak rozległych i gruntownych studyów, przygotowania nie trwały długo i niebawem ukazało się w odcinku „Kuryera warszawskiego“ zapowiedziane arcydzieło: „Gasnące słońce. Powieść z czasów Marka Aureliusza“ i oto treść jego:

Do zwyrodniałej, grzęznącej w podłości i rozkoszy zmysłowej stolicy Cezarów, przybywa z kresów północnych przywódzca legionów, potomek jednej z najstarszych rodzin rzymskich, Publiusz Quintiliusz Warus, świetny wojownik, nieprzyjaciel zniewieściałości i zepsucia, wielbiciel bogów i cnót, które Rzym wyniosły na stanowisko królowej świata, mąż bez skazy, wierna odbitka Katona. Przybywa do stolicy, aby po krewnym Marku objąć krzesło konsulskie i wypocząć po trudach wojennych.

Ów krewny Marek jest żywem przeciwieństwem Publiusza, ucieleśnieniem zniewieściałego Rzymu, gardzącego cnotami przodków. Zepsuty filozofią grecką i otoczeniem, bluźni on bogom i naigrawa się z ich niemocy, noce całe spędza w złem towarzystwie wyuzdanych przyjaciół, heter i tancerek; Kochanek setek matron rzymskich, wyzwolenic i niewolnic, nie zna niczego prócz zabawy i rozkoszy. Ale rozkosze zaczynają go nudzić, bo przekosztował już wszystkie, a z ogromnej fortuny pozostały mu tylko zbiory dzieł sztuki, nagromadzone w pałacu, i nieprzeliczone długi. Widząc ostatki przed sobą, postanawia Marek ożenić się bogato i ubiega się o rękę córki Fabiusza, byłego adwokata, który w krajach pogranicznych germańskich zdzierstwem i rozbojem niesłychane nagromadził skarby. Za nabyte hańbą miliony, sprzedaje potomek królów albańskich dumne nazwisko przodków, a napomnienia Publiusza jak groch odbijają się od zwyrodniałej jego duszy.

W podobnem zupełnie położeniu znajduje się daleka krewna Kwintiliuszów, serdeczna przyjaciółka Marka, dzieląca we wszystkiem jego zapatrywania i upodobania, ale dbała o honor domu, Tullia Kornelia, czarująca, lecz pozbawiona wszelkich podstaw moralnych, młoda wdowa po starym prokonsulu. Marek radzi jej, poratować swe stanowisko przez małżeństwo z Publiuszem, a piękna wdówka przyjmuje z wdzięcznością radę przyjaciela, a znając zapatrywania wojownika, prawość jego i przywiązanie do starych zwyczajów, przybiera maskę poczciwej matrony, udaje wiarę w zapomniane i wzgardzone bogi, wyrzeka się nawet rozpustnego towarzystwa i ulubionych widowisk publicznych. Ale zabiegi były daremne. Publiusz domyślił się obłudy kuzynki, a całem sercem przywiązał się do mieszkającej z nią w jednym pałacu synowicy Mucyi, dziewczyny poważnej, rzecz dziwna — niezepsutej przez nauczycieli i otoczenie, jedynej czystej istoty w rozhulanym i zbydlęconym Rzymie. Jak ten cud sobie wytłomaczyć, mniejsza o to. Dość, że Mucya jest ideałem dziewicy. Cicha, pracowita, pobożna, litościwa i miłosierna, mogłaby za wzór służyć po wszystkie czasy.

Świetny i poważny wojownik — „pośród potworów tysiąca, jedyna dusza czująca“ — zdobywa, rozumie się, jej serce; ale z nie-

nawistną zazdrością spogląda na synowicę Tullia, która odgrywając swoją komedyę, ne seryo zakochała się w Publiuszu. Nienawiść rzymianki nie przebiera w środkach. Tullia postanawia zgładzić Mucyę pod każdym warunkiem i znajduje w krótce środek stosowny.

Ujęta litością, odkupiła Mucya od stryjnej katowaną za małe przewinienie nielitościwie niewolnicę — chrześcijankę i zachęcona jej opowiadaniami udaje się z nią na wspólne miejsce modlitwy i nawraca się od razu, pomimo że odpycha ją — namiętną patryotkę rzymską — wyznanie nie uznające stosunków rzymskich, rzymskiego porządku państwowego, zagrażające zniszczeniem ojczyźnie. Tullia dowiaduje się o wszystkiem przez swego szpiega i postanawia wydać synowicę w ręce sprawiedliwości, stawić ją przed sąd ukochanego Publiusza, który w tych dniach właśnie objął krzesło konsulskie. Według praw panujących zaś musiał pretor na chrześcian wydawać wyrok śmierci.

Równocześnie prawie z Publiuszem przybywa do Rzymu serdeczny jego przyjaciel, Germanin w służbie rzymskiej, Serwiusz, prefekt legionów na północnych kresach państwa, aby odszukać narzeczoną, Tusneldę, porwaną przez nieznanych ludzi i sprzedaną prawdopodobnie w stolicy. Dowiaduje się, że porwał ją Fabiusz, teść Marka, ale nim zdołał ją uwolnić, Tusnelda uciekła z lochów za pomocą pasztetnika-chrześcianina, schroniła się do katakomb i została chrześcianką. Przy obławie, urządzonej przez władze, za wskazówką Tullii, narzeczona Publiusza i Tusnelda dostają się w ręce pretoryanów.

Wiadomość ta jak grom spada na nowego pretora i jego przyjaciela. Chrześcian schwytanych czekała śmierć, jako zdrajców stanu, podkopujących porządek państwowy rzymskiego świata, a wyrok śmierci miał wydać nietylko na ukochaną dziewicę, lecz i narzeczoną przyjaciela Publiusza. Namowy, aby Mucya dla pozoru chociażby tylko wyparła się Boga chrześcian, pozostają bez skutku i wyrok śmierci zapada. Dumny Serwiusz rzucił się w rozpaczy pod nogi Cezara, miłosiernego filozofa, ale Marek Aureliusz nie zniósł okrutnego wyroku. Szalony z bólu Germanin odbija przemocą prowadzone na stracenie dziewice, chroni się z niemi do ojczystych lasów, a Romie przysięga zemstę krwawą. Poznał podłość jej i słabość, i nie wątpił, że własnemi jej środkami, armią wyćwiczoną na wzór legionów, zdepce ją i zgładzi ze świata.

Przygotowawszy i wyćwiczywszy ogromne wojsko, rzuca się na kraje pograniczne, rozbija w puch legion wysłanego przez cezara przeciw najazdowi Publiusza i na czele nieprzeliczonych hufców dociera do Akwilei. Zadrżał Rzym i zachwiał się w swych posadach, ale wysłańcom Cezara udało się skłonić króla Markomannów do zawarcia przymierza i Serwiusz, opuszczony przez sprzymierzeńców, cofnął się za Dunaj.

W roku przyszłym nowe hufce Germanów wpadają w ziemie cesarstwa. Marek Aureliusz sam stanął na czele legionów, a gdy stracił głowę, Publiusz, oszczędzony przez Serwiusza w zeszłorocznej bitwie, obejmuje komendę. Armeńczycy, wyznający Chrystusa, i burza cudowna zapewniają zwycięstwo Orłom rzymskim. Serwiusz, zraniony, każe dobić się niewolnikowi, aby nie dostać się do niewoli imperatora. Pada w bitwie także Mucya; uciekłszy z opieki Germanów, znalazła ona przed rokiem Publiusza rannego na polu bitwy, a następnie przebrana w męzkie szaty, zajmowała się leczeniem rannych w bitwach z Germanami. W walce ostatniej dosięgnął ją pocisk śmiertelny.

Na końcu drugiego tomu tłomaczy się autor przed czytelnikiem, dla czego wiele technicznych słów specyalnie rzymskich, zastąpił polskiemi, pisał „droga“, a nie „via“, „brama“ a nie „porta“ itd. Niestety, zapomniał wytłomaczyć, dla czego także ducha rzymskiego zastąpił nowoczesnym. Byłoby to, bodaj więcej na miejscu.

Na powieści jego ciąży klątwa, ścigająca niemiłosiernie lekkomyślne przedsięwzięcia i płytkie umysły. Nie dość wybrać za przedmiot opowiadania Rzymu Cezarów, nakreślić kilka charakterów i nadać im rzymskie nazwiska, nie dość opisać stroje pań i panów rzymskich, uczty cezarów, igrzyska publiczne i odarte tłumy wołające chleba i igrzysk. Nie nazwy i opisy zwyczajów stanowią o dobroci powieści historycznej — wszystkiego tego lepiej się dowiemy w pierwszym lepszym podręczniku — lecz o to chodzi, aby powieść była wiernem odbiciem opisywanych czasów i ludzi, aby autor wmyślił się w położenie i stosunki, przejął się duchem czasu i świata, którego obraz roztacza przed oczyma czytelników. Tego warunku Jeske-Choiński niedopełnił; — ludzie jego powieści ubrani są w maski rzymskie, ale myślą jak śmiertelnicy dzisiajsi najświeższego stempla.

Rzym cezarów zepsuty był do gruntu, nie znał cnót dawnych domowych i rycerskich, zniewieściał i spodlił się, ale pozostał zawsze mimo pokrewieństwa z naszym fin de siècle'm, rzymskim i nie stracił jemu samemu tylko właściwych a tak wybitnych znamion.

Nie stracił przedewszystkiem wewnętrznego spokoju i powagi zewnętrznej, wrodzonej i wychowanej a spotęgowanej poczuciem siły. Spokój ten i pewna równowaga zewnętrzna, przejawia się w języku i sposobie wyrażenia; że zaś można ją uwydatnić, a równocześnie pisać prześlicznie po polsku, dowiódł Sienkiewicz w Antei i „Quo vadis“. Tak roztrzepanym językiem jak Marek Kwintiliusz, Luciusz Werus i tylu a tylu innych, tak rozwlekłym jak Serwiusz lub Lucyan, przemawiają chyba dekadenci i krytycy ich nad Sekwaną lub Wisłą.

Nie zrozumiawszy dostatecznie natury rzymskiej, nie mógł też autor oddać jej należycie. Stąd też charaktery jego dziwnie rażą czytelnika żądającego prawdy, mianowicie cała postać wyidealizowanej do niemożliwości Mucyi, narzeczonej Publiusza. Gdyby autor nadał był jej chrześciańskie imię i umieścił na tle chrześciańskiego życia, mógłby być zadowolonym ze swego dzieła. W Rzymie cezarów jest ona niezrozumiałą. Poganka, wychowana pośród wyuzdanego do ostatnich granic społeczeństwa, widząca od lat dziecięcych nierząd wokoło siebie, w mieście i domu Kornelii, słysząca tylko naigrawania z bogów, w mieście gladyatorów i krwawych igrzysk publi-

---

Kolacya trwała do północy. Po mnogich a długich toastach, na zdrowie i powodzenie wszystkich rodzin obecnych przy wieczerzy, na zdrowie i powodzenie ich rodziców, ich krewnych, powinowatych i sąsiadów, prześli goście do bawialnego pokoju, gdzie rozpoczęły się tańce na nowo. Dopiero nad ranem, gdy już znużenie poczęło starszych ogarniać, młodzież, mimo widocznej niechęci musiała kapitulować.

Mistrz Storch, któremu Borajski na wniosek Ranieckiego i innych poważnych sąsiadów szepnął coś na ucho, zabębnił na fortepianie marsza pożegnalnego i powstał z krzesła.

Był to znak, że zabawa skończona.

W ślad za tem gościnny dom państwa Borajskich począł się wyludniać. Kobiety otulone w chustki żegnały się w przedpokoju, ojcowie brali na ręce rozespane dzieci; jedna rodzina znikała po drugiej i wkrótce potem mieszkanie, wyglądające jak łan podolski po tatarskim najeździe, wyludniło się zupełnie.

Pani Borajska zajęła się jeszcze porządkami, dziewczęta zaś poszły spać do czwartego pokoju.

Ale sen, po takiej zabawie, po tylu różnorodnych wrażeniach odniesionych w tak krótkim czasie, w kilku zaledwie godzinach, nie prędko ima się powiek.

Lola mimo widocznego zmęczenia o spaniu nie myślała.

Była ona dziwnie wzruszona, rozstrojona, rozmarzona. Zamiast rozplatać złoty warkocz, zamyśliła się i podeszła do okna.

Tam na dworze świecił księżyc. Kąpał swe promienie w śniegu i od jego oślepiającej bladości sam wysrebrzał. Olbrzymi, jakby z papieru wycięty, nadzwyczajnie jasny, miał w sobie coś zwodniczego, omamiającego, coś ze spojrzenia bazyliszka.

Rozmawiał w tej chwili z osób setkami, co słały ku niemu przeróżne myśli, brzemienne w skargi, żale, smutki lub wesele i ukojenie.

I Lola wytężyła ku niemu wzrok, który leciał i leciał zda się bez końca, aż ugrzązł na skalistych, martwych, poszarpanych wzgórzach, które do koronkowej roboty z litego srebra były podobne. Pod wpływem czarodziejskich promieni oczy jej codzienne, zwyczajne, zwolna się przemieniały: zwarły się, zmiękły, zaszły mgłą rozrzewnienia.

I rozpoczęła się między nią a starym zwodzicielem, zimnym powiernikiem myśli dziewczęcych cicha rozmowa.

— Może ty kochasz dlatego — pytał on podstępnie, że pragniesz posiąść jego majątek?

— Nie!... on taki śliczny! — odpowiada Lola z westchnieniem.

— Może chcesz mieszkać w domu jego rodziców, gdzie na niczem ci zbywać nie będzie? Ze będziesz miała salony, sług mnogo, piękne stroje i konie do wyjazdu?

— Nie!... on taki śliczny!

— A może ty Lolu kochasz go dla tego, że będzie on kiedyś doktorem, że przez wyjdziesz z tej sfery gdzieś się urodziła i poznasz świat inny, wyższy, którego dziś jeszcze nie znasz, a który jest właśnie przez to, że go nie znasz, dla ciebie tem ponętniejszy?

— Nie!... on taki śliczny!

— A może ty go nie kochasz i tylko tak się tobie wydaje, żebyś bez niego żyć na ziemi nie mogła?

Na to odpowiada Lola z całego serca, z głębi swej duszy, odpowiada każdą falą krwi co jej do skroni bucha, każdem drgnieniem powieki i łzami dwiema, które z pod powiek się wydostały i lśnią się niby brylanty w świetle księżyca i splecionemi kurczowo przed sobą rękami, odpowiada:

— Ach!... on taki śliczny!...

Anulka, która się dotąd jak mysz z kąta w kąt snuła po pokoju, składając sukienki, ścieląc łóżka, mówiąc pacierze, podeszła teraz do Loli i zapytała z cicha:

— Czemu się nie rozbierasz Lolu:

Lola pociągnęła ją ku sobie, zarzuciła jej ramiona na szyję zwiesiła głowę i wyszeptała zmienionym głosem:

— Anulka... jakże mi słabo.

— Możeś ty chora?

— Nie, nie. Już nic.

— Więc ty go może naprawdę pokochałaś?

— Ach, tak, ja go kocham naprawdę.

— Bójże się Boga, tylko nie mów nic pani o tem, bo... byłoby nieszczęście.

Wspomnienie o „pani“, przywiodło my-

cznych, posiada serce czyste i litościwe, jak nasza parafianka, czystą jest i skromną jak westalka z czasów rzeczypospolitej, a pobożną jak zakonnica. Z nieprzebranego kału otoczenia żaden pyłek nie przylgnął do jej duszy. Cud to nie do wytłomaczenia. Równie nieprawdopodobnie — z rzymskiego punktu widzenia — przedstawiają się wszystkie inne postacie Jeske-Choińskiego. Najwięcej stosunkowo jeszcze zbliżają się do rzeczywistości postacie Publiusza i Serwiusza, chociaż rażą zbytniem idealizmem.

Nie obliczył sił swoich Jeske-Choiński, zabierając się do skreślenia obrazu stosunków rzymskich. I większym od niego nie zawsze się udało wsłuchać się w tętno rzymskiego życia, uprzytomnić sobie charakterystyczne jego znamiona, przedstawić je zgodnie z rzeczywistością.

Ale i pod względem czysto technicznym nie należy „Gasnące słońce“ bynajmniej do arcydzieł literackich. Mógł był Jeske-Choiński wiedzieć o tem, że powieść historyczna jest epopeją w prozie, że powinna być prostem opowiadaniem, rozwijającem się własną siłą, objektywnem przedstawieniem wypadków, które same za siebie mówić i same charakteryzować się mają. Osobistość autora, należącego do innych zupełnie czasów, przemawiającego w myśl nowych pojęć do niej nie należy, bo odbiera jej nieodzowną jednolitość i zaciera charakterystyczne cechy czasu.

Ale pan Choiński nie jest powieściopisarzem lecz rezonerem. Nie zna on tak dokładnie stosunków a mianowicie natury rzymskiej, aby umiał przedstawić je podchwytnie; z drugiej zaś strony nie chciał pozostawić czytelnikowi samodzielnego sądu o Rzymie cezarów. Pragnął on wykazać całą nędzotę moralną i fizyczną władczyni świata, niższość pogańskiego społeczeństwa od chrześcianizmu i dowieść, że przyczyną upadku był brak wiary w Boga, nieuszanowanie dla religii. To też nie dość mu było, wkładać swoim bohaterom w usta zdania i pojęcia, o jakich się nie śniło starożytnemu światu, uwagi krytyczne, jakie na myśl mogą przyjść tylko człowiekowi spoglądającemu z góry na czasy cezarów, jak na czasy minione, ale nie odmówił sobie też przyjemności, krytykowania stosunków na własną rękę wplatania do powieści długich rozumowań, objaśnień i uwag, które nie mogą się nawet poszczycić zaletą oryginalności. Wieczne to rezenowanie, wtrącanie pogardliwych określeń władców starożytnego świata, przypominające na każdym niemal kroku niepotrzebną wcale w powieści osobę autora, nietylko nadaje całemu obrazowi za żywy koloryt, ale co gorsza jeszcze, rozrywa akcyą i odbiera powieści — mianowicie w I. tomie — pożądaną jednolitość. Tom ten pierwszy, zawierający charakterystykę ludzi i stosunków rzymskich, jest zupełnie chybiony. W tomie drugim natomiast znachodzą się całe rozdziały wcale nie złe, mianowicie te, które zawierają opisy przygotowania do wojny, i przedstawienie bitew. Przebija się w nich jakby echo znanej powieści Dahna z czasów walczącego Rzymu: „Der Kampf um Rom“.

Nie możemy skończyć niniejszej oceny, nie porównawszy chociażby zupełnie pobieżnie tylko „Gasnącego słońca“ z powieścią Sienkiewicza. Rzym cezarów jest i pozostanie po wszystkie czasy epoką przyciągającą magicznie ludzkie umysły i ulubionym tematem powieści. Zawiera on wszystko, czego tylko życzyć sobie może wyobraźnia pisarza: tragiczną zgrozę walącego się państwa i upadającej cywilizacyi, przepych niezrównany a obok niego nędzę nieopisaną, obraz rozhukanych namiętności, żądz nienasyconych i znudzenia rozkoszą, zgrozy gwałtu, brutalności, nienawiści i okrucieństwa, a obok tego cichą pokorę, bierne cierpienia i zapał prześladowanych chrześcian. Przedewszystkiem zaś jest on epoką przejściową, jakich mało liczy historya świata, epoką, w której dokonała się najradykalniejsza w dziejach ludzkości rewolucya, powolna zmiana poglądów pogańskich na wręcz przeciwne chrześciańskie. Ta obfitość diametralnych przeciwieństw, borykanie się jednej potęgi moralnej z drugą i towarzyszące tej walce łamanie się charakterów stanowi równocześnie największą trudność dla pisarza, podejmującego się opisu tych czasów.

Henryk Sienkiewicz obrał sobie w „Quo vadis“ za zadanie przedstawić właśnie tę walkę pogańskiego świata z budzącym się chrześcianizmem. Nauczył się patrzeć na Rzym oczami Rzymianina, przemawiać językiem Rzymian i myśleć po rzymsku; spokojnem, beznamiętnem piórem, nie oglądając się na nikogo, nie troszcząc się o żadne względy, kreśli on na białej karcie postacie z czasów Nerona, każe im myśleć, mówić i działać. Nie opisuje, nie tłomaczy stosunków, jak Jeske-Choiński; skreślone przezeń charaktery swojem własnem postępowaniem rzucają właściwe światło na społeczeństwo po za niemi stojące — i na białej karcie zarysowuje się samo przez się, tło ponure życia i ludzi,

W pośrodku obrazu stawia autor młodego patrycyusza, nie różniącego się w niczem od swego otoczenia, poganina nie wierzącego w bogów, zamiłowanego w pięknie i rozkoszy. I Vinicius zakochuje się w zakładniczce lygijskiej z królewskiego rodu, chrześciance. Pragnie ją pozyskać na kochankę, niewolnicę i gwałtownie, jak każdy inny z współczesnych, dąży do celu. Ale napotyka na opór; od pożądanej kobiety dzieli go przepaść zapatrywań i poglądów etycznych. Trudności i niezaspokojona żądza potęgują namiętność jego. Odnajduje ją przez swego szpiega, aby ją porwać przemocą i unieść do domu, ale pada pod ciosem herkulesowego jej obrońcy, prześladował Lygię i chciał gwałt jej zadać, a dostawszy się w ręce chrześcian, sądził, że odpłacą mu gwałtem za gwałt, nienawiścią za nienawiść; spodziewał się śmierci, a znalazł miłość i przebaczenie. Tego poganin pojąć nie potrafi; miłość chrześciańska, przechodząca granice jego pojęcia, obala dotychczasową równowagę duszy rzymskiej. Zarysował się w sercu jego niewzruszony dotąd gmach wyobrażeń i poglądów na świat, a przez rozwarte szczeliny kropelka za kropelką przesącza w długich i ciężkich przejściach duch chrześciański.

Nie wiem, czy istnieje coś trudniejszego jak przedstawienie tak radykalnej zmiany w zapatrywaniach i naturze ludzkiej, jaka prowadziła od poganizmu rzymskiego do

---

śli rozmarzonego dziewczęcia do rzeczywistości.

— Macosze?!... no! — ruszyła hardo ramionami i otrząsła się zupełnie z dziwnego wrażenia — chodźmy spać a opowiem ci wszystko, o czem rozmawialiśmy w tańcu oboje.

Gdy w panieńskim pokoju oba dziewczęta zwrócone twarzami do siebie, oparte na łokciach szepcą sobie poufałe zwierzenia, zamiast wypoczywać po trudach w śnie błogim — w przeciwległym rogu mieszkania w swoim pokoiku Franciszek Smolarz także zasnąć nie może.

Jakaś przykra mara go nawiedziła i odejść w żaden sposób nie chce, choć jej serdecznie na rozum tłómaczy.

— Czego chcesz, ty głupia maro odemnie, idź sobie precz. Co mnie do panny Loli? Co ona mnie obchodzi? Co mnie zresztą obchodzi ten tam — panicz Dyniecki? Tfy! Niech szczeźnie i on i jego taniec z moich oczu, żebym ich nigdy więcej nie widział. Pojadę sobie daleko i zapomnę zaraz że była jaka panna Lola na świecie. Bo w końcu, choćby nawet wyszła za Dynieckiego, to czego ja mam za nią żałować? Czy ja jej brat, czy swat, czy co takiego?... Tfy, także jakieś dziwne rozmyślanie, ni w pięć, ni w dziewięć. Bo pytam się, co mnie ona w końcu obchodzi? Pojadę sobie do Pragi, zacznę pracować i zaraz zapomnę, że była jaka panna Lola na świecie. A choćby nawet za niego wyszła — to cóż z tego? Niech szczezą i on i ona, niech szczezają oboje razem, kiedy się sobie spodobali... A ja pojadę do Pragi.

Takie myśli kręciły mu się po głowie wciąż w kółko: od Dynieckiego do Loli, od Loli do Pragi, od Pragi do Dynieckiego, od Dynieckiego znowu do Loli. Myśli te były coraz dziwniejsze, jakieś senne, zmęczone, przykre, ciężkie, bolesne...

Na drugi dzień wstał Franciszek Smolarz z zawrotem głowy. W warsztacie, podczas rozdzielania pracy między czeladź roboczą, i rozdawania sztab żelaznych oraz blachy na okucia, rozmyślał potrosze o własnych sprawach — a gdy czynność rozdziału ukończył, oglądnął roztropnem spojrzeniem podróżny swój kuferek na wszystkie strony i uznał, że dla bezpieczeństwa w drodze, należałoby sklepowy zamek wyrzucić, a natomiast przybić inny, jego własnego wynalazku.. zamek taki, któregoby żaden złodziej, żeby niewiedzieć jaki sprytny, otworzyć nie potrafi.

Zabrał się też zaraz do tej roboty.

VII.

Przez kilka dni następnych, w domu Borajskich trwała między Lolą a macochą bezustannie podjazdowa walka.

Dziewczyna, napadana dla byle jakiej przyczyny, karcona, napominana, odcinała się zjadliwie i drwiła w żywe oczy z pani Marcysi. Borajska słabszą obdarzona od Loli inteligencyą, a grubszymi instynktami, nie umiała używać zaczerpniętych z książek porównań, przenośni, sarkastycznych zwrotów i w ogóle sztuki mówienia z taką jak ta dosadnością i pewnością siebie. Czując więc przewagę Loli w szermierce słownej, mściła się na niej w inny sposób, łatwiejszy i dogodniejszy dla płytkich umysłów, a tem przykrzejszy dla tych, co widzą nad sobą przemoc brutalnej siły, z którą logika i szlachetne uczucie do ładu nigdy nie dojdą. Pani Borajska, podrażniona, była nieubłaganą, mściwą. W braku uzasadnionych przyczyn, wynajdowała błahostki, mogące stanowić powód do łajania i przezywań, a przezwiska te były nieraz tak pospolite i obelżywe, że do żywego mogły wrażliwą zranić naturę. Lola odcinała się i wybuchała często wesołym śmiechem, który jeszcze bardziej drażnił macochę, lecz była to wesołość zazwyczaj sztuczna, na dnie jej bowiem tkwiło głębokie rozgoryczenie i smutek.

Lola płakała często w osamotnieniu.

W gruncie rzeczy była to dodatnia natura, aczkolwiek zbyt może samowolna, kapryśna, zbyt przez ojca, dawniejszemi laty, rozpieszczona. Z jednej więc strony umiała Lola dobrych ludzi kochać i być im za przyjazne słowo wdzięczną, słabszych brała w obronę, współczując z ich niedolą — ale przeciw niesprawiedliwości podnosiła hardo głowę. Płakała nieraz, przed ojcem jednak nie żaliła się nigdy mimo, że macocha często na nią skargi do Borajskiego zanosiła.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

chrześciaństwa, a nie znam też nikogo, ktoby lepiej się z zadania wywiązał od Sienkiewicza, tak zręcznie i z taką subtelnością rzwiązał ten trudny węzeł psychologiczny. I Jeske-Choiński czuł, że jego obraz Rzymu byłby nie kompletnym, gdyby brakowało w nim nawróconego poganina i opisał dla tego nawrócenie Mucyi, narzeczonej Publiusza. Ale czytelnik nie widzi wszystkich szczegółów walki psychicznej, połączonej ze zmianą zapatrywań. Nawrócenie odbywa się bez przygotowania i raptownie, jak zmiana sukien. Mucya poznaje wiarę chrześciańską przez swą niewolnicę, udaje się z nią na miejsce modlitwy, a wysłuchawszy politycznej mowy Minucyusza Feliksa i uporawszy się z wątpliwościami patryotycznej natury, zostaje chrześcianką. Ułatwił sobie zadanie Choiński, nadając jej od samego początku wszelkie cnoty chrześciańskie, ale też nie wyjaśnił niczego.

Poruszymy tylko jeszcze punkt jeden. Społeczeństwo rzymskie Sienkiewicza charakteryzuje się samo przez swe postępowanie. Czytelnik znajduje się w roli widza, spogląda z daleka na świat i na ludzi, poznaje ich i wyrabia sobie sąd o nich i nie odczuwa wcale potrzeby komentarza w rodzaju Baedekera. Jeske-Choiński w gadatliwości swojej zasypuje swych czytelników tysiącem uwag, objaśnień i opisów, a jednak świat przezeń nakreślony nie przedstawia się jasno. Ileż zadał sobie trudu, aby uprzytomnić i uplastycznić stanowisko rzymskich niewolników. Opowiada, jak Tullia za drobne przewinienia czeszącą włosy niewolnicę kłóła śpilką, jak inną kazała ochłostać, jak Fabiusz do lochu ciemnego rzucił Tusneldę itd., aż do znudzenia. Sienkiewicz nie traci słów na długie opisy i objaśniające komentarze. Pokazuje tylko, jak Vinicius, rozgniewany na niewolnika, swego niegdyś piastuna, roztrzaskał mu czerep lichtarzem, ponieważ pozwolił wydrzeć sobie Lygię przemocą. Jeden rys lapidarny i sytuacya jest wyjaśniona.

Sienkiewicz opisuje Rzym Nerona jak spółczesny świadek dla spółczesnych, jak znający dokładnie stosunki dla obeznanych z niemi, nie bawi się w objaśnienia, nie wychodzi myślą po za świat, którego obrazem ma być jego powieść i dla tego właśnie tworzy arcydzieło. Jeske-Choiński zaś jest tylko histryonem, który za opłatą zobowiązuje się bawić „szanowną publiczność" opisem Rzymu bez czarów, czerpie nic z swej duszy, nastrojonej do tonu rzymskiego świata, lecz z przeróżnych książek i podręczników, uważa za konieczne wytłomaczyć publiczności wszystko, co samemu wydaje się dziwnem, i olśnić ją bogactwem własnych rozumowań. Oto kardynalna różnica pomiędzy autorem „Gasnącego słońca" a twórcą „Quo vadis".

Z. Oleski.

Dziwak-poeta.

(Aristide Bruant).

Północ, może później. Bulwar Rochechouart, w połowie wzgórza Mortmartre leżący, prawie pusty. W kawiarniach powoli gaszą światła. I tam, pod Nr. 84, gdzie spodziewaliśmy się znaleźć zgiełk i wrzawę, zastajemy drzwi zatarasowane. A jednak to tu siedlisko poety, piosenkarza, szynkarza. Dzwońmy więc. Przez małe w drzwiach okienko ukazuje się za chwilę oko, patrzy na nas, poczem chowa się, a jakaś przyjazna ręka otwiera nam drzwi. Wchodzimy więc, a na wstępie sypią się na nas obelgi, podchwytywane chórem przez zebraną publiczność. „Qué gueules, qué vinettes" (co za mordy, co za ślepie)! Możemy jednak słów tych nie brać do serca; wymysły te należą do programu i dostają się każdemu wchodzącemu. Wyrafinowany paryżanin z eleganckiego świata, jak ostrą przekąską, rozkosztuje się wymysłami temi, padającemi z ust obdartych śpiewaków i obdartej przeważnie publiczności. Jeśli mamy miejsce, siadajmy, zażądajmy nawet piwa, którego lepiej nie pić — złe piwo podają tu też dla zasady — patrzmy i słuchajmy.

„Buda" Bruant'a jest niewielka. Dwa małe pokoiki, gęsto zastawione zwykłemi drewnianemi stołami i stołkami. W jednem miejscu na niewielkiej estradzie pianino, tuż obok szynkwas, z poza którego roznoszą piwo. Mimo dymu, który gęstą chmurą przenika całą knajpę, widać, że ściany szczelnie pozawieszane rysunkami i malowidłami. Przeważna ich część, to ilustracye do piosenek Bruanta: wszystkie jednak tematy z tego samego źródła pochodzą: świat dziewczyn ulicznych, suterenów, bezdomnych nędzarzy, wielkie miasto podziemne i zwykle nieznane spogląda na nas z tych rysunków, rzucanych szerokiemi liniami. Publiczność najróżnorodniejsza. Trochę artystów z dziewczynami — ich to przecież jest dzielnica. — jakie studenckie wesołe grono, przybyłe ze swego quartier latin na drugim końcu miasta, czasem eleganckie towarzystwo z okolic St.-Germain, czasem kilku cudzoziemców, trochę prawdziwej cyganeryi, trochę i zwykłych przechodniów. Pomiędzy stołami, zaczepiając żartem i drwinami siedzących, przechadzają się mistrz i jego uczniowie. Uczniowie nieosobliwi, niczem nieodmienni od zwykłych „artystów" z cafés chantants, ale mistrz! Postać to na wskroś oryginalna. Wysoki, tęgi, odziany w palone buty, krótkie spodnie, aksamitną kurtkę i nieodłączny na szyi szalik czerwony; twarz bez zarostu, ruchliwa, jak u aktora, oczy duże, wyraziste.

Nagle akompanjator siada do pianina. Bruant wchodzi na estradę. Słuchajmy. Nie jest to ani śpiew, ani deklamacya, ani mowa zwykła. To wszystko łączy się w jeden odrębny rodzaj, jedynie właściwy do traktowania piosenki. Spotyka nas jednak zawód: oto acz dykcya jest doskonała i wyraźna, rozumiemy bardzo niewiele. Brzmią jakieś nieznane, obce słowa, o których istnieniu we francuskiej mowie nie wiedzieliśmy dotąd. Nawet najbardziej symboliczne romanse nie zaznajomiły nas z niemi. Bo piosenki Bruanta dla nowej swej treści poszukały nowego języka i pisane są w żargonie paryskim, w gwarze uliczników. Utrudnia to, obcym zwłaszcza, rozumienie ich w pierwszej chwili. Pozostaje nam więc śledzić tylko mimikę i głos. Bruant jest bowiem również doskonałym wykonawcą. Powoli, acz wiele słów ginie dla nas, przygnębiony dźwięk jego głosu, jednostajny rytm piosenki przejmują nas smutkiem.

Na końcu każdej zwrotki powtarzający się „refrain": A Saint-Lazare, pozwala nam potrochu domyślać się treści. Oto dziewczyna publiczna wzięta przez policyę do szpitala z ulicy, pisze list do swego kochanka. Żaden jeszcze poeta nie ośmielił się uświęcić poezyą takiej miłości, Bruant uczynił to zuchwale, bez przesady i stworzył prawdziwą perłę.

Brzmi piosenka smutna, pełna szczerego bólu, bez szczypty teatralnej przesady i sentymentalizmu, brutalna i bolesna, jak to życie, z którego jest wzięta.

Lecz oto Bruant kończy, piosnka urywa się na pożegnaniu wybuchają oklaski zasłużone. Uczniowie jego obchodzą stoły z garnuszkiem w ręku, każdy rzuca po parę sous. I grosze te przyczyniły się do wcale już pono pokaźnego majątku poety. Częstują nas również wydaniem dzieł Bruanta. Warto je kupić. Dwa tomy te pod wspólnym tytułem: „Duns la rue" — oto dorobek poetycki, który, mimo czysto lokalnego charakteru, rozniósł imię Bruanta za Paryż i Francyę i za inicyatywą Coppée'go otworzył mu wstęp do tak „szanującego" się towarzystwa literatów, jak Société des gens de lettres".

„Dans la rue" — świetny to tytuł dla piosenek Bruanta, który natchnienie swoje czerpie z ulicy, z tych, którzy po za ulicami i zaułkami nie mają nic. Świat najniższej kategoryi ulicznic, sutenerów, proletaryatu, przez atawizm może więcej niż przez warunki skazanego na nędzę i zbrodnię, nie ma dla niego tajemnic. Zna wszystkie jego typy. wie czem się różni dziewczyna z Montparnasse od innej z Batignolles; życie tych ludzi, ich uczucia i bóle znajdują w nim niewytwornego, ale szczerego do brutalności i wzruszonego śpiewaka. A dziedzina ta nie jest znów ani małą, ani niegodną uwagi. Pod przepychem wielkiego miasta, pod walką, która się toczy o posiadanie, pod protestem niezadowolonych, jest cała falanga niezdatnych do niczego, niepragnących niczego, pędzących wśród społeczeństwa życie luźne, dopóki więzienie, eksportacya, lub gilotyna końca mu nie położą. Sprawozdania komisarzy policyi i sędziów śledczych dają obfity materyał do charakterystyki tego świata; samo jego istnienie pomimo społeczeństwa jest dla tegoż szkodą i groźbą, a jednak nie zdobyło się ono na nic więcej, nad więzienie i kary. Wśród tych urodzonych skazańców, ledwie do czasu znoszonych przez prawo (domy publiczne urzędownie nazywają się domami „tolerowanemi"), Bruant umie odszukać i wypowiedzieć uczucia głębokie, ogólno-ludzkie, nawiązuje ze słuchaczem swoim odrazu tajemną nić współczucia dla wszystkiego co cierpi po ludzku: piosenka jego nietylko zachwyca nas, lecz wzrusza. W tem jego sztuka i potęga talentu. W tem też tajemnica wielkiej popularności Bruanta: piosenki jego są dzisiaj w ustach ludu; chłopak, rozwożący mleko, śpiewa mi co rano: Vivent les dos, v'là les dos!.

Skoro mowa o Bruant'cie, nie można milczeniem pominąć rysownika, który szkicami swemi ozdobił wydanie dzieł poety. Steinlen jest świetnym pejzażystą ulicy; przy każdem oświetleniu, przy każdym tłumie, potrafi spostrzedz i uwydatnić jej zasadniczy rys. Stworzył też szereg ilustracyi, tak znakomicie dopasowanych do treści, że niewiadomo nieraz, czy piosnka, czy rysunek najpierw powstały. Kupmy więc oba tomy Bruanta.

Zabieramy się do wyjścia. Ta sama ceremonia wymysłów powtarza się bez zmiany, nieco ciszej tylko, bo gości już ubyło. Po chwili znajdujemy się na ulicy, drzwi szybko zamykają za nami. Zwracamy się ku domowi. Bulwar po jednej stronie zupełnie pusty, ciemny, bo połowa latarni już zgaszona. Po przeciwnej stronie koło latarni snuje się kilka obdartych postaci w łapciach na nogach i czapkach na głowie. Przed chwilą słuchaliśmy pieśni, widzimy teraz bohaterów. Idźmy śmiało — jest nas kilku.

Lud. Bruner.

Jerzy Brandes o Polsce.*)

I.

Znakomity krytyk duński Jerzy Brandes poświęcił kwestyi polskiej obszerne stu-

*) P. t. „Indtryg fra Polen" (Wrażenia z Polski) wyszło w Kopenhadze interesujące dzieło

dyum, zaopatrzone wymowną dewizą „m a l g r é t o u t!“ Przedmowę rozpoczyna słynny autor w słowach następujących:

„Książka moja opisuje walkę, jaką toczy Polska o zachowanie bytu narodowego po utraceniu jedności i niezawisłości państwowej, przemocą wydartej. Czytelnik duński mógłby sądzić, że kraj tak daleki i naród mniej nam znany niewiele budzi interesu. Jednakowoż pomiędzy Polską a Danią, pomiędzy wypadkami jakie zaszły w ostatniem stuleciu u nas i w Polsce, wiele znajduje się podobieństwa. W roku 1814 oderwano od nas Norwegię, w roku 1864 Szlezwik, — równe więc poniekąd przechodzimy z Polską koleje“...

Książka Brandesa obejmuje około 400 stronnic druku, formatu ósemki, traktuje w pierwszej części o życiu społecznem i politycznem Polaków pod zaborem rosyjskim i pruskim, w drugiej omawia nasz ruch literacki i artystyczny. Poniżej podajemy przegląd interesującego dzieła i poszczególnych rozdziałów części pierwszej.

Autor opisuje na wstępie wrażenia z podróży, stosunki graniczne, Warszawę, jej fizyognomię zewnętrzną, stosunki językowe i teatralne, rusyfikacyę i rozporządzenia administracyjne. W rozdziale następnym poświęca kilka uwag historyi naszej i rozpisuje się o charakterze narodowym, dalej o stosunku Polaków do Francuzów, o sile odporności narodowej, dążeniach wszechpolskich, stosunkach wyznaniowych i partyjnych. Osobny rozdział jest poświęcony wydalaniom Polaków z granic państwa pruskiego, osobny polskiej kobiecie (De polske Koinder). Dalej mówi o ideałach naszych, cnotach i wadach, wychowaniu, demokratach, partyi socyalistycznej i wolnomyślnych.

Nadzwyczaj interesującem jest to, co powiada o systemie rosyjskim, o publicznych zabawach, uroczystościach, życiu towarzyskiem i atmosferze dusznej, panującej wszędzie.

Jak wiadomo, miał Brandes w Warszawie odczyt o literaturze polskiej. Starania, jakich się podjął w celu uzyskania pozwolenia do tego odczytu, zaznajomiły go z cenzurą rosyjską. Zawdzięczamy okoliczności tej znakomitą charakterystykę tejże. Rozdział: „Jak się pisze i mówi pod cenzurą?“ jest jednym z najbardziej interesujących. Na uwagę zasługuje i to, co Brandes pisze o skutkach moralnych, jakie stan rzeczy wywiera na młodzież, a ciekawe są również końcowe uwagi znakomitego autora o kwestyi odbudowania Polski.

W drugiej części dzieła poświęconej sztuce i literaturze polskiej, sięga Brandes czasów Skargi i Kochanowskiego, a kończy na najnowszych zjawiskach literackich, usiłując rozwój literatury polskiej przedstawić w ramach literatury europejskiej. Znajdujemy tam w tłómaczeniu duńskiem całe ustępy z dzieł Słowackiego, Krasickiego i Mickiewicza.

Zmysł krytyczny, zdolność spostrzegawcza i obrazowe uogólnienie zjawisk psychicznych, — przymioty, któremi umysł krytyka duńskiego w wysokim stopniu się odznacza i które zjednały Brandesowi sławę europejską, — wszystko to znajdujemy w jego książce. Dzieło to śmiało zaliczyć można do najlepszych, jakie zag aniczni autorzy o Polsce napisali.

II.

Brandes jechał do Warszawy z Wiednia. Jako nieobznajomionego z praktykami rosyjskich urzędników granicznych, obchodzą go żywo wszystkie szczegóły kordonowej inkwizycyi. Swoją przeprawę tak opisuje:

„Pierwszą rzeczą, którą w mej torbie znaleziono, był numer N o u v e l l e R e v u e, w którym czytałem nowelę Sienkiewicza „B a r t e k - V a i n q u e u r“.

„Co to jest?“ pyta mnie najstarszy z urzędników po niemiecku.

„Co to jest?“ odpowiadam, — „jest to N o u v e l l e R e v u e“. — „Tak, ale co to jest“? — „Francuskie czasopismo“ — „Co ono zawiera?“ — „Rozumie pan po francusku?“ pytam. — „Nie!“ — „Jest tu ktoś, coby po francusku rozumiał?“ — „Nie!“ — „Są tam różne rzeczy, dwa numery, tuzin artykułów w każdym. Nie możliwe w kilku słowach opowiedzieć wszystkiego“. — „Więc zatrzymamy to tutaj i prześlemy cenzurze warszawskiej“. — „Czy pismo to jest zakazane?“ — „Wszystko jest zakazane, czego ja nie znam, a ja książki tej nie znam“. —

Ten sam los spotkał kufer z książkami duńskiemi, choć Brandes tłomaczył urzędnikowi, że książki duńskie nie mogą w Polsce wyrządzić krzywdy rosyjskiemu rządowi, bo tam nikt po duńsku nie rozumie. „Zagadką było dla mnie — pisze Brandes — że po dokładnem obejrzeniu słownika i przedstawionem przezemnie wyjaśnieniu, że w kolumnach znajdują się wyrazy bez związku logicznego, — oddano mi pierwszy tom, a drugi załączono do książek, które miała zbadać cenzura“.

„Tak więc, mówi Brandes, zaraz na granicy można się przekonać, iż człowiek znajduje się po za słupami granicznemi — cywilizacyi europejskiej“...

Porównując system ucisku pruskiego z rosyjskiem, powiada, że pierwszy jest świadomym celu, przebiegle obmyślonym i jednolitym, drugi natomiast bezmyślnym i bezcelowym; częstokroć też plany rusyfikatorów okazują się w wykonaniu niemożliwe.

Brandes jechał do Warszawy na zaproszenie kilku swych przyjaciół, którym przyrzekł trzy publiczne odczyty francuskie. Odczyty te podano cenzurze miesiąc przed jego przybyciem. Tutaj notuje Brandes fakt, iż kurator okręgu naukowego, wypoliczkowany przez pewnego studenta Apuchtin, nie umiejąc po francuzku, kazał mu odczyty te przetłomaczyć na język rosyjski. Brandes przytacza w książce każdy fakt, znany mu z opowiadań lub też własnego doświadczenia, charakteryzujący samowolę i ograniczoność umysłową urzędników rosyjskich.

Warszawa wywarła na Brandesie silne wrażenie. Mówi jednak, że człowiek nie może się tu oprzeć wspomnieniom dawnej świetności, stąd powstaje w podróżniku uczucie smętne. W przeszłem stuleciu była Warszawa obok Paryża najbardziej ożywionem miastem w Europie, — dziś jest rosyjskiem miastem prowincyonalnem. Różnicę można zauważyć tem snadniej, przyjeżdżając do Warszawy z Berlina lub Wiednia. Rząd rosyjski robi wszystko, co tylko w jego mocy, aby rozwojowi miasta przeszkodzić. Warszawa nie ma reprezentacyi miejskiej, samorządu, niema prawa rozporządzania dochodami, których cząstkę tylko rząd tutaj pozostawia, zabierając prawie wszystko dla Petersburga. Stan dróg około miasta jest lichy, bo gdy raz rząd 80 tysięcy rubli na wybudowanie drogi przeznaczył, skradli urzędnicy 40 tysięcy. Rząd o miasto nie dba, sam car Mikołaj, odwiedzając w r. 1835 Warszawę, powiedział deputacyi polskiej, iż cytadelę wybudował nie dla obrony grodu, ale dla tego, aby w razie nowych zaburzeń w gruzy całe miasto obrócić. Rosyanie nie budują dla pomieszczenia urzędów osobnych gmachów, które gdzieindziej są ozdobą miasta; wszystkie urzędy cywilne i wojskowe mieszczą się w dawnych budynkach publicznych lub też domach skonfiskowanych Polakom.

Jedynem miejscem — pisze Brandes, — na którem wolno publicznie mówić po polsku, jest teatr. Dotychczas nie zakazano dawać przedstawień polskich i ta okoliczność nadała teatrom u publiczności znaczenie pierwszorzędne. Wobec tego nie można się dziwić, że naród polski większe im przypisuje znaczenie, aniżeli każdy inny. W Warszawie literaci uzdolnieni, nawet najlepsze siły literackie, poświęcają swój talent recenzyom teatralnym.

Teatr warszawski znajduje się obecnie w porównaniu do jego świetnej przeszłości w okresie upadku. Kieruje nim urzędnik rosyjski, nie mający o sztuce żadnego pojęcia. Teatr warszawski posiada kilku wybitniejszych komików, ale nie ma sił pierwszorzędnych nigdzie, ani też poważnej szkoły dramatycznej, którаby wychowała nowe pokolenie artystów. Przeważną część repertuaru stanowią sztuki francuskie a sposób grania jest naśladownictwem francuskiem. Z artystek wylicza Brandes Helenę Marcello i panią Popiel, podnosząc niektóre zalety ich talentu. Modrzejewskiej natomiast poświęca kilka stronnic, przyznając jej bez wszelkich zastrzeżeń kierownictwo pośród wszystkich innych artystek w Europie. Z teatru przechodzi Brandes do uniwersytetu i notuje, że wszystkie przedmioty wykładają profesorowie, czy to polscy, czy rosyjscy, po rosyjsku, — nawet historyę literatury polskiej niewolno wykładać w języku polskim. Studentom zabroniono również w kurytarzach po polsku ze sobą rozmawiać. To samo dzieje się w szkołach średnich i niższych. Brandes przytacza fakt, jaki się wydarzył za jego pobytu, iż chłopca 12letniego skazano na areszt w ciemnicy za to, że wychodząc ze szkoły powiedział po polsku do drugiego: i d ź m y r a z e m!

Na zakończenie podnosi Brandes, iż dziki system prześladowczy popycha młodzież szkólną częstokroć do samobójstwa, oraz podkreśla monstrualność faktu, że pedagogowie rosyjscy miłość dziecka ku ojczystemu językowi uważają za zbrodnię.

D. Królikowski.

Tytani w obłąkaniu.

Tragedya tytanów, bohaterów idei, w polocie fanatyzmu rozpędzających się w bezmiary, kędy ziemia i świat realny giną z oczu, — psychologia tych płomiennych szermierzy, którzy, parci burzą, wrącą w ich łonie i mózgu, wzbijają się ku wyżynom nadludzkim, a oczarowani potęgą wyobraźni widzą zbawienie jedyne *w cudzie*, w gwałtownym przewrocie, — walka i tragiczny upadek tych bojowników, co próbując jednym zamachem poruszyć z posad ziemię, zamieniają się w demonów zniszczenia, — zaiste, temat to olbrzymi, ogólnoludzki, pozwalający wniknąć w prądy dzisiejszej ożywionej, szumiącej, lepszą przyszłością brzemiennej epoki, w której jednakże nie brak fanatyków i bohaterskich zapaleńców, zapominających, iż spiżowe prawa konieczności rządzą rozwojem świata i nie zmienią drogi ich ani na cal!

Taki jest przedmiot nowego dramatu Björnsona „Nad nasze siły“.

Tylko druga część dramatu stanowi nową pracę norweskiego mistrza; pierwsza część pod tymże samym tytułem pojawiła się przed dziesięciu laty. Łącznikiem, zespalającym obie części w jednę dramatyczną

Brandesa nie tłomaczone dotychczas na język polski, Jest ono poniekąd uzupełnieniem listów ogłoszonych przez nas w roku ubiegłym.

całość, jest pokrewieństwo osób działających; w pierwszej części bohaterem jest ojciec, w drugiej syn, który ducha swego wziął w spadku po ojcu.

* * *

W części pierwszej dramatu występuje tytaniczna postać: pastor Adolf Lang, którego potężna wiara góry przenosi, który ufny w wszechmoc Boga, nie opuszczającego wiernych sług swoich, nie zważa na żadne niebezpieczeństwo i nie zna granic w poświęceniu się dla dobra powierzonej sobie owczarni. Działa on cuda — i słynie w krąg jako cudotwórca. Małżonka jego, nie mająca wprawdzie tak żywej wiary, ale ulegająca demonizmowi męża, ciężko zaniemogła. Pastor żarliwe zasyła modły do Pana i *pewien* jest, iż Bóg wejrzy na swego sługę. Czeka cudu.

Jakoż chora podnosi się z łoża — sługa Boży widzi w tem cud, lecz łudzi się srodze. Żona niebawem umiera. Czyż rzekome cuda nie są jeno złudą i omamieniem, nie tłomaczą się w sposób naturalny? I w onej chwili spada bielmo z oczu pastora-cudotwórcy. Poznaje on, iż jest bezsilnym, nędznym prochem; iż człowiekowi nie dano jest przekraczać granic człowieczeństwa. To poznanie piorunem go razi i druzgocze. Adolf Lang, — bohater, co dążył „po nad siły", — pada i ginie.

Olbrzymi, wstrząsający obraz walk duchowych fanatyka, trawionego żądzą wzlotu w bezmiary, wypełnia pierwszą część dramatu, w którym Bjornson poruszył też problemat „cudów". Podobne dążności, podobny konflikt i straszniejszy jeszcze upadek, odgrywający się na polu społecznem, stanowią przedmiot części drugiej.

* * *

Pastor miał syna Eliasza Langa. Ten w życiowej kolei utracił rychło wiarę, jest sceptykiem, ale w głębi jego duszy drzemią te same moce, co u ojca: gwałtowna potrzeba olbrzymich, bezkreśnych zapędów i czynów. I jego unosi „dążność w bezgranicze", tylko że jemu przychodzi działać na polu społecznem, gdzie właśnie walka zacięta zawrzała, walka pełna niedoli i rozpaczy.

Scena się otwiera. Widzimy ciemną, ponurą rozpadlinę miejską, gdzie gnieżdżą się nędzarze w walących się lepiankach. Na wyżynie, w rozblasku słońca, jaśnieje miasto bogatych. Wysokie ceny, drożyzna, spowodowane nagłym rozkwitem przemysłu i handlu, zepchnęły biedaków pracujących na ten padoł. Zrozpaczona robotnica zamordowała dwoje dzieci i sama życie sobie odebrała Tłum szemrze, nie słucha perswazyi.

Na mownicę wstępuje jeden z tłumu, Bratt, piorunuje i ciągle oskarża tych w górze.

Eliasz słyszy te słowa i przejmuje się niemi do głębi. Ta niesprawiedliwość w rozdziale szczęścia i niedoli nie może mu się żadną miarą pomieścić w umyśle. Zwraca się do siostry Racheli:

— Jakżeż to możebne, że jedni mieszkają w pałacach, a drudzy w chatach mrą z głodu? Jakżeż oni mogą, jakżeż oni mogą!

Eliasz się burzy na widok „złych, którzy są szczęśliwi", — a odziedziczywszy majątek, poświęca się cały idei: zakłada dziennik, naraża się na prześladowanie i podziela całą niedolę tych, których broni. Bogiem jego, któremu służy całą płomiennością fanatyka, jest „rosnąca sprawiedliwość". Ale niebawem z rozpaczą poznają, iż próżno wytęża swe siły, próżno się targa — nadzieja zwycięztwa mroczy się i gaśnie, upadek jest niewątpliwy.

Przeciwko związkowi biedaków powstał związek milionerów. Na czele ich staje Holger, wyniosły, potężny, głęboko o swem prawie przeświadczony bogacz.

Eliasz widzi, iż pogrom nastąpić musi, klęska sromotna, rozpaczna! Sprawiedliwość odbierze policzek, zdepcą ją i oplwają! Więc, skoro na tej drodze nic wywalczyć nie można, stać się musi coś innego, coś *większego*. Poruszyć należy z posad ziemię. Choćby przyszło samemu ledz i zginąć, trzeba się odważyć na czyn wielki, aby wstrząsnął światem!

Tak rozumuje Eliasz, gorączką trawiony, porwany fanatyzmem. Atawizm odezwał się w nim. Jakoż bierze się do dzieła. W ten sam wieczór Holger urządził ucztę w swem pałacu. Gmach zbudowany w stylu średniowiecznym, z basztami i mostem zwodzonym, jaśnieje światłem jarzącym. Zgromadzeni dowcipkują na temat poświęcenia się Eliasza, a Holger temi słowami kończy mowę swoją:

— Jeżeli z tamtej strony dają się słyszeć głosy wołających, iż większość winna panować, a oni są większością, wtedy odpowiedzmy: Owady są też w większości. Jeżeli taka większość dojdzie do władzy, wtedy spokojnie, ale stanowczo powiemy: wytoczyć działa! A teraz, moi panowie, dalej do biesiady!..

I bal się zaczyna. Lecz cóż to? Kilku gości z przerażeniem wpada na salę, głosząc, iż drzwi zaparte są z zewnątrz żelaznemi wrzeciądzami i wyjść nie podobna! Lęk pada na zebranych, służba gdzieś znikła.

Jeden tylko służący się zjawia. Eliasz Lang postarał się o usunięcie niepotrzebnych ludzi. Blady, ale bezgranicznie spokojny i stanowczy, oznajmia on zgromadzonym, iż żywcem nie wyjdą z tej sali. Oto wraz ze swymi towarzyszami, odnalazłszy dawne podziemne kurytarze, wiodące pod zamek, nagromadził w piwnicach zapasy materyi wybuchowych. Chwila jeszcze, a pałac wyleci w powietrze, grzebiąc w swych gruzach wszystkich obecnych.

I z dumą męczennika, który chce, aby jego imię było milion, nie zdradza nazwiska swego przerażonym biesiadnikom.

Mgnienie oka — zamek legł w ruinie.

* * *

Eliasz Lang zginął, przeświadczony, iż gromem swoim utorował drogę lepszemu. Jakże jednak zawiódł się szaleniec, który mniemał, iż jednym zamachem zdoła pchnąć ziemię na nowe tory, jednem potężnem szarpnięciem wstrzymać obrót kół zegaru świata i nowe prawa rozwoju ludzkości ustanowić. Nie drogą gwałtownych przewrotów dokonywa się postęp w społeczeństwie...

Jakaż straszna reakcya, jakiż odwet ponury rozwielmożnił się na dymiących zgliszczach i zwaliskach!...

I na tem powinien się właściwie dramat kończyć. Ale poeta pragnął jeszcze rzucić pęk promieni świetlanych w te ponure mroki, pęk blasków, któreby rozjaśniły drogę przyszłości. Przydał przeto jeszcze jednę scenę.

Holgera krewniacy, Credo i Spera, chodzące abstrakcye, jak zresztą świadczą imiona, mają wyrazić nadzieję lepszej przyszłości, twierdzą więc, iż miłość, nadzieja, praca i przebaczenie są czynnikami, co zgotują promienniejsze czasy.

* * *

Tak więc upadł Eliasz Lang, jeden z typów współczesnych, człowiek, który dla idei nie waha się zostać zbrodniarzem. Prawdziwy to syn swego ojca. Jak ojciec w dziedzinie religijnej, tak syn na polu społecznem zapędzał się na oślep w bezmiary. Obaj są płomiennemi duchami, których idea oślepia i pozbawia logicznej myśli; tylko milieu, w którem działają, jest różne. Fanatyzm religijny i fanatyzm społeczny mają cechy wspólne.

Eliasz Lang — to prawdziwy bohater tragiczny. Najsmutniejsze brzemię fatalizmu zaciążyło na nim. Ginąc, nie ma tej pociechy, iż krwią swoją użyźnił glebę przyszłości. Pragnął przyspieszyć rozwój pomyślny, atoli zatamował go na długie czasy. Spotkał go podobny los jak Syzyfa w przepysznym utworze Konopnickiej p. t. „Prometeusz i Syzyf". Syzyf iskrę światła niebieskiego, zdobytą przez Prometeusza, rzucił w miasto, które płonąć poczęło. I rzekł mu Prometeusz:

— Iżeś Bożej iskry nie wziął w duszę twoją, aleś użył jej do wywołania pożogi, zamieniam cię w kamień na wieków trzykroć trzydzieści. (Cytuję z pamięci).

Tak i Eliasz Lang kamieniem legł w poprzek drogi przyszłości. Prawdziwy ten bohater tragiczny budzi zgrozę. Zgrozę, bo siał zniszczenie i zagładę, litość, bo działał w dobrej wierze, a upadł.

A ludzkość kroczy dalej w niewstrzymanym zapędzie, ruiny znikają i z każdą wiosną zieleni się nowe życie.

Tak się przedstawia nowy, potężny dramat Bjornsana, stwierdzający raz jeszcze żywotność, niezwykły poziom i powszechnoludzkie znaczenie nowej skandynawskiej poezyi.

Ludwik Szczepański.

Z estrady i sceny.

Alexander Pecznikow,

rosyjski skrzypek-artysta.

Po raz pierwszy zawita pojutrze do naszego miasta rosyjski skrzypek, którego wszyscy wytrawni krytycy berlińscy stawiają na miejscu naczelnem licznego korowodu skrzypków całego świata. Rzadka ta zgodność w opinjach krytyki uderza tem więcej, że wypowiadają ją reprezentanci różnych obozów. W obecnym razie godzą się jednak wszyscy na to, że gra rosyjskiego artysty wyróżnia się już dziś pod każdym względem, nawet w porównaniu z pierwszorzędnemi uznanemi wielkościami. I tak pod względem wielkości tonu nie ustępuje podobno Pecznikow znanemu skrzypkowi Wilhelmiemu, posiadającemu ton rzeczywiście imponujący. Przewyższa zaś niemieckiego artystę grą ciepłą, uczuciową, za serce wprost chwytającą.

Techniczna strona gry beznaganna. Artysta jednak, podobnie jak jego ideał: Joachim, posługuje się swą olbrzymią techniką, tylko jako środkiem do celu.

Program koncertu, który się u nas w poniedziałek, 20go.b. m. odbędzie, zawiera nadzwyczaj interesujące utwory literatury muzycznej. Jako główny numer uważać wypada wspaniały Koncert (d-moll), dla sztuki polskiej zbyt rychło zgasłego Henryka Wieniawskiego. Kompozycye tego genialnego mistrza wyróżniają się zawsze pomysłowością i pięknością motywów czysto rodzimych i posiadają niezaprzeczalnie wybitną wartość muzyczną. Klasyczną muzę par excellence reprezentować będzie: J. S. Bacha „Ciaccona". Utwór ten pisany we formie waryacyi na temat staroświeckiego tańca zaliczyć należy do najtrudniejszych i najpiękniejszych utworów całej literatury skrzypcowej. Waryacye pisane są nadto na skrzypce solo bez akompaniamentu.

Prócz tego wykona artysta piękną „Serenade melancolique" utwór najgenialniejszego rosyjskiego kompozytora: Czajkowskiego i dziarską „Havanaise" Saint-Saens'a. Sądzę, że tak ze względu na

program nader interesujący, jak i wyjątkowe stanowisko, jakie artysta mimo swych młodych lat już dziś zajmuje, nie ominie muzykalna nasza publiczność koncertu rosyjskiego skrzypka.

Tu dodam tylko jeszcze kilka dat z życia młodego artysty.

Alexander Pecznikow urodził się jako syn zwyczajnego rosyjskiego żołnierza 8. stycznia 1879 r w gubernii Orelskiej. Przypadkowo odkrył muzyk carskiej kapeli niezwykły talent dziesięcioletniego chłopczyny i oddał go do konserwatoryum w Moskwie. Tu pod umiejętnym kierownictwem profesora Grzymały szybkie i zadziwiające robił mały Oleś postępy. Chlubnie, bo z pierwszą premią, ukończył też artysta sławną szkołę. Księżna Urussow i kilku innych wielbicieli talentu jego nabyło za sumę 20,000 rubli cenne skrzypce po słynnym wirtuozie Laubie, aby je w darze złożyć artyście. Skrzypek nazywa cenny swój instrument: „moja żona“; w towarzystwie „jej“ zwiedził P. nietylko Rosyę, lecz także Francyą i Niemcy, wywołując niezwykłą grą swą wszędzie niekłamany podziw i zachwyt.

Edwin Jahnke.

Na Wyłomie.

(Słówko o karnawale. Balowe dyskusye w Towarzystwach poznańskich. Kwestya „Domu przemysłowego.“)

Książe Karnawał zapukał do bramy a publiczność na roścież otworzyła mu gościnne podwoje. Dziś nawet większą niż kiedykolwiek radością jaśnieją oblicza, bo rok ubiegły był w wielu domach narodową żałobą i postem. Nie wszyscy wprawdzie poczuwali się do obowiązku powiedzieć kuszącemu księciu: „Sto lat niewoli święcimy. Tu dom sieroctwa i smutku. Idź i szczęśliwszych poszukaj narodów“, — ale bądź co bądź większa część społeczeństwa zamknęła mu drzwi przed nosem lub tylko ukradkiem wpuszczała do mieszkań prywatnych i skromną przyjmowała owacyą. Minęła smutna rocznica i oto publiczność z śmiechem i krzykiem rzuca się w wir karnawałowy. Książe mazurów i walców otrzyma sute wynagrodzenie za dekonfiturę zeszłoroczną. Młody, uśmiechnięty i piękny zajeżdża poszóstną karetą, — grzmi muzyka, trzaskają hołubce, strzelają korki, — niech żyje!

Temat karnawałowy jest obecnie nietylko przedmiotem salonowych gawędek i flirtów, lecz figuruje na zebraniach naszych Towarzystw przemysłowych, rzemieślniczych i t. d. jako kwestya pierwszorzędnej wagi. A z jakim zapałem, z jakim wysiłkiem dowcipu i argumentacyi strategicy kampanii mazurowych bronią swoich „zasad“ i planów. Żaden odczyt, żadna kwestya organizacyi, żadna sprawa publiczna nie elektryzuje tak silnie naszych śpiących Towarzystw jak te „Hamletowskie“ pytania: Czy bal urządzić, czy nie urządzić? Czy na sali Lamberta, czy na sali Adamskiego? Czy we frakach, czy w tużurkach, lub w jednem i drugiem? Czy z bolą i tortem dla dam, czy bez boli i bez tortu? Czy wstępne ma kosztować markę, czy dwie marki? Czy z maską czy bez maski? Czy czterech gospodarzy czy sześciu? Czy dwa mazury czy jeden? — no! i setki podobnych problemów europejskiego znaczenia. Jakiż ruch, jakie życie i i werwę polemiczną budzi to jedno magiczne słowo: B a l! Prezes otwiera dyskusyę i pięćdziesiąt uczestników zebrania woła gromko: Proszę o głos! Sekretarz galopem zapisuje nazwiska mówców, ręka mu drży od pospiechu, — a nuż kogo zapomniał, nuż panu X przyznał pierwszeństwo, lubo pan Y. o ćwierć sekundy rychlej głosu zażądał. Dopieroż to będą dąsy i obrazy. A całe zebranie jak wzburzone morze. Reprezentanci przeciwnych „z a s a d“ krzyżują szpady, walka idzie na ostre, zwolennicy t u ż u r k a i k u r t k i zarzucają zwolennikom f r a k a tendencye arystokratyczne, zwolennicy „boli i tortu dla dam“ starają się wykazać poplecznikom „piwa“ brak dobrego tonu, elegancyi i szacunku dla polskiej białogłowy, „jednomarkowi“ drwią z „dwumarkowych“, że stosunków ani krty nie znają, mają oczy a nie widzą, mają uszy a nie słyszą, — wreszcie pada słowo nieparlamentarne, prezes powołuje do porządku, obrażony odbija duser jak kulę krokietu, znowu odzywa się dzwonek, zbliża się północ. wszyscy pomęczeni, ktoś proponuje odłożenie dyskusyi, życzeniu staje się zadość. Za tydzień lub dwa powtarza się kubek w kubek to samo i kwestya balu zajmuje czasem cztery do pięciu posiedzeń.

Czyż wobec tego dziwić się można, że ktoś złośliwy powiedział o naszych Towarzystwach: „Pół roku debatują nad balem, pół reku nad majówką“. I ten kult drobiazgów i błahostek, ta małostkowość dziwaczna, to rozcinanie każdego włoska na cztery części, to rozdeptywanie najlichszych materyi grasuje epidemicznie we wszystkich nieomal poznańskich i prowincyonalnych Towarzystwach, lubo każdy uczestnik, a najchętniej właśnie królowie gadatliwości przyznają ochoczo, że te majówkowe i balowe dyskusye, długie jak tasiemce, kompromitują powagę obywatelską. Sam byłem świadkiem, jak jedna z najwygadańszych męskich kumoszek, która przynajmniej piętnaście razy głos zabierała w „kwestyach skakających“, skarżyła się na przeciąganie dyskusyi, jako symptom „niedojrzałości naszej“. I rok w rok powtarza się to samo. Byle gadać, byle mieć ostatnie słowo, byle zaznaczyć, że się ma własną opinię. A czcza i mdła paplanina odstręcza poważniejszych ludzi. Wzruszają ramionami i ziewając opuszczają zebranie.

Lekarstwo na tę chorobę znam tylko jedno. Wszelkie perswazye i nawoływania na nic się nie zdadzą, — tu trzeba zarządy towarzystw wyposażyć w władzę samodzielnego rozstrzygania k w e s t y i d r o b i a z g o w y c h, do których niewątpliwie należą przecież sprawy tańcujących wieczorków lub zabaw latowych. Zarząd komunikuje uchwały swoje i zebranie przyjmuje je b e z d y s k u s y i do wiadomości. Nie jestem bynajmniej zwolennikiem absolutyzmu i nie pragnę ubijać zasady, że „rozstrzygającą instancyą w sprawach Towarzystwa jest Towarzystwo“, ale skoro pewną grupę członków powołano do steru, składając jej tem samem dowód wyraźnego zaufania, to niechaj ta grupa posiada prawo decyzi tam, gdzie kwestyę sporną stanowi frak lub tużurek, piwo lub bola. Jeżeli zaś tużurkowicze lub frakowicze uczują się dotknięci w swoich „zasadach“ uchwałami zarządu i ogromu boleści z pokorą znosić nie chcą, to niechaj sobie przy wyborze nowego sztabu prezydyalnego walczą w imię fraka lub tużurka i pod tym hasłem zwolennników swoich powołują do steru. Każdy kandydat na prezesa, wiceprezesa itd. złoży na wstępie publicznie swoje kredo balowe, które na wieczną rzeczy pamiątkę zapisane zostanie w protokóle. Unikniemy w ten sposób częstego młócenia słomy i ciętych polemik, trwających nieraz summa summarum kilkanaście godzin.

Tymczasem życzę wszystkim amatorom białych i czarnych polek wesołej zabawy i żal mi tylko, że balujące Towarzystwa na niemieckich salach pić, jeść i tańczyć będą.

Polski „Dom przemysłowy“, który wedle projektu stać się ma miejscem zbornem wszystkich tańcujących i nietańcujących zebrań, znajduje się dotychczas zaledwie w pierwszym okresie embryonalnego rozwoju i wobec licznych wymagań, które sprawa narodowa stawia w najrozmaitszych kierunkach do ofiarności publicznej, nie ma na razie widoków prędkiego urzeczywistnienia. Gdyby jednak możliwem było uskutecznić przymierze wszystkich Towarzystw poznańskich, z których niektóre posiadają dość znaczne fundusze, to sprawa „Domu przemysłowego“ zyskałaby nie mało. Nie jest to myśl nowa, ale energicznie dotychczas nikt jej nie popierał. Wiem dobrze, że kompromis Towarzystw poznańskich wobec panujących niechęci, rywalizacyi, zazdrości i uprzedzeń napotka poważne trudności, ale wiem również, że zapał w połączeniu z zręcznością przezwycięża nawet trudniejsze przeszkody. Takie przymierze ludzi i kapitałów dla wspólnego, a gorąco przez wszystkich upragnionego celu, byłoby bądź co bądź odpowiedniejszym tematem dyskusyi na zebraniach Towarzystw naszych niż paplanina o balach i majówkach. Gdybyż przynajmniej na razie zwołać można przygotowawcze zebranie prezesów lub całych zarządów!

Pomyślmy o tem!

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

Marylka. Marguerite Poradowska, znana powieściopisarka francuzka, pochodząca z polskiej rodziny, wydała nową powieść, osnutą na stosunkach podolskich p. t. „M a r y l k a“. Romans odznacza się zręczną techniką pisarską, — pod względem charakterystyki jednak wykazuje braki poważne. Francuzów zainteresują niewątpliwie opisy nieznanych im typów i stosunków, a mianowicie barwne opowiaoanie o rytualnych obrządkach u podolskich żydów.

* * *

* **Kradzież literacka.** Wiadomem jest, że amerykańscy nakładcy, przedrukowują mnóstwo polskich książek bez zezwolenia wydawców i autorów i że nie potrzebując opłacać żadnych honoraryów autorskich, sprzedają książki te po znacznie zniżonej cenie, wskutek czego wyrządzają dotkliwą stratę naszym wydawcom i hamują tem samem prawidłowy rozwój księgarstwa polskiego. W sprawie tej otrzymał „Przegląd handlowo-geograficzny“ od Wydziału Oświaty Ligi Polskiej następujący list:

Chicago, III. 13. listopada 1895.

Szanowna Redakcyo!

Bezczelność, z którą niektórzy tutejsi polacy drukarze wobec pisarzy i wydawców z kraju postępują, oburza każdego sumiennego człowieka. Kradzież literacka, przeciwko której ogłoszono protest, a której mimo to w najnikczemniejszy sposób dopuszcza się najwięcej drukarnia p. Dyniewicza, nietylko, że znaczne materyalne straty przynosi wydawcom w kraju, ale nadto szkodzi w najwyższym stopniu literaturze samej i autorom. Tego rodzaju kradzieżom postanowił zapobiedz „Wydział Oświaty“ Ligi Polskiej i upoważnił mnie do poczynienia odpowiednich w tym celu kroków.

Najłatwiejszy na to środek, aby tak pisarze polscy w kraju, jak i wydawcy postarali się na swoje wydawnictwa o t. zw. „copyright“, czyli zastrzeżenie rządowe, że dzieła nie wolno nikomu innemu drukować lub z niego coś kraść.

Staranie się o „copyright“ dla braci w kraju tu na miejscu połączone byłoby z wielu trudnościami. Postanowiliśmy tedy zająć się tem sami, nie narażając interesantów na wielkie koszta. Żądamy na koszta ztąd powstałe, których wysokość zależy od objętości tomu, *tylko 7 (siedm) dzieł, czyli książek.* Dwie z tych zostają w Washingtonie, a pięć zatrzymuje „Wydział Oświaty“ dla siebie. Książki zaś, na które weźmiemy „copyright“ ogłaszać będziemy w „Dzienniku Chicagoskim“, „Wierze i Ojczyźnie“ i Gazecie Katolickiej“. Tym sposobem zmusi się bogatych handlarzy do sprowadzania książek w większej ilości i zapobiegnie się bezwstydnej kradzieży. — Na prawej czyli drugiej stronnicy pierwszej karty każdej książki zamieszczona musi być uwaga: Copyright 1895 by (nazwisko właściciela książki). Przypuśćmy, że ja jestem nakładcą jakiejś książki, wtedy drukuję na oznaczonem miejscu — Copyright 1895 by Zg. Kowalski.

Proszę zatem tych, którym na tem zależy, aby nowe dzieła, które dopiero opuściły prasę i nie są jeszcze w handlu, na niżej podpisanego ręce przysyłać zechcieli.

Z szacunkiem uniżony

Zg. Kowalski,

sekr. Wydz. Ośw. 141—143 W. Division Str.

* * *

* **„Przymawiał kocioł garncowi“.** My, którzy się gniewamy strasznie na francuzów, gdy nie znają naszej geografii i literatury a pienimy się z szlachetnego oburzenia, gdy niemcy przypadkowo przekręcają ortografię polskiego nazwiska, niezawsze mamy do tego prawo. I my niezawsze na wzór znajomości literatury zagranicznej stawiani być możemy. I tak: p. Kazimierz Kaszewski uchodzi między nami za niezgłębione źródło wszelkiej erudycyi literackiej. Niestety! Należy w tym kierunku zrobić pewne zastrzeżenia. W jednym z ostatnich numerów „Echa“ warszawskiego pan Kaszewski w artykule o Szekspirze utrzymuje, że „Efraim Lessing“ był „żydem łużyckim». Można wielu rzeczy nie wiedzieć, ale, już nawet nie uczonemu, ale przeciętnemu warszawskiemu literatowi nie godzi się nie znać stanowiska Lessinga w literaturze niemieckiej, polegającego właśnie na tem, iż tenże z żydowskiem pochodzeniem nie miał nic wspólnego. Lessing pochodził z rodziny znanej już w Niemczech w połowie szesnastego wieku. Obaj jego dziadowie po mieczu i po kądzieli, byli pastorami, pierwszy: Teofil Lessing słynnym autorem dzieła „O filozofii religii“, ojciec pastorem na Górnych Łużycach, on sam zaś również początkowo oddawał się studyom teologicznym... Właśnie ta jego pastorska genealogia odbiła się i zaznaczyła na działalności w literaturze niemieckiej, dokąd pierwszy wniósł prądy humanizmu i swobody, pierwotnie przez dzieła teologiczne („Fragmenty wolfenbüttelskie“, „Rozmowy dla wolnomularzy“, następnie przez poetyczne i dramatyczne („Natan Mędrzec“). Dzięki właśnie swemu stanowisku i pochodzeniu, mógł on przeprowadzać również i w życiu wyznawane przez siebie zasady tolerancyi i wprowadził pierwszy w osiemnastym wieku do społeczeństwa chrześciańskiego żyda filozofa Mojżesza Mendelssohna. Wskutek tego zapewne, albo też wskutek biblijnego jego drugiego imienia, używanego w Niemczech między pastorami, p. Kaszewski zrobił go żydem; gdyby p. Kaszewski był zajrzał choć do encyklopedyi, byłby się dowiedział, że nosił on dwa imiona: Gotthold Efraim, a wtedy może nie byłby się tak pokwapił z wyprowadzeniem swych dedukcyi. Biedny Lessing! Ani przeczuwał, że w sto kilkanaście lat po śmierci spotka go „despekt“ podobny w Warszawie i to nie z pod pióra brukowego reportera, ale jednej z chwał naszej literatury...

* **Autorzy dramatyczni a teatr warszawski.** W warszawskiej korespondencyi „Kraju“ czytamy;

„Względem autorów naszych teatr nie poczuwa się do żadnych wyjątkowych obowiązków, traktuje ich jak z łaski, materyalnie wynagradzając bardzo marnie, a w stosunkach z nimi zachowuje pewną oficyalną wyższość i rezerwę, tolerując zaledwie ich istnienie i nie troszcząc się o nich wcale; wypływa to po większej części z tego powodu, że w teatrze samym czynnik literacki zdaje się stać na ostatnim planie, a administracyjno-kasowe względy na pierwszym. Autor w tych warunkach uważany jest niejako za dostawcę teatralnego, który w swoim własnym interesie powinien zabiegać, starać się, zalecać na najkorzystniejszych warunkach swój towar i uważać się za szczęśliwego, jeżeli mu się go zbyć uda. Scena tak, jakby go niepotrzebowała.

Wręcz przeciwnym jest tu stosunek teatru do autorów, niż wszędzie indziej, zwłaszcza za granicą, u niemców lub francuzów. Tam teatr o nich się stara, ich pracy poszukuje, ich wartość ocenia, jak należy, ich utwory odpowiednio opłaca i uważa za wspólny interes sceny i dramaturga wystawienie jego dzieła; u nas niemal za przysługę, czynioną autorowi, gdy mu reżyserya przyjmie, obsadzi i wypróbuje komedyę lub dramat, za który raz na zawsze od 150 do maksimum 500 rubli zapłaci dyrekcya, bez względu na to, iż sztuka „ciągnie“ i przez kilkadziesiąt wieczorów daje „pełną salę“.

Kwestya honoraryów autorskich w Warszawie należy do spraw, które w obopólnym interesie raz przecie załatwićby należało po sprawiedliwości, zrywając z przestarzałą od dawna formą i normą. Zyskałby sobie wielkie prawo do uznania i pamięci w historyi naszego teatru taki kierownik, któryby zechciał tą sprawą się zająć po europejsku i uregulować ją nareszcie odpowiednio. Potrzebaby tylko chcieć wprowadzić tę kwestyę na porządek dzienny reform teatralnych, a zdaje mi się, że wiele trudności nie byłoby do pokonania. Wiem, iż nieboszczyk jen. Karandiejew, poprzedni prezes teatrów warszawskich, w planach swoich na przyszłość nosił się z myślą pozostawienia po sobie takiej właśnie pamiątki i postarania się o zatwierdzenie tantyemy autorskiej. Śmierć przerwała, niestety, dobre jego zamiary“.

Kronika powszechna.

Wiadomości społeczne i polityczne. Śmierć świeżo zmarłego milionera Lebaudy'ego odkryła znowu korupcyę prasy francuzkiej. Aresztowano kilkanaście osób, które utworzyły formalną organizacyę dla ograbienia niedoświadczonego bogacza. Do skompromitowanych należy głośny współpracownik Figara p. Jacques Saint Cère i znana literatka pani Séverine. W wyzyskiwaniu milionera brali również udział oficerzy francuzcy. — W Prusach wynosiły przeciętne ceny za najniezbędniejsze artykuły żywności: za 1000 kilogramów pszenicy 143 marek (w listopadzie 141), żyta 120 (120), jęczmienia 125 (126), owsa 118 (118), grochu do gotowania 196 (197), grochu długiego 277 (275) soczewicy 383 (378), kartofli 41,8 (40,5), słomy 39 (39,3) siana 46,6 (46); mięsa wołowego w handlu hurtownym 1065 (1067); za kilogram mięsa wołowego 1,35 (1,36), wieprzowego 1,16 (1,28), cielęciny 1,31 (1,30), skopowiny 1,20 (1,22), słoniny 1,55 (1,58), masła stołowego 2,24 (2,26), smalcu 1,51 (1,52), maki pszennej 0,27 (0,26), rżanej 0,22 (0,22) kopa jaj 4 32 (4,07). — Sprawa transwalska kończy się pokojowo. Po wymianie listów między cesarzem Wilhelmem i cesarzową Fryderykową z jednej strony, a królową angielską z drugiej, widmo wojny nie zagraża Europie. — „Kuryer Warsz.“ donosi, że sprawa Morskiego Oka rozstrzygnięta zostanie w drodze sądu polubowego. Z każdej strony wystąpi tylko jeden arbiter, a dopiero wtedy, gdyby dwaj arbitrzy porozumieć się nie mogli, powołanym będzie superarbiter, — prawdopodobnie w osobie cesarza. Zdaje się, że jedna i druga strona poczyni pewne ustępstwa.

Teatr i muzyka. Po długiej nieobecności ukaże się znowu na scenie poznańskiej Moliere. W najbliższy czwartek bowiem odegranym zostanie na benefis p. Knapczyńskiego „Don Juan“, — utwór nie dorównujący może takim arcydziełom jak Le Tartuffe, l'Avare, le Misanthrope, Les femmes savantes, ale bądź co bądź noszący na sobie piętno niezrównanego talentu wielkiego komedyopisarza. Beneficyantowi, należącemu do ulubieńców publiczności naszej a składającemu od lat wielu dowody wybitnego talentu na poznańskiej scenie, wyrażamy uznanie, że obok królujących wszechwładnie fars nowoczesnych, ukaże nam znowu prawdziwego komedyopisarza. — W czwartek ubiegły odegrano na scenie naszej premiowany utwór Wołowskiego p. t. „Towarzysz pancerny“. Obszerniejszą ocenę odkładamy do przyszłego numeru, nadmieniając tu tylko, że sztuka nie jest pozbawioną zalet scenicznych. Rolę głównego bohatera, Jana Chryzostoma Paska, odegrał znakomicie p. Knapczyński. — We wtorek debiutowała po raz drugi na scenie poznańskiej p. Barska w komedyi Bałuckiego „Flirt.“ Dziwimy się, jak dyrekcya, po zupełnie nieudanym pierwszym debiucie mogła p. Barskiej powierzyć trudną rolę Zofii Płonickiej. Występ początkującej adeptki sztuki raziłby niewątpliwie nawet na deskach teatru amatorskiego. Zgrabna figurka i piękne włosy to za mało do karyery scenicznej. Wyrażamy zatem nadzieję, że dyrekcya oszczędzi nam na przyszłość podobnych widowisk. — Eleonora Duse występuje z nadzwyczajnem powodzeniem w Sztokholmie. Król Oskar obdarzył orderem znakomitą artystkę. — Znana publiczności poznańskiej p. Martha Thorsen-Jankowska wystąpiła we Lwowie w roli Małgorzaty w Fauście. Krytyka, a mianowicie recenzent „Kuryera Lwowskiego“, wyraża się ujemnie o śpiewie p. Jankowskiej. — Nowości operetkowe: „Le Capitole“ Serpette'a i „Fedra z Aten“ Federmanna. — Dyrektor teatru lwowskiego p. Z Przybylski powrócił do zdrowia po długiej i ciężkiej chorobie. — P Dąbrowska, primadonna opery warszawskiej, występuje gościnnie na lwowskiej scenie. — W operze nadwornej w Koburgu występuje z wielkiem powodzeniem koloraturowa śpiewaczka, rodaczka nasza p. Felicya Bąkowska, pod pseudonimem Benno. — W Lugos na Węgrzech odebrała sobie życie słynna z urody artystka, p. Gizela Deak-Blad. Powodem miały być nieszczęścia familijne.

Maryan Gawalewicz donosi w „Kraju“ o ponownym nieudanym debiucie pani Selens na warszawskiej scenie i takie z tego powodu załącza uwagi:

„Debiutowała ponownie pani Selens, bez powodzenia. Czy ten sposób powiększania nieużytków i tak zbyt licznego personalu przyniesie scenie jaki pożytek, nawet w najdalszej przyszłości, śmiem powątpiewać. I tak na budżecie teatru ciąży balast zupełnie nie wyzyskiwanych „sił i środków“, o których złośliwy dowcip trafny ukuł aforyzm, że: „Nie dla tego się jest w teatrze, aby być w teatrze, ale dla tego się jest w teatrze, aby nie być w teatrze“.

Mógłbym wyliczyć cały szereg nazwisk, figurujących na liście płacy, a nie spotykanych prawie nigdy na afiszu, albo tak rzadko, że ich wynagrodzenie stosunkowe za jedną rolkę wyniosłoby największe „feu“ pierwszorzędnych artystów.

Po co trzymać i po co powiększać zastęp takich rarytasów scenicznych, jeżeli się z nich nie użytkuje? Są pomiędzy niemi nawet i zdolności, ale te chyba nigdy nie wyrobią się i nie zabłysną na warszawskiej scenie, bo docisnąć się do obsady trudno bez szczególniejszych względów reżyseryi. Teatr warszawski nie jest ani szkołą, ani pepinierą młodych talentów; posiłkuje się tylko pewnym stałym kompletem sił wyrobionych i rutynowanych, które swojego przywileju do ról i „feu“ strzegą pilnie i gorliwie. Nie jest przeto żadną korzyścią zaczepić się o naszą scenę dla względów artystycznych i łudzą się ci wszyscy, którzy sądzą, że nawet przy danych warunkach i uzdolnieniu mogą dojść do czego, nawet gdy zostaną zaangażowani.

Lata płyną, młodość mija, a nawet rutyny nie przybywa, gdy się jest zsunięty w kąty zakulisowe i, co najwięcej, statystuje w większych sztukach. Zaszczyt zaliczania się do personalu teatru warszawskiego okupywać trzeba często zupełnem zrzeczeniem się aspiracyi artystycznych.

Gdyby jeszcze istniał u nas dobry zwyczaj dublowania ról, jak się to dzieje w operze lub balecie niekiedy, gdyby wybierano i obsadzano sztuki z uwzględnieniem wszystkich, nawet najmniejszych zdolności, by im dać sposobność popisu i emulacyi, możeby było lepiej, ale na tę odwagę i ryzyko nie zechce się zdobyć dzisiejsza reżyserya, aby „zdrowej głowy nie kłaść pod ewangelię“.

Odpowiedzi Redakcyi.

St. P. Niechaj Pan sobie uwielbia te „białe piersi szaty“, które „kala łeb kosmaty“, — życzymy z całego serca powodzenia w afekcie i zwycięstwa nad „łbem kosmatym“ — ale na rany boskie niech Pan nie pisuje poezyi.

Marzycielka. Nowella jest trochę sztuczna i szczudłowa, ale wykazuje ślady niewątpliwego talentu. Prosimy o więcej próbek.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28.

Nr. 4. Poznań, niedziela 26-go stycznia 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański" wychodzi w każdą Sobotę. **Redakcya:** Poznań, św. Marcin 22 II p. **Administracya:** Piekary nr. 6. **Rękopisów drobnych nie zwracamy.**

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi w Poznaniu 4,00 mrk. Przyjmuje Administracya: Piekary 6. w Niemczech i Austryi 5,00 mrk. (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 mk. — Prenumeratę przyjmują Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer: w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.

TREŚĆ.

Szkoły ludowe w Rosyi.

II.

Scharakteryzowaliśmy w poprzednim artykule opanowanie szkoły ludowej przez rosyjskich popów i kult ciemnoty szerzony programowo przez duchowieństwo rosyjskie. Dzięki reakcyi zapoczątkowanej polityką Pobiedonoscewa, uświęconą ciasnym fanatyzmem cerkiewnym i tępą umysłowością Aleksandra III., szkoła ludowa z rozsadnika oświaty zamieniła się w sługę cerkwi, pepinierą rytualnych formułek i obrządków, w instytucyę systematycznej wojny z każdym podmuchem cywilizacyi. Zdobywszy raz królujące stanowisko w dziedzinie pedagogicznej, popi rosyjscy z bezwzględną brutalnością stanęli na straży kierunku swojego i władzy. Czują pogardę znacznej części inteligencyi, czują nienawiść, którą lud do nich pała, czują ironię i potępienie Europy, — więc wietrzą bunt na każdym kroku, każde drgnienie liberalniejsze depcą nogami i z uporem kretynów grzęzną coraz dalej i coraz głębiej na bagnach reakcyi swojej. Charakterystyczną w tym względzie jest głośna sprawa pani Stewen, która własną inicyatywą powołała do życia 50 szkółek prywatnych o elementarnym zakroju. Już sama „świeckość" tego humanitarnego przedsięwzięcia zbudziła podejrzenie „niebłagonadiożnosti" a gdy pani Stewen na pewnem zgromadzeniu ziemstwa w gubernii niżno-nowogrodzkiej i w jednem z czasopism petersburskich ogłosiła publicznie, że szkoły gminne przewyższają w kierunku pedagogicznym szkoły parafialne, odebrano jej natychmiast prawo zakładania nowych szkółek prywatnych, a stare oddano nadzorowi popów, usuwając założycielkę od wszelkich wpływów. Odważna pionierka zdrowej pedagogii nie dała jednak za wygrane i skrępowana w jednym kierunku, rozpoczęła tem energiczniejszą walkę na arenie publicystycznej.

W lecie ubiegłego roku ogłosiły „Russkija Wiedomosti" list pani Stewen, zawierający twierdzenie, że popi po większej części tak są opanowani kłopotami gospodarczemi i służbą kościelną, że ani czasu, ani pieniędzy, ani zdolności nie posiadają, aby sumiennie szkołą się zajmować. Autorka wywodzi również, że lubo wielka część duchownych rosyjskich wcale szkół nie pozakładała, to zakazuje surowo innym osobom jakąkolwiek w tym kierunku rozwijać działalność, z obawy, aby ich własne niedbalstwo na jaw nie wyszło, aby odmienny kierunek pedagogiczny nie zdobył sobie jednej piędzi ziemi, aby wreszcie uniknąć obowiązku zajmowania się wykładem i dozorowania nauki.

W takich warunkach zrozumiałem jest zupełnie, że szkoły parafialne odtrąciły wszystkie lepsze żywioły z inteligencyi i ludu. W jednym z lipcowych zeszytów (1895 r.) „Posłańca kościelnego", organu petersburskiej akademii duchownej, znajdujemy skargę, że nawet naczelnicy ziemscy unikają jakiejkolwiek styczności z szkołą parafialną z powodu bezustannych kolizyi z popami, „prowadzących nawet do wojny na pięście."

Kijowskie zgromadzenie, zwołane w sprawie dziesięcioletniego jubileuszu szkoły parafialnej, rozpatrywało między innemi sprawę seminaryi nauczycielskich uznanych w roku 1867 przez ministra oświaty Tołstoja za zupełnie zbyteczne i niebezpieczne, lecz później w okresie liberalnym Aleksandra II powołane do życia. Kongres kijowski wyraził opinię, że wprawdzie nie sprzeciwia się zakładaniu dwuklasowych seminaryów, lecz radzi nadać im charakter szkół klasztornych, a pop Jan Fudel poparł natychmiast propozycyę argumentem, że „szkoły klasztorne nastręczają przedewszystkiem wychowańcom swoim sposobność uczestniczenia codziennie w nabożeństwie." Czem atoli są klasztory prawosławne w Rosyi, o tem chyba długo rozwodzić się nie potrzeba: Zupełny brak oświaty i ograniczony, dziki fanatyzm, — oto atrybuty „czarnego duchowieństwa", czyli mnichów rosyjskich. (Ciekawych odsyłamy do dzieł Kostomarowa, Sołowjewa itp.) W myśl uchwały kijowskiej rozpoczęto natychmiast, jeszcze przed zakładaniem klasztornych seminaryów, wojnę z dawnemi seminaryami z czasów Aleksandra II, a rezultat jej przedstawia się charakterystycznie w następującem obliczeniu statystycznem:

W r. 1886 było 78 męzkich i 8 żeńskich seminaryów nauczycielskich, — w roku 1893 męzkich 67, żeńskich 5. Uszczuplenie wynosiło zatem w pierwszym wypadku 14 proc., w drugim 37.5 proc. W r. 1886 było 5430 seminarzystów i seminarzystek. W r. 1893 4574 seminarzystów i 582 seminarzystek. Uszczuplenie wynosiło zatem 15,8 proc. i 25,5 proc. Dla uzupełnienia obrazu sklerykalizowania szkół ludowych nadmieniamy wreszcie, że na mocy uchwał kijowskich wszystkie biblioteki szkolne zamieniono w oddziały bibliotek cerkiewnych i nakazano tylko takiemi książkami lud zaopatrywać, które poleci kościelny organ „Zerkownyja Wedomosti". Rozporządzenia te stosują władze z taką pedanteryą, że w najświeższym czasie zabraniają gubernatorowie prywatnym osobom i gminom zakładania bezpłatnych bibliotek dla ludu. Charakterystycznym jest również okólnik ministra oświaty, odbierający kobietom prawo prowadzenia szkółek elementarnych, do których obok dziewcząt uczęszczają chłopcy. W r. 1892 zniesiono w gubernii astrachańskiej szkoły niedzielne i odczyty dla ludu, a inspektor Spaski oświadczył wyraźnie, że nie pojmuje, jak realne szkoły wydzierzawiać mogą gmachy swoje dla tego rodzaju przedsiębiorstw, bo „świątynia nauki nie na to jest zbudowaną, aby ją kalać miały uliczne brudy". Znaną jest także rzeczą, że cieszące się zasłużonym rozgłosem Czernigowskie kongresy nauczycieli ludowych, zwoływane przez wybitnego pedagoga Tichomirowa, zostały zabronione na mocy ministeryalnego reskryptu.

Interesującem jest stanowisko, jakie konserwatywna prasa rosyjska, a mianowicie „Moskowskija Wiedomosti" i „Graždanin" zajmują konsekwentnie wobec oświaty ludowej. Jedno i drugie z powyższych czasopism uznaje umiejętność czytania i pisania za szkodliwą i demoralizującą dla ludu wiejskiego, a „Graždanin" w jednym z numerów lipcowych (r. 1895) kreśli następujący obrazek „wsi oświeconej":

„Jest to wielka wieś z trzema szkołami; prawie wszyscy mieszkańcy umieją czytać i pisać. Cóż przedewszystkiem uczyni chłop umiejący czytać i pisać? Oszuka drugiego. Do kościoła połowa tych ludzi nie uczęszcza, natomiast wieś oświecona rozpoczyna chętniej niż wprzódy odwiedzać szynki. Wódka — według opinji chłopa umiejącego czytać i pisać — daje rozum i męztwo, i zanim dwa lata upłyną liczba złodziei i oszustów potroi się we wsi oświeconej."

Jakkolwiek idyotycznym sąd taki jest niewątpliwie, należy liczyć się z nim poważnie, bo opinia ks. Meszczerskiego, redaktora Graždanina, jest opinią t. zw. „kamaryli

dworskiej“, kierującej do dnia dzisiejszego losami 120 milionów mieszkańców caratu.

W obec wszystkich powyżej przytoczonych szczegółów, — w obec faktu podanego przez Feliksa Wołkowskiego (Free Russia), że cała Rosya nie wydaje tyle na elementarną oświatę ludu, ile magistrat londyński na utrzymanie swoich instytucyi pedagogicznych, — w obec faktu, że do szkół ludowych w Rosyi uczęszcza tylko 2,2 % ludności, — w obec sklerykalizowania szkoły ludowej i panujących systemów wychowawczych, raczej zabijających niż krzewiących oświatę, — w obec skrępowania każdej inicyatywy świeckiej w dziedzinie pedagogii ludowej, — dziwnemi wydają się częste legendy prasy europejskiej o tendencyach cywilizacyjnych rządu rosyjskiego i energicznych dążeniach zaprowadzenia p r z y m u s u s z k o l n e g o w całem cesarstwie. Powierzyć lud wyłącznej opiece ciemnego i fanatycznego duchowieństwa, — zabić światło, — oto wyłączne hasło rozbrzmiewające od chwili wstąpienia na tron Aleksandra III na wyżynach rządowych.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Germanizacya przez Kościół. W „N o w i n a c h R a c i b o r s k i c h“ czytamy:

„Ks. proboszcz Reszka w Wodzisławiu wołał przed kilku tygodniami na kazaniu między innemi, „żeby ojcowie swych dzieci po polsku nie uczyli, gdyż to daremne i do niczego nie prowadzi, lecz po niemiecku. Kto zaś po niemiecku nie potrafi, ten niech się tylko na różańcu modli. A gdy panowie i rejencya po niemiecku uczyć rozkazują, to obowiązek nasz tak się uczyć i czynić, a świata do góry nie przewracać.“

W Rudach jest proboszczem ks. Thiel. Nawojował on się niemało z naszemi gazetami, odsądził naszych redaktorów od czci i sławy, a nawet im zarzucił oszustwo, bo wołał, że „polscy redaktorzy narobili w Poznańskiem długi, a teraz przylecieli na Szlazk, nasz dobry ludek bałamucić.“ Ks. Thiel, który zabrania trzymać gazety polskie, a podejrzanych bierze na egzamin, gdy się do niego po polsku mówi po sprawie — bo w Rudach wszytko polskie — to w większej części mówi po niemiecku, zwłaszcza do młodszych. Skarżono się ze łzami w oczach, że w Rudach polski język ruguje się z kościoła“.

* * *

Polacy-protestanci. Wychodząca od 1 stycznia w Ełku na Mazurach „G a z e t a L u d o w a d l a p o l s k i e g o l u d u e w a n g i e l i c k i e g o“, oblicza, że na całej przestrzeni Polski mieszka 700,000 ewangelików Polaków. Większa połowa ludności tej zamieszkuje prowincyą wschodnio-pruską, Mazowsze pruskie, gdzie w powiatach gołdapskim częściowo, jansborskim, łeckim, margrabowskim, węgoborskim częściowo, zządzborskim, morąskim częściowo, niborskim, olsztyńskim częściowo, ostródzkim, rastenborskim, reszelskim częściowo i szczycieńskim dochodzi do 480,000 dusz. W W. Ks. Poznańskiem żyje wedle obliczenia rzeczonej gazety, w powiatach ostrowskim, kępińskim i ostrzeszowskim 20,000 ewangielików polskich, dalej na Szlązku w powiatach sycowskim, namysłowskim, kluczborskim, brzeskim i lublinieckim 40 do 50,000, a wreszcie na Szlązku austryackim blizko 100,000.

„Gazeta ludowa“ zaznacza z zadowoleniem, że polska ludność ewangielicka wiernie się trzyma mowy macierzyńskiej. I rząd, — tak dodaje — jest nam (Polakom ewangielikom) przychylny. Po szosach, drogach, miastach i na załukach znajdujemy przepisy i przestrogi w polskim języku.., a te świadczą aż nadto wymownie, że na Mazurach mowa polska jest główną mową miejscową.

* * *

W sprawie przewodnictwa księży w towarzystwach ludowych. Przeciw tendencyi, aby w zachodnio-pruskich towarzystwach ludowych prezesem był każdorazowy proboszcz z urzędu. nie z oboru, wystąpiła również „G a z e t a G r u d z i ą d z k a“. W nr. 6 czytamy:

„Jesteśmy bezwarunkowo temu przeciwni, żeby paragrafami księżom zastrzegać przewodnictwo. Wszak niejeden z księży ociąga się, jak to przecież już teraz widzimy, od brania czynnego udziału w pracach Towarzystwa, a zniewalać go niejako przymusowo do tego nie wypada. Jednakże ważniejsze jeszcze względy przemawiają przeciwko ustanawianiu takich paragrafów.

Na czele Towarzystwa polskiego a mianowicie ludowego musi bowiem stać człowiek, który będzie pracował w duchu szczerze polskim. A czyż mamy pewność, że tam. gdzie dziś ksiądz jest Polakiem, jego następca również będzie Polakiem?! Czyż mamy pewność, że raczej nie będzie przyjacielem rządu, lub wprost germanizatorem, który wpływu swego jako przewodniczący będzie nadużywał na szkodę polskości?!

Tej pewności zgoła nie posiadamy, a raczej wiemy niestety, że zakusy germanizacyjne wciskają się nawet do samego kościoła, chociaż jak to udowodnioną jest rzeczą, wychodzi to na szkodę Wiary naszej świętej.

Jakże się jednakże dziwić, iż się tak a nie inaczej dzieje, jeżeli nawet pewien biskup katolicki, posiadający między trzodą swych wiernych i garstkę ludu polskiego, taką zdradza niechęć do Polaków, iż mógł o nim pewien dostojnik kościelny, znany ze swej szlachetności, powiedzieć, iż traci przytomność, gdy mu ktoś o Polakach wspomina“. jeżeli tenże sam biskup, gdy mu zwracano uwagę na to, iż w interesie Wiary św. i Kościoła należałoby więcej uwzględniać język ojczysty, zdobył się na taką odpowiedź: „Działoby się lepiej z wiarą naszą świętą, gdyby księża proboszczowie kochali tyle Zbawiciela ile mowę swą polską.“

Tych słów my bliżej objaśniać nie potrzebujemy, boć każdy zrozumie, czem one trącą. Jeżeli jednakże taki przykład idzie z góry, to prawie dziwić się nie można, iż dzisiaj zdarzają się pomiędzy księżmi zawzięci germanizatorzy i wrogowie mowy i narodowości polskiej. Takim zaś osobom wstępu do Towarzystw naszych i drogi do kierownictwa niemi, podobnemi paragrafami ułatwiać nie możemy, lecz raczej jest naszym obowiązkiem, o ile to w naszych siłach. stawić im pod tym względem zapory.

Towarzystwa nasze polskie są bowiem jedynem schroniskiem bezpiecznem dla świętości naszych narodowych, są one strażnicami, w których my „wartować winniśmy jak czujne brytany“ i z których odpieramy skutecznie grożące naszym skarbom narodowym niebezpieczeństwa, trudno więc wpuszczać do nich wroga w postaci księdza germanizatora.“

* * *

Wstręt do oświaty. „S ł o w o p o l s k i e“ (Lwów) rozpatruje w nr. 117 kwestyę polepszenia płac nauczycieli ludowych w Galicyi, zajmującą obecnie uwagę posłów sejmowych. Z artykułu dziennika tego dowiadujemy się, że s z k ó ł ludowych zorganizowanych a dla braku nauczycieli nieczynnych

---

OLA HANSSON.

BEZDOMNY.

Tłomaczyła

I......i Łodzia.

(D o k o ń c z e n i e).

Idée fixe, że rozpołowiono duszę moję, nie opuszczała mnie nigdy. Razu pewnego oblekła się w kształt fizyczny, w dwie formy cielesne — widziałem się sam podwójnie. Napełniło mnie to widziadło przestrachem, czułem po za sobą to wspomnienie, jak palącą się Sodomę i Gomorę... jakobym. obróciwszy się, siarkę i ogień był spostrzegł z niebios spadające — i wtedy jak żona Lota zamieniłem się w słup soli.

Nareszcie uczułem potrzebę wynurzenia się, znalezienia człowieka, z którym bym mógł podzielić się własnym ciężarem — bo brzemię każde lżejszem się wydaje, gdy napotka się towarzysza niedoli. Potrzeba owa działała na mnie jak rozkaz jaki, lub głośna skarga. Gdy zadosyć uczynić jej chciałem i szedłem ulicą, niepewność i nieufność budziły się we mnie, tak że ani kilka kroków nie uszedłem, a widziałem drogę rozdwajającą się przedemną; więc nie wiedziałem, którą obrać i do których drzwi zapukać.

Mówiłem sobie z uczuciem goryczy, że jedna przyjmie mnie z niechęcią... cierpienia moje wzbudzą w niej wprawdzie współczucie, lecz nie ciepło zrozumienia; i boleści mojej wskaże się nocleg, — snopek słomy na kamiennej podłodze. Druga przyciśnie mą boleść do serca jak własne swe dziecię w kołysce ułoży i do snu piosenkę zanuci. Do tej drugiej się zwrócę, chociaż nie powinienem obrać tej drogi — — — —

Pastor dawał ślub jakiś w naszej gminie i na tem ślubie i weselu wszyscy byliśmy. Nocny zmrok pokrywał ziemię, pokoje pełne były dymu, wrzawy i kurzu, gdy z panną Anielą wyszedłem do ogrodu. Noc była ciepła, ale już czuć się dawał chłód, zwiastujący poranek... ptaki poczynały świergotać. Usiedliśmy na ławce pod lipami; pomiędzy gałęziami widać było unoszącą się parę na łąkach i czerwony brzask jutrzenki.

Spowiadałem się jej z mej duchowej usterki. Ona słowa nie rzekła — twarz tylko ukryła w dłoniach; na ten widok pamięć moja odrysowała mi kiedyś widziany obraz: kobietę, która z nadmiaru boleści nad spadającem na nią nieszczęściem „Ojcze nasz“ odmówiła.

Jakiś jasny punkt zaświecił w oddali, zbliżył, zatrzymał się, wreszcie się oddalił; Była to Anna. Zawołałem ją, ale nie wróciła. Pojąłem, co ją tak rozgniewało, — i wszystko, co dla niej miłością we mnie było, co do niej należało, rwało się z mego wnętrza za nią — gwałtowną, pociągającą siłą. A jednak nie powstałem z ławki — pozwoliłem jej odejść! Bo we mnie istniał drugi, który silniejszy był od tego, którego pragnienie ciągnęło ku niej. Nagle zobaczyłom, że jakaś postać szła obok Anny — może to myśli me oblekły się w krew i ciało? tak niespodzianie postać ta obok narzeczonej mojej się uwydatniła, żem zbadać nie zdołał, ani zkąd powstała, ani jak się zbliżyła. Postać ta nie wyglądała tak, jak wyglądają inni ludzie, ale gdym pytał sam siebie, w czem tkwi różnica, wytłomaczyć jej sobie nie mogłem, dopóki z oczu nie spadła mi zasłona i nie zobaczyłem obok Anny — siebie samego.

Schwyciłem Anielę za rękę.

„Patrz pani, ot tam!....“

Ręka jej zadrżała w mym ręku, usłyszałem krzyk stłumiony; zerwała się i pędem pobiegła do jasno oświetlonego domu. Ale takiego wyrazu rozpaczy, jaki w przelocie na jej twarzy spostrzegłem, nigdy nie spotkałem w życiu.

Kilka dni później stałem na peronie dworca, lokomotywa gwizdnęła, pociąg ruszył, oddalając się powoli odemnie wraz z chustką, którą mi pożegnanie słała; długa, wązka ręka i twarz przyjazna zniknęły mi z oczu, a jam nic nie widział, prócz czarnego punktu, lecz i tego niebawem dostrzedz już nie mogłem. W tej samej chwili wszystko w mej duszy oblał blask zorzy wieczornej, mrok we mnie się zrobił aż do wiecznej nocy...

VII.

Podczas, gdy noc zapadła wokoło mnie, zobaczyłem, jak jedno z moich dwóch jestestw

jest w Galicyi 453, — klas nieczynnych 609. Z 2399 posad nauczycielskich z płacą 300 złr., a więc posad w szkołach wiejskich jest obsadzonych stale tylko 894, — a 1505 więc blizko 63% jest albo nieobsadzonych wcale, albo zajmują je nauczyciele tymczasowi, bez kwalifikacyi. Ostatnia cyfra dowodzi chyba niezbicie, że płaca 300 złr. rocznie, w tej klasie nauczycielom przyznana, jest niedostateczną. Mimo to jednak wniosek o polepszenie płac nauczycielskich spotyka się z zaciętem uporem i nie ma dotychczas pewności zwycięztwa. Do faktów tych nawięzuje „Słowo polskie" następujące uwagi:

Ze wszystkich konserwatyzmów, najgorszy, konserwatyzm kieszeniowy — odgrywa tu główną rolę. Nie wdaje się on w dyskusyę o rzeczy samej. Gotów przyznać w teoryi, że oświata jest dla społeczeństwa jak powietrze dla jednostki — warunkiem życia i rozwoju. Nie sprzeciwi się, gdy mu powiesz, że liczba analfabetów, i liczba gmin bez szkoły i liczba dzieci nieuczęszczających do szkół, nie z niechęci, ale z braku szkoły, i liczba szkół nieobsadzonych dla braku nauczycieli — że te wszystkie tak strasznie u nas wygórowane cyfry są nietylko wstydem dla kraju, ale i klęską na dziś i na przyszłość. To wszystko gotów ci przyznać. Ale koniecznych z tego wniosków ci nie przyzna i z zaciętym uporem powtarzać będzie, że podwyższenie dodatków do podatków choćby tylko o jednego centa, to dla kraju gorsza kleska niż analfabetyzm. I zaczyna się wtedy szeroki wywód o ruinie ekonomicznej, o przesileniu rolniczem, o szlachcie upadającej pod ciężarami podatkowymi, o włościaninie, który przed tym podatkiem ucieka do Brazylii... Więc w obronie interesów chłopa zadaje mu się cios najdotkliwszy, bo pozwala się jego dziecku rość w ciemnocie. I rzecz ciekawa: włościanie nie lękają się tego wydatku, nie bronią się przeciw niemu — a nasza inteligencya wiejska protestuje! Poseł Kramarczyk w roku zeszłym oświadczył się za tym wydatkiem — liczne zgromadzenia wyborcze włościan nie tylko polskich, ale i ruskich oświadczyły gotowość płacenia więcej, byle szkołom zapewnić nauczycieli; oba kluby włościańskie w obecnej sesyi zajęły to samo stanowisko, — a tylko w klubach, złożonych prawie z samych właścicieli obszarów dworskich, podnosi się silna opozycya!

Niechże ci panowie porachują, że skoro sprawa ta wymaga podwyższenia dodatków o 1 centa — to biedny chłop, który płaci 3 zł. podatku, zapłaci o 3 centy więcej, a dopiero przy 10 zł. podatku do płaci 10 centów. A ten zamożniejszy, który płaci 50 zł. rocznie, dopłaci 50 centów — a na całego guldena będzie się musiał ściągnąć dopiero ten, kto płaci 100 zł. podatku — a ten szczęśliwiec, który płaci 1000 zł. podatku, dopłaci aż 10 zł. rocznie. Jakże można twierdzić tak śmiało, że to podwyższenie byłoby ruiną finansową i ekonomiczną — że kryzys rolnicza na to nie pozwala — że, jak to często usłyszeć można, nie podobna dla interesu nauczycieli, narażać interesów milionów włościan i całego rolnictwa! Wygląda to istotnie na żart — zwłaszcza teraz, kiedy w ostatnich trzech latach krajowe dodatki do podatków zniżono o 7 centów (z 68 na 61 ct.).

Więc się nikogo nie rujnuje tą ofiarą, której wniosek Wydziału krajowego wymaga, a wymaga jej nie w interesie nauczycieli, ale w interesie kraju. Gdyby nie to przekonanie, że tu idzie o kraj, o lud, o jego przyszłość — że tu idzie o sprawę narodową, która tem silniej stanie im więcej światła w narodzie — z pewnością nikt by się tak natarczywie nie domagał tej ofiary. Kraj biedny, to prawda, więc sam wzgląd humanitarny nie wystarczałby na uzasadnienie zwiększonych wydatków. Ale ten wzgląd stoi tu na drugim planie — pierwszorzędnej zaś doniosłości jest to, że w interesie kraju obecny stan rzeczy dłużej utrzymać się nie da. A dowodzić chyba nie potrzebujemy, że wzrost oświaty jest warunkiem wzrostu sił produkcyjnych kraju, a zatem i jego bytu ekonomicznego.

Niech więc zaniechają swych prawdziwie wstecznych działań ci, którzy z gorliwością godną lepszej sprawy, silą się na wyszukiwanie nowych pomysłów i nowych wniosków, któreby miały ratować tylko pozory, a pozbawione były wszelkiej praktycznej doniosłości. Oszczędzić chcą — jak słyszymy — 30 tysięcy, a przez to 600 nauczycieli pozbawić tego skromnego polepszenia bytu, jakie im projekt Wydziału krajowego przyznaje. Jeżeli to ma być konserwatyzmem — to chyba tylko skierowanym ku konserwowaniu ciemnoty.

Spodziewamy się, że większość Sejmu nie da się popchnąć na tę zgubną drogę.

* * *

„Przegląd Wszechpolski" o *stosunkach poznańskich.* W numerze 2. „Przeglądu Wszechpolskiego" czytamy.

Nie ma bodaj w świecie drugiego narodu, któryby, obok głośno wyznawanego patryotyzmu, posiadał taki brak zmysłu zachowawczego, takie lekceważenie swojej samodzielności, taką występną pobłażliwość dla obczyzny i wyrozumiałość dla wrogów. Kult cudzoziemczyzny, lękliwe niedołęztwo, a najbardziej zwyrodniały humanitaryzm składają się na wytworzenie tego objawu. Pisma nasze z podziwieniem zaznaczają, że Anglicy, tacy przecie cywilizowani, oburzeni na Niemców, wyrzucają ich z posad, zrywają z nimi stosunki handlowe, usuwają towary niemieckie. Jakże się dziwić nie mają, kiedy u nas po rugach bismarkowskich zaledwie kilka firm kupieckich i przemysłowych zerwało stosunki z Niemcami. Niedawno gazety niemieckie podały wiadomość, że jakiś stary szlachcic pokazał drzwi kupcom niemieckim, należącym do wrogiego nam bractwa H. K. T., ale dzienniki polskie nie chciały temu uwierzyć, tak ten fakt, zupełnie naturalny wydawał się im nieprawdopodobnym.

Jesteśmy dziś narodem najgrzeczniejszym, najbardziej humanitarnym, najpobłażliwszym dla innych, sądząc, że te właściwości są świadectwem naszej dojrzałości cywilizacyjnej. Niestety, nie są to przymioty panów cywilizacyi, ale jej lokajów. Bezwzględność narodowa, szorstkość, gwałtowność i t. d. nie przeszkodziły Anglikom, Niemcom i Francuzom zająć stanowiska naczelnego, owszem pomogły im do wysunięcia się naprzód w cywilizacyi. Naród, który silnie czuje swoją samoistność i ceni swoją godność, nie może być ani potulnym, ani ślamazarnie humanitarnym.

Taka dla wszystkich pobłażliwa miłość,
To nie jest wcale miłość, ale zgniłość...

słusznie powiedział już przed trzydziestu kilku laty Karol Baliński. Tolerancya, posunięta do zapomnienia o swoich własnych interesach, cierpliwie znosząca to nawet, co jest nam wrogiem i szkodliwem, nie świadczy wcale o wysokim rozwoju poczucia sprawiedliwości, ani o poszanowaniu praw cudzych, ale dowodzi jedynie braku przekonań lub braku charakteru. Musimy być silni jeżeli żyć chcemy, a egoizm narodowy jest koniecznym atrybutem siły. Człowiek, który nie ma w charakterze pewnej dozy egoizmu i bezwzględności, pomimo wszelkich zalet umysłu i serca nigdy nie wybije się w życiu, pozostanie zawsze, być może, sympatycznym, ale lekceważonym niedołęgą. Naród, który podporządkowuje żywotne interesy swoje jakimś wyższym względom, który toleracyjnym krytycyzmem rozcieńcza swoją umysłowość, a ludzkością i pobłażliwością osłabia energię swoich uczuć, nie wytrzyma współzawodnictwa z innymi, nie nakładającymi sobie w dążeniu do celu żadnych hamulców.

— *ski.*

SPRAWY EKONOMICZNE.

Cena ziemi.

II.

Wedle wspomnianej już przez nas teoryi Rodbertusa, cena ziemi jest w stosunku prostym do renty gruntowej. — Prawo to wydaje się na pierwszy rzut oka niezbędną konsekwencyą twierdzenia, że cena ziemi jest jej skapitalizowaną rentą. — A jednak, przyznając słuszność założeniu, musimy podać w wątpliwość wyprowadzony zeń wniosek. Niema bowiem żadnego konkretnego ekonomicznego zjawiska, któreby warunkował jeden tylko, choćby najpotężniejszy czynnik; każde z nich jest wynikiem całej

---

stało w żałobie pomiędzy ruinami. Nagle zerwało się jak zranione zwierzę i pobiegło w noc ciemną, z oczami, w których świecący promień nienawiści rozjaśniał drogę. I wszędzie tam, gdzie spotykało swego brata sobowtóra, groziło mu zaciśniętą pięścią, ćwiczyło go rózgami drwiących słów i usta chustą mu zatykało, by stłumić straszny krzyk jego boleści...

Raz, o żniw porze, gdy księżyc opromieniał kłosy, siedzieliśmy oboje razem na łące, gdzie rzędem do bielenia porozkładana leżała bielizna.

„Powinieneś był raczej z nią odejść, niż tutaj zostać i mnie męczyć" — rzekła. „Do niej i do jej podobnych stosujesz się, nie do mnie".

Wtedy zaśmiał się jeden szyderczo we mnie, drugi uczuł wyrzuty sumienia.

„Najlepiej będzie, że się rozstaniemy, nie jesteśmy stworzeni dla siebie".

Wtedy zaśmiał się jeden we mnie, drugi skurczył się jak robak.

„Czemu przestąpiłeś próg naszego domu? Byłabym wolała nie poznać cię wcale".

Zmiarkowałem się, że byłem sam. Księżyc stał wysoko na niebie, długie cienie rzucając na ziemię. Podniosłem się, poszedłem do domu. Ktoś szedł za mną; przystanąłem, aby zobaczyć, kto to taki. Ale, gdym się zatrzymał, to i tamten stanął; rozpoznałem go wtedy: to był *on, ten drugi.* Począłem biedz, aby go się pozbyć, ale i on biegł także; szedłem wolno, by mnie minął, ale on zastosował się zaraz do mego kroku. Zawsze umiał zachować równą odległość. Raz w twarz mu zajrzałem. Była pełna smutku, głowę na bok przechylał. Wyglądał jak bezdomny, który nie ma dachu, pod którymby noc spędził i nie wie, gdzie schronienie mu dadzą.

Gdym dotarł do domu i stanął na progu, zdawało mi się, że go znów dostrzegam ze smutnemi, błagającemi oczyma — zerwał się, by biedz do mnie, zdołałem jednak drzwi przed nim zamknąć.

Od czasu tego dwakroć pukał do drzwi moich; wstrzymując oddech, słyszałem, jak czekał, czy go nie wpuszczę, ale nie mogąc się doczekać, odchodził wolno, a ja śledziłem jego kroki, dopóki nie przebrzmiały wśród ciszy nocnej.

Jednej nocy, budząc się, znalazłem go w moim łóżku. Ciemno było, nie widziałem go, tylko czułem jego obecność. Zapaliwszy świecę, widziałem, jak skulony spoglądał na mnie błagalnie. Co nastąpiło — nie wiem, gdym znów do siebie przyszedł, księżyc oświetlał pokój, jam leżał w poprzek łóżka, świeca na ziemi.

Więcej jak miesiąc upłynął od tej nocy; nie widziałem go od tego czasu, ale czuję, jak co drugą noc obchodzi wokoło domu; niedługo znów znajdę go w mojem łóżku; odczuwam zbliżenie się jego we wszystkiem, w szumie lip, w smutnej muzyce, w zmroku i — teraz właśnie widzę go w długich cieniach, z księżyca na ziemię padających. Jest on bezdomnym; sumienie mnie gryzie, że mu na noc nie odstąpiłem łóżka; ale jest on przytem nieprzyjacielem moim, pasożytem, który ssie krew moją i którego w końcu zabić mi przyjdzie!..."

VIII.

Wolno wracałem do siebie, przechodząc znowu obok dawniejszej własności mego przyjaciela, której widok obudził we mnie wszystkie wspomnienia, szczególniej wspomnienie owej pamiętnej nocy. Zmrok zapadł zupełnie, światełka wszędzie błyszczały. Wicher się zerwał i tak, jak wówczas nad moją głową trząsł temi samemi lipami, których szum nakłonił go ongi do opowiedzenia mi smutnej swej historyi. Myślałem, że to pewnie podobna noc, jak dzisiejsza, być musiała, i że lipy szumiały tak samo, jak teraz właśnie, gdy znalazł tamtego drugiego w swoim łóżku. Bo jednego poranku, krótko po opowiedzeniu mi smutnej historyi życia, znaleziono go w łóżku martwego, z zaskrzepłą już krwią, z raną w sercu, którą sobie sam zadał. Domyślano się, że uczynił to w chwili szału, ale któż zbada rozterkę jego duchową, która go skłoniła do zatopienia noża we własnem sercu, w pełnej wierze, że narzędzie mordercze kieruje w piersi tamtego... drugiego człowieka?

KONIEC.

masy krzyżujących się sił i dążeń; takiem jest prawo ogólne, podlegają mu i ceny wszelkich dóbr ekonomicznych. Ztąd działanie ich twórczego pierwiastku nie okazuje się nam nigdy w swej czystej, wolnej od postronnych wpływów, formie, — przeciwnie, cała masa najprzeróżniejszych konjunktur modyfikuje je wciąż, to w tym, to w innym kierunku. Oczywiste ujęcie w ścisłą formułę tylu różnych tendencyi, wynikających przytem z najrozmaitszych źródeł, przedstawia niemało trudności. Nie przechodzi ono jednak sił umysłu ludzkiego; dowodem czego chociażby sławne żelazne prawo Ricarda, wedle którego wahania się cen towarów dają w przeciętnej wartość odpowiednich dóbr gospodarczych. Dokładniej wyrażone brzmi ono w następujący sposób: wyższe po nad wartość ceny sprowadzają nadprodukcyę, zaofiarowanie wzrasta w stosunku do zapotrzebowania; ceny spadają coraz niżej, wskutek czego kapitały wycofują się z nierentującej już gałęzi produkcyi, — to wszystko trwa, dopóki zapotrzebowanie nie przewyższy na tyle zaofiarowania, by ceny poczęły znowu iść w górę itd. Sto lat już niemal mija od sformułowania tego prawa — i doświadczenie przyznało słuszność twierdzeniu angielskiego ekonomisty, lecz ziemia to całkiem odmienny od innych towar. I to, co okazało się prawdą w zastosowaniu do ogółu cen, pozostaje bez znaczenia, gdy o nią chodzi. Grunta bowiem nie są produktem pracy ludzkiej i ilość ich nie może być dowolnie zwiększaną. O nadprodukcyi więc ziemi nie ma mowy.

Co więcej jednak, wraz wzrostem cen ziemi zmniejsza się nawet jej zaofiarowanie. Dobre czasy nie usposabiają bowiem gospodarzy do wyzbywania się swych majątków. Wręcz przeciwnie nawet ci z pośród nich, którzy nie widząc sposobu poprawienia interesów, gotowi już byli uciec się do tego ostatecznego środka — sprzedaży, gdy zboże pocznie lepiej płacić, a wraz z tem renta i cena ziemi idą w górę, nabierają otuchy, wiary w lepszą przyszłość i trzymają się oburącz swej ojcowizny. Zapotrzebowanie jednak wzrasta coraz bardziej, gdyż własność ziemska staje się lepszą lokacyą zarówno dla produkcyjnych, jak i dla spekulacyjnych kapitałów. W ten sposób rynek kształtuje się coraz korzystniej dla sprzedawców, zapotrzebowanie wzrasta wciąż w stosunku do zaofiarowania i wskutek tego cena gruntów rośnie jeszcze bardziej.

Możemy więc powiedzieć, że każda zwyżka cen ziemi rodzi nową zwyżkę siłą zawartej w niej dążności progresyjnej. Wyrażając się zaś ściślej i biorąc pod uwagę stosunek cen ziemi do wysokości renty, sformułujemy to prawo w następujący sposób: c e n a z i e m i w z r a s t a s z y b c i e j o d r e n t y, p r z y c z e m r ó ż n i c a w y n i k ł a z t ą d m i ę d z y n i e m i r o ś n i e w c i ą ż, p ó k i s t o s u n e k r e n t y d o c e n g r u n t ó w n i e s p a d n i e p o n i ż e j p r z e c i ę t n e j s t o p y p r o c e n t o w e j. Wręcz odwrotny jednak stosunek zapanowuje, gdy dla rolników „złe czasy“ nastają. Co prawda, na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że stosunek podaży do popytu powinien i tu również wywołać szybszy ruch cen ziemi, niż renty. Coraz trudniej bowiem wtedy o nabywców, gdy natomiast liczba właścicieli ziemskich, gotowych ratować się sprzedażą majątku, rośnie z dniem każdym. Lecz zaofiarowanie nie polega jedynie na życzeniu pozbycia się własności. — Jednego tego czynnika jeszcze nie dosyć, by stało się ono czynną ekonomiczną siłą. By stać się nią, musi ono przybrać konkretną formę, — przejść z zakresu mglistych życzeń w sferę jasno określonych żądań. I dopiero wtedy, gdy wyrazi się jako pozytywna chęć sprzedaży za taką a nie inną cenę, rynek pocznie się z niem rachować i przyzna go za czynnik kształtujący ceny. —

Działanie podaży w ostatnim tym charakterze da się zwykle wyrazić w następujący sposób: gdy liczbę konkurentów i zaofiarowanych dóbr uznamy za wielkość stałą, wysokość cen znajdować się będzie w stosunku prostym do wysokości szacunku wyrażonego przez sprzedawców. Gdy zaś ta ostatnia pozostanie niezmienną, wtedy ceny staną w odwrotnym kierunku do ilości zaofiarowanych dóbr. Transakcye ziemią wyłamują się i pod tym względem z pod panowania ogólnych praw. Sprzedawcy bowiem ziemi w znacznej większości wypadków pozbywają się swej własności nie w celach zarobkowych, jak to czynią zawodowi przemysłowcy i kupcy, lecz jedynie w wyjątkowych razach, gdy dochód ziemi nie wystarcza na opędzenie codziennych potrzeb, — dający się więc zauważyć w chwili t. zw. „złych czasów“ wzrost podaży wypływa w pierwszym rzędzie z nadziei właścicieli, na wycofanie z majątku drogą sprzedaży kapitału, któryby dozwolił im na utrzymanie nadal tej samej co wprzódy stopy życiowej. — Własność ziemska nie gwarantuje im tego, starają się więc o gotówkę, wierząc, że handel lub przemysł da im większe niż rolnictwo odsetki. Lecz w obec tego, pomimo najgorętszej chęci sprzedania swych gruntów, zgodzą się oni na pozbycie się ich jedynie za cenę, przewyższającą sumę, wynikającą ze skapitalizowania otrzymywanej przez nich w danym czasie renty. Wszelka inna tranzakcya nie przedstawiałaby dla nich żadnych zgoła korzyści. Taką jest psychologia stosunkowo jeszcze dobrze sytuowanych sprzedawców ziemi. A gdy zwrócim wzrok nasz w stronę rolników, jęczących pod brzemieniem nadmiernych długów, zobaczym, iż cenią oni zawsze swój majątek powyżej prawdziwej jego własności. I nie dziwota. Specyficzne stosunki rolnicze pozwalają im dziesiątki lat trzymać się przy swej ojcowiznie, przetrwać we względnym dobrobycie z dnia na dzień, cieszyć się wyższem stanowiskiem towarzyskiem, — gdy tymczasem likwidacya majątku strąciłaby ich w szeregi wykolejonych, bezdomnych proletaryuszów. Jasnem jest, iż w podobnych warunkach liczba konkurentów może minimalny tylko wpływ wywierać na kształtowanie się cen, niemożliwość bowiem sprzedania ziemi jest „en règle“ mniejszem złem, niż niekorzystne jej sprzedanie.

Z drugiej strony kupujący są nawet w czasie zniżki cen zbożowych skłonniejsi do ustępstw, niż sprzedający. Tylko bowiem wierząc, iż dalszy spadek renty nie długo już potrwa i że wkrótce dochody z rolnictwa się zwiększą, mogą sobie życzyć naby-

---

K. ROJAN.

W ŚWIAT.

(Ciąg dalszy.)

Przyczyną ostatnich domowych niesnasek, była sympatya obu kobiet do pięknego Dynieckiego.

Pani Borajska wysnuła sobie z kilku żarcików i uśmiechów miłego gościa, że głębokie na nim uczyniła wrażenie. A że to przekonanie wielce pochlebiało jej próżności, uważała więc Dynieckiego za swego wielbiciela, do którego, na razie przynajmniej, żadna z kobiet nie powinna rościć sobie prawa, a tem mniej Lola — ta wyrodna pasierbica Lola... ta niegodziwa jaszczurka Lola.

Tymczasem zmysł spostrzegawczy pani Borajskiej, aczkolwiek słabo rozwinięty, od razu rozpoznał w Loli rywalkę.

Zkądinąd nie było to rzeczą wcale trudną.

Młoda, niedoświadczona dziewczyna, olśniona pięknością dorodnego chłopca, zakochała się w nim od razu szczerze i namiętnie. Takie uczucie, owiane tęsknotą, rozkoszne i przygniatające, poniekąd ślepe, nie łatwe jest do ukrycia; zresztą Lola nie myślała z tego czynić tajemnicy, a jeżeli nie spowiadała się przed panią Borajską, to głównie dla tego, że z macochą w ogóle rozmawiać szczerze nie lubiła i nie umiała, a powtóre nie była dotąd pewną wzajemności Dynieckiego.

Piątego dnia po imieninach, wyszła pani Borajska z kucharką do miasta po ważniejsze zakupna. Wieczorem znowu miało być kilka osób na kolacyi. Do Borajskiego zaprosili się towarzysze wspólnego stolika od Bronarza na dalsze narady nad kasą zaliczkową z ograniczoną poręką, prócz tego po południu miała odbyć się pierwsza próba amatorskiego przedstawienia. Możliwem więc było, że Dyniecki dłużej zabawi i zostanie na kolacyi.

Lola uczuwszy się samotną w domu, usiadła przy oknie i przez dłuższą chwilę spoglądała bezczynnie na ulicę. Od imienin żadna praca nie sprawiała jej przyjemności. Myślała, czy też nie ujrzy go bodaj z daleka, na zakręcie ulicy, bodaj przez minutkę tylko, przez jedyną minutkę. Do wieczora tyle jeszcze godzin czekania... Ludzie przechodzili, wozy toczyły się szybko, Dynieckiego widać nie było.

Aż nagle widzi go! — niestety widzi w towarzystwie powracającej z miasta macochy.

Rozmawiają wesoło. Macocha robi czułe oczy. Zdala wydawać się mogło, że Dyniecki opowiada jej coś zajmującego, a ona słuchając, daje częstem poruszeniem głowy do poznania, że go rozumie.

Widok ten oburzył Lolę do głębi. Uczuła w sobie taką złość do macochy, że gotową była bezzwłocznie, jak tylko wejdzie do pokoju, wyrządzić jej przykrość.

W parę minut potem weszła do jadalni pani Borajska uśmiechnięta, uradowana, słowem promieniejąca. Rozmowa z Dynieckim uszczęśliwiła ją nadzwyczajnie. Wprawdzie był on trochę swawolnym, ale takiemu pięknemu chłopcu wiele się wybacza. Opowiadał jej o różnych awanturkach krakowskich, o wesołych kobietkach, o ładnych mężatkach, które zwodzą starszych mężów bez żadnych skrupułów sumienia, udowodniał nawet, że wszelkie skrupuły tego rodzaju, w dzisiejszych postępowych czasach, są po prostu bezsensem, i różne tym podobne prawił jej rzeczy, pełne dwuznaczników i domyślników.

W ogóle, Dyniecki zachowywał się — według jej niezbyt wydelikaconego pojęcia — nadzwyczaj poufale i po przyjacielsku. W bramie przy pożegnaniu trzymał i ściskał zbyt długo jej rękę w swej dłoni. Czyż więc nie miała powodu do szczerej radości?

Rozbierając się, rzekła tedy jakby od niechcenia:

— Spotkałam się na rynku z Dynieckim. Odprowadził mnie aż do bramy. Bawiliśmy się przez cały czas doskonale.

Miało to być wskazówką dla Loli, że Dyniecki nie do niej należy.

Lola pobladła, wykrzywiła usta bolesnym grymasem, a patrząc wciąż w okno, zauważyła złośliwie:

cia własności ziemskiej. — Wynikająca więc ze starcia się zaofiarowania i zapotrzebowania cena gruntów bliższą będzie szacunku wyrażonego przez sprzedawców niż przez nabywców i *spadek jej powolniejszym, niż renty gruntowej.* —

Wyprowadziliśmy powyżej dwie różne formuły, wyrażające dynamiczny stosunek cen ziemi do wysokości renty gruntowej. Łącząc je w jedno, otrzymujemy następujące prawo: *ruch cen ziemi odbywa się w kierunku ewolucyi renty gruntowej, wynikającej z wahań cen zbożowych; nie jest z nią wszakże identyczny. Zwyżka bowiem cen ziemi szybszą jest od zwyżki renty, zniżka natomiast powolniejszą.*

Str.

LITERATURA I SZTUKA.

Akordy jesienne.

IV.

W blaskach świtu duch młodości zza jesiennych mgławic wstał —
Idzie ku mnie z łąk zapachem, z barwą kwiatów, z szumem drzew;
Fale żyta płyną za nim, niby świetnej rzeki wał,
Świeże bruzdy w ślad się dymią, skowrończany strzela śpiew,

* * *

Idzie ku mnie, jakby wiatru marcowego dmący zew —
Z nadziejami idzie ku mnie, które w łona sennych ciał
Zapragnęły w lwim porywie wlać heroów wrącą krew,
Tak, bajecznych waligórów, zaród zwycięstw, zaród chwał!

* * *

Idzie — w drodze kształt swój zmienia: Apolina gładką skroń
Na pochmurne zmienia czoło, pełne krwią nabiegłych żył,
Lutnię zmienia w pług żelazny, na siermięgę chiton muz,..

* * *

Idzie — idzie — na globusie zolbrzymiałą kładzie dłoń,
Świat wywraca w jego osiach, wielkie morza w dżdżysty pył,
Wielkie góry zimowładne w piarg roztrąca, w marny gruz.

V.

Śnie młodości! przez szarugi, przez bijący w oczy śnieg
Skrzydłem wiary prułeś przestwór, który nie znał, co to kres:
U piór twoich tłum nie jeden i nie jeden zawisł wiek,
Gad nie jeden cię owinął i nie jeden warknął pies.

* * *

Czem był tobie płacz najdroższych? czem szyderczy śmiech i stek
Ośliniałych klątw motłochu? Czem był tobie Bóg czy bies?
Mknąłeś, groble rwąc i mosty, parłeś z hukiem górskich rzek —
Wrzała moc w twej rajskiej krasie, boś był z ludu krwi i łez...

* * *

Śnie młodości! wracasz znowu? Ha! wyrzuty płyną-ć z ust?
Poorane masz oblicze? z czoła ścieka zimny pot?
Stój.., Weronik daj mi łaskę, zmień mą duszę w szmat ich chust —

* * *

Zostaw ślady swego lica!... Wszakże w mgle jesiennych dni
Nie straciła swego blasku, mimo wichrów mimo słot,
Matka twoja, duma święta, żem jest z ludu łez i krwi.

VI.

Dmij wichuro! Z zwiędłych koron te cmentarne drzewa łuszcz
I w szalonej mieć zawiści coraz wyżej na mój grób!
Dmij, wichuro! strzaskaj płytę, nieśmiertelny połam bluszcz,
Nasyp z gliny zrównaj z ścieżką dla zawziętych marnych stóp.

* * *

Z korzeniami wyrwij jodłę, przeniesioną z gęstych puszcz,
Próchniejące kości roznieś — suche kości to twój łup,
Lecz nic więcej! ten, co sycił moją pieśń, żywotny tłuszcz
Wsiąkł już w rolę, już z nią zawarł niezniszczalny, wieczny ślub.

* * *

Dmij wichuro! dmij bez miary! Widzisz, jak się spełnia cud?
Rój żniwiarzy zbiera plony, co wyrosły z moich dum
Przygłuszyłeś moje imię — pamięć w ciemną-ś stracił noc —

* * *

A mych zwątpień, mych zachwytów niedaremny wszak był trud —
Kłosom z moich ziarn powstałym błogosławi boży tłum:
W mych zwątpieniach, w mych zachwytach była jego krew i moc.

Jan Kasprowicz.

Fin de siècle.

(Teodor Jeske-Choiński. Rozkład w życiu i literaturze. Studyum. Warszawa 1895.)

Literatura francuska lat ostatnich kilkunastu wydała sporą liczbę dzieł wprawiających w podziw przeciętnego czytelnika niezwykłością treści i formy. Znajdujemy tam nietylko lubowanie się zmysłowością, nietylko sceptycyzm posunięty do ostatnich granic, lecz także uwielbianie grzechu i wynoszenie go do godności cnoty, nienawiść do wszystkiego, co świat chrześciański uważa za dobre i wzniosłe, i rozkoszowanie się rzeczami brzydkiemi a nawet wprost wstrętnemi, trupami cuchnącemi i toczonemi przez robactwo, szkieletami, kałem i t. p. Autorowie dzieł tych dbają nadzwyczajnie o doskonałość formy zewnętrznej, ale równo-

---

— Pomagał może mamie u przekupek jarzynę targować? Na prawdę, musiała tam być bardzo wesoła przy straganie rozmowa. I temat zajmujący, i pora taka urocza: buraki, kartofelki, cielęcina...

— Żal ci może, żeś ty tam nie była? Czemuś nie poszła i nie siadła za straganem? Tam jest miejsce w sam raz dla ciebie. Język masz już do tego doskonale wyuczony.

— I nic dziwnego — odcięła się Lola, — Kto przez trzy lata pozostaje w szkole pani Borajskiej, ten może wykształcić się wszechstronnie. Co zaś do miejsca, to sądzę, że dzisiaj byłoby ono właściwsze dla mamy niż dla mnie. Chodząc dłuższy czas z panem Dynieckim po rynku, musiała mama zziębnąć cokolwiek w nóżki.... trzeba więc było przeprosić którą z poczciwych przekupek i dla rozgrzania się posiedzieć chwileczkę nad garnkiem z węgiami. Byłoby to dla mamy jak na dziś miłem, a przypuszczam, że żadna z nich nie byłaby mamie odmówiła tej dobrej koleżeńskiej przysługi....

Powiedziawszy to wybuchnęła głośnym śmiechem.

Po każdym takim śmiechu popadała pani Marcysia w pasyę. I tym razem stuknęła szufladą od komody, potrąciła krzesło i wybiegła do kuchni, zatrzaskując drzwi za sobą

Lola upadła na kanapę, załamała ręce i szepnęła blademi ustami.

— Boże, jaka ja nieszczęśliwa! Zawsze tak, zawsze tak!... Kiedyż się to już raz skończy?

Po chwili jednak pogodniejsza jakaś myśl rozweseliła jej oblicze. Wstała, podeszła do lustra i poczęła w nim przeglądać się sobie.

— E, — zauważyła — będzie jeszcze kiedyś inaczej

Tymczasem w kuchni pani Borajska wiodła nader żywą pogadankę z kucharką, w zakończeniu której, otrzymała stara „odwieczna“ sługa Borajskich, ulubiona panienki, głośny policzek.

Lola zatrzęsła się znowu.

W tej chwili wpada zaperzona Marcysia do pokoju i z twarzą zwróconą w kierunku kuchni, dorzuca jeszcze kucharce to, co w pasyi zapomniała jej na miejscu dopowiedzieć.

— Masz, żebyś pamiętała na drugi raz, że w obec pani należy trzymać język za zębami. Dobrze ci tak!

Usiadła rozłoszczona.

Lola, nie zważając na gniew macochy, pogląda dalej w zwierciadło.

Niepodobało się to pani Marcysi.

— Lolu, kiedy ty się już raz przestaniesz mizdrzyć do lustra. Zamiast zająć się jaką poważną robotą, stoisz w lustrze i mizdrzysz się tylko, mizdrzysz! Aj, aj, żebyś wiedziała jakaś ty piękna!

Lola nie odwraca się.

— Co mamie szkodzi moje mizdrzenie — odpowiada na pozór spokojnie, obojętnie.

— Nie lubię tego i już.

— Mama wiele rzeczy nie lubi.

— Proszę cię, nie odpowiadaj, jeżeli ci zrobię jaką uwagę, to tylko po to, żebyś wiedziała, co uchodzi, a co nie uchodzi. Jesteś jeszcze zbyt młoda, żebyś mogła sama za siebie odpowiadać. A jeżeli zrobisz coś niemądrego, to świat i ludzie nie powiedzą, żeś ty tymu winna, ale wskażą palcem na mnie.

— Niech się mama nie obawia, już ja się potrafię zachować tak, jak potrzeba.

— A, pewnie. Już ty się zachować potrafisz! Widzieliśmy jak się zachowałaś na imieninach z Dynieckim, podczas kolacyi! Narzucać się komuś, to ty potrafisz, pewnie, pewnie!...

Lola spłonęła rumieńcem. Odwróciła się i krzyknęła głośno:

— Mamo, prosiłam już raz nie wspominać mi o Dynieckim w podobny sposób. Ja mu się wcale nie narzucam. A że mi się podoba, z tem się nie taję i cóż mi kto zrobi?!

— Ślicznie, bardzo pięknie. Tak mówi panienka, co chodziła siedm lat do szkoły.. a, bardzo ślicznie.

Zerwała się z krzesła.

— Ależ dziewczyno, upamiętaj się, ludzie wezmą cię na języki i suchej nitki na tobie nie będzie.

— Niech mówią, co im się podoba. Ja sobie z ludzi nic a nic nie robię.

cześnie usiłują wyrażać się jak najoryginalniej, używają chętnie zwrotów i słów niezrozumiałych, dzikich przenośni i paradoksów, piszą językiem stanowiącym często gmatwaninę słów na oko nie powiązanych żadną myślą, bawią się w fonetyzm i symbolizm. Nazywamy ich zwykle „dekadentami“.

Charakterystyka tych pisarzy, rozbiór dzieł ich i pogląd na stosunki etyczne, na których tle powstali, — oto treść nowego studyum Jeske-Choińskiego. Opiera się ono, tak samo jak poprzedzające je „Na schyłku wieku“, na znanem dziele Nordaua „Entartung“ i nosi wszystkie znamiona ducha swego autora.

Chodziło Jeske-Choińskiemu o dowody, jak nisko pod względem moralnym i umysłowym upadło społeczeństwo europejskie. Przystąpił więc do dzieł dekadenckich z miną moralisty i człowieka prostego rozumu, powypisywał z nich charakterystyczne ustępy, zaopatrzył w swoje komentarze i dał pogląd na życie autorów. Nie myślimy rozbierać krytyki jego szczegółowo, bo zaprowadziłoby to nas za daleko. Powiemy tylko krótko, że wypadła jak najniekorzystniej. Spoglądając na świat z ciasnego stanowiska człowieka, który, przyjąwszy pewną doktrynę, zżył się z nią i używa jej za klucz do wszystkich zagadnień, a wszystko, co z nią sprzeczne, za błąd uważa, nie zrozumiał Jeske-Choiński natury „dekadentów“. Dostrzegł w dziełach ich tylko to, co wstręt w nim budziło: bluźnierstwa, uwielbienia grzechu, zmysłowość, lubowanie się w rzeczach brzydkich i nazwał ich wszystkich bez wyjątku zbrodniarzami lub waryatami; zboczeniem umysłowem lub wyuzdaniem tłomaczy też zachodzące w ich utworach sprzeczności, a mianowicie czasową ich wiarę w Boga, dochodzącą do egzaltacyi.

A przecież potrzeba tylko nie zamykać oczu, aby rozwiązać zagadkę natury dekadentów. Są to rzeczywiście ludzie chorzy — jak pisze Choiński — ale chorzy nie na umyśle, lecz na brak ideału, któryby im przyświecał w życiu, na tęsknotę za tem dobrem najwyższem, którego przeczuwają istnienie, a którego nie umieją znaleźć, na żądzę namiętną zapełnienia próżni swego serca. Przekosztowali wszystkie systemata filozoficzne, a żaden ich nie zaspokoił, żaden nie ostał się przed ich krytyką. I oto błądzą samotni wśród świata bez świadomości celu swego istnienia i, przerzucając się z ekstremu w ekstrem, szukają prawdy to w objęciach kochanki, to w rozpuście, to w zbrodni, to u stóp ołtarza, to znów w ciszy grobowej wśród trupów i szkieletów lub w świecie fantazyi. Ale nie znajdują jej nigdzie i dla tego, rozgoryczeni, gardzą wszystkiem tem, co zawiodło ich nadzieje, bluźnią Bogu i ludziom i samym sobie. Pozostał im sam tylko świat fantazyi, poezyi i jej poświęcają swe żale.

A ta poezya niezwykłą jest, jak ich pragnienie. Jeske-Choiński nic rozumie jej, bo czyta tylko oczyma i w zdaniu każdem szuka myśli okrągłej. Zrozumiałby ją, gdyby szukał w niej raczej tego pragnienia, którego jest wyrazem. Forma utworów dekadenckich odpowiada zawsze wewnętrznemu nastrojowi poety. Jest jasną i zrozumiałą, kiedy mniema ugasić swą żądzę w świecie rzeczywistym, w objęciu kochanki, czy w grobie, czy przed ołtarzem Boga, i kiedy szydzi z wszystkiego, co nie dało mu prawdy. Kiedy zaś ucieka się do własnej duszy, do własnej fantazyi, do marzeń nieokreślonych i kołysze się w pewnem nastroju umysłowym, na którego tle nie występują jasne, ujęte w zdania obrazy, wtenczas i wiersz jest nieokreślony i zawiera tylko zestawienie tych przedmiotów, które w takiej chwili zadumania przesunęły mu się przed oczyma duszy. Są to przedmioty najróżniejsze, tak samo jak we śnie, nie stojące z sobą często w żadnym związku logicznym; ale razem wziąwszy, stanowią całość, wywierającą pewne jednolite wrażenie i budząca jasno określone uczucie. Wszystko razem składa się na to, co Niemcy w malarstwie nazywają „Stimmung“: i wywołanie u czytelnika takiego nastroju tylko przez podsunięcie pewnych przedmiotów jest zamiarem poety.

Taki sposób wywoływania wrażeń mógłby zresztą Jeske-Choińskiemu znanym być z malarstwa. Jak pewni — choć nie najlepsi pewno — malarze francuzcy rzucają na płótno tylko farby bez jasno określonych konturów i postaci, pragnąc aby widz, wpatrzywszy się w nie, przez autosugestyą i współdziałania kolorów, sam sobie z nich utworzył obraz: tak symboliści-dekadenci podają w niektórych swych utworach tylko zdania oderwane, pewne przedmioty i nastrój, a uzupełnienie i wykończenie obrazu w szczegółach pozostawiają czytelnikowi.

Jest to dziwactwem, ale znowu nie rzeczą absolutnie nie zrozumiałą. I przypisywanie dźwiękom kolorów, którem symboliści uzasadniają swój pilnie pielęgnowany fonetyzm, powinien by autorowi „Rozkładu“ być znanym także po za ich dziełami i teoryami.

Ale nie o dekadentyzm i jego odcienia chodzi w rzeczy samej Jeske-Choińskiemu. Służy on mu tylko za ilustracyą niezdrowych stosunków etycznych nowożytnego społeczeństwa. Właściwym celem jego studyum jest wytłomaczenie przyczyn moralnego upadku, i jemu poświęcił pierwszą połowę swego dziełka.

Korzystając ze spostrzeżenia, że zachodzi pewna analogia pomiędzy schyłkiem 19 wieku a czasami walącego się Rzymu, wciągnął Jeske-Choiński Rzym cezarów do swych kombinacyi i stara się wykazać, iż upadł dla braku wiary, z powodu pogardy, w jaką podał religią. Drukowana równocześnie z „Rozkładem“ powieść „Gasnące słońce“ miała teoryę tę wyjaśnić i uplastycznić, pokazać czytelnikowi naocznie, co się działo w Rzymie w pierwszych wiekach ery chrześciańskiej, i wykazać, że społeczeństwo takie utrzymać się nie mogło. Tym samym brakiem wiary, który wszechpotężnej stolicy cezarów wytrącił z ręki berło całego świata, tłomaczy Jeske-Choiński zjawiska etyczne i społeczne dni naszych. „Jak upadającemu Rzymowi — pisze na stronie 56 — braknie i naszym czasom przedewszystkiem słońca religii.. braknie nam tej najlepszej pocieszycielki, tej mistrzyni czystego życia i pogodnej śmierci.

Przypuśćmy, że tak jest rzeczywiście. Ale co jest przyczyną tego braku wiary? Nie próżno autor „Rozkładu“ cieszy się w Warszawie mianem „nieprzyjaciela rozumu“.

— Byłaś i zostaniesz krnąbrną, niepoprawną złośnicą.

— Może mi mama dać taką nauczke, jaką dała przed chwilą kucharce. Proszę!.. Ona, zdaje się, była także krnąbrną i niepoprawną, moja poczciwa, stara Katarzyna... była także krnąbrną i niepoprawną, nieprawdaż?

Pani Marcysia zagryzła wargi.

— Żebyś wiedziała, że mię ręka świerzbi. Ale nie wiem co zrobię, idę zaraz do ojca i wszystko mu opowiem.

Wybiegła na kurytarz i po schódkach podążyła na poddasze, gdzie Borajski miał swoję kancelaryę i rankami zwykle przeglądał rachunki lub zapisywał zamówienia i załatwiał wypłaty.

— Idź, pani Borajska, idź — mruknęła Lola, spoglądając za nią — idź i powiedz wszystko ojcu. Możesz dodać jeszcze dwa razy tyle, niżeli prawda. Proszę cię, użyj sobie do woli... ale nie bij na drugi raz służącej, bo ja się za to mszczę!

Do jadalni wszedł Smolarz z papierem w ręku. Ukłonił się i rzekł, spoglądając przez drzwi do przyległego pokoju:

— Przyszedłem do pana Borajskiego.

— Ma pan jaki rachunek do płacenia?

— Nie. Trzebaby ten kwit podpisać.

— Zaczekaj pan tutaj. Jeżeli ojciec jest u siebie na górze, to przyjdzie tu za chwilę, aby mnie ukarać. Więc się pan z nim rozmówisz.

— Co też panna Lola mówi? — bąknął zakłopotany Smolarz, nie wiedząc jak sobie tłomaczyć niezwykły ton słów rozgoryczonego dziewczęcia.

— Nie. Matka poszła właśnie na górę naskarżyć przed nim na krnąbrną, niepoprawną córkę, więc powinien zrobić jej przyjemność.

— Hm.. — pokręcił głową. — Lepiej zatem, gdy ja ztąd zaraz pójdę. Panna Lola będzie taka łaskawa i poprosi pana Borajskiego, żeby ten kwit podpisał.

— Połóż go pan na stole.

Gdy Smolarz był już na progu, przywołała go napowrót:

— Panie Franciszku...

— Co, proszę?

— Czy to prawda, że masz pan zamiar lada dzień nas porzucić? Mówiła mi o tem Anulka.

— No, cóż?... Od dawna mam zamiar pójść w szeroki świat.

Lola uśmiechnęła się smutnie i zauważyła żartem:

— Weź i mnie pan z sobą w ten świat szeroki. Mnie tu tak nie dobrze, tak bardzo nie dobrze...

— Panna Lola chyba żartuje...

— Tak jest, żartuję, ale i pan żartujesz, nieprawda? Gdzieżbyś pan nas opuścił... pan, nasz dobry przyjaciel!... osobliwie teraz, gdy w powietrzu tyle ciekawych rzeczy wisi. A któżby zresztą grał tego lokaja w komedyi, gdyby pana nie stało?

— Ha, trudno... przyjęłaby panna Lola innego na służbę.

Dalszą rozmowę przerwało wejście Borajskiego.

Tatku, pan Franciszek przyniósł kwit do podpisu. Jest tam na stole.

— Aha, dobrze, dziękuję panu. Zaraz go zaniosę sam do pracowni, jak tylko podpiszę.

Po odejściu Smolarza usiadł przy córce, wziął ją za rękę i począł mówić:

— Słuchaj Lolu, co ty dziecko wyrabiasz? Matka przychodzi, skarzy się, płacze, narzeka na ciebie... Fe, Lolu, to nie ładnie.

— A ja, mój ojcze kochany, nie przychodzę, nie skarzę się, nie narzekam i nie płaczę — a przecież być może, że i ja także miałabym trochę powodów do skargi i płaczu...

— No, widzisz moje dziecko — pocałował ją w czoło — ja przecież nie mówię, żebyś ty tylko sama była winną. Jednak ona jest starszą, jest twoją przybraną matką... no, myśli zawsze jak najlepiej o twojem szczęściu... a że się czasem uniesie i głośniej krzyknie — to już jej taka natura popędliwa. Więc powinnaś mieć wzgląd, powinnaś zawsze ustąpić.

— Masz słuszność, mój ojcze. Sama czuję, żem powinna ustąpić... tylko nie zawsze, ale na zawsze. Ty masz z naszej winy najwięcej zgryzot, bo chciałbyś, abyśmy się kochały i zgadzały, to jednak prędzej nie nastąpi, aż jej z oczu zejdę. Wydaj mię, mój tatku za mąż, a będziemy wszyscy troje szczęśliwi. Ty będziesz miał spokój, ja własny kąt, a matka niepodzielne

Kto go zna, nie mógł wątpić, że wszystko złe i wszelkie nieszczęście zwali na rozum nieznośny i filozofię. Kombinacya jego jest tak prosta jak znana. Dopóki ludzkość wierzyła w prawdy religii i stosowała się do nich w życiu, działo się dobrze na świecie. Ale z czasem pojawił się na widowni nieszczęsny rozum, zaczął rozglądać się około siebie, powątpiewać o tem i owem, tłomaczyć na własną rękę niektóre zjawiska życia i przyrody, aż nareszcie przystąpił do krytyki prawd objawionych, a ponieważ pojąć i zgłębić ich nie mógł, odrzucił je jako fałszywe. Z wiarą stracił człowiek podstawę moralną, cel swego istnienia; że zaś odczuwał potrzebę zasad, któremi by się kierował w życiu, — jakiejkolwiek teoryi, któraby usunęła strach jego przed śmiercią i uzasadniła cnoty, bez których życie stałoby się walką wszystkich przeciw wszystkim, uciekł się znów do rozumu i kazał mu wymyślić prawdy nowe, własne. I oto powstały różne systemata filozoficzne. Wspólną ich cechą jest odrzucenie religii objawionej, wspólnym celem stworzenie normy, według której ludzkość by nadal istnieć i rozwijać się mogła bez obawy przed złemi instynktami.

Okazało się tymczasem, że teorye filozoficzne nie zdołają zastąpić religii, ugruntowanej na wierze w Boga. Wymyślono wprawdzie nowe pojęcie altruizmu, aby nim uzasadnić uczucia, któreby pozwalały ludziom żyć bez obawy obok siebie i wspierać się wzajemnie; ale altruizmu tego nikt w rzeczywistoście nie rozumie i nie praktykuje w życiu. Pośród ludzkości nieokiełznanej żadnem prawem wyższem w jej brutalnych instynktach rozkrzewił się wrodzony egoizm i stał się jedyną miarą postępowania. Ztąd gorączkowa gonitwa za korzyścią własną bez względu na krzywdę drugich, bezwzględna i nielitościwa walka o byt, rodząca nienawiść stanową i rasową, niepewność i nieufność. Z drugiej strony nie umiała filozofia usunąć strachu przed śmiercią, ani jej wytłomaczyć, ani też dać człowiekowi pewności, że z życiem jego na ziemi kończy się jego istnienie na zawsze. I tu miejsce spokoju, zajęła niepewność i płynące z niej zaniepokojenie. Jedni pragną utopić je w rozkoszy i zmysłowej rozpuście, inni, nie widząc celu i drogi przed sobą, błądzą w ciemnościach i z febryczną gorączkowością szukają czegoś, coby ich zaspokoiło, inni zniechęceni bezcelowością życia lub przesyceni rozkoszą, popadają w głuchą obojętność lub wściekłą nienawiść do wszystkiego, co ich otacza a zaspokoić nie zdoła, stają się dekadentami, mistykami lub — anarchistami.

Jest w tej kombinacyi wiele prawdy. Rzeczywiście choruje społeczeństwo nowoczesne na brak ideałów, na brak uznanych przez wszystkich zasad, na wygórowany egoizm, a szarpane niepokojem i żądzą szczęścia, wyniszczone rozpustą umysłową i fizyczną, popada w rozdzwięk z samem sobą i wydaje anomalia w rodzaju francuskich dekadentów i anarchistów. Myli się jednakże Jeske-Choiński, szukając przyczyn pierwotnych tego rozstroju w rozumie i filozofii. I w wiekach średnich rozum posiadał swoje prawa, tworzył systemata filozoficzne — a przecież nie odbierał ludziom wiary, nie kazał im odrzucać istoty Boga, lecz co najwyżej naukę kościoła, a zastąpić ją własną teoryą religijną. Dla czegoby dziś koniecznie prowadzić miał do ateizmu? A zresztą rozejrzyjmy się w społeczeństwie nowożytnem. Ogromną jego większość stanowi lud prosty, stosunkowo ciemny. Nie bawi on się bynajmniej w filozofią, nie zastanawia się nad prawdami religii, a jednak po wsiach i miastach ten sam panuje niepokój i to samo niezadowolenie, co pośród inteligencyi. Tylko że ono nie objawia się w dekadentyzmie lub w anarchiźmie, lecz w gorączkowej gonitwie za większym zyskiem, prowadzącej do emigracyi po za morze lub w głąb Niemiec, w doktrynach komunistycznych i obojętności w sprawach religijnych.

Te dwa fakta są bardzo znamienne i należało uwzględnić je w „Rozkładzie.“ Gdyby Jeske-Choiński był to uczynił, teorya jego wypadłaby wcale inaczej. Leży w naturze ludzkiej popęd wrodzony do badania rzeczy niezrozumiałych, dociekania prawdy. Ale u ludzi wierzących wszystkich wyznań i czasów popęd ten ograniczony jest dogmatami wiary, które na zagadnienia najważniejsze dają wyczerpującą odpowiedź. Nasamprzód zwątpić trzeba w prawdy przekazane tradycyą i religią, utracić podstawę moralną, błąkać się po manowcach życia, a potem dopiero można dać wodze wrodzonemu popędowi, szukać prawdy na własną rękę, przystąpić do stworzenia własnej teoryi etycznej.

(Dokończenie nastąpi).

Jerzy Brandes o Polsce.

III.

Znakomity krytyk duński zajmuje wobec nas stanowisko wogóle bardzo przychylne. W dziele swoim „Indryk fra Ryssland“ (Wrażenie z Rosyi), które wydał po napisaniu „Wrażeń z Polski“ powraca kilkakrotnie do tego, co napisał o nas, a porównując charakter i uzdolnienie Polaków i Rosyan, oddaje nam zawsze pierwszeństwo. Mimo to nie jest Brandes ślepym na nasze wady i ułomności.

Na str. 41 czytamy:

„W dawniejszych opisach Polski i Polaków spotykamy się często z pochwałami polskiej rycerskości i osobistej odwagi, na które liczyć można zawsze. Jest atoli coś podejrzanego w ich dumie, coś powierzchownego w szlachetności, są też samolubni, niezgodni, nie potrafią uznać wyższości w niczem, co poglądom ich się sprzeciwia, ani skierować woli dłużej na jeden punkt. Przyznawają się do tego sami, że są lichymi gospodarzami, że łatwo wpadają w kłopoty pieniężne, przerzucają karty tysiąca książek, ale przestudyują mało. Obwiniano ich o to, że w tejże chwili, w której zapalają się do ideałów wolności, są wobec swych chłopów tyranami, oraz, że uchodząc za najpoważniejszych ludzi, mają kilka pobocznych miłostek obok „uwielbianej“ żony. Jednem słowem

---

rządy. Teraz panujemy tu obie i dla tego są ciągłe przykrości.

Borajski potarł dłonią czuprynę.

— A może ty dziecko i dobrze mówisz. Wierzaj: mnie tak przykro, ale cóż na to poradzę? Już to takie prawo na świecie, że pasierbica z macochą nigdy nie są w zgodzie. Ja myślałem dawniej, że przecież tak nie będzie, uważałem nawet za konieczne dać ci kogoś, co cię wychowa i w świat wprowadzi. Stało się inaczej. Ha, więc wybieraj, moje dziecko. Kilku statecznych ludzi prosiło mię o twoją rękę: Szołomiejski dla syna, Raniecki także, jest zresztą obok nas bardzo godny człowiek... Nie chcę ci żadnej myśli podsuwać, boś ty przecie rozsądna dziewczyna.

— Zatem pozwalasz mi ojcze wybierać?

— Czyń jak chcesz, uważaj tylko, żeby ci dobrze było na świecie i żebyś była zawsze szczęśliwa.

— Dobrze, mój kochany ojczulku. W tych dniach, może nawet dziś jeszcze, dam ci odpowiedź.

— Rozmyśl się jednak tylko dobrze, gdyż to twoja przyszłość — pocałował ją znowu w czoło. — A teraz bądź zdrowa, bo mi pilno. Gdzie ten kwit?

— Tam na stole.

Niedługo potem przybiegła Anulka ze szkoły. Wpadła jak kula, rozebrała się prędko, poukładała książki na stoliku i wyjąwszy z teczki kajet, pokazała go z tryumfem Loli.

— Patrzaj, znowu mam z rachunkowego zadania celująco!

Lola ruszyła obojętnie głową. Gdzie jej tam teraz rachunkowe zadania były w głowie. Tak to już dawno od tego czasu, gdy chodziła do szkoły wydziałowej, gdy bała się złego postępu, a dobrym cieszyła! Dziś, gdyby wszyscy nauczyciele i nauczycielki z katechetą na czele dali jej najgorszą klasę z przedmiotu i obyczajów, onaby i przez dziesięć minut o tem nie myślała. Między tamtemi latami a obecną chwilą, leżała ogromna przestrzeń pojęć, myśli i pragnień.

— Co mnie tam zadanie rachunkowe obchodzi — odrzekła z odcieniem smutku.

— Aha, już ja wiem, co cię obchodzi. Widziałam go, widziałam na rynku.

Oczy Loli ożywiły się.

— Znowu była wojna z macochą — rzekła. — Nawet ojciec wmięszał się w to i rozmawialiśmy z tego powodu długo z sobą. Ty wiesz, że dzisiaj jest próba.

— Czemuż nie miałabym wiedzieć?

— Otóż moja Anulko, ja mam do ciebie jedną prośbę. Ty musisz mi pomódz.

— Porządek zrobić?... albo może poukładać w szafie? Bardzo dobrze. Powiedz tylko, co?

— Nie o porządki tu chodzi.

— A o cóż?

— Ja musze dziś pomówić z Dynieckim na osobności.

Anulka popatrzyła na Lolę zdziwionemi oczyma.

— A jakże ja ci w tem pomogę?

— W tej chwili jeszcze nie wiem, ale do wieczora namyślę się i znajdę sposób. Zdaje mi się, gdy matka wyjdzie do kuchni przed kolacyą ubierać półmiski, wówczas będzie najlepsza pora. Ty musisz wyprowadzić Łasieckiego, Józefa i brata swego do drugiego pokoju, a jeszcze lepiej do pokoiku pana Franciszka i tam zatrzymasz ich jak najdłużej. Ja z nim tylko kilka słów sam na sam pomówię, nic więcej.

— Ej Lolu, bój się Boga, już ja widzę, że ty zrobisz coś niedobrego — przedstawiała Anulka łagodnie, patrząc Loli serdecznie w oczy. Lecz ta odparła żywo:

— Nie mów nic, mojaś ty, nie odradzaj mi nic... bo wiesz, że to daremnie. Tak będzie, bo tak być musi.

Anulka robiła chętnie wszystko, czego od niej Lola kiedykolwiek wymagała. Uległa i tym razem.

Przy stole, podczas obiadu, panowała grobowa cisza. Po obiedzie czytały dziewczęta swoje role głośno, przechadzając się po pokoju i bębniły je jak szkolne wiersze na pamięć.

W ten sposób doczekała się Lola wieczoru i przybycia Dynieckiego.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

znajdowano w nich wspólne cechy ludzi posiadających przymioty świata zachodniego i... Wschodu.

Zdaje mi się, że w tych zapatrywaniach jest wiele słuszności. Interesującem byłoby stwierdzić, o ile na to ukształtowanie się pojęć etycznych wpłynął nacisk obczyzny."

Co do zamiłowania w przepychu, to zdaniem Brandesa, słabość ta nie ma dziś już takiego znaczenia jak dawniej. Atoli jest oną duchowi polskiemu wrodzoną. Gonitwa za zaszczytami ustępuje dziś miejsca głębszemu poczuciu honoru i uczciwości.

Byłem poraz pierwszy na balu w Warszawie — opowiada Brandes — w sali ratuszowej. Przeszło 500 par tańczących, pomiędzy niemi kwiat warszawskiego towarzystwa, dały mi sposobność przekonać się, jak dziś już mało cenią Polacy zewnętrzne dekoracye. (?) Z wyjątkiem trzech oficerów rosyjskich nie znalazłem ani jednej osoby w sali, któraby miała order lub jakąkolwiek oznakę honorową. Z dekoracyi nie robi sobie nic żaden z Polaków (?), tak samo z uniformów.

Opowiadają w Warszawie, iż pewien biedny nauczyciel został zaszczycony orderem św. Stanisława, którego nigdy nie nosił, a co ciekawsze — którym dziecko swe straszył, ilekroć razy było niegrzeczne. Gdy najmłodszy jego chłopak krzyczał, wówczas ojciec mu groził: „Będziesz krzyczał znowu, to ci przy obiedzie zawieszę order św. Stanisława." To pomagało! Det hjalp! powiada Brandes. (Nr. 43.)

Co mówią o usposobieniu arystokratycznem u Polaków, to fakt, iż ono istnieje, atoli w pewnej modyfikacyi. Polakowi nie jest wrodzonem zamiłowanie do cnót mieszczańskich; jego ideałem jest i pozostanie grand seigneur. Wzgląd na to, że trzeba liczyć i odkładać, ażeby rządzić, opanowywać i być samodzielnym, u nich nie istnieje. Wszędzie, gdzie Niemcy i Polacy na polu handlu lub przemysłu występują ze sobą do walki, Polacy ulegają. Wielcy fabrykanci w Polsce rosyjskiej, którzy handlem bogacą się na ludności polskiej, są Niemcami. W bieżącem stuleciu założono miasto fabryczne Łódź, które wzrosło tak szybko, iż przykład podobny znaleźć można chyba tylko w Ameryce. Miasto to leży pośród rdzennej ludności polskiej, a jednakowoż jest rdzennie miastem niemieckiem!

Polacy pozostali dotąd narodem arystokratycznym; mieszczaństwo, które później wcisło się pomiędzy szlachtę i chłopa, jest dotychczas liczebnie bardzo słabem i długo jeszcze będzie dla Polaków spokojne życie mieszczanina wydawało się życiem niegodnem Polaka, życiem pędzonem pomiędzy jedzeniem i piciem, lub też jak Hrabia mówi w Krasińskiego „Nieboskiej Komedyi": życiem, które jest snem Niemca mieszczanina przy kobiecie Niemkini.

Mimo to nie trzeba nam zapominać, że szlachta polska jest w gruncie rzeczy czemś zupełnie odmiennem, aniżeli szlachta u innych narodów europejskich. Szlachta polska nie stała się jeszcze zupełnie kastą. Jan Sobieski przywiódł na odsiecz Wiednia same polskie rycerstwo. Jeszcze w tem stuleciu uszlachcono całe pułki piechoty; tym sposobem żyje obecnie w Polsce przeszło 120 tysięcy rodzin szlacheckich. Szlachta w Polsce zbliża się więcej do tego, czem jest w reszcie Europy mieszczaństwo. Ztąd też pochodzi, że szlachta polska nie miała tytułów hrabiów, baronów, markizów itd.

W Warszawie tytułują hrabinę madame, nie comtesse. Nawet przy prezentowaniu nigdy Brandes nie zauważył, aby wymieniono tytuł „co przyjemnie działa na każdego, kto przybywa z Niemiec" (str. 45).

Brandesowi, przebywającemu poraz pierwszy w Polsce, wydawać się musiało wiele z natury rzeczy dziwnem. Ztąd to pochodzi, iż w faktach drobnych bez znaczenia upatruje częstokroć cechy odrębne i zwyczaje patryarchalne; niejeden tam fałsz i niejedna nieścisłość, ale bądź co bądź książka to interesująca, pełna bystrych poglądów i obserwacyi.

D. Królikowski.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KRONIKA BERLIŃSKA.

Berlin, 19 stycznia.

(Hauptmannowska premiera. — Hammerstein i Friedmann. — Bosse i Hinschius.)

Berlin w przeszłym tygodniu po raz nie wiem który wystawił sobie pyszne świadectwo duchowego ubóstwa. Dowiódł w sposób niezbity, iż on, który potrafi ocenić należycie produkcye cyrkówek, baletnic i szansonetek, nie jest w stanie odczuć prawdziwego piękna wielkich talentów. Potrafi on wznieść się do wysokości francuskich łamigłówek problematów miłosnych i bulwarowych, lecz nigdy nie wzbije się na wyżyny, gdzie bujają wzniosłe myśli wielkich duchów literatury. Potężny, historyczny dramat Hauptmanna, największego ze współczesnych niemieckich pisarzy, został w przeszłym tygodniu oddany pod ocenę berlińskiej publiczności i jak należało się spodziewać doznał fiaska. Publiczność berlińskich premier składa się ze śmietanki finansowej, klaki i wreszcie z jenerałów, szeregowców i ciurów armii krytyków. Przybywający ludzie, chcący połechtać podniebienie literackie pikantnemi sensacyami, przybywają po pokarm, którego spożycie i przetrawienie nie wymaga wielkich wysiłków... „Floryan Gayer" — gdyż o tym dramacie mówimy obecnie — nie był sensacyą, a w dodatku nie potrącał o kwestye dnia. Tylko przez analogię można było przesuwające się przed widzem obrazy przełożyć na język wypadków dzisiejszej doby. Tylko zagłębiając się w treść, można było się domyśleć, iż roztaczająca się przed nami panorama zawiera w sobie pełnię prawd bardzo aktualnych. Ruch chłopski z pierwszej połowy 16 stulecia jest ogniwem odosobnionym w łańcuchu historycznych wypadków i wybuchają tam instynkty i namiętności, które żyją w napięciu i w naszem sercu, sercu ludzi epoki przejściowej. Hauptmann w formie mistrzowskiej ukazuje nam grę potęg psychicznych w chwili krytycznej, w chwili, gdy świadomość mas, ocknąwszy się z wiekowej letargii dogmatyzmu, poddaje nieubłaganej krytyce ustrój przykuwający je łańcuchem ciemnoty do taczki pracy i nędzy i żąda reformy. Nie myślimy tu rozwodzić się nad wartością literacką dramatu, pozostawiając krytykę innym. Niezrównane zalety tego utworu i sposób, w jaki przyjęła go berlińska publiczność, rzuca jaskrawsze niż w innych wypadkach światło na gust i poziom umysłowy auditoryum premierowego w Berlinie. Dodajmy jeszcze, że dramat ten zapisał się w kronice teatralnego życia stolicy niepamiętnym tu skandalem. W chwili, gdy w ostatnim akcie feodałowie upojeni zwycięstwem i winem rzucają się w rozbestwieniu na jeńców chłopskich i okładają ich śpicrutami, garstka warchołów, występując w imieniu niby to obrażonego piękna napełniła teatr takiem sykaniem i hałasem, że przedstawienie musiało uledz dziesięciominutowej przerwie. Przypuszczam atoli, że losy sceniczne „Floryana Geyera" nie są ostatecznie zdecydowane. Służalcza krytyka, zrażona na razie wyrokiem premierowych warchołów, chwaliła utwór tylko półgębkiem. Usposobienie publiczności zmienia się jednak stopniowo, a wraz z tem i chorągiewka sędziów gazeciarskich powoli odwraca się w przeciwną stronę. Dotychczasowa decyzya brzmi tak: „Utwór jest niepospolitym i jako dramat historyczny nie ma sobie równego w nowoczesnej niemieckiej literaturze. Hauptmann nie uwzględnił jednak warunków scenicznych i musiał paść ofiarą swego za daleko posuniętego naturalizmu. Scena już tyle ustępstw zrobiła Hauptmannowi, iż ma prawa i od niego wymagać by dogodził niektórym jej żądaniom." Niestety, dopiero po pierwszym przedstawieniu spostrzegł Hauptmann niebawem, iż w utworach scenicznych autor nie jest nieograniczonym panem swego talentu, że w większym lub mniejszym stopniu musi brać pod uwagę warunki oddziaływania utworu na scenie. Ugiął się autor i wyrzucił sporo scen (cały prolog n. p.) z „Floryana Geyera". Uczynił to prawdopodobnie z bólem serca, bo wśród wykreślonych ustępów są sceny bardzo piękne i głęboko psychologicznie umotywowane. Ile kosztowały pracy i studyów to zrozumie z łatwością każdy, kto zastanowi się nad historyczną wartością utworu, który, w szeregu wypadków zachodzących na widowni historycznej 1525 r. odzwierciedla ruch chłopski, jego przyczyny, sprężyny działania masy bohaterow, ducha czasu ówczesnej epoki a wraz z tem bóle i radości, nadzieje i zawody różnych grup tego okresu. Obok drobiazgowo wyrzeźbionych postaci mamy przed sobą jeden wielki obraz, świadczący o szerokim rozmachu pędzla Hauptmanna.

Przez asocyacyę kontrastów przejdźmy od poważnego dramatu z czasów ubiegłych do komedyi chwili bieżącej. Nie mógłbym bardziej stosownego nazwiska wyszukać dla szeregu wypadków, związanych z osobą Hammersteina i Friedmanna. Są tu zabawne *qui pro quo*, niespodzianki, i co jest przedewszystkiem niezbędnem we współczesnej komedyi, kobiety z półświatka. Na komedyę tę złożyły się po części fakty rzeczywiste, po części zaś produkty wyobraźni reporterów. Konia z rzędem temu, kto potrafi tu oddzielić ziarno prawdy od plewy plotki. Baron v. Hammerstein, wódz pomorskich junkrów, zaciekły wróg wszystkiego, co tchnęło postępem, potężny redaktor „Gazety Krzyżowej," sfałszował, jak Czytelnikom wiadomo, weksle, zeskamotował nieco pieniędzy w kasie redakcyi i czmychnął w świat daleko. Tak niedawno jeszcze Hammerstein reprezentował partyę konserwatywną, żyjącą wpływami u dworu (jak wyraził się Lassale, — łaska arystokracyi u dworu „das ist auch ein Stück Verfassung"), tak niedawno jeszcze łżył i urągał z wysokości trójnoga „ładu i porządku" i rzucał w imieniu junkrów rękawicę nawet rządowi, a dziś po kilkomiesięcznej tułaczce po lupanarach i złodziejskich kryjówkach obcych krajów ten sam baron v. Hammerstein jest w drodze do Alt-Moabitu w Berlinie. *Sic transit gloria mundi!* Zresztą co do Odyssei Hammersteina i powrotu na łono Altmoabitowskiej Itaki nic pewnego nie można powiedzieć. O osobie jego krążą najdziwaczniejsze legendy. Mówiono nawet, iż w wilią Bożego Narodzenia płakał w kaplicy ambasady niemieckiej tak głośno, iż domyślono się odrazu, że tak żałować swych grzechów może tylko Hammerstein. W mętnej wodzie legend, domysłów i podejrzeń łowi tymczasem ryby pani Flora Gass, żydówka, która wdziękami swego ciała okupywała w oczach barona grzechy plemienia

znienawidzonego przez chrześcijańskiego szermierza „ładu i porządku“. Wyłudza ona pieniądze od różnych hrabiów i baronów, grożąc im zdemaskowaniem, jako przyjaciołom junkra-oszusta i złodzieja. Ciekawa rzecz, że zupełnie zapomniano o wielkich zasługach barona w niedalekiej przeszłości, o czem świadczy bogato wyszyta poduszka, którą ofiarowały mu bogobojne członkinie jakiegoś towarzystwa krzewienia cnoty na ziemi germańskiej. Baron v. Hammerstein od kilku tygodni posiada rywala w osobie najgłośniejszego tutejszego adwokata, Fritza Friedmanna. Zdołał on z uszczerbkiem dla rozwoju mitologii Hammersteinowskiej przykuć do siebie przez niejaki czas uwagę czytającej gawiedzi. Miodopłynny mecenas, postrach prokuratorów i podpora niewinnie oskarżonych opuścił Berlin w towarzystwie swej 17-letniej kochanki, zabranej jednemu z klientów, tytułem honoraryum. Podobno zamieszkał gdzieś u byłego kelnera z Cafe Bauer, żona zaś miała wstąpić do jakiegoś ogródkowego teatru jako śpiewaczka. Ten sam mąż przed kilkoma tygodniami jeszcze był ulubieńcem tutejszych bogatych sfer, które bawił podczas libacyi dowcipami, a w nieobecności swojej karmił duchowo pieprznemi romansami, drukowanemi w „Kleines Journal“.

Minister oświaty dr. Bosse zwracał się już kilkakrotnie do fakultetów tutejszego uniwersytetu z propozycyą udzielenia nagany docentom za ich zachowanie się w życiu prywatnem lub publicznem. Uniwersytet odmawiał swej aprobaty, motywując swą odprawę ograniczonością swej kompetencyi. Minister poprosił profesora kościelnego prawa Hinschiusa, by zechciał wypowiedzieć swą opinię w tej sprawie. Zagadnięty profesor odpowiedział w duchu zgodnym z biurokratycznemi poglądami dr. Bossego. Na to pięćdziesięciu kilku profesorów berlińskiej wszechnicy nadesłało ministrowi protest, zawierający naukowe obalenie memoryału dra Hinschiusa. *M.*

Z estrady i sceny.

„Towarzysz pancerny.“

Sztuka w 3 aktach p. Michała Wołowskiego, odznaczona pierwszą nagrodą na konkursie galicyjskiego wydziału krajowego.

Wieść, że p. Michał Wołowski otrzymał pierwszą nagrodę na lwowskim konkursie, wywołała w poważnych sferach literackich ogólne zdziwienie. Autor *„Chamskiej duszy“* i *„Naszych aniołów“* nie zdradził nigdzie wybitniejszego talentu, a sztuki jego wykazywały braki dotkliwe, mianowicie pod względem inwencyi, nerwu dramatycznego i akcyi. Rozpoczęło się tedy kręcenie głowami, — jedni uśmiechali się złośliwie, inni przypominali dzieje pewnego konkursu, gdzie sędziowie ze łzami w oczach winszowali sobie nawzajem odkrycia „nowego geniuszu“ a geniusz okazał się zaledwie miernym talentem. Co do mnie, — luoo mi czasem na myśl przychodził Gustaw Zieliński, który obok „Stepów“ mógł stworzyć „Kirgiza“, — należałem od pierwszej chwili do rzędu wątpicieli. Czwartkowa premiera dowiodła, że słuszne były — w znacznej przynajmniej części — przeczucia moje i obawy.

Pan Wołowski tak opowiada: Imci Pan Jan Chryzostom Pasek, rycerz wielkiego męztwa i wielkiej brawury, lecz wdzięków niewieścich sługa uniżony, korzysta z krótkich godzin wojennego wywczasu, aby znaleźć sercu swojemu miłą białogłowę i wstąpić z nią w śluby małżeńskie. Zajeżdża więc z młodziutkim siostrzeńcem swoim do bogatej wdowy, pani Anny Łąckiej, wyposażonej, mimo czterdziestki z okładem, wielkim afektem ku płci męzkiej i trzema dorodnemi córami. Imci Pan Jan Chryzostom Pasek rozpoczyna z miejsca szturm do najmłodszej dzieweczki, lecz w krytycznej chwili spotyka go nietylko konfuzya ze strony bogdanki, lecz *respublica* kres kładzie amorom, wołając na boje żołnierza. Walczył jak lew, pogromił wroga i wraca, aby do drugiej z rzędu córki smalić cholewki. Znowu konfuzya i znowu rzeczpospolita wzywa sługę swojego. W trzecim akcie wstępuje bohater po raz trzeci w progi pani Łąckiej i trzecią rekuzę z rąk trzeciej odbiera córki. Nie traci jednak fantazyi rycerz znamienity, a do małżeństwa skory, i zwróciwszy afekt swój do matki wdowy, na ślubnym z nią klęka kobiercu.

Już krótkie streszczenie fabuły utworu ukazuje kardynalny błąd sztuki premiowanej. Trzyaktowa komedya jest rozwodnioną jednoaktówką, — motywy pierwszego aktu powtarzają się z małemi odmianami w następnych odsłonach, fantazya, wysilona na wstępie, pustkami świeci przy końcu. I dla tego „Towarzysz pancerny“ budzi wielkie nadzieje i wielki entuzyazm, gdy kurtyna po raz pierwszy zapada, lecz już w drugim akcie zawodzi, a w trzecim ziębi i nuży. Znam istotnie mało utworów, któreby brakiem pomysłów rozwojowych po uniesieniu chwilowem tak rozczarowały publiczność. Zrazu temperatura się podnosi. Spoglądamy w dom staropolski o barwach harmonijnych i ciepłych, polskie dziewczęta wśród polskich żołnierzy, surowa gospocha — *hic mulier*, humorystyczna panna respektowa, prześliczny, pełny, staroświecki język i ten Pasek buńczuczny, szeroki, wymowny, żywcem z 17 wieku wykradziony rycerz. A potem ta potężna chwila, gdy rzeczpospolita woła do apelu. Za sceną rozbrzmiewa pieśń „Bogarodzica“, — zrywa się Towarzysz pancerny, — to ona, matka najświętsza, pierwsza kochanka, ojczyzna polska nęci synów swoich, — a któż nie usłucha jej głosu?! Prześliczny obrazek! Pędzel szeroki, kolory ciepłe, kontury ostre i drgające życie! Kurtyna znów się podnosi temperatura gorąca, ciekawość naprężona. Spoglądamy z natężoną uwagą i nowych wrażeń szukamy. Napróżno! Chwilami wydaje się, że autor, przeczuwając tryumf pierwszych momentów sztuki, jakieś „bis“ niesmaczne ulepił. Repetycya znanych motywów zaczyna nudzić, i sytuacyi nie ratuje nawet piękna, choć sztucznie przyklejona, scena pojedynku, przerywanego wspomnieniami bohaterskich bojów Czarneckiego. Trzeci akt już na dobre niecierpliwi. Oświadczyny i oświadczyny bez końca, te same sceny, te same zwroty, te same konfuzye, ta sama, tylko rozwodniona, akcya.

Budowa „Towarzysza pancernego“ odskakuje od prawideł dramatycznej twórczości. Słabo zadzierzgnięty węzeł intrygi rozluźnia się bezustannie i autor skręcać go musi od nowa z jednego aktu na drugi; wypadki nie piętrzą się i nie opadają symetrycznie, lecz stoją na linji poziomej, wdzięczne w kolorze, błędne w kompozycyi. To też utwór p. Wołowskiego nie posiada charakteru rzeczywistej komedyi lub dramatu, lecz jest raczej szeregiem obrazków rodzimych, rzuconych na dalekie tło historyczne 17-go wieku. Należy on pod względem rodzajowym do niższej kategoryi sztuki, a dla ubóstwa fantazyi i pomysłów, mimo kilku scen porywających, mimo stylowego języka i ciepłego kolorytu, nie zajmuje królującego stanowiska w nizinach obrazkowej twórczości.

Znałem pewnego malarza, który zdobył niegdyś medal złoty za obraz przedstawiający jelenie na torfowisku. Niebo na płótnie było z ołowiu, powietrze wilgotne i mgliste, zdawało się, że za chwilę deszcz zacznie padać. Utwór był piękny, artysta szczęśliwy ze zdobytych laurów. Chwila ta jednak stała się krytyczną. Malarz zakochał się w motywie premiowanego dzieła i przerabia go odtąd bez końca. Każdy obraz wychodzący z jego pracowni ma zawsze niebo z ołowiu, wilgoć i moczary. Zamiast jeleni figurują czasem ludzie, czasem dziki, sarny lub sama przyroda, ale zawsze te same chmury i mgły, te same torfy, to samo uczucie zbliżającego się deszczu. Coś podobnego stało się z p. Wołowskim. Umiłował pomysły aktu pierwszego — bezsprzecznie piękne i silne, — zakochał się sam w sobie i sam siebie skopjował.

A gdy ze stanowiska charakterystyki i psychologii spoglądam na utwór konkursowy, to i tu tylko względne uznanie zapisać mogę. Pan Wołowski zrozumiał zasadniczą barwę epoki, roztoczył atmosferę staroświecczyzny na scenie i dokonał owej suggestyi uczuć, która zmusza publiczność do wyjścia z siebie i zespolenia się z środowiskiem scenicznem. Ten — że tak powiem — mimetyzm moralny jest obfitem źródłem artystycznych wrażeń i on to stanowi prawdziwą zaletę „Towarzysza pancernego.“ A przecież połowiczną jest tylko w konkursowej sztuce potęga wpływów estetycznych, bo, obok barw zasadniczych, widz szuka napróżno kolorów lokalnych. Postacie p. Wołowskiego mówią do nas głosem epoki, lecz głos indywidualności odzywa się cichym szeptem zaledwie. Widzimy typy, nie widzimy ludzi. Może Pasek, pani Łącka i rezydentka stara, może wreszcie młodziutki siostrzeniec bohatera sztuki gdzieniegdzie zdradzają ton indywidualny, ale to barwy blade i życie anemiczne. Reszta rozpływa się w jakimś jednym dźwięku typowym, — to epoka, nie ludzie.

Jeżeli zaś mimo tych wad oklaski po każdym rozbrzmiewały akcie, to był to liczman zwyczajowy, którym tak chętnie rzuca publiczność nasza, — przedewszystkiem jednak hołd oddany grze p. K n a p c z y ń s k i e g o, beneficyanta i przedstawiciela roli tytułowej. Gra tego artysty budziła przed podniesieniem kurtyny wątpliwości pewne, bo talent jego zdradza jednostronność wyraźną i nosi stempel krotochwili nowoczesnej. Czy wyjdzie z siebie, czy dokona niebezpiecznej metamorfozy, czy w stroju rycerza 17-go wieku nie wstąpi lekki amant na scenę? Tak pytano na wstępie, lecz gra artysty już w pierwszym akcie rozbroiła sceptyków. Pasek p. Knapczyńskiego posiadał rozmach szeroki, brawurę rycerską i staroświeckie lansady, — czuć tam było wojnę i biwaki, nie salonowe posadzki, — i była tam wysilona galanterya odpowiadająca charakterowi epoki i charakterowi żołnierza. Ton krotochwili rzadko tylko i słabo odzywał się w grze p. Knapczyńskiego, któremu utwór benefisowy zgotował nietylko sukces finansowy, lecz prawdziwy tryumf artystyczny.

Reszta artystów z małemi wyjątkami nie dorosła zadaniu, a wymieniam tu tylko p. *Grabowieckiego i Wostrowskiego*, z których pierwszy, zamiast rycerza, stworzył Byronowskiego kochanka, drugi, zamiast junaka z 17 wieku, pruskiego „Lieutenanta“ najnowszej daty.

W. R.

Koncert Aleksandra Piecznikowa.

(20-go stycznia r. b.)

Wątpię, czy wykonawcza sztuka muzyczna posiada chwilowo wybitniejszego przedstawiciela gry skrzypcowej, niż ten młody Rosyanin, który w ubiegły poniedziałek koncertował na sali Lamberta. Wsłuchiwałem się często i uważnie w grę najwybitniejszych wirtuozów i nieraz zachwycony i ocza-

rowany grą ich przedziwnie piękną doznawałem wrażenia prawdziwie artystycznego, a jednak nie przypominam sobie, czym kiedykolwiek tak silnego i trwałego doznał uczucia, jak słuchając gry koncertanta. Zdaje się, że artysta swą tkliwą słowiańską duszę przelał w instrument i cały smutek, boleść i pragnienia tego ludu, z którego sam pochodzi, wyśpiewał, — raczej wyjęczał natchniony. Jestto artysta, któremu skrzypce „to przeklęte narzędzie“ — jak Syrokomla mówi — „przyrosło do duszy“, a który cząstkę tej duszy w każdej nucie oddaje. Tak jak Paderewskiego nazywają „duszą fortepianu“ tak samo Piecznikowa „duszą skrzypiec“ mianować muszę. Podobnie jak Paderewski nie odznacza się i Piecznikow silną budową. Słabowity i wątły posiada mimo to nadzwyczajną siłę muszkuł, i ztąd sprężystość i wytrwałość zadziwiającą, która mu pozwala bez zmęczenia pokonać idealnie największe trudności.

Dwie posiadamy drogi, któremi reprezentanci sztuki wykonawczej kroczą. Jedni zdobywają sobie słuchacza od razu wykończeniem techniki i wyjątkowe swe uzdolnienie z tej strony prezentują, stawiając własną osobę na pierwszem miejscu. Na programy ich składają się technicznie trudne utwory, nie posiadające jednakże głębszego znaczenia. Inni idą dalej i wyjątkową swą, uzdolnieniem i pracą zdobytą wprawę nie uważają za cel, ale za środek; tacy oddają się w służbę prawdziwej sztuki, wykonując w swych koncertach jedynie najcelniejsze utwory — tak klasycznej jak i romantycznej literatury muzycznej. Tych stawiam wyżej. Bo jakkolwiek jest zasadą w sztuce stawiać na pierwszem miejscu nie temat, ale raczej wykonanie, to jednak oddam pierwszeństwo artyście, który podniosły temat lub utwór wykona w równie wykończonej formie.

Takim też artystą w służbie prawdziwej sztuki jest: Piecznikow. Kto „C i a c c o n ą“ Bacha zdoła do tego stopnia uwięzić uwagę z różnych elementów złożonego audytoryum, jak ten Rosyanin w ostatnim koncercie, — kto zmuszony burzą oklasków jako dodatek wyśpiewa „A r i ę“ Bacha i poruszy do głębi tych samych słuchaczy, ten jest prawdziwym i powołanym kapłanem sztuki.

Nie pamiętam, czym kiedykolwiek w większem rozgorączkowaniu oczekiwał rozpoczęcia koncertu, jak występu Piecznikowa, — przeczuwałem, że tu coś nadzwyczajnego mnie oczekuje.

I nie zawiodłem się.

Popis rozpoczął się Wieniawskiego ślicznym koncertem (d-moll). W kompozycyi tej przeważa nastrój smętny, dopiero w Finale, pisanem w stylu cygańskim, odzywają się dzikie i dziarskie motywa. Widocznie przypada utwór ten do duszy młodemu skrzypkowi, bo wykonanie nacechowane poetycznym polotem i szczerem przejęciem budziło w słuchaczu wspomnienia i wywoływało w wyobraźni sceny, zgodne z przewodnią myślą kompozycyi. Szkoda wielka, że artysta był zmuszony odegrać utwór przy akompaniamencie fortepianu a nie orkiestry. Utwór pozbawiony charakterystycznego brzmienia i kolorytu orkiestrowego, traci dużo na swej piękności.

Później wykonał artysta „Ciacconę“ Bacha. Polifoniczne łamańce, wymagające nadzwyczajnego manewrowania smyczkiem, nie przedstawiały dla wykonowcy żadnych trudności. Melodya, czy położona w basie czy sopranie, czy występująca w pełnych akordach, czy ukryta w barwnej kaskadzie arpedżii, występowała wszędzie jasno i pochwytnie dla ucha przeciętnego nawet słuchacza. Potężny ton, jaki artysta z cennego swego instrumentu wydobywa, brzmiał w pełnych akordach jak organ i nawet w najwyższych pozycyach nie stracił nic na czystości i sile. Wreszcie indywidualizowanie każdej waryacyi było nadzwyczaj interesujące i oryginalne; każda miała jeśli się tak wyrażę, odmienną fizyonomię.

Zamiast podanej w programie „S é r é n a d e m e l a n c o l i q u e“ zagrał artysta „C a n z o n e t ę“ z koncertu na skrzypce, również utwór Czajkowskiego, a dalej pełną gracyi i galanteryi „H a v a n a i s e“ Saint-Saens'a. Na ogólne życzenie, zmuszony nieustającemi oklaskami, dodał skrzypek „Aryę“ Bacha, wyjątek z S u i t y D-dur w opracowaniu Wilhelmiego. Cicho i rzewnie płynęła skarga w „Canconecie“, z pod smyczka wyrywały się przytłumione westchnienia, przerwane łkanie drgało w powietrzu ledwie dosłyszalnym tonem... Któż odgadnie jakie wspomnienia grały w duszy młodego artysty! Inaczej w „Aryi“ Bacha. Podniosły i poważny śpiew Bachowskiej nuty rozbrzmiewał męzkim i wspaniałym tonem po sali, wywołując w zdumionych słuchaczach nastrój kontemplacyjny. Muzyka starych mistrzów wogóle, a szczególnie Bacha, nie obudza w słuchaczu tych namiętności co obecna, ale raczej działa łagodząco.

Interesującą jest także obserwacya fizyonomii artysty, nieco pospolitej. W czasie gry zachowuje skrzypek wielki spokój; oko przymknięte patrzy w siebie; świat zewnętrzny znikł dla niego, tylko w duszy przesuwają się obrazy dziwne, odzywają się pragnienia nie spełnione, gra smutek i radość, a wszystko to wraca jak fala od brzegu, tonami rozlewa się po skrzypcach, jęczy, płacze, śmieje się i tony tylko zdradzają, co się w młodej duszy dzieje, bo przed nami, jak posąg stoi zimna postać skrzypka-czarodzieja.

Wobec tek wyjątkowego zjawiska trudne miała śpiewaczka p. Klara v. Senfft zadanie, a że mimo to śpiewem swym zainteresowała inteligentnych słuchaczy, którzy ją za wykonanie pieśni hucznemi darzyli oklaskami, najlepiej to świadczy o jej umiejętności, która i u mnie budzi poszanowanie. Najcharakterystyczniej określiła artystka sama swoje stanowisko wobec genialnego skrzypka pieśnią Tauberta „Der Trabant“:

Du bist die Sonne, der Mond bin ich
Ich strahl' und leuchte, doch nur durch dich,
Durch alle Meere, durch fernes Land
Folg' ich getreulich dir als Trabant.

Śpiewaczka posiada silny mezzo-sopran o brzmieniu altowem; głos w niskich nutach brzmi męską energią, medium zaś odznacza się miękkością i giętkością. Tylko wysokie nuty brzmią trochę ostro. W czem głos nie dopisuje, to wynagradza wrodzona inteligencya i rutyna nabyta przez występy publiczne. Głos nadaje się przedewszystkiem do odtwarzania utworów poważnych, o szerokim melodyjnym zakroju. Interpretacya odśpiewanych pieśni odznaczała się zawsze szlachetnem i szczerem uczuciem i prawdziwą dystynkcyą. Z uznaniem muszę także podnieść wyraźną wymowę tekstu, zrozumiałego nawet bez programu. Charakterystyczne brzmienie głosu i inteligentne frazowanie uwydatniało tem wyraźniej liczne piękności odśpiewanych kompozycyi i świadczyło wymownie o poważnych i gruntownych studyach artystki. Śpiewaczka wykonała cały szereg pieśni starszych i nowszych kompozytorów. — Schuberta „Ganymed“, postawiony na początku występu, przeszedł bez wrażenia, dalej odśpiewała artystka pełną prostoty rzewną „Ostatnią różę“ Franza i kokieteryjne „Wyznanie“; zatem szła ballada sławnego kompozytora ballad Loewego „Pan Oluf“, Schumann'a „Sen poety“, podniosła pieśń Tauberta „Trabant“ i żartobliwa „Piosnka ludowa“ Reimanna. Wszystkie te pieśni, tak różne sobie nastrojem i stylem, wykonane muzykalnie, poprawnie i charakterystycznie, do czego się także akompaniament udatny na fortepianie przyczynił, zjednały śpiewaczce szczere oklaski sympatycznie usposobionych słuchaczów. Artystka odwdzięczając się za miłe przyjęcie, odśpiewała nad program bardzo udatnie Chopina „Pieśń litewską“.

Na zakończenie wyrażamy nadzieję, że genialny Piecznikow, tak sympatycznie u nas witany, wkrótce znów do nas powróci. Serdecznego przyjęcia może być pewien.

Edwin Jahnke.

NA WYŁOMIE.

(Słówko o cywilnej odwadze. — Zmateryalizowanie społeczeństwa. — Do odwrotu!)

Gdy rozmyślam nad tem wielkiem przeobrażeniem społecznem, które wśród grzechotu strzałów dziennikarskich, przekleństw i burz rozegranych nienawiści dokonuje się zwolna na poznańskim gruncie, witam z radością przypływy cywilnej odwagi wśród bojowników nowych prądów i nowego życia. Gromowładnym kolosom ludzie dziś śmielej w oczy spoglądają i Neptunowskie „*Quos ego*“, uciszające tak niedawno jeszcze wzburzone fale, dziś brzmi sobie z huczącym wiatrem w zawody, a fale pienią się i murem idą i grożą. Rozwój ten jednak ideowego męstwa postępuje tylko miarowym krokiem i serc ludzkich nie zdobywa szturmem. Często ten i ów jeszcze zrywa się do boju, lecz przerażony starych potęg Jowiszowym gniewem, opuszcza ręce, cofa się i zgina kolana. Tam mianowicie, gdzie kwestya żołądkowa waży się wśród wrzawy ideowej, ludzie jakoś dziwnie ostrożnie stają do szeregu i na gromkie „*Qui vive?*“ odpowiadają bełkotanem słowem, a czasem cichną, czasem jak Piotr-apostół zapierają się bóstwa swojego.

Ileż to razy w poufnej gawędce mówiono mi z serdecznym akcentem: „Tylko odważnie! Niechaj się pienią i klątwy miotają! Przyszłość do was należy!“ Ileż to razy, gdy pismo, któremu służę, zdzierało maskę obłudy z hypokrytów i faryzeuszów, odsłaniało nicość tuzinkowych powag poznańskich i z latarką Diogenesa szukało ludzi wielkiego rozumu i wielkiego serca, — ileż to razy niejeden ścisnął mi rękę ukradkiem i mówił: „My z wami“. A potem przy Lukullusowej uczcie, gdy senatorów rzesza wołała: „Na stos!“, a zgraja niewolników i zjadaczy chleba tysiącznem echem powtarzała „Stos!“ — ci sami ludzie milczeli pokornie lub krzyk senatorów nieśli na rynki i ulice. Nie skarżymy sie na was, przyjaciele z cichego zakątka, — wrogowie na arenie publicznej. Wy tylko jesteście dziećmi panujących prądów epoki, a dzieło odrodzenia dokonać się może jedynie na długiej czasu przestrzeni.

Od lat trzydziestu wypisano na sztandarach naszych jeden wyraz „chleb“ i całe wychowanie strojono na nutę żołądka. Jako reakcya przeciw wybujałości uczucia dawniejszych czasów, — jako lekarstwo przeciw bezkresowym porywom, adoracyi męczeństwa i lotom Ikarowym we mgłach i błękitach, wyraz ten rozbrzmiewał wróżbą zbawienia i społeczeństwo piło z niego zdrowie i życie jak strudzony Beduin z źródła oazy pustynnej. I rzecz dziwna! Młodzież właśnie, której cała natura wzdrygała się przed dźwiękiem haseł utylitarnych, młodzież do gwiazd wyciągająca ręce, namiętna, do marzeń i porywów skora, ona na krwią sfarbowanej ziemi odpięła z ramion

swoich skrzydła orle i z dumnych ptaków królewskich zamieniła się w cichych, do ziemi przykutych robotników i apostołów pracy organicznej. Któż dzisiaj zaprzeczyć zdoła, że epoka, na nowych zbudowana podstawach, dla narodu obfite wydała owoce? Starzy romantycy drwili z „trzeźwości w prochu zakochanej“, a my z dumą przyjęliśmy krwawe urąganie, budując w tym „prochu“ nowe fundamenty ojczyzny. Lecz tam w nizinach, przy ciężkim, prozaicznym trudzie, zapomniał naród o jednem. Hasło chleba w naszych warunkach jest jak trucizna. W normalnych dawkach ono życie niesie choremu organizmowi, — w zbyt silnych dozach śmierć mu gotuje. Wybujałość praktycznego utylitaryzmu jest równie niebezpieczną jak wybujałość uczucia. Tamta grozi losami ptaka, co o kraty główkę rozbija, ta losami płaza, co po ziemi pełza, — nie stąpa. I oto my, skłonni do ekstremów, nie uniknęliśmy smutnej jednostronności, a zabór pruski, który pierwszy wywiesił sztandar pracy organicznej, wychował sobie pokolenie, budzące obok niezaprzeczonych zalet, poważne obawy.

Chleb! chleb! powtarzaliśmy dzieciom naszym, deptać brutalnie każdy poryw idealniejszej natury. Synów naszych i córki zaprawialiśmy do walki, stawiając na ołtarzu bożyszcze karyery. Miarą żołądka mierzyliśmy życie, — pojęcie praktyczności łączyliśmy znakiem równania z pojęciem ideału, wyraz „niepraktyczny“ — stał się ekwiwalentem dzieciństwa i głupoty. I tak wyrosło pokolenie istot, nietylko trzeźwych, lecz zarazem oschłych, — pokolenie ludzi, którzy nietylko nauczyli się pracować i liczyć z realnemi warunkami bytu, lecz zapomnieli czuć gorąco i kochać gorąco.

Czyż w takich warunkach dziwić się można, że w walce nowych prądów z staremi potęgami niejedno serce, rwące się do boju, kurczy się i stygnie, — niejeden żołnierz barwy swej głośno nie wyzna, — niejedna myśl postępowa padnie ofiarą egoistycznego rozsądku. Trudno! Nowego jutra nie zdobywa się bez ofiar i poświęceń, a hasło chleba powiększyło wprawdzie zastęp sumiennych i zabiegliwych pracowników, pomnożyło cyfrę kupców, lekarzy, inżynierów, adwokatów, w stal zamieniło nasze muszkuły i nerwy, wyostrzyło nasz rozum, pilność i wytrwałość, lecz zgasiło w nas ludzi idei, — ludzi, którzy na ołtarzu swoich wierzeń społecznych lub filozoficznych umieliby złożyć ofiarę z wygód, ambicyi i mienia.

A przecież ta praktyczna tchórzliwość, grasująca ciągle jeszcze w postępowych stronnictwach, rozzuchwala przeciwników naszych. Klątwa strach rodzi, więc przeklinają. Bojkot skutkuje, więc bojkotują. Tylko harda odwaga broń z ręki wrogom wytrąca, a ona nigdy nie będzie udziałem natur episjerskich. A zatem kult idealniejszych pierwiastków duszy ludzkiej i tępienie kramarskiego egoizmu w systemie wychowawczym jest nieodzownym warunkiem zwycięstwa nowych prądów w społeczeństwie naszem. I w walce na zewnątrz, w walce z germańskim żywiołem, jednostronne nabożeństwo chleba i karyery złe wyświadcza przysługi sprawie narodowej. W niem to tkwi źródło owej lękliwej miękkości, która jest znamienną cechą stósunków naszych z narodem Bismarcka.

Nam trzeba shardzieć jak shardzieli Czesi, bo te ukłony na prawo i lewo, ten strach bezustanny, by, broń Boże! Niemców nie podraźnić, ta obrzydliwa galanterya i uprzejmość polska, która jest znamienną cechą naszych stosunków z wrogim żywiołem, te illuminacye polskie i chorągwie w dzień galówek niemieckich, to chowanie impertynencyi krzyżackich i krzywd wyrządzanych do kieszeni w imię chleba, karyery — no! i wyższej racyi stanu — wszystko to jest symptomem owej kupieckiej moralności i kupieckiego patryotyzmu, rozsianych przez fałszywie pojęte i wykrzywione hasła pracy organicznej w społeczeństwie poznańskiem.

My, jak nikt inny może, czcimy ten kierunek, którego ojcem w pruskim zaborze był Karol Marcinkowski, ale wiemy również, że późniejsze pokolenia ideę odrodzenia wypaczyły, i dla tego dziś do trzeźwego odwrotu wołamy. Świt już się zaróżowił na niebie i to, co fałszywy system wychowawczy wysuszył i wyziębił w społeczeństwie, prędzej czy później życiem zakwitnąć musi. My sami może świadkami zwycięstwa nie będziemy, ale wyrośnie pod naszym wpływem nowa generacya, która nie z kramarską arytmetyką, lecz ogniem ideałów w duszy, rozpocznie walkę na wewnątrz i na zewnątrz. I wtedy ustąpi niewątpliwie ta praktyczna gra w chowanego, o której mówi początek feljetonu, — ta epidemiczna obłuda i lękliwość, która dziś paraliżuje jeszcze szybki rozwój naszego stronnictwa. A gdy wróg, wierząc w potęgę tradycyjnego teroryzmu, podniesie rękę i spyta:

Kto śmie ciszę mej zadumy
Porywami swemi kłócić?
Czyich to tam lasów szumy
Wiosnę moją chcą zasmucić?...
Kto tam nosi się z wichrami
Jak opadłe liście z drzewa,
I chmur kiry westchnieniami
Po błękitach mych przewiewa?...
Od czyjego cieniów czoła
Tęczy mojej gasną wstęgi?
Kto tam gromów moich woła
I na jasne widnokręgi
Smutków swoich rzuca mgły?

— gdy wróg tak spyta, młodzi ze strachem nie opuszczą głowy, lecz dumnie odrzekną:

To my!

Sulla.

Wolne głosy.

W sprawie naszego przemysłu i handlu.

Z prowincyi.

„Dziennik Poznański“, który w deklamacyi i systemie rozanielania oraz maskowania zdawał się kochać niepomiernie, w nr. 12 z b. r. pod tytułem „Bańki mydlane“ poraz pierwszy zdobył się na chwalebną odwagę wypowiedzenia prawdy i krytycznego zbadania naszych zdolności przemysłowo-przedsiębiorczych. „Dziennikowi“ dziękujemy za już, a prosimy o jeszcze. Na wypowiedziane poglądy godzimy się zupełnie z wyjątkiem końcowego wniosku w sprawie założenia rodzaju biura informacyjno-instruktywnego.

Bardzo słusznie podnosi „Dziennik“ — że u nas kupców jest mało — są tylko kramarze. Kupców fachowo wykształconych gruntownie, z potrzebnym kapitałem, jest w całym naszym Księstwie niewielu, wszelkie gadania, że nasz handel się wzmaga, — są tylko gadaniną, niczem więcej. Jakiś urzędnik gospodarczy, exnauczyciel elementarny, wykolejony właściciel ziemski z kilkuset a nawet kilku tysiącami marek kapitału, bez rutyny i praktyki otwierający handel — nie jest kupcem — jest tylko kramarzem. Przybywa przez to firm polskich na szyldach, ale nie przybywa kupiectwa, regulującego za pomocą kapitału stosunek produkcyi do konsumpcyi, przenoszącego produkcyę z miejsc, gdzie jest jej nadmiar, do miejsc, gdzie się okaże zapotrzebowanie. Innemi słowy handlem — kramarstwem pozostanie sklepik z pewnym zapasem towarów wziętych na kredyt, upychaniem tychże nadającej się klienteli, lawirowaniem możliwie najdłuższem, a w końcu niedoborem bilansu, zarwaniem wierzycieli etc. etc. Ilościowo więc nasze kupiectwo przedstawia się względnie jako tako, jakościowo znacznie gorzej, a jeśli ilościowo porównamy nasze kupiectwo polskie z kupiectwem żydowskiem, to tworzy ono co do liczby tylko trzecią część, a może nawet czwartą kupiectwa żydowskiego; taki przynajmniej stosunek wykazał się przy kontrolowaniu listy wyborczej jednego z okręgów z okazyi wyborów do zmienionej nowym regulaminem izby handlowej.

Gorzej o wiele ma się rzecz z naszym przemysłem. Jakiem jest na prowincyi nasze rzemiosło wie każdy, kto z niem miał jakiekolwiek stosunki. Wstrzymuję się od krytyki naszego rzemiosła, — może z obawy przed posądzeniem mnie o pessymizm, — a powtóre dla tego, że nie tutaj po temu miejsce: — chodzi nam o co innego, — o wielki przemysł w prawdziwem słowa znaczeniu, i ten też „Dziennik Pozn.“ mógł tylko mieć na myśli.

O ile więc nasze kupiectwo i rzemiosło reprezentują się względnie dobrze ilościowo — o tyle nasz wielki przemysł ani ilościowo nie zajmuje nawet skromnego stanowiska — z tej prostej przyczyny, że nie mamy go wcale. Fabryki pp. Cegielskiego, Urbanowskiego i Skrzydlewskiego, młyn parowy p. Grabskiego w Inowrocławiu, kilka cegielni parowych, — oto cały nasz przemysł polski w W. Ks. poznańskim. Oprócz tedy co najwyżej 10 kominów, które kurząc się świadczą o wrącej we fabryce polskiej myśli, pracy i kapitale, reszta fabryk spoczywa w rękach niemieckich lub żydowskich. Jeśli już za wiele byłoby wymagać, aby się w Księstwie roiło od fabryk sukna, szkła, porcelany, papieru i t. d. to chyba i najłagodniejszy obserwator nie zdejmie z nas zarzutu, że prawie cały przemysł cukrowniczy pozwoliliśmy sobie z rąk wydrzeć. Śmietankę z cukrowni zbiera kapitał obcy, myśmy poprzestali na skromnej roli białych murzynów, plantujących buraki.

Cóż więc tego może być przyczyną, że przemysł polski u nas prawie się nie istnieje? Zadając sobie to pytanie, znajdujemy na to jedyną odpowiedź, że przyczyną tego nasz kwietyzm i nasze wygodnictwo.

Do stworzenia przemysłu potrzeba fachowej nauki i znajomości, pracy pilnej i kapitału znacznego. Ostatni, o ile jest jeszcze w polskim ręku, ulokował się w listach zastawnych — bądź to dla tego, że nie widzi lokacyi pewnej w przedsiębiorstwach przemysłowych własnych, bądź też, a może głównie dla tego, że wygodnem jest bez żadnego ryzyka obcinać kupony. Kwietyzm nasz jest przyczyną, że na nowe tory niechętnie wchodzimy; obmyśleć coś nowego, zamiar konsekwentnie przeprowadzić, — to u nas rzadko się zdarza. Z dawnych utartych formułek wyzwolić nam się trudno, — cóż dopiero zdecydować się na to, aby się wyuczyć piwowarstwa, sukiennictwa, papiernictwa itd. itd., a przecież piwa, sukna i papieru konsumuje się z każdym rokiem coraz więcej, i bylebyśmy tylko nauczyli się i rozpoznali, czego potrzeba do wyrobienia hektolitra smacznego piwa, za pomocą jakich najnowszych maszyn, z jakim bruttokosztem wyrabia się metr kwadratowy sukna lub ryza papieru, aby ze zyskiem zbyt znaleźć można, — to reszta znajdzie się sama przez się, znajdzie się i kapitał z początku mały, później większy, znajdzie się i miejsce gdzieś nad koleją, znajdzie się i robotnik, który w braku korzystniejszego zatrudnienia wynosi się do Saksonii.

Innemi słowy potrzeba nam ludzi z odpowiedniemi fachowemi wiadomościami, praktyką i rutyną, — i tak jak niegdyś Marcinkowski przez pomoc naukową wytworzył

w Księstwie naszem zastęp inteligencyi, — tak dzisiaj to samo Towarzystwo Pomocy Naukowej — osiągnąwszy cel swój w jednym kierunku, — zdaniem naszem zabrać się powinno energicznie i szczerze do wytworzenia sił fachowo-przemysłowych w drugim kierunku. Impuls do szukania karyer uczonych danym został naszemu społeczeństwu wystarczająco przez niewygasłej pamięci Marcinkowskiego, — kto chce się rzucić na karyerę intelektualną — niechaj to czyni teraz z własnych funduszów. Towarzystwo zaś Pomocy Naukowej niechaj fundusze swoje obróci na wykształcenie fachowców. Szkół fachowych w każdym poszczególnym zawodzie ma pod dostatkiem Saksonia, Bawarya i Westfalia, potrzeba tylko funduszów i zachęty. Towarzystwo Pomocy Naukowej posiada pierwsze, niechaj nie szczędzi w tym kierunku i drugiej — i tak jak przez szereg lat 30 wytworzyło i dało Księstwu intelligencyę, tak niechaj dzisiaj wytworzy siły fachowe.

Tymczasem praca nasza i beletrystyka niech wpaja w społeczeństwo potrzebę takiej fachowej pracy.

Zdolności nam nie braknie — tych mamy więcej moze od Niemców, — lecz braknie nam dobrych chęci, wytrwałości, konsekwencyi i zapobiegliwości. A nie wytworzymy w nas tych przymiotów, jeśli ciągle w uszy nam kłaść będą, że jesteśmy narodem wybranym. W czasach dzisiejszych cuda się nie dzieją, a jeśli byt nasz chcemy zachować, to trzeba nam zakasać rękawy i w pocie czoła pracować, — trzeba nam na punkcie dodatnich przymiotów stać wyżej od tych, którzy by nas zmiażdżyć pragnęli. Nauczmy się lepiej i intenzywniej pracować od naszych przeciwników, znajmy fach nasz lepiej od nich, pracujmy pilniej od nich, wydawajmy mniej, oszczędzajmy więcej, — a nic nam nie zrobi kolonizacya, ani H. T. K. Jeszcze nam nie zabroniono pracować i myśleć, — więc z tego korzystajmy.

Nie pochodzi ztąd, abyśmy już w opatrzność żadnych nie pokładali nadziei, — owszem mamy to przekonanie, że skoro suma nieprawości dojdzie do kresu, „wtedy Pan wstaje sam, — aby sądzić w sprawie swojej“ Zanim to jednakże nastąpi — poprawa do nas należy i jeśli się nie zdobędziemy na siłę odporną przez pracę, zwłaszcza fachową, — to fala germanizmu zalać nas musi, zanim słońce zejdzie.

Pierwsze tedy objawy zdrowego krytycyzmu w „Dz. Pozn.“ chętnie witamy, — i o ile godzimy się na cały wzmiankowany artykuł, to przecież nie widzimy dotąd żadnej potrzeby zakładania biura informacyjnego dla naszego przemysłu. Biuro takie miałoby racyę bytu, gdyby gromady ludzi fachowo i dobrze wykształconych chodziły po Poznaniu i wołały: „Wskażcie nam co i gdzie rozpocząć mamy, — gdyż posiadamy wszystko, co do tego potrzeba“. Tak jednakże dotąd nie jest, fachowców nie mamy prawie wcale, — więc biuro takie niepotrzebne. Starajmy się siły fachowe wytworzyć i konieczność takich sił wykazać, a reszta potem znajdzie się sama przez się.

R. H.

KRONIKA LITERACKA

* **Profesor Masaryk o „Przeglądzie Poznańskim.“** W nr. 3-im świetnie redagowanego tygodnika pragskiego „Czas“ takie wypowiada opinie o naszem piśmie wódz realistów czeskich, profesor uniwersytetu, Masaryk: „Przegląd Poznański jest pismem za mało u nas znanem: poświęcamy mu dzisiaj wzmiankę. Życie publiczne Polaków w Niemczech było do niedawna wyłącznie politycznem i narodowem. Narodowość polska w stosunkach względnie korzystnych wzmocniła się i zabezpieczyła. Krzywdy dzieją się Polakom w Niemczech bezustannie, głównie w szkólnictwie, atoli już nie tak krzyczące jak dawniej (?). Obok tego starają się Polacy w Prusiech korzystać z wolności prasowej (która w Rosyi jest skneblowaną), i z praw o związkach i towarzystwach. Ale podobnie jak u nas, tak i tam stare prądy i stronnictwa, którym bez wątpienia należy przyznać pewne zasługi w prowadzeniu walk narodowościowych, ugrzęzły w poglądach przestarzałych, nie postępowały z czasem, z nowemi prądami kulturnemi i socyalnemi. Pracy w tem zrozumieniu podjęli się młodzi, których dewizą jest Młoda Polska, odpowiadająca nowożytnym prądom naszym, a reprezentowana w piśmiennictwie peryodycznem tygodnikiem „Przegląd Poznański“. Redaktorem tego pisma jest dr. Wład. Rabski, autor dramatów „Asceta“ i „Zwyciężony“, (tłomaczony na język czeski), którego feljetony i krytyki w piśmie zasługują na szczególne odznaczenie.

Przegląd Poznański odznacza się pod względem politycznym ostrą krytyką stosunków polskich w Niemczech i Austryi (głównie krakowski publicysta pan K. Bartoszewicz zwalcza bezwzględnie Koło Polskie i rządzące warstwy w Galicyi) jako też poważnemi artykułami o zasadniczych problematach polityki, kwestyach socyalnych i literackich.

Zasługuje na uwagę naszą to mianowicie, że Przegląd pilnie śledzi ruch czeski. Pięknemi artykułami o Szląsku austryackim propaguje myśl czesko- polskiej ugody; niedawno w artykule o moskalofilizmie wśród Czechów objaśnił czytelników, jak objaw ten tłomaczyć należy. Również publikował piękny referat dra. Makowieckiego o „Czeskiej kwestyi“ i „Naszej Kryzie“. Obecnie umieszcza szereg artykułów także pióra dra. Makowieckiego o czeskiej literaturze, o których przy sposobności szerzej pomówimy. Dotychczas artykuły te zawierały ocenę dzieł Czecha, Vrchlickiego, Machara, a z czeskich dekadentów Brzeziny, Mrszticzów i Szlejhara. „Przegląd Poznański“ — tak kończy prof. Masaryk — zaiste zasluhuje u nas na wietszi (większą) pozornost (uwagę) než dosud (dotąd).

Kronika powszechna.

Wiadomości społeczne i polityczne. Wniosek hr. Kanitza odrzucił parlament niemiecki 219 głosami przeciw 97. — „Vorwärts“ socyalistyczny zaniepokoił znowu sfery rządowe, ogłosiwszy rychlej, niż organ państwowy, manifest cesarski, ułaskawiający z okazyi uroczystości jubileuszowych rozmaitych przestępców. Domyślają się, że jakaś wysoka figura zdradziła tajemnicę. Śledztwo jest w biegu, lecz prawdopodobnie tak teraz, jak dawniej, pozostanie bezskutecznem. — Sobranje bułgarskie obradować będzie w najbliższym czasie nad zamordowaniem Stambułowa. — Minister rolnictwa Hammerstein wygłosił w parlamencie niezwykle ostrą krytykę stronnictwa konserwatywnego. Mowa ta wywołała powszechną sensacyę. — Znany antysemicki poseł Ahlwardt zamierza podobno objąć redakcyę jednego z dzienników amerykańskich i skwitować z karyery parlamentarnej w Niemczech. — W ciągu ćwierćwiekowego istnienia cesarstwa niemieckiego armia i marynarka pochłonęła olbrzymią sumę 13 miljardów marek. — Kampania oszczercza przeciw prezydentowi republiki francuzkiej, Feliksowi Faure, trwa w dalszym ciągu. Mimo bezpodstawności zarzutów zmniejsza się popularność prezydenta.

* * *

Teatr i muzyka. Molierowski „Don Juan“ odegrany w czwartek na benefis p. Knapczyńskiego, znęcił do teatru bardzo liczną publiczność. Sztukę przyjmowano ozięble. Beneficyantowi wręczono dwa wieńce. — We Lwowie wystawiono Sudermanowskie „Szczęście w zakątku“. O premierze tej krytyka wyraża się tylko z umiarkowanem uznaniem. — Gerhardt Hauptmann otrzymał za dramat „Hanusia“ wiedeński „Grillparzerpreis.“ — Wielkopolanka p. Marya Pętkowska koncertowała w Krakowie pod nazwiskiem Ostoi i śpiewem swoim podbiła publiczność i krytykę. „Głos Narodu“ taki sąd wydaje o występie młodej Wielkopolanki:

„W części wokalnej przedstawiła się naszej publiczności młoda śpiewaczka, ujmującej powierzchowności ze szkoły Lucci, p. Marya Ostoja. P. Ostoja śpiewała utwory Mozarta, Griega, Moszkowskiego i inne, z powodzeniem wzrastającem za każdym numerem programu. Jej w całym słowa znaczeniu piękny i szczególniej w górze rosnący głos sopranowy, jej umiejętność w obchodzeniu się z organem, wskazująca na sumienne studya, wreszcie wdzięk, jaki nadaje wykonywanym utworom, wszystko to składa się na ogół zalet, dzięki którym p. Ostoja zdobyła sobie poklask gorący i szczerze zasłużony.“

— Olbrzymi teatr pod nazwą „Olympia“ stanie w r. b. w Berlinie; na scenie będzie mogło równocześnie występować 1000 osób, kanał 12 metrów szeroki oddzielać będzie scenę od publiczności i służyć do wielkich scen wodnych baletowych. — Sardou wykończył nowy dramat „Czarownica“, w którym rola główna przeznaczona Sarze Bernhardt. — Dyrekcya teatru łodzkiego podaje do wiadomości, że posiada 6000 rs. na budowę teatru letniego na placu, gdzie stał teatr Eden.

BŁĘDY JĘZYKOWE.

1. Nie mówmy *jak*, zamiast *niż*, gdy wyrażamy *różnicę*, a nie *jednostajność*. Więc nie mówmy: „Dzień dłuższy *jak* wszystkie inne“. „Dom ten stoi bliżej *jak* tamte“ itp., ale: „Dzień dłuższy *niż* wszystkie inne“. „Dom ten stoi bliżej *niż* wszystkie inne“, albo: „dłuższy od innych“, bliżej od innych-“ Coś może być „równie długiem *jak*,“, albo „równie blizkiem *jak*“, lecz nigdy „bliższem *jak*“, albo dłuższem *jak*“.

2. Przed *który* w zdaniach wtrąconych umieszczać należy tylko części mowy nieodmienne; dobrze więc jest: „człowiek, *przeciw* któremu...“, ale źle: „człowiek, syn którego...“; powinno być: „człowiek, którego syn...“

3. Nie mówmy i nie piszmy *jak długo.. tak długo*, zamiast *dopóki, póki.. dopóty, poty*. Tamto jest niemczyzną: *so lange*.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

— **Vera.** Prosimy o cierpliwość. Podobne żądania napływają do redakcyi codziennie w znacznej ilości. Odpowiadamy kolejno w miarę jak czas nam pozwala przeglądać nadesłane rękopisy.

— **F.** Polskich powieści pani Poradowskiej nie znamy; zdaje nam się, że Szanowny Pan mylne w tym względzie posiada informacye.

— **Władysław K.** I my otrzymaliśmy broszurę Przybyszewskiego „Pro domo mea,“ ale opinję o niej wydamy dopiero wtedy, skoro nas dojdzie zapowiedziany tam romans psychologiczny p. t. „De profundis“.

OD ADMINISTRACYI.

Prosimy Czytelników nie zbierających kompleta o łaskawe przesłanie nam numerów:

17-go z roku 1894-go,
34-go i 44-go z roku 1895-go.

za każdy egzemplarz zapłacimy 50 fen.

SPROSTOWANIE.

Do artykułu Z. Oleskiego „Najnowsza powieść Jeske-Choińskiego“, umieszczonego w nr. 3 „Przeglądu“, zakradło się kilka omyłek drukarskich. Na str. 29, łam II, wiersz 53 z dołu i str. 30, łam I, wiersz 22 z góry należy czytać nie „krzesło konsulskie“ lecz „kurulskie“; na str. 30, łam I, wiersz 6 z dołu „wyrok śmierci miał wydać na... narzeczoną przyjaciela Publiusz“, na str. 31, łam II, wiersz 11 z dołu nie „za żywy“, lecz „fałszywy koloryt“, na str. 32, łam I, wiersz 9 z dołu nie „Rzym bez czarów“ lecz „Rzym cezarów“.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28.

Nr. 5. Poznań, niedziela 2-go lutego 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: Piekary nr. 6.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: Piekary 6. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.

TREŚĆ.

W sprawie
Zachodnio-pruskich Towarzystw Ludowych.

Są kwestye w społeczeństwie naszem, które długo, bardzo długo gdzieś w głębinach nurtują i sieją niepokój, a których mimo to nikt po imieniu nie nazwie i na sekcyjnym nie położy stole. Nagle zjawia się jakiś drobny, lecz znamienny fakt i wyciska z piór dziennikarskich nieśmiałe słowo krytyki. Jeden wyraz rodzi drugi, z drugiego wyłania się trzeci i sprawa staje się głośną, elektryzującą kwestyą dnia. Takie są losy palącego zagadnienia: Duchowieństwo a życie narodowe?!

Od lat już wielu pytanie to piecze sumienia i mózgi, — od lat już wielu mówią o niem w prywatnych kółkach i koleżeńskich dyskusyach, — od lat już wielu kwestya ta stanowi na Szląsku żywioł fermentacyjny w życiu publicznem — u nas jednak w Poznańskiem i Prusach Zachodnich żaden organ — z wyjątkiem „Orędownika“ i „Przeglądu Poznańskiego“ — sprawy tej nie wytoczył i żadne zebranie polityczne na porządku dziennym jej nie postawiło. W najświeższym dopiero czasie wszystkie pisma zachodnio-pruskie zagrały na alarm, a zgromadzenie delegatów ruchu ludowego poddało ją głębokiej i wszechstronnej analizie. Zainteresowanie to zjawiło się niespodziewanie, a powód jest drobny i pozornie małoznaczący. Materyały eksplodujące przez długi czas drzemały spokojnie, nagle zjawia się maleńka iskierka, a iskra ta, gotująca wybuch, zrodziła się w Chmielnie. W małej tej wioszczynie zachodnio-pruskiej założono Towarzystwo ludowe i uszczęśliwiono je statutem zastrzegającym wyraźnie, że każdorazowy proboszcz piastuje godność prezesa nie z oboru lecz z urzędu. Wieść pojawiła się w pismach publicznych i oto w mgnieniu oka kwestya paląca, lecz duszona starannie w mgłach gęstych i mrokach, stanęła przed społeczeństwem w blaskach dnia białego, — z piętnem powagi na czole, z słowem „*Caveant consules*“ na ustach.

O rozwoju sprawy staraliśmy się już pośrednio informować czytelników naszych, cytując w „Przeglądach prasy polskiej“ głosy czasopism zachodnio-pruskich. I dzisiaj podajemy dłuższe ustępy z korespondencyi pewnego kapłana, gromiącej w słowach stanowczych i jasnych protest Gazety gdańskiej, grudziądzkiej i toruńskiej przeciw sklerykalizowaniu Towarzystwa ludowego w Chmielnie i rozszerzaniu podobnych prądów w innych towarzystwach zaboru pruskiego. Aby czytelnikom naszym ułatwić zoryentowanie się w sprawie tak poważnej, a niepokojącej szerokie koła społeczeństwa, powtarzamy tu raz jeszcze w dosłownem brzmieniu zasadnicze postulaty wyrażone w sensacyjnym artykule zachodnio-pruskiego kapłana, — postulaty skreślone wprawdzie przez jednostkę, lecz zawierające stempel programowy całego stronnictwa grupującego się około „Kuryera Poznańskiego“. Duchowny korespondent „Gazety Gdańskiej“ mówi:

1. „Li tylko polskie Towarzystwo, nie opierające się na zasadach katolickich, niema głębszej racyi bytu, boć przysłuży się co najwyżej do zachowania członkom pewnych dóbr doczesnych i to jeszcze wątpliwych w teraźniejszym naszym ucisku, a nie mając dostatecznych podwalin, chwiać się będzie pomiędzy internacyonałem a fanatyzmem narodowym.“

2. „Gdzie towarzystwo katolickie, tam koniecznie katolicki ksiądz należy i tam on ma z urzędu swego i z natury rzeczy *najpierwsze* miejsce, a nie jakieś tam podrzędne miejsce. Zboczenie od tej zasady tak koniecznie na bezdroża musi prowadzić jak się nie da pogodzić prawdy z fałszem“.

3. „Ksiądz jest *urodzonym prezesem* każdego Towarzystwa ludowego w swej parafii“.

4. „*Choćby i proboszcz był rzeczywistym germanizatorem, zasada pozostanie zasadą* i on jest urodzonym prezesem Towarzystwa katolickiego w swojej parafii“.

5. „Gdyby jakie Towarzystwo przy zachowaniu tej zasady rzeczywistą szkodę poniosło, *wolę raczej taką szkodę* jako mniejsze złe, aniżeliby przez zaniechanie tej zasady daleko więcej Towarzystw miało powoli wyzwolić się od księdza i kościoła...“

Tak mówi ksiądz-korespondent w „Gazecie Gdańskiej“, tak mówi całe stronnictwo, które w ubiegłym roku ogłosiło znany, w bizantyniźmie lojalnym skąpany artykuł na dzień urodzin cesarskich i które wyraźnie oświadczyło, że „czas już nareszcie pozbyć się zacietrzewienia narodowego i na wszystkie sprawy narodowe patrzeć *jedynie* przez pryzmat katolicki“. Z tego to źródła płynie również owa znamienna niechęć do ruchu górnoszląskiego, gdzie przepaść między ludem polskim a duchowieństwem germanizującem pogłębia się i rozszerza z dniem każdym, a walka staje się tak namiętną, że z kilku ambon kościelnych w niedziele i święta pada dziwne słowo: „Módlmy się, bracia w Chrystusie, o nawrócenie odstępców, służących Katolikowi, Nowinom Raciborskim i Gazecie Opolskiej.“

Z góry zastrzegamy, że stosunki zachodnio-pruskie nie są bynajmniej fotograficznem odbiciem górnoszląskiego rozdarcia, ale prądy germanizacyjne grasują i tam wśród duchowieństwa, grożąc coraz więcej potężną walką kościoła z narodem. Wobec tego niebezpieczeństwa trzeba z podwójną ostrożnością rozpatrywać stanowisko kleru do towarzystw naszych i żadną miarą zgodzić się nie można, aby z góry, bez względu na zapatrywania polityczne, każdemu proboszczowi i tylko proboszczowi przyznawać przewodnictwo w towarzystwach ludowych. Zresztą zapominać nie wolno, że prądem dominującym obecnie w sferach kościelnych tak w Zachodnich Prusach jak w Księstwie, jest spychanie patryotyzmu na plan dziesiąty i tendencya zastąpienia barwy narodowej barwą wyznaniową. Gdyby zatem nawet wyraźne dążenia germanizacyjne wśród duchowieństwa zachodnio-pruskiego nie istniały, to już sama obojętność dla spraw narodowych, — owa wyłączność klerykalna, starająca się ojczyznę kościołem zastąpić, — stanowi groźne niebezpieczeństwo i poważną przyczynę, dla której komendy nad ludem polskim powierzyć nie można bez zastrzeżeń w ręce duchowieństwa. Uznajemy w zupełności charakter katolicki Towarzystw naszych i przestrzeganie tego charakteru uważamy za postulat na wskroś naturalny i korzystny w warunkach bytu polskiego, — ale z wszelką stanowczością potępiamy te usiłowania, które dążą do zepchnięcia narodowości ze stanowiska *równorzędnego*. Dalecy jesteśmy od zaprzeczenia duchowieństwu praw obywatelskich w społeczeństwie naszem, — mniemamy przeci-

wnie, że przewodnictwo kapłanów w towarzystwach ludowych będzie w pewnych okolicznościach pożądanem i dodatniem, wskutek zasobów inteligencyi, sferze tej właściwych, — lecz nie możemy pod żadnym warunkiem zgodzić się na kategoryczne żądanie, by każdorazowy proboszcz nie z oboru lecz z urzędu odgrywał hegemoniczną rolę w towarzystwach swojej parafii. Jeżeli proboszcz zyska zaufanie parafian, — jeżeli przedstawiać będzie gwarancyę, że naród i wyznanie równą obdarza miłością, — jeżeli obce mu będą zakusy germanizacyjne i obcem lekceważenie dążeń narodowych, — jeżeli wreszcie nikt inny przedstawiający wyższe kwalifikacye hegemoniczne w parafii się nie znajdzie, — wtedy towarzystwa ludowe powołają niewątpliwie duszpasterza swego na urząd prezesa. Statut jednak ułożony w Chmielnie gwałci przekonania członków, ubezwładnia ich wobec możliwych a nawet prawdopodobnych zakusów germanizacyi i toruje drogę samowładztwu duchowieństwa w życiu publicznem, budzącemu dziś więcej niż kiedykolwiek poważne wątpliwości. My nie przeczymy, że kapłan *w rzeczach wiary* jest *„urodzonym przywódzcą ludu“*, — ale stanowiska tego przyznać mu nie możemy w życiu narodowem. Szląsk nas pouczył, do jakich nadużyć politycznych ów szeroki i elastyczny tytuł „urodzonych przywódzców“ prowadzi, i dla tego uważamy za obowiązek prasy narodowej postawić tu słupy graniczne i zakres przywództwa do odpowiednich zacieśnić rozmiarów.

Zasady skreślone powyżej spowodują niewątpliwie jedną z owych burz, strzelających gromami tendencyjnych fałszów, które już tylokrotnie nad głowami naszemi huczały. Walka z religią i kościołem! — oto stereotypowy frazes, którym pewne koterye starają się zmącić trzeźwość i ścisłość poglądów naszych na stanowisko duchowieństwa w życiu publicznem. Nie jest to brak inteligencyi, ktoremu zasada *„bene distinguere“* obcą pozostaje, nie jest to nieporozumienie snujące w dobrej wierze błędne zarzuty, lecz zła wola przekręcająca tendencyjnie twierdzenia nasze, aby kwestyę zakrzyczeć, nie mogąc jej poważną argumentacyą osłabić. To też gdybyśmy dzisiaj powtórzyli po tysiąc razy, że chodzi nam jedynie o sparaliżowanie tajnych i ukrytych dążeń, aby duchowieństwu, jako takiemu utorować drogę do hegemonii *w życiu politycznem*, że nie walka z religią i kościołem jest hasłem naszem programowem, lecz opozycya do kościelnych rozsadników germanizacyi lub obojętności narodowej, — że zdaniem naszem kościół i naród to dwie odmienne dziedziny, których interesy nie zawsze są identyczne, a często skłócone, — choćbyśmy to wszystko szeroko zapisali w łamach pisma naszego, przeciwnicy nasi nie porzucą taktyki swojej i wyśpiewają znowu dawne zarzuty i fałsze. Podstępny ten manewr jednak tylko do czasu liczyć może na powodzenie, — żywotność kwestyi silniejszą jest od sztuczek adwokackich i prędzej czy później zapuka tak głośno do bram społeczeństwa, że ono zbudzi się, w oczy jej spojrzy i bez względu na bajeczki klerykalizmu o wrogach religii i Boga samego — potężnym głosem „Gore!“ zawoła.

POLITYKA.

Przegląd prasy słowiańskiej.

W głównym organie czeskich realistów, w pragskim „Czasie“ znajdujemy w numerze noworocznym artykuł pióra prof. Massaryka, w którym zasłużony wódz stronnictwa taki rozwija program polityczny:

„Przed dziesięciu laty całem stronnictwem naszem było kółko, składające się z niewielu osób, które się kupiło obok naukowego pisma „Atheneum“ i „Czasu“. Artykuły w pismach tych umieszczane czyściły naszą atmosferę tak bezwzględnie, że każdy nowy numer budził popłoch. Ruch rozpoczął szersze zataczać koła na czeskim uniwersytecie i na polu naukowem. W walce o słynny rękopis stanęły po dwóch przeciwnych sobie stronach, tu świat nowy, tam stary. Kładziemy na to wagę, że ruch nasz począł się w kołach naukowych. Zdaje nam się, że to był moment ważny, bo tam powaga starych miała najsilniejszą twierdzę Te właśnie autorytety wychowały kilka pokoleń; doszło u nas do tego, że w latach 1880 typ społeczeństwa naszego do tyla był skostniały, iż zdawało się niemożliwem doprowadzić go do poznania samego siebie.

Nie dziwiliśmy się wcale, że przeciw nowym ideom i krytyce naszej wystąpili starzy tak gwałtownie. Z tych wyżyn przeniosła się walka przeciw nam do nizin, gdzieśmy mieli wrogów fanatycznych, ale i to było objawem naturalnym. Walczyliśmy z młodo- i staroczeskiemi pismami, musieliśmy ciężką stoczyć walkę o zdobycie prawa wolności badania i oczyszczenia moralnego narodu. Prasa, prawie bez wyjątku, stała po stronie starszych. I dla tego właśnie, że się rzuciła w wir walki, wstrząsła całem naszem jestestwem. Odtąd rozpoczęła się walka na większą skalę, już nietylko o historyczne lub kulturne zagadnienia, lecz o politykę i socyalizm. Młodsi czuli, że dotychczasowe poglądy panujące nadal się utrzymać nie dają, że jednak swobodnemu rozwojowi idei przeszkadza teroryzm prasy. Nastąpiła u nas pewna organizacya, która zwartym szykiem stawiała czoło napaściom, wskazując na płytkość, bezmyślność i opaczność naszych przeciwników.

W roku 1890 stronnictwo nasze połączyło się na podstawie wspólnie ułożonego programu z stronnictwem młodoczeskiem. Pozostaliśmy zawsze atoli cierniem w oku dla tych Młodoczechów, co nie potrafią się wyzbyć dawnych przesądów i szablonów. Dziś realizm wchodzi w nową fazę rozwoju, nie utrzymywał się on bowiem w jednym kierunku, ale przystąpił do rozwiązania kwestyi czeskiej z punktu widzenia filozoficzne-

---

K. ROJAN.

W ŚWIAT.

(Ciąg dalszy.)

Przyszli także Łasiecki i Józef Raniecki; pierwszy jako reżyser amatorskiego przedstawienia, drugi jako przyszły mąż sceniczny Loli: Anulka i Smolarz dopełniali ensemblu w sztuce wybranej do grania.

Przed próbą śpiewał Dyniecki ładną piosnkę, przy wtorze kilku akordów fortepianowych. Każda zwrotka tej piosnki zaczynała się słowami:

Znam ja oczy takie czarne,
Żarzące jak skry...

Śpiewał bardzo ładnie, a przytem wznosił w górę czarne oczy, o których piosnka powiadała, że były „żarzące jak skry“, lub też zwracał je kolejno na Lolę i Anulkę, a czasem w swej łaskawości obdarzył przelotnem spojrzeniem także panią Marcysię.

Ponieważ wkrótce potem nadeszli goście Borajskiego, więc młodzież przeniosła się na próbę do jadalni, a towarzystwo — ak powiadał stary Raniecki — „ograniczonej kasy zaliczkowej w rękawiczkach“, zajęło pokój bawialny na swoje obrady.

Na posiedzenie przybyli początkowo tylko Szołomiejski, Szeląg i Wywrot, lecz później nadciągnął także Raniecki w towarzystwie Klepki. Szołomiejski, ujrzawszy we drzwiach grubą, czerwoną, opasłą twarz tego ostatniego, obruszył się w duchu, był bowiem pewnym, że Raniecki zwabił Klepkę dla tego, aby jemu Szołomiejskiemu, wyrządzić figla i poważne obrady przemienić w zabawkę. Ze zdaniem Klepki nikt się nie liczył. Był on dobrym i zabawnym towarzyszem przy stole u Bronarza, z którym można było jako tako obcować, ale przy poważnych naradach, głupkowaty a bezustanny śmiech jego, przeszkadzał tylko i po prostu zawadzał, a dzisiejsze posiedzenie, trzecie już z rzędu, wymagało pewnego skupienia myśli, przystępowano bowiem do układania statutu, którego naszkicowaniem zajął się był Szołomiejski i już wypracował ważniejsze ustępy.

Po oddaniu przewodnictwa Borajskiemu, wedle wszelkich form i zwyczajów, praktykowanych na posiedzeniach rady miejskiej, w której wszyscy nasi znajomi, z wyjątkiem Klepki, od dłuższego czasu zasiadali, Szołomiejski wydobył z kieszeni czarnego, długiego surduta zwitek potarganych papierków.

Raniecki umieścił się na przeciwko, w ten sposób, aby mu lampa nie zasłaniała oblicza referenta, posadził Klepkę przy sobie i czekał.

Zanim Szołomiejski rozpoczął czytanie, przemówił najpierw Szeląg, zwracając się głównie do Ranieckiego:

— Moi panowie — nim zaczniemy obradować — muszę was poprosić o jedno: nie sprzeczajcie się, nie kłóćcie i nie mówcie przedtem, nim wam przewodniczący pozwoli, zachowując się zupełnie tak, jak na posiedzeniu w ratuszu. Porządek na świecie to ważna rzecz, bez porządku nic człowiek nie zrobi.

— Jeżeli o mnie myślicie, sąsiadeczku, to dalibóg ani pisnę, słowo uczciwości daję — zaręczał Raniecki — i skrzyżował ręce na znak, że w tej pozie przesiedzi cierpliwie całe posiedzenie.

Szołomiejski wytarł kolorową chustką okulary i przemówił:

— Ponieważ ja byłem pierwszym, który przedstawił projekt utworzenia w naszem mieście kasy zaliczkowej z ograniczoną poręką i ponieważ zgodziliśmy się na tę myśl wszyscy...

— Nie wszyscy, nie wszyscy — sprostował Raniecki półgłosem.

— Przepraszam. Było powiedziane na ostatniem posiedzeniu, że kto się zgadza, ten przyjdzie na dzisiejszą naradę. A pan tu jesteś.

— Ja jestem tu, to prawda panie dobrodziejaszku, lecz ja tu jestem poto, ażeby się zgodzić, alem się jeszcze nie zgodził.

Szołomiejski zwraca się do Borajskiego:

— Przepraszam, czy ja mam głos, czy pan Raniecki?

— Pan, pan.

Szeląg chwyta Ranieckego za rękę.

— Panie Raniecki — nie przeszkadzajże pan — obiecałeś przecie być cicho.

— Nie — ja nic!... — Ja przecież cicho siedzę.

go, badając wnętrze czeskiego ducha, starając się o to, aby każdemu Czechowi było zrozumiałem, czem właściwie naród kulturny żyje, czego chce i dokąd zmierza.

Krytykowano nas i odpędzano od patryotyzmu, żeśmy wytykali błędy naszego narodu; nie chciano tego zrozumieć, iż można widząc błędy swego narodu, naród jednakowoż kochać. Realizm chce być świadomie czeskim, szuka znamion czeskości gdzieindziej jeszcze, aniżeli w czamarze lub w czerwono-białej kokardzie."

* * *

Małoruski „Radykał", wychodzący we Lwowie pisze w artykule „Zajawa hrupy mołodych Ukraincyw radykaływ":

„Starych Ukrainców należy uważać za stronników reakcyi i serwilizmu, za partyę ugody z polskimi magnatami i klerykałami, którą dziś w Galicyi reprezentują Barwiński i Wachnianin. Jako antypody tej partyi ukazują się nieprzeliczone kadry ukraińskich radykałów, którzy znaleźli sposobność poza słupami granicznemi Rosyi, gdzie panuje bezprawie, wystąpić publicznie ze swym programem solidaryzującym się zupełnie z radykałami galicyjskimi.

Niestety ruch ukraiński nie może stać się siłą gromadną, dopóki w Rosyi wszystkim w skład jej wchodzącym narodom nie będzie dana wolność polityczna, której to wolności nie uzyskają Ukraińcy nigdy, jeżeli liczyć będą na wielkoduszność tyranów. W programie ich wypisany federalizm z przyznaniem zupełnego równouprawnienia wszystkim krajom i wszystkim narodowościom. Federalizm ten ma zapewnić nietylko wolność polityczną, ale i rozwój socyalny, ekonomiczny i kulturny.

Będąc federalistami i demokratami, ukraińscy radykali uznawają siebie narodowcami, którzy jako tacy chcą walczyć przeciw narodom przywłaszczającym sobie na Rusi panowanie, jak Rosyanom, Polakom, Niemcom i Madziarom.

Celem ukraińskich radykałów jest wywywalczenie ukraińskiemu narodowi miejsca obok innych europejskich narodów, jakie Ruś zajmowała do końca XVII wieku, dopóki rozbiór Rusi pomiędzy Polskę, Moskwę i Turcyę nie złamał jej siły, póki despotyczne państwo rosyjskie nie zniszczyło ukraińskich środowisk kulturnych..."

D. Kr.

Przegląd prasy polskiej.

W sprawie ruchu ludowego. Między „Orędownikiem" z jednej strony, a „Gaz. Grudziądzką" i „Gaz. Toruńską" z drugiej, wszczęła się ostra polemika z tego powodu, że pierwszy zalecał rozszerzenie swego programu demokratycznego w Zachodnich Prusach. Z artykułów poświęconych tej sprawie w „Orędowniku" cytujemy ustęp następujący:

„Ruch ludowy w Prusach Zachodnich możeby więcej zainteresował tamtejsze warstwy średnie, gdyby tamtejsze gazety nie drżały przed nim z przestrachu, nie plotły o nim dubów smalonych.

„Gazeta Grudziądzka" krzyknęła aż: bo się utopię! „Gazeta Toruńska" zaś orzekła tak samo, jak tamta, że sobie wyprasza ruchu ludowego poleconego przez „Oręd.", a zasadzającego się na wywoływaniu walki klasowej i odsadzaniu szlachty i duchowieństwa.

Na to my środka nie mamy i nie myślimy go szukać, niech gazety zachodniopruskie wygadują na ruch ludowy w Wielkopolsce, co im się podoba i na „Oręd." też, ale niech przynajmniej same z sobą będą konsekwentne.

„Gaz. Tor." pisze, że w Prusach Zachodnich od lat 40 szlachta polska i księża opierają pracę narodową na ludzie, za kołnierz ciągną lud do komitetów wyborczych, wysłanoby nawet gospodarza lub rzemieślnika do Berlina na poselstwo, ale żaden nie chce i nie tak łatwo się znajdzie.

A czemuż przed 3 laty Centralny komitet wyborczy Prus Zachodnich stawił na kandydata do parlamentu obywatela, który w tym samym czasie dobijał i dobił handlu z Komisyą kolonizacyjną.

Wówczas „Gaz. Toruńska" i „Gaz. Gdańska" milczały, choć im „Orędownik" wcześnie zwracał uwagę na to; przed ludem cała sromotę postępowania Centralnego komitetu wszystkie pisma ludowe z rozmysłem zakrywały; stał się skandal i Prusy Zach. pogodziły się z nim.

Nikt gazet zachodniopruskich nie ciągnie i nie myśli nawet ciągnąć za wielkopolskim ruchem ludowym, ale niech te gazety przynajmniej nie udają, że w Prusach Zachodnich ciągnie się lud za kołnierz — do życia politycznego.

Pod koniec zeszłego roku na okręg złotowski polecił wyborcom ks. dr. Wolszlegier — jako Centralny komitet — ks. Kackiego na kandydata. Jeden ksiądz poleca drugiego księdza. Czy w Prusach Zachodnich już nie ma świeckich!

Pokazuje się, że w Prusach Zach. nie potraficie ni gospodarza, ni rzemieślnika „chwycić za kołnierz", pokazuje się, że w ogóle nie macie kogo wysyłać do Berlina i składacie sprawy narodowe polskie w ręce księży, zakrywając własną biedę nędzą narodową przed sobą, przed ludem i przed światem.

Nie potrzeba wszczynać walki ze szlachtą i księżmi, a jeszcze sprawy publiczne tak traktować, żeby się w ludzie samodzielność obywatelska podnosiła, a nie szła na marne, jak przy wyborach w Złotowskiem."

* * *

Kolonizacya i Bank Ziemski. Korespondent poznański „Słowa polskiego" (Lwów) donosi w nr. 23:

Z wiarogodnych źródeł czerpię wiadomość, że w roku ubiegłym ofiarowano komisyi kol. 38 majątków polskich, lubo zarząd wziął stanowczy rozbrat z dawniejszą zasadą *coute que coute* i zaprzestał płacić za ziemię „po królewsku." Oczywiście z owych 38 ofert uwzględniono zaledwie maleńką cząstkę, bo komisya liczy się nietylko z właściwościami parcelacyjnemi kompleksów rolnych i z widokami skuszenia odpowiedniej liczby kolonistów niemieckich, lecz stara się o zaokrąglanie obszarów swoich i postępuje według ściśle obmyślanych planów geograficznych. Ztąd prezes instytucyi germanizacyjnej wskazuje nieraz rolnikom szukającym u niego pomocy mapy wiszące na ścianie i wzruszając ramionami, oświadcza: „Żałuję mocno, ale pański majątek leży po za linią." Oczywiście promienie kolonizacyjne szerzyć się będą i przedłużać coraz więcej, jeżeli w stosunkach agrarnych szybko nie nastąpi zmiana, lub polski ruch parcelacyjny energiczniejszem nie zagra życiem. W uznaniu rosnącego niebezpieczeństwa i gwałtownej potrzeby obrony, rozpisał Bank ziemski, — ów wał ochronny zbudowany przeciw natarciu stumiljonowego funduszu, — drugą emisyę akcyi w ogólnej sumie 800.000 marek (800 akcyj po 1.000 mr.). Minął już jednak czas wyznaczony, a subskrypcya wykazywała zaledwie 500 podpisów. Ogłoszono zatem nowy termin subskrypcyjny w celu uzupełnienia sumy preliminowanej i rozwinięto w różnych społeczeństwach energiczną agitacyę, aby banku ziemskiego na powtórne nie narazić fiasco. Czy skutek pomyślny uwieńczy te gorączkowe zabiegi, przesądzać nie chcę, — z obowiązku dziennikarskiego zapisuję tu jednak pogłoskę, że hr. Zamojski z Zakopanego i hr. St. Żółtowski z Księstwa, obiecali wspólnemi siłami pokryć ewentualny niedobór. W naszych kołach ziemiańskich sprawa Banku ziemskiego budzi dotychczas pewną nieufność, a gdzieniegdzie spotyka się nawet

---

— A więc dobrze. Ponieważ zatem na utworzenie omawianego towarzystwa zgodziliśmy się wszyscy z wyjątkiem pana Ranieckiego, który przyszedł się zgodzić, zatem stawiam wniosek, abyśmy przystąpili do czytania statutu.

— Proszę o głos — woła Raniecki — i podnosi dwa palce do góry.

— Pan Raniecki ma głos,

— Mnie się zdaje, że wszystkie te statuty i pisaniny psu na buty się nie zdadzą, jeżeli nie będzie pieniędzy. Pierwsza rzecz to pieniądze. Skoro nie będziemy mieli pieniędzy, to statut myszy zgryzą, a kasa pożyczkowa weźmie w łeb, nim się jeszcze narodzi.

— Ha, ha, ha — zaśmiał się Klepka.

— Przepraszam, proszę o głos.

— Pan Szołomiejski ma głos.

— Z tego, co pan Raniecki powiedział, widać, że nic ma on najmniejszego wyobrażenia o rzeczy.

— Oho, ho! mam ja już zanadto dobre.

— Przepraszam. Jakie masz pan wyobrażenie, jeżeli pan nie wiesz, że...

— Panie Szołomiejski, nie odpowiadaj pan Ranieckiemu, ale czytaj swoje,

— Przepraszam — zaprzeczył Szołomiejski, wyciągając rękę ku Borajskiemu, patrząc jednak na Ranieckiego. — Muszę mu przecież wytłómaczyć, że wedle ustawy nie wolno dopóty zbierać podpisów na udziały, póki nie ma statutu i póki nie jest zatwierdzony przez władze rządowe.

— To — panie dobrodziejaszku — rozumie się samo od siebie.

— Dlaczegoż więc powiadasz pan, że statuta zdadzą się „psu na buty"? Zresztą, takie wyrażenia, jak. „psu na buty", „myszy zgryzą", „weźmie w łeb" i tak dalej nie są wcale parlamentarne. Pan chyba nigdy nie czytałeś w gazetach sprawozdań z sejmu albo parlamentu. Tam za takie wyrażenia przywołują do porządku dziennego; pan chyba nigdy nie czytasz gazet?

— Ja gazet nie czytam, bo to psu na buty... przepraszam. Ale za to pan gazety wciąż czytasz, nietylko za siebie, ale i za mnie. Pan się ich uczysz nawet na pamięć.

— Ha, ha, ha — zahuczał znowu Klepka.

— Moi panowie!... ta jakieś licho — jęknął Szeląg — my dziś nie ruszymy z miejsca.

— Proszę panów o spokój — woła przewodniczący.

— A no, jeżeli tak, to ja już będę milczał — oświadcza Raniecki. Skrzyżował ponownie ręce na piersi i zwiesił głowę. Róbmy zatem te statuta, róbmy... hm, hm.

Nastaje chwilowy spokój. Szołomiejski zabiera głos:

— Otóż moi panowie, ja przyniosłem ze sobą kilka wypracowanych punktów. Możemy zastanowić się nad nimi i ogadać z grubsza. Teraz mamy różne zabawy domowe, schodzimy się często po domach prywatnych, więc można tego i owego zachęcić do przystąpienia na członka. Z wiosną będzie to już trudniej. Zatem moi panowie rozwija papiery — ja będę czytał punkt za punktem i będziemy radzić nad każdym z osobna. Gdy się nad każdym punktem zastanowimy i należycie porozumiemy, wtedy można głosować. Otoż zaczynam. Paragraf pierwszy. Tytuł: „Cel i zadanie rękodzielniczej kasy zaliczkowej z ograniczoną poręką."

— Żebym do dyabła przynajmniej wiedział, co to jest ta ograniczona poręka — mruczy z cicha Raniecki.

— Zaraz to panu wytłomaczę — odpowiada nawiasem Szołomiejski i czyta dalej — „Celem i zadaniem rękodzielniczej kasy pożyczkowej z ograniczoną poręką jest udzielanie pożyczek członkom towarzystwa, zostającym w chwilowej potrzebie, na niewielkie procenta." To jest cel i zadanie. Sądzę, że tu nic dodać ani ująć się nie da, i że nad tym paragrafem zastanawiać się nie potrzeba. Czy się zatem panowie zgadzacie na paragraf pierwszy?

— Ja się zgadzam — mówi Borajski.

— I ja — powiada Wywrót.

— I ja dodaje Szeląg.

Klepka nie wiedząc co odpowiedzieć, patrzy wyczekująco na Ranieckiego. Ten jednak krzywi nosem.

— Ja nie zupełnie.

— Dla czego?

— Dla tego, bo mi się sam początek nie podoba. Choć pan mówisz, że tam już nic dodać ani ująć nie potrzeba, to ja przecie myślę, że tam trzeba coś ująć. Bo proszę was, moi kochani, wszystkim ludziom nie bardzo uczonym wiadomo, że „cel" to tyle co „zadanie", a „zadanie" tyle co „cel." Tylko bardzo uczeni ludzie w okularach ja-

z wyraźną niechęcią. Zrozumiano tu, że instytucya parcelacyjna toruje drogę wielkiemu przewrotowi demokratycznemu, dokonywującemu się stopniowo w społeczeństwie poznańskiem, i w imię zagrożonych interesów stanowych spoglądano z ukosa na ruch drobnowłasnościowy. Misyę „ratunkową“ banku ziemskiego chciano zwrócić w kierunku ratowania zagrożonych latifundyów i żywiołu szlacheckiego, a w ratowaniu ziemi polskiej za pomocą żywiołu ludowego, upatrywano klin rozsadzający dotychczasowy ustrój społeczny i obalający trony warstwy uprzywilejowanej. Tem się tłomaczy, że w pierwszej emisyi z ogólnej liczby 1.200 akcyj, podpisało W. Ks. Poznańskie tylko 345, — reszty dostarczył zabór austryacki i rosyjski.

* * *

Wyznanie. W obronie zasady, że każdorazowym prezesem w zachodniopruskich towarzystwach ludowych winien być miejscowy proboszcz, nie z oboru lecz z urzędu, wystąpił jeden z kapłanów w Gazecie Gdańskiej (nr. 10) i takie charakterystyczne przy tej sposobności uczynił wyznanie:

„Towarzystwo ludowe dla nas powinno być katolicko polskie. Lecz gdzie Towarzystwo katolickie, tam koniecznie katolicki ksiądz należy, i tam on ma z urzędu swego i z natury rzeczy najpierwsze miejsce, a nie jakieś tam podrzędne miejsce. Zboczenie od tej zasady tak koniecznie na bezdroża musi prowadzić, jak się nie da pogodzić prawdę z fałszem. Ksiądz jest więc urodzonym prezesem każdego Towarzystwa ludowego w swej parafii. Lecz tu sęk. Będzie ksiądz germanizatorem, to oprzeć się mu nie można! Przesadne strachy. Katolicki ksiądz katolickie Towarzystwo tylko na katolickich zasadach prowadzić ma prawo. Katolicka zasadą jest, że język od Boga dany, a narodowość jako skarb święty do zachowania... Twierdzić o księdzu, że germanizuje, nie jest zatem niczem innem, jak postawić go zbrodniarzem przeciw Bogu i ludziom... ...W praktyce, mojem zdaniem, żaden ksiądz germanizator nie będzie się do polskiego Towarzystwa wścibiać(?) ale będzie od niego stronić, aby się nie narażać i na niepewne wawrzyny wystawiać. Gdyby atoli jakie Towarzystwo przy zachowaniu tej zasady rzeczywistą szkodę poniosło, wolę raczej taką szkodę jako mniejsze złe, aniżeli by przez zaniechanie tej zasady daleko więcej Towarzystw miało powoli wyzwolić się od księdza i kościoła. Wielu już dziś jest członków w Towarzystwach polskich, którzy księdza niechętnie u siebie widzą, od niego się wyemancypowali i nie chcieliby mu dać pierwszego miejsca. Przy poruszeniu tylu środków zepsucia co dziś, szczególnej czujności od księży się wymaga, aby utrzymać ducha katolickiego. Co do mnie, nie dałbym się od moich parafian wybierać, lecz usunąłbym się zupełnie od Towarzystwa ludowego, gdyby chciano mi kogo innego prezesem narzucić, urodzonym prezesem Towarzystwa katolickiego w mej parafii ja jestem. Zresztą Towarzystwu ludowemu najlepiej jest, gdy ksiądz się niem zajmuje i je prowadzi; nie cierpi ono wtenczas tak łatwo na suchoty.“

Sapienti sat.

* * *

Przedstawiciele ruchu ludowego w sejmie galicyjskim. W korespondencyi galicyjskiej warszawskiego „Głosu“ (nr. 4) czytamy:

„Ponieważ w stosunkach galicyjskich ruch ludowy jest objawem nowym, a wielce znamiennym i ważnym, poświęcę słów kilka przedstawicielom jego w sejmie. Nietylko zachowaniem się, ale i wyglądem zewnętrznym nie wyróżniają się jaskrawo w sali sejmowej. Jeden tylko poseł krakowski Wójcik w barwnej sukmanie, suto wyszywanej, zwraca na siebie oczy ciekawych. Na czele gromadki posłów ludowych stoi dr. Bernadzikowski, człowiek żywy i inteligentny, podobniejszy z wyglądu i zachowania się do młodych lekarzy prowincyonalnych w Królestwie, aniżeli do swych kolegów galicyjskich. Zastępcą jego jest Jakób Bojko, współpracownik pism ludowych, widocznie zdolny i ambitny, o czem świadczy sposób, w jaki się podpisuje: „z woli ludu poseł na sejm krajowy.“ Nawet przeciwnicy cenią inteligencyę niezwykłą tego ubogiego wieśniaka, niedawno np. pisał o nim bardzo pochlebnie korespondent lwowski „Słowa.“ Fakt ten zasługuje tem bardziej na zaznaczenie, że Bojko jest bodaj najskrajniejszym z posłów ludowych, a przynajmniej najwyraźniej przekonania swoje wygłasza. Bardzo dobre wrażenie sprawia poseł Styła charakterystyczną, wygoloną, czy też pozbawioną zarostu twarzą, z energicznie zaciśniętemi ustami, z wzrokiem poważnym i przenikliwym. Wydaje się on człowiekiem bardzo inteligentnym, chociaż może nie jest tak bystrym i wymownym, jak Bojko. Średniawski, młynarz z zawodu, zwiedził kawał świata, przez czas jakiś mieszkał nawet w gubernii Kijowskiej, z natury żywy i energiczny, wykazuje w rozmowie dużo zdrowego rozsądku, doświadczenia i znajomości stosunków nawet za granicami Galicyi. Typowym chłopem, dodać należy chłopem krakowskim, jest Franciszek Wójcik, który pomimo niezwykłej presyi władz rządowych na wyborców, wyrwał mandat poselski p. Paszkowskiemu. Młody blondyn, z zawadjacko podkręconym wąsikiem, ze spojrzeniem wesołem, czasem chytrem, a raczej filuternem, czasem wyzywającem, w białej z czerwonemi wyłogami, lub w krótkiej niebieskiej sukmanie, z kierezyą i pasem, gęsto kółkami obwieszonym, wygląda nie na poważnego gospodarza, ale na zuchowatego parobka, który bałamuci dziewuchy i rej wodzi na zabawach, na jednego z tych, który:

Czy to w karczmie, czy w domu,
Czy to taniec, wesele, —
Nie dał brużdzić nikomu,
Zawsze sam był na czele.

W sejmie przemawiał dotychczas w sprawach drobnych, spokojnie i gruntownie, ale zdaje mi się, że ze swoim temperamentem krakowskim nie utrzyma się w tej roli i narobi nieraz kłopotu większości szlacheckiej w sejmie. Ostatniego z tej grupy, posła Krempy, nie znam osobiście, nie widziałem go nawet z blizka.“

BADANIA NAUKOWE.

Nowy rodzaj promieni.

Wiele zainteresowania nietylko między kołami naukowemi, ale i śród szerszej publiczności wywołało najnowsze odkrycie prof. Röntgena z Würzburga. Powodem głównym do tego są zapewne różowe nadzieje co do praktycznego zużytkowania owego odkrycia. Ale, choćby te nadzieje zawieść miały, odkrycie Röntgena, już samo przez się, jako przyczynek do poznania nieznanego dotąd zjawiska w przyrodzie, ma swoje, i to niepomierne znaczenie dla nauki, jako takiej. Zwraca ono bowiem uwagę na nowy rodzaj promieni, odmienny od znanych dotąd promieni ciepła, światła, chemicznie działających i kathodowych. Röntgen sam nazywa w swojem tymczasowem ogłoszeniu promienie nowo odkryte promieniami X.; i my je więc tak odtąd zwać będziemy.

Doszedł on do odkrycia nowego zjawiska na podstawie doświadczenia przy przepuszczeniu prądu maszyny Ruhmkorff'a przez rurę ewakuowaną Hittorf'a. Ten sam skutek można osięgnąć przy użyciu stosownie ewakuowanego aparatu Lenarda'a lub Crookes'a itp. Mimo to, że Röntgen pokrył rurę

---

koś tego zrozumieć nie mogą. Po co tu pchać dwa grzyby w barszcz?

— Ha, ha, ha — huczy Klepka.

— Dla czegoż mówisz pan zaraz tak uszczypliwie? Nie możnaż tego powiedzieć spokojnie, z godnością? Otóż ja pana przekonam, że choć moja stylizacya brzmi dobitniej, to przecież nie dbam o drobnostki. Więc dla pańskiej przyjemności wyrzućmy „cel“ lub „zadanie.“ Wszystko jedno które. Powiedz pan zatem, które się panu słowo mniej podoba.

— Mnie się, panie, oba podobają.

— Dojdźże tu z nim do ładu.

— Moi panowie, nie sprzeczajcie się, nie odstępujcie od rzeczy.

— Boże, daj mi cierpliwości — powiada Szołomiejski, trzęsąc głową. — Więc dla świętego spokoju wykreślam słowo „zadanie.“ Zgadzasz się pan zatem, panie Raniecki?

— Dobrze, dobrze, zgadzam się, możesz pan nawet oba wykreślić, jeśli się p nu podoba, tylko jedź pan dalej, aby nie mówiono, że ja przeszkadzam.

— A cóż w takim razie zostanie, jak oba wykreślę?

— Zostanie „ograniczona poręka,“

Szołomiejski rusza ramionami i nie zważając naRanieckiego, zwraca oczy na papier.

— Przystępujemy do paragrafu drugiego. Paragraf drugi. Tytuł: „Fundusze towarzystwa.“

— Których dotąd nie ma — robi naiwiasową uwagę Raniecki.

— Nic nie szkodzi, ale będą w przyszłości. Otóż: „Fundusze kasy rękodzielniczej z ograniczoną poręką powstają przez... przez...

Szołomiejski nie mogąc odczytać słowa, wstaje i podchodzi do lampy.

— Oto! — woła jowialne Raniecki. — Sam napisał i teraz przeczytać nie może.

— Ha, ha, ha.

— Przepraszam — odpowiada Szołomiejski — mogę przeczytać, tylko ja jestem krótkowidzący.

— Rozumie się. Osobliwie na umyśle.

— Ha, ha, ha, ha:

— Czegoż się pan znowu tak dziwnie śmiejesz? — pyta Szołomiejski zwracając się do Klepki.

— Ha, ha, ha, ha! — brzmi odpowiedź Klepki.

Raniecki uderza go dłonią po plecach.

— A to bestya zabawna ze swoim śmiechem, niech go drzwi ścisną. — No odpowiadajże serdeńko, czego się tak śmiejesz, kiedy cię o to pan Szołomiejski pyta.

— Ha, ha, ha, ha...

Ostatni wybuch śmiechu Klepki, gwałtowniejszy i dłuższy od poprzednich, zniecierpliwił Szołomiejskiego do tego stopnia, że trzasnął papierami o stół i zawołał:

— Ni , moi panowie, zostawmy to na kiedyindziej, ja dalej czytać nie będę.

I nie pomogły żadne namowy i nalegania ze strony Szeląga i Wywrota. Szołomiejski zaciął się i czytać już nie chciał.

Borajski, pragnąc zażegnać nieporozumienie, poskoczył po puszkę z tytoniem i cygarami i jął traktować gości.

— Odpocznijmy trochę — rzekł — wypalmy po jednem cygarku, a może z dymem przyjdzie większa ochota do narady.

Gdy tak w bawialnym pokoju ważą się losy biednej kasy zaliczkowej, w jadalni ukończono właśnie próbę przedstawienia i zabawiono się pogadanką.

Pani Borajska przeprosiła przed chwilą gości i wyszła do kuchni ubierać półmiski. Lola wyczekując tej chwili niecierpliwie, mrugnęła na Anulkę znacząco. Ta też natychmiast poczęła opowiadać Józefowi i Łasieckiemu o sztucznym zamku, wynalezionym przez Franciszka i pod pozorem pokazania go, wyprowadziła ich do pokoju Smolarza.

Po drodze nakazywała bratu:

— Tylko Franuś nie mów jak się otwiera, pamiętaj!.. i pan, panie Łasiecki nie mów pan także nic, niech pan Józef sam otworzy. Założę się, że nie potrafi.

Wnet głosy ich przycichły w kurytarzu Lola została sama z Dynieckim.

Świadomość, że w ciągu kilku minut następnych sięgnie ręką do urny i wydostanie stamtąd gałkę czarną lub białą, która rozstrzygnie o jej przyszłem szczęściu i życiu, onieśmieliła Lolę i napędziła jej falę krwi do twarzy. Skądinąd poczucie, że z obecnej chwili nie wolno uronić ani jednej sekundy, napawało ją dziką energią, nie liczącą się z żadnemi zaporami, druzgocącą nawet silny pancerz niewieściej skromności i wstydliwości.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Hittorf'a czarnym kartonem, przy każdym przepuszczeniu prądu znajdujący się w bliskości papier pociągnięty cyanirem z platyny i barium zajaśniał fluorescencyjnem światłem, a było obojętnem, czy papier ten zwrócił do aparatu pociągniętą, czy też odwrotną stroną. Równie przepuszczalnemi, jak ów karton, okazały się dla światła X inne dla znanych dotąd promieni nieprzepuszczalne ciała, tylko stopień tej przepuszczalności malał w miarę grubości pokładu ciała, tak samo i w miarę wzrastającej gęstości gatunkowej. I tak z czterech metali, aluminium, cynku, ołowiu i platynu, najwięcej oporu stawiała platyna, najmniej aluminium. Platyna była przepuszczalną tylko we formie bardzo cienkich blaszek. Stosunek przepuszczalności jednakże rósł nierównie szybciej od stosunku gęstości. Aluminium (gęstość 2.6) okazało się 200 razy, cynk (g. 7,1) 6, ołów (g. 11,3) trzy razy łatwiej przepuszczalnym od platyny (g. 21,5).

Jeśli się trzymało rękę między aparatem a czułym na promienie X papierem, okazała się i ona przejrzystą; można było tylko ujrzeć jej cień i śród zarysów mięsa i skóry ciemniejsze zarysy kości.

Przy różnych dalszych doświadczeniach okazały się i inne ciała czułemi na światło X, jak niektóre złączenia calcium, potem szkło uranowe, zwyczajne, kalkszpat, sól kamienna itd.

Nierównie ważnem było odkrycie, że się i suche fotograficzne płyty nadawały do odtworzenia owego światła. Wątpliwem jest tylko, czy te płyty regestrowały same promienie X, czy tylko ich fluorescencyę, którą powodowały w szkle lub w pokładzie żelatyny.

Czy i ile promienie X w sobie zawierają ciepła, o tem się Rontgen jeszcze nie przekonał. Dalej zdają się promienie owe nie podlegać łamaniu się ani refleksyi.

Ogół tych spostrzeżeń okazuje, że promienie X nie są identycznemi z dotąd znanemi promieniami barwnemi, ultra fioletowemi i ultraczerwonemi, a doświadczenie, że nie zmieniają kierunku pod działaniem magnetyzmu, dowodzi, że są czemś innem, jak promienie kathodowe Lenard'a.

Że jednakże stoją z promieniami świetlnemi jakby w pokrewieństwie, można wnosić z tworzenia cieniów, z fluorescencyi i z chemicznego działania. Jeśli dotąd znane promienie powstawały z transwersalnych poruszeń cząsteczek eteru, nowe zdają się według przypuszczeń Rontgena oparte na longitudynalnych poruszeniach.

Jak więc widzimy, odkrycie Rontgena jest niezwykle doniosłem, gdy tyle pytań porusza i takie szerokie pole badań otwiera. Co jednakże najwięcej zaciekawia mniej dbałych o naukę samą, jak o praktyczne ewentualne skutki jej, to doświadczenie, które okazuje, że i ciało ludzkie przepuszcza owe promienie, rzucając wedle gęstości gatunkowej pojedyńczych części odpowiednie cienie na czułą powierzchnię, — rysując na niej ich kontury.

I w głowach marzycieli zaczynają się snuć ponętne obrazy przyszłego rozwoju medycyny, gdzie na mocy owych promieni lekarz będzie mógł zobaczyć, co się dzieje we wnętrzu pacyenta, nie potrzebując się niczego już domyślać, nie potrzebujące na wnioskach czasem wątpliwych stawiać trudnej diagnozy. Lecz nadzieje zbyt daleko prowadzone zawodzą.

Spojrzyjmy lepiej w przeszłość i zwróćmy nieco krytycznie uwagę na jedno zwłaszcza spostrzeżenie nowego odkrywcy. Z kilku przypadków wnioskuje, że oko ludzkie, a raczej siatkówka, nie jest czułą na promienie X, choć media oczne aż do niej są prawdopodobnie dla nich przepuszczalne. Lecz może nasz uczony tylko przypadkowo natrafił na same indywidua nieczułe wobec tego światła, może istnieją gdzie jakie osobniki, które widzą owe światło, i może one są identycznemi z ludźmi „sensytywnymi“ Reichenbacha!...

Tak postawił kwestyę dr. Henryk Kraft z Strassburga, a odpowiada na nią słusznem przypuszczeniem, że promienie, które dochodziły do ócz owych „sensytywnych“ ludzi, to promienie X. Rontgena. Reichenbach zauważył bowiem, że są ludzie, którzy w ciemnym pokoju, po przez płytę z koprowiny lub żelaza, włożoną w otwór szczelnie wypełniony, widzą, co się zewnątrz dzieje. Na subjektywnych więc danych oparł swoją naukę o nowem świetle, nowej sile, którą nazwał „o d'e m“ i stawił ją obok magnetyzmu, elektryczności, ciepła itd. Brakło mu objektywnego spektroskopu, płyty czułej pokrytej cyanirem z barium i platyny. Reichenbach umarł zapoznany i wyśmiany przez współczesnych, jak przez Dubois-Reimonda.

Rontgenowi więc prawdopodobnie udało się marzycielstwo Reichenbacha podeprzeć, jego marzenia wyświetlić. Reichenbach przeczuł na podstawie doświadczeń i rozumowań, co Rontgen wydrzeć umiał tajemniczości przyrody. I poprzednik i następca na równe zasługują uznanie i laury.

W.

* * *

Przypadek zrządził, że równocześnie prawie z wyżopisanem odkryciem, inny uczony, tym razem już nie Niemiec, dokonał innego, również w ścisłym związku z fotografją pozostającego.

Oddawna to znane, że portret mordercy w pewnych okolicznościach utrwala się w oku ofiary zabijanej, co pomagało czasem do wykrycia zbrodniarza. Z tej zasady wychodząc, fizyk angielski p. Ingle Roders posunął się o krok dalej i dowodzi, że oka ludzkiego można używać wprost jako aparatu fotograficznego. Roders opisuje swoje doświadczenia w następujący sposób: Wpatruję się np. w monetę jakąś, dobrze oświetloną, przez minutę, z postanowieniem utrwalenia jej obrazu na siatkówce oka. Następnie szybko zaciągam na okno żółtą firankę, usuwając prędko chemiczne działanie promieni białego światła, skierowuję oko na sam środek odpowiednio umieszczonej płyty fotograficznej i myśl mam skoncentrowaną na obrazie monety, odbitej w oku. Po 43 minutach klisza, poddana zwykłemu „wywołaniu“ za pomocą chemicznej kąpieli, okazuje wyraźne kontury monety, którą przedtem widziałem.

Podobne doświadczenia wykonywał Roders wobec świadków, powtarzając je z rozmaitemi przedmiotami. Gdy kliszę poddał tylko przez 20 minut działaniu wzroku, obraz wystąpił nieco zamglony, ale zawsze dość wyraźny, aby orzec stanowczo, że przedmiotem była np. marka pocztowa, książka i t. p. Jeżeli prawdziwość tych faktów okaże się niewątpliwą, będzie to dowodem, że chwilowe odbicie obrazu danego przedmiotu na siatkówce oka jest dość silne, aby wywołać wibracie świetlne, działające na teraźniejsze suche, nadzwyczaj czułe klisze.

Odkrycie p. Roders'a ochrzcono niewłaściwie mianem „psychofotografji“, jest to bowiem wynalazek czysto fizyczny, posiadający jak się zdaje, wszelkie warunki, aby w przyszłości nauce i praktycznej fotografji wielkie oddać usługi.

LITERATURA I SZTUKA.

Akordy jesienne.

VII.

Trubadurem być? u pańskich — u bankierskich [stawać bram?
W duszy, którą Bóg wykąpał w swych płomieniach, gasić wstyd
Za trzos złota? za kwiat róży z białej ręki strojnych [dam,
Od gorących łon odpięty? Za lokajów miękki byt?

Co? w pochlebstwa płynne rytmy krew serdeczną [zmieniać nam?
Łaskotliwe piać ballady? baczyć trwożnie, aby zgrzyt
Z rozstrojonych oburzeniem harf nie trysnął? aby kłam
Mógł zasypiać w ciepłych łożach, syt rozkoszy, chleba [syt?

Trubadurem być? wysławiać głębie życia, gdzie jest [cieśń
Zgniłych grobów? wielbić orły, gdzie się puszy wielki [paw?
U drzwi skarbców spustoszałych stawiać uczuć swoich [straż?

Nie! rozpusty nie podniesie ku miłości nasza pieśń!
Nie! bezprawiu nie da szali sprawiedliwych, boskich [praw!
Nie obłudy nie przystroi w szczerej wiary słodką twarz!

VIII.

Pieśni nasza! niespożyta, chociaż codzień w śmierci [toń
Spycha ciebie ród grabarzy, boś ich fałszom groźna [wciąż:
Wielorybem płyń po morzach, po rozłogach chartem [goń,
A sokołem po niebiosach, patrząc w słońce, mknij i krąż

A zaklęta w ludzką postać, przyłóż ucho — przyłóż [skroń
Do wnętrz ziemi wulkanicznych i gotowa bądź, jak [mąż,
Który nie chce przyjść za późno... Z wichurami ra[zem dzwoń,
Łkania burzy, bicie gromów w jeden głośny akord [wiąż...

Przejdź pielgrzymem świat ten cały; w owych mro[cznych izbach gość,
Gdzie nędzarze z nóg lecący mają jeszcze siły dość,
By o głodzie i o chłodzie błogosławić dziwnym snom,

Co im wróżą sytość, ciepło i szeroki świata smug...
A gdy losy cię zawiodą, pieśni, w złotych cielców dom,
Posadami jego wstrząśnij i spiesz dalej śród swych [dróg.

IX.

Cóż, że będzie ci złorzeczył zleniwiałych zwarty huf,
Gdy go z sytej zbudzisz ciszy, rzucisz kamień w jego [muł?
Cóż, że szczeknie po za tobą rozkiełzanych sfora psów,
Które w obróż pozłocistą wypasiony pan ich skuł?

Które z smyczy swojej puszcza, gdy wyprawić trzeba [łów
Na zwierzynę szlachetniejszą od tych wieszczów pła[skich czół,
Od pismaków ciasnej piersi, lecz mającej dosyć tchów,
By bezcześcić ołtarz święty — za magnacki, hojny [stół?

Ty spiesz dalej. pieśni nowa — w ślad melodyi wła[snych spiesz!
Tylko, gdy się zbyt rozjuszy bezkarnością śmiały

[zwierz
I twym śnieżnym płaszczem szarpnie, stań i okiem, [gdzie się skrzą
Groźne ognie dni idących, napastliwych wrogów [zmierz:
Nie potrzeba rąk podnosić, wołać jej: A milcz! [A leż!
Stchórzy zgraja i z skowytem lizać będzie stopę twą.

X.

Pieśni nasza! smętno tobie i samotno? czujesz ból,
Że ukochan przez cię człowiek nie chce słuchać [twoich grań?
Że ten świat, co od wielbiących twoją moc, jak [pszczeli ul,
Tak się roił, dziś jest pusty? O nie zważaj pieśni [nań!

Graj obłokom, lasom szumnym, trawom, zbożom na- [szych pól;
Jak tęsknica, owinięta w pajęczyny wiewną tkań,
Tym rozdrożnym jęcz zaroślom, do spróchniałych [wierzb się tul,
Zwierzaj żale swe ruczajom, na pradawnych kopcach [stań.

Tam słuchaczy znajdziesz chętnych, tam serdeczną [znajdziesz brać,
Która ciebie nie odepchnie: Jej, wzgardzona pieśni, [graj,
Na przestworza bezgraniczne szlij swój głos, na ty- [siąc staj...

Z niewidzialnych rajów przyjdą dusze piewców, dziś [już snać
Zapomnianych, i z radością witać będą w dźwięku [twym
Zmartwychwstanie swych nadziei, zapowitych w nowy [rym.

XI.

Powiadają, że w nas nie ma tytanicznych owych [tchnień,
Wstrząsających granitami; że po świecie ten nasz [duch
Nieświadomy celów swoich, błądzi dzisiaj nikły cień,
Bohaterów, co w martwotę wprowadzali życia ruch.

Któż to mówi? Dąb zielony? Nie! odarty z liścia [pień!
Robaczywy tłum, co w wrzaskach kankanowych stra- [cił słuch
Na melodyę hymnów wiecznych. Tak, opasły charci [leń,
W którym — patrzcie! — nie mózg ludzki, lecz [zwierzęcy myśli brzuch.

Z ogniem świętym, tak jak dawniej, idzie przez świat [śpiewny lud,
Tak, jak dawniej, w harfach swoich więzi krwawy [błysk i grom,
Tylko — Zewsów nie spotyka. Od promiennych raju [wrót
Nie odgania nas dziś anioł: w wieczystego szczęścia [dom
Drogę dzisiaj nam zagradza ścierw, gnijących wstrę- [tny wał —
Rzucać w niego piorun boży, dla potężnych stworzon [skał?

XII.

Marny tłumie! zasłuchany w liczonego złota brzęk,
Nie podniesiesz się do wyżyn, gdzie z melodyą [swoich harf
Druidyczny stanął szereg, niby żrzałych kłosów pęk,
Ciężkich ziarnem, promieniących od złocistych słońca [barw.

Ty wiesz o tem, żeś jak nędzarz, mimo trzosów, [mimo szarf,
Zawiązanych brylantami — wstydu cię ogarnie lęk,
Że nie wzbijesz się nad błoto, żeś jest na kształt [owych larw,
Co nie mają lotnych skrzydeł, więc poniżasz piewczy [dźwięk,
Rwący z sobą duchy w górę!.... Czarodziejski słodki [ton
O rozświetli jutrzni nowych, o rzeźwości nowych ros
Dziś poniżasz, bo wiesz o tem, że w nich mroków [twoich skon —
Ty wiesz o tem, marny tłumie, że zza tajnych ducha [bram,
Jak z świątyni, i dziś jeszcze ten proroczy płynie [głos,
Co Baalom koniec wróży, co roztrąca w pył ich kłam,

Jan Kasprowicz.

Z liryki nowoczesnej.

Marya Konopnicka: „Poezye“, serya czwarta. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1896.

Na gęśli Konopnickiej ozwała się nowa struna, brzmiąca mistycznie. Ma zawsze poetka gorące serce dla niedoli prostaczków, dręczy ją zagadka, jaki los gotuje przyszłość rzeszom upośledzonych. Ale pierwszy raz na horyzoncie jej pieśni przepływają obłoki mistyczne, pierwszy raz mówi: „duch mój ptak Boży, co go Pan w czas ranny i w czas wiosenny wypuścił pod niebem... a zaś go lotów uczy i za skrzydła niemocne trzyma.“

A zaś go wiatru cichego powieniem
Na lasy niesie i pustych niw pola,
Gdzie ludzie chodzą w zadumie ze drżeniem
Gdzie płacze dola...

Podobny nastrój odzywa się w daleko bardziej tajemniczym wierszu: „który ma złoty klucz“, umieszczonym w cyklu „Z mojej biblii“, gdzie poetka wróży, że klucz ów otworzy wrota jutrzenki, puści światło „rzeszom nieodzianym żelazem i złotem, ale w lnach chodzących i zlanych potem“.

Jaśniej tłomaczy Konopnicka myśl swoją w następującym drobnym, ale głębokim ułamku:

Niechaj się ludy nie trwożą, nie smucą,
Że im proroka wielkiego nie stało,
Bo to, co małe ptaszęta im nucą,
Też jest tem słowem, co się zmieni w ciało.
I nie z dżdżem wielkim lecz z rosą to siemię
Pada, co chlebem ma nakarmić ziemię.

W wierszach tego cyklu słychać czasem huczenie gromu, co zetrze na proch „jesienne drzewo ludów“ — słychać wróżbę „gniewu barankowego“, co straszniejszy jest w sobie „niż ryk lwa, gdy puszczę przelata“. Proroczym tonem brzmi także trochę manierowany pod względem językowym fragment, w którym poetka głosi: „jeszcze odkładam“ mówić o tych rzeczach, o których „Pan prostym swoim sługom jawi, a dzień przychodzi, w którym orły rącze zawściąga skrzydła zbarczywszy im silne, a puszcza z gniazda pisklęta skowrończe“, które dźwięczą ludziom piosnkę złotą nowego żywota“. Złowrogą siłą i demonizmem tchnie wiersz: „Zachowaj słowo“, opiewający potęgę, która utrzymuje w naturze i życiu czynniki niszczące, mnoży krzywdy i niesprawiedliwości. Ciemny ten wiersz pociąga urokiem i powagą biblijną. Śliczne także są dwie strofy: „A ci co giną“, wróżące nowy rozkwit tym, co ulegli klęsce pogromu. Na całą tę wiązkę poezyi padają jakieś apokaliptyczne cienie. Odzywają się w nich jakoby dźwięki proroków starego zakonu, wiersz staje się szerokim i płynie melodyą natchnioną.

Ten jednak nowy w poezyach Konopnickiej pierwiastek nie stanowi ich górującej cechy. W fragmentach „Imaginy“, drukowanych w „Kraju“ poetka ukazała już zamiłowanie do lotów w obłoczne krainy, gdzie błąkają się tylko echa i melodye uczuć ludzkich zwolnionych i obranych ze swej ziemskiej krzykliwej szaty.

W „biblijnych“ poezyach myśl jej przesuwa się wśród mgieł proroczych. Jak Pythia nad pieczarą, tak samo poetka przy końcu wierszy objętych tytułem „Gea“ staje nad wodną otchłanią, a w jej szumach słyszy ogromne dźwięki symfonii życia. W ostatnim zwłaszcza wspaniałym sonecie poetka w huku wód słyszy wielkie imiona Prometeja, Gracha, Spartakusa, słyszy szum skrzydeł Lucifera, który „wali się światłem przez szczyty, nie dając zasnąć Jehowie, co chciałby uciszyć błękity“. Piękny ten obraz trąci symboliką palladystów, którzy w Luciferze widzą strąconą, ale dodatnią potęgę istnienia. Wieńczy on szereg wierszy natchnionych wspaniałym widokiem natury. Chwilami poetka uniesiona wrażeniem oddaje prześlicznie falowanie wód, maluje słowem kłębienie się i szum piany, ruch bryzgów i pereł wodnych, wrażenia jednak słuchowe biorą górę nad wzrokowemi, a w ślad za tem następuje skupienie myśli, która potrąca o szersze ideje. Jest to typowy rys indywidualności poetki, która w przeciwieństwie do impresyonizmu, nie ulega biernie nawet bardzo silnym wrażeniom, ale cofa się w głąb własnej duszy i słucha jej dośpiewów, wywołanych grą potęg przyrody.

Każde wrażenie świata zewnętrznego przesyca się u Konopnickiej uczuciem albo ideą. Uczucie to rzadko kiedy bywa indywidualnem, łączy się częściej z umiłowaniem rzeczy malarskich, idea zaś brata się zwykle ze sprawą postępowego ruchu wogóle. Poetka jednak daleką jest od radykalizmu. Żal jej naprzykład w prześlicznym wierszu „U starej tamy“ tych starców, którzy wysilają się napróżno, pracują w krwawym pocie, ciągną głazy i belki, aby wzmocnić tę tamę, którą wciąż burzy i podmywa rwąca fala. Obraz plastyczny doskonale tu wyraża bezsilność wstecznictwa, usiłującego powstrzymać nowe prądy, ale poetka nie głosi hymnów na cześć potęgi kruszącej dawne kształty życia, nie ma szyderstwa na te łyse głowy „trzęsące się nad otchłanią“. Udziela się czytelnikowi współczucie poetki do tych starców, którzy pracują ciężko, bezowocnie, lecz w dobrej wierze, nad utrzymaniem tamy według nich użytecznej. Podobną myśl zawiera w cyklu „Hellenica“ bardzo ładny wiersz „Augury“, będący wyrazem żalu nad potęgą upadłą. Na twarzach wieszczków, którzy musieli rzucić dawne świątynie i spotkali się wśród tułaczej wędrówki, poetka napróżno szuka znanego śmiechu, który był tryumfem panującego przesądu i pogardą dla ciemnoty motłochu. Nad świątyniami w Dodonie i Delfach burze się srożą, bezdomni, opuszczeni, ze znakami zgasłej potęgi na czołach, milcząco chwieją głowami, a łza po łzie spada wśród lic zoranych. Trzeba być poetą w każdym calu, aby mając takie ideały jak Konopnicka, okazać współczucie dla starych powag ustępujących z pola. Ludzkość (a przynajmniej część jej ruchliwsza pod względem intelektualnym) bywa niewdzięczną i plwa szyderczo na te pieśni, które ją w niemowlęctwie mlekiem tradycyi karmiły. Piękne to słowo poezyi, gdy wbrew temu, spogląda ze współczuciem na mądrość przeżytą, na powagę przebrzmiałą, na kapłanów bez świątyni.

Nie powinna ona być okrutną dla kształtów ginących, ale do twarzy jej, gdy z zapałem młodzieńczym broni kształtów nowych. Dla tego też najbardziej z całego zbioru pod względem myśli przemawia do mnie szeroki, bardzo piękny wiersz „Cytara Tymona“, tem więcej, że treść jego występuje jasno i plastycznie i działa mocą bezpośredniego wrażenia. Uznaję piękność a nawet racyę bytu poezyi obłocznej, marzycielskiej i pół-tajemniczej, w którą się trzeba wcielać ze skupieniem, ale najlepiej mi do duszy przemawia poezya jasna, narzucająca

treść głębszą we formie wyrazistej. Żałuję tylko, że w „Cytarze Tymona“ Konopnicka nie skupiła się bardziej. Wyrzuciłbym z niej kilka strof nastrojonych erudycyą, — ale druga połowa wiersza jest porywającą. Wspaniale przemawia Tymon, gdy lud miota kamienie na jego cytarę wzgardliwie zawieszoną na krzyżu z rozkazu efora spartańskiego, który chciał skazać na zagładę nowe narzędzie pieśni, odmienne od uświęconego tradycyą tetrachordu. Tymon przyniósł cytarę z Miletu, chciał ziomkom pokazać powaby pieśni swobodnej i lotnej nie nastrojonej na ton surowy. Broni on praw swobodnej pieśni:

> Kto mi tajemnych duszy drgnień
> Śmie liczbę trzymać w ręku?
> Kto może wiedzieć ile tchnień
> Ile mam w piersi jęku?....
>
> Wiecież, jaki jest pęd i ruch
> W nienarodzonej pieśni
> I gdzie ją niesie skrzydłem duch
> I jakie światy prześni?

I w przeczuciu wieszczem zapowiada:

> Milion strun ózwie się z chat
> Gdzie milczy dziś Helota,
> I stanie Grecya, stanie świat
> Jak jedna lutnia złota....
>
> I wionie ziemią wielki mir
> I zestrój i pogoda,
> A ta największa będzie z lir,
> Co strun duchowi doda!

Rozumie się, że helotyzm ten pojmować trzeba w znaczeniu wszechświatowem, tak samo jak głos Tymona wybiega daleko po za sferę pojęć oraz idei Helleńskich. Wobec tłumu posłusznego rozkazom efora brzmi ten głos nietylko protestem w imię niczem nieskrępowanej swobody ducha, ale także jest obroną nowych zdobyczy sztuki i cywilizacyi przeciw tyranizującej każdą śmiałą myśl miernoty tuzinkowej opinii.

Odnośnie do greckiego świata poetka w wierszu „Helios“ przedstawia helotyzm jako przyczynę dziejowej klęski. Gdy podniósł helota z ciemności „nagi spodlony grzbiet,“ na niebie greckim odbił się cień nędzarza, który się zmienił w olbrzyma i wtenczas gasnąć zaczęło życie w piersiach Hellady. Oczywiście treść tego wiersza mierzona miarą dziejowej krytyki, ostać się nie może, boć jeśli owym olbrzymem jest chrystyanizm, który do godności ludzkiej podniósł rzesze niewolnicze, to wiadomo, że Grecya klasyczna z wyczerpania sił przedtem jeszcze upadła. Pokrewną myśl zawiera wiersz: „Videntes stellam Magi“, w którym mieści się głęboka ironia i przestroga dla wielkich tego świata, co zapatrzeni w górne gwiazdy nie widzą, że za nimi tłum spragniony, głodny, nagi, płynie także ku nowym jutrzniom.

Jednem słowem ideał demokratyczny ukazuje się w poezyach Konopnickiej jako zapowiedź zgładzenia grzechu naszego czasu. Zstępuje chętnie poetka w te mroki i padoły, w których dola niewesoła snuje się biedakom. Bywa ona czasem „W piwnicznej izbie“ i słucha tam kaszlu biednego, miejskiego dziecka, któremu matka opowiada, jak to pięknie na wsi, jakie są tam cuda, pola, bory, strumienie, drzewa i zioła. Prześlicznem, pełnem rzewności i tęsknoty jest to pokazanie powabów przyrody wiejskiej, przez okienko sutereny puszczające małą wiązkę promieni światła do izby pełnej czarnego zmierzchu. Jeszcze silniej chwyta za serce przepojona smutkiem poezya „Z tamtego świata“, oddający w słowach piękny pomysł tryptyku Pruszyńskiego. Z mogiły wstaje widmo zmarłej dzieweczki, nawiedza w chacie mateczkę i wraca potem do zimnego łoża, płynąc w blasku księżycowym. Takie to piekne, takie rzewne, jakby łzami i krwią serca pisane. Ta matka biedna, której ciągle na oczach stoi ukochane dzieciątko, skarży się z taką przejmującą prawdą, a gdy sen ją zmorzył gorączkowy, rozmawia z widmem córuchny tak prawdziwie, tak szczerze, tak żałośnie, że dławi coś w gardle i wilgotnioje oko, gdy czytamy tę scenę. Oddawna nikt tak silnie w poezyi naszej nie zagrał na strunach zranionego serca.

Przejmującą skargę zawiera piękny wiersz „Jej pamięci“, w którym żałość po stracie ukochanej osoby rozpływa się w cichej zadumie nad koniecznością śmierci i siłą tryumfującej nad nią miłości. Z poezyi cmentarnych wyróżnia się także głębokością myśli „Na grobie rycerza“, który według wróżby miał się obudzić, gdy złota trąba oznajmi, że śmierć przestała ścinać ludzkie głowy. Rycerz czeka i stoi, chociaż rdza mu miecz zjadła, a pierś pęknięta proch sypie.

> I słucha w dzień i słucha w noc,
> Kamienne czoło wznosi —
> A śmierć tuż przy nim chodzi wzdłuż
> I kosi... kosi... kosi...

Ten rycerz jest wytrwałym jak upór człowieka we walce ze znikomością. Przechadzka po cmentarzu, widok opuszczonych grobów, tablic z szumnemi napisami, mogił mchem porosłych lub zapadłych w ziemię, przywodzi zawsze na myśl tę bezsilność naszą wobec śmierci, z którą duch ludzki zgodzić się nie może, wzdychając do nieśmiertelności zagrobowej.

Nie mogę się natomiast rozczulić razem z poetką nad mogiłą włochów „Pod Dogali“, bo chociaż po bohatersku tam ginęli, zawsze jednak — przepraszam za trywialne porównanie — leźli niepotrzebnie w abisyńskie korytko. Może te afrykańskie awantury są dla nich korzystne z politycznego punktu widzenia, lecz takich mogił poezya nasza kwieciem obrzucać nie powinna. Daleko milej wpada nam do ucha pieściwy i miękki wiersz: „Pieśń o domu“, albo też hołd oddany „Naszej Pani“ — oba dyszące ciepłem rodzimego uczucia. Nie może ono w całej pełni wybuchnąć, ale w tem skupieniu właśnie przenika do głębi duszy treścią, która się przelewa za słów krawędzie. Czujemy tu miłość, obejmującą bratnie rzesze, — tak samo jak w cudownym cyklu: „W zielone“ płynie wiosenna fala miłości erotycznej, której płomień gaśnie przy końcu wiersza za podmuchem śmierci. Uczucie nabiera tem większego wdzięku, że rozpływa się w tęsknocie, gdy przedmiot ukochania zniknął. Jak „Sielanka młodości“ Gaszyńskiego ten cudny wiersz zachowa zawsze aromat młodości.

Prostotą uczucia ujmują liryki: „Wstań dziecię“ i „Dziaduś“, a w „Nokturnie“ i „Preludyum“ ślicznie poetka tłomaczy poezyę uczuć subtelnych a nieokreślonych.

Z poezyi szerszego zakroju, godną uwagi jest „Po sześciu wiekach“, zwrócona do Beatryczy Danta, która nie jest bynajmniej ideałem dla poetki. Niebiańska oblubienica śpiewaka „Boskiej komedyi“ unosi się w atmosferze świetlanej, przyjmując hołdy od swego oblubieńca, z którym jednak nie zeszła w otchłanie cierpienia, nie zbratała się jak Francesca bólem serca. Myśl przewodnia mglisto tu migoce po za splotem świetnych obrazów i frazeologii wzorowanej na Słowackim. Można tu na podstawie antytezy domyślić się, że ideałem dzisiejszym dla poetki jest kobieta, która razem z mężczyzną dzieli trud i stawia czoło męce życia.

W wierszu „Poeta i demon“ czuć jakąś nieokreśloną narkozę — nieznane dotąd u Konopnickiej, upojenie swą namiętnością ponurą i marzeniem złowrogiem.

Obok tych wybitniejszych liryk w „Pieśniach bez echa“ w cyklach „Vivos voco — mortuos plango“ i „Z pola i lasu“ znajdujemy sporo poetycznego drobiazgu. Są tam akordy, marzenia, ułamki nastrojowe, echa sielskie, drgnienia uczuć osobistych. Wszystkie trzymane w tonie minorowym, mają wdzięk formy, płyną koło duszy lekko, jako fala mgieł sunąca się przez drzewa i krzewy na górskich grzbietach.

Nie wiem, dla czego w seryi tej nieznalazła miejsca fantazya dramatyczna Konopnickiej „Prometeusz i Syzyf“ drukowana w sierpniowym zeszycie Biblioteki Warszawskiej z 1892 roku, należąca do najgłębszych płodów poezyi ideowej. W dwu mistycznych postaciach poetka streściła tu przeciwieństwo „przepaści i szczytu“ ludzkiego bytu. Prometeusz uosobia wiekuiste dążenie do światła, do ideału, żądzę wydarcia tajemnic naturze bóstwa, Syzyf jest żywiołową potęgą mas pogrążonych w ciemnościach. Iskrę ognia zewsowego, daną mu przez Prometeusza, zamienia on na siłę niszczącą i zasługuje na klątwę. W szerokich zarysach dramatu symbolicznego, poetka przedstawiła tu możliwą klęskę cywilizacyi wskutek działania sił wywrotowych, które nurtują w masie ciemnych i upośledzonych. Utwór ten wspaniały stylem i pomysłem, nie wywołał u nas takiego zajęcia krytyki, na jakie zasługuje. Pisany jędrną prozą, mieści w sobie więcej poezyi i treści aniżeli całe tomy kwileń i majaczeń wieszczów *minorum gentium.* Konopnicka stanęła tu na takiej wyżynie, że prędzej czy później ujrzymy jej dzieło w rzędzie klejnotów literatury świata.

Mimochodem wspomnę także o „Panu Balcerze w Brazylii“ wielkim poemacie, którego dwie początkowe pieśni ukazały się także w zeszytach wrześniowym i grudniowym Biblioteki Warszawskiej z roku 1892. Szeroki styl epiczny, wspaniałe obrazowanie, forma oktawy rzeźbiona wytwornie, zapowiadają dzieło niezwykłej miary — dotąd jednak nieukończone.

Daleko więcej zyskaliby czytelnicy, znajdując w czwartej seryi „Syzyfa i Prometeusza“ niż zamieszczone przy końcu przekłady z Hammerlinga, Sully Prudhomme'a, Vrchlickiego, Swinburne'a i Wolffa. Konopnicka obie poezye tak przestraja w naszą szatę językową, że nie znać na niej nawet ani przeróbek. Myśl spaja się tu doskonale ze słowem i z wierszem, który płynie swobodnie i nie nosi na sobie ani śladu wymuszonej roboty. Szkoda jednak, że utwory wybrane do przekładu nie zawsze są godne mistrzowskiej ręki i bledną w obec klejnotów naszej liryki. Szkoda również, że niema pomiędzy niemi „Hanusi“ Hauptmana, której przekład należy do najcenniejszych arcydzieł tego działu literatury, potęgując przymioty oryginału.

W całości tej nowej seryi nigdy tendencya nie występuje w formie deklamacyjnej lub retorycznej — jak dawniej bywało. Myśl przewodnia łączy się z uczuciem albo obrazowością, forma staje się jeszcze bardziej płynną, język z wyjątkiem paru miejsc trącących manierą, mieni się mnóstwem barw, lecz główną jego cechę stanowi promieniowanie żywego czucia duszy, co mimo swych szerokich wzlotów jest zawsze na wskroś niewieścią. Konopnicka dała w tym zbiorze znowu parę drobnych arcydzieł, została wierną służbie ideału, nie hołdując mglistej estetyce symbolistów i nastrojowców, którzy chcieliby narzucić poezyi zasadę bezmyślności.

Józef Kotarbiński.

Fin de siècle.

(Teodor Jeske-Choiński. Rozkład w życiu i literaturze. Studyum. Warszawa 1893.)

(Dokończenie).

Nigdy inteligencya chrześciańsko-europejska nie była tak rozmiłowaną w filozofii, jak w wiekach średnich; nikt więcej od scholastów nie nadużywał rozumu do subtelnych rozróżnień i określeń, do wywodów i dysput sofistycznych: a jednak scholastyczne dociekania nie zrodziły niewiary, nie obaliły Boga i religii. Czy może rozum nie był wówczas tak potężnym jak za dni naszych? Nie — ale rozumowania scholastów nie wychodziły po za granice zakreślone dogmatem, miarkowane były silną wiarą we wszystko, czego uczył kościół i dla tego nie wydały nic godnego uwagi, ale też nie zniszczyły niczego. Bo nie rozum, nie filozofia podkopują wiarę wierzących, lecz głównie stosunki, wpływy zewnętrzne, fizyczne i moralne. One to rozluźniają obyczaje, wywołują obojętność dla spraw religijnych, jaką widzimy dziś gdzieniegdzie pomiędzy ludem, i powoli prowadzą wierzących do niewiary, a dopiero ci, których przestały zadawalniać prawdy religii, szukają nowego objawienia w rozumie swoim, uciekają się do filozofii.

Są to przeważnie stosunki ekonomiczne, polegające na nagłem zbogaceniu się społeczeństw, skupieniu kapitałów w rękach nielicznych i nierównym podziale zarobków. Pierwszym ich skutkiem jest rozluźnienie obyczajów w domach posiadających przepych zewnętrzny, rozwój sztuki i oświaty; dalej idzie zawiść stanów pracujących za lichem wynagrodzeniem w pocie czoła na zbytki bogatych, gonitwa za zyskiem jak największym, rywalizacya dorobkiewiczów w przepychu i używaniu i naśladowanie zamożnych przez klasy ubogie. W takich warunkach, w gonitwie za złotem i rozkoszą, w zazdrości wzajemnej, w obawie o swe mienie, wzrastać musi ogólne niezadowolenie i niepokój; wiara zanika nieznacznie, religia staje się czczą formalnością u ludu, inteligencya zastępuje powstałą próżnię własnemi teoryami, a jednostki, nie zadowolone nieznośnym stanem rzeczy i błąkaniem się wśród ciemności, popadają w usposobienie, które robi z nich dekadentów, mistyków lub anarchistów.

Tak jest dziś, tak bywało i dawniej. Nie przypadkiem nastąpił rozkład moralny i fizyczny w społeczeństwie ateńskiem właśnie po wojnach perskich, kiedy najezdcy milionowe skarby pozostawili w rękach zwycięzkiej Hellady, kiedy Ateny stały się głową bogatych wysp jońskiego morza. Nie przypadkiem przestał Rzym wierzyć w bogi swoje po wojnach punickich, a zapomniał o swej przeszłości, cnotach swych i obowiązkach, wydał Cezarów, libertynów i próżniacze tłumy, kiedy zagarnął bogactwa całego świata. Nie przypadkiem też wiek XIX jest wiekiem rozkładu społeczeństwa chrześciańskiego. Poprzedził go niezwykły rozwój techniki, który pozwolił milionom spłynąć do rąk niewielu i miliony stworzył wydziedziczonych. Paryż o wiek cały wyprzedził resztę Europy, tworząc w wielkiej rewolucyi na ruinach starych domów magnackich legion zbogaconego proletaryatu — burżuazyę. To też stolica Francuzów jest głównem ogniskiem rozkładu, właściwą ojczyzną prądów cechujących niezdrowe nasze stosunki etyczne.

Patrząc na analogię zachodzącą pomiędzy czasami walącego się Rzymu cezarów, a końcem XIX wieku, zdaje się Jeske-Choiński obawiać, aby społeczeństwa chrześciańsko-europejskiego nie spotkał los podobny, jak Rzymian, aby nie rozprzęgło się się zupełnie i nie upadło wraz z swoją kulturą, i nawołuje do upamiętania. Jest to tak samo bezowocnem, jak gdyby pożar chciał gasić słowami. Wszystko wskazuje na to, że mamy przed sobą zjawisko, nie wywołane nieoględnem postępowaniem i winą ludzi, lecz wypływające z natury ludzkości. Tą samą drogą, co społeczeństwa nasze przeszły i do tego samego rezultatu doszły — jak wykazał profesor Paulsen*) — wszystkie znane nam społeczeństwa kulturne: grecko-rzymskie, a przed niem jeszcze indyjskie. Analogia ta każe się domyślać, że dla każdego społeczeństwa kulturnego istnieje granica postępu, po za którą rozpoczyna się rozprzężenie; że umysł ludzki w obrębie pewnych epok ma zakreśloną przez naturę drogę rozwoju, którą postępuje po wszystkie czasy, a gdy stanie u jej kresu, przetrawi, zbada i odrzuci wszystkie zasady i tradycye, w których wychowały się pokolenia, popada w zwątpienie i nierząd.

Społeczeństwo nasze doszło — jak się zdaje — do tego fatalnego kresu, i owo znane francuzkie „fin de siècle“ jest więcej, niż pustym frazesem. Żyjemy rzeczywiście na schyłku wieku, na wyżynach naszej cywilizacyi, i zaczyna się dla nas epoka rozkładu. Ale rozkład naszej kultury nie jest jeszcze rozkładem ludzkości. Jeżeli z kultury indyjskiej, kiedy się przeżyła, wyłoniła się na innem miejscu *doskonalsza* kultura grecka, przyjęta później przez Rzym zaborczy; jeżeli na ruinach oświaty grecko-rzymskiej zakwitła znów *doskonalsza* kultura chrześciańska: któż powie, czy w chwili, kiedy nasz świat się rozprzęże, nie wyrośnie na jego zwaliskach świat nowy, znowu doskonalszy — i tak w nieskończoność.

Jest to tylko hypoteza, ale hypoteza jedyna, która jasno tłomaczy zjawiska dni naszych, i wysnuta jest nie z fantazyi, lecz z całych po za nami leżących dziejów ludzkości. A jeżeli jest prawdziwą, jeżeli niezdrowe stosunki etyczne i socyalne nowożytnego społeczeństwa są koniecznością dziejową, a równocześnie zapowiedzią nowego studyum rozwoju ludzkości, wtenczas i pan Jeske-Choiński będzie musiał pogodzić się z losem, który rzucił go między dekadentów i symbolistów i kazał mu żyć w czasie, kiedy panuje rozkład w życiu i literaturze.

Ż. Oleski.

*) Ciekawych szczegółów uzasadnienia tej mało znanej teoryi odsyłamy do „Etyki“ prof. Paulsena i studyum A. R. Czechowskiego p. t. „Mesyanizm w najnowszej formie“. Ateneum 1893. Wrzesień.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KRONIKA BERLIŃSKA.

Berlin, 29 stycznia.

(Słówko o jubileuszu cesarstwa. Wspomnienie o Brausewetterze. Wyzysk szwaczek.)

Po wartkiej fali społecznego życia szybko stoczyły się do mety uroczystości patryotyczno-urzędowe. Jakkolwiek świątynie Bachusa i Gambrinusa upiększone girlandami i biustami bohaterów wojny zapraszały jeszcze długo do czczenia wypadków 1871 r. libacyami i mówkami, jakkolwiek patryotyczne marsze i pieśni nie schodzą wciąż z programu przybytków muzyki a zapomniana tu i owdzie trójkolorowa chorągiew zwiesza się z dachu domów, powszedni wygląd miasta i nastrój wytrzeźwionej prasy niczem nie zdradza, iż kilkanaście dni temu cesarstwo niemieckie obchodziło 25-letni jubileusz swego istnienia. W sam dzień uroczystości Berlin różnił się niewiele od innych dni powszednich. Uboższa ludność zaprzągnięta do jarzma codziennej pracy, zupełnie obojętnie traktowała ten fakt pierwszorzędnego znaczenia politycznego w życiu Niemiec. Dla postępowców jubileusz był gorzką pigułką. Do pięknych reminiscencyj łączyło się uczucie smutku, iż naród niemiecki posiada tak krótką historyczną pamięć. Zapomniano, iż postępowa masa niemieckiego narodu głównie przyczyniła się do urzeczywistnienia zjednoczenia Niemiec; które było jej marzeniem od dawien dawna. Albowiem już w 48 reku demokraci nie taili swych aspiracyj, którym opierał się dwór pruski uważając, iż korona ulana w ogniu rewolucyi trąci zbytnio zapachem demokratyzmu. W 1871 r. liberałowie Reichstagu pierwsi zaprojektowali włożenie na głowę Wilhelma korony niemieckiej, a wojskowi i dworska szlachta w Versalu przyjęli kpinkami posłów niemieckiego narodu. Dziś zaś konserwatywna prasa obwieszcza światu przez swe fanfary, że krwią niebieską, krwią junkrów i szlachty pruskiej spojono koronę niemiecką.

Nim zamilkły echa spóźnionych toastów i hymnów, rozeszła się wieść o śmierci smutnej pamięci Brausewettera. Nieboszczyk był dyrektorem sądu okręgowego i półtora roku temu zyskał sobie na godną zazdrości popularność przez swe zachowywanie się w procesie kilku redaktorów, oskarżonych o zamieszczanie sprawozdań, uwłaczających honorowi policyi. Prasa jednomyślnie zawyrokowała. iż prezydujący nie umiał zachować bezstronności i stoickiego spokoju, niezdatnych dla piastujących tego rodzaju stanowiska. Pan dyrektor wyraził się w sposób obelżywy o prasie i jej przedstawicielach, a nawet posunął się do tego, iż zaprzeczył istnieniu jawności postępowania sądowego w Niemczech. Umarł jednak rozgrzeszony z wszystkich występków i nie żegnany wyrazami nienawiści i złości. Piękną swą śmierć zawdzięcza temu, iż zmarł na wycieńczenie nerwowe, spowodowane obłędem, którego symptomaty jak należy przypuszczać wystąpiły jeszcze przed owym sławetnym procesem. Prasa i opinia publiczna przebaczają niepoczytalnemu sędziemu jego wybryki i nieprzyzwoitości, podniosła kwestyę, czy nie należy odmówić prawomocności wyrokom, zapadłym w procesach, którym przewodniczył. Zgryzienie tego kwaśnego orzechu pozostawiła opinia publiczna prawnikom, zaalarmowana wkrótce innemi kwestyami ogólniejszej natury, a mianowicie sprawą pracownic konfekcyjnego przemysłu. Wyraz „Confektioneuse“ musi się odbić o uszy każdego, kto zatrzymał się w Berlinie, chociażby na kilka tygodni. Termin ten pojmowany ściślej oznacza pannę, najętą w magazynie do przymierzania na własnej figurze sukien i ubiorów damskich, zastępującą więc miejsce manekinu. Przez „Confektioneuse“ w obszerniejszem znaczeniu rozumieją tu zwykle to, co u nas nazywają szwaczką. Termin ten otrzymał jednak pewną domieszkę etyczno-społeczną. Dziewczyny te podlegają najokropniejszemu wyzyskowi, są opłacane nadzwyczaj marnie i zmuszane do pracy nadmiernie długiej, nieraz, jak wykazano niedawno, do 20 godzin (!) na dobę; nic więc dziwnego, iż z tej warstwy przeważnie rekrutują się „kapłanki wolnej miłości“ w Berlinie. Fala zepsucia rozlewa się co wieczór z Rosenthalerstrasse i innych siedlisk konfekcyjnego handlu i przemysłu po całym Berlinie, zalewa wszystkie miejsca schadzek, cukiernie i knajpy, pokoiki studentów i kabinety podtatusiałych paterfamiliasów. Te nieszczęśliwe istoty oddające się uciechom miłości bądź z rozpaczy, bądź ze zdziczenia moral-

nego, bądź dla zarobku, zatruwają miazmatami depprawacyi stosunki rodzinne, podkopane aż zanadto przez warunki nowoczesnego życia. Szwaczki te pracują w przemyśle, charakteryzowanym przez system t. zw. potowy (sweating-system). Produktów swoich nie dostarczają bezpośrednio fabrykantowi: robota ich musi przejść przez ręce majstra — pośrednika, chowającego do kieszeni lwią część sumy otrzymywanej od „konfekcyonera“ a marne okruszyny przypadają w udziale ofierze wyzysku. Komisye wyznaczone z ramienia rządu oświadczyły się stanowczo przeciwko temu systemowi. Prawodawstwo jest dotychczas bezsilnem wobec nadużyć tego przemysłu, który nie jest skoncentrowanym w większych zakładach, lecz rozproszonym po mieszkaniach majstrów. W tych lupanarach wyzysku, pełnych dymu, zaduchu i wyziewów, w tych warsztatach mieszczących zarazem sypialnię i jadalnię, spędza szwaczka większą część swej młodości nad pracą, która wycieńcza organizm i wysysa z niego wszystkie soki żywotne.

Głęboki smutek wyśpiewany przez Thomasa Hood'a w jego pięknej „Pieśni o koszuli“ stosuje się w zupełności i do szwaczki berlińskiej z tą jednak różnicą, że skoro chlebodawcy spostrzegą, iż kobieta może zarabiać sobie pobocznie na chleb, dzięki fizyologicznym właściwościom swego organizmu, obniżają jej płacę. Gdy zaś wyzyskiwana uskarza się na krzywdę jej wyrządzaną, chlebodawca, jak to kilkakrotnie stwierdziła prasa, nie omieszka jej przypomnieć iż od 8ej lub 9ej jest wolną i rozporządza nieograniczenie swoją osobą: może więc z sobą zabierać jeszcze robotę, by ślęczyć nad nią do późnej nocy, lub... szukać zarobku w intratnym „stosunku“. W przeszłym roku odbył się w Berlinie zjazd krawców i szwaczek, na którym postawiono cały szereg żądań: właściwi producenci mają zaprowadzić warsztaty przeznaczone specyalnie dla pracy; tylko w takim wypadku konfekcyjny przemysł będzie zmuszonym poddać się przepisom ustawy przemysłowej i będzie podlegał kontroli inspekcyi fabrycznej; z konieczności rzeczy zmiana ta musi sprowadzić większe uwzględnienie hygieny w warsztatach, przestrzeganie przepisu o długości dnia roboczego dla kobiet itp.; za podstawę wynajmu pracownicy powinna służyć stała taryfa. Z innych punktów podkreślę tu tylko żądanie, by chlebodawcy zachowywali się „po ludzku“ względem najmitek, by nie używali obelżywych wyrazów, wzmacniając je odpowiedniemi czynami. Gdyby nie czarne na białem, możnaby istotnie przypuszczać, iż przemawia w danym razie potwarz. Czyż sto lat temu nie proklamowano równości i braterstwa, czyż nie przysięgamy od stu lat na ideały etyki i humanitarności, czyż nie stoczono walk o godność istoty ludzkiej? Czyż biedna kobieta musi uginać się pod ciężarem podwójnego niewolnictwa, podwójnego upokorzenia? Rok pozostawiono przemysłowcom do namysłu.

Przed upływem ostatecznego terminu zwołano w przeszłym tygodniu 6 zebrań, na których roztrząsano sprawę najemników konfekcyjnego przemysłu. Jak donoszą pisma, gdy referent na jednem z nich zaczął dowodzić, iż opłakane stosunki zarobkowe prowadzą do przepaści prostytucyi, w sali rozległy się szlochania nieszczęśliwych kobiet. Szczere uznanie należy się tym, co otwarcie poruszają tego rodzaju dolegliwości etyczno-społeczne, bo plasterkami konwencyonalnego kłamstwa jeszcze nikt nie wyleczył ani jednej rany, ropiącej się na organizmie ludzkości. Zebrani wyrazili powtórnie swą aprobatę dla decyzyi przeszłorocznego zjazdu. Chlebodawcy dotychczas umywając swe ręce, całą winę zwalają na majstrów i nie zrobili oczywiście ani jednego kroku dla usunięcia nadużyć, przeciwko którym oburza się opinia publiczna. W tych dniach zwołano zebranie majstrów i oznajmiono im wspomnianą rezolucyą, prosząc, by przez ustępstwa zapobiegli bezrobociu. Jako piękny fakt z tego zebrania wspomnę o wystąpieniu pani Kühne, która w przeszłym roku wprowadziła wzachwyt chrześciańskich społeczników swem zjawieniem się na ich kongresie i wygłoszoną tam mową. Pani Kühne przemówiła w imieniu dam z tak zwanej lepszej sfery i ostrzegała opornych majstrów, iż opinia pięknej połowy kupującej publiczności stoi po stronie wyzyskiwanych ofiar: gdy te wypowiadzą otwartą walkę, ich bogatsze siostry po płci wesprą je wszelkiemi możliwemi środkami. Należy się spodziewać, iż walka jest nieuniknioną. Z zachowania się prasy trzeba wnioskować, iż opinia publiczna złoży hołd elementarnemu uczuciu altruizmu i zaofiaruje swą pomoc męczennicom konfekcyjnego przemysłu.

M.

Kronika Wiedeńska.

23. stycznia 1896.

Jeszcze o emigracyi do Brazylii. — List p. Tokarskiego. — Dymisya hr. Thuna. — Nowi Ministrowie. — Reforma wyborcza. —

Wycieczka posła Rutowskiego przeciwko Towarzystwu śgo. Rafała i emigracyi galicyjskich włościan, nietylko jej nie powstrzymała, ale całą dolę emigrujących pogorszyła. Pan Rutowski mówił w Kole polskiem co innego, a co innego pisał w artykule I. o emigracyi w „Przełomie“ a znowu co innego w II., w którym zupełnie arenę ubliżających podejrzywań opuścił. Narobił jednak wiele złego, — tego dziś już zaprzeczyć nie można, a przyszłość tem jaśniejszemi stwierdzi dowodami. A teraz siedzi się cicho i wyczekuje, co dalej będzie, tymczasem chłop jak jechał, tak jedzie, uciekając przed głodową śmiercią, od której go w Galicyi p. Rutowski e t u t t i q u a n t i wcale ratować nie myślą. Sty. Rafał nie pomaga już emigracyi więc ajenci w biały dzień obdzierają „galicyjskie bydlęta.“

Boć chłopi, którzy to w Tarnopolu się przed pociąg rzucili, kiedy ich policya puścić do Wiednia nie chciała, byli to „poddani“ dóbr Skałackich hr. Gołuchowskiego, obecnego ministra spraw zewnętrznych. Dobrze im się tam chyba nie dzieje. Ci chłopi, w liczbie przeszło 400, przyjechali w końcu do Wiednia. Każdy z nich miał pieniądze na drogę od 150 do 1000 guldenów. W Wiedniu nie chciano ich wziąć do pociągu na „Südbahn,“ ponieważ rząd włoski wzbrania się przetrzymywać ich w Udine albo Genui aż do odejścia okrętów. Choroby między niemi grasują i nikt, a l e t o l i t e r a l n i e n i k t, prócz ajenta-hyeny ich nie prowadzi. Tymczasem włoską emigracyę protegaje sam rząd i daje każdej partyi przewodnika. Podnieść tu muszę działanie urzędnika kolei południowej p. K ł o s k o w s k i e g o, który, jako naczelnik stacyi starał się, aby mu przydzielono służbę przy wysyłaniu polskich emigrantów. Zacny ten i pełen poczucia nietylko patryotyzmu, ale i ludzkości człowiek, niezmordowanie broni emigrantów od wyzysku i wszystkie możliwe ułatwienia, nawet wolne przejazdy do granicy udziela. Dowiedziawszy się, że policya chce tych 400 chłopów do Galicyi zawrócić, pobiegł do ekscel. posła Zalewskiego i prosił na miłość Boga, aby który z deputowanych poszedł na dworzec. Eksc. Zalewski był c h o r y, a żadnego z posłów polskich naturalnie w sali nie było. W każdym razie p. Zalewski zajął się tą sprawa o tyle, że wyjednał u Badeniego, aby natychmiast chłopów puszczono w dalszą podróż. Badeni poszedł dalej, bo zatelegrafował do konsula w Genui, aby się losem emigrantów zajął i ten wyrobił znowuż u rządu włoskiego, że ich z a r a z do Brazylii wyprawiono.

Na dowód, co p. Rutowski rozwiązaniem Tow. śgo. Rafała narobił, przytaczam autentyczny list p. Tokarskiego z Warszawy, który już był w Brazylii, tam się czegoś dorobił, i teraz po raz drugi z matką, żoną i dziećmi powraca:

„Szanowny Panie! Od dwóch dni przebywamy w Genui, gdzie z wielką trudnością zawdzięczając li tylko staraniom i stosunkom ks. Dudy (księdza, który jako członek tow. śgo. Rafała, ofiarował się tam dla emigr.) zdołałem uzyskać lepsze miejsce na przejazd. Miejsca przewodnika uzyskać nie mogłem, ponieważ kontrakt Gavotiego z kompanią Metropolitana już się skończył, i tych 540 osób, które tu się znajdują, wysyła Gavoti na swoje ryzyko, — tem bardziej, że dzisiaj odebrał telegram, — który sam czytałem będąc u niego z księdzem — od komp. Metropolitana. w którem powiedziano, ażeby poddanych austryackich nie wysyłał. Nie rozumiem co takiego zaszło, że wyłączają austr. poddanych! (prawdopodobnie dalsze następstwa mowy p. Rutowskiego. — Przyp. kor.) Stan naszych wychodzców tu w Genui jest straszny i opłakany, zostają na wszystkie strony wyzyskiwani przez rozmaitych ajentów, za noclegi i życie zdzierają z nich bajeczne sumy, tak że już dwa dni od rana do nocy mamy ciągłą pracę z ks. Dudą z wychodźcami, przy umieszczaniu ich na kwatery i wymianie pieniędzy na liry i na złoto. Cała ta nasza emigracya, o ile miałem sposobność naocznie się przekonać, jest w prost niemożebna i w takich okolicznościach naród się tylko marnuje, traci resztę grosza w Genui i przyjeżdża do Brazylii bez najmniejszych zasobów pieniężnych, przez co bardzo wielu widząc się na obcej ziemi bez grosza, traci chęć do pracy i po zebraniu trochę pieniędzy wraca do kraju w najgorszej nędzy. Inaczej się ma rzecz z wychodźcami włoskiemi. Ci przyjechawszy do Genui mają już przygotowane wszelkie papiery i wyjeżdżają poczekawszy najwyżej 2—3 dni. Przytem nad niemi rozpostarta jest opieka ogromna. Ja miałem czekać do 28. stycznia, gdyż na ten dzień Gavotti chciał mi dać wolny przejazd klasą d i s t i n e t t a, ale żal mi puścić tych biednych ludzi na los szczęścia, bo tu im nic dopomódz nie mogę, ale za to przyjechawszy razem z nimi do Brazylii, może będę mógł coś dla nich uczynić.“

Tyle z słów listu p. Tokarskiego, a możeby p. Rutowski i wszyscy przeciwnicy emigracyi pojechali do Genui przekonać się, jak traktują tam to bydło, co na nich jako wyborcy w Galicyi głosuje?

Nareszcie Młodoczesi pozbyli się swego najstraszniejszego przeciwnika, namiestnika hr. Thuna! Wywołała ta dymisya w całych Czechach ogromne zadowolenie. Przyjaciele Namiestnika robią w prawdzie w niemieckiem kasynie krzyk, ale nikt go nie słucha. Hr. Badeni szuka teraz gwałtem kogoś na miejsce namiestnika; chciałby, aby to był człowiek z partyi wielkich posiadłości, ale żeby był i Czechem i po czesku mówił, a przytem nie był wstrętny Niemcom czeskim. Trudny to jednak wybór, bo magnatów czeskich zaledwie kilku włada czeskim językiem, a hr. Badeni przyrzekł Młodoczechom tylko takiego Namiestnika zrobić następcą Thuna. Czesi są też obecnie o wiele spokojniejsi i jest wszelkie prawdopodobieństwo, że dalszy ciąg sesyi Sejmowej bez demonstracyi przeminie. W każdym razie z powodu braku czasu, nie przyjdą zapewne pod obrady ani adres do Cesarza, ani sprawy Kuryi narodowych.

Mamy też nareszcie i Ministra dla Galicyi. Mianowano, jak przewidywałem w moich dawniejszych listach, szefa sekcyi dra. Rittnera, Polaka i bardzo uczciwego oraz lubianego człowieka. Odznacza się on wielką pracą i wielkim spokojem, przedewszystkiem zaś wysokiem fachowem wykształceniem prawniczem. Nieoceniony professor uniw. Lwowskiego, lubiany przez wszystkich uczniów i całą publiczność, przyjęty został przez cały kraj z prawdziwą sympatyą na nowem stanowisku. Nominacya przez cesarza nastąpiła już 17. stycznia — wczoraj zaś ją ogłoszono.

Równocześnie z ministrem dla Galicyi, nominowano na nowoutworzoną posadę Ministra komunikacyi — dotąd takiego ministerstwa w Austryi nie było — jenerała v. Guttenberga. Niechętnie widzi się na takiej posadzie wojskowego inżyniera, to też cesarz wyraźnie zezwolił, aby jenerał złożył na czas swego urzędowania mundur wojskowy i tylko w cywilnym ubraniu bywał na sesyach parlamentu.

Nowa reforma wyborcza znowu ludzi straszy. „Narodni listy“ w Pradze, otrzymały i wyjawiły jej tajemnicę, co rząd trochę poirytowało. Dzieło to choć nie zadawalnia nikogo, to przecież może wejdzie w życie. Siedmdziesięciudwóch posłów, którzy wybrani będą na podstawie powszechnego głosowania, zmienią zapewne cały charakter nowego parlamentu.

Twórcą, który opracował nową reformę wyborczą, jest nowomianowany minister dla Galicyi, dr. Rittner. *Xi.*

KRONIKA LONDYŃSKA

dnia 23-go stycznia.

(Kłopoty Anglii. — Depesza berlińska. — Oznaki oburzenia. — Śmierć Stepniaka. — Jego karyera. — Moskale w Londynie.)

Nigdy od czasu wstąpienia na tron królowej Wiktoryi nie znajdowała się Anglia w tak kłopotliwem położeniu jak obecnie, gdy wszystko złożyło się na to, aby zaprawić goryczą świąteczny pudding John Bullowi. Obrót, jaki wzięła sprawa armeńska, przyniósł porażkę dyplomacyi Salisburyego, lecz nie zaalarmował opinii publicznej. Nawet wobec gromkiego wystąpienia prezydenta Clevelanda, w kwestyi zatargu granicznego z Wenezuelą, Anglia zachowała spokojne, wyczekujące stanowisko, przybierając minę zdziwioną dobrze wychowanego dżentelmana, w którego obecności dorobkiewicz zgrzeszył przeciwko formom towarzyskim. Atoli na wieść o niefortunnem wtargnięciu Jamesona w granice rzeczypospolitej Boerów zakłopotał się John Bull, a depesza cesarza Wilhelma do Krügera wywołała ogromne oburzenie. Głęboko zapisała się ona w pamięci wszystkich stanów, a ponieważ anglik nie łatwo zapomina urazy, zatem dużo upłynie wody zanim zatrze się ona w umysłach.

Cudzoziemcy wogóle a niemcy w szczególności nie są w łaskach krajowców, przeważnie z tego powodu, że odbierają chleb swoim. Niemcy zaś mają opinię ludzi pracujących taniej od anglików, a więc psujących ceny. Jest ich zaś w Londynie z górą sto tysięcy. Na tysiąc mieszkańców przypada 22-óch obcokrajowców, a w tych jest większa połowa poddanymi niemieckimi. Wrogie wystąpienie Niemiec, które bądź co bądź uchodziły zawsze za naród przyjaźnie usposobiony, spotęgowało niechęć anglików do nienawiści. W Eastend'zie, dzielnicy zamieszkałej przez tysiące żydów etc., powybijano szyby w kilku niemieckich składach. Na domiar wielu kupców w City powydalało z swych biur niemieckich urzędników a najpotkliwiej odbił się wpływ depeszy berlińskiej na handlu z Niemcami. Transakcye pewnej znacznej firmy niemieckiej, która robiła wielkie interesa w Anglii, w tygodniu po opublikowaniu tejże depeszy spadły o 60% w porównaniu z interesami w roku zeszłym. Jeżeli procent ten przyjmiemy za normę strat innych domów handlowych, to państwo niemieckie stało się skutkiem tego biedniejszem o olbrzymią sumę. Drastycznie charakteryzuje usposobienie anglików do niemców anons pensyonatu, w którym czytamy taki dodatek: „w pensyonacie nie ma niemców“.

W wigilią Bożego Narodzenia zmarł tragiczną śmiercią nihilista i literat Stepniak. Mieszkał on w niezabudowanej dzielnicy Hammersmith. Idąc z rana na zebranie nihilistów, znalazł się na linii kolei żelaznej i, zaczytany w gazetę, nie dostrzegł nadchodzącego pociągu, który go przejechał. Zmarły był w literackich kołach londyńskich dobrze znaną i popularną figurą. Oprócz mnogich artykułów treści politycznej pisywał powieści w językach rosyjskim, angielskim i włoskim. Najpopularniejszą jego pracą jest: Karyera nihilisty. Był on biało-rusinem z krwi, a właściwe jego nazwisko jest: Sergiusz Michałowicz Krawczyński. Przebieg jego życia jest jednem pasmem knowań i spisków, gdyż był on jednym z przywódzców ruchu rewolucyjnego. Od lat szesnastu mieszkał stale w Londynie, gdzie osiadło także dwóch jego dawnych konfratrów: Feliks Wałkowski, naczelny redaktor organu „Free Russia“ i znany anarchista ks. Krapotkin. Czy Stepniak w ostatnich latach zmodyfikował swe przekonania polityczne, trudnoby orzec, ale to pewna, że wyżej wzmiankowane pismo, którego niemal do końca życia był duchem, jest redagowanem w duchu radykalnym, lecz nie propaguje gwałtownej metody działania w Rosyi. Przyczynia się ono niezmiernie do oświecenia ogółu o sprawach wewnętrznych Rosyi i cieszy się protekcyą kilku członków parlamentu.

Kolonia rosyjska w Londynie jest wogóle dość liczną i zalicza kilka osobistości, stojących umysłowo wysoko. Przeważnie naturalnie składa się z wygnańców i politycznych zbiegów. Lecz jest także zastęp osób przyjaznych rządowi petersburgskiemu. Wyszczególnia się z pomiędzy tych pani de Novikoff, która opowiada w salonach i magazynach o Rosyi, jako o jedynym istniejącym na ziemi raju. Stąd cieszy się wysokiemi względami pana hr. T. Stead'a, który agituje gwałtownie za zawarciem sojuszu anglo-rosyjskiego w swem Przeglądzie Przeglądów. Tymczasem jednak Anglia jest od tego tak daleko jak ziemia od Marsa.

Nobody.

SZKOŁA I WYCHOWANIE.

Sport i kobiety.

Mężczyźni nasi zdobyli już i zdobywają coraz szersze prawa do sportu. Nie tak jest z kobietami. Przyzwoita panienka i łyżwy, urocze dziewczę i rower — są to zestawienia tolerowane wprawdzie w myślach naszych i w życiu, ale gorącej nie zalecane bynajmniej. Nie w imię ślepego naśladownictwa mężczyzn, lecz w imię cielesnych i duchowych potrzeb kobiety chcemy pomówić tutaj za prawem jej, do ćwiczeń sportowych.

Uczynimy najlepiej, przenosząc się na wstępie od tych przyjemnych rozrywek do tak smutnej umiejętności, jak.... psychjatrja. Posłuchajmy, co mówi znany aljenista angielski, dr. Ch. Mercier, profesor szkoły lekarskiej dla kobiet, o porze dojrzewania chłopców i dziewcząt, która to sprawa w wypadku drugim jest o wiela dłuższa i głębiej wstrząsa ustrojem.

Chłopak, „wynurzając się ze stanu poczwarki, wykonywa w całej pełni czynności wieku męskiego. Poczyna on zarabiać na życie, staje się członkiem społeczeństwa, obywatelem, jednostką społeczną. Jakiekolwiek zasoby sił niezużytych jeszcze i niezaspokojonych pozostają mu po pracy, po nieodzownych i poważnych trudach dziennych — znajdują łatwy i obfity upust na wielu, wielu polach. Może on oddać się obowiązkom wojskowym lub niby-wojskowym (fechtunek), może przedsięwziąć ćwiczenia atletyczne. Straż ochotnicza, rower, wiosłowanie, palant stają się niejako jego drugą sprawą życiową. Może on swobodnie wstępować do różnych klubów i stowarzyszeń, może oddać się szczególnemu jakiemuś badaniu lub zajęciu, nauce albo sztuce i znaleźć w nich ujście dla sił, wytwarzających się w nim tak potężnie i obficie. Całkiem inaczej ma się rzecz z kobietami. Poszczególna działalność ustroju, zaczynająca się w dobie dojrzewania i łaknąca jakiegoś wyrazu zewnętrznego, nie może u nich znaleźć samorzutnego ujścia. Muszą one oczekiwać sposobności. Mogą, co prawda, kochać nieproszone i czynią tak niekiedy, ale nie mogą uzewnętrznić miłości, dopóki się tego nie zażąda od nich, zaś czynność, nie mogąca znaleźć wyrazu, nie jest zaspokojoną. Nie mają one, jak ich bracia, owych licznych a szerokich upustów dla ogólnych czynności ustroju, które w razie swobodnego ich zużytkowania odciągają niejako tak znaczne zasoby działalności organicznej, zniżają napięcie nerwowe wogólności i nietylko zmniejszają pożądanie płciowe, ale tworzą klapę bezpieczeństwa dla energii nerwowej i zapobiegają niebezpiecznemu jej nagromadzaniu. Dla wszystkich tych przyczyn — dla znaczniejszej wielkości i szybkości zmiany, dla mniejszego o wiele upustu, wzmożonej działalności — pora dojrzewania u kobiety jest okresem o wiele większego nacisku, przewrotów bardziej burzliwych, większej podatności do zakłóceń niż u mężczyzny.- Napad (histerji) jest objawem działalności nieprawidłowej i nieumiarkowanej. Nigdy nie zdarza się on ludziom, wiodącym życie czynne i mającym obfite zajęcie dla wszystkich władz ducha i ciała. Dość często przytrafia się on wśród tych, którzy wiodą żywot próżniaczy, ale najczęściej uderza na tych, którzy są umiarkowanie czynnemi, lecz których czynności są jednostronne, cząstkowe i nie zaspakajają tej lub innej strony ich natury“.

Tutaj więc, jak w tylu innych wypadkach, najwięcej dostaje się nie najpotrzebniejszym, ale tym, którzy wziąć umieją. Wyrok nauki, potępiający tę niesprawiedliwość, jest wyraźny. Potrzeba tylko uprzedzić niedorzeczne albo wykrętne wyroki opinii. Idzie tu o opinię warst średnich: niższe mają dość ćwiczeń fizycznych, zarówno dla chłopców swoich jak i dla dziewcząt.

Najoporniejsi powiedzą nam, że prababki nie znały ani rowerów, ani histerji. Na to odpowiemy, iż, przedewszystkiem, prababki wychodziły za mąż w wieku, który dziś nie pozwala jeszcze panience włożyć długiej sukni. Ten jeden fakt mógłby spór rozstrzygnąć. Powtóre, dziewczęta, nie znały dawniej życia pozadomowego, nie uczyły się od dziecka poza domem, nie zarabiały poza domem na życie, zaś w domu miały dużo świeżego powietrza i zajęć fizycznych. Potrzecie, wbrew utartemu poglądowi na rodzinę, jako na gniazdo wszelkich cnót społecznych, należy raz zrozumieć i uprzytomnić to sobie, że rodzina nietylko składa

społeczeństwo, ale i sama kształtuje się i układa pod jego potężnym wpływem. Jakiekolwiek są zmiany w naszych dzisiejszych stosunkach rodzinnych, — zmian tych zażądała od nich sama społeczność; jakiekolwiek nowe cnoty, nieznane dawniej, wytwarzają się u domowego ogniska, — cnót tych wymaga postępujący wciąż rozwój społeczny, a to pod groźbą rozpędzenia na cztery wiatry wszystkich członków rodziny, nie umiejących się do wymagań tych przystosować. Nie zakrzepnięcie w formach nabytych, ale zdolność przybierania nowych postaci jest dla rodziny warunkiem bytu i utrzymania się na stanowisku podwaliny życia społecznego. Zdolność ta wyraża się przedewszystkiem w harmonijnem poddaniu wymagań rodziny wymaganiom rozwoju społeczności, nie zaś naodwrót. W dziejowym pochodzie swoim ludzkość przebywała i takie fazy (wcześniejsze), kiedy całokształt społeczeństwa widoczniej był zależnym od ukształtowania rodziny i takie (późniejsze), kiedy unormowanie małżeńskiego stosunku pomiędzy jednostkami widoczniej zależnem było od innych czynników życia społecznego. Społeczeństwo krępując w ten sposób coraz bardziej społeczne funkcye rodziny — dochodzi do coraz większego uwłasnowolnienia jej czynności bjologicznej: z jednej strony, nietylko normuje ono w sposób dla siebie pożądany, ale wprost bierze na siebie wszystkie prawie społeczne czynności przewodników i przewodniczek rodzin: czynność kapłańską (kościół), wychowanie i wykształcenie potomstwa (szkoły, ochronki), pielęgnowanie chorych (szpitale), prowadzenie spraw majątkowych i zawodowych (syndykaty, *trades-Uniony*), zabawę (kluby), wymiar sprawiedliwości w stosunkach starszego do młodszego (sądy, kolonie poprawcze), z drugiej zaś — społeczeństwo zapewnia w ten sposób coraz większą swobodę działania doborowi miłosnemu, który w okresach innych musiał wysługiwać się wszystkim potrzebom i wymaganiom życia społecznego, tylko nie potrzebie wytwarzania zdrowych i silnych pokoleń nowych. Jeżeli ta potrzeba — młodego zdrowia i siły młodej — dziś gorzej jest czasami zaspakajana, niż dawniej, to dla tego, między innemi, że rodzina dzisiejsza nie przystosowała się do nowych wymagań społecznych. Jednym ze sposobów takiego przystosowania się są właśnie „sporty“. Stanowią one środek złagodzenia złych i wyzyskania dobrych skutków owej zmiany, z powodu której młoda panna dłużej niż ongi musi pozostawać panną, tj. gotować się do trudniejszego dziś, niż dawniej, powołania matki i samoistnej obywatelki swego narodu, a jednocześnie musi podlegać warunkom o wiele bardziej złożonym i zakłócającym jej równowagę, pokusom o wiele liczniejszym a dłużej trwającym. Nakoniec stanowią one, jak powiedziano wyżej, sposób zużytkowania i zaspokojenia sił i popędów młodego organizmu, niezaspakajanych przez zwykłą rutynę życia i mogących zagrozić zdrowiu ducha i ciała.

To też tym, którzy i które nie lubią wywodów oderwanych, najłatwiej trafimy do serca mówiąc, że idzie tu o zdrowie i moralność ich córek.

Właśnie ten wzgląd moralności niepokoi wielu. Czy aby lekarstwo nie będzie gorsze od choroby? Ślizgawka, już ci da upust, ale na ślizgawce jest młodzież męzka. Wątpliwość ta świadczy tylko, że wychowanie staroświeckie było łatwiejsze, ale nie usuwa ono bynajmniej nieodzowności sportu dla dziewcząt. Pociągiem trudniej jest kierować, niż biedką, ale nie znaczy to, że należy pozostać przy pierwotnych środkach komunikacyi. Wogóle obcowanie młodzieży płci dwojga jest dzisiaj częstsze i dłuższe niż dawniej: rodzina musi się do tego przystosować. Jednym z najlepszych i najpewniejszych sposobów takiego przystosowania jest odjęcie owemu obcowaniu wszelkiego charakteru dorywczości, ukradkowości i nagłości. Młodzież żeńska i męzka nie powinna składać się z luźnych kupek samczyków i samiczek, spędzanych od czasu do czasu pod czujnem okiem pasterza: musi ona od wieku najmłodszego uczyć się wytwarzać z siebie małą społeczność, mającą własne swe, ściśle obowiązujące prawidła wzajemnej uczciwości, honoru, postępowania. Drugim środkiem pedagogicznym są właśnie owe upusty dla młodej, kipiącej energii, upusty fizycznego zmęczenia, psychicznego zaprzątnienia umysłu treścią zabawy, serca — jej powodzeniem, albo powodzeniem własnem wśród grona współzawodników. W Skandynawii i Stanach Zjednoczonych młodzież przestaje ze sobą od dziecka, „pod okiem“ i bez oka odbywa dalekie wycieczki zbiorowe, wyrabiając wspólnie zasady nie chwilowo eleganckiego, lecz stale uczciwego obcowania. Wynik tego jest taki, że nowożeńcy mogą tam coraz częściej stawiać sobie obustronnie wymagania bezwzględnej niewinności przedślubnej. Sądzę, że nasza rodzina patrjachalna, w czasach najlepszych, nie mogłaby marzyć o czemś podobnem. W Anglii i Ameryce kobiety uprawiają sport wszelkiego rodzaju aż do humorystycznego dla nas „strzelania z łuku“. Jaki zaś jest związek moralności płciowej mężczyzny z rowerem i wiosłowaniem, niech powiedzą te oto cyfry, prawie niezrozumiałe dla nas: przed kilku laty w liczbie około 1.000 studentów uniwersytetu w Cambrigde znalazło się tylko pięciu takich, którzy nie mogli poszczycić się całkowitą świeżością młodzieńczą. Ku zgorszeniu hipokrytów powiem, że wśród tysiąca naszych panien, wędzonych na wszelkie sposoby w domu, nie zebralibyśmy wspanialszego bukietu niewinności.

B. Darski.

Z estrady i sceny.

Pierwszy symfoniczny koncert.

(24. stycznia rb)

Po dość długiej przerwie podjął na nowo p. Schmidt, kapelmistrz 47. pułku, chwalebną myśl, urządzenia w sezonie zimowym regularnych koncertów symfonicznych. Koncertom tym należałoby i z naszej strony poświęcić nieco uwagi. Nadarza się nam tu najlepsza i w Poznaniu jedyna sposobność zaznajomienia się z literaturą orkiestrową, tak bogatą w wspaniałe i prawdziwie cenne utwory, a możemy poznanie tych utworów osięgnąć bez narażenia kieszeni na znaczniejsze wydatki. Od prawdziwie inteligentnego i wykształconego człowieka wymagamy znajomości nietylko utworów własnej literatury i sztuki, ale również i znajomości cenniejszych dzieł obcego piśmiennictwa i obcej sztuki. Ponieważ zaś literatura orkiestrowa jest nader bogata w pomnikowe dzieła, które najlepiej nam wykazać mogą, postęp sztuki muzycznej, nietylko pod względem rozwinięcia formy, ale także zastosowania nowych idei i środków ekspresyjnych, zatem tem większe zainteresowanie budzić powinien w nas ten odłam literatury muzycznej.

Na program piątkowego koncertu złożyły się następujące utwory: Uwertura do „wolnego strzelca“ Webera, Beethovena „Pastoralna symfonia“ nr. 6, Glinki, ruskiego kompozytora, Fantazya na tematy ruskie (Kamarinskaja), Serenada Mozarta na smyczkowe instrumenta i I. Rapsodya Liszta. — Orkiestra złożona z muzyków kapeli 47. pułku a powiększona nadto przez wybitniejsze siły innych orkiestr, wywiązała się ze swego niełatwego zadania wcale zadawalniająco. Brzmienie chóru smyczkowego dość zgodne, świadczyło najlepiej o pilnych studyach. Szkoda tylko, że kapela nie rozporządza lepszemi instrumentami, co się w drugich skrzypcach i altówkach najniekorzystniej objawiało. Należałoby także więcej baczyć na czystość stroju, za co już winować należy dyrygenta samego. Niepotrzebnie też uwzględniał p. Schmidt w Serenadzie Mozarta niektóre repryzy, przez co wrażenie utworu, nie odznaczającego się z resztą niczem wybitnie — osłabił. Wielką niespodziankę sprawił p. Schmidt wykonaniem barwnem Liszta I. rapsodyi i Fantazyi Glinki. Oba utwory, obce duchem wykonawcom, zostały mimo to ze zrozumieniem i werwą wykonane. Wykonanie zaś symfonii Beethovena zdradzało gruntowne studya i dążenie chwalebne, tak dyrygenta jak i orkiestry do uchwycenia i przeprowadzenia poetycznej myśli wspaniałego utworu. Beethoven rozumiał i kochał nadzwyczaj przyrodę. W „Pastoralnej symfonii“ wyraził swe uwielbienie dla tej przyrody w obrazach pełnych plastyki i poezyi. Umieszczając nad każdą częścią symfonii napis poetyczny, zaliczył sam utwór swój do tak zwanej: muzyki programowej. Zwolennicy tego kierunku w muzyce starają się przy pomocy charakterystycznych brzmień harmonicznych i zwrotów melodyjnych w oryginalnych formach muzycznych przedstawić wprost zdarzenia z życia realnego i duchowego, kierując fantazyę wedle z góry powziętego planu. Wprowadzenie tych zasad do sztuki muzycznej stworzyło niejedno piękne dzieło, a przyczyniło się również niechybnie do powiększenia wyrazistości i pogłębienia całej sztuki. Chodzi tylko o to, aby i bez programu utwór ten budził zainteresowanie i posiadał wartość artystyczną, którą tylko znajomość podkładu poetycznego zwiększyć i zrozumialszą uczynić powinna. W pastoralnej symfonii posiadamy próbny utwór. Bo czy słucham ustępu I. — przebudzenie radosnych uczuć w chwili przybycia na wieś, — czy części II. — scena nad strumykiem, w której kompozytor-poeta tak dosadnio szmer i plusk strumyka, tak wiernie świergot ptasząt i szum drzew oddaje,— czy wreszcie III. części — wesołe zabawy wieśniaków (à la Teniers, Ostade i Brouwer), burza, piosenka pasterska i radosne i reflekcyjne uczucia po burzy, — wszędzie znajduję muzykę piękną i zrozumiałą, nawet bez programowych napisów. A o to właśnie najgłówniej chodzić powinno.

Ryczałtem biorąc, to program piątkowego koncertu był interesujący i pouczający, a nadto nie źle wykonany. I jeśli liczba słuchaczów przybyłych licznie na pierwszy koncert nie zmniejszy się, koncerta te zapewniony będą miały byt i wypełnią wielką lukę w poznańskiem życiu muzycznem.

Na końcu małą prośbę do p. Schmidta mianowicie, aby jeśli już Węgrów i Moskali w swych programach uwzględnia, nie zapomniał także o Polsce. Nasz Moniuszko, Noskowski, Zeleński, Zarzycki i inni napisali piękne utwory na orkiestrę, którebyśmy chętnie poznać chcieli. Tylko proszę zacząć od prawdziwie wartościowych utworów polskich.

Edwin Jahnke.

Na Wyłomie.

(Plotka. Skromne zapytanie).

Plotko! jakich ty cudów dokazujesz na tym ziemskim globie. Szekspirowska fantazya jest w obec ciebie tak nizką jak pióro

moje w obec wieży Eifel. Komedye i dramaty sypiesz jak z rękawa, śmiech i łzy wyciskasz, drżą przed tobą giełdy i domy bankierskie, przeklinają cię matki córek na wydaniu i niejeden kandydat hymenu, ty elektryzujesz śpiące herbatki i obiadki, ty spazmy niesiesz w buduary pięknych mężatek, ty dajesz laur niezasłużony i zdzierasz wawrzyny zdobyte prawdziwą zasługą, ty snujesz cudowne legendy na temat zdrady, miłości, zbrodni, wielkich posagów, tajemniczych testamentów, miljonowych losów, — ty potężna czarodziejka, potężna poetka i potężna zbrodniarka!

Oczywiście w naszym małym światku poznańskim rządko tylko rodzi ta pani wielkie kataklizmy. Tu wszystko małe i proste, — stosunki, interesy, zapasy, — więc i ogromnych zawikłań i dramatów nie snuje chochlik złośliwy, — ale te ciasne ramy życiowe, przesłonięte mgłą monotonii, to właśnie królestwo drobnych komarów ploteczki, tłumnych, namolnych, kłujących. Nigdy prawie nie ranią one śmiertelnie, ale psują humor i pozostawiają często nieznośne swędzenie. A ileż tam rozmaitości, kategoryi, rodzai, gatunków! Handlowe, kawalerskie, balowe... lecz nie o nich chcę mówić. Dzisiejszą pogawędkę poświęcam najpotężniejszej z plotek: plotce politycznej.

I tutaj należałoby rozpocząć gatunkowanie, lecz lubo jestem wychowańcem szkół niemieckich, mam dziwny wstręt do systematyczności. Obrzydził mi ją gruntownie, jeden z ś. p. profesorów moich, który temu z nas tylko przyznawał numer „celujący“, kto każdą dyspozycyę wypracowań swoich przynajmniej na dwanaście podzielił cząsteczek. Na samą myśl o tych szufladach, szufladkach i szufladeczkach dziś jeszcze zimno się robi. Wybaczcie zatem, czytelnicy moi, że pedantycznych 1, 2, 3, i a, b, c. i α, β, γ, nie kładę na czele dyskusyi, lecz pląs feljetonowy zaczynam:

Któż z nas nie pamięta owych czarodziejskich baśni berlińskich, któremi armia ugody karmiła społeczeństwo nasze. W krytycznych chwilach politycznego bankructwa, gdy jedno rozczarowanie po drugiem wieńczyło romans lojalistów naszych z tronem niemieckim i chwiać się zaczęła wiara społeczeństwa i opinia niezręcznych dyplomatów, zjawiała się zawsze na ziemi poznańskiej sensacyjna plotka, rozbrajająca sceptyków i salwująca na chwilę chociaż, upadający kredyt „Koła polskiego.“ „Poseł X. miał posłuchanie u Capriviego. Kanclerz był uprzejmym jak nigdy i obiecał wiele. Czekajcie!“ — „Piękna pani Y. była na herbacie u cesarza. Najjaśniejszy pan rozmawiał z nią przez dwie godziny, podał jej ramię, uścisnął rękę, szeptał o czarach naszych pięknych polek i o wdzięczności dla polskich obrońców pruskiej marynarki.“ — „Ks. arcybiskup ma w biurku swojem ustępstwa rządowe. Chwila jeszcze, a otworzy skrytkę i zadziwi naród.“ — „Poseł Windthorst winszował gorąco Kołu polskiemu rozumnej dyplomacyi.“ — „Powiedz pan moim polskim poddanym, że jestem z nich zadowolony, — tak mówił cesarz do naczelnego prezesa, gdy gościł w Poznaniu.“ — No, i tysiące podobnych anegdot krążyło na poznańskiej ziemi, łudząc społeczeństwo, ratując opinię ugodowców naszych.

Zwykle jakiś atom prawdy mieściła każda ploteczka, ale rozdymano go tendencyjnie do sensacyjnych rozmiarów, aby olśnić i odurzyć naród. Zresztą taktyka naszych lojalnych marzycieli znalazła pojętnych uczni na warszawskim bruku. Gdy Aleksander III. zamknął oczy swoje, które tak nienawistnie na nas spoglądały, — gdy młody Mikołaj wstąpił na tron rosyjski i jak sfinks tajemniczy stanął przed narodem, znowu zjawiła się lojalna plotka i rozdmuchała drobną iskierkę nadziei w olbrzymie blaski ufności. Jakież to dziwy krążyły wówczas w całej Kongresówce! Stronnictwo „Słowa“ i „Kraju“ grunt torowało dla ugodowych manifestacyi a narzędziem była mu plotka. Dymisya Pobiedenoscewa, konstytucya dla całej monarchii, miłość cesarza do pięknej Polki, a przez nią do Polaków, — wszystko to krążyło po kraju w akompanjamencie najfantastyczniejszych anegdot. I naród wierzył, łudził się, bił lojalne pokłony a dzisiaj jęczy jak jęczał z goryczą zawodu w duszy.

Tak plotka urabia społeczeństwo i ratuje marzycieli-bankrutów. Lecz nie na tem koniec figlów politycznych, które płatać lubi niebezpieczna pani. W zaciętych bojach partyjnych rzuca ona nieraz jakiś fałsz potworny, na skrzydłach wichrów niesie go po kraju, przekręca programy, dyskredytuje hasła, czerni pisma i ludzi. Czegóż to u nas, a mianowicie w głuchej prowincyi, nie opowiadają o „Orędowniku“ i dr. Szymańskim?! Przypominam sobie — było to na wsi, — liczne grono obywateli zasiada do stołu i buduje ojczyznę. Nagle pada słowo: „Orędownik“, ktoś zawołał „zdrajca“ i dziesięć głosów powtórzyło „zdrajca“. Spoglądam, dziwię się, pytam. Wreszcie po licznych wykrzykach i wyzwiskach najgrubszego kalibru dowiaduję się, że „Orędownik“ radził głosować raczej na Niemca-Hakatystę, niż na kandydata „ładu i porządku“. Protestowałem, lecz pretest mój wiary nie wzbudził. Ktoś tam oświadczył, że czytał artykuł „na własne oczy“, — no! i sprawa ubita. Maluczko, a dowiemy się, że dr. Szymański zbiera składki na cele H. K. T. Innym znów razem opowiadano mi jako fakt autentyczny, że jedno z najradykalniejszych w kierunku narodowym pisemek polskich pobiera sute subwencye z kasy rządowej. Tłomaczyłem długo bezsens podobnej plotki, — oskarzyciel jednak dowodził niewzruszenie, że wiadomość ta pochodzi z „najwiarogodniejszego źródła“. A cóż dopiero „Przegląd poznański“?! Rumień się Szeherezado, bo w plotce poznańskiej znalazłaś mistrzynię swoją. A łatwowierność ludzka jest u nas tak wielką, że — *risum teneatis amici*, — na biurku moim leży list straszliwy, grożący mi wszystkiemi karami piekła za jakieś okropne artykuły, których nigdy w piśmie naszem oko ludzkie nie widziało. Zaiste, nieraz gdy dowiaduję się, co w tem lub owem „dystyngowanem towarzystwie“ ludzie plotą o „Przeglądzie poznańskim“ i redaktorach jego, to zdaje mi się, że Ravachol musiałby chyba przed nami ugiąć kolana. Posłuchajcie tylko: „Przegląd powiedział, że skoro słów nie starczy, to stryczkiem wojować będzie“. (sic!) „Przegląd drwi sobie z małżeństwa i wolną proteguje miłość“. (sic.) — „Przegląd o Wielkopolankach się wyrażał, że to wszystko bez wyjątku „śmieci“. sic — „Przegląd powiedział, że odważniejszym jest od Bismarka, bo stary kanclerz nikogo się nie boi prócz Boga, a on się nawet Boga nie lęka“; (sic.) — a w końcu as atutowy: „Przegląd ogłosił założenie nowej sekty na złość ks. Arcybiskupowi.“ (Au!)

Oto kilka kwiatków, uszczkniętych z cudownej niwy plotkarstwa naszego. Komentarze uważam za zbyteczne i kończę westchnieniem: „Obyście, najmilsi bracia Wielkopolanie, mniej o nas mówić a więcej nas czytać raczyli.“

* * *

Skromne zapytanie. Z dzienników poznańskich dowiaduję się, że Bazar poznański, instytucya czysto-polska i przez polskich magnatów kierowana, ofiarował burmistrzowi Wittingowi 100 mr. na ubogich miasta *„z okazyi urodzin cesarskich“*. Wobec tego zapytuję się, ile też Bazar poznański ofiarował na ubogich miasta, *„z okazyi“* stuletniego jubileuszu konstytucyi trzeciego maja, lub „z okazyi“ setnej rocznicy Racławic. Natura nie obdarzyła mnie niestety dobrą pamięcią i byłbym bardzo wdzięczny za informacye w tym względzie.

Sulla.

Kronika powszechna.

Wiadomości społeczne i polityczne. Antisemicka agitacya we Wiedniu wre w całej pełni. Wybory do rady miejskiej odbędą się prawdopodobnie już w przyszłym miesiącu. Antisemici nie wątpią, że powtórnie większość mandatów zdobędą i powtórnie powołają Luegera na urząd nadburmistrza. — W „Deutsche Juristen-Zeitung“ radzi niejaki Dr. Staub, aby procesy o obrazę majestatu wytaczać tylko za zgodą kanclerza rzeszy lub ministra sprawiedliwości. — W komisyi budżetowej parlamentu niemieckiego oświadczył reprezentant rządu, że abituryentom nauczycielskich seminaryi przyznanem zostanie prawo do jednorocznej służby wojskowej. Na zapytanie posła Pachnikego odpowiedział dalej, że administracya wojskowa i tym abituryentom, którzy nie mają pieniędzy na utrzymanie się przez rok w wojsku, przyzna prawo do służby jednorocznej, jednak nie będzie im wolno nosić sznurów i składać egzaminów na oficerów rezerwy. — W ubiegłą niedzielę odbyło się w Poznaniu poufne zebranie delegatów ruchu ludowego, na którem dyskutowano o palących kwestyach politycznych i organizacyjnych. — Pogłoska o zawarciu rosyjsko-tureckiego przymierza okazuje się fałszywą.

Teatr i muzyka. Na scenie poznańskiej odegranym zostanie 6-go lutego na benefis panny Paszkowskiej dramat Wężyka p. t. „Wanda, córka Krakusa“. Będzie to niejako pożegnalny występ ulubionej artystki, która 15 lutego powraca podobno na scenę krakowską. To też wyrażamy przekonanie, że w dniu tym publiczność szczelnie wypełni loże i krzesła, składając wyraźne dowody sympatyi swoich dla talentu, rozwijającego się tak pomyślnie. — Na benefis pana Knapczyńskiego odegrano na scenie naszej Molierowskiego „Don Juana“. Sukces kasowy był znakomity. — beneficyant jednak nie pojął stylu francuskiej komedyi klasycznej i tytułową rolę odtworzył w charakterze farsy nowoczesnej. Pan Wostrowski natomiast w wdzięcznej roli komicznego moralisty, zasłużył sobie na zupełne uznanie. — Na benefis p. Królikowskiego odegrano w czwartek ubiegły przeróbkę z powieści Bałuckiego („Byle wyżej“) pt. „Rodzina Dylskich“. Beneficyant zabłysnął znowu tym wielkim talentem charakterystycznym, który nieraz podziwialiśmy w grze jego znakomitej. lecz w ostatnich czasach nieco skostniałej. — Trzydziestu ośmiu znakomitych literatów, aktorów, malarzy itd. wydało odezwę, wzywającą do utworzenia międzynarodowego funduszu celem wystawienia dramatu Adalberta Goldschmidta pt. „Gea“. — Z byłych artystów poznańskich, goszczących obecnie na scenie łodzkiej, zbierają największe wawrzyny p. Sosnowski i p. Zimajer. Mniej natomiast podoba się p. Wróblewska. — W warszawskim teatrze Rozmaitości ukaże się niebawem czteroaktowy utwór E. Lubowskiego p. t. „Królewicz“ i komedya Jordana p. t. „Wilki i owce.“ — Warszawski koncert kompozytorski p. Melcera świecił pustkami. Znawcy jednak oddają entuzyastyczne pochwały grze i kompozycyi młodego pianisty.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Abonentka. 1) „Faro“ jest wyrazem włoskim i oznacza tyle co latarnia morska. 2) „Altruizm“ — wyraz wprowadzony przez Comte'a — oznacza przeciwieństwo do egoizmu, a więc uczucie podporządkujące własne „dobro“ dobru innych ludzi. Według Littrego źródło egoizmu tkwi w instynkcie samozachowawczym, altruizmu zaś w przyrodzonem pragnieniu przekazania i mnożenia życia, określanem w niemieckiej terminologii wyrazem „Fortpflanzungstrieb.“

P. Myśl Szanownego Pana poruszymy w odpowiednim czasie i stosownem miejscu. Wątpimy jednak, czy zarząd strzegący pilnie swoich praw nieomylności, uwzględni życzenia z obcego wychodzące źródła.

SPROSTOWANIE.

Do poprzedniego numeru wkradły się następujące omyłki: 1) Sztuka Wołowskiego p. t. „Towarzysz pancerny“ odegraną została na benefis p. Majdrowicza, nie na benefis p. Knapczyńskiego. 2) W artykule „Szkoły ludowe w Rosyi“ opuszczono w łamie 3, wierszu 6 z góry, przed wyrazem „seminaryzstek“ liczbę 800.

Abonentów naszych prosimy o nadesłanie prenumeraty za bieżący kwartał.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winlewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28.

Nr. 6. Poznań, niedziela 9-go lutego 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: Piekary nr. 6.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: Piekary 6. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.

TREŚĆ.

Koźmian i Lubomirski.

W naszej literaturze politycznej dwa dziwne odezwały się głosy, dwa programy przyszłości, którym poklask niesie frenetyczny i wonne kadzidła pali prasa rosyjska i niemiecka. Jedno z nich (Stanisław Koźmian) znają już czytelnicy „Przeglądu“ z obszernych artykułów polemicznych *Kazimierza Bartoszewicza*, drugie — mówimy o księciu Józefie Lubomirskim — rozniosły po świecie szerokim entuzyastyczne reklamy urzędowego organu Hurki i Szuwałowa: „Dniewnika Warszawskiego“. Potomek hetmanów i senatorów złożył swój program w czwartym tomie francuzkiego dzieła p. t. „Historya współczesnych zmian w Europie politycznej i społecznej“, a wierny hasłu rozbrzmiewającemu na paryzkim bruku: „Niema Polski! Jest tylko Rosya!“ — zadzwonił pobudkę zupełnej abdykacyi narodowej. I zabrzmiał jeden głos tryumfu w całej prasie rosyjskiej i „Dniewnik Warszawski“ ogłosił światu, że nareszcie znalazł się Polak, *„który ośmiesza dążenia szowinistów polskich i mówi jasno o zlaniu się z Rosyą“*. Organ Hurki i Szuwałowa podnosi z uznaniem, że książę w r. 1863 nie brał udziału w powstaniu, „chociaż patrzył na zły pod tym względem przykład ojca“, a gdy, *jak sam mówi,* przypatrzył się mapie przyszłej Polski, sporządzonej przez „szlachtę polską“, wtedy „stał się nieprzejednanym wrogiem powstania“.

Nadzieje zupełnego rozpłynięcia Polski w morzu rosyjskiem opiera ks. Lubomirski na rzekomym fakcie, „że różnice religijne tracą z dniem każdym na doniosłości“ i „nie dalekim jest czas, w którym fanatyzm niemożliwy, ustąpi miejsca indyferentyzmowi“. Dla znawców stosunków w rosyjskim zaborze wątpliwemi być muszą podstawy, na których apostół abdykacyi narodowej opiera swoje marzenia, ale bądź co bądź znamienną jest ta intencya nowego polityka, znamienne ideały, które stawia na polskich ołtarzach.

A skoro różnice religijne tracą na sile i doniosłości, — mówi dalej ks. L., — czemużby Polacy nie mieli żyć spokojnie i szczęśliwie *pod rosyjskiem niebem*“ — „Oni zyskują więcej — a podajemy tu w dosłownem brzmieniu cytaty z książęcego dzieła — niż rosyanie“, — bo „istnienie wielkiego państwa trwalszem jest niż małego“, a „Polak, wierny poddany Rosyi, nie budzący w Rosyanach żadnych podejrzeń, *będzie z większym pracował pożytkiem w służbie wielkiej Rosyi, niż w takiem państwie o nietrwałej egzystencyi politycznej jak Bułgarya, Serbia, a naturalnie i Polska.*“.

Nie po raz pierwszy zdarza się, że polski publicysta sympatye swoje zwraca w kierunku rosyjskiego olbrzyma. Mieliśmy nawet i dziś jeszcze mamy w narodzie naszym licznych słowianofilów, wierzących silnie, że nadejdzie chwila wielkiego państwa związkowego, na którego czele stanie Rosya, a w którem każdy naród słowiański pielęgnować będzie spokojnie swój język, wiarę i względną przynajmniej odrębność polityczną; propaganda jednak zupełnej abdykcyi na korzyść Rosyi dotychczas wśród publicystów polskiego narodu liczyła zaledwie trzech czy czterech przedstawicieli; tamci nie wyrzekali się idei narodowej, nie kwitowali z ojczyzny, lecz szukali zmartwychwstania Polski w kombinacyach słowiańskich, — ci, z ks. Lubomirskim na czele, zalecają rozpłynięcie w morzu rosyjskim, rzucając co najwyżej łaskawą koncesyę, że w tem przetopieniu Polaków na Rosyan skarb polskiego języka nadal istnieć będzie. Z tamtymi można się sprzeczać o prawdopodobieństwo politycznych marzeń, można kwestyonować rozmiary koncesyi narodowych, tkwiących w tym lub owym programie słowianofilów, — z ks. Lubomirskim natomiast dla nas kończy się wszelka dyskusya.

To też, wyrzekając się polemicznych komentarzy, zapisujemy tu tylko jeden jeszcze ustęp z „Dniewnika Warszawskiego“, rzucający charakterystyczne światło na drugiego reprezentanta abdykacyi: p. *Stanisława Koźmiana.* Ustęp ten brzmi:

„Zagraniczna prasa polska nie wspomniała ani słówkiem o pracy ks. L. *A jednak myśli jego bardzo są w wielu rzeczach zgodne z wywodami drugiego polskiego historyka i publicysty Koźmiana*, w jego *„Rzeczy o roku 1863“*. Różnica polega *tylko* na tem, że Koźmian, *jako poddany austryacki, nie może* doradzać Polakom zbliżenia się do Rosyi, ale ganiąc stanowczo wszelkie zabiegi ku przywróceniu samoistnego bytu politycznego, stara się on przekonać o tem, że Polacy winni dążyć do przechowania narodowości, a do tego potrzeba *pogodzić się z warunkami politycznemi, istniejącemi dzisiaj. Dowiódłszy, że polityczne odrodzenie Polski jest najzupełniej niemożliwe,* Koźmian nie mówi nic o tem, jaką drogę winni obrać Polacy dla przechowania narodowości. Ks. Lubomirski mówi *jasno* o zlaniu się z Rosyą, a to nie odpowiada życzeniom polityków austro-polskich, których większość nie pozbyła się jeszcze mglistych nadziei o możliwości urzeczywistnienia idei jagiellońskiej“.

W chwili ukazania się powyższej reklamy rosyjskiej, pojawił się również panegiryk niemiecki w berlińskiem piśmie „Das kleine Journal, o którem „Czas“ krakowski z lubością donosi, że czytywanem jest przez cesarza Wilhelma. Organ ten zapowiada przekład Koźmianowskiej ewangelii na język niemiecki i streszczając poglądy tam wyrażone stwierdza, że według p. Koźmiana „niezależna Polska jest niepodobieństwem“. Sprawozdawca berlińskiego dziennika jednak nie powiedział wszystkiego, są bowiem w książce krakowskiego polityka inne jeszcze kwiaty cudownej woni, które niewątpliwie rozradują serca Bismarkowskiego pokolenia. Posłuchajmy: „Odbudowane państwo polskie nie miałoby warunków bytu“ (tom III, str. 254). — „Społeczeństwo rosyjskie już w r. 1862 miało wyższe wykształcenie polityczne, niż Polacy“ (tom II, str. 168). — „Naród polski ma skłonności do obłudy“ i mnóstwo innych atutów Stańczykowskiej mądrości. Zaiste! Pięknych dożyliśmy czasów. W Paryżu ks. Lubomirski „mówi jasno o zlaniu się Polski z Rosyą“, — w Krakowie hr. Stanisław Koźmian dowodzi, że „niezależna Polska jest niepodobieństwem“, a „Czas“ krakowski w radosnem upojeniu śpiewa sonety i ody.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Szykany policyjne. W „Gazecie Grudziądzkiej“ (Nr. 12) czytamy:

„Sokół grudziądzki“ musiał zawrzeć bliższą a wcale niepożądaną znajomość z policyą.

„Sokół“ tutejszy, jak Sokoły w ogóle, jest jak

wiadomo, Towarzystwem gimnastycznem, a nie ma nic wspólnego ze sprawami politycznemi ani też publicznemi. To też Sokoły nie podlegają wcale przepisom prawnym o zebraniach i stowarzyszeniach. Nie potrzebują więc meldować swych zebrań, podawać listy członków ani zarządu, ani też nie potrzebują posiadać ustaw.

Policya ma jednak prawo w interesie obyczajności itp. kontrolować także Towarzystwa niepolityczne i nie zajmujące się sprawami publicznemi, a więc i Sokoły. A z tego to prawa zdaje się tutejsza policya chcieć korzystać. Przed pewnym czasem dowiadywali się bowiem policyanci, kto jest przewodniczącym tutejszego „Sokoła“, a dowiedziawszy się, że jest nim redaktor „Gazety Grudziądzkiej“ p. Kulerski, pytali dalej, czy Towarzystwo ma ustawy.

Otrzymawszy odpowiedź potakującą, zażądała policya przedłożenia ustaw. Zarząd Towarzystwa zastósował się do wezwania policyi i wręczył jej takowe, lecz naturalnie w języku polskim, gdyż tylko w takim istnieją.

Tem jednakże policya się nie zadowolniła, gdyż wczoraj nadeszło z jej strony do Zarządu „Sokoła“ na ręce p. Kulerskiego następujące pismo.

„Zarząd wzywamy niniejszem do odwrotnego dostawienia nam niemieckiego tłómaczenia statutów Towarzystwa. — Polski.“

Jeżeli jednak policya grudziądzka sądzi, iż Zarząd Sokoła do tego żądania się zastósuje, to tym razem grubo się myli.

§ 2 prawa o stowarzyszeniach opiewa bowiem, iż tylko towarzystwa, zajmujące się sprawami publicznemi lub politycznemi, są obowiązane przedłożyć statuta, a wyrok najwyższego trybunału z dnia 27 marca i 27 października 1873 orzeka, iż statuty te mają być ułożone w języku niemieckim. Sokół zaś, który jest Towarzystwem niepolitycznem, i nie zajmującem się sprawami publicznemi, nie ma obowiązku, po pierwsze wogóle ustaw układać, po drugie eszcze mniej układać je w języku niemieckim.

„Sokół“ grudziądzki uchwalił sobie przypadkowo ustawy, lecz tylko na to, aby członkowie wiedzieli, jakie są ich obowiązki i prawa, więc tylko do prywatnego użytku.

Gdy jednak policya, mająca prawo kontrolowania i niepolityczne Towarzystwa, zażądała wręczenia jej swych ustaw, trzeba było temu żądaniu zadosyć uczynić, lecz rzecz to prosta, iż dało jej się ustawy w takim języku, w jakim są spisane. Gdy się zaś tłómaczenia niemieckiego nie posiada, nie ma prawa wymagać, aby Towarzystwo robiło sobie niepotrzebne koszta w celu wygotowania tłómaczenia. Przecież policya musi mieć urzędników takich, którzy po polsku rozumieją, boć n. p. na zebrania polskie takowych przysyła. Niechaj więc im każe ustawy „Sokoła“ przetłómaczyć.

Podobnej treści będzie też odpowiedź, którą policya na wyżej wspomniane żądanie otrzyma.

* * *

Pierwsza bitwa. Pod takim tytułem zamieszcza „Kuryer Lwowski“ (Nr. 31) następujący artykuł:

„Pierwsza walna bitwa stronnictwa ludowego z większością konserwatywną w Sejmie stoczyła się wczoraj przy rozprawie jeneralnej nad ustawą łowiecką. Stanęły przeciw sobie dwa obozy, jeden pod sztandarem: „Prawo do zabawy“ drugi pod hasłem: „Prawo do bytu“; z jednej strony, nietolerancka, namiętna, zaciekła większość, z drugiej, spokojna, ale niewzruszona i pewna swoich zasad opozycya, Posłowie ludowi walczyli uparcie jak żołnierze na wyłomie o każdy kęs praw chłopskich i chłopskiej własności, wydzieranych im na rzecz panów, niechcących nic uronić ze swej myśliwskiej zabawki.

Większość konserwatywna odrzucała naturalnie wszystkie ich wnioski, a tak przywykła od dawna, że w Sejmie nikt się nie ważył podnieść głosu opozycyi, iż kiedy Bojko skonstatował w najłagodniejszych słowach, co się dzieje, mówiąc: „Widzę, że panowie z większości niemiłosiernie druzgoczecie nasze poprawki“... wtedy w całym Sejmie odezwało się głośno: „Ooo!“ a marszałek z niepraktykowaną w żadnych ciałach parlamentarnych gwałtownością rzucił się w ostrych słowach na posła, który ani od rzeczy nie odbiegał w przemówieniu, ani nie użył żadnego obelżywego wyrazu, ani w jakikolwiekbądź inny sposób nie ubliżył zwyczajom parlamentarnym. Jakże wspaniale odbijała na tem tle niewzruszona postać włościanina, który ze spokojem wytrawnego parlamentarzysty, mimo tej burzy dokończył swego wniosku: „Stawiam zatem wniosek o imienne głosowanie!“

Naturalnie i na to większość nie przystała, a wtedy posłowie „Stronnictwa ludowego“, „Związku chłopskiego“ i Rusini użyli ostatecznego środka, przysługującego opozycyi i dla zadokumentowania, jaka się im krzywda dzieje — wyszli ze sali!

To przeszło wszelkie pojęcie pp. konserwatystów! Nie byli na to przygotowani, powstało wśród nich poruszenie zdumienia a p. Zdzisław Skrzyński, odgrywający rolę telefonu między sferami wysoko siedzącemi w sejmie z posłami, począł się uwijać jak w ukropie, a przyłapawszy po drodze posła Nowakowskiego, przedstawiał mu: „Bójcie się Boga ludzie, co robicie! Przecież w tej chwili dwie poprawki (drobne stylistyczne zmiany p. Żardeckiego. P. R) przyjęto, nie macie już czego wychodzić Wróćcie się“!

Naturalnie wszelkie namowy nie zrobiły wrażenia na opozycyi, świadomej swoich celów i swego stanowiska,

Jakże wygląda wobec tej garstki większość sejmowa, która pozostawszy w zdekompletowanym sejmie, było bowiem tylko 52 posłów w sali, a ustawa wymaga obecności 76 do ważności uchwał, mimo to uchwalała sprawy obchodzące żywo kraj cały?“

* * *

Oświata ludu w zaborze pruskim. „Przegląd Wszechpolski“ wypowiada w Nr. 3. następujące zdanie o oświacie ludu naszego:

„Każdego Polaka, przybywającego na kresy zachodnie, po bliższem przyjrzeniu się stosunkom tamtejszym niemile razi fakt wytężania wszystkich sił na formalną walkę polityczną ze szkodą nieraz innych stron działalności narodowej. Wybór posła polskiego wydaje się wszystkim sprawą największej wagi, chociaż działalność tego posła i towarzyszy jego okazuje się zupełnie bezpłodną. Natomiast działalność duchowa jest zazwyczaj lekceważoną. Słyszymy ciągle o wysokiej oświacie chłopa wielkopolskiego, ale przejrzawszy katalogi czytelni ludowych, przekonawszy się, czem lud tamtejszy karmi swój umysł, nie możemy zgodzić się na ten pogląd optymistyczny. Zdarzyło mi się spotkać na Szląsku zasłużonego i gorliwego działacza politycznego, człowieka z wykształceniem uniwersyteckiem, który nie miał pojęcia o literaturze polskiej, nie słyszał nigdy o istnieniu Orzeszkowej. Do włościanina posiadającego co najmniej w trzeciem pokoleniu wykształcenie szkolne, wydawnictwa ludowe przemawiają w tonie patryarchalnym, oddawna zarzuconym gdzieindziej. Wysławiane książki historyczne, które rozeszły się w tysiącach egzemplarzy, są nędznemi ramotami, skleconemi bez znajomości przedmiotu bez szczypty talentu. Język wielu pism ludowych jest haniebnem przedrzeźnianiem polszczyzny. Gdyby drobną bodaj część sił zajętych walką polityczną zwrócono do krzewienia rzetelnej oświaty, do uczenia dzieci po

K. ROJAN.

W ŚWIAT.

(Ciąg dalszy.)

— Oby tylko zacząć! — pomyślała — ale jak tu zacząć?

I nim jeszcze znalazła odpowiedź na to pytanie, już usta jej mówić poczęły.... Prawiły o rzeczach niezgodnych z biegiem jej myśli, mówiła, byle tylko mówić, byle go słowami przygwoździć do miejsca, aby tylko nie wstał i nie poszedł oglądać z tamtymi sztucznego zamku.

— Musi to być bardzo przyjemnie, gdy zebrana publiczność bije brawo grającym na scenie. Wyznaję szczerze, że mam ogromną ochotę do grania... a przecież boję się trochę. Nie bardzo, ale zawsze odrobinkę.

Wydawać się może, że Lola istotnie boi się nawet już teraz, bo usta jej pobladły i drżą, niespokojne ręce nie mogą znaleźć odpowiedniego zajęcia.

— Nie powinna się pani obawiać, wszakże będę przy pani.

— To prawda, pan mi dodasz otuchy— westchnęła.

— Gdyby pani przypadkiem zapomniała roli, proszę nie tracić fantazyi. Ja często mówię własnemi słowami, co mi na myśl przyjdzie i zawsze wynik jest dobry.

Sekunda mija po sekundzie. Czuje to Lola doskonale, jak gdyby patrzyła na zegarek: każde uderzenie pulsu w skroni to jeden krok naprzód małej, sekundowej wskazówki. Drętwieje na myśl, że nic nie powie — drętwieje również na myśl, że coś powiedzieć musi. Spuszcza zatem oczy i jeszcze więcej zmieszana niż przedtem, szepce z cicha:

— Tak... tak... tak...

Głębokie westchnienie przerywa dalsze jej słowa.

— O czem pani myśli? — zagadnął w tej chwili niespodzianie Dyniecki. — Założyłbym się, że nie o teatrze.

Zgadłeś pan. Myślałam o czemś, co jest bardzo od teatru odległe, bo o rzeczywistości.

— A czy wolno zapytać o jakiej?

Lola drży jak we febrze.

— Nie mam przed panem tajemnic. Myślałam o własnem szczęściu.

Dyniecki począł uśmiechać się zagadkowo, nie przestając świdrować przenikliwem spojrzeniem twarzy dziewczęcia — wreszcie wycedził słowo po słowie:

— A cóż pani nazywa swojem szczęściem?

— Co ja nazywam?... Mój Boże, to takie proste, a przecież takie trudne do wypowiedzenia — odpowiada dziewczyna z uśmiechem, który raczej płacz przypomina.

— Może pani dopomódz?

— Jeżeli się pan domyślasz, to pomocy nie potrzeba, jeżeli nie.... w takim razie na nic się pomoc nie przyda.

Dyniecki wstał.

— Tak jest — rzekł — domyślam się... Pewnego pięknego poobiedzia oczy nasze spotkały się na ulicy.... Była to chwila jedna, chwilka zaledwie...

Lola zrywa się gwałtownie i patrząc w ziemię, przyciska rękę do serca, które chce jej pierś rozbić na szczątki.

— Tak panie, pan wiesz zatem — mówi prędko, głosem cichym, zachwytując w przerwach powietrza — panie, ja pana bardzo kocham. Nie drżałam nigdy przed nikim, a przed panem drżę i chce mi się płakać. Kiedy pana nie widzę, bardzo mi tęskno — a jak pan przyjdziesz, znowu mi tęskno, że wnet odejść musisz.... i tak wciąż, wciąż, od wielu dni....

Ciepłe, serdeczne słowa Loli wzruszyły widocznie Dynieckiego. Więc, aby dać wyraz swemu uczuciu, przygarnia ją do piersi, wyciska na ustach drżącej dziewczyny gorące piętno miłości i odpowiada:

— Lolu, ja panią również kocham.

Ona nie odwzajemniła mu się wprawdzie, lecz się nie broniła i nie odwracała twarzy; czuła się tak wzruszoną, że omal nie zemdlała i nie usunęła się na ziemię. Niepojęta rozkosz pierwszego, narzuconego

polsku, słowem do kulturalnej pracy narodowej, z pe ' wnością dałoby to lepsze rezultaty nawet w polityce, aniżeli taktyka dotychczasowa."

—*ski.*

BADANIA NAUKOWE.

Początki rozwodów małżeńskich.

„Bentham zadał sobie pytanie, czy człowiek zdołałby poruszyć ziemię z jej posad — odpowiedział na nie twierdząco, ale z pewnem zastrzeżeniem, mianowicie, że człowiek musiałby wprzódy znaleźć inny glob, na którym obrałby sobie stanowisko. Dla nauki o prawie taką drugą kulą ziemską są: etnografia i historya kultury. Nawet dzieje prawa rzymskiego, zbadane stosunkowo najlepiej, przedstawiają wiele luk. Jest ich jeszcze więcej w dziejach prawa różnych ludów. Póki zaś nie mamy pod ręką nieprzerwanego pasma faktów, dopóty nie możemy odkryć przyczynowego związku pomiędzy pewnem zjawiskiem, dostrzeżonem przez historyka, a poprzedniem, brakującem ogniwem. Wypełniamy te przerwy domysłami, ale taki twór wyobraźni tylko wtedy zyskuje mocną podstawę i zamienia się na hypotezę naukową, gdy w życiu dziejowem innych narodów, stojących na tym samym szczeblu, odkryjemy zjawisko, którego istnienie podejrzywamy w przeszłości badanego narodu. Nastręcza się pytanie: czy posiadamy prawo zapełniać luki w historyi jednego ludu faktami z życia innych; czy wolno nam na zasadzie tego, że pewne zjawisko istnieje u wielu narodów, wnioskować, że musiało także istnieć u tych, które nie zachowały o nim najmniejszego wspomnienia. Na to możemy odpowiedzieć tylko twierdząco."

Tak rozpoczyna M. J. Kuliszer swoją książkę, poświęconą rozwodowi i wogóle położeniu kobiety*). Wstęp ten daje pojęcie o duchu oraz naturze tego dzieła. Autorowi chodzi nietylko o przedstawienie prawa rozwodowego, istniejącego obecnie w krajach, przodujących cywilizacyi, ale także o wyprowadzenie socyologicznego rodowodu zwyczajów, spotykanych w odpowiedniej praktyce sądowej. Rozprawa ta jest więc przyczynkiem do historyi kultury ludzkiej, chociaż w sferze bardzo zacieśnionej, ograniczonej tylko do jednego zagadnienia.

Zasadniczy wątek wywodów M. J. Kuliszera przedstawia się jak następuje:

Formy rozwodu przekształcają się nieustannie w ciągu dziejów w miarę tego, jak zmienia się postać pożycia małżeńskiego oraz stosunek mężczyzny do kobiety. Autor odróżnia w rozwoju związku małżeńskiego dwa okresy; endogamiczny i egzogamiczny, to jest zaślubianie wewnątrz plemienia i zewnątrz niego. Poglądy jego na ewolucyą rodziny zdradzają wpływ Mac Lennana, i teorya rozwoju instytucyi rozwodowej została opartą na takiej, dzisiaj mocno zachwianej podstawie. Otóż w okresie panowania endogamii rozwód nie istniał. Małżeństwo było tam umową dobrowolną i czasową, małżonkowie po upływie pewnego terminu, na jaki zawarli związek, rozchodzili się — nie odnawiali kontraktu. Takie rozłączenie nie jest jeszcze rozwodem. Stosunek małżeński, istniejący w starożytnym Rzymie pod nazwą *usus*, przedstawia nam wyborny wzór czasowego obcowania małżeńskiego. Sądząc z przepisów, zamieszczonych w prawodawstwie Dwunastu tablic, trzeba przypuścić, że takie małżeństwo zawierano tylko na przeciąg jednego roku. Dopiero wtedy zamieniało się ono na związek stały, skoro żona nie skorzystała z przysługującego jej prawa nienocowania trzech następujących po sobie nocy w domu swojego małżonka. Rozłączenie, które następowało po upływie roku, było tylko rozejściem się, ułożonem z góry i oczekiwanem, a zatem odznaczało się inną naturą, niż rozwód obecny. Występuje on w dziejach wraz z egzogamią tj. poślubianiem kobiety z obcego plemienia i utrwala się na małżeństwie, zawieranem do końca życia. Atoli nie dość brać żonę z obcej grupy społecznej. Zwyczaj umyczki n. p., lubo opiera się na egzogamii, uniemożliwia istnienie rozwodu. Branka, porwana przez mężczyznę, jest jego niewolnicą, za której krzywdy nikt się nie upomni; mąż może znęcać się nad nią, nawet zamordować. Może on także ją odsunąć od swego łoża i nawet wygnać z domu, lecz rozwód jest nieznany. Instytucya ta ukazuje się dopiero wtedy, gdy mężczyzna za żonę zaczyna uiszczać „kałym", tj. kupuje ją; rozwija się zaś, gdy powstanie zwyczaj dawania wiana pannie młodej. W tych warunkach mężowi przysługuje, u ludów pierwotnych, prawo oddalenia żony, która mu zbrzydła, ale zarazem istnieją pewne czynniki, nakładające hamulec na jego samowolę i zmuszające go odwoływać się do jawności publicznej i poddać się wyrokowi instytucyi społecznych. Nastręcza się bowiem kwestya zwrotu „kałymu", uiszczonego za żonę, względnie posagu, który panna młoda wniosła mężowi! Powstają zwyczaje, później zaś przepisy, regulujące zwrot takiego mienia; mężczyzna tylko w pewnych wypadkach może żądać, ażeby mu oddano zapłatę, którą uiścił rodzicom żony. Ow nacisk ze strony władz publicznych stawał się tem większy, rozwód zaś coraz bardziej utrudniony w miarę rozwoju kultury materyalnej. Ze wzrostem bowiem bogactw, „kałymy" i wiana rosły i zaważały coraz bardziej na szali namiętności. Zwłaszcza zaś zwyczaj dawania córce wyprawy oddziałał mocno na instytucyą rozwodową.

W powyższym przebiegu mamy do czynienia z jednostronnem ukształtowaniem prawa rozwodowego. Mężczyzna użytkuje z tego zwyczaju dowolnie, kobieta zaś jest istotą bierną, która musi poddać się kaprysom swego pana. Co najwięcej, może się ona tylko bronić przeciw nadużywaniu przez męża tego przywileju i żądać, ażeby nie wyrzucał jej ze swego domu bez dostatecznych powodów. Sama zaś nie posiada prawa do opuszczania męża i wystąpienia w akcyi rozwodowej jako powódka. Zakon Mojżeszowy oraz odpowiednia praktyka u żydów dzisiejszych znają tylko takie jedno-

*) „Rozwod i położenie ženszcziny". Petersburg.

---

niespodzianie pocałunku była tak głęboką, że aż przygniatała i odurzała swym surowym ogromem.

Zapewne byłby Dyniecki wnet oswoił Lolę z pocałunkami i nauczył oceniać je wedle istotnej ich wartości, to jest, bez naiwnej grozy, lecz głosy dochodzące z kurytarza i brzęk talerzy w kuchni skłoniły go do zaprzestania zakazanej zabawki.

Wkrótce potem powróciła do jadalni Anulka w towarzystwie brata, Łasieckiego i Józefa.

Wzrok jej padł na Lolę i czytała przez chwilę w jej twarzy rozgorączkowanej, jak w książce z dala od oczu trzymanej, gdzie to z szarzejących liter myśli ułożyć nie można. Na nieme zapytanie Anulki odpowiedziała Lola lekkiem skinieniem powiek:

— Już się stało.

Anulka w zamian uśmiechała się serdecznie, co ma oznaczać:

— Bardzo mię to cieszy.

Lola odpowiada również uśmiechem, który wyraża:

— I mnie także.

Prawie równocześnie w przyległym pokoju ozwały się podniesione głosy szanownych rajców, między którymi wyróżniał się sentymentalny bas Szołomiejskiego, ujadanie Ranieckiego i duszenie się Klepki.

Poczem otwarły się drzwi i do jadalni wsunął się zgarbiony Szołomiejski, trzymany przez Borajskiego za połę długiego czarnego surduta:

— Otóż dziś nie będę — mówił — jak mi Bóg miły nie będę. Szkoda czasu i atłasu.

— Ależ zaczekajcie sąsiedzie, nie róbcie mi przykrości — prosił Borajski.

Szamotali się jeszcze chwilę, aż wreszcie Szołomiejski ustąpił, przyrzekając, że jeżeli nie dla dalszej narady, to przynajmniej na kolacyi zostanie.

Nie trzeba zdaje się, nadmieniać, że podczas wieczerzy bawiono się doskonale. Pierwsze kieliszki pogodziły zwaśnionych, następne skłoniły Ranieckiego do ujęcia uczonego sąsiada w ramiona i zwilżenia jego chudych policzków mokrymi wąsami, wreszcie trzecia dawka, wykreśliła z pamięci Szołomiejskiego wszelką urazę.

Lola w znakomitym była humorze. Śmiała się i trzepotała jak małe dziecko i tylko w przestankach kładła głębokie a słodkie sporzenia na dorodnych licach Dynieckiego.

Po kolacyi, gdy się goście rozeszli, była tak szczęśliwą, że aż przebaczyła macosze ranne przykrości. Podeszła ku pani Marcysi i rzekła:

— Niech się mama nie gniewa na mnie. Kto wie, jak ja długo jeszcze będę w domu rodziców?... więc pocóż mamy się gniewać?

Pani Borajska przyjęła serdeczną przemowę Loli chłodno i sztywnie. Podczas kolacyi zauważyła bowiem, że Dyniecki więcej nadskakiwał Loli: „kto wie, jak ja długo jeszcze będę w domu rodziców?... więc pocóż mamy się gniewać?...." podsunęło jej myśl, że ten piękny niegodziwiec musiał Loli coś takiego powiedzieć, z czego ona wywnioskowała, że wyjdzie za niego....

Pani Borajska gotową była każdej chwili wydać Lolę za mąż i życzyła sobie tego z całej duszy — byleby przyszłym jej mężem nie był on... ten ładny Dyniecki. On był dla niej za bogaty. Zresztą, on dla kogo innego był przeznaczony, nie dla Loli.

Myśląc o tem, podczas składania obrusa, rzucała pani Marcysia złowrogie spojrzenia i sznurowała usta.

VIII.

Rozpoczęła się dla Loli prawdziwa wiosna życia. Tęskniąc i kochając, zamęczała się rozkosznemi myślami. Zasypiając żegnała się z nim długo i widziała go dopóty w pobliżu, póki sen nie zdmuchnął z jej oczu rzeczywistości, a skoro tylko przebudziła się ze snu, on słodkim uśmiechem powiadał jej dzień dobry.

Potem gdy się ubierała, nuciła jego piosnkę: „znam ja oczy takie czarne" — potem patrząc do lustra nie widziała swej twarzy, nie spostrzegła wogóle w szklanej szybie żadnego odbicia. . bo wzrok ma czasem tę właściwość, że tak daje się myśli opętać, iż zatraca na jakąś chwilę zdolność widzenia. Potem marzyła przez cały ranek, udając, że zajmuje się jakąś pracą; potem czekała, aby wieczór nadszedł jak najprędzej. Obecnie Lola była w ciągłych ocze-

stronne stosowanie rozwodów. W jednej z ksiąg Mojżesza znajdujemy ustęp, głoszący, że mąż, który żyjąc z żoną, poweźmie odrazę ku niej, lub spostrzeże pewne wady, może oddalić ją ze swego domu. Przywilej ten służy tylko jednej stronie, bo żona nie posiada żadnych praw. Ustawa rozwodowa żydów wymaga więc, ażeby mąż z własnej woli rozłączał się z żoną, bo jeżeli oświadczy, że został zmuszony do takiego czynu przez namowę lub pod wpływem przymusu, rozłączenie jest nieważne. Zwyczaj każe, ażeby doręczono żonie akt rozwodowy, przytem powinna ona wiedzieć, co bierze po rąk swoich. Dlatego przed wręczeniem zawiadomienia o odprawie (bo rozwód u żydów posiada właśnie taki charakter), mąż powinien wyraźnie i głośno powiedzieć byłej małżonce: to twój rozwód. Czyn jest nieważny, jeśli mąż zaniedbał zawiadomić żonę, co jej wręcza, lub użył wyrażenia dwuznacznego. Dokument uchodzi za doręczony nawet w tym wypadku, gdy zona odmówi przyjęcia, lecz mąż zdoła wygłosić odpowiednią formułkę prawną i wrzuci akt do jej pokoju, lub położy go u jej nóg na ulicy. Wszystko to musi odbyć się w obecności świadków. Szczegóły te posiadają tu dla nas względnie małą wartość; najważniejszem jest to, że rozwód stanowi przywilej męża, samowolnie przezeń stosowany. To prawo nie przysługuje kobiecie. Dokładniej mówiąc, powinniśmy powiedzieć, że nie przysługiwało ono dawniej, bo z biegiem czasu życie wprowadziło pewne praktyki, umożliwiające żonie korzystanie z rozwodu. Może ona wystąpić jako powódka i domagać się rozłączenia, jeśli dowiedzie, że mąż ją zaniedbywał w ciągu pół roku, jest dotknięty niemocą lub chorobą, wzbudzającą wstręt powszechny itd. Atoli forma doręczenia rozwodu pozostaje dawną: sąd, uwzględniwszy życzenie żony, używa pewnych środków — przymusu moralnego — względem męża i zniewala go do dania odprawy żonie.

Rozwód, o ile istnieje w dzisiejszem chrześciaństwie, jest instytucyą służącą na równi obu stronom. Jakim sposobem powstał taki zwyczaj, tak odmienny od prawa Mojżeszowego? Niema wątpliwości, że kościół nie stworzył tej obustronności, ale skorzystał z tego, że już istniała, i wybrawszy ją, otoczył swoją powagą. Autor podnosi to zagadnienie w swojej rozprawie, ale go nie rozwięzuje. Przynajmniej nie dał on wyraźnego rozwiązania. zdaje się jednak, że myśl jego, wypowiedzianą dość bezładnie, można przedstawić w sposób następujący: W społeczeństwie pierwotnem istniało obok siebie w tym samym czasie parę rodzajów związku małżeńskiego: endogamiczny obok egzogamicznego. Mąż był panem tylko swojej prawowitej żony, która pochodziła z obcego plemienia: zapłacił za nią „kałym,“ więc rozkazywał jej lub odprawiał, gdy mu zbrzydła. Stosunek prawny był jednostronny: mąż posiadał wszelkie przywileje, żona żadnego. Tymczasem kobieta z tego samego plemienia, oddając się mężczyźnie, zatrzymała zupełną swobodę działania. Ich obcowanie małżeńskie mogło ustać każdej chwili, gdy któraś ze stron sprzykrzyła sobie wspólne pożycie. *Usus* rzymski jest związkiem małżeńskim, który powstał na takiej podstawie endogamicznej. Wzory te oddziaływały na żonę prawowitą, która widząc swobodę swojej współzawodniczki, usiłowała wywalczyć sobie podobne prawa. Kościół poparł swoją powagą te dążenia. Rozwód z instytucyi, która służyła jedynie mężczyźnie, przekształcił się na urządzenie, do którego obie strony zaczęły posiadać jednakowe prawo.

Streściliśmy zasadniczy wątek wywodów M. J. Kuliszera. Powyżej nazwaliśmy pracę jego przyczynkiem do historyi kultury ludzkiej — dodajmy: przyczynkiem publicystycznym, tj. pisanym bez ścisłowości naukowej. Autorowi chodzi o wykazanie rodowodu pewnej instytucyi prawnej, ale fakty, na których oparł swe wnioski, pochodzą z drugiej ręki. Nie źródłowe prace etnograficzne, ale książki Hellwalda, Westermarcka i in. dostarczają mu materyału na poparcie twierdzeń. Skutkiem takiej przewagi pierwiastku publicystycznego, książka odznacza się w niektórych ustępach bezładnością wykładu: wyobraźnię autora przykuwa do siebie niekiedy fakt uboczny, niczem nie związany z podstawową ideą jego wywodów, i rozpoczyna się wyjaśnianie szczegółów, luźne, dorywcze, poparte faktami, wziętymi w pośpiechu z pierwszego pod ręką źródła. Między innemi, w jednej z takich wycieczek M. J. Kuliszer poddaje rozbiorowi mit o Aresie, Hefestosie i Afrodycie. Hefestos, bóg, opiekujący się rzemiosłami, specyalnie zaś kowalstwem, zastawszy żonę swoją śpiącą w objęciach Aresa, przykrywa wiarołomną parę siecią z metalów, zwołuje bogów, żeby wydali sąd nad przestępcami i nie oswobadza winowajcy, póki nie otrzymał rękojmi, że zwrócą mu „kałym,“ uiszczony za Afrodytę. J. A. Kuliszera pociągnęła ta opowieść. Przypomina on w odpowiednim ustępie u Hezyoda, że kuźnie w okresie bohaterskim Grecyi budowano po za granicami wioski i że były one czemś w rodzaju naszych karczem. Pisarz grecki ostrzega lekkomyślne osoby, ażeby nie uczęszczały do tych kryjówek rozpusty. Podobną rolę odgrywały kuźnie podczas wieków średnich. Podróżny mógł tam nietylko podkuć konia, ale także wypić kieliszek trunku. Mieszkanie kowala było przytułkiem rozpusty i służyło za miejsce schadzek miłosnych. Taki pierwotny charakter warsztatu kowalskiego uwydatnił się w micie greckim: wiarołomstwo odbywa się w mieszkaniu boga-kowala! Objaśnienie to jest prawdopodobne. Atoli M. J. Kuliszer posunął się jeszcze dalej, bo usiłuje dowieść, że rozpusta w kuźniach jest przeżytkiem po wcześniejszym jeszcze okresie, kiedy ślub legalny odbywał się w warsztacie kowala. Autor popiera swój wniosek, bardzo ryzykowny. o ile ma on posiadać zastosowanie powszechne, strofkami z weselnych pieśni rosyjskich. W jednej śpiewają:

„...Idzie kowal z kuźni,
Niesie z sobą trzy młoty.
Kowalu, kowalu, wykuj mi wianek!“ itd.

Druga głosi, że „na wyspie Bujanie są trzy kuźnie, trzech kowali uderza po trzech kowadłach. Nie kujcie, kowale, białego żelaza, a przykujcie do mnie młodego parobczaka!“ Przytoczone ustępy mają świadczyć, że ongi, w okresie, gdy wykradano żony z ościennych plemion, obrzęd ślubny polegał na tem, że parę młodą skuto istotnemi łańcuchami. Jeszcze dzisiaj w plemieniu timanów (Afryka) prowadzą młodą parę do kuźni, kowal wykuwa w jej obecności wiąza-

---

kiwaniach. Rano czekała najpierw, aby Anulka jak najprędzej poszła sobie do szkoły, a ją zostawiła w spokoju, potem aby ta wróciła jak najprędzej ze szkoły i wysłuchała wszystkiego cierpliwie, co jej w ciągu czterech długich godzin na myśl przyszło — dalej czekała, żeby obiad skończył się jak najprędzej, żeby wieczór upłynął jak najszybciej i żeby znów nastał wieczorny spokój. Najsmutniej i najwolniej płynęły dni owe, w których wiedziała napewno, że Dyniecki nie przyjdzie. Natomiast wtorki, czwartki i soboty mijały nader spiesznie. Dyniecki przychodził po południu i po próbie zostawał najczęściej na kolacyi. Właściwie prób tych nie trzeba już było ponieważ wszyscy amatorzy umieli swe role doskonale, że jednak mogły one stanowić powód do częstych wizyt, więc dla tego uważała je Lola, a za nią Anulka jako niezbędne.

Wszelako nawet te tak gorączkowo wyczekiwane dni, nie przynosiły biednemu dziewczęciu zupełnej szczęśliwości. Dyniecki przychodził wprawdzie, więc mogła się weń godzinami wpatrywać, słuchać jego głosu, dotknąć się jego ręki podczas witania się i przy pożegnaniu... ale na tem i koniec. Zdawało się jej, iż ma mu tyle do powiedzenia, tyle do wysłuchania z ust jego, że i dziesięciu godzin z rzędu nie tarczyłoby na wyczerpanie tematu — tymczasem macocha uwzięła się i na krok bawialni nie opuszczała. Gdy Dyniecki odchodził wieczorem odprowadzała go ze światłem w ręku do przedpokoju, tak, że nawet z tej ostatniej chwili nie mogła Lola skorzystać. W ciągu ostatniego tygodnia raz jeden zaledwie zostali sam na sam, nie dłużej nad pięć minut, lecz i w tym czasie nie mogła Lola swobodnie z nim pomówić, gdyż zamknął jej usta pocałunkiem takim gorącym, że wszelka myśl i chęć do zwierzeń za dziesiątą pierzchnęła górę...

I właściwie nie wiedziała Lola, co się z nią obecnie dzieje. Byłaż narzeczoną Dynieckiego, czy nie? — Nie wiadomo. Czy będzie jego żoną? — Nie wiadomo. A czyż ją przynajmniej kocha ten piękny chłopczyk na prawdę? No, tak... raz powiedział, lecz odtąd milczy i tylko całuje — a więc czy naprawdę kocha, to również nie jest wiadomem, przynajmniej o tyle, że w takich sprawach stokrotne zaklęcia nie są nigdy zbyteczne dla roztęsknionego serca.

W pierwszych dniach lutego miało się odbyć przedstawienie w „Gwieździe“. Do tej szczęśliwej niedzieli wzdychała Lola bezustanku. Za kulisami nie będzie macochy... za kulisami ciemniej jest niż w pokoju, a wszyscy grający głównie sobą zajęci.... toż to nagada się z nim tej niedzieli! Dowie się, kiedy przyjdzie oświadczyć się ojcu, kiedy da na zapowiedzi i kiedy będzie wesele...

Ach, cóż to za piękne słowo: „wesele“. Potem już smutku nigdy nie będzie, tylko sama zabawa, radość, samo prawdziwe szczęście.

Trzy tygodnie mijały właśnie od imienin. Franek Smolarz podziękował w tym czasie Borajskiemu za miejsce, jak się należało, to jest wedle przyjętego w cechu zwyczaju na czternaście dni naprzód i gotował się skrzętnie do wyjazdu.

Zaczął od tego, że najpierw wyspowiadał się i ulżył grzesznej duszy, która w ostatnich czasach, Bóg jeden wie dla czego, bardzo była rozżalona. Po spowiedzi zrobiło mu się zaraz weselej. Wziął tedy od starego urlop na jeden dzień, wynajął furę i pojechał do Zapłotka. Miał tam przecież w spuściźnie po matce chatkę i morg gruntu, z którym trzeba było jakiś porządek przed wyjazdem zrobić, zwłaszcza, że dzierżawca niesumiennie czynsz opłacał.

W drodze przemyśliwał Smolarz:

— No cóż?... chacinę i ogród muszę sprzedać, bo kto tu z tym nieuczciwym człowiekiem dojdzie do ładu, jak mnie na miejscu nie będzie? Nie ustąpi się i któż mu co zrobi. Może się potem procesować? adwokata i stemple płacić, na terminy stawać? Co mi tam! Sprzedam więc chacinę i ogród i wezmę tysiąc dwieście guldenów, muszą mi dać tysiąc dwieście, a jakże... bo grunta poszły teraz w górę, a ogród mój taki, że drugiego w Zapłotku podobnego nie ma. Za mniej nie sprzedam jak za tysiąc dwieście. Zresztą... no cóż... gdyby organista bardzo prosił, to jemu jednemu dał-

dło żelazne i łączy małżonków. J. M. Kulischer z tym zwyczajem zestawia fakt, że w pewnej miejscowości, leżącej na pograniczu Szkocyi, istniała kuźnia, w której do r. 1856 zawierano tajne związki małżeńskie. Dla udowodnienia takiej tezy trzeba dać coś więcej, niż parę faktów, z których pewne posiadają inne źródło pochodzenia: karczma szkocka służyła za świątynię tylko dlatego, że leżała na pograniczu.

Ż.

LITERATURA I SZTUKA.

Akordy jesienne.

XIII.

Oto dusza ma, jak więzień, wyswobodzon z poza krat,
Rzuca pęta swa cielesne i w jesienny spieszy mrok
Na obszary gdzieś dalekie, w lot przebiega cały świat,
W lot ogarnia wsie i miasta, w jeden ciemny zbite tłok:

I tak błądząc, w swej podróży do poziomych zajrzy chat,
To w pałacach górnych spocznie, to w zaułki zwróci [krok:
Noc uśpiła ich mieszkańców — jakby spali już od lat,
Jakby byli dziś podobni nie do żywych, lecz do zwłok.

Dziwny spokój... I uchodzi senna dusza poza próg....
Patrzy w przestwór... Jak daleko, jak wysoko sięga dom
Tego świata, nikt nie czuwa?... Błogosławić takim [snom!

Patrzy... patrzy... Nie!... Ten przestwór nie uśpiony! [w szerz i w wyż
Wielkie widmo go wypełnia i w odblasku mglistych [smug
To potrząsa krwawą chustą, to olbrzymi wznosi krzyż.

XIV.

Cud nad cudy! Wielkie widmo, duch uśpionych [w dole ciał,
Z przedświtową mgłą się zlewa, a z jej wiewnych, [srebrnych chmur
Jakieś pasmo się wyłania, jakiś długi ciemny wał,
Jak z oddali gdzieś widziany tajemniczy, straszny bór.

Las birnamski czyż się ruszył?... To postaci żywych [sznur
Idzie — płynie — ach! bez końca... Cały świat, co [dotąd spał,
Snać się zbudził i w przestrzeni niezmierzonych [mgławy dwór
Idzie — płynie — ach! bez końca, jak wyrwany [z więzów szał.

Zamęt ślub wziął z dysharmonią: szczęk oręży, pła- [cze, gwar,
Fale pieśni melodyjnych, kaznodziejskich gromy słów,
Poszept modłów, mlask dyscyplin i lubieżnych syków [żar...

Drży powietrza każdy atom — tak, jak spojrzeć — [w szerz i w wyż,
Gdy przed okiem mojej duszy ten przebarwny sunie huf,
Potrząsając hustą krwawą, lub olbrzymi wznosząc [krzyż.

XV.

Patrzy dusza osłupiała: tu z trzepotem skrzydeł burz
Kuruingów mkną zastępy, czy Attyla, wichrem gnan;
Tam z z liljami w chudych rękach lub na czołach [z wieńcem róż
Rozśpiewane tłumy dziewic zaścielają śniegiem łan.

Planetarne tutaj drogi kreślą mędrce. przyjście zórz
Dla piwniczych ciemnic ziemi wieści prorok, a tam [z ran
Stygmatycznych krew ocieka, tutaj kaci ostrzą nóż,
Lub stos niecą, a tam nagość w rozpasany idzie tan.

Zamęt ślub wziął z dysharmonią... Ach! uciekać [w ciała mir!
Ale dusza jak zaklęta: wszystek słuch swój, wszystek [wzrok
Szle w tych linij, barw i szumów, w tych akordów [dziwnych tłok...

Patrzy... słucha dusza moja, aż ten chaos, aż ten wir
W jeden zgodny hymn się zlewa, brzmiący w okrąg — [w szerz i w wyż:
Jednem stał się dźwięk z jękami, jednem z krwawą [chustą krzyż...

XVI.

I porwana pieśnią życia, leci dusza, niby ptak,
Niby żóraw, ze swym kluczem śród powietrznych [mknący dróg —
Płynie z tłumem z lutnią w ręku, zapatrzona w wielki [znak,
W krwawą chustę, w krzyż olbrzymi, ponad ziemski [wzniesion próg.

Płynie z tłumem, gdzieś bez końca, aż się zgubią [tam, gdzie szlak
Nieb jesiennych w świt się stroi, w ten jutrzniany, [srebrny smug;
Gdzie na krawędź ciemnej ziemi strzela zorza, jak [ten krzak —
Gorejący krzak pustynny, w którym Bóg przemawiał — [Bóg!...

Jak się ranna mgła rozwiewa, tak i sen się rozwiał [mój...
W okna moje dzień zaglądа, chłodny, jasny, pełny [dzień —
Na ulicach wre jak życie pod działaniem jego tchnień.

Do codziennych zajęć wraca duch, co widział wieków [znój
W niezmierzonej świata kuźni, ponad którą — w szerz [i w wyż —
Krwawej chusty szmat powiewa lub się wznosi wielki [krzyż...

Jan Kasprowicz.

OBRAZY Wilhelma Kotarbińskiego na wystawie poznańskiej.

Na wystawie naszej w teatrze polskim mamy obecnie cztery obrazy Wilhelma Kotarbińskiego, wychowańca petersburgskiej „Chudiożnej akademii“

Przypatrzmy się im kolejno:

„Orgia rzymska“ obraz dużych rozmiarów, przedstawia rozpasane uciechy rzymian, odbywające się w komnatach oświetlonych światłem lamp i kadzielnic a bliżej widza grupę witającą nadjeżdżających łodzią nowych biesiadników.

---

bym już za tysiąc sto pięćdziesiąt, bo to porządny człowiek. Z tych pieniędzy odłożę tysiąc dla Anulki, a sobie na drogę wezmę stopięćdziesiąt. Mnie więcej nie potrzeba. Z tem, co już uskładałem, będzie miała Anulka tysiąc dwieście reńskich posagu. Hm... piękna to sumka. Nie każda dziewczyna na świecie ma taki posag. Choć więc jest sierotą, to przecież nie jest jedną z najbiedniejszych. Może się jej jaki porządny człowiek trafi, i nim jeszcze zda egzamin na nauczycielkę, już jej tego nie będzie potrzeba. Czemu nie? Sprzedam więc chacinę i ogród, pieniądze oddam do kasy i poproszę Borajskiego, żeby co miesiąc wyjął tyle, ile będzie potrzeba, jeżeli oczywiście nie zarobię i nie przyszlę na jej utrzymanie z tamtych krajów. A jak oddam pieniądze do kasy i z Borajskim pogadam, spakuję rzeczy do kuferka i pojadę sobie z Panem Bogiem. A potem — potem niech już panna Lola idzie za Dynieckiego. Co mi tam!

Jak pomyślał, tak zrobił. Zajechał do Zapłotka, pogadał z organistą, potargował się trochę, obniżył cenę „chaciny“ i ogrodu do tysiąca zł i zobowiązał kupującego, iż do tygodnia przyjedzie do Kołczanowa z pieniędzmi, celem spisania kontraktu.

VIII.

Po tak pomyślnem załatwieniu sprawy wracał wesoły do domu, rozważając po drodze, jak to się Anulka ucieszy, gdy jej powie, że jest bogatą dziewczyną.

Anulka była jego dumą. Ponieważ sam szkół nie mógł ukończyć, mimo, że go natura i zdolność ku wiedzy ciągnęły, więc chciał, aby przynajmniej ona była uczoną. I na jej naukę łożył wszystko, co zarobił, z wyjątkiem małych oszczędności, odkładanych sumiennie co miesiąca na posag dla niej.

Po drodze witał znajomą okolicę. Pokłonił się Rudemu i przypomniał mu, jak to co wiosny brodził po jego pienistych mętach, roztłaczając białą plamę bosemi nogami; powitał także z daleka chatkę rodzinną i uśmiechnął się do niej z dumą, jak gdyby się przechwalał:

— Ty stanowczo nie wiesz, gdzie ja teraz jadę. Ho, ho, daleko, za góry, za lasy, aż do Pragi. A jak ja tu bosy biegał dokoła, to czy ja wowczas wiedział, że pojadę kiedyś na koniec świata?... co?....

Tak samo mniejwięcej mówił do figury świętego Andrzeja przed Kozową, do wielkiego dęba, przy którym zrobił pierwszy popas, idąc po zarobek do Kołczanowa i zjadł pieczoną kurę... Wspomnienia rozrzewniły go, pocieszyły i natchnęły zapałem do pracy na szerokim świecie. Dojeżdżając do Kołczanowa wmówił w siebie, że bardzo dobrze się stało iż Lola idzie za Dynieckiego. Gdyby było inaczej, to kto wie, czy wybrałby się kiedy za granicę. A tak, jej stosunek do Dynieckiego położył — od razu kres wszelkim niedorzecznym mrzonkom.

Nie przypuszczał Franek-Smolarz, snując w drodze podobne myśli, że nie zawsze człowiek jest panem swej woli, że czasem jedna godzina podobna do drugiej, jak niebo do ziemi i że niekiedy zachodzą takie wydarzenia, iż to, co nam się zdaje w obecnej chwili mrzonką, niedorzecznością, dziwnem czemś, o sto mil od nas odległem, za pół dnia stać się może rzeczywistością, realną prawdą i jednym zamachem burzy nasze plany, ustawiane długo i uważnie, jak pałace z kart do grania.

Taką właśnie niespodziankę gotował mu zagadkowy palec losu za przybyciem do domu.

Lola nie mogąc doczekać się Dynieckiego, który przyjść miał na ostatnią próbę, wybiegła na miasto. Wyjście swoje upozorowała drobnemi sprawunkami. Miała także wstąpić do szkoły wydziałowej po Anulkę, gdzie co poniedziałku odbywała z koleżankami korepetycye z arytmetyki i gramatyki niemieckiej.

Tymczasem Dyniecki, zamiast wałęsać się swoim zwyczajem po rynku, wyszedł za miasto na przechadzkę i wrócił inną stroną, tak, że zdążając do Borajskich nie potrzebował przechodzić przez rynek.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Obraz ten ma wiele zalet kompozycyjnych, pojedyncze grupy i figury malownicze w układzie i pełne uroku. Rysunek przeciętnie dobry, czuć w nim jednak brak finezyi.

Najsłabszą stroną obrazu jest koloryt. W ogólności wywiera on wrażenie szare i brudne; światło nie świeci, a tam, gdzie widać usiłowania wyszukania prawdziwego efektu światła na grupach i figurach, znajdujących się w przestrzeni między oświetleniem sztucznem a dziennem, — pierwszoplanowe figury malowane są w oświetleniu pracownianem, modelowane brązowym uniwersalnie użytym sosem. Najgorzej traktowana jest martwa natura jak łódź, części architektoniczne i rośliny. W traktowaniu (technice malowania) tych rzeczy nie czuć materyału przedmiotu, — mury są z malowanych desek, metalowe okucie łodzi, nie wywiera wrażenia metalu, a kwiaty i rośliny wydają się fabrykatem papierowym. Mocno występuje też perspektywiczny błąd w rysunku łodzi. Znajduje się w niej grupa złożona z czterech figur, tworzących szereg w takiem miejscu, w którem z rysunku łodzi biorąc miarę, zaledwie dwie figury umieścić by można.

Przyczepiona do obrazu tabliczka mówi o złotym medalu, którym ten obraz premiowano; przemilcza jednak przez kogo i gdzie?

Rosyjska akademia sztuki w Petersburgu rozdaje medali bardzo wiele, a mają one wartość i powagę orderów kotylionowych. Dzisiaj, jedynie medal uzyskany w paryskim salonie, świadczyć może o prawdziwej zasłudze i wartości nagrodzonego dzieła. Protekcya, znajomości osobiste, stosunki a nawet i interes, tak się rozpanoszyły w przybytkach sztuki, że spowodowały w monachijskiej „Künstler-Genossenschaft“ Secessyę, a wartość medali obniżyły do zera. Obecnie złote świecidełka nawet wprost kupować można dla robienia sobie reklamy, co się też przed trzema laty — i to z francuskim medalem (Académie contemporaine) — jednemu z głośnych malarzy lwowskich udało.

Obraz drugi, zatytułowany „Śmierć Messaliny“ przedstawia wykonanie wyroku cesarza Klaudyusza, który swą wiarołomną żonę wyzwoleńcom Pallasowi i Narcyzuszowi zamordować kazał.

W obrazie tym, jak i w poprzednim, rysunek średnio dobry, kompozycya jednak mniej szczęśliwie obmyślona a koloryt brudny. — Leżąca figura Messaliny wydaje się być niezmiernie długa, a to wrażenie spowodowane jest brakiem modelacyi draperyi, pod którą nie widać form ciała; draperya sama w surowym, czerwonym kolorze niedostrojona do ogólnego tonu obrazu, odskakuje i niemile razi oko. Martwa natura pobieżnie traktowana, bez obserwacyi.

Obraz trzeci mniejszych rozmiarów przedstawia wnętrze świątyni rzymskiej. Na pierwszym planie ołtarz, a u stóp jego spoczywa Augur o rozmarzonym obliczu. Obok niego bachantka z wyrazem zwierzęcej lubieżności i rozpusty. Grupa skomponowana malowniczo, rysowana poprawniej; obraz cały efektowniejszy i lepszy w kolorze od poprzednich, pomimo że w brązowym tonie głębi nie czuć przestrzeni i powietrza.

We wszystkich trzech powyżej określonych obrazach, powtarza się jeden i ten sam efekt: głębia obrazu ciemna, a pierwszy plan oświetlony. Jestto najstarszy i najłatwiejszy sposób wydobycia efektu przestrzeni. Świadczy on o braku pomysłowości, niewyzwoleniu się z akademickich wpływów i rutyny, co nie pozwala wznieść się na wyżyny indywidualnej twórczości.

Czwarta praca artysty tego nazwana „Zabawy domowe“, malowana akwarelą, jest raczej nie obrazem, ale projektem dekoracyjnego malowidła ściennego. Traktowana jako taka ma wiele zalet, — jako obraz, jest nieprawdziwa i surowa w kolorze.

Patrząc na prace W. Kotarbińskiego musi się przyjść do przekonania, że artysta wziął sobie za wzór Siemiradzkiego i tegoż naśladuje. Taką drogą postępując, zabija się talent i indywidualność, — pierwowzoru nigdy się nie wyprzedzi, a zwykle i nie doścignie.

W. Skibiński.

„Na kresach lasów.“[1])

Z treścią niniejszej książki mało są niezawodnie obeznani czytelnicy polscy. Winną tu do pewnego stopnia była krytyka nasza, która, niespodziewając się znaleść wśród Jakutów i Tunguzów nikogo, coby jej przypominał jakąś współczesną „znużoną duszę“ jakiegoś Płoszowskiego, Gramm'a, lub inne, go nowożytnego pseudo-Hamleta, uosabiającego „tragizm autoanalizy“, — potraktowała rzecz całą niedbale, żartobliwie niemal. Nic tam „Na kresach lasów“ nie mogło zaimponować krytyce naszej. Co tam kogoś może obchodzić, że Jakut często głodem mrze i ginie od ospy czarnej, że tam, na tundrach, mogą być ludzie z innego świata, którym przychodzi głupia myśl do głowy krzewienia cywilizacyi zachodniej wśród dzikich plemion Azyi północnej, że ludzie ci, nawet wobec dziczy jakuckiej, poczuwali się do pewnych obowiązków i nie mogąc w niczem bytu ich poprawić, doznawali uczucia „niepokoju i zawstydzenia jakie zwykle ogarnia stojącego zdala od ogólnych trosk i pracy ogólnej.“ Kto słyszał coś podobnego, żeby człowiek się ma twił i udręczał tem: „że jest jak ta gałązka ze szczytów strącona na dół, zmuszona patrzeć na mozolne życie i ciężki trud korzeni i — więdnąć bezsilnie?“ Co to za tragizm „stać zdala od trosk ogólnych i nie módz wysiłków swoich sprzęgnąć z wysiłkami istot nam podobnych?“ Ależ to próżne suszenie sobie i innym głowy! Czyż cierpienia tego rodzaju mogą się mierzyć z cierpieniami tych wszystkich większych i mniejszych „mistrzów“ autoanalizy? Jakież mogą wreszcie być cierpienia tam, gdzie nie ma ani buduarów wonnych i zamieszkujących je „sfinksów,“ ani przedmiotów, mogących obudzić nienasyconą chęć użycia lub pragnienia sławy ani też złożonej cywilizacyi — jej po-

[1]) Wacław Sirko: „Na kresach lasów“. Opowiadanie. Petersbug 1894.

Uwaga Red. Pewne niedomówienia i niejasności powyższego artykułu mają swe źródło w tem, że artykuł ten przeznaczony był pierwotnie dla jednego z czasopism wychodzących pod cenzurą rosyjską. Krytykowi chodziło głównie o skreślenie psychologii wygnańca na podstawie osobistego doświadczenia.

NAUCZYCIEL.

OBRAZEK Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI

przez

M. WITOROZA.

— Padam do nóg panu dziekanowi! — rozległ się głos w wagonie drugiej klasy pociągu, wyjeżdżającego z Podgórza do Wadowic, gdy doń elastycznym krokiem wskoczył mężczyzna lat średnich.

— A, co za miła niespodzianka! pan profesor tu? – zawołał przybyły i dodał zwracając się ku peronowi: No, chodźże, zuchu, bo pociąg ci ucieknie.

Ostatnie słowa zwrócone były ku malcowi lat około 10, o nizkim wzroście, lecz twarzyczce rumianej i minie czupurnej, który pod jedną pachą dźwigał ogromnych rozmiarów zielone, podłużne pudło z blachy, pod drugą zaś — drewnianą kasetę.

— To mój Jurek — rzekł przybyły, gdy chłopak, z biedą wygramoliwszy się, złożył swoje ciężary i zamaszysty składał ukłon. Dokądże profesora para niesie?

— Do Wadowic. A pana dziekana?

— Także do Wadowic. Składa się przepysznie. Jedziemy razem.

Mówiąc to, dziarskim uściskiem ręki powitał profesora, złożył letni płaszcz i parasol na ławce, zdjął kapelusz i wygodnie się rozsiadł. Była to osobistość znana w towarzyskich i uczonych kołach Krakowa. W sile wieku, czerstwej twarzy, o energicznych rysach i ruchach, z bujną na głowie czupryną, z nosem szerokim i wybitnem czołem, wyglądał równocześnie, jak przemysłowiec, hreczkosiej i minister. Był dziekanem uniwersytetu jagielońskiego.

— To pan profesor pewno w gościnę do znajomych?

— Tak, a pan dziekan?

— W trojakim celu. Odbyć lekcyę z moim malcem, dać mu sposobność odwiedzenia ciotki w Wadowicach, a wreszcie...

— Jakto jedzie pan do Wadowic z malcem na lekcyę?

— Nie inaczej. Ten żuczek zna już wszystkie zabytki Krakowa tak, jak jego ojciec. Zresztą Wadowice mają to, czego Kraków nie ma: góry, górali, rośliny i powietrze. Patrz pan, już porozkładał swoje zasuszone zioła i przyrządy do obliczania wysokości gór, a biega to od okna do swoich skarbów, jak kulka rtęci. Jurek, nie wychylaj się! Powiedz panu profesorowi, co ci zadałem na lekcyę do Wadowic?

Malec susem przyskoczył do okna i stanął z miną napoleońską; włosy na główce stały mu, jak u jeża, a oczy z pod namarszczonych brwi świeciły się. Rzekł z komiczną powagą:

— Mam zapamiętać położenie Wadowic, ażeby po powrocie narysować plan... Mam zapamiętać, jak wyglądają i ubierają się tam ludzie, których zobaczę na targu, i co będą sprzedawali... Mam ze Stasiem zrobić wycieczkę na Gorzeń, zapamiętać, co tam zobaczę! zbierać rośliny i obliczyć wysokość tej góry nad poziomem morza.

A widziałeś morze?

— E, nie, bo najpierw trzeba Galicyę poznać, a potem dalej.

— Ale na Gorzeni są lasy, a w lesie nie boisz się niedźwiedzia?

— Pan żartuje ze mnie, a ja się nie dam zjeść w kaszy, jak szwed.

Wybuch śmiechu obu panów nastąpił po tych słowach, wymówionych tak stanowczym tonem, że nie pozostawiały żadnej wątpliwości. Na skinienie ojca malec odszedł do swego zielnika, a dziekan mówił dalej:

— Trzecim celem jazdy mojej jest odwiedzenie kolegi i przyjaciela ze szkolnej ławy. Co roku odwiedzam przynajmniej jednego kolegę szkolnego. Z tym nie widziałem się lat 20. Po powrocie z zagranicy, przypadkiem dowiedziałem się, że jest nauczycielem gimnazyalnym w Wadowicach.

— Jak się nazywa?

— Bielusz.

— Znam, znam go. Niech to pana nie dziwi. Wszak byłem ongiś przez rok cały suplentem w Wadowicach, zanim udało mi się przenieść do Krakowa na posadę. Ale ten Bielusz — to dziwak skończony.

— Co pan mówi?

— Tak, tak. W ogólności rzecz godna

nęt i subtelności, jej nadczułej samowiedzy swego „ja," namiętnych rozpędów ku lepszemu, szałów niemocy i upadków wzniosłych; kiedy tam ludzie żywią się śmierdzącą rybą i kałem reniferowym, książek nie widzą całemi tygodniami i latami, wzruszeń artystycznych nie doznają i żyją długie, ciężkie lata bez wrażeń i promieni rozbudzonej myśli, w mroku wieczystym, w przytłumieniu ducha i w apatyi?

Tak, zapewne!.. Ktoby jednak chciał się przekonać, jakie życie rodzi martwe otoczenie w duchach krzepkich i nieskarlałych, jakie blaski rozwidniają im noc ponurą i jak się w pomroce duchy te poruszają, niech przejrzy uważnie opowiadanie Sirki.

Współczucie dla ludzi, zmuszonych istnieć w warunkach, nie odpowiadających skali ich wymagań cywilizacyjnych, gdzieś wśród gromad ludzkich, mało uspołecznionych, w otoczeniu nietkniętem jeszcze przez kulturę współczesną, dość zabawnie się niekiedy wyraża. Częstokroć podobnych rozbitków losu żałujemy przedewszystkiem dla tego, że są wystawieni na prywacye i ograniczenia życiowe, redukujące „używanie" do bardzo skromnych rozmiarów i niepozwalające na należyte zaspakajanie elementarnych potrzeb bytu, nie mówiąc już o potrzebach wyższych. Ubolewamy więc nad nimi, że nie pijają kawy czarnej po obiedzie, nie czytują dzienników najświeższych itp. Następnie domyślamy się, że ich „zjada" tęsknota po ludziach i przedmiotach, tworzących niegdyś środowisko z którego wyszli. Czem jednak jest owa „tęsknota" i jak ona kogoś „zjada"? — Tego dokładnie nie wiemy. U nas tęsknota zazwyczaj z nudy wypływa: znudzi nas otoczenie, przesycą wrażenia, coś nie odpowie wymaganiom naszym, więc tęsknić zaczynamy do bytu innego, uczuwamy niesmak, uprzykrzamy sobie rzeczywistość i... przenosimy się w zaświaty. „Na kresach lasów" nęka co innego. Oto Paweł taki, zmuszony żyć wśród Jakutów, tęskniący i po ludziach i po przedmiotach, z któremi się rozstał, gnębiony jednostajnością wrażeń i niezaspakajający elementarnych potrzeb cywilizowanego człowieka, jakoś daje radę sobie z tem wszystkiem. Nędza materyalnego istnienia nie martwi go bardzo: znosi on wytrwale wszelkie braki życia organicznego i z tej strony nie widzi dla siebie niebezpieczeństwa. Przyzwyczaja się powoli do obcego otoczenia; zarówno do ludzi, nic wspólnego z nim nie mających, jak i do natury—obcej mu, wrogiej prawie. Stara się nawet wyszukać w tem otoczeniu coś takiego, coby można było umiłować, z czem można byłoby wejść w ściślejszy, sympatyczniejszy stosunek. *Namawia* siebie na to życie upośledzone i *zgadza* się na nie i to nie z powodu jakiejś tępej bierności, rezygnującej z czegoś lepszego, ale świadomie, w poczuciu tych obowiązków, jakiemi względem swego nowego otoczenia pragnie się przejąć. Ale z tego powodu właśnie doznaje duch jego nieznośnych przygnębień, ztąd płyną jego rozpacze i tęsknoty bezradne: słowem, cały tragizm położenia. Przekonywa się bowiem prędko, że na nic się swemu otoczeniu nie zda, że dla ludzi, z któremi żyć mu wypadło, większą posiadają wartość zasoby: cukru, herbaty, perkalu, rzeczy zawartych w jego kuferku, niż cała jego inteligencya, dobra wola i uczucie. Upokarza go więc naprzód jego bezużyteczność i gnębi niemożność zlania się organicznego z tem, co obok niego żyje i cierpi bez jego współudziału. Więc jest niczem, zerem, co najmniej jest „jak tak gałązka, ze szczytów strącona na dół," co więdnąć musi i bezsilnie patrzeć na mozolną pracę korzeni. A wszak kiedyś w innem środowisku i wśród innych ludzi miał i on swe miejsce i swe znaczenie, pracował wspólnie i dążył z innemi do jednego celu, był użytecznym i posiadał świadomość swej wartości. Tam uczucie jego było zużywane, inteligencya należycie ocenianą i wyzyskaną. I oto z zestawienia tego, co było, z tem co jest, z myśli o „troskach wspólnych i pracy ogólnej" — z poczucia ich konieczności i potrzeby powstają smutki Pawła i jego tęsknoty. Z tego rodzaju tęsknotą, z tem przeświadczeniem o niemożności zastosowania się do danego otoczenia i wzięcia czynnego udziału w jego najżywotniejszych sprawach i interesach trudniej jest sobie dać radę, niż ze wszelkiemi innemi cierpieniami i tęsknotami, wynikającemi z nienormalnych warunków istnienia. Gdy Pawła np. razi i drażni dzikość zwyczajów jakuckich, to pociesza się, że to pochodzi z nieprzyzwyczajenia. Powiada on sobie: „przywyknę" — i jest mu potem lepiej. Gdy go nękają cierpienia fizyczne a serce zbyt się już krwawi na wspomnienie lepszych czasów innej przeszłości, potrafi siebie skarcić surowo przypomnieniem cierpień innych; powie więc sobie: „Nie ty jeden i nie ty najwięcej!" — i jest mu lepiej i znośniejszem staje się własne cierpienie.

Na to więc duchy silne znajdują w mocy swojej pokrzepienie, tamta zaś tęsknota, płynąca z niemożebności użytecznego zajęcia siebie i z użycia, nie daje się żadnemi fortelami i wybiegami ukoić. Cóż więc w takim razie? Trzeba „więdnąć bezsilnie", stawać się bezwładnym, zapadać w sen bez marzeń, zgodzić się z góry, będąc w pełni sił ducha i potęgi pragnień na „marasmus senilis". Więc i Paweł patrzy okiem strwożonem na krzątanie się Jakutów, związane z ich walką codzienną o byt, na wysiłki ich i zabiegi, czynione w celu utrzymania nikłej i niepewnej egzystencyi. Współdziałać z nimi nie może; co najwyżej może czynić sobie gorzkie wyrzuty, że wrażliwość ma stępioną i niedostatecznie się przejmuje żywotnemi zadaniami ich życia. Nędzna pociecha! Czasami wprawdzie ma tę przyjemność, że może im wytłomaczyć: co to jest żelazo, jak się robi perkal, albo stara się zastąpić ich wrodzony fatalizm pojęciem mniej beznadziejnem i zachęcić do walki ze złem, np. z ospą, dziesiątkującą ich bez miłosierdzia; ale to sumienia uspokoić nie jest w stanie.

Na tę niemożność związania swego istnienia z bytem zbiorowości, w której żyje i sprzęgnięcia własnych celów z jej celami, cierpi istota Pawła, dotykana w jej czułych instynktach społecznych. To jest jego *elementarne* cierpienie; przypomnienie zaś tej pracy, którą instynktom tym dogadzała i przekonanie o tem, że jest do niej uzdolniony, cierpienie to tylko potęguje. Paweł cierpi, jako jednostka wyższa, której nie o to chodzi, by zasiąść u stołu biesiadniczego cywilizacyi współczesnej, lecz że wysiłkom cywilizacyjnym dopomagać nie może.

Pozostają inne jeszcze cierpienia; płyną one z uczuć niezaspokojonych, z nieuzewnętrznionej tkliwości serca i zasobów wzruszeń rzewnych, niemogących w ruch się za-

---

uwagi, jak wielu jest dziwaków w naszym zawodzie.

— Czemże się objawia to dziwactwo u Bielusza?

Czem pan chce tem samem czem u wielu innych. Zbyt ciasnem oddychamy powietrzem i zbyt monotonnie żyjemy. Ztąd wytwarzają się pewne zboczenia fizyologiczne: ścieśnienie mózgu, a rozszerzenie serca.

— Dyagnoza może nie ściśle naukowa, ale, kto wie, czy nie prawdziwa. A jednak ten Bielusz był dawniej niezwykle szlachetny; wcale pokaźnych zdolności, pełen zapału, zagorzały idealista, wierzący w tryumf dobrego i całą duszą poeta. Od klasy siódmej obaj celujący uczniowie żyliśmy w najserdeczniejszej przyjaźni. Prawda, ja miałem zawsze pierwszą lokacyę, on drugą, ale on więcej umiał, znacznie więcej, był pracowitszy... i, co prawda, szlachetniejszy.

— Dla czegóż więc panu dawano pierwszeństwo?

— Byłem śmielszy, sprytniejszy, zresztą zdrowszy. To w życiu prawie zawsze rozstrzyga. Ja korzystałem od niego, on od nikogo; nie popisywał się wiedzą połowiczną; milczał, jeżeli nie wiedział czegoś napewno i gruntownie; nie umiał wyzyskać wiedzy swej na własną korzyść. Egzaminu dojrzałości tylko dlatego nie złożył z wyszczególnieniem, że zamiast po jednem zadaniu dla siebie, pisał ich po pięć dla siebie i kolegów, i to z każdego przedmiotu.

— Zaciekawiasz mię pan. To dobry człowiek.

— Dobry był jak rzadko. Ale miał naturę, rzekłbym, nie do dzisiejszego życia. Ideali ta, marzyciel, błąkał się po mlecznych drogach, u nóg nie widząc kamieni. Wychodziliśmy często na dalekie przechadzki. I ten zagorzalec, którego kochałem, ale z którego marzycieskich porywów i pomysłów nieraz w oczy się śmiałem, tak umiał rozkołysać moją wyobraźnię, tak usposobić i rozgrzać, żeśmy wobec piękniejszych widoków przyrody, ukryci za skałami, w zachwycie padali na kolana, obejmowali się, modlili, przysięgali sobie dążyć wspólnie do doskonałości, coraz większej. Dzieciństwo, ale szlachetne. I dziś przyjemne wspomnienie.

— Ba, cóż z tego, kiedy z niego zrobił się dziwak, a pan przez dwadzieścia lat nie widział się z nim nawet.

— Doznaję też wyrzutów sumienia. Cóż zresztą było robić? Stosunki. Rozstaliśmy się po maturze, Ja dostałem stypendyum i wyjechałem zagranicę, najpierw do Wiednia, gdzie biedowałem, ale uczyłem się wiele. On po śmierci swego ojca, dla utrzymania matki i sióstr, wyjechał na wieś na guwernerkę i tam może kilka lat życia zakopał.

— Więc korespondencya...?

— Zrazu parę listów, potem żadnej. Nie miałem czasu, on może ochoty. Dwa razy tylko otrzymywałem pieniądze od bezimiennego. Niedawno dowiedziałem się przypadkiem, że on był tym bezimiennym, a byłem wówczas w najrozpaczliwszej biedzie. Zkąd dowiedział się o moim adresie i przykrem położeniu, do dziś dnia nie wiem. Ale czy pan uwierzy, gdzie się najniespodzianiej spotkałem z jego nazwiskiem? W Londynie. Przed czterema laty jeździłem tam, jako delegat uniwersytetu. W pewnem towarzystwie uczonych, w ciągu dyskusyi, filologowie wymienili mi jego nazwisko. Pytam o wyjaśnienie i widzę zdumienie na twarzach. „Jakto — pytają — nie znasz pan nazwiska swego rodaka, którego dzieło jest w gronach filologów niemieckich tak cenione?" Musiałem się płonić i w pokorze ducha, zaraz nazajutrz w bibliotece, kazałem sobie dać dzieło Bielusza. Pisane po łacinie, lat temu 10, w zakazanej jakiejś kwestyi filologicznej. Oczywiście nie czytałem, bo mnie te sprawy mało obchodzą. Masz pan dowód, że ten dziwak pracował. Ale niech mi pan przecie powie, czy rzeczywiście ten biedaczysko tak zdziwaczał?

— Po tem, com przed chwilą słyszał, jestem w kłopocie. Tak mi mówiono. Ale sądy ludzkie na wodzie pisz. Sam znałem go krótko, pobieżnie i już dawno temu. Zdziwaczeć można było łatwo. Mnie także prawdopodobnie byłby ten los spotkał, gdybym dłużej był wytrwał w takich stosunkach, jakie tam do niedawna były. Chcesz pan słuchać? Dobrze, opowiem szczegółowo, bo i tak jeszcze parę godzin jazdy mamy przed sobą...

— Za moich czasów był dyrektorem

mienić i zwrócić w formie określonej ku istotom otaczającym. Cierpienia te, będące wynikiem niemożności rozszerzenia życia psychicznego, gorzej daje się we znaki, wierzajcie nam, cośmy życia „na kresach lasów“ nieco popróbowali — niż prywacje fizyczne i ograniczenia materyalnego bytu. A jak gnębią one duch, jak kruszą go w niwecz i upośledzają, jak niewyszukaną, lecz trudną do uśmierzenia tęsknotę rodzą! Człowiek, żyjący w warunkach normalnych kultury, gdy ma główne potrzeby swoje w dostatecznej mierze za spokojone, gdy go znuży i zniecierpliwi jednostajność odbieranych wrażeń, oraz prawidłowość wykonywanych czynności, bez czego jednakże nie pojmowałby życia, zaczyna się oglądać za czemś *nowem*, niezwykłem, nieokreślonem, byleby módz tylko przerwać monotonię swego istnienia, znowu czemś się przejąć silniej i pobudzić do życia. Na tle znużenia i zniecierpliwienia wytwarza się w nim jakaś mętna przeczuciowość i nieokreśloność pragnień, które mu niepozwalają widzieć w formie wyraźnej przedmiotów, mogących przynieść zadośćuczynienie. Wyobraźnia jego domaga się wciąż nowych ideałów, a nerwy nowych wrażeń. Zkąd ma przyjść to, czego żąda, z której strony wyczekiwać przebijania się promieni zbawczej jutrzenki — oto nie pyta i nie dba zbytnio i nie wie zresztą. Ale ta nieokreśloność i niepewność nadziei w nim nie zmniejszają, pragnień nie niszczą. Owszem, on wciąż wyglądać będzie rzeczy pożądanych i na rozmaitych punktach widnokręgu wzrok swój zatrzymywać, wyczekując ich; może być wprawdzie rozmaitemi znakami w błąd wprowadzony, może się sparzyć to na tem, to na owem, ale łudzić się i spodziewać nie przestanie, dla tego naprzód, że pragnie, a po drugie, że ma przed sobą nieskończoność, niezdeterminowaną i nieokreśloną, ma nieustanną możność i dowolność przypuszczeń. W warunkach takich, w jakich żyje Paweł, ma się przed sobą skończoność, ściśle zdeterminowaną: tam się tęskni do istot *żywych*, tych, które się zna doskonale i które żadną *nowością* nie są; tam każdemu pragnieniu odpowiada kształt wyraźny, w liniach swych niezatarty; tam wie się, że właśnie tej rzeczy, a nie innej chcemy, że tylko ona jest w stanie potrzebie naszej zadość uczynić; na chwiejność i niepewność wyobraźni tam się nie choruje. Ale dla tego właśnie tęsknota tam jest tak straszna i beznadziejna — łudzić się i spodziewać tam niepodobna. Oto stoją przed nami wyraźnie, jak żywe, przedmioty naszych pragnień i potrzeb, wiemy, co z nich wybrać, by zadowolić siebie, ale wiemy również, że każda z tych rzeczy stoi poza obrębem naszego dosięgania, że mamy bezwzględną niemożność jej dostania i.... wszystko w ten sposób się kończy i każde pragnienie w tem przeświadczeniu się gubi i krzepnie, a tęsknota wciąż pozostaje. A jak się tam tęskni!... Tam każda cząsteczka nasza jest przesiąknięta utęsknieniem; człowiek cały grzęźnie we wspomnieniach, w dawniej przeżywanych stanach ducha i położeniach; najlżejszy wietrzyk przypomnień dreszczem go przejmuje, najbłahszy pretekst roztkliwia i rozmiękcza serce; rezultatem zaś tego wszystkiego bywa najczęściej upośledzenie i pokrzywdzenie ducha. Życie, nic tam nie dające, pastwi się i ironię swą dokonywa. Czyż bowiem nie jest ironią chęć automatycznego, obojętnego *powtarzania* tego, co niegdyś było istotną przyjemnością naszą i odpowiedzią na bodźce, odbierane z zewnątrz, po to tylko, by sprawić sobie przypomnienie blade czegoś, co się kiedyś robiło i lubiło. Tam mówi się nieraz, nie będąc do tego zachęconym żadnym bodźcem zewnętrznym, po to tylko, by mówić to i w ten sposób, co w obec kogoś niegdyś się mówiło, słowem, powtarza się czynność jakąś dla niej samej, chociaż nie ma ona i nie może mieć rozumnego zastosowania.

Z tych usposobień i konieczności wynikają najczęściej położenia, podobne temu, w jakiem znalazła się rozmarzona Tytania, pieszcząca głowę osła. Lecz i na to jeszcze nie jedenby się zgodził, gdyby rozczarowanie podobne mogło być poprzedzone jakiemś rozkosznem marzeniem, o nie jednak najtrudniej: nie marzenia lecz chorobliwe halucynacye są tam udziałem duszy utęsknionej.

W taki sposób moglibyśmy „Na kresach lasów“ rozpatrywać dłużej; i tego jednak wystarcza, by przekonać, że utwór ten godzien jest głębszej rozwagi. Zasługuje na nią jeszcze z wielu innych względów. Bogaty materyał etnograficzny, zawarty w książce, dotyczący mało znanego bytu ludów Azyi północnej, stanowi także niemałą ich wartość. I jako utwór artystyczny, nie jest książka Sirki byle czem. Prześliczne znajdujemy w niej opisy: zachodów słońca, wieczorów mglistych, poranków świeżych itp. Obrazy natury, jakie maluje Sirko, są wynikiem głębokiego zżycia się autora z otaczającą go przyrodą, rezultatem przystosowania się do niej wrażliwości jego, szukającej na jej łonie ukojenia. Dla tego to autor dość często swoje stany psychiczne dostraja do stanów natury i widzi w nich nieraz to, czego nie zawierają w sobie. Towarzyszy to jednak zawsze przymusowemu kontemplowaniu przyrody. Barwnie i ruchliwie odtwarza nam autor niektóre sceny z życia Jakutów; takiemi np. są opisy polowania na renifery, uczty wygłodzonych Jakutów i inne. Opisowość jego dosięga szczytów pełni i siły artystycznej na końcowych kartach książki, poświęconych opisowi spustoszeń, zrządzonych wśród Jakutów przez ospę. Przerażające to i przejmujące grozą sceny. Zauważyć tu także trzeba, że opisowość autora odznacza się pełnym miary i szlachetności naturalizmem, nie pozwalającym sobie na żadną drastyczność i dosadność dla nich samych — gwoli przyjętej manierze, lub w celu wywołania grubszego, doraźnego efektu. Wrażenie, jakie pozostaje po zamknięciu książki, jest ze wszechmiar dodatnie i pokrzepiające. Serce drętwieje nieraz z bólu, gdy się rozważa przygody i życie Pawła wśród Jakutów, ale z tego rozważania wynosimy głębokie poczucie szacunku dla istoty ludzkiej, wiarę w potęgę bodźców moralnych i uwielbienie dla tych, co z niszczącemi ducha naszego potęgami, potrafią się pasować i nie marnieć.

Wł. Jabłonowski.

---

tamtejszego gimnazyum pedagog, który w ciągu 20 lat służby nauczycielskiej odznaczył się tem, że ani razu przy poprawianiu zadań, nie przeoczył opuszczonej w zeszycie kropki, ani zaniedbanego przecinka, ani razu później nie przyszedł do szkoły, jak na 15 minut przed swą godziną, nigdy o włos nie zboczył od przepisów i rozporządzeń, a nadto zwrócił uwagę władz wynalezieniem i szczególnie biegłem zastosowaniem poczwórnego rodzaju katalogów, nader sztucznie pokratkowanych w różne strony. Długo byłoby wyliczać sposób tego pokratkowania i pożyteczne zadanie każdego z tych katalogów. Dość powiedzieć, że osobne rubryki były przeznaczone na oznaczenie wzrostu uczniów i barwy ich włosów; inny katalog, t. z. klasyfikacyjny podawał kombinacye różnych not z całego półrocza wstecz, wzdłuż i wszeż zliczonych i po kilkakroć zsumowanych, a tak był bystro obmyślany, że w zdumienie wprawiał całe nauczycielstwo. Pedagog ten położył także liczne jeszcze inne zasługi. Rada miejska miejscowa swego czasu postanowiła wybudować okazały gmach dla gimnazyum, a stary z powodów hygienicznych i estetycznych zburzyć, ponieważ — jak się któryś radzca miejski wyraził — zatruwał powietrze w mieście i przechodniom sprawiał wstręt i obrzydzenie.

Owóż, idąc w ślad Jana Śniadeckiego, który ongiś uratował byt akademii wileńskiej, nasz pedagog wykazał w radzie dobitnie, że ze względów pedagogicznych gmach nowy byłby dla młodzieży szkodliwy, gdyż należy uczniów wychowywać w pokorze i pogardzie świata: a przemawiał z taką siłą przekonania, tak umiał zachwalić stare mury, które wychowały tyle pokoleń, że ojcowie miasta dali się przekonać, choć niechętnie. Miał on w tem cel inny, który osiągnął. Potajemnie napisał długi memoryał do ministerstwa, dowodzący, że budynek gimnazyalny jest niepotrzebny, ale za to bardzo pilna zachodzi potrzeba wybudowania nowych koszarów dla wojska, których wybudować nie chce rada miejska z pobudek patryotycznych.

Za tak liczne zasługi, a zwłaszcza za ostatni pomysł mianowany dyrektorem, urósł w opinii własnej jeszcze więcej i postanowił teraz dopiero wykazać, czego dokonać zdoła umysł genialny na tak wysokiem stanowisku. Z zakładu sobie powierzonego, postanowił uczynić podziw świata, niejako model na wzór dla innych, spodziewając się, że, wezwany potem na ministra, wpływ swój dobroczynny roztoczy nad szkołami całego państwa. Jako dobry administrator, zadziwił zaraz w pierwszym miesiącu władze oszczędnością, czytał bowiem nieraz, że dobrzy administratorowie bywali zawsze oszczędni. Przeto trzecią część dochodów, przeznaczonych na środki naukowe, odesłał do skarbu państwa, jako pieniądze zaoszczędzone, nadto wniósł do konferencyi grona, ażeby profesorowie, dając przykład powściągliwości i umiarkowania, ofiarowali co miesiąc, co kto może, dla zwiększenia tych oszczędności, sam piątą część swych dochodów na ten cel przeznaczając. Na jego także wniosek, władze zaczęły przyjmować zastępców z połową płacy miesięcznej. Nadto zajął się nie na żarty uporządkowaniem administracyi i nauczania. Pomimo rozpaczy żony, kobiety — co prawda — wiecznie płaczącej, siedział w kancelaryi swej od godz. 5 rano do godz. 9 lub 10 w nocy, po kilka razy przepisując na czysto katalogi i sprawozdania, wprowadzając nowe rubryki i księgi, oryginalne druki i blankiety. Jako zawiadowca gabinetu przyrodniczego, musiałem po 10 razy spisywać minerały, motyle i rośliny. Sprawozdania do rady szkolnej szły co dzień stosami, konferencye odbywały się niemal co dzień: to pedagogiczne, to dydaktyczne, to dyscyplinarne, to plenarne, to miesięczne, to tygodniowe, to wyjątkowe, to klasyfikacyjne, z powodu każdego rozporządzenia i każdego zajścia w szkole. Na hospitacye przychodził niespodzianie z dwoma katalogami w jednem i instrukcyami w drugiem ręku, i przez całą godzinę notował skrzętnie wszelkie usterki w metodzie nauczania. Zeszyty co drugi miesiąc przeglądał, wyłapując złe terminy zadań lub niepoprawione przecinki.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

„ŻNIWIARKA“
figura konkursowa R. Lewandowskiego.

Stary mrok zimowego południa zalegał ulice Wiednia, gdy wyskoczyłem z tramwaju w Alleegasse przed domem, noszącym nr. 66.

„Czwarta godzina — ciemno już; chyba nie zastanę go w pracowni“ — myślę sobie, ale mimo to drapię się po schodach w górę. Cwarte piętro, na drzwiach karta: Stanisław Roman Lewandowski, akad. Bildhauer“. Dzwonię. „Herein“ — krzyczy ktoś z wewnątrz głosem dźwięczącym jakąś gorączkową energia. „Dobry wieczór“ — i wchodzę do obszernego atelier, w którem wysoka, barczysta, pysznie zbudowana postać rzeźbiarza, o grubym karku, rozwichrzonych włosach, w szarej kurtce, z rękawami zakasanemi. stoi koło jakiejś nagiej, szarej, glinianej figury kobiecej, lepiąc i babrząc się zawzięcie w mokrej glinie. To akt do „Żniwiarki“.

— Jakto, to pan jeszcze modelujesz, w takim mroku? — pytam rzeźbiarza.

A ten, chwytając mnie mokrą ręką za ramię, odpowiada:

— Panie, toż jabym całą noc robił, gdybym miał światło. Ze mną tak zawsze! Gdy mnie gorączka pracy ogarnia, rozpalam się i pracuję, jak koń! Od ósmej rano stoję tu bez przerwy a niekiedy i bez jadła. Uwierzysz pan, że cały ten akt pod draperyą wraz z rusztowaniem zajął mi niespełna sześć dni pracy? Co, ładna kobiecina? W tem jest ruch, prawda?

Tymczasem ściemniło się w pracowni tak dalece, iż trzeba było przerwać robotę. Rzeźbiarz wdział surdut i razem opuściliśmy pracownię.

— Czy tylko aby skończę na czas figurę!... Jeszcze trzy tygodnie dzielą nas od konkursu! Ej, chyba skończę — dodał z energicznym błyskiem w oczach. — Dlaczegożbym nie miał skończyć..

Istotnie skończył w porę.

Pod delikatnemi palcami artysty, glina nabierała coraz większego życia, draperya rozwiewała się, zmieniała fałdy i dochodziła natury. I w wiedeńskiej pracowni stanęła „Żniwiarka z pod Bronowic“, z sierpem w ręku i wiezią złotej pszenicy. Słońce dopieka snać skwarem południowym, gdyż młoda kobieta zmęczyła się porządnie i chwilę chce odetchnąć i spocząć w pracy. Przeciąga się i prostuje smukłe, gibkie członki; głowę, którą chuścina okrywa, w tył odrzuciła i zmrużonemi oczyma patrzy się w jasną, złotą, słoneczną dal. Pod koszulą, zwieszającą się mokremi od potu fałdami. czuć młode i jędrne ciało, piersi twarde jak gruszki.

Ale los omal że nie splatał fatalnego figla gipsowemu odlewowi, wysłanemu do Warszawy. Kolej północna zwróciła artyście rzeźbę z drogi, zawiadamiając go, iż skutkiem spotkania się pociągów w drodze, figura uległa uszkodzeniu. Szczęściem, szkoda dała cię naprawić. Artysta jął się znowu z żelazną energią do pracy i w ciągu kilku dni złożył kawałki i sporządził nowy odlew.

Zapewne równocześnie z moją korespondencyą, rzeźba R. Lewandowskiego pojawi się na wystawie warszawskiej, a dalsze jej losy zawisną od sędziów i publiczności. W pracowni zaś artysty wznosi się już nowe rusztowanie, na którem stanie „Kain“. Dzieło to w sposób symboliczny ma uzmysłowić zbrodnię i psychologicznie uwydatnić duszę zbrodniarza.

Wiedeń, 15 stycznia 1896 r.

Ludwik Szczepański.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Listy z nad Wisły.

Warszawa, 1. lutego.

I.

(Sprawa Łotarewa. Dymisya dra. Rothego. Nasz lojalizm. W mrokach).

Rozpoczynając tę seryę listów ze stolicy Polski, jestem doprawdy w kłopocie, o czem pisać. Gdybym pomiędzy czytelnikami waszego pisma mógł urządzić plebiscyt, zastosowałbym się do życzeń większości. Dla czytelnika z pod zaboru pruskiego przedewszystkiem muszą być interesujące fakty ucisku, bo choć i on nie stąpa po różach, to jednak system rządowy, któremu podlega, oparty jest choć na pozorach prawa, a wykonawca systemu bierze się do dzieła, wdziawszy rękawiczki kultury. My tu dawno o rękawiczkach zapomnieliśmy, a prawa istnieją tylko po to, aby było czem zapełnić „S w o d Z a k o n ó w.“

Rządy bezprawia, stosowane przez Hurkę i jego poprzedników, kontynuje i hr. Szuwałow — może w mniej brutalny sposób. Rusyfikacya w szkołach bynajmniej nie ustaje; na końcu przeszłego roku szkolnego doszła do tak przerażających rozmiarów, że po wakacyach nawet rząd się opatrzył i część wydalonych profesorów Polaków przyjął na nowo.

Chciałbym podać Wam kilka faktów donioślejszego znaczenia, ale o to u nas najtrudniej. Bardzo trudno sprawdzić wszelkie opowiadania, które krążą po mieście, a przysiągłem sobie nie komunikować Wam innych faktów, jak tylko sprawdzone najściślej. Przytem ucisk jest ciągły i stały. Nam, co żyjemy w tem jarzmie, nie byle co może zaimponować...

Do czego dochodzi zuchwałość Rosyan u nas, o tem świadczyć może następujące zdarzenie, stare już dosyć, ale, o ile mi wiadomo, nieuwzględnione dotychczas przez żadne z pism polskich za granicą. Za autentyczność szczegółów mogę ręczyć.

Rzecz dzieje się na otwarciu wystawy przemysłowej w Łodzi. Po opuszczeniu inauguracyjnego bankietu przez hr. Szuwałowa, p. Mieszkowski, redaktor „Kuryera Codziennego“ wzniósł po polsku toast na cześć komitetu urządzającego wystawę, dziękując mu za gościnne przyjęcie prasy. Na to wstaje niejaki Łotarew, dyrektor adminisracyjny zakładów Szajblerowskich i wyraża swoje oburzenie z powodu, że w kraju „r u s s k i m,“ ktoś śmie przemawiać nie w ojczystym, lecz obcym języku. Tego było zawiele nawet dla flegmatycznych Niemców. Dwóch członków Komitetu, (z których jeden Niemiec,) niedelikatnie wysunął p. Łotarewa za drzwi, naczelnik zaś jego, p. Herbst, zapowiedział mu, że go wydali z zajmowanej posady. Ochłonął on jednak potem widocznie, bo p. Łotarew pozostaje na swojem stanowisku, lubo w fabrykach Szajblera chciał zaprowadzić zamiast urzędowego niemieckiego — język rosyjski. —

Wydalania Polaków z posad rządowych idą swoim trybem. Niedawno los ten spotkał zasłużonego lekarza szpitala dla obłąkanych (Bonifratrów) dra. Rothego. Z polecenia jenerał-gubernatora do szpitala Jana Bożego przyjechał na rewizyę ochmistrz Pietrow z rozkazem, aby wszystko widział w złem świetle. Tak się też i stało. Pietrow stwierdził nadużycia i nieporządki, a na tłomaczenie dra. Rothego odpowiedział szorstkim rozkazem podania się do dymisyi. Dr. Rothe wręczył podanie, a gdy na specyalnej audyencyi u hr. Szuwałowa chciał się uniewinnić, odpowiedziano mu, że nie czas teraz na tłomaczenia, kiedy dymisya już jest faktem dokonanym. Krąży po Warszawie następująca pogłoska, co do przyczyn tego faktu. We wrześniu uciekł ze szpitala niejaki Kasprzak, przestępca polityczny, który tak świetnie udawał w cytadeli warjata, że go oddano na obserwacyę do szpitala. Jego narzeczona, uzyskała od szefa żandarmów, jen. Broka, pozwolenie na odwiedziny i dała mu podobno piłkę, którą on przepiłował kraty w oknie i uciekł. Druga wersya mówi, że stróże byli przekupieni i że oni to p o s t f a c t u m przepiłowali kratę, aby zrzucić z siebie podejrzenie. W każdym razie z punktu widzenia władzy winnym powinien by być jen. Brok a nie dr. Rothe, aleć Polak oczywiście musiał odpokutować.

Cóż społeczeństwo na to wszystko? — zapytacie. Społeczeństwo marzy o ugodzie, łudzi się jeszcze co do osoby hr. Szuwałowa, tembardziej, że są tacy, co mają swój interes w tem, aby złudzenie trwało jaknajdłużej. Hr. Szuwałow postara się jednak sam oto, aby ślepym łuski z oczu opadły!

Niedawno wyjeżdżał ztąd niajaki Kuncewicz prezes sądu handlowego. Pp. Stanisław Brun, Edward Landic i Bronisław Werner, kupcy, zainicjowali zebranie składki na prezent dla wyjeżdżającego, który jest typem „djejatiela“ w najgorszym gatunku. Za czasów swego urzędowania pousuwał wszystkich polaków, którzy służyli w biurach sądu handlowego, nawet stróży. Pomimo to, a raczej może właśnie dla tego, wszyscy kupcy, którzy byli sędziami w sądzie handlowym i grono młodych adwokatów (nazwisk ich nie wymieniam, bo może się jeszcze poprawią) złożyli się na wspaniałe kandelabry, zegar i album z fotografiami urzędników. Upominki te zostały wręczone przez deputacyą, której przewodniczący p. Werner w ciepłych słowach skreślił zasługi byłego prezesa i wyraził żal kupiectwa, że traci tak szlachetną i dzielną jednostkę. Podnosi jeszcze zasługę tych panów fakt, że kupiectwo jest jedyną u nas klasą, absolutnie od rządu niezależną, manifestacya więc płynęła z czystego serca, a nie z pobudek interesu. Można śmiało powiedzieć, że nasi ugodowcy im silniej ich policzkują, tem pokorniej nadstawiają twarze... jeżeli nie w rzeczywistości, to przynajmniej na fotografiach, składanych w prezencie „djejatjelom“.

Jeden z wielkich książąt, jeneralny dowódzca kawaleryi, rewidował pułki kawaleryjskie, stojące w Królestwie. Między innemi miejscowościami był też i w Ciechanowie w gub. płockiej. Tamtejszy naczelnik powiatu Herman, będący pod śledztwem za nadmierne łapówki, chciał sobie zasłużyć na najwyższą łaskę kosztem Polaków. Zwołał on tedy obywateli i zaproponował im składkę na tacę dla wielkiego księcia, na której miał być wręczony przez deputacyę chleb i sól. Nikt naturalnie nie protestował; taki jest u nas brak odwagi cywilnej. Co uczciwsi ludzie, to starali się o to, aby nie być do deputacyi wybranymi. Na dzień oznaczony zjechała się deputacya i pięciu panów braci „na gapia“, — z dobrej woli. — Oto nazwiska tych „ugodowców quand même“: Wilczyński, Nieżyński, Łempiccich dwóch, Gutkowski Ignacy ze Smiecina i Jaroszewski. Nazwiska te były już ogłoszone w „Przeglądzie Wszechpolskim“, którego od nośny numer został w Ciechanowskiem rozpowszechniony. Wtedy dopiero spostrzegli się panowie ziemianie co uczynili; ten i ów od ugodowców się odwraca, a na początek dobre i to.

To się dzieje na powierzchni społeczeństwa. Dołem w ciemnościach inne nurtują prądy; krecią robotę opozycyjną prowadzą

jednostki ciemne, nieznane i nieliczne... Raz poraz z szeregu walczących zniknie jeden, lub drugi żołnierz, by się ocknąć na dalekim wschodzie, na miejsce jego nie zawsze staje inny, ale bądź co bądź mały hufiec walczących wciąż istnieje. Nieugięta wiara tej garstki, której smutne życie oświetla tylko zorza idei, wykazuje często wybitne ślady bohaterstwa. Cierpią, lecz z Galileuszem wołają: „E pur si muve!“

Tyle na dziś. Następną korespondencyę poświęcę literaturze i sztuce naszej.

Zbisław.

Ferdynand Lassalle

w listach do przyjaciela.

Cokolwiekby się powiedzieć dało i cokolwiek już wypowiedziano wielokrotnie przeciwko wdzieraniu się krytyki w prywatne stosunki i życie ludzi, stojących na widowni publicznej i przeciwko „kamerdynerskim“ zakusom „ciekawskich“, odgarniających brutalnie zasłonę z domowych tajemnic,—nie da się zaprzeczyć, że do całkowitego poznania człowieka, bez względu na to, jakiego rodzaju działalnością stanowisko swoje zaznaczył i do jakiej wyżyny z nią doszedł, konieczną jest rzeczą zbadanie tych warunków, które bezpośrednio na niego wpływały, odkrycie tych pobudek czysto indywidualnych, które były sprężyną jego działania. Nie dla tego, iżby one dawać miały podstawę do oceny czynów, jako takich, i być probierzem zasługi publicznej, ale dla tego, że w nich i przez nie — zasługa w prawdziwszem świetle, czyn w należytej oprawie, życie całe na odpowiedniem tle się ukaże i indywidualna (nie społeczna), etyczna (nie materyalna) ich wartość dopiero się wyłoni.

Jeżeli w odniesieniu do poetów i artystów — zdanie powyższe ma zupełne uzasadnienie, to tem większe mieć ono powinno zastosowanie do „ludzi czynu“ — a więc do tych, którzy bezpośredni udział w życiu społecznem biorąc, nieraz pod wrażeniem chwili działając, na szalę wypadków wzgląd osobisty obok publicznego z konieczności kładą. Jeżeli interesuje nas kwestya, w jakim nastroju poeta lub artysta dane dzieło tworzył, z jakich pobudek wypłynęły jego utwory, lub czy myśli i uczucia, wyrażane w jego pismach, obrazach lub rzeźbach były szczerem odbiciem rzeczywistych uczuć i zgadzały się zapatrywaniami twórcy, — o ileż silniej zająć nas winno pytanie, czy ten lub ów znany działacz społeczny, walczący za ideę i znoszący za nią prześladowania i ucisk działali li tylko pod sugestyą samejże idei, przez się głoszonej lub rozpowszechnianej, czy też między pobudkami jego działalności znalazł się jaki wydatny moment osobisty i czy ten moment osobisty był natury czysto idealnej lub też nie.

Niewątpliwie: — badania takie mogą doprowadzić i doprowadzają niejednokrotnie do odkryć dość niemiłych, do rozczarowań często bolesnych, zdzierając z niejednej postaci męczennika idei szatę niepokalanego męczeństwa i poświęcenia; niemniej jednak mogą w nagrodę przynieść prawdziwie szlachetne zadośćuczynienie, gdy dowiodą, że obok szarlatanów i poliszyneli występują na arenę publiczną jednostki nieposzlakowanej czci, przejęte świętym dla umiłowanej sprawy zapałem, zdolne istotnie poświęcić dla niej dużo, jeśli nie wszystko, a działający pod nakazem kategorycznym jakiejś wyższej nad wolę jednostki siły wewnętrznej, która „stwarza cuda“.

Do takich jednostek należał znany agitator, uczony i poeta — Ferdynand Lassalle.

Z nazwiskiem tem związane jest takie mnóstwo sprzecznych rzeczy, sądów i zdań, — że postać Lassalle'a zda się niemal być zdobną w jakąś tajemniczą mgłę legendarności, z poza której niewyraźnie prześwieca jego indywidualność. Ilu pisarzy zajęło się jego osobą, tyle zdań o niej posiadamy; a nawet ci, którzy zgadzają się z sobą zupełnie w ocenie jego działalności publicznej, na punkcie prywatnej jego istoty — „des Menschen an sich“ — w zawziętej z sobą walczą dyspucie. Najbliższym może zrozumienia indywidualności Lassalle'a był Brandes*), który pokrewieństwem rasowem zbliżony do niego, odgadł w nim rys zasadniczy, stanowiący — zdaniem jego — podstawową cechę indywidualności Lassalle'a, ową bezwzględność w dopięciu zamierzonego celu, która nie jest synonimem brutalności, lecz nie zna względów jedynie dla przeszkód, tamujących drogę do upatrzonych wyżyn, i w pochodzie zwycięzkim miażdży wszystko, co jej staje w drodze.

W tej „bezwzględności“ — którą wielu mylnie identyfikuje ze zwykłą zarozumiałością lub nawet z arogancyą (wystawiając sobie tem dowód niepospolitej płytkości pojęć) — tkwi może istotnie jakieś rasowe, niezatarte piętno, jakiś stygmat, nadający indywidualności danego człowieka wybitne zacięcie; ale niepodobna zgodzić się z Brandesem na określenie, że w niej zamyka się cała zagadka psychicznego nastroju Lassalle'a. U człowieka tej miary, co Lassalle, sama ambicya, choćby nawet spotęgowana do rozmiarów „bezwzględności“ owej — nie mogłaby być dźwignią całego życia. Musiał w nim gorzeć jakiś zapał nieśmiertelny, jakaś wiara niezwykła w przeznaczenie swoje i zwycięstwo głoszonej przez niego idei. I rzeczywiście zapał taki i wiara istniały w Lassalle'u i one parły go naprzód może mimo, a może czasem nawet wbrew jego woli.

Najlepsza znawczyni Lassalle'a jako człowieka prywatnego, jako indywidualności, bo najbliższa i najwierniejsza jego towarzyszka — hrabina Hatzfeld w liście swoim do żony Jerzego Herwegha bardzo trafnie i niezawodnie na głębokiej oparta obserwacyi określa jego indywidualność w słowach: „Lassalle był na wskroś fatalistą, atoli w najwznioślejszem z dawien dawna znaczeniu tego wyrazu; jak każdy wielki człowiek wierzył silnie w swoją gwiazdę, w swoje posłannictwo i w to, że przed tem, przed jego spełnieniem paść nie może“. W tem dopiero określeniu znajdujemy klucz do wniknięcia w indywidualność Lassalle'a.

Prywatne stosunki Lassalle'a już dawno przestały być tajemnicą jego rodziny i przyjaciół. Ledwo ostygło ciało zamordowanego trybuna robotniczego — rozszarpano je moralnie na tysiączne kawałki; rozebrano do naga trupa i z bestyalną rozkoszą pastwiono się nad jego pamięcią. Zohydzano każdy czyn nieszczęśliwego idealisty, zbrudzono najczystsze jego porywy, splugawiono najbezinteresowniejsze uczucia, któremi się szczycił za życia. Sprawy natury tak drażliwej, że nigdy bez uczucia niesmaku słyszeć o nich nie można, rozwałkowano na brudnym stole polemiki gazeciarskiej, przykrawając ją wedle upodobania lub potrzeby oprawców. Słowem nie zaniedbano niczego, aby pamięć rzeczywistego męczennika idei — splugawić i zohydzić w oczach łatwowiernego tłumu. Zrobiono z niego postrach na filisterskich pasibrzuchów, pod którymi dotąd na samo wspomnienie Lassalle'a, kolana się uginają ze strachu; odmówiono mu wszystkich szlachetniejszych uczuć i pobudek, a nie mogąc wprost podsunąć podejrzenia materyalnej chciwości, zastąpiono je „aureolą“ energii niepospolitej, która pod piórami oprawców zmieniła się w niebotyczną zarozumiałość, w arogancyą i samochwalstwo, wstręt budzące.

A oto ten sam spotwarzony, ośmieszony i splugawiony Lassalle, którego życie prywatne nazwano „moczarem nikczemności“ — wstaje teraz z pod pyłu oszczerstw, którym zasypać go chciano — czysty, nieposzlakowany i sam z za grobu napastnikom swoim wymierza policzek karzącej prawdy.

Jakże odmienną od wizerunku powyższego ukazuje się postać tego nowoczesnego trybuna — wynużająca się z prywatnej jego korespondencyi, z listów pisywanych do najbliższych przyjaciół bez najlżejszego przypuszczenia, że mogą one kiedyś dostać się do rąk osób trzecich, stać się własnością tłumu czytającego.

Że Jerzy Herwegh, znany i ceniony poeta niemiecki w ścisłej przyjaźni żył z Lassalle'm — o tem nie wiedziano dość długo. Obecnie opublikowana korespondencya między obu przyjaciołmi*) — przekonywa, że przyjaźń ta na pozór tak niezrozumiała między ludźmi sprzecznych usposobień i dążności, rzeczywiście istniała i stanowiła silny łącznik pomiędzy dwoma wybitnemi choć tak różnemi indywidualnościami. Tej to przyjaźni zawdzięczamy też cały snop jasnych promieni, padających na wewnętrzną, duchową istotę słynnego agitatora z szeregu listów jego, pisanych do przyjaciela, w których z szczerością, wytłomaczoną jedynie wobec zaufanego i wiernego powiernika, wynurza się z swoich myśli, pragnień, a nawet uczuć. Z listów tych dopiero występuje na jaw silna, energiczna, ale wcale nie zarozumiała, owszem, ciągłem zwątpieniem szarpana i brakiem zadowolenia wewnętrznego gnębiona indywidualność Lassalle'a, bliska nam i sympatyczna bez względu na to, jakie zdanie mieć możemy o jego działalności publicznej.

„Nienawidzę niepowodzenia jak śmierć samą — pisze do Herwegha — a nawet bardziej niż śmierci, i, mimo wszystkich doświadczeń, czuję się zawsze gotowym do boju.“ Z niepohamowanym też zapałem rwie się do działania, ciesząc się każdym powodzeniem, każdą owacyą urządzoną na cześć jego, każdą niemal zapowiedzią dobrego przyjęcia. „W drugiej połowie września (1863) — pisze w innym liście do H. — przybędę nad Ren i jak djabeł wpadnę na tę hołotę. Donoszą mi o rzeczywiście wspaniałych przygotowaniach, jakie się czynią na przyjęcie moje: zdaje się, że tłumy się zbiegać będą. Robotnicy Wuppertalu drżą już z podniecenia i niecierpliwości.“ — Myliłby się jednak, ktoby sądził, że tylko ów wstręt do niepowodzeń, owa żądza uznania — były motorem gorączkowej działalności Lassalle'a. Nie! tkwił w nim ból jakiś, który potrzebował ukojenia, odzywał się w duszy jego głos, ktory zagłuszyć należało za wszelką cenę. Tym głosem była niepewność jutra, niepewność wygranej, która odzywać się w nim musiała, pomimo ślepej wiary w słuszność, bronionej przez niego sprawy i konieczność jej zwycięstwa. Wobec tej niepewności każdy drobny fakt, drobna przeszkoda, choć usuwał ją z łatwością, raniła go silnie. I ażeby zwątpieniu wzbronić do siebie przystępu — rzucał się w wir gorączkowego, szalonego (jak je sam nazywa) działania, „zduszającego wszelką wrażliwość“. „Byle naprzód, byle naprzód z lotnym, gorączkowym pośpiechem, jak gdyby pod grozą obucha, bata, kolczugi! O jak to koi! rana zabliźnia się w czasie katorgi,

*) G. Brandes: Ferd. Lassalle. Berlin 1889.

*) Ferd. Lassalle's Briefe an G. Herwegh. Herausgegeben von Marzel Herwegh. Zürich 1896

którą się dobrowolnie sobie wymierzyło; nietylko ból ukojony, ale wrażliwość cała i uczuciowość skrzepła — *tant mieux* o jedno zgubienie więcej, o jedną słabość mniej, i naprzód, byle naprzód w szalonej, bezmyślnej pogoni, którą jest życie nasze. Szalona praca jest najlepszym, najskuteczniejszym środkiem upojenia dla — mieszkańca zachodu. Wrażliwość — zostawmy kobietom, opium dzieciom wschodu“ (str, 77). — Inaczej, „skoro się każdą odrobinę uciechy, której się zażyć pragnie, zawsze gwałtem z samego siebie wydobywać musi; skoro otoczenie niczem nie działa rozweselająco — zmęczenie szybko daje się we znaki“. — „Jem, piję i mam czego tylko dusza zapragnie — woła Lassalle a jednak zadowolenia mego — psu bym nie życzył. Jedynym środkiem ukojenia stała się dla mnie praca, na pozór zbyt uciążliwa, aby jej sprostać można, wymagająca sześć razy tyle czasu, iie ja do wykonania jej sobie wyznaczyłem. Z chwilą, gdy męczarnią taką się obarczę, ogarnia mię wściekły szał, który zdusza we mnie wszelkie tajone w głębi uczucia. Wysilam się, wiję i borykam z trudem dopięcia celu, ranię biodra rozpalonym kolcem zniecierpliwienia — wbijam go coraz głębiej, goreję, płonę i spalam się w namiętności która mnie pożera, szarpie mi łono, przenika duszę i myśl moją od świta do zmierzchu, przy stole biesiadnym i w objęciu kobiet zapięte; tak długo, aż w tem szalonem rozkołysaniu się nerwów nie znajdę nareszcie ukojenia i rzecz niemożliwa nie stanie się dla mnie możliwą. Zaledwie jednak ujrzę przed sobą rezultat dokonanego dzieła i kolec ów z wnętrzności mych wyciągnę, ogarnia mnie napowrót nastrój faustowski i myślę sobie: Piesby takiego życia dłużej nie zniósł“.

I tego człowieka nazwano zarozumialcem, arogantem, z wszelkich cieplejszych uczuć wyzutym, zaskorupionym w sobkostwie, i nieprzystępnym owej prawdziwej, naiwnej uciesza życia (Lebensfreudigkeit), która jest nieodzowną cechą istot wielkich a prostych.

Jakaż to radość szczera, jakie dziecinnie niemal naiwne upajanie się uciechą przebija z listu Lassalle'a, ilekroć może w nich zaznaczyć choćby najdrobniejsze powodzenie swojej idei lub osoby. Wówczas odżywa w nim nadzieja, że przecież nie nadarmo żył, że myśli i praca jego nie poszły na marne (str. 31).

A natomiast z jak wzruszającą prostotą donosi przyjacielowi swemu o zgonie ojca, którego kochał serdeczną miłością synowską „Straciłem drogiego, ukochanego nadewszystko ojca! Czy można wyobrazić sobie, co strata ta dla mnie oznacza? Wszak nie przeczuwasz nawet, czem zmarły był dla mnie! Ojcostwo samo najmniejsze tu miało znaczenie. Gdy stratę tę przebolę — nie wiem kiedy, ale wszak czas i to zdziała, cóż mi jeszcze zabrać może życie?“

Atoli nie bez powierzchownej bodaj przyczyny — nazwano Lassalle'a arogantem. Ktoż bo nadał mu tę nazwę, jeśli nie owa zgraja płatnych najemników pióra, dla której miał zawsze słowa najgłębszej i nieubłaganej pogardy? „Dwóch rzeczy na świecie nienawidzę z całej siły — zwykł był mawiać Lassalle — gazeciarzy i żydów, a należę sam do jednych i drugich.“. Odwdzięczyli mu się też za ten objaw sympatyi — wzajemnością, która go ściga nawet za grobem.

Dr. Ignacy Suesser.

***

Na Wyłomie.

(Galicyjscy chłopi — posłowie. — Stanowisko prasy. — Humorystyczne zarzuty.)

Gdy galicyjskie stronnictwo ludowe po raz pierwszy przed kilku miesiącami poważne odniosło zwycięstwo, — gdy taki Bojko, Wójcik, Krempa i kilku innych, — mimo szykan policyjnych, zdobyli mandaty do sejmu i zdziwionemu społeczeństwu tryumfem swoim mówili wyraźnie że ruch ludowy nie jest drobnym ułamkiem, rozdętym sztucznie hałaśliwą reklamą do fikcyjnych rozmiarów potęgi, lecz jakąś wielką siłą żywiołową, która porusza masy olbrzymie i jako cyfra niepospolita staje na arenie. — wtedy z niecierpliwością oczekiwano pierwszego debiutu nowych żywiołów na trybunie sejmowej, z której dotychczas odzywały się tylko głosy tradycyjnych parlamentaryuszów: senatorów i szlachty. — lub późniejszej daty prawodawców: przedstawicieli mieszczańskiej inteligencyi. Szła po kraju ciekawość i tysiące rodziła domysłów. Jedni z nową ewolucyą sp łeczną pogodzić się nie mogli i mieli tylko głośne przekleństwa, bajki o socyalizmie i głuche żale na rząd krajowy, że pałką policyjną nie ubił „chłopskiej arogancyi“. Drudzy pocieszali się nadzieją, że nieudolne występy posłów włościańskich w oczach całego zdrowo myślącego społeczeństwa tak skompromitują powagę sejmu, że trzeźwiejszych demokratów wyleczą z chorobliwych dążeń, aby lud w ludzie szukał przedstawicieli swoich. Inni wreszcie, pozujący na „objektywnych i umiarkowanych demokratów“ mówili: „Czekajmy! Może obniży się przeciętny poziom inteligencyi w legislaturze krajowej, ale rozebrzmi za to niesfałszowany, na doświadczeniu na przeżytych bolach oparty głos ludu, którego wysłuchać koniecznie potrzeba, jeśli ma się nad podniesieniem tego ludu skutecznie pracować.“ W wszystkich tych głosach jednak znać było nutę wyraźnej niechęci do „nowych sił“ w sejmie galicyjskim; po za ludem samym zaledwie drobna garstka inteligencyi z ufnością spoglądała na chłopskich deputowanych, uznając ich prawo bytu, wierząc w ich wpływ korzystny na obywatelskie uświadomienie ludu i nie lękając się ani chwili, aby chłopskie mowy i wnioski skompromitowały powagę izby sejmowej.

Kadencya się rozpoczęła i niebawem włościańscy posłowie w szeregu interpelacyi, mów i wniosków rozpoczęli działalność swoją. Nie należę bynajmniej do sentymentalnych ludolubów, rozczulających się na widok każdej czapki baraniej i chłopskiej sukmany, przeciwnie, razi mnie nawet w galicyjskim ruchu pewna jednostronność kastowa, pewna chłopomanja fanatyczna i pewna gdzieniegdzie występująca sielankowa tkliwość, zaciemniająca trzeźwą ocenę stosunków i ludzi. Wobec tych *Bojków* jednak, *Kramarczyków* i *Wojcików* przemawiających tam z trybuny sejmowej ogarnia mnie jakaś wielka otucha, że to hasło wyborcze, aby chłopów chłop reprezentował, już dziś wydać może zdrowe owoce. Ci posłowie włościańscy zamanifestowali nietylko znajomość stosunków, lecz nawet parlamentaryzm pewien, nietylko zrozumienie interesów jednej warstwy, jednego stronnictwa, lecz tę świadomość obywatelską, która ogarnia szersze dziedziny życia narodowego. Lękałem się zrazu, że skargi, płynące z chłopskiego serca zabrzmią w akompaniamencie nienawiści kastowej, — ciasne, jednostronne, uogólniające zawody i gorycze osobiste, — lękałem się melodramatycznych elegii pozbawionych parlamentarnej analizy i syntezy, — lecz tam z trybuny ozwały się głosy silne, plastyczne, wyłuszczające jądro kwestyi i praktycznym chłopskim rozumem dyktujące plany reformy. Jakże marnym wobec tego jest stanowisko prasy konserwatywnej, opowiadającej czytelnikom swoim z uśmiechem ironii, że „poseł Lewakowski urządza dla chłopa Bojki bankiet wspaniały *po 50 centów od osoby.*“ Bezsilna złość bije z tej niesmacznej wycieczki „Czasu“ krakowskiego. Jeżeli was, panowie, nie stać na inne metody walki, — jeżeli już w braku szlachetniejszej broni ruch ludowy *ośmieszyć* pragniecie, to zaiste litość bierze nad nędzą satyry waszej, łachmanami świecącej. A wy z obozu „trzeźwych demokratów“, wysyłających kokieteryjne spojrzenia w stronę ludu, dopóki lud sam głosu nie zażądał, kwitując z „łaskawej opieki“, — wy zdobyliście się tylko na płaskie drwiny z tych chłopów sejmowych, którzy „opierają się na mądrości Conversationlexikonów i zakulisowych suflerów.“ Postawiliście ni ztąd ni z owąd twierdzenie, że niesfałszowany „chłopski rozum“ mówić ma przez usta posłów włościańskich, a książkowej mądrości czerpać im nie wolno, — wydrwiliście posła Wójcika, że „fanfaronuje nowo uszytym ubiorem ludowym, jak gdyby miał wystąpić w balecie“, a śmiech i litość budzi, gdy wspomina o stosunkach norweskich lub sięga do wspomnień historycznych. I nie dość na tem! Pyszne inteligentniki, strzegące przywilejów erudycyi swojej z zazdrością braminów indyjskich, przywłaszczające sobie nawet monopol pewnych form stylowych, skarżą się na „zarozumiałość“ dyszącą rzekomo w słowach posła Wójcika, iż on - poseł Wójcik – „spotyka się z końcem XIX wieku z dziwolągiem ustawy łowieckiej“.

Cała ta krytyka posłów chłopskich, zamieszczona w wiedeńskim „Przełomie“, jest charakterystyczną spowiedzią, odsłaniającą owe kastowe uczucia w głębinach dusz śp. demokratów galicyjskich, które długo pokrywał pokost ułudnych frazesów. Lud był ukochanem dziecięciem, dopóki ojcostwo wasze znosił bez szemrania, bez protestu, bez krzty samodzielności, — lecz stał się natychmiast zbuntowanym pyszałkiem, gdy o prawa pełnoletności upominać się zaczął. Oświata ludu była tematem demokratycznych zachwytów, gdy chłop pod waszą komendą deklamował wyuczone mówki na posiedzeniach kółek włościańskich lub narodowych festynach, ale z tą samą chwilą zyskała miano fanfaronady i „pożyczanej mądrości“ gdy w występach samodzielnie wybranych posłów chłopskich przemawia faktami z historyi lub utoczonym zwrotem stylowym. Nie mogąc zakwestyonować inteligencyi Bojków i Wójcików zbudowano sobie jakąś teoryę o „chłopskim rozumie“, który powinien pozostać czystym — niesfałszowanym czytaniem „Conversationslexikonów“ i suflerowanemi radami dziennikarskich kierowników ruchu ludowego. A skoro i ostrze takich teoryi wobec niektórych przemówień bezsilnem się okazało, skoro poseł Kramarczyk zmusił nawet najzaciętszych przeciwników swoich do przyznania, że jemu nikt nie suflował, że „mówił z siebie“, wtedy znowu skrzywili się demokraci z wiedeńskiego „Przełomu“ i po mozolnem szukaniu taką odkryli piętę Achillesową: „Poseł Kramarczyk nie mówił jak chłop, lecz jak prawny doradca chłopów“.

Cóż? Zabili Kramarczyka, zabili posłów chłopskich, zabili ruch ludowy. Wer lacht da?

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

* **„Wiek Młody.“** Oto mamy przed sobą pismo dla dzieci i młodzieży wycho-

dzące pod powyższym tytułem od lat trzech we Lwowie pod redakcyą p. Zofii Mrozowickiej. Najpoważniejsze głosy krytyki galicyjskiej zwróciły już przychylną uwagę na to wydawnictwo, zasługujące w zupełności na szerokie rozpowszechnienie wszędzie, gdzie tylko biją polskie serduszka, gdzie rodzice chcą, aby ich dzieci czuły i myślały po polsku. Prawdziwy, dobrze zrozumiany patryotyzm stanowi główną cechę „Wieku Młodego.“ Nie mniejszą jednak zasługą Redakcyi jest prawdziwa literacka i pedagogiczna wartość każdego zamieszczanego tam artykułu, dobór pierwszorzędnych współpracownictw, poprawność i czystość języka, a przytem i wyjątkowo piękna strona zewnętrzna tego pisma. Bardzo dobrym i praktycznym jest podział każdego numeru na dwie osobne części, dla starszych i młodszych — w ten sposób zarówno sześcioletni jak i czternastoletni czytelnicy znajdą w „Wieku Młodym“ odpowiedni dla siebie dobór powieści, wierszy, komedyjek, opisów podróży, artykułów naukowych, zagadek... słowem — wszystkiego, co może im przynieść przyjemność i pożytek. Oprócz tego, dodaje jeszcze „Wiek Młody“ swoim czytelnikom trzeci dział stały, a nie najmniej ponętny: oto biblioteczkę wyborowych powieści dla młodzieży, w której skład wchodzą same utwory oryginalne a nie drukowane dotąd nigdzie, tem bardziej zajmujące dla naszych dzieci, że owiane tchnieniem swojskości. malujące rzeczy bliskie ich myślom i sercu. To też w korespondencyach, jakie redakcya prowadzi w łamach pisma ze swymi czytelnikami, znać, że „Wiek Młody“ potrafił sobie zjednać serdeczne przywiązanie zarówno bardzo malutkich jak i starszych, poważniej już czujących i myślących czytelników. Zachęcamy szczerze naszą dziatwę do osobistego zapoznania się z tem pismem.

Adres Redakcyi i Administracyi „Wieku Młodego“ jest: Lwów, ulica św. Mikołaja Nr. 1a. — Numer okazowy wysyła Redakcya na żądanie bezpłatnie.

* * *

— **Kazimierz Malczewski.** *Nowele. Kraków. Gebethner i Wolff.*

Pod tytułem „Nowele“ wyszedł z pióra Kazimierza Malczewskiego w Krakowie nakładem Gebethnera i Wolffa tomik pierwszy krótkich opowiadań, publikowanych już po części w pismach warszawskich, krakowskich i lwowskich. Autor zresztą już od lat kilku znany jest na niwie literackiej z swych prac tak wierszem jak prozą, z których poemat „Noemi“ wydany w Krakowie r. 1893, wyszedł nawet z ilustracyami St. Wolskiego i St. Fabiańskiego

Opowiadania zawarte w tomiku pierwszym „Nowel“ są to sceny krótkie, po części ze wspomnień autora zaczerpnięte, w guście owej literatury lekkiej, którą napotykamy po pismach naszych beletrystycznych, w lekturze podróżnej, kalendarzach i t. p. Będą one zawsze stanowiły miłą rozrywkę dla znużonego umysłu, łaknącego roztargnienia, chociaż poszczycić się nie mogą wielką oryginalnością przedmiotu, ani co do inwencyi, ani co do formy, a całość tych fragmentowych powiastek w zbyt ciasnych porusza się ramach, by zasłużyć na miano noweli. Sceny drastyczne z życia w żywej przedstawione formie, językiem lekkim, naturalnym i oddającym szczęśliwie poszczególne sytuacye, zawsze podobać się będą, jak się podobają figurki miniaturowe, zdobiące po salonach naszych stoliki i etażerki, w których również wybitniejszej nie znajdziesz wartości, gdyż to wszystko odlewy na jedną modłę i szablon. — Umieszczona wśród opowiadań fantazya dramatyczna „Sen“ wcale się nie udała autorowi. Napisana jest wierszem ciężkim, wymuszonym, dyalog sztywny, nienaturalny, brak akcyi, forma całkowicie chybiona. Autor zapomina, że właśnie fantazya największej wymaga podniosłości myśli, gdzie słowa tryskają kolorem tęczowym, gdyby perły wody w kaskadzie, a wymuszoność i ociężałość istnieć nie powinny. Drobnostka „Szał“ podana na ostatniej stronnicy tomiku pierwszego mogła spokojnie, bez uszczerbku dla literatury, spoczywać w biurku autora, lub powędrować raczej ze stósowną ilustracyą do jakiegoś za efektem goniącego kalendarza. To coś nakształt zapisków pugilaresowych z pod drzew wiedeńskiego prateru, szereg słów dwuznacznych, mających zaintrygować domyślnikami frywolnemi i niebywałym stylem fantazyę czytelnika. W końcu dodajemy, iż pod prasą znajduje się tego samego autora: Galerya mężów: Lampart, Zazdrosny, Pantofel, Smakosz, Pedant itd.

BŁĘDY JĘZYKOWE.

4. W Poznańskiem panuje zwyczaj mówienia i pisania zdrobniałych imion własnych z końcówką *u*: *Kaziu, Władziu* i t. d. Poprawnie pisze się: *Kazio, Władzio.*

5. Mówi się *natrafić na...*, ale nie należy mówić *napotkać na...*; *na* przy *napotkać* jest zbytecznem.

6. Nader często używamy *jak* zamiast *gdy, kiedy.* „*Jak* go zobaczył, to się wielce ucieszył“; lepiej: „*Gdy, kiedy* go zobaczył“.

7. Zbyt często piszemy *jaki*, zamiast *który*, nie zdając sobie sprawy, że nie zawsze używać należy pierwszego zamiast drugiego. *Jaki* wtedy tylko powiedzieć można, jeżeli poprzednio rzekło się, lub pomyślało: *taki*; który zaś, jeżeli się rzekło lub pomyślało: *ten.* Gdy więc napiszemy: „Osoby, *które* tam widziałem“, to mamy na myśli: „*Te* osoby, *które* tam widziałem..“; kiedy zaś powiemy: „Osoby, *jakie* tam widziałem...“, to mamy na myśli: „*Takie* osoby, *jakie* tam widziałem...

8. Nie mówmy *mięszać i mięszkać*, lecz *mieszać i mieszkać.*

Kronika powszechna.

Wiadomości społeczne i polityczne. Posłowie alzaccy złożyli w parlamencie niemieckim powtórny wniosek o zniesienie dyktatury. — W dolnoaustryackim sejmie przyszło znowu do hałaśliwego skandalu z powodu wniosku antysemitów, aby rząd natychmiast rozpisał wybory do wiedeńskiej rady gminnej. Zamieszanie, hałaśliwa kłótnia i ordynarne wyzwiska trwały blisko godzinę. — Książę bułgarski Ferdynand zgodził się na chrzest prawosławny syna swojego Borysa. Chrzestnym ojcem będzie car Mikołaj. — We Lwowie wybuchła zmowa zecerów. Pisma lwowskie wychodzą z powodu tego w formacie zmniejszonym. —

Teatr i muzyka. W czwartek ubiegły odegrano na benefis p. Paszkowskiej pięcioaktowy dramat Wężyka p. t. „Wanda, córka Krakusa.“ Teatr był wyprzedany. Beneficyantkę, która mianowicie w IV i V akcie zachwycała słuchaczów niepospolitą siłą dramatyczną, obsypano kwiatami. Obszerniejszą recenzyę poświęcimy przedstawieniu temu w numerze następnym. — W poniedziałek odbyło się na scenie naszej przedstawienie amatorskie na cele dobroczynne, urządzone staraniem zasłużonych filantropek: p.p. prof. Jaroczyńskiej, St. Ołyńskiej, Serafinowej Zychlińskiej i prof. Węclewskiej. Odegrano dwie sztuczki: „Tatuś pozwolił“ Mosera i „Tajemnicę“ Dobrzańskiego, przeplatając sceniczne produkcye piękną deklamacyą i prezentując na zakończenie dwa żywe obrazy, odznaczające się artystycznym układem. Wierni przyjętemu zwyczajowi, nie wymieniamy nazwisk amatorów i amatorek, podnosząc tylko z uznaniem staranną pracę i dobre chęci przygodnych artystów, z których ten i ów nawet zamanifestował pewien temparament sceniczny. Nakarmiono głodnych, osuszono łzy wielu starców i kalek, a to przeświadczenie dla niestrudzonych inicyatorek oraz całego grona amatorów jest niezawodnie piękniejszą nagrodą od reklam dziennikarskich. — W przyszły czwartek ukaże się na scenie poznańskiej czteroaktowy dramat Wiktora Sardou p. t. „Czarne dyabły“ na benefis p. Wostrowskiego. Tak nazwisko głośnego komedyopisarza jak wybitny talent młodego beneficyanta skłonić powinny publiczność, by w dniu tym wypełniła teatr po same brzegi. — Sara Bernhardt pragnie wprowadzić na scenę paryzką jednoaktowy dramat Bar'a pt. „Chrystus na świecie Purym“, a rolę Magdaleny rezerwuje dla siebie. — Na 470 nowych dramatów granych na scenach angielskich, 432 upadły po pierwszem przedstawieniu. — Farsa „Seitensprünge“ Mauthnera ma na scenach niemieckich dużo powodzenia. — P. P. Heller i Bandrowski oświadczyli, iż gotowi byliby w teatrze krakowskim urządzić szereg przedstawień operowych przy udziale sił pierwszorzędnych, jeżeli im zostanie przyznaną subwencya. — We Lwowie święci prawdziwe tryumfy śpiewaczka włoska Gemma Bellincioni. — Władze policyjne w Dreźnie wzbroniły wystawienia dramatu Zieglera p. t. Paragraf 45. — Pani Stachowicz zjedzie na gościnne występy do Poznania w pierwszej połowie wielkiego postu. — Pan Śliwiński, reżyser teatru Małego w Warszawie, powrócił już z podróży urzędowej za granicę, zkąd przywiózł kilka nowych fars i operetek. — O warszawskim występie Mierzwińskiego rozpisuje się cała krytyka z wielkiemi pochwałami. Głos znakomitego tenora nie stracił podobno na sile i czystości, a posiada obecnie więcej liryzmu niż dawniej. — Jednoaktówka Lubowskiego „Mankiet“ doznała w Warszawie sympatycznego przyjęcia.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Helena. Piołunowej korekty, wystosowanej pod naszym adresem, uznać nie możemy. Zwrot, potępiany tak drastycznie przez panią, nie sprzeciwia się bynajmniej duchowi języka polskiego. Jest on zupełnie poprawnym, uznanym przez lingwistykę i używanym przez najlepszych stylistów. Radzimy Pani szczerze uzupełnić wykształcenie swoje studyami gramatyki polskiej i czytaniem dobrych autorów, bo dzisiaj podziwiać możemy tylko w jej gramatyczno-stylowych wykładach niesmaczną pretensyonalność. — Chcąc mówić o prawidłach języka polskiego, nie wystarcza zapamiętać sobie kilka formułek z pensyonarskiej gramatyki p. Radońskiej, w której nadomiar roi się tłum dziwolągów. Uczyć się trzeba długo, uczyć i jeszcze raz uczyć — surowa nauczycielko.

M. C. Kwestya przedstawiona w artykule nie posiada ogólniejszego znaczenia.

Lord. Wierszyk pański p. t. „Flirt“ posiada niewątpliwe zalety literackie, — nadaje się jednak tylko do pism codziennych lub tygodników humorystycznych.

Grono czytelniczek. O dodatkach powieściowych i premjach prospekty nasze i „zaproszenia do przedpłaty“ nie wspominały ani jednem słowem. Prosimy jednak starać się o powiększenie liczby abonentów naszych, a wtedy redakcya nie omieszka zadość uczynić życzeniom Szanownych czytelniczek.

OD ADMINISTRACYI.

— Czytelników prosimy o łaskawe nadesłanie nam **numeru 10-go** (rok 1895) pisma naszego. Reflektant chce zapłacić zań 50 fenigów.

— P. M. Szulc w Monachium. Nadesłane 3 m. na Czytelnie Ludowe wpłaciliśmy do Dziennika Poznańskiego.

— **Przypominamy Czytelnikom naszym składkę na fundusz konkursowy w sprawie dzieła o Karolu Marcinkowskim.**

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28.

Nr. 7. Poznań, niedziela 16-go lutego 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: Piekary nr. 6.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: Piekary 6. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.

TREŚĆ.

Nasz program.

I.

Z wielu stron, a głównie ze strony naszych stałych czytelników, zapytywano się nieraz, dla czego w wstepnych artykułach nie omawiamy swego *credo* politycznego. Jeżeli dotychczas byliśmy głuchymi na nawoływania przyjaciół, pochodziło to ztąd, że w naszem mniemaniu ogół naszych artykułów był odpowiedzią na ich pytania. Nie przeczymy wcale, że nieraz zabłąkał się do pisma naszego ten i ów artykuł, który był w sprzeczności z właściwą dążnością „Przeglądu“ i jego założycieli. Jeżeliśmy go umieścili, stało się to dla tego, że często zniewoleni byliśmy cofnąć się z własnemi przekonaniami za powagę autora, zasługującego bądź co bądź na udzielenie mu głosu w piśmie naszem. Czyniliśmy to głównie w rubryce „Wolnych głosów“, a celem było naszym otworzenie dyskusyi nad kwestyą będącą na dobie. Dziś, gdy pismo nasze dobiega dwuletniego okresu istnienia swego, podajemy w zwięzłem, o ile możności, streszczeniu, nasze polityczne poglądy.

Przedewszystkiem przypominamy naszym czytelnikom, że przez wydanie „Przeglądu“ pragnęliśmy zapełnić szczerbę w naszej prasie peryodycznej, poświęconej wyłącznie polityce. Potrzebę pisma *literackiego* odczuwali *nietylko* pierwotni założyciele naszego pisma. Polityka jest bardzo ważną rzeczą; jednakże nie posiada ona takiego znaczenia, jakie jej przypisuje większa część naszej inteligencyi, a odznacza się tą ujemną stroną, że wiedzie do „politykowania“, wyczerpującego najlepsze siły umysłowe społeczeństwa w jałowych sporach o zużyte hasła. Pragnęliśmy stać się organem tej części naszej inteligencyi, która w narodzie pozbawionym bytu politycznego przypisuje większe znaczenie wewnętrznemu moralnemu i kulturalnemu postępowi niż polityce.

Publiczność nasza, czerpiąca swe wiadomości o ruchu umysłowym kraju naszego z pism poznańskich i z pewnych pism warszawskich, reklamowanych przez tutejszą prasę, zna go tylko połowicznie. Jednostronność tych pism jest znana. Bojkotowanie autorów i dzieł ich, nie trzymających się ścieżek wydeptanych przez nasze powagi literackie, jest rysem znamiennym poznańskiej prasy oraz ich zakordonowych pupilów. Uznając ten niedostatek, staraliśmy się udzielić w łamach pisma naszego głosu autorom postępowego kierunku.

Zwracaliśmy równocześnie uwagę na ruch umysłowy zachodniej Europy i Słowiańszczyzny, a szczególnie dla ostatniej otworzyliśmy łamy pisma naszego. Wiedzieliśmy dobrze, że pielęgnowane przez prasę naszą „samochwalstwo narodowe“ wykrzywiło w znacznej części publiczności pojęcie o stanowisku naszej literatury i sztuki wśród otoczenia obcego; przeciętnemu poznańczykowi zdaje się, jakobyśmy z naszymi Matejkami i Sienkiewiczami stali w ognisku ruchu umysłowego, jeżeli nie Europy całej, to przynajmniej Słowiańszczyzny. Wykazać, że tak nie jest, że samochwalstwo narodowe może tylko szkodzić rozwojowi literatury i sztuki było naszem zadaniem. Wychodziliśmy z założenia, że ostatnie zyskać tylko mogą na tem, jeżeli je krytyka stawiać zawsze będzie w świetle ogólnego ruchu umysłowego.

Jeszcze jedno! Z wielu stron, i to nawet z grona założycieli „Przeglądu“ dochodzi nas zarzut, jakobyśmy w naszem piśmie nie zajmowali stanowiska *„katolickiego“*. — Oto nasze zapatrywanie! Uważamy wiarę i wiedzę jako dwa równoważne czynniki ducha ludzkiego, jako dwie równouprawnione siostrzyce jednego pochodzenia Boskiego. Wiemy, że zatarg między jedną a drugą jest możliwy, ale twierdzimy, że odpowiednim terenem do załatwienia tego sporu jest jedynie sumienie każdego z nas z osobna. W łamach pisma naszego miejsca dla takiego rodzaju polemik nie było i nie będzie. Wiemy przecież dobrze, że w przeniesionym do pisma peryodycznego sporze o pierwszeństwo wiary lub wiedzy nie ma ani zwycięzców, ani zwyciężonych. Przeciwnicy chowają się po starciu do swych namiotów w przekonaniu, że zwyciężyli, wśród poklasków lub szyderstwa przysłuchującej się rzeszy. W każdym razie w naszem piśmie zatargu tak bezowocnego wszczynać nie będziemy, ale zaczepieni wystąpimy zawsze w obronie niezależności wiedzy.

A teraz co do naszych poglądów politycznych.

Wychodzimy z założenia, że rzeczpospolita nasza upadła, bo nie posiadała warunków organizmu państwowego. Nie wdajemy się w rozbiór kwestyi, więcej metafizycznej niż realnej, czy ten upadek dokonał się pod wyrokiem sądu boskiego, czy też pod obuchem t. zw. konieczności historycznej; my tylko zaznaczamy fakt, bardzo ważny w polityce praktycznej, że rzeczpospolita pozostawiła nam w spadku zepsutego na chlebie dworów magnackich szlachcica, ciemnego chłopa — a w środku między nimi żyda szachraja. Ani Kościuszko, ani na pół fantastyczny Głowacki, a tem mniej Berek Joselowicz nie byli typami porozbiorowego społeczeństwa. Z tak niejednolitych żywiołów bodajby mógł i Michał Archanioł zorganizować wojsko powstańcze, a cóż dopiero generałowie w rodzaju Mierosławskiego lub Langiewicza. Wiemy dobrze, że pod względem ustroju społecznego, dziś w wiekową rocznicę rozbioru ojczyzny naszej, zajmujemy nieledwie ostatnie miejsce wśród sąsiednich narodów. Dogonić nam trzeba to, co całe wieki zmarnowały. Odrodzenie naszego społeczeństwa na zasadach demokratycznych jest naszym ideałem. Póki to nie nastąpi, nie wierzymy, żeby naród nasz mógł zająć samodzielne stanowisko w rodzinie narodów europejskich. Nie wierzymy w skuteczność gwałtownych wysileń, ale wierzymy w rozwój sił społecznych, pod których niepohamowanem parciem pęka obręcz, krępująca żywy jeszcze organizm. Nie pocieszamy narodu naszego przez nadawanie mu dogmatycznego przywileju „nieśmiertelności“. On, jako *wytwór dziejowy*, zniszczeć może tak dobrze, jak każdy inny naród. O tem wiedzieć powinien każdy polak i właśnie świadomość tej śmiertelności powinna mu dodać bodźca do wytężenia wszystkich sił swoich w obronie narodowej egzystencyi.

Rozpoczęliśmy wydawnictwo nasze wśród opałów tak zwanej „polityki ugodowej“. Na wiecu katolickim w czerwcu r. 94 ugodowcy zorganizowali przegląd sił swoich. Pisaliśmy o tym wiecu dość obszernie. Streszczamy nasze zapatrywanie! — Wiemy dobrze, że w mniemaniu niemieckich sfer miarodawczych stanowimy drzazgę w organiźmie państwowym. Wyjąć ją jak najprędzej będzie zawsze ich najgoretszem życzeniem. Czy to Olbracht Niedźwiedź, czy Hartmann, czy miecz, czy historiozofia niemiecka — powtarzają nam zawsze: *exstirpare gentem sclavorum*, — „ausrotten“. Było to omyłką naszych ugodowców, że ten program tak jasny i tak dawny uważali tylko za wybryk nienawiści teutońskiej starego kanclerza i sądzili, że z jego dymisyą prądy antypolskie w najwyższych sferach ustaną; nie wiedzieli czy też wiedzieć nie chcieli, że walka z nie-

nawistnym polonizmem jest popularną u pokolenia niemieckiego, wychowanego w wyobrażeniach Treitschego, Giesebrechta i Sybla, i że żaden mąż stanu w Niemczech pod groźbą utraty popularności temu prądowi niemieckiej opinii publicznej stawiać czoła nie będzie. — Nie przyczyny, że zmiana frontu, jakiej dokonać zamierzali nasi ugodowcy, miała w ich mniemaniu reagować przeciw zamaszystości naszych polityków lilipuciego zakroju, kłujących szpilkami drzemiącego w pikelhaubie Guliwera: obawa, żeby takie kłucie nie sprowadziło na nas nowych klęsk w postaci reskryptów ministeryalnych, stanowi poniekąd łagodzącą okoliczność dla marzycieli ugodowych, — nigdy jednak nie może ich uniewinnić. Gdyby się byli zadowolnili charakterem „straży pożarnej“ w rozumieniu Szujskiego, porozumienie z większością społeczeństwa naszego byłoby może nie tak trudnem; ale oni poszli dalej. Usiłowali zastąpić w odradzających się dopiero pod względem narodowym szerokich warstwach ludowych wiarę w siły własne, w żywotność naszego narodu, *wiarą* w łaskawość najwyższego zwierzchnika państwa, tak jakby tenże liczyć się nie potrzebował z opinią narodu niemieckiego i wreszcie z ustrojem konstytucyjnym swego państwa. Taka polityka otworzyła na roścież drzwi obłudzie politycznej, stąpającej w masce lojalności. Niestety, zbyt była ta maska przezroczystą, żeby pierwszy lepszy landrat nie poznał pod nią prawdziwego oblicza ugodowca-Polaka; a przecież pod tą maską odbywali ugodowcy zjazdy i wiece. Kto był na wiecu katolickim w Poznaniu, mógł przepowiedzieć bankructwo tej polityki, widząc, jak z pod tej maski lojalizmu wychylał oblicze stary „intransigenta“. Ale obłuda długo nie trwała. Sami prowodyrowie ugodowego stronnictwa wkrótce po wiecu katolickim zrzucili na ucztach lwowskich maski hyperlojalizmu pruskiego, a chociaż takie zdemaskowanie skompromitowało *stronnictwo*, to równocześnie rehabilitowało *osoby*, które błądzić mogły, ale z wyjątkiem kilku głów do pozłoty patryotami polskimi być nie przestały.

Dalecy jesteśmy od zarozumienia, żebyśmy naszemi artykułami przyczynili się do upadku koteryi politycznej, niedawno temu jeszcze pełnej animuszu wojowniczego. Rozwijając nasz program, chcieliśmy tylko przypomnieć naszym czytelnikom, że od początku założenia pisma naszego występowaliśmy zawsze przeciw romantyce politycznej, nie mającej racyi bytu w społeczeństwie, skazanem z natury rzeczy li tylko na własną pomoc.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Dola emigrantów galicyjskich. Jeden z korespondentów „Kuryera Lwowskiego“ podaje następujący przyczynek do historyi wychodźtwa galicyjskiego:

„Przejeżdżając w poniedziałek rano przez Stanisławów, zatrzymałem się na tamtejszej stacyi dla załatwienia kilku interesów z osobami tam mnie oczekującemi. Od jednej z nich dowiedziałem się, że w klasie III, w poczekalni obozuje cała gromada wychodźców brazylijskich, powstrzymana w drodze także jakąś „silną ręką“. Zaciekawiony niezmiernie, zwłaszcza po odczytaniu całego szeregu polemik i rozpraw uczonych po gazetach się tłukących, wchodzę do klasy III i oczom moim jaki przedstawia się widok?

Zaducha panująca w tym „salonie“ nie pozwoliła mi w pierwszej chwili uchwycić całego obrazu jednym rzutem oka, zaciągnąwszy jednak w płuca zapas stęchłego powietrza, raz i drugi, obejrzawszy się po kątach, ujrzałem widok przechodzący wyobrażenie, jakie sobie, czytając niejednokrotnie opisy i notatki kronikarskie, o naszych biednych brazylijczykach, urobiłem. Mężczyźni o żółtych wynędzniałych twarzach, snuli się po „salonie“ w wysokich, obłoconych butach, trzymając zagasłe fajki w zębach, kobiety tuliły drobne dzieci do łona, kwilące, kaszlące i płaczące. Starsze dzieci w wieku około lat 7—12, a może i starsze, ale nie wyrośnięte i wynędzniałe bawiły się w chowankę, ukrywając się za tobołkami i rupieciami, zawalającemi podłogę, ławki i wszystkie kąty poczekalni.

Wzrok mój padł na jedną z ławek, gdzie w kącie, ponakrywana jakiemiś rańtuchami grubemi leżała jakaś kobieta robiąca wrażenie chorej na puchlinę. Spytałem pierwszego lepszego chłopa o nią.

— To żona moja, odpowiedział.

— Chora?

— Wczoraj tu dziecko porodziła.

— Gdzie? Tu?

— A tu, w sali.

Ciarki po mnie przeszły i coś mię w gardle dławiło.

— Syn, czy córka? — zapytałem opanowując wzruszenie.

— Syn, — odrzekł, blado się uśmiechając.

Chłopi, baby, dzieci, otoczyły mię kołem.

Poczęły się żale, opowieści i zawodzenia — Na jedno moje pytanie, otrzymałem naraz dziesięć odpowiedzi, po polsku i rusku. Widząc, że nie dojdę do ładu, wydobyłem notatnika i z urzędową miną począłem, co mówili, spisywać. Miało to ten skutek, że jedna z kobiet, karmiąca dziecko, babina rezolutna, zapytała mię wręcz, czy te moje notatki znowu im jakiej biedy na głowę nie sprowadzą, bo „teraz to już nikomu nie można wierzyć“. Uspokoiłem ją, że nie mam żadnych złych zamiarów, poczem moi brazylijczycy, zaczęli mi się przedstawiać sami, po kolei. Rezultatem tych dochodzeń było, że emigruje razem 11 rodzin z kolonii mazurskiej Białokiernicy, pow. Podhajeckiego, razem z żonami i dziećmi.

Z opowiadania tych ludzi, na pytania szczegółowe o paszporta, pieniądze, przyczyny emigracyi itp. dowiedziałem się, że wygania ich z domu nędza.

Jeden z emigrantów opowiedział przytem fakt do wiary niepodobny, że podhajecki kierownik starostwa, u którego sześćkrotnie byli domagać się wydania wyjeżdżającym paszportów, w twarz go uderzył. Na powątpiewanie wyrażone przezemnie, odpowiedział krótko:

— Są świadkowie z Uhrynowa, Bekersdorfu, Zahajci, Wolendzy, Starego sioła i z kilku jeszcze siół, (których nazwisk nie pomnę), ci wszyscy co także po paszporty przyszli, to widzieli. Ostatecznie paszportów nie dostali. Grunta swoje posprzedawali po 40, 50 i 60 złr. za morgę i wyjechali, nie zważając na upomnienia starosty, który im nie mógł trafić do przekonania, ani poprzednim argumentem, ani przyrzeczeniem dostarczania robocizny po 20 centów (sic!) dziennie.

Ledwie przybyli do Stanisławowa, zatrzymano

K. ROJAN.

W ŚWIAT.

(Ciąg dalszy.)

Wszedł więc do mieszkania pana Kajetana i nie zastał tu nikogo, prócz jednej pani Marcysi.

Dyniecki należał do tych ludzi, co to trzymając się zasady, że każdy wróbel dobry, gdy ma się go w garści, nie mógł zapanować nad sobą, aby nie skorzystać ze szczęśliwej sytuacyi. Obcesowo więc nawiązał z panią Borajską przerwaną na jakiś czas nić poufałych stosunków.

Siedli sobie w jadalni i rozmawiali wesoło o tem i o owem. On nakręcił wkrótce pogawędkę na pewien skandalik głośny w mieście, o pani Maruszkowej i panu Waćkowskim, i opowiadał o nim bez osłonek, w wysoce zabawny i ciekawy sposób.

A że właśnie ściemniać się poczęło, więc Marcysia przerywając mu w pół zdania, rzekła:

— Przepraszam pana na chwilę. Chodź pan, pomożesz mi lampy pozapalać.

Zapalanie lamp rozpoczęło się od sypialni.

Dyniecki, podążając za panią Borajską, ciągnął:

— I owszem, z wielką ochotą. Zapalać lampy piękna to rzecz, szczególnie we dwójkę, bo przed zapaleniem jest zwykle ciemno.

— Pan lubi ciemność?

— Bardzo. Co prawda sam ciemności boję się zwykle, ale....

— Ale z kobietką....

— W dodatku ładną.... obawy pierzchają.

— Tego się można po panu spodziewać. Więc jak to dalej było z Waćkowskim i Maruszkową?

— Dalej?.... dalej nic już nie opowiem, bo gotowa pani pomyśleć, że jestem plotkarzem, a w dodatku nieprzyzwoitym.

— Ależ panie, nie obawiaj się pan. Ja stara kobieta, dwadzieścia ośm lat..... Ręczę panu, że nie bawię się w żadną skromnisię. Możesz pan mówić przedemną o wszystkiem.

Zaświeca zapałkę — Dyniecki zdmuchuje ją.

— Ej, dostaniesz pan po rękach!

— Proszę bić.

— Nie przeszkadzajże mi pan. Mąż przyjdzie niebawem, a tu lampy niepozapalane, dokoła nas ciemność. Gotów jeszcze niewiedzieć co pomyśleć. Więc jakże to było?

— Było tak, jeżeli pani chce już koniecznie. Pan Waćkowski święty człowiek, sprawił sobie nową kapotę...

— Co mnie jego kapota obchodzi?

— Kiedyż bo właśnie owa kapota odgrywa wielką rolę w całej historyi. Bez niej....

Zdmuchuje znowu zapałkę,

— Panie Dyniecki!

— Bez owej kapoty nie byłby poszedł do pani Maruszkowej i to wtedy właśnie, gdy mąż wyjechał kupować zboże na wieś. Wystroił się więc, wyczernił wąsy i idzie. Puk, puk, puk....

— Kto tam?

— To ja, czy mąż pojechał?

— Pojechał.

On na to cmok w rączkę.

Dyniecki, dla barwności opowiadania, naśladuje wiernie ruchy, słowa i czyny imci pana Waćkowskiego.

— Panie Dyniecki, przestaniesz pan!? Byłabym szkiełko opuściła. Jesteś pan nieznośny.

— Proszę się nie gniewać. Pani masz bardzo ładną rączkę.

Więc cóż dalej — pyta z widoczną niecierpliwością Marcysia.

— Otóż biedaczek, święty Waćkowski nie zauważył w zapale, że okno pokoju, gdzie się znajdował, wychodzi na ogród, a za ogrodem jest mieszkanie stolarza Kutera. Pani Maruszkowa, trzeba jej to przyznać, ma bardzo piękne usteczka.

— Przypatrzył im się pan z bliska?

— Być może. Ale to nie należy do rzeczy. Otóż ma piękne usta, nieprzymie-

ch tu w sali poczekalnej III klasy i siedzą tu pod strażą od soboty, a zatem już trzeci dzień bez ciepłej strawy w ustach.

Skarżyli się równocześnie na wójta w gminie swojej, Jędrucha Strusia, który na koszta paszportowe miał u nich wyłudzić 10 złr. i tych nie zwrócił. Marzeniem ich na razie jest dostanie się do Lwowa, gdzie ajent Ołeksa Szczerban, posiadający ich papiery i pieniądze ma im ułatwić dalszą emigracyę.

„Dlaczego zatrzymano ich w Stanisławowie trzy dni, po co, na co, z czyjego nakazu, jak długo tam jeszcze siedzieć będą, tego wszystkiego badać czasu już nie miałem, w drogę dalszą ruszyć musiałem. Przybywszy do domu odłożyłem najpilniejsze sprawy, ażeby podać do publicznej wiadomości co na własne oczy widziałem i słyszałem, a może bardzo smutna ta kartka z dziejów naszej cywilizacyi posłuży komu z posłów sejmowych do zrobienia z niej należytego użytku.

* * *

Szykany. Prześladowanie Towarzystw polskich w całym zaborze pruskim nie ustaje. Władze policyjne korzystają z każdej drobnostki., aby rozbijać zebrania, paraliżować koncerty amatorskie itp., a częstokroć nie cofają się nawet przed wyraźnem bezprawiem. Oto co podaje do wiadomości publicznej pelpliński „Pielgrzym“:

W Lalkowach zebranie Towarzystwa ludowego w niedzielę 23 stycznia odbyć się nie mogło, bo wójt nie dał poświadczenia o zameldowaniu, a żandarm takiego poświadczenia wymagał. Za poprzednie zebranie zaś mają członkowie zarządu: pp. Dzięgielewski, Felchner i Jan Chmielecki zapłacić po 20 mr. kary, bo wójt twierdzi, że zameldowania nie otrzymał, które mu pocztą było przesłane. Skazani na karę odwołali się do sądu, w którym dnia 11 bm. sprawa ta się rozstrzygnie.

Również w Swiekatowie skazał wójt gościnnego p. Kaszewskiego na 15 mr. kary za to, że pozwolił, iż w jego lokalu odbył się wiec „bez policyjnego pozwolenia“, ale takiego wcale nie potrzeba, wystarcza zameldowanie, a to się stało listem rekomendowanym (eingeschrieben). Sąd niezawodnie p. K. uwolni od kary. Albowiem coś podobnego zaszło w Rembiechowie; a sąd ławniczy w Gdańsku zniósł karę policyjną na podstawie przedłożonego kwitu pocztowego, świadczącego o zameldowaniu.

W Więckowach nałożył wójt 55 m. kary na amatorów, którzy odbyli próbę na sali gdzie państwo T. obchodziło swoje złote wesele. Oczywiście skazani na grzywny też się odwołają do sądu.

W Komorsku już 17 marca 1895 Towarzystwo ludowe uchwaliło założenie kasy pogrzebowej, ale dla różnych stawianych Towarzystwu przeszkód jeszcze nie mogło wejść w życie. Podobno żąda teraz wójt, żeby organem Towarzystwa do ogłoszeń też było przynajmniej jedno czasopismo niemieckie.

* * *

Point de reveries. „Przegląd Wszechpolski“ ostrzega przed złudzeniami politycznemi, tumaniącemi społeczeństwo polskie w rosyjskim zaborze.

„W najlepszym razie — mówi — możemy się spodziewać, że przy liberalnym trybie rządzenia zniesione będą niektóre prawa wyjątkowe i ograniczenia, te przedewszystkiem, które nieraz dla Rosyan są uciążliwe, że władze działać będą łagodniej i ściślej trzymać się prawa lub ulegalizowanego bezprawia, że zapewne otrzymamy większą swobodę rozwoju ekonomicznego i bardzo ograniczoną możność wypowiadania swoich myśli. Po za tem jakieś zmiany drobne, zwłaszcza w zakresie stosunków społecznych i ekonomicznych, uzyskają ludzie i grupy, które potrafią skorzystać z przyjaznego dla pewnych warstw lub interesów usposobienia rządu. Nie powiemy, żeby takie nawet zmiany nie miały wartości dla nas, bo nie wyznajemy zasady: im gorzej, tym lepiej. Lekkie, chociażby chwilowe rozluźnienie dławiącej obroży, które daje możność odetchnienia, jest już w naszych stosunkach ulgą pożądaną. Ale trzeba pamiętać, że to, co otrzymać możemy, stanowi *maximum* prawdopodobne, że nie wolno nam wytwarzać złudzeń i podsycać nadziei, po których przyjść musi rozczarowanie.

W polityce nic się darmo nie dostaje, lecz albo się bierze, albo za usługi i ofiary wymienia. Co my rządowi w zamian za ustępstwa dać możemy, a raczej, co dać mu mogą ci, którzy z ofertą ugody występują. Nic, albo prawie nic. Rozumieją to dobrze wszyscy ci panowie, którzy akcyę ugodową rozpoczęli. Deputacya w Petersburgu niczego nie żądała, o nic nie prosiła, bo nie miała do dania czegokolwiek, coby dla rządu jakąś wartość przedstawiało. Autorowie memoryałów, wręczonych hr. Szuwałowi poruszają w nich takie sprawy, jak uregulowanie obowiązkowe służebności, w znacznej części już dzisiaj załatwione, jak rozszerzenie atrybucyi Towarzystwa kredytowego ziemskiego, jak wreszcie dopuszczenie arystokracyi polskiej do urzędów i zaszczytów dworskich.

Bardzo skromne żądania czy prośby, ale ci, co je wnoszą, wiedzą, że byłaby to dostateczna zapłata za ofiarowane rządowi usługi i dobre chęci. I rząd też wie, że więcej dać im nie warto. Bo, mówiąc otwarcie, co pp. Górscy, Spasowicze, Baranowscy i chociażby całe legiony podobnych do nich ludzi znaczą, jaką siłę przedstawiają? Gdyby chociaż byli szkodliwi i niebezpieczni, gdyby byli chociaż niespokojni, rząd zechciałby może — bo i to rzecz wątpliwa — zjednać ich sobie, lub przynajmniej uciszyć. To nie jest wcale polityka realna, polityka interesów, jak ją nazywają, ale naiwna i śmieszna komedya złudzeń. Nic dziwnego, że przedstawiciele właściwego mieszczaństwa, którzy z praktyki interesów osobistych mają jakie takie pojęcie o prowadzeniu intesesów publicznych, nie bardzo kwapią się z przystąpieniem do takiej akcyi ugodowej, chociaż im obiecuje ona większe niż innym zyski.“

— ski.

LITERATURA I SZTUKA.

„Les Kamtchatka“.

Wobec posuchy na nowe tematy powieściowe, panującej obecnie na niwie literackiej, powyżej przytoczony, najświeższy utwór Leona Daudeta, budzi pewne zainteresowanie. Autor „Les Morticoles“, satyry, skierowanej przeciwko francuzkim powagom lekarskim, wystąpił znów z większym utworem, zaopatrzonym w dość dziwny tytuł „Les Kamtschatka“. Upodobanie do satyry, odziedziczone widocznie po ojcu (Alfonsie Daudecie) i tym razem wybitnie zaznaczyło się, zwłaszcza, że obrany temat duże nastręczył pole do zręcznej i trafnej obserwacyi. Tematem tym są estetyczne i umysłowe „mody“ — trudno je bowiem nazwać prądami — panujące w sferze bogatego i próżniaczego mieszczaństwa paryzkiego. Autor oczywiście nie kieruje ostrza swej ironii przeciwko istotnym literackim prądom no-

---

rzając takie, jak pani, tylko że cała Maruszkowa ani się umyła do pani. Tamta piwonia, a pani rozkwitła róża. Te zatem usta podobały się bardzo pobożnemu Waćkowskiemu, a więc nie namyślając się długo, porywa ją wpół i całuje!.... o tak!

Tu znowu Dyniecki ilustruje w żywy sposób myśli, słowa i czyny imci pana Waćkowskiego.

Tymczasem, gdy się to dzieje, Lola wraca do domu. Zniecierpliwiła się dłuższem czekaniem na Anulkę, więc, przed ukończeniem korepetycyi, powróciła sama do domu. Weszła kuchnią. Przechodząc przez jadalnię, usłyszała podejrzane głosy w trzecim pokoju i rozpoznała głos Dynieckiego. Dziwnie poruszona, podeszła na palcach do drzwi sypialni i oparłszy cicho rękę na futrynie, pochyliła głowę. Tym sposobem była niemym świadkiem całej niemal rozmowy macochy z Dynieckim, prowadzonej przy zapalaniu lampy.

Zrazu nie mogła zrozumieć, co się tu dzieje. Serce ścisnęło się jej w piersi, zatamowała oddech. Żartobliwy i poufały ton Dynieckiego przeraził ją u wstępu tak mocno, że nie wiedziała, co dalej począć. — W miarę dochodzących do jej uszu słów Dynieckiego, przeplatanych śmiechem macochy i całusami, sztywniała i krzepła coraz to bardziej, a usta jej blade, szeptały bez dźwięku:

— Otóż pójdę sobie stąd i nie chcę go nigdy już widzieć.... to niegodnie, to nieładnie, to bardzo nieładnie. On mnie zwodzi, on mnie nie kocha.... On mnie zabije.... zabije.

Nie odchodziła jednak i słuchała dalej, mimo, że poczuła do Dynieckiego wstręt połączony z chęcią wyrażenia mu natychmiast pogardy; dopiero, gdy opowiadanie Dynieckiego zbliżało się końcowi. Lola odskoczyła ode drzwi, odrzuciła kapelusz daleko od siebie, potrąciła krzesłem i zawołała głośno:

— Dobry wieczór państwu!

Była tak wzburzona, że trzęsła się cała.

Oczywiście, że Dyniecki nie dokończył opowiadania pani Marcysi o Waćkowskim i Maruszkowej. Sądząc jednak z pozdrowienia Loli, wygłoszonego z oddali, przypuszczał, że ta weszła w tej właśnie chwili do pokoju i nie podsłuchiwała jego rozmowy, prowadzonej w sypialni.

Wyszedł więc zaraz i uśmiechając się po trosze bezczelnie, powitał Lolę ukłonem i począł się usprawiedliwiać.

— A, pani już jest?... Czekałem na panią tak długo, że w końcu musiałem dla zabicia czasu pomódz pani Borajskiej zapalać lampy.

— A?... tak!

— Właśnie rozmawialiśmy o pani i dziwiliśmy się, dla czego pani nie przychodzi.

Lola wre z oburzenia. Dzikie myśli kłębią się w jej głowie. W tej gmatwaninie szuka słów, ktoremi mogłaby go znieważyć, obrzucić wzgardą, wypowiedzieć, jak bezgranicznie cierpi i jak go nienawidzi, aż wreszcie powiada:

— Jestem chora. Głowa mnie boli, dziś grać nie będę.

I wychodzi z pokoju.

Dyniecki stał chwilę nieruchomy przy stole i rozmyślał.

— Zła jest: widziała, albo się domyśla. Zresztą, niech się gniewa. Wielkie nieszczęście.

Pani Marcysia, która dotąd drżącemi rękami zapalała lampę, weszła teraz do jadalni i zapytała z cicha:

— A co?... widziała może?

— Gdzie tam. Nic nie widziała, nie mogła widzieć. Być może, że się domyśla, ale ręczę, że ponadto nic.

Kobieta odetchnęła i odzyskała zimną krew.

— Niegodziwa dziewczyna — zauważyła. — A gdzież ona teraz jest?

— Odeszła tam — wskazał ręką na drzwi pokoju dziewcząt. — Powiada, że ją głowa boli i że grać dzisiaj nie będzie. Tem lepiej, bo i ja nie mam wielkiej ochoty do grania.

Widocznem było, że ochoty do grania nie miał. Siadł kwaśny na kanapie, zapalił cygaro, bąknął kilka słów od rzeczy, poczem wstał i pożegnał Borajską.

Lola nie pokazała się tego wieczora przy kolacyi.

. . . .

woczesnym, z któremi bądź co bądź, niezależnie od większej lub mniejszej dla nich sympatyi, poważnie liczyć się należy, i nie przeciwko ludziom, których nieprzeciętne w każdym razie umysły — nową formę sztuki stworzyły, ale bicz jego satyry chłoszcze jedynie bezmyślne naśladownictwo i robienie mody z tego, co jest istotną potrzebą ducha nielicznej garstki natur wybranych. Modny obecnie wyraz dekadentyzm (autor właśnie zamienia takowy na nazwę „Kamtchatka"), stał się podług Daudeta, hasłem ludzi, którzy, dzięki swej naturze mało wrażliwej, nerwowo zdrowej, najmniej na wyznawców nowej szkoły się nadają i hołdują jej jedynie, idąc owczym pędem za modą chwil. Nazwa ich „Les Kamtchatka" pochodzi ztąd, że są oni osobnikami, które w niewolniczym hołdowaniu tej nowej modzie doszły do ostatecznych kresów — do Kamczatki. Bystry obserwator dostrzegł, że pod maską sztucznych zachwytów nad wszystkiem, co chorobliwe i niezrozumiałe, kryją się najpospolitsze natury burżuazyjne. Nazwę „Kamtchatka" nadaje autor ludziom tym przez usta swego bohatera, Pawła Lermy, jedynego przedstawiciela zdrowego sensu wpośród całej falangi ludzi zwaryowanych, a raczej udających zwaryowanie na punkcie źle zrozumianych nowych prądów estetycznych. Paweł Lermy jest artystą wybitnym, szczerym, wielbiącym prawdziwe piękno, człowiekiem obdarzonym zdrowemi nerwami i... zdrowym rozsądkiem; jego pogląd na sztukę i szczery kult piękna, dzieli z nim narzeczona jego, Klara, i oboje oni, znalazłszy się, dzięki przypadkowi życiowemu w całem tem towarzystwie, ale nie biorąc udziału w odgrywanej przez nie komedyi, są rezonerami utworu. w usta których autor wkłada własne swoje poglądy. A śmiesznych osobników w całem tem zgromadzeniu szereg liczny; więc przedewszystkiem: pani Toupin des Mares, żona bogatego fabrykanta łoju, grająca pierwsze skrzypce w orkiestrze hołdowników kamczackim modom, dająca dzieciom swoim imiona wagnerowskich bohaterów i wyrażająca gorące swe sympatye dla anarchistów, o których rozprawia z wybranym swego serca, romansopisarzem Gréveuillem (oczywiście oboje podczas tych rozmów rozpierają się na fotelach Ludwika XVI!) Stosunek pani des Mares z Gréveuillem nie jest spowodowany istotną potrzebą jej serca, ale jedynie chęcią modnego, wspólnego analizowania psychologii, osobistych uczuć, które dają zarazem kochankowi temat do jego poczytnych w tej sferze szkiców psychologicznych. Cały tłum bladolicych ascetów otacza tę parę i jednozgodnie unosi się nad obrazami „swoich" malarzy, nad poezyami „swoich" poetów, nad muzyką „swoich" geniuszów muzycznych, stanowczo gardząc dziełami ogólnie uznanych mistrzów klasycznych. Tłum ten otacza uwielbieniem wybitniejsze wpośród grona swego jednostki, np. Różę Coindart, morfinistkę, upijającą się tym narkotykiem z mody i gryzącą kredę bez potrzeby, lub przyjemności: Jacque Sivreus'a, syna skromnej rodziny mieszczańskiej, dążącego całemi siłami do „skomplikowania swej duszy" i redagującego pismo „Curare", naczelny organ, poświęcony sprawom i wrzekomym ideałom tego światka; dalej filozofa, nienawidzącego kobiet à la Strindberg i piszącego przeciwko nim całe traktaty — i wiele, wiele innych tym podobnych osobistości.

Kamczatka ma też swojego abbé Serbe'a, którego każdy ruch jest arcydziełem miękkości, mieszkającego w pokojach obitych białą materyą i żądającego podobnych ram od swoich owieczek. „Wszystko, co nas otacza — mówi ten duszpasterz — powinno być takie, aby prawie nie istniało i tylko otaczało dusze specyalnym zapachem. Bóg, żyjący w każdym osobniku, łatwiej jest dlań dostępnym w tych warunkach: nie spotyka żadnych przeszkód na swojej drodze".

Nad całym tym tłumem króluje aktorka, „princesse de Fourvandières", bardziej znana pod imieniem Suzu, której tytuł królowej należy się z racyi niezwykłej piękności, wyróżniającej ją śród grona karykaturalnych postaci umysłowej Kamczatki. Oto jej estetyczne wyznanie wiary: „Kocham abbé Serbe'a, artystę Trouguina (geniusza Kamczatki), czarno-aksamitno-listne storczyki i perfumy mojej własnej fabrykacyi, pachnące eterem i pieprzem. Podoba mi się trzeci akt „Parsifala", druga część „Fausta" i „Henryk VIII" Szekspira — inne jego dramaty zbyt są znane; lubię niektórych mistyków, zwłaszcza Jana Ewangelistę, rysunki Kardona, „Zarathustrę" Nietzschego, jasnozielony atłas i kanguru, kiedy są maleńkie, podobne do myszy. Oto wszystko! Po za tem reszta jest mi wstrętną, nienawistną i rozdrażnia mnie".

Już cała ta galerya postaci, niekiedy typowych, sama przez się składa się na zajmującą całość, w dodatku powieść obfituje w nader udatne ustępy, a naczelne w pośród nich miejsce należy się opisowi przedstawienia teatralnego na scenie teatru „Ame Ardente". Przedstawienie to składa się z trzech sztuk: „Les Etrailles" — brutalité sanglante en un acte; „Avenaga Korsor" — traduit du groenlandais de Vknijp norderie en deux glaçons i „Les beaux jours d'une essence — abstraction rimée. Oczywiście zgromadzona publiczność, składająca się wyłącznie z wyznawców nowej szkoły, unosi się nad pięknością scen, tłomaczy i komentuje każde zdanie, a zachwyt wzrasta, w miarę coraz mniejszego rozumienia mglistych, zawiłych i niedostępnych dla zdrowej logiki komplikacyi... Pod maską tych zachwytów kryje się z gruba ciosana, mieszczańska natura widzów, których w gruncie rzeczy obchodzą li tylko drobne egoistyczne względy, a głównie chęć pozornego stania na równi z duchowymi wybrańcami świata, ztąd obłuda i ciągłe odgrywanie śmiesznej komedyi, stanowiącej doskonały temat do udatnej i zajmującej Daudetowskiej satyry.

Trudno nadać utworowi temu nazwę powieści, fabuła bowiem bardzo jest uboga i występuje raczej jako nić, wiążąca pojedyńcze obrazki i szkice na tle obyczajów kliki wysnute. Niektóre z tych obrazków napisane są z niepospolitym talentem i siłą, zwlaszcza te sceny, gdzie poprzez zewnętrzny i sztuczny estetyzm przeziera psychologiczna prawda. jak np. w scenie między Suzu i oczarowanym jej wdziękami modnisiem salonowym, którego aktorka wyrzuca ze swego domu jedynie dla tego, że nie może odeń otrzymać żądanej wielkiej kwoty pieniędzy. Ta zimna i wyrachowana chciwość kobieca, odziana w szatę czcicielki piękna, świadczy o głębszem zrozumieniu natury ludzkiej i przekracza już miarę lekkiej satyry. W udanym estetyzmie tych ludzi odgrywa ważną rolę Florencya i jej sztuka. „Florencya jest — słowa powieści — jednocześnie rajem, Mekką i tytułem do sławy dla wszystkich członków Kamczatki".

Na drugi dzień przyszedł Smolarz pożegnać się.

Przywdział czarne ubranie, aby okazać Bojarskiemu, w szczególności zaś staremu pryncypałowi, jak wysoko go szanuje. Trochę niezgrabnie wyglądał w odświętnych szatach, uszytych na wyrost, ale niezwykła powaga przebijająca się na starannie wygolonej twarzy i uroczysty nastrój ducha, czyniły go pięknym i pociągającym.

Układał w myśli, co ma powiedzieć na pożegnanie panu Kajetanowi. jak przemówić do pani Marcysi, jak wreszcie rozstać się z Lolą. I to ostatnie pożegnanie było dlań najtrudniejsze i najprzykszejsze. Powiedzieć przecie coś trzeba, ale co? Może życzyć jej poważnie, statecznie szczęścia w przyszłem życiu, może śmiać się i zbyć ją jakim żartem, może serdecznie uścisnąć za rękę i nic nie powiedzieć, a może ukłonić się tylko z daleka i odejść bez słów wymiany? Wszystko to wydało mu się niestosowne; jedno było za chłodne, drugie za serdeczne, trzecie za szczere, czwarte za zimne.

Nim jeszcze zdołał cokolwiek w tym względzie postanowić, weszła do pokoju Lola i usiadła naprzeciw. Miała ona dziś zaczerwienione oczy i wypieki na twarzy, a uśmiechała się ciepło i przyjaźnie.

— Pan przyszedł pożegnać się? — zagadnęła, rozprzestrzeniając fałdy fartuszka.

— Tak, panno Lolu.

Nie odpowiedziała na to, lecz, bawiąc się fałdami i koronkami fartuszka, zdawała się namyślać; wreszcie rzekła:

— Ja wiem dla czego pan wyjeżdża....

Zaskoczony niespodzianie tem odezwaniem się Smolarz, roztworzył usta i czekał niepewny, jak się ma zachować.

Lola zaś ciągnęła dalej, podnosząc nań oczy.

— My kobiety jesteśmy złe i domyślne; przynajmniej ja taką jestem. A zresztą nie potrzebuję przechwalać się domyślnością, wszak Anulka jest moją przyjaciółką i nie robi przedemną żadnych tajemnic. Otóż nie chcę, abyś pan z żalem nas opuszczał i dla tego postanowiłam rozstać się z panem jak... jak z bratem.... A może po naszej rozmowie nie będziesz się pan na mnie gniewał i może... może jeszcze zostaniesz.

Smolarz czuje, że go coś ciśnie za gardło. Zapłakane oczy Loli, takie jakieś rzewne i serdeczne, a słowa jej takie ciepłe, poczciwe i drogie, że tylko życie oddać dla tej kobiety co umie tak ślicznie patrzeć i mówić. Pod wrażeniem słów poczciwych i owych oczu czarownych, Smolarz nie wie co począć z sobą. Pomieszany, wydobywa zatem chustkę z kieszeni i bezwiednie owija ją na wskazujący palec.

Ale dziewczyna jest również tak dalece wzruszona i rozrzewniona, że nie spostrzega nawet zabawnego tego objawu pomieszania. Wyciąga więc wzdłuż stołu rękę ku niemu i powiada dalej:

— Panie Franciszku, pan jesteś bardzo zacnym i prawym człowiekiem; drugiego takiego chyba nie ma na świecie. Ja chciałabym panu coś powiedzieć.... Ojciec pozwolił mi rozglądnąć się za mężem. Nie ładnie to, gdy dziewczyna sama sobie męża szuka, ale ja wiem, że pan masz dziwne jakieś skrupuły i nieśmiałość swoją posuwasz aż do przesady. Otóż powiedz pan szczerze, czy chciałbyś, abym została pańską żoną?

— Czy ja.... panno Lolu, czy ja chciałbym? — zaśmiał się Smolarz, pełen nieopisanej radości, a krzyknął tak głośno, że aż przysiadł, przerażony silnym odgłosem słów własnych.

— Więc chciałbyś pan? — badała Lola dalej, nie cofając położonej wzdłuż stołu ręki.

— Ach, mój Boże!.... — jęknął i przejechał palcami po skroni. — Ja sam dotąd dokładnie nie wiedziałem, że ja pannę Lolę tak bardzo kocham. Ale gdym pomyślał, że pani wyjdzie za Dynieckiego, to.... to chciałem uciec ztąd daleko, jak najdalej.

— O Dynieckim nie mówmy już nigdy...

— Tak jest, o nim nie warto mówić, to prawda, to wielka prawda, panno Lolu,

„Jadę do Florencyi“ — to znaczy: „wznoszę się ponad szary tłum i wyróżniam się wpośród niego“. Florencya, spędzanie długich godzin religijnej ekstazy w Uffiziach, oglądanie Botticelliego a przedewszystkiem wysłuchanie Wagnerowskiego „Parsifala“ to wszystko święci na kapłaństwo i daje prawo do zaszczytnego i tak pożądanego tytułu „Kamczatka“. Ubóstwianie Florencyi i jej rzeczywistych skarbów sztuki, niezrozumiałych dla wszystkich tych powierzchownych natur, zapożyczone jest naturalnie od prerafaelitów. Dante-Gabryel Rossetti i Burre-Jones stworzyli bezwątpienia nowy typ piękna, ale jakże dalekiemi są sztuczne zachwyty abbé Serbe'a, aktorki Suzu, Trouguina i im podobnych od artystycznych ideałów, od głębokiego nastroju duchowego, od szczerego kultu piękna, cechującego istotnych prowodyrów nowej estetycznej szkoły.

R. C.

Mierzwiński-redivivus.

Mierzwiński przyjechał do Warszawy i jest bohaterem chwili; wszyscy się nim troszczą, wszyscy się o niego dopytują i wyczekują z niecierpliwością zapowiedzianego na przyszłą sobotę koncertu, którego dochód „król tenorów“ przeznaczył znowu z królewską hojnością, na pomnik dla Moniuszki.

Pierwszy jego występ przed kilku laty przyniósł około 4000 rs. Drugi przyniesie również tyle, jeżeli nie więcej, bo zainteresowanie dla koncertanta, oprócz samego celu, jest jeszcze większe dzisiaj, niż było dawniej; zatem powiedzieć można, że znakomity śpiewak z własnej kieszeni przeznaczył ofiarę 7—8000 rubli. dla uczczenia pamięci największego u nas mistrza pieśni, bo dochód z obu koncertów mógłby zatrzymać sobie, co, zwłaszcza w dzisiejszych jego interesach finansowych, byłoby rzeczą całkiem naturalną.

Jest to tedy dowód dobrego serca i pełnej obywatelskości, nie często chodzącej w parze z talentem u nas; ale Mierzwiński miewa swoje ambicye i swoje fantazye, poczuwa się do solidarności ze społeczeństwem, do której należy i kocha swoją rodzinną Warszawę, której, wzorem swych wielkich kolegów i koleżanek nie unika, pomimo wszystkich tryumfów u obcych. Zdaje się, że jeśli Kochańska napisała tylko efektowny aforyzm: „Miło śpiewać obcym, lecz swoim najmilej, to Mierzwiński za nią, za siebie i za wielu innych zasadę tę czynnie wykonywa.

Ztąd ta wielka popularność i sympatya, jaką się cieszy u polskiej publiczności i prasy; umiał i chciał na nią zasłużyć.

Przed czterema laty, gdy mu się coś zepsuło w tem lwiem gardle, w którem się gnieżdżą jakby olbrzymie słowiki, i kiedy musiał zaprzestać występów na scenie i na estradzie, rzekł, wyjeżdżając z Warszawy:

-- Skoro rozpocznę na nowo śpiewać, to u was pierwszy raz wystąpię!...

Nie była to tylko obietnica na wiatr rzucona, dla efektu, ale szczery i rzeczywisty zamiar, który dzisiaj doprowadza do skutku. Odzyskał głos i przyjechał dać koncert w Warszawie na pomnik dla Moniuszki, któremu „wdzięczna publiczność“ pozwoliła czekać do tej pory w rozsychającej się glinie pod dłutem p. Marczewskiego.

Tłumy wielbicielek i wielbicieli znakomitego artysty nie mogą doczekać się tej soboty, w której powitać go mają na estradzie i usłyszeć znowu ten głos fenomenalny, dźwięczny, jędrny, prawdziwie męzki, który elektryzował swoją potęgą miłośników i znawców śpiewu, przejmował ich dreszczem zachwytu i w podziw wprawiał.

Przed czterema laty zanosiło się na to, iż Mierzwińskiego nie usłyszymy więcej, że niepowrotnie najwspanialszy z Raulów i Radamesów zejdzie ze sceny. Rozsiewano pogłoski z tą pochopnością do krańcowych sądów, iż Mierzwiński głos stracił zupełnie, że mu dr. Heryng swoją chirurgiczną operacyą strun głosowych zepsuł gardło do reszty, etc., etc. Tymczasem system kuracyi naszego niepospolitego laryngologa okazał się właśnie zbawiennym dla tak słynnego pacyenta, który dzisiaj potrzebuje tylko usta otworzyć, aby zagłuszyć wszystkie plotki i szmery zawiści.

Miałem sposobność wraz z kilkoma kolegami z prasy, usłyszeć Mierzwińskiego zaraz po przyjeździe do Warszawy; był znużony czterodniową podróżą, niewypoczęty, niewyspany, a mimo to w salonie państwa L. śpiewał przez kilka godzin tak, żeśmy słuchali z coraz bardziej rosnącem zdumieniem i nie mogli się powstrzymać, by mu się na szyję nie rzucić z zachwytu.

Ta sama siła i dźwięczność tonu, ta sama energia, którą zawsze imponował, ta sama olbrzymia wytrzymałość i prześwietna emisya, tylko... z dodatkiem nowych i niespodzianych nabytków wokalnej techniki; dzisiaj głos jego nabrał też aksamitnej miękkości, liryzmu, finezyi, umie pieścić zarówno słuch, jak wstrząsać go potęgą woluminu i ekspresyi. Przybyło mu coś z deklamacyi Reszkego i słodkiej melancholii Myszugi w śpiewie, a przytem nie przestał być Mierzwińskim, to jest bohaterskim na wskroś tenorem operowym, który tryumfował na wszystkich pierwszorzędnych scenach w Europie, Ma znowu milion w gardle i będzie go miał jeszcze w kieszeni, gdy swoje piersiowe *cis* przemieni na złoto. Po za tem nie zmienił się wcale i jest zawsze tym samym typem męzkiej tężyzny i piękności, wesołym, rozbawionym, oryginalnym w swoim humorze i dowcipach, jaskrawym trochę w manierach, łatwo przystępnym i towarzyskim, lubiącym popisywać się swoją wielostronnością amatorską i nieznużonym gawędziarzem w dobranych kółkach. Siąść do fortepianu i wygrywać swoje walczyki *à la* Strauss, przedrzeźniać Wagnera, gwizdać lepiej od Kostrzewskiego, rysować karykatury, naśladować znajomych i opowiadać tysiące anegdot ze świata sztuki, to u niego fraszka.

Ta przymieszka uniwersalności dyletanckiej cechuje jednak naturę artystyczną i zdolności niezaprzeczone w rozmaitych kierunkach, których tylko poważniejsze studya nie rozwinęły; spryt, zmysł spostrzegawczy, pamięć i to, co francuzi nazywają: *esprit d'apropos* stanowią niepospolite zalety Mierzwińskiego, jako człowieka w życiu prywatnem. Nie braknie mu nigdy na ciętych odpowiedziach, które nie zawsze zyskują mu przyjaciół.

Jedna z naszych entuzyastycznych weredyczek, nie umiejąca poskromić swojego języka i swady, godnej adwokata, po jakimś koncercie, zbliżyła się do niego i na cały

---

dobrze, że pani tak myśli i mówi — ale co ja właściwie jestem? co ja znaczę w obec niego? ja, biedny chłopak bez szkół i majątku, taz ja nic a nic nie mam, jak tylko tych dziesięć palców do pracy.

— I o tem nigdy już nie mówmy. Pan masz stokroć więcej od niego, bo masz Pan serce i jesteś prawym człowiekiem. Co zaś do majątku, to ojciec posiada tyle, że starczy dla nas obojga.

Smolarz westchnął i utkwił rozmarzone oczy w oblicze Loli, która wydała mu się w tej chwili świętą. Ona tymczasem zdjęła z palca pierścionek z turkusem i podała mu go, mówiąc:

— To moja przysięga.

— Ach, panno Lolu — westchnął znowu, porwał jej rękę z pierścionkiem i przycisnął ją do ust namiętnie.

— Muszę sama założyć panu na palec zaręczynową obrączkę, bo pan nie potrafisz. Będzie trochę za ciasna.

Wstała. Przez chwilę snuły się zwinne jej drobne, białe i pulchne paluszki, zaróżowione dokoła paznogci, przy czarnej, kościstej dłoni pracownika młota. Smolarz rozczepił palce i uśmiecha się rozkosznie, patrząc na Lolę.

Gdy pierścionek dosięgnął nakoniec szczęśliwie miejsca przeznaczenia, zawołała dziewczyna:

— Otóż jesteś pan moim narzeczonym. A teraz chodźmy oboje do ojca i powiedzmy mu co się stało. Niech nas pobłogosławi. Będzie bardzo szczęśliwy.

Wsunęła rękę pod ramię Smolarza i powiodła go do Borajskiego,

Nie trzeba, zdaje się, dodawać, że pan Kajetan, dowiedziawszy się o postanowieniu córki, przycisnął ją i przyszłego zięcia gorąco do serca, że pomrugał załzawionemi oczami i wzruszonym głosem dał swe przyzwolenie i błogosławieństwo. A nawet pani Marcysia zdobyła się na serdeczny ton i wśród życzeń pocałowała pasierbicę w czoło, które na sekundę przed tym pocałunkiem pokryło się drgającemi fałdami.

Radość Anulki granic nie miała.

Wnet też rozeszła się po Kołczanowie wiadomość o postanowieniu Loli Borajskiej. Niby kawki w jesieni, zakrążyły nad miastem gromady uwag i sąsiedzkich ploteczek. Ten i ów mniej interesowany, chwalił krok dziewczyny, tamten się dziwił, inny zazdrościł Smolarzowi. Raniecki klął, Szołomiejski rozumował.

Tak więc, nim księżyc po raz wtóry zajrzał w oczy Dynieckiemu i zapytał go, dla czego lekceważy szczere uczucie sieroty i czyni sobie zeń chwilową igraszkę, dziewczyna zemściła się nad pięknym przeniewiercą w doraźny sposób. Czyn jej, dokonany pod chwilowem, namiętnem wrażeniem, zdawał się powiadać: Nie szanujesz mnie? — dobrze! Nie dbam o ciebie i gardzę tobą. Na twoje miejsce będzie inny, dziesięciu innych, gdy tylko zechcę. Wiedz zatem, że nie ty jeden jesteś na świecie, ale są inni, stokroć poczciwsi i zacniejsi i że ty w obec nich wydajesz mi się dzisiaj nędznym i podłym człowiekiem, dla którego nie mam w sercu nic więcej nad wzgardę.

Ostatecznie Lola nie zastanawiała się zbytnio nad tem, co czyni, obojętnem jej było, komu odda rękę; miasto Smolarza mógł być kto inny, byle tylko był jak najprędzej jej narzeczonym, byle Dyniecki poczuł w dosadny a dotkliwy sposób, że może być lekceważonym i poniżonym podobnie jak sam lekceważył i poniżał.

Szczęście to, że Smolarz był godnem narzędziem zemsty, narzędziem co niszcząc przeciwnika, nie kaleczy równocześnie ręki mściciela.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

głos rzekła w formie zbyt przydymionego komplimentu:

— Śpiewasz pan ślicznie, ale mnie nie porwałeś!...

— Trzydzieści lat temu byłbym panią może i porwał! — odparł z miejsca pięćdziesięcioletniej babuleńce.

Innym razem w Paryżu jakiś złośliwy dziennikarczyk, chcąc mu dociąć, zagadnął go z ironią:

— Panie *Mierswęski*, czy to prawda, że istnieje przysłowie: „Pijany, jak polak“?

„Mierswęski“ całkiem poważnie i z godnością, ale nadzwyczaj uprzejmie dał paryżaninowi lekcyę dobrego tonu, odpowiedziawszy:

— Takiego przysłowia nie słyszałem, ale u nas się mówi: „Grzeczny jak francuz!...

Kiedy „król tenorów“ i „tenor królów“ śpiewał pewnego razu na salonach zmarłego cesarza Wilhelma, który go szczególniejszemi względami zaszczycał, ówczesny następca tronu, a późniejszy cesarz Fryderyk, zbliżył się do niego z pochwałami i spytał:

— Panie Mierzwiński, dla czego pan tak późno dałeś się słyszeć w Berlinie?

Artysta skłonił się nizko i z uśmiechem odrzekł:

— Wszak wasza cesarska wysokość wie o tem, że każdy tenor jest głupi!

W tym rodzaju możnaby przytoczyć mnóstwo anegdot z życia Mierzwińskiego, zadających kłam przysłowiowej opinii tenorów. Na pochwałę jego dodać jeszcze należy, że nigdy i nigdzie nie starał się przybrać bardziej kosmopolitycznej cechy i choćby przybrać nazwisko, nad którem cudzoziemcy nie potrzebowaliby sobie łamać języków; szczególniej we Francyi, gdzie musiałby się pisać chyba „*Miergevignecequi*“, chcąc, aby go poprawnie wymawiano nad Sekwaną.

Dzisiejszy *impresario* Mierzwińskiego, p. Heller, brat znanej primadonny, który w roku zeszłym zaimponował publiczności krakowskiej zorganizowaniem opery polskiej, nosi się ze śmiałą myślą złożenia trupy z najcelniejszych śpiewaków i śpiewaczek naszych, by objeżdżać z nią większe miasta europejskie i „nasze sławy“ w dobranym komplecie zaprodukować zagranicy. Poprawiłoby to opinię naszej opery muzycznej po smutnej pamięci wystawie w Wiedniu. Posiadamy dzisiaj przecie świetny zastęp talentów i artystów, którzy zaszczyt przynoszą naszej sztuce; dość wymienić nazwiska: Reszków, Mierzwińskiego, Myszugi, Rotmila, Warmutha, Grąbczewskiego, Kochańskiej, Hellerówny, Klamrzyńskiej, Arklowej, Konarskiej, Dąbrowskiej, Camillowej, Abendrotówny, Szlezygerówny i wielu innych jeszcze, mniej znanych i głośnych. Jest w czem wybierać.

Mar. Gawalewicz.

BADANIA NAUKOWE.

SAMOBÓJSTWO.

W szeregu klęsk społecznych, trapiących ród ludzki od najdawniejszych czasów, samobójstwo zajmuje jedno z miejsc wybitniejszych. Potępione i wyklęte przez moralistów, cechą szaleństwa napiętnowane przez uczonych, używane wielokrotnie, jako ponętny i efektowny motyw literacki przez poetów dawnych i nowoczesnych, nie przestaje samobójstwo i w chwili obecnej wybierać corocznie obfitego haraczu od wszystkich cywilizowanych narodów. Owszem, w ciągu bieżącego stulecia niszcząca jego siła we wszystkich prawie krajach wzrosła parokrotnie, a o ogromie spustoszenia, jakie z tego źródła spływa na społeczeństwo, daje już pewne pojęcie fakt, że w ciągu ostatnich lat paru w samej Europie 60,000 osób corocznie schodzi przez nie dobrowolnie do grobu.

Uczeni i myśliciele wszelkich odcieni zwrócili oddawna uwagę na tę klęskę, starając się odnaleść i wskazać jej główne przyczyny. Powstała tym sposobem na Zachodzie cała literatura, poświęcona kwestyi samobójstwa, przyczem wskazywane źródła złego znajdowały się w ścisłej zależności od stanowiska, jakie zajmował uczony. Teolog widział tu przedewszystkiem skutki upadku wiary i moralności, lekarz — zboczenie umysłowe, socyolog i ekonomista — wynik złych stosunków gospodarczych. Za chorobę umysłową uważają samobójstwo stary Auenbrugger i Esquirol; Meckel, Heinroth, Stark i Brierre de Boismont przypuszczają, że popełnia się je najczęściej w stanie obłąkania; Oettingen i Masaryk, jako właściwy powód, podają brak wiary i cywilizacyę; Morselli uważa je za jeden z wielu środków przyrody, dążącej w walce o byt do usunięcia z życia jednostek, upośledzonych pod względem umysłowym lub cielesnym; Quetelet wreszcie i Adolf Wagner widzą w częstych samobójstwach zjawisko prawidłowe i niemal naturalne. Słynny statystyk belgijski w dziele swojem: „*Sur l' homme et le développement de ses facultés*“ mówi o niem między innemi: „Społeczeństwo nosi w swem łonie zarody wszystkich zbrodni, które mają być popełniane, wraz ze sposobnościami do nich. One przygotowują niejako do zbrodni, a sam winowajca jest tylko narzędziem do ich wykonania... Budżet corocznych zbrodni daje się naprzód obliczyć. Ilość też samobójstw powtarza się rok rocznie tak, iż można mniej-więcej zapowiedzieć, ile ich będzie w roku następującym.“ Podobne zapatrywanie wygłosił niegdyś i Buckle, którego zdaniem „samobójstwo jest jedynie wynikiem ogólnego stanu społeczeństwa, a każdy pojedyńczy przestępca urzeczywistnia tylko to, co jest niezbędnym skutkiem istniejących warunków. W danem położeniu społeczeństwa musi pewna ilość jego członków, sama położyć kres swemu istnieniu“.

W polskiej literaturze naukowej samobójstwem zajmowano się dotąd niewiele. Wydane przed kilkunastu laty we Lwowie dziełko hr. Maurycego Dzieduszyckiego p. t. „Samobójstwo“ jest jednostronną dosyć historyą poglądów na ten smutny objaw życia, jakie panowały w literaturze od najdawniejszych czasów aż do nowych. Dziełko to świadczy wprawdzie pochlebnie o pracowitości i oczytaniu autora, ale dzisiejszym potrzebom nie odpowiada bynajmniej. Świeżo natomiast pod takim samym tytułem ukazało się na półkach księgarskich wydane dwa lata temu w Berlinie studyum krytyczne Dr. Eugeniusza Rehfisch'a (przekład Wiktora D.

NAUCZYCIEL.

OBRAZEK Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI

przez

M. WITOROZA.

(Ciąg dalszy).

W czasie konferencyi odczytywał swoje uwagi, wobec całego grona nauczycieli, tonem grobowym, stanowczym i mentorskim, dopatrując się we wszelkiej usterce złej woli, lekkomyślnego zaniedbania obowiązku braku uzdolnienia i chęci. Czasem wypadały półgębkiem wypowiadane łaskawe pochwały, które jednak ludzi dojrzałych, sumiennych i wykształconych hańbiły, jak policzki. Po skończeniu uwag, zapytywał: „Czy kto z panów zechce obronę swą umieścić w protokóle?“ Protokół bowiem pisano z tych posiedzeń, jak w sądzie, a całe grono było niejako w stanie oskarżenia. Cisza naówczas zalegała w sali, jak makiem posiał. Któżby się bronić odważył? Byłaby to wojna z przełożonym. Doświadczeni wiedzieli, czem to pachnie. Zdarzało się czasem, że niebaczny młodzian, który w ogniu konferecyjnym jeszcze nie był, godności stanu akademickiego jeszcze się nie pozbył, oburzony gromami, jakie nań spadły, i formą, w jakiej były wypowiedziane, oburzony podejrzeniem niedbalstwa, lub zarzutem nieudolności, zgłaszał się drżącym z gniewu głosem i dyktował doryweze swe i nieobmyślone usprawiedliwienie, które oczywiście wypadało co do rzeczy i formy dziwacznie i zapisywało go w pamięci władz na czas długi, jako ograniczonego. Zwykłym skutkiem takiej obrony był wyraz „ubolewania“ władz wyższych. Z tego powodu i mnie dostały się trzy takie „ubolewania“; czwartego już nie czekając, podziękowałem tak za „ubolewania“, jak za 25 zł. miesięcznie.

Tak sparzył się podobno parę razy Bielusz, nim wreszcie stopniowo pozbył się samodzielności i nabył rutyny w mechanicznem pełnieniu przepisów i pokornem uważaniu wyroków przełożonego za nieomylne.

Ale niezbyt dawno zaszła w tych stosunkach nagła i wielce tragiczna zmiana. W górnych sferach powiały jakieś inne prądy; dymisye posypały się, jak ulęgałki w czasie burzy; pewnego pięknego poranku do Wadowic przyjechał — jak mi opowiadano, jakiś przystojny, młody i energiczny inspektor szkolny, nowo mianowany, i po dwutygodniowej hospitacyi, sypnął gromami na cały zakład i na sposób nauczania. Uczniów porównał z kryminalistami, nauczycieli z inkwizytorami, zakład z zapleśniałem więzieniem. Po odjeździe młodego i przystojnego inspektora, niektórzy nauczyciele podobno dmuchali pokryjomu w kułak, ale ambitny dyrektor zachorował na żółtaczkę. Nim się z niej wyleczył, przyszło przeniesienie go w tymczasowy stan spoczynku, wraz z przeniesieniem niektórych nauczycieli i mianowaniem nowych. Przybył także nowo mianowany dyrektor, o którym panie miejscowe orzekły, że także był przystojny.

Bielusz pozostał na stanowisku. Rzecz prosta, że nie łatwo mu pozbyć się było silnie w ciągu kilkunastu lat wkorzenionej rutyny i że teraz może znowu bierze gorzkie pigułki.

Pod wpływem opowiadania tego, profesor uniwersytetu pogrążył się w zadumę, wywołując w pamięci obraz dawnego przyjaciela. W jego wyobraźni odżyły znane rysy: białe, jak kość słoniowa, czoło, otoczone wieńcem ciemnych włosów, oczy wielkie, błękitne, w których błyszczały to rzewność, to zapał, łagodny, pełen melancholii uśmiech, cała postać szczupła, ale skromna i pełna wdzięku.

— Był bardzo przystojnym — myślał — a teraz, ciekawym, jaki teraz?

Godzina była 3 po południu. Pociąg ze zwykłym zgrzytem zajechał przed stacyę. „Wadowice!“ — zawołał konduktor. Dziekan, pożegnawszy się, wysiadł i wraz ze swym Jurkiem pojechał do siostry, która od paru miesięcy dopiero mieszka w Wadowicach.

W godzinę potem przyszedł do wskazanego mu mieszkania Bielusza. Dom stał

Warszawa, 1895), w którem autor do badań Quetelet'a, Masaryka, Oettingena, Morselli'ego i innych dołącza i własne spostrzeżenia, korzystając z nieuwzględnionego dotąd nigdzie obfitego materyału statystycznego z lat od 1878 do 1889.

Uważając samobójstwo za ostatnie ogniwo łańcucha stanów patologicznych, pierwsze jego motywy upatruje dr. Rehfisch w stosunkach społecznych. One to wytłomaczyć nam mają niepomiernie szybki wzrost samobójstwa w ciągu ostatniego stulecia w stosunku, przewyższającym o wiele odpowiedni przyrost ludności. Nadzwyczaj trudne warunki bytu i wypływająca ztąd nędza w klasach niższych, miejskiej zwłaszcza ludności, często bardzo wywołuje w tej sferze alkoholizm, odgrywający w kwestyi samobójstwa pierwszorzędną rolę. Jednocześnie ciągłe współzawodnictwo, zazdrość i żądza użycia doprowadza wyższe klasy do strasznego rozstroju nerwowego, wytwarzając wśród nich odpowiednie podścielisko dla samobójstwa. Cywilizacya, błogosławiona w swych skutkach dla ogółu, częstokroć zgubną się staje dla jednostek.

Zastanawiając się dalej nad przyczynami wywołującemi tak wielką ilość strasznych wypadków w dziedzinie samobójstwa, musimy zwrócić uwagę na dwa potężne czynniki: dziedziczność i zarazę duchową.

„Literatura, powiada dr. Rehfisch, zna mnóstwo wypadków gdzie samobójstwo przechodziło nietylko z ojca na syna, ale na wnuków i linie boczne." W organach potomstwa znajdujemy zwykle te same zmiany, jakie charakteryzują wogóle ciała rodziców.

Więcej jeszcze niż o dziedziczności, da się powiedzieć tutaj o zarazie duchowej, która, ogarnąwszy wszechwładnie wszystkie sfery życia, i na rozwój samobójstwa wywiera wpływ wielki. Jeszcze Plutarch wspomina o manii samobójczej u dziewic w Milecie, która przybrała tak zatrważające rozmiary, że władze, w celu powstrzymania epidemii, rozkazały wystawić na widok publiczny obnażone zwłoki jednej z samobójczyń, co też odrazu pożądany skutek wywarło. Znanym jest również fakt, że po wyjściu „Werthera" Göthego, wielu młodych ludzi, przeczytawszy tę książkę, odebrało sobie życie za przykładem jej bohatera. W 1772 roku 15 inwalidów powiesiło się jeden po drugim na haku, wystającym przy którejś z ulic, aż go wreszcie usunąć musiano. Przykłady podobne możnaby mnożyć bez końca.

Słusznie jednak zauważył dr. Rehfisch, że w naszych czasach zaraza samobójstwa rozszerza się najwięcej przez prasę codzienną, która, zamieszczając bez ustanku w swych szpaltach szczegółowe opisy wypadków samobójczych, skłania do naśladownictwa mnóstwo słabych osobników.

Badania dawniejszych pisarzy, zajmujących się kwestyą samobójstwa na podstawie danych statystycznych do roku 1878, zaznaczają fakt, że klęska ta w ciągu ostatnich kilku dziesiątków lat wzrasta niezmiernie. Autor jednak, z którego głównie czerpiemy tutaj dane, zestawiwszy 309,000 wypadków, zaszłych w ciągu dziesięciolecia od r. 1878 do r. 1888 przychodzi do pocieszającego wniosku, że wogóle samobójstwo minęło już swój punkt kulminacyjny, cyfry wypadków stają się coraz regularniejsze i rzadko przekraczają maximum. Kiedy liczba samobójstw we wszystkich prawie krajach powiększyła się czterokrotnie od r. 1820 do 1878, to obecnie albo zmniejsza się, albo tam, gdzie rośnie, przyrost ten jest mniejszy w stosunku do lat dawnych, o czem najlepiej przekonać się możemy, biorąc pod uwagę liczby względne wypadków, t. j. na milion mieszkańców. Wogóle w obliczeniach swoich Rehfisch dzieli wszystkie państwa na trzy klasy, odpowiednio do zachodzących w nich zmian w rozwoju samobójstwa. Do pierwszej z nich zaliczyć należy te kraje w których samobójstwo w ostatnich latach zmniejsza się stanowczo. Należą tutaj: Prusy, Saksonia, Królestwo Wirtemberskie, Szwajcarya i Rosya. Ciekawem jest zmniejszanie się samobójstwa w Saksonii, w której wypadki odbierania sobie życia zwiększały się wciąż ilościowo aż do roku 1883. Rok ten przyniósł Saksonii najwyższą względną cyfrę wypadków, jaka kiedykolwiek zaznaczoną została (360 na milion mieszkańców), poczem cyfry z roku na rok spadać zaczęły, chociaż ludność od roku 1886 do roku 1890 wzrosła o 10 procent.

Większość państw europejskich należy do drugiej klasy, w której liczba samobójstw, nie zwiększając się, ani zmniejszając, utrzymuje się w ostatniem dziesięcioleciu na jednej prawie wysokości. Do kategoryi tej zalicza autor Austrję, Norwegję, Danję, Ks. Badeńskie, Włochy, Ks. Heskie, Anglję i Irlandję. Na uwagę zasługują tu głównie: Norwegja i Anglja. Pierwsza jest jedynym krajem w Europie, który za naszych czasów poszczycić się może mniejszą ilością samobójstw, niż w r. 1830, — wogóle też zachodzi tutaj minimalna ilość wypadków, bo tylko 66 na milion mieszkańców. Co do Anglii to koniecznie sprostowania wymaga błędna opinia, wyrobiona jej jeszcze przez Montesqujusza, który ją nazwał klasycznym krajem samobójstw. W rzeczywistości zachodzi tu o wiele mniej tego rodzaju wypadków, niż w innych państwach. Podczas bowiem, gdy w Prusach zdarza się ich 200 na milion mieszkańców, w Austryi 160, w Saksonii 350, we Francyi 200, to w Anglii cyfra ich przekracza rzadko 75, co do pewnego stopnia wytłómaczyć można nadzwyczaj rozwiniętą w tym kraju emigracyą, która sama przez się usuwa większość niezadowolonych żywiołów. Do kategoryi wreszcie państw, w których samobójstwo wzrasta ustawicznie, należą: Francya, Belgia, Szwecya i Bawarya. Francya zwraca na siebie pod tym względem uwagę już przez to, że powiększanie się ilości wypadków samobójczych ma w niej miejsce jednocześnie z nader małym przyrostem ludności. Względna liczba samobójstw podniosła się tutaj od roku 1827 do 1887 z 44 na 214, a więc do 450%. Zauważyć jednak należy, że zarówno w tym kraju, jak i w innych, epoki wojen i wogóle wielkich katastrof politycznych, odwracając powszechną uwagę od bólów osobistej natury, wywierają wpływ ujemny na rozwój manii samobójczej i wzrost jej znacznie tamują. Widzimy to we Francyi w latach 1852, 1857 — 59, a zwłaszcza w roku 1870, w którym zwykła liczba samobójstw zmniejszyła się o tysiąc wypadków.

Przechodząc teraz do ciekawej kwestyi wpływu na samobójstwo płci, stanu, wieku i zawodu, zauważyć musimy, że wsród kobiet zdarza się ono o wiele rzadziej, niż u mężczyzn, narażonych na większe niebezpieczeństwa w codziennej walce o byt. Na czterech samobójców wypada zwykle jedna kobieta, w Szwajcaryi nawet znajdujemy

---

w ciasnym, brudnym zaułku; między sklepami i jatkami ledwo dojrzeć można było małą bramkę. Wszedł do niej i przy świetle zapałki, zaledwie palącej się w stęchłem powietrzu, omijając jakieś paki i kosze, dostał się do nadgniłych i niemytych nigdy schodów.

„Co za dziwactwo — myślał — mieszkać tak niehygienicznie". Szczęśliwie dostał się do drzwi na drugiem piętrze i kilkakrotnie zapukał. Otworzyły się wreszcie, i równocześnie wszystkie zmysły gościa doznały niemiłego wrażenia. Rozległ się ostry krzyk jakiejś kobiety, zapewne służącej: „Przecież wszyscy wiedzą, że pan w domu nie przyjmuje!" Buchnęła para, cuchnąca bielizną i mydłem, otworzył się widok na kuchnię, w której nieład szedł o lepsze z niechlujstwem. Tam bielał stos niepranej bielizny, tu czerniły się porozrzucane węgle i niemyte garnki, owdzie porozgniatane na stole kawałki ugotowanych ziemniaków nie wzbudzały wcale apetytu. Ogromna na środku balia z mydlinami i kałuże na podłodze świadczyły o wielkiem praniu.

— Jeżeli jest pan w domu, to proszę uwiadomić, mnie przyjmie z pewnością.

— Jak sobie pan chce, ja mówię, że lepiej się wynieść, — rzekła niezbyt salonowo, ale poszła spełnić polecenie.

Po chwili wyszedł człowiek wychudły i skurczony. Surdut miał czarny, pod szyję zapięty, sięgający do kolan, poplamiony; siwe włosy były może kilka dni nieczesane; trzymał jakiś papier w jednej ręce, drugą poprawiał okulary. Nie zważając na giest rąk gościa i pierwsze jego wyrazy, przerwał mu głosem monotonnym i suchym:

— Przepraszam. Paragraf 19 przepisów szkolnych jasno i wyraźnie opiewa: „Wszelkie wyjaśnienia udziela się stronom w kancelaryi gimnazyalnej co niedzieli, między godziną 9 a 10".

Odczytawszy to, skłonił się sztywnie i odchodził już z kuchni.

Gość był wzruszony widokiem dawnego przyjaciela. Jakże się zmienił, jak zestarzał, zgarbił się we dwoje, wysechł! I może nie słysząc tego, co mu Bielusz przed chwilą odczytywał, zawoł serdecznie:

— Stachu kochany! Nie poznajesz mnie?

W tym czasie weszła już była służąca i, wyjmując kawały mokrej bielizny z balii, bez ceremonii rzucała je z zamachem na stół, aż bryzgi ochlapywały obecnych; robiła przytem uwagi: „A to natręt, patrzcie ino, a mówiłam, żeby sobie wyjszedł hanok".

Bielusz nerwowo sięgnął ku głowie, jakby sobie uszy zatykał: potem z przyciskiem oddzielając wyrazy, przemawiać począł do służącej:

— Małgorzato, zastanów się powoli, *festina lente!* Nie mówi się wyjszedł, tylko wyszedł! Nie mówi się hanok! Zastanów się, powoli!

Ale Małgorzata wpadała w gniew coraz większy i byłoby pewno przyszło do groźnej sceny, gdyby gość nie był ujął za rękę gospodarza domu i siłą prawie nie wyprowadził go do sąsiedniego pokoju. Na twarzy Bielusza odmalowało się zdumienie bez granic i widoczna obawa. Powtarzał wciąż:

— Przepraszam, nie rozumiem, czego pan sobie życzy; może się pan myli, nie miałbym tego za złe, *errare hamanum est.*

— Ale, mój Stachu, przypomnijże sobie lata szkolne, nie poznajesz Józefa Charskiego?

Wymówione nazwisko widoczny wpływ na Bielusza wywarło. Obawa zniknęła. Szeroko rozwartym i osłupiałym wzrokiem patrzał na przybysza; powoli rozlewało się na twarzy jakby rozrzewnienie.

— Charski, Józef Charski — powtarzał półgłosem. — Przepraszam, usiądę, jestem nieco zmęczony, muszę pomyśleć, to tak niespodzianie się stało, usiądę.

Usiadł. Toż samo uczynił Charski, przysunął się do Bielusza z krzesłem i, ująwszy jego rękę, mówił:

— Tak, tak, przyjechałem odwiedzić ciebie, Stachu, pogadać o dawnych czasach i dawną przyjaźń odnowić. Wszak byliśmy kolegami i przyjaciołmi, a takich wspomnień, jak nasze, życie nie zaciera.

Tymczasem zniknęło z twarzy Bielusza chwilowe pomieszanie, czy rozrzewnienie. Skrzywił się dziwacznie i odrzekł wstając:

stosunek 5.8:1. Mniej korzystniej dla kobiet przedstawia się ten stosunek w wielkich miastach, gdzie częstokroć obie płcie zarówno są do ciężkiej pracy zmuszone. W Berlinie np. jedna samobójczyni przypada na 2.8 samobójców. Trudnemi warunkami życia należy również tłumaczyć fakt, że wśród mężczyzn żonaci podlegają częściej samobójstwu, niż kawalerowie i wdowcy. Charakterystycznem jest jednak, że u kobiet panuje pod tym względem stosunek odwrotny. Wśród panien samobójstwo zdarza się nawet częściej, niż wśród kawalerów; więcej również wdów, niż wdowców, kończy w ten sposób życie.

Wiek odgrywa ważną rolę w kwestyi samobójstwa. Do lat 15 wypadki dobrowolnej śmierci bywają stosunkowo rzadkie i stanowią zaledwie nieco więcej, niż 1% ogólnej ich sumy, przyczem dziewczęta okazują w tym okresie większą skłonność do odbierania sobie życia, niż chłopcy. Na 100 chłopców przypada 110 dziewczyn. Na uwagę zasługują tutaj wypadki samobójstw wśród uczącej się młodzieży. Według obliczeń prof. Guttstadta, w ciągu pięciolecia od roku 1883 do 1888, pozbawiło się życia w jednych Niemczech nie mniej, jak 289 uczniów, z czego 80 przypada na szkoły niższe, a 209 na wyższe. W następnym okresie życia, tj. między 15 a 25 rokiem cyfry samobójstw rosną, zwłaszcza u kobiet, u których obejmują one w tym wieku do 24% ogólnej liczby wypadków. Łatwo zrozumieć ten wzrost, jeżeli uprzytomnimy sobie, jak wielka liczba osobników płci żeńskiej staje się w tym wieku ofiarą zawiedzionych nadziei, wstydu, obaw przed widmem staropanieństwa itp. czynników. Kulminacyjnego punktu dosięga samobójstwo u mężczyzn w 50-tym roku, podczas gdy u kobiet, stających wcześniej na progu starości, następuje on już w 40-tu latach. W późniejszym wieku samobójstwa stają się znów rzadszemi, przyczem pobudki ich szlachetnieją, graniczące często z poświęceniem i altruizmem.

Dokładne badania zawodu samobójców natrafiają wogóle na trudności poważne, w zebranym jednak materyale faktycznym bijąco rzuca się w oczy nadzwyczaj liczny udział w tem przestępstwie klasy wszelkiego rodzaju służących. Na 10,000 osobników tego zawodu przypada 45 wypadków samobójczych, — to znaczy, że z 223 służących jeden odbiera sobie życie.

Jestto przerażająca obfitość, a wyda nam się jeszcze jaskrawszą, jeżeli porównamy ją z odpowiedniemi cyframi w innych zawodach, gdzie zwykle na 10,000 osób przypada nie więcej nad 4 lub 5 samobójstw.

O wiele częściej, niż w stanie cywilnym, zdarzają się samobójstwa w wojsku. Porównanie ogólne mówi nam, że w armiach poszczególnych państw, mianowicie Niemiec, Austryi, i Włoch, wypadki samobójcze bywają 8 do 9 razy częstsze, niż pośród ludności cywilnej. Najgorzej stosunek ten przedstawia się w armii austryackiej, gdzie na 700,000 osób przypada 112 samobójstwa i prawie $^1/_5$ wszystkich wypadków śmierci zaliczaną bywa do tej kategoryi.

Niezależnie od wskazanych wyżej ogólnych przyczyn samobójstwa, poświęcimy słów parę wyszczególnieniu motywów osobistych, tj. tych najczęstszych pobudek zewnętrznych, które w ostatniej chwili wywołują samą katastrofę. Pójmując wypadki, popełnione przez zdecydowanych szaleńców, które wynosić mają 30% ogólnej symy, przedewszystkiem zwraca na siebie uwagę często bardzo powtarzający się motyw w postaci przesytu życiem, *taedium vitae*. Powoduje on, według obliczeń Dr. Rehfisch'a, nie mniej, jak 10% wszystkich wydatków — z tego wypada, że 5.000 osób corocznie odbiera sobie życie — z nudów! Wspominaliśmy już o fatalnym wpływie na samobójstwo nadużyć trunkowych. Bär w słynnem swem dziele, „Alkoholizm", wykazuje, że 12% wypadków samobójczych przypisać należy temu strasznemu nałogowi, znakomity zaś statystyk David procent ten dla Danii podnosi nawet do 17.5. Dużą rolę odgrywają tu także choroby i dolegliwości fizyczne, rozpacz z powodu materyalnej ruiny, wstyd, wreszcie i obawa przed karą, o czem przekonać się możemy z następującej tabliczki, ułożonej dla Prus i Saksonii na zasadzie 60.000 popełnionych tam samobójstw. W tej liczbie zakończyło życie:

	Prusy	Saksonia
Skutkiem przesytu . . .	9.6%	9.3%
„ chorób umysłow.	27.	35.5
„ dolegliwości fizycznych . . .	8.7	7.1
„ namiętności . .	3.1	2.6
„ pańśtwa i gry .	.10	8.7
„ żalu	0.4	—
„ utraty miejsca i ruiny materyalnej	11.9	9.1
„ wstydu i obawy przed karą . .	8.2	7.4
„ sprzeczek i kłótni	2.6	3.1
„ nieznanych powodów	18.5	17.2
	100%	100%

W sposobach pozbawiania się życia różnorodność panuje wielka. Ten lub inny rodzaj śmierci zależy często od pory roku, zawodu samobójcy, różnych miejscowych warunków etc. Nie wdając się jednak w szczegóły, skonstatujemy tylko znany fakt, że mężczyźni pozbawiają się życia najczęściej przez powieszenie, kobiety zaś przez utopienie. Do najrzadszych rodzajów samobójstwa należy rzucenie się pod pociąg, lub z wysokości, jeżeli nie weźmiemy w rachubę pojedyńczych ekscentrycznych wypadków.

Na tem przerwiemy tę smutną fizyologię samobójstwa. Zło szerzy się w oczach naszych z całą potęgą, straszna rana społeczna jątrzy się i ogni stale, a wszystkie wysiłki, podejmowane w celu jej zagojenia, pozostają dotychczas bezskutecznemi.

Cywilizowana ludzkość, zwyciężająca nawet nie dostrzegalne okiem drobnoustroje, które ją niszczą fizycznie, nie jest w stanie pokonać raka, toczącego skrycie wnętrze jej organizmu.

Czy pozostanie tak zawsze? Czy zło w dalszym ciągu szerzyć się będzie bezkarnie, porywając corocznie z łona społeczeństwa dziesiątki tysięcy ofiar? Czyż na tę straszną chorobę żadnego niema lekarstwa? Nie sądzimy. Owszem, skłonni jesteśmy do przypuszczenia, że przy gruntownej zwłaszcza reformie wychowania w najogólniejszem tego słowa znaczeniu, wysoki dziś procent wypadków samobójczych znakomicie zmniejszyć się może. Dziś z nerwowości wyłania się melancholia, a jej dziecięciem. samobójstwo, dziś wychowanie prowadzi do niemocy, a niemoc do samobójstwa. W przyszłości bezwątpienia wpływ tych czynników w znacznym stopniu ograniczonym zostanie. Nie

---

— Przepraszam nie zrozumiałem dobrze. Jakto: „życie nie zaciera?" Lubię ścisłość w wyrażeniach. W pańskiem była metafora.

— Ależ, mój drogi, cóż się stało z tobą? Toż zdziwaczałeś kompletnie! Czyż tak przyjmujesz starego kolegę, którego dawniej kochałeś? Może gniewasz się na mnie? To powiedz, za co, abym się usprawiedliwił.

Bielusz poruszył się niecierpliwie.

— Przepraszam — rzekł — za dużo naraz spraw, o wszystkiem bezładnie mówić nie lubię. Nie mam czasu do stracenia ani chwili. — I dodał kłaniając się:

— Przyjemnie mi było zobaczyć się, ale muszę już iść do spełniania codziennych obowiązków.

Odszedł do sąsiedniego pokoju. Charski zerwał się i rzekł półgłosem:

— Czekaj bratku, tyś dziwak, ale kosa trafiła na kamień. Jeszcześmy nie skończyli z sobą. Muszę cię wyleczyć, jakiem Charski.

Wyszedł. Ale po paru godzinach w mieszkaniu Bielusza rozgrywała się scena niebywała. Cała kamienica była zdziwioną i tylko o tem rozmawiała, co się u Bielusza dzieje. Wieść wkrótce rozeszła się po miasteczku, młodzież szkolna nawet zaczęła się zbierać i ciekawie patrzeć w górę na rzęsiście oświetlone okna drugiego piętra. Gdy służąca Bielusza zbiegła na dół po jakiś sprawunek, obskoczyły ją sąsiadki, stróżki, służące ze wszystkich stron, wypytując o nowiny.

— Sądny dzień, co się u nas dzieje! — wołała, załamując ręce. — Jakiś pan przyjechał do mojego pana z lokajami, poprzynosili tłumoków, pozapalali świece, jak na wesele, ze sklepów różnych różności poznosili, stół nakryli, butelek nastawiali, jak w Sodomie i Gomorze. Z moim panem jak zaczął ten pan się kłócić, to strach! Aż mój pan, Małgorzato, mówi, idź po żandarmów! A ja idę, a ten pan, ten niby, co przyjechał, biegnie za mną i mówi: Ani się waż! i daje mi guldena. Widzicie, całuśkiego guldena! I ja nie poszła. A potem patrzę przez szparę, a oni obaj się całują, jak Boga kocham, całują się, a mój pan płacze. Powiadam wam, łzy mu tak, jak groch, ciurkiem po twarzy biegły. Jeszczem jak żyję, takiego dziwu nie widziała.

Tymczasem w mieszkaniu Bielusza, istotnie, zaszły niebywałe zmiany. Na biurku profesora od 15 lat nie było takiego, jak teraz, nieładu: książki pobratały się z butelkami i atrament z piaskiem. Zwykle Małgorzata dostawała surową naganę za posunięcie najmniejszej rzeczy. Bielusz z Charskim siedzieli teraz przy stole i po sutej kolacyi, raczyli się szampanem. Pieniący się napój wytrysnął rumieńcem na bladej zwykle twarzy zaśniedziałego filologa i promieniem w szklannych jego oczach.

Z gorączką, którąby nie mało zdziwiła wszystkich jego kolegów i uczniów, przywykłych do pedanteryi w ruchach i słowach, wołał Bielusz:

— Proszę, nie mów o tem. Myślisz, że dla ciebie przysłałem pieniądze? Wcale nie! Zrobiłem to dla własnej przyjemności, bo mi się tak podobało. Nigdy i dla niczyjej przyjemności nic nie robię. To moja zasada.

— Dla czego? Czy myślisz, że nie warto ludziom dobrze robić?

— Dobrze? Co to znaczy dobrze? Inaczej w pojęciu dobra mówi Sokrates w Protagorasie, a raczej Plato, inaczej Cicero w dziele „*De finibus bonorum et malorum*", a inaczej dziś pojmują je rozmaici ludzie. Dałem przy ostatniej klasyfikacyi w piątej klasie 25 not niedostatecznych z języka łacińskiego i powiedziałem sobie: Dobrzem zrobił, bo nicponie nie umieli gramatyki. Uczniowie myśleli jednak widocznie, żem źle zrobił, bo mi szyby wybili, a inspektor był zdania uczniów, bo mi przysłał napomnienie, abym łagodniej klasyfikował. W ósmej klasie czytaliśmy ody Horacego. Ślęczę po nocach, ażeby je jak najszczegółowiej wyjaśnić, poprawiam zepsuty tekst, przytaczam *scholia*, daję komentarz gramatyczny i realny — i cóż się dzieje? Dyrektor hospituje i chwali na konferencyi, że dobrze uczę. Przyjeżdża radzca i gani, że źle uczę, bo mało się czyta; przyjeżdża prezydent i mówi, że dobrze uczę, bo trzymam się zasady: *non multa, sed multum;* ojcowie przychodzą do mnie i skarżą

wierzymy jednak, aby z liczby klęsk, trapiących ludzkość, samobójstwo kiedykolwiek zupełnie wykreślić się dało. Nawet w najidealniejszym ustroju społecznym znaleźć się musi pewna liczba nieszczęśliwych, rozczarowanych, niezadowolonych i cierpiących jednostek, które poza grobem zapragną szukać ukojenia i spokoju. Nigdy również nie zabraknie osobników, przekładających nicość nad walkę życiową i szukających tej nicości w pozagrobowej nirwanie.

Władysław Bukowiński.

Listy z Berlina.

Berlin, 12 lutego.

(Drugi projekt kodeksu cywilnego. Historya kodeksu. Jego charakter reakcyjny. Protest kobiet.)

Profesorowie i Geheimraci, którzy od roku 1887 przysiadywali fałdy nad drugim projektem kodeksu cywilnego dla niemieckiego państwa, ogłosili wreszcie swe dzieło, świadczące, iż twórcy jego mało zapomnieli, a jeszcze mniej się nauczyli w przeciągu ostatnich 7 lat. Nowy kodeks jest jakimś dziwolągiem a raczej *mixtum compositum*, składającym się z pierwiastków pruskiego biurokratyzmu i kapitalizmu; dla tego też nie mógł zadowolić nikogo. Prawica zapewnia, iż kodeks obfituje w zasady „czerwone“, forytuje ruchomy kapitał i giełdę: lewica przysięga, iż drugi projekt kodeksu jest na wskroś reakcyjnym, iż, twórcy jego byli głusi i ślepi (zresztą nie należy tego rozumieć w przenośni, gdyż jeden z kodyfikatorów jest faktycznie głuchym, a drugi ślepym) na wszystkie zmiany, które spowodowało nowoczesne życie; centrum zarzuca, iż kodeks hołduje wolnomularskiej ewangelii, protegując rozwód i ślub cywilny; wolnomyślni dowodzą, iż kodeks jest dziełem wsteczników najczystszej wody. Co najzabawniejsze wszyscy mają racyę! Twórcy kodeksu, jako ludzie prawomyślni, z jednej strony chcieli pozostać wiernymi tradycyi i literze poprzedniego prawodawstwa, a raczej poprzednich prawodawstw, z drugiej zaś strony pociągnęli swój utwór pokostem nowoczesności, by nie ściągnąć na siebie niechęci mas. Pouczającą jest historya kodeksu. Było to w roku 1871. W młodym Reichstagu wodzili rej narodowi liberałowie, ci sami, co ofiarowali Wilhelmowi koronę cesarską i zaprzysięgli dozgonną przyjaźń, Bismarckowi, uważając, iż przyjaźń potężnego kanclerza jest rzeczą użyteczną dla wielkich handlarzy i fabrykantów. Ostrożni prowodyrowie partyi sypali oczywiście w oczy swemu społeczeństwu piasek frazeologiczny, powołując się na różne buńczuczne hasła. Oni to właśnie postawili pierwszy projekt kodyfikacyi prawa niemieckiego i nakreślili zasady, w których duchu kodeks ma być ułożonym. Zasady te był wodniste, jakkolwiek przedewszystkiem uwzględniały dobro królików kapitału i giełdy. Niższe warstwy prowadzone były wówczas jeszcze na pasku dwuznacznych obietnic i ogólnikowych tyrad, zresztą same państwo niemieckie było jeszcze młodem. Handel i przemysł posłuszny dewizie „enrichissez vous“ przystępowały dopiero do gromadzania bogactw, przyrzekając i masom złote góry. W 1874 roku wreszcie rada związkowa wyznaczyła komisyę dla ułożenia kodeksu. Wielkiem nieszczęściem było dla komisyi, iż pracowała w okresie, kiedy Niemcy przechodziły wielkie przewroty na wszystkich polach życia społecznego. Jeden z krytyków Heraklitesa zauważył, iż nietylko „dwa razy nie można wstawiać nogi *do tej samej* rzeki“, lecz nie sposób to uczynić nawet jeden raz, gdyż podczas samego pogrążania nogi w wodę, rzeka zmienia swe składowe części. Kodyfikatorzy zapomnieli, iż w chwili, gdy przenosili na papier prawne pojęcia niemieckiego narodu, gdy je systematyzowali i porządkowali, — w chwili, gdy idąc za radą Savigniego fotografowali „duszę narodu“, sam prawny światopogląd społeczeństwa ulegał rdzennym przemianom. Przez 13 lat pracowała komisya w swych gabinetach odosobniona chińskim murem naukowego filisterstwa od świata, życia i ruchu. Ani razu nie zwracała się do publiczności i ludzi kompetentnych po radę. Publiczność uważała nawet samą kodyfikacyą za legendę. Co rok, gdy omawiano budżet ministerstwa sprawiedliwości, ciekawi dopytywali się o los kodeksu, a przedstawiciel rządu z niezmąconym spokojem objaśniał, iż komisya pracuje z wielkim pospiechem i robi zadziwiające postępy. W 1887 roku nareszcie pierwszy projekt ujrzał światło dzienne. Zaledwie ministeryum sprawiedliwości zwróciło się do publiczności, prosząc o memoryały, krytyki i wskazówki, gdy ze wszystkich stron posypały się strzały krytyki, które go poszarpały na cząstki. Tysiące książek, ulotnych broszurek i artykułów oświecały, kodeks ze wszystkich możliwych punktów widzenia i udowodniły, że projekt nie odpowiada najskromniejszym wymaganiom. Samo pojęcie prawa i kodyfikacyi uległo przemianie. Wpierw powtarzano za Savigny'm, ojcem historycznej szkoły, iż kodyfikacya jest odzwierciedleniem prawnej świadomości narodu, że czerpie materyał z duszy narodu nic dając nic od siebie. Teraz natomiast dawano posłuch teoryi Iheringa, który w prawie nie upatrywał produktu narodu, lecz tych grup społecznych, które w walce wszystkich przeciwko wszystkim odniosły zwycięstwo. Prawo zdobywa się i formuje w walce. Okrzyk „vae victis“ poprzedza wszelką kodyfikacyę, na której wyciska swe piętno klasa panująca. Ta pod parciem konieczności robi ustępstwa i w ten sposób skrystalizowana forma prawa zmienia ciągle swą postać. Gdy zaś w 1887 r. kodeks został oddanym pod sąd społeczeństwa, inne prądy nurtowały niemieckie społeczeństwo niż za czasów poprzedzających narodzenie się kodeksu. Lud, a wraz z nim oświecona inteligencya domagały się reform na polu społecznem. Wszystkie partye kokietowały lud i powoływały się w swych żądaniach na dobro „maluczkich“. Wszystkie instytucye musiały uchylić czoła przed duchem demokratyzacyi. Nic dziwnego, iż kodeks z tego właśnie punktu widzenia nie mógł wytrzymać najpobłażliwszej krytyki. Tembardziej, gdy przystąpił do niego ze skalpelem analizy umysł na wskroś nowoczesny, profesor Antoni Menger, uzbrojony w najnowsze zdobycze nauki prawa, świat naukowy musiał się również przekonać, iż kodeks nie stoi na wysokości czasu.

W 1888 roku nowa komisya, do której przyłączono kilku prywatnych doradców,

---

się, że za wiele wymagam, więc źle uczę: mnie się zdaje, że dobrze uczę, jak umiem i mogę, a uczniom się zdaje, że źle uczę, bo im nie pobłażam.

— *Mediam tenebant beati* — nieśmiało rzekł Charski.

Bielusz aż za głowę się porwał.

— *Tenebant?!* Siadaj! Przepraszam. Nie *tenebant*, przecież nie *tenebant!* Zkądże mogłoby być *tenebant?* Wyraźnie przecież czytamy w tekście *tenuere*. Zaraz przyniosę książkę.

Odszedł od biurka, zarzuconego książkami, i począł szukać, mrucząc i zżymając się:

— *Tenebant*, zkąd *tenebant?* Dla czego mu *tenebant* strzeliło do głowy?

Napróżno Charski zgadzał się na *tenuere*. Bielusz, na podstawie trzech wydań i dwóch komentarzów, udowodnił mu prawdziwe brzmienie tekstu, obiecując nadto napisać do uczonych w Rzymie, ażeby z kodeksu watykańskiego jeszcze raz to brzmienie stwierdzili.

Rozmowę z trudem udało się Charskiemu sprowadzić na inne tory. Dowiedział się Charski, że przyjaciel jego przez lat kilkanaście utrzymywał matkę i dwie siostry; matka zmarła niezbyt dawno, jedna z sióstr, chora na suchoty i zgryźliwa, zmarła przed rokiem, druga, także chorowita, nie mogąc, z powodu braku urody i posagu, doczekać się zamążpójścia, którego niezmiernie pragnęła, poszła parę miesięcy temu na własny chleb, na telegrafistkę, łudząc się nadzieją, że na tem stanowisku da się łatwiej poznać ludziom i zawrze upragniony związek małżeński.

— Bogu wiadomo — mówił — ilem się z temi kobietami nacierpiał. Białogłowy, jak zwykle, płoche i gadatliwe, chciały się ustroić i ludziom pokazać, a tu nie było za co. Miały mi zawsze za złe, żem więcej nie zarabiał i podejrzywały, że potajemnie składam pieniądze.

— Dawno masz stałą posadę?

— Od lat czterech. Przedtem, jako zastępca, pobierałem 600 zł. Na guwernerce uskładany grosz rozszedł się prędko, na wydatki w czasie choroby siostry musiałem długi pozaciągać, których dotąd nie spłaciłem. Po śmierci jej byłem do naga obdarty, bez łóżka, stołu i bielizny, bez książek nawet, które poszły między żydów, Ale w moim zawodzie to potrzebne i konieczne. My, nauczyciele, powinniśmy z siebie dawać innym przykład poprzestawania na małem.

Tak powoli ożywiał się Bielusz i począł coraz szczegółowiej spowiadać się z dziejów swego życia. Skrytość i szorstkość nie były wcale wrodzonemi cechami jego charakteru, przeciwnie, na dnie duszy drzemała dawna, długo tłumiona tkliwość i otwartość; teraz, pod wpływem wina, dawnych wspomnień i serdeczności przyjaciela, topniały powoli zlodowaciałe uczucia, coraz szczerzej wyrażając się na twarzy i w opowiadaniu.

Charski, to pytaniem zręcznem, to rzewnem wspomnieniem, to okazanem współczuciem starał się drogę torować tym zwierzeniom. Siedzieli i rozmawiali do późnej nocy.

Smutne to były dzieje. Po trzechletniej guwernerce, wrócił Bielusz do miasta, dla kończenia studyów uniwersyteckich. Poświęcił się filologii z zapałem, z wiarą w potęgę poezyi klasycznej, pragnąc, na podstawie gruntownego jej zgłębienia, oprzeć przyszłą swą działalność społeczną. Roił i marzył o walce z materyalizmem nowszych czasów.

Więc ślęczał nad lirykami i tragikami greckimi, szczególnie nad Pindarem i Sofoklesem; badał filozofów, szczególnie zasmakowawszy w Platonie.

Niestety, gorzka i nieubłagana potrzeba bytu materyalnego zbyt wcześnie stawiła się do walki z idealizmem marzyciela. Śmiertelny wróg, z którym zamierzał wojnę toczyć, nie czekał na niego, pierwszy ją zaczął. Dla utrzymania rodziny, musiał obarczyć się lekcyami prywatnemi i wcześnie rozpocząć niewdzięczny zawód pedagoga dla chleba. Cały dzień, jak bydlę robocze, bez tchu biegał po cudzych domach, gdzie uczył po stokroć oklepanych rzeczy uczniów z natury gnuśnych, lub rozleniwionych, gdyż inni zazwyczaj lekcyi nie potrzebują.

(Dokończenie nastąpi).

zdaje się więcej dla formy, rozpoczęła robotę powtórnie. Przed kilkoma tygodniami kodeks został przedłożonym parlamentowi, lecz gdy rozejrzano się nieco w treści drugiego projektu, zawyrokowano, że i ta edycya mądrości prawników niemieckich jest dziełem chybionem. Najbardziej są niezadowolone klasy pracujące i kobiety. Pomijając, iż projekt stoi na gruncie prywatnej własności w najreakcyjniejszem tego słowa znaczeniu, zawiesza on nad prawem koalicyi policyjny miecz Damoklesa, robiąc wyjątek dla stowarzyszeń oficerskich, burszenszaftów i t. p. związków. W kwestyi najmu pracy stoi bezwarunkowo po stronie chlebodawcy. Najsłuszniejszemi są zarzuty kobiet. Kwestya kobieca, jakby zupełnie nie istniała dla kodeksu. Kodyfikatorzy zapomnieli, iż współczesna kobieta nie jest li tylko lalką salonową lub niewolnicą, przyjętą dla gotowania obiadów, cerowania pończoch i innych tego rodzaju pięknych a świętych obowiązków rodzinnych. Obecna rodzina nie posiada jednej głowy lecz dwie. Kobieta na równi z mężczyzną nosi ciężar wytwarzania dóbr materyalnych dla rodziny. Na polu ekonomicznem występuje ona tak samo czynnie jak mężczyzna. W bardzo wielu wypadkach utrzymuje nietylko rodzinę lecz i męża. Jednem słowem kodeks powinien był patrzeć na kobietę pod kątem widzenia jej dążeń do niezależności. Wszelki inny pogląd na współczesną kobietę jest niesłusznym, gdyż nie zgadza się z istotą ewolucyi.

Teraz zaś zachodzi pytanie, dlaczego żona dzieląca z mężem obowiązki, ma posiadać w rodzinie i społeczeństwie mniejsze prawa? Niesłusznie oddaje kodeks małżonkę pod opiekę męża i pod tym protekstem obdziera ją z różnych praw, przysługujących mężowi. Bezprawiem jest, jeżeli ojciec ma większą władzę nad dziećmi niż matki. Krzywdę wyrządza projekt kobiecie, każąc jej wystarać się o pozwolenie męża dla zarządzania swym majątkiem, podczas gdy mąż rozporządza samowolnie majątkiem żony. Nonsensem jest, jeżeli żona po zawarciu powtórnego związku małżeńskiego traci władzę nad dziećmi, podczas gdy ograniczenie to nie zostało rozciągniętem na męża. Za szczyt niesprawiedliwości należy uważać, gdy nielegalne dziecko ma obciążać jedynie matkę a nie ojca. Wszak to znaczy popierać nienawidzoną przez ludzi prawomyślnych wolną miłość. Rozumie się, kobiety wszelkich obozów i kierunków zaprotestowały przeciwko kodeksowi, twierdząc, iż jest zniewagą wymierzoną kobiecej połowie niemieckiej ludności. Przy tej okazyi postawiono różne żądania, które przedstawiają całą skalę stopniowań. Najdalej idzie związek obrony praw kobiecych, założony w Dreźnie. Dwie panie ogłosiły paragrafy kodeksu, krzywdzące kobietę, przeciwstawiając im przeróbkę bardziej zgodną z duchem nowoczesnym. Niektóre stawiają za wzór Amerykę i żądają, by prawo familijne ugruntowano na zasadach zupełnego równouprawnienia, mniej więcej w formie, jak to zalecał w swoim czasie wielki John Stuart Mill, który żądał, by rodzina była rzeczpospolitą a nie monarchią, by była połączeniem dwu istot niezależnych, związanych jedynie sympatyą. Z jakiej racyi kodeks nie dopuszcza rozwodu w razie, jeżeli jeden z małżonków żywi dla drugiego nieprzeparty wstręt, lub jeżeli oboje zgadzają się na rozwód. Idylla rodzinna nie zyskuje nic, jeżeli małżeństwo staje się jarzmem, do którego się wprzęgą dwie osoby zupełnie sobie obojętne. Wreszcie niektóre niewiasty żądają, by małżeństwo nie prowadziło koniecznie do zlania dwu nazwisk w jedno. Współczesna kobieta tak już przesiąkła indywidualizmem, że nie potrafi za rzymianką powtórzyć podczas obrzędu ślubnego: „Ubi Gaius, ibi Gaia". Nazwisko jest symbolem do indywidualności. Kobieta wychodząc za mąż powina mieć prawo zachować jeżeli chce jedno i drugie.

M.

To i owo.

Z bliska i z daleka.

Pod adresem dziennikarzy poznańskich. Warszawski „Przegląd tygodniowy" pisze:

. . . .

„Dziennikarze poznańscy zrobiliby prawdziwą przysługę wszystkim piszącym, gdyby wypracowali jakiś zbiorowy rodzaj słownika tych wszystkich nazw wsi, osad i miast, które, gwoli dogodzenia uchu germańskiemu, utraciły stare słowiańskie nazwiska, przekształcając dawne *ice* na *itz*, *ów owo*, na *au* itp. Trudno, ażebyśmy wszyscy mogli wiedzieć, że Argenau to Gniewkowo, Schwarzenau — Czerniejewo. To już nie nieznajomość geografii własnego kraju, lecz wprost niemożliwość zoryentowania się w zapędach junkrowskich. Jeżeli Sienkiewiczowi wolno pisać Oderberg zamiast Bogumin, jeżeli Prus w ostatnich swoich „Kartkach z podróży" w miejsce Kistrzyna pisze Küstrin (!), jeżeli zna Landsberg itp. — to czyż się dziwić, że zwykli sprawozdawcy popełniają setki grubo rażących błędów. Brać za złe można, że tak wielcy pisarze, przebiegając kraj, nie postarali się nawet o sprawdzenie nazwiska tej lub owej miejscowości, ale na szaraczków dziennikarskich gniewać się nie sposób. Zresztą i lud miejscowy sam często wprowadza w błąd pytającego, jak to zdarzyło się nam na przystanku kolejowym zwanym „Amsee". Chłop, zapytany, odpowiedział, że wieś nazywa się „Jamża", gdy tymczasem po bliższem sprawdzeniu okazało się, że to „Janikowo", przerobione na Amsee, tak niedźwięczne dla wieśniaczego ucha, iż ten przerobił je po raz drugi na brzmiącą swojsko „Jamżę!" Wypadek to niepierwszy, że stara nazwa gdzieś utonęła, dość sobie uprzytomnić owe „Zamarstynowy" (Sommersteinhof,) Łańcuty (Landshut) w Galicyi..."

* * *

Antimasonizm. Czytelnicy wielu krajów Europy, a między innemi i naszego, spotykając w gazetach, odbijających echa watykańskie, ciągłe gromy na wolno-mularzów, nieraz zapewne pytają: co to wszystko znaczy? Bo gdyby wierzyć tym źródłom, należałoby przypuszczać, że świat byłby spokojny, a jego losy zabezpieczone, gdyby nie masoni, którzy go jak krety ryją we wszystkich kierunkach, z wierzchu niedostrzegalni, ale w głębi ciągle czynni. Do licha — myśli i mówi niejeden — gdzież ci masoni są, kiedy nikt z nas ich nie widzi i o nich zbliżka nie słyszy? Otóż winniśmy wyjaśnić, że oni rzeczywiście istnieją w Europie i w Ameryce, ale opowieści o ich potędze, szerokich działaniach i wpływach są starą bajką, powtarzaną przez baby dziennikarskie, chętnie przyczepiające myśl do nadzwyczajności. Korespondent włoski „Słowa" tak opisuje nawrócenie się masonki, Joanny Vaughan, według jej dziennika. Razu pewnego przysięgła ona przed statuetką Joanny d'Arc, że wyrzecze się bluźnierstw religijnych:

„Zaledwie jednak wyrzekła była te słowa, gdy jakaś siła niewidoma pchnęła ją tak gwałtownie w tył, że uderzyła głową o ziemię i w chwili, kiedy miała się podnosić, ujrzała przed sobą Belzebuba, Astarotha, Molocha i dobrze znanego jej Asmodea. I tym razem, jak zawsze dotąd, ukazywali się jej pod postacią aniołów światłości, twarze ich jednak, tak zawsze miłe i słodkie, pałały niepohamowanym gniewem. Przerażenie ogarnęło ją, a spotęgowało się jeszcze, gdy zobaczyła, że chcą rzucić się na nią, by bić ją, czy może udusić. Przeczuwając straszne, grożące jej niebezpieczeństwa, zawołała wtedy: Joanno! Joanno! ratuj mnie! Ryk straszny, rozpaczy i wściekłości, wydany przez wszystkich czterech naraz, odpowiedział na tę inwokacyę; zarazem jednak twarze i postacie szatanów przemieniły się i po raz pierwszy ukazali się jej w całej swej ohydnej, monstrualnej szpetności. Rozpoznawała i w tej przemianie właściwe rysy ich twarzy, ale twarze te, nad wyraz brzydkie i potworne, wyrażały teraz przestrach nie do opisania, gniew i rozpacz bezdenną. Po kilku sekundach, wyjąc przeraźliwie i przeklinając ją, zniknęli... na zawsze".

Co? Czy nie ładne?

* * *

Brak konsekwencyi. Czytelnicy „Kraju", po przeczytaniu Nr. 1 z r. b., dotychczas nie mogą się połapać, gdzie w tym numerze redakcya „Kraju" jest sobą. Czy w artykule wstępnym, gdzie p. L. Gr., mówiąc o „odpływającej fali", zapowiada nadejście chwili, gdy zostaną „wynalezione (!) sposoby", „jak można żyć obok siebie w spokoju, nie pożerając się i nie złorzecząc sobie nawzajem..." albowiem: „zdaje się, jak gdyby ludzkość miała już dość kanibalskiego apostolstwa, dość propagandy, narodowego egoizmu" i t. d. „Bo czem są np. protesty w Niemczech przeciwko uroczystościom sedańskim, jeśli nie protestami przeciwko propagandzie międzynarodowego (?) szowinizmu? Czem są powszechne usiłowania zabezpieczenia pokoju, jeżeli nie obawą odpowiedzialności przed ludzkością za ponowne rozkiełznanie antyhumanitarnych namiętności?...."

Czy też była sobą w korespondencyi z Berlina, której autor mówi, co następuje: „Dla postępowców, pozbawionych przesądów, przedstawiają ostatnie miesiące bardzo ciekawe widowisko, okazujące, jak niespożytą, żywiołową siłę mają instynkta narodowościowe. Rozum ludzki jest wobec nich bezsilny, a to samo wystarcza za odpowiedź tym wszystkim, którzy w swoich tendencyach niwelacyjnych chcą ignorować uczucia narodowościowe...."

Trzeba przyznać, że stanowisko „Kraju" w tej materyi nie jest *jasne*.

* * *

Testament samobójcy. Przed niedawnym czasem wywarło niezwykłe wrażenie na lwowskim bruku samobójstwo dr. Teodora Jendla, znanego lekarza, filantropa i publicysty. Nad przyczynami tragicznej śmierci łamano sobie długo głowę, przypisując ją nieuleczalnej chorobie, chwilowemu obłędowi, zawodom sercowym itp. Odmienne światło na przyczyny samobójstwa rzuca dokument „ostatniej woli" dr. Jendla, publikowany w lwowskim „Monitorze", a zawierający interesujący przyczynek do studyów z dziedziny psychologicznej. Testament nieszczęśliwego samobójcy brzmi:

„Od przeszło pół roku postanowiłem umrzeć, a chwila, kiedy się wyniosę z tego świata, zależna czysto od przypadku — od większego lub mniejszego zdenerwowania. Jeśli to na wstępie napisałem, że przed półrokiem powziąłem to postanowienie, to dla tego, by nie gadano, jak zwykle, że odebrałem sobie życie w chwilowym obłędzie, by nie myślano, że jakiekolwiek zewnętrzne okoliczności postanowienie to wywołały. Przeciwnie, śmierć, którą sobie zadam, jest rezultatem spokojnej i długiej refleksyi, której wynikiem: są na świecie istoty niezdolne do

życia a z ich liczby jestem ja. Brak odporności w walce o byt — obarczenie dziedziczne w kierunku psychicznych zboczeń — wreszcie brak wszelkiej produktywności — oto cechy mego charakteru. Ludzie tak zbudowani, albo upadają moralnie bardzo nisko, albo niedołężnieją zupełnie, stając się ciężarem sobie i drugim — ani jednego, ani wtórego nie chcę. Wziąłem od natury bardzo wiele, bo niby te pewne błyskotliwe zdolności, które mnie i ludziom długo oczy mydliły. — Wziąłem wychowanie a nareszcie to, co nazywają dobrem sercem i osobistą uczciwością. Te ostatnie rzeczy ochroniły mię od tego, że niestałem się wprost dla drugich szkodliwym, że nie umiejąc tych niby zdolności na dobre wyzyskać, nie wyzyskałem ich na złe. Przeciwnie, za każde dobro doświadczone od ludzi, byłem szczerze wdzięczny i starałem się to słowem i czynem okazać. Kobietom i przyjaciołom rzucałem serce i duszę pełnemi garściami, może dla tego pod koniec dla mnie ich zabrakło, może dla tego nic po mnie nie zostanie..., że rozrzuciłem w drobnej monecie wszelki duchowy kapitał. Znów tylko moja wina. Raz siostra moja powiedziała mi: zawsze więcej dajesz, jak bierzesz — może to i prawda. Nie żałuję tego jednak, raczej żałuję, żem więcej nie miał do rozdania. Wszak dawałem z egoizmu, bo mi to radość sprawiało. Teraz, kiedy wracam myślą w młode lata, które inaczej — powiem śmiało. piękniej od większej części rówieśników przeżyłem, w krainie szlachetnych snów, dziecinnych zrywań się do czynu, wzniosłych ideałów, które wypełniały cały świat myśli, a następnie spojrzę na teraźniejsze, jakaż przepaść wielka dzieli te dwie epoki życia. Dziś ani sił ani możności do postępowania, jak się kiedyś marzyło — ani nawet wiary w to, co się czciło i kochało: przedemną pustka i we mnie pustka, jestem lichym manekinem człowieka. Skończywszy romanse, proszę długi popłacić z mych rzeczy, które proszę sprzedać. Oryginał Grottgera jest u mnie w domu. Piszę, bo to warte przeszło 1000 fl., tj. prawie tyle, co me długi. Wszystko co mam wraz z możliwemi i niemożliwemi sperandami zapisuję mej siostrze Maryi z Jendlów Łuszczkiewiczowej, prosząc, by na razie co komu należy, za mnie zapłaciła. Dr. Teodor Jendel mp.“

* * *

Oj literaci! Pod tytułem „Przytaczanie niemieckich zdań i wyrazów w polskich pismach“ zamieszcza „*Lech, gazeta gnieźnieńska*“ następującą uwagę, nie wystawiającą zbyt pochlebnego świadectwa literackim kwalifikacyom redakcyi:

„Często czytamy: „Es ist faul im dänischen Staate“ (czuć zgniliznę w duńskim państwie), chociaż tragedya Szekspira „Hamlet“, w którym owo zdanie zachodzi, pisana jest w języku angielskim. Niedawno jedno z pism poznańskich wydrukowało: „Nawet Ben Akiba wykrzyknąłby: „Noch nicht dagewesen“ Możemy zapewnić, że Ben Akiba, sławny rabin żydowski, żyjący około 100 r. po Chr. w Palestynie, nie znał języka niemieckiego, zatem nie można wkładać w jego usta zdań niemieckich“.

Redaktorzy „Lecha“ nie wiedzą widocznie, że wyrazy: „Alles ist schon dagewesen“ wypowiada Ben Akiba w niemieckim dramacie Gutzkowa „Uriel Acosta“. O tem, by historyczny Ben Akiba owo słynne zdanie wygłosił, nic nam tradycya nie mówi; — są one inwencyą Gutzkowa, cytowanie ich zatem w niemieckim języku nie jest bynajmniej herezyą.

Z estrady i sceny.

WANDA.

Tragedya w 5 aktach p. Fr. Wężyka.

Z pyłu i pleśni otrzepano „Wandę“ Wężyka, przybrano ją w kostyumy szwedzkie, niemieckie, polskie i hebrajskie, ochrzcono na prędce wodą wiślaną i ukazano na scenie poznańskiej. Kto dokonał wyboru sztuki, — nie wiem, wyrażam jednak żal, że na pożegnalny benefis p. Paszkowskiej zagrano jeden z tych utworów, które wprawdzie jako ślad dawnej artystycznej twórczości zapisujemy chętnie w podręcznikach literatury, ale na scenie witamy z niesmakiem. Talent Wężyka był zaledwie słabym płomykiem, który gdzieniegdzie sypał iskrami pięknych wierszy, gdzieniegdzie rozpalał silniejsze ognie w dramatach, lecz w żadnym utworze nie wzniósł się na wyżyny prawdziwego artyzmu. Czy to Barbara Radziwiłłówna, czy Bolesław Smiały, czy Gliński, czy Wanda, — wszędzie ten i ów szczegół błyśnie przelotnie pięknością formy lub siłą, lecz całość dla braku kompozycyi, psychologii i nerwu dramatycznego nie wytrzymuje najłagodniejszej krytyki. Zresztą Fr. Wężyk, ten pół-klasyk, pół-romantyk literacki, wycisnął na dramatach swoich wybitne piętno chwiejności i stempel różnorodnych wpływów. Żył na przełomie, błąkał się w mrokach przedświtu — do nowego słońca wyciąga ręce i w starych cieniach się chował. Czasem zadzwoni tam legendowa nuta jakiej baśni starej lub śpiewa posępna zaduma Byronowskiego tragizmu, czasem znów Racine klasyczny pożycza koturnów swoich autorowi Wandy, a niekiedy i Szekspir ślady swoje znaczy. Cała ta mieszanina, nie opromieniona blaskiem wybitniejszego talentu, musi ujemne wywierać wrażenie, i szkoda zaiste pracy podjętej około galwanizowania starego utworu, — szkoda talentu beneficyantki dla roli mglistej i z najsprzeczniejszych złożonej kolorów. W sferach teatralnych utrzymywała się pogłoska, że p. *Paszkowska* marzy o stworzeniu „Dziewicy Orleańskiej“ w dzień benefisu swojego, i lubo ogrom tego zadania budził wątpliwości pewne wobec artystki niewątpliwie zdolnej, lecz jeszcze surowej, to przecież z drugiej strony rola Joanny d'Arc odpowiada znakomicie artystycznej indywidualności p. *Paszkowskiej*, a dawniejsza kreacya Balladyny przekonała sceptyków, że młoda bohaterka sceny naszej już przezwycięża szczęśliwie poważne trudności, — jeżeli w roli się zakochą i znajdzie dość czasu na staranne studya. Żal mi „Dziewicy orleańskiej“, bo zapewne nieprędko znajdzie się na scenie poznańskiej artystka, którаby z pewnemi widokami powodzenia podjąć się mogła tej roli. Tłomaczono się brakiem kostyumów, lecz argument ten nie wytrzymuje krytyki z tej prostej przyczyny, że i Wandę wystawiono przy obfitej pomocy niemieckiego teatru, a ewentualna pstrokacizna strojów nie byłaby zaiste więcej raziła w Schillerowskim dramacie niż krzyżackie tarcze i hełmy, przydrożne krzyże, szwedzkie płaszcze i starożydowskie koszule w mitycznych dziejach „Wandy“ słowiańskiej. Lękano się poprostu mozołów wystawy i wybrano — bezwartościową ale wygodniejszą sztukę.

Gra p. *Paszkowskiej* w roli tytułowej Wężykowskiego dramatu wykazywała wszystkie te przymioty i wady, które niejednokrotnie już podnosiłem w krytykach moich. Nierówna i chwiejna w pierwszych aktach, wyrastała w ostatnich do wyżyn prawdziwego artyzmu. Na wstępie trema plątała beneficyantce język i krępowała swobodę ruchów, lecz zwolna strach ustępował za kulisy a na scenie pozostawała artystka panująca nad rolą swoją i olśniewająca chwilami niepospolitą siłą dramatyczną. Deklamacya p. *Paszkowskiej* przygniata nieraz swą grozą tragiczną, porywa i zapala najobojętniejsze tłumy, a czar jej bywa tak wielki, że widz zelektryzowany wybacza chętnie brak wyrazistości w mimice twarzy i opiłowania w ruchach rąk i figury. Tylko w lirycznych momentach dźwięk pozostaje twardym, — kruszy się, nie roztapia. Lecz i tu znać studya staranne nad gimnastyką głosu, a w wielkiej scenie z Rydygierem brzmiał chwilami śpiew rzewny i miękki. Żegnając ten talent niepospolity, który przez cztery miesiące zdobił teatr poznański a za dni kilka powraca na krakowską scenę, dorzucam jeszcze jedną wskazówkę, na którą p. *Paszkowska* szczególną uwagę zwrócić powinna. Nie wiem, czy beneficyantka czwartkowa zastanawiała się przy pracy nad odtwarzaniem charakterów dramatycznych, w jak ścisłym stosunku do psychologii ludzkiej pozostaje sposób chodzenia. Chód tłomaczy poniekąd temperamenta, chód zdradza chwilowe usposobienie człowieka i kto wie, czy kiedyś nie zjawi się człowiek, który, podobnie jak fizyonomistykę i grafologię, stworzy *podologię*. Było niegdyś modą na scenie przyprawiania sobie różnorodnych nosów dla charakterystyki typów i wierzono długo z fanatyzmem pewnym w uniwersalność tego środka przy odtwarzaniu indywidualności ludzkich. Minęła moda, zarzucono maski i główny nacisk położono na mimikę ócz i modulacyę głosu. Czy nie byłoby dobrem pomyśleć o ...nogach?! Jak powinna chodzić Balladyna, jak Joanna d'Arc? Niech p. *Paszkowska* raczy nad tem pomyśleć a znajdzie niewątpliwie znakomity środek pomocniczy dla plastyki kreacyi swoich, które — wierzę w to silnie — przy pracy i zamiłowaniu do sztuki zgotują jej na krakowskiej scenie równe wawrzyny jak u nas. Wiem dobrze, że gra żegnającej nas bohaterki jest jeszcze surową i chwiejną, wiem, że potrzebuje ona bezustannie kierującej ręki, ale bądź co bądź jest to talent pierwszorzędny, który, mimo nieokrzesania, cenię więcej od zimnej rutyny, wysuwanej przez niejednego z kolegów i koleżanek artystki jako rzekomy dowód wyższości swojej. Rutyną? alež to marny surogat talentu!

Z innych artystów, biorących udział w przedstawieniu Wandy, jeden tylko p. *Wostrowski* stał na wysokości zadania. W bólu swoim i miłości był zawsze szczerym, a z każdego ruchu biła rycerskość, energia i odwaga. Szczęśliwe chwile miał również pan *Skirmunt* oraz panie *Królikowska* i *Jakubowska*, reszta artystów natomiast wykrzywiła zupełnie charakter roli lub raziła mdłą bezbarwnością, a sceny zbiorowe mieszaniną swoją i chwiejnością budziły w najpoważniejszych scenach wybuchy wesołości.

W. R.

Na Wyłomie.

(Sprawa Bojki.)

Stało się coś niezwykłego. W śpiącym sejmie galicyjskim zawrzało, zakotłowało i taka zerwała się burza, że wichry jej i grzmoty zbudziły prasę wszystkich obozów, drzemiącą również snem błogosławionych. Czy tam ktoś wstrząsnął podstawami autonomii? Czy jakieś prawo niezwykłej doniosłości wytoczono przed forum sejmowe? Nic z tego! A mimo to burza huczy i strzela jeszcze bezustannie, a mimo to jaskrawe błyskawice pole-

rozświetlają szarzyznę dzienników? Więc może to alarm fałszywy!.... Przystąpmy do analizy.

Chodziło o unieważnienie wyborów z powiatu gorlickiego, — chodziło zatem o sprawę, która przed kilku miesiącami skompromitowała znowu stosuuki galicyjskie w oczach Europy i rozgoryczyła do głębi szerokie masy ludu tą bezprzykładną presyą rządową, wywieraną stale w kampaniach wyborczych. W jednym z dawniejszych feljetonów poświęciłem obszerne uwagi nadużyciom władz galicyjskich, — nie przypuszczałem jednak, aby sejm mógł *placet* swoje położyć na wybrykach tej miary, co gorlickie łapanie głosów i pałka policyjna, krępująca wolność wyborców. A przecież rzecz nieprawdopodobna stała się faktem dokonanym. Na wniosek weryfikacyjny posłów włościańskich odpowiedziano stemplem legalności, wyciśniętym na krzyczącym gwałcie. Wtedy to rozgoryczony do głębi poseł chłopski Bojko wstąpił na trybunę i rzucił słowa podyktowane bólem gryzącym: „Jeźliby klub ludowy postawił nawet wniosek o odbudowanie Polski, to większość sejmowa odrzuciłaby go dla tego tylko, że my go stawiamy.“

Tak mówił Bojko! I w mig ozwały się trąby na alarm. Jeden poseł po drugim rzucał głośny protest i potępienie, a krakowski deputowany Jordan okrzykiem: „Bydlę“ ulżył wezbranemu sercu. Przeprosił Bojko za swój *„lapsus linguae“*, — cofnął i Jordan obelgę, godną przekupki, — zdawało się zatem chwilowo, że sprawa ubita. Ale gdy sejm umilknął, rzuciła się prasa chciwie na sensacyjną awanturkę i zagrała na trąbach, pistonach, basach i bębnach takie larum straszne, jakoby Polska cała stała na wulkanie. Dwa tygodnie mija a hałas nie ustaje. Wciąż słychać jeszcze ballady o Bojce, a czegóż na ten temat nie wyśpiewały pióra dziennikarskie! Podnoszono zbiorowy protest sejmu jako elementarny wybuch patryotyzmu, podsuwano włościańskim posłom krwawe wspomnienia z 1846 roku, zachwycano się po tysiąc razy, że „nikt nie milczał, wszyscy potępili“, pieszczono się każdem słowem mierzącem w serce zuchwałego mówcy, rozdymano małą kropelkę w jakiś bombel potężny i rozkrzykiwano na wszystkie strony świata „bezczelność“ chłopa i chłostę, którą odebrał.

Miałażby istotnie prasa galicyjska nie odróżniać żaby od nosorożca? Czy to przekonanie mówi przez usta alarmistów dziennikarskich, czy też cały ten hałas jest tylko sztuczką dyplomatyczną, aby zdyskretytować posłów włościańskich i raz na zawsze wyleczyć „ludomanów“ z chorobliwej maroty, że lud w ludzie szukać powinien przedstawicieli swoich.

Nie ma zapewne w całem społeczeństwie nikogo, ktoby okrzykowi Bojki przyznawał prawo obywatelstwa na trybunie sejmowej, ale ostatecznie winę stanowi tu jedynie nieszczęśliwa forma, nieszczęśliwa hyperbola, użyta nie przez rutynistę parlamentarnego, lecz przez rozgoryczonego włościanina, który po raz pierwszy wstępuje w szranki parlamentarne. W duszy jego wzbierał żal wielki, że większość sejmowa depce sprawiedliwość nogami, w myślach jego ustaliło się przekonanie, któremu słuszności odmówić nie można, że w sejmie króluje uprzedzenie do ludowych wnioskodawców, że sejm nie rozstrzyga sprawy na mocy faktów, lecz rzuca na szale nienawiść swoją do klubu ludowego. Tak czuł, tak myślał Bojko, i nic innego nie chciał zarzucić opozycyi. A że w chwili najwyższego rozdrażnienia przesadził w słowach, że użył drastycznego zwrotu, to w dziejach parlamentów europejskich unikatem nie jest i zdarza się w tej lub owej formie, w tym lub owym kraju, nieomal codziennie. Dzwonek marszałka, karcące słowa posłów najróżniejszych odcieni i własna ekskuza nieostrożnego mówcy — to chyba satysfakcya wspaniała za słowo podyktowane brakiem rutyny parlamentarnej i usprawiedliwioną goryczą, lecz nie zawierające istotnej intencyi, by większości sejmowej odmówić patryotyzmu.

Ileż to razy każdy z śmiertelników przesadził w stylowych obrazach i analogiach, ileż to zwrotów hyperbolicznych nabrało u nas przysłowiowej cechy, ileż to razy w gniewie lub uniesieniu mówimy: „tygrys“, choć na kliszach mózgowych rysuje się tylko „kot pospolity“, — lub „Chimborasso“, choć oko spogląda na zwykły pagórek?! Zkąd więc ta wrzawa w sejmie, zkąd te strzały armatnie w prasie galicyjskiej? Czyżby istotnie jądra sprawy nie zrozumiano, — czyżby istotnie wierzono, że Bojko nie *omyłkę* lecz *zbrodnię* popełnił? O! nie, panowie! Z waszych politycznych deklamacyi wygląda w całej okazałości polityczna obłuda.

W dźwięku waszych lamentów nie brzmi nuta serdecznego bólu, melodya krzywdy odczutej głęboko, lecz syczy tylko podstępna dyplomacya. W sejmie i prasie konserwatywnej zrozumiano natychmiast, że weryfikacya gorlickich wyborów może w szerokich kołach społeczeństwa skompromitować opinię posłów, bo sprawa ta nadto była głośną i powszechnie innego oczekiwano wyroku; więc pochwycono zwykłą awanturkę sejmową i rozdęto ją do rozmiarów „kwestyi europejskiej“, aby odwrócić uwagę publiczności i z *„oskarżonych“* stać się *„oskarżycielami“*. Taka zamiana ról należy do znanych sztuczek adwokackich i cała sprawa Bojki jest niczem więcej jak fałszywym alarmem dla zniesławienia znienawidzonych posłów włościańskich, niczem więcej jak maską dla pokrycia niemiłej sprawy gorlickiej.

Ze wszystkich moździerzy ogień się posypał, gdy poseł-chłop rzucił słowo nieparlamentarne, a gdzież się podziały strzały moździerzowe, gdy profesor uniwersytetu *dr. med. Jordan* na cały głos wołał: „Bydlę Bojko!“ Jeżeli się potępia za *„lapsus linguae“* człowieka, który poraz pierwszy zasiada na poselskich ławach, któremu obcym jest salon, obcą gimnastyka stylowa, obcą wyższa nauka i wychowanie, to sprawiedliwość nakazywała tysiąc razy energiczniej potępić człowieka, obytego z prawidłami parlamentaryzmu i mieszczącego w swym mózgu obfite zasoby inteligencyi. Lecz o Jordanie milczy prasa konserwatywna lub z dramatycznem tremolando deklamuje, że ciężką musiała być obelga Bojki i wielkim patryotyzm Jordana, kiedy z ust tak spokojnego człowieka padło słowo: Bydlę!

Dziś już akt pierwszy tej tragikomedyi galicyjskiej zbliża się ku końcowi, przewiduję jednak, że w dalszych piętrzyć się będą kolizye. A jeżeli nie zmieni się postępowanie konserwatywnej większości z posłami ludowemi, jeżeli nadal sejm drwinami, widoczną pogardą lub jaskrawą nienawiścią witać będzie każdy wniosek chłopskich deputowanych, jeżeli poseł Abrahamowicz i klika jego drażnić będzie bezustannie chłopskich kolegów insynuacyami o zakulisowych suflerach, choć niejeden z posłów konserwatywnych błyszczy również pożyczaną mądrością i „wysoką inspiracyą“, — to możemy łatwo doczekać się chwili, w której rozgoryczenie i boleść klubu ludowego w drastyczniejszych jeszcze objawi się formach. *Sulla.*

KRONIKA LITERACKA.

* **Na ostatniem posiedzeniu** wydziału historyczno-literackiego w poznańskiem Tow. Przyjaciół Nauk przedstawił p. dr. M. Kantecki starannie opracowany referat o rękopiśmiennej pracy ks. Wdowickiego, p. t. „Polityka Jana III. od r. 1671—1678“. Referent, któremu polecono rozstrzygnąć, czy rozprawa powyższa kwalifikuje się do zamieszczenia w rocznikach Towarzystwa, wydał trafnie uzasadnioną opinję, że praca Ks. Wdowickiego jest bardzo słabą komplacyą i w rocznikach miejsca znaleść nie powinna. Sprawozdanie dra Kanteckiego zajęło całe posiedzenie i wydział czuł się zniewolonym odroczyć zapowiedziany odczyt Ks. St. Adamczewskiego: „O istocie piękna“.

Kronika powszechna.

Wiadomości polityczne i społeczne. Sułtan turecki zdecydował się uznać ks. Ferdynanda samodzielnym księciem bułgarskim. Stało się to pod wpływem Rosyi. — W Darmsztadzie uchwaliła izba deputowanych zniesienie podatku od wina. — W Berlinie i Wrocławiu rozpoczęło się wielkie bezrobocie krawców i krawczek. Cała prasa niemiecka poświęca strejkowi temu obszerne artykuły i w znacznej części staje po stronie wyzyskiwanych robotników krawieckich. „Orędownik“ wypowiada zdanie, że i w Poznaniu praca krawców i krawczek powinna być lepiej opłacaną. — Barona Hammersteina odstawiono już do Berlina i osadzono w Moabicie. Przesłuchy prowadzi radzca sądu ziemiańskiego Brandt.

Teatr i muzyka, Na czwartek najbliższy (20 lutego) zapowiada teatr poznański interesującą premierę. Wystawioną zostanie głośna komedya Paillerona p t. „Komedyanci“, grana dopiero we Lwowie i Łodzi, a świeżo złożona dyrekcyi teatrów rządowych w Warszawie. Będzie to jedna z najwybitniejszych nowości obecnego sezonu, a zasługuje tem więcej na uwagę, że wybrał ją na benefis swój reżyser teatru naszego p. Łaski, który w dziedzinie charakterystycznego komizmu wykazał talent niepospolity i zaskarbił sobie uznanie publiczności i krytyki. W „Komedyantach“ biorą udział najlepsze siły sceny poznańskiej. — W repertuarze ubiegłego tygodnia figurował melodramat „Złodziejka“ i „Czarne kruki“ Wiktora Sardou. Pierwszy z wymienionych utworów jest tak okropnym dramatem, bez odrobiny logiki, sensu i artyzmu, że nie rozumiemy, jak dyrekcya tego rodzaju sztuki odważa się wprowadzać na scenę. Melodramat w naszych warunkach z repertuaru schodzić nie może, ale „Złodziejka“ należy do najgorszego gatunku tego rodzaju twórczości. Zresztą artyści drwili sobie formalnie z publiczności, a niektóre osoby, że tylko wymienimy p. Grabowieckiego, zamieniły dyalog w jakieś studenckie jąkanie i bełkotanie. Dramatowi „Czarne kruki“, poświęcimy w przyszłym numerze obszerniejszą recenzyę. Tu tylko nadmieniamy, że grą poprawną wyróżniły się panie „Vernon i Jakubowska, oraz panowie Królikowski, Wostrowski, Knapczyński, Jakubowski i Skoraczewski. — W prześlicznej bluetce francuzkiej „Pocałunek“ debiutowała poraz trzeci na scenie poznańskiej p. Barska; po dwóch pierwszych nieudanych występach młodej debiutantki, nie zdradzającej ani krty talentu, przewidywaliśmy fiasko zupełne. Przeczucia nasze się spełniły, bo p. Barska niemiłosiernie zabiła całą poezyę i finezyę utworu. W jej interpretacyi zamieniła się wróżka Urgela w papugę, paplającą słowa niezrozumiane i nieodczuwane. Ani odrobiny inteligencyi, ani odrobiny uczucia, — nic, zgoła nic, prócz pięknej figury i przepysznych włosów. Natomiast partner debiutantki p. Nowacki, pomijając usterki pamięciowej natury, zrozumiał charakter swej roli i grą lekką a nie pozbawioną poezyi zasłużył sobie na uznanie. —

Konkurs. Pierwszą nagrodę na konkursie budowy nowego teatru we Lwowie otrzymał Wielkopolanin, pan dyrektor Zygmunt Gorgolewski. Komisya sędziów przyznała mu jednomyślnie premię w wysokości 6000 koron. Druga nagroda w wysokości 4000 przyznaną została znanemu architektowi Zawiejskiemu.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

— **Kr. w Gnieźnie.** Niemiecki wyraz „Auflassung“ tłomaczyć należy słowem: „przewłaszczenie“ lub „przelanie własności“. Niektóre dzienniki używają wyrazu „wzdanie“.

— **Wa. w Poznaniu.** Dziękujemy za pochlebną opinję — nie podzielamy jednak pesymizmu Pańskiego co do przyszłości Księstwa. Protestujemy też stanowczo przeciw przypuszczeniu, jakoby „Przegląd“ zamieszczając nowellę Tetmajera „Ksiądz Piotr“, zamierzał kokietować z stronnictwem klerykalnem. Jest to prześliczna perełka artystyczna, której piękności Szanowny Pan nie odczuwa, mówiąc o „komendzie proboszcza“ i „miałkich myślach gospodyni“. Gdzie w tej nowelli tkwi tendencya klerykalna, tego my pojąć nie możemy, a Szanowny Pan niezawodnie również wytłomaczyć nie umie.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28.

Nr. 8. Poznań, niedziela 23-go lutego 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: Piekary nr. 6.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi w Poznaniu 4,00 mrk. Przyjmuje Administracya: Piekary 6. w Niemczech i Austryi 5,00 mrk. (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 mk. — Prenumeratę przyjmują Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer: w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.

TREŚĆ.

Nasz program.

II.

Zakończyliśmy nasz pierwszy artykuł twierdzeniem, że tylko na własną pomoc liczyć możemy — i to jest naszem hasłem. Nie myślimy sobie przypisywać pierwszeństwa w odkryciu tej prawdy. Od chwili trzeciego rozbioru kraju byli patryoci, były i kółka ludzi rozsądnych, którzy tę prawdę głosili. Po ostatnim naszym pogromie więcej, niż kiedykolwiek, zyskała ona na wziętości, a nawet ci, którzy w nią nie wierzyli, udawali chwilami, że wierzą, pod naciskiem opinii ludzi rozsądnych; ta prawda jednak nie przedostała się jeszcze w krew i soki naszego społeczeństwa. Powtarzać ją trzeba ciągle narodowi, nieposiadającemu dostatecznego zmysłu samozachowawczego, żeby sobie uświadomić grożące niebezpieczeństwo. My powinniśmy mieć jak mieszkańcy stepów i dobre ucho i dobry wzrok, wrażliwe na wszystko, co zagraża naszemu bytowi narodowemu, a tych właśnie zmysłów organizm nasz społeczny nie posiada. Jak kara Boska zjawiały się u nas od czasu do czasu kierunki polityczne, przeciwdziałające niestety rozwojowi tych zmysłów.

Wydawać się może niejednemu z czytelników powoływanie się na Czechów — banalnem; pomimo to sądzimy, że w kwestyi samopomocy narodowej jeszcze nie dość często powołujemy się na ich przykład. W Czechach zginęła szlachta, tak w boju, jak i pod mieczem kata; co z niej zostało, to garść plew, odłączona od zdrowego ziarna narodu. Jeżeli dziś tam widzimy synów chłopskich i mieszczańskich, broniących zębami swej narodowości, pochodzi to ztąd, że lud czeski w świadomości swego sieroctwa i opuszczenia przez świat, sam sobie jednemu zaufał w walce z naporem germańskim i w tych zapasach cichych, ale nigdy nieustających wyrobił w sobie iście hussycki hart duszy i niesłychaną siłę odporną. — Na takich cnotach nam zbywa, a jeżeli ich nie posiadamy, przyczyną tego jest to, że naród nasz pojony nie dającemi się ziścić nadziejami, stracił po części świadomość grozy położenia swego.

W ruchu ludowym, jaki się w ostatnich czasach u nas zaznaczył, widzimy zapowiedź zdrowszego kierunku politycznego. Już to samo, że chcąc przeciwważyć stronnictwu ugodowemu, stronnictwo ludowe wypisał ona swym sztandarze *„samopomoc“* narodową, jako antytezę *„łaski pańskiej“*, przyczyniło się bardzo do sanacyi naszego zmysłu politycznego. Chociażbyśmy nawet przyjęli za pewnik, że owo hasło wydane zostało przez prowodyrów tylko ze względów taktycznych, jako rodzaj *captatio benevolentiae* względem tłumów, to już fakt, że hasło stało się popularnem, dowodzi, że prowodyrowie trafili do serca ludu naszego.

W przeciwieństwie do prasy ugodowej, spoglądaliśmy na ruch ten jako na objaw ewolucyi społecznej. Pisaliśmy o tem często i dość obszernie. Kto operował przy ocenianiu ruchu tego mikroskopem, ten oczywiście dojrzał szczegóły niesympatyczne; „Przegląd“ badał nowe kierunki z dalszego trochę dystansu, żeby objąć okiem całokształt ruchu ludowego. Mamy przekonanie, że ruch ten ma przyszłość przed sobą, że rozleje się od Pszczyny aż do Warmii, po całym zaborze pruskim, i że swym ciężarem przygniecie wszystkie nasze koterye. Jest to tylko kwestya czasu! Podobny zrazu do niezwykłego zjawiska natury, posiada on swe właściwe prawa egzystencyi i właściwą swą orbitę. Zmusić go w czasie największego rozmachu, aby grawitował do środka, nie można: on posiada swe własne ognisko, do którego ciąży.

Pojęli to dobrze przywódzcy ruchu ludowego i dla tego założyli „stronnictwo“, żeby to ognisko uczynić widocznem. Chociaż ich za to ścigały Erinye naszych operetkowych Jowiszów, szli oni na przebój przeciw tym, którzy giętkość kości pacierzowej całego narodu wynieśli na wyżyny programu politycznego. My twierdzimy stanowczo, że w tych walkach naszych, które się toczyły w czasie ostatnich wyborów, chodziło naszym prowodyrom głównie o utrzymanie się przy władzy, — więcej o to, niż o zasady. Te klątwy, które rzucali na przywódzców „ruchu ludowego“ były nieszczere; zależało im tylko na zohydzeniu stronnictwa, które ich krzesła kurulne na dobre zaczęło gruchotać. To była prowokacya, a przywódzcy ruchu ludwego nie okazali tyle sprytu i przezorności, aby odcyfrować prawdziwe motywy i dyplomatycznem umiarkowaniem odepchnąć tę prowokacyę, lecz dali się porwać namiętności sekciarskiej i w ten sposób zdyskredytowali wobec prawdziwych przyjaciół ruchu ludowego swe własne stronnictwo.

Dziś rozgoryczenie w społeczeństwie naszem straciło na sile. Walka rozpocznie się na nowo przy najbliższych wyborach. Tymczasem przeciwnicy utrzymali się przy tych stanowiskach, które zajmowali w czasie zapasów.

„Ludowcy“ pracują podobno nad programem, ale go nie ogłaszają; nasze zaś „powagi“ przeciwnego obozu używają spokoju olympijskiego. Trzymając w jednem ręku koronkę oklepanych lokucyi patryotycznych, w drugiem przestarzały regulamin wyborczy, są pewni, że posiadają najskuteczniejsze środki do odżegnania się od ludowego Belzebuba. Powiadają sobie, jak smok we Walkirze Wagnera: „Ich lieg' und besitz'! Lass mich schlafen!“

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Rozmowa o ruchu ludowym. W konserwatywnym „Kraju“ petersburskim czytamy:

„Piszący te słowa, miał w tych dniach sposobność rozmawiania o stosunkach galicyjskich z jednym z najpoważniejszych pracowników tamtejszych na niwie oświaty ludowej. Rozmowę zaczęliśmy od wyrazów uznania dla tej pożytecznej pracy.

— Nie przeczę — odpowiedziano nam — że koło naszych zwolenników między ludem rozszerza się, ale do dnia dzisiejszego przewaga jest po stronie wydawnictw radykalnych.

Te słowa sprowadziły pogawędkę na tory polityczne. Zauważyliśmy, że radykalny ruch chłopski nie ogarnął całego ludu. Wymieniliśmy nazwiska posłów włościańskich, nie należących do stronnictwa ludowego.

Gość z Galicyi, którego umiarkowany pogląd znamy oddawna, patrzy na te sprawy z nieco odmiennego stanowiska. Sądzi on, że lud stoi po stronie radykalniejszych swych przedstawicieli i nie przypuszcza, żeby kierownictwo dało się w inne przenieść ręce.

— Dziś — są to jego słowa — mamy w kraju dwa obozy: szlachecki i ludowy, które ostatniemi czasy zapałały srogą nienawiścią ku sobie. Miejmy

nadzieję, że się to zmieni na lepsze. Trzeba się starać o obopólne zbliżenie, trzeba umieć trafić do ludzi takich, jak Bojko lub Wójcik, którzy mają lud za sobą, a, jak wiem z doświadczenia, gotowi są zawsze wysłuchać zdania, tchnącego szczerością i miłością ludu.

— Czyż nie jest jednak prawdą to, co nas dochodzi o mowach chłopskich w sejmie? Mają to być elaboraty, w których niema ani stylu chłopskiego, ani myśli chłopskich.

— Znasz pan stosunki galicyjskie oddawna. Czy możesz pan zaręczyć, że każdy z naszych konserwatystów sam sobie swoje mowy pisze?

— Więc, jednem słowem, ani Bojko, ani Wójcik, nie są tak straszni, jak się zdaje?

— Bezwątpienia. Dla Bojki muszą mieć osobisty szacunek z powodu jego nieskazitelnej prawości i jego ustawicznej pracy nad sobą. Wymowny jest bardzo. Wójcik, młodszy wiekiem, mniej ma doświadczenia i za Bojką pójdzie wszędzie. Dziś obaj są rozdrażnieni do najwyższego stopnia. W przemówieniach ich odzwierciedla się rozdrażnienie, które ogarnęło całą ludność wiejską.

— Są to echa walki wyborczej?

— Są to echa nietaktownego postępowania, trwającego już oddawna. Nieobliczoną szkodę wyrządziły Galicyi i sprawie chłopskiej nieumiejętnie redagowane pisma ludowe, mające oddziaływać na włościan w duchu konserwatywnym. Zamiast liczyć się z tem, że chłop będzie czytał tylko gazetkę, stojącą na stanowisku chłopskiem i broniącą interesów chłopskich, zaczęto przemawiać do niego tonem, który go zraził. Co gorsza, przez miotanie się na wszystkich, mających nieco odmienne zdanie, przez nieustanne straszenie chłopa „masonerya“ i „masonami“ zbałamucono go do reszty. Chłop stracił zaufanie do wszystkich, przemawiających słowami umiarkowania, a pozostał czułym jedynie na hasła radykalne. Wybory dokonały reszty.

— Nadużycia działy się zatem?

— O tem nikt w Galicyi nie wątpi. Pojmie pan, że władze naczelne nie mogą dziś potępiać jawnie organów podrzędnych i usprawiedliwiać je muszą. O nielegalnym nacisku ze strony urzędów przekonani są nawet ci, którzy, niechcąc wywoływać nowych starć i nowego zamieszania, czynią ofiarę ze swych zapatrywań i głosują w sejmie za zatwierdzeniem zakwestjonowanych wyborów. Jakże pan chcesz żeby to nie doprowadziło włościan do rozgoryczenia? Pomyślmy tylko, coby się działo, gdyby w ten sam sposób zechciano traktować wyborców w kurji większej. W Cholerzynie musiano ostatecznie kuć chłopów w kajdany. A o cóż poszło właściwie? O to, że jeden z wyborców podpowiadał drugiemu w obecności komisarza rządowego, na kogo ma głosować. Ależ takie rzeczy dzieją się na każdych wyborach szlacheckich! Wójcikowi wytoczono proces. I o co? O to, że, spraszając włościan do swej chałupy, zapraszał każdego, kto łaskaw, nie rozsyłając zaproszeń imiennych. Niechby prokuratorya postąpiła sobie w ten sposób po jakimś zjeździe szlacheckim w Krasiczynie, Gumniskach, lub Krzeszowicach! Przekonanoby się dopiero wówczas, co to jest wywołać nieprzejednaną, wściekłą opozycyę.

— Lud odczuł to żywo?

— Lud przysięgał na krzyż Pański, że swemu kandydatowi upaść nie da i przysięgi dotrzymał. Widziano rzeczy nadzwyczajne. Widziano chłopów, zwracających agentom wyborczym pieniądze, które pobrali poprzednio.

— I tem rozgoryczeniem tłomaczy pan zachowanie się posłów włościańskich w sejmie?

— Rzecz oczywista. Jestem sam gorącym zwolennikiem wniosku Dunajewskiego w sprawie gminnej. Jestem silnie przekonany, że wniosek ten jest dla włościan korzystniejszy od wniosku Potoczka. Sądzę, że kiedyś przekonają się o tem i włościanie, ale jakże nakłonić ich dzisiaj do popierania wnioskodawcy, zdającego całą inicyatywę w ręce tego samego rządu, który podczas wyborów tak się zachował?......

Czy nie należy się obawiać jakichś groźnych wybuchów tej niechęci? Czy nie wypada lękać się objawów czynnych?

— Ręczę, że nie! Jeżeli ich nie było w Cholerzynie i w Gorlicach, to śmiało twierdzić możemy, że lud nasz jest bardzo łagodny i bardzo cierpliwy. Pracujmy tylko nad zbliżeniem warstw, a przekonamy się, że z chłopem galicyjskim porozumieć się już można. Pod względem umysłowym rozwinął się on ogromnie.

— Czy sądzi pan, że dobre strony tego rozwoju przeważają następstwa ujemne?

— Stanowczo! Wieś galicyjska zmienia się w oczach naszych do niepoznania. Kto jej nie widział przez lat parę, zdumiewa się na widok zmiany. Wszak niedawno powiedział mi jeden z naszych młodszych duchownych: Ja, syn chłopski, nie poznaję tych ludzi po dwuletniem niewidzeniu!

— Więc przyszłości nie widzi pan w barwach czarnych?

— Bynajmniej! Patrząc na to, co oświata na wsi zrobiła, muszę przypuszczać, że lud będzie się coraz rozumniej na swe położenie zapatrywał. Z drugiej zaś strony niepodobna przypuścić, żeby żywioły zachowawcze nie zrozumiały w niedalekiej już przyszłości, że lud nasz jest siłą uświadomioną, którą, według własnego kaprysu, kierować nie można, lecz która da się opanować, pod warunkiem, iż będziemy się z nią na każdym kroku liczyli. Lud pójdzie za tym, kto mu służy bez wybiegów i kto mu prawdę zawsze mówić będzie. Gdy się tacy ludzie znajdą, wpływ radykalistów zniknie niebawem“.

* * *

W sprawie „Polskiego domu przemysłowego“. Korespondent poznański „S ł o w a p o l s k i e g o“ (Lwów) donosi:

„Inną, a niemniej charakterystyczną ilustracyą stosunków naszych, jest kwestya „Domu przemysłowego“, pokutująca od lat kilku na bruku poznańskim. Ruch korporacyjny, szerzący się coraz pomyślniej w zaborze pruskim, przybrał w Poznaniu tak znaczne rozmiary, że polskie kawiarnie, restauracye i sale publiczne widzą się coraz częściej w przykrem położeniu odmawiania gościny naszym więcom, sesyom i zabawom. Wielkie zebrania polityczne i wyznaniowe odbywają się już oddawna w niemieckich hotelach, a w ostatnich czasach nawet mniejsze zabawy i posiedzenia szukać musiały przytułku u Niemców.

Ten stan nieznośny uszczupla nietylko majątek narodowy, ale naraża Towarzystwa nasze na różne szykany i impertynencye ze strony wrogich żywiołów i często wprowadza je w przykry ambaras przy lokacyi bibliotek, emblematów i sprzętów korporacyjnych. Takie stosunki zrodziły rozumną myśl zbudowania polskiego „Domu przemysłowego“. Autorem projektu był śp. L u d w i k R z e p e c k i, redaktor „Warty“, „Oświaty“ i „Gońca Wielkopolskiego“, a wkrótce znalazło się grono ludzi dobrej woli, które utworzyło „spółkę z ograniczoną poręką“ i rozpoczęło zmudną robotę zbierania w drodze „udziałów“ funduszu budowlanego.

Wobec niezliczonych podatków narodowych, gniotących społeczeństwo nasze, kapitał rozwijał się zwolna i ociężale, ale bądź co bądź zainteresowanie rosło i zwiększała się liczba akcyonaryuszów. Nagle na wyżynach lojalno-klerykalnych wszczyna się ruch opozycyjny. Odzywają się szmery niechęci, że „Dom przemysłowy“ w firmie swojej nosi przydomek „p o l s k i“ i przed rokiem mniej więcej powstaje projekt zbudowania „D o m u k a t o l i c k i e g o“.

K. ROJAN.

W ŚWIAT.

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

Pod koniec stycznia zaświeciło jasno słońce nad Kołczanowem, obiecując spokojnym i wierzącym przyrodzie na słowo Kołczanowianom, wyjątkowo wczesną wiosnę. Rudy ruszył w drogę, przygarniając chętnie potoczki miasta, płynące z szumem wzdłuż bruku kostkowego.

Zapusty miały się ku końcowi, więc też kto był, bawił się w Kołczanowie do upadłego, chcąc skorzystać z ostatków zimy i karnawału, i nasycić się niejako na cały rok Boży tańcem, śmiechem i weselem.

Jednym z najuroczystszych w roku jest dla Kołczanowian zabawa publiczna w Gwieździe, poprzedzona przedstawieniem amatorskiem.

W tym roku wyznaczono na tę uroczystość sobotę, dzień Matki Boskiej Gromnicznej...

Do tej to soboty jeszcze niedawno wzdychała gorąco Lola, pełna tęsknoty i przeświadczenia, że ona da jej sposobność wyspowiadania się przed Dynieckim, i że podczas przedstawienia usłyszy z ust jego za kulisami niejednokrotnie urocze słowo „kocham“. Zawiodła się jednak. Ale teraz dzień Matki Boskiej Gromnicznej miał być dla niej dniem zemsty i o niej rozmyślała z taką samą niemal rozkoszą jak przedtem, kiedy marzyła o szczęściu. Zemścić się, zemścić... szumiało jej w głowie i sercu bez ustanku. I to uczucie było na razie najlepszem lekarstwem dla jej strapionego serduszka.

W sobotni ranek obudziła się o świcie i oprzytomniawszy zaraz, poczęła układać plan zemsty. Obmyśliwała szczegół po szczególe: jak to wejdzie dumnie i poważnie za kulisy, jak spojrzy na Dynieckiego, jak hardo skinie mu głową, co odpowie, gdyby się zbliżył i zagadnął, jak wreszcie przez cały ciąg gry pogardliwie uśmiechać się będzie. Wszystko to obmyśliła najdokładniej, a gdy przekonała się, że plan już jest zupełny, wyciągnęła się i z rozkoszą zawołała:

Anulka wstawajmy, dziś przedstawienie, trzeba się przygotować.

— Co, co?... — zapytała z pod kołdry Anulka i mrugnęła kilkakrotnie czarnemi zaspanemi oczami, nie mogąc zrozumieć, o co tu chodzi.

— Przedstawienie dzisiaj, czy nie słyszysz? I ty możesz spać długo?

— Zaraz, zaraz, Loleczko złota. Sukienka moja już gotowa, a rolę umiem także, więc po co się spieszyć.

Mimo to zerwała się natychmiast z łóżka i poczęła spiesznie ubierać i porządkować w pokoju.

Przez cały dzień wzdychały obie, krzątając się dokoła kokardek, tasiemeczek i kwiatków. Anulka drżała na myśl, że zapomni roli, Lola zaś, że ujrzy Dynieckiego

Tymczasem po południu wpadł Łasiecki z wielkim afiszem w ręku.

— Cz.... czy panie będą gotowe na szóstą? — pytał we drzwiach. — Afisze już porozlepiane, klamka zapadła, spóźnić się nie można. Proszę się tylko nie bać i nie mieć tremy. Ja będę doskonale podpowiadał. Oto afisz dla państwa. Proszę czytać.

Tu porwał za plecy Smolarza, który wszedł właśnie do bawialni, zawinął nim młynka i umieścił ogłoszenie na jego grzbiecie, poczem czytał głośno:

„Ukarany mąż“
komedya w jednym akcie przez Kamila de Labrique.
Osoby:
Mąż, pan Józef R.
Żona, panna Karolina B...
„Lotourneaux, pan Stefan D.
Jan, służący, pan Franciszek S.
Służąca, panna Anna S“.

— Oto i cały personał. Ręczę, że doborowy. A i afisz wspaniały. Sala już na pół urządzona. Przyszedłem tylko prosić, abyście panie przyjechały dokładnie o szóstej do Gwiazdy, ani o minutę później ani wcześniej. Tymczasem zabieram Franka, a Franek zabiera młotek i gwoździe, potem

mgnieniu oka utworzyły się dwa stronnictwa. ...dni wołają: „Polski dom przemysłowy“ — drudzy: ...om katolicki“ a rezultat tej walki jest taki, że ...a projekty — pomijając już wyłączenie charakteru ...rodowego z drugiej instytucyi — całe lat dziesią... czekać będą na urzeczywistnienie swoje. Rzu...no wprawdzie w ostatnich czasach myśl prakty...., aby nasze Towarzystwa przemysłowe, kupieckie, ...mieślnicze i gimnastyczne, z których niektóre po...dają znaczne fundusze, złączyły kapitały swoje ... wspólnego celu i powołały do życia gmach wiel...ch rozmiarów, o charakterze narodowym, w którym ...szelkie zebrania korporacyjne i wiece polityczne ...alazłyby wygodne pomieszczenie, — ale plan ten ...bec licznych uprzedzeń koteryjnych i nieznośnej ...lique und Claquewirtschaft“ grasującej w Pozna...u, pozostanie zapewne długo *pium desiderium*. ...nutne stosunki! Wszystko się rwie i haczy, a stan ...u prędzej się nie zmieni, dopóki nie zjawią się na ...enie publicznej ludzie wielkiego rozumu, wielkiej ...ergii i wielkiej miłości ojczyzny, i nie zastąpią ...otychczasowych kierowników społeczeństwa, grzę...nących w większej części w prywacie, małych am...icyach i fanatyzmie stronniczym“.

— *ski.*

LITERATURA I SZTUKA.

„Do młodych!“

Potężny autor „Rougonów“ i „Rzymu“ zwrócił się w tych dniach znowu do mło...dzieży w długiej, a płomiennie namiętnej przemowie, umieszczonej w paryskim „Figa...ze“ z dnia 7 lutego p. t. „A la jeunesse“. Oddawna patrzy Zola koso na prądy nurtu...jące pośród młodej generacyi, a już przed dwoma laty na bankiecie studentów paryz...kich, znalazł sposobność do wygłoszenia pa...miętnej i słynnej mowy: „A la jeunesse“, nawołując całą młodzież do porzucenia mi...stycznych tęsknot i pożądań, a wstąpienia na drogę usilnej i celowej pracy, która jedynie zdolna jest dać spokój wewnętrzny, równowagę umysłu i zadowolenie. Dzisiaj atoli genialny mistrz powieści naturalistycznej kieruje słowa swoje wyłącznie do najnowszej genreacyi literatów i artystów, którzy, jak wiadomo, od dłuższego czasu żyją z nim na stopie wojennej, podnosząc coraz wyżej sztandar opozycyi przeciw naturalizmowi, nie szczędząc gwałtownych urągań i zarzutów przeciw głównemu przedstawicielowi tego kierunku. Gwałtownością i gryzącą ironią, nieprzebierającą w zjadliwych określeniach, nacechowane jest też obecne wystąpienie Zoli; snadź do żywego dopiekli mu „młodzi“, skoro chwycił za polemiczną maczugę i ze zwykłą sobie siłą na prawo i lewo rozdziela potężne ciosy. Czy słusznie? Czy genialny pisarz nie myli się, potępiając w czambuł „nowych“? Czy zapatrywania jego, teorye, wygłaszane z porywającą werwą — nie świadczą raz jeszcze o jednostronności krytycznej i filozoficznej Zoli?

Warto się nad temi kwestyami zastanowić, warto poddać analizie tę najnowszą enuncyacyę szermierza naturalizmu, tembardziej, iż jest ona ze wszech miar znamienna, porusza zasadnicze a palące zagadnienia doby dzisiejszej a niewątpliwie szerokiem echem rozejdzie się po świecie. Niechajże mi przeto będzie wolno w pośpiechu streścić wywody Zoli, przełożyć główne ustępy i nawiązać do nich motek kilku uwag...

Jakaż to kropla przepełniła czarę goryczy i skłoniła Zolę do tak gwałtownej wycieczki przeciw „młodym“? Po śmierci Verlaine'a, Zola umieścił w „Figarze“ artykuł, w którym zastanawia się między innemi i nad kwestyą, dla czego młodzież literacka obiera sobie dzisiaj za wodzów talenty połowiczne i niezrównoważone i hołd składa takim — zdaniem Zoli — dziwacznym pisarzom, jak np. Barbey d'Aurevilly, lub Viliers de l'Isle Adam? Bujnie rozwijające się w gorącym klimacie paryzkim młode „revues“ i dzienniki nie omieszkały odpowiedzieć na zarzuty, korzystając zarazem ze sposobności, aby przypiąć łatkę naturalizmowi i jego heroldowi, który dąsa się i gniewa wskutek tego, iż młodzi nie chcą dać się wodzić na pasku naturalizmu i wkraczają na nowe drogi... W ciągu swej repliki zwraca się tedy Zola do nich temi słowy:

„Ej, któż wam powiada, młodzi ludzie, iż chcemy być waszym mistrzem? Nie iżbyście byli całkiem wyzuci z talentu i iżby nie było to zaszczytem prowadzić waszą hordę do szturmu przeciw naszym starczym wysiłkom (votre horde à l'assaut de nos vieilleries“). Lecz przecież można się różnić od was w poglądach a nie być mimo to skończonym osłem, jak wy zdajecie się mniemać... Co do mnie, wolę zerwać z wami i to zerwać na dobre, raz na zawsze. Przynieście sztylety i rozetnijmy więzy łączące nas, młodzi ludzie, bez chęci powrotu. Przedewszystkiem rozłączmy się z powodu potrzeby jasności, która mnie wiecznie dręczy a upodobania w mroku, w jakim wy się nurzacie. Ach, ta jasność, przejrzystość, prostota! Dla mnie nic jest pewnem, że dwa a dwa to cztery, trzeba, żebym to wpierw stwierdził i dowiódł. Jeśli moje książki są tak długie, jeśli tak często się powtarzam, to dla tego, że obawiam się ustawicznie, iż mnie nie pojmą i nie zrozumieją dostatecznie. Światła i jeszcze światła, tego słońca co płonie i zapładnia! O! za grosz nie ma we mnie ducha północy, i mózg i serce mam na wskroś łacińskie; zapamiętały miłośnik pięknej symetrycznej architektury, wznoszący piramidy pod rozpalonym błękitem niebios — pragnę słów i zdań z kryształu, jasnych i prostych, i t. d. „Widzicie przeto, młodzi ludzie, iż należy nam się rozejść; tak będzie najlepiej. Rozejdźmy się, rozejdźmy, aby nikogo w błąd nie wprowadzać!“

„A następnie rozejdźmy się z powodu miłości, jaką ja zachowuję dla swojej epoki. Rozumiem, iż wy nie życzycie sobie łączyć się z człowiekiem, który kocha hale targowe, dworce kolejowe, wielkie miasta nowożytne, tłum, który się w nich mrowi, życie, co w tysiącznych przejawia się zmianach w rozwoju społeczeństw współczesnych. Mam już tę wadę, iż nie gustuję w miastach mgły i senności, w ludach mar i widm, co błądzą wśród mgły, w tem wszystkiem, co lada podmuch wyobraźni przynosi i porywa. Mnie zaciekawia i porusza do głębi nasza demokratyczna społeczność, wstrząsana stra-

---

...ysadzam Franka z młotkiem i gwoździami ...a drabinę i każę mu przybijać firanki. Ponieważ jest w komedyi lokajem, więc musi wyporządzić pokój dla panny Loli, swojej pani.

Wypowiedziawszy to jednym tchem i bez zająknienia, Łasiecki porwał Smolarza pod rękę, ukłonił się i odszedł.

Gwiazda posiadała obszerną salę do tańców z galeryjką do muzyki i małą sceną, umieszczoną w jednym z narożników. Scena ta, urządzona staraniem kilku amatorów, wyglądała jak pudełko z kartonu. Sławny miejscowy artysta malarz pokójowy i dekorator Chaim Berl, wysilał tu cały swój artyzm na stworzenie arcydzieła. Część frontową pomalował w czerwone, blado zielone i fioletowe paski z dodaniem złotych kwiatów. Gdzieniegdzie przegradzały ową jajecznicę słupy jońskie. Ale najwspanialszą częścią dekoracyi była sama kurtyna. Na niej to już nie było pstrokatych mozajek pokojowych, ale występował wspaniały krajobraz, zasługujący bezwzględnie na bliższą uwagę. W głębi szafirowe niebo włoskie, na jego tle wznoszą się niebotyczne, sine góry skandynawskie, ozłocone wschodzącem czy też zachodzącem słońcem; na góry owe wspina się krzepki osieł ze skrzydłami, a do nadpowietrznego lotu przygrywa mu na harfie piękna niewiasta, pochodząca, o ile z koloru twarzy wnosić można, z krainy Kafrów czy też Hottentotów. U stóp niewiasty rozrzucone są maski; a po jej prawicy siedzi na skale poważna sowa i dziwi się, że Chaim Berl mógł to wszystko wymyślić i wymalować.

Scena, przedstawia pokoik o trzech drzwiach i jednem oknie, i w tym pokoiku grywane bywają wszystkie komedye i tragedye, ku zupełnemu publiczności kołczanowiańskiej zadowoleniu. Tylko kiedy, niekiedy, gdy sztuka wymaga koniecznie pewnych zmian nieznacznych, bywa scena odpowiednio do potrzeb danej chwili przerabiana. Tak naprzykład „Ukarany mąż“ wymagał, aby dla niego wykrojono w bocznej ścianie okienko wentylacyjne, przez które miał śledzić romans żony z kuzynkiem Letournaux. Łasiecki, przy pomocy nożyczek, pożyczonych u gospodarza kasyna, uczynił zadość dyspozycyi komedyopisarza i stworzył w ścianie okno, przez które mógł „ukarany mąż“ pan Józef Raniecki, nie bez pewnych trudności, wścibić głowę na scenę i podsłuchiwać rozmowę małżonki z niebezpiecznym kuzynkiem, oraz czynić zgryźliwe uwagi „na stronie“, stanowiące najefektowniejsze ustępy komedyjki pana Labrique.

Przed szóstą ukończył Łasiecki przy pomocy Smolarza resztę przygotowań około urządzenia salonu; firanki przypiął, stoliki i kanapki poustawiał na odpowiednich miejscach, zawiasy u drzwi i bleczki przy kurtynie wysmarował oliwą, aby nie skrzypiały, poczem usiadł zmęczony, lecz pełen zadowolenia i zapalił papierosa.

— No — zauważył — sama Helena Modrzejewska może teraz grać na naszej scenie, a nie będzie jej tu nieswojsko.

Ani Smolarz nie słyszał tej uwagi, a raczej słysząc, nie starał się jej rozumieć. Jego myśli były przy Loli. Od kilku dni będąc narzeczonym, mógł na nią patrzeć przy stole, patrzeć wzrokiem gorącym, jak promień słońca i jak on bezlitośnym w swej wytrwałości, co to natrafiwszy na rosę poranną, dopóty ją pożera, póki nie wysuszy do ostatniej kropli. Gdy zajęty pracą przez parę chwil nie myślał o niej, budził się nagle z obojętności i z niewysłowioną rozkoszą pieścił się na nowo jej obrazem.... Teraz zatrudniony przybijaniem firanek i wdziewaniem fraka służebnego, nie myślał o niej przez chwilę, lecz gdy te czynności skończył, powrócił do niej natychmiast i począł liczyć niecierpliwie sekundy, brakujące do szóstej i do jej ukazania się na scenie. Rozmyślając i marząc przechadzał się szerokimi krokami po niewielkiej scenie; robił systematycznie pięć kroków tam, pięć kroków napowrót i dwa obroty na lewej nodze, jak wysłużony wojskowy. Łasiecki, widząc to, zaczął się złośliwie uśmiechać.

— Franek, ty jeszcze nie masz peruki na łbie.

— Hm....

— Wiesz ty, że tobie, w tym fraku wcale do twarzy, jak Boga kocham.

— Hm.... — mruczy Smolarz i uśmiecha się dobrotliwie.

— A nie zapomniałeś ty swej roli, co?...

szliwym problematem prawa pracy, tak pełna cierpień i odwagi, litości i humanitarności, iż wielki artysta, chcąc ją odmalować, nie zdołałby wyczerpać ni serca swego, ni mózgu. Tak, owo drobne mrowie w ulicach, ów lud, zapełniający fabryki i folwarki, mieszczanin, który walczy celem zachowania swej władzy, wyrobnik, który domaga się sprawiedliwszego rozdziału dóbr i korzyści, cała ludzkość współczesna przeobrażająca się ustawicznie — oto pole i dziedzina mych zabiegów. Żadna epoka nie była większą, bardziej roznamiętniającą umysły, bardziej brzemienną w przyszłości cuda, a kto tego nie widzi, jest ślepy, a kto wzgardliwie zasklepia się w przeszłości lub w marzeniu, jest jako dziecko, bawiące się piszczałką. Optymista, o tak! całem swem jestestwem, przeciw temu głupiemu pesymizmowi, przeciw tej haniebnej impotencyi woli i miłości! Rozłączmy się, młodzi ludzie, nie zwlekając dłużej!"

„I rozejdźmy się wreszcie z powodu mej upartej wiary w prawdę, w starą naturę, w młodą wiedzę! Wszystko jest w niej, nic po za nią! To, czego ona dziś nie wie, będzie wiedziała jutro, czego zaś poznać nie zdoła, dozwólmy, aby zostało nieznanem, ale nie zmieniało się w błąd! Całą swą wiarę pokładam w życiu, uważam je za wieczyście dobrą siłę, jedyną twórczynię siły i zdrowia. Ono jedynie jest płodne, ono jedynie pracuje nad ustrojem przyszłości. Jeżeli się zaciekam w ścisłej doktrynie pozytywizmu, to czynię to dla tego, iż w niej należy widzieć najlepszą obronę przed obłędem umysłów, przed tym idealizmem, który tak snadnie skłania się ku najgorszym zboczeniom (perversions) i śmiertelnym grzechom socyalnym. Wy już po uszy tkwicie w mistycyzmie, w satanizmie, w okultyzmie, w idei, która żyje z dyabła, w miłości, która nie wydaje dzieci! Narody mrą i giną, jeśli nie kochają życia, jeśli błądzą wskroś ciemności, wyciem wołając śmierci, w rozszalałem pożądaniu tajemniczości... Rozejdźmy się na każdem polu, w tem, co dotyczy mężczyznę i kobietę, w tem, co dotyczy życia i prawdy!"

I w ten sposób strofuje Zola długo jeszcze „młodych", a w miarę, jak posuwa się w swych wywodach, wzbiera gwałtowność i namiętna zjadliwość jego zarzutów. Już nie „jeunes gens", ale „belle jeunesse" i „mes petits" apostrofuje przeciwników. Czyż nie wiecie, że literatura jest jako huśtawka? Nadmiar prawdy powoduje nadmiar marzeń, ale czyż sądzicie, że obserwacya może być pogrzebana!... Zresztą nie prawda, jakobyście bodaj na chwilę zamroczyli blask dzieł i prawdy! Osławiony naturalizm stoi na niewzruszonych podstawach, ten naturalizm, o którym codzień krzyczycie, iż leży w grobie, aby tylko wzbudzić przekonanie, iż tam istotnie leży! Naturalizm jest żywotny, bo jest on wynikiem epoki i z niej czerpie soki pożywne; zmieńcie wprzódy ustrój społeczny, jeśli pragniecie, aby wasza sztuka, reakcyjna sztuka arystokracyi i objawień mogła się rozwinąć. Dzisiaj, dzieła wasze, mimo niezaprzeczonego talentu ich twórców, „martwe przychodzą na świat" i t. d. „Wy nie jesteście całą młodzieżą; uchodzicie za taką, bo hałasujecie, macie swe revues i dzienniki... W was nie ma krwi młodocianej, jesteście pedantami oschłymi, dogmatykami!"

Namiętna filipika kończy się temi słowy: „Więcej tych lilij; zapewniam was, iż jeszczeście nie dosyć przynieśli! Pełne garście, pełne kosze lilij, abyście cały świat zatruli! I blade dziewice, dziewice na wskroś uduchowione, co błądzą w ustronnych gajach i słaniają się w objęciach kochanków, podobnych do widm sennych! Przesuwajcie nam coraz to nowych dziewic szeregi bez końca przed oczami, aby nam obrzydły ostatecznie! I nie zaniechajcie symbolów, błagam was, twórzcie coraz to nowe, coraz ciemniejsze, coraz bardziej skomplikowane na umęczenie biednych mózgów ludzkości!"

„Ale jakież zadośćuczynienie gotujecie nam, o maleńcy! Jeśli jeszcze przez lat kilka liliowe żniwa wasze, jedyny powód tylu migren społecznych, nie przestaną dawać tak obfitych plonów, naturalizm, ten szpetny naturalizm, pogrzebany przez was w ziemi, pocznie bujnie kiełkować by kłosy żytnie, żywiące rodzaj ludzki".

Czytelnik z podanych tu wyjątków snadnie osądził, z jaką gwałtownością i sarkazmem, Zola, autor powieści z pewnością nieśmiertelnych jak „Rougoni" i kilka innych, tytan pracy, zapatrzony w wieczną harmonią praw natury, umysł lubujący się w uogólnieniach, wizyoner liryczny, posługujący się w wielkich swych epopejach socyalnych, ogromnemi symbolami — uderzył na młodą generacyę poetów i artystów, których łączy tylko jedno: sztandar indywidualizmu. Niesłusznie przeto Zola traktuje ich jako zwartą jednolitą falangę, skoro przecie, jak wiadomo, tak znaczne między nimi zachodzą różnice.

Prawda, odwracają się po większej części także od naturalizmu. Uważają bowiem metodę i filozofię naturalizmu za przeżyte. Naturalizm, obserwacya drobiazgowości życia, spełniły już swe zadanie były konieczne kiedyś, gdyśmy jeszcze nie umieli patrzyć na otaczającą nas rzeczywistość. Dziś atoli, po przejściu zbawiennej szkoły naturalizmu, po wyczerpaniu całego zakresu zjawisk zewnętrznych i powszednich, nie sposób ograniczać się dłużej na samej obserwacyi i przedstawianiu przedmiotowej rzeczywistości. Huysmans, były uczeń Zoli, na pierwszej stronnicy powieści „La-bas" zarzuca naturalizmowi płaskość, banalność i filisterską brutalność tematu, „l'immondice des idées et des mots". Idealizm, o, ale nie idealizm p. T. Jeske-Choińskiego, i sztuka ściśle osobista, indywidualna, poczyna wszędzie dzisiaj zjednywać sobie mir i uznanie.

Niesłusznie Zola zarzuca „młodym" dogmatyzm i potępia ich za to w czambuł. Toż jedni mają talent, drudzy nie, jedni, którym brak zdolności są może pedantami, ale czemuż za winy kowala wieszać ślusarza? Idealnego zapału głębokiej i szczerej czci dla sztuki odmawiać „młodym" nie zdoła, zdaje się nikt, kto jeno bacznie śledzi ewolucyę sztuki współczesnej. Żyjemy w epoce przejściowej, na przełomie dni nowych, a doba taka budzi zawsze moc pożądań, tęsknot i marzeń niespełnionych, ponieważ zaś nikt nie jest zdolen przewidzieć przyszłości i wskazać niezawodną drogę, zatem nie dziw, iż wielu ogarnia znurzenie i smętek; rozciągać wszakże ten zarzut na „młodych" bez wyjątku, niesłuszna to rzecz! Pogrzeb pieśniarza, pogrzeb, który stał się powodem całej tej zjadliwej polemiki mię-

---

Z....założyłbym się, że będziesz gorzej utykał niż ja sam, choć to mój fach. Ej do licha, urządzać teatr lubię, ale na drugi raz będę wymagał, aby moi aktorzy w czasie od rozdania ról do wykonania sztuki nie myśleli o amorach, bo będzie źle dalibóg!

Smolarz przystaje, uśmiecha się i podkręca wąsy.

— D....doczekał się raz zając wąsów i myśli, że pan.... Czegoż tak znowu zawracasz oczyma, jak śledź co go przez pół przekroili i solą obsypują, co?

— Hm... . Idź ty nicponiu jeden z twoimi żartami.

— D....dalibóg. Ja ci mówię, nie ma śmieszniejszych ludzi nad zakochanych. Ty naprzykład masz teraz taką właśnie minę, jakbyś już jutro szedł w szeroki świat.

— Hm....

— A kiedyż ty się w ten świat szeroki wybierzesz? Może zaraz po przedstawieniu i to jeszcze w tym fraku z blaszanymi guzikami. Doprawdy złota myśl, poco ci tam ślusarstwa, pokazuj się tylko za pieniądze, a zarobisz więcej niż przy warsztacie. Więc idziesz w szeroki świat co?

— Mój ty, daj mi święty spokój, gdzie ja dziś o świecie myślę. Dla mnie cały świat to moja Lola.

Spojrzał na pierścionek zaręczynowy, poruszał nim do światła i uśmiechnął się znowu.

— Czy ty już próbował go wsadzić na nos, co? Jeżeli nie, to spróbuj. Stań tam przed lustrem i spróbuj.... Słowo daję, t....to będzie bardzo interesujące.

Drzwi od bocznego pokoiku, przeznaczonego na ubieralnię amatorek, rozchyliły się i wszedł Dyniecki.

— Kobiet nie ma jeszcze?... — zapytał we drzwiach, paląc papierosa i nie zdejmując kapelusza.

— Nie ma panie — odmruknął Łasiecki. — Bardzo pan dobrze robisz, że nie ściągasz nakrycia z głowy. Tu jest piekielnie zimno i można dostać łupania w czaszce, a pan i tak masz już małą łysinkę na ciemieniu, to tem niebezpieczniej. Muszę i ja czapkę nałożyć na uszy.

Wstał i wdział czapkę na głowę.

Dyniecki spojrzał na Łasieckiego wielkiemi oczami. Dorozumiał się widocznie, co miała oznaczać złośliwa jego uwaga, ale znając Łasieckiego i jego zjadliwy język, uznał za stosowne nic nie odpowiedzieć na tę uwagę.

Za chwilę ozwały się na schodach lekkie kroki kobiece. Pani Borajska z dziewczętami, Szeląkowa z Mańką i kilka jeszcze kobiet, złączywszy się w drodze do Gwiazdy, weszły do sali przyległej, zwanej czytelnią. Za ich przybyciem, budynek dotąd pusty, oddający echem każde słowo, napełnił się od razu życiem i gwarem.

Lola wbiegła za kulisy, wołając:

— Panie Łasiecki, a gdzie nasza ubieralnia?

— Tutaj, tutaj.

Spostrzegła Łasieckiego, Smolarza i Dynieckiego, który na jej widok powstawał wolno z kanapki. Zmięszana, chciała się cofnąć, pozostała jednak i niepewnie wodząc oczyma, przemówiła jąkając się:

— E.... panie Franciszku, weź pan moje rzeczy.

Smolarz poskoczył i porwał oburącz zwitek, zawierający sukienkę Loli.

Dyniecki postąpił również krok naprzód, ale nie uprzedzał Smolarza.

— Taka to dola narzeczonego — zauważył z uśmiechem. — Trzeba być zawsze i wszędzie na usługi pani swego serca; lecz zkądinąd jest to nader miły obowiązek.

Lola, odzyskawszy w tym czasie zimną krew, podniosła dumnie głowę i spojrzawszy przymrożonemi oczami na Dynieckiego, zapytała, zwracając się do Łasieckiego:

— Może przychodzimy za późno?

W sam czas, doskonale, moja prześliczna primadono. Proszę się tylko zaraz ubierać. Dla pań jest przeznaczony pokoik, mężczyźni ubierają się i charakteryzują tam, za prześcieradłem. Panie Dyniecki, proszę za kotarę, fryzyer już czeka.

Czytelnia i sala zastawione krzesłami. poczęły zaludniać się coraz bardziej. W oddali za kulisami i kurtyną powstał gwar, świadczący, że publiczność przybywa w znacznej liczbie.

W niespełna pół godziny opuściła Lola ubieralnię i weszła na scenkę przywdziana w strój salonowy, wedle najnowszej mody,

dzy „młodymi“ a Zolą, okazał dowodnie młodzieńczy zapał i kult dla piękna, jakie panują pośród nowej generacyi artystów. I równocześnie z artykułem genialnego, lecz jednostronnego przedstawiciela naturalizmu, wpadł mi w ręce wiersz jednego z najwybitniejszych talentów między młodymi, Vielé-Griffina, wiersz poświęcony pamięci zmarłego Verlaine'a, kończący się słowy:

„J'ai foi: La Beauté triomphale est reine.
La vie, en nous, autour de nous est surhumaine;
Perpétuelle, plaintive ou forte, haute ou frêle,
Chante à la lèvre élue la voix qui sait
Lire les mots de Dieu dans l'ombre illuminée.

Ludwik Szczepański.

BADANIA NAUKOWE.

Wyprawa Nansena do bieguna północnego.

Jak biegun północny wygląda? Zanim to pytanie rozstrzygnęła nauka i pozytywne doświadczenie, odpowiedział na nie w imię fantazyi głośny powieściopisarz Juliusz Verne w książeczce p. t. „Przygody kapitana Hatterasa“: Owóż twierdzi on w swej powieści przedewszystkiem, iż do bieguna północnego dojść można i że stanowi go nie woda, nie pole lodowe, ale ląd stały. Matematyczny punkt bieguna północnego wedle francuskiego powieściopisarza tworzy wulkan. Hatteras, bohater powieści, ogarnięty szałem, wbiega na wulkan, na brzegu krateru zatyka sztandar angielski a towarzyszom jego udaje się tylko z najwyższem natężeniem uratować go. Wulkaniczna wyspa biegunowa, w powieści „Wyspą królowej“ nazwana, jest otoczona morzem, wolnem od lodów, mającem + 11 stop. temperatury, błękitnem jak niebo włoskie, niesłychanie głębokiem i świecącym odblaskiem dziwnych zjawisk elektrycznych. Głębie te ożywiają nieznane gdzieindziej zwierzęta, meduzy, po 30 metrów mające długości, prawdziwe fantasmagorje zoologiczne, nadto olbrzymie rośliny, a ponad powierzchnią wody unoszą się setki dziwnego ptactwa. Kosmiczne i magnetyczne zorze, niewiedzieć zkąd powstające a wspaniałe jak baśń, z nocy biegunowej robią jakiś inny, czarodziejski dzień. — Natomiast sam wulkan biegunowy ma być wysoką, skalistą, martwą górę, bez śladu roślinności.

Tak się ma przedstawiać biegun północny według Juliusza Vernego. Niejedna z fantazyi tego powieściopisarza już sprawdziła się, być może więc, że i ta się sprawdzi.

Za wulkaniczną naturą bowiem bieguna północnego przemawia to, iż w pobliżu południowego bieguna odkryto dwa czynne wulkany, a telegramy o powrocie Fritjofa Nansena głoszą, iż odkrył on na biegunie ląd stały!...

I gdyby wiadomość o powodzeniu wyprawy Nansena się sprawdziła, bylibyśmy świadkami bodaj czy nie największego odkrycia naszego wieku.

W czerwcu 1893 roku opuścił Fritjof Nansen na specyalnie zbudowanym okręcie „Framie“ Christianię, aby dotrzeć do bieguna północnego. Rękojmię powodzenia przedstawiał dla śmiałego podróżnika los „Jeanetty“, statku, na którym puściła się do bieguna wyprawa amerykańska w r. 1881. Statek ten rozbił się na północ od nowosyberyjskich wysp. W trzy lata potem znaleziono szczątki tego okrętu na południowem wybrzeżu Grenlandyi, to jest po przeciwnej stronie bieguna.

A zatem jakiś prąd morski, przepływający biegun, uniósł je ze sobą. Owóż Nansen postanowił wyzyskać ten prąd, powierzyć mu swój okręt i w ciągu dwóch do trzech lat przebyć drogę przez biegun północny. Plan swój wprowadził w życie; na „Framie“ puścił się w podróż, z której przez dwa lata nie było o nim żadnej pewnej wieści, prócz dość bałamutnych pogłosek.

Teraz dopiero nadchodzą z Petersburga telegramy, iż Nansen dokonał zamierzonego odkrycia i powraca już ze swej wyprawy. Wiadomość ta jednakże zasługuje co najwyżej na miano przypuszczenia. Przemawia za tem jej pochodzenie. Przybyła bowiem z Irkucka, stolicy Syberyi zachodniej. Do Irkucka zaś wieść o epokowem odkryciu przyjść miała od burmistrza miasta Kołymska. Ow zaś burmistrz miał swoich wiadomości zasięgnąć od dostawcy Nansena. Zkąd przedewszystkiem ów dostawca Nansena mógł się z nim tak z blizka komunikować, aby wiedzieć, co on na biegunie porabia, jest rzeczą niewiadomą. Powtóre Petersburg od Irkucka jest oddalony o przeszło 2.000 kilometrów, a Irkuck od Kołymska o 3.000 kilometrów, a pomiędzy jednem a drugiem z tych miast syberyjskich nie ma wcale telegrafu, ani nawet nazbyt stałej innej komunikacyi, tak że wiadomość w tego rodzaju pochodzie mogła bardzo stracić na prawdziwości.

A więc zapewnienia o powodzeniu wyprawy Fritjofa Nansena trzeba brać ze sporą dozą krytycyzmu, jednak za nieprawdopodobne niepodobna ich uważać. Należy bowiem pamiętać, iż Nansen miał wszelkie dane po temu, aby być szczęśliwszym co do ostatecznego wyniku, niż inni podróżnicy biegunowi. Najpierw jest to człowiek o głębokiem wykształceniu fachowem a przytem zdolny do stawiania śmiałych lecz prawdopodobnych hipotez, o czem świadczy przedewszystkiem pomysł wyzyskania do celów ekspedycyi, prądu morskiego przepływającego przez biegun. Powtóre sam Nansen z charakteru i temperamentu należy podobno jakby do bajecznych postaci bohaterskich. Żadne przedsięwzięcie nie jest dla niego za wielkie, żaden trud za ciężkim. N. p. w r. 1888 przebył na nartach (po skandynawsku ski, czyta się szi) całe wnętrze Grenlandyi i rozwiał w puch legendy o tem, jakoby stanowiły je zielone oazy, zkąd nawet powstała nazwa kraju.

Jeżeli do tych przymiotów umysłowych i duchowych przewodnika wyprawy, dodamy to, że została ona przygotowana z taką przezornością i starannością jak żadna z poprzednich, otrzymamy razem bardzo silne dane, popierające przypuszczenie, iż Nansen rzeczywiście odkrył biegun północny.

O owem właśnie wyekwipowaniu wyprawy Nansena warto jeszcze parę słów

---

oczywiście kołczaniańskiej, t. j. w białą sukinię, przybraną koronkami.

W ślad za nią wysunął się z zaimprowizowanej kotary Dyniecki, również w elegancki strój wizytowy przebrany. A ponieważ właśnie w tym czasie Anulka ubierała się w sukienkę służącej, a Smolarzowi wkładał fryzyer, w asystencyi Łasieckiego rudą perukę na głowę, więc Lola i Dyniecki znaleźli się sam na sam.

Dziewczyna powiodła zimnem spojrzeniem po Dynieckim i obojętnym wyrazem twarzy wskazywała, że zapomniała już o wszystkiem, co mogło ją dotykać lub boleć, że gotową jest rozmawiać z nim spokojnie, jeżeli ma ochotę wdać się z nią w rozmowę. On natomiast, uśmiechając się nieznacznie, starał się uporczywem spojrzeniem odgadnąć jej myśli. W każdym razie czuł, że Lola pragnie go nienawidzieć w tej chwili.

Taki nastrój duszy kobiecej, będącej na rozdrożu, gdzie miłość nie wytlała jeszcze, a nienawiść nie przeszła w obojętną wzgardę, był dla Dynieckiego najmilszą zachętą do igraszki. Wypróbować siły swego wzroku i słowa na przeciwniku, który powziął zamiar bronić się i walczyć zawzięcie, stanowiło dlań prawdziwą rozkosz.

— Jesteś pani tedy narzeczoną — przemówił, zasiadając obok niej. — Powinienem pani złożyć moje powinszowania....

— Dziękuję — odparła Lola chłodno i zamilkła.

— Ślicznie pani wyglądasz w tej białej sukience, przypominającej cokolwiek suknię ślubną. Cieszę się, że w komedyjce, którą grać mamy, przypada mi rola kochanka, a raczej kochającego. Będę się starał zagrać ją z wielką szczerością i uczuciem, a przyjdzie mi to tem łatwiej, że pod pokrywką komedyi kryć się będzie wiele szczerej prawdy.

Lola wstała.

— Pan jesteś niegrzecznym. Muszę odejść. Zapominasz pan, że jestem narzeczoną.

Dyniecki zerwał się z kanapki, złożył ręce prosząco i zawołał:

— O zostań pani, panno Lolu, ja pani wcale urazić nie chciałem. Owszem chciałem tylko sprowadzić rozmowę na ton serdeczniejszy. Pani się możesz gniewać na mnie słusznie czy niesłusznie, to rzecz inna, mimo to ja czuję głęboki szacunek dla pani i chciałbym pozostać na zawsze szczerym pani przyjacielem. Proszę, niech pani usiądzie, proszę bardzo.

Gdy Lola mimowolnie usłuchała, zagadnął po krótkiej przerwie:

— Mówmy szczerze. Więc pani bardzo kochasz swego narzeczonego?

— Tak, kocham go, bo jest tak szlachetny i poczciwy, że go kochać muszę.

— Piękna to teorya, ale niestety tylko teorya; praktyka bowiem powiada, że miłość i szacunek, to rzeczy zupełnie odrębne.

— Dla pana może, ale nie dla mnie.

— Dla pani także. I dla tego twierdzę stanowczo — tu się uśmiechnął znacząco i zrobił dłuższą pauzę — twierdzę stanowczo, że pani Franciszka Smolarza nie kocha.

— Czy tak?... To przecież dziwne! Jak można sądzić z taką stanowczością o tem, o czem się nie ma pojęcia.... Pan przecież przeniknąć mych myśli, mych uczuć nie możesz.

— Ale mogę natomiast czytać w oczach pani. I w tem moja nad panią przewaga, bo pani ani czytać w oczach, ani zrozumieć uczuć obcych dotąd nie umiałaś.

— Z czego pan to wnosisz?

— Z faktów; pani tak jest, z faktów.

— Nie rozumiem.

— A więc będę się jaśniej tłómaczył. Oto przykład. Chciałaś pani ukarać kogoś, nie zasługującego na karę, i ukarałaś osób troje. Panno Lolu, powiedz mi pani szczerze co właściwie w tej całej sprawie zawinił pani biedny Smolarz?

— Co on zawinił? On nic nie zawinił, i dla tego będę się starała, aby był szczęśliwy.

— Dobrze. Postanowienie bardzo piękne, ale znowu tylko w teoryi: bo uszczęśliwiać kogoś kosztem własnego szczęścia, to przecież więcej niż dziwactwo. Pani takich dziwactw czynić nie powinnaś.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

przypomnieć. „Fram“, okręt Nansena, noszący nazwę, która tłómaczy się na polskie przez „Naprzód“, został zbudowany tylko w celu służenia ekspedycyi, według modelu, dostarczonego przez samego Nansena, w ten sposób, aby przedstawiał jak największą siłę odporną przeciw naporowi lodów. Koszt jego był bardzo znaczny. Okręt bowiem obliczony był wszystkiego na 12 ludzi, ściany jego składają się z kilku warstw sztucznie skombinowanych, a sama powłoka zewnętrzna, chroniąca go przed lodem, kosztowała 20.000 koron szwedzkich.

Do wyekwipowania „Frama“ należy stosowna liczba starannie wybranych i tresowanych psów północnych, których miano używać w krótkich wycieczkach sankami. Pozatem narty miały służyć za środek poruszania się poza okrętem. Dla ubezpieczenia załogi przed szkorbutem, Nansen wykluczył solone mięso ze swojej spiżarni. Ku rozjaśnieniu długiej nocy biegunowej, trwającej od 23 września do 21 marca, posłużyć miała elektryczność. Także i o zabezpieczenie załogi przed dotkliwem zimnem, które już w Grenlandi dochodzi do 50 stopni Celsiusza poniżej zera, postarano się w odpowiednim stopniu. A skoroby mrozy nazbyt już dokuczyły załodze, mogła się cofnąć w sam środek okrętu, do małego, ale w wyborną bibliotekę opatrzonego saloniku. Pod podłogą tego saloniku znajduje się pokład korkowy, gruby na stopę, sufit składa się z dwunastu rozmaitych warstw drzewnych, podobnież ściany, a to mianowicie w tym celu, aby zapobiedz tworzeniu się na nich lodu, co się innym wyprawom biegunowym zawsze bardzo we znaki dawało. Na okręcie znajduje się maszyna dynamo-elektryczna, do poruszania rękami, którą podczas nocy polarnej kolejno po czterech ludzi w ruch wprawiać miało. Cały statek ma dziwny, śmieszny prawie kształt: jest krótki, szeroki, pękaty o wydętych bokach, tak skonstruowany, aby go lody nie zgniotły, zaś w razie zbyt wielkiego nacisku, aby go poprostu tylko na wierzch wysadziły. Statek jest właściwie żaglowcem, ale ma też do rozporządzenia maszynę parową o sile 156 koni. Ściany okrętu przeważnie zbudowano z dębu włoskiego, któreto drzewo wyleżało się było około 30 lat pod dachem. Wyschło więc dostatecznie. Wnętrze wyłożone jest fiszbinem, na 4 do 8 cali grubości, zewnętrzna zaś powłoka okrętu składa się znów z trzech warstw. Tuż po właściwym szkielecie drzewnym przychodzą płyty dębowe, grube na 3 cale, przymocowane galwanizowanemi gwoździami okrętowemi. Na to przychodzi czterocalowy pokład kory dębowej. Po wierzchu dopiero przychodzi właściwa powłoka przeciwlodowa, z materyału, którego nazwy „greenheart“ niepodobna przetłómaczyć. Powłoka ta od grzbietu ku linii wodnej co do grubości wzrasta z 3 na 6 cali. Oprócz tego spojenia i zagięcia zaopatrzone są w ochrony żelazne. Ściany więc mają grubości 70 do 80 centimetrów. „Fram“ puszczając się w podróż, miał ze sobą ośm łodzi, trzy większe i pięć mniejszych, aby mogły pomieścić w sobie całą załogę i żywność na kilka miesięcy.

A więc człowiek wykształcony jak Nansen, jak on energiczny i stanowczy, wreszcie jak on zaopatrzony we wszelkie środki, mógł rzeczywiście dokonać wielkiego dzieła, czy jednak niezwykła wiadomość o odkryciu bieguna północnego sprawdzi się, o tem sądzić na pewno nie można.

K. L.

* * *

Ostatnie telegramy dotyczące wyprawy Nansenowskiej brzmią:

Petersburg, 18 lutego.

Z Irkucka nadszedł następujący telegram od redaktora „Wschodniego Przeglądu“ Popowa: Wieści o Nansensie, wysłane przez Kondakowa, są zupełnie wiarogodne.

Christiania 18 lutego.

Nansena sekretarz prywatny *Christofersen* wyraża w gazecie „Morgenbladet“ przypuszczenie, że Nansen z okrętem swoim mógł dotrzeć do 85 stopnia północnej szerokości a ztamtąd na sankach do bieguna północnego. *Nordenskjöld* natomiast wyraża pewne wątpliwości, czy Nansenowi na sankach lub ski udało się dotrzeć do samego bieguna.

Z estrady i sceny.

„Czarne djabły“,

dramat w 4 aktach przez W. Sardou.

Dla lubownika tortur nerwowych przedstawia dramat, odegrany w zaprzeszły czwartek na scenie poznańskiej, obfite źródło rozkoszy. Oślepia jaskrawością efektów, dech w piersiach słuchaczów zapiera, drażni, podnieca i męczy. W publiczności jednak, spragnionej subtelniejszej strawy artystycznej i zakreślającej sztuce szlachetniejsze cele, cała ta sensacyjność torturująca budzić musi niesmak. Garść rakiet błyskotliwych, szarpanie nerwów, a w końcu szum, wyczerpanie i pustka to artyzm zepsuty i trujący jak morfina. A przecież hołdują mu tłumy szerokie i detronizacya Wiktora Sardou na scenach europejskich nie jest bynajmniej faktem dokonanym, mimo wszelkich nawoływań krytyki.

W zakresie tej roboty *„à ficelles et à grand effet“* wyróżniają się „Czarne djabły“ korzystnie dokładniejszą niż w innych utworach charakterystyką poszczególnych postaci, rażą natomiast takiem nagromadzeniem wszelkiego rodzaju narkotyków i fosforycznych błysków, że we mnie przynajmniej większą budzą odrazę, niż którak lwiek ze sztuk wielkiego pyrotechnika dramatu. Te sensacyjne sceny w opuszczonym zamku nadmorskim, ta kradzież brylantów, ten salon w płomieniach i kłęby dymu duszące bohaterów, ta śmierć w halucynacyach, wszystko to rozstraja, nuży i dręczy. Ale za to „Czarne djabły“ nastręczają dla aktora-wirtuoza znakomitą sposobność zabłyśnięcia wszystkiemi blaskami techniki teatralnej i gimnastyki mimicznej. W tej sztuce nie ma „złej roli“, — że użyję gwary zakulisowej — tam role „same grają“, — że po raz drugi zapożyczę zwrotu stylowego z aktorskiego świata, — a ponad wszystkiemi króluje bohaterka, jej kochanek i stary, podejrzliwy, głupio-fałszywy tetryk. Sara Bernhardt lubuje się podobno w „Czarnych djabłach“, — posiada je-

NAUCZYCIEL.

OBRAZEK Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI

przez

M. WITOROZA.

(Dokończenie).

Wieczorem wracał do domu znużony i kładł się do snu niespokojnego, przerywanego refleksyami przykrych, dziennych wrażeń, aby nad ranem z osłabieniem i bólem wstawać do dalszej gonitwy.

Po trzech latach takiego życia, będąc z natury słabowitym i bardzo wrażliwym, począł doznawać od czasu do czasu bicia serca; był to wyraźny znak rozstrajania się nerwów. Matka i siostry całą siłą wymowy i łez parły go do składania egzaminu na nauczyciela gimnazjalnego. I oto idealne marzenia w kąt pójść musiały. Zresztą w ciągu studjów uniwersyteckich powoli wdrażał się w metodę badań filologicznych, tę metodę wysoce sztuczną, głównie przez niemieckich filologów uświęconą, która gmatwaniną formalizmu, rozbiorem krytycznym tekstu, labiryntem najsubtelniejszych dociekań drobiazgowych, tak zręcznie plątać umie umysły młodych badaczów, że z bagna lekcyj, scholjów i krytycznych teoryj nie mogą najczęściej już przez całe życie wydobyć się na taką wyżynę, z którejby mogli ujrzeć niebo poezji klasycznej i ducha starożytności.

Stopniowo i Bielusz ugrzązł w tem bagnie i, po dwuletniej babraninie, napisał w języku starożytnych rzymian rozprawę kandydacką, która upoważniła go do składania egzaminu na nauczyciela gimnazjalnego, a nawet, wydrukowana w specjalnem piśmie niemieckiem, znalazła wyżej wzmiankowaną sławę.

W rok potem, po niesłychanie mozolnej pracy, z wysiłkiem złożył egzamin i otrzymał posadę zastępcy, na razie z płacą miesięczną 25 zł., po roku 50 zł.

Tymczasem mocno już nadszarpał siły fizyczne. Chudy, szczupły, nierozwinięty, z zapadłą piersią i rozstrojonemi nerwami podjął się dla chleba obowiązków ważnych, wymagających zdrowia, tęgiej woli i niezłomnej energji. I rzecz dziwna! Pomimo nędzy w domu, pomimo obarczenia się lekcjami prywatnemi, których i nadal musiał udzielać, okazał wcale pokaźną energję w zajęciach urzędowych; ale była ona niezdrowa, chorobliwa, była jakimś szczególnym objawem natężania nerwów. Krótka już praktyka w szkole pouczyła go, że kilkudziesięciu chłopaków, skłonnych z natury do nieuwagi i swawoli, pożądających ruchu i powietrza, jak ryba wody, utrzymać się da w karbach tylko żelazną karnością i ciągłem zajęciem. Nie miał tyle rutyny, ażeby zaciekawić przedmiotem, którego uczył, to jest filologją; nie jest to łatwe, zwłaszcza na niższym stopniu nauki; to też wytężył nerwy, ażeby karność utrzymać postrachem. Układał więc surową minę, wyrażał się krótko i oschle, z nauki uczynił narzędzie teroryzowania, wdrażał się do smagania dziecinnych błędów ostrem szyderstwem lub zjadliwym żartem: zamiast być stanowczym, był bez serca i nieubłaganie upartym, biczował notami nietylko za brak postępu, ale także za nieuwagę i swawolę.

Nerwowy nauczyciel bywa ofiarą swego zawodu i katuszą uczniów.

Co u Bielusza wynikło zrazu z chwilowej konieczności, stało się później nałogiem i wyrodziło się do potwornych rozmiarów.

Wskutek jednostajności zajęć i powtarzania co rok jednego i tego samego przedmiotu nauki, wskutek jednostronnego zacietkania się w drobiazgi filologiczne, zamroził się duch w Bieluszu. Stał on się rzemieślnikiem pedagogji i mumją chodzącą starożytności.

Wchodził do klasy nałogowo, jak maszyna, zawsze w jednakowy sposób; mówił, dla zaoszczędzenia płuc, cicho, ostrym, syczącym głosem; zawsze też same miał ruchy, zawsze tak samo powtarzał: „Proszę tłómaczyć, proszę siadać, przepraszam, źle, *silentium*, proszę nie podpowiadać, masz trójkę“. Grozę i przestrach siała ta twarz zmarszczona i chuda, oko szklane bez litości — zdawało się — i współczucia, uśmiech szyderczy i sarkastyczny.

Przyzwyczajenie do groźnego tonu mowy, do dobitności w rozkazach i surowej stanowczości w obejściu z uczniami weszło w taki nałóg, że nie mógł go pozbyć się w stosunkach z rodzicami uczniów i ludźmi od szkoły niezawisłymi. Do wszystkich prze-

dnak tę wadę, że zamiast łagodzić jaskrawość efektów, potęguje jeszcze oślepiającemi sztuczkami sensacyjność sztuki. Na poznańskiej scenie tym samym śladem poszła p. V e r n o n — *si magna parvis comparare licet* — i w samej rzeczy zadziwiała chwilami kunsztem technicznym. Artystka ta jednak, prócz rażących niedostatków głosowych, posiada tę wadę, że swoje kreacye sceniczne stroi zawsze w koloryt półświatkowy. Ruchy, otwieranie ust, łaszenie się, śmiech i gra oczu czwartkowej bohaterki znamionowały raczej paryzką kokotkę, niż wielkoświatową damę — Paryżankę. Nie była to królowo salonów, lecz heroina z „*Moulin rouge*" i „oddzielnych gabinetów". Gra jej partnera, p. W o s t r o w s k i e g o, wykazywała również braki dotkliwe pod względem konsekwentnego przeprowadzenia charakteru, co mianowicie w pierwszym akcie psuło wyrazistość postaci, po za tem jednak rozwinął sympatyczny artysta w akcie drugim i trzecim wiele talentu kolorystycznego, a chwilami nawet i siły. Bez zarzutu natomiast wywiązał się z roli kwaśnego tetryka pan K r ó l i k o w s k i, który stworzył typ jednolity, zawsze konsekwentny, szczery w każdym akcencie i nie pozbawiony prawdziwego humoru. W rolach charakterystycznych jest to bezwątpienia najwybitniejszy artysta sceny poznańskiej i gdyby nie był zardzewiał i zmanierował się w atmosferze prowincyonalnych teatrzyków, byłby dziś może objął w spuściźnie wawrzyny po stryju swoim, — wielkim Królikowskim. Z ról mniejszych zasługują na względne przynajmniej uznanie p. p. S k ó r a c z e w s k i i K n a p c z y ń s k i. Ostatni jednak jak zwykle stworzył szablon lekkiego amanta bez rysów indywidualnych.

W. R.

Koncert Józefa Śliwińskiego

(dnia 14 lutego rb.)

Po tryumfach warszawskich odwiedził po raz trzeci miasto nasze sławny fortepianista i wystąpił w ubiegły piątek na sali Lamberta. Oddawna śledzę z prawdziwem zajęciem występy naszego wielkiego ziomka, czy to w kraju, czy za granicą, a wszędzie ten sam podziw i zachwyt dla wyjątkowego talentu, to samo uwielbienie, jakie od pierwszego usłyszenia gry artysty dla niego powziąłem. Jestto bez zaprzeczenia mistrz, który tylko z najpierwszymi porównywanym być może; indywidualność zaś i charakter gry jego nie na doryweze sprawozdanie, ale raczej na specyalną analizę zasługują. Już samo wykonanie olbrzymiego programu, trwającego $2^1/_2$ godziny, jest faktem zdumiewającym i świadczącym o niezwykłej potędze techniki. Nie wyobrażam sobie, żeby to mistrzostwo techniczne dalej posunąć można. Jest tam bowiem wszystko, co natura dać, a człowiek przez wytrwałą i wytężoną pracę osięgnąć może; są wszystkie stopnie siły w uderzeniu; od leciuchnego dotknięcia aż do marcatissimo, wgryzającego się w klawiaturę i wyrywającego stalowemi palcami dźwięki z klawiszów; od subtelnie zaokrąglonych lub sucho urywanych nut staccata, aż do przeciągłych tonów układających i zlewających się w szeroki śpiew. Gimnastyka rąk nie zna granic ani szybkości w biegu, ani odległości i przestrzeni w karkołomnych skokach ani sprężystości w stopniowaniu efektow siły. Wreszcie podziwiać muszę niezrównaną umiejętność zabarwiania dźwięków i artystyczne spożytkowanie farb swej palety, zbogaconej gruntowną obserwacyą i badaniem natury instrumentu.

Wyżej jednak stawiać należy stronę duchową talentu artysty, ujawniającą się w interpretacyi utworów, i o niej pisać należy. W grze p. Śliwińskiego uderza przedewszystkiem poważny i szlachetny styl; artysta wyraża się jasno, przejrzysto: frazes muzyczny oddany zawsze z najzupełniejszą prostotą i naturalnością, bez cienia afektacyi, maniery, bez najmniejszej spekulacyi na oklask tłumu. Wszystko to takie proste i nie narzuca się niczem wymędrkowanem i sztucznem, i to nietylko w utworach, w których prostota stanowi podstawę twórczości, ale nawet i tam, gdzie artysta ma do czynienia z skomplikowaną duszą Chopina lub Schumanna. Ta prostota stanowi dla mnie bodaj czy nie największy urok znakomitego fortepianisty. — Odrębności stylowe każdego autora oddaje artysta tak naturalnie, z taką głęboką prawdą i z tak bezwzględnem poszanowaniem jego intencyi i właściwości, że w duszy naszej nie powstaje ani jeden protest.

Program piątkowego koncertu rozpoczął się Bacha Toccatą i Fugą d-moll. W lapidarnym stylu pisany utwór niedoścignionego kontrapunkcisty, oddany z całą powagą i wzniosłością, głębokie wywarł wrażenie na całem audytorium. Tak samo podniosłe wrażenie odniosłem z wykonania Sonaty Beethovena: les adieux, l'absence, le retour. Wspaniały ten poemat genialnego mistrza uwięził uwagę publiczności, przeważnie polskiej, od pierwszej do ostatniej nuty. Śliwiński dał nam w swej reprodukcyi Sonaty kartkę z własnego życia i odkrył nam stan swej bogatej i poetycznej duszy przy pożegnaniu rodzinnego kraju, dalej ciężkie chwile osamotnienia na obczyźnie, mimo tryumfów, jakie mu wszędzie cudzoziemcy zgotowali, i wreszcie w „Finale" radość przy powrocie między swoich.

Pyszne było wykonanie fantastycznego karnawału Schumanna. Utwory tego kompozytora przypadają w ogólności nadzwyczaj do duszy młodemu artyście i na programach jego po Chopinie najwybitniejsze zajmują miejsce. Charakter muzyki Schumanna jest marzycielski, nieraz mglisty, co chwilę zmienny w duchowym nastroju, to cichy i łzawy, to znów pełen gwałtownych uniesień, wulkanicznych wybuchów, tłumionych namiętności. Znajduje on w naszym artyście najlepszego wykonawcę i ze żyjących młodszych pianistów nie znam lepszego tłomacza Schumanowskiej muzy. Wykonana kompozycya składa się z 22 luźnie powiązanych numerów, którym autor nadał charakterystyczne nagłówki, a ponieważ utwór ten powstał w czasie karnawału 1835 roku i najwięcej scen odnosi się wprost do tego wesołego czasu, przybrał fantazyę ogólną nazwą: „Sceny karnawałowe". Kto posiada duszę czułą i wyobraźnię wrażliwą tego zachwycą barwne

---

mawiał w tonie pouczającym i rozkazującym. Ponieważ, wobec uczniów, wydawało się rzeczą pedagogiczną zachować niedostępność, surowość i pedanterję, ponieważ przyzwyczaił się do podejrzliwego wykrywania wśród uczniów drobnych wad i przewinień, przeto w obejściu ze wszystkimi stał się podejrzliwy, niedostępny, do śmieszności drażliwy i pedantyczny.

Zmęczony czterogodzinnem zazwyczaj zajęciem w szkole, natężającem nerwy, mózg i płuca, wysilone mową, a nieodżywiane świeżem powietrzem, wracał do domu, gdzie zastawał biedę, brud, nieład, chłód i swary.

Nie uciekał jednak z domu, jak w podobnem położeniu inni czynili; zaszywał się w kąt koło biurka, między zeszyty i książki, i poprawiał, poprawiał błędy gramatyczne uczniów, dodawał opuszczone przecinki i podpisywał noty. Kładł się potem do łóżka, zziębnięty i z sił wyczerpany, na pastwę burzącej się natury fizycznej, tak okrutnie gwałconej, na pastwę rozigranych nerwów i wyobraźni, która w spokoju dopiero poczynała wygrywać nieharmonijną swą symfonję. Tak mrówek kopiec, gdy go chłopak kijem rozgrzebie, burzy się, kotłuje i na wszystkie strony rozłazi. Serca bicia już nie miewał, zbyt osłabione było, ale za to uczuwał jakieś darcie w czaszce, jakby kto nerwy i włókna w niej rozrywał, potem obrazy i barwy zaczynały latać i kręcić się, jak w obrazkach świetlnych, potem następował stan pół snu, pół jawy, i myśl jedna goniła drugą w jakiemś samowolnem rozpasaniu: to poprawiał zeszyty i czynność ta trwała — zda się — bez końca, to siedział w klasie na katedrze i uczył, i serce mu ściskało się, że uczniowie nic nie umieją, i rozpacz w piersi powstawała wielka, jak burza, bo widział, że ci mali drwią sobie z niego, śmieją mu się w oczy, przyskakują do niego, biją go, znęcają się....

Usypiał wreszcie, ale słabo, słyszał szmery najlżejsze, kaszel siostry, jakieś gryzienie myszy, czy szczura, czuł przez sen ból, jak ogień, który mu wyżerał resztę mózgu.

Taki bywał spoczynek Bielusza.

Charski wiele szczegółów z tego życia musiał uzupełniać, najwięcej jednak sam Bielusz opowiedział mu głosem suchym, obojętnym prawie, nieco przytłumionym, jakby o rzeczach koniecznych mówił i naturalnych, bez skargi i narzekania. Z każdego słowa i z tonu czuć było silne przekonanie, że tak być powinno. Tylko w duszy Charskiego te sztywne i mroźne słowa wywoływały dźwięk głębokiego współczucia.

— Teraz ci już lepiej — mówił — masz sto złotych miesięcznie, jesteś sam jeden, mógłbyś co rok na wakacye wyjeżdżać, ażeby się przewietrzyć, nowych wrażeń doznać, siły zebrać.

— Nie mogę, nie mogę, *mi amicissime.* A mój komentarz do Plauta? A spłata długów?

— Powinieneś podać się o urlop, stypendyum, wyjechać na rok za granicę, do Grecyi, do Rzymu?

— Ach, co ty mówisz? Urlop, stypendyum? To nie dla nas biedaków! O urlopie ani marzyć! U nas brak dwóch nauczycieli i po kilka godzin nadliczbowych w tygodniu mamy zastępstwa!

— Powinieneś się ożenić.

— Ożenić się? Ja? Ożenić się? *Uxorem ducere?* Białogłowę znowu brać do domu? Po co? Na co? Kadzidło umarłym nie pomaga, jak mówi przysłowie. A coby władze na to powiedziały? Władze krzywo się patrzą na takie rzeczy i słusznie, bardzo słusznie, bo to wydatek i dla nauczyciela i dla państwa, a nadto nauczyciele powinni pod każdym względem dawać dobry przykład młodzieży, zwłaszcza w moralności i powściąganiu się od uciech światowych.

— Ależ mój drogi, odżyłbyś, odmłodniał przy poczciwej żonie, a może jeszcze przy figlarnych „błazenkach", jak powiada nasz Rej.

— Nie wolno mi, nie wolno, nie! Mam dzieci w szkole, mam i tu u siebie *filium*, chociaż nie własnego. Prawda, zapomniałem o nim. Czekaj, pokażę ci, jak go surowo i w karności wychowuję.

To mówiąc, zaprowadził Charskiego w kąt pokoju i podniósł jakąś szarą zasłonę, za którą odkryła się ciemna alkowa.

— Władysławie! — zawołał Bielusz.

— Słucham pana profesora — odezwał się głos pokorny.

— A co ty robisz?

— Siedzę przy stole i powtarzam sobie wyjątki, jak mi pan profesor kazał.

— Po ciemku?

— Bałem się zapalić lampę.

te, w genialnem zestawieniu co chwile jak w kalejdoskopie zmieniające się obrazy. Wre tam i kipi życie i wesołość, okraszone prawdziwym humorem; i tak obok ociężałego i medytującego „Pierrot'a" skacze jak iskierka „Arlequin"; dalej znów pędzą szaleni „Davidsbündler" (taką nazwą ochrzcił autor ówczesnych postępowców między młodemi muzykami) i biorą szturmem zacofanych w starej szkole „Filistynów", których znów autor staroświecką niemiecką piosnką: „Als der Grossvater die Grossmutter zum Tanze nahm" charakteryzuje; tu znów z dźwięcznych arpedżii wysuwa się melancholijny profil Chopina, tam demoniczna postać Paganiniego; w komicznych podskokach przesuwa się przed nami uśmiechnięta „Stara kokieta"; tam znów wyłania się szlachetna twarz „Klary" żony kompozytora; w „Florestanie" i „Eusebiuszu" odtwarza nam autor własny wizerunek duszy, w pierwszym namiętność, w drugim marzycielską tęsknotę oddając: z ukrycia dolatują nas szepty miłosne „Wyznania" a dalej trudno oderwać oko od świetnej „Promenady" fantastycznie przybranych masek. Nad tem wszystkiem rozlał autor taki wyjątkowy czar poezyi, szczerego uczucia i humoru, że mimo obawy samego kompozytora, jakoby przeciętna publiczność nie zdolną była utworu tego w całości pochwycić, ponieważ zbyt szybko obrazy i nastrój się zmieniają, kompozycya ta stała się ulubienicą muzykalnie wykształconej publiczności i wciąż zyskuje sobie nowych przyjaciół.

Świetne było też wykonanie tego utworu tak w szczegółach jak i w całości i wątpię, czy posiadamy drugiego artystę, któryby nam te poetyczne obrazy z takiem przejęciem się, z takiem życiem i humorem potrafił przedstawić jak Śliwiński.

Każdy nowy występ wirtuoza zaznajamia nas z jakimś nowym rysem dojrzałości tej wyjątkowej i tak bogatej organizacyi artystycznej. To też posiadając wszelkie warunki, jak do krańcowości wykończoną technikę, nie znającą żadnych zaporów, rozporządzając nadto nadzwyczajną śpiewnością tonu, uczuciem głębokiem i poetycznym polotem, a wyssawszy z piersi matki — Polki boleść i smutek jest Śliwiński niewątpliwie wybranym i najwięcej powołanym tłomaczem nieśmiertelnych poematów muzycznych naszego Chopina.

Głęboko odczuta skarga zbolałej duszy drgała też w nokturnie c-moll op. 48, słodka melancholia i tęsknota wiała z Walca cis-moll, tajemniczy nastrój Mazurka op. 17 nr. 4 przypominającego w początkowej części i zakończeniu tonacye kościelne nie przebrzmiał jeszcze a już huczała jak potok górski Etiuda a-moll op. 25. Wspaniałe było wykonanie gigantycznej Sonaty Chopina op. 35. Genialny ten utwór rozpoczyna się krótkiem Grave, co jak jęk wyrywa się z rozdartej duszy, dalej następuje namiętnością dyszący pierwszy temat wijący się w różnych tonacyach przez 28 taktów i przerwany na chwilę przez cudną kantylenę w Des-dur, która jak prawdziwy balsam na zbolałą duszę artysty i słuchacza spływa. Drugi ustęp Scherzo — potęguje znacznie artystyczną wartość utworu i maluje z prawdziwą i strachem przejmującą grozą sceny na starem cmentarzysku w noc burzliwą i ciemną. Prawdziwy to taniec szkieletów przy akompaniamencie rozszalałego wichru, grzmotów, wołania puszczyków i przejmujących jęków. Trzecia część to sławny Marsz pogrzebowy... Biją dzwony... w głuchem milczeniu zbliża się ponury orszak... wolno... ciężko idą, niosą trumnę a w niej złożył całe swe szczęście, co najdroższego posiadał mistrz nieśmiertelny. Jak anioł pociechy spływa z cicha melodya w Des-dur i na krótko odrywa nas od obrazu ponurego, przerzucając myśl w zaświatowe sfery... ale znów wraca zimna konieczność a z nią smutek co żre i rwie za zbolałe serce jak sęp krwi chciwy.

...„Porwał mnie wir zawieruchy,
Przodem lecą krwawe duchy."

Nad świeżym grobem wiatr tumany zeschłych i pożółkłych pędzi liści, tajemnicze jakieś szepty i jęki urwane, to znów przeciągłe jak wycie wichury dochodzą naszych uszu i budzą uczucia dziwne w piersiach słuchaczów.

Mamże dodawać, że Śliwiński utwór ten odegrał wspaniale? Pod dotknięciem jego palcy fortepian płakał, marzył, jęczał, przeklinał, a chwilami huczał tak jak wicher jesienny.

Na zakończenie dorzucił nam artysta śliczne Impromtu Schuberta B-dur op. 142, dalej charakterystyczną Prząśniczkę Mendelsohna, w której rozbiegane palce zdumiewały szybkością a temperament muzykalny uwydatniał się w rytmie; w miejsce zaś na programie umieszczonego Walca Rubinsteina odegrał Śliwiński Liszta Valse-Impromptu. Zmianę tę zauważyli wszyscy, prócz pociesznego krytyka Dziennika Poznańskiego. Wreszcie ozwała się Liszta Tarantella: „Venezia e Napoli", w której raz jeszcze mistrz zajaśniał brawurą i dzielnością gry niezrównanej, imponując tak siłą ręki jak lekkością i powiewnością w grze odbijanej.

Słuchacze olśnieni subtelnie wykończoną i porywającą grą artysty, dziękowali hucznemi oklaskami za każdy numer programu. Niemiecka i polska krytyka fachowa, z wyjątkiem Dziennika poznańskiego, oddaje wielkiemu artyście najwyższe pochwały. Krytyk „Dziennika poznańskiego" popisał jak zwykle stek dziwolągów i herezyi artystycznych i stanął nawet w rażącej sprzeczności z pierwszą swą oceną gry Śliwińskiego (zob. nr. 289 Dziennika pozn. na rok 1891) i w jaskrawej niezgodzie z prawdziwym stanem rzeczy. Jestem aż nadto przekonany, że niestosowna ta ocena artysty tej miary, co Śliwiński, nie popsuje mu humoru, i że nie długo znów do nas zawita, aby dźwiękami Chopina i Schumanna oderwać nas daleko od szarej prozy życia codziennego.

Edwin Jahnke.

— Dobrze chłopcze, ucz się, ucz, ja ci zapalę.

Dla zapalenia lampy Bielusz wszedł do alkowy, a Charski pogrążył się w rozmyślaniach pedagogicznych.

Po powrocie filologa dowiedział się Charski, że chłopak już przez pięć godzin siedzi nad książką po ciemku, bo mu wstać od stołu bez pozwolenia nie wolno; było to dowodem karności w wychowaniu.

— Widzisz, gdyby mnie tak wychowywano, oszczędzonoby mi wielu przykrości i ciężkiej walki, którą musiałem staczać z samym sobą, ażeby się przyzwyczaić do ścisłego wykonywania obowiązków zawodowych.

— Ależ ty go męczysz, katujesz, ty tłumisz w nim swobodę myśli i uczuć, ty robisz z niego niewolnika, istotę bez zdolności do samodzielnych czynów, bez energii do do życia, ty go zabijasz fizycznie i moralnie! — wołał Charski.

— Przepraszam — odrzekł Bielusz — przesadzasz, nie znając się na pedagogii, ani dydaktyce. To, co ty nazywasz zabijaniem fizycznem i moralnem, ja zowię wychowywaniem i kształceniem. Organizm chłopca powinien zawczasu przyzwyczaić się do siedzącego życia i poskromić się, ażeby nie wybujał zbytecznie i nie zmaterializował człowieka. Toż samo należy uczynić z duchem, który powinien być zawczasu poskromiony, ażeby nie porywał się gwałtownie do walki. To zasada wychowywania i na niej opiera się potęga dzisiejszych społeczeństw.

Nic na to nie odrzekł Charski czując, że ma do walczenia z zastarzałem i silnie wkorzenionem dziwactwem. Bielusz tymczasem wezwał chłopaka.

Stawił się biedaczysko lat dziesięciu, szczupły, mizerny, z zapadłą piersią, bladą cerą, o podsiniałem oku i ze drżeniem czekał, czy go jaka nagana nie spotka.

W ogólnem zamieszaniu zapomniany od południa nic w ustach nie miał.

Posiliwszy się nieco i wypiwszy pół kieliszka wina, które mu Charski, wbrew energicznym protestom Bielusza, przemocą wlał w usta, chłopczysko ożywił się i dość przytomnie odpowiedział na pytanie: ile ma lat i kiedy mu zmarli rodzice. Nie umiał jednak odpowiedzieć, z jakiego drzewa stół jest zrobiony, jak i z czego robi się szkło, chleb i odzienie.

Za to na wezwanie Bielusza, wyrecytował znakomicie: „piscis, lapis, pulvis, cinis", i przyimki łacińskie, rządzące czwartym przypadkiem, ułożone w heksametr.

Bielusz uścisnął go z radości. Charski smutno zwiesił głowę ale się wnet rozpogodził, bo mu w myśli stanął nizki, ale rumiany i chwacki Jurek, który nie zna wyjątków, ale za to gimnastykuje się zwinnie, pływa, jak ryba, na wycieczkach poznał znaczną część Galicyi, umie wiele pięknych rzeczy opowiadać i deklamować, a w szóstym roku życia wiedział już, z czego i jak szkło i chleb się robi.

W godzinę potem obaj przyjaciele ułożyli się do snu. Bielusz zasnął snem twardym, jakiego od dawna nie miał; Charski prawie całą noc nie zmrużył oka. Różne myśli natłokiem i natrętnie kłębiły się w jego mózgu, myśli smutne, niemal rozpaczliwe; jeden szczególnie obraz tkwił mu dziwnie uporczywie w wyobraźni: praca Syzyfa. Głośne chrapanie filologa wydało mu się łoskotem, jaki sprawiał kamień, co chwila zsuwający się z góry, na którą go Syzyf dźwignął. Gdy usnął nad ranem, zbudził go wesoły i rześki głos przyjaciela:

— *Surge amice!*

Upłynęło kilka tygodni od tego czasu. Po moralnem i fizycznem wstrząśnieniu, wracał Bielusz do dawnej równowagi i zwyczajnego dziwactwa.

Raz w nocy, około godziny 11-ej po męczącym dniu, siedział jeszcze nad stolikiem swoim przy lampie i poprawiał zeszyty, potem czytał z pierwszych ksiąg Liwjusza o wybudowaniu Rzymu. Czytał i myślał o podróży do Włoch. Na dworze była zawieja i deszcz pluskał o dach i szyby. Aż oto wszedł znowu do smutnego domu profesora Charski, rzucił się przyjacielowi w ramiona i... co za radość!... położył mu na biurku, tuż pod lampą, papiery, ale jakie papiery! Cała dusza rozradowała się w Bieluszu, gdy przeczytał, co one zawierały, nie mógł powstrzymać wybuchu radości, łzy rzęsiste rzuciły mu się z oczu, przypadł do kolan Charskiego i, łkając, wołał:

— Dziękuję ci, dziękuję sto razy mój dobry przyjacielu. Ty przeczułeś, co mnie wyleczyć może. W nędzy, w zaparciu potrzeb ducha i ciała, byłem niewolnikiem samego siebie, zdziczałem i zdziwaczałem, bo odjęta dla mnie wszelka radość życia i wszelka swoboda myślenia, mówienia i poruszania się;

SZKOŁA I WYCHOWANIE.

Nauka języka niemieckiego w Galicyi.

(Dr. Antoni Danysz: Reforma nauki języków nowożytnych, a początkowa nauka języka niemieckiego w szkołach średnich galicyjskich. Kraków 1895.)

Toczący się od lat kilkunastu pomiędzy starszą a młodszą generacyą pedagogów spór o sposób nauki w średnich i wyższych zakładach naukowych nie został dotąd ostatecznie rozstrzygniętym. Zaprowadzone w Austryi i Niemczech reformy przemawiają wprawdzie za tem, że w kołach miarodawczych przekonano się o wadliwości systemu humanistycznego, który mając na oku wyłącznie ogólne kształcenie umysłu, zaniedbuje prawie zupełnie stronę praktyczną, ale nie mogą jeszcze uchodzić za zwycięstwo realistów i ani w przybliżeniu nie odpowiadają potrzebom czasu. Teoretycznie metoda humanistyczna tak samo może być uprawnioną jak realistyczna: w praktyce jednakże przedstawia się sprawa tak, że w gimnazyach naszych humanistycznych, wysyłających w świat rokrocznie mnogie zastępy młodzieży z głową zapchaną gramatyką grecką, łacińską i francuską i matematyką teoretyczną, a bez wiadomości praktycznych, któreby odrazu można zużytkować w życiu, należy szukać pierwotnego źródła naszego uczonego i niedouczonego proletaryatu.

Niekorzystniej jeszcze przedstawia się rzecz w Austryi, a specyalnie w Galicyi. Należy tam do „języków obcych“, wykładanych dotąd przeważnie według metody humanistycznej, język niemiecki, każdemu nieodzownie potrzebny w życiu praktycznem, mianowicie też politycznem, a skutek używanej dotąd metody jest taki, że dzisiejsza młodzież zna wprawdzie wszystkie reguły i wyjątki gramatyki niemieckiej, ale w języku tym ani pisać, ani wysłowić się należycie nie potrafi. Poruszano sprawę tę niejednokrotnie w pismach i książkowych publikacyach, długi czas bez skutku. Zeszłego roku nareszcie założono we Lwowie osobny zakład naukowy z wyraźnym celem zbadania i wypróbowania stawianych propozycyi. Na kierownika tej szkoły doświadczalnej powołano ziomka naszego, rodem z Poznania dr. Antoniego Danysza.

Nominacya ta nie jest przypadkową i uprawnia do nadziei, że kwestya nauki języka niemieckiego w szkołach galicyjskich zostanie ostatecznie pomyślnie rozwiązaną. Dr. Danysz jest autorem krótkiej, ale treściwej broszurki, zawierającej pogląd na nieznane dotychczas metody nauki języków obcych i praktyczny program żądanej powszechnie reformy. Zalicza się on do umiarkowanych realistów, nie odrzuca bezwzględnie metody humanistycznej, jak zwolennicy reform radykalnych, lecz pragnie pogodzić obydwa systemy i przyznaje każdemu należne mu miejsce.

Myśl zasadnicza, na której dr. Danysz opiera swój program, zgadza się zupełnie z żądaniami reformatorów. Wymaga on, aby dziecko nie uczyło się języka pisanego, lecz mówionego, nie podręcznika za pośrednictwem nauczyciela, lecz z ust nauczyciela z pomocą książki. Nauczyciel powinien dzieci zapoznać ustnie z otaczającemi je przedmiotami, nauczyć je rozumieć słowo mówione, powtórzyć je i tworzyć własne zdania. Środkami do tego mają być stosownie utworzone podręczniki, z których uczniowie uczą się początkowo na pamięć poszczególnych ustępów, wytłomaczonych i objaśnionych poprzednio przez nauczyciela, aby przyswoić sobie pewien zasób słów powiązanych w zdania a należących do jasno ograniczonego grona. Później ma dziecko bajkę, anegdotę lub opis, którego nauczyło się na pamięć, opowiedzieć, jak umie, własnemi słowami, bez względu na to, że w opowiadaniu nie ustrzeże się błędów. Za bardzo korzystne uważa dalej autor obrazy, jakich używa się także w szkołach pruskich. Mają one służyć za substrat plastyczny do ćwiczeń językowych, przyzwyczaić dziecko do tworzenia zdań własnych i własnych opisów. Natomiast tłomaczenie języka obcego na ojczysty i na odwrót, które dziś stanowi we wszyszkich szkołach jądro nauki, uważa dr. Dauysz za wprost szkodliwe, twierdząc słusznie, że nuży tylko umysły młode, a nie wydaje żadnego owocu, Wchodzi tam bowiem w rachubę wprost przeciwna składnia, z którą początkujący, jak uczy doświadczenie, rady sobie dać nie umie.

Ćwiczenia piśmienne radzi dr. Danysz zatrzymać; ale zastosować zupełnie do nauki ustnej: od dyktatu wyuczonego na pamięć ustępu przechodzi zwolna do opracowania tegoż własnemi słowami. Gramatyka teoretyczna zajmuje u niego drugie miejsce; żąda on, aby nauczyciel zapoznawał dzieci z poszczególnemi regułami dopiero wtenczas, kiedy nauczyły się ich bezwiednie używać w praktyce, a nie zmuszał ich do pamięciowego uczenia się oderwanych przepisów, których nie zdołają rozumieć. Przedewszystkiem zaś powinien wszędzie i zawsze pamiętać o tem, że podstawą całej nauki jest język mówiony; kto nauczył się mówić po niemiecku, nauczy się także bez nadzwyczajnego trudu pisać i rozumieć pisane ustępy. Dziś jak wiadomo dzieje się wprost przeciwnie.

Przeprowadzeniu tego programu stoi obecnie na przeszkodzie brak fachowych nauczycieli języka niemieckiego i nierówność nauki przygotowawczej. Zaradzić pierwszemu od razu niepodobna; celem usunięcia drugiej a ważniejszej jeszcze niedogodności radzi dr. Danysz zakładać, gdzie się da, przy szkołach średnich klasy przygotowawcze, w którychby dzieci nauczyły się według racyonalnej metody pierwszych początków języka.

Wszystkich szczegółów programu powtórzyć tu niepodobna: trzebaby przedrukować całą prawie broszurkę. Podnieść nam jeszcze tylko należy, że praca dr. Danysza oparta jest nie na rozumowaniu, lecz na spostrzeżeniach długoletniej praktyki. Nie chodzi autorowi o utworzenie i uzasadnienie własnego, oryginalnego systemu, lecz o to jedynie, aby w sposób jak najłatwiejszy nauczyć dziecka obcego a potrzebnego mu języka. Nie zaszkodziłoby pruskim pedagogom najnowszej daty, gdyby przeczytali z uwagą jego broszurkę i zastosowali ją w praktyce. Oszczędziliby dziatwie naszej wiele łez i trudu, a mieliby pewno pociechę, że praca ich nie poszłaby na marne, lecz na korzyść młodej generacyi. *Morna.*

---

spokorniałem, bo mnie życie bez litości ciśnie. Na dnie duszy miałem jedno pragnienie: marzyłem o tem, ażeby gdzieś na dalekim świecie, na jakich wysokich górach, wśród jakich lasów południowego słońca, między kolumnami z marmuru, nad grobami Micen i Troi, na wzgórzu Kapitolińskiem orzeźwić i podnieść serce. *Sursum corda*, chciałem zawołać. Nie mogłem, długo, długo czekałem napróżno. Aż oto ty, mój bracie najlepszy, choć nic ci nie mówiłem, przeczułeś dziwnym cudem moje marzenia. Przywiozłeś mi urlop, na dwa lata urlop i stypendyum na podróż za granicę. Co za radość? Jakie szczęście! Więc na własne oczy zobaczę Ateny i Maraton i popłynę drogą, którą płynął Ulisses i pomarzę nad grobem Vergilego i zobaczę kodeksy bibljoteki watykańskiej. Mój Boże! tego szczęścia nie ogarnę, nie wysłowię, może nie przeżyję.

I gdy tak płakał i dziękował, obejmując kolana Charskiego, nagle płomień buchnął na biurku. Bielusz zerwał się, krzyknął z rozpaczy i trwogi, bo papiery, świeżo położone, zaczęły płonąć, a Charski śmiał się obojętnie i ironicznie....

Bielusz obudził się. Wszystko snem było. Tylko wicher wiał za oknami i deszcz chlupał na dach i w szyby, a lampa, z braku nafty, smutno dogasała.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Medycyna ludowa i domowa.

(Odezwa.)

Komitet hygieny ludowej postanowił na tegorocznej wystawy hygienicznej w Warszawie przedstawić obraz obecnego stanu kraju pod względem zdrowotnym w osobnem dziele, które pomieścić ma i medycynę ludową. Choroba według pojęć naszego ludu jest istotą rzeczywistą, choć niewidzialną, albo czarem, urokiem zadanym przez złego człowieka. Przy leczeniu więc lud stosuje środki specyficzne, antydoty, posiadające moc magiczną usuwania choroby (np. barwinek przeciw kołtunowi) albo chroniące od czarów i odczyniające je, jak: zażegnywania, zamawiania itd. Do leków mistycznych zaliczyć należy egzorty dla wypędzenia djabła i sił nieczystych, przypominające czasy średniowieczne. Pojęcia powyższe uważać można za samorodne, odziedziczone z czasów przedchrześciańskiej starożytności. Są one w powinowactwie z niektóremi wierzeniami przyrodniczemi ludów pierwotnych; niejedne z nich przeniesione zostały ze wspólnego źródła indyjskiego. Ulegają one dziś zapomnieniu i zastąpione zostają szybko przez pojęcia z medycyny rozumowej.

Osobny dział medycyny ludowej stanowią środki, których skuteczność stwierdziło doświadczenie, u więc działające mocą swych własności leczniczych bez wpływu potęg nadprzyrodzonych. Niekiedy tylko lud przy ich użyciu zastrzega czas przyjmowania, odmawia modlitwy itd. Środki te przeszły do ludu od duchowieństwa, dworów i lekarzy dawniejszych, z ksiąg Siennika, Syrenjusza i t. d.; wiele jednak wiadomości o nich jest dziedziczną własnością ludu, przechowującą się od czasów niepamiętnych w tajemniczej mądrości znachorów.

Inteligencya nasza posiada także swoją medycynę, mającą do pewnego stopnia pokrewieństwo z ostatnim działem medycyny ludowej. Jak tam, tak i tu panuje gruby empiryzm, tylko, że wiadomości są pewniejsze. Dawne *silva rerum* i kalendarze przepełnione były przepisami lekarskiemi, mającemi do dziś zastosowanie w wielu domach, szczególniej po wsiach.

Narówni z podaniami, klechdami, zwyczajami, obyczajami i poezyą ludu medycyna ludowa stanowi ważny przyczynek do ludo-

znawstwa wogóle. Wiele też środków ludowych przeszło do skarbca medycyny praktycznej (*adonis vernalis, convallaria majalis, nympha lutea* i t. d.), a wiele jeszcze przejdzie po bliższem zbadaniu ich naukowem.

Dotychczasowe usiłowania u nas przy zbieraniu materyału z medycyny ludowej spełzły na niczem. Na rozesłany w r. 1890 kwestyonaryusz dra Sterlinga, przedrukowany następnie przez „Wisłę“ i „Wiek“ nadesłano do redakcyi „Zdrowia“ dziewięć (!) odpowiedzi, a z tych trzy z Królestwa. Jaki będzie wynik po rozesłaniu kwestyonaryusza przez komitet hygieny ludowej tegorocznej wystawy hygienicznej, trudno przewidzieć. Otóż raz jeszcze zwracamy się za pośrednictwem pism naszych, do tych, którym dobro ogólne i dobro nauki nie jest obojętne, z prośbą o jaknajobfitsze dostarczenie materyału, a w szczególności do kobiet polskich, które od wieków zajmowały się leczeniem ludu, były niegdyś, i są dziś serdecznemi jego opiekunkami w najcięższej niedoli — w chorobie, a przytem najlepiej znają medycynę ludową.

Mamy przytem nadzieję, że szanowne panie nadeślą także wiadomości o wszystkich sposobach i środkach przez siebie używanych, choćby nawet w tym rodzaju, jak noszenie trzech kasztanów w kieszeni (od reumatyzmu). Lekarstwem bowiem, w obszernem znaczeniu tego wyrazu, może być wszystko, co w danym wypadku działa dobroczynnie na chory ustrój, na chore życie, a więc najróżniejsze czynniki mechaniczne, chemiczne, fizyczne, pokarmy i dopiero w ostatnich czasach bliżej objaśnione wpływy psychiczne. Największe znaczenie w doniesieniach mieć powinne — obok wierzeń, przesądów, praktyk różnego rodzaju przez lud stosowanych — wiadomości o lekarstwach właściwych (zwierzęcych, roślinnych, mineralnych), a to ze względu na przyszłe nad niemi badania naukowe. Materyał nadesłany, po zużytkowaniu go, złożony zostanie w warszawskiem Muzeum etnograficznem. Jakkolwiek forma doniesień może być dowolna, to jednak upraszamy o pomieszczenie: 1) miejsca spostrzeżeń, 2) kto i gdzie zajmuje się leczeniem (oprócz lekarzy), 3) nazwy ludowe chorób i pojęcia ludu o chorobach i ich przyczynach, 4) badanie chorych i metody leczenia, 5) środki (lekarstwa) używane tak przez lud, jak przez klasy więcej oświecone. Pożądanem byłoby nadsyłanie środków mniej znanych, jakoteż starych podręczników, przepisów przechowywanych i odziedziczonych, wyciągów ze starych kalendarzy, notatek rodzinnych, pamiętników itd. (pod opaską). O nadsyłanie odpowiedzi prosimy pod adresem: Fr. Rajkowski, Ciechanów, stacya kolei nadwiślańskiej. Przedmioty zaś: Zarząd wystawy hygienicznej w Warszawie, biuro budowlane magistratu.

Upraszamy przytem wszystkie pisma polskie o przedrukowanie niniejszej odezwy“.

Warszawa, d. 3-go lutego 1896 r.

Rajkowski.

Na Wyłomie.

(Przebudzenie sie „Dziennika Pozn.“ — Charakterystyczne milczenie. — Zwrot ku lepszemu.)

Jest jedno pismo na bruku poznańskim, którego artykuły mają tę zaletę czy wadę, że rzadko tylko ich narodzinom towarzyszy wrzawa polemiczna. Ludzie czytają te i owe bibuły — chwalą lub ganią, syczą lub klaskają, pod niebo wynoszą lub nogami depcą, — lecz „Dziennik Poznański“ tylko w wyjątkowych wypadkach rozpala umysły, budzi „za i przeciw“, interesuje, gniewa lub entuzyazm rodzi. Co najwyżej, gdy jaki recenzent koncertowy palnie kilka głupstw piramidalnych o grze Śliwińskiego, wtedy ludzie pokazują sobie po cukierniach to wielkie *curiosum*, drwią jadowicie lub salwami śmiechu napełniają lokal. Lecz artykuły polityczne i społeczne „Dziennika“ wrzawy nie budzą. Cisza je wita i giną zaraz w dniu swoich urodzin, a nikt im nawet honorowego pogrzebu nie sprawi. Przyczynę tego dziwnego fenomenu nie trudno odgadnąć, bo „najpoważniejszy organ zaboru pruskiego“ więcej interesuje się Chinami i Madagaskarem niż analizą rodzimych stosunków, a jeżeli istotnie głos zabiera w palących sprawach miejscowych, wtedy zwykle ilustracye jego wyglądają tak blado i mglisto jak *ciało ludzkie* na fotografiach Rontgena.

W najświeższych czasach jednak zmieniła się sytuacya. W łamach „Dziennika Poznańskiego“ pojawiła się serya artykułów sygnowanych literami „M“ i „D“, które w mieście i na prowincyi powszechną wywołały sensacyę. Mówiły one o naszym przemyśle i handlu, o naszych przymiotach i wadach, o naszym rozwoju i warunkach jego, o sanacyi organizmu narodowego i całym szeregu środków zaradczych, a, — co więcej, — mówiły śmiało, chwilami niemiłosiernie i zapuszczając sondę w ropiejące rany miały odwagę nazywać rzeczy po imieniu bez względu na uświęcone listki figowe i interes koteryi. Zaiste! rzecz niezwykła w „Dzienniku Poznańskim“. Więc nie dziw, że jak zabór pruski długi i szeroki, szedł zrazu głuchy szmer przyjemnego zdziwienia, o potem zabrzmiały echa nietylko w prowincyonalnej lecz nawet galicyjskiej prasie. Poczęto się sprzeczać, zapalać, cytować poglądy głoszone, i „Dziennik Poznański“ był na ustach wszystkich. Ktoś złośliwy nawet powiedział, że w tych kilkunastu artykułach było więcej żywotnej treści niż w całym roczniku.

Zdaje mi się, że „Wielkopolanin“, cytując niektóre ustępy artykułów Dziennikowych, ze swej strony załączył uwagę, że głosy podobne odzywały się już dawno w prasie poznańskiej. Komentarzowi temu słuszności odmówić nie można. Artykułom zgotowała powodzenie nie tyle treść sama, ile miejsce ich wypowiedzenia — i kazanie byłoby prawdopodobnie przebrzmiało bez echa, gdyby amboną nie był „Dziennik poznański“, ten najstarszy, najpoważniejszy, a w ostatnim lat dziesiątku tak zagasły i wyblądły organ zaboru pruskiego. Zdziwiono się jego przebudzeniem, zdziwiono się, że staruszek tak jędrnie, tak młodzieńczo przemówił.

Jest jedno pismo w Poznaniu, które lwią część poglądów wypowiedzianych przez panów M. i D. w „Dzienniku poznańskim“, już niejednokrotnie prezentowało społeczeństwu naszemu. Ale niestety jest to organ wyklęty, więc chociażby nawet podał plan odbudowania Polski — Jezus Marya! przepraszam, przypomina mi się Bojko i Jordan, — chociażby nawet (poprawiam się) obmyślił sposób cudowny, aby naród nędzarzy w naród milionerów zamienić, to słowa jego powitanoby w wszechwładnej prasie konserwatywnej głuchem milczeniem lub wzdrygnięciem ramion. Może później jednak plan „wyklętego“ podniósłaby którakolwiek trybuna „ładu i porządku“ i wysławszy go w świat szeroki z własną etykietą i pod własną firmą zgotowałaby mu popularność, rozgłos i sławę. Tym „wyklętym“ jest „Orędownik“, na którego program polityczny *en bloc* zgodzić się nie możemy i z którym nieraz skrzyżowaliśmy szpady po rycersku, ale któremu z całą otwartością oddajemy tę sprawiedliwość, że w dziedzinie naszych stosunków społecznych, a mianowicie w dziedzinie pracy organicznej, niejednokrotnie wielkie zapalał światła i mnóstwo ziarn zdrowych rozsypał na ojczystej roli. Żadne pismo poznańskie nie poświęca tyle uwagi miejscowym stosunkom, ile właśnie naczelny organ ruchu ludowego, a w sprawach naszego przemysłu i handlu, naszych stowarzyszeń, naszej walki o chleb, naszych przymiotów i wad narodowych, on najodważniej, najlogiczniej i najgłębiej z wszystkich dzienników rozpatrywał stosunki zaboru pruskiego. Ale „Orędownika“ się nie cytuje, — to stało się dogmatom prasy konserwatywnej. Ogół abonentów bowiem nie powinien wiedzieć, że po za „ładem i porządkiem“, w namiotach przeciwnego obozu są także ludzie talentu i rozumu, którzy trzeźwo patrzą na położenie nasze i sypią umiejętnie ochronne okopy. Ale niekiedy zbiera „ład i porządek“ ukradkiem piórka obcej mądrości i zmieniwszy nieco ich formę zręczną apreturą paraduje przed publicznością w pożyczanym stroju.

Mówiąc ogólnikowo o tych charakterystycznych pożyczkach, nie chcę przez to powiedzieć, że panowie M. i D. należą do lubowników cudzego stroju, — w tym wypadku może to być podobieństwo przypadkowe a rozprawy ich fabrykatem orginalnym, — poczuwam się jednak do obowiązku zapisać tu raz jeszcze fakt, że podobne ich artykułom rady i poglądy pojawiały się już oddawna w „Orędowniku“, lecz dla zabójczego milczenia prasy zachowawczej nie zwróciły uwagi szerszych kół społeczeństwa. Nie wypływa też z tego, abym nad „Dziennikową“ analizą stosunków naszych nie stawiał żadnych znaków zapytania, — przeciwnie pismo nasze zakwestyonowało już przed kilku tygodniami jeden z projektów pana M., a w dzisiejszym numerze polemizuje z panem D., — uznaję jednak chętnie, że owe „Rozmyślania na czasie“, badania nad „Rozwojem produkcyi przemysłowej“ i t. d., zawierają mnóstwo trzeźwych poglądów i śmiałością swoją budzą otuchę, że nadeszła chwila zerwania z zasadą tej nieznośnej maskarady społecznej, która w społeczeństwie naszem od lat kilkunastu dominującą odgrywa rolę. Być może — przepraszam za samochwalstwo — że to detronizowanie królowej Obłudy jest w pewnej części zasługą „Przeglądu Poznańskiego“, który od pierwszej chwili zmywał bielidło i róż z oblicza społeczeństwa i gasił blaski fałszywe. Ale „ład i porządek“ tego nam nie przyzna, bo i my jesteśmy podobno wyklętym organem.

Sulla.

TO I OWO.

W obronie mundurów sokolskich.

Jakiś pan D. w „Dzienniku Pozn.“, — pan, któremu zresztą zdrowego krytycyzmu odmówić nie można, — tak z gruntu znienawidził polskie zamiłowanie do blichtru i dekoracyi, że nawet mundur sokolski i nazwa „Sokołów“ wydały mu się grzechem narodowym.

Oto słowa jego:

„Do dziś Niemcy turnerzy, pomni pochodzenia nazwy gimnastyków i praktyczności, rozbierają się raczej do tych ćwiczeń cielesnych i pozostają w drelichowych spodniach i takimż spencerku. My bachutamy się w mundur kompletny z dodatkiem długich i ciężkich butów. Oni nazywają się z rzeczy Turner, my musimy latać zaraz po powietrzu i jużci z nas Sokoły.

Bez fantazyi i przesady już nam ani rusz z miejsca. Oj! czas, czas na ziemię!"

Gdyby pan D. zamiast rezonować o „Sokołach" raczył przystąpić do dzielnej korporacyi lub chociaż powierzchownie rozpatrzył się w jej działalności, to dowiedziałby się, że żaden Sokół do ćwiczeń nie używa munduru, lecz na wzór niemieckich turnerów ubiera się w obcisłe spodnie, pantofle i koszulę bez rękawów. Mundur służy jedynie do parady, a nie jest bynajmniej inwencyą polską, lecz strojem zapożyczonym u Czechów, którzy mimo swej praktyczności i „chodzenia po ziemi" zrozumieli jednak, że mundur posłuży idei demokratycznego zrównania i że taka jednolita dekoracya potęguje ów „Corpsgeist", którego brak nieraz dotkliwie uczuć się daje w innych towarzystwach polskich. Moglibyśmy przytoczyć jeszcze więcej motywów uzasadniających racyę bytu mundurów sokolskich, — dla braku miejsca jednak odsyłamy pana D. do roczników „Przewodnika gimnastycznego", z których zaczerpnąć może wiele ciekawych informacyi o posłannictwie „Sokołów". Nadmieniamy tylko, że nazwa naszych gimnastycznych towarzystw jest również pochodzenia czeskiego i nie rozumiemy zaiste dla czego pana D. nie razi „górnolotność" innych korporacyi, mieniących się „Stellą" lub „Jutrzenką", a natomiast irytuje tytuł „Sokołów". Nam się wydaje, że „Sokół" skromniejszym jest od „Gwiazdy" lub „Jutrzenki". Zresztą zwracamy panu D. uwagę i na to, że zamiłowanie w dekoracyach jest u Niemców również rozwiniętem jak u nas. Niechaj się tylko przypatrzy niemieckim związkom strzeleckim lub studenckim. Kto pragnie oddziałać na tłumy szerokie, kto dla jakiejkolwiek idei chce zdobyć popularność, ten „dekoracyi" jako środka pomocniczego wyrzekać się nie może. *Exemplum:* Praktyki kościoła katoliskiego i armii zbawienia.

* * *

Nowa klasyfikacya języków.

Dziwne rzeczy można czasami spotkać, przeglądając rubrykę „Odpowiedzi redakcyi" niektórych pism polskich. Tak n. p. w „Wędrowcu" mieści się następująca bardzo oryginalna odpowiedź: „Języka serbsko-chorwackiego nie ma na świecie, są to bowiem dwa różne języki, rządzące się oddzielnemi prawidłami, a nawet różnym alfabetem". Dowiadujemy się tu o całkiem nowej zasadzie klasyfikacyi języków, o klasyfikacyi na podstawie odmienności alfabetów. Jednakże nie wszystko to dobre, co nowe, więc i nowowynaleziona zasada filologiczna „Wędrowca" nie na dużo się przyda, ponieważ, stosując tę zasadę, można naprzykład dowieść, że jeden uczony niemiecki, wydający swe dzieło gotykiem i drugi piszący artykuły alfabetem łacińskim, posługują się dwoma odrębnemi językami. Gdyby się redakcya „Wędrowca" nie sadziła na wynajdywanie nowych klasyfikacyi filologicznych, ale zajrzała do pierwszego lepszego podręcznika elementarnego, wówczas i sama i jej ciekawy rzeczy słowiańskich czytelnik dowiedziałby się, że język serbsko-chorwacki istnieje, że posługują się nim w literaturze zarówno Serbowie, jako też i Chorwaci, Dalmatyńcy, Czarnogórcy, Bośniacy i inne drobne szczepy południowosłowiańskie, których gwary miejscowe tyle nie wiele różnią się pomiędzy sobą, jak mowa chłopa sandomierskiego od mowy wieśniaka z pod Inowrocławia.

* * *

Taternicy-blagierzy.

Ruch w Zakopanem ożywił się znacznie od czasu jesieni — pisze w „Słowie" Tetmajer — zimowi goście zjechali, sanki dzwonią i śmigają po gościńcach, ludzie spacerują całemi gromadkami. Nie słyszałem jednak, żeby się kto w góry puszczał. Wogóle u nas zimowe turystototstwo jest zupełnie nierozwinięte. Czasem ktoś gdzieś pójdzie: do Czarnego Stawu lub Morskiego Oka i robi awanturę, trąbi po gazetach, a znajomych swoich zanudza trzynaście wieczorów z rzędu. Tymczasem te Achillesy może nie wiedzą, że pewien oficer pruski — jeżeli mnie pamięć nie myli, z Westfalii — kilka lat temu wyszedł w lutym na przełęcz międuszewiecką (ową, która dała tytuł dziełu Witkiewicza) i na trzeci z rzędu szczyt w Tatrach, Lodowy. Prowadził go Horwary, przewodnik ze Szmeksu. Związani byli liną, a oficer był tak silny, że, kiedy się Horwary obsunął na przełęczy, okręcił sobie linę około dłoni i dźwignął dużego i tęgiego chłopa ze śniegu ku sobie. Szkoda, że mi wyleciało z pamięci nazwisko tego naprawdę dzielnego turysty. Przykro to przyznać, ale my, polacy, dajemy się zawstydzać obcym; niema u nas nikogo, coby tak, jak profesor Danysz z Lewoczy, z węzełkiem w ręku, sam, jak palec, wędrował, nawet bez kija, na Gerlach albo Łomnicę. U nas, jeżeli kto ma iść na Gerlach w sobotę 10 sierpnia, to już w niedzielę 4 sierpnia na reunionie, kiedy go do mazura wybiorą, odpowiada: „Przepraszam panią, nie tańczę, bo w sobote idę na „Gerlach" (ale wysunąć się nie omieszka, żeby go musiano wybierać). Tymczasem pewien sas machnął na ten szczyt sam jeden, pierwszy raz Tatry widząc. Przypuszczam za to, że w gracyi, z jaką nasi „turyści" zrywają dla dam swego serca „szarotki..." półtora łokcia nad ziemią, żaden obcy naród im nie wyrówna.

* * *

„Iluzya".

Władysław był poważnym człowiekiem, lecz już zawiedzionym w miłości. Zosia — osiemnastoletniem dziewczęciem. On chciał się przecież ożenić i mieć spokój przy kobiecie, która nie byłaby „szampańskiem winem, wysadzającem korki, ale bawarką letnią, choćby nawet mdłą nieco"; ona — wyszłaby za mąż. Ze zaś jego ciocia obchodziła imieniny balem, umyślnie dla nich przygotowanym, więc się na nim spotkali raz, na innym balu spotkali się drugi raz i... rozeszli. Dla błahej przyczyny!... Jej piękny biust okrywała gaza, na Żabiej „iluzyą" zwana, którą wciąż podciągała do góry, a jemu się zdawało, że ona czyni to umyślnie, by zwrócić na biust swój uwagę młodzieży. Rozeszli się, ale i spotkali kiedyś później: ona była już żoną i matką, wyszedłszy za jakiegoś poczciwca, on — jeszcze starym kawalerem. Przypomnieli sobie stare dzieje, swoje poznanie, swoje rozejście się i dowiedzieli się, iż nie byli sobie wzajem obojętni, „awantura" zaś z „iluzyą" była prostym wynikiem dziewiczego wstydu, wywołanego pierwszym w życiu decoltém. Tableau. Dwieście stronnic takiej „historyi" wykwintnie wydanej, a przez p. E. Lindemana zilustrowanej udatnie i smacznie, napisała p. Zofia Kowerska stylem mieniącym się, salonowym i nazwała to... „Iluzyą". Damę każdą w buduarze zajmie ta „iluzya" naprawdę, bo to konfekcya damska, krytyk zaś, złożywszy książkę, wyrzeknie z żalem:

— Ładne to, ale nie trwałe...

* * *

Poezya ekonomska.

Nie wiele zapewne z czytelników „Przeglądu" zna pismo warszawskie p. t. „Kuryer rolniczy". Jest to tygodnik „dla gospodarzy wiejskich", ma się rozumieć, *minorum gentium* i dla oficyalistów. Oprócz artykułów specyalnych, „Kuryer" zamieszcza kronikę społeczną, będącą ciekawym okazem kopalnej ekonomszczyzny. Oto mała próbka:

Jeden z oficyalistów hr. Z., „dziedzica obszernych włości na Nadbużu" znakomitego gospodarza i administratora, napisał na cześć swego pana taką odę:

Swoich lasów nie zniszczył.
Setki włók d o b a w i ł.
Żeby jemu Pan Bóg stokroć błogosławił.
Tak mu życzy zwierzę, tak śpiewają ptaki,
Życzy mu źle c z e r n i a, ale to bydlaki!
Byk bykiem zostanie, stratowawszy łąki,
O przyszłości nie myśli, ani o potomki.

„Dobre chęci staną za uczynek" — sentencyonalnie wyrokuje „Kuryer", przytoczywszy tę ohydną bazgraninę.

* * *

Rozmowa z Röntgenem.

Prof. Röntgen jest stanowczym przeciwnikiem wszelkich interview'ów i podczas pobytu swego w Berlinie wydał portierowi hotelu „Kaiserhof" rozkaz nie przyjmowania żadnego dziennikarza. Mimo to udało się berlińskiemu korespondentowi medyolańskiego „Secolo", p. Dalbelli, oraz pewnemu dziennikarzowi francuzkiemu, dostać się do głośnego dziś profesora, a p. Dalbelli, opisując tę wizytę, stwierdza przedewszystkiem, iż Röntgen bynajmniej nie był nią zachwycony. „Miałem z dziennikami tyle do czynienia — powtarzał otwarcie — że przyszedłem do przekonania, iż prasa codzienna nie jest bynajmniej odpowiednim środkiem do poważnego rozpowszechniania odkryć naukowych. Co się mnie tyczy, ograniczam się teraz do przesyłania uczonym zagranicznym bezpośrednich wiadomości i do ogłaszania ich w pismach fachowych, z któremi mam osobiste stosunki. Wszystko, co prasa codzienna doniosła o mojem odkryciu, jest zbiorem błędów i niedokładności. Przedewszystkiem pozwól sobie pan powiedzieć, że doświadczenia moje są skończone, a rezultaty ich ostateczne. Nie byłbym mógł się przedstawić cesarzowi, gdyby wyniki moje nie były pozytywne i naukowo najzupełniej uzasadnione". „Profesor Röntgen mówił to wszystko najnaturalniejszym tonem w świecie i bez wszelkiej pozy", dodaje p. Dalbelli, poczem opisuje dokładnie odkrycie Röntgena.

* * *

Mniemany „owczarz".

Jeden z zakordonowych humorystów napisał „żarcik" tej treści: pod Warszawą pojawił się cudowny lekarz w osobie człowieka z gminu, do którego nie wierzący w lekarzy pędzili po radę, hojnie nagradzając jego cudowność. Wdała się w to władza i okazało się, iż ów mniemany człowiek z gminu skończył wydział medyczny i posiada dyplom lekarski. Kiedy go pytano, w jakim celu urządzał mistyfikacyę, odpowiedział, iż gdyby wiedziano, że jest lekarzem, nie miałby i piątej części pacyentów, a co za tem idzie i dochodów.

Prawie wszystkie pisma powtórzyły ten „żarcik", czy satyrę dla zabawy czytelników. Tymczasem to, co powstało w głowie humorysty, niedawno istniało w rzeczywistości. Warszawianie dobrze powinni pamiętać, jak przed laty trzydziestu zamieszkał na ulicy, zdaje nam się Pańskiej, niejaki G., „owczarz", któremu drzwiami i oknami płynęły pieniądze. Jak u najsławniejszych lekarzy trzeba było parę dni chodzić, zanim się doczekało wywołania swego „numeru", dozwalającego pacyentowi stanąć przed obliczem cudownego lekarza. I okazało się właśnie to, co sobie wymyślił obecnie humorysta: mniemany „owczarz" był dyplomowanym lekarzem.

Widać z tego, że naiwność ludzka jest tak wielką, że dorównywa najśmielszym fantazyom humorystów.

KRONIKA LITERACKA.

— „Ateneum“. — Sierpień, wrzesień i listopad 1895. W artykułach p. t. „Narodziny poety-romantyka“ (sierpień i wrzesień) dał nam Z. Wasilewski w dalszym ciągu rezultaty swych studyów nad Goszczyńskim (por. „biblioteka warszawska“ 1895-marzec), obejmując w omawianej pracy pierwsze 18 lat życia poety.

„Od Unny po Adrjatyk“ W. Szukiewicza to notatki z podróży autora po Bośnii i Hercogowinie.

Dr. Anna Wyczółkowska, zasilająca od czasu do czasu karty „Ateneum“ pracami z dziedziny psychofizyologii, w artykule „O zmyśle statystycznym“ zaznajamia czytelników w sposób popularny z teoryą Flourensa, na mocy której ucho jest organem nie jednego, lecz dwu różnych zmysłów: słuchu i zmysłu statycznego czyli zmysłu równowagi.

Dwie króciutkie nowelki, a raczej szkice: „Zosia w Sorbonie“ (październik) i „Zamki na lodzie“ (sierpień) osnute są na tle dążeń kobiecych do wyższego wykształcenia, ogarniających coraz szersze masy kobiet. „Zosia w Sorbonie“ daje kilka bezpretensyonalnych i prawdziwych scen z życia studentki paryzkiej. „Zamki na lodzie“, to właściwie sympatyczna tyrada przeciw dążeniu kobiet do wyższego wykształcenia, o ile wypływa ono z pobudek: karyery, wygórowanej ambicyi itp. Autorka pragnie, aby naukowym aspiracyom kobiet przyświecała myśl służby publicznej, a zwłaszcza pracy przyszłych lekarek, kobiet-prawników itp. wśród ludu wiejskiego, — myśl niewątpliwie zacna i rozumna.

„Tomek baran“ Wł. Reymonta, szkic na szersze zakrojony rozmiary, obraca się w kole stosunków chłopskich i wraz z powieścią Sewera „Biedronie“, którą również w r. 1894 drukowało „Ateneum“, prosi pp. krytyków literackich o odrobinę uwagi w imię interesów ogólniejszych, jako to: rosnącego ruchu ludowego i towarzyszących mu przeobrażeń w poglądach i ideałach naszej inteligencyi.

W październikowym zeszycie zaczyna Wł. M. Kozłowski obszerne studyum p. t. „Manfred, hr. Henryk i Płoszowski“ już samym swym tytułem budzące ciekawość czytelnika. Autor zalicza powyższe typy do typów ogólno-ludzkich, bo „każdy z nich odbija w sobie pewną stronę natury naszej“, każdy jest odzwierciedleniem owej „czystej treści człowieka“, która zostaje niezmienną wśród przemian ukształtowania zewnętrznego, żywiołem trwałym, ponad którym znamiona czasu przebiegają, jak fale, które toczą się na powierzchni Oceanu, nie mącąc jego głębi. Ale po za tą stroną trwałą charakteru — pisze p. K. — postaci poetyckie mają jeszcze inne znaczenie: Każda epoka ma swój typ przeważny. Aby typ wieczny nie pozostał czystą abstrakcyą, aby idea wcieliła się w postać żywą, niby z krwi i ciała urobioną, powinna przybrać piętno pewnej epoki i pewnego miejsca, zostać historycznie i geograficznie określoną... Każda więc większa postać poetycka jest dwoistą. Estetyka — psychologa zajmuje przeważnie pierwsza, wieczna i ogólnie ludzka strona tych postaci; historyk, filozof, śledzący rodowód dziejowy pewnego typu, powinien skupić uwagę na cechach, które dla psychologa są podrzędnemi i przypadkowemi. Temi ogólnemi uwagami poprzedza autor analizę i porównanie tych trzech postaci, jako typowych przedstawicieli pokoleń naszego stulecia. będących przytem przedstawicielami tego, co Schiller nazwał szlachectwem ducha, a co w wieku Płoszowskiego przybiera postać „arystokracyi ducha“.

* * *

* **Prof. Heinrich von Struve.** Die polnische Literatur zur Geschichte der Philosophie. Berlin 1895.

Pod powyższym tytułem wydrukował znany profesor warszawskiego uniwersytetu w wychodzącym pod redakcyą prof. Sterna, „Archiv f. Gesch. d. Philosophie,“ i obecnie wydał osobno, rozprawę, bez której nie będzie się mógł obejść w przyszłości żaden z piszących o dziejach nauk w Polsce. Rozprawę swoją (o 82 str.) podzielił autor na dwie części; w pierwszej wymienia bibliograficznie i w krótkości charakteryzuje, co społeczeństwo polskie wytworzyło na polu filozofii własnej, w drugiej zaś notuje to, co przeniesiono na grunt polski z zakresu filozofii powszechnej i jej historyi. Jak to przyjęte na uniwersytetach niemieckich, traktuje autor nasamprzód w każdym dziale dzieje filozofii w całości, potem poszczególne jej okresy i działy (logikę, etykę i t. d.) Oczywiście ogrom zadania, do którego dotąd poprzednicy małe zaledwie przygotowali początki, nie pozwolił prof. Struvemu poznać całej dotyczącej literatury; pod względem bibliograficznym jest więc sporo braków. Na sam sąd profesora o pewnych kierunkach i dziełach też nie zawsze można się zgodzić; praca jego jest mimo to gotowym prawie i uporządkowanym składem materyałów, z którego historyk naszej myśli filozoficznej może czerpać, a któregośmy dotąd nie posiadali.

BŁĘDY JĘZYKOWE.

— Nadużywamy wyrażenia *o ile;* niepotrzebne tu *o* śmiało można opuszczać, więc zamiast „nie wiem, *o ile* tamten jest lepszym“ — nie wiem *ile* tamten itd. A już *na ile* i *na tyle* są czystemi barbaryzmami.

Kronika powszechna.

Wiadomości polityczne i społeczne. Ceremonia prawosławnego chrztu ks. Borysa odbyła się 15 bm. w Zofii przy ogromnym udziale publiczności i dyplomatów zagranicznych. — Sprawa obchodu 25-letniej rocznicy istnienia parlamentu niemieckiego stanowi dotychczas kwestyę sporną między poszczególnemi stronnictwami. Centrum i frakcya wolnomyślna sprzeciwiają się stanowczo zaproszeniu ks. Bismarcka na obchód jubileuszowy. Wobec tego wątpliwem jest wogóle, czy uroczystość przyjdzie do skutku. — W Gnieźnie odbędzie się w roku bieżącym wystawa przedmiotów dla potrzeb restauracyjnych, domowych i artykułów spożywczych ludowych. — Wychodźtwo zamorskie z Niemczech zmniejsza się coraz więcej. Według urzędowej statystyki wyemigrowało w miesiącu styczniu:

	w r. 1895	w r. 1894
na	osób	osób
Bremenę	391	558
Hamburg	531	579
Razem przez porty niemieckie	922	1137
Antwerpią	120	167
Rotterdam	45	26
Ogółem	1097	1330

Na Hamburg i Bremenę wyemigrowało nadto w styczniu r. b. 3684 obcych poddanych.

Teatr i muzyka. W czwartek ubiegły odegrano na scenie poznańskiej czteroaktowy utwór Paillerona p. t. „Komedyanci“. Szczegółową ocenę zamieścimy w numerze najbliższym. Tu nadmieniamy tylko, że grą artystyczną wyróżniali się panowie Wostrowski i Łaski. — Gabryela Zapolska wykończa utwór dramatyczny pod tyt. Żabusia“. — Zygmunt Noskowski skomponował większych rozmiarów utwór symfoniczny p. t. „Step“. — Nowy dramat Heyssego p. t. „Vanina Vanini“ nie zyskał powodzenia w teatrze Meiningeńskim. Carmen Sylva napisała dramat p. t. „Allvanda“. — Verdiego dramat „Lwica“ przyjęto z uznaniem w Turynie. — W zarządzie teatru lwowskiego zanosi się na poważne zmiany. Przy sterze dyrekcyjnym stanie obok p. Przybylskiego pan Glikson, były dyrektor teatru krakowskiego. Oprócz tego prawdopodobnem jest, że opera zostanie zamkniętą. — O tryumfach petersburskich Sembrich - Kochańskiej donosi „Kraj“ następujące szczegóły: „P. Marcela Sembrich na swym benefisie stała się przedmiotem niesłychanych owacyi ze strony licznie zgromadzonych słuchaczów. Po wykonaniu sceny waryacyi, zapał publiczności nie miał granic: ofiarowano znakomitej artystce całą oranżeryę kwiatów, artystycznie rzeźbioną wazę srebrną, lirę, otoczoną srebrnym wieńcem laurowym etc. Po skończeniu przedstawienia, owacye wznowiły się z nową siłą, zmuszając beneficyantkę do odśpiewania paru romansów, a między innemi szopenowskiego „Gdybym ja była...“. W sprawozdaniach o tem wyjątkowo świetnem przedstawieniu wszystkie dzienniki, bez wyjątku, podziwiały artyzm, doprowadzony do szczytu doskonałości, i czarodziejski głos znakomitej śpiewaczki. Amatorowie klasycznej muzyki mieli okazyę w tym tygodniu posłyszeć mozartowskie „Wesele Figara“, wybornie wykonane. Nieporównana Sembrich stworzyła typ filuternej Zuzanny, pełny werwy i gracyi. O śpiewie niema co i mówić, gdyż p. Sembrich uznana jest za najznakomitszą wykonawczynię utworów klasycznych, szczególnie Mozarta“. — Józef Hofman, przed wyjazdem do Moskwy, gdzie w tryumfie jest w tej chwili przyjmowany, ogłosił w pismach petersburskich list, prostujący niedorzeczny wymysł „Mosk. Listka“, który podał wiadomość, jakoby firma „Herman i Grosman“ zatrzymywała dla siebie dwie trzecie dochodu z koncertów młodego artysty, wyzyskując go na swą korzyść. „Firma pomieniona — kończy Hofman — od lat wielu powszechnego używa szacunku i bynajmniej nie szuka zysków z urządzania artystom koncertów. Co do mnie, użyczywszy mi każdorazowo do koncertów fortepianu Bechsteina, bezinteresownie podejmowała się urządzenia takowych i rozprzedaży biletów wejścia, za co serdeczne jej składam dzięki“. Hofman jest jeszcze spodziewany w Petersburgu w połowie lutego, a następnie jedzie w podróż artystyczną po Rosyi. — W najbliższą niedzielę odbędzie się na sali hotelu Berlińskiego w Poznaniu wieczór humorystyczny p. W. Wróblewskiego z udziałem p. W. Kicińskiego. — Teatr Wielki w Warszawie przygotowuje balet p. t. „Szuler“. — W Paryżu, w sali Erarda, koncertowała z powodzeniem p. Jadwiga z Iwanowskich Zaleska. — Verdi pracuje nad muzyką do Szekspirowskiej „Burzy“. — W Barcelonie doznała świetnego powodzenia opera Albeniza p. t. „Pepita Jimenez“. — O warszawskim koncercie Śliwińskiego tak pisze Maryan Gawalewicz w „Kraju“ petersburskim: „Śliwiński podbija bezwiednym czarem poezyi, tym jakimś wrodzonym instynktem piękna, którego może nie potrafiłby sam określić słowami, a który w muzyce staje się jakby natchnieniem; nie rozumuje, nie rozbiera, nie filozofuje w interpretacyi, ale zdaje się tylko odczuwać intencye, styl, charakter danych kompozytorów, przedziwnie zabarwia ich utwory, nadając im zawsze najwłaściwszy koloryt i najefektowniejszy światłocień. Jeżeli Hofmann w swoim wirtuozowstwie jest rzeźbiarzem cyzelatorem mistrzowskim, to Śliwiński jest w tym samym zakresie malarzem i kolorystą par excellence. Pierwszego nazwałbym Thorwaldsenem, drugiego Mackartem współczesnych pianistów“.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

K—ski. Życzeniu Pańskiemu stało się zadość. Bliższe szczegóły o wyprawie Nansena znajdzie Pan w dzisiejszym numerze.

Zofia M. „Sallé“ jest wyrazem należącym do paryzkiego żargonu (Argot) i oznacza tyle co „enfant“.

Spirytystka. Adresu p. Matuszewskiego nie znamy. Niech pani jednak raczy swój list przesłać do redakcyi „Przeglądu Tygodniowego“ (Warszawa, Ul. Czysta Nr. 4), a niewątpliwie dojdzie on do rąk „ulubionego mediumisty“.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28.

Nr. 9. Poznań, niedziela 1-go marca 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę. Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p. Administracya: Piekary nr. 6. Rękopisów drobnych nie zwracamy.

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi w Poznaniu 4,00 mrk. Przyjmuje Administracya: Piekary 6. w Niemczech i Austryi 5,00 mrk. (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 mk. — Prenumeratę przyjmują Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. H. t. 90. a.

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer: w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.

TREŚĆ.

Nasz program.

III.

Jak wiadomo, po nad głowami stronnictwa ruchu ludowego podały sobie rękę wszystkie nasze koterye polityczne. Dzięki tej fuzyi, stronnictwo ludowe poniosło klęskę w wyborach do parlamentu. Tylko w okręgu wyborczym inowrocławskim odniosło zwycięstwo w ponownych wyborach po złożeniu mandatu przez p. Kościelskiego. Faktem jednak jest, że na sejmikach przedwyborczych wykazało to stronnictwo poważne siły. Było to ostrzeżenie dla koteryi liberalnej starego autoramentu, której koryfeje z bystrością, godną lepszej sprawy, potrafią ocenić każdą sytuacyę polityczną. W fuzyi, scharakteryzowanej powyżej, odgrywali oni bądź co bądź rolę pachołków: trzeba więc im było wymyślić coś nowego, zaimprowizować jakiś gołębnik, wytknąć tam chorągiewkę i roz pierzchłe gołębie znęcić do siebie. Tym gołębnikiem miało być „stronnictwo narodowe“, a *„signum quo vinces“*: „ład i porządek“. My przypuszczamy, że ci panowie powinni znać, chociaż tylko pobieżnie, historyą stronnictw politycznych; przypuszczając, że tak jest, dziwić się nam należy, że wymyślili firmę, która od dawna już jest zdyskredytowaną w państwach konstytucyjnych. Powinni przecież wiedzieć, że niedobitki stronnictw upadłych, aby się jeszcze *utrzymać przy władzy*, podszywają się pod powagi osób zażywających w społeczeństwie kredytu moralnego — i pod osłoną tych powag organizują *parti d'honnêtes gens, parti d'ordre*, Ordnungspartei itd. Akurat takiem stronnictwem jest nasza koterya zowiąca się niedawno temu jeszcze stronnictwem „ładu i porządku“. Publiczność nasza nie powinna się tumanić taką etykietą. Dają wprawdzie tej koteryi firmę osoby zacne i szanowane przez społeczeństwo — te same osoby, które zasiadają w komitetach zapraszających na bale składkowe, na fety jubileuszowe lub stoją na czele towarzystw filantropijnych, ale ludzie ci przedstawiają pod względem *iudicium* politycznego niezapisaną kartę. Sądzą oni, że kierują, a tymczasem, że użyjemy dobitnego wyrażenia hr. Badeniego, są kierowani, — wodzeni na pasku przez głowaczów zbankrutowanej koteryi. Pracują, — jeżeli imponowanie dobrą firmą pracą publiczną nazwać można, — tylko dla owych głowaczów, zadawalniających się chwilowo rolą faktorów, a czyhających na pierwszą lepszą sposobność, aby wrócić do władzy i prowadzić dalej „interes“ pod własną firmą. Jeżeli podobne stronnictwo, jak „ładu i porządku“, w samem społeczeństwie ma mir, zjawisko to tłomaczy się tylko tem, że u nas zawsze kredyt moralny pewnych osób starczył za program polityczny, i jak kiedyś domy magnackie były ogniskiem stronnictw, tak dziś pewne imiona spopularyzowane przez prasę, stały się środkiem atrakcyjnym dla bezkrytycznej publiczności. To też nie posiadaliśmy nigdy zorganizowanych na pewnych zasadach stronnictw, ale za to mieliśmy koterye, grupujące się około pewnych osób — koterye, które były istną plagą naszą, czy to w walce o niepodległość, czy w odradzaniu się społecznem, a do rzędu takich koteryi zaliczamy bez wahania t. zw. „stronnictwo narodowe“. Zwalczać go nie przestaniemy, bo wiemy dobrze, że wzywanie do „ładu i porządku“ nie było niczem więcej jak klekotem owej czapli „trochę ślepej, trochę krzywej“, — żywego obrazu koteryjki, co straciwszy zaufanie do sił własnych, pod grozą strachu przed rzekomą anarchią, przed „czerwoną chorągwią“ stronnictwa „ruchu ludowego“, przynęcić pragnęła do siebie nowem efektownem hasłem bezkrytyczne tłumy. *W najlepszym razie* reprezentuje ta koterya eklektyzm polityczny, — ten zwyczajny w polsce „równy mianownik“ najrozmaitszych prądów, a raczej zachcianek politycznych. Niestety wiemy z doświadczenia, że ten eklektyzm nie opierał się nigdy na twardych zasadach, przeciwnie kołysał się i to najczęściej na fluktach popularności. Rozum pojedyńczych chorągów ulega przy pierwszem lepszem przesileniu politycznem „rozrzewnieniu patryotycznemu“, a owi ludzie, co *dzisiaj* pod naciskiem opinii zdrowej części narodu przysięgają, że nieopuszczą swych krzeseł senatorskich, w obec natarczywości „szaleńców“, jutro opuszczą je pod presyą tych samych „szaleńców“, a opuszczą je pod hasłem „zgody“ i „solidarności narodowej“; po niewczasie niestety nabierają oni przekonania, że berła, które dzierzyli, oyły słomiane, włożone im w rękę dla parady przez pewnych działaczów. Przeciw takim działaczom, ukrywającym się za fałdami ludzi zacnych, ale goniących za popularnością, ludzi, o których można razem z poetą powiedzieć, że im „ambicya serce z pod żeber wykradła“, powinno całe społeczeństwo stanąć frontem i tej kompanii, która terroryzuje opinię publiczną i w niemiłosierny sposób ją fałszuje, zgotować bezkrwawy termidor, oczywiście z tragikomicznem zakończeniem, godnem naszych Rabagasów.

Jedynem stronnictwem po za partyą „ruchu ludowego“, stronnictwem poważnem, opierającem się na wytkniętym z góry programie, jest u nas stronnictwo klerykalne. Nie znając tajemnic tego stronnictwa, nie możemy dziś wdawać się w ocenę jego stosunku do koteryi „ładu i porządku“. Przypuszczamy jednak, że najpoważniejsza część stronnictwa klerykalnego, wychowana w wyobrażeniach ks. arcybiskupa Ledóchowskiego i ks. Koźmiana wyemancypowała się z fuzyi, o jakiej mówiliśmy. Co do naszego stanowiska względem tego stronnictwa, pozwolimy sobie streścić nasze zapatrywanie w kilku słowach.

My predewszystkiem nie przypisujemy naszemu stronnictwu klerykalnemu en bloc bezbarwności narodowej. Wiemy dobrze, że ogromna część duchowieństwa i obywatelstwa naszego, która się zaciągnęła pod sztandar tego stronnictwa, nieustępuje w patryotyźmie nikomu z nas. Dusza ich rozpołowiona — jednę połowę oddają Kościołowi, drugą nieszczęśliwej ojczyźnie; ale właśnie ta dwoistość naraża ich nieraz na kolizyę obowiązków względem jednego i drugiej. Zdarzały się często chwile i całe okresy, gdy interesy Kościoła i naszego narodu kollidowały w polityce od dnia do dnia. W takich razach *my*, jako broniący przedewszystkiem narodowości naszej wobec wszelkich zamachów na nią, nie zawahamy się nigdy wystąpić przeciw władzom Kościoła, składającym broń przed możniejszymi tego świata, których interes polega na zagładzie naszego narodu; u nich natomiast rozpoczyna się balansowanie, połowiczność, brak wyrazistości.

Zupełnie w duchu programu ks. Ledóchowskiego nie pragniemy, żeby Kościół stał się widownią jakichkolwiek manifestacyi politycznych. Uczy nas historya najnowszego pogromu naszego, że takie nadużywanie Kościoła w interesie politycznym było niemoralnem, bo szerzyło obłudę, i było niepolitycznem, bo w umysłach ludu naszego zamiast rozumnej świadomości obowiązków obywatelskich, krzewiło jednostronny fanatyzm. Nie możemy pod żadnym warunkiem się na to zgodzić, żeby ambona stała się miejscem agitacyjnem dla polityki. Ksiądz wchodząc na ambonę, jest tylko kapłanem, charakter swój obywatelski składa u progu kościoła. Nadużywanie „nieomylności“ słowa kapłań-

skiego w sprawach politycznych tam, gdzie tylko swobodna dyskusya ma swe uprawnienie, uważamy za zgubne dla jednej i drugiej strony; wszakże „germanizacya przez Kościół“ na Szląsku i w Prusiech jest stałą rubryką w naszej prasie peryodycznej — a każdy wie, że głównie ambona jest ogniskiem tej germanizacyi.

Przyznając każdemu obywatelowi *„liberum agito“*, bo to jest koniecznym korelatem powszechnego głosowania, przyznajemy to prawo w całej rozciągłości i duchowieństwu naszemu, żądamy jednak, żeby każdy duchowny, biorący udział w naszych pracach społecznych i politycznych, wiedział, że ukazując się na zebraniach politycznych jest tylko *obywatelem*. Jeśli o tym charakterze swoim zapomina, dziwić się nie może, że sukienka jego kapłańska będzie nieraz zbrukana *„pulvere olympico“* naszych politycznych sporów.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

O przyczynach społecznych polityki ugodowej. Z okazyi głośnej sprawy galicyjskiego posła Bojki wypowiada „Przegląd Wszechpolski“ w Nr. 4 następujące poglądy.

Każda warstwa społeczna, utożsamiając interesy swoje z interesami narodowemi, siłą swoją siłę narodu mierzy. Więc szlachta, która czuje bezwiednie lub nawet widzi i rozumie, że siłę rzeczywistą traci, że stanowisko jej moralne i materyalne jest zachwianem, wątpi również o sile narodu całego. To jest niewątpliwie główną pobudką polityki ugodowej, która właśnie w warstwie ziemiańskiej czy to w Galicyi, czy w zaborze rosyjskim lub pruskim niemal wyłącznie znajduje zwolenników najgorliwszych. To jest źródłem wszelkiego rodzaju abdykacyi narodowej, wszelkiego lojalizmu, nawet takiego, który jest zupełnem odstępstwem od sprawy polskiej. Obok tego zwątpienia o własnych siłach, a w wywodzie logicznym i o siłach narodu, widzimy drugi jeszcze czynnik, nadający kierunek ugodowy polityce szlacheckiej. Pragnie ona utrzymać się na stanowisku dotychczasowem i ze swego punktu widzenia trafnie sądzi, że ugoda która przy jej współudziale, a nawet właściwie z nią tylko, jako z widomem i poniekąd uznanem przedstawicielstwem narodu może być dokonaną, wzmocni i utrwali jej rolę przewodnią w społeczeństwie.

Ponieważ warstwa szlachecka zajmuje dotychczas w społeczeństwie naszem stanowisko naczelne, chociaż nie posiada już siły wewnętrznej, stanowisku temu odpowiadającej, rządy rosyjski i niemiecki do ostatniej chwili niemal przeciw niej głównie występowały. W polityce, jak w każdej działalności rozpęd raz nadany powstrzymać trudno, istnieje w niej pewna tradycya pewien nałóg postępowania, od którego odstąpienie wymaga zmiany ludzi i środków. Takie zmiany odbywają się nagle tylko w okolicznościach niezwykłych; w warunkach powszednich sprawa przekształcenia stosunku rządu do pewnej klasy społecznej posuwa się powoli nieznacznie. W obu zaborach zresztą, o których mówimy, rządy w chwili obecnej nie mają pilnej potrzeby, bodaj nawet nie mają żadnego interesu prowadzenia polityki ugodowej, nie odrzucają wprawdzie wynurzeń lub objawów czynnych lojalizmu, ale w zamian nic albo bardzo niewiele, jakby z łaski jedynie dają.

W państwie austryackiem szlachta polska mogła stanowisko swoje, lepiej zachowane niż w innych dzielnicach, wyzyskać, ale i tutaj instynktownie czuje ona słabość swoją i dlatego zapewne nie stara się należycie skorzystać ze szczęśliwego zbiegu warunków i zdobytych wpływów w celu prowadzenia polityki narodowej polskiej, tylko poprzestaje na utrzymaniu swojej przewagi fikcyjnej, coraz bardziej tracącej podstawę rzeczywistą. Tylko niewiarą we własne siły, w żywotność swoją można objaśnić dziwną nieraz wstrzemięźliwość i bezinteresowność a raczej obojętność polityczną przedstawicieli tej warstwy, oraz pesymizm w sprawie narodowej znamionujący działalność stronnictwa krakowskiego, najwybitniejszego odłamu obozu arystokratyczno-szlacheckiego. Publicyści tego stronnictwa nie zdają sobie może sprawy z tego, że policzone są już dni przewodnictwa warstwy, której interesom służą, ale widzą dokoła siebie objawy jej upadku i niemocy i z nich wyprowadzają wniosek, że istnienie niezależne Polski jest niemożliwem.

W zaborze pruskim i rosyjskim ta sama warstwa, nie znajdując istotnie warunków do odzyskania swego naczelnego stanowiska, twierdzi również pod wpływem swego usposobienia i wrażeń bezpośrednio odbieranych, że odzyskanie bytu narodowego nietylko w formie państwa niepodległego, lecz nawet w formie samorządu politycznego jest złudzeniem, i szuka jedynie sposobności do zawarcia kompromisu, któryby jej przedewszystkiem, w ciasnym bodaj zakresie interesów klasowych dawał możność znośnego istnienia. Politycy warszawscy, wysuwający na pierwszy plan w memoryałach sprawę służebności lub inne podobne, złożyli wymowne świadectwo bankructwa politycznego szlachty. Taki sam dowód przedstawiła przed paru laty szlachta poznańska, która rozpoczynając politykę ugodową, nie wiedziała nawet czego ma żądać. A szlachta galicyjska która brać może z uprzejmie dla niej otwartej skarbnicy ustępstw politycznych, ile zechce, czyż nie doświadczała kłopotu w wyborze, czyż nie zrzeka się dobrowolnie tego, co jej prawie gwałtem wciskają, lub co mogłaby wziąć bez oporu, gdyby tylko rękę wyciągnęła.

W zaborze rosyjskim mieszczaństwo, które rozumieć zaczyna, że jest siłą istotną w danej chwili, chociaż z tradycyi wpływowi szlachty ulega, chociaż z polityki ugodowej mogłoby wyciągnąć największe zyski, opiera się tej abdykacyi bezwarunkowej, ofiarowaniu usług, bez żądania za nie umówionego wynagrodzenia. Drobne mieszczaństwo i lud, o ile występują świadomie w zaborze pruskim, zajęły zupełnie podobne stanowisko w obec tz. partyi dworskiej i miejscowych dążeń ugodowych. A trzeba pamiętać, że mieszczaństwo z usposobienia swego, z natury swych zajęć i interesów najbardziej jest do ugody podatnem, jeżeli więc ono skwapliwie jej nie szuka, jeżeli nawet nastręczaną mu sposobność odtrąca, to dlatego, że czuje w sobie pewną siłę, dającą mu rękojmię zdobycia w ten lub inny sposób korzystniejszych warunków.

W miarę rozwoju społecznego przenosi się coraz niżej punkt ciężkości polityki narodowej, która w masach ludowych zyskuje podstawę do działania. Wzrost świadomości politycznej wśród ludu idzie bardzo szybko w tych nawet dzielnicach naszych, gdzie wspódziałanie tej sprawie inteligencyi jest bardzo trudnem. Dodać też trzeba, że równolegle lud rozszerza zakres pojęć swoich, potrzeb i stosunków wtedy nawet, kiedy dobrobyt jego nie wzrasta i że w związku z tem całe zastępy inteligencyi zawodowej stają się od niego bezpośrednio zależne.

K. ROJAN.

W ŚWIAT.

(Ciąg dalszy.)

— Już uczyniłam i nie cofnę się.

— A gdybym ja na to nie pozwolił.

— Pan nie masz prawa mi bronić.

— Właśnie, że mam.

— Ciekawa jestem, jakie?

— Takie, że panią kocham... kocham mimo, że pani dajesz mi uczuć, iż mną gardzisz. I kto wie, czy dziś właśnie nie kocham pani więcej, niż przedtem.

Lola poczyna drżeć; powieki jej poruszają się nerwowo, usta się kurczą i zwężają. Podobna jest do rozbitka na morzu, który tonąc, ujrzał w oddali ciemniejszy punkt, ostatnią iskrę nadziei. Są to rozpięte skrzydła szybującej nad falą mewy — lecz on powiada: nie, to nie mewa, to żagle okrętu, który mnie ocali. I z tym przebłyskiem myśli idzie na dno morza.

Lola nie chce wierzyć słowom Dynieckiego, powtarza sobie bez przerwy: nie wolno mi wierzyć.... a przecież już wierzyć poczyna.

— Pan kochasz cały świat — odpowiada z drżeniem w głosie i cierpkim wyrzutem. — Dziś tu, jutro tam.... Mój Boże, to najprzyjemniejsze. Młody pan jesteś, podobać się możesz, więc dla czego nie masz się bawić?

— Co za dziecińswo! A nie mówiłem, że nie nauczyłaś się pani jeszcze ludzkich uczuć rozumieć?

— Po co tu jakiekolwiek rozumienie? Widziałam dosyć, może nawet za wiele, i to mi wystarcza.

— Nie widziałaś pani zgoła nic, a to, coś pani widziała, to jest taką błahostką, że o niej myśleć nie powinnaś. Widziałaś pani, jak pewne niemądre, choć starsze wiekiem dziecko, cisnęło się gwałtem na kolana i prosiło gwałtem o pocałunek. No, i cóż? Aby się pozbyć natręta, pocałowałem je i odtrąciłem od siebie. Nie zastanawiałem się zbytnio nad tem, co czynię. Zresztą, jeśli mam być zupełnie szczerym, to powiem, że zrobiłem to przez panią i dla pani. Wiem, jakie przykrości znosiłaś pani w domu z tego powodu, że okazywałaś mi nieco więcej uczucia. Jednym, nic nie znaczącym pocałunkiem chciałem uśpić smoka i okupić pani spokój. Być może, że źle zrobiłem, ale ręczę, że nie w złej myśli. Tymczasem, cóż się stało? Pani, nie wyrozumiawszy mnie, nie wysłuchawszy nawet mego usprawiedliwienia, z gniewu i zazdrości popełniłaś szaleństwo, rozbiłaś jednem uderzeniem nasze wspólne szczęście.... Dziecińswo, dziecińswo i jeszcze raz dziecińswo!

Dyniecki zapala się i chce być jak najbardziej wymownym i przekonywającym; już nawet sam zaczyna w części wierzyć, że mówi prawdę. Jest on powolnym sługą namiętności, chwilowej podniety, sługą brutalnych nerwów, którym oprzeć się nie umie i nie chce. W tej chwili czuje, że za jeden pocałunek Loli, jeden jej uścisk serdeczny oddałby bardzo wiele, za pocałunek i uścisk kobiety, która przed niespełna jeszcze godziną nim gardziła, a która gardząc, była znacznie piękniejszą i ponętniejszą niż kiedykolwiek dotąd. Jest on obecnie całkiem powolnym sługą swych nerwów, a nerwy te wiodły go już niejednokrotnie po nad przepaście, które zawsze jednak pomijał zwycięsko, strącając w nie swe ofiary. Dla czegoż zatem nie miałby raz jeszcze odbyć podobnej wędrówki, skoro wśród karkołomnej przeprawy będzie mógł bodaj przez chwilę ponętną przytulić do piersi dziewczynę.

Takiej potędze nerwów ulegał zawsze praojciec Dynieckich, Don Juan Tenorio z Sewilli i pod ich sztandarem wypełnił swój zacny żywot setką awantur miłosnych. On skrystalizował w sobie typ istniejący od wieków, a następnie w różnych czasach i okolicznościach, różne przyodziewając szaty, uwija się nadal wśród ludzkości jako żyd wieczny tułacz, lub feniks odrodzony z popiołów.

Na oświadczenie Dynieckiego Lola spuściła oczy i umilkła. On, wyczekawszy chwilę, zagadnął znowu:

— Pani milczy?

— A cóż mam począć? Dla czegoż się

Ta inteligencya nietylko ze skłonności swego umysłu, nie tylko z uczuć swoich, ale i z interesów musi zbliżać się do ludu, jednoczyć się z jego sprawą, z jego polityką.

W tej warstwie najniższej społeczeństwa drzemie siła niespożyta, nieświadoma dotychczas lub zaledwie do świadomości przychodząca, ale rzeczywista, bodajby ze względu na potęgę liczebną. Na kresach narodowych, w zapomnianych od pięciu wieków zakątkach okazuje dziś znaki istnienia, a w warunkach przyjaźniejszych wybija się z energią, którą dać może tylko wiara w siebie i w przyszłość. Polityka prawdziwie demokratyczna u nas, prowadzona w imię dążeń i interesów ludu, może rozmaite przybierać formy, zmieniać sposoby i środki działania, w miarę potrzeby przerzucać się od rewolucyi do ugody, i odwrotnie, ale dla tego, że przedstawia siłę istotną, narastającą i dochodzącą do świadomości — nigdy nie może prowadzić do biernego poddania się, do zwątpienia o przyszłości narodu, do wyrzeczenia się jego praw przyrodzonych i interesów, jego tradycyi historycznej w poczuciu odrębności i samodzielności utrwalonej.

Warstwa przewodnicząca prowadzi politykę narodową na tory błędne, dając jej wskazania fałszywe, bo do swej niemocy zastosowane. Gdyby dzisiejsze swoje stanowisko właściwie rozumiała, nie wyrzekając się przywileju kierownictwa, do którego niewątpliwie posiada więcej warunków, aniżeli jakakolwiek inna grupa społeczna, ograniczyłaby je do właściwego zakresu i starałaby się zostać przedstawicielką nie tej siły, która zadanie swoje spełniła i dziś rozprasza się i zanika, ale tej, ktora rośnie i w nowych kształtach się objawia. Byłoby to wszakże kierownictwo raczej formalne aniżeli istotne, chociaż pozwalałoby klasie przewodniczącej zachować do czasu pewne przywileje, z jej położeniem społecznem związane. Tak postępuje arystokracya angielska, która nie ma już rzeczywistego wpływu na bieg polityki narodowej, zachowała jednak stanowisko wyjątkowe. Na każdej innej drodze postępowania szlachta nasza spotykać się będzie coraz częściej z zarzutami, podającemi w wątpliwość jej patryotyzm i jej kwalifikacye do prowadzenia polityki narodowej, aż doczeka się wreszcie stanowczego żądania *se soumettre ou se demettre*. Poddać się lub ustąpić — pomiędzy temi żądaniami dziś już wybierać trzeba. Albo poddać się konieczności rozwoju historycznego stosunków społecznych, przyjąć z dobrą wolą i wiarą wszystkie jego skutki i korzystając z okoliczności, a mianowicie z braku w warunkach dzisiejszych lepiej uzdolnionego do działalności politycznej i zorganizowanego współzawodnictwa — ocalić przynajmniej cenny a nawet korzystny przywilej przewodniczenia honorowego; albo — ustąpić gorzej, być zmuszoną do ustąpienia i narazić się na wszelkie takiego przymusowego opuszczenia stanowiska wyniki.

* * *

W obronie języka ojczystego. „Gazeta Ludowa“, wychodząca w Ełku na Mazurach dla Polaków ewangelickiego wyznania wypowiada następujące uwagi w obronie języka ojczystego:

„Licha to rzecz — ten duch rozdwojony i rozerwany między dwoma językami, niby ojczystemi. Za ciasny obręb duszy ludu, aby się w niej dwoje języków, tak sobie przeciwnych, równą obu dokładnością i łatwością mieściło.

Cóż tedy? Czy chcemy „na obie strony chromać“, uganiając się daremnie za posiadaniem obydwóch języków, rodowitego (polskiego) i obcego (niemieckiego)? Albo czy koniecznie nam przyjdzie rozbrat uczynić z naszemi matkami polskiemi i wstydzić się mowy z mlekiem macierzyńskiem wyssanej? Zły to znak, kiedy już syn gardzi mową rodziców swoich i pyszni się cudzą!

Mowa polska jest bardzo rozgałęziona i w pobratymczych gałęziach swoich (które się, razem wzięte słowiańskiemi nazywają), idzie aż do Moskwy, a za Moskwą idzie tysiąc mil aż do ostatnich krańców morza Azyatyckiego, a na południe aż do Turcyi i do morza Adryatyckiego, a na zachód aż do Czech. A tak zacny język mamy znieważyć, mielibyśmy go zaniechać, w poniewierkę dać, onego się wstydzić i wyrzec, a to wszystko kilku niechętnym Niemcom gwoli?!

Sięgnijmyż przecie do głowy po rozum i zważmy, ile to lat męki kosztuje polską młodzież nauka trudnej mowy niemieckiej, który zmarnowany drogi czas potrzebniejszy nam jest na odkopywanie skarbów naszej mowy tak bogatej, tak przez wieki ogładzonej i tak nam dogodnej. Bo tylko za pomocą macierzyńskiej mowy, możemy jasnych pomysłów nabyć i pismo św. wyrozumieć i rozumną służbę Bożą odprawiać i nabożnie się modlić.

Ale może mowa niemiecka lepsza i dogodniejsza do udzielania nauki i mądrości? Bynajmniej! (choć tak o niej twierdzą Niemcy, jak to zwyczajnie każda liszka swój ogonek chwali) i owszem mowa polska, pochodząca od narodu dawnego, jak świat, zawiera w sobie taką obfitość treściwych i dźwięcznych (pełno-brzmiących) słów i głosek i pięknych końcówek, że ich nam niemieccy nawet bezstronni uczeni zazdroszczą. Pewien niemiecki pisarz, pan Kaulfus, całą książkę o tem napisał, w której dowodzi i przykładami stwierdza piękność i lepszość mowy polskiej. Pocóż więc mamy zmieniać naszą, tak wyborną, starą, wyrobioną i gładką mowę na dość twardą, a nieraz szorstką niemczyznę? Oto, może dla tego, żeby ze śmiechem o nas mówiono:

Mieniał, mieniał się nasz stryjek:
Dostał za siekierkę kijek:“

Na, innem miejscu pisze to samo pismo ewangelickie:

„Utwórzcie na jednym z uniwersytetów niemieckich, może najlepiej w Berlinie, wydział teologiczny, szkołę przyszłych księży naszych z wykładowym językiem polskim. Cóż my pruscy ewangelicy polscy mamy z tego, że sławne na cały świat wysokie szkoły niemieckie przyszłych księży naszych zaopatrzają w bogactwa rozmaitej wiedzy, kiedy ten ksiądz, gdy stanie między nami, nie wie ani be ani me, bo się z nami dostatecznie rozmówić nie umie? W księdze Joba czytamy, że przyjaciele jego mówili wiele mądrych rzeczy, ale skarga Boża była ta, że nie mówili przystojnie. Tegoż sobie tedy życzymy, żeby księża nasi na miejscu świętem w kościele i wszędzie, gdzie występują jako księża, mówili przystojnie. Nie jakąś łamaniną jezykową, co zamiast budować, śmiech budzi na miejscu świętem, ale polszczyzną dobrą i piękną. Bo ucho i serce najlichszego nawet człowieka z pod najlichszej chałupy wiejskiej przecież pragnie, żeby w domu Ojca swego niebieskiego usłyszał mowę, odzianą w szatę świąteczną. O takie wykształcenie księży naszych nikt a nikt nie dba. A to jest niesprawiedliwość i krzywda względem zborów i względem księży.“

* * *

Projekt hr. Badeniego. Lwowski tygodnik „Monitor“ gromi w następujących słowach projekt reformy wyborczej przedłożony przez hr. Badeniego.

„Niesprawiedliwy system wyborczy zachowuje hr. Badeni nietknięty — i do systemu tego dolepia nową piątą kuryę, w której każe głosować dotychczas pozbawionym praw politycznych, jakoteż wyborcom dotychczasowych kuryi. Myśmy tymczasem w pierwszej linii atakowali ów s y s t e m, żądaliśmy zupełnego usunięcia go. Hr. Badeni nietylko go nie usuwa, ale stwarza nadto jakiegoś dziwoląga, pod nazwą

---

pan pierwej nie wytłómaczył, dopiero teraz, po niewczasie?

— Alboż dała mi pani sposobność do wytłómaczenia się? Zresztą jakże mogłem się wytłómaczyć, skoro widziałem owego wieczora złość i żal, gniew i nienawiść w oczach pani?

— Lola wzdycha i szepce:

— Wszystko już teraz za późno; jestem narzeczoną. Widzisz pan obrączkę?

— Więc dla niedorzecznej obrączki chcesz pani poświęcić szczęście całego życia? Panno Lolu!...

Porwał jej rękę i uścisnął silnie. Lola nie cofnęła się.

— Panie Dyniecki....

Oczy jej rozżalone, zamglone łzami, zdawały się błagać o litość, lecz gniewu, oburzenia, nienawiści już w nich śladu nie ma. Dziewczyna podobną jest w tej chwili do ćmy nocnej, która w rozżarzonej lampie światło dzienne widzieć chciała.

Za kulisami ozwały się kroki. Lola cofnęła rękę z uścisku Dynieckiego i odsunęła się.

Na scenkę wszedł Smolarz, przystrojony w żółtą kudłatą perukę. Granatowy frak z cynowymi guzikami, wymalowane rumieńce na śniadej twarzy i rudawa peruka czyniły go podobnym do manekina za wystawą fryzyera.

Wszedł na środek sceny, oglądał swoje trzewiki i założywszy ręce, zapytał zabawnie:

— Jakże się pannie Loli w tym fraku i tej peruce podobam?

Wydał się jej śmiesznie brzydkim. Ruszyła niecierpliwie ramionami i odparła niezadowolona:

— Ślicznie, bardzo ślicznie.

A Smolarz żartował dalej:

— Oto, jakbym w takim fraku szedł do ślubu!

— Do ślubu zwykle jeździ się, nie chodzi — zauważył złośliwie Dyniecki.

— E, — odparł Smolarz naiwnie — alboż my jesteśmy tacy wielcy państwo, żebyśmy nie mogli pójść do ślubu piechotą? — zwrócił się do Loli. — Prawda panno Lolu, że mam słuszność?

Dyniecki powiódł ironicznym wzrokiem po Smolarzu i spojrzał z uśmiechem na Lolę.

— Później o tem pomówimy — odrzekła Lola i wstała niezadowolona.

Na sali huczało już, jak w ulu. Gdy zatem fryzyer ukończył charakterystykę Józefa Ranieckiego i założył mu okulary na nos przyprawiony, Łasiecki wpadł na scenę i zakrzyczał:

— Wszystko już gotowe. Zaraz zaczynamy. Panna Lola i pan Dyniecki na prawo za scenę, Franek i panna Anna na lewo. Ty Józef marsz naprzód; pamiętaj, że masz przechadzać się wielkiemi krokami.... a słuchaj dobrze podpowiadania, żebyś nie pobałamucił. Proszę się rozchodzić. Gotów!

Poskoczył za kulisy, zadzwonił i pociągnął za sznurek od kurtyny. Arcydzieło Chaima Berla poszło w górę i przedstawienie się zaczyna.

Mąż (p. Józef Ranieckí przechadza się wielkiemi krokami. Robi trzy kroki tam, trzy napowrót, podkręca wąsy i rozmyśla:)

„Doskonale, wyśmienicie! Dzisiejszy wieczór spędzę bardzo wesoło. Mamy się zejść pod „żółtym jeleniem“ z Ludwikiem i Ambrożym na kawalerską ucztę. Najpierw zagramy sobie partyjkę taroka, a potem idziemy na maskaradę, gdzie będą nas oczekiwały dawne przyjaciółki: Genia, Józia i ta, ta.... mała bestyjka Wicia. (Wzdycha i wznosi oczy do góry). Hej, hej, gdzie się to podziały owe błogie kawalerskie czasy, kiedy się to noc w noc tak birbantowało. Dziś zupełnie inaczej. Chcesz wyjść wieczorem na szklankę piwa, musisz się przed żoną tłómaczyć, usprawiedliwiać, prosić.... a gdy i to nie pomoże, musisz wykradać się, jak złodziej po cichutku, na palcach....“

Józef ilustruje żywo wykradanie się na palcach z domu, co wywołuje w audytoryum pierwszy wybuch uśmiechu. Najwięcej ze wszystkich ubawiony tem Klepka, poczyna dusić się i huczeć. Obok niego siedzący stary Raniecki hamuje go lekkiem pchnięciem w bok. To pobudza Klepkę do większej jeszcze wesołości. Tymczasem mąż prawi dalej:

„No, ale dziś nie trzeba będzie takiego podstępu. Wypłatałem bowiem mojej żonie znakomitego figla. Powiedziałem jej, że obchodzimy dziś dwudziestopięcioletni jubileusz

„piątej kuryi“, w której niewiedzieć z jakiej rozumnej racyi mają głosować należący do innych kuryi. Od zasady powszechnego prawa głosowania i równości obywateli cofa się hr. Badeni do zasady zastępstwa interesów. A więc dotychczasowa uprzywilejowana kurya wielkich posiadłości ma istnieć, kurya izb handlowych zachowana, cenzus wyborczy w miastach i na wsi zatrzymany. Jak hr. Badeni pojmuje godło „sprawiedliwości“, którym opatrzył swój projekt, wskazują cyfry.

W całej Przedlitawii było dotychczas obywateli wyborców 1,732,257. a ci wysyłali 358 posłów do parlamentu. Obecnie wedle nowego projektu wzrasta ta liczba do sumy 3,601,224 wyborców, a więc dwukrotnie, a ci nowi wyborcy mają wybierać tylko 72 posłów. Nowy więc parlament składał by się z 85 posłów wielkich posiadłości, 119 deputatów miast, 21 posłów z izb handlowych. 129 posłów gmin wiejskich, a tylko 72 reprezentantów nowej kuryi. Gdy więc n. p. 20 właścicieli wielkiej posiadłości wyszle sobie jednego reprezentanta do Rady państwa, to jeden reprezentant nowej kuryi może sobie reprezentować i 100,000, a nawet do 300,000 obywateli!

To się nazywa „sprawiedliwością!“

Taka „sprawiedliwość“ to równoznaczna z uświęcaniem dotychczasowego systemu, który ma na celu tylko to, aby masy ludowe były nadal jak dotychczas wydane na pastwę egoizmowi klas uprzywilejowanych pod względem ekonomicznym, aby wszelkie reformy socyalne usunąć zupełnie z porządku dziennego.

To więc nie dla nas reforma!

Nie łudzimy się bynajmniej, że pod grozą rozwiązania parlamentu, wszystkie niemal stronnictwa zaaprobują projekt hr. Badeniego — ale na sztandarze ludu będzie nadal powiewało wielkiemi zgłoskami wyryte żądanie:

„Powszechne, bezpośrednie, tajne prawo głosowania!“

— ski.

LITERATURA I SZTUKA.

Pesymiści-melancholicy.

(*E. Orzeszkowa. Melancholicy, nowele. — Warszawa 1895, 2 tomy*).

Wszelkie mody, a więc i literackie płyną do nas z Zachodu. Dzięki temu ujrzeliśmy w ostatnich czasach na scenie naszej domorosłych Maeterlincków, w dziedzinę naszej powieści i noweli wtargnęły buńczucznie nadwiślańskie Zolęta. Bourgeciki i Maupassanciki, a do świątyni naszej pięknej, wielkiej poezyi wcisnęli się hurmem z napuszonemi minami Baudelairki, Verlainki, Sully-Prudhomki.... Drobne te stworzonka, może właśnie dla tego, że drobne, stały się bardzo dokuczliwe, bo taki drobiazg zazwyczaj sporo czyni hałasu szumem swych skrzydełek, najłatwiej roznosi bakcyle, a najtrudniej się od niego opędzić. To też równocześnie z jego pojawieniem się zaczęły trapić naszą literaturę różne większe i mniejsze epidemie: naturalizm, dekadentyzm, symbolizm, impresyonizm, okultyzm, weryzm, modernizm, mistycyzm....

Niektórzy z nowatorów nanieśli do winnicy naszej literatury i filokserę pesymizmu. Negatywny ten kierunek, którego ojcem duchowym a raczej odnowicielem był Schopenhauer, znalazł dla siebie nad Sekwaną grunt podatny, użyźniony przez sceptycyzm renanowski. Uczniowie, jak zwykle uczniowie, nietylko spopularyzowali mistrza, ale przekroczyli znacznie granice jego doktryny. Naszym nowatorom zdawało się, iż nieszczęśliwe polityczne stosunki, w jakich żyjemy, sprzyjać będą rozmnażaniu się tej filoksery. Zawiedli się: sztucznie wylęgnięty pesymizm nie jest w stanie stoczyć zdrowych pędów, przynosi tylko szkodę roślinom chorym, usychającym, niezdolnym do odporności, a względne swe powodzenie zawdzięcza jedynie swym siewcom, który wraz z innymi nowatorami zawiązali między sobą ligę wzajemnej ochrony i wzajemnej adoracyi. Piszą o sobie dużo, wciskają się do zbyt gościnnych gospód dziennikarsko-literackich i wmawiają w gospodarzy i biesiadników, że przynoszą ze sobą nowe myśli i świeże prądy. Poznajemy się jednak pomału na nich, przekonujemy się, że brak im szczerości, że pod czarną maską pesymizmu mają oblicza wesołe, że każdej chwili są gotowi zrzec się upragnionej i przywoływanej nicości za cośkolwiekbądź realniejszego, choćby to było tak niepochwytne jak uścisk kobiety, tak prozaiczne jak mamona, lub tak lekkie jak dym z dobrego cygara, lub gaz z napełnionego szampanem kielich. Nietylko praktyczni, trzeźwi prozaicy, ale i łatwo ulegający wrażeniom poeci zabrali się już do wypędzenia przekupniów i faryzeuszów pesymizmu ze świątyni literatury.

Przyjacielu o mistycznej twarzy!
Mnie nie zwiedzie smętna twa osoba....
Wiem, że puder bladością cię darzy,
A pesymizm tobie się podoba
Nie jak cmentarz marzeniom nędzarzy,
Lecz jak ładnej blondynce — żałoba.

— przemawia z ironią Gomulicki do panów „z trupią główką na krawacie“.

Czyby jednak pesymizm nie miał prawa bytu w literaturze? Skąd znowu! Wszystko ma prawo bytu w literaturze, co istnieje w życiu, a nikt nie zaprzeczy, że pesymizm w życiu istnieje. Każda jednostka szlachetna czy wrażliwa, im więcej jest zdolna myśleć i zastanawiać się, tem więcej odczuwa boleści własne i ogółu, tem większą goryczą wzbiera jej serce. Kult myśli Bożej ustępuje kultowi ciała; najwznioślejsze ideały padają pod brutalną dłonią przemocy, lub odbierają chłostę od skojarzonych przeciw nim osobistych interesów, intryg, podstępów; nieskażone i czyste charaktery paczą się, schodzą z drogi prawdy i obowiązku; spryt i poza górują nad wiedzą i zdolnościami; wielkie talenty służą wielkim bezprawiom; sprawiedliwość wymierza ciosy niewinnym, a tarczą swą osłania zbrodnie i występki; organizacya społeczna i polityczna, ku którym ludzkość dążyła jako ku zbawczym przystaniom, okazują się wadliwe, gorsze częstokroć od porzuconych; bożkom fałszu i złota

---

jednego z naszych biurowych kolegów i ja muszę być na nim koniecznie. Krzywiła się z początku i wyrzekała, ale ostatecznie uwierzyła w prawdziwość słów moich i dała swe najwyższe pozwolenie (przechadza się i myśli). Byle tylko nie przyszła jej ochota szpiegować mnie i przekonać się, czy prawdę mowię. Muszę coś takiego obmyśleć, coby ją w domu bezwarunkowo zatrzymało“.

Kiedy „mąż“, przyłożywszy palec do czoła, obmyśla w zabawny sposób plan zdrady na scenie, w zaułku kulis odbywa się jeden z tych cichych dramatów, których przebieg nie dochodzi do publiczności, a które tem są nieraz tragiczniejsze, że osoby w nić intrygi pozascenicznej wmięszane, śmiać się muszą wzorem nakręconych manekinów, gdy serce z bólu pęka.

Smolarz chwycił Łasieckiego za rękę, pociągnął go ku sobie i jęknął:

— Łasiecki.... patrz, tam.... w to lustro po przeciwnej stronie.... Czy widzisz, co się tam dzieje?

- Nie, nic nie widzę.

Smolarz zgrzytnął zębami i wypuścił rękę Łasieckiego z żelaznego uścisku.

— Już znikło — zauważył zmienionym głosem.

Na scenie „mąż“ prowadzi tymczasem monolog dalej:

„Aha, już wiem. Napiszę do niej list tej treści: „Kochana Luniu! Przyjeżdżam dziś do miasta pocztą między 11 a 12 w nocy i zapraszam się do was. Naumyślnie nic podpisuję się, aby wam sprawić niespodziankę. Zgadnijcie, kto to“. — A co? nie wyborna myśl? Oczywiście, że po odebraniu tego listu będzie tak zaintrygowana przyjazdem tajemniczej osoby, że ani jej przez myśl nie przyjdzie mną się zajmować. Jednak list ten każę jej wręczyć po mojem odejściu, aby mię w domu nie zatrzymała. Otóż tak będzie najlepiej. (Zaciera ręce). Ona tu warzy kolacyę, czyni przygotowania, a ja tam z małą bestyjką Wicią ten tego....“

Audytoryum wybucha śmiechem. Klepka huczy — Raniecki karci go ponownym szturchańcem.

Smolarz chwyta powtórnie Łasieckiego za rękę.

Łasiecki! czy widzisz?... on ją przyciska do siebie i całuje.... Ja go uduszę.

Teraz Łasiecki zobaczył to w zwierciedle, na co Smolarz od dłuższej chwili spoglądał. A gdy Franek zacisnąwszy pięści, postąpił krok naprzód, porwał go oburącz za ramię i zatrzymał.

— Franek, ty się mylisz — tłómaczył spiesznie — to ci się tylko tak zdaje. Mój drogi, nie rób awantury, popsujesz przedstawienie. Widzisz, że teraz stoją całkiem grzecznie i z daleka od siebie. To ci się tylko tak zdawało.... Zaczekaj jeszcze, mój drogi.

Łasiecki nie wierzył w to, co mówił i był pewny, że Smolarz także słowom jego nie wierzy, chciał jednak jakimkolwiekbądź sposobem uspokoić przyjaciela.

Mąż tymczasem skończył pisanie listu i powiada:

„Muszę jednak nakazać Janowi, aby list oddał żonie dopiero po mojem odejściu (dzwoni i woła) Janie!

— Franek, wychódź na scenę! — woła Łasiecki.

Ale Franek, nie myśląc o przedstawieniu, patrzy wciąż uporczywie w fatalne zwierciadło i ma minę podrażnionego niedźwiedzia.

Zniecierpliwiony „mąż“ dzwoni powtórnie i woła jeszcze głośniej, tupiąc nogą: Janie!

Łasiecki wypycha Smolarza przemocą na scenę i podaje mu w ucho odpowiedź: „słucham proszę łaski pana“.

„Słucham proszę łaski pana“ — powtarza Smolarz bezwiednie wychodząc na scenę. Rozglądnąwszy się jednak po kilkuset utkwionych w siebie oczach, odzyskuje samowiedzę i stara się przypomnieć sobie, co ma czynić i mówić.

Mąż: Nie było do mnie jakiego listu z miasta?

Jan: Był proszę pana, przyniósł go posłaniec przed chwilą i powiedział, że tylko panu samemu mam go doręczyć.

Mąż: Dawaj go.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

stawia społeczeństwo ołtarze; cała ludzkość prawie stoi pod bronią i gromadzi materyały do dzieła zniszczenia.... A kto nie wybiega tak daleko swoim wzrokiem, lecz w ciaśniejszem kole czyni swe spostrzeżenia, odczuwa ten sam zawód, to samo spotyka go rozczarowanie. Widzi ludzi ciężkiej pracy, padających ze znużenia i niemogących zaspokoić najpierwszych potrzeb swej rodziny, a obok próżniaków rozrzucających złoto garściami; widzi łotrów odbierających cześć ogólną, a zacnych obrzucanych błotem przez rzezimieszków cudzego honoru; widzi głód, nędzę, chorych bez opieki, płaczących bez pociechy, pracujących bez zapłaty, zdolnych bez chleba, cnotę bez uznania, ciemnych wyciągających ręce ku światłu — a jednocześnie w blaskach i złocie chodzą nieprawość i sromota, blaga i karjerowieczostwo odnoszą życiowe tryumfy, umysły płytkie wyższym narzucają swą wolę, egoizm wypłasza miłość bliźniego z chat i pałaców; dobru jednostki poddaje się dobro ogółu, sumieniom wydano walkę, cnoty przybito do krzyża. I jak tu nie być pesymistą, jak wierzyć w odrodzenie ludzkości, w zwycięstwo prawdy? Jak tu nie być pesymistą, kiedy każda chwila znaczy się krzywdą biednych, opuszczonych, wierzących i miłujących, a korzyścią złych, sprzedajnych, używających. Jak tu nie być zwłaszcza pesymistą temu, kto na drodze swego życia spotyka niezasłużone cierpienia, temu, którego czyste zamiary oplwano, pracę wyzyskano, szlachetny zapał wyszydzono, temu, który za lata trudów i znojów widzi zbliżającą się zapłatę dla siebie i swych znajomych w postaci nędzy. Jak nie być pesymistą temu, którego ideały społeczne i etyczne zwarzył mróz zimnej rzeczywistości, a który w pogoni za kawałkiem chleba upadł bezsilny na ostre kamienie ludzkiej zawiści i obojętności, widząc w oddali zastawione uczty dla sytych, bezczelnych tonących w rozkoszach i dorzucających nowe miliony do milionów z łez i potu kilku pokoleń i tysięcy parjasów wydobytych.....

Taki pesymizm jest prostym, naturalnym wynikiem istniejących stosunków. Ulegają mu częstokroć ludzie najprawsi, najszlachetniejsi, wysoko moralnie stojący. To też krzywdą byłoby dla przedstawicieli tego naturalnego pesymizmu, gdybyśmy ich zaliczali do jednej kategoryi z pesymistami, którzy weszli na tę drogę z przesytu, z niezaspokojonych żądz użycia, z braku wszelkich moralnych podstaw, z próżniactwa, z fizycznego i umysłowego upadku, który sami sobie zgotowali. Takie uschłe gałęzie nie zasługują nawet na miano pesymistów. Ale i pomiędzy pesymistami naturalnymi są jeszcze dwa rodzaje, bardzo różniące się od siebie, a które przed kilku laty wybornie Brunetière scharakteryzował. Są mianowicie między tymi pesymistami naprzód tacy, co się zatrzymują w połowie drogi, co widząc tryumf zła, nie przeczą istnieniu dobra, a przynajmniej spodziewają się jego nadejścia. Ci połowiczni pesymiści wglądając głębiej w sprawy ludzkości i swego otoczenia, nie są heroldami wyłącznego panowania zła nad światem, lecz owszem strażnikami i hodowcami pierwiastku dobra; choć rozgoryczeni, nie zniechęcają się; nienawidzą wielu urządzeń społecznych, ale nie zaprzeczają, że dawniej było jeszcze gorzej; obrzucają wzgardą nadużycia i występki, poddają bezwzględnej krytyce istniejące stosunki, ale zawsze mają na celu ich poprawę. Obok nich jednak wyrasta cała rzesza, która wtrącona do ciemnicy pesymizmu, przyzwyczaja się do niej tak, że nie znosi światła, przedzierającego się przez szczeliny. Razi ją ono, gniewa, nie wierzy w jego istnienie, godząc się z losem opuszcza ręce, i zamiast rozszerzyć otwór dla przepuszczenia światła i powietrza, zatyka go z dziwnym stoicyzmem i woła: nieprawdą jest światło, kłamstwem jest powietrze! Tem swojem zachowaniem się, tym brakiem energii, tą wiarą w nieunikniony fatalizm, pomaga tylko zwycięstwu tych objawów, którym walkę na śmierć i życie wydać powinna. Jest ona jak człowiek, który niewinnie sądzony nie broni się, choć ma prawo po temu, przyjmuje w milczeniu niesprawiedliwy wyrok, choć może się od niego odwołać i wreszcie dobrowolnie prawie poddaje głowę pod topór, choćby mógł ją jeszcze ocalić wysiłkiem woli lub czynu.

K. Bartoszewicz.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

„GAEA".

(*Międzynarodowa akcya artystyczna*).

Przed trzema tegodniami wszystkie zagraniczne dzienniki obiegała odezwa, w której najgłośniejsi pisarze, myzycy i artyści z całej Europy (w liczbie 38) ogłaszają, iż pragną wspólnemi siłami przyczynić się do przedstawienia „Gei", utworu muzyka i poety Adalberta von Goldschmidta. „Ogromne to dzieło — czytamy w rzeczonej odezwie — które sprzęga środki wszystkich sztuk, aby stworzyć nową sztukę a w tak potężny sposób uzmysławia treść ogólno-ludzką, ma być przedstawione przez osobne, jedynie artystycznemi względami kierujące się towarzystwo". Podpisani na odezwie, z pomiędzy których dość wymienić pisarzy i muzyków, jak Zolę, Masseneta, Lamoureux, Leoncavalla, Maeterlincka — proszą wszystkich miłośników wielkiej sztuki o poparcie przedsięwzięcia". — A więc w Wiedniu, w Berlinie i w Paryżu powstały komitety, krzątające się około tej sprawy.

Sensacya niemała. Naturalnie, podobne międzynarodowe przedsięwzięcie artystyczne zdarza się po raz pierwszy. Z odezwy wszakże żadną miarą nie dociec, w jaki sposób komitety zabiorą się do urzeczywistnienia swego zamiaru. Zaszedłem tedy do Hermana Bahra, głośnego literata i redaktora „Zeit" i pytam go:

— O cóż wam właściwie chodzi? Zresztą „Gaea" znana mi jeno z dawnych artykułów w dziennikach, nie znajduje się ponoć w obiegu księgarskim.

— A tak — odpowiada Bahr — partytura nie jest wydana, tekst niemiecki poematu też nie jest dostępny, ale istnieje przekład francuzki, którym panu służę... A chodzi o to: Chcąc dzieło to wystawić w takiej np. operze wiedeńskiej, trzebaby zamknąć ją bodaj na trzy miesiące i cały czas obrócić na studya i próby. To niemożliwe. Nie ma więc innej rady, jak utworzyć osobną trupę artystyczną, którąby się wyłącznie zajęła tym utworem. Na to trzeba pieniędzy, przeto komitety mają w jak najkrótszym czasie — no. ale prawdopodobnie niemało go upłynie! — zebrać potrzebne fundusze na udziały, które w razie powodzenia będą zwrócone,

Tortury nadziei.

Przez

A. Villiers de l'Isle Adama.

O! głosu, głosu,
by krzyknąć!...
Edgar Poe.

Pod piwnicami Officiatu Saragossy, przy zachodzie słońca, czcigodny Pedro Arbuez d'Espila, szósty przeor dominikanów w Segowii, trzeci wielki inkwizytor Hiszpanii, schodził w Towarzystwie Fra redemptora i dwu służących z latarniami, ku jednemu z najbardziej ukrytych więzień. Rygiel ogromnych podwoi zgrzytnął, gromadka ludzi wstąpiła w cuchnącą grotę, gdzie przy świetle promieni napół gasnących i przy połyskach świec latarkowych oko rozróżniało między pierścieniami przykutymi do murów skrwawione narzędzia tortury, żelazny piecyk i krużę. Na słomie zmierzwionej, przechodzącej w nawóz, skrępowany więzami, z obrożą żelazną na szyi, siedział wystraszony, okryty łachmanami człowiek, wieku nie dającego się łatwo określić.

Tym więźniem nie był kto inny, jak rabi Aser Abarbanel, żyd aragoński, którego — obwinionego o lichwę i nielitościwą wzgardę ubogich — więcej niż od roku codzień brano na tortury. Lecz „zaślepienie jego dorównywało twardości jego skóry"; wzbraniał się zapamiętale porzucić wiarę ojców.

Dumny ze swego pochodzenia starożytnego, z pokrewieństw dających się wyznaczyć o kilka tysięcy lat wstecz, wyprowadzał, oparty na talmudzie, ród swój od Otoniela i żony jego Ipsiboy, żony ostatniego sędzi izraelitów... Co nadawało mu wytrzymałość na największe katusze.

Z oczyma więc pełnemi łez napływających na myśl, że ta dusza tak szlachetna, usuwała zbawienie, czcigodny Pedro Arbuez d'Espila przybliżył się do rabina i drżąc — wymówił:

— Mój synu, ciesz się, oto twe nawiedzenia ziemskie mają się ku końcowi. Jeśli wobec takiego uporu z łkaniem w duszy użyłem wielu surowych środków, to jednak nie myśl, aby braterskie me chęci poprawy ciebie, były bez granic. Jesteś zawziętem drzewem figowem, które po wielu latach niepłodności, musi być ściętem... Ale Bóg sam tylko ma prawo stanowić o twojej duszy. Może nieskończona jego łaskawość zaświeci nad tobą w ostatniej tej chwili! Miejmy nadzieję! Zdarzały się wypadki... Niech dzieje się wola Najwyższego! — A zatem spoczywaj tego wieczora w spokoju. Jutro weźmiesz udział w *auto da fé*: to znaczy będziesz wystawiony na ciepło ogniska stanowiącego przedsmak wieczystych płomieni. Pali ono jak wiesz mój synu, z daleka tylko, śmierć każe na siebie czekać co najmniej dwie lub trzy godziny, z powodu — zapewne musiałeś słyszeć — mokrych i lód zawierających szmatek, któremi w trosce o duszę grzeszników owijamy głowę i serce całopalonego. Będzie was wszystkich tylko czterdziestu trzech. Rozważ, iż postawiony na samym końcu będziesz miał czas wezwać Boga, ofiarować mu ten chrzest ogniowy. Pokładaj więc nadzieję w Swiatłości i śpij.

Kończąc tę mowę, dom Arbuez dał znak, aby zdjąć łańcuchy z nieszczęsnego i pocałował go czule. Po nim Fra redemptor prosił żyda cichutko by przebaczył mu, to co doznał odeń dolegliwego, a pełnionego jedynie w celu zbawienia jego duszy. Nakoniec dwaj służebnicy złożyli pocałunek na twarzy rabina. Ceremonia skończyła się, latarki wycofały się z izby, więzień pozostał sam w cieniach.

Z wargami spieczonemi, obliczem wykrzywionem od bólu rabi Aser Abarbanel rzucił najpierw okiem, bez szczególnej myśli, na zamknięte drzwi. „Zamknięte?"... to słowo w głębi duszy jego wywołało jakby sen... Czy w istocie widział przed chwilą światło jakieś przekradające się niby przez szczelinę między drzwiami, a murem, do którego zwykle tak szczelnie przylegały?... Sła-

w przeciwnym razie stanowią fond perdu. Gdy się zbierze 200,000 fl., wtedy utworzy się specyalna trupa, która da przedstawienia w Berlinie, w Wiedniu, w Paryżu, Londynie i Petersburgu.

— Sądzisz pan, że to przedsięwzięcie się powiedzie?

— Nie wiem. Nie przesądzam. Zresztą — dodał po chwili — wiesz pan, co mi w całej tej sprawie najlepiej się podoba, to owo zestawienie imion. Bądźcobądź, rzecz ma cechę europejską.

Zabrałem się do czytania: „Ghéa, poème dramatique par Adalbert von Goldschmidt, mis en français par Catulle Mendès“. Poemat ten jest dziełem, poczętem w duchu Wagnera, ma przedstawiać „ein Kunstwerk der Zukunft“, t. j. utwór, opierający się na teoryi o „sztuce przyszłości“, w myśl której poezya, muzyka, kunszt dramatyczny i dekoracyjny winny się ściśle skojarzyć i zespolić w jedną harmonijną całość. Treścią zaś poematu jest rozwój ziemi i człowieka od początku do końca, od chwili, kiedy „Gea“ wyłania się z chaosu, do chwili, gdy ludzkość, dopiąwszy ostatecznego celu, spełniwszy najwyższe swoje zadanie, przeszedłszy wszystkie szczeble ewolucyi, wraz z ziemią-matką zapada w otchłań nieskończoności i wraca tam, zkąd wyszła, na łono prabytu. Poemat wysoce filozoficzny dzieli się na trzy części, z których każda liczy trzy akty i zapełnia cały wieczór na scenie.

Część I. Chaos. „Gaea“, alegoryzowana w postaci kobiety, zwalczywszy rozhukane demony ognia i wody, poczyna byt na wezwanie ducha wszechświata Eona, który jej rzecze: „Wtedy dopiero, gdy w tobie zrodzi się świadomość celu, wstrzymaj swój lotny bieg i spocznij, boś już dojrzała do wysokiego przeznaczenia światów“. Eros, duch miłości i życia, chwyta ją w objęcia; w gorącym uścisku, ziemia promienieje i cudne życie w krąg krzewi się i rozwija. I człowiek, Kadmos, budzi się w kolebce przyrody a potężny demon świadomości Epimeteusz Eimp(etheos) towarzyszy mu w życia podróży. Kadmos woła: „Chcę zbadać, co natura mrokiem osłania“

„Czem jest me życie?
Dokąd mnie gna?
Któż stworzył mnie, bym cierpiał kaźń,
Któż stworzył mnie, bym rozkosz pił?
Czyż życie śmiercią jest?
Czyż nicość kresem mym?“

Epimeteusz wskazuje mu światło. „Odpowiedź znajdziesz w sobie i stworzysz ją. Stworzysz niebo, czyściec i piekło; l'espace vide concevra sous ton etreinte spirituelle!“

Część II. Kadmos i Epimeteusz (człowiek i świadomość) widzą dokoła siebie różne złe siły i duchy, które mroczą byt uroczy i okowy nakładają na swobodną myśl i dążenie do prawdy. Kadmos przeklina Epimeteusza, iż go zdradził i obłąkał, ale dobre, świetlane duchy spieszą mu na pomoc. I zjawia mu się też Kalatea, jasna bogini, która wskazuje drogę do piękna, do prawdy i uczy go żyć. „Wracaj na ziemię. Matka we łzach cię czeka. Niechaj prawda i piękność skrzydłami ci będą“. Kadmos zaś zrywa się, burzy bałwany i bożyszcza i świetlana swoboda panuje na ziemi. „Cześć ci, o matko! Chimera i złuda nareszcie się rozwiały! Nareszcie świta dzień złoty“.

Część III. Scena przedstawia cudny fantastyczny gmach szczęścia. Chóry aniołów rozbrzmiewają: „Le monde est beau, la vie est digne aussi d'avoir été vecue“. Kadmos łączy się z Galateą, która w jego objęciach staje się kobietą, mieszkanką ziemi. Piękność i prawda urzeczywistnia się i wciela w byt ziemski. Jakoż następuje teraz błogi, najwyższy rozkwit natury i ducha. Tak więc spełnił się cel ostateczny i wtedy nadchodzi kres: Kadmos umiera, Eros ginie.

I w akcie ostatnim widzimy znowu chaos. Zrozpaczona Gaea podnosi głos błagalny i groźny. Ale smętny duch wszechświata odpowiada jej: „Nie ja jestem panem bytu. On sam swym władzcą jest i stwarza z siebie. Ja jestem tylko duchem, co krąży dokoła stworzenia, wskazuje drogi i oświeca wszystko“. Gaea znika w otchłani. Z przepaści słychać głosy: „Uciszona w pragnieniu, dokonana w nicości!“ Z świetlanej zaś wyżyny brzmi chór: „Łza otarta. Zarod świata rozkwita!“

Ogromny ten poemat, streszczony tu w rysach zasadniczych, kreślący rozwój i losy człowieka i ziemi, jest dziełem głębokiego myśliciela. Jestże jednak dziełem prawdziwego poety? I czy może liczyć na powodzenie sceniczne?

Prawda, że muzyce i sztuce dekoracyjnej nastręcza niemało przepysznych sposobności do rozwinięcia wszystkich zasobów i czarów. Jakichże cudów a la Wagnerowski „feuerzauber“ lub „Los Walkirij“ może dokazywać orkiestra tu, gdzie chodzi o zilustrowanie i malowanie walki żywotów i błogiego rozkwitu przyrody. Jakież pole dla dekoratora otwiera się tu, gdzie trzeba uzmysławiać zmiany i przewroty w życiu i w naturze!

Inna rzecz, czy taki utwór filozoficzny zaskarbi sobie względy publiczności na scenie. Poemat posługuje się ciągle alegoryami (nawet takiemi alegorycznemi postaciami, jak „Ideał“, „Trwoga“, „Kłamstwo“, „Prawda“, „Wdzięk!“) a alegorya, jak mówi Maeterlinck, „ma wprawdzie korzenie w świetle, ale szczyt jej jest jałowy“. Na scenę zaś alegorya zupełnie się nie nadaje. Dramat, aby zajął, wymaga postaci z krwi i ciała. Zresztą problematy filozoficzne w teatrze nie pociągają zazwyczaj publiczności. Bądźcobądź, jeśli muzyka odpowie wysokim swoim zadaniom, utwór ten niechybnie poruszy miłośników sztuki w stolicach, gdzie ma być przedstawiony. W każdym razie jest to przedsięwzięcie niebywałe i znaczące także pod względem społecznym. Lubo względy poboczne przyczyniły się może poniekąd do rozgłosu autora i dzieła, bo według słów Boileau'a „quiconque est riche, est tout; sans sagesse il est sage“ — jednakowoż tylko istotna sztuka zdolna jest rozerwać szranki, dzielące narody i sprawić, że najznakomitsze duchy zgodnie stanęły do apelu.

L. Sz—i.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Listy z Warszawy.

II.

(*Prasa. — Jubileusz Świętochowskiego.*)

Warszawa jest nietylko wielką męczennicą naszego narodu, jest ona również ogni-

---

biutka myśl nadziei, urojenie zbolałego mózgu, wstrząsnęła jego istotą. Powlókł się ku widzianemu, a niezwykłemu zjawisku. I leciuchno, wkładając z tysiącem ostrożności palec w szparę, pociągnął drzwi ku sobie... O Jehowo! nadzwyczajnym trafem sługa, który zamykał kaźń, zawcześnie obrócił klucz. Rygiel nie wszedł w zwykły otwór, drzwi otwarte!!

Rabin z największą nieśmiałością wyjrzał na zewnętrz.

W bladym mroku rozróżnił półkole murów ziemistych przebitych ślimakami schodów; naprzeciw zaś pięć lub sześć dominujących stopni kamiennych, rodzaj czarnej kruchty, która stanowiła wejście do przestronnego korytarza. Lecz z dołu ledwie kilka łuków krużganka pochwytywało oko.

Wyciągnął się tedy i zaczął pełznąć ku nim. Tak, istotnie korytarz otwierał się przed nim, ale jakże niezmiernie długi! Blade światło oświecało go: lampki zawieszone na sklepieniach błękitniały w odmierzonych przystankach, dalekie tło zlewało się w gruby cień. Po bokach na całej przestrzeni ani jednych drzwi! Z jednej strony małe otwory zakratowane przepuszczały nieco zmroku — zmroku wieczornego, tu i tam przeciętego czerwonym promieniem zachodzącego słońca. Co za przerażające milczenie!... Jednak tam, tam w głębi ciemnej jakiejś wyjście może istniało! Chwiejąca się nadzieja żyda była zarazem upartą, bo była ostatnią.

Więc nie ociągając się stąpił na płyty korytarza, tuląc się jednem ramieniem do ściany, usiłując nie wyjść z pod muru, z którego ciemną barwą się zlewał. Posuwał się zwolna, pełzał przyciskając często pierś do ziemi, wstrzymując krzyknięcie, ilekroć jaka rana świeżo urażona zabolała strasznie.

Naraz odgłos sandałów deptających kamienny chodnik doleciał jego uszu. Drgnienie go przebiegło, strach ścisnął gardło, w oczach pociemniało. Oho! już po nim, po nim na pewno! Przyklęknął pół martwy w bocznem zagłębieniu i czekał.

To jakiś famulus śpieszył się. Przeszedł chyżo, z narzędziem do szarpania mięśni w ręku, z łbem spuszczonym, straszny. I znikł. Rabin pod wrażeniem śmiertelnej trwogi, godzinę może leżał bez ruchu. W obawie jeszcze straszniejszych mąk zmienił zamiar, postanowił wrócić do groty. Ale dawna nadzieja szeptała mu w duszy, wyszeptywała to „może?“ które w najstraszniejszem położeniu wzmacnia. Cud z nim zdarzył się! Ani wątpienia! I zaczął dalej pełznąć ku możliwemu ujściu. Wycieńczony bólem i głodem, posuwał się! A ten grobowy korytarz zdawał się wydłużać tajemniczo, lecz on nieustannie posuwając się patrzył wciąż w cień, tam gdzie musiała być furtka zbawienia.

— Ach! ach! Oto znowu kroki zabrzmiały, ale teraz wolniejsze i bardziej ponure. Zarysy białe i czarne, o długich kapeluszach z zagiętymi brzegami, zarysy dwóch inkwizytorów ukazały się przed nim, oddalone jeszcze, na tle pół mroku. Rozmawiali cicho i pono różnili się w jakiejś ważnej sprawie, bo ręce ich poruszały się gwałtownie.

Na ten widok, rabi Aser Abarbanel zamknął oczy, serce jego omal nie rozparło mu piersi, przez łachmany przeniknął zimny pot agonii, pozostał nieruchomy, bez tchnienia, przyciśnięty do zimnego muru, pod promykiem lampki, błagając Boga Dawida.

Naprzeciw niego dwaj inkwizytorowie zatrzymali się w obrębie światła. Zapewne przypadkiem tylko, bezwiednie wśród zawziętej dyskusyi. Jeden z nich słuchając towarzysza, rzucił okiem na rabina! I pod tym wzrokiem, którego wyrazu roztargnionego żyd początkowo nie pojął, nieszczęsny czuł już szczypce rozpalone, szarpiące ponownie jego biedne ciało; więc znowu miał stać się jedną skargą i raną! Mdlejąc, nie mogąc odetchnąć, z powiekami drgającemi, trząsł się pod dotknięciem tego wejrzenia. Ale, rzecz dziwna zarazem i naturalna, oczy inkwizytora były oczywiście oczyma człowieka głęboko zajętego tem, co miał odpowiedzieć, pochłoniętego myślą o tem co słyszy: były weń utkwione, a jednak *nie widziały go*.

skiem jego ruchu umysłowego, literackiego i artystycznego. Poznań, Lwów, Kraków, Wilno, Kijów są bądź to stolicami poszczególnych prowincyi, bądź też stolicami zaborów, ale jedna Warszawa jest stolicą całej Polski, tej idealnej Polski, której nie dzielą miedze graniczne ani hełmy celników. Tu biorą swój początek główne prądy, które później nurtują całą Polskę, tu wychodzi największa ilość polskich czasopism, tu jest najlepszy teatr polski, tu wreszcie jest największy ruch wydawniczy, bo ztąd czerpie swój pokarm intelektualny całe społeczeństwo.

Nie należę zaiste do tych, którzy w przeszłość zapatrzeni twierdzą, że tylko dawniej dobrze było, przeciwnie, stanowczo twierdzę, że w sumie naszego życia społecznego niewątpliwie jest rzeczywisty postęp, ale przyznać muszę, że najmniej jest ten postęp widocznym w naszej prasie, zwłaszcza codziennej. Widać tu raczej cofanie się wstecz. Nie mówię tu naturalnie o stronie technicznej wydawnictw, która niewątpliwie jest ważną i pod względem której zbliżyliśmy się znacznie do Zachodniej Europy, ale mam na myśli moralną, najważniejszą stroną naszej prasy. Pod tym względem na szczęście jeszcze nie dorównaliśmy Zachodowi i prasa nasza jest bezwarunkowo moralniejszą np. od prasy paryzkiej. Mała ztąd jednak pociecha. Zajrzyjmy prawdzie prosto w oczy i powiedzmy, że powodem tego jest niezmiernie mały jej wpływ, jako prasy kraju, nie posiadającego żadnego życia politycznego. Zawsze dowcipny „Kuryer świąteczny“ (który, mówiąc nawiasem, zmartwychpowstaje pod nową redakcyą poety-dekadenta p. Józefa Jankowskiego) tak scharakteryzował to położenie, w czasie sprawy panamskiej: „Ludzie toby się u nas znaleźli, tylko, co kanału niema“.

Jako normę biorę np. obóz konserwatywny. Przed dwudziestu laty większość dziennikarzy tego obozu składała się z ludzi uczciwych, zdolnych i głęboko wierzących w prawdę wygłaszanych haseł. Jeżeli kto wtedy popierał katolicyzm w łamach pisma, to w życiu był również przykładnym i praktykującym katolikiem. Dziś znaczna część współpracowników pism codziennych — to legjon obłudników bez żadnego wykształcenia. Wszystkie nasze dzienniki jadą teraz na katolicyźmie, który wydaje im się najlepszym kluczem otwierającym kieszenie łatwowiernej publiczności. Jeden i drugi z tych panów, który na szpaltach swego pisma ciągle trzyma ręce złożone do modlitwy, poza tem śmieje się w kułak ze swoich czytelników i znanym jest z najbrudniejszego prywatnego życia. Przeciwko tej reakcyi nie wolno walczyć, nie wolno odkrywać kruchego rusztowania, na którem spoczywa konserwatyzm w prasie, bo jest ona na rękę rządowi, a wszelkiem poważnym usiłowaniom prasy postępowej stoi na drodze cenzura. Koło trzech postępowych tygodników (Prawda, Przegląd Tygodniowy, Głos), grupuje się lepsza część dziennikarzy, ale ten odłam prasy skutkiem nielitościwej cenzury narażonym jest często na jałowość. O wielu kwestyach bieżących wolno pisać prasie konserwatywnej, nie wolno zaś postępowej, która skutkiem tego wydaje się często źle informowaną, a rzecz oczywista, że i środki materyalne grają tu poważną rolę.

Należąc sam do obozu postępowego, nie chciałbym być posądzonym o stronność w powyższym zarysie, to też spieszę zaznaczyć, że w obozie konserwatywnym znajdują się dziennikarze nieposzlakowanego charakteru np. J. Kenig, K. Kaszewski, A. Pług i inni, ale ci wiekiem swoim należą do tej przeszłości, o której wyżej mówiłem.

Na tem podmalowanem tle wypuklej wyjdą te fakty, o których mam zamiar pomówić. Przed nowym rokiem asystowaliśmy tu prawdziwej orgii prospektów. Licytowano się Sienkiewiczem, bezpłatnemi premiami, godzinami wychodzenia pisma z pod prasy itd. W tej pogoni za groszem, obniżając j godność prasy, zaszczytnie wyróżniły się „Słowo“, „Prawda“ i „Głos“, które wcale się nie reklamowały; ostatnie dwa nie wydały nawet prospektu; pierwsze zaś nie przekroczyło w swoim prospekcie dozwolonych granic. Dla ścisłości dodać wszakże wypada, że „Słowo“ jest przez magnatów subwencyonowanem pismem.

W naszej prasie daje się przytem zauważyć uderzający zwrot ku Rosyanom. Do niedawna jeszcze wszelka wzmianka o dygnitarzach tutejszych, o ile nie była przez cenzurę narzuconą, nie była przez opinią tolerowaną. Dziś „Kraj“ petersburski stale zamieszcza ogłoszenia w obcym języku rosyjskim, oraz portrety i życiorysy rosyjskich rządowych osobistości. „Słowo“ z zachwytem mówi o balach, na których Karandiejew tańczy w pierwszą parę poloneza z jakąś hrabiną, noszącą polskie historyczne nazwisko, „Wędrowiec“ wreszcie posuwa się do pomieszczenia portretu i ciepłej wzmianki o starszym cenzorze Adykajewskim z okazyi jego jubileuszu!

W Warszawie wychodzi 60 pism polskich. Według terminu wychodzenia dzielą się one na dzienniki (9), tygodniki (38), dwutygodniki (4), miesięczniki (6), kwartalniki (1) i roczniki (2). Według zakresu można je podzielić na dzienniki brukowe (4), polityczne (4) tygodniki treści ogólnej (7), dla ludu (3), dla dzieci (2), ilustrowane (3), humorystyczne (3), miesięczniki treści ogólnej (2 i pisma specyalne (32). Z pism specyalnych jedno poświęconem jest sztuce, jedno religii, jedno pedagogice, jedno etnografii, sześć naukom lekarskim, cztery naukom przyrodniczym i z niemi związanym, 6 sprawom handlowym i przemysłowym, trzy rolnictwu, jedno sądownictu, cztery beletrystyce, dwa sportom i dwa modom. Tytuły pism tutejszych są następujące:

D z i e n n i k i: Dziennik dla wszystkich, Kuryer Warszawski, Kuryer Codzienny, Kuryer Poranny, brukowe; Słowo, Wiek, Gazeta Polska, Gazeta Warszawska, polityczne; Gazeta Handlowa, specyalna.

T y g o d n i k i: Przegląd Tygodniowy, Prawda, Głos, Niwa, Rola, Izraelita, Kronika Rodzinna, treści ogólnej; Tygodnik Ilustrowany, Wędrowiec, Biesiada Literacka, ilustrowane; Zorza, Gazeta Świąteczna, Gazeta Rzemieślnicza, dla ludu; Przyjaciel dzieci, Wieczory Rodzinne, dla dzieci; Kolce, Mucha, Kuryer Świąteczny, humorystyczne; Biblioteka roman. i pow., Tygodnik roman. i pow. Romansi Powieść, Biblioteka najc. utworów, beletrystyka; Echo muzyczne i teatralne, sztuka; Gazeta Rolnicza, Gazeta Sądowa, Gazeta Lekarska, Gazeta Cukrownicza, Gazeta Losowań, Kuryer Rolniczy, Kuryer Kolejewy, specyalne; Jeździec i Myśliwy, Cyklista, sport; Rolnik i Hodowca, Wszechświat, Medycyna, Przegląd katolicki, specyalne; Bluszcz, Tygodnik Mód, mody.

D w u t y g o d n i k i: Przegląd Pedagogiczny, Ogrodnik Polski, Wiadomości Far-

---

Istotnie po kilku minutach, dwaj dysputujący poszli dalej zwolna, rozprawiając po cichu, ku rozdrożu, zkąd więzień wyszedł. Nie widziano go!... I w strasznym wirze uczuć, nieszczęsny myślał chwilkę: „Czy już umarłem, że mnie nie widzą?“ Ohydne wrażenie wywiodło go z letargu: patrząc na mur naprzeciw siebie, sądził przez chwilę, że widzi tuż po przeciwnej stronie cudze jakieś okrutne oczy, obserwujące jego poruszenia!... Zarzucił głowę wstecz ruchem szalonym i nagłym i włosy stanęły mu na głowie!... Nie, nie, wyszeptał. Ręka jego dotknąwszy kamieni zdała sobie sprawę: to było odbicie oczu inkwizytora, które tkwiły jeszcze wświdrowane w jego źrenice; odbicie to mózg jego przeniósł na dwie plamy muru. W drogę! należało śpieszyć się do celu, gdzie czeka nań wyzwolenie! podążać w kierunku cieniów, gdzie już może trzydzieści tylko kroków należy odbyć. Więc na kolanach, na dłoniach jął dalej pełzać, dalej sunąć się na brzuchu, wśród bólów. I wnet wszedł w ciemną część strasznego korytarza.

Naraz nieszczęsny poczuł zimno na grzbiecie rąk, których dłonie głaskały płytę; pochodziło ono od gwałtownego powiewu wiatru, prześlizgującego się dołem małych drzwiczek, kończących dwa mury. Ach, Boże! Cała istota nieszczęsnego zbiega doznała jakby zawrotu nadziei. Przypatrywał się im od góry do dołu, nie mogąc dobrze odróżnić ich osobnych części z powodu ciemności. Macał: ani rygla, ani zamku: - Zasuwka... Podniósł się... zasuwka ustąpiła pod jego palcem; milczące drzwi rozwarły się.

„Alleluja!“ wyszeptał w bezmiernem westchnieniu wdzięczności, teraz już stojący na progu, oszołomiony widokiem, jaki odkrył się przed nim.

Drzwi wychodziły na ogród, ogród pod nocą gwiaździstą, owiany wiosną, swobodą, życ.em. Tam za nim musiały leżeć pola, ciągnące się aż ku sierrom*), których wygięte błękitne linie falowały na horyzoncie. Tam było ocalenie! — O, uciec! Biegłby całą noc tymi lasami cytrynowemi, z których dolatywała go woń. Dotarłszy gór, byłby zbawiony! Oddychał dobrem świeżem powietrzem; wiatr przywracał go do życia, płuca zmartwychpowstały. Aby podziękować Bogu, za to, że zlitował się nad nim tak łaskawie, wyciągnął ramiona przed siebie i oczy wzniósł ku gwiazdom. Znajdował się w ekstazie.

Wtedy zdawało się mu, iż widzi jak gdyby cień jego ramion zwrócił się ku niemu samemu; że czuje jakby te ramiona otaczały go, oplatały. Czy przycisnął go ktoś czule do piersi? Istotnie wysoka jakaś postać była przy nim. Pełen ufności spojrzał ku niej i stanął naraz przerażony, oszalały, z okiem bez błysku, drżący, wydąwszy policzki, z pianą cieknącą z ust.

— O zgrozo! Ujrzał się w objęciu wielkiego inkwizytora, czcigodnego Piotra Arbueza d'Espili, patrzącego nań oczyma pełnemi łez, z wyrazem dobrego pasterza, odnajdującego zbłąkaną owieczkę!

Ponury kapłan przyciskał do serca nieszczęsnego męczennika z tak potężnym wybuchem litości, że żądła włosienicy mniszej skaleczyły pod sutanną jego pierś dominikańską. I podczas gdy rabin Aser Abarbanel z oczyma zwróconemi pod powiekami charczał ze zgrozy jakby skuty obręczą i zaczynał rozumieć niejasno, że wszystkie fazy strasznego wieczora były tylko *przewidzianemi torturami, za pomocą nadziei.* Wielki Inkwizytor z akcentem kolącego wyrzutu i z wejrzeniem zdziwionem, szeptał mu do ucha gorącem tchnieniem:

— Jak to, moje dziecię! W przeddzień, może, zbawienia... chciałeś nas opuścić?!

Z fran. *W. Bugiel.*

*) Sierra — gora.

meucentyczne, Kuryer Kolejowy, specyalne.

Miesięczniki: Ateneum, Biblioteka Warszawska, treści ogólnej; Zdrowie, Przyjaciel Zwierząt, Kronika Lekarska, Przegląd Techniczny, specyalne.

Kwartalniki: Wisła, spec.

Roczniki: Pamiętnik Fizyograficzny, Pamiętnik Tow. Lekarskiego, specyalne.

Rzecz oczywista, że nie będę podawał charakterystyki wszystkich tych pism. Z góry wyrzucam za nawias pisma specyalne, o których niech sądzą specyaliści, dla których są wydawane. Zrobię tu tylko jedne uwagę że tak znaczna ilość pism specyalnych świadczy bądź co bądź o wysokiej kulturze społeczeństwa. Narzekają wprawdzie, nie bez słuszności, że pisma te niżej stoją od wydawnictw zagranicznych, ale i tak możemy się szczycić, że choć tyle w tak ciężkich warunkach robimy.

Wszystkie dzienniki polityczne są w rękach konserwatystów. Niema w tem nic dziwnego, bo cenzura nie pozwoliłaby na istnienie postępowego codziennego pisma, gdyby nawet znalazły się fundusze na założenie takowego. Ale w konserwatyźmie tym są pewne odcienia, mianowicie „Słowo" i „Gazeta Polska" są redagowane bardziej po europejsku i zupełnie odpowiadają zagranicznym pismom konserwatywnym. Nie znajdziecie tu jak np. w „Kuryerze" lub „Dzienniku Poznańskim" oceny zjawisk z punktu widzenia 5-ciu przykazań kościelnych wyłącznie, ani też jaskrawego wymyślania na przeciwników, spotkacie natomiast gruntowne artykuły, tylko oświetlające każdą sprawę z punktu widzenia międzynarodowego konserwatyzmu. „Słowo" posiada najwybitniejszych w obozie konserwatywnym współpracowników politycznych J. Keniga i Tadeusza Smarzewskiego, za to strona literacka szwankuje mocno; kieruje nią ks. Chełmicki, figura czysto operetkowa. „Gazeta" natomiast, słaba bardzo pod względem politycznym, pomieszcza dość często wybitne artykuły literackie i posiada w redakcyi jedynego w Warszawie niezależnego krytyka teatralnego p. Wł. Bogusławskiego. „Wiek" i „Gazeta Warszawska" uwzględniają więcej od poprzednich interesy prowincyonalne, są zresztą prowadzone fatalnie. Są to organy szlachty, podczas gdy „Gazeta Polska" jest uważaną za organ wielkiego mieszczaństwa, a „Słowo" — za „porte parole". arystokracyi. W kierunku ugody z Rosyą, najdalej posunęło się „Słowo".

Z pism brukowych „Kuryer Warszawski" zajmuje pod względem poczytności pierwsze miejsce w prasie wszystkich trzech zaborów, liczy bowiem około 30,000 prenumeratorów. Pismo to prowadzonem jest zupełnie po europejsku: ma najświeższe telegramy, dwa wydania dziennie i pomieszcza stałe korespondencye ze wszystkich stolic europejskich; dział wiadomości miejscowych również nie wiele pozostawia do życzenia. Chcąc być pismem najpopularniejszem, musi opuścić wiele z wymagań literackich, to też pod tym względem stoi bardzo nisko. Rywalizuje z nim „Kuryer Codzienny", ale bezskutecznie. Jako siłę przyciągającą posiada Bolesława Prusa w charakterze prywatnego współpracownika. Oba te pisma są w ręku najbogatszych firm wydawniczych S. Lewentala oraz Gebethnera i Wolfa; tworzą one też syndykat, który nadużywa swojej siły. Kto nie wydaje książek u nich, lub nie należy do ich kliki, ten w świecie literackim nie może wypłynąć na wierzch. Obszernie pisał o tem C. Jellenta w swej „Spowiedzi Zbira" dokąd ciekawych czytelników odsyłam po szczegóły; ustęp poświęcony syndykatowi „Kuryerów" należy do najsłuszniejszych w tej książce. „Kuryer Poranny" i „Dziennik dla wszystkich" są pismami w rodzaju paryskiego „Petit Journal": są one przeznaczone dla czytelników o najniższej kulturze umysłowej, zajmują się wyłącznie skandalami, a w odcinkach drukują sensacyjne powieści, w których co numer musi być przynajmniej jedno morderstwo; można tam czytać sensacyjne ustępy w rodzaju np następującego: „jedną ręką objął ją wpół, a drugą zawołał o pomoc!" Prasa ta cała brukowa jest pod względem przekonań bezbarwną. Pali ona naturalnie kadzidła na ołtarzu konserwatyzmu, ale na chłodno, dlatego tylko, że tego chcą czytelnicy. Nie kieruje ona opinią, lecz idzie za nią. Redaktorzy i stali współpracownicy tych pism, to częstokroć szumowiny świata literackiego. Z tygodników treści ogólnej „Izraelita" poświęcony jest obronie interesów żydowskich, „Rola" zaś i „Niwa" są tygodnikami antysemickiemi, ultrakatolickiemi. Z nich „Rola" jest silniej akcentowaną i niepozbawioną pewnych zasług, „Niwa" zaś cieszy się fatalną opinią z powodu osoby głównego kierownika A. Nowickiego, jednego z najsmutniejszych przedstawicieli dziennikarstwa tutejszego. „Rola" jest usposobiona wojowniczo nawet względem obozu konserwatywnego. „Niwa" podlizuje się, gdzie i jak może. „Kronika Rodzinna" jest mdłym przedstawicielem interesów ogniska rodzinnego. Mało znana i mało czytana pozbawioną jest zupełnie wpływu. Z trzech tygodników postępowych „Prawda" jest więcej organem naukowym, „Głos" pismem najbardziej żywotnem, najbardziej zajmującem się sprawami bieżącemi i posiadającem najobfitszy dział korespondencyi, „Przegląd Tygodniowy" zaś z wyjątkiem jednego nie posiada żadnego zdolnego współpracownika; pracują tam głównie siły bardzo młode, które z czasem mogą się wyrobić na bardzo wybitnych literatów, ale dziś sprawiają, że pismo to jest bardzo mało poważnem.

Od pism ilustrowanych niewiele więcej wymagać można niż dobrych ilustracyi. Znać też to po ich ubogiej treści. Trzyma tu prym „Tygodnik ilustrowany". Wędrowiec" i „Biesiada" zapuszczają wędkę na księży i skutkiem tego przesadzając w bigoteryi stają się zbyt często śmiesznemi. Pisma dziecinne zawiele, zdaniem mojem, poświęcają miejsca beletrystyce, pozatem jednak nie są ani gorsze ani lepsze od innych wydawnictw w tym rodzaju.

Gdybym słowa te pisał z innego zaboru, to przedewszystkiem zwróciłbym uwagę na literaturę ludową, bo w tem, co chłop nasz chce czytać, przebija się jego dusza, a gdzież leży przyszłość narodu, jeżeli nie w niezbadanej dotąd duszy chłopskiej? Ale u nas! Cenzorzy wiedzą dobrze, zkąd wiatr wieje, i na literaturę ludową baczną zwracają uwagę. To też w tych warunkach pisma ludowe są tem, czem być mogą: suchym materyałem do samokształcenia, możliwie przytem popularnym. W zakresie tym dobrze spełniają one swoje zadanie, dzięki poparciu lepszej cząstki naszej inteligencyi. Ale o poruszaniu żywotnych zagadnień nie może być mowy. Prócz cenzury rządowej podlegają one jeszcze cenzurze kleru, dzięki czemu i w nich czasem można spotkać jednostronność dewocyjną.

Z tych kilkudziesięciu wierszy nie można oczywiście powziąć wyobrażenia o całokształcie naszego dziennikarskiego życia. Nie o to też mi chodzi. Chciałem postawić pierwszy krok na drodze obznajmiania czytelników zaboru pruskiego z objawami życia we wszystkich dziedzinach tak, jak się ono pod rządem rosyjskim kształtuje. A czyż prasa nie jest jednym z najważniejszych jego objawów? Nie jestże ona pulsem życia społeczeństwa, a jeżeli nie jest, nie powinnaż nim być? U nas być nim nie może, ale jest zato ciągłym protestem bujnego życia narodu przeciwko krępującym je więzom. Naród gnębiony od wieku, któremu wróg usiłuje zabrać na każdym kroku język i odrębną kulturę, samem istnieniem tak obfitej publicystyki zaprzecza powodzeniu jego z górą stuletniej pracy. Prasa nasza jest szarą często, bezbarwną; brak w niej śmiałego polotu, bo ołówek cenzora gra tu rolę strychulca lub rolę kata króla Minosa, który każdego gościa dopasowywał do łoża Prokrusta — ale taką, jaką jest, jeszcze jest pożyteczną. Jest ona przedewszystkiem „porozumiewaniem się więźniów za pomocą pukania w ścianę" jak scharakteryzował ją niedawno jeden z najwybitniejszych publicystów. Dla tego to wiele rzeczy mieszczących się w naszych pismach niedostępnych jest dla innego czytelnika, bo my nauczyliśmy się przedewszystkiem czytać pomiędzy wierszami...

Obraz ten nie byłby zupełnym, gdybym nie wspomniał o jubileuszu weterana postępu, obchodzonym w końcu r. z. Mówię tu o Aleksandrze Swiętochowskim. Dzięki niedołęstwu komitetu urządzającego nie miał ten obchód tak szerokich rozmiarów, jakie mieć był powinien. Jednak i tak poważne robił wrażenie. Jubilatowi wręczono srebrny wieniec z liści laurowych, adres, pokryty wieloma podpisami, a prócz tego ma być wydana księga jubileuszowa i utworzonem stypendyum jego imienia. W obchodzie przyjęli udział wybitniejsi literaci z obozu postępowego, oraz delegaci młodzieży polskiej niemal ze wszystkich uniwersytetów.

Można z wielu względów nie zgadzać się ze Swiętochowskim, można niejednokrotnie działalność jego surowej poddawać krytyce, ale trzeba hołd oddać prawdziwej zasłudze tego wytrwałego szermierza postępu, czystości jego zasad i mocy charakteru. Ma on za sobą 25 lat pracy w zawodzie, który najbardziej ludzi wyczerpuje. Przez ten czas nie było najbrudniejszego zarzutu, którego nie rzuciliby mu w twarz dwulicowi kierownicy naszej opinii publicznej i którego nie powtarzałaby za niemi spodlona gawiedź. A on przetrwał to wszystko. To też postać ta jak ze spiżu ulana głową wyrasta ponad poziom naszych dziennikarzy. Imię jego nazawsze związanem będzie z epoką przewrotu w pojęciach, radykalnego oczyszczania miazmatami wstecznictwa przesiąkniętego gruntu, zorania pola pod nowy posiew i przygotowania gruntu dla nowych idei. Nie chcę sądzić o tem, czy Świętochowski dramato- i powieściepisarz, czy Świętochowski filozof przejdzie do historyi, ale to wiem, że będzie on w niej zajmował poczesne miejsce jako reformator, jako apostoł wolnej myśli, wolnego rozbioru i krytyki. Niech ten wieniec laurowy wręczony mu niedawno zagoi boleść, którą mu sprawiały dość często rzucane wieńce cierniowe.

Zbisław.

KRONIKA BERLIŃSKA.

Berlin, 26 lutego.

(*Wiec agraryuszów. — Junkerska tężyzna. — Bezrobocie szwaczek.*)

Zjazd Związku rolniczego, który się odbył 18 lutego w Berlinie, narobił wiele hałasu... w cyrku Buscha, gdzie obradował. Kongres ten nazwałbym przedstawieniem cyrkowem, lecz jako zwolennik własności w literaturze nie chcę uzurpować tego pomysłu, użytego przez jednego z uczestników zjazdu, von Diesto, najbardziej hałaśliwego ze wszystkich obecnych tam krzykaczów. Tegoroczny kongres odznaczył się wogóle jedynie bogactwem stylowem. Styl ujawnił się w okrzykach oburzenia, na które składały się dzikie dźwięki w rodzaju np. „pfui".

Głęboki zmysł literacki wystąpił w porównaniach, któremi przeplatano mowy. Walka społeczna n. p. sprowadza się do walki wiejskiego gruntu przeciwko „kurzącemu asfaltowi miejskich trotuarów“. Piękną liceneyą poetycką jest utożsamienie wszelkich wrogich związkowi potęg z żydami; żydem jest rząd, prasa, parlament, giełda, handel, kapitał i radykał. Niemniej bujna fantazya wyrażała się w tytułowaniu prowodyrów Związku, hrabiów i baronów, „biednymi kmiotkami“. Dobrą też była stylizacya depesz. Tak np. austryacki antysemita milioner Schönerer, zapytał melancholijnie przez druty telegraficzne, kiedy się wreszcie skończy „die bismarcklose Zeit“. Literackiemi perłami były kwieciste wymyślania, któremi raczono szczególnie ministrów. Większość wyrazów była oczywiście obcą „asfaltowi miejskich trotuarów“ i trąciła nieco wiejską idyllą wschodniopruskiej tężyzny. Nie powinno też nikogo dziwić, że tegoroczny zjazd Związku niemieckich rolników sprawił na całą prasę i czytającą publiczność przygnębiające wrażenie. Jak się okazuje, zdołał związek ze złotych gór przyrzeczonych „kmiotkom“ dać uczestnikom bardzo mało, jakkolwiek obiecuje w bliższej przyszłości zrealizować swe obowiązania. Zebranie zagaił podobnie jak w przeszłym roku v. Poletz. Cała jego mowa była wyrazem protestu przeciwko macoszemu traktowaniu rolnictwa przez rząd i społeczeństwo. Niemcy wciąż mienią się państwem przemysłowem, lubo dobrobyt tego państwa zależy od stanu roli. Traktatami handlowemi parlament i sfery rządzące odstręczyły od siebie Związek. Złe da się jednak naprawić, jeżeli projekt Kanitza zostanie urzeczywistnionym. Dopóki to nie nastąpi, Związek rolniczy pozostanie w opozycyi do obecnej polityki wewnętrznej rządu. Ponieważ przy tych słowach rozległa się burza, połączona z grzmotem tupań, okrzyków i oklasków, mówca skorzystał z entuzyastycznego nastroju zebrania dla polecenia kasy Związku łaskawej pamięci członków. W 1898 r. mają nastąpić powszechne wybory. „Pieniądz to potęga i bez pieniędzy nie ma wyborców“ — wyznał szczerze mówca. „Każdy wdowi grosz jest miłym Związkowi, lecz złote sztuki są jeszcze bardziej pożądanemi“. Mowę swoją zakończył mówca kilku fajerwerkami rewolucyjnemi, skierowanemi w stronę sfer rządzących. Dyrektor Suchsland odczytał sprawozdanie o działalności Związku, nadmieniając, że związek ten poniósł wprawdzie porażkę podczas debat nad traktatem handlowem, ale pocieszać się może tem, iż niejednokrotnie już zwyciężony dyktował prawa zwycięzcy. Działalność jego bez skutków nie pozostanie, tembardziej, iż posługując się zdobyczami nauki, drukowanem i ustnem słowem szerzy swą propagandę. Ośmnastu urzędników prowadzi stałą agitacyę i zwołało w ostatnim roku 770 zebrań. Liczba członków wynosi około 190 tys. W ostatnim roku wykreślono 24 tys. osób, lukę tę jednak zapełniło 25 tys. nowych rekrutów. Na polu polityki Związek nie doznał wielkiego powodzenia. Bez żalu pożegnano Capriviego, lecz i jego następca nie zdołał dotychczas zaskarbić sobie względów Związku. Rada stanu odrzuciła projekt Kanitza, zalecając drobne środki, których skuteczność jest wątpliwą. Wogóle ministrom, dzierżącym obecnie ster rządu, zbywa na energii i inicyatywie. Sfery wpływowe zapomniały, iż sprawy ekonomiczne stanowią właściwie kwestyę dobrobytu organizmu państwowego. Rolnictwo zasługuje na tem większą opiekę, iż przedstawiciele jego są pierworodnym stanem państwa.

Taką samą była mniejwięcej treść pozostałych mów. Ton jednak był mniej umiarkowanym. Drugi prezydujący milioner Rösicke wygłosił jeremiadę na temat nędzy rolników; przytoczone cyfry nie były zresztą przesadzonemi, gdyż dowodziły iż 35 procent szląskich chłopów uprawia swój zawód z deficytem. Tu można tembardziej przyznać racyę mówcy, iż przed kilku tygodniami najlepszy znawca rolnictwa, prof. Sering, oznajmił między innemi, iż 100 tys. drobnych rolników Niemiec stoi nad przepaścią ruiny. Wszelkie inne konsekwencye mówcy były fantazyą, wylęgłą w bujnej wyobraźni rozgoryczonego agraryusza. Kapitał, gdy odrywa się od ziemi i prowadzi żywot samodzielny, staje się, zdaniem mówcy, plagą. Projekt Kanitza opiera się na germańsko-chrześciańskim poglądzie na świat. Byłby zbawieniem dla niemieckiego narodu, bo gdyby nawet spowodował zwyżkę wydatków o 25 fen. na głowę dziennie, powiększyłby dochody rolnictwa o 3 miliardy marek rocznie. Następnie mówca potępił chwiejność kanclerza, który już kilkakrotnie obiecywał zwołać międzynarodową konferencyę w kwestyi bimetalizmu, co mu nie przeszkodziło niedawno wystąpić w Reichstagu z mową, którą można uważać za odprawę. Mówca protestował przeciwko podejrzywaniu Związku o brak prawomyślności. Tylko chłop jest wiernym poddanym i chrześcianinem.

Najsilniej napadali przemawiający na obecnego ministra rolnictwa von Hammersteina. Zażądano od niego, by cofnął obelżywe wyrazy, uwłaczające honorowi Związku. Zaprojektowano nawet, by ministra poddać bojkotowi; żaden z rolników nie powinien przestąpić progów jego mieszkania, dopóki minister ze skruchą nie oznajmi: *„peccavi“*. Największe owacye przypadły w udziale antysemicie Libermannowi, który w parlamencie uchodzi za najnieprzyzwoitszego warchoła po Ahlwardcie, wywiezionym bezpowrotnie do Ameryki przez impresaria. Tupano, krzyczano i machano czapkami w powietrzu na powitanie żydożercy i wrzekomego przyjaciela ludu. Wreszcie postawiono rezolucyę, która została jednogłośnie przyjętą. Pierwszy punkt zawiera żądanie wprowadzenia projektu Kanitza, przy którym Związek obstaje niezmiennie wbrew rezultatom debat w Radzie stanu. W drugim punkcie podkreślono kwestyę waluty. We wszystkich krajach o złotej walucie, zdaniem Związku, rolnictwo znajduje się w stanie upadku. Bez podniesienia ceny srebra nie sposób przyjść z pomocą rolnictwu. Rząd powinien przedsięwziąć środki dla zwołania międzynarodowej konferencyi, gdy Francya i Ameryka lub Anglia zgodzą się przysłać swych przedstawicieli. Wreszcie trzeci punkt żąda reformy giełdy. Prezydujący, dziękując w imieniu zebranych Buschowi za lokal, wyraził życzenie, by wdzięczni agraryusze często odwiedzali tę piękną i użyteczną instytucyę. Temu słusznemu żądaniu prezydyjucego stało się zadość tego samego dnia, gdyż, jak zapewniają gazety, w pierwszych rzędach cyrku widniały zielone kapelusiki o sterczących piórach i sumiaste wąsy.

W przemyśle konfekcyjnym, jakeśmy przepowiadali, wybuchnął strejk. Przeszło 200 tysięcy „konfekcyonez“ zawiesiło robotę. Opinia publiczna oświadczyła się za żądaniami męczennic pracy. Ada Olberg, córka lubianego przy dworze, znanego podróżnika prof. Güssfelda wydała rozprawę, w której przedstawiła smutne stosunki domowego przemysłu konfekcyi. Cała prasa, nie wyłączając pism gadzinowych, wydała okrzyk oburzenia. Zewsząd rozległy się wyrazy sympatyi dla wyzyskiwanych kobiet. Z polecenia rządu Dr. Sprenger prowadził pertraktacye z przemysłowcami, burmistrz Zelle wdał się również w tę sprawę, chcąc usunąć zatarg tak bardzo kompromitujący stolicę. Magistrat Würzburgu oświadczył na jednem ze swych posiedzeń sympatyę dla strejkujących. Przemysłowcy jednak nie ustępowali. Najokropniejsza nędza zapanowała w szeregach robotnic. Lombardy, przepełnione maszynami do szycia, przestały już wydawać na takowe zaliczki. Dopiero pod parciem opinii publicznej, która zresztą na polu ofiarodajności ujawniła się niezbyt dotykalnie, zawarto pokój na warunkach mniejwięcej dogodnych dla obydwu stron.

M.

Z estrady i sceny.

„Komedyanci“,

komedya w 4 aktach, p. Paillerona.

Jakże odmienną jest dramatyzowana satyra Francuzów od ponurej przygnębiającej satyry skandynawskich, a po części i rosyjskich autorów. Tam Horacyuszowskie uśmiechy, cynizm w szampanie kąpany, obojętna pogarda takiego Petroniusa z „Quo vadis“ — tu ból gryzący, głucha beznadziejność, niemiłosierne rozdrapywanie bolów społecznych, lub wojownicze surmy przy zbutwiałych murach Jerychonu. Co za zgrzyt straszny we „Wrogu ludu“ Ibsena, — co za ból rozdzierający w „Intratnej posadzie“ Ostrowskiego! Lecz Pailleron w „Komedyantach“ nie zaciska pięści i śliną obrzydzenia nie rzuca w oczy narodowi swojemu, lubo to, co opowiada zdziwionym słuchaczom, jest historyą ogólnej korupcyi na wyższych szczeblach hierarchii społecznej. Prrasa, nauka, sztuka — wszystko muł i trzęsawiska pokryte sztucznemi kwiatami blagi i frazesu. Klucz talentu i pracy, otwierający wrzeciądze wielkiej świątyni sławy i powodzenia, tylko garść wybranych zdobywa, — więc cóż? Ambitna miernota wytrychem kłamstwa, fałszu i sztucznej reklamy odsuwa rygle i w święte progi wstępuje. Uczciwym trudem wywalczyć sobie majątek i stanowisko, to praca zmudna, niewdzięczna i zawodząca często. Więc podstępem pnie się na wyżyny zgraja sprytnych karyerowiczów i króluje tam, gdzie tylko prawdziwa zasługa tronować powinna.

W sztuce Paillerona zachwałe karyerowiczostwo zorganizowane jest w spółkę lekarzy, prawników, artystów, literatów i dziennikarzy, ozdobioną firmą „Tomaty“ (kartofel południowy). Spółka ta ma na usługi swój organ, a raczej trąbę reklamy. Biada dyrekcyi teatru, która odrzuci sztukę Tomatczyka. Biada tej jury, która nie przyzna medalu obrazom lub rzeźbom Tomaty. Wzajemna pomoc jest podstawową zasadą stowarzyszenia młodych aspirantów sławy i fortuny, a czy tam przy tem wynoszeniu miernot padnie ofiarą uczciwość, o to nie pyta Tomata. W ten sposób otwiera sobie wrota parlamentu, wstępuje do „Nieśmiertelnych“, zdobywa tłuste posady i urabia opinię. Wielkie słowa! wielkie ideały! to tylko rakiety dla oślepienia tłumów, — w warsztacie Tomaty jest tylko Bóg jeden: karyera. Oto staje przed nami poeta i mówi o dramacie swoim: Napisałem sztukę, lecz dyrektorowi nie podobała się tendencya. Przefarbowałem więc utwór z czerwonego na biały, zaprawiłem sosem, którego łaknie chwilowy gust szerokiej publiczności i w mig jestem wielkim i popularnym autorem. Zaparłem się przekonań, obniżyłem artyzm dramatu, lecz któż tam się troszczy o drobnostki takie!

Tak prawią „Komedyanci“, a w całym tym tłumie cynicznych wielbicieli złotego cielca, w całej tej wrzawie instynktów brutalnych jest tylko dwóch ludzi z ogniem

ideału w duszy: Jeden zmarnowany malarz — przez kolegów swoich „suchym werniksem“ nazwany, — i młodziutki rzeźbiarz, kochający piękno i prawdę. Oto bohaterzy Paillerona, a w okół snują się znane typy kobiece o Maupassantowskim lub Prevostowskim zakroju. Żona bachantka, dla której rozkosz lubieżna stanowi pierwszy paragraf etyki, i młodziutka „demi-vierge“ odradzająca się rzekomo pod wpływem wielkiej miłości. A nad tem wszystkiem unosi się ironicznym uśmiechem skrzywione oblicze poety.

Mistrzem charakterysstyki nie jest Pailleron. Każda z jego postaci posiada wprawdzie swoją indywidualną fizyognomię, ale w tych lokalnych barwach brak subtelniejszego cieniowania. Nie chcę tu bynajmniej przemawiać w imię owej naturalistycznej drobiazgowości, owej psychologii kropki nad „i“, prezentowanej np. w pierwszym okresie Hauptmannowskiej twórczości, — lecz w typach Paillcronowskich trudno mi nieraz odnaleźć pulsujące życie. Swiat „Komedyantów“ żyje niewątpliwie jako całość i w umysł się wpija soczystą barwą zasadniczą, — ale niektórzy z bohaterów jego odsłaniają tylko jakiś jeden rys, jeden typowy kątek duszy, a życie składa się przecież z obfitej skali tonów i półtonow.

Natomiast architektura Pailleronowskiego utworu mało tylko pozostawia do życzenia. Gdzieniegdzie nuży nieco żywioł rezonerski, po za tem jednak akcya rozwija się prawidłowo, naprężenie dramatyczne rośnie, dyalog wytworny lśni się blaskami dowcipu, epizodyczność nie psuje konstrukcyi, a nici intrygi plączą się zręcznie bez sztucznej, torturującej sensacyi w guście Ohneta lub Sardou. Mimo wszystkich zalet jednak, dramat ten jest zanadto p a r y z k i, i dla tego przed publicznością polską wyrasta tam niejeden znak zapytania, niejedna aluzya lokalna mija bez wrażenia i nieco świeżości, aktualności i siły zginęło między Paryżem a Poznaniem.

Wystawa „Komedyantów“ na scenie naszej wykazywała znowu ten nieuleczalny nałóg dorywczości i dyletantyzmu, na który tak często zwracałem uwagę w łamach „Przeglądu“. Scenerya aktu pierwszego odznaczała się wprawdzie względną starannością, lecz za to urządzenie salonu w akcie drugim i dekoracye aktu IV raziły banalnością niesmaczną. Wiecznie jeden i ten sam garnitur mebli, jedne i te same tapety, jedne i te same akcesorya. Od lat już wielu ani jeden sprzęt nowy nie przybył do rekwizytorni teatralnej. Czyby nie można z którymkolwiek z naszych fabrykantów mebli zawrzeć umowy o wypożyczanie sprzętów potrzebnych. Czyby nie można postarać się rok w rok o jednę przynajmniej nową dekoracyę? Wiadomo przecież, że dziś nader tanim kosztem ubrać można scenę. A jeżeli istotnie dyrekcya z powodu niezręcznej administracyi nawet na mały wydatek zdobyć się nie umie, to przy odrobinie smaku i fantazyi możnaby nawet w obecnych warunkach wprowadzać pewną rozmaitość w dekoracyach. Ale niedbalstwo i jakieś lekceważące „byle zbyć“ wgryzło się w cały organizm teatralny i rady na to nie będzie, dopóki p. Dobrowolski stoi na czele sceny.

Z artystów biorących udział w „Komedyantach“ tylko p. p. W o s t r o w s k i i Ł a s k i odegrali role swoje bez zarzutu. Pierwszy rozwinął wiele szczerego liryzmu i stworzył typ jednolity, owiany prawdziwem tchnieniem poezyi. Drugi, jako „suchy werniks“, opracował bardzo starannie rolę starego entuzyasty, któremu zawody życiowe nie wyziębiły w duszy miłości piękna i dobra. Zewnętrzna charakterystyka i mimika jego zdradzały wytrawnego rutynistę, a w słowach drgało wiele niekłamanego uczucia. Gra pana K n a p c z y ń s k i e g o w roli sprytnego dziennikarza, zdobywającego podstępem mandat poselski, miała momenty porywającej brawury, — że tylko wspomnę scenę oratorskiego popisu w akcie trzecim, — ogólny rysunek jednak był nieco blady i niektóre sceny niewyzyskane. Pan G r a b o w i e c k i nie dorósł wcale zadaniu swojemu. Gra jego była wymuszoną i raziła podrabianą dystynkcyą.

Z kobiet występujących w „Komedyantach“, jedna pani J a k u b o w s k a, — kopciuszek sceny naszej, odtworzyła nader korzystnie maleńką rolę zalotnej damy paryzkiej, p. V e r n o n natomiast raziła gdzieniegdzie fałszywemi akcentami i głosem zardzewiałym, a p. O g i ń s k a, prezentująca się zwykle korzystnie w roli podlotków o rodzimym zakroju dworków szlacheckich, tu na posadzkach nadsekwańskiego salonu była nieszczerą, sztywną i niezręczną.

W. R.

Drugi symfoniczny koncert.

(21 lutego r. b.)

Poważna liczba na piątkowym koncercie zgromadzonych słuchaczów była najlepszym dowodem, że p. Schmidt podejmując na nowo chwalebną myśl urządzenia regularnych koncertów symfonicznych trafił do gustu i przekonania muzykalnej publiczności poznańskiej.

Uwerturą Enna, młodego duńskiego kompozytora, żyjącego obecnie w Kopenhadze, rozpoczęły się obecnie popisy orkiestry. Utwór pisany w stylu nowo-niemieckiej szkoły przypomina nadto w instrumentacyi i pomyśle wstęp do Wagnerowskiego Lohengrin'a. Znaczne trudności, które tu kompozytor instrumentom smyczkowym powierzył nie odznaczyły się w wykonaniu poznańskiej orkiestry ani precyzyą ani też czystością intonacyi. W dalszych produkcyach usterki te znikały a mojem zdaniem możnaby uniknąć np. niejednego dysonansu, gdyby p. Schmidt częściej przekonywał się o stroju orkiestry.

Następnie odegrano Symfonię Goldmarka „Wiejskie wesele“. Utwór składa z 5 luźnie powiązanych części, przypominających formę Suity i odznacza się wielkiem bogactwem pięknych melodyi z fantazyą opracowanych oraz świetną i barwną instrumentacyą; szkoda tylko, że charakter muzyki ludowej nie wszędzie zachowany. Wykonanie symfonii zasługuje na pochwałę. Również dzielnie wykonała kapela uwerturę duńskiego kompozytora Gadego „Wrażenia z poezyi Ossiana“ i „Letnie echa“, ustęp z dramatu muzycznego Wagnera „Zygfryd“, utwór pełen tajemniczej i głębokiej poezyi podsłuchanej na łonie przyrody. Interesujący koncert zakończył się świetną Tarantellą Liszta, opracowaną na orkiestrę przez Müller-Berghaus'a, — którą kapela z werwą odegrała, zyskując szczere oklaski słuchaczów.

W referacie z pierwszego koncertu umieściłem w końcu prośbę do p. Schmidta, dyrygenta orkiestry, żeby obok Węgrów i Moskali uwzględnić raczył również i polskich kompozytorów. Ponieważ w drugim koncercie, jak program poucza, p. Sch. odnalazł już Danią, więc mam nadzieję, że z czasem odwiedzi też Polskę, choć ta podróż przez Danię do Polski trochę z drogi.

Edwin Jahnke.

NA WYŁOMIE.

(Brak inicyatywy w społeczeństwie. Kolonje wakacyjne. Podwójna korzyść.)

Już nieraz gorzko skarżyłem się na to, że każda akcya na poznańskim bruku, czy to politycznej, czy społecznej, czy filantropijnej, czy wreszcie choćby towarzyskiej natury, musi koniecznie nosić firmę oligarchów naszych. Ludzie bądź to przyzwyczaili się do tej opieki i uwierzyli w własne niedołęztwo, bądź też lękają się zemsty senatorów, mruczących wcale niedwuznacznie pod nosem: „Skoro żaba się ozwała, wnet kamieniem w łeb dostała.“ Otóż tego kamienia lękają się żaby i pokornie łeb do wody chowają, póki ten lub ów z możnowładców naszych nie podniesie batuty i nie da sankcyi swojej żabiemu koncertowi. Tak żyjemy już całe lat dziesiątki, każdy ruch społeczny staje się wyłącznym monopolem garści kapelmistrzów, a zmysł inicyatywy osobistej w szerokiej publiczności tępieje i obumiera. I ta bierność, — to sztucznie wykarmione uczucie bezsiły tak się rozwija w naszym biednym kraju, że zdarzyło mi się nieraz słyszeć ludzi młodych, bogatych w rozum i zahartowanych w pracy o chleb, jak melancholijnym głosem deklamowali: Co to się stanie gdy umrze pan X! Co to będzie gdy śmierć wytrąci batutę z ręki pana Y! W chaos okropny wszystko się zamieni, gdy nam jubileuszowych i niejubileuszowych gerontów nie stanie.“ A więc zabór pruski stoi małą gromadką zapleśniałych dyrygentów i runąć musi wraz z nimi?! Więc społeczeństwo nie czuje się na siłach, aby wydać nowych ludzi, nowych organizatorów i nowych sterników?! Oto rezultaty moralne tego systematycznego umałoletniania narodu i duszenia każdej samodzielnej inicyatywy, nie noszącej stempla panującej koteryi i tej lub owej firmy uświęconej.

Z tym wpływem demoralizującym walczymy od chwili narodzin „Przeglądu“, — walczymy z nim we wszystkich dziedzinach życia społecznego, a lubo wiecznie spotyka nas podejrzenie ukrytych ambicyi, lubo nam z wyżyn prowincyonalnego Olympu niejedno Jowiszątko cisnęło zarzut, że kierującą zasadą „Młodej Polski“ jest egoistyczne: *„Ote toi que je m'y mette“*, — my w poczuciu uczciwych intencyi naszych nie opuścimy placu i niezmiennie powtarzać będziemy: Nie o nas tu chodzi, lecz o to biedne społeczeństwo, któremu wy odbieracie wiarę w siebie, rzutność i chęć służenia sprawie publicznej.

Trzy mile widnokręgu waszego nie sięgają daleko, nie ogarniają wszystkich warunków rozwoju narodowego, nie starczą na zgłębienie jego podstaw moralnych. My wam dobrej wiary nie odmawiamy, ale bolejemy nad krótkowidztwem waszem, które nie pyta, nie bada i nie zgłębia, jakie „jutro“ z chwili dzisiejszej wyłonić się musi. I dla tego, póki sił nam starczy, protestować będziemy przeciw degradowaniu społeczeństwa do roli dziecka, trzymającego się bojaźliwie i pokornie fartuszka matki — senatorki, bo taka rola z narodu obywateli zamienić nas musi w naród niemowląt. Czy ta walka skończy się zwycięstwem, tego przesądzać nie śmiemy, — bądź co bądź znajdziecie nas aż do ostatniej chwili na posterunku, gotowych zawsze do walki z monopolami sprytnej koteryjki i witających radośnie każde drgnienie zdrowej inicyatywy, pozbawione waszej patrycyuszowskiej opieki i sankcyi.

Taki fakt jaśniejszy, choć zdradzający jeszcze lekkie znamiona słabości, dziś nam zapisać wypada. Ciche i apatyczne nieco Towarzy-

stwo „Stella“ rzuciło projekt zorganizowania prawidłowych „kolonii wakacyjnych“ dla biednych dzieci na wzór podobnej instytucyi warszawskiej. Plan po długich naradach i pracach przygotowawczych dziś się w ciało obleka. — statut gotowy, kamień węgielny położony. Oczywiście inicyatorzy zlękli się w samym zarodku dzieła samodzielności swojej, zlękli się przeciwdziałania naszych „monopolistów“ i nie ufając własnym siłom, zaprosili w kumotry kilku członków panującego bractwa, — ale bądźcobądź plan powstał i pierwsze pędy wypuścił po za rogatkami „kliki“. Niech tylko Towarzystwo „Stella“ nie pozwoli sobie z rąk wydrzeć tak pięknego dzieła i zepchnąć ojców dziecięcia do roli pospolitych pionków. Nie twierdzę bynajmniej, aby kierownictwo tradycyjnych patryarchów spaczyć miało lub stłumić rozwój kolonii wakacyjnych, ale pragnę, aby społeczeństwo przekonało się raz wreszcie naocznie, że coś poważnego samodzielnie, bez owych tradycyjnych sterników zacząć i do szczęśliwego końca doprowadzić umie. Chodzi tu o wpływ moralny takiej samodzielności na szerokie koła obywatelstwa, chodzi o zelektryzowanie sparaliżowanej inicyatywy, o spotęgowanie wiary do własnych sił, własnej energii, własnego rozumu. Niech „Stella“ stworzy kolonie, lecz niechaj również w uroczysty dzień inauguracyi powie do nas z dumą: Patrzcie! Stworzyłam je sama, nie jako palacz okrętowy, lecz jako kapitan kierujący statkiem. I oto złożyłam dowód, że w Księstwie po za szczupłem gronem uznanych powag myśli i czynu są szerokie koła ludzi zdolnych do samodzielnej a m i m o t o zdrowej i użytecznej pracy społecznej. Kłamią zatem ci wszyscy, co w poczuciu sztucznie wykarmionej słabości z trwogą spoglądają w przyszłość, wołając rozpaczliwie, że Księstwo runie, gdy dzisiejszych sterników nie stanie. Jest w społeczeństwie wiele sił żywotnych, tylko zniechęconych i zafukanych. Zbudzić je trzeba i rozpalić po całym kraju samoistne ogniska czynu, a więcej na udręczony naród ztąd spłynie korzyści, niż z generalnego biura o ministeryalnem zakroju, kierowanego przez ludzi niewątpliwie zasłużonych, ale przeciążonych pracą, i rdzą i pleśnią pokrytych. Do czynu zatem! Hasłem naszem: *Samodzielność!*

Jeżeli na inauguracyjnem święcie kolonii wakacyjnych Tow. „Stella“ będzie miało prawo tak do nas przemówić, natenczas my podwójną przyznamy mu zasługę, bo wtedy stworzy ono nietylko filantropijną instytucyę, nietylko tysiącom wybladłych nędzarzy rumieniec przywróci, nietylko więźniom miejskich zaduchów, zgniłych suteryn i poddaszy da słońca nieco i zieleni i świeżych powiewów, lecz oddziała umoralniająco na całe społeczeństwo, budząc poczucie obowiązku, stępioną siłę inicyatywy i wiarę we własne siły.

Sulla.

TO I OWO.

Curiosa poznańskie.

Po karnawałowych kadrylach i mazurkach, szumkach i bulankach, rautach i herbatkach, flirtach motylkowych i poważnych konkurach, zaczynamy się bawić.... w naukę. Rozpoczął się sezon odczytów a pierwszy stanął na katedrze *ks. Jan Adamski* z prelekcyą „o kwestyi kobiecej“. Zrazu oniemieliśmy z podziwu, potem jakiś śmiech konwulsyjny wstrząsnął całem jestestwem naszem, lecz wielkopostne: „z prochu powstałeś, w proch się obrócisz“ zadzwoniło nam w uszach i uwięzła w gardle wesołość. Skoro jednak ks. Jan Adamski odważył się z filantropijnej areny popularnych odczytów translokować mądrość swoją do poważnych przybytków „Towarzystwa Przyjaciół Nauk“ i rozprawą o „istocie piękna“ zaszczycić wydział historyczno-literacki, dłużej nam milczeć nie wolno.

Przerażające obniżenie poziomu umysłowego w zaborze pruskim przyzwyczaiło nas wprawdzie do różnego gatunku margaryny naukowej, prezentowanej społeczeństwu w odczytach, dziennikach, broszurach i t. d., ale zdaje się, że na przestrzeni ostatnich lat dziesięciu nikt jeszcze tak zuchwale nie podeptał nauki, logiki i zdrowego sensu, jak autor prelekcyi o „kwestyi kobiecej“ i „istocie piękna“. Ludzie słuchali i uszom swoim nie dawali wiary. Wszyscy, — nie wyjąwszy pensyonarek, — wzruszali ramionami i z słowem oburzenia opuszczali salę, a rozgoryczenie było tak intenzywne, że przezwyciężyło nawet cześć dla sukienki duchownej, tak głęboko zakorzenioną w społeczeństwie naszem. Ludzie dowiadywali się np. z ust ks. Adamskiego, że pociąg płci trwać nie przestanie nawet w zagrobowem życiu, z tą tylko różnicą, że będzie to sobie taki flircik duchowy, bez zmysłowych popędów, słuchali dalej opowiadań o symbolicznem znaczeniu najświętszej rodziny, przedstawiającej w postaci Boga Ojca — małżonka, w postaci Matki boskiej — żonę, w postaci Chrystusa — dziecko, — no, i tysiącznych podobnych rozumowań. To się nazywało odczytem o palącem zagadnieniu społecznem — o kwestyi kobiecej. Nawet „Kuryer Poznański“, pismo na wskroś klerykalne, wtrącił lekki ironiczny uśmiech do referatu swojego, — a ks. Adamski — słuchajcie! — tak się zirytował tym grymasem, że natychmiast powołał do porządku zuchwały organ i zmusił go do przepraszających wyjaśnień.

Zdawało nam się, że po takiej próbce mądrości Towarzystwo Przyjaciół Nauk nie dopuści do słowa niefortunnego prelegenta. Stało się jednak inaczej. Ks. Adamski mówił „o istocie piękna“ przed audytoryum złożonem zrazu z 6 osób: prezesa, sekretarza i 4 redaktorów. Później zjawiło się jeszcze dwóch członków, — jeden ksiądz i jeden „cywilny“. Nasza „akademia“ zatem skompromitowała się na szczęście przed nader ciasnem gronem swych członków. Odczyt „o istocie piękna“ godzien był prawie poprzednika swojego „o kwestyi kobiecej“. Słuchaliśmy np. anegdotek etymologicznych, że słowo „śliczny“ składa się z przyimka „z“ i „liczny“ t. zn. „z licznych najlepszy“ — że w słowie „piękny“ tkwi pierwiastek „jęk“ itd. Dowiedzieliśmy się, że Bóg patrzy inaczej na piękno, anioł inaczej i człowiek inaczej. Wreszcie częstował prelegent nas siekanką cytatów z Platona i ojców kościoła, tłomaczonych według scholastycznej metody tak głęboko, że z przerażeniem spoglądaliśmy na biusty mędrców stojące opodal, ażali nie runą ze swych piedestałów. Nie będziemy tu rekapitulować wszystkich banalno mistycznych deklamacyi i całego szeregu pospolitych bezsensów wypowiedzianych w odczytach ks. Adamskiego, — wyrażamy tylko przekonanie, że skoro prelegent ten raz jeszcze zapuka do drzwi Towarzystwa Przyjaciół Nauk, lub którejkolwiek z filantropijnych instytucyi, spotka go jednomyślna odprawa: Państwo nie przyjmują.

Na końcu jedno jeszcze pytanie. Dla czego to „Dziennik Poznański“, referujący skrupulatnie o wszelkiego rodzaju odczytach, a mianowicie o prelekcyach wygłaszanych w „Tow. Przyj. Nauk“, obdarzył czytelników swoich zaledwie suchą notatką, że odczyty ks. Adamskiego się odbyły- O! „umiarkowanie-liberalny“, czy też „staro-liberalny“ rycerzu! Rumień się, bo śmiałością zawstydza cię nawet chwilami „Kuryer Poznański“.

* * *

Aprasz teatralny.

Zakulisowe sprawy teatru poznańskiego znów w ostatnim czasie poruszyły opinię publiczną i spowodowały nietylko ogólne rozgoryczenie, lecz nawet gremjalne petycye, listy otwarte, rotowy ogień dzienników itp. Nie wdając się w szczegóły sprawy, zapisujemy tu tylko fakt, że *pani Majdrowiczowa*, jedna ze starszych artystek naszych, została z powodu jakiegoś drobnego, a nadomiar w ostatniej chwili naprawionego nieposłuszeństwa, przez dyrektora teatru brutalnie znieważoną w obecności kolegów i koleżanek. Artystka wraz z mężem swoim podała się oczywiście natychmiast do dymisyi, przekonawszy się, że dyrekcya wszelkiej, nawet najłagodniejszej satysfakcyi, udzielić się wzbrania.

Czytelnikom „Przeglądu“ dobrze wiadomo, że pismo nasze przeciw artystycznym kwalifikacyom pani Majdrowiczowej niejednokrotnie poważne wytaczało wątpliwości, — lecz dla tego właśnie słuszność protestu naszego w obronie znieważonej kobiety na tem większą zasługuje wiarę. Jeżeli panu Dobrowolskiemu dla dobra teatru chodziło o usunięcie pp. Majdrowiczów, to przysługiwało mu prawo pożegnania się z nimi przy końcu sezonu, a nawet natychmiastowego udzielenia dymisyi nieposłusznej artystce, wahającej się przyjąć rolę „Madame sans Gene“ *dla braku środków materyalnych na sprawienie kosztownych kostyumów.* Ale obrzucać obelgami kobietę, prawić za kulisami, że trzyma się ją „z litości, aby dzieci jeść co miały“ — to zaiste niegodne jest dyrektora wędrownych kabotynów, a cóż dopiero dyrektora teatru poznańskiego. Działo się to wszystko w czasie przedstawienia, w antrakcie, i ludzie zrozumieć nie mogli, dla czego pani Majdrowiczowa łkając wyszła na scenę i rolę swoją nie odegrała lecz odpłakała.

Kark twardy i duma wobec wyższych — wspaniałomyślność i serce gorące dla niższych! — tak postępują natury szlachetne. Ty, panie dyrektorze, inną w życiu kierujesz się metodą. „Ruki po szwam!“ gdy ten nadchodzi, którego się lękasz, lecz biada twoim podwładnym. Opinia jednakże pozbywa się swej apatyczności i swego serwilizmu dla „jubileuszowego redaktora“, a zrozumiał to p. Dobrowolski niezawodnie na wielkiej uczcie pożegnalnej dla prof. Wicherkiewicza, powołanego na katedrę okulistyki do wszechnicy Jagiellońskiej. Licznych mów i toastów słuchano tam z uroczystą powagą, lecz gdy powstał dyrektor teatru, wtedy gwar lekceważący, a nawet tarcie nogami o podłogę, zagłuszyły do szczętu jego popis krasomówczy. Opinia mścić się zaczyna — radzimy się nad tem dobrze zastanowić.

* * *

W sprawie Tow. Pomocy Naukowej.

Od jednego z abonentów naszych odbieramy pismo następujące:

Niezadługo odbędzie się Walne Zebranie Towarzystwa Pomocy Naukowej. Jak wieść niesie, zamierza prezes Towarzystwa, p. radca dr. Osowicki, urząd swój złożyć.

To powoduje mnie do poruszenia następującej kwestyi. Przed przeszło laty 20 miałem sposobność czytania elaboratu, wystósowanego przez p. dr. Osowickiego do dyrekcyi Pomocy Naukowej, w którym żądał wnioskodawca

> „takiego urządzenia rzeczy, iżby stypendyaci byli obowiązani do zwrotu stypendyi“.

Jeśli kiedy, to dzisiaj rzecz ta byłaby bardzo na czasie i może szanowny pan prezes zechce przed swem ustąpieniem sprawę tę poruszyć na nowo.

Społeczeństwo nasze staje się coraz biedniejszem, składki będą coraz mniej napływały, a potrzeby będą z natury rzeczy coraz większe. Sądzę, że byłoby zbytecznem nad tem się rozwodzić.

Mówić o sposobach przeprowadzenia owego tak dawnego już planu p. dr. Osowickiego, dziś jeszcze za wcześnie. Jeźli tylko w zasadzie walne zebranie uchwali ówczesny projekt, to na sposobach urzeczywistnienia tej myśli nie zabraknie.

Przy tej sposobności pozwoliłbym sobie uczynić jedną uwagę. Nie byłoby może dobrze, gdyby szanowna Dyrekcya Towarzystwa Pomocy Naukowej zechciała formę sprawozdania kasowego zmienić, opuszczając nieszczęsne bilanse i rachunek zysków i strat? Towarzystwo Pomocy Naukowej jest wprawdzie instytucyą humanitarną i dla tego kwestyi rachunkowości nie można stawiać na pierwszym planie, ale uderzać musi, że (zob. spraw. za rok 94, str. 12) n. p.

1) składki zwyczajne i składki nadzwyczajne itd. uznano za pasywa, a więc za długi Towarzystwa,
2) że koszta dyrekcyi, zapłacone stemple spadkowe, wypłacone procenta itp. uznano za aktywa, a więc za majątek Towarzystwa,
3) że dochód i rozchód kasy nazwano zyskami i stratami itd. itd.

Są to drobne na pozór usterki, ale powodowany szczerą życzliwością dla Towarzystwa Pomocy Naukowej pragnąłbym, aby Towarzystwu temu nie można i pod względem formalnym niczego zarzucić.

* * *

Zygmunt Gorgolewski.

Jak czytelnikom naszym wiadomo, zwyciężył w konkursie rozpisanym w sprawie budowy teatru lwowskiego p. Zygmunt Gorgolewski, Poznańczyk. Poniżej podajemy kilka szczegółów biograficznych o laureacie, oraz pobieżną charakterystykę nagrodzonych planów.

Zygmunt Gorgolewski urodził się we wsi Solcu, w W. Ks. Poznańskiem w r. 1845, liczy więc obecnie 50 lat. Nauki odbył w gimnazyum realnem w Poznaniu, gdzie kształcąc się pod kierunkiem prof. Jaroczyńskiego, zdradzał od najniższych klas wielkie zdolności do rysunku. Na królewskiej akademii budowniczej w Berlinie zwrócił na siebie młody student szczególną uwagę ciała profesorskiego. W r. 1874 złożył ostateczny egzamin państwowy, otwierający mu karyerę rządową w całych Niemczech. Uzdolniony architekt, zajęty początkowo przy budowie wielkiego dworca berlińskiego (Lehrter-Bahnhof), brał udział w konkursie na gmach akademii muzycznej w Berlinie, w r. 1872 zaś uczestniczył również w międzynarodowym konkursie na gmach parlamentu niemieckiego, gdzie na 105 nadesłanych projektów z różnych części świata, projekt Gorgolewskiego należał do dwudziestu, które poddano, jako najlepsze, ściślejszemu rozbiorowi. Celem dalszych studyów odbywał pan G. długie podróże, zwiedził Włochy, Francyę, Rosyę i Austryę, wreszcie w r. 1893 objął stanowisko dyrektora Szkoły przemysłowej we Lwowie, i tu już uzyskał pierwszą nagrodę na konkursie, rozpisanym na pawilon sztuki na Wystawie krajowej. Plan architektoniczny nowego teatru p. Gorgolewskiego pomyślany jest w stylu niemieckiego renesansu i na pierwszy rzut oka wywiera dość silne wrażenie. Najładniejszą jest pod względem artystycznym fasada gmachu, zwrócona frontem ku Wałom hetmańskim, która składa się z trzech jednopiętrowych arkad, tworzących otwartą loggię; ta jest po bokach flankowana dwoma ryzalitami i pnie się ku górze grupami symbolicznych figur. Atykę po nad loggią zdobić mają kandelabry kamienne do światła elektrycznego. Budynek składa się w rzucie poziomym: z hali krytej, z dużego parterowego westibulu, z foyer idącego przez dwa piętra, z wielkiej klatki schodowej o górnem oświetleniu dla schodów pierwszego piętra, z sali widzów, wreszcie ze sceny, podscenia, zascenia itd. Przed halą znajduje się na planie główny podjazd, kryty szklanym daszkiem. Mniej udanem jest pomieszczenie głównego wentylatora, który podniesiony jest za wysoko i zakrywa widok na kopułę opartą na czterech timpanonach. Miejsc numerowanych ma być w nowym teatrze 974. Projekt p. Zawiejskiego, odznaczony drugą nagrodą (4,000 koron) nosi na sobie piętno baroku i celuje przedewszystkiem znakomitym rozkładem wewnętrzuym. Technicy zarzucają projektowi prof. Z. nieestetyczne wiązanie dachów i zbyteczną drobiazgowość w szczegółach dekoracyjnych.

KRONIKA LITERACKA

* **Przekłady z języka polskiego.** Świeżo ukazało się drugie wydanie „Bez dogmatu" H. Sienkiewicza w przekładzie francuskim, dokonanym przez A. Wodzińskiego. „La Semaine littéraire" zamieściła przekład „Latarnika", a „Revue de Revues" — „Organistę z Ponikły" tegoż autora. W „Bulletin polonais" znajdujemy tłomaczenie jednego z sonetów K, Tetmajera.

Dwa pisma niemieckie drukują jednocześnie „Quo vadis" Henr. Sienkiewicza: „Fremdenblatt" i „Niederrheinische Volkszeitung". Wiedeńska „Arbeiterzeitung" zamieściła „Piekło" A. N. i „Za chlebem" H. Sienkiewicza. „Die Zeit" podało ustęp „Stańczycy" z dzieła Koźmiana o r. 1863. Nowelę A. J. Sęka (Ant. Mieszkowskiego) znajdujemy w „Belletristische Sonntags Beilage zur Lodzer Zeitung". Dramat D. Zglińskiego „Jakób Warka"został przełożony na język niemiecki. Albert Weiss ma wydać siedm powiastek Hajoty.

„Quo vadis" drukują następujące pisma rosyjskie: „Russkaja Mysl" w Moskwie, „Siewiernyj Wiestnik" i „Trud" w Petersburgu i „Zizń i iskustwo" w Kijowie. „Sonety Krymskie" A. Mickiewicza wyszły w Moskwie w przekładzie Miedwiediewa, jako odbitka z „Russkiej Mysli." „Birżewyja Wiedomosti" podają przekład powieści Alfreda Konara „Siostry Malinowskie". „Ruskoje Bogatstwo" świeżo ukończyło druk powieści Wacława Sieroszewskiego „Na kresach lasów". Toż samo pismo wkrótce ma zamieścić „Jurgisa Durnia" Brolisa. „Russkoje Obozrienje" podało dwa utwory E. Orzeszkowej, mianowicie: „Laleczkę" i „Naiwne dziecko". „Milorda" tejże autorki znajdujemy w miesięczniku „Russkaja Biesieda", „Obrazek z lat głodowych" w tygodniku obrazkowym „Ziwopisnoje Obozrienje" a „Dwóch braci" w piśmie „Mir Bożij." To ostatnie pismo wydrukowało „Towarzysza podróży" M. Bałuckiego i ma zamieścić „Wielki świat Capowic" J. Lama oraz „Za Atlantykiem" L. Krzywickiego. Tygodnik obrazkowy „Pietierburgskaja Żiźń" podał przekład „Pocztyljona" Wł. Syrokomli w tłumaczeniu N. Mańkowskiego. W „Charkowskich gub. Wiedomostiach" wydrukowano „Charakterystykę Rodziny Połanieckich" Ig. Matuszewskiego. „Russkoje Bogatstwo" zamieściło „Morze" M. Konopnickiej, a „Siewiernyj Wiestnik" — „Nature morte" tejże autorki. W tygodniku „Siewier" spotykamy „Sosnę" Wł. Syrokomli. „Żiźń i iskustwo" wydrukowało „Pożegnanie" P. Kośmińskiego. „Kijewskaja Starina" podała artykuł „Chmielnicki pod Zamościem" Al. Kraushara. „Hlas Naroda" podał „W górach" i „U domowego ogniska" W. Feldmanna. „Besedy Lidu" zamieściły „Mój pierwszy dramat" A. Wilczyńskiego. Praca M. Zdziechowskiego „Karol Hynek Macha i bajronizm czeski" wyszła w Przerowie. „Prosta miłość" J. Łętowskiego wyszła w „Knihownie Besed Lidu." „Ilustrowany kuryer" podał jedną nowelę Cz. Pieniążka z cyklu „Szare godziny".

„Prawda" lwowska drukuje przekład „Wielkiego" Elizy Orzeszkowej. „Narodna Czasopyś" podała „Zemstę Feluni" A. Wilczyńskiego, „Damjana Capenkę" Al. Świętochowskiego oraz nowelę A. Łętowskiego „Ja, on i ona." Bajki J. I. Kraszewskiego „Boże dary" przyniósł „Dzwinok". „Dilo" wydrukowało „Trzy śmierci" St. Rossowskiego, „Proświta" wydała „Sad przy chacie" E. Jankowskiego.

„Hrvatska" drukuje „Quo vadis" H. Sienkiewicza „Żurnał Minist. Narodn. Prosw." podał przekład łaciński „Alpuhary" A. Mickiewicza.

L. W.

Kronika powszechna.

Wiadomości polityczne i społeczne. Położenie Włochów w Afryce staje się z dnia na dzień krytyczniejszem. Sprzymierzeni z Włochami królowie abisyńscy buntują się i walczą przeciw niedawnym aljantom. — Na czas trwania wystawy przemysłowej w Berlinie zniżoną zostanie taryfa kolejowa. — Z powodu koronacyi cara otrzyma Łobanow. minister spraw zagranicznych, wysokie odznaczenie od cara Mikołaja. Manifestem koronacyjnym cara darowane zostaną zaległości podatkowe, oraz udzieloną zostanie amnestya dla skazańców, skazanych w drodze administracyjnej. Wychodźcom zostanie pozwolony powrót do Rosyi. Przestępcy zwyczajni z wyjątkiem morderców, rozbójników i podpalaczy, otrzymają częściową amnestyą. Około 3000 Polaków otrzyma amnestyą. Kilku Polaków, zajmujących wybitne stanowiska w Rosyi, otrzyma wysokie ordery.

Teatr i muzyka. W dniu dzisiejszym (sobota) rozpoczyna panna Pankiewicz, artystka teatru krakowskiego, szereg gościnnych przedstawień na poznańskiej scenie. Po raz pierwszy wystąpi gość nasz w „Właścicielu kuźnic". W sferach teatralnych utrzymuje się wiadomość, że panna Pankiewicz pozostanie u nas do końca sezonu. Dyrekcya teatru poznańskiego pertraktuje również z p. Żelazowskim o szereg gościnnych przedstawień. Byłby to bardzo pożądany nabytek dla sceny naszej. — W ubiegły czwartek odegrano przed pustem niemal audytoryum na benefis suflera, p. Chojnackiego trzyaktowy dramat hr. Starzeńskiego pt. „Sen trefnisia". Grą dobrze cieniowaną odznaczali się pp. Wostrowski i Grabowiecki. — W kilku pismach pojawiła się wiadomość, że dyrekcye teatru lwowskiego obejmują p. p. Bandrowski i Heller. — W warszawskim Teatrze Małym zaprowadzono popołudniowe przedstawienia popularne, cieszące się znacznem powodzeniem. — Pani Klamrzyńska, utalentowana śpiewaczka polska, zaangażowaną została na szereg gościnnych występów do medyolańskiego teatru „la Scala". — Umowa z panią Stachowiczową o gościnne występy na poznańskiej scenie nie przyszła chwilowo do skutku.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. K...ski. Z faktu, że Szanowny Pan jest stałym abonentem Przeglądu, nie wypływa bynajmniej aby redakcya miała „moralny obowiązek" ogłoszenia utworów córki Pańskiej. Rozgoryczony ton listu Szanownego Pana jest zupełnie niestosowny i nie słuszny.

Przyjaciel. Spasowicz historyi literatury rosyjskiej dotychczas nie ogłosił. Podobno rzecz jest gotowa, — publikacyi jednak stoją na przeszkodzie względy cenzuralne.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego" w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28.

Nr. 10. Poznań, niedziela 8-go marca 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę. Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p. Administracya: Piekary nr. 6. Rękopisów drobnych nie zwracamy.

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi w Poznaniu 4,00 mrk. Przyjmuje Administracya: Piekary 6. w Niemczech i Austryi 5,00 mrk. (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 mk. — Prenumeratę przyjmują Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer: w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.

TREŚĆ.

Poezya a rzeczywistość.

(W pamiętniku koła polskiego.)

Z trybuny sejmu pruskiego odezwało się znowu Bismarckowskie echo — silniejsze jednak niż w ostatnich latach — nietylko w treści lecz i w tonie zbliżone więcej do pierwowzoru przeszłości. Czytelnikom naszym znanym jest tenor mowy ministra Bossego z stenograficznych sprawozdań czasopism codziennych, — rekapitulować więc tej nowej edycyi starego i niezmiennego „Ausrotten“ nie mamy potrzeby. Jedno tylko pragniemy tu zapisać ku wiecznej pamięci, jedno wpoić w umysł i serce społeczeństwa, jedno jak niewzruszony obelisk postawić u wrót Koła polskiego: Minister Bosse z satyrycznym grymasem i pychą myśliwca, w którego zręcznie zastawione sidła złapał się zwierz nieostrożny, oświadczył kategorycznie, że ani polska opozycya ani *polskie umizgi* nie zmienią germanizacyjnej polityki rządu, że Polacy żadnych ustępstw spodziewać się nie mają, że wszystko pójdzie starym, Bismarckowskim torem ku zduszeniu polskiego żywiołu. — Podnosimy dalej z akcentem najsilniejszym, że przemówienie ministra oświaty jest *typowem objawieniem* uczuć i dążeń rządu i narodu niemieckiego, nie pierwszym i nie ostatnim momentem odwiecznej walki świata germańskiego z słowiańskim, krwawą satyrą na tych fantastów politycznych, którzy na polskim dachu zatknęli sztandar ugody i przeklinali każdego, kto zrozumiał niemiecką pułapkę i iść się wzbraniał w zatrzask niebezpieczny.

Zdawać by się mogło, że szyderczy okrzyk p. Bossego i ta niedwuznaczna, twarda jak stal zapowiedź walki niemiłosiernej rozbudzi wszystkich marzycieli lojalizmu naszego i znowu prąd trzeźwiejszej atmosfery wprowadzi w duszny zamęt polityki polskiej. Tak by się zdawało, tak być powinno, — a przecież tam jeszcze śpią i marzą i z desperackim fanatyzmem bronią straconych pozycyi. Błędem kardynalnym, który całą akcyę ugodową Koła polskiego powołał do życia i przez długie lata tumanił ogromną część społeczeństwa, było pomieszanie dwóch pojęć odrębnych: polityki i dyplomacyi. Znamienną cechą pierwszej jest zasadniczość, znamienną cechą drugiej chwila przelotna. Wytępić żywioł polski, dokonać asymilacyi wszystkich odmiennych żywiołów narodowych, stworzyć jednolite Niemcy i w Niemczech jeden naród niemiecki, to jest zasada, jądro, *niezmienny i stały* ideał polityki niemieckiej. Od czasu do czasu jednak schować pazury, osłonić nieubłaganą zaborczość maską humanitarną, dwuznacznem słowem nadziei rozczulać ofiarę skazaną z góry na zagładę, to jest praktyczny postulat chwili, broń dyplomacyi.

Naturalną więc jest rzeczą, że zdarzały się nieraz i zdarzać się będą jeszcze niezawodnie takie momenty w zapasach narodowych, w których i najmniejsze grupy parlamentarne zyskają znaczenie dla interesów rządu, a wtedy na trybunie sejmowej, gdzie dziś rozbrzmiewa surowy i szyderski zgrzyt ministra Bossego, błysną uśmiechy zalotne i szepty obietnic, ale to tylko zmiana kostyumu, nie zmiana odwiecznej i nieugiętej zasady. Apostołowie ugody pomieszali pojęcia i dziś jeszcze nie uznają scharakteryzowanych powyżej rozgraniczeń koniecznych. Tym marzycielom wydaje się zawsze, że korne nabożeństwo u stóp ołtarza rządowego może odwrócić ostrze germanizacyjnej polityki. — żaden z nich nie wierzy w niezmienność dążeń niemieckich, — każdy spodziewa się zmiany wiatru wraz z zmianą kanclerza lub ministra i źródło naszych udręczeń upatruje nie w granitowej zasadzie polityki niemieckiej, lecz w osobistych poglądach i uprzedzeniach poszczególnych kierowników politycznych. Wobec takiego bielma na oczach polskich ekwilibrystyka niemiecka ma wdzięczne pole działania, a politycy nasi przypominają owych fanatycznych zwolenników spirytyzmu, który w obliczu faktu, że *wszystkie głośniejsze media* dotychczasowe zostały prędzej czy później zdemaskowane, powtarzają z niezachwianą wiarą, że odkrycie oszustów nie jest bynajmniej klęską doktryny.

Tego rodzaju dogmatyzm jest zawsze szkodliwym, — najszkodliwszym jednak tam, gdzie wkracza w dziedzinę walk politycznych i kieruje losami milionów. Więc, gdy go żadne rozczarowanie, żadne szyderstwo ministeryalne i najwidoczniejsze *minus* w rezultatach złamać nie jest w stanie, należy go spętać siłą opinii publicznej, dotychczas jeszcze apatycznej lub łatwowiernej niestety. Opinia ta wprawdzie z coraz większą nieufnością spoglądać zaczyna na berlińskie iluzye, ale nie jest do dziś dnia tak radykalnie wytrzeźwioną, by odeprzeć energicznie sofistyczne bajeczki, któremi reprezentanci polityki ugodowej osłaniają swą klęskę. Ukute są one wszystkie według jednego szablonu, niekiedy zręcznie, niekiedy arcyniezgrabnie, a cel ich zawsze jeden i ten sam: Odwrócenie uwagi od jądra rzeczy, od zasadniczego błędu. — Przedstawiciele ugody znają dobrze psychologię tłumów i wiedzą jak ponętne są dla szerokiej publiczności opowiadania o zakulisowych sprężynach polityki, — więc po każdej klęsce rozpoczynają się szepty poufne na temat prywatnych pogadanek posłów z ministrami, domowych intryg w obrębie Koła polskiego itp. To intryguje, budzi w słuchaczach uczucie dumy z posiadania pewnych tajemnic wyższej dyplomacyi i, co za tem idzie, rozdrabnia uwagę a raczej przykuwa ją do sprężyn, nie posiadających żadnego lub tylko podrzędne znaczenie. Gdy np. z trybuny sejmowej padły słowa sympatyi dla związku H. K. T. i słowa te wstrząsnęły znowu wiarą społeczeństwa w politykę ugody, wtedy z Berlina szły wieści, że wszystkiemu winno... gadulstwo jednego z posłów.

Mówiono, że minister w sekrecie obiecał wystąpić przeciw Hakatystom, że jeden z polskich deputowanych pochwalił się tą obietnicą przed p. Tiede- czy też Hansemanem, że ten pobiegł do ministra, narobił hałasu i wytargował enuncyacyę sympatyczną dla zorganizowanych tępicieli polskiego żywiołu.... Plotka ta ma na czole wypisaną jaskrawą niedorzeczność, a mimo to ludzie wierzyli, że gdy polski poseł zagrał panu ministrowi, minister tańcował po polsku, a gdy mu zagrał niemiecki, tańczył po niemiecku. Ugodowcy osięgnęli swoje. Mnóstwo ludzi bowiem przestało w sensacyjnej mowie upatrywać klęskę polityki ugodowej, poważne objawienie groźnych intencyi rządu, a widziało w niej tylko skutek gadulstwa polskiego.

Obecnie oczywiście znów zaczynają kursować nowinki. Mówią nam, że mowa p. Bossego nie jest bynajmniej odbiciem rządowych przekonań, tylko osobistą zemstą ambitnego wierszokletý(?), któremu poseł Motty „niepotrzebnie“ (?) przypominał częstochowskie rymy, fabrykowane niegdyś „in des Lebens lyrischem Mai“. I dalej mówią jeszcze, że rząd polecił swojego czasu ministrowi Bossemu prowadzić targ polityczny z Kołem polskiem w sprawie projektu wojskowego, że handel ten podrażnił dumę butnego niemca, że od tego czasu dyszał pragnieniem od-

wetu i poniżenia tych, z którymi niegdyś o głosy targować się musiał — więc skorzystał z okazyi, by im pogardę swoją objawić. „Ale minister Bosse a rząd, — to zupełnie co innego!“

Takie głosy krążą po mieście i prowincyi, a nawet w prasie głośne już echo znalazły. My przedstawicielom ugody dobrej wiary nie odmawiamy, — przypuszczamy przeciwnie, że w dogmatyźmie swoim bądź to wierzą istotnie w motywy, rzucane szerokiej publiczności, bądź to snują legendy z samowiedzą ich fałszu, ale fałsz ten dyplomatyczny uważają za konieczny dla ratowania kredytu polityki swojej, której, zdaniem ich, prędzej czy później słońce musi zaświtać. W to słońce, jednak, społeczeństwo wierzyć nie powinno, — z germańskiego nieba tylko piorun jeden po drugim na nas spadać będzie, — dyplomacya ugodowa nic nam nie dała i nic dać nie może, — niemiłosierny bój przeciw żywiołowi polskiemu jest n i e u g i ę t ą z a s a d ą polityki pruskiej, — oto najgłębsze na historyi, doświadczeniach i logice oparte przekonanie nasze.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

W sprawie wystawy przemysłowej w Grudziądzu. Jeden z przemysłowców zachodnio-pruskich rzuca w „Gazecie Grudziądzkiej“ (Nr. 25) projekt następujący:

„Przed kilku dniami poruszyła „Gazeta Grudziądzka“ sprawę wystawy przemysłowej w Grudziądzu i ubolewała nad tem, iż z grona polskich przemysłowców nikt jeszcze w tej sprawie głosu nie zabrał. I my polscy przemysłowcy w Grudziądzu bardzo nad tem ubolewamy; ale na taktykę panów urządzających ową wystawę, nie ma już podobno innego lekarstwa, jak tylko trzymanie się od tej wystawy zdala!

Urządzającym wystawę widocznie na polskich wystawcach bardzo mało zależy, bo o jakichkolwiek ogłoszeniach w polskich gazetach. o zniesieniu się z polskiemi Towarzystwami przemysłowemi itp. dotychczas głucho i cicho.

Znając dokładnie tutejsze stosunki, jestem tego zdania, że w Grudziądzu — siedzibie „Geselligera“, gdzie bojkot przeciwko Polakom cichaczem na dobre już jak kret nurtuje, nie znajdziemy i co do wystawy uwzględnienia choćby nawet najskromniejszych naszych życzeń.

Jest między nami dużo zdolnych przemysłowców którzyby się i na grudziądzkiej wystawie ze swemi wyrobami pokazać mogli. Kiedy wszakże i tu, widocznie z dobrze wiadomych każdej mądrej głowie względów, nieprzychylny wiatr dla naszej sprawy wieje, zrobimy najlepiej, jeżeli sobie pozostaniemy w domu.

Przed dwudziestu laty mniej więcej mieliśmy wystawę polską w Toruniu, a ta się znakomicie udała. Możeby się zalecało w skutek ignorowania nas przy wszystkich takich okolicznościach i teraz pomyśleć o osobnej w y s t a w i e p o l s k i e j n a Z a c h o d n i e P r u s y.

Przemysł nasz zaczyna się na dobre powijaków pozbywać i podnosi się we wszystkich gałęziach, tak, że wystawa taka jest już dla tego konieczną, aby módz dwudziestoletni postęp na tem polu stwierdzić!

Cieszyłoby mnie bardzo, gdyby tych kilka słów pobudziło szersze koła naszych przemysłowców do wyjawienia publicznie swego zdania o tej sprawie“.

Do słów powyższych załączyła redakcya „Gazety Grudziądzkiej“ następujące uwagi:

„Na projekt urządzenia wyłącznie polskiej wystawy godzimy się a nawet gorąco mu przyklaskujemy.

Wobec ciągłej troski o byt, rzetelnej pracy na polu przemysłu i walki w obronie naszej egzystencyi narodowej, powinniśmy byli nabrać tyle zdolności i wprawy, tyle samodzielności i energii, aby módz pomyśleć o urzeczywistnieniu podobnej myśli — o własnych siłach, na własną rękę.

Ze względu zaś na uprawianą wobec nas ze strony niemieckiej metodę pomijania nas i odpychania na każdym kroku społecznego życia oraz nieuszanowanie naszego języka i odrębności narodowej, jest to nawet koniecznem, abyśmy sami zobaczyli, co umiemy, czego nam niedostaje, w czem się zmienić, co ulepszyć należy itd.

Na nowo więc prosimy naszych przemysłowców i wogóle znających się na rzeczy rodaków ze wszystkich stron naszej prowincyi, aby na dobre pomyśleli o tej sprawie i wnet wypowiedzieli swe zdanie, myśli, rady i projekta, w którym to celu otwieramy chętnie łamy naszego pisma“.

* * *

Ruch radykalny w Galicyi. W wiedeńskim „Przełomie“ znajdujemy następujące szczegóły o rozwoju idei socyalistycznej na gruncie galicyjskim:

„Trzema szlakami posuwa się ruch radykalny w Galicyi. Od Zachodu idą doktryny socyalistyczne, od Wschodu radykalna Kozaczyzna, a z wnętrza kraju dobywa się radykalizm żydowskich Syonistów.

Ruch socyalistyczny w Polsce rozbudził się w ostatnich dwudziestu latach. Rozniosła go po Galicyi zwłaszcza, — po aresztowaniach warszawskich w sierpniu 1878 roku, — emigracya przewódców tego ruchu do Lwowa, Krakowa i Poznania.

Procesy socyalistyczne w Krakowie w roku 1879, proces Mendelsohna i towarzyszy w Poznaniu roku 1882, we Lwowie r. 1884, były wielką reklamą dla nowej partyi. Młodzież, w której ówczesny system polityczny zabijał, a przynajmniej przytłumiał ducha narodowego, młodzież gorętsza, szlachetniejsza, potrzebująca żyć nietylko chlebem, ale i wyższemi ideałami, rzuciła się całą duszą do tej oszałamiającej fantazyę propagandy.

W r. 1890 założono we Lwowie obok istniejącego od kilku lat dwutygodnika, wydawanego przez drukarza Daniluka „Praca“, pierwszy organ partyjny „Robotnika“ pod redakcyą niezmordowanego w agitacyi Mańkowskiego, w r. 1892 przybył drugi dwutygodnik „Siła“, w r. 1894 Daniluk spróbował wydawać w ostrzejszym tonie „Młot“, nadto powstały dwa nowe pisma we Lwowie: „Nowy Robotnik“, co 10 dni w nakładzie 1300 egzemplarzy, popularno-naukowy miesięcznik w 500 egzemplarzach „Światło“ a w Krakowie pod redakcyą znanego komiwojażera socyalistycznego I. Daszyńskiego tygodnik partyjny „Naprzód“ w nakładzie 1900 egzemplarzy.

Za granicą reprezentantem socyalistów działających na polskie prowincye jest w języku polskim wydawany miesięcznik „Przedświt“ w 1000 egzemplarzach w Londynie i tygodnik „Gazeta robotnicza“ w 1300 egzemplarzach w Berlinie, a nadto od czerwca 1895 r. wydaje Związek zagranicznych socyalistów polskich celem zawiadamiania socyalistów innych narodowości o ruchu socyalistycznym w Polsce „Bulletin officiel du Parti socialiste polonais“ pod redakcyą Al. Dębskiego w Londynie.

K. ROJAN.

W ŚWIAT.

(Ciąg dalszy.)

Smolarz przypomina sobie teraz, że w ostatniej chwili przed wejściem na scenę, zapodział gdzieś przygotowany do oddania list, zgubił go, lub też wetknął w kieszeń surduta. Ogląda się więc niepewnie ku Łasieckiemu a równocześnie szuka po kieszeniach granatowej liberyi. Nie znalazłszy listu tam, poczyna grzebać po kieszeniach od kamizelki.

Wywięzuje się z tego powodu zabawna chwila wyczekiwania, ze stroy męża jak i publiczności. Smolarz jest wściekły.

— Musiałem go zapomnieć w przedpokoju — powiada i cofa się za kulisy. Po drodze zaczepia długiemi połami rozpiętego surduta o fotelik i przewraca go z łomotem. Na twarzy jego maluje się głębokie zniechęcenie i rozpacz.

Przez okienko w kulisach przygląda się Lola i Dyniecki tej tragi-komicznej scenie. Dyniecki uśmiecha się złośliwie i szepce jej do ucha:

— Ach, jakiż on zgrabny, ten narzeczony pani. Złote serce, to prawda, ale zresztą trywialny jak młot i kowadło.

Twarz Loli pokrywa się rumieńcem. Wstydzi się ona za biednego Franciszka i zła jest na niego. Cóż wart człowiek szlachetny i prawy, skoro przez swoje niedołęstwo staje się pośmiewiskiem?

Odnalazł wreszcie Smolarz, przy pomocy Łasieckiego zgubiony list, zaniósł go na scenę, cisnął na stół przed męża i bąknął: „Oto jest“.

Mąż rozdziera kopertę i rozpoczyna czytanie:

„O, do dyabła — woła — a to co takiego? List anonimowy.... Hm (czyta głośno:) „Ostrzegam pana przed wielkiem nieszczęściem. Żona pańska, dowiedziawszy się, że masz iść dziś wieczór na uroczystość jubileuszową, właściwie na maskaradę, naznaczyła jednemu ze znajomych pańskich *rendez-vous* w domu. Przyjdzie on niechybnie między dziesiątą a jedenastą wieczorem. Bądź pan o tym czasie w domu, a przekonasz się o prawdziwości niniejszego listu“. A to okropne — woła mąż — żona mię zdradza!... zdradza mnie, którego cały świat uważa za ideał męża (uśmiecha się po krótkim namyśle). No, nie bardzo, a mała Wicia?... Ale cóż z tego, co wolno mężczyźnie, to nie wolno kobiecie. (z gniewem) A, moja pani, nie spodziewałem się nigdy po tobie tyle przewrotności. To mi się zaczyna bardzo niepodobać. (zastanawia się) Ale wiem co zrobię. Niech Wicię dyabli porwą i maskaradę i taroka; zostaję w domu i chwytam ich na gorącym uczynku. (woła) Janie!

J a n: „Do usług, proszę łaski pana“.

M ą ż: „Aha, jesteś tu. Słuchaj Janie, ty jesteś rozsądnym chłopcem, co?“

J a n: „Tak, troszkę, proszę łaski pana“.

Dyniecki nachyla się ku Loli i szepce jej do ucha:

— Jak na lokaja jest wystarczająco rozsądnym.

Lola uśmiecha się posępnie.

M ą ż: „Otóż mój Janie, pójdziesz do pani i powiesz jej, że właśnie wyszedłem z domu. Rozumiesz?“

J a n: „Rozumiem“. (chce odejść).

M ą ż: „Czekaj, jeszcze nie koniec. Ja jednak nie wychodzę nigdzie, tylko idę do niebieskiego pokoju i będę ztamtąd, przez to (wskazuje ręką na ścianę) okienko śledził, co się tu dziać będzie w salonie. Ty zaś, mój Janie, masz mi stać na czatach i nie wpuszczać nikogo do niebieskiego pokoju. Rozumiesz?“

J a n: „Rozumiem“.

M ą ż: „Teraz możesz iść już do pani“.

Smolarz wychodzi prawemi drzwiami, staje przed Lolą i Dynieckim, patrzy im przez chwilę chmurnie w oczy, odwraca się i wchodzi znowu na scenę.

— On nas podejrzywa — szepce Lola bojaźliwie.

— Wątpię — odpowiada Dyniecki —

Na scenie mąż monologuje dalej:

Dla szerzenia jawnej agitacyi socyalistycznej założono w roku 1891 stowarzyszenia publiczne pod wspólną nazwą „Siła“ we Lwowie, w Krakowie i w miastach na prowincyi, stowarzyszenia, które już dziś siecią objęły wszystkich robotników fabrycznych i warsztatowych w Galicyi.

Organizacya socyalistyczna, licząc się z poważną cyfrą robotników izraelickich, założyła dla nich pismo wydawane w żargonie żydowskim p. t. „Der Arbeiter“ i utworzyła dwa towarzystwa: „Brüderlichkeit“ i „Zad Hachsun“. Obok tego odbywają się doroczne kongresy prowincyonalne; ostatni w r. 1895 odbył się w Nowym Sączu.

W ścisłym związku z ruchem socyalistycznym prowadzonym przez socyalistów polskich, idzie ruch radykalny ruski. Ruch radykalny między włościaństwem ruskiem daje się ściśle odgraniczyć. Obejmuje on głownie powiaty południowe, kołomyjski i śniatyński, kiełkuje w powiecie żółkiewskim i przemyskim. Jest on prowadzony przez kilka jednostek i rozwija się tam, gdzie te jednostki agitują.

Jest wzajemne odnoszenie się socyalistów polskich do ruchu radykalnego ruskiego i radykałów ruskich wiąże wspólna myśl przewodnia z socyalistami polskimi.

„Nasze cele — wołał agitator socyalistyczny Daszyński na zebraniu krakowskiej grupy radykałów ruskich — i cele Dragomanowa są jedne i te same, chociaż drogi, po których stąpamy, są odmienne. My przygotowujemy grunt, na którym dopiero marzenia Dragomanowa będą się mogły stać aktualnemi i na czasie. Bez socyalizmu ideały Dragomanowa osięgnąć się nie dadzą, i dla tego młodzież ruska, przyznająca się obecnie do tych ideałów, przejść powinna po prostu w socyalistyczne szeregi“. (Perszi pominki M. P. Dragomanowa. Wydał uczeń jego M. Pawlik. Lwów 1895, str. 8).

Za to radykały ruskie odwdzięczają się udziałem na zjazdach socyalistycznych: Dr. Trylowski bierze bardzo żywy udział w trzecim lwowskim zjeździe polskich socyalistów. P. Budzynowski przedkłada na odbytym we wrześniu r. z. czwartym zjeździe polskich socyalistów w Nowym Sączu agrarny swój program, żywcem wykrojony z broszury jego: „Chłopska posiadłość w Galicyi“. Na tenże zjazd przybywa wybrany w Przemyskiem poseł Nowakowski i przemawia to po rusku, to po polsku wśród entuzyastycznych oklasków zgromadzonych“.

* * *

Bezskuteczność germanizacyi. W „Kraju“ petersburskim czytamy:

„Historya świadczy, że te tylko narody z oblicza ziemi zniknęły, które zostały wyrznięte, wywieszane, wystrzelane. Po za tem innego środka, prowadzącego do tego celu, dzieje nie wskazują. Bodaj jednak, czy środek ten w danym wypadku do trzech milionów ludzi da się zastosować. Czechów i irlandczyków nie zdołały wytępić wiekowe prześladowania, dokonywane wszystkiemi narzędziami, wszystkiemi sposobami, jakie tylko zwycięzkie państwo i nieprzyjacielski naród wymyślić są w stanie. Nie zginęły resztki plemienia celtyckiego na skałach nadmorskich Bretonii i Walii, pomimo, że przez wieki oblewane są i zalewane przez fale francuzczyzny i angielszczyzny. A więc ani ucisk, świadomie dążący do wynarodowienia, ani normalny bieg rzeczy, wpływy naturalne, nie są w stanie zgładzić narodu. Zapewne działają tu przyczyny też same, dla których najpotężniejsze państwo, z wielką armią, z bogatym skarbem, z wyborną administracyą, z ks. Bismarkiem na czele, jednego atomu jakiegoś pierwiastku ani zniszczyć, ani przetworzyć nie mogą.

Ale prowincyę zdobytą można pozyskać dla państwa, jej interesy narodowe zsolidaryzować lub przynajmniej pogodzić z widokami, z potrzebami monarchii. Wypadki podobne są w dziejach zjawiskiem dosyć pospolitem, ale nigdy nie następują i nastąpić nie mogą, gdzie działa ucisk, gdzie grasują prawa wyjątkowe. To zrozumieć łatwo i łatwo też stwierdzić przykładami historyi. Ucisk jest w stanie wytwarzać jedynie nienawiści, fanatyzmy, — nigdy nie obudzi sympatyi, ani zaufania.

Francuzi w Afryce powstrzymują się od święcenia pamiętnych wypadków narodowych, aby dzikim narodom nie sprawić przykrości; niemcy lubują się w torturowaniu uczuć swoich inoplemiennych współobywateli. Francuzi pozyskali Alzacyę w r. 1648, Lotaryngię dopiero w r. 1766. Obie te prowincye już za wojen rewolucyi i napoleońskich pod względem zsolidaryzowania się z dążeniami i ideałami Francyi, nie ustępowały w niczem Szampanii ani Pikardii. Kiedy najazd niemiecki oddzierał w r. 1871 Alzacyę od Francyi, i Alzacya i Francya czuły ból wielki i do dziś go czują.

Szlązk należy do państwa niemieckiego już 500 lat, Prusom dostał się przed 140 laty—czy cesarstwo Hohenzolernów ma jakieś złudzenie co do uczuć ludu szlązkiego? Czy może liczyć na łzę jedną, gdyby wypadki uwolniły Szlązk z pod panowania Niemiec? Kaszuby dostały się Prusom mało co później, niż Lotaryngia Francyi, a czy tam jest zalążek chociaż tych uczuć, jakie sto lat temu okazała Lotaryngia? Zkądby się tu uczucia takie wziąć mogły? Kijem, kagańcem, więzieniem ich się nie stwarza.

We Francyi nikt nigdy nie pomyślał nawet, aby Alzacyi, mówiącej po niemiecku, narzucać język francuzki, aby ludzi z pod praw wyjmować za pochodzenie, aby uczucia szlachetne, jak zbrodnię karać. Francya pracowała, aby Alzacyi dobrze było pod jej panowaniem i celu dopięła—serca ludu zyskała.

Kto winien jak nie sami niemcy, że coś podobnego nie stało się w dawnych ziemiach polskich? A dzisiaj brak w polakach poczucia solidarności z państwem gniewa ich, mają to za zbrodnię! Chcąc jakiegoś nadnaturalnego i nienaturalnego zjawiska. Państwo mądre dwa razy obcy naród podbijać musi; drugi podbój, moralny, trudniejszy jest, dokonywa go sprawiedliwość i opieka nad tem wszystkiem, co podbijanemu narodowi drogie. Naród żaden głowy sam pod topór nie położy, a za urąganie, za poniewierkę miłować nie zacznie. Nie intryga polska, nie szlachta, nie duchowieństwo — jak twierdzi ks. Bismark winni, iż państwo ma na krańcach wschodnich opozycyę, winne są pożądania germanizacyjne samych niemców. Nic, tylko to.

* * *

W innym artykule „Kraju“, dotyczącym komisyi kolonizacyjnej, czytamy:

„Inicyatorowie kolonizacyi przyznawali się zupełnie otwarcie, że celem jej jest germanizacya. Cóż w tym kierunku osiągnięto?

Według ostatniego sprawozdania, przez 10 lat komisya kolonizacyjna osadziła na rozparcelowanych gruntach 1,784 kolonistów. Jeżeli chodzi o wpływ na germanizacyę dwóch prowincyi, to należy przedewszystkiem z tej liczby strącić kolonistów, pochodzących z Poznańskiego i Prus Zachodnich w ogólnej liczbie 710. Z pozostałych 1,074 jeszcze pochodzi 227 z Prus Wschodnich i 131 ze Szlązka, czyli dalszych 358 z okolic, w których mieszka ludność polska obok niemieckiej, a w miarę ustępowania jednej, wzmaga się druga. Na kolonistów, pochodzących z okolic wyłącznie niemieckich, pozostaje 716 kolonistów. Czyż na sprowadzenie takiej liczby warto poświęcać olbrzymie sumy, ponosić milionowe straty i bezustannie wywoływać rozdrażnienie wśród ludności rdzennej, której komisya odmawia sprzedaży gruntów?

Nie tracimy nadziei, że kiedyś sami inicyatorowie właściwą na to pytanie znajdą odpowiedź“.

„I wierz tu dzisiaj kobiecie. Moja poczciwa Henryka, ten anioł wierności, zdradza mię ohydnie!... To okropne. Ale ja się zemszczę. O tak, zemszczę się strasznie.

Jan: (powróciwszy na scenę) „Już powiedziałem proszę pana“.

Mąż: „A pani co na to?“

Jan: „Nic, proszę łaski pana. Podeszła tylko do okna i chusteczką ścierać poczęła pot z szyby“.

Mąż: (na stronie) „Aha, już wiem, to był znak. (głośno) Chodź zemną do pokoju niebieskiego, będziesz tam strzegł wejścia“. (Odchodzą obaj).

Łasiecki klaszcze w dłonie.

— Panno Anno, proszę na scenę.

Anusia wychodzi.

Służąca: „Kazała mi pani czekać w przedpokoju i dać znać, gdyby kto nadszedł. Tymczasem nikt nie nadchodzi. Ach, jakież tu nudy u tych państwa. Żadnych zabaw, wieczorków, gości. Doprawdy, że nie wytrzymam dłużej“.

— Na scenę wchodzi Letourneaux.

Letourneaux: (na stronie). „Ech, jakiś ładny buziaczek (głośno). Jak się nazywasz piękna dzieweczko?“

— Służąca: (dygając) „Nazywam się Melania, do usług“.

Letourneaux: „Ślicznie się nazywasz moja gołąbko. Powiedz mi zatem, moja kochana, czy państwo są w domu?

Służąca; „Pani jest, ale pana niema“.

Letourneaux: „O, jakże mi przykro. Właśnie chciałem widzieć się z panem. Lecz ostatecznie, kiedy go nie ma, moja piękna dzieweczko, pozwolisz, że cię pocałuję“. (chwyta ją i całuje).

— Służąca: „Ach!“

Anusia zakrywa twarz i czyni uwagę na stronie, której komedyopisarz pan Labriquenie umieścił w swym rękopiśmie, i która nie doszła do uszu publiczności:

— Ależ on mnie naprawdę pocałował; nie tak, jak na próbach bywało,

Letourneaux: „Idźże zatem, moja ty piękna, i powiedz pani, że pewien dobry znajomy przyszedł z wizytą i pyta, czy go pani przyjmie. Oto moja karta“.

Służąca: „Zaraz panu powiem“. (bierze kartę wizytową, dyga i odchodzi).

Łasiecki do Józefa za sceną:

— Józef, a no, smaruj na drabinę, musisz zaraz p....podsłuchiwać.

Józef włazi na drabinkę przy ścianie i wsadza głowę na scenę przez wąski otwór, przedstawiający okienko wentylacyjne.

Mąż: (przez okienko) „Acha, tyś to mój paniczu!“

Publiczność spogląda z ogromnem zainteresowaniem na głowę męża w okienku i cieszy się, przewidując wielką intrygę.

Letourneaux: (wydobywa list z kieszeni) „Doprawdy, jeszcze nie mogę ochłonąć z głębokiego wrażenia, jakie zrobił na mnie ten list, dziś rano otrzymany. Co on właściwie ma oznaczać? (czyta) „Kochany kuzynku! Wiem, że bawisz chwilowo w naszem mieście. Cieszę się tem niewymownie i zasyłam do ciebie gorącą prośbę. Przyjdź, kochany kuzynku, około 9-tej wieczorem i spełń to koniecznie, o co cię poniżej proszę. Udawaj, że jesteś we mnie na zabój zakochany; praw mi różne grzeczności, oświadczenia i składaj przysięgi. Chodzi tu o ukaranie mego męża. Nie obawiaj się żadnych złych następstw. Jeszcze tego samego wieczora wyjaśni się wszystko. W rozmowie jednak nie wspominaj nic o niniejszym bileciku. Do miłego widzenia. Henryka“. — (mówi) Nie rozumiem. Ale w końcu, co mię to obchodzi. Przed wyjściem Henryki za mąż, kochałem się w niej studencką miłością; dla czegoż więc dzisiaj, po latach kilku rozstania, nie miałbym przypomnieć sobie tych chwil wesołych. A może i Henryka na wieść o mojem przybyciu przypomniała sobie dawne czasy i zakochanego studenta.... Może znudziwszy się mężem, zapragnęła dla odmiany jakiejś rozrywki, naprzykład romansiku z kuzynkiem. Być może. A byłoby to wyśmienite, słowo daję.

Łasiecki za sceną:

— Pst, panno Lolu, na panią kolej.

Żona: (wchodzi na scenę) „A!... kochany kuzynek Maryan — (woła z radością) jak się cieszę, żeś przyszedł (podaje mu rękę). Proszę, usiądź pan“. (Letourneaux siada).

Mąż: (z drabinki na stronie) „Jak oni dziwnie patrzą na siebie“.

Smolarz do siebie po cichu za sceną

LITERATURA I SZTUKA.

Z PO ZA OCEANU.

Piszę ja list ten, Rodziciele moi,
Z bijącem sercem, z mokremi oczyma.
A między nami morze wielkie stoi,
Nie daje do was i siłą mnie trzyma,
I srogie góry są, i puszcze straszą,
Między mną tutaj, a tam chatą waszą.

Więc tylko oczy podnoszę nad szczyty,
Rano i wieczór patrzący w tę stronę,
Gdzie jest nasz zagon, kłosami nakryty,
Gdzie łąki nasze, po rosie koszone,
I chciałbym ptakiem przelecieć tę drogę,
I wiatrem chciałbym przez nią, a nie mogę!

W oczach mi tylko tak stoi, jak żywa,
Bielona chata, snopami poszyta,
I kalenica wysoka, a krzywa,
I dusza o niej zamyśla i pyta,
Ale mi wieści nikt żadnej nie poda,
Taki świat ziemi jest, i taka woda!

Więc sobie rady nie wiem od tęsknoty,
A od żałości o kęs, że nie ginę...
I widzę prawie te chruściane płoty,
I jak tam żóraw idzie w cembrowinę,
Przez góry czuję i przez wielkie morze,
Jak mięta pachnie tam i drzewko hoże.

A jak z odpustu obrazik kto bierze,
I patrzy w niego, i nosi na szyi,
Tak ja w tę chatę, mówiący pacierze,
Patrzę, by w obraz Panienki Maryi,
Za świętość sobie mając owe ściany
I próg i białe na gnieździe bociany...

Chorość mnie ciężka zwaliła, jak brzemię,
Iż dobrej w sobie za grosz nie mam siły.
I prędko pewno iść przyjdzie mi w ziemię,
Bez czterech desek, bez własnej mogiły,
Bowiem czerń ludu ginie z tej choroby,
Których w dół wloką pospólny, nie w groby.

Tak z onych bogactw, z onych majętności,
Co mnie skusiły tu, w te cudze kraje,
Dla moich w ogniu trzęsących się kości
Trzech łokci piasku siwego nie staje,
Co u nas żebrak ma... I nie porośnie
Brzózka nademną liściami o wiośnie.

Więcbym tu pisał dzień cały te żale,
I śmierć tę czarną, co na mnie już kracze,
I tę gorącość serca do was, ale
Szkoda mi oto mateńki, że płacze,
Łzami sypiąca na papier ten biały,
Co go jej morza dalekie podały.

Bogdajżeś pierwej stradała mnie płodem,
Niźli ja tutaj na dolę tę padłem.
Bom i chorobą ściśniony i głodem,
I jak wilk węszę po ziemi za jadłem,
Jak ptak bez gniazda, skrzydłami tu biję,
I w nocy zrywam się, i jak pies wyję!

Prosiłbym ja was, byście mi za morze
Odkazowali, jaka była zima,
Czy też miał ciepło dobytek w oborze,
I czy już wiosną pachnie, czy mróz trzyma?
Ale, że we mnie dusza nie doczeka,
Niż pismo przyjdzie z takiego daleka,

Więc was już żegnam i kłaniam się pięknie,
Ojcze i matko do samych wam kolan,
A jak tam nocą w kominie wiatr jęknie,
I z niedogasłych skry rzucą się polan,
Albo zawierkiem cicho co zarusza,
To będę, matko, ja i moja dusza.

A teraz żegnam życzliwe sąsiady,
I całą naszą chudobę i pole,
Miedze i łąki, wygony i sady
I żytnie brogi i zasiek w stodole,
I kosę moją żegnam już, i wrota,
Com tu jest tułacz bez nich, i sierota!

Leciałbym do was, jak ten gołąb siwy,
Albo jak słomka, ciągnąca o wschodzie,
Bo mi się widzi, że znów byłbym żywy
Po naszym chlebie i po naszej wodzie,
Bo w studni na dnie miesiączek tam leży,
A krzyżem świętym znaczony chleb w dzieży.

A widzi mi się, bym znów na uwrocie
Za pługiem stanął, a huknął na woły,
A pojrzał w pole, płoniące się w złocie,
Tobym wnet wzmocniał i byłbym wesoły.
Ale, że teraz struchlałe mam kości
Od wielkich ogniów słońca i tęskności.

Tu ziemia nie ta, i nie czuje człeka,
Jak łan rodzony, co się z nim rozumie,
Chata od chaty bezdrożem ucieka,
A dusza głuchnie w okrutnych puszcz szumie,
I niebo się tu przegradza od ziemi
Stogami głazów niezwyciężonemi.

Więc trudne rzeczy są i podaremne,
Bym się ztąd dostać przemógł za żywota.
Ale jak umrę, to przez bory ciemne,
Przez morze pójdę wprost, gdzie nasze wrota,
I trafię, dojdę pod chaty okienko,
Tak mi dopomóż Bóg i święta męko!

A teraz dajcie bić za mnie we dzwony,
Od wschodu słońca do zachodu słońca,
I niechaj będzie Chrystus pochwalony!
Ostajcież z Bogiem, moja kochająca
Mateńko droga, i Tatuńciu miły...
Kłaniam się do was od mojej mogiły!

Marya Konopnicka.

Pesymiści-melancholicy.

(*E. Orzeszkowa. Melancholicy, nowele. — Warszawa 1895, 2 tomy*).

(Ciąg dalszy).

Wobec tego objawu otwiera się szerokie pole dla etycznej obywatelskiej działalności literatury pięknej. Pesymizm ma w niej prawo bytu, ale z małym wyjątkiem wszelkie prawa nieograniczone zamieniają się w swawolę. Jak samobójstwo ciała spotyka się wszędzie, a więc w i literaturze, z potępieniem, tak i samobójstwo ducha o tyle gorsze, że roznoszące truciznę, nie powinno być otaczane względami i opieką. Wszakże nikt z pisarzy kreślących obrazy zbrodni, pijaństwa, wiarołomstwa, nie woła: morduj, zdradzaj, upijaj się! — żaden więc nie powinien wołać: trać wiarę w siebie i ludzkość i z innych tę wiarę wypruwaj. Literatury zadaniem jest leczyć choroby społeczne, ale nie sprowadzać je. A jeżeli przeciwnicy utylitaryzmu sztuki, zrzekając się dobrowolnie szlachetnego apostolstwa

— Oj, prawdę mówisz, oni dziwnie patrzą na siebie.... bardzo dziwnie.

Letourneaux: „Pani, myśl o tem, że dzisiaj cię ujrzę, napawała mię przez dzień cały nieopisaną radością“.

Mąż: (z okienka, na stronie) „Bodajbyś kark skręcił“.

Audytoryum cieszy się.

Żona: „Och, ja również myślałam o tobie kuzynku przez cały dzień....

Mąż: (z okienka) „Poczekaj, dam ja ci przez dzień cały o nim myśleć!“

Publiczność huczy. Klepka aż tupie nogami z radości.

Letourneaux: „I gdy tak, droga kuzynko, obraz twój wypełniał duszę moją, przyszły mi na myśl wszystkie owe chwile, kiedy to dziećmi jeszcze będąc, czuliśmy jakiś nieokreślony pociąg ku sobie“.

Mąż: (trzęsąc głową i całym papierowym pokojem) „No, proszę, pociąg!... może jeszcze pospieszny! Zabiję ja cię zbrodniarzu za ten pociąg!“

Audytoryum zachodzi się od śmiechu.

Żona: „Widzisz kuzynku, to dziwne, bo dziś właśnie i mnie przyszły na myśl nasze dziecinne uczucia, takie błogie, takie rozkoszne, a tak już od nas oddalone“.

Letourneaux: „Pamiętasz kuzynko owe wakacye, kiedy to przyjechałem do twoich rodziców na wypoczynek. Byłem wówczas dumny i myślałem, że cały świat do mnie należy. Chciałem wówczas wydać ci się wielkim i zacząłem przytaczać łacińskie zdania, greckie aforyzmy. Lecz ty śmiałaś się tylko i obrzucałaś mnie łupinami z orzechów“.

Żona: „Ach, jakież to były przyjemne czasy“.

Letourneaux: „A potem, pamiętasz kuzynko ten moment, kiedy to przypadek, dziwny zbieg okoliczności nas rozdzielił“.

Łasiecki, który przez cały ciąg przedstawienia patrzył w rękopism i kiwał głową na znak, że słowa cytowane przez artystę-amatora zgodne są z tekstem pana Labrique, w tem miejscu rusza niespokojnie ramionami i woła:

— Pst, pst, co on mówi?

Ale Letourneaux nie ogląda się na psykanie suflera, tylko improwizuje z zapałem dalej:

„Ach, jak ja wówczas cierpiałem, tego pani nigdy nie pojmie“.

Łasiecki opuszcza z rozpaczą ręce i woła coraz to głośniej:

— Pst, pst! ależ tego nie ma w roli. Otóż patrzajcie.... popsuje mi zupełnie przedstawienie. Tego przecież nie ma w roli!

Smolarz bierze go za rękę i powiada z cicha:

— Daj pokój, niech mówi, już to jest w jego roli. A ja muszę wiedzieć, co w jego roli jest.

Letourneaux: (z zapałem) „Podobnych mąk ludzkiem słowem opisać niepodobna. Kochałem cię całą duszą, całą głębią pierwszej, czystej miłości — a ty? o Henryko, tyś przez kaprys chwilowy, niepojęty, potworny, wzgardziłaś mną i uczyniłaś nieszczęśliwym na zawsze!... A ja, ja biedny odszedłem z rozdartem sercem, nie wymówiwszy jednego słowa na me usprawiedliwienie“.

Lola nie może również pojąć, co się tu dzieje; podobnej tyrady nie słyszała nigdy przedtem na próbach. Czuje jednak, że Dyniecki przeplata komedyę rzeczywistością i w usta kuzynka wkłada własne myśli. Mięsza się do reszty, wstaje i szepce:

— Panie Dy.... panie Maryanie, co pan mówisz?

Publiczność jednak, nie domyślając się zmiany tekstu, bierze każde słowo Dynieckiego za dobrą monetę i porwana jego zapałem i szczerością, zachwyca się grą pana Letournaeaux.

Ten zaś improwizuje dalej:

„Tak pani. Dawne to już czasy, chociaż tak bliskie w spomnieniach. Gdy jednak dziś ujrzałem cię znowu kuzynko, wydało mi się, że wszystko to działo się wczoraj. I dziś znówu czuję, że cię kocham jak wówczas i dziś powtarzam tobie z nieopisaną radością: Henryko, ty musisz być moją, moją na wieki!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

mówią: my nie jesteśmy od leczenia, tylko od dyagnozy — to i na to jest odpowiedź gotowa: opisujcie więc, zaznaczajcie chorobę, nie leczcie jej kiedy leczyć nie chcecie, lub nie umiecie, ale jej nie roznoście. Tymczasem literatura pesymistyczna to nie lekarstwo, nie dyagnoza, lecz propaganda niewiary, mizantropii, samolubstwa, co powiększa społeczne niebezpieczeństwo doktryny. Wobec smutnych stosunków społecznych i objawów, będących ich rezultatami, nie odgrywa ona roli obrońcy dobra, lecz rolę pomocnika kata. Boleje ona niby i płacze nad skazanym, ma pełne usta nienawiści dla wydających w imieniu zła wyroki, ale zawiązuje skazanemu ręce i oczy i prowadzi go na szafot, aby przypatrzeć się interesującemu widowisku. Zamiast wołać: pomocy! sprawiedliwości! światła! ona z uśmiechem przeżytego histryona mówi: kładźcie głowy pod topór, tak być musi, kochani moi uczniowie! Plantatorzy tej literatury uważają tylko na artystyczne przeprowadzenie tragedyi, aby mile łechtała zmysły estetyczne ich zwolenników. Dla nich wszystko jest sztuką dla sztuki, zło dla nich święci tryumfy, aby mogli w piękne formy przybrać nieszczęścia, aby harmonijnemi dźwiękami słów i wyszukanym rymem wyrywali z serc ludzkich ostatki nadziei.

Taka propaganda pesymizmu musiała wywołać reakcyę. W szeregi walczących przeciw niemu wstąpiła i Orzeszkowa. Nie napisała rozprawy, bo rozprawy mało kto czyta, bo miała zresztą broń silniejszą, wypróbowaną. Nowele, to najpoczytniejsza dziś forma literatury, — niech więc nowele idą w świat walczyć za prawo ludzkości do życia, za skarby serc i myśli, kryjące się wprawdzie często w ciemnych pieczarach, ale wydobywany przez tych co ich szukać mnieją. Dla głębszych umysłów jednak lekka, powiewna, szkicowa forma noweli wystarczyć nie może, — więc choć nowelami nazwała Orzeszkowa szereg swych mniejszych utworów, powiązanych mocniej lub słabiej nicią wspólnej tendencyi, są one przeważnie studyami psychologicznemi. Dała im tytuł „*Melancholicy*“ chrzcząc tem mianem (jeżeli się nie mylę) wszystkich zrozpaczonych, wątpiących, bolejących, którzy zatrzymują się nad przepaścią pesymizmu, dostrzegłszy błysk nadziei, odnalazłszy w sobie niezgasłą iskrę zapału, lub dojrzawszy możność i konieczność istnienia na ziemi serdecznego braterstwa. A może *melancholicy* to po prostu tylko inna nazwa pesymistów, jakby się tego z paru napomknień autorki domyślać należało. Tak czy owak tytuł nieco zagadkowy, nie zbyt odpowiadający treści i bohaterom nowel. Tak w potocznem jak i naukowem znaczeniu melancholia oznacza pewną chorobę duszy, objawiającą się stanem znieczulenia, apatyi, a często połączoną z manią prześladowczą. Jest ona wstępem do zupełnego rozstroju umysłu, a nie do nadania mu mocy i energii. Tymczasem bohaterowie *Melancholików* czują silnie, aż nadto umieją subtelnie analizować swoje uczucia, znajdują się jakby w przejściowym stanie do pomnażania swoich sił duchowych.

Z tytułem tym była po prostu taka historya: Orzeszkowa nie mając z góry powziętego planu, napisała w ostatnich kilku latach ośm utworów mniejszych różniących się formą opowiadania, w których jednak dostrzegła poźniej pewne między sobą powinowactwa. Pragnęła więc dać im nazwę ugólniającą, ażeby zaś jeszcze dobitniej uwydatnić wspólne ich źródło, napisała przedmowę, będącą wyznaniem jej wiary na punkcie pesymizmu. Ztąd zbiór tych nowel podobny jest do naszyjnika z monet różnej wartości i różnego kształtu, ale pochodzących z jednej mennicy i noszących z małym wyjątkiem jednę i tę samą dewizę: *sursum corda!*

„Smutkowi i boleści wyznaczając w ekonomice życia obszerne miejsce (mówi w przedmowie Orzeszkowa) — do spostrzegania ich szczególnie skłonna a moża i zdolna — bardzo daleką jestem od mniemania jakoby one tylko stanowiły jedyne i niezmienne przeznaczenie człowieka“. Rozwinięcie tej tezy przez autorkę streszczam wyłącznie jej własnemi słowami. Pesymizmowi nie dostaje zmysłu światła i dla tego jest on teoryą kaleką, szkodliwą przez to, że jest fałszywą. Pesymizm to robak w drzewie przegryzający energię, odbierający nadzieję, gaszący zapał. Optymizm, lubo także jest skrajnym kierunkiem, przynosi mniejsze szkody, bo nie usposabia człowieka do zamykania serca i zrzekania się czynu. Przyczyną pesymizmu jest: rozczarowanie. Osłabła w sercach wiara nasza, nauka nie zadowoliła umysłów, siła idzie przed braterstwem i prawem. Oprócz tych przyczyn są jeszcze inne niższego rzędu. Wobec wzrostu przemysłu i komunikacyi, wobec wynalazków i ulepszeń w sferze bytu fizycznego, wzrosły ogólne potrzeby, zrodził się legion żądz skomplikowanych. Powstanie wielkich miast podsyciły dwa instykty: naśladowniczy i przodowniczy. Ustrój społeczny zadawala tylko mniejszość, a większości przynosi zawody, głody chciwości i nienasycenia. Są pesymiści, których wygrana na loteryi, brzęk mamony, stanowisko lub okruszyna sławy, mogłyby pogodzić ze światem i życiem — ale są też poważni i szlachetni, którym się wydaje, że wszystkie dobra są zagrożone, albo zaginione. O pierwszych „organizacyach niższych“ mówić nie warto — drugim natomiast należy wytłomaczyć, że się mylą. Wprawdzie nic nas nie zdoła uwolnić od choroby, starości i śmierci, od nierówności cielesnych i duchowych, nic nie odegna od nas widm znikomości — ale obok tej prawdy istnieje jeszcze prawda druga. Starożytny mędrzec powiedział, że życie ludzkie jest kroplą miodu w beczce żółci, a kto tę kroplę wypije już nie ma prawa do pokazywania światu samej tylko goryczy, a kto powie jeszcze „fabrykujmy miód na szkodę żółci“, ten nie jest już pesymistą. Ale czy tylko kropla miodu istnieje w życiu? pyta Orzeszkowa i odpowiada przecząco. Czyż wolno zapominać o piękności natury, czarach sztuki, czyż nauka nie zaspakaja pragnień, nie pobudza energii, nie wskazuje celów? czyż nie ma takich, którym pracą przynosi — ukojenie,

---

St. Czałut.*)

WSPOMNIENIA

Z LEGII ZAGRANICZNEJ.

Trudno wystawić sobie większą radość i wesele od wesela nieszczęśliwego skazańca, który w przededniu swego stracenia, śmiałą ucieczką odzyskawszy wolność, nagle się widzi w posiadaniu samodzielności i swobody, tak iż czynić znów i działać może podług wolnej woli w miarę zdolności i zasad, byleby tylko prawo obyczajowe pozostało kanonem postępków jego. Taka radość nieokreślona i mnie opanowała, gdym po szczęśliwie przebytej ucieczce z *legii zagranicznej*, uczuł pod sobą po raz pierwszy wolny grunt szwajcarski i mógł sobie wreszcie powiedzieć: „jesteś w bezpieczeństwie“, — kiedy kuryer Parysko-Lyońsko-Genewski stanął przed dworcem w Genewie.

Lecz trzeba opowiedzieć przebieg sprawy od samego początku, chcąc szerszej publiczności dać przyczynek do poznania bliżej tej legii sławnej, która przed 30 laty jeszcze była tak chętnie poszukiwaną przez naszych rodaków, że Polacy najliczniej z wszystkich narodowości byli tam reprezentowani. A chociaż w najświeższych latach stósunek ten znacznie się zmienił, — choć obecnie np. niezaprzeczenie szczep germański największy do legii stawia kontygens, jednak ciągle jeszcze dość spora garstka polaków ślęczy w jej szeregach i nie ma tygodnia, żeby jeden lub dwóch z naszych ziomków nie znajdował się w liczbie dosyłanego regularnie z matczynego kraju rekruta. A dosyłki te uskuteczniają się co poniedziałek i czwartek — z Marsylii i z *Porte-Vendre*, przystani w ostatnim pogranicznym zakątku Francyi nad morzem Srodziemnem położonej, obejmując za każdą razą mniejwięcej około 100 chłopa. Pamiętnik mój służyć ma zarazem ku ostrzeżeniu owych młodych ludzi, którzy przy lada niefortunnem w życiu swem zajściu, kierując się bądź to wrodzoną krewkością, bądź informacyami fałszywemi, uważają wysługiwanie się w subtropikalnym Algeryi klimacie jako najłatwiejsze rozwiązanie trudnego położenia. Lecz wkrótce po wstępie następuje reakcya i opamiętanie się, a szeregowiec jakiejbądź narodowości, jeżeli stawionoby mu do woli opuścić legię lub przy niej pozostać. bezwarunkowo i prawie bez wyjątku uczyniłby pierwsze, — chyba, że przed powrotem do ojczyzny wstrzymuje go obawa przed karą za jakieś tam wykroczenia, które go nakłoniły do wstąpienia w pułki kolonialne.

Co do mnie, to sądziłem w ojczyźnie Juby, Masanisy, Jugurty, znaleść zagojenie ran, które mi zadały nieszczęśliwe stosunki familijne; nęciło mnie przy tem dalekie oddalenie, tradycya legii, duch awanturniczy, a wreszcie i niewyszumiana młodość, która w jakibądź sposób wyszumieć musi, by dojść do równowagi...

> „Marzyłem sobie, jak to marzą młodzi,
> Niesforną myślą o tej sławie marnej,
> Widziałem imię wyrwane z powodzi
> Czasów, przykute do gwiazdy polarnej.
> Był sen!“ . . . .

Podczas wystawy światowej w r. 1887 w Brukseli zawarłem znajomość z wysłużonym oficerem żuawów, którego opowiadaniom i gaskonadzie nakłonić się dałem do zaciągnięcia się pod sztandar francuzki. Przerywając studya uniwersyteckie w Prusach, mając również wojskowość w tym kraju po za sobą, puściłem się, nie mówiąc nikomu zgoła o mem postanowieniu, z Brukseli do Francyi. W Béthune, na pograniczu Belgii, istnieje tak jak po wszystkich pogranicznych miastach francuzkich, biuro rekrutowania do wojsk kolonialnych. Tymczasem lekarz wojskowy w Béthune uznał mnie za niezdatnego do służby w legii z powodu żył kurczowych. Zmartwiony tą odprawą do żywego, nie straciłem mimo to nadziei zupełnie i postanowiłem w pierwszem lepszem innem mieście jeszcze raz spróbować szczęścia. *„Quot capitta, tot sensus“*, to też w Lille, dokąd się udałem z Béthune, bez wszystkiego lekarz sztabowy mnie przyjął. Odesłany do Arrasu, oczekiwałem dalszych instrukcyi. Inkwaterowany w obszernych tamtejszych koszarach, w ubraniu jeszcze cywilnem, miałem po raz pier-

*) Za pseudonimem Czałut kryje się Poznańczyk, który przez pewien czas należał do żołnierzy legii zagranicznej w Afryce i dokonał nader śmiałej i trudnej ucieczki. Przyp. Red.

pełnienie cnoty, a nawet sam jej widok — szczęście. Czyż nie ma takich, co w poddaniu się obowiązkowi znajdują pociechy nieocenione, głębokie. Lecz, aby posiąść to źródło pociech i uciech trzeba zdolności do odrywania się od samego siebie, do serdecznego wielbienia i kochania. Miłość jest dla szczęścia pierwiastkiem pierwszorzędnym i niezbędnym; przez rodzinę, naród, ziemię, wszechświat, wstępuje ona w nadzmysłowe, prawie nadludzkie, a jednak tylko ludzkie strefy ideałów. Nie ma jej u dekadentów przeestetyzowanych, ani u modernistów lekceważących wszelkie piękności i dobra moralne, — to też wśród nich pesymizm krzewi się najbardziej. Ale choćby przewaga złego i boleści była dowiedzioną — to i cóż? To żeśmy ciemni i maluczcy, to, że wszystko, co nasze, wydaje nam się znikomem, nie dowodzi jeszcze nieistnienia absolutnej jasności, trwałości i doskonałości kędyś po za nami. Zadatki ich, pojęcia o nich, tęsknota za niemi, każą wierzyć, że dla czegoś istniejemy, że jeżeli cierpimy, to nie nadaremnie. Pewien pisarz porównał ludzi do robotników gobelin, wyszywających wzory ze złej strony, więc nie rozumiejących ich powikłań i nie widzących ich piękności; najrosądniejsi i najlepsi nie rwą nici z niecierpliwości i gniewu, ale szcześliwi już samą wiedzą, że współpracują w pięknem dziele, starają się o największą doskonałość ściegów....

Takie jest w streszczeniu wyznanie wiary Orzeszkowej. Są w niem ustępy piękne podniosłe, rozumne, szlachetne, ale ufność w potężne wpływy religii na chore umysły ludzkie zaledwie słabym migoce tam płomykiem. W czasach tolerancyi nie zawsze wprawdzie spełnianej, ale w zasadzie powszechnie uznawanej, nie wolno nikomu narzucać przekonań, a więc któż zabroni Orzeszkowej mieć własną filozofię? Ale też z drugiej strony nikt nie zabroni zaznaczyć, że w walce z pesymizmem k a ż d a r e l i g i a jest czynnikiem, niemającym równego sobie w sile i potędze.

Sama Orzeszkowa przyznaje, iż najszlachetniejsze umysły, które z przyczyn „wyższego rzędu“ dotknięte są zarazą pesymizmu, źródło swej choroby znajdują w tem, że „wiara religijna osłabła w ich sercach, — oddaleni od nieba i nieśmiertelności spostrzegają, że wiedza nie podaje młotu do rozbijania obręczy tajemnic, które ich ściskają....“

Okazem takiego pesymisty, czyli melancholika „wyższego rzędu“ jest bohater noweli „Z pomroku“. Przechadza się on po wybrzeżu rzeki i zatapia się w odmęcie swych myśli. Nie wie, po co przyszedł nad rzekę, po co odejdzie, bo zawsze mu towarzyszy zwątpienie o prawdzie, piękności, wartości wszystkiego. Jest to z początku sceptyk w każdym celu; dla niego człowiek najrozumniejszy na równi z ostatnim głupcem jest oszukiwany przez wszystko, co go otacza, i przez wszystko, co w samym sobie posiada. Nauka to same hieroglify — „jeśli chcesz zdobyć wszystkie o wszystkiem wiadomości i pewniki, pytaj się głupców“. Co za użytek z wiedzy: czy nakarmi głodnych, czy podźwignie ze śmiertelnego łoża genialnego człowieka. Kłamstwem jest, że istnieje sprawiedliwość. A cóż za korzyść z druku? „Z jednej strony wieszcze za pomocą tej stugębnej trąby kanalię ludzką do czerwoności rozpalają, z drugiej statyści przez nią także zimną wodę na głowy leją“. Ikar zamiast latać utonął, a Midas w złocie chadzał, choć miał długie uszy — po co więc gonić za ideałami? Tak dalej rozmyślając, bohater „Z pomroku“ nie wiele też rzeczy pochlebnych ma do powiedzenia o miłości i przyjaźni. Danem życia według niego jest właściwie tylko t r a f, „najzłośliwszy z figlarzy“, który jak piłką podrzuca człowiekiem. Ideę wiary zastosowywa ludzkość w praktyce przez wzajemne wytępianie się różnych wiar, — wogóle „tak idee jak cnoty dopóty niepokalanemi świetlanemi pozostają, póki w krąg działań ludzkich nie wejdą“. Prawda, że postęp istnieje, że dziś nam lepiej, ale dla czego ci, co byli przed nami, nosili ciężkie brzemiona „dla czego ze zgruchotanych kości i udręczonych duchów jednych pokoleń wypieka się chleb i wyciska wino dla następnych?“ Wreszcie zaczyna bohater analizować swe własne uczucia i spotyka w sobie najsprzeczniejsze myśli. Chciałby się dostać do Edenu, przypuszcza, że może jest jednym z niezliczonych narzędzi, przez które buduje się coś doskonałego, pała żądzą pracy, uczuwa skrzydła nadziei — poczem natychmiast odzywa się w nim znowu sceptyk w nic nie wierzący. A kiedy tak walczy ze swojemi myślami, słyszy wielki krzyk zgromadzonych na brzegu ludzi. Przewróciło się małe czółenko, złotowłose pacholę wpadło w kotłującą się, wzburzoną, rozgniewaną wodę. Z narażeniem własnego życia ratuje chłopca, czuje na rękach swych pocałunki, czyta w mnóstwie oczu błogosławieństwa. Odszedł pełen słodyczy i zadowolenia; czuł się lekkim, sprężystym, szczęśliwym. Ale znów bezwiednie zaczął analizować. Analiza ta jednak była już odmienną. Poczuł, że przez chwilę pozbył się swojego *ja*, że dla pożytku innych gotów był samego siebie utracić. Wydał się sam sobie większym i lepszym, bo rozumiał, że choć jest ułomnym, może spełniać cnoty, a „cnota to dopełnione prawo natury, która między jednostką a całym rodem ku wspólnej korzyści zadzierzgnęła nici sympatyi i współczucia“. A więc nić tę pragnie stale nawiązać: chcę żyć, pocieszać, wspomagać, ratować.... do pracy, do pracy“. Był on jednym z tych, dodaje od siebie Orzeszkowa, „których melancholia zamienić się może w szczęście przez pełny i swobodny rozwój energii, skierowanej ku czynom miłości“. Cały ten szkic psychologiczny jest nadzwyczaj artystycznie przeprowadzony, ale samo nawrócenie się tego melancholika sprawia efekt melodramatyczny. Potrzeba mu było aż tonącego chłopca, aby wyleczyć się z melancholii! A cóż zrobi taki, który tonącego nie zobaczy, a choćby go widział, nie przyjdzie z pomocą, bo pływać nie umie. Wszak to nie było nic innego, tylko ów t r a f, którego „piłką“ nie chciał być bohater noweli, a w którego potęgę przedtem już wierzył, bo „najkrańcowszy sceptycyzm o tej istocie niepochwytnej nie wątpi“.

---

wszy sposobność przyjrzenia się bliżej wojsku francuskiemu w mustrze i życiu koszarowem. Uprzedzony niekorzystnie przez wychowanie w szkołach niemieckich, oraz służbę w wojsku pruskiem do wartości żołnierza francuzkiego, poznałem dopiero teraz, jak nieuzasadnionem było to uprzedzenie. Wszędzie karność jak największa, pewność i akuratność w ewolucyach najtrudniejszych zadziwiająca, znać na każdym kroku zapał i oddanie się służbie u wszystkich szarż. Oficer francuzki, to salonowiec „par excellence“ w dobrem tego słowa znaczeniu, a stosunek jego do osób cywilnych tak szczery, a przytem tak wyszukanie grzeczny, iż bodaj czy korpus oficerski pruski w obcowaniu z sobą równemi posługuje się formami.

Że w Arrasie podczas kilkodniowego mego tam pobytu byłem rozchwytywany przez wszystkie szarże, skoro się dowiedziano, jaki mam zamiar i jakiej jestem narodowości, — wspominać zbyteczne. Oficerów najwięcej zajmowało, jak Polacy, zadowoleni są z jarzma im nałożonego, niższe szarże usłyszawszy, iż mają we mnie wysłużonego żołnierza pruskiego, do tego podoficera, dowiadywały się z ciekawością o służbie swych „najmilszych“ sąsiadów, a pojęcia, jakie mieli o Prusakach i ich żołnierzach, były zawsze nacechowane zawiścią nieubłaganą za poniesione klęski w roku 1870 i chęcią krwawego odwetu. Ducha tego krzewiła instrukcya dawana przez oficerów na każdym kroku. Przy jednej z takich instrukcyi, gdzie była mowa o obowiązkach żołnierza, zachodziła definicya miłości ojczyzny. Oficer objaśniając ją z ciepłem i rozrzewnieniem, zakończył poważnie: *Travaillons donc, n'oublions jamais la honte de soixante-dix.*

Pobawiwszy dni kilka w Arras, odebrałem dnia pewnego z biura regimentowego moją *„feuille de route“* z poleceniem, by za dni dziesięć stawić się na drugim końcu Francyi, też przy Pireneach, w Porte-Vendre. Mogąc rozporządzać czasem podług własnej woli, byleby tylko na termin oznaczony stanąć w Porte-Vendre, przytem mając możność używania jakichbądź pociągów kolejowych bezpłatnie, zatrzymywałem się po drodze po kilkakrotnie, by obejrzeć sobie miasta głośniejsze. Linia przepisana mi w Arras wiodła mnie na Amiens, Paryż, Versailles, Fontainebleau, Orléans, Nevers, Clermont, St. Etienne, Montpellier, Gette, Narbonne, Perpignan, w pobliżu którego leży mała przystań warowna, Porte-Vendre, z kądjak z Marsylii, odbywa się co czwartek wysełka rekruta do legii. Przybyłem jeszcze o dwa dni za wcześnie. Zgłosiwszy się u starszego załogi tamtejszej, wyczekiwałem bezczynnie przybycia okrętów, robiąc tymczasem znajomości z przyszłymi memi kolegami, którzy w podobny sposób, co ja, choć inną drogą, ze wszystkich stron świata tu dotąd się zjechali. Dziwne pomiędzy nimi tam były typy, które już wtenczas dawały mi obrazek, różnolitej składni półku, ktory na mnie czekał. Tu oto siedzi zatopiony w lekturę Fénelona farmaceuta z Kanady Amerykańskiej; tam ubrany w fez oryentalny; z typem semickim w twarzy ogorzałej duma kandydat rabinatu z Jerozolimy, którego gmina wysłała do wód karlsbadzkich dla poratowania zdrowia, a który wróciwszy do niego, miasto wracać do talmudu i do Palestyny, postanowił walczyć z Beduinami; tam znów w mundurze swego pułku ułan z Dysseldorfu, tam również umundurowany żandarm belgijski i tambur-major z Saragossy; — ów salonowo wystrojony młodzian, to Węgier, co przy wyścigach Paryzkich przegrał znaczny majątek i obawiał się wrócić do domu, — znowu inny, to posiekany akademik z Heidelberga, hrabia Baudissin, syn prezesa regencyi w Magdeburgu itd. itd. Było nas razem około 60, gdy wreszcie nadjechał okręt, który nas przewieść miał do Oranu. Podróż nasza szła koło Balearów, tak iż przy cudnej pogodzie dnia następującego wylądowaliśmy na wybrzeżu Afryki. Przyjęci zostaliśmy przez oddział załogi Orańskiej legii zagranicznej, który z najeżonym bagnetem nas oczekiwał w porcie, tak jak gdyby miał więźniów eskortować lub zbrodniarzy. Oficer dowodzący oddziałem wywoływał każdego imiennie i już na wstępie biedny tambur-major hiszpański oddany został do aresztu za to, iż podczas przejazdu kołdra od spania, którą każdy z nas na okręcie otrzymał, a przy wysiadaniu oddawał, mu zaginęła, albo raczej się zarzuciła. Otaksowano kołdrę na 25 fr., by potem później potrącać jej wartość od marnego żołdu legionisty (8 fen. dziennie) dopóty, dopóki towarzystwo okrętowe nie zostało odszkodowane. Ztąd poszło, iż w chwili opuszczenia przezemnie legii ciągle jeszcze biedny Pedro Gorgolea odbierał tylko połowę swej regularnej płacy.

Traf ratuje od pesymizmu i bohatera następnego szkicu „Zrozpaczony“. Pesymista to najgorszego gatunku, bo źródłem jego choroby niezaspokojone, a płaskie żądze użycia. Co mu z bohaterów, mędrców, geniuszów, co mu z miast, pałaców, muzeów, pasztetów i storczyków, kiedy on się czuje tak nieszczęśliwy, iż dłużej żyć nie chce. Rotszyldzi mają miliony, Bismarki trzęsą światem, pierwszy lepszy tenor zgarnia złoto, a on ma puste kieszenie. Drwi z takiej cywilizacyi, która mu nie powala czerpać ze źródeł różnostronnych rozkoszy. Urodził się z rodziców biednych ale „karmazynów“ więc smak posiada wykwintny — tymczasem u niego na ścianach wiszą zamiast Rubensów oleodruki. Żyjąc nad stan wszedł w długi, lichwiarze go nachodzą, a on czuje swą wyższość, prawo do bogactwa i rozkoszy. Już miał stanąć u celu marzeń, zaręczywszy się (on „karmazyn“) z córką jakiegoś bogatego dorobkiewicza „mającą nieskończenie cienką skórę i nadzwyczajnie artystyczną duszę.“

Ale kiedy ta „cienka skóra“ dowiedziała się, że panicz goły, zapomniała o przysiędze wiecznej miłości, wypowiedzianej „na górskim szczycie z obłokami u stóp“. Czując, że mu się usuwają miljony, że będzie musiał znosić dalej oblężenie lichwiarzy, pali tyradę na temat „bezduszności nikczemnych kokietek“ i wyjmuje rewolwer z szuflady. W tem drzwi się otwierają, bracia panny przychodzą, czułą się.... Co się stało? Oto bohater wygrał wielką sumę na loteryi. Rzecz prosta, że na rewolwer już nie patrzy, lecz czuje się znów „lekkim i sprężystym“ jak bohater pierwszej noweli. Ten sam skutek wydały różne przyczyny, a Orzeszkowa sentencjonalnie zapewnia, że „nie był on szaleńcem, ale jednym z owych, którym rozpacz w szczęście zamienić mogą pieniądze“. Uzasadnienie tej tezy mogłoby być wówczas tylko interesującem, gdyby Orzeszkowa za bohatera swego nie wzięła najzwyklejszego pasożyta. Tego, że ktoś, dla kogo użycie jest celem, może wpaść w nędzną, poziomą rozpacz, kiedy mu środków żabraknie, a oddać się radości, jeżeli wygra na loteryi — dowodzić doprawdy nie potrzeba. Dla takiego indywiduum nazwa pesymisty, czy melancholika, jest niesłusznym zaszczytem — to zwykły błazen, kandydat na żoninego „utrzymanka“, którego melancholję za dawnych czasów wyleczonoby radykalnie na kobiercu. Zresztą fakt wygrania wielkiego losu przez takie indywiduum, nie odstręczać, ale prowadzić może innych do pesymizmu, bo niesprawiedliwości losu jaskrawo dowodzi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

K. Bartoszewicz.

Medycyna w powieściach Zoli.

W dziejach literatury „Rougon-Macquartowie“ Zoli stanowią może jedyne zjawisko, w którem kombinacya sztuki i nauki przeprowadzoną została na tak wielką skalę. Jak wiadomo, punktem wyjścia tej „Historyi *naturalnej* i społecznej jednej rodziny z czasów drugiego cesarstwa“ — jest histerya Adelaidy Fouque, której newroza zamienia się u potomków w pijaństwo, manię zabójstwa, manię religijną, nawet w geniusz, pokrewny jakoby obłąkaniu. Autor nakreślił sobie z góry szczegółowy plan na dwadzieścia kilka lat pracy i wykonał go ściśle, nazywając swą formułę naturalizmu „metodą naukową, zastosowaną do beletrystyki“.

Estetycy i krytycy wszelkich narodowości wypowiedzieli już swoje niezliczone opinie o tej doświadczalnej teoryi; były tam głosy nieskończonego podziwu i uwielbienia dla pracy Zoli, było i zagrzebywanie całego kierunku naturalistycznego raz na zawsze.

Teraz przyszła kolej na zdanie ludzi nauki o dziele autora „Germinala“.

Doktór Cabanés, redaktor paryskiej „Kroniki medycznej“ wypowiada się pierwszy. Nie przyznaje on racyi teoryi naturalizmu. Uważa, że o ile dzieło uczonego nie jest osobistem, o tyle dzieło literata zależy wyłącznie od jego indywidualizmu.

Uczony niknie wobec doświadczenia; zjawia się jedynie po to, aby skonstatować rezultaty działania sił naturalnych; powieściopisarz, przeciwnie, musi wszystko wymyśleć, zarówno doświadczenie jak i jego następstwa. Z jednej więc strony znajduje się fakt rzeczywisty, który należy koniecznie skonstatować, z drugiej — czysta hypoteza.

Prawa dziedziczności nie są tak stanowczemi jak utrzymuje Zola. Są nieskończenie złożone i niezawsze się sprawdzają autor „Rougon-Macquartów“ zmuszony był przypuścić, że nauka wypowiedziała już w tej kwestyi ostatnie swe słowo: „Poezyi nauki szukać należy obok nauki, po za nauką, ale nie w nauce“.

Niemniej przeto obfitość szczegółów technicznych w powieściach Zoli tak zaciekawiła Cabanésa, że zwrócił się do samego mistrza w Medanie o wyjaśnienie, kto i w czem służył mu za przewodnika naukowego. Goncourt w ostatnim tomie swego „Dziennika“ wspomina, iż Zola nosił się niegdyś z zamiarem napisania książki na tle życia Klaudyusza Bernarda, książki, w której chciał przedstawić nie znakomitego fizyologa w laboratoryum, lecz człowieka prywatnego „uczonego“ który ma żonę zacofaną, bigotkę niszczącą jego prace“.

Zacytowawszy tę notatkę, otrzymał Cabanés taką od Zoli odpowiedź, w sprawie źródeł naukowych, do słynnego cyklu jego powieści:

„Jerzy Barral, syn znakomitego agronoma, obiecał dostarczyć mi papiery pozostałe po Klaudyuszu Bernardzie. Uczony ten miał wrogów pomiędzy swymi najbliższymi; mogłoby to stać się przedmiotem do zajmującego dramatu. Pomysł przez lat dziesięć leżał w moich papierach, aż porzuciłem go ostatecznie. Nie mogłem zużytkować, tak jakbym chciał, strony osobistej. Używałem wszelkich fortelów, aby stworzyć intrygę w moim „Doktorze Pascalu“, lecz

---

Eskortowano nas do cytadeli położonej na szczycie skalistego wybrzeża orańskiego, zkąd się śliczny przedstawiał widok na morze śródziemne. Cytadela ta nazwiskiem: fort Grégoire, mieściła całą i jedyną załogę wielkiego miasta Oranu. Nad nią, na ostatniej kończynie skalistego wierzchołka góry, stoi posąg kolosalny Przenajśw. Dziewicy z Dzieciątkiem, twarzą zwrócony ku Francyi. Na twierdzy tej wypadało nam znów dni kilka poczekać aż do przybycia okrętu z Marsylii i legionistów tam zebranych, by potem wspólnie ruszyć w głąb kraju na miejsce przeznaczenia. Zatrudniano nas czembądź, mnie dostało się miejsce w kuchni, gdzie na złe czasy i brak wolności uskarżać się nie miałem powodu. Gdy bowiem inni przez cały dzień znosili w workach ziemię żyzną z niziny i wybrzeża, by nią wysypać miejsce, przeznaczone na ogródek dla oficera komenderującego załogą, — ja, załatwiwszy swe interesa w kuchni, mogłem bez wszelkich trudności wraz z kucharzem, dezerterem wojskowym z Brunświku, wieczorem bujać po mieście, z czego też jak najrozleglejszy czyniłem użytek. Dziwny bo też urok ma tak kraj cały Algieryi jak i każda jego miejscowość. Oran sam cudownie jest położony. Śliczne bulwary i plantacye zbliżają go do przedniejszych naszych miast południowych; część jego europejska, wybudowana wspaniale i z matematyczną symetryą, zapominać pozwala, żeśmy z tamtej strony morza śródziemnego, i chyba tylko malownicze rysy i kostyumy plemion arabskich, Beduinów i Kabylów, oraz mieszanina języków o niezwyczajnym dźwięku, przywodzi podróżnemu na pamięć, że się znajduje w innej części świata.

Najzwyklejszy z języków, którym w Oranie w szczególności, a na zachodnio-północnym wybrzeżu Afryki w ogólności, rozmawiają, jest język hiszpański, po handlach, w restauracyach, na ulicy krok w krok się go znachodzi, — językiem francuskim mówi tylko urzędnik, a i plemiona arabskie, w obcowaniu z Europejczykiem chętniej się posługują i lepiej znają język hiszpański od francuskiego.

Po nadejściu wyczekiwanego okrętu z Marsylii, który również około 60 przywiózł rekruta, zaprowadzono nas wspólnie na kolej żelazną, która łączy Oran z Tunisem, i wysłano na miejsce tymczasowego przeznaczenia t. j. do kompanii depotowych.

Legia zagraniczna, składająca się z dwóch pułków, ma tem samem i dwie kompanie depotowe, gdzie ćwiczą rekruta, zanim tenże przejdzie w kolumny. Depot pułku pierwszego garnizonuje w Sidi-bel-Abbès, drugiego w Saïdzie. Mnie, jako desygnowanemu do pułku pierwszego, Sidi-bel-Abbès przypadło w udziale.

W Sidi-bel-Abbès więc zamieniliśmy nasze ubranie cywilne na mundur legionisty. Mundur ten równa się całkowicie mundurowi linii francuskiej piechoty; czerwone spodnie, jaczka albo surdut z granatowego sukna, przy surducie przy okazyach świątecznych epolety z zielonemi sznurkami, na głowie kepi, pokryte powłoką płócienną, której część tylna w razie potrzeby opuszcza się, gdyby fartuszek, aż na plecy, by chronić od porażeń słońca, lub zwija się i spina dokoła czapki ponad rydelkiem, — płaszcz podobny do pruskiego, a dokoła stanu rozróżniający na pierwszy rzut oka legionistę od żołnierza z kraju matczynego pas niebieski wełniany na 3 metry długi, który jest nieodstępnym towarzyszem każdego żołnierza w jakiembądź umundurowaniu. Pas ten — „ceinture“ — owija się gdyby powójnik około talii i nawet w nocy na gołem ciele lub koszuli przepisowo bywa noszonym, w służbie zaś nosi się pod skórzannym pasem od pałasza. Zresztą wszystkie pułki kolonialne żuawi, spahiści, szaserzy itd. mają ten sam pas, tylko kolorem od siebie się różniący. — Obuwie legionisty to półbuty, na które wdziewa się białe jak śnieg płócienne kamasze, na guziki z boku pospinane. Oznaka legii zagranicznej — granata eksplodująca, umieszczona jest na kepi, gdyby kokarda, zamiast której „ponpon“ z wełny o barwach francuzkiego „tricolore“ sterczy ponad czapeczką. I guziki mosiężne umundurowania noszą każdy ową granatę eksplodującą z napisem w obwódce: *légion étrangère.*

(Ciąg dalszy nastąpi.)

nie skorzystałem z notatek, które mi dano o Klaudyuszu Bernardzie. Możnaby istotnie napisać wielki romans ze szczegółów, które przedstawiłem Goncourtowi, ale czy to kiedy zrobię — nie wiem...

Zkąd przyszła mi myśl wprowadzenia do romansów medycyny? — Dawna to historya!

Wydałem właśnie „Teresę Raquin“ i „Magdalenę Férat“. W tej ostatniej wspominałem poraz pierwszy fizyologię. Uderzył mnie fakt, zaobserwowany przez weterynarzy, że klacze rodzą potomstwo podobne maścią do pierwszego ojca. To zjawisko dziwnego przesiąknięcia starałem się zastosować do rodzaju ludzkiego.

Postawiłem sobie pytanie i rozwiązałem je twierdząco: Młoda dziewczyna ma pierwszego kochanka; potem bierze drugiego i ma z nim dziecko, zupełnie podobne do poprzednika w miłości.

Może się to nie zdarza u ludzi, ale że kwestya została ostatecznie rozstrzygniętą przez hodowców, wolno mi było stawiać hypotezę. W tym samym czasie wpadła mi w oczy gruba książka Lucasa o „Dziedziczności naturalnej“. Przez cały miesiąc studyowałem ją w Bibliotece narodowej i postanowiłem napisać cały szereg powieści, w których chciałem rozwinąć kolejne zjawiska dziedziczności. Inna jeszcze przyczyna zmusza a mię do pracy regularnej, do pisania tomu lub dwóch rocznie — troska o chleb.

Rozpraszałem się przedtem po dziennikach, ale wstrętnem mi się stało nareszcie owo pisanie od wiersza. Zaproponowałem przeto wydawcy Lacroix, że będę mu dawał dwa tomy rocznie za regularną płacę miesięczną.

Postanowiłem napisać seryę romansów, zabrałem się do pracy i przez dwadzieścia trzy czy cztery lata, podczas których obrabiałem moje dzieło, niewiele odstąpiłem od planu obmyślonego po przeczytaniu książki Lucasa. Nie znaczy to, że trzymałem się zawsze tego, co znalazłem w tej książce, dziś już przestarzałej. Przed kilku laty odwiedziłem Poucheta w Muzeum historyi naturalnej; znałem go przez Flauberta. „Jak daleko — zapytałem — zaszła obecnie nauka w sprawie dziedziczności“? — „Stoimy mniej więcej na miejscu — odrzekł. — Zresztą dam w tych dniach artykuł do „Revue des Deux Mondes“, który pan sobie przeczytasz; jest to przegląd najnowszych prac w tej kwestyi“. Później czytałem interesującą rozprawę agregacyjną dra Déjerine'a, oraz prace Weissmanna, gdzie znalazłem najnowszą teoryę „plazmy“, o której doktór Pascal mówi w drugim rozdziale ostatniego romansu w moim cyklu.

W ogóle, aby sobie rozświetlić stronę medyczną kwestyj, o których mam pisać, zwracam się do znajomych mi lekarzy, trzymam się tego, co mi powiedzą i czytam wskazane przez nich prace.

I tak z powodu „Pogromu“ poznajomiono mię z d-rem Felizetem, przyjacielem About i Sarceya. Felizet, który odbył kampanię pod Metzem, dostarczył mi szczegółów technicznych o ranach od broni, o opatrunkach, etc. Poznajomiłem się również z d-rem Albertem Robinem, d-rem Filleau i innymi, których często widywałem u Charpentiera.

Wspomniałem tylko co Flauberta — u niego także bywało wielu lekarzy i dużo tam mówiono o medycynie. W otoczeniu tem zebrałem wiele notatek.

Przy pisaniu „Lourdes“ pragnąłem bardzo pomówić z prof. Charcotem, ale umarł właśnie, gdy miałem mu być przedstawiony. Zwróciłem się więc do jednego z jego uczniów, d-ra Gilles de la Tourette, który uprzejmie udzielił mi wyjaśnień. Przedstawiłem mu kwestyonaryusz, na który dał odpowiedzi.

Posiadałem cały zwitek dokumentów, o Bernadecie, lecz nie skorzystałem z niego. Trudno jest otrzymać protokóły lekarzy, musiałem poprzestać na prostych wyciągach. Pewnem jest, że w chwili objawienia Bernadetta miała to, co się nazywa aura. Usłyszała wielki szum, potem jakiś hałas; oddech jej się zatrzymał. Zdawało się jej, że widzi jasność... coś białego — oto wszystko, co mówi w pierwszem zeznaniu. Potem zaczęła się suggestya: Czy to była postać kobiety? Czy miała suknię białą? I w taki sposób w umysł dziewczyny powoli wsiąkła i idea objawienia...

Ale oddalam się od przedmiotu. Zawsze, ilekroć miałem opisywać chorobę, czerpałem wiadomości u ludzi kompetentnych lub z dzieł specyalnych. Dla opisania podagry p. Chanteau w „Rozkoszach życia“ przeczytałem w tłomaczeniu francuzkiem pracę Anglika Garnoda. Kilka razy opisywałem połogi: tajemny połóg w „Pot Bouille“, trudny w „Rozkoszach życia“ i wreszcie połóg w „Ziemi“.

Poczytano mi za zbrodnię te opisy. Literatura pełną jest opowiadań o umarłych, do przesytu mówią nam jak istota ludzka gnije i rozkłada się, nigdy zaś nie wspominają, jak przychodzi na świat... Nie rozumiem tego; bo czyż urodzenie istoty ludzkiej nie jest również tajemniczem, równie wzruszającem, jak jej koniec?...

Nie będę się rozwodził nad *delirium tremens* mojego Coupeau w „Assomoir“.

Historyę tę znaleźć można w jednym z wykładów dra Magnana; nic w tem sam nie wymyśliłem. Bywałem wtedy na lekcyach klinicznych w szpitalu św. Anny i wyniosłem ztamtąd cały szereg notatek. Wiem, że studyowałem zapalenie mózgu gruźliczne do „Kartki miłości“, ale nie pamiętam już gdzie.

Do „Doktora Pascala“ doskonałych wskazówek dostarczył mi Maurycy de Fleur. Z nim to poszedłem na ulicę Charonne do lekarza chorób umysłowych, Moteta, który zapewniał nas, że wypadek ciotki Didy jest co najmniej prawdopodobny.

Naturalnie, że trochę przesadziłem, ale chodziło mi tylko o prawdopodobieństwo i o efekt dramatyczny. Zaprzeczano możliwości „spłonienia naturalnego“ (combuction spontanée). Spotyka się jednak u różnych autorów obserwacye tego rodzaju, co prawda podejrzane. Mówią, że wskutek tego zjawiska pozostają kości i trochę bezkształtnej masy; w moim romansie pozostała tylko krew. Może byłem zanadto wyłącznym? Fleury utrzymuje, że śmierć starego Macquarta przez stwardnienie serca (cardiosclérose) wziąłem z klasycznego podręcznika prof. Dieulafoy. Jest to prawdą co do szczegółów, jak również prawdą jest, że przypomniałem sobie śmierć Trousseau i Juliusza Ferry: lecz w rzeczywistości już od dwudziestu lat postanowiłem, że mój stary Macquart w ten sposób umrze. Chciałem, aby skończył po królewsku!

Metoda leczenia doktora Pascala jest metodą Brown-Sequarda i Constantin-Paula, którą dr. Chéron rozwinął w swojem dziele „Prawa leczenia podskórnego“.

Mógłbym mówić jeszcze o ospie, na którą umiera Nana, o wyrzutach skórnych Duveedy'ego w „Pot Bouille“, o suchotach brzusznych Rózi, o suchotach La Grivotte, o wilku Elizy Rouquet, o paraliżu Maryi de Huersaint, o skrofułach małej Couteau i innych specyalnych wypadkach, zamieszczonych w „Lourdes“ — ale po co? To nieciekawe!

A dla czego ja profan, wtrącam się do medycyny i do fizyologii? Dlaczego wciągnąłem naukę na posługi literaturze?

Znam zarzuty, jakie mi robiono: że doświadczenie w laboratorium nie może być porównane z dziełem wyobraźni; że w laboratoryum jest z jednej strony uczony, który patrzy, z drugiej — natura, która działa a dwoistość ta nie może istnieć dla literata. Zapewne, ale ja nie jestem uczonym, jestem powieściopisarzem, artystą; żądam jednak prawa wychodzenia po za rolę, jaką nam zwykle zakreślają. Mamy trzy strefy: pierwsza — rzeczy znanych, dowiedzionych, doświadczonych; druga — strefa nadnaturalności, absolutu, ideału. Pomiędzy niemi istnieje strefa pośrednia. Nie jesteśmy przecież zobowiązani zamknąć się w rzeczywistości, wolno nam wzdychać do niepoznawalnego.

Jestem zdania, że pomimo wszystko, prawda naukowa musi odnowić całą estetykę powieści i teatru...“

NA WYŁOMIE.

(Ks. biskup Likowski o bankructwie umysłowem Księstwa. — Przyczyny bankructwa. — Marniejące siły.)

Gdy na sali Bazarowej dzwoniły kielichy na cześć żegnającego miasto nasze prof. Wicherkiewicza, gdy jeden toast po drugim rozbrzmiewał nutą szacunku, wdzięczności i życzeń serdecznych, wtedy to padło smutne słowo z ust ks. bisk. Likowskiego, — słowo żalu i skargi, że Księstwo poznańskie spada na coraz niższe szczeble drabiny umysłowej, że dziwnie jałowem dziś jest życie nasze, i że ta ziemia, która przed laty nietylko sama bujnem życiem kwitnęła, lecz cząstkę sił swoich składała w darze bratnim dzielnicom, niebawem nic już do oddania mieć nie będzie i z Aten zmieni się w Spartę surową.

Smutna wróżba! Nam ona w uszach dzwoniła już wtedy, gdy myśl założenia organu literackiego dla ratowania dogorywającej umysłowości powstała i w piśmie naszem wcielenie swoje znalazła, — nam ona duszę męczyła już dawno i męka ta odzywała się nieraz żalem a nieraz ironią bolesną w łamach „Przeglądu“. Lecz ponieważ to mówili „Młodzi“, którzy sami, bez opieki powag uznanych, zabrali się do uczciwej i ofiarnej pracy, więc „Starzy“ w organach swoich drwili i urągali. Pesymiści! mówiono. Malkontenci! wołano chórem harmonijnym, a gdy jeden z chorążych klerykalnego obozu ogłosił tomik niezłych przekładów Anakreonta, wtedy zwiastowano epokę rozkwitu literatury w Księstwie i śmiano się na całe gardło w „Kuryerze poznańskim“ z tych, którzy z goryczą w duszy Poznań mianem Beocyi darzyli. Dziś ten sam „Kuryer“ drwić się nie odważy, bo krytykiem nie jest „masoński“ Przegląd, lecz książę kościoła, a przecież ks. biskup Likowski powtórzył tylko tę samą skargę, która przed niedawnym czasem stanowiła temat jałowych dowcipów dla stronnictwa klerykalnego.

Tak! Muzy do nas nie przychodzą w gości, Parnas nasz bez Bogów, świątynia nauki opustoszała. Moloch polityki pochłonął to bujne życie umysłowe, które niegdyś tak żywo pulsowało w Księstwie, i oto dziś stoimy jak żołnierze kresowi, dla których strategia jest nauką jedyną, fechtunek sztuką, gwar bitew muzyką, lub jak nowych episjerów gromada, czczących buchalteryę jak najwyższą wiedzę i rysunek banknotów jak najwyższe piękno. Siła stosunków politycznych z nieubłaganą konsekwencyą spychać nas musiała w niziny, — to fakt, któremu nikt nie zaprzeczy i który pół rozgrzeszenia dla Księstwa stanowi, — ale któż nas z winy zupełnie rozgrzeszy?! Część tej winy spada na ludzi, na wodzów

społeczeństwa. Sprawiedliwe słowa potępienia obijały się już nieraz o uszy nasze, a w ostatnim czasie Piotr Chmielowski, znakomity historyk literatury i znakomity badacz prądów nurtujących społeczeństwo polskie, wskazał w „Zarysie“ swoim na „Dziennik Poznański“, jako jedno ze źródeł naszej anemii umysłowej. Z jednej strony rozpolitykowanie całego kraju i odwra anie umysłów od zagadnień naukowej natury, z drugiej strony niesumienny a uporczywy kult dyletantyzmu w dziedzinie wiedzy i sztuki w tem właśnie piśmie znajdowały opiekuna, apostoła i potężnego krzewiciela. My Dziennikowi zasług narodowych nie odmawiamy, lecz w bilansie działalności jego znajdujemy poważne *minus* intelektualnej i moralnej treści. Życie narodu składa się z tysiącznych żywiołów i czynników rozwojowych, a każdy z nich jest niezbędny, każdy wymaga wielkiej miłości, jeżeli zdrowie społeczeństwa kwitnąć ma bujnie i prawidłowo. Wszelka jednostronność prędzej czy później zemścić się musi, i dla tego groźnem jest niebezpieczeństwem dla kraju, jeżeli na czele prasy, tej potężnej karmicielki narodów, tej nauczycielki i wychowawczyni społeczeństw — stoją ludzie o ciasnym widnokręgu i suchej umysłowości. Ludzie tacy mogą tu i owdzie odnosić zwycięstwa, mogą wykształcić w tym lub owym kierunku publiczność, jeżeli los obdarzył ich energią, sprytem i zręcznością, lecz w sumie życia narodowego, w całokształcie rozwoju społecznego, działalność ich zawsze będzie krzywdą wielką.

A najniebezpieczniejsi stają się wtedy ci królowie prasy i opinii publicznej, jeżeli stronniczość koteryjna tak zamroziła ich instynkt sprawiedliwości i miłość dobra publicznego, że gotowi zawsze odsunąć od ołtarza publicznego ludzi najlepszej woli i zapału, skoro ich w liberyę swej służby lub mundur swojego pułku ubrać nie mogą. Ileż to sił w takich stosunkach iść musi na marne, ileż entuzyazmu, energii i miłości zamienia się w niechęć, odrętwienie i żółć! A strata taka dotkliwie tam mianowicie daje się we znaki, gdzie życie narodowe ściska jakiś olbrzymi pierścień żelazny, a ludzi czynu i myśli tak mało, tak bardzo mało!

Żal mi, żal wielki tych zmarnowanych dążeń i chęci, żal tych, których nieraz spotykam na drodze mojej, a którzy na dźwięk ożywczej pobudki, odpowiadają gorzkim uśmiechem rozczarowania i pogardy. Pracować? działać? Pocóż to wszystko? Oni niegdyś się rwali do czynu, marzyli o szerszem życiu, pragnęli elektryzować obumierający organizm narodowy, — ale wokoło nich zimno było i pusto, bo za dumni byli i za uczciwi, by umysł swój, serce i ciało ubrać w liberyę panującej koteryi. Wiem dobrze, że chodzą po ziemi nieraz silne duchy, których żadne wyklęcie w proch nie powali i żadna pustka nie wyziębi. Wiem, że są ludzie, dla których życiem jest walka z apatycznem lub wrogiem otoczeniem, i w których każda klęska budzi nowe siły, nowy fanatyzm, — dalej i dalej bez końca. Zwyciężą lub zginą, — lecz orzeł, ptak rzadki, — któż miarą jego mierzy zwykłe ptaki?! Są to świetne meteory, które raz po raz jawią się nad nami, ale często lata całe i lat dziesiątki tęsknimy za nimi naprożno. A tymczasem skromne ptaki zrywają się do lotu, by skrwawiwszy sobie skrzydła i stępiwszy dzioby o druty klatki więziennej, spaść w proch i wlec się po piasku z piołunem zawodu i rozczarowania w duszy. Nie o bohaterach tu mowa, bo ich natury wyjątkowe nie podlegają ogólnym prawidłom, ale o tych pracownikach niższego gatunku, którzy społeczeństwu pragną służyć uczciwie i których praca dla narodu wielkie może zgotować korzyści. Oni to w warunkach życia naszego, w nieznośnej, dusznej atmosferze, w teroryźmie koteryjnym, tracą nieraz siłę, zapał i giną dla kraju. Część ich wprawdzie po bezowocnych wysiłkach uchyla kark swój pod kaudyńskie jarzmo, pozwala się oprawić w przepisane ramki i działa dalej według komendy, — ale inni z twardszego ukuci metalu, z silniejszym indywidualizmem, niezdolni do odgrywania roli bluszczowych egzystencyi, — raz odepchnięci brutalnie, odchodzą i giną w kwietyźmie, cynicznem urąganiu lub szampanach życia.

Sulla.

TO I OWO.

W sprawie odnowienia Tumu poznańskiego.

Nasza krytyka artystyczna nastręcza tyle materyału humorystycznego, że możnaby nim zapełnić kilka roczników „Fliegende Blätter“ lub „Wespen“. Czego my nie chwalimy, czem my się nie zachwycamy! Niegdyś hr. Jan Działyński polecił fabryce Krzyżanowskiego wykonać odlew gipsowy własnej ręki. O tym odlewie zamieścił „Dziennik Poznański“ artykuł jako o arcydziele sztuki!! Lecz pocóż sięgać do skarbnicy dni ubiegłych. Wystarczy przeczytać panegiryk „Kuryera“ o restauracyi Tumu poznańskiego, aby nabrać pojęcia, jak dyletancką, lub — co gorzej — niesumienną bywa nasza krytyka artystyczna. Według organu klerykalnego jest odnowienie katedry arcydziełem, o którem pieśń mówić będzie i którem wieki całe zachwycać się będą. Ani jednego „ale“ — ani jednej plamki na słońcu, — niczem Sykstyńska kaplica, niczem freski Farnesiny lub loggie watykańskie w porównaniu do naszego Tumu. Pozwolimy sobie zachwyty te byzantyńskie do właściwych sprowadzić rozmiarów.

Rzeźby Marcinkowskiego i freski B. Łaszczyńskiego posiadają istotnie w części przynajmniej zalet cennych niemało. Treścią ich nie jest wyłącznie męczeńska askeza, lecz przeważnie dzieje Kościoła w dawnych ziemiach Rzeczypospolitej. *Suum cuique* — oddajmy cześć tej przewodniej myśli i pokłon względnego uznania artystom. Z punktu architektoniczno-estetycznego zwracamy jednak uwagę, że odpowiedniem miejscem na freski wielkich rozmiarów nie są płaszczyzny podziurawione oknami i lożami. Dowcipny malarz był nieraz w takim ambarasie, że tylko sztuczką ratować zdołał sytuacyę, wcielając np. jedno z okien kościelnych do obrazu, przedstawiającego męczeństwo św. Józefata. Lecz inne freski?! Św. Wojciech z jednej strony, w środku okno, a z drugiej strony nawracający się do chrześciaństwa lud. Taka kompozycya trąci już nieco komizmem.

Do połamanych i przerywanych płaszczyzn nadawały się tylko pojedyńcze figury symboliczne (Rafael), a freski wielkich, obrazowych rozmiarów jedynie na obszerne płaszczyzny rzucane być winny np. w głównej nawie kościoła.

Nie znamy budowniczego, którego powołano do odnowienia katedry naszej, ale w głównem kierownictwie prac restauracyjnych czuć tu i owdzie dyletancką rękę. Presbyterym np. odnowiono w stylu odrodzenia a w głównej nawie postawiono ambonę w stylu romańskim. Wprawdzie w bankierskich salonach panuje obecnie moda, by grupy mebli o najrozmaitszych charakterach mozaikowo ustawiać, lecz salon bankierski to nie tum starożytny. Rozumiemy jeszcze, że przez uszanowanie dla tradycyi, zachowuje się styl odrębny tej lub owej kaplicy, lecz kościół główny w jednolitym stylu odnowionym być winien. Ta romańska ambona kłuć musi w oczy tak samo, jak okna nad wielkim ołtarzem u fary, wymalowane w czystym gotyku, choć sam kościół zbudowany jest i dekorowany w ściśle przeprowadzonym jezuickim baroku.

Skarżył się przed nami niegdyś pewien budowniczy — archeolog z Krakowa, że mniej piękna zniszczyli Szwedzi w kościołach naszych niż nieuctwo i zarozumiały deletantyzm, który kierował się nie znajomością zasad sztuki, lecz panującą modą lub widzimisiem. Skarga ta aż nadto jest słuszną. Gotyk mieszano z barokiem i rokokiem, — romanizm z odrodzeniem, — lub, jak w tumie poznańskim, pociągano olejną farbą starożytne pomniki z piaskowca. Na pocieszenie dodajemy, że Katedra na Wawelu odnawiana jest przez biegłych archeologów i budowniczych, — w naszej Beocyi jednak, fachowość bywa uważana za zbytek, a króluje wszechwładny dyletantyzm. Polemika, dotycząca ruiny kościoła N. P. Maryi w Inowrocławiu, jest ciekawym przyczynkiem do historyi tych deletanckich uroszczeń, które tak gorzko sztuce naszej dają się we znaki.

Dla braku miejsca poprzestajemy dzisiaj na powyższej notatce, rezerwując sobie obszerniejszą dyskusyą na przyszłość.

* * *

Skromne życzenie.

Zbliża się sezon, w którym rokrocznie odbywają się walne zebrania najrozmaitszych Towarzystw zaboru pruskiego, n. p. Tow. Pomocy naukowej, Tow. Czytelni ludowych itd. Zebrania te połączone są zawsze z wyborami Zarządów, których część pewna na mocy przepisów statutowyhc kolejno ustępuje. Pragnąc szczerze, aby wybór każdorazowy miał charakter poważny i był istotnym wyrazem życzeń i poglądów większości członków, powtarzamy tu znowu życzenie, wypowiedziane już niejednokrotnie, by poszczególne dyrekcye Towarzystw raczyły przed zebraniam ogłosić w pismach publicznych nazwiska ustępujących członków Zarządu. Dotych czas to się nie dzieje, a skutek jest taki, że wybory mają prawie zawsze charakter improwizowany, że członkowie nie zdołają się porozumieć co do listy kandydatów, i kogo Zarząd pragnie, ten na wybór pewny zawsze liczyć może. Praktyka powyższa jest niesłuszną i wywołuje w szerokich kołach inteligencyi żal i niezadowolenie. Wyrażamy zatem nadzieję, że życzeniu zapisanemu powyżej już w najbliższych ogłoszeniach o dniu, godzinie i porządku dziennym walnych zebrań zadość się stanie, a zasada konsekwentnej dyskrecyi przejdzie w błogosławiony stan spoczynku.

* * *

Z etatu miasta Poznania na rok 96/97.

Projekt etatu szkolnego. W Poznaniu istnieją trzy szkoły płatne: jedna szkoła średnia dla chłopców, druga dla dziewcząt i szkoła obywatelska; oprócz tego sześć szkół bezpłatnych.

Ogółem dopłaci miasto w roku etatowym 96/97: *521,578* mr.

Dodatek ten rozkłada się na poszczególne szkoły, jak następuje:

I. Szkoły płatne.

1. Szkoła średnia dla chłopców: 23 klas, 28 nauczycieli,

dochód	40,711,80 mr.
rozchód	94,115,30 „
dodatek	53,403,50 mr.

2. Szkoła średnia dla dziewcząt: 13 klas, 19 nauczycieli,

dochód	24,887,00 mr.
rozchód	63,553,00 „
dodatek	38,666,00 mr.

3. Szkoła obywatelska: 21 klas, 25 nauczycieli,

dochód	20,887,00	mr.
rozchód	72,397,50	„
dodatek	51,510,50	mr.

Razem dopłaci miasto do szkół płatnych 143,580 mk.

II. Szkoły bezpłatne.

1. 17	klas, 19	nauczycieli		47,571,00	mr.
2. 14	„	16	„	44,888,50	„
3. 25	„	29	„	77,753,50	„
4. 14	„	16	„	42,388,50	„
5. 21	„	24	„	64,316,00	„
6. 14	„	16	„	39,760,50	„

Razem płaci miasto na szkoły bezpłatne . .	316,678,00	mr.
Oprócz tego wynoszą koszta gimnastyki . .	11,883,50	„
i reszta wydatków szkolnych	49,436,50	„
razem	61,320,00	mr.

Szkolne wynosi w obydwóch szkołach średnich dla miejscowych 40 mrk., dla zamiejscowych 72 marki rocznie; w szkole obywatelskiej dla miejscowych 18 mrk., dla zamiejscowych 50 mrk. rocznie.

* * *

„Arcydzieło.“

(A.B.C.) Każdemu zapewne czytelnikowi „Dziennika Poznańskiego“ znane jest pióro korespondenta krakowskiego, pana czy też pani M., który już od dość dawna uprawia w tem piśmie, z niemałem powodzeniem dział panegiryczny. Jemu to zawdzięczamy górnolotne opisy karnawałów krakowskich, które w prostocie swego ducha do uroczystości unii horodelskiej porównywał. W nim mają patrycyusze i pseudopatrycyusze nasi niezręcznego herolda swej wielkości, zdolnego ocenić geniusz nawet w sześciomiesięcznem książątku, on to nareszcie w ostatnich dniach zbogacił literaturę naszę, odkrywając a r c y d z i e ł o w całem znaczeniu tego wyrazu. Arcydziełem tem są: „Notatki myśliwskie“ hr. Józefa Potockiego, które tenże autor w „s z c z e r e j s k r o m n o ś c i s w e j“ postanowił ubrać w jak najpiękniejszą szatę, gdyż, jak się naiwnie wyraża krytyk, nie przeceniał ich treści, a chciał je uczynić godne uwagi czytelników. Szata piękna jest, jak wiadomo, rzeczą kosztowną, (zapytajcie Hersego lub paryskiego Wortha) nic dziwnego więc, że Notatki myśliwskie kosztują 15 rs., a p. M. myli się sądząc, że mniej obficie zaopatrzone kieszenie cenę tę za przystępną uważać będą, zwłaszcza, że treści sam autor nie przecenia. Zdaniem szanownego krytyka, to, że „druk czy oprawa, illustracye czy papier jednakowo są wyborowe i okazałe“ wystarczy, aby książkę do rzędu arcydzieł zaliczyć, — społeczeństwo nasze jednak może się na tych zaletach nie poznać i piękny papier taniej wprost z fabryki sprowadzać. Pan M. będzie zapewne płakał nad jego indyferentyzmem, gdyż na Notatkach myśliwskich opiera moralne odrodzenie kraju. Mają one „rozniecać zainteresowanie łowów w sercach polskich czytelników“, a jest to rzecz niezmiernej wagi, gdyż „prawy Polak musi być zarazem wielkim przed Panem myśliwym“. — Prawy Polak musi zatem strzelać tygrysy w Indyach, lwy w Afryce, słonie na wybrzeżach Ceylonu, szkoda tylko, że jestto patryotyzm nieco kosztowny, nieprzystępny dla mniej obficie zaopatrzonych kieszeni, gdyż jak p. M. sam przyznaje, „wymaga to znacznego wydatku, znakomitych stosunków i listów polecających, nareszcie dokładnej znajomości angielskiego, k t ó r e g o u nas nie wiele kto posiada“.

Biedna Polsko! Z chwilą, gdy wytrzebiono w tobie grubą zwierzynę, prawi synowie twoi za pomocą angielskiego języka i listów polecających, przy znacznych kosztach służyć ci muszą. Znajomość polskiej mowy im nie wystarcza, a nawet musi być chyba zbyteczną, sądząc z lekceważenia, jakie jej w każdem zdaniu p. M. okazuje. Twierdzi on np., że „tygrys o m y l a pościg pięciodniowy“, że hr. Potocki używa „rodzinnego wyrazownictwa“ itd. Fraszką wreszcie język i gramatyka; — są to rzeczy wcale niepotrzebne, zważywszy, że żyłka łowiecka i animusz myśliwski wystarczą zupełnie dla wyrobienia „wyższych umysłów i tęższych charakterów“, że im właśnie „zawdzięczamy najpiękniejsze karty Pana Tadeusza“, że wreszcie wszyscy znakomici Polacy byli zawołanymi myśliwymi i dla tego właśnie byli znakomici, (np. Kopernik!). Żyłka myśliwska budzi: „uśpione okolicznościami męztwo“ jest środkiem „na zniewieściałość i wygodnictwo“, „na zatycie ciała i ducha wśród komfortu cywilizacyi“.

W tym względzie muszę wierzyć na słowo panu M. Komfort cywilizacyi nie dokuczył mi tak dalece jak hr. Potockiemu i jego panegiryście, dla tego też może zatycie ciała i ducha dotychczas mi nie groziło. Błogosławię zatem moje przeznaczenie; lekarstwo byłoby trochę kosztownem, a sądząc po autorze Notatek myśliwskich nie jest ono dla ducha zbyt skutecznem. Prawda, że hr. Potocki zakreślił sobie „myśliwski cel i granice“ — jednakże może jeszcze z owego zatycia ducha wynika, że „pobieżnie tylko wspomina cuda przyrody i architektury“, „że opisowości u niego mało“, że „zanadto zaprzątniony sportem, aby sobie dać czas na inne poważniejsze zajęcia i badania“. — Nie sądzę, aby to należało przypisać „umyślnej arystokratycznej prostocie“, jak to czyni p. M. — któremu zresztą za to kapitalne wyrażenie „u m y ś l n a p r o s t o t a“ należy się wieniec chwały. — Ta „prostota“ zgina panu M. kolana, zachwyca go i „niewoli“, że użyję tu jego własnego wyrażenia. Wspomina on ją kilka razy, a raz tylko zastępuje wyrazem „pokora“. Hr. Potocki „z pokorą spowiada się z każdego „spudłowania“, a jest tak skromny, że „nie gardzi żadną zwierzyną, nawet pawiem, gdy mu się na strzał nawinie“. Jakie to wzniosłe! Naturalnie wobec takich zalet arcydzieła czytelnik zbyt cennych nabytków umysłowych z niego spodziewać się nie może. Dowie się wprawdzie, że „słoń nie jest wcale tak łagodnem i spokojnem stworzeniem, jak się przedstawia w menażeryach“ (albo na obrazku), aleć sądzę, że najnaiwniejsze podlotki wiedzą, że spokój zwierząt w klatce pokrywa tylko „uśpione okolicznościami męztwo“ — mówiąc stylem p. M. Z innych wiadomości zanotować należy, że druga wycieczka myśliwska „o s o b n e g o“ nabrała wdzięku dzięki obecności małżonki hrabiego, w której żyłach nie darmo krew radziwiłłowska „g r a i p ł y n i e“, wreszcie, że słoń ma „mózg d z i w n i e mały — obwarowany grubemi czaszki ścianami“, co wreszcie, jak widzimy, nie jest wyłączną słonia tylko właściwością.

(Zob. Dziennik pozn. Nr. 50.)

* * *

Wskazówka dla Zarządu Czytelni ludowych.

Aleksander Świętochowski poświęca w Nr. 9 „Prawdy“ następujące uwagi literackim upodobaniom ludu:

„W kilku pismach poruszono znowu sprawę książek dla ludu. Sądzę, że główną przyczyną nieporozumień w zasadach i błędów w czynach jest brak materyału obserwacyjnego. My rozprawiamy o potrzebach i upodobaniach ludu, snując przy biurkach logiczne dedukcye, które w praktyce okazują się całkiem fałszywemi. Tak np. zdawało nam się, że realistyczne utwory Prusów, Dygasińskich z życia wiejskiego znajdą szczególnie chętnych czytelników śród włościan, że oni z zachwytem zagłębiać się będą w opowieści o losach Slimaków, Michałków, Beldonków. Tymczasem lud — jak zapewniają ci, którzy go badali — nietylko nie zachwyca się takiemi nowelami, ale ich wcale czytać nie chce, a zagadnięty w tym przedmiocie — tłomaczy się.:

— Że chłop babę czasem wypierze, że parobek ożeni się z gospodarską dziewuchą, że dziad ukradnie kiełbasę, że krowy w zimie chude a masło drogie — to my dobrze wiemy i szkoda czasu panów na takie pisanie.

Człowiek prosty, niewykształcony w swych myślach i upodobaniach, nie odczuwa wcale artyzmu utworów beletrystycznych, a w książce szuka treści, nie formy. Chłop nasz swojej rzeczywistości nie lubi, więc nie lubi jej obrazów literackich, a talentu w odtwarzaniu jej ocenić nie umie. Dla nas jakiś Michałek lub Slimak Prusa jest postacią mało znaną, świeżą, a przytem zajmującą w artystycznem przedstawieniu; dla włościanina jest on istotą powszednią, a jego artyzm — niedostrzegalnym. Chłop wymaga od każdej książki nie sztuki, lecz nauki; dla tego czyta on najchętniej te, które mu ukazują nieznane światy, nieznane stosunki, fakty i prawdy. Jest on w daleko wyższym stopniu, niż my ukształceni, idealistą i chciwym wiedzy. Opowieści fantastyczne, opisy podróży, obrazy nadzwyczajnych poświęceń, odwagi, cnoty, wszelkie bajki — słowem, cała literatura dziecinna, z drugiej zaś strony jasne i barwne wykłady astronomii, geografii, geologii, historyi itd. — oto jego ulubiona lektura, której się oddaje z dziwną wytrwałością każdej swobodnej chwili. Jest to wreszcie faktem nader pouczającym a wielokrotnie zauważonym, że lud w zakresie beletrystyki lub poezyi woli opowiadania długie, niż krótkie. Mocne potwierdzenie tego faktu znajdujemy w świeżo ogłoszonem sprawozdaniu jednego z pisarzów rosyjskich, który w t. zw. „katordze“ (ciężkich robotach) czytał kolejno skazańcom rozmaite utwory swojskie i obce. Otóż spostrzegł on, że większych słuchano z ogromnem zajęciem i niestrudzoną uwagą, podczas gdy drobne nie sprawiały wrażenia. Tak np. więźniowie gotowi byli po dziesięć razy słuchać obszernych powieści Dickensa, a tak, zdaje się, zrozumiały i ponętny dla nich „Szynel“ Gogola nudził ich. Zjawisko to objaśnia się naturalnie: umysł nieoświecony, ciężki, z trudnością wprawiający się w ruch, zanim zdąży uchwycić wątek krótkiej noweli, nagle jej nić mu się urywa; natomiast przy powieści długiej ma czas się rozruszać i wtedy już ciekawość go nie opuszcza. Jest to bardzo ważna wskazówka dla autorów i wydawców książek ludowych“.

* * *

Odgrzewany artykuł i kompromitacya reklamy.

W wiedeńskiem czasopiśmie „Neue Revue“ czytamy:

„Odwiedziny młodego Polaka u Goethego“ — taki był tytuł artykułu, który się ukazał w r. 1839 w polskiem piśmie „Przyjaciel Ludu“ i omawiał odwiedziny polskiego pisarza A. E. Koźmiana u Goethego. Lwowski miesięcznik „Przewodnik naukowy“ (dodatek do „Gazety lwowskiej“), który długi czas publikował listy Koźmiana, wydrukował w zeszłorocznym zeszycie grudniowym jako dopełnienie „Listów“ ów artykuł z r. 1839, omawiający wizytę Koźmiana u Goethego. Odgrzewany artykuł zwrócił uwagę krajowej i pozakrajowej prasy i był przedrukowany w całości lub w wyjątkach we wszystkich niemal pismach austryackich, niemieckich, francuskich i angielskich. Wszędy, gdzie się wycina, nalepia i drukuje, było wszystko w

pełnej czynności, a nawet telegraf zaniósł ową wiadomość o wizycie Polaka u Goethego do najdalszych ludów. Nie dość na tem, jeden z Polaków w Wiedniu żyjący, Alfred Szczepański, miał niedawno odczyt o owych odwiedzinach młodego Polaka u Goethego w tamtejszem tow. im. Goethego, złożonem — zwracamy na to uwagę — ze znawców i badaczów życia Goethego, którzy młodszego Polaka, prelegenta o odwiedzinach „młodego Polaka“ nagrodzili hucznemi oklaskami. Nowe sprawozdania po dziennikach, nowe telegramy etc. Nieco słabnące zainteresowanie na nowo rozbudzono dziękczynnem pismem, jakie wystosował przewodniczący tow. Goethego, generalny intendant teatru, baron Bezecny do p. Szczepańskiego, które brzmiało, jak następuje: „Zajmującym odczytem „Odwiedziny u Goethego“, poświęconym nam łaskawie w d. 7 b. m., skreśliłeś WP. niemieckiej publiczności w sposób nader interesujący i zrozumiały wrażenia, jakie sprawiał Goethe na tych, którzy go odwiedzali, a zarazem z pamiętników znakomitego pisarza, Koźmiana przysporzyłeś W. Pan nowy, ważny materyał dla badań nad Goethem. Wydział tow. Goethego czuje się wobec tego zobowiązanym złożyć należne podziękowanie.... Podpisy. W imieniu wydziału baron Bezecny, radzca cesarski“. — Mimo pochlebnego podziękowania w imieniu towarzystwa, nie możemy być w żaden sposób tego samego zdania, co światli członkowie owego towarzystwa, jakoby „do badań nad życiem Goethego nowy, ważny materyał dostarczono“. Niestety skontatować musimy, że ów materyał, pominąwszy już to, że w r. 1839 polskie czasopismo takowy wydrukowało, — dostępny jest i niemieckiej publiczności od lat dziesięciu. By dopełnić miary boleści, zwrócić musimy na to uwagę, że ów materyał, którego „nowość“ towarzystwo imienia Goethego z takim naciskiem podniosło, opublikowany został w języku niemieckim w r. 1886. Ponieważ ludzkość nakazuje przy zwiastowaniu smutnych wiadomości komunikować je w małych dawkach, więc komunikujemy dalej, iż ów drukowany artykuł nosił tytuł: „Zwei Besuche eines Polen bei Goethe“ a odnośnik objaśniał: „Mitgetheilt von A. Zipper in Lemberg. Der Besucher und Erzähler ist A. E. von Koźmian. Er hat seinen Besuch in der polnischen Zeitschrift „Przyjaciel Ludu“ 1839 geschildert“. — A gdyśmy już w ten sposób w żałobie pogrążone towarzystwo imienia Goethego należycie przygotowali, niechże się ono dowie rzeczy najstraszniejszej, mianowicie: ten sam artykuł pojawił się w VII. tomie wydawanego przez niemieckie towarzystwo im. Goethego „Goethe-Jahrbuch“ i widnieje na stronach 220 do 238. — O współczucie dla wiedeńskich badaczy Goethego, którzy nie znają treści ich najbliższego, fachowego organu, uprasza się. Wieńców się nie przyjmuje“.

Znakomici uczeni!

* * *

Szczególny „five o clock tea“.

Przy ulicy de Longchamp w Paryżu urządził pewien uczony przyjęcie dla znakomitości francuskich, a obecnie dopuszcza całą publiczność do zwiedzania tego apartamentu. Trudno opisać jak się w nim francuzi bawią.

Jeden ze znakomitych przyrodników paryskich tak opowiada ową „herbatkę“ inauguracyjną.

U wejścia odrazu jedno cię uderza: nigdzie lamp ani kandelabrów, a jednak widzi się doskonale; dziwna jasność oświeca sprzęty, osoby i ściany. Rzekłbyś, że to niewidzialny księżyc przez niewidzialne otwory przesiewa swoje srebrne światło. — Jedwabne obicia ścian wydają złotawy łagodny odblask, z sufitu tryskają promienie brylantowe. Dywany na podłodze świecą, filiżanki również, czajnik błyszczy. Nad obrazami i kwiatami skaczą punkta świetlne, jak międzyzwrotnikowe owady. Sprzęty, jakby potarte fosforem, miejscami na murach widać broń, rysunki symboliczne, cyfry, liście, arabeski błyskają to turkusową, to topazową jasnością. — Dziwny widok dla wchodzącego z ulicy.

Światło jest wszędzie i niema go nigdzie. Suknie pań są świetlne, fałdy za każdem poruszeniem rzucają błyskawice; twarze są białe, promieniejące bladą światłością. Ręce nabierają podobieństwa do błędnych ogników. Zewsząd otacza nas jak gdyby przytłumiony ogień, który jednak nie pali, i atmosfera łagodnego światła, która zaledwie powstała przed zdumionym wzrokiem, niknie i odradza się znowu.

Jest to coś nadzwyczajnego.

Być bardzo może, iż to wszystko jeszcze nie doskonała próba powszechnego oświetlenia przyszłości. Kto wie, czy za dni niewiele ściany, mury, gmachy, słupy nie będą świeciły przez noc całą — i czy noc, ciemna, ponura noc, nie zniknie na zawsze z miast, aby bronić swego istnienia po polach, łąkach i lasach.

Salon, o którym mowa, wyprzedził czasy, jako prototyp oświetlenia wszystkich mieszkań za lat kilkanaście.

Ale sposób?

Spytajcie się wynalazcy, pana Karola Henry, profesora Szkoły Wyższych Nauk, który dotąd nie wyjaśnił tajemnicy. Domyślać się tylko wolno, że materyą świetlną jest pewna kombinacya cynku i siarki.

Wiadomo już bowiem nie od dzisiaj, że niektóre substancye, wystawione na działanie światła słonecznego, lub nawet magnezyowego, nasycają się tem światłem i błyszczą w ciemności. — Do takich właśnie ciał należy połączenie siarki i cynku w postaci proszku, który można mieszać z gumą, krochmalem, olejami i t. p. Jego świetlnych własności nie narusza nawet woda, kwas węglowy, amoniak. Dodany do krochmalu i użyty do bielizny, sprawia, iż i one świecić będą. Toż samo, jeśli napoimy tkaniny wszelkie, sukna, koronki i t. p. prześlicznie szerzą blask fosforyczny. Obicia papierowe błyszczą w ciemności, a suknie lekkie, tarlatany, tiule napojone lekką mieszaniną krochmalu i owej kombinacyi siarko-cynkowej wyglądają jakby z promieni utkane. Nadto z proszku można otrzymać ciało stałe, z którego wyrabiałyby się brosze, kolczyki i t. p. klejnoty. . świecące.

A co najważniejsza, to, że proszek siarkowo-cynkowy zastąpić może mąką ryżową (*poudre de riz*), i może paniom oddać nieocenione przysługi. Twarz, posypana tym proszkiem, nie obawia się słońca, ponieważ nowy „pudr“ silnie pochłania promienie słoneczne, które szkodliwie działają na skórę, przepraszamy, na płeć, i wywołują piegi, plamy czerwone i inne klęski. — Jakaż wygoda dla cyklistek, amazonek, turystek! Parasolka staje się zbyteczną, a dama wracająca z przechadzki, stanie się światłem domu, jak była dotąd jego ciepłem.

KRONIKA LITERACKA.

* 15 **„Przędziwo,“** książka dla młodzieży, wydawnictwo imienia P. Krakowowej; Warszawa, 1896 r.

W „Przędziwie“ czytelnik znajdzie bardzo wiele rzeczy pouczających a zajmująco pisanych. Czy to będzie pogadanka z dziedziny fizyki, botaniki, entomologii, czy geografii — zawsze ona zajmie czytelnika swem barwnem tłem, na którem forma historyjki, bajeczki lub opisu podróżniczego żywszą się wydać musi. Są tu także i nowelki, humoreska i komedyjka, są epizody z życia Drużbackiej i Kochanowskiego, są opisy wycieczek w kraje obce lub fantastyczne i... dwie poezye, dwie tylko, lecz różne wartością.

Nawet szary ten skowronek
Nad zagonem wiosną wzbity,
Lecieć musi (?) cały (?) dzionek
Nim doleci tam, w błękity (!?)
I choć już nie widzi gniazda,
Ani wioski po nad rzeką,
I najmniejsza nawet gwiazdka (??)
Wyżej jeszcze hen daleko.

A jednak pod tym słabym ośmiowierszem podpisała się Marya Konopnicka... Szczęściem „Stary rybak“ Kazimierza Glińskiego jest pod względem myśli — arcydziełem.

Na morze!... ja syna wam daję... by-
[szycie?!!

Syn Jana przewozi łodzią przez morze ludzi, udających się na połów, lecz noc, burza, łódź krucha, przeładowana... Trza ulżyć ciężaru tej łodzi.

— Do wioseł z sił wszystkich!...

I skoczył w głębinę. Rybacy z przestrachu pobladną.

— Z sił wszystkich!..., w głos krzyknął — ja płynę, ja płynę!...

I cicho osunął się na dno...

W kilku wyrazach namalowany jest tu bohater, poświęcający siebie, byle ocalić życie bliźnim.

Przybili do brzegu... Strach patrzał im z czoła, co mówić im w onej godzinie?

— Gdzie syn mój, gdzie syn mój?! — Jan stary zawoła. Strwożeni odrzekli mu:

— Płynie!...

Lecz pieśnią zagłady gra morska głębina, daremna tu wszelka rąk praca.

— O morze! — zawoła — Wróć syna, wróć syna!

Lecz morze swych ofiar nie wraca. Grzmi tylko i huczy, w gwar wichrów szeleszcze, bezdenną przeraża głębiną..

— Ha — szepnął po chwili — mam synów dwóch jeszcze i oni na morze wypłyną...

Gdyby w „Przędziwie“ nic więcej nie było, tylko ta perła, i gdyby nasza młodzież wszystka była dziećmi tego starego rybaka, już pożytek z książki byłby bardzo duży...

Józef Waśniewski.

* * *

* **Nowy dramat.** Sewer Maciejowski napisał dramat ludowy, nie mający jeszcze tytułu. Treść następująca: Jan Łupa, syn najbogatszego we wsi gospodarza, wraca do miejsca rodzinnego z uniwersytetu, na który wbrew woli ojca uczęszczał. Zajeżdża do domu dziewczyny, którą kocha oddawna i przeznaczył sobie za żonę. Na wstępie spotyka się ze skargami wieśniaków na starego Łupę i z prośbami pokrzywdzonych, by ich od procesów i lichwy ojca obronił. Młody człowiek nie wierzy skargom ich, przekonywa się jednak wkrótce, że słowa ich były prawdą. W gorących słowach błaga ojca, by skrzywdzonym powrócił ich mienie. Ale stary Łupa ani słyszeć nie chce o zwrocie tego, co uważa już za swoje. Rozpoczyna się proces między gromadą a starym Łupą, w którym Jan, ulubieniec gromady, staje przeciw własnemu ojcu. W toku jednak procesu Jan, prawnik z zawodu, przekonywa się, że sprawy z sądu cywilnego przejść mogą przed kratki sądu karnego. Powodowany miłością synowską, raz jeszcze udaje się do ojca i błaga go, by dobrowolnie oddał, co zagrabił. W scenie, w

której niskie namiętności ojca ścierają się z podniosłą etyką syna Łupa usiłuje najpierw syna przekupić, a gdy mu się to nie udaje, odrzuca wszelkie jego żądania, przeklina go i zabrania wstępu do siebie. Proces tymczasem kończy się, dobra sprawa zwycięża, Łupa dostaje wezwanie z sądu karnego i w obawie przed kryminałem wiesza się. I jeszcze jedna scena. Oto Jan, spadkobierca ojcowskiego majątku, w mrocznej izbie ojcowskiej chałupy wsłuchuje się pełen przerażenia i rozpaczy w jakieś głosy tajemne, które w głębi jego duszy wołają, że jest zabójcą ojca własnego. Dramat pisany barwnym, wiernie ludowym językiem, pełen dobrze pomyślanych sytuacyi, żywy w akcyi, jest może najlepszem dziełem autora „Nafty". Charaktery tak głównych, jak drugoplanowych figur sztuki rysowane są śmiało, a wycieniowane nader subtelnie. Akcya za każdą sceną rozwija się w sposób coraz bardziej interesujący. Utwór ten odczyta pan J. Kotarbiński w krakowskim „Związku literackim".

* * *

* Zygmunt Sarnecki napisał nową sztukę w 5-ciu aktach „Półdjable". Rzecz się odgrywa, na okręcie powracającym z Indyi z wyprawy myśliwskiej.

* * *

* Dr. Piotr Chmielowski pracuje nad studyum o feljetonistach polskich.

* * *

* **Ciszewski** Stanisław. Krakowiacy. Monografia etnograficzna. Tom I. Kraków 1894. Nakładem autora. Str. 383 w 8-ce dużej.

Monografia powyższa zakreśloną została przez autora na duże cztery tomy. Tom I obejmuje: podania, powieści fantastyczne, powieści anegdotyczno-obyczajowo-moralne, bajki o zwierzętach, zagadki i łamigłówki. W tomie II — jak zapowiada przedmowa — znajdziemy: zwyczaje, obrzędy, wiedzę ludową i wierzenia: w tomie III — pieśni, w IV — studyum o ludzie oraz materyały statystyczne i językowe. St. Ciszewski w gronie naszych etnografów odznacza się wyrobioną metodą naukową w spisywaniu materyałów. Dawniej już wydał monografię: „Lud rolniczo-górniczy z okolic Sławkowa w powiecie Olkuskim" (Kraków 1885). „Krakowiacy", biorąc topograficznie, są jakby jej dalszym ciągiem. Pragnąc scharakteryzować Krakowiaków, jako odrębną grupę etnograficzną i wykreślić jej granice, autor wędrował od wioski do wioski, przebywał z ludem każdej wioski czas dłuższy, a wszystko, co z ust ludu słyszał, zapisywał ze ścisłością stenografa i filologa. Bardzo ważną część tej pracy zawiera tom pierwszy. Mieści on 277 podań, powieści i bajek, oraz 512 zagadek i łamigłówek. Obfity to materyał dla etnologów i badaczy gwary krakowskiej. Dla ułatwienia pracy pierwszym, autor każdą powieść i bajkę zaopatrzył w dokładny nagłówek; wykaz wątków powieściowych i mitologicznych obiecał podać w jednym z tomów następnych. Oprócz spisu rzeczy, na końcu książki znajdujemy „abecadłowy wykaz przedmiotów, omawianych w zagadkach i łamigłówkach."

* * *

* **Sonnenberg** Dr. E. Dyskrecya lekarska ze stanowiska prawnego i etycznego. Odbitka z „Medycyny". Warszawa 1895.

Prawo zabrania lekarzom zdradzania tajemnic chorych i w razie przekroczenia odnośnych przepisów karze ich surowo. Jak pogodzić te przepisy nieraz z koniecznością zdradzenia tajemnicy (np. w wypadku, jeżeli osoba dotknięta chorobą zakaźną, chce wstąpić w związki małżeńskie, lub zajmuje się przygotowywaniem przedmiotów spożywczych) — oto pytanie, jakie zadaje sobie dr. Sonnenberg. Po przytoczeniu kilku faktów i dyskusyi, autor przychodzi do wniosku, że we wszystkich wypadkach, kiedy choroba pacyenta, może przynieść szkodę społeczeństwu, lekarz powinien być zwolniony z sekretu zawodowego. Praktyczne rozwiązanie — według autora — przedstawia się jak następuje: należałoby poddawać peryodycznej obserwacyi lekarskiej osoby, pracujące w zakładach, wyrabiających materyały spożywcze, jak również osoby, funkcyonujące, jako niższe organy ciała lekarskiego (felczerów, akuszerki itd.). wreszcie należałoby wymagać od osób, życzących sobie wstąpić w związki małżeńskie, świadectwa zdrowia, wystawionego przez urząd lekarski.

Autor słusznie zwrócił uwagę na to, że ludzie biedni jak pod każdym, tak i pod względem dyskrecyi lekarskiej są upośledzeni. W szpitalach nad łóżkiem każdego chorego znajduje się tablica z wypisanem jego nazwiskiem i chorobą; w klinikach referaty studentów odczytywane są głośno wobec służby szpitalnej. Gdzie w tym wypadku podziewa się sekret zawodowy?

L. W.—k.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości polityczne i społeczne. Mowy ministra Bossego wymierzone w sejmie pruskim przeciw Polakom, wywołały w całem społeczeństwie polskiem niezwykłą sensacyę. Z posłów polskich bronili praw naszych z uznania godną zręcznością i energią pp. Motty, Jażdżewski i Schroeder. — Klęska Włochów w Afryce spowodowała w Rzymie i innych miastach wielkie zaburzenia. Powołano pod broń rezerwy. Nowe posiłki odpłynęły już do Afryki. Gabinet Crispiego podał się do dymisyi. — Zatarg między Stanami Zjednoczonemi Ameryki północnej przybiera coraz poważniejsze rozmiary. Izba reprezentantów w Waszyngtonie przyjęła 203 głosami przeciw 16 rezolucyę, przyznającą powstańcom na Kubie prawa strony wojującej. — Projekt opodatkowania cukru napotyka w prasie niemieckiej najróżniejszych odcieni zaciętych przeciwników. Widoki przyjęcia projektu w parlamencie są słabe. — W Indyach wschodnich, wybuchło powstanie, którego ofiarą padło już kilka stacyi misyjnych.

Teatr i muzyka. W czwartek, dnia 12 marca rb. odbędzie się na sali Lamberta koncert znanej z swych występów w Poznaniu śpiewaczki koncertowej p. Sanderson z współudziałem pianisty Edwarda Behma, na co lubownikom dobrej muzyki zwracamy uwagę. — Nowa artystka sceny poznańskiej, p. Pankiewicz, zdobyła sobie uznanie krytyki i publiczności grą inteligentną, subtelną i znakomicie cieniowaną w Ohnetowskim „Właścicielu Kuźnic". Wymowa wprawdzie posiada pewne usterki i głos nie odznacza się skalą szeroką, lecz mistrzowska mimika, niepospolita rutyna i dość znaczny zasób uczucia stanowią cenne zalety nowej heroiny teatru poznańskiego. Mniej korzystne wrażenie wywarła p. Pankiewicz w „Halszce z Ostroga". Do bohaterskich ról takiego zakroju brak artystce zewnętrznych warunków i siły odpowiedniej. — W czwartek ubiegły odegrano na benefis p. Vernon trzyaktową komedyę Meilhaca i Halevy'ego p. t. „Kuglarka". W utworze tym pozbawionym głębszych artystycznych zalet odznaczyła się beneficyantka grą starannie wyrzeźbioną i swobodną. Na uznanie zasługują także pp. Jakubowski, Czerniak i Nowacki. — Dziś, w sobotę, odegraną zostanie na dochód pana Skóraczewskiego czteroaktowa komedya Świderskiego pt. „Ojcowizna". Pan Skóraczewski jest nader sumiennym artystą i doczeka się niezawodnie w dzień swego benefisu objawów sympatyi ze strony publiczności. — P. Myszuga na swój benefis śpiewał w Kijowskiej operze Halkę po rosyjsku. Dzienniki miejscowe zarzucają mu brak dokładnej znajomości języka rosyjskiego i są z tego niezadowolone. — W warszawskim teatrze „Rozmaitości" rozpoczęto próby z nowej sztuki Graybnera pod tyt. „Odstępca". — Tow. muzyczne lwowskie stara się o pozyskanie p. Henryka Melcera na profesora wyższej klasy gry fortepianowej. — W najbliższą sobotę, 14 bm. usłyszymy w teatrze poznańskim jeden akt „Halki". Pomysł ten zawdzięczamy utalentowanemu beneficyantowi p. Nowackiemu. Oprócz „Halki" zapowiada afisz głośną komedyę „Rozwiedźmy się" i popis baletowy pani Knapczyńskiej i p. Dolińskiego.

Opera czeska w Krakowie. Czytamy w „Nowej Reformie": „Pomysł sprowadzenia opery czeskiej do Krakowa uważamy za bardzo szczęśliwy i mamy ufność, iż publiczność nasza niezawodnie przepełniałaby teatr na przedstawieniach jej, prowadzonych wzorowo. Dyrektorem czeskiego teatru narodowego w Pradze jest wielce zasłużony patryota czeski, twórca czeskiej wystawy etnograficznej, pan Szubert, znany z wielkiej przychylności dla Polaków. Byłby on wraz z podwładną sobie artystyczną drużyną bardzo mile widzianym w Krakowie".

AFORYZMY.

Wdzięczność znikła z powierzchni ziemi tego samego dnia, w którym człowiek wyświadczył pierwszą przysługę bliźniemu. Od tego czasu domyślają się tylko jej istnienia dla tego, że skoro istnieje niewdzięczność, musi też istnieć i wdzięczność.

Merimée.

—

Odwróćcie zwierciadło zdarzeń wypadkowych, a wówczas iluż to wielkich ludzi nagle zmaleje?

Swift.

—

Prawdziwie rozumny człowiek zawsze mniema, że prowadzący z nim rozmowę, rozumniejszym jest od niego.

Swift.

—

Muzyka przyszłości nie ma przeszłości; muzyka zaś przeszłości — ma przyszłość.

Gounod.

—

Wszelka większość zawiera mało mózgów, a dużo uszu zatkanych.

Sieyes.

—

Zachwyt i heroizm — rodzeni to bracia.

Goethe.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

— **Weteran.** Domysły Szanownego Pana są słuszne. Kuryer w sprawozdaniu z odczytu ks. Adamskiego pominął zupełnie mnóstwo niedorzeczności, wypowiedzianych przez prelegenta; lecz i to, co referat podaje, charakteryzuje dokładnie naukową wartość odczytu. Streszczając przemówienie dr. Rabskiego, przekręcił oczywiście Kuryer w znacznej części wypowiedziane opinie i opuścił kilka poważnych zarzutów. W ten sposób salwuje się prelegenta, a dyskredytuje opozycyę.

— **K. J. z N.** Miłoby nam było zawrzeć bliższą znajomość z autorem, którego poezyom jeszcze gościnności udzielić nie możemy, któremu talentu jednak nie zaprzeczamy. Zawody, na które Szanowny Pan tak gorzko się skarży, są zwykłym losem wszystkich początkujących literatów. Radzimy nie brać położenia swego nadto tragicznie i nie porzucać pióra, które nie jest pozbawione miękkości i stylu. Zalecamy jednak spróbować sił swoich w innych dziedzinach belletrystyki, — talent nie zawsze trafia od razu na pole dla siebie najwłaściwsze. Z utworów nadesłanych najwięcej zalet literackich posiada „Pieśń moja" i „Czemu", lubo ostatni utwór trąci bardzo silnie Słowackim.

— **St. M.** W wierszu „Resurges" razi wysilenie i napuszystość formy. Prosimy o więcej próbek.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego" w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28

Nr. 11. Poznań, niedziela 15-go marca 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę. Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p. Administracya: Piekary nr. 6. Rękopisów drobnych nie zwracamy.

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: Piekary 6. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer: w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.

TREŚĆ.

Reforma wyborcza w Austryi.*)

Austryacka ustawa wyborcza nie miała nigdy gwałtownych zwolenników. Przyszła na świat bez warunków długiego życia, a jeżeli do tej chwili utrzymała się, to jedynie dzięki temu, że chcący ją naprawić, obawiali się, czy ta naprawa zamiast polepszyć, nie pogorszy stanu choroby. Rozszerzone przed laty kilkunastu prawo głosowania, oparte na tem, że korzysta z niego każdy, kto płaci 5 złr. rocznie stałego rządowego podatku, nie zmieniło w niczem postaci rzeczy, pozostawiło to samo niezadowolenie u jednych, tę samą obawę przed reformą u drugich. I dziwić się temu nie można, każda bowiem warstwa ludności ma na celu swój interes własny, a interesa te w zgodzie ze sobą być nie mogą. Co więcej, w Austryi do interesów kastowych przyłączają się interesy narodowościowe, z czego powstaje taki chaos rozmaitych sprzeczności, że nigdy i żadna ustawa wyborcza w Austryi przez ogół za dobrą i odpowiednią uznaną nie będzie, bo każda wzmocni jednych, a osłabi drugich, bo każda wymierzając sprawiedliwość jednym wyrządza niesprawiedliwość drugim.

Dla doktrynerów, mających zawsze w zanadrzu gotowe teorye i formułki, sprawa wydaje się bardzo łatwą i prostą, ale w życiu praktycznem (a chyba nic więcej jak polityka nie opiera się na praktyczności) każda teorya ma swoją piętę Achilesową.

*) Zamieszczając powyższy artykuł, skreślony piórem jednego z najwytrawniejszych publicystów polskich, poczuwamy się do obowiązku nadmienić, że redakcya w niektórych szczegółach nie identyfikuje się bezwzględnie z autorem. Przyp. Red.

Doktrynerzy mówią: zasadą państwa konstytucyjnego jest równość praw wszystkich obywateli, a więc każdy obywatel dorosły powinien mieć prawo czynnego i biernego wyboru. Praktyka zaś twierdzi: pomimo wszelkich teoryi i ustaw nie ma na świecie dwóch ludzi równych sobie; w każdej rodzinie, w każdym zawodzie istnieje pewna hierarchia i pewien podział pracy i obowiązków. Do każdego przedsięwzięcia, do każdej sprawy (mówi dalej praktyka) powołuje się najwięcej uzdolnionych, albo za takich uchodzących. Nie bierze się krawca do budowy domu, ani murarza do skrajania sukni. W każdém rzemiośle mamy majstrów, czeladników i terminatorów. Chcesz być adwokatem, sędzią, urzędnikiem, każą ci się długo uczyć i składać egzamina. Musisz być naprzód żołnierzem, chcąc zostać jenerałem; musisz się nauczyć szyć buty zanim zostaniesz szewcem. Niema wogóle na świecie, a przynajmniej być nie powinno, tak podrzędnego stanowiska, które możnaby osięgnąć bez posiadania odpowiednich warunków. Skądże więc sterowanie nawą państwową, rzecz najtrudniejsza, najwięcej odpowiedzialna, wymagająca głów najtęższych, umysłów najszerszych i najwięcej uzdolnionych, może być oddana na łaskę i niełaskę ludzi nie mających ku temu żadnych kwalifikacyi? Jak można, mówi ta praktyka, dawać *jedno i to samo* prawo udziału w rządzeniu państwem tak człowiekowi najwyższej inteligencyi, jak człowiekowi nie posiadającemu najprymitywniejszego wykształcenia, nie mającemu nietylko najmniejszego wyobrażenia o sprawach państwowych, społecznych i krajowych, ale nawet o tem, co się dzieje w jego własnej gminie?

Dla tego też pomiędzy najwybitniejszymi zwolennikami głosowania powszechnego, jeżeli nie są oni doktrynerami, lecz ludźmi wyższego, szerszego umysłu, nie znajdziemy z pewnością nikogo, ktoby nie zdawał sobie sprawy, iż ta równość musi mieć pewne zastrzeżenia, pewne wyjątki, pewne nierówności. Stuart Mill, znakomity filozof i ekonomista, jest jednym z tych, na których, jako na autorytet, chętnie się powołują zwolennicy powszechnego głosowania. Mill szedł nawet tak daleko, że kobietom przyznawał równe prawa wyborcze, a więc prześcigał w żądaniach wszystkich socyalistów austryackich. A jednak ten czystej wody obrońca praw ludowych, rozumiał dobrze, że władzy nad całem społeczeństwem, nie należy oddawać ludziom nie przedstawiającym najprostszych danych nawet do kierowania interesami najbliższego swego otoczenia. „Przy głosowaniu powszechnem — są słowa Milla — znaczna większość głosujących składałaby się z robotników, oddających się pracy ręcznej, a więc istniałoby w wysokim stopniu niebezpieczeństwo podporządkowania ludzi wykształconych prawodawstwu klas niewykształconych“. Żądał więc Mill najprzód, aby wymagano od wyborcy znajomości czytania, pisania i reguły trzech. Dalej sądził, że na każdego pełnoletniego, pragnącego być wyborcą, winien być nałożony dodatkowy, choćby najdrobniejszy podatek niestały (*assessed taxes*). Nie na tem zresztą koniec wymagań Milla. Każdy wyborca powinien oddawać się stałemu zatrudnieniu przynajmniej przez trzy lata. Ponieważ zaś nieużyteczną, ale szkodliwą jest rzeczą, gdy konstytucya krajowa głosi, że ciemnota i nauka jednakowo są uprawnione do rządzenia krajem, przeto uważa Mill, aby ludzie posiadający wyższe wykształcenie, posiadali też przy wyborach większe prawa, a więc mieli większą ilość głosów, to znaczy, że kiedy zwykły, dajmy na to, robotnik, miałby głos jeden, to człowiek, który ukończył niższe gimnazyum miałby ich dwa, maturzysta głosów trzy, ukończony uczeń uniwersytetu głosów cztery. Dla tych, co doszedłszy samouctwem do wyższego stopnia wykształcenia nie mają odpowiednich świadectw i patentów, radził Mill ustanowić egzaminy, do których każdemu wolnoby się zgłosić, aby dowiódł, że posiada dostateczny stopień wiedzy i zdolności, dający mu prawo do wielości głosów.

Streszczając w krótkości wywody Milla, nie mogę przytaczać licznych rozumnych jego motywów, a zarazem wszystkich szczegółów jego projektu wyborczego. Zaznaczam jednak jeszcze stwierdzenie przez Milla faktu, że dążność dzisiejszych rządów reprezentacyjnych skłania się ku zbiorowej mierności. Celująca inteligencya i charaktery pozostają prawie zawsze w mniejszości, bo fałszywa demokracya zapewnia przewagę samej tylko większości. Dziś, choćby się narodził jaki Temistokles lub Demostenes, prawdopodobnie przez całe życie nie otrzymałby krzesła w parlamencie. Rzecz to na pozór dziwna, ale w praktyce niejednokrotnie stwierdzona, że ludzie imponujący zdolnościami i rozumem, mają w gronie swych sąsiadów najwięcej przeciwników. Ogół najbliższy nie znosi samoistnego, niepodległego zdania i chętniej przekłada miernotę, która nie razi wyższością umysłową i da się powodować stronnictwem. Człowiek zdolny, już przez to samo, że jest zdolny, nie idzie baranim śladem, a łatwiej dając się poznać, łatwiej zdobywa sobie zawistnych, łatwiej naraża się na zarzuty, a nawet paszkwile. Z drugiej strony widoczną jest dążność większej części okręgów wyborczych do obierania „swego“, to jest człowieka mie-

szkającego na miejscu, spokrewnionego krwią, połączonego stosunkami i interesami z miejscową ludnością. Często więc mając do wyboru w kraju dość ludzi wybitnych, okręg nie proponuje im mandatu, ale „wybiera z pomiędzy dwóch albo trzech zgniłych pomarańcz, które stanowią cały zasób towaru na miejscowym targu“. Rezultatem tego bywa, że człowiek, poważany przez inteligencyę całego kraju, nie mając w miejscu swego zamieszkania, dostatecznego poparcia, nie może zdobyć mandatu, a miejsce mu należne zasiada... zgniła pomarańcza. Dla zapobieżenia temu radzi Mill, aby każdy z wyborców, któremu miejscowi kandydaci nie przypadają do smaku, mógł oddawać swe głosy kandydatom innych okręgów, które to głosy byłyby im doliczone jako prawomocne.

Nie wchodząc bynajmniej w to, czy wszystkie propozycye Milla są praktyczne, czy wszystkie dałyby się przeprowadzić, co należałoby z jego projektu odrzucić, co przyjąć, co rozszerzyć, co zmodyfikować, szło mi tylko o wykazanie, że nawet taki zwolennik powszechnego głosowania, jak Mill, idący tak daleko, że nawet kobietom przyznaje prawa wyborcze, widzi przecież wielkie niebezpieczeństwo w wprowadzeniu w życie tej teoretycznej „sprawiedliwości“ bez poważnych zastrzeżeń.*)

Zaznaczyłem już, że dzisiejszy sposób głosowania w Austryi wyprzedził pod pewnemi względami żądania Milla. Każdy, kto płaci 5 złr. stałego rządowego podatku, ma prawo wyboru bez względu na to, czy umie czytać i pisać, czy zna regułę trzech, czy przez trzy lata miał stałe zatrudnienie, jak tego Mill wymaga. O tem zaś, aby ludzie inteligentni, stosownie do stopnia swego wykształcenia, rozporządzali większą ilością głosów, aby głosy rzucone na kandydatów innych okręgów wchodziły w obliczenie, nikt w Austryi nawet nie pomyślał. Ztąd też według opinii znacznej ilości ludzi najbardziej postępowych, ale nie przesiąkniętych doktrynerstwem, zdrowa reforma wyborcza powinna polegać nie na rozszerzaniu praw głosowania, nie na powiększeniu liczby posłów, lecz na zniesieniu, a raczej ograniczeniu istniejących kuryi i na przyznaniu inteligencyi takich praw przynajmniej, aby nie ginęła ona tak, jak się to dziś dzieje, w masie nieinteligentnych wyborców. Ludzie ci, prawdziwie postępowi a nie doktrynerzy, sądzą bowiem, iż trochę zdrowego rozsądku wystarcza, aby pojąć, że kiedy np. w mieście człowiek przeciętnie inteligentny m o ż e wiedzieć (nie mówię m u s i) jakich zasad przedstawicielami są kandydaci i jakie posiadają warunki do godnego piastowania mandatów, to robotnik i stróż domowy, choćby czytać i pisać umieli, nie będą u nas znali kandydatów często nawet z ich nazwisk. Głosy przez nich oddane, to nie głosy ludzi wiedzących co czynią, lecz głosy zdobyte agitacyą, lub za pieniądze. Ci ludzie postępowi, a nie doktrynerzy, twierdzą jeszcze dalej, że cały dzisiejszy postęp zawdzięczamy nie tłumom, choćby te czytać i pisać umiały, ale ludziom inteligentnym, umysłom wyższym o szerokich poglądach. Równouprawnienie wszystkich stanów nie wyszło z dołu lecz z góry. Cały dzisiejszy prąd socyalistyczny zawdzięcza swoje istnienie nie masom robotników, lecz jednostkom z pośród inteligencyi, które sprawę polepszenia losu pracujących wzięły do serca. Najgorszym doradcą mas byłby ten, któryby w ręce ludzi od pługa i warsztatu składał kierownictwo losami państwa. Prostem następstwem byłyby: anarchia, samowola, uciemiężenie wszelkiej inteligencyi, despotyzm mas, rujnujący stosunki ekonomiczne, zagrażający wszelkim dorobkom cywilizacyi.

Tak się zapatruje znaczna ilość ludzi prawdziwie postępowych na powszechne głosowanie w Austryi. Może dobierają kolorów nieco ciemnych, może obawy ich są przesadzone, ale w każdym razie trzeba się liczyć z tem, iż oprócz socyalistów znajduje się zaledwie nadzwyczaj drobna liczba ludzi sprzyjających powszechnemu głosowaniu. A lubo nikt nie może zabronić robotnikom, ażeby domagali się przyznania sobie praw jak najszerszych, to z drugiej strony należy pamiętać o tem, iż ludność państwa nie składa się z samych robotników, a więc nietylko ich życzenia muszą być uwzględnione. W Anglii, będącej mistrzynią życia konstytucyjnego, gdzie nawiasem mówiąc robotnik stoi dziesięć razy wyżej pod względem inteligencyi od robotnika np. galicyjskiego, powstała wprawdzie naprzód myśl głosowania powszechnego, ale praktyczność starego Albionu nie dała jej w czyn zamienić.

Zwolennicy zresztą powszechnego głosowasia w Austryi zapominają o tem, iż każdy rozsądny człowiek i każde rozsądne stronnictwo musi się liczyć z faktami, z tem, co jest możliwe do uzyskania. Każdy w zasadzie pragnąłby dla siebie najwięcej i rzecz to zupełnie zrozumiała, a jednak każdy ogranicza się na tem, co zdobyć może. Reforma wyborcza w Austryi zależy od uchwały parlamentu, a ustawy wymagają dla reformy wyborczej dwóch trzecich głosów w parlamencie. Otóż kto ma choćby najlżejsze pojęcie o składzie parlamentu austryackiego, ten wie, że powszechne głosowanie nie uzyskałoby w nim nietylko dwóch trzecich, ale nawet jednej trzeciej głosów. Przeszło dziesięć lat sterował hr. Taaffe nawą austryacką — wszystko mu się udawało, robił niemożliwe skoki i sztuki łamane — jednak padł i więcej nie powstał na skutek projektu reformy wyborczej, która od powszechnego głosowania była o tysiąc mil oddaloną, a tylko wydawała się krokiem naprzód ku niemu. Wieloletni wrogowie, stronnictwa najsprzeczniejszych zasad, żywioły nie mające ze sobą nic wspólnego, znalazły się ze sobą w jednym obozie, odłożyły na bok swoje spory zasadnicze i zrzuciły hr. Taaffego z fotelu prezesa ministrów, który, zdawało się, objął w dożywotnie posiadanie. Pomijając zatem wszelkie wywody teoretyczne, wszelkie zapatrywania na tę sprawę, nikt z ludzi trzeźwych nie może żądać od hrabiego Badeniego, aby reformę wyborczą oparł na podstawach głosowania powszech-

*) Autor niniejszego artykułu zastrzega się, że powołując się na zdanie Milla i wogóle w dalszych swych wywodach, ma na myśli stosunki austryackie i galicyjskie — tam bowiem, gdzie pod hegemonią państwową ledwo żyją uciskane narodowości, głosowanie powszechne bez zastrzeżeń, może być jedynym środkiem wymierzenia im jakiej takiej sprawiedliwości. I w tem nowy dowód, iż doktrynerzy nie liczą się ze stosunkami.

K. ROJAN.

W ŚWIAT.

(Ciąg dalszy.)

Letourneaux i Lola padają sobie w objęcia i pozostają w długim uścisku. Brawa i oklaski nie mają końca.

Jest to moment, w którym „mąż“ ma zleźć prędziutko z drabinki, wpaść na scenę i schwytać żonę wraz z kuzynkiem na gorącym uczynku.

Tymczasem Józefowi wydarza się na drabinie nieszczęście, uniemożliwiające poprawne wykonanie dyspozycyi autora. Łasiecki szarpie go za poły i krzyczy:

— Józek, złaź.... złaźże raz Józek, Józek!

Atoli Józek szamoce się w górze i odpowiada w rozpaczy:

— Ty, Łasiecki.... Nie mogę wyciągnąć głowy z tej przeklętej dziury!...

Trzęsie całą dekoracyą.

— Skręć ją na bok — doradza Łasiecki — prędzej, prędzej. Złaź-że do stu djabłów!

Równocześnie między publicznością wydarza się inny wypadek, zabawniejszy niż wszystkie te, które opisał pan Labrique w swej wielce zabawnej komedyi.

Klepka, spostrzegłszy próżne wysiłki Józefa w okienku, nachyla się do starego Ranieckiego i wśród spazmatycznego śmiechu woła, pokazując palcem:

— Hu, hu, hu. Patrzajcie sąsiedzie, patrzajcie. Józef nie może głowy wyciągnąć, hu, hu, hu!

Ten wybuch szalonego śmiechu denerwuje Ranieckiego. Więc w odpowiedzi, zamiast skierowania wskazującego palca w okolicę kamizelki sąsiada, pakuje mu dla lepszego efektu całą pięść w biodro. Klepka podnosi w obronie ramiona do góry, odskakuje w bok i uderza Marcysię Borajską łokciem w ucho. Powstaje krzyk i zamieszanie.

Przerażony Klepka zrywa się i z pokorną miną przeprasza uniżenie zacną sąsiadkę za swą namacalną nieuwagę.

Na szczęście w tym czasie Józef Raniecki, wydobywszy głowę z okienka, wpada na scenę i kładzie kres konfliktowi zasceniczn emu:

M ą ż: „Aha, mam was! (woła gromko i zwraca się do Letournaux) Mój panie, jutro pomówię z panem w inny sposób, a teraz proszę opuścić natychmiast mój dom!“

Ż o n a: „Przepraszam, szanowny panie małżonku. Ten pan opuści nasz dom natychmiast, ale przedtem my oboje rozmówimy się w inny sposób“.

M ą ż: „Moja pani, nie pomogą tu żadne wykręty“.

Ż o n a: „Zobaczymy. Bądź pan łaskaw mi powiedzieć, kto to jest tym kolegą biurowym, którego jubileusz dziś obchodzicie, i gdzie ma się odbyć ów jubileusz?“

M ą ż: (na stronie) „Aj, aj, coś wie. (głośno zmieszany): Jubileusz?... No, jest to jubileusz mego kolegi Piórkowskiego“.

Ż o n a: „Czy może koleżanki: małej Wici?“

Klepka, zapomniawszy już o wypadku, huczy po swojemu.

M ą ż: (na stronie) „O, źle! Wie wszystko“.

Ż o n a: „Widzisz, stoisz jak żak zawstydzony. Nie potrzebujesz się nawet usprawiedliwiać, gdyż ja wiem wszystko. Otóż dowiedz się dalej, mój panie, że list, który otrzymałeś, ja pisałam; że moja rozmowa z kuzynkiem Maryanem była z góry ułożoną, aby ciebie ukarać. A teraz na kolana przeniewierco i błagaj o przebaczenie. Otrzymasz je pod tym tylko warunkiem, jeżeli mi przysięgniesz, że w przyszłości....“

M ą ż: (padając na kolana) „O Henryko, jesteś aniołem, nie kobietą! Przysięgam ci, że odtąd na żadne maskarady i koleżeńskie wieczorki chodzić nie będę, lecz pozostanę ci wiernym do końca życia“.

Ż o n a: (zwracając się do Letourneaux) Panie Maryanie, biorę pana za świadka. A teraz proszę panów na kolacyę“.

Przedstawienie skończone. Łasiecki odwięzuje sznurek, zasłona opada; publiczność bije oklaski i wywołuje amatorów. Powstaje ruch na sali i głośna rozmowa.

. . . .

W pół godziny potem, zebrani w „Gwia-

nego. Znaczyłoby to po prostu, że chce upaść — i naturalnie upadłby, a jego następca musiałby znowu szukać drogi wyjścia, ale nie znalazłby jej nigdy w kierunku głosowania powszechnego, bo podzieliłby los hr. Taaffego i hr. Badeniego.

Czegóż chciał hr. Taaffe? Oto nie znosząc kuryi, pragnął tylko rozszerzyć prawo wyborcze na wszystkich umiejących czytać i na wojskowych, którzy się dosłużyli stopnia podoficerskiego. Wskutek tego cyfra głosujących z 1,800,000 miała dojść do czterech i pół miliona. Wywołało to przestrach paniczny i następny gabinet koalicyjny, wziąwszy po hr. Taaffe spadek reformy *cum beneficio inventarii*, usiłował wymyślić inny projekt, któryby prędzej mógł liczyć na przyjęcie. Ale z projektem tym szło nierażno: na co przystaliby jedni, na to nie chcieli przystać drudzy. Rząd cofnął swój projekt, bo nie miał poparcia, również cofnął swój odmienny projekt i hr. Hohenwart. Myślano o utworzeniu izb robotniczych dla robotników fabrycznych, któreby miały prawo wybierać, jeżeli się nie mylę, dwudziestu posłów, z których na Galicyę trzech przypadać miało. Przeciw tej piątej kuryi stanowczą opozycyę założyło Koło polskie. Projekt Rutowskiego, który dopuszczał do głosowania oficyalistów prywatnych, wikarych, drobnych urzędników i t. p. (jednem słowem tę inteligencyę, która nie ma dziś prawa głosowania) i wogóle wszystkich, którzy dziś płacą przynajmniej 100 złr. za mieszkanie, uzyskał wprawdzie aprobatę Koła polskiego i lewicy, ale to mu nie zabezpieczyło dwóch trzecich głosow większości.

Projekt hr. Badeniego jest szerszy, bo stawia nowych 72 posłów, którzy mają być wybierani przez powszechne głosowanie. W tej piątej kuryi głosowaliby i wszyscy ci, co wybierają i w kuryach istniejących. Biorąc na uwagę same cyfry nie ulega wątpliwości, iż projekt ten dalekim jest od liczbowej sprawiedliwości. Ogólna liczba wyborców wynosiłaby 3,600,000, którzy wybieraliby 72 posłów, kiedy połowa tych wyborców (1,800,800) wysyłałaby do parlamentu 353 posłów. Ale w każdym razie nikt nie zaprzeczy, że ci, którzy nie mieli dotychczas prawa wybierać ani jednego posła, wybieraliby ich 72. Cyfra to nie wielka wprawdzie w stosunku do ogólnej liczby posłów, ale w parlamencie austryackim bardzo poważna. Dziś „Koło polskie" ze swymi 54 posłami zajmuje stanowisko na liczbę głosów tak poważne, iż każdy rząd z niem się rachuje. Bez tych 54 posłów trudno sobie wyobrazić większość w parlamencie, składającym się z tylu żywiołów i z tylu narodowości. Ztąd też wejście nowych 72 posłów może wpłynąć bardzo na nowe ukształtowanie się stosunków i stronnictw. Nie można więc lekceważyć tej liczby, nie można powiedzieć, iż dar hr. Badeniego jest niczem dla zwolenników radykalnej reformy wyborczej. Zresztą, jak już podniosłem, ta tylko reforma może wejść w życie, która pozyska dla siebie dwie trzecie parlamentu, a zdaje się, iż projekt hr. Badeniego ma zupełną szansę otrzymania tej ilości głosów. Złożenie go *ad acta*, to odwleczenie reformy wyborczej na długie czasy.

Jeżeli kto jednak na tej reformie straci, to bezwątpienia Koło polskie. Dla polaków galicyjskich projekt gabinetu hr. Badeniego jest wielką niesprawiedliwością. Galicya już dziś jest upośledzoną, bo wybiera tylko 63 posłów, kiedy według ludności powinna wybierać 76. Niesprawiedliwy ten stosunek powiększy się, bo na Galicyę z nowych 72 posłów przypadnie zaledwie 15, a powinno przypaść 18. Zamiast więc przy sposobności reformy wyborczej naprawić upośledzenie Galicyi, gabinet hr. Badeniego jeszcze je znacznie powiększa. A najgorzej na tem wyjdą, powtarzam po raz drugi, polacy galicyjscy, bo lubo Kołu polskiemu przybyć może kilku posłów więcej, to w stosunku do ogólnej ilości posłów ważność jego liczebna znacznie zachwianą zostanie. Przy głosowaniu w nowej kuryi według wszelkiego prawdopodobieństwa na 15 posłów wyjdzie 8 polaków, a 7 rusinów. Koło polskie zatem liczyć będzie 62 posłów, na ogólną liczbę 425, kiedy dziś liczy 54 na ogólną liczbę 353. To znaczy, że kiedy dziś stanowi nieco mniej niż szóstą część parlamentu, w nowej izbie będzie stanowiło część siódmą — i to jeszcze w tym wypadku, jeżeli członkowie nowej kuryi wejdą w skład Koła polskiego. W przeciwnym razie Koło polskie zejdzie do stanowiska ósmej części parlamentu austryackiego. Jeżeli czemu zatem dziwić się można, to temu, iż Koło polskie nie kładzie stanowczego *veto* przeciw temu macoszemu traktowaniu Galicyi, a względnie ludności polskiej, przez projekt gabinetu hr. Badeniego. Ale my w Galicyi nie dziwimy się już niczemu. My z rezygnacyą przyjmujemy, kiedy minister dla Galicyi, dr. Rittner, który dla tego właściwie jest ministrem, aby sprawy Galicyi zastępował i aby ich bronił, ma odwagę na posiedzeniu komisyi parlamentu powiedzieć posłom polskim, iż i tak za dużo Galicyi projekt przyznaje mandatów.

Tak więc (o ile mam prawo sądzić opierając się na znajomości stosunków) wobec dzisiejszego składu parlamentu austryackiego hr. Badeni z projektem swojej reformy wyborczej jest zupełnie w porządku, bo z jednej strony pozostawił w tyle zakrawające na czystą farsę projekty z czasów ministeryum koalicyjnego, z drugiej strony nie posunął się tak daleko, jak hr. Taaffe, a więc stworzył możliwość przyjęcia reformy przez parlament. Natomiast nie jest hr. Badeni w porządku wobec Galicyi, bo jej kosztem zyskuje sobie poparcie innych stronnictw. Ale to już takie nasze szczęście, że im więcej polacy rządzą w Austryi, tem więcej za ten zaszczyt Galicya płacić musi. Zebyśmy zamiast czterech ministrów polaków, nie mieli żadnego, z pewnością Koło polskie znalazłoby w sobie odwagę powiedzieć: „kochany rządzie wypowiadamy ci służbę, bo nietylko przyobiecanych podarków nam nie dajesz, ale krzywdzisz nas przy wypłacie prawnej należytości!"

K. Bartoszewicz.

NB. Dla uniknienia możliwych zarzutów oświadczam, że reforma hr. Badeniego bynajmniej mnie nie zachwyca, — jest ona bowiem bardzo daleką od ideału. W dzisiejszych stosunkach uważałbym za taki ideał a) zniesienie kurji większej własności, boć nonsensem i niesprawiedliwością krzyczącą jest, aby 5000 „wysokiej szlachty" (pomiędzy

---

ździe" Kołczanowianie, zapomnieli już o amatorskiem przedstawieniu. Z sali uprzątnięto stołki i krzesła. Mistrz Storch bębni swoim sposobem na fortepianie, a młodzież szaleje, rozbijając się nawzajem.

Tylko Smolarz nie dzieli ogólnej radości. Siedzi wciąż jeszcze w granatowej liberyi za sceną w małej ubieralni i duma. Przy nim jest także mocno stroskany Łasiecki.

Smolarz po dłuższem milczeniu otrząsa się nagle i uderza zaciśniętą pięścią w stół.

— I cóżem ja mu zawinił — woła zgnębiony. — Ja go zabiję jak wściekłego psa.

— W słowach jego, obok rozpaczy, jest ta spokojna flegma ludzi chłodnego temperamentu, która więcej przeraża, niż największy wybuch, przypomina bowiem wezbraną wodę, która mimo gładkości zwierciadła, rozsadza groble i tamy bez trudu.

— Dla mnie już nie ma szczęścia na świecie — dodaje i trzęsie głową.

— — Wiesz co, mój przyjacielu — powiada z westchnieniem Łasiecki, biorąc go za rękę — teraz ci dopiero iść w szeroki świat. Tak, teraz dopiero. Pluń na to wszystko i idź, gdzie cię oczy poniosą. Bo gdy raz kobieta zdradzi, to już jej nigdy wierzyć nie możesz. Cóż ci potem, gdybyś go i zabił? Byłaby to tylko jedna zgryzota więcej i wyrzut sumienia, a przez to ani Loli, ani jej wierności nie odzyskasz. Ja się zawiodłem na niej. Nie masz już żadnej wiary dla niej, nie masz! Idź więc, bracie w świat....

Smolarz duma jeszcze chwilę, poczem wstaje.

— Dobrze mówisz. Chodźmy ztąd.... a prędko, bo inaczej jemu śmierć lub mnie. Wszystko przepadło.

Odchodzą.

Mylił się jednak Łasiecki, pomawiając Lolę o zupełny brak serca.

I ona cierpiała tego wieczora nie mniej od Smolarza. Wśród tańca bez przerwy i wytchnienia, wśród złudnych słówek i spojrzeń Dynieckiego, drży ona i boi się czegoś, jak gdyby przeczuwała bliskie nieszczęście. Niepokój wewnętrzny zmieszał się z rozkoszą. Jest znowu kochaną przez człowieka tak bardzo ukochanego, odzyskała dawne szczęście, a równocześnie zdradza innego, o którym wie, że cierpieć przez to będzie. Lękliwie rozgląda się po sali, czy nie ujrzy gdzie w kącie ponurej twarzy Smolarza i jego oczu głębokich, czarnych, spokojnych, o namiętnym połysku, utkwionych upornie w nią i Dynieckiego. Wszelako nie widzi tych oczu nigdzie. I znowu trwoży ją myśl, dla czego te czarne oczy nie śledzą jej i nie gnębią wyrzutem, skoro mają zupełne prawo po temu, dla czego nie przyjdą bliżej i nie powiedzą: „zdradzasz mnie, jesteś gadziną". Byłoby lepiej, gdyby przyszedł i powiedział jej to swemi czarnemi, iskrzącemi się oczami. Ale jego nie było. Gdzież się więc podział, co się z nim dzieje? A powtóre, ten Dyniecki jest również potworem, co gnębi, dając rozkosz. Jest on prześlicznym motylem, od którego oczu oderwać nie można, jest tęczą, mieniącą się ośmiu barwami, lecz motyl może ulecić, tęcza zniknąć może i pozostanie znowu pustka i tęsknota. I dla tej mary ona zdradza tamtego, na którym polegać może, a który cierpi. Franciszek odszedł, albowiem patrzeć na nią nie chce, a nie chce dla tego, że go haniebnie zdradza. On dobrze zrobił, że odszedł zrobił dobrze dla siebie i dla niej, bo skrócił mękę, lecz pocóż jest nieszczęśliwy sam tylko, skoro ona jest tutaj współwinną.... dla czego nie widzi, że i ona cierpi przez niego, że gotowa jest złożyć przed nim ręce i błagać pokornie o litość.... że oddałaby w tej chwili bardzo a bardzo wiele, byleby on przestał złorzeczyć i przebaczył jej ze spokojem.... Obecnie szczęście Loli jest duszne i gnębiące, jak pobyt w rajskim ogrodzie wśród róż i jaśminów, odurzających wonią, z pod których jednak ma lada chwila wypełznąć zjadliwy potwór, co jej życie odbierze.... Zaczajonym w różach potworem jest wyrzut sumienia, a krzewem róży piękny Dyniecki. Lecz i ten Dyniecki, ten piękny Dyniecki, bez którego Lola żyćby nie mogła, ma w sobie obecnie coś również szczególnego, coś, co przypomina wspaniałego lwa, który niedawno nasycił się krwią zdławionej sarny, i zadowolony z siebie, rozgląda się dokoła ze zwierzęcym spokojem.... Dobre dusze nie znoszą przewagi brutalnej siły nad niewinną słabością i biorą pokrzywdzone istoty w obronę. Szlachetniejszy pierwiastek w uspo-

którą jest już dużo „niewysokich“ żydów) wybierało 85 posłów, to jest posiadało blisko czwartą część mandatów (właściwie szlachta posiada ich połowę, bo i z innych kuryj bywa wybieraną), b) przydzielenie tych mandatów zniesionych upośledzonym przez ustawę miastom, jako ogniskom inteligencyi, z zastosowaniem proponowanej przez Milla, a przyjętej już w Belgii, wielości głosów stosownie do poziomu umysłowego wyborców. Nawet hr. Stan. Tarnowski już przed 20 laty stanowczo się oświadczał za zniesieniem kurji większej własności (Przegląd Polski z r. 1876 w artykule p. t. „Obrachunek Prz. P-go“). Ale „ideał“ ten trzeba na razie uważać za pium desiderium wobec liczebnej przewagi „wysokiej szlachty“ w parlamencie.

K. B.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

W sprawie wystawy grudziądzkiej: — W Nr. 28 „Gazety Grudziądzkiej“ czytamy korespondencyę następującą:

„Uważam za potrzebne, aby przemysłowcy polscy w wystawie grudziądzkiej nie brali udziału, t. j. nic tam nie wystawiali.

W wystawie poznańskiej brali Polacy udział, bo tam równouprawnienie polskości przy niemczyznie przyobiecano solennie. Więc Polacy tam pójść mogli i powinni byli. Prawda, że potem pod różnemi względami niemiecka większość komisyi wystawowej nie dotrzymała przyrzeczenia. Ale to było potem. W Grudziądzu o równouprawnieniu polskiego języka, o nadaniu wystawie tego charakteru jaki się należy wystawie w prowincyi, w której większa połowa ludności jest polską, nie ma przy panującej przeciw nam zaciekłości ani mowy.

Przeciwnie wystawa grudziądzka będzie uważaną i przedstawioną jako tryumf niemieckiej kultury nad naszą. Nam by tam urągać mogli, nas tam nie chętnie by widziano, uważano raczej jako tych wścibskich, co i tam włażą, gdzie ich niechętnie się widzi. Jeżeli zaś kogoś z naszych przyjmą niby łaskawie, to w przypuszczeniu, że on jest człowiek wyjątkowo „porządny,“ on do tej brzydkiej „polskiej propagandy“ nie należy, tak że za każdą grzeczność i ułatwienie ten człowiek (właśnie że porządny) wstydzić się będzie musiał.

My temu nie winni, że brać udziału we wspólnej pracy z niemieckimi współobywatelami nie możemy. Ślepa ich zaciekłość odpycha nas, a gdy się nie usuniemy sami, to nabawimi się wstydu. Opatrzność widocznie żąda od nas, abyśmy się skupili sami w sobie. To uważając powiedział ktoś: urządźmy sobie wystawę własną.

To bardzo się na pierwszy rzut oka podoba. Ale tak sądzę, że mamy sił do tego za mało. Dawniej urządzano polskie wystawy, ale miejscowe bez pretensyi. Teraz chodziłoby o całe Prusy Zachodnie. A na prowincyonalną wystawę sił mamy o wiele za mało. Przypatrzmy się tej myśli za lat trzy, ale przez ten czas przygotuwujmy się do niej namyślaniem, czego nam potrzeba, nawracaniem się z naszego rozbicia do coraz pilniejszego się skupiania, do kupowania nietylko u swoich, ale do noszenia wszelkiego pieniądza we wszystkich potrzebach tylko do swoich. Idzie za tem, że trzeba od swoich także wiele wymagać, aby się nic nie traciło i aby swoi nietylko zyskali na siłach, ale się poprawili i podnieśli. Ten wszakże, któremu się źle powodzi, rzadko tylko może być tak dzielnym jak ten, któremu się dzieje dobrze i który przez to w spokoju pracować może. Pamiętajmy o tem i nie żądajmy od razu za wiele.

Gdy w ten sposób przez choćby 3 lata pracować będziemy, okaże się,

1) że jesteśmy jednością i ogromną liczbą silni i że znaczna ilość zabłąkanych braci powróciła do nas;
2) że między nami są wielkie talenta i wszelkiego rodzaju przemysłowa zręczność, jakiej nie ma między niemcami;
3 że te nasze zdolności wyjść już mogą z ukrycia, bo swoi uznają, że wystąpić mogą na wystawie, gdzie i obcy podziwiać je będą.

Ale tak trzeba się do tego przygotować, jak powyżej podano.

Ale czy tak pracujemy?... Ja proponuję, abyśmy sobie najprzód wystawę urządzili z naszego rozbicia. Tę poznawszy pojmiemy pewnie, że towarzystwa zrobiły początek u nas do poprawy i do zjednoczenia, ale początek dopiero, mały, słaby początek. Tę resztę musimy dorobić. Musimy sta tysięcy polskich dusz w Zachodnich Prusach, łażących od żyda do żyda, od innowiercy do innowiercy, i rozumiejących wprawdzie, co to katolik, ale nie rozumiejących co to Polak i obowiązki społeczne, najprzód do jednego polskiego obozu doprowadzić. Wiemy co to za obóz jest: złączenia się wszystkich Polaków do wspólnej pracy w celu podniesienia się z rozbicia i z upadku, z nędzy wszelakiego rodzaju. W tej pracy wszyscy prawi obywatele udział brać powinni cicho lub głośno, ale od wszystkich współpracy tej wymagać należy.

* * *

Lojalizm żydowski w Królestwie polskiem i cesarstwie rosyjskiem. — Korespondent warszawski „Słowa Polskiego“ (Lwów) podaje w Nr. 61-szym wiadomości następujące:

Wobec zapowiedzianego, w pismach rosyjskich, wprowadzenia zmian o obowiązującem dotychczas prawodawstwie dla żydów, a może pod wpływem nadziei dostąpienia „łask najwyższych“ z powodu koronacyi, żydzi w cesarstwie i Królestwie zaczynają, co raz częściej, występować ostentacyjnie z objawianiem swych uczuć wiernopoddańczych i usposobień arcyprawomyślnych. Oto n. p. jak przemawia do gminy wiernych rabin osady Sobota, powiatu łowickiego, w dzień imienin cesarza Mikołaja. „Żeby być wiernym obywatelem (treść mowy podajemy według „Warszawskich Gubernialnych Wiadomości“ Nr. 5), koniecznie trzeba znać język kraju, w którym mieszkasz, gdyż, jak mówią talmudyści: dobrem jest wyuczenie się Tory razem z wyuczeniem się języka kraju, ktory winien być uważany za swoją ojczyznę. Nauczajcie więc swoje dzieci ojczystego języka russkiego. Czas jest, byście się ocknęli ze swego przemarznięcia w ciemnościach, w którem kostniejecie od tylu wieków i szli drogą oświaty. Nie zostawajcie w tyle po za swymi braćmi w innych państwach, np. we Francyi, Anglii i Niemczech, a także w guberniach południowo-zachodnich naszej drogiej ojczyzny, którzy pozbyli się wszelkich fantastycznych poglądów i umocniwszy się w swych uczuciach

---

sobieniu Loli, mimowolnie staje po stronie pokrzywdzonego i pyta: Lolu, a tobie nie żal tamtego?

Wszystkie te uczucia wtłoczone naraz w chore serce dziewczęcia, w serce chore moralnie, bo zbiedzone kilkudniową wewnętrzną rozterką, chore fizycznie wskutek szeregu nocy bezsennych i płaczu i tęsknienia i żółci, co się z krwią zmieszała — wszystkie te uczucia zdziałały, że Lola, choć cieszy się odzyskanem szczęściem, choć wciąż sobie powtarza „mam je znowu“, przecież cierpi bardzo.

Właśnie przetańczyła z Dynieckim galopa, gdy zbliża się do niej pani Marcysia i powiada z cicha:

— Chodź Lolu ze mną do ubieralni. Odpięła ci się falbanka.

Usłuchała bezmyślnie rozkazu macochy.

Gdy znalazły się sam na sam w przyległym pokoiku, Borajska spojrzała na pasierbicę zjadliwym wzrokiem i syknęła:

— I co ty robisz waryatko. Czy nie wiesz, co wszyscy o tobie mówią?

Lola wyprostowała się dumnie.

— Czyś oślepła i ogłupiała? — pyta dalej Borajska ze złością.

— Mamo!... co to za ton dziki?!... Bardzo proszę! — wybuchła dziewczyna oblewając się ogniem.

— Ja cię przeproszę, krnąbrna dziewczyno! Oto masz:

Uszczypnęła ją z całej mocy w obnażone ramię i odeszła na salę, zawijając ogonem.

Lola wrzasnęła przeraźliwym głosem i upadła z płaczem na krzesło.

Szczypało ją dziś wszystko: Franck, Dyniecki, sumienie, ludzkie oczy, wreszcie ta niegodziwa macocha. Czyż nie miała czego płakać, gdy do tylu przykrości przyłączył się silny ból w ramieniu?

Wkrótce jednak otarła łzy i wyszła na salę.

Tam był przecież ktoś, co ją mógł zasłonić przed krzywdą i otoczywszy ramieniem niby puklerzem, mógł pokazać złym ludziom silną pięść i powiedzieć:

— Nie tykajcie jej, ona jest moją....

Ujrzała go z daleka, uniosła ramiona jak ptaszę skrzydła do lotu, oparła się na jego muskularnych barkach i gorącej piersi.

— O, bierz mię i nieś! — prosi cała jej istota — bierz mię i nieś, gdzie ci się podoba. Tańcz, szalej, wyrwij z duszy męczarnię.... Przetańcz sto razy w koło i zabij w końcu; zabij, lecz przedtem pozwól, bym wraz z tobą wypiła do dna wszystko szczęście, jakie życie dać może Chwilkę jeszcze chcę żyć, ale chcę przez tę chwilkę być nieskończenie szczęśliwą, szczęśliwą aż do utraty zmysłów.

. . . .

Świtaniem wróciła Lola do domu na pół nieżywa, a na drugi dzień rano dostała silnej gorączki.

* * *

II.

Jakieś złe widmo przeleciało nad domem Kajetana Borajskiego i zawadziło o kominy spokojnego dotąd ogniska swą zakaźną szatą, wywracając zdrowy porządek rzeczy. Wszystko, co dotąd sprawiało staremu, poważnemu i uczciwemu pracownikowi przyjemność i zadowolenie z życia, od kilku dni poczęło wypaczać się, gnić i rozbijać.

Miał córkę zdrową i hożą — teraz już trzeci dzień leży ona w gorączce, a dwaj doktorzy nie wiedzą, co jej jest. Córka była już narzeczoną i zamiast mienie uszczuplić, wniosła mu posag w dom, dawała mu za zięcia człowieka, co wart był więcej niż dziesięć posagów. A oto ten przyszły zięć, ta prawdziwa perła, już zięciem więcej nie będzie, bo właśnie oświadczył, że się rozmyślił i nie chce żenić się z Lolą, lecz idzie sobie w świat. Miał dalej pan Kajetan dobrą żonę. Marcysia co prawda, swarliwa trochę była, lecz ostatecznie nie była złą ani dla Loli, ani dla niego. Teraz nagle coś się kobiecie stało, że lepiej nie zbliżaj się do niej. A w dodatku stary poczyna się domyślać, że Lola właśnie przez macochę choruje.

Ot i cały porządek codziennego życia takiego, jak to Bóg przykazał, wypaczył się jakoś i coraz gorzej na świecie....

(Ciąg dalszy nastąpi.)

religijnych, idą drogą oświaty, dając dzieciom swym wychowanie, odpowiednie do ducha czasu.

Państwo, w którem oświata idzie ręka w rękę z religią i gdzie przeważa cywilizacya, jest potężniejszem i szczęśliwszem pod każdym względem. Dla tego też, bracia moi, zdejmcie zasłonę ze swych oczów i oświećcie swój umysł naukami kształcącemi, wówczas w rzeczy samej będziecie członkami państwa ruskiego i wiernymi poddanymi naszego Najmiłościwszego cesarza, za którego zdrowie i powodzenie, odprawiamy modlitwę". Tak więc przemawia członek społeczeństwa, uciskanego przez rząd rosyjski wcale nie mniej, niż to Rzym niegdyś czynił; nazywa „naszą drogą ojczyzną" kraj, w którym żydzi doznają prawdziwie barbarzyńskich ograniczeń, na które nawet antisemita patrzy jak na niedorzeczność.

Wiecie zapewne, że na znacznej części tej „drogiej ojczyzny" żydom mieszkać nawet nie wolno, ale z pewnością nie macie wyobrażenia o tem, jakim wyjątkowym i nieludzkim ograniczeniom podlegają oni, dzięki rządowi tej „drogiej ojczyzny". Czyście słyszeli kiedy, ażeby jaka „ojczyzna" odbierała człowiekowi choremu, możność ratowania swego zdrowia? Tymczasem w Rosyi jest to możliwem, zabraniają im tu bowiem korzystania ze zdrojowisk kaukazkich. Miłość swą „droga ojczyzna" objawia żydom tysiącznymi innymi sposobami. I tak np.: oprócz ogólnych podatków, każe im wnosić specyalne opłaty: od każdej sztuki bydła bitej podług rytuału żydowskiego i od samego mięsa koszernego; za noszenie ubioru żydowskiego; od świec, zapalanych w piątki na mocy przepisu religijnego; od zakładów drukarskich, w których drukują się książki hebrejskie etc. etc. W takiej ojczyźnie, już dawno mogli stracić żydzi owe „fantastyczne" poglądy, do których porzucenia zachęcał ich rabin sobocki; jednakże, widać z wszystkiego, że zrozumienie przez nich „ducha czasu" uczyni rząd „drogiej ojczyzny" łaskawszym dla nich.

Prasa żydowska w cesarstwie zaczyna się także przypochlebiać rządowi rosyjskiemu i płaszczyć się przed nim, czyniąc nikczemne insynuacye pod adresem społeczeństwa polskiego. Wyzwalanie się handlu w Królestwie z pod wpływów wyzyskiwaczy, nie cieszy niektórych przedstawicieli tej inteligencyi żydowskiej, która już oddawna korzysta z dobrodziejstw wychowania młodzieży w duchu rosyjskim. Redaktor np. pisma żydowskiego „Niedielnaja chronika Woschoda," p. Landau, zakładanie sklepów chrześciańskich i przechodzenia handlu w ręce chrześcian, stara się podciągnąć pod cele ogólniejszych aspiracyj narodu polskiego. Insynuuje on, między innemi, że „prasa (nasza) widząc wybawienie narodowości polskiej we wzmocnieniu stanu średniego, stara się wszelkiemi sposobami wyrwać handel z rąk żydów." — Takiemi są niektóre objawy wzmagającego się, w przewidywaniu łask monarszych, lojalizmu żydowskiego; przyszłość najpewniej przekona żydów, jak marną i bezużyteczną jest ta cała robota, oparta na prawomyślności uczuć i schlebianiu sferom rządowym."

— *ski.*

LITERATURA I SZTUKA.

Pesymiści-melancholicy.

(*E. Orzeszkowa. Melancholicy, nowele. — Warszawa 1895, 2 tomy*).

(Ciąg dalszy).

I bohaterowi „Jednej setnej" zaszczytne miano melancholika nie należy. Jest on rodzonym bratem duchowym poprzedniego bohatora, a że się urodził w pałacu, że miał na swe rozkazy miliony, więc też nie rozpaczał, tylko hulał, póki ciało wytrzymało. Na łożu śmierci ta ruina ciała i duszy naprzód ciekawą jest, co się z nią stanie po śmierci, a następnie opowiada doktorowi swoje szaleństwa i parę drobnych dobrych uczynków, jakie mu się przypadkiem spełnić zdarzyło. Te uczynki to owa „jedna setna", która przy odpowiednich warunkach, jak on sam mówi, a przy odpowiednich chęciach, jak my możemy powiedzieć, mogła wzrość na szkodę tamtych 99 części złych. Nie wiem czy Orzeszkowa chciała wzbudzić litość i uzyskać przebaczenie dla tej ujemnej jednostki na podstawie tej „jednej setnej" — nie wiem czy słowa opowiadającego: „żądam równouprawnienia dla maluczkich i pokrzywdzonych, tak na padołach jak na wyżynach przebywających... miłosierdzia żądam dla jasnych panów, litości dla milionerów" — są wyrazem zapatrywań Orzeszkowej, ale jeżeli tak jest, to stanowczo przeciw temu zapatrywaniu należy wystąpić. Miłosierdzie rzecz piękna, wspaniała, ale ma swe granice, inaczej nie byłoby sprawiedliwości. Komu wiele dano, ten większy rachunek zdać musi, a rachunek bohatera „Jednej setnej" przedstawia się fatalnie. Na setki olbrzymich pasywów jest tylko drobna pozycya aktywów... w dobrych chęciach. To nie wystarcza i dla biedaków, a cóż dopiero dla jasnych panów.

Za to opowiadanie „Bracia", trzymane ściśle w formie noweli zasługuje na wysokie uznanie tak dla tendencyi jak i dla jej przeprowadzenia. Występuje w niem rzeczywisty pesymista-melancholik, ale z tych silnych, zdrowych, nie upadających pod ciężarem pracy i obowiązku, choć życia nie mają zasłanego różami, choć napada ich zwątpienie, choć ciągle dręczy ich pytanie: czy nie lepiej byłoby im użyć świata niż z zaparciem się pełnić swą powinność? To jeden brat, a drugi to zupełne przeciwstawienie. Kiedy pierwszy zakopał się na wsi w Zapolance i zamiast oddać się sztuce, która otwierała mu swoje podwoje, orze zagon rodzinny, aby się nie dostał w ręce przybyszów, a raczej wrogów, boć rzecz się dzieje na Litwie, — drugi na obczyźnie, w Moskwie czy Petersburgu, szuka karyery i majątku. Jest inżynierem, mechanikiem, przemysłowcem, żyje wygodnie bez trosk, pije rozkosz ze wszystkich źródeł jakie napotyka. Nie ma wyższych ideałów, nie odczuwa wspólnego tętna ze środowiskiem, z którego wyszedł, etyczne poglądy ma bardzo swobodne, a choć nie popełnia nic takiego co jest sprzecznem z paragrafami, nie uczyni z pewnością i nic takiego, co się zapisuje w złotą księgę zasług i dobrych uczynków. I usposobienie obu braci jest różne: pierwszy zadumany, poważny, szukający zadowolenia z pracy rąk własnych, zgorzkniały przez samotność i mały widnokrąg swej działalności, drugi wesoły, płochy, rozmowny, dowcipkujący, troszczący się jedynie o swoją powierzchność i o to, aby najlepsze sprawiał wrażenie. Ci dwaj bracia spotykają się ze sobą po ośmnastu latach niewidzenia się. Pierwszy drży z radości na samą myśl, że ujrzy brata, że przepędzi parę dni z nim na serdecznych wynurzeniach i pogawędce, że wraz z jego przybyciem zstąpi do jego

St. Czałut.

WSPOMNIENIA

Z LEGII ZAGRANICZNEJ.

(Ciąg dalszy.)

Każdy nowo przybyły zmuszony jest podpisać dokument zaangażowania się na lat pięć; zaprzysiężenia nie zna legia, stosunek więc żołnierza do swego pułku i do rządu francuskiego jest więcej kontraktowny niż moralny. Zaraz po zapisaniu w księgi wojskowe dostaje legionista swój numer — *matricule* — i odtąd nazwisko jego właściwe idzie wobec pułku, we wszystkich stosunkach służbowych formalnie w niepamięć i zapomnienie. Jako szeregowiec nie jesteś niczem innem jak numerem, żaden z przełożonych ciebie się nie zapyta: *quel est votre nom?* tylko *quel est votre matricule?* a ponieważ numerowanie to ustawicznie idzie dalej od 1—25,000 przy każdym pułku, więc poznać z liczby tej i lata służby czas zaangażowania, a wreszcie ginie tem samem dla oficera trudność wymówienia nazwisk cudzoziemskich, których tam jest pełno. Francuz w wymowie obcych imion bodaj czy szczęśliwszy jest od Niemca, — połowa legionistów nazwiska własnego by nie zrozumiała, wymówionego przez usta francuskie. To też pierwszem staraniem nie posiadającego języka francuzkiego rekruta jest nauczyć się swego numeru na pamięć. Imatrykułowany w ten sposób szeregowiec podciągnięty bywa egzaminowi co do zdatności umysłowych i wiadomości szkólnych. Każdy oddaje tak zwaną „*page d'écriture*" — próbę pisania — w której streszcza bieg życia swego, bądź to w języku rodzinnym, bądź francuskim, wyłuszcza cele, dla których przybył do legii i zamiary swe oraz chęci. Jeżeli posiada jakieś świadectwa, natenczas oddaje takowe, zwłaszcza, że chcąc awansować, potrzebne są dokumenta dotyczące przeszłości i obyczajów z kraju rodzinnego. Kto ich nie ma lub ma powody dyskretne tajenia się z swą przeszłością, zachować może tajemnicę, nikt go badać nie będzie o prawdziwe nazwisko lub miejsce urodzenia, lecz taki legionista — a jest ich wielu — zrzeka się raz na zawsze awansu, który w innym razie dość korzystnie się przedstawia. Wielka część oficerów mojego pułku dosłużyła się swego stopnia od najniższej szarży; po ubiegu lat pięciu, skoro się ma kwalifikacye, zdrowie i chęć pozostania dłużej w legii, otrzymuje się zazwyczaj rangę lejtnananta a i pułkownik nasz wyszedł z grona prostych legionistów. Ztąd pochodzi, że stopnie najrozmaitsze bywają zajmowane przez cudzoziemców, tak np. kapitanem naszem był Włoch, majorem Belgijczyk, adjutantem pułkowym Polak, hr. Dzieduszycki. — Wielką trudność sprawia poddanym niemieckim, pragnącym wyświetlić swą przeszłość świadectwami, dostawienie odnośnych dokumentów w drodze korespondencyi z władzami niemieckiemi. Listy, żądające jakiegobądź urzędowego poświadczenia z kraju rodzinnego, regularnie pozostają bez odpowiedzi, istnieje bowiem zakaz poufny z gabinetu kanclerza rzeszy, by na cele legii zagranicznej żadnych papierów nie wydawać. Wspomnieliśmy już na wstępie, że obecnie Niemcy największy stawiają kontygens rekruta do legii zagranicznej. Pomiędzy tymi znów Alzatczycy najliczniej są reprezentowani. Całe sециny tego szczepu rozczulająco, mimo różnicy językowej, przywiązanego do kraju, opuszczają ojczyznę z powodu odrazy do niemieckiego munduru, i mimo kary i zamknięcia sobie na czas długi powrotu do ojczyzny, dążą w szeregi francuzkie. Ponieważ jednak nie można zostać żołnierzem francuskim w kraju matczynym, nie mając praw obywatelskich, więc idą do legii zagranicznej, gdzie przez wysłużenie pięciu lat twardej służby, każdy dosługuje się n i e pensyi albo posady intratnej, lecz zaszczytu zostania obywatelem wolnego narodu. Francuzi uznając to przywiąza-

dworku promień, który ogrzeje i oświeci monotonność jego życia. Następuje smutne rozczarowanie — bracia nie rozumieją się zupełnie, nie ma pomiędzy nimi żadnych punktów stycznych. Wiktor, brat drugi, gość w Zapolańce, nie da prawie nikomu przyjść do słowa, a ma głos słodki, sympatyczny i zachowanie się tak swobodne, że od razu zniewala dla siebie bratową i jej siostrę, starą, ale jeszcze piękną pannę. Z tą ostatnią nawet zaczyna zawięzywać romansik, choć jedzie do narzeczonej. Zenon, brat pierwszy, gospodarz domu, słucha jego wykładów o mechanice z fabrykacyi gorzelnianej i postępach hydrauliki, choć go to nic nie obchodzi; dowiaduje się, że „tylko wtedy, gdy się ma pełną szkatułę można sobie napełnić serce różnemi dobremi rzeczami“, że w morzu najwięcej pięknemi i zdumiewającemi są... telegrafy podmorskie, że zamiłowanie zbytku w młodym człowieku pomaga mu do karyery, do pchania się coraz wyżej, że ziemia i honor nie wymagają ofiar, jeżeli się postępuje bez egzaltacyi i egzageracyi itd. Zenon chciałby się pochwalić przed bratem pięknym ogrodem, gęstwinami malowniczemi, które zajęły miejsce dawnych chwastów, przekonać go, że ziemię można uczynić nietylko urodzajną, ale i piękną, nietylko żywicielką, ale i pocieszycielką, lecz na to odpowiada mu Wiktor, że nie lubi zieleniny. Dorwawszy się raz dłużej do słowa, spowiada się Zenon ze swoich marzeń, poglądów, z miłości dla ziemi i ludzi, z wyniku swych samotnych rozmyślań o celu istnienia. Dla Wiktora jednak to wszystko „teologia“, on nie ma czasu suszyć sobie głowy podobnemi rzeczami; na dynamice, statyce, zna się dobrze, ale nie na nieśmiertelności duszy — niech Pan Bóg zrobi z nią, co zechce, a dopóki żyje *vive la vie!* A po tej rozmowie Zenon zapytuje się samego siebie: który z nas głupi, a który mądry, on czy ja? I bywają chwile, w których wobec brata wydaje się sam sobie niezmiernie małym i marnym: tamten ma zdrowie ciała i ducha, trzeźwość, energię, miłą wesołość, a on myśli ciemne i uczucia wiecznie nienasycone, gryzące serce chore na tęsknotę, na marzenia nieziszczalne. Wiktor odjechał, zostawiwszy brata jeszcze bardziej przygnębionego, z goryczą świeżego zawodu; oczekiwany z taką radością gość, przy którego sercu silnem i współczującem chciał odetchnąć szeroko, dał mu odczuć jeszcze więcej jego samotność, a nawet w żonie jego, kobiecinie swego chowu, pospolitej, z którą wiązało go tylko już przyzwyczajenie, rozbudził jakieś pragnienie, niezadowolenie, rozczarowanie. Z ponurego usposobienia wyrwał Zenona młody jego pomocnik w gospodarstwie, który mu dał dowód szczerego przywiązania, zerwawszy korzystny dla siebie układ, aby nie opuścić „najukochańszego dobroczyńcy swego“. Podniesiony na duchu poszedł Zenon ulubioną swą drogą, ku wzgórzu porosłemu sosnami. Piękny obrazek sielski, spokój wieczoru i smutku jesieni, kończy nowelę. Zenon uczuł, że dla tego kawałka ziemi, który się kąpał w zorzy wieczornej, był „kroplą wody i odrobiną światła, a woda użyźnia i światło roztrąca ciemności. Pierzchnęła przed nim zmora samotności, wzniósł oczy ku górze i słał dziękczynną modłę za to, że silnie kocha i nie żałuje niczego „chociaż jest bardzo smutny“.

Zatrzymałem się dłużej nad tą nowelą, pełną niepospolitej piękności. Jest w niej głęboki nastrój, jest silna wiara w potrzebę ofiar dla ideałów, jest świeżość myśli, są śliczne choć krótkie obrazy natury, jest konsekwentnie rozwinięty i dobrze umotywowany stan duszy bohatera. Artystyczna oprawa tego studyum psychologicznego jest bez zarzutu. Pod tym względem w całym dwutomowym zbiorze dorównywa mu tylko obrazek „Ogniwa“. Jasny pan, który miał niegdyś ideały ukochane, nie może zrozumieć życia młodych pokoleń. Córka i zięć, wnuczki i wnukowie, do miary tych ideałów przyłożeni, choć nie byli „plamami atramentu“, objawiali wzrost nadzwyczaj mały. Takiem mu się wydawało i całe otoczenie; ztąd też, kiedy w salonach jego córki toczono rozmowy błyskotliwe, a w apartamentach zięcia rozkładano stoliki do kart, czuł się w tej atmosferze samotnym i wybiegał na ulicę. Raz tak błądząc po mieście wstąpił do zegarmistrza, starego żyda, aby oddać zegarek do naprawy. Ujrzawszy stary zegar, jako prawdziwy amator *empirów*, zaczął mu się przyglądać z namiętnością znawcy. Żyd był także znawcą i amatorem, a więc znalazł się styczny punkt między ludźmi nie mającemi na pozór nic wspólnego. Rozgadali się, a z rozmowy wyszło, że mają jeszcze drugi punkt styczny, bo stary żyd był synem Szymszela, co trzymał pacht u ojca „jasnego grafa“. Znali się więc za młodu, znali nawzajem swoje rodziny, odgrzebywali też w pamięci dawne wspomnienia. Żyd pamiętał grafinę matkę, z rękami podobnemi do białych lilii, — „te lilie już w ziemi“ zauważył graf ze wzruszeniem, — on sam pamiętał żonę Szymszela z oczami jak płomienie — „te płomienie dawno już w ziemi“ rzekł z cicha stary zegarmistrz. I pokazało się z dalszej rozmowy, że ludzie ci, tak odmienni stanowiskiem, mieli w życiu jednakie mniejwięcej smutki i jednakie radości. Żyd opowiada historyę zegaru, który wszedł jakby w dzieje jego rodziny i którego też za nic by się nie pozbył — graf ma przy sobie zegarek, który również w dziejach jego życia ma swoje miejsce. Tak rozmawiając z żydem, przyglądając się maszyneryi zegarów i zegarków, wracając myślą w ubiegłe lata, przebył graf u żyda godzin parę „czując kowala niewidzialnego, który kuł między nimi ogniwa niespodzianie“. W kilka miesięcy później przeciągał przez ulicę orszak pogrzebowy, a żyd dowiedziawszy się, że to pogrzeb grafa, począł biedz za orszakiem i sam się zdziwił jak zaszedł na cmentarz. „Czego on ze mną rozmawiał jak z bratem?... czego ja teraz za nim idę?“ myślał i dziwił się coraz więcej jemu i sobie. A obok cmentarza dostrzegł żółte piaski i sterczące kamienie — to cmentarz żydowski. I znów kowadło kuło ogniwa niewidzialne, a żyd z cicha mówił: „tu jest koniec twój i mój“. Piękność tego obrazka leży nietylko w pomyśle i tendencyi, ale, i to przedewszystkiem, w misternem wykonaniu. Jestto delikatna, prawdziwie koronkowa robota. Tylko owego „pesymizmu“ z przedmowy Orzeszkowej jest w „Ogniwach“ bardzo mało.

(Dokończenie nastąpi).

---

nie Alzatczyków, obchodzą się z nimi z wyjątkową względnością, a istniejące w Paryżu biuro *ad hoc* utworzone, dostarcza legioniście z Alzacyi wszelkich pożądanych papierów i świadectw.

Ponieważ Francya, rekrutując legionistów pomiędzy cudzoziemcami, wcale w to nie wchodzi, z kim ma do czynienia, byle by tylko człowiek był zdatnym do służby, — więc napotyka się bardzo często w legii ludzi, których listy gończe daremnie od lat wielu ścigają. Niejeden ruski nihilista, niejeden niemiecki zbrodzień tkwi w szeregach legii. Poznałem osobiście indywiduum, które czynny wziętó udział przy zamachu na gubernatora Cherzonu, mieliśmy eksprawnika warszawskiego, co przy głośnej swego czasu aferze cyrkowej wybitną grał rolę, a ścigany przez policyę tajną przebił w tramwaju aresztującego strażnika i po prawdziwej odysei tułactwa przez Podwołoczyska, Wiedeń i północne Włochy w legii szukał i znalazł schronienie. A ileż tajemnic krył z zmarszczonem swem czołem ów Serb z mej sekcyi, który, czy słusznie, czy niesłusznie, pisał się Karagregorowiczem? Chorwata Różycka, postać na wskroś romantyczna, przytem oficer austryacki z Tryestu, ścigany był o zabójstwo swej kochanki, dziewczyny dalmatyńskiej; z legii traktował on przez pośredniczące bardzo wysoko postawione osoby z samym cesarzem austryackim o ułaskawienie. A ileż dopiero zbrodni mieć mogły na sumieniu owe natury problematyczne, od których nawet i pochodzenia nikt się nie mógł dopytać?

Szczęśliwym trafem miałem przy sobie świadectwa wystarczająco oświetlające mą przeszłość. — Zamiarem mym pierwotnym było, wytrwać owe lat pięć w legii, wyuczyć się jak najwięcej języków i po uzyskaniu obywatelstwa francuzkiego służyć dalej, czy to w koloniach, czy we Francyi samej w wojsku francuzkiem.

Podzielono nas na sekcye i zaczęto ćwiczyć na modłę francuzką. Służba nadzwyczaj była uciążliwą. Rano około 3 lub 4, kiedy zupełnie jeszcze wszystko w ciemnościach było pogrążone, stawaliśmy na placu zbornym. Jako wysłużonego pruskiego żołnierza przyłączono mnie do oddziału, który odbywał ćwiczenia polne. Zwiedzaliśmy okolicę, maszerując bezustannie i manewrując aż do godz. 10 przed południem. Upał już od 8 stawał się nieznośnym. Czterdzieści stopni Celsiusza, zwykła temperatura podczas lata, do rozpaczy doprowadzić mogły każdego. Trzeba bowiem wiedzieć, że wszystkie nasze ćwiczenia odbywały się w płaszczu i z tornistrem, wypakowanym w sposób wojenny. Płaszcz gruby wełniany grzał nieznośnie a tornister, w którym mieściło się wszystko, co tylko żołnierz posiadał, włącznie drągów i płótna namiotowego, dery wełnianej do spania, konserwów na dni kilka itd., bez porównania cięższym był od tornistrów niemieckiego wojska. Przytem tempo marszu tak szybkie, dzięki muzyce maszerującej z przodu, składającej się z wielkiej części z murzynów, iż kłusujesz raczej niż biegniesz: 120 kroków na minutę to przepisany *pas cadancé*. Brak kompletny dróg porządnych, ciągłe ewolucye po polach piaszczystych, pociętość ziemi, wszystko to zmusza do wytężenia sił ostatnich, by nie upaść. A przypadki porażenia od żaru słonecznego i omdlenia z powodu gorączki są niekiedy tak częste, iż dzienna ich liczba decymuje kompanie. Wróciwszy około 10 do depotu, masz, jeżeli nie odkomenderują cię na „corvey“ (do roboty), obligatoryczną siestę aż do godziny czwartej po południu. Upał w tym czasie piekielny, a jednak właśnie to pora, kiedy mustrują się opieszali w służbie lub karani za jakiebądź dyscyplinarne wykroczenie legioniści. Podoficer stawa pod cienistym namiotem i ztąd niemiłosiernie znęca się nad szeregowcem, który mu wpadł pod rękę. Reszta żołnierzy natenczas rozebrać i kłaść się musi na posłanie. Po południu, od 4 do późnego wieczora, znów ćwiczenia lub jakiebądź zajęcie przy naprawianiu dróg, reparacyi fiskalnych budynków itd.

Pożywienie żołnierza w legii nazwać by można wystarczającem, gdyby żołnierz odbierał to, co mu rzeczpospolita francuzka przeznaczyła. Tymczasem z tego traktamentu skubią wszyscy, począwszy od czy-

Listy z Warszawy.

III.

(Nowe powieści i komedye).

Ruch wydawniczy zawsze ożywia się u nas niezmiernie przy końcu każdego roku. Pochodzi to z jednej strony ztąd, że koło 1 października kończą się feljetony w pismach codziennych i tygodniowych, z drugiej zaś z powodu zbliżającej się „gwiazdki". Plon końca ubiegłego roku był nader obfitym pod względem ilości, mniej zaś pod względem jakości nowych utworów. Nie ma w tem nic dziwnego. Przy dzisiejszej stopie wykształcenia każdy t. zw. „inteligentny człowiek" może napisać lichą powieść. Ze zaś popyt na nie jest olbrzymi — powieściopisarstwo staje się najpopłatniejszem z zajęć literackich. Wielu nowych powieściopisarzy tworzy wyłącznie dla chleba, nie mając ogółowi nic nowego do powiedzenia. Jak na tym braku „świętego ognia i zapału" traci artystyczna wartość nowoczesnych naszych powieści; łatwo zrozumieć. Tymczasem poziom smaku estetycznego wznosi się w miarę rozwoju społeczeństwa. Skutkiem tych dwóch sprzecznych czynników jest niebywała ilość powieści, ale i niebywałe z nich niezadowolenie, które spotykałem nawet u bardzo przeciętnych czytelników. Pomimo to czytają je chciwie....

W przeglądzie tym z wieku i z urzędu pierwsze miejsce należy się Orzeszkowej. Dała nam ona nową powieść p. t. „Australczyk" i zbiór nowel, drukowanych poprzednio w rozmaitych czasopismach, a związanych wspólnością tematu p. t. „Melancholicy". Ciekawą jest bardzo przedmowa do nich, poświęcona p. Janowi Karłowiczowi, a streszczająca poglądy filozoficzne autorki.

Nie będziemy się spierać ze znakomitą autorką o wartość jej terapji w chorobie melancholii, wolimy oddać hołd jej talentowi jej zawsze zacnym zamiarom i niespożytej miłości dla ideałów dobra i sprawiedliwości. Te same zalety widnieją i w „Australczyku", szkoda tylko, że autorka przesadziła tam w tendencyjnem opracowaniu szczegółów, co stanowczo psuje wrażenie estetyczne powieści. Autorka stawia sobie pytanie: czy młody człowiek powinien szukać świetnego bytu w głębi Rosyi, czy też zadowolnić się skromnemi warunkami pracy na niwie ojczystej? — i rozstrzyga je naturalnie na korzyść drugiej ewentualności, w czem gorąco jej przyklaskujemy. Temat to nader na czasie wobec zastraszającej emigracyi naszej inteligencyi do Rosyi. Zbyteczną natomiast była apoteoza życia, nieomal do stanu natury sprowadzonego, co stoi zresztą w sprzeczności z prawdą realną. W każdym razie obie te książki mogę czytelnikom gorąco zalecić.

Rozpisałem się o Orzeszkowej, bo o innych autorach niewiele będzie do powiedzenia. T. T. Jeż dał nową powieść pt. „Sama" pisaną jędrnym językiem i dość zajmującą, mimo pewnych rozwlekłości i częstych powtarzań. „Nafta" (3 t.) i „Zyzma" Sewera odznaczają się barwnym stylem i mimo jaskrawych efektów czytają się z zajęciem. Marya Rodziewicz ogłosiła nową powieść ze stosunków artystycznych, której spodobało jej się dać tytuł: „Jerychonka". Nie brak tam ani stereotypowego malarza-cynika i pijaka, będącego komicznym dodatkiem we wszystkich naszych powieściach na tle artystycznem osnutych, ani dziewicy hartownej jak stal, kochającej się w człowieku bez woli, ani zimnej i strasznej kokietki, która mu życie łamie, ani męża brutala, ani szlachetnej istotki — to wszystko zaplątane w awanturnicze przygody bez sensu. — Pani Wanda Grot Bęczkowska znowuż aż przez 700 stronnic piłuje czytelnika historyą, w której kolejno są bohaterkami babka, matka i córka, a bohaterami mężczyźni, pozbawieni energii, zkąd i tytuł „Bez woli". Bez woli istotnie musiał być ten wydawca, który nie mógł się oprzeć autorce i wydrukował takie bzdurstwa. Doprawdy czas, by tym paniom grafomankom powiedzieć: cóż wam winna ta biedna literatura polska, że się tak nad nią pastwicie?

Pomówmy teraz o początkujących autorach. Nie mogąc pisać osobnego studyum, wspomnę tylko o „Opowiadaniach" Zerómskiego. Wygląda z poza nich człowiek, który nietylko głęboko umie zastanawiać się nad prądami, motującemi nasze społeczeństwo, odczuwać je głęboko, ale i umie je opisywać. Jest to indywidualność bogata, jeden z tych „młodych", którzy kiedyś jak słońca wielkość oświecać będą naszą literaturę. Zeromski ma tę zaletę, że umie być samym sobą i niczyjem naśladownictwem już w pierwszych swoich krokach nie grzeszy. Czytajcie „Opowiadania", a z pewnością głęboko wywrą na was wrażenie. Może będzie ono przykrem nieraz, ale będzie silnem, co już autora z szarego tłumu wyróżnia. Pewną oryginalność w traktowaniu starego tematu wiarołomstwa małżeńskiego wyróżnia „Jedynaczkę" Semionowicza. Zeszedł on z banalnej posadzki salonów i przedstawił nam wiarołomstwo w takiej formie, w jakiej się ono w średniej sferze najczęściej spotyka, mianowicie z udziałem jakiejś mamki, pokojówki, lub dziewki folwarcznej. „Fałszywe dźwięki" Znicza i „Po grudzie" Wittego dałbym sobie ukraść i złodzieja wcale bym nie szukał.

Do zupełnie innej kategoryi należy powieść „Wierzę w Boga" Antoniego Werytusa (Skrzyneckiego). Jest to nikczemny pamflet na całe stronnictwo postępowe w ogólności, a na A. Swiętochowskiego w szczególności; z życia jego są czerpane fakta prawdziwe, ale w powieści niemożliwie przekręcone; opowiadanie zresztą nie zdradza śladów najmniejszego talentu. Dzieło jest takiem, jak jego autor. P. Skrzynecki był kiedyś reporterem w „Kuryerze Warszawskim", zkąd za pewne sprawki dwuznaczne został pocichu usuniętym. Jakim sposobem wypłynął znowu po kilku latach na powierzchnię — nie wiadomo; dość, że obecnie zapomniano o wszystkiem i jest on na drodze do zostania „naszym *znanym i szanowanym*" literatem. Taki jest u nas niestety brak opinii publicznej. Ze sama powieść jest obrzydliwą, świadczy o tem fakt, że żaden z naszych przysięgłych zachowawczych krytyków nie ośmielił się jej pochwalić bez zastrzeżeń.

P. Teodor Jeske-Choiński dał nam dwutomową powieść historyczną z czasów Marka Aureliusza p. t. „Gasnące słońce". Autor, jak wiadomo, ma ćwieka w głowie na punkcie pozytywizmu warszawskiego, bo też i w tej książce nie ma Rzymian, są natomiast zachowawcy — szlachcic i filozofowie, pozytywiści warszawscy w togach. Do ostatniej kategoryi zalicza p. J. Ch. wszystkich,

---

niącego zakupna oficera aż do kucharza. Dwa razy na dzień bulion z mięsem, 1 funt chleba, rano kawa, po ćwiczeniu ćwierć litra wina czerwonego i 2 sous (8 fen.) żołdu, to przedstawia etat dzienny szeregowca. Ponieważ jednak kuchnie polne zbyt są małe, by na czas wszystkich zaspokoić, pierwsi przybywający po swe pożywienie, dostają jeszcze jakie takie, tymczasem oddziały później nadchodzące, które nie umiały pięścią utorować sobie drogi do kuchni, zamiast bulionu ciepłą tylko wodę odbierają.

Wymiar kar jest w legii pod wielu względami bardzo surowy. Najdrobniejsza kara „consigne" na tem polega, że żołnierzowi nie wolno w czasie pozasłużbowym opuszczać swej kwatery lub namiotu, natomiast często do apelu stawać musi i pełnić wszelką pracę, potrzebną do utrzymania porządku, tak w koszarach jak po biwakach. Wieczorem wszyscy mający „consigne" zbierają się pod jednym wielkim namiotem, gdzie im na gołej ziemi bez kołdry spać wypada.

Powyższa kara nieco przyostrzona to „prison", czyli areszt więzienny. Winowajca bywa zamknięty w ciemnej celi, gdzie może już tylu a tylu dawniejszych aresztantów za najrozmaitsze przekroczenia odsiaduje swą wojskową karę, w powietrzu jak najniezdrowszem, a gorączce często prawdziwie piekielnej. Cały sprzęt w celi takiej jest „prycza", kilka desek z sobą zbitych, nieco pochyło na łokieć może od ziemi ustawionych, które służą za stół, ławkę i łoże zamkniętym. Ponieważ cele zazwyczaj są przepełnione, ztąd niewygoda dla internowanych okropna. Aresztem bywa karany żołnierz za ladabądź przekroczenie służbowe. Pomiędzy innemi zastęp liczny do „prisonu" stanowią symulanci. Kogokolwiek lekarz nie uzna za chorego — a zgłasza się do infirmeryi dziennie bardzo wielu legionistów, — temu zapisuje w książkę raportową dwa słówka: *„non malade"*, poczem żołnierz niechybnie wędruje do aresztu, chociażby się czuł w rzeczywistości jak najsłabszym i wewnętrznie niedysponowanym. Ze w ten sposób żołnierz oddany jest zupełnie na łaskę i niełaskę sumienności wojskowego lekarza, wynika samo z siebie, ponieważ zaś obejście się oficera z szeregowcem w ogólności, a lekarza z chorym nieawansowanym w szczególności, jest surowe i prawie bezlitośne, tembardziej, że wielka liczba tamtejszych medyków dyscyplinarnie jest przesadzonych z kraju matczynego do kolonii, więc często oburzające dzieją się w tej mierze nadużycia. Umiem to tembardziej ocenić, gdyż sam zapadłem na decymującą legię chorobę, którą tam nazywają febrą klimatyczną (*fièvre climatique*). Jest to rodzaj dessynteryi czyli krwawej biegunki, którą niemal każdy żołnierz przechodzi, a która najmniej dla połowy pacyentów kończy się śmiertelnie. Dopiero wtenczas, gdy o własnych siłach chodzić nie mogłem, zaniesiono mnie do lazaretu, przedtem wmawiano we mnie koniecznie, żem symulant. To też zdarza się nader często, że taki „pseudosymulant" oddany za rzekome udawanie do aresztu, wynoszony bywa wprost z prisonu do trupiarni i na cmentarz. — Kara aresztu obostrzona bywa często tem, że więzień dzień w dzień, w najgoretszy upał, kiedy inni zażywają wczasu i siesty, brać musi udział w mustrze karnej w umundurowaniu wojennem t. j. z tornistrem wypakowanym wszelkiemi przyborami polnemi. Po ukończonej mustrze zamienia znów plac ćwiczeń na więzienie.

Rozgłosu europejskiego dla swego okrucieństwa nabrała dziś już nie istniejąca najsurowsza kara *„crapodine"*. Zniesiono ją za ministeryum Boulangera, — za moich czasów, choć rzadko, była jeszcze w używaniu, równie jak druga, nie mniej piekielna: *„Sillos"*.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

co nie są ślepo wierzącymi, a więc stoików, sceptyków, epikurejczyków itd. Świadczy to o *głębokiem*, filozoficznem wykształceniu autora. Rzymianie, składający ofiary Jowiszowi, są naturalnie zacni i szlachetni, filozofowie — to zgraja błaznów, a Marek Aureliusz — „filozofująca baba“. Pod tym względem pan Ch. jest nader *oryginalnym*, bowiem zdanie jego stoi w sprzeczności z opinią niemal wszystkich historyografów rzymskich. Ciekawą rolę grają w tej powieści chrześcianie. P. Ch. musi oczywiście sprzyjać im, ale szczególną jego sympatyą cieszą się czciciele Jowisza; — tak dalece autor nie znosi wszelkiej opozycyi przeciw istniejącemu porządkowi rzeczy. Po samej powieści następuje osobiste oświadczenie autora, będące wyraźnym przytykiem do Sienkiewicza „Quo Vadis“. Można tu śmiało zastosować ukraińskie przysłowie: *„kudy kuchtie do patyny“*.

Teatr stoi w blizkiem pokrewieństwie z powieścią, ztąd też o nim teraz mówić zamierzam. Jak wiadomo, istnieją u nas trzy teatry: „Wielki“, „Rozmaitości“ i „Mały“. Pierwszy poświęcony jest wyłącznie muzyce (opera i balet) oraz tragedyom klasycznym i sztuce w wielkim stylu, *Mały* daje publiczności operetki i farsy, *Rozmaitości* zaś uprawia dramat, komedyę i krotochwilę. — O pierwszym mówić będę kiedyś przy sposobności, gdy potrącę o muzykę wogóle; drugi cieszy się stałem powodzeniem, bo stoi na wysokości swego zadania — więcej nic o nim nie powiem, bo nie lubię zastanawiać się nad farsą i operetką — za to resztę listu poświęcę teatrowi Rozmaitości, który w całem tego słowa znaczeniu jest naszym polskim teatrem.

Pomimo ciężkich strat poniesionych w ostatnich czasach, że wspomnę tu tylko o zmarłych: Królikowskiego, Żółkowskiego, Tatarkiewicza, Ostrowskiego. Teatr Rozmaitości posiada dziś komplet artystów, którym niejedna wielka scena zagraniczna mogłaby się poszczycić. Nieomal zawsze gra artystów jest znakomita, pogłębiona, wycieniowiana — słowem, bez zarzutu. Pomimo to ciągle tułają się po naszych pismach utyskiwania na upadek sceny; jedni spędzają winę na reżysera, inni na artystów, ale nikt nie wniknął, zdaniem mojem, w samą istotę rzeczy i nie złożył wyłącznej winy na autorów sztuk dramatycznych. Scena polska oczywiście ze sztuk polskich przeważnie składać musi swój repertuar. Komedyę polską ma w dzierżawie niejako kilku autorów dramatycznych. Reżyser nie ma wyboru, każdą ich sztukę przyjąć musi, a nowe siły jakoś się nie zjawiają, przypuszczam dla tego, że autorowie dramatyczni dzierżawią również w pismach i krytykę teatralną i — że użyję trywialnego porównania — do pełnego półmiska nie chcą nowych spożywców dopuszczać. Nasze patentowane wielkości piszą sztuki coraz gorsze, ztąd zniechęcenie wśród publiczności. Faktycznie warto iść do teatru tylko wtedy, gdy na afiszu widnieją nazwiska Fredry, Blizińskiego, lub ostatecznie ze współczesnych Bałuckiego.

Aby nasz sąd surowy poprzeć dowodami, przejrzyjmy ostatni nasz dorobek teatralny. Nie jest on bardzo szczupły, bo cztery sztuki składają się na niego: „Syn“, Kaźmierza Zalewskiego, „Gąsienice“ Konara, „Wilk i owce“ Jordana i „Królewicz“ Lubowskiego. Niezłą krotochwilę Jordana wyłączam z rozbioru, ponieważ właściwe jej miejsce byłoby na deskach Teatru Małego. Ale weźmy sztuki Zalewskiego i Lubowskiego: mają one dużo cech wspólnych: jedna i druga jest sztuką z tezą; w obu osią dramatu są nieprawe stosunki miłosne, z tą tylko różnicą, że w pierwszej mamy uwiedzenie, w drugiej zaś wiarołomstwo i pojedynek ztąd płynący. Teza „Syna“ jest następująca: Z dwóch ojców, który jest prawdziwy: czy ten, co dał dziecku życie i potem nie dbał już o niego, czy też ten, co otoczył go miłością rodzicielską i dał mu wychowanie? Oczywiście odpowiedź wypada w sensie drugiego przypuszczenia. „Królewicz“ jest historyą pieszczocha rodziców, fortuny i kobiet, chorego na modną dziś chorobę woli, skończonego łajdaka i pasożyta. Postawione jest pytanie, czy może on się z gruntu poprawić pod wpływem strasznego wstrząsającego wypadku i pytanie to rozstrzyga autor twierdząco, co nawiasem mówiąc jest wysoce niekonsekwentnem. Widzimy więc, że obie sztuki są nader moralne i tendencyę mają niezłą, na pozór więc wszystko jest w porządku, ale... ileż tych „ale!“ A więc przedewszystkiem, jeżeli już koniecznie chcemy, żeby teatr nas nauczał, to nauka musi wypływać z samej treści utworu, nie z tyrad bohaterów, tymczasem robota sceniczna wzmiankowanych sztuk jest szyta białemi nićmi. Ciągłe morały i morały nużą widza. Ten rodzaj pisania wzięli pp. Z. i L. z francuzkiej literatury, w szczególności od Dumas'a (syna i tradycya jego długo ciążyć będzie na ich twórczości. Tylko Francuz, jak zwykle Francuz, miał lekką rękę, a nasi z grubą ciosają swoje utwory. Ale najważniejszym zarzutem, który trzeba zrobić naszym komedyopisarzom, jest konwencyonalizm; dzielą go oni zresztą nieomal ze wszystkimi autorami współczesnymi. Wada ta polega na tem, że dramatopisarz nie wychodzi z uświęconych sfer wielkiego świata, a w usta swych bohaterów kładzie wiecznie te same banalne i oklepane komunały. Zamiast dać nam człowieka, jakim jest istotnie, na codzień, dają nam ciągle człowieka, jakim jest w salonie. Na dusze bohaterów przywdziewają — że się tak wyrażę — tużurek, zamiast pokazać je nam w szlafroku i pantoflach. Bywając w teatrze, zdawałoby się, że nie ma innych ludzi, tylko wielkie mieszczaństwo, arystokracya i bogata szlachta. Czyż inni ludzie nie cierpią? Chyba przeciwnie, bo z życiem najboleśniej szamocą się zgoła inne jednostki. Czyż nie byłoby ciekawem pokazać nam w teatrze typ współczesnego inteligenta wydelikaconego moralnie i umysłowo w walce z gnębiącem go brutalnem życiem? Czy nie dobrze byłoby pokazać nam np. na scenie wielki współczesny zatarg między kapitałem a pracą? Ale.... co tu gadać! — jak mówi Rzecki w „Lalce“....

„Gąsienice“ trochę, troszeczkę wyróżniają się w tym świecie marjonetek. Jest tam mianowicie pyszny akt I, dla którego można nawet wybaczyć autorowi niedołężne zbudowanie całej komedyi. Daje nam tam autor wierny obraz średnio-mieszczańskiego życia ze wszystkiemi jego cieniami, a więc troską o chleb powszedni, mizernym targiem o każdy grosz, kłopotami co do wydania córek odpowiednio za mąż, opryskliwem obchodzeniem się między sobą członków rodziny, gdy nikt na nich nie patrzy, i wreszcie tę wieczną, potężną obawę tego, co powie w każdym wypadku Pasternakowska, albo inna sąsiadka z przeciwka....

Ze wszystkich działów literatury pięknej dramat i komedya najbardziej potrzebują odmłodzenia. Potrzebują one go szczególniej u nas. Póki autorowie nie postarają się o oryginalność, publiczność zawsze będzie wolała dobrą farsę, niż rzewliwie moralnonudną komedyę lub dramat. Nic na to nie pomoże rozdzieranie szat naszych domorosłych moralistów, a nie my z pewnością ganić ją za to będziemy.

Zbisław.

BADANIA NAUKOWE.

Zwierzęta występne.

Niesprawiedliwem byłoby nadawać miano przestępstw czynom, popełnionym przez istoty, żyjące jedynie w celu osiągnięcia zwycięstwa w walce o byt. Ani człowiek, ani zwierzę, nie popełnia przestępstwa, dopóki nie działa świadomie na szkodę osobników swojego rodzaju. Wilk nie jest przestępcą, gdy zabija barana, tak samo, jak jastrząb nie popełnia zbrodni, gdy porywa i szarpie na sztuki gołębia. Ale i między zwierzętami są osobniki działające świadomie na szkodę osobników swego rodzaju, zasługują więc w zupełności na nazwę zwierząt-zbrodniarzy.

Jeden z amerykańskich naturalistów, zajmujący się oddawna badaniem pszczół, zapewnia, iż istnieją pszczoły, które, zamiast pracować, napadają na ule, mordują placówki, zabijają królowę i pszczoły napadnięte, wreszcie chwytają i porywają zapasy żywności. Po kilku wyprawach tego rodzaju pszczoły-rabusie nabierają smaku do zyskownego rzemiosła zbójeckiego. Jest to plaga wszystkich rojów w okolicy. Zresztą, jak twierdził Ferrero, można każdy rój sprowadzić z drogi cnoty na drogę bandytyzmu. W tym celu dostatecznem jest napoić pszczoły mięszaniną wódki i miodu. Pod wpływem trunku owady stają się niezdolne do pracy produkcyjnej i zabierają się do rozbójnictwa.

Muccioli, sekretarz główny rzymskiego stowarzyszenia gołębi pocztowych, notuje ciekawe szczegóły z życia tych ptaków. Otóż w każdym gołębniku ma się znajdować pewna liczba ptaków, ścielących sobie gniazda jedynie z materyałów, ukradzionych towarzyszom. Próżniaki te, wyzyskujące w ten sposób pracę cudzą, nie mają żadnej wartości jako gołębie pocztowe. Niepodobna obdarzać ich zaufaniem, drogę bowiem odbywają nieregularnie, nie spieszą się do gniazda, a czasem giną na czas dłuższy, niewiadomo gdzie i kiedy. O jednym z takich ptaków opowiada Muccioli, iż ulubioną jego rozrywką było wdzieranie się do gniazd i zabijanie dziobem piskląt. Ptak ten działał bezwątpienia pod wpływem furyi, spotykanej niekiedy u ptaków.

Zdarza się niekiedy, iż słonie, należące do najłagodniejszych i najspokojniejszych zwierząt na kuli ziemskiej, wpadają w szał i pozbawiają życia wszystko, co im staje na drodze. Hindusi nazywają *hora* zwierzęta dotknięte tego rodzaju obłędem Szał ów jest najczęściej wynikiem samotności. Gdy słoń zgubi swoje stado i odnaleźć go nie może, skazany jest na samotność do końca życia, gdyż żadne stado obce nie przyjmie go do siebie. Może się bezkarnie paść i kąpać obok obcego stada, ale musi przebywać w pewnej odległości. Wyłączone w ten sposób ze społeczeństwa słoni zwierzę dochodzi z czasem do stanu srogości, graniczącej z obłędem, a wówczas mordowanie staje się dlań potrzebą. Gdyby było wolno stosować terminologię lekarską do słoni, możnaby powiedzieć z niejaką słusznością, iż zwierzę cierpi na histeryę, spowodowaną przez gwałtowną, a zupełną zmianę warunków otaczających.

Szalone te słonie, szerzące naokół panikę i śmierć, są raczej obłąkanemi, niż przestępcami; każde jednak zwierzę, zanim do zapamiętania się dojdzie, morduje przez pewien czas świadomie i na zimno.

Nieprzeparty instynkt macierzyński sprawia, iż samice bezdzietne kradną niekiedy

małe swym towarzyszkom dzietnym. Niektóre suki bezdzietne bez ceremonii porywają innym sukom szczenięta, zwłaszcza ssące jeszcze. Niestety, czeka je zawód, nigdy bowiem, pomimo największej troskliwości, nie udaje im się wychować szczeniąt, oderwanych od piersi macierzystej i skazanych na powolną śmierć głodową. Według zapewnienia Espinasa w kradzieżach tego rodzaju celują mulice. Starają się one odciągnąć źrebięta jak najdalej od matek, zaprowadzają je w zarośla i tam pielęgnują najczulej. Gdyby właściciel stada nie przeszkodził zawczasu tym jałowym przejawom instynktu macierzyńskiego, źrebięta pozdychałyby z głodu.

Kto chce jednak zapoznać się z prawdziwym zbrodniarzem ptasiego rodzaju, niech bada życie bocianów. Karol Vogt obserwował w ciągu lat kilku parę bocianią, osiadłą na gnieździe tuż obok wioski, w której mieszkał znakomity przyrodnik. Pewnego dnia, pod nieobecność męża, zbliżył się do żony młodzian bocianiego rodu, a po pewnym czasie był już uprzywilejowanym przyjacielem domu. Po kilku tygodniach intruz i bocianica napadły na starego bociana, polującego na poblizkiej łące na żaby, i w sposób zdradziecki zadały mu śmierć okrutną.

Ale zbrodnia nie pozostała bez kary. Zaroiło się od bocianów w okolicy. Odbywały się jakieś wiece, jakieś zgromadzenia ożywione. Aż wreszcie pewnego pięknego poranku znalazł Vogt pod gniazdem trupa młodego bociana, na gnieździe zaś wiarołomną bocianicę z... wyłupionemi oczyma. Widocznie sędziowie byli jednocześnie wykonawcami sprawiedliwości bocianiej.

Lombroso, badając teoryę instynktów zbrodniczych, bardzo wiele czasu poświęcił na obserwowanie zwierząt. Niestety, pisarz włoski wpadł w ostateczność. Jak sędzia śledczy we wszystkich ludziach dostrzega zbrodniarzy, a psychjatra waryatów, tak Lombroso w najniewinniejszych czynach zwierząt dopatrywał pierwiastku zbrodniczego. Tak nie jest: zwierzęta występne, jak dowiedli Vogt i Espinas, należą do wyjątków tak dobrze, jak do wyjątków należą ludzie-zbrodniarze.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Ankieta
w sprawie pracy kobiet.

Grono poważnych ekonomistów wiedeńskich postanowiło urządzić ankietę w sprawie pracy kobiecej na bruku stolicy austryackiej. W dniu 1 marca odbyło się pierwsze posiedzenie członków ankiety, którego przebieg był następujący:

Zebranie zagaił prof. Philippowich. Powitawszy zgromadzonych oświadczył on, że celem ankiety jest wyprowadzenie na jaw stosunków faktycznych takich, jakie są. Kwestya położenia robotników i robotnic należy do najważniejszych kwestyi społecznych. Nie stawiamy sobie żadnych określonych celów, ale chcemy po prostu dostarczyć materyału co do tej sprawy i sądzimy, że materyał ten da może bodziec rządowi i ciałom prawodawczym do poprawy bytu tych ludzi. Posiedzenia ankiety potrwają trzy tygodnie. Jako członkowie, prócz wymienionych u nas poprzednio, zgłosili się jeszcze sekretarz nadworny dr. Rauchberg, koncypista nadworny Schmidt i poseł do Rady państwa Jax.

Przesłuchano przedewszystkiem rzeczoznawców. Najpierw przyszła kolej na robotników i robotnice z fachu introligatorskiego, kartonaży i litografów — razem 18 kobiet i 8 mężczyzn. Przedsiębiorca Veith oświadczył, że w fachu introligatorskim średnia płaca robotnicy wynosi 4 złr. tygodniowo. Płace mają tendencyę zniżkową i zniżają też płacę mężczyzn. Inspektorat przemysłowy jest niedostateczny i wykonuje swą funkcyę niedbale Przy jednej m szynie było 13 skaleczeń, a przecież władza nic nie zarządziła.

Z kobiet introligatorek, powołanych jako rzeczoznawczynie, największa część pobiera 4—4,50 złr. Przyjęcie do pracy odbywa się w ten sposób, że jako 12—14-letnie dziewczęta chodzą od warsztatu do warsztatu i proszą o zajęcie, gdyż nie ma żadnego uregulowanego, lub bodaj wystarczającego pośrednictwa do wynajdywania pracy. W jednej pracowni pracuje 10 letnie dziecko przez 10 godzin dziennie.

Płace początkowe wynoszą 1,50—2 złr., po roku do 3 złr. tygodniowo. Najwyższa płaca najlepszych robotnic wynosi 5—6 zł. Mężczyźni otrzymują wyższą płacę nawet tam, gdzie robią zupełnie tę samą robotę co i kobiety. Przedsiębiorcy z tego powodu wolą brać kobiety i dla tego praca kobiet się rozpowszechnia. W lecie przez kilka miesięcy jest martwy sezon, tak, że płace spadają z 4 na 2—2,50 zł. Jeżeli taka robotnica ma jeszcze od rodziców cokolwiek na utrzymanie, to położenie jej jest znośne, ale to się rzadko zdarza.

Rzeczoznawczynie użalały się bardzo na kary i potrącenia z płacy i przytaczały oburzające przykłady z pewnej wielkiej fabryki. Jedna z nich opowiada: Jeżeli kto rozmawia przy robocie, płaci kary 20 ct. Jeżeli zobaczą, że kto podczas pracy włoży do ust kawałek chleba lub spóźni się o minutę, płaci 50 ct. lub więcej. W jednej pracowni płaci się za 5 minut spóźnienia 10 ct., za 10 minut 20 ct., kto się spóźni o kwadrans, ten już w tym dniu nie śmie pracować. Co się dzieje z temi grzywnami, o tem robotnicy nie wiedzą. Jeden robotnik zażądał książki karnej do przejrzenia i został za to natychmiast wydalony. W tym samym zakładzie muszą robotnice nieraz tak jak w szkole za karę pozostawać po „feierabendzie“ i nadrabiać za darmo pół godziny.

Wielkie poruszenie wywołały zeznania robotnic o warunkach, wśród których one żyją. Z przeciętnej płacy 4 zł. największa część płaci za łóżko 1 zł., wynajmując je u obcych ludzi. Reszta idzie na pożywienie, ubranie i inne potrzeby. Zazwyczaj idąc do roboty, biorą ze sobą flaszkę kawy; tą kawą, nieraz nawet nieogrzewaną, i kawałkiem chleba, żyją cały dzień. Niektóre kupują sobie na obiad za 3 ct. kapusty lub kiełbaskę za 5 ct. Na wieczerzę znowu kawa i kawałek chleba.

Pracownie znajdują się przeważnie w suterenach lub w piwnicach. Jedna robotnica opowiada, że jej pracownia leży w piwnicy, jest bardzo wilgotna i ciemna. W niej pracuje 25 robotnic. Cały dzień pali się tam gaz, a gdy się wyjdzie na ulicę, trzeba sobie na parę chwil zasłonić oczy, nim się oswoją ze światłem dziennem. W trzech pracowniach zamiast umywalni jest tylko jeden szaflik, w którym myją się w południe wszystkie robotnice (20—30); jest tylko jeden ręcznik do ocierania i ten zmienia się tylko raz na tydzień. W jednej pracowni muszą robotnice ocierać sobie ręce trzaskami lub skrawkami papieru. W wielu pracowniach przedsiębiorcy wcale nie dbają o czyszczenie podłogi; dziewczęta same kupują szczotki i szmaty i myją podłogę w czasie pauzy południowej. W innych pracowniach przedsiębiorca czyści podłogę tylko raz w rok, a więc jest ona ciągle pokryta brudem.

Regularny czas roboczy wynosi 10 godzin, ale w sezonie roboczym trwa często dłużej. Nadliczbowe godziny są w jednych pracowniach płatne, w innych bezpłatne; za to w tych ostatnich robotnicy i w martwym sezonie nie bywają ukróceni w płacy. — W jednym zakładzie w czasie sezonu pracuje się od 7 rano do 12 w nocy. W południe jest 1-godzinny przestanek; robotnice spędzają go zazwyczaj w warsztacie, gdyż mieszkają zbyt daleko, by mogły iść do domu. W wielu pracowniach nie wolno im podczas tej pauzy pozostawać w warsztacie i muszą, czy słota czy mróz, chodzić po ulicy, lub w kawiarni płacić 6 ct. za kawę.

W największej części pracowni robi się w niedzielę, mimo że to jest ustawą zakazanem. W pewnym zakładzie muszą robotnice nieraz pół dnia czekać, nim im dadzą jaką robotę — i za to czekanie nie otrzymują żadnego wynagrodzenia. Terminy wypowiedzenia istnieją wprawdzie, ale przedsiębiorcy wcale ich nie przestrzegają: wydalanie zazwyczaj następuje natychmiast.

Wszystkie rzeczoznawczynie, z wyjątkiem jednej jedynej, użalały się na przełożonych nad niemi werkfirerów, którzy zazwyczaj postępują po grubijańsku. Najbrzydsze przezwiska i obelgi ze strony werkfirerów i pryncypałów — to rzecz codzienna. Jedna fabryka znaną jest z tego, że właściciel jej przyjmuje tylko młode i ładne robotnice, płaci im z początku po 2 złr.; podwyższa im płacę tylko w takim razie, jeżeli mu się oddadzą; która nie chce, doznaje rozmaitych przykrości i bywa wreszcie oddaloną. Nawet w takich pracowniach, gdzie nie ma motorów parowych, zdarzają się skaleczenia przy maszynach introligatorskich, mimo to robotnice nie bywają ubezpieczane od nieszczęśliwych wypadków.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KRONIKA BERLIŃSKA.

(W obronie kobiet pracujących. — Kompromitacya Stumma. — Ankieta w sprawie rzemiosła).

Berlin, 12 marca.

Strejk pracownic konfekcyjnego przemysłu wniósł ducha niezgodności w szeregi stowarzyszeń kobiecych, a jednocześnie przypomniał białogłowom z pierwszego piętra gmachu społecznego o ich obowiązkach w stosunku do sióstr z suteren i facyatek. Na samym początku bezrobocia pani Lili v. Gizycki, najdzielniejsza i najrozsądniejsza z tutejszych szermierek ruchu kobiecego, wyrzekła się pracy w winnicy emancypacyi, by nieść pomoc siostrom pracownicom, walczącym o kęs chleba. Stowarzyszenia kobiece, które w Niemczech przypominają częściej kluby dla pogawędki i wspólnego cerowania pończoch, niż kadry bojownicze, zrozumiały, że powinne wstąpić na nowe tory, bardziej zgodne z duchem czasu, elektryzowanego prądem walki społecznej. Kobieta wprawdzie nie może zostać lekarzem i adwokatem, nie może objąć docentury i otrzymać teki ministeryalnej, — lecz nie należy zapominać, że nawet na polach, które nie są dla niej zabarykadowane, jest ona wyzyskiwaną jako istota słaba i bezbronna *par excellence.* jako istota, której tylko przez łaskę pozwalają zająć miejsce mężczyzny. Dużo zepsuł krwi szlachetnym damom z „lepszych“, sfer strejk konfekcyonez a rozbudzone sumienie kazało

rliwiej się zająć losem pracujących kobiet. Niemieckie towarzystwo dla społecznej hygieny na ostatniem swem posiedzeniu zwróciło uwagę na to, jak mało zdrowotność jest przestrzeganą w tutejszych magazynach, zwłaszcza gdy to dotyczy sklepowych panien. Te ostatnie nietylko nie mają prawa siadać podczas sprzedaży, lecz po większej części jest to wzbronionem podczas całego dnia. Że zwyczaj ten odbija się smutnie na zdrowiu biednych sklepowych, zbytecznem byłoby dodawać. Panie z więcej postępowych stowarzyszeń kobiecych wraz z gronem filantropów wydały odezwę, w której zwracają uwagę pięknej połowy kupującej publiczności na barbarzyńskie traktowanie panien sklepowych. Jest więc obowiązkiem kupujących pań zażądać od magazynów, w których nabywają towary, aby dozwolono pannom sklepowym spoczywać podczas rozmowy z kundmanami. Rozumie się odezwa została wydaną nie pod właściwym adresem, gdyż humanitarny głos ten zostanie wołającym na puszczy, dopóki opornych właścicieli sklepów nie postawi pod pręgierz opinii publicznej. Zagadnięte przez jedno z pism tutejszych firmy oświadczyły, iż mogą tolerować tylko siedzenie w nieobecności gości. Natomiast największa firma Wertheima, powołując się na zwyczaj panujący w amerykańskich interesach, oznajmiła, iż żądanie, wyrażone w odezwie, bynajmniej nie jest utopijnem; obowiązkiem opinii publicznej obstawać wytrwale przy postawionem żądaniu, a wtedy zostanie ono niechybnie wprowadzonem we wszystkich sklepach.

Jakkolwiek Stumm, czyli raczej „król" v. Stumm — oddaj Cezarowi co Cezara — nie zalicza się do obywateli Berlina i cnotliwy żywot swój pędzi w królestwie swojem w Westfalii, jednakże trudno w kronice berlińskiego życia pominąć osobistość hojnie dostarczającą tematu dla rubryki skandalów w tutejszych czasopismach. Od wielkości do nicości podobno jeden tylko krok. Jeszcze przed rokiem baron v. Stumm należał do ludzi posiadających wszystko, czego mogła łaknąć dusza potentata. Jako poseł jednego z najbardziej zaludnionych okręgów, zadawał ton w wolnokonserwatywnej frakcyi i naginał ją do swego „*sic volo, sic jubeo*". Jako jeden z najbogatszuch ludzi w Niemczech i właściciel dóbr, był lubianym przy dworze. Jako *beatus possidens* wielkiego kalibru rządził nieograniczenie w swym majątku i ujął w karby despotycznej władzy administracyę całego okręgu. Lecz oto przed rokiem rozpoczął się szereg niepowodzeń możnowładcy. Za czasów, gdy gwiazda jego świeciła jeszcze nieprzyćmionym blaskiem, baron oskarżył w sejmie rzeszy prof. Wagnera, obecnego rektora wszechnicy berlińskiej, o herezyę. Powstał z tego konflikt, któremu Stumm chciał kres położyć pojedynkiem, co dolało jeszcze oliwy do ognia oburzenia, który rozgorzał w prasie. Baron, nie grzeszący zbytnio tolerancyą, prześladował wszelkiemi środkami „młodych" chrześciańskich społeczników, grupę Bogu ducha winnych młodych pastorów, nicujących jego działalność i wytaczających przed forum publiczne gospodarkę Stummowską. Podrażniony w swem samolubstwie baron, zapozwał przed sąd jednego ze śmiałków, ciętego Kötzschke'go, lecz sam wyszedł na tem najgorzej, bo jakkolwiek sąd skazał pastora na pieniężną grzywnę, prasa, jako *tertius gaudens* wyciągnęła na światło dzienne szczegóły, nie dobrze rekomendujące humanitarność barona. Gdy propaganda młodych pastorów stanęła „królowi" kością w gardle, zagroził w poufnej rozmowie ze swym powiernikiem, iż odbywając polowanie razem z cesarzem, skorzysta z tej okazyi, by zohydzić w oczach monarchy młodych społeczników. Niedyskretny powiernik wypaplał tajemnicę, a prasa roztrąbiła ją *urbi et orbi*. Były faworyt wpadł podobno w niełaskę monarszą i prawdopodobnie nie tak prędko już zostanie zaproszonym do dworu. Niedawno nowa historya Stumm'owska zajmowała prasę. Baron, nie przebierający w środkach, gdy idzie o zgniecenie niemiłych mu organów, dokonał, że na stacyach jego okręgu została wzbronioną sprzedaż pism, umieszczonych na Stummowskim indeksie. Wychodzi w tej miejscowości od 150-ciu lat „Saarbrücker-Zeitung". Gazeta ta odmówiła Stummowi swej przyjaźni. Gdy prześladowania nie poskutkowały, despota chciał zakneblować krnąbrnemu redaktorowi usta prezentem. Fakt ten jednak wkrótce przedostał się do łamów pism berlińskich i barona można, zdaje się, uważać za politycznie zdyskredytowanego człowieka.

Od lat kilkunastu w izbach prawodawczych Niemiec i w prasie debatują wciąż o smutnem położeniu rzemiosła; często rozprawy te robią takie wrażenie, jak sąd ślepego o barwach. Brak wyczerpującej pracy w wyżej wymienionej kwestyi odczuwano dotkliwie.

To też z wielkiem uznaniem przywitano pracę, w której „Towarzystwo dla społecznej polityki" (Verein für Socialpolitik) ogłosiło rezultaty ankiety, sporządzonej w kwestyi położenia niemieckiego rzemiosła. W przeszłym roku ukazały się 3 tomy, a w bieżącym tom 4-ty. Są to badania, zadziwiające ścisłością i starannością. Sama myśl została podjętą przez prof. Brentano z Monachium, kierownictwo zaś i redakcya przypadły w udziale prof. Bücherowi z Lipska. Najbardziej zasługuje na uwagę, że uczony ten zaprosił do współpracownictwa nietylko ludzi kompetentnych i zasłużonych na polu tego rodzaju badań, lecz i uczącą się młodzież seminaryów ekonomicznych różnych uniwersytetów. Szczególnie wyróżnia się pod tym względem seminaryum lipskie prof. Büchera, które samo wypełniło swemi pracami 1-szy tom. Dzieło składa się z całego szeregu, monografii, poświęconych rozmaitym dziedzinom przemysłu różnych miejscowości. Rezultaty, mówiąc prawdę, nie są zbyt pocieszające. Do białych kruków należą te gałęzie rzemiosła, które dotychczas wytrwały niezachwianie na swej placówce, nie odczuwając ucisku ze strony wielkiego przemysłu. Więcej jest takich rzemiosł, które pod wpływem konkurencyi musiały obrać sobie specyalny zakres produkcyi, jak np. reperacye, prace po domach klientów itp. Najwięcej zaś jest takich rzemiosł, które muszą kapitulować przed wielkim przemysłem. Nader przykre wrażenie robią ustępy w rodzaju tych: „za 10 lat nie będzie zupełnie garbarzy w Niemczech", — „lata szewctwa wrocławskiego są policzone", — „zanik ślusarstwa we Wrocławiu jest kwestyą czasu". Takich przypadków można by przytoczyć legion. Niemiecka gazeta rzemieślnicza — niewiadomo, czy z naiwności, czy ze świętego oburzenia — uderzyła na alarm z powodu tych smutnych rezultatów i zażądała od majstrów, by zaprzestali udzielać dalszych informacyi w sprawie stanu ich interesów. Prof. Bücher nie zraził się jednak strusim zachowaniem się „Gazety" i zaprosił do współpracownictwa wszystkich, co są w stanie postawić jakiekolwiek przeczące zarzuty przeciwko ogłoszonym badaniom. I dziwna rzecz, nikt się nie zgłosił!...

M.

TO I OWO.

Ważna wiadomość.

W jednym z najświeższych numerów Dziennika Poznańskiego zamieszczono telegraficzną wiadomość ze Lwowa, że hr. M. zaręczył się z hrabianką P. z W. Nazwisk nie wymieniamy, — kto ich ciekawy, niechaj raczy poszukać w Dzienniku Pozn. między ostatniemi depeszami. Błyszczą one wspaniałym blaskiem iskry elektrycznej obok informacyi z abisyńskiego placu wojny, z gabinetów ministeryalnych, parlamentów itd., — błyszczą w tem samem miejscu, gdzie swego czasu czytaliśmy również telegraficzne doniesienia o podróży naczelnego redaktora po Galicyi w otoczeniu szwadronu młodzieży szkólnej, — gdzie jednak częstokroć szukamy napróżno faktów pierwszorzędnej doniosłości. Tak! strojenie wielkopańskich polowań na lwy, tygrysy i słonie w znamiona patryotyzmu i wyższej etyki, bombastyczne rozdymanie drobnej, tuzinkowej zasługi do faktu europejskiego znaczenia, telegraficzne reklamowanie przeciętnego panicza klękającego u stóp przeciętnej hrabianki, – oto najnowszy kierunek polityczny „umiarkowanie" liberalnego Dziennika. Zupełnie naturalnem jest, jeżeli specyalne organy w rodzaju „Adelszeitung" „Heraldische Blätter" itp. informują czytelników swoich o najdrobniejszych zdarzeniach matrymonialnych z arystokratycznego świata, ale poważny, „umiarkowanie liberalny" i „zdrowo-demokratyczny" dziennik polityczny, podający na wybitnem miejscu doniesienia telegraficzne o zaręczynach hrabianki P. z hrabią M. to znowu jeden z typowych dziwolągów poznańskich.

* * *

Kłopoty konserwatystów warszawskich.

Podaliśmy w jednym z ostatnich numerów Przeglądu Pozn. wyjątek z dowcipnego feljetonu A. Swiętochowskiego (Poseł Prawdy) o zabawnym kłopocie warszawskich konserwatystów, którzy nic nie wiedząc o zakazie cenzury watykańskiej czytania pism Dumasa, wyprawili mu uroczysty pogrzeb z rozdzieraniem szat. Ponieważ — według przysłowia — nieszczęście samo nie chodzi, więc ci dwupłciowce załamali się jednocześnie na cienkim lodzie swej zachowawczości po raz drugi. Jak wiadomo, używają oni również do swej ślizgawki łyżew antisemityzmu. Otóż gdy przed paru tygodniami rabin Sorocka na czele deputacyi powitał biskupa Nowodworskiego, ten odpowiedział między innemi: „Wśród szeroko dziś rozlewającego się prądu nienawiści antisemickiej, wystąpieniem swojem stwierdzacie, iż wiecie, jak kościół chrześciański osłaniał zawsze żydów przeciw zrywającym się od czasu do czasu na nich wybuchom nienawiści tłumów, niedość przejętych świętą nauką ewangelicznej miłości bliźniego. I przychodząc tu do mnie, do biskupa, faktem samym stwierdzacie, iż wiecie, że papież, biskupi, duchowieństwo nasze, jako nauczyciele powszechnej, bezwarunkowej i bezwyjątkowej miłości bliźniego, podnoszą zawsze głos w waszej obronie, gdy w świecie przeciw wam podnosi się burza nienawiści tłumów". Co tu począć w obec tak stanowczego potępienia? Czy schylić przed niem głowę, czy ją podjąć dumnie i przyznać się do „nienawiści tłumów"? Czy wdziać kożuch skórą, czy futrem na wierzch? Hic Rhodus, hic salta! Czcigodne mydłki nie chcą ani skakać, ani tonąć, więc z dwóch złych ostateczności wybrały trzecią, wypróbowaną drogę: prześliznęły się zręcznie między swym antysemityzmem a ewangelicznym poglądem biskupa i dziś wzdychają po cichu:

— Chwała Bogu, że to już minęło! Ach jak ciężko być konserwatystą... warszawskim.

Co znaczy innemi słowy:

— Ach, jak to trudno zostać majorem, kiedy się było szewcem!

Sens moralny z tej prawdy jest taki: Przekonania, jak limfa ospy, przyjmują się

tylko wtedy, kiedy są wszczepione w krew. Powierzchowne smarowanie się niemi nie zabezpiecza. Radzimy przeto wielu konserwatystom warszawskim, ażeby sobie sprowadzili rzetelną krowiankę, albo raczej surowicę z instytutu Chamborda lub Windhorsta i zastrzyknęli ją w swe ciałka porządnie. Inaczej ciągle chorować będą na dyfteryt... socyalno-liberalno-zachowawczo-radykalny. Jest to choroba nie tyle niebezpieczna, ile wstręt budząca.

* * *

Nowy dziennik w Krakowie.

W krakowskim świecie dziennikarskim wybuchły obecnie swary bardzo hałaśliwe. Od początków lutego zreformował się „Dziennik Poranny“, pismo, prowadzone bezbarwnie, i zamienił się w „Dziennik Krakowski.“ Do redakcyi, jako główna siła, wszedł p. Feldmann, zdolny literat i publicysta. A że jednocześnie nowe pismo obniżyło cenę, więc wywołało zaniepokojenie wśród konkurentów. „Głos Narodu“ zwietrzył też zaraz... żydowską propagandę i żydowskie pieniądze. Rozpoczęła się polemika.. naturalnie zasadnicza. P. Rogosz dał pierwszy strzał. I naraz obie strony zaczęły niesmacznie ujadać. Współzawodnictwo z p. Rogoszem jest bardzo trudne. Redaguje pismo ruchliwie, w polemice jest krzykliwy i gra silnie na antysemickiej nucie, znajdującej oddźwięk, bo synowie Izraela, ciążąc ku niemczyźnie, nie zarobili sobie na miłość. „Dziennik Krakowski“, jak na początek, prezentuje się przyzwoicie, nie akcentuje silnie judofilskich tendencyj, umiarkowanie gani antysemityzm, stojąc na gruncie liberalnym. Wieje z niego atmosfera europejska, a na stanowczą pochwałę zasługuje staranne traktowanie spraw literackich i artystycznych.

* * *

Judasz.

Znany literat petersburski, Gamma, we wzmiance pośmiertnej o rzeźbiarzu M Mikieszynie podaje ciekawe szczegóły o zapatrywaniu się artysty na postać Judasza Iskarjoty, którego statuetka była jednem z ostatnich dzieł jego. Nie pamiętam teraz szczegółów — mówi Gamma — ale Mikieszyn usiłował objaśnić zdradę ze strony Judasza przyczynami i pobudkami głębszemi i bardziej prawdopodobnemi, aniżeli owe marne trzydzieści srebrników. Jak zrozumieć rozpacz Judasza, jak zrozumieć, że rzucił srebrniki tym, którzy je dali, a sam powiesił się, wykonał karę sam na sobie ku przestrodze dla wszystkich innych zdrajcow, teraźniejszych i przyszłych? Toć nie był oprawcą pospolitym, był on uczniem Chrystusa i w liczbie dwunastu wybranych. Odstępstwo takiego człowieka i następująca po niem skrucha, doprowadzona do wymierzenia sobie samemu kary śmierci, nie da się łatwo wytłómaczyć. Mikieszyn wziął ten postępek Judasza w związku z ogólnemi pojęciami i dążeniami ludu żydowskiego. Żydzi uważali sami siebie za naród wybrany, odrębność narodowa i idea odbudowania królestwa judzkiego, idea niezawisłości państwowej, uświęcone były przez kult religijny u żydów. Judasz dał się porwać czystości nauki Chrystusowej, lecz koniec końców przekonał się, że nauka ta stoi po nad wszystkiemi ideami narodowemi i państwowemi, że to religia ludzkości całej, że to nauka pokoju i miłości, przebaczenia wrogom i nienawistnikom. Nauka ta wprost sprzeczną była z tendencyami narodowemi i politycznemi ludu żydowskiego. Żydzi nienawidzili Rzymian, marzyli o wyzwoleniu się z pod władzy Romy siłą oręża swego, Chrystus zaś głosił miłość ku wszystkim bez różnicy i nauczał, że, kto mieczem wojuje, od miecza zginie. Popełniając zdradę, Judasz mógł unieść się dążeniami narodowemi i patryotycznemi. Dopiero, gdy dokonał dzieła haniebnego, zrozumiał, kogo zdradził pocałunkami swemi. I oto, tego Judasza właśnie, szarpanego przez zgryzoty sumienia i wątpliwości ideowe, pragnął przedstawić Mikieszyn w chwili, gdy zdrajca ów postanawia pozbawić się życia.

Dodamy, iż w sposób podobnie fantastyczny pojmował postać i postępek Judasza Synpolski (Żukowski) w dziełku, noszącem tytuł „Idea“, które w swoim czasie (około 1875 r.) wywierało pewien wpływ na młodzież naszą.

Na Wyłomie.

(Postny karnawał. — Klaka na zebraniach. — Dożywotnia dyrekcya.)

Rojnym i gwarnym był Poznań w bieżącym tygodniu. Nieznane twarze na ulicach, tłumy gości w hotelach, zadyszani kelnerzy po winiarniach, brzęk kielichów, żywe dyskusye, uściski z „dubeltówki“, wisty, winty, temple i bakaraty. Cały ten ruch i całe to barwne i hałaśliwe życie grupowało się około poważnej pracy publicznej, stanowiącej niejako bilans całorocznych zysków i strat narodowych. Początek marca, to stały termin naszych obrachunków. Stają do apelu Kółka włościańskie, Czytelnie ludowe, Pomoc Naukowa i Centralne Towarzystwo gospodarcze, a społeczeństwo odbywa przegląd generalny, analizuje pracę, pyta o dorobek, bada ruch i organizacyę.

Analizuje? pyta? bada? Gdybyż to można powiedzieć bez wszelkich zastrzeżeń! Jeżeli jednak sumienność nakazuje położyć tu gdzieniegdzie znak zapytania, to winna temu w części tylko typowa apatya społeczeństwa a oskarżenie zwrócić się musi z równym, jeżeli nie silniejszym naciskiem, ku szczytom zarządów i dyrekcyi, gdzie dogmat własnej nieomylności tak silne zapuścił korzenie, że każda interpelacya i każdy wniosek reformacyjny z łona Walnego Zebrania uważany jest za objaw wrogiego usposobienia, symptom nieufności, osobistą inwektywę i karygodną zuchwałość. Na zgromadzeniach znajduje się zwykle garść ludzi, którzy posiadają dziwną specyalność. Jest to rodzaj dobrze wytresowanych klakierów i panegirystów, czekających chciwie na każdą sposobność, by miodowym, jak wosk topniejącym lub uroczysto-patetycznym głosem zawołać: „Panowie! Oto ktoś z zgromadzenia ośmielił się polecić nową książeczkę do Czytelni ludowych. Stawiam więc wniosek o wotum zaufania dla Zarządu“. No! i oczywiście zebranie kiwa głowami. Bo jakże tu odmawiać zaufania ludziom, którzy zwykle pełnią swoje obowiązki sumiennie, tylko wypisali w programie dyrekcyjnym zasadę nieomylności i absolutyzmu: „car tel est mon plaisir“. A przecież wnioski takie zabijają wszelką dyskusyę i degradują członków Towarzystwa do roli biernej masy, której przysługuje jedyne prawo klaskania. Mnie się wydaje, że gdyby dziś podczas jakiegobądź przemówienia wysokiej dyrekcyi lub zarządu ktoś odważył się kichnąć lub nos wytrzeć nieco głośniej, to wnet podniósłby się jeden z wiadomych specyalistów, wołając: „Panowie! Kichnięcie i wycieranie nosa jest demonstracyjnym dowodem nieufności: Stawiam zatem wniosek....“ — wiecie już jaki.

Charakterystyczną w tym względzie była jedna scena na Walnem zebraniu Pomocy Naukowej. Podczas dyskusyi nad bilansem powstają p. p. dr. Jerzykowski i mecenas Kutzner i w sposób na wskroś rzeczowy uzasadniają żądanie, aby kapitały Towarzystwa, z wyjątkiem funduszów dyspozycyjnych, ulokować w bankach, ofiarujących wyższe procenty. Zarząd oczywiście protestuje, a w głębinach sali rozlega się wniosek ks. Mojżykiewicza, aby nad projektami finansowej reformy przejść do porządku dziennego, ...no! i wyrazić zaufanie do wysokiej dyrekcyi. Na szczęście znalazł się ktoś rozumniejszy, i wykazawszy, że po odrzuceniu pierwszej propozycyi, druga jest zupełnie zbyteczną, nie dopuścił do głosowania. Nic przeszkodziło to jednak bynajmniej tak „Kuryerowi“ jak „Dziennikowi Poznańskiemu“ ogłosić Europie i rzeczypospolitej St. Marino, że wniosek ks. Mojżykiewicza przyjęto. Nie rozstrzygam tu kwestyi, czy projekt pp. dr. Jerzykowskiego i mecenasa Kutznera jest w praktyce wykonalnym bez wszelkich zastrzeżeń — zwracam tylko uwagę na ów typowy wniosek ks. Mojżykiewicza z piętnem zdawkowego duseru na czole; najlżejszą rożnicę zdań, najlżejsze drgnienie odmiennych poglądów, rozkrzykuje Janczarska kapela jako symptom niezaufania, a jeżeli zebranie wyjątkowo połknąć się waha cukierek, sfabrykowany przez klakę, wtedy dzienniki „ładu i porządku“ sfałszują fakta i śpiewać będą basem i dyszkantem, że słodycz spożyto z wilczym apetytem.

Scena pokrewnej natury rozegrała się również na walnem zgromadzeniu Czytelni ludowych. Tu jeden z gorliwszych miłośników ludu zwrócił uwagę na kilka broszur pożytecznych, których do szaf bibliotecznych dotychczas nie wprowadzono, a skoro p. dr. Łebiński w imieniu zarządu odpowiedział, że wydawcy sami książki swoje prezentować winni, bo zarząd nie może szukać i tropić wydawnictw ludowych, — wnioskodawca odparł to wyjaśnienie na wskroś rozsądnym i słusznym motywem, że obowiązek czuwania nad rozwojem czytelni ludowych spoczywa nie na wydawcach książek, lecz na kierownikach bibliotek. Ledwo to słowo zabrzmiało na sali, ukazały się na krześle prezydyalnem straszne symptomy dyabetis, — cukrowej choroby. Lubo bowiem rozumniejsi członkowie zarządu nie solidaryzowali się z niezręcznym wybiegiem kolegi swojego, powstał przewodniczący, książę Czartoryski, i w poetycznych słowach rozwodził się długo nad zasługami p. dr. Łebińskiego, których nikomu zapoznawać nie wolno. Ależ, dobry panie, któż tutaj zaprzecza zasług twemu klientowi?! My wszyscy czoło przed nim uchylamy, ale ośmielamy się twierdzić zuchwale, że skoro najsprawiedliwszy grzeszy siedm razy na dzień, to najzasłużeńszy może raz jeden na rok użyć fałszywego argumentu lub błędne wypowiedzieć zdanie. Skoro zaś „zasłużeni“ mają przywilej nieomylności, skoro magiczne to słowo ma być ryglem dla krytyki, to pocóż właściwie urządzacie walne zebrania. Wy wszyscy przecież, i ty książę panie, posiadacie niezaprzeczone zasługi narodowe, więc nam tylko jedna pozostaje alternatywa: Milczeć, lub bić okłaski bez końca.

Najwonniejszy kwiatek jednak z całego bukietu dziwactw poznańskich pozostawiłem sobie na deser. Działo się na wielkiej sali bazarowej. Dyrekcya „Pomocy Naukowej“ zasiadła na estradzie, a poważny zastęp obywateli świeckich i duchownych słuchał sprawozdań i rachunków rocznych. Posiedzenie zbliżało się już ku końcowi, gdy wtem podnosi się znowu jeden z najinteligentniejszych spadkobierców i krzewicieli idei Marcinkowskiego, mecenas Kutzner z Ostrowa, i wyjawia skromne życzenie, aby zarząd raczył na kilka dni przed wyborami publikować nazwiska ustępujących kolejno członków dyrekcyi. Dziś — mówił mniej więcej wnioskodawca — dowiadujemy się

dopiero w ostatniej chwili, gdy zebranie już zagajone i urna wyborcza spogląda na nas ze stołu, kto na mocy statutów szeregi zarządu opuszcza i na czyje miejsce nowych wybieramy członków. Ztąd każdy wybór ma charakter dorywczej improwizacyi. Wszelkie porozumienie, wszelka refleksya, wszelkie rozpatrywanie kwalifikacyi kandydatów jest z góry wykluczone, a rezultat bywa zawsze taki, że stósownie do życzeń zarządu, ustępujący członkowie wchodzą ponownie do składu dyrekcyi: nazwiska ich widnieją na tablicy, nikt nie ma czasu zastanowić się nad właściwościami kandydatów, więc rzuca do urny to, co najbliższe i najpochwytniejsze. W imię zatem sprawiedliwości i zasad parlamentarnych — tak kończył mecenas Kutzner — proszę szanowny zarząd, by raczył wraz z ogłoszeniami o dniu i godzinie zebrania publikować nazwiska ustępujących członków dyrekcyi.

Cóż? Życzenie na wskroś logiczne i rozsądne! — tak by się zdawało, tak i ja sądziłem, biedny obłąkaniec. W tej samej chwili jednak rozpoczynają się szepty u stołu dyrekcyjnego i nagle powstaje jeden z mężów poważnych i głosem drżącym z irytacyi tak mówi do ludu:

„Znam was panowie. Chcecie wybory zrobić przedmiotem agitacyi, chcecie niezgodę zaszczepić w poważnej instytucyi, lecz na to my nie zgodzimy się nigdy. Od praktyki dotychczasowej odstąpić nie myślimy, bo agitacya mogłaby do grona naszego wprowadzić niepożądane żywioły.“

Proszę mnie nie posądzać, że w przystępie dobrego humoru sfabrykowałem sobie anegdotkę. Opowiadam tu fakt rzeczywisty. Wolno wam się śmiać, ale musicie mi wierzyć, bo cała ta historya miała przynajmniej z pięć tuzinów świadków poważnych. Podniosły się głośne szemrania, a potem gorączkowa dyskusya — nawet klakierzy nie odważyli się wobec tak otwartego zdemaskowania intencyi i poglądów dyrekcyjnych wymówić magiczne słowo: „wotum zaufania.“ Więc członkowie dyrekcyi uważają siebie za dożywotnich urzędników? Więc zuchwałość, wykarmiona uległością długoletnią, posuwa się tak daleko, że otwarcie przyznaje się do tendencyi sztucznego krępowania swobody wyborczej? Więc każda agitacya zmierzająca do odświeżenia składników dyrekcyi uważana jest za zgubną? A któż to ośmiela się twierdzić, że taka agitacya, jeżeli nie dziś, to jutro, może być czynem obywatelskim? Pocóż ta komedya wyborów, skoro dyrekcya sobie przywłaszcza patent nieomylności i przywilej dożywocia, a kandydatów pozbawionych sankcyi swojej, z góry piętnuje mianem „niepożądanych żywiołów“?!

Takie głosy brzmiały, mimo całego pietyzmu członków, na sali Bazarowej, a panowie z zarządu spostrzegli nagle, że zbyt śmiało zdemaskowali myśli swoje, i nie znajdując rzeczowych argumentów na ujarzmienie opozycyi, oświadczyli ni ztąd ni z owąd w krytycznej chwili, że jeden z głównych oponentów nie ma prawa głosu, bo nie jest członkiem Towarzystwa. Było to posądzenie fałszywe, na błędnych oparte informacyach, ale gdyby nawet niem nie było, jakież to marne i nizkie wojować sztuczką i adwokackim fortelem tam, gdzie rozgrywa się kwestya zasadnicza. Ten finał nosił piętno takiego ambarasu a równocześnie takiej małoduszności, że przypieczętował kompromitacyę, jeżeli nie całej dyrekcyi, to poszczególnych jej członków. Głosowanie wprawdzie się nie odbyło, bo działo się to wszystko w dziwacznej rubryce „wniosków bez uchwał“, — ale jedno pozostanie faktem: Nawet najfanatyczniejsi rycerze „ładu i porządku“, nawet typowi czciciele wszystkich autorytetów mieli na ustach ironiczne uwagi o — bądźmy uprzejmi — „niezręczności“ zarządu.

Sulla

KRONIKA LITERACKA

* **Jerzy Żuławski**. Poezye, garść pierwsza. „Na strunach duszy“, Kraków. Druk W. L. Anczyca i Spł.

„Pierwszą próbą“ każdego nieomal adeptu do parnasu jest poezya uczuciowa. Z obawą więc pewną i niedowierzaniem chwyta krytyk nowości liryczne, lękając się owych wiecznych warjacyi na tę samą nutę, powtarzań i imitacyi w mniej lub więcej szczęśliwej formie dokonanych.

Tymczasem z prawdziwą przyjemnością zaznaczyć możemy, że poezye p. Żuławskiego chwalebny w tej mierze stanowią wyjątek. Prócz części wstępnej p. t. „O pierwszym brzasku“, która zbyt jaskrawo zdradza powijaki autora, tak w inwencyi, jak wykonaniu, inne rozdziały, w których poeta całe pasmo życia swego w piosnki układa, noszą na sobie niezaprzeczenie cechę talentu. Każdy z tych rozdziałów („Na stepie życia“, „Z blasków słonecznych“, „Wieczorem“, „W nocy zwątpień“, „Świt nowy“) pokazuje już tytułem, co w sobie zawiera. Wszędzie w nich przebija rzadko głębokie uczucie, fantazya zdrowa, łagodna, czasem tylko, jak „W nocy zwątpień“, żółcią i żalem ponuro zabarwiona. Przedewszystkiem celują pięknością sonety w rozdziale: „Z blasków słonecznych“. Sonet zresztą, to ulubiona forma Żuławskiego i przyznać trzeba, że włada nią dosyć szczęśliwie. W liryce miłości nazwaćby można młodego poetę mistrzem, tak doskonale potrafi on z każdej drobnostki wysnuć najwdzięczniejsze pienia sonetowe. Wszystko pod piórem jego zamienia się w sonet udatny: wspomnienie kochanki, jej spotkanie, pożegnanie, wyjazd wspólny, oddalenie, nawet róże u stóp jej leżące, perły na białej szyi itd. itd. Chociaż tem samem przypomina Żuławski Heinego i widocznie pod jego pozostaje wpływem, jednak nie przyswoił sobie owej zgryźliwości i ironii, cechującej mistrza liryków niemieckich. Jeżeli śpiewa z żółcią i żalem, to jednak bez sarkazmu i cynizmu, a „W nocy zwątpień“ odzywa się tylko odgłos ducha skołatanego bólem, cierpieniem, rozczarowaniem i zawodami, jakich doznał młody poeta.

W wierszach opisowych jak „Trzęsienie ziemi“, „Błędne koło“, „Hohen - Promenade“ itd. mieści się pełno ślicznych oryginalnych obrazów, zdradzających obok pewnych niedostatków formy, wybujałość fantazyi i wytrwałość smaku Żuławskiego. Dwa najgłówniejsze utwory, w ostatnim umieszczone rozdziale, są: „Widzenie“ i „Mojżesz“, dedykowany T. T. Jeżowi.

Wnosząc z napisu, że to „garść pierwsza“ poezyi Żuławskiego, przypuszczamy, iż w krótce ujrzymy „garść drugą“.

Tymczasem twierdzić śmiemy, iż poezye „Na strunach duszy“ zajmują poczesne miejsce w liryce nowoczesnej i przemawiają silnie do wrażliwej duszy, lubo sam autor mówi żałośnie: „Nie warto marzyć! Dziś liryczną pieśnią nie wzruszysz serca....“

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości polityczne i społeczne. Poseł Lewakowski został wykluczony z koła polskiego w izbie austryackiej z powodu rzekomego złamania zasady solidarności. — Nowy gabinet włoski zamierza dążyć do „zaszczytnego pokoju“ z negusem. Skoro jednak celu tego po świeżej klęsce osiągnąć niepodobna, rozpoczną się niebawem nowe i obszerniejsze operacye wojenne. — W Berlinie odbyło się zebranie reprezentantów handlu i przemysłu, którzy uchwalili założyć na całe Niemcy związek mający na celu obronę interesów handlowo-przemysłowych przeciw zaczepkom agraryuszów niemieckich. — Cesarz niemiecki przyjmował hr. Gołuchowskiego w Berlinie z ostentacyjnemi względami. — Poseł Jażdżewski ponowił w sejmie pruskim żądanie założenia uniwersytetu w Poznaniu i otoczenia staranniejszą opieką naszych instytucyi naukowych i artystycznych.

Teatr i muzyka. W ubiegły czwartek odegrano na scenie poznańskiej, czteroaktową komedyę Dominika p. t. „Stu dyabłów“ Sztuka, osnuta na jednej z powieści Kraszewskiego, odznacza się interesującą fabułą i frapującemi efektami. Z artystów biorących udział w przedstawieniu wyróżnili się panowie Skirmunt, Knapczyński i Grabowiecki oraz panna Pankiewicz i pani Jakubowska. Panna Ogińska natomiast była znów wymuszoną i sztuczną, a nadto fatalnie ucharakteryzowaną. — W najbliższy poniedziałek rozpoczyna na scenie poznańskiej szereg gościnnych występów p. R. Żelazowski. Utalentowany artysta, który obecnie zbiera zasłużone wawrzyny w Krakowie, wystąpi między innemi w „Przed ślubem“ Zalewskiego „Urielu Akoście“ Gutzkowa i „Szczęściu w zakątku“ Sudermanna. — W Wrocławiu, w teatrze Lobego, wystawiono z powodzeniem dramat Stahla p. t. „Russalki“ (sic) — „In vendemnia“ opera Lepraniego doznała nadzwyczajnego powodzenia w Florencyi. — Eleonora Duse przyjęła zaproszenie Sary Bernhardt i zjeżdża do Paryża, ażeby wystąpić w teatrze swej rywalki... Zaiste jest czemu się dziwić: oto znalazły się dwie artystyczne, na wyżynach stojące natury, dość szlachetne i kochające sztukę, aby dla niej zapomnieć o drobnych zawiściach i współzawodnictwach! — Marcela Kochańska zawarła umowę z zarządem opery berlińskiej o występy w kilku nowych rolach na scenie tamtejszej opery. Znakomita artystka odtworzy Ofelię w „Hamlecie“, Ambroise Thomas'a i wystąpi w operze „Pielgrzymki do Ploermel“ Mayerbeera. — Niektórzy z wybitniejszych artystów poznańskich wyjeżdżają na sezon letni do Warszawy. Dowiadujemy się, że p. Skirmunt otrzymał wezwanie, by objąć urząd reżysera w teatrze Bellevue. Na prowincyę wyjeżdżają prawie wyłącznie drugorzędni artyści. — Nowości repertuaru niemieckiego: Zobeltitz „Ohne Gelenk“, Lion „Gebildete Leute“, Lee „Der Schlagbaum.

BŁĘDY JĘZYKOWE.

— Wśród germanizmów utartych w zaborze pruskim spotykamy często — nawet w prasie naszej — zwroty takie, jak: „Józef jest dziesięć lat stary“ (zehn Jahre alt). To błąd krzyczący, którego starannie unikać należy. Mówi się poprawnie: „Józef jest w dziesiątym roku życia“, lub: „Józef ma (liczy) lat dziesięć“.

— „Żaden“ używamy często na wzór niemieckiego „kein“; — mówimy: „Pan N. nie jest żadnym matematykiem“, zamiast „Pan N. wcale nie jest matematykiem“ itp.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

St. M. Nadesłanych sonetów dla braku formy artystycznej zamieścić nie możemy.

Chochlik. Artykuł Szan. Pani wynosi drobiazgi nikłe i wyjątkowe do pierwszorzędnego znaczenia. Strzeżmy się hyperkrytycyzmu.

Ka. M. Dzieła tego nie znamy. Estreicher o przekładzie polskim nic nie wspomina.

OD ADMINISTRACYI.

Za **10-ty** nr. pisma naszego z dnia 10 marca 1895 roku zapłaci administracya **1 mk.** — Prosimy o łaskawe uwzględnienie tej wiadomości.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winlewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28

Nr. 12. Poznań, niedziela 22-go marca 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: Piekary nr. 6.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: Piekary 6. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.

TREŚĆ.

Zwycięstwo robotników kolejowych w Szwajcaryi

Jednocześnie prawie z wybuchem rozpaczy wyzyskiwanych niemiłosiernie robotników w krawiectwie berlińskiem, stoczyli walkę o podwyżkę płacy robotnicy kolejowi w Szwajcaryi. Dla bacznego spostrzegacza porównanie tych dwóch zatargów nastręcza wiele bardzo ciekawych objawów: tam porywają się nagle do walki ludzie, o których już można było zwątpić, czy kiedykolwiek zdobędą się na jakiś krokśmiały, tak byli zgnębieni, przyznajemy, zdemoralizowani, tu występują ludzie pracujący z całą świadomością celu od lat kilku; tam tak zwana opinia publiczna rozpływa się w sentymentalnej sympatyi dla strejkujących, ale to się kończy na frazesach pustych i dla braku poparcia muszą pariasi ustąpić, osięgnąwszy zaledwie cząstkę swych żądań, których słuszność przyznawali prawie wszyscy, tu robotnicy nie oglądają się na nikogo, liczą tylko na siebie, na swoją niewzruszoną solidarność i osięgają wszystko bez walki nawet; tam przedstawiciele rządu, przyznając, że jest bardzo źle, nie zdobywają się nawet na tak drobne środki, jak otoczenie robotników i robotnic opieką inspekcyi fabrycznej, bo biurokratom wydaje się niepodobieństwem przeprowadzenie dozoru z powodu, że robotnicy nie pracują w wielkich zakładach (jesteśmy przekonani, że to, co ministrowie uważają za zgoła niemożliwe, komitet jaki robotniczy, posiadający zaufanie, przeprowadziłby z łatwością), tu rząd demokratyczny rozstrzyga jednem słowem kwestyę na rzecz robotników. Sądzimy przeto, że nie od rzeczy będzie rozejrzeć się bliżej w tym ruchu robotników kolejowych, a raczej powiedzmy pracowników, gdyż — co znowu dla czytelnika polskiego powinno być prawie niepojętem — cały personel kolejowy od smarowacza do inżyniera był tu solidarnym. Czerwona czapeczka pana naczelnika stacyi uważała za stosowne dla siebie towarzystwo zatłuszczoną bluzę.

Organizacye istniały już dawno śród tych pracowników, ale organizacye rozstrzelone, słabe liczbą i duchem. Były tam stowarzyszenia „oficyalistów“, do których należeli urzędnicy biur, kasyerzy, inżynierowie itp., stowarzyszenia maszynistów i ich pomocników, konduktorów, robotników warsztatowych itd. Miały one rozmaite cele, np. zakup artykułów spożywczych po niższych cenach dla stowarzyszonych, przestrzeganie swoich odrębnych interesów, a niekiedy wspólną zabawę towarzyską. Przed trzema laty mniej więcej rozpoczął się ferment; do trzody poczciwych baranków kolejowych dostali się agitatorzy socyaldemokratyczni. Rezultatem było przyłączenie się bardzo wielu robotników do ogólnych krajowych związków robotniczych, a wkrótce założenie ogólnego związku robotników kolejowych. Przekonano się, że wszystkie owe miniaturowe stowarzyszenia, mające na celu popieranie materyalnych interesów swoich członków, nigdy nie będą w stanie osięgnąć jakichkolwiek poważniejszych rezultatów. Pierwszym więc krokiem było rozszerzenie owego związku ogólnego, do którego przystępowały oddzielne organizacye, i w tym celu ustanowiono sekretaryat generalny, którego przeznaczeniem miało być doglądanie wspólnych wszystkim pracownikom interesów, a jednocześnie założono organ specyalny „Schweizerische Eisenbahn-Zeitung“. Znalezienie człowieka, któremu można było powierzyć kierownictwo organu i urząd sekretarza, nie było rzeczą łatwą. Wybór padł na wykształconego prawniczo i ekonomicznie dra Sourbeck, berneńczyka, który nie znalazłszy w kraju odpowiedniego swoim uzdolnieniom zajęcia, przebywał od dłuższego czasu w Egipcie. Wybór był świetny i człowiek pióra nie zawiódł nadziei ludzi pracy fizycznej. Energiczny, pełen taktu, niezmordowanej pracy, umiejący pozyskiwać sobie zaufanie i miłość, młody doktor dopiął celu. Związek pracowników kolejowych w przeciągu dwóch lat objął znaczną liczbę wszelkich gałęzi na wszystkich kolejach.

Kto zna życie robotnika, ten tylko może ocenić trudności, z któremi walczyć wypada takim organizatorom. Trzeba nietylko zagrzewać ludzi obojętnych do zrozumienia własnych interesów, ale jednocześnie powstrzymywać biedaków, którzy zniecierpliwieni, chcą natychmiast ten lub ów cel osięgnąć, znieść jakieś nadużycie, które im się dało we znaki, zażądać jakiejś doraźnej, choćby drobnej ulgi. Wtedy siły rozpryskują się i o ogólniejszych celach marzyć nie można. Wódz robotników tym razem umiał uniknąć tych trudności i prowadzić cicho i spokojnie swoją robotę „przewrotową“, jak powiedzą jedni, humanitarną i zacną, jak mają prawo mówić inni.

Najgorszem było położenie robotników na kolei centralnej szwajcarskiej, gdzie zarobek dzienny wynosił tylko 3 franki dziennie (przeciętna płaca wyrobnika waha się w Szwajcaryi ogólnie pomiędzy 3—4,50 fr.) a praca trwała godzin 12 (ogólny dzień roboczy w fabrykach prawo normuje na godzin 11). Przytem działy się ciągłe nadużycia przy awansach itp. Tu więc postanowiono zrobić początek i oględnej pracy sekretaryatu udało się wymódz na zarządzie tej kolei pewne ustępstwa. To dodało otuchy i postanowiono przystąpić do akcyi ogólnej.

Jakkolwiek położenie robotników wspomnianej kolei było najgorsze, to przecież i na innych liniach nie jest ono świetnem. — W Szwajcaryi, jak wogóle na zachodzie, wyzysk nie dotyczy wyłącznie robotników w ścisłem, upowszechnionem u nas znaczeniu. Oto np. kilka cyfr z towarzystwa „złączonych kolei szwajcarskich“, które eksploatuje kilka linii wewnętrznych. Towarzystwo zatrudnia 1100 ludzi, z tych 27 zarabia mniej niż 1000 fr. rocznie, 473 zarabia do 1500, 291 do 2000, 153 do 2500, 80 do 3000, 27 do 3500, 43 do 4000 fr. i tylko 11 wyższe płace. Prezes zaś towarzystwa pobiera 20 tysięcy franków, podczas kiedy siedmiu naj.

wyższych urzędników państwowych, członków rady związkowej, których funkcye odpowiadają funkcyom ministrów, otrzymuje tylko po 12 tysięcy franków pensyi.

Robotnicy tedy postanowili postawić ogólne dla wszystkich kategoryi pracowników wszystkich linii żądania następujące: 1) podwyżkę płac poniżej 2000 fr. o 25 proc., płace od 2 do 3000 fr. o 15 proc., od 3 do 4000 o 10 proc. 2) Uregulowanie stosunków służbowych w ten sposób, aby awanse następowały w oznaczony z góry sposób, przyczem maximum płacy w oddzielnej branży osiągano po upływie 20 lat służby. 3) Wprowadzenie 10-godzinnego dnia roboczego i zawarowanie dni wolnych od służby. W celu obradowania nad temi żądaniami i środkami do osiągnięcia ich wyznaczono w listopadzie roku ubiegłego zjazd w Luzernie, na który przybyło 800 delegatów oddzielnych grup związku. Zgodzono się na owe żądania i postanowiono zagrozić bezrobociem na wiosnę, jeżeli dyrekcye nie zechcą ich uznać. Do pertraktacyi wyznaczono delegacyą z czterech ludzi, którzy mieli reprezentować cały związek; żadna z organizacyi specyalnych, ani robotnicy poszczególnych linii nie mieli prawa wchodzić oddzielnie w układy.

Rozpoczęły się tedy pertraktacye, albo raczej nie zaczęły się zgoła, gdyż po długich wykrętach zarządy oświadczyły kategorycznie, że nie uznają „samozwańczego“ komitetu, że gotowe są układać się oddzielnie, każde ze swoim personelem. Jednocześnie starano się wprowadzić rozdwojenie pomiędzy robotnikami, obiecując najważniejszym grupom, np. maszynistom, zwrotniczym itd., których zastąpić nie łatwo, większe podwyżki niż żądano ogólnie i spodziewając się tym sposobem zyskać czas dla zastąpienia mniej ważnych oddziałów świeżemi siłami. Nic to nie pomogło — robotnicy stali murem.

W końcu stycznia delegacya związku zwróciła się do pana Zemp, dyrektora wydziału kolejowego w radzie związkowej, co według naszych pojęć odpowiada ministrowi komunikacyi, prosząc go o pośrednictwo, na co się chętnie zgodził. Zwołał więc zjazd przedstawicieli zarządów kolejowych i przekładał im, że skoro konstytucya państwa uznaje prawo koalicyi w całej rozciągłości, więc też i zarządy nie mogą nie uznać delegacyi, której robotnicy powierzyli przedstawicielstwo. Nic to nie pomogło, dyrekcye stały przy swojem i zjazd skończył się niczem. Robotnicy jednakże nie dali się zatrwożyć. Rozesłano komunikat, wzywający do imiennych podpisów na żądania postanowione i oświadczenie, że podpisujący gotów jest do bezrobocia w razie uporu dyrekcyi. Na 20,000 przeszło pracowników kolejowych 95 proc. podpisało. Zarządy ogłosiły, że chwycą się dla odparcia środka ostatecznego i wydalą wszystkich, którzy nie zechcą wystąpić ze związku. Robotnicy przyjęli to ironią i oburzeniem.

W końcu, 17-go lutego w niedzielę, zwołano nowy zjazd robotników do Aarau. Była to wspaniała manifestacya, jakiej nie widziała jeszcze ojczyzna Tella. Od rana przybywały pociągi specyalne wiozące robotników. Oddział za oddziałem z muzyką i czerwonym sztandarem przybywał na plac przed starożytnym ratuszem. 10,000 robotników zainteresowanych i do 5000 widzów słuchało z natężeniem mów delegatów.

Dr. Sourbeck przeczytał rezolucyę: pozostawiamy dyrekcyom czas do pierwszego marca, jeżeli do tego dnia nie stanie układ z nami, chwycimy się środka ostatecznego, upoważnimy delegacyę do uorganizowania bezrobocia. Rezolucyę przyjęto z niesłychanym entuzyazmem. Wówczas mówca jeszcze raz wezwał uczestników do zastanowienia się, nim powezmą ostateczną decyzyę, tak doniosłą dla wszystkich i niebezpieczną dla każdego, przypomniał, że kto teraz głosuje za rezolucyą, musi przystąpić do bezrobocia i wytrwać do końca. Jeszcze raz odczytano rezolucyę i wezwano tych, co chcą oświadczyć się za nią: Dziesięć tysięcy prawie wzniosło się w górę; wezwano stronę przeciwną — nie było nikogo. Więc kwestya była postawioną na ostrzu noża.

Dyrekcye nie zapoznawały groźności położenia i niektóre oświadczyły gotowość do układów. Najważniejsze atoli Towarzystwo eksploatujące linię „północno-wschodnią“ i teraz jeszcze wręcz odmówiło wszelkich układów. W towarzystwie tem dzieją się niekiedy rzeczy dziwne. Oto np. przed rokiem usiłowano w zarządzie przeprowadzić kilka projektów: budowę kilku linii podjazdowych, zwiększenie taboru, rozszerzenie głównego dworca w Zürichu itp. Za projektem oświadczyła się znaczna część zarządu reprezentująca akcyonaryuszów krajowych, w których interesie leżały te projekty, bądź że byli interesowani przy dostawach, bądź że spodziewali się korzyści z nowych linii. Ostatnie leżały też w interesie kraju. Jednakże akcyonaryusze zagraniczni, przeważnie kapitaliści z Frankfurtu i Berlina, których jedynym interesem jest wysoka dywidenda, oparli się. Ręka w rękę z nimi szedł prezes pan Guyer-Zeller, przy ich pomocy zwalił dawny zarząd i przeprowadził wybory swoich kreatur. Tem samem oddał się on w ręce owych akcyonaryuszów na łaskę i niełaskę, a ci będąc w obecnym wypadku mniej niż inni zależni od opinii publicznej w kraju, która stanęła po stronie pracowników, byli zapewne głównymi rzecznikami oporu. Dla prezesa więc chodziło o „być albo nie być“. Zwycięstwo robotników dla niego osobiście musiało być klęską, bo zwracało przeciw niemu całą ową decydującą grupę międzynarodowych spekulantów — akcyonaryuszów. Nic więc dziwnego, że chwytał się środków walki nie zupełnie godnych wielkiego towarzystwa. Naprzód więc usiłował działać strachem, rozsiewając przez oddaną sobie prasę, że ma już zupełnie gotowy nowy personel, i jeżeli robotnicy doprowadzą do ostateczności, wydali wszystkich. Jednakże komitet robotniczy, mając swoich ludzi prawie na wszystkich stanowiskach, wiedział, że z pogróżek tych drwić można. Potem, gdy po zjeździe w Aarau inni członkowie zarządu, na wzór pozostałych towarzystw, chcieli podać rękę do zgody, pan Guyer-Zeller użył tego samego, co niegdyś ks. Bismark środka. Wiadomo bowiem jak przez zmianę kilku wyrazów kanclerz pruski przerobił depeszę cesarską z Ems „z szamady w fanfarę“ i tem dopiął wypowiedzenie wojny ze strony Francyi. Tak samo pan prezes zmieniając redakcyę referatu z posiedzenia zarządu uniemożliwił porozumienie. — W ostatniej jeszcze chwili 29 lutego, w ostatnią sobotę, wyznaczył

K. ROJAN.

W ŚWIAT.

(Ciąg dalszy).

Czwartego dnia polepszyło się nieco Loli, przynajmniej o tyle, że już mówiła rozsądnie.

Kazała zawołać ojca do siebie, i ku wielkiej radości starego, powitała go już zdala uśmiechem.

— Nie bój się ojcze, mnie już nic nie jest — zauważyła na wstępie. — Głowa mię jeszcze boli troszkę, ale zobaczysz, że już wstanę.

Borajski uśmiechnął się i pogładził córkę po twarzy.

— A co ojcze nowego? — pytała Lola dalej — a co?

— Ha, no cóż.... nic.

— Franciszek mówił co ojcu?

— Mówił — odpowiada stary, spuszcza oczy i wkręca kościanny guzik w kołdrę jak śrubę. Jest o tyle delikatnym, mimo że tego w jego rzemiośle nie uczą, iż chorej córce najlżejszym wyrzutem przykrości nie chce zrobić.

Więc Lola pyta sama dalej:

— Mój tatku, powiedz, co ci mówił pan Franciszek?

— No, nic.... ot, tak sobie. Może ci podać lekarstwa?

— Nie, ja chcę wiedzieć, co on mówił.

— Mówił... no, mówił... że chciałby jeszcze pojechać gdzieś uczyć się, zwiedzić trochę świata.

— A więc powiedział, że mnie już nie chce. Tak. Domyślałam się, że tak zrobi. Bardzo słusznie, on jest za dobry i za poczciwy dla mnie. Ale inaczej być nie może. Ty wiesz ojcze, dla czego się to stało.

— Coś mi tam matka przebąkiwała. Ten Dyniecki....

— Tylko proszę cię, nie powtarzaj, co matka mówiła, bo będę znowu słaba.... Ja ci lepiej sama wszytko opowiem. Ja kocham Dynieckiego i albo on będzie moim mężem, albo nikt inny. Nieszczęście chciało, żem się pogniewała niedawno na niego.... dla czego? Mniejsza o to, dość, że potem z gniewu i zgryzoty dałam mój pierścionek Smolarzowi. Tymczasem widzisz ojcze, przedwczoraj, czy kiedy to było....

— Jeszcze w sobotę, nie przedwczoraj.

— Tak, w sobotę. Otóż w sobotę stało się ze mną coś dziwnego. Ja ci tego opisać nie mogę.... Ty musisz się już reszty sam domyślić.

Borajski, w obawie, aby córce się nie pogorszyło, całuje ją prędko w czoło i powiada:

— Ależ wiem, wiem.... ja już dawno domyśliłem się wszystkiego.... Tylko nie ruszaj się, nic martw, nie gryź, abyś nie zachorowała na nowo. Później wszystko będzie dobrze.

— Więc zgadzasz się ojcze?

— Ależ zgadzam się, zgadzam; dobrze, doskonale, czemużby nie.

— Dziękuję ci. — Ujęła jego rękę i pocałowała ją kilkakrotnie.

Potem prosiła go, aby przywołał Smolarza.

— Możeby to zostawić na kiedyindziej? — zapytał stary.

— Nie, nie, zaraz — zaprzeczyła Lola. — On się gniewa na mnie. Ja nie chcę, żeby on się na mnie gniewał. Gdy się z nim rozmówię, będę zaraz spokojniejsza.

Zawołano Smolarza.

Przyszedł wprost od roboty osmolony, w codziennej bluzie. Pył węgla poczernił mu łuki pod oczami, przez co nadał zgnębionemu obliczu chłopaka wyraz ponury.

Smolarz był istotnie zmieniony, zachował jednak twardy spokój.

Rozgrzano go do białości i oblano nagle zimną wodą. Znał ten przebieg dobrze; tak hartował on stal w pracowni, tak zahartowano i jego samego. Chciał też i zahartowanym pozostać. Mimo wrodzonej łagodności charakteru, zaciął się i zobojętniał dla wszystkich i wszystkiego; zostało w nim jeno niejasne, bezwiedne poczucie obowiązku i konieczności pracy, która daje zapomnienie. Z szeregu rozmyślań wyłoniła się jedna myśl: „po co ja o tem myślę“. Z szeregu rojeń i pragnień została jedna prośba do Boga: „nie mieć już nigdy żadnego pra-

50,000 franków na podwyżkę płacy dla robotników w warsztatach kolejowych, żądając od nich cofnięcia podpisów i zaręczenia, że nie przystąpią do bezrobocia. W ten sposób można było rzeczywiście wyjść z matni; w warsztatach bowiem pracują ludzie, którzy są przygotowani do objęcia posad maszynistów na parowozach i palaczów. Mając tę część służby, można łatwo puścić pociągi, bo kandydatów na posady konduktorów, do których nie trzeba specyalnych uzdolnień i przygotowania, gdyż jako tako tę funkcyę może spełnić każdy mniej więcej inteligentny człowiek, jest zawsze bez liku. Pozostawali zwrotniczy, lecz tu liczono na popłoch, który mogło wzniecić ustępstwo pierwszej kategoryi. Jednakże nadzieje zawiodły! Z pośród 465 robotników warsztatowych 10 znalazło się tylko odstępców, inni rzucali w ogień piśmienne wezwania dyrekcyi. Jedynym więc rezultatem tej polityki było niesłychane rozgoryczenie śród robotników.

Tegoż dnia, kiedy to działo się w Zürichu, w Bernie odbywała się konferencya delegacyi robotniczej z zarządami czterech ważniejszych dróg, której przewodniczył pan Zemp: nie była reprezentowaną jedynie kolej północno-wschodnia. Od ostatniego swego żądania przedstawiciele robotników ustąpili z łatwością, gdyż jest nadzieja, że w krótkim czasie sprawa dnia roboczego na kolejach zostanie uregulowaną przez państwo. Na inne zaś żądania delegaci zarządów przystali i sprawa została załatwioną w ostatniej chwili ogólnem zwycięstwem pracowników.

Pozostała jedynie sprawa z jedną linią kolejową, lecz z najważniejszą. Tu starcie było nieuniknione i doktór Sourbeck oświadczył w imieniu robotników dyrektorowi departamentu kolejowego, że o godzinie 12 w nocy w niedzielę, pierwszego marca, ruch na tej linii ustanie. — Dla osądzenia sytuacyi należy zważyć, że kolej ta łączy drogę Gothardską z jeziorem Bodeńskiem, a zatem łączy Włochy z Niemcami i Austryą zachodnią, z drugiej strony łączy zachodnią Szwajcaryę, a zatem po części południową Francyę z Niemcami i Austryą. Prócz tego linie tej kolei (posiada ona bowiem całą sieć rozgałęzioną) przebiegają najbardziej przemysłowe części kraju, a więc z ustaniem ruchu na tych liniach, znaczna część fabryk musi zawiesić pracę dla braku paliwa i robotników, którzy częstokroć z odległych wiosek przybywają koleją. Słowem wybuch bezrobocia pociągał za sobą cały szereg nieszczęść dla kraju i powodował bardzo poważne następstwa dla krajów ościennych. Cóż więc dziwnego, że przez całą niedzielę jeden był tylko temat rozmów w rzeszy szwajcarskiej: stanie kolej czy nie stanie?

Członkowie rządu rzeszy zebrali się tedy w niedzielę rano na sesyi nadzwyczajnej. Pan Zemp powtórzył, co już powiedział był na konferencyi, że żądania robotników są umiarkowane i opór kolei jest wybrykiem dziwnym wobec zgodnego zachowania się innych. Postanowiono tedy skorzystać z praw przysługujących rządowi i objąć kierownictwo kolei przez rząd, zatrudniając robotników dawnych na warunkach, jakie przyznały inne koleje aż do chwili ugody pomiędzy stronami. W tym więc duchu wysłano zarządowi kolei w Zürichu telegraficzne zawiadomienie. To poskutkowało. Zarząd w ostatniej chwili, w niedzielę po południu, zgodził się na konferencyę z przedstawicielami pracowników i przyjął ich żądania. Była to w istocie ostatnia chwila, już bowiem stali gotowi ludzie, mający rozwieść wieczornemi pociągami rozkazy komitetu po całej linii, i nie ulega najmniejszej wątpliwości, że w poniedziałek, 2 marca, ani jeden pociąg nie opuściłby stacyi. Teraz powieźli oni natomiast wieść o zwycięstwie i kraj odetchnął. Będzie to w historyi ruchu robotniczego pamiętny na zawsze dzień. Dla szwajcarskiej polityki społecznej pociągnia on za sobą jeszcze jedno ważne następstwo: przysporzy przyjaciół idei upaństwowienia dróg żelaznych, idei, która żywo porusza umysły od roku. Trudno bowiem znaleźć dosadniejszy dowód, że nie wolno społeczeństwu oddawać swoich linii komunikacyjnych na łaskę lub niełaskę pojedyńczego dyrektora, który może przeciw interesom całego kraju postawić swój osobisty interes.

Prócz tego zwycięstwo pracowników oszczędza, w razie wykupu kolei, państwu okrągłą sumę 25 milionów franków. Według niedawno przyjętego prawa bowiem, wykup kolei reguluje się w sposób następujący: Zarządy kolejowe muszą składać rachunki według ściśle unormowanych zasad. W razie, gdyby państwo przystąpiło do wykupu, oblicza się dochód roczny przeciętny za ostatnich lat dziesięć, ten dochód kapitalizuje się po 4 od sta; innemi słowy dochód roczny pomnożony przez 25, daje sumę, jaką państwo płaci za kolej. Jeżeli więc podwyżka płac robotniczych wyniesie w sumie około miliona franków, jak to obliczono, dochody roczne zmniejszą się o taką sumę, a zatem cena wykupu zmniejszy się o 25 milionów. Wprawdzie państwo będzie musiało płacić tyleż, co zarządy prywatne, jednakże ta podwyżka nastąpiłaby w każdym razie; demokratyczna Szwajcarya mniej bowiem deklamuje o „zadaniach społecznych państwa“ niż rządy po za Alpami, ale za to lepiej wynagradza tych, co pracują dla państwa. Ministrowie pobierają 12,000 franków, ale za to urzędnicy poczt mają co jeść.

J. B. M.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Sprawa Lewakowskiego. Wykluczenie demokratycznego posła Lewakowskiego z Koła polskiego w Wiedniu, za rzekome naruszenie solidarności, spowodowało wielkie zamieszanie i zaciętą polemikę, nietylko w galicyjskiej, lecz i w wiedeńskiej prasie. „Nowa Reforma“ poświęca kwestyi tej następujące uwagi.

---

gnienia“. Stwardniał, zobojętniał i przeobraził się z miękkiego żelaza w stal nieuchwytną zębami pospolitego, codziennego pilnika.

Wiedział, że Lola jest chorą, nie pytał jednak o jej zdrowie. Być może, że w razie, gdyby mówiono gdzieś w pobliżu o niej, byłby wytężył słuch, aby dowiedzieć się, co jej jest, — lecz sam nikogo o to pytać nie chciał. Oszukiwał sam siebie i swoje serce. Przyzwyczajony do twardej pracy, grubych uczuć, kanciastego poglądu na świat i ludzi, słowem do życia w „zgrzebnej koszuli“, wstydził się tkliwości, miękkości i tego wszystkiego, co tkwiło w nim z innego, jakiegoś lepszego i niezwykłego zaszczepione świata.

Gdy wszedł do pokoju dziewcząt, zadziwił się, że mu serce zastukało. Zadziwił się, wszak był pewnym, że już dla niego nie ma Loli na świecie, a ta inna, co ją nazywają panną Borajską, to jakaś niewiasta obca, której nie zna, i która nic a nic go nie obchodzi. Cóż więc to głupie serce znowu wyprawia, po co się niepokoi, skoro mu niewolno?...

— Siadaj pan, panie Franciszku, blisko koło mnie. Ja chcę z panem bardzo serdecznie pomówić.

Wstęp wielce obiecujący. Ale Franciszek przyszedł już do siebie i uśmiecha się nieznacznie tem skrzywieniem ust, co zda się powiadać:

— Co mi tam. Lepiej bądźmy z daleka. Ja jestem sobie pospolity człowiek, kowal z zawodu, na fanaberyach nie znam się, a komedyi nie lubię.

— Pan masz wielki żal do mnie, prawda?

— Nie, panno Lolu.... Na cóż? — ruszył obojętnie ramionami.

— Bo widzi pan, żebym ja mogła przemienić się w dwie osoby, żebym choć miała siostrę taką samą jak ja.... Mnie pana żal serdecznie. Nie mogę żadną miarą uspokoić się.... Ale inaczej być nie może. Pan tego nie pojmiesz, bo zdaje mi się, że i ja na pańskiem miejscu nie pojęłabym, i dla tego mię to martwi. Ja nie chcę, żebyś się pan na mnie gniewał — wyciągnęła rękę ku niemu — przebacz mi pan, panie Franciszku.

Matowe obojętne oczy Smolarza ożywiają się, nabierają niezwykłego połysku. Zimną stal rozgrzewają ciepłe słowa na nowo i czynią ją miększą, podatniejszą.

— Ja, panno Lolu, nie mam żalu żadnego — powiada spokojnie i na pozór obojętnie — bo i dla czegoż? Tak mi już widać przeznaczone, więc też tak się stało. Daj Boże, aby pannie Loli powodziło się jak najlepiej na świecie. A mnie.... No cóż? mnie także źle nie będzie.

Dotąd panował Smolarz szczęśliwie nad sobą, w tem jednak miejscu, gdy myśli jego zawisły na rozdrożu, gdzie się rozchodziło wspólne ich życie, aby się nigdy więcej nie złączyć, gdzie w jednę stronę szedł on sam, a w drugą ona z Dynieckim, sztuczny pokój zawiódł go, przelał się brzegami.

— Zresztą, panno Lolu — ciągnął dalej roznamiętniając się i czerwieniąc na twarzy — nie mówmy już nic o mnie, bo nie o mnie tu chodzi. Niech się pannie Loli zdaje, że mnie już nie ma w Kołczanowie, „że poszedłem precz; ale jest ktoś inny, jakiś dobry przyjaciel, co pragnie szczęścia dla panny Loli. Nie złość przezemnie przemawia, nie krzywda żadna, bo tej nie ma, ale mówi szczera prawda. Strzeż się go, panno Lolu, strzeż, bo to zły człowiek. Ja go znam. Potem będzie za późno i będzie panna Lola gorzko płakać. A po co to?

Lola wykrzywiła usta boleśnie, opuszcza ręce i patrzy chwilę nieruchomo w wyblakły obraz, wiszący na przeciwległej ścianie. Wreszcie, ochłonąwszy i zebrawszy myśli, powiada z rezygnacyą:

— Być może, że będę płakała. Tak już jest na świecie, że wszystkie kobiety płaczą czasami na swoich mężów, ale jedna chwila szczęścia nagradza później wszelkie przykrości, a mnie się zdaje, że ja tylko z nim jednym takiego szczęścia dożyć mogę.

— Ha.... no, jak tak, to trudno — mruknął Smolarz z cicha — inaczej już chyba nie będzie — dodał i zamilkł.

I znowu oblicze jego przez ubiegłą chwilę zaognione, poczęło stygnąć, przybierać maskę obojętności.

Wnet wstał i pożegnał dziewczynę, uśmiechając się po dawnemu, jakby dla okazania, że nie czuje żadnego do niej żalu.

Stary Borajski wysłuchawszy nazajutrz po zabawie w „Gwieździe“ zwierzeń Smolarza, nie mógł się pogodzić z myślą, że Fran-

„Solidarność reprezentacyi naszej w Wiedniu nie zyskała nic na pospiechu, a uchwała straciła przez to tę siłę, jaką powinna mieć każda uchwała, dotykająca jednostkę: — cechę bezstronnej sprawiedliwości. Jeżeli nadto przy zwołaniu Koła nie zachowano przepisanych formalności, jeżeli nie zawiadomiono o posiedzeniu wszystkich posłów, jeżeli uchwała zapadła tylko w nader szczupłym komplecie, to decyzya Koła nosić będzie na sobie cechę intrygi, urządzonej przez nieprzyjaciół p. Lewakowskiego, a wtedy wykluczenie tego posła z Koła nietylko nie zwróci się przeciw niemu, ale zwróci się przeciw Kołu samemu i, zamiast wzmocnić solidarność, napiętnuje Koło cechą kliki, nie przebierającej w środkach, aby złamać opozycyę w łonie samego Koła".

Dalej rozpatrując jakie prawo Koło polskie miało wydawać wyrok potępiający na dra Lewakowskiego, „N. Reforma" pisze:

„Niepodobna stwierdzić w tej chwili, czy istniała uchwała komisyi parlamentarnej. Chociażby jednak uchwała taka istniała, to, jeżeli prawdą jest, co twierdzi p. Lewakowski, że o niej go nie zawiadomiono, (to skonstatowali sami członkowie Koła i prezes p. Zaleski. Prz. Red.) Koło nie miało powodu i prawa występować przeciw niemu z taką gwałtownością i zastosowywać przeciw niemu takiego środka, jak wykluczenie. Wpierw zatem należało wysłuchać obrony p. Lewakowskiego i stwierdzić prawdziwość jego zarzutów.

Nawet wtedy zresztą, gdyby stwierdzono zupełną winę p. Lewakowskiego to jeszcze postąpiono z nim zbyt surowo. Naruszenie solidarności jest karygodnem, ale w wymiarze zadośćuczynienia nie można być bezwzględnym. Sprawa, o którą chodziło, a więc i wina p. Lewakowskiego, nie była tego rodzaju, aby z pominięciem wszelkich innych środków zadośćuczynienia, imać się najcięższego i najniebezpieczniejszego — wykluczenia z Koła. Sprawa nagłości wniosku p. Gessmanna nie należy do spraw, w których złamanie solidarności mogło przynieść szkodę narodowości lub interesom kraju. Nawet ze względów faktycznych solidarność nie była konieczna. Wszak hr. Badeni oświadczył, że przeciw nagłości nic nie ma do zarzucenia i jedno z wielkich stronnictw rządowych, tj. zjednoczona lewica niemiecka, głosowało za uznaniem nagłości.

Głosowanie Koła polskiego nie było wcale usprawiedliwione. Wszak rozchodziło się o obronę praw obywatelskich i w takich wypadkach należy zwracać uwagę nie na to, kto czyni wniosek, ale dokąd on zmierza. W gruncie więc rzeczy p. Lewakowski miał racyę, głosując za nagłością, a chociaż przez to naraził solidarność Koła, nie naraził żadnych interesów, których strzedz powinien, jako poseł polski. Złamanie solidarności należało skarcić, ale wystarczyłoby udzielenie nagany, lub zażądanie odpowiedniej deklaracyi.

Wykluczeniem p. Lewakowskiego Koło polskie przekroczyło miarę, a tracąc jeden głos, osłabiło swoje siły i samo dobrowolnie uwolniło p. Lewakowskiego od obowiązków, które nań nakładało należenie do Koła. Jak z tej swobody skorzysta p. Lewakowski, nie chcemy przesądzać, ale Koło polskie może żałować kiedyś swego kroku. Postąpiło zatem nierozważnie i zamiast wzmocnić solidarność, uwolniło od niej posła, z którego zasadami, przekonaniami i taktyką wcale się nie zgadza".

* * *

S p o r t czy „g e s z e f t" z k a t o l i c y z m e m w n a s z e j p r a s i e. Pod takim tytułem zamieścił „Orędownik" w Nr. 64 artykuł następujący.

Zaznaczanie i wywieszanie zasad katolickich w naszej mianowicie ludowej prasie jest rzeczą bardzo naturalną. Chodzi przytem bowiem o zadokumentowanie stanowiska katolickiego w zasadzie, o zadokumentowanie tradycyi narodowej, która się na życiu katolickiem narodu naszego całe tysiąc lat układała. Chodzi także o to, że walka kulturna uderzała w nasz Kościół na to, by przygnieść narodowość naszą; chodzi i o to, że dziś socyaliści próbują wcisnąć się w nasz lud, by mu z serca wyrwać uczucie katolickie. Są to wszystko bardzo poważne względy, nakładające na prasę polską obowiązek, aby manifestowała swe katolickie stanowisko co najmniej tam, gdzie tego potrzeba wymaga.

W tym kierunku posuwają jednak niektóre dzienniki nasze swą gorliwość dalej, aniżeli potrzeba. „K u r y e r P o z n." pojmuje swe stanowisko katolickie tak, jak gdyby miał monopol na to i jak gdyby manifestowanie zasad katolickich oddane mu zostało — w wyłączne pachciarstwo. Za pachciarzy katolicyzmu przedstawiają się także poznański „Wielkopolanin" i inowrocławski „Dziennik Kujawski". Gazety te narzucają się nawet drugim z swym sposobem pojmowania obowiązków prasy polskiej w obec Kościoła, duchowieństwa i interesów katolickich, a w obec gazet i obywateli w sprawach publicznych, nie kościelnych, mających odmienne zapatrywanie, pozwalają sobie prowadzić pewien rodzaj inkwizycy i to w takiej formie, jak gdyby im od Władzy duchownej dana była ku temu osobna misya.

Na mocy takiej racyi, kto się tym trzem gazetom nie spodoba, tego krótko odsądzą od katolicyzmu i jeżeli go nie nazwą wrogiem, to co najmniej niebezpiecznym przeciwnikiem katolicyzmu.

Tak postępuje sobie „Kuryer" od lat kilku z zwolennikami ruchu ludowego; tak sobie postąpił w niedzielnym numerze z p. mecenasem C h r z a n o w s k i m z Poznania, nie mając żadnego prawa do tego, ani nawet cienia powodu, a czyniąc to jedynie z tej racyi, że interesa swej drukarni i swego pisma identyfikuje z interesami Kościoła rzymsko-katolickiego. Kto jest przeciw nakładcom drukarni „Kuryera", ten jest przeciw — Kościołowi! — tak napisano w niedzielnym „Kuryerze" wcale niedwuznacznie. Pisze „Kuryer", że na walnem zebraniu Czytelni Ludowych p. mecenas Chrzanowski wystąpił przeciw kilku książeczkom, umieszczonym w Czytelniach, które zakupiono z drukarni „Kuryera". „Kuryer" broni tych książeczek, co mu wolno: dalej wspomina o książkach, jak „Wiara Ojców naszych", jak „Matka Świętych Polska", — wydanych nie przez „Kuryera", ale przez Wydawnictwo Straży św. Wojciecha, o których p. mecenas Ch z. na zebraniu ani słówkiem nie wspomniał — i pisze dosłownie tak:

„Kto przeciwko tym książkom występuje, kto by je pragnął wyrzucić z czytelni ludowych, t e m u w i d o c z n i e n i e p o d o b a s i ę i c h w y b i t n y c h a r a k t e r k a t o l i c k i, a z t a k i m przyjacielem w y e m a n c y p o w a n e g o z p o j ę ć k a t o l i c k i c h ludu my w dysputy wdawać się nie będziemy, bo na to szkoda czasu.

„To niech sobie p adwokat Chrzanowski, prezes zjednoczonych Sokołów wielkopolskich, r o z w a ż y i dobrze s p a m i ę t a".

Nie chodzi tu bynajmniej o osobę p. Chrzanowskiego, czy czyją inną, ale o s p o s ó b dokumentowania zasad katolickich i obrony ludu przed możliwem wyemancypowaniem się z pojęć katolickich. Od nieuznawania pożyteczności n i e k t ó r y c h nakładów drukarni „Kuryera" do emancypowania ludu z pojęć katolickich droga jeszcze bardzo daleka. W tym przypadku zachodzi jedynie chowanie interesów drukarni „Kuryera" pod opiekę kościoła.

Na takich kramarzy, wciskających się do świątyni, wziął Chrystus Pan bicz w rękę i wygonił ich

---

eiszek chce naprawdę porzucić Lolę i jego pracownię.

— Musieli się pogniewać o coś i teraz chmurzą się na siebie — myślał — jutro, pojutrze przeproszą się i znowu wszytko będzie po dawnemu. Nie trzeba tylko chłopaka wypuszczać z domu.

Szczęliwy zbieg okoliczności przyszedł mu z pomocą. W przeddzień zabawy, zamówiła kasa oszczędności w jego pracowni „koło szczęścia", tj. mosiężny bęben, osadzony na osi, oszklony po bokach, a przeznaczony do mieszania losów przed ich ciągnieniem przez głuchoniemą sierotkę. Praca przy tem „kole" była bardzo subtelna i wymagała szczególniejszych zdolności ślusarskich. Nikt z pomocników Borajskiego prócz jednego Smolarza nie mógł podjąć się jej i stary przyjął zamówienie, jedynie namówiony przez Franciszka.

— Mam cię teraz, bratku — myślał następnie po rozmowie ze Smolarzem — dobrze, żeś zaczął robić „koło szczęścia". Srebrem trzeba w mosiądzu lutować, tego mi żaden z czeladzi nie zrobi, tylko ty jeden. Nie wymkniesz mi się przez dwa tygodnie z domu, a za ten czas jeszcze wy się pogodzicie.

Gdy zatem Smolarz, rozmówiwszy się z Lolą, wrócił do pracowni, w ślad za nim podążył tam stary, aby chłopaka wybadać; ale od czego tu zacząć, jak się prawdy dowiedzieć?

— A co, idzie robota? — zapytał tedy, oglądając toczone i gięte części mosiądzu.

— A no, czemużby nie? — odmruknął Smolarz, nic zatrzymując się w pracy.

Borajski podumał chwilę

— No coś trzeba nasadzić czopki, co?

— Juści, że trzeba, inaczej szkło pęknie.

Stary znowu duma, Smolarz piłuje.

— Będzie to ładny kawałek, jak się złoży.

— Hm....

Chwila milczenia.

— Żeby tylko śrubki nie puściły... co?

— Ej, nie, trzymają jak zębami.

Stary siada na zydlu i zakłada nogę na nodze.

— Coś tam gadaliście z Lolą — zaczyna jakby od niechcenia.

— A.... niby.

— No, o czem?

— Ot, tak sobie.

— Pogodziliście się może?

— Albo ja wiem? My się przecie nie gniewamy.

— Więc pan może nie jedziesz?

— Czemu nie? Jadę, jak skończę „koło szczęścia".

— Aha....

Borajski wydobył kraciastą chustkę i otarł nos z nadmiernym hukiem.

— Tak, tak — dodał po namyśle — trzeba mi iść dalej.

Na schodach spotkał Dynieckiego który mu oświadczył, iż przychodzi zapytać o zdrowie Loli. Borajski poprosił go do bawialnego pokoju i zawiadomiwszy o tem żonę odszedł do siebie na górkę.

Dyniecki odwiedzał teraz Borajskich codziennie. Stary, chociaż nie bardzo rad z tych wizyt, witał i żegnał go zawsze uprzejmie, pamiętając, że Dyniecki jest synem jednego z najbogatszych obywateli Kołczanowa. Ponieważ jednak nie wiedział, o czem rozmawia się z takimi jak on paniczami, więc wyręczając się żoną i Anulką, co prędzej uciekał z bawialni i chował się w swojej kancelaryi na poddaszu.

Tam rozmyślał:

— Dobry byłby i ten, choć mi tamtego szkoda. Dynieccy mają młyn i sto tysięcy gotówki. Lola byłaby wielką panią. Szkoda, że nie mam dwu córek. Jedną wydałbym za tego, a drugą za tamtego. Zresztą i syn by się przydał. Ożeniłbym go z Anulką, bo to złota dziewczyna.... Hej, hej... nie dał mi Bóg syna!... Żeby choć Lola była szczęśliwa. At, co ja się będę darmo kłopotał. Chce Dynieckiego, niech idzie za Dynieckiego — a jakby ten skrewił, to zawsze Smolarz zostanie w zapasie. No i koniec.

Zadowolony z wyniku rozumowania, nasadził czapkę na głowę, i szedł do Bronarza na dwa „podwójne".

(Ciąg dalszy nastąpi.

z domu Bożego. W Poznaniu w ostatnich 4 latach stali z kolei jeden, drugi, trzeci, teraz stoi czwarty prałat kapituły poznańskiej na czele Drukarni „Kuryera“; wszyscy z kolei patrzą na to prowadzenie „geszeftu“ z zasadami katolickiemi, i żaden z nich bicza nie bierze!

A cóż ludzie mają myśleć — o takim „geszefcie“! W ogóle z rozpisywaniem się po gazetach o zamówionych mszach św. i innych świętych rzeczach prowadzi się w prasie polskiej sport wcale niestosowny. To hałaśliwe, jarmarczne wywieszanie w prasie naszej zasad i haseł katolickich nazwała pewna osobistość w Poznaniu — kompetentna w tych sprawach — rzeczą „wprost wstrętną i paskudną“!

— *ski.*

LITERATURA I SZTUKA.

Pesymiści-melancholicy.

(*E. Orzeszkowa. Melancholicy, nowele. — Warszawa 1895, 2 tomy*).

(Dokończenie.)

Nieco więcej tego pierwiastku znajdujemy w „Świetle w ruinach“. Młoda arystokratka straciwszy dzieci i miłość męża, godziła się z przeznaczeniem, ale czuła nudy i pustkę, zazdrościła „małym biednym spracowanym nie mającym czasu myśleć i nudzić się“. Zdawało jej się, że si zakochała, bo że *on* był zakochany, to nie ulegało wątpliwości. Więc po pewnej walce zgodziła się być „choćby pobladłym, ale ciepłym płomieniem czyjegoś serca“. I w chwili, kiedy na to serce oczekiwała, zdecydowana mu się oddać, przyszedł „dziadunio“, stary przyjaciel jej rodziców. Uważała go za idiotę, burzyła się na myśl parogodzinnego z nim sam na sam, ale dobre wychowanie, a raczej nałóg uprzejmości kazał jej rozpocząć rozmowę. Podniosła mu nawet laskę i spotkała się z wzrokiem zdziwionym. Przyszła rozmowa na jej ojca — w oku starca ukazała się łza. Rozgadał się. Ojciec jej był uczonym, a nadewszystko dobrym — „*nadewszystko*“, bo na świecie więcej jest uczonych, niż dobrych“. Zapytywany opowiadał dalej „dziadunio“ o sobie, o swoich obecnych stosunkach. Mieszkanie ma zimne, nie zawsze go dobrze karmią, ale cóż, kiedy mieszka u praczki, która nie dba o to, czy staremu ciepło, czy zdrowo jada. „Mówisz, że nie uczciwa? Ehe! sprobój stać nad balią od rana do wieczora, pięcioro dzieci odziać i nakarmić... zobaczymy jaka będzie twoja uczciwość... ehe!“ I z odzieżą ma ł.ł pot, choć płaci, aby ją naprawiali, czyścili, prali. Jak? co? zmienić mieszkanie? A cóżby było z wisusami? Z jakimi? no, dwóch malców tam jest... miłe błazny, bardzo miłe i zdolne. Należałoby ich oddać do szkół, ale on nie ma na to, a więc ich uczy, trzy godziny ich na dzień męczy.... I to jego szczęście, bo coby robił? A jak odejdą, to nie robi nic. Mówisz, żebym czytał? Ale ja już od dziesięciu lat nie czytałem. Mam dawne książki, mógłbym mieć trochę nowych, ale patrzę na nie jak spragniony na wodę i... nie mogę... Co? ty chcesz mi głośno czytać, e, nie może być!? W tej chwili lokaj zaanonsował oczekiwanego gościa — hrabina go nie przyjęła. Powóz odwiózł starca, który jeszcze opowiedział bolesną historyę swego syna, a wielka dama myślała o tem, jak jutro zaopiekuje się starcem, jak mu urządzi mieszkanko, wisusów do szkół odda... „W ruinach jej szczęścia błysnęło światło czyste i ciepłe“.

Dość twardym orzechem do zgryzienia dla sprawozdawcy jest nowela „Ascetka“, ponieważ ks. Karol Niedziałkowski napisał z powodu niej obszerną rozprawę o ascetach w rzeczywistości i wyobraźni, w której zarzuca Orzeszkowej zupełne niezrozumienie ascetyzmu.*) Braku kompetencyi w tej sprawie ks. Niedziałkowskiemu odmówić nie można, ale z drugiej strony należy zauważyć, że Orzeszkowej nie szło o ascetyzm wogóle i że zapewne nie miała zamiaru bohaterkę swej powieści przedstawiać jako ogólny typ ascetki. Zdradzona przez przyjaciółkę, która odebrała jej narzeczonego, ascetka Orzeszkowej przepełniona goryczą do świata, wstępuje do klasztoru. Cały czas przepędza na modlitwie i ćwiczeniach, jest wzorem dla „sióstr“ i zdaje się jej, iż odnalazła spokój, jakiego nie miała na świecie. Ale u małej dziewczynki, oddanej do szkoły klasztornej, ujrzała takie oczy jak u niego i spokój jej runął. Przenosi się myślą w lata ubiegłe, a grzech ten chce zmyć ciężką pokutą. Ale mimo świadomości grzechu, wciąż wraca do niego i nienawidzi dziecka jej i jego, obchodzi się z niem ostro i bez serca. To ją znów prowadzi do egzaltacyi nerwowej, do niesłychanych umartwień ciała: biczuje się aż do omdlenia, obiera dla siebie straszną wilgotną celę z trumną zamiast łoża, na klęczkach prosi Boga, aby ją wziął jak najprędzej do siebie. Owa dziewczynka zachorowała na tyfus plamisty, w duszy ascetki odbywa się olbrzymia walka, z której wychodzi zwycięzona. Prosi przełożonej, aby jej powierzyła pielęgnowanie ciężko chorego dziecka... Ks. Niedziałkowski „nie dziwiłby się, gdyby nawet wypadek podobny był psychicznie prawdziwy“, a to sprawę rozstrzyga na korzyść Orzeszkowej. Inna rzecz, iż się taka ascetka może a nawet musi nie podobać tym, co żądają od ascetów prawdziwego powołania, a nie szukania w ascetyźmie ulgi po bólach życia, a tembardziej po zawodach miłosnych; zgoda też na to, że utwór Orzeszkowej jest „utworem imaginacyi i nie ma nic wspólnego z chrześciańską ascezą“. Co do roboty artystycznej „Ascetka“ ma jedną wielką wadę: jest za rozwlekła. W każdym razie są w tym utworze niepoślednie piękności, jak opis odbywającej się walki w sercu i głowie ascetki, jak malownicze i pełne wysokiego nastroju obrazy kościelnych obrzędów, lub jak wybornie narysowana postać przełożonej, która „rzeczom niebieskim nieskończoną wyższość nad ziemskiemi przypisując,

*) Ks. Karol Niedziałkowski. O chrześciańską zasade. Warszawa 1895, tom I.

St. Czałut.

WSPOMNIENIA
Z LEGII ZAGRANICZNEJ.

(Ciąg dalszy.)

Krapodyna to rodzaj ukrzyżowania, a może i gorsze od ukrzyżowania samego. Gwoździami przybity do krzyża skazaniec zameczy się przez jednę lub dwie doby, podczas gdy legionista krapotynowany całe tygodnie znosić musi prawdziwe męki Tantala. Żołnierz rozpięty na zwyczajnej desce, skrępowany i przywiązany do niej za ręce i nogi wystawiony bywa aż do 30 dni na słońce afrykańskie. Odwach z nabitą bronią strzeże winowajcy, uważa żeby w miejscu, gdzie ofiara leży, słońce nie zaszło, lecz gorącemi promieni swych pociskami i blaskiem nieznośnym tem więcej dokuczało nieszczęśliwej ofierze, dręczonej nadto nieznośnie przez muchy i komary. Kawałek suchego chleba i łyk wody to porcya skazańca na dobę jedną. Że w podobnej sytuacyi wytrwać może człowiek długich dni trzydzieści i tyleż nocy, prawie niepodobieństwem się wydaje. Prawda, że niejeden już po dniach kilku umiera, ale znałem i takich, którzy cały miesiąc szczęśliwie przetrwali. Sierżant pewien, belgijczyk, wytrwawszy 30 dni krapodyny tak dalece sobie powrozami poprzecinał ręce, nie mogąc spokojnie wyleżeć dla owadów całemi chmurami kąsających, że amputowano mu obie w łokciu. Gdy z powodu amputacyi i osłabienia umarł, matka jego, zamożna pani belgijska, wniosła zażalenie wprost do francuzkiego ministeryum wojny na barbarzyńskie zamęczenie swego jedynaka. Rozpoczęto z wyższego rozkazu śledztwo, lecz, ma się rozumieć, sekcya zadręczonej ofiary wykazała, że sierżant *nie* z powodu osłabienia i amputacyi, lecz dla wrzodów jakichś wewnętrznych, powstałych przez życie hulaszcze, padł śmierci ofiarą. Taki był raport do ministeryum, choć bodaj czy i sami lekarze raportowi temu dawali wiarę. Każdy z nas wiedział, że sierżant ów bynajmniej życia rozwiązłego nie prowadził; nam 30 dni krapodyny dostatecznem było objaśnieniem jego śmierci.

Nie mniejszy postrach dla wszystkich wzbudzał rodzaj kary, gdzie więźnia zamiast do celi wrzucano do dołu wykopanego lub wykutego przez krajowców. Dołów takich, zwanych „sillos“, masz pełno wszędzie. Są to cysterny wysuszone, przemienione w najokropniejsze więzienia. Doły te w kształcie gruszki kopane, są mniej więcej 6 metrów głębokie, a 4 szerokie. W razie potrzeby zakrywa je się pokrowcem. Dotąd więc wrzuca się więźnia, gdzie pobyt tem straszniejszy, im dłużej trwa i im więcej ofiar wspólny los podziela. Od chody własne zapowietrzają wkrótce atmosferę, wreszcie nawet nie ma miejsca czystego, gdzieby kości zmęczone złożyć można. Podczas dnia, gdy najjaskrawsze promienia słońca wpadają wprost przez otwór do wnętrza lochu, wieko bywa zdejmowane i temperatura w dole dochodzi do niesłychanej wysokości. Chleb, podawany więźniowi, wysycha, a woda już przed podaniem grzana umyślnie przez kilka godzin na słońcu, formalnie się gotuje. Męki więc skazanych są nie do opisania. Przez kilka dni najsilniejsi mężczyźni zmieniają się w kościotrupy. Wielu słabszych ulega już po krótszym czasie tym szatańskim mękom, za których barbarzyństwo rumienić się powinna Francya w 19 wieku, jeżeli jej oficerzy z wiedzą rzeczypospolitej karę podobną dyktowali żołnierzom, którzy, choć cudzoziemcy, prawie po wszystkich częściach świata walczyli za honor przybranej swej ojczyzny; uznanie należy się Boulangerowi, który, znając niezawodnie owe kary okrutne z czasów swego gubernatorstwa w Algierze, jako minister wojny zakazał ich surowo. Trupów nagromadzonych w sillosach nie oddala się, a szkaradna woń zgnilizny wskazuje pozostałym przy życiu los okrutny, który ich lada dzień spotkać może. Czasami delikwenci 60—70 dni ślęczeli w tym otwartym grobie. Gdy karę szczęśliwie przebyli, często się zdarzało, iż wycieńczonemu jak szkielet, ledwie jeszcze do człowieka podobnemu kościotrupowi legionisty, przypinano tornister z całym pakunkiem na barki, by przez 6

mniemała, że i w tych drugich może znajdować się niekiedy coś niewinnego a miłego“.

Pozostaje jeszcze jeden szkic psychologiczny: „Wielki“. Rzecz to najsłabsza z całego zbioru. Skrzypek, pojący się sławą, oklaskami, owacyami, stracił wskutek przeciągu władzę w prawej ręce. Sądzi, że to przejdzie, tak jak przeszedł tyfus, który jednocześnie rzucił go na łoże. Przekonywa się jednak, że się łudzi, że smyczek pod jego dłonią nie będzie już entuzyazmował publiczności. Był do tej chwili wielkim, teraz zostaje niczem. Narzeczona, która ukochała w nim sławę, poddaje się woli rodziców i cofa swą rękę przeznaczoną jedynie dla w i e l k i e g o. Zapewne, że to może, a nawet musi naprowadzić czarne myśli do głowy, ale naprzód melancholik ten nie leczy się z melancholii, a więc stoi w sprzeczności z treścią całego zbioru, a powtóre cóż to za wielkość, która zawisła od pierwszego lepszego przeciągu? Współczuje się ze skrzypkiem, ale ma się ochotę zapytać Orzeszkowej: czy ona rzeczywiście uznaje tego rodzaju wielkości? Że tłum nie zasta nawiający się, że reporterya, melomani i dziennikarze, tego gorszego, a raczej „słabszego“ gatunku, stawiają na piedestale wszelkiego rodzaju skrzypków, śpiewaków, fortepianistów, że dziesięcioletni dzieciak, który dobrze palcami przebiera lub smyczkiem pociąga, zbiera pieniądze i sławę będącą nagrodą dla ludzi prawdziwie w i e l k i c h dopiero po w i e l k i c h czynach, lub stworzeniu dzieł znakomitych, na których wyciśnięte jest piętno nieśmiertelności — to nie żadna jeszcze racya, aby ogół prawdziwie inteligentny tych wykonawców a nie twórców za w i e l k o ś c i uważał. To też wielki poeta, myśliciel, mąż stanu, artysta-kompozytor, nie obawia się, aby wielkość jego runęła od.... przeciągu; nawet śmierć nie zdejmie laurów z jego skroni, bo choć ciało się rozpadnie, pozostają jego dzieła i czyny....

Tak się przedstawiają „Melancholicy“ Orzeszkowej. Pomimo tu i owdzie przeciągnięcia lub niedociągnięcia struny, należy im się jedno z miejsc honorowych w naszej literaturze beletrystycznej z lat ostatnich. Zbytecznem byłoby zapewniać, iż autorka „Chama“ nie napisze nic takiego, coby nie nosiło na sobie piętna artyzmu i głębokiej myśli. Pod tym ostatnim względem zajmuje ona stanowisko w naszem powieściopisarstwie bodaj czy nie najwybitniejsze. Cała jej działalność literacka, to ciągły protest przeciwko teoryi: sztuka dla sztuki. A w naszem skołatanem społeczeństwie to wielka, bardzo wielka zasługa.

Jeżeli często ze względów stronniczych nadużywamy nazwy c z y n dla określenia wartości dzieła artystycznego, to prawie nigdy tej nazwy nadużyć nie można, kiedy jest mowa o utworach Orzeszkowej. Zapewne, że na wszystkie jej zapatrywania i pojęcia zgodzić się nie można, że przeciwko wielu z nich należało może silnie wystąpić, (stosuje się to zwłaszcza do jej utworów dawniejszych) ale nie ma wątpliwości, iż Orzeszkowa zawsze wysokie znaczenie przywiązywała do misyi autorskiej i zawsze była przekonaną, że walczy w imię prawdy, dobra i piękna, w obronie społecznych ideałów, w celu ukrzepienia sił ogółu i jednostek do walki z przeciwnościami. Piórem jej kierowała szlachetna idea służby talentu na rzecz dobra powszechnego, służby zwłaszcza dla swego biednego narodu, dla tej ziemi-matki, która ją wypiastowała i której chciała się wypłacić miłością dobrego dziecka. Wypadało to czasem na niekorzyść artystycznej strony jej utworów, ale choć traciła na tem artystka zyskiwała na tem obywatelka. Spostrzega się to gdzieniegdzie i w „Melancholikach“, w których dążność etyczna i obywatelska przeważnie na pierwszym stoi planie. Ztąd pisząc o nich, nie można poprzestać na ocenie ich wartości literackiej, a trzeba pamiętać, że odganiając czarną zmorę pesymizmu, przynoszą one sercom i umysłom wątpiącym pociechę. I ten bohater „Z pomroku“, głoszący ideę serdecznego braterstwa i ten z „Jednej setnej“ choć nie wart wiele, ale przypominający sobie z pewną wewnętrzną rozkoszą parę dobrych uczynków, i ten „dziadunio“, uczący wisusów, i ta jego przyszła opiekunka pragnąca zapełnić pustkę w życiu czynami miłosierdzia, i ten żyd zegarmistrz biegnący za pogrzebem jasnego grafa, i ta wreszcie ascetka pielęgnująca dziecko człowieka, który złamał jej życie — spełniają w „Melancholikach“ swą etyczną misyę, rozszerzając otwory światła w czarnej płachcie życia, spełniają obowiązek opieki literatury nad zdrowiem moralnem społeczeństwa. A cóż dopiero powiedzieć o Zenonie z „Braci“, o tym melancholiku, co z zaparciem się własnego szczęścia, chce być „kroplą wody i drobiną światła“ dla kawałka ziemi rodzinnej. Takim cichym bohaterom obowiązku należy się wysokie uznanie, równe uznaniu dla tej, która takie postacie kreśli i wysuwa naprzód za wzór, za przykład do naśladowania.

Kazimierz Bartoszewicz.

Nowiny literackie z Paryża.

Za kilka miesięcy ukaże się nowa powieść Alfonsa Daudeta, p. t. „Soutien de famille“. Zapytywany o nią autor, tak odpowiedział w dzienniku „Matin“: „Książka, jaką przygotowuję do druku „Soutien de famille“, rozpoczyna się listem istotnie przezemnie odebranym. List ów pisał człowiek mi nieznany, lecz polecający opiekę nad swojemi dziećmi, sam bowiem postanowił utopić się w poblizkim kanale. W powieści mojej rozwijam dzieje życia najstarszego z synów tego biedaka. Jako najstarszy w rodzinie, powinien myśleć o zapewnieniu jej bytu. W ciągu mego opowiadania, chłopiec napotyka na swej drodze sporo zacnych ludzi, chcących mu ułatwić zadanie, jakiemu jest obowiązany podołać. Popierany przez obcych, pieszczony wśród swoich szanujących w nim głowę rodziny, chłopak leniwieje, a cały ciężar pracy spada na młodszego brata, poświęcającego się z serdecznem oddaniem i przypisującego zasługę rezultatu swych zabiegów najstarszemu z rodzeństwa. Prócz tego powieściowego wątku, starałem się o ile możności najwierniej namalować sprzedajność polityczną, ten charakterysty-

---

dalszych godzin znęcać się nad nim w mustrze karnej po piaszczystym placu ćwiczeń wojskowych. Raz jeszcze cześć Boulangerowi, iż zniósł ostatni zabytek tortury wieku dziewiętnastego w kraju cywilizowanym. Dziś chyba już tylko jeńcowi pojmanemu przez Arabów poznać sillosy z doświadczenia smutna sposobność się nadarzy.

D u c h a panującego w legii, ktoby wobec materyału tak różnolitego i tak krok w krok nieludzko traktowanego nazwać chciał entuzyazmem i zapałem dla sprawy francuzkiej, którego dźwignią byłyby honor i sława, lub inne jakie ideały wyższe, fatalnie by się omylił. Na pozór zdaje się, że pułkami kierują wznioślejsze pojęcia. Sama nazwa, przypominająca rzymskie legiony, dalej rodzaj instrukcyi, goniący za efektem, muszą porwać w pierwszej chwili nowo przybyłego rekruta. Stajesz w depocie, jedynych koszarach większych dla pułków zagranicznych, i dziwnie ujmują cię owe historyczne napisy, z któremi się krok w krok spotykasz. Każde piętro, każda sala każdy zresztą pokój koszarowy nosi miano, przypominające ci sławne dzieje pułku, w jakim służysz. Tu Magenta, tam Solferino, tu Sebastopol, tam Extrême Orient, tam Hüe, tam Mascara, oto wszystkie perły sławy, które legia dla Francyi zdobyła, a których dźwięk do dziś dnia oszałamia i tumani ogromem wspomnień przybysza. — Podczas, gdy inne narody, jak Holandya i Anglia, płacą „łapówkę“ przy wstąpieniu do armii kolonialnej, płacą żołd dość znaczny i po wysłużeniu lat przepisanych pensyę dożywotnią, Francya zaangażowanemu nic zgoła nie ręczy, ni łapówki, ni pensyi; — jedyna korzyść jego, to obywatelstwo francuskie po 5 latach służby. *„Nous autres nous sommes soldats pour l'honneur et pour la gloire“*, tak mawiał do nas często kapitan Virgitti, porównując sposób rekrutowania, używany przez Holandyę i Anglię, ze sposobem stosowanym przez Francuzów. Tym zresztą fantomem sławy iluzorycznej podtrzymywany bywa cały duch w legii przed światem cywilizowanym i przed nieprzyjacielem.

Sława i zasługi legii są też zaiste wielkie. Legia, specyalnie zaś jej pułk pierwszy, uchodzi niezaprzeczenie za najwaleczniejszy regiment wojsk francuzkich. Jakiż inny pułk mógłby spoglądać przy istnieniu zaledwie półwiekowem już na równe wawrzyny? Pułk pierwszy legii bił się we wszystkich częściach świata, pod Magentą, Sebastopolem, w Algierze, Tunezyi, Tonkinie, na Madagaskarze — i wszędzie zdobywał wawrzyny. Nie daremnie więc jest w posiadaniu najwyższych oznak i orderów; żaden pułk inny francuzki z nim porównania nie wytrzymuje.

Jenerał N e g r i e r, znany z ekspedycyi Tonkińskiej, powiedział z dumą w Tonkinie: „Dajcie mi regiment francuzkiej piechoty, a nawet dwóch mil przed miasto wyjść się nie ośmielę; lecz dajcie mi kompanię legii, a zwycięzkim pochodem pójdę przez Tonkin cały“. I legia też Tonkin zdobyła, jak w nowszych czasach Madagaskar. Mimo tej sławy historycznej jednak nie ma, jak już wspomnieliśmy, zapału dla sprawy francuzkiej w szeregach pułków zagranicznych. Waleczność pojedyńczego żołnierza jest raczej rezygnacyą wykolejonej egzystencyi, niż heroizmem dla miłości sławy i oręża francuzkiego. Legionista nie zlęknie się przed żadnem niebezpieczeństwem, pójdzie z zimną krwią i bez szemrania, gdziekolwiek mu rozkażą, bo nadzieja śmierci, uśmiechająca się w dali, jest dlań dobrodziejstwem i zakończeniem życia, które od kolebki może było jednolitem pasmem nieszczęść, rozczarowań i męczeństwa. Gdzie i dla kogo zginąć, to mu zarówno, czy na deportacyi w odległej Kaledonii lub Guajanie w tak zwanych „travaux forcés“ (robotach przymusowych), czy też przed frontem od kuli francuskiej przez rozstrzelanie, czy wreszcie w regularnej potyczce, byleby zginąć i zakończyć od razu męczarnie. Raz wdziawszy mundur legii na siebie, wie żołnierz niemal z pewnością, że już tylko śmierć go wybawi, chyba, że dziwna losów opatrzność setnego do ojczyzny na powrót zaprowadzi. „Wolny Głos“ paryski zestawił raz statystykę śmiertelności w pułkach zagranicznych. 60% żołnierza ginie od klimatu, 10% przez przypadki wojenne, 20% przez deportacyę do „travaux forcés“, surowe kary i rozstrzelanie, 5% przez samobójstwo, a z pozostałych ostatnich 5% połowa ponowny podpisuje kontrakt lub dosługuje się wyższych stopni.

D e z e r c y a w legii jest tak dalece na porządku dziennym, że mimo surowych kar

czny rys naszej epoki. Tak, dołożyłem całego wysiłku woli, by prawda tryskała z obrazów stanowiących tę stronę mojej książki. Wybrałem chwilę naszego politycznego życia, gdy Izba już uległa moralnemu zepsuciu, lecz nie zdawała sobie z tego sprawy, a Francya tem mniej mogła się tego domyślać. Były to czasy, gdy ludzie otaczający Gambettę, zaczęli niespodziewanie opływać w dostatki, zasiew zła już kiełkował, lecz nieśmiało oględnie. Jako najpodatniejsze miejsce do obserwacyi, wybrałem poczekalną salę w Palais Bourbon: tam, w tym przedsionku Izby deputowanych, rozwija się główna akcya w mojej książce. Czyż ten przedsionek nie jest stekiem dla wszystkich przekupstw i politycznych tranzakcyi?... Tam, dla zobaczenia się z deputowanym swojego okręgu, zbiegają się ludzie ze wszystkich zakątków Francyi, tam zanoszą swe prośby i przypominają się pamięci swojego przedstawiciela: chłopi, proboszcze, mieszczanie, żołnierze, kobiety, które jako matki lub żony przedstawiają sprawę syna lub męża, niemogącego przybyć osobiście. Cały ten tłum wyborców wywiera nacisk na swego deputowanego, dając mu wyraźnie uczuć, że jest on obowiązany być zawsze gotowym na ich usługi, bo z ich to łaski należy do przedstawicieli narodowych. W tymże przedsionku Bourbońskiego pałacu, schodzą się i inni interesenci, kusiciele przedajności, przeprowadzający swe sprawy za pomocą ponętnego złota. Tak, przedsionek Burbońskiego pałacu jest otwartą żyłą, przez którą upływa najżywotniejsza krew Francyi, a na to miejsce wnikają najzaraźliwsze zarazki, nurtujące istotę naszego prawodawczego ciała."

Trwające od lat kilku zamiłowanie do badania życia i epoki Napoleona I, jeszcze nie minęło i, rzecz dziwna, jak wszystkie książki pisane w tym kierunku są zajmujące i jakie budzą zainteresowanie w czytelnikach, chociażby najmniej skłonnych do wielbienia wielkiego cesarza, tego legendowego wielkiego wodza, którego tryumfy okupione były milionami istnień ludzkich. Korsykanin, p. Marcaggi, w książce p. t. „Une Genèse", poruszył najmniej znany okres życia Napoleona Bonapartego, bo lata jego dzieciństwa i młodości. Autor zdołał zebrać mnóstwo autentycznych a nowych szczegółów, prócz tego uwydatnił rozwój umysłu Napoleona w epoce kształtowania się jego z dziecka w zapalczywego młodzieńca. Mając lat 18, Napoleon przebył już niemało walk z losem, dokuczała mu nędza, starał się o wydanie swego rękopisu „Histoire de la Corse" i pomimo protekcyi Mirabeau, nie mógł doprowadzić tego do skutku; zgorzkniały, sentymentalny, ulegający wpływowi książek J. J. Rousseau, a jednak pełen szalonej dumy i ambicyi, chciał zakończyć życie samobójstwem. Cierpiąc nad upokarzającem swem położeniem względem bogatszych kolegów, unikając towarzystwa, samotny i pozbawiony przyjaciół, Napoleon zwierzał się tylko w pisywanych przez długi czas notatkach oto z nich ustęp, odnoszący się do tej właśnie chwili: „Jestem samotny pomiędzy ludźmi i tylko zdala od nich oddaję się marzeniom z całą zapalczywością mej natury i ogromem mojej melancholii. W którąż stronę zwracają się dziś moje dumania?... W stronę śmierci. Tak, bo cóż ja mogę uczynić dla zdobycia pola przynależnego moim zdolnościom?... Ponieważ zaś śmierć jest nieunikniona, dla czegoż przeto nie miałbym jej przyspieszyć?... Dla czegoż nie miałbym się zabić?... Gdybym miał jakie lat 60, niewarto byłoby sobie zadawać tego trudu, czekałbym wówczas cierpliwie kresu, jaki wyznaczyłaby dla mnie natura, lecz w moim wieku, będąc już znękanym niepowodzeniami, zniechęconym i widząc, że nic już dla mnie nie ma uroku, dla czego mam cierpieć dłużej?... Dla czego napróżno wyczekiwać poprawy losu, kiedy nic mi nie sprzyja? Życie mi jest ciężarem i nic mi nie sprawia przyjemności: wszystko mi jest obojętne, albo tylko wstręt we mnie budzi. Ludzie, których dotychczas napotkałem na mojej drodze, tak są odemnie różni, iż widzę, że mnie z nimi nic nie będzie łączyło. Ich obyczaje, ich myśli tak dalekie są od moich, tak odmienne, jak światło księżyca od słonecznych promieni! Wstręt, wstręt mam do wszystkiego i do wszystkich! Więc pocóż żyć dłużej?"

Z dalszego ciągu tych notatek oraz z listów, jakie Napoleon pisywał do rodziny, widać wszakże, iż miał w wysokim stopniu rozwinięty zmysł spostrzegawczy, przewidujący, praktyczny. Wszystko obliczał, a jednak był do najwyższego stopnia impulsywny, nieustraszony, czynny. Mając lat dwadzieścia, wyzuwa się z sentymentalizmu, drwi już z Rousseau, odrzuca nazawsze sofistykę tego filozofa. Zdarzyło się, że w r. 1792 d. 22 czerwca był w Paryżu i widział, jak tłum obległ pałac Tuileries, domagając się, by Ludwik XVI ukazał się ludowi w czapce frygijskiej. Król zadość uczynił temu żądaniu. Napoleon, ujrzawszy go w czerwonej czapce, zawrzał oburzeniem i rzekł do Bourrienne'a, z którym przybiegł na plac du Carrousel: „Coglione!..Coglione!.. (tchórz! Armatami się odpowiada na takie żądanie!) Autor kończy swą książkę na roku 1793, gdy Napoleon, jako kapitan artyleryi, przybywa do Tulonu, obleżonego przez wojska angielskie. „W sześć lat później Napoleon Bonaparte był pierwszym konsulem, a w lat jedenaście cesarzem!"

Fryderyk Masson, autor książki tłomaczonej na język polski: „Napoleon i jego kobiety", oraz kilku innych słynnych dzieł o epoce pierwszego cesarstwa, wydał temi czasy nowy utwór: „Cavaliers de Napoléon", z pięknemi kolorowemi ilustracyami Edwarda Detaille'a, najznakomitszego batalisty francuzkiego. Z książki tej napisał sprawozdanie Franciszek Coppée; przytaczamy wyjątki z jego długiego artykułu: „Czyż potrzebuję mówić, że na książkę Fr. Massona „Cavaliers de Napoleon", rzuciłem się jak zgłodniały i o wszystkich sprawach, o świecie całym zapomniawszy, przeczytałem jednym tchem, pożerając całą księgę z upojeniem rozkoszy. Wojny napoleońskie — to nowoczesna Iliada! Żaden naród nie może się pochlubić takim szeregiem niezrównanych zwycięztw, jakie odniosła wtedy Francya, żaden naród nie miał takiego wodza, takiej armii, którąby takich dokonała czynów, jak armia francuzka, począwszy od Arcole, aż do Waterloo. Najwznioślejsze wojenne czyny bohaterskie bledną i nikłemi się stają, wobec szarży ułanów polskich w Hiszpanii 30 grudnia 1808 roku w wąwozach Somo-Sierry.

---

ze stu nowo przybyłych najmniej 90 jej próbowało. Dla rekrutów, tj. dla takich, co rok pierwszy służą, nie ma kary rozstrzelania za dezercyą, tylko miesięczne więzienie za dostateczną uważane bywa zapłatę. Kto ponownie próbował ucieczki, tego czekają w najlepszym razie roboty przymusowe, albo, jeżeli dezercya nastąpiła z batalionu lub kompanii, operującej przeciw nieprzyjacielowi, lub przedsięwziętą została przez żołnierza nie rekruta, kara rozstrzelania. — Dopiero ten, który cały miesiąc znajduje się po za swą kompanią, ogłaszany bywa za dezertera i ścigany listami gończemi. Największa część z tych, która opuściła garnizon w celu ucieczki, wraca dobrowolnie po krótszym lub dłuższym czasie, widząc absolutną niemożliwość wydostania się po za obręb ramienia francuskiego. Brak środków materyalnych głównie utrudnia dezercyę. Przytem odległość od morza, zupełny brak komunikacyjnych dróg w naszem znaczeniu tego słowa i niechęć osadników i krajowców przeciw wszystkiemu co francuskie, takie na każdym kroku zbiegowi stawiają przeszkody, że pomyślna ucieczka z paszczęki legii, należy nieomal do rzeczy niesłychanych. Podczas mego w Algeryi pobytu nie słyszałem o żadnym wypadku udanej dezercyi.

Zrozumiałą jest nieufność i niechęć arabskich lub beduińskich krajowców względem żołnierza francuskiego, mniej jednak uzasadniony wydał mi się wstręt osadników europejskich wobec Francuzów w mundurze. W mieście, wśród publiczności europejskiej, legionista w żadnym porządnym nie może przebywać lokalu. Omijają go wszędzie, jak zapowietrzonego lub stygmatyzowanego znamieniem Kaina na czole, snać, widzieć muszą w żołnierzu wyrzutek społeczeństwa, z którym zetknąć się bez szwanku nie podobna. Wstąpisz do sklepu lub kramu, by coś zakupić, a kupiec z niedowierzaniem każdy twój ruch śledzi, bacząc, czy w rzetelnym cel do niego przybywasz. A jednak, choć sam najmocniej jestem przekonany o nizkim poziomie moralnym materyału składającego oba pułki zagraniczne, chociaż pojęcie własności osobistej pomiędzy żołnierzami przy wzajemnem z sobą pożyciu prawie nie istnieje, pomimo to nie wierzę w tak dalece posuniętą nikczemność przeciętnego szeregowca, żeby miał się zniżyć do grabieży pospolitej i kradzież jako rzemiosło traktował.

Niszczyliśmy niejedną osadę nieprzyjacielską, tak w Algeryi jak w Tonkinie, ale ani tu ani tam nie zauważyłem, żeby grabiono nawet u nieprzyjaciół coś innego, jak przedmioty spożywcze, bydło, konie, prowiant itp. Każda zresztą grabież surowo bywa karaną.

Jeżeli osadnicy europejscy, po większej części ze szczepu hiszpańskiego, mają niechęć do żołnierza, to pochodzi niezawodnie ztąd, że Algerya po kilkakrotnie należała rzeczywiście do Hiszpanii, a i do dziś dnia „gros" ludności więcej do półwyspu pirenejskiego niż do Francyi ciąży. Nawet moneta, kursująca w życiu potocznem, jest w całej Algeryi przeważnie hiszpańska.

Lecz wróćmy do dezercyi. Mimo zawiści, jaką pałają Beduini ku wszystkiemu, co francuskie, oni to jednak właśnie dezertero wi zagradzają i utrudniają ucieczkę, gdzie tylko mogą, by w ten sposób pozyskać wyznaczoną na dezertera nagrodę, 100 franków. A ponieważ dopiero po upływie dni 30 ogłaszają żołnierza zbiegiem, więc trzymają dezertera, jeżeli go gdzieś pochwycą, zdala od garnizonu tak długo u siebie jako więźnia, aż minie przepisany miesiąc i odstawiają dopiero potem władzom francuskim. Beduini wogóle odznaczają się pod wielu względami nikczemnością w naszem pojęciu. Sławna arabska gościnność u nich nie istnieje, a przynajmniej nie dla Francuzów; są okrutni, podstępni, chciwi i przebiegli. Sprosność, sodomia, bestyalność i jak się wszystkie owe aberracye płciowe nazwają, zdarzają się u nich, dzięki islamowi polygamii i klimatowi południowemu, w którym takie zboczenia anormalna dojrzewają, bardzo często w formach tak rafinowanych i odrażających, że fantazya człowieka północy nie umiałaby ich nawet wymyślić, a przyzwoitość bliżej je charakteryzować zakazuje.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

W „Złotej księdze rycerstwa“ na czele wypisaćby należało nadzwyczajność szalonej odwagi tej garstki stupięćdziesięciu bohaterów, zbrojnych w szable i rzucających się na przebój trzynastotysięcznej armii, zionącej ogniem szesnastu armat. Polscy ułani przebili się przez te tysiące, wywołali popłoch w hiszpańskiej armii i chociaż dwie trzecie z nich poległo, zdecydowali o zwycięztwie, przeważyli je na korzyść francuzkiego oręża!... Książkę Fryderyka Massona czytałem z bijącem sercem, a strony jej odwracałem drżącą od wzruszenia ręki“.

J...sz.

Z literatury rusińskiej.

(Iwan Franko: **Son kniazia Światosława** (Sen księcia Świętosława). Lwów 1895.)

Siedm czy osiem lat temu w dwutygodniku lwowskim „Ruch“ umieścił Iwan Franko piękną nowelę pod tytułem: „W pogoni za biedą“. Pan chcąc doświadczyć nędzy zostaje w cudowny sposób przemieniony w biedaka, i zachowując swą osobowość po zmianie zewnętrznej, przebywa wszystkie jego katusze i cierpienia.

Tak więc nietylko w literaturze spółczesnej i ubiegłej, ale nawet we własnym dorobku literackim pisarz rusiński znajdował sprężynę dramatu swego „Sen księcia Swiętosława“. Nie masz tu wprawdzie zupełnej przemiany, ale jest przyjęcie innej roli wskutek widzenia. Motyw ten mieści utwór między kategoryą n. p. metampsychicznych legend buddhystów, gdzie bohaterzy często zupełnie zmieniają postać z chwilą wejścia na nową scenę, a dziełami, w których główny działacz przebiera się tylko, by dokonać powziętego zamiaru.

We drzwiach komnaty księcia kijowskiego Świętosława służalec Harnisz szamoce się z jakąś kobietą. Kto ty, czego chcesz? pyta. Muszę widzieć się z władcą, wyjaśnia tamta, pięć dni nań czekam, muszę go widzieć. I korzystając z osłabionego na chwilę oporu sługi, wśliźguje się do pokoju, by siąść u ogniska. Ztąd, mocą praw gościnności, nikt jej nie oddali.

Równocześnie książę Kijowa wróciwszy z łowów wstępuje w progi swej sypialni. Spostrzegłszy obdartą żebraczkę chce wiedzieć, po co przyszła. Ma tajemnicę do odkrycia. Lecz nie wyjawi jej w obecności trzeciej osoby. Niech Harnisz wyjdzie.

Książę obrażony jej stanowczością odmawia posłuchania. Każe umieścić ją do jutra w jednej z sal zamkowych, załatwia kilka spraw administracyjnych (dnia jutrzejszego rozpocznie się sąd doroczny) i idzie na spoczynek.

Kobietę poznał, to żona Owtura, jego bojarzyna, skazanego za zabójstwo na banicyę. Żal mu biednej opuszczonej białogłowy, żal drobnych dziatek. Muszę im pomóc, myśli. Odczytuje kilka stron świętej księgi, potem gasi światło i zasypia.

Mija pewien przeciąg czasu, w izbie cienie drzemią, od czasu do czasu Świętosław uroni słówko we śnie. Naraz komnata rozjaśnia się wspaniale, u łoża staje anioł, odchyla kotarę i mówi:

— Przebudź się księciu Świętosławie. Nie śpij i nie wahaj się. Wdziej czarną zbroję, przepasz miecz, dosiądź konia i jedź w szczere pole. Będziesz tej nocy kraść i rozbijać, — tak, chociaż księciem jesteś. W przeciwnym razie spadnie na ciebie wielkie nieszczęście.

Świętosław zrywa się, przeciera oczy, ale pomny widzenia, bierze pancerz, chełm i przyłbicę, chwyta za miecz i wyjeżdża.

Na tem kończy się akt pierwszy.

Rumak sam zanosi księcia do lasu. W zaroślach staje dęba i zrzuca jeźdźca. Pochmurno, błyska. W świetle błyskawicy Swiętosław spostrzega naprzeciw siebie rozbójnika, właśnie Owtura. Uderzają na siebie, książę dzielnie wytrzymuje natarcie, odbija i powaliwszy zbójcę prosi o pozwolenie zaciągnięcia się do jego bandy. Zgoda. Co więcej, dziś obaj wraz z dwoma dobranymi towarzyszami ruszą rabować zamek Gostomysła.

Gostomysł tymczasem na jutro gotuje zdradę. Umówił się z księciem Nowogrodu Wszesławem, że korzystając z otwarcia sądów, pod pozorem zwiększenia orszaku książęcego ściągnie do Kijowa zastęp stronników, zawładnie osobą Swiętosława, zmusi do uznania swego postępku Kijowian i gdy po kilku dniach hufce nowogrodzkie wejdą do stolicy, odda im władzę. Plan ów stanowi przedmiot rozmowy między Gostomysłem i jego żoną przed przybyciem Owtura do zamku i streszczonym zostaje ponownie w słowach, któremi wojewoda uspokaja żonę, gdy ta wpółsenna, spostrzegłszy w mrokach komnaty Owtura, wznosi okrzyk i opowiada, że widziała przed chwilą cień ojca, ostrzegający ją przed wykonaniem powziętego kroku. Owtur porzuca zamiar zrabowania zamku, jak cicho wśliznął się, tak cicho i zręcznie wymyka się, zapamiętawszy treść nieugiętych planów wojewody, głuchego na perswazye małżonki.

Już w pierwszych chwilach ponowienia znajomości z Owturem spostrzegł Swiętosław, że ma w nieszczęsnym przyjaciela wybaczającego mu jego wyrok, zrozpaczonego zresztą i z rozpaczy uprawiającego rzemiosło zbójeckie. Jeszcze dobitniej przekonał się o tem teraz. Herszt zbójców ranił nocą jednego z jeźdźców, podążających na wezwanie Gostomysła do Kijowa. Jego ludzie znaleźli go potem w krzakach. Kunasz — tak nazywa się jeniec — wzięty na przesłuchy wyznaje, że jest stronnikiem wojewody, odkrywa znowu plan tegoż i wzywa rozbójników do podania wichrzycielowi pomocnej ręki. Zgadzają się, nawet Owtur nie jest od tego, lecz gdy Kunasz wyjawił hasło, jakie mają jego towarzysze, każe go powiesić, swoim zaś przypomina należne dla siebie posłuszeństwo, zwiera ich w rotę i mknie ku Kijowi. Rozumie się, by księcia ratować, nie gubić.

Gdy weszli do zamku, Świętosław w gromadzie zbójeckiej noszący nazwę Stawutura, zręcznie rozdziela mężów Gostomysła na kilka grup, jedne zwalcza, drugie bierze do niewoli, odkrywa rozbójnikom, kim jest, przebacza im a wojewodę i jego żonę wiąże, by oddać ich pod sąd. W Kijowie uderzono w dzwony, już ludność spieszy z pomocą. Następuje scena rehabilitacyi Owtura: okazuje się, że zabił bojarzyna Dobrynię, gdyż ów namawiał go wraz z Gostomysłem do zdrady, a bronić się nie chciał przed sędziami, by nie plamić imienia ofiary zkąd inąd zacnej i szanowanej. Jaką zaś tajemnicę miała do wykrycia jego żona, nie potrzebuję wyjaśniać.

Jako opracowanie wdzięcznej legendy „Sen księcia Swiętosława“ robi miłe wrażenie. Scena zjawienia się anioła posiada nawet wiele wdzięku, rzecz rzadka u Franki. Sympatycznie zarysowuje się postać Swiętosława, księcia łagodnego i roztropnego, wyposażonego w dobroć, wyrozumiałość, ludzkość. Obok niej stanąć może drugorzędna, lecz bardzo wiele życia posiadająca Przecława, żona Owtura, kobiecina poczciwa, dobra matka, życzliwa i oddana księciu.

Słabe są natomiast sylwetki rozbójników, Gostomysła i jego żony. Sceny z życia zbójeckiego blade, rzecz dziwna, bo pieśni o opryszkach karpackich, których dość znaczna ilość została już ogłoszoną, i które powinien był dramaturg przestudyować, poruszając temat pokrewny, zawierają wiele materyału psychologicznego.

Razi czytelnika ów brak wystudyowania charakterów. I epoka mogłaby być lepiej odtworzoną. Pisarze zachodu, Flaubert, Leconte de Lisle, Jacobsen nie wytrząsają jak z rękawa powieści historycznych z czasów rzymskich, greckich, indyjskich, lecz wgłębiają się w swój przedmiot, w kroniki, archeologię. „Salambo“ lata pochłonęła. Iwan Franko mógł z łatwością zastosować podobną metodę do swego dramatu. Z pewnością nie byłaby otruła jego postaci.

Są tam w stosunku do dwunastego wieku, w którym rozgrywa się akcya, neologizmy, które nie powinny były się zakraść. Przesława żąda od księcia, nim uchyli rąbka tajemnicy, „słowa“. Czy w XII stuleciu używano już „słowa honoru“? W innem znów miejscu galanteryjne zaprzeczenie. Książę: Ależ Swiętosław nie wahał się zgnębić ciebie. Owtur: *Daruj mój towarzyszu*, bardzo wahał się, ale nie mógł inaczej. Gostomysł używa wyrazu „plan“, mówi o *sprężynach poruszonych*, — rozbójnik Pasiuta mówi do odprowadzających Kunasza: *delikatnie* go przywiążcie.

Pod względem scenicznym „Sen księcia Swiętosława“ ma pewne zalety. Akcya rozwija się raźnie i żywo, biegnie jak dobrze kuty koń. Każda scena wiedzie naprzód. Lekki zaś prąd demokratyczny, płynący przez osnowę, usposabia życzliwie.

W. Bugiel.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Ankieta w sprawie pracy kobiet.

II.

Zanim podamy dalsze sprawozdania z posiedzeń ankiety, której komunikaty robią wielkie wrażenie w całym kraju, odsłaniając takie bolączki, o jakich sprawozdania inspektorów przemysłowych albo zupełnie milczą, albo wyrażają się bardzo dyskretnie, musimy wspomnieć o interpelacyi, jaką spowodowały publikacye tej ankiety w wiedeńskiej Izbie handlowo-przemysłowej.

Na posiedzeniu Izby, dnia 3-go bm., wystósowało kilku członków do prezydyum interpelacyę, w której podniesiono, że do ankiety, ktora zasiada w lokalu tej samej Izby, nie powołano dotychczas ani jednego przedsiębiorcy. Wobec tego zeznania robotników mają charakter jednostronny i niekontrolowany. Ze sprawozdań widać, że do zeznań dopuszczono prawie tylko niezadowolonych robotników z takich zakładów, gdzie się dzieją jaskrawe nadużycia. Przedsiębiorcy muszą się zastrzedz, by z wyników ankiety nie wyciągano żadnych ogólnych wniosków i nie uważano tego materyału za niezaprzeczalny. Zapytują więc interpelanci, czy prezes Izby skłonny jest użyć swego wpływu w tym celu, by i przedsiębiorców dopuszczono do przesłuchania w tych samych kwestyach, co do których przesłuchiwano robotników.

Na tę interpelacyę odpowiedział prezes Izby, Mauthner, że sama idea ekspertyzy jest

dobrą i że leży to nawet w interesie przedsiębiorców, by nadużycia ustały i niezadowoleni byli zaspokojeni. W komisyi zasiadają nie sami tylko przewódzcy robotników i politycy socyalni, ale także przedsiębiorcy i urzędnicy państwowi. Komisya też uchwaliła w zasadzie przesłuchiwać przedsiębiorców. Prof. Philippowich przyrzekł zresztą, że przedsiębiorcy będą mieli możność wypowiedzenia swego sądu o wszystkich zeznaniach robotników.

D. 5 lun. na posiedzeniu ankiety przewodniczył poseł Pernerstorfer. Przesłuchiwano rzeczoznawczynie z fachu robót metalowych, w którym pracuje dużo kobiet Praca w tym zawodzie jest bardzo szkodliwą dla zdrowia, gdyż używa się tu siarki, kwasu saletrowego i kwasu solnego. Nieraz musi robotnica pół dnia bawić się jednym z tych kwasów. Podczas pracy i po pracy czuje silny ból głowy i ż łądka i inne dolegliwości. Wrzody na rękach są częste i robotnica wtenczas nie może pracować i zostaje wydaloną. Kwasy czepiają się nawet ubrania, a szczególnie robotnice pracujące przy galwanizowaniu użalają się, że ich ubranie po krótkim czasie rozpada się w strzępy.

Niektórych z tych niedogodności sanitarnych można by łatwo uniknąć, ale dla oszczędzenia czasu i kosztów przedsiębiorcy nie chcą tego robić. Dla pewnych działów pracy miesza się opiłki żelaza z kwasem siarkowym dopóty, dopóki się nie zaoksydują. Cząsteczki tej mieszaniny unoszą się w powietrzu. W pracowaniach napełnionych wyziewami rozmaitych kwasów i pyłem metalicznym robotnice jedzą obiad, przyczem dla umywania rąk w pracowni dla 30 robotnic jest jedna umywalnia. Wodę muszą sobie robotnice same przynosić. W innej pracowni nie dano im wcale umywalni, tak że musiały za własne pieniądze kupić sobie cebrzyk. W tymże zakładzie czyszczono lokal raz na 3—4 lat. Nadto lokal jest przepełniony, a w razie przybycia inspektora przemysłowego część robotnic ukrywają lub wysyłają z fabryki.

W pewnym wielkim zakładzie była dawniej szlifiernia umieszczona tak nie dobrze, że do wnętrza padał deszcz i śnieg. Dopiero niedawno, gdy pewien wydalony robotnik doniósł o tem do władzy, lokal naprawiono. W innej pracowni brud na podłodze leży miesiącami, a dopiero gdy się wdepce i utwardnieje, wykruszają go i wymiatają. Kobiety muszą wykonywać takie czynności, których nawet silni mężczyźni nie mogą wytrzymać. „Jabym wolał raczej pozostać bez chleba — mówił jeden rzeczoznawca — niżbym miał to robić.“ Robotnice, chociaż zazwyczaj lepiej płatne, wyglądają bardzo źle. Dzieci nieżywe rodzą bardzo często. Jedna robotnica, która jest w ciąży, musiała porzucić swe zajęcie, przy którem zarabiała 1 zł. 20 ct. tygodniowo, gdyż praca (niklowanie naczyń) jest dla niej za ciężką; pracuje obecnie za 75 ct. dziennie. Kobiety pracują zazwyczaj aż do chwili rozwiązania. Szczególnie szlifierki rzadko rodzą żywe dzieci. Rzeczoznawczyni miała już troje dzieci, lecz wszystkie nieżywe.

Płace w tym zawodzie są nieco wyższe niż w innych, wynoszą 5—8 zł. tygodniowo. Panują tu jednak okropne nadużycia co do dostarczania materyałów pomocniczych, jak polan, rzemieni, materyałów potrzebnych do szlifowania. Nadto cierpią robotnice dużo wskutek kar nakładanych za każdą drobnostkę. Werkführerzy wymagają od nich podarunków. Czas roboczy jest bardzo nieregularny. Co do stosunków moralnych użalen poważnych nie było.

***

TO I OWO.

Pod adresem „Tow. Pomocy Naukowej.“

Bezprzykładne wystąpienie dyrekcyi „Pomocy Naukowej“ na ostatniem walnem zebraniu, — nieprzyzwoite wyrazy ciśnięte w twarz członkom tej instytucyi, a scharakteryzowane przez nas w poprzednim numerze, urwały dyskusyę przedwcześnie i nie pozwoliły wyczerpać całego materyału zażaleń, informacyi i projektów. Ze wszystkich stron Księstwa otrzymujemy w tym względzie bądź to polemiczne artykuły, gromiące ostro postępowanie dyrekcyi, bądź to wyrazy podzięki za „śmiałą krytykę“, bądź wreszcie ciekawe przyczynki do charakterystyki dyrekcyjnych manipulacyi i dążeń. Trudno wszystkim tym głosom udzielać gościny w łamach „Przeglądu“ — nie chcemy dorzucać paliwa do ognia wznieconego ręką dyrekcyi, przypuszczamy zresztą, że w las nie pójdzie nauka, którą zarząd „Pomocy Naukowej“ otrzymał na ostatniem walnem zebraniu.

Z licznych zapytań i zażaleń przesłanych redakcyi naszej przytaczamy tu tylko jedno. Aż do roku 1890 było w zwyczaju, że gdy ten lub ów członek dyrekcyi w ciągu roku wystąpił lub umarł, koledzy jego kooptowali samodzielnie nowych członków i na najbliższem walnem zebraniu przedstawiali ich do zatwierdzenia. W ten sposób wybór świeżych sił dyrekcyjnych uskuteczniała w samej rzeczy dyrekcya sama, bo względy delikatności nie pozwalały odmawiać zatwierdzenia urzędującym już kandydatom. W r. 1890 stosunki te uległy zmianie. Przewodniczący jednego z komitetów prowincyonalnych postawił wniosek, aby rokrocznie walne zebranie mianowało dwóch oficyalnych zastępców, którzy w razie ustąpienia lub śmierci któregolwiek z członków dyrekcyi zajęliby opróżnione stanowisko. W motywach swoich wnioskodawca zaznaczył wyraźnie, że należy złamać zasadę „koteryi i konfraterni“ w łonie zarządu, który tylko temu bramy swoje otwiera, kto względami jego i sankcyą się szczyci. Wniosek przyjęto prawie jednomyślnie i tak w r. 1890 jak 1891 wybierano dwóch zastępców. Potem jednak dyrekcya cichuteńko zamknęła uchwałę do biurka, członkowie o niej zapomnieli, nikt się nie upominał i „konfraternia“ zacierała ręce. Jest to bezprawie, które stanowczo usunąć należy. Żądamy nietylko, by dyrekcya publikowała przed zebraniem nazwiska ustępujących członków, lecz żądamy również, aby powrócono do nieprzedawnionej i żywej, choć sztucznie usuniętej uchwały z r. 1890.

Powtarzamy raz jeszcze, że panujące dzisiaj stosunki są w najwyższym stopniu anormalne, a dyrekcya przypomina zaiste owego francuzkiego kaprala, który w czasie plebiscytu w r. 1869 zwiastując podwładnym swoim powszechne prawo wyborcze, przysługujące nawet żołnierzom, tak mówił: „Możecie wybierać, kogo wam się podoba, ale biada wam, jeżeli głosować nie będziecie na pana kapitana. Rozumiecie?“

To jest opinia nietylko „Młodej Polski“ jak stara się wmówić w publiczność „Kuryer Poznański“, lecz zdanie olbrzymiej większości społeczeństwa. I niechaj sobie panowie z dyrekcyi i przybocznego ich organu „Kuryera“ raczą zapamiętać, że my wobec Towarzystwa nie występujemy nigdy jako stronnictwo, lecz przemawiamy jedynie w imię naszych indywidualnych życzeń i poglądów. Okrzyk „Kuryera“, że Młoda Polska ławą idzie, jest niezręcznym fortelem dla pomieszania pojęć i tem łatwiejszego łowienia ryb tłustych w zamąconej wodzie. Nie „Młoda Polska“, wielebny kolego, lecz wszyscy obywatele wychowani w duchu parlamentarnym i nie pozbawieni do szczętu logiki i sprawiedliwości spoglądają z niezadowoleniem na „kapralów“ z dyrekcyi. Naszem programowem dążeniem jest tylko budzić energię i odwagę, którą ty systematycznie zdusić się starasz.

* * *

Nowa gra towarzyska.

W jednym z salonów poznańskich dysputowano przed niedawnym czasem o figlach płatanych przez plotkę, a mianowicie o różnych przekształceniach, ktorym wieść jakakolwiek, z ust do ust niesiona, ulega. Rozmowa stała się poważną, zeszła wkrótce na tory psychologii ludzkiej, a w toku gawędy zaproponował jeden z panów obecnych następujący eksperyment:

Ne kawałku papieru, — mówił on — opiszę pewien fakcik wysnuty z fantazyi i przeczytam opowieść swoją jednej z osób obecnych. Ta powtórzy ją w sekrecie drugiej, druga trzeciej itd. W salonie znajduje się czternaście osób, ostatnia zobowiązana jest spisać wiernie to wszystko, co od 13-tej usłyszała, a następnie odczytamy głośno mój orginał i czternaste wydanie jego.

Towarzystwo się zgodziło, wszyscy obiecali uroczyście niczego tendencyjnie nie przekształcać i według najlepszej woli i wiedzy powtórzyć to, co usłyszą, a inicyator eksperementu spisał i odczytał jednej z pań obecnych następującą anegdotkę:

„Na wybrzeżach Helgolandu, wśród burzliwej nocy, udało się pewnej rybaczce ocalić od śmierci kapitana okrętu. Kapitan długo chorował, a przyszedłszy do zdrowia ogłosił, że pragnie poznać zbawicielkę swoją, by ją z wdzięczności za ocalone życie poślubić. Marya — takie było imię rybaczki — dowiedziawszy się o tem, zawołała siostrę swoją, Jadwigę, i rzekła: „Kocham innego, lubo ten inny jest tylko majtkiem prostym. Weź zatem moją chustkę czerwoną, którą w ową noc pamiętną miałam na sobie, idź do kapitana, powiedz mu, że ty jesteś zbawicielką jego, a zostaniesz wkrótce kapitanową“. — Tak się też stało. Kapitan poślubił Jadwigę, a Marya wyszła za majtka. W kilka lat później dopiero rzecz się cała wydała, bo gdy majtek za udział w rokoszu skazany został na rozstrzelanie, udała się Marya do kapitana, przekonała go przytoczeniem nader dokładnych szczegółów, że ona jest rzeczywistą zbawicielką jego, i wyjednała dla męża swojego ułaskawienie. Jadwiga, lękając się gniewu męża, uciekła“.

A teraz prosimy posłuchać, co czternasta z osób obecnych podała do wiadomości publicznej.

„Na wybrzeżach Hollandyi dwie siostry-rybaczki, Marya i Jadwiga ocaliły w ciemnej i burzliwej nocy dwóch rozbitków — pierwsza kapitana okrętowego, druga majtka prostego. Kapitan wróciwszy do zdrowia, ogłosił w gazetach, że pragnie poślubić zbawicielkę swoją. Marya jednak kochała się oddawna w owym majtku, którego ocaliła Jadwiga — a Jadwiga od chwili, w której ujrzała bezprzytomnego kapitana, zapomnieć o nim nie mogła. Obie siostry postanowiły zatem w porozumieniu z majtkiem, narzeczonym Maryi, oszukać kapitana. Jadwiga przedstawiła mu się jako zbawicielka jego i została wielką panią. Wkrótce jednak rzecz się wydała i kapitan rozgniewany żonę wypędził, a majtka na śmierć skazał. Marya jednak rzuciła się do nóg kapitanowi i wyjednała ułaskawienie dla męża.“.

Tak ludzkie opowiadania przekształciły historyę o kapitanie i rybaczce z Helgolandu, a zważyć wypada, że rzecz rozegrała się tylko w ciasnem kółku czternastu osób, z których każda natychmiast za

świeżej pamięci referowała innej usłyszaną anegdotkę, a znając cel eksperymentu, starała się jak najwierniej powtórzyć otrzymane wieści. W życiu zdarzają się znacznie dziwaczniejszę metamorfozy.

* * *

Lecznica.

Gdy przed rokiem mniej więcej grono młodszych lekarzy polskich powołało do życia pierwszą lecznicę w Poznaniu, powitaliśmy z radością powstanie tej humanitarnej instytucyi, której brak dotkliwie uczuć się dawał miastu naszemu. Ogłoszone obecnie sprawozdanie za rok 1895 przekonuje nas, że lecznica, prowadzona wzorowo przez dr. Pomorskiego i mająca na usługi swoje szerokie grono światłych i sumiennych lekarzy-specyalistów, zyskała sobie zaufanie w szerokich kołach społeczeństwa Z statystycznych wykazów, przedstawionych przez zarząd lecznicy, wyjmujemy cyfry następujące:

Konsultacyi udzielono w ogóle	3285.
z tych za wynagrodzeniem	2806
„ niepłatnych	280
„ dla członków kas	199

Niepłatnych konsultacyi udzielono przedewszystkiem ubogim miejskim.

zebrano wogóle	1922,50
wydano	2334,38

Niedobór w ilości 411,88 pokryty został przez składkę członków.

Wydano w szczególności:

na komorne	662,50
na zasługi	222,00
na gospodarstwo	146,15
na gaz	43,13
na opał	21,30
na urządzenie, instrumenta, bandaże i aptekę	1030,95
na druki i anonse	208,35
razem	2334,38

Chorych wszystkich było 1282, pomiędzy tymi na cierpienia:

wewnętrzne	477
kobiece	240
chirurgiczne	133
nerwowe	92
skórne	172
krtani, nosa i uszu	168

Operacyi mniejszych i większych z zakresu chirurgii, chorób kobiecych, nosa, krtani i uszu wykonano ogółem 127.

Nadmieniamy w końcu, że opłata za każdorazową poradę wynosi najmniej 50 fen. Osobom niezamożnym udziela się pomocy bezpłatnie. Ewentualną nadwyżkę przeznaczają lekarze ordynujący w lecznicy na cele dobroczynne.

Jest to więc instytucya czysto filantropijna, a lekarze ofiarujący jej usługi swoje, pewni być mogą, że ofiarna ich praca budzi najwyższe uznanie i szacunek w szerokich kołach publiczności.

* * *

Pomnik Mickiewicza.

Wielu czytelników zapytuje nas, jak właściwie stoi sprawa z pomnikiem Mickiewicza w Krakowie. Szczerze mówiąc, nie wiemy. Podobno p. Rieger przerabia figurę, podobno ma ją niezadługo ukończyć, podobno członkowie komitetu przypominają mu obowiązek pospiechu — innych *podobno* moglibyśmy przytoczyć jeszcze więcej, ale ile w nich tkwi prawdy, określić nie możemy. Sumując wszakże dotychczasowy przebieg całej tej nieszczęsnej sprawy, uważamy ją od początku aż dotąd za jeden wielki skandal, za objaw strasznego naszego niedołęztwa w przedsięwzięciach społecznych i nieudolności w artystycznych. Zarówno ci, którzy ujęli kierownictwo w swoje ręce, jak ci, którzy mieli wykonać pomnik, dowiedli, że znaleźli się wobec zadania, przerastającego ich siły.

Z estrady i sceny.

Koncert śpiewaczki koncertowej p. Lillian Sanderson

dnia 12 marca rb.

Życie nasze muzyczne skostniałoby całkiem, gdyby od czasu do czasu z estrady koncertowej nie padł na nie cudzy promień w przelocie. Takim słonecznym promieniem muszę nazwać występ dzielnej śpiewaczki p. Sanderson, znanej poznańskim melomanom z dawniejszych u nas występów. Niestety! smutny to objaw, że tak mało przybyło na salę Lamberta słuchaczów, aby się ogrzać przy tem ożywczem cieple prawdziwego talentu, i przykro sobie przyznać, że „muzykalny“ Poznań znów świecił w całej pełni nieobecnością. Liczne nasze amatorki śpiewu solowego, uprawiające z zapałem utwory Tostich, Denzów et tutti quanti, a roszczące sebie pretensye do rzeczoznawstwa w kwestyach muzycznych, byłyby poznały i usłyszały niejedną perłę między wykonanemi pieśniami, i może zasmakowały więcej w piesniach Mozarta, Schumanna, Brahmsa, Moszkowskiego.

Co prawda, potrzeba do wykonania pieśni wymienionych autorów, prócz zdrowego głosu, znacznej inteligencyi muzycznej, o którą u naszych amatorów trudno.

Głos p. Sanderson nie odznacza się ani rozległością skali, ani też nadzwyczajną siłą, ale za to jak ten głos wszędzie starannie wyrównany, jaka wyraźna wymowa, jak dostrojona do tonu pieśni! Artystka odśpiewała z wdziękiem, uczuciem i wykwintnym humorem sporą wiązankę pieśni starszych i nowszych kompozytorów, jak miluchny Mozarta „Fiołek“, Schuberta sympatyczną „Lipę“, dalej kilka pieśni z cyklu Schumanna „Miłość poety“, Brahms'a filuterną „Serenadę“, Moszkowskiego smutną „Kołysankę“ i Loewego „Pieśń weselną“; ostatni utwór nie bardzo do głosu p. Sanderson się nadaje, przy pomocy jednak wyrazistej i z gustem do każdej sytuacyi zastósowanej mimiki wywarł mimo to wrażenie korzystne na słuchaczach, którzy tak za tę jak i poprzednie pieśni szczeremi dziękowali oklaskami.

W koncercie wziął także udział pianista p. Ed. Behm i prócz akompaniamentu do śpiewu, wykonał solo Haendla „Passacaglia“, Brahmsa groźną Rapsodyę G-moll, Schumanna „Aufschwung“ i z Jensena „Erotikon“ dwa melodyjne ustępy, raczej muzyczne ilustracye do słów zapożyczonych z greckich autorów: Galatei Sofoklesa i Elektry Teokritosa.

Liryczny nastrój jednak ostatnich utworów nie przyczynił się do urozmaicenia zbyt uczuciowego programu, dla tego też kompozycye, zawierające niemało szlachetnego piękna, przeszły bez wrażenia. Grze p. Behma brak przedewszystkiem lekkości i werwy i mimo rzetelnej muzykalnej inteligencyi i wniknienia w ducha i właściwości odegranych utworów, których wybór sam już zdradza wytrawnego i poważnego muzyka, — gra jego nie budzi takiego zajęcia w słuchaczu przeciętnym, na jakie zasługuje.

Edwin Jahnke.

Na Wyłomie.

(Wyzysk religii. — Kto jest nieprzyjacielem kościoła? — Autokrytyka. Caveant consules.)

Ile razy na zachodzie Europy rozlegają się skargi na to wstrętne targowisko, w które świat obecny się zmienił, — ile razy jakieś szlachetniejsze serce zanosi protest przeciw milionom szachrajów, frymarczących każdą świętością i każdym ideałem — ile razy pojawi się dzieło lub artykuł piętnujące ten faryzeizm rosnący, który patryotyzm i religię, wielkie Bogi i słońca wielkie, zaprzęga w służbę nizkiej prywaty i brutalnego egoizmu, — tyle razy rozlega się w prasie naszej i literaturze zdawkowy frazes, że to wszystko dzieje się tam gdzieś daleko, na zgniłym zachodzie, lecz u nas... u nas raj idealny, kraina aniołów, gdzie do rzadkich wyjątków należy handlarz, ściągający bóstwa z ołtarzów, by w towar jarmarczny je zmienić. A przecież trzeba być ślepym, żeby nie widzieć, jak ta zgnilizna rośnie i przenikać zaczyna cały organizm zaboru pruskiego.

Religia! — wielkie słowo! ile łez w jej obronie wylano u nas, ile zapału i bohaterstwa składano tam w ofierze, z jaką czcią głęboką wymawiano ten wyraz! Unosiła się ona nad narodem jak olbrzymia jasność, ku której ludzie wyciągali ręce i blaskiem jej dusze swoje krzepili, lecz z wstrętem odwróconoby się od tego, ktoby porwał brudną dłonią kramarza jeden z jasnych promieni, zmieszał go z prochem obłudy i spekulacyi lub zmienił w latarkę złodziejską, służącą do chciwego zysku. Tak było niegdyś... a dziś? Dziś ludzie patrzą spokojnie na skandaliczną frymarkę faryzeuszów i nie ma opinii publicznej dość uczciwej i dość potężnej, którąby zawrzała oburzeniem i kres położyła kramarstwu, spychającemu idealne wartości w niziny kupieckich rachunków i transakcyi.

Pierwszym przywódzcą tej roty i pierwszym rozsadnikiem laseczników szachrajstwa jest oczywiście znowu „Kuryer Poznański“. Polemikę z tem czasopismem zaliczam do najprzykrzejszych obowiązków swoich i często pomijam zupełnem milczeniem truciznę, która z tego źródła rozchodzi się w społeczeństwie i zabija resztki zdrowia moralnego w organiźmie naszym. Nieraz słyszę głosy: *„Guarda e passa!“*, nie krzyżuj szpady z maczugą! — nieraz usłucham tych głosów, lecz jakże milczeć zasadniczo tam, gdzie faktem jest udowodnionym, — i to jest najsmutniejsze — że wysokie sfery świeckie i duchowne sankcyonują zdrożną gospodarkę i otaczają ją najczulszą opieką. A w całej prasie codziennej jeden tylko „Orędownik“ odważył się postawić pod pręgierz opinii ten niesmaczny wyzysk religii, którym od lat wielu odznacza się „Kuryer“, mieniący się słusznie, czy niesłusznie, organem duchowieństwa. Odsądzanie przeciwników politycznych od wiary w Boga i katolicyzmu, grożenie klątwą i karami niebios każdemu, ktokolwiek w nikłej drobnostce inne niż program Kuryerowy zajął stanowisko, identyfikowanie interesów pruskiej monarchii z kościołem i religią, — to stare dzieje, których tu powtarzać nie będę. W najświeższym jednak czasie posunięto zuchwałość tak daleko, że już nie redakcyę, lecz wprost drukarnię „Kuryera“ zrównano z dogmatem katolickim. Wiadomo jest powszechnie, że drukarnia ta sporządza odbitki z feljetonów Kuryerowych i spienięża je w Towarzystwie Czytelni ludowych. Przypadek zrządził, że na walnych zebraniach, w krytycznej dyskusyi nad świeżemi nabytkami Towarzystwa, rozlegały się raz po raz głosy, że nie wszystkie z wydawnictw Kuryerowych są zdrowym pokarmem dla ludu. Utwory to obce, — przekłady francuskich romansów, przesiąknięte cudzoziemszczyzną i zapachem półświatka. Gdy komentarze te, noszone długo z ust do ust szeptem trwożliwym, ozwały się na sali hotelu francuzkiego, jęknęła z bólu sakiewka „Kuryera“ i oto dla „sprostowania opinii“ ukazuje się w „organie duchowieństwa“ artykuł, odsądzający od uczuć i pojęć katolickich jedne

go z najinteligentniejszych krytyków, który nietylko umiłował gorącą lud polski, lecz dusze jego bada od lat wielu i na podstawie wytrawnego ludoznawstwa nad dziełem oświaty pracuje. Więc katolikiem przestaje być ten, kto jakikolwiek z nakładów Kuryerowych uzna za nieodpowiedni dla polskiego chłopa, — więc walczy z religią i bezwyznaniowość szerzy wśród ludu ten, kto wnioskiem, projektem lub krytyką uszczupli o 100 lub 200 mr. dochody drukarni Kuryerowej! Niechaj nikt nie ośmieli się mówić, że czcionki „Dziennika Poznańskiego" są wyrazistsze od czcionków „Kuryera", bo klątwa spadnie na niego i słowo „Mason" zabrzmi mu nad uchem, — niechaj nikt nie głosi że anonse w „Orędowniku" większy wywierają skutek od inseratów „Kuryera", bo wrogiem Boga samego nazwie go „organ duchowieństwa" — niechaj każdy chwali papier, druk, korektę i wartość literacką „Kuryerowych" wydawnictw, bo najlżejsze odstąpienie od tej zasady wyrzuci go za progi Kościoła.

I o jedno jeszcze proszę czytelników moich. Jeżeli gdziekolwiek wystąpi prelegent i zamiast poważnego odczytu wypowie ramotę bez sensu, to głoście śmiało opinie wasze i nazwijcie rzecz po imieniu, ale jeżeli przypadkiem prelegentem niefortunnym będzie ks. Adamski, to milczcie, na rany Boskie, jak egipskie mumje, lub kwaśny grymas niezadowolenia ukryjcie w masce zachwytu i bijcie brawa bez końca. W przeciwnym razie ogłosi ks. Adamski w „Kuryerze Poznańskim" list otwarty i nazwie was „ludźmi bez wiary" i „niegodziwcami dogadzającymi swojej nienawiści ku duchowieństwu", a gdy mimo to nikt się nie ulęknie i nikt na obłudną pochwałę odczytu zdobyć się nie zechce, wtedy prelegent sam sobie napisze krytykę i własnym ją ozdobi podpisem. Natenczas społeczeństwo zdumione dowie się, że „w odczycie wszystko sumiennie było obmyslone, na podstawach gruntownych utwierdzone i na powagach oparte", — że był to „wywód psychologiczny, logicznie przeprowadzony i głęboko pojęta geneza idei piękna", — no! i podobnych cudaczności znajdzie tam nie mało. Krytyką ks. Adamskiego o ks. Adamskim będzie zachwyconym zawsze ...ks. Adamski. To też „Przegląd", jako żałujący grzesznik staje dziś przed „Kuryerem" i obiecuje uroczyście, że jeżeli kiedykolwiek za grzechy swoje będzie zniewolonym wysłuchać odczytu ks. Adamskiego, nie omieszka prelegenta samego o recenzyę poprosić. Wtedy niezawodnie przestanie uchodzić za masona i nic nie stanie na przeszkodzie jego wejściu do Królestwa niebieskiego.

Lecz żarty na bok. To szachrajstwo religią i katolicyzmem szerzy takie zgorszenie w szerokich kołach ludności, że z farsy zamienić się może w dramat poważny. Apelujemy więc do ks. arcybiskupa Stablewskiego, który wprawdzie oświadczył przed niedawnym czasem, że odpowiedzialności za artykuły „Kuryera" nie przyjmuje, lecz, zdaniem naszem, wpływ pewien na kierunek tego pisma wywierać może, — apelujemy do duchownych prezesów i opiekunów „Kuryera", aby raczyli nareszcie kres położyć bezprzykładnej demoralizacyi. Wyzysk religii i kościoła zemści się w pierwszym rzędzie na kościele i religii samej. Gdy społeczeństwo zrozumie, że Bóg, wiara i katechizm służą tym, którzy stróżami kościoła się mienią, za maskę dla nizkiego kramarstwa, pospolitych egoizmów i koteryjnych spekulacyi, wtedy gotowe zwrócić się nietylko przeciw szachrajom religii, lecz nawet przeciw dogmatom. Nie nadużywajcie świętości, bo lud subtelnych różnic nie rozumie i gardząc wyzyskiem świętości, gardząc rzekomemi sługami Chrystusa, których czyn każdy jest brutalną potwarzą i krwawą satyrą objawienia, zacznie pogardzać *samą* świętością. *Caveant consules!*

Sulla.

KRONIKA LITERACKA

Odczyt. Jednym z najwybitniejszych momentów literackich bieżącego sezonu w Poznaniu był niewątpliwie odczyt mecenasa Bernarda Chrzanowskiego p. t. „Tęsknota za krajem w literaturze polskiej". Tak pod względem obfitości materyału, jak uzasadnienia psychologicznego i formy odczyt ten wywarł na miejscowych kołach literackich i szerokiej publiczności nader korzystne wrażenie; poprzestajemy dzisiaj tylko na powyższej notatce ogólnikowej, bo udało nam się skłonić prelegenta do publikacyi odczytu swego w łamach „Przeglądu". Druk rozpoczniemy już w najbliższym numerze.

* * *

* Pan Kazimierz Langie z Krakowa, zapisany we wdzięcznej pamięci Wielkopolski, gdyż w znacznej części jego staraniom i jego niezmordowanej pracy w komitecie galicyjskim zawdzięczamy tak znaczny udział Galicyi w pierwszej subskrypcyi na Bank Ziemski, ogłosił świeżo własnym nakładem dwie cenne publikacye.

Pierwszą z nich jest: **„Wspomnienie o Antonim Marcelim Szymańskim,** oficerze wojsk polskich z 1831 r., zmarłym na emigracyi w Paryżu 1894 roku, — według opowieści jego samego i notat dostarczonych przez rodzinę, skreślił Kazimierz Langie" (w 8-ce, stron 32). Osobistość A. M. Szymańskiego mało jest znaną szerszej publiczności, a mianowicie młodszej generacyi, — a jednakże całem swem życiem, ciągłą myślą o ojczyźnie i pracą nad jej dobrem, zasłużył on na wdzięczne wspomnienie, jakie mu autor powyższej broszury poświęcił. Z prac naukowych ogłosił Szymański rozprawę: „O dawnem prawie granicznem" w Bibliotece Warszawskiej w r. 1841, — artykuł „o sołtysach" w Bibl. Warsz. z r. 1843, a w dawnym „Przeglądzie Poznańskim" z r. 1846 znakomitą pracę „O służbie wojennej włościan za dawnej Polski." Pomijając inne jego prace naukowe, które skłoniły Akademię krakowską w r. 1851 do przedstawienia go, niestety bez skutku, na profesora prawa polskiego po Helclu, który z przyczyny słabości katedry tej dłużej zajmować nie mógł, zaznaczyć należy działalność jego publicystyczną. Przez długie lata informował on dziennikarstwo francuzkie o sprawach polskich — i pisywał korespondencye do „Czasu", które tak były cenione, iż niejednokrotnie przedkładano je w przekładzie i ministerstwu francuzkiemu i samemu cesarzowi. Do wypadków roku 1854—56 i r. 1863 znajdzie czytelnik we „Wspomnieniu" cenne bardzo i ciekawe szczegóły.

Drugą publikacyą są: **„Pamiętniki niedoli Antoniego Langiego z lat 1849—1856".** Kraków 1896, w 8-ce, stron 144. Pamiętniki te malują nam w barwnych obrazach udział Antoniego Langiego (stryja wydawcy Kazimierza L.) w rewolucyi węgierskiej roku 1849, — a następnie jego sześcioletnie więzienie naprzód w Peszcie, później w kazamatach Ołomunieckich. Potomność czytać będzie te i tym podobne pamiętniki tak, jak my dzisiaj czytamy prześladowania chrześcian przez Nerona. Trudno prawie uwierzyć, by złość i nikczemność ludzka zdobyła się na takie znęcanie się nad ludźmi, których jedyną winą była gorąca miłość ojczyzny. Ale tu się sprawdza, że homo homini lupus. Młodsza generacya powinna rozczytywać się w tego rodzaju pamiętnikach, aby z nich poznać, jakie to ofiary składały tysiące ludzi na ołtarzu ojczyzny. Myśl o tych bohaterskich poświęceniach powinna krzepić i budzić zapał do têm większych wysileń dla dobra kraju, który dzisiaj nie wymaga tak krwawych ofiar, ale ma prawo żądać ciągłej, natężonej pracy, — mniej niebezpiecznej i groźnej, ale nie mniej skutecznej ofiary — z mienia i zdolności. *(C.)*

* * *

* **Choroby umysłowe u dzieci.** „Gaz. Lekarska" zdaje sprawę z ciekawej książki H. Conradsa p. t. „Choroby umysłowe u dzieci". Statystyka chorób umysłowych u dzieci w okresie dojrzewania z wielu względów jest trudną, a więc i niedokładną, poprzestać trzeba na cyfrach, wziętych ze szpitali. Próbowano zebrać odpowiednie dane przy spisach ludności, praktyka nauczyła, że rodzice zwykle tają choroby swych dzieci, zwłaszcza dziewcząt. Najważniejszą z przyczyn chorób umysłowych jest dziedziczność a następnie wychowanie. Ważny ten ustęp polecamy uwadze rodziców i wychowawców.

„Wychowanie tak zbyt pobłażliwe, jak i zbyt surowe, a głównie zmuszające zbyt wcześnie dzieci do życia niezdrowem życiem dorosłych sprzyja powstawaniu chorób umysłowych. Na wpływ szkoły zwrócił już Piotr Frank (r. 1804) uwagę; dziś uważać należy, że dzieci duchowo mało odporne nie powinny wspólnie ze zdrowymi się uczyć; inne wymagania i inny system są dla nich niezbędne. Zdrowego duchowo dziecka przeciążenie szkolne do psychozy nie doprowadzi, jednakże „werbalizm", sztuka wpajania w mózgi uczniowskie wielkiej liczby faktów, imion, cyfr, w nauczaniu dziś panujący, jest wielkiem złem i odbija się ujemnie na zdrowiu duchowem dzieci. Motywy psyhiczne, jak: bojaźń, uczucie wstydu, zmartwienie, zgryzoty, przestrach, sprzyjają powstaniu chorób umysłowych."

Pomijamy całą definicyę chorób nerwowych, jako zbyt dla nas specyalną. Główne miejsce zajmuje tu epilepsya, histerya, pląsawica, melancholia, hypokondrya, gadatliwość, swawola, hałaśliwość, szukanie samotności, zaduma i wreszcie t. zw. braki duchowe, jak: głupowałość, idyotyzm i kretynizm. Również często spotyka się t. zw. „moral insanity," zboczenie prawie zawsze na gruncie dziedzicznym powstające. Główną jego cechą jest nadmierny egoizm i zboczenie uczuć. Zdolności umysłowe są zwykle upośledzone (więcej chytrości niż rozumu). Jako środki zapobiegawcze autor zaleca:

„1) Powstrzymanie osób umysłowo osłabionych od wstępowania w związki małżeńskie. 2) Walka z alkoholizmem. 3) Wstrzymanie się nowożeńców od libacyi na uczcie weselnej (pierwsze dziecko). 4) Pilne wychowanie dzieci: mamka niech nie pije; dziecka nie „wzmacniać" winem; zwracać uwagę na ruchy onanistyczne już u najmniejszych dzieci; nie straszyć dzieci „strachami"; nie rozwijać zdolności umysłowych przedwcześnie. Wychowawcy (rodzice i nauczyciele) wiedzieć powinni o możności istnienia chorób umysłowych (różnego natężenia) u dzieci.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości polityczne i społeczne. W położeniu Włochów w Afryce nastąpiła pośrednio przynajmniej zmiana ku lepszemu ze względu na przyłączenie się Anglii do akcyi wojennej. — W parlamencie francuzkim pojawił się wniosek o zaniechanie wszechświatowej wystawy w roku 1900. Wniosek ten odrzucono znaczną większością głosów. — Proces z powodu przedwczesnego ogłoszenia przez

socyalistyczny „Vorwärts“ manifestu cesarskiego z dnia 18 stycznia ukończył się onegdaj przed sądem okręgowym berlińskim. Przeciwko trzem osobom, które odnośny dokument usunęły z drukarni Mittlera i syna i przesłały go „Vorwärtsowi“, wystąpił, jako oskarżyciel, nadprokurator Drescher. — Z powodu skandalicznych rewelacyi o gospodarce niemieckiej w koloniach afrykańskich złożył dr. Peters urząd prezesa w niemieckiem tow. kolonialnem i zażądał wdrożenia przeciwko sobie śledztwa dyscyplinarnego. — Według najświeższych informacyi nie spowodował klęski pod Aduą wyłącznie sam Baratieri, bo na radzie wojennej ad hoc odbytej nieomal wszyscy jenerałowie i wyżsi oficerowie naglili go do rozpoczęcia akcyi zaczepnej.

Teatr i muzyka. W czwartek dnia 26 marca wystąpi na sali Lamberta powtórnie młody skrzypek Piecznikow, Rosyanin, o którego dzielnej grze tak pochlebny w naszem piśmie wydaliśmy sąd. Na koncert ten zwracamy dziś szczególną uwagę naszych czytelników. — Czwartek najbliższy jest dniem benefisowym jednej z najsympatyczniejszych artystek poznańskich, pani Jakubowskiej. Talent tej artystki u nas rozwinął się i dojrzał, a porównując jej pierwsze nieśmiałe debiuty na scenie naszej z grą swobodną, wytworną i szczerą obecnej chwili, składamy ręce do oklasków nietylko jako lubownicy piękna, lecz jako starsi przyjaciele, pod których okiem z pączka skromnego kwiat barwny wystrzelił. Pani Jakubowska wybrała na swój benefis pięcioaktową komedyę Kneisla (przekład St. Sczanieckiego) pt. „Córa piekła“. (Belials Tochter). Utwór ten starszej już daty otrzymał w swoim czasie pierwszą nagrodę na jednym z konkursów niemieckich i doznał u publiczności nader przychylnego przyjęcia. Wesoły, interesujący i żywy, nastręczy on w tytułowej roli beneficyantce wdzięczne pole do artystycznego popisu. — Onegdajszy benefis pani Skirmuntowej zgromadził w teatrze dość liczną publiczność, oklaskującą serdecznie dawną primadonnę opery poznańskiej. — W „Dwóch światach“, wznowionych na scenie naszej, zajaśniała znowu w pełnym blasku gra panny Pankiewicz, zawsze subtelna, umiejętnie cieniowana i, mimo niewyraźnej wymowy, zasługująca na miano prawdziwego artyzmu. — Z początkiem kwietnia kończy się sezon teatralny w Poznaniu. Część artystów pod wodzą pp. Jakubowskiego, Skoraczewskiego i Czternastego wyjeżdża na prowincyę, — reszta udaje się do Warszawy, Petersburga, Kalisza i Lwowa, a mianowicie pp. Knapczyński i Grabowiecki, oraz panie Vernon, Pankiewicz, Jakubowska i Knapczyńska. — Trupa teatralna bawiąca w Piotrkowie, wystawić ma orginalną sztukę p. St. Łampieńskiego p. t. „Córka zawiadowcy“.

ODEZWY.

Z prośbą o zamieszczenie odbieramy następujące odezwy:

I.

Z końcem maja roku bieżącego wyrusza z Göteborga ekspedycya p. p. Andrée i Ekholm. Celem tej ekspedycyi jest Spitzberg, zkąd pp. Andrée, Ekholm i Strindberg mają wyruszyć balonem na północ do bieguna północnego.

Świat naukowy nietylko Szwecyi i Norwegii, ale i całej Europy zainteresowany projektem pp. Andrée i Ekholma, postanowił przyjąć w tej ekspedycyi udział, a Towarzystwa geograficzne i naukowe w Anglii, Niemczech, Francyi i Ameryce etc., wysyłają swych przedstawicieli. Kilka okrętów, przeznaczonych dla turystów rozmaitych narodów, wyrusza równocześnie, by towarzyszyć śmiałym podróżnikom na Spitzberg.

Niżej podpisani, chcąc, by — choć pośrednio — w epokowej tej ekspedycyi i nasi uczeni udział przyjąć mogli, mają zamiar, w razie jeśliby się odpowiednia liczba zainteresowanych zgłosiła, wysłać specyalny okręt.

Dla dopięcia naszego zamiaru, chcielibyśmy się poprzednio zapewnić, że odpowiednią liczbę turystów, co najmniej trzydziestu, będziemy mieli. Prosimy przeto tych, którzyby do wycieczki tej, bądź w celach naukowych, jako to: geografowie, geologowie, botanicy, etnografowie, fizycy, astronomowie i meteorologowie, bądź jako turyści zaliczyć się chcieli, by wcześnie, już przed 10 kwietnia b. r, o tem niżej podpisanych uwiadomili.

Zwracamy także uwagę, że podróż na Spitzberg nietylko z powodu ekspedycyi pp. Andrée i Ekholma jest ciekawą, lecz daje równocześnie rzadką sposobność zwiedzenia słynnej z wspaniałych krajobrazów północnej części Norwegii. Okręty bowiem ekspedycyi zatrzymywać się będą we wszystkich portach przez czas dłuższy.

Podróż potrwa 6 do 7-iu tygodni. Koszta nie przewyższą sześciuset rubli (1320 marek) na osobę wraz z całkowitem utrzymaniem. Specyalny program i wskazówki na żądanie wysyłamy. Gotowi także jesteśmy ułatwić podróż do Göteborgu ze Stockholmu i z powrotem.

Nakoniec zwracamy uwagę, że okręt wynajęty w powyższym celu, zostaje w wyłącznem naszem rozporządzeniu, możemy się przeto zastosować do woli pasażerów, chcących zwiedzić tę lub ową okolicę.

Polowanie na renifery, lisy, niedźwiedzie i na różnego gatunku ptactwo, sport wycieczkowy na *ski* i na łyżwach w głąb wysp Spitzbergu, zachęcą zapewne do udziału w tej wyprawie tak doniosłego znaczenia dla nauki. W przekonaniu, że w kołach uczonych Europy wschodniej, w Rosyi wraz z Królestwem Polskiem, w Austryi i Rumunii znajdziemy dostateczną liczbę osób, która się zainteresuje tą niebywałą i jedyną w kronikach naukowych wycieczką, oznaczamy na dzień 10 kwietnia r. b. ostatni termin zapisów.

NB. W tym roku 8 sierpnia wypada całkowite zaćmienie słońca, widoczne w północnej części Norwegii. Astronomowie i meteorologowie będą więc mogli pozostać w Norwegii dłużej i zjawisko na miejscu obserwować.

Dr. Jan Roszkowski, Docent fizyko-chemii. Alf de Pomian, Członek Tow. Geogr. Antropolog. szwedzkiego w Stockholmie.

Adres: Engelbrektsgatan Nr. 31 A. Suede — Stockholm.

Marzec 1896.

Księgarnie Wnych P. P. Gebethnera i Wolffa w Warszawie, G. Gebethnera i Sp. w Krakowie, Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie, Grendyszyńskiego w Petersburgu, pośredniczą w nabywaniu biletów i udzielaniu informacyi.

II.

W mieście naszem jest co najmniej trzy tysiące biednych dzieci szkolnych, uczęszczających do szkół tutejszych ludowych bezpłatnych. Rodzice ich ciężko pracując na chleb powszedni, nie są w stanie ani należycie ich przyodziać, ani dać odpowiedniego pożywienia, niezbędnego do rozwoju sił fizycznych młodocianych. Przytem mieszkania, jakie najmują na poddaszach lub w suterynach, wcale się nie przyczyniają do ich zdrowia,

W innych wielkich miastach to samo się dzieje; dla zaradzenia choć w części temu smutnemu położeniu i dla ratowania tych biednych dzieci znaleźli się gorącego serca ludzie, którzy tworzą kolonie wakacyjne, żeby dzieci te podczas wakacyi odetchnęły świeżem powietrzem po za miastem i odżywiły się choć prostym, ale zdrowym pokarmem.

U nas położenie i stan tych dzieci jeszcze gorsze. Nie chcemy się rozwodzić nad powodami tego, bo wszystkim są znane. Społeczeństwo nasze, uznając te smutne stosunki, otwierało gościnne swe domy dla tych maluczkich biedaków.

Towarzystwo „Stella“ zwróciło także na to baczną uwagę i na swem walnem zebraniu uchwaliło zaprowadzić kolonie letnie, aby wysyłać dzieci na świeże powietrze pod dozorem umiejętnego kierownika.

Nie wątpimy, że całe społeczeństwo poprze nader sympatycznie nasze zamiary i nie pożałuje grosza wdowiego dla tych maluczkich. W pierwszej linii odzywamy się do Polek, które zawsze popierają gorąco i serdecznie to, co szlachetne.

Rozpoczynamy więc, jeszcze raz powtarzamy, pewni poparcia całego społeczeństwa sprawę, a w miarę jak tylko fundusze odpowiednie będą złożone, przystąpimy do otwarcia pierwszej kolonii wakacyjnej i tak następnie.

Poznań, 18 marca 1896.

Albin Andruszewski, prezes. Hr. Engeström, zastępca prezesa.
St. Trzeciakowski, sekretarz. Bol. Ziętkiewicz, skarbnik.
Franciszek Dobrowolski. Czesław Foerster.
Aleksander Januchowski. Franciszek Krysiak.
Stanisław Rakowski.

(Dalsze wiadomości i szczegóły w tej sprawie będziemy komunikowali następnie).

BŁĘDY JĘZYKOWE.

W polskim języku mamy tylko jeden zwrotny zaimek osobowy i dzierżawczy na wszystkie trzy osoby i liczby, czy to mnogie, czy pojedyńcze; osobowy: siebie, się, sobie itd., dzierżawczy: swój, swoja, swa, swoje, swe itd. Osobowego zwrotnego zaimku używamy, można powiedzieć, prawidłowo; tymczasem zamiast zwrotnego zaimka dzierżawczego używamy w liczbie mnogiej i pojedyńczej pierwszej i drugiej osoby dzierżawczego zaimka niezwrotnego, zamiast „swój“ mówimy: mój, twój, nasz, wasz; znaczy to tyle, jakbyśmy zamiast „swój“ w trzeciej osobie używali: jego. Zdaje się, jakoby niektórzy uważali zwrotny zaimek dzierżawczy za wyłącznie przynależący do trzeciej osoby, a przecież nikt nie powie: „wybrałem mnie kapelusz“ tylko: wybrałem sobie kapelusz“, nikt nie powie: „wystarczcie wam sami,“ lecz: „wystarczcie sobie sami.“

Błąd ten popełniamy wszyscy, od szczytów wyrobionych pisarzów do nizin literackich. Niektórzy odpierają zarzut twierdząc, że Polak zamiast „swój“, kładzie: mój, twój, nasz, wasz, dla nacisku, np.: „Weź twój kapelusz, nie mój“, zamiast: „weź swój kapelusz.“ Jest to błędne uzasadnienie. Nacisk w języku polskim wyraża się przez użycie dłuższych form: swojego, nie swego itd., i przez kładzenie ich przed rzeczownikiem, do którego należą, lecz nie potęguje się go przez powtórzenie i zaznaczenie osoby już w „słowie“ zawartej. Kiedy się nacisku na zaimek nie kładzie, używa się formy krótszej, stawiając ją po rzeczowniku, do którego się odnosi, albo po przymiotniku zależnym również od owego rzeczownika.

Przy dobrej chęci i wytrwałości można się od błędnego używania zaimków niezwrotnych w miejsce zwrotnych w krótkim stosunkowo czasie odzwyczaić. Poczucie językowe wnet obudzi się w tym przypadku i wydelikatnieje.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

X. Y. Talent pański dojrzewa widocznie. „Wiosenna nuta“ pod względem formy wyróżnia się nader korzystnie od innych utworów, nadesłanych dawniej redakcyi naszej. Obrazom jednak brak jeszcze świeżości, a język nie jest dość muzykalny.

Mascotte. W tym względzie udzieli chętnie informacyi nasz referent muzyczny p. Edwin Jahnke. Prosimy pofatygować się do niego osobiście.

St. K. Nie rozumiemy pańskiej pretensyi. Wskazaliśmy źródło, z którego pan niezawodnie otrzyma pożądane wiadomości, ale trudno nas winić, że nie możemy podjąć się tej pracy wymagającej kilka godzin studyów bibliotecznych. Redakcya chętnie ofiaruje usługi swoje abonentom, nie należy jednak nadużywać cudzej uprzejmości.

P. w Berlinie. Stałego korespondenta już posiadamy. Artykuł o teatrach berlińskich przyjmiemy chętnie, jeżeli posiada kwalifikacye literackie.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28

Nr. 13. Poznań, niedziela 29-go marca 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: Piekary nr. 6.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi w Poznaniu 4,00 mrk. Przyjmuje Administracya: Piekary 6. w Niemczech i Austryi 5,00 mrk. (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 mk. — Prenumeratę przyjmują Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.

TREŚĆ.

Od Redakcyi.

Przy końcu kwartału zwracamy się do Czytelników naszych z uprzejmą prośbą, aby raczyli pismo nasze w gronie znajomych swoich energicznie popierać i rozszerzać. Z wielkim mozołem i trudem zdobywamy jedne piędź ziemi po drugiej, kosztem niemałych wysiłków i poświęceń dokonujemy pracy budzenia i trzeźwienia we wszystkich dziedzinach życia narodowego — niezrażeni niczem torujemy drogę nowym prądom a opinia publiczna słucha z dniem każdym uważniej tych gwarów bojowych, zaczyna rozumieć kierunek, kochać nasz sztandar, wierzyć w hasła nasze. Praca nie poszła na marne, lecz droga nasza tak daleka i trudna, że tylko energiczne poparcie całego stronnictwa i niestrudzona agitacya w interesie „Przeglądu“ stanowi gwarancyę zwycięstwa. Prosimy zatem wszystkich przyjaciół naszych, aby od domu do domu nieśli to pismo, które nie spekulacya, lecz idea powołała do życia i które idei tej zawsze uczciwie służyło. Administracya na każde żądanie dostarczy bezpłatnie numerów okazowych, — niechaj każdy je rozszerza w gronie znajomych swoich i nie szczędzi słów zachęty, aby pomnożyć szeregi abonentów naszych. Praca taka nie jest reklamą lecz apostolstwem.

* * *

W najbliższym czasie rozpoczniemy druk interesującej nowelli Rawity p. t. „Dziki człowiek“. Nadmieniamy również, że w tece naszej spoczywają prace pierwszorzędnych autorów polskich.

Dogmat ugody.

Już w jednym z dawniejszych artykułów wyraziliśmy przekonanie, że polityka Koła polskiego w parlamencie niemieckim zdradza niedwuznacznie cechy fanatyzmu. Zapatrzone w zwodniczą gwiazdę ugody — hypnotyzowane złudną doktryną, zatraciło ono poczucie rzeczywistości i zmysł zdrowej logiki politycznej. Zawrócili z drogi umizgów lojalnych ci wszyscy, dla których ugoda była tylko rachunkiem prawdopodobieństwa, pozostało na niej Koło, dla którego stała się ślepą wiarą i dogmatem. Otrzeźwiało społeczeństwo, otrzeźwiała niemal cała prasa zaboru pruskiego, otrzeźwiały wreszcie najlojalniejsze dzienniki Galicyi, torujące niedawno jeszcze drogę własnej dyplomacyi na pruskim terenie, — jedno Koło polskie wierzy i wierzy bez końca. Rok po roku posłowie z próżnemi wracali rękami, rząd z twardą nieugiętością powtarzał swoje „Ausrotten“, minister Bosse drwił najwyraźniej z polskiej dyplomacyi, — tam jednak ugoda pozostała bóstwem i głosy polskie szły... na marynarkę.

Przewidywania nasze spełniły się. Na progu kadencyi mówiono wiele o postanowieniu Koła polskiego, by wstąpić na drogę odwrotu, a głosy te potęgowały się i rosły, skoro mowy ministra oświaty zagrały echem bolesnem w całym zaborze pruskim. I wonczas jednak nie łudziliśmy się żadną nadzieją, oceniliśmy trzeźwo naturę posłów — fanatyków i bez zastrzeżeń wyraziliśmy przekonanie, że hasło ugody mogło i musiało zbankrutować w społeczeństwie, lecz żywem pozostało w „Kole“.

Najświeższy objaw lojalizmu naszego w dziedzinie marynarki pruskiej różni się jednak poniekąd od dawniejszych w tym kierunku postanowień Koła i na różnicy tej starają się posłowie zbudować obronę przeciw zaniepokojonej w najwyższym stopniu opinii publicznej.

Postulaty finansowe rządu okazały się w roku bieżącym skromniejsze niż w latach poprzednich, nie obciążają nadmiernie budżetu i nie nakładają nowych ciężarów na ludność kresowych prowincyi. Na takim fundamencie opiera się obronny argument wysunięty przez Koło polskie dla ułagodzenia wyborców. Jest to apel do materyalnego egoizmu społeczeństwa, maskujący zręcznie zasadniczą stronę najświeższej akcyi ugodowej. Przy wszechstronnem rozpatrzeniu sprawy jednak ukazuje się druga strona medalu, a jądra kwestyi, znaczenia typowego, doniosłości głębszej i ogólniejszej tu właśnie szukać należy. Posłowie nasi oddając głosy swoje rządowi pod świeżem wrażeniem ciężkich uderzeń ministra Bossego, gdy na wyżyny rządu wstępuje w całym blasku Bismarck redivivus, a w murach parlamentu drzy jeszcze echo pruskiej szykany polskiej galanteryi, echo wyroku dyktującego narodowi zagładę, — posłowie nasi dowiedli, że dzisiaj mniej niż kiedykolwiek myślą o zniżeniu tonu ugodowego, że bezwzględną opozycyę Niegolewskich zamienili na bezwzględny lojalizm Kościelskich i lekceważą zupełnie moralne znaczenie polityki.

Kwestya podatkowego obciążenia prowincyi polskich posiada w najświeższej manifestacyi Koła znaczenie drugorzędne: społeczeństwo rozpatrywać ją powinno przedewszystkiem ze stanowiska politycznego i moralnego.

Jest ona w chwili obecnej jednym z najjaskrawszych objawów lojalizmu i zdradza wyraźniej niż kiedykolwiek, jak głębokie korzenie zapuścił fanatyzm ugodowy wśród posłów polskich, stawiając w miejsce praktycznej „polityki interesów“ fanatyczną „politykę dogmatów“, — jest ona wreszcie dla społeczeństwa rozsadnikiem zarazków moralnych, którym imię: pokora niewolników. Dyplomaci Koła polskiego lubią wykluczać z zakresu rozumu politycznego czynniki moralne, a jednak sił tych lekceważyć niewolno. Plemie Bismarcków

nie zagładzi ludu polskiego, dopóki żywem jest uczucie krzywdy i bunt nie usnął i protest, — lecz cóż się stanie z narodem, któremu wybrańcy jego dyktują stale i zasadniczo ukłon niewolniczy w zamian za najdotkliwszy policzek niemiecki. Mówiono wiele swojego czasu o potrzebie rozgraniczenia dyplomacyi Koła od polityki domowej, — teorya ta jednak opiera się na płytkim sofizmacie, bo zbudowanie muru chińskiego jest tu niemożliwem i wpływy berlińskie pozostaną zawsze siłą, oddziałującą w kierunku moralnym na szerokie koła społeczeństwa.

Nie mniej poważnym momentem najświeższej akcyi ugodowej jest bezwątpienia walka Koła polskiego z rzeszą wyborców, — walka, która rzuca ferment nowy w życie znękanego ludu i sprowadzić może burzę potężnych rozmiarów. Faktem jest niezaprzeczonym, że z wyjątkiem „Kuryera Poznańskiego“, podlegającego, jak wiadomo, watykańskim wpływom, cała prasa polska bez wyjątku rzuciła rękawicę wybrańcom narodu. Nawet „Dziennik Poznański“, dawny obrońca polityki ugodowej i przyboczny organ Koła polskiego, stanął z niezwykłą energią po stronie opozycyi i wystąpieniem swojem ośmielił mniejsze pisemka prowincyonalne, lękające się długo wyraźniejszego protestu. Sytuacya zatem jest następująca: Po jednej stronie Koło polskie i „Kuryer Poznański“, po drugiej cała prasa zaboru pruskiego wraz z olbrzymią większością wyborców. Jeżeli te przeciwieństwa zamienią się w walkę, jeżeli typowy brak energii, właściwy społeczeństwu naszemu, nie zdusi płomieni buntu szerzących się w każdym zakątku kraju, jeżeli w krytycznej chwili kilka błyskotek orderowych nie oślepi ambitnych kierowników opinii i tłumów krótkowidzących, jeżeli protest stanie się hasłem bojowem, wtedy o rezultatach nowych zapasów wyborczych nikt wątpić nie może. Wiemy, że społeczeństwo jest znękane, słabe i rozbite, — walki tej zatem nie pożądamy; ale gdyby fanatyzm Koła, podsycany niewątpliwie zewnętrzną suggestyą, nie miał dobrowolnie ustąpić przed siłą opinii, wtedy w imię dobra publicznego podejmiemy rzuconą rękawicę. Koło polskie musi być wyrazem narodu, — z tą dewizą na ustach społeczeństwo sprawi szyk bojowy.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Zobożenie Wielkopolski. „Przegląd Wszechpolski“ nawiązuje w ostatnim numerze dłuższe refleksye do artykułu feljetonisty naszego o upadku umysłowem Księstwa. (Na Wyłomie Nr. 10). Z refleksyi tych, podpisanych literami *„Ro – d*, a podyktowanych dokładną znajomością stosunków naszych i zdrowym zmysłem krytycznym, cytujemy ustęp następujący.

„Co do przyczyn ogólnych upadku życia umysłowego w Poznańskiem, to sądzę, że Sulla ma słuszność, ale nie wszystko powiedział.

Przedewszystkiem trzeba pamiętać o tem, że zabór pruski, jako najmniejszy z trzech szmatów rozdartej Polski, najmniej przedstawia warunków do rozwoju bujniejszego życia umysłowego, że jako taki, nie przyciąga do siebie sił wybitnych z innych dzielnic, ale, przeciwnie, skazany jest na to, że go inne prowincye polskie z własnych jego sił obdzierają. Jeżeli pod koniec pierwszej połowy bieżącego stulecia Księstwo przodowało w polskim ruchu umysłowym, to dlatego, że rozwijało i użytkowało w pełni swe siły, bo pozostałe dwie dzielnice, uginające się pod strasznym uciskiem skrajnie reakcyjnych rządów, znajdowały się w zastoju i sił Wielkopolsce nie odciągały. Ale już w drugiej połowie stulecia, gdy w Galicyi nastąpiła zasadnicza zmiana systemu rządzącego, gdy w Królestwie skończyły się ciężkie dla umysłowego życia czasy mikołajewskie, w obu tych dzielnicach widzimy sporo sił literackich i naukowych, pochodzących z Poznańskiego i Prus. Natomiast z tamtych dzielnic nic do Księstwa nie przybywa: nie ciągną ludzi ani warunki życia umysłowego, ani ekonomiczne, a w ostatnich czasach drakońskie prawa bismarkowskie, system wydalania powstrzymuje wprost mechanicznie dopływ sił z innych dzielnic.

Przyglądając się życiu umysłowemu Królestwa i Galicyi, widzimy, że w obu tych dzielnicach odbywa się pewna wymiana sił umysłowych. W Królestwie mamy wielu ludzi, pochodzących z Galicyi (i z zaboru pruskiego), pracujących na polu literackiem i dziennikarskiem, w Galicyi na wszystkich polach pracy spotykamy wybitne siły z za kordonu, z zaboru rosyjskiego (i z pruskiego również, choć znacznie mniej); ta wymiana sił korzystnie się odbija na życiu obu dzielnic, i z pewnością życie to wiele by zyskało, gdyby była ona większa. Tymczasem stara Wielkopolska płaci haracz ludzki obu innym dzielnicom, a nic w zamian nie bierze. Czyż to nie ważna przyczyna upadku życia umysłowego? Czyż ubytek sił z jednej strony, z drugiej zaś nieodświeżanie życia miejscowego nowemi pierwiastkami z innych dzielnic nie tłomaczy nam już ubóstwa w znacznej części?..,

Polityka powstrzymuje rozwój życia umysłowego, to fakt. Zmuszone walczyć na każdym kroku w obronie swej narodowości społeczeństwo polskie w zaborze pruskim musiało zebrać się w zwarte szeregi, nałożyć sobie surową dyscyplinę, dającą siły do walki, ale przygniatającą myśl i krępującą wszelki jej polot. Więcej atoli, niż samo trwanie walki, wpłynęły warunki, w ktorych tę walkę trzeba było prowadzić.

Przeciw wrogowi potężnemu i wyćwiczonemu trzeba było wyprowadzić do walki armię surową, nie wyrobioną, nieuświadomioną nawet należycie pod względem narodowym, pierwsze kroki stawiająca w życiu politycznem masę ludu polskiego. Zadanie to było niezmiernie trudne, wymagało ogromnego skupienia sił. Wątpliwe byłoby powodzenie walki, gdyby z pomocą nie przyszedł tak potężny czynnik, jak religia, jak przywiązanie ludu do wiary, prześladowanej przez rozzuchwalonych orężnem powodzeniem Prusaków. Gdzie się nie zrodziła jeszcze świadomość narodowa, tam poczucie religijne zastępowało jej miejsce, zlewając się z nią często w nierozdzielną całość. Ztąd w życiu zaboru pruskiego kościół zajął więcej miejsca, niż gdzieindziej — za obronę narodowości społeczeństwo zapłaciło mu poddaniem się pod wpływ jego we wszystkich niemal dziedzinach życia umysłowego.

Życie umysłowe, opanowane przez kościół, musiało się całkiem inaczej ukształtować, niż gdzieindziej, nie mogło się w wysokim stopniu zasilać owo-

K. ROJAN.

W ŚWIAT.

(Ciąg dalszy).

Tymczasem w bawialni przesiadywał Dyniecki codziennie dobrą chwilę samotnie. Lola była chorą, a pani Marcysia gniewała się na zabój. Zostawała tylko Anulka. Ją też wysyłała Borajska do bawienia gościa.

Pierwszego dnia zniecierpliwiła pięknego panicza rozmowa z podlotkiem, który trzymał się sztywnie na uboczu i odpowiadał na zadawane pytania monosylabami, co pochodziło ztąd, że Anulka gniewała się również na niego, nie mogąc mu przebaczyć, że wmieszał się między brata a Lolę.

Anulka jednak była pięknym podlotkiem, któremu wiele się przebacza. To też Dyniecki nietylko, że nie zraził się dąsem dziewczęcia, lecz przeciwnie uznał, że Anulka zdolną jest żywsze wzbudzić w nim zajęcie. Już dawniej nieraz przyglądał się pensyonarce okiem smakosza i doznawał przyjemnych wrażeń. Na prawym policzku śniadej twarzyczki Anieli, po której błąkał się niekiedy brzask rumieńca, zauważył on obok zgrabnego noska pod czarnem, dużem okiem, nieznaczny pieprzyk, niby natrętną muszkę, co usiadłszy raz na twarzy, przyległa do niej łapkami i odlecieć nie może. Swieże, niezmącone troską oblicze, niepokalane namiętnością, owiane puszkiem, jak świeża brzoskwinia, dopraszało się nieprzepartą siłą, czarem pierwszej młodości, aby pocałunkiem spędzić zeń czarnego owada.

— Zabić ją trzeba, tę natrętną muchę — powiadał sobie Dyniecki w duchu, wpatrując się co dnia uporczywiej w twarz dziewczyny. — Po co takie ładne stworzenie ma więdnąć bezczynnie. Jabłko jest poto na drzewie, aby je zerwać i zjeść, inaczej zgnije i upadnie nieużyte na ziemię; ładna dziewczyna tak samo. Grzech bym miał nie do darowania, gdybym nie zabił tej przeklętej muchy pod okiem. Zabić ją zatem, zabić.

Piękny młodzian był cynikiem nietylko w męzkiem towarzystwie dla fanfaronady, dla imponowania otoczeniu odrębnością zapatrywań, ale także cynikiem w swych najskrytszych myślach. Cynizm tkwił w nim samym, jak ziarnko orzecha w łupinie. Zdaje się, że pieszcząc się lubieżną myślą, zanurzoną w cynicznej przyprawie, doznawał nie mniej miłego uczucia jak wówczas, gdy cyniczną myśl w czyn przemieniał. Doprowadził on w tym względzie do wyrafinowania. Przeszedł miarę i był niepoczytalnym.

Rozmawiając codziennie dość długo z Anulką, mimowolnie porównywał ją z Lolą, dla której głównie odwiedzał Borajskich.

Tamta była już jego niewolnicą, jedną z owych stu, co przemknęły przed jego oczyma i poszły w krainę nirwany, wiecznego zapomnienia, tamta więc zaliczoną być mogła do rzędu zjawisk codziennych, które swą szarą pospolitością budzą przesyt i ziewanie, ta, to pączek nietknięty dotąd, a więc zjawisko bądź co bądź nowe, po które dla zasady rękę należy wyciągnąć.

A przytem, porównywając obie bezstronnie, zauważył młody Don Juan, że Anulka niezwykłym powabem rysów górowała nad panną Borajską, a odpornem swem zachowaniem się zachęcając do zabiegów, czyniła tem ponętniejszem przewidywane zwycięstwo.

— Zabić ją, tę muchę niegodziwą — szepce mu w duchu władca jego nerwów — zabić długim, namiętnym pocałunkiem.

I Lola przechodziła tę samą drogę. Było to w dniu przedstawienia amatorskiego, kiedy nim gardziła. Wszelako później uległa, ukorzyła się i wstąpiła w szereg niewolnic, a więc tem samem pozbawiła się dobrowolnie uroku....

Tymczasem Anulka czaruje nowością i to jej zaleta i w tem jej wyższość nad tamtą.

Dyniecki był mistrzem ułudnych słówek, dzięki którym umiał dojść zawsze do celu. Zrazu obojętną, lecz pełną przyjacielskości i żywego dowcipu rozmową, oswajał i przywabiał ku sobie, choćby najdzikszą i nieśmiałą ofiarę. Mówiąc o tem i owem, wychwalał sam siebie, podnosił zgrabnie swe zalety, starał się, aby przedmiot zabiegów oglądał go w jak najlepszem oświetleniu, słowem odurzał, hypnotyzował. Następnie pukać zaczynał do serduszka: zrazu leciuchno, niby

cami nowszej pracy myślowej całego społeczeństwa polskiego, bo ta praca odbywała się i odbywa przeważnie po za sferą kościoła. To wyosobnienie się musiało w znacznej mierze wpłynąć na zakrzepnięcie umysłowości Księstwa, zbyt mała to bowiem prowincya, ażeby mogła sobie własnemi siłami odrębny typ życia wytworzyć, a zresztą kościół wszędzie broni umysłów przeciw nowatorstwu.

Walka narodowa w zaborze pruskim idzie w parze z walką ekonomiczną. Niemcy pomieszani z ludnością polską stanowią dla niej groźnego współzawodnika na polu ekonomicznem. W tego rodzaju współzawodnictwie, gdy nabiera ono wielkiego napięcia, rozwija się nadmiernie materyalizm życiowy, brutalna interesowność, sprowadzająca wszystko do zysku, obliczająca wszystko na pieniądze. Podobny nastrój nie sprzyja też wyższemu rozwojowi życia umysłowego.

Najwięcej może przyczynia się do zabicia umysłowości rutyna polityczna, wytworzona w walce z żywiołem niemieckim. W Prusakach narodowość nasza posiada przeciwnika, znakomicie wytresowanego do walki legalnej, walki na paragrafy, w której myśmy nigdy biegli nie byli, przeciwnie, zawsześmy za mało mieli i dziś mamy mało rozumienia prawa i umiejętności użytkowania z niego. Polacy w zaborze pruskim, nie chcąc uledz przeciwnikowi, musieli się do warunków przystosować, do nowego rodzaju walki zaprawić, nauczyć się prawem manewrować i prawo wyzyskiwać. W krótkim czasie postąpili oni pod tym względem wiele i przewyższają w tem ogromnie rodaków z innych dzielnic, ale praca, którą musieli wykonać, by zdobyć nową umiejętność, zrutynowała ich umysłowość, nadała jej pewną manierę, wytworzyła jednostronność, szkodliwą niezmiernie w życiu umysłowem.

Dziwna rzecz, iż przy ocenianiu życia umysłowego w zaborze pruskim nikt nie zwraca uwagi na warunki, w których się wychowuje oświecona warstwa tamtejszego społeczeństwa. Gdybyśmy wzięli pod uwagę, że skutkiem systematycznego usuwania od działalności wychowawczej naszych sił nauczycielskich, dzisiejsze pokolenia inteligencyi poznańskiej zostały wychowane przez Prusaków, że otrzymały one pruską kulturę umysłową, że wpływowi tej kultury w uznaniu jej wyższości poddało się całe społeczeństwo poznańskie, moglibyśmy zrozumieć wiele rzeczy, które dziś nam zrozumieć trudno. Kultura pruska tak się sprzeciwia naszemu charakterowi narodowemu, że wpływ jej pod względem umysłowym musi się odbijać niekorzystnie.

Pruska kultura moralna i umysłowa jest czemś, czego nigdzieindziej na całym świecie nie spotykamy. Nie jest to rezultat kilkunastowiekowego dojrzewania cywilizacyjnego, który spotykamy u Anglików, Francuzów lub południowych Niemców, — Prusacy bowiem nie są tak starą arystokracyą śród narodów — jest to owoc militarnej tresury Fritzów, która się przyjęła znakomicie na gruncie wysokiej kultury technicznej i trzeźwej praktyczności, właściwej młodym społeczeństwom kolonistów. Prusacy — to naród-armia, każdy z nich jest ex-feldfeble.

Kultura Prusaków nie jest to w istocie rzeczy kultura ogólno-niemiecka, ale w znacznej części specyalny wytwór tego młodego społeczeństwa i państwa, które wyrosło w dawnych siedzibach słowiańskich. My, którzy stykamy się bezpośrednio tylko z tymi wschodnimi przedstawicielami germańskiej cywilizacyi, przywykliśmy sądzić po nich całe Niemcy i, patrząc na dumnego „*Kulturmensch'a*“ w Poznańskiem, Prusiech Zachodnich lub na Szlązku, ani się domyślamy, że tem gdzieś w Harzu spotkać można chłopów prawie dzikich, którzy przed obcym człowiekiem uciekają stadami, na podobieństwo obywateli szlachetnej nacyi Papua.

Prusacy, jak wogóle wszyscy dorobkiewicze, ogromnie kolą ludziom oczy swą kulturą, noszą wysoko jej sztandar, my zaś, jako naród znany ze swej skromności, ustępując im w kulturze technicznej, w wyćwiczeniu politycznem, gotowiśmy wierzyć, że pod każdym względem nas przewyższają, i naśladować ich nawet w tem, w czem są gorsi od nas Tak się też dzieje. Młodsze pokolenia inteligencyi poznańskiej pod wpływem pruskiej kultury przejmują pruskie zalety, ale razem z niemi pruskie głupstwa i śmiesznostki, pruską pospolitość i trywialność umysłową. Można dziś w Poznańskiem spotkać przykłady rażącej różnicy między dwoma pokoleniami, w rodzaju tego, jaki sam widziałem: ojciec, człowiek humanitarny, oświecony po europejsku polski szlachcic, względnie wolnomyślny, demokrata z 48 roku; syn zaś — junker w pruskim stylu, płaski materyalista w praktyce, po za tem zaś nie umiejący się wznieść nad próżność kastową, noszący się ze swem szlachectwem tak jak to tylko Niemiec umie.

Otóż, zdaje mi się, że pruska kultura szkodliwie wpływa na umysłowość polską, że pruskie wychowanie, nie zastosowane do naszego ducha narodowego, nie uwzględniające potrzeb i upodobań naszej rasy, zabija wyższe zdolności w młodzieży naszej. My jesteśmy rasą bardzo zdolną — przyznają nam to nawet Prusacy — ale właśnie dla tego wstrętny nam jest ów duch rutyny, wnoszony wszędzie przez Prusaków: zbawienny dla tęgich, ale nieskomplikowanych ich mózgów, na nasze działa on zabójczo. Zresztą, w sprawie tej nie myślę dochodzić do zbyt określonych wniosków. W rzeczach tak złożonych trzeba wyrokować bardzo ostrożnie.

Nie sądzę, żeby tem, com wyżej powiedział, wyczerpane już były przyczyny upadku życia umysłowego w Księstwie. Jest ich znacznie więcej. Dość wskazać na fakt, że w dzielnicy tej żywioł, który dawniej podtrzymywał ruch umysłowy, mianowicie szlachta, stopniowo upada, wydziedziczana jest z ziemi, że na pierwszy plan wysuwają się tu warstwy ludowe, które skuteczniej walczyć będą w obronie narodowości, ale nie wytworzą wyższego życia umysłowego. Nie należy też i o tem zapominać, że do najważniejszych przyczyn upadku polskiego życia umysłowego należy ogromne rozpowszechnienie się obcych pism i książek śród naszych ludzi wykształconych, którzy na zachodnich kresach częstokroć więcej żyją strawą umysłową niemiecką, niż polską.

Ro—d.

* * *

Nowe pismo. Księża-germanizatorzy na Górnym Ślązku założyli nową gazetę w Królewskiej Hucie i rozwinęli w interesie tego pisma krzykliwą agitacyę. Sprawie tej poświęca „Katolik“ w Nr. 34. uwagi następujące:

W przeszłą niedzielę zapowiedzieli niektórzy księża z ambon, jako nowa gazeta polska w Król. Hucie zacznie wychodzić i zalecili ją parafianom. Przeciwko temu nie mówi „Katolik“ ani słowa, albowiem każdemu wolno polecać gazetę, jaką chce, To sprawa osobistego zapatrywania.

Inaczej ma się jednak rzecz z takimi księżmi, którzy przy tej okazyi przeciwko „Katolikowi“ ostre a wielce niesłuszne podnieśli zarzuty. Radakcya nasza odebrała wiadomości o tem, gdzie co powiedziano, a przyjaciele „Katolika“ żądają ogłoszenia w naszem piśmie ostrych odpowiedzi na te ostre zaczepki.

Bezwzględność, z jaką niektórzy księża, nie czytający wcale „Katolika“, pozwolili sobie z ambony szarpać sławę i ujmować czci „Katolikowi“ i jego redaktorom była tak wielka, iż musi nadzwyczajnie drażnić redakcyą i przyjaciół „Katolika“. Na dziś odzywamy się spokojnie do owych księży tak: „Gdy-

---

żartem, z tą rezerwą, która w każdej chwili dozwala wycofać się bez szwanku z potyczki zaczepnej, następnie coraz silniej, coraz natarczywiej, aż naraz, gdy zauważył, że opór słabnie, porywał kobietę w ramiona i bez ceremonii — zabijał muchę.

Podobne postępowanie postanowił zastosować względem siostry Franciszka Smolarza. Decyzya nastąpiła nagle i poniekąd przypadkowo, jak to zwykle u niego bywało, a więc podczas drugiej wizyty u Borajskich, po dłuższej rozmowie z Anulką, wśród której udało mu się nietylko rozbroić jej gniew, lecz wywołać uśmiech na usta dziewczęcia i usposobić przyjaźnie ku sobie. Cóż łatwiejszego niż zawrócić głowę takiemu nieświadomemu pędrakowi, biorącemu każde słowo za ewangieliczną prawdę, każdy uśmiech za szczerość, a każdą krokodylą łzę za głęboką pokutę. Dyniecki kłamał, śmiał się i płakał, ona — ona wierzyła wszystkiemu. Zaczął od tego, że w szczerych słowach wyraził głęboki żal, iż sprawił przykrość Franciszkowi. To Anulkę ułagodziło. Dorzucił następnie, że z przyjaźni dla Franciszka, skłonny nawet byłby zaniechać swych zamiarów, gdyby się tylko Lola zgodziła. To oświadczenie podbiło Anulkę do reszty. Dodał wreszcie czwartego dnia, wśród szeregu innych pięknie brzmiących zdań, że wobec praw ludzkich i Boskich, za każdą poniesioną ofiarę, należy się ludziom nagroda: on skłonny jest do ofiar, a nagroda spoczywa w jej rękach. Nie bardzo zrozumiała Anulka powyższą przenośnię, lecz życząc już dobrze Dynieckiemu, przyznawała w duchu, że przytoczone przez niego prawa Boskie i ludzkie są zupełnie słuszne i sprawiedliwe.

II.

Szczególnym trafem, pani Marcysia Borajska, nie odznaczająca się ani bystrzejszym umysłem, ani bogactwem i wrażliwością uczuć, po zabawie w „Gwieździe“ przejrzała pięknego Parysa, jak to mówią, na wylot, i sformułowała sobie o nim bardzo trafne zdanie. A że mściwą była z natury, i to mściwością ograniczonej kobiety, która dla błahostki, jakiejś nieznacznej urazy zdolną jest bić, kąsać, potwarzać, niszczyć i palić, więc uznawszy w duchu, że Dyniecki obraził ją śmiertelnie, postanowiła zemścić się. Środki, jakimi dochodziła do celu, były jej zupełnie obojętne. Nad następstwami nie zastanawiała się wiele. Chciała raz przynajmniej spojrzeć Dynieckiemu w oczy i powiedzieć z tryumfem:

— A widzisz!... oto masz!...

Co z tego dalej wyniknie — o tem pani Borajska wcale nie myślała.

Dawną nienawiść ku Loli rozdzieliła teraz na dwie osoby, tj. na Lolę i na Dynieckiego. Jeżeliby więc złożyły się okoliczności w ten sposób, żeby można ich było zgnieść oboje za jednym zachodem — to tem ci lepiej.

A właśnie teraz znakomita nadarzała się po temu sposobność. Anulka i Dyniecki, zajęci rozmową w bawialni, nie zauważyli, że za drzwiami przedpokoju, a niekiedy sypialni, cień jakiś czuwa nad nimi.

Pani Borajska była tym cieniem, który w różnych chwilach różne przybierał kontury: to się zniżał do dziurki od klucza, to się podnosił do szpary w górnej części drzwi, przez którą dochodziły najlepiej głosy z bawialni, to kiedyindziej, widocznie czuwaniem zmęczony, przysiadał na ziemi i wypoczywał. Ale ostatecznie zadziwiająco był wytrwałym, nie opuszczając stanowiska ani na chwilę.

III.

W sali ratuszowej jasno jak w biały dzień.

Pan burmistrz odstąpił tę salę na obrady komitetu, zawiązanego w celu utworzenia kasy zaliczkowej.

Około dwudziestu, zaproszonych na posiedzenie „sąsiadów“, obsiadło przednie ławki, naprzeciw Borajskiego, który przewodniczy. Szołomiejski, obrany sprawozdawcą, przechadza się niecierpliwie i wyciera okulary chustką. Bez szkieł, oczy jego obolałe, wypukłe, spoglądają baranim wejrzeniem po obecnych. Jest także opodal czerwony Ranicki w towarzystwie przyjaciela Klepki.

Borajski zajmuje miejsce w wyplatanym fotelu i dzwoni.

— Proszę siadać. Panie Szeląg, zapraszam pana na sekretarza.

Szeląg siada obok przy stole.

— A teraz — ciągnie dalej przewodniczący — otwieram posiedzenie.

byście wiedzieli, co ludzie myślą i mówią o tej hecy, urządzanej przeciwko „Katolikowi", tobyście poznali, że nie „Katolik" księżom, ale sami t a c y księża sobie szkodzą, zaufanie u ludzi tracą i wiarę św. na szwank narażają".

Dla dobra wiary św. przedewszystkiem, a także dla innych przyczyn, ostrzega „Katolik" księży, którzy w ten sposób przeciwko niemu występują, aby hamowali w bezwzględności i w wojowniczem uniesieniu, zapomnieli o granicach dla agitacyi i walki, które nam wszystkim, nietylko „Katolikowi", ale też szczególnie księżom, sumienie katolickie zachować nakazuje. Otwarcie powiadamy, że podług dotychczasowych doświadczeń, taki rodzaj bezwzględnej walki nigdy „Katolikowi", ale zawsze księżom u ludu zaszkodził. Przeciwników więc naszych prosimy, aby pamiętali o radzie: Quidquid agis, prudenter agas et respice finem. (Cokolwiek czynisz, czyń mądrze, a pamiętaj o końcu),

— ski.

O Stańczykach.

(Wyjątek z 2-go tomu dzieła K. Bartoszewicza o „Rzeczy" p. Koźmiana)[1].

I.

Narodziny Stańczyków.

Przypatrzmy się naprzód narodzinom „szkoły stańczykowskiej", której celem miało być usunięcie idei niepodległości (ciekawa rzecz, coby na to określenie powiedzieli śp. L. Wodzicki i Szujski!). P. Koźmian, w swojem dziele przyznaje się do roli akuszera przy tym porodzie i tak go opisuje: „Na wiosnę 1866 Stanisław Tarnowski wyszedłszy z więzienia, spotkał na rynku krakowskim piszącego tę rzecz. „Cóż poczniemy, cóż robić będziemy?" zapytał. „Wydawać będziemy pismo polityczne". „Dobrze, ale jakto my dwaj?" „I Szujski". „Szujski? Ale przecież on nie zupełnie takie jak my ma przekonania i zapatrywania?" „O, Szujski zupełnie się odmienił". — Obaj poszli do Szujskiego; pozyskali współudział Ludwika Wodzickiego i 1 lipca 1866 wyszedł zeszyt „Przeglądu polskiego". Pierwszą formą wystąpienia szkoły wojującej była T e k a S t a ń c z y k a".

[1]) Drugi tom dzieła K. Bartoszewicza wyjdzie z druku w przyszłym miesiącu.

Anegdotka ta rozbraja swą naiwnością. Przyjaciel spotkał przyjaciela na rynku, po wypuszczeniu go z więzienia, i zamiast przywitać się serdecznie, pomówić z sobą jak rozmawiają po długiem niewidzeniu się (i to jeszcze wśród takich okoliczności) wszyscy ludzie, choćby „największych serc i największych umysłów" — zaraz na rynku, jeden drugiego pyta: co poczniemy? a drugi: będziemy wydawali pismo polityczne. Nawet na scenie w wesołej komedyi taki dyalog nie uchodziłby, bo brak w nim byłoby cienia naturalności. Co więcej, gdyby te słowa: „będziemy wydawali pismo" wyszły z ust p. Tarnowskiego, byłyby wprawdzie śmieszne, ale miałyby w sobie odrobinę sensu, bo „Przegląd Polski", (o którym tu mowa), wydawał potem rzeczywiście p. Tarnowski za swoje pieniądze, ale nie mógł powiedzieć tych słów p. Koźmian dla tej prostej przyczyny, że nie miałby za co wydawać pisma. I poszli zaraz do Szujskiego (tak im było pilno) i pozyskali Wodzickiego i musieli zapewne lecieć natychmiast do drukarni, ugodzić się o cenę, zaraz potem kupić papier i atrament, siadać na gwałt i pisać, bo stało się to na wiosnę, (a więc w maju, bo w kwietniu jeszcze u nas się o wiośnie nie mówi) a już na 1-go lipca wyszedł pierwszy numer „Przeglądu Polskiego", na którego zebranie, napisanie i wydrukowanie potrzeba było przecież z półtora miesiąca czasu! Ale jak się rwać do czynu, to się rwać! Co ciekawe to to, że artykuł wstępny napisał nie p. Koźmian, lecz Floryan Ziemiałkawski, ów czerwony, demokratyczny Ziemiałkowski — gdzie więc było owo późniejsze stańczykostwo i gdzie się podział p. Koźmian, który mówił „będziemy wydawali pismo". Czemuż ten mąż, ten inicyator, ten wnioskodawca nie wystąpił z artykułem kierującym. I zaraz, ledwie pismo zaczęli wydawać, rozpoczęli wojować, a „pierwszą formą szkoły wojującej była Teka Stańczyka".

Wszystko to się nie zgadza z prawdą i faktami. Naprzód ów zabawny dyalog, gdyby istniał, nie istniałby na wiosnę roku 1866, bo p. Stanisław Tarnowski wyszedł z więzienia we wrześniu 1865 na skutek osobnego wraz z kilku towarzyszami uzyskanego ułaskawienia[2]), a więc nie natychmiast po jego wyjściu stanął „Przegląd Polski" na rynku krakowskim. Czy inicyatorem tego pisma był p. Stanisław Koźmian, wiedzieć nie możemy, mógłby o tem coś powiedzieć tylko p. Stanisław Tarnowski, gdyby dobrze pamiętał, o czem przed trzydziestu laty na rynku się mówiło, a gdyby pamiętał rzecz inaczej, trudno byłoby od niego wymagać, aby zaprzeczył drukowanemu słowu swego przyjaciela. Fakt ten więc nie będzie zbadany, (smuć się historyo!) lubo wszelkie prawdopodobieństwo przemawia za tem, iż pomysł wydawania „Przeglądu", wyszedł od p. Tarnowskiego. Był on jak na nasze stosunki człowiekiem wcale zamożnym i rwał się do pióra, a ludzie tego rodzaju chcą mieć swój organ własny. Jest na to jeszcze i inny dowód, czysto logiczny. Kto daje inicyatywę do założenia pisma i to politycznego, ten od razu w niem występuje, tymczasem kiedy w pierwszym numerze „Przeglądu" jest już artykuł o sejmie pióra p. Tarnowskiego, to ani w pierwszym, ani w drugim zeszycie nie ma ani jednego wyrazu napisanego przez p. Koźmiana, tego inicyatora, który miał już w głowie program zbawienia Polski przez swą politykę wyrzeczenia się zgubnej idei narodowości. Przegląd polityczny napisał do pierwszego zeszytu Ludwik Wodzicki, do drugiego Stanisław Tarnowski. Samo uproszenie wreszcie Florjana Ziemiałkowskiego, aby napisał programowy artykuł wstępny, dowodzi, że szanowne g r o n o k r a k o w s k i e nie miało żadnego programu, że rozpoczęło wydawnictwo miesięcznika więcej w celach literackich i dla rozbioru spraw społecznych (czego dowodzi przeważna część artykułów tej treści w pierwszych rocznikach „Przeglądu"), aniżeli dla celów politycznych. Ale ponieważ nie wykluczali i polityki ze swego programu, a sami nie czuli się jeszcze kompetentni do jej „robienia",

[2]) Stronnictwo krakowskie. Lwów, 1895, str. 216.

Wszystko dotąd odbywa się zupełnie prawidłowo. W ten sam sposób otwiera burmistrz posiedzenia rady, więc też forma nie jest zgromadzonym obcą. Przyjmują ją zatem z godnością i spokojem. Nawet poczciwy Klepka, wbrew przyzwyczajeniu, nie dopatrzył ani nie dosłyszał nic takiego, coby wywołało uśmiech na jego księżycowej twarzy.

— Wiecie panowie mniej więcej o co nam chodzi — zagaja Borajski — nie potrzebuję zatem długo się rozwodzić. Pan Szołomiejski jest tym, kóry myśl założenia kasy podniósł, więc on rozpowie nam o niej i przeczyta statuty. Proszę panów nadewszystko o spokój. Szczególnie panaRanieckiego o to proszę.

Raniecki poruszył się niespokojnie na krześle. Klepka z przyzwyczajenia odskoczył nieco na bok.

— A cóż to, czy ja przekupka, czy co? — pyta Raniecki wyzywająco.

— No, nic, nic — przeprasza go Borajski i uspakaja ruchem ręki.

Szołomiejski włożył już w tym czasie okulary na koniec nosa, wydobył papiery i z wielką powagą wstępuje na podniesienie.

— Moi panowie! — rozpoczyna basem.

Raniecki zapomniał w tej samej sekundzie o napomnieniu i powlókłszy wzrokiem po wielkim filozofie:

— Uf!... — mruczy zniecierpliwiony, zwracając się ku Klepce. — Jak on tylko nasadzi swoje szyby na nos a zahuczy niby organista, to mię zaraz całego trzęsie.

Klepka uśmiecha się i spogląda rzewnie na przyjaciela.

Szołomiejski chrząka.

— Moi panowie!...

— Dosyć tych panów, dosyć.

— Proszę nie przeszkadzać — chrząka ponownie. — Moi panowie!... Czyż potrzebuję wskazywać na piękny, wzniosły i szlachetny cel, jaki mieć może przemysłowo-rękodzielnicze towarzystwo pożyczkowe z ograniczoną poręką?... Czy potrzebuję udowadniać, moi panowie....

Raniecki:

— Wcale nie potrzeba. Niech pan sobie tymczasem odpocznie.

Borajski psyka — Klepka zaczyna huczeć, ale nieznacznie, gdyż nie rozruszał się jeszcze na dobre.

Szołomiejski poczekawszy chwilę cierpliwie, ciągnie dalej:

— Czyż potrzebuję udowadniać, moi panowie, że tam, gdzie jest kapitał, tam jest siła, a gdzie jest siła, tam zwycięztwo. Czyż potrzebuję dalej przypominać wam, moi panowie, że dobrobyt kwitnie tam, gdzie jest siła i zwycięztwo?.... Nie, moi panowie, tego, zdaje się, nie potrzebuję wam przypominać.

Raniecki:

— No, a ja co powiedział? Nie mówiłem, że nie potrzeba? — zwracając się do Klepki — Klepka, prawda, że mówiłem to samo co on, ale znacznie wcześniej i daleko króciej.

Klepka przytakuje na znak, że Raniecki ma słuszność.

Szołomiejski, wyczekawszy, aż się Raniecki uspokoił:

— Pozwólcie jednak, moi panowie, że nim przystąpię do szczegółów, przypomnę wam ową bajkę o umierającym ojcu i trzech synach....

Raniecki porywczo:

— Bardzo proszę! My tu nie przyszli na żadne bajki, ale na poważne rzeczy. Bajki opowiada się dzieciom w domu.... za piecem.

Szołomiejski niecierpliwie:

— Proszę nie przeszkadzać!

Borajski dzwoni i przyzywa Ranieckiego do porządku.

Szołomiejski po krótkiej przerwie:

— Otóż, ów ojciec, będąc na śmiertelnej pościeli, zawołał trzech synów przed siebie i polecił im, aby każdy, wyciąwszy pręt łoziny w ogrodzie, przyniósł go do mu. A gdy się to stało, wówczas mądry ojciec....

Raniecki wpadając w słowo:

— Wówczas mądry ojciec wysmarował owym prętem każdego z synów dobrze po bokach.

(Ciąg dalszy nastąpi.

uprosili przeto Ziemiałkowskiego, człowieka „ruchu“, członka organizacyi powstania, świeżo wypuszczonego z więzienia, do którego na trzy lata za udział w r. 1863 był skazany, aby jako w polityce *peritus* i zajmujący już wybitne stanowisko polityczne, wyręczył ich w nadaniu barwy politycznej „Przeglądowi“. I cóż w tym programie napisał Ziemiałkowski? Nie będę go streszczał szczegółowo, ale wskażę na parę ustępów, które będą dostateczne do zrozumienia: czy program Ziemiałkowskiego mógł się godzić w czemkolwiek z późniejszem stańczykostwem p. Koźmiana i spółki. Przedewszystkiem kładł Ziemiałkowski nacisk, że w polityce powinno istnieć prawo i sprawiedliwość, a nie interes i siła. Dalej wychwala Ziemiałkowski wolność jako ostateczny cel człowieka, jako ideał w przeciwstawieniu do „rządów ojcowskich“. Następuje nadzwyczaj ważne wobec tendencyi p. Koźmiana zaznaczenie, że „w r. 1865 zaczęliśmy się garnąć z całą ufnością ku Koronie i że odtąd kraj daje monarsze niewymuszone dowody szczerej lojalności“, a więc świadek naoczny stwierdza w pierwszym numerze organu stańczyków, iż na drogę lojalności weszła Galicya już wtedy, kiedy jeszcze o „Przeglądzie“ nikt nie myślał, a o byłym pomocniku telegrafisty krakowskiego biura Rządu narodowego nikt jeszcze nie słyszał. Przechodząc do spraw ukształtowania się Austryi, Ziemiałkowski żąda, aby państwo pod względem zarządu podzielone było na trzy części: na Węgry, Galicyę i kraje niemiecko-słowiańskie, — żąda osobnego rządu parlamentarnego dla krajów polskich i zupełnej we wszystkiem autonomii. Mówiąc o walkach za niepodległość, Ziemiałkowski z naciskiem dwukrotnie pisze, że nie można mówić o „n i e u d a n y c h przedsięwzięciach narodowych“, bo każde z nich ma swoją zasługę i swoje znaczenie. Artykuł kończy się wezwaniem szlachty i sfer inteligentnych do zajęcia się pracą koło podniesienia ludu, bo w nim leży siła narodu. Pod artykułem tym, nadającym kierunek „Przeglądowi“, mógłby się dziś podpisać każdy uważany przez Stańczyków za „czerwonego“, nawet p. Rewakowicz i Lewakowski.

I gdzie p. Koźmian znajdzie w tym artykule jakikolwiek ślad stańczykowstwa? Znajdzie tylko stwierdzenie, że kraj wszedł już na drogę kompromisu z rządem austryackim, garnął się ku koronie już wtedy, kiedy o jednym stańczyku dopiero wiedziano, o Stańczyku błaźnie Zygmunta Augusta, żyjącym przed trzystu laty.

W tym pierwszym zeszycie Przeglądu znajduje się artykuł o sejmie p. Stanisława Tarnowskiego. Dla ciekawości, dla okazania czem, byli wówczas i co myśleli przyszli stańczycy, przytoczę tylko zapatrywania p. Tarnowskiego na obowiązującą ustawę wyborczą. Ordynacya wyborcza bardzo mu się nie podobała z powodu podziału na kurye. Pisał z ubolewaniem o wyróżnianiu przez ustawę interesu posiadłości większej, dowodził, że „wybory kuryalne są na to, aby szlachtę utwierdzić w nałogu, że jest jakąś całością odrębną“. Konieczną jest zmiana ordynacyi wyborczej, pisał p. Tarnowski, a przy sposobności miał i słowa pochwały dla posłów polskich ze stanu włościańskiego za ich przyzwoite a nawet w wielu razach pożyteczne zachowanie się w sejmie. Żartował też sobie z tych, co wolą jakąś koteryę panów i drwił z półpanków „braminów zafarbowanych niemiłym kolorem“, o których milczy Paprocki. Czyżby tytuł dawał prawo do nazywania się panem, żartował dalej p. Tarnowski, ale cóż znaczą tytuły? „ależ są baronowie, hrabiowie, a nawet książęta, których nikt nie ma za panów!“ Powstanie roku 1863 nazywał tylko „przedwczesnem“, pisał o niekłamanej życzliwości Galicyi dla rządu austryackiego w r. 1865, o „szczerem pragnieniu z jej strony przyjaźni i zgody“.

Przypatrzmy się również temu, co Szujski pisał w pierwszych zeszytach Przeglądu. Mamy naprzód jego recenzye literackie, a między innemi sprawozdanie z powieści Bolesławity (Kraszewskiego) „Żyd“. Ponieważ powieść ta osnuta była na tle wypadków warszawskich, przeto musiał Szujski o nie potrącić, a czyniąc to, zaznaczył, iż „dalecy jesteśmy od ładowania na ludzi małoletnich całego ciężaru odpowiedzialności, która s ł u s z n i e j n a s t a r s z y c h s p a ś ć p o w i n n a“. Później Przegląd pomieścił rozprawę Szujskiego: Stanisław Staszyc jako pisarz polityczny“. Ku końcowi tej rozprawy czytamy następujące zapatrywania Szujskiego: „Od czasu zjawienia się Staszyca (są słowa Szujskiego) i Sejmu czteroletniego, demokratyczna idea odniosła w Polsce stanowcze zwycięstwo. Każdy opór jej ruchowi, każde zapóźne jej uznanie i przyjęcie, okupił naród klęskami, a korzyściami na rzecz nieprzyjaciół“. Później wspomina Szujski, że w czasie porozbiorowym wyrobił się w naszem społeczeństwie przymiot posłuszeństwa dla władzy, a jako przykład podaje „wzorowy posłuch“ dyktaturze 1831 r. i tajnemu rządowi narodowemu w r. 1863. „Władze te miały sympatye i instyktowny posłuch ogółu, pochodzący z przekonania o zgubnych środkach niezgody i rozbicia“. Zastanawia się także Szujski nad sprawą ludową i sądzi, że chcąc lud zrobić obywatelem są ku temu dwie drogi: karność i wolnomyślność — „ta druga (wolnomyślność) odrzucając politykę bojaźliwego konserwatyzmu i prohibicyi, rozszerzy obóz narodowy“. Wreszcie podkreśla Szujski znaczenie silnej i welnomyślnej opinii, której przyznaje „monarchiczną powagę“.*)

Dla scharakteryzowania jeszcze ówczesnego „Przeglądu polskiego“ nie zawadzi dodać, iż współpracownikami jego byli: Gołemberski, Kraszewski (jako Bolesławita), Gordon, Bełcikowski, Sawczyński, Władysław Łoziński itd., więc albo czerwoni, ludzie ruchu, albo umiarkowani postępowcy. Pan Koźmian występuje dopiero w zeszycie trzecim, a pisząc Przegląd polityczny, poświęcony głównie następstwom wojny austryacko-włosko-pruskiej, zaznacza we wstępie, iż Przegląd mający tylko „uzupełniać tyle zasłużone krajowe dziennikarstwo“ w polityce trzymać się będzie zdala od skrajnych opinii. Zaraz w następnym numerze nie może p. Koźmian wystawić sobie w ł a d z y w rękach ministrów — wspomina o i s t n i e j ą c y m s t a r y m p r o g r a m i e Galicyi, o tem, że „co się tyczy ustroju państwa austryackiego i stosunku do niego, Ga-

*) Przegląd polski tom I. str. 569.

St. Czałut.

WSPOMNIENIA
Z LEGII ZAGRANICZNEJ.

(Ciąg dalszy.)

U Kabylów i Arabów czystość obyczajów większa. Nazwać by ich można arystokracyą muhametańską, tak co do postępowania jak majątku i wykształcenią. Odróżniają się oni od Beduinów głównie osadnictwem stałem, dobrobytem, zamiłowaniem literatury arabskiej, uczonością i pewną dziwną imponującą powagą na śniadych i spiżowych twarzach. Płeć u najrozmaitszych szczepów algierskich jest najrozmaitsza, począwszy od białości kaukazkiej rasy do hebanowej czerni plemion chamickich i murzyńskich. Niewiasty, podobnie jak w Turcyi zobaczyć trudno. Miałem jednak sposobność przy zajęciu bagnetem pewnej osady na pograniczu marokońskiem, widzieć także kobiety w pożyciu domowem, w stroju nic zasłaniającym niczem ich wdzięki. Szpetnemi ich nazwać nie można, chyba cera twarzy i ciała razi oko do północnej białości przywykłe.

Lecz co najbardziej mnie zadziwiło i czegom nie przypuszczał wcale w Algeryi, to powszechne tatuowanie mniej lub więcej sute i bogate. I to nietylko nogi i ręce kobiet bardzo udatne i symetryczne przedstawiały wzory, że zdawało się, iż noszą na sobie obcisłe, w różne figury utkane trykoty, ale i na szyi i ramionach, aż głęboko na piersi zauważyłem misterne malowidła, na miękkiej jak heban skórze. Nawet na czole i przy jamie ocznej były ślady tego tatuowania. Te znaki na twarzy w kształcie prostych kresek na cal długich, są jawnym dowodem i, że tak powiem, rachunkiem płodności niewiasty. Ile kresek tyle dzieci, a kto zna dumę matek, a do tego matek wyznania proroka, łatwo oceni, że zeszpecenie to, czarnemi jak sadze znakami, u estetyków tamtejszych taki sam ma walor, jak u nas oznaka honorowa lub przynajmniej u posiekanego „korpsstudenta“ niemieckiego, rapierowe blizny, których liczba im większa tem większy zaszczyt dla właściciela. Uwagę tę zrobiłem na miejscu sąsiadowi memu w szeregu, hrabiemu Baudifinowi, którego policzki z czasów Heidelberga raczej do befsztyka *à la Tartar* podobne były, niż do gładkiej twarzy młodzieńczej, lecz jak wszędzie tak i tutaj „są gusty, guściki i guściska“ a „de gustibus non est disputandum“.

Najbogaciej z kobiet noszą się kobiety z narodu żydowskiego, którego jest w Algieryi dość znaczna liczba, bo statystyka podaje na 4 miliony mieszkańców przeszło 50,000 starozakonnych. Cały ich strój formalnie przeładowany złotem. Na głowie czepiec w kształcie półkuli ze szczerej blachy złotej, sadzony kamieniami drogiemi, na rękach i ramionach pierścienie i kosztowne naramienniki, a na piersiach pełno ogniwkami ze sobą spojonych lujdorów i dukatów najrozmaitszych narodowości, które czasem już same reprezentują majątek.

Legionista omijany przez osoby cywilne, stroniony tak przez Europejczyków jak Moslemów zmuszony jest szukać tylko między swemi kolegami towarzystwa. W ten sposób utworzyły się w legii nieomal związki z poszczególnych narodowości, których członkowie li tylko z sobą obcują, sobie pomagają, wspólnie wychodzą, wspólnie radzą, słowem braćmi są sobie w szczęściu i nieszczęściu. Węgier obcuje tylko z Węgrem, Grek z Grekiem, Szwed ze Szwedem, Polak z Polakiem. Jedynie u Niemców tej solidarności zauważyć nie mogłem, czy z kosmopolitycznego usposobienia, lubiącego podszywać się pod inne narodowości, czy też, że liczba ich największa, a materyał najlichszy. Niemcy błąkają się jak błędne owce w najrozmaitszych narodowościach, wszędzie nienawidzeni, deptani i wyszydzani.

Polaków było nas dość sporo w depotowej kompani pułku pierwszego. Był Junosza Bojanowski z pod Krotoszyna, którego rodzina po stracie majątku poszła do Warszawy, był Chersoński, ekskapitan ruski, nieszczęśliwy fantasta, był Łukowski, Gałecki, Szmyt inżynier, Switała, Karp, Galicyanin, Pietryszkiewicz, syn jenerała ruskiego, Rakowski, zrodzony na emigracyi i inni. Zyli-

licya dawno tyle razy i pod tylu formami i przez tyle organów wyrażała swe zdanie". Właśnie wówczas przybywał Gołuchowski do Galicyi jako świeżo mianowany namiestnik. P. Koźmian cieszy się, że Gołuchowski został namiestnikiem, ale wolałby wprzód urządzenia kancelaryi nadwornej dla Galicyi lub sekreteryatu stanu w Wiedniu dla spraw polskich (nie galicyjskich). W myśl programu Ziemiałkowskiego chce widocznie odrębności Galicyi, chce dla niej „kanclerza". Gołuchowskiego chwali, ale nie podobają mu się mocno demonstracye na cześć jego urządzane; ta lojalność mocno go nawet irytuje, choć irytacyę owija w grzeczne słowa. Mówiąc o położeniu naszego narodu, oświadcza stanowczo p. Koźmian, że „jedyny nasz wróg, to Moskwa"

Proszę mi znowu powiedzieć, gdzie tu jest przyszłe stańczykostwo, gdzie tu jest własny program, który ma na nowe tory wprowadzić politykę polską pod zaborem austryackim. Ta nowa droga była już wytknięta, ale przez innych, a przyszli Stańczycy trzymali się względem niej w pewnej rezerwie, stawiali nawet wysokie żądania, narzekali na zbytek lojalności, oponowali przeciw władzy ministrów, żądali innej postępowej ordynacyi wyborczej, przyznawali zasługi i pożyteczność idei demokratycznej, chwalili posłuszeństwo tajemnemu rządowi narodowemu, palili kadzidła dla wolnomyślności, oświadczali wreszcie przez pióro pana Koźmiana, iż stoją z dala od skrajnych opinii. Na to zresztą, że nie oni wynaleźli nowe tory, że owszem, tym nowym torom stawali na przeszkodzie, są jeszcze inne dowody, które później przytoczę.

Trzy lata wychodził już „Przegląd polski", zanim się zdecydował na ową „pierwszą formę wystąpienia szkoły wojującej, którą była Teka Stańczyka". Narodziny „Przeglądu" bowiem przypadają 1-go lipca r. 1866, a początek Teki drukowany w maju r. 1869.

Tak wygląda prawda o założeniu „Przeglądu" o ileż odmienna od tego, co p. Koźmian mylnie przedstawia, przy pomocy potoku frazesów i przez umyślne opuszczenie trzechletnich dziejów tego miesięcznika.

Kto czyta rozdział XII jego „Rzeczy", ten dowiaduje się, że grono krakowskie przystąpiło mniej więcej zaraz po roku 1863 (bliższej daty ze zwykłym sprytem p. Koźmian nie podaje) do ustalenia zasad nowej szkoły. Założyciele jej „odszukali wszystkie (no! no!) przyczyny upadków i klęsk porozbiorowych" (str. 343), spostrzegli, że przyczyny te tkwiły także w charakterze i temperamencie narodu" (str. 344). „Szkoła założywszy sobie naprawę wychowania społeczeństwa i walkę z wadami narodowemi stała się wojującą, ażeby zapewnić zwycięstwo wierze nowej, patryotyzmowi politycznemu... Musiała zatem wejść w zapasy z dawnemi pojęciami i z ludźmi, wytknąć i wyciąć w dziewiczym lesie nałogów, wad, przyzwyczajeń i wyobrażeń nową drogę. Na jej drokowskazie wypisała: zaniechać niepodobieństw, robić wszystko co możliwe" (str. 360). I zaraz w dalszym ciągu tych frazesów idzie ustęp: „Na wiosnę 1866 rogu Stanisław Tarnowski wyszedłszy z więzienia, spotkał na rynku krakowskim itd. itd, — Dalszy ciąg tej Koźmianowskiej prawdy znają już czytelnicy.

LITERATURA I SZTUKA.

Tęsknota za krajem
w naszej literaturze.

(Odczyt adw. Bernarda Chrzanowskiego, wygłoszony w dniu 6-go marca na sali Bazarowej w Poznaniu.)

Tęsknota za krajem — nostalgia — to niepohamowana żądza powrotu do ojczystej ziemi. Zjawia się ona u ludzi dla ziemi tej nieobojętnych, a zdala od niej przebywać zmuszonych prawie koniecznie. A nie jest to uczucie, któreby można lekceważyć jako dające się stłumić, niezdolne zawładnąć całą duszą człowieka; przeciwnie, przechodzi ono zazwyczaj łatwo w stan chorobliwy znany w medycynie a nawet w prawie karnem. Szczęśliwy ten, u którego tęsknota za krajem po przybyciu na obczyznę, pojawiwszy się i i przebywszy stan zapalny, mija, — nieszczęśliwy u kogo przejdzie w stan chroniczny. Zamęczy go wtedy nieustauny niepokój, smutek i łzy, a powolny zanik sił fizycznych i umysłowych przemieni mu życie w ciągłe cierpienie. Przypominam nas tyczące wypadki nostalgii z czasów niedawnych, z czasów przenoszenia nauczycieli naszych na Zachód, w głąb Niemiec. Oto uczucie to przemienione w chorobę tak zaczęło trapić żony kilku z nich, że po przedłożeniu świadectw lekarskich minister czuł się zmuszonym przenieść nauczycieli naszych z powrotem nad Wartę. Przypominam nostalgią spowodowane częste samobójstwa szwajcarów, służących po dworach obcych monarchów, a wreszcie obłąkania wygnańców syberskich. To medycyna.*) W prawie karnem znane są wypadki w których nostalgia powodowała — najczęściej dziewczyny idące za służbą w kraj obcy — do zabójstw lub podpalań w chorobliwem przywidzeniu, że przez ten czyn zbrodniczy dostaną się z powrotem między swoich.**)

Uczucie tak silne i potężne nie może nie przejawiać się i w literaturze, jako zwierciadle narodowego życia, już to mniej już to więcej, stosownie do tego czy okoliczności każą uczuciu temu ogarniać tylko jednostki, czy też jaką większą część społeczeństwa.

W obcych literaturach występuje tęsknota tylko sporadycznie, może najsilniej w literaturze żydowskiej. Wspominam tylko 137 psalm Dawidowy tłomaczony tyle razy przez naszych poetów jak Lenartowicza, Ujejskiego i wielu innych.

*) August Chatelin — Einige Betrachtungen über die Nostalgie. — Würzburg 1860.

**) Dr. Ferdinand Maack — Heimweh und Verbrechen. — Leipzig 1894.

śmy z sobą jak bracia, chociaż rozmaite stopnie nas od siebie dzieliły. Podczas gdy bowiem Chersoński był już sierżatem, Gałecki adjutantem nawet, a ja dopiero instruktorem czyli gefreitrem, nie robiło to bynajmniej różnicy, by na wspólnych schadzkach dzielić się wiadomościami z ojczyzny, kieszenią i radą. Byliśmy dostatecznie zaopatrzeni w lekturę; Chersońskiemu dosyłano z Wilna od czasu do czasu gazety z pod ruskiego zaboru, Bojanowski otrzymywał z Paryża, gdzie miał krewnego sekretarza w ministeryum wojny p. Koszutskiego, pisma tak polskie jak francuzkie, a czasem i powieść jaka romans lub nowela, zabłąkały się na równiny afrykańskie. Będąc w jednej kompanii (2-giej) poszliśmy wszyscy razem później do Tonkinu, by lazować tamtejszą załogę; razem też, prócz inżyniera Szmyta, który pozostal w Indyach i przeszedł do anamicko-chińskiego wojska, robiliśmy wyprawy wzdłuż i wszerz Algeryi, przedsięwzięte celem uskromnienia buntujących się ustawicznie szczepów arabskich.

Wyprawy takie są wszystkie mniejwięcej sobie równe: opis jednej da obrazek sposobu wojowania tamtejszego i utarczek bezustannie się wydarzających.

Wróciliśmy byli już z wyprawy Tonkińskiej. Należałem do drugiej kompanii batalionu czwartego, pierwszego pułku, gdy odebraliśmy rozkaz, wyruszenia w kierunku gór Dżebel-Aures. Drugi już dzień trwał pochód wśród afrykańskiego upału, a tego samego dnia jeszcze mieliśmy stanąć u podnóża gór. Maszerować wypadało z wszelką ostrożnością, gdyż przypuszczać było trzeba, że Arabowie, świadomi każdej ścieżyny, każdego wąwozu i jaskini, niezawodnie czyhali gdzieś w sasadzce.

Było nas przy wyruszeniu około 200 chłopa; chorych i niezdatnych do tej wycieczki pozostało w garnizonie Sidi-bel-Albesu, gdzie kompania nasza po powrocie z Chin stanęła załogą, mniejwięcej 300. Lecz nasza niespora gromadka zanim stanęliśmy w Meszeryi do liczby stu zeszczuplała.

Brak wody odczuwaliśmy najdotkliwiej. Nacóż nam się przydać mógł prowiant i konserwy, kiedy gotować ich nie było można. Zresztą o posiłku nikt nie myślał, nikt nie skarżył się na głód. Natomiast pragnienie, pragnienie piekielne, to był demon, który nas wszystkich dręczył straszliwie. Już o godzinie 4 z rana wyruszyliśmy z ostatniego biwaku, by o ile możności przed najwścieklejszym upałem dostać się w upragnione góry.

„Rendez-vous z drzewem bez wody" brzmiało na karcie oznaczenie ostatniego biwaku. Przedostatni był taki sam, chociaż dnia tego odbyliśmy marsz podwójny, nie mniej jak 70 kilometrów drogi, by jak najwcześniej przedostać się przez okolicę bezwodną i dostać się do wyżyn Dżebelu. Maszerowaliśmy już 4 godziny. Ponuro i w milczeniu wlókł się żołnierz coraz dalej, z wysokim tornistrem na plecach, którego ciężar w upale tembardziej dokuczał.

Jak daleko zasięgniesz okiem, dokoła nic jak piasek i niebo, niebo i piasek. Słońce od dwóch godzin było już na niebie i niemiłosiernie paliło ognistemi swemi promieniami. Niebo miało kolor popiołu, a atmosfera drgała formalnie w falistych poruszeniach, podczas gdy rozpalony miałki piasek, mimo ciężkiego munduru przedostawszy się aż do skóry, niemiłosiernie gryzł nam ciało. Dalej już prawie iść nie było można. A właśnie teraz potrzebna była jak największa ostrożność, gdyż Arabom zbyt dobrze znane są niebezpieczne marsze i wycieńczenie żołnierzy.

Nareszcie dotarliśmy do gór i postępowaliśmy z rezygnacyą dalej. Lecz nadzieja, iż tu przynajmniej znajdziemy nieco chłodu i cienia, zawiodła.

Pył i piasek, deptany zmęczoną naszą nogą, wzbijał się w tak gęste tumany kurzu, że prawie oddychać nie było podobno: nie tylko słońce paliło z góry, a piasek z dołu, nie, także i góry zamieniły się w olbrzymie reflektory, od których słońca promienie całą siłą się odbijały. Postępowaliśmy w wolnym pochodzie to w górę, to na dół, niemal zaduszeni kurzawą, która gardło wysuszała i piekła. Każdej chwili spodziewać się było można napadu Arabów, ukrytych gdziekolwiek po za skrętem drogi lub gór urwiskiem. Płaszczyzna stawała się coraz więcej stroma, pocięta i obfita w wąwozy i doliny. Stajemy. Przed nami cały chaos przepaści i otchłani skalistych. Kapral Boruta odbiera rozkaz z dziesięciu szeregowcami pój-

Przytaczam go w tłomaczeniu Jana Kochanowskiego:

Siedząc po nizkich brzegach Babilońskiej wody
A na piękne Syońskie wspominając grody,
Co nam inszego czynić, jeno płakać smutnie,
Powieszawszy po wierzbach niepotrzebne lutnie.
. . . .
Jeślibym Cię zapomniał o kraino święta,
Niech moja swej nauki ręka zapamięta,
Niechaj mi język uschnie, kiedy cię przepomnę,
Kiedy Cię na początku wesela nie wspomnę.

Jest to, zdaje mi się, najstarszy dokument nostalgii w literaturze polskiej.

Znał ją jednak też już i Homer; jeden z bohaterów Iliady pragnie pod Troją zobaczyć przecież nareszcie dym unoszący się z dachów na ojczystej ziemi! Znał ją i Dante; nie obcą jest i Szekspirowi, dodając uroku jego dramatowi Cymbeline. Nie jest to jednak u nich nostalgia czysta, lecz połączona z tęsknotą za ukochaną kobietą. — Jest tej nostalgii dużo w pieśniach bretońskich; jest w Schelleyu i w Byronie, najpiękniejsza w tym — może właśnie dla tej tęsknoty — przez Mickiewicza tłomaczonym ustępie z Podróży Child-Harolda. Podzwania ona i u Heinego; Goethemu natchnęła „Kennst du das Land, wo die Citronen blühen.“

Wszystko to są przejawy nostalgii jako uczucia nawiedzającego pewną jednostkę, nie objawy nastroju ogarniającego cały odłam jakiego społeczeństwa. Inaczej zupełnie u nas. — W naszej literaturze tęsknota za krajem takie poważne zajmuje miejsce, tak na nią w pewnej epoce jej rozwoju podziałała, jak — zdaje mi się — na żadną inną literaturę świata i nadaje jej przez to piętno nadzwyczaj charakterystyczne — różniąc ją od literatur innych narodów.

Złożył się na to cały szereg przyczyn. Oto najpierw po listopadowem powstaniu i każdem z późniejszych emigracya przymusowa na Zachód i niewola sybirska tak liczna i taką najlepszą część narodu zabierająca, że nie można do niej przyrównać ani niewoli żydów w Babilonie, ani emigracyi Hugenotów, ani żadnych innych gdziekolwiek zarządzanych banicyi. Emigracye, czy to Fenicyan i Greków zakładających kolonie handlowe, czy Rzymian podbijających świat starożytny, wielkie wędrówki ludów w średnich wiekach, podboje zamorskich krajów przez Hiszpanów i Portugalczyków, — to wszystko emigracye za chlebem, wyprawy gnane żądzą walki, żądzą zawładnienia nową ziemią, żądzą złota, — to ludy idące na obczyznę nie w smutku i przygnębieniu, lecz z nadmiaru siły i szczęścia. — Dalszą przyczyną to usposobienie i charakter naszego narodu, ta miękkość jego słowiańska, tkliwość, skłonność do melancholii, to ten wrodzony smutek, dźwięczący w melodyach i pieśniach ludowych. Organizm nasz społeczny skłonniejszy do przyjęcia się na nim tęsnoty i sposobniejszy dla jej rozwoju nie ma w sobie tej siły odpornej jak narody twarde, zimne (n. p. angielski), które nietylko mniej cierpią na nostalgię, lecz które nawiedza przeciwnie żądza ruchu, chęć opuszczenia rodzinnej ziemi.

Ci, którzy o nostalgii jako chorobie pisali, twierdzą wprawdzie, że podlegają jej najwięcej mieszkańcy gór, skoro je opuszczą; niektórzy nazywają nawet nostalgię „chorobą Szwajcarów“. Równiny nasze nie powinnyby zatem przyczyniać się do nostalgii. Zdaje mi się jednak, że nie chodzi tu tak o góry, jak o kontrast między krajem ojczystym a obcym, o wielkość różnicy między przyrodą opuszczonej a przybranej ziemi. Jak góral idący w równiny tęskni za górami, tak mieszkaniec nizin po pierwszym zachwycie nad wspaniałością górskiej przyrody doświadcza przy dłuższym pobycie jak gdyby braku widnokręgu; te olbrzymy duszą go i cisną; chciałby powietrza, rozległego widoku; oko pragnie wśród wzgórz i gór Zachodu równin Kujaw, Mazowsza i Podola.

Nie podlega wreszcie wątpliwości, że nostalgia jest silniejszą, występuje groźniej u ludów stojących na niższym stopniu oświaty jak u starszych cywilizacyą. Ponieważ zaś nie możemy zaprzeczyć pewnej młodszości cywilizacyjnej naszego narodu wobec ludów zachodniej Europy, przeto też i nostalgia u nas lepszy dla siebie znajduje grunt. Do wszystkiego dodać nam jeszcze trzeba, czy to przy emigracyi zachodu czy przy niewoli sybirskiej, gwałtowną rozłąkę z blizkimi krwią i sercem oraz — szczególniej w czasach dawniejszych — nieustanną myśl o niedoli całej ojczyzny i o tem tylko, jakby jej wolność wywalczyć. Nie dziw dla tego, że nostalgia w naszej literaturze mogła być przez pewien czas wszechwładną panią.

W dawnych czasach, w wieku XV i XVI brak jej wprawdzie zupełny. Ani Rej jej znać nie mógł, ani Kochanowski, bo ten, kiedy „przez morze głębokie żeglował“, kiedy „Francuzy, Niemce, Włochy i Sybiline lochy“ nawiedził (Pieśń XXIII. Do gór i lasów. IV księga) — to czynił to jedynie dla Horacyuszowskiej maksymy:

„....A. dokadeś młody,
Użyj świata za czasu i pięknej swobody“.

(Pieśń XII. Do Piotra Kłoczewskiego).

W prozie, w pamiętnikach z wypraw w ościenne nieprzyjacielskie kraje, nie ma także nostalgii. Jeżeli — w dyaryuszu Piotrowskiego z wyprawy pod Psków — szlachta nasza w obozie wśród zimy tęskni za czem, to jedynie za „ciepłem piwem“ przy domowem ognisku. Wyprawy wojenne były niedługie, a ludzie ówcześni mieli żołnierskie dusze. Tęsknota się ich nie imała. lub otrząsali się z niej szybko. Jest o tem ładny bardzo a charakterystyczny ustęp w Paska Pamiętnikach: „Poszliśmy tedy tym traktem od Międzyrzecza; przechodziło wojsko pagórek, z którego widać było jeszcze granicę polską i miasta. Jaki taki, obejrzawszy się, pomyślał sobie: „Miła ojczyzno! czy cię też już więcej oglądać będę“. Jakaś tęskność ogarniała zrazu, póki blizko domu, ale skorośmy się już za Odrę przeprawili, jak ręką odjął; a dalej poszedłszy, już się i o Polsce zapomniało“.

Jak nie mogło być tęsknoty za krajem wtedy, gdy Rzeczpospolita była silną i potężną, tak nie mogła się ona zjawić także w późniejszych czasach ogólnego niezdrowia społecznego, w czasach, jeżeli nie żadnej, to małej miłości ojczyzny. Dopiero, gdy uprzytomniono sobie utratę niepodległości, i gdy zrozumienie tej wielkiej straty rozbudziło w młodszej generacyi polską duszę, gdy chęć naprawienia złego popchnęła szeregi całe do legionów, wtedy rozgościła

---

przodem na zwiady i znika wkrótce za skrętem skały.

Boruta, Polak rodem, gospodarz z zawodu, już rok drugi służył w legii. Zgłosiwszy się po powrocie z Tonkinu do „peleton d'instruction“ (szkoły kapralskiej) przed niedawnym dopiero czasem został podoficerem. Właściwe jego nazwisko było inne, my nazwaliśmy go Borutą dla niedźwiedziej siły. Chociaż był jeszcze młodym, a dodani mu szeregowce starszy po większej części żołnierze, z których ten i ów już 15 lat służby wojskowej miał po za sobą, cieszył się jednak zaufaniem wszystkich dla bezczelnej swej śmiałości, którą się nieraz jeden podczas wypraw wojennych popisać miał sposobność. Rozwinął swoich ludzi, wysłał boczne patrole, sam w sześciu chłopa idąc środkiem w łańcuch rozrzuconego oddziału.

Nagle z prawego skrzydła wychylają się tajemnicze i podejrzane postacie. Białe burnusy wątpić nie dają, iż to Arabi, a pozycya ich przyczajona i długa fuzya u każdego dowodzą, że są na czatach. Boruta odsyła raport do głównego oddziału, na ziemię położyć się swoim znak daje i komenderuje dwóch na szczyt skały, która stokrotnem echem się odbija. Ruch powstaje po wszystkich wierzchołkach. Kędy spojrzysz, Arabi jak gdyby z ziemi wyrośli. Oddział główny nadchodzi i natychmiast, mimo dziesięciokrotnej przemocy wszczyna regularną potyczkę.

Kompania cała w łańcuch podwójny rozwinięta z bagnetem na karabinach awansuje, by wyprzeć Arabów z ich pozycyi. Pragnienie w jednej chwili zapomniane, nie znać u nikogo zmęczenia ani sił wyczerpania. Tylko naprzód, naprzód, to myśl jedyna ożywiająca każdego. Za mną postępuje Flamandczyk, mężczyzna starszy, eks kupiec młodzi prasowanych z Antwerpii, któremu już tchu niedostaje, tak że potknąwszy się nogą o kamień, na ziemię pada pokotem, a wparowawszy mi przy upadku bagnet w tornister, z sobą wywraca. Powstaję co żywo na równe nogi, czuję, iż bagnet tylko lekko mnie drasnął, zaklinam jasnemi piorunami na niezgrabę i w drugiej chwili już się zrównałem z oddziałem. Arabowie, w broń starego systemu zaopatrzeni, celnie lecz wolno nas prażą. Ten i ów legionista pada nieżywy lub ranny. Pięć minut mija, wdrapujemy się na wierzchołki, a wróg wyparty pierzcha na wszystkie strony.

Podczas gdy oddział nasz z frontu szturmuje, Boruta ze swoją garstką obszedł niepostrzeżenie lewe skrzydło nieprzyjaciela. Tu stroma jak ściana skała dalszy pochód tamuje. „Tworzyć piramidę — rozkazuje — dostaniemy Arabów w dwa ognie“. Szybko gromadzą się najsilniejsi, dwóch, innych wspina się na ich ramiona, a Boruta na sam wierzch się wdrapuje. Szczęście, że brzegu skały dosięgnąć może. Zwinny jak kot, w oka mgnieniu osadza się na szczycie. Spoziera dokoła z nieufnością, widzi, iż został niepostrzeżonym. Co żywo odpina „c e i n t u r e“ i spuszcza na dół. W krótce drugi, trzeci, dziesiąty znajduje się na skale i natychmiast w przyspieszonym biegu dążą wszyscy, by wpaść w bok nieprzyjaciela. Główny oddział legii ich spostrzega i wita grzmiącym „hura“, lecz w tem Arabi jak tygrysy, cofając się w stecz przed ogniem, niszczącym atakujących od frontu legionistów, rzucają się w odwrocie na pewną swą zdobycz. Boruta ze swymi przystawa, salwa po salwie dziesiątkuje wyjącą czerń arabską, żadna kula nie chybia celu. Ale liczba nieprzyjaciół za wielka. Okoleni ze wszechstron już tylko bagnetami bronić się są w stanie. Rozpoczyna się straszliwa i rozpaczliwa walka, toczona z męstwem, godnem lepszej sprawy, niż jarzmienie nienawykłych do kajdan synów pustyni. Cały wał trupów piętrzy się w koło garstki śmierci pewnych legionistów, którzy, zanim pomoc nadejdzie, w pień niezawodnie będą wycięci. Jeden po drugim pada. Boruta sam odbiera od herkulesowego wzrostu Araba, któremu bagnet aż pod samą rękojeść w brzuch pakuje, ogromny raz kolbą ciężkiego karabina i pada bez zmysłów. Nadchodzi odsiecz, Arabowie pozostali ratują się ucieczką, zabierając tych z sobą jako jeńców, którzy jeszcze znaki życia z siebie dawali. W ten sposób dostał się Boruta w niewolę arabską.

— — — — — — — — — — — —

(Ciąg dalszy nastąpi.)

się tęsknota po raz pierwszy w tysiącach polskich serc. Dawały one prostemi pieśniami ulgę wezbranemu uczuciu, a pieśni te szły z daleka do kraju i stały się podstawą tak potem rozpowszechnionej literatury rękopiśmiennej. Chociaż jednak każdy prawie z legionistów, idąc w kraj obcy, zabierał grudkę ojczystej ziemi ze sobą na piersiach, to tęsknota za krajem nie spowodowała w nim sentymentalizmu, nie stała się tak treścią jego pieśni, jak raczej motywem do ich tworzenia. Gwarne, obozowe, żołnierskie życie, ciągła czynność i ruch, nadzieja uzyskania powrotu zwycięzką walką, nie mogła tworzyć smętnych, tkliwych, rzewnych, lirycznych wierszy, lecz tchnące zdrowiem, siłą, męzkością i energią wojenne pieśni! Nie grali oni ani na gęśli, ani na lirence, lecz tęskniąc, pełnym a silnym głosem śpiewali: „Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę — co nam obca przemoc wzięła, szablą odbierzemy!“

Dopiero jednak po listopadowem powstaniu w czasie emigracyi, równocześnie z największym naszej literatury rozkwitem, nastaje najsilniejsze rozkrzewienie się w niej tęsknicy. Emigracya ta powiodła na obcą ziemię olbrzymi zastęp naszej inteligencyi. Brak spokojnej pracy potęgował wprawdzie wśród tych ludzi cierpienia wygnania, a swary wytwarzały dużo goryczy, tak że nie były to wcale okoliczności sprzyjające rozwojowi zdrowej poezyi. Zkądinąd jednak nadzieja niedalekiego powrotu i życie w ciągłej styczności ze swoimi, przeszkadzały chorobliwemu rozwinięciu się nostalgii. Przy takiem wzajemnem oddziaływaniu na siebie ujemnych i dodatnich czynników powstała nasza wielka poezya emigracyjna.

Tęsknota już to ją stworzyła, już to jest jej treścią, już to okrasą. Nie ma prawie z tych czasów poety, któryby pod jej wpływem nie tworzył, jej nie opisywał, lub nie brał jej dla dodawania swym dziełom pewnego odrębnego wdzięku.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Tołstoj.

o beletrystyce współczesnej.

Słynny autor i moralista, hr. Leon Tołstoj, zapatruje się niezbyt różowo na dzisiejszą beletrystykę. „Mam, co do tego, własną teoryę — powiedział do jednego z pisarzy ruskich. Nazywam dekadentami wszystkich literatów dzisiejszych, ponieważ w sztuce ich pozostała jedynie forma, tak dalece pod względem technicznym udoskonalona, że zmusza czytelnika zapominać o braku treści. Beletryści współcześni, nawet niezbyt utalentowani, posiadają umiejętność oddziaływania na wyobraźnię czytelnika z uszczerbkiem dla wszelkiej treści. Talent i sztuka pisarska mają na celu wyłącznie odtwarzania czegokolwiek, fotografowanie z najmniejszemi szczegółami jakiegokolwiek momentu. Beletrystom udaje się to tak dalece, że, czytając w powieści o jakimkolwiek panu, ubierającym się na obiad galowy, mamy przed oczyma naszemi jego biały krawat, kamizelkę i frak. Dawniej opisy podobne z trudnością przychodziły nawet największym talentom, dziś każdy to robi z łatwością. Pisarze, tworząc swe dzieła, nie rozpalają się nawet podczas swej pracy i są w stanie wywoływać efekty, nie czując w duszy swej nic, co warte byłoby wypowiedzenia. To samo widzę w dziedzinie muzyki współczesnej i we wszystkich rodzajach sztuk pięknych. W duszy zupełna pustka, a jednak tworzą i piszą z całkowitem powodzeniem. Sztuka przestała być rzeczą poważną, jak dawniej. Gdy Sofokles tworzył — było to dlań rzeczą boską; był kapłanem, przelewał w swe dramaty wszystko, co miał w duszy najlepszego i najistotniejszego, przez co lud cały go rozumiał. Mówił o rzeczach, mających znaczenie ogólne i treść wyższą, religijną. Również Beethoven, gdy tworzył, zapałał się cały, i wszystko, co najlepszego miał w duszy, wyrażał w muzyce. Dzisiejsi mistrzowie nie mają nic do powiedzenia, a jednak mówią, zapewne dla tego, żeby wywołać efekt w publiczności. Wszystko więc, co obecnie widzimy w sztuce, jest martwe, dobre i zrozumiałe tylko dla pewnych sfer społeczeństwa, dla których kreacye współczesnych twórców blizkie są jedynie przez to, że odfotografowane są z rzeczywistości. W tem właśnie tkwi dla sztuki największe niebezpieczeństwo. Ludzie, zwani przez wszystkich dekadentami, otwarcie głoszą, że wszystko polega na wrażeniach zewnętrznych, na grze efektów, nie mających styczności z treścią życia duchowego. W tym razie impresjonizm jest otwarty, podczas gdy u innych współczesnych pisarzy ukrywa się w tak zwanym realizmie. Napotykamy wprawdzie rzeczy, w których widać u autora to, co nazywamy tendencyą. Lecz tendencya ta sterczy w dziele, jak rodzaj drutu, na który np. naczepiane bywają kwiaty w sztucznym wieńcu. U jednego autora widzimy jakby zrujnowaną kupę kwiatów, nie naczepionych na nic, u drugiego — goły drut. Podobna tendencya wcale nie jest wyrazem głębokiej treści duchowej, która niezbędną jest w sztuce prawdziwej“.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Listy z Berlina.

Berlin, 25 marca.

(Chłopka-poetka. Lili v. Giżycki. Kongres przeciwagrarny.)

Stowarzyszenie prasy berlińskiej urządzając „Wieczór kobiecy“ złożyło dowód, iż miewa nieraz dobre pomysły. Śmietanka damskiego świata wypełniła po brzegi jednę z największych sal tutejszych, by posłuchać deklamacyi chłopki-poetki Joanny Ambrosius i odczytu znanej działaczki społecznej i literatki Lily v. Giżycki, wdowy po znanym etyku Jerzym Giżyckim. Od dwudziestu lat przeszło pisała Joanna Ambrosius wiersze, nie ogłaszając ich drukiem. Dopiero w 1894 r. jakaś znajoma skłoniła ją do wydania swych utworów, które od tego czasu dożyły już 24 edycyi. Gdy przed dwoma laty wyszedł w niemieckiem tłomaczeniu potężny utwór „La fatalita“ młodej włoskiej nauczycielki ludowej Ady Negi, w prasie dały się słyszeć skargi, że wśród nieprzejrzanej chmary piszących kobiet niemieckich nie ma ani jednej, którąby mogła iść w zawody z utalentowaną włoszką. Aliści przypadek chciał, iż wtedy właśnie przyjaciółka Joanny Ambrosius namówiła ją do ogłoszenia swych utworów. Wieść o odkryciu niemieckiej Negri rozeszła się szybko po niemieckiem państwie. Gdy jednak zajrzano do poezyi Ambrosius nastąpiło na razie rozczarowanie, gdyż zamiast gorących uczuć i namiętnego nawoływania do walki, otrzymano elegie, pełne pokory i smutku. Z czasem jednak rozczarowanie ustąpiło miejsca zachwytowi. Z utworów Joanny Ambrosius bije proste szczere uczucie, chwytające za serce czytelnika. I oto teraz przed świetną berlińską publicznością, przed wyperfumowanemi i wystrychniętemi damami stanęła chłopka-poetka by zwierzyć się ze swej przeszłości, w której zaznała dużo pracy i niewoli a mało radości. Dziwnie odbijała na tle wspaniale udekorowanej sali i bogatych tualet czarno ubrana chuda chłopka o spracowanych niezgrabnych rękach i czarnych smutnych oczach. Przed publicznością, która połowę swego czynnego życia spędza w różnych „badach“, a drugą zabija na flircie w buduarach, mówiła poetka o rozkoszach pracy. A gdy w jednym ze swych utworów zaśpiewała hymn ubóstwa, które w pracy znajduje swe szczęście, wtedy po pudrowanych pięknych twarzyczkach płynęły łzy wzruszenia, z piersi ściśniętych gorsetami wyrywały się westchnienia, las wysokich piór trząsł się na kapeluszach à la Rembrandt a bielutkie eleganckie rączki składały się do szczodrych oklasków.

Po Ambrosius wystąpiła na estradę znana artystka Pospischilówna, by zadeklamować utwory Maryi Janitschek, poetki salonów i buduarów. Tu dopiero okazało się, jaki czar wywiera szczere uczucie. Sztuczne efekty i patetyczne zwroty salonowej poetki wychodziły blado i nikle po wylewach serca biednej chłopki.

Nareszcie wystąpiła z odczytem Lily v. Giżycki. Pani Lily, córka jenerała Kretschmana, wyszła zamąż za sparaliżowanego profesora jedynie po to, by go wspierać w jego działalności. Wraz z mężem należała do założycieli głośnego Towarzystwa i czasopisma „Kultura etyczna“. Gdy po śmierci męża Towarzystwo i czasopismo sprzeniewierzyły się zasadom, którym hołdował nieboszczyk, gdy należący do ruchu różni Geheimraci zachowywali się tchórzliwie i biernie w donioślejszych sprawach społecznych, Lily v. Giżycki zerwała z prądem wspomnianym, ogłosiwszy przedtem powody swego postępowania. Jeszcze przedtem założyła wraz z panią Cauer pismo kobiece, które miało stać na stanowisku społecznem. Gdy niedawno 30 tysięcy tutejszych szwaczek ogłosiło bezrobocie, a pismo nie odważyło się wystąpić otwarcie w obronie t. zw. konfekcyonez, Lily v. Giżycki zerwała i z tem pismem i zajęła się czynnie sprawą wyzyskiwanych pracownic igły. Jeżeli jeszcze uwzględnimy, iż pani Lily napisała sporo bardzo pięknych broszur i artykułów w różnych kwestyach społecznych, że posiadając niepospolity talent literacki, zdradza jednocześnie wszechstronne wykształcenie, co u kobiet zdarza się bardzo rzadko, lub prawie nigdy (między innemi wydała pośmiertną pracę męża „Wykłady o społecznej etyce“), to zrozumiemy, że kobieta ta musi zażywać szacunku i popularności wśród publiczności i w prasie. Pani v. Giżycki miała odczyt o „nowej kobiecie“ w nowoczesnej literaturze. Wśród sykania i oklasków oznajmiła, iż dotychczas nie udało się żadnemu autorowi przedstawić „nowej kobiety“. Najwięcej uwagi poświęciła prelegentka literaturze skandynawskiej. Ibsen pierwszy kusił się o przedstawienie nowej kobiety, rwącej się do samorządnego życia. Lecz jego charaktery kobiece są ubogie pod względem uczucia. Nora porzucając swego męża, pozostawia dzieci w atmosferze, od której sama ucieka. Jeżeli kiedykolwiek da się uchwycić fizyognomię duchową owej kobiety, to nie nastąpi to prawdopodobnie ani w Anglii, ani w Skandynawii, gdzie antagonizm pomiędzy płciami został wysuniętym na pierwszy plan. W Niemczech, gdzie kobieta stopniowo zaciąga się do ruchu społecznego i wsparta o ramię mężczyzny ma dążyć ku wyższym ideałom, tu musi nastąpić objawienie „nowej kobiety“.

w literaturze. Entuzyazm idealistycznego serca p. Giżyckiej oddziałał tak potężnie na słuchaczki, iż odczytowi towarzyszyła burza oklasków.

Społeczne życie Niemiec stoi w ostatnich czasach w znaku walki agraryuszów z ich przeciwnikami. Przed kilku tygodniami odbył się dorocznym zwyczajem hałaśliwy zjazd Związku niemieckich rolników, o czem donieśliśmy w swoim czasie. Uczestnicy przypięli łatki ministrom, nie przysięgającym na ewangelię Kanitza i jednocześnie ogłosili, iż nie odetchną, dopóki nie osięgną swych celów. Manifestacye te jak należało się spodziewać nie sprawiły wielkiego wrażenia. Najsmutniej musiała dotknąć rezolucya Zjazdu ministra rolnictwa v. Hammersteina, albowiem zażądano, by przez próg jego mieszkania nie przestąpił ani jeden rolnik, dopóki minister nie cofnie swych obelżywych wyrazów, skierowanych w stronę Związku. Nie zachodzi wprawdzie obawa, aby rząd wziął zbyt gorąco do serca dwa główne żądania związku: projekt hr. Kanitza i bimetallizm, lecz wpływ agraryuszów występuje dobitniej pod innym względem. Komisye parlamentarne roztrząsają dwa projekty wylęgłe w obozie agrarnym: margarynowy i giełdowy. Istnieje wielkie prawdopodobieństwo, iż projekty te w odpowiednio zmodyfikowanej formie zyskają sankcyę parlamentu a tembardziej rządu, który tem ugłaskałby serca rozjuszonych szermierzy agrarnych. Ta właśnie okoliczność, iż rząd nie zechce być na wojennej stopie ze Związkiem rolników niemieckich, wywołała obszerną agitacyę przeciwagrarną. Sztandar tego ruchu ujął w swe ręce stan handlowy.

W ubiegłym tygodniu odbył się kongres, na który przybyli deputaci wszystkich korporacyi handlowych, istniejących na całym obszarze niemieckiego terytoryum. Kongres, jak nakazuje zwyczaj, zagaił minister Boetticher. Musimy wyznać, iż rola Boetterchera była arcynieprzyjemną. Z jednej strony w przemówieniu powinien był wskazać na kwestye, któremi ma się zająć zjazd i zachęcić do poważnego traktowania sprawy, z drugiej strony, lubo jest twórcą projektów, przeciwko którym zjazd miał manifestować, musiał przez grzeczność udawać, iż sympatyzuje z intencyami zjazdu. O godzinie 11 z rana Boetticher z patosem oświadczył, iż dewizą jego działalności jest nie krępować rozwoju ekonomicznego, a o godzinie drugiej po południu tego samego dnia w parlamencie bronił paragrafu, ograniczającego sferę komiwojażerów. Jeszcze inny minister v. Berlepsch starał się udobruchać rozgorączkowanych uczestników Zjazdu. Przemawicjąc na bankiecie zorganizowanym na cześć kongresu, uraczył stan kupiecki Niemiec całym bukietem komplementów. Program zaś nakreślony przez niego był duplikatem Boetticherowskiego. To też widocznie oracye te pozostały bez skutku, skoro po kilku zaledwie dniach odbyło się zebranie, na które zostali zaproszeni delegaci stanu handlowego całych Niemiec w celu omówienia środków dla stawiania oporu aspiracyom agraryuszów. Mowy były gorączkowe i jakkolwiek uderzały swą frazeologią, w wielu ustępach przypominały owe stare czasy, gdy przedstawiciele handlu i przemysłu przemawiali w Niemczech w imieniu całego narodu i byli rzecznikami jego gorących życzeń. Większość ekonomicznych żądań z owej epoki urzeczywistniła się. Słusznie więc postąpili zebrani, nakreślajac obecnie program negatywny i walkę obronną przeciwko nadmiernym pretensyom agraryuszów. Mówcy zaznaczali, iż projekt margarynowy i giełdowy jest pierwszym krokiem ku zboczeniu z dotychczasowej drogi wolności handlu i przemysłu. Oprócz tego zebrani oburzali się, iż rząd wprowadzając wspomniane projekty, tamujące handel i kontrolujące jego przedstawicieli, zaświadcza swe niezaufanie do moralnej kwalifikacyi przedstawicieli ruchomego kapitału. Wybitnym momentem zebrania była mowa starego polityka z 1848 r., Ludwika Bambergera, twórcy złotej waluty i filara monometalizmu w Niemczech. Słuchając jego mowy można było się poddać iluzyi, iż koło historyczne cofnęło się wstecz, co najmniej o lat 30.

M.

Z estrady i sceny.

„S z c z ę ś c i e w z a k ą t k u“. Sztuka w 4 aktach przez H. Sudermanna.

Kto po najświeższej premierze Sudermannowskiej spodziewał się odurzających perfumów à la „K o n i e c S o d o m y“, „G n i a z d o r o d z i n n e“, lub „W a l k a m o t y l i“, kto pragnął mózg połaskotać błyskotkami olśniewających paradoksów, któremi bawić się lubi dyalektyczny umysł autora „Honoru“, — ten z „Szczęścia w zakątku“ wyniósł niewątpliwie pewne rozczarowanie. W tej sztuce jest dużo słońca i dużo zdrowia. Sudermann opuścił bagniska życia, przeniósł słuchaczów w atmosferę czystszą i roztoczył przed okiem naszem konflikt dramatyczny bez paprykowej przyprawy, której pożąda popsuty smak zblazowanych premierowiczów w Berlinie i Wiedniu.

Kurtyna się podnosi. Na scenie ukazuje się zaciszne mieszkanie dyrektora trzyklasowej szkoły gminnej. Jest to jedna z owych złamanych egzystencyi, które każdy z nas na drodze życia swojego spotykał, a w której znalazł i żalu trochę i rezygnacyi wiele i ciche westchnienia za rajem zagasłych gwiazd młodości. O Wiedemannie mówiono w latach uniwersyteckich, że na skrzydłach talentu wzniesie się wysoko. Ale chłopiec był biedny, tułał się po korepetycyach, wreszcie ożenił się z ubogą dziewczyną i pchając taczkę życia, sterał zdolności i siły. Inni mniej zdolni, ale szczęśliwsi, poszli wysoko, — on zmęczony zawinął do cichej przystani szkółki ludowej i owdowiawszy, pędził wraz z trojgiem dzieci żywot obowiązku. Lecz w pasmo dni prostych, znojnych i pogodnych wplątała się nagle kobieta. Opodal miasteczka leżał zamek barona Rocknitza, dawnego ucznia i wychowańca Wiedemanna. Röcknitz, junker pomorski, wykrojony z drzewa Bismarcków, natura brutalna, lecz zwycięzka, dzika lecz imponująca, potomek Raubritterów i dyplomata, dąb w barokowe przykrojony kształty i egoista bezwzględny, — przy jego boku żona cicha, potulna i zafukana, — a przy tych dwóch istotach daleka kuzynka, dziecko podupadłej rodziny magnackiej, typ wielki, szlachetny i dumny, jakieś dalekie echo legendowej Bruuhildy — oto mieszkańcy junkerskiego zamku. Röcknitz i Elżbieta pokochać się muszą. Dobór płciowy dyktuje tu prawa swoje z nieubłaganą koniecznością; jego nęci imponująca szlachetność i granitowa duma kobiecego typu, ją pociąga nieokiełznana siła Bismarckowskiej natury. Inaczej być nie mogło, konflikt jest nieunikniony. Zwycięzka zaborczość barona nie zna żadnych pęt i żadnych granic. Gdy Elżbieta odpycha jego galanterye lubieżne, decyduje się rozwieść z prawowitą małżonką swoją i w drodze legalnej zdobyć ukochaną. Lecz kobiety „z rodziny olbrzymów“ nie wydzierają przyjaciółkom mężów. Elżbieta po strasznej walce wewnętrznej odpycha zaloty Röcknitza i z rozbitą duszą szuka wyjścia z strasznego zamętu. W takiej chwili zjawia się Wiedemann, owdowiały dyrektor szkoły trzyklasowej; widzi jej łzy, kocha ją jak świętą i ofiaruje zmęczonej kobiecie rękę swoją wraz z „szczęściem w zakątku“. Rozdarta dusza Elżbiety pragnie ciszy i ukojenia, więc „dziewczyna — olbrzym“ wstępuje do małego domku małych ludzi i małego świata, — byle uciec od kusiciela, zakopać się głęboko i wyszarpać z mózgu wspomnienia.

To wszystko już się stało przed podniesieniem kurtyny. Dramat zaczyna się z chwilą, gdy w lilipuciem królestwie Wiedemannów, gdzie berło dzierzy Elżbieta, uwielbiana przez męża, małych pasierbów i ślepą pasierbicę, zjawia się Röcknitz, — strzelec na tropie zwierzyny. I rozpoczyna się walka. Niezwyciężony staje przed niezwyciężoną, — kto wprzódy się złamie? Zygfryd czy Brunhilda? Jest jedna chwila, w której Elżbieta się ugina. Zmęczona walką chwieje się, mówi „kocham“ i bezprzytomna pada w objęcia barona. Minuta upojenia, długi pocałunek, — lecz nagle wraca przytomność i duma i bunt. Zdradzić tego, który w godzinach rozpaczy przygarnął ją do siebie i oddał wszystko, co prosta dusza jego dać mogła, — wydrzeć męża przyjaciółce, — nigdy! Lecz Rocknitz nie napróżno się chlubi, że ród swój wiedzie z Raubritterów dawnych. On teraz mniej niż kiedykolwiek myśli o rezygnacyi. „Nie staraj mi się wymknąć — mówi do Elżbiety, — bo gdziekolwiek pójdziesz, ja pójdę za tobą. Nie wahaj się i nie opieraj. Jam gotów na wszystko. Stanę przed mężem Twoim i powiem tak, jak dawny rycerz-rozbójnik: Kocham żonę Twoją i Twoja żona mnie kocha. Daj mi ją — czy słyszysz?“ Elżbieta słucha i plan rozpaczliwy w mózgu jej dojrzewa. Cyniczne aluzye Rocknitza w szerokiem gronie obojętnych osób zraziły jej duszę subtelną, brutalność ukochanego zaczyna ją odpychać i jakiś dziwny niesmak i strach budzi się w głębinach duszy. Zapoznana przez jedynego mężczyznę, którego kochała, niepojęta przez męża z rodu pospolitaków, z nieugiętą groźbą Röcknitza nad głową, z poczuciem wpół przerwanego wiarołomstwa w piersiach, szamoce się, kurczy w zwątpieniu i idzie smutna, by na dnie rzeki o nocnej porze szukać ukojenia. Na drodze swojej znajduje męża. Niepokój jej i dwuznaczne słowa zbudziły podejrzenia jednego z podwładnych rektora, poczciwego chłopca, który w prostocie ducha swojego przypuszczał, że Elżbieta z Rocknitzem zbiegnie w świat daleki, i o domysłach swoich doniósł rektorowi. Wiedemann czeka, — drzwi nie zarygluje, raz ostatni z nią pomówi jeszcze i niechaj idzie. Rozpoczyna się dyalog końcowy. Elżbieta wyznaje mężowi wszystko, mówi o jednej chwili słabości, mówi że na śmierć idzie, bo z pocałunkiem barona na ustach dłużej w cichym zakątku królować nie może. Lecz on otwiera ramiona: Zostań! A gdy się waha ta dumna i czysta istota, wtedy dziwne jej szepce zwierzenia. On wtenczas, gdy błagał o rękę znękanej i łzami zalanej Elżbiety, mniemał, że ta, którą w domowe swe progi jako małżonkę wprowadza, padła ofiarą jednego z arystokratycznych uwodzicieli, a mimo to... mimo to, czy też właśnie dla tego, znalazł odwagę wymówić słowo miłości. Następują uściski, okrzyki w rodzaju znanego finału z Augierowskiej „Gabryeli“: *„O père de famille! o poëte! je t'aime“*, i Elżbieta postanawia nadal próbować „szczęścia w zakątku“. Röcknitza już nie zobaczy. Wiedemann obiecuje osobiście rozprawić się z junkrem i z progów swego domu raz na zawsze usunąć pokusę.

Akordem pojednania kończy się utwór; z chmur groźnie spiętrzonych nie wypada piorun i z słońcem w duszy spieszy do domów publiczność. Przeciętny widz teatral-

ny nie lubi końcowych kataklizmów; dręcz go zgrzytem ponurym, denerwuj męką bohaterów, odsłoń rozdarcie bolesne, lecz w końcu zamknij przepaście, zanuć piosenkę nadziei, spłucz gorycz płynem miodowym i niechaj zasypia spokojnie w tem przekonaniu, że w życiu wszystko się goi i nie ma nocy bez słońca. Oto recepta konwencyonalizmu. Pogardzi nią Strindberg, Rovetta i Hauptmann, lecz modny Sudermann nie lekceważy gustów szerokiej publiczności, bo ona rozdziela laury i pieniądze. Więc Elżbieta łączy się z Wiedemannem i po godzinie burzy zakwita znowu „szczęście w zakątku". Tak mówi autor, tłum bezkrytyczny wierzy mu na słowo, lecz prawdy nie ma w tym końcowym blasku. Dla kobiety „z rodu olbrzymów" zagasło słońce w domu potulnego aż do poniżenia rektora. Tę wielką i czystą naturę dotknąć muszą boleśniej pociechy męża i rezygnacya pokorna, niż brutalności Röcknitza. Dom stanie się dla niej ciemną i duszną celą więzienną, gdzie rumieniec wstydu palić ją będzie, gdy mąż-lilput zbliży się do niej. Kobieta przeciętna zbłądzi, przystosuje się potem do otoczenia i zegnie kolana przed wspaniałomyślnością małżonka, — lecz dusze tak wrażliwe, tak dumne i wyżyn życia spragnione, jak ona, nie zgodzą się na rolę żałującej grzesznicy, na wegetacyę orła w kurniku i cerowanie pończoch przy boku rozgrzeszającego męża z filistrów szczepu. Złamana miłość, duma zraniona i druty klatki domowej chwycą za gardło i dusić będą tak długo, aż zerwie wszystko i pójdzie w świat daleki lub na dno jeziora. Sudermann uzdrawia chore małżeństwo — lecz trudno w to uzdrowienie uwierzyć. Świetnie narysowana figura Elżbiety krzywi się przy końcu i kłamstwem konwencyonalnem jest finał utworu.

A przecież, mimo tej koncesyi psychologicznej na rzecz banalnego smaku tłumów szerokich, mimo pewnych nieprawidłowości w formie i układzie dramatu, zgodzić się nie mogę na zdanie tu i owdzie głoszone, że „Szczęście w zakątku" zaliczyć należy do tuzinkowych kreacyi scenicznych. Słabsza od „Gniazda rodzinnego", niższa od „Końca Sodomy" posiada najświeższa sztuka Sudermanna pierwszorzędne zalety pod względem charakterystyki, nerwu dramatycznego i koloratury. Sudermann pozostał dawnym mistrzem w malowaniu tła i środowiska, rzucił na deski kilka scen wspaniałych, że tylko wspomnę chwilę przełomową, i powołał do życia postacie o zadziwiającej plastyce i subtelności. Röcknitzowi należy się bez wątpienia jedno z miejsc pierwszorzędnych w galeryi typów Sudermannowskich.

Na scenie poznańskiej, niestety, całe „Szczęście w zakątku" w mgłę się owinęło. Nie przeczę, że pewne niejasności motywów działających złożyć należy na karb autora i niefortunnego tłomacza, lecz lwia część winy spada na artystów, a raczej na zupełny brak literackiego kierownictwa w teatrze naszym. Gra pana S k i r m u n t a była jak zwykle śmiała i wygładzona, lecz zamiast Röcknitza stąpał po scenie lowelas buńczuczny. Imponująca zwycięzkość Röcknitzowskiej natury zginęła zupełnie, — brutalnej, lecz podbijającej siły tego typu nie zrozumiał artysta. Dokładniej swoją rolę pojęła p. P a n k i e w i c z, lecz i ona wznieść się nie zdołała do wyżyn królewskości dominującej. Panna V e r n o n miała szczere intencye stworzyć typ małej żony wielkiego Röcknitza, — jej nicość jednak i uległość nie przekonały nikogo. W zakresie talentu tej artystki nie ma miejsca dla Bettiny Röcknitz. Z innych przedstawicieli Sudermannowskich postaci jedynie pp. Ł a s k i i W o s t r o w s k i względnie poprawnie odtworzyli role powierzone, choć nie zdołali nagiąć gry swojej do niemieckich typów. Pan K r ó l i k o w s k i w roli małostkowego pedanta-biurokraty zawiódł oczekiwania. Szkoda mi tej postaci. Ma ona dużo charakteru, a zginęła w bladym szablonie.

W. R.

TO I OWO.

Jeszcze o prelekcyach ks. Adamskiego.

Uwagi nasze o prelekcyach ks. Adamskiego zjednały nam wprawdzie uznanie inteligentnych kół społeczeństwa, lecz naraziły oczywiście na karabinowy grzechot Kuryerowej armii, wołającej na całe gardło, że jesteśmy masonami, wrogami religii itp.

Podajemy zatem poniżej ocenę tych odczytów, zamieszczonych w poznańskiej korespondencyi warszawskiego „Przeglądu tygodniowego" i polecając czytelnikom naszym porównanie cudzej i naszej opinii, prosimy uprzejmie Kuryera, aby nie zrażony tą pomocniczą armią, którą na plac boju wprowadzamy, walił dalej z haubic i moździerzy. Zawsze to rozrywka w wielkopostnej ciszy.

Poznański korespondent warszawskiego „Przeglądu" wypowiada następujące uwagi:

„Rozmyślania wielkopostne rozpoczęliśmy niezbyt fortunnie. Zaledwie ucichły ostatnie karnawałowe dźwięki, wezwano publiczność poznańską do pałacu Działyńskich na odczyt ks. Adamskiego p. t. „Kwestya kobiet". Odczyt ten odbył się w samą środę popielcową a jeśli pobożne dusze poznańskie kruszyły się i korzyły pod wrażeniem słów: „Prochem jesteś i w proch się obrócisz", to dzięki ks. Adamskiemu ten nastrój poważny zniknął natychmiast, ustępując szczerym wybuchom śmiechu. Trudno dać wyobrażenie czytelnikom o rodzaju stylu i charakterze poglądów prelegenta. Było to coś tak oryginalnego — tak fenomalnego w końcu XIX wieku, że nawet w Poznaniu, w krainie obfitej w okazy umysłowych antyków, słuchacze spoglądali na siebie wielkiemi oczami, pytając, jaki archeolog odkopał ze zwalisk średniowiecznych ks. Adamskiego i jego myśli?

Gdyby odczyt taki wygłoszono niegdyś w XIV wieku np. w jakim bernardyńskim klasztorze, nie zrobiłby pewno wielkiego wrażenia, ale dziś!... Jak tu słuchać poważnie roztrząsania kwestyi, dlaczego Pan Bóg stworzył najpierw Adama, potem Ewę? — a cały odczyt był w tym samym rodzaju. Słyszeliśmy także, że ruch ciał niebieskich jest obrazem życia umysłowego, gdyż ciała niebieskie krążą po liniach kolistych (?) a ta zasada kolistości jest wszędzie w życiu zachowana. Mężczyzna jest punkten środkowem koła, kobieta jego obwodem, dlatego też i kształty kobiety są zaokrąglone. Kobieta ma w sobie pewną lekkość: „lekko" znosi cierpienia, „lekko" wznosi umysł, postać ma „lekką" i „lekko" stąpa po ziemi. Szanowny a uczony „prelegent" zakończył mniej więcej ten sposób wywody, w których ani jedno słowo nie było rozumniejsze od powyżej przytoczonych: „Kiedyśmy na zasadzie najwyższej logiki wyjaśnili, czem jest istota kobiety, pytamy się, czy emancypacya jest możliwą? Naturalnie, że nie!"

Radził kobietom, żeby zawsze tak postępowały, jak Duch święty. Dobra rada, ale jak ją wykonywać? Może nam to jeszcze kiedy ksiądz Adamski wedle swej „najwyższej logiki" wytłomaczy... Zapowiadano cały szereg odczytów w tym rodzaju, zdaje się jednak, że będziemy musieli poprzestać na tym jednym. Szkoda! Prelegent ma taki dar rozweselania słuchaczów a przecież „śmiech jest dobry, śmiech jest zdrowy, uspokaja słabe nerwy." Ks. Adamski jest członkiem Towarzystwa przyjaciół nauk. Zbierał tam laury, jako autor wierszowanej apokalipsy a w ostatnich dniach wygłosił odczyt „O istocie piękna", w którym posługiwał się tą samą najwyższą logiką, co w roztrząsaniu kwestyi kobiecej. Poważne zgromadzenie słuchało poważnie głębokich nonsensów....!!"

* * *

Zlot wszechsokolski w Krakowie.

Korespondent „Kuryera lwowskiego" donosi: W d. 28. 29. i 30. czerwcza br. odbędzie się w Krakowie III. zlot polskiego Sokolstwa. Wezmą w nim udział druhowie wszystkich gniazd sokolich, które należą do związku. Tych zaś gniazd, które dotąd nie uważały za wskazane do związku przystąpić, na zlot zapraszać się nie będzie. Jako goście wezmą udział w zlocie Sokolim gniazda pobratymczych narodów słowiańskich a w pierwszym rzędzie zaproszeni zostaną Czesi. Sokół z zaboru pruskiego weźmie udział w zlocie, jako Sokół czynny. Z tego powodu spodziewany liczny zjazd.

Wydział sokoła krakowskiego przy pomocy zaproszonych druhów sokolich z poza wydziału podzielony na mnóstwo sekcyi i komisyi pracuje nad całą organizacyą zlotu. Praca to nadzwyczaj wielka i zmudna. Zlot bowiem III. musi prześcignąć pierwszy we Lwowie odbyty i okazałością i dziarską postawą i liczbą ćwiczących, karnością i szykiem właściwym. Sokolstwo ma złożyć egzamin ze swego rozwoju i wzrostu nietylko przed sobą i rodakami z innych zaborów, ale także przed cudzoziemcami, których wiele do Krakowa się wybiera. Koszta zlotu obliczono na 20 kilka tysięcy złr. Osobny komitet obywatelski zajmuje się sfinansowaniem przed siębiorstwa. Dotąd złożono z górą 8000 zł. jako fundusz gwarancyjny. Boisko zlotowe urządzone będzie w prześlicznem miejscu, mianowicie na błoniach, za rogatką wolską, naprzeciw parku Jordana. Samo boisko dla ćwiczących obejmie przestrzeń 4000 metrów kwadratowych; otoczone będzie w około trybunami na 8000 miejsc, a nadto między boiskiem a trybunami około pozostawioną będzie przestrzeń 5000 m. kwadr., na której ewentualnie 20,000 ludzi stojąc, pomieścić się będzie mogło. Szatnie dla ćwiczących, umieszczone będą pod trybuną główną. W tych dniach rozpisaną zostanie licytacya na budowę boiska i trybun, a w miesiącu kwietniu rozpoczną się roboty. Boisko będzie odmienne od dawniejszych lwowskich, całe bowiem będzie pokryte niziutką, strzyżoną trawą. Tłem tej olbrzymiej budowli sokolej będzie kopiec Kościuszki, Bielany i Krzemionki.

O d d z i a ł k o n n y Sokoła krakowskiego zakupuje nieustannie konie i odbywa ćwiczenia, pragnie bowiem postawić na Zlocie oddział porządnie zorganizowany, z kilkudziesięciu jeźdźców złożony. Koszta tego oddziału wyniosą kilka tysięcy zł. Swietnie również zaprezentuje się wioślarstwo nasze. Trzeciego bowiem dnia Zlotu urządzone będą wyścigi na Wiśle i tradycyjne wianki. Dopuszczony tutaj będzie udział także polskich wioślarzy innych krajów. Nagrodami będą medale srebrne i bronzowe. Koszta tego oddziału również wyniosą kilka tysięcy złr.

* * *

Z krainy oleandrów.

Razu pewnego książę Tezeusz przechadzając się z Hipolitą, królową amazonek, wśród rozkosznych gajów Aten, spostrzegł na brzegu strumyka, u stóp kwitnącego oleandru, młodziutkiego Fauna, jak kiścią wonnego kwiatu łechtał różowy nosek śpiącej na mchu nimfy.

— Co to znaczy? — zapytał.

— Prawdopodobnie — odpowiedziała

królowa — pragnie Faun nimfie czemprędzej obudzonej prawić o miłości.

Nimfa spała jednak dalej snem kamiennym.

Tylko czasami, pod wpływem wonnej pieszczoty-pustoty, drżały różowe wiązadełka jej uroczego noska.

Faun wpadł na inny pomysł: dłonie jak koszyczek napełnił kwiatami, i wszystkie te kwiaty, hen, hen, z wysoka, rzucił na białe piersi Hamadryady.

Powoli, ramieniem drżącem jeszcze od sennego omdlenia, odsunęła nimfa lekki ciężar... nie zbudziła się jednak.

Wtedy Faun zaczął biegać w koło niej, skakać, tupać, poruszać gwałtownie gałęźmi drzew i łamać je: był szelest, rumor, hałas jak gdyby młode wilki wyprawiały w pobliżu swoje harce. Ale nimfa spała ciągle...

Nie wiedząc już, jak sobie poradzić, klaskał Faun z kolei w dłonie, śpiewał, krzyczał, naśladował głosy dzikich zwierząt, zawodził jak delikatne ptaki, gdy kłócą się, lub żalą, ryczał, jak podrażniony lew, wołał „cukru“, jak gołębie.

Nimfa ciągle mimo to spała, jak lilia zasypana śniegiem.

Zrozpaczony, płakać zaczął. Tezeusz ulitował się nad dziecinnym półbożkiem, wyciągnął swój błyszczący miecz, co nieraz brzęk wydobywał z rynsztunku wroga, i rzucił go z taką siłą na odłam w pobliżu leżącej skały że ziemia zadrżała.

Niezadrżały jednak powieki Hamadryady.

— Bo też wy nie umiecie brać się do dzieła! — rzekła królowa amazonek.

Zbliżyła się do Tezeusza... i do jego ust przycisnęła swoje w długim, gorącym pocałunku.

Nimfa w okamgnieniu otwarła oczy, uśmiechając się rozkosznie.

Catulle Mendès.

Na Wyłomie.

(Wiosna. — Rymotwórcy. — Modlitwa wiosenna).

Wiosna! pachnie, śpiewa i zielenią dyszy. Jakaś wróżka dobrotliwa złożyła pocałunek na czole natury i oto! ziemia uśmiechnęła się słońcem, rozkwitła milionami pączków i senna jeszcze po zimowej drzemce tuli się do nas i pieści. Cud czy mamidło? Dni dziesięć wstecz cofam się pamięcią, — wszystko zastygłe i mroźne, nagość kamienna i śmierć. Spoglądam na kalendarz ścienny.... jeszcze nie skończył się marzec, a już na gody stroi się ziemia, na wielkie gody wiosenne. I dusza wzbiera, i krzyczeć się chce i płakać.

O! piękną jesteś ty młoda przyrodo, ty zmartwychstająca! I byłabyś tysiąc razy piękniejszą i zawracałabyś głowy do szczętu tym, których Bóg w gniewie swoim stworzył, t. j. redaktorom, — gdyby.... gdyby wraz z tobą nie zjawiały się w biurach naszych roje wieszczów i wieszczek, prawdziwy potop śpiewaków i śpiewaczek wiosny. — Z pierwszym listkiem zielonym na krzakach agrestu, z pierwszem futrem oddanem na przechowanie kuśnierzom, z pierwszym jasnym tużurkiem dobytym z głębiny szaf, szuflad lub koszów, przylatuje całe stado tych adeptów Parnasu, siada na dachach i piszczy, szczebiocze, terkocze o wiośnie. Jeszcze daleko skowrończane śpiewy, więc gdy tęsknicie za wiosenną pieśnią, posłuchajcie, proszę, tej pierwszej kapeli:

Jeszcze bzów nie ma, ale już je czuję,
Nie ma fijołków, ale wkrótce będą,
Więc w imię wiosny usta twe całuję
Tam, gdzie już liście swe bukiety przędą.

I szelma chłopak całuje „dziewicę“ na „rumiane lice“, a ona spuszcza oczęta i mówi:

Niech Bóg wybaczy nam grzeszne pieszczoty,
Niech Go przebłaga dzisiaj głos żałosny,
Bo to ci mówię o! skarbie mój złoty:
Nie nasza wina, ale wina wiosny!

No! proszę, — i wykręciła się sprytna panienka. Co do mnie, wybaczam chętnie te „grzeszne pieszczoty“, ale ta liryka... te wiersze... poeto mój! całuj sobie, całuj tysiąc razy więcej, — jeżeli jednak masz odrobinę litości nad biednym redaktorem, pisz prozą sentymenty swoje.

Czy posłucha mej rady? Wątpię. Ta rzesza trznadli i gilów wiosennych posiada upór kamienny, wędruje od redakcyi do redakcyi z pliką manuskryptów pod pachą, pisze i pisze bez końca, a, co najciekawsze, znajduje w prasie poznańskiej, mianowicie w oficynach drobniejszych pisemek, wrota na roścież otwarte. Nic dziwnego! Na czele naszych organów i organków stoją nieraz ludzie, dla których poezya a rym to identyczne pojęcia, więc byleby „kości“ zgadzało się z „miłości“ i „kochała“ z „orała“, każdy Rozbicki pewien być może, że nie tu to tam wiersz swój ulokuje. Ot, leży przedemną rękopis, zatytułowany elegijnie: „Wiosenne bóle“, którego autor donosi mi, że „był już drukowany kilkakrotnie“ w dzienniczku X., lecz pragnąc w poważniejszym organie literackim zapisać nazwisko swoje, prosi obecnie o gościnność w „Przeglądzie“ dla „Wiosennych bólów“. Posłuchajcie zatem tego „kilkakrotnie drukowanego autora“:

Czemu ty świecisz słońce nad nami?
Czemu tu kwitną bzy?
Ja błądzę smutny z mojemi łzami
I zemną moje łzy.

Ludzie okrutni, ojczyzna w grobie,
A luba jako głaz,
Umieraj wiosno, bo ja w żałobie
Idę w ponury las.

Niech wyją wiatry, niech szumią drzewa,
I zęby szczerzy smok,
Umrę, a luba moja zaśpiewa
Na zgon mój i na mrok.

Dosyć tych serc rozdartych i pień Marsyaszowych! Otwieram okno, tysiące gwiazd na firmamencie, zapachy wiosny falą płyną ku mnie, a taka cisza w uśpionych ulicach, że aż w uszach dzwoni. Wydaje mi się, że długie linie i płaszczyzny domów w mrok otulonych zlewają się w jakąś wielką, ciemną, bezkształtną masę i są w tej nocy wiosennej jak skamieniały olbrzym, broniący przystępu tej wróżce pięknej, która idzie ku nam w błękitach niezapominajek, z wonią bzów i śpiewem słowików. O pójdź, pójdź, i niechaj zegnie przed tobą kolana ten kolos zamarły, szepcąc u stóp twych: „Kocham cię wiosno i z tobą śluby wieczyste zawieram.“ O zbliż się, piękna, z melodyą życia, poezyi, swobody i niechaj do wtóru grają ci dusze ludzkie. Szarość jesienna i mgła wilgotna bytu naszego skurczyła serca, zamroczyła myśli i tak stoimy u wrót przyszłości, bez górnych wzlotow, bez wielkich porywów, — mała, bezsilna krasnoludków gromada.

Wiosno! symbolu postępu, odrodzenia, wolności! Niechaj królestwo twoje wypłoszy mroki i zimę z tego zakątka ziemi, gdzie każda myśl swobodna, pozbawiona stempla patentowanych zasad, ginie pod klątwy obuchem, gdzie wielkie bóstwa sztuki i nauki strącono z ołtarzy i „miarą krawca nie miarą Fidjasza“ przykrojono młodzież. Na chleb zarabiać ona dziś dzielniej umie niż wczoraj, lecz kochać gorąco, czcić piękno, rwać się ku niebu po jasność słoneczną, — tych świętych ogni maleńki płomyk tli się tam zaledwie. Niech starzy będą starymi, — ty, wiosno! młodym wróć młodość!

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

Masaryk o naszej literaturze. Profesor Masaryk uchodzi wśród swych ziomków za powagę w kwestyach historyi czeskiej literatury i sztuki. Że sąd jego posiada wartość rzeczywistą, że to uznanie, jakie sobie wśród swego społeczeństwa zdobył jest słusznem, dowodzi tego poniekąd i to, co niedawno w swym „Czasie“ napisał o naszej literaturze, względnie Gomulickim, Sewerze i Chmielowskim. O Gomulickim i o jego „Nowych pieśniach“ pisze: „Gomulicki jest największym optymistą pomiędzy poetami współczesnymi; dusza jego otwiera się ochoczo wszystkiemu, co jest jasne, miłe, żywe, spokojne i piękne. Jeżeli się spotka ze stroną ciemną życia ludzkiego i jego problematami, (jak się nie spotkać z niemi?) wówczas porusza je powierzchownie, lub jak najprędzej od nich ucieka. Na początku dzieła nazywa swą poezyę anielską. Śpiewa pieśni wiary w ducha ludzkiego, który nie zna wschodu ani zachodu, był, jest i będzie zawsze: w iście sposób romantyczny przenosi uczucie ponad rozum, poezyę nad wiedzę, ciągnie do boju ze złem z bronią pióra, skalpelu i krzyża, śpiewa o wiośnie i miłości. Tytuł jednej części poezyi „Przy słońcu“ jest odpowiednim dla całej jego twórczości słonecznej i optymistycznej. W części „Obrazy i szkice“, interesującej życiem ulicznem warszawskiem, kreśli także obrazki ze wspomnień swej młodości, którą spędził w małem mieście. Dwa ostatnie rozdziały dotyczą ciemniejszych stron bytu, ale zwycięża w nich optymizm: refleksye jego nie są głębokie, nie bardzo oryginalne, w smutku widać więcej maniery, aniżeli szczerości. Gomulicki włada wierszem po mistrzowsku, w tem mało kto mu wyrówna. W książce odzywają się też reminiscencye z Mickiewicza i Słowackiego. Najlepszemi utworami są: „Dziwożona“ i „Nocą na morzu.“

O Sewerze pisze: ma sposób charakterystyki plastyczny, bystry zmysł spostrzegawczy i myśli głębsze. Z Piotrem Chmielowskim zgadza się, iż obecna poezya polska okazuje wszędzie niedostatek prawdziwej oryginalności, jest w niej gonitwa za skończonością formy, ale mało kompozycyi wielkiej i orlich wzlotów.

Fredry „Ślubów panieńskich“ Masaryk, zdaje się, wcale a wcale nie zrozumiał. Oceniając je surowo, zapomniał, kiedy Fredro żył, nie odczuł subtelności, oryginalności i tendencyi autora w satyrze i karykaturalności figur polskich, w czem Fredro celuje i na czem cały urok jego utworów polega. Tego mu jednak nie można brać za złe; tylko Polak dostrzeże w utworach Fredry pierwiastek swojski. Czech widzi jedynie stronę zewnętrzną: naśladownictwo i formę naiwną.

Monitor.

* * *

„Syrokomla o sobie“. Przepisał i objaśnił Wł. R. Korotyński, Warszawa. Nakładem księgarni T. Paprockiego i Spki 1896. — 8⁰ str. 101.

(*w. i.*) Niepodobna oprzeć się wzruszeniu, przeglądając korespondencyę nieszczęśliwego, a tak sympatycznego poety, który jak „słowik w klatce“ męczył się przez całe życie. W książce Korotynskiego, opatrzonej bardzo dobrze informującym i barwnie napisanym wstępem, znajdujemy listy Syrokomli przeważnie do Chęcińskiego pisane. Można na ich podstawie nabrać dokładnego wyobrażenia o procesie psychicznym, jaki pod wpły-

wem nieszczęść, kłopotow i nadmiernej pracy rozwijał się w duszy Syrokomli — można go śledzić aż do chwili, kiedy miejsce energii zajęła apatya, wywołana upadkiem fizycznym także — i kiedy nastał smutny nad wyraz, ale z rezygnacyą przez poetę powitany „początek końca“, zupełnie innego, niźli Syrokomla zasłużył.

* * *

V e r l a i n e'a indywidualność poetyczną najlepiej może odzwierciadla następująca perełka nowszej liryki francuzkiej:

Les sanglots longs
Des violons
De l'atomne
Blessent mon ceur
D'une longueur
Monotonne.
. . . .
Et je m'en vais
Au vent mauvais
Qui m'emporte
Deça, delà
Pareil à la
Feuille morte.

Może czytelnicy i czytelniczki nasze zechcą spróbować swoich zdolności poetycznych i spolszczyć ten wierszyk. Najlepsze tłomaczenie pomieścimy w „Przeglądzie“.

* * *

A n g l i c y o n a s. Z powodu wzmianki „Kuryera Warszawskiego“, że jedno z pism angielskich powierzyło Anat. Krzyżanowskiemu sprawozdanie o literaturze naszej, ogłasza w tem piśmie Adam Niemirowski notatkę informacyjną, którą tu powtarzamy; „Literatura polska zbyt jest poważną i zasłużoną, aby Anglicy po czasy obecne nic o niej nie wiedzieli. Już w r. 1824 Blum wydał antologię poezyi naszej, a Michał Wiszniewski oraz Lach Szyrma w pismach szkockich zapoznawali Albion z tutejszą umysłowością. — Swietny artykuł Klaczki („Poezya polska XIX wieku“), przełożony przez p. Walker, znany jest od lat 30. Paweł Sobolewski wydał chrestomatję naszego piśmiennictwa bieżącej doby. Czasopismo „Academy“ umieściło mojego pióra sprawozdanie z ruchu naukowego. Artykuł ten referowany był po angielsku, jak świadczy odsyłacz od redakcyi. Kilka dni później „Słowo“ streściło ten referat, a wzmiankę pisał (czem się szczycę) Sienkiewicz. Wślad za tem „Academy“ pomieściło rzecz o pracach i życiu Maciejowskiego, biografię pani Bauman, warszawianki, oraz inne moje korespondencye.“

ODEZWA.

Od Związku „Sokołów“ polskich w państwie niemieckiem otrzymujemy pismo następujące:

D r u h o w i e! W dniu 14, 15 i 16 sierpnia rb. odbędzie się pierwszy zlot wszechsokolski w Poznaniu. Idea, zaszczepiona przed niedawnym czasem w pruskim zaborze, coraz silniejsze korzenie zapuszcza w ziemi kresowej. I dalej pójdzie, niosąc społeczeństwu zdrowie fizyczne i siłę, potęgując karność i energię, szerząc zasady równości i braterstwa. Nie jesteśmy optymistami, nie zapoznajemy bynajmniej, ile trudności jeszcze zwalczyć trzeba, ile wysiłków i pracy niezmordowanej nas czeka, zanim dumne słowo z ust naszych popłynie: Jest duch sokolski w dzielnicach kresowych! — wierzymy jednak niezłomnie w żywotność naszej idei, a tą wiarą silni pragniemy wytężyć wszystkie siły, aby przyspieszyć rozwój sokolstwa w zaborze pruskim. I oto zlot wszechsokolski w Poznaniu ma być nowym i potężnym rozsadnikiem ideałów naszych, generalnym przeglądem dotychczasowych zdobyczy, analizą słabości i niedostatków, podstawą reform żywotnych i gromką, ducha krzepiącą pobudką do wytrwałej pracy sokolskiej.

Zwracamy się zatem przedewszystkiem do was, Sokoły z zaboru pruskiego, i do was, gniazda związkowe, rozrzucone na obczyźnie w państwie niemieckiem. Obowiązkiem waszym stawić się jak jeden mąż w dniu zlotu wszechsokolskiego w grodzie Przemysława, obowiązkiem waszym poważne zastępy ćwiczących wprowadzić na boisko, obowiązkiem waszym pomyśleć już dzisiaj o przygotowaniach do igrzysk zlotowych. Dom nasz otwarty, w sercach miłość bratnia — czekamy na was Druhowie.

Z równą prośbą serdeczną i pobudką sokolską zwracamy się do druhów zaboru austryackiego. Wy to jesteście mistrzami naszymi, wy pierwszymi krzewicielami idei sokolskiej na ojczystej ziemi. Więc przybywajcie i niechaj obecność wasza w murach Poznania będzie wyrazem sokolskiego braterstwa, niechaj młode gniazda zaboru pruskiego uczą się od starszych druhów, jak rozwijać i hartować wspólne ideały. Kresowe Sokoły wzywają do łącznej pracy i zabawy i wierzą, że żadna z drużyn blizkich i dalekich obojętną nie będzie na głos tej pobudki.

O bliższych szczegółach zlotu, o programie, kwaterunku i t. p. informować będziemy szanownych Druhów w miarę rozwoju prac komisyi zlotowej.

C z o ł e m!

W y d z i a ł Z w i ą z k u „S o k o ł ó w“ p o l s k i c h w p a ń s t w i e n i e m i e c k i e m,

Bernard Chrzanowski, przewodniczący, Walery Łebiński, sekretarz.
Dr. W. Rabski, J. Nowicki. zastępcy przewodn.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości polityczne i społeczne.

Z afrykańskiego placu boju nadchodzą pokojowe wieści. Negus pragnie zgody najwidoczniej i skromne tylko stawia warunki. — Organ socyalistów „Vorwärts“ przypomina uchwałę ostatniego zjazdu socyalistów, wedle której w dniu 1 maja tylko ci robotnicy mają świętować, którzy to uczynić mogą bez żadnego dla siebie uszczerbku. — Austryacki minister oświecenia, dr. Gautsch, wydał rozporządzenie w sprawie dopuszczania kobiet do egzaminów dojrzałości pod warunkiem ukończenia lat 18 i przedłożenia świadectwa z ukończenia gimnazyum prywatnego, lub też, jeżeli kandydatka odbyła odpowiednie studya przygotowawcze. — Zatarg między Hiszpanią a Stanami Zjednoczonemi stracił na sile i według wszelkiego prawdopodobieństwa skończy sie niebawem zupełnie w drodze pokojowej.

Teatr i muzyka. Czwartkowy benefis pani Jakubowskiej zgromadził, niestety, w teatrze nader nieliczną publiczność. Gra beneficyantki odtwarzającej tytułową rolę „Córy piekła“ świadczyła o inteligentnem opracowaniu szczegółów i odznaczała się wielką szczerością i wdziękiem. Publiczność sympatycznej artystce ofiarowała wieńce i kwiaty. Na chlubne wyszczególnienie zasługuje również gra pp. Knapczyńskiego i Jakubowskiego. — Panna Pankiewicz wyjeżdża po ukończeniu sezonu na gościnne występy do Łodzi. — W Berlinie zjednał sobie wielkie powodzenie naturalistyczny utwór Maksa Dregera p. t. „Winterschlaf“. — W Rzymie wystawiono nową operę Leoncavalla p. t. „Chatterton“. Publiczność autorowi zgotowała wielkie owacye. — W roli Balladyny wystąpiła na scenie krakowskiej z powodzeniem p. P a s z k o w s k a, była heroina sceny poznańskiej. „Czas“ i „Nowa Reforma“ wyrażają się z uznaniem o talencie młodej artystki. — O nowej dyrekcyi teatru lwowskiego tak pisze korespondent „Przeglądu Tygodniowego“: „Pan dr. Bandrowski pragnie wznowić operetkę, która będzie miała w połowie charakter opery komicznej, oprzeć sezon operowy o Lwów i Kraków, tak, aby cały sezon wynosił pół roku (po 3 miesiące na każde z tych miast) a czas od 1 września do 1 lutego poświęcić wyłącznie dramatowi i komedyi. W programie leży dalej: reorganizacya chórów, przeprowadzona tak, iż byłyby ustanowione dwa kursy: wstępny (szkoła statystów) oraz właściwy, mający swego korepetytora. Projektowane jest również sprowadzanie do Lwowa całego dramatycznego personelu krakowskiego (w porozumieniu oczywiście z dyr. Pawlikowskim) i na odwrót, oraz rozszerzenie działalności teatru lwowskiego i to zarówno dramatu, jak opery i operetki na miasta prowincyonalne (Przemyśl, Stanisławów, itd.) Prof. Zawiejski ma w ciągu czterech tygodni odnowić zupełnie salę teatralną i zaprowadzić wzorowy system ogrzewania. Loże III piętra będą zupełnie zniesione a zastąpi je duży balkon. Starych dekoracyi teatru lwowskiego p. B. nie kupi wcale, natomiast nabędzie nowe w Wiedniu pod bardzo korzystnemi warunkami. Co do personelu, to, o ile wiemy, ustąpić mają pp. Woleński i Trapszo, reżyseryę zaś powierzy nowy dyrektor panom Żelazowskiemu i Kotarbińskiemu. Tyle na dziś o nowej dyrekcyi. Żegnając dotychczasową, winniśmy w imię sprawiedliwości wyrazić pełne uznanie p. Zygmuntowi Przybylskiemu, który szczerą pracą i pełnem artystycznego wyrobienia kierownictwem, często czynił więcej nad to, co mu środki i opłakane lokalne stosunki pozwalały.

AFORYZMY.

Kobieta odpowiada najchętniej na pytania, których jej nikt nie zadaje.

—

Genjusz powinien słuchać, co mówi tłum, aby postępować wprost przeciwnie.

—

Ubogi wielbiciel — to dla kobiety zalotnej mała nieprzyjemność; piękna rywalka — to wielkie nieszczęście.

—

Zachwyt i heroizm — rodzeni to bracia,
G o e t h e.

—

Prawda i kobieta spotykają się tylko w godzinę śmierci.
E k s.

—

Co to jest szczęście? Częstokroć to, co zbywa jednemu człowiekowi, wystarczyłoby dla uszczęśliwienia całej ludności ulicy, na której tenże mieszka.
C a r r.

—

W dniu, kiedy dyplomaci poczną mówić prawdę, — oszukają wszystkich.
T a l l e y r a n d.

—

Smutnym być — znaczy prawie zawsze myśleć o sobie.
H e i n e.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Posterunek. Obie odpowiedzi „Kuryera Pozn.“ na uwagi Sulli noszą tak wybitne piętno umysłowej bezsiły i brutalnego beztaktu, że z naszej strony ani jednego słowa krytyki dodawać nie potrzebujemy. Są artykuły, które same sobie piszą wyrok śmierci. Wonią swoją zapowietrzają powietrze i publiczność odwraca się od nich z odrazą.

Autorowi „Listu z Poznania“. Siedemnaście kwestyi społecznych i estetycznych, poruszonych przez Szan. Pana na czterech ćwiartkach papieru, stanowią chaos tak mętny, że artykułu w „Przeglądzie“ zamieścić nie możemy.

Ciekawy. Pytanie Pańskie jest istotnie interesujące, więc powtarzamy je na tem miejscu w nadziei, że może który z czytelników naszych znajdzie stosowną odpowiedź. Pytanie to brzmi: „Dr. Peters rozwinął zapaloną agitacyę za marynarką pruską dla odwrócenia uwagi społeczeństwa od swoich kompromitujących sprawek afrykańskich. Ciekawy jestem, jakie motywy kierowały „Kuryerem poznańskim“, gdy wraz z dr. Petersem jął reklamować marynarkę?“

E...a. Dziękujemy serdecznie za cacko to filigranowe. Zamieszczamy je w dzisiejszym numerze.

OD ADMINISTRACYI.

Szanownych Czytelników prosimy o odstąpienie nam (za stósownem wynagrodzeniem) następnych numerów pisma naszego: nr. **2** rocznik 1896, nr. **32, 37, 40 i 48** rocznik 1895.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28

Nr. 14. Poznań, niedziela 5-go kwietnia 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: Piekary nr. 6.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi w Poznaniu 4,00 mrk. Przyjmuje Administracya: Piekary 6. w Niemczech i Austryi 5,00 mrk. (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 mk. — Prenumeratę przyjmują Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer: w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.

TREŚĆ.

Do szeregu!

Rozzuchwalona rządowem placet federacya szowinistów niemieckich zapala na wszystkich szlakach życia polskiego ognie nienawiści. Okrzyk Bismarckowskich tępicieli rozbrzmiewa coraz głośniej, a na wyżynach kierujących państwa i prowincyi każde życzenie kliki Hakatystów zamienia się w rozkaz żelazny, idący w ziemie polskie jako gwałt najelementarniejszych zasad równouprawnienia. Nie ma dnia prawie bez wieści o nowych śrubach polityki duszenia i wygładzania, — nie ma dnia bez piętna Bismarcków, bez świeżych objawów cywilizowanego barbarzyństwa.

Rozpoczyna się zatem bój gorączkowy, bój na całej linii: z jednej strony potężna armia Prusaków, rząd wielkiego państwa, skarb w złoto bogaty, legjon urzędników, pycha i bezwzględność krzyżacka, — z drugiej strony społeczeństwo małe, znękane ubogie, bez wodzów zdolnych, bez siły inicyatywy i bez wytrwałości kamiennej. Zdawałoby się mogło, że w tak nierównej walce nie ma już dla nas nadziei, lecz gdy oni na rabunek idą, my bronimy wszystkiego, co tradycya wiekowa przekazała jako skarb narodu i tak zespoliła z sercem, umysłem, całą istotą zwyciężonego ludu, że chyba nam obie ręce obetną, my zębami bronić będziemy świętości naszych. Ta różnica w bojowych celach dwóch walczących potęg wyrównuje szanse. Niech przyjdą Persowie! Grecy mają Termopile i Salamis swoją.

Kreśląc jednak słowa otuchy w tej walce śmiertelnej, nie lekceważymy bynajmniej niebezpieczeństwa. Przeciwnie, wyrażamy przekonanie, że ten atak niemiecki najświeższej daty zastanawia tak pod względem strategicznego sprytu, jak środków wojennych i wszechstronnego rozmachu; z drugiej strony obronność społeczeństwa polskiego budzi w nas pewne obawy i wymaga niezwłocznej reformy.

Cała dotychczasowa akcya ratunkowa wykazuje kardynalne symptomy słabości: brak energii, bezwzględności i solidarnego współdziałania wszystkich cząstek zagrożonej armii. Historya komisyi kolonizacyjnej dowiodła, że społeczeństwo poznańskie nie zdobyło się nawet na konsekwentne potępienie tych jednostek, o których żadna nie istniała wątpliwość, że bez młotka subhastacyjnego nad głową, bez widoków kija żebraczego pukali do wrót stumiljonowego funduszu i ziemię polską jak towar pospolity na targ ponieśli. Gromy dzienników wywierały wrażenie teatralnych efektów i zaledwie ten i ów przed szachrajami rękę swoją cofnął, a szereg ich na urodzajnej glebie miękkości polskiej wyrastał w cyfrę poważną. I więcej nawet! Szachrajów przeklinały dzienniki, a szachraje berła dzierzyli w życ u publicznem i społeczeństwo nie miało dość odwagi i bezwzględności, by je z rąk nieuczciwych wytrącić. Ta nasza uprzejmość, ten brak druzgocącego protestu przeciw podeptaniu idei narodowej, ta miękkość opinii publicznej — oto grzyb, który niszczy nasze bramy, wieże i mury. Dopóki żołnierz nasz nie zrozumie, że nietylko wyraźne odstępstwo, lecz już sama opieszałość w służbie pociąga za sobą karę śmierci cywilnej lub przynajmniej policzek moralny i pogardę publiczną, tak długo obrona nasza kruszyć się będzie i uginać przed potęgą wrogów. Żądania nasze mają bez wątpienia surowy dźwięk żelaza, który zrazu przestraszy może niewolników galanteryi i kauczukowej tolerancyi, lecz w nowych warunkach ten radykalizm jest niezbędnym atutem zwycięztwa i społeczeństwo musi go sobie przyswoić.

A jeżeli na wewnątrz żądamy prawa wojennego, to tem więcej na zewnątrz solidarność, twardość żołnierska i płomienne „ząb za ząb“ jest nieodzownym warunkiem powodzenia. Obecny sposób prowadzenia walki wywiera nieraz takie wrażenie, jakby to była nie wojna lecz zabawa wojenna. Na kule wrogów odpowiadamy deszczem „konfetti“, na uderzenia toporów muśnięciem wachlarza. Ten i ów jak tur litewski nadstawi rogów w tragicznych zapasach o narodowe „być albo nie być“ — lecz tłum szeroki pozostaje niepoprawnym „Francuzem północy“, typowym *galantuomo*, nietylko na posadzce salonowej, lecz nawet tam na arenie, gdzie bój się toczy zażarty. Ta nasza „układność“, ten „dobry ton“, to trzymanie kapelusza w ręku, te bezustanne ustępstwa i jakaś tchórzliwość zajęcza ośmiela wroga i otwiera na roścież bramy warowni naszych. W tym względzie grzeszy mianowicie prowincya, gdzie na świętach Sedanu powiewają polskie chorągwie, gdzie przestrzeganie praw języka polskiego w stosunkach handlowych i towarzyskich jest deklamacyą pustą, a krzywdy niemieckie wędrują do polskiej kieszeni, przyjmowane obojętnie lub nawet pokornie. Nie przeceniamy bynajmniej odpornej siły samego Poznania — twierdzimy przeciwnie, że źle jest w stolicy, mimo bezustannego grania kilkunastu armat dziennikarskich i rozlicznych źródeł ożywczych narodowego ruchu, — gorzej jednak na prowincyi, gdzie krzewicieli ducha jest mało i mało apelów wojennych. Nie dość stroić pisma nasze dewizą: „Uczmy dzieci po polsku“, — dziś inny okrzyk jako hasło reformy rozbrzmiewać winien po kraju: „Uczmy rodziców po polsku“. Słowo to błyszczy barwą paradoksu, lecz mówi ono: że starsza generacya nadto potulnie przyjmuje banicyę narodowego języka we wszystkich dziedzinach życia społecznego, że nawet tam, gdzie poszanowanie dla mowy polskiej dyktować obcym żywiołom mogłaby skutecznie, obowiązek swój spełnia niedbale, — i w tem znaczeniu paradoks staje się prawdą bolesną. My nie zalecamy bynajmniej powtarzanej tylekrotnie maksymy „Kupujcie tylko u swoich“, bo w naszych warunkach uważamy ją za błędną w kierunku ekonomicznym zasadę, lecz: „Kupujcie tylko tam, gdzie język wasz znają i szanują“ — oto prawidło, które społeczeństwo w stosunkach handlowych na każdym kroku stosować powinno. Ktokolwiek mowę polską wypędza, ten wypędza zarazem Polaków, — to stać się musi dogmatem publiczności naszej i energicznem „Memento“ dla niemieckich kupców i przemysłowców. Usunięto programy polskie z ogrodu zoologicznego w Poznaniu, — więc ogród ten dla Polaków istnieć przestaje; zakazano wojskowym kapelom grać melodyi polskich, więc muzykanci armii pruskiej nie przestąpią już progów naszych. Ząb za ząb, bojkot za bojkot, to wojenne prawo, a kto się wyłamie ten narodowy dezerter.

Nie zapoznajemy bynajmniej trudności, z któremi program taki jest połączony, lecz potrzeba jest matką wynalazku, ucisk potęguje energię, głód rozwija przedsiębiorczość. Skoro nam odcięto dotychczasowe źródła życia, społeczeństwo, nie dziś to jutro, stworzy sobie nowe; obok kapel wojskowych staną kapele prywatne, — obok niemieckich ogrodów skromniejsze może, lecz za to swojskie, miejsca zgromadzeń i zabaw. To tylko jedna chwila postu narodowego i ambarasu, na którą społeczeństwo zgodzić się musi, a im wszechstronniejszą i solidarniejszą będzie ta zgoda, tem silniejsze par-

cie ku zażegnaniu kłopotów, prędsza budowa dróg nowych i większe szanse powodzenia i rozwoju produktów samopomocy narodowej. Czas już największy, aby raz wreszcie zerwać z tą rozsypką bezładną, która paraliżuje każdy nasz odwet. Coś z wygód naszych i przyjemności poświęcić trzeba, a kto dla nizkiego egoizmu i zimnej obojętności nie złoży drobnej ofiary, ten paść powinien pod obuchem opinii publicznej. Niemiłosierne, surowe, brutalne nawet prawo wojenne rządzić musi społeczeństwem, bo gdy wróg się wspina na mury, każdy Polak staje się żołnierzem.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Odprawa. Przed niedawnym czasem wystąpił „Kuryer Poznański“ z polemicznym artykułem przeciw rozwojowi prowincyonalnej prasy polskiej, zarzucając jej „brak myśli przewodniej“, „wstrętną reklamę“, „wybujały indywidualizm“, „obniżanie poziomu moralności“ itp. Na artykuł ten odpowiedziała „Gazeta Torunska“ (Nr. 71) w słowach następujących:

„Naszem zdaniem prawda znajduje się pośrodku. Godzimy się najzupełniej z „Kuryerem Pozn.“, że siły dziennikarskie są u nas zbyt rozstrzelone i wskutek tego redakcye, zmuszone młócić materyał informacyjny, którego czytelnik przedewszystkiem żąda, mało mają czasu na pisanie poważniejszych artykułów. „Gazeta Toruńska“ zamieściła już we wrześniu roku zaprzeszłego kilka korespondencyi, których autor, znawca stosunków prasowych ostrzegał przed projektami wydawniczemi. Wtenczas odbijały się o uszy nasze uwagi, że im więcej gazet, tem lepiej dla społeczeństwa, jak gdyby społeczeństwu z tego jaka korzyść urosła, że np. wiadomość o pożarze w Chełmży, zamiast trzech lub czterech, sześciu redaktorów pisać, sześciu zecerów składać, sześciu maszynistów pod prasę oddawać będzie. I my jesteśmy zdania, że mniejsze pisma zaboru pruskiego cierpią na anemię dla tego, że mamy pism za wiele, ale idziemy jeszcze dalej, niż „Kuruer Pozn.“ Naszem zdaniem zaczernianie dwu tak wielkich kawałów papieru, jak „Dziennik“ i „Kuryer Pozn.“, to dla zaboru pruskiego zbyt kosztowna zabawka w obec faktu, że program polityczny obydwu tych pism nie różni się prawie wcale. Dwukrotne tłomaczenie i składanie jednobrzmiących komunikatów różnych władz, mów poselskich, referatów itp., to niepotrzebne marnowanie czasu. Sił dziennikarskich w obydwu redakcyach zasiada właśnie tyle, że mogłyby one bez nadwerężenia sił i wyjałowienia własnego umysłu wypełnić jedno dobre pismo, a prenumeratorowie „Dziennika“ i „Kuryera“ razem to także jeszcze zastęp dla jednego pisma niezbyt wielki. Ustąpić z widowni powinienby „Kuryer“, jako młodszy i mniej czytany a podtrzymywany z wielkim wysiłkiem.

Wytyka „Kuryer Pozn.“ pismom pomniejszym brak myśli przewodniej, ale niesłusznie, bo wszystkie nasze mniejsze pisma obrały sobie za cel podnoszenie ludu pod względem moralnym i materyalnym, w tym kierunku wpływają na lud a na swym sztandarze wypisały słowa: „Dobro Kościoła i narodu“. Jeżeli to „Kuryerowi“ nie wystarcza, to nietylko Staszyc, Marcinkowski itp. mężowie, lecz nawet Kościuszko nie znajdzie łaski w oczach jego, bo i oni mieli na oku tylko dobro ogółu.

Zarzut, że pisma ludowe do samodzielnego myślenia nie pobudzają, wygląda po prostu na kpiny w obec uwagi, iż niektórzy redaktorowie grzeszą zbytnim indywidualizmem. Jakto, więc człowiek nie myślący samodzielnie lecz spisujący tylko to, co mu inni szepcą do ucha, ma lud prowadzić do samodzielnego myślenia? To chyba nie możliwe.

Amerykańskiej reklamy nie pochwalamy. Potępiamy także kupczenie świętościami w interesie wydawnictwa, ale jeżeli świętości nadużywa się do zwalczania jednych pism, dla czego wydawcy drugich nie mieliby wpaść na pomysł, że te świętości mogą przymnożyć im zysków. Trzeba raz zerwać z nadużywaniem religii do celów świeckich, a żaden wydawca nie ośmieli się do cyrkularzy inseratowych załączać świstków z błogosławieństwem papieskiem.

Że pisma starają się o abonentów, że z sobą współzawodniczą, nie jest to rzecz zdrożna, byle współzawodnictwo nie przekraczało granic dozwolonych. Ale któż produkcyę „billig und schlecht“ czyli nieuczciwą konkurencyą wprowadził do dziennikarstwa? Ci, którzy nie posiadając tygodnika religijno-powieściowego dla ludu, stworzyli codzienne pismo polityczne za markę kwartalnie. Przez to nietylko jednym zamachem obniżono cenę a w następstwie wartość pracy ludowo-dziennikarskiej, lecz podkopano też, rzecz to stwierdzona, byt naszych najstarszych i najzasłużeńszych pism ludowych.

Założenie pierwszego markowego dziennika było objawem nienaturalnym, nie zaspokajało potrzeb ludu, tylko stworzyła je partya, nie dla ludu, lecz dla wyrwania ludu z pod wpływu pomniejszych a niezależnych pism codziennych i niecodziennych. W tym celu rozwinięto za noworodkiem szaloną agitacyę, dla której nadużywano i niejednokrotnie dziś się nadużywa wszelkich powag i świętości.

Że pisma samodzielne dokładają starań, aby się utrzymać, to rzecz chwalebna; że nowe pisma, które zmuszone są stosować się do wytworzonych sztucznie cen produktów dziennikarskich, niekiedy w agitacyi w reklamach naśladują protektorów organów markowych, należy ubolewać, ale dziwić się trudno, bo i wydawcy gazet są ludźmi, którzy pragną uniknąć strat tak samo, jak akcyonaryusze „Kuryera.“

Jeżeli dzieje się to niekiedy kosztem moralności publicznej, winni są przedewszystkiem ci wpływowi ludzie, którzy, zamiast publicznie lub prywatnie przemawiać do rozsądku i sumienia redaktora, tłomaczą wydawcom, że poniosą straty, jeżeli pismo nie zastosuje się do pewnych wskazówek i życzeń, a w razie oporu starają się, żeby się przepowiednia ziściła. Jest to niebezpieczne zawsze, lecz najniebezpieczniejsze tam, gdzie redaktor jest zarazem wydawcą.

W stosunkach, jakie się wytworzyły pod zaborem pruskim, człowiekowi szczeremu i otwartemu, pragnącemu mówić prawdę każdemu, trudno być redaktorem. Najlepiej nadaje się do tego osobnik wykolejony, rozbitek moralny bez stałych przekonań i bez poczucia własnej godności. Jeżeli stosunki się nie zmienią, to tylko tacy ludzie oddawać się będą dziennikarstwu. Z powołania i zamiłowania, które prowadzi ludzi do innych zawodów, człowiek uczciwy zawodowi dziennikarskiemu niełatwo się poświęci.

Aby do tego nie dopuścić, powinno społeczeństwo nietylko jednostki nie posiadające odpowiednich kwalifikacyi moralnych z redakcyi i z życia publicznego wykluczyć, lecz przedewszystkiem tych, któ-

K. ROJAN.

W ŚWIAT.

(Ciąg dalszy).

Całe zgromadzenie wybucha śmiechem. Klepka zatacza się w krześle. Atoli Szołomiejski, któremu ta uwaga popsuła cały efekt bajki, zgrzyta zębami i woła:

— Nie przeszkadzajże pan do stu djabłów, bo przestanę mówić.

— Oto by było wielkie nieszczęście!

Borajski przywołuje zgromadzenie do porządku i jeszcze raz prosi Ranieckiego o spokój, poczem Szołomiejski ciągnie dalej:

— A gdy się to stało, wówczas mądry ojciec rzecze do nich: „Próbujcie złamać te pręty.“ Próbowali wszyscy i każdy z nich z łatwością swój złamał.

Raniecki:

— Phi, wielka sztuka!

Szołomiejski, nie wychodząc z tonu:

— Tymczasem wydobywa mądry ojciec z za łóżka inne trzy pręty takiej samej grubości, ale już związane razem, i każe synom próbować po kolei, czy złamią. Próbowali, dobywali wszystkich sił, ale żaden prętów złamać nie mógł, a nie mógł dla tego, bo były związane. Otóż moi panowie, z nami jest tak samo. Jeżeli zwiążemy nasze siły w jedną całość, jak to nam nakazuje nasz ojciec, który się zwie obowiązkiem obywatelskim, to będziemy silni, a żadna moc skruszyć nas nie zdoła. I zobaczycie panowie, że kiedyś, gdy już kasa nasza żyć będzie i rozwinie się ładnie, to przyjdzie taki dzień, że nietylko będziemy mieli wielką wygodę z kredytem i sporo kapitału obrotowego, ale także, jak tego przykład na wielu innych towarzystwach — zakupimy sobie własną kamieniczkę i...

Raniecki podchwytując:

— Aha, i co jeszcze: cielę, prosiaka i kurę czubatą?

Szołomiejski jowialnie:

— I to być może, jeżeli pan Raniecki podejmie się pielęgnować pomienione zwierzęta domowe.

Klepka:

— Ha, ha, ha!

Borajski zaprowadza spokój.

Szołomiejski wyśmiawszy się, ciągnie dalej:

— Po tym wstępie, moi panowie, odczytam wam paragrafy statutu, ułożonego wspólnie z panem Borajskim, Szelągiem Wywrotem.

Raniecki:

— A mnie tam nie było?... ha?

Szołomiejski:

— Pan nic nie układałeś, przeciwnie, przeszkadzałeś tylko.

Raniecki:

Ej!

Po tej krótkiej sprzeczce poczyna Szołomiejski czytać:

„Paragraf pierwszy: Cel i zadanie przemysłowo-rękodzielniczego towarzystwa pożyczkowego z ograniczoną poręką.

— Co?... znowu: „cel i zadanie?...“ Panie prezesie, proszę o głos! I on śmie jeszcze mówić, że ja nie układałem statutów? a... a na czyj wniosek wyrzucono „cel“, czy też „zadanie“, już nie wiem, który z nich, ale wiem, że wyrzucono, ha? panie Borajski, proszę o głos! Ja mu tu zaraz powiem. Proszę o głos.

— Zaraz. Jak tylko pan Szołomiejski skończy mówić.

— Ale ja chcę natychmiast. On i do sądnego dnia nie skończy. Ja tak długo czekać nie mogę, głodny jestem.

Szołomiejski unosi się:

— Przepraszam!

Raniecki:

— Ja chciałem tylko powiedzieć...

— Przepraszam!

— Że pan Szołomiejski...

— Przepraszam!

— Że pan Szołomiejski przekręca nasze uchwały...

— Ależ przepraszam!

— Za co pan przepraszasz do kaduka czerwonego?... za co?

Szołomiejski uderza ze wściekłością pięściami o stół.

— Przepraszam!

rzy groszem, groźbami lub nieżyczliwą agitacyą i bojkotem wywierają na redaktorów nacisk, piętnować publiczną pogardą tak samo, jak się piętnuje przekupstwo lub wymuszanie w innych stosunkach. W przeciwnym razie prasa coraz więcej podupadać będzie i zatruje całe społeczeństwo nasze.“

* * *

Polityka ugodowa w zaborze pruskim. W Nr. 6 „Przeglądu Wszechpolskiego“ znajdujemy następujące uwagi o manowcach polityki naszej:

„Rząd pruski nie myśli i nie potrzebuje zmieniać wypróbowanej polityki swojej względem Polaków. Stronnictwo, które oświadcza, że nawet pomimo prześladowań rządu nie stanie w opozycyi zasadniczej, nie doczeka się, żeby najskromniejsze bodaj żądania jego zostały spełnione. Nigdy władza państwowa nie robi dobrowolnie ustępstw, bo nawet wtedy, kiedy z własnej inicyatywy je przyznaje uprzedza tylko przewidzianą z góry konieczność. Posłowie polscy w Berlinie, którzy tak lubią przykłady i cytaty historyczne, nie znajdą w dziejach świata ani jednego przykładu, któryby ich taktykę potwierdzał, nie wskażą ani jednego rządu, któryby niezmuszony do tego rozszerzał prawa narodu, a zwłaszcza ludności obcoplemiennej.

Taktyka, polegająca na zmniejszaniu swych sił, na sprowadzaniu do minimum swych żądań, musi mieć w polityce skutki najfatalniejsze. Niemców, którzy już wskutek znacznej przewagi siły czują się zupełnie pewnymi na swem stanowisku dotychczasowem, uspakaja ostatecznie, a rządowi, gdyby nawet do pewnych ustępstw był skłonnym, odejmuje jedyne usprawiedliwienie w obec opinii, jak wiadomo, wrogo dla Polaków usposobionej — konieczność zmiany istniejącego stanu rzeczy. Uprawnieni przedstawiciele społeczeństwa polskiego zapewniają przecie sami, że do opozycyi bezwzględnej skłonić się nie dadzą, że pozostaną wierni państwu, które ich gnębi, wreszcie wykazują, że są słabi i nie mogą być dla Niemiec niebezpiecznymi.

Ale gorzej jeszcze oddziaływa owa taktyka na społeczeństwo polskie, pozbawia je bowiem wiary we własne siły, która jest najpotężniejszą dźwignią odporności narodowej. Nie dosyć tego — bałamuci taka polityka bowiem szerokie warstwy ludności gadaniną sentymentalną i uzasadnieniem fałszywem dążeń przyrodzonych, które nie potrzebują żadnych rękojmi prawnych, bo opierają się po prostu na fakcie istnienia odrębnej narodowości polskiej. Ten fakt, czyli to „zrządzenie opatrzności“, jak powiada p. Motty, jest zupełnie wystarczającym i gdyby uznano go za właściwą podstawę polityki narodowej, musiałaby ona przybrać inne kształty, innych używać środków.

Rękojmie traktatowe, przyrzeczenia monarsze, które w najlepszym razie mają wartość tylko chwilową, i ustawy prawne niczem są w obec świadomej woli narodu, chcącego zachować swoją odrębność i zdecydowanego bronić jej wszelkiemi sposobami. Gdyby posłowie polscy w Berlinie przestali mamić siebie i ludność, którą przedstawiają, zwodnemi nadziejami, zerwaliby z niedołężną i śmieszną nieraz rutyną, pozbyliby się krępującej ich lękliwosci i daliby inną odpowiedź p. Bossemu.

Tak, (powiedzieć powinni), żywioł polski pomimo prześladowań i strat wielu, nie słabnie wcale i nawet rozwija się powoli. Wy, fakty, świadczące o tym rozwoju nazywacie zaczepnością, ale w naszem rozumieniu są one tylko odzyskiwaniem tego, cośmy poprzednio utracili. W porównaniu z waszą potęgą jesteśmy słabi, ale dosyć silni na to, żeby wam nieraz zaszkodzić lub przynajmniej utrudniać waszą działalność państwową.

Nie byłoby to wcale przechwałką, bo bezwzględna opozycya Polaków w ciałach parlamentarnych sprawiłaby nieraz rządowi dużo kłopotu. Obawa zaś, że mogłaby ściągnąć na społeczeństwo polskie, nowe, silniejsze od stosowanych dotychczas prześladowania, wydaje się nam płonną. Zresztą w państwie konstytucyjnem jest zawsze pewna miara ucisku, której rząd przekroczyć nie może i pewna możność obrony.

Musimy tu zastrzedz, że opozycya bezwzględna nie oznacza wcale zejścia z drogi legalnej i nie jest wtedy nawet równoznaczną z działalnością rewolucyjną, kiedy posuwa się do ostatnich krańców, zasadniczą ustawą państwową zakreślonych. Nie można się też łudzić, że miałaby ona bezpośredni skutek dodatni, że zniewoliłaby rząd do jakichkolwiek ustępstw. Przez długi czas stan rzeczy nie zmieniłby się prawdopodobnie wcale. Lecz nadanie naszemu życiu politycznemu w zaborze pruskim charakteru wybitnie opozycyjnego pod innym względem byłoby bardzo pożądanem, uczyniłoby bowiem zbytecznym ten aparat polityczny, który dzisiaj tyle sił pochłania i zwróciłoby uwagę ogółu na pracę wewnętrzną, dziś tak zaniedbaną. Formalizm w pojmowaniu i traktowaniu spraw politycznych obezwładnił zdolność do czynu w społeczeństwie polskiem. Zarumienićby się powinni ze wstydu posłowie poznańscy, kiedy im p. Bosse w odpowiedzi swej wykazał, że w obwodzie regencyi bydgoskiej na naukę języka polskiego uczęszcza $1/3$, najwyżej $1/2$ dzieci polskich w wielu szkolnym, a w 16 szkołach w Księstwie nauka ta wcale się nie odbywa, bo nie żądają jej rodzice. W obec tego minister mógł istotnie powiedzieć, że Polakom więcej chodzi o agitacyę, aniżeli o obronę praw swoich.

Taka polityka opozycyjna o jakiej mówimy, nie ma nic wspólnego z dzisiejszą taktyką za żądania protestów i rozwodzenia skarg. Protesty używane być mogą, ale tylko jako środek agitacyjny, skargi zaś mają w sobie coś upakarzającego godność narodu. Hasło: biada słabym! jest oznaką barbarzyństwa, ale nawet na najwyższym szczeblu cywilizacyi wstyd być słabym, a tymbardziej wstyd podawać się za słabego temu, kto czuje, że ma siły dosyć. Trzeba tylko siły drzemiące do życia budzić, ożywione skupiać, organizować, rozwijać. Gdyby połowę tej energii, zmarnowanej w protestacyach niedołężnych, w czynnościach formalnych, zwrócono we właściwym kierunku, do działalności politycznej i społecznej, mającej na widoku zadania realne, do podniesienia poziomu kultury, rozbudzenia życia umysłowego we wszystkich warstwach ludności — rząd i społeczeństwo niemieckie musiałyby się poważnie liczyć z nami, a Ślązacy i Mazurzy nie wypieraliby się już dziś swej polskości.

W Niemczech znaleźć można przykład, stwierdzający nasze zdanie. Stronnictwo socyalno-demokratyczne chociaż jest zasadniczo - opozycyjnem i przez rząd systematycznie prześladowanem, we wszystkich dziedzinach życia rozwija niezwykle czynną działalność i z każdym rokiem wzmaga się na siłach. Polskie stronnictwo narodowe mogłoby również wzrastać i na Śląsku, na Warmii i na Mazurach, a nawet w Prusiech Zachodnich i w Poznańskiem zdobywać nowe posterunki i zdobycze swoje utrwalać. Bilans lat ostatnich dowodzi, że jesteśmy pomimo strat ogromnych w okresie wzrostu sił narodowych i społecznych, mamy nawet świadomość tego, ale nie przeszła ona jeszcze w uczucie, w wolę, w przekonanie i nie zdążyła oddziałać na rutynę polityczną, wyrobioną w zupełnie innych okolicznościach i warunkach. Trzyma się ta rutyna bezwładnością swoją i tradycyą, jak również instynktowną ostrożnością społeczeństwa, przyzwyczajonego do unikania wszelkich zmian radykalnych. Ale dni jej panowania skończyć się muszą niezadługo.“

— Proszę, proszę... My się wcale nie gniewamy. Nie wiedzieć, za co pan przepraszasz?... i to aż pięć razy — Klepka, prawda, że powiedział aż pięć razy „przepraszam“. Karbuj kozikiem na lasce ile tego jeszcze będzie.

Szołomiejski traci wreszcie cierpliwość zbiega sążnistymi krokami z podniesienia ku Ranieckiemu i woła ochrypłym głosem, śmiejąc ze złości:

— Pan jesteś idyota, waryat, półgłówek!

Teraz jednak obraził się i Raniecki. Zaperzył jak młody kogut i podskakując zawołał:

— Coś pan powiedział, co? Ja waryat, ja półgłówek?

— Tak jest powiedziałem, powiedziałem, i jeszcze raz powiadam!

— No, to czekaj, zaraz ja ci powiem!

Podskoczył ku mądremu sąsiadowi i zdarł mu okulary z nosa.

— Oto masz waryata, półgłówka!

Przerażony i oburzony Szołomiejski wyciąga ręce naprzód i porywa bezwiednie napastnika za włosy — ten zaś nie tracąc czasu poczyna go boksować obu pięściami w brzuch. Naraz w sali radnej powstaje ogromne zamieszanie. Sąsiedzi dzielą się na dwa obozy, tłoczą się jedni do Ranieckiego, drudzy do Szołomiejskiego, rozdzielają ich, krzyczą, proszą, tłómaczą, uspokajają, wrzeszczą... słowem, czynią taki piekielny zamęt, że tylko jeden Klepka rozpatrzeć się w nim może.

On też rozpatrzył się istotnie. Nie mogąc ze śmiechu ustać na nogach, siadł zdala od placu boju na podyum, wzniósł ręce do góry i trzęsąc rozczepionemi palcami spazmatycznie, huczy w niebogłosy:

— Hu, hu, hu... ha, ha, ha.. huuuu!

Wśród tego Borajski dzwoni wciąż rozpaczliwie i woła bez ustanku:

— Panowie! zgromadzenie dzisiejsze rozwięzuję... panowie!

Atoli słowa jego jeszcze chwilę przebrzmiewają bez skutku. Aż wreszcie szanowne zgromadzenie rozwiązało się samo, gdy przeważne siły sąsiedzkie rozdzieliły zapaśników i wyciągnęły jednego na kurytarz, a drugiego do kancelari pana burmistrza.

W parę chwil potem partya Ranieckiego podążała w najlepszym humorze do Bronarza celem pokrzepienia sił wyczerpanych.

— A co! — wołał bohater dnia, wysuwając się naprzód — stłukłem mu raz przecie te przeklęte okulary. Nim nowe kupi, będzie tydzień siedział i przemyśliwał nad towarzystwem, bo bez okularów biedaczysko czytać gazet nie potrafi, a takich drugich okiennic jak te, nie kupi w całem mieście.

W tym samym czasie przyjaciele Szołomiejskiego odprowadzali go na „nowe miasto.“ A że biedny filozof dla braku okularów nic prawie nie widział, więc go dwaj sąsiedzi wiedli pod ręce. Mimo to Szołomiejski, podobnie jak Raniecki, nie stracił humoru:

— Ale mu dałem! — rezonował flegmatycznie, śmiejąc się basem — jeszcze mam garść włosow między palcami. Popamięta on długo, jak to z Szołomiejskim drzeć koty, ha!

IV.

— Otóż koło szczęścia skończę i pojadę sobie. Koło szczęścia muszę skończyć, bo inaczej nie wypada. Gdybym pojechał naprzykład dziś jeszcze, powiedzieliby, że Smolarz niesłowny człowiek: podjął się roboty, nie zrobił, pojechał sobie, uciekł. Gotowi jeszcze powiedzieć, że Smolarz nie umie zrobić koła, a to nie prawda. Nie, nie, najpierw „koło szczęścia“ dokończę a potem pojadę.

A przecież, jakie to dziwne to koło szczęścia. W tym oto bębnie będą losy. Kółko się puści w ruch. Ono zacznie się obracać, obracać, długo obracać, bo będzie nasmarowane oliwą, aż w końcu stanie. Potem przyjdzie głuchoniema sierota, wsadzi ot, tędy, przez otwór rękę, wyciągnie jedną szpulkę ot, tak... a w tej szpulce jest los, co wygrywa. I któż to wygra ten los? Ha, dajmy na to, że wygra jakiś biedak. I cieszy się zaraz, cieszy... ludzie mu zazdroszczą, ściskają go, cisną się, pochlebiają. A on puszy się i głupieje, rozrzuca pieniądze garścią i myśli, że wielki pan. I czy to jest szczęście? hm. Ot naprzykład, gdy-

O Stańczykach.

(Wyjątek z 2-go tomu dzieła K. Bartoszewicza o „Rzeczy“ p. Koźmiana).

II.

(Galicya w r. 1867 wchodzi stanowczo na drogę kompromisową. Przyszli Stańczycy występują jako opozycyoniści).

Dobrze robi pan Koźmian (dla siebie) że książkę swoją wydaje w tłomaczeniu niemieckiem.

Niemcy mu uwierzą, (bo rzeczy badać nie będą), że tak zwani Stańczycy wstrzymali naród od nowego powstania, od nowych spisków, że ich szkoła przekształciła całe usposobienie narodowe, że ona wynalazła lojalność względem władzy, że „na jej podstawie powstało stronnictwo polityczne, które nietylko na zakrój umysłów i pojęcia całego narodu znaczny wraz ze szkołą wywarło wpływ“, ale także w części Polski austryackiej „wytworzyło żywotne znaczne warunki bytu narodowego,“ że w ogóle „nauka szkoły stańczykowskiej stała się podstawą, a szkoła w pewnej mierze wykonawczynią nowego systemu w Galicyi.“

Niemiec w to wszystko uwierzy, uwierzą także przyjaciele polityczni p. Koźmiana, bo w wierze tej znajdą dla siebie przyjemność, jaką jest przeświadczenie o własnej wielkości i zasłudze, uwierzą wreszcie ci, co studya swoje nad rozwojem politycznym i narodowym Galicyi ograniczą na przeczytaniu ostatniego rozdziału książki p. Koźmiana. Ale ktokolwiekbądź zechce choćby pobieżnie zapoznać się z historyą Galicyi w ostatnich latach trzydziestu, ten roześmieje się serdecznie ze wszystkich twierdzeń p. Koźmiana i przekona się tylko, do jakich potwornych rozmiarów urość może samochwalstwo, zaufane w tem, że ma na swoje rozkazy kilka pism i kilkunastu literatów i dziennikarzy, z których jedni dla interesu stronnictwa, a drudzy dla przypodobania się stronnictwu, gotowi najoczywistsze bajki za prawdę uznawać oraz ogłaszać.

Możnaby pominąć sprawę przeszkodzenia ze strony Stańczyków wybuchowi nowego powstania i zawiązywania nowych spisków, bo i to jasne, że okoliczności, w jakich znaleźliśmy się po r. 1863, własną swą siłą udaremniały podobne eksperymenty. Może była gdzieś jakaś garstka[1]), której się śniła nieprzerwalność powstania, może tu i owdzie ludzie młodzi i niedoświadczeni zawiązywali jakieś osobne organizacye spiskowe, ale były to wszystko dziecińnstwa, których nikt nie brał na seryo i które nie miały po prostu możności sprowadzić wybuchu. Kto nam zaręczy i dziś, że w jakiejś zapalonej głowie nie świta myśl porwania się do broni. Możemy jednak patrzeć na to spokojnie, bo ogół po ciężkich przejściach odstąpił od programu orężnej i spiskowej walki i żadna siła wprowadzić na tę drogę go nie mogła i nie może. Stało się to samo przez się, bez niczyjej inicyatywy — stało się, bo stać się musiało, bo najczerwieńsi zrozumieli, że ta broń na dzisiejsze czasy i na dzisiejsze stosunki jest bezużyteczną[2]) Gdyby zaś ogół był innego zdania, to śmiesznem byłoby przypuszczać, aby czterech ludzi spacerujących po bruku krakowskim i do tego ludzi przed laty trzydziestu będacych bez znaczenia, wpływu i stanowisk, mogło ten ogół odwieść od powziętej myśli za pomocą miesięcznika, rozchodzącego się w stu kilkudziesięciu egzemplarzach. W r. 1863 było tysiące takich, co uważały powstanie za rzecz zgubną, a jednak mu nie przeszkodzili, bo byli za słabi. Cóż to więc byłby za spisek, jakaż to byłaby organizacya, którą czterech ludzi bez znaczenia, wpływu i władzy mogłoby unicestwić. Wolne żarty, łaskawi panowie!

Nie! o spisku, o powstaniu nikt na seryo nie myślał. Już w r. 1865 (jak stwierdza w Przeglądzie Polskim Ziemiałkowski) zaczęliśmy się garnąć ku Koronie, kraj monarsze dawał niewymuszone dowody szczerej lojalności, i inni ludzie, nie stańczycy, stanęli na czele tego zwrotu. Teka wyszła dopiero w trzy lata po fakcie dokonanym. Ona tylko formą swoją narobiła sporo hałasu i zamętu, rozdrażniła całe społeczeństwo, które już szło naprzód na drodze spokojnej pracy. Nie budowała niczego, a tylko wywołała wstrętną walkę w społeczeństwie. Nawet Paweł Popiel zarzucał, że „odzywała się w niej struna ironii, która raziła. Nie była chwila po temu. Cel może był dobry; u mnie cel nigdy nie usprawiedliwia środków.“ (Pisma, II 362. „Teka, mówił Popiel, uderzyła w stronnictwo, które do niedawna politycznie trzęsło krajem, (a więc uderzyła w to, co już nie istniało, chyba dla niskiej przyjemności kopania umarłego) a uderzyła z bezwzględnością pogardy, a gorliwością nowonawróconych.“ Biliński, (dzisiejszy minister) zarzucał Tece „niesprawiedliwie i stronniczo nacechowane postacie“; Optymowicza nazywał ohydnym. „Zdrowa opinia“ (pisał Biliński) nie mogła bez zgrozy przyjąć szydzenia z organizacyi i pośrednio ze krwi przelanej... denuncyowania inicyatorów demonstracyi jako złodziejów... musiała potępić sposób traktowania przez Tekę dziejów porozbiorowych[3]).“ W nas, którzy możemy już na nią spoglądać spokojnie, budzi ona jeszcze bądź co bądź przykre wrażenie — bez względu w jakim celu i w jakim kierunku została napisaną. Dość powiedzieć, że w pięć lat po upadku powstania, kiedy jeszcze łzy i rany nie zaschły, odważono się, mówiąc o sprawach publicznych połączonych pewną nicią z niedawną przeszłością, oraz o pewnych objawach patryotyzmu (może niewłaściwych, ale szczerych), wydobyć z arsenału polemicznego drwiny, szykany i humor. Tego rodzaju humor nie uchodzi. Wstrętnym jest dla mnie nawet Koroniarz w Galicyi Lama, bo wyobrazić sobie nie mogę, jak proste uczucie ludzkie pozwolić sobie może na drwiny, na satyrę, potrącając o wypadki tak okro-

[1]) Nawet Teka Stańczyyka mówi „o garstce“, jak to później zobaczymy.

[2]) „Wszakże r. 1863 i jego następstwa sprawiły powszechny przełom w poglądach całego narodu“ pisze biograf Ziemiałkowskiego, usprawiedliwiając go, że już w r. 1865 wstąpił na drogę polityki kompromisowej. „Czyżby sam jeden (dodaje) miał uporczywie pozostawać w katakombach?“ Minister Fl. Ziemiałkowski, Kraków 1883 str, 8. — Przytoczę wkróce stwierdzający to samo artykuł p. Tarnowskiego i wyjątek z Teki Stańczyka.

[3] Biliński. Znamiona polityki narodowej t. zw. Stańczyków. Lwów 1883,

---

bym ja tak miał los, i gdyby naprzykład właśnie ten los wygrał. No, to co ja wtedy na to?... hm. Albo ja wiem. A panna Lola... co na to? Przypuśćmy, że ona wychodzi za mnie. Wychodzi za mnie i jest moją żoną. A choć ona jest moją żoną, to przecież moją nie jest, bo wciąż jeszcze kocha Dynieckiego. I coby z tego było? O, z tego byłoby wielkie nieszczęście. Bo ja wtedy mam inne prawo do niej niż dzisiaj. Wtedy, co jest pod ręką: młot nie młot, laga nie laga, nóż nie nóż... chwytam a biję! Raz tylko, a już leży pan Dyniecki na ziemi i krew z nosa mu się leje... Uh....

Smolarz zgrzyta zębami i piłuje Pilnik zgrzyta również i drze mosiądz; kruchy metal pod silnym naciskiem kruszy się i z brzękiem opada na ziemię. I w tej samej chwili Franciszek powraca do rzeczywistości, wsadza palce za ucho, skrobie się i jest zły na siebie za swą nieuwagę.

Tak to Lola, ta niedobra, a taka dawniej ukochana Lola, już mu niejedną śrubkę w kole szczęścia popsuła. Jak ten mosiądz party za silnie pilnikiem pękł i jest już do niczego, tak i on sam ma obecnie takie nieraz dumania, że mu się zdaje, iż jest już całkiem do niczego; pustka w nim i pustka przed nim. Życie, co go czeka, wydaje mu się proste jak sztaba żelazna, a bezcelowe, jak strzał w błękitne niebo skierowany, gdzie to pocisk ołowiany o nic nie zaczepi i Bóg jeden wie, na czyje pole spadnie...

V.

Lola przychodziła zwolna do sił i po tygodniu lekarz pozwolił jej wstać z łóżka.

Do pokoiku dziewcząt dochodziły często głosy Dynieckiego i Anulki. Słysząc ich rozmowę i śmiechy, Lola z upragnieniem oczekiwała chwili, w której będzie i jej wolno wyjść także do Dynieckiego. Ciekawą była co powie przy powitaniu, jak się zachowa później. Dziś był on już niemal jej narzeczonym, więc powinien być bardzo serdecznym, czułym, kochającym.

Dziś wiedzieli już wszyscy w domu, że będzie on jej mężem. Wiedziała o tem przedewszystkiem macocha i o ile wydawało się Loli, z myślą tą chcąc nie chcąc już się pogodziła.

Do szeregu serdecznych i przyjemnych uczuć, budzących się na myśl o Dynieckim, a urozmaicających Loli nieznośne więzienie w panieńskim pokoju, przyłączało się od czasu do czasu złośliwe uczucie tryumfu nad macochą. Pani Marcysia uszczypnęła ją na zabawie w „Gwieździe“; jeszcze w pięć dni później widoczny był siniec na ramieniu — takiej opieki macierzyńskiej nie zapomina się nigdy. W odwecie uszczypnąć ją moralnie, widzieć jak się mieni ze złości, tego pragnęła Lola z całej duszy.

Pani Borajska, chcąc nie chcąc musiała niekiedy zbliżyć się i usługiwać chorej.

W zachowaniu się Marcysi odczuwała Lola tajoną niechęć i nienawiść, mimo że macocha starała się być spokojną i „dobrą... Dobrą musiała być, wszak tego wymagał lekarz i ojciec, lecz co się tam w jej wnętrzu działo o tem lepiej nie mówić.

Raz, przyniósłszy potrawkę z kurczęcia, usiadła przy łóżku i rozpoczęła rozmowę, z której wynikało, że wie o postanowieniu pasierbicy, jak również wie o przyzwoleniu ojcowskiem i, że godzi się sama na to, a godzi się dla tego, gdyż wszyscy konkurenci Loli, a w ich rzędzie i Dyniecki, są jej zupełnie obojętni.

Zresztą — ciągnęła, kończąc zdanie — wszystko jedno za kogo wyjdziesz, czy za Dynieckiego, czy za Smolarza. I jeden dobry i drugi dobry. Na każdy sposób trzeba myśleć o wyprawie. Muszę pomówić o tem z ojcem, a ty rozmyśl się dobrze i powiedz mi, cobyś chciała mieć na wiano.

Gdyby inna kobieta w ten sam sposób mówiła, byłaby może Lola uwierzyła, że chodzi tu głównie o wyprawę, a nie o Dynieckiego. Ale Lola znała macochę bardzo dobrze i wiedziała, że po za tą wyprawą, poza sztuczną obojętnością, w pani Marcysi złość kipi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

pne, tak straszne, i to w kilka lat po nich. Takie drwiny, taką satyrę, taki humor jak w Koroniarzu i w Tece, należało zostawić Niemcom i Moskalom. Teka wreszcie nie stawiała żadnego programu, była, jak mówi Popiel, działaniem negatywnem. Pisząc o Szujskim (w r. 1885) tenże sam Popiel mówi wyraźnie, „że Szujskiego ze stańczykami solidaryzować nie należy; był stańczykiem, ale był czemś więcej, nie ograniczył się na działaniu negatywnem.“

A kiedy już potrąciłem o artykuł Popiela o Szujskim, Popiela, którego przecież stańczycy uważali za swego nestora, który też im nie szczędził pochwał i bardzo gorącej sympatyi, warto się przypatrzeć jak ten człowiek, który był chodzącą kroniką spraw galicyjskich i brał w nich udział wybitny, zapatruje się na powstanie polityki ugodowej, tej, którą to mieli według p. Koźmiana stworzyć Stańczycy.

Przedewszystkiem zaznacza Popiel, że „ani Wielopolski jak chce Lisicki, ani Szujski jak chcą Koźmian i Boorzyński (dziś po napisaniu Rzeczy możnaby dodać: ani Koźmian, jak chce Koźmian) nie był ojcem konserwatyzmu i polityki obecnej w Polsce.“ „Tylko ani w r. 1848, ani za bachowskich rządów, działanie wspólne, organiczne z rządem nie było podobne, choć już zdrowe, polityczne zasady były ogłoszone i bronione przez ludzi, którzy podówczas nie mogąc działać, gotowali grunt pod przyszłość.“ Ztąd też, kiedy była możność, odrazu wystąpili z adresem w r. 1860, a wypadki lat strasznych do r. 1864 ani na chwilę nie zmieniły ich poglądu i kierunku. Po wydaniu dyplomu październikowego „sejm galicyjski w r 1866 zrozumiał zadanie, a posłowie jak Adam Potocki, Jerzy Lubomirski, Paszkowski, Henryk Wodzicki, Helcel itp. w Izbie, a pisarze jak Mann, Rzewuski, Dębicki itd. w dziennikarstwie i politycznych broszurach wyrabiali tę politykę... Grono to ludzi długo tworzyło tak zwaną partyę krakowską, która przeważne w sejmie zajmowała stanowisko. O stańczykach nie było słychać, bez nich powstało urządzenie gmin i Rad państwowych, ustawy szkolne, a nawet Zarys.“ (II. 358—9).

Stańczycy wówczas, jak mówi Popiel, dopiero „wyrabiali siebie i swoje zasady.... Bobrzyński, a bardziej Stanisław Koźmian tak o stańczykach mówią, jakby od nich dopiero rozpoczął się zwrot opinii krajowej, jakby oni założyli fundamenty zdrowej polityki i wyrobili stronnictwo konserwatywne, politykę t. zw. polsko-austryacką. Tak nie jest“.

Słuchajmy dalej Pepiela. Na sejmie w r. 1866 „powstało pośród walk najważniejszych stronnictwo konserwatywne czyli krakowskie. Ten Sejm założył fundamenta ustroju politycznego i duchowego rozwoju naszego koronnego kraju. Późniejsi stańczycy nie wzięli w nim przeważnego udziału, choć już „Przegląd Polski“ od roku wychodził“.[4]) Tu Popiel wspomina o tem, jak Szujski był jeszcze na rozstajnych drogach, jak z nim polemizował, o czem wspominałem już w pierwszym tomie mojej książki (patrz strona 30 i dalej).

Kiedy Stańczycy nareszcie się ukazali, a było to dopiero w r. 1870, (Teka była, jak już wiemy, drukowana w r. 1869), „żaden człowiek zasad zdrowych, mówi Popiel, nie miał powodu ich się wyrzekać, ale nie koniecznie wchodził do tego ciasnego obozu“, stąd Popiel uważa jedynie za taktykę przeciwników politycznych, iż „polemizując z konserwatystami mieszali specyalnych stańczyków ze stronnictwem krakowskiem i w ogóle z konserwatystami“. Stańczycy bowiem dopiero „odznaczeni w publicystyce, nie tworzyli jeszcze stronnictwa, sporadycznie zasiadali i działali w sejmie jako Krakowianie“. Dopiero kiedy (w r. 1877) Ludwik Wodzicki posiadł godność marszałka, zajęli w sejmie osobne stanowisko. Skutki ich działalności w sejmie tak krótko i węzłowato ocenia Popiel: „Zwarte, wybitne, nie wiem jak to nazwać, może najlepiej bractwo, odrazu chcąc kierować, rozsadziło stronnictwo krakowskie; nie pomogło temu zawiązanie klubu Reformy, zaczęło wolno słabnąć i wpływ tracić, bo zbyt silnie i kanciasto skrystalizowane jądro nie dopuszczało kohezyi składowych części. Krakowianie, albo raczej żywioł, który reprezentowali, słabnął, przestał przewodzić, aż się rozpadł przy kwestyi gminnej. Oto skutek wewnętrzny stańczyków polityki“. Z charakterystyki zewnętrznej ich działalności, podanej przez Popiela, przytoczę później ustęp odpowiedni, a tymczasem zaznaczę, iż Biliński, którego stańczycy uważają za swego, we wspomnianej już wyżej broszurze, choć broni ich od „niesłusznego posądzenia wyparcia się idei niepodległości“, ale politykę ich uważa „co do środków z jednej strony potępienia godną, a z drugiej wadliwą“

(Ciąg dalszy nastąpi).

4) Myli się tu Popiel, bo „Przegląd“ rozpoczął wychodzić dopiero 1-go lipca 1866 r.

St. Czałut.

WSPOMNIENIA
Z LEGII ZAGRANICZNEJ.

(Ciąg dalszy.)

— Boruto, czy słyszysz? — woła gefrajter Pantanos.

— Cyt, nie tak głośno, obserwują nas — odpowiada zapytany.

— Jak tam z twoją raną, boli cię jeszcze? Myślałem doprawdy, że tym razem dosyć ci dali.

— Pali ogromnie. Lecz gdzie, u licha, jesteśmy?

— Sam nie wiem jeszcze dokładnie, jednak w krótce się dowiemy.

— Cóż z nami poczną? — pyta znów pierwszy.

— To pewna, że nas nie ozłocą; znasz przecież tę wściekłą psiarnię — odrzekł Boruta.

— Z oberzniętym nosem i uszami jak szelma albo dać się wkopać w gorący piasek, albo....

— Albo ku niewiast ich rozrywce być wrzuconym do sillosów — dokończył Boruta. Jedno tyle warte co drugie.

— Kula byłaby lepszą. Cóż? Nic nie wymyśliłeś?

— Łacniej uciekniesz z piekła samego, niż z rąk tych bestyi.

— Czy tam przy tobie jeszcze kto leży? Boruta kiwnął głową przytakująco.

— Lambert, lecz cyt! ktoś idzie.

Wszyscy troje leżeli w namiocie na macie, powiązani powrozami z alfy*). W pobliżu kilka brudnych starych niewiast arabskich siedziało z podwiniętemi pod siebie nogami na ziemi.

Boruta wyszedł w porównaniu do swych kolegów jeszcze najlepiej, uderzenie kolbą ogłuszyło go bowiem tylko, czuł jednak ból głowy okropny.

Pantanos miał przestrzelone lewe ramię, Lambert zaś odebrał cięcie starym tureckim pałaszem przez obojczyk; siła tego cięcia sparaliżowaną została znacznie grubym pasem od tornistra, który w tem miejscu przez ramię przechodził.

Około 20 Arabów nadeszło i poczęto radzić. Boruta, obznajomiony nieco z językiem arabskim, zrozumiał z ich mów tyle, że siły ich zbrojne, przez straty w ostatniej potyczce osłabione, cofnęły się w kierunku pustyni, by tam odczekać posiłków szczepu sąsiedniego. W czasie tych narad rozległy się nagle okrzyki radości, bo oto spodziewany i świeży oddział, z kilku set Arabów złożony, nadciągnął; postanowiono też natychmiast wyruszyć przeciw legionistom.

Tymczasem naszych jeńców wyprowadzono za wieś, gdzie nad krawędzią stromej góry wykute były w skale liczne doły, do zbierania wody deszczowej przeznaczone, owe „sillosy“, o których wyżej wspominaliśmy. Młodzi i starzy, mężczyźni i niewiasty towarzyszyli z ogromną wrzawą orszakowi. Do tych grobów kamiennych wrzucono żywcem Borutę z towarzyszami.

Wstręt ich ogarnął, gdy spuszczeni na dół zauważyli w koło siebie stosy poobgryzanych przez szakale kości ludzkich na dowód, iż nie pierwsi byli w tem miejscu.

Zwolna ruch na powierzchni ziemi ustawał, z czego wnosić wypadało, że Arabowie się oddalili, natomiast około tuzina bab arabskich zeszło się nad otworem lochu, przypatrując się i szydząc z jeńców.

Mijały godziny. Pantanos leżał w jednym kącie i spozierał obojętnie na kości bielące się ofiar dawniejszych, na których tu i owdzie resztki ciała jeszcze gniły. Boruta siedział po drugiej stronie, darmo rozmyślając nad planem ucieczki.

Nadeszła noc. Brzydkie niewiasty Arabów nie odchodziły i trzymały formalnie straż przy więźniach, luzując się nawzajem. Poczynało świtać. Słońce roztoczyło tarcz swą ognistą, zapaliło ziemię i po długich godzinach żaru piekielnego, znów ku zachodowi chylić się zaczęło. Więźniowie cierpieli męki piekielne.

*) Alfa, znany gatunek trawy, służący do wyścielania.

LITERATURA I SZTUKA.

Ze starego miasta.

Pan Johan.

I.

Gdzie Wisła brzeg myje piaszczysty,
Gdzie szychty się wznoszą na „Szulcu“,
Od czasu batalii pod Lipskiem
Pan Johan ma składy budulcu.

Młokosem z Saksońskiej mieściny
Wojenna porwała go fala, —
Pan Johan wędrował po świecie
Z orłami małego kaprala.

W atakach parł konia do frontu
Po karczmach parł z dziewką hołupca,
Nim kartacz potrzaskał mu rękę,
Nim z gida przemienił się w kupca.

Dziś drzewem pan Johan nad Wisłą
Handlowe prowadzi obroty, —
I przylgnął do starej Warszawy,
I przylgnął do polskiej kapoty.

II.

Wnet oczy i serce saksońskie
Warszawska zwęciła niewiasta:
Posażną Gilównę szewczankę
Pan Johan z Starego wziął Miasta.

Dozgonne z nim zawrzeć alianse
Mieszczańskie wzdragało się dziecię,
Aż Gil rzekł: „Człek dobry, choć Niemiec!
Ty głupia! spolaczysz go przecie!“

Wesele, jak Pan Bóg przykazał,
Odbyło się hucznie aż miło —
I tylko — z nadmiaru czułości —
Dwóch szewców mu ślepie podbiło.

Jak bela się urznął pan młody,
Do butel szturmując fortecy, —
Nie piły tak gidy cesarskie
Jak piją warszawskie szewiecy.

III.

Pan Johan skład z domkiem na Szulcu
Odprzedał syt targów codziennych;
Dziś w rynku trzy schludne ma izby
W domostwie „przy schodkach kamiennych“.

Do ziemi się chyli pan Johan,
Osrebrza mu głowę siwizna.
Dni dziadka rozjaśnia wnuk z wnuczką
Po synu jedynym spuścizna.

Choć lutra ma wnuka pan Johan,
Dla wnuczki on chadza do Fary.
„Bóg jeden — powiada — jest w niebie,
Bóg ludzi z serc sądzi, nie z wiary.“

Co tydzień z wnukami na cmentarz
Wędrują w odzieży od święta:
W cylindrze, w nankinach i w fraku,
Co Księstwo Warszawskie pamięta.

IV.

Od fajki i „dziejów Cesarstwa“,
Jak dawniej od tarcic i belek,
Pan Johan wyrusza co czwartek
Na piwa saskiego kufelek.

W traktjerni wesoło i gwarno
Od ciętych polemik i krytyk, —
Wśród majstrów i kupców rej wiedzie
Pan Johan wytrawny polityk.

Pan Johan i słowem i giestem
Gadaczy to chwali, to gani —
„Ja *ale* wam powiem jak było!...
Panienko! Dla całej kompanii!“

V.

Nędzarze wracają z roboty
Mrze słońce pół złote pół krwawe —
Pan Johan drajkenig ćmi z fajki
I patrzy na wnucząt zabawę.
Na wnucząt zabawę on patrzy,
A wieczór wspomnienia mu niesie
O wielkim cesarzu Francuzów,
O Ney'u, Massenie, Lannes'ie.

A kiedy tak duma pan Johan,
Za rękaw go ciągnie smarkata:
„Niech dziadzio nam piosnkę zaśpiewa,
Nim lampę zapali Agata...“

Na starca kolanach zuch Tadzio
I Zośka wdrapuje się mała —
Pan Johan im śpiewa piosenkę
O Wandzie, co Niemca nie chciała...

Or-ot.

Tęsknota za krajem
w naszej literaturze.

ODCZYT
adw. **Bernarda Chrzanowskiego**
wygłoszony w dniu 6-go marca na sali Bazarowej w Poznaniu.

(Ciąg dalszy).

I oto najpierw na czele wszystkich tęskniących i z tęsknoty tworzących staje sam Adam Mickiewicz. Możemy pominąć czas przedemigracyjny n. p. taki sonet „Na stepach Akermanu“, kiedy Mickiewicz charakteryzuje ciszę stepu tak głęboką, że „słyszałby głos z Litwy....“ możemy pominąć wszystko, mając przed sobą „Pana Tadeusza“. Powstał on pod wpływem marzeń o kraju i rozmów z przyjaciółmi.

„O czem tu dumać na paryzkim bruku?“

— skarzy się Mickiewicz w wierszu, poprzedzającym poemat:

„Jedyne szczęście, kto w szarej godzinie
Z kilku przyjaciół siadłszy przy kominie
. . . .
Drzwi od Europy zamykał hałasów,
Wyrwał się myślą do szczęśliwszych czasów
I dumał, marzył o swojej krainie“.

W liście do Odyńca z dnia 23 maja 1833 pisze:

„Żyje tedy w Litwie, w lasach, karczmach, ze szlachtą, żydami. Rzadko gdzie wychodzę, ciągle chodzimy i gawędzimy z Witwickim, ...czasem z Zaleskim. Gdyby nie poema, uciekłbym z Paryża.“

A w wstępnych słowach „Pana Tadeusza“ mówi:

Litwo Ojczyzno moja . . . .
. . . . Dziś piękność twą w całej ozdobie
Widzę i opisuję, *bo tęsknię po tobie.*

Bezwątpienia, gdyby nie było emigracyi i tej łagodzonej towarzystwem przyjaciół tęsknoty, nie mielibyśmy „Pana Tadeusza“. Tęsknota, choć ukryta za poematem i niewidzialna, przejawia się w każdym wierszu, w całej tego poematu piękności. Zdaje mi się, że w kraju, na Litwie napisany ten poemat, jeżeliby wogóle mógł tam powstać, nie byłby odziany w ten dziwny urok, jaki w nim widzimy.

Tego największego z naszych pieśniarzy, chociaż się skarzy razem z Morlachem, który poszedł do Wenecyi, że w tem obcem mieście

.....czuje w chlebie powszednim truciznę,
w powietrzu darmo szuka odetchnienia.

że jest

.....jak mrówka wychowana w lesie,
Gdy ją na środek stawu wiatr zaniesie,

nostalgia mimo to nie roztkwiliła, ale natchnęła do wyśpiewania spokojnej, olbrzymiej, najpiękniejszej o straconym kraju pieśni.

To samo stało się z Juliuszem Słowackim. Cały on stęskniony za rodzinnym krajem, wspomina go wszędzie. Nie ma bodaj listu do matki, w którymby ten smutek się nie odezwał. Szereg cały strof w Beniowskim potrąca o okolice, gdzie Ikwa płynie. Z myśli i uczuć, że te „lotne w po-

---

— Wody, wody, królestwo za łyk wody! Z oczami w słup wywróconemi leżała trójka na dnie bez pokarmu, bez napoju, błagając nieba, by śmierć rychło nadeszła.

W tem ujrzał Boruta w dość znacznej wysokości jamę w skalistej ścianie i promień nadziei błysnął na jego twarzy. Obgryzione resztki kości ludzkich w lochu, jama i wycie szakali nad głodnymi się rozlegające, wszystko to razem z szybkością błyskawiczną przemknęło przez głowę i zespoliło się w gotowy plan ratunku. Lambert rozgniewany do żywego grymasami i szyderstwem niewiast arabskich nad otworem sillosu, chwycił za kamień spory i z wytężeniem wszystkich sił cisnął go w górę prosto w twarz jednej z tych ludzkich hyen, ktora z głośnym okrzykiem zalana krwią się przewróciła. Powstał ryk i wycie w zgrai czatujących niewiast, a zaraz potem gęste bombardowanie kamieniami na legionistów naszych. Boruta skinął na towarzyszów. Przyczajeni do ścian swego więzienia, pokryci formalnie kamieniami, leżeli bez ruchu. Prócz kilku guzów, deszcz kamienny nic im nie zrobił. Zwolna nadeszła znów noc i kobiety z dziećmi rozeszły się, nie zostawiając tym razem straży przy sillosach.

— Wreszcie! — wyjęknął Boruta, który ze swego zakątka mógł widzieć otwór sillosu — jutro już byłoby za późno.

Lambert i Pantanos spojrzeli zdziwionemi oczyma.

— Czyś znalazł jakie wyjście? — zapytali równocześnie.

— Musimy natychmiast uciekać — odparł Boruta.

— Lecz jak wyjść z tego lochu?

Boruta wskazał na jamę boczną.

— Niepodobna, nie dostaniemy się tak wysoko.

— Sprobujmy.

Daremne wszelkie wysiłki. Wstąpiwszy na barki swych współwięźniów, mógł wprawdzie Boruta ręką dostać do jamy, nie było jednak podobieństwa wspiąć się do jej wysokości po pochyłych ścianach „sillosu“. Tyle tylko mógł zauważyć, że jama ta na 3 metry długa, prowadziła aż do powierzchni ziemi, używana snać przez szakale jako boczne wejście do lochu. Rozczarowani usiedli znów wszyscy w przykrej zadumie. Tak blisko być wolności, a nie módz przebyć ostatniej szranki dzielącej ich od niej.

Nagle wstaje znowu Boruta, wiąże do jednego końca swej „ceinture“ piszczel poobgryzaną, do drugiego zaś pas Lamberta i jeszcze raz wzywa towarzyszów, by go w górę unieśli. Z głodu i wycieńczenia ledwie na nogach stojący, wznoszą Borutę z wytężeniem sił ostatnich ku jamie. Boruta sili się, by rzucić piszczel jako kotwicę w głąb jamy, w nadziei, iż uda mu się zahaczyć ją gdziekolwiek nad brzegiem. Nareszcie po bezskutecznych kilku wysiłkach piszczel zaparła się widocznie o czerep skały, bo pas wypreżył się i z jamy wyciągnąć się nie dał. Z niewymownym sił ostatnich natężeniem udało się wreszcie Borucie wydobyć się na wierzch lochu. Przez kilka minut poił się z rozkoszą orzeźwiającem powietrzem nocy pogodnej. Rzeczywiście, pomiędzy pokładami skalnemi znajdowała się warstwa żwiru, a przez nią utorowały sobie drogę szakale, idąc za wonią gnijącego ciała ludzkiego, by dostać się na spód sillosu, zkąd dzięki swej kociej zręczności po spożytej uczcie znów na powierzchnią ziemi z łatwością wracały.

Jama kończąca się tuż przy gęstym krzu kaktusowym na stoku pagórka stała się ocaleniem dla więźniów. Śladem Boruty poszli Pantanos i Lambert.

Byli wolnymi. Tak, wolnymi, lecz cóż teraz wypadało począć? W pośrodku pustyni, umierający z głodu i pragnienia, otoczeni dzikiemi plemionami arabskiemi, dokądże udać się mieli! Każdej chwili wpaść musieli w ręce barbarzyńskich hord.

Wytchnąwszy nieco ruszyli ku nizinie, omijając jak ognia osad arabskich, których bliskość psów szczekanie już zdala im zdradzało.

Na szczęście usłyszeli niebawem szelest wody, najpgdyby po kamieniach spadającej wody, jak rzód ciszej, potem wyraźniej; był to istotnie szmer strumyka, który z gór skalistych płynął ku równinie.

— Bogu dzięki! Woda!

Nowa chęć do życia i otucha wstąpiła w serca uciekających, gdy zaspokoili pie-

wietrzu bociany", które na wielkiem morzu widział, „znał kiedyś na polskim ugorze", że jest „jak pielgrzym, co się w drodze trudzi przy blaskach gromu", że „okręt jego nie do kraju płynie, płynąc po świecie", powstał „Hymn pisany o zachodzie słońca na morzu przed Aleksandryą". Głęboka tęsknota za krajem, połączona z odczuciem cierpień syberyjskich wygnańców natchnęła mu „Anhellego", a w nim ten piękny piąty rozdział, kiedy to Szaman wątpiącym, czy jest w nich jaka dusza, i wołającym cudów wygnańcom ukazuje duszę Anhellego.

„I stało się, że na dziecka wołanie wyszedł z Anhellego duch, mający postać piękną i barwy rozmaite i skrzydła białe na ramionach".

„A ujrzawszy się wolnym, poszedł ów anioł na wodę i po słupie światłości księżycowej odchodził na południe."

„Gdy więc już był daleko i na środku stawu, rozkazał Szaman owej dziecinie zawołać duszę, aby wróciła".

„I obejrzał się duch jasny na wołanie dziecka i powracał leniwo po złotej fali, wlekąc po niej końce skrzydeł obwisłych ze smutku".

A gdy zbudziwszy się, zapytał się Anhelli, co uczyniła jego dusza będąc wolną,

„Odpowiedział mu Szaman: oto poszła po tym gościńcu złotym, co jest na wodzie od księżyca i uciekła tam w tę stronę, jak człowiek, który się spieszy".

„A na te słowa spuścił głowę Anhelli i zamyśliwszy się zaczął płakać mówiąc: oto chciała *powrócić do ojczyzny*".

Obok tych dwóch wielkich poetów staje Chopin, którego muzyce dała życie tęsknota a po za nimi cały szereg mniejszych przez nostalgię nawiedzonych pieśniarzy.

A jak dla Mickiewicza Litwa, dla Słowackiego wołyńskie okolice Krzemienieckiej góry, tak dla Zaleskiego Ukraina, dla Gosławskiego Podole, dla Lenartowicza Mazowsze są z okolic ojczystych najwięcej utęsknionemi. Gosławski nie był wprawdzie na emigracyi na obcej ziemi, lecz wygnany z rosyjskiego zaboru tułał się tylko w Galicyi, ale było to dla niego tułactwo może i sroższe, bo nie miał rzeczywiście gdzie głowy skłonić i skonał w austryackiem więzieniu. Do wymienionych trzeba nam jeszcze dodać Siemieńskiego, Witwickiego i Gaszyńskiego. Wszyscy oni żyją i piszą na tułactwie.

Zaleski skarży się, że „cudzy kraj to dom macoszy"

„Nie ma tutaj czego trzeba:
Błękitnego nie masz nieba!
Nie masz jasnych naszych wód!
Bracia błądzą teraz smętni,
Nigdzie serce nie odtętni,
Z każdej piersi wieje chłód.
(„Śpiewna zmora".)

Wiatr wiejący nad Sekwaną szepce mu zaraz „wieść od lubych stron"; każe mu więc „zawrócić z dumką na rodzinną wieś", pocieszyć starców w Tetijowie, Wołodarce,

„Po nad Bohem, do Berszady
Pozdrów sady i liwady
I o kilka staj
Zofijówkę tam i Humań,
Gdziem na puchu rannych dumań
Podlatywał w kraj.
(„Na wiatr.")

W Fontainebleau brnąc między wrzosy i paprocie i „nucąc ojczystą dumkę po cichu" miewa wizye i widzi nagle kraj kochany:

„Pojrzysz — przed nami wzdłuż przestwór siny —
Step i na stepie Dniepr w skały pluszcze —
Dwa morza — Tatry — znowu równiny,
Piastowe Gopło — litewskie puszcze".
(„Angelus".)

To samo znajdziemy w wierszach „W oman żórawi", „Do Gęśli", „Śpiewak tęskniący", „Okolice alpejskie", „Żóraw", „Nastrój", „Do współtułaczów" i niezliczonych innych.

Gosławski opisujący w największym swym poemacie „Podole" Smotrycz, oblewający w koło opokę „co dźwiga Kamieniec" i podolskie lasy! góry! pisze:

„Jakiś urok niepojęty
Myśl wśród was wybujałą wiecznie do was wiąże,
Przez odłogi pamiątek, przeszłości zamęty
Duszą was utęskniona wiecznie do was dążę".

Lenartowiczowi znów potrzeba do szczęścia:

„Kraju, gdzie łuczywem świecą,
Gdzie się w niecce człek kolebie.
Gdzie zawłóczy myślą pole,
Na mogiłkach pieśni śpiewa,
Całe życie łzy zasiewa
A zbiera niedolę."
(„O kraju")

Według niego już i wędrować po wielkim świecie nie dobrze i

„lepiej na małej siedzieć zagrodzie
. . . .
I wciąż na jedne patrzeć obrazy,
Na staw szeroki, na brudne głazy,
Gdzie ludzie wodę wiadrami biorą,
Bydło poryka i chusty piorą."
(Św. Franciszek á Paulo)

a cóż dopiero być wygnańcem tułaczem!

W każdą więc noc bezsenną widuje

. . . . . . tę równinę plenną
Zagonów zbożem śpiewającą złotem",

i marzy o swem Mazowszu, a marzenie to odbija się znów w jego poezyi. Znajdujemy je w wierszach „Jak to na Mazowszu", „Pieśni gminne", „Na liść kalinowy", „Zwiędłe liście" i tylu innych lekkich i nastrojonych na poważniejszą nutę, a malujących boleść i smutek wygnańców.

Podobny nastrój spotykamy i u Siemieńskiego; nie jest on tam jednak tak powszechny jak u Zaleskiego lub Lenartowicza, a przytem połączony z lekką tendencyą do politycznych stosunków. (Zobacz np. wiersze „Za czem wzdychasz" lub „Do Renu") Podobnych wreszcie smutkiem wygnańczym owianych jest dużo wierszy Witwickiego, a nakoniec prawie cała poezya Stefana Gaszyńskiego.

Wymieniam go na końcu, choć jest on, zdaje mi się, najwięcej typowym poetą wygnania, i to prawie jedynie poetą wygnańczej tęsknoty. Jego jest też ten znany wiersz:

„A znasz ty ten kraj, gdzie wzdłuż bitej drogi,
Co płynie wstęgą pod topoli cieniem,
Każdy wędrowiec, czy pan czy ubogi,
Wita przechodniów Chrystusa imieniem:
Gdzie szary bocian na dachu przedsienia
Wije swe gniazdo za wiosny powrotem?
Och! za tym krajem
Jakby za rajem
Codzień wzdycham i płaczę!

---

kielne pragnienie i korzeniami ziół nad ruczajem bujnie rosnących zapchali pusty żołądek. Idąc biegiem strumyka dotarli po kilku kilometrach do większej rzeczułki, a chcąc wszelkie po sobie pozacierać ślady, biegli ustawicznie jej korytem i dopiero po kilkugodzinnym marszu zmienili kierunek, dążąc po suchej ziemi dalej i dalej. Gwiazda polarna służyła za kompas. Wiedzieli oni, iż wciąż na północ iść trzeba, by dojść do osad francuzkich. Raz jeszcze wodą usta odwilżyli i poszli za drogoskazem na gwiaździstem niebie. Już drugiego dnia jednak pragnienie od nowa dawać się zaczęło we znaki, a w okół sucha pustynia. Dnia trzeciego ze zmęczenia ledwie na nogach ustać mogli, a tu już od samego rana cel ich najbliższy podróży, góry wyniosłe, ciemnym się znaczyły pasem na horyzoncie. Nadszedł wieczór. Z ostatnim wysiłkiem wlekli się dalej, wreszcie o późnej nocy napotkali oazę na wzgórzu średniej wysokości. Pokrzepili się i wnet sen głęboki zamknął im powieki. Któż jednak zdoła opisać ich przerażenie, gdy o świcie ujrzeli w oddaleniu kilku set metrów burc namioty Arabów. Z największą ostrożnością przemknęli się ku dolinie, która ich pochód zakrywała przed oczyma wrogów. Po chwili zauważyli tuż przed sobą stadninę pasących się koni, ogrodzoną prymitywnym płotem. Nowa myśl błyska zmęczonym przez głowy. Konie wszystkie były okulbaczone, lecz rozkiełznane, a cugle od trenzli pozawięzywane nad karkiem pięknych zwierząt, dozwalały pełnej krwi rumakom skubać swobodnie zieloną trawę. Snadź, należały one do jeźdźców arabskich, którzy biwakując w pobliżu, gotowi byli każdej chwili siąść na koń i pogonić wedle potrzeby, czy przeciw nieprzyjacielowi, czy też cofnąć się przed przeważną jego siłą w razie nagłej napaści. Straży przy koniach dojrzeć nie było można, niezawodnie spała bezpiecznie. W okamgnieniu byli nasi legioniści w posiadaniu trzech szlachetnych zwierząt. Wyprowadzili je cichaczem, dosiedli co żywo i rozpoczęli niezwykłą jazdę. Ale niestety, straż tententem kopyt zbudzona, alarmuje obóz i lotem błyskawicy około 50 Arabów dosiada swych biegunów i puszcza się w pogoń.

Szalona to była jazda. Boruta i jego towarzysze zachęcają konie słowem i czynem do pospiechu; Arabowie wśród okrzyków, ryku, klątw i groźb, gdyby uragan pędzą za nimi.

To w górę to na dół lecą dalej a dalej, aż znów nic tylko piasek suchy ich otacza. Odstęp między zbiegami a pogonią pozostaje z początku przez czas pewien równy; mniejwięcej pół kilometra za legionistami gonią Arabowie, których białe burnusy w powietrzu powiewają.

Już godzin kilka trwają te wyścigi. Znać po tej zaciętości, że Arabowie na wszystko w świecie postanowili schwytać legionistów. Oddalenie widocznie zmniejszać się poczyna.

W krytycznej chwili przypomina sobie Boruta, że Arabowie, chcąc konia do ostatecznego nakłonić pospiechu, mają znak szczególny. Zarazem też wiedział, że nie używają tego znaku przy ściganiu zwykłego zbiega, gdyż często bardzo ginie wśród szalonej gonitwy koń cenny, który dla nich bez porownania więcej przedstawiał wartości od jeńca lub niewolnika, choćby nim był i najzaciętszy nieprzyjaciel. Dowiedział się o tem swego czasu od pewnego Araba w zamian za wyświadczoną przysługę. Włożył zatem palec w usta i zagwizdnął dziwnie przeciągle i głośno. Konie osadziły się na moment w miejscu, zatrzęsły na całem ciele i poczęły strzydz uszyma. Nastąpiło drugie i trzecie gwiźnięcie. Rumaki zadrżały pod jeźdźcami, sfolgowały na chwilę w biegu, dały ogromnego susa i uderzyły szalonym galopem przez pustynię. W krótkim czasie zostawili prześladowców daleko po za sobą, zbliżyli się znacznie ku górom i stracili z oczu pogoń rozhukaną. Lecz wierzchowce już pod jeźdźcami dzieć zaczynają, biała piana z ust im się dobywa, a jednak lecą dalej z piekielną szybkością. Wreszcie dwa konie padają bezsilnie na ziemię, a trzeci mechanicznie tylko cwałuje naprzód. Zeskakują wszyscy i pieszo już dążą do lasku daktylowego, który w oddaleniu im się uśmiecha.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

I nie będę szczęśliwy
Aż te sioła, te niwy
Jeszcze raz choć zobaczę.“

A chociaż przyznaje nawet, że „obca ziemia nam dotąd nie była macochą“ choć „znalazł i przyjaciół, co umieli rozpędzić łzę cieknącą z powieki“ („W imienniku“), mimo to nie opuszcza go myśl

„. . . . . o rodzinnej okolicy,
Gdzie modrzew się przegląda w kryształach Pilicy“

i męki wygnania wydają mu się tak wielkie, że bierze za złe Dantemu, że

„....zapomniał dać miejsce dla tych w swoim Raju,
Którzy, jak on wygnani z rodzinnego kraju,
Wycierpieli na ziemi wszystkie męki piekła.“

Wszystko też, listek cyprysu wysyłany do kraju („W imienniku — Nieznanej Polce“), dźwięk posłyszanej mowy ojczystej („W imienniku — Polce Pannie Anieli M.“) jaskółki lecące z zachodu („Jaskółki“), pożegnanie z przyjacielem, wracającym „w polską krainę“ („Pożegnanie“), wszystko, nawet gdy leczy tę tęsknotę tym powszechnym znanym środkiem leczniczym: miłością (Powrót miłości), to nawet „chwilka szczęścia i rozkoszy“ przy kochance wywołuje widmo ojczyzny („Widmo ojczyzny“), a z nim tęsknotę, która „płoszy przelotną radość“.

Wszyscy wymienieni — to poeci emigracyjni; tęsknota ich zrozumiała dla nas. Tak jest jednak panowanie tego uczucia potężnem, że przechodzi ono i na tych, którzy na swojej pozostali ziemi; motyw nostalgiczny jest jak gdyby modnym w owych czasach. Taki Zmorski np. skarży się:

W obcej zimnej ziemi
Pomiędzy obcemi
O jak nudno, smutno płynie czas!
Fale wy perłowe!
Wisły piaski płowe!
Kiedyż? kiedyż ujrzę znowu was?

skarży się, jak gdyby na prawdę był wygnańcem i nie mógł wrócić do kraju, chociaż nikt go nigdy na wygnanie nie posłał. — To samo Tomasz Padura, chociaż Ukrainy i Wołynia nie opuścił, poświęca swoje „Mandrywki“ tęsknocie i „Wędrowiec“ jego idzie „tęskny i milczący“, a tęsknota w ślady za nim, bo „ani tu słońce tak świeci, nie tak tu kwiat rozkwita“, jak w tej stronie dalekiej „gdzie w serce idzie mowa rodzinna.“ — Syrokomla wreszcie tworzy cały duży poemat, którego treścią nostalgia: „Janka Cmentarnika“. Taki to dziś niesłusznie zapomniany poeta, że trzeba mi chyba przypomnieć treść tej jednej z najpiękniejszych gawęd Kondratowicza. Oto przed pięćdziesięciu laty żył w jednej z wiosek Litwy młody, wesoły chłopak, w którym wszyscy widzieli brata, a który sam

„Kochał swą wioskę, chlubił się wioską
. . . .
Kochał swe pole i sianożęci,
Kochał rzeczułkę, co tam się kręci,
Kochał swe lasy i dymy chatnie“.

Z tą miłością rodzinnej ziemi dobrze było między swojemi Jankowi, póki go nie wziął ze sobą pan bogaty na służbę — aż pod Karpaty. Dobrze mu było i na dworze pana, tylko cóż kiedy Bóg przeszłości zapomnieć nie da,

„Najpierwsze myśli, kiedy się zbudzi
Posyła naprzód do tamtych ludzi“.

tęsknota jak kara boża wpiła mu się w duszę i jak choroba nieuleczalna trapić go zaczęła.... Poczęto gadać o legionach.... Janek poszedł z lancą w żołnierze i był pod Wagram i pod Madrytem; cóż kiedy

„W brzękocie bębnów, wśród trąb zgrzytania
Wiejski się obraz przed nim odsłania!“

Idzie nareszcie z dyktatorem Gallów zburzyć Kremlu stare wieżyce. Już przebył Niemen, już przyszedł do Kowna — serce — zda się — nie zmieści mu się już w piersiach, bo teraz chyba przecież swoich zobaczy! Cóż, kiedy pułki z Wilna muszą ruszyć na prawo i minąć Jankową wieś... W powrocie z wyprawy nie może znów opuścić rannego pana, a w domu nie może chorego odstąpić. Dopiero, kiedy pan spoczął w mogile, idzie Janek jak pielgrzym szukać swej rodzinnej wsi, znajduje ją, ale cóż, kiedy zmienioną, a ludzi innych, obcych, nieznanych; więc jak szaleniec chodzi na cmentarz gwarzyć ze zmarłymi.

Zatrzymaliśmy się dłużej przy tej gawędzie, choć nie należy do poezyi emigracyjnej. Zbliżona jednak do niej tak bardzo! A przytem jest ta prosta gawęda w literaturze ówczesnej jedyną próbą przedstawienia psychologii tęsknoty. Jako taka w duchu roman yzmu pojęta jest ona nadzwyczaj ciekawa, szczególniej, gdy ją dla porównania stawimy obok w duchu realistycznym napisanych szkiców Szymańskiego. — Bije wreszcie ta gawęda, mojem zdaniem, całą nostalgiczną lirykę emigracyjną. Liryka ta — przynajmy to bowiem otwarcie — przy całym wdzięku nie jest wolną od maniery; tęsknota wydaje się tam często nieszczerą, sztuczną, a wiersz, choć piękny formą, zostawia nas zimnymi. Zdaje nam się nieraz, że poeta stroi się tylko w tęsknotę. Ci poeci emigracyjni nadużywają wreszcie tego motywu nostalgii. Prawda, że był on dla wielu może najbliższym, ale mogliby go używać dyskretniej. Podczas, kiedy dla Mickiewicza jest on tylko źródłem tworzenia, jest on dla nich także i treścią samą!

(Dokończenie nastąpi).

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Notatki paryzkie.

(Tłusty wół. — Nowość teatralna. — Goncourt przeciw Akademii).

W czasie tegorocznych dni zapustnych, Paryż ujrzał po raz pierwszy od lat dwudziestu pięciu, to jest od upadku cesarstwa we Francyi, karnawałowy orszak „Tłustego wołu“, orszak złożony z licznych tryumfalnych wozów zaludnionych alegorycznemi postaciami. Prócz hałaśliwej muzyki amatorskiej, towarzyszyły orszakowi wesołość, śmiech i dowcip wrodzony francuzom. Tłumy zalegały ulice, bawiono się wśród tumanów różnokolorowych confetti i wstęg papierowych, rzucanych ze wszystkich okien i ze wszystkich rąk. Karnawałowa zabawa odnawia się zwykle w Paryżu w dzień półpościa. Dzień to uprzywilejowany paryzkich praczek, które wybraną z pomiędzy siebie „królowę piękności“, uroczyście obwożą po mieście w szatach królewskich, z koroną na głowie, jak to opisał Emil Zola w swej powieści „l'Assommoir“. W tenże dzień od lat kilku dzielnica łacińska, (quartier latin) zaczęła urządzać kawalkady mniej lub więcej wspaniałe i dowcipne, a tegoroczne półpoście ujrzało wiedziony przez studentów pochód „Chudego wołu“, symbolizować mającego skromne życie studenckie, o pustych zwykle kieszeniach, niemających czem płacić za tłuste pieczenie. W Quartier latin, dokoła starożytnej Sorbony i pięknego ogrodu Luksemburskiego, zamieszkuje młodzież uniwersytecka, zaś na drugim krańcu Paryża, wprost na północ, tuż przy fortyfikacyach, wznosi się najwyższe paryzkie wzgórze, la Butte Montmartre, stanowiące ulubioną dzielnicę młodych malarzy, poetów, wogóle artystów. Ci nigdy nie manifestowali w dzień półpościa, wszakże w tym roku pobudzeni bulwarową kawalkadą „Tłustego wołu“ i emblematycznym „Chudym wołem“ z dzielnicy łacińskiej, zawiązali komitet pod przewodnictwem Adolfa Willette'a, słynnego malarza a przedewszystkiem rysownika, posiadającego oryginalny talent pełen niezrównanego wdzięku, poezyi i głębokości myśli. Willette filozofuje w najdrobniejszych nawet rysunkach, nawet bawiąc się i urządzając przedstawienia w teatrzykach kawiarnianych, obrany przez kolegów na prezydenta kawalkady w w ulubionej swej dzielnicy Montmartre, oświadczył, że to będzie „la vachalcade“, a bohaterką jej „la vache enragée“, której mlekiem i mięsem żyje, przymierając z głodu, rzesza młodych artystów i pisarzy. Na nieszczęście, deszcz padający przez cały dzień w półpoście popsuł oczekiwany efekt tej uczty artystycznej, jaką był orszak zorganizowany przez Willette'a i jego kolegów. Muzy, Poezya, Geniusz sławy, Szczęśliwa gwiazda, Galia, Piosenki, Kolombiny — drżały z zimna w lekkich będąc strojach, drżeli wszyscy prócz „Wściekłej krowy“, bo była malowana. Dla pokrycia kosztów urządzonego orszaku, w którym brały udział setki kostyumowonych postaci, Willette wydał ilustrowany, kilkunastostronnicowy zeszyt pod tytułem „La Vache enragée“, tekst przeważnie stanowią enterviewy. Na postawione pytania znakomitościom, opływającym dziś w dostatkach, co myślą o „Wściekłej krowie?... i czy długo się z nią borykali za młodu?... odpowiadano wogóle przychylnie, bo przez pryzmat dalekich wspomnień. Alfons Daudet: „Vive la Vache enragée!“ Natomiast Henryk Rochefort: „Vilaine bête, dont je n'ai que trop mangé!“ Emil Zola: „Chcielibyście zapewne, bym powiedział coś dowcipnego albo wesołego? Lecz ja tego nie umiem. La Vache enragée! Ależ to apologia nędzy, apologia walczącej i broniącej się nędzy.... Macie racyę, podnosząc ten temat. Nędza, prawda, że dokuczliwą jest gospodynią, lecz chociaż suche, twarde i nieliczne wydzieła kromki, chleb jej jest wzmacniający! Nie chcę obmawiać nędzy, chociaż dokuczyła mi niegdyś... srodze dokuczyła... lecz rzadko któremu z nas udało się wywinąć od jej uścisków... a nie narzekam, bo była mi ona bodźcem... gdyby nie nędza, może niebyłbym tyle czasu poświęcił pracy, z którą zżyłem się już potem, bez której nie rozumiem życia“. Adelina Patti: „Czem jest „Wściekła krowa“, wiem tylko ze słyszenia. Nigdy nie zapoznawałam się z nią osobiście, cóż zatem mogę o niej powiedzieć?...“

* * *

Teatr Renaissance wystawił z powodzeniem dawno oczekiwaną sztukę Franciszka de Curel pod tytułem „La Figurante“. De Curel pisał dotychczas niewiele; kilka sztuk zaledwie w przeciągu dziesiątka lat, lecz każda z nich posiada wybitne zalety, stawiające autora w rzędzie najlepszych dramaturgów francuzkich. Pierwsze jego utwory grane były w Théatre-Libre za czasów, gdy Antoine zwracał powszechną uwagę reformami, jakie wprowadzał pod względem gry aktorów, dekoracyi scenicznej, oraz wystawiając utwory nowe treścią, nowe ideałami. „Les Fossiles“, pierwsza sztuka Fr. de Curel, była rodzajem satyry wykazującej strupieszałość obyczajów staroszlacheckich, które autor zna dokładnie, jako należący do rodowej arystokracyi. Treść zaś ostatniego utworu Fr. de Curel jest następująca: Henryk de Renneval, młody deputowany, człowiek dążący ku zaszczytom i sławie, jest kochankiem Heleny de Moineville, trzydziesto-

pięcioletniej ładnej kobiety, mającej męża dwa razy od siebie starszego. Pan de Moineville zajmuje się nauką, żonę swą kocha, lecz znosi w milczeniu i z filozoficzną melancholią stosunek jej z Henrykiem, uwzględniając jej młodość. Henryk jest kochankiem Heleny od lat siedmiu, kocha ją, lecz uznaje potrzebę ożenienia się, bo tego wymaga przyszłość jego karyery politycznej. Helena podziela zdanie Henryka i namawia go do wybrania sobie żony, ale żony noszącej tylko ten tytuł, w rzeczywistości zaś chce, by i nadal on tylko do niej wyłącznie należał. Za wspólnem porozumieniem kochanków, wybór pada na Franciszkę, siostrzenicę męża Heleny. Franciszka jest uboga, lecz dobrego rodu, pod względem urody i umysłu jest przeciętną kobietą, zdaniem Heleny, więc zazdrosną o nią nie będzie, tem więcej, że Franciszka będzie tylko „Figurantką“, żoną fikcyjną a nie de facto. Ślub odbył się, Franciszka zawiadomiona o swej roli, zgodziła się na nią, skrycie bowiem kocha Henryka i postanawia zdobyć jego miłość. Wkrótce Helena zazdrosną być poczyna o Franciszkę, która naraz stała się inną kobietą. Z brzydkiej zrobiła się ładną, z biernej istoty stanowczą, dowcipną i niezwykle sprytną. Mąż a raczej żyjący z nią pod jednym dachem Henryk, coraz częściej zasięga jej rady, słucha ją, podziwia a wreszcie kocha i gwałtownie pożąda. Lecz Franciszka odpycha go pod pozorem, że należy dotrzymać warunków umowy, w rzeczywistości zaś opiera się miłości Henryka, bo kochając go, chce, by wpierw zerwał swój stosunek z Heleną. Następuje walka przebiegłości dwóch rozkochanych kobiet. Henryk zaś kocha Franciszkę, lecz nie ma odwagi na zerwanie długoletniego swego związku z Heleną. Wreszcie Franciszka, idąc za radami swego wuja a męża Heleny, odnosi nad nią najzupełniejsze zwycięztwo, skutkiem czego Helena błaga męża, by wywiózł ją z Paryża jak najdalej i na czas jak najdłuższy.

Catulle Mendès, pisząc sprawozdanie z pierwszego przedstawienia tej sztuki, powiada: „Franciszek de Curel może nie w zupełności odpowiedział jeszcze nadziejom, jakie pokładaliśmy w nim po pierwszym jego debiucie w Teatrze Libre, jednakże jego „La Figurante“ pozyskała ze strony publiczności szczere oklaski, wzbudzając żywy entuzyazm. „La Figurante“ jest sztuką napisaną z całą znajomością sceny, treść uprzytomniona jest jasno; charaktery zarysował autor wyraźnie, gra uczuć i cieniowanie ich jest wyborne, dyalogi zajmują, często bawią śmiesznością naszych obyczajów, przedstawionych ze ścisłością życiową. Całość sztuki przedstawia się bardzo dobrze, lecz więcej w niej można odnaleść trzeźwości poglądów, aniżeli uczucia, bo pomimo nadających się ku temu sytuacyi, „La Figurante“ nie wywołuje wzruszenia“.

* * *

Po śmierci Aleksandra Dumasa syna, tj. przed paru miesiącami, poczęły krążyć po Paryżu wieści, że Edmund de Concourt postawi swoją kandydaturę w Akademii francuzkiej, by zająć tam fotel po zmarłym słynnym autorze. Dla sprawdzenia tych pogłosek dziennik „l'Éclair“ zapytał Ed. de Concourta, czy ma zamiar przedstawienia się w Akademii, na co otrzymał następującą odpowiedź: Akademia nie potrzebuje mnie, a ja jej nie potrzebuję. Pozostaniemy więc z sobą w dotychczasowych stosunkach. Wiem, że w Akademii można napotkać ciasnych poglądów, aniżeli jest o tem powszechne mniemanie. Pomimo to wszakże, nie chcę do niej należeć. Już w r. 1860 czy też 1862, dobrze przypominam sobie daty, lecz po ukazaniu się naszej ksiażki „Marie-Antoinette“, Montalembert zrobił nam oficyalną propozycyę, mnie i mojemu bratu, że jeżeli przestaniemy pisywać powieści, to Akademia przyjmie nas w liczbę swych członków. Nie chcieliśmy się atoli niczego wyrzekać, pragnąc pozostać dowolnymi panami naszej fantazyi i naszych projektów. Bynajmniej tego nie żałuję. Wiem, że już teraz, mając lat 74, nie wiele zdołam stworzyć nowego, lecz cenię moją niezależność i niezależnym pozostanę do końca. Mojem zdaniem stowarzyszenia literackie ujemnie oddziaływują na piszących. Większość członków Akademii, wszedłszy w jej skład, osłabiło swą idywidualność i przestało tworzyć dzieła poprzedniej doniosłości. Tak, pozostanę niewzruszony w mem postanowieniu i nigdy nie postawię mej kandydatury, a ręczę, że Alfons Daudet uczyni to samo, chociaż i jemu czyniono te same co i mnie propozycye. Tak Daudet jak i ja, zdajemy sobie sprawę, że zapraszając nas do Akademii na wakujące fotele, chciano wywołać manifestacyę, manewrować przeciwko kandydaturze Emila Zoli. Otóż ani Daudet, ani ja, nie jesteśmy ludźmi mogącymi się przyłączyć do tego rodzaju pokątnych działań. Wreszcie kocham moją samotność, kocham moją niezależność, bo tylko w tych warunkach pisarz zachowuje całość swej dumy i swobodę myślenia“.

J. . z.

Z estrady i sceny.

(„Wilk i owce“. Krotochwila w 4 aktach p. Jordana).

Na sobotniej premierze było mało zaciekawienia, lecz dużo śmiechu w teatrze, tj. śmiała się bez ceremonii męzka połowa publiczności, a żeńska zdradzała tylko ochotę do śmiechu. Humorowi Jordana brak oryginalnych pomysłów. Bawi on widzów teatralnych na wzór owych typowych dowcipnisiów, których posiada każda kawiarnia i piwiarnia, i których pożąda każde wesołe kółko lekkiej kawaleryi. Rzadko który z nich jest Heinem, Börnem, a choćby Saphirem drobnego kalibru, brak im do tego inwencyi i subtelności, — mimo to jednak są oni ulubieńcami mało wymagających filistrów, bo posiadają zdolność stosowania à propos starych konceptów na ulubiony temat kobiet, lowelasów, tłustej galanteryi itp. Któżby ich nie znał? Wchodzą do piwiarni i już po drodze darzą kasyerkę pieprzem pikanteryi, potem siadają przy stole i mełą wprawnym językiem cnotę panieńską, kawalerskie grzechy i tajemnice małżeńskie. Zawsze to samo, lecz czasem w nowej zaprawie i do nowego aplikowane przedmiotu, — a ponieważ Mikoszjada nie starzeje się nigdy, więc kawiarnia rozbrzmiewa śmiechem wesołym.

Śmiał się również teatr poznański, i gdyby efekt ten rozstrzygał o wartości utworu, to należałby się panu Jordanowi listek wawrzynu a przynajmniej pokłon uznania. Scena jednak ma inne wymagania niż kawalerski kącik w winiarniach, — innej też podlega krytyce autor dramatyczny niż humorysta butelki lub kufla. Nie jestem bynajmniej purystą i nie chcę pióra zamieniać w kropielnicę wyganiającą z teatru wszystko, co tylko trąci zapachem Boccaccia, lecz trudno mi zaliczyć w poczet artystycznych utworów krotochwilę, której humor odznacza się jedyną zaletą tłustości. A gdybyż przynajmniej tłuszcz ten był świeży, gdyby podano go w apetycznej przyprawie paryzkich autorów, — lecz p. Jordan nie ma oryginalnych pomysłów i pianki nadsekwańskiej w skarbnicy talentu swojego. I nie zdradza również autor „Wilka i owiec“ tego nerwu dramatycznego, bez którego każda farsa na scenie jest martwą. Nie komplikuje, nie olśniewa niespodziankami, nie tworzy ruchu w tempie galopowem, śmiałych zawikłań i śmiałych rozplatań węzłów i węzełków. Figury jego posiadają niewątpliwie sporą dozę prawdy i życia o karykaturalnym zakroju, lecz nie kręcą się w wirze krotochwilowym i materyał swój humorystyczny manifestują więcej powieściowo niż scenicznie. Wysnuł wprawdzie Jordan z pomysłu swojego, kilka świetnych, znakomicie podpatrzonych i prawdziwym humorem zabarwionych szczegółów, lecz całość toczy się leniwie w potokach tłuszczu i wody.

Wykonanie było jak zwykle niepewne, chwiejne i pomylone. Ensemble mianowicie błąkał się, haczył i o drogę pytał, a w grze poszczególnych artystów tylko ten i ów moment zasługiwał na poklask gorętszy. Typ wilka, sprytnego rycerza przemysłu, wyzyskującego gromadę łatwowiernych owiec, odtworzył pan Knapczyński z zwykłą elegancyą i finezyą, lecz kolor kreacyi nie był dość soczysty. Wilk był w interpretacyi p. Knapczyńskiego wilczkiem zaledwie. Z innych artystów zasługują na wyszczególnienie p. p. Skirmunt i Królikowski, — p. Berski natomiast nadużył barw karykaturalnych. Reprezentant wilka wysunął niepotrzebnie krotochwilę do wyżyn komedyi, — p. Berski zaś zepchnął farsę do nizin cyrkowych. Z kobiet występujących wyróżniała się elegancyą i subtelną kokieteryą pani Jakubowska, a w epizodycznej rolce małego żydka rozwinęła p. Galińska dużo charakterystycznego zacięcia. Panna Ogińska siliła się na szczerość, — wydobywała jednak z siebie tylko afektacyę.

W. R.

III-ci koncert symfoniczny.

(d. 27 marca rb.)

Artystyczne rezultaty, które orkiestra symfoniczna pod umiejętną dyrekcyą pana Schmidta w stosunkowo krótkim czasie osiągła, są naprawdę zadziwiające. Intonacya w smyczkowych instrumentach zyskała we wysokim stopniu, również nabrały blaszane instrumenty dęte szlachetniejszego brzmienia, oboja i flet zaś znacznej giętkości tonu, tylko klarnet jeszcze nie dopisuje.

Program ostatniego koncertu rozpoczął się Wstępem do Wagnerowskiego Lohengrina; trudności tu zachodzące przerastają jednak siły orkiestry. Za to Geisslera poemat symfoniczny: „Sceny z życia Sowizdrzała“ oddano nadzwyczaj barwnie i charakterystycznie. Andante (con moto) z niedokończonej symfonii Schuberta, wykonane w zbyt wolnem tempie, straciło nieco na swej piękności. Natomiast udatne było wykonanie symfonii Haydna, zwanej oksfordzką, ponieważ kompozytor ubiegając się o tytuł doktora muzyki przy uniwersytecie w Oksfordzie, napisał utwór ten w miejsce dysertacyi doktorskiej. Czajkowskiego „Capriccio italienne“ odznacza się barwną i świetną instrumentacyą a obfituje w prawdziwie piękne motywy. W rytmach ognistych przedstawia się temperament ludowy włoski a w smętnych melodyach maluje nam kompozytor wymownie tęsknotę Słowianina na obczyźnie.

Wszystkie te utwory były starannie przygotowane i poprawnie wykonane.

Edwin Jahnke.

II-gi koncert Aleksandra Piecznikowa

(dnia 26-go marca rb.)

Rychło, bo zaledwie po dwumiesięcznej pauzie, odwiedził nasze miasto powtórnie genialny skrzypek Piecznikow, budząc swą grą

wybitną podobny zachwyt jak za pierwszym razem. Koncert ostatni był nowym, prawdziwym tryumfem artysty, lubo pod względem wszechstronnej doskonałości ustępował nieco styczniowym popisom.

Wieczór rozpoczął się Bazziniego „Allegro de Concert“, który to utwór czy w skutek fizycznej niedyspozycyi artysty, czy też w skutek prawie tropikalnej gorączki na sali, nie wypadł tak idealnie czysto w podwójnych tonach, jak tego po mistrzu tej miary, co koncertant, spodziewać się należało. Chwilami zdawało mi się, że artysta śliczne kantyleny gra więcej dla siebie niż dla zgromadzonych słuchaczy; tyle przesady było w pianissimo. Zakrawało to czasem na szarlatanerię, która stała w sprzeczności z poważnem traktowaniem innych utworów i wogóle wyborem wykonanych sztuk. Allegro koncertowe Bazziniego zaliczyć należy do najświetniejszych i zarazem najcenniejszych kompozycyi popisowych, a Piecznikow dzielnem, mimo różnych usterek, wykonaniem tej kompozycyi wywarł wielkie na zgromadzonych słuchaczach wrażenie. Nie rozumiem tylko, czemu referentowi „Posener Ztg.“ wykonanie tego właśnie utworu tak zawróciło głowę, że porównując koncertanta ze samym kompozytorem i sławnym zarazem skrzypkiem Bazzinim oraz Wieniawskim, doszedł do dziwnego sądu, że wirtuozi ci nie dorównują Piecznikowi ani pod względem techniki ani artystycznego oddania ducha kompozycyi. Krytyk „Posener Tageblattu“ ujęty kilku zresztą bardzo łatwemi flażeoletami, nazywa znów p. P. „phaenomenaler Beherrscher des Flageolets“. To już nie wygląda na krytykę objektywną i rzeczoznawczą, ale raczej na rodzaj reklamy, kosztem innych wielkości i kosztem zdrowego rozsądku. Gdyby krytyk „Pos. Ztg.“ znał I-szy koncert na skrzypce Wieniawskiego, dalej tegoż autora Romances russes, Carneval russe, Faust-Fantaisie, i słyszał z jaką swobodą i artystycznem wykończeniem kompozytor sam utwory te wykonywał, nie spychałby zapewne z tak lekkiem sercem mistrzów tej miary co Wieniawski i Bazzini na niższy stopień artyzmu.

Na liczne życzenia odegrał p. P. sławną Ciacconę Bacha i odsłonił słuchaczom na nowo nieprzebrane źródło prawdziwych piękności tego genialnego utworu. Zawiłe i niewygodne arpedżia i akordy nabierają pod smyczkiem artysty śpiewności i wdzięku, głębokie zaś polifoniczne kombinacye, wypływające z genialnej pomysłowości w łączeniu różnych tematów, wyszły jasno i pochwytnie, a oblane czarem prawdziwej poezyi i głębokiego uczucia uprzystępniły naszemu pojęciu utwór, pisany przed 200 laty nieomal.

Objętej programem „Canzonety“ z koncertu na skrzypce rosyjskiego kompozytora Czajkowskiego nie wykonał artysta. Takich improwizowanych zmian programowych nie uważam za korzystne, bo torują one drogę fatalnym nieporozumieniom tak u publiczności jak i dyletanckich referentów muzycznych. Nieobeznana z literaturą muzyczną na skrzypce publiczność i krytycy poznańscy wysłuchali z całem nabożeństwem Waryacyi Corellego — na programie mianem „Sonaty“ oznaczonych — jako Canzonety Czajkowskiego, lubo artysta wykonał ten utwór już w I-szym koncercie w miejsce na programie oznaczonej „Serenade melancolique“, na co zresztą już w przeszłym referacie zwróciłem uwagę.

Pomiędzy wykonanemi w koncercie czwartkowym utworami wymienia „Dziennik Poznański“ wyraźnie *niewykonaną* Canzonetę. Lepszym jeszcze jest „Kuryer Pozn.“, który biorąc sonatę starego włoskiego mistrza (Corelli ur. 1653 we Fusignano pod Bolonią umarł 1713 w Rzymie) za Czajkowskiego Canzonetę wysłyszał w klasycznych tych waryacyach: *smętne usposobienie słowiańskiemu szczepowi właściwe, które wibrowało w słodkich delikatnych tonach*“.

Dla mnie niespodzianką wielką i zarazem miłą były waryacye starego mistrza Corellego, założyciela pierwszej szkoły skrzypcowej, „rzymską“ nazwanej. Z charakterystycznego starohiszpańskiego tematu wyprowadza kompozytor wiązankę tak pod względem harmonijnym jak i rytmicznym interesujących przemian, posiadających pełną wyrazistości fizyognomię, a pozostających mimo to w naturalnym związku z głównym tematem. Odegranie utworu Corellego po Ciacconie Bacha należy z estetycznych jak i historycznych względów zganić. Jeśli nam p. P. zamierzał dać pogląd na rozwój waryacyi pod względem formy i treści, to powinien był waryacye Corellego najpierw wykonać, ponieważ utwór ten poprzedził Bacha Ciacconę; ale nawet w tym razie nie na wiele by się to przestawienie utworów przydało, ponieważ Ciaccona Bacha wykonaną była w oryginalnym kompozytora układzie, waryacye zaś Corellego w dowolnem, choć efektownem opracowaniu Ferd. Dawida, dawnego profesora przy konserwatoryum w Lipsku (um. 1873); transkrypcya ta daleko odbiega od oryginału i to nietylko w opracowaniu głosu skrzypcowego, w którym się prof. Dawid estetycznych dopuścił anachronizmów, dorabiając pasaże i kadencye niezgodne z duchem muzyki włoskiego mistrza, lecz i w akompaniamencie, gdzie nie wszędzie utrafionym został właściwy tej ubiegłej epoce koloryt harmoniczny. Opracowanie sławnego francuzkiego skrzypka Alarda, jako wiarogodniejsze i podobniejsze do oryginału, byłoby w tym razie może więcej na miejscu. Niesłusznie zatem krytyk „Pos. Tageblattu“ kładzie dobitny przycisk na historyczne stanowisko i wartość utworu.

Dalej wykonał Piecznikow Cavatinę ze Suity koncertowej na skrzypce rosyjskiego krytyka, literata i kompozytora, dawnego ucznia Moniuszki: Cesarego Kuija, przypominającą w początkowym frazesie melodyjnym słynną pieśń Schumanna „Ich grolle nicht“. Utwór posiada zresztą melodyę szeroką o kosmopolitycznej fizyognomii; wykonawca nasadziwszy na skrzypce tłumik, przesadził nieraz w pianissimach tak, że dla słuchaczów mniej biegłych w chwytaniu uchem szeptów skrzypcowych, całe frazesy nikły. Koncert zakończył się Fantazyą norwegską francuzkiego kompozytora Lalo, któremu udało się francuzki esprit połączyć z uczuciowością norwegskiej ludowej pieśni. Niestety! Koncertant zamiast całej Fantazyi odegrał tylko część pierwszą. Takie amputacye w utworach o jednolitym zakroju i fizyognomii oryginalnej nie zgadzają się, zdaniem mojem, z poważnem i wybitnem stanowiskiem, jakie artysta zajmuje; zdradzają nawet pewien zanik szacunku dla sztuki i autora. Przykro mi to tak bez ogródek wyrazić wobec mistrza tej miary co Piecznikow, ale *„amicus Plato, sed magis amica veritas“*. Publiczność poznańska zadowoliła się tem francuzko-norwegskiem torso, świetnie zresztą wykonanem, jak wszystko, co z pod smyczka wybitnego artysty wychodzi, i grzmiącemi oklaskami zmusiła koncertanta do naddatku. Piecznikow odegrał nad program Saint-Saënsa „le Cygne“.

W koncercie wzięła także udział śpiewaczka król. opery berlińskiej p. Marya Deppe i wykonała z wielką tremą Schuberta „Du bist die Ruh“, trochę brutalnie i sztywnie Schumanna „Lust der Sturmnacht“, za to udatnie Wagnera „Traeume“; wykonanie Brahmsa „Meine Liebe ist grün“ przypominało brawurową aryę z jakiej opery włoskiej. Później odśpiewała artystka pieśń norwegskiego kompozytora Kjerulfa „Liebespredigt“, dalej Kienzla sympatyczną piosenkę „Der Kuss“ z charakterem czysto słowiańskim i Gernsheima „Lieb verrät nicht“. Krytyk „Dziennika pozn.“ przerobił głos panny D. jednym pociągnięciem pióra na *kontralt*, a więc nizki alt, o czem jednak zaraz zapomniał, ponieważ chwali tylko wyższe tony, a niższe znajduje wadliwe i słabe. Tymczasem panna D. posiada mezzo-sopran z silnie wyrobioną głośną skalą.

Ostatecznie należy jeszcze wziąć w obronę akompaniatora, p. Ottona Bake, który w ostatnim koncercie wywiązał się ze swego trudnego zadania ku ogólnemu zadowoleniu publiczności i krytyków niemieckich. Tylko referent „Dziennika Pozn.“ uważał, że fortepian „p. Bake nie zawsze był w stanie dostroić się do świetnego smyczka“. Ostatnie recenzye poznańskie dostarczyłyby więcej jeszcze materyału do humorystyki, na razie jednak odmówić sobie muszę tej przyjemności; może później do tego tematu powrócę i bliżej się przypatrzę poznańskiej krytyce.

Edwin Jahnke.

TO I OWO.

Modna kobieta.

W feljetonie „L i b e r u m v e t o“ A. Świętochowskiego („P r a w d a“ Nr. 13) czytamy uwagi następujące:

Wiosna ma tylko jeden szczegół brzydki, — modną kobietę. Oko cierpi zarówno zranione kolcem, jak dotknięte szpetnym widokiem. Często powtarzany w sądach estetycznych frazes — że twory rzeźby greckiej są dla nas, którzy przewyższyliśmy starożytnych pod każdym względem, wzorami „niedoścignionemi“ — byłby grubą niedorzecznością, gdyby nie nasze nadobne, urocze i eleganckie „damy“. Żaden Fidyasz, żaden Michał Anioł nie zdołałby wydobyć piękności z tych istot, których nie mógłby ani rozebrać, gdyż powstrzymane w rozwoju ciała są niekształtne, ani ubrać, bo są w swych strojach poczwarne. Co największy geniusz pocznie wobec tych skurczonych stóp, zeschłych łydek, przewężonych gorsetami u dołu a zapadniętych u góry torsów, lub wobec tych cudacznych kapeluszów, przybranych wiązką ptaków, tych ogromnych worków na rękach, tych spódnic lejkowatych, tych bawolich grzywek i żydowskich pejsów? Apollo nie wyzyskałby takiego modelu dla sztuki. Ile razy tedy słońce rozśmieje się wiosną i tchnie ciepłemi powiewami, oczekując zmartwychwstania uroków przyrody, jednocześnie uczuwamy dreszcz na myśl o tem, co też jeszcze obrzydliwszego wynajdzie moda dla kobiet i czem one pastwić się będą nad naszemi oczami. Bo jak się ubiorą w każdym nowym „sezonie“, to może być wątpliwem, ale że ubiorą się szkaradnie, to nie ulega wątpliwości. Dla tego stanowią zawsze plamę na wspaniałym płaszczu wiosny.

Mężczyźni zrobili już wiele buntów i stoczyli wiele walk, ale dotychczas nie podjęli rewolucyi bardzo potrzebnej — przeciwko kobietom. Już, jeżeli one koniecznie chcą być nieukształcone, bezczynne, próżne, zamiłowane w ozdobach zewnętrznych, niechże sobie będą. Czemu wszakże te stare dzieci mają oszpecać się za pieniądze mężczyzn, którzy przecież za tę ofiarę mogą wymagać od nich gustu? Usuwam z tego pytania *ludzi* płci żeńskiej, myślących, pracujących, przyjmujących udział w trudach i postępach świata, będących jakąś cyfrą w jego poważnych rachunkach, pytam tylko te ogoniaste, bufiaste, ufryzowane i wymalowane bawidła: jeżeli one nie umieją nawet ładnie ubrać się, to czy warte są istnienia na ziemi? Mężczyźnie, bogatemu i rozrzutnemu panu swej podobało się znaczną część owoców jego pracy poświęcać żywej lali — taka jego

fantazya; ale niechże przynajmniej ta lala da zadowolenie jego oczom, niech swą modę powierzy jakimś mistrzom dobrego smaku — malarzom, estetykom — ale nie zwyczajnym krawcom i fabrykantom, którzy jej narzucają swoje pomysły niedołężne lub waryackie. Niegdyś mówiono, że najpiękniejszym tworem natury jest kobieta, dziś powiedzieć trzeba, że najbrzydszym tworem natury jest kobieta modna. Tylko mężczyzna może i powinien przywrócić jej straconą urodę, ale tego nie zrobi, bo ona po części już i jemu smak popsuła. Gdyby on był dawnym Grekiem, mającym wrażliwe i mocne poczucie piękna, rzekłby do niej:

— Dosyć tego, mój elegancki koczkodanie! Ja nie będę pracował w biurze, kantorze, fabryce, po dziesięć godzin dziennie, nie będę wyczerpywał swoich sił, rujnował zdrowia, ażebyś ty mogła robić z siebie czupiradło. Jeżeli pragniesz mieć parę wron lub wieżę z wstążek na głowie, zamiatać kurz z ulic dwoma łokciami tkaniny jedwabnej lub wełnianej, udawać tiurniurę Hotentotki z naroślami tylnemi, to na tę przyjemność zarób sobie sama.

Och, jakże prędko moda nauczyłaby się artyzmu! Niestety, on jej tego nie powie, gdyż albo pod jej wpływem przytępił w sobie zmysł piękna, albo, znużony daremną walką, tak zobojętniał na wybryki „baby“, że nie zaprotestowałby, gdyby ona w swych uszach zamiast kolczyków zawiesiła ogonkami dwie myszy, a na głowę wsadziła konewkę.

Zaiste, rzecz dziwna! Zdawałoby się, że kobieta, która tak długo nie uczestniczyła w rozwoju cywilizacyi i stanowiła w niej pierwiastek bierny, powinna piastować ideały piękna, że skazana na to, aby się ubierać, stworzy wysoki artyzm stroju. Tymczasem — nie. Po dwudziestu kilku wiekach rozmyślań i starań w tym kierunku, o ile nie korzysta z męzkich wzorów rzeźby i malarstwa, robi z siebie straszydło. Unika cudactw tylko zwyczajna chłopka i robotnica lub kobieta ukształcona do miary pełnego człowieka. Dwa te krańce przedstawiają też największą wartość społeczną.

* * *

Także poezya.

Niewielu czytelnikom naszym zapewne wiadomo, że znany filantrop poznański ś. p. Norbert Bredkrajcz, — którego nazwisko dziś jeszcze figuruje w różnych konkursach Tow. Przyjaciół Nauk, ogłaszanych na mocy jego fundacyi testamentowej w celach literackich, — wydał w r. 1843 tomik niby-poezyi, a w rzeczy samej rymowanych bredni, które współczesnej krytyce posłużyły za temat do drwin jadowitych. Jako próbkę Bredkrajczowskich „pieśni“ przytaczamy wierszyk następujący:

Po otchłaniach wodnych błot
Na kępach, porosły mech
Zrywa z łoża wichru zwrot,
Tocząc w stepy zgniły dech.
Odparzelisk bezdne tło
Pod brzuchem węża się gnie,
I w syk stroi gibkie pło
Ze wdziękiem żądła co mgnie.
Znowu kępa; co to? — jar —
Na przesmyku, dziki zwierz
Trąbi paszczą groźny gwar,
Porzucając z łożem kierz.
W lustrze ślepia złości skra,
Swe połyski w obszar śle,
Jak ze słońcem lodu kra
W wiośnie, topiąc łzy na ple itd.

No! można być zacnym człowiekiem, lecz kiepskim poetą. Oby sobie to spamiętać raczyli różni adepci Parnasu na poznańskim bruku.

* * *

Na Wyłomie.

(Dr. Roman Szymański.)

Rok bieżący jest rokiem jubileuszów dziennikarskich. Jeszcze nam w uszach dzwonią melodyjne waryacye na temat „Cześć Dobrowolskiemu“, a już stroi się sala pana Adamskiego w wieńce i girlandy na przyjęcie drugiego jubilata. Dwadzieścia pięć lat mija od chwili, w której p. dr. Szymański objął naczelne kierownictwo „Orędownika“ i oto gromadzi się demokracya zaboru pruskiego, by srebrnym wieńcem ozdobić skronie redaktorskie.

Ćwierć wieku! Długa to droga, a kwiatów było tam mało i mało pogodnego błękitu. Po różnych ścieżynach politycznych stąpał Szymański, a gdzie nogę postawił tam krzyk się budził bojowy. Śladem jego szła burza jak nieodstępny towarzysz, a gdy wicher szalał na okół wyrastały mu skrzydła u ramion. Nie były to jednak orle skrzydła wyobraźni, rwące ku słońcu, lecz husarskie pióra, szumiące nad zbroją stalową, gdy trąbka zagrała na bój. Umysł Szymańskiego pozbawiony jest niemal zupełnie pierwiastku fantazyi, — świat piękna nie upaja mu duszy swym czarem, — to żołnierz-polityk przykuty do ziemi, strategik trzeźwy i logiczny, pochłonięty planami bitew i mustrą legionów, dusza lubiąca gwar wojny, zuchwałe napady, huk strzałów i szczęk oręża. Trzeźwość tego wodza ruchu ludowego jest tak radykalną, że graniczy niekiedy z pewną oschłością umysłu i zamienia się niemal w odrazę do idealniejszych porywów ludzkiego ducha, wylatujących poza granice cyfry i zimnej logiki. Ztąd pojęcia jego o warunkach ewolucyi społecznej, jego programy i jego organ posiadają wybitne znamiona jednostronności, lecz jednostronność ta jest równocześnie źródłem siły wychowawczej w kierunku pracy organicznej.

Jako talent dziennikarski zajmuje Szymański niewątpliwie pierwsze miejsce w prasie poznańskiej. Ruchliwość, bystrość, szybkość oryentacyi, znajomość ludzi i stosunków, zdolność argumentacyjna, umiejętność wyzyskania słabych stron przeciwnika, — wszystko to złączyło się w całość, stanowiącą niepospolitą siłę publicystyczną. Styl redaktora „Orędownika“ nie odznacza się ani wytworną elegancyą, ani kolorytem subtelnym, posiada jednak rytmikę, jasność i spoistość. Przejawia się w nim wybitna dążność do wydobycia jak najsilniejszej plastyki i podbijania umysłu czytelnika energią zwrotów i porównań. Ta pogoń za soczystością barw i wyrazistością konturów ma nawet pewne znamiona maniery, która w przełomowych chwilach naszych walk politycznych olśniewała wprawdzie i elektryzowała żołnierzy „Orędownika“, lecz przeciwnikom nastręczała niejednokrotnie sposobność do szyderstwa lub kamienowania. Jaskrawość formy łatwo przecież wyzyskać dla zabicia lub kłamliwego wypaczenia treści. Bądź co bądź jednak posiada pióro Szymańskiego jako dziennikarza-polemisty siłę niepospolitą i często zamienia się w skalpel odsłaniający w głębinach społecznego organizmu utajone lub zaniedbane bóle i zgnilizny, często staje się oskardem dobywającym z twardych granitów i ciemnych podziemi niewyzyskane skarby dla narodu.

Na trybunie agitacyjnej nie zdradza redaktor „Orędownika“ entuzyazmu i fanatyzmu. Mówi jędrnie i przekonywająco, lecz nie zauważyłem nigdy, aby retoryka jego porywała i zapalała tłumy. On uczy, nie unosi, a pyrotechniczne popisy i eksplodujące deklamacye odstępuje mistrzom frazesu, których niemała liczba znajduje się w szeregach stronnictwa ludowego. Znamienną cechą wszystkich występów Szymańskiego w roli retora jest powaga i spokój. Widziałem go niejednokrotnie przed zbitym tłumem różnobarwnych żywiołów, słyszałem gromy protestu bijące w trybunę jego, lecz mówca stał nieugięty i zimny, jak ostrzelany żołnierz o stalowych nerwach. W oczach tylko grały niekiedy jakieś lotne ognie, niby ostatni błysk wrażliwości zgaszonej wojowniczem życiem i systematyczną tresurą, niby iskry bojowych zapałów, gdy bębny larum zagrały. Chwilami przypomina Szymański Eugeniusza Richtera, brak mu tylko tej gryzącej ironii, którą wódz wolnomyślnych Niemców lubi fosforyzować przemówienia swoje.

Nie ma w całym zaborze pruskim drugiego człowieka, który kiedykolwiek stał się przedmiotem tak powszechnej i namiętnej nienawiści panujących stronnictw jak Roman Szymański. Działalność jego, wyłamująca się z opieki patentowanych ojców narodu i druzgocąca karby tradycyjnych form i przykazań życia politycznego, przedewszystkiem jednak siła, przejawiająca się w kampaniach „Orędownika“, zgotowały mu pręgierz, klątwę i bojkot. Krucyata ta nie złamała wodza ruchu ludowego, lecz zaostrzyła bezwzględność i radykalność opozycyi jego. Popalił wszystkie mosty, łączące go jeszcze z stronnictwem „ładu i porządku“, wycofał się niemal zupełnie z życia towarzyskiego i otoczony żołnierzami swymi gotuje pułki do nowego szturmu. Walka wypełnia mu całą egzystencyę — gorączkowa agitacya wyczerpuje umysł i energię, — z bitwy na bitwę! — tak ćwierć wieku przebojował i u bram jubileuszowych stoi świeży, niestrudzony i nieugięty!

Włóżcie mu wieniec srebrny na głowę! Kochał swój sztandar, kochał lud, pracował z talentem i poświęceniem w obronie narodu, a chociaż mylił się nieraz, to w gmachu Polski demokratycznej będzie mnóstwo kamieni z jego nazwiskiem.

Włóżcie mu wieniec na głowę!

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

* Przekład Verlain'e'a. W poprzednim numerze ogłosiliśmy francuzki wierszyk Verlaine'a, charakterystyczny dla twórczości tego poety, załączając równocześnie uprzejme wezwanie, by czytelnicy nasi raczyli drobiazg ten na język polski przełożyć. Z kilku łaskawie nadesłanych tłomaczeń oddajemy pierwszeństwo następującemu:

Les sanglots longs	Przeciągłe łkania
Des violons	Smętnie wydzwania
De l'automne	Harfa jesieni,
Blessent mon coeur	Aż drży me serce
D'une longueur	W dzikiej rozterce
Monotonne.	Posępnych pieni.
Et je m'en vais	Błądzę — ponury
Au vent mauvais	Bólem natury
Qui m'emporte	I zgorzkły wszystek,
Deça, delà	Jak wichrem gnany
Pareil à la	Przez puste łany
Feuille morte.	Uwiędły listek.
Verlaine.	Igor.

* * *

* Konkurs. „Kuryer Codzienny“, jeden z najpoczytniejszych organów warszawskich, rozwijający się nader pomyślnie pod zręcznem i sprężystem kierownictwem Antoniego Mieszkowskiego (Sęk), ogłasza z powodu dziesięciolecia istnienia swojego konkurs powieściowy i ofiaruje na cel ten 1000 rsr. Oprócz nagrody powyższej zapewnia redakcya autorom prac poleconych przez ko-

mitet konkursowy do druku honoraryum po 5 kop. od wiersza, pozostawiając im nadto prawo własności do wydania książkowego. Sąd o przyznaniu nagrody oddaje „Kuryer Cudzienny“ czytelnikom samym. Do komitetu konkursowego powołano najwybitniejsze siły z grona krytyków i literatów, między innemi Dr. Piotra Chmielowskiego, Wład. Bogusławskiego i Józefa Kotarbińskiego. Konkurs powieściowy „Kuryera Codzienneg“ witamy z szczerem uznaniem jako prawdziwą przysługę wyświadczoną belletrystyce polskiej.

* * *

* Z literatury muzycznej. Nasza nader uboga literatura muzyczna powiększona została przez dwa dziełka.

Anna Lisiecka wydała nakładem księgarni Spółki wydawniczej w Krakowie życiorysy i szkice pod tytułem: „Ze świata muzyki“. Autorka przedstawiła życie kompozytora Rossiniego i sławnej śpiewaczki Marietty Malibran w sposób zrozumiały dowcipny, choć trochę rozwlekły; dalej opisała życie, miłość i tragiczny koniec Roberta Schumanna, czerpiąc z najnowszych prac i źródeł odnoszących się do życia i dzieł sławnego niemieckiego kompozytora. W szkicu „Artysta w kółku rodzinnem“ rzuciła autorka nieco światła na przodków i rodziców Feliksa Mendelsohna — Bartholdyego i podała krótką charakterystykę kompozytora samego. Następny szkic poświęcony jest naszemu nieśmiertelnemu śpiewakowi Fryderykowi Chopinowi i zawiera niektóre mało znane szczegóły z życia jego. W ostatnim zaś szkicu „Po szlakach melodyi“, przedstawiła nam autorka w zajmujący sposób krótki pogląd na rozwój sztuki muzycznej, doprowadzony aż do nowszych czasów. Sposób przedstawienia rzeczy przypomina nieco „Musikalische Charakterköpfe“ p. La Mara (Lipsius). Autorka „Szkiców“ nie dorasta jednak ani wytrawnością sądu, ani znajomością rzeczy na tem polu niemieckiej pisarce. Mimo to inteligentny czytelnik z „Szkiców“ dużo może skorzystać i niejednych ciekawych i pouczających dowiedzieć się szczegółów o życiu wymienionych muzyków. Szkice okraszone nadto wytrawnemi cytatami, które autorka zaczerpnęła z dzieł poważnych autorów zmuszają nieraz i do poważniejszych rozmyślań.

Drugie dziełko wyszło w Petersburgu nakładem księgarni polskiej Grendeszyńskiego.

Jestto przekład książki znanego niemieckiego zoologa prof. Dr. Augusta Weismanna p. t. „Myśli o muzyce u zwierząt i człowieka“. Przekład ten uzupełnił cennemi komentarzami p. Adam Mahrburg. Prof. Weisman ogłosił sporo prac różnej biologicznej treści, w których podobnie jak i we wymienionem studyum, odczytanem w roku 1889 w hamburgskiem towarzystwie artystów i uczonych, występuje jako przeciwnik teoryi dziedziczności Lamarcka i Darwina. Autor stosując swe ogólne teorye do rozwoju talentu muzycznego, wykazuje punkt za punktem z gruntownością profesora niemieckiego, że osobnik nie przenosi cech osobiście przez ćwiczenie nabytych na potomstwo, a objaśniając w pracy swej początek zmysłu muzycznego dochodzi do przekonania, że rozwój nie polega na spotęgowaniu się naszego zmysłu muzycznego, nie na zmianach w przyrodzonej nam organizacyi fizycznej, lecz raczej wyłącznie na zdolności przekazywania wytworów ducha z pokolenia na pokolenia. Ciekawe to studyum polecam uwadze wszystkich myślących czytelników. Jako uzupełnienie badań autora o słuchu zwyczajnym i muzykalnym zwracam jeszcze uwagę na pracę niedawno zmarłego sławnego wiedeńskiego chirurga dr. Billrotha „Wer ist musikalisch?“, którego badań i poglądów autor w swej pracy nie mógł jeszcze zużytkować.

Edwin Jahnke.

* * *

* Chojecki stał się ofiarą niechęci ku cudzoziemcom, objawianej coraz śmielej we Francyi. Przyjęto dymisyą jego z posady naczelnego bibliotekarza senatu, o którą prosił przed kilku miesiącami, pod parciem dzienników, domagających się, aby cudzoziemiec starzec, ustąpił miejsca młodszemu, francuzowi. Pomimo sędziwego wieku, Chojecki nie usunąłby się jeszcze, gdyby nie kampania, prowadzona przeciw niemu. Przyznano mu tytuł honorowego bibliotekarza, pozostał na czele rady administracyjnej dziennika „Le Temps“. Jest to jeden z rzadkich emigrantów naszych, którzy zdobyli sobie wpływowe stanowisko w prasie paryzkiej. Nie doszedł do tego bez pewnych ustępstw, musiał z Chojeckiego stać się Charles Edmond, polskość pozostawił na uboczu i odłożył a d a c t a. Dzieje się z nami coś podobnego, jak z chrześcianinami za czasów pierwszych cezarów rzymskich. Jedni nie bili przed nimi pokłonów i nie starali się o urzędy, drudzy nie odmawiali palenia szczypty kadzidła na Ołtarzu Nerona lub Domicyana i to im się opłacało. Charles Edmond szczyptę kadzidła palił kolejno na ołtarzach rewolucyonistów w 1848 roku, Napoleonów i oportunizmu. Nie każdy czuje w sobie powołanie, nietylko do męczeństwa, ale i do apostolstwa. Może w zaciszu domowem, w pięknej willi swojej w Bellevue, pod Paryżem, Charles Edmond poczuje chęć przerobienia się znów z Charles Edmonda na Chojeckiego.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości polityczne i społeczne. Rosya czyni przygotowania do wojny z Japonią. Rosyjskie okręty przewożą znaczne oddziały wojska do wschodniej Azyi. — Przywódzca umiarkowanych radykalistów w francuzkiej izbie deputowanych, Ferdynand Sarien, otrzymał tekę spraw wewnętrznych, opróżnioną w skutek objęcia ministerstwa spraw zagranicznych p zez p. Bourgeois. — Na uroczystości Kościuszkowskiej w Krakowie urządziła partya socyalno-demokratyczna burzliwą demonstracyę, zagłuszając śpiewy patryotyczne swoją pieśnią rewolucyjną „Czerwony sztandar“. Wśród piekielnej wrzawy widział się komitet zniewolonym zamknąć zgromadzenie; socyaliści nie zadowolili się jedną awanturą i tego samego wieczora rozbili komers włościański „pod Różą“, zwołany przez posła Bojkę. — We Wiedniu straż ogniowa urządziła bezrobocie.

Teatr i muzyka. Dyrekcya teatru poznańskiego zaangażowała na przyszły sezon zimowy pannę Odran (Stępniewską) do ról bohaterskich. Panna Pankiewicz wstępuje do teatru łódzkiego. — Panna Paszkowska wystąpiła na krakowskiej scenie jako Hermiona w „Pieśni zimowej“. Dzienniki tamtejsze wyrażają się z wielkiem uznaniem o grze byłej artystki poznańskiej. — W Zurychu wystawiono z powodzeniem Hochfelda dramat społeczny na tle emancypacyi kobiet pt. „Der Kampf der Frau“. — Sullivana nowa opera komiczna pt. „Wielki książę“ nie zdobyła sobie tego uznania co Mikado. — W Pradze zbudziła wielkie zainteresowanie opera Zdenka Fibicha p. t. „Haydee“; krytyka wyraża się z uznaniem o talencie kompozytora. — Przesilenie teatralne we Lwowie zaognia się bezustannie. W drużynie aktorskiej panuje dysharmonia, publiczność zniechęcona jest w najwyższym stropniu. — Maryan Gawalewicz takie wypowiada zdanie w „Kraju“ o teatrze krakowskim: „Komedya stanowi główną podstawę repertuaru, chociaż p. Pawlikowski, dając folgę swym literackim gustom i wyższym aspiracyom na stanowisku dyrektora teatru, nie pomija i tragedyi, do której obsady tylko w męzkim personelu odpowiednie posiada siły. Całe nieszczęście, że teatr, a zwłaszcza jego kierownik, nie umie, czy nie chce zjednywać sobie i ujmować tutejszej krytyki i arystarchów opinii publicznej, bo możeby łaskawszem okiem patrzano na scenę, która, mojem zdaniem, służy sztuce gorliwie i z poświęceniem, ale, niestety, osobiste względy odgrywać się zdają ważną rolę w traktowaniu teatru i prywatne czynniki, sympatyjki i antypatyjki, przesiąkają do spraw instytucyi publicznej, która na tem traci. Tradycya szkoły koźmianowskiej pozostała dotąd na scenie krakowskiej w grze i traktowaniu sztuki; umiarkowany realizm, dążność do naturalności i prawdy, unikanie afektacyi cechuje grę wszystkich niemal artystów, pomiędzy którymi są wyjątkowe indywidualności: prawdziwe talenty dramatyczne. Nie olśniewają „gwiazdy“, ale nawet w najdrobniejszych siłach znać dobry materyał, zgrany z sobą i podatny pod sprężystem i umiejętnem kierownictwem do stworzenia wybornie zharmonizowanej całości. Zdarzały mi się w teatrze krakowskim niespodzianki, których oddawna nie miewam w Warszawie, że w nowych rolach nie poznawałem jednych i tych samych artystów, przeobrażonych nietylko skutkiem charakteryzacyi, ale i typowej zmiany w nastroju, grze i traktowaniu danej figury scenicznej. Tu się starają o rozmaitość, o wytwarzanie prawdziwych „kreacyi“ w znaczeniu dodatniem, a gdy się zważy, że po większej części tak mało mają czasu do wyuczenia się i opracowania ról, z tem większem uznaniem przychodzi oceniać ich dodatnie strony, z tem większą wyrozumiałością traktować niedostatki i braki. Zapewne, że znalazłby się i materyał do krytyki, do wytknięcia tego i owego, gdyby się wciągnęło w rachubę rozmaite względy czysto miejscowej natury, ale w ogólności wrażenie teatru krakowskiego dla kogoś, co, jak ja, nie potrzebuje się z temi względami liczyć i tylko o samej scenie sądzi bez koloryjnych okularów, pozostaje nader dodatniem i dla tej sceny pochlebnem“.

BŁĘDY JĘZYKOWE.

Takie wyrazy, jak coniebądź, ktoniebądź, gdzieniebądź, któryniebądź itp., oraz takie wyrażenia, jak „gdzie nie pójdę tam go spotkam“, „co nie powie, to skłamie“, „kto nie wejdzie, to znajomy“ i t. p. są błędnemi. Trzeba mówić: cokolwiek, cobądź, cotylko, ktokolwiek, ktobądź, ktotylko, gdziekolwiek, gdziebądź, którykolwiek itd., bez nie.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Pr. To, co Wojnicz alias Domarat popisał w „Kraju“ petersburskim o znanym wniosku Związku Towarzystw przemysłowych na walnem zebraniu „Pomocy naukowej“, nie zgadza się z prawdą. Wniosek ten jest oryginalnym produktem dyrekcyi Związku i z stronnictwem „Młodej Polski“ nie ma nic wspólnego. Ale przyzwyczailiśmy się już do tego, że pan Wojnicz-Domarat nie cofa się nigdy przed fałszem, jeżeli chodzi o przypięcie łatki przeciwnikom politycznym, a mianowicie młodym reformatorom. Na żółciowe wylewy tego pana nie ma lekarstwa, chyba... chyba... Bella gerant alii, tu felix Wojnicz nube.

Jad. O ile sobie przypominamy, przekład tej powieści ukazał sie już przed kilku laty w „Bluszczu“.

SPROSTOWANIE.

Do poprzedniego numeru wkradły się następujące omyłki: „W artykule „Tęsknota za krajem w literaturze naszej“ czytać należy na stronie 151, zamiast „Jest to najstarszy dokument nostalgii w literaturze polskiej“ — „Jest to najstarszy dokument nostalgii w literaturze“. — Dalej wydrukowano w francuzkim wierszyku Verlaine'a na ostatniej stronie, zamiast „l'a u t o m n e“ — l'atomne, zamiast „coeur“ „ceur“ — co niniejszem prostujemy.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28

Nr. 15. Poznań, niedziela 12-go kwietnia 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: Piekary nr. 6.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi w Poznaniu 4,00 mrk. Przyjmuje Administracya: Piekary 6. w Niemczech i Austryi 5,00 mrk. (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 mk. — Prenumeratę przyjmują Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.

TREŚĆ.

Fałszowanie opinii.

W miesiącu marcu zbudziło się z letargu życie publiczne na poznańskim bruku. Walne zebrania Tow. Czytelni ludowych i Pomocy Naukowej, a w najświeższym czasie burzliwe obrady nad zlotem wszechsokolskim poruszyły senne społeczeństwo, starły pojęcia i gwarem walki przerwały wielkopostną ciszę.

Odbyliśmy przegląd okopów obronnych i przegląd ten o tyle przynajmniej znękane społeczeństwo pokrzepił, że unaocznił wielostronność naszych wysiłków, stał się pobudką do nowej pracy i na bilansie dorobków narodowych wypisał hasło: Walczymy więc żyjemy. W rozdźwięku skłóconych opinii jednak wystąpiły na jaw obok znamion dodatniej natury owe źródła niemocy i laseczniki zgnilizny moralnej, ku którym zwraca się bezustannie nasze „*Ceterum censeo*“, a które życie całe skwasiły, rzuciły w kraj przygnębiony ferment niebezpieczny i rozsiały tu i owdzie zmartwiałość i odrętwienie.

Nie będziemy tu powtarzać charakterystyki tego szału koteryjnego, który zamanifestował się w najświeższych rachunkach narodowych, — czytelnicy znajdą ją na stronicach poprzednich numerów, — nie wytaczamy też oskarżenia przeciw dziwacznej odrazie do każdego drgnienia reformy w zapleśniałych urządzeniach i kierujących programach, — lecz występujemy dziś przeciw tendencyjnemu fałszowaniu opinii, panoszącemu się bezkarnie w prasie poznańskiej i tamującemu szerszej publiczności należyte orjentowanie się w stosunkach, ludziach i czynach. Rozmyślne kłamstwo stało się wprawdzie w czasach dzisiejszych epidemią grasującą we wszystkich zakątkach wielkiego królestwa prasy europejskiej, lecz ta powszechność zgnilizny nie rozgrzesza naszych fałszerzów opinii, a w kraju podbitym, znękanym i wystawionym na bezustanne zakusy wynarodowienia zanik moralnych instynktów u sterników społeczeństwa wydać musi fatalniejsze rezultaty niż u ludów wolnych i szczęśliwych.

Rozumiemy dobrze, że tam, gdzie rozgrywa się walka stronnictw i koteryi politycznych, trudno wymagać od prasy różnobarwnej bezwzględnego objektywizmu w charakterystyce działań i działaczów. Pewna tendencyjność jest niezbędnym atrybutem wszelkich zapasów partyjnych. Jako środek agitacyjny oddaje ona walczącym obozom poważne usługi, jako objaw psychologiczny jest ona produktem normalnym i koniecznym, który mimo wszelkich teoretycznych hamulców wyrasta i wyrastać musi. Nie myślimy też bynajmniej kruszyć kopii przeciw wszystkim gatunkom barwików stronniczych w imię jakichś idealnych doktryn etycznych, lecz występujemy przeciw tej wybujałości politycznych i osobistych uprzedzeń i wstrętów, która nie cofa się przed żadną fikcyą i żadnym paszkwilem dla spotęgowania sympatyi lub antypatyi walczących stronnictw, a sięga nawet w takie dziedziny bytu społecznego, które leżą poza granicami politycznych sporów.

U nas chwast ten zatruwający życie publiczne i prywatne krzewi się w zatrważających rozmiarach. Czytelnicy otrzymują za pośrednictwem dzienników w miejsce wiernych, a choćby tylko zbliżonych do prawdy reprodukcyi naszych wieców, zgromadzeń, sporów itp. jakieś obrazki o idealnie wypięknionych lub potwornie zeszpeconych, domalowanych lub zamalowanych szczegółach i postaciach, a rezultat jest taki, że szeroka publiczność o rzeczywistej fizyonomii naszych walk, dążeń i ludzi nabiera najfałszywszych, w jednym lub drugim kierunku wypaczonych pojęć. Nie dziwimy się ostatecznie owej znanej i ogólnie praktykowanej taktyce, by każde wystąpienie stronników swoich witać w akompaniamencie fanfar i puzonów, recytując słowo za słowem argumenty sympatycznych działaczów, a dla przeciwnika mieć tylko milczenie lub bladą notatkę, — lecz nie godzi się tolerować fałszu, przerabiającego np. bez ceremonii zwycięzców na zwyciężonych lub, co gorsza, sięgającego do takich nizin tendencyi, gdzie zmyślenie staje się oszczerstwem. Te „niewinne sztuczki“, — jak cynicy dziennikarscy lubią mianować nieuczciwe operacye — nietylko że bałamucą publiczność i jątrzą walczące stronnictwa, lecz nieraz stają na przeszkodzie porozumieniu przeciwników tam, gdzie solidarna akcya i zawieszenie broni w interesie narodowym jest niezbędną potrzebą. Prasa zamiast łagodzić, zaostrza różnice i wynosząc niejednokrotnie drobną różnicę zdań do wyżyn walki zaciętej, formuje sztuczne przepaście, partye i obozy, a przynajmniej utrwala przeciwieństwa, ubierając je w jakieś zasadnicze, programowe barwy. Szał partyjny nadomiar wrósł tak głęboko w pióra niektórych publicystów i tak wszechstronnie ogarnął pisma poznańskie, że ściga żołnierzy przeciwnego obozu, gdziekolwiek ich znajdzie, czy to w arenie politycznej, czy w szrankach nauki, czy w filantropijnych instytucyach, czy w dziedzinach artyzmu. W tym względzie stronniczość nasza ma wybitne cechy małomiejskości. B ü l o w był wielkim muzykiem i wielkim Bismarckofilem, ale nie było w Berlinie wolnomyślnego pisma, któreby czepiało się a r t y s t y przez wstręt do żelaznego kanclerza. Niech jednak u nas zjawi się jaki Bülow i stanie w szeregach postępowych, wnet „Kuryer Pozn.“ ogłosi go grajkiem-partaczem, który nie wart rzemyków rozwiązać organiście z Pacanowa. W codziennej prasie poznańskiej nikt prawie nie pyta o rzecz, — tu o wszystkiem rozstrzyga firma polityczna. Każdy dziennik przedstawia żołnierzy swoich jako najszlachetniejszych, najzasłużeńszych i najzdolniejszych pracowników, nietylko w polityce, lecz wszędzie, gdzie tylko rękę przyłożą lub głos zabiorą w dyskusyi. Najmarniejsza tandeta staje się dziełem geniuszu, najpospolitszy komunał lub brednia objawieniem wielkiego rozumu i niepospolitej bystrości. Przeciwnik naodwrót będzie zawsze bezmyślnym kretynem lub próżnym ambitnikiem o podejrzanych intencyach.

Mówi Sienkiewicz, że „sądy kobiet, zwłaszcza o mężczyznach, bywają zależne od ich uczuć, zarówno chwilowych, jak stałych. Wszystko na mocy tych uczuć może być przyjęte za dobrą lub złą monetę; wszystko tłomaczone na złe lub dobre, uznane za słuszne lub za fałszywe; głupota może być poczytaną za rozum, rozum za głupotę, egoizm za poświęcenie, poświęcenie za samolubstwo, grubiaństwo za otwartość, otwartość za brak delikatności“. Jeżeli ten wielki znawca duszy kobiecej ma słuszność, to prasa poznańska jest z małemi wyjątkami prawdziwą babą polityczną. Nasze marcowe obrachunki społeczno-narodowe dostarczyły w tym względzie ciekawych dokumentów. Rzeczowa dyskusya w sprawach humanitarnych lub społecznych, pozbawionych zupełnie politycznej barwy, staje się u nas prawie niemożliwą, bo na każdym kroku spotykasz milczące pytanie: Ktoś ty? Kuryer

czy Przegląd? Dziennik czy Orędownik? i według odpowiedzi układają się często opinie zgromadzenia, a zawsze prawie sądy dziennikarskie. Historya poznańskiego zjazdu prawników i ekonomistów dostarcza również w tym względzie ciekawego materyału, bo, jak wiadomo, rozwinęła na tych igrzyskach naukowych koterya „Dziennikowa“ usilne starania, aby z komitetu kongresowego usunąć człowieka, którego jedyną winą była odmienna barwa polityczna. Starania te byłyby doprowadziły do głośnego skandalu i rozdwojenia, gdyby nie energiczne wystąpienie prezesa komitetu śp. Augusta Cieszkowskiego, męża o widnokręgach szerszych, nie-poznańskich i nieugiętego wroga wszelkiego babstwa politycznego.

W takich warunkach potęgują się coraz groźniej antagonizmy w społeczeństwie zaboru pruskiego. Rozprzężenie armii narodowej i wzajemna, sztucznie przez dzienniki podsycana gorycz uniemożliwia solidarność naszych działań i paraliżuje szybkość naszych ruchów. Mnóstwo ludzi usuwa się od pracy, — mnóstwo chciałoby działać lecz znajduje bramy zaparte. Stan ten niebezpieczny nie ustąpi prędzej, dopóki u steru naszych wielkich i małych dzienników nie staną ludzie, których celem będzie tłumienie, nie podsycanie partyjnych nienawiści i uprzedzeń.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

W sprawie solidarności poselskiej i wyborczej. W „Przeglądzie Wszechpolskim“ (Lwów) czytamy:

W Poznańskiem poruszył sprawę solidarności poselskiej „Orędownik“, organ ruchu ludowego, z powodu głosowania Koła polskiego w parlamencie niemieckim za przyznaniem rządowi kredytów na powiększenie floty. Uchwała w Kole zapadła jednym głosem większości i to tylko dzięki temu, że dwóch posłów choroba zatrzymała w domu, a jeden spóźnił się na pociąg do Berlina i nie przybył w czasie właściwym na posiedzenie. Wypadek ten jest najlepszym argumentem przeciw praktykowanemu dzisiaj stosowaniu zasady solidarności. Większość przypadkowa łatwo może ze sposobności skorzystać i wydać uchwałę, przeciwną polityce Koła.

Już podczas ostatnich wyborów stronnictwo ludowe, za którego organ uważa się „Orędownik“, zerwało z zasadą solidarności. Godnym uwagi jest fakt, że przeciw solidarności dotychczasowej występuje w zaborze pruskim, jak i w Galicyi, stronnictwo demokratyczne. Nie jest to wszakże dowodem warcholstwa, właściwego stronnictwom ludowym, jak twierdzą niektórzy, ale objawem naturalnym dokonanej lub dokonywającej się ewolucyi stosunków społecznych, koniecznością polityczną. Solidarność poselska pochodzi z tych czasów, kiedy społeczeństwo polskie w obu zaborach stało w opozycyi zasadniczej do rządów. Surowe jej przestrzeganie było wówczas koniecznem, bo opozycya tylko łącznem działaniem i głosowaniem może dać uczuć rządowi, że jest siłą, z którą liczyć się trzeba. To jest jedyna podstawa solidarności, jedyne jej uzasadnienie, gdyż rozprawianie o rzekomych „poselstwach polskich w Wiedniu i Berlinie“, które przedstawiają tam niby interesy narodu polskiego, są jego „delegacyami“, jest, mówiąc szczerze, bawieniem się fikcyami. Dziś warunki zmieniły się zupełnie. Koło polskie w Wiedniu oddawna przestało być opozycyjnem, gorliwie popiera każdy gabinet i jest właściwie stronnictwem par excelence rządowem, chociaż przyznawać się do tego nie lubi. Źle to czy dobrze — rozstrzygać nie będziemy, zaznaczamy tylko fakt niewątpliwy, który zasadę solidarności czyni co najmniej zbyteczną.

Wyzyskuje tylko solidarność stronnictwo, mające przewagę w Kole, dla swych widoków samolubnych, najczęściej dla względów osobistych. Obrońcy tej zasady nie mogą przytoczyć z ostatnich kilkunastu lat ani jednego przykładu, któryby jej potrzebę usprawiedliwiał. Ale rząd musi zjednywać sobie ludzi wpływowych w Kole i to jest zysk jedyny z solidarności poselskiej.

Przedstawicielstwo polskie w Berlinie prowadziło do niedawna politykę zasadniczo-opozycyjn[illegible], była więc w nim solidarność konieczną i musi [illegible] nawet w przyszłości konieczną wobec stosunku na[illegible] szego społeczeństwa do rządu i społeczeństwa niemieckiego. I tam wszakże stronnictwo, mając[illegible] większość w Kole, potrzebę solidarności osłabiło skłoniwszy się po znanych oświadczeniach p. Kościel[illegible]skiego i po wiecu toruńskim w r. 1891 — do poli[illegible]tyki ugodowej.

Zarówno polityka Koła polskiego w Wiedni[illegible] jak i Koła w Berlinie ma wielu przeciwników, któ[illegible]rych liczba wciąż wzrasta. Ci ludzie, przeświad[illegible]czeni, że tego rodzaju polityka jest zgubną dla i[illegible]teresów narodowych nie mogą dokonać jej zmia[illegible] bez zerwania solidarności. Łatwo powiedzieć: je[illegible] opinia publiczna oświadcza się za nimi, to mogą [illegible] wyborach przyszłych pozyskać większość mandat[illegible] i wtedy zainaugurują politykę inną. Ale opr[illegible] opinii publicznej na rezultat wyborów wpływ[illegible] w większym od niej stopniu ustawy, a w największ[illegible] — rutyna i organizacya wyborcza. Nie trzeba [illegible]wiem zapominać, że solidarność obowiązuje niety[illegible] w parlamentach, ale i w akcyi wyborczej. I w Ga[illegible]licyi i w zaborze pruskim istnieją centralne kom[illegible]tety wyborcze, które kandydatów, przeciwnych upr[illegible]wilejowanym posiadaczom mandatów, odrzucają, a zn[illegible]czna liczba wyborców, obałamucona wmówionym [illegible] nią obowiązkiem solidarności, głosuje za kand[illegible]datem poleconym.

Wyłamanie się z pod tego nakazu jest w p[illegible]wnych okolicznościach koniecznym warunkiem r[illegible]woju politycznego, wtedy mianowicie, kiedy w szr[illegible]ki życia publicznego wchodzą nowe warstwy społ[illegible]czne, nowi ludzie, kiedy zjawiają się nowe progra[illegible] nowe pojmowanie interesów narodowych.

Jeżeli nie nadeszła, to zbliża się już taka chwil[illegible] przełomu dla Galicyi i zaboru pruskiego. Stronni[illegible]ctwo ludowe tu i tam musi, powiem nawet, powin[illegible] zerwać solidarność dotychczasową i dopiero późnie[illegible] kiedy stosunki ułożą się według pewnej normy, p[illegible] wrócić ją, ale na innych zasadach. Solidarność [illegible]trzebną jest tylko w sprawach, mających charakte[illegible] ogólno-narodowy, które można nawet dosyć szcze[illegible]łowo określić. Zresztą inną musi być solidarn[illegible] przedstawicielstwa polskiego w Galicyi, a inną [illegible] Prusiech, tej ostatniej nadać trzeba zakres szer[illegible] ścisłość większą“.

W dalszym ciągu charakteryzuje „Pr[illegible]gląd Wszechpolski“ ostatnie głosowanie K[illegible]

K. ROJAN.

W ŚWIAT.

(Ciąg dalszy).

A że tak było, tem lepiej; wszakże był to jej tryumf i zemsta za siniec na ramieniu i za te wszystkie przykrości, których w ciągu trzech lat zaznała. Macocha widziała się pokonaną i upokorzoną... A o to właśnie chodziło.

Po tygodniu wstała Lola z łóżka i wyczekiwała z upragnieniem czwartej godziny. Ponieważ była osłabioną, więc położyła się na sofie i marzyła.

— Wyjdziesz dzisiaj do niego? — zapytała pani Borajska, przechodząc przez pokój z kapeluszem w ręku.

— Wyjdę — odparła Lola krótko.

— Myślałam, że jesteś jeszcze bardzo osłabiona.

— Nic nie szkodzi. Do czwartej prześpię się jeszcze, to będę silniejsza.

Na tem się skończyło.

O przyjściu Dynieckiego miano jej dać znać.

Pani Borajska przypięła tymczasem kapelusz do włosów przed lustrem.

— Jakby ojciec pytał się o mnie, powiedz, że poszłam do miasta. Rzekłszy to wyszła na palcach do bawialni.

Tu zastała Anulkę, która nie chcąc przeszkadzać Loli w drzemce popołudniowej, wyszła przedtem z robótką w ręce z pokoju dziewcząt.

Pani Borajska dumała chwilę przed zwierciadłem, zapinając uważnie guziki u rękawiczek. Coś ważyła w głowie, bo wśród tych czynności kilkakrotnie rzucała ukradkowe spojrzenia na dziewczynę. Wreszcie podeszła ku Anulce i usiadła obok.

— Już od dawna chciałam z tobą o czemś ważnem pomówić — rozpoczęła.

Anulka podniosła na nią swoje czarne, wielkie, zdziwione oczy.

— Powiedz mi, czy ty kochasz swego brata?

— Pani przecież wie, że go kocham. Czemu nie miałabym kochać?

— Tak, to bardzo ładnie, że go kochasz. A wiesz ty, jakie on ma teraz przykrości?

— Wiem. Wprawdzie on nie lubi o takich rzeczach ze mną rozmawiać, ale ja wiem, domyślam się.

— On jest bardzo nieszczęśliwy.

Anulka opuszcza ręce z robótką na kolana i zwiesza smutnie głowę.

— Kiedyś tu powiedział mężowi, że ma naprawdę zamiar iść w świat.

— Jabym wolała, żeby został.

— Otóż właśnie. Ja takżebym wolała. Twój brat powinien zostać u nas koniecznie, bo jego czeka tu wielkie szczęście i mężowi z nim bardzo dobrze. A tymczasem gdy pójdzie między obcych, to zmarnieje.

— Ja go już nieraz prosiłam, żeby [illegible]szedł; ale on uparty. Cóż pocznę?

— Onby został, gdyby Lola chcia[illegible] wyjść za niego.

— Lola nie chce.

— Nie chce, bo kocha Dynieckiego.

— Cóż na to poradzić?

Pani Marcysia uśmiecha się w [illegible] miejscu i kiwa znacząco głową.

— Możeby znalazła się i rada.

— Alboż ja wiem?

— Właśnie, że wiesz.

— Nie wiem, proszę pani.

— Ha, ale ja wiem za to. Bo wid[illegible] ty jesteś jeszcze wielkie dziecko i nie m[illegible] takiego doświadczenia jak ja. Ja wid[illegible] wszystko i wiem wszystko.

Ciekawość Anulki wzrasta.

— Najpierw trzeba ci wiedzieć, że [illegible] Dyniecki Loli nie kocha.

— Któż go tam wie?

— Ja ci mówię, że tak jest. A co [illegible] mówię, to święta prawda. Gdy więc [illegible] przekona się, że Dyniecki jej nie kocha, [illegible] popłacze trochę i wróci znowu do twe[illegible] brata. I w ten sposób brat twój nie p[illegible]dzie w świat, ale zostanie u nas.

— Żeby to tak było!

— Bardzo łatwo będzie, jeżeli tylko zechcesz.

— Ja proszę pani, ja?

— A żebyś wiedziała, że ty, już ja [illegible] dawna przyglądam się uważnie z boku [illegible]

Polskiego w parlamencie berlińskim i takie załącza uwagi:

„Istotnie, czy jest inny sposób dokonania zmiany polityki, która w społeczeństwie nie ma zwolenników, którą z okazyi ostatniego głosowania potępiają wszystkie pisma, oprócz „Kuryera Poznańskiego“, nie wyłączając poważnego i do zbytku umiarkowanego „Dziennika Poznańskiego“ a nawet ultra-klerykalnego „Dziennika Kujawskiego“.

Jeżeli solidarność przy wyborach nie będzie zerwaną, przejdą ci sami posłowie, jak się okazuje, niepoprawni marzyciele ugodowi i poprowadzą dalej politykę, sprzeczną z dążeniami ogromnej większości społeczeństwa, uznaną powszechnie za szkodliwą dla jego interesów, nieudolną i poniżającą.

A czem, w najgorszym razie, grozi zerwanie solidarności w zaborze pruskim? Tem, że do sejmu i parlamentu zamiast 19 lub 17 posłów wejdzie dajmy na to, 16, 15 lub 14. Przedstawicielstwo polskie tak jest nie licznem w obu tych izbach, że strata kilku mandatów ani doda, ani ujmie powagi, chociaż zapewne wywarłaby na społeczeństwo polskie wrażenie przygnębiające. Energia i zręczność polityczna stokroć więcej w takiem położeniu znaczyć mogą, aniżeli liczba głosów, bez których rząd prawie zawsze obyć się potrafi. W Austryi zaś zerwanie solidarności nie miałoby wogóle żadnego skutku ujemnego, osłabiłoby chyba tylko powagę matadorów Koła i utrudniłoby im obrabianie interesów własnych i klasowych. W Galicyi wschodniej, w kuryi wiejskiej zdobyli może kilka mandatów Rusini, które zresztą słusznie im się tam należą, ale ta strata jest w bliskiej przyszłości nieunikniona, a stronnictwo ludowe polskie w okręgach mieszanych łatwiej przeprowadziłoby dziś nawet swoich kandydatów, aniżeli centralny komitet wyborczy dotychczasowych posłów ze szlachty, gdyby tym ostatnim nie dopomagały władze i gdyby nie było wołających o pomstę nadużyć.

Podnieśli solidarność do godności zasady i gorliwie jej bronią ludzie, którzy pierwsi w polityce wyrzekli się zasad i uznają tylko interesy i którzy pierwsi przeniewierzą się jej, kiedy znajdą się w mniejszości“.

* * *

W sprawie górnośląskiej „Gazety katolickiej“. Jak już wiadomo czytelnikom naszym przedzierzgnął się germanizacyjny „Kuryer Górnośląski“ w germanizacyjną „Gazetę katolicką“, wydawaną w Królewskiej Hucie przez grono kapłanów, wrogich narodowości naszej. W interesie nowego pisma rozwinięto wstrętną agitacyę, wyzyskującą ambonę w celach politycznych a zdążającą do zabicia polskich organów narodowych na Górnym Szląsku. Sprawie tej poświęca jeden z korespondentów „Gazety Opolskiej“ (Nr. 26) następujące uwagi:

„Ledwie się nowa gazeta pojawiła, już tak samo postępuje, jak „Kuryer“. Sposób polecania tej nowej gazety poniekąd jeszcze mniej się zgadza z zasadami chrześcianizmu; powyżej podane oczerniania, wywieranie już nie wpływu, ale wszechwładnego nacisku dla przysporzenia abonentów nowej gazecie nie zjednają jej pomiędzy oświeconym ludem przyjaciół.

Czy ci księża, którzy swe pieniądze dają na nową gazetę, sądzą, że my „Kuryera“ nie poznamy w jego nowej szacie „Gazety Katolickiej“? Grubo się mylą. Nie chcieliśmy „Kuryera“, nie chcemy tej nowej gazety jemu podobnej, bo ona nas coraz więcej od was dzieli, a my pragniemy, żeby była zgoda i jedność, a tej „Kuryer“ nie chciał, nie szerzył. My chcemy i pragniemy oddać, co się Kościołowi naszemu katolickiemu należy, a śmiało możemy oddać i też powinniśmy oddać naszej sprawie, t. j. narodowości, co jej się należy, bez przekroczenia obowiązków, jakie mamy jako katolicy.

„Kuryera“ poznaliśmy po owocach. „Kuryer“ miał za sobą siły materyalne; była władza i powaga umożliwiająca wstęp „Kuryera“ do każdej chaty górnośląskiej, ale mimo to wydał bardzo liche owoce, nie mało odebrał swoim założycielom pieniędzy i powagi, uszkodził nie mało wpływy duchowieństwa, powiększył niezgodę i rozdwojenie tych ludzi z ludem, co mają być jego przewodnikami, i po takiej szkodzie kończy swój żywot.

„Gazeta Katolicka“ bynajmniej nie zaczyna naprawiać tego złego, co nabroił „Kuryer“. Swą działalność zaczęła odnowieniem starych ran, rozgoryczenia i rozdwojenia. Widać to przynajmniej ze sposobu, w jaki bywa polecana. Takiej i tak polecanej gazety my, bracia Szlązacy, nie możemy popierać, jej nie śmiemy otworzyć naszych chat. Skoro jest wrogiem naszych trzech gazet, to niech wystąpi otwarcie i niech powie, o co jej głównie chodzi, a wtenczas jesteśmy zawsze gotowi do otwartej walki w interesie znakomitego hasła: za prawdę, wolność i prawo.

Wierzę w to, że Bóg wszechmocny obudził lud górnoślązki ze snu wiekowego, że to Jego dziełem, iż świadomość narodowa obejmuje coraz większe koła naszego ludu. W nadziei więc, że On będzie naszą pomocą w wszelkich przypadkach, że On nas nie opuści, będziemy się i nadal mocno sztandaru trzymali, a w takim razie też nie zginiemy“.

* * *

Videant consules. „Gazeta Toruńska“ ostrzega w Nr. 79 władze kościelne przed germanizacyjnemi zakusami i wróży ztąd wielkie niebezpieczeństwo dla religii.

„Widzimy już uśmiech na ustach tych, którzy — według utartego zwyczaju — przywiązanie ludu do katolicyzmu uważają za tak silne, że nawet najsroższy ucisk narodowy, wywierany przez kościół, nie zdołałby go zachwiać w tem przywiązaniu. Pobieżni znawcy stosunków polskich powiedzą też, że Polak wogóle nie może zerwać z katolicyzmem, jeżeli nie chce pozbyć się także narodowości polskiej. Na to odpowiadamy, że prawdą jest, iż Polacy szanując Rodaków, urodzonych w innem wyznaniu, pogardą piętnują i odtalają od stołu narodowego wszystkich zaprzańców religijnych. Niema też w Polsce wogóle pism publicznych, któreby zwalczały katolicyzm jako taki. Nawet najstarsze na ziemi polskiej stowarzyszenie socyalistyczne miało w lokalu swym obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Dowodzi to wszystko, że katolicyzm wśród Polaków bardzo silne ma podstawy.

Niemniej wszakże grozi mu przez zachcianki germanizatorskie, pojawiające się u niektórych duchownych, wielkie niebezpieczeństwo. Na protestantyzm ani na schismę Polak przywiązany do swej narodowości oczywiście nie przejdzie, choćby zupełnie dla religii katolickiej zobojętniał, ale może łatwo stać się bezwyznaniowym. Kto mu wtenczas zabroni w imię interesu narodowego wydać hasło, wzywające rodziców polskich, aby dzieci swych nie posyłali na naukę przygotowawczą do Sakramentów świętych dopóty, dopóki nie otrzymają przyrzeczenia, że będzie ona udzielana w języku ojczystym? Byłoby to ze stanowiska narodowego liberała zupełnie konsekwentne, a że coś w rodzaju stronnictwa narodowo-liberalnego i u nas jest możliwe, przyznają ci wszyscy, którzy pamiętają czasy przedkulturkampfowe.

Powie kto, że lud nie usłuchałby wspomnianego hasła. Nie można tego wiedzieć. Lud polski choć

---

dza, że Dyniecki nie Lolę, tylko ciebie kocha.

— Mnie? — woła Anulka przemieniając się w piwonię.

— Tak, tak, ciebie. Z pewnością, że ciebie. Czyś nie uważała jak on zawsze na ciebie patrzy?

Wobec tego zapytania Anulka nie wie co z sobą począć. Zmieszana, zapłoniona, kręci się na krzesełku i poprawia sukienkę, bąkając pod nosem:

— Nie wiem... nie uważałam... ja nigdy nie uważałam.

W tem zaprzeczeniu jest wiele wahania, co nie uszło uwagi Marcysi.

— A jednak ja uważałam — powtarza dobitnie pani Borajska. — Tak jest, on cię kocha z pewnością, — i dodaje następnie: — Gdyby się Lola przekonała, że Dyniecki nie ją kocha, ale ciebie, wtenczas pogodziłaby się z twoim bratem. Byłoby to prawdziwe szczęście dla Franciszka.

— A cóż ja — proszę pani, mogę na to poradzić?

— Możesz, moje dziecko, możesz... trzeba tylko, żebyś zechciała.

— Nic nie rozumiem, proszę pani....

— Ja ci zaraz wytłomaczę. Mąż mój i pan Franciszek zajęci są pracą: Lola śpi tam, po tamtej stronie kurytarza; ja idę zaraz do miasta i nie wrócę tak prędko. Za chwilę przyjdzie tu Dyniecki, tak codziennie przychodzi. Ty go przyjmiesz i nikt wam nie przeszkodzi.

— A cóż ja mam czynić, proszę pani?

— Dzieckiem przecież nie jesteś, pomyśl trochę, a będziesz wiedziała. Dyniecki jest bogaty, więc ta, która za niego wyjdzie, będzie wielką panią... a on cię przecież kocha. Gdyby on ożenił się z tobą, Lola wróciłaby do twego brata. Franciszek byłby bardzo szczęśliwy, a my wszyscy zadowoleni. On tu przyjdzie za chwilę i będzie rozmawiać z tobą jak zawsze. Może ci powie coś takiego, co ci sprawi przyjemność... może uściśnie cię za rękę; nie trzeba mu się bronić... owszem, lepiej nawet ośmielić go cokolwiek... ot tak, niby coś tam tego... rozumiesz. Mężczyźni lubią nawet niekiedy, jak im się śmiało i wesoło patrzy w oczy. Zresztą ty już wiesz, o co mi chodzi, przecież dzieckiem nie jesteś. Prawda, że rozumiesz.

— Nie wiem — odpowiada Anulka niby w gorączce.

— Namyśl się tylko, a wszystko będzie dobrze. Ja teraz idę do miasta i przyjdę dopiero wieczorem. Bądź zdrowa, moje dziecko.

Pożegnawszy czułem spojrzeniem Anulkę, wyszła na ulicę.

Znała dobrze drogę, którą przechodził zwykle Dyniecki, zdążając do ich domu. W tę też stronę zwróciła się i szła wolno, niemal leniwie, stając co chwila i oglądając się za siebie, rozpinając i zapinając rękawiczki, słowem, opóźniając się o ile możności.

Na rogu Zielonej ulicy spotkała się Boraiska z Dynieckim. Piękny młodzieniec z fiołkiem u paltota, przystąpił do niej zaraz i jak gdyby nigdy nic między nimi nie było, począł żartować:

— A cóż to chowa się pani przedemną czy co? Od tygodnia bywam codzienie u państwa i zawsze pani taka zajęta, że nigdy się nie widzimy. Obawiam się, czy pani nie pogniewała się na mnie.

— Albo nie ma za co się gniewać?

— Ejże!.. żarty. No i za co?

— Już pan wiesz za co. Zbałamuciłeś mi pan cały dom, a nawet mnie samą zacząłeś bałamucić.

— O pani wiem, ale cały dom?... jakto cały dom?

— Juścić że cały. Co do mnie, to ja zanadto doświadczona kobieta, żebym się dała na plewę złapać. Ale moje dziewczęta, to jeszcze żółto dzióby. Unieszczęśliwiłeś pan obie.

— Nie może być!! obie?

— No, pewnie. Jedna już tydzień leży chora z miłości, a druga wnet się położy i będzie chorować przez pana dwa tygodnie. Fe panie Dyniecki, nie żartuj pan z ogniem. Za te sprawki warto pana, jak Bozię kocham, wsadzić do ciemnego pokoju na postny chleb i wodę.

Jak mi pani zechce towarzyszyć, to i owszem.

Dziękuję. Jużeś mi pan raz towarzyszył w ciemnym pokoju, drugi raz nie chcę. Idź pan sobie do młodych, a mnie poważnej, wiekowej kobiecie, daj spokój.

— Dalibóg, szczerość godna podziwu. Więc mam iść do młodych, co?

do religii bardzo przywiązany, uczy się podczas wędrówek w strony protestanckie a nawet w domu po miastach pod wpływem otoczenia niekatolickiego obywać długi czas bez nabożeństwa i bez spowiedzi. Niejeden gotów więc, choćby nie miał wyrobionego poczucia narodowego, już przez samą przekorę, dla dokuczenia księdzu proboszczowi, z którym może miał zatargi, zastosować się do otrzymanej rady. Kto sam o spowiedź nie dba, chętnie zgodzi się na to, że dziecko jego o rok lub dwa później przystąpi do Sakramentów świętych. Przecież już dziś — dzięki indagacyom sądowym — wiemy iż są po miastach parafie, w których polscy chłopacy do 16 i 18 roku życia nie wiedzą o spowiedzi. Cóż będzie, jeżeli znów wśród nas podniesie głowę narodowy liberalizm i na swój sposób zacznie zwalczać germanizacyę przez kościół? Prosimy nam wierzyć, że nie brak objawów dowodzących, że się na to zanosi, Wiemy owszem, że tylko opór lub sporu obawa polskich gazet zachodnio-pruskich powstrzymuje rzucenie hasła, wzywającego lud do biernej opozycyi przeciw katolickim germanizatorom. To hasło może się przecież i na innej drodze rozpowszechnić i wywołać prąd, którego spóźnione ustępstwa nie powstrzymują. Sprawa Sztumska, to straszna przestroga!

Powtarzamy więc raz jeszcze: ***Videant consules*** — niech ci, którzy przedewszystkiem powołani są do czuwania, aby lud nasz nie zatracił tak cennego skarbu, jakim jest religia katolicka, dokładają starań, aby zapobiedz złemu, d o p ó k i j e s z c z e p o r a!“

— ski.

O Stańczykach.

(Wyjątek z 2-go tomu dzieła K. Bartoszewicza o „Rzeczy“ p. Koźmiana).

II.

(C i ą g d a l s z y).

(Galicya w r. 1867 wchodzi stanowczo na drogę kompromisową. Przyszli Stańczycy występują jako opozycyoniści).

A teraz pomińmy świadectwa prywatne, a weźmy się do świadectw historycznych. Z nich się przekonamy jeszcze ściślej, jeszcze dokładniej, kto to na nowe tory prowadził Galicyę, a rezultatem tego przekonania się będzie odsłonięcie w całej nagości samochwalstwa p. Koźmiana i jego przyjaciół politycznych. Nie mogąc się długo rozwodzić, tylko w głównych zarysach przedstawię początek historyi tych „dróg nowych“.

Kiedy w r. 1865 Belcredi ogłosił manifest wrześniowy, zapowiadający naprawę konstytucyi i federalistyczny kierunek wewnętrznej polityki państwowej, Lwów, stolica „czerwonych“, pierwszy postanowił dać dowód, iż społeczeństwo nasze pragnie porozumienia z rządem, wybierając posłem byłego namiestnika i byłego prezydenta ministrów Agenora Gołuchowskiego, uchodzącego powszechnie za „szwarcgelbera“, — tym zaś, który na wybór jego wpłynął, był nie kto inny, jak najwięcej znienawidzony przez późniejszych stańczyków Jan Dobrzański, czerwony redaktor Gazety Narodowej. Nie potrzebuję chyba dowodzić, iż podstawy w Galicyi do tego wszystkiego, co posiadamy, dał Gołuchowski, mianowany w r. 1866 namiestnikiem Galicyi. Z jednej strony trzebił niemczyznę, z drugiej umacniał wierność dla korony. Oprócz Gołuchowskiego głównym rzecznikiem i przedstawicielem kompromisu na podstawie wzajemnych ustępstw stał się czerwony Ziemiałkowski. System przez tych dwóch ludzi zainicyowany, coraz więcej jednał sobie zwolenników, a pomiędzy przeciwnikami swoimi liczył stronnictwo krakowskie i szanownych członków grona krakowskiego.

Kiedy po upadku Belcrediego, Beust stał się kierownikiem polityki austryackiej, zwołano w roku 1867 Radę państwa. Na zjeździe odbytym w Wiedniu, Czesi usiłowali zachęcić wszystkich federalistów, a więc i Polaków do abstencyi. Udało im się nawet pozyskać dla swojej polityki Morawian, którzy jednak później porzucili ten system opozycyi. Zwołany sejm galicyjski sprawę abstencyi wziął pod uwagę, a debaty z dnia 2 marca 1867 r. pozostaną jasnym, niezbitym dowodem, kto kraj prowadził do ugody z rządem, a kto ugodzie tej przeszkadzał. Komisya sejmowa, której sprawozdawcą był Ziemiałkowski, oświadczyła się za wyborem delegatów do Rady państwa i za projektem adresu do tronu, w którym silnie zaznaczono dążności anticentralistyczne. „Obowiązkiem naszym, mówił Ziemiałkowski, iść właśnie do Wiednia i przeszkadzać, aby nie nastała ceutralizacya i reakcya...“ Poddawszy silnej krytyce dotychczasowy system rządowy, Ziemiałkowski tak dalej mówił: „Jeżeli mimo to kraj cały podpisał to, co sejm wyrzekł przed kilkoma miesiącami, że pragniemy potęgi Austryi i przy tej Austryi stać myślimy, bardzo ważne muszą to być powody, które zniewalają kraj zapomnieć o wszystkich cierpieniach. Spojrzyjmy, co się dzieje na ziemiach, które niegdyś część Polski stanowiły: w jednej części kapitały pruskie wykupują ziemię naszą, a ziomków naszych do rzędu pariasów strącają; w drugiej części mieczem i ogniem wytępiają braci naszych i przesiedlają całe rodziny. Tu tylko znalazła polskość schronienie, tu tylko wolno nam pisać, czuć po polsku, upominać się o prawa swoje; Galicya jest arką, w której polskość się skryła i przy pomocy rządu i pracy naszej przetrwa burze barbarzyńskiej powodzi. Dla tego moi panowie, że chcemy mieć Austryę silną i tego szczerze pragniemy, nie powinniśmy żadnej przeszkody stawiać, gdzie idzie o to, aby Austrya była wzmocniona; a wzmocniona będzie przez ukonstutuowanie, jakie podług naszego zapatrywania być powinno. Zdaje mi się, że to jest najsilniejszy powód, dla którego powinniśmy delegatów do Rady państwa wysłać...“

Na drugi dzień wobec stanowiska rządu, który zagroził rozwiązaniem Sejmu, — cofnięto projekt adresu. Grocholskiego, który w dniu poprzednim oświadczył się za niewysłaniem delegacyi, poparł Adam Potocki. W obronie wysłania delegacyi przemówił Zyblikiewicz, któremu raz tylko udzielono brawa. Za to huczne oklaski i brawa zbierał członek grona krakowskiego, przyszły stańczyk Ludwik Wodzicki, przemawiający przeciw wysłaniu delegacyi. Ziemiałkowski zabrał głos powtórnie i pobił zapatrywania przeciwników. Sejm większością 99 głosów przeciwko 34 uchwalił obesłać Radę państwa. Do tych 34, którzy głosowali przeciw obesłaniu, należeli przeważnie posłowie kra-

---

— A idź pan sobie. Ja teraz załatwiam sprawunki w mieście i pana nie potrzebuję. Przyjdę za godzinę...

— Powiada pani zatem, że ta druga także... tego?

— Ot, widzicie go!... już mało nie wyskoczy ze skóry. Ej wisus z pana, panie Dyniecki, wisus, bałamut, niegodziwiec, zbereźnik! — Pogroziła mu palcem. — No do widzenia, Anulka wzdycha i drży z niecierpliwości. Spiesz się pan, bo gotowa zemdleć.

Dyniecki ukłonił się i odszedł w doskonałym humorze. Ta kobieta to nieoceniona dobroć i wyrozumiałość; pojąć jej prawie nie mógł. Ale też nie bardzo zastanawiał się nad słowami pani Marcysi. Wybrał z nich to, co mu było potrzebne, resztę wrzucił do kosza. Wybrał mianowicie tę myśl jedną, że Anulka szaleje za nim. To wystarcza!...

Szybkim krokiem podążył do mieszkania Borajskich, układając po drodze różne przyjemne planiki.

W tym czasie Anulka przechodziła nieopisane męki i rozkosze. Powiedziano jej, że powinna kochać pięknego, bogatego chłopca, który swoją drogą bardzo a bardzo przypadł jej do gustu; powiedziano dalej, że kochać tego człowieka trzeba koniecznie, gdyż tylko przez to może Franek odzyskać utracone szczęście, powiedziano jej wreszcie kilka takich dziwnych rzeczy, jak naprzykład: „mężczyźni lubią czasem, aby im śmiało i wesoło patrzeć w oczy itp.“, a więc rzeczy, z których jasno zdać sobie sprawy nie mogła, lecz ostatecznie nie powiedziano jej, czy to nie grzech kochać mężczyznę, którego już serdeczna przyjaciółka kocha i czy wolno przyjaciółkę pozbawiać szczęścia dla wrócenia szczęścia bratu? W przeciągu minut dziesięciu, przez główkę Anulki przebiegły roje sprzecznych myśli, wywołując przyspieszone bicie serca i ogniste wypieki na bladą twarzyczkę.

Ostatecznie na owe myśli, występujące w formie przeróżnych zapytań, nie znalazła zadawalającej odpowiedzi ani uspokojenia i gdy już usłyszała kroki Dynieckiego w kurytarzu, przelękła się niezmiernie:

— Ach.... idzie — wyszeptała — wyciera trzewiki o rogóżkę, bierze za klamkę... Boże, jak mi serce bije!...

Drzwi rozwarły się i wszedł on istotnie. Anulce wydało się, że w pokoju nagle ciemnieje.

On tymczasem zbliża się, wita, coś mówi, podaje rękę, zapytuje — ale biedna Anulka nic z tego wszystkiego rozumieć nie może.

Gdy się to dzieje w bawialni państwa Borajskich, w przyległym do bawialni kurytarzu, odgrywa się inna scena. Pani Marcysia, odprowadziwszy Dynieckiego wzrokiem na koniec ulicy zielonej, wróciła zaułkami do domu i wszedłszy do kuchni, dała rozkaz kucharce, aby poszła po wiktuały do miasta.

Przywiązana do Loli stara piastunka, służąca Katarzyna zauważyła, że ma donieść panience o przyjściu panicza.

Na to gospodyni spojrzała groźnie i odrzekła krótko, że sama to zrobi.

Służąca odeszła.

Tymczasem pani Marcysia, podsunąwszy się na palcach kurytarzem do drzwi od bawialni, poczęła uważnie przysłuchiwać się rozmowie, toczącej się wewnątrz.

Do jej uszu dolatywały początkowo niewyraźne jakieś słowa, poczem wyłoniła się z nich rozmowa, następującej treści:

Głos Dynieckiego:

— Ciekaw jestem, czy się pani domyśla?

Anulka:

— Dla tego, bo miał pan miłą sąsiadkę obok siebie.

— Z prawej, czy lewej? Z prawej siedział wiecznie sapiący i duszący się od śmiechu Klepka. No, tego przecież miłą sąsiadką nazwać nie można.

— Ale z lewej, z lewej....

— Z lewej siedziała panna Lola.

— A widzi pan!...

— Czy panna Lola była wówczas przy kolacyi w „Gwieździe“ miłą sąsiadką, o to możnaby się jeszcze posprzeczać. Panna Lola ma swoje chwile, że podobać się może. Podobała mi się podczas przedstawienia — ale w godzinę później, przy kolacyi, była zgryźliwa, przykra, niesmaczna. Widzi pani zatem, że nie panna Lola była przyczyną mego złotego humoru.

— No to już nie wiem kto.

(Ciąg dalszy nastąpi).

kowscy, z okolic bliższych Krakowa, aż po Tarnów i przyszli Stańczycy, a mianowicie z większej własności krakowskiej: K. Wodzicki, Boczkowski, Chrzanowski, Paszkowski i Haller, z miasta Krakowa Samelson, z izby handl. krak. Helcel, z Tarnowa Rutowski i Dzwonkowski, z Now. Sącza Trzecieski, z mniejszych własności: chrzanowskiej Adam Potocki, boheńskiej Hoszard, z mieleckiej J. Tarnowski, z myślenickiej Zduń, z nowotarskiej Fihauser, z Kęt Wyrobek, — wreszcie posłowie rzeszowscy: Ludwik Wodzicki i Stanisław Tarnowski.

Charakterystycznem jest bardzo, że Adam Potocki, Leon Chrzanowski, Henryk i Ludwik Wodziccy, a wreszcie Stanisław Tarnowski, przyjęli mandaty do Rady państwa, pomimo, iż przeciwko wysłaniu delegacyi do ostatka walczyli[1]).

Byłoby w najwyższym stopniu niedorzecznością i niesprawiedliwością mieć za złe wymienionym posłom ich opozycyę, bo działali w dobrej wierze, sądząc, że na tej drodze więcej dla kraju uzyskają, ale bądź co bądź dzieje uchwały 2go marca wskazują wyraźnie, iż posłowie krakowscy i przyszli stańczycy stali w opozycyi przeciw wejściu kraju na drogę kompromisową, na którą weszło trzy czwarte sejmu pod wodzą Gołuchowskiego i Ziemiałkowskiego.

Jeden z założycieli Przeglądu polskiego i z przyszłych stańczyków, Wodzicki, był głównym rzecznikiem opozycyi, drugi Tarnowski z opozycyą głosował — trzeci pan Koźmian i czwarty Szujski nie byli posłami, więc zdania swojego w Sejmie wypowiedzieć nie mogli. Ale trzymali razem ze swoimi przyjaciołmi politycznymi, na co mamy dowód w Przeglądzie polskim i w Czasie. — W artykule „Uchwała sejmowa z 2go marca i delegacya do Wiednia“ Józef Szujski nietylko skrytykował uchwałę sejmową, ale zachęcał, aby w łonie samej delegacyi dalej toczyła się walka. Zarzucał Sejmowi abdykacyę, a jako na powagę powoływał się na praską Politik. Wytoczył nawet argumenta z insynuacyi Dziennika warszawskiego, urzędowego organu rosyjskiego[2]). Czas znów rozdzierał szaty z powodu „tryumfu polityki parafialnej nad zdrowym zmysłem polityki narodowej“, gromił utylitaryzm polityczny, bo „tylko niezłomność ratuje honor i godność narodu[3]).“ — W parę dni później, pisząc o uchwale sejmowej, „bolesnej pod każdym względem“, zapisuje Czas „w poszanowaniu“ imiona posłów, „którzy stanęli tak niewzruszenie w obronie praw pieczy ich powierzonych“, a zapisuje dla tego, aby „podać je miłej pamięci całego kraju“.

Zwycięztwo Gołuchowskiego i Ziemiałkowskiego, „głównego twórcy uchwały 2-go marca“, jak się Czas w kilkanaście lat później wyraził[4]), dało główną podstawę od paru lat już zapoczątkowanej polityce kompromisowej. Ziemiałkowski, jako prezes wybranej delegacyi, z dodanymi mu przez Koło polskie dwoma jego członkami, Adamem Potockim i Krzeczunowiczem, rozpoczął pertraktacye z Beustem. Rezultatem ich było sankcyonowanie ustawy krajowej o języku wykładowym i ustanowienie krajowej Rady szkolnej. Dalszem następstwem uchwały 2go marca było zaprowadzenie języka polskiego jako urzędowego w sądach i urzędach. Wszystkie te zdobycze, ponad które Galicya do dziś dnia właściwie nic więcej nie otrzymała, a tylko z nich nieco utraciła (jak n. p. uszczuplenie praw Rady szkolnej) — były uzyskane na podstawie programu Gołuchowskiego i Ziemiałkowskiego, którego wyrazem było wysłanie delegacyi wbrew posłom krakowskim w ogóle, a przyszłym stańczykom w szczególe. Słusznie wprawdzie może ktoś powiedzieć, że kto wie, czy i na drodze opozycyi, reprezentowanej przez posłów krakowskich i przyszłych stańczyków, nie wywalczylibyśmy sobie praw tych samych, ale historya musi się liczyć z faktami, a nie z przypuszczeniami, a faktem stwierdzonym i udowodnionym jest, iż kompromisowa polityka w tych latach najważniejszych, najwięcej błogich w skutki dla narodowego rozwoju Galicyi, nietylko nie była wynalazkiem Stańczyków, ale spotykała się z ich strony z bezwzględną opozycyą. Jeszcze w dziesięć lat później p. Stanisław Tarnowski „miał sobie do wyrzucenia, że postąpił niekonsekwentnie, kiedy wbrew lepszemu instynktowi własnemu, dał się przekonać, że powinien przyjąć wybór do Rady państwa, choć przeciw tym wyborom głosował[5].“

(Ciąg dalszy nastąpi.)

[1]) Na liście kandydatów do delegacyi, ułożonej z inicyatywy Gołuchowskiego, nazwisko Tarnowskiego nie znajdowało się, o czem świadczy Szujski. (Dzieła, serja III Tom II. str. 126.)

[2]) Przegląd polski 1867 w zeszycie kwietniowym.

[3]) Czas nr. 54 z r. 1867.

[4]) W szeregu artykułów „Reprezentacya kraju naszego“, wydanych potem osobno pod tym tytułem, str. 232.

[5]) St. Tarnowski. Studja polityczne Tom I, str. 126, artykuł: „Obrachunek Przeglądu Polskiego.“ Zarzucał tę niekonsekwencyę Tarnowskiemu, Wodzickim itd. Szujski w broszurce „Odpowiedź Mateusza Żórawia“ (Dzieła J. Szujskiego serja III Tom II str. 125). Z przypisku do przedruku tej broszury w dziełach Szujskiego, dowiadujemy się jeszcze innego ciekawego faktu, a mianowicie, że Tarnowski dwa razy jeździł do Pragi dla porozumienia się z Czechami, — którzy jak to wiadomo uchwalili nie wybrać delegacyi.

LITERATURA I SZTUKA.

W pracowni Władysława Marcinkowskiego.

Berlin, 4 kwietnia.

W obecnej porze, tuż przed wystawą, niechętnie artyści przyjmują gości, zbyt gorączkowo zajęci wykończeniem prac przeznaczonych na wystawę. Postanowiłem mimo to zajść do pracowni Marcinkowskiego, żeby zobaczyć, co przeznacza na wystawę — i nadzwyczaj miłego doznałem przyjęcia.

Z przedpokoju prowadzi mnie artysta do ogromnej swej pracowni. Z trudnością przeciskamy się pomiędzy sztalugami do

St. Czałut.

WSPOMNIENIA

Z LEGII ZAGRANICZNEJ.

(Ciąg dalszy.)

Tak biegną przez ćwierć godziny, gdy ryk i wycie Arabów znów się za nimi rozlega.

Straceni! Cóż mają począć? Jeszcze minut kilka, a schwycą ich Arabowie. Oni pieszo, ci tam na dzielnych wierzchowcach, nie ma mowy o ratunku. Już chcą przystanąć, by poddać się z rezygnacyą losowi, gdy Boruta spostrzega blask pomiędzy drzewami lasku. Z nerwowym pospiechem dążą w tę stronę.

Tylko 150 metrów dzieli ich od brzegu gęstwiny, lecz 100 metrów za niemi pędzą prześladowcy, którzy, pewni swej zdobyczy wyją straszliwie na znak tryumfu.

Za rychło! Bornta dobre miał oko. Tam na krawędzi lasku błyskają w słońcu lufy karabinów. To oddział legionistów, klęczących z bronią gotową do strzału. Uwadze arabów oddział zaczajony nie uszedł. Zwracają konie, by pierzchnąć na wszystkie strony przed grożącem niebezpieczeństwem, bo zbyt dobrze znają niszczące salwy francuzkie.

Na ten widok Boruta i jego towarzysze rzucają się płazem na ziemię, chwilę później świst kul nad głowami i odgłos salwy przedziera powietrze.

Wielu Arabów pada, reszta w przestrachu, co może ucieka. Boruta i towarzysze wracają żywi do legii.

* * *

Takiego rodzaju były wszystkie nasze utarczki w Algeryi: marsze uciążliwe po piaskach pobrzeża Sahary, potyczki z plemionami Beduinów i Kabylów, niebezpieczeństwa romantyczne, a w załodze jednostajne życie ćwiczeń koszarowych.

I znów wróciliśmy do Sidi-bel-Abbes. Miasto to tworzy regularny czworobok, wykreślony z matematyczną ścisłością, w pośrodku coś na kształt rynku, plantacye dosyć cieniste ztąd rozchodzą się proste jak sznur cztery ulice na cztery części świata pozamykane bramami, obsadzonemi odwachem. Powstają przez cztery główne ulice cztery czworoboki, a w tych czworobokach kilkanaście mniejszych, utworzonych przez drugorzędne ulice. Miasto jest zatem prawie regularną szachownicą. Jednę z czterech głównych kwader zajmują budynki wojskowe. Budowane z palonej cegły o dwóch piętrach wspaniały przedstawiają widok. Kompleks ten budowli najrozmaitszych zwany „depotem“ mieści w sobie prócz gmachów koszarowych, także magazyny, śpichrze, arsenał, infirmeryą itp. jest dokoła wysokim murem obwiedziony. Równocześnie z nami garnizowali podówczas w Sidi-bel-Abbis Spahowie i nieco żuawów. Blisko miasta rzeczka, dostarczająca wody całej okolicy, użyźniała ogrody i pola ościenne. Przy mieście ciągną się rozległe winnice, po ogrodach chodują granaty, oliwy, migdały i figi. Część miasta arabska przylega do kwater europejskich, założonych dopiero po zaborze francuzkim. Tutaj domy liche, okna na podwórza zwrócone, nieład, brud i hałas prawdziwie oryentalny. Dodajemy, że Sidi-bel-Abbes połączone jest odnogą kolei głównej i telegrafem z resztą świata cywilizowanego.

Życie koszarowe dość było znośne. O ile służba dozwalała, oddawać się było można kolegom, przechadzkom po mieście i wycieczkom w okolicę.

Taka była rzeczy postać, gdy nie wiem już który z Polaków podał pomiędzy nami myśl ucieczki z legii pod debatę. Rozmawialiśmy o niej jak o rzeczy najobojętniejszej i najniewinniejszej, słuchając rady starszych, z których niejeden w początkach służby również próbował ucieczki, lecz żaden z pomyślnym skutkiem. Plan dezercyi nabrał formy możliwszej. Pietryszkiewicz z Petersburga odebrał z domu znaczny zasiłek pieniężny (kilkaset rubli) wyraźnie w tym celu, by ratować się ucieczką. Planu nie podzielali Chersoński i Łukowski obaj podoficerzy, którzy znów mieli zamiar powrócić do Tonkinu. Chersońskiego gniotła nie-

przeciwległego rogu pracowni, gdzie na bambusowej kanapce spocząwszy, zaczynam się rozglądać. Wszędzie pełno rzeźb, gipsy, marmury, bronzy, terrakoty porozmieszczane na sztalugach, ściany pokryte również rzeźbami, po większej części płaskorzeźbami. W środku zaś pracowni, gdzie najlepsze światło, figury z gliny w najrozmaitszych stadyach wykończenia.

I dziwne wrażenie odbiera oko — dominuje ton biały. Gipsy, marmury białe w najrozmaitszych odcieniach. Działa tu na nas tylko forma, tylko czystemi liniami przemawia do nas rzeźba. Jedynie wielkich rozmiarów abażur czerwony u wiszącej lampy ożywia tę panującą wszędzie białość.

Teraz dopiero zaczynam się pytać i dowiaduję się, że na wielką tegoroczną wystawę berlińską Marcinkowski przeznacza relief marmurowy.

Na silnym stole ujęta w mocne rusztowanie z drzewa stoi wielka płyta marmurowa, a tuż obok model gipsowy. Dowiaduję się, że praca w marmurze prawie skończona, — mnie się wydała już zupełnie skończoną — że obecnie artysta harmonizuje i dostraja do siebie poszczególne partye marmuru.

Jest to trochę mniej niż naturalnej wielkości portret płaskorzeźbiony, przedstawiający dwie siostry. Jedna z nich — młodsza siedzi w krześle, — delikatna głowa *à profil perdu*, oczy zapatrzone w dal, usta nieco rozchylone, — prawdziwy kwiat wiosenny.

Siostra starsza stoi po za nią, trzyma ją za rękę i z niewymowną słodyczą spogląda na młodszą. Jest w tej rzeźbie niesłychanie wiele wdzięku i prostoty, a przytem, nie przypominam sobie portretu, w którymby było więcej naturalnej dystynkcyi.

Ciekawy techniki Marcinkowskiego, podchodzę i zaczynam się z bliska przyglądać marmurowi. Z podziwem hołd składam artyście. Lecz pochwałę moją artysta przyjmuje z uśmiechem: „To nieskończone jeszcze; wiele tu jeszcze roboty, zanim będę zadowolony.“

A mimo to, ile w tym marmurze już piękności! Przepyszne są partye ciała, twarze, ręce, ramiona. Delikatność i ścisłość rysunku nieporównana. Ale i reszta przepiękna. Na szorstkiem tle modelują się fałdy delikatnej materyi sukien i łudzą oczy jedwabistością płaszczyzn. Nie widziałem dotąd podobnie rafinowanego sposobu oddania w marmurze charakteru materyi. A taka w tem lekkość i powiewność, iż trudno uwierzyć, że to kute stalą i to w twardym marmurze.

Marcinkowski należy do niewielkiego zastępu rzeźbiarzy, co sami rzeźby swoje wykonują w marmurze. Inni zrobią model gipsowy, a z marmuru wykuwają specyaliści.

Oczywiście, że w ten sposób rzeźba traci wszelką indywidualność, i staje się cieniem zaledwie tego, co artysta stworzyć zamierzył. Miałem sposobność przekonania się o tem, porównując model gipsowy portretu, o którym mowa, z marmurem. O ile w marmurze rysunek może być subtelniejszym, o ile modelacya miększa, ile lekkości i życia zdobywa każda rzecz w marmurze — ten tylko pojmie, kto miał możność widzieć skończony marmur obok modelu gipsowego. Rzecz naturalna, że, skoro artysta sam nie zdolny kuć w marmurze, ten, komu pracę tę powierzy, w najlepszym razie skopiować może to, co mu w gipsie podano. A każdy wie przecież, jak niewdzięcznym i martwym jest gips materyałem.

* * *

Widząc tyle pierwszorzędnego artyzmu w płaskorzeźbach Marcinkowskiego — przypominam tylko ów przepiękny *„Motyw Chopina“*, który oglądaliśmy przed kilku laty na wystawie berlińskiej*) — pragnąłem się dowiedzieć, jaka była artystyczna droga Marcinkowskiego i kto byli jego przewodnicy. Z całą gotowością artysta daje mi wyjaśnienia. Ze starych mistrzów studyował oprócz Donatella przeważnie Settignana. Ten ostatni pociągał Marcinkowskiego przedewszystkiem nadzwyczaj delikatnym i subtelnym rysunkiem. Jest to jeden z podstawowych warunków dobrej płaskorzeźby. Ale równie ważnym a trudniejszym może czynnikiem jest delikatna i staranna modelacya. Oczywiście przy tak niezwykle *płaskich* płaskorzeźbach, jak je wykonuje Marcinkowski, w których najwyższy punkt ponad tło marmuru wystaje pół do jednego najwyżej centymetra, — najdrobniejsze niedopatrzenie może popsuć wszystko, szczególniej zaś przy wykończeniu w marmurze jedno nieuważne, lub za silne uderzenie dłutem zniszczyć może całe dzieło.

*) Relief ten znajdował się także na wystawie w teatrze polskim w Poznaniu. (Przyp. Red.)

Z nowszych mistrzów płaskorzeźby wzorami Marcinkowskiemu byli Roty i Chaplin. Podczas długoletniego pobytu w Paryżu Marcinkowski z niezwykłą wytrwałością pracował nad sobą, aż doszedł do zupełnego opanowania tego rodzaju rzeźby.

W tej to epoce paryskiej zaczął powstawać ów niezliczony szereg medalionów portretowych, w których tak prostemi środkami artysta osiągał szczyt charakterystyki i podobieństwa.

Przeniósłszy siedzibę artystyczną do Berlina, Marcinkowski w dalszym ciągu ze szczególnem zamiłowaniem uprawia płaskorzeźbę, i doszedł w niej do prawdziwego mistrzostwa. Nie ma, czegoby nie zdołał wyrazić płaskorzeźbą — od słonecznej główki dziecka do poważnej i surowej w stylu płyty nagrobkowej; od zasępionego oblicza uczonego lub uśmiechniętej główki damy światowej do pełnej poezyi kompozycyi, jak „Motyw Chopina“. Poprzestaję na tem w nadziei, że choć w części udało mi się dać szkic działalności artystycznej Marcinkowskiego, o ile się ujawnia w płaskorzeźbie, choć i o niej możnaby i wartoby napisać obszerne studyum.

* * *

Tymczasem mrok się poczynał, rzeźby stawały się fioletowe, kontury miękły i powoli roztapiały się, a pracownia stawała się miejscem fantastycznem, zaludnionem jakiemiś nadziemskiemi widziadłami.

Wstałem, chcąc się pożegnać. Ale artysta tak serdecznie i gościnnie mnie zapraszał, aby zostać jeszcze, że się oprzeć nie zdołałem.

Przeszliśmy z pracowni do małego gabinetu tuż obok. Paliła się w nim lampa.

---

szczęśliwa miłość, a Łukowski również miał dyskretne powody polityczne, by tymczasem nie wracać do kraju rodzinnego. Gdy plan ostatecznie przyjęto i wspólnie uciec postanowiono, ja, również będąc przeciwny dezercyi, ponieważ miałem zamiar na dobre w legii pozostać i na awans dalej służyć, mocno na febrę klimatyczną się rozchorowałem.

Febra ta pochodzi niezawodnie z zepsutej wody, którą często niebacznie się pije na marszu, i z nagłych zmian temperatury. Kiedy bowiem za dnia termometr wskazuje 40 stopni Celsiusa, w nocy obniża się temperatura nagle aż poniżej 10 stopni, by rano znów równie szybko do tropicznej wzbić się wysokości. Przytem, w czasie jesiennym, gwałtowne leją deszcze, a w tak zmiennem powietrzu i najsilniejsze natury febrze ulegają. Administracya, co prawda, stara się o zdrowotność żołnierza przez środki zaradcze, dostarcza mu wody zaprawionej koniakiem lub koką, która regularnie rozstawioną jest po koszarach do dowolnego użytku, nakazuje odbywać wszystkie ćwiczenia i marsze w płaszczu, niedozwala, by zmodyfikować wpływ zmian w temperaturze, nawet w nocy zdejmować z brzucha „ceinture“, lecz wszystkie te środki, choć świadczą o dobrej chęci najwyższych urzędów sanitarnych, nie chronią legionisty przed szkaradną febrą klimatyczną.

Pewnego dnia, obudziwszy się rano, czuję mdłości, głowa ciąży, jakby ołowiem zalana, oczy palą, gorączka, pragnienie, biegunka, wszystko to symptomata nadchodzącej choroby. Zgłaszam się do infirmeryi, lekarz mnie zrazu ofukuje, że udaję, dopiero zmierzenie temperatury ciała pokazuje mu, iż wynosi 39 stopni Celsiusza. Zwalniają mnie od służby na dzień jeden i nazajutrz wrócić rozkazują. W biegu dnia jednak gorączka się wzmogła, dysynterya jeszcze większej nabrała siły, już ani chodzić bez trudności nie mogę, w nocy majaczenie i halucynacye najdziwaczniejsze, — więc adjutant rozkazuje na noszach zanieść mnie do lazaretu. W wielkiej przestronnej sali leżało nas może 20, tą samą zdjętych chorobą. Łóżka żelazne, za łóżkiem pakunek z umundurowaniem, pałasz, karabin i kieszenie do naboi. Lekarz mierzy rano temperaturę, powiększyła się gorączka, już niemal 40 stopni wskazuje termometr. — Febrę tę leczą w legii głodem i chininą. Hrabia Baudissin również podówczas był chorym, lecz już rekonwalescentem. Ponieważ jemu już wychodzić było wolno, znosił mi owoce, arbuzy, figi herberyjskie (owoc kaktusowy), granaty i winogrona. Nadużyciem tej miękkiej i rozwalniającej strawy biegunka tym bardziej się powiększyła i choroba groźne przybrała rozmiary. Straciłem zmysły, długie dni czyniłem wszystko w obłędzie maligny, potem znów ubierałem się mimo surowego zakazu i wychodziłem, by odszukać ziomków, którzy z mów mych wnosząc, sądzić musieli, żem zwaryował. Zdawało mi się na seryo i opowiadałem to wszystkim jako fakt najpewniejszy, że Francuzi widząc nas przez długą chorobę niezdatnych do służby wszystkich leżących w lazarecie wraz z budynkiem przewożą do Europy, by tam nas rozpuścić. Jeszcze dziś, po kilku latach, widzę maszyny okrętowe, obroty kół, cały statek transportowy, płynący morzem śródziemnem, tak złudna była halucynacya w gorączce febry. W światłych chwilach starałem się wyperswadować sobie, że sposób leczenia głodem jest racyonalniejszy, gdyż wszelka gorączka li tylko z żołądka pochodzi, i postanowiłem już za nic w świecie nie spożywać więcej od przepisanego bulionu. Prywatnie tamowałem biegunkę silnemi dozami opium, którego mi dostarczali infirmerzyści i doczekałem się w ten sposób zwrotu ku polepszeniu. Śmiertelność tak w mej sali, jako też w innych była wielka. Zdarzało się, że w malignie ten lub ów chory oknem wyskoczył i kręgi złamał, inny znów nożem się przebić usiłował, jeszcze inny połknąwszy z tuzin igieł do szycia w ten sposób zakończył.

Podczas gdy ja leżę w infirmeryi bez zmysłów, reszta ziomków załogi gromada uciec postanowiła. Adjutantowi Gałeckiemu, jako najstarszemu spiskowcowi, powierzono przygotowanie ucieczki. Uchwalono nająć w mieście mieszkanie, poczynić potrzebne do ucieczki zakupna w broni, prowiancie i ubiorach, poznosić wszystkie te przybory niepostrzeżanie do najętej kwatery i tak przygotowawszy wszystko, w najodpowiedniejszej chwili dać drapaka. Pietryszkiewicz powierzył w tym celu znaczną część odebranych z domu pieniędzy Gałeckiemu.

Rozsiadam się na wygodnej sofie i zaczynam — znów podziwiać. Prawie niepodobna na mniejszej przestrzeni nagromadzić więcej arcydzieł. Ściany tu całe zajęte obrazami, upominkami pierwszorzędnych artystów-kolegów. Całość tego gabinetu niesłychanie artystycznie urządzona. Gdzieniegdzie między barwnemi planami obrazów połyskuje biały marmur lub poważnie nastraja bronz ciemny. I tak tu zacisznie i miło. I mimo wiatru świszczącego na dworze ogarnia nas spokój i pogoda. Zapatrzony w żarzące się węgle w piecu, zasłuchany w jednostajny i kojący szum samowaru, nie chcę uwierzyć, że znajduję się w tym zimnym, chałaśliwym a niegościnnym Berlinie.

Godzina była późna, trzeba się było pożegnać. Z żalem opuszczałem artystę, wdzięczny za miłe przyjęcie i tyle rozkoszy artystycznych.

Tristan.

Tęsknota za krajem
w naszej literaturze.

ODCZYT

adw. **Bernarda Chrzanowskiego**

wygłoszony w dniu 6-go marca na sali Bazarowej w Poznaniu.

(Ciąg dalszy).

Równocześnie z tym potężnym prądem emigracyjnym na Zachód porywał za sobą, jeżeli nie równie liczną, to równie dzielną i szlachetną część społeczeństwa przymusowy prąd wygnania na Wschód. — Zaznało go jeszcze przed listopadowem powstaniem grono najlepszych — Filareci Wileńscy. Mickiewicz nie odczuwał wprawdzie tęsknoty przy wesołem życiu wśród przyjaciół Rossyan i nie odbiła się ona też w jego ówczesnej poezyi: Tomasza Zana przygnębiła ona jednak, zdaje się, na zawsze na wygnaniu w Orenburgu.

Po powstaniu jednem i drugiem poszły gromady całe na Sybir. I dziwna rzecz, ten Sybir, który w naszych porozbiorowych dziejach takiem potężnem i groźnem jest słowem, słowem mieszczącem w sobie łzy, ból, rozpacz a z niemi gorsze niż śmierć życie, ten Sybir, na który jak w grób prawie zawsze się szło a nie wracało nigdy, ten Sybir, na którym serca drętwiały z bólu i pękały z tęsknoty, długo bardzo nie dał nikomu ze swych przybranych dzieci tej tęsknoty ubrać w słowa i nam jej pokazać! Mamy tu na myśli przedewszystkiem artystycznie skończone utwory. Nie trudno to jednak skądinąd wytłomaczyć. Oto nostalgia syberyjska jest za silną. I niezwykła zmiana klimatu i melancholia sybirskiej przyrody i oddalenie od ojczystej ziemi i zwątpienie w nadzieję powrotu i inny tryb życia, brak zatrudnienia, czy to pracy czy rozrywki, a wreszcie, jeżeli już nie zupełna samotność, to w każdym razie nieliczne towarzystwo swoich lub nie częste z nimi widywanie się, wszystko to zdolne tęsknotę zamienić w chroniczną, potęgującą się ciągle chorobę, w cierpienie umysł i organizm niszczące. A przecież tylko chwilowe wielkie cierpienie zdolne tworzyć wielkie dzieła. Cierpienie wielkie i nieustanne zabija wszelką myśl i czyn, a jeżeli daje życie, to myślom chorym i czynom szalonym. — I dla tego też tęsknota wygnańców nad Leną i Angarą nie zalała i nawet nie mogła tak zalać naszej literatury, jak tęsknota z nad Sekwany. Ta ostatnia jedynie właśnie dla tego stała się matką i wielkich poematów i drobnych lirycznych wierszy, że była łagodzona tak krajem wesołym a bogatym, jak gromadnem pożyciem, połączonem z nadzieją blizkiego powrotu, oraz że była więcej cierpieniem wypieszczonem przez wrażliwe dusze poetów niż rzeczywistem. — Ani bowiem Zaleski, ani Lenartowicz, ani Gaszyński nie zaznali prawdziwych cierpień wygnania, a słowa Gaszyńskiego, że jego towarzysze wygnańcy „przebyli wszystkie męki piekła“ wydają się w obec cierpień sybirskich przesadą.

Ten Sybir, chociaż nikt z wygnańców go opisać nie mógł, istniał jednak, zajmował myśli i uczucia całego narodu, tworzył o sobie baśnie, przejmował grozą! Ktoś musiał koniecznie pochwycić ten psychiczny stan społeczeństwa. A jeżeli kto, to mógł uczynić, to najprędzej chyba Słowacki ze swem wrażliwem sercem, doznawającem także samotności a z nią tęsknoty, i ze swą bogatą fantazyą. — Uczynił to też Słowacki i naprawdę nie potrzebował się bać w Beniowskim o to, aby został poetą narodowym, bo choćby nic innego nie napisał, jak Anhellego, to stałby się narodowym poetą przez odczucie cierpień narodu w tym poemacie.

Po Anhellim nikt już nie wywołał przed naszą duszą tak gorącemi słowy i w tak wielkim poemacie Sybiru. Byłby to był może uczynił znowu Słowacki, gdyby był skończył Beniowskiego, którego chciał zaprowadzić na Kamczatkę, potrącił on jeszcze w „Niepoprawnych“ kilku rysami o sybiryjską tęsknotę, tak jak to czyni wielu z naszych poetów.

Gdy jednak szukamy na próżno za wielkim mistrzem słowa, to ciśnie się nam mimowoli w oczy ten znany obraz z długim szeregiem wygnańców stojących na śnieżnem polu pod osłoną bagnetów. Oto przy Słowackim staje Grottger a przy Grottgerze w ostatnich czasach drugi malarz z dziwną poezyą w duszy, Jacek Malczewski. Melancholia Sybiru patrzy na nas głębokiemi oczyma z jego obrazów.

Żaden z wymienionych nie był na Sybirze! Z tych wielu, którzy tam byli, pisze wielu po powrocie do kraju proste opisy i pamiętniki. Z pomiędzy nich nie możemy jednak pominąć A. Gillera. Jego opisy Sybiru, choć nie ogładzone, wywołują mimo to nastrój każący nam odczuwać wygnańcze cierpienie. Kiedy naprzykład najdrobniejszy szczegół sybirskiej przyrody, kawał piaszczystego pola z sosnami lub bór pachnący macierzanką przypomina Hillerowi zaraz ojczyste krajobrazy („na pograniczu chińskiem“), albo kiedy wymienia groby na irkuckim cmentarzu, podając te proste a tyle mówiące napisy na ich mogiłach, i przy tylu z nich nadmienia to samo: „wygnaniec, któ-

---

Gałecki, nie chcąc jednak jako awansowany sam się sprawą taką zajmować, wyszukał zaufanego legionistę-faktora, który już niejednemu za wynagrodzeniem był pośrednikiem w przygotowaniach ucieczki i prowadził intratny interes komisowy. Ajent jednak w tym razie zawiódł haniebnie zaufanie. Wiedział, że go nikt o sprzeniewierzenie wręczonych pieniędzy nie zadenuncyuje, zabrał kilkaset franków i nie wrócił rychlej do depotu, aż wszystko co do grosza przehulał. Rozumie się, iż za oddalenie się kilkodniowe ukarany został aresztem, lecz wynagrodziło mu to z pewnością miłe wspomnienie przebytych chwil w maurytańskich kąpielach, osławionych „bains maures“ i domach zabawy o wątpliwej wartości moralnej, których w samem Sidi-bel-Abbesie, jest kilka, a do których lgną legioniści jak do miodu. Przez fakt powyższy zdyskredytował się Gałecki poniekąd u tych Polaków, co zbiedz zamierzali. Chociaż go nikt wprost nie posądzał, że tłomaczenie jego jest tylko piękną wymówką, oczyścić się nie mógł z zarzutu, iż przy nieco więcej poświęceniu i przezorności byłyby ocalały pieniądze Pietryszkiewicza. Odsunęli się więc wszyscy od niego i na własną rękę gotowali ucieczkę, która jednak, jak tyle innych się nie udała. Po dniach kilkunastu wrócili zbiedzy jak niepyszni do garnizonu i powędrowali do aresztu, gdzie odczekiwali decyzyi sądu wojennego. Gdy wyrok zapadł nie byłem już w legii, więc powiedzieć nie umiem, jaka ich kara spotkała.

Dnia jednego — byłem już rekonwalescentem — przychodzi do mnie w odwiedziny Gałecki i opowiada cały przebieg sprawy, dotyczący reszty Polaków. Zmartwiony żalił się na brudne podejrzenie, jakiego był doznał od ziomków, i w toku lamentów przedłożył mi propozycyą wspólnej z nim ucieczki. A miał do tego słuszniejsze powody, aniżeli w pierwszej chwili przypuszczałem. Rzecz się tak miała.

Gra w karty kwitła pomiędzy oficerami w sposób podkopujący byt materyalny i moralność awansowanych wobec marnych dochodów, jakie mieli z żołdu i traktamentu. Bodaj, czy który posiadał majątek prywatny, a dosyłki z domu rzadko miały miejsce. „Vingt-et-un“, i „Landsknecht“ rujnowały niejednego. Gdy nie było pieniędzy, grano na „bony“ lub „słowo honoru“. Bony te, czasem na dłuższe wystawione termina, rosły często przy grze do sumy pokaźnej. I Gałecki był w podobnem nieprzyjemnem położeniu. Zgrał się na 2000 franków, wystawił na dług ten bony i już nadchodził czas ich płatności. Nieszczęściem dowiaduje się o tem major załogi Levanier, wielki protektor pana Kaźmierza, woła go do siebie i grozi sądem wojennym i degradowaniem w razie niewykupienia weksli. Na prośbę nieszczęśliwego adjutanta wysyła major do rodziców jego, zamożnych kupców z Królestwa, depeszę półurzędową tej treści, że syn ich jest w położeniu takiem, iż tylko zapłacenie jego długów honorowych i to natychmiast wyratuje go od kasacyi i wyroku sądu wojennego. Jako ostateczny termin wyznaczył dzień trzeci od wysyłki depeszy, po upływie których bezlitośnie, jako przełożony i najstarszy garnizonu, pociągnie adjutanta do odpowiedzialności. Depesza, ma się rozumieć nie pozostała bez skutku, już dnia następującego instytut finansowy, „credit Lyonais“, mający filię w Sidi-bel-Abebs nadesłał telegraficznie czek drutem na 1000 rubli srb., które reprezentowały w monecie francuzkiej przeszło 2800 franków, tak iż Gałecki był w stanie zapłacić nietylko dług swój honorowy, lecz, że mu zbywało jeszcze około 800 franków. Wykupiwszy na czas swe bony, odbiera w kilka dni później wiadomość listową z domu, że matka depeszą majora tak dalece się przeraziła, iż ciężko się rozchorowała, przytem zawierał list tak srogie wyrzuty, że pismem do żywego dotknięty, postanowił Gałecki przy pomocy reszty pieniędzy zbiedz z wstrętnej mu legii, by gdzieś w Szwajcaryi oddać się przerwanym studyom uniwersyteckim. Wiedząc zaś, iż ja znajduję się w lazarecie, przyszedł do mnie, by mnie do wspólnej nakłonić podróży.

Miałem, co prawda, i ja legię po same uszy, szczególnie czas w infirmeryi przepędzony, śmiertelność tam panująca, wywołały we mnie pewną odrazę ku Francuzom, czułem się zawiedzionym w swych nadziejach, ideałach i pojęciach o wewnętrznej wartości legionisty — więc po długim namyśle przystałem.

(Ciąg dalszy nastąpi.

rego prześladowanie i tęsknota pozbawiły rozumu“ lub „nieszczęśliwy, ktorego wygnanie i tęsknota wprawiła w obłąkanie“, lub „tęskny, zamyślony, nie mógł utulić się w tęsknocie do ojczyzny i wpadł w rzewne, spokojne obłąkanie“, („Groby Polskie w Irkucku“), to wspomnienia te wywierają już swą prostotą wrażenie i przetrwają w naszej literaturze, choć nie dla artystycznej wartości, to jako naszych cierpień dokumenty.

Za to nietylko jako dokumenty naszych cierpień, lecz równocześnie jako najpiękniejsze naszego ducha pomniki pozostaną na zawsze szkice Ad. Szymańskiego. Może nie wszystkie. „Jędrzej Krawczykowski“ razi bezwątpienia nasz smak; „Maciej Mazur“ ma wprawdzie niezrównanej piękności i wielkiej rzewności ustęp, ten, w którym to autor pisze wygnańcom listy do kraju, całości brak jednak może harmonii; „Przewoźnik“ wywołuje potężne wrażenie, ale nas dzieci dzisiejszych czasów, szukających prawdy nawet w szczegółach, razi nieprawdopodobieństwem tak obszernego opowiadania przy przewozie przez Angarę; „Hanusia“, to znów jak gdyby nie należała do szkiców, tak jest od nich treścią odmienna. Wybrałbym dlatego „Srula z Lubartowa“, „Stolarza Kowalskiego“ i dołączyłbym do nich „Dwie modlitwy“; te trzy szkice tworzą skończoną całość i trudno w literaturze naszej znaleźć rzeczy, nie mówię piękniejsze, ale choćby równie piękne. Sybir i jego tęsknota długo czekały na swego poetę, ale znalazły go nareszcie.

Oto Adam Szymański przedstawił nam pierwszy — bo Sybir Anhellego, to twór wyobraźni — prawdziwą grozę Sybiru; w Szymańskim dotykamy prawie rękami tych bolesnych ran Sybirskiego wygnania i odczuwamy jego męki tak, że każdy prawie ze szkiców łzy nam do oczu ciśnie. Szymański pierwszy ukazał nam tęsknotę za krajem w całej jej potędze; i kiedy nasza nostalgiczna poezya emigracyjna duszy naszej nigdy prawie nie porwie i męką tęsknoty jej nie przerazi, to Szymański chwyta ją i prowadzi ze sobą do chaty wygnańczej, rozbudza w nas tę dziwną pustkę i strach wygnańczy, roztacza dla większej męki przed oczyma naszemi złudne obrazy rodzinnego kraju, rozżarza ten ból palący, ten żal niezmierny i tę żądzę szaloną powrotu.

Prawda, że czytając „Nowele syberyjskie“ rossyjskiego pisarza Korolenki, odnajdujemy tam motywa przypominające niezmiernie szkice Szymańskiego. Wstęp do „Ucieczki z Sachalim“ podobny bardzo do „Srula z Lubartowa“. — Tak samo jak tam i tu mgła śnieżna nad ziemią zawisła i mróz dojmujący, a ten który nam opowiada, sam jeden w chacie, bezczynny poddaje się nostalgii, wiodącej jego myśli na dalcki Zachód; tak samo drzwi chaty otwierają się nagle i wchodzi jakiś nieznajomy, tak samo kiedyindziej byłby może niepożądanym gościem, lecz dziś staje się miłym w takiej chwili smutnej zadumy i samotności. takiemi prawie samemi słowy rozpoczyna się rozmowa, tak samo potrącają najpierw o to jak daleko od nich ziemia ojczysta i jak tu, na Sybirze, inne wszystko. Każdego, ktokolwiek czyta i jedno i drugie, uderzyć musi ten sam ton rozmowy i ten sam sposób wywoływania nastroju. Podobne motywy przypominające szkice Szymańskiego znajdujemy także w noweli Korolenki „Noc Wielkanocna“.

Nie wiem, kto pierwszy pisał, Korolenko czy Szymański, nie wiem, czy to naśladowanie, czy też prawie konieczne spotkanie się myśli dwóch pisarzy przedstawiających nam ten sam kraj i uczucia zesłanych doń ludzi, naturalne zupełnie, wspólne pochwycenie najwięcej charakterystych motywów i rysów, nie wiem i nie chcę tego rozstrzygać, bo nawet gdyby Korolenko miał natchnąć Szymańskiego, to szkice autora „Dwóch Modlitw“ nie straciłyby mimo to uroku, jaki posiadają i nie osłabłoby wrażenie, jakie wywierają.

Jest tam i nasz chłop i rzemieślnik i mieszczanin i żyd i szlachcic; każdy z nich cierpi inaczej i inaczej to cierpienie objawia, wszystkim jednak to samo dolega i wszystkich w jedno grono nostalgia łączy. Jeżeli w domu się nie zrozumieli, to tam zrozumieją się doskonale. Jest tam i ból spokojny nie odbierający energii i chcący utonąć w pijaństwie i szukający ukojenia przy sercu bliźniego i wreszcie ten najstraszniejszy, zamknięty w sobie, od ludzi stroniący. Dusze piękne i szlachetne nawet gną się tam pod burzą życia, tylko silne wychodzą cało. — A jak umie Szymański wprowadzać czytelnika w swój świat i przysposabiać do jego zrozumienia, jak potęguje stopniowo wrażenia i ogłusza niem prawie dopiero przy końcu! Każdy z tych trzech szkiców, o których przedewszystkiem mówimy, ma coś w rodzaju wstępu, który jednakowoż dla siebie jest już szkicem, na pozór nie stoi w żadnym związku z dalszą treścią, a pomimo to służy do jej uwydatnienia. Rozmowę z lubartowskim żydem poprzedza pogrzeb kurpia Bałdygi, aby lepiej uzasadnić następny napad nostalgii u opowiadającego. Przed poznaniem tragedyi stolarza Kowalskiego, słyszymy opowiadanie Jakuta o Polaku-wygnańcu, który nie znosił widoku człowieka, z bólu oszalał, zdziczał i strzelał do ludzi, których zobaczył. Wigilię syberyjską w zadżumionym domie, spożywaną ze łzami i z modlitwą odczuwamy tem silniej, że odbija od wspomnienia modlitwy z lat dziecięcych w ojczyźnie. ..

Albo wreszcie jak wtrząsa Szymański kilku słowami, drobną na pozór uwagą całem naszem uczuciem! Np. że ten Bałdyga dla tego, ponieważ „uparty był jak kurp“, wierzył do końca, „że wróci nad Narew“; że ten żyd, który dawniej myślał, że Lubartow bardzo daleko od Lublina, „teraz“ wie, że to bardzo blizko; że ten stolarz Kowalski przeszedłszy za Ural, dziękuje Bogu za łaskę i miłosierdzie.... a tego samego dnia wiodą go znów z powrotem na Sybir: że ta stara Jakutka wreszcie w „Dwóch modlitwach“ porwana modlitwą wygnańców zaczyna razem z nimi do swego Boga o zmiłowanie prosić: „Tangara! Aj Tangara“!

A choć tam czasem może język za szorstki, to zapominamy o tem, bo w tej prostej szarej prozie jaśnieje nam poezya całym blaskiem słońca.

(Dokończenie nastąpi).

BADANIA NAUKOWE.

Fotografia w usługach fizyologii.

Odkrycia Jakóba Jodki-Narkiewicza.

Pomimo całej śmiałości umysłu ludzkiego, który nieustannie od wieków trudzi się nad dociekaniem pewnych prac i tajemnic przyrody, bada, szuka, szpera, podgląda i wdziera się niezmordowanie w tę ogromną, ciemną dziedzinę prawd, zakrytych całym szeregiem zasłon przed naszemi oczyma, pozostało jeszcze niezliczone mnóstwo zagadnień i wątpliwości nierozwiązanych.

I jakkolwiek wiedza ostatnich czasów olbrzymiemi krokami postępuje naprzód, chociaż zagarnia coraz szersze przestrzenie, coraz śmielej dąży po swojej drodze, zdaje się, że nawet w siedmiomilowych butach nie dosięgłaby ostatecznego celu rozjaśnienia wszystkich tajemnic jeszcze za życia ludzkości nie stanęłaby u swego kresu i nie mogłaby z zadowoleniem powiedzieć: „Wiem wszystko, co wiedzieć chciałam!... mam dość“.

Otwierają się przed nią coraz nowe horyzonty, ale i nowe piętrzą się szczyty, do których z mozołem wspinać się musi, aby zobaczyć, że cały łańcuch takich samych wyżyn rozciąga się dalej i dalej, bez końca.

„Wiem, że nic nie wiem“, przestaje być wprawdzie rozpaczliwym rezultatem badań i doświadczeń umysłów większych i geniuszów w dziedzinie myślenia i nauki, ale niemniej ustala się przekonanie, że wszystkiego dowiedzieć się niepodobna i że wobec najważniejszych zagadek bytu, duch ludzki stać musi, jak ów młodzieniec przed zakrytym posągiem w Sais i poprzestawać tylko na hypotezach i domysłach.

Czem właściwie jest życie, co jest dusza, co jest przyczyną przyczyn?... Oto pytania, na które wieki całe, tysiące lat nie dały zupełnej, zadawalniającej odpowiedzi. Zmieniają się kierunki pojęcia, zasady, systematy i metody, w końcu jednak dochodzi się zawsze do jakiejś rozstajnej drogi w tym błędniku i powraca *ab ovo* do nowych prób i dociekań.

Jednak każda nowa zdobycz na tej drodze jest krokiem postę u, jednym promykiem więcej światła, które mroki rozjaśnia i pozwala rozejrzeć się w tym chaosie.

Tym wyjątkowo szczęśliwym badaczom należy się też wyraz wdzięczności i uznania, bo oni biegną przodem, jak rekonesanse szukać nowych ścieżyn i przesmyków, prowadzących do prawdy i wzbogacenia wiedzy ludzk.j, niekiedy, jak w ostatnich czasach, zdumiewające odkrywają niespodzianki i wczorajsze senne majaczenia, niby z bajki, zamieniają nagle dziś w rzeczywistość.

Jeszcze nie ochłonęliśmy z wrażeń, jakich wiek XIX doznał po tych odkryciach i wynalazkach, a już o nowych cudach nauki doświadczalnej słyszymy z różnych stron.

Elektryczność stała się bohaterką chwili i panią sytuacyi; ona pozwala nam nietylko wytwarzać nowe źródła siły, znosić różnice p zestrzeni i odległości, ale wdzierać się w najgłębs.e dotąd tajniki, słyszeć z największej dali, widzieć przez mur, zaglądać do wnętrza żywych organizmów, a nawet badać przyczyny psychologicznych objawów.

Właściwość promieni katodalnych i fotografie Roentgena pozwalają nam przenikać najgrubsze zasłony z cegły, drzewa, ciała ludzkiego i „sięgać tam, gdzie wzrok nie sięga“. Ktoś inny wynalazł sposób fotografowania z największej odległości i przenoszenia za pomocą elektrycznego prądu pisma własnoręcznego; a oto w tym szeregu badaczy i odkrywców staje znowu rodak nasz, pan Jakób Narkiewicz-Jodko, który swoją „elektrografią“ zwraca obecnie uwagę naukowych sfer za granicą; w Berlinie i Paryżu.

Nie śmiemy uprzedzać poważnego sądu specyalistów, którzy wkrótce zapewne orzekną, o ile trafne są wnioski i przypuszczenia p. Jodki-Narkiewicza; spełniamy tylko obowiązek czujnego pisma, notując przedmiotowo w niniejszym numerze wyniki badań jego i doświadczeń.

Zajmując się szczególniej elektrycznością. odnośnie do fizyológii, zdołał dojść do zadziwiających rezultatów i dla teoryi swojej zdobyć naoczne dowody w całym szeregu eksperymentów, z których tylko ważniejsze tu przytoczymy. W sposób przynoszący zaszczyt jego pomysłowości, potrafił mianowicie uwidocznić działanie prądów

elektrycznych, krążących w organiźmie ludzkim i zwierzęcym.

Wnioskując ze znanej zasady, iż ciało nasze jest do pewnego stopnia bateryą elektryczną, w której zachodzą mniejsze lub większe wyladowania, spróbował te objawy fotograficzne zbadać i porobił nadzwyczaj czułe zdjęcia z pojedyńczych części organizmu ludzkiego w stanie zdrowia i choroby, a nawet w pewnych stadyach psychicznego nastroju. Pozyskał tedy szereg obrazów, które ilustrują widocznie jego teoryę o rozmaitych fizyologicznych i duchowych objawach życia.

Pan Jodko jest zwolennikiem teoryi, którą swego czasu dr. Reichenbach rozwijał obszernie, że cały przetwór wypełnia jakaś nieważka materya, przez niemieckiego uczonego *odem* nazwana, przez naszego rokaka zaś za elektryczność uważana; wszystkie zatem organizmy posiadają pewien zapas tej elektryczności, zależny od indywidualnych ich właściwości i stanów. Człowiek zawiera w sobie mnóstwo takich elektrycznych komórek, odpowiadających ogniwom elektrycznej bateryi: ogniwami temi są węzły nerwowe, z których, jak po drutach telegraficznych, płyną prądy po nerwowych włóknach do głównej stacyi w naszym mózgu.

Podobnie, jak pod działaniem prądu elektrycznego zachodzą rozmaite procesy chemiczne i inne, dzieją się też w komórkach nerwowych jeszcze zmiany, zależne od fizyologicznych i duchowych bodźców. Działania te i ich skutki w siatce nerwowej organizmu ludzkiego udało się p. Jodko-Narkiewiczowi odfotografować.

Na pozór wydawać się to może rzeczą nieprawdopodobną, ażeby można z takich minimalnych wyładowań elektryczności robić zdjęcia, ale sposób dokonania tego jest właśnie zasługą naszego badacza i jeszcze tu zawdzięczamy pierwsze próby pochwycenia i utrwalenia na niezmiernie czułych kliszach fotograficznych owych niewidocznych dla oka ludzkiego iskierek i całych pęków promieni, wyładowujących się z nerwów i kończyn naszego organizmu. Przez porównanie tych obrazów dały się zauważyć pewne różnice w zdrowym i chorym stanie ciała ludzkiego — a z tego jeden krok już tylko prowadził do wniosków, tworzących nową teoryę.

P. Jodko-Narkiewicz utrzymuje, że zdrowy człowiek odznacza się wyładowywaniem ze swego ustroju silnych iskier i promieni elektrycznych, chory posiada te właściwości w słabszym stopniu, ciało zaś martwe lub sparaliżowane żadnych tego rodzaju objawów nie daje.

Obraz takiego wyładowania bywa bardzo różnym, zachodzą w nim pewne stałe zmiany i zboczenia, zależne od patologicznego stanu człowieka, od jego usposobienia, od rodzaju choroby. Gdyby się to ostatecznie udało ująć w cały systemat, poparty doświadczeniami i wykazaniem stałych prawideł, elektografia p. Jodki oddałaby niepospolite usługi diagnozie i terepii.

P. Jodko-Narkiewicz posiada całą kolekcyę zdjęć fotograficznych, przygotował szereg takich obrazów elektrograficznych, zdjętych z pacyentki podczas gorączki pokarmowej, oraz z innej, która skutkiem silnych upływów krwi popadła w anemię; obrazy te przedstawiają wielce znamienne objawy zaszłych zmian w systemie nerwowym chorej podczas całego jej leczenia, aż do zupełnego wyzdrowienia.

Szczególniej zajmujący widok stanowią fotograficzne zdjęcia rąk pewnych osobników zdrowych i chorych. Ciekawą z tego względu jest fotografia ręki o jednym palcu sparaliżowanym, przez który widocznie owe naturalne prądy elektryczne nie przepływały i żadnych wyładowań elektryczności w nerwach i muskułach nie było. Z powierzchni całej ręki i z palców widać słabe jedynie promieniowania, po których to oznakach wnioskowaćby należało o chorobliwym stanie organizmu danego osobnika.

Znaczny kontrast stanowi ręka człowieka zupełnie zdrowego, silnego w normalnem usposobieniu.

Wszelako nietylko fizyologiczne stany dają się metodą elektrograficzną p. Jodki badać, ale, co więcej, i co dziwniejsza, można za jej pomocą wykazywać pewne stany psychologiczne w ludziach. Miałaby tego dowodzić fotografia ręki kobiecej i mężkiej przy wzajemnem zbliżeniu się osobników sympatycznie dla siebie usposobionych: znać tu, jak gdyby owo promieniowanie odbywało się z obu kończyn silniej, energiczniej i dążyło do połączenia, się, zlania z sobą. Teorya magnetyzmu o przyciąganiu się przeciwnych a odpychaniu jednakowych biegunow, zdaje się tu mieć pewną analogię. W przeciwieństwie znów stoi para rąk dwóch kobiet, czujących wzajemną niechęć ku sobie; uwidocznia się to bardzo wyraźnie, nawet w jakiemś wymijaniu i odchyleniu promieni elektrycznych, naznaczonych na fotografii.

Co do tych jednak eksperymentów, wkraczających na ryzykowną drogę objaśnienia objawów psychicznych takiemi sposobami, wstrzymać się należy do czasu zebrania obfitszego materyału i przeprowadzenia dłuższych i ściślejszych studyów.

Zanim wszelako elektrografia zacznie nam uczucia odtwarzać na kliszach, zanim p. Jodko fotografować będzie miłość, zazdrość, nienawiść itd., poprzestańmy tymczasem na tym jednym fakcie, byle naukowo pewnym, że można fotografiami badać stany elektrycznego naprężenia w nerwach i muskułach żywego organizmu.

Reszta należy do przyszłości i dalszych studyów na polu doświadczalnej nauki.

G.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Lekarze cudzoziemcy w Paryżu.

W ostatnich czasach w paryzkiej kolonii cudzoziemców, a następnie w prasie krajowej niejednokrotnie podnoszoną była kwestya utrudnienia cudzoziemcom kształcenia się w Paryżu, zwłaszcza na wydziale lekarskim, oraz korzystania we Francyi z dyplomu tu uzyskanego.

Ogromne oburzenie wywołała w tym roku odmowa ministra oświaty co do przyjęcia cudzoziemców na pierwszy, a raczej przygotowawczy kurs w paryzkiej szkole medycznej. Nietylko młodzież, którą spotkała ta przykra odmowa, zaczęła wyrzucać Francuzom brak gościnności, niechęć do cudzoziemców, umysłowy protekcyonizm, niesprawiedliwość itp., ale i paryzcy korespondenci, a za nimi prasa nasza poszła w jej ślady.

Rzecz tę warto bliżej bezstronnie rozpatrzeć i zastanowić się, o ile odmowa ministra była bezzasadną, czy konkurencya cudzoziemców — zarówno studentów, jak i lekarzy — jest istotnie zatrważającą dla Francuzów i czy wzrastająca tychże niechęć do obcokrajowców pochodzi jedynie z zazdrości i walki o byt.

Jak urzędowe wykazy statystyczne dowodzą, ilość studentów na wydziale lekarskim w Paryżu wciąż wzrasta i to w sposób nader szybki, gdy tymczasem w dziewięciu prowincyonalnych fakultetach coraz się zmniejsza; na początku r. 1895 w Paryżu było około 5,000, a na prowincyi ogółem zaledwie 3.500. Liczba zaś cudzoziemców w Paryżu wzrasta znacznie więcej, niż Francuzów, gdy bowiem ogólna ilość studentów medyków w przeciągu lat ośmiu podwoiła się, liczba cudzoziemców w przeciągu tegoż okresu zwiększyła się w trójnasób, i obecnie jest ich 1,046, a więc blizko czwarta część (na 4,139 Francuzów).

Już same te liczby wskazują, że konkurencya studentów obcokrajowców w Paryżu jest nader poważną.

Wobec tak olbrzymiej ilości słuchaczy medycyny nasuwa się każdemu bezzwłocznie pytanie, czy szkoła lekarska oraz jej pracownie, kliniki, biblioteki są wystarczające. Ktokolwiek uczęszczał na wydział lekarski w Paryżu i chciał sumiennie pracować, musiał niejednokrotnie narzekać na braki pod tym względem, wynikające z przepełnienia studentów. W bibliotece pomiędzy 4-tą a 7-mą miejsca dostać nie można; w salach dysekcyjnych wiecznie brak materyału tak, iż chcąc rzetelnie się nauczyć, trzeba nieraz przekupywać posługaczy szpitalnych i ukradkiem, jak przed wiekami, w trupiarniach dysekować lub uczyć się operacyi; w audytoryach tłok, gorąco, a do pracowni wybitniejszych profesorów tylko za szczególniejszą protekcyą dostać się można.

Szczególniej na przygotowawczym kursie medycyny, nowootworzonym w tym roku, gdzie przeważnie są zajęcia praktyczne z fizyki, chemii, botaniki i zoologii, wielka ilość studentów w stosunku do miejsc w laboratoryach, przyrządów pomocniczych itp. uniemożliwiłaby zupełnie pracę i dostateczne przygotowanie się z nauk przyrodniczych. Nie można się więc dziwić radzie uniwersyteckiej, że starała się obmyśleć środki ograniczenia ilości słuchaczy tego pierwszego kursu. Naturalnie pożądanem byłoby, ażeby pracownie były znacznie większe i mogły pomieścić nie 800 jak obecnie, ale tysiące, jak również by o wstępie na wydział lekarski rozstrzygał egzamin konkursowy, jak to ma miejsce dla szkoły politechnicznej, centralnej, normalnej itd., ze względów jednak praktycznych rada uniwersytecka zmuszoną była uciec się do innych środków, a mianowicie zaproponowała ministrowi, aby pierwszeństwo co do wstępu otrzymali Francuzi i to przedewszystkiem ci, którzy otrzymali patent, tj. baccalauréat ès sciences et ès lettres w Paryżu. Minister postąpił według tych wskazówek, odmówił pewnej części Francuzów z prowincyi, oraz wszystkim cudzoziemcom, przyznając im jednak prawo uczęszczania do jednego z uniwersytetów prowincyonalnych.

Ponieważ rada uniwersytecka i minister zrobili wyjątek dla cudzoziemców, którzy otrzymali w Paryżu na równi z Francuzami baccalauréat ès sciences et ès letters, nie możemy uważać ich postąpienia za wypływające z pobudek czysto szowinistycznych i musimy w tem widzieć także pewną nieufność do patentów, przedstawianych przez kandydatów cudzoziemców.

Od dawna już odzywały się acz nieśmiałe głosy zarówno wśród studentów jak i wśród profesorów i w prasie o zbyt łaskawem wydawaniu tak zwanych équivalences, równających cudzoziemców w prawach wstępu do uniwersytetu. Otrzymywali je bowiem nietylko ci, co przedstawiali istotne świadectwo dojrzałości (jak tego wymaga ustawa), ale i ci, którzy złożyli jedynie świadectwo z ukończenia prywatnego zakładu naukowego w umiejętnie dokonanym przekładzie, a nawet i tacy, którzy byli tylko posiadaczami zeznania, przez kółko podpisów

stwierdzonego, że gdzieś kiedyś otrzymali patent, którego kopii ze względów od siebie niezależnych przedstawić nie mogą. Co zaś do egzaminu dodatkowego z łaciny i greckiego, wymaganego od kobiet, to był on najzwyczajniejszą formalnością: zazwyczaj kandydatki stawały (i były przyjmowane) po kilku tygodniach nauki, nie umiejąc nawet poprawnie czytać, nie mając elementarnych pojęć o gramatyce języków starożytnych.

Naturalnie o tak łatwe wydawanie équivalences winić przedewszystkiem muszą Francuzi ministeryum oświaty, niedostatecznie znające wartość patentów i świadectw szkolnych w różnych krajach, co mówiąc nawiasem, było już przedmiotem dyskusyi na zeszłorocznym międzynarodowym konkresie wyższego wykształcenia w Londynie. Nie można jednak do pewnego stopnia nie złożyć winy i na barki samych cudzoziemców, którzy niejednokrotnie z samowiedzą nadużywali dobrej wiary odpowiednich władz tutejszych.

Dopóki przy znacznie mniejszej ilości studentów cudzoziemcy nie stanowili przeszkody dla Francuzów w ich studyach, a zwłaszcza dopóki w znakomitej większości po ukończeniu szkoły medycznej w Paryżu wracali do swego kraju, — Francuzi tolerowali tę wielką łatwość w przyjmowaniu cudzoziemców na fakultet lekarski w Paryżu. Obecnie zaś, gdy sami muszą z powodu braku miejsca udawać się na fakultety prowincyonalne, gdy liczba lekarzy cudzoziemców w samym Paryżu doszła do 6,000, co stanowi szóstą część ogólnej ilości, a nie mniej ich na prowincyi, — głośno powstali przeciw przywilejowi, jak się wyrażają, dla cudzoziemców. Ponieważ są głęboko przeświadczeni, że francuzki patent dojrzałości wymaga daleko dłuższych, gruntowniejszych i mozolniejszych studyów, niż odpowiednie patenty innych krajów, i ponieważ z drugiej strony dyplom lekarski, we Francyi uzyskany, daje cudzoziemcom prawa narówni z rodowitymi Francuzami, domagają się więc równych warunków dla jednych i drugich co do przyjęcia na fakultet lekarski w Paryżu i w całej Francyi, tj. baccaleauréat ès sciences et ès letters, wydanego po odpowiednim egzaminie, i nie chcą zadowolić się tak zw. équivalence, bardzo łatwo zwykle wydawanem.

Jakkolwiek ciężkim byłby ten warunek dla cudzoziemców, wymagany już istotnie w Paryżu, nie możemy uważać go za krzyczącą niesprawiedliwość i brak gościnności we Francyi. Podwoje bowiem uniwersytetu, szpitali, nawet wielu pracowni pozostaną otworem dla cudzoziemców — wolnych słuchaczy, a doktorzy z dyplomem, uzyskanym we Francyi, bez względu na swą narodowość będą mogli w niej praktykować, nie będąc zmuszonymi ani do naturalizowania się, ani do zdawania powtórnego państwowego egzaminu, jak to się dzieje w innych krajach.

Sporo jeszcze innych względów wpływa na zwiększenie się niechęci Francuzów do kolegów obcokrajowców-studentów i lekarzy we Francyi. Nie możemy jednak zgodzić się z jednym z naszych korespondentów paryskich, ażeby tu grała jaką rolę zawiść Francuzów z powodu odnoszonych jakoby na egzaminach konkursowych zwycięstw przez cudzoziemców, statystyka bowiem bynajmniej nam tego nie wskazuje. Na jedynym poważnym konkursie na internów szpitalnych bardzo rzadko ktoś z cudzoziemców się utrzyma, z Polaków n. p. nie było oddawna żadnego interna; nie możemy zaliczać do nich (dwóch zdaje się) kończących się na *ki*, ale urodzonych i wychowanych we Francyi, a nie mówiących po polsku. Co do konkursu na eksternów szpitalnych, zasadzającego się na wyrecytowaniu w ciągu 5 minut odpowiedzi na jedno z kilkudziesięciu wiadomych pytań z anatomii i patologii, to również nie zdarzyło nam się czytać nazwisk polskich w pierwszych kolumnach. W zdawaniu wreszcie egzaminów ostatecznych, w rozprawach doktorskich cudzoziemcy niczem stanowczo nie wyróżnili się od Francuzów.

Prędzej już Francuzi zazdroszczą cudzoziemcom możliwości odbywania studyów lekarskich na uniwersytecie bez przerwy, gdy tymczasem ich pracę przerywa zawsze na rok jeden służba wojskowa, a w razie nieukończenia medycyny przed 26-tym rokiem stawać muszą powtórnie do szeregów jeszcze na lat dwa w charakterze zwykłego żołnierza.

Dziwnem jest, że cudzoziemcy przypisują niechęć Francuzów ich szowinizmowi, bulanżyzmowi, antysemizmowi itp., a nie chcą zastanowić się głębiej, czy też oni sami nie wzmagają jej i czy nie mogliby zmniejszyć takowej, postępując inaczej. Jak student medyk, tak i lekarz cudzoziemiec zapomina zazwyczaj, że jest we Francyi gościem, a nie gospodarzem domu.

Ileż to razy dawało nam się słyszeć narzekanie francuskich studentów, ileż razy widzieliśmy naocznie w szpitalach, laboratoryach, że cudzoziemcy cisną się pierwsi do łóżka chorego, do mikroskopu, do zapisania się do jakiej pracowni, nadskakują profesorowi, zamęczają go pytaniami i bezceremonialnie rozprawiają głośno ze sobą w języku niezrozumiałym dla otaczających. Nie przeczymy naturalnie, że istnieją liczne wyjątki, ale to, co twierdzimy, stosuje się bodaj do większości.

Lekarze cudzoziemcy jeszcze częściej zrażają do siebie kolegów francuskich i publiczność. Jedni zostają spekulantami, szarlatanami, ogłaszającemi się na szaletach, leczącemi raka, gruźlicę itp. różnemi specyfikami, często nawet przez korespondencyę. Inni znowu obniżają płacę lekarzy, dając wizyty w Paryżu po 50 centimów. Już to wogóle ani robotnik fizyczny, ani pracownik umysłowy cudzoziemiec bez względu na swe przekonania, nie waha się konkurować z Francuzami, obniżając im płacę, i zawsze na swe usprawiedliwienie gotów postawić swe wyjątkowe jakoby warunki. Znakomita większość cudzoziemców lekarzy uważa praktykę we Francyi za źródło zrobienia majątku, to też nieraz zdarzało się nam słyszeć, że należy obdzierać ile się da Francuzów, bo potem za te pieniądze można... pracować w kraju. Żyją oni zazwyczaj w zamkniętem kole rodaków, nie interesują się ani życiem, ani ruchem francuskim, uchylają się zwykle od składek i pracy na cele publiczne francuskie, nie starają się zżyć z ludnością, wśród której mieszkają i która daje im pracę.

Jakże więc dziwić się, że Francuzi nieprzychylnem okiem patrzą na cudzoziemców lekarzy, jakby na jakich intruzów, wędrownych kuglarzy, którzy tylko przelotem są w ich kraju dla zebrania pieniędzy.

Dr. Józef Zieliński.

Echa z polskiego Manchesteru.

Łódź, dnia 5 kwietnia.

(Nagrobek marnotrawcy. — Milionerzy i tramwaje. — Bałuciarze. — Bawełna i sztuka. — Teatr. — Pan Dobrowolski i pan Wołowski. — Zakończenie.)

Na pewnym nagrobku, który ma być dowodem, jakoby mowa nasza składała się ongi z samych jednosylabowych wyrazów, jest umieszczony taki napis:

Mu na grób
Ten pis zrób:
„Gdy tu cel
Z nic mieć wiel,
On wyż stał,
Z wiel nic miał.

W naszem mieście, które polskim Manchesterem jest zwane, podobny nagrobek nie znalazłby nigdy właściciela — bo tu prawie każdy robi z *nic* — *wiel*, nie przebierając w środkach — a taki, coby chciał robić z *wiel* — *nic*, nie byłby uważany za marnotrawcę, ale po prostu za waryata. I słusznie — tu wszyscy pracują od rana do nocy, a nawet i w nocy, i ci, co przed laty dziesięcu byli nędzarzami i nie mieli nic, dziś często są milionerami i mają „*wiel*“. — Kto chce zrobić dobry *business*, a ma trochę sprytu, prosimy do nas, lecz oprócz milionów, a właściwie milionerów nie zobaczy wiele Naprzód tramwaje... albo chociaż porządne omnibusy, albo... Kochany czytelniku! już widzę jak kręcisz głową i mówisz: „ależ na to trzeba pieniędzy, których waszym milionerom nie brak!“ — Tak, to prawda, ale nasi milionerzy tak są zajęci robieniem milionów, że nie mają czasu na takie głupstwa jak tramwaje, zresztą każdy z nich ma tuzin powozów na gumowych kołach i takąż ilość koni. A jaka rozmaitość narodowości! — przedewszystkiem starozakonni, potem dzieci Izraela, następnie osobniki wyznania mojżeszowego, dalej tak zwani bałaciarze, potem plemię u was nieznane czyli „gudłaje“ wreszcie... żydzi. — Są także Niemcy i Polacy w niewielkiej ilości, ale ci ostatni nie stanowią, że się tak wyrażę „o charakterze miasta“. Miasto bowiem nasze ma przedewszystkiem charakter brudny — następnie fabryczny — a w końcu żydowski. — W chaosie narodowych kostyumów tubylczej ludności dominują długie surduty, dla większej jaskrawości wyplamione i wybłocone, ze strzępami u dołu. Swoboda panuje nieograniczona, to też z towarami, z workami wypchanemi żelastwem, z wiadrami i drągami chodzą wszyscy po trotuarach i rozbijają jedni drugich. Przed dwoma laty po godzinie 8 wieczorem żartownisie pod nazwą „bałuciarzy“ uzbrojeni w noże i rewolwery operowali przechodniów. Obecny jednak policmajster nie chciał się zgodzić na takie zabawki i potroiwszy straż uliczną, stowarzyszenie bałuciarzy rozwiązał. Panowie ci otrzymali nazwę od przedmieścia „Bałuty“, gdzie zamieszkiwali, ale i ztamtąd władze rozkazały mieszkańcom przenieść się do miejsca urodzenia.

Dorożki jeżdżą nadzwyczaj wesoło, bruk bowiem dzięki wozom towarowym tworzy tu prawdziwe pasmo gór. Dlatego to pasażer, choćby zgnębiony nieudanym geszeftem, podskakuje radośnie na poduszkach wehikułu.

Wśród tych milionów, pośród tej bawełny, tej przędzy, tych hałatów nie może być przytulnie sztuce, to też zewsząd wypędzana znajduje jedyne schronienie w teatrze. — Nasz „przybytek Melpomeny“ (wyrażenie najstósowniejsze dla szanującego się korespondenta) został wydzierżawiony na lat sześć przez pana Michała Wołowskiego, autora granego i u was „Towarzysza pancernego“. Część artystyczną prowadzi pan Trapszo, reżyser wytrawny i zamiłowany w swoim zawodzie. Słyszałem, że w Poznaniu odbywają się co rok w sezonie zimowym wyścigi za sztukami, publiczność śledzi tylko za fabułą, a po za tem nic jej nie obchodzi, ani tendencya, ani forma, ani strona literacka, ani gra aktorów. Umysły wszystkich zajęte są jedynie tem, czy też Antoś ożeni się z Antosią, co po literacku

wyraziwszy, brzmieć będzie czy Numa wyjdzie za Pompiliusza. — Jako „*uczciwy*“ korespondent mogę zapewnić Szanownych czytelników, że u nas jest wręcz przeciwnie. U nas przedewszystkiem mówi się o wartości sztuki, następnie o grze aktorów, a fabuła jest na trzecim planie. — Poznań ma tak zwaną „Pomoc“, która, o ile właściciel hotelu nie znika z horyzontu z pieniędzmi, przynosi teatrowi poznańskiemu średnie dochody, — nasza zaś dyrekcya musi sobie sama pomagać. Jeżeli więc panowie aktorzy z Poznania nazywają swój teatr „ciężkiemi robotami“, to każdy pracujący w teatrze łódzkim śmiało uważać się może za zesłanego na galery. Prowadzącemu bowiem teatr nad Wartą mało na tem zależy, czy są pustki w teatrze lub nie, tembardziej, że próżne loże i krzesła nie rozstrzygają bynajmniej o powodzeniu finansowem „Dziennika Pozn.“, a zatem w dalszej konsekwencyi o losie pana Dobrowolskiego, dwojga urzędów dyrektora i redaktora. Nasz zaś dyrektor, jakkolwiek tytułuje się Redaktorem, pisma żadnego nie redaguje, a pustki w teatrze są ściśle połączone z pustkami w kieszeni redaktorskiej, i z tych przyczyn p. Wołowski nieraz dobrze głowę nameczy, by wynaleźć artystyczny wabik dla publiczności. Musimy wziąć jeszcze pod uwagę, że w Poznaniu można roli nie umieć, a tutaj podobny eksperyment nie uchodzi. Dyrektorowi teatru poznańskiego jest wszystko jedno, kto będzie danym Antosiem, aby tylko był i z Antosią się ożenił. — u nas zaś Antoś musi mieć wszelkie kwalifikacye do tak zaszczytnego stanowiska. Dyrekcya Teatru poznańskiego rozpędza talenty po świecie, Dyrekcya łódzkiego szuka talentów po całym kraju. Dyrekcya teatru poznańskiego trzyma siwowłosego i głuchego suflera-polityka, dla pozyskania głosów przy wyborach, — u nas wyborów nie ma, więc suflera sprowadzono z Krakowa i tylko dla tej marnej przyczyny, że umie suflować.

Jakkolwiek przekroczyłem może prawa korespondenta łódzkiego, pozwalając sobie umieścić kilka rysów z poznańskich stosunków, mam nadzieję, że czytelnik mi to wybaczy, — podając bowiem w wątpliwość umiejętność działalności pana Dobrowolskiego na polu teatralnem, wykazałem bądź co bądź, że pióro moje nie mija się z prawdą, a zatem, że i wiadomości łódzkie podane przezemnie są prawdziwe *quod erat demonstrandum*, choćby na drodze sofizmatów.

Dyrekcya Teatru Łódzkiego wystawiła od dnia 1 października 1895 r. sztuk 85. Sezon rozpoczęto prologiem umyślnie dla Teatru łódzkiego napisanym p. t. „Piękny sen“ i „Szlachectwem duszy“. Mieszkańcy grodu bawełny nie chcieli narazić się na miano Beotów, i aby przekonać wszystkich, że i oni mają dusze oprócz pieniędzy, zapełnili teatr po brzegi. Sztuk oryginalnych ujrzało światło kinkietów 21. Największem powodzeniem cieszyły się „Gąsiennice“ Konara, — komedya napisana z wielką prawdą i szczerym humorem, — z jednoaktówek „Pierwszy bal“ i „Figiel Benwenuta“, ze sztuk tłomaczonych „Komedyanci“ Paillerona i „Bańki mydlane“ Cziky'ego, wreszcie farsy „Niobe“ i „Podprefekt“. Plamą na repertuarze teatru łódzkiego jest „Małżeństwo na próbę“ i „Sodoma i Gomora“. Oprócz tych dwóch dużych plam mieliśmy jeszcze kilka innych plamek, ale zważywszy, że i słońce nie jest wolne od tej szpetności, wypada mi zamilczeć. — Sprawiedliwości jednak musi się stać zadość. Nie chcę, ażeby ktoś na chwilę przypuścił, że pan Wołowski jest idealnym kierownikiem teatru? Niechże mnie Pan Bóg broni, abym miał zarzucać komukolwiek to, czem nie grzeszy. — Autor „Naszych aniołów“, jak to już wspomniałem, nawet aktorom swoim nie pozwala, aby mu wymyślali mianem „dyrektora“ i każdy podpisujący kontrakt z dyrekcyą teatru łódzkiego obowiązany jest tytułować swojego chlebodawcę redaktorem. Z tego już widzimy, że redaktor dyrektorem być nie chce, a cóż dopiero, ideałem dyrektorów. A więc ku wyjaśnieniu tej kwestyi redaktorsko-dyrektorskiej na zakończenie słów kilka.

Każdy mi przyzna, że jeżeli mamy jedną bułkę suchą a drugą świeżą, to ta ostatnia o tyle zyska aprobatę konsumentów, o ile ktoś trzeci nie poda im bułki z masłem lub z kawiorem. — Otóż pan Wołowski jest piekarzem świeżych bułek, lepszym od swego poprzednika, który nam dawał suche, ale publiczność łódzka, lubiąca zbytek, żąda nietylko pieczywa z masłem, ale czasem i kapłona z truflami lub majonezu z łososia.

Nie sztuka zebrać rozbitków ze wszystkich stron i uformować batalion, trzeba jeszcze umieć tym batalionem pokierować, — nie sztuka być lepszym dyrektorem od pana Dobrowolskiego, którego nazywają kierownikiem teatru „nie z prawdziwego zdarzenia“, — pan Wołowski armię zebrał wprawdzie, ale puścił ją samopas. Wytrawni żołnierze bronili dzielnie sztandarów swoich, choć nieraz pozbawieni amunicyi i żywności, ciężkie przechodzili chwile, — ale to po większej części zasługa armii; wódz brał lwi udział w zdobytych łupach i wawrzynach, lecz pokłon sprawiedliwych należy się głównie podwładnym jego.

Korespondent.

TO I OWO.

Żydzi-złodzieje.

(x) Zaledwie parę pism zwróciło uwagę na społeczne znaczenie band złodziejskich, tak często grasujących w królestwie polskiem. „Prawda“ (w Nr. 13), konstatując fakt, że bandy organizowane są przez Żydów, zastanawia się nad przyczynami stałego wzrostu procentowego przestępstw między starozakonnymi. Na dzisiejszą rolę Żydów w społeczeństwie złożyły się, zdaniem autora, warunki historyczne. Żyd był koniecznością społeczną wobec przesądów, które nie pozwalały trudnić się szlachcie handlem i rzemiosłem, lecz, będąc „złem koniecznem,“ „zawsze był pogardzany, o ile nie składał w daninie Esterek.“ Stanowisko Żyda, żyjącego ze szlachty i chłopów, zachwiało się w ostatnich czasach wskutek zasadniczych zmian w warunkach ekonomicznych. Przesilenia wstrząsnęły bytem właścicieli ziemskich.

„Szlachta zaczęła masowo bankrutować, wzbogaceni Żydzi nabywać ich majątki, a ubożsi—pożyczać pieniądze na zastaw ziemi chłopskiej. I oto społeczeństwo przyjrzało się baczniej warunkom swego bytu i przyszło do przekonania, że żyd rozpanoszył się wszędzie, stał się przyczyną złego. Energiczni i rozsądni, zsumowawszy długoletnie błędy, zaczęli je w cichości naprawiać... i swojej pracy nadali charakter przemysłowo handlowy... Ogół jednak społeczańctwa wywołał nagankę, rosnącą od lat kilkunastu w stosunku odwrotnym od jego niedołęstwa. „Szukaj żyda!“—rozległo się po kraju. I Żyd, jak lis w ostępie, zaczął kołować, zapadać i chować się w dołach i norach.

Pod wpływem opinji społecznej zrodziły się ograniczenia, których siecią opasano tłumy żydowskie. Potoki ich działalności.. zaczęły szukać łożysk podziemnych i roztaczać swą ciecz bagnistą śród społeczeństwa. Każdy żyć „potrzebuje!“ — powiedzieli ci ludzie; więc gdy nie można tak, trzeba inaczej.“

* *

Łacina dla kobiet.

Jakkolwiek języki starożytne w wychowaniu publicznem mają jeszcze grunt mocny, zaczyna on już im potrosze się usuwać. Coraz bardziej w sfery rządzące i umysły ogółu przenika to przekonanie, że już nadszedł czas, jeżeli nie zupełnego usunięcia, to przynajmniej ograniczenia przeżytku pedagogicznego, który zużywa olbrzymią masę energii umysłowej dzieci bez odpowiedniej dla nich korzyści. Jak wiadomo, nad tą sprawą obraduje w Petersburgu osobna komisya, której wnioski nie są jeszcze ostatecznie uchwalone, ale niewątpliwie okroją znacznie klasycyzm w szkołach. Pewien ślad tej dążności widzimy w świeżo opracowanym programie egzaminów dla kobiet, wstępujących do instytutu medycznego w nadnewskiej stolicy. Pierwotnie miano od nich wymagać pełnej gimnazyalnej miary łaciny; obecnie — jak donoszą „Nowosti“ — warunek ten zredukowano do zakresu czterech klas gimnazyalnych. Byłoby to bardzo pożądanem i zasadnem, bo jeżeli uczniowie po 7 latach wytężonego ćwiczenia się w języku łacińskim nie mogą opanować jego trudności, to jakież brzemię muszą dźwigać uczenice, które w szkole wcale się nie uczą tego przedmiotu i zdobywają go dopiero po za nią! Że zaś przy czteroklasowej łacinie można być bardzo dobrym lekarzem, a nawet prawidłowo jej terminami określać choroby — to nie ulega żadnej wątpliwości. A gdyby nawet doktorka zaczęła pisać artykuły naukowe mniej upstrzone makaronizmami zgoła niepotrzebnemi, gdyby zamiast: *polioencephalitis superior et inferior* wyraziła się: „górne i dolne porażenie opuszkowe,“ albo zamiast: *dexter et simister* — „prawy i lewy“ — doprawdy ani nauka, ani pacyenci niceby na tem nie ucierpieli.

Pr.

NA WYŁOMIE.

(Echa jubileuszowe. — Brak inteligencyi w ruchu ludowym).

Dziwne myśli krążyły po głowie mojej, gdy w dzień srebrnego jubileuszu „Orędownika“ ujrzałem tłumy zgromadzone na „demokratycznej sali“ p. Adamskiego. Przypomniała mi się inna sala i inny jubileusz, mózg zestawiał, porównywał i badał. Tu „Orędownik“, tam „Dziennik Poznański“, — tu Szymański, tam Dobrowolski.

Jako esteta lubię spoglądać na estradę, gdzie drzewa palm i pomarańcz w malownicze układają się grupy, a na tle zieleni mężczyźni w galowych strojach wieńcem się roztoczą. I lubię spoglądać na piękne tualety kobiet, na delikatnie rzeźbione profile i rasową piękność dam wielkiego świata. To wszystko uśmiechało się i pieściło w dzień jubileuszu p. Dobrowolskiego.

Na święcie „Orędownika“ esteta szukał napróżno ulubionych barw, harmonii, linii i kształtów, — z posowy zwieszały się girlandy, na ścianach przypięto kilka festonów i chorągiewek, lecz w całym rozkładzie sceny i audytoryum, w całej reżyseryi jubileuszowego zgromadzenia znać było pewne zaniedbanie artystycznej strony, pewien dyletantyzm i ambaras. A w sali tłum demokratyczny, surowe twarze, zapachy piwa, brzęk kufelków, — nie! rzymski Petroniusz byłby się skrzywił i ująwszy Eunice za rękę, biegłby ukoić podrażnione nerwy w rosariach i gineceach. Niech śni i marzy, niech się upaja helleńskiem pięknem, niech się odurza śpiewem iońskich pieśniarzy i zapachem róż, „co kapią z pułapu“, a tymczasem Rzym

stary runie i na Kapitolu zasiędzie tłum barbarzyńców, lud zdrowy i żelazny, młoda siła i młode życie.

.....A z sali p. Adamskiego biło życie i siła. Surowość i twardość żelaza wionęła ku mnie z gęstego tłumu, i ktoś jakby odgadując bieg myśli moich, wyszeptał z cicha: To przedświt nowej kultury narodowej.

Słuchałem długo dźwięków jubileuszowych. Były one inne, jak tam na sali Bazarowej, gdy redaktorowi Dziennika składano wieńce i dary. Mniej dystynkcyi, mniej wytworności, mniej wysilonej powagi tryskało z demokratycznych owacyi, ale wszystko tu tchnęło jakąś wielką szczerością, zapałem i głębokim pietyzmem. Tam wieńczono zasługę tak — jakże to powiedzieć? — urzędowo, z piętnem rutyny, majestatycznie a zimno, — tu nietylko czczono, tu miłowano. Tam miałem wrażenie, że znajduję się na dworskiej ceremonii, tu zdawało mi się, że gromada dzieci garnie się do kolan ojca, że uchanego wodza otacza hufiec żołnierzy. I objaw ten wydał mi się zupełnie naturalnym, bo siłą programu „Dziennikowego“ jest tylko tradycya, która ludzi wiąże, ale nie zapala. Uświęcona powaga, przyzwyczajenie, zamiłowanie do wygodnych, utartych deptaków, wszystko to bezwarunkowo pociąga tłumy szerokie i przykuwa je do starego sztandaru, lecz wielkich ogni nie roznieci nigdy. Tam natomiast brzmią nowe hasła, tam gra trąbka do szturmu, tam lud przebudzony dopomina się praw zbudzonego i dla tego płoną legiony, rwą się, unoszą. Postępowa opozycya posiada zawsze w głębinach duszy więcej zapału, niż obrońcy starego porządku, bo składają się na nią przeważnie siły bujne, niezużyte jeszcze, którym zaciasno w zardzewiałych obręczach. Więc mocą swego bólu, poczuciem krzywdy, pragnieniem szerszego życia zapalają się, kochają i nienawidzą.

I dla tego zgromadzenie wtorkowe było jak płomień. Między jubilatem a rzeszą stronników jego zadzierzgnął bój o nowe życie, wspólna dola i wspólne prześladowania, węzły niesłychanie silne i serdeczne. Każdy z szermierzy ruchu ludowego rozumie, że Szymański z biernego malkontenta zamienił go w żołnierza, że rozsypane cząsteczki bez znaczenia i wpływu złączył w imponującą cyfrę, że w samej rzeczy on stworzył ruch ludowy, stworzył stronnictwo. Więc dziwić się nie można, że redaktor „Orędownika“ wywiera na legiony swoje urok właściwy każdemu wyobrażeniu siły. Gdziekolwiek ona się zjawi i w którymkolwiek kierunku pracuje, zawsze pociąga, ujarzmia i entuzyazmuje. Religijny kult żywiołów w zamierzchłych epokach tu właśnie ma źródło swoje.

Była to wielka i niezwykła owacya w ten wieczór wtorkowy. Szymański miał szczęście w duszy i nieco rozmarzenia w oczach, ale zdaje mi się, że rozglądając się w rzeszy zgromadzonego ludu, zatęsknił może za czemś, czego stronnictwo jego dotychczas nie posiada, a bez czego rozwój nowych kierunków posuwać się musi opornie i nieraz błąkać po manowcach. Na sali było zaledwie czterech czy pięciu przedstawicieli wyższej inteligencyi poznańskiej. On nieraz do niej się odzywał i do wspólnej pracy, — ona odpowiadała oburzeniem lub dyplomatyczną rezerwą. Skarżył sie na to często wódz ruchu ludowego, bo często odczuwał gorzko osamotnienie swoje. Czy sprawa ta w niedalekim już czasie inny weźmie obrót, tego dziś jeszcze powiedzieć nie mogę, sądzą jednak, że zależeć to będzie w części od rozwoju cywilnej odwagi i energii w zafukanej, wygodnej i zaplesniałej inteligencyi naszej, nie mniej jednak od taktyki samego „Orędownika“. Rozdwojenie między demokratyczną inteligencyą, a ruchem ludowym polega nietyle na programowych różnicach, ile na praktycznem wykonywaniu reformy, na środkach i technice walki. W tym względzie kierownicy „Orędownikowej“ kompanii zapisali nazwiska swoje w dziejach ewolucyi demokratycznej całym szeregiem najfałszywszych manewrów, uniemożliwiających na razie porozumienie z zwolennikami parlamentarnej i legalnej metody bojowania. Kompromis byłby dla obu stron pożądanym i odegrałby niewątpliwie w dziejach zaboru pruskiego pierwszorzędną rolę — czy jednak oficerowie ruchu ludowego, którzy lubią przywłaszczać sobie przywilej nieomylności, każde ustępstwo poczytują za kompromitującą słabość i wołając głośno: „Pójdź inteligencyo!“ w głębinach duszy lękają się „rywali-kierowników“, zechcą w interesie wspólnego dobra inne odsłonić oblicze, na to mogę tylko odpowiedzieć znakiem zapytania.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA

* Przekład Verlaine'a. Wierszyk Verlaine'a ogłoszony przed dwoma tygodniami w „Przeglądzie“ znalazł w gronie czytelników naszych licznych tłomaczów. Jeden z przekładów ogłosiliśmy już w poprzednim numerze, obecnie podajemy drugi, wyróżniający się formą poprawną z długiego szeregu łaskawie nadesłanych tłomaczeń:

Płyną grania,
Płyną łkania
W przestrzeni —
Jęk przedzgonny,
Monotonny
Jesieni.
Z dołu, z góry
Dwie wichury
Się zwarły, —
A ja płynę,
A ja ginę —
Liść zmarły.

tłom. *T. Miciński.*

* * *

Włodzimirz Koszyc. „U Wód“. Nowella. Petersburg 1896. Leży przed nami książka wydana u Grendyszyńskiego w Petersburgu p. t. „U Wód“. Jej „éxterieur“ ujmujące, lecz, o ile zewnętrzna strona zdradza sporo smaku, treść nie wytrzymuje poważniejszej krytyki.

W literaturze naszej mnożą się utwory, w których uderza jedynie zręczność rozdrabniania nikłych drobiazgów w wielostronne opowiadania; do tej właśnie kategoryi zaliczyć wypada długą nowellę Koszyca p. t. „U Wód“.

Treść jak najpospolitsza: Grono aktorów daje swe przedstawienia w miejscowości kąpielowej. Pan Tarżo, obywatel i pan Tarszo (reżyser) spotykają się. Z powodu podobizny nazwisk a la Domejko i Dowejko tworzy się nieporozumienie bałamucące nie tyle samych bohaterów, ile czytelników, którzy nie uprzedzeni o reszcie powieści widzą zrazu tylko błąd drukarski, a wreszcie zrozumiawszy intencyę autora, wzdrygają ramionami i dziwią się p. Koszycowi, że na taki lep bierze publiczność.

Bohaterka powieści, Felcia ma stanowić środek całości. Charaterystyka tej postaci jest niemal jedyną zaletą utworu. Autorowi powiodło się uwydatnić chorobliwie-histeryczną, poświęcającą się naturę, której ideały zaczerpnięte są z wązkiego świata. Dykcya powieści miejscami uderza świetną kolorystyką, razi tylko wszędzie nienaturalność i chęć postawienia słowa przed myślą. W każdym razie „U Wód“ będzie tem co Owidyusz nazwał

„rudis indigestaque moles, non bene junctarum sine ullo discrimine rerum“.

St. Gr.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości polityczne i społeczne. Naprężenie między królem Humbertem, a prezesem ministrów włoskich Rudinim rośnie bezustannie. Król włoski mniema, że Rudini opieką swoją otacza oszczerstwa, krążące o Crispim. — Z Warszawy donoszą do gazet niemieckich, jakoby rząd planował reformę szkół ludowych w Kongresówce. Do wydziału szkolnego mają być powołani także Polacy i to: ks. Radziwiłł, hr. Ostrowski i hr. Potocki (?). — Półurzędowe pisma berlińskie coraz częściej dają do zrozumienia, że w biurach rządowych pracują nad nowym projektem powiększenia marynarki niemieckiej. — Bezrobocie krawców w Szczecinie skończyło się klęską robotników. Pracę przerwaną podjęto znowu na dawniejszych warunkach.

Teatr i muzyka. Dyrekcya teatru poznańskiego zaangażowała na przyszły sezon pannę Jutkiewicz-Wolską do ról naiwnych i liryczno-dramatycznych. Panna Jutkiewicz należy obecnie do wędrownej trupy p. Puchniewskiego. — Nasze towarzystwo dramatyczne grające obecnie na własną rękę w Poznaniu cieszy się poparciem publiczności. W czasie świąt teatr był przepełniony. Artyści niebawem wyjeżdżają na prowincyę. — Obecna podróż artystyczna Mierzwińskiego przyniosła dotychczas około 40.000 mr. — Noskowski napisał większy utwór muzyczny p. t. „Step“; Henryk Melcer skomponował muzykę do ballady Mickiewicza pt. „Pani Twardowska“. — Pani Adolfina Zimajer przechodzi do teatru lwowskiego na primadonnę operetki. — Maryan Gawalewicz poświęca w „Kraju“ (Nr. 12) następujące uwagi dykcyi artystów warszawskich: „Kiedy się z zamkniętemi oczyma słucha u nas dyalogu na scenie, możnaby przysiądz, że ludzie czytają swoje role, ale ich nie mówią. Naturalność, swoboda, prawda w dykcyi bywa coraz rzadszą i niemal wyjątkową zaletą warszawskich artystów. To są recititiva jakieś operowe, ale nie zwyczajny sposób mówienia, którym się posługują ludzie w potocznem życiu. Kiedy się ze świeżemi wrażeniami wróci z zagranicy, kiedy się słuchało i widziało aktorów w takim „Berliner“ lub „Deutsches Theater“, gdzie prawda, realizm, naturalność gry i dykcyi dochodzą szczytu, uczuwa się w naszych Rozmaitościach bardzo często dreszczyku pod wpływem tych głosów patetycznych lub zmanierowanych, przesadnych lub fałszywych, z któremi po pewnym przeciągu czasu człowiek się znowu oswaja wprawdzie, jak się można oswoić z zatęchłą atmosferą, albo z widokiem spłowiałej szarzyzny. Mówię to, wiedząc, na co się narażam wobec nietykalnych ambicyi i drażliwości naszych bogów i bogiń teatralnych, ale mó ie dla ich właśnie dobra i w interesie sceny, która tak świetne miała tradycye; nie chcę nikomu dokuczać, ani nikogo lekceważyć. Zwracam tylko uwagę i daję rady życzliwe a bezstronne.“

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Żmudzinowi. To rymowane wypracowanie szkolne. Zamieścić nie możemy.

St. K. w Ostrowie. Forma jeszcze nie dojrzała. Znać wiele uczucia, lecz wydobywa się ono na papier w rytmach błędnych i rymach pospolitych.

Melanii. Dziękujemy za serdeczne słowa i nowiny. Radzimy jednak na przyszłość unikać dyskusyi z oponentami bezmózgowego gatunku:

Für die Flöh gibt's ein Pulver,
Für die Schuh gibt's eine Wichs,
Für die Rosse gibt's eine Peitsche,
Für die Dummheit gibt's nichts.

Szeregowiec. Myśl powołania do życia wielkiego codziennego pisma obok „Przeglądu“ lub w miejsce „Przeglądu“ z tygodniowym dodatkiem literackim jest tylko projektem, którego urzeczywistnienie jeszcze w dalekiem jest polu.

OD ADMINISTRACYI.

Szanownych Czytelników prosimy o odstąpienie nam (za stosownem wynagrodzeniem) następnych numerów pisma naszego: nr. **2** rocznik 1896, nr. **32**, **37**, **40** i **48** rocznik 1895.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Członkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28

Nr. 16. Poznań, niedziela 19-go kwietnia 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: ul. Wilhelmowska 28.
(Drukarnia J. Fr. Tomaszewskiego.)
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Wilhelmowska 28, **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.

TREŚĆ.

Administracya pisma naszego znajduje się obecnie na ul. Wilhelmowskiej nr. 28 (Drukarnia J. Fr. Tomaszewskiego) i otwarta jest codziennie (z wyjątkiem niedziel i świąt).

W sprawie zlotu wszechsokolskiego w Poznaniu.

Z powodu zlotu wszechsokolskiego, mającego się odbyć na poznańskim gruncie, i towarzyszących mu prac przygotowawczych, zebrań, polemik, projektów, odezwały się w prasie naszej kilkakrotnie głosy niewłaściwe, rzucające fałszywe światło na dążenia i prace polskich towarzystw gimnastycznych. Są tam jakieś mętne aluzye do społeczno-politycznej roli „Sokoła“, — jakieś wywieszanie chorągwi ruchu ludowego, jakieś niepokoje o „przyszłość warstw średnich“ (!) i dolę „wszystkich Towarzystw polskich“ (!), jeżeli w zlocie „coś zaskrzypi lub pęknie“ — jast wreszcie jakiś strach dziwaczny przed demonstracyami, niepogodą polityczną i kosztownemi rozmiarami igrzysk sokolskich. Wszystko to jest nieco mgliste i niedomówione, lecz właśnie temi półsłówkami i ogólnikami rozsiewa prasa na zewnątrz i na wewnątrz błędne opinie o ideałach i celach „Sokoła“ poznańskiego, trwożąc zupełnie niepotrzebnie swoich i cudzych ludzi, oraz wynosząc sztucznie zwyczajne towarzystwo gimnastyczne do wyżyn potężnych czynników społecznych.

Na szczęście w opinii publicznej pojęcia takie nie mają wysokiego kursu, — wierni jednak zasadzie *„principiis obsta“* poczuwamy się do obowiązku zaprotestować stanowczo przeciw prasowym barwikom, fałszującym prawdziwe oblicze „Sokoła“ poznańskiego przed trybunałem polskiej i niemieckiej kontroli. „Sokół“ nasz jest i pozostanie tylko towarzystwem gimnastycznem. W całej jego działalności nie ma ani jednego momentu, któryby usprawiedliwiał mniemamanie, że ruch sokolski płynie politycznem korytem lub hołduje tendencyom demonstracyjnym. Jest on tylko o tyle politycznym, o ile jest polskim, demonstruje jedynie o tyle, o ile nie zapiera się nigdzie barwy narodowej i na wzór innych poznańskich towarzystw pielęgnuje język, pieśni i pamiątki polskie. Wydział związku sokolskiego w tym właśnie względzie pełni straż czujną i gdziekolwiek pojawić by się miały zakusy, by wypaczyć powyżej określony charakter, tam natychmiast rozkaz zarządu sparaliżowałby niefortunne zabiegi. I w tej kontroli generalnego zarządu tkwi właśnie doniosłość idei związkowej. Żadnemu gniazdu nie wolno zbaczać z wytkniętej drogi, w całej sieci towarzystw sokolskich jest pewna jednolitość działania, wszelki separatyzm znajduje skuteczne tamy i hamulce, — jednem słowem organizacya związkowa stanowi niewątpliwą gwarancyę, że każda z drużyn sokolskich podąży przepisanym gościńcem. nie pozbawionym wprawdzie nigdy charakteru narodowego, lecz dalekim od ścieżek polityki demonstracyjnej lub manewrów partyjnych zabiegów.

Nie przeczymy bynajmniej, że charakter gimnastyki naszych „Sokołów“ tu i owdzie wykazuje braki dotkliwe, tak pod względem rutyny fachowej jak zapału dla ćwiczeń fizycznych, — w tym kierunku jednak zarząd związkowy w ostatnich latach rozwinął nader energiczną działalność, a zlot sierpniowy w Poznaniu przyczyni się niewątpliwie do spotęgowania ruchu gimnastycznego, ktory dziś jeszcze tak niekorzystnie odbija od świetnego rozwoju niemieckich „Turnvereinów“. „Sokół“ pragnie współzawodniczyć z „Turnerami“, a w tej humanitarnej emulacyi chyba najzaciętszy szowinista Bismarckowskiej szkoły nie znajdzie motywu do legend o „polskiej agitacyi“ i krzyżackich okrzyków na temat „Ausrotten“.

Rozwojowi gimnastyki w Sokolstwie naszem służyć ma zlot poznański i dla tego charakter jego będzie czysto fachowy, a przynajmniej więcej fachowy niż towarzyski. Z takiego założenia jednak wypływają owe „kosztowne“ (?!) plany, które w dziennikach i dyskusyach publicznych zgotowały kierownikom niesłuszne inkryminacye i nauki na temat skromności, oszczędności itp. W głośnym tym gwarze polemicznym odgrywały niewątpliwie pewną rolę osobiste niechęci i koteryjne uprzedzenia, głównem ich źródłem jednak jest brak znajomości rzeczy i właściwa społeczeństwu naszemu pohopność do wydawania powierzchownych sądów.

Z planów dotychczasowych, w których redakcya nasza sumiennie się rozpatrzyła, uderza tendencya usunięcia wszystkiego, co wykracza po za linie niezbędnej potrzeby i granicy z pojęciem przepychu lub zbytku. Jeżeli zaś zlot wszechsokolski w Poznaniu większych wymaga ofiar niż zlot inowrocławski, to przyczyna tkwi z jednej strony w warunkach lokalnych, a z drugiej strony w owej tendencyi przyświecającej kierownikom, aby rozmiarami ćwiczeń gimnastycznych rozbudzić w całem społeczeństwie zapał do energicznej i czynnej pracy nad rozwojem zdrowia i siły fizycznej. Trybuny, szatnie, boisko, kapele -- wszystko to pojawiało się na ustach naszych trzeźwych społeczników z stałym akompaniamentem frazesu, że biedny „Sokół“ poznański „czwórką ujeżdża po kraju“, a jednak trochę nieuprzedzonej i ścisłej krytyki, trochę znajomości rzeczy rozwiałoby w mgnieniu oka te naiwne deklamacye na temat oszczędności, które u niektorych dziennikarzy stały się sportem i manją chorobliwą. Zlot wszechsokolski bez niezbędnych do ćwiczeń budynków, bez wielkiego boiska i kwater byłby niewątpliwie tańszym, ale nie różniłby się w niczem od pospolitych majówek sokolskich lub zlotów żupowych.

Igrzyska sierpniowe mają być generalnym przeglądem sił dotychczasowych, obrachunkiem wad i przymiotów, potężnym bodźcem do rozwoju gimnastyki i w tym celu muszą mieć charakter odrębny i rozmiary szersze niż zwykłe zabawy sokolskie i zloty okręgowe. Tylko uprzedzenie może w takiem pojęciu dopatrzeć się „ujeżdżania czwórką po kraju“, a ktokolwiek zajrzy do bilansu zlotów galicyjskich i porówna je z preliminarzem poznańskiego Sokoła, ten chyba ze smutkiem oświadczy, że biedny Poznań zaledwie biedą jedzie na egzamin Sokolstwa.

Wszelkie zatem utyskiwania na rzekomą „wielkopańskość“ kierowników zlotowych, pozbawione są najmniejszych podstaw realnych. Programowem dążeniem komisyi obradujących jest unikanie wszystkiego, co zakrawać by mogło na blichtr demonstracyjny, i położenie całego nacisku na fachowy charakter popisów. Temu celowi służyć będą narady nauczycieli gimnastycznych, ćwiczenia

na boisku i pochód w szeregach, jako integralna część gimnastyki, — jednem słowem, prócz kilku nieodłącznych momentów towarzyskich, zlot poznański będzie wielkim zbiornikiem zawodowej pracy.

Z przykrością niestety zaznaczyć wypada, że w tak poważnej chwili w „Sokole“ poznańskim odezwały się zgrzyty osobistych niechęci i uprzedzeń, tamujące spokojny rozwój prac przygotowawczych i zniechęcające wielu zdolnych i energicznych kierowników zlotu. Dysonanse te pojawiły się także w prasie poznańskiej, która — i to jest najsmutniejsze — zamiast w krytycznej chwili uspokajać rozjątrzone umysły, dolewała oliwy do ognia. U nas niestety ludzie mają pełne usta wielkich słów i wielkich haseł obywatelskich, lecz w praktyce zaledwie ten i ów podporządkuje osobiste ambicye i niechęci dobru publicznemu. Dla tego wszystko u nas idzie oporem, praca zawsze się haczy a często w piasku ugrzęźnie.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Jubileusz „Orędownika. W „Gazecie Opolskiej“ czytamy:

„Zasady „Orędownika“ uważamy za szczere, pracę za dążącą do uczciwego celu, więc w uroczystej chwili jubileuszowej nie wahamy się tych naszych zapatrywań wypowiedzieć, co uważamy za tem więcej uzasadnione, iż „Oręd.“ jest czytywany na G. Szląsku w inteligentniejszych kołach świeckich i duchownych, pracujących nad rozbudzeniem ludu polskiego i wytworzeniem zdrowej inteligencyi. Choć więc nie wątpimy, że, jak każdemu, tak i Redakcyi „Oręd.“ niejednokrotnie w tym lub owym względzie pośliznąć się mogła noga, bo, jak sam pisze w jubileuszowem numerze „Redaktor dzień po dniu musi służbę pełnić, musi każdej chwili stojąco, na poczekaniu się decydować i pisać, a co już raz drukiem w świat wyśle, tego niczem, żadnemi sprostowaniami nie cofnie“, — to przecież podzielamy w zupełności zdanie bytomskiego „Katolika“, który pisze, że „jeżeli lud polski w znacznej części dziś żyje prawdziwie, bo czuje się prawdziwym Polakiem i obywatelem, potrafi sam swojej sprawy bronić i naprzód ją poznawać, to wielka w tem zasługa „Orędownika“.“

* * *

Nagrobek dla „Kuryera Górnoszląskiego“: W sprawie zwiniętego organu górnoszląskich księży — germanizatorów tak pisze bytomski „Katolik“:

„Kuryer Górnoszląski“ pożegnał się w ostatnim numerze ze swoimi czytelnikami. Pisze, że doznał wiele smutku, ale też wiele miłości i pociechy. Walczył „Kuryer“ mężnie o to, — tak pisze — „że między ludem przewodnictwo w sprawach religijno-politycznych należy się Duchowieństwu. Lud powinien się trzymać „urodzonych przewodników i wspólnego sztandaru katolickiego. Wszelkie inne dążenia szczepowe, językowe itd. doznają pod tym sztandarem najlepszej, a można powiedzieć jedynie bezpiecznej obrony“. Tak głosi „Kuryer“ i składa dowód, że schodzi do grobu z tem mylnem przekonaniem, z jakiem życie rozpoczął. Mianowicie wychodził on zawsze z założenia, jakoby gazety i ich świeccy redaktorowie chcieli odebrać księżom przewodnictwo ludu i jakoby jedynie duchowieństwo miało prawo do tegoż przewodnictwa. „Katolik zawsze zwracał „Kuryerowi“ uwagę, że w sprawach religijnych i kościelno-politycznych wszyscy przewodnictwo księży bez oporu uznajemy; zaś w sprawach społeczno-politycznych i narodowych, księży od przewodnictwa nie usuwając, żądamy, ażeby księża na zdanie świeckich a mianowicie na zdanie ludu zważali, jak się należy. Albowiem polityczne sprawy są sprawami ludzkiemi a przeto niedoskonałemi. Każdy się w nich mylić może, tak duchowny, jak świecki. W tych też czysto świeckich sprawach ma prawo brać udział w przewodnictwie k a ż d y tak duchowny, jak świecki, kto ma rozum i serce na swojem miejscu. Takim przewodnikiem politycznym, nikt się nie rodzi, lecz musi sobie to stanowisko z d o b y ć rozumem, pracą i poświęceniem.

* * *

Germanizacya przez kościół. Jak wiadomo odrzuciła władza biskupia w Pelplinie petycyę gdańskich Polaków o udzielanie dzieciom polskim nauki religii w języku ojczystym. Sprawie tej poświęca „Gazeta Toruńska“ następujące uwagi:

„Najbardziej już nie powiem boli, lecz oburza: 1) to skazanie dzieci polskich na dyskrecyę, na łaskę i niełaskę księży gemanizatorów;

2) targnięcie się na nietykalne p r z y r o d z o n e p r a w o nad dziećmi, rodzicńw, którzy ostatecznie rozstrzygają, w jakim języku mają ich dzieci być przygotowane do Sakramentów św., na prawo, którego kościół tak skrupulatnie przestrzega, że nie pozwala nawet chrzcić dzieci bez woli rodziców;

3) pismo ono jest wyparciem się i wypoliczkowaniem tylokrotnie przez katolickie centrum i walne wiece kat. wypowiadanej zasady; że nauka religii nawet w szkole tylko w języku ojczystym dzieciom powinna być udzielaną. Język ojczysty przez obcy nigdy, przenigdy nie może być zastąpiony! Przy jego pomocy rozum się najlepiej oświeci, serce rozgrzeje i prawdy wieczne rozpozna i pokocha. Prawdy tej żadnemi kpinkami i sofistycznemi łamańcami nikt obalić nie zdoła.

Kwintensencyą całego pisma to rozgrzeszenie dla wszystkich germanizatorów, to uznanie dla nich za przeszłość i potwierdzenie na przyszłość.“

— ski.

O Stańczykach.

(Wyjątek z 2-go tomu dzieła K. Bartoszewicza o „Rzeczy“ p. Koźmiana).

III.

(Ciąg dalszy).

(Rezolucya. Stańczyków nie ma jeszcze po napisaniu Teki Stańczyka. Ich autokrytyka).

W rok po uchwale 2-go marca obradował sejm nad głośną rezolucyą, spowodowaną ogłoszeniem t. zw. konstytucyi grudniowej (1867) a przebieg obrad tych przekonywa nas, że nietylko grono krakowskie niczem jeszcze nie było, ale samo nie wiedziało do czego dąży, nie miało żadnego

K. ROJAN.

W ŚWIAT.

(Ciąg dalszy).

— Jeżeli pani ciekawa, to ja powiem. Przyczyną mego doskonałego humoru był ktoś, kto siedział naprzeciwko.

— Pan Józef?

— Nie.

— Pan Szeląg?

— Nie, ani Pan Józef, ani pan Szeląg, ale osoba co siedziała między Józefem a Szelągiem.

Chwila milczenia; poczem Anusia powiada ciszej:

— Nie wiem, nie pamiętam kto to.

Że Anulka ma oczy spuszczone, o tem słuchająca pode drzwiami pani Borajska zgoła nie wątpi.

Głos Dynieckiego przerywa znowu ciszę:

— Owa osóbka ma bardzo dźwięczne imię. Zgadnij pani, jak ją nazywają.

— Ja nie umiem zgadywać.

— Nazywają ją Anulką; pani może jej nie zna?

— Nie, nie znam.

— Szkoda, prawdziwa szkoda. Ja miałbym jej tyle do powiedzenia... oj, tyle. Niestety — (westchnienie) — sam nie mam odwagi, a pani jej nie znasz.

Ponowna chwila milczenia; poczem Anulka:

— E, panie Dyniecki, ja się na pana gniewam.

— Czy może za tę nieznajomą?

— Nie, za mego brata....

— A mianowicie?

— Czy pan wiesz, że Lola i Franuś nie są już narzeczonymi. Zwrócili sobie pierścionki.

— Proszę!... tak energicznie.

— A tak, i pan tu głównie zawinił.

— Mocno żałuję, słowo honoru, że żałuję. A jednak kto wie, czy złe nie dałoby się jeszcze naprawić.

— Byłoby to nawet pańskim obowiązkiem.

— Sądzi pani.

— Pewnie.

— O, to ja gotów jestem uczynić wszystko, co będzie w mojej mocy. Chodzi tylko o to, żeby mi panna Anna pomogła.

— W jaki sposób?

— Bardzo prosty. Zaraz pani powiem —

Nastaje krótkie milczenie, podczas którego Dyniecki namyśla się zapewne, a Marcysia Borajska zmienia prawe ucho na lewe.

— Nazywają mnie niektórzy lampartem — rozpoczyna Dyniecki poważnie. — Być może, że mają potrosze słuszność; jednakowoż ja mogę wiele powiedzieć na moje uniewinnienie. Ze lubię się bawić, to prawda; nie przeczę, że umiem zabawić, to koniec końców nie jest jeszcze grzechem. Bo cóż ja ostatecznie winien, że rozbawione kobiety lgną do mnie, jak muchy do miodu i najczęściej nieproszone, prawią mi czułości. Jestem może trochę za miękki, unoszę się czasem zanadto i to moja jedyna wina. Lecz człowiek, którego kobiety kochają, staje się z czasem wybredny i właśnie myśli o takich tylko, które zamiast narzucać się, same się szukać każą. Tak właśnie dzieje się ze mną. Już niejedna z kobiet prawiła mi niestworzone rzeczy: że mam ładne oczy, nos i Bóg wie co jeszcze — jedno tylko dziewczątko, dziewczątko skromne i piękne, nie powiedziało mi dotyczczas nic takiego, chociaż wzrok jej mówi najwymowniej, że mię kocha i dlatego panienka ta podobała mi się więcej, niż wszystkie znane mi dotąd kobiety. Zowie się Anulka.... ta właśnie Anulka której pani nie zna....

Poruszenie i szept:

— Panie Dyniecki....

— Panno Anulko, powiedz mi, czy mi sprzyjasz, czy jesteś mi wzajemną?...

Ponowny szept:

— Panie Dyniecki....

— Więc kochasz mię Anulko moja?...

Jeszcze cichszy szept:

— Ach tak....

— Bardzo?

Jest to chwila, w której piękny młodzieniec, dojrzawszy zdradziecką muchę na policzku zapłonionego, bezsilnego dziewczęcia, musi ją ustami przybić; musi zgnieść tę muchę przeklętą. Jest on biegłym w swoim

programu, planu i łączności, bo każdy z jego członków prowadził politykę na swoją rękę. Lubo miałbym wielką ochotę skreślić na podstawie sprawozdań sejmowych obrady nad tą rezolucyą i nad połączonem z nią organicznie adresem, ażeby więcej uwypuklić bezradność i wszelki brak programu tych, co to niby wynaleźli „drogę kompromisową“, nie czynię tego jedynie ze względu, ażeby nie rozszerzać i tak już za obszernych ram mojej pracy. Wspomnę tylko pokrótce, iż w adresie do cesarza zaznaczonem było, iż Galicya jest „częścią dawnego udzielnego państwa“, że ustawy zasadnicze z 21 grudnia 1867 nie uwzględniły jej indywidualności, że „domaga się“ ona szerokiego samorządu. W samej rezolucyi poddano ostrej krytyce ustawy z 21 grudnia jako „nieodpowiadające nadziejom ani warunkom rozwoju narodowego“, jako „ubliżające historyczno-narodowej indywidualności“, a ztąd rodzące „powszechne niezadowolenie i zwątpienie“. „Dłuższe trwanie takiego stanu — mówiła rezolucya — zgubnie oddziała na pomyślność kraju i dobro państwa“, a chcąc temu zapobiedz, należy przyznać Galicyi samorząd narodowy. Nie ma być żadnych wyborów bezpośrednich, delegacye mają brać tylko udział w sprawach wspólnych monarchii, a do sejmu należeć powinny: ustawodawstwo przemysłowe, bankowe, sanitarne, sprawy wychowania, organizacya władz sądowych i administracyjnych, ustawodawstwo w prawie karnem i cywilnem i t. d. Dalej rezolucya żądała, aby rząd wydzielił z funduszów państwa sumę na pokrycie wydatków administracyjnych, wyznaniowych, oświaty itd., aby dobra kameralne przeszły na własność kraju, aby żup solnych nie wolno było obciążać ani sprzedawać, aby znajdował się w kraju najwyższy sąd kasacyjny, aby utworzono odrębny zarząd prowincyą pod naczelnictwem kanclerza, odpowiedzialnego przed sejmem i t. d. Kiedy widzimy, jakie to wówczas Galicya miała wymagania, a na czem poprzestała, trudno powstrzymać się od pisania satyry! Sprawozdawcą i obrońcą rezolucyi był Grocholski. Przemawiali za nią ciągle Zyblikiewicz, Chrzanowski i dwa razy Szujski. Ten ostatni już poprzednio przy dyskusyi nad adresem pokazał się czerwieńszym od wszystkich, bo postawił wniosek, aby do słów: „chcemy Austryą widzieć potężną i kwitnąc “ dodać jeszcze: „i wolną“. Adam Potocki i L. Wodzicki byli za uszczupleniem rezolucyi, lubo i to uszczuplenie stawiało bardzo szerokie żądania[1]) Sanguszko był przeciwnym wogóle rezolucyi, gdyż ona wieńczyła dzieło 2-go marca, któremu „wszystko mamy zawdzięczyć, bo nawet zapowiedziany przyjazd cesarza do Galicyi“. I rzeczywiście tylko kilka dni oddzielało obrady nad rezolucyą od naznaczonego terminu przyjazdu pary cesarskiej. Rząd jasno dawał poznać, że w razie uchwalenia rezolucyi, przyjazd ten zostanie odwołany. Namiestnik Gołuchowski starał się swoim wpływem rezolucyę pogrzebać, a nawet wygłosił mowę tak patryotyczną, że wywołała ogólny podziw[2]). Nic to jednak nie pomogło: rezolucya została uchwaloną, — tegoż samego dnia odroczony został przyjazd pary cesarskiej do Galicyi, a w parę dni później odwołano go stanowczo.

Widzimy, jak się rozbili Stańczycy, jak nie wiedzieli co począć, bo nie byli żadnem stronnictwem, bo nie mieli żadnego politycznego programu. Wogóle z rozpraw nad rezolucyą jest jasnem, że sejm nie miał nawet zdecydowanych stronnictw politycznych. —

[1]) Trzeci ze Stańczyków, Tarnowski, siedział cicho, nie zabierał nawet głosu w sprawie mogącej decydować o całej polityce kraju.

[2]) Dla charakterystyki ówczesnych stosunków, przytaczam jeden ustęp z tej mowy: „Trudnoby było nam Polakom powiedzieć, że my żadnej łączności i nic wspólnego z współbraćmi naszymi (w zaborach pruskim i rosyjskim) mieć nie możemy i że my tylko w Galicyi zamieszkali chcemy po wszystkie czasy być uważani jako część do Austryi należąca. Byłoby to poniekąd zrzec się wszelkiego przyrostu i postawić zaporę sobie samemu wobec przyszłości, która wprawdzie zapewne nie jest tak blizką, ale o której nie wolno powiedzieć, iżby była niemożebną“. Tak wolno było mówić w r. 1868 namiestnikowi Galicyi. Czyżbyśmy do sukcesów polityki stańczykowskiej mieli zaliczyć i to, że następni namiestnicy aż do dzisiejszego nie odważyliby się słów takich wypowiedzieć? Za to przed kilku laty nie namiestnik liczący się ze słowami, ale zwykły poseł odważył się wyrzec że „Galicyan Polska nic nie obchodzi“ — co mu nie przeszkodziło potem zająć wysokie stanowisko.

Stwierdza to i p. Stanisław Tarnowski, który pisząc sprawozdanie ze sesyi sejmowej 1868 r. wyraźnie mówi, iż „w kwestyi rezolucyi wolno było głosować jak się komu podobało, bo sejm zresztą stronnictw nie posiada“. P. Tarnowski sądził, że do utworzenia silnego stronnictwa dojść by mogło w razie jakiegoś „ważnego wypadku“, ale cieszy się, iż takiego ważnego wypadku nie było, więc z rezygnacyą oświadcza: „próżna praca chcieć składać stronnictwo[3]).

Następstwem rezolucyi było nietylko odroczenie przyjazdu cesarza, ale podanie się do dymisyi Gołuchowskiego. Ten przyjazd p. Tarnowski nazywał wówczas „sukcesem polityki, jaką kraj od r. 1865 prowadził[4]), a więc stwierdzał, że polityka galicyjska miała sukces, a jak wiemy już to dobrze, do sukcesu tego nie przyłożyli się w niczem późniejsi stańczycy, owszem 2 marca 1867 r. przeciw trwaniu na drodze kompromisowej występowali z opozycyą. Przegląd polski w artykule politycznym pióra Powidaja, ubolewał nad ustąpieniem Gołuchowskiego, przyznając, iż „przez dwa lata rządów, nie słyszał hr. Gołuchowski żadnego pochlebstwa“. I nic dziwnego, bo jak także wiemy, Gołuchowski nie cieszył się względami przyszłych stańczyków i odpłacał im się całkowitą wzajemnością. A przecież ten Gołuchowski był z Ziemiałkowskim twórcą polityki kompromisowej! Swoją drogą Powidaj w imieniu Przeglądu polskiego wyraża wdzięczność Gołuchowskiemu za jego działalność i z trwogą ogląda się na około, bo „nie widzi, ktoby go mógł zastąpić[5])“. Nie przeszkadza to Przeglądowi chwalić rezolucyi, którą Czas (trzeba mu to przyznać) konsekwentnie od samego początku potępiał, a co też widać wpłynęło na p. Tarnowskiego, bo zaraz w następnym numerze Przeglądu bardzo dwuznacznie wyraża się o rezolucyi. Wszystko to dowodzi, (a głosowanie Szujskiego przedewszystkiem), jak dzielnie było zorganizowane grono krakowskie, z jak nie-

[3]) St. Tarnowski w artykule: „O sesyi sejmowej“ Przegląd polski 1868, zeszyt listopadowy, str. 318.

[4]) Tamże str. 388.

[5]) Przegląd polski z października 1868 roku, str. 171.

---

zawodzie: żadna z nich, dotychczas ubijanych nie wymknęła się i nie uleciała bezkarnie, tak ją długo, namiętnie, wprost zapamiętale dławił.

Widząc to, a raczej odgadując, wbiega p. Marcysia do pokoju dziewcząt, porywa chorą Lolę za rękę, wlecze ją gwałtownie do bawialni i woła:

— Chódz, chódz prędko, twój Dyniecki przyszedł, chce się z tobą natychmiast widzieć.

Roztwiera drzwi gwałtownie i wtrącając pasierbicę do wnętrza, krzyczy:

— Oto masz Dynieckiego!...

Lola przysłoniła podsiniałe oczy i osunęła się cichutko na ziemię. Równocześnie Dyniecki i Anulka odskoczyli, jak gdyby między nich ogień rzucono.

. . . .

Anulka wybiegła z bawialni jak oszalała, nie zważając na wycofującego się wśród sztywnego ukłonu Dynieckiego, ani na omdlałą Lolę; niewysłowiony wstyd, żal, rozpacz, owładnęły nią, ścisnęły za gardło i wyganiały gdzieś za oczy, na koniec świata.

Wybiegła na ogród. A że tu jasno było i wszystkie bezlistne szkielety drzew, zdawały się spoglądać na nią z szyderstwem i potępieniem, więc bez namysłu wpadła do pokoju brata i tu skryła rozwichrzoną główkę, w pościel jego łoża.

Tak ją też zastał w chwilę później Franciszek, który przypadkowo zaglądnął do pokoju.

— Ej, Anulka! a tobie co?

Anulka teraz dopiero oprzytomniała. Zarzuciwszy bratu ramiona na szyję, urywkami i wśród łkania, opowiedziała mu wszystko jak było, szczerze i po prostu, jakby przed księdzem na spowiedzi.

A on zmarszczywszy silnie brwi, zdawał się słuchać spokojnie i uważnie, sądząc swym jasno patrzącym na czyny ludzkie umysłem, ile w tem wszystkiem winy siostry, a ile wyrządzonej dziewczęciu krzywdy. Nie gniewał się i nie przerywał. Wszak ona była jeszcze taka mała, taka uczciwa, taka niewinna, że choćby nawet stokroć więcej zbłądziła, jeszcze i wtedy byłaby czystą. Więc pocóż gnębić ją do reszty wyrzutami, skoro i tak zachodzi się od wielkiego żalu i wstydu.

To też nim jeszcze siostra skończyła opowiadać, Franciszek wyrozumiał już wszystko i powziął myśl co dalej czynić należy.

— Ty tu Anulko dłużej już nie zostaniesz — rzekł wreszcie. — Ani godziny dłużej. Dość nam obojgu hańby i smutku. — Nie płacz i nie rozmyślaj o tem więcej. Nic się złego nie stało. Ja teraz idę, a ty siedź tu spokojnie i nie wychódź nigdzie. Dziś jeszcze umieszczę cię gdzieś u innych ludzi, abyś nie biedowała. Pójdę do Szelągów.

Jak rzekł, tak zrobił. Nim jednak doszedł na drugą stronę miasta, gdzie było mieszkanie Szelągów, zawrócił na rynek.

Tam ujrzał Dynieckiego. Że go w tem miejscu obaczy, był prawie pewny i w tym też celu szedł, aby go spotkać. Piękny panicz przechadzał się po rynku jak zwykle o tej godzinie, wywijając wesoło laseczką. Wysoki, dorodny, szedł dumnie i swobodnie, pogwizdując jakąś piosenkę. Na trzy kroki dopiero, zauważył przed sobą Smolarza i zdawać się mogło, że od razu zmalał. Przeląkł się widocznie dzikiego wyrazu twarzy osmolonego siłacza, jego wydłużonych, obwisłych ramion i oczu gorejących niezwykłym ogniem.

Dyniecki chciał zawrócić co prędzej, lecz już nie zdążył. W tej samej bowiem chwili, silna pięść Smolarza, co wielkim młotem władała niby gęsiem piórem, opisawszy w powietrzu szeroki łuk, ubiła muchę na jego dorodnej twarzy.

A Smolarz umiał ręką kierować i trafiał dobrze tam, gdzie uderzyć chciał: tym razem zaś odwzajemnił się za wszystkich: za siostrę i narzeczoną, za siebie i za własne szczęście.

Dyniecki zatoczył się i upadł na czworaki pod mur kamienicy, cylinder zaś i laseczka odskoczyły na środek ulicy.

Tymczasem Smolarz, spełniwszy co należało, odwrócił się najspokojniej w świecie i nie oglądając się wstecz, poszedł do Szelągów prosić o przytułek dla siostry.

Dynieckiego, zbroczonego krwią, odwieziono do domu.

VI.

Pogodny dzień zabłysnął nad Kołczanowem i przyniósł naszemu bohaterowi wielką w sercu ulgę.

Oto właśnie oddał siostrę do Szelągów, „koło szczęścia“ skończył, pożegnał się z kolegami w pracowni, a teraz co prędzej u-

złomną konsekwencyą prowadziło swoją politykę.

Do charakterystyki tej konsekwencyi, znajdujemy przyczynek w samej Tece Stańczyka. W liście Brutusika (bodaj czy pod tą nazwą nie miano na myśli pana Alfreda Szczepańskiego) była charakterystyka krakowskiego dziennikarstwa. Brutusik chwalił „Całość“ (wychodzący wówczas w Krakowie Kraj), ale te pochwały dla Kraju były naturalnie satyrą, bo dowodziły, że pismo to samo nie wie, jakiej się trzyma polityki. Jeżeli „Wieczność“ (Czas) — pisał Brutusik — upadnie, my z „Całością“ „pozostaniemy jedynymi panami pola bitwy“, bo i któż, pytał się Brutusik, „śmiałby go nam jeszcze zaprzeczać — przecież nie ten biedny „Lustrator galicyjski“ (Przegląd polski). W tem miejscu autorowie Teki Stańczyka podają autokrytykę Przeglądu i charakteryzują działalność trzech jego redaktorów. Leżała w tem chęć okazania bezstronności, a szczytem jej miała być charakterystyka redaktorów, pisana przez nich samych, jak to stwierdzają słowa: „ten wizerunek satyryczny Szujskiego pisany przez niego samego“, umieszczone w przypisku do przedruku Teki Stańczyka w dziełach Szujskiego[6]). Posłuchajmy więc, jakie wady dostrzegali sami Stańczycy w swoim Przeglądzie-Lustratorze. Mówią naprzód przez usta Brutusika, że ma on „mało sprytu, mniej energii, a najmniej pieniędzy i abonentów“. „Trudno zrozumieć, czyim właściwie i czego organem jest Lustrator. Przed trzema laty był zapalonym i wymownym federalistą, odrzekał się centralnego parlamentu w Chaopolis (w Wiedniu) wszystkich spraw jego i wszystkiej pychy jego. Później znalazł, że mądra polityka liczyć się musi z faktem dokonanym, zasadę swoją postawił na ołtarzu i zasłonił, żeby spokojnie swoich czasów czekała, a sam wysłał delegata swojego (Tarnowskiego) właśnie do tego samego parlamentu. Później obstawał za rezolucyą Tygrysowskiego sejmiku (sejmu lwowskiego), jeszcze później przekonał się, że mu z nią niewygodnie i gotów był wchodzić w kompromis[7])“. Słowem młody Lustrator „ma chód nieregularny jak królik... Dalibóg nie wiem jeszcze dziś po trzech latach, co on reprezentuje... Prawda, że przy wyjściu swojem nie zakładał sobie bezpośredniej akcyi politycznej za zadanie i o złożeniu żadnego stronnictwa nie myślał“. Poprostu „Przegląd chciał zostać polską Revue des deux Mondes“. Następują pochwały Brutusika dla niektórych artykułów w Przeglądzie, pisanych z talentem albo dowcipem, ale to są „rari nantes“ w oceanie mierności lub nudy. Jak politycznie jest chwiejnym, tak pod względem redakcyjnym Przegląd odznacza się lenistwem i niedołężnością. Tu następuje szereg zarzutów: o stosunkach węgierskich nic w Przeglądzie nie było, nie ma żadnych wiadomości z Warszawy, Litwy i Wołynia, choć Przegląd chwali Roczniki polskie (paryzkie — artykuł p. Tarnowskiego), że o wszystkiem wiedziały. „Kronika polityczna idzie w lewo, artykuł sytuacyjny (jeżeli się czasem trafi) w prawo, z obydwoma nie zgadza się dążność krytyki literackiej“, w historycznych pracach chaos odmiennych pojęć. „Ktoś złośliwy powiedział, że Lustrator to jest drewniany konik, na którym panicze wjeżdżają do izby sejmowej!.. Możnaby napisać o tem piśmie i jego redakcyi coś na kształt księgi rodzaju, że Doliwczyk (Tarnowski) zrodził Lustratora a Lustrator zrodził Doliwczyka“. Następuje charakterystyka Tarnowskiego, w której między innemi jest powiedziane, iż jest „przebiegły i ostrożny“, że „tło swoich przekonań starannie ukrywa“, że legitymistki proszą Boga, „aby rychło się nawrócił do zdrowych zasad“. Idą dalej pochwały i nagany, ale tyczące się już tylko literackiej strony działalności Tarnowskiego. Następuje charakterystyka Forkadzika - Koźmiana. Przeglądy miesięczne pisze „na kolanie“, jest w formie „niepoprawny, zaniedbany“; — „mówią, że są tam myśli, być może — zauważę jednak, że myśli mieć może każdy rozumny człowiek, ale że one jeszcze nie stanowią publicysty; nadanie właściwej i odpowiedniej formy myślom, oto zadanie i warunek niezbędny, aby być publicystą. Forkadzik jest poprostu leniwy, niezdolny do codziennej, wytrwałej pracy[8])“. Należał do redakcyi „Wieczności“ (Czasu, ale nie wytrwał. „Chciał, żeby mu wszystko łatwo przychodziło i żeby do wszystkiego łatwo doszedł, a wtedy może się poświęci dla kraju... Forkadzik jest jednym z tych pisarzy, którzy z wielkiem upodobaniem uderzają na nasze wady narodowe, a nie znam nikogo, któryby ich miał więcej niż on“. Później jest mowa o tem, że chociaż Forkadzik nic dotąd nie zrobił, ma jednak cichą reklamę, której zawdzięcza dobre mniemanie, jakie mają o nim ludzie. W tem miejscu przychodzi ustęp tak świetnie charakteryzujący dawniejszego (a zdaje mi się, że i dzisiejszego) pana Koźmiana, że nie mogę się wstrzymać od przytoczenia go w całości:

„O ile mnie uczy moje już dość dawne doświadczenie, jest on w tym punkcie, że gotów przesadzić i trzeźwością i rozsądkiem. A jednak tenże sam Forkadzik dał się porwać ogólnemu szałowi w 18 3 r. i skutek pokazał, że wtedy ani trzeźwo, ani rozsądnie nie zapatrywał się na położenie[9]). A dziś pomimo całej jego trzeźwości, czy nie czujesz w nim tej mimowolnej chęci nienarażenia sobie jednych, nie zerwania z drugimi? Słyszałem, jak ktoś do niego dowcipnie powiedział: Mój ty nasz Forkardziku! ty masz to — nie wiem - szczęście, czy nieszczęście, że należysz do jednych i do drugich, i że kiedy jedni nienawidzą cię, drudzy cię nie lubią. A wiesz co on na to odpowiedział? Nic! uśmiechnął się tylko z

[6]) Że szło rzeczywiście o to, aby okazać bezstronność i że autokrytyka Przeglądu była pisana całkiem seryo, świadczy p. Tarnowski, który w siedm lat później pisał, że „na tę bezstronność nie każde pismo byłoby się zdobyło“, bo autor(?) Teki „powiedział Przeglądowi samemu rzeczy przykre“. Tarnowski: Studya polityczne, tom I, str. 16.

[7]) Aluzya do artykułów Koźmiana przeciw trzymaniu się rezolucyi dosłownie i dogmatycznie. (Przypisek wydawców dzieł Szujskiego).

[8]) Jak p. Koźmian „zbywał“ swoje obowiązki „polityka w Przeglądzie, widzimy najlepiej przeglądając jego roczniki. Są „przeglądy polityczne“ po trzy, dwie, a nawet półtorej kartki. A Przegląd był niby pismem politycznem! Często zastępują Koźmiana: Powidaj i Lisicki.

[9]) Cóż na to p. Koźmian, który dowodzi w I tomie Rzeczy, że był bardzo mądrym w r. 1863.

---

mieszcza rzeczy w kuferku, układając wszystko uważnie, roztropnie, aby się w drodze nie zniszczyło, i w ten sposób gotuje się do drogi.

Za dwie godziny odjeżdża.

Słońce jasno świeci i grzeje, na dworze przewiewa już wietrzyk wiosenny, a Rudy buczy wesoło; dziś więc właśnie odpowiednia pora wybrać się na wędrówkę po świecie.... Z chwilą gdy zemścił się na Dynieckim, opuściła go już zatwardziałość i zimna rezygnacya: teraz zbierając się i ciesząc po trosze wyjazdem, mimowoli powraca myślą do najmilszych chwil w życiu, spędzonych pod dachem Borajskiego.

Stary Borajski przyszedł do pokoiku z rulonikiem pieniędzy w garści.

— Oto przynoszę panu, pańską należytość — rzekł. — Nie wiele tego, ale na początek wystarczy.

— Dziękuję.

— Masz pan także list do Walczaka w Pradze. Pracowaliśmy za młodu razem w terminie, więc powinien przypomnieć sobie starego druha Borajskiego. Dobry to człowiek, on przyjmie pana chętnie.

— Dziękuję.

— W drodze uważaj pan przedewszystkiem, żeby pana nie obdarli. Pieniądze najlepiej zaszyć do kamizelki, bo po tych kolejach niebezpiecznie. Przysiądzie się nieraz do człowieka jakiś taki porządny mężczyzna, myślałbyś kupiec, albo pan kamieniczny — tymczasem to panie prosty złodziej. Tak ci wsunie zgrabnie rękę do kieszeni, że nawet nie spostrzeżesz, kiedy jesteś bez grosza. A tymczasem jego już nie ma: poszedł, oho!... kamień w wodę.

Stary opowiada różne historye ze swojej włóczęgi po świecie, ale nie bardzo klei mu się opowiadanie. Naraz, ni ztąd ni z owąd, przechodzi w serdeczniejszy ton i rzecze:

— Cóż to ja jeszcze miałem mówić.... Panie Smolarz, czego nam pan robisz taką krzywdę?

— Jaką, panie Borajski.

— A, no: rozeszliście się z Lolą, toście się rozeszli: widocznie nie było wam przeznaczone, ale dlaczego zabrałeś pan od nas siostrę? Tyle lat dziewczyna była u nas, że nawet nie wiem, jak dziś bez niej żyć nam przyjdzie. Może ja was skrzywdziłem, co? Jeżeli tak jest, to powiedzcie, a będę się starał złe naprawić.

Słowa te wzruszyły do głębi Smolarza, odparł jednak spokojnie i stanowczo:

— Nie, panie Borajski, krzywdy tu nie ma żadnej, ale siostrę musiałem zabrać.... no cóż.... musiałem i koniec.

— Ha, jak musiałeś pan, to widocznie musiałeś. Nic już ja na to nie poradzę. Więc bywaj mi zdrów, kochany panie Franciszku.... Niech cię Bóg szczęśliwie prowadzi i pomaga w każdej potrzebie, ja ci z całej duszy błogosławię na drogę. A gdyby ci jednak mój chłopcze, źle szło kiedy w życiu, to nie zapominaj, że jest na świecie stary Borajski, u którego zawsze znajdziesz ciepły kąt, zdrowy posiłek i zatrudnienie. Bądź zdrów.

Otarł łzę dłonią i pocałował Smolarza w czoło — ten zaś mocno wzruszony, przykląkł i ścisnął go za kolana.

Koniec tej serdecznej scenie położył Łasiecki, który przyszedł również pożegnać przyjaciela i odprowadzić go na kolej. Po wyjściu Borajskiego, wesoły chłopak opowiedział z humorem Franciszkowi o ucieczce z miasta Dynieckiego, który na drugi dzień po wypadku na rynku, odjechał z podwiązaną brodą pospiesznym pociągiem do Krakowa.

— Pożegnałeś się już z Borajską? — zagadnął skończywszy opowiadanie.

— Nie i wcale żegnać się z nią nie myślę — odparł Smolarz hardo.

— A z Lolą.

— Z tą także nie.

Z nią przecież wypada. Musi jej być przykro. Zawiodła się na tamtym, a ciebie straciła.

Smolarz potrząsł smutnie głową.

— Nic na to nie poradzę.

Wzmianka o Loli rozrzewniła go znowu.

(Dokończenie nastąpi).

zadowoleniem, kiwnął głową i odszedł. I to go najlepiej charakteryzuje. Ja w nim widzę po prostu sceptyka w sądzie i zdaniu o wszystkiem. Ma on swoje zdanie, ale przekonania nie ma. Koniec końcem wszystko mu jest jedno i myśli, że czy tak, czy siak, to ostatecznie na jedno wyjdzie. Przyznaj, że to nie są potrzebne warunki dla publicysty lub politycznego człowieka. Będzie ci on z równą krwią bronił władzy świeckiej papieża i wyrażał się pobłażliwie o ustawach konfesyjnych w Austryi! Będzie on z równym zapałem wskazywał Bismarka i jego politykę, jako najniebezpieczniejszą dla Polski, i wynosił pod niebiosa tegoż Bismarka. Zwykle przed każdą konkluzyą cofa się, a jeżeli czasem zdobędzie się na nią, to tylko z obawy, aby go nie posądzono, że nie jest trzeźwym i rozsądnym. W ogóle obawiam się, czy nie będzie można o nim powiedzieć tego, co mówiła pewna dowcipna pani o pewnym ministrze: „Pozostał on obiecującem dzieckiem". Powiesz mi jednak, że z tych wszystkich wytkniętych przezemnie wad, może się jeszcze poprawi, a ze wtedy... daj Boże!

Jednakże ja to między bajki włożę."

„I nie obawiam się Forkadzika, który dziś staje się szermierzem zasad konserwatywnych i jawnym już wrogiem — Całości — i jej stronnictwa."

(Ciąg dalszy nastąpi).

LITERATURA I SZTUKA.

Znawstwo w malarstwie.

„Niezliczone razy zdarzyło mi się słyszeć szczere westchnienie czujących piękno, streszczające się w życzeniu: żebym to ja mógł znać się na sztukach, lub pytających gorąco: czego potrzeba, aby się na utworach plastyki poznawać?

Jedni zapytają, czy każdy może znać się na sztukach pięknych, inni, nie śmiąc marzyć o takim szczęściu w pokorze ducha, a nabożnej zazdrości, spoglądają na zbieraczów starych obrazów, jak na ideały znawców. Inni przeczytawszy kilka książek estetycznych mniemają, że w nich znaleźli najniezawodniejszy klucz do tej skarbnicy wiedzy i światła i przy jego pomocy wszelkie piękno odkryje przed nimi tajemnice swego powstania i bytu.

Zbieracze uważają się za jasnowidzących, artyści przypisują często sobie tylko możność znawstwa, są i tacy, co na przeciwnym biegunie stojąc, artystów, jako broniących własnego domu, wyłączają od sądu. Jaki zamęt!"

Do tych pierwszych, maluczkich, rzucających nieśmiałe wejrzenia ku wieżyczkom i kolumnadom gmachu sztuki przemawia w swej rozprawie*) *W. Gerson*. A przemawia przystępnie, jasno i serdecznie. Każe im unikać rzucających wielkie cienie drzew powagi i w słońcu niezależności czerpać soki żywotne. Budzi w nich poczucie jaźni artystycznej i uczy, jak pielęgnować ją i jakich składników chemicznych dodać, by pięknie urosła.

Zastanówmy się nad zbieraczami starych płócień. Czy zasługują oni na nazwę znawców? Czasami tak, częściej nie. Czarne płótno, na którem ledwie widać kawałek nosa, twarzy i jakąś błyskotkę jest dla nich Rembrandtem, ciemnożółtawa madonna, głowa starca o białej brodzie na czarnem tle, to Gwido Reni lub Caravaggio. Nędzne naśladowania i liche kopie otrzymują od nich często zaszczytny tytuł szkoły włoskiej, flamandzkiej, holenderskiej. Aleź właśnie podobny sąd dowodzi braku znawstwa zbieraczy. Pojęcie szkoły nietylko, że nie jest identycznem z myślą niewolnictwa, ale przeciwnie wyklucza je: artyści flamandcy czy włoscy o tyle zasługują na nazwę artystów, o ile posiadali cechy samoistne i oryginalne.

Zbieracz, który uniknął gromadzenia w jeden tabun mistrzów i naśladowców, mimo to może jeszcze zejść na manowce. Odrzuca bezwzględne kopiowanie, lecz pochwala nastrajanie się do tonu powag w sztuce, inną razą przenosi zewnętrzność nad wewnętrzność utworu, wykonanie nad myśl i uczucie w nim tętniące. Przyjmuje manierę w rysunku i malowidle, tak malował Beato Angelico, niech tak maluje i pan N.

Cóż powiedzieć o pseudoteoretykach, którzy piszą, nie obejrzawszy ani jednego zbioru arcydzieł, głębokie studya na podstawie cudzych zdań, rozprawiają o najzawilszych kwestyach sztuki, choć umysłu swego samodzielnemi badaniami nie rozwinęli. Są to ślepi, prawiący o barwach.

Że pominąć już „owe grono pamflecistów i paszkwilistów, którym się wydaje, jakoby samo umaczanie pióra w atramencie nadawało im prawo, obowiązek i namaszczenie do wydawania sądów o dziełach twórczości ludzkiej."

Nie, skierujmy wzrok w inną stronę, z innego rąbka horyzontu może wypłynie światło rozpraszające cień.

Opowiadanie greckie mówi o Apellesie, który wystawiwszy portret konny Aleksandra Wielkiego posłyszał jak szewc pewien wytykał błąd w obuwiu bohatera, uznał uwagę za słuszną i błąd poprawił.

Anegdota ta winna stanowić dla nas punkt wyjścia. Szewc znał formę obuwia, mógł dostrzec i ocenić wadę w jego odtworzeniu. Inny obserwator inne mógł uczynić spostrzeżenia nad tymże obrazem. Nic, jak tylko przyglądanie się baczne rzeczywistości, czyniło ich w danym wypadku zdolnymi sędziami.

Rozszerzmy pojęcia, a dojdziemy do wniosku, że ci, którzy z wrażeń życiowych, zarówno zewnętrznych, jak i wewnętrznych, dobrze zdają sobie sprawę, mają być dobrymi znawcami dzieł sztuki.

W życiu potocznem, w zwykłych rozmowach wypowiadamy zdania będące zarodkami sądów estetycznych. Wyrażamy się o proporcyi głowy i ciała, o wyglądzie ru-

*) Znawstwo prawdziwe i rzekome w malarstwie. Warszawa 1895, nakładem autora.

St. Czałut.

WSPOMNIENIA
Z LEGII ZAGRANICZNEJ.

(Ciąg dalszy.)

„W jakiem ubraniu jednak myślisz mój adjutancie, przeprowadzić tę ucieczkę?"

„Rozumie się, że po cywilnemu. Pan wiesz, że mundur zdradzić by nas musiał i prędzej czy później pozbyć go się trzeba. Lepiej zatem od razu postarać się o kostyumy, tembardziej, iż nawet w razie niepomyślnej ucieczki, nie będzie nam rzeczpospolita mogła robić zarzutu roztrwonienia efektów wojskowych, czyli jak oni tu nazywają i surowo karzą *„dissipation des effets militaires"*. — Lecz kiedy pan opuszcza infirmeryę?"

„Właśnie dzisiaj dostałem nakaz zgłoszenia się jutro w kompanii — odpowiedziałem.

„To dobrze, jednak zejdźmy do kantyny; tam przy wina butelce snadniej nam będzie bliżej się porozumieć — odrzekł adjutant.

Zeszliśmy do kantyny. Ja wygłodzony sześciotygodniowym postem, wycieńczony chorobą i wracający dopiero z wolna do sił pierwotnych, wyglądałem podówczas jak mara. Znikła świeżość twarzy na zawsze, a cera ołowiana i włos siwieć poczynający znacznie starszym mnie robiły, niż byłem w rzeczywistości.

W kantynie porozumieliśmy się bliżej.

„Gdzie nabędziemy jednak rzeczy cywilnych? — zapytałem. — Wszystko co mam na sobie, od koszuli do chustki od nosa, jest własnością skarbu francuzkiego".

„To już niech mojem zostanie staraniem - odpowiedział adjutant — mam w mieście znajomości, znajdzie się żyd, który nam za pieniądze potrzebnej dostarczy garderoby, bo i ja sam prócz butów, tylko skarbowe posiadam rzeczy. Ponieważ to dzisiaj czwartek, dzień, w którym popołudniu nadejdzie oddział rekrutów, możesz pan z łatwością od kogobądź kupić sobie własne buty. Co do koszuli, to mam dwie Bojanowskiego, który swą bieliznę przed ucieczką rozdzielił między Polaków. Chętnie jedną Panu służę".

„Jak jednak — zapytałem z mej strony dalej — wydobędziemy się po za mury koszar? Panu to będzie łatwo, mając szlify adjutanta, ja bez urlopu, zwłaszcza jako chory, ani myśleć nie mogę o tem, by mnie przez odwach przy wyjściu przepuszczono. Urlopu do miasta dziś załodze nie udzielają, by wypoczęli dostatecznie ci, którzy jutro rano wyjeżdżają do Tonkinu".

„I na to jest rada — rzekł adjutant i wyjął kartę wizytową, na której słów kilka zakonotował. -— Oddaj pan to pisarzowi odwachowemu, z którym się porozumiem, a puszczą Pana bez trudności. Tymczasem postaraj się pan o własne buty i bieliznę spodnią, dojdź do mnie po koszulę i przebierz się za wczasu, gdyż raz wyszedłszy z koszar, nie wrócimy do nich więcej. Ale prawda — wtrącił po chwili pauzy — zapomniałem o podziale mej gotówki, której połowę każdy jak będzie mógł najbezpieczniej przy sobie zachowa. Mam jeszcze przeszło 750 franków, oto masz pan 375 i schowaj je dobrze, a potem zaszyjemy pod podszewkę naszego ubrania cywilnego".

Rozeszliśmy się każdy w swą stronę w zamiarze spotkania się wieczorem w hotelu du Progrès. Ponieważ dnia tego już spać mi wypadało w mej kompanii, poszedłem zobaczyć, gdzie moi bliżsi sąsiedzi z szeregu. Odszukawszy kwatery mej sekcyi, począłem wynosić wszystkie manatki wojskowe z infirmeryi do właściwych koszar. Starszym izby, gdzie ulokować się postanowiłem, był Węgier Ullmann, niezawodnie żydowskiego pochodzenia, chłopak sympatyczny, dobrze wychowany i miły towarzysz.

Tak powynosiwszy wszystko, udałem się do nowo przybyłych z Europy legionistów, by zakupić buty, i bez trudności nabyłem jedną parę. Przebrałem się natychmiast w nowe obuwie, zmieniłem koszulę skarbową na własną, którą mi dostarczył adjutant, i odczekiwałem 9 godziny, by wynieść się na miasto. Przed Ullmannem nie taiłem się bynajmniej ze swemi zamiarami.

„Wiesz Pan, że dziś ostatni raz jestem

chu, o pięknie linii. Ten ruch jest niezgrabnym, owa postać wysmukłą, tamte rysy są nieregularne. Starajmy się baczniej podpatrywać rzeczywistość, zgłębiajmy wzrokiem cielesnym i duchowym przyrodę, usiłujmy z wrażeń otrzymanych zdawać sobie dobrze sprawę. W ten sposób zdobędziemy znawstwo.

Bo cóż obraz oddaje, jeśli nie rzeczywistość? Igra w nim słońce na łączce kwiecistej, szczebioce ptactwo leśne, padają strugi jesiennego deszczu. Wznosi się kościół, dom, zamek, kroczy pochód weselny, orszak pogrzebowy, tłum żniwiarzy śpiewających. Przesuwają się postacie piękne i szpetne, wcielenia orła i gadu, lilii polnej i zielska. Bije z niego smutek nadziei zawiedzionych i ciosów nagłych, radość promienna i melancholia smętna. Przeciąga przez malowidła to, co przez życie ludzkie: płomień porywu, błysk wesela, dzwon pogrzebowy, jęk żałości. Noc i dzień bytu człowieczego, a czy nie wszystkich nas ogarniały cienie i światła, doli i myśli?

Chciejmy czuć, odczuwać, spostrzegać! w naszym umyśle, w naszem uczuciu i doświadczeniu, szukajmy punktu oparcia w sądach o rzeczach tak zwanego kryteryum, miary poznawania się na tworach sztuki.

Jak wielki artysta z duszy swej, z tego co czuł i widział, dobywa barwy wyrazy, postacie, tak ten tylko, który w duszę swą, jak w siatkę motyle, chwytał skwapliwie, co przebył, co przeżył i obejrzał, może go zrozumieć. W tym kierunku rozwijajmy się. Czemuż, jak mówi Leonardo de Vinci, mogąc być synami przyrody, mielibyśmy się stawać przemocą jej wnukami? Odczujemy wtedy i zrozumiemy geniuszów przeszłości i w pracowniach współczesnych oczu nam zasłaniać nie będą powłoki.

Szukajmy prawdy i życia w sztuce, prawdy i życia, jakie czujemy w sobie. A jeśli pragniemy rozszerzyć i podnieść etyczne usposobienie nasze, baczniej śledźmy za zaletami w dziełach sztuki, niż za wadami. Gdyż szukaniem piękna rozwijamy i podnosimy poziom uczuć naszych, a z nimi i poglądy. Stajemy się wówczas podobnymi nie do kreta, co w ciasnej i ciemnej norze swojej dostrzega tylko brudne robactwo, z którego się żywi, ale do ptactwa niebieskiego, pojącego z podobłocznych wyżyn oko urokiem szerszych widnokręgów.

Taki jest bieg myśli w broszurze pana Gersona, myśli zdrowych i pięknych. Zasługują one na szczere uznanie i jak najszersze rozpowszechnienie.

W. Bugiel.

Tęsknota za krajem
w naszej literaturze.

ODCZYT

adw. **Bernarda Chrzanowskiego**

wygłoszony w dniu 6-go marca na sali Bazarowej w Poznaniu.

(Dokończenie.)

Pozostaje nam jeszcze przypatrzeć się emigracyi za chlebem, odmiennej od dawnej przymusowej nietylko przyczynami, ale i ludźmi, których z ojczystej ziemi na obczyznę prowadzi. Brak inteligencyi między emigrantami, nie branie udziału w życiu umysłowem narodu nie pozwala ich nostalgii wywierać wpływu na naszą literaturę. Nieprawda to bowiem, aby tam powodu do nostalgii nie było, ponieważ to wygnanie dobrowolne; nie zawsze tak bywa; często troska o chleb zmusza te tłumy do wędrówki a nędza, zjawiając się nieraz na obczyźnie, podnieca jeszcze tęsknotę. Trzeba nam czytać tylko Adolfa Dygasińskiego „Listy z podróży do Brazylii“, lub powieść jego na tle tej emigracyi osnutą a przedewszystkiem Sienkiewicza „Za chlebem“. Prawda jednak skądinąd, że powód do nostalgii prawie niknie, skoro te tłumy emigrantów jużto łączą się razem w takich centrach polskości, jak niektóre z miast Zjednoczonych Stanów, już też osiadają jako koloniści w takich olbrzymich szmatach ziemi jak w brazylijskim stanie Parana. Miasteczka wyglądają tam w dnie targowe tak jak nasze w Poznańskiem lub w Galicyi; po polach i przy drogach stoją krzyże, a z pni drzew olbrzymich patrzy na przechodniów Matka Częstochowska. Odsyłam do opisów podróży Dunikowskiego po Stanach Zjednoczonych i podróży Ant. Hempla po Brazylii. W takiej nowej ojczyźnie tęsknota tylko słabem może budzić się echem.

Emigracya za chlebem na Wschód, do dalekich gubernii rossyjskich, do Azyi zapisała się w literaturze opowiadaniem „Po szczęście“ Zacharyasza Ćwirko, może artystycznie słabszem, lecz co do wrażenia, jakie sprawia przedstawieniem cierpień tej emigracyi, bardzo silnem.

Wymieniłem już nazwisko Sienkiewicza. Jest on dla naszej tezy bardzo pożądanym, bo dowodzi sam jeden wielkiego znaczenia nostalgii u nas. Chociaż bowiem nie doznał ani wygnania przymusowego, ani nie był na emigracyi za chlebem, lecz był tylko turystą, odczuł i włożył w utwory swoje nostalgię: tęsknotę wygnańca w „Latarnika“, a tęsknotę emigranta w szkic „Za chlebem“. Wpływ nakoniec tęsknoty, jako motywu tworzenia, podniósł w krótkim szkicu „Żórawie“. Oto wędrowne żórawie, ciągnące sznurem hen nad Kalifornią, tak rozbudzają w autorze „Quo Vadis“ wspomnienie rodzinnego kraju, że rozpoczyna pisać „Szkice węglem“.

Z Sienkiewiczem dobiegamy końca. Nie będę już mówił o licznych powieściach, których treścią życie wygnańcze i tęsknota, bo może i tak już za dużo tej tęsknicy. Chodziło mi jednak o to, aby *na przykładach* wykazać jej królowanie w naszej literaturze, zwrócić uwagę na to, że nigdzie nie uzyskała takiej władzy, nie nagromadziła pod swem berłem tylu poddanych, nie napotkała takiej miłości jak u nas. A choć te słuszne bezpośrednie jej przyczyny, ogarniające niegdyś cały odłam społeczeństwa, już prawie minęły, choć zmniejszyła się liczba tych, którzyby tęsknocie podlegać byli zmuszeni, to nie chce ona i dzisiaj swych obszernych polskich dzierżaw opuścić, prześladuje nas i woła: jestem zawsze z Wami. A jeżeli nie jest mo-

---

w koszarach Sidi-bel-Abbeskich. — rzekłem do niego.

„A to, jak mam rozumieć? Przecież pana nie puścili na dobre do domu — odparł Węgier. — Legia to nie gołębnik, gdzie kto chce wlata i wylata“.

„A jednak tak jest, — mówiłem dalej — po chorobie mam tydzień jeszcze rekreacyi i użyję czasu tego, by wrócić wbrew woli rzeczypospolitej do ojczyzny. Nie mam wielkiej chęci zemrzeć tu z dala od stron rodzinnych, a to niechybnie miałoby miejsce, gdybym nie ratował się ucieczką“.

„Nie żartuj pan — odpowiedział znów „*chef-de chambre*“, — nie od dzisiaj Pan służysz w legii. Czy sądzisz, że ucieczka udać się może? Chcesz pan poprawić swe losy przez rozstrzelanie lub przynajmniej kilkoletni pobyt w nowej Kaledonii?“

„Ani jedno, ani drugie, bo mam nadzieję, że ucieczka się uda. Zaopatrzony dostatecznie w pieniądze, nie obawiam się wcale, przy odrobince ostrożności i odwagi, wpaść w ręce władz francuzkich lub Beduinów.“

Węgier się zamyślił, po chwili znów się odezwał.

„Hm! Więc tak? A zatem mam do pana maleńką prośbę: pożycz mi pan 10 franków. Pan uciekasz, — uda się panu ucieczka, o czem wątpię, to nie będzie zależało Panu na stracie tak marnej kwoty, nie uda się, o czem nie wątpię, natenczas wrócę Panu pieniądze podczas aresztu śledczego“ — i uśmiechnął się obojętnie.

Dałem mu żądaną kwotę i z niecierpliwością oczekiwałem wieczoru. Wtenczas Ullmann raz jeszcze do mnie się odzywa.

„Zostań Pan lepiej, — wkrótce będziesz podoficerem, więc czegóż Ci będzie brakło? Do Tonkinu już tak czy tak naszego oddziału nie wyślą. Tam zanosi się na spokój. Umieszczą pana gdzieś jako starszego na wygodnem detachement i przetrwa pan swe 5 lat, jak ja je przetrwać mam zamiar. Zresztą, wiesz Pan, że jestem właściwie zobowiązany denuncyować Pana. Znasz Pan przepisy, karzące szefa *de chambre* 14 dniowym aresztem, jeżeli z jego izby ktoś zbiegnie, lub na czas dłuższy oddali się bez pozwolenia? Jeżeli więc Pana nie zamelduję, to li tylko pod warunkiem, że się wyniesiesz z mej izby do jakiejbądź innej. Oto Kutufax w przyległej stancyi ma także jeszcze kilka miejsc wolnych.“

Gniewać począłem się w duchu, żem zwierzył się Węgrowi, lecz, by go nie drażnić oporem, wziąłem jak stary filozof „*omnia mea mecum*“ i powędrowałem do Greka Kutufaxa, gdzie chętnie zostałem przyjęty, naturalnie nic nie wspominając o ucieczce.

Nadeszła godzina 9. Dyżur koszarowy o tym czasie przechodzi kurytarze, a wtenczas stojący przy drzwiach otwartych szefowie izb, oddają na karteczkach imienny spis obecnych, oraz liczbę i nazwy nieobecnych żołnierzy. Musiałem więc czekać, aż zaraportowano dyżurnemu o naszej izbie. Skoro dyżur zniknął, pospieszyłem natychmiast na podwórze, by pójść na odwach i wyjednać sobie urlop na miasto. Lecz któż opisze moje zmartwienie na widok izby odwachowej, przepełnionej oficerami rozmaitych szarż. Nie było mowy o tem, by oddać kartkę Gałeckiego, a żołnierz na posterunku stojący na żaden sposób wypuścić mnie nie chciał. Latałem jak szalony od bramy do bramy, wszędzie straże z karabinami. Przytem miesiąc świecił w całej pełni. Igłę byś rozpoznał na ziemi. Przez mur wysoki przejść również nie było można. Wracam do odwachu, myśląc, że oficerowie się porozchodzili, jednak wszyscy jeszcze jak najspokojniej gwarzą i żartują. Chcę przez tylną bramę przedrapać się na szczeblach krat, atoli tam ustawiony odwach stanowczo mnie oddala. Nareszcie wziąłem się na sposób pertraktacyi z posterunkiem. Ofiaruję mu 2, 5, 10 franków, by bramę kluczem zawieszonym na szyi mi otworzył. Tłomaczę się, że w mieście na mnie czeka wesołe towarzystwo podoficerów, którym zobowiązałem się wyprawić ucztę; posterunek Alzatczyk mięknie i nareszcie, wziąwszy dziesięciofrankówkę, choć bramy kluczem nie otwiera, jednak w innej stronie podwórza patrolować zaczyna, zezwalając, bym się po kracie bramy na drugą stronę przedrapał. Pnę się do góry na żelazne gęste sztachety, jestem już na ich wierzchołku, lecz czubki ich, ostre jak sztylety, uniemożliwiają mi przełożenie nogi na zewnętrzną stronę bramy. Z ostatniem wytężeniem sił wreszcie, turniejską sztuką przerzuciłem me ciało, rękoma trzymając się sztachet, na drugą stronę. Skok fatalny się

tywem tworzenia i treścią utworu, to dodaje mu przynajmniej odrębnego kolorytu, rozdźwięcza pewnym tonem smętnym, czasem wprawdzie przez bardzo krótką chwilę tylko, lecz właśnie i to potrącenie lekkie w strunę tęsknoty jest już tem charakterystycznem *signum*, tym jak gdyby znakiem artysty, że to polski utwór. Zaraz przykład na dowód przytoczę.

Rozstrzygnięto niedawno, w końcu ubiegłego roku w Krakowie konkurs ogłoszony przez „Czas“ na nowelę. Z nowel nagrodzonych i wyszczególnionych drukowano kilka w feljetonie wymienionego pisma. W jednej z nich, w „Bibliomanie“, K. M. Górskiego, jest człowiek, zajęty chorobliwie szukaniem po bibliotekach egzemplarza poezyi nieznanego poety, z czasów Stanisławowskich, który sam jeden tylko honor ówczesnej naszej poezyi ratując, odczuł Polski upadek. W noweli takiej treści chyba na nostalgię miejsca nie ma! A jednak nawet ten biblioman ma swoją tęsknotę: wygnaniec to z Warszawy, tęskni za nią i za jej bibliotekami. „A w dzisz Pan, mnie tam nie puszczą“, skarży się. — Weźmy inną nowelę „Pierwszy uczeń“. Oto Polak, urzędnik, na posadzie w głębi Rossyi, zdenerwowany tęsknotą za mową ojczystą i za dzieckiem pozostawionem w warszawskim instytucie dla głuchoniemych, spieszy po długiem niewidzeniu do tego biednego jedynego swego syna, a ten do ojca, chcącego go do piersi przycisnąć, z całym wysiłkiem głuchoniemego nagle w obcym, rossyjskim odzywa się języku. — W trzeciej noweli „Księdzu Piotrze“, niesie Kaźmierz Tetmajer tęsknotę za ojczystą ziemią aż tam „. . . . gdzie Bóg miłościwy i chóry anielskie“.

„Odsuń mości organisto, — mówi ksiądz Piotr krótko przed zgonem do Dzięgielewskiego — tę szybę od północy. Niech jak najwięcej zapachu z pola wejdzie. Tam, jak tam ... może być, jeśli Bóg miłościwy, i światło prześliczne i chóry anielskie, i wonie rajskie mogą być i wszelki cud, ale przecież Kłonieckich pól nie będzie, nie będzie tego zapachu z mego parafialnego ogrodu.... Ho! Ho! takiego zapachu nie będzie..... Mości Panie Dzięgielewski, ja byłem w Ziemi Świętej i w Arabii i w włoskich pomarańczarniach, a takiego zapachu jak u mnie w Załanach dawniej a potem tu w Kłonicach, nigdzie nie było.“

Ten dorywczy przykład jest chyba najlepszym dowodem potęgi, jaką nostalgia dotąd u nas posiada. — I zdaje mi się, że znamieniem odrębnem naszej literatury nie jest sam patryotyzm, bo kierunek patryotyczny znajdziemy w każdej literaturze, lecz dopiero w tym patryotyzmie — nostalgia.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Listy z Berlina.

Berlin, 8 kwietnia.

(Panorama Berezyny. — Skandale berlińskie.)

Fałat i Kossak wystawili na Herwartstrasse obraz, który przedstawia nam jeden z najbardziej dramatycznych momentów, jaki zna historya naszego stulecia. Dzieło to w wielkim stylu wypełniające okrągłą ścianą panoramy, pokazuje nam tragiczne zakończenie owej wielkiej epopei, która jest związaną z nazwiskiem Napoleona. W cudownej formie opisał nam Musset w *„Confession d'un enfant du siècle“* ową epokę, gdy Francya składała się z trupów lub bohaterów, gdy dzieci w kołyskach ściskały wojowniczo swe pięści, gdy ojcowie wracali do domu na kilka tygodni zbroczeni we krwi, by przycisnąć do piersi synów, przeznaczonych na kowali sławy francuzkiej w kuźni historyi. I oto nad Berezyną karta losu przewraca się i wielki gmach sławy rozsypuje się w gruzy. Napoleon wraz z resztkami swego wojska stara się przedostać na drugi brzeg rzeki, ocalić się od ścigających go i napierających na niego rosyjskich wojsk. Panorama przedstawia trzeci dzień przeprawy o 4 po poł. Większa część wojska przeszła już szczęśliwie na drugą stronę po dwu naprędce zbudowanych mostach bez poręczy. Obecnie przechodzi most pozostała część armii i obozu, hołota nie znająca dyscypliny i porządku. Natłok jest tem większy, że z tyłu coraz dokuczliwiej dają się we znaki rosyjskie wojska. Każdy popycha naprzód lub spycha do wody tamującego drogę towarzysza w myśl zasady: *„ôte toi que je m'y mette“*. Popłoch panujący w masie rośnie ciągle, albowiem most załamuje się w kilku punktach, a rosyjskie bomby wpadają w tłum, siejąc zniszczenie. A po za tą masą ciągnie się nieskończona płachta białego śniegu; jest to jeden z tych „śniegów“, w których wykonaniu Fałat jest niezrownanym, a wyróżnia się tem tylko od innych, że przemawia do nas jakąś wielką milczącą grozą potężnego żywiołu, przed którą musiał się ugiąć wielki wódz. Miotana panicznym strachem masa rozsypuje się w nieładzie po prawym brzegu Berezyny. Masa ta składa się z różnorodnych żywiołów. Widzimy tu liwerantów i kupców, starców i kobiety, Francuzów i ruskich jeńców. Z jednego powozu wyskakuje z przerażeniem aktorka z „Comédie française“ panna Mars w chwili, gdy bomba zabija woźnicę. Nieopodal Francuzi palą z armat, by powstrzymać wroga zbliżającego się do Berezyny, a dalej na prawo, w tej części, która jest już dziełem pędzla Kossaka, rozgrywa się scena, która jest jakby punktem ciężkości, duszą całego obrazu. Bonaparte w zielonym futrze, podarowanym mu przez Aleksandra I, siedzi na bębnie i grzeje swe nogi przy ogniu, w którym na rozkaz jego żołnierze palą chorągwie, by nie wpadły w ręce nieprzyjaciela. Marszałkowie o ponurych twarzach przyglądają się temu symbolicznemu aktowi i oddają ostatnie honory ginącym sztandarom. Jak wiadomo z historyi spalenie to odbyło się o trzy dni wcześniej, lecz ta nieścisłość chronologiczna nie tylko nie została popełnioną z uszczerbkiem dla wartości obrazu, lecz jest przeciwnie uważaną przez krytyków za genialny pomysł. Sama przeprawa wojska nie spra-

---

udał: chociaż ostre czubki porozdzierały mi pas wełniany i miejscami mundur, byłem jednak na dole cały i zdrów, tylko nieco ogłuszony upadkiem z wysokości 4 metrów. Za bramą most zwodzony, pod nim fosa sucha. Upadłem w samą fosę, w następnej chwili byłem już na przeciwnej stronie. Na narożniku muru, otaczającego depot, stoi znów posterunek. I temu tak samo jak Alzatczykowi się tłomaczę. Prawdopodobieństwo zmyślonej wymówki i srebrna pięciofrankówka sprawiły, że i drugi odwach bez dłuższych inkwizycyi mnie puszcza. Po kwadransie jestem w hotelu du Progrès, gdzie z niecierpliwością oczekiwał mnie adjutant, który, by swej bytności w restauracyi publicznej tem większy dać pozór naturalności, siedział w gronie kilku towarzyszów broni, pomiędzy innemi także w towarzystwie owego pisarza odwachowego, który miał zlecenie mnie przepuścić. Mało było humoru w naszem kole. Myśl o niebezpieczeństwie tak umysł nasz gniotła, że nawet wpływ ciężkiego wina i absyntu rozweselić nas nie mógł. Absynt zresztą to zwykły trunek kolonisty. Za jeden sous dostaniesz dużą szklankę tego zielonawego napoju, który rozcieńczony zwyczajną wodą nabiera koloru mętno mlecznego i tak bywa pitym. Nadużywanie tego trunku wyradza specyalną chorobę, w legii dość pospolitą, coś na kształt zatrucia krwi, którą medycy francuzcy „delirium absynthi“ zowią.

Pozostaliśmy wreszcie sami, inni podążyli do swych kwater. Tylko pisarz z nami pozostał. Zmieniliśmy następnie lokal, udając się do jednego z owych domów, gdzie rozpusta święci swoje orgie.

Lecz nie nam było marzyć o rozkosznych huryskach afrykańskiej Arabii, które ponętnemi pląsy, w przezroczystych muślinach, wśród wrzawy, hałasu, zgiełku, do taktu tamburyny narodowe zawodziły tany. Wzięliśmy osobny pokój, by oprzytomnieć z tego chaosu i jak najrychlej spać się położyć. Pozbycie się natrętnego pisarza było łatwe, bo człowiek ten, nie gnębiony żadnym skrytym zamiarem, całą swą uwagę na moslemskie skierował bajadery. Trudniej już było pozbyć się owych nęcących odalisek, które w sposób, jakiegoby im pozazdrościła „kelnerka“ niemiecka, natarczywie nas oblegały. Chcąc nie chcąc musiał Gałecki zasiąść do fortepianu i bawić je muzyką im nieznaną, mnie zaś przypadła rola tłomaczenia gospodarstwu powodów naszej niezwykłej hojności.

Ze świtem rano wyszliśmy na miasto poczynić potrzebne do ucieczki zakupna. O ile łatwem było postaranie się o rewolwery, naboje, kompasy, konserwy, o tyle niebezpiecznem przedstawiało się nabycie ubiorów cywilnych.

„Cóż sobie kupiec pomyśli? — rzekłem do Gałeckiego. — Niezawodnie, że z ulicy pierwszego lepszego przywoła żandarma“.

„Ja inaczej myślę — odparł adjutant. — Zakupiemy naprzód drobnostki obojętne, niepodejrzane, a wysondowawszy w taki sposób chęci handlarza względem nas, przejdziemy do zakupna garderoby. Zresztą żydzi w Afryce to ci sami, co u nas w Polsce, za pieniądz zdradzą, za pieniądz zachowają tajemnicę.“

Tandetnik żyd nie zawiódł położonego w nim zaufania, tylko bezczelnie wysokiemi cenami wyzyskał wyjątkową sposobność handlową. Nabyliśmy dwa przenoszone ubrania. Gałecki wybrał sobie kostyum arabski, z turbanem, burnusem, sandałami, ja ubranie hiszpańskiego kolonisty, długie pończochy, aksamitne spodnie, bluzę niebieską i kapelusz z ogromnem rondem. Obiecaliśmy po towar ten przysłać około wieczora, sami zaś udaliśmy się do odległego za miastem *„estaminet“*, by nie narażać się na spotkanie przełożonych. Estaminetów takich, czyli po naszemu gospód, pełno na każdej ulicy. Nudząc się strasznie całodziennem wyczekiwaniem, spędzaliśmy sobie czas kartami i winem. Wino algierskie, podobne do Bordeaux, bardzo tam tanie. Za 8 sous dostaniesz wyborną butelkę tego napoju, podczas gdy piwo jako wyrób importowany, jest względnie bardzo drogie, tak, że za zwykłą buteleczkę $^{3}/_{4}$ franka się płaci.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

wiałaby tak wstrząsającego wrażenia, gdyby ta mała grupa ludzi i wyraz ich twarzy nie dawały pojęcia o znaczeniu uroczystej chwili, która jest kulminacyjnym punktem całej tragedyi. A dalej ciągną się pola pokryte śniegiem: monotonię tę zakłóca krwiożercze ptactwo, spieszące na ucztę. Nieco w prawo najodważniejszy z gromady kruków rozsiada się na grzbiecie zdechłego konia, z którego co dopiero zdjęto zaprząg, dalej piecze na ogniu koninę grupa marznących Francuzów. Że Francuzi marzną widać z ich pozy, ruchów, nastawionych kołnierzy itd. I w tym obrazie Fałata podobnie jak we wszystkich innych, można określić temperaturę. Właściwie Fałat odstąpił nieco od tradycyi, według której dnia tego szalała zawierucha śnieżna nad Berezyną. Pomijając jednak trudności techniczne taka skrupulatność realistyczna byłaby stanowczo z wielką szkodą dla obrazu. Jeżeli szczegółom pedanci potrafią wiele zarzucić, to całość robi bezwarunkowo potężne i olśniewające wrażenie. Liczne epizody rozrzucone po obrazie są dobrane z taką doskonałością, iż dają pojęcie o momencie historycznym i „duchu czasu". Prawdziwem arcydziełem jest śnieg, który pomimo swej smętnej jednostajności, stosownie do odbywających się na niem wypadków przyjmuje rozmaitą formę i odcienie. Są tam najrozmaitsze stopniowania od najjaśniejszej bieli do nieokreślonego koloru nadbrzeżnego szlamu rzecznego. Wspaniale oddziaływa również majestatyczny spokój natury, która się nie troszczy ani o bóle ani o rany, ani o jęki istot ludzkich. Ażeby dać pojęcie o wielkości płótna, dodam jeszcze, iż wynosi ono przeszło 1000 kwadr. metrów. Cała prasa jednym chórem wychwala obraz.

Berlińskie pisma lubują się w przytaczaniu paryzkich skandali przyprawiając opowieści te sensem moralnym, iż robak deprawacyi toczy organizm francuzkiego narodu. Od niejakiegoś czasu tutejsza prasa umiarkowała nieco swój moralizatorski ton ze względu na to, iż niemiecka stolica zbyt wiele zgrzeszyła w ostatnich czasach przeciwko cnocie, aby dalej zadzierać dumnie nosa do góry. Wielkie skandale dyskredytujące Berlin porodziły drobniejsze skandaliki, które prowadzą na łamach pism i na językach kumoszek płci obojga samodzielny żywot. Pisma obecnie nie mogą poprzestać na rubrykach „Hammerstein i Fritz Friedmann" lecz muszą czytelników informować jeszcze o losach osób blizkich tym dwu siamskim braciom: pani Flory Gass, pani Friedmannowej i panny Martens. Pierwsza wydaje w Szwajcaryi utwór literacki, w którym wyświetla swój ciemny stosunek do Hammersteina. Druga swym słowiczym głosem bawiła publiczność w Reichshallenteater, a jej tragiczny los słomianej wdowy i zdradzonej małżonki wystarczył, by wprowadzić w zachwyt berlińską publiczność, która z całego swego zacnego serca wybaczyła pani „Frau Rechtsanwalt Dr. Fritz Friedmann", iż jak przystało na cnotliwą niewiastę, nie miała zbytnio podkasanej sukni. Ponieważ codzień opowiadają coś innego o zamiarach pani adwokatowej, więc wybiorę tu tylko ostatnią pogłoskę. Pani ta zaniechała dalszych występów na scenach ogródkowych teatrzyków i innych tego rodzaju publicznych instytucyi i postanowiła reprezentować jakąś firmę na wystawie, tak iż w repertuarze wystawy będzie figurowała pani mecenasowa. Wreszcie panna Martens, „siostrzana" dusza Friedmanna, miała przyjąć posadę kelnerki. On zaś jest obecnie dostawcą duchowego pokarmu dla Berlina; wszystkie jego powieści, drukowane niegdyś w „Kleines Journal", dzienniku o światopoglądzie półświatkowym, jako rzeczy pouczające, rozchodzą się obecnie w tysiącach egzemplarzy; „Lokal-Anzeiger" zaś zamieszcza od czasu do czasu budujące duszę ludzką poezye Friedmanna o Bogu, nieśmiertelności duszy, przeznaczeniu, sumieniu, cnocie, niesprawiedliwości i t. d. Friedmann chce widocznie zrehabilitować Berlin w oczach Francyi i dowieść, iż nawet szalbierze potrafią w Berlinie pisywać medytacye religijne. Należy się dowiedzieć, czy Hammerstein, brat w cierpieniu, nie zostawił w Atenach rękopisu teologicznego. Wszak od swego przyjaciela Stockera, nowoczesnego Lutra mógł wiele zapożyczyć mądrości religijnej. Nie dość tych wszystkich skandali. Radzie miejskiej Berlina zapisał milioner Blad kilkaset tysięcy marek z warunkiem, ażeby mu gród ojczysty wystawił pomnik. Pisma stwierdziły, iż zapisodawca dwa razy siedział we więzieniu za to, iż zbytnio dał wodze swej słabości ku płci pięknej. Była to brutalna natura — i to stwierdzono — która dla zaspokojenia swych chuci nie cofała się przed najwstrętniejszym środkiem gwałcenia honoru niewinnych dziewcząt, zatykając im usta złotą monetą. W myśl zasady „non olet" Berlin przyjął pieniądze i postanowił wystawić Bladowi pomnik o całym rynsztunku emblematów: nieśmiertelności, dobroci, czystości, cnoty itd. Wzruszający napis z odpowiedniemi cytatami z Biblii i klasyków skomponuje na obstalunek, przypuszczam, Fritz Friedmann. *M.*

Tajemnice Warszawy.

Warszawa przestała już być „syrenim grodem", „wesołą Warszawką" i „naszem miasteczkiem". Jeżeli jeszcze napotykamy w pismach te pieszczotliwe nazwy, zawdzięczamy to naszym reporterom, którzy nie mogli dotąd pozbyć się swego zdrobniałego żargonu. Warszawa — to ogrom. Ludność jej wzrasta szybko; za lat 15—20 sięgnie już miliona, a wtedy w rzędzie takich rojowisk, jak Londyn, Paryż, Wiedeń, Berlin, każdy ekonomista, statystyk wymieni i to „miasteczko" słodkośpiewnych sylfów.

Kto chce wiedzieć, czem Warszawa jest obecnie, niech przejrzy studyum doktorów Tchórznickiego i Wojnicza o warszawskich kamienicach, p. t. „Mieszkania dla robotników". Są tam zupełnie ścisłe dane, aż nadto wymownie świadczące, że nędza warszawska może iść w zawody z nędzą przedmieść olbrzymiego Londynu. Doktorzy opisują dość szczegółowo warunki sanitarne, w jakich mieszka ludność robotnicza w jednej z wielkich kamienic, położonych w dalszej dzielnicy miasta; z opisu tego można wywnioskować, jaki jest ogólny stan fizyczny i moralny uboższej ludności Warszawy.

Dom ten składa się z budynku frontowego, dwóch oficyn bocznych i dwóch poprzecznych, oraz facyat i suteren; cała ta masa mieści się na przestrzeni, liczącej około 5,000 metrów kwadratowych, wliczając w to podwórza. Wszystkie cztery piętra, parter, sutereny i facyaty przepełnione są mieszkańcami, których liczba sięga cyfry 1,235, co stanowi ludność całego miasteczka. O istniejących wygodach i porządkach wnioskować można z faktu, że w 1894 roku ośmioletnia dziewczyna wpadła do dołu odchodowego i udusiła się gazami.

Przy ankiecie okazało się, że dom ten posiada 207 oddzielnych mieszkań, z których 11 było niezajętych; są to prawie wszystkie mieszkania jednoizbowe, w których mieści się jednocześnie kuchnia. Dla charakterystyki dodamy, że wogóle w całej Warszawie jest 54 proc. lokali jednoizbowych, podczas gdy w Petersburgu tylko 24. Okien w całym domu jest 235, z tych z lufcikami zaledwie 60; pokoi więc bez wszelkiej wentylacyi jest tam aż 167.

Z liczby mieszkańców 424 należy do chrześcian, zaś 811 do żydów. Są to przeważnie wyrobnicy, handlarze uliczni i rzemieślnicy. Skupienie ludności jest *straszne* (słowa autorów), bo na jedną izbę wypada prawie po 6 osób (5,83)! Mieszkania te nie są wcale tanie, albowiem trzecia część lokali droższą jest nad 6 rubli miesięcznie; robotnik zaś nie może płacić w normalnych warunkach więcej, niż 6 rs. za mieszkanie. W cenie 4 rs. jest mieszkań 12, w cenie 5 rs. 52, w cenie 6 rs. 71. Żeby dać wyobrażenie o tych cenach, powiemy, że na jednego mieszkańca w tym domu wypada zaledwie 0,74 sążnia sześciennego powietrza, podczas gdy minimalna objętość powietrza na jedną osobę winna wynosić 1 sążeń sześcienny. W suterenach domu na jednego osobnika wypada nawet 0,54 sążnia sześcien., a na facyatach ledwie 0,33 sążnia sześciennego powietrza!

Gdy porównamy to z ceną lokali, okaże się, że jeden sążeń sześcienny powietrza w tym domu kosztuje rocznie rs. 20. kop. 24, przyczem w suterenach cena ta wynosi rs. 22, a na facyatach rs 32. Cyfry poprostu przerażające, zwłaszcza, gdy weźmiemy pod uwagę, że sutereny są zajmowane z braku tańszych pomieszczeń i że prawie wszystkie są wilgotne, a facyaty mało zabezpieczają od upału i od zimna.

Dla pocieszenia czytelników autorzy dodają, że dom ten pod wielu względami jest lepszy od innych podobnych.

Nie mniej smutne wrażenie sprawiają uwagi autorów o moralnym stanie zamieszkującego te domy proletaryatu. Brak mieszkań jednopokojowych i wygórowana ich cena zmuszają rodziny biedaków do przyjmowania sublokatorów. Jak dalece jest to szkodliwem, świadczy zdanie jednego z kapłanów, który twierdzi, że mieszkanie wspólne w jednej izbie dwóch rodzin pod żadnym pozorem nie jest pożądanem, albowiem przepełniona izba ma złe powietrze, usposabiające do nieczystych myśli i obrzydza życie. Jeśli sublokator jest kawalerem, a małżeństwo bezdzietnem, prawie zawsze wynika zgorszenie; tam zaś, gdzie są dzieci, rozpusta i kłótnie osób starszych dają dla nich jak najgorsze przykłady.

Zanim Warszawa zdobędzie się na tanie domy dla robotników, należy już teraz zapobiegać złemu. Autorzy radzą wpajać w robotników przekonanie, że dobre mieszkanie jest najgłówniejszą podstawą zdrowia i że dobro rodziny wymaga usuwania sublokatorów. Dla uniknięcia przepełnienia mieszkań, radzą przybijać na drzwiach kartkę urzędową z podpisem komisa za policyjnego i lekarza, wskazującą, ile osób może zamieszkiwać w danym lokalu.

Prawdziwym wszakże środkiem przeciwko tej nędzy byłoby założenie towarzystw budowy domow robotniczych na wzór istniejących we Francyi, Prusach, Anglii i Belgii. W tym celu autorzy odwołują się do kapitałów krajowych, drzemiących w listach zastawnych i podają plany i kosztorysy tanich domów pojedyńczych, mających w przyszłości ozdobić przedmieścia Warszawy. Koszt takiego domku dla jednej rodziny nie przekroczy 800—900 rs., dla dwóch rodzin 1,500 do 1,750 rs., dla czterech 3,000—3,500 rs.; domki te mogłyby z czasem przechodzić na własność lokatorów w drodze amortyzacyi kapitału.

Należy się autorom wdzięczność za podniesienie tej niezmiernie ważnej kwestyi. Niewielkie ich dziełko, ułożone na podstawie urzędowych danych, zawiera w sobie

tak ponury obraz nowoczesnej Warszawy, że rzuca on cień na frontową strone wesołego, miłego „miasteczka“. Z za błyszczących sklepów, z za scen, zalanych światłem elektrycznem i za orkiestr balowych wychyla się widmo milionowego olbrzyma, w którego paszczy giną tysiące istot, goniących za zarobkiem. *St. Ht.*

Państwo swatem.

Uwagę słynnego filozofa niemieckiego, czyli raczej pruskiego, Edwarda Hartmanna, ściągnęły na siebie w ostatnich czasach — kobiety.

W świeżo wydanej książce *Tagesfragen* (Lipsk, 1896. str. 286 uczony pruski rozbiera kwestye reprezentacyi ludowej, plutokracyi, demokracyi, pojedynków, spraw kościelnych, krytyki, totalizatora, przedewszystkiem zaś mówi o kwestyi kobiecej. Jest tam parę uwag, zasługujących na poznanie.

Kwestya kobieca — mówi filozof — jest właściwie kwestyą panieństwa. W niższych sferach ludności kwestya kobieca ściśle się wiąże z kwestą robotniczą i tylko równocześnie z nią może być rozstrzygnięta. Natomiast w sferach wyższych istnieje istotna sprawa kobieca, która coraz więcej się zaostrza. W niższych klasach prawie każda pełnoletnia kobieta wychodzi za mąż, podczas gdy w wyższych zostaje mnóstwo starych panien, które nie wiedzą, co z sobą począć. Nie dość tego: nawet zupełnie młode panny, nie posiadające funduszów, wiedzą, że zostaną staremi pannami i zawczasu muszą się starać o zabezpieczenie swego losu. Czas już zaprzestać wyśmiewania starych panien — mówi autor — albowiem dziś los ten czeka mnóstwo bardzo pięknych i pociągających dziewic.

Zwiększająca się liczba starych kawalerów lub spóźnionych małżeństw w sferach inteligencyi, wpływa potężnie na upadek moralności w większych miastach, dokąd zgromadzają się przeważnie kawalerzy, znajdujący przyjemność w łatwych stosunkach z wesołemi kobietami, przez co nie czują tęsknoty do stanu małżeńskiego. Rzecz jasna, że ogromną liczbę panien wykształconych usuwa się w ten sposób od małżeństwa, tak, iż zwiększanie liczby obywateli kraju przypada w udziale istotom niższym pod względem moralności, wychowania i stanu majątkowego. Utrudnia się w ten sposób wpływ dziedziczności szlachetniejszych pierwiastków, a liczba kobiet upadłych ustawicznie wzrasta.

Sytuacya panien wykształconych, lecz nie mających posagu, jest poprostu nie do zniesienia. Hartmann nie dziwi się wcale, że kobiety, a raczej panny usiłują wszelkiemi sposobami zabezpieczyć swą przyszłość w drodze uczciwej pracy na wszelkich polach. Panny z inteligencyi muszą mieć zarobki i dążenie takie jest całkiem humanitarne. Sprawa dojdzie do tego — przypuszcza filozof — że kobiety będą w końcu zajmowały wyższe posady pedagogiczne, nie wyłączając katedr uniwersyteckich, a nawet otrzymywać będą wyższe posady administracyjne.

Oczywiście wszędzie są kobiety, które siebie uważają za talenty, jakkolwiek na jeden prawdziwy talent wypada sto fałszywych. Lecz dźwignią w tej walce o byt pozostanie nie talent, ale nędza materyalna, wymykająca się z pod wszelkich praw i postulatów. Jeżeli zaś panny będą żyły we względnym dostatku, to je popchnie do działania nędza duchowa, albowiem będą musiały czemkolwiek zapełniać życie, pozbawione uciech małżeństwa.

Zapewne, panny, które odbiorą wychowanie specyalne, n. p. handlowe, są mniej ponętne dla mężczyzn i tracą w ich oczach swą kobiecość, ale cóż pannom z tej ich kobiecości, jeśli wiedzą, że ich za żonę nikt wziąć nie zechce, chociażby całkowity czar kobiecości zachowały? Kobiecość ma znaczenie tylko dla męża i dzieci, a gdy ich nie ma, czyż podobna wyrzucać pannom, że nie zachowują idealnej kobiecości i poszukują roboty wszędzie, gdzie znaleźć ją mogą?

Nawet przywódczynie ruchu kobiecego uznają, że taki stan rzeczy jest zły i że dawne przystosowywanie panien do życia rodzinnego było lepsze. Stało się jednak: ruchu kobiecego zatamować niepodobna; należy przygotować się do otwarcia gimnazyów filologicznych i uniwersytetów dla kobiet. Opieranie się temu ruchowi mogłoby — według filozofa pruskiego — sprowadzić jedynie złe skutki, gdyż ruch cały jest wynikiem przyczyn naturalnych. Teoretyczne gawędy nie zdadzą się tu na nic; lepsze są próby i doświadczenie.

Jako prawdziwy prusak, Hartmann znajduje wszakże radykalny sposób załatwienia tej kwestyi w państwach cywilizowanych za pomocą powszechnej w tym narodzie recepty. Państwo powinno dorosłych i przejrzałych kawalerów *zmuszać* do małżeństwa za pomocą podatku od osób nieżonatych. Podatek ten ma iść na pensye dla panien ze sfery inteligentnej, których ci opodatkowani zaniedbali poślubić. Podatek ten, obciążając dotkliwie kieszeń kawalera, skłoni go do szukania ratunku w zaślubinach; z drugiej strony, podatek nie będzie tak wielki, aby mógł wystarczyć niezamężnym kobietom, będą się więc także kwapiły do stanu małżeńskiego. Jak wiadomo, stary to koncept, przez rzymian praktykowany, do celu nie prowadzący, ale całkiem w pruskim stylu. Filozof dość pesymistycznie zapatruje się na wolne zarobkowanie kobiet wykształconych. Te wszystkie nauczycielki dyplomowane, pianistki, śpiewaczki, zarabiają w rzeczy samej mniej od przeciętnej niańki, pokojówki i kucharki; wynagrodzenie ich spadło w Niemczech do 50 fenigów na godzinę i to jeszcze los swój błogosławić muszą, gdy nawet taki zarobek dostać zdołają. W dodatku konkurencya kobiet odbiera chleb mężczyznom. Każda taka pracownia pozbawia utrzymania mężczyznę z żoną i dwojgiem dzieci. Dotyczy to zwłaszcza sfer średnio-wykształconych. Konkurencya kobiet nie wydaje się Hartmanowi zbyt straszną dla lekarzy, inżynierów, profesorów itd., bo kobiety obawiają się nudów przy studyowaniu trudnych nauk specyalnych. A więc jedyna droga wyjścia dla kobiet — zamążpojście.

W jakiż jednak sposób wychodzić za mąż bez miłości? Hartman potępia pojęcie miłości, jako pociągu fizycznego, wyidalizowanego przez stare panny i podniesionego do godności świetnego uczucia. Celem związku małżeńskiego nie jest szczęście rodzidziców — naucza pruski filozof — lecz dzieci i nawet wyłącznie dzieci. Wtedy małżeństwo jest dobre, gdy żona przejęta jest chęcią moralnego służenia nowej rodzinie, a nie fizyczną miłością dla męża. Jeżeli panny z lepszej sfery będą oczekiwały na małżeństwo „z miłości“, to oczywiście spotka je zawód; obecnie już 99 proc. uczciwych kobiet wychodzi za mąż bez wyższej miłości: czyż można je wszystkie piętnować nazwą sprzedajnych? Małżeństwo samo w sobie Hartmann uważa za wysokie powołanie dla kobiety, mogące jej zapełnić życie całe: najznakomitszy profesor w spódnicy byłby tylko starą panną, godną politowania.

St. Ht.

TO I OWO.

Rajfurstwo dziennikarskie.

Aleksander Świętochowski wypowiada następujące uwagi w „Prawdzie“ warszawskiej:

„Oryginalne zawiadomienie rozesłał do gazet administrator „Kuryera warszawskiego“, p. S. Lewental: „Wobec poważnych głosów duchowieństwa, zamykamy z dniem dzisiejszym rubryki doniesień osobistych oraz odnośnej korespondencyi prywatnej.“ Dwie te rubryki były rodzajem gęstych i cienistych krzaków, gdzie ludzie, „w celach sobie wiadomych“ (jak powiada skromnie „Słowo“) urządzali dla siebie tajemne schadzki. Gruchali oni tam i szeptali nieraz dość długo, a gdy ona wreszcie powiedziała *nie* bardzo miękko, a on zaprzysiągł *tak* bardzo twardo, nagle oboje nikneli ze szpalt „Kuryera“ i nawet „Słowo“ nie umiałoby objaśnić, dokąd każda para tych ptaszków odleciała. Narody wielkie uczą mało nietylko cnoty, ale i niecnoty. Tokowania w prasie nauczyli nas Francuzi, a zwłaszcza ciągle wieszany i ciągle obrywający się z szubienicy rajfur, „Figaro“ paryski. Było to objawem zupełnie naturalnym, że jak wszyscy sprzedawcy, tak i mający do zbycia swoje ciała, zwrócili się z ofertami do pisma, mającego największą liczbę czytelników, do „Kuryera warszawskiego“, który otworzył im w swych oficynach ogłoszeniowych dwie izby, oszklone szybami z matowego szkła. Gdyby do tego „domu schadzek“, jak nazwano owe izby, wsuwały się czasem nieliczne jednostki, możeby go tolerowano; ale gdy goście zaczęli napływać tłumnie, gdy on zaczął właścicielowi przynosić znaczne dochody, obrażona moralność zyskała mocną pobudkę do wystąpienia z publiczną naganą... Połóżmy pieczęć na zamkniętym domu i powiedzmy właścicielowi: chociaż nie dobrowolnie, zrobiłeś dobrze. Wyganiając wszakże z tego domu gości, nie powinniśmy „wyświecać“ wszystkich. Pozwalam sobie mniemać, że daleko bardziej pragnąłbym widzieć w małżeństwie związek czystych i prawdziwie kochających się serc, aniżeli niejeden inkwizytor moralności, który sobie lub komuś przebacza handel posagowy, tajemne haremy, błyszczącą rozpustę i tym podobne przysmaki życia; wszakże uznaję pewne wypadki, w których ludzie nie mają innej drogi znalezienia sobie męża lub żony, prócz prasy. Przed kilkunastu laty nadesłał mi do „Nowin“ tego rodzaju ogłoszenie niejaki Ludwik Dąbrowski z Temnikowa, w gubernii Tambowskiej. Był to naprzód człowiek ułomny, a następnie ubogi fotograf, któremu ani zajęcie, ani środki nie pozwalały wydalić się z miejsca, a który koniecznie chciał poślubić rodaczkę. Cóż mu pozostawało? Albo żyć w celibacie, albo w związku niepożądanym. Jednego i drugiego nie chciał, więc ogłosił podpisaną pełnem nazwiskiem propozycyę, w której niczego nie zataił, nawet swego kalectwa. Pytam panów, którzy krzyczeli wówczas i krzyczą dotąd: „sakrrrrament“ — co miałem począć? Odmówić jego żądaniu, czy też powiedzieć mu: W bieżącym karnawale będzie u nas kilka balów, a w poście kilka rautów: przyjedź pan, zwłaszcza na bal wełniany lub na raut biały, a niezawodnie wybierzesz sobie żonę. Z pewnością odpowiedziałby mi: Niech pan dobrodziej ze mnie nie kpi, bo już zbyt wiele nakpił los. I rzeczywiście, kto śmiałby zalecić spełnienie „sakramentu małżeńskiego“ w Warszawie lub Kowlu, człowiekowi ubogiemu, oddalonemu o tysiące wiorst? A przecież on chciał szczerze ożenić się według wszelkich prawideł moralności. Otóż dla takich ludzi ogłoszenia w gazetach pozostaną jedyną drogą starania się o żonę.

Jest to całkiem inna sprawa, niż wabienie się samców i samic za pośrednictwem gazet. Raz szczególnym trafem miałem sposobność zajrzeć w sekrety owego tokowiska. Zeszłego roku, przeglądając pocztę redakcyjną, w jednej z kopert znalazłem list mniej więcej takiego brzmienia: „Drogi Aniołku! Pokonawszy przeszkody, w środę przybywam do Warszawy i czekać Cię będę w cukierni ogrodu Saskiego o 7 wieczorem. Trzymaj w jednej ręce chustkę, a w drugiej swój zwykły papier z jaskółką.“ Dalej następowały marzenia dość drażliwe. Zdumiony oglądam kopertę i widzę na niej adres: *Prawda*. Co to znaczy? Kto pisze? Długo nie mogłem rozwiązać zagadki, nareszcie ktoś objaśnił mnie, że w „korespondencyi prywatnej“ „Kuryera warszawskiego“ wabi się jakaś parka, która używa godła „Prawda“. Urzędnik pocztowy, nie dostrzegłszy dopisku: *poste-restante*, wysłał list do naszej redakcyi. I właśnie tego dnia i godziny, kiedy go czytałem, ktoś daremnie upatrywał w cukierni chustki i papieru z jaskółką. Czy ten wypadek można porównywać z wypadkiem Ludwika Dąbrowskiego?

Po oświadczeniu administracyi „Kuryera“ z wielu pism rozległy się oklaski dla skruszonego grzesznika. I czy jego karciciele sądzą, że złe ziele wyrwali z korzeniem i że ono już nigdy nie zjawi się na naszym gruncie? Ośmielę się wątpić, bo jako ogrodnik wiem, co to jest perz. Wykopiesz go, wytępisz aż do ostatniego kiełka, ale gdy pewnego dnia z rozkoszą spoglądasz po czystych zagonach, dostrzegasz w kilku miejscach źdźbła zielonej trawki. Wyciągasz ją, trzyma się mocno; podważysz szpadlem, wychodzi zdrowy, ładnie zakorzeniony — perz. A jak on w ziemię, tak w obyczaje świata cywilizowanego wrosły romanse za pośrednictwem prasy, którym sprzyjają warunki ekonomiczne i po części od nich zależne, przymusowe bezmęstwo ogromnej ilości kobiet. Ponieważ zaś Warszawa, która dziś już jest wielkiem miastem, przejmuje od swych wzorów wszystko złe i dobre, więc pewnego pięknego poranku pielacze perzu zauważą, że jeden zagonek jakiegoś dzienniczka zazielenił się... korespondencyą prywatną. Proszę sobie zapamiętać tę wróżbę.

* * *

List z Brazylii.

Znany przemysłowiec polski, pan F. z Hamburga, otrzymał przed kilku dniami list od jednego z emigrantów polskich, osiadłych w *Kurytybie*, zawierający kilka ciekawych szczegółów o stosunkach brazylijskich i doli wychodźtwa naszego. Z upoważnieniem pana F. podajemy do wiadomości publicznej następujący urywek listu:

„Urzędnicy przychodzą do biur o godzinie 11, a o 1 już wychodzą; przyczem zdarza się często, że nie przychodzą wcale do pracy; jednego dnia zabawiają się u znajomych lub krewnych na jakiejś uroczystości familijnej, drugiego dnia z powodu „katzenjammeru“ nie przychodzą do pracy, trzeciego dnia wypada niedziela, więc nie urzędują, czwartego republikańskie święto narodowe, piątego kościelne i tak idzie w nieskończoność... a zniecierpliwionym interesentom powtarzają z właściwą sobie flegmą stereotypowe: „spere um poco, paciencia!“ (poczekaj trochę, miej cierpliwość!)

„Więcej niż ja cierpią z powodu lenistwa urzędników tutejszych emigranci, przybywający z Europy; muszą oni czekać niekiedy po 6 i 8 miesięcy, aby im wymierzono i przydzielono grunta, obozując tymczasem w barakach. Dopóki rząd daje im żywność, co trwa przez cztery miesiące, idzie jako tako, gdyż nic nie robiąc nie doznają głodu, ale gdy zapomoga rządowa się skończy, głód poczyna emigrantom zaglądać w oczy. Zarobków na nowych koloniach nie ma żadnych, bo rząd dróg dla braku pieniędzy nie buduje, więc emigranci, chociaż im wreszcie ziemia przydzieloną zostanie, porzucają takową i rozchodzą się po miastach i miasteczkach, szukając zarobku, aby módz żyć z rodziną. W ten sposób wyrabia się proletaryat robotniczy po miastach, marnieje wielu ludzi....

„Z obecnych rządów republikańskich, prócz tych, którzy dzięki nepotyzmowi bez żadnych kwalifikacyi dostali się na różne urzędy i pobierają wysokie pensye, nikt nie jest zadowolony i kto wie, czy i kiedy nastąpi polepszenie stosunków. Przeciwna obecnemu rządowi partya federalistów, która wywołała była w swoim czasie rewolucyę, składa się z ludzi wcale nie lepszych, a bodaj czy nie gorszych. Pokazali w rewolucyi co umieją... włosy na głowie stają, gdy się słucha opowiadań naocznych świadków o czynach bohaterskich tych jegomościów.

„Zagranica widocznie dobrze jest poinformowaną o gospodarce pp. Brazylian i nie spodziewa się na przyszłość niczego dobrego, skoro kurs pieniędzy brazylijskich doprowadziła prawie do zera. Za czasów cesarstwa notowano Cambio 27, w ostatnich zaś czasach 8 tylko, a od ośmiu dni nie mamy już żadnego kursu. Z Nowym Rokiem i tak niesłychanie wysokie cło zostało prawie podwojone, to też handel z zagranicą powoli ustaje, mnóstwo domów handlowych likwiduje — bankructwa są na porządku dziennym.

„Wyjeżdżając do Brazylii, sądziłem, że może uda się tu założyć polski dom handlowy, obecnie widzę, że to jest absolutnem niepodobieństwem. Obecnie należy tylko pracować nad zjednoczeniem Polaków, którzy żyją tu w zupełnej rozsypce i w wielkiej niezgodzie. Trudna to praca, bo ludzie przewrotni, którzy od lat kilkunastu wszystkich na swoim pasku wodzili, i teraz używają wszelkich niegodziwych środków, aby burzyć jednych przeciw drugim. Wprawdzie w gazecie swej „Polonii“ wypisują ładne frazesy o zgodzie Polaków i jedności, ale żywem słowem przeszkadzają wszystkiemu, co do jedności dąży.“

.....Towarzystwo polskie im. Tadeusza Kościuszki otrzymało tymi dniami od rządu kawał ziemi pod budowę szkoły polskiej, objętości 1936 metrów kwadratowych. Zasługa w tem wielka dr. Kłobukowskiego, który podniósł myśl założenia szkoły polskiej i osobiście prosił gubernatora o poparcie, a nie mniej i p. Saporskiego, który chodził i prosił członków zarządu gminy, aby dała grunt. Najciekawsza w tem rzecz, że Waberski, który palcem w tej sprawie nie kiwnął, sobie jedynie przypisuje wyłączną zasługę i pochwalił się z tem w „Polonii“.

Ostatecznie pozbyliśmy się już tego intruza z Towarzystwa i jest nadzieja, że Towarzystwo odtąd pomyślniej rozwijać się będzie.“

* * *

Odpowiedź „Gazecie Gdańskiej“.

Od pana Czałuta, autora publikowanych w odcinku pisma naszego „Wspomnień z legii zagranicznej“ otrzymujemy pismo następujące:

„Gazeta Gdańska“ przyniosła krytykę moich „Wspomnień z legii zagranicznej“, zarzucając mi fałszywe informacye i nadto jaskrawy koloryt. Insynuacye te odpieram stanowczo. Trudno walczyć, nie będąc na miejscu i nie mając pod ręką literatury dotyczącej tematu, z twierdzeniami pana „ekskaprala“, polemizującego ze mną w „Gazecie Gdańskiej“. Skoro jednak przeciwnik odsłoni przyłbicę anonimową, postaram się o udowodnienie mu, że mój opis „silosów“ odpowiada najzupełniej rzeczywistości. Widziałem je naocznie i odczułem dotkliwie po bitwie, którą opisałem w „Wspomnieniach“, a w której osobisty brałem udział. Bitwa ta miała miejsce w okolicach Figitu w południowo-wschodniej części Algeryi w r. 1888. Nie znam mojego przeciwnika z „Gazety Gdańskiej“, — artykuł jego przekonuje mnie jednak, że snać niedługo w Algeryi bytował, albo spał z otwartemi oczyma, co żołnierzowi chluby nie przynosi.

St. Czałut.

Na Wyłomie.

(Waśnie małżeńskie. — Ploteczki. — Rządy teatralne.)

No! proszę, — pobiło się wreszcie małżeństwo: Kuryer z Dziennikiem poznańskim. Przed kilku laty niedobrana ta para zawarła pod presyą rodzicielskiej woli konwencyonalne śluby, aby na świat wydać dziecko głuche i ślepe, któremu na chrzcie dano imię „Ugoda“. Kuryer kochał namiętnie tę córkę-kalekę, Dziennik znosił ją tylko cierpliwie, a z biegiem lat miłość i odraza rosły i potężniały. Mimo to małżeństwo przymuszane udawało przed światem niezmąconą zgodę, i chyba najbliżsi przyjaciele domu opowiadali sobie na ucho, że przy drzwiach zamkniętych nieraz cierpkie rozgrywają się sceny i mąż z żoną przy każdej okazyi tłuką sobie talerze i lampy o głowy. Lecz komedyę pozorów grano po mistrzowsku i jeszcze z okazyi jubileuszu Dziennika małżonkowie tak czule uśmiechali się do siebie, jakby w miodowych miesiącach słodkie „*Enfin seuls*“ ręce im splatało. Dziś wreszcie zrobił się skandal. Proszę tylko nie wyobrażać sobie, że jakiś straszny kataklizm wstrząsnął miastem naszem. My jesteśmy lilipucim światkiem, — wszystko tu małe i drobne, a trzaskający karmelek narobi więcej hałasu niż w Paryżu bomba Ravachola. Małżeństwo pokłóciło się publicznie, lecz nie o zasady, o córkę „Ugodę“, o klerykalizm i liberalizm, – broń boże! o takie drażliwe materye drapią się Dziennik i Kuryer tylko w czterech ścianach zakulisowych gabinetów, otwarcie zaś zagniewana para bije się o teatr i.... aktorki. Pan dr. Kantecki daje szczutka w nos panu Dobrowolskiemu, pan Dobrowolski kąsa w łydkę p. Kanteckiego i robi się w mieście taki alarm, jakby ktoś na placu Wilhelmowskim odkrył kopalnie dyamentów. Wszystkie dzienniki zamieszczają referaty z placu wojny i wyliczając rannych i poległych sypią dowcipami aż miło, — po cukierniach wielkie debaty: A to go urządził! A to się odciął! — w domach prywatnych nowinki o kłótni małżeńskiej przy obiedzie, anegdotki o sińcach redaktorskich przy podwieczorku, najświeższe telegramy o Dobrowolskim, Kanteckim i Przybylskim przy kolacyi.

I u nas w redakcyi wre jak w kotle. Co chwila ktoś wchodzi, przykłada palec do nosa i mówi tajemniczym szeptem: „A słyszał pan redaktor...?“ Na Jowisza, Cerbera i Plutona! cóż się stało? Posłuchajcie! Kuryer puścił wiadomość, że p. Zygmunt Przybylski obejmuje teatr poznański i jako czuły małżonek dodał z przekąsem: „Chwała Bogu, bo moja baba zrujnowała scenę“. Dziennik odciął się natychmiast, że nie pan Przybylski, lecz p. dr. Kantecki dzierżyć będzie berło teatralne, albowiem Swarzędz i Ryczywół zaopiniowały, że redaktor Kuryera jest

fenomenem w krainach sztuki. Nazajutrz pobożny Kuryer puszcza nową rakietę: Pan Dobrowolski „szczypie“ aktorki, — a Dziennikowi przychodzi w sukurs Orędownik: Marsz do teatru, panie Kantecki, boś do polityki niezdatny! — Krzyk, hałas, debaty — jednem słowem cała awantura. A plotka krąży po mieście, podjudza, irytuje i kłamie tak, że „aż ściany trzeszczą.“ Jednym się zdawało, że widzieli na dworcu p. Przybylskiego, drudzy opowiadają, że rada nadzorcza pocichutku, w sekrecie przed p. Dobrowolskim, rozgląda się za nowym dyrektorem, inni wreszcie już ks. arcybiskupa wmieszali w tę sprawę i mianują „Kuryera“ patronem teatralnym. Wszyscy jednak zacierają ręce, wszyscy tęsknią za nowym dyrektorem, wszyscy gotowi powitać grzmiącą fanfarą dymisyę pana Dobrowolskiego. W całem lilipucim plotkarstwie najświeższej daty interesuje tylko ta jednomyślność opinii, żądająca kategorycznie oczyszczenia teatru z obecnych rządów. Reforma, której się od lat dwóch konsekwentnie domagamy, zyskała sobie tysiące zwolenników i niemal całe społeczeństwo jak jeden mąż staje u bram teatralnych, wołając nowego sternika. Czy rada nadzorcza, reprezentująca od lat kilkunastu zasadę biernej tolerancyi, usłucha tych głosów rosnących w siłę z dnia na dzień, tego powiedzieć nie umiem, — zwracam jednak uwagę na to, że społeczeństwo, rozgoryczone artystyczną ruiną sceny poznańskiej nietylko pana Dobrowolskiego lecz i senat teatralny przed sąd swój powołuje.

W radzie nadzorczej zasiadają ludzie inteligentni, którzy jasno widzą całą nieudolność obecnej dyrekcyi, lecz jakiś pietyzm dla siwych włosów i politycznych zasług p. Dobrowolskiego, jakiś dominujący brak inicyatywy wiąże im ręce. Więc mimo niesmaku w duszy, mimo przekonania o niezbędnej potrzebie reformy, na krok stanowczy zdobyć się nie mogą.

A przecież krok ten uczynić należy niezwłocznie, bo stosunki teatru naszego z dnia na dzień grzęzną w coraz głębszem bagnie. Przykro mi, że człowieka, bądź co bądź zasłużonego, muszę znowu postawić przed trybunał bezwzględnej i niemiłosiernej krytyki, — wiem również, że przywiązanie do berła teatralnego tak głęboko wrosło w duszę panu Dobrowolskiemu, że każde szarpnięcie ból mu wyrządzi dotkliwy, — lecz jako dziennikarz sprawie publicznej służę przedewszystkiem i dla tego bez wahania prezentuję rachunek sumienia tym, których królestwo staje się klęską dla kraju.

Po jakich ścieżynach małomiejski polityk i sprytny spekulant wdrapał się na Parnas, tego opowiadać nie będę, — dość, że p. Dobrowolski wyzyskał chwilowe zamieszanie i naprężenie stosunków teatralnych, by przed kilkunastu laty wytargować berło dyrektorskie. Od tej chwili zaczyna się upadek sceny poznańskiej. Zrazu dzięki zdolnym reżyserom bezsiła naczelnego kierownika nie dawała się zbyt dotkliwie we znaki, — wkrótce jednak porozpędzał król na cztery wiatry wszystkich generałów wybitniejszych i otoczył się gronem ludzi, pozbawionych przymiotów artystycznych, lecz posiadających zaletę bezwzględnej uległości. Rozpoczęły się rządy iście legendowe. Chórzystki zamieniano w primadonny, statystki w bohaterki, — scena stała się amatorskim teatrem. Dyrektor pozbawiony literackiego wykształcenia i znajomości najelementarniejszych prawideł piękna doprowadził z czasem do tego, że artyści, reżyserzy, inspicienci i dekoratorzy poczęli wręcz lekceważyć publiczność. Poważny dramat stawał się nieraz farsą, a komedya cyrkiem. Wiedziano z góry, że Dziennik jest organem dyrekcyi i najmarniejszą tandetę osłoni płaszczykiem komplementu, lub maską milczenia, więc sufler był pierwszym bohaterem, a wystawa miała na czole piętno krzyczącego niedbalstwa. Wiem dobrze, że teatr poznański, dziecko ubogiego ludu, musi mieć skromną sukienkę i zapadłe policzki, lecz wiem również dobrze, że przy odrobinie gustu i umiejętnej kontroli ta biedna scena może przynajmniej stanąć na wyżynach prowincyonalnych teatrzyków Królestwa Polskiego i w łachman tulić się nie potrzebuje. Dziś jednak doszło u nas do tego, że w wędrownych towarzystwach Włocławka, Częstochowy, Kalisza i Słupcy nawet spotykamy większą staranność w reżyseryi i większą harmonię w ensemble'u niż w królestwie p. Dobrowolskiego. Tu wszystko rwie się, aktorzy chodzą nieraz po scenie jak błędni, Balladyna i Wanda występuje w towarzystwie chrześciańskich krzyżów, Kościuszko zachwyca się chorałem Ujejskiego, p. Barska z warszawskiego baletu gra rolę bohaterek, tłum rycerzy markuje się jednym statystą, duchy zapadające się w ziemię tupają ze złości, a ziemia ani rusz, każdy charakteryzuje się na własną rękę i nieraz pięć łysin lub pięciu blondynów ni ztąd ni z owąd jawi się na scenie.

A na czele tej artystycznej ruiny stoi człowiek nielubiany w szerokich kołach społeczeństwa. Pan Dobrowolski jest reprezentantem wielkiej koteryi politycznej i tem samem, gdziekolwiek się zwróci, czepia się płaszcza jego antagonizm przeciwników. Tysiące stronią od teatru. Wiem dobrze, że takie przenoszenie antypatyi politycznych do przybytku sztuki jest dowodem ciasnoty umysłowej i wstrętnej małoduszności, ale licząc się z faktami i z rzeczywistym charakterem społeczeństwa naszego niepodobna pominąć milczeniem tej dwoistości redaktora i dyrektora, która powodzeniu sceny naszej gorzko się daje we znaki. A jeżeli do sylwetki naszej włączymy jeszcze beztakt właściwy obecnej dyrekcyi w stosunku do prasy i artystów, — jeżeli uwzględnimy rozgoryczenie wywołane skandalami ostatniego sezonu, to na końcu bilansu teatralnego błysnąć musi żelazne żądanie: Pan Dobrowolski powinien ustąpić, bo grzyb gotów stoczyć przybytek sztuki narodowej.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

* Konkurs dramatyczny. Redakcya „Kuryera Warszawskiego“ ogłosiła konkurs na oryginalną sztukę polską. Warunki są następnjące:

O nagrody, do konkursu przeznaczone, ubiegać się mogą tylko sztuki sceniczne, oryginalne, współczesne, obyczajowe, cały wieczór w teatrze wypełniające, zarówno dramaty, jak komedye poważne i lekkie. Sztuki historyczne i klasyczne wyklucza się.

Sztuki, nadesłane na konkurs, muszą być napisane oryginalnie; zapożyczanie motywów lub przerabianie utworów, tak własnych jak cudzych, swojskich lub zagranicznych, jest wzbronione. Wykluczają się także utwory, w części albo w całości już wydrukowane lub warunkom sceny warszawskiej nie odpowiadające.

Utwory, przeznaczone na konkurs, należy nadsyłać do redakcyi „Kuryera Warszawskiego“. Sztuki winny być nadsyłane w egzemplarzach przepisanych starannie na czysto, bezwarunkowo nie ręką autora, lecz obcem pismem, bez podpisu, z załączeniem koperty zapieczętowanej i oznaczonej tem samem, co rękopis godłem, a zawierającej nazwisko i adres autora.

Fundusz na nagrody przeznaczony wynosi **1500 rubli.**

Nagród wyznacza się dwie: pierwsza w sumie 1000 ruali, druga 500 rubli. Po za nagrodami pieniężnemi, sztuki celniejsze, kwalifikujące się do wystawienia na scenie, będą odznaczone.

W razie braku odpowiednich utworów redakcyi służy prawo nieprzyznania żadnej nagrody lub przysądzenia jednej tylko. W takim razie fundusz pozostały przeznacza się na następny konkurs.

Termin nadsyłania prac na konkurs naznacza się na dzień 1-go czerwca 1897 r. Po tym terminie mogą być przyjęte tylko takie prace, co do których będzie udowodnionem, iż najpóźniej dnia 1 czerwca 1897 roku wysłane zostały.

Sztuki na konkurs nadesłane ocenione będą przez redakcyę „Kuryera Warszawskiego“; celem obudzenia jak najszerszego ruchu i wzbogacenia repertuaru utworami scenicznemi rzetelnej wartości, autorowie dramatyczni do oceny przez redakcyę zaproszeni nie będą.

Przed wydaniem ostatecznej decyzyi przez redakcyę „Kuryera“ co do nagród, sztuki zalecone wystawione będą na scenie, a to w myśl zawartego z dyrekcyą teatrów układu w sposób następujący:

Sztuki zalecone wystawiane będą przez dyrekcyę teatrów dowolnie, bez porządku z góry powziętego, jedynie w miarę przygotowania ich dla sceny; dyrekcya przyjmuje do wystawienia najmniej 3, najwyżej zaś 5 sztuk;

każda z wybranych sztuk wystawioną będzie 5 razy, przez 5 wieczorów bezpośrednio po sobie idących; dla każdej sztuki z konkursu wyznaczone będą jedne i te same stałe dni w tygodniu;

pomiędzy pierwszem wystawieniem jednej sztuki a pierwszą reprezentacyą drugiej pozostawia się czas dwóch tygodni, niezbędnych dla artystów do wyuczenia się ról; dyrekcya teatrów jednak zastrzega sobie w razie nagłej choroby artysty, uczącego się roli lub innych nieprzewidzianych przeszkód, od dyrekcyi niezależnych, dłuższy czas do należytego przygotowania sztuki zalecconej;

z uwagi na bezimienność sztuk, których autorowie ujawnieni będą dopiero po rozstrzygnięciu konkursu, obsadzać role w sztukach, tudzież dokonywać niezbędnych dla sceny skróceń będzie dyrekcya teatru;

dyrekcya teatru może nie przyjąć do wystawienia sztuki z konkursu w razie, jeżeli wystawa tej sztuki wymagać będzie wydatków nadzwyczajnych, lub jeżeli sztuka uznaną będzie za niewłaściwą dla sceny warszawskiej;

za każdą sztukę wystawioną na scenie dyrekcya wypłaca autorowi, po rozstrzygnięciu konkursu, przyjęte dotąd honoraryum, zwykle rubli 300. Niezależnie od tego, autorowie dwóch sztuk, mających największe powodzenie kasowe w ciągu pierwszych pięciu przedstawień, otrzymają od dyrekcyi 5 procent od dochodu brutto z tychże przedstawień; sztuki, rzecz prosta, stają się własnością dyrekcyi teatrów warszawskich.

dla wszechstronnej oceny powodzenia każdej sztuki, dyrekcya teatrów będzie dostarczała redakcyom pism miejscowych codziennych ścisłe raporty o dochodach kasowych z 5 przedstawień każdej sztuki;

wypłata honoraryum autorom sztuk przez konkurs nienagrodzonych — koperty nagrodzonych przez komisyę sędziów będą otwarte — uskuteczniona będzie z chwilą, gdy nazwiska tych autorów zostaną dyrekcyi ujawnione: wobec czego po zamknięciu konkursu, redakcya „Kuryera Warszawskiego“ koperty tych autorów złoży w dyrekcyi.

Po ukończeniu przedstawień w teatrze, redakcya wyda swój wyrok ostateczny co do sztuk na konkurs nadesłanych.

Nagrody przez redakcyę wyznaczone płatne są w kasie „Kuryera Warszawskiego“ nazajutrz po ogłoszeniu wyroku.

Co do utworów nagrodzonych redakcya „Kuryera Warszawskiego“ zastrzega sobie prawo pierwszeństwa do wejścia z autorami w układy o druk w feljetonie pisma lub o wydanie w książce.

* * *

* Badeni X. „Z najnowszych powieści polskich“. Przegląd powszechny. Luty. Są to krótkie oceny powieści i nowel Berenta, Abgar-Sołtana, Junoszy, Kondratowicza, Zycha, Żeromskiego, Niedźwieckiego, Sewera, Jeża i Urbanowskiej. Autor wysoko ceni talent Zycha, a wątpi o talencie Żeromskiego. Tymczasem jest to pseudonim i właściwe nazwisko jednego autora. Prawda, że zbiór wydany pod pseudonimem jest znacznie większej wartości. Niesłusznie też sądzi autor, iż Chmielowski napisał przedmowę do nowel „swego przyjaciela“ Sewera, gdyż poprostu wydawca tych nowel wyjął ustępy ze studyum Chmielowskiego o Sewerze, drukowanego dawniej w Ateneum, a obecnie w „Naszych powieściopisarzach“ (Tom II). Warte zaznaczenia potępienie ze strony ks. Badeniego „taktyki ignorowania wszystkiego, co niezaopatrzone stemplem pewnej partyi i pewnego kółka ludzi“. Oby te złote słowa chcieli wziąć do serca redaktorowie wielkich i małych organów naszych stronnictw.

* * *

* Nowe pismo. W Krakowie ukazał się pierwszy zeszyt „Krytyki“, miesięcznika społecznego, naukowego i literackiego pod redakcyą Wacława Kolbego. Program swój charakteryzuje „Krytyka“ w słowach następujących:

„Krytyka“ będzie pod względem politycznym i społecznym odzwierciadlała interesy i dążności naszego ludu roboczego.

W dziale naukowym będzie „Krytyka“ stała na poziomie nowoczesnej nauki.

W części literackiej pragnie „Krytyka“ stać się organem naszych młodych talentów literackich i tłomaczem nowszych kierunków literackich i artystycznych.

* * *

* Dziady Mickiewicza. Zasłużona firma księgarska Altenberga, która wydała już tyle wspaniale ilustrowanych arcydzieł polskich, podjęła się ilustrowanej edycyi „Dziadów“. Prześlicznych ilustracyi dostarczył zaszczytnie znany artysta-malarz Czesław Jankowski. Wyszedł już pierwszy zeszyt tego wydawnictwa, które pod względem poprawności tekstu, świetności druku i ilustracyi dotąd ma nie wiele sobie równych w dziejach wydawnictwa polskiego. Zeszyt I. zdobią dwie wielkie heliograwury, wykonane u Paullussena w Wiedniu i dwie mniejsze tekstowe ryciny, ilustrujące wybornie ważniejsze momenta tego poematu.

Wydawnictwo to wychodzi w zeszytach miesięcznych tak, że z końcem lipca znajdować się już będzie w komplecie w rękach prenumeratorów.

* * *

* Przeglądu literackiego, organu „Związku literackiego“ w Krakowie, wyszedł nr. 4 i zawiera oceny: nowości literackich przez K. Bartoszewicza, J. Tretiaka, R. Zawilińskiego, L. Glatmana, dr. A. Chmiela, dr. Z. Samolewicza, dr. A. Krzyżanowskiego, dr. ks. Fijałka, dalej bibliografię czasopism polskich, obejmującą czas od połowy lutego do połowy marca — a podzieloną na cztery główne działy (ważniejsze artykuły są omówione lub streszczone); obfity bardzo dział rzeczy polskich w literaturze obcej, wiadomości literackich, nekrologii; wreszcie streszczenie pogadanek w „Związku literackim“.

* * *

* Ogólny katalog książek polskich. Z prośbą o umieszczenie otrzymujemy odezwę następującą:

Wydawnictwo „Ogólnego katalogu książek polskich“ zwraca się niniejszem do wszystkich pp. literatów i publicystów, którzy ogłosili w oddzielnych książkach lub broszurach między r. 1878—1895 jakiejkolwiek treści prace, ażeby zechcieli przesłać łaskawie dokładny spis tytułów z podaniem formatu, ilości stronnic, miejsca i roku wyjścia, nakładcy, drukarni i ceny, pod adresem: Wydawnictwo Ogólnego Katalogu Książek Polskich we Lwowie, hotel Europejski, czem niezawodnie przyczynią się do dokładności tej bibliografii.

Licząc na uskutecznienie prośby naszej pozostajemy

z uszanowaniem

Wydawnictwo Ogólnego Katalogu Książek Polskich.

* * *

* Literackie fałsze o Polsce i Polakach. Ukazała się w Lipsku nowa edycya książki Vernon Lee p. t.: *The legend of Madame Krasińska.* Pierwotnie czytaliśmy ten utwór przed pięciu laty w *The fortnightly Review.*

Piękna postać heroiny nie zyskała na oprawie angielskiej, widocznie klimat nie posłużył tej roślinie, przeniesionej na grunt obcy. A szkoda, bo temat nadawał się ku czemuś lepszemu....

Kosmopolityczne kształty Krasińskiej gorszą samych Anglików, jak to widać ze sprawozdań prasy tamtejszej.

„Prince Zaleski“ przez Shiel'a jest również dziwadłem literackiem. Książka składa się z trzech opowiadań, w których książę jest mędrcem, a raczej szlachetnym szpiegiem. Geniusz jego wyższy, niż pana Lecoq. Mieszka w stolicy, ale żyje jak pustelnik, bo mu ludzkość obrzydła. Wyszukuje przestępców, aby od posądzenia bronić niewinnych, odnajduje ukryte pieniądze, aby je oddać pokrzywdzonym.

Najzabawniejszą jest w trzeciej nowelce wycieczka przeciw medycynie, która broni życia schorzałych istot, skazanych prędzej, czy później na śmierć; p. Zaleski jest zwolennikiem skały Tarpejskiej!

Przykre wrażenie robi publikacya Karola Torresani: *Un quart d'heure de grâce.* Autor, wyższy wojskowy austryacki, nie mając pojęcia o naszem społeczeństwie, odmalował je lichą francuszczyzną. Akcya dzieje się na Podolu; Brzeżany i Tarnopol widocznie były posterunkiem, z którego zbierano wzorki. Kto zna te miejscowości, znajdzie, że trafny jest ich opis. Obraz wiejskiego proletaryatu przesadzony, ale poetyczny. Karnawał, niby zdjęty z natury, nie licuje z osnową dość tragiczną powieści, a pomysły socyalne wcale nie odpowiadają natchnieniu naszego ludu. Całość niesympatyczna, mało ma dla nas uroku.

O wiele wstrętniejszą jest powieść Postumusa *In deutscher Hand.* Rzecz dzieje się we wsi Krzchowo, naturalnie w Poznańskiem; dla kraju znajdujemy słowa tylko pogardliwe, o społeczeństwie potwarcze wymysły. Opis niechlujstwa stanowi tu żywioł humorystyczny, a cóż mówić o naszych wadach ogólnych! Rezultatem jest, że Niemcom zawdzięczamy wszystko, gdyż oni wnieśli tu... oświatę i naukę.

KRONIKA POWSZECHNA.

Teatr i muzyka. Dziś, w sobotę, ukaże się na scenie poznańskiej po raz pierwszy dramat Ganghofera „Na wyżyny“. Sztuka ta nastręcza artystom naszym znakomitą sposobność do wykazania zasobów talentu swojego. W głównych rolach występują najlepsze siły teatru naszego. — W najbliższy czwartek wystawi scena poznańska nader interesującą premierę. Panna Pankiewicz wybrała bowiem na swój benefis przeróbkę głośnej powieści Gabryeli Zapolskiej p. t. „Kaśka Karyatyda“. Sensacyjna ta nowość powinna teatr wypełnić po same brzegi, tembardziej, że odegraną zostanie na dochód najwybitniejszej artystki teatru naszego, która niestety Poznań opuszcza, by w przyszłym sezonie łódzką scenę ozdobić talentem swoim. — P. Ludwik Solski, dotychczasowy reżyser sceny krakowskiej, przestał pełnić te obowiązki z dniem 10 bm. — Fortepianista wileński p. Wojciech Gawroński, otrzymał od Leszetyckiego w Wiedniu jako odznaczenie znak liry z latami studyów (1894—6); młody kompozytor napisał dwie symfonie: „Antygona“ i „Samuel Zborowski“(?), oraz muzykę do opery „Marya“, według libretta przez p. Millera, przygotowanego z poematu Antoniego Malczewskiego. — Dnia 27 marca rozstrzygnięty został konkurs, rozpisany przez galicyjski Wydział krajowy na ruskie utwory dramatyczne. Z 15 sztuk nadesłanych na ten konkurs, przyznano pierwszą nagrodę dramatowi ukraińskiego pisarza Borysa Hrinczenki „Josni zori“ (250 złr.), drugą nagrodę otrzymał ten sam Hrinczenko za komedyę p. t. „Nachmaryło“ (200 złr.), trzecią dyr. Grz. Cegliński za komedyę „Terhowla żemczahamy“ (Handel perłami) w kwocie 150 złr., a czwartą, również w kwocie 150 złr. dr. Jakób Newestiuk za komedyę „Kandydat“. Prócz tych sztuk premiowanych komisya nie poleciła żadnej sztuki do grania.

AFORYZMY.

Dzieci nieprawe są po większej części rozumne i piękne. Cóż to za krytyka wzorowego życia rodzinnego!

Elżbieta król. Rumunii.

Życzenie „niech mu ziemia lekką będzie“ należałoby raczej zasyłać nowonarodzonym, nie zaś umarłym.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Bronisław S. O ile nam wiadomo, bawi Sienkiewicz obecnie w Koszyce.

Sta. Więcej tłomaczeń tego wierszyka zamieszczać nie będziemy. Za pseudonimem „Igor“ kryje się dr. Ludwik Mizerski, autor „Syreny“ i przekładów Anakreonta.

N. N. 333. I nam wstrętnem jest apelowanie do sądów niemieckich. Rozumiemy zupełnie pańskie skrupuły, lecz w świecie dziennikarskiem znajdują się niestety takie okazy, wobec których inny rodzaj załatwienia kwestyi nie prowadzi do żadnego celu. Pojęcia ich etyczne i wyobrażenia o sprawach honorowych nie wznoszą się nad poziom przeciętnej przekupki i dla tego jesteśmy nieraz zniewoleni udać się pod opiekę policyi lub władzy sądowej. Radzimy szanownemu panu raz jeszcze przed adwokata zażądać ekspiacyi polubownej, a w razie odmowy wstąpić na drogę procesu.

Autorce dramatu „Anioł pański“. Za wiele tam Maeterlincka, za wiele Baudelaire'a, Rydla i Tetmajera. Jest to zręczny zlepek reminiscencyi, — naśladownictwo jest miejscami tak niewolnicze, że całe zdania są żywcem bez żadnej zmiany zapożyczone. Mimo to uderza w tej kopii sporo smaku, zdradzającego pewne zasoby talentu artystycznego.

Abiturjent. Zawód mierniczy nie przedstawia już dzisiaj takich szans materyalnego powodzenia jak dawniej. Ukazał się nawet reskrypt ministeryalny, ostrzegający młodzież przed karyerą mierniczą z powodu nadzwyczajnego przepełnienia.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28

Nr. 17. Poznań, niedziela 26-go kwietnia 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: ul. Wilhelmowska 28.
(Drukarnia J. Fr. Tomaszewskiego.)

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Wilhelmowska 28, **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

TREŚĆ.

Wyzysk robotnic.

W Wiedniu zakończyła się niedawno nader interesująca ankieta, z której dwukrotnie podawaliśmy sprawozdania specyalne, ilustrujące stosunki pracy kobiecej w zakresie robót introligatorskich i metalowych. Przez trzy tygodnie z rzędu przed gronem bardzo wybitnych osób, złożonem z ludzi rozmaitych przekonań społeczno-politycznych, jako to posłów do parlamentu, profesorów uniwersytetów, członków izby handlowej i przemysłowej, kierowników ruchu robotniczego itp. — co wieczór stawali eksperci tak ze strony robotników, jak ze strony pracodawców i odpowiadali na szczegółowe pytania co do różnych gałęzi przemysłowej produkcyi, dających zajęcie kobietom. W ten sposób ankieta zebrać miała materyały do wyrobienia sobie jasnego poglądu na stosunki robotnic, a stwierdziwszy autentyczne fakty, przedstawić je następnie bez żadnych stronniczych komentarzy rządowi i ciału prawodawczemu do stosownego zużytkowania.

Cel osiągnięto w zupełności, materyał zebrano niezwykle obfity, a tak wymowny, że wszelkim komentarzom urąga. Dla bezstronnego i nieuprzedzonego słuchacza lub czytelnika pozostaje jeden tylko sąd o stosunkach, wśród których pracują kobiety: że są to stosunki wprost opłakane. Nie mamy zamiaru wchodzić w drobne szczegóły najrozmaitszych sposobów zarobkowania, ograniczamy się na streszczeniu tych zarzutów, jakie w obec ankiety podnosiły biedne robotnice przeciw wszystkim prawie pracodawcom.

Istnieje w Austryi ustawa, zakazująca pracy dzieci w latach obowiązku szkolnego; istnieją przepisy, regulujące liczbę godzin dziennej pracy, zakazujące pracować w niedzielę, nakazujące pewne urządzenia maszyn, niebezpieczne dla zdrowia i życia robotników, otaczać środkami ochronnemi; istnieje wiele innych zarządzeń ważnych w dziedzinie produkcyi przemysłowej — wszystko to jednak na papierze.

Kobieta robotnica zarabia w przeważnej większości wypadków 2 do 4 złr. na tydzień; pewna ich część (7 %) zarabia mniej nawet niż 2 złr, a tylko 11 % robotnic pobiera płacę tygodniową 8 złr. lub nieco więcej. W ogólności płace kobiet nietylko nie podnoszą się, ale objawiają tendencyę ciągłego obniżania się. Robotnice zadawalają się byle czem, a nie oparte o pomoc zawodowych stowarzyszeń nie mogą wywalczyć sobie znośniejszych warunków bytu, to też wyzyskiwanie ich pracy straszne przybiera rozmiary.

Inspektor obowiązków swoich nie wypełnia skutecznie. Przy jednej maszynie zdarza się nieraz po kilkanaście wypadków pokaleczenia, nikt jednak nie donosi o tem władzy. Brudne warsztaty przeważnie tylko raz na rok (!) bywają czyszczone. Robotnice siedzą w atmosferze przepełnionej dla zdrowia szkodliwemi wyziewami z klajstru lub chemikalii, dusznej od pyłu włosów i przerabianej sierści, albo odpadków skór, pracując po 12 do 14 godzin dziennie. Często nawet nie mają gdzie umyć się, jedna kadź z wodą i jeden ręcznik na tydzień służyć musi kilkunastu robotnicom. Przy nędznej płacy obiad ich stanowi para kiełbasek lub kawał koniny; inne spożywają zimną przyniesioną z domu kawę z chlebem. Za spóźnienie się kilkuminutowe płacą karę 50 centów (!), toż samo za przemówienie kilku słów podczas roboty; tym, które się spóźnią o kwadrans, nie wolno w (fabrykach kartonaży) dnia tego pracować. Dziesięcioletnie dzieci pracują po 10 godzin dziennie za 1 złr. 50 c. tygodniowo. Pracuje się też w niedzielę i w nocy aż do dwunastej nieraz. Za to, gdy „sezon“ minie, mianowicie w letnich miesiącach, roboty wcale nie ma. Krwawo i brudno przedstawia się karta stosunków obyczajowych w takich warunkach. Bez obawy o utratę lichego zarobku wymieniano po imieniu i nazwisku pracodawców, którzy z każdej dziewczyny, wstępującej do ich zakładu, robią dosłownie ulicznice.

Dyrektorzy fabryki i dozórcy w brutalny sposób obchodzą się z temi ofiarami nędzy. Wydalają np. robotnice bez wypowiedzenia, a kobiety brzemienne aż do samej chwili rozwiązania muszą ciężko pracować. Odbija się to oczywiście jaknajfatalniej na potomstwie. Tylko w nader rzadkich wypadkach dziecko robotnicy przychodzi na świat zdrowe i rozwija się pomyślnie. Jedna z takich robotnic, znajdująca się właśnie w stanie „błogosławionym“, opowiadała przed ankietą, gdzie i jak teraz pracuje. Za kilka dni będzie musiała się położyć, boi się jednak głodu i pracuje do upadłego. Miała już troje dzieci; wszystkie pomarły.

Z zakładów, przerabiających kruszcowe przedmioty, gdzie grynszpan osiada na piersiach słabych kobiet, kilka z nich przedstawiło się jak z grobu wykopane trupy i upiory, po świecie chodzące. W innych fabrykach dozórcy zakazują kupować piwa w przyległych szynkowniach, sami zaś wódkę sprzedają i do zaopatrywania się w nią u siebie zmuszają. Własnego pomieszkania robotnica mieć nie może, wynajmuje więc łóżko, jak mówią w Wiedniu. W ciasnej, dusznej mansardzie, wilgotnej suterenie, na przestrzeni 6 do 9 metrów kw. stoi po kilka łóżek, za które każda płaci po 2 złr. tygodniowe. Trzecia lub w najlepszym razie czwarta część płacy idzie na to pomieszkanie, w którem po ciężkiej kilkunastogodzinnej, trawiącej pracy robotnice odpoczywać mają.

Szczególnie nędzną, okropną nieraz jest dola nowicyuszek, które przez mniej lub więcej długi czas próby pracować muszą bezpłatnie lub za kilkadziesiąt centów tygodniowo! Lepiej sytuowane „uczennice“ dostają wprawdzie stancję i wikt, ale pod obu względami przytaczają inne h o r r e n d a, od których włosy stają na głowie. Wikt bywa taki, że robotnice z niego chorują. Jedna niedawno umarła — według oznaczenia lekarza — z głodu! W tym wypadku dzięki ankiecie wdrożono postępowanie karne.

Znakomitą ilustracyę do powyższych stosunków podał przewodniczący ankiety, profesor uniwersytetu dr. Eugeniusz Philippowich, który w obawie snać, aby go nie posądzono o szemranie pustemi frazesami, na podstawie obfitych materyałów statystycznych przedewszystkiem wykazał, że u kobiet w ostatnich latach ogromne uczyniła postępy tendencya do zapewnienia sobie niezawisłego bytu. Z 12 milionów kobiet, przebywających w Austryi według spisu z r. 1890, więcej niż połowa bo 6,200,000 oddawało się pracy zawodowej. Największej liczbie

kobiet zajęcie daje gospodarstwo wiejskie. — ze służby gospodarskiej przypada 4,3 miliony na kobiety, a tylko 4,2 na robotników męskich. W handlu i przemyśle stosunek ten przedstawia się jak 1,2 do 2,7. O ile zaś korzystniejszem dla kobiet jest zajęcie w rolnictwie, niż na innych polach pracy, poucza statystyka małżeństw, najlepszy w tym wypadku probierz, dopóki rodzinę uważa się za podstawę organizacyi społecznej. Otóż na 1000 kobiet, zajętych w gospodarstwie wiejskiem wychodzi za mąż przeciętnie 501, podczas gdy w handlu 255, a w przemyśle tylko 236. W większych miastach zachodzi jeszcze gorszy stosunek; w Wiedniu np. na 1000 kobiet, żyjących z przemysłu, wychodzi za mąż 160, w Pradze zaledwie 127. W przemyśle procentowy udział robotnic, jak wykazuje prof. Philippovich, stoi w prostej proporcyi do rozmiarów przedsiębiorstwa, przyczem zauważyć można, że robotnice znajdują zajęcie przeważnie w zakresie robót ręcznych, podczas kiedy praca maszynowa pozostaje wyłącznie prawie udziałem mężczyzn. Na zapytanie, czy praca kobiet stwarza groźną konkurencyę maszynom, waha się dr. Ph. dać odpowiedź stanowczą.

Niewątpliwie robotnice często wypierają robotników, ale w miarę lepszego podziału pracy niedogodności wynikające stąd dla mężczyzny maleć będą coraz bardziej, robotnikom bowiem zawsze prawdopodobnie powierzane będą roboty subtelniejsze i wymagające większego nakładu siły, gdy dla kobiet pozostanie tylko obsługiwanie maszyn i dział robót podręcznych. Że stały wzrost liczby robotnic deprecyonuje pracę mężczyzn, zaprzeczyć się nie da; mimo to jednak mężczyźni są nierównie lepiej wynagradzani, niż kobiety.

Wracając do ankiety, trudno spodziewać się po niej wprost i odrazu pozytywnych rezultatów. Zrobiła jednak swoje, odsłoniwszy cały szereg faktów, których zdrowe społeczeństwo znieść nie powinno i nie może. Wydobyto na jaw niegodziwości, dotąd pokrywane przemilczaniem i upiększaniem. Prace ankiety, które mają być niebawem ogłoszone drukiem, obudzą z jednej strony uśpione sumienie społeczeństwa, z drugiej popchną niewątpliwie władzę do energiczniejszych kroków przeciw różnym niesumiennym handlarzom krwi ludzkiej i do nadzoru pracy domowej, jak to się oddawna dzieje w Anglii.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

S o c y a l i z m w ś r ó d m ł o d z i e ż y p o l s k i e j. Doskonale redagowany *„Przegląd Wszechpolski“* (Lwów) zamieszcza od pewnego czasu szereg artykułów, charakteryzujących młodzież polską w zaborze rosyjskim. W najświeższym numerze (Nr. 8) znajdujemy w tej kwestyi następujące trafne uwagi:

„Zdaje mi się, że nie popełnię wielkiego błędu, gdy podnosząc prąd główny, panujący w ruchu umysłowym naszej młodzieży, nazwę dzisiejszy okres jej życia — okresem socyalistycznym. Istotnie socyalistyczny pogląd na społeczeństwo, ideały i dążenia tego kierunku pozyskały śród dzisiejszej naszej młodzieży uniwersyteckiej ogromne rozpowszechnienie, przenikając do wszystkich niemal ruchliwszych umysłów.

Gdy dawniej, przed dziesięciu jeszcze laty, zwolennicy socyalizmu stanowili nieliczną garść młodzieży, mocno wyodrębniającą się z pośród reszty zarówno pojęciami, jak zdecydowanym czynnym charakterem rewolucyjnym, — dziś ruch socyalistyczny ogarnął szerokie sfery młodzieży, całą niemal jej masę, stał się prądem panującym, ale zato, że tak powiemy, rozcieńczył się, stracił swój ostry, rewolucyjny charakter. Są to zwykłe dzieje każdego nowego prądu, na które u nas złożyło się jeszcze to, że socyalizm nasz nigdy nie był ruchem samodzielnym, zawsze naśladował i naśladuje obce wzory: dawniej czerpał natchnienia z młodej Rosyi, walczącej dynamitem, dzisiaj zaś, gdy tam wzorów nie stało, zwrócił swe oczy ku zachodowi, gdzie ruch zeszedł na tory systematycznej walki legalnej. Z drugiej strony, dzisiejsza młodzież, jak to już wyżej zaznaczyliśmy, nie ma tego temperamentu, co jej poprzednicy z przed lat kilkunastu; pod wpływem też łagodnego i biernego jej usposobienia wytworzyła się u nas specyalna odmiana socyalizmu, ciekawe zjawisko, które powinno zająć niepoślednie miejsce w patologii prądów umysłowych. W dalszym ciągu zwrócimy na nią bliższą uwagę.

Socyalizm jest kierunkiem umysłowo nader jałowym. Od czasów Marxa istnieje on w postaci skończonej doktryny, tak mało przedstawiającej pola do samoistnej twórczości umysłowej, że przedstawiciele jego od wyjścia „Kapitału“ nic prawie nowego nie powiedzieli. Czemuż więc przypisać panowanie jego śród inteligentnej młodzieży, dla której interesy umysłowe powinny mieć pierwszorzędne znaczenie?..

Pierwszą bez wątpienia i najgłówniejszą przyczyną jest wartość moralna socyalizmu. W dzisiejszych czasach, kiedy brutalny egoizm, podniesiony do zasady, zapanował w życiu społeczeństw, kiedy mieszczańska Europa, wyzwoliwszy się z wszelkich wędzideł moralnych, w najbardziej wpływowych sferach przedstawia obraz ostatecznego bodaj upadku, kiedy duszą wszelkich programów politycznych stał się interes, pojmowany w najbardziej poziomy sposób, bądź wypowiadający się szczerze, bądź obłudnie ukrywany pod płaszczykiem tanich frazesów, kiedy przedmiotem literatury pięknej, wyzutej z ideałów, stały się najniższe rodzaje używania życia, kiedy religia prawdziwa pozostała tylko śród szarego tłumu, tracąc w umysłach ludzi oświeconych pierwszą swą podstawę — szczerą wiarę, kiedy jedni zrobili z niej przedmiot dobrego tonu, inni zaś nadużywają jej w błazeńskich grymasach literatury i sztuki, przybierających wielkie miano neochrystyanizmu — umysłom potrzebującym czegoś pozytywnego moralnie, a nie umiejącym stać o własnych siłach, jedyną jaśniejszą perspektywę otwiera ta ewangelia społeczna, prosta, przystępna dla rozumów bardzo nawet niewyrobionych, upraszczająca w naiwny często sposób rzeczy bardzo zawiłe, ale mająca silną podstawę mo-

---

K. ROJAN.

W ŚWIAT.

(D o k o ń c z e n i e).

— Bo widzisz — rzekł po krótkim namyśle — jednego mi tylko żal... Tak mi było przyjemnie, taki byłem szczęśliw, że nawet powiedzieć nie umiem. I proszę cię, czemu to tak krótko trwało. Zaledwie sześć czy siedm dni.... Żeby choć pół roku, miesiąc jeden przynajmniej, a to sześć czy siedem dni i już po wszystkiem!

Łasiecki, choć sam także wzruszony, poczyna zagadywać.

— Te kobiety dziwne mają serca. A wiesz ty Franek, jakie by to było ciekawe, żeby one nosiły serca na wierzchu, jak ordery. Zresztą nietylko kobiety, ale wszyscy ludzie. Toby ci się ludziska na siebie gapili... ha, gorzej niż na loteryę. Patrzymy, a tu idzie jakiś pan, któremu błyszczy się coś pod brodą... Wszyscy zaczynają szeptać: „patrzaj, patrzaj idzie złote serce.“ D. drugi ma coś szarego pod szyją... aha to serce z kamienia. Inny znowu trzyma coś w garści, aha, ten niesie serce „na dłoni“. Inny znowu, co surdut dobrze zapina, ma z pewnością „głupie serce“. A ci, co się chowają, to ludzie bez serca. Oto świat byłby wtedy pusty, jak po cholerze.

Powyższe refleksye zastanowiły wielce Franciszka, gdyż przestał układać rzeczy w kuferku i zapatrzył się w próżnię, przyczem zrobił tak zabawną minę, że Łasiecki musiał parsknąć śmiechem.

— A tom ci zabił klina w głowę.... c....co?

— No cóż?... — odbąknął Smolarz — na świecie tak już zawsze będzie, jak jest. Ludzie sądzić cię będą z tego, jak wyglądasz, a nie tak, jak na to uczciwą pracą zasłużysz. Żebym ja tak wyglądał, jak ten błazen, to pewnie byłoby ze mną inaczej. Jak myślisz, Łasiecki, byłoby inaczej, prawda.

— Żeby, żeby!... no, pewnie. Żeby ciocia miała wąsy i hiszpańską brodę, to mogłaby być Napoleonem...

— Ale jeszcze ja nie daję za wygranę — ciągnie dalej Smolarz, nie zważając na żart przyjaciela. — Za granicą kupię sobie książek i będę wieczorami wciąż czytał.

— Po łacinie czy po grecku?

— Proszę cię, czego się śmiejesz? Ot, nieraz jest w głowie taka ładna myśl, że aż radość bierze, lecz cóż?... powiesz, a ona taka jakaś marna, że ludzie ruszają tylko ramionami. Po prostu słów brakuje i tyle; a przecież słowa i mądre zdania są w książkach, tylko czytać z rozwagą. Do szkoły nie miałem za co chodzić, teraz trzeba uczyć się samemu.

— Jak ty zaczniesz teraz chodzić do szkoły, to z pewnością na kolej przyjdziesz za późno.

Smolarz zabrał się znowu do pakowania.

Wśród tej pogadanki dwu przyjaciół, w serdecznym prowadzonej tonie, rozwarły się drzwi i do pokoiku wtoczył się Raniecki, prowadzony pod rękę przez Szołomiejskiego. Na pierwszy rzut oka można było poznać, że obaj wracają od Bronarza. TwarzRanieckiego gorzała ogniem, a oczy Szołomiejskiego, ustrojone w mniejsze niż przedtem okulary, uśmiechały się słodko.

Raniecki stuknął na progu laską i zakrzyczał:

— Hej, a jest tu stary Borajski?

— Nie, nie ma — odparł Smolarz.

— Widzisz, że go nie ma — zauważył Szołomiejski.

— A gdzie on jest? W pracowni powiadają, że poszedł do pana. W domu go nie ma, tu go nie ma... a gdzie on jest, ten stary Borajski, ha?

— Pewnie wyszedł na miasto — zauważył znowu Szołomiejski. — Przyjdziemy później. A teraz chodź do domu i połóż się spać, boś śpiący.

— Słyszycie chłopcy, co on mówi? — zawołał Raniecki, wybuchając śmiechem. — Ja śpiący, czy kto widział, ja śpiący! Otóż na złość nie pójdę. Przekonajcie się, czym śpiący.

Wtoczył się do wnętrza i zatrzymał szczęśliwie nad kuferkiem, w który przez nieuwagę wsadził laskę między bieliznę Franciszka.

— Smolarz, serdeńko, gdzie stary Borajski, ha?

— Nie wiem, panie Raniecki, przed chwilą był tu wprawdzie, ale wyszedł.

ralną — dobro ludzkości, cel dążeń szczerych, pojmowany w sposób świeży, niezużyty.

Nie może nas tedy dziwić, że młodzież nasza, stojąca pod względem moralnym dość wysoko, posiadająca silnie rozwinięte popędy obywatelskie, a dzięki ogólnemu kierunkowi naszego życia umysłowego przywykła szukać dla wszystkiego natchnień i wzorów na zewnątrz, że ta młodzież znalazła ujście dla swych popędów moralnych w ruchu socyalistycznym.

Niemniej ważną przyczyną szerzenia się ruchu socyalistycznego śród naszej młodzieży jest pewna, żywiołowa niemal rewolucyjność jej umysłów, zastrzegam — umysłów, nie usposobień, bo temperamentów rewolucyjnych śród dzisiejszej młodzieży nie masz. Ruch pozytywistyczny, niezwykle silny swego czasu, dał tak potężny impuls reformatorski młodszym pokoleniom, że działanie jego, acz słabnące stopniowo, dziś jeszcze trwa i utrzymuje w tej młodzieży nieustającą potrzebę przeciwstawienia siebie całemu społeczeństwu, protestowania przeciw czemuś, burzenia czegoś itp. Kto przyglądał się uważnie pierwszym stadyom rozwoju „niezależnego" poglądu na świat w umyśle dorastającego ucznia gimnazyalnego, ten musiał zauważyć, że jakaś instynktowna potrzeba protestowania występuje tam pierwej, aniżeli świadomość, przeciw czemu protestować należy. Ta rewolucyjność umysłów będąca spuścizną po „pozytywizmie warszawskim", dziedzicząca nawet wiele z właściwych jego składników, bezwątpienia coraz mniejszą będzie grała rolę w rozwoju pojęć naszej młodzieży, działanie bowiem raz danego bodźca stopniowo musi słabnąć, dzisiaj jednak ma ona jeszcze znaczenie pierwszorzędne.

Pragnąc sobie wyjaśnić przyczyny rozwoju ruchu socyalistycznego śród naszej młodzieży, nie należy także zapominać, że wszelka siła wywiera wpływ przyciągający, któremu niełatwo jest się oprzeć. Taką siłą przed kilkunastu jeszcze laty była rewolucya rosyjska, która pociągnęła w swe szeregi liczne jednostki z pośród naszej młodzieży i zrodziła u znacznego jej odłamu z trudnością wytępione potem rusofilstwo, taką siłą rosnącą ciągle, jest współczesny socyalizm europejski — nie dziw więc, że porywa jednych w całości, innych zaś oczy przynajmniej ku sobie przyciąga.

Możnaby zwrócić uwagę, iż szerzenie się socyalizmu śród młodzieży nie jest wcale zjawiskiem wyłącznie do naszego społeczeństwa przywiązanem, że ruch ten rozwija się i w innych społeczeństwach, że zatem przyczyn tego zjawiska nie trzeba szukać na miejscu, ale w stosunkach szerszych, wychodzących po za granicę naszego narodowego istnienia. Uwaga ta do pewnego stopnia byłaby słuszna. Istotnie, nie ma w tem nic dziwnego, że ideały socyalistyczne pozyskują sobie w sferze młodzieży inteligentnej wielu zwolenników — przechylanie się ku tym ideałom widzimy wszędzie, nietylko śród młodzieży, ale i śród ludzi zajmujących wybitne stanowiska w literaturze, nauce i życiu politycznem. Nie może też nikogo dziwić, że temperamenty agitatorskie, zaciągają się w szeregi czynnych bojowników socyalizmu, prowadzą jego propagandę śród mas, organizują robotników itp. — to także widzimy wszędzie, gdzie tylko warunki ekonomiczne stwarzają grunt odpowiedni dla propagandy, a że u nas warunki te skutkiem pewnego rozwoju przemysłu istnieją, to dziwićby się raczej należało, gdyby socyalizm pewnej ilości ludzi z odpowiedniemi usposobieniami nie fanatyzował i do agitacyi nie popychał. Ale dla czego cała masa inteligentnej młodzieży, nie mającej w swem usposobieniu odpowiednich warunków, nie zajmująca się wcale propagandą, nie próbująca się zbliżać do mas robotniczych, dla czego ta masa nie poprzestaje na sympatyach dla socyalizmu, na przejęciu się nawet jego ideałami, ale dobrowolnie nakłada na swój umysł pęta doktryny socyalistycznej, wziętej bezkrytycznie, i v e r b a m a g i s t r i, dla czego w tych kwestyach, w których socyalizm swe zdanie wypowiedział, uznaje je z góry nie usiłując sprawdzać jego słuszności, dla zagadnień zaś, wykraczających po za granice socyalistycznej kompetencyi, zachowuje przeważnie całkowitą obojętność, dlaczego, postawiwszy sobie za ideał, myśleć tak, jak dobrze „spropagowany" robotnik, zatraca zmysł dla zagadnień naukowych, filozoficznych, literackich, obojętnieje dla rzeczy, będących najwyższym wykwitem myśli ludzkiej, dlaczego ci przyszli przodownicy umysłowi swego społeczeństwa, zabiwszy sobie mózgi ćwiekiem doktryny, rozcinającej jednym zamachem węzeł gordyjski najzawilszych zagadnień, które trzeba mozolnie rozwiązywać, dobrowolnie przerabiają się na kulturalnych barbarzyńców — to pozostaje zagadką wyłącznie naszego bytu".

* * *

G ł o s p o l s k o - e w a n g i e l i c k i. Szczerze polska, ewangielickim Mazurom poświęcona „Gazeta ludowa" polemizuje w Nr. 30 z „Polskim przyjacielem familii" organem germanizacyjnym, redagowanym dawniej dwujęzycznie, obecnie zaś jednojęzycznie. „Gazeta Ludowa" taką daje odprawę „Przyjacielowi":

Religijny „Przyjaciel" niby nie trudni się polityką, owszem potępia zajmowanie się polityką; ale to nie przeszkadza mu dawać polskiemu ludowi ewangielickiemu rady polityczne złowrogie i przewrotne. Bo pisze: „A więc porzućmy mrzonki i ideały światowe, a bądźmy przedewszystkiem ewangielikami i pokochajmy nasze ewangielickie piśmiennictwo." Tak, na to szczera zgoda: pokochajmy nasze ewangielickie piśmiennictwo! Bo bez kochania — piśmiennictwo to, czemby zostało? Są to tylko próby, pierwsze kroki, stawiane na drodze, i bez kochania nawet sam „Przyjaciel" obróciłby się — w co? W pismo, jak było jeszcze niedawno, licho-dwujęzyczne, a potemby zamarło jednojęzycznie. Ale stanowczy protest zanosi każda dusza ewangielicko-polska przeciwko temu wyrokowi „Przyjaciela": „A więc porzućmy mrzonki i ideały światowe!" Ach, tak! to prawda, mrzonki porzuciliśmy już dawno: już od dwudziestu pięciu przeszło lat gospodarki germanizacyjnej wyleczyliśmy się z mrzonek zupełnie. Ale ideały nam nie spleśniały. Rozumie się, że to są ideały światowe. Jak będziemy się znajdowali w niebie, to tam będziemy mieli ideały niebieskie, ale póki tu bawimy na tym nędznym świecie, to jeżeli jest idealną rzeczą mieć jeszcze jakieś ideały, one pokazywać się mogą tylko na szacie światowej. „Przyjaciel" ma też swoje ideały, czysto światowe, a to przedewszystkiem ten, że polskiemu ludowi byłoby może najlepiej, żeby jak najprędzej się zniemczył. Nie posądzamy wszystkich germanizatorów zaraz o złe zamiary serca, o myśli Faraonów i Herodów, bo wiemy, że niejeden germanizator sądzi, iż dobrodziejstwo świadczy ludowi polskiemu przez niemczenie go...

Mrzonki się przemarzą i przeminą; ale prawdziwe ideały pozostaną, i nawet wśród najtrudniejszych i najrozpaczliwszych stosunków będą ideały zdążały do swego wcielenia się w życiu praktycznem. Nie mogą ideały zamrzeć w piersiach ludzkich, dopóki ludzie pozostaną ludźmi, a nie zamienią się na by-

---

Wyjm pan z łaski swojej z kuferka laskę, bo mi pomniesz koszulę.

Raniecki poczyna kiwać głową, kiwa się sam także i położywszy palec na nosie, powiada:

— Smolarz, serdeńko, ty kłamiesz, on się tu gdzieś schował. Ej Smolarz, Smolarz.. ślusarz nie golarz, gdzie on się schował? co? Może tam?

Upadł na czworaki i począł wygartywać z pod łóżka laską stare trzewiki.

— Jak się pan teraz przewrócisz, to już dziś nie wstaniesz — woła Łasiecki, a podnosząc Ranieckiego za kołnierz do góry, dodaje — wstań pan, bo to szkodzi na głowę.

— Daj mi pokój — odrzekł na to Raniecki, prostując się. — Myślisz, że ja pijany. Nie to on pijany — wskazał na Szołomiejskiego, który pochylając się to w tył, to naprzód, zabawiał się ode drzwi widokiem wesołego towarzysza.

— Bo widzisz — ciągnął dalej Raniecki — dwóch piło: Raniecki i Szołomiło; Raniecki zuch, a jego oszołomiło. Ot jest i rym, ha, ha, ha! A gdzie ten stary poczciwy Borajski, co?

— Poszedł na miasto.

— Ej Łasiecki, ty cyganie kochany, powiedz, gdzie Borajski, bo jak ci dam raz... A jaki jest rym do Łasiecki? ha?

— Pewnie, że nie inny, tylko Raniecki.

— O, jeżeli tak, to chodź, niech cię pocałuję. No, patrzajcie ludzie, on się ze mną rymuje!

Łasiecki widząc, że czułość Ranieckiego wzbiera, odskoczył przed uściskiem grubego sąsiada za kuferek, i bezpieczny w tem miejscu, zawołał:

— Moi panowie, Franek wnet odjeżdża i ja na żarty obecnie nie mam czasu; otóż powiem wam już zupełną prawdę, gdzie jest t... ten stary poczciwy Borajski, tylko ustąpcie z przed kuferka i zostawcie nas w spokoju.

— A więc mów, mów, tylko prędko... bo on musi nas razem widzieć.... Musi dowiedzieć się, że my już w zgodzie. Musi usłyszeć, że Szołomiejski przysiągł mi u Bronarza nie robić żadnego więcej towarzystwa, a ja mu za to obiecałem pożyczyć pięćset...

— Cicho, ty stary gaduło — szepnął Szołomiejski i pociągnął go za surdut.

— A więc gadaj, gdzie on, ten stary, poczciwy...

— Właśnie kiedy szedłem ulicą, spotkałem go na drodze — zmyślał na prędce Łasiecki. — Pytam więc: „Gdzie pan idzie?" a on na to: „D... tego starego, poczciwego Ranieckiego."

— Tak mówił?

— A jakże. Ja zaś mówię: „Pana Ranieckiego nie ma pewnie w domu" — on zaś na to: „Nic nie szkodzi, zaczekam, aż przyjdzie."

Opowiadanie trafiło do przekonania obu pogodzonych sąsiadów, gdyż uścisnąwszy Smolarza na pożegnanie, ujęli się zaraz pod ręce i poszli dalej szukać Borajskiego.

Kuferek był już spakowany, gdy Smolarz zauważył, że nie od rzeczy by było obwiązać go jeszcze rzemieniem, gdyż jak twierdził Borajski, na kolejach nikomu dowierzać nie można. A ponieważ rzemienia nie było pod ręką, więc Łasiecki wybiegł do miasta, aby go kupić.

Zaraz po jego wyjściu, na korytarzu dały się słyszeć ciche kroki i bezpośrednio potem nieśmiałe pukanie.

— Kto to może być? — przemknęło pytanie przez myśl Smolarza. Serce zabiło mu raźniej. Nikt inny tylko ona...

Jakoż istotnie na słowo „proszę" otwarły się drzwi i do pokoiku wsunęła się nieśmiało Lola. Dziewczyna, której życie do niedawna wrzało jeszcze szczerą młodością, która miesiąc może jeszcze temu podobną była do sarny w ruchach, a do róży niezupełnie rozkwitłej w swej dziewiczej krasie, dziś blada, schorowana, potulna, zmęczona, bolesne czyniła wrażenie.

— Przeszkadzam panu? — zapytała cichym głosem od progu.

— Nie, proszę.

— Nie chciałeś pan pożegnać się ze mną, więc ja przyszłam powiedzieć panu: „daj Boże szczęście na obczyźnie". — Usiadła na krześle.

Smolarz nie wiedząc, co na to odpowiedzić, spuścił oczy na kufer i odbąknął:

— Nie, panno Lolu... ha, no cóż?

— Siostrę zabrałeś mi pan.

— Musiałem panno Lolu... bo trudno.

— Przykro mi, że będę tu odtąd sama; ale Anulce lepiej jest u Szelągów niż u nas. Więc dobrześ pan zrobił. Nie sądź pan, że ja się na nią gniewam; Bóg widzi, że mc a nic. To też będę ją często odwiedzać.

— Jeżeli łaska, to proszę.

dlęta. Zadaniem naszem było od początku a i nadal będzie ludowi ewangielicko-polskiemu otwierać oczy, pokazywać ludowi temu krzywdy, jakie mu wyrządzają jego współobywatele. Lud ewangielicko-polski dotychczas rzeczywiście był wychowywany jak drzewo w lesie. „Polski przyjaciel familii“ dotychczas bardzo mało się starał wyciągnąć to drzewo z lasu i postawić je pod promienie słoneczne. Owszem, każdy z naszych czytelników przyzna nam, że „Polski Przyjyciel“ tylko więcej i głębiej w las wciągał lud ewangielicko-polski. Jeżeli „Polski Przyjaciel“ rzeczywiście tak religijnym jest, dla czego więc nie zastosował się podług Pisma świętego, dla czego używał dwujęzyczności? My od samego początku służyliśmy tylko jednemu panu a i nadal tak samo służyć będziemy.“

* * *

Antikolonizacya. W berlińskiej „Gazecie polskiej“ czytamy:

„Nie zapominajmy o tem, że przeciw kolonizacyi niemieckiej nie obronią nas protesty i narzekania, ale obroni jedynie rozsądna, energiczna kolonizycya, albo antykolonizacya polska.

Na obczyźnie, pamiętajmy o tem, niejeden z naszych włościan, choć setki giną, dorabia się grosza, i mógłby powrócić i osiąść na glebie rodzinnej, mając dogodne warunki. Starajmy się o to, aby i te jednostki, które zresztą wyrobiły sobie zwykle wśród obcych większą energię i odporność, pozyskiwać można dla kraju. A stać się to może jedynie przez to, gdy nasze przedsięwzięcia, jak bank ziemski i spółka parcelacyjna, będą rozporządzały coraz większemi środkami pieniężnemi, aby mogły skutecznie prowadzić osadnictwo polskich włościan w kraju.

Popieranie parcelacyi, popieranie banku ziemskiego jest tedy zdaniem naszem jedną z głównych potrzeb naszych, i najgłówniejszem polem działalności dla nielicznych, a przeto obowiązanych do tem większej oględności i bystrości kapitalistów naszych.“

* * *

Nasi posłowie. Pod adresem posłów naszych w Berlinie wysyła „Kraj“ petersburski następujące memento:

„Koło w dzisiejszym swoim składzie nie ma talentów krasomówczych, któreby się mierzyć mogły z mówcami wrogiego obozu — cóż na to poradzić? Winić nikogo o to nie można, ale nie zastosować się do tego faktu znaczy narażać na klęski siebie, a po części i kraj. Powtóre, zadługie, zaszczegółowe dowodzenia, nawet dobrze pomyślane i udatnie wykonane, nie są w danym wypadku na miejscu. Po co mamy zamykać oczy na prawdę — mowy posłów polskich wskutek tych przyczyn sprawiają wrażenie wprost fatalne.

Minister oświaty ogłasza bez żenady, że robi ze szkoły narzędzie polityki, tępienia i nienawiści, środek udręczenia milionów obywateli w państwie, które ma wielkie pretensye do tytułu rechsstaat'u. Większość sejmu bezczelnie manifestuje gotowość oklaskiwania i popierania wszelkiego gwałtu. Bezmiar złej woli, barbarzyństwa, jakiejś namiętności krzywdzicielstwa odurza i oburza. Czegoż oczekiwać mamy od posłów polskich? Pokazania rzeczy i ludzi w świetle właściwem, w całej ich nagości i ohydzie; napiętnowania dzikości pruskiej, wychłostania jej szyderstwem; oświadczenia wreszcie, że zmuszeni do walki parjasy państwa pruskiego bronić się będą, bronić się będą w twierdzy, do której zdobycia p. Bosse nie ma ani dział, ani armi, do której nie wejdzie ani zdrada, ani przekupstwo, a tą twierdzą rodzina.

Zamiast tego, słyszymy pienianie się z ministrem o drobne kłamstewka jego, zapewnianie o lojalnym stosunku do niemczyzny. To daje napastnikowi przewagę i pozory słuszności. Chwilami wydawać się może, iż posłowie polscy boją się ministra. Kategoryczne, głębiej pomyślane, energicznie ukute i wygłoszone oświadczenia byłyby stokroć właściwsze i skuteczniejsze, niż monotonne wywody, bezsilne, bo nie działające ani na umysł, ani na wyobraźnię.

Nieprzystosowanie broni do ręki, a rodzaju walki do sytuacyi, mści się dotkliwie i musi klęskę zgotować. Argumenty i ich sformułowanie w mowach robią wrażenie, jak gdyby posłowie polscy nie odczuwali głęboko słów swoich, jak gdyby nie wpracowali się myślą w dany temat polityczny — a przecież to kwintesencya minimalnych żądań ludności, którą reprezentują. Pierwszym warunkiem skutecznej rozprawy jest dobieranie argumentów, mogących trafić do umysłu przekonywanego. Tymczasem zdawać się może, iż posłowie polscy o to wcale nie dbają, lecz mówią to, co im sprawia satysfakcyę. Inaczej zrozumieć niepodobna wiecznego powoływania się na traktaty, na poręczenia królewskie. Przecież wiadomo z absolutną pewnością, że takie powoływania się nie sprawiają wrażenia; uporczywe powtarzanie wiecznie tej samej piosenki, raczej śmiech budzi lub rozdrażnienie, niż jakikolwiek wstyd, czy poczucie obowiązku. Niepodobna wyraźniej oświadczyć, niż to zrobiły izby i ministerstwa pruskie, iż nie myślą wcale postępowania swego stosować do starych pargaminów. Argumenty działać powinny, inaczej szkodzą.

Są oczywiście wypadki, kiedy wyczerpujące, szczegółowe wywody są niezbędne, ależ, na Boga, nie wtedy się popisywać z niemi należy, gdy przemoc nie ma zamiaru ani słuchać, ani rozumować, lecz jedynie urągać, pastwić się nad niemocą.

— ski.

O Stańczykach.

(Wyjątek z 2-go tomu dzieła K. Bartoszewicza o „Rzeczy“ p. Koźmiana).

(Dokończenie.)

Widzimy więc jasno z tego, iż sami autorowie Teki uznawali chwiejność Przeglądu, brak ustalonych zasad i wytkniętej drogi politycznej, że w jednym i tym samym Przeglądzie każdy się zapatrywał na rezolucyę, jak mu się podobało, że wogóle założyciele Przeglądu zakładając go, nie myśleli ani o akcyi politycznej, ani o założeniu stronnictwa, że główny niby kierownik jego polityki pan Koźmian nie miał przekonań, a tylko zdania, że aż do ukazania się Teki Stańczyka flitrował on zarówno ze stronnictwem konserwatywnem jak i z epigonami ruchu i że dopiero w r. 1869, kiedy początek Teki Stańczyka wywołał gwałtowne artykuły dziennikarskie, p. Koźmian, podniecony staczaną walką, stał się szermierzem „zasad konserwatywnych“ i jawnym już wrogiem Kraju“ i jego stronnictwa, stał się więc

---

— Na jak długo wybierasz się pan w świat?

— Alboż ja wiem, panno Lolu?... Może na rok, może na dwa lata, a może i więcej.

— Czytałam w jakiejś książce, że gdy się długo między obcymi jest, wtedy łatwo można popaść w pewną słabość, której nazwy nie pamiętam. Jestto tęsknota do kraju.

— Jak mi będzie tęskno, to wrócę.

— Jest na to inne jeszcze lekarstwo: zakochać się, ożenić i na obcej ziemi zostać, jak między swoimi.

— Hm... i to być może.... chociaż trudno,

Nastaje chwila milczenia, którą pierwsza przerywa Lola.

— A ma pan już wytkniętą drogę?

— Ha, no cóż?.. Pojadę koleją do Pragi i tam przebędę kilka miesięcy; potem pójdę piechotą do Wiednia, potem do Styryi, gdzie są wielkie huty żelazne, potem... Pan Bóg wie gdzie.

— I myślisz pan wszędzie piechotą chodzić?

— Dla czego nie? Nogi mam dobre, zdrów jestem. A jak się idzie piechotą, to się więcej widzi.

— Mnie się zdaje, że gdy pan raz pójdziesz od nas, to już więcej nie wrócisz.

— Dla czego, panno Lolu, nie mam wrócić?

— Bo niejeden poszedł w daleki świat, podobnie jak pan, znalazł tam lepszą dolę i już został między obcymi.

— Ja nie idę, panno Lolu, po lepszą dolę, ale po naukę. A wrócić muszę, bo kocham mój kraj, moją mowę i zostawiam tu Anulkę..

Na te słowa wbiegł Łasiecki z rzemieniem i oznajmił, że za pół godziny pociąg odchodzi, w obec tego dalsza rozmowa Loli ze Smolarzem przerwać się musiała. Lola odpowiedziała jeszcze kilku słowami na żarty Łasieckiego, uśmiechnęła się i podała rękę Franciszkowi.

— Jedź pan zatem z Bogiem, panie Franciszku, a nie myśl pan o nas tak bardzo źle; trochę wolno, ale nie bardzo. Nieraz ludzie i zgrzeszą, chociaż grzeszyć nie chcą. Tym trzeba przebaczyć, bo są najczęściej z własnej winy nieszczęśliwi.

Wydało się Smolarzowi, że w jej oczach łzy zamigotały.

Odchodząc zatrzymała się na chwilę przy jego zarzutce, wiszącej na kołku obok drzwi, a gdy zauważyła, że młodzi ludzie zajęci wiązaniem kuferka, nie zwracają na nią uwagi, wyjęła prędko z kieszeni małe zawiniątko i wetknęła je w kieszeń ubrania Smolarza, poczem odeszła pospiesznym krokiem.

— O czem rozmawialiście? — zapytał Łasiecki, gdy za Lolą drzwi się zawarły.

— At, tak tylko, o niczem.

— A więc jazda. Kapelusz na głowę, laska w garść i w drogę.

Z ulicy spojrzał Smolarz po raz ostatni na dom Borajskich. Wydało mu się, że widzi jej cień za firanką, a przynajmniej jej białą rękę, co zmiąwszy część muślinowej zasłony, bezwiednie na widok się wysunęła.

Na dworcu, na parę minut przed odejściem pociągu, ozwał się Łasiecki:

Wiesz ty Franek, ja ci coś oddawna chciałem powiedzieć, ale umyślnie odkładałem to na później, na sam koniec, bo ja do stu djabłów t... takich rzeczy mówić nie lubię. Licho nadało tę głupią ludzką mowę. Daleko l... lepiej by było, żeby człowiek z głową na karku rozmawiał na migi, bo by przynajmniej sam siebie nie słyszał. Ot patrzaj tam na ten wagon, gdzie jest napisane „40 ludzi albo 8 koni“ i oblicz ileby się tam zmieściło ludzi na koniach, a ja tymczasem powiem ci to, co jest właściwie wielkiem głupstwem. Nie siedź ty mi długo za granicą, bo to nic nie warte. Widzisz, ja już za wiele hulałem po świecie i już mi się hulanie sprzykrzyło. Więc rozważywszy to i owo chcę się ożenić. Patrzaj tam na wagon i nie śmiej się. Otóż koniec końców, jedź prędko, wracaj co prędzej, a potem daj mi Anulkę za żonę..

Smolarz zdziwił się najpierw, potem ucieszył się ogromnie, wreszcie począł ściskać przyjaciela serdecznie. Oczywiście, że bez długiego namysłu zgodził się na oddanie Anulki Łasieckiemu.

Gdy już konduktor nawoływał do wsiadania, zauważył Franciszek, że coś mu zanadto kieszeń paltota odstaje. Sięgnął ręką i wydobył z niej pakiecik obwiązany włóczką.

— Co to jest? zapytał zdziwiony.

— Albo ja wiem?... zobacz.

W pakieciku był we dwoje złożony chleb z masłem, szynka i ser szwajcarski.

— Tyś mi to wsunął Łasiecki?

— Dalibóg, że nie.

nim dopiero w cztery lata po rozpoczęciu ery kompromisowej.

Radzę przeczytać także z Teki Stańczyka „Rozmowę pana Piotra z panem Pawłem“, która była wywołaną, jak mówią wydawcy dzieł Szujskiego, krzykiem podniesionym na początek Teki. Jest w tej rozmowie między innemi stwierdzenie przez samych Stańczyków, już nie wiem po raz który, że Galicya „po ostatnich wielkich wypadkach postanowiła trzymać się rozumu politycznego“, czyli „wyrażając się nie tak górno, kraj nauczony doświadczeniem po prostu zmądrzał, a co najważniejsza w tem zmądrzeniu wytrwał[1]).“ Rozmowa stara się udowodnić, iż Teka była potrzebną, bo się zjawiały objawy „drugiego systemu“, ale nie zaprzecza, że zwolenników tego systemu była „tylko garstka[2]).“ Warto też zanotować, iż na końcu rozmowy wynurza się boleść, że Kraj ma więcej abonentów od Czasu, a Przegląd polski czytany jest głównie przez tych, co otrzymują gratisowe zeszyty, i tych, co te gratisowe zeszyty pożyczają. Dowodzi to, co zresztą było i jest powszechnie wiadomem, iż Przegląd polski rozchodził się w małej ilości, a więc też i mały wpływ mógł wywierać.

Jednocześnie z Teką Stańczyka ukazała się wspomniana już parokrotnie broszura Szujskiego: „Odpowiedź Mateusza Żórawia“. — Z niej dowiadujemy się dosyć ciekawych rzeczy o zachowaniu się konserwatystów krakowskich (jeszcze nie stańczyków) po uchwale 2 marca 1867 roku i rezolucyi z r. 1868. Kiedy delegacya wysłana przez Sejm przybyła do parlamentu, Beust wezwał do siebie Ziemiałkowskiego, Zyblikiewicza, Adama Potockiego i Krzeczunowicza, obiecując im spełnienie żądań polskich, jeżeli delegacya polska będzie głosowała za adresem. Szujski gromi te układy, już dla samej zasady, bo „wszelka zła czy dobra cena za głosy jest rzeczą wstrętną“, a powtóre, ponieważ „interes był zły“, gdyż dotrzymano tylko parę obietnic[3]). Później dowiadujemy się o jakimś obiedzie w Hietzingu, w którym wzięło udział czterech węgrów, czterech „grafów niemieckich“ oraz czterech hrabiów polskich: Adam Potocki, Henryk i Ludwik Wodziccy i Stanisław Tarnowski. Dzienniki oddane Ziemiałkowskiemu podniosły krzyk na „alians“ oligarchicznych i klerykalnych żywiołów“. Szujski z całym zapałem przeczy podobnej insynuacyi, gdyż było to tylko „przypadkowe“ zebranie wskutek tego, „iż węgier jeden oświadczył p. Adamowi Potockiemu uprzejmą chęć poznania kilku jego przyjaciół“. Sami jednak wydawcy dzieł Szujskiego prostują w przypisku „niewinność“ tego obiadku, bo mówią, iż „celem całego spotkania była, jak się pokazało, próba, czy Polacy nie daliby się sprowadzić z zasadniczego stanowiska i zawrzeć sojusz z niemcami i węgrami, a poświęcić słowian i swoje autonomiczne zasady“. A więc bądź co bądź konserwatyści i przyszli stańczycy byli „probowani“, a sam skład obradujących (czterech grafów niemieckich, czterech węgrów i czterech hrabiów polskich), dowodzi, iż próba ta poza plecami delegacyi polskiej była z góry obmyśloną[4]). Dalej dowiadujemy się z broszury, jaką walkę staczano w delegacyi polskiej przed głosowaniem nad konstytucyą. Większość delegacyjna oświadczyła się głosować za nią, czyli iść dalej drogą kompromisową, ale mniejszość była temu przeciwną. Giskra, ówczesny prezydent izby, mówił do Zyblikiewicza: „powinienbyś pan zaprzestać tej agitacyi przeciw konstytucyi. Wszystkim wiadomo, że jest was ledwie kilku, którzy się opieracie, żeby przeciw niej głosować. Obalić jej i tak nie zdołacie, pocóż próżną manifestacyą narażać się na niechęć całej izby i rządu, zwłaszcza kiedy większa część samych posłów polskich gotowa jest głosować za konstytucyą.“ Ale mniejszość delegacyi, wśród której znajdowali się Tarnowski i L. Wodzicki, agitowała dalej i groziła złożeniem mandatów. Rezultatem tej agitacyi było, iż przy trzeciem czytaniu delegacya polska głosowała przeciw konstytucyi[5]). Czy zrobiła dobrze czy źle, nie chcę wydawać sądu, ale że ta droga, na jaką delegacyę sprowadziła mniejszość konserwatywna wraz z przyszłymi stańczykami, nie byłą kompromisową, nikt temu nie zaprzeczy.

Do tej mniejszości, jak stwierdza Szujski w swojej broszurze, nie należał Alfred Potocki, naprzód dla tego, że już 2 marca był za wysłaniem delegacyi, a powtóre, gdyż będąc członkiem Izby panów, nie mógł należeć do izby poselskiej. Ale kiedy zaproponowano mu, aby przyjął tekę w ministeryum, mniejszość poszła „drogą utylitarną“ i oświadczyła się za wejściem jego w skład gabinetu[6]). Szujski dowodzi, że nie było w tem żadnej niekonsekwencyi. Być może — każdemu wolno mieć swoje zdanie — ale przypomina się sprawa 2-go marca, w której mniejszość przeciwna wysłaniu delegacyi przyjmowała do niej mandaty, co Szujski i Tarnowski sami nazywali niekonsekwencyą. Delegacya głosowała przeciw konstytucyi, a zgodziła się, aby Potocki wszedł do gabinetu na podstawie tej konstytucyi utworzonego. Sprawa ta tem więcej się uwypukli, jeżeli nie zapomnimy, iż jednocześnie ofiarowano tekę Ziemiałkowskiemu, twórcy 2-go marca i zwolennikowi ustępstw i kompromisów, a ten odmówił, „bo nie mógł stać się wykonawcą konstytucyi, przeciw której głosował“. — Z tego wszystkiego wniosek, że owa mniejszość, do której przyszli Stańczycy należeli, miała bardzo wygodną zasadę: stać niezłomnie przy zasadach i nie stać przy nich ze względu na utylitarność.

I jeszcze jeden fakt na stwierdzenie drogi kompromisowej przyszłych stańczyków. Szło o potwierdzenie przez izbę zarządzonego stanu oblężenia w paru miejscowościach czeskich. Większość postanowiła przyjąć milcząco to rozporządzenie do wiadomości, ale mniejszość, w imieniu której przemawiali Adam Potocki i Szujski, była za opozycyą. Nastąpiła potem sprawa wnie-

[1]) Dzieła Szujskiego serya III, tom II. str. 62.
[2]) L. c. str. 81.
[3]) L. c. str. 127 i 128.
[4]) L. c. str. 130.
[5]) L. c. str. 130—138.
[6]) L. c. str. 139.

— Już wiem — mruknął Smolarz wstępując na relsy.

— Ona. Ej, głupie serce, czemuż mi ono tak mocno stuknęło.

— Może się wrócisz Franek, jeszcze czas.

— O nie, teraz nie, niech wszystko złe pójdzie najpierw w niepamięć. Ale poproszę cię jeszcze o jedno. Jak będziesz mi kiedy pisał o Anulce, napisz mi także o niej dobrze?

— Dobrze!

Za chwilę pociąg gwizdnął i ruszył z miejsca, unosząc naszego bohatera w dalekie nieznane kraje. Wychylony przez okno, spoglądał on długo jeszcze na niknący krajobraz rodzinnych stron i żegnał w myśli wszystko, wszystko...

— Bądźcie zdrowe drzewa moje, stare sosny i ty Rudy, co płyniesz przez doliny, i ty chatko z okrąglaków, gdzie mieszkali ojcowie, i ty krzyżu za Kozową, i wy dwie topole wysokie, i ty moja najmilsza, ty moja niedobra.... bywaj mi zdrowa.... bywaj mi zdrowa....

A pęd wiatru rozwiewał mu włosy i ciągnął za nie przemocą napowrót do swoich.

K O N I E C.

St. Czałut.

WSPOMNIENIA
Z LEGII ZAGRANICZNEJ.

(Ciąg dalszy.)

Pod wieczór podjąłem się pójść napowrót do żyda po zakupione towary. Nieprzyjemna mi była ta misya, tembardziej, iż podówczas mnóstwo oficerów i niższych przełożonych po mieście zazwyczaj się kręci. Kupiec był tyle dla mnie usłużnym, że dał mi do pomocy chłopca arabskiego, który cały towar, opakowany w papier, niósł przedemną w koszu. Nagle przystępuje do mnie żandarm i znak daje, by przystanąć. Toć „na złodzieju czapka gore“, a i ja aż struchlałem z przerażenia w przekonaniu, że kompania już mnie szukać każe. Tymczasem wachmistrz pyta tylko, czy nie znam w kompanii tego a tego, gdyż pilny ma do niego interes. Odpowiedziałem przecząco, jak też i rzeczywiście nie znane mi było nazwisko poszukiwanego żołnierza. Po niemiłej tej przerwie dostałem się szczęśliwie, mijając gromady legionistów, do czekającego na mnie Gałeckiego.

Jako miejsce przebrania wybraliśmy sobie cmentarz arabski. Tam w cieniu kolosalnych cyprysów złożyliśmy nasze mundury skarbowe, zwinięte w dwa zawiniątka i wdzieliśmy na siebie zakupione kostyumy. Miałem chęć zabrania z sobą jako jedynej pamiątki z legii mej „ceinture“. W tym celu chciałem owinąć ją na gołe ciało, gdyby powijak, jak to nawykliśmy czynić podczas nocnego spoczynku.

— Na Boga — odzywa się adjutant, — nie zabieraj Pan nic doszczętnie. Wszak każda sztuka munduru ma odstęplowanie regimentu i matrykułę właściciela. Jeżeli nas pochwycą, natychmiast wiedzieć będą, żeśmy legioniści. Zresztą ten pas nie Pańską jest własnością, a to powinno być wystarczającem dla Pana, by nie zabierać go z sobą!

— Ależ mój adjutancie — odparłem, — czy zostawiając nasze umundurowanie tu na cmentarzu, mamy pewność, że takowe oddane zostanie do pułku? Toć lada Arab spieniężyć je może, więc lepiej już, że ja sam pas ten zabiorę. Będę miał pamiątkę wieczną, mając w swem posiadaniu wiernego towarzysza z Algieryi.

— Jeżeli tak błahy powód przeważa nad własnem bezpieczeństwem — odpowiedział Gałecki — to odepnij Pan swój medal Tonkiński od munduru, który i ja z sobą zabieram. Ale spieszmy się, bo noc nie długa, a my tylko nocą maszerować będziemy.

Zostawiłem „ceinture“, odpiąłem od uniformu medal srebrny na żółtej i białej wstążce, na którym był napis: „*Souvenir de Tonkin*“ i dokończyłem przebrania.

Spojrzawszy na mojego adjutanta mimo

sienia rezolucyi galicyjskiej do Rady państwa, co nie przyszło do skutku. Zakończył się wreszcie niebawem cały ten okres polityki galicyjskiej w r. 1873 „wyjściem delegacyi z Rady państwa i wejściem na drogę abstencyi. I tu znów przyznać musimy, żeśmy bicz na siebie ukręcili sami“ — mówi w kilka lat później pan Stanisław Tarnowski[7]).

Przyznanie się to p. Tarnowskiego wyjąłem z artykułu: "Obrachunek Przeglądu polskiego po 10-ciu latach istnienia“. Napisany on został w r. 1876, a więc w jedenaście lat po wejściu Galicyi na drogę kompromisową, w dziesięć po założeniu Przeglądu polskiego, w siedm po napisaniu Teki Stańczyka. Był to już więc, zdaje się, czas dostateczny do zajęcia przez stańczyków odpowiedniego w polityce galicyjskiej stanowiska i do pochwalenia się sukcesem swojej działalności. Nie można już, pisząc o tych czasach, mówić o „przyszłych stańczykach“, gdyż stańczycy istnieli już rzeczywiście. P. Tarnowski przedrukowując obecnie „Obrachunek“ w swoich studyach politycznych (Kraków 1895) tłomaczy się, iż „wprawdzie artykuł ten dotyka wielu kwestyi, dziś przestarzałych i obojętnych“, w każdym razie określa wiernie zasady i dążności, a opisuje dokładnie zamiary i czynności grona ludzi czy stronnictwa, do których autor jego należał i zawsze należy, a ztąd artykuł ten może się kiedy w przyszłości komu przydać“. Prorocze słowa!

Artykuł ten przyda mi się bardzo, aby rozwiać do szczętu i tak już zdaje mi się rozwianą blagę Rzeczy Koźmianowskiej.

„Dziesięć lat temu, trzech lub czterech ludzi, młodych podówczas, zawiązało się w redakcyę pisma perjodycznego w nadziei, że potrafią coś zrobić i na coś się przydać“ — oto prawie pierwsze słowa „Obrachunku“ p. Tarnowskiego. Ale „choć było trochę usiłowań, z nadziei tych nie było skutków“ — zapewnia zgodnie z prawdą pan Tarnowski. „Jest widoczne i wszystkim, a nam samym najlepiej wiadome to, że jesteśmy pobici: pobici w tem wszystkiem, cośmy robili, lub przynajmniej robić chcieli“, (str. 84). „Z myśli i zasad, których broniliśmy przez te lat dziesięć, żadna nie weszła w życie, z naszych nadziei żadna się nie spełniła, z walk, jakie nam prowadzić się zdarzyło, żadna nie skończyła się zwycięztwem“. Przytoczywszy na to dowody, pan Tarnowski przechodzi do skreślenia pobieżnego dziejów Galicyi. Czytamy tam między innemi, co następuje: „Gołuchowskiego administracya więcej nam nierównie zrobiła dobrego, niżeśmy go sobie sami przez lat dziesięć zrobili“. Krytykuje dalej p. Tarnowski całą politykę galicyjską, wszelkie „łapanie się na grzeczności i obietnice“; mówi o zwrocie na gorsze w stosunku do monarchii (str. 114) o sprowadzeniu sejmów do znaczenia dużych rad powiatowych (str. 114) obawia się, że język polski dany nam nie na mocy ustawy, może być odjęty [str. 90] narzeka na organizacyę szkół (str. 90) na samowolne reskrypty ministeryalne, które ją naruszyły itd. A u siebie — pyta się p. Tarnowski — czyśmy się posunęli naprzód? „Zyskaliśmy wiele przez rządy śp. pana Gołuchowskiego[8]), przez znaczną liczbę dobrych i zdolnych urzędników, których on wykształcił, przez zamknięcie spraw serwitutowych, którego dokonał. Podnosiły się drogi i szkoły, przybyło w niektórych szczęśliwych powiatach porządku i cywilizacyi. Stosunek do panującego domu zmienił się korzystnie, ale zawdzięczamy to głównie cesarzowi. Prócz tego pozostaje jako nabytek Akademia Umiejętności. Ale po za tem, którą ze spraw dziesięć lat temu rozpoczętych rozwiązaliśmy szczęśliwie i dobrze? — pyta p. Tarnowski. I na to nie znajduje dodatniej odpowiedzi (str. 118). Przytacza na dowód sprawę ruską, gminną i t. d., — „ażebyśmy lepiej nasze sprawy rozumieli i z lepszą do nich brali się wolą, tego nie znać“. W końcu mówi o stratach w ludziach, o zubożeniu kraju, zadłużeniu majątków, przechodzeniu gruntów włościańskich w ręce żydowskie — „a z tego obrachunku pokaże się po latach dziesięciu smutny rezultat, że jesteśmy pobici wszędzie i na wszystkich punktach pobici“ (str. 121).

Powyższe przypomnienie dziejów prowincyi, potrzebne było p. Tarnowskiemu „do lepszego przypomnienia własnych“. Przyznaje się, że założyciele Przeglądu mieli „młodociane iluzye, kiedy zaczęli wydawać pismo. Myśleli, że w niem przybędzie pewna siła i środek działania dla żywiołów zbliżonych do siebie przekonaniami. Ale żywioły te nie były gotowym materyałem na stronnictwo“. I kiedy pan Koźmian w Rzeczy najuroczyściej zapewnia, że grono

[7]) Studya polityczne tom I str. 104. Ponieważ dla skrócenia wywodów pomijam dalszy udział stańczyków w polityce galicyjskiej po roku 1869, musze więc choć w przypisku zaznaczyć, iż stronnictwo krakowskie, a z niem stańczycy wiodło wciąż dalej walkę z Ziemiałkowskim — przedstawicielem polityki ugodowej. Doszło do tego, że kiedy po rozwiązaniu w r. 1870 przez Alfreda Potockiego sejmu galicyjskiego, nowy sejm wybierał nową delegacyę, stronnictwo krakowskie, przy wyborze do tej delegacyi jednego z czterech posłów lwowskich, dało wszystkie swe głosy w ilości 23 lakiernikowi Dąbrowskiemu, nie chcąc dać głosów ani Smolce, ani Ziemiałkowskiemu. W skutek tego przyszło do ściślejszego głosowania i wówczas stronnictwo krakowskie głosowało za Smolką, który w danej chwili przedstawiał najradykalniejszy, najczerwieńszy odłam w sejmie. Smolka, najgwałtowniejszy przeciwnik wysyłania delegacyi, mandat przyjął. — Muszę także w tem miejscu, bo gdzieindziej nie będę już miał sposobności, zaznaczyć jeszcze jedno przyznanie się stańczyków, że nie stanowili własnego stronnictwa. Szujski napisał do „Czasu“: „Kilka uwag przed sesya sejmowa r. 1869“. W przypisku do tego artykułu, przedrukowanego w zbiorze dzieł Szujskiego, zaznaczaja wydawcy, iż artykuł ten wskazywał „jak wyobrażała sobie postępowanie sejmu z roku 1869 grupa posłów, która w sejmie kupiła sie około Adama Potockiego i Henryka Wodzickiego“. A więc nie było stronnictwa, była tylko grupa — a stańczycy na ochotnika „kupili się“ przy Ad. Potockim i H. Wodzickim.

[8]) Ten świętej pamięci pan Gołuchowski jest wysoce charakterystycznym. Nie trzeba zapominać, że stańczycy go nie kochali, a on im się odpłacał wzajemnością. Przypominam choćby głośny artykuł p. Tarnowskiego „Porcye“, przeciwko któremu Gołuchowski w urzędowej Gazecie lwowskiej wystąpił z formalną naganką za pomocą protestów, które nie liczyły się z słowami i epitetami, określając wystąpienie autora „Porcyi“. Nawiasem mówiąc, prawda w tym razie była w znacznej części po stronie pana Tarnowskiego i dla tego dziwnem się wydaje, iż w swych Studyach politycznych, w których nawet znalazło się miejsce na odpowiedź na toast uczniów, p. T. „Porcye“ całkiem opuścił.

---

poważnej sytuacyi parsknąć musiałem od śmiechu. W kostiumie arabskim znoszonym i miejscami dziurawym, tak komicznie wyglądał i tak dziwacznie się ruszał jak pajac w cyrku. Do tego pincenez na nosie, które stale nosił dla krótkiego wzroku, uzupełniało obraz tragi-komiczny.

— Na brodę proroka — rzekłem głosem stłumionym — najpodlejszy Beduin zaparłby się Pana w tak nędznem ubraniu! Burnus dziurami świeci, zamiast rzemieni u sandałów postronki, dali Bóg, wiedział żyd komu sprzedać.

— Tylko ciszej, mój kochany panie — odparł na to Pseudo-Beduin — toć i pan wyglądasz raczej na stracha w prosie, niż na hiszpańskiego kolonistę. Bluza za krótka, spodnie za krótkie, kapelusz za wielki, lecz mniejsza o to wszystko, nie będziemy podpadali w drodze, jak byśmy niezawodnie podpadać musieli, świecąc nową z igły garderobą.

Rozdzieliliśmy potem prowiant na równe paczki, zaszyli pieniądze papierowe w rozmaitych miejscach ubrania i ruszyli zostawiając mundury pod jednym z olbrzymich cyprysów. Czy one wróciły do depotu nie wiem, tyle tylko już w tem miejscu nadmieniam, że z Żurychu napisałem do majora Levaniera, tłómacząc me zbiegostwo, i do szefa mej izby Ullmanna z pokwitowaniem pożyczonej mu kwoty, a w obu listach doniosłem o miejscu depozytowem mundurów naszych.

Maszerowaliśmy noc całą bez przerwy ku północy. Choć Sidi-bel-Abbes miało kolej, wsieść na nią uważaliśmy za zbyt niebezpieczne. Zamiarem naszym było, dopiero na jakiejbądź stacyi linii głównej użyć drogi żelaznej. Linię tę przy obranym kierunku musieliśmy koniecznie przeciąć gdziekolwiek, gdyż, jak to już wyżej była mowa, ciągnie się ona od Oranu do samego Tunisu, a więc przez całe kolonie.

Pragnienie w marszu tym dokuczało nam okropnie. Zabraliśmy kilka butelek wina i koniaku, lecz trunki te, zamiast gasić pragnienie, zwiększały je po każdem użyciu..

Głodu natomiast nie cierpieliśmy bynajmniej, mając dostateczne zapasy wędlin, sera i konserw.

Maszerując na przełaj ciągle a ciągle na północ bez względu na drogi, omijaliśmy jak najostrożniej wszelkie osady arabskie. Tylko raz jeden, zmusiło mnie pragnienie mimo zaklinań Gałeckiego, zbliżyć się w pobliżu wsi do cysterny i napić do syta. Ah, jakże smakowała ta woda mętna, bo deszczowa, i cuchnąca od nieczystości i starości. Tylko w Afryce można się w podobny sposób uraczyć, niczem europejskie szampany, małmazye i madery w porównaniu z temi zlewkami ohydnemi ze studni subtropicznej!

Przez dzień odpoczywaliśmy, nocą za to jak najwytrwalej dążyliśmy wciąż na północ. Kostyum mój o tyle okazał się niepraktycznym, że był za lekkim na chłodne noce tamtejsze; mimo szybkiego marszu drżałem nieraz jak liść osikowy.

Bez najmniejszego przypadku dotarliśmy wreszcie, nie pomnąc już w jakim miejscu i po ilu dobach, do szyn kolei żelaznych.

Był wieczór, kiedyśmy na maluteńką przybyli stacyę, by się rozpatrzeć w rozkładzie jazdy.

Zażądaliśmy biletów do Oranu.

Przypadek zrządził, iż na stacyi naszej krzyżowały się pociągi Orański i Algierski.

Tu jednak zdarzył się pierwszy niemiły wypadek. Nie zasięgając zasadniczo informacyi od nikogo wsiedliśmy w fałszywy pociąg, a dowiedziawszy się o tej pomyłce dopiero od kontrolera biletów nie zdążyliśmy już wskoczyć do właściwego.

Niemiła ta zwłoka spowodowała i stratę pieniężną, gdyż nikt w świecie nie byłby nas nakłonił, przy nieczystem naszem sumieniu, żądać prolongaty biletów na pociąg dnia następnego. Spędziliśmy noc opodal dworca pod mostem kolei żelaznej, puściliśmy się rychło rano za nowemi biletami ku Oranowi. Ostrożność naszą posuwaliśmy do tego stopnia, iż każdy z nas zajmował miejsce o ile możności w innym przedziale i wogóle jeden z drugim nie rozmawiał zgoła. Już przez cały czas drogi prowadziliśmy tylko półszeptem rozmowę, a i tę nawet tylko w przypadku koniecznym. Taka jest siła nieczystego sumienia.

W całej Algieryi przy każdym pociągu zjawia się patrol, złożony z 3 żandarmów. Na większych stacyach patrol ten ma nawet na dworcach mieszkanie. Nam nieświadomym tego wydawało się koniecznie, że żandarmi ci wyraźnie w tym celu na pociąg przybyli, by za nami śledzić. Prze-

krakowskie miało gotowy program, że tworzyło już szkołę, która przystępowała do walki, „aby zaprowadzić patryotyzm polityczny, dokonać wszystkiego co możliwe“ p. Tarnowski pisze: „mówiąc to, prosimy o wiarę i zaręczamy najsumienniej, że przed dziesięciu laty jak i dziś nie myśleliśmy stronnictwa tworzyć, tem mniej niem kierować. Nic roszcząc sobie praw, ani tem bardziej nie pragnąc stać u steru, pragnęliśmy tylko .. być jednym z głosów opinii, nie głową stronnictwa patryotycznego, rewolucyom przeciwnego, nie jego ręką nawet, ale jego jednym palcem“. Dalej ubolewa p. Tarnowski, że Przegląd był osamotniony, że „choć każdy jego redaktor z osobna miał swoją chwilę powodzenia i swoją miarkę (czasem za wielką), pochwał i powinszowań, ale żywego stosunku między pismem a publicznością tą, z którą związku pragnęło, nigdy nie było“. Widocznie mówił pan T. konserwatyści nie potrzebują jeszcze „własnych publicystycznych organów i zbiorowego działania w stronnictwie“ (str. 124). Ta obojętność była przykrą, ale znajduje pan Tarnowski pociechę w tem, że Przegląd stawał po dobrej stronie, że „pomagał wprawdzie mało, ale tyle, ile mógł do wytłomaczenia konieczności związku polityki polskiej z austryacką“ (str. 125). Opuszczam ustępy o uchwale z 2-go marca, o rezolucyi itd. Nareszcie Przegląd zaczął wydawać Tekę Stańczyka, „sam nie wiedząc, że podejmuje dzieło tak znaczące i skuteczne...“ „Przypadkiem i nie chcący przeciwnicy dali nam chrzest i imię jako stronnictwu. A nie tyle cieszyliśmy się z tego, że nam się to dostało, ile z tego, że nadane imię... nada spójność, całość, indywidualność jednakim i rozproszonym pojęciom i usiłowaniom, że da nietylko nazwę i sankcyę, ale i rzeczywistą organizacyę stronnictwu[9]).“ Rok wydrukowania Teki Stańczyka przyniósł Przeglądowi równocześnie „znaczenie i szkodę“, bo dwóch jego redaktorów powołano do uniwersytetu (Szujskiego i Tarnowskiego), „a jeżeli to dla nich było szczęściem, to dla pisma było stratą, bo obowiązki profesorskie nie dozwalały im poświęcić Przeglądowi tyle czasu, uwagi i pracy, ile mu mogli dać przedtem“ (str. 136). Stwierdza więc p. Tarnowski, że Przegląd podupadł pod względem wartości, że po „Tece“ stał się „blady“, że kwestyi bieżących politycznych nie traktował, „ani dosyć na ilość, ani dość gruntownie na jakość“. Ostra krytyka Przeglądu zajmuje parę kartek. Ale chcąc Przegląd utrzymać na wysokości, „trzeba było zwycięztwa odniesionego w imię tych prawd, któreśmy bronili, a my walczyliśmy w zastępie nie mnożącym się wcale“. Dalej wspomina p. Tarnowski o zarzutach ze strony najbliższych, którzy nawet podejrzywali katolicyzm redaktorów Przeglądu[10]). Przyznaje p. Tarnowski, że Przegląd był przeciwny gwałtownemu występowaniu w rzeczach religijnych, gdyż nie widział w kraju „przeczenia katolickiej wiary“. Jako dumę Przeglądu przytacza autor jego kroniki polityczne podczas... wojny francuzkiej — „na razie nie przypominam sobie nic w publicystyce europejskiej tak świetnego jak... kronika o Sedanie p. Stanisława Koźmiana“. Po tej koleżeńsko-przyjacielskiej reklamie, (pod tym względem bractwo stańczykowskie doszło do najwyższego majsterstwa), wspomina autor o swojej „Królowej Opinii“, która była wymierzoną przeciw przedstawicielom dziennikarstwa lwowskiego. Ale „faworyci faworytami zostali“. Opuszczam znowu parę kartek obojętnych dla moich wywodów i znajduję wzmiankę o głośnych „Porcjach“, artykule, który „poróżnił nas ze wszystkimi“. „Po tych „Porcjach“ Przegląd bał się nawet mówić o bieżących krajowych sprawach... nakazał sobie mówić o Galicyi i jej sprawach jak można najmniej.“ Była chwila, że poprostu postawili sobie redaktorowie Przeglądu pytanie, czyby lepiej nie zawiesić jego wydawnictwa. „Istotnie pismo, które przez dziesięć lat nie zdołało stać się potrzebnem, które zdobyło sobie czytelników i przyjaciół tak mało, że o własnych siłach stać ledwo może, którego koło czytelników zatrzymało się na pewnej, bardzo skromnej mierze, po za którą nigdy się nie rozszerzyło a w ostatnich czasach jeszcze się ścieśniło, pismo takie musi mieć w sobie jaki defekt organiczny. Czy są nim małe zdolności redaktorów, czy ich przekonania i dążności, czy ich osoby? Nie wiemy, może to wszystko razem, ale coś być musi, bo skoro inne pisma utrzymywać się mogą, to mogłoby i to, gdyby przekonaniom i smakowi czytających lepiej odpowiadało“. Smutne te refleksye ciągną się jeszcze dalej: „Przegląd jest bez wpływu, bez czytelników, bez pieniędzy, oszkalowany, opływany, tak, że nie zostało na nim suchej nitki, jednego zdrowego, niezranionego, niezbitego miejsca“. Powodem tej goryczy była głównie zaznaczona już przezemnie powyżej w przypisku sprawa „Porcyj“. Przypominam, że w artykule pod tym tytułem podniósł p. Tarnowski wyzyskiwanie ludu przez szlachtę, zwłaszcza we wschodniej Galicyi. Artykuł ten, podyktowany duchem wysoce obywatelskim, mówił chlubnie o uczuciach i o rzeczywistej w tym razie odwadze cywilnej autora. To nie była drwiąca Teka Stańczyka, to nie były inne artykuły autora, którym często nie można było zaprzeczyć sporo słuszności, ale które wymierzone były przeciw przeciwnikom politycznym — to był głos pełen szlachetnego oburzenia przeciw ludziom, jeżeli nie- wła-

[9]) Tu z przykrością dla siebie musze zauważyć, iż p Tarnowski, którego artykuł w ostatnich dniach dopiero czytałem, uprzedził mnie w określeniu powstania stronnictwa stańczykowskiego, gdyż od samego początku pisania mojej recenzyi o Rzeczy miałem zamiar wykazać, iż stańczycy nie zrobili sie sami, ale zrobili ich przeciwnicy. Wogóle jeżeli stańczycy kiedykolwiek mieli jaki sukces, zawdzięczali go zawsze przeważnie naiwności, lub niedołęztwu swoich przeciwników.

[10]) Czynił to między innymi ks. Golian, który wedał nawet broszurę przeciw Przeglądowi pod tyt. „Moderanci“ w r. 1871. Była to odbitka artykułu umieszczonego w Przeglądzie lwowskim. Ks. G dowodził, że „większą szkodę niż liberali i bezbożni, przynoszą Kościołowi umiarkowani moderanci — a przedstawicielem moderantyzmu ex professo jest „Przegląd polski“. Wogóle w Przeglądzie lwowskim spotykamy ciągle naganę stanowiska Przeglądu polskiego w sprawach katolickich. P. Koźmian dostaje cięgi np. za wyrażenie się „o wyemancypowaniu się myśli z objęć Kościoła“. „Gazeta narodowa“ z przyjemnością cytowała artykuł p. Koźmiana, w którym gromił duchowieństwo wielkopolskie. Z Przeglądem lwowskim polemizował Szujski.

---

przeciąg całej mojej kolejowej włóczęgi do Oranu i z Oranu do Algieru, nie widziałem w obawie o własne bezpieczeństwo zgoła nic, prócz budynku stacyjnego i owej fatalnej trójki w trójgraniastych kapeluszach ze sznurami u mundurów niebieskich; w całej tej podróży naliczyłem przeszło 120 żandarmów, z których każdy w mych oczach wzrokiem ostrowidza nas szukał. A któż dopiero jest w stanie określić mój niepokój ducha, gdy w dalszej podróży jakiś żandarm starszy tuż obok w wagonie zajął miejsce i przez kilka godzin mnie nie odstępował. Potrzebowałem wytężenia wszelkich sił umysłowych, by módz odpowiadać na grzeczne jego zapytania.

W Oranie ubraliśmy się na sposób europejski, nie wykwintny, jednak porządny, i nie rażący krojem i starością. Celem naszej podróży była Hiszpania. Nie widząc jednak okrętu hiszpańskiego w porcie, chciałem pierwotnie ze swej strony udać się do konsulatu niemieckiego i na neutralnym jego gruncie zażądać pomocy w dalszej podróży. Lecz niepodobna było rzucić towarzysza, którego podczas długiej wspólnej włóczęgi tem bardziej polubiłem. Gałecki zaś dowodził mi, że jeżeli nie w Oranie, to na każdy sposób w Algierze, jako wielkiem mieście portowem, znajdziemy okręt, który nas zawiezie na półwysep pyrenejski, zkąd, jako już z miejsca bezpiecznego, o dalszej miano radzić ucieczce.

Podążyliśmy więc ku Algierowi. Pociąg wiozący nas nie dojeżdżał dnia tego samego do stolicy, przerywał swą jazdę o godzinie 10 wieczorem na stacyi *Rélizanes*. Wiedzieliśmy o tem z kupionych podręczników jazdy i zgodziliśmy się wysieść na tej stacyi, pójść nocą do następującej „*les Salines*“ i z tamtąd resztę drogi do Algieryi odbyć koleją.

Każdy z nas znów do innego siada wagonu. Jedziemy aż do samego wieczoru, nie widząc jeden drugiego, wreszcie pociąg stawa, wyciągam zegarek, widzę, że to czas, gdzie Rélizanes miało być osiągnięte i w przekonaniu tem wysiadam z coupé dla większego bezpieczeństwa drzwiami tylnemi, wychodzącemi nie na stacyę, tylko na równe pole. Oryentuję się jednym rzutem oka na gwiazdę polarną co do kierunku, jaki mi wziąść trzeba i dążę naprzód, by kilkaset metrów przystanąć i czekać na Gałeckiego. Lecz czekając daremnie z dobrą godzinę nad torem kolejowym, do którego znów się zbliżyłem, postanowiłem tedy zwolna iść dalej, myśląc, że Gałecki może dalszym łukiem niż ja ku następnej zdąża stacyi. Inne przeczucie znów mi przypuszczać kazało, że mój towarzysz, nieostrożnie frontowemi drzwiami wagonu wysiadając, wpadł w ręce patrolu, i im dłużej wszelkie możliwości i prawdopodobieństwa ważyłem, tem mocniej zakorzeniało się we mnie ostatnie przekonanie. Niewymowny żal mnie ogarnął i zgnębiony rzekomą stratą wiernego towarzysza wolno postępowałem naprzód. Nareszcie blask świateł wskazuje mi, że niedaleko stacya. Któż jednak opisze moje zdziwienie, gdy patrząc na napis stacyjny czytam wyraźnie: Rélizanes. To nowa zagadka, którą sobie tłómaczę jak mogę najlogiczniej. „Musiałeś — mówię do siebie — czekając tak długo na Gałeckiego, pomylić kierunek w tej okolicy jednostajnej, obróciłeś się mimo wiedzy wstecz i podążyłeś znów na stacyę, na której wysiadłeś. To możliwe, zwłaszcza, że niebo chmurami powleczone, a ty kompasa się nie radziłeś. Szkoda niepotrzebnie przebytej drogi“.

I podążyłem raźniej już w ściśle rozważonym kierunku dalej, gdyż noc jeszcze była, a przyszły pociąg ku Algierowi dopiero koło 9 rano odchodził. Nie chciałem prócz tego, tułając się na dość znacznej stacyi, narażać się na spotkanie z ludźmi. Nad ranem stanąłem na małej przystani nazwiskiem: les Salines. Sama nazwa powiada, iż miejscowość ta leży w okolicy licznych tutaj słonych jezior. Koło stacyi biwakował malowniczo szczep beduiński. Wody do picia na stacyi wcale nie było, dowoziła ją beczkami regularnie kolej zkądinąd.

Ponieważ dotychczas jeszcze towarzysza mego nie było, umocniło się we mnie przekonanie, iż wpadł w sidła żandarmów i miałem go już za niechybnie straconego.

Jeszcze kilka godzin czasu miałem do odejścia pociągu. Przechadzanie się moje po peronie zwróciło uwagę dozórcy tam stacyonowanego, który z karabinem na ramieniu pełnił swą służbę. Wszczął ze mną rozmowę, o celu i punkcie wyjścia mej podróży. Przedstawiłem mu się jako malarz-turysta z zawodu, pochodzenia holenderskiego, jadący z Oranu przez Tunis do Włoch. Ponieważ wody do picia nie było

snego, to bratniego pokrewnego obozu. Pan Tarnowski powiedział prawdę swoim, a mówić prawdę swoim, to rzecz niebezpieczna, to narażanie się na pociski najboleśniejsze, mogące każdego ubezwładnić. To też grom po gromie padał na Przegląd i p. Tarnowskiego ze strony prawie całej szlachty i arystokracyi. Kampania była prowadzona pod wodzą Gołuchowskiego, (który był wówczas po raz trzeci namiestnikiem), a ztąd ciosy były silne i potężne. Jeżeli pan Tarnowski nie upadł pod niemi, to zawdzięcza to jedynie temu, że był Tarnowskim, hrabią Tarnowskim powiedzmy, chcąc rzecz lepiej uwydatnić — chudopachołek za taką prawdę byłby na zawsze zdeptany. Położenie Przeglądu i jego wydawcy stało się rzeczywiście tak przykre, grono krakowskie tak zostało osamotnione, że Przegląd „o mało wychodzić nie przestał“, (str. 153) ale namyślono się dalej go wydawać, a to dla tego, że „mógł się jeszcze może przyczynić do podtrzymania polityki polsko-austryackiej“, bo wreszcie sądził, iż „jego także po części zasługą powstrzymanie kraju na drodze agitacyi“. Zresztą „doraźnego, zupełnego, wielkiego skutku nie spodziewaliśmy się po nim nigdy, nawet w samych początkach; tem mniej dziś po tylu latach i tylu doświadczeniach“. Kończą się te smutne refleksye słowami: „Dla tego nieczytani, niesłuchani, pozbawieni niby racyi bytu, wychodzimy jeszcze: dla tego pobici zawsze i wszędzie na całej linii i na wszystkich jej punktach dajemy się bić dalej“.

Streśćmy tę spowiedź: Przegląd, zaręcza p. Tarnowski „najsumienniej“ nie był założony, aby stworzyć stronnictwo lub niem kierować. Z myśli i zasad, których bronił przez lat dziesięć, „żadna nie weszła w życie“, z jego nadziei „żadna się nie spełniła“, z prowadzonych przez niego walk „żadna nie skończyła się zwycięztwem“. To, co kraj uzyskał przez te lat dziesięć (przez innych), było dla p. T. prawie niczem. Gołuchowskiego administracya nierównie więcej zrobiła, niż konserwatyści i stańczycy. — Wszystkie najważniejsze sprawy nie zostały rozwiązane. Przegląd był osamotniony, nie miał abonentów, ani czytelników. Stronnictwa Przegląd nie stworzył — spójnię pomiędzy garstką go otaczającą zawdzięcza przeciwnikom. Wysilił się na Tekę Stańczyka i zaraz podupadł. Najbliżsi go podejrzywali, — zastęp jego „nie mnożył się wcale“. Cała pociecha, że p. Koźmian pisał ładne kroniki polityczne... o Sedanie. Doszło do tego (po Porcjach), że Przegląd mówił jak można najmniej o Galicyi i miał upaść „z braku czytelników i przyjaciół“, których koło się ścieśniło. Pozostał bez „wpływu, bez czytelników, bez pieniędzy“. Stańczycy zostali „pobici zawsze i wszędzie, na całej linii i na wszystkich punktach.“

Uzupełnijmy sobie ten obraz przypomnieniem tego, co mówił Popiel o Stańczykach, co nam podały sprawozdania sejmowe, co pisał Szujski, co wiemy wreszcie z dziejów idei kompromisowej — a uwydatni nam się jeszcze lepiej współczucia godna dola Stańczyków i zupełna prawie ich nieobecność w sprawie torowania nowych dróg wewnętrznej i zewnętrznej polityce kraju, owszem uwydatni nam się, jak na tych torach kładli oni kamienie, które inni odsuwali.

A p. Koźmian mówi, że... e! czy warto już zastanawiać się nad tem, co p. Koźmian mówi!?[11]).

11) Przerywamy w tem miejscu wyjątek z dzieła p. Bartoszewicza, gdyż jak się dowiadujemy z listu autora, druk jego książki został ukończony i już za dni parę znajdzie się ona w handlu księgarskim. To przerwanie o tyle jest nam nie na rękę, że właśnie przychodzą nadzwyczaj ciekawe ustępy, a mianowicie przedstawienie stanu Galicyi i jej rozwoju za „panowania stańczyków“, oraz rozdział poświęcony programowi politycznemu trzech naszych dzielnic. — Przyp. Redakcyi.

---

a żona jego miała wino i koniak dla użytku gości na sprzedaż, kupiłem sobie, by i ją ująć, butelkę wina, kazałem podać coś do zjedzenia i płacić chciałem, kiedy dozórca, bliżej oglądając sztukę monety tak się do mnie odezwał:

— Ależ panie, nie masz Pan francuzkiej monety? Toć to hiszpańska, która kursuje w Oranie, a u nas tylko w życiu prywatnem ma walor. Za wino i przekąskę możesz pan mi zapłacić, lecz biletu zań dać mi panu nie wolno.

Byłem w kłopocie nie małym, co począć. Biletu stufrankowego zmieniać nie mogłem mając papierowe pieniądze zaszyte za futrem marynarki, a srebrnej monety innej nie miałem, jak hiszpańskiej. Tymczasem jeszcze coś około 20 franków było mi potrzebnych na wykup biletu kolejowego do Algieru.

Grzeczna urzędnika kolejowego małżonka wybawiła mnie jednak z tego ambarasu. Jadąc od czasu do czasu na targ do Orléansville, łatwo zbyć mogła moje srebro hiszpańskie, oświadczyła więc gotowość zmienienia mi potrzebnej sumy na walutę francuską. Podziękowawszy za grzeczność uprzejmie, wykupiłem bilet i wyszedłem na peron, gdyż pociąg z Rélizanes każdej chwili nadejść musiał.

(Dokończenie nastąpi).

LITERATURA I SZTUKA.

Co dało życie.

Ja wiem, że muszą zerwać się ogniwa,
Które nas łączą, duszy mej śnie jasny,
I że nie tyle dłoń losu je zrywa
Ile brak ognia w piersi twojej własnej. —
Wiem, że ta miłość, w którą moje serce
Wlało porywy swoje najgoretsze,
Choć mi z twych oczu zabłysła w iskierce,
Nigdy nie wnikła w serca twego wnętrze;
Że byłem dla cię jak kaprys przelotny
W szeregu mnogich, coraz nowych wrażeń,
Że u twej piersi duch mój był samotny
W świecie swych marzeń.

Ja wiem już dzisiaj, że niema na świecie
Owej harmonii duchów doskonałej,
O której we snach roi się poecie,
Gdy swe nieziemskie ściga ideały;
Że gdym na ciebie, pragnieniem omamion,
Zlewał najwyższe duszy mej zachwyty,
Tom ja sam skrzydła przypiął ci do ramion
I na ich piórach wznosił się w błękity; —
Że moja myśl to i czucie gorące
Słonecznym blaskiem biły z twego czoła:
Tak brylant martwy aż promienne słońce
Blask zeń wywoła.

Ją wiem to dzisiaj, ale się nie żalę,
Że cię tak bardzo sercem ukochałem,
Bom u stóp twoich śnił o ideale,
Choć ty nie jesteś owym ideałem:
Bo z uczuć moich i z krwi mej serdecznej,
Co wrzała warem kiedym patrzał na cię,
Wysnułem cały świat widzeń słoneczny,
Wszystkie zaklęte w me pieśni postacie;
Bo w życiu marnem jako wiatru tchnienia
Chwilę przeżyłem wzniosłemi porywy,
I ja — proch ziemi — doznałem złudzenia
Żem był szczęśliwy!

A więc — chociażby ciężka losów ręka
Z koleją czasu złamała me siły,
Chociaż na ustach zastygnie piosenka,
Przyćmią się oczy, co na cię patrzały;
Jeśli z Przeznaczeń srogiego wyroku
Tak długie pasmo lat mi się zakreśli,
Że w starym trupie, snującym się w mroku
Nikt się już śladu uczuć nie domyśli: —
Ja wówczas jeszcze — ilekroć źrenice
Wzniosę ku kwiazdom na wieczornem Niebie —
To aby dawne odczuwać tęsknice
I kochać ciebie!

Tak kochać ciebie; bo i cóż jest we mnie,
Coby się z twoją nie zlało istotą?
Jak kropla deszczu rozpłyniona w Niemnie,
Duch mój się z tobą zlał wieczną tęsknotą.
Jam się krwią moją w twe żyły przesączył.
Wszak drga w eterach pieśń, co nam przebrzmiała?
Snów piewcy sercem ludzkiem jam dokończył:
Ideał pierzchnął — miłość pozostała.
I gdy po życiu zgaszonem jak płomię —
Znów nas przyroda w swem wnętrzu pogrzebie,
W każdym powstałym z mych prochów atomie
Będzie część ciebie!

Adam M-ski.

Do * * *

Rozsnuły mgławic srebrne się tęcze,
Po kwiatach stąpasz i mchach,
Rozchwiane fale toczą obręcze
Kołysze smerek się w snach.

Dla ciebie w wiośnie lilie uplotą
I fiołki w barwny się zwój,
I słowik pieśni nuci z tęsknotą,
Za tobą raju ty mój. —

Za tobą czekam na róż posłaniu,
Rosa wśród listków drzy róż, —
Wiem ja, że przyjdziesz o zórz zaraniu,
Cóż łzy więc znaczą wśród róż? —

Jarogniew.

Z literatury polskiej.

Andrzej Niemojewski: „Majówka“.

„O jak daleko ten świat za nami,
Gdzie kwitły róże pogody!
O jak na świecie jesteśmy sami,
Ideje, ludzie, narody!“

W poezyi zajął Andrzej Niemojewski od razu wybitne i odrębne stanowisko. Na tę odrębność składa się przedewszystkiem śmiałość i szczerość, z jaką poeta wszystko co czuje, wyraża. Zdaje się, że dla niego ustępstwa nie ma, nikt też zapewne żadnego jego utworu nie nazwie „uprzejmym“, przytem poeta nikogo ze żyjących nie naśladuje. Najodrębniejszemi z dzieł Niemojewskiego są dwie dotąd wydane serye „Poezyi“ i cykl „Polonia irredenta“. W „poezyach prozą“ jest autor szczególnie sobą, mianowicie w „Bajce noworocznej“, „Helotce“, „Nad brzegiem Dunajca“ i w „Pali się“, mniej już w pozostałych i w „Majówce“. Tu jego poprzednikiem nie jest kto inny, jak Heine. Lecz nie jest to Heine-erotyk, niedościgniony artysta w oddawaniu najsubtelniejszych uczuć sentymentalizmu, ale poeta-

wieszcz, reformator, marzyciel, hardy nadewszystko wobec istniejących ustaw i powag.

„Majówka" i formą i duchem, przypomina mniej swawolne od „Atta Troll", ale nierównie głębsze w idei „Niemcy". Jak Heine ze stolicy Francyi do Niemiec, tak Niemojewski wybiera się z Warszawy w okolice Płocka, do wsi rodzinnej. Mniejsza przestrzeń, mniejszy też zakres „Majówki". W „Niemczech" wszystko tchnie duchem szerokiego kosmopolityzmu, w „Majówce" trochę więcej miejscowego zabarwienia. Z Paryża wypędza Heinego niewytłumaczona, a tem właśnie silniejsza tęsknota za krajem, Niemojewskiego nęci szeroka przestrzeń pól i przezrocza dal, by wyrwać się z gwaru miasta, odetchnąć świeżem powietrzem, zapomnieć o troskach gniotących, o smutkach niesłuchanego reformatora, które, jako kruki, zasiadły mu na czole, tej „kopule jego ducha". Prometeuszowe walki i wzloty Ikara dziś nikogo już nie wzruszą, światu trzeba „śmiechu i zysku". Na coś innego nie ma czasu, — „na krwawe wyruszył świat łowy, za naganiaczy sprosił narody, sam p zodem na oślep leci.". „Po za nim litość rozdziera szaty, on pędzi zdobywać wieczność, w ręku miast berła kula armaty, nad czołem sztandar-konieczność". Więc niechaj pierzchają smutki, gdy ich nikt nie słucha! Teraz przecie trzeba przestrzeni i słońca, „więc w dal na majówkę!" więc rzucić mu na czas pewien Warszawę: to „nimfa bruków lekka i płocha, w której sam autor zdawna się kocha, jak szkolny żak — bez pamięci", to owe miasto syrenie, co „jako wszystkie kobiety, w kamieniach swojego łona wielkiego, serca nie ma niestety, lecz drobnych serc pół miliona".

I tak w cudny ranek wybiera się poeta parowcem, Wisłą, w podróż do Płocka. Zaraz na początku pieści jego oczy ulubiony widok: mąż-słońce — poeta często zestawia podobnie rzeczowniki — idzie na dzień dobry do Warszawy-kochanki. Powietrze cudne, a na podróż starczą mu pieniądze, zebrane za „Poezye prozą", starczą mu dla niskiej ceny, która się dzięki walce konkurencyjnej między dwoma właścicielami parowców, żydem i polakiem, nakoniec unormowała. A że poeta nasz jedzie parowcem, należącym do polaka, spełnia tem samem „czyn dla idei". Cóż się w ogóle dla niej, tej idei, nie robi? „Nieraz na krzyżu dla niej się ręce rozpina, wodząc wzrok mętny po tłumie z wiarą, że przyjdzie wielka godzina, w której ten tłum nas zrozumie". Lecz są ideje, które łatwiej pojąć można, jak naprzykład „rzecz popularna idei niebieskich oczu". Taką myśl zbudziła w poecie sąsiadka. Ale niebawem tak się w te jej modre, bezdenne oczy zapatrzył, że ojciec właścicielki błękitów poczuł się do obowiązku zakrzyknięcia: „Hej, panie, to moja córka!" Gotową awanturę autor załagodził przedstawiając się i ojcu i matce i córce. Odtąd wolno mu już było czynić to po przedstawieniu, co przedtem nie uchodziło. Niestety, wprawdzie nowo zabrana znajomość przyczyniła się do zjedzenia wspólnego śniadania, lecz ojciec panny, tłusty jegomość, począł nudzić nowego znajomego długą rozmową. I tak dowiedział się poeta od niego, że jest radzcą w komitecie, że jedzie do Płocka „na licytacyę sąsiada", że już uciułał sobie kapitalik", który przekaże na córkę, którą by wydał i — za poetę. Ale tu jął się skarżyć na tych wybrańców muz, że „dawnego błędu nie mażą zaletą nowa", że nie znają poszanowania dla starszych i krytyką swą, choćby i czasem słuszną, „kompromitują tylko naród". „O! to tylko prądy rozkładcze mogą szarpać uczciwe nazwiska i mieszać dawną spokojność błogą. Lecz kraj nic na tem nie zyska!" Wiele jeszcze innych rzeczy mówił opasły jegomość, lecz poeta wszystkiego nie spamiętał, zwłaszcza, że nieraz spoglądał na córkę, a w końcu słowa, turkocące jak koła w młynie, tak go sennie usposobiły, że począł drzemać na dobre.

I śniło mu się, że wiodą go na rynek w mieście o stylu semickiej budowy, że ma cierniową koronę na głowie, a krzyż ciężki na plecach do ziemi go przygniata, że tłum rzuca na niego błotem. Na rynku zasiadł „Geniusz Głupoty"; ten „olbrzym" sądzić go będzie. Sąd wypadł po myśli rozpasanego tłumu i nierozumnej gawiedzi, przybito go do drzewca, a napis nad nim położono „Marzyciel". U stóp krzyża klęczała we łzach kobieta. Wtem zbliżył się opasły olbrzym i utkwił mu włócznię w piersi, a krew trysnęła ze zranionego boku...

Nim się zupełnie ocknął, radca już raz drugi dał mu kułaka pytając: „I cóż pan na to!" Nastąpiła komiczna sytuacya, i matka i ojciec i córka zawtórowali śmiechem. Lecz nagle rozległ się głuchy trzask: to statek osiadł na piasku. Autor i większa część podróżnych dostała się na drugi nadjeżdżający parowiec żyda Fajansa.

W ten sposób snuje się dalej wątek „Majówki"; sporo tam satyry, sporo Ikarowych wzlotów. Jak u Heinego poeta wspomina Chrystusa, jego dolę nieszczęśliwego reformatora i swoją dolę do jego przyrównuje. Dzieje się to najpierw we wzmiance o ideach, dzieje się to później we śnie powyżej przytoczonym. Heine się zwraca w trzynastym rozdziale swoich „Niemiec" wprost do Chrystusa na krzyżu przydrożnym rozpiętego, we śnie zaś walczy przeciw „trzem królom", tym „szkielotom zabobonu", we śnie rozmawia i sprzecza się z Fryderykiem Rudobrodym. Rozmowę Heinego z ojcem Renem zastępuje w „Majówce", rozmowa Wisły-wnuczki z dziadkiem-Płockiem, Skarży się wnuczka, że dziadek-Płock i stryj-Kraków i wszyscy tak dzisiaj „zapadają na nogi, że z miejsca ruszyć się nie mogą". Za to ciocia Warszawa stanowi w tym względzie wyjątek: „Dziadziu kochany, byłam u cioci-Warszawy, tej zdrowie służy, puszcza się w tany i bez niej nie ma zabawy".

Z Płocka jedzie autor kuryerką do wsi rodzinnej. Jak Heine wspomina na wpół drwiąco, na wpół rzewnie dawnych znajomych i charakteryzuje ich tak i tu w podobny sposób zajmuje się Niemojewski „obywatelem z nad Wisły". A przedstawia on się smutno: wąsy mu owisły", czoło zachmurzone, a w butach straszne dziury. Tego smutnego wrażenia nie zaciera wcale dom rodzicielski poety. Tu wszyscy tak przyzwyczajeni tylko do smutnych wieści, że autora witają raczej z obawą, niźli z uciechą. Pierwszem pytaniem sióstr do brata: „Jędrku, powiedz, cóż znowu się stało?" Lecz brat szybko chmurę troski rozpędził i począł rozmawiać ze siostrami. One słów jego dobrze nie rozumieją, jak wogóle i przedtem nigdy brata zupełnie nie pojmowały, „zawsze był trochę dziwakiem", tylko to jedno ze słów jego teraz im również zrozumiałe, że „nie masz radości, nie masz wesela: ach, jeno smutek jest trwały". I raz drugi śród rozmowy brat swoje im myśli wyjawia, i raz drugi: „Drogi braciszku, szepcą dziewczyny, zawsześ był trochę poetą, lecz dziś pojmujem ciebie, jedyny, choć każda prostą kobietą. Widzim, że toniem, próżny frasunek! Nieraz my ręce łamały, czyliż jest dla nas jaki ratunek, gdzie tylko smutek jest trwały". Na to brat wskazuje im szeroki świat, „gdzie łzy, gdzie żałość, gdzie męka, gdzie głuchną majowe szumy, gdzie duch wciąż pada, wstaje, gdzie obłąkane pieje on dumy i jakieś nowe śni maje". Cała ta rozmowa, choć na nierównie wyższym poziomie stoi, jednak żywo przypomina nam rozmowę Heinego z matką w rozdziale dwudziestym „bajki zimowej". Tu i tam przedstawiona różnica między stanem duchowym jednych i drugich.

Jak tu, tak i wogóle często „majówka" na wyższą nastrojona nutę niż „Niemcy". Nastrój ten wzbija się w rozdziale dwunastym do sfer podniebnych hymnu na cześć „marzycielstwa", reformatorstwa i duchowego postępu, bo autor nasz dla materyalnego znajduje, jeśli nie słowa potępienia, to słowa odtrącającej rezerwy. Dzieje się to w „Majówce" zaraz po owym „hymnie" w pieśni następnej na wspomnienie Ciechanowickiej cukrowni. Mija on ją, wracając pociągiem do Warszawy.

Do Warszawy! tam pole jego działania. Poznał on ją „w domu niewoli, jak za grosz hańby cześć swą sprzedawała". A chciał ją „z domu niewoli wykupić za skarby duszy, za milion naszej tytanicznej woli, za milion naszych katuszy". Tymczasem „tłum zalotników, motłoch duchowy, gawiedź w szewioty przebrana, subjekci w togach" zaprzątają uwagę Warszawy, że nie może śród wrzasku niepowołanych głos ludzki się przedrzeć do niej. I ta Warszawa zostaje Ledą, co „nierząd prowadzi z ptactwem" niegodnem. Na tem kończy się „Majówka".

Niezaprzeczalne więc zachodzą podobieństwa pomiędzy „Majówką" a „Niemcami", a do tego wszystkiego przyłącza się i rytm podobny. Mimo to wewnętrzna różnica pokrewnych formą i motywami utworów jest znaczna. Różnica ta polega niezawodnie na różnicy dwóch natur. U Heinego więcej krytycyzmu nad sobą samym, krytycyzmu nawet nad ukochanemi ideami. A krytycyzm ten prowadzi Heinego tak daleko, że staje się w oczach nierozumnej gawiedzi wyuzdanym cynizmem. Lecz do takiego bolesnego „cynizmu" dochodzą tylko duchy subtelne i wzniosłe, przed takim cynizmem dłoni skorej do rzucenia błotem potępienia zasię! Inaczej, jak z Heinem, ma się rzecz z naszym autorem. Taki sam z niego gorący marzyciel, taki sam nieugięty bohater idei, lecz miast uśmiechu, częstokroć boleśniejszego od łzy, wisi na ustach, na czole jego chmura poważnej zadumy. Idea jest dla niego dogmatem i czci ją jak dogmat. Dwa duchy pokrewne a jednak różne: z jednej strony aryjczyk mężny, wierzący i pewny, z drugiej semita zacięty, krytyczny, wątpliwościami targany!

K. F. Wize.

Z estrady i sceny.

Na wyżyny.

Dramat w 5 aktach przez L. Ganghofera. Tłom. Z. Cichocka.

Na scenach naszych nazwisko Ganghofera rzadko się pojawia i, o ile mi wiadomo, dramat „Na wyżyny" jest pierwszą sztuką tego autora, ktora doczekała się polskiego przekładu. A przecież talent to oryginalny i świeży, stąpający śmiało gościńcem tego południowo-niemieckiego realizmu, na którem Anzengruber i kilku pomniejszych poetów (n. p. Marco Brociner) ślady swoje znaczyło utworami prawdziwej wartości. Dramat „Na wyżyny", wystawiony w ubiegłą sobotę w teatrze naszym, najmniej może jest charakterystycznym dla talentu Ganghofera, który indywidualność swoją zamanifestował silnie w sztukach ludowych o bawarskim podkładzie lokalnym jak *Herrgottsschnitzer*, *Processhansl*, *Geigenmacher* itd. Niewątpliwie jednak ten królujący koloryt miejscowy stanął na przeszkodzie szerszej popularyzacyi jego utworów i dziwić się nie można, że pani *Cichocka* z szeregu Gangho-

ferowskich dramatów ten właśnie literaturze naszej przyswoiła, który odznacza się barwą ogólno-ludzką bez obfitszych tonów ściśle lokalnej natury.

Dla nas, których smak literacki wykarmiła świetna technika nowoczesnych Francuzów i Skandynawów, sobotnia premiera trąci gdzieniegdzie pleśni zapachem. Czuć ją w dyalogach i monologach, czuć w charakterystyce działających osób. Ów stempel Ganghoferowskich utworów, na którym krytyka niemiecka wyrazem „Echtheit“ zapisała uznanie swoje, tu w bladych jeszcze występuje barwach, a realistyczny twórca takiego *Herrgotsschnitzer* prezentuje się w dramacie „*Na wyżynach*“ jako lubownik błyskotek i sensacyi. To też krytyka doktrynerów realizmu, odsądzająca zazwyczaj od wartości wszelkie utwory, których do ciasnej szuflady przykazań swoich zmieścić nie może, przejdzie bez wątpienia nad sobotnią sztuką do porządku dziennego, — zdrowy eklektyzm literacki jednak, szukający w dziełach poezyi nie doktryny, lecz talentu, złoży ręce do oklasku wobec dramatu, prężącego od początku do końca uwagę publiczności i wstrząsającego miejscami siłą perypetyi swojej.

Motyw utworu nie nowy. „Na wyżyny“ pnie się jeden z owych żelaznych ludzi Nietzschowskiego pokroju, dla których moralność chrześciańska zwie się moralnością niewolników. Silnym jest, więc depcze, — z prochu wspina się na szczyty, więc w przepaść strąca wszystko, co nogi mu wiąże. Rysunek tej postaci i plastyka nie pozostawia w pierwszych aktach nic do życzenia, szkoda tylko, że w końcu konsekwencya opuszcza autora i żelazo w wosk się zamienia. Gregory Stark, kamienny bohater dramatu, człowiek o żelaznych nerwach i miedzianem czole stara się o rękę Pauli, córki fabrykanta Söllmana. Paula kocha innego, lecz Gregory rezygnacyi nie zna. Druzgoce wszystkie przeszkody, jak demon potężny ujarzmia ojca, nagina gwałtem stosunki i już wyciąga rękę po ofiarę swoją, gdy w drodze staje mu Helena, dawna kochanka. Więc ją zabija.... Od tej chwili drugi człowiek zjawia się na scenie. Nikt nie domyśla się autora zbrodni, a mimo to brutalny i śmiały aż do zuchwałości karyerowicz zaczyna drzeć jak listek osiny. Przebiegłość i energia zostają za kulisami. Bezradny, niezręczny i przerażony rzuca się po scenie, strach odbiera mu przytomność, strach myśli mroczy obłędem, strach wreszcie w śmierć się zamienia. Gregorego zabija paraliż. Autor niemiecki poświęcił tu logikę typu dla wstrząsających efektów końcowych. Finał sam w sobie, jako całość zamknięta, oderwana od reszty dramatu, wywiera nader silne wrażenie, lecz jako ogniwo łańcucha psychologicznego jest sztucznie przyklejoną błyskotką. Konsekwentniejszą jest charakterystyka innych postaci utworu, lubo tu i owdzie razi bladość kolorytu i nader pobieżne, mniej niż szkicowe traktowanie rysunku.

Nadmieniam wreszcie, że Ganghofer wplątał zręcznie w swój utwór palącą kwestyę chwili obecnej: walkę kapitału i pracy — fabrykanta i robotnika. Po za dramatem psychologicznym rozgrywa się wielki dramat społeczny, po za śmiertelnemi zapasami jednostek wielkie zapasy klas. Połączenie tych dwóch żywiołów dokonane jest po mistrzowsku. Żadnego wysiłku, żadnego lutowania, — wszystko łączy się organicznie i tętni wielką siłą dramatyczną.

W roli Gregorego wystąpił pan *Skirmunt* i grą doskonałą dowiódł przy samym końcu sezonu, że talent jego nie umarł, tylko się zdrzemnął w zimowych miesiącach. Miałem nieraz żal do artysty tego, widząc jak lekceważy i szablonowo traktuje zadania swoje, a żal ten był tem większy, że nie wątpiłem ani jednej chwili o bogactwie zaniedbanego talentu. Na pożegnanie przeprosił pan Skirmunt publiczność, a ekspiacya ta była pięknem objawieniem artyzmu. Gregory jego był w pierwszych aktach jak wcielenie stali i kamienia o głuchym, demonicznym spokoju, a sceny końcowe — strach i obłąkanie wstrząsały potęgą prawdy tragicznej. Godną siebie partnerkę znalazł pan Skirmunt w pannie *Pankiewicz*, która momenty naiwnego wesela, kiełkujących podejrzeń i mściwego gniewu odtworzyła z zadziwiającym realizmem. Mimika jej nie zagrała nigdzie fałszywym akcentem, a głos drgał tak szczerem uczuciem, że widz zapomniał o usterkach wymowy, właściwych tej subtelnej artystce. Rola Heleny jest niewątpliwie jedną z najlepszych kreacyi w repertuarze panny Pankiewicz.

Paula pani *Jakubowskiej* miała dużo swobody i wdzięku, lecz rola ta nie leży w zakresie talentu sympatycznej artystki. Pani Jakubowska stara się zawsze w chwilach dramatycznych wydobyć efekt siły przez nadmierne markowanie poszczególnych wyrazów, — ztąd dyalog staje się sztucznym i sztywnym. Wolę stanowczo śmiech tej artystki, wolę jej figlarne spojrzenie i dąsy, niż ból i uniesienia tragiczne. Z innych artystów zasługuje na wyszczególnienie pan *Knapczyński*, którego gra zdradzała zrozumienie i staranne opracowanie typu, oraz pan *Skórczewski* w świetnej sylwetce buntującego się robotnika. Pan *Grabowiecki* był bladym, bardzo bladym w roli Günthera, kochanka Pauli.

W. R.

TO I OWO.

Spekulacya i pruderya.

Warszawski „Kuryer Codzienny“ ogłosił konkurs na powieść, który powitaliśmy z szczerem zadowoleniem. Dwa warunki tego konkursu jednak budzą w nas pewne wątpliwości, bo obniżają wartość igrzysk literackich, na które zaprasza ruchliwy dziennik warszawski.

Oto sędziami mają być czytelnicy. Większością głosów będzie zaliczony do nagrody utwór, najbardziej przypadający do smaku publiczności. Jakkolwiek komitet konkursowy wzywa wszystkich powieściopisarzy naszych, wątpimy jednak, czy wobec takich warunków będą mieli odwagę wystąpić najbardziej utalentowani. Czem jest sąd owej różnobarwnej publiczności, przekona się ten, kto przejrzy kartki jakiego arcydzieła literatury np. w czytelniach bezpłatnych:„ Ta książka nic nie warta“, „Ta książka jest głupia“, „Ta książka jest nudna i wcale niezabawna“. Takie są dopiski, poczynione przez czytelników ołówkiem na marginesach utworów, które nas entuzyazmowały, których uczyliśmy się niemal na pamięć. Niedawno spotkałem młodzieńca na raucie, bawiącego gości deklamacyą. — „Czemu panowie deklamujący — zapytałem go — nie uczycie się prześlicznego wiersza Konopnickiej „Za oceanem?“ — „Ja nie uznaję Konopnickiej — odparł mi na to — nudna, przesadna!..“ Przypominam ogłoszoną przez jedno z pism obcych odezwę do czytelników: jaka książka w życiu najbardziej im się podobała? Ktoś odpowiedział, że podręcznik stolarstwa, inny — że historya o królewnie neapolitańskiej, jeszcze ktoś, że „Życie św. Genowefy“. Kiedy Sienkiewicz pisał swoją „trylogię“ i drukował w odcinkach gazet, podobno czytelnicy zasypywali go listami z prośbą, ażeby nie uśmiercał swoich bohaterów i kończył powieści w ten sposób: „I ja tam byłem, miód i wino piłem...“ Rozumiemy gorącą chęć redakcyi zjednania sobie możliwie największej liczby abonentów, chociażby za pomocą połechtania ich miłości własnej, lecz spekulacya taka wpłynąć musi ujemnie na rezultat konkursu.

Niestósownem wydaje nam się także owo zastrzeżenie podane w warunkach konkursu, ażeby powieść przedstawiała się w salonie pod postacią skromniutkiej dziewczki z oczami spuszczonemi i stanikiem zapiętym pod samą szyję. Dopóki pismo w roli bawiciela stara się dogadzać kaprysom i nawyknieniom swych czytelników, póki zaprzężone do ich dyszla, stara się chodzić po wązkich ścieżkach, póty jeszcze zasługuje na pobłażanie. Ale skoro usiłuje powieści przystosować do wymagań pensyonarki, szwaczki, dewotki lub „panie dobrodzieju“ tego, co prenumeruje gazetę dla ogłoszeń, to już zamach oczywisty na literaturę powieściową, od którego redakcya Kuryera codziennego odstąpić powinna. Konkurs stanie się wtedy dziełem prawdziwie humanitarnem.

* * *

Jasnowidząca.

Od kilku tygodni paryżanie, jedni sceptycznie, drudzy z naiwnością wierzących, zajmują się panną Couedon, jasnowidzącą, nawiedzioną, jak sama twierdzi, przez anioła Gabryela. Panna Couedon ma lat dwadzieścia kilka i dopiero mniej, więcej od roku wpadła w stan obecny, przepowiadając przyszłość najstraszniejszą Francyi, oraz coraz to liczniejszym osobom, pragnącym się dowiedzieć, co anioł Gabryel o nich myśli.... Jasnowidząca udziela audyencyi bezpłatnie i zdaje się, że jest szczerze przekonaną o swej misyi, również jak jej rodzice, ludzie skromni, średniej zamożności, lecz jak najlepszej opinii. Zarzucićby im tylko można, że zamiast zawezwać lekarza specyalistę chorób nerwowych, pogorszają stan zdrowia swej córki, zezwalając, by tłum ciekawych odwiedzał ją i badał a zatem rozdrażniał i podniecał. W jednej z ostatnich kronik tygodniowych Franciszka Coppéego spotykamy te słowa o młodej jasnowidzącej z ulicy Paradis: „Ze sprawozdań dziennikarskich widzę jak dotąd, że ta nieszczęśliwa dziewczyna nic jeszcze nie powiedziała ciekawego i nie wiem, czy opętaną jest przez anioła, czy też przez szatana, lecz kiedy te nadprzyrodzone potęgi zdecydowały się do nas przemawiać jej ustami, mogłyby się wyrażać poprawniejszym stylem i bardziej sensacyjnie! To nie przeszkadza, że Paryż tłoczy się do niej mówi ludzie odwiedzający ją, tłoczą się i wyczekują swej kolei przed drzwiami, a ulica Paradis nigdy nie widziała tyle pięknych powozów, co teraz przed domem biednej chorej. Podobno w pałacu arcybiskupa paryzkiego panuje ztąd wielkie niezadowolenie, lecz przypomnijmy sobie, że trzydzieści parę lat temu wyższe duchowieństwo dyecezyi Tarbes gromiło i prześladowało Bernadettę, co nie przeszkadza, że ojcowie obsługujący grotę w Lourdes popierani są dziś przez stolicę apostolską i gromadzą nieprzebrane skarby, znoszone im przez wierzące tłumy“. Artur Meyer w dzienniku swoim „le Gaulois“ zawiadamia z pewnego rodzaju otuchą w lepsze dni dla Francyi, że książę Henryk Orleański był u jasnowidzącej przy ulicy Paradis i wyszedł głęboko zamyślony pod wrażeniem słów, jakie od niej słyszał. Pomimo nalegań, młody książe nie wyjawił tajemnicy, powierzonej mu przez anioła Gabryela, mówiąc, że są to sprawy tak ważne, iż nie ma

leży zdradzać je przedwcześnie. Jaka szkoda! — lecz szkoda nie tego, że się nie dowiemy tajemnicy, którą ks. Henryk pragnie zachować tylko dla siebie, lecz szkoda, że jest tak wrażliwy, bo obniża to wartość opisywanych przez niego podróży, jakie odbył po mało dotychczas znanych górach Azyi środkowej.

Dziennik „l'Eclair" zapytał się doktora Guinon ze szpitala Salpêtrière, co myśli o jasnowidzącej z ulicy Paradis?... Znakomity specyalista chorób nerwowych odpowiedział: „Panny Couédon nie widziałem, a trudno stanowcze dać określenie co do jej stanu na zasadzie tego, co się o niej czyta w dziennikach. Jednakże z tego, co dzienniki mówią o jej postępowaniu i słowach, jest ona, mojem zdaniem, obłąkaną, lub pozostaje w stanie somnabulizmu. Jeżeli jest obłąkaną, to obłęd jej przybrał bardzo zwyczajną formę religijną, łączącą się z mistycznemi halucynacyami prorokowaniem itd. itd., widzimy podobne wypadki bardzo często i początkowa ta faza wkrótce przemienia się w niebezpieczniejszą, chorzy ulegają następnie obłędowi wielkości, manii prześladowczej itd. W każdym razie ci, którzy stanowią najbliższe otoczenie tej nieszczęśliwej dziewczyny, „nawiedzonej przez anioła Gabryela" powinni czemprędzej wezwać pomocy lekarzy, tak w jej własnym interesie, jak też tych wszystkich, którzy mają dziś ułatwiony przystęp do niej. Zważywszy jednak, że chora pozostaje w stanie obecnym od sierpnia roku zeszłego, sądzę, że jest pogrążoną prawdopodobnie w stan somnabulizmu i ulega chwilowym atakom i ekstazom. Lecz raz jeszcze powiadam, że wina wielka spoczywa na tych, którzy, zamiast przywołać doktora, narażają dobrowolnie chorą na podniecenie i wywoływanie ataków histerycznych, jakim podlega".

* * *

Reformator z Pacanowa.

Powstał nam wielki reformator, poprostu mąż opatrznościowy! Zowie się Sobiesław hr. Mieroszowski; dobro społeczne mając na względzie, wydał wspaniałą broszurę p. t.: „W sprawie reformy dziennikarstwa". Pomyślcie tylko, pan Mieroszowski raczył bystrem a dostojnem spojrzeniem ogromy ludzkości dziennikarskiej przeniknąć z końca do końca, poczem wystąpił jako refomator. Genialność tego umysłu olśniewa wręcz czytelnika i wprowadza go w błogi nastrój. Zaznaczyć należy, iż pan Mieroszowski należał przez pewien czas do grona prawodawców galicyjskich, jako członek sejmu krajowego. Nie lubi on dzienników, uważając dziennikarstwo za identyczne z judaizmem i socyalizmem: proponuje zatem, ażeby upaństwowiono inseraty lub odjęto je drugorzędnym dziennikom, ażeby podniesiono stempel dziennikarski, który dziś w Austryi wynosi *jeno* 2 helery ($1^3/_4$ fen.) od każdego egzemplarza codziennych czasopism, ażeby zniesiono drukarnie prywatne a wydawano tylko dwie gazety: jedną „rządową", drugą „krajową"... Ach, resztę genialnych wniosków pominąć musimy! No cóż, czy na te ciężkie czasy taki pan nie jest mężem opatrznościowym? Obawiamy się tylko, czy będzie dostatecznie rozumiany!... W każdym razie Sobiesław hr. M., były poseł na sejm galicyjski, może być spokojnym: ród Mieroszowskich wydał jednego sławnego męża; Rudułowice, gniazdo hr. Sobiesława (koło Jarosławia), gotowe konkurencyę robić Pacanowowi, gdzie tylko kozy a nie projekty reform się kują...

Na Wyłomie.

(Nasze porażki. Ich przyczyny. Zewnętrzne i wewnętrzne hamulce rozwoju).

W walce, rozgrywającej się od lat kilku na poznańskiej ziemi pod hasłem młodych i starych, klerykalizmu i liberalizmu, solidarności i secesyi, ugody i opozycyi, — zwycięstwo dotychczas stale towarzyszy konserwatywno-lojalnym żywiołom. Przyznajemy to bez zastrzeżeń, nie symulując siły i powodzenia, nie upiększając żadnej porażki i nie mistyfikując społeczeństwa telegramami o „jednym zabitym Kozaku".

Szturmujemy do dziś dnia napróżno okopy wstecznictwa, lecz słowo „napróżno" nie jest dla nikogo z nas niespodzianką. Ruchowi, który zgniłą ciszę poznańskiej piwnicy zamącił wrzawą wojenną, nie przyświecała nigdy nadzieja, że z Cezarowem „*Veni, vidi, vici*" jak huragan pójdzie po kraju i w mgnieniu oka przeczyści duszną, zatęchłą atmosferę. Każdy z nas wiedział, że walki naszej z potęgą panujących stronnictw doraźny rezultat uwieńczyć nie może, nikt z nas nie wątpił, że postępowe pobudki muszą mieć zrazu więcej pedagogiczne znaczenie, muszą przyzwyczaić naród do nowych haseł i niwecząc jednostronność wpływów dotychczasowych, wykarmić inne pokolenie o horyzontach szerszych, twardsze i zuchwalsze. W chwili, gdy pierwsza trąbka wojenna zagrała, chodziło nam przedewszystkiem o przeciwstawienie Dziennikowo-Kuryerowym ewangeljom *księgi* postępowej, której cały zabór pruski nie posiadał, a która spełniać miała na razie nie tyle bojowe ile *wychowawcze* zadanie. Uczyć! — to pierwsza dewiza. Koryto życia naszego zasilały od lat 20 wyłącznie źródła konserwatywno-klerykalne i wodę tę mętną piło całe społeczeństwo. Stworzyliśmy nowe dopływy, odsłoniliśmy inne widnokręgi i mówimy: Ujicie i patrzcie! Lata całe miną niezawodnie, zanim z tej siejby pedagogicznej wyrosną świeże generacye — wielkie legiony bojowników, lecz prędzej czy później staną one przy nas lub po nas i nie my, to one zdobędą okopy.

Porażki same więc nie przedstawiają nic zatrważającego, bo wypływają z natury położenia i założenia całego ruchu, — doświadczenia dotychczasowe nawet nasuwają przypuszczenie, że dzieło reformy napotka znaczniejsze przeszkody, niż w przedświecie postępowej opozycyi zdawało się młodym budzicielom. Jednym z tych hamulców rozwoju naszego, nie ocenionym należycie w zaraniu reformy, jest niesłychane obniżenie poziomu moralnego w całem społeczeństwie poznańskiem. Na przestrzeni ostatnich lat dwudziestu odbyło się u nas systematyczne zamrażanie cywilnej odwagi i wszystkich idealniejszych pierwiastków duszy ludzkiej, a skutek jest ten, że staliśmy się wielkim teatrem, gdzie tłum komedyantów przybiera pozy i kostyumy podyktowane komendą reżyserów i autorów, a zaledwie ten i ów bez maski i domina zjawia się na scenie. Są jednak chwile, w których tym tysiącom wielkich i małych aktorów spadają fałszywe brody i peruki, w których zapominają lekcyi wyuczonej i własnym głosem przemówią, a wtedy zdziwieni poznajemy nagle, że przepaść, która ich od nas dzieliła przed chwilą, nie jest tak szeroką, że świat naszych myśli i wierzeń jest również ich światem i tylko ich kłamstwo, ich bojaźń, ich niewola w służbie konwencyonalizmu rozcina obrus między wyznawcami jednych ołtarzy. Gdyby tak nagle na wielkich paradach i rewjach „ładu i porządku" jakie bóstwo złośliwe odsłoniło głębiny dusz konserwatywnych, jakież dziwy ujrzeliby generałowie zardzewiałej armii. Niejeden w Rzymie udekorowany rycerz zmieniłby się w najczystszej krwi liberała, niejeden lojalista śmiałby się na całe gardło z ugody, niejeden wróg demokratycznej ewolucyi potrząsałby frygijską czapeczką. Iluż z was wierzy, ilu symuluje? Kłamiecie dla chleba, kłamiecie, bo próżność was rozdyma, kłamiecie, bo tak wystudzono płomienie serc waszych, że z wygód, ambicyi, towarzyskich upodobań i zarobków nic na ołtarzu idei poświęcić nie umiecie. W cichym zakątku, w poufnej gawędce lub kiedy szampan zaszumi wam w głowie, macie nasze oblicza, lecz na rynkach publicznych stroicie się w mundur urzędowy, klepiecie litanie starych komunałów i zdawkowe słówka patentowanych przekonań. Ten brak cywilnej odwagi, to wymarcie ideałów w społeczeństwie poznańskiem, to wróg najpotężniejszy postępu i tu skierować należy główne wysiłki i starania wychowawczej pracy. Bądźmy mężni! — to młodym pokoleniom powtarzać trzeba bezustannie.

Drugim hamulcem rozwoju naszego, również nie dość wysoko ocenionym w planach sytuacyjnych i kombinacyach strategicznych postępowego stronnictwa, są pewne czynniki rozkładowe w samem obozie młodego ruchu, wśród zdeklarowanych zwolenników Przeglądu. Odwaga przekonań idzie tu często w parze z brakiem energicznej pracy. Żołnierze nasi na gromkie lub dyskretne *Qui vive?* nieprzyjacielskiej placówki nie zapierają się nazwiska swojego, lecz dróg nie karczują i nie zdobywają prozelitów dla sztandarów naszych. Jest to pewien platonizm sympatyi, który w praktycznej polityce nie wielkie oddaje usługi, bo kontentuje się starym terenem nie kusząc się o zdobycie nowego. A przytem jawią się nieraz w szeregach postępowych wązcy doktrynerzy, którzy przy zielonym stoliku w świetle lamp kują formułki swoje, nie licząc się z krużgankami stosunków, z światłem dnia białego, z warunkami gruntu i otoczenia. Dla drobnej różnicy w odcieniach opinii lub taktyki poświęcą oni stronnictwo i kroczą dumni z pawią powagą, kokietując mianem wielkich samotników lubo z pod fałd ich togi wygląda tylko obrażona próżność. I zdarza się nieraz, że z grona tych do politycznego działania niedorosłych doktrynerów postępu rekrutują się najzaciętsi wrogowie stronnictwa naszego, dla których jedno podraźnienie ambicyi jest wystarczającym motywem, aby budować pręgierz dla dawnych sojuszników. W krótkiej minucie potrafią oni przefarbować przyjaźń w nienawiść, uznanie w potępienie, portret w karykaturę. W praktyce mojej redakcyjnej spotykałem dość często takie okazy, i to nietylko w politycznej, lecz i literackiej dziedzinie, — znajdują się one we wszystkich stronnictwach i wszędzie zapach niemiły pozostawiają po sobie.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

* Henryk Nitschmann. W „Gazecie Gdańskiej" czytamy:

„Henryk Nitschmann, o którego pracach i zasługach, położonych na polu piśmiennictwa przez tłomaczenie utworów najsławniejszych naszych poetów na język niemiecki, obszerniej w feljetonie w nr. 11, 12 i 13 „Gaz. Gd." pisaliśmy, umieszczając również jego portret w „Gwiazdce Niedz." — obchodzić będzie 26 kwietnia rb. 70-letnią rocznicę urodzin.

Aczkolwiek Niemiec z urodzenia i przekonania, daleki jest Nitschmann od nienawiści właściwej płytkim umysłom, do

szowinizmu skłonnych zazwyczaj literatów niemieckich. Kierując się poczuciem piękna, wydobył perły z naszej literatury na jaw i wiele zdziałał dobrego, chociaż, jak to nieraz bywa, zamiast uznania ze strony swych rodaków, na niełaskę w ich oczach się naraził.

My Polacy w Nitschmannie, chociaż należy on do szczepu Polakom nieżyczliwego, szanujemy człowieka głębokich myśli, uczonego bezstronnych poglądów i człowieka serca, który nie dbając o oklaski, w imię oświaty utorował drogę niemieckiemu światu do zapoznania się z perłami piśmiennictwa naszego.

Że i tego drobnego uznania niektórzy szowiniści swemu ziomkowi może pozazdroszczą, a może też nie życzą, przekonujemy się z ustępu w „Elb. Ztg.“, w którym zapewne jakiś wielbiciel żelaznego kanclerza, no i wróg wszystkiego co polskie, stara się wmówić w Niemców, jakoby prasa polska (na myśli ma zapewne „Gaz. Gd.“, która feljeton o N. powtórzony następnie przez „Kur. Pozn.“ najpierw zamieściła) przedstawiała Nitschmanna jako popierającego ich cele polityczne, słowem zamyślała go przerobić na Polaka!

Już z tego widać, jak ich szowinizm zaślepia, że nie umieją nawet pojąć poczucia uznania dla zasług jubilata, jakiem się kierowaliśmy, zapoznając czytelników naszych z jego życiorysem i pracami, przyczem ani nam przez myśl nie przyszło uważać go nie za Niemca.

Zresztą, że Nietschmann umie ocenić hołd i uznanie przez Polaków mu złożone i że nie są mu one niemiłe, dowodzi tego list jego do redakcyi naszej nadesłany, który w tłomaczeniu brzmi, jak następuje:

„Elbląg, 5 kwietnia 1896.

Szanownej Redakcyi składam niniejszem za łaskawą wzmiankę z 28 listopada z. r. i za późniejszy piękny artykuł o mej osobie i mych dążeniach, również za osobno mi przesłaną odbitkę tegoż moje podziękowanie. Jak się dowiedziałem, rozszedł się powyższy artykuł daleko.

Właśnie w obecnym czasie, gdzie nierozsądek i złośliwość wobec Polaków z odleżałemi frazesami się rozpanaszają, staje mi się tak sympatyczna demonstracya z kompetentnej strony podwójnie miłą.

Z szacunkiem uniżony
Henryk Nitschmann.“

Nie dbając więc o uszczypliwe ujadanie szowinistycznych pismaków, w dzień urodzin złożymy uczonemu najserdeczniejsze nasze życzenia w dowód zasług położonych, wiedząc, że on je przyjmie z takiem sercem, z jakiem mu je ofiarujemy.

Jak się dowiadujemy z pewnej strony, zamierza Nitschmann zupełnie w spokoju obchodzić 70-letnią rocznicę swych urodzin i w tym celu wyjeżdża z Elbląga, by się usunąć przed możliwemi owacyami.

Z drugiej strony zaś donoszą nam, że instytucye nasze naukowe prześlą Nitschmanowi adresy w dowód szacunku i uznania“.

* * *

„Bismarks Mahnworty an das deutsche Volk v. dr. Hans Blum.“ Bismarkowskie upomnienia i ostrzeżenia do narodu niemieckiego, zestawione przez dr. Bluma, wydane w Erlangen bardzo starannie, stanowią szereg zdań, zapatrywań, odpowiedzi lub wyzwań — wypowiedzianych przez Bismarka w parlamencie lub w aktach urzędowych, począwszy od r. 1848 do 1895. Historyk zatem, czy autor zestawiający te „skarby“, jak je nazywa, sięgnął nawet po za okres urzędowej karyery Bismarka, ażeby nic nie uronić.

Przyjrzyjmy się tym skarbom. Przeważna część sentencyi daje obraz męża stanu, którego dusza rozmiłowała się w absolutyzmie i który odeń tylko spodziewa się zbawienia Niemiec.

Kiedy mimowoli przychodzi na myśl porównanie tych upomnień z upomnieniami np. „mów Fichtego“ do narodu niemieckiego, to owe starsze dostają skrzydeł, tchną jakiemś ożywczem hasłem, budzącem do życia, gdy natomiast mowy Bismarka nakładają pęta, ściskają piersi obręczą z żelaza i zdaje się, że po przeczytaniu ich widzi się napis płomienny: *Lasciate ogni speranza*.

Niezliczone są okazye, przy których dziękuje Bogu, że duch ludu pruskiego jest „do szpiku kości monarchiczny.“ — Dowcip, wspomagany kłamstwem, napadał Bismarka zawsze, ile razy odzywał się o Polsce. Podobnie w r. 1867, gdy na protest wcielenia Wielkopolski oświadczył, że Polak w ciągu dziejów republiki polskiej nigdy nie doznawał takiego bezpieczeństwa, jak pod panowaniem pruskiem od lat stu, że na całym świecie, nie ma więcej jak 7 i pół miliona ludności polskiej, która przeważnie mówi po rosyjsku itp. Dostał się atoli i Rosyi komplement od przyjaciela. Słowiańskie plemiona są nieproduktywne. Rosyanie nie potrafią bez pomocy Niemców niczego dokazać.

Rok 1871 zajmuje w książce kilka kartek, a sprawa polska kilka stronic, na których są tak bezpodstawne, lubo zuchwałe argumenta Bismarka, że dziś zdziwienie ogarnia, gdy się widzi po kilku ustępach tych mów zaznaczone: oklaski. Niema też nic tak smutnego, jak bezmyślność reprezentantów narodu, posiadającego przecież wielkich myślicieli i wielkich poetów.

W roku 1886 motywował Bismark potrzebę ustawy kolonizacyjnej w Ks. Poznańskiem. Autor przytacza całe to charakterystyczne motywowanie. Gdyby nie okoliczność, że aż do znudzenia zajmuje księcia ta przed laty tak według niego mizerna, a teraz nagle potężna i przebiegła narodowość polska, to wartoby przypomnieć i owe motywa. Dość atoli przytoczyć zdanie, że według Bismarka „agitacya polska wzmogła się i prosperuje jedynie wskutek dobroduszności niemieckiej. Albowiem Niemiec po rafi w skutek tej dobroduszności nie tylko wyskoczyć z własnej skóry, ale przeobrazić się nawet w cudzoziemca i przejąć jego aspiracyami“.

Jakkolwiek twierdzi, że aspiracye polskie są mrzonką, która się nigdy nie urzeczywistni, zastrzega atoli jeszcze i w r. 1895:

„Pamiętajcie, że jeśli Polacy odrzucają jakikolwiek projekt, to składają tem świadectwo, że mógłby on prowadzić do wzmocnienia państwa niemieckiego“.

W innem miejscu wypowiada: „Bez Poznańskiego nie moglibyśmy się obyć bardziej, niż bez Alzacyi, dlatego jesteśmy gotowi bronić naszej wschodniej granicy z poświęceniem do ostatniego żołnierza i ostatniego grosza w kieszeni. Jeśli śpiewamy o straży nad Renem, to tak samo atoli o straży nad Wartą i Wisłą. Możemy atoli nauczyć się jednej rzeczy od Polaków, to jest niezłomnego obstawania przy swojej sprawie bez różnicy stronnictw. Pragnąłbym, ażeby rodacy moi mogli jak najrychlej stłumić w sobie resztki sympatyi dla polskości, gdyż dla nas wszystko co polskie, jest partyą przewrotu.“

KRONIKA POWSZECHNA.

Teatr i muzyka. W czwartek odegrano na scenie poznańskiej „Kaśkę Karyatydę“, melodramatyczną przeróbkę z powieści Gabryeli Zapolskiej. Obszerniejszą recenzyę zamieścimy w najbliższym numerze; tu tylko nadmieniamy, że sztuka pozbawiona jest głębszych zalet scenicznych, a gra artystów z małemi wyjątkami odznaczała się zupełnym brakiem prawdy. — Podróż artystów naszych po miastach prowincyonalnych napotyka coraz ważniejsze przeszkody. Dowiadujemy się, że oprócz dawniej wymienionych członków towarzystwa poznańskiego, opuszczają trupę p. Ogińska i Wiśniowiecka, by w miesiącach latowych występować w ogródkowych teatrzykach warszawskich. — P. Helena Krzyżanowska wykonała na własnym koncercie w Paryżu oratoryum Redegorda w trzech częściach, napisane przez nią samą na orkiestrę i przełożone na fortepian do słów Pawła Orosa. — Adam Münchheimer pracuje nad partyturą opery „Korsykanin“, do której libretto napisał p. Wł. Miller. — „Dziennik Poznański“ zamieścił wiadomość, że naczelny redaktor jego, pan Dobrowolski, nie myśli o złożeniu urzędu dyrektora teatru. Pan D. nie myśli — to prawda — ale inni myślą. Przekona się o tem uparty kierownik, któremu szczerze radzimy, by, nie czekając usunięcia, sam się usunął. Sprawa ta może wziąć bardzo niemiły obrót dla obecnego dyrektora, więc lepiej nie przeciągać struny i kapitulować.

BADANIA NAUKOWE.

— Wysokość wzlotu balonu. Ciekawa kwestya, do jakiej wysokości największej może się wznieść balon, pozostaje ciągle otwartą. Doświadczenia w tym kierunku przedsięwzięte narażały życie wielu śmiałych żeglarzy napowietrznych, w ostatnich jednak czasach zaczęto puszczać balony bez pasażerów, zaopatrzone w przyrządy, automatycznie notujące obliczenia barometryczne, termometryczne itp. Interesujące wiadomości znajdujemy w sprawozdaniu prof. Assmanna, członka Towarzystwa aerostatycznego w Berlinie. Z liczby 47 prób, dokonanych przez Towarzystwo, notujemy dwie, w których osiągnięto wysokość największą: Jeden z balonów uniósł swych pasażerów w górę na wysokość 9,151 metra, balon zaś z przyrządami automatycznemi, nazwany „Cyrus“, zanotował najwyższą wysokość 18500 metrów. Na wysokości 7,700 metrów aeronauci skonstatowali temperaturę 36 i pół stopnia niżej zera, a na wysokości 9,150 metrów 48 stopni. Balon „Cyrus“, wzniósłszy się do 18,500 metrów, znalazł tam temperaturę 67 stopni niżej zera. Dotychczasowe obliczenia zdają się dowodzić, że na wysokościach po nad 7 tys metrów, temperatura pozostaje niezmienna podczas wszystkich pór roku.

AFORYZMY.

Duma mówi: Jestem! — zarozumiałość: Wyglądam!

Kobiety nie chcą wyglądać dobrze, lecz zawsze lepiej.

Jeżeli miłość jest komedyą, to małżeństwo staje się dramatem.

Smutna to rzeczywistość: piękno prawie zawsze jest nieużyteczne. *Karr.*

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

St. Cw. w Krakowie. Dziękujemy serdecznie za pochlebną ocenę pracy naszej i kierunku. Artykuliku tego jednak zamieścić nie możemy, bo wywierałby wrażenie silnego samochwalstwa.

Czesław O..... Wiersz „Do Młodej Polski“ posiada wiele siły, lecz forma gdzieniegdzie sztuczna i klejona. Za gromką pobudkę przesyłamy wyrazy wdzięczności.

Obywatel. Otrzymaliśmy już odnośne informacye z innego źródła. Postaramy się w swoim czasie o wyświetlenie nizkich motywów takiego postępowania.

Dr. M. w Paryżu. Przesyłać możemy „Przegląd tylko za normalną cenę 5,50 mr., o których nadesłanie uprzejmie prosimy.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winlewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28

Nr. 18. Poznań, niedziela 3-go maja 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: ul. Wilhelmowska 28.
(Drukarnia J. Fr. Tomaszewskiego.)

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi w Poznaniu 4,00 mrk. Przyjmuje Administracya: ul. Wilhelmowska 28, w Niemczech i Austryi 5,00 mrk. (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 mk. — Prenumeratę przyjmują Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

TREŚĆ.

STREJK pomocników malarskich w Poznaniu.

Ruch robotniczy słabym dotychczas odzywał się tętnem w naszych dzielnicach kresowych. Kraj przeważnie rolniczy, pozbawiony wielkich przedsiębiorstw fabrycznych i przemysłowego rozkwitu, nie przedstawia dla idei socyalistycznej warunków szybkiego rozwoju. Konserwatyzm ludu wiejskiego i nader silna religijność jego bronią przystępu tym prądom reformacyjnym, które jak wicher potężny porwały miljony pariasów na zachodzie Europy i pod hasłem: „Robotnicy wszystkich krajów łączcie się“, stworzyły olbrzymie organizacye samopomocy, torujące drogę emancypacyi pracy z pod ucisku kapitału. W przeciwieństwie jednak do wiejskiej chaty, która dotychczas wpływom socyalistycznym stawiła opór niemal bezwzględny, zdradzają większe miasta nasze coraz wyraźniejsze ślady tego ruchu.

Brak fabrycznego życia utrudnia wprawdzie i tu przystęp socyalizmowi, lecz powoli zdobywa on sobie teren w zawodowych towarzystwach robotniczych i przemysłowych, dając raz po raz silniejszy znak życia. W najświeższym czasie nawet usiłowano do Poznania przenieść redakcyę berlińskiej „Gazety robotniczej“, dla skuteczniejszego oddziaływania na warstwy ludowe prowincyi naszych, lecz projekt ten upadł, bo nie znalazł się w całem mieście ani jeden właściciel kamienicy, któryby zdecydował się udzielić gościny znienawidzonej rozsadniczce idei socyalistycznej. Mimo tej radykalnej opozycyi wyższych kół społeczeństwa, mimo konserwatyzmu i religijności prowincyi naszych, mimo znacznych wpływów duchowieństwa i braku życia przemysłowego, trudno jednak zaprzeczyć, że ruch robotniczy, importowany z zachodu, już się zagnieździł w Poznańskiem i Prusach Zachodnich i zdąża powoli lecz konsekwentnie do coraz silniejszego rozwoju. W chwili obecnej nawet rozgrywa się w miniaturowem wydaniu na bruku miasta naszego jedna z owych akcyi socyalistycznych, które w większych centrach fabrycznego życia stały się zjawiskiem zwykłem, a niesłychanie doniosłem, u nas natomiast dotychczas do nader rzadkich należą objawów. Mówimy o grożącem bezrobociu „pomocników i robotników malarskich“, sygnalizowanem już w niektórych pismach codziennych. W przekonaniu, że historya, sprężyny i dążenia tego strejku poznańskiego zainteresują czytelników naszych, postaraliśmy się o informacye dokładne w kołach pracodawców i robotników i dzielimy się poniżej z czytelnikami „Przeglądu“ materyałem zebranym.

Istnieje w mieście naszem zawodowe towarzystwo pomocników malarskich, lakierników i pozłotników, złożone w $^2/_3$ z Polaków. Na czele tej organizacyi stoi niejaki p. Pfeiffer, człowiek średnio-inteligentny i nader ruchliwy, a hołdujący idei socyalistycznej. Całe Towarzystwo zresztą w mniejszym lub większym stopniu posiada polityczną barwę prezesa swojego, chociaż barwa ta nie jest tak programowo zdecydowaną, jak w wielu organizacyach zawodowych Berlina i Hamburga, w Saksonii i na Górnym Szląsku. Stosunki zarobkowe w tej gałęzi pracy, którą reprezentuje towarzystwo, zbudziły już przed 5 laty myśl o wstąpieniu na drogę bezrobocia, celem zmuszenia pracodawców do ustępstw na korzyść robotników. Dla braku solidarności jednak rozbiły się wcześnie starania przywódców ruchu i dopiero teraz plan porzucony podjęty został powtórnie. Pan Pfeiffer, pouczony doświadczeniem dawniejszem, nie ufał już własnym wpływom i udał się z prośbą o pomoc do drezdeńskich organizacyi socyalistycznych, które posłuszne życzeniu jego, delegowały jednego z najwybitniejszych działaczów swoich, p. Frickego, celem przeprowadzenia poznańskiego bezrobocia. Usiłowania emisaryusza odniosły skutek pożądany, — Towarzystwo pod wpływem perswazyi i kuszących obietnic p. Frickego postanowiło żądania swoje zredukować wprawdzie do *minimum*, lecz przy tem *minimum* obstawać z całą zaciętością i w razie oporu pracodawców ogłosić strejk pomocników i robotników malarskich. Pretensye malkontentów są następujące: 1) Zmniejszenie dnia roboczego z $10^1/_2$ godzin do 10 godzin. 2) Podwyższenie *minimalnej* płacy dla pomocników malarskich z 30 fen. za godzinę na 35 fen. — dla robotników z 20 fen. za godzinę na 25.

Żądania te przedstawiono już pracodawcom i zadecydowano, by 16 maja wypowiedzieć robotę, a w razie oporu z dniem 1-go czerwca rozpocząć strejkowanie. Obliczenia robotników opierają się na obecnym ruchu budowlanym w Poznaniu, który znacznie większe niż w latach ubiegłych przyjął rozmiary, a tem samem powiększył popyt na pracę. W miesiącu czerwcu ruch ten będzie w pełni rozwoju swego i krytyczność momentu stanie się niewątpliwie poważnym atutem w dążeniach robotniczych. Zrozumieli to już niektórzy z pryncypałów, i nie czekając presyi bezrobocia, dobrowolnie przyjęli żądania Pfeifferowskiej organizacyi. Do radykalnej opozycyi jednak należy poważny zastęp mniej zamożnych przedsiębiorców, dla których najdrobniejsze podwyższenie płacy robotnikom stać się może klęską materyalną. Nie posiadając ani odpowiednich kapitałów, ani znaczniejszego kredytu, zakontraktowali oni na podstawie cen dawnych mnóstwo prac budowlanych, a tem samem każde zwiększenie wydatków, każde obniżenie przypuszczalnych zysków grozi zerwaniem naprężonej struny. Walka tedy rozegra się prawdopodobnie tylko między robotnikami i ekonomicznie słabszymi pracodawcami, a rezultat jej według naszej opinii będzie, mimo pozornych szans bezrobocia, niepomyślnym dla robotników. Zważyć bowiem wypada, że strejk tylko pod tym warunkiem rokuje powodzenie, jeżeli zasada solidarności przeszła w krew organizacyi zawodowych i jeżeli niemożliwem jest uzupełnienie sił strejkujących przez dopływ z bliższych lub dalszych okolic. Jedno i drugie przemawia na niekorzyść bezrobocia poznańskiego. Talent retoryczny panów Frickego i Pfeiffera wzbudził na razie entuzyazm i postanowienie solidarnej akcyi w rzeszy pomocników malarskich, lecz w krótkim stosunkowo czasie wszczęły się swary i rozluźniły się węzły. Czwarta część Towarzystwa, złożona przeważnie z starszych członków, jest już dzisiaj zdecydowaną do bezrobocia nie przystąpić, a reszta głosi wprawdzie na zebraniach, że z dniem 1-go czerwca zawiesi roboty, lecz nie manifestuje już dawnego zapału i w poufnych gawędach wytacza mnóstwo wątpliwości, wróżących brak siły opozycyjnej. Z drugiej strony nie ma najmniejszej nadziei, by miasteczka prowincyonalne zechciały solidaryzować się z ruchem stolicy, i pracodawcom uda się niewątpliwie z sił okolicznych skompletować przerzedzone szeregi robotników swoich. Strejk zatem w obecnych warunkach narazi, mimo pieniężnych subwencyi z Berlina, Magdeburga, Hamburga i Lipska, pomocników malarskich na post kilkutygodniowy, a skończy się prędzej czy później kapitulacyą.

Nie przypuszczamy też, by taki znawca

stosunków i rutynowany działacz socyalistyczny jak Fricke, nie przewidywał rezultatów poznańskiego bezrobocia, — sądzimy natomiast, że bystry emisaryusz nie tyle wierzy w finansowy sukces przesilenia, ile w agitacyjne znaczenie każdego strejku. Bezrobocie poniesie klęskę, lecz ruch robotniczy zyska niewątpliwie.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Z powodu obrad sejmowych nad sprawą górnoszląską. „Nowiny Raciborskie“ zamieszczają od pewnego czasu szereg dobrze pisanych artykułów pt. „Obrachunek po obradach sejmowych. Zestawił Staropolanin“. Z artykułów tych cytujemy ustęp następujący.

„Powiedziałem, że z mów ministra pod młotem i mieczem p. majora Szmuli, ks. Wolczyka i reszty mówców nie pozostało nic, zgoła nic. Muszę to zdanie poprawić. Coś pozostało. Pozostała pamięć, że od rządu lud polski w swych żądaniach słusznych niczego spodziewać się nie może. Pozostało przeświadczenie, iż lud i jego obrońcy, tak szanowni posłowie z centrum jak i redaktorzy polscy, sami wywalczać sobie muszą swoją odrębność narodową, krzewić życie katolickie i język polski, oświecać ciemnych, utwierdzać słabych a uszlachetniać wszystkich. Posłowie solidarni, redaktorzy mężni i oględni, lud twardy i stały — oto trójka, która przyświecać będzie jako przykład i błyszczeć będzie jako gwiazda w naszej pracy na Górnym Szląsku. A otwarcie powiedzmy, że takiej stałości i oświaty ludowej, jaką posiada lud górnoszląski, nie posiada lud ani w Wielkiem Księstwie Poznańskiem, ani w Galicyi, ani w Królestwie Polskiem, — nasze polskie gazety ludowe na Górnym Szląsku zaś spełniają swą powinność z całą skrupulatnością.

Ale też do tego ruchu narodowego już był czas najwyższy. Powiat po powiecie utraciliśmy na Szląsku dla polskości na rzecz germanizmu. Wszyscy nam stali na zdradzie, dopóki tej zdrady nie wykryła najpierw walka kulturna, a potem walka rasowa. Druga była prostem następstwem pierwszej. A jak z pierwszej lud katolicki wyszedł zwycięzko, tak z drugiej — przy mocy Bożej — zespoliwszy swe siły, wyjdzie zwycięzko lud polski.“

* * *

Poznańska oligarchja. Warszawski „Przegląd tygodniowy“ zamieszcza w korespondencyi z Poznania następujące uwagi o walnych zgromadzeniach rozmaitych Towarzystw i związków naszych (Czytelnie ludowe, Pomoc naukowa) odbytych w miesiącu marcu.

„Jak zwykle przy okazyi publicznych dyskusyj, wybuchały tu i owdzie antagonizmy, przeciwieństwa zdań, drobne utarczki, które wobec panujących u nas stosunków dość zaostrzonych, wywołują zawsze pewne wrzenie i stają się powodem polemik gazeciarskich a czasem i starć osobistych.

Śledząc przebieg tych ustnych czy drukowanych rozpraw, dochodzi się do przekonania, że jest u nas pewna garstka ludzi, która ster spraw publicznych ujęła w ręce, a ogromnej reszcie wprost prawa głosu i prawa wszelkiej kontroli zaprzeczać pragnie. Najniewinniejsze uwagi, najsłuszniejsze wnioski pochodzące z ust nieuprzywilejowanych, są powodem głośnego oburzenia i publicznych nagan. Wskutek przyjętego zwyczaju pozostawiania spraw publicznych pod dyskrecyonalną władzą kilku jednostek, walne zebrania stają się rodzajem przedstawienia, uroczystym popisem dorocznym, w którym wszystko jest z góry obmyślone i ułożone, role rozdane, przemówienia wyuczone i rezultat postanowiony zawczasu w łonie zarządu. Zdarza się czasem jakiś niespodziewany, nadprogramowy występ, który miesza szyki zręcznej reżyseryi, lecz wówczas urzędowa klaka, głośnem sykaniem przerywa niepożądane intermezzo. Takie małe zamieszanie powstało na walnem zebraniu Towarzystwa pomocy naukowej. Statuty przepisują, aby skład dyrekcyi odświeżał się corocznie przez zmianę pięciu członków. Paragraf ten jednak jest już od dość dawna martwą literą, gdyż nazwiska osób ustępujących z zarządu, są do ostatniej chwili tajemnicą dla stowarzyszonych. Z tej przyczyny, ci ostatni co do wyboru nowych kandydatów porozumieć się nie mogą i przybywają na zebranie całkiem nieprzygotowani. Gdy przychodzi do wy[borów], dyrekcya proponuje, by w uznaniu zasłu[g] ustępujących kolegów, powierzono im na nowo op[u]szczone urzędy, większość, nie mając żadnego l[e]pszego projektu, przyzwala — i komedya wyboró[w] kończy się zatwierdzeniem dotychczasowego skład[u] zarządu. Tym sposobem, dyrekcya, zamiast wybie[]ralnej, staje się dożywotnią i sprawuje rządy zupe[ł]nie samowładne. Tak np. na porządku dzienny[m] walnego zebrania, stawia wprawdzie i „wnioski człon[]ków“, lecz zastrzega się, iż to będą „wnioski be[z] uchwał“. Znaczy to, iż pozwala zgromadzonym wy[]gadać się do woli, lecz nie pozwala przyjść do ja[]kiejkolwiek stanowczej konkluzyi. Dalej, drukuj[e] wprawdzie nazwiska stypendystów, lecz drukuje j[e] w lat pięć, co sprawia, że każdy z jej protegowa[]nych ma dosyć czasu, by edukacyę ukończyć, zanim ktośkolwiek z osób interesowanych dowie się, i[ż] wsparcie od Stowarzyszenia pobierał.

Nie ulega wątpliwości, iż taki sposób rządzenia jest niesłychanie wygodny dla dyrekcyi, lecz niezu[]pełnie zadawalnia stowarzyszonych, wśród których zresztą krążą wieści, że między stypendystami znaj[]dują się i jedynacy, synowie zamożnych rodziców podczas, gdy zupełnie biedni petenci odbierają czasem odmowne odpowiedzi, uzasadniane brakiem funduszów.

Wobec tego, zadziwiać nie powinno, że na ostatniem walnem zebraniu odzywały się głosy żądające:

1-o Ogłoszenia nazwisk ustępujących członków dyrekcyi.

2-o Corocznego posyłania komitetom powiatowym wykazu nazwisk stypendystów.

Przeciw pierwszemu wnioskowi, dyrekcya broniła się argumentem dość naiwnym. Utrzymywała iż nazwiska ustępujących członków chowa w tajemnicy, dla zapobieżenia agitacyi. Było to dosyć wyraźne przyznanie się do chęci zatrzymania urzędów na czas nieograniczony.

Mimo, że opozycya żądań swych nie przeprowadziła, samo wystąpienie jej poczytano za zamach na spokój publiczny i oskarżano jej przywódców o chęć podkopywania zaufania do zarządu. Jeszcze charakterystyczniejszym epizodem zaznaczyło się walne zebranie Tow. czytelni ludowych. Jeden z uczestników zwrócił uwagę na niezbyt stosowne dla niewykształconych czytelników, powieści tłomaczone z francuzkiego a znajdujące się w bibliotekach Towarzystwa. Równocześnie zaś polecał bardzo dobre książeczki dla rzemieślników, wydawane w Poznaniu. Ta skromna uwaga wywołała oburzenie nieomylnego

---

FR. RAWITA.

Dziki człowiek.

Iwan Matwijowicz Markowskij był obywatelem ziemskim na Podolu rosyjskiem. Długoby o tem mówić, w jaki sposób dorobił się tego obywatelstwa, ale dość, że dorobił się, kupił wioskę nad Dniestrem i w sile wieku będąc, osiadł w tej wiosce. Różnie też opowiadano i o tem, jak do posiadania owej wioski doszedł, ale nikt na pewno nie wiedział, a plotki ludzkie powtarzać — po co?

Nic mu nie brakło, nic. Wioska, choć niewielka, bo kilkaset morgów licząca, leżała w tej żyznej dolinie Dniestrowej, gdzie jeszcze dotychczas urodzaj nie chybia nigdy gdzie winograd obradza obficie, kukurudza, od niepamiętnych czasów na tej samej glebie siana, zawsze jednaki bujny plon daje, pszenica złote ziarna sypie, a jęczmień perły rodzi. Na arbuzy i melony nie potrzeba inspektów — gdzie ziarno rzucisz, tam się ziemia szmaragdami kawonów pokrywa, błyszczy purpurą i złotem melonów. Chowa się na tej bujnej paszy i wodzie dniestrowej tuczne bydło, wełniste owce, a tak tłuste, że w jesieni nie są już w stanie nosić własnych „kurdiuków“, tylko pod nie kółka podkładać trzeba.

Wesoła, żyzna, piękna okolica, spływała w promieniach słonecznych, pełna skarbów i bogactw, aż do brzegów morza Czarnego.

Tylko Iwan Matwijowicz, śród tej wesołej przyrody był jakiś pochmurny i dostroić się do pogody, jaka go otaczała, nie mógł. Mówiono, że to już taka natura jego. Może być — różne przecież bywają natury — wesołe, gorzkie, smutne, on miał pochmurną.

Nie koniec jednak na tem. Kiedy kupował tę wioskę, Nenadychą zwaną, a działo się to w parę lat po krwawym i ciężkim roku 1863, był młodym, silnym, pięknym, mało co więcej, niż trzydzieści lat liczył — a teraz zwiądł, postarzał, zgarbił się i chodził posępny, nie mówiąc do nikogo ani słowa, albo pił. Otóż to właśnie — pił. Nie było pijaka w całym rodzie jego, on sam brzydził się gorzałką, długo, długo opierał się pokusie i do ust swoich kieliszka nie przytykał nigdy — aż nareszcie zahulał! Spróbował raz, drugi, trzeci — i pił bez pamięci. Trwało to tydzień, dwa, — potem znowu kieliszka do ust nie przytknął, ale wówczas działo się z nim coś dziwnego: bo albo w pole uciekał od ludzi, albo w swoim pokoju zamykał się i mówić z nikim nie chciał. Nie chciał — i dosyć. Gdy czasem w interesie ktoś do niego przychodził i zmusił go do mówienia, to w taką wściekłość wpadał, że oczy krwią mu nabiegały, jak wilkowi.

Gdy w te strony zawitał, od razu zabrał się do gospodarstwa, z ludźmi nie miał żadnych stosunków towarzyskich. Podatki płacił regularnie, z robotnikami rozpłacał się rzetelnie, a więcej znać nikogo nie chciał; do cerkwi nawet z początku nie chodził. „Batiuszka“ jak zaczął jednak koło niego skakać — rozruszał trochę. Może i miał na niego jakie zamiary — pewnie miał, jak się to później pokazało.

W owym czasie, gdy Nenadychę nabył Iwan Matwijowicz, „batiuszka“, mało co starszy od niego, miał już dwie córki na wydaniu. Młody dziedzic był kawalerem, a popadianki przychodziły często spacerować do pięknego ogrodu Nenadyskiego, rozłożonego na wzgórku tuż nad samym Dniestrem prawie. Nie zakładał go Iwan Matwijowicz, o nie, wieki upływały powoli, zanim rozrosły się te dęby, jesiony i lipy, które z wiatrem Dniestrowym wiodły długie nocne rozmowy; on do gotowego już przyszedł — i do ogrodu i do domu.

Dom był obszerny, murowany, wyglądał jak płótno białe, rozwieszone między drzewami; budowano go wygodnie, dostatnio, nie dla siebie tylko, lecz i dla tych, którzy przyjdą.

Człek strzela, a Bóg kule nosi. Nie domyślali się nawet ci, którzy kamień węgielny zakładali, ani kto w tym domu mieszkać będzie, ani też co się stanie z tymi

prezydum. Przewodniczący piętnował ją jako dowód czarnej niewdzięczności względem tych czcigodnych panów, którzy się wyborem książek zajmują i z wielkiem poświęceniem, jak najdoskonalej zadanie swe spełniają. Ponieważ zaś owe inkryminowane powieści, są to odbitki z odcinka naszego najpoważniejszego klerykalnego organu, redakcya uczuła się obrażoną, dotkniętą w swych katolickich uczuciach i usiłowała dowodzić, że owa niemiłą dla niej krytykę wywołała jedynie nienawiść dla Kościoła i religii. Tym razem jednak, pan redaktor przebrał miarkę. Odpowiedziano mu bardzo słusznie, że chowanie interesów swej drukarni pod firmę Kościoła, jest po prostu wyzyskiwaniem religii na korzyść własnej kieszeni.

Zresztą przyznać należy, że tego rodzaju frymarka świętościami prowadzi się u nas oddawna na wielką skalę. Nigdzie może tak zwana służba Boża nie jest tak korzystnym jak u nas interesem, mimo biedy ogólnej".

* * *

Oświata ludu w zaborze rosyjskim. W „Przeglądzie Wszechpolskim" (Nr. 7) czytamy.

„Przed dwudziestu mniej więcej laty niektóre kółka studenckie w uniwersytecie warszawskim zebrały ze składek groszowych niewielką sumę, której użyto na zakupno książeczek popularnych dla rozdania ich chłopom. Literatury ludowej, która przed r. 1863 rozwijać się zaczęła, wówczas nie było prawie wcale, zarówno z powodu ucisku cenzuralnego, jak z powodu obojętności inteligencyi ówczesnej dla sprawy oświaty. Ten skromny, niewinny początek miał swoje następstwa doniosłe. Pomimo strasznego ucisku stworzono literaturę ludową, możliwie najlepszą w warunkach istniejących, przez kilkanaście lat rozdano lub rozprzedano z pewnością setki tysięcy książek. Dziś chłop nie potrzebuje już zachęty do oświaty, sam się do niej garnie, sam książki szuka i nie zadawalnia się strawą umysłową, dozwoloną przez cenzurę. Sprawa oświaty ludu znalazła gorliwych krzewicieli we wszystkich warstwach społeczeństwa, stała się nawet modną w sferach, należących do t. zw. towarzystwa. Nieraz była ona dla tych sfer zabawą, ale zabawą pożyteczną i nawet te panny, które tańczyły lub flirtowały na rautach „na oświatę" i z nudów uczyły dzieci stróżów w Warszawie lub chłopskie na letnich mieszkaniach — mają pewną zasługę. Chłop stał się modnym w piśmiennictwie nadobnem, na scenie, w sztuce plastycznej, w muzyce itd. Miało to również dobrą stronę i nie pozostało bez oddziaływania pośredniego na rozwój społeczny ludu.

Pod wpływem oświaty, poniekąd pod wpływem bezpośredniego zetknięcia się z inteligencyą, demokratycznie usposobioną, chłop zmienił się i rozwinął. Postęp, w ciągu lat piętnastu dokonany, jest niezmierny. Dosyć porównać ile chłopi dziś czytają pism i książek, a ile czytali wówczas nie mówiąc już o tem, że potrzeby umysłowe są już inne, wyższe, szlachetniejsze. Powieści i wogóle dzieła historyczne tysiącami liczą czytelników z ludu, a zakazane „książki polskie" cieszą się wielkiem uznaniem.

Nie do wszystkich jeszcze zakątków oświata wprawdzie datarła, ale po całym kraju rozrzucone są ogniska postępu społecznego i uczuć patryotycznych, które promienieją dokoła własnem światłem i ciepłem i nie potrzebują podsycania. Gdyby władze rosyjskie urządziły nawet powszechną w całej Polsce obławę i pochwyciły wszystkich ludzi, pracujących dla oświaty ludu, nie mogliby już jej zgasić. Ani czytelnie, ani odczyty rosyjskie, ani z natchnienia rządu wydawane pisma i książki w języku polskim, ludu już teraz nie zbałamucą, sprawie narodowej krzywdy nie wyrządzą. Nie znaczy to wcale, że obojętnie i lekceważąco patrzeć powinniśmy na te zabiegi, przeciwnie- należy im przeciwdziałać energicznie, bo chociaż ludu dla polityki rządowej nie zjednają i nie zwrócą go z drogi, po której kroczyć począł, to w wypadkach pojedynczych dużo złego mogą. Czytelniom rządowym — przeciwstawić trzeba w gminie, w każdej wiosce czytelnie tajne, co okazało się zupełnie możliwem, książkom i pismom, przez władzę rosyjską wydawanym — książki i pisma, wychodzące za granicą, a do warunków i potrzeb zaboru rosyjskiego zastosowane.

Właściwie dawno już to uczynić należało i nie wątpimy, że wkrótce ukażą się książki takie i pisma. Widzimy zresztą świeży a pouczający przykład pożytku i skuteczności tego rodzaju propagandy. Litwini mają kilka pism wychodzących za granicą i sprowadzają tajemnie setki tysięcy egzemplarzy wydawnictw peryodycznych i książek. Ta kontrabanda wzrastała z każdym rokiem i obecnie rząd, po trzydziestoletniej zaciętej z nią walce, zmuszony został do ustępstw. i, jak donoszą dzienniki, pozwolił na wydawanie pisma litewskiego, a zapewne i drukowanie książek czcionkami łacińskiemi. Lud nasz potrzebuje i ma prawo wymagać od inteligencyi pomocy, któraby spotęgowała jego odporność przyrodzoną i rozszerzyła zakres jego świadomości politycznej.

Pierwsze objawy tej świadomości, to dorobek pracy wytrwałej stronnictwa demokratycznego. Ileż to razy przeciwnicy jego mówili śmiało, wiedząc, że odpowiedzieć im nie można: my, zachowawcy przynajmniej w wypadkach pojedyńczych to i owo dla ludu robimy, a wy przyjaciele jego i obrońcy coście zrobili? Cośmy zrobili? Niewiele — to tylko, że lud ten świadomie dziś jest polskim, kiedy do niedawna był nim bezwiednie. Nie było trudnem w zasadzie to zadanie, bo lud polski, mniej od warstw innych wpływami i domieszkami obcemi zakażony, nie mógł być innym, nie mógł się wyrzec swego charakteru narodowego. Ale w warunkach istniejących spotykaliśmy na każdym kroku przeszkody, które pracą tajną i wytrwałą trzeba było przełamywać. — Wydawaliśmy książki, zakładali czytelnie, zapoznawali lud z dziejami narodu i budzili w nim nadzieje lepszej przyszłości. Te setki tysięcy książek, pism, odezw, nie mówiąc o słowie żywem o radach i przykładach — wywarły wpływ, którego rezultaty dziś widzimy. Ani liczyć, ani ważyć lub mierzyć prac tych nie można, tymbardziej mówić o wielu z nich szczegółowo, lecz „po owocach ich poznacie je..."

Kiedy przed dziesięciu laty w jednem z wyznań programowych tego stronnictwa postawiono zasadę, że dążenia i interesy ludu powinny być główną wskazówką polityki narodowej, przeciwnicy uważali to zdanie niemal za odstępstwo, za zdradę sprawy polskiej, a nawet ludzie dobrej woli i przekonań demokratycznych, wyrażali obawę, że ta zasada prowadzić musi do wyrzeczenia się naszych tradycyi politycznych. W patryotyzm ludu nie wierzono powszechnie, jak wielu dziś wierzyć nie chce. Tych przekonywać nie warto, ale dla takich, którzy jeszcze nie są, chociaż mogą być przekonani, czyż trzeba lepszego dowodu nad ten wypadkowy może, ale niezmiernie ciekowy i pouczający zbieg faktów. W tej chwili, kiedy chłopi z różnych okolic kraju po raz pierwszy występują gromadnie w niezwykłej dla nich roli przestępców politycznych i odbywają nowicyat więzienny — szlachta polska po raz pierwszy dobrowolnie i tłumnie dobija się zaszczytu brania udziału w „świętym obrzędzie" koronacyi carskiej! To nie efekt dziennikarski, to logiczny wynik dziejów, smutny, wstrętny, ale poniekąd konieczny a przynajmniej od dawna przewidziany i przepowiedziany".

---

którzy w nim wesołe i spokojne lata pędzili. Budowali na spokój dla siebie i potomstwa, na radość i szczęście — a przyszły smutki.

Nenadycha owa należała niegdyś do polskiej rodzina „buntowników". Cuda o niej opowiadał „batiuszka". Dobrze im było w tym domu, bardzo dobrze. To samo słońce świeciło nad nimi, co i teraz, rola tak samo rodziła, złocił się winograd na górach dniestrzańskich — tylko jakoś weselej bywało, niż teraz. Goście zjeżdżali się często, bawiono się hucznie, a wszystkiego w bród było i gościom i swoim. Zdawało się, że żądać więcej od Pana Boga nie można. Ot, nie — powiadał, kiwając głową — Lach, to taka harda i dumna dusza, że zawsze chce więcej i więcej. Jak przyszły wieści, że Warszawa buntuje się i tutaj zaraz zakipiało inaczej. Zachciało się im wolności jakiejś! Miły Boże! Czy można żądać piękniejszego raju na ziemi, jak był tutaj, większej wolności, jak zażywali panowie z Nenadychy! Nie! dawaj innej jakiejś wolności, a Bóg wie jakiej.

O, ta wolność... Po co jej żądali Polacy? Dobrze im się działo, spokojnie, dostatki wielkie, marszałkami, gubernatorami nawet mogli być — nie, nie dosyć! Niechże kto duszę ludzką zgadnie! Jak tam było, to było — konkludował „batiuszka", — dobrzy byli panowie, ale ich Bóg za dumę pokarał. Nagle stała się jakaś zawierucha i zakręciła, zakręciła, narobiła szkody — poszła. Ot, zupełnie tak, jak to się dzieje czasem na drodze w lecie. Zerwie się wicher ni stąd ni z owąd, narwie kłosów, słomy, liści, zmiesza to wszystko z kurzawą, skręci się jak wąż, stanie na dyby — potem zerwie się, w step poleci, długo tam wyje, aż się w niewidzialny pyłek rozsypie.

Kiedyś w nocy zrobił się hałas, najechało z Kamieńca żandarmów, oficerów, „stanowy prystaw", „sprawnik" het wszystko! Spędzili chłopów z całej Nenadychy na dziedziniec dworu, pobudzili panów i nie gadali nawet pół godziny. Zabrali co do jednego starych i młodych, i nikt nie wie, gdzie powieźli i co się z nimi stało...

Kilka lat od tego czasu minęło. Nagle Iwan Matwijowicz kupił Nenadychę. Kupił, sprowadził się i zagospodarował się w pustym domu. Najbliższem następstwem sprowadzenia się było poznanie się z „batiuszką" Onufrejem, z jego pięknemi córkami Katią i Lizą i w krótkim czasie potem ożenienie się z Katią. Skoligaciwszy się z „batiuszką", Iwan Matwijowicz wszedł z konieczności niejako do tej sfery życia, do jakiej i „batiuszka" należał. Nie była ona ani zbyt ponętną, ani rozgałęzioną. Tworzyła raczej kółko rodzinne, które do niedawna składało się z „batiuszki" i „sprawnika", żonatego z jego siostrą. Do tej gromadki przyłączył się Iwan Matwijowicz.

Zycie tego kółka płynęło zwykłem, szarem korytem, i nad poziom codziennej fali nie podnosiło się nigdy. Odwiedzano się od czasu do czasu wzajemnie, a wówczas do „jeryłasza" lub „stukałki" rozkładano karty na zielonym stoliku, a w sąsiednim pokoju zastawiono stół „przekąskami" i wódką. Rozpoczynała się gra, prowadzona z całą drobiazgowością i namiętnością próżniaków, którzy zwykle utrzymują, że w ten sposób odpoczywają po pracy. Otóż taki odpoczynek trwał bez przerwy całą noc aż do rana, jeżeli nazajutrz bywał dzień zwykły: jeżeli zaś świąteczny — odpoczywano najczęściej tyle dni, ile trwały święta. Od czasu do czasu wstawał tylko któryś z grających, szedł do stolika, pił, jadł, co mu się podobało i wracał znowu do kart, stolika i krzesła. Gdy się okazało, że jeden z czterech bywał zbyt zmęczony odpoczynkiem, wychodził do sąsiedniego pokoju, kładł się na kanapie i zasypiał, — reszta grała z dziadkiem, dopóki się tamten nie obudził. Krótkie chwile owego drogiego wywczasu poświęcano obiadom i wieczerzom — herbatę pijano, nie przerywając „jeryłasza" — a potem znowu siadano, dyskutowano, debatowano, kłócono się zażarcie o popełnione błędy i obliczano starannie, ile każdy z nich byłby zyskał na tem, gdyby błąd popełniony nie został.

Tak szczęśliwie, bez trosk, upływało im życie. Katia wykształciła się na doskonałą kucharkę i gospodynię, a z roli pani „pomieszczykowej„ była nader zadowoloną. Iwanowi Matwijowiczowi urodził się syn Pietia — i na tem się progenitura zakończyła. Gdy „batiuszka", w chwili dobrego

Zasługi stańczyków.

W kilku numerach przytoczyliśmy obszerny ustęp ze znakomitej odprawy, jaką p. Kazimierz Bartoszewiez dał osławionej książce Koźmiana — ustęp, traktujący o początkach stronnictwa stańczykowskiego, a wykazujący, jak często chorąży krakowskich stańczyków mija się z prawdą.

Książka p. Bartoszewicza opuściła już prasę drukarską — i jest niewątpliwie publikacyą niezmiernie doniosłego znaczenia.

Aby pokazać, jak p. Bartoszewicz, który, jak wiadomo, nie należy do hołdujących „teoryom radykalnym“, zapatruje się na tak sławioną „zbawienną“ działalność krakowskiego stronnictwa, przytaczamy z książki jego następujący urywek:

Trudno jest nawet mówić o jakichś specyalnych zasługach Stańczyków na polu rozwoju w Galicyi. Ale ponieważ p. Koźmian długo i szeroko o tych zasługach mówi, przypuśćmy więc wbrew najoczywistszym faktom, że Stańczycy kierowali nawą Galicyi i spytajmy się, co przez czas mniemanego ich panowania Galicya uzyskała pod względem swej odrębności, czy autonomii, o ile polepszyły się jej stosunki ekonomiczne i narodowe, czem Stańczycy wpłynęli na zmianę kierunku pojęć i jakie zasługi położyli na polu wytrzeźwienia, oraz podniesienia idei kompromisowej.

Zaczynam od końca.

Co do idei kompromisowej to wobec tego, co wiemy, można nad udziałem w niej stańczyków przejść do porządku dziennego. Zanim wypłynęli na wierzch, rzecz była załatwiona, gotowa. Niektórzy tylko z nich ją psuli, stawiali jej przeszkody, aż wreszcie ustąpili. Największy przyjaciel i zwolennik stańczyków, jeżeli nie chce faktom zaprzeczać, może tylko powiedzieć, że po nieudanych próbach opozycyi, stańczycy przystąpili do gotowego i razem ze wszystkiemi stronnictwami prowadzili w dalszym ciągu politykę kompromisową.

Co do owego wytrzeźwienia społeczeństwa, to już zwróciłem swojego czasu uwagę i poparłem ją współczesnemi świadectwami, że społeczeństwo samo wytrzeźwiało. Stańczycy przypisują sobie wpływ na zaniechanie manifestacyi; o wpływie tym możnaby wtedy mówić, gdyby rzeczywiście tak zwane przez nich manifestacye i demonstracye zostały zaniechane. Każdy jednak kto żył w ostatnich trzydziestu latach w Galicyi wie, że to nieprawda. Nie przyszedł wprawdzie do skutku obchód Unii, bo go rząd zakazał, ale nie było ani jednego roku, w którymby nie urządzano tego, co stańczycy manifestacyami i demonstracyami nazywają. Owszem, właśnie za czasów, kiedy stańczycy najwięcej znaczyli, najwięcej też urządzono obchodów narodowych. Spis ich dokładny wypełniłby kilka kartek mojej książki. Co ciekawsze, że obchody te odbywały się przeważnie w Krakowie, siedzibie stańczyków, a im silniej przeciw nim występowali, tem potężniejsze przyjmowały one rozmiary. Któż nie pamięta całej presyi ze strony Stańczyków, aby uniemożebnić, a przynajmniej zamknąć w małych ramach jubileusz Kraszewskiego, — a co się stało? czy widział kto większą manifestacyą na ziemiach polskich po r. 1863? Doszło do tego, że stańczycy nie chcąc być odosobnieni, zrobili dobrą minę i sami w manifestach udział brali. Kraków od r. 1879 aż do 1891 tak się po prostu przyzwyczaił do rozmaitego rodzaju obchodów, że nawet szukał sposobności do nich i nie dał sobie wyrwać nawet jednego manifestacyjnego pogrzebu. Dopiero w ostatnich latach nastąpiła pod tym względem pewna cisza, może dzięki temu, że stańczycy przestali oponować i drażnić. Nie pisali nic przeciw obchodowi Kościuszkowskiemu i kto wie, czy nie dla tego wypadł on fatalnie, bo to już taka natura ludzka, czy też polska specyalnie, że chcąc ją do czegoś zachęcić, potrzeba ją podrażnić, stawiać jej przeszkody.

Zanim można mówić o wpływie stańczyków na stosunki narodowe i ekonomiczne w Galicyi, potrzeba zapytać się, czy one wogóle polepszyły się. Odpowiedź na to w znacznej części jest bardzo trudną, bo trzebaby chyba wygotować olbrzymi memoryał statystyczny z każdego działu gospodarstwa narodowego, aby módz choć w przybliżeniu zestawić ogólny bilans galicyjski. Z konieczności więc trzeba poprzestać na tych faktach, które same nasuwają się na oczy.

O załatwieniu kwestyi ruskiej, którą niegdyś stawiano zawsze we wszystkich programach, a więc i stańczykowskim, nie może być mowy. Stosunki pod tym względem tylko pogorszyły się. Wprawdzie przy ostatnich wyborach do sejmu zgnieciono tak zwaną partyę moskalofilską, ale fakt ten nie dowodzi jej osłabienia, tylko zręczności użycia przy wyborach odpowiednich środków. Na wszystkich tak zwanych „ugodowcach“, którzy z nami kokietowali, zawsze się zawodziliśmy; przepaść między narodowościami stanowczo powiększyła się.

Również ciążącą wiecznie zmorą nad galicyjskiemi stosunkami jest kwestya żydowska. Żywioł żydowski wzrasta ilościowo i jakościowo, a nikt nie pracuje nad jego uobywatelnieniem. Nie tu miejsce rozwodzić się, czy idea asymilacyi miała racyę bytu, dość, że ją porzucono, a żydzi coraz więcej wyodrębniają się od reszty społeczeństwa. Można się sprzeczać o to, jak z nimi postępować, ale jakiś kierunek należało wybrać i przeprowadzić go z całą konsekwencyą. O tem żadne stronnictwo nigdy nie myślało, a przywódzcy stronnictw, posłowie i kandydaci na posłów jak ognia boją się wypowiedzieć swe zdanie o tej kwestyi tak bardzo groźnej dla kraju. Na każdym punkcie gorzej się ona dziś przedstawia, niż przed laty trzydziestu.

Ze ustawodawstwo sejmowe w szczupłym swoim zakresie niejedne sprawę naprzód popchnęło, wiele wadliwych przepisów usunęło, a wiele dodatnich stworzyło, to rzecz całkiem naturalna. Sejm radzący corocznie przez lat trzydzieści nad sprawami kraju, musiał przecież coś robić, a zadaniem jego było nie psuć, lecz naprawiać. Ale żeby w tej pracy ustawodawczej był wytknięty jakiś kierunek, żeby którekolwiek ze stronnictw przeprowadziło konsekwentnie jakiś program, tego powiedzieć nie można. Najważniejsza ze wszystkich sprawa reformy gminnej nie może się doczekać załatwienia.

Przybyło szkół, umiejących czytać i wogóle oświaty. Ktoby temu zaprzeczył,

---

humoru przekonywał, że zdałaby się córka, Iwan Matwijowicz odpowiadał przysłowiem:

— Nie miała baba kłopotu... Na co? Azeby więcej było harmideru w domu?

Iwan Matwijowicz powoli wciągnął się do tego życia, pił tak samo, jak „batiuszka“ i sprawnik i tak samo grał w karty — a nawet poczynał się rozmiłowywać w tych rozrywkach. Zresztą, były one tak zwyczajne w okolicy, pośród sfery służbowej urzędników i popów, że z konieczności poddać się zwyczajowi musiał, potem przyzwyczaił się, a w końcu zwyczaj stał się nałogiem.

W okolicy nie brak było jeszcze właścicieli ziemskich Polaków, ale ci żyli swojem życiem i nigdy ich nikt w towarzystwie sprawnika i „batjuszki“ nie widywał.

Oprócz powolnego przyzwyczajania się do trybu życia tylko co opisanego, który doprowadził go z czasem do namiętności — opilstwa. — Iwan Matwijowicz miał jeszcze inną, ukrytą namiętność: strasznie nie lubił Polaków. Nigdy o nich sam rozmowy nie zaczynał, lecz gdy tylko kto z jego otoczenia dał mu bodaj w daleki sposób do zrozumienia, że na świecie istnieje naród, który się zwie Polakami — wówczas wpadał w prawdziwą furyę. I Katia i „batiuszka“ i sam „sprawnik“, który przecie miał obowiązek prześladowania Polaków, nie mogli tej nienawiści Iwana Matwijowicza zrozumieć. Boć przecie wszystko mieć musi swoją racyę — a tu nie było żadnej. Ot, taka nienawiść i koniec. Zaden Polak u niego nie bywał, ani on u żadnego.

Z wiekiem nienawiść ta nie zmniejszała się bynajmniej, ale potężniała, a w miarę tego, jak rosła, Iwan Matwijowicz stawał się coraz bardziej ponurym i już niezadawalał się wychylaniem częstych kielichów przy „jeryłaszu“ lub „stukałce“ ale upijał się w pojedynkę, a wtenczas ani przystępu do niego nie było! Rzucał się wprost do oczu ludziom, albo uciekał w nocy do ogrodu, ze sobą rozmawiał. kogoś wołał, a nawet, powiadano — płakał.

Wielkiem pragnieniem Kati było nawiązanie stosunku z sąsiedztwem; gorąco życzył tego „batjuszka“ także — ale Iwan Matwijowicz oparł się stanowczo — nie chcę i nie chcę! I Katia i „batjuszka“ mieli swoje ambicye. Mąż i zięć był posiadaczem wsi, a tymczasem żadnego znaczenia w powiecie pies nawet w ich stronę ogonem nie kiwnął.

Nic jednak nie pomogło. Iwan Matwijowicz nie dał się namówić.

— Braknie ci czego? — pytał wówczas żony.

— Nic.

Masz dach nad głową i jadła dosyć?

— Bóg łaskaw, to prawda.

— Gdy masz wszystkiego dosyć, to siedź cicho. Zachciewa się tobie lackich marcepanów — co?

Tak samo zamykał usta „batiuszce“.

I znowu do czasu wszystko szło dobrze i spokojnie, aż dopóki Iwan Matwijowicz nie zaczął pić i nie wpadł w swoją malignę pijacką.

Lata całe tak bywało. „Batiuszka“ i „sprawnik“ wyglądali jak beczki od piwa, krew im z czerwonych nosów i z policzków ledwie nie tryskała, a Iwan Matwijowicz chudł, stawał się jak drzazga cerę miał żółtą, jak świeca woskowa, tylko oczy mu albo paliły się niespokojnym blaskiem, albo tak węglały, jakby je kto mgłą zasłonił.

Ten i ów nazwał go dzikim człowiekiem, a potem ta nazwa tak do niego przyrosła, że już nawet „batiuszka“ i „sprawnik“ inaczej nie nazywali.

Nie było czasu nikomu zastanawiać się nad powodami jego dziwactwa i dzikości — najprzod służba boża i carska, potem „jeryłasz“ i „stukałka“...

— Taka już jego natura! — mówiono powszechnie i to wystarczyło.

Syn jedyny rósł, wyrósł, szkoły ukończył, do uniwersytetu wstąpił, ale to w niczem ogólnego położenia i stanu duszy Iwana Matwijowicza nie zmieniło. Ot, prawdę powiedziawszy, było nawet gorzej. Jeżeli Iwan Matwijowicz nie pił, to z nikim prawie nie mówił; gdy kogoś bliżającego się zoczył — uciekał chyłkiem, udając, że go nie spostrzega, a kiedy pił — wówczas albo zamykał się w pokoju i nikogo do siebie nie dopuszczał, albo zwykłym trybem do ogrodu uciekał. W karty grywał tylko po dawnemu, ale bez namiętności żadnej, grał — bo w ten

skłamałby niegodnie, a kto chce, aby odrazu każdy chłop umiał czytać, aby odrazu w każdej gminie była szkoła, ten jest doktrynerem nieobliczającym się z możnością. Ale z postępu na tem polu nie ma się czego chwalić, bo jest to rozwój naturalny, któremu żadna siła nie przeszkodzi. Niema w Europie ani jednego państwa, kraju, kraiku, gdzieby w ciągu ostatnich lat trzydziestu nie przybyło szkół i umiejących czytać. Nawet pod zaborem rosyjskim szkół przybywa. Zresztą na tym polu stańczycy nigdy nie szli na czele (nie znaczy to, że szli w tyle). Był to i jest ogólny prąd, który porywa za sobą. Jeżeli są nawet wyjątki przeciwne szerzeniu oświaty, to te siedzą cicho, aby się nie skompromitować. Inna rzecz czy sposób szerzenia oświaty jest właściwy, ale to temat do obszernej rozprawy. Nie można wszakże zapomnieć, że brakuje nauczycieli z powodu dużych wymagań, a małej płacy Zeszłoroczne głosowanie w sejmie konserwatystów, a w ich liczbie stańczyków, przeciw skromnemu projektowi polepszenia bytu nauczycieli ludowych nie dowodzi zresztą zbytniego zapału w tym stronnictwie dla oświaty i trzeba było dopiero skandali w Wiedniu (petycyi nauczycieli do Rady państwa) aby sprawę w tym roku korzystniej załatwiono. Jest też postęp powolny w podniesieniu szkół średnich, a wcale znaczny w podniesieniu uniwersytetów.

Kiedy wspomniałem o uniwersytetach, nie od rzeczy będzie napomknąć kilka słów o duchu młodzieży. Strach przed urojonym, nadzwyczajnym niby zapałem młodego pokolenia, kazał wyższym sferom lać zimną wodę na młodzież. Obawiano się, aby źle zrozumiany patryotyzm nie doprowadził do wybuchu, a więc wołano wciąż do młodzieży: nie polityknjcie, inni za was myślą o przyszłości ojczyzny. Stańczycy szli na czele tej straży pożarnej i starali się tłumić wszelkie manifestacye polityczne. Możnaby obszerną rozprawę napisać o ciągłych przez lat kilkanaście zajściach z młodzieżą w tym kierunku. A doprawdy, kto tę młodzież znał, ten raczej podsycać był powinien gasnący płomień zapału patryotycznego. Na smutne rezultaty tego gaszenia patrzymy dzisiaj z boleścią. Młodzież musi dzisiaj coś ukochać, musi w coś z zapałem wierzyć; bo inaczej nie byłaby młodzieżą. Patryotyzm jej oblewano wodą, a więc zwróciła się gdzieindziej i z zapałem oddała się szerzeniu różnych teoryi, w których nie ma miejsca dla patryotyzmu.

Równie naturalnym jak rozwój szkół, był rozwój przemysłu. Z powiększeniem potrzeb, z rozwojem komunikacyi, przez trzydzieści lat spokoju zewnętrznego i wewnętrznego, przemysł krajowy musiał się podźwignąć. Ale jakiż on jest słaby, jak wątły, — czy można go przyrównać do przemysłu Krolestwa kongresowego. Ale i czy ten mizerny przemysł może co zawdzięczać stańczykom, czy nie jest on wytworem usiłowań jednostek, czy te jednostki znajdują dostateczne poparcie i protekcyę u władz krajowych? Na czele tego przemysłu zresztą stoją przeważnie żydzi, cudzoziemcy, lub osiedleni w Galicyi Polacy z innych zaborów. Jedyny wreszcie prawdziwy, na większą skalę przemysł galicyjski, to przemysł bialski, przemysł niemiecki na ziemi polskiej. Zresztą dwie ostatnie wystawy krajowe są poniekąd ilustracyą pracy stańczyków około przemysłu. Wystawa krakowska w r. 1887 przedstawiała obraz nędzy i rozpaczy, a urządzali ją i na jej czele stali stańczycy — wystawę lwowską, która bądź co bądź dobrze wypadła, a była co najmniej może dziesięć razy wspanialszą od krakowskiej, urządzali prawie przeważnie dawni ludzie ruchu z czerwonem mieszczaństwem lwowskiem. W Krakowie do wystawy była apatya, przystępowano do niej z niewiarą — Lwów do swojej wystawy szedł z zapałem.

Przybyło Galicyi dróg żelaznych bardzo wiele, przybyło i dróg bitych. Ale wymagał tego przedewszystkiem interes państwa, a postęp pod tym względem jest znowu postępem czysto naturalnym, niezależnym od żadnej walki stronnictw, od żadnych stańczyków lub liberałów. I w Królestwie i na Litwie sieci kolejowych przybyło co niemiara, a nikt przecież z tego nie będzie wyciągał wniosków dalej sięgających. Natomiast ze smutkiem trzeba wspomnieć o sprawie regulacyi rzek galicyjskich. Tu polityka stańczykowska czy jaka inna, miała przed sobą donośne zadanie i możność zasłużenia sobie na wdzięczność całego kraju. A jednak pomimo wszelkiej naszej lojalności, pomimo naszego tak rozgłaszanego znaczenia w Austryi, z niezwykłą apatyą, z lekkomyślnością prawie traktowano u góry tę sprawę, tak dla kraju ważną, bo mogącą go zabezpieczyć od ciągłych, nieustannych klęsk, podkopujących ogólny stan ekonomiczny. Gdyby zliczyć, ile Galicya w ciągu trzydziestu lat straciła na wylewach, możnaby za te pieniądze nie raz, ale dwa razy regulacyę przeprowadzić. Po każdej nowej klęsce woła cały kraj do rządu o zlitowanie. Były nawet przyrzeczenia oficyalne, wypowiadane przy zagajeniu sesyi parlamentarnych, ale na przyrzeczeniach wciąż się kończyło i kończy. „Koło polskie“ ani razu tej kwestyi nie postawiło ostro, ani razu nie śmiało żądać wykonania obietnic pod zagrożeniem, że przestanie udzielać poparcia rządowi. Jeżeli się nie mylę, to kosztorys regulacyi obliczony był na jakieś dziesięć milionów, z których część kraj miał zapłacić. Regulacya rzek, ta najistotniejsza potrzeba kraju, połączona z dobrem państwa, jest jeszcze dziś na porządku dziennym... w mówkach kandydackich. Natomiast Koło polskie głosowało solidarnie za udzieleniem 30 milionów na podniesienie miasta Wiednia.

O tem, że większa własnosć jest coraz więcej zadłużona, że coraz więcej przechodzi w ręce obce, wiedzą wszyscy. Fakt ten nie może się spotkać z żadnem zaprzeczeniem. Równie smutnie, jeżeli nie smutniej wygląda własność mniejsza. Albo rozdrabia się tak, że nie jest w stanie utrzymać właścicieli, albo również staje się łupem obcych żywiołów. Olbrzymie jej obdłużenie, którego dawniej nie było, przedstawiają daty statystyczne. Rezultatem tego stanu rzeczy jest tłumna emigracya włościan do Ameryki. Wogóle, gdybyśmy wzięli na uwagę ten upadek własności większej i mniejszej, to już on sam jeden nosi wszelkie ekonomiczne i narodowe korzyści, jakiemi mogłaby się pochwalić Galicya w ciągu swej ery autonomicznej.

A kiedy mowa o ludzie, trudno zapomnieć, że wystąpił on w ostatnich czasach jako zdecydowany przeciwnik szlachty, oraz

---

sposób czas zabijał — nie grać wydawało mu się czemś stokroć gorszem. Gdy nie grał, wówczas sam z sobą szamotał się — chodził, mruczał, palił i nieprzeparta siła ciągnęła go tak długo do wódki, póki pić nie zaczął..

Pomału zaniedbał gospodarstwo i interesy — wszystko zdawszy na Katię i „batiuszkę“. Potrzeby jego osobiste były coraz mniejsze, stosunków nie miał żadnych, żadne towarzyskie obowiązki nie wiązały go i nie krępowały — mógł przeto z coraz większą namiętnością oddawać się ulubionej samotności, a w chwilach szału — pijaństwu. Powolne opuszczanie się doszło nareszcie do tego, że całe dnie spędzał w szlafroku z fajką na długim cybuchu w ustach siedział nieruchomie w swoim pokoju, którego jedno okno potrójne wychodziło na dziedziniec a drzwi szklane na werandę i ogród.

Zima rozgościła się na dobre, jedna z tych zim podolskich, równych, pięknych, w miarę śnieżnych, a pełnych czerstwości i zdrowia.

Święta Bożego Narodzenia minęły w domu Nenadyskim spokojnie, a dla Iwana Matwijowicza smutno. Pietia nie przyjechał, uskarżał się, że ma egzamina bardzo ostre, przygotować się musi pilnie i dopiero na Wielkanoc przyjazd obiecywał. Zmartwiła ta wiadomość ojca, — bardzo zmartwiła. Od pewnego czasu, w duszy jego odbywała się zmiana, która słowami na zewnątrz nie manifestowała się. Iwan Matwijowicz tak samo jak dawniej, grywał w karty: jeżeli zaś nie mógł złożyć swojej domowej partyi, nudził się, męczył, palił namiętnie i pomrukiwał jakieś niezrozumiałe wyrazy. Było to złą przepowiednią — i źle się zwykle kończyło. Katia znała już to usposobienie męża, zamykała starannie szafkę z wódką, nie dawała mu klucza od piwnicy — ale nie było rady. Stary wpadał w furyę, bił chłopca, jeśli wykręcał się i wódki z karczmy przynieść nie chciał — i wreszcie pięścią zdobywał sobie wszystko. Potem rozpoczynała się dopiero pijatyka bez granic i miary.

Pomimo to wszystko w duszy tego zamkniętego dla wszystkich człowieka budziły się uczucia, nieznane dawniej: miłość i tęsknota do syna. Zdawało się mu, że energia, wesołość, żywość Pieti ożywia i rozwesela cały posępny dom, nad którym widmo złowieszcze unosiło się. Dawny piękny, wesoły dwór Nenadyski wyglądał teraz jak opuszczona karczma, skazana na to, ażeby ją mrozy i deszcze rozgryzły i rozwaliły do reszty. Drogi i ścieżki, prowadzące do niego od wsi, zarosły podróżnikiem i perzem, pod murem, opasującym ogród i dziedziniec, rosły bujne pokrzywy, dziewanny, bodiaki, których szkielety, szronem okryte, sterczały teraz smutnie, odkrywając szczerby i ruiny wysokiego niegdyś muru. Ogród w las się rozrósł. Od dwudziestu lat siekiera i piła ogrodnicza niedotknęły gałęzi stuletnich dębów i lip, a krzaki bzu, migdałów różowych i jaśminu aż do okien się wdzierały.

Wigilia przeszła smutnie, tembardziej, że nawet sprawnik nie przyjechał, bo po świętach nagły jakiś interes służbowy wyparł go z domu na czas dłuższy.

Wieczerzę spożywano w ścisłem kółku domowem, milcząc. Z początku odzywał się „batiuszka“ o tem i owem, ale nikt mu nie odpowiadał, albo otrzymywał odpowiedź półgębkiem tylko. Katia także była zmartwiona z powodu nieprzyjazdu Pieti i sióstr — i tak wieczerza wigilijna zdawała się być raczej smutną jakąś przepowiednią, niż dniem nadziei.

Kiedy nareszcie kutię wniesiono, „batiuszka“ starym zwyczajem, nabrawszy jej do łyżki, pierwszą łyżkę wyrzucił przez okno na mróz, aby rodziło się żyto i pszenica, a drugą do góry, na sufit — na szczęście i pomyślność domu całego. Dawnemi laty, kutia zwykle grubemi kupkami przylepiała się do sufitu ku zadowoleniu i radości wszystkich, a dziś stało się coś niepojętego — ani jedno ziarno nie przylepiło się, wszystkie spadły na obrus, na wieczerzę i na głowy obecnych. Zjawisko to na pozór zwykłe wywołało nadzwyczajne wrażenie na zgromadzonych, nie wyłączając nawet służby.

(Ciąg dalszy nastąpi.

inteligencyi. Konserwatyści nasi od czasu do czasu pisali broszury o sprawie ludowej, a inni szli między lud i rozdmuchiwali płomień niezgody i nienawiści. Duchowieństwo straciło prawie zupełnie wpływ na włościan, a szlachta nie ma go wcale. Tu znowu sposobność do napisania całej rozprawy na temat, co tego przyczyną. Ale nie chcę poruszać drażliwej kwestyi, a tylko stwierdzę pewnik, że takim jest lud, jakim go się wychowa i że najbliżej ludu z natury rzeczy stoją ci, co są jego sąsiadami. Im więc, a nie komu innemu należy zawdzięczać rozkład, jaki się objawił w społeczeństwie.

Rozkład ten przychodzi i z drugiej strony: hasła socyalizmu coraz więcej przenikają do sfer robotniczych. Każdy rozsądny człowiek musi przyznać, że między postulatami socyalistów jest wiele rozumnych, zgodnych z zasadami prawdziwego postępu i chrześciańskiej miłości bliźniego, że wiele z nich jest wreszcie bliskiemi urzeczywistnienia. Ale socyalizm międzynarodowy, pod którego sztandarem gromadzą się nasi socyaliści, narusza najżywotniejsze podstawy narodowe i nietylko podsyca waśń społeczną, ale grozi naszym najwyższym ideałom. W chwili, kiedy to piszę, pieśń „Jeszcze Polska nie zginęła“ zagłuszoną została na zebraniu ludowem pieśnią „Czerwony sztandar“.

Oto krótki obraz, do jakich rezultatów doszła Galicya w ostatnich 20 latach, w których zostawała pod rządem konserwatystów, czyli, jak chce p. Koźmian, stańczyków — oto jej olbrzymi rozwój, z jakiego ma się cieszyć i który ma niby zawdzięczać stronnictwu stańczykowskiemu, temu stronnictwu, co to według p. Koźmiana „nietylko na zakrój umysłów i pojęcia **c a ł e g o n a r o d u** znaczny wraz ze szkołą wywarło wpływ, ale także w części Polski austryackiej wytworzyło żywotne, znaczne warunki bytu narodowego.“ Nie, doprawdy, jeżeli stan Galicyi po r. 1870 jest rezultatem tego stronnictwa, to ma się ono czem chwalić....

(Następuje rozstrzygnięcie pytania, co Galicya zyskała na zewnątrz w stosunku swoim do monarchii austryackiej, dzięki stronnictwu stańczykowskiemu. Odpowiedź wypada również ujemnie. Na końcu wywodów swoich przytacza Bartoszewicz następujące *résumé*:

Na tem kończę pobieżne przedstawienie mniemanych dobrodziejstw, jakiemi Galicyę mieli obdarzyć stańczycy, a z przedstawienia tego wynika!

p o p i e r w s z e, że wszelkie prawa narodowe i autonomiczne, jakiemi się cieszymy w Galicyi, zostały uzyskane wcześniej, zanim stronnictwo stańczykowskie na świat przyszło.

p o d r u g i e: że stronnictwo to było tylko składową częścią stronnictwa konserwatywnego i że tylko przez krótki czas trzymało w niem pierwsze skrzypce, bez żadnych rezultatów, bez najmniejszego powodzenia, owszem, przyczyniwszy się do rozbicia konserwatystów.

p o t r z e c i e: że przez cały czas istnienia „bractwa“ stańczyków kraj postąpił naprzód tylko w tym kierunku, w którym naturalny bieg rzeczy do tego postępu prowadził, a na innych polach jest w gorszem dziś położeniu, aniżeli był przed laty trzydziestu (upadek własności i większej i mniejszej, waśń społeczna na wsi, emigracya, socyalizm międzynarodowy w miastach);

p o c z w a r t e: że lojalność kraju względem monarchii i zwrot umysłów w tym kierunku powstały i utwierdziły się przed narodzeniem się bractwa stańczykowskiego;

p o p i ą t e: że od czasu, kiedy stańczycy wystąpili na widownię publiczną, Galicya nietylko nic uzyskała nic pod względem rozszerzania swej autonomii, ale część praw nabytych straciła, że cały przeto program pod tym względem bractwa stańczykowskiego spoczął w pyle zapomnienia.

Z estrady i sceny.

Kaśka Karyatyda.

Melodramat w 6 odsłonach p. Gabryelę Zapolską.

Jeden z młodszych liryków niemieckich, R y s z a r d D e h m e l, ogłosił w ubiegłym roku artykuł o powszedniości motywów, typów i stylu w nowoczesnej literaturze dramatycznej. Utalentowany poeta rzucił w swej rozprawie rękawicę autorowi „Tkaczów“ i „Hanusi“, którego sztuki z błyskawiczną szybkością zdobyły rynek literacki i sceny niemieckie. Dehmel uznaje talent Hauptmanna, lecz twardem i błyszczącem, jak brylant, piórem chłoszcze jego kierunek. Artykuł zrobił sensacyę, — więcej może dla formy kuszącej i przedmiotu krytyki, niż dla donioslości pocisków, skierowanych ku tym wyżynom, gdzie królują „Tkacze.“ Prawda, że innym jest realizm Szekspira, innym realizm Hauptmanna, — prawda, że inne są tematy i charaktery dramatów starego Wila, jakby oderwane od szarej przeciętności życia, jakby dyszące odrazą ku wszystkiemu, co nosi stempel powszedniego smutku, powszedniej walki, powszednich uczuć i namiętności. Lecz nie zapominajmy, że Szekspir był dzieckiem angielskiego renesansu, tej królewskiej epoki typów wielkich i bujnych — Hauptman jest synem okresu niwelacyjnego, gdzie gatunek „homo“ skurczył się nieco i zmalał, a indywidualizmy stały się niewątpliwie różnolitsze, lecz straciły na potędze swojej. W tej odmienności środowiska tkwi, poniekąd przynajmniej, przyczyna odmiennej fizyognomii dawnego i obecnego realizmu. To, co było powszednością dla Szekspira, nie jest powszednością dla Hauptmanna. Inne modele, inne dramaty.

Proste stosunki, proste dusze i proste tragedye, — o! w tem wszystkiem może być ból wielki i wielka potęga. Jest nawet w szarej przędzy codziennych bojów, jakaś odrębność silnie dramatyczna, jest coś, co często obija się o uszy nasze w przysłowiowych niemal wyrazach: „Dziwnie smutne, bo dziwnie powszednie“. Nie temat zatem, nie charaktery odskakujące od szaroty życia stanowią o sile dramatycznej i artyzmie utworów, lecz talent, jedynie talent. Niech tylko mistrz pozbiera powszednie smutki i rzuci na deski, a wstrząśnie nami i porwie dusze tym smutkiem.

Więc nie winię bynajmniej Gabryeli Zapolskiej, że z tak pospolitych typów i stosunków ulepiła swoją „Kaśkę Karyatydę“, nie winię jej, że glinę prostą, zamiast marmuru, użyła do rzeźby stylu swojego, lecz szukam tylko talentu dramatycznego, szukam

St. Czałut

WSPOMNIENIA
z Legii Zagranicznej.

(D o k o ń c z e n i e).

Wsiadając, patrzę w okno wagonu i widzę ku nieopisanej mej radości i niemałemu zdziwieniu twarz adjutanta. Lecz czasu do wyjaśnień nie było, zachowałem me „incognito“, ani ruchem twarzy nie zdradzając wzruszenia i zabrałem miejsce w przeciwległym kącie wagonu.

Całą drogę daleką do Algieru łamałem sobie głowę nad objaśnieniem naszego zgubienia się i znalezienia. Nie mogłem dojść końca tej zagadki, dopiero, gdy pociąg stanął w Algierze, a my wysiadłszy w objęcia się sobie rzucili, nastąpiło rozwiązanie.

Rzecz prosta, ja podówczas wysiadając w rzekomem Relizanes, wysiadłem stacyę za rychło, przeszedłem się potem pieszo do właściwego Relizanes, gdzie Gałecki już dnia poprzedniego przybył i zanocował, ztąd zaś, udawszy się do „les Salines“, szczęśliwie go odnalazłem.

Algier sam jest to miasto przecudne. Przebywszy wiele świata, znając prawie wszystkie europejskie stolice, śmiało powiedzieć mogę, że Konstantynopol piękny, piękniejszy Neapol, lecz najpiękniejszy co do położenia swego i pejsażu to Algier. Niebo tak lazurowe jak pod Neapolem, a morze modre, gdyby najczystszy błękit, obejmuje ogromnym półksiężycem podnóże stromej skały, na której kresach piętrzy się stolica o niezrównanym malowniczym wdzięku. Czternaście takich teras nadaje miastu formę greckiego amfiteatru, wykutego w skale. Poprzecznych więc ulic właściwie nie ma, są to raczej schody w najprawdziwszem słowa tego znaczeniu. Na samym szczycie stolicy sterczy dawniejszy zamek dejów algierskich, najniższa zaś ulica, tuż nad morzem położona, raz po raz w zielony plac się rozszerzająca, to najpyszniejsze bulwary z dumną nazwą „boulevard de la république“. W porcie pełno statków najrozmaitszych narodów świadczy o przemyśle i ważności handlowej Algieru. Tu też spodziewaliśmy się niechybnie napotkać okazyę do Hiszpanii.

Nadzieje zawiodły. Wprawdzie towarowe okręty hiszpańskie były tam liczne, lecz wiadomo, iż statki te pasażerów nie zabierają. Dopiero za dni 10 miał odbić przyszły okręt osobowy do Hiszpanii. Mogliśmy, co prawda, korzystać z okazyi do Tryestu, Hamburga lub Londynu, jednak towarzyszowi memu wydawało się, iż na ten cel nie starczy nam pieniędzy. Gałecki uparł się formalnie, by do Hiszpanii pojechać, postanowiliśmy zatem czekać, aż sposobność się nadarzy.

Razu pewnego wyszedłem na miasto celem zakupienia świeżej bielizny. Towarzysza mego zostawiłem w jednej z licznych gospód dla marynarzy, gdzie częściej obcowaliśmy w nadziei uzyskania prywatnej i spieszniejszej sposobności na połwysep pyrenejski. Gdym wrócił, widzę Gałeckiego w towarzystwie ludzi jak najrozmaitszego typu i zawodu. Byli tam i majtkowie hiszpańscy i robotnicy miejscowi, używani do ładowania i wyładowania towarów okrętowych, negrzy, muzułmanie, Francuzi, słowem zamieszanie i chaos najzupełniejszy. W pośrodku nich siedzi mój adjutant, częstujący całą gawiedź winem i absyntem i rozprawiający żwawo zwłaszcza z jednym Francuzem. Zauważyłem, iż już nie był zupełnie trzeźwym, zbytnia wesołość i rumieniec na twarzy na pierwszy rzut oka świadczyły o tem wymownie.

— Czałucie — rzeknie widząc mnie wchodzącego — jutro pojedziemy do Alikanty z tym tam oto marynarzem!

Spojrzałem na niego i na wskazanego majtka z niedowierzaniem.

— Owszem mój panie, — potwierdza Hiszpan — jeżeli każdy z panów da franków 20, to interes ubity. Kolega Pański czekał tylko powrotu Pana, by wpierw się z nim porozumieć. Myślę, że cena niska panów tembardziej zachęci, bo o ile słyszę pali się panom pod nogami.

tej siły, która ożywia scenę i podbija publiczność. A tego źródła twórczości nie posiada Zapolska. Znaną jest ona przedewszystkiem jako powieściopisarka, a nie ma chwilowo drugiej autorki w Polsce, której dzieła ulegały tylu sprzecznym ocenom i tyle burz, kończących się nawet przed kratkami sądu, niosły w świat literacki. Nie podzielam opinii tych sfanatyzowanych przeciwników naturalizmu, którzy jednem pociągnięciem pióra, jednem lapidarnem słowem o grzebaniu w śmietnikach życia, odmówili Zapolskiej wszelkiego talentu, — przeciwnie, upatruję tam prawdziwą zdolność powieściopisarską, lecz zakutą w pęta ciasnej doktryny. Jest ona jak rzeka, której wodę czystą i głęboką starbowały dopływy francuzkich naturalistów i oto talent bujny i szeroki zamknął się w naśladownictwie i, jak to często zdarza się u zwolenników zasady *„vestigia semper adora“*, u mistrzów swoich zapożyczył głównie ich wady. Z wszystkich wybitniejszych powieściopisarzy naszych Zapolska najczulszą jest na obce wpływy. Z palety naturalizmu czerpie zasadniczą barwę utworów swoich, lecz równocześnie każdy silniejszy kierunek, który pojawi się na zachodzie, znajduje echo w jej księgach. Przypominam sobie, że gdy impresyonizm rozpoczął królestwo swoje w Europie i na ustach wszystkich były „barwne plamy“, wtedy pełno tych „plam“ pojawiło się w jednej z powieści Zapolskiej. Talerz na stole był „plamą“, drzwiczki od pieca „plamą“, krawat na koszuli „plamą“ — plamy i plamy bez końca.

Mimo tej jednostronności nie odmawiam Zapolskiej talentu powieściowego. Umie patrzeć, umie malować, umie splatać węzły romansu. Powieść jednak i dramat, to odrębne światy, — kto żywe rodzi powieści, może martwe rodzić dramaty. Rzadko w literaturze pojawi się talent, co wawrzyn zdobędzie w obu rodzajach twórczości, a rzadziej jeszcze utwór na świat wydany w powieściowych kształtach, posiada cechy artyzmu w dramatycznem przeobrażeniu. Kaśka Karyatyda, jako powieść, ma niewątpliwe zalety. Tam ludzie żyją, naturalistyczna powódź drobiazgów zalewa wprawdzie tu i owdzie piękno i harmonię, lecz tragedya wiejskiej dziewczyny, rzuconej na bruk stolicy, mówi wielką wstrząsającą skargą i krzykiem ludzkiej niemocy. Któż z nas tych głosów nie słyszał? — takie one pospolite, jak krzyże przydrożne, tak strasznie **p o w s z e d n i e**, a przecież za gardło chwytają i duszą.

A dramat? Ani tam życia, ani naprężenia i ruchu. Gdzieniegdzie ból załka i błyśnie łza prawdziwa, gdzieniegdzie uderzy szczegół dobrze podpatrzony, lecz całość wymuszona, o mozaice scen źle poskładanych, bez nerwu dramatycznego i pulsu. Talent Zapolskiej posiada siłę tworzenia tylko w szerokich ramach romansu. Nieskrępowany formą dyalogu i ciasnym gorsetem sceny, buja swobodnie, gromadzi szczegóły, rozpala światła indywidualnego krytycyzmu i z takim przyborem mechaniki powieściowej umie malować barwnie, plastycznie i żywo. Warsztat romansopisarza posiada tysiączne środki tworzenia, z których autor dramatu rezygnować musi, i dla tego niejeden świetny pomysł powieściowy w obręczy kulis zmieścić się nie może, — niejeden z tych, co szerokim pędzlem żywe stosunki i żywych ludzi na tło romansu rzucali, plącze się w ograniczeniu scenicznem i zamiast zwartej całości, buduje zlepki ułamków.

Taki los spotkał Kaśkę Karyatydę. Ten świat suteren i kuchni, który maluje Zapolska, jest oparty na dokładnej obserwacyi, jest zbiornikiem „dokumentów ludzkich“, a mimo to wydaje mi się martwym. Cały melodramat jest jak fonograf recytujący zapiski, które mu odczytała z pugilaresu swego autorka, i jak maryonetka, której ukryty za kulisami reżyser według życiowych wzorów wprawia w ruch ręce i nogi. Jest to zatem prawda mechaniczna, prawda martwo urodzona, i dla tego realizm „Kaśki Karyatydy“ pozostaje zimnym, cudzym, nie łączy sceny z publicznością. Zaledwie gdzieniegdzie krew w żyłach zatętni i naturalnym rumieńcem zczerwieni wargi i policzki, a potem znowu suche trzepanie maszyny i sztuczne kolory.

Z wewnętrzną martwotą sztuki łączy się brak dramatycznej kompozycyi. Szereg rodzajowych obrazków i kilka błyskotek, obliczonych na gusta galeryi, wszystko to wywiera wrażenie krawieckiego wysiłku. Jakieś tam szycie, krajanie, strojenie w guziki i tasiemki, a ostatecznie, mimo igły, miary i żelazka, garnitur miejscami za długi i za szeroki a fason niesmaczny. Sama tragedya bohaterki posiada kilka wzruszających momentów, że tylko wspomnę obraz III w domu rodzicielskim i scenę konania, lecz i ten wątek sztuki nie wypręża się należycie, nie układa w silne węzły dramatyczne. Tak się to snuje wszystko, jak wóz w piasku głębokim, a czego nie popsuła aktorka, to do reszty popsuli aktorzy. Była to przedewszystkiem Kaśka Karyatyda bez Kaśki i bez Karyatydy. Panna **P a n k i e w i c z** nie posiada ani warunków zewnętrznych do tej roli, ani nie zdołała nagiąć talentu swojego, lubiącego stąpać po salonowych posadzkach i podsłuchiwać subtelne dźwięki dusz przecywilizowanych, do dziwnie prostej i zdrowej natury wiejskiej dziewczyny o silnych zmysłach, żelaznych nerwach i pierwotnych instynktach. Zamiast duchowego i fizycznego zdrowia zagrały tam jakieś tony chorej kultury a wręcz niesmaczne wywierało wrażenie bezustanne balansowanie między salonem i kuchnią, udawanie gminnego charakteru, przeciwnego całej istocie artystki.

I cały ten **e n s e m b l e** stróżów i kucharek sobotniej premiery pozostał sztucznym produktem, mimo rozpaczliwych wysiłków przefarbowania swej skóry na kolor suteren i poddaszy. Jest to wogóle nieszczęściem naturalizmu, lubującego się w typach zaułkowych, że wchodząc na scenę, nie znalazł aktorów właściwych, a zanim szkołę wytworzył, już gwiazda jego gasnąć zaczynała. Widziałem wiele utworów tego kierunku, lecz rzadko tylko zdarzyło mi się spotkać aktora, tłomaczącego wiernie postacie nizin społecznych. Niemal wszyscy cywilizowali, karykaturowali lub rozwadniali typy suterenowe, a nigdzie nie znalazłem tak mało realistycznego talentu, jak właśnie na polskich scenach. Z wszystkich artystów „Kaśki Karyatydy“ jeden p. **K r ó l i k o w s k i** zasługuje na wyróżnienie. Jego chłopiec-niemowa, posługacz w pracowni rzeźbiarskiej, był w swoim rodzaju małem arcydziełem. Pan Królikowski umie patrzeć na ludzi i umie wcielać obserwacye swoje. *W. R.*

Spojrzałem na Gałeckiego z wyrzutem, lecz on wesoło zawołał:

— Nie potrzebujesz pan mieć najmniejszej obawy przed tymi poczciwcami, oni nie zdrajcy. Zresztą, ponieważ sami się domyślali, żeśmy zbiegami, przyznałem im nakoniec racyę. Tem serdeczniejsze będzie ich współczucie dla nas.

— Panie Kaźmierzu — odparłem — jeżeli przez całą drogę głupstwa nie zrobiłeś, to zrobiłeś je obecnie, a do tego kapitalne. Czy nie widzisz pan, że naprzeciw ciebie siedzący Francuz każde nasze słowo pochłania. Czy i on wtajemniczony?

— Dziękuję za komplement — rzekł Gałecki — ale nie widzę żadnej w mym kroku niedorzeczności. Nie inaczej, że i moje vis-à-vis słyszało wszystko, nawet właściciel gospody wie, kim jesteśmy, i sam się podjął przenocować nas dla bezpieczeństwa. Zostaniemy więc na noc u niego.

— Ej, ej, panie Kaźmierzu, zobaczysz pan, że jeszcze w samym końcu dostaniemy się w matnię. Lecz piwo nawarzone, będzie je pił ten, który je nawarzył. Co do mnie, ja pod żadnym warunkiem nie pozostaję w tej gospodzie. Postaram się raczej naprawić to, coś Pan mimowoli popsuł. Spuszczałeś się Pan dotychczas zawsze na moją radę, to i tym razem proszę mi zaufać tem bardziej, że dziś Pan wszystko widzisz w zbyt różowych kolorach, — dodałem wskazując na bateryę wypróżnionych flaszek i butelkę z absyntem.

— A pan znów po dawnemu pesymista! Nie widzę najmniejszego niebezpieczeństwa ze strony tych ludzi.

Na przeciw siedzący Francuz zabierał się właśnie do wyjścia. Przechodząc obok gospodarza zmienił z nim spojrzenie znaczące i jakieś niezrozumiałe wyrzekł słowa.

To było rozstrzygającem. Powstałem również i doganiam Francuza przed domem. Interpeluję go niby od niechcenia, czemu tak rychło się oddala i zapraszam do powrotu, a gdy na żaden sposób do tego nakłonić się nie daje, proponuję mu, by nas gdziekolwiekbądź zaprowadził, gdziebyśmy sami w trójkę, „w porządniejszem“ towarzystwie mogli się pobawić.

To połechtanie ambicyi i próżności jego poskutkowało. Wrócił ze mną do wspólnego stołu, gdzie ja, zakomunikowawszy Gałeckiemu cośmy postanowili, na Boga błagam, by poszedł z nami.

— Vis-à-vis pańskie było w drodze po policyę — powtarzam — nie można tego człowieka spuścić z oczu. Powiemy gospodarzowi, że wrócimy później, damy zaliczkę Hiszpanowi na jutrzejszą podróż i wyjdziemy z Francuzem, którego upoiwszy łatwo się pozbędziemy, by potem stanowczo opuścić Algier i z Tunisu już próbować przejazdu do Europy.

Wspomnienie policyi otrzeźwiło do szczętu mego towarzysza. Opowiedziawszy się gospodarzowi i marynarzowi hiszpańskiemu wyszliśmy w trójkę na miasto pod przewodnictwem Francuza.

Miejsce, dokąd nas zaprowadził, było to jednym z osławionych domów rozpusty. Sądząc z wrzawy i zgiełku przed domem przypuścić było można, że to teatr, lub „tingl-tangel“. Od ulicy tylko ciężką draperyą i bogatemi portyerami odłączona, wybudowaną była wspaniała scena, na której dorodne dziewczęta w kostyumach baletniczek ponętne wyprawiały tańce, wabiąc swemi wdziękami licznie nagromadzoną publiczność do wejścia we wnętrze tej świątyni Wenery. Sala, do której się po kilku stopniach schodziło, rzęsisto była oświecona i z przepychem prawdziwie wschodnim udekorowana. Posadzka mozaikowa, śliczne kandelabry, ogromne zwierciadła, fontanna, kwiaty, sofy, fotele, kanapki itd. imponujące czyniły wrażenie. Myślałeś, że się znajdujesz raczej w oranżeryi niż w domu rozpusty i grzechu. Dziewcząt aż dwadzieścia w przezroczystych muślinach przyjmowało gości, to zalecając się, to nęcąc, to prosząc o poczęstne. Żałowałem, iż nie miałem wolnej głowy od kłopotu, zbyt ponętne były czarodziejki, by módz się im oprzeć w młodym wieku i z krwią gorącą. Pytałem kilka z rzędu o miejsce ich urodzenia, każda szepleniąc po francuzku odpowiadała: z Malagi. A że przytem zamiarem naszym było pozbyć się Francuza, nadarzała się tutaj najlepsza, choć arcykosztowna, sposobność. Rafinowane zalotnice i gospodarz ich tak

Koncert Tow. śpiewu pod dyrekcyą prof. Henniga,

(dnia 23-go kwietnia r. b.)

Do najwięcej zasłużonych około podniesienia zmysłu i smaku muzycznego w Poznaniu zaliczyć muszę wybornie zorganizowane przez prof. Henniga Towarzystwo śpiewu. Towarzystwo to wykonało w czasie swego ćwierćwiekowego istnienia najwspanialsze i najcenniejsze utwory literatury muzycznej, wymagające wiele pracy i ofiar tak ze strony dyrygenta jak i członków. W ostatnim koncercie zapoznało Towarzystwo słuchaczów ze sławnem oratoryum Haendla: „Izraelici w Egipcie“. Niespożyta siła i artystyczna wartość tego dzieła spoczywa w chórach wspaniałych, w których kompozytor niewątpliwie na długo jeszcze pozostanie wzorem. Słabą zaś stroną utworów Haendla jest wogóle solowy śpiew, przeładowany po części szablonowemi koloraturami i suchemi, pozbawionemi wdzięku ruladami, które przed przeszło 150 laty zachwycały wprawdzie słuchaczów, dziś jednak straciły dla nas wartość i sztywnemi nam się wydają. Uwzględniając jednak fakt, że i najcenniejsze utwory, czy to z literatury, czy malarstwa, lub innych sztuk pięknych, posiadają zwykle piętno czasu, w którym powstały i ówczesnej mody, i że to wielkiego uszczerbku prawdziwej ich wartości artystycznej nie przynosi, zaliczyć muszę wykonane dzieło Haendla, mimo niektórych przestarzałych ustępów, nie budzących dziś interesu, do n a j w s p a n i a l s z y c h   o r a t o r y ó w   w s z e c h l i t e r a t u r y   m u z y c z n e j. — Kompozytor przedstawił nam w I-ej części smutek i cierpienia ludu wybranego w Egipcie, dalej okropne plagi egipskie, cudowne wyprowadzenie Izraelitów z niewoli i zniszczenie Egipcyan. Część II składa się na wspaniałą i wzniosłą pieśń dziękczynną całego Izraela za wyswobodzenie z ciężkiej niewoli.

Na tle tych smutnych stosunków i dalszych wydarzeń, znanych dobrze każdemu, nakreślił mistrz szereg potężnych obrazów muzycznych, w których tętni cała skala uczuć ludu żydowskiego od czarnego zwątpienia i bezgranicznej rozpaczy, aż do radości w niebiosa bijącej. Obrazom tym nadał kompozytor przy pomocy charakterystycznego i dekoracyjnego akompaniamentu orkiestry, przedstawiającego np. plagi egipskie, przejście Izraelitów przez Czerwone morze itp., łudzącą wierność. Obok tej bogatej sceneryi muzycznej w akompaniamencie, obok głęboko uczonych form w ustępach chórowych, uderza w tym utworze nieraz wielka prostota nuty ludowej. Bogaty zasób myśli i motywów wytworzył jednak pewną rozwlekłość całej kompozycyi, wskutek częstych zaś przeróbek dzieła, pomyślanego pierwotnie inaczej, popadł kompozytor w niepotrzebne repetycye, osłabiające wrażenie estetyczne. To też utwór ten zyskał tylko przez opuszczenie mniej ważnych chórów i nudnych partyi solowych.

Przygotowania do wykonania niełatwego utworu musiały być bardzo gruntowne i staranne, bo chór Towarzystwa dzielnie się wywiązał ze swego zadania. Altystka, p. Thomas, odśpiewała swą solową partye z ciepłem i przejęciem sie, głos jednak, z natury trochę szorstki, nie zadowolił mnie wszędzie; tenor, pan Hintzelmann, śpiewał często przez nos i detonował znacznie; p. Rolle — bas — posiada wprawdzie wielką rutynę i śpiewa muzykalnie, ale głos jego brzmi oschle. Z poznańskich śpiewaków-dyletantów, biorących udział w koncercie, zasługuje na pochwałę sopranistka, p. Dr. Schl..., która Aryę: „Aber Du liessest weh'n Deinen Wind“, z wyjątkiem małej niedyspozycyi na początku, bardzo poprawnie, miłym i przyjemnym głosikiem odśpiewała.

Orkiestra, złożona przeważnie z muzyków 47 pułku, sekundowała po części dzielnie, czy jednak dobranie fortepianu do wzmocnienia oryginalnego — Haendlowskiego — miejscami trochę chudego akompaniamentu, szczęśliwem nazwać można, — wątpię. Organy albo ostatecznie harmonium byłyby tu stosowniejszym instrumentem.

Panu prof. Hennigowi należy się w każdym razie gorące uznanie i szczere podziękowanie za tak staranne i piękne przygotowanie bądź co bądź wspaniałego i prawdziwie wartościowego utworu wielkiego muzycznego epika Haendla.

Edwin Jahnke.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Kongres niewieści.

(Głosy prasy).

Kongres kobiecy odbywał się w ciągu kilku dni w Paryżu. W wielkiej sali pałacu Towarzystw naukowych, tuż obok bulwaru St Germain, zgromadziło się około 500 osób, delegatek, delegatów i widzów. Delegatów i delegatek było przeszło sto; prawie wszystkie kobiety, znane w różnych krajach z ruchu emancypacyjnego, brały udział w tym zjeździe. Reprezentowane były kraje następujące: Włochy, Dania, Holandya, Belgia, Ameryka, Niemcy, Rumunia, Szwecya, Austrya Francya i — Polska. Nie mniejszą od językowej i narodowościowej była różnorodność toalet i wyglądu. Ale i odcieni przekonaniowych politycznych ukazała się cała tęcza, od najumiarkowańszych do najskrajniejszych: filantropki, reformatorki, żądające minimum ulepszeń, obok żywiołów radykalnych; wreszcie arystokratki, jak księżna-wdowa de Castro, bogaczka, jak dobroczynna pani Schook Haver z Holandyi, obok robotnic, jak Leonia Rouzade, jak praczka pani Coutant.

Dla tego zapewne, dzięki tej różnolitości żywiołów składowych, kongres zaczął się od.. zawziętej kłótni o prezydyum. W końcu obrano Nanę Pagnon, francuzkę. Prezydyum honorowe ofiarowano pani Thérèse Deraismes, siostrze zmarłej niedawno bojowniczki o sprawę kobiet, Maryi Deraismes, i panu Leonowi Richer, sprawie sprzyjającemu. Asesorami zjazd mianowałpp. Maryę Szeligę Loëvy, van Kol z Gandawy i pana Eug. Potonié-Pierre, siwego staruszka, założyciela Towarzystwa pokoju międzynarodowego.

Pani Pagnon jest to osoba młoda, elegancka, przystojna, umiejąca taktownem słowem przywołać do porządku mówców i krzykliwych słuchaczów. Otworzyła ona posiedzedzenie mową, w której skreśliła ogólne za-

---

umiał pokierować sprawą, że zapłaciliśmy w dwójkę przeszło 140 franków za szampana, który przy tem przy lichej swej wartości równie był drogi jak nasz pseudoszampan „mousseux“ w lokalach z damską usługą. Wreszcie Francuz oddalił się do jednego z przyległych gabinetów ze swą odaliską. Tę chwilę uważaliśmy za najstosowniejszą do oddalenia się. Uregulowawszy z bólem serca nasze rachunki, wychodzimy na ulicę.

Wtedy wydarzyła się fatalna katastrofa. Trafem szedł Gałecki przodem, ja postępowałem za nim. Nagle przed sceną ujrzeliśmy trójkę żandarmów w towarzystwie Francuza, który widocznie wymknął się niepostrzeżenie z objęć odaliski i sprowadził policyę. Jeden z żandarmów, kładąc swe ramię na adjutancie, głośno się doń odezwał:

— *Vous êtes déserteur, au nom de la république, je vous arrête.*

Na to dodał Francuz, wskazując na mnie: *„voilà l'autre compagnon. Lui aussi est un deserteur“.*

Od razu pojąłem całą sytuacyę. Bez namysłu, stawiając wszystko na jednę kartę, uderzyłem w bok, skoczyłem w poprzeczną ulicę i jak wiatr pędziłem w dół ku morzu, ku bulwarom, sam nie wiedząc dokąd.

Stanąłem nad morzem. Spoglądam po za siebie, żaden hałas nie zdradza, iż pogoń mnie ściga.

Było już rychło rano, kiedy zapukałem do bramy podrzędnego hotelu. Zażądałem numeru i starałem się usnąć. Dopiero o późnej godzinie, kiedy słońce weszło na niebo, sen mnie ogarnął. Spałem wśród obrazów niepokojących, jako zbrodzień lub skazaniec, oczekujący w dzień następny krwawego wyroku.

Kiedym około południa się ocknął, poprosiłem o kawę; podano mi takową wraz z gazetą: „Etoile d'Algérie“. Mechanicznie przeglądam dziennik i — *horresco referens* — widzę notatkę, którą długo u siebie chowałem w wycinku. Oto jej treść:

„Policya nasza jest na tropie dwóch zbiegów z legii zagranicznej. Wczoraj, w ulicy deja, schwytano niemal obydwu. Dzięki zgiełkowi i zamieszaniu jeden z nich wyszedł bezkarnie. Drugi, niższego wzrostu, aresztowany, w drodze do więzienia policyjnego, bez wyznania nazwiska swego, strzałem z rewolweru, którego mu nie odebrano dość wcześnie, koniec swemu życiu położył.“

Struchlałem. Ból szarpnął za serce. Chciałem w pierwszej chwili pójść do władz, wskazać siebie jako drugiego, połączyć los Gałeckiego z swoim, tymczasem zimniejsza rozwaga i zastanowienie wkrótce wzięły górę i determinacya wisielca mną owładnęła.

Tymczasem niebezpieczne położenie stawało się coraz groźniejszem. Przestałem już wierzyć w możliwość szczęśliwego powrotu do Europy. Chwile takie w życiu ludzkiem są zdolne zamienić człowieka albo w bohatera albo w waryata. Okręt pocztowy towarzystwa „*messageries maritimes*“ dzień w dzień odchodził do Marsylii. Choć byłem pewien. iż jechać francuzkim okrętem pocztowym to zguba prawie niechybna, postanowiłem z niego korzystać.

Nad wieczorem zapisałem się w księgi okrętowe Francyi pod fałszywem nazwiskiem: Jean Brandt, peintre d'Amsterdam. Koszula ma bowiem pochodząca od Junoszy Bojanowskiego nosiła wyszyty monogram z koroną J. B. Cudem jakimś nikt nie zażądał odemnie papierów legitymacyjnych. Bilet wydany mi został bez trudności i łódką dobiłem do pocztowego okrętu. Przed odjazdem patrol z 3 żandarmów złożony przemustrował szereg pasażerów, przejrzał bilety i karty, porównał je z księgami okrętu i objął straż bezpieczeństwa podczas przejazdu. Każdy okręt francuzki pocztowy, jak się później dowiedziałem, jedzie pod eskortą żandarmeryi.

Stanęliśmy w Marsylii po niespełna dwudniowej jeździe, podczas której nie wychodziłem z kajuty wcale na pokład, nie jadłem, nie piłem, by jak najdalej zostać od żandarmów.

Bez wątpienia byłem sygnalizowany i listami gończemi zewsząd ścigany. Wiadomość w dzienniku algierskim, długość czasu po za garnizonem koniecznie przypuszczać to kazały.

Dla tego też obawa, że przepłynąwszy morze, utonę na brzegu, była zupełnie uza-

rysy sprawy kobiecej. Przemówienie swoje prezydująca zakończyła słowami: „Francya pierwsza ogłosiła prawa człowieka; czyż ostatnia uzna prawa kobiety?“ Zabiera głos pani Szeliga w imieniu delegatek zagranicznych. Wychwala Francyę, jako przewodniczkę cywilizacyi.

Następnie zaczynają się obrady. Rozumie się — pisze jeden z korespondentów paryzkich — niepodobna mi tu zdawać z nich szczegółowego sprawozdania. Obrady są wogóle bardzo burzliwe, powiedziałbym nawet... nieporządne. Widocznie panie delegatki nie umieją metodycznie pracować. Każdy mówca, bez względu na płeć, występuje ze swemi wnioskami często sprzecznemi, dyskusya odbiega od przedmiotu, audytoryum często hałasuje piekielnie i w końcu, przy głosowaniu, niejedna ważna kwestya zostaje pominięta lub rozstrzygnięta z wewnętrznemi sprzecznościami. Ba! czasem delegatki niezupełnie dokładnie znają kodeks cywilny i inne urządzenia obecne, które zwalczają.

Od zacnej Polki, zajmującej w naszej literaturze znakomite stanowisko — pisze „Reforma“ — otrzymaliśmy w liście z Paryża, z d. 10 bm. następującą charakterystykę kongresu: „Od kilku dni odbywa się tu „kongres feministek“. Z Polek biorą w nim czynny udział dwie głośne propagatorki, panie Szeliga i Mękarska (Munk). Zabawne sceny ośmieszyły ten kongres w opinii poważnych Polaków, zamieszkujących stolicę największej w obecnych czasach demoralizacyi. Dwie francuzki pokłóciły się o prezydenturę. Jedna z nich, chcąc udowodnić prawa swoje, oświadczyła, że jej mąż jest radcą w magistracie. „Mąż! mąż! — wykrzyknęły liczne głosy — niechże tu przyjdzie, niech wesprze żonę, która bez niego nie może sobie poradzić“.

„Pani Mękarska głosowała za wolnemi związkami bez kościoła, a nawet bez mera. Niektóre panie wystąpiły w świetnych strojach, inne — zwłaszcza studentki, w odzieży zaniedbanej. Ztąd podzielono kongres na dwa stronnictwa: „jedwabnych i wełnianych spódnic!“ Byłoby to wszystko bardzo śmieszne, gdyby się serce nie ściskało wobec tylu niedorzeczności, w których biorą udział i Polki nasze, lgnąc do różnorodnych, radykalnych prądów emancypacyjnych, które ani im zaszczytu nie przynoszą odstępstwem od praw i obowiązków właściwych, ani pożytkiem nigdy się nie staną“.

W ostatniej Kronice Tygodniowej „Kuryera Codziennego“ Bolesław Prus, autor „Emancypanek“, w te słowa pisze o kongresie:

„W tym czasie, kiedy „nadobne warszawianki“ na balu wiosennym miażdżyły serca swoich zmizerowanych wielbicieli za pomocą „mglistych spojrzeń i subtelnych uścisnień“, w Paryżu 100 feministek i kilkuset feminiściarzy naradzało się nad feminizmem.

Dla tych, którzy nie wiedzą, dodam, że „feministka“ znaczy — przyjaciółka, czy zwolenniczka kobiet, a „feminiściarz“ jest to taki pan, który uwielbia tylko feministki. Tłómaczy on swoim przyjaciółkom, że dziś — już nie istnieje różnica płci, że kobieta jest to samo, co mężczyzna... Zupełnie jak owczarz, który, strzygąc owieczkę, zapewniałby ją, że wełna już wyszła z mody.

Pamiętam, kiedyś, przed laty, cała płeć piękna oburzyła się na mnie, gdy w najprostszy sposób ośmieliłem się przedstawić sesyę emancypanek.

— To jest paszkwil!... to jest karykatura!... Gdzie autor widział podobne zgromadzenie kobiet!...

Gdzie?... A choćby teraz w Paryżu. Oto jak odbywały się te nadzwyczajne sesye.

Kiedy zebranie mianowało prezydentką sesyi panią Pognon, zerwała się pani Rousade, wołając:

— Tu są doktorki, które powinny prezydować, a nie jakaś tam oberzystka!... (Albowiem pani Pognon utrzymuje pokoje umeblowane).

A gdy sekretarka zarzuciła pani Rousade, że sieje niezgodę, obrażona dama poczęła wzywać na pomoc swego męża.

— Mój mąż — wołała — jest radcą municypalnym i ujmie się za mną!...

Ale mężowi nie wolno było odezwać się na posiedzeniu, które stanowi urzędowy protest przeciw wszelkiemu mieszaniu się mężczyzn do spraw kobiecych. Natomiast odezwał się.. chór studentów, którzy usłyszawszy wezwanie męża, w jednej chwili zoryentowali się i zaintonowali pieśń — o obowiązkach mężowskich.

„Journal des Débats“ twierdzi, że studenci odzywali się ciągle „w sposób grubiański, uchybiając często najprostszym wymaganiom przyzwoitości względem kobiet“.

Po uspokojeniu pierwszych wybuchów wesela jedna z dam zażądała, aby: państwo dostarczało środków na wyżywienie, odzież i naukę dzieci, krótko mówiac: „na tę funkcyę społeczną, która nazywa się macierzyństwem“. Przeciw czemu żywo zaprotestowała inna dama, wołając:

— Cóż to, więc kobiety zawsze mają być dostawczyniami mięsa dla armat?...

Chcąc załagodzić efekt tego odezwania się, a może i zapobiedz ostatecznej zagładzie ludzkiego rodu, feminiściarz p. Robin, oczywiście człowiek młody i zapalczywy, zaproponował „wolną miłość“. Temu zaś sprzeciwiał się już widać nieco starszy i doświadczeńszy pan Léger, zalecając „małżeństwa z miłości“.

Zkąd wzięli się i czego mogli chcieć „feminiściarze“ na sesyi czysto kobiecej? łatwo zgadnąć. Trudniejszem jest do pojęcia: zkąd wzięli się tam studenci, z cechującą ich przytomnością umysłu i bezceremonialnością.

Otóż studentów, właśnie dla oponowania partyi arystokratycznej, sprowadziła pani Coutant, praczka. Za co oni wywdzięczyli jej się w ten sposób, że gdy pani Coutant zaczęła wielką mowę, student p. Mélia odebrał jej głos.

Nowy ten męzki wynalazek natychmiast został przyjęty przez płeć piękną. Więc gdy jeden z feminiściarzy zabrał głos, jakaś dama zawołała:

— Siadaj pan!... Jesteś zanadto brzydki...

Krótko mówiąc, był bal nadzwyczajny i o wiele prześcignął to, co powieści piszą o damskich sesyach.

Nie można powiedzieć, ażeby sejm niewieści składał się z samych ucieesznych i nadzwyczajnych wydarzeń. Owszem, zdarzały się rozprawy poważniejsze, jak: kwestya ułatwienia rozwodów, wsparcia dla ubogich matek i dzieci, zakładania państwowych szwalni, opieki nad zdrowiem robotnic i t. d.

Nie ulega wątpliwości, że z podobnych zebrań jakiś pożytek wyniknąć może: kobiety bowiem poruszają na nich wiele kwestyi społecznych, na które mężczyźni nigdy nie zwróciliby uwagi. Ażeby jednak uniknąć chaosu, jaki panuje dzisiaj, damskie sesye muszą „zróżniczkować się“, tj. podzielić na pewne grupy. Inną bowiem jest rzeczą narada nad losem ubogich matek lub szwaczek, a co innego śpiew chóralny, choćby o obowiązkach mężowskich, albo wniosek o „wolnej miłości“.

Każda taka sprawa powinna toczyć się w odrębnym lokalu: gdzieindziej śpiewy, a gdzieindziej macierzyństwo.

Rzeczywiście, w tem, co dzisiaj nazywa się „kwestyą kobiecą“, widać dwa niezmiernie różne od siebie prądy, które mieszać się z sobą nie powinny, lecz które mieszają się ciągle na feministycznych kongresach. W jednym z tych prądów widzimy kobiety, które chcą być żonami i matkami, a tylko pragną ulepszyć położenie własne i swojego potomstwa. Do drugiego zaś prądu należą kobiety, które nigdy nie chciały czy nie mogły być ani żonami, ani matkami, które do tych obowiązków prawie że nie posiadają kwalifikacyi, a jednak — mają prawo do życia i chcą pracować i żyć.

Myślę, że uniknęłoby się wielu nieporozumień, chóralnych śpiewów i jałowych wniosków, gdyby damy, zjeżdżające się na kongres, miały do narad dwa oddzielne salony. Jeden z napisem: „wolna miłość“, drugi: „małżeństwo i macierzyństwo“.

Jestem zaś prawie pewny, że do tej drugiej izby nie przyszliby ani studenci, ani feminiściarze. Bo jakkolwiek bardzo wielu mężczyzn płeć piękną słusznie uwielbia, do żeniaczki jednak nie każdy ma odwagę“.

---

sadnioną. Czułem, że w Marsylii czyhają na mnie żandarmi.

Wieczorem zbliżaliśmy się do portu marsylskiego. „Francya“ — nasz okręt może o $^1/_2$ kilometra od brzegu zarzuciła kotwicę. Przewóz na ląd stały odbywa się małemi łodziami wprost do przystani, gdzie czerń celników i policyi oczekuje i kontroluje pasażerów.

— Niezawodnie — mówiłem do siebie — czekają na ciebie. Stawiając nogę zmęczoną na suchy ląd Europy, równocześnie oddajesz się w ręce dybiących na ciebie Francuzów.

Postanowiłem zatem zrezygnować z łódek przewozowych. W ciżbie wysiadających nikt mnie nie śledził. Na tylnym pokładzie zsunąłem się wśród cieni wieczornych we fale morza, uczepiłem się łańcucha kotwicowego, odczekałem uspokojenia ruchu pasażerskiego, potem po długiej godzinie czekania w zimnym elemencie przebyłem w pław przestrzeń dzielącą mnie od lądu stałego. Dobiwszy szczęśliwie do brzegu i oschnąwszy przez noc pogodną, rannym pociągiem, gnany furyami, podążyłem dalej ku Lyonowi. Dnia następującego byłem w Genewie, a w tydzień później wyczytałem w jednym z dzienników francuzkich wyrok sądu wojennego, skazujący na śmierć Czałuta.

Poznań, 19 stycznia 1896.

Kronika Wiedeńska.

(Spóźnione.)

Wiedeń, 23 kwietnia.

(Lueger po raz trzeci. — Wesołe więzienie w Budapeszcie. — Rzeźbiarz Tilgner. — Pomnik Mozarta. — Słowo o reklamie wiedeńskiej.)

Przed kilku dniami został *Lueger* poraz trzeci wybrany burmistrzem stolicy. Głosowało 138 radnych, z których 96 oddało swoje wotum Luegerowi, 42 byłemu burmistrzowi Grueblowi. Wybór ten dowodzi, z jaką żelazną wytrwałością i konsekwencyą prowadzona jest walka między partyą antisemitów a partyą liberalną, względnie rządem i koroną. Mamy tu tak naprężone stosunki, że pobyt w Wiedniu przykrym się staje dla wszystkich, którzy nie są krewniakami ministrów, albo urzędnikami ministeryów. Najbardziej odczuwają to położenie Polacy mieszkający w stolicy dla zarobkowania. Tubylcy odnoszą się do nas jak najniesympatyczniej. Żydów polskich otaczają żydzi — Polaków nikt, a najmniej ministeryum spraw wewnętrznych. Ze względu na panujące okoliczności — wszyscy Polacy mający wpływy w rządzie postanowili

rodaków swoich odsunąć od wszelkich protekcyi. „Panie drogi, byle nie teraz, byle nie w tych ciężkich czasach“, — oto są słowa, któremi tłomaczy się każdy poseł polski, urzędnik, a nawet sam prezydent ministrów! Dokąd to trwać będzie, niewiem. Pewnem jest tylko, że ciągle się sytuacya zaostrza. W przyszłym tygodniu ma sam cesarz rozstrzygnąć kwestyę Luegera (Stało się to już, jak wiadomo z codziennych czasopism. Korespondencya niniejsza była wydrukowaną przed otrzymaniem telegramu o chwilowem ustąpieniu Luegera. Przyp. Red.) — potwierdzić jego trzeci wybór albo odrzucić. Co dalej będzie? Chodzą pogłoski, aby zwołać w tej kwestyi sejm Niższej Austryi, ale cóż ci posłowie uradzą? Badeni nie znając stosunków wiedeńskich, narobił poprostu bigosu pierwszem rozwiązaniem rady miejskiej i z miejskiej kwestyi autonomicznej stworzył kwestyę polityczną doniosłej bardzo wagi wskutek szalonej agitacyi. W tych warunkach trudno teraz dojść do ładu, — przyjaciół Badeni zyskał tylko między żydami, nieprzyjaciół w całej publiczności Wiednia, bo nawet Polacy są już przeciw niemu.

W Peszcie, tuż przed otwarciem wystawy jubileuszowej, przezwanej tutaj „Bombastyczną“, wykrywają się tak okropne rzeczy, że mimowoli nabiera się wstrętu do ludzi i rządu węgierskiego. Że o „Morskiem Oku“ nic nie słychać — no, to nic dziwnego, bo prędzej czy później będzie ono węgierskiem, jak de facto jest już niem dzisiaj. Mówią za to głośno o szachrajstwach i grze fałszywemi kartami w „klubie narodowym“ i ciągłych inkryminacyach wzajemnych z tego powodu między... posłami węgierskimi. W każdym niemal telegramie donoszą o jakichś łajdactwach, kradzieżach i rozbojach. Najklasyczniejsze jest przecież to, że z więzienia węgierskiego uciekają w biały dzień złodzieje w rodzaju takim, jak ów sławny rozbijacz kas ogniotrwałych Papacosta. Skazany on był na sześć lat ciężkiego więzienia. Jakie to tam było to więzienie, widać z tego, że Papacosta żył w ścisłej przyjaźni z dozorcami, miał dwa własne ubrania i *cylinder* do wyjścia (!), a kiedy ułożył sobie plan ucieczki, kazał się przenieść jako chory do szpitala i ztamtąd z dwoma również „chorymi“ przyjaciółmi czmychnął! Jakim sposobem — dotąd niewiadomo, dość, że uciekł.

Bardzo wielką stratę poniosła sztuka wiedeńska w skutek śmierci rzeźbiarza *Wiktora Tilgnera*. Człowiek w sile wieku, bo zaledwie w 52-gim roku życia, umarł nagle bez cięższej choroby. Był to doskonały artysta, wprowadził rzeźbę wiedeńską na tory realistycznego pojmowania, a chociaż jako barokista, nie wszystkim się podobał, to przecież stworzył wiele dzieł wartościowych i cennych pod względem logicznego przeprowadzenia i orginalnego pojęcia. Ostatnią jego robotą było wykonanie pomnika dla *Mozarta*. Wczoraj właśnie nastąpiło uroczyste odsłonięcie tej pracy, w trzy dni po śmierci jego twórcy! Szczególny wypadek. Cały Wiedeń, ukochany przez nieboszczyka, miał tedy z jego łaski dwa widowiska: pogrzeb Tilgnera i odsłonięcie pomnika Mozarta. Były to rzeczywiście wielkie uroczystości dla publiczności wiedeńskiej, która tysiącami zaległa ulice, aby widzieć trumnę z ciałem wielkiego rzeźbiarza, — biła się z policyantami, aby wejść do pokoju, gdzie leżało ciało nieboszczyka, — ryzykowała aresztowanie, ale musiała być pierwszą, nawet przed rodziną zmarłego, w kościele, a w trzy dni później zaległa plac, okna i dachy przyległych kamienic, aby widzieć odsłonięcie pomnika Mozarta. I myślicie, że to wszystko z pietyzmu dla śp. Tilgnera, albo miłości dla sztuki? Broń Boże! Sztuka i artyści nie obchodzą Wiedeńczyków ani trochę, dopóki nie dają im... hecy. - „*A Hetz muass da sein! dös is grund!*“ Dla artysty lepiej, że umarł, bo nie czyta idyotycznych krytyk swego dzieła, któreby żydowska reporterya, recte krytycy, pisali; — dzisiaj, wobec zaledwie do ziemi złożonego trupa, trudno przecież wymyślać na pomnik. Więc się pisze od kilku dni, że szkoda mistrza. — Kiedy żył, to się go naciągało w gruby sposób i pisało reklamy, za które musiał płacić wiele, bardzo wiele! Szkoda, że umarł, bo teraz płacić nie będzie. Krytyka tutejsza jest tak rozbestwiona łapówkami, jakie płacą za reklamy aktorzy, a szczególniej aktorki, że wprost wstrętne czyni wrażenie Wszystko, co czytacie o heroinach i subretach *minorum gentium*, wszystko to jest za pieniądze. Każdy portret umieszczony w piśmie jest zapłacony, tak samo jak każda wzmianka. A kto płaci? Często sakiewka, często też cnota i wdzięki aktorki, która je sprzedaje więcej dającemu. I nikt się temu nie dziwi, przeciwnie nielubianą jest aktorka uczciwa, która nie jest metresą! Z Wiednia i Paryża przeniosła się ta moda i do Warszawy, — tylko tam nie doszło do tego jeszcze, aby redaktorzy jawnie i bezwzględnie upominali się o zapłatę. Z moskalami — jeżdżą już niektóre nawet publicznie i dobrze im z tem....

Xi.

Listy z Berlina.

(Hammerstein. — Hypokryzya jego. — Alter ego. — Wystawa).

Berlin, 29 kwietnia.

I oto zasiadł na ławie oskarzonych jaśnie wielmożny pan baron von Hammerstein. On, który przez tyle lat drapował się w togę szermierza moralności i porządku, który z trybuny parlamentarnej i z redakcyi na Wilhelmstrasse wygłaszał kazania tchnące duchem ewangelii i naszpilkowane cytatami z Biblii, siedział obecnie obok woźnego sądowego jako oszust i rozpustnik. Obdarzony jednak miedzianem czołem, siedział on i teraz dumnie, z pięknie ufryzowaną głową, z zakręconemi wąsami, jak niegdyś w Reichstagu, gdzie tak energicznie grał rolę cenzora obyczajów. Wogóle, zdaje się, całe nieprzyjemne zajście, tułaczka po obcych krajach, powrót na łono ojczyzny w towarzystwie ajentów policyi i spędzenie kilku tygodni w więzieniu, nie oddziałały zupełnie na potężnego barona. Pozostał on tym samym, co niegdyś, junkrem, który posługuje się wszelkiemi środkami dla osiągnięcia swych celów. Podobnie jak niegdyś starał się oddziaływać na serca i obudzić religijne uczucia, gdy szło o spotęgowanie wpływu swych braci i mydlenie oczu opinii publicznej, tak dziś cytował św. Pawła, by udawać wstrząśniętego żalem grzesznika. Podobnie jak niegdyś starał się rozczulić słuchaczów smutnym obrazem nędzy wschodniopruskich feodałów, tak dziś uderzał w strunę litości, udając złamanego starca, stojącego u krawędzi grobu, chociaż, jak zapewniają pisma, złamany starzec pochłania tak sute obiady, iż wprowadza tem w podziw stróżów więziennych. Podobnie jak niegdyś w listach obrażał majestat cesarski za to, że rząd nie chciał złożyć na ołtarzu junkierskim dobra swego narodu, tak dziś groził ujawnieniem niemiłych dla rządu tajemnic w razie, jeśli sędziowie nie zdejmą opaski z oczów Temidy, by ujrzała, iż ma przed sobą wodza konserwatystów i redaktora „Gazety Krzyżowej“. Gdy się patrzało na Hammersteina i obserwowało jego zachowanie się w sądzie, otrzymywało się wrażenie, iż się ma przed sobą typowego junkra; był on nim bowiem aż do najmniejszych szczegółów. Gdy otaczające go w partyi lub redakcyi osoby zaglądały mu do kart i domyślały się jego malwersacyi, zmuszał ich do milczenia, przystawiając im, jako mistrz pojedynków, rewolwer do piersi. Jest to kość z kości i krew z krwi tych samych junkrów, co ściągnęli przed tygodniem na siebie w parlamencie gromy oburzenia za naigrawanie się z kodeksu karnego przez przelewanie krwi niewinnej w pojedynkach. Tylko taki mistrz fałszerstwa mógł być wodzem partyi, która bierze na siebie rolę patronki moralności, podczas gdy sama brnie w błocie przewrotności. Tym ludziom, mającym, jak niegdyś filozofowie, podwójną naukę eksoteryczną i ezoteryczną, jednę dla mas i jednę dla siebie, byłby niepotrzebny mąż o spiżowych przekonaniach. Nadawał się doskonale na wodza prawicy ten, który w parlamencie przywoływał gniew Boży na grzeszną ludzkość i który po tej mowie, jak opowiadają pamiętniki jego bogdanki, szedł szukać spoczynku w objęciach uwiedzionej dziewczyny. Gdy zaś panna Flora pytała się barona, jak może Hammerstein, grzesznik od stóp do głów, wygłaszać filipiki przeciwko demoralizacyi, baron odpowiadał ze spokojnym cynizmem: wszak na to jestem deputowanym i redaktorem. Partya konserwatywna może być dumną z takiego mistrza. Postawił on, jak opowiadał w sądzie, zasadę, iż partya ładu i porządku powinna iść ręka w rękę z rządem, lecz dla zyskania sympatyi „bydła głosującego“ udawać od czasu do czasu grupę opozycyjną. Dziś, gdy wstępne artykuły pisuje niewinny duchem Kropatschek, a nie bezczelny, butny i hytry Hammerstein, perory wydają się blademi a blaga razi. — Junkrzy wydali dotychczas mało zdolnych ludzi. Obok Hammersteina zabłysnął Bismarck, jego kamrad i dobry znajomy z Friedrichsruh. Jeden podrabiał weksle i rachunki, drugi sfałszował Emską depeszę w r. 1870. Jeden perorował i brnął w rozpuście, drugi wypędzał ludzi z ziemi ojczystej i gwałcił sumienia, a potem mówił, iż „my Niemcy nie boimy się nikogo oprócz Boga“. Oprócz Boga! Wer lacht da? Tamten posługiwał się pistoletem, gdy nie miał innych środków, to samo czynił kanclerz „narodu myślicieli“. Bismarck opowiadał niedawno, iż przed kilkudziesięciu laty przybył do izby deputowanych z rewolwerem i pokazując takowy posłowi Vincke'mu, zagroził, że zastrzeli go, jeżeli zaprojektuje abdykacyę Fryderyka Wilhelma IV. Obydwaj nienawidzieli światło i wolność i z pianą na ustach mówili o Francuzach i Polakach.

Rozwodząc się tyle o Hammersteinie, grzeszę przeciwko aktualności. Nad osobą jego Berlin dawno już przeszedł do porządku dziennego, gdyż dziś wszystkie umysły zaprząta jedna sprawa, — nadchodząca wystawa przemysłowa. Gdziekolwiek się obecnie w Berlinie obrócisz, wszędzie odbija się o twoje uszy pytanie: uda się, czy nie uda? Jest to dziś alfa i omega berlińskiego życia do tego stopnia, iż ktoś zaproponował, aby na pierwszy czas wystawy zamknąć sejm i izbę deputowanych, gdyż Berlin nie jest zdolny zająć się czemkolwiek, co nie ma styczności z wystawą. Jedna część prasy zawodzi w niebogłosy, iż Berlin nie jest jeszcze przygotowanym do przyjęcia gości, druga robiąc „gute Miene zum bösen Spiel“, wychwala, co sił starczy, wystawę. Z niektórych projektów zrezygnowano zupełnie. Tak np. ad acta odłożono projekt zbudowania podziemnej kolei pomiędzy Stralau a Berlinem. Zamiast dwóch elektrycznych kolei, prowadzących do wystawy, Berlin zaprezentuje tylko $1\frac{1}{2}$, gdyż jedna linia tymcza-

sem przynajmniej jest zaledwie wykończoną do połowy. Wystawa zaskoczy również w negliżu kilka mostów. Najwięcej zmartwienia sprawia berlińczykom niewykończenie mostu, przerzynającego pryncypalną Friedrichstrasse, tak zw. Weidendammerbrücke, i złośliwie przeinaczonego na „Galgenbrücke“.

Komitet obraduje obecnie nad tem, jak na gwałt drogę prowadzącą do wystawy, obrócić w pyszną *via triumphal'*s. Wszystkie te usiłowania atoli spełzną na niczem; jakkolwiek postanowiono rozstawić po drodze obeliski i rozwiesić girlandy, nieoka załość ulic przylegających do wystawy nie da się niczem zatuszować. Wystawa ma przynajmniej jedną dobrą stronę: zniewala berlińczyków do szczerości. Gdybyś kiedykolwiek zarzucił berlińczykowi niegościnność jego współobywateli, otrzymałbyś w odpowiedzi w najlepszym razie słowa oburzenia. Dziś zaś pisma tutejsze zaklinają otwarcie berlińczyków na wszystkie świętości, a więc przedewszystkiem na powodzenie wystawy, by się pozbyli swej przyrodzonej rubaszności w obec cudzoziemców, by im chętnie pokazywali drogę (Berliner Lokal-Anzeiger), by nie kpili z nich, jak to zwykli czynić (Berliner Ilustrirte Zeitung) itd. Ogłoszono w pismach niedawno instrukcye dla konduktorów tramwajowych, którzy mają obecnie nieco zwiększyć swą grzeczność. Gdy ktoś wskakuje do tramwaju i nie znajduje miejsca, nie należy go natychmiast spychać. Konduktor, zamiast wyśmiewać niezgrabnie zeskakujących pasażerów, powinien im przyjść z pomocą i pytającym udzielać żądanych informacyi. Jeżeli wszystkie te rady poskutkują, to wystawa będzie miała pedagogiczne znaczenie dla berlińczyków, gdyż obdarzy ich zaletami, które w znacznym stopniu można napotkać u francuzów, stawianych obecnie za wzór gościnności i uprzejmości berlińczykom. Wystawa jest wielką klęską dla *chambre-garnist'ow* których „Drang nach Westen“ przypada na 1-go maja. Gospodynie bowiem ze wschodniej dzielnicy Berlina, z okolicy wystawy, spodziewając się wielkich zysków od obcych, wymówiły mieszkania swym lokatorom, chambre-garni'stom, i zmusiły ich do ucieczki na zachód. W skutek tego „*Exodus'a*“ nastąpi zwyżka komornego od meblowanych pokoi, nietylko w wschodniej części, lecz i w innych dzielnicach, dokąd zaczną się przenosić ofiary wystawy.

M.

TO I OWO.

Literacka „vendetta“.

Czytelnikom „Przeglądu“ znanym jest niezawodnie ów krwawy skandal, który w najświeższym czasie wydarzył się w literackim świecie Warszawy. Pan Grajnert ogłasza romans, pan Buchner redaktor „Muchy“ pisze z powodu tego satyrę, — oto zawiązek tragedyi. Powieściopisarz napada redaktora, redaktor broniąc się strzela i zabija napastnika — oto ciąg dalszy dramatu. Epilog rozegra się niebawem przed kratkami sądowemi. Jest coś potwornie bezmyślnego w tym fakcie, który sprawia śmierć jednego i karę kryminalną drugiego człowieka. Obawiam się, ażeby ten wypadek nie wywołał znów rozpraw o „honorze“ i „godności“ prasy. Nie myślę się rozwodzić ani nad jednym, ani nad drugą, bo nie lubię rozmawiać o fikcyach. Można wtenczas mówić o odpowiedzialności prasy, gdyby jej członków łączył duch korporacyjny w jakąś solidarną jedność, podległą tem samem dyscyplinie moralnej. Dziś jest to zbiór, a raczej liczba indywiduów, dobrych i złych, gorszych i lepszych, ściślejszemi i określonemi węzłami nie połączonych. Prawnej, ani etycznej osoby ten zbiór nie stanowi. Nie wylewajcie więc, szlachetni „przedstawiciele prasy“, łez krokodylich, bo kogoż właściwie czynicie odpowiedzialnym? Lecz po za tem fakt, logicznie i etycznie widziany, jest bardzo gnębiący i przykry.

Nie czytałem *Zbrodniarza, romansu z życia warszawskiego* p. Władysława Grajnerta. Kilka razy miałem w ręku *Muchę* p. Władysława Buchnera. Przypuszczam, że gdyby jeden nie napisał zbrodniarza, drugi nie redagował Muchy, gdyby jeden i drugi nic nie pisali i nic nie drukowali, umysłowość, romans lub humorystyka nasza nic byłaby przez to wiele uboższa; ci młodzi zaś, podobno energiczni i żywi ludzie, mogliby zostać pożytecznymi komuś lub czemuś pracownikami.

W tem właśnie widzę potworną bezmyślność: ci ludzie zabijają się dla jakiejś fikcyi, dlatego, że coś piszą, coś drukują, coś, co bardzo wątpliwy pożytek, pewną zaś szkodę naiwnym przynosi.

„Panie Graj. panie Nert,
Pegaz twój, to lichy Pferd
Panie Nert, panie Graj,
Dalszym ciągom pokój daj“.

Taka jest ostatnia strofka wiersza, który wywołał katastrofę. Czy tu widzicie humor, dowcip lub ironię? czy to jest pisane po polsku?

Działaczowi publicznemu wypadnie stać niekiedy cały szereg lat pod pociskami codziennych obelg. Coby to było, gdyby nie dostrzegał logicznej proporcyi między przyczyną i skutkiem, gdyby rzucał się z wściekłością za lada ukąszeniem? Doprawdy, że zawód autorski, i w mniejszym i w większym zakresie traktowany, łatwo wykoleja ludzi, niepowołanych i nieprzygotowanych do niego.

* * *

Recenzenci i aktorzy.

Przed niedawnym czasem toczyła się w sądzie wiedeńskim ciekawa, a potrosze i zabawna sprawa. Niejaki Golber, dziennikarz, nawiasem mówiąc z pod ciemnej gwiazdy, oskarżył znanego artystę dramatycznego Ferdynanda Bonna o kradzież, a mianowicie zarzucał aktorowi, że mu skradł „pojęcie“ roli Ryszarda III. Rzecz jasna, że sąd uwolnił obwinionego, w toku jednak rozpraw sądowych okazało się, iż artysta darował dziennikarzowi swoje fotografie z pełnemi zapału dedykacyami i pisywał do niego listy, w których nie szczędził mu najpochlebniejszych epitetów. Sprawa ta spowodowała znanego wiedeńskiego krytyka teatralnego Hermana Bahra do wypowiedzenia następujących, choć nie ze wszystkiem słusznych, to jednak w każdym razie oryginalnych uwag o stosunku aktorów do recenzentów wogóle:

Nie chodzi tu wyłącznie o Bonna. Cały stan aktorski zapomina w stosunkach z recenzentami i dziennikarzami zupełnie o swej godności. Należy to zaznaczyć, już z tej prostej przyczyny, aby nas usprawiedliwić, a przynajmniej uniewinnić, jeśli stopniowo pozwalamy się psuć przez aktorów.

Mówią dość powszechnie, iż dziennikarze są bezczelni. Lecz któż ich uczynił takimi? Jeśli niektórzy z nas nie posiadają się z zarozumiałości, to czyjaż w tem wina, jeśli nie tych bezustannie schlebiających, łaszących się i płaszczących histryonów? A jeśli pomiędzy nami znajdują się jeszcze spokojni i rozumni ludzie — zawdzięczają oni to samym sobie; bo aktorzy uczynili wszystko, co w ich mocy, aby nas sprowadzić na manowce.

Wobec jednostek, należących do świata dziennikarskiego, zachowują się aktorzy, jak lokaje. Publiczność szersza nie ma o tem najmniejszego wyobrażenia. Byłem jeszcze studentem, gdy pełen świętego zapału, a jednocześnie i nieświadomości, pisałem pierwsze moje recenzye.

Przybył Haase na gościnne występy, sławny Fryderyk Haase, wówczas już człowiek w podeszłych latach, który śmiało mógłby być moim dziadkiem. Byłem mało wybrednym, podobała mi się jego gra i chwaliłem go bez miary. Dnia następnego nadszedł list do redakcyi (krytyka była bezimienną), zawierający fotografię z dedykacyą: „Mojemu nieznajomemu dobroczyńcy“. Osłupiałem. A przecież „dobroczyńca“, pisze aktor, nie myśląc sobie nic przy tem. Wówczas nie wiedziałem jednak o tem. Stopniowo dopiero przekonałem się, często ku niemałemu memu smutkowi. Na fotografiach, które mam u siebie, znajduje się napis: „mojemu genialnemu przyjacielowi“. Przypatrując się im, mówię sobie często w duchu: jeśli jestem tak genialnym, jak jestem twoim przyjacielem, mój drogi, to genialność moja nie jest warta funta kłaków. Piszą do ciebie natychmiast, jeśli ich przypadkiem nie schlapiesz: „Oddałeś mi pan nieocenioną przysługę“.

Gdybyśmy wierzyć chcieli ich listom, musielibyśmy uważać się za ich nauczycieli, którym zawdzięczają wszystko; sami z siebie nie byliby niczem. Zważyć, co prawda, wypada, że słów aktorów nie trzeba brać zbyt tragicznie. Ich rzemiosło przynosi to z sobą, że zatracają poczucie słów. Przyzwyczaili się do tego stopnia posługiwać całemi mowami, że nie potrafią już ocenić wartości pojedyńczego słowa. Żaden wyraz nie jest dla nich dość silny; rzemiosło obniża u nich wartość mowy. Gdzie my powiemy: „człowiek ten nie jest dla mnie zbyt przyjemnym“, wołają oni zaraz: to łotr!; a tego, kto im odbierze rolę, uważają za swego mordercę.

Tak więc, nazywając kogoś genialnym, chcą prawdopodobnie wyrazić tylko, że nie jest on analfabetą; a kto zachowuje się wobec nich uprzejmie, tego już nazywają swym dobroczyńcą. Ale pomijając już, że nie znają najmniejszego respektu przed wielkiemi słowami, bo nie oceniają ich wartości, to nie brak i innych objawów upodlenia. Przypatrzyć się tylko potrzeba ich zachowywaniu się wobec recenzenta, dajmy na to, w kawiarni. Skoro się pojawi recenzent, rzucają się hurmem ku niemu; jeden podaje mu krzesło, drugi ognia, trzeci dziennik itp. z namaszczeniem słuchają każdego jego słowa i nagradzają homerycznym śmiechem każdy jego, choćby najmarniejszy dowcip. Jest to wprost oburzające.

Mówią wprawdzie, że biedni ci ludzie chcą żyć i nie mogą się narazić na niechęć krytyka. A jednak nie jest to wcale prawdą! Najpotężniejszy, najwpływowszy nawet recenzent nie jest w stanie zgnębić stale rzeczywiście dobrego artysty; z drugiej znów strony nie ma krytyka, któryby potrafił z marnego aktora zrobić dobrego artystę. A choćby nawet i tak było, — nie uniewinni to jeszcze żebraczych umizgów aktorskich. Piszę przecież także o malarzach, mogę szkodzić malarzom i obcuję z malarzami, a żaden z nich nie powiedział mi jeszcze, że jestem jedynym człowiekiem pod słońcem, który rozumie rzeczywiście tę sztukę, co, jak wiadomo, każdemu recenzentowi teatralnemu powtarza codziennie każdy aktor.

Samowolne to degradowanie się aktorów wytwarza też fałszywe pojęcie o stosunku pomiędzy krytycznym znawcą a tworzącym artystą. Niektórzy krytycy chcą uchodzić za nauczycieli aktorów. Jest to po prostu nonsensem. Nie było jeszcze wypadku, aby aktor „nauczył się“ czegośkolwiek z krytyki — i nieprawdą jest, jakoby kry-

tyk mógł się przyczynić do „wytworzenia“ rzeczywistego artysty. Zapewne, że recenzent powinien być nauczycielem, lecz do publiczności, nie do aktora, powinien się zwracać ze swą nauką. Publiczność powinien kształcić, publiczności może on pomagać i publiczność teatralną wytworzyć mu wolno. Nie przemawia on do aktora lecz o aktorze mówi do publiczności. Do jego zakresu należy piecza nad smakiem publicznym; niechaj temu smakowi nadaje prawa — i podług tego jedynie ocenia aktorów, o ile oni czynią zadość tym prawom. Nie jest jego rzeczą zajmować się poprawianiem, rozwijaniem i kształceniem aktorów. Zadaniem recenzenta nie jest ich uczenie, lecz sądzenie.

Wywody swe kończy Bahr następującą uwagą, dotyczącą różnicy w zadaniu krytyka a aktora:

„My wyrażamy wszystko w myślach, oni — w kształtach; a nie można myśli równać z kształtami, ani też kształtów z myślami. Tak więc jeden drugiemu nic dać, ani nic wziąć nie może — i najlepiej będzie, jeśli każdy pozostanie w swym zakresie, nie sprzecza się z drugim, trzyma się w swych granicach, tworzy dla siebie i nie przeszkadza sąsiadowi“.

NA WYŁOMIE.

(Henryk Nitschmann. — Curiosum i cud.)

Chcę dzisiaj mówić o *Henryku Nitschmannie.* Spóźniam się nieco, bo tydzień już minął od chwili, w której poeta obchodził 70 rocznicę urodzin swoich, lecz gdy słowa te zawitają w Elblągskie ustronie, gdzie Nitschmann z skrzypcami w ręku muzyką mistrzów klasycznych błogosławi wiosnę zmartwychwstającą, nie chciałbym, aby wywierały wrażenie biletu wizytowego. Nie lubię urzędowych ceremonii, nie lubię wraz z tłumem gości oddawać karty oficyalnej, i nie lubię pisać na sygnał, na komendę: — urodziny więc winszuj! Przed tygodniem nie znalazłem Nitschmanna w kałamarzu swoim, a gwałtem nie chciałem naginać myśli, błąkającej w arenie politycznych bojów, do konwencyonalnego hołdu dla mistrza-poety. Lecz dziś w starych szpargałach znalazłem ćwiartkę papieru, a na niej wierszyk maleńki, — pamiątkę z lirycznej epoki życia. Człowiek się przywięzuje do takich drobiazgów. Brzmią one jak echo wiosny umarłej i są jak kwiaty uwiędłe, na które nieraz łza gorzka się stoczy. Wierszyk o Nitschmannie, — ot! pospolitych rymów kilka — lecz rozegrały one mi w duszę jakąś muzykę, której nie słyszałem już dawno, wydarły rój wspomnień z cichego zamknięcia i myśl wróciły w te czasy, gdzie człowiek tak bezgranicznie kochał, tak gorąco marzył i tak silnie wierzył, że życie złoży mu w dani

„Die Liebe mit dem süssen Lohne,
Das Glück mit seiner Sternenkrone,
Die Wahrheit in der Sonne Glanz.“

To wszystko się rozwiało — bańki mydlane! Została garść poezyi, niemych świadków dawnych porywów, a wśród tych pamiątek wierszyk o Nitschmannie.

Pamiętam, — byłem wonczas prymanerem, — gdy wpadł mi poraz pierwszy do ręki „Polski Parnas“ tego poety. Wczytywałem się długo w czarujące dźwięki Nitschmannowskich przekładów, — jak ten język twardy gnie się pod jego piórem, jak wzbiera falą płomienną, jak łka i śpiewa! Więc i dusza młodego chłopca rozśpiewała się w tym Parnasie i w szczerych, choć nieudolnych strofach wypowiedziała swoją cześć i miłość temu, co z poezyą narodu polskiego w ręku stawać miał na ziemi niemieckiej i wołać:

„Kto mówi, że umarł? On śpiewa swe dumy,
Kamienie słuchają i płaczą,
I dęby germańskie rozwiały swe szumy
W pieśń wielką nad rzeszą tułaczą.“

Mój Boże! Wonczas wierzyłem jeszcze, że pieśnią natchnioną można zmienić kierunek polityki, wierzyłem, że gdy najszlachetniejsze syny narodu niemieckiego potężnym głosem poezyi wniosą orędzie za Polską, — to kanclerz żelazny, zamiast zgrzytającego „Ausrotten“, zanuci piosnkę legionów. Cóż chcecie? miałem lat 18. Kochałem Nitschmanna nietylko jako poetę, lecz jako obrońcę ojczyzny naszej i wierzyłem święcie, że przekłady jego zbudzą ten sam entuzyazm dla sprawy polskiej, jak niegdyś poezye Mosena, Platena, Gottschalla i Malwitza.

Z tych uczuć popłynął mój wierszyk. Posłałem go Nitschmannowi, a przewidując z góry, że powita Horacyuszowskim uśmiechem tę prymanerską poezyę, wypisałem na czele własne jego słowa z przekładów „Hymnów boleści“ Kraszewskiego:

„Klängen jemals meine Lieder
So aus meiner Seele wieder
Wie sie Gott hineingesenkt!
Ach, es sind ja jene Laute,
Die, was tief mein Herz erbaute,
Künden sollen, so beschränkt;
Können blass und ohne Leben
Weder mich noch euch erheben.

Być może, że cytat ten pogodził ze mną poetę, chociaż — przyznaję to dzisiaj otwarcie — „Hymny boleści“ nie należą do najcenniejszych perełek „Polskiego Parnasu“. Są tam inne melodye o dźwięku przedziwnie pięknym, tak pełne, subtelne i tak wierne w naśladownictwie swojem, że gdyby zginęły orginały, możnaby je prawie według przekładów odtworzyć. Od lat kilkunastu niestety zamilkła lutnia Nitschmanna, — literatura polska pozostała jednak jego ulubionem zajęciem. Rezultat badań swoich złożył on w historyi piśmiennictwa naszego, wydanej w Lipsku w r. 1888, a książka ta, lubo orginalnych przyczynków nie zawiera, jest znakomitym pośrednikiem między narodem polskim a niemieckim. Nitschmann zna nietylko literaturę naszą, lecz zna lud, zna dzieje, zna charakter Polaków, i pisząc historyę piśmiennictwa, złożył w niej psychologię narodu. Na palecie stylu swojego posiada Elblągski poeta Makartowskie barwy, a niekiedy takim blaskiem rozświetli głębiny poezyi polskiej, taką plastykę wydobędzie w sylwetkach ludzi i charaktery styce utworów, że równie intenzywnych świateł i silnych konturów szukamy napróżno w polskich podręcznikach literatury. Te same zalety spotykamy w interesujących artykułach Nitschmanna, rozrzuconych po fachowych czasopismach jak: Centralblatt für Literatur, Allgemeine Kunstchronik, Magazin für Literatur des Auslandes, itd. Są tam świetne przeglądy najświeższych wydawnictw polskich, zdradzające wybredny smak subtelnego estetyka, i jest jakieś wielkie tchnienie humanitarne, unoszące się wysoko ponad skłóconym gwarem szkół i obozów, ponad klatkami koteryi, ponad zgrzytem stronniczych uprzedzeń. Nitschmann czci piękno, gdziekolwiek je znajdzie, czy w chrześciańskim kościele, czy w świątyni pogańskiej, czy u wyznawców starego porządku, czy pod czerwonym sztandarem rewolucyi. To duch helleński, umysł słoneczny i wielki, kochający poezyę i piękno.

A jednak właśnie te najjaśniejsze strony talentu i krytycyzmu jego zgotowały mu u jednego z poznańskich heroldów klerykalizmu i lojalizmu kwaśną przyganę. Pan dr. **W ł a d y s ł a w Ł e b i ń s k i** uważał za stosowne przyczepić do artykułu o Nitschmannie, zamieszczonego w „Kraju“ petersburskim, następującą uwagę:

„Człowiek pracujący w danym kierunku na polu literatury polskiej, musiał oczywiście szukać stosunków z uczonymi i literatami polskimi. *O ile ich znaleźć nie mógł w mniej dostępnych zwykle „wyżynach“, o tyle narażony był musiał na wpływ chętnie się nastręczających „żywiołów minorum gentium, spokrewnionych duchem z politycznym i literackim liberalizmem niemieckim“.*

Dziwne te słowa brzmią tem dziwniej w ustach człowieka, który niedawno jeszcze należał do wyznawców najskrajniejszego liberalizmu i w ś. p. postępowym „Dzienniku Poznańskim“ oraz w redagowanym przez siebie „Wiarusie“ bił się z klerykalnem stronnictwem w obronie wolnodumstwa swojego. I stał się cud! Pan dr. Łebiński należał wonczas według własnego wyznania do literackich *„żywiołów minorum gentium“*, lecz skoro tylko poczuł w sobie święty płomień nawrócenia, wstąpił w mgnieniu oka na literackie „wyżyny“. Jest zatem recepta na talent. Klerykalizm to balon wznoszący w mgnieniu oka każdą miernotę na szczyty nauki i sztuki. Panie Rozbicki! jeżeli jesteś liberałem, nawróć się, a ręczę ci, że jutro, według recepty p. Łebińskiego, zostaniesz Mickiewiczem.

Sulla.

KRONIKA POWSZECHNA.

Teatr i muzyka. Część trupy poznańskiej urządziła kilka przedstawień w Gnieźnie z średniem powodzeniem. W najbliższy poniedziałek rozpoczyna się stała wędrówka artystów naszych po miastach prowincyonalnych. — Dziś w sobotę, urządza miejscowe Tow. Sokół koncert na sali Lamberta. Program jest nader urozmaicony, a popyt na bilety wielki. — W Warszawie odbył się koncert jublileuszowy Towarzystwa muzycznego. W koncercie tym przyjęło udział dwóch dawniejszych dyrektorów: Wieniawski i Zeleński, oraz obecny dyrektor Noskowski. — Dzięki energicznej inicyatywie pp. Konopaska i Pileckiego złożył komitet warszawskiej wystawy hygienicznej orkiestrę z żywiołów miejscowych, liczącą obecnie 50 członków. Utrzymanie tej orkiestry kosztować będzie 30000 rsr. — Wobec niechęci ujawniających się w szerokich kołach do obecnego kierownictwa sceny poznańskiej, pożądanem jest, aby reflektanci do berła dyrektorskiego w teatrze poznańskim w jak najkrótszym czasie składali oferty swoje do rady nadzorczej. Nadmieniamy, że roczna subwencya, udzielana przez Tow. Pomoc, wynosi obecnie 7000 mrk., a wzrośnie niebawem do 9000. Dyrektor nie potrzebuje rozporządzać wielkiemi kapitałami. Posiadając kilka tysięcy marek na kaucyę i odświeżenie garderoby, sprężysty i fachowy kierownik może objąć ster teatru naszego z znacznemi widokami finansowego powodzenia. Rada nadzorcza jedynie z tego powodu nie usunęła dotychczas pana Dobrowolskiego, że nie zgłosił się żaden kandydat na urząd dyrektora.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Muzyk. To twierdzenie Kuryera jest błędnem. Literatura polska posiada „Historyę muzyki“ przez Karasowskiego, oraz dzieło Brendla, przełożone i uzupełnione przez Zeleńskiego. Oprócz tego mamy kilka cennych monografii z dziedziny historyi muzyki (Szulz, Karasowski).

Autor „Listu z Poznania“. Znamy dobrze naiwność tych osób, graniczącą z megalomanią. Niebawem znajdziemy sposobność ogłoszenia w tej kwestyi kilku ciekawych rewelacyi i dla tego uwag Pańskich na razie nie zamieszczamy. Satyryczny wierszyk Pański o „masculinum, femininum i neutrum“ nie kwalifikuje się do pisma naszego.

Abonentka. Życzeniu pani stało się zadość w niniejszym numerze. Przekładów z angielskiego na razie przyjąć nie możemy, bo posiadamy w biurku kilka orginalnych utworów.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28

Nr. 19. Poznań, niedziela 10-go maja 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: ul. Wilhelmowska 28.
(Drukarnia J. Fr. Tomaszewskiego.)

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Wilhelmowska 28. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

TREŚĆ.

Kwestya solidarności poselskiej.

W niektórych pismach poznańskich pojawiło się znowu żądanie, by po upływie kadencyi posłowie nasi do sejmu i parlamentu złożyli sprawozdania wyborcom. Jeżeli zważymy, jak szczelnie odgranicza się Koło polskie od społeczeństwa, jeżeli uprzytomnimy sobie, jak przykrym staje się brak dokładniejszych informacyi o stanowisku reprezentacyi naszej w najżywotniejszych kwestyach, jeżeli uwzględnimy, ile sprzecznych wiadomości o głosowaniach Koła krąży po dziennikach (ustawa przewrotowa!) i jak rzadko w zaborze pruskim poseł staje przed rzeszą wyborców z referatem politycznym, — to w całej nagości ujawni nam się niedorzeczność tu i owdzie pojawiających się twierdzeń, że głosy żądające sprawozdań, mają swe wyłączne źródło w postronnych celach i wichrzeniach garści malkontentów. Zdania podobne ukazują się stale w dziennikach służących tej oligarchii zaboru pruskiego, która czuje dokładnie, że wraz z całym aparatem zapleśniałych praktyk politycznych i zbankrutowanej dyplomacyi ugodowej traci grunt w społeczeństwie, i dla tego lęka się stanąć przed trybunałem opinii publicznej. Zasada sypania piaskiem w oczy, unikania wszelkich wyjaśnień, trzymania się stale w należytym odstępie od buntującego się i dyszącego pragnieniem reformy społeczeństwa nie jest bynajmniej, jak ten i ów sądzi, rezultatem odrazy do trudów publicznych, wypływem lenistwa właściwego sternikom polityki naszej, lecz tendencyjną sztuczką dyplomatyczną dla podtrzymania tronów zachwianych. Przekonanie to zyskuje z dnia na dzień coraz więcej zwolenników i wyznawców, i dla tego głosy domagające się, by posłowie stanęli przed wyborcami do publicznego obrachunku, odzywają się coraz częściej i coraz energiczniej.

Co do nas, to stanowisko nasze w tej sprawie wyjaśniliśmy już kilkakrotnie i nikt chyba wątpić nie może, że żądanie sprawozdań poselskich znajduje w nas zdecydowanych stronników, — wątpimy jednak czy wobec dotychczasowych zasad, panujących w Kole polskiem, spowiedź publiczna deputowanych naszych odniesie ten skutek, którego oczekuje znaczna część wyborców. Dopóki zasada solidarności i tajności w naszej frakcyi sejmowej i parlamentarnej będzie panującym dogmatem, dopóty każde sprawozdanie poselskie musi z natury rzeczy być stekiem ogólników, rekapitualacyą obrad w izbach prawodawczych, znanych każdemu mniejwięcej dokładnie z referatów dziennikarskich, lub obroną opinii, tryumfującej w obrębie koła, a przeciwnej częstokroć wewnętrznemu przekonaniu referującego posła. Według reguły dotychczasowej poseł występujący, czy to w parlamencie, czy na sejmiku relacyjnym, jest wyłącznie reprezentantem zwycięzkiej większości Koła. Jej bronić musi szczerze czy nieszczerze, — na zewnątrz nie jest on nigdy samodzielną indywidualnością, należącą do Koła. lecz tylko sługą większości. I więcej jeszcze. Na mocy obowięzującej tajności obrad nie wolno referującym posłom zdradzić stanowiska politycznego kolegów swoich, nie wolno mu w najlżejszych zarysach scharakteryzować głosowania w obrębie Koła, nie wolno mu odsłonić własnej przyłbicy politycznej i przyłbicy innych reprezentantów narodu. Przed społeczeństwem staje zawsze solidarna cząstka Koła, — nigdy poseł-jednostka. I dla tego są deputowani polscy dla własnych wyborców hiroglifami, które zaledwie garść wtajemniczonych braminów politycznych odcyfrować umie.

Tu tkwi przyczyna, dla której sprawozdania poselskie składane na podstawie dotychczasowych zasad, pozbawione są głębszego znaczenia politycznego. Na trybunie relacyjnej staje postać zamaskowana i wyborcy nie mogą nigdy pociągnąć do odpowiedzialności reprezentanta swojego, bo nie wiedzą jakim kierunkom hołduje, jakiej zasady bronił w debatach frakcyjnych, i czy potępiając go, nie potępiają zgwałconego przedstawiciela mniejszości, który jedynie z musu broni stanowiska Koła przed społeczeństwem.

Naród wybiera posłów, nie Koło, lecz ten sam naród zna tylko Koło, nie posłów, — oto konsekwencya obecnych urządzeń. Anomalji tej nie usuwa bynajmniej fakt, że, dzięki prywatnym wynurzeniom i tak zwanym „niedyskrecyom“ posłów, raz po raz tajniki Koła odsłonią swój rąbek i kilka set lub kilka tysięcy osób dowie się o dążeniach politycznych tego lub owego z deputowanych, — są to po większej części wersye nieścisłe, o których większość społeczeństwa wcale się nie dowiaduje, są to plotki, pozbawione urzędowego charakteru, których prawdziwość kontrolować trudno, i na których żadnych oskarżeń opierać nie można. A gdyby nawet pokuszono się na mocy prywatnych informacyi o interpelacyę posła na sejmiku relacyjnym, to reprezentant Koła odmówi wszelkich wyjaśnień, bo regulamin usta mu zamyka.. W takich stosunkach krążą po kraju całe roje baśni i legend, — ludzie macają po ciemku, szukają nie Koła, lecz posła swojego, i znaleźć go nie mogą. Oprócz kilku nazwisk, które nigdy nie taiły swej radykalnej barwy ugodowej, społeczeństwo nie zna tych przedstawicieli parlamentarnych, na których głosy oddaje. Kim jest poseł Jażdżewski? Mówią, że to pogromca Kościelskiego, a obecnie *„plus Kościelski que Kościelski même“*. Kim jest poseł Dziorobek? Opozycya demokratyczna witała w nim filar swojego programu, — a dziś? Kim jest Wolszlegier, Brodnicki, Rzepnikowski, Wawrzyniak, Slaski, Donimirski, Jerzykiewicz i mnóstwo innych posłów obu Kół polskich, których polityka nie jest wprawdzie na wskroś identyczną, lecz opartą na porozumieniu? Nie wiemy tego i wiedzieć nie będziemy tak długo, dopóki panująca reguła nie zostanie złamaną.

I dla tego nie spodziewamy się bynajmniej po obecnych sprawozdaniach poselskich, ażeby rzuciły światło w te mroki, które coraz więcej niepokoją społeczeństwo, lecz mimo to żądamy ich stanowczo, bo upatrujemy w nich okazyę do skutecznego manifestowania naszych planów i projektów reformacyjnych. Niechaj się odbędą sejmiki relacyjne, lecz niechaj na każdym z nich wyborcy postawią kategoryczne żądanie, aby zasada solidarności zobowięzywała posłów naszych jedynie w ciałach prawodawczych, wobec sejmu, parlamentu i rządu, lecz nie krępowała ich w stosunku do wyborców, w stosunku do społeczeństwa polskiego. — Raz wreszcie trzeba skończyć z tem głosowaniem na ślepo, które jest bezprzykładną anomalją w dziejach parlamentarnych i stanowi tamę przeciw wszelkim dążeniom zmierzającym do uzdrowienia polityki naszej. Nie żądamy bynajmniej bez wszelkich zastrzeżeń jawności obrad w obu Kołach polskich, bo wiemy dobrze, że względy dyplomatyczne dyktują niejednokrotnie konieczność sekretu, lecz pragniemy znać stanowisko polityczne przedstawicieli naszych w sejmie i parlamencie, pragniemy na sejmikach relacyjnych obok opinii Koła poznać opinię posła — referenta, pragniemy rozbicia tego

muru chińskiego, dzielącego posłów od społeczeństwa i zamieniającego frakcyę polską w rodzaj tajemniczego bractwa lub kasty. A jeżeli rezolucye uchwalone w tej myśli na sejmikach relacyjnych i zgromadzeniach politycznych nie odniosą w Kole żadnego skutku, wtedy nie pozostanie nam nic innego, jak przy nowych wyborach zobowiązać każdego kandydata, że jako członek Koła polskiego starać się będzie usilnie o zniesienie zasady bezwzględnej solidarności i tajności. Od przyjęcia takiego „mandat impératif“ zależeć powinno przyjęcie kandydatury.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Szlachta galicyjska. „Przegląd Wszechpolski“ (Lwów) zamieszcza znowu nader interesujący artykuł wstępny, poświęcony tym razem szlachcie galicyjskiej. Dłuższa charakterystyka składników rewolucyi tej warstwy kończy się w słowach następujących:

„Szlachta, w znaczeniu właścicieli ziemskich ma ograniczony wprawdzie, lecz niewątpliwie uprawniony w stosunkach dzisiejszych zakres swoich interesów klasowych, a więc należy się jej słusznie odpowiedni udział w kierowaniu sprawami publicznemi i w przedstawicielstwie kraju. Ale jej dążenia i uroszczenia wybiegają daleko po za te granice, ogarniają całość interesów społecznych i narodowych i usiłują stłumić je lub skierować do swych celów wyłącznych. Polityka arystokratyczno-szlachecka w różnych odcieniach, o której zasadach w dobrej wierze nieraz rozprawiamy, jest zazwyczaj poziomem samolubstwem klasowem lub nawet koteryjnem, które dla przyzwoitości stroi się w doktrynę, wymyśloną dla osłonięcia jego nagości. Klasa, którą rozwój dziejowy na czoło społeczeństwa wysuwa, nie ukrywa samolubstwa swego i jeżeli jest ono objawem naturalnym zdrowia, siły i wiary w siebie, przemocą lub urokiem potęgi podbija i prowadzi ogół narodu i nieraz w wyłączności swojej stwarza rzeczy wielkie. Ta wszakże klasa, o której mówimy, i u nas, i wszędzie dawno już przeżyła okres energii młodzieńczej i dziś nachyla się do upadku, rozkłada się i słabnie. Jej dążenia, ideały i interesy stać muszą w sprzeczności z dążeniami, ideałami i interesami ogółu, a zwłaszcza tej części jego, która dopiero żyć świadomie i czynnie zaczyna. Dobrowolne ustąpienia ze stanowiska, wyrzeczenie się zdobytych praw i przywilejów społecznych byłoby samobójstwem politycznem, a więc objawem poniekąd anormalnym. Ale zrozumienie swego położenia i zmian nieuniknionych w stosunku wzajemnym sił społecznych byłoby natomiast dowodem roztropnej przezorności, która wiekowi podeszłemu przystoi. Szlachta galicyjska, pozornie odświeżona dopływem różnorodnych żywiołów, nie chce zrozumieć, że pomimo to ustrój jej polityczny i społeczny pozostał starym, chociaż sama ciągle wiek jego przypomina, nie chce przekształcić się odpowiednio do zakresu swej właściwej działalności i usiłuje utrzymać stosunki, które się przeżyły, a nawet odtworzyć dawno pogrzebane, nadając im tylko współczesne piętno biurokratyczne lub kapitalistyczne.

Nazywa się ta robota dalszym ciągiem tradycyi narodowej i szlacheckiej, chociaż prowadzi ją klasa społeczna, której polskość i szlacheckość bardzo jest rozcieńczoną. Lekkomyślnie „stąpają po prochu, który niegdyś żył“, i pełną garścia zasypują nim oczy swoim i obcym, żeby nie przypatrywali się z blizka tajemnicom polityki galicyjskiej.“

* * *

Ciekawa lingwistyka. W „Gazecie Opolskiej“ (Nr. 34) czytamy.

Zeszłej środy toczył się, jak już pisaliśmy, w tutejszym sądzie ławniczym proces przeciw redakcyi „Gazety Opolskiej“ za zamieszczenie korespondencyi, dotyczącej zniemczenia się chłopów w Staremmieście w powiecie Prudnickim. Podczas rozpatrywania tej sprawy podał sędzia „Gazetę Opolską„ tłomaczowi i kazał mu odnośną korespondencyą przetłomaczyć na niemieckie. Tłomacz przypatrzywszy się korespondencyi oświadczył zakłopotany, że niektóre zdania wprawdzie rozumie, lecz nie umie całości przetłomaczyć, ponieważ artykuł jest napisany „in hochpolnischer Sprache“ (wysoką polszczyzną, to jest czystym polskim językiem); prócz tego nadmienił, że żaden tłomacz przy tutejszym sądzie nie umiałby tego dla tej samej przyczyny przetłomaczyć. Zaczęto się więc przy stole sądowym zastanawiać nad tem, dla czego „Gaz. Op.“ „wysoką polszczyzną“ pisze, gdy lud przecież mówi po „wasserpolsku“. Ktoś trzeci rozwiązał później ten węzeł gordyjski (czyli wyjaśnił tę zagadkę), dowodząc, iż lud ma się nauczyć tej „wysokiej polszczyzny“ i dla tego „Gazeta“ tak pisze....

Zajście powyżej opisane jest ponownym dowodem, jak słabe wyobrażenie o polskim języku i polskiem piśmiennictwie w ogóle, a w szczególności na G. Szlązku istnieje w wybitniejszych kołach niemieckich, które nawet o tem nie wiedzą, że nie wychodzi i nie wychodziła nigdy jeszcze na G. Szlązku gazeta polska przez Polaków wydawana, któraby była redagowaną czyli pisaną w jakimś tam „wasserpolskim“ języku. Piśmiennictwa „wasserpolskiego“ lud górnoślązki wcale nie zna; bo go też nigdzie nie ma, a czytać i rozumieć czystą polszczyznę uczył się od wieków i uczy się ciągle, choćby nie zkądinąd, to z książek do nabożeństwa dobrze po polsku pisanych.

Jeśli wogóle o „wasserpolszczyźnie“ można mówić, to chyba wtedy, gdy się zajrzy do starych „Kreisblatów“, w których to Niemcy dla ludu polskiego niby to zrozumiale chcieli pisać, ale nie znając polskiego języka i posługując się dla tego jedynie prawie słownikiem, takie brednie zwykle pisali, że tego pisania nietylko żaden Górnoślązak, lecz sami pisarze zapewne nie rozumieli. Taką pokaleczoną polszczyznę jeszcze dziś nieraz w „Kreisblattach“ naszych spotykamy, ale nie ma ona oczywiście nic wspólnego ze zrozumiałą zupełnie mową ludu górnoślązkiego.

Zajście powyżej opisane jest niemniej także dowodem, jak niedostatecznie wykształconych w polskim języku tłomaczy mamy, jeśli takowi nawet zupełnie popularnie napisanej korespondencyi nie rozumieją i uniewinniają się tem, że jest „hochpolnisch“ pisana.... Wobec tego ciekawego wyznania nadmieniamy jedynie, że autorem owej niby niezwykłą polszczyzną napisanej a przez nas wcale nie zmienionej korespondencyi był chłopek polski wyrosły i wychowany na ziemi górnoślązkiej, który innych dzielnic polskich wcale jeszcze może nawet nie miał sposobności widzieć i poznać. Mądrej głowie dość na słowie!

* * *

FR. RAWITA.

Dziki człowiek.

(Ciąg dalszy).

Zdawało się, że gdyby w tym czasie piorun uderzył, nie byłby wstanie wywołać potężniejszego wrażenia. „Batiuszka“ stanął nieruchomie z łyżką w ręku i, utkwiwszy oczy w przestrzeń, zdawał się być przerażony niezwykłem zdarzeniem, którego się lękał, a wytłomaczyć sobie nie umiał. Lękliwe jego spojrzenie spotkało się ze wzrokiem Kati, która zbladła, załamała ręce i głosem przestraszonym wyrzuciła ze siebie dwa wyrazy tylko:

— Ach Boże!

Iwan Matwijowicz siedział ponuro nasępiony, ze wzrokiem utkwionym w białą płaszczyznę talerza.

Po chwilce odezwał się, jakby sam do siebie:

— Na głowę spadło...

„Batiuszka“ starał się wrócić do równowagi i zatrzeć przykre wrażenie, wywołane wróżbą.

— Boża wola we wszystkiem — rzekł — a reszta, przesądy ludzkie.

Iwan Motwijowicz powtórzył machinalnie, nie podnosząc oka od talerza:

— Boża wola.

— No, Katinka — odezwał się „batiuszka“ — rozdawaj kutię...

Nadał umyślnie wesołe brzmienie głosowi, aby kobiety uspokoić, ale nie było to rzeczą zbyt łatwą. Najprzód „matuszka“ zerwała się od stołu, ryknęła płaczem i z pokoju wybiegła; za nią ruszyła Katinka, tylko „batiuszka“ z Iwanem Matwijowiczem zostali. Zmięszani byli obydwa.

— Ot, masz tobie, baby... — odezwał się „batiuszka“, aby zatrzeć nieco tę scenę — i zamilkł. Więcej nie mógł z siebie słów wydobyć. Spojrzał na Iwana Matwijowicza, ten siedział jak przykuty do krzesła, w talerz patrzał i milczał.

— Taka to zawsze z babami robota — ciągnął „biatiuszka“ — no, czego tu ryczeć? Kutia nie przylepiła się... wielkie nieszczęście! Albóż to się nie zdarza, że czasem ręka drgnie, jakby w nią kto trącił...

Iwan Matwijowicz, nie podnosząc oczu, powtórzył półgłosem:

— Trącił ktoś...

Głuche i ponure brzmienie tego wyrazu niemile dotknęło popa. Spojrzał z góry na zięcia badawczem spojrzeniem. Złość go najprzód ogarnęła, potem pohamował się i siadając rzekł:

— No, spożywajmy dary Boże, Iwanie Matwijowiczu, baby wygadają się i przyjdą.

Usiadł i półmisek z kutią przysunął ku sobie.

Wtem nagle Iwan Matwijowicz porwał się z krzesła, błędne spojrzenie w przestrzeń pokoju rzucił i zawołał:

— Niech spada!

Wyrzekłszy to tak, jakby oprócz niego nikogo więcej nie było, jakby myślał o czemś i koniec myśli tylko wypowiedział, obrócił się w milczeniu i do swego pokoju poszedł.

„Batiuszka“ został sam. W pierwszej chwili wstał gwałtownie od stołu i taki ruch zrobił, jak gdyby pragnął biedz za Iwanem Matwijowiczem, porwać go za ramię i zawrócić, potem pohamował się i utkwiwszy wzrok we drzwi, któremi zięć wyszedł, rzekł gniewnie:

— Dziki człowiek! dziki! W klatce go można obwozić i pokazywać za pieniądze, jej Bohu!

Wybuch gniewu zrównoważył go nieco; usiadł tedy znowu na krześle, podparł się obiema rękoma, zamyślił się, posiedział tak chwilkę niemo zupełnie, potem oczy podniósł, powiódł niemi po pustym pokoju, na stole zatrzymał, na nietkniętym połmisku kuti i powoli z pokoju wyszedł.

Tak smutnie zakończyła się wieczerza wigilijna w Nenadyskim dworze. Domownicy zeszli się potem przy herbacie, ale nastrój spokojny i wesoły nie wrócił, a przesądna służba wypadek z kutią przez całą noc komentowała.

Iwan Matwijowicz ten wypadek tak przy

Katolicka germanizacya. W „Nowinach raciborskich“ czytamy:

„Oberschles. Volksstimme“, pismo katolickie, pisze w sprawie rezolucyi, jaką niemiecki „byrgerferein“ w Hajdukach powziął w sprawie tamtejszej szkoły katolickiej, tak: „Jako przedstawiciele niemieckiej gazety nie potrzebujemy pewnie dopiero zapewniać, że dzieło germanizacyi popieramy pod każdym względem, skoro prowadzi się je w sposób, który nie wykracza przeciw prawu przyrodzonemu i prawom ludzkości.“

Otóż wychodzą tu jaskrawo pazurki germanizacyjne pisma niemieckiego katolickiego.

Pisma protestanckie są przynajmniej otwarte i z góry, otwarcie żądają germanizacyi ludu polskiego na Górnym Szlązku, pisma katolickie niemieckie powiadają, że one są przeciwne gwałtownej germanizacyi, ale nie mają nic przeciwko powolnej germanizacyi. Dziecko trzeba powoli, łagodnie germanizować, ażeby mu to nie podpadło, ażeby sobie mowę niemiecką polubiło. Sypie im się cukier do tej przyprawy, która się nazywa powolnem germanizowaniem, ażeby dzieciom ta germanizacya zasmakowała. Przeciwnik otwarty nie jest tak niebezpieczny, jak właśnie taki przeciwnik obłudny. Obłudą bowiem nazwać można podobne postępowanie katolickiego pisma, które na zewnątrz pokazuje, że broni niby mowy ojczystej a w gruncie rzeczy chce tak samo germanizować. Zaznaczyliśmy to, ażeby czytelnicy nasi się przekonali, do czego to dążą nasze pisma katolickie. Nie kierują się one sprawiedliwością, ale interesem. Interes wymaga, ażeby w tym czasie, gdzie lud na Górnym Szlązku jest polskim, niby go bronić, bo inaczej ten lud polski prędzejby się poznał na farbowanym lisie. Do takich właśnie obrońców języka naszego polskiego należał niebożczyk „Kuryer Górnoszlązki“ i obecnie w Królewskiej Hucie wychodząca „Gazeta katolicka“. Gdyby „Gazeta katolicka“ miała bowiem te same zasady, co nasze trzy na Szlązku wychodzące pisma, jak „Nowiny Raciborskie“, „Katolik“ i „Gazeta Opolska“, wtedyby jej z pewnością nie wydawano pod bokiem zasłużonemu „Katolikowi“, nie nazywałoby się, że „Gazeta“ pragnie walczyć z „Katolikiem“. Gazety, które bowiem pragną służyć uczciwie sprawie polskiej na Szlązku, nie walczą ze sobą w sprawach zasadniczych, to jest w sprawach obrony ojczystego języka.

* * *

W sprawie „Morskiego Oka“. „Przegląd Wszechpolski“ zamieszcza w spornej kwestyi „Morskiego Oka“ list nadesłany redakcyi przez jednego z przedstawicieli społeczeństwa węgierskiego. List ten, rzucający nowe światło na pojmowanie zawiłej sprawy wśród Węgrów, podajemy poniżej:

„Nareszcie nieszczęsna sprawa „Morskiego Oka“ weszła w stadyum, w którem można się spodziewać należytego jej rozstrzygnięcia. Pomimo swego „non possumus“ musiał i rząd węgierski nieco swobodniej odetchnąć, gdyż smutny zatarg przyczynił mu sporo kłopotów.

Stało się np. rzeczą wiadomą, że nietylko w 16 i 17 stuleciu górale pasali swe stada na spornem terytoryum, ale że nawet przed r. 1879 Aladar Salamon nie przeszkadzał temu, z tego zapewne względu, że nie uważał wspomnianej przestrzeni za swą własność.

Dalej polecił rząd władzom komitatu spiskiego zebranie wszelkich dokumentów odnoszących się do procesu i przesłanie ich sobie. Wszelkie atoli poszukiwania okazały się bezowocnemi. Żadnego nie znaleziono dowodu.

Oto delikatne orzeczenie delegacyi komitatu spiskiego, która roztrząsała sprawę w komisyi. Brzmi ono: „iż szkoda trudów na pertraktacye w sprawie pomienionego terytoryum, nie dotyka ono bowiem żadnego ważnego interesu państwowego“. Gdyby przedstawiciele Spiżu uważali sporny obszar za naszą (węgierską — przyp. red.) własność, to jużci raport ich brzmiałby inaczej, ponieważ atoli przekonanie ich było całkiem przeciwne, przeto sądzili, iż rządowi w tych słowach rzecz należycie wyjaśnią. Mądrej głowie dość dwie słowie.

Tak popadał rząd z jednego kłopotu w drugi, aż wreszcie znalazł się „karyerowiec“ (Streber) w postaci urzędnika sądowego, który spróbował go wyciągnąć z fatalnego położenia. Ten ogłosił w Gazecie prawniczej artykuł, w którym doszedł do wniosku, „że określenie, czy jakaś część kraju należy de facto do Węgier, stanowi wyłączną kompetencyę rządu“. Rząd węgierski uznał tę szczególną opinię i „non possumus“ zaczęło się na nowo.

Niedługo jednak miał trwać ten szał zwycięzki, król bowiem wyraził życzenie, ażeby sprawę rozstrzygnięto rozjemczo, skutkiem czego znajdujemy się na drodze do rozwiązania kwestyi. Zachodzi atoli pytanie, jakiego rodzaju to rozwiązanie będzie?

Co do tego, w Pester Lloydzie ukazał się w lutym artykuł, pochodzący ze źródła polskiego, w którym wyrażono zdanie, iż „przy Polakach winny zostać oba jeziora (tj. Morskie Oko i Czarny Staw) z przylegającym do nich pasem ziemi“. Byłoby to w istocie najłatwiejsze rozwiązanie kwestyi i mogę Was jak najmocniej zapewnić, że tego rodzaju projekt już w roku zeszłym znajdował się w ministerstwie spraw wewnętrznych.

Czy sąd rozjemczy zajmie takie stanowisko, to się w przyszłości okaże, że jednak projekt ten jest rozpatrywany, na to mogę Wam zaręczyć, można się więc spodziewać, że kwestya w tym duchu będzie rozstrzygnięta.

W istocie rzeczy, nie można znaleźć łatwiejszego rozstrzygnięcia, zwłaszcza, jeżeli sprawa ma być załatwiona nie ze ścisłego stanowiska prawnego (?), ale drogą ugody. Jeżeli ze strony węgierskiej przyznają, że linia przecinająca jezioro lub rzekę nie może być poczytana za naturalną granicę, jeżeli dalej z polskiej strony chcą uznać Białkę za linię graniczną pomiędzy Węgrami a Galicyą, to nie ma już żadnej trudności o rozstrzygnięciu kwestyi.

Chciałbym przy tej sposobności wskazać na błąd, jaki popełnia Galicya względem Węgier. Panuje mianowicie przekonanie, że w sprawie sporu o Morskie Oko upór rządu węgierskiego podziela także węgierski ogół. Jest to krzyczący błąd! Nie było chwili, żeby publiczność węgierska gorączkowała się choć cokolwiek sprawą Morskiego Oka, albo głowę sobie nad nią łamała. Morskie Oko — to dla nas terra incognita. Nie spotkałem dotąd żadnego Węgra, któryby wiedział, czy Morskie Oko jest własnością węgierską, czy polską. Ja sam słyszałem coś o niem przed rozpoczęciem sporu, zresztą chodziłem do szkoły, uczyłem się geografii, a nie znam ani jednej węgierskiej książki szkolnej, w którejby się znajdowała choć wzmianka o Morskiem Oku. My interesujemy się wysokiemi Tatrami głównie dopiero od czasu, jak Tatra-Füred (Szmeks) weszło w modę, jako miejsce lecznicze, ogłaszanie atoli przez Węgra spornego terytoryum za naszą własność, byłoby po prostu niedorzecznością, gdyż Morskie Oko było i jest dla węgierskiego ogółu — jak już wyżej wspomniałem — terra incognita.

Również i parlament węgierski nie jest tak bardzo przeniknięty sposobem zapatrywania się rządu.

Gdy poseł Veszler interpelował swego czasu w tej sprawie ministra spraw wewnętrznych, przerwano mu z gniewem i drwinami. „Nie bądź pan śmiesznym!“ „Szkoda się tak wysilać!“ — wołano mu z lewicy, a poseł stronnictwa niezależnego Thali zapytał szyderczym tonem: „Gdyście jednak mieli sprawę nad Litawą (tam bowiem mieliśmy także spory graniczne), toście się okazali uleglejszymi?

---

jął, akby zła wróżba bezpośrednio do niego stosowała się. Gdy się tylko w pokoju swoim znalazł i fajkę zapalił, gdy od wrażeń przeszedł do myśli, stanęło przed nim pytanie:

— Czy Pieti nie stało się co złego?

I nad tem pytaniem zastanawiał się. Cóżby się stać mogło? Przypomniał sobie wszystkie szczegóły listów ostatnich — nic w nich nie znajdował ani podejrzanego, ani zatrważającego. Uczy się... dobrze się uczy... gorąco kocha naukę... rozrywki się wyrzekł, byleby tylko egzamina mógł złożyć dobrze... Gdyby tylko Pan Bóg pozwolił mu uniwersytet ukończyć — potem w świat... niech pracuje dla innych...

Chodził po pokoju, fajkę palił i myślał dalej:

...W świat... w świat z pochodnią nauki w ręku... nie tak, jak ja... niech go Bóg broni... O pieniądz starać się nie potrzebuje... nie będzie na to marnować sił i.. sumienia...

Wypuścił kłęby dymu z fajki i wyszeptał:

— Sumienia... — jakby brzmienie tego wyrazu posłyszeć pragnął.

Różne myśli wiły się przed nim i kręciły się jak płatki spadającego śniegu w powietrzu. Stanął nagle po środku pokoju i nieruchomy wzrok utkwił w szybę okienną, zarysowaną przez mróz w kwiaty, arabeski. Stał, patrzał wzruszony i zdziwiony. Nie widział ani okna, ani kwiatów przed sobą, ale inny obraz — daleki, zatarty dawno w pamięci... Za tym obrazem następował drugi, trzeci — otaczały go rojem, snuły się przed jego oczyma.. Poznał je widocznie, bo się uśmiechnął sam do siebie i w jeden wyraz złączył:

— Wilno...

Przesuwały się przed nim po kolei: baszta przed kościołem... kolumnada... dawny ogród botaniczny... góra zamkowa ..

Potem obrócił się i pełen rezygnacyi ruch ręką zrobił.

— Duraczestwo — pomyślał

Zbliżył się do fotela i usiadł. Starał się myśl oderwać od tych przedmiotów, w inną stronę skierować, ale ona, nieposłuszna, krążyła koło niego i drażniła bezustannie.

— Niech go Bóg broni — pomyślał. Brwi mu się nasępiły, a palce konwulsyjnie zaciskały się jak szpony jastrzebie, gdy się dotkną ciepłego ciała skowronka. — Pojechałem do Moskwy na uniwersytet innym, młodym, z nadzieją w duszy, z miłością do ludzi... a potem... potem spadłem w przepaść...

Nagle pięść zaciśniętą podniósł do góry i z całą gwałtownością opuścił ją na własne kolano, na które z głuchym łoskotem spadła, jak gdyby pragnął w ten sposób uplastycznić swój upadek.

Burza wewnętrzna, z którą się nigdy przed nikim nie zdradzał, opanowywała go coraz bardziej. Otoczony atmosferą dymu i ciszą pokoju, Iwan Matwijowicz prowadził ze sobą jakieś rozmowy i walki i uchylał rąbek nieznanego nikomu świata i życia. Gdy siedział zamyślony i nieruchomy, cicho otworzyły się drzwi i ukazała się na progu twarz żony.

— Może chcesz herbaty?

— Dobrze.

— Pójdziesz do sali jadalnej?

— Nie, przyszlij mi tutaj.

Katia bojaźliwie zamknęła drzwi i wyszła. Wróciła po chwili, niosąc w ręku szklankę herbaty i postawiła na stoliku, tuż obok fotela. Postawiła i stała zmieszana nieco zarówno milczeniem męża, jak i tem, co się stało.

— Bóg da, nic złego nie będzie — rzekła wreszcie na męża patrząc.

Ale Iwan Matwijowicz spojrzenia na nią nie podniósł. Słowa jej nie sprawiły mu ani pociechy, ani radości. Przeciwnie, zdało mu się, że wiatr chłodny powiał na niego.

Po wyjściu żony, przechyliwszy się nieco do stolika, obojętnym ruchem szklankę z herbatą ku sobie przysunął, parę łyków pociągnął i znowu w obłokach dymu utonął.

Obrazy młodzieńczych lat, spędzonych w Wilnie, były tym wichrem, który w nocy na stepie wyje, śniegiem sypie, wygrzebuje z ziemi zwiędłe i przemarzłe badyle niedawno jeszcze wysmukłych dziewann, rosochatych buraków i na skrzydłach swoich Bóg wie gdzie unosi. Przesuwały się one przez

Nie prawda?“ Stronnictwo rządowe przyjęło wyjaśnienie ministraPerczela głębokiem milczeniem, skoro jednak ten zapewnił izbę, że spór o Morskie Oko będzie rozstrzygnięty ku zadowoleniu obu stron, wtedy i ono wykrzyknęło: eljen!

Nawet prasa nasza w żaden sposób nie może się gorąco przejąć „naszemi prawami“ w tym sporze. W roku zeszłym ukazał się w Politikai Hetiszemle artykuł o tej sprawie, ale wypowiadający się na korzyść Galicyi, Redakcya zaopatrzyła go w następującą uwagę: „Ogół węgierski nie będzie wcale stawiał przeszkód rozstrzygnięciu sporu o Morskie Oko raczej da swe zezwolenie na to, ażeby Morskie Oko oddano Polakom, głównie dla tego, że polskie pretensye są bardziej uzasadnione, aniżeli pretensye rządu, a następnie, ponieważ względy polityczne wymagają, byśmy raczej zachowali przyjaźń Polaków aniżeli „Morskie Oko“ (Morskie Oko — tengerszem, w przenośni: kropla z morza).

Widać ztąd, iż zapatrywania rządu i narodu węgierskiego w tej sprawie wcale nie są identyczne. Więc: niech żyje „Morskie Oko“ polskie!

— *ski.*

LITERATURA I SZTUKA.

RYM.*)

(Do jednej pani, która ganiła moje rymy zbyt proste).

Władysławowi Reymontowi
w przyjaznym upominku
od autora.

I

A więc nie lubi pani mych rymów, zbyt prostych?
Wolałabyś, by pieśń ma dźwięczała niezwykle,
Świecąc, jako potrójnie złocony akrostych —
Rymy, powiązanemi w niespodziane cykle.
Prawda, rym jest dla pieśni, czem dla mózgu czerep,
Co myśl okrywa ludzką, jak perłę szczeżuja.
Rym to niebo i słońce, to piekło i ereb:
W nim muzyka istnieje — jakby echem buja.
Im melodya bogatsza — pierś oddycha szerzej —
I promienistsze barwy w rymów hyjacyncie —
A pieśniarz, mknąc ku górze do niebieskich wierzej,
Zda się wołać słuchaczom: Płyńcie za mną, płyńcie.
Bo rym, gdy z niespodzianych, rzadkich sylab spleciony,
Zda się, że treść natury lepiej uwypukli:
Jak potęgę wzburzonych fali morskiej wrzecion
Gromada nimf złocistych od złocistych pukli.

II.

Tak! rym czasem ma szczęki kutych w ogniu żelaz,
A czasem niby echo jakichś wspomnień rajskich;
Czasem — zda się — jak bogów pełna Anafielas —
Lub samotna pustynia proroków hebrajskich,
Są rymy, które dzwonią jak rycerski brzeszczot,
Są rymy, które huczą jak miedziane gongi,
Które tchną pocałunków zapachem i pieszczot;
Są — zda się — marmurowe jak greckie posągi
Są rymy, tak szalone jak skoczne fandago,
Są, w których grób uśmiechu ślad ostatni zatarł,
Są, które pachną piżmem, żywicą, hidrangą,
Są — rzekłbyś — jako bogów widomy awatar.
Rym to wszystko: melodya, zapach i koloryt,
Myśl, forma, bicie serca. Słuchaj ty, co śpiewasz,
Niechaj z twych rond i ballad, sonetów, rifiorit
Dusza wytryska, ale rymu nie lekceważ!
Tracisz mocy połowę, myśl od rymu dzieląc,
Bo czemuż zielenieje w rymie pól aksamit?
Huczy wicher, żeś gotów w duszy swej się przelać?
Czemu przeszłość w nim żyje, jak w twierdzach piramid?
Przeto, że treść i forma są jak brat ze siostrą —
Niech ci żadne nie będzie jako pan lub murzyn,
I kiedy razem skrzydła ku niebu rozpostrą,
Niech płyną jak dwa duchy dwu bliźniecych drużyn.
Wiem! kocham rym, jak słodki upojenia kielich —
Potężny jako włócznia, cenny jako szmaragd;
Jasny, jak kryształ, rzewny — jako pieśni El...ych,
A tęczami płonący jak strugi katarakt.
Świat rymów jest tak dla mnie jak gotycki kościół
Którego szczyt niebieskich — rzekłbyś sięga posów;
Żyłem w nim — ale duch mój na dwoje się rozciął
I słucham teraz nowych, niespodzianych głosów.

III.

Pierś mi strawił zatruty mego wieku rozczyn —
Duch, zmęczony, że samby pragnął siebie przerość,
Tęskni dziś za spokojem zapomnianych wioszczyn,
Gdzie, pod lip starych cieniem, kwitnie złota szczerość
Znużyły mnie zawroty tej abrakadabry —
Prostoty chcę — zieleni — wśród lasów i opól:
Nęcą mnie kraśne maki i niebieskie chabry,
Szmery wód, ciche szumy rokicin i topól.
I chciałbym ksiąg zapomnieć, których czar mnie urzekł
I stanąć odrodzony wśród zielonych muraw
I usiąść nad strumieniem w kole dobrych wróżek
Lub ulecieć nad pola jak swobodny żóraw.
I chciałbym, zapomniawszy pieśni kłamnych syren,
Wsłuchać się w tajemnice borów Zendawesty —
I jak jaskółka spadać na prostaczy świren,
Lub kwitnąć jak na piaskach nadwiślańskich rdesty.
I tak chciałbym, z nieziemskich odrodzony przyczyn,
Pojąć pieśń, którą śpiewa dziś dla ludzi ziemia,
Którą pszczół roje brzęczą wśród gryk i koniczyn,
I którą szumią ludzkie ule i żeremia.
Bo wierzę, że w tych szumach żyje Boża czeladź
Kwiatów, ptaków, motyli — i chciałbym balsami
Zapach łąk w serce przelać — i zwolna się wcielać,
W treść istot, z którą w końcu duch się utożsami.
Chciałbym, by światło błysło w moich oczach ślepych,
Bym je zamknął na fałszu uwodzące złoto,
Bym, pojąwszy natury prostotę i przepych —
Jak ona lśnił przepychem naraz i prostotą.

IV.

Niech mi nikt nie zarzuca, że pieśń moja pełza,
I żem opuścił rymów tęczowe Dżennaty,
Lecz moja dłoń Pegaza swego sama kiełza:
Szukam ciszy, bo w ciszę duch mój nie bogaty.
Kochałem pełnię rymów. Poznałem najżadsze
Klejnoty mowy bogów i najsłodszy zapach
Ich kwiatów. Po czarownym pieśniarzy teatrze
Wędrowałem swobodnie, jak po znanych mapach.
Ale teraz już rymy dobieram najprostsze,
Po Edenie płaczący jak po synach Rizpah:
Bo serce mi przebiło długich zwątpień ostrze —
I tam dzisiaj spoglądam, gdzie odrodzeń wyspa...
Więc nie dziw się, że u mnie nie napotkasz częstych
Rymów, wyświątecznionych w brylantach i perłach.
Są, którzy gonią rzadkie rymy. Lecz ja drwię z tych,
Co to czynią. Jam pielgrzym, co wchodzi na Gierlach.
Więc rzucam wszystek ciężar — i chcę na gołoledź
Szczytu gór iść swobodny — z jedną tylko cytrą,
A duch jakiś mi szepce: Poleć w górę, poleć,
I pożegnaj na wieki wszelką sztukę chytrą.

V.

Tak, bo rym się bez trudu w poezye ularwi:
Poezya dziś z swych wyżyn zeszła w nędzę dolin,
A każda ciemna fala uda falę narwi

*) Powyższa satyra na manję szukania trudnych i niezwykłych rymów dowodzi, że i wśród młodych poetów zaczyna się budzić reakcya przeciw nadmiernej sztuczności formy i zwrot ku Mickiewiczowskiej prostocie. Objaw ten witamy z szczerem zadowoleniem. Przyp. Red.

---

całe jego życie, oświetlając je coraz innem światłem.

Dzieckiem prawie opuścił Wilno i już do niego nie wrócił. W Moskwie znalazł naukę, pracę, ale zatarło się życie dawne, Dla spokoju dużo poświęcił, a jednak stało się inaczej. Nie szczęście przybywało z wiekiem, ale tęsknota i smutek Bóg wie za czem, Bóg wie do czego — do innego świata, innych ludzi; a uspokojenia szukać musiał w kieliszku. Nie, nie uspokojenia. Wódka innym dawała zapomnienie i wesele, a jemu smutek. On pił dla tego, że podbudzona wyobraźnia przenosiła go w inny świat — dziecinnego szczęścia, życia przy rodzicach i malowała mu na tem tle tysiące obrazów. Wywoływał je sztucznie, rozraniał duszę umyślnie, ażeby ten świat, ledwie zapamiętany, zamierzchły, zatracony, do życia powołać.

Gdy go wstrętem napełniała ta różnica, w jakiej płynęły jego dnie i lata, gdy go karty i kieliszki, doraźnie wychylane, nie zadawalały — zaczynał pić namiętnie bezustanku, ażeby w tem sztucznem podnieceniu czas jakiś przeżyć.

O tem, co się z nim dzieje, nie mówił nikomu, — komoż miał mówić? Wpadł w otoczenie przypadkowe, pospolite, związał się z niem, skrępował swoje życie i już się odłączyć nie mógł. I po co? Wiedział, że już nie do nowej wiosny, ale do grobu idzie. Męczyło go to ustawiczne drażnienie siebie i zamykanie myśli, ażeby nie wymknęła się, nie zdradziła się ani przeszłością ani teraźniejszością.

W miarę, jak go ogarniała coraz bardziej choroba nieznanej dawnej tęsknoty i żądza osamotnienia, stawała przed nim przyszłość syna — co z niego będzie i co z nim będzie?

— Niech da pokój ze służbą... dosyć... pójdzie taką drogą, jak ja, albo taką, jak oni. .

Przesuwały się wówczas w pamięci jego szeregi wysokich dygnitarzy, utuczonych, wygolonych, nadętych jak indyki, rozprawiających o sprawiedliwości i prawie, które im pomogły utuczyć się, zebrać pieniądze i resztę życia spędzać przy pełnem korycie.

— Niech go Bóg strzeże...

Tak nim miotały różne marzenia i myśli, że sobie rady dać nie mógł. Gdy go smutek bezgraniczny zmęczył, usiadł w fotelu, twarz zakrywszy obiema rękoma i siedział bezwładny, otoczony rojem brzęczących koło niego myśli, które z ciszą zlewały się w jedną niepojętą, pełną smutków i bólów muzykę. Od czasu do czasu zdawało się mu, że przesunęła się przez pokój postać syna, — wówczas roztwierał gorączkowo powieki, poruszył się niecierpliwie i znowu zamykały mu się oczy, ażeby nowy obraz w tej ciszy mogła mu własna wyobraźnia pokazać.

Na stoliku stała do połowy wypróżniona butelka jakiejś nalewki — ale Iwan Matwijowicz nie sięgał ręką do niej i do kieliszka. Miał już tego dosyć. Pił dużo, ażeby zagłuszyć gorycz, rozlaną w sobie — i nie mógł; pił — i nie zdołał się upić ażeby móz przynajmniej zasnąć i zapomnieć o wszystkiem.

Siedział z zamrużonemi oczyma, przytomny przytomnością pijaka, o którego słuch uderzyły tylko szmery i dźwięki ciszy i zdawało mu się, że słyszy własne myśli, ujęte w jeden wyraz:

— Syn... syn... syn...

Nagle twarz jego trupio-blada ożywiła się nieco, a głowa pochyliła się naprzód, jak gdyby miał zamiar zerwać się z fotelu i biedz do kogoś; powieki poruszyły się, jakby się pragnęły otworzyć i nie mogły. W tej ciszy i ciemności posępnej, wśród której grały jakieś szmery i drgały promienie niewidzialnego świata, cichy szelest zwrócił jego uwagę. Słuch natężył i spojrzeniem zamkniętych oczu wpatrzył się w ten punkt, zkąd ten szelest doleciał do niego.

Nagle zdało mu się, że wiatr musnął go po twarzy, jak gdyby cień jakiś przesunął się koła niego.

Istotnie... cień... ktoś wszedł... suknia kobiety...

Chciał się zerwać — i nie mógł. Ktoś znajomy... wpatruje się... wzrok natęża nie może poznać. Wreszcie zawołał gwałtownie:

— Kto to?

Cisza... Tylko cień ów poruszył się

I dzisiaj sztuka rymów to nuta mandolin.
Jest t r a l a l a na wszystko — formuły, algebra —
W legiony dziś się rozrósł wierszopisów szereg,
I rymy leją gładko, niby wodę z cebra,
A łatwo tak, jakby to był walec lub oberek.
Są i dziś, którzy pieśni podniósłszy chorągiew,
Nie pamiętni światowych złoceń i uszerścień,
W leśnej gąszczy słuchają śpiewu makolągiew,
Szukając, gdzie natchnienia czarodziejski pierścień.
Chwała wam, o pieśniarze, bolu wychowańce,
Co bój toczycie z tłumem ciemnoty dziwożon
I znajdujecie w liliach jad i krew w sielance:
Przed wami czcią przepełnion stoję i ukorzon.
Ale więcej jest takich, co jakoby chrząszcze
Brzęczą — rymy odwieczne przebrzmiałych kantylen:
Bo im już przerąbano od dawna te gąszcze,
Gdzie nad majakiem pieśni dzisiaj płacze sylen.

VI.

Nie lubię rzeczy łatwych. Lubię łamać granit,
Lubię słuchać jak szumią Oceanów larga,
Jak płaczą nad tytanem chóry Oceanid,
Gdy Jowisz się nad nimi piorunami targa.
Więc innej szukam drogi. Może pieśń upiększy
Rym, jaki nam gęślarze zostawili dzicy —
Pierwotny — lub ów pieśniarz najprostszy, największy,
Wojciech Święty, co śpiewał o Bogarodzicy,
Albo śpiewać, jak niegdyś Imćpan Rey z Nagłowic,
Co nie znał rymów złotych, ani dźwięcznych cytar,
Lecz duszę miał czującą i wzrok jak ostrowidz
I jędrnych słów na gładkość cukrzoną nie wytarł.
Lub dziwną stworzyć mowę: ni to wiersz ni proza —
I aby w tajemniczych prozy tej orkiestrach
Płynęła przeczuciowa mgieł mistycznych groza
I drgał podziw i zapał, śmiech i płacz i przestrach.
Biały wiersz — cud nad cudy — lampa czarodziejska,
Heksametr, z iljonowych wzięty wykopalisk,
Jak pantera wygięta w skok — strofa alcejska:
Oto co dziś mnie nęci, niby wzrok odalisk.

A. Lange.

Byron'owskie „Wędrówki Childe-Harolda".

(Z powodu nowego przekładu).[1]

„Wędrówki Childe - Harolda" rozpadają się na dwie części, pokrewne formą, ale różne nastrojem i wartością. Pieśni III i IV przewyższają nieskończenie pieśń I i II i to zarówno pod względem ideowym, jak i artystycznym.

Pieśni początkowe noszą wprawdzie na sobie wyraźne piętno talentu Byron'a, ale stoją znacznie niżej od dojrzalszych jego utworów.

Stanowią one rodzaj poetycznego dziennika podróży, wypełnionego szeregiem pięknych, rysowanych z natury obrazów, ujętych w ramy melancholijnej refleksyi.

Wędrowcem, opowiadającym swoje wrażenia i smutki, jest młody arystokrata, którego po hulaszczem życiu i zawodach miłosnych ogarnęło cierpienie straszniejsze od „samego nieszczęścia" — cierpienie przesytu. Nad innemi tonami przeważa tam już nuta niechęci do ludzi i cywilizacyi, oraz przywiązania do przyrody — nuta, która brzmi bardzo silnie we wszystkich późniejszych dziełach Byrona (II, 25).

Siadać na skałach, dumać nad wodami,
Lasów odwieczną przebiegać gęstwinę,
Zamieszkiwanych przez dziką zwierzynę
Nieznającą nas, ludzi, panami...

. . . .

To nie samotność; to rozmowa żywa
Z naturą, co nam swe czary odkrywa.

Obok tego jednak nie brak ustępów, nasyconych i przesyconych nawet melancholią, zniechęceniem i „spleen'em", ale spleen'em zabarwionym tak indywidualnie, że wprowadzenie tego żywiołu do literatury stworzyło epokę nietylko w Anglii, lecz i w całej Europie. Na rysopisie i skargach Childe-Harolda Byron'a[2]) wzorowali się „bajroniści" wszystkich salonów i klubów. Każdy z nich udawał, że dźwiga w piersi brzemię tajemniczego smutku i jęczał, nie zapominając przybrać pozy, któraby łączyła harmonijnie bezgraniczną rozpacz z kokieteryjnym wdziękiem:

Nie myśl, że ból miłosnych pęt
Albo nienawiść ludzi,
Lub żal ambitny — we mnie wstręt
Do uciech życia budzi.
To p r z e s y t, który dziś co krok
Dusza i zmysły czują...
Dokądże tułacz uciec ma
Przed s o b ą? w które strony?
Gdy z nim tuż, tuż żywota r d z a
Z nim myśli ach! demony!

Ten bajronizm salonowy wielką wyrządził krzywdę pamięci i sławie autora „Wędrówek", który, poza melancholią, dotykał wielu jeszcze innych strun, dźwięczących bardziej męzkim, śpiżowym dźwiękiem. Dla tłumu atoli Byron pozostał przedewszystkiem śpiewakiem nudy i przesytu. Tymczasem to fałsz absolutny, to jedno z owych licznych kłamstw konwencyonalnych, przekazywanych z pokolenia na pokolenie i zaciemniających prawdę.

Kto zadał sobie pracę uważnego przeczytania nietylko takich dzieł, jak „Kain" i „Don Juan", ale nawet samego „Childe Harolda", przekona się, jak mylnym był, a w części i jest jeszcze sąd szerokiego ogółu.

Już w pieśniach początkowych są ustępy, świadczące, że poeta, wobec wypadków ważnych odrzucał apatyczną maskę znudzonego życiem i rozpustą dandysa i umiał śpiewać hymny zachwytu, lub rzucać gromy oburzenia. Tak np. (Pieśń II, XI), woła do łupiezcy rzeźb Partenonu, Lorda Elgina:

O, Szkocyo, skądżeś taki potwór wzięła?
O, Anglio, ciesz się, że to nie twe dziecię
Wstyd wolnym ludziom szpecić wolnych dzieła...

. . . .

Pikt nowoczesny chlubi się z talentu,
Że czego Goty i Turki i burze
Nie doniszczyły — on zniszczył do szczętu!
W tej to poziomej, a twardej naturze,
Wzrosłej wśród szkockich skalistych nadbrzeży
Mogła się wylądz myśl takiej szkarady!
Rabunku resztek skarbnicy Pallady i t. d.

[1]) „Wędrówki Childe-Harold", poemat lorda Byron'a, tłomaczony z angielskiego przez A. A. K., Kraków. Cytujemy według tego przekładu.

[2]) Pierwotny tytuł poematu był Childe-Burun: takie zaś nazwisko nosił protoplasta arystokratycznego rodu Byron'ów.

---

i stanął wprost naprzeciwko niego i zdawało mu się, że wyraźnie słyszy głos jakiś:

— Janku... mój biedny Janku..

Poznał ją ... poznał.

Rzucił się konwulsyjnie, jak gdyby pchnięcie sztyletem w serce dostał, oczy przemocą otworzył i, błędny wzrok w przestrzeń utkwiwszy, wybełkotał przestraszonym głosem:

— Matka... matka...

Nerwowym ruchem rąk zaczepił o stolik i szklankę, które z łoskotem na ziemię runęły, ale on nie słyszał tego łoskotu. Ręce, wyciągnięte do widma, które się przed nim zjawiło, osunęły się powoli, a Iwan Matwijowicz wstrząśnięty do głębi, upadł na fotel i płakać gwałtownie począł.

Płacz sprawił mu nieco ulgi.

— Co się zemną dzieje — co dzieje? szeptał sam do siebie — chory jestem...

Przytomość umysłu wracała mu na chwile, a wówczas starał się zanalizować stan swój dziwny, nerwowy, rozdrażniony — i mimowolnie wracał znowu do młodości, do życia, do tej smutnej teraźniejszości, która próżnią swoją tak go gniotła i w nicość bezdenną wtrącała. Porównywał siebie do bociana, zranionego w skrzydła, który widząc innych odlatujących z krzykiem wesołym w dalekie i nieznane kraje, zrywa się do lotu, podskakuje, upada ... i wreszcie pozostaje samotny, wśród tej samej łąki, gdzie jeszcze niedawno brzmiały ożywione klekoty współbraci.

Czy pomyślał kiedy o tem, czem się stanie, gdy pełen nadziei ostatni raz przez Ostrą-bramę przejeżdżał? A co się stało? Zamiast dawnego ciepła, o ktorem tyle serdecznych wspomnień mu pozostało, otaczała go sucha, obojętna, inna jakaś atmosfera duchowa, w której się dusił i czuł, że co dnia trudniej mu o oddech swobodny.

Wstrząśnięty tem widzeniem, które przesunęło się przed nim niby wyrzut sumienia, niby echo, które brzmieniem swojem przypominało głos dawno znany, wpadł w zupełną apatyę, z takiem osłabieniem fizycznem, że przez kilka dni świąt Bożego narodzenia wcale z pokoju nie wychodził. Przyjechał sprawnik, kilku urzędników sądu okręgowego: przez dwa dni i dwie noce słychać było tylko bezustannie: „pas" i „stuczu" — ale Iwan Matwijowicz nie brał żadnego udziału w tej rozrywce i „odpoczynku". Otworzył przed nimi dom swój, ale przed żadnym nie otworzył serca. „Batiuszka" i Katia rządzili w tym domu bez opozycyi, szczególnie od czasu, gdy Iwan Matwijowicz coraz bardziej zapadać począł na melancholię. Na wszystko patrzył obojętnie.

— Jeszcze rok — dwa i oddam majątek Pieti.. niech sobie robi, co chce..

Na trzeci dzień rozjechali się nieproszeni goście, ale w usposobieniu i stanie Iwana Matwijowicza nic się nie zmieniło. Pod wpływem przygniatającego go uczucia smutku, goryczy i osamotnienia, napisał do syna długi list, prosząc, ażeby egzamina swoje przyspieszył i koniecznie na Zielone Święta przyjechał, napomknął mu o tem swojem osamotnieniu, o tem, że go życie przedwcześnie zmęczyło, że pragnąłby Nenadychę oddać co rychlej w jego ręce. Włożył list do koperty, zapieczętował, położył na stoliku z zamiarem oddania nazajutrz na pocztę i o losie syna zamyślił się.

Po chwilce zdało mu się, że szmer jakiś za oknem posłyszał, któremu towarzyszyło dalekie szczekanie psów. Podniósł głowę, wzrokiem natężonym do okna spojrzał i widział wyraźnie kilka postaci ludzkich, przesuwających się powoli. Powstał z fotelu, ażeby się do okna zbliżyć i przypatrzyć temu, gdy nagle szyby okienne zadrżały od uderzeń fal głosowych, a w pawietrzu zabrzmiały znane słowa kolendy:

Przybieżeli do Betleem pasterze,
Grając skocznie Dzieciątku na lirze:
Chwała na wysokości,
Chwała na wysokości,
A pókój na ziemi...
Oddawali swe ukłony w pokorze
Tobie z serca ochotnego, o Boże!
Chwała na wysokości,
Chwała na wysokości.
A pokój na ziemi..

Przyspieszone tempo kolendy, te głosy proste nieuczone, lecz szczere, które z serca śpiewaków rwały się, uderzyły całą wielką, świeżą falą w umysł i serce Iwana Matwijowicza i zatrzymały go pośrodku pokoju.

(Ciąg dalszy nastąpi).

O wiele więcej podobnych, oraz silniejszych i głębszych ustępów znajdziemy w pieśniach III i IV, napisanych w kilka lat później, kiedy poeta, przeszedłszy przez szkołę nieszczęścia i bólu, dojrzał umysłowo i moralnie[3]).

Fikcyjny bohater zeszedł tam już na drugi plan i poeta mówił głównie w swojem imieniu.

Do najpiękniejszych ustępów należą rozmyślania na polu bitwy pod Waterloo (III, 17—45), oraz przecudowny obraz Wenecyi tego „snu marmurowego", jak ją pięknie nazwał Gabriel D'Annunzio!

Rzekłbyś Cybela, gdy ją morska fala
Świeżo wyniosła: z basztami w tyarze,
Majestatycznie jaśniejąca zdala
Wielka rządczyni na wodnym obszarze itd.

Dziś tu już Tassa nie dźwięczą oktawy;
Milczkiem gondole po kanałach suną;
Nie często pieśni, nie często zabawy,
A te pałace może rychło runą!

Wspaniałą także i głęboko odczutą jest elegia, wyśpiewana na gruzach Rzymu „mocarstw umarłych matki samotnicy, Niobe narodów, wyzutej z tronu".

Największa atoli liczba strof poematu poświęconą została, jak zwykle u Byron'a, subjektywnym wynurzeniom. Skarży on się, że cierpi — a wtedy już miał prawo do skargi! — że i źródło jego życia zatrute, i że zatruli mu je ludzie. Od ludzi więc ucieka poeta na łono przyrody, rzucając im takie pożegnanie:

Światam nie lubił i on mnie nawzajem,
Lecz, jak uczciwe wrogi się rozstajem.
Na niewidziane wierzę, iż są słowa
Warte uczynków, że cnota surowa
Zna miłosierdzie, z grzesznika nie szydzi itd.

. . . .

Stronić od świata nie znaczy to zgoła
Mieć dlań nienawiść: niekażdy bo zdoła
Troskom i burzom życia stawić czoła;
Nie przez nienawiść więc ucieka dusza
Do swego źródła,

Żyć jednak wśród ludzi — trudno. Ze wszystkich więzów, krępujących człowieka, więzy społeczne trzymają najmocniej i najciaśniej. Kto ich znosić nie umie, musi porzucić społeczeństwo i szukać pociechy w samotności i obcowania z naturą. Do natury więc, jak Goethowski Werter i Chateaubriand'owski René zwraca się i Childe-Harold. Przekonawszy się, „jak miał mało do zażyłości z ludźmi uzdolnienia", czując się wśród nich „jak dziki sokół w klatce uwięziony, którego życiem powietrzne przestworze", poeta

Góry sobie za druhów obiera
Za dom rodzinny oceanu tonie;
Gdzie pod szafirem niebios ciepło wionie
Tam się dlań przestrzeń wędrówek otwiera.

Tutaj mu dobrze, tutaj — woła:

Czuję się cząstką tego otoczenia
W tych górach tętna żywe dla mnie biją,
Tylko gwar miejski jest nie do zniesienia.

. . . .

Do miłowania bliźnich się poczuwam
Lecz nadewszystko naturę miłuję.

A im dzikszą, im niedostępniejszą przyroda, tem rozkoszniejsze sprawia ona wrażenie. Żywioł nieokiełznany dotąd przez nikogo, ocean, przy którego brzegach kończy się władza człowieka, zachwyca tego potomka skandynawskich królów-morza, wikingów;

Tyś jest zwierciadłem pysznem: bo się w tobie
Wszechmoc odbija; tyś jest w każdej dobie,
Czy cicho drzemiesz, czy wzburzasz swe fale
Z lekkim wietrzykiem, czy w orkanu pędzie,
W podbiegunowym mrozie i upale
Podzwrotnikowym — bezgraniczny wszędzie.

. . . .

Jam ciebie zawsze kochał, Oceanie,
Było to mojem weselem dziecinnem,
Gdym się kołysał na twem łonie płynnem.

. . . .

Bom się za twoje poczytywał dziecię,
Bo do fal twoich miałem zaufanie,
Bliskich i dalszych i śmiało po grzbiecie,
Głaskałem ciebie zawdy, Oceanie.

Ale cóż, kiedy „życie jest kłamstwem przeciw przyrodzie, z jej harmonijnym ustrojem w niezgodzie" dodaje dalej poeta, uczeń i wielbiciel Rousseau'a. Obcowanie z naturą łagodzi „ból istnienia", ale go nie leczy. Można uciec przed ludźmi, można zerwać więzy społeczne — nie uwolni nas to jednak od pęt, nałożonych przez konieczność, od przekonania o naszej nicości, od współczucia z cierpieniami i nędzą człowieczego rodu. Na ten temat, — który obrobiony został specyalnie w „Manfredzie" i „Kainie" — filozofuje Byron niemało i w „Childe-Haroldzie. Jeżeli mówimy „filozofuje", nie znaczy to, żebyśmy przeceniali zdolności filozoficzne autora „Wędrówek". Na tym punkcie stał niżej od Göthe'go, Shelley'a, a nawet Słowackiego. Byron nie był filozofem — metafizykiem we właściwem tego terminu znaczeniu, lecz był filozofem-moralistą i filozofem poetą. Nie wytworzył on skończonego poglądu na całość istnienia, ale zgłębił wewnętrzną treść realnego życia ludzkiego i umiał uogólniać swoje osobiste uczucia i wrażenia, zamieniając je na szerokie i potężne symbole, działające z równą siłą na wyobraźnię jak i na rozum czytelnika.

Co prawda, to symbolami posługiwał on się głównie w dramatach, w „Childe-Haroldzie" ubierał swoją myśl w formę bardziej bezpośrednią i prostszą, t. j. wygłaszał rodzaj maksym i refleksyi o naturze ludzkiej, życiu, sztuce itp. Wogóle jednak zdawał się odczuwać pewien brak siły plastycznej, nie pozwalający mu uzmysłowić wszystkiego, co czuł i myślał (III, 97).

Gdybym odsłonić mógł, gdybym wywołał,
To co jest we mnie ukryte i zdołał,
Myśli me w głośnej wypowiedzieć mowie
Tak, iżby wszystkie duszy mej pragnienia
Wszystkie uczucia i wszystkie marzenia
W jednem potężnem zawarły się słowie,
Mającem błysku moc piorunowego
Tobym przemówił. Niestety bez tego
Zyję i umrę nigdy nie słyszany
Z myślą, jak oręż w pochwie wciąż trzymany.

W twórczości Byron'a zajmuje Childe-Harold bardzo poważne miejsce. Dwie pierwsze pieśni stały się fundamentem jego sławy, w dwóch ostatnich zawarł tyle obrazów, myśli, oraz subjektywnych, a nawet wprost autobiograficznych wynurzeń, że bez dokładnego zapoznania się z tym utworem niepodobna zrozumieć Byron'a. Dla tego każdy dobry przekład tego poematu jest i

[3] I i II p. CM. H. wyszła w roku 1812. III — w r. 1816, IV — 1818.

TAKŻE EWANGIELSTKA.

Sylwetka petersburska.

Nasz profesor literatury był z pewnością bardzo zacnym człowiekiem; a był on tak malutki i tak okrągły, że adoratorki jego, przypisując mu w braku wpływu naukowego „ogromny" wpływ moralny, nazywały go „samem sercem". Rzeczywiście, było to chyba najlepsze z serc, bijących pomiędzy dwoma garbami. Pozwalało mu ono wierzyć, że bracia słowianie, pozostawieni samym sobie, chwyciliby natychmiast dawne zarzucone gęśle i śpiewając rytmy bojanowe, wędrowaliby po swych szczerych polach, goszcząc się i miłując się wzajemnie, aż zwiastowaliby wreszcie światu „nowe słowo" swej rasy, rozpoczynające erę prawdy i dobra dla całej ludzkości.

Tak idealny nastrój wykładów musiał naturalnie unosić i słuchaczy w jakieś empireje, a więc i moje oczy pięły się zwykle w górę, błądząc wśród bogatych stiuków olbrzymiego plafonu, wśród misternych łodyg floresowych, wśród białych zwojów panoszących się wiecznie akantusów. Zdecydowawszy się raz nie słuchać profesorskiej idylli, żeby się nie kompromitować koniecznem poziewaniem, miałam dosyć czasu na mierzenie wzrokiem obszernej przestrzeni i jej różnorodnych zawartości. Zmęczywszy źrenice na suficie, spuszczałam je na twarze realnych słowianek i niesłowianek zresztą, zajmujących kilkusetnym zastępem żółte szeregi ławek.

Jakież to były twarze?

Strach pomyśleć, doprawdy! Bo nie będę przecież ukrywała, że była to jedna z tych szkół nieszczęśliwych, których pokoje zowią się audytoryami i laboratoryami, nauczyciele — profesorami uniwersytetu, a uczennice — stu-dent-ka-mi! To też wśród murów tych padają nieraz słowa: tlen i azot; akcya i reakcya! Szekspir i Dante! rewolucya i restauracya! a nawet — siła i materya! I setki uszu kobiecych temu się przysłuchuje.

O właścicielki uszu, dużych i małych, białych i różowych, a jednako narażonych na słuchanie tych horendów, jak wy wyglądacie?

Chcę być bezstronną, lecz, niestety, zaczynam się domyślać, że duch-patron koleżeństwa uzbroił moje oczy w zwodnicze okulary; bo widzę najwyraźniej między wami pulchne policzki, różowe usta, zgrabne, figlarne noski, wcale ładne oczka kolorów rozmaitych — a tymczasem któż nie wie w nasze czasy, że koście waszych twarzy obciąga pargamin starych rękopisów, że spłowiałość waszych oczu ukrywacie pilnie pod okularami, że blade wasze wargi są tak zaciśnięte, jak u siedmdziesiątletniego profesora, „obcinającego" was na egzaminach. Ale cóż ja poradzę z podstępem moich okularów? Będę już je chyba nosiła aż do końca życia, jak nosił swoje ów pożałowania godny duńczyk Kirkegaard, chociaż jedno z jego szkiełek ukazywało mu świat i ludzi w imponujących rozmiarach, a drugie sprowadzało wszystko do stopnia nędzy wyjątkowej.

— A, jest: twarz blada, ale z dwiema ceglastemi plamami pod oczami, oczy naprawdę bardzo wypłowiałe, lecz okularów niema, choć być powinny, wargi szerokie i nie nadto blade, lata nieokreślone, a twarz, właściwie mówiąc, także nieokreślona.

Tak sobie mówię, obserwując w duchu osobę, siedzącą na jednej z ławek środkowych i nagle przypominam sobie, że to jej właśnie spojrzenie ołowiane czuję na sobie od dni kilku. Co prawda, nie sprawia mi to wcale przyjemności, mam zbyt dobry gust, aby nie wiedzieć, że rezultaty tak upartej obserwacyi nie mogą wypaść dla mnie nader pocieszająco. Ot, patrzy i teraz, lecz co jej właściwie do tego, że mój nos jest tak nieklasyczny, że włosy nigdy nie chcą ułożyć się przyzwoicie i że nie mogę się zmusić do słuchania profesora X? A może to właśnie jego zwolenniczka i chce się tylko przekonać, o ile mię roztkliwia „bohater ludu" *Ilja Muromiec*, a odwrotnie oburza groźny przeciwnik jego, *Złój cariszcze, Kaliniszcze.*

Zaczynam jednak słuchać mimowoli i przekonywam się od razu, że się dzieje coś nowego, niezwykłe jakieś akcenty lecą

będzie pożądany, Mówimy „będzie“, gdyż aczkolwiek włącznie z omawianym istnieją już cztery całkowite tłómaczenia „Wędrówek“ Childe-Harolda“, a każde z nich posiada pewne i często niemałe zalety, nie wyczerpują one całkowicie „duszy“ poematu.

Każdy z tłomaczów, jak to zwykle bywa, gdyż być *musi* — zwracał mimowoli uwagę na to, co pociągało jego indywidualność, akcentował zaś słabiej te strony utworu, z któremi go nie wiązała sympatya duchowa. U Budzyńskiego naprzykład dobrze oddany został szlachetny, patos, przenikający poemat. Praca pana A. A. K. znowu odznacza się niezwykłą dokładnością przekładu, a zarazem jasnością wysłowienia. Tej ostatniej zalety brak miejscami, pięknemu wogóle tłomaczeniu znanego poety Jana Kasprowicza, który wyraża się niekiedy w sposób nieco zawiły. Właściwość ta, którą odnajdziemy i w utworach orginalnych Kasprowicza, da się w tym wypadku wytłomaczyć trudnościami formy. Kasprowicz był jednym z dotychczasowych tłomaczów, który się pokusił — i dodać należy z powodzeniem — o naśladowanie trudnej, t. zw. spencerowskiej strofy orginału. Strofa ta składa się z 9 wierszy o 3 rymach krzyżujących się w sposób następujący: *a*, *b*, *a*, *b*, *b*, *c*, b, c, c. Oto przykład, wyjęty z pracy Kasprowicza:

Gdybym, co we mnie największego gości,
Mógł odziać w ciało i wyrzucić z łona;
Gdybym dla myśli uczuć, namiętności,
Dla serca, duszy — silna, czy zwątlona
Gdybym dla tego, k'czemu dąży ona
Co znosi, czuje, zna, a przecież żyje,
Miał jedno słowo — piorun: myśl zrodzona
We mnie, byłaby, jak ten grom, co bije
I ja nie byłbym mieczem, który pochwa kryje.

Też samą strofę (III, 97) podaliśmy wyżej w przekładzie pana A. K. K., który nie trzymał się orginału ani w układzie ilości rymów, ani zmianach długości wierszy. Szemat tej strofy u omawianego tłomacza przedstawia się tak: a, a, b, c, c, b, d, d, nie został przeprowadzony stale przez tłomacza: trafiają się strofy normalne (9 wierszowe) i 14 wierszowe (IV 97 str. 183) o siedmiu rymach krzyżowanych tak: a, b, a, b, c, d, c, d, e, f, e, f, g, g. Słowem, jak widzimy, p. A. A. K. poświęcił ścisłość formalną, dla ścisłości myślowej, oraz wyrazistości wykładu. Tak zawsze bywa: każdą zaletę trzeba okupić jakąś ofiarą.

Dla pokazania, jak różnie jeden i ten sam ustęp może być oddawany przez kilku świadomych swej działalności tłomaczów przytoczymy jednę strofę słynnego pożegnania Childe-Charolda.

Mickiewicz przełożył ją w ten sposób:

Teraz po świecie błądzę szerokim
I pędzę życie tułacze,
Czegoż mam płakać? za kim i po kim?
Kiedy nikt po mnie nie płacze?
Pies chyba tylko zawyje zrana
Nim obcą karmiony ręką,
Kiedyś swojego dawnego pana
Wściekłą powita paszczęką.

Pan A. A. K. dał tej strofce następującą formę:

Teraz na świecie jestem sam,
Na wód niezmiernej toni;
Za kim tu wzdychać, gdy mnie tam,
Westchnieniem nikt nie goni!
Zaskomli pies po panu swym,
Nim obcą karmion ręką,
Mnie kiedyś za powrotem swym
Napadnie ostrą szczęką.

U Kasprowicza ustęp ten wygląda tak:

Na świecie dziś sam, jestem sam,
Śród tych bezmiernych fal,
Cóż żalić się po innych mam,
Gdy po mnie zginął żal?
Może mój pies nie przestał wyć,
Lecz z obcych jedząc mis,
Gdy wrócę znów by w domu żyć,
I on mnie będzie gryzł!

Orginał zaś brzmi jak następuje:

And now I'm in the world alone,
Upon the wide, wide sea;
But why shalla I for others groan,
When none will sigh for me?
Perchance my dog will whine in vain,
Till fed by stranger hands
But long ere I come bac again
He'd tear me where he stands.

Najdalej i od formy i od treści orginału odbiegł, zwłaszcza w pierwszym czterowierszu, Mickiewicz, który parafrazował tam właściwie, nie tłomaczył Byron'a. Najbliższym treści jest pan A. A. K., najdokładniej zaś oddał budowę strofu Kasprowicz. Słowem jeden tłomacz dopełnia drugiego.

Ignacy Matuszewski.

SPRAWY EKONOMICZNE.

LEON SAY,

(ur. 1826 roku, umarł 21-go kwietnia 1856 roku).

Zasługi przodków utorowały drogę Say'owi i pozwoliły mu pozyskać rozgłos po nad wartość własną. Książki, które po nim pozostały, minęłyby niepostrzeżenie, gdyby nie to, że wyszły z pod pióra dziedzica wielkiego imienia.

Dynastya Say'ów od trzech pokoleń pracuje we Francyi w zakresie teoryi ekonomicznych. Dziad spopularyzował dzieło Adama Smitha, jędrnym a filozoficznym dociekaniom wielkiego ekonomisty angielskiego, nadając lekką, powabną i zarazem płytką postać. Dzięki Janowi Babtyście Europa dowiedziała się o nowej doktrynie. Czem przed paru dziesiątkami lat był Haeckel dla darwinizmu, tem pierwszy z dynastów dla rozwoju poglądów ekonomii klasycznej, które zresztą pod jego dotknięciem zamieniają się na świadomie klasową doktrynę. Szkoła klasyczna przechodzi do pospolitej. Były to we Francyi czasy panowania jeszcze szczątków merkantylizmu. Say, dziad daje początek prądowi wolnego handlu i zostaje jednym z największych jego rzeczników w swojej ojczyźnie. Syn, Horacyusz, trzyma dalej sztandar manczesteryzmu, ale przyszedłszy na świat w czasach innych, gdy krytyka zaczęła sprawdzać zasadnicze twierdzenie szkoły, jest jeszcze płytszy: ślizga

---

ku nam z wysokiej katedry, znikł gdzieś bez śladu ów nieznośny patos, nadający pozór nieszczerości najszczerszym uczuciom profesora, natomiast głos jego wzbiera niewstrzymanem oburzeniem, drży gniewem, czarne oczy płoną jak żużle wśród pobladłej twarzy, nerwowa ręka zaciska się kurczowo. Mały człowieczek wyrasta tu w oczach, jak sam Ilja Muromiec, bo, jak słyszę, porwał się i on też na olbrzyma, i to na olbrzyma swej ojczystej historyi, na racyonalistę i „utylitarystę“ na Piotra wielkiego.

A pozywał go przed sąd nie za żadne przedawnione winy, lecz za „zło aktualne, obejmujące i dzisiejsze społeczeństwo“ a mianowicie za „uśmiercenie kościoła rosyjskiego, wskutek poddania go pod absolutną władzę państwa i jego przedstawiciela“.

— Tak, nie łudźmy się wcale, dzięki to jemu właśnie kościół nasz prawosławny martwy jest oddawna i wszystko, co żyje w nas duchem, a nie literą wyrzeka się go i spieszy się zaciągnąć pod rozmaite sztandary, nie oglądając się na żadne rozkazy i ukazy!

Sympatyczny szmer przelatuje długie szeregi ławek, w powietrzu drgają szczególne jakieś wiewy, profesor przejęty do głębi, tem co mówi, potrąca i wśród słuchaczek wtórujące mu struny; a struny te bardzo rozmaite.

Ot ta naprzykład drobna, smagła dziewczyna z ascetyczną duszą, nizko chyląca główkę w tej chwili, boleje do głębi nad tem, co słyszy i marzy z pewnością o przyszłem odrodzeniu się swej religii.

Tam znowu oceniają słowa profesora z punktu widzenia czysto historycznego, a tutaj poruszone są szczerością i odwagą, z jakiemi się wyraża o rządzie i jego kościele; słowem podniecenie ogólne zapanowało na sali, które się wzmogło jeszcze na odgłos dzwonka, kładącego tamę podniecającemu wykładowi.

Rozsypawszy się małemi grupami po kwadratowej sali rekreacyjnej, słuchaczki dzieliły się już swobodnie świeżemi wrażeniami, komentując pojedyńcze ustępy prelekcyi.

Stałam właśnie w małem kółku koleżanek, trzymających się zwykle razem, gdy nagle ujrzałam przed sobą ową osobę z ceglastemi plamami, które teraz znacznie się powiększyły na górnej części jej twarzy.

— Nieprawdaż, rzadko się zdarza usłyszeć w naszych czasach, tak wspaniały wykład a zwłaszcza tak śmiały i nie liczący się z niczem! Ale bo też my, Rosyanie, umiemy znakomicie krytykować siebie i czynimy to zawsze z jakąś specyficzną, bolesną rozkoszą. Co do mnie, nie straciłam wcale tego rodzaju wrażliwości, chociaż dawno już żyję na tym smutnym świecie i pamiętam niemało prądów rozmaitych, ogarniających naszą inteligencyę.

Mówiąc to, patrzyła kolejno na nas wszystkie, przenosząc bystro wzrok z jednej na drugą, a nie słysząc tymczasem żadnej odpowiedzi, zwróciła się wreszcie do S—cz, najbliższej mojej sąsiadki.

Jeżeli się nie mylę, spotykałam panią u państwa E—ów?

— Tak, przypominam sobie, ale teraz już oddawna nie widziałam tam pani.

— O, są to bardzo zacni ludzie, ale zdaje mi się, że skamienieli na tem stanowisku, na które weszła inteligencya nasza kilkanaście lat temu. I mnie się wówczas zdawało, że nigdy już zeń nie zejdę, i ja też latałam patrzeć, jak profesor Sieczenow kraje żaby i święcie wierzyłam, że chemia i fizyologia rozwiążą nam wszelkie zagadki, i że już wkrótce *viendra le jour, où l'humanité ne croira plus, elle — saura*. Ale długo to trwać nie mogło; przekonałam się wreszcie, że na pytania moje nauki te nie dadzą wcale odpowiedzi, że każą tylko czekać faktów, nowych faktów, a dusza czekać faktu nie chce i nie może...

Mówiła to z półuśmiechem, rzucając na nas zmieszane jakieś, pytające spojrzenia. Plamy na jej twarzy stały się jeszcze jaskrawsze, lecz sama twarz ta była tak nieruchliwa, że nawet wzniesiona w tej chwili fala uczuć nie odbiła się na niej żadnym nowym wyrazem; dla tego też może słuchałam obojętnie niespodzianej spowiedzi.

Pani, zdaje mi się, jest z Warszawy? — zagadnęła mię nagle.

— Nie z Warszawy wprawdzie, ale Polką jestem.

się po powierzchni zjawisk ekonomicznych i zrywa z klasycyzmem, który zbyt szorstko, t. j. szczerze rozpatruje zjawiska. Wnuk, Leon, należał do tego grona mamutów we Francyi, którzy na wszelkie niedomagania narodowe mieli jedno tylko lekarstwo: wolną konkurencyę! Szedł on w jednym zastępie z F. Passy'm i innymi i walczył przeciw reformom, pąwściągającym nadużycie plutokracyi. Może nie było zacieklejszego i komiczniejszego przeciwnika upaństwowienia kolei żelaznych. Reforma ta była czemś strasznem dla Say'a, wstępem do upadku cywilizacyi i powrotem barbarzyństwa! Projekt postępowego podatku od dochodów, który usiłował nadać powinnościom podatkowym obywateli kraju słuszniejszą podstawę, uchodził w jego oczach za zamach na świętość własności prywatnej; więc w przededniu skonu zbijał zamiary rządu w pewnym dzienniku. Duch czasu wcielił się w paru drobnych dodatkach do doktryny ojca i dziada, przedewszystkiem zaś w platonicznem uwielbieniu samopomocy kooperacyjnej. — Wraz z Say'em ubywa jeden z ostatnich mamutów ekonomii pospolitej, która tyle zniszczyła talentów i zużyła dowcipu na utrwalenie w nauce tylko sofizmatów. Nowe pokolenie ekonomistów francuzkich hołduje innym ideom: względności i historyczności.

W polityce Say był tem samem, co w ekonomii, mianowicie rzecznikiem interesów plutokracyi. Prowadził on układy z domem Rotschildów o udzielenie pożyczki na kontrybucyę wojenną r. 1871, uczestniczył we wszystkich reformach skarbowych. Senator od lat przeszło dwudziestu, przedstawiał w izbie wyższej ów kierunek, przed którym świeżo kapitulował Bourgeois. W zakresie ekonomii płytki popularyzator tego, czego w tak utalentowany, choć zwodniczy sposób bronili Bastiat i inni, w polityce obrońca interesów wielkiego kapitału spekulacyjnego, w życiu umiejętny robigrosz, odznaczał się nadto oportunizmem barwy umiarkowanej.

Z.

BADANIA NAUKOWE.

Buddha i Chrystyanizm.

Nad niezliczoną tłuszczą hord azyatyckich, co paląc i pustosząc, niosą zagładę prastarym zabytkom cywilizacyi europejskiej, unosi się groźna postać Buddhy. Oto treść obrazu cesarza Wilhelma II — znana czytelnikom „Przeglądu", a budząca swego czasu tj. kilka miesięcy temu, ze względu na dostojnego autora i przeważnie na treść samą żywe zainteresowanie prasy i ogółu.

Dla czego nadał autor Buddzie tak nieprzyjazne dla nas stanowisko? Dla czego uczynił go bożkiem zniszczenia i zagłady?... Czyżby Buddha dzielił los wszystkich wielkich założycieli sekt religijnych — czy wieki wykrzywiły oblicze jego?

Na indeksie papieskim znajduje się broszura pewnego katolika, nosząca tytuł „Podróż do Tybetu". Otóż znajdujemy w niej rzeczy wprost zdumiewające. Lamowie tybetańscy posiadają spowiedź, różaniec, tonsurę, egzorcyzm, celibat — mają swych świętych, litanie, wodę święconą i wiele innych obrzędów kościelnych, wspólnych religii katolickiej. Wszystko to osądziła hierarchia katolicka za szatańską parodyę — złośliwie wymyśloną bajkę. A jednakże fakta niezbite świadczą o tem, iż zwyż wymienione urządzenia kościelne posiadał buddhyzm znacznie rychlej niż je miał Kościół Chrystusowy. Lecz jak nie można identifikować obrządków rytualnych i praktyk społecznych pewnych wyznań z tendencyą ich założycieli, tak i późniejszy Kościół tybetański uważać należy poniekąd za wykrzywienie pierwotnej nauki Buddhy. Więc gdybyśmy nawet przyznali, że ta i owa z późniejszych form rozwojowych Buddhyzmu, zagrażać może „najświętszym skarbom ludów Europy", to sam Buddha bezpośrednio nie jest żadną miarą owym duchem zniszczenia, unoszącym się nad gruzami cywilizacyi zachodniej.

Prawda historyczna żąda, by tego mędrca wschodu oczyścić z zarzutów, bijących z cesarskiego obrazu. Bo jak każdy potężny umysł jest światłem, przenikającem ciemności nocne, — tak i Buddha rozlał swe promienie świetlane na ludy azyatyckie.

Być może, iż nie on sam wzniósł Buddhaizm, jakby to z nazwy przypuszczać można, do znaczenia potężnej religii, — bo jak wiadomo, zasługi i zdobycze kilku pokoleń lubimy przypisywać jednemu generalnemu osobnikowi, — jednakże bądź co bądź, nikt mu chyba tej zasługi nie odmówi, a wszystkie rozproszone idee, spoczywające na dnie umysłów swego pokolenia, on jak w soczewce ześrodkował i w czyn obrócił.

Z tego to powodu winniśmy uważać Buddhę jako bohatera, oswobodziciela z cielesnej i duchowej niewoli. Chrystyanizm zwłaszcza winien mu oddać tę sprawiedliwość, bo z religią jego zdumiewająco pokrewne łączą go węzły. Nawet założyciele obu religii posiadają — przynajmniej w barwach legendy — tyle cech wspólnych, iż zdawaćby się mogło, że to dwaj bracia rodzeni, z których jeden pełni swe posłannictwo na Wschodzie, drugi na zachodzie. Lecz i w pierwotnych swych kształtach, o ile kontury ich jeszcze rozpoznać można, zbliżają się ku sobie, a nie należy tu pominąć szczegółu, iż Buddha 600, a przynajmniej 500 lat starszym jest od Chrystusa; żył współcześnie z siedmiu mędrcami greckimi i starszym jest niewątpliwie od Sokratesa.

Profesor uniwersytetu lipskiego R. Seydel wykazuje nam w jednej z swych rozpraw krytycznych, jak podpadająco zbliżoną jest legenda Chrystusowa do legendy Buddhy. Według niej Buddha jest bóstwem, którego słowem żywią się zastępy świętych i aniołów w niebie. Mieszkańcy niebios wypraszają u niego łaski dla ludzi, błagając by także o ich zbawieniu pomyślał. W postaci młodego białego słonia przechodzi Buddha w ciało przeczystej królowej Mayi, żony króla Suddhodana, którego państwo Kapilavastu rozciąga się u podnóża góry Nepal. Kapłan bramiński przepowiada młodej królewnie: „Napełnioną zostaniesz najwyższą radością, albowiem porodzisz syna, a członki jego zdobić będą szczególne znaki, — szlachetną latorośl królewskiego rodu, najszlachetniejszego z wszystkich królów. A skoro on z miłości

---

— Wie pani, w najdroższych moich wspomnieniach, wspomnieniach wczesnej młodości, plączą się ciągle echa od zachodu, smutne echa od Warszawy i Wilna... O, bo wtenczas żyliśmy wszyscy inaczej, niż dzisiaj żyjemy, rozumieliśmy wiele rzeczy takich, które teraz odzwyczailiśmy się rozumieć.

— Wogóle mówiąc, tak jest w istocie, znam jednak i teraz ziomków pani, którzy nie zapomnieli o niczem, którzy czują i myślą o nas z równą sprawiedliwością, jak myśleli zapewne w młodości.

— No tak zapewne ma pani na myśli niedobitków z redakcyi *Otieczestwiennych Zapisek* i im pokrewnych kółek; znam i ja ich dobrze, wszak to są towarzysze pracy nieboszczyka mego narzeczonego. Niestety, są to tylko wyjątki nawet wśród ludzi starszego pokolenia; co zaś do naszej młodzieży, to część jej przeważna myśli wyłącznie o karyerze, część zas, niby lepsza, ignoruje rozmyślnie kwestye narodowościowe, a nawet polityczne, w ścisłem słowa tego znaczeniu. My wierzyliśmy w fizyologię — oni czekają zbawienia od ekonomii politycznej. Wszystko, co nie ma związku z dobrobytem materyalnym społeczeństwa, wydaje im się marnem, przestarzałem głupstwem, nad którem co najwyżej litować się można.

Odgłos dzwonka, dawno już rozlegającego się po korytarzach, przerwał naszą rozmowę; spieszyłyśmy, ażeby przed bardzo uczęszczanym wykładem tej samej właśnie ekonomii politycznej, znaleźć jeszcze jakie miejsca. Półroczne repetycye miały niebawem nastąpić, a gorliwość nasza tem zrozumialszą była, że profesor J—son słynął ze swej bezwzględności.

Znalazłszy się w jakimś kącie wraz z nieodstępną S—cz. spytałam ją, skąd z a naszą oryginalną interlokutorkę i jakie jej jest nazwisko. Z trzystu koleżanek tego samego kursu wydziału hist. fil. znałam sama zaledwie kilkadziesiąt.

— Nazywa się N owa, spotkałam ją parę razy w poważnym domu redaktora E—wa, gdzie była dobrze widzianą jako ex-narzeczona jego współpracownika i znakomitego pisarza P. Z tego tytułu ma ona podobno dość rozległe stosunki w postępowym świecie literackim, chociaż od pewnego czasu rzadziej się w nim pokazuje, wskutek, jak powiada, różnicy w przekonaniach i nowych prądów, w których się nurza obecnie.

— Są to zapewne prądy najmodniejsze. Może i ona też w orszaku Tołstoja, lub Wł. Sołowjewa pielgrzymowała do kostrowskich lasów, do optjeńskiej pustelni.

Tego nie wiem, przypuszczam jednak, że szczerą jest w tych wahaniach; — nie może to być przecież osoba bez wartości, skoro była narzeczoną....

— Ciągle słyszę o tem narzeczeństwie, lecz cóż jej przeszkodziło wreszcie stać się szczęśliwą małżonką?

— O, ignorancyo, czyż nie znasz tej historyi, zakończonej ciężką chorobą beletrysty i śmiercią właśnie na jej ręku?

— To smutne. Ale znakomity pisarz nie był z pewnością świetnym estetykiem, bo doprawdy nie wiem, czem go ona sobie ujęła.

— To już kwestya gustu, a powtóre ileż to lat przeszło; wszak ona już z pewnością *frise la quarantaine.*

Wejście profesora przerwało naszą rozmowę.

Tego dnia nie widziałem się już więcej z N—ową, ale w ciągu dni następnych rozmawiałam z nią parę razy. Nie miała ona, zdawało się, żadnego kółka poufnego, jak to było u nas we zwyczaju, lecz znała się z grupami rozmaitemi, zacząwszy od arcy-wykwintnych panien, a skończywszy na jakimś rudymentalnym okazie nihilizmu, przybyłym z pewnością do stolicy z najodleglejszych kresów wschodu, czy południa.

Pani ma, zdaje mi się, bardzo wiele znajomych — powiedziałem jej kiedyś.

— Tak, dosyć, bo też zgodzi się Pani, że to kobiece społeczeństwo nasze jest bardzo zajmujące, a wśród półtoratysiecznej rzeszy rozmaitość musi być ogromna. Patrz Pani, ta młodziutka, rezolutna dziewczyna, wychowywana przez brata, mając lat dwanaście, już czytywała z nim Büchnera, a ta tu na prawo, córka znakomitego ministra, występuje właśnie z naszego zakładu, żeby się stać siostrą miłosierdzia gdzieś w szpitalach Turkiestanu.

dla wszechświata porzuci uciechy, królestwo i miasto swe, i wolny od pożądań wstąpi w stan świętobliwy, godzien będzie, iżby mu z trzech światów czyniono ofiary. Zwan będzie Buddha, a świat cały napełni weselem, dając mu nieśmiertelność“. Przy narodzeniu Buddhy ukazują się na niebie różne znaki, bogowie, króle i kapłany przynoszą mu dary, a zastępy wojsk niebieskich śpiewają: Ustało zło wszelkie, świat napełnion błogością, szczęśliwość utrwalona w wszechświecie, albowiem narodził się zbawiciel“.

Pewien bramin głosi prorocze słowa: „Dziecko to stanie się Buddhą — zbawicielem i wieść będzie do nieśmiertelności, wolności i światła“. — Dwunastoletni Buddha zabłąkał się razu pewnego w lesie; po długim szukaniu odnaleziono go wreszcie pod drzewem w otoczeniu uczonych pisma św. i zagłębionego w poważnej medytacyi. — Gdy Buddha dorósł opuszcza królestwo swoje i żonę młodą, by w samotności i wyrzeczeniu się wszelkich uciech światowych znaleźć prawdziwe szczęście. Nie wystarcza mu mądrość braminów, a szatanowi kuszącemu go zrazu groźbą, a następnie obietnicą panowania nad całą ziemią, odpowiada: „Danem mi jest królestwo, lecz nie z tego świata, zwę się Buddha i świat cały napełnię radością“. Potem siada pod drzewem figowem i tu zstąpiła na niego najwyższa światłość: rozpoznanie łańcucha przyczyn i skutków. Tę chwilę święci ziemia cała: kwiaty zakwitły, owoce dojrzały — wszystkie szczeliny i przepaście, które dotąd nie ujrzały promienia siedmiu słońc, światłością się wypełniły; ślepi widzieli, głusi słyszeli, pęta i okowy opadły. Pod drzewem figowem zdobywa Buddha pierwszych wyznawców, — pierwsza jego nauka to błogosławieństwa: „Błogosławiona samotność szczęśliwego, co prawdę poznał i widzi, — błogosławiona niezależność od złego — błogosławione usunięcie się od wszystkiego, co żyjącem jest, i błogosławionem wyrzeczenie się wszelkiej rozkoszy — pokonanie żądz i pragnień — wzniesienie myśli ponad swoje „ja“ — zaprawdę to jest najwyższa szczęśliwość“.

Ten czas przygotowawczy jak i działalność sama uderzająco przypomina życie Chrystusa. Buddha gromadzi w koło siebie uczniów — jest ich dziesięciu czy nawet dwunastu — a między nimi również znajduje się zdrajca. W szczególniejszej pieczy ma ubogich i wzgardzonych. „Radością chcę napełnić wszelkie stworzenie, którego członki omdlałe są“. Temi to słowy charakteryzuje swoje zadanie. Przekłada biedną grzesznicę, słaniającą mu się do nóg i wsłuchaną w nauki jego, nad możnych i dostojnych. Jego uczeń przemawia do niewiasty, należącej do najniższej kasty społecznej temi słowy: „Nie pytam o twe pochodzenie, rodzinę, siostro moja“, a Buddha przyjmuje ją do zakonu swego. Buddha jest wszechmocnym, wszystko przeniknął i poznał, przed nim ustępują fale morskie, niezliczone są cuda jakie tworzy. Na schyłku życia swego udziela rozlicznych nauk uczniom swoim i przepowiada im prześladowania i zniewagi, lecz przyrzeka, iż mieć ich będzie w swej pieczy, że będzie wśród nich, choć go widzieć nie będą, że na górze ukaże się wyznawcom swoim. Na krótki czas przed śmiercią dziwną jasnością promienieje ciało jego.

Przeżył lat 80, — w chwili jego zgonu dzieją się tak samo, jak przy śmierci Chrystusa — cuda i nadzwyczajne zjawiska. Ziemia zatrzęsła się w swoich posadach, spadł meteor, obydwa bieguny stanęły w płomieniach, rozległ się straszny odgłos piorunów.

Wreszcie znajduje się jeszcze jeden szczegół w tradycyi, przypominający uderzająco według prof. Seydla, zesłanie Ducha św. w czasie Zielonych Świątek. „Wieczór piękny i pogodny, jak młode dziewczę, gromadzi słuchaczów na pierwsze kazanie Buddhy. Bogowie spieszą gromadnie — niebo i wszechświat się opróżnia i wszystko zlewa się w jednę niezliczoną rzeszę i słucha proroka jak morze bez bałwanów. I każden z nich sądził, iż mędrzec mówi doń jego własnym językiem, lubo był to dialekt magadhajski“. Najważniejszem jest to, że wszystkie powyżej przytoczone szczegóły tradycyi utrwalone były w pismach Buddhajskich, zanim Chrystus zstąpił na ziemię. Chcąc jednakże w legendach o Buddzie odkryć historyczne jądro, napotykamy wiele trudności. To też usiłowano dowieść z wielką zręcznością, iż cała legenda o Buddzie jest tylko mitologiczną alegoryą. Buddha wyobrażać ma słońce, przykazania jego światło, osoby, które spotyka, gwiazdy, Nirvana — zachód słońca, a ród Sakya odpowiadać ma Hunom i Nibelungom w germańskich „Sagach“. Lecz chociażby legenda o Buddzie utkaną była z wielu mytów o słońcu, to jednakże przypuścić trudno, by w nich zupełnie pomieścić się mogła, choćby i przez wzgląd na to, iż trudno wpleść niektóre bardzo stare informacye buddhystycznego kanonu w ten mytologiczny szemat. Powtóre wierzyć w to niepodobna, że wszystkimi buddhyjskimi pisarzami, którzy pracowali nad kanonem, powodowała jedna wspólna zagadkowa ambicya, by swym wierzącym czytelnikom podać same tylko astronomiczne orzechy do gryzienia. Wypada raczej przypuścić, że przynajmniej główne zarysy legendy są historyczne. Według nich był Buddha synem jakiegoś króla północnych Indyi i nosił początkowo rodzinne swe nazwisko Sakya lub nazwisko swego szczepu Gautama. Nazwa Siddhartha („ten, co dopiął celu“) sięga dopiero późniejszych czasów.

Szczegóły, tyczące się młodości jego, mogą być wytworem poetyckiej fantazyi, — lecz jego zamiar usunięcia się od świata stwierdza fakt, iż późniejsze jego życie było żebracze i pustelnicze. Również i to zdaje się nosić cechę prawdopodobieństwa, iż doszedł do przekonania, że nauka Braminów nie zdoła odjąć ludziom obawy przed cierpieniem, starością i śmiercią. Początkowo, według podań historycznych, nauczał w starem indyjskiem siedlisku mądrości Benares, następnie w Magadha, nakoniec w mieście Kosala. Śmierć jego przypada prawdopodobnie na rok 480 przed Chrystusem. O działalności nauczycielskiej Buddhy nie ma w podaniach historycznych całkowitej zgodności, a mianowicie stosunek jego do nauki Braminów stanowi kwestyę sporną. Oto co mówi Max Müller: „Kiedy młody książę gromadził w koło siebie ludzi, należących do najrozmaitszych kast społecznych, i zaczął w dysputach publicznych zwyciężać bramninów, a ofiary, które im składano, osądził nietylko za zbyteczne, lecz nawet za grzeszne, — gdy miasto surowej pokuty i klątw, któremi karali bramini za najmniejsze prze-

---

Spojrzałam na trzydziestokilkoletnią pannę stojącą pod oknem i przypomniały mi się opowiadania o jej poprzedniej anglomanii a obecnej bigoteryi ultra-prawosławnej.

— Co do pani, ciągnęła dalej N—owa, to, wyznam otwarcie, że interesuje mnie pani przedewszystkiem, jako jedna z przedstawicielek swojej narodowości, dla której zawsze miałam tyle podziwu i sympatyi. Zdaje mi się nawet, że my właśnie powinnyśmy brać przykład z Polek, bo jestem przekonaną, że Polki nie dadzą się nigdy ślepo unieść żadnemu prądowi, lecz potrafią iść w pewnym kierunku, dopóki się im będzie podobało i wezmą zewsząd to, co będzie najlepszego, nie tracąc nic ze swej czysto kobiecej indywidualności! A wieleż to bohaterek wydał ten wasz indywidualizm!

Mówiąc to, wyciągnęła do mnie jakimś niepewnym gestem dość zaniedbaną rękę i spoglądała przytem niby poufale, a tak zarazem trwożliwie, że mi się przypomnieli żebracy pewnej kategoryi, wyciągający wieczorem rękę ze słowami:

— *Błahorodnomu oficeru !* lub:

— *„Bywszemu studientu“!*

Nie mogłam się wprost opędzić temu wrażeniu, a dotykało mię ono tem przykrzej, że niepewność siebie, widoczne skrępowanie się N—wej, również jak jej częste pochlebstwa i komplementa, osobiste i nieosobiste, wydawały mi się niewytłómaczonemi w kobiecie niemłodej, mającej wyrobione stosunki w szerokich kołach petersburskich, ex-narzeczonej wreszcie słynnego pisarza.

Dawniejsza jej znajoma, S—cz, zagadnięta przezemnie kiedyś w tej kwestyi, niewiele też umiała mi powiedzieć.

— Może z natury jest bardzo nieśmiała, a może objawia się u niej w ten sposób brak równowagi umysłowej, bo często zmienia podobno koła, w których żyje, i co parę lat do nowych przyznaje się partyi, a że jest ich tu u nas bez liku....

— Więc jest ona stale *en marche, toujours en marche vers le progrès!* To przynajmniej konsekwentnie. Kończyłam właśnie te słowa, nakładając kapelusz w naszej garderobie, gdy niespodzianie stanęła przed nami N—owa we własnej osobie.

— Czy mi się tylko zdawało, czy panie wymówiły przed chwilą moje nazwisko?

— Tak w istocie, mówiłyśmy o pani i wogóle o rozmaitości kierunków wśród naszej inteligencyi, odpowiedziała jej S—cz, rumieniąc się po uszy.

— Zapewne i o tem, że i ja byłam zwolenniczką tej rozmaitości. Otóż obecnie wszystko się zmieniło. Z duszy łaknącej stałam się duszą ukojoną, znalazłam wreszcie szaniec mocny, od którego nic mię już oderwać nie zdoła, a gdybym paniom o nim opowiedziała, miałybyście wymowny komentarz do owego wykładu o martwocie prawosławnego kościoła i o dezercyi z pod jego sztandaru. Ale wychodzimy razem, zbliża się właśnie godzina nabożeństwa w naszej kaplicy, idę w tymsamym kierunku, co i panie.

Spojrzałyśmy na nią pytająco, zdziwione tą kaplicą i uroczystym tonem, lecz nie odpowiedziałyśmy ani słowa.

Szłyśmy jedną z szerokich, cichych ulic arystokratycznej dzielnicy Petersburga, wolną od szyldów, reklam, sklepów, lecz za to pyszniącą się wspaniałemi szeregami wielkopańskich pałaców.

— Gdybyście panie chciały, odezwała się wreszcie cicho N—owa, z jakąś błagalną nutą w głosie mogłybyście wejść ze mną, a ręczę, że byłybyście mi wdzięczne za tę podniosłą chwilę, którąbyście tam spędziły.

— Lecz cóż to jest? — zapytała S—cz — nabożeństwo jakiejś arystokratycznej sekty? Paszkowców, Radstockistów, a może demokratycznych sztundystów?

— Ale cóż znowu, dla czego te właśnie sekty przychodzą pani na myśl? czy sądzi pani, że ich protestancki racyonalizm mógłby ukoić skołatane duchy mojego pokolenia? Co do mnie, wolałabym już z dwojga złego nasze oficyalne prawosławie.

Tempo jej głosu stawało się przytem coraz szybsze, ceglaste plamy rozlewały się coraz szerzej.

Żałuję bardzo, ale dziś sobota, śpieszę więc na pociąg, powiedziała S—cz, bo święta spędzam zawsze u matki w Peterhofie. Żegnam panie.

A pani? zwróciła się do mnie N—owa.

Stałam niezdecydowana.

(Dokończenie nastąpi).

winienie, żądał jedynie żalu za grzechy i przedsięwzięcia poprawy, wtedy to spełniło się dzieło większe niż może Buddha kiedykolwiek w najśmielszych rojeniach przypuszczał. On, co tylko miał na celu oswobodzenie ducha ludzkiego od nędzy i obawy przed śmiercią, rozwiązał pęta, uciskające lud indyjski, uwolnił go od tyranii kapłanów.

Już dawniej rozpowszechniła się opinia, jakoby Buddha przedarł siatkę, którą rozpostarli bramini nad ludem indyjskim, a choć Oldenburg usiłował dowieść, iż Buddha nie zajmował względem braminów nieprzyjaznego stanowiska, że bynajmniej nie nosił się z myślą radykalnego przewrotu stosunków w Indyach, że wogóle mylnego nabrano wyobrażenia o tyranii braminów, to jednakże bądź co bądź, jeżeli Buddhyzm przyczynił się do wtajemniczenia niższych warstw społecznych w rzeczy li tylko wiadome samym braminom, — to już to samo oznacza zerwanie z przeszłością. Prócz tego nauka mędrca indyjskiego przekracza zakres pojęć braminów, a przynajmniej stoi w przeciwieństwie do ksiąg Wedy. Moralność, na której Buddha oparł swoją naukę i według której żył, jest wzniosła i doskonała. Gdy poraz pierwszy pewniejsze wieści o etyce buddhyjskiej dotarły do zachodu, zapanowało ogólne zdumienie, a pewien pobożny chrześcianin pytał zdziwiony, jakim sposobem podobną doskonałość osięgnąć można bez objawienia boskiego. Bo też istotnie etyka nauki buddhyjskiej uderzająco przypomina etykę nauki Chrystusowej. Już Buddha przykazuje, by wzajemnie darowano sobie urazy, i dobrem za złe płacono. — Nauka o miłosierdziu, którą uważano za indywidualny rys chrześciaństwa znajduje się już w Buddhyzmie, bo i on za źródło wszelkich cnót poczytuje samarytańską miłość. W rzeczy samej zwyż wymienione przykazanie nie jest orginalną inwencyą Buddhyzmu, gdyż znajdujemy je już w naukach braminów, a Buddha ma chyba tę zasługę, że skoncentrował to wszystko, co niektórzy mędrcy dawniejsi uważali za moralne zadanie człowieka. Właściwa nauka Buddhy polega na tem, by wskazać człowiekowi drogę do wyzwolenia się z cierpień tego żywota. Zawartą ona jest w czterech prawdach. Pierwsza prawda mówi o powszechności cierpienia, którego przyczyny szukać należy w znikomości i we wszystkiem, co z niej czerpie swe źródło. Przeto możnaby uważać buddhyzm za religię pessymizmu, jeżeli w samem istnieniu już widzi cierpienie, buddhyzm jednakże znalazł środek za pomocą którego zwycięża cierpienie, zna bowiem drogę wiodącą do Nirwany, a w niej tkwi zwycięstwo nad bólem. Powód do pessymizmu ma według buddhystów tylko ten, co nie zna tej drogi, wiodącej do prawdziwego szczęścia.

Prawda druga usiłuje dociec właściwej przyczyny cierpienia — i dostrzega ją w pożądaniu uciech i chęci odrodzenia. Odrodzenie, t. j. wiara Indów w wędrówkę dusz, nie uległa w nauce Buddhy żadnej zmianie. Zmarły powraca znowu w koło życiowe, które jest dla niego jak i wogóle dla wszystkich ludzi bez wyjątku, a mianowicie dla tych, co nie należą do uprzywilejowanej kasty braminów, — pasmem bezustannych trosk i cierpień. Rzecz jasna zatem, że nauka Buddhy usiłuje oswobodzić człowieka od życia powtórnego. Kasta według niego nie stanowi różnicy — każdy człowiek bez wyjątku znaleźć może łatwy i pewny środek, by przerwać ten łańcuch niedoli i kres położyć odrodzeniu. Zatem prawda trzecia mówi o Nirwanie, co w dosłownem tłomaczeniu oznacza gasnący ogień lub zachodzące słońce.

Zwolennik Buddhy usiłuje najpierw zatracić wszelką świadomość istnienia, zagłębić się w jakimś śnie bez marzeń, a gdy wreszcie zdusi w sobie wszelkie żądze, gdy całkiem ograniczy się w swych potrzebach życiowych, wówczas cel osięgnął, jest to Nirwana, stan błogosławionych i zbawionych. Nakoniec czwarta prawda zawiera nauki o różnych ćwiczeniach, wiodących do upragnionego celu, a przeznaczonych głównie dla lajków. Należący do zakonu Buddhy mają odrębne obowiązki do spełnienia. Pierwsze miejsce między niemi zajmuje ascetyzm i intuicya, które wyżej nawet stoją niż czynna etyka. A dziwaczne są to po części środki, których używa Buddhysta, by popaść w stan Nirwany.

Ta nauka o wyzwoleniu się z cierpień stanowi słabą stronę buddhyzmu i obniża wartość jego wobec chrześcianizmu. Jądrem nauki Buddhy jest ucieczka przed światem, a nie przezwyciężenie świata. Buddhyzm pracą gardzi, a więc zezwala na zanik życia praktycznego, — jego cel to dążność do usunięcia się z widowni światowej, a wobec tego teoretyczna etyka w czyn się nie zamienia. Zapominać jednak nie wolno, że i chrześciaństwo błąkało się długo w ideach rezygnacyi i ascetycznej ucieczki z areny życiowej, że mianowicie zakres pojęć średniowiecznych zbliżał się do buddhyzmu. — Z drugiej jednak strony położył buddhyzm tę zasługę, iż zniweczył różne zabobony ludu. Buddha poznawszy cały łańcuch przyczyn i skutków, przekonawszy się, iż wszystko, co się dzieje, dzieje się z konieczności, uznał nicość ofiary. Nie zaprzeczał on istnieniu bogów, tak jak nie zaprzeczał istnienia życia powtórnego, zdjął jednakże z ludzi przygniatający ciężar zabobonu. Bo nie ofiary, nie obrzędy pobożne wiodą do Nirwany, lecz życie, odpowiadające przykazaniom etyki. Że ten cios, zadany zabobonom nie zdołał ich zupełnie zabić, — że później znów składano dary i ofiary buddhyjskim zakonnikom, jak ongi kapłanom bramińskim, to dowodzi jedynie braku umysłowego rozwoju u ludu indyjskiego, nie dozwalającego mu przyswoić sobie głębszych poglądów religijnych, lecz bynajmniej nie zmniejsza zasługi Buddhy. — Mimo, że rozbierając kolejno życie i nauki Buddhy, zestawiliśmy je krytycznie, wykazując wszelkie światła i cienie, — ostatnie nawet silnie zaznaczając, — mimo to postać Buddhy wyszła nieskazitelnie, otoczona aureolą wielkości i godności. Bo ten mędrzec wschodu był posłannikiem pokoju i jako takiego winni go uważać nietylko jego wyznawcy, ale i cała cywilizacya zachodu.

H. S.

TO I OWO.

Redakcya pisma naszego otrzymała od Henryka Nitschmanna list następujący:

Elbląg, 1 maja 1896.

Szanowny Panie!

Uprzejme i łaskawe powinszowanie Pańskie w 70 rocznicę urodzin moich, uradowało mnie i wzruszyło głęboko. Dziękuję za nie serdecznie i dziękuję za sympatyczny artykuł w Nr. 17. cennego i tak znakomicie redagowanego „Przeglądu Poznańskiego“. Wielką satysfakcyą są dla mnie takie objawy ze strony wielkiego i szlachetnego narodu, z którym łączy mnie tyle węzłów sympatyi i w którego życiu duchowem się zatapiać, zawsze jako najwyższe uważałem szczęście.

Z głębokim szacunkiem

Henryk Nitschmann.

* * *

Wystawa afiszów.

Kiedy w sali warszawskiego Muzeum przemysłowego otworzono wystawę afiszów, jeden z moich znajomych taką o niej wypowiedział opinię:

— Wystawa afiszów?... Cóż to znowu za blaga!... Afisz, jest to wabik, który mówi mi: co jest do zobaczenia; jak szpajscetel mówi: co jest do zjedzenia? Ale urządzać wystawę afiszów i zwabiać ludzi, ażeby im się przypatrywali, jest to samo, co — zaprosić kogo na obiad ze... szpajscetli.

Szpajscetel nie jest potrawą, ani afisz nie jest widowiskiem i dlatego — na wystawę afiszów nie pójdę. Szkoda pieniędzy.

Mały wydatek — rzekłem — złotówkę za wejście.

— Choćby mi nawet dopłacili złotówkę, jeszcze nie pójdę!... — zawołał.

Na wystawie znajdowały się przeważnie afisze angielskie, francuzkie i nasze.

Nasze są to po większej części ogłoszenia drukowane złotemi lub srebrnemi literami na tle rozmaitych barw. Ogłoszenia obrazkowe opiewają najczęściej o jakiejś dystylarni, a figury, przedstawione tam, mają ładne twarze, bardzo kolorową odzież, ale wyglądają jak lalki, niewiadomo, dlaczego tu właśnie ustawione.

Afisze angielskie cechują się dużemi rozmiarami, kolorami ciemnemi i matowemi, i wielką liczbą figur. Wszyscy aktorowie afiszowych scen są ubrani od stóp do głów, odznaczają się zdrowiem, siłąol brzymią, budową i spokojem. Matka spokojnie karmi dziecko, myśliwiec spokojnie zabija tuzin bawołów, królowa Wiktorja spokojnie przypatruje się cyrkowemu towarzystwu Buffalo Bill, a kilka osób spokojnie sprzecza się nad świeżo zamordowanym człowiekiem.

Na afiszach francuzkich ukazuje się świat nadzwyczajny. Widzimi rozebrane kobiety, obsypanych mąką błaznów, dzieci z zabawkami, trupy, morderców, ścięte głowy, palące się miasta, cyrkowki na koniach... A wszystko to chude, nerwowe, rozhulane, rozpędzone tak, że aż wzbija się po nad ziemię. Cechą dominującą jest ruch, szalony ruch! głównem uczucie — lubieżność, a główna barwa — krew, paląca się złotym płomieniem.

Wśród tej orgii pajaców, kokot, sutenerów i morderców, od czasu do czasu widać... parę kobiet, z których jedna płacze, a druga — tuli ją do piersi..

Jest to afisz, wzywający na widowisko dobroczynne, na poratowanie jakich powodzian, pogorzelców, albo ofiar trzęsienia ziemi.

Oto jest Francya: rozpustna, zdenerwowana, a jednak pełna szlachetności i poezyi!...

A Niemcy? Widziałem tylko jeden afisz niemiecki: zaproszenie na wystawę berlińską. Oto jego treść: Ziemia drży, pęka otwiera się krater, a z niego — zamiast ognistej lawy, wysuwa się — olbrzymia ręka, uzbrojona potężnym młotem.

Ma to być uprzejme powitanie cudzoziemców, przez niemiecki przemysł; wygląda zaś, jak groźba, wymierzona przeciw całemu światu.

Opuszczając wystawę, powiedziałem sobie, żem nie zmarnował czasu. Od tej też pory będę ze czcią oglądał wszelkie zbiory, choćby to była wystawa szpilek, choćby wykałaczek do zębów...

Bolesław Prus.

* * *

Bicykl i kobieta.

Cztery dni trwający kongres kobiecy w Paryżu zakończony został bankietem pożegnalnym, podczas którego prezydentka, P. Pognon, wypowiedziała mowę, streszczającą dodatnie strony tego rodzaju międzynarodo

wych zjazdów i narad, a na zakończenie wyrzekła zdanie dość paradoksalnie brzmiące, że „bicykl przyczyni się do wyemancypowania kobiety“. Dziennik „l'Eclair“ skorzystał z tej okazyi, by zapytać kilka kongresistek, jak należy rozumieć zdanie wypowiedziane przez panią Pognon. Nadesłano mnóstwo odpowiedzi wydrukowanych następnie w dzienniku, a najciekawszą i najcenniejszą z nich, daną przez doktorkę Edwards-Pielliet, umieszczamy w całości: „W toaście pani Pognon widzę podwójną racyę: 1) bicykl przyczynia się do wytworzenia koleżeńskich stosunków pomiędzy mężczyzną a kobietą; 2) bicykl zapewnia reformę ubrania kobiecego. Któraż z kobiet potrzebujących pracować w polu, wychodzić codziennie na ulicę, wchodzić z pakunkami na schody, nie miała sposobności zauważyć, jak wielce niedogodną jest długa spódnica?... W czasie deszczu i błota spódnica brudzi się i niszczy, w czasie kurzu podnosi pyły niebezpieczne dla zdrowia publicznego, unoszona zaś w ręku, trudzi i odbiera możność posługiwania się rękoma, odsłaniając przytem łydki wyżej, niż w kostyumie używanym przez cyklistki. Co zaś do pierwszego punktu, któż zaprzeczy, że wspólne towarzyskie wycieczki cyklistów i cyklistek przyczyniają się do wyrobienia swobodnych, koleżeńskich stosunków pomiędzy mężczyzną a kobietą?...

Jestem stanowczą przeciwniczką oddzielania chłopców osobno i dziewcząt osobno. Jest to nielogiczne, ponieważ przeznaczeniem, koniecznością zmuszeni są później dzielić wspólne koleje życia. Wszak na studya uniwersyteckie uczęszczają razem i żadnego to nie przedstawia niebezpieczeństwa; najmocniej jestem przekonaną, że kobieta zasługująca na poszanowanie, zawsze i wszędzie wzbudzała je, wzbudza i wzbudzać będzie. Od lat czterdziestu miewam wykłady w różnych filotechnicznych stowarzyszeniach i zauważyłam same tylko dodatnie strony wytwarzającego się współzawodnictwa pomiędzy mężczyzną a kobietą, wiadomo bowiem, że na wszelkie wykłady prywatnych stowarzyszeń mężczyźni i kobiety uczęszczają wspólnie i na tych samych prawach. Koledzy i koleżanki zapoznają się, oceniają i wytwarza się pomiędzy nimi zażyłość, oparta na wzajemnym szacunku. Wszystko zatem, co może się przyczynić do wytworzenia koleżeńskich stosunków pomiędzy kobietą a mężczyzną, zasługuje na uznanie, na poparcie, tem więcej, że w kwestyi, o którą nam chodzi w danej chwili, mogę zapewnić na podstawie licznych badań i doświadczeń, iż jazda na bicyklu jest wybornem ćwiczeniem gimnastycznem dla kobiet. Jest ona niewłaściwą tylko dla kobiet w stanie poważnym, lub też dla chorych na specyalne dolegliwości, a stać się może niebezpieczną w razie nadużycia, lecz toż samo niebezpieczeństwo zagraża każdemu i przy każdym zbytecznym wysiłku.

* * *

Jeszcze o „literackiej vendecie“.

W sprawie krwawego zajścia w literackim świecie Warszawy, scharakteryzowanego przez nas w przeszłym numerze, wypowiada p. Ludwik Straszewicz następujące uwagi w petersburskim „Kraju“:

„W Warszawie pytamy jedni drugich, kto z nich dwu winien: Grajnert czy Buchner? I na to pytanie odpowiedzieć nie jestem w stanie. Wierszyk Buchnera, niekoniecznie smaczny, wcale niedowcipny, szykanuje, ale nie spotwarza, nie ubliża. Jeżeli więc w tem niema jakich zakulisowych anteriorów, a o niczem podobnem nie słyszałem, to co najmniej p. Buchner popełnił niewłaściwość, będącą bardzo i bardzo daleką od granic, do których prasa dochodzi. Na napaść jednak nie zasłużył, a że zelżony być nie chciał, więc bronił się energicznie.

Ale skoro rzecz przewracam na drugą stronę, widzę autora którego wyszydzono, dotknięto bez ceremonii jego nazwiska i wyśmiano — to czy mogę wymagać odeń zimnej krwi? My starsi nauczyliśmy się już ruszać ramionami, gdy się sypią obelgi, potwarze, błazeństwa. Nie każdy to zahartowywanie się wytrzyma, nie każdy swój temperament okiełza. Co miał robić niebożczyk Grajnert? Pojedynek? W naszym literackim światku pojedynki albo nie dochodzą do skutku, bo najzuchwalsi oszczercy nie stają, albo kończą się farsą. Proces? — odbywa się zwykle na skórze skrzywdzonego i nie widzieliśmy, aby w tego rodzaju sprawach, skarżący znalazł satysfakcyę. Kto dochodził sprawiedliwości w prasie z piórem w ręku lub na drodze sądu koleżeńskiego, temu do początkowych przykrości dosypano nowych. Czy wobec tego — położywszy rękę na sercu — można rzucić kamieniem na kogoś, co nie mógł znieść szykany i szukał satysfakcyi mizernej, bardzo mizernej, ale jedynie możliwej?

Kto więc z nich d w u winien — doprawdy nie wiem. Natomiast wiem napewno, żeśmy wszyscy winni, iż wśród nas podobnie bolesne, podobnie gorszące zajścia są nieuknioną niemal konsekwencyą panujących stosunków“.

Na Wyłomie.

(*Na trawę! — Awans statystów. — Zniszczone marzenia. — Biedna prowincya.*)

Artyści teatru naszego rozpoczęli już koczownicze życie po miasteczkach prowincyonalnych, a dowcip poznański pożyczył sobie z wiejskich sielanek charakterystycznego słowa dla określenia letnich wędrówek. Szczęść Boże „na trawie“! wołamy na pożegnanie synom, córom, no! i podrzutkom Melpomeny, a oni zwykle uśmiechają się kwasno i, jak się zdaje, nie mają wcale ochoty skubać traw i koniczyn. W tym roku jednak gromada cyganów teatralnych, wybierająca się po laury artystyczne do Ryczywołu i Pacanowa, z butą i energicznym rozmachem sznuruje sakwy podróżne. Mina mosterdzieju, gestykulacya Szekspirowskiego Cezara, głos Karola Moora, gdy bandzie zbójców wydaje rozkazy, — jednem słowem jedzie to wszystko na prowincyę jak zwycięzcy i tryumfatorzy. Czyżby maj, miesiąc nadziei, dokonał tak genialnej reperacyi stłuczonego ducha? — czyżby ujrzeli w Swarzędzu lub Mieścisku jakie runo złote i poczuli w sobie Argonautów siłę? Zdaje mi się, że tak wysoko, w sferach poezyi i baśni, przyczyn tężyzny aktorów naszych szukać się nie godzi, — zostańmy na ziemi, w prochu i glinie, w piasku słabostek i śmieszności ludzkich, a łatwiej niezawodnie klucz zagadki znajdziemy.

Oto awans nagły, niespodziany, zdumiewający odegrał tu rolę drożdży, na których niepokaźne ciasto wyrosło w babę imponujących rozmiarów. Dyrekcya teatralna, której wprawdzie kontraktowo tylko od sierpnia do kwietnia przysługuje prawo komendy, która jednak pod tym jedynie warunkiem pożycza biednym cyganom kostyumów do letnich wędrówek, że raz na zawsze służyć jej będą pokornie, postanowiła powierzyć wicerządy prowincyonalnego koczownictwa najmniejszym z małych aktorów, innemi słowy zlecić dowództwo s t a t y s t o m. I oto stał się cud. Na czele trupy staje pan *Czternasty*, król rekwizytorni, wielki artysta w rolach cichych żołnierzy na warcie, kotów miauczących za sceną, lub lokajów wnoszących listy na złocistej tacy. Czyż dziwić się można, że w takich warunkach większość prawdziwych artystów porzuciła służbę, — czyż można urągać oficerom, że szpadę rzucą pod nogi królika, którego fantazya mianowała generałem chłopca od czyszczenia butów? Na cztery wiatry rozleciał się korpus oficerski teatru naszego, zostały tylko ciury obozowe, i ciury pod wodzą statysty walczyć będą za honor sztuki polskiej, krzewić będą oświatę i piękno. Co za cel wspaniały, co za awans cudowny, jaki rezultat zdumiewający! Przedsmak tych godów Parnasowych mieliśmy już w ubiegłą niedzielę, gdy po dymisyi artystów statyści i statystki odegrali „Towarzysza Pancernego“. Niczem wiedeński teatr parodyi, niczem amatorskie przedstawienie „Zbójców“ w towarzystwie krawców i szewców poznańskich, niczem cyrk w porównaniu do tej uczty królewskiej, którą nam zgotowali rozmaici Szatkowscy i różne Kwiatopolskie. Mówi Petroniusz Sienkiewiczowski, że śpiew Nerona zastępował mu pióro flaminga, którym po sutym obiedzie zwykł łechtać gardło dla opróżnienia żołądka, — a o ile z min publiczności teatralnej sądzić było można, to ten „Towarzysz pancerny“... nie powiem reszty, dośpiewajcie sami.... Żołnierze pana Czternastego jednak promienieli szczęściem i radością. Wielu z nich lata całe milcząc podpierało kulisy, niejeden zazdrosnem okiem spoglądał na kolegów swoich, grających Urielów, Narcyzów, Albinów, Otellów, Hamletów, i tęsknem uchem łowił grzmot oklasków, niejeden, naśladując za kulisami „głosy ludu“, tentent koni, lub świstanie wiatru, pytał boleśnie, kiedyż i on z czaszką w ręku jak duński królewicz stanie nad grobem i powie: Być, albo nie być? a wszyscy oczywiście przeklinali w duszy złośliwe intrygi, które ich karyerze stają na przeszkodzie, idyotyzm krytyków i publiczności, nie przeczuwających geniuszu w statystach, ciemnotę tłumów przenoszących takie tam Modrzejewskie i Zimajerki nad Skoraczewskie i Kwiatopolskie, — wszyscy wierzyli w swój geniusz zapoznany. I oto nagle Sezam się otwiera, — zawistni rywale ustąpili, — panie „Czesku“! co nosisz suknie artystkom, panno Ruszkowska! co trefiłaś włosy bohaterkom, teraz wasza kolej przychodzi. Tylko śmiało. Bötel był dorożkarzem, a został wielkim tenorem; Żelazowski tańczył w balecie, a dziś laury zbiera na scenie; któż wiedzieć może, jakie niespodzianki przyszłość kryje w swem łonie? Polecam wam tylko dla kompletu poprosić p. Dobrowolskiego, aby raczył objąć wydział ról bohaterskich. Mógłby grać Shyloka, Aprasza w Chacie za wsią, Ludwika XI, Poloniusza, a ostatecznie Piękną Helenę i Nitouche! Pomyślcie tylko: Piękna Helena do snu się rozbiera!...

Oj! promienieją oblicza cyganów naszych, lecz wątpię bardzo, czy ten grzmot oklasków, którego tak łakną jak Hagar na puszczy wody krynicznej, pieścić będzie na prowincyi ich ucho. Wprawdzie poziom artystyczny naszych partykularzy jest bardzo nizki, wprawdzie zdarzało mi się z ust samych aktorów słyszeć niejednokrotnie cyniczne słowo, że tam, „na trawie“, to obojętne, jak się gra, byle się grało, ale zdaje mi się, że tym razem rachuby zawiodą, bo szeroka publiczność małomiejska nie odróżni może brylantu od szkła czeskiego, lecz nie uwierzy, by cegła była rubinem. Ani jednej chwili nie wątpię, że skoro słowa te z biurka mojego w świat szeroki polecą, natychmiast zadźwięczy tradycyjna piosenka, że skazuję biednych aktorów na śmierć głodową, że kradnę im powodzenie buntuję publiczność itp. — *well roared lion*! przypominam jednak

tym miłosiernym chórom, że bronić publiczność przed wyzyskiem, piękno przed parodyą, smak publiczny przed wykrzywieniem, to pierwszy obowiązek publicysty; źle to zrozumiana litość, co każdą nędzę artystyczną czy umysłową okrywa płaszczykiem milczenia lub szychem reklamy. Nie winię aktorów, że margarynę swoją sprzedawać będą za drogie pieniądze publiczności Księstwa i Prus Zachodnich, nie winię ich, że zamiast sztuki poniosą w świat jakiś marny surogat artyzmu, bo cóż począć ma z sobą ta biedna drużyna, która po zamknięciu bram teatralnych w Poznaniu jest bez chleba i dachu nad głową, — lecz tych pozywam przek sąd opinii publicznej, którzy beztaktem swoim rozproszyli najlepsze siły teatru naszego, którzy przez jakąś niewytłomaczoną złośliwość upokarzają wybitniejszych aktorów, którzy w skutek bezprzykładnego niedołęstwa stworzyli takie warunki bytu, że letnie wycieczki trupy poznańskiej na prowincyę stają się karykaturą sztuki, a w dodatku natarczywem pukaniem do wrót miłosierdzia.

To winowajcy, — a raczej jeden główny winowajca — ten, którego wszyscy znacie, którego nazwiska wymieniać nie potrzebuję, a którego królowanie w teatrze i polityce jest dowodem moralnej niemocy społeczeństwa naszego. Odzywają się zewsząd coraz ostrzejsze głosy krytyki, odzywają się wróżby detronizacyi, lecz czynu, czynu czekamy. *Sulla.*

KRONIKA LITERACKA

* Siostra Renana. (Ernest Renan. „*Ma soeur Henriette*". 1895. Paryż, str. 93.) Kto chce lepiej poznać ścisłe wewnętrzne życie Renan'a, niech zajrzy do tej książki. W siostrze swojej wielbi Renan nietylko osobę, związaną z nim blizkim węzłem pokrewieństwa, nietylko opiekunkę jego młodości (Henrieta była o kilkanaście lat starszą od niego) niepewnej i wystawionej na liczne przeciwności życia, ale także istotę wyższą, umysł, obejmujący zagadnienia wszechbytu, serce zdolne do poświęceń bezwzględnych, odsuwające cele osobiste na stronę, gdy chodzi o dobro osób ukochanych. Siostrę swoją zalicza Renan do tych osób, które najbardziej stanowczy wpływ wywarły na wyrobienie się jego charakteru i rozwój umysłu. Gdy był dzieckiem, bezsilnem i pozbawionem materjalnej opory po stracie ojca, poświęcenie jej i praca z zaparciem się samej siebie zasłoniła go przed nędzą i pozwoliła normalnie wzrastać; gdy został młodzieńcem, którego dusza targaną była wątpliwościami natury religijnej, które doprowadziły go do znanego wszystkim zerwania z dogmatem i życiu nadały świecki kierunek, ona dopomogła mu w tej ciężkiej chwili przełomu duchowego; wreszcie, gdy oddał się pracy naukowej i działalności społecznej, znalazł w siostrze współpracownicękę wytrwałą i kontrolera ścisłego, a nadewszystko duszę podniosłą i czystą, umiejącą pokrzepiać i zachęcać.

Powiada o niej Renan, że „była organem jego życia intelektualnego i że z jej śmiercią cząstka jego istoty zeszła do grobu."

Z biegiem lat dusze ich do tego stopnia przeniknięte były jednakową treścią, tak zlały się w jedno, że podług słów Renan'a — na sprawy moralne jednem patrzyły wzrokiem i jednem sercem je odczuwały. Dusze jednak siostry swej stawia Renan wyżej, niż własną. W rzeczach moralnych — wyznaje Renan — szukał on częstokroć treści do walk pociągających i studjów estetycznych, tymczasem gdy jej ścisłego zespolenia się z dobrem nic podobnego nie szpeciło. Przyznaje się także Renan i do tego, że co zawsze niemile raziło siostrę, to ta jego zjadliwa ironja, jaka go przez długi czas nieopuszczała i którą dodawał do najlepszych rzeczy. „Znajdowałem — powiada — w uśmiechu dyskretnym, wywołanym słabością albo próżnością człowieka, pewnego rodzaju filozofię, przyzwyczajenie to raziło siostrę, stopniowo więc wyrzekłem się go dla niej; teraz dopiero widzę jaką miała słuszność" Dobrzy — dodaje Renan — powinni być poprostu dobremi; wszelki akcent szyderstwa mieści w sobie jakąś cząstkę próżności osobistej i urągliwego usposobienia, które w końcu wydaje się czemś niesmacznem. Tak szczerze i ze skruchą wyznaje winy swe „stary cynik" i „rozmyślny obłudnik." Wszak to coś warte... rzecz jasna, dla ludzi sumiennych.

Całą książkę poświęca Renan prawie wyłącznie wywyższeniu szlachetnych pierwiastków duszy swej siostry i zaznaczeniu tej harmonii wewnętrznej, jaką osiągnęła na drodze wysiłków bezinteresownych, poświęceń i dążenia do prawdy. Wyróżnia Renan wysoką religijność siostry, opartą na przywiązaniu do tego, co jest istotą, na urzeczywistnieniu idei prawdy i dobra. Wspomnieniami, dotyczącemi wycieczki, którą odbył w jej towarzystwie do Ziemi świętej, zakończa Renan życiorys swej siostry. Rozkoszne wrażenia, jakich tam doznawali wspólnie, zachwyty i podniosłe nastroje, uczuwane wobec rzeczy, pozwalających zrozumieć lepiej wielkość tego, co z tej ziemi dla ludzkości wyszło, tracą dla Renan'a cały swój urok na myśl o tem, że z niemi łączy się okrutny dlań, najboleśniejszy fakt śmierci jego siostry. Henrieta umarła bowiem w czasie trwania ekspedycyi Renan'a do Palestyny. Na końcowych żałobnych kartach, poświęconych ostatnim chwilom uwielbianej siostry, skupił Renan cały swój żal z powodu jej straty, skoncentrował całą czułość, jaką miał dla niej, wyraził swój ból bezpośrednim okrzykiem dotkniętego serca i stroskaną myślą filozofa, rozważającego zagadki istnienia z ich strony niepojętej dla nas. Rozum i serce złączyły się tu raz jeszcze, by złożyć hołd cnotom zmarłej, a przez nie i tym prawdom wiecznystym, których była za życia wcieleniem. Szczerość uczucia, siła ukochania, tęsknota rzewna i stała za bytem doskonalszym i pełnym wyglądają z poza tych słów, jako istotne składniki duszy ich autora.

* K. Gliński: „Chata Nikodema" Warszawa 1895.

W pięknej szacie poezyi, p. Kazimierz Gliński dał nam myśl poczciwą i ona to czyni głównie, iż z „Chaty Nikodema" wieje jakiś serdeczny smętek i otucha, krzepiąca nerwy stargane dzisiejszej generacyi... Poemat napisany jest w formie dramatycznej, zwykle niepociągającej czytelnika, lecz chociaż idealizm, może i zbytni optymizm, w sceptyku zrodzi cień niedowierzania, przecież całość bez śladu dodatniego przez duszę niczyją nie przejdzie. Hrabia Izydor wychował u siebie Salusię, dziecię chłopki, która kiedyś, jako niańka, wyratowawszy z ognia niemowlę „hrabskie", sama zginęła w płonącym dworze. Hr. Izydor wychował więc i wykształcił Salusię — przez wdzięczność. Lecz Salusia nie wie nic o swem pochodzeniu i młody hrabia August również nie wie, że... kocha dziecię z gminu. Ojciec, widząc afekty syna, objaśnia go, sądząc, że tem Augusta do dziewczyny zrazi i serce jego do hrabianki Izy nakłoni. Ale August jest innym, niż zwykle, hrabiczem.

— Czy ona pozwoli, żebym na wielkiej targowicy życia, cześć, dumę sprzedał i tę resztkę roli, która została jeszcze od rozbicia? My się wahamy, my się wciąż wahamy, by stworzyć szczęście...

Więc hrabia Izydor błogosławi młodych, nazywając ich mężem i żoną. August zaś, przyciskając do serca ukochaną, mówi:

— W takim uścisku tylko przyszłość nasza...

O czem wszakże arystokracya jeszcze wiedzieć nie chce.

Przepięknym jest ustęp, gdy Salusia, dowiedziawszy się o swem pochodzeniu, daje upust szlachetnemu uczuciu:

— Więc ten lud kmiecy, to moja rodzina i w mojej piersi płynie tego ludu krew, który czeka objawienia, cudu, blasków słonecznych, by jak na ugorze, ziarno rzucone błysło w kłos pszeniczny.

A dalej:

— Teraz pójdę śmiele, gdzie serca chore, gdzie się myśl rozprasza, jak niezwiązane pilną ręką ziele. I powiem chatom: jestem córka wasza!

Lecz chcąc przytoczyć piękności języka i dać czytelnikowi podniosłość myśli poetyckich, trzebaby „Chatę Nikodema" chyba całą przytoczyć tutaj...

Przy sposobności zaznaczyć należy żal, dlaczego wydawcy, nadsyłając do redakcyi swe książki, nie oznaczają na nich ceny. Wówczas czytelnik mógłby mieć zupełną informacyę o danej książce, którą kupićby pragnął. *Józ. Waś—ski.*

KRONIKA POWSZECHNA.

Teatr i muzyka. Doroczny koncert majowy Sokołów odbył się w ubiegłą sobotę na sali Lamberta. Po wstępnem przemówieniu Dr. Wł. Rabskiego, wykonało kółko muzyczne kilka orkiestrowych i chórowych utworów przyjętych przez publiczność głośnemi objawami sympatyi. Popisy gimnastyczne Sokołów, jak zwykle, tak i tym razem obdarzono burzą oklasków. Równe uznanie zjednała sobie gra na harmonice ustnej druha Janowicza, deklamacya p. Grabowieckiego i tercet na skrzypcach dwóch 13 letnich chłopców i 8-letniej dziewczynki, uczennicy druha Zaremby, dyrektora kółka muzycznego. Publiczność zebrała się bardzo licznie, lubo w przededniu koncertu dyrektor teatru, p. Dobrowolski, zmusił artystę dram. p. Skirmunta do ogłoszenia w dziennikach, że zapowiedziana na afiszach deklamacya jego się nie odbędzie. Przyczyna tego nieobywatelskiego postępku jest następująca: Z dniem 1 kwietnia skończył się kontrakt artystów naszych z dyrekcyą i całe towarzystwa dram. dawało przedstawienia na własny rachunek. Tow. Sokół mniemało zatem, że artyści są niezależni od starej dyrekcyi i z tego powodu udało się wprost do p. Skirmunta z prośbą, aby w koncercie wziął udział. Pan Skirmunt przyjął zaproszenie bez wszelkich zastrzeżeń. W wilię koncertu jednak zawezwał go p. Dobrowolski i oświadczył, że naczelnym dyrektorem trupy poznańskiej pozostaje on jeden latem i zimą, bez względu na to, czy kontrakt się skończył czy nie, czy artyści na własny rachunek grają, czy na rachunek dyrekcyi, — że Tow. Sokół ubliżyło mu zatem, nie szukając drogi do p. Skirmunta przez biuro dyrekcyi i że zakazuje surowo artyście wziąć udział w koncercie. Wprawdzie nie potrzebuje p. Skirmunt słuchać jego rozkazów, bo kontrakt legalny się skończył jeżeli jednak odważy się zadeklamować i jeżeli nie zdecyduje się publicznie ogłosić, że nie wystąpi w koncercie Sokołów, może się raz na zawsze z sceną poznańską pożegnać. Wobec takiej groźby elastyczny p. Skirmunt usłuchał rozkazu. Nie przyniosło to wprawdzie żadnego uszczerbku koncertowi, bo znalazł się inny artysta, który wbrew wszelkim pogróżkom, opierając się na legalnej podstawie, zastąpił p. Skirmunta, ale fakt ten rzuca bądź co bądź charakterystyczne światło na osobę pana Dobrowolskiego, jego chorobliwą chciwość władzy i górowanie małostkowych ambicyi nad służbą obywatelską.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Faun. Ależ, panie szanowny, nadesłany wiersz nie jest „poetyczny manifestem zmysłowości", lecz najprostszą pornografią.

Władysław S. Etymologia wyrazu „tłomacz" jest dotychczas nieco wątpliwą. Prawdopodobnie jest to wyraz tatarski.

Janina S. Listu nie otrzymaliśmy. Być może, że oddano go innej redakcyi, co od czasu do czasu zdarza się nawet listonoszom niemieckim.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego" w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28

Nr. 20. Poznań, niedziela 17-go maja 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: ul. Wilhelmowska 28.
(Drukarnia J. Fr. Tomaszewskiego.)

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Wilhelmowska 28, **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

TREŚĆ.

Walka prasy niemieckiej z Sokołami.

Nie ma tak wielkiego nonsensu i tak krzyczącej bredni, które puszczone w świat przy pomocy dzienników nie znalazłyby wiary u znacznej części czytającej publiczności. Gdy przed kilkunastu dniami „Dziennik Poznański“ zamieścił „sensacyjną“ wiadomość o żywym majtku wykrojonym z wielorybiego żołądka, gdzie przez dobę całą od chwili połknięcia snem błogosławionych spoczywał, mnóstwo ludzi, nawet z wyższej inteligencyi, opowiadało sobie legendę o nowym Jonaszu jako fakt autentyczny. Znane są również pod tym względem kwietniowe dowcipy berlińskiego „Tageblattu“ i warszawskich „Kuryerów“; rok w rok tysiące ludzi idzie na lep humorystów snujących najfantastyczniejsze legendy o cudownych wynalazkach, niebywałych zboczeniach od praw natury, wizytach śmiałych żeglarzy na Marsie i Jowiszu itp.

O! łatwowierność ludzka jest zdumiewającą. Tam nawet, gdzie sekunda namysłu i atom logiki wystarcza, by fałsz odcyfrować, ona się łudzi bez końca, a cóż dopiero dziwić się tłumom, że dają posłuch politycznym fantazyom i plotkom, nie wykraczającym z szerokich ram prawdopodobieństwa. Tę wiarę w drukowane słowo wyzyskuje bezprzykładnie wiek XIX, i nieomal w całej prasie europejskiej grasuje bezkarnie fałsz tendencyjny, rzucając bielmo na oczy czytelników, wykrzywiając pojęcia, rozpalając namiętności partyjne lub narodowe. My Polacy zaboru pruskiego, doświadczyliśmy już nieraz na sobie ostrza tej dziennikarskiej suggestyi, praktykowanej z wręcz rafinowanym cynizmem przez niemiecką prasę, a w najświeższych czasach najliczniejsze laury w dziedzinie drukowanego kłamstwa zdobyły sobie organy Hakatystów. Wypisawszy w programie swoim hasło śmiertelnej walki z polskim żywiołem, postanowiły one przedewszystkiem wpoić w społeczeństwo niemieckie to przekonanie, że wschodnie prowincye to wulkan, gotowy każdej chwili zionąć ogniem niszczącym i zniszczyć wszystkie ślady germańskiego życia. W tym celu zorganizowano systematyczne fałszowanie opinii, rozsiewając przy pomocy kilkuset małych i wielkich dzienników rafinowane kłamstwa o dążeniach ludności polskiej, o prześladowaniu Niemców i przerażającem spotęgowaniu żywotności naszej na wschodnich kresach państwowych. Po całych Niemczech rozchodziły się legendy o groźnych chmurach gromadzących się w Poznańskiem, na Warmii, w Prusach Zachodnich i Szląsku, a łatwowierne tłumy niemieckie coraz głośniej wołały o ratunek, o ochronę ojczyzny, o zagładę wrogów. I rzecz dziwna! W tej samej chwili, gdy prasa nasza coraz częściej i coraz boleśniej skarżyć się zaczęła na wyjałowienie, zubożenie i wystudzenie społeczeństwa polskiego, w tej samej chwili, gdy dziennikarstwo innych zaborów z trwogą wskazywało na patologiczne symptomy życia naszego, na zlojalizowanie całego kraju, na skarłowacenie moralne młodzieży, na brak zapału, energii i poświęcenia, na rosnącą apatyę i rozbicie, w tej samej chwili prasa niemiecka deklamowała o duchu rewolucyjnym, o rosnących siłach, o wytrwałości i męstwie, o szowiniźmie i solidarności, o zaborczych dążeniach i „wielkopolskich“ tendencyach społeczeństwa naszego. Pod naciskiem takich rozmyślnych fałszów Bismarkowska idea polityki pruskiej coraz silniejsze zapuszczała korzenie, drwiąc z lojalnych umizgów klerykalno-ugodowego stronnictwa i wysilając się na jaknajściślejsze i wszechstronne skrępowanie życia polskiego.

Fałszerze opinii tryumfowali i rozzuchwaleni powodzeniem całą siecią najpotworniejszych wymysłów otoczyli wschodnie prowincye. Klasycznym przykładem tej niebezpiecznej roboty stała się w najświeższym czasie systematyczna walka ze związkiem polskich Sokołów czyli towarzystw gimnastycznych. Zrazu zaczęto wskazywać ogólnikowo na rzekomo polityczno-narodowy charakter wszystkich stowarzyszeń polskich i sprowadzono całą gromadę szykan policyjnych, urągających najelementarniejszym zasadom równouprawnienia, na spokojne korporacye, służące oświacie, towarzyskiej rozrywce lub obronie interesów zawodowych. Później zwrócono się z szczególną natarczywością przeciw „Sokołom“ polskim i wysilono całą fantazyę, aby w opinii niemieckiej zbudzić przekonanie, że tu właśnie jest ognisko narodowego ruchu, tu najsilniejszy szaniec polskości.

Odezwa wydziału związkowego, wzywająca drużyny sokolskie na zlot sierpniowy do Poznania, wprawiła zgraję Hakatystów w prawdziwy paroksyzm rozszalałej nienawiści. W mgnieniu oka wytoczono armaty najcięższego kalibru i zaczęto wołać na wschodzie i zachodzie państwa, że zlot sokolski to „rewia wojsk polskich“, że Sokół jest wyobrażeniem „narodu w mundurze i zbroi“, że gimnastyka to tylko środek wiodący do militarnych celów, a ptak królewski ma pióra czerwone o barwie demokracyi i republiki. Położenie nacisku na antitronowe tendencye Sokołów było apelem do wyżyn królewskich, a cała napaść stała się ostrą igłą drażniącą nietylko szowinizm niemiecki, lecz monarchiczne i dynastyczne uczucia narodu.

Mimo jaskrawej, bezwzględnej, pozbawionej jednego atomu sensu kłamliwości powyższej denuncyacyi, biegła ona na skrzydłach dzienników z błyskawiczną szybkością, siejąc niepokój i oburzenie na wielkich obszarach państwa niemieckiego, a najdziwniejszem jest to, że powtórzyła ją nawet liberalna „Posener Zeitung“, która dotychczas nie odgrywała roli lokaja wobec dążeń Hakatystów i odznaczała się często względnie bezstronną oceną stosunków naszych. Zdaje się również, że w sferach urzędowych idyotyczna plotka znalazła łatwowiernych słuchaczów i przeciw spokojnym towarzystwom gimnastycznym zwraca ostrze policyjnych repressalii, lubo prawie nieprawdopodobnem wydać się musi, by władze miejscowe, kontrolujące od lat 10 legalną, otwartą, wszelkich ubocznych dążeń pozbawioną pracę sokolską, uwierzyć miały baśniom Hakatystów. Cała dotychczasowa działalność Sokołów, statuty i organizacya, zebrania i zloty świadczą najwyraźniej, że fachowa, systematycznie pielęgnowana gimnastyka jest pierwszym i niemal wyłącznym celem znienawidzonych przez prasę niemiecką towarzystw, bo nawet pieśń polska, uprawiana na wieczornicach i w marszach, jest tylko środkiem pomocniczym, służącym na mocy praw fizyologicznych i psychologicznych ćwiczeniom fizycznym. Mają niemieckie Turnery swoją pieśń niemiecką, czemużby Sokoły wyrzec się miały śpiewu polskiego, by wspierać siły omdlałe?

Zaiste! wywiera to niemal humorystyczne wrażenie, że szowinizm niemiecki wytacza najcięższe swe działa właśnie przeciw tym towarzystwom, które tak zwanemu budzeniu ducha polskiego najskromniejsze

oddają usługi, bo wykluczyły one z rzadkich posiedzeń swoich wszelkie odczyty i wszelkie pogadanki historyczne i literackie, a nawet do obchodów pamiątek narodowych tylko wyjątkowo i trochę niedbale przykładają rękę. Prężnik zaś i poręcze chyba nie są rozsadnikami rewolucyi, patryotyzmu i republiki. „Lecz mundur — mundur sokolski!“ — wołają alarmiści niemieccy. Czyżby „naród filozofów“ nie rozumiał, że chcąc tłumy szerokie pociągnąć do jakiejkolwiek nowej idei, trzeba je zrazu nęcić błyskotkami? Czyżby synowie Kantów, Leibnitzów i Heglów pojąć nie mogli, że Sokół torując dla zaniedbanych ćwiczeń fizycznych drogę w obojętnem i rozleniwiałem społeczeństwie, musiał wyzyskać ludzkie upodobania do blichtru i dekoracyi, aby zjednać sobie zwolenników i zdobyć umysły. Księga sokolskiego życia stoi dla wszystkich otworem. Niechaj władze zbadają każdą stronnicę, każde słowo nawet, zamiast na oślep dawać wiarę fałszom rozsiewanym przez garść fanatyków niemieckich.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej;

„Młoda Polska“ w zaborze pruskim. W krakowskim miesięczniku „Krytyka“ ukazał się pod powyższym tytułem artykuł Leona Wasilewskiego, z którego cytujemy ustępy następujące:

„Komu nie są obojętne sprawy zaboru pruskiego, ten z pewnością musiał zwrócić uwagę na grono przedstawicieli młodej, postępowej inteligencyi wielko-polskiej, kupiącej się dokoła założonego przed dwoma laty w Poznaniu tygodnika „Przegląd Poznański.“ Nie stanowiąc zorganizowanego stronnictwa, grupa ta, chętnie przybierająca nazwę „Młodej Polski“, nie może brać udziału wybitnego w życiu politycznem i społecznem Wielkopolski, lecz pragnie na razie w miarę sił i zdolności wpływać na opinię publiczną za pomocą swego organu, który na jałowym gruncie poznańskim stanowi zjawisko pocieszające. Rozpocząwszy wydawnictwo „Przeglądu Poznańskiego“, „Młoda Polska“ podjęła się zadania bardzo niewdzięcznego ze względu na ogólne położenie zaboru pruskiego.

Smutny jest stan społeczeństwa polskiego w tym zaborze. O żadnym ruchu umysłowym w Poznańskiem lub w Prusach Zachodnich nie ma mowy. „Literaturę“ reprezentuje tam parę pism ludowych, „Pamiętnik“ Towarzystwa przyjaciół nauk, zapełniony pracami częstokroć bardzo wątpliwej wartości i garść pism politycznych, przeważnie prowadzonych nader nędznie. Lud wiejski zaboru pruskiego stosunkowo wyżej stoi pod względem kulturalnym od włościaństwa innych dzielnic, ale nie ma jeszcze wyrobionego poczucia swych interesów klasowych... Panem zaś sytuacyi jest wszechpotężny, wzorowo zorganizowany, trzęsący wszystkiem i nadający ton całemu życiu publicznemu — kler katolicki.

W chwili wystąpienia „Przeglądu Poznańskiego“ (r. 1894) sytuacya polityczna zaboru pruskiego przedstawiała się w ten sposób. Z jednej strony szlachta, sprzykrzywszy sobie politykę opozycyjną i bezowocne powoływanie się na traktaty, prowadziła politykę ugodową, sądząc, że popierając rząd i głosując w parlamencie za wszystkimi jego wnioskami, uzyska daleko sięgające ustępstwa na rzecz ludności polskiej. Z drugiej strony wciąż wzmagający się ruch ludowy, kierowany przez redaktora „Orędownika“ dra Szymańskiego, coraz głośniej protestował przeciwko oligarchii szlacheckiej. Drobnomieszczaństwo, pod wodzą dra Szymańskiego, który z dawnego lojalisty przedzierzgnął się w stronnika bezwzględnej opozycyi(?) rozbijało zgromadzenia zwoływane przez szlachtę, burzyło się nawet przeciwko duchowieństwu, ale żadnego skrystalizowanego programu nie posiadało. Podczas wyborów do parlamentu na całej linii zwyciężyli ugodowcy a kandydat dobromieszczański w Poznaniu, główny kierownik całego ruchu ludowego, dr Szymański, otrzymał nie o wiele więcej głosów od kandydata młodej, słabej partyi socyalistycznej.

„Młoda Polska“ wystąpiła na arenę pod hasłem walki zaciętej „o infuzyę krwi świeżej do anemicznego organizmu społeczeństwa wielkopolskiego, o prawa obywatelstwa dla humanitarnych prądów i postępowych idei, o emancypacyę uczuć narodowych, zgłuszonych fajerwerkami lojalizmu i grzechotem legionów klerykalnych, o zmartwychwstanie literatury i piękna na poznańskim gruncie, o tolerancyę przekonań, swobodę myśli i głos dla gwałconych bezprzykładnie praw etyki i równości obywatelskiej.“

Jakiż jest stosunek „Młodej Polski“ do istniejących już na gruncie wielkopolskim stronnictw politycznych? Wychodząc z założenia, że Rzeczpospolita upadła, ponieważ nie posiadała warunków organizmu państwowego, „Młoda Polska“ widzi przyszłość narodu w odrodzeniu społeczeństwa na zasadach demokratycznych. „Dopóki to nie nastąpi — powiada „Przegląd poznański“ — nie wierzymy, żeby naród nasz mógł zająć samodzielne stanowisko w rodzinie narodów europejskich Nie wierzymy w skuteczność gwałtownych wysileń, ale wierzymy w rozwój sił społecznych, pod których niepohamowanem parciem pęka obręcz, krępująca żywy jeszcze organizm.“ Z tej przyczyny „Młoda Polska“ sądzi, że dla narodu pozbawionego niepodległości politycznej, wewnętrzny, i kulturalny postęp ma daleko większe znaczenie, aniżeli polityka, która prz radzając się w czcze politykowanie, wyczerpuje najlepsze siły umysłowe społeczeństwa w jałowych sporach o zużyte hasła. Ten właśnie rozwój wewnętrzny jest rękojmią lepszej przyszłości narodu ....

„Przegląd Poznański“ od samego początku niezmordowanie walczył z ugodowcami, przemawiając w obronie polityki samodzielnej, opozycyjnej argumentami nader przekonywajacemi. Jeszcze wówczas, kiedy ugodowcy wycierając przedpokoje pałacu cesarskiego w Berlinie, łudzili swych wyborców obietnicami, które nigdy nie miały się ziścić, „Przegląd Poznański“ zapowiadał blizkie bankructwo polityki ugodowej i wskazywał na Czechy, gdzie naród, walcząc do upadłego, zdobywa jeden posterunek za drugim. Dziś, kiedy społeczeństwo polskie pod zaborem pruskim zupełnie rozczarowało się do polityki ugodowej, którą broni tylko garść posłów z berlińskiego „Koła“, odgrywającego takąż samą haniebną rolę, jak i „Koło“ wiedeńskie; kiedy nawet najlojalniejsze pisma polskie w Poznaniu zaczynają trąbić do odwrotu, „Przegląd Poznański“ może z zadowoleniem twierdzić, że w tem jest cząstka i jego zasługi....

„Przegląd Poznański“, nie występując nigdy przeciwko dogmatom religijnym, broniąc tylko niezależności wiedzy, zwalczał i zwalcza klerykalizm z całą energią... Ma się rozumieć, że klerykalizm wielkopolski jeszcze długo będzie miał wpływ ogromny, a duchowieństwo będzie przez znaczny czas jeszcze

---

FR. RAWITA.

Dziki człowiek.

(Ciąg dalszy).

Nie odczuwana od dawna siła jakaś szarpnęła wszystkie struny moralne w jego duszy — stanął więc jak posąg, zasłuchany w tę pieśń, niesłyszaną od pół wieku i wchłaniał w duszę całą jej świeżość i naiwność. Rozbudziła ona w nim cały rój wspomnień i szereg obrazów wywołała, które go w jednej chwili otoczyły, jakby na skinienie jakiego czarodzieja.

Niespodziankę tę sprawił mu nowy organista z Rybnicy, który z kolędą wszystkie domy objeżdżał. W dawnym spisie kolatorów i dobrodziejów znalazł Nenadychę. Mówiono mu, że tam od trzydziestu lat nigdy noga księdza katolickiego nie postała, ale poszedł spróbować — i spróbował.

Iwan Matwijowicz słuchał z rozkoszą i rozrzewnieniem, których od dawna, od bardzo dawna nie doznawał. Zdało mu się, że ze słów tej pieśni, słyszanej w latach dziecinnych, spływały w jego duszę łagodne i spokojne wrażenia. Ile razy zwrotka zakończyła się słowami:

A pokój na ziemi...

tyle razy uczuł mocne drgnięcie serca, żal za tem, co przeszło i do tych ludzi, śród których tak jednostajnie upływało jego życie.

Gdy stał w środku pokoju, zamyślony i zasłuchany w pieśni, rozlegającej się głuchem echem wśród mroźnego powietrza, wbiegła na pół przestraszona Katia.

— Co to jest? Co to za śpiewy? Pozwoliłeś?

Wzrok jej zdziwiony biegł od szyby okiennej do zamyślonej twarzy milczącego męża, który zamiast odpowiedzi ręką tylko ku niej skinął.

— Co to za zuchwałość! — krzyknęła. — Cóż stróż nocny robi, że śmie tutaj puszczać, przed okna dworu, włóczęgów?

Iwan Matwijowicz nie odpowiadał. Kolędnicy właśnie ostatnią zwrotkę kończyli. Żona stała zdziwiona, nie umiejąc pogodzić zachowania się męża z tą jego wyrozumiałością, nieznaną dawniej.

— Daj im pokój — odezwał się wreszcie. Zwrócił się do biurka otworzył i wyjął ciemno-szafirową asygnatę, którą do rąk żony wcisnął.

— Każ im oddać...

— Waniusza... omyliłeś się — rzekła, przenosząc wzrok swój od asygnaty w ręku trzymanej do twarzy męża.

Wziął „bumażkę“ z rąk żony, schował machinalnie i z równą obojętnością wyjął inną — różową.

Wprawiło to w podziwienie jeszcze większe Katię.

— Waniusza... co tobie? To dziesięć rubli...

Iwan Matwijowicz niecierpliwie zawołał:

— Daj im... daj... zostaw mię w spokoju...

Katia zmierzyła go pogardliwie od stóp do głowy i szepnęła.

— Duraczestwo...

Wyszedłszy, w sąsiednim pokoju spotkała się z „batiuszką“.

— Co to się stało? — spytał z akcentem podziwienia i niepokoju.

— Znowu pijany... dla polskich kolędników dał dziesięć rubli.

Pokazała ojcu papierek w ręku trzymany.

Oczy popa błysnęły gniewem.

— Zmarnuje... zmarnuje wszystko... przepije i rozda...

Nagle zwrócił się do córki.

— Zawołać Griszkę .. każesz tych włóczęgów polskich wypędzić zaraz... Jeszcze czego brakło! Dziś jednej kupie, da dziesięć rubli, a jutro druga przyjdzie...

Iwan Matwijowicz nic o tej naradzie nie wiedział.

Tymczasem zachowanie się jego od dłuższego czasu zwróciło na się pilną uwagę codziennego otoczenia. Przedewszystkiem przestał pić i grać w karty i zdawało się, że umyślnie unikał towarzystwa, w którem dawniej dnie i noce przesiadywał, a pragnąc czas swój czemkolwiek zająć, zwrócił się do książek. Gdy przyszła wiosna, a z nią dnie cieplejsze, spędzał je z upodobaniem w ogrodzie, a nawet w polu, wśród robotników i gospodarstwa. Nie przeszkadzało mu

potęgą niebezpieczną, i zasługą „Przeglądu Poznańskiego" jest to, że on pierwszy wszczął walkę, która musi się skończyć zwycięstwem prądów postępowych.

Względem drobnomieszczańskiego ruchu ludowego zachowuje się „Młoda Polska" z pewną rezerwą. Razi ją ta forma brutalna, w jakiej „ruch ludowy" się przejawia, ale traktuje go objektywnie, broniąc w obec napaści prasy szlachecko-klerykalnej. Nie zgadzając się ze wszystkiemi dążnościami ruchu ludowego, „Przegląd Poznański" powiada: „w ruchu ludowym widzimy zapowiedź zdrowszego kierunku politycznego. Ruch ludowy — to objaw ewolucyi społecznej. Mamy przekonanie, że ruch ten ma przyszłość przed sobą, że rozleje się od Pszczy y aż do Warmii po całym zaborze pruskim i że swym ciężarem przygniecie wszystkie nasze koterye. Jesto tylko kwestya czasu."

Jako pismo literackie i naukowe organ „Młodej Polski" może stanąć godnie obok warszawskich pism tego rodzaju. Stara się on zapoznać swych czytelników z nowożytnemi prądami w literaturze, sztuce i nauce, udzielając głosu najwybitniejszym siłom publicystycznym wszystkich trzech zaborów. Na liście współpracowników „Przeglądu Poznańskiego" figurują imiona publicystów obozu postępowego wszystkich odcieni. Wychodzi to poniekąd na niekorzyść pisma, ponieważ nadaje mu charakter niejednolity, ale oddaje usługi społeczeństwu, zasklepionemu w koteryjności zaściankowej, rozszerzając jego horyzonty umysłowe. Zasługą „Przeglądu Poznańskiego" jest poruszanie kwestyi drażliwych, o które inne pisma boją się potrącać. Świetne fejletony Sulli (redaktora dra Władysława Rabskiego), pisane barwnym, iskrzącym się stylem, ogromnie ożywiają organ „Młodej Polski".

Za krótka jest działalność „Młodej Polski" i jej organu, aby można było mówić o jakichś donośnych rezultatach. To tylko pewne, że dziś „Przegląd Poznański" wywiera już wpływ znaczny na młodsze pokolenie inteligencyi wielkopolskiej, ucząc je myśleć i wskazując mu pole pracy.

* * *

Rezygnacya Luegera. Korespondent „Kraju" petersburskiego donosi:

Każdy, obeznany ze stosunkami tutejszemi, oddawna przewidywał, że rozwiązanie kwestyi wiedeńskiej na razie nastąpi w ten sposób, że wprawdzie dr. Lueger nie zostanie burmistrzem, ale otrzyma sposobność złożenia dowodu uzdolnienia na posadzie wice-burmistrza. Czy w ciągu tej naturalnej ewolucyi wystąpi osobista interwencya cesarza, tego wprawdzie nie przewidywano, ale licuje ona zupełnie z patryarchalnym stosunkiem, który oddawna istnieje pomiędzy dworem a wiedeńczykami. Stosunek ten w całej swej dobroduszności uwydatniał się np. w czasie sławnego kongresu wiedeńskiego, który nagle w licznych obrazach, rysunkach, sztychach, sprzętach itd. odżył przed nami na wystawie kongresowej w pałacu muzeum przemysłowego. Wtedy nawet majętni mieszczanie ubiegali się o zaszczyt wdziania liberyi lokajów dworskich, byle zbliska przypatrzeć się, jak cesarz Franciszek podejmuje swych dostojnych gości. Od tego czasu wprawdzie charakter wiedeńczyków niby to uległ zmianie, jeżeli jednak porównamy np. styl dzisiejszego „Kikeriki" z wychodzącemi w czasie kongresu „Listami Eipeldauera", łatwo zrozumiemy, że owa zmiana nie jest znaczną. Bądź co bądź, sam fakt, że cesarz osobiście p. Luegerowi wyraził życzenie, aby się zrzekł godności burmistrza, nietylko wystarczył trybunowi do dokonania odwrotu, ale także stronnictwo antysemickie, wyjąwszy jego najradykalniejsze skrzydło, pogodził z kombinacyą, której przez 6 miesięcy się opierało. Oczywiście p. Lueger nie byłby dostąpił posłuchania w Burgu bez zgody prezesa gabinetu. Nie może więc być mowy o tem, aby ta ewolucya zmniejszała powagę i wpływ hr. Badeniego.

Dla rządu w tej chwili ustały wszelkie trudności, wynikające z kwestyi wiedeńskiej. Natomiast stronnictwo antysemiskie, przechodzące ze stanowiska opozycyi quand même na trudniejsze stanowisko pozytywnej pracy, teraz dopiero narażone będzie na najcięższą próbę. Według uchwał antysemickiego klubu mieszczańskiego, burmistrzem będzie wybrany p. Schlesinger, pierwszym wice-burmistrzem dr. Lueger, drugim dr. Kupka. P. Józef Schlesinger, urodzony w r. 1831, jako syn tkacza, w r. 1858 ukończył w Wiedniu studya techniczne, od r. 1866 był nauczycielem szkoły realnej, a obecnie jest profesorem geometryi w tutejszej akademii agronomicznej i zasiada w izbie poselskiej, a także w radzie miejskiej. W izbie poselskiej p. Schlesinger stał się figurą komiczną. Ilekroć rozpoczyna który ze swych dwugodzinnych wykładów o walucie, o wspaniałych starych papierkach, którym portret cesarski nadaje więcej wartości, niż jej posiada ohydne złoto, posłowie wszystkich stronnictw znikają z sali i zaledwo dwóch czy trzech wiernych towarzyszy antysemickich z obowiązku asystuje odczytywanym zwykle monologom profesora i fanatyka papierków. Nie zadawalając się mowami, sumiennie przechowanemi w protokóle stenograficznym, p. Schlesinger raz po raz ogłasza grube broszury najczęściej o walucie, rozkładane przez służących izby na pulpitach poselskich, ale pono rozcinane bardzo rzadko. Na godność burmistrza kwalifikuje go pono serdeczna przyjaźń z d-rem Luegerem. Innej kwalifikacyi istotnie przy najlepszej woli trudno się dopatrzeć w tym kandydacie. Wobec tego, że posada burmistrza, pobierającego 24 tys. fl. pensyi, oprócz książęcego iście mieszkania w ratuszu, wymaga pewnych choćby tylko fizycznych zdolności reprezentacyjnych, trudno odgadnąć, jak tym obowiązkom podoła p. Schlesinger. W każdym razie na tem szarem tle zupełnej mierności postać pierwszego wiceburmistrza odbijać będzie tem świetniej i też tylko chyba ten wzgląd mógł spowodować postawienie kandydatury p. Schlesingera.

Po za temi kwestyami osobistemi czyhają donioślejsze trudności, wynikające przedewszystkiem z przesadnych obietnic, za pomocą których stronnictwo antysemickie dobijało się zwycięztwa na wyborach. A nadto po za masą 50 tys. wyborców antysemickich coraz dobitniej występują jeszcze liczniejsze masy demokracyi społecznej. Wystarcza przypatrzeć się dzisiejszej majówce obozu p. Adlera, aby zrozumieć kłopoty, na jakie z tej strony narażonym będzie nowy zarząd stolicy. Na Schottenringu w dzień 1 maja od godz. 2 do 3 bez przerwy w szeregu do 10 osób demonstranci społeczni maszerowali do Prateru. Dzienniki nie wyszły po południu i nie wyjdą jutro rano. De facto tłumy przeparły święto, a w przyszłym roku, jeżeli nie w bieżącym jeszcze, na podstawie powszechnego głosowania w 5 kuryi rozpocznie się zacięta walka pomiędzy zwolennikami p. Luegera, a armią p. Adlera. Przypuszczać więc, że objęcie zarządu miejskiego wróży antysemitom epokę spokojnego używania, a stolicy epokę idylicznej zgody byłoby dziwnym optymizmem. Przeciwnie zanosi się na walki zaciętsze, niż dotychczasowe.

* * *

Galicyjskie stronnictwo ludowe. Do warszawskiego „Przeglądu Tygodniowego" piszą z Krakowa:

„Proces społeczno-polityczny, który pod mianem ruchu ludowego po raz pierwszy dobitnie zaznaczył się w czasie ostatnich wyborów sejmowych, żywo i nieustannie postępuje naprzód. Przybyło mu prze-

---

jednak od przypadkowej swojej rodziny stać nieco na uboczu i nie zbliżać się przez karty i gorzałkę, jak to dawniej czynił.

Drażniło takie zachowanie się „sprawnika" i popa, którzy przy „stukałce" i „jeryłaszu" żartowali z Iwana Matwijowicza.

— Barinom zażił — powiadał sprawnik.

— Na romantyka choruje — dodawał pop.

W tych żartach czuć było jednak nutę obrazy osobistej i niezadowolenia, które streszczały się niezmiennie w uwadze:

— Dziki człowiek... prawdziwy dziki.. W skórę wilczą go tylko ubrać i do lasu puścić...

Iwan Matwijowicz wiedział o tem, jaką ma opinię, ale się wcale z tego powodu nie martwił i w niczem postępowania swego nie zmienił. Im bardziej odsuwał się od długoletniego towarzystwa, tem z większą miłością zbliżał się do syna, nawiązując z nim długą korespondencyę, pełną troskliwości o przyszłość. Już od lat kilku, od chwili, kiedy Pietia do uniwersytetu wstąpił, między ojcem a synem następowało coraz większe zbliżenie się, które teraz przerodziło się w rodzaj przyjaźni dwóch pokoleń, dwóch światów, myśli i uczuć różnych, a jednak pokrewnych sobie.

Po długiem oczekiwaniu nadeszły wreszcie Zielone Święta i Pietia przyjechał na dwutygodniowy odpoczynek. Był to ostatni odpoczynek przed ostatnim egzaminem. Potem miała się rozpocząć inna nauka — życie.

Zjechali się domownicy i przyjaciele i po dawnemu rozpoczęła się pijatyka, po dawnemu „jeryłasz" i „stukałka" nieprzerwana przez dnie i noce, z nieprzerwaną zakąską i wódką. Pietia nie dał się wciągnąć. Z początku był obojętnym świadkiem, potem nudził się, a potem wraz z ojcem szedł do ogrodu i chodząc w ciemnych alejach lip i brzostów, długie i gorące prowadził z nim rozmowy. Do towarzystwa domowego nie zdradzał ani chęci, ani zaufania.

— Wiesz ojcze — mówił gdy się już sami znaleźli — muszę się przyznać przed tobą, że do mundurów policyjnych osobliwej sympatyi...

Iwan Matwijowicz uczuł, że zimno przeszło mu po za skórą. On także do tych mundurów sympatyi nie miał, ale się ich lękał instynktownie, jak inni.

— Pietia, Bóg z tobą... cicho, zmiłuj się.

Oglądnęli się obydwaj poza siebie, jakby się umyślnie przekonać pragnęli, czy istotnie nikt ich nie podsłuchuje.

— Nie cierpię ich — rzekł Pietia z akcentem; — jak pies szuka zwierzyny, tak oni węszą, czy w czyjem sercu jaka świeża, nowa myśl nie zabrzęczy. Oni muszą ją wytropić i zamordować...

Ojciec wyszeptał z trwogą:

— Dajże pokój... zmiłuj się...

Syn czuł się jednakże podrażniony samem wspomnieniem policyi, bo na przestrogi ojca nie zważał wcale.

— Oni są tymi „opricznikami" carskimi, którzy niegdyś dusili i grabili wszystkich nieposłusznych...

Między ojcem a synem wywiązała się na ten temat bardzo ożywiona rozmowa, — przez jednego prowadzona półszeptem, przez drugiego z rozgoryczeniem młodzieńczem.

Nagle ojciec za ramię ujął syna i rzekł szeptem:

— Cicho...

Na progu werandy ukazała się beczkowata postać sprawnika. Stanął we drzwiach, podparł się obiema rękoma i sapiąc, w ciemną aleję spoglądał, którą zbliżali się do niego ojciec z synem.

— Jakże tam idzie? — zagadnął Iwan Matwijowicz, ażeby inną rozmowę rozpocząć.

— Deskonale... doskonale... daliśmy tylko co „batiuszce" wielkiego szlema.

— O, to bohaterstwo!... — zawołał Pietia.

Sprawnik poznał się na ironii — odpłacił mu pięknem za nadobne.

— A wy, „mołodoj człowiek", chcielibyście ciągle o polityce i socyaliźmie rozmawiać — rzekł zjadliwie, wpatrując się w niego badawczo.

Pietia uczuł się zadraśniętym tą uwagą.

— Ciągle? Nie... — odpowiedział, starając się głosowi swemu nadać o ile można najspokojniejszy akcent.

W tej chwili dało się słyszeć głośne wołanie:

— Antonie Iwanowiczu! Antonie Iwanowiczu! Karty rozdane...

Sprawnik krzyknął tubalnym głosem:

— Idę zaraz!

Posapał jeszcze chwilkę, powachlował

dewszystkiem trochę sił nowych. Skuteczny i pożyteczny udział posłów chłopskich w sejmie pouczył że żywioł ludowy, nawet w Galicyi, zniesławionej milionową cyfrą analfabetów, posiada w sobie sporo materyału zdrowego, należycie uświadomionego, zdolnego do zabrania głosu w sprawach publicznych, krajowych, bezpośrednio lub pośrednio go obchodzących. Niestety ci, od których to głównie zależało, nie chcieli czy nie potrafili uznać z dobrą wiarą siły i pożytku, jaki ten materyał przedstawia. Nieszczęsna w wysokim stopniu niepolityczna taktyka większości sejmowej wobec posłów ludowych, nie mogła w nich oczywiście żadną miarą wzbudzić zaufania do klik rządzących w kraju, a drogą naturalnej reakcyi przyczyniła się tylko do wzmocnienia słabego jeszcze w początkach ruchu ludowego i utrwaliła jego faktyczne podstawy. Dziś ruch ten przybrał już rozmiary naprawdę poważne i żywiołowe, a niedalekie wybory do rady państwa dzięki ludowemu ruchowi, staną się niewątpliwie punktem zwrotnym w dziejach galicyjskich i na zmianę systemu polityki krajowej w Wiedniu, głównie zaś na przeobrażenie organizacyi galicyjskiego Koła w parlamencie wpływ wywrą niemały. Nie jest to proroctwo z palca wyssane, lecz logiczny wniosek wysnuty z faktów rzeczywistych. Kilka z faktów na bliższą zasługuje uwagę.

Jak już wspomniałem, agitacya stronnictwa ludowego przerzuciła się obecnie na wybory do rady państwa i do rad powiatowych, których mandaty kończą się w jesieni rb. Przeszło dwadzieścia wieców odbyło się już w dwóch ostatnich miesiącach pomimo systematycznych przeszkód ze strony władz w najrozmaitszych miejscowościach Galicyi zachodniej. Po każdym z nich potęguje się wśród ludu zapał do ruchu, liczba zwolenników jego rośnie. Włościanie z niezwykłem zainteresowaniem słuchają wywodów, objaśniających im polityczno-społeczny stan kraju, prawa i obowiązki obywatelskie, samolubstwo i koteryjność sfer, które dotąd wyłącznie rościły sobie prawo do reprezentowania społeczeństwa na zewnątrz. Rzecz naturalna, że działalność Koła galicyjskiego w parlamencie niezbyt pochlebnie omawiana bywa na wiecach. Szukanie nie przedstawia w tej mierze wielkich trudności. Koło dostarcza ich samo, zarówno z niedawnej przeszłości, jak z czasów bieżących. Nieufność ludu do przedstawicieli jego w radzie państwa pogłębiać się musi, choćby jej żadna sztuczna agitacya nie rozdmuchiwała. Większość Koła przez lud polski wybrana, podobnie jak większość posłów w sejmie, działa wyraźnie na szkodę ludu, wbrew jego woli i interesom. Zachowanie się tych „reprezentantów ludowych“ podczas całej dyskusyi nad badeniowskim projektem reformy wyborczej, szczególnie zaś jaskrawo reakcyjne stanowisko, jakie Koło zajęło w sprawie zaprowadzenia bezpośrednich wyborów w kuryi powszechnej i w gminach wiejskich, jest typowym, wcale nieodosobnionym przykładem taktyki Koła w sprawach dla kraju najżywotniejszych. Wiece ludowe podkopują starannie powagę tej „reprezentacyi“ a uświadamiając lud, wskazują mu zarazem, jakich reprezentantów do sejmu czy parlamentu wybierać na przyszłość nie powinien. Nietylko jednak faktyczna powaga Koła w dzisiejszym jego składzie chwiać się zaczyna potężnie, również zasada dzisiejszej solidarności klubowej powoli już traci podstawę.“

— *ski.*

LITERATURA I SZTUKA.

Ostatni sezon teatralny
w Niemczech.

Feliks Philippi: „Droga cierniowa“. — Robert Misch: „Sława pośmiertna“. — Ludwik Fulda: „Wyspa Robinsona“. — Paweł Lindau: „Wenus z Milo“. — Adolf Wilbrandt: „Mistrz z Palmiry“. — Artur Schnitzler: „Miłostka“. — Teodor Wolff: „Nikt tego nie wie“.

Cóż przyniósł dotychczas sezon teatralny w Niemczech? Samemi tytułami nowości możnaby pół artykułu zapełnić: na brak twórczości nikt się chyba nie poskarży. Ale co to za twórczość! Mamy w Niemczech dotąd dwie kategorye pisarzy: jedna chce rozszerzyć szranki dramatu przez wprowadzenie typów robotniczych, wiejskich, malowanie drobnych szczegółów życia, przed podkreślanie silniejsze tła, środowiska, pogłębianie psychologii postaci każdej; druga pracuje nad techniką dramatu, szuka efektów słowa i wiązania się wypadków, sili się na dowcip, na błyszczący frazes, na jaskrawe zakończenie aktów, a zwłaszcza aktu ostatniego. Jedni za wiele chcą od dramatu, drudzy za mało. Nazwa „naturaliści“ i „epigonowie romantyki“ nie wyczerpuje rzeczy. Między naturalistami są bowiem autorzy z niezwykłą siłą słowa, z niepospolitym darem obserwacyi. Natomiast lepiej scharakteryzowałby dramaturgów dzisiejszych podział na autorów, piszących wyłącznie dla sceny, dla aktorów i reżyseryi, i na autorów, piszących dla czytelnika więcej, niż dla widza.

Stara to w Niemczech słabość: rozłamywanie form dramatu przedmiotami niescenicznemi i opracowaniem ich już to nowelistycznem, już to tendencyjnem. Ani Lessing w przeszłym wieku, ani w bieżącym w czasach nowszych Laube, Freytag, Lindau nie zdołali stałej formy dramatycznej narzucić współczesnym i następcom. Bez śladu ich działalność — bardzo zresztą różna w swej wartości nie przeszła, ale trudno jej było, zdaje się, zwalczyć pewną senność i leżącą w naturze niemieckiej, skłonność do refleksyi, dla której miejsca nie ma i nie będzie na scenie.

Tendencya — oto hasło bojowe. Jaskrawo odznacza się nią każdy utwór, który zdobył rozgłos jakiś (mniej czy więcej uprawniony) w ostatnich czasach. Feliks Filippi w swojej „Drodze ciernistej“ przedstawia matkę, co chroniąc syna złodzieja przed karą, patrzy bezczynnie, jak niewinnego sąd potępia. Filippi jest niby naturalistą, tak sądzi przynajmniej o nim obóz młody w Berlinie. Ale w istocie rzeczy stary Gaboriau nie powstydziłby się podobnego powikłania rzeczy. Tylko Ibsenowska teza: zdobywaj prawdę za każdą cenę, wyglądająca z tendencyi kryminalistycznego dramatu, czyni utwór „nowoczesnym“.

Szczęśliwi autorowie, którzy obok tendencyi zdobędą się na pomysł nowy, choćby ten pomysł nowym był tylko w oczach publiczności, bo niewyzyskanym jeszcze na scenie. Taką nowością była komedya Roberta Mischa „Sława pośmiertna“. Kompozytor, prześladowany przez krytyków, kłuty szpilkami po pismach różnych, nie mogąc zdobyć

---

twarz klapami od surduta i nie powiedziawszy ani słowa, do pokoju wrócił.

Ojciec z synem nawrócili znowu w głębie ciemnej alei i znikli. Słuchać było tylko głuchy szelest ich kroków.

Uszczypliwy ton sprawnika mocno dotknął Pietię. Szedł zamyślony, nie mówiąc ani słówka, aż wreszcie odezwał się namiętnie:

— Cierpieć nie mogę tej psiarni carskiej!

Iwan Matwijowicz zrobił marsowatą minę.

— Proszę cię — rzekł — tylko ty w żadną politykę i żaden socyalizm nie wdawaj się.

— Dla czego?

— Nie czas... Nie opatrzysz się, jak wpadniesz w paszczę tej psiarni..

— Ach, ojcze — tysiące naszych wpada... jedni marnują się po Syberyach i Sachalinach, a drudzy spokojnie żrą chleb, przeznaczony dla dojeżdżaczy carskich.

Zuchwała ta mowa syna przestraszyła Iwana Matwijowicza. Nie odpowiedział na nią, ale idąc w milczeniu, rozmyślał:

— Nic uchroni się... duch czasu swoje weźmie.

Pietia, zdawało się, zrozumiał i odgadnął myśli ojca.

— Już dotąd mamy niewoli i ucisku — rzekł namiętnie, przesuwając ręką po gardle — każde pragnienie sprawiedliwe i szlachetne, każdą myśl szlachetniejszą zaduszą w człowieku, zanim się w jakiś czyn przyoblecze. To straszne... Ludzkość idzie naprzód, do światła, a u nas policya i cenzura gaszą starannie każdy promyczek, na każdy błędny ognik nawet rzucają się z kapturem.

Iwan Matwijowicz milczał.

Pietia rozgoryczony mówił dalej:

— Na całym świecie sądy publiczne wymierzają ludziom sprawiedliwość, — u nas każdy urzędnik powiada: sprawiedliwość — to ja... a car najmiłościwszy pokazuje ją swoim poddanym w formie zaciśniętej pięści...

Wybuchy oburzenia, rwące się z młodej piersi, przejmowały trwogą ojca, ale oponować im nie mógł — albożż się tak nie działo? On, wychowany w tej kuźni, gdzie się wszystkie narzędzia niewoli kują, znał ją najlepiej, sam pracował w niej długo, ażeby w końcu poznać i pogardzić, — aż nareszcie uczuł, że się w jego duszy budzi powoli reakcya przeciwko panowaniu brutalnej potęgi, gruchocącej wszystko dokoła siebie.

Teraz przez usta syna odzywała się inna nuta — nienawiść dla tej siły, która niedawno czczoną była jeszcze więcej niż bóstwo; a czuł, że ulega powoli wpływowi syna, porwany gorącym protestem niesplamionej jeszcze duszy młodzieńca.

Gdy się goście rozjechali, ojciec i syn noc całą aż do dnia prawie spędzili na rozmowie o duchu i kierunku, panującym w Rosyi, które, acz gnębione i prześladowane, rozsadzają stopniowo stary gmach jednako strasznego dla wszystkich więzienia, zwanego cesarstwem rosyjskiem. Dom bez okien można zbudować, ale w nim mieszkać nie można. Można czas jakiś żyć bez słońca ale całe życie nie można.

Nazajutrz przy rannej herbacie Pietia odezwał się:

— Przywiozłem śliczną książkę.

Potem wprost do ojca się zwrócił:

— Przepiękna rzecz... „Dziady“ polska książka.

Ojciec podniósł na niego oczy i spojrzenie pytające na twarzy syna utkwił. Tytuł tej książki zatrzymał się w jego pamięci i wiązał się z wspomnieniami lat dziecinnych. Nie zdradzał się jednak z myślami i uczuciami.

— Co nas polskie książki obchodzą? — odezwał się batiuszka z akcentem niezadowolenia — ot, duraczestwo.

Pietia zamilkł. Zmiarkował rychło, że skala umysłowa batiuszki niewiele wyżej po za „stukałkę“ i „jeryłasza“ sięgała.

Iwan Matwijowicz umyślnie naprowadził rozmowę na inny temat i w ten sposób wrażenie wystąpienia Pieti zatarło się.

Gdy po śniadaniu ojciec z synem znaleźli się w ogrodzie, Iwan Matwijowicz sam do przerwanego tematu wrócił.

— Cóż to za książka? — zapytał — o której wspomniałeś przy herbacie. Pietia opowiedział szczegółowo treść.

— A zkądże po polsku nauczyłeś się?

— To cała historya, ojcze. Mam kolegę Janowicza... Polak...

— Janowicz? Co to za Janowicz? Zkąd? Czy nie z Wilna?

chleba dla matki biednej i żony, ucieka do Ameryki, a tymczasem rozpuszcza wieść, że się z rozpaczy zabił. Pogłoska o samobójstwie czyni go od razu sławnym. Wysławiają jego utwory w operze i sali koncertowej, ogłaszają najdrobniejsze prace z jego „spuścizny“, a po ulicach katarynki grają jego melodye.

Dobre by to wszystko było, ale lat temu 15 wyczytałem tę samą pocieszną historyjkę w pewnej humoresce Ecksteina „Poeta i lekarz“, i dziwi mnie bardzo, że dotychczas nie zwrócono jeszcze uwagi na niebezpieczne pokrewieństwo tych dwóch utworów.

Ludwik Fulda, najwytrawniejszy co do stylu i formy dramaturg nowszej generacyi, gdzieindziej znowu czerpie swoje „nowe idee“. Jakiś Comerzienrath, właściciel niezliczonych milionów i ojciec pięknej córki przybranej, Lidyi, urządza na okręcie „Utopia“ podróż na około świata i gdy statek rozbija się na morzu, z całą załogą i towarzystwem okrętowem żyć musi na odludnej podzwrotnikowej wyspie. Pokazuje się tu całe niedołęstwo bogacza, cała czczość księcia biednego, co z nim podróż odbywał, zalecając się do Lidyi, aby małżeństwem z panną posażną ozłocić swój herb wyszarzany. Zbawcą w niedoli, kierownikiem, duchem organizatorskim całej kolonii rozbitków jest robotnik Palm, wzgardzony dotychczas wielbiciel Lidji. W końcu niemiecki statek wojenny przybija do brzegów i zabiera rozbitków. Palm mianowany zostaje gubernatorem wyspy, a Lidji nikt mu już nie zechce odmówić.

Fulda w swoim utworze ostatnim nie popisuje się przynajmniej wycieczkami przeciw naturalistom, jak to dawniej nieraz czynił. Tej niewdzięcznej roboty na dziś podjął się Paweł Lindau w „Wenerze z Milo“, jednoaktówce, w której zestawił dwóch rzeźbiarzy: Agathona, odtwarzającego to, co widzi i Skopasa, tworzącego co czuje. Agathon nie tworzy jednak wcale, lecz okrada genialnego swojego niewolnika, Praksytelesa, któremu daruje wolność za cenę jego arcydzieła: „Wenery z Milo“. Agathon będzie uchodził za twórcę posągu, który wyrzeźbił Praksyteles, natchniony miłością do pięknej niewolnicy. Takiemi mają być ci nic dobrego naturaliści. Szkoda, że jak cała treść jednoaktówki zmyślona jest mimo historycznych nazwisk, tak i tendencya jej na bardzo kruchych opiera się podstawach. Bo i cóż za szkodę odniósłby naturalizm, gdyby w rzeczy samej nawet jakiś jego zwolennik był lichym człowiekiem i lichym artystą?

Innym zupełnie utworem, zaglądającym także w starożytny świat jest „Mistrz z Palmiry“ Adolfa Wilbrandta, teraz dopiero wystawiony w niemieckim teatrze berlińskim, choć w Wiedniu znany jest już od lat dwóch, jako najgłębsze dzieło tego poety i jedno z najgłębszych w nowszej literaturze wogóle. Dramat ten zabłąkał się do sezonu obecnego w teatrze, jako gość z innej strefy. Jest to poemat w najściślejszem tego słowa znaczeniu. Piękno formy, stylu, rytmu, zaokrąglenie aforystyczne zdań i myśli wybitniejszych — wszystko zdradza autora, rozkoszującego się w dźwiękach, w harmonii wiersza, w postaciach rzeźbionych, w wypadkach fabuły, najstaranniej obmyślanych. Porównywano obecnie dzieło to z „Kainem“, „Manfredem“ i „Faustem“. Zasługuje ono przeto na bliższą uwagę.

Przed bramą Palmiry jest jaskinia, w której przebywają: pan życia — starzec i pan śmierci — czarny duch Pauzaniasz. — Chorzy i starzy idą do tej jaskini prosić o zdrowie i życie. Pauzaniasz urąga im. Przychodzi też Apelles, wracający z wyprawy zwycięzkiej. Orszaki zwycięzców witają go okrzykami: „Cześć ci Apellesie!“ Trąby grają radosne hejnały, ale Apelles wybiega myślą po za chwilę obecną, chciałby istnienie swoje przedłużyć, uwiecznić. Jest on architektem, wodzem, ustawodawcą, jest człowiekiem, czującym pełnię swoich sił, jak rzadko kto, i pragnie żyć wiecznie. Daremnie ostrzega go duch: „Zycie bez ustanku może stać się żalem bez ustanku“. Apelles odchodzi — obdarzony życiem na wieczność.

Przed jaskinią na ławie usnęła była młoda kobieta. Przez sen powtarza ona niektóre słowa ducha, wie ona niejasno, że Apelles jest teraz „skazany na życie“ tak samo, jak ona jest ofiarą, radośnie idącą na śmierć. Ta bowiem młoda kobieta Zoe, jest chrześcianką z Damaszku; idzie do Palmiry wykładać wiarę nową i głosić prawdę, choćby śmierć miała ponieść męczeńską. Pragnieniu życia Apellesa przedstawia się wola ofiar, abnegacya. Duch każe jej iść, umierać, wracać w coraz nowych kształtach na ziemię i zawsze spotykać Apellesa.

A więc idzie Zoe do Palmiry i głosi ewangelię. Jej odwaga porywa Apellesa. Chciałby jej bronić przed tłumem wrogim, ale kiedy ona nietylko prorokuje zagładę Bogów, kiedy unosząc się przeciw sztuce przepowiada, że te świątynie wszystkie w gruzy padną, energia Apellesa słabnie na chwilę i ktoś z dzikiego motłochu wypuszcza strzałę; ugodzona nią męczennica umiera. Konając przypomina sobie Zoe sen przed jaskinią Palmiry i mówi do Apellesa: „ciebie, ciebie to widziałam we śnie. Bóg cię każe tem, czegoś żądał.... czuwać będziesz bez snu śmierci, ja umieram“.

W akcie drugim, w 20 lat później, widzimy Apellesa w towarzystwie wesołych „przyjaciół“: Aureljusza, który mu zazdrości sławy, Septimjusza, co mu zazdrości kochanki Feby, zabranej przez Apellesa z Rzymu, szczerego Longinusa, który na życie patrzy ze stoickim spokojem, Timolausa, błazna nieco pokrewnego Szekspirowskiemu, wypowiadającego wszystkim prawdy gorzkie przy uczcie. — Feba jest prześliczną postacią. Dziewczyna to wesoła, pragnąca uciech, zabaw szalonych, kochająca szczerze Apellesa, kobieta zdolna umrzeć i poświęcić się w ekstazie, a niezdolna być wierną: pół kurtyzany, pół anioła. Los karze Apellesa, pragnącego uciech, tą kobietą, która chce też tylko żyć i używać.

Słabość Feby nie wytrzymuje próby, Matka Apellesa choruje, a duch śmierci Pausaniasz, który jako lekarz odwiedza ją, powiada Apellesowi, że chora umrzeć musi, jeśli Feba nie ustąpi z domu, matka bowiem bardzo się martwi jego związkiem z tą dziewczyną. Zanim Apelles mógł się zdecydować, Feba dowiedziawszy się o tym stanie rzeczy, ucieka ze Septimjusem.

W trzecim akcie Apelles posiwiały jest ojcem pięknej Tryfeny i mężem Persidy, pobożnej chrześcianki. Persida, pod wpływem

---

— Z Wilna.

Iwan Matwijowicz zamilkł. Pietia ciągnął dalej:

— Zaprzyjaźniłem się z nim, jak z bratem... dobra, piękna dusza...

— Więc to on uczył ciebie po polsku?

— On. Gdyśmy się parę razy zetknęli ze sobą, on dawał wyraźnie do zrozumienia, że stosunków koleżeńskich utrzymywać ze mną nie chce. W liczniejszem kole zawsze się odemnie boczył. Raz wprost go zagadnąłem:

— Pan mnie nie lubisz? Prawda?

— Nie mógłbym tego powiedzieć, ale stosunek z panem sprawiałby mi przykrość.

— Dla czego?

— Pozwól mi to pan zatrzymać do mojej wiadomości. Wolno panu mnie nienawidzieć, chociażby całą duszą.

Skinął ledwie dostrzeżenie głową przedemną i odszedł.

Gdy te słowa wymówił Pietia, spojrzenie jego padło niechcący na bladą twarz Iwana Matwijowicza.

Co tobie, ojcze? — zapytał z przerażeniem.

— Nic... głowa mię trochę boli.

— Może usiądziemy?

— I owszem.

Usiedli w cienistej, lipowej altanie.

— No i jakże się wasza przyjaźń z Janowiczem nawiązała? — spytał.

— Bardzo dziwnie... Kiedyś w towarzystwie kolegów rozpoczęła się rozmowa o Podolu, w której i ja gorący bardzo udział wziąłem, jako ziemią rodzinną zachwycając się. Gdy skończyłem podszedł do mnie Janowicz.

— Pan nie jesteś z Wilna? — zapytał.

— Nie panie, urodziłem się na Podolu i w Wilnie nigdy nie byłem.

Wówczas Janowicz wyciągnął ku mnie rękę.

— Od dawna zwróciłem uwagę na pana — rzekł — i pragnąłem do niego zbliżyć się serdecznie... wielką czuję dla pana sympatyę.

Wyciągnął ku mnie rękę.

— Chcesz pan — dodał — bądźmy przyjaciołmi.

— Bądźmy. I zostaliśmy przyjaciołmi.

Iwan Matwijowicz zamyślił się nad tym dziwnym sposobem zawierania przyjaźni i o owym Janowiczu. Kolegi syna nie znał, ale znał jego ojca, bardzo dawno, bardzo, bo z lat dziecięcych. I oni byli niegdyś przyjaciołmi, rozstali się potem i poszli różnemi drogami.

Pietia ciągnął dalej:

— Od niego nauczyłem się po polsku; kocha kraj swój i nienawidzi Moskali do fanatyzmu... Ale, wiesz, co on mi raz powiedział? Powiedział, że jestem także Polakiem, że gałęź dębu, oderwana od pnia macierzystego, nie przestaje być dębem...

(Dokończenie nastąpi).

TAKŻE EWANGIELISTKA.

Sylwetka petersburska.

(Dokończenie.)

— W głębi tego nowożytnego pałacu zobaczy pani pierwszych chrześcian, braci naszej gminy pra-chrześciańskiej i wybieranych przez nas presbiterów, w białych szatach płóciennych, takich, jakie owi święci w mroku katakumb nosili; usłyszy pani, jak przez ich czyste usta sam Duch święty oczywiście przemawia i prorokuje. Tak, nie mówię wcale, że schodzi na nich tylko natchnienie z góry, lecz powtarzam znowu, że sam Duch święty, Bóg odrodzenia, daje się słyszeć w naszem zgromadzeniu.

Czułam wyraźnie, jak oczy moje utkwione w N—ową, otwierają się coraz szerzej. Musiała i ona to zauważyć, pomimo całego podniecenia, które ją opanowało, bo, podniósłszy głos i zbliżywszy twarz swą ku mnie, poczęła szybko mówić:

— Tak, przygotuj się pani, bo usłyszysz rzeczy nadzwyczajne, zapomnisz o tej katowni, która się światem nazywa i wejdziesz do błogosławionej przystani pocieszenia. O błogosławiona! kończyła szeptem prawie, z błyszczącemi oczyma, utkwionemi w górę i przyspieszyła kroku, nie zwracając już na mnie uwagi.

brata swojego biskupa Herennajosa, nie chce zezwolić na ślub córki Tryfeny z Jamlichem, synem Longinusa, który jest jeszcze poganinem. Przychodzi do starcia między Apellesem a Persidą. Persida, postawiona między obowiązkiem, podyktowanym przez dogmat wiary, a miłością, nie chce iść za Apellesem i umiera z bólu. Apelles ucieka z córką, Longinusem i Jamlichem przed ludem Palmireńskim, który już po większej części jest chrześciańskim, nad Eufrat. Ztamtąd wraca po wielu latach w pobliże Palmiry z Nymfasem, wnukiem swoim a synem Tryfeny.

W czwartym akcie występuje Nymfas. Jest to potomek Zoi, Feby, Persidy, mający w swojej duchowej fizyognomii wszystkie ślady dawnych żywotów. Na tronie rzymskim zasiadł Julian Apostata, chcący wskrzesić wiarę w starych bogów. Resztki pogańskiego świata zbierają się do walki z chrześciaństwem; oto walczyć ma idea uciechy z ideą abnegacyi, ale ci obrońcy swobody życia stają się romantykami. Chcąc odkopać przeszłość, idą do zapadłych świątyń. Nymfas zagrzewa się myślą brania udziału w tej walce z chrześcianami i, mimo uporu Apellesa, idzie do Palmiry. Apelles z wiekiem poznaje marność życia; liść za liściem opada z jego drzewa: stoi sam bez przyjaciół, bez krewnych; jedyną nadzieją Nymfas.

A Nymfas upada w walce, która na wieść o śmierci Juljana Apostaty kończy się zupełną porażką pogan. Teraz życie Apellesa jest męką. Po wielu latach spotyka w Palmirze towarzyszy Nimfasa z otatniej walki: „chylą się i korzą i korzystają z każdej chwili życia“, a Nymfas — umarł. Apelles chciałby zapomnieć; nie może — chciałby umrzeć — nie może. W tem spotyka pobożną chrześciankę, Zenobię, drugie wydanie Zoi. Zenobia słynie ze swojej wiary i cudów. Kiedy go dostrzega, budzi się w niej jakby reminiscencya uczuć, przed tym żywotem doznanych, lituje się niezmiernie nad Apellesem, kładzie mu rękę na czoło, aby jego ból ukoić.

Poemat powtarza postać Zoi, Zenobii, Persidy i właściwie w dwóch aktach wyczerpał pomysł i postacie. Poplątanie także teoryi o metempsychozie i kwestyi wiecznego życia indywidualnego nie może wpłynąć na harmonijne rozwiązanie zadania. W każdym jednak razie są w poemacie ustępy niezwykłej piękności, a całość osnowy odbija bardzo jaskrawo od wybladłych utworów współczesnych.

Sezon ubiegły przyniósł nam jednak jeśli nie dzieło znakomite, to choć talent wielkie nadzieje rokujący. Mówię o poecie wiedeńskim Arturze Schnitzlerze, którego „Miłostkę“ wystawił teatr nadworny. Schnitzler należy do tej grupy wiedeńskich poetów, która przed czterema laty założyła była towarzystwo „Freie Bühne“ i marzyła o zreformowaniu teatru Wiedeńskiego i powieści, dość licho przedstawiającej się w literaturze austryacko-niemieckiej. Jednych ideałem Baudelaire, Verlaine, Maeterlinck, drugich Ibsen, Zola, Tołstoj. Kilku członków tego związku „freie Bühne“ dziś zajmuje już to w publicystyce, jużto w liryce i dramacie poważne stanowisko (Bahr, Dawid, Hofmansthal, Dormann, a wreszcie Schnitzler). Schnitzlera pierwszy dramat, w zeszłym sezonie wystawiony („Baśń“) nie uwydatniał jeszcze talentu pisarza. Znać było odwagę młodego człowieka, podejmującego na nowo kwestyę starą upadłej kobiety — ale też nie wiele więcej, prócz odwagi, która dziś z realizmem, weryzmem, naturalizmem za jedno uchodzi. W „Miłostce“ uderza niezwykła siła charakterystyki osób, plastyczność w oddaniu domostwa kawalerskiego i pomieszkania biednego muzyka, nastrój szczery i na prawdziwie liryczne zdobywający się tony. Treść stara, fabuła niewyszukana; cały dramat ma właściwie tylko trzy sceny w trzech aktach, a zawikłania żadnego. Schnitzler jednak może potrafi zdobyć się na treść szerszą. Główne warunki pisarza dramatycznego: prostotę formy, siłę przedstawienia walk duszy, zdolność malowania tła kilku rysami — posiada on już dzisiaj.

Bez wiarołomstwa niema dziś repertuaru. Z całego szeregu dramatów, których jedyną osią jest niewierność małżeńska, wymienię dwa tylko: jeden Teodora Wolffa „Nikt tego nie wie“, zasługujący na wzmiankę dzięki egzotyczności tła (choć się w teatrze królewskim w Berlinie nie utrzymał) i „Szczęście w zakątku“ Sudermanna, dramat, tem narzucający się naszej uwadze, że wyszedł z pod pióra najgłośniej reklamowanego i od pierwszej chwili nad zasługę i talent wychwalanego dramaturga. Teodor Wolff swoją tragedyę niewiary przeniósł do Japonii. Można tu kostyumy nowe pokazać i dekoracye, które na widza, znudzonego europejskiemi salonami, działają jak istotna nowość. Malarz Yori kocha się w pięknej Tajo. Młoda Japonka odwzajemnia mu się, ale za niego wyjść nie chce, bo nastręcza jej się związek z bogatym, starym i dobrym księciem. Nudzi ją zamek pozłocisty, nudzą pyszne parki, tęskni za Yorim. I zjawia się on jednej nocy księżycowej i ukochaną, stęskniony więce niż zwykle, bierze w swoje ramiona. Książę podszedł ich i rzuca się z mieczem na uwodziciela; Yori wymyka się i uprzedzając zamiar księcia, przebija go, potem w milczeniu daje się uwięzić, ani słowem nie zdradzając pobudek swego czynu. Dlaczego zabił księcia? „Nikt tego nie wie“, chyba on sam, Tajo i autor. Nikt też nie wie, dlaczego Tajo wyszła za księcia. Zdaje się, że ta młoda Japonka jest uczennicą Schopenhauera i Nietzschego i nie wierzy w stałość uczucia, a wierzy tylko w stałość władzy, potęgi, bogactw, siły indywidualnej. Szkoda, że się nie wytłumaczyła bliżej ze swego wyznania wiary. Byłaby może wyrosła na tym gruncie tragikomedya wartości istotnej, a nie cacko japońskie dla dyletantów, zbierających egzotyczne wachlarze. *K. T.*

Listy Stanisława Moniuszki.

W oktawę imienin niezapomnianego twórcy „Halki“ przynosimy czytelnikom naszym wiązankę listów tego serdecznego lirnika.

Listy ludzi niepospolitych, te szczere i poufne zwierzenia wobec rodziny lub przy-

---

Szłam za nią, poruszona jej tonem i zaciekawiona tem, co mię czekało.

Minąwszy ponury dziedziniec ciemnostalowego pałacu, wstąpiliśmy do masywnego portalu środkowego, przeszłyśmy wielką, ozdobną sień i znalazłyśmy się w jakimś śnieżnej białości przybytku, oczywiście kościele. Lśniąco biały, długi lecz wązki ołtarz służył za podstawę ogromnemu, stosunkowo, krzyżowi, nad którym się unosił wielki ptak Ducha świętego. Lekkie kratki, zdobne delikatnem złoceniem, oddzielały prezbiteryum od wydłużonej przestrzeni, pozostawionej dla wiernych, a dość szczelnie zastawionej czystemi, białemi ławkami.

Tu i owdzie siedzą pobożni, mniej mężczyzn, więcej kobiet, nad rozłożonemi na pulpitach książkami, ostro odbijając swemi ciemnemi figurami od tej ogólnej białości.

Na ścianach brak obrazów, lecz za to pełno jakichś godeł i emblematów.

Spostrzegam drzewa alegoryczne, oślą głowę i rybę, i domyślam się, że są one wzorowane na godłach starej chrześciańskiej Romy.

Siadam w jednej z ostatnich ławek. N—owa, zwyczajem katolickim klęka.

Czyjaś mała, szczupła rączka w świeżutkiej czarnej rękawiczce, podaje mi z tyłu dwie książki. Odwracam się, żeby podziękować, a młoda pani z twarzą zakrytą gęstym, żałobnym welonem, zlekka kiwa mi głową.

Otwieram książki: — jedna jest zbiorem hymnów angielskich, druga zaś zwykłym ewangielickim *Gesangbuch'em*.

Tymczasem liczba „pierwszych chrześcian“, z rozmaitych dzielnic Petersburga, coraz to się powiększa; jest tu już ich teraz około stu osób. Gwar się wzmaga, rozróżniam wyraźnie rosyjskie i niemieckie frazesy, uśmiechy i ukłony krzyżują się co chwila, toalety nietylko dostatnie, lecz nawet eleganckie, atmosfera angielskich perfum otacza mię dokoła. Lecz oto poczyna się ona mieszać z odurzającą wonią mirry wschodniej; boczne drzwi się otwierają i, otoczony niebieskim obłokiem lecącym z kadzielnicy, wchodzi celebrant w długiej, śnieżnej albie, w asystencyi dwóch białych djakonów. — Wszystkie głowy chylą się kornie ku ziemi. Co do mnie, przypatruję się ze zdumieniem wspaniale rozczesanym faworytom szpakowatego celebranta i jego modnemu rozdziałowi na samym środku głowy. Elegancki monokl w złotej oprawie kołysze się na piersi, tuż obok czerwienieje jakaś wstążeczka.

— Kto jest ten — pan? — pytam nieśmiało N—owej, wciąż jeszcze klęczącej obok mojej ławki i wpatrzonej w niego w tej chwili.

— To nasz biskup, rzeczywisty radzca stanu A—erg, odpowiada mi z namaszczeniem. Tytuł ten, koafiura, monokl i wstążeczka wprawiają mnie w tak niespodziany humor, że boję się już spojrzeć na ich szczęśliwego posiadacza. Przypomina mi się natomiast rozmowa dwóch amatorów baletu, w którejś z satyr Szczedrin'a:

— „Patrz pan, któż to tam wywinął to zdumiewające antrsza (*entrechat*)?“

— „To rzeczywisty radca stanu *Petipas*“. — A więc i tu bez „radcy“ poradzić sobie nie mogli.

Tymczasem odprawia on z wielką powagą nabożeństwo, podobne do mszy katolickiej, przerywane często chóralnym śpiewem „braci i sióstr“ gminy. Epilogiem jej było coś w rodzaju komunii powszechnej, przykre na mnie robiące wrażenie, to też po ukończeniu jej, z wielką radością podniosłam się z miejsca, ciesząc się, że moja rola widza jest już wreszcie skończona. Lecz oto N—owa, na którą mało przez ten czas zwracałam uwagi, wstrzymała mię gwałtownym ruchem, szepcząc z tajemniczym wyrazem, że za chwilę właśnie zaczną się proroctwa i głosy Ducha świętego.

Ciekawość przemogła i zostałam w ławce, oczekując z niecierpliwością pierwszych objawów natchnienia. Tymczasem rozglądałam się po sali, chcąc pochwycić nastrój psychiczny publiczności. Rzecz dziwna, jaki spokój, wobec tego *moment supreme*, który miał dla nich nastąpić. Czytają sobie z mniej więcej obojętnym wyrazem swoje zagraniczne książki i od czasu do czasu rozmawiają dość głośno po rosyjsku.

W tem stojąca obok mnie N—owa upadła nagle na kolana, złożyła ręce z dziwnie skupionym, modlitewnym wyrazem, a wyciągnąwszy naprzód głowę, jakby w natężonem

jaciół, są dokumentami niezmiernej wagi. Stanowią one bowiem nader cenny materyał biograficzny, a służą nietylko dla pełniejszego uwydatnienia charakterystyki danej postaci, lecz wzbogacają niezmiernie historyę literatury lub sztuki. Dość wspomnieć o zbiorze listów Juliusza Słowackiego do matki, o czterotomowej korespondencyi Adama Mickiewicza lub Zygmunta Krasińskiego do różnych osób. Listy te przechowane i wydane stanowią do dziś dnia dla historyków literatury skarbnicę nieprzebraną faktów, ściśle związanych z życiem i twórczością wielkich poetów.

Obok tej korespondencyi, zebrania, uporządkowania dokładnego i ogłoszenia domagają się usilnie listy takich mistrzów pieśni swojskiej i natchnienia wielkiego jak: Chopin i Moniuszko. Należą oni bowiem do tejże samej konstelacyi gwiazd błyszczących tak wspaniale na horyzoncie naszej poezyi i sztuki. że niejedno społeczeństwo tego blasku pozazdrościćby mogło.

W r. z. ogłoszono kilkanaście listów Moniuszki ze zbiorów sekcyi imienia Moniuszki, powstałe, z inicyatywy p. Jana Karłowicza przy Towarzystwie Muzycznem w Warszawie. Listów takich zapewne więcej znajdować się musi. Zbiór ich też cały posiadał zmarły przed laty kilku Aleksander Walicki, biograf Moniuszki, a pokaźną zapewne ich ilość przechowuje rodzina i przyjaciele wielkiego artysty.

Dzięki uprzejmości p. Bolesława Matuszyńskiego, syna zmarłego w d. 10 grudnia 1893 r. Leopolda Matuszyńskiego, wieloletniego reżysera opery warszawskiej, możemy ogłosić szereg listów Moniuszki w różnych latach, jeszcze z Wilna a następnie z zagranicy pisanych. Moniuszko bowiem przed objęciem batuty dyrektorskiej w operze warszawskiej, wyjechał w 1858 r. na kilka miesięcy do Paryża, dokąd udał się znowu po upływie lat kilku.

Z Leopoldem Matuszyńskim łączyły go związki ścisłej przyjaźni i Moniuszko w swej karyerze kompozytorskiej korzystał niejednokrotnie z rad i uwag tego wytrawnego artysty i doświadczonego znawcy sceny. Wiadomo np., że gdy Moniuszko przywiózł do Warszawy „Halkę“, jako operę w dwóch aktach, z partyą Jontka dla barytona, Matuszyński wpłynął na rozszerzenie jej na cztery akty i przerobienie partyi barytonowej na tenorową.

Oto treść dosłowna tych listów:

Drogi przyjacielu!

Na miłość Bozką, kilka słów jakichkolwiek, złych czy dobrych! Nie mogę Ci wyrazić, jak niepewność zgubnie wpływa na moje nawet pieniężne interesa tegorocznego kursu. Do podróży ku Wam jestem oddawna przygotowany, więc to mi wielkiej różnicy nie zrobi! Ale najgorzej, że wiedzieć nie mogę, kiedy ona nastąpi? Jużci zapewne i sami nie więcej musicie wiedzieć odemnie. Ale chciejcie mi donieść, czy nie zaszło co takiego, coby miało wstrzymać przedstawienie na czas dłuższy? Daruj, daruj najpoczciwszy Leopoldzie, że cię utrudzam, ale to wina Twej dobrej dla mnie woli, w którą najzupełniej wierzę.

Wasz najżyczliwszy i najwdzięczniejszy
S. Moniuszko.

1857 r. m. październik 28 d. Wilno.

* * *

Dziękuję Ci, zacny Leopoldzie, za Twój list drugi. Bieda moja, że do Was nie będę mógł pospieszyć aż za dziesięć dni od dzisiejszej daty. Najpóźniej wszakże będę Cię mógł uściskać 20 listopada wedle Waszego kalendarza.

Będę wszelkich sił używał, ażeby wcześniej ztąd się uwolnić. Wielką mi więc łaskę uczynicie, nie zwlekając prób orkiestrowych, przeciągając je w taki sposób, ażeby się nie wydawało, że to z mojej winy ta przewłoka.

Do Jasińskiego dziś piszę, może i do Quatriniego, jeżeli mi czas pozwoli.

Do widzenia, mój najpoczciwszy przyjacielu.

Twój najwdzięczniejszy
S. Moniuszko.

1857 m. października 21 (listopada 1) Wilno.

* * *

Mój drogi Leopoldzie!

Za powrotem w domu zastałem smutek! Utraciliśmy nagle jedenastoletnią córeczkę; moja żona tailła jej zgon przedemną. To też na pierwszym kroku cios ten we mnie ugodził. Piszcie do mnie co prędzej i co najczęściej. Oby Wasza, tyle droga dla mnie życzliwość, nie rozwiała się jako sen różowy, tak nieczęsto przyświecający w mojem życiu. Mam „Gazetę Warszawską“ i będę miał jeszcze „Kuryerka“. Pomimo to odzywajcie się do mnie, robiąc z tego obowiązek dla siebie podtrzymywania mnie w upadku ducha.

Wszystkim najzacniejszym Twoim kolegom polecaj mnie życzliwej pamięci jako najwdzięczniejszego Waszego
S. Moniuszko.

Żonce Twojej rączki załuję.

1858 styczeń 6 (18) Wilno.

* * *

Mój drogi Leopoldzie!

Coby to było, że od Ciebie ani literki nie otrzymuję! Smolikowski w swoim ostatnim liście pocieszył mnie bardzo wiadomością. że się do Wilna pisać wybierasz, ale na tem się skończyło. A ja tak do Was tęsknię, jak nigdy. Straszne tu moje życie. Uratujecie człowieka od zguby, jeżeli zechcecie jakkolwiek ułatwić zbliżenie się moje do Waszej sceny. Ale gdzie tam myśleć o tem! Dowiaduję się z kilku listów, że Opera włoska do marca tylko ma pozostać. Więc i przestrogi kochanego Sikorskiego zatrważać was nie powinny!

Cóż dzieje się z „Ruchem“[1]); od nowego roku ani jednego numeru nie otrzymałem.

Ty, mój drogi Leopoldzie, pociesz mnie choćby słówkiem. Po Twojem sercu mam prawo spodziewania się, że na Twoją odezwę nie dasz mi długo czekać.

Twój najwdzięczniejszy
S. Moniuszko.

[1]) „Ruch muzyczny“ począł wychodzić w 1857 r. pod redakcyą zmarłego w d. 4 maja rb. Józefa Sikorskiego.

---

wyczekiwaniu, wpatrzyła się przed siebie.

Spojrzałam w tym samym kierunku i zauważyłam, że pochylone plecy białego dyakona, stojącego z lewej strony ołtarza, dziwnie jakoś falują, głowa jego to się wznosi to opada, wreszcie raptownie obraca on się ku nam, a drżąc całem ciałem, wymawia oderwane jakieś, niewyraźne słowa.

Nic nie rozumiem, — po chwili jednak głos staje się pewniejszy, artykulacya jaśniejszą — a ucho chwyta wreszcie słowa:

— I powiedział Pan ślepemu Oceanowi: „stój!“ I Ocean poznał granice swoje i wstrzymał fale swoje. Ale odrodzony duch ludzki, nie ślepy, lecz widzący, rozlewa coraz szerzej strumienie światła swego po wszechświecie, a choć strumienie te krwią nieraz się barwią, choć noce czarne stają im na drodze, to jednak ogień Ducha znowu je oczyszcza, języki płomieniste spływają na wybranych, dawne winy się kruszą, a nowy dzień żywota się zaczyna. Języki płomieniste stanęły nad głową Irwinga i jego towarzyszy, po obu stronach ślepego oceanu i zaczęła się jutrznia nowa i rozpierzchli się po świecie nowi apostołowie. A są to apostołowie trzeciej doby, apostołowie Ducha, na początku stworzenia unoszącego się nad wodami, Ducha ognia oświecającego, Ducha odrodzenia, Ducha pokoju i miłości narodów, Ducha udzielającego każdemu z osobna, według pragnień jego. Znowu bije cicho cudów godzina, głuszona gwarem giełd i szczękiem żelaza, lecz wyraźna dla naszej gminy apostolskiej, znowu wóz powietrzny starego zakonu zajechał przed jednego z ojców naszych i, jako ongi Eljasz prorok, i jako poprzednicy jego z pomiędzy apostołów naszych, nie zrzuciwszy powłoki ziemskiej, powrócił on do dawcy żywota, — Pana nad Pany. Powiadam to wam, abyście poznali widomą łaskę Bożą nad apostolską gminą naszą i rozradowali spragnione serca wasze“...

Szmer jakiś był odpowiedzią na te słowa; bracia i siostry upadli na kolana. Co do N—owej, klęczała ona ciągle, przymknąwszy powieki; z pod których spływały obfite strumienie łez; podniosła je wreszcie, wpatrzona w proroka, uspakajającego się stopniowo, a w spojrzeniu jej było coś tak żebrzącego, upośledzonego i beznadziejnego, jak w spojrzeniu torturowanego psa.

Z trudnością oderwałam wzrok od niej, żeby nabrać pojęcia o usposobieniu innych zgromadzonych, — lecz się przekonałam, że moja sąsiadka była tu tylko wyjątkiem...

Tymczasem dały się słyszeć znowu monotonne dźwięki przed ołtarzem. Stał tam jegomość w ciemnym paltocie i złotych okularach, o niedokrwistej cerze, przeciętny petersburszczyk z wyglądu; i on też drżał całem ciałem i jego głowa także wykonywała miarowe ruchy.

Rozpoczął swe wieszczby od obrazu: stawiał przed oczy słuchaczów jakiś bezmiar łąk słonecznych, pełen barw, blasków i lazurów, falujący zlekka, pogodny i bezpieczny, na którym się pasą stada baranków białorunych, przypadających co chwila do stóp dobrego pasterza. Miał to być widocznie obraz przyszłej idealnej ludzkości; lecz w ślad zatem nastąpiła jaskrawa antyteza teraźniejszości, charakterystyka dzisiejszej moralności międzynarodowej, zaopatrzona nawet w cytaty z gazet politycznych rosyjskich i niemieckich. Frazesa pojedyńcze rwały się co chwila, naprzemian, to wybuchając z ust „prorokującego“, to ledwie się przedzierając przez zgrzytające zęby. „Narzędzie Ducha świętego“ cytując nawet „Times'a“, czy „Figara“ drżało i kurczyło się przed ołtarzem, jakby na stole wiwisekcyjnym.

Nie mogąc znieść dłużej tego męczeńskiego widoku, przymknęłam oczy, a kiedy je otwarłam i machinalnie zatrzymałam na słuchaczach byłam kompletnie zdumiona ich powszedniemi minami i obojętnością, z jaką słuchali — nie już głosu Ducha świętego, jak powinni byli wierzyć oni, lecz wprost głosu udręczonego człowieka. Niektórzy spoglądali w górę ku okrągłemu zegarowi, umieszczonemu po prawej stronie ołtarza i o dziwo, gdy wybił pierwszą, sam prorok wydobył z kieszeni zegarek, uważnie rzucił nań okiem i w tej samej chwili gwałtownie wybuchające dźwięki stały się znacznie równiejszemi i cichszemi; po krótkiej chwili umilkł wreszcie ostatecznie i przecierając okulary, dążył na miejsce swoje w pierwszej stali.

Gniew i śmiech ogarniały mię teraz na przemiany — gniew na siebie przedewszystkiem, żem się tak niepotrzebnie za niego

Żonie chciej oświadczyć moje uszanowanie.

Troszela łaskawej pamięci i życzliwości mnie polecajcie.

Wilno, 1858, styczeń 24 (luty 6).

(Dokończenie nastąpi).

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Kwestya rozwodów

w Stanach Zjednoczonych.

O kwestyi kobiecej w Stanach Zjednoczonych mówi się już od lat kilkudziesięciu. Pierwsze pionierki tej kwestyi, panie: Stanton, Antony i Shaw, są dziś zgrzybiałemi staruszkami. Dzięki ich niezmordowanemu uporowi, sprawa kobieca w Ameryce stała się nader głośną, a w ciągu ostatnich lat kilku — naglącą. Wynikiem tej agitacyi było jednakże nadspodziewane zmniejszenie liczby małżeństw i zwiększenie liczby rozwodów, skonstatowane urzędownie około 1880.

Od tego czasu rozpoczęto namiętną walkę przeciw rozwodom i feministkom; kongres waszyngtoński otrzymał coraz większą ilość petycyi anty-rozwodowych; potworzyły się nawet stowarzyszenia, które w styczniu r. 1885 zjednoczyły się pod ogólną nazwą „National Divorce Reform League“. Ruch ten wzmagał się tak szybko, iż już w 1884 roku przeciw rozwodom zaczęły protestować całe Stany, zwłaszcza wschodnie, które przesyłały do kongresu wnioski, podpisane przez gubernatorów, sędziów, profesorów uniwersytetu. Jednocześnie posypały się, jak zrogu obfitości, memoryały od rozmaitych zgromadzeń religijnych. Kongres zrazu zachowywał się dość powściągliwie; dopiero w marcu r. 1887 wotował prawo, nakazujące wydziałowi pracy (Department of Labor), czyli niezależnemu od innych urzędów biuru statystycznemu, zająć się zgromadzeniem materyałów w sprawie ślubów i rozwodów. Po upływie dwu lat wydział przedstawił kongresowi olbrzymie sprawozdanie za czas od roku 1867 do 1887, stanowiące wielki tom *in quarto*, o 1,074 stronach, pod ogólnym tytułem „Śluby i rozwody“.

Księga ta, wydana pod redakcyą p. Carroll D. Wright'a, naczelnika wydziału pracy, przedstawia niezwykle ciekawy teren do wszelkich wniosków w sprawie kobiecej. Pan C. Wright należy do najzdolniejszych i najbardziej bezstronnych statystyków amerykańskich; nie wdawał się on w żadne społeczne idee, lecz badał rzecz, jako uczony, rozsyłając swych agentów do wszystkich sądów, aby osobiście przejrzeli sprawy rozwodowe.

Stany Zjednoczone — jest to kraj prób. Nawet instytucya małżeństwa jest tam jedną wielką próbą, rozmaicie przez różne stany przeprowadzaną. Niepodobna sobie wyobrazić, jak dalece zróżnikowały się pod tym względem prawodawstwa poszczególnych Stanów. Nawet samo pojęcie małżeństwa tam nie jest wszędzie jednakowe. Cztery Stany uważają małżeństwo tylko za umowę cywilną; dwa Stany wymagają nadto zaświadczenia dobrowolnej zgody obu stron, zawierających małżeństwo; dwanaście Stanów żąda wykazania, że dane osoby mają prawo do zawarcia ślubu; trzy Stany uznają małżeństwo za zwykły stosunek, wynikający z poprzedniej umowy cywilnej; cztery Stany wprost nakazują, aby usuwano wszelkie przeszkody do zawarcia małżeństwa; prawie wszystkie Stany ułatwiają małżeństwo, znosząc ograniczenia formalne, albo odrazu uznając za legalne dzieci, zrodzone przed ślubem rodziców. Dawać ślub mogą w Stanach Zjednoczonych duchowni wszystkich sekt, oraz prawie wszyscy urzędnicy sądowi i administracyjni. Prawodawstwo Stanu New Hampshire orzeka poprostu, że sam fakt wspólnego pożycia wystarcza do uznania małżeństwa za ważne wobec prawa. W ten sposób legislatura Stanów Zjednoczonych prawie całkiem wyrzekła się swego wpływu na małżeństwo, zostawiając je na łasce tradycyi lub zwyczajów miejscowych.

Takaż sama wstrzemięźliwość panuje i w kwestyi udzielania rozwodów. Prawodawstwa Stanów uznają dwa rodzaje rozwodów: absolutny (*a vinculo matrimoni*) i ograniczony (*a mensa et thoro*). Rozwód następuje w trzech wypadkach: 1) w razie zasądzenia jednego z małżonków na więzienie dożywotnie, albo długoletniej nieobecności jego; 2) na mocy specyalnego aktu prawnego dla każdego oddzielnego rozwodu, i 3) na mocy wyroku sądowego. Najczęściej używają trzeciego sposobu. Jako przyczynę rozwodu podać można najrozmaitsze fakty, np. cudzołóstwo (we wszystkich Stanach), dręczenie (prócz sześciu Stanów), pijaństwo (prócz dziewięciu Stanów), niezdolność fizyczną (prócz jedenastu Stanów) itd. Stan Tenessy uznaje rozwód w tym wypadku, gdy mąż rozkaże żonie dom jego opuścić; Stan Wisconsin uznaje za dostateczne dobrowolne rozejście się małżonków. W niektórych Stanach sądy pozwalają żonom i dzieciom zmieniać nazwisko po uzyskaniu rozwodu.

Wobec tak ogromnej łatwości ślubu i rozwodu, pouczającą jest statystyka rozwodów w Stanach Zjednoczonych. Od r. 1867 do r. 1887 liczba rozwodów wzrosła z cyfry 9,937 do 25,535 na rok, a w całym tym okresie ogólna liczba rozwodów dosięgła cyfry 328,716. W stosunku do liczby małżeństw, liczba rozwodów przedstawia się nie jednakowo w różnych Stanach. W Delaware jeden rozwód przypada na 5,542 małżeństw, podczas gdy w Colorado przypada zaledwie na 136 małżeństw. Najciekawszem wszakże jest to, że podczas gdy w r. 1867 jeden rozwód w całej Unii wypadał na 664 małżeństw, to we dwadzieścia lat później wypadał już tylko na 481 małżeństw. Jest to to niezbitym dowodem upadku wytrwałości w stanie małżeńskim i zniechęcenia do niego. Nie potrzeba więc dziwić się, że wszyscy duchowni i wielu wybitniejszych ludzi w Ameryce domagali się od kongresu obostrzenia przepisów sądowych w sprawach rozwodu i wogóle położenia tamy rozwodom.

Jednakże księga p. C. Wright'a otwarła im oczy na istotne przyczyny złego. Pra-

---

męczyła, z drugiej strony byłam mu prawie wdzięczną za tak raptowane przywrócenie mi równowagi.

— A niechże im Bóg tego nie pamięta, wykrzyknęłam, śmiejąc się w duchu, co do mnie nie zapomnę im tego nigdy i, nie zwlekając już ani chwili przeciskałam się wraz z innymi ku drzwiom głównym.

— Tędy, proszę tędy, — słyszę niespodzianie głos znajomy, — ja panią przeprowadzę wygodniejszą drogą.

Poznaję ze zdziwieniem starą księżnę D. K., siostrę wielkiego bułgarskiego dygnitarza, która przemocą prawie bierze mię za rękę i wprowadza, przez jakieś boczne drzwiczki do małego pokoju, — pół zakrystyi, pół salonu.

— Wyznam pani, że nie spodziewałam się wcale spotkać z nią tutaj.

— Ani też ja z księżną.

— O, to wielka różnica: mam lat sześćdziesiąt połowa, ich zeszła mi na szukaniu prawdziwej drogi do prawdy i Boga — i oto teraz dopiero, w kościele tym, rządzonym bezpośrednio przez Ducha świętego znalazłam spełnienie długich pragnień moich. — Pani znacznie szczęśliwszą jesteś, bo tak wcześnie znalazłaś się na tej drodze i usłyszałaś głosy, spływające z góry.

— Przepraszam księżno, ale nikogo nie chcę w błąd wprowadzać; weszłam tu przez ciekawość tylko i wychodzę z tem, aby nigdy już niepowrócić.

Blada twarz księżny nagle zesztywniała.

— Pani jest katoliczką. Pr wałam i ja zbliżyć się do waszego kościoła i starałem się nawet spotykać w tym celu u generała Chanzy z ojcem G., dominikanem; a jednak przeczucie mi mówiło, że jakaś inna przyszłość mi wyznaczona i rzeczywiście, dzięki temu panu, który ku nam się zbliża, spadły łuski z mych powiek i trafiłam wreszcie do takich źródeł, jakich pożądałam przez całe życie.

Słuchałam z roztargnieniem ostatnich słów księżny, myśląc jakby się wymknąć i uniknąć spotkania ze zbliżającym się jegomością, w którym poznałam właśnie drugiego „proroka“.

Wstałam już z kanapki wyciągnęłam rękę na pożegnanie, gdy usłyszałam rekomendacyę:

— Pan R—mann, profesor języka i literatury niemieckiej w szkole handlowej, jeden z naszych wybranych, jak pani wiadomo.

— Słyszałem właśnie od pani N—ow, niedawno przybyłej do nas, lecz dziwnie żarliwej siostry, że pani z wielkim powodzeniem odbywa studya w stolicy naszej; słucha pani wykładów najrozmaitszych uczonych, ale dobry to znak dla epoki, jeżeli pociąg wewnętrzny prowadzi ją tam, gdzie może słyszeć głos nad głosy, — bo słowa samego Ducha świętego.

Drażnił mię ton namaszczenia, którym to mówił, uchylając przy ostatnich słowach głowę, lśniącą od jakiejś tłustej, nieznośnej pomady; drażniła mię zresztą cała jego namaszczona osoba.

— Tak — ciągnął dalej, — dziś, jak zwykle, byłem jego szczęśliwym narzędziem, bo choć otwierały się usta moje, sam jednak nie miałem nic do mówienia i rola moja całkiem bierną była...

— Bierne role mają podobno tę właściwość, — odezwałam się z cicha, — że nudzą zwykle swoich wykonawców; nic dziwnego więc, że i pan musiał się uciec do pomocy zegarka, żeby ją wreszcie zakończyć.

Zaledwie zdołałam słowa te wypowiedzieć, jak gwałtowny kurcz przeszedł po sponsowiałej twarzy mistyka-pedagoga. Cały zaperzony od gniewu, zwrócił się do mnie:

— I pani ośmiela się nazwać chrześcijanką? Pogańska dusza, pogańska niewyrozumiałość przemawia przez panią. Wątpi pani o najświętszej prawdzie, o najgłębszej wierze, dla tego tylko, żem się dopuścił tak małego grzechu, jak spojrzenie na zegarek!

— Zkąd że grzech znowu? Punktualność jest nawet wielką cnotą, a zegarek koniecznym jej warunkiem; przypomnieliście państwo o niej Duchowi świętemu, pozwólcie i mnie pomyśleć o niej we waszem towarzystwie. Jest już naprawdę bardzo późno, dawno już powinnam była być w domu.

Pożegnaliśmy się wśród sztywnego milczenia. Biedna stara księżna patrzała ze zdziwieniem na p. R—manna.

Wyszedłszy na ulicę, zauważyłam na trotuarze oczekującą na mnie N—ową, lecz uprzytomniwszy sobie jej łzy i wzruszenie

wodawstwo zawiniło tu najmniej i najmniej też potrafi zdziałać. Sama rozmaitość prawodawstwa Stanów jest wybornem polem do przekonania się, że liczba rozwodów wcale nie zależy od łatwości prawnego rozwodu. Są Stany, gdzie rozwody uzyskują się z nadzwyczajną łatwością, a jednakże liczba ich jest nieznaczną; są znowu takie, gdzie rozwody są utrudnione, a mimo to liczba rozwodów wielka. Księga Wright'a jasno wykazuje, że kobiety daleko częściej żądają rozwodów, niż mężczyźni, którzy domagają się ich prawie wyłącznie w wypadku złamania wiary małżeńskiej przez żonę, albo porzucenia przez nią męża, podczas gdy kobiety żądają rozwodu dla najrozmaitszych powodów.

Przyczyną złego jest nie prawodawstwo, lecz kwestya kobieca. Kobieta w Ameryce osiągnęła znaczne równouprawnienie z mężczyzną w sferze majątkowej, urzędowania, fachów niezależnych, a jednak objawia ciągle swe niezadowolenie, bo czuje się poniżoną, pragnie walczyć, a walczy coraz namiętniej.

Cóż na to poradzi kongres waszyngtoński?

St. Hłasko.

Listy z Berlina.

Berlin, 13-go maja.

(Treitschke i Geffken. — 200 letni jubileusz akademii sztuk pięknych.)

Nauka niemiecka poniosła dwie poważne straty w ostatnich tygodniach: Z widowni politycznej a jednocześnie z areny życiowej zeszli Henryk Treitschke i Henryk Geffken. Dziwna ironia losu wprowadza razem do kraju cieniów dwie te istoty, tak biegunowo sobie przeciwne. Podczas gdy pierwszy stawiał politykę ponad moralność a nauce kazał walczyć pod znakiem brutalnej pięści Bismarcka, drugi nigdy nie spuszczał z uwagi zasad humanitarności i kilkakrotnie podnosił głos szlachetnego protestu, gdy inni milczeniem pieczętowali okrucieństwa żelaznego księcia. Jest to tem dziwniejsze, że Treitschke częściej niż Geffken puszczał rakiety frazeologiczne na temat wolności i liberalizmu. Bombastycznym swym językiem wychwalał anglików za to, że otoczyli ochronnemi wałami prawodawstwa swą wolność osobistą. Niemców współczesnych nazywał niegodnymi potomkami przodków, nie znoszących wędzideł ograniczeń państwowych. Hołdował indywidualizmowi i domagał się, aby państwo abdykowało w wielu wypadkach na korzyść jednostki. Gdy jednak potrącał przypadkowo o nazwisko Bismarcka lub Prus, odwracał się tyłem do swych pięknych teoryi i przewracał wszystkie swe poglądy do góry nogami. W chórze narodów słyszał tylko jeden głos wielki i szlachetny: Prus. Cokolwiekby popełniły Prusy, rozgrzeszał je w imieniu historyi. Jaką jest metoda, którą się posługiwał w swych pracach historycznych? Jego „Historya Niemiec w 19-tem stuleciu" jest dziełem bezwarunkowo pięknem pod względem formy; uwagi wypowiadane od czasu do czasu uderzają swą trafnością i subtelnością; obrazy świadczą o bogactwie wyobraźni i szerokim rozmachu pędzla, ale cóż z tego, kiedy Prusy są w jego oczach utożsamieniem Niemiec, wskutek czego lwią część pracy poświęca dziejom tego państwa, zapuszczając się w gęstwinę drobiazgów, gdy idzie o uniewinnienie tej lub owej karty pruskiej historyi. Gdy mowa jest o Prusach, Treitschke z uczonego pedanta staje się poetą i prorokiem. 5 tomów jego niedokończonej „Historyi Niemiec" są smutnym pomnikiem spaczenia poglądów, jakie może sprawić zaślepienie szowinistyczne. Jest to tem dziwniejsze, że Treitschke był saksończykiem z urodzenia, synem saskiego jenerała-patryoty i bratem szermierza poległego w walce Saksończyków przeciwko Prusom. Jego wykłady uniwersyteckie, które cieszyły się popularnością w kołach bezmyślnych burszów-karyerowiczów, były echem jego „Historyi" i tchnęły duchem bezgranicznego wstecznictwa i szowinizmu. Tutaj dopiero, gdzie jego myśli i słowa nie przechodziły przez cenzurę opinii publicznej, harcował on swobodnie na swym koniku polemicznym, obryzgując swych przeciwników pomyjami najgorszych wymyślań. Przez dwadzieścia kilka lat był redaktorem „Pruskich roczników", które były doskonałem odbiciem jego ducha. Inne jego prace noszą charakter okolicznościowy i są wszystkie przesiąknięte ewangelią pruskiej wyłączności i reakcyi. Łatwo się domyśleć, że przyklaskiwał walce kulturnej i ruchom skierowanym przeciwko „obcym żywiołom" pruskiej monarchii. Jeżeli mianował siebie liberałem, to chyba pod jednym względem zasługiwał na to miano. Żądał dosyć silnie tolerancyi w dziedzinie wyznania i przekonań naukowych. Tem chyba należy sobie wytłomaczyć, że nazwisko jego figurowało wśród podpisów 55-ciu profesorów, którzy zaprotestowali przeciwko projektowi zakneblowania ust, wygłaszających naukowe teorye z katedry uniwersyteckiej. W ostatnim tomie dopuścił się nawet wielkiej herezyi politycznej. Fryderyka Wilhelma IV opisał w tak niesympatyczny sposób, że on, nadworny historyograf pruski, ściągnął na siebie niełaskę sfer wyższych a raczej najwyższych. Przebąknął nawet raz o „niewdzięczności Hohenzollernów".

O całe niebo wyżej stał od niego Henryk Geffken. Zachowawca z zasady nie zgadzał się na to, aby polityka musiała koniecznie deptać prawa moralności i gwałcić sumienia ludzkie. Z tego powodu namiętnie walczył przeciwko Bismarckowi, demaskując jego obłudną fizyognomię w angielskich czasopismach. Żelazny książę byłby niezawodnie zmiażdżył śmiałka, gdyby nie protekcya cesarza Fryderyka, z którym Geffken żył na przyjacielskiej stopie. Węzły tej przyjaźni zostały zadrzierzgniętemi w Bonn, gdzie obydwaj odbywali studya. Przyjaźń przetrwała jednak lata młodzieńcze obydwu. W 1873 r. Fryderyk posłał swemu przyjacielowi swe pamiętniki z 1870 r., w których światły arcyksiążę starał się ująć laurów kanclerzowi i zdegradować go na stopień średniego polityka, umiejącego zręcznie używać okoliczności jako wody na swój młyn. Po śmierci cesarza Fryderyka Geffken ogłosił jeden rozdział z tych pamiętników, a wtedy to na żądanie Bismarcka został aresztowanym, jako winny zdrady tajemnic stanu. Sąd jednak czuł się zniewolonym po 3 miesiącach śledztwa wypuścić Geffkena dla niedostatecznego uzasadnienia aktu oskarżenia. Geffken był znawcą międzynarodowego prawa. Ogłosił wiele prac specyalnych, a popularność zyskał sobie dzięki swemu zacnemu charakterowi i pięknym feljetonom w których dał dowody swego wszechstronnego wykształcenia i wytwornego, lekkiego stylu.

Tutejsza Akademia sztuk pięknych obchodziła w ostatnich dniach 200-letni jubileusz swego istnienia. Co przez ten długi okres czasu instytucya ta uczyniła dla sztuki, trudno powiedzieć, gdyż, zdaniem osób kompetentnych, zasługi te są minimalne. Tutajsza Akademia nie reprezentuje ani osobnej szkoły ani osobnego stylu. Dotychczas drepcze po deptakach rutyny i pedanteryi, naśladując obce oryginały i wykluczając wszelkie nowe prądy. Publiczność przypomniała sobie o istnieniu Akademii, dzięki pochodowi historycznemu, urządzonemu z okazyi jubileuszu. Jedna część przedstawiała w symbolach sztuki piękne, druga zaś wyobrażała procesyę z czasu założenia Akademii 200 lat temu. 9 muz z Heroldem na czele otwierało pochód, bogato obwieszone kwiatami powozy wiozły delegatów wyższych szkół Berlina i innych miast. Valerus z modelem antycznej świątyni w towarzystwie uczniów niosących w miniaturze bramę tryumfalną oraz bizantyjscy i gotyccy architekci wyobrażali rozwój architektury; istotę jej przedsta-

---

nie miałam chęci się z nią spotkać i przeszłam szybko na inną stronę. Zrozumiała to widocznie i zawróciła w najbliższą przecznicę.

* * *

Któregoś dnia, wchodząc po jakiemś przemijającem niezdrowiu, do naszej sali rekreacyjnej, zdziwiona byłam jej pustką niezwykłą podczas wielkiej pauzy.

Tymczasem drzwi od największego z naszych audytoryów otwierały się co chwila, wpuszczając coraz to nowych wchodzących. Domyśliłam się, że odbywa się tam jakaś narada, przyspieszyłam naturalnie kroku.

Ogarnęła mię odrazu atmosfera gorączki i podbudzenia. Półtysiączna, co najmniej, rzesza wypełniała ławki, okna, każdy cal przestrzeni, nawet kilka stopni wysokiej katedry, a na katedrze pani S., przełożona naszego komitetu administracyjnego, prowadziła jakiś dyalog z piękną, bujnie rozrosłą brunetką, przenoszącą ją wzrostem o całą głowę. Ogromne krucze warkocze żywo giestykulującej dziewczyny chwiały się ciężko nad siwą głową prezesowej.

Ale oto ta ostatnia występuje naprzód i odczytuje dobrze nam zresztą znany paragraf regulaminu, zakazujący wszelkich zebrań i narad gremialnych.

— Przypominam wam raz jeszcze, że zebrawszy się tu wbrew przepisom, narażacie na niebezpieczeństwo nietylko przyszłość swoją, lecz zarazem przyszłość samego zakładu. Stawiacie zwierzchność waszą w trudnej pozycyi wobec ministeryum, a wiecie przecież dobrze, co to dzisiaj znaczy.

W tem miejscu przerwał jej silny kontralt pięknej brunetki.

— Dziękujemy pani serdecznie za przestrogę. Wiemy zresztą same, że postępujemy nieprawnie, lecz żadne prawo nie zmusi nas nigdy patrzeć obojętnie na to, jak chwytają i wiążą nasze koleżanki. Tym razem uwięziono siostrę za to, że nie doniosła na brata, któremu za agitacyę wśród armii grozi wkrótce sąd wojskowy i szubienica! Oświadczam więc w imieniu wszystkich, że nie rozejdziemy się ztąd dopóty, dopóki zwierzchność nasza nie obiecа nam natychmiastowego wypędzenia tej, która ich wydała, a mianowicie zdemaskowanego szpiega — N—owej!

* * *

W tym wypadku zwierzchność zakładu nie potrzebowała sobie łamać głowy nad pretekstem do eksmatrykulacyi: N—owa znikła sama bez śladu.

Czy operuje dalej w jakichś ciemniach?

Czy może „Ogień Oczyszczenia" odrodził i jej potępioną duszę?

Beer.

wiał symbolicznie rydwan z dziewicą, u której nóg spoczywały kobiety przedstawiające różne style. Dalej postępowało rzeźbiarstwo znowuż z heroldem na czele: Fidiasz w orszaku najznakomitszych rzeźbiarzy greckich i rzymskich oraz włoscy geniusze pod wodzą Michała Anioła tworzyli część odpowiadającą rzeźbiarstwu i zamykaną przez rydwan, na którym stała niewiasta trzymająca rękę na Fidiaszowej głowie Jowisza. Apelles w towarzystwie Fabiusza Pictora i w otoczeniu swych uczniów przedstawiali antyczne malarstwo. Dalej szli koryfeusze szkół: hollenderski j. włoskiej, niemieckiej i francuzkiej. Pod fioletowo-bronzowym baldahimem wczu stało malarstwo w postaci jasnowłosej berlinki, mającej u nóg swych dwanaście barw w osobach niebrzydkich dziewic. Teraz dopiero następowała historyczna część we właściwem tego słowa znaczeniu. Na czele ciągnął dwór, w którego środku, zamiast kurfürsta i żony, widać było wydelegowaną ad hoc magnacką parę. Józef Werner, pierwszy dyrektor Akademii kroczył dumnie obok Schlütera, twórcy słynnego pomnika kurfürsta brandenburskiego. Burmistrz, ojcowie miasta i urzędnicy w czarnych galowych kostyumach prowadzili *profanum vulgum*. Cechy rzemieślnicze z insygniami, wozy powracające z polnej roboty, banda wędrownych muzykantów, procesya weselna i studenci, — wszystko to przesuwało się przed okiem publiczności. Pochód zamykała procesya przezwana „Fantazyą“. Król Lear słucha docinków swego błazna; u boku Elżbiety Brabanckiej jedzie Tannhäuser, a oto ukazują się fantastyczne postacie z Tysiąca i jednej nocy z haremem i czarnookiemi bajaderkami; Walhalla. wydelegowała piękne walkirie; bohaterowie germańscy w zwierzęcych skórach i z rogami przypiętemi na głowach zamykali pochód, który udał się na wystawę, by w murach „Starego Berlina“ zakończyć z godnością uroczystość.

M.

TO I OWO.

Literatura a zadrukowany papier.

Z powodu ostatniego skandalu w prasie warszawskiej takie wypowiada zdanie A. Świętochowski w Nr. 17 „Prawdy“:

Ile razy dwóch „literatów“ pobije się lub nawymyśla sobie szczodrze, natychmiast w prasie naszej odzywają się tony smutne lub rozpaczliwe, z kazalnic dziennikarskich spadają gromy i ulewy łez, karzących i opłakujących „upadek literatury‘, obniżanie się „godności pisarskiej“ itp. A mnie zawsze wtedy ogarnia serdeczny śmiech, jak na przedstawieniu „komedyi omyłek“. Bo przedewszystkiem nie widzę wcale tego, co bolejących proroków pobudza do rozdzierania szat, mianowicie nie widzę w naszej literaturze ani karczmy, ani zaciętej walki około namydlonego słupa dla zdobycia zawieszonego na nim „garnituru“, ani jaskiń, w których kryją się opryszki, napadający i obdzierający podróżnych. Wszystko to u nas się dzieje, ale nie w literaturze. Od wielu lat daremnie tłomaczę cierpiącym mężom, że już wielki czas dla nich zejść ze stanowiska chińczyków, uważających każdy kawałek zadrukowanego papieru za rzecz świętą, za literaturę. Na tem stanowisku nie stoi już nawet nasz prosty chłop. Dopóki czcionek i tłoczni drukarskich używano wyłącznie lub przeważnie do objawień mądrości i natchnienia, miał ten chiński pogląd swoją zasadność; ale dziś, gdy owe środki techniczne służą zarówno uczonym i poetom, jak rajfurom do reklam i rachunków, trzeba być bardzo naiwnym, ażeby go wyznawać. Literatura jest to świątynia albo akademia! tuż przy jej gmachu lub opodal stoją rozmaite budowle i kramy, w których przebiegłość za pomocą drukowanego wyzyskuje głupotę, rozdrażnia nizkie instynkty, rozpala namiętności, dogadza słabościom ludzkim — zakłady, które się nazywają pismami peryodycznemi, a są rodzajem szynków, domów gry, knajp, sklepów z tandetą, biur pokątnego doradztwa itd. Na sto t. zw. organów prasy każdego kraju zaledwie czwarta część, a w pozostałych zaledwie jeden procent materyału należy do literatury; reszta stanowi artykuły spekulacyi, które jako produkty obojętne lub szkodliwe dziś wchodzą w obieg, a jutro tak giną, że nawet gałganiarka, wygrzebawszy je w śmieciach, nie podniesie. Jaki kram — taki pan. Fabrykacyą tych zadowoleń umysłowej nędzy lub zwyrodnienia nie mogą zajmować się dusze światłe i charaktery podniosłe, lecz chwytają się jej najzwyczajniejsi handlarze, którzy z równą zdolnością i chęcią wyrabiać i sprzedawać będą: mleko zaprawiane wapnem, herbatę z paprochów siana, nową odzież z przenicowanej starej, cukierki barwione aniliną, jak artykuły dziennikarskie o szkodliwości nauki, fałszerstwa cudzych przekonań, paszkwile, kłamstwa i obelgi polemiczne. Wybór tego lub innego geszeftu zależy jedynie od rachuby, na czem zrobią lepszy interes. Te hałaśliwe karczmy, te napastnicze bandy, te tandeciarskie sklepy, te warsztaty paszkwilu są wstrętne, szkodliwe, niepożądane, ale one istnieją i działają po za obrębem literatury i bynajmniej nie są u nas liczniejsze, niż gdzieindziej. We właściwej świątyni lub akademii wiedzy i twórczości artystycznej narodu zdarzają się czasem gwałtowne wybuchy sporów i gorszące starcia obrażonych ambicyj: zarówno wszakże u nas, jak wszędzie, są one bardzo rzadkie i prawie nigdy nie dosięgają tych granic, do których dochodzi bandytyzm dziennikarski. Gdyby Konopnicka, Orzeszkowa, Sienkiewicz, Asnyk, Bałucki, ktokolwiek wreszcie z tworzących literaturę, w gniewie lub zawiści ukąsił przeciwnika zjadliwie — byłby to wypadek bardzo smutny i publicznego pożałowania godny; ale gdy to uczyni jakiś pokątny doradzca, dziennikarstwa, jakiś pismak, który nie należy do literatury, jakaś mizerna szczypawka lub padalec, uwijający się za żerem po za jej ścianami, nie warto o tem nawet wspominać publicznie. Kto się czuje siłą, powinien mieć dumę i nie wszczynać procesu a tem mniej walki z byle złą słabością; kto się uważa za arystokratę ducha powinien gardzić złorzeczeniami umysłowego motłochu. „Wszystko ci przebaczę — powiada o pewnym nieponiu Jean Paul — nie przebaczyłbym tylko tego, gdybyś chciał być moim przyjacielem.“ „Mój honor — pisze Heine — nie spoczywa w rękach pierwszego lepszego gazeciarza: pierwszy lepszy dziennik nie jest dla mnie trybunałem; ja mogę być sądzonym tylko przez przysięgłych historyi literatury.“ Oto jest stanowisko pisarza, czującego i szanującego swoją godność. Alboż to kucharka kowieńska nie mogła wyrzucić na głowę przechodzącego Mickiewicza obierzyn kartoflanych? Alboż ulicznik warszawski nie mógł pokazać języka Staszycowi? Alboż brutalny awanturnik nie mógł potrącić i obalić Krasińskiego? I czy który ze znieważonych pomyślałby o odwecie? Czy zaś ktoś wyrzuca obierzyny, pokazuje język i potrąca czynem w rzeczywistości, czy drukiem na papierze — to wszystko jedno. Nie trzeba tylko patrzeć po chińsku.

* * *

Słówko o naszej humorystyce.

(Z powodu wznowienia „Kuryera Świątecznego“,)

Warszawa 10 maja.

Przyznaję, że stęskniłem się za „Kuryerem świątecznym!“ Przez tyle lat rozweselał nas, przez tyle lat śmialiśmy się serdecznie nad Zacofandrem i Postępowiczem, tak przyzwyczailiśmy się do rymowanych utworów, podpisywanych „Świąteczny“, z takiem upragnieniem czekaliśmy, co powiedzą Paweł z Gawłem, że stał się on równie prawie potrzebnym, jak rogalik, czy papatacz przy rannej herbatce. Kilkomiesięczna przerwa, zaszła w wydawnictwie dzięki sporom, które aż o sąd się oparły, nie ostudziła naszej sympatyi, ani też zerwała nici łączącej czytającą publiczność z pismem. Nawyknienie dużo znaczy, a Warszawa nawykła do dowcipów humorystycznego i bezpretensyonalnego pisemka. Wzięliśmy też z przyjemnością do ręki „Kuryerek“ „redivivus“ i nie znalazłszy tych dawnych dobrych zalet, które go cechowały, pocieszaliśmy się, że młodzi redaktorowie poprawią się w drugim numerze. Ale i ten drugi numer zawiódł nas, bo to nie ten poczciwy, stary „Kuryerek“. Dawny miał dużo dowcipu, a mało pretensyonalności, tu pretensyalność bijąca w oczy, gdy dowcip odleciał za góry i lasy.

Nie zrażamy się tem jednakże! Bynajmniej! Wiemy, jak trudny każdy początek, wiemy ile kosztuje organizacya wydawnictwa i jeżeli robimy uwagę, to nie dlatego, ażeby podcinać skrzydła młodemu przedsięwzięciu literackiemu, ale jedynie w tym celu, ażeby redaktor nowy wszedł na tory, któremi z tak dużem powodzeniem kroczył jego poprzednik. Tory to były bardzo prawidłowe i wykolcić się z nich nie byłoby korzystnem.

Prawda, że o ten humor u nas coraz ciężej, coraz on mozolniejszy, dowcip wykuwany w czoła pocie, pióra wolą zgrzytać, niż sypać iskierki, zastęp rzetelnych humorystów, w całem tego słowa znaczeniu, przerzedza się, maleje, w szeregach tworzą się luki, których nie wypełnia nikt. Kto bacznie przegląda humorystyczne pisma nasze, ten bez trudu dostrzeże, iż łatwiej daleko u nas o satyryków, niż o dowcipnych gawędziarzy. Z dawnej gwardyi, posiadającej dar śmiania się pełnemi ustami, pozostał może jeszcze Włodzimierz Pląskowski, Klemens Junosza i Franciszek Kostrzewski, młodzi inaczej siebie i drugich bawią. Humorystą prawdziwym nie jest Or-Ot, ani Duduś, bezwarunkowo największe talenty z młodych pisarzy, zasilających szpalty „Muchy“, „Kolców“ i „Świątecznego.“ Tworzą oni albo rzeczy poetyczne w szerszym stylu, albo głębszą satyrę, ale to nie humor, „Chirurgowie filozofii“ nie rodzą się jak grzyby po deszczu, o Rodociów trudno, Zagórski (Chochlik) omija pisma humorystyczne, Kośmiński umarł przed kilku dniami, skądże więc czerpać te siły literackie do zapełniania szpalt? Istotnie zadanie nie łatwe i to może posłużyć za znaczne usprawiedliwienie przed tymi, którzy chcieliby w naszych pisemkach widzieć coś w rodzaju wiecznie świeżych i wiecznie dowcipnych „Fliegende Blätter“.

Pocieszmy się jednak, że nietylko w Warszawie brak dobrych humorystów jest dotkliwy, chroma na tym punkcie i Kraków i Lwów, Poznań zaś wstąpił na najgorszą drogę — obrzydliwego paszkwilu. Nie godzi się zaś wcale ignorować lub lekceważyć lekkiej strawy piśmienniczej, i tu duże jest pole do działania, bo jak powiada El....y (gdzież te czasu, kiedy i on pisywał do „Kolców“!)

„Odkąd humor i jowialność
Przepędzono precz za bory,
Znikła wszelka naturalność,
Znikło zdrowie i kolory!

Nawet praczka piorąc płótno,
Jak Elektra wzdycha smutno!"

Ta trudność zdobycia dla pism piór skrzących dowcipem sprawia też z natury rzeczy, że poziom jego się obniża i współpracownicy coraz częściej uciekają się bądź do wygrzebywania na jaw spraw prywatnych, często wstrętnych, a zawsze dla ogółu obojętnych, bądź też do dowcipów, które w druku rażą i ujdą zaledwie przy kuflu piwa w niewybrednej kompanii. Tłuste koncepty, mające naśladować francuzki rodzaj, zbyt wyraźne mają cechy pochodzenia z knajpy, szpikowanie zaś wyrażeniami w rodzaju „blaszki" zamiast moneta, lub „frajda" i t. p. sprawia, że przeczytanie sprawia smak niemiły.

Że „Kuryer Świąteczny", na którego czele stoi dziś nie humorysta, co prawda, ale poeta, nie dopuści do takiego zabagnienia języka, jesteśmy tego pewni, jak również, że nie pozwoli, ażeby na jego szpaltach

„Pastwiono się wciąż na nowo
Nad ojczystą, słodką mową.

Nim pojawi się znów jaki humorysta z iskrą Bożą, starajmy się z tego, co mamy już, robić rzecz możliwie najlepszą, przedewszystkiem zaś wyplenić należy wszystko, co trąci jedynie kulisami, albo też karczmą.

T.

* * *

Ankieta w sprawie pojedynku.

„Neues Wiener Journal" zamieszcza odpowiedzi znanych osób, jakie otrzymał na rozesłaną ankietę w sprawie pojedynku. Emil Zola taką wyraża opinię: „Napisałem około trzydziestu romansów, ale w żadnem z moich dzieł nie poruszałem pojedynku. Powód tego poprostu ten, iż nie widzę w pojedynku żywiołu społecznego, któryby mi był bodźcem do rozmyślań albo obudził we mnie zajęcie. Pisałem o masach i o mieszczaństwie: moi ludzie się nie biją, prowadzą oni całkiem inne walki, niż na szpady i pistolety. Proszę się bliżej przyjrzeć, kto się właściwie pojedynkuje! U nas zaledwie kilka tysięcy ludzi, — pominąwszy armię, — uprawia pojedynek: ludzi z towarzystwa, licząc w to polityków i literatów, dziennikarzy i artystów. Cechuje to pojedynek jako instytucyę światową, która zbiera swoich adeptów w małem stosunkowo kółku. Sama ta okoliczność sprawia, iż nie należy kwestyi pojedynkowej przypisywać szczególniejszego znaczenia." — Juliusz Simon spodziewa się, że postępująca ciągle cywilizacya przyniesie poprawę w tym kierunku. Pisze on: „Filozofia i religia potępiają pojedynek, jako wykonany przez dwoje ludzi przeciw sobie akt gwałtu, nazywając go „zbrodnią moralną." Ostatnia dlatego, że dopatruje się w nim ciężkiego grzechu przeciw wszystkim pojęciom religijnym. Jako filozof — rodacy moi nadali mi ten tytuł, — jestem tedy przeciwnikiem pojedynku. Jednakże życie praktyczne, zmienne stosunki wzajemne między pojedyńczymi ludźmi, między różnemi sferami społecznemi, nie baczą na filozofię i stwarzają często położenia, w których nawet najzaciętszy przeciwnik pojedynku nie może go uniknąć. Ja sam, z natury człowiek spokojny, musiałem raz doświadczyć tego osobiście. A czy wiecie, kto mnie wyzwał na pojedynek? Zapalony wielbiciel Kościoła katolickiego i jego nauk, mój przyjaciel Montalembert. Sprawa listu, dotycząca osoby trzeciej, doprowadziła do rozterki między nami, i Montalembert, który potępiał zawsze pojedynek ze stanowiska religii, przysłał mi wyzwanie do walki. Na szczęście udało się naszym świadkom załatwić sprawę w sposób godny obu stron. Gdyby zgoda nie była nastąpiła, nabożny katolik i filozof skrzyżowaliby ze sobą szpady. Oczywiście jestem w dalszym ciągu przeciwnikiem pojedynku. Pisałem i przemawiałem często przeciw niemu. Ale zdaje mi się, że głos mój pozostał głosem wołającego na puszczy. We Francyi ludzie biją się w dalszym ciągu na pistolety i szpady. Pojedynek wywołują u nas także stronnictwa polityczne, które prowadzą ludzi odmiennych zapatrywań na plac boju. Co na to poradzić? Tu może tylko dopomódz czas: złagodzenie burz politycznych, poprawa obyczajów przyczynią się niewątpliwie do zmniejszenia liczby pojedynków. Pożytecznemby łoby ogłaszanie od czasu do czasu istniejących w różnych krajach praw przeciw pojedynkowi, w ten sposób bowiem możnaby zebrać materyał porównawczy dla poprawy i zmiany tych praw. Zastrzegam sobie zresztą, iż ja sam ogłoszę taką rozprawę; będzie ona mojem ostatniem słowem w sprawie pojedynku. Każdemu młodzieńcowi wszakże daję tymczasem radę następującą: Nie bij się nigdy, a jeżeli już inaczej nie możesz, w takim razie nie zabijaj przynajmniej przeciwnika!" August Strindberg przyznaje pojedynkowi pewną racyę bytu. Mówi on: „Pojedynek! Są Falstaffy, dla których honor jest tylko czczym wyrazem, i są niedołęgi, którzy się pozwalają za jedno słowo zabijać. Prawodawstwo nie ma potrzeby mieszać się do najpoufniejszych spraw prywatnych. Bo tem jest ten sąd Boży, zapomocą miecza i kuli, który utrzymał się w obyczajach specyalnie po to, by w ciężkich wypadkach uniknąć niedyskretnej ręki stróżów sądzącego sumarycznie prawa. W wypadkach ciężkich, — np. w sprawach miłosnych, dopóki kobieta pożądać będzie widoku walczących mężczyzn i dopóki dama wogóle warta jest ceny trupa.... Maurycy Jokai wreszcie mówi wyłącznie o Węgrzech: „Niestety, pojedynek jest u nas jeszcze złem koniecznem. Straszne to, iż muszę takie wygłosić zdanie, ale stosunki panujące w sferze politycznej i ekonomicznej nie pozwalają dotąd na zniesienie u nas pojedynku. Nie posiadamy jeszcze owej tolerancyi i owego spokoju, który nadaje życiu towarzyskiemu Anglików i Niemców charakter pokojowy".

Na Wyłomie.

(Emilia Sczaniecka.)

Dziwne, przedziwne tony zagrały mi w duszy, gdy w dziennikach miejscowych przeczytałem ostatnią wolę Emilii Sczanieckiej:

„Jeżeli umrę w Pakosławiu, trumnę moją ma zrobić porządkowy taką, jaką robi dla komornic."

„Kościół nie ma być ustrojony i żadnej nie ma być mowy".

„Grób proszę zaraz przygotować, skoro umrę, żeby pochowanie ciała zaraz nastąpić mogło, gdy je bez żadnej pompy przywiozą".

„Śmierć moja nie ma być ogłoszoną w dziennikach."

„Boże błogosław mojej ojczyźnie i mojej rodzinie".

I ułożyli ją w czterech deskach zbitych i na prostym wozie na cmentarz powieźli i bez wieńców, bez krasomówczych chórów spuścili do ziemi ojczystej, którą tak bardzo, tak bezgranicznie kochała.

Widziałem ją raz jeden w życiu. Pamiętam, — było to przed ośmiu laty, gdy jako młody student uniwersytetu wstąpiłem w progi Pakosławia. W salonach było rojno i gwarno, gdyż dnia tego w dobrach Emilii Sczanieckiej odbyć się miało polowanie. Młodzież i starszyzna z rumianemi od mrozu policzkami, w myśliwskich ubraniach zasiadła do stołów śniadalnych, gdy nagle drzwi się otwarły i mała, drobna, czarno ubrana staruszka zbliżyła się do nas. Zapanowała cisza, wszyscy powstali, by ucałować rękę panny Emilii, a ona uśmiechała się dobrotliwie, wodząc badawczem, poważnem spojrzeniem po gronie myśliwych. Coś w rodzaju zdziwienia i zarazem onieśmielenia ozwało się w jakimś zakątku duszy młodego studenta. Więc ta mała, ta słaba istota jest wielką Emilią, wielką bohaterką, wielką Samarytanką, wielką Polką! W jak nikłych kształtach obrał sobie siedlisko duch tak potężny. Urokiem siły, ogniem zapału nie promieniało oblicze, tylko spokój surowy i nieco zmęczenia osiadło na licach...

Po krótkiej chwili rozmowa wstąpiła na tory polityki bieżącej, potem rozlała się szerokim strumieniem po labiryncie tak zwanych kwestyi zasadniczych i uczepiła się programu pracy organicznej, przebrzmiałych haseł rewolucyjnych, ugody i opozycyi. Panna Emilia śledziła uważnie wątek rozmowy, dorzucając raz po raz krótkie uwagi, z których przebijała dążność do ścisłych określeń, niechęć do banalnych ogólników i jakby lekkie niezadowolenie z tego lekceważenia przeszłości, którem trzeźwa i oschła młodzież poznańska popisywać się lubi. Nagle padło jakieś słowo o zbrojnych ruchach narodowych, ktoś skrzywił usta, wymawiając rok 1863, ktoś zyzem spojrzał na pola Miłosławia i Ignacewa, a wtedy ta cicha, łagodna kobieta rzuciła na towarzystwo okiem zdziwienia. Nastała chwila bez słów. Potem panna Emilia głosem, z którego nie biło wzruszenie, lecz twarda, żelazna siła przekonania, przerwała ciszę. Mówiła długo, słów nie pamiętam, lecz treść utkwiła w pamięci: „Nie urągajcie porywom rozpaczy, krew nie płynęła na próżno. Kto wie, czy połowa z nas nie byłaby Polakami tylko z nazwiska, kto wie, czy w duszę narodu nie wkradłaby się obojętność, kto wie, czy serce miałoby wielką miłość i wielką nienawiść, gdyby nie te mogiły, na które rzucacie kamieniem. Krew powstań polskich to żar płomienny, który rozpalił całe pokolenia i mur potężny, który nas dzieli od wroga. Wy się może uśmiechniecie nad romantyzmem starej kobiety, lecz ja krwi tej urągać nie pozwolę. Wy tego sami nie wiecie, lecz ja wam mówię, że ona was grzeje, was karmi, was do ojczyzny wiąże."

Urwała, — nikt nie odważył się mówić. Ta mała kobieta rosła nam w oczach i była jak Miłość sama i samo Natchnienie, przed którem w prochu ukorzyć się musi zdawkowy mędrków krytycyzm.

W tym domu sprzęt każdy zdawał się śpiewać jeden wyraz: Polska. I szło to słowo od chaty do chaty, płynęło po niwach Pakosławia aż do najdalszych zakątków kraju, a było tak czyste, płomienne i wielkie, że w blaskach jego nikły małoduszne uprzedzenia, stronnicze zawiści i koteryjny fanatyzm. Panna Emilia pytała serc ludzkich, czy miłują Polskę, a gdy tam ojczyznę znalazła, wtedy nikogo, ani Henryka ani Pankracego, ni wolnodumcę, ni wyznawcę kościoła nie odepchnęła i w każdym brata witała. W domu jej znajdowały się pisma najróżniejszych odcieni politycznych, a gdy jeden z tych, co Polskę widzą tylko w ramach koteryi „ładu i porządku", wyraził pannie Emilii zdziwienie swoje, że w progi Pakosławia wpuszcza organa opozycyi, chorążych postępu i demokracyi, wtedy to wielkie serce odpowiedziało spokojnie: „Kto Polskę kocha, ten mi jest druhem serdecznym. Choćby się mylił, ja ręki mojej nie cofnę i witać go będę jak brata, bo to Polak, bo to nasz. A któż to powiedział, że

wy jedni znacie tę drogę, co ku wolności mój naród prowadzi?“

O jakże przed majestatem tej wielkiej miłości nikniecie mi w oczach wy wszyscy, co kroczycie dumnie na czele narodu i przywłaszczacie sobie monopol patryotyzmu, a każdej chwili macie przekleństwo na ustach, by w twarz je cisnąć tym, co Polskę równie jak i wy kochają, lecz barwą różnią się od was. Wy wiecznie pytacie: Henryk czy Pankracy? a gdy usłyszycie imię nienawistne, głosicie bojkot i z ambon świece łamiecie. Jacy wy nizcy i mali! W proch przed tą wielką umarłą!

Umarła. Ostatni promień gasnącego słońca był błogosławieństwem dla Polski. Więc za to, żeś ją tak bardzo ukochała, że to, żeś szła na pole walki, by rannych zbierać i krew tamować, co za ojczyznę płynęła, za to, że dla rozbitków polskich byłaś matką — Samarytanką, za to, że od ranka do nocy brzmiał okrzyk twój wielki: „Na mury“, za to, żeś rąk nigdy nie opuściła i pierwsza w szeregu znosiła kamienie do gmachu życia nowego, za to, żeś była jak źródło wody krynicznej, chłodzącej spieczone wargi wędrowców, za to, żeś smutnym radość dawała a z głodnymi chleb twój dzieliła, za to, żeś w zmartwychstanie ani jednej chwili wierzyć nie przestała, za to, że miłość twoja nie znała granic i słowem nie była, lecz czynem, — za to wszystko, opiekuńczy nasz duchu, zabierz w odlocie na drogę swoją żal i uwielbienie narodu.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA

* Książeczka dla małych dzieci. (*Marya Weryho.* „Dla Józi“. Warszawa 1896.)

Nazwisko Maryi Weryszanki znane jest i u nas w Poznańskiem, bo tutejsze zakłady froeblowskie, a mianowicie wzorowo prowadzony zakład panny Puffke, posługują się w celach pedagogicznych jej wydawnictwami. Marya Weryszanka jest jedną z najwybitniejszych autorek w zakresie pedagogii dla drobnych dzieci; poświęcała się ona przez dłuższy czas studyom historyi i psychologii na uniwersytecie petersburskim, a później w zakładach szwajcarskich i francuskich kształciła się w pedagogii froeblowskiej; jest ona stałą współpracowniczką wielu czasopism dla dzieci, a rok w rok niemal wydaje bądź to śpiewniki, bądź podręczniki dla bon, bądź szeregi powiastek, zastosowanych do dziecinnych pojęć. Najświeższa jej książeczka nosi tytuł „Dla Józi“, a przeznaczona jest dla dzieci lat 6—8. Opowiadania zawarte w tem dziełku, tak treścią swoją jak formą, wystawiają nader korzystne świadectwo pedagogicznym zdolnościom autorki, świadcząc o zrozumieniu potrzeb dziecięcego umysłu i dokładnej znajomości psychologii dziecka. Prosty, bardzo prosty styl, prosta treść i prosty morał każdego opowiadania zalecają książeczkę tę jako znakomity podarek dla drobnych dzieci.

* * *

* Dr. Wojciecha Adamskiego Materyały do Flory W. Księstwa Poznańskiego, zebrał w osobną całość, wstępem i indeksami opatrzył Dr. Bolesław Erzepki, konserwator zbiorów Poznańskiego Tow. Przyjaciół Nauk. Poznań. 1896. Czcionkami drukarni Fr. Chocieszyńskiego.

W tej szczupłej garstce prac naukowych, którą zabór pruski dorzuca do polskiej skarbnicy wiedzy, wyróżnia się korzystnie wszystko, co wychodzi z pod pióra dr. B. Erzepkiego. Publikacye tego autora odznaczają się bowiem nietylko znajomością przedmiotu, lecz sumiennością opracowania i poprawną metodą naukową, a wszystkie te zalety cechują i najświeższe wydawnictwo dr. Erzepkiego, którego tytuł podaliśmy powyżej.

Dr. Wojciech Adamski był jednym z tych lekarzy wielkopolskich, którzy nie zamykali się w granicach pracy zarobkowej, lecz wolne od zajęć zawodowych chwile poświęcali studyom naukowym. Rękopis obszernej pracy jego o florze wielkopolskiej zaginął niestety, ocalało zaś to tylko, co sam Adamski drukiem ogłosił w „Gazecie W. Ks. Poznańskiego“ z r. 1828. Jest to kalendarz flory wielkopolskiej, doprowadzony do miesiąca września i opatrzony trzema komentarzami czy też przedmowami, ułożonemi w formie listów do ówczesnego redaktora „Gazety“ J. Rabskiego. Praca dr. Adamskiego posiada nietylko znaczenie dla samej botaniki, lecz zawiera kilka ciekawych przyczynków do słownictwa polskiego i ludoznawstwa.

Wydawca p. dr. Erzepki, publikując po raz drugi zapomnianą pracę wielkopolskiego lekarza, zaopatrzył ją nietylko w skorowidze nazw łacińskich, polskich i niemieckich, lecz wykazał w krytycznym wstępie jej zalety i podał względnie dokładny życiorys autora. Ta biograficzna strona publikacyi cechuje sumienność wydawcy, który mozolnie pozbierał szczegóły, odnoszące się do życia i studyów botanika naszego, przypominając pamięci potomnych niemal zupełnie zapomnianego pracownika na polu nauki ojczystej.

* * *

Jan Kasprowicz. Warszawski tygodnik „Głos“ zamieścił studyum Jerzego Grota o naszym znakomitym poecie wielkopolskim Janie Kasprowiczu. Z artykułu tego cytujemy ustęp następujący.

„W przednowie, poprzedzającej tomik Poezyi Kasprowicza z 1889 roku, pisał T. T. Jeż słowa następujące: „Co do formy utwory wasze przedstawiły mi się, jako przeciwieństwo Bohdana Zaleskiego, który językowi nadał giętkość melodyjną, czyniącą z mowy polskiej jakąś promiennością przeniknioną pyłkowość, przeznaczoną na „kojenie serc i ucha“ — podczas kiedy akcenty mowy tej samej w ustach waszych mają w sobie coś surowego, twardego, szarpiącego, targającego i, rzekłbym, dzikiego i mimo to, raczej dlatego właśnie, wywierającego urok dziwnie pociągający“. Spostrzeżenie to, skoro już raz zostało wypowiedziane, będzie z pewnością uznane za niezmiernie trafne przez każdego, kto czytał Kasprowicza. Jest ono trafnem zarówno co do formy, jak — dodajmy to od razu — co do treści jego poezyi. Trafnem jest jeszcze to szczególniejsze porównanie przez przeciwstawienie w danym wypadku, nietylko dlatego, że istotnie ów Bohdan, ów „słowiczek“ romantyzmu jest antytezą rytmiki Kasprowicza, lecz również i dla tego, że porównać Kasprowicza z kimkolwiek przez podobieństwo — jest dziś istotnie rzeczą niemożliwą. Jest coś odrębnego, całkiem własnego w mowie tego poety, coś, co jego samego wyodrębnia spośród innych i pozwala go uważać za całą oddzielną kategoryę, cały rodzaj poetycki nowo-kreowany.

Jednocześnie — i tu jest dowód, że tak oryginalny talent nie jest jakiemś dziwactwem, jakiemś curiosum literackiem, lecz literackiem zjawiskiem doniosłego znaczenia — w odrębności tej ucho łowi jakiś ton potężnie swojski, głęboko właściwy mowie, jakiś nastrój bardzo usprawiedliwiony. Ledwie się ten wiersz, pozornie chropawy, odczytało, łamiąc trudność nowości, a już się jest głęboko przekonanym, że ta nowość leży jednak w naturze języka. Jest to wrażenie podobne do tego, kiedy ktoś, np. nawykły do gwary miejscowej posłyszy inną, równie czystą gwarę tej samej mowy i, mimo całej różnicy, od razu czuje jej prawowitość.

I rzeczywiście: jedną z tajemnic oryginalności mowy Kasprowicza jest niewątpliwie ta barwa wielkopolskiej odmiany mowy naszej, którą tak silnie akcentuje jego język, a z którą język literacki, głównie z małopolskich i mazowieckich źródeł dziś zasilany, zna się niezbyt blizko. Jest jeszcze druga przyczyna tej odrębności. Czytelników Kasprowicza uderzają nietylko wyrazy z ludowego słownictwa czerpane lub na ludowych wzorach budowane — owe choróbska, kościska, zyrdy, mendle, a wej itd. — których autor nie żałuje, ale również i sam styl autora. Trudno nie zauważyć, że styl ten jest inny, niż styl nietylko literacki, ale nawet potoczny klas inteligentnych. Jest tu wprost inna budowa zdań złożonych — zgoła składnia inna przy rytmice, bardzo się z nią zgadzającej. Jest to istotnie składnia pogwarki ludowej, chłopska składnia. Nie ta składnia, znana już nam do zbytu z krakowiaków i kujawiaków i stanowiąca dziś jeden z utartych schematów pieśni naszej, ale składnia ludowej gawędy na dłuższą metę, ludowej mowy potocznej.“

KRONIKA POWSZECHNA.

Teatr i muzyka. Według układu między p. Hellerem a Pawlikowskim opera lwowska zjeżdża na trzy letnie miesiące do Krakowa. — W warszawskim teatrze wielkim wystawiono nowy balet pt. Dama kierowa. Jest to przeróbka z francuzkiej feeryi „Rouge et Noire“ p. baletmistrza Grassi z muzyką p. Spetrino. — Na scenie radomskiej wystawiono siłami amatorów operę Moniuszki „Flis“ — Nowa opera Alfonsa Duvernoy pt. „Hela“ doznała w Paryżu średniego przyjęcia. — Umarł Wacław Sawiczewski, laureat na lwowskim konkursie dramatycznym, autor dramatu „Na Bezdrożach“. Szkoda młodego talentu, który w samym początku literackiej karyery swojej zdradził niepospolitą orginalność i siłę. — Krotochwila Ryszarda Ruszkowskiego pt. "Jadzia wdowa“ zjednała sobie na krakowskiej scenie względy publiczności i krytyki.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

M. L. w Gnieźnie. Zachodzi tu pomyłka ze strony niemieckiego autora. Łacińska litera „H“ oznacza w rosyjskim alfabecie nasze „N“. Litery **K. T. H.** są zatem skróceniem wyrazu „**katorżnyj**“. Identyczność z znanem godłem spółki antipolskiej jest zatem tylko pozorną, a zresztą wypalano owe litery, nietylko na czole zbrodniarzy, lecz i na czołach najszlachetniejszych ludzi.

Niezapominajka z zapadłej prowincyi. Dziękujemy z całego serca za te złote wyrazy sympatyi. Artykuł o nowszych wydawnictwach pedagogicznych zamieścimy chętnie.

L. Ł. Odpowiedź na tę broszurę zamieścimy w przyszłym numerze. Przypuszczenie, że wyszła ona z pióra gimnazyasty, jest mylne.

AFORYZMY.

Dla geniuszu przeszkody życiowe są — oliwą, dla zwyczajnego człowieka — wodą, dolaną do ognia.

Często wzrok zadaje głębsze rany, niż usta.

SPROSTOWANIE.

W nagłówku artykułu „Leon Say“ zamieszczonego w przeszłym numerze czytać należy zamiast „umarł w r. 1856“ — „umarł w r. 1896“.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winlewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28

Nr. 21. Poznań, niedziela 24-go maja 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: ul. Wilhelmowska 28.
(Drukarnia J. i r. Tomaszewskiego.)

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Wilhelmowska 28. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

TREŚĆ.

Nasi przeciwnicy.

W tej walce, która od chwili narodzin „Przeglądu“ zawrzała z niezwykłą siłą w Księstwie Poznańskiem, otaczały nas różnorodne hufce przeciwników i w imię różnorodnych haseł wołano do szeregu żołnierzy. Najliczniejszym jednak był zawsze ów zastęp wrogów nieubłaganych, który złączony pod chorągwią o zachowawczo-klerykalnych barwach, wierzył niezłomnie, że przez długie lata wszechwładnego królowania tak radykalnie wyniszczył całą spuściznę liberalniejszej epoki Księstwa, tak szczelnie pozamykał okna i bramy przed napływem humanitarnych i postępowych prądów zachodu, tak opiłował indywidualizmy ludzkie i zdusił cywilną odwagę w społeczeństwie, że nie znajdzie się chyba grono ludzi rozwijających inne sztandary i domagających się prawa głosu tam, gdzie panowało potulne milczenie. Nie twierdzimy bynajmniej, że w tym głównym obozie wrogów naszych nie istnieją żadne odcienie, — przeciwnie jedne zastępy ruszają w pole z tą nienawiścią, która tryska z zranionych uczuć koteryjnego samowładztwa, — drugie wprawia w histeryczny paroksyzm każdy dźwięk myśli wylatującej po za granice ortodoksyi, każdy ruch skierowany ku przekształceniu dotychczasowego stosunku klas i uświęconych form społecznego życia, — w innych góruje ponad wszystkiem wstręt właściwy starym powagom do młodych reformatorów — są wreszcie i tacy, którzy zrozumieć nie mogą, że każdy ruch przełomowy musi zrazu w nieco jaskrawych objawiać się blaskach, i których razi głównie pewna rogatość formy w krytycyzmie naszym. Wszystkie te kolory jednak są tylko odmianami zasadniczej klerykalno - zachowawczej barwy, — cały ten obóz zwalcza nas w imię starego porządku rzeczy, w imię hierarchii klasowej, doktryn powszechnej supremacyi kościelnej i całego legionu formułek konserwatywnego kodeksu.

W zmieszanych gwarach bojowych dosłyszy ucho uważne syk podrażnionych ambicyi i szemranie zepchniętych z piedestałów swoich autorytetów, — głośniej jednakże brzmi ideowy protest reakcyi przerażonej światłem niezwykłem; im energiczniej żelazne prawa ekonomiczne dokonują w dzielnicach naszych przemiany stosunków społecznych, im silniej prądy humanitarne domagają się praw obywatelstwa, im częściej społeczeństwo uznaje potrzebę rozgraniczania polityki i kościelnych rządów, tem namiętniejszą staje się krucyata konserwatyzmu przeciw drużynie Przeglądowej. Nie będziemy tu powtarzać charakterystyki przeróżnych gatunków broni, któremi w tej walce zaciętej starano się zdusić młode postępowe stronnictwo, — zwrócimy tylko uwagę ogólnikowo na dwa systemy polemiczne, praktykowane najkonsekwentniej.

Pierwszym z nich to zręczne usuwanie opozycyi od wszelkiego udziału w życiu publicznem, to zasadnicze lekceważenie każdej cegiełki, którą do gmachów naszej obrony narodowej dorzuca młodopolska ręka, — drugim to proklamowanie organu naszego jako zasadniczego przeciwnika katolicyzmu i apostoła jednostronnej, brutalnej demagogii. Roczniki pisma naszego są niedwuznacznem świadectwem tendencyjnej kłamliwości tych wrogich opinii, rozsiewanych po całym zaborze pruskim, lecz któż pyta o świadectwa? Jednostki zaledwie, a tysiące wierzą na słowo. Tak „Przegląd Poznański“, ten umiarkowany pod każdym względem, choć konsekwentny szermierz postępu, zyskał w opinii szerokich kół społeczeństwa naszego miano jednego z najradykalniejszych organów polskich.

Nagle zabrzmiał głos inny. Odezwał się Piotr Stroma w broszurze p. t. „Program Przeglądu Poznańskiego“. Pseudonim p. Stromy nie jest obcym czytelnikom „Przeglądu“, bo poruszaliśmy przed dwoma laty jego literacki pierwiosnek p. t. „O społeczeństwie poznańskiem“. Książeczka ta nosiła wprawdzie cechy pewnego radykalizmu o studenckim zakroju, lecz cechowała ją forma wytworna i ten zapał ideowy, który podbija serca i umysły. Wówczas przedstawił nam się p. Stroma jako liberalny doktryner, budujący przy zielonym stoliku, z daleka od ludzi i stosunków, teoryjki swoje i wyroki, lecz jego wiara, jego siła młodzieńcza i znamiona literackich zdolności gasiły na ustach uśmiechy, wywołane radykalnem deklamatorstwem. To też dziś, po dwóch latach, z pewnem zaciekawieniem braliśmy do ręki broszurę, która p. t. „Program Przeglądu Poznańskiego“ ukazała się na półkach księgarskich. Interesował nas temat i interesowała ewolucya autora, lecz z żalem niestety z góry zaznaczyć musimy, że w obu kierunkach spotkał nas zawód. Piotr Stroma pozostał dawnym deklamatorem, — utracił tylko dawną świeżość i siłę.

Broszura p. Stromy skierowaną jest w pierwszym rzędzie przeciw umiarkowanemu kierunkowi pisma naszego, w którym dopatruje się braku odwagi i wyrazistości, a część jej krytyczna opiera się niemal wyłącznie na trzech artykułach, zamieszczonych p. t. „Nowy program“ w lutowych zeszytach „Przeglądu“. Pomijamy zupełnie pretensyonalność autora, z którą zabiera się do kazania swojego, skąpanego w ironiczno-apostolsko-elegijnym tonie, — nie kusimy się też o rozbiór szczegółowy książeczki, nie zasługującej na głębszą uwagę, — ale musimy poświęcić jej kilka uwag, nietylko jako przeciwniczce z skrajnej lewicy obozu postępowego i charakterystycznemu „pendant“ do gromów Kuryerowego stronnictwa, lecz jako ciekawemu przyczynkowi do psychologii pewnych umysłów, których rozwój ideowy kończy się na dwudziestym roku życia, a przynajmniej dopiero na długiej lat przestrzeni zaczyna się pogłębiać, rozszerzać i na podstawie warunków realnego bytu dla tego bytu pracować.

Piotr Stroma krytykuje nasz program, naszą ostrożność i lękliwość rzekomą, a krytykuje ją w sposób przypominający dyalektykę greckich sofistów, która każdemu z nas na prymanerskich ławach nie mało sprawiała kłopotu. Różnica polega jedynie na tem, że Meletusi dawni lubowali się w dzieleniu cząstek od całości i naginaniu do celów swoich elastycznych zwrotów stylowych, p. Stroma zaś, powiedziawszy sobie z góry, że za każdą cenę należy zdruzgotać treść artykułów „Przeglądowych“, nie cofa się nawet przed tendencyjnem fałszowaniem naszych opinii. Dla scharakteryzowania taktyki p. Stromy podajemy następującą próbkę adwokackiego krętactwa.

Zarzucając nam ni ztąd ni zowąd, że stronnictwu ludowemu bratniej dłoni podać nie chcemy, tak pisze: „Wy i tutaj okazujecie w dwie strony świata rozpołowione Janusowe oblicze i nie mogąc odmówić ruchowi ludowemu zdrowej, na nasze stosunki odradzająco działającej polityki, wygłaszacie o jego przewodnikach bez dostatecznego powodu uwłaczające zdanie, że ich hasło naczelne „samopomoc“, które przeciwstawili „łasce pańskiej“ tak zw. „stronictwa narodowego“, wydane zostało przez prowodyrów tylko ze względów taktycznych jako rodzaj *captatio benevolentiae* względem tłumów“.

Otóż p. Stroma, który od życia praktycznego stroni jaknajdalej i słyszy zawsze,

że gdzieś dzwonią, ale nie wie, w którym kościele, powinien się był przed napisaniem broszury poinformować, że zarzut powyższy sformułowany został przez stronnictwo konserwatywne, a my polemizując z nim, napisaliśmy wyraźnie: „Chociażbyśmy nawet przyjęli za pewnik, że owo hasło wydane zostało przez prowodyrów tylko ze względów taktycznych, to już fakt, że hasło stało się popularnem dowodzi, że prowodyrowie trafili do serca ludu naszego“.

Wobec tak wyraźnego przekręcania opinii naszych pozostaje tylko jedna alternatywa: Albo p. Stroma fałszuje tendencyjnie stanowisko „Przeglądu“, albo skromnemi zasobami logiki swojej nie ogarnia treści naszych artykułów politycznych. Podobnych przykładów moglibyśmy naliczyć jeszcze sporo, a los nadomiar płata takie figle autorowi, że tam, gdzie wypaczywszy nasze opinie, sypie jak z rękawa apodaktyczne nauki, — wikła się w fałdach swej długiej sukienki i przewraca kozły logiczne. Tak np. śmieje się p. Stroma na całe gardło, że w jednym z artykułów programowych napisaliśmy zdanie następujące: „Nie wdajemy się w rozbiór kwestyi, więcej metafizycznej niż realnej, czy upadek Polski dokonał się pod wyrokiem sądu Boskiego, czy też pod obuchem t. zw. konieczności historycznej“, — wesoły krytyk nie rozumie, że tendencyą naszą było zwrócenie uwagi na dwa kierunki historyozoficzne, z których jeden, opierając się na zasadach Heglowskich, znalazł wybitnego reprezentanta np. w Syblu, drugi w Kalince ma głównego przedstawiciela, — i z swadą liberalizującego studenta dziwi się, jak istnieć może podobne „dilemma“ przy wschodzącej zorzy dwudziestego wieku“, a następnie poucza nas, że wszystko w dziejach jest tylko „wieczystym łańcuchem przyczyn i skutków“.

Dziękując pokornie za naukę panu Piotrowi, ośmielamy się zapytać, na mocy jakiego salto mortale logiki po wypowiedzeniu na str. 7-mej długiej tyrady o „nieubłaganej konieczności historycznej“, wykluczającej wszelkie metafizyczne sprężyny w dziejach, może na stronie dziesiątej ni ztąd ni zowąd deklamować o „dziejowem posłannictwie narodu polskiego“. Czyżby Piotr Stroma między napisaniem 7-ej a 10-ej strony poszedł do Canossy i uwierzył nagle w siły nadziemskie, kierujące narodami i wskazujące im cele właściwe? Zdanie to mógłby przecież bez zastrzeżeń w łamach swoich umieścić „Kuryer Poznański“.

Nie chcąc czytelników naszych nużyć dalszemi próbkami tej nieostrożnej, miałkiej i na wypaczonych lub oderwanych urywkach „Przeglądu“ opartej krytyki, poprzestajemy na dwóch powyższych przykładach. Bo i cóż wreszcie odpowiadać na zarzuty takie, jak: „Kierunek wasz za mało różni się od tych, co dzisiaj ton społeczeństwu nadają“, lub „Tam, gdzie koterye zamiast stronnictw politycznych, usłały sobie wygodne gniazdo na łonie społeczeństwa i ciągną z niego soki żywotne, tam i wy wpraszacie się z pół buńczuczną i pół pokorną miną — i także rękę wyciągacie, prosząc o ciepły kącik“, albo wreszcie: „Przechylacie waszą chwiejącą głowę ku ideałom Kuryera Poznańskiego“(!) Wszystko to wypowiedziane jest z tak szeroką swadą, wszystko takie apodyktyczne, takie dramatyzowane, takie elegijne, że ciśnięte z trybuny sejmikowej w bezkrytyczne tłumy, wywarłoby niewątpliwie elektryzujące wrażenie, ale pod mikroskopem przedstawia się jako zlepek lśniących błyskotek stylowych, efektownych rakiet dyalektycznych i, co najprzykrzejsze, tendencyjnie wykrzywionych lub fałszywie zrozumianych cytat z pisma naszego. To nie jest poważna krytyka, — panie Stromo! Takiej taktyki trzyma się „Kuryer Poznański“, lecz nie przystoi ona postępowym szermierzom, dla których prawda powinna zawsze pozostać ołtarzem.

Gdyby jednak Piotr Stroma był napisał tylko część pierwszą broszury swojej, sąd nasz wypadłby może, mimo wszystkich zarzutów, łagodnie, bo poczytalibyśmy ją za zwykły artykuł polemiczny, do którego zbyt wielkiej miary przykładać nie można. Przeciwnik nasz jednak pokusił się w drugiej części o charakterystykę ewolucyi porozbiorowej społeczeństwa, o pogląd na historyczne stanowisko kościoła i o pozytywne postulaty programowe, a w rozdziałach tych właśnie wyraźniejsze, niż gdziekolwiek złożył dowody, że nie dorósł do poważnego traktowania ani historyi, ani polityki. Bolejemy nad tem dla tego mianowicie, że wszelkie natarcie na klerykalne pojmowanie dziejów i stosunków, pozbawione ścisłości i powagi naukowej, odbija się niekorzystnie na całej sprawie postępu. Pisał wprawdzie p. Stroma broszurę tylko, nie dzieło, ale i w broszurze nie wolno ogłaszać historycznych herezyi, fałszować charakterów lub wydymać tendencyjnie motywów dziejowych. Jakże p. Stroma żądać od nas może, aby go na seryo traktować, skoro np. nie waha się w jednym szeregu równorzędnych typów postawić Rejtana obok Staszyca i Kołłątaja, a o walkach naszych o niepodległość wypowiada zdanie, „że skierowane były przeciw zewnętrznej niewoli, lecz prowadzone *w imię niewoli wewnętrznej*.“ Czyżby autor nie wiedział, że już Kościuszkowskie powstanie było przełamaniem „wewnętrznej niewoli?“ Czyżby obcemi były mu idee przenikające organizm ostatnich powstań? Podobny brak ścisłości naukowej cechuje również ustęp o stanowisku Kościoła katolickiego w dziejach Polski i o wpływie Jezuitów na koleje narodu naszego. Cała ta dysertacya zawiera oczywiście niejeden szczegół prawdziwy, ale generalizowanie pewnych sprężyn upadku naszego i zajadły ton polemiczny wywiera wrażenie dysput młodzieńczych na temat: „Czy Jezuici zgubili Polskę?“ W podobne broszurki bawili się niegdyś emigranci paryzcy, a niejeden z nas czerpał z nich mądrość swoją w 18-tym roku życia.

Na ostatnich stronnicach książeczki swojej stawia p. Stroma szereg pozytywnych postulatów programowych; ani jednej chwili nie wahamy się przyklasnąć wywodom jego, nadmieniamy tylko, że nie ma w nich żadnej orginalnej myśli, żadnego punktu, któryby nie stanowił od chwili narodzin „Przeglądu“ celu naszych dążeń

FR. RAWITA.

Dziki człowiek.

(Dokończenie).

Ojciec słuchał gorącej mowy syna z pochyloną głową i nic nie odpowiedział. Nagle zwrócił się do niego Pietia z zapytaniem:

— Ojcze, ty znasz polski język?

— Znam.

— Chcesz, przeczytam tobie parę ustępów z tego pięknego i głębokiego myślą poematu.

— Jak ci się podoba.

Pietia zerwał się z ławeczki i wprost do swego pokoju pobiegł. Wrócił po chwili, niosąc niewielką książeczkę w ręku i usiadłszy przy ojcu, kartki przewracać począł.

— Przeczytam ci tylko część IV, zakazaną przez cenzurę.

I czytać począł. Akcent jego brzmiał trochę z rosyjska, ale dykcya była wyraźna, silna, z wielkiem zrozumieniem myśli i odczuciem wygłoszona. Gdy przyszło do słów Tomasza:

Bronić się daremnie —
I śledztwo i sąd cały toczą się tajemnie;
Nikomu nie powiedzą, za co oskarżony —
Ten, co nas skarży, naszej ma słuchać obrony.

Pietia książkę na kolana odłożył i rzekł wzruszony:

— I dziś to samo — z nimi i z nami...

Iwan Matwijowicz milczał, potem podniósł oczy na syna i rzekł:

— Czytaj dalej:

Pietia powoli przybliżył książkę do oczu i miejsce, gdzie się zatrzymał, znalazłszy, znowu czytać począł; doszedł nareszcie do wyrazów:

Jeśli będzie uczciwy, pod moskiewskim rządem
Spotka się niezawodnie z kibitką i sądem...

— Czy to nie prawda, ojcze? Cóż wnosi do ogólnego dorobku cywilizacyjnego takie państwo? Jaka może być jego przyszłość?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, dodał:

— O, są tu i lepsze rzeczy... słuchaj tylko.

I znowu czytał, aż wreszcie doszedł do opowiadania Jana.

Iwan Matwijowicz podniósł głowę, utkwił źrenice w przestrzeń alei, oświetloną wesoło łagodnem słońcem majowem i słuchał w milczeniu. Znać było tylko z wyrazu jego twarzy, że prosta i smutna opowieść poety nie przechodzi bez wrażenia dla słuchacza. Niekiedy głową skinął na znak przytwierdzenia jakiegoś faktu lub uczucia, potem znowu słuchał, nachylając nieznacznie głowę i ucho w stronę czytającego, ażeby żadnego dźwięku, żadnego wyrazu nie stracić.

On spostrzegł, że lud płacze, patrząc na łańcuchy.
Wstrząsał nogą łańcuch na znak, że mu niezbyt ciężył.
A w tem zacięto konia — kibitka runęła —
On zdjął z głowy kapelusz, wstał i głos natężył,
I trzykroć krzyknął: „Jeszcze Polska nie zginęła!“ —
Wpadli w tłum; — ale długo ta ręka ku niebu,
Kapelusz czarny jako chorągiew pogrzebu,
Głowa, z której włos przemoc odar a bezwstydna,
Głowa niezawstydzona, dumna, z dala widna..

Iwan Matwijowicz rękę na książce położył i czytanie przerwał.

— Dosyć... dosyć!... wszystko prawda... widziałem na własne oczy.

Pietia spojrzał na ojca, którego twarz zmieniona była do niepoznania i dwie wielkie łzy toczyły się po niej. Nie rzekłszy ani słowa, nachylił się i w rękę ojca pocałował.

— Byłeś tam ojcze?

— Byłem... byłem...

Nastała cisza. Żaden z nich nie mógł mówić ze wzruszenia i z natłoku myśli, niemogących się wydobyć przez krtań zaciśniętą. — Iwan Matwijowicz przerwał wreszcie ciszę.

Obyś takiego widoku nie oglądał nigdy. Ja robiłem tak, jak robi głupi sługa, który przychodzi z „moczałką“ i kurz, osiadły na pięknym obrazie, wyciera, nie wiedząc o tem, że barwę obrazu zetrze. Ty tej poblakłej i okurzonej barwie nadałeś znowu świeżość.

W tej chwili na drodze alei dał się słyszeć skrzyp piasku i przed altanką ukazała się postać „batiuszki“. Z trudem dźwigał swój beczkowaty, opasły kadłub i sapał.

— Cóż to wy tutaj we dwójkę siedzicie, jak zakochani — rzekł, zatrzymawszy się przed nimi — chodźmy coś przekąsić, wnet obiad podadzą.

Ojciec i syn nie odpowiadali. „Batiuszka“ wtoczył się do altanki i na książkę leżącą na ławeczce, spojrzał.

— Polskie książki czytacie? *Sławno... sławno... jej Bogu...*

i nie figurował jako myśl zasadnicza, konsekwentnie przeprowadzana w rocznikach pisma naszego. I dla tego autor broszury powiedziałby prawdę, gdyby na końcu sentencyi swoich zamieścił zdanie: „Takim *jest* program Przeglądu, lecz wtedy zbytecznem byłoby pisanie broszury i dla tego p. Stroma stroi się w cechy orginalności i kończy życzeniem: „Takim *mógłby* być program Przeglądu“.

Mógłby, — więc nie jest? Zobaczmy. Oto postulaty krytyka: 1. Walka z germanizacyą przez kościół. 2. Walka z kierunkiem politycznym stronnictwa ugodowogo. 3. Praca nad podniesieniem przemysłu i handlu. 4. Rozdzielenie dogmatu od nauki, — polityki od religii, z których każda jako odrębna dziedzina uważana być winna. 5. Reforma wychowania kobiecego w kierunku zdrowej emancypacyi. 6. Potrzeba postępowej ligi politycznej.

Cała ta litania programowa nie jest niczem więcej, jak krótkim wyciągiem z całego szeregu artykułów, rozrzuconych na stronnicach „Przeglądu“. Nie ma jednego numeru pisma naszego, w którymby ten i ów z postulatów powyższych nie znalazł energicznego wyrazu, czy to w formie artykułów teoretycznych, czy w krytycznem zastósowaniu do wypadków chwili bieżącej. Jeden chyba orginalny pomysł trysnął z pióra p. Piotra Stromy: Jest nim propozycya, aby „Goniec Wielkopolski“ zawarł przymierze z „Orędownikiem“ i „Przeglądem“. Ani słowa! Nie ma nic łatwiejszego jak przy zielonym stoliku budować przymierza, ale gdyby p. Stroma raczył zajrzeć do ostatniego rocznika „Gońca Wielkopolskiego“, gdyby chciał się przekonać o fizyognomii duchowej i politycznej kierowników jego, przekonałby się może, że sojusz taki w obecnych stosunkach zakrawa na dowcip.

Na tem kończymy rozprawę naszą z młodym luzakiem politycznym i doktrynerem, którego może kiedyś bliższe zetknięcie z życiem praktycznem zamieni z błędnego rycerza liberalizmu w dzielnego szermierza postępowej partyi. Lękamy się jednak, że pozostanie on zawsze — broszurowym autorem.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Krytyka ruchu ludowego i jego obrona. „Gazeta Gdańska“ zamieściła przed niedawnym czasem artykuł, nadesłany z Poznania, poddający ostrej krytyce ruch ludowy i wypowiadający naiwne przekonanie, że gdyby germanizacyjna robota duchowieństwa na Górnym Szlązku, w Prusach Zachodnich i w Warmii nie nadawała temu ruchowi pewnych pozorów słuszności, to zmarniałby już oddawna. Z artykułu tego przytaczamy ustęp następujący:

„Zadając sobie pytanie, jakim sposobem mógł powstać i rozwinąć się w Wielkopolsee ruch, właściwej „ruchawka“, — nazwany kłamliwie „ludowym“, spostrzegamy, że czerpał on i czerpie swe soki żywotne z walk rozgrywających się na Ślązku, w Westfalii i w Prusach Zach. miedzy Polakami a ich współwyznawcami narodowości niemieckiej. (Ma być: księżmi germanizatorami!) Czczy, płochy, bezpodstawny, poczęści nawet występny ruch ten zyskuje w oczach krótkowidzów politycznych i bezmyślnego tłumu jakieś pozory uprawnienia, szczerości i konieczności (ach!) dzięki jedynie naiwnej taktyce germanizatorów katolickich, oni nadawają mu ów cieniutki pokost idealny, bez którego wydałby się brzydkim nawet ostatniemu prostaczkowi (ach! ach!)

„Słyszycie, panowie, i rozumiecie choć trocha, że wy to rozbijacie jedność katolicką, ten ostatni filar (?) upadłego i umęczonego narodu? Rozumiecie, że ludzie, co chcą „wyzwalać lud z więzów klerykalizmu“, to znaczy rozluźniać węzły serdeczne łączące lud z duchowieństwem, degradować ostatnie do rzędu kasty braminów indyjskich, zasklepionych w obrządkach a bez żadnego wpływu na życie publiczne, przepisywać Kościołowi katolickiemu, czy i o ile wolno mu się mieszać do spraw społecznych, narodowych i ekonomicznych, że ludzie tacy zmarnieliby od dawna na katolickiej ziemi naszej, Wielkopolski, gdybyście wy im nie dostarczali środka agitacyjnego, który kryje się w potwornem, dla ucha katolickiego wprost niezrozumiałem określeniu: ksiądz germanizator“!!“

Tu w dalszym ciągu tego długiego artykułu następują dwa ciekawe wyznania. „Gaz. Gdańska“ stwierdza:

że — „w Wielkopolsce naszej“ — lud zapytany o narodowość — zowie się „katolickim“, że lud ten wszystko nieomal „i oświatę i dobrobyt materyalny i wyższość moralną i samowiedzę narodową“ zawdzięcza księżom i szlachcie; że tu w Wielkopolsce niktby nie śmiał „dużyć ludu czarodziejskim lekiem samopomocy“, gdyby — germanizatorzy nie nasuwali myśli samopomocy ludowi polskiemu, którBy zresztą chętnie swe losy złożył w ręce tych księży!

W odpowiedzi na powyższe uwagi wypowiada „**Orędownik**“ następujące rozumne zdania.

„Szlachty polskiej coraz mniej i mniej, ergo lud polski ma się oddać — w ręce księży! Przecie można uznawać w stosunkach publicznych i szlachtę i księży, a jeszcze nie ograniczać ludowi polskiemu praw i swobody do rozwoju materyalnego, intelektualnego i narodowego — o własnych siłach. Tego „Gaz. Gdańska“, pisząca w maligule, nie widzi.

W drugim ustępie powiada „Gaz. Gdańska“, że organa ruchu ludowego — umizgają się do prasy ślązkiej, zachodnio-pruskiej i westfalskiej, że skrzętnie zapisują wszysto z pola walki ludu z duchowieństwem katolickiem, ale — „zręcznie zapominają dodawać, że duchowieństwo to jest zarazem niemieckiem.“

To ma znaczyć, że organa ruchu ludowego wyzyskują tę walkę w Prusach Zachodnich i na Górnym Ślązku na to, żeby tu w Wielkopolsce „kopać przepaść“ między ludem a księżmi!

Co taki zarzut moralnie wart, to każdy trafnie oceni. Organa ruchu ludowego i przeciw księżom

---

Wyciągnął rękę po książkę, ale Pietia szybkim ruchem umknął książkę i złożył.

— Przecież mówiłem, że chcę ojcu przeczytać parę ustępów z „Dziadów“ — odrzekł z akcentem zniecierpliwienia w głosie.

Pop uśmiechnął się zjadliwie.

— Nu, niczewo... niczewo... bawcie się... tylko uważajcie, abyście się nie spolaczyli, a to możecie biedy napytać..

Iwan Matwijowicz nie odpowiadał, ale Pietia, roznerwowany cały, odrzekł z zapałem:

— Po co to „batiuszka“ rzeszotem wodę mierzyć? Nie znacie tego — i dosyć — nie ma o czem mówić.

Pop obraził się.

— A... to w uniwersytecie uczą was tak do starszych przemawiać — co? Pięknie... pięknie... pamiętaj jednak, że nietylko w polskiej literaturze, ale i u nas znajdziesz wiele arcydzieł.

Pietia zirytowanym głosem odrzekł:

— Wiem, wiem, tylko ja wam powiem, batiuszka“, że książka, która my czytamy, a której wy nie znacie, nie jest ani polską, ani naszą, ale — ludzką, bo duszę ludzką, duszę narodu przedstawia.

Wyrazy te zdziwiły „batiuszkę“ mocno. Stał z początku niemo, potem uśmiechnął się przymusowo, a w końcu rzekł:

— Duraczestwo wszystko co mówisz... duraczestwo... wybij to sobie z głowy, bo pojedziesz z pewnością tam — *gdie Makar telat nie pasiot...*

Po takiem stanowczem twierdzeniu popa wszelka opozycya i dyskusya były niemożebne. Iwan Matwijowicz, pragnąc złagodzić niemiłe starcie się syna z dziadkiem, odezwał się z akcentem udanej obojętności:

— Et, dajcie mu pokój... młode piwo... ma czas wyszumić się..

— Tak, prawda... ale nie w tę stronę wylewa się — zauważył „batiuszka“.

Pietia nie mógł już strawić w sobie uszczypliwych słów „batiuszki“, a gdy tylko znaleźli się sami, zauważył niby spokojnie:

— Ta „seminarska“ nauka dalej swego nosa nie sięga...

— Daj im spokój — łagodził ojciec.

Nie tak jednak łatwo było złagodzić wybuch zranionego uczucia młodzieńca.

— Co tu długo gadać — krzyknął z zapałem — Polacy są niezawodnie jednym z największych narodów w dziejach nowożytnych, kiedy ich cierpienia moralne tyle geniuszów zdolne były wydać!

Ojciec objął syna za szyję i pocałował.

— Kochasz prawdę... — rzekł.

W tej chwili jednak przyszły mu na myśl słowa z „Dziadów“:

Jeśli będzie uczciwy, pod moskiewskim rządem
Spotka się niezawodnie z kibitką i sądem...

— Trudno ich zniszczyć — ciągnął Pietia — miłość, nienawiść, idee wolności, dziedziczą się także z pokolenia na pokolenie...

Słowa te zdziwiły Iwana Matwijowicza, zdało mu się, że syn do niego się zwracał i jakoby żądał wyjaśnienia prawdy, której nie znał, lecz domyślał się tylko i męczył się domysłem.

Wtem zaproszono ich na obiad.

Minęło kilka dni spokojnych, pięknych, w których Pietia zażywał całej młodzieńczej swobody, jakiej tylko wieś zdolną jest udzielić. Chodził, jeździł konno, kąpał się i szerokie dysputy prowadził z ojcem, zmieniającym się co dnia prawie do niepoznania. Wywiązywała się między nimi przyjaźń i otwartość przekonań, która zbliżała ich ku sobie coraz bardziej. Nieraz pragnął się wyspowiadać przed synem z długich mąk swoich i życia, wstrzymywał się jednak. Po co? Przestanie pamięć moją szanować... Niech idzie drogą, którą los jemu przeznaczył.

Wieczorem, kiedy już mieli siadać do wieczerzy, rozległ się turkot bryczki na dziedzińcu. „Batiuszka“ wyjrzał przez okno.

— No, będzie pula — rzekł — pan Bóg gości prowadzi.

Nikt mu jednak na to nic odpowiedział.

— Sprawnik i jeszcze dwóch panów — zauważył. — Tem lepiej. Ty Iwanie Matwijowiczu pewnie grać nie będziesz?

— Nie.

— *Ładno*... poczytacie sobie z synem polską książkę — zauważył złośliwia.

Tymczasem bryczka stanęła przed gankiem i goście wysiedli. W przedpokoju było ciemno; tylko przez otwarte drzwi od jadalnego kokoju wązka smuga światła wdzierała się. Na progu stanął „batiuszka“ i głosem tubalnym wołał:

— Iwan Matwijowicz! Każ stolik do kart rozsunąć.

Stał i śmiał się tubalnym głosem, z własnego dowcipu, spoglądając na gości, którzy narzutki od kurzu zawieszali na szaragach. Goście rozbierali się w milczeniu i widocznie do żartów nie byli usposobieni. Za

wielkopolskim otwarcie występowały, gdy podczas wyborów forytowali partyą dworską. Przy przyszłych wyborach znowu otwarcie przeciw nim z ludem wystąpią, a gdy księża zaprzestaną wywierać nacisku na wyborców w kierunku polityki partyi dworskiej, ustanie wszelkie tarcie między ludem a księżmi, ale nie ustanie jeszcze dążność, by sprawy narodowe opierać na własnych siłach, na samopomocy, choćby księża, idąc ręka w rękę z ludem, jeszcze raz tyle dla sprawy narodowej czynili, co dotąd uczynili. Między księżmi w wszystkich trzech dyecezyach ziem dawnej Rzeczypospolitej polskiej jest też mnóstwo księży takich, którzy ludowi polskiemu w kierunku narodowym szczerze dopomagają i równocześnie szczerze go do samopomocy pobudzają.

„Gaz. Gdańska" konstruuje zaś z tej samopomocy — redutę ludu przeciw własnemu duchowieństwu!"

* * *

Z walk górnoszląskich. W Katowicach przed sądem ławniczym wydarzył się w tych dniach następujący wypadek. Przesłuchiwany jako świadek cieśla Bugiel oświadczył na wstępie, że pragnie mówić po polsku. „Jakto? zapytał sędzia — czy pan nie rozumie po niemiecku? — „Owszem! brzmiała odpowiedź, ale nie będąc Niemcem, trudno mi mówić po niemiecku". Na to sędzia z widocznem poruszeniem: „Czy pan jesteś Moskalem, lub innej jakiej narodowości?" Bugiel: „Nie, jestem Polakiem!" Sędzia: „U nas nie ma Polaków, są tylko Niemcy i po niemiecku mówić muszą przed sądem. Przez opór swój ubliżyłeś Pan powadze sądu". Rezultat był taki, że cieśla p. Bugiel skazany został na 6 marek kary lub dwa dni więzienia za nieprzyzwoite zachowanie się przed sądem.

„Katolik" dodaje do opisu zajścia tego następującą uwagę:

„Nie jest to wprawdzie pierwszy wypadek tego rodzaju, boć zdarza się częściej, że świadkowie zostają karani nawet jednym lub dwoma dniami aresztu, jeżeli nie chcą mówić po niemiecku przed sądem. Niestety sąd ma prawo ukarania w takim przypadku, gdyż zależy to od jego widzimisię. Jakemi poglądami się jednak w danym razie ten lub ów sędzia kierować może, na to powyższe zdarzenie jest dobitnym dowodem. Kto twierdzi, że u nas nie ma Polaków, ten chyba się grubo myli — łagodnie się wyrażając. Warto się go spytać, który nauczyciel mu to powiedział, a nauczycielowi temu trzeba kupić jaką historyą, z którejby się mógł nauczyć, że istnieje naród polski na Szlązku, i nawet prędzej tu był, aniżeli Niemcy".

Karami takiemi nie przytłumi się ruchu polskiego, lecz tylko jeszcze oliwy do ognia doleje. Polakożerczy raciborski „Anzeiger" tryumfuje z powodu tej odpowiedzi sędziowskiej i wymierzonej p. B. kary i opatrzył odnośną wzmiankę nagłówkiem: „Sprich Deutsch". Ten sam Anzeiger skarży się równocześnie na bezwzględność polską i pisze, co następuje:

„Podczas gdy dawniej na tutejszym targu polscy chłopi na niemieckie pytania odpowiadali po niemiecku, dziś się prawie tego wcale nie spostrzega. Niestety u kupujących pochodzenia niemieckiego pokazuje się też teraz coraz wyraźniej zwyczaj popisywania się swą odrobiną polszczyzny. Kto na targ niemiecki przychodzi, aby swój towar sprzedać powinien także niemieckich kupców obsłużyć w niemieckim języku, i uczyniłby też to, gdyby go niemądrym sposobem nie utwierdzano w jego błędnem mniemaniu, że kupujący musi do niego przemawiać jego językiem, który właściwie jest tylko śmieszną gwarą (Kauderwelsch). Każdy kupujący Niemiec winien posiadać samowiedzę tego, że jest Niemcem, i nie popierać jeszcze polskiej propagandy na targu. Już chłop będzie mówił po niemiecku, jeżeli się towaru swego za pomocą swej polszczyzny nie pozbędzie".

„Ciekawiśmy, — zaznaczają z powodu tego słusznie „Nowiny Raciborskie", — coby panowie Niemcy z całą swoją „samowiedzą" poczęli, gdyby im chłopi polscy wiktuałów na targ nie przywieźli.

— ski.

LITERATURA I SZTUKA.

„Non dolet!..."

(Fragment)

Młodszym po lutni braciom
poświęcam.

A kiedy przyjdzie śmierć mi zawrzeć oczy
I wolę zetrą mi przedzgonne lęki,
Niech bratnie druhów kółko mnie otoczy
I najszaleńsze me nuci piosenki.
By skarga, brzmiąca w mym bezwjednym jęku,
Zagasła... w śmiechu i kieliszków brzęku!

A kiedy przyjdą ułożyć mię w trumnę,
Niech mi przyjazna dłoń rzuci snop róży
Na czoło, niegdyś pogodą tak dumne,
By nikt nie dojrzał, że się w śmierci chmurzy,
I że tam leżę — zwalczony! ponury!
Odarty z śmiechu, tak jak król z purpury!

A kiedy mnie już pośród was nie będzie,
Niech nikt nie bada tajni mego życia:
Jaki duch stroił mych pieśni narzędzie?
I z jakich włókien jam prządł moje śnicia?
Bo gdybym to wam otwarcie wynurzył,
Duch wasz by pobladł i zadrżał i stchórzył!

Chcę tak, jak żyłem, iść w trumniane deski:
Głuchy na podszept tkliwości niemęskiej,
Przyobleczony w śmiechu płaszcz królewski,
Niepokonany serdecznemi klęski,
Urągający piorunom złej doli
Głosem rzymianki: „Patrzcie, to nie boli!"

Może wrodzony był w tem już od dziecka
Twardszy hart, większa ducha ogniotrwałość!
Może klasyczna jakaś próżność grecka,
Co mi kazała tłumić serca żałość
I śmiać się płocho, gdy trzewiem ból targa,
By w skardze... brzydko nie zadrżała warga.

A może było w tem zasługi nieco,
Kwilącej duszy nakazać milczenie,

---

drzwiami w przedpokoju słychać było także szmer ludzki.

— To tylko nieszczęście, że baby moje wyjechały do miasta i daj Boże, aby jutro wróciły — rzekł pop z dobrą miną.

Gdy goście byli już gotowi do wejścia, pop usunął się nieco na bok z progu, aby wolne przejście uczynić i odezwał się zachęcająco:

— Miłosti prosim.

Sprawnik podał mu obojętnie rękę, nieznajomy ukłonił się tylko i weszli.

Ten chłód niepodobał się „batiuszce". Nadrabiał miną i prowadził gości do salonu. Usiedli. Sprawnik wyglądał trochę na zmięszanego, a nieznajomi w ziemię patrzyli w milczeniu.

— Pietia w domu? — zapytał.

— W domu.

Wreszcie jeden z nieznajomych odezwał się:

— Mam polecenie od generał-gubernatora aresztować Piotra Iwanowicza Markowskiego i natychmiast z nim do Kijowa się udać.

Słowa te, wypowiedziane zimno, spokojnie, z obojętnością człowieka, który je nieraz już wypowiadał, sprawiły na „batiuszkę" wrażenie, jak trucizna, nadająca sztywność wszystkim członkom. Wodził wyłupiastemi oczyma od jednego do drugiego, jakby czekał bliższych wyjaśnień. W spojrzeniu tem malował się przestrach, połączony z uczuciem litości.

— Zmiłujcie się... jakże to — wybełkotał.

Nieznajomy ręce rozwiódł i zminą rezygnacyi spokojnie odrzekł:

— *Prikaz...*

Ten krótki wyraz miał oznaczać, że spełni, co mu polecono, co do joty, wszystko i nic go w wykonaniu rozkazu nie wstrzyma.

— O cóż to chodzi? — zapytał wreszcie nieśmiało „batiuszka".

Nieznajomy zrobił taką minę, jakby chciał powiedzieć: nie wiem

Sprawnik nachylił się do popa i rzekł półgłosem:

— Wolnodumstwo... socyalizm, batiuška — ot, co gubi naszą młodzież. A kto ją do tego ciągnie? Polacy... zachciewa im się ojczyzny...

„Batiuszka" z przestraszoną miną ręce podniósł do góry nabożnie, potem żegnać się począł. Wreszcie półszeptem, jakby sam do siebie, mówił.

— Nieszczęście... nieszczęście...

— No, dosyć „batiuszka", narzekać — odezwał się sprawnik — nie pora... Prowadźcie nas do Piotra Iwanowicza.

„Batiuszka" zawahał się. Sprawnik spostrzegł wahanie się i dodał z naciskiem:

„Batiuszka", to nie żarty.

Pop ruszył się ociężale i nic mówiąc ani słówka, poszedł. Sprawnik i nieznajomi — jeden z nich był kapitanem od żandarmów, a drugi podoficerem — podążyli za nim.

Ojca z synem zastali nad „Dziadami".

„Batiuszka" stanął nieco na uboczu, tak, że pozwolił nieznajomemu i sprawnikowi na środek pokoju wysunąć się. Iwan Matwijowicz powstał, ażeby się przywitać, ale uderzyła go sztywna postawa przybyłych, wyraz twarzy „batiuszki", jako też chłodna, urzędowa atmosfera, którą ze sobą wnieśli.

Chwilkę wahania się i niepewności przerwał sprawnik, zwróciwszy się wprost do Pieti.

— Jak się pan miewa, mołodoj czełowiek? — rzekł z akcentem ironicznym.

— Dziękuję panu... co panu potrzeba?

Spojrzał na przybyłych ostro i domyślał się, o co chodzi.

— Interes do pana — zauważył sprawnik, usuwając się nieco na stronę i robiąc miejsce przybyłemu ze sobą kapitanowi od żandarmów.

— Czy pan jesteś Piotr Iwanowicz Markowskij? — zapytał sucho kapitan.

— Ja jestem...

— Aresztuję pana.

Słowa te wywarły piorunujące wrażenie. Iwan Matwijowicz zbladł jak płótno i zdołał tylko wykrzyknąć:

— Boże!

Pietia stał z uśmiechem trochę ironicznym.

— Czy mogę pana zapytać za co?

— Dowiesz się pan w Kijowie. Proszę pana natychmiast ubrać się i pojedziemy.

— Iwan Matwijowicz stał, załamawszy ręce i tylko powtarzał:

— Boże! Boże!

W jednej chwili podoficer stanął przy Pieti i wyjął rewolwer, a równocześnie ukazało się na progu kilku żandarmów.

— Proszę nie ruszać się z miejsca.

Kapitan z galanteryą zwrócił się do Iwana Matwijowicza.

— Pan pozwoli, że w domu jego zrobimy rewizyę.

Przymusić oczy, niech pogodą świecą,
I z piosnką w ustach iść w-kroś przez płomienie,
I śmiać się—śmiać się, gdy żar w mózg się wwierca,
By tym, co mdleją w ogniach... dodać serca!

Są bowiem czasy, kiedy brząkać śmiechem
Jest obowiązkiem rycerskim pieśniarza;
I są godziny, gdy skarga jest grzechem,
Bo słabsze duchy znękaniem podważa;
Są dni, gdy śmiech jest życia manifestem
I bladej trwodze odpowiada: Jestem!"

Taką to nutą bił mych piosnek strumień,
Które wrzucałem pośród nocy głuchej
W popłoch dusz smętnych i strwożonych sumień;
I wiał od śmiechu mego wiatr otuchy,
Jak od światełka, co w stepie migoce,
Wątłe w pielgrzymach orzeźwiając moce.

I ztąd też płynie me do życia prawo,
Którego sekciarz mi nie weźmie lichy,
Żem rany serca, gdy broczyły krwawo,
Zaklinał w kwiatów wiosennych kielichy
I męstwem duchy w asbest przyodziewał,
By przez płomienie mogły iść... na przewał!

Więc kiedy mnie już pośród was nie będzie,
Nie mówcie o mnie, żem zasnął na wieki,
Gdzie bowiem zadrga życie — zawsze! wszędzie!
Duch mój tam stanie żywy! niedaleki!
I wianek róż tam położcie na stole,
Bo moje miejsce jest w żyjących kole!

Włodzimierz Zagórski.
(Chochlik.)

Listy Stanisława Moniuszki.

(Dokończenie.)

1858, m. luty 4 (16) d. Wilno.

Najzacniejszy Leopoldzie!

Najczulej dziękuję, żeś się ulitował nademną i napisał raz przecie do mnie. Już mnie jakieś szare myśli trapiły. Bardzo także mnie pocieszyła wiadomość o współczuciu warszawianek dla niegodnego ich sługi. Wiesz dobrze, kochany Leopoldzie, czem dla nas są pieniądze. Od powrotu z Warszawy ciągle przemyślam, jak się tu od przeklętego dawania lekcyi wykręcić, choćby na czas potrzebny do napisania partytury nowej opery. A przyznasz, że jedno z drugiem w żaden sposób pogodzić się nie może.

Lekcye zabijają mnie wyraźnie i zresztą, czasu przecież do pisania potrzebuję. Oczy moje nie dozwalają mnie przy świecy pracować, to więc tylko moje, co przez ranek zrobię.

A plan mam doskonały i Tobie jednemu w Warszawie powierzam, pod pieczęcią najgłębszej tajemnicy. Tak będzie: „Król chłopków", opera w trzech aktach, słowa Syrokomli i t. d. [1])

Prawda że to daje piękny afisz? Osoby: 1) Król, 2) Rokiczana, 3) Wierzynek, 4) Brozda, 5) wójt Łobzowiański, 6) Bartłomiej, stary kmieć, 7)Hanna jego córka, 8) Grzela, jej narzeczony, 9) Swat.[2])

W pierwszym akcie chór wieśniaków i tańce krakowskie; w drugim chór myśliwych; w trzecim tańce czeskie, chór wieśniaków. Treść pełna interesu, pogodna. Cały scenaryusz mojej kompozycyi. Znam niezgorzej scenę, więc o to nie kłopot.

Cała trudność w wydobyciu libretta od najroztrzepańszego, choć też i najzdolniejszego człowieka. Syrokomla wziął się z zapałem do roboty. Obyż wydołał! Potrzeba i mnie tylko czasu. Bo zapał do nowej pracy czuję coraz większy, w miarę, jak coraz bardziej łaskawi na mnie jesteście. Zapomoga pieniężna nigdyby w porę bardziej dopomódz mi nie mogła.

Miałem już jedno zapytanie na parę dni przed Twoim listem (który wlókł się dni 12-cie). Odpowiedziałem z całą otwartością i szczerością, którą zapewne za złe mi wziąć może jeden tylko Dobrzyński. Mój Boże! cóż to za człowiek! Jak to boleśnie, że nasz tak dobry dobytek i ten się jeszcze poniewiera. Przecież go szanujemy, cenimy, wielbimy co warte w nim. Po cóż tak deptać siebie, sądząc, że się tak drugich depcze, choć i to niebardzo zaszczytne. — Ani prywatnie, ani publicznie nie wypada nikomu z nas odpowiadać. — Bardzoście mądrze sobie doradzili, zaprzysięgając sobie milczenie. „Kto bredzi, nie ma odpowiedzi" i basta. Z Sikorskim nie ja zrywam, ale on sam odpycha mnie od siebie. Zresztą, pisał on do mnie raz, ja — dwa razy. Z czasem, da Bóg, wyperswaduję sobie, że nie każdy jest obowiązany odpowiadać na moje uczucia. To tylko wiem, że w „Kuryerku" żadnych dopominków robić nie będę. Jakże się cieszę, że pozbywacie się włoskiej opery! Toż to będzie przeduszniej na Waszej scenie, do której tak tęsknię, jak do kolebki nowego życia. Uściskam Cię, mój drogi, serdecznie. Proszę, pisz co najczęściej; powtarzam Ci, to jałmużna niezbędna dla mej duszy. Moja gromadka dziękuje Ci czule za wzmiankę o niej. Ja się Tobie bezpiecznie polecam.

Twój najwdzięczniejszy
S. Moniuszko.

Cząstki partytury już nie potrzebuję, a całą resztę odeślę nie dalej jak w tym tygodniu przez kogoś jadącego do Paryża. Uproszę go, ażeby ją złożył w księgarni Gebethnera. Tam ją znajdziecie.

Dobrze byłoby, ażeby Jędrzejewski egzemplarza nowo piszącego się nie składał w Bibliotece Waszej. Może się on przydać mnie zagranicą, jak skoro będę miał włoski przekład. Jeżeli istotnie projekt błogosławiony urządzenia koncertu przyjdzie pomyślnie do skutku, niezwłocznie udam się zagranicę, mianowicie do Pragi, dokąd mam ważne muzykalne interesa. A pojadę, rozumie się, na Warszawę.

[1]) Prawdopodobnie pierwszy tytuł „Rokiczany", opery z librettem Józefa Korzeniowskiego, której Moniuszko nie dokończył.

[2]) Osoby: 1 Król (Dobrski), 2) Rokiczana (Quatrini), 3) Wierzynek (Troszel), 4) Brózda (Stysiński), 5) Wójt Łobzowiański. 6) Bartłomiej, stary kmieć (Miller), 7) Hanna, jego córka (Rivoli) 8) Grzela, jej narzeczony (Matuszyński), 9) Swat (Panczykowski). (Przypisek autora).

Iwan Matwijowicz przyszedł nieco do równowagi.

— Po co mię pan pytasz o pozwolenie — zawołał gwałtownie — u was siła, u was prawo! Rób, co chcesz!

Kapitan, zdawało się, nie zwrócił uwagi na ten wykrzyk rozpaczy wobec przemocy, zawołał jednego z podoficerów i począł starannie przeglądać i przetrząsać przy jego pomocy wszystko, co tylko było w pokoju. Sprawnik stał w milczącej postawie na uboczu nieco, a Iwan Matwijowicz chodził zamyślony, przystawał na chwilkę i coś sam do siebie mruczał. Wreszcie przed sprawnikiem zatrzymał się.

— Ty masz dzieci? — zapytał.

Sprawnik zdziwiony tem zapytaniem, akcentem jego i ruchami Iwana Matwijowicza gorączkowymi, nerwowemi, przyjął je za jeden ze zwykłych wybryków nieprzytomnego człowieka, boć przecie Iwan Matwijowicz nietylko wiedział, ile dzieci ma sprawnik, ale jednego z synów, rowieśnika Pieti, sam do chrztu trzymał.

— Mam — odrzekł.

Iwan Matwijowicz odwrócił się nagle i rękę wyciągnąwszy, palcem na syna wskazał; stał tak chwilkę z wyciągniętą ręką, blady z oburzenia i gniewu, wreszcie zawołał ostro:

— Widzisz?... To samo z twojemi będzie!

Na te słowa sprawnikowi drgnęło serce, poruszone miłością rodzicielską, ale drgnienie to przygłuszył posłuszny urzędnik, który pragnął lojalność swoją okazać i wyrzec się wszelkiej solidarności z ludźmi, oskarżonymi o zbrodnię polityczną. Przybrał tedy postawę teatralną i wykrzyknął:

— Sam go w sałdaty oddam, jeśli nie będzie wierny Bogu i carowi!

Iwan Matwijowicz patrzył na niego pogardliwie.

— Bogu i carowi... — powtórzył, jakby pragnął umyślnie zaakcentować różnicę.

— Wy dziki człowiek jesteście, Iwanie Matwijowicz — zawołał sprawnik — nie wiecie, co to jest *zakon* — jedno słowo: *zakon*... Byliście przecie sami urzędnikiem.

Iwan Matwijowicz nie mógł jednak pohamować swego oburzenia.

Nie, ty jesteś dziki człowiek, ty, z twoim *zakonem* razem, który łamie ludzi i gniecie, nie w imię sprawiedliwości, ale w imię obawy przed sprawiedliwością!

W tej chwili kapitan trzymał w ręku tom „Dziadów" i oglądał.

— Czyja to książka?

— Moja — odrzekł Iwan Matwijowicz.

— Nie jest cenzuralną — zauważył sucho kapitan — zawiera obronę zbrodni przeciw porządkowi państwowemu i obrazę majestatu.

Powiedziawszy to, odłożył ją na boku stolika.

— Jak to? — zawołał z oburzeniem Iwan Matwijowicz — więc Polakom polskiej książki czytać nie wolno?

Kapitan zauważył spokojnie:

— Uczciwa ruska dusza oburza się na takie brednie.

— A polska i ludzka ze smutkiem i rozpaczą je czyta.

Kapitan począł znowu przeglądać papiery, książki, czytać listy, a Iwan Matwijowicz nerwowo wyrzucał z siebie wyrazy:

— To katy... oprieczniki... zbóje, trzeba mieć waszą krew, wyssać ją z mlekiem... ja nie mam... nie mam... trudno! Dusza buntuje się.. oburza się na to, co się dzieje...

Sprawnik zbliżył się do kapitana i szepnął:

— On już od pewnego czasu zdradza pewne pomieszanie... Dawniej pił dużo, teraz przestał nagle. Może to wpłynęło...

Kapitan nic nie odpowiedział.

Iwan Matwijowicz blady, z oczyma w przestrzeń utkwionemi, mówił, przerywając nerwowo wyrazy.

— To trudno.. trudno... zmieniłem wiarę, zaparłem się języka, ale krwi polskiej nie mogłem wytoczyć z siebie... nikt nie wytoczy... Polakiem jestem... Spałem... obudziłem się i kochałem tych, którzy cierpią...

Wyczerpany walką wewnętrzną, zbliżył się do kanapy i usiadł.

W tej chwili kapitan skończył rewizyę i zwrócił się do Iwana Matwijowicza-

— Pan jesteś także aresztowany...

Przemyśl, d. 16 stycznia 1896.

1858 m. luty 16 (28) d. Wilno.

Mój najzacniejszy Leopoldzie!

Z całego serca dziękuję, żeś się nakoniec zebrał na Twoje drogie, najpożądańsze dla mnie pisanie. Wiele ci rzeczy mam powiedzieć, ale bojąc się, ażebym czego nie pominął, kategorycznie sobie postąpię. Wybacz więc arlekińtwo tego listu, a coprędzej mi odpowiedz: 1. Rozeszła się wieść po tutejszym teatrze, jakoby pani Gruszczyńska, wziąwszy od Was dymisyę, ma zamiar przyjechać do Wilna. Na miły Bóg, choćbym ją rad widzieć u nas, życzę jej wszakże wszelkiej pomyślności, najprzychylniej radzę, ażeby się trzymała wielkiego ołtarza. To co o naszej operze piszą nasi korespondenci, wprowadza w widoczny błąd niektórych artystów. Owóż jak szkodliwą jest nieznajomość traktowanego przedmiotu w organach krążących publicznie!

Poczciwy nasz „Stysio“,[1] dla którego bym rad niebo przychylił, także zgłosił się do mnie po radę. Dałem mu ją otwartą, jaką mnie życzliwość dla niego podyktowała. Zostawcie to przy sobie. Piszę to tylko w bezbrzeżnem zaufaniu i widząc w Was, mój drogi Leopoldzie, wyraźnego Anioła Stróża opery naszej. Piękną zaprawdę kartę wybraliście sobie w dziejach muzyki polskiej. Oddzielać się od grona artystów waszej sceny nie widzę pory mniej stosownej.

Gdy już mowa o operze, więc parę słów o „Halce“. Przerwa przedstawień mojej opery zmieszała mnie trochę. Z początku sądziłem, że kto z artystów chory, ale kilkakrotne przedstawienie „Żydówki“ dało mi znowu do myślenia. Doczytawszy się nareszcie, że w „Halce“ Miller zastępuje Troszla, domyśliłem się, że nasz zacny pan Wilhelm cierpiący być musi, bo żeby na Stolnika miał być nie łaskaw, to nie przypuszczam ani na chwilę. Zasmuciła mnie wiadomość w „Ruchu“, że Keller nie tęgo brał się do Janusza. A teraz znowu pocieszyłem się, że na ostatniem przedstawieniu trzykrotnie był przywołany. Musiał się więc odchwycić.

2. Partyturę „Halki“ (orkiestrową) miałem przesłać przez kogoś jadącego do Warszawy, ale ten ktoś zawiódł mnie szkaradnie i dotychczas nie tylko że nie wyjechał, ale Bóg wie, kiedy się ztąd wybierze. Więc pocztą pod Twoim adresem wyślę akt 3-ci i 4-ty. A mnie za to za pośrednictwem p. Gebethnera przyślijcie partyturę „Uwertury“, którą Gebethner życzy sobie mieć ułożoną na 4 ręce. Więc czekam.

3. Jakże tam sobie radzicie z „Hugenotami“? Powiedz mi otwarcie, ażalibyś nie potrzebował fortepianowej partytury tej opery. Jużci byłaby się ona Wam przydała. Radość mnie sprawisz, jeżeli zgodzisz na to, ażebym Ci mój porządny lipskiego wydania dwutomowy egzemplarz, przysłał do pomocy. Byłbym sobie roił, że choć tą drobną posługą przyczyniam się do Waszej poczciwej pracy! i tak byłbym choć w marzeniu... szczęśliwy.

4 Kondratowicz zawiódł mnie szkaradnie. Nic nie pisze do mego libretta. Wymacaj, proszę, Chęcińskiego, czyby nie chciał sprobować? Po Wolskim jemu tylko mogę ufać. Zna scenę, zna formy, język przewyborny, poczciwa dusza, to rozumiem. Anasz Syrokomla!.. Płacz bierze, mówiąc o nim. 5 Co słychać o owym koncercie?) Drożej cenię Wasze współczucie, nad wszelki jakiby mógł być rezultat jego. Ale też i pieniędzy bardzo potrzebuję. Tyle dałoby się zrobić przy wolniejszym czasie! a tu... biegać muszę po godzinach i po jakich jeszcze! Nie jestem wprawdzie na wysokościach Dobrzyńskiego, ale takich lekcyi, jakie ja zmuszony dawać jestem, bardziej nienawidzę niż on „Kamaryllę! Cieszy mnie niesłychanie powodzenie Jędrzejewskiego w „Halce“. To dowód, że element, którego on tam doskonałym jest uobecnieniem, zajmującym być nie przestał. Otóż jeżelibyś przyjął mój Clavierauszug do Hugonotów, przysłałbym Ci go przez księgarnię Zawadzkiego.

Odpiszże jaknajprędzej, wielce mnie tem pocieszysz. Chciej pozdrowić serdecznie wszystkich ludzi dobrej woli i polecić mnie łaskawej ich pamięci. Ażem podskoczył z radości, wyczytując w Kuryerku, że Rivoli Dobrski po dwanaściekroć wywołani po „Halce“! Więc się jeszcze trzymamy! Wierz, kochany mój Leopoldzie, że o takiem powodzeniu ani marzyłem. Czy też dyrekcya nie zechce mi czemkolwiek dopomódz.

Rozeszła się tu pogłoska, że ja otrzymuję tantiemy, tak jak to już i w Petersburgu weszło we zwyczaj. Liczą więc na palcach ilość przedstawień „Halki“ i zaczynają niżej mi się kłaniać. A moje tantiemy!!! oprócz prawa do nich nic nie mam, nawet pretensyi. Uściskam Cię serdecznie i Twoją Rodzinę również pozdrawiam.

S. Moniuszko.

[1] Stysiński artysta opery

[1] Z inicyatywy i za staraniem p. Maryi Kalergis, następnie małżonki p. Muchanowa, prezesa teatrów, wielkiej wielbicielki Moniuszki, dano w Warszawie koncert w d. 25 marca 1858 r. Znaczny dochód osiągnięty z tego koncertu, posłużył Moniuszce na wyjazd zagranicę.

Pierwszy dramat Ibsena.

Działalność Ibsena to jeden protest przeciwko owej moralności społecznej, która formułki posiada dla jednostek, nic różniących się niczem od typu codziennego, — która niema miary dla ludzi odrębnych czy usposobieniem, czy tylko warunkami zewnętrznemi, w jakich się znajdują. Walka między moralnością społeczną a indywidualną, — kolizya między odwiecznym porządkiem rzeczy a potężną wolą jednostki, wieczna niesprawiedliwość, z jaką świat wypowiada wyrok, gdy nie umie wniknąć w bogatą motywacyę człowieka, — wszystko to idea przewodnia całego szeregu dramatów i poematów dramatycznych Ibsena.

*MAJAK.**)

MŚCICIEL.

Tysiąc razy sobie powtarzał, że go to nic nie obchodzi, wie dobrze, że jeszcze drugi tysiąc razy to samo powtórzy, a nie uspokoi się. To jest rozpaczliwe; ma świadomość, przekonanie, iż nie wyprze z siebie tego jednego wrażenia, pod którem pozostaje od kilku miesięcy. Gdyby mógł, postawiłby mur chiński pomiędzy siebie i swoje myśli. A przy tem ta ciągła walka, czy powiedzieć Lorysowi, czy zamilczeć? Ten tam jest szczęśliwy póki nic nie wie, gdy dowie się runie całe jego szczęście. Narzucają mu się dwa pytania, czy Lorys jest rzeczywiście szczęśliwy, dalej, czy to wszystko co widział, nie było jakąś halucynacyą, złudzeniem podrażnionych jego nerwów. On wie, że jest nerwowy, lecz obecnie nie wgłębia się w przyczyny swej nerwowości, lecz trzyma się owych dwóch pytań. Zaczyna trzeć ręce, potem głowę, jakby się chciał otrzeźwić, przywrócić w sobie spokój, równowagę, usposobienie do bezstronnego sądzenia. Mówi, żeby mu się nić myśli nie plątała, półgłosem.

— Czy on jest szczęśliwy?

— Ha! zajrzeć do duszy jego nie mogę, lecz wszystko mówi za tem, że tak jest.

— Zawsze jest dla niej czuły, kochający — osieł!

— Hm — poprawia się — ten sąd ostatni nie jest bezstronny.

— Muszę przyjść do jakiegoś wniosku — mruczy dalej naciągając z niecierpliwością palce i sumując i układając prędko i energicznie wszystkie fakta i zdarzenia, które zauważył w ich pożyciu małżeńskiem. Jeszcze chwilę łamie się z sobą, pasuje, napręża — wreszcie woła jakby mu to ulgę sprawiało: — Lorys z nią jest szczęśliwy — a więc konsekwencya prosta: *nie powiem.*

Cieszy się jak małe dziecko, że doszedł do tego wniosku. Ledwo doszedł do niego, już znowu w nim budzi się skrupuł, odpędza go, czuje, że gdyby jeszcze raz zaczął rozumować, doszedłby do innego wniosku: że chociażby wiedział, iż Lorys jest szczęśliwym, to obowiązkiem jego jako przyjaciela, powiedzieć Lorysowi o wszystkiem. Jakżeż bo, on, przyjaciel Lorysa, miałby znieść, że Lorys żyje z kobietą, która.... Nie kończy zdania, myśl sama obrzydzenie mu sprawia. Zrywa się z krzesła wstrząsa się, jakby chciał się pozbyć czegoś nieprzyjemnego.

Lecz nagle mu przychodzi myśl, że on jeszcze nie powinien o niej myśleć tak źle, bo może to wszystko było halucynacyą, złudzeniem, on sam nie wie czem, bo w tej właśnie chwili, kiedy chce w siebie wmówić, że to wszystko tylko fikcya, że to jego przedrażnione nerwy figla mu spłatały, występuje ów epzoid tak wypukle przed jego okiem, że mógłby ich modelować, pamięta deseń tapetu, łagodny półton światła, zalegający pokój, przypomina sobie wyraźnie nawet ten zapach perfumu, który powonienie jego podrażnił, rozkoszny, namiętny, zmysłowy.

— Tak! tak! to wszystko było — mówi do siebie, a jednak chciałby powiedzieć: *nie wierzę*, lecz szepta tylko: *chciałbym nie wierzyć.*

Przypomina sobie wczas, że bynajmniej nie chce wrażenia otrzymanego pogłębić, najchętniej o niem zapomniałby, lecz ma rozważyć, czy ona, Etelka, żona Lorysa, była do tego zdolną.

Znał ją dobrze, była płytka, zalotna lecz dumna. Widywał ją na salonach jej ojca, radzcy legacyjnego. Pamiętał te salony wykwintne przy Schotenringu. Pamiętał te bogactwa, tylko zawsze mu się zdawało, że po za temi wspaniałemi egzotycznemi kwiatami, za ciężkiemi portyerami, była ukryta sztucznie zewnętrznym przepychem szara nędza, taka szara, że wrażenia jej nie zdołał w niem zagasić blask żyrandol odbijających się tysiącami brylantowych refleksów w kryształowych lustrach i lśniących płytach posadzki. Pamiętał tego radzcę legacyjnego, układny był, uprzejmy, o spokojnem obliczu. Nie przypuszczał atoli, aby to gładkie oblicze było zawsze tak równe, on dostrzegł tam jakieś cienie łamań i pasowań się z sobą. Był przekonany, że ta twarz jest inną, gdy wyjdzie po za towarzyskie koło salonu. Raz jeden tylko — podczas rautu — zabłąkał się do jego pracowni, krótki moment podpatrywał go w je-

*) Za pseudonimem „Majak“ ukrywa się jeden z młodszych publicystów poznańskich. Przyp. Red.

Już w najpierwszym swoim dramacie, Catilinie, który stworzył w 21 roku życia, Ibsen podejmuje walkę, w której nie ustał w czasie 48 lat. Przygotowywał się w owym czasie, jak sam powiada w przedmowie do drugiego wydania Catiliny, 75-go roku, do egzaminu uniwersyteckiego, w małem miasteczku norweskiem, Grimstad. Czytał Cicerona i Sallusta, i charakterystycznem jest, że za pierwszem zetknięciem się z historyą rzymską, umysł jego zajął nie kto inny, jak anarchista, w pełnem znaczeniu tego słowa, pierwszy w starym Rzymie.

Stary, niewolniczo usposobiony wobec senatu, chwiejący się już w dawnej cnocie wojennej, Rzym po jednej stronie, po drugiej patrycyusz, występujący sam do walki z senatem i legjami jego, — oto obraz, który zajął wyobraźnię młodego studenta. W epoce 48-go roku, w czasie rewolucyi wojen madziarskich i szlezwicko-holsztyńskich zdawał się w Europie całej duch wolności rwać z kajdan, w które zakuła go groza. Ibsen żył ową atmosferą, pisał sonety na cześć króla Oskara i gorące epigrammy do Węgrów, a wszystkie te wiersze, jak mówi, sprawiają mu największą radość dla tego że ich nikt nie czytał. W usposobieniu takiem powstał pierwszy dramat jego: Catilina. Przeczytał go w gronie kolegów i znalazł ogromne uznanie; jeden przepisał starannie brulion, drugi zawiózł go do Chrystyanii, przedstawił dyrekcyi teatru, robiąc autorowi w liście największe nadzieje

— Nie wątpię o tem, pisze, że teatr dramat twój wystawi, gdyż w skład dyrekcyi wchodzi kilku rozsądnych ludzi.

Po dość długiem czekaniu, otrzymano z Chrystyanii odpowiedź odmowną. Własnym nakładem wydał więc młody autor pierwszy swój utwór, który nie znalazł żadnego poklasku; w czasach biedy studenckiej sprzedano ostatnie zeszyty nakładu na makulaturę. Dopiero 25 lat później autor, stojący już na wyżynie swojej karyery literackiej, zaopatrzył „Catilinę“ przedmową, tu i owdzie poprawił dramat, zaokrąglił i rzucił w świat po raz drugi. Przekład niemiecki ukazał się dopiero w najświeższym czasie.

Catilina Ibsena to kontrast zupełny tego zdemoralizowanego bandyty, jakim go Cicero przedstawia. Idealista gorący, marzący wśród zepsucia i zniewieściałości współczesnego sobie świata o starym Rzymie Catonów, o rycerskiej dzielności dawnych wojowników. takim przedstawił się Catilina młodzieńczej wyobraźni poety. Bohater to Ibsenowski z krwi i kości; poucza zaś ten objaw, jak rychło indywidualność poety znalazła odpowiednie sobie formy tworzenia, przynajmniej w głównych zarysach. W szczegółach i zewnętrznej formie Catiliny Ibsen nie jest jeszcze sobą, nie posiada jeszcze owych charakterystycznych rysów, ktore sprawiły, że poeta norweski w literaturze dramatycznej wytyczne zajął stanowisko, że historya rozwoju dramatu i jego techniki imię Ibsena łączy z imieniem Aischylosa, Szekspira, Corneille'a, Szyllera

Jeden z takich charakterystycznych rysów Ibsena, który na twórczość dramatyczną wywarł wpływ w Niemczech i Francyi, — to jego sposób prowadzenia dyalogu. Człowiek, stojący na wyżynach kultury 19-go wieku, wyraża się zupełnie inaczej, jak to czyni indywiduum mniej zróżniczkowane. Człowiek współczesny nie wypowiada wszystkiego, co w duszy nosi, uczucie, narażone na pośmiewisko nieraz, kryje się głęboko w sercu. Stosunki i formy towarzyskie wytworzyły konieczność ukrywania własnych myśli pod oponę obojętności, ciągłej równowagi. Mówiąc, pragniemy postawić się w pewnem świetle, które nader często nie odpowiada rzeczywistości. To rozumowanie, a raczej spostrzeżenie życiowe, przeprowadza Ibsen genialnie w swoim dyalogu. Rozmowa w jego dziełach toczy się około najcodzienniejszych rzeczy, uczucia ludzi, ich wewnętrzne życie, nie są gadatliwe. Tylko mimowoli raz po raz przebłyska w tej szarej rozmowie oderwany promień, bijący prosto ze serca mówiącego. Mimowoli zdradza się mówiący w gwałtowniejszem wzruszeniu, kiedy skupiony, aby go nie okazać, zapomina, że i sposób stawiania pytań, powtarzanie tych samych słów, urywanie zdań, ton, głos drżący, — wszystko to świadczy wyraźnie o wewnętrznem jego usposobieniu. Dla tego dramaty jego na pierwszy rzut oka są tak mistyczno tajemnicze. Z kilku oderwanych, mimowolnych napomknień, z niewyraźnych odcieni mowy skleić cały zupełny charakter, to rzecz, wymagająca doskonałego poczucia dyalogu i wybornej znajojomości ludzi.

Druga jego właściwość polega na danej mu w wysokim stopniu zdolności uogólnienia przedmiotu. Zdaje nam się, gdy dzieło jego mamy w ręku, że cały świat zześrodkowuje się w tych kilku dyalogach. Wątek dramatu jego to jakby jedna z niezliczonych analogii, które zapełniają świat i życie, — które w nieskończoność przeprowadzić się dadzą, przyłożyć do niezliczonych faktów życia. Gdy mówi o najprostszych rzeczach, słowa jego sięgają dalej, obejmują coraz szersze kręgi i napawają nieraz strachem, że tak samo wszędzie na świecie, że nigdy lepiej nie będzie, — nieraz brzmią jak protest nie przeciw osobom, do których zmierzają bezpośrednio, tylko przeciw światu całemu, że do podobnej nędzy i nieskończonej rozpaczy doprowadza.

Tych dwóch przymiotów Ibsena Catilina nie wykazuje jeszcze zupełnie. Rozwodzą się szeroko ludzie o sobie. Catilina w długich tyradach opowiada o swoich snach, swoich obawach; Lentulus nie zadaje sobie przymusu, aby ukryć wobec towarzyszów niechęć dla wodza spisku.

O ile jednak co do formy Ibsen w pierwszym swoim utworze nie stoi jeszcze na wysokości późniejszej techniki, o tyle jest od razu sobą, co do atmosfery, jaką tchną wszystkie jego dzieła. Ciekawą jest kwestyą, o ile późniejsze filozoficzne, wyrozumowane przekonania objawiają się pierwotnie w formie nieujętych, nieumotywowanych jeszcze poczuć w usposobieniu. Późniejszy pesymizm Ibsena oparty jest na umotywowanych poglądach. W walce jednostki z wiecznym porządkiem rzeczy, z wolą tłumu giną najlepsze siły, najpotężniejsze indywidua idą na

---

go sam na sam. Nie poznał go. Ten, co tam siedział, to człowiek złamany. Lustro na biurku, przed którem siedział, odbijało dokładnie twarz jego. To miał być ów spokojny, wykwintny gospodarz? Ta twarz z cierpkim wyrazem, niemej bezgranicznej rozpaczy? — Przed sobą trzymał jakiś papier. — Chwilę go tylko obserwował, potem się cofnął. — Radzca krótko potem zjawił się w salonie, spokojny, uśmiechnięty.

Od tej chwili był prawie przekonany, iż w domu tym nurtuje robak, iż śliska, lśniąca posadzka jest pokrywką wulkanu, który lada chwila wybuchnie, grzebiąc wszystkich w lawie i żużlach, chyba, że znajdzie się ktoś, kto ten wybuch powstrzyma. Dalej przypomina sobie oficera od ułanów. Viveur to był — mówiono o nim, że był dobrym chłopcem, lecz lekkomyślnym. Nigdy temu nie wierzył, przeczuwał w nim zgniliznę zupełną, taką, jaką tylko dać może wyuzdana żądza używania, podniecana zepsuciem wielkiego miasta. Żądza, która się przetwarza w nałóg, tłumi wszelkie najdrobniejsze objawy tego, co nazywamy moralnością, żądza taka złudna i lśniąca jak tło bagniska, zielone, rozkoszne, lecz gdy je ruszysz cuchnące i brzydkie brzydotą trudną do określenia, bagnistą, przegniłą. Wtenczas mówiono, że panna Etelka, owa błyszcząca, jak ogień fosforyczny, upajająca jak narkotyk, a zimna jak marmur panna, spogląda na niego czulej niż na innych. Raz nawet kiedyś w winiarni ktoś głośno powiedział, że ma potajemnie z nim schadzki; dalej mówić mu nie pozwolił. Opanowała go taka wściekłość, iż zamknął mówiącemu usta ręką. Przypomniał sobie bowiem ową czystość królewską, która od niej biła i matkę poważną, ascetyczną matronę. Miał potem pojedynek, wie dobrze, iż ciął oszczercę po twarzy. Teraz jeszcze odczuwał w ręku jakby rezonans tego ciosu, jakby uderzył prętem po aksamicie — i potem przeciwnik się cofnął wylękły, przerażony, oczy tylko jarzyły się nienawiścią. Dzisiaj prawie tego żałuje. Lecz nie czuje żalu, dobrze zrobił. Gorzko się uśmiechnął. Ręką machnął w powietrzu, jakby sobie przypomniał owo cięcie. Dalej był tam syn, człowiek ponury, ciemna postać, nędznik zupełny, którego nędzotę tylko ojciec niesłychanemi ofiarami pokrywał.

Gdy zesumował rezultat charakterów, otaczających Etelkę powiedział sobie, iż żyła w otoczeniu sztucznie tylko czystem, wokoło niej jednakże unosiła się atmosfera zepsucia. To ją uniewinnia. Głupstwo. Jak to ją uniewinnić może? Przecież w takiej atmosferze wyrastają także istoty czyste, jak lilia wodna na bagnistym gruncie.

Potem ów oficer zniknął nagle z widowni, połobno dla długów przesadzono go gdzieś do Bośnii; syn znowu na dalsze studya wyjechał do Paryża, zresztą fizyogomia domu się nie zmieniła. Wszystko było równie swobodne, jak dawniej, matka równie ascetycznie poważna, córka więcej niż dawniej fascynująca błyskiem oka, o nieco zimnym ogniu, matowym głosem dyskretnej, salonowej causerie, świetnej, wijącej się jak żmija, i niepochwytnej jak ona, a przykuwającej jak wzrok węża czychającego na ofiary. Radzca legacyjny na jotę się nie zmienił.....

*   *   *

Szary mrok padał do jego kawalerskiego mieszkania. Służący chciał wnieść światło, odprawił go. Wspomnienia jego robią się sentymentalne; te półcienia bez żadnych załomów, szerokie, jednostajne, ciche, smutne i przytłumione kołyszą go niejako, pozwalają mu się oderwać od teraźniejszości. Rzecz dziwna, że człowiek, który już się zużył w uczuciu, przywięzuje się do istoty, którą kochał, chociaż wie, iż tego niegodna.

On ją kochał wtedy nerwami, sercem głową, kochał ją wiedząc, że nigdy nie nazwie ją swoją, kochał ją, z całem pożądaniem potęgi młodzieńczej, wbrew rezygnacyi, do której wiedział, że będzie zmuszony. Kochał zupełnie bez nadziei, gdyż ani ona mu nie była wzajemną, ani jego położenie nigdy nie będzie takiem, aby mógł wziąć na swe barki uregulowanie losu rodziny. To bowiem było jasnem, iż panna ma zrobić dobrą, bardzo dobrą partyę. A pomimo tego, że w oczach jego dzisiaj była skalaną, wstrętną, czuł jeszcze wdzięczność dla niej, że go kiedyś natchnęła potęgą wielkiego uczucia, że go zrobiła takim jakim był, nerwowym, przedraźnionym, prawie nieszczęśliwym. Gdyby nie ona nie uczułby nic, jej zawdzięcza, że czuje.

Był tam jego przyjaciel, — inżynier młody, z bardzo szlachetnem sercem, z bardzo brzydką figurą i z twarzą niepiękną, lecz z wielkiem dla niej zaślepieniem i z takiem dla niej uwielbieniem, jaką czują

marne. Oto przyczyna niezliczonych kolizyi dająca mu pohop do czarnej nieubłaganej krytyki, która z kolei nadaje utworom jego ów ponury charakter, przypominający Euripidesa i odwieczną „Ate".

Atmosfera ta ciemna otacza już jego młodociany utwór. I wątpiąc, czy doświadczenie życiowe, poparte rozumowaniem, doprowadziło 20-letniego autora do tego pesymizmu, zamiłowania w czarnych barwach, przypisuję przyczynę tegoż bardziej usposobieniu Ibsena, autora satyrycznego „Peer Gynta" i „Komedyi miłości".

Bohaterką dramatu jest Furya, westalka, — mszcząca się na Catilinie za pohańbienie siostry. Przysięgła mu zgubę i całą istotą oddała się przeprowadzeniu tej zemsty. Kobietę tę przedstawia Ibsen jako uosobienie mściwości ponurej; nie ma w niej nic, prócz jednej myśli i jednego wrogiego pragnienia. Nazywa ją Nemezis, cieniem Catiliny i napół mistycznie łączy ją z pojęciem fatalizmu, nieubłaganej konieczności. — Tak w drugim akcie, kiedy Furia zbliża się do Catiliny, kłamiąc przyjaźń, rozgrywa się następujący dyalog:

Furia:.... Jedno niewzruszonem jest w życiu i śmierci.

Catilina: Cóż to? Mów.

Furia: Los twój, Catilina.

Catilina: Los mój znają tylko odwieczni bogowie, lecz żaden z ludzi.

Furia: Cieniem twoim jestem, — i znam go.

Jest ona duszą dramatu, osią, w około której akcya cała się grupuje. Z westalką tą przekleństwem jakiemś losu łączy Catilinę węzeł, którego on rozerwać nie może, a który ona zadzierzga coraz silniej. Wśród pochodu kapłanek Westy ujrzał ją na rynku rzymskim; że była jakby uosobnieniem jego pragnień, że widział w oczach jej dumę patrycyuszek dawnych i siłę mężów ze stali, więc odtąd opanowała jego istotą. Porywał go polot jej silnej duszy, a że wśród wszystkich Rzymian młodych Catilina jedyny jeden (którego pierwotnie nie znała z nazwiska) był mężem hartu, więc na schadzce w świątyni Westy stanęło pomiędzy nimi przymierze, że odtąd razem działać będą i zmierzać do upragnionego celu: odbudowania dawnego Rzymu z dzielnością jego dawną i wytrwaniem. „Tobie jednemu wierzę — mówi kapłanka — przyrzeknij mi jedno, przysięgnij, że dotrzymasz słowa.... Wiem że w Rzymie żyje człowiek, któremu do grobu zaprzysięgłam nienawiść... Bądź i ty jemu wrogiem, jak ja. Będziesz?"

Catilina składa w ręce bogów przysięgę; wtedy wydaje się westalce, że on, nie kto inny jest owym nienawistnym jej człowiekiem, — on, w którym sprzymierzeńca swego widziała. W uniesieniu zapomina o otoczeniu całem, o ogniu świętym, na którego straży stać winna, a gdy po wejściu Catiliny zjawia się chór kapłanek, zastaje ogień święty zagasłym. Furię za zbrodnią tę czeka śmierć najokropniejsza, bo pogrzebanie żywcem.

Tymczasem Curius, młody przyjaciel i wychowanek Catiliny, który tak samo, jak tenże nie oparł się urokowi kapłanki, ratuje ją od śmierci okrutnej, uprowadzając z grobowca, w którym już była zamknięta. W ten sposób powstaje Catilinie mścicielka nieubłagana.

Catilina jest znudzony swem życiem hulaszczem i zrozpaczony nieziszczalnością swych pragnień. Oddaje więc ostatek fortuny weteranom pozbawionym ziemi, i wraz z dobrym swym duchem, małżonką Aurelią, postanawia uciec na kraj świata, choćby do Gallii, zapomnieć o tem, czem byli w Rzymie, i czem zostać mógł Catilina. Naprożno spisek młodych patrycyuszów, niezadowolonych z niedostatku, w jaki po roztrwonieniu majątku popadli, oddaje mu przywództwo. Aurelia tym razem zwyciężyła. Lentulus ma zostać głową rewolucyi. Tymczasem zjawia się Furia, kłamie przyjaźń wobec Catyliny, i za jej namową obejmuje bohater dramatu naczelne stanowisko w spisku.

Curiusowi oddanemu jej wielbicielowi, przeznacza Furia rolę Brutusa. Obiecuje mu siebie, jeżeli zdradzi Catilinę. Za tę cenę Curius zapomina o miłości i przyjaźni dawnej ku opiekunowi swemu. Gdy Catilina stoi obozem, daleko od miasta, za sprawą Curiusa otacza go wojsko rzymskie. Wyznaniem pragnie młody Curius zmazać winę swoją i otrzymuje wspaniałomyślne przebaczenie, nie zdradzając pobudki czynu swego.

W walce na śmierć i życie padają wszyscy sprzymierzeńcy spiskowca. Catilina sam zostaje przy życiu. Ale zostaje i Furia, ponure zemsty wcielenie. Od rozpaczy każe Catilinie uwolnić się śmiercią, a że i w Aurelii widzi łącznik z przeszłością powinna więc zginąć i Aurelia. Catilina zabija żonę a w pierś jego wpycha sztylet „Nemesis" ziszczając przepowiednią, że zginie zarazem z obcej i własnej ręki.

Takim jest koniec utworu. Czy Catilina jest prawdziwie dramatycznym bohaterem, oto pytanie, które natarczywie nasunąć się musi. Jego zupełna zależność od Furyi, niby od fatum starożytnego, podaje w wątpliwość dramatyczność charakteru. — z drugiej jednak strony pamiętać należy, że lubo Ibsenowski Catilina pokutuje bezpośrednio tylko za te winy, które właściwie spowodowała westalka, to pokuta jego obejmuje także całe przeszłe życie.

I. Dręski.

Z literatury rusińskiej.

Towarzystwo imienia Szewczenki.

Kto śledzi uważnie rozwój literatury rusińskiej w ostatnich czasach, ten musi przyznać, że zrobiła ona wielkie postępy. Do niedawna jeszcze była literatura rusińska w Galicyi, a tem bardziej na Ukrainie, rośliną tak wątłą i słabą, że nawet sami jej zwolennicy nie bez obawy spoglądali w przyszłość. Nie mogąc się rozwijać, w Rosyi, gdzie mieszka $^5/_6$ narodowości małoruskiej, a gdzie oprócz cienkich broszurek treści be-

---

ułomni dla klasycznie pięknych kształtów. A może to jest tylko żądza zepsucia, zdysharmonizowania swojem zbliżeniem regularności linij? Może to tylko zazdrość budzi w nich żądzę wielką, niepohamowaną? Ten jego przyjaciel Lorys był milionerem, on jeden miał z tych wszystkich, którzy się koło Etelki kręcili, dosyć szerokie barki, aby ponieść na nich wszystkie grzechy całej rodziny. Stało się, jak się stać musiało. Był ślub wspaniały, arystokratyczny. — wszystko odbyło się przyzwoicie. Ojciec pana młodego uregulował stosunki, — poczem syn radzcy legacyjnego na dalsze studya wyjechał do Ameryki, ojciec Lorysa nie chciał, aby szwagier jego syna nosił na sobie piętno fałszerza, nie chciał, aby radzca legacyjny teść jego syna, tracił swój spokój, matka ascetyczną powagę, lecz nadal zamknął kieszeń...

On bywał dalej u swego przyjaciela Lorysa. Przypuszczał, że Lorys jest szczęśliwy, bo otrzymał cacko, którego pragnął. Kochał swego przyjaciela z przyzwyczajenia i dla jego szlachetności. Nie zwracał zrazu uwagi na jego pożycie domowe, lecz po tem, czego się dowiedział, niewyraźne wspomnienia zaczęły w nim przybierać wyrazistsze formy. Majaczyła mu jej twarz, z wyrazem powstrzymanego siłą woli wstrętu, gdy Lorys zbliżał do niej się z pieszczotą. Było to ważne indicium. Jednakże nie umiał sobie zdać sprawy, czy spostrzeżenie to dopiero w chwili obecnej przybrało w nim formę pewną, czy też dawniej już w nim drzemało.

Te rozwagi naprowadziły go na myśl, iż na fałszywą wszedł drogę, chcąc ocenić jej winę. Gdy zacznie liczyć i zbierać refleksye wewnętrzne, wyrobi sobie na pewno przekonanie, że ona zdolną była do tego czynu, bo już dzisiaj nie umie sądzić bezstronnie, objektywnie. Wszystkie bowiem jego spostrzeżenia zabarwiły się jaskrawo owem spotkaniem. Fakta więc same będzie sumował.

Aha! Kiedy to pierwszy raz się spotkał po długiem niewidzeniu z owym oficerem od ułanów, którego widok przywodził mu na myśl bagno lśniące zielenią pokryte?... Wszedł pewnego razu do cichego domu, który jednakże cichym był tylko pozornie bo musiał się ukrywać z życiem, jakie w nim wrzało. A jakie tam życie było? — Grano. A jak grano! Pod wpływem wina i spojrzeń bachantek. — Rzadko on tam zachodził, zaledwo raz lub dwa razy do roku, i to wtenczas, gdy mu najwięcej ciążyło życie, gdy mu świat cały najwięcej obrzydł. Wchodził tam, aby jeszcze więcej wstrętu nabrać do świata, do ludzi, aby w sobie utrwalić przekonanie, że wszystko na świecie nędzne, a mianowicie ludzie. Widok ludzi wyzutych z wszystkiego, co człowieka uszlachetnia, zezwierzęconych pod wpływem rozszalałych nerwów, pobudzonych hazardem, alkoholem, atmosferą zepsucia, potwierdzał w nim jego wstręt do nich. Sprawiała mu dziką rozkosz świadomość, iż jego zapatrywania zgadzają się z rzeczywistością. Dla tego tam chodził, a może ulegał zwykłemu pociągowi podrażnienia przytępionych nerwów tem czemś, czem powietrze, salon takich towarzystw przepełniony...

Za stołem zielonym siedział wówczas mężczyzna o wyrazie twarzy i układzie, który interesuje siłą swego zepsucia, wyniszczenia, nicości. Był w nim cynizm bezgraniczny, przeżycie zupełne. Tak, on już nie zdolen był do odczucia jakiejkolwiek rozkoszy, lecz właśnie dla tego, że się to tak wyraźnie uwydatniało, budził chęć w histerycznych naturach pobudzenia go tak silnie, iż jeszcze ją odczuje.

Przyglądał mu się pilnie. Twarz mu była znajoma, lecz wówczas go nie poznał. Wie teraz o tem dobrze. Poznał go dopiero wtenczas, gdy z nią go ujrzał.

Od tego spotkania minęło kilka tygodni. Przechodził przez plac św. Stefana, dążył bez celu ku Praterowi. Przypadła do niego dziewczynka.

— Panie doktorze! panie doktorze! Matka moja — płacze dziewczynka — przecięła rękę, krew, ach krew idzie, dużo krwi...

Nie wie, zkąd go to dziewczę zna, może leczył jej matkę? Jego praktyka, to praktyka robotników, nędzarzy. Dąży za nią, dziewczę prowadzi go w podwórze. Wchodzi na jedno, drugie piętro, biegnie przez długi, szarawy korytarz słabo oświetlony. Zaduch nędzy czuć wszędzie. Izdebka ciasna, wązka. Okno wychodzi na małą przestrzeń zarzuconą węglami, szyby czarne od ich pyłu. Na tapczanie leży uboga wyrobnica, blada, prawa ręka jej opuszczona, z niej słabym strumykiem sączy krew. Kto wie czy to tylko przypadek? Może to samobójstwo? Nie czas w to wchodzić. Bada ranę, podwięzuje arterje przecięte, posyła

letrystycznej żadna książka rusińska nie może ujrzeć światła dziennego, literatura całej Rusi-Ukrainy skazana jest na nędzny żywot w Galicyi, zkąd tylko przypadkowo jakaś książczyna za kordon się przemknie. Nawet niewinne pismo beletrystyczne „Zorja“, nawet pisemko dla dzieci „Dzwinok“ utraciły debit w Rosyi...

Pomimo to wszystko świadomość narodowa Ukraińców wciąż wzrasta, a razem z tem zwiększa się i liczba autorów małoruskich z Rosyi, którzy drukują swe utwory w Galicyi. Z każdym rokiem wzrasta liczba wydawnictw rusińskich. Literatura rusińska pomału przestaje być kopciuszkiem prowincyonalnym i chyżym krokiem zdąża za literaturami innych, szczęśliwszych narodów. Język małoruski, który do niedawna był używanym jedynie w beletrystyce, zwolna staje się już zdolnym do wypowiadania rzeczy ściśle naukowych, wyrabia się stronnictwo naukowe, pojawiają się małoruskie rozprawy naukowe. Język naukowy kształtuje się w Galicyi, gdzie mowa rusińska rozbrzmiewa i z mównicy sejmowej i z katedry uniwersyteckiej. Ukraińcy, nie mający w domu sposobności tworzenia języka naukowego, korzystają z prasy Galicyan i przyjmują ich nomenklaturę.

W r. 1893 istniejące od lat kilkunastu „Towarzystwo imienia Szewczenki“ zostało przekształcone na instytucyę, która miała się zaopiekować nauką rusińską i stać się zaczątkiem Akademii umiejętności. Dwa lata minęły od tej chwili, a „Naukowe Towarzystwo im. Szewczenki“ może się już poszczycić bardzo donośnemi wynikami swej pracy.

Nie bez obaw przystępowano do pracy w nowym kierunku. Wątpiono o tem, ażeby na Rusi mogła się rozwinąć działalność naukowa na szerszą skalę. Brak było funduszów, — brak pracowników. Dwa pierwsze tomy „Zapisków“ przedstawiały się dość słabo. W działalności „Towarzystwa“ nie było jeszcze żadnego z góry wytkniętego kierunku.

Ale już wkrótce „Towarzystwo“ poczyna się widocznie wzmagać na siłach. Dzięki energicznej agitacyi prezesa „Towarzystwa“ prof. Aleksandra Barwińskiego, rusińska instytucya naukowa otrzymuje zasiłek pieniężny od ministeryum i od sejmu. Również dzięki zachodom dr. Barwińskiego „Towarzystwu“ udaje się pozyskać dzielną siłę w osobie profes. Michała Hruszewskiego, wykładającego na uniwersytecie lwowskim historyę Rusi. — Praca „Towarzystwa“ idzie coraz raźniej, współpracowników wciąż przybywa, liczba wydawnictw stale się zwiększa.

Świeżo wyszedł tom X. „Zapisków“. W dotychczasowych tomach tego wydawnictwa umieszczono kilkadziesiąt prac mniejszych i większych różnorodnej treści. Na szczególną uwagę zasługuje obszerna rozprawa dr. Aleks. Kolessy p. t. „Mickiewicz i Szewczenko“, charakteryzującą wpływ wieszcza naszego na twórczość poetycką kobziarza Ukrainy, tegoż autora „Ludowe pieśni ukraińskie w poezyach Bohdana Zaleskiego“, monografia dr. Iw. Franki o Barlaamie i Józefacie“, praca W. Budzynowskiego „Stosunki agrarne Galicyi“, pierwsze naukowe opracowanie materyałów do biografii Szewczenki Al Koniskiego: historyczne prace M. Hruszewskiego, Iwanowa, Panaczownego, Łotockiego i t. d. Wzorowo jest prowadzony dział sprawozdań i recenzyi, uwzględniający wszystko, co się odnosi do historyi, literatury, fizyografii i antropologii Rusi-Ukrainy. Obecnie „Zapiski“ są kwartalnikiem, ale już w najbliższym czasie „Towarzystwo“ doprowadzi do tego, że tom „Zapisków“ będzie się ukazywał co dwa miesiące, przyczem monografie większej objętości będą wydawane osobno.

„Towarzystwo“, dzielące się na sekcye: filologiczną, historyczno-filozoficzną i przyrodniczo-matematyczno-lekarską, dąży do tego, aby każda dziedzina wiedzy posiadała własny organ. Początek już zrobiono, wydzielając prace z obrębu prawa w specyalny rocznik p. t. „Rozprawy prawnicze“.

„Towarzystwo“ zawiązało w swem łonie komisyę archeograficzną, która ma się zająć wydawnictwem źródeł do dziejów i języka Rusi. Tom pierwszy „Źródeł dziejowych“, zawierający lustracye królewszczyzn w ziemi halickiej i przemyskiej w latach 1565—6 zebrane i ułożone przez M. Hruszewskiego, a poprzedzone artykułem o położeniu ekonomicznem włościan na Podniestrzu galicyjskiem w XVI wieku, już wyszedł. Tom drugi jest już pod prasą. Jako pierwszy tom „Zabytków języka i literatury rusińskiej, drukuje się obszerny zbiór apokryfów, zebrany i opracowany przez dr. Iw. Frankę.

„Towarzystwo“ nie zapomina i o ludoznawstwie. Wydawszy cenny tom „Zbioru etnograficznego“ ma na przyszłość co roku wydawać po dwa tomy materyałów etnograficznych, umieszczając jednocześnie naukowe rozprawy etnograficzne w „Zapiskach“. „Towarzystwo“ udzieliło zapomóg młodym etnografom, którzy odbyli wycieczki na zapomnianą Ruś węgierską.

Taką jest dotychczasowa działalność naukowa „Towarzystwa“. Oprócz tego „Towarzystwo“ wydaje dwutygodnik beletrystyczny „Zorja“, w którym umieszczają swe prace wszyscy autorowie małoruscy z obu stron kordonu. Przy „Zorji“ wychodzi „Słownik rosyjsko-ukraiński“. „Zorja“ ogłasza od czasu do czasu konkursy na utwory beletrystyczne, które, jak dotąd zostały uwieńczone skutkiem bardzo pomyślnym. Dla szerokiej publiczności przeznaczoną jest „Biblioteka historyczna“, zawierająca tłumaczenia monografii pisarzy rosyjskich (Kostomarowa, Antonowicza), które dotyczą dziejów Ukrainy.

Gdyby nie to, że wszystkie wydawictwa „Towarzystwa“ są „absolutnie zabronione“ w Rosyi, „Towarzystwo im. Szewczenki“ rozwijałoby się jeszcze lepiej i prędzej. Na razie wobec tak ciężkich warunków pracy, kiedy autorowie ukraińscy, biorący udział w „Zapiskach“, muszą ukrywać swe nazwiska pod kryptonimami, i te rezultaty, jakie osiągnęło „Towarzystwo“, pozwalają rokować mu świetną przyszłość.

Leon Wasilewski.

---

dziewczynkę po środki antyseptyczne. Tymczasem chora omdlała. Trzeba ją orzeźwić, lecz czem? Ogląda się, nie ma niczego pod ręką, nawet wody. Wybiega na korytarz, błąka od drzwi do drzwi, stuka — wszędzie ciemno. Robotnicy jeszcze nie wrócili do domu. Ha, tam na przedzie słaby promyczek światła pada przez otwór od klucza. Biegnie tam.

— Na miłość Boga, otwórzcie!

Nikt się nie odzywa, potem słyszy lekki szmer. Jest tam więc ktoś, lecz kto? Czemu nie otwierają? On w trosce o ranną; może krew znowu popłynie, a nie wiele jej tam zostało.

— Otwórzcie!

Nic, tylko głucha cisza. Pchnął silnie, drzwi ustępują pod naciskiem. Prąd matowego światła rozjaśnia pokój. Ktoby się spodziewał w tym domu podwórzowym takiego przepychu! Dziwna woń cały pokój napełnia. Na sofie widzi kobietę piękną, w koronkowym negliżu, tulącą się z przerażeniem do mężczyzny. Twarze nie są mu obce. Na stole spostrzega wino. Wbiega do pokoju, chwyta butelkę na pół pełną, wraca do chorej i cuci omdlałą. — Tymczasem dziewczynka wraca z apteki, on ranę wymywa, zakłada bandaż i uśmiecha się do siebie zadowolony. Uratował życie biedaczce, ha, ha, może na to, żeby z głodu umarła. Przypomina ją teraz sobie, była jakiś czas posługaczką w domu, w którym mieszkał.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

BADANIA NAUKOWE.

Medycyna ludowa.

Warszawskie czasopismo „Zdrowie“ podało ciekawe i znamienne szczegóły z dziedziny znachorstwa i szarlatanizmu leczniczego śród ludu w zaborze rosyjskim, a mianowicie w gub. Łomżyńskiej. O „babkach“ wiejskich czytamy tak straszne rzeczy, że się dziwić trzeba, iż dotąd te specyalistki nie dostały się do ciężkich robót; każda bowiem z nich niejedną matkę zgładziła ze świata, zadawszy jej wprzódy straszne tortury. Oto kilka szczegółów o ich metodzie leczniczej:

„Jeżeli położenie jest dobre, a poród postępuje prawidłowo, wówczas babka oprowadza położnicę w bólach po izbie; gdy słabnie — wtedy używa kobiety do pomocy, ale leżeć nie pozwala. Często taka przechadzka kończy się porodem w jakim kącie.“ Zwykle kobieta podlega wielkim krwiotokom i traci siły na całe życie. Jeżeli poród odbywa się nieprawidłowo, „babka“ bada brudnemi palcami, a nawet całą ręką, opowiada obecnym, że wątroba zaszła na płód, albo kiszki pokręciły się; ona to delikatnie rozprowadzi na swoje miejsce. Rezultatem tego bywa wypadnięcia sznura, rączki dziecka lub zmiana położenia, przerwanie pęcherza itd. Zdarzało się nawet, że specyalistka taka nożem otworzyła położnicy jamę brzuszną. Wezwany lekarz stwierdził już tylko fakt, i następnie śmierć. Jeżeli poród przeciąga się zbyt długo, a ktoś z rozsądnych wspomni o akuszerce lub doktorze, „lekarka“ woła z oburzeniem do męża chorej: „To tak wam żona miła! Ja się zabieram, idę. Chcecie doktora, żeby wam kobietę pokrajał, poszarpał, a dziecko porwał na kawałki.“ Swoją wymową potrafi tak zohydzić lekarza, że gdy go istotnie wezwą za namową księdza lub „dziedziczki“, to chora rozpacza, płacze, wreszcie na widok przybysza chce uciekać z łóżka. Rola więc lekarza jest bardzo trudna i przykra, bo zastaje on najczęściej pokaleczoną, z poszarpanemi przez „babki“ wnętrznościami, słowem, gdy już niema żadnego ratunku. Wtedy babka woła, że doktor w godzinę zamęczył kobietę, a ona trzy dni koło niej chodziła z innemi babami i było dobrze.

P. Marya Sokołowska, która ujawniła te szczegóły, pisze: „Sama znam wypadek, gdzie lekarz wezwany do położnicy, mordowanej od dni kilku, wziął się do zbadania, ona zaś w tej chwili wyzionęła ducha; baby miotłami zmusiły go do ucieczki, krzycząc: „Zbóju, zabiłeś chorą!“ Pomoc lekarza, np założenie kleszczy, przecięcie wrzodu lancetem, uważane jest jako czyn barbarzyński, bezlitośny. Gdy zaś baba używa tępego noża, służącego do skrobania kartofli, wyrwie dziecku nogę, okaleczy na całe życie, zabije, wtedy zrezygnowani mówią: „Wola boska!“ Babka przyrządza dla noworodka „smoczek“, na który się składa: bułka, cu-

kier, masło, pogryzione i pożute w jej ustach i zawinięte w brudną szmatę. Działalność tej specyalistki jeszcze dalej sięga. Jeżeli po ciężkim połogu kobieta jest blada, osłabiona, doznaje bicia serca, szumu w uszach i wszelkich innych oznak anemii, babka twierdzi, że „krew się burzy“, więc trzeba przystawić kilkanaście pijawek do krzyża lub dołka sercowego. W chorobach dzieci również jest powagą i robi tak zwane „przemierzanie.“ Tym sposobem niejednemu dziecku wyciągnęła rękę lub nogę, nabawiła kalectwa na całe życie, a nawet przyprawiła o śmierć. Nikt jednak za to na nią nie sarka. Leczy ona czasem mężczyzn tłustym napojem lub wódką grzaną z korzeniami, co ma w nich — mężczyznach — uspokoić macicę, „która się poruszyła i wojuje“ Wogóle według anatomii lekarki wiejskiej, organ ten, wspólny obu płciom, posiada wszechwładzę: chodzi po całem ciele, ma swoje rozgałęzienia aż w wielkim palcu u nóg, gdy mu co się nie podoba, to skrzeczy jak żaba, czasem bywa olbrzymi, aż do gardła dochodzi, to znowu kurczy się i chowa w lewy bok. Śmielsze baby puszczają krew z nóg i rąk, wyrywają zęby, robią różne operacye „kozikiem.“ Inne mniej odważne, gdy jest źle przy porodzie, wzywają zwykle taką operatorkę, która haczykiem wyciąga dziecko, zapałkami otwiera pęcherz, gdy się zamknie w chorobie, poi dekoktem z wężów lub kocich ekskrementów itd.

Po za tą praktyką szeroko się rozpostarła znachorska, która tak jest charakterystyczną, że warto chociaż ważniejsze środki lekarskie podać. Na febrę jest ich aż osiem, których pięć zaznaczamy: Łeb koński nadgniły odnaleźć na polu, ogryzać go przez pół godziny, następnie rzucić go po za siebie i nie oglądając się, powrócić szybko do domu. Pająki oblepić chlebem, dać zjeść choremu, ażeby o tem nie wiedział. Dziesięcioro przykazań bożych, co wiszą na drzwiach w izbie żydowskiej, ukraść, spalić i wypić z wódką. Farbkę, używaną do prania bielizny, rozpuszczoną w wodzie, dają pić choremu. Zgniłe flaki wołowe ugotować i wypić tę wodę. Na gorączki połogowe: Mech skrobany z pod siedmiu krzyży z wódką. Krew położnicy z wódką. Wszy gotują się pod szpuntem w wodzie i ten odwar dają pić chorej. Na tak zwane „poruszenie“ — ogólną niemoc: Tarty siny kamień z wódką albo proch (strzelniczy) z barszczem. Oparzeliznę obsypują solą i przypiekają przy ogniu, także oblewają atramentem, smarują smołą lub zasypują wapnem, skrobanem z pod ściany. Na boleści maciczne dają pić ekskrementy kocie z wodą. W innem cierpieniu tego rodzaju chorą wieszają za nogi na drabinie, a głowę spuszczają na dół. Na dysenteryę dają wypić kwaterkę słoniny roztopionej. Ranę, która się nie goi, okładają gnojem końskim.

Szczegóły powyższe, charakteryzujące medycynę ludową, pochodzą z gub. Łomżyńskiej i prawdopodobnie są podstawą lecznictwa ludowego w całym kraju. Podpatrywanie ich i ujawnianie można nazwać czynem prawdziwie obywatelskim, gdyż suma takich faktów powinna dać bodziec do walki z ciemnotą. Zanim ją rozproszą promienie światła, zwykle bardzo słabe i powoli działające, należałoby przedsięwziąć środki energiczne, prawne. Działanie bab wiejskich wkracza w dziedzinę kryminalistyki: ale ściganie przez sąd nie wystarczy; trzeba więc jednocześnie wprowadzić i ten środek, o którym już nieraz mówiliśmy: wzmocnić i rozwinąć racyonalną pomoc lekarską, nadto każdą gminę zaopatrzyć w zdolną i sumienną akuszerkę, która czuwałaby przynajmniej nad naturalnym przebiegiem choroby i stosowaniem hygieny elementarnej. Suma strat, wyrządzonych w zdrowiu ludzkiem przez znachorstwo, jest tak olbrzymia, że nawet umożliwiające istnienie stałe pensye dla zwiększonej liczby lekarzy i akuszerek na wsi, byłoby zaledwie skromnym procentem od niej.

Sumą ową, wydartą z podstaw bytu ekonomicznego, jest: 1) utrata zdrowia matek, których produkcyjność w gospodarce jest słaba, a zarobki, jako najemnicy — małe. 2) Niedołęztwo, kalectwo, idyotyzm dziatwy, a następnie młodzieży, pokrzywdzonej fizycznie w niemowlęctwie. 3) Znaczne honorarya (o jakich nawet lekarze wiejscy nie marzą) w naturze i gotówce, wydarte przez baby, znachorów i felczerów. 4) Słaba odporność na wszelkie choroby: matek wycieńczonych przy połogach i dziatwy źle pokierowanej, a zatem większa śmiertelność, ztąd zaś zupełna utrata znacznej części produkcyjnych sił robotniczych, wzrost kosztów kuracyi i utrzymania niezdatnych do pracy członków rodziny. To są tak poważne i dotkliwe zjawiska społeczne, że nietylko trzeba je ujawniać i pisać o nich, lecz i przeciwdziałać czynem energicznie, bo niezaradność i bezwładność, przedłużające stan obecny, sprzyjają bezustannemu wzrostowi tych strat moralnych i materyalnych ogółu ludności wiejskiej.

P.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Organizacya i reforma kredytu rolnego w *Niemczech*

I.

Dwa rodzaje instytucyi kredytowych udzielają własności ziemskiej pożyczek pod ubezpieczenie hypoteczne. Towarzystwa kredytowe Ziemskie (Landschaften) i Banki hypoteczne (Hypotheken-Banken). Instytucye te posiadają prawny przywilej wypuszczania papierów procentowych („listów zastawnych“), których wartość nominalna odpowiada wysokości sum zahypotekowanych. W ten sposób działalność instytucyi tych polega na pośredniczeniu w operacyach kredytowych przez hypoteczne lokowanie kapitałów zebranych zapomocą listów zastawnych.

Olbrzymia różnica między temi instytucyami tkwi w różnorodności ich celów. Banki hypoteczne, jako przedsiębiorstwa prywatne dążą do osięgnięcia najwyższej dywidendy dla swych akcyonaryuszów, Towarzystwa Ziemskie zaś mają na celu dostarczanie kredytu rolnego po możliwie nizkiej cenie. Pierwsze funkcyonują w interesie kapitalistów, drugie, opierając się na zasadzie wzajemności — w interesie dłużników.

Towarzystwa Ziemskie są kreacyą epoki fryderykowskiej. W pierwotnej swej formie jest to instytucya z kredytem zabezpieczonym przez całą własność ziemską okręgu, na który rozciąga się jej działalność. Zarząd, wybrany przez właścicieli ziemskich realizuje kredyt całej własności ziemskiej swego okręgu a osiągnięte w ten sposób kapitały wypożycza pod zabezpieczenie hypoteczne imienne. Będąc własnością wspólną, Towarzystwo nie dąży do osięgnięcia najwyższego procentu z wypożyczonych kapitałów, bo dłużnicy są jednocześnie współwłaścicielami. Modyfikacye zaszłe w przeciągu lat 100 istnienia tych instytucyi, nie zmieniły zasadniczych rysów.

Korzyści wynikające z charakteru tych instytucyi są jasne:

1) Po za pokryciem własnych kosztów Towarzystwo nie potrzebuje żadnego zarobku. A zatem, jeśli samo płaci swym wierzycielom (właścicielom listów zastawnych) — $3\frac{1}{2}$—3%, to pobiera od swych dłużników 4—$3\frac{1}{2}$%

2) Dochód z kapitału zakładowego (darowizny królewskiej, eigenthümliche Fonds,) przypada również dłużnikom do podziału i odpisywanym jest na ich korzyść przy ostatecznym obrachunku.

3) Amortyzacya i spłata kapitałów odbywa się na najdogodniejszych dla dłużnika warunkach. Dłużnikowi wolno w każdej chwili spłacić Towarzystwo, to zaś tylko w razach wyjątkowych, np. przy dewastacyi majątku, ma prawo wymówić pożyczkę.

4) Towarzystwo niema prawa odmówić kredytu do wysokości $\frac{2}{3}$ wartości majątku ziemskiego. (Towarzystwo Prus Zachodnich udziela $\frac{6}{1}$, W. Ks. Poznańskiego $\frac{5}{1}$, w razie jeśli wartość majątku niższą jest od 30 tysięcy marek.

5) Towarzystwo dąży w interesie dłużników do obniżenia stopy procentowej listów zastawnych. (Obecnie projektowana konwersya z $3\frac{1}{2}$% na 3%, dała by możność wypożyczania na $3\frac{1}{2}$% zamiast 4%.

Korzyści te są też powodem, dlaczego własność ziemska korzysta z kredytu Towarzystwa z pominięciem Banków hypotecznych. Towarzystwa monarchii pruskiej pożyczyły obecnie ogółem 2 miljardy marek, podczas gdy Banki hypoteczne wypożyczyły własności ziemskiej zaledwo około 160 milionów[1]) i wobec tego skierowały działalność swą na zaspokojenie kredytu miejskiego.

Towarzystwa kredytowe spotykają się z jednym bardzo ważnym zarzutem: nie uwzględniają one interesów mniejszej i małej własności ziemskiej, a raczej ignorują ją zupełnie Wynika to zarówno z organizacyi Towarzystwa, jako instytucyi należącej do większych właścicieli ziemskich, jak i z odnośnych paragrafów ustaw, zgodnie z któremi najniższa wartość nieruchomości, mogącej korzystać z dobrodziejstw taniego kredytu ustanowioną jest na 75 lub 150 mrk. podatku Grundsteuerreinertrag).[2])

W ten sposób obywatelstwo krzywdzi „młodszych braci“, bo oddaje ich na pastwę lichwy lub w najlepszym razie skazuje na płacenie wysokich procentów Bankom hypotecznym i $\frac{2}{3}$ % prowizyi agentom.[3])

Towarzystwo kredytowe W. K. Poznańskiego i Tow. Wschodnich Prus, chcę w szczupłym zakresie, udzielają kredytu mniejszej własności; w Prusach Zachodnich, na Pomorzu i w Brandenburgii istnieją oddzielne instytucye kredytowe.

Towarzystwa kredytowe wypożyczyły mniejszej własności ogółem 200 milionów. Co za stosunek do dwóch miliardów! To też prawie całe 160 milionów Banków hypotecznych obciążają mniejszą własność. bo większa ma prawo korzystania z tańszego i wygodniejszego kredytu. Gdy więc stosunek obrotów Towarzystw kredytowych do Banków hypotecznych daje $\frac{2000 \text{ mil.}}{150 \text{ mil.}}$ tenże stosunek dla mniejszej własności wynosi $\frac{200 \text{ mil.}}{160 \text{ mil.}}$

Banki hypoteczne płacą dywidendy swym akcyonaryuszom $9\frac{1}{2}$%, bo dłużnikowi po większej części niewolno spłacić pożyczki. choćby był w możności, gdyż prawodawstwo zapomniało o tem, aby dać mu prawo zerwania kontraktu i spłacenia pożyczki. Prawo z d. 2 marca 1850 r. § 92 opiewa, że najwyżej na lat 30 wolno odebrać dłużnikowi możność zwrotu kapitału

---

[1]) A mianowicie: Central Bodenkredit 140 milionów. Schles. Hypothek B.: 15 mil., inne banki ogółem 5 miljonow marek.

[2]) Wyjątkowo tylko Towarzystwo na Szląsku ustanowiło w 1895 roku 15 mk. podatku jako najniższą granicę.

pożyczonego. *Temu postanowieniu nie podlegają jednak instytucye kredytowe.*

(Die Kündigung von Kapitalien, welche einem Grundstücke oder einer Gerechtigkeit auferlegt werden, kann künftig nur während eines bestimmten Zeitraumes, welcher dreissig Jahre nicht übersteigen darf, ausgeschlossen werden. — *Diese Bestimmungen finden auf sämmtliche Kreditinstitute keine Anwendung.* Gesetz vom 2. März 1850 § 92).

Kilkakrotnie miały miejsce procesy w odnośnej kwestyi: Dłużnik będąc w możności zwrócenia pożyczki, chciał być wolnym od wiecznego płacenia procentów. Ponieważ jednak zaciągając dług, zmuszony był do uznania go za wieczysty, sąd rostrzygnął przychylnie dla Banku i w ten sposób oddał dłużnika w feudalną zależność od kapitału. Zależność ta w niczem nie różni się od średniowiecznej, na którą spółczesna cywilizacya spogląda przecież z uśmiechem wyższości.

Reforma, zarówno w organizacyi, jak i w prawodawstwie kredytu rolnego jest rzeczą konieczną, a przewodnią jej gwiazdą powinny być pobudki społecznej natury, jako jedynie miarodajne na schyłku dziewiętnastego wieku.[4]) *K. R.*

TO I OWO.

Paweł Kośmiński.

Przed dwoma tygodniami zmarł Paweł Kośmiński, poeta iście warszawskiego typu, dobrze znający smak publiczności, estetycznie mało wyrobionej, i który umiał się do jej tonu nastroić. Miał on rubaszność i humor, szczerość i dobroduszność tych sfer, dla których tworzył, miał i sentyment odpowiedni, nie wysokiego lotu może, ale bardzo serdeczny. Te wszystkie nuty, a zwłaszcza nuta humoru, zapewniały mu wielką popularność, i pseudonimy jego — Paul de Coś i Nie — Heine były znane szeroko. Ale niestety, ta popularność była źródłem ruiny jego talentu. Obdarzony niezmierną łatwością tworzenia, niesłychanie płodny i pomysłowy — pisał on zbyt wiele i łatwo przechodził w szablon. Ten właśnie ton warszawski, przeciętnie popularny, szablonowowulgarny stopniowo wyjałowił talent pisarza, który mógł daleko piękniejsze zająć miejsce w literaturze, aniżeli zajął w istocie z winy własnej i niewłasnej. Otoczenie warszawskie wysysa talenty i lot ich obniża do własnego poziomu. Paweł Kośmiński był to talent wcale nie powszedni, który w tem morzu jałowej gorączki pogrążył się i coraz niżej się staczał. Był w nim materyał na ludowego poetę i dramaturga w dobrym stylu. Jego „Walka o córkę“ miała wielkie powodzenie, a jego wiersze nieraz szczerem uderzają natchnieniem. Ale, niestety, w rzeczach teatralnych gonił on za ordynarnym efektem, a talent poetycki rujnował w marnych konceptach humorystycznych.

Zalem wielkim przejmuje myśl o takiem zmarnowaniu talentu, od czego zapewne pragnął się poeta ratować, przerzucając się na pole liryki. Świeżo księgarnia Pa-procekiego wydała zbiór jego poezyi, gdzie się niemało znajdzie rzeczy błahych, ale są i takie, które świadczą o cierpieniach i aspiracyach autora (Nieśmiertelna np.). Jakby śmierć swą przeczuwając, pisze poeta, jakiej pragnie nagrody od świata:

> ...Kiedy grobowy
> Kamień na wieki pierś mą przygniecie,
> Nie pragnę żadnej pochwalnej mowy
> I niech mogiły nie stroi kwiecie...
> A za nagrodę żywota całą,
> Co szedł śród burzy wieczystych fal,
> Pragnę, by jedno po mnie zostało:
> Żal.

Żal — wielki żal po nim zostanie: żal zmarnowanego życia i talentu.

* * *

Baron Hirsch.

O zmarłym baronie Hirschu, znanym milionerze i filantropie żydowskim zamieszcza Bolesław Prus następujące uwagi w petersburskim „Kraju“:

„Widziany zblizka, Hirsch miał być człowiekiem bez wychowania, gburem i pyszałkiem. Pewnego razu do kobiety, znajdującej się w jego domu jako gość, miał powiedzieć:

— Zkąd pani ma ten naszyjnik?... Bo ja nie pamiętam, ażebym go kupił.

Zawsze i wszędzie ubiegał się o stosunki z arystokracyą. Jego rozkoszą była przyjaźń z książętami, osobliwie z księciem Walii. Jego cierpieniem było to, że jakiś elegancki klub paryzki nie przyjął go na członka.

Hirsch nie musiał być zanadto skrupulatnym w sprawach finansowych, czego dowodzi fakt, że dorobił się kilkuset milionów franków majątku. Miliony zaś, jak twierdzi pewien mędrzec, jest to kwiat, rosnący głównie przy tym gościńcu, który prowadzi od kryminału do szubienicy. Co wreszcie może nie być prawdą.

W rezultacie, tyle razy wymieniony Hirsch, nie był idealnym człowiekiem. A jednak należy on do tych, którzy w historyi swego ludu zajmą poważną stronicę.

Słuszność nakazuje wyznać, że Hirsch grywał w karty, trzymał wyścigowe konie i lubił balet. Mimo to nie zrywał ze swoim narodem, ale składał mu wiele rzetelnych usług — ba! nawet pragnął polepszyć jego byt na wielką skalę.

W tym np. celu ofiarował 12 milionów franków na organizacyę szkół rzemieślniczych i handlowych dla żydów w Galicyi. Gdyby galicyjscy magnaci jednocześnie złożyli dwa lub trzy razy większą sumę na podobne szkoły dla chrześcian, ofiara Hirscha byłaby dla wszystkich błogosławioną. Ponieważ jednak magnaci galicyjscy o niczem podobnem nie pomyśleli, więc 12 milionów hirszowskich wytworzyło dla Galicyi niebezpieczeństwo społeczne, potęgując siłę już i bez tego silnych żydów.

Dar Hirscha był bardzo groźnym dla Galicyi. Niemniej jednak był to dar szlachetny, bo miał na celu moralnie i materyalnie podźwignąć jakąś gromadę ludzkich istot.

Smutny to stan stosunków, że gdy żydzi zyskują miliony, na chrześcianach cierpnie skóra.

Stanu tego jednak Hirsch nie wytworzył i dla tego nawet niebezpieczna jego ofiara zasługuje na szacunek.

Bez porównania donioślejszym był pomysł Hirscha, żeby zakupić wielkie obszary ziemi w Argentynie i tam osiedlić żydów.

Gdyby się to kiedy udało zrobić, Hirsch, bez przesady, zasłużyłby na nazwę drugiego Mojżesza. Dając żydom ziemię, pociągnąłby ich do rolnictwa i zrobiłby naród normalny z tych, którzy tworzą zaledwie kastę.

Trzeba bowiem pamiętać, że „naród normalny“ składa się z rolników, rzemieślników, kupców i osób, pracujących umysłowo, a tymczasem żydzi zajmują się — tylko handlem.

Wyglądają oni jak człowiek, któremuby ucięto ręce i nogi; Hirsch zaś jest niby lekarz-cudotwórca, który chciał naród swój wyleczyć z nieszczęsnej potworności. Prawda, że nie doczekał on żadnego owocu ze swych siewów; w każdym razie wskazał nową drogę, na której żydzi mogą odzyskać „ziemię obiecaną“ — ziemię, którąby uprawiali własnemi rękoma.

Czasami, patrząc dokoła siebie, mam ochotę niejednego zazdrościć żydom, Prawda, że los ich nie jest słodki: nędza, ciemnota, niechęć sąsiadów, a w dodatku niebezzasadna niechęć — oto niedole, gniotące ogół żydowski.

Dla kompensaty jednak mają oni kilka rzeczy dobrych: ich magnaci nie trwonią pieniędzy – owszem, wedle możności starają się o pomaganie biedniejszej braci“.

NA WYŁOMIE.

(O naszych pismach humorystycznych.)

Ile razy dowiaduję się, że na bruku poznańskim powstać ma nowe pismo humorystyczne, tyle razy ogarnia mnie uczucie niesmaku, jakbym ujrzeć miał nagle tresowaną małpkę udającą baletnicę lub małomiejskiego wieszcza o długich włosach, podniesionej ręce i melancholijnem spojrzeniu, deklamującego z emfazą swoje rymy na -ała, -iła i -ości. Obecnie znów wieść podobna kursuje po Poznaniu. Kto będzie redaktorem, kto współpracownikiem, nie wiem, lecz tak często spoglądałem na kalectwo naszego humoru, tyle „Motylów, Pokrak i Kuryerków teatralnych“ wyprawiało przedemną harce smorgońskie, tyle razy zamiast śmiechu Rodociów i Lamów słyszałem żabie koncerty i kocie muzyki, że przestałem wierzyć w humor poznański i lękam się każdej próby w tym kierunku.

> Śmiech jest dobry, śmiech jest zdrowy,
> Uspokaja słabe nerwy,
> Cały Olymp bóstw różowy,
> Nie wyjmując i Minerwy,
> Śmiać się lubi....

O! tak, lecz jakże tu śmiać się było z tych konceptów humorystów naszych, którzy n. p. przepisywali z encyklopedyi milowy wykład botaniczny o dyni i na zakończenie ni ztąd ni zowąd przypinali uwagę, że dynia może być także symbolem tuszy, o czem jeden z redaktorów poznańskich pamiętać powinien. A gdzież jest człowiek, który raz jeden chociaż zaśmiał się serdecznie przy owych mdłych i wodnitych dyalogach Pawłów i Gawłów poznańskich, z których jeden był banalniejszy od drugiego. Paweł np. tłomaczył Gawłowi statuty nowego prawa o markach służebnych, a Gaweł udawał idyotę i pytał, czy te marki są z papieru czy jedwabiu. Bezdennym kretynizmem jednak górowały ponad wszystkiem ryciny naszych pism humorystycznych. Panowie redaktorzy, wierni zasadzie „billig und schlecht“ sprowadzali sobie stare klisze od drugorzędnych niemieckich „Witzblattów“ i dorabiali lokalne niby-dowcipy. Ten sztukowany polsko-germański humor jest prawdopodobnie unikatem w dziejach piśmiennictwa polskiego. Pamiętam obrazek przedstawiający dwóch studentów niemieckich, w burszowskich strojach z posiekanemi twarzami, a pod tem dyalog następujący:

Kuba: Kto ci tak gębę posiekał.

Walek: A no! byłem na przedwybor-

---

[3]) Gdzie zaś agenci pobierają prowizyę od swych banków prowadzi to do narzucania się z kredytem tam, gdzie go nie trzeba. Najlepszem jest w danym razie wyznaczenie stałej pensyi agentom.

[4]) F. Hecht, Art. Landsch. } Conrads Handwörterbuch der polit. Oekon.
Hermes, „ „ }
Wegener, Organisation des Landwirthschaftlichen Kredits. Ein Vortrag.

czem zebraniu i tak mnie urządził jeden z Szymańczyków.

Bursze niemieccy jako Walek i Kuba, — rapierowe cięcia, jako ślady pięści Orędownikowej — oto typowa ilustracya poznańskiego humoru. A przytem ileż to razy te same ryciny z odmiennym tytułem powtarzały się na stronnicach „Pokrak“ rozmaitych. Redakcye dysponowały zwykle mniejwięcej tuzinem klisz wytartych, i gdy się szereg skończył, zaczynały od nowa litanię. Dziś jeszcze znam jedno z pism politycznych, które w dziale humorystyki posługuje się tą samą metodą. Aż mdło się robi na widok tych rycin i dowcipów.

Obok bezgranicznej czczości i wręcz wyjątkowego idyotyzmu naszych pism humorystycznych z ostatniego dziesięciolecia, charakteryzuje je jeszcze jeden rys znamienny, gorszy od tamtych, bo wkraczający w niziny błota moralnego, — mówię o paszkwilu. W Poznaniu pojęcie humoru zrosło się do tego stopnia z pojęciem włamywania się do tajemnic domowych i plwania z za płotu na ludzkie ofiary, że każdy redaktor humorystycznego pisma stara się przedewszystkiem o wytrych i dostateczną do rzemiosła ilość śliny. Piasek i błoto wypełnia całe numery — oto jest humor poznański.

Przyczyna tego ubóstwa i brzydoty naszych „Pokrak“ i „Kuryerków“ tkwi niewątpliwie w tem, że do redakcyjnej roboty w tym kierunku nie zabierali się nigdy literaci, tylko spekulanci z pod ciemnej gwiazdy, otoczeni czeredą drobnych pismaków, których nikt nie znał, a poczuł dopiero po kamieniach rzucanych ręką ukrytą. Jest to charakterystyczną cechą, że ilekroć na bruku poznańskim powstaje pismo humorystyczne, zawsze ludzie łamią sobie głowy nad osobą redaktorów, a gdy wreszcie nazwiska przestają być tajemnicą, znowu odzywa się pytanie: Kto to? Nikt o nich zwykle nie słyszał, a każdy przynajmniej dowiaduje się po raz pierwszy, że należą oni do dziennikarskiej drużyny. Z nocnych cieni wychodzą jakieś postacie i uszczęśliwiają humorem stolicę Księstwa.

Dwa lata temu — przypominam sobie — zajrzał raz do redakcyi młody człowiek znany mi zaledwie z widzenia. Wiedziałem, że zajmował się kupiectwem i agenturami, więc przypuszczając, że chodzi mu o anons jaki, już miałem na ustach adres administracyi naszej, gdy wtem gość mój kłania się grzecznie i oświadcza, że ma do mnie osobisty interes, że szuka pomocy i rady.

— Słucham.

— Widzi pan — mówi -- postanowiłem założyć pismo humorystyczne i chciałem zapytać się, jak się mam zabrać do tego. Pan wie, — ja tam nie jestem żadnym literatem, — no, ale pismo humorystyczne to każdy może redagować.

Zdusiłem uśmiech na ustach i patrząc spokojnie w oczy gościa mojego, spytałem:

— Ile pan masz pieniędzy?

Kandydat na redaktora zaambarasował się, zaczął bełkotać i w końcu wykrztusił:

— Około stu marek.

Roześmiałem się serdecznie.

— Panie, to pierwszy dowcip do pańskiego pisma.

Ambaras mojego gościa wzrastał, zaczął się kręcić na krześle, a w końcu jakby na usprawiedliwienie swoje dodał, że nadarza mu się okazya nabycia za bezcen kilkunastu klisz z pewnej drukarni, a nadto kilkunastu kupców obiecało mu już zasilać anonsami nowe czasopismo.

— I któż będzie pisał? — spytałem.

Znowu zaczęło się bełkotanie, z którego wreszcie dowiedziałem się, że „to przecież każdy potrafi“, że „kilku aktorów przyrzekło mu dostarczać anegdot zakulisowych“ i wreszcie, że „zna pikantne tajemnice jednego z bankierów poznańskich, co to, panie, ludzie pękać będą, jak przeczytają“.

Miałem dosyć, — pożegnałem nowego kolegę. W kilka miesięcy później ujrzałem go na czele spółki, fabrykującej jakiś dziwoląg humorystyczny.

Tak powstają zbiorniki humoru poznańskiego. Jak sięgnę pamięcią, wszystkie podobne przedsiębiorstwa na takim rodziły się gruncie, a wobec tego dziwić się nie można, że garstka naszych prawdziwych talentów literackich o humorystycznym zakroju nie znajdywała właściwego pola do twórczej pracy w tym kierunku. Trudno uczciwym publicystom sadzić w bagienkach dziennikarskich kwiaty humoru swojego, — więc od czasu do czasu tylko rzucali garść śmiechu w ulotnych pisemkach, lub sypali skrami dowcipu w rzadkich feljetonach wielkich i małych czasopism politycznych. Pisma humorystyczne pozostały wyłączną areną spekulantów i trzeciorzędnych pismaków.

Sulla.

KRONIKA POWSZECHNA.

Teatr i muzyka. Trupę poznańską, objeżdżającą miasta prowincyonalne, opuścił także pan Skirmunt. Brak zatem ogółem następujących artystów: panów Knapczyńskiego, Wostrowskiego, Grabowieckiego, Berskiego, Skirmanta i Majdrowicza, pań Pankiewicz, Vernon, Majdrowiczowej, Jakubowskiej, Ogińskiej i Wiśniowieckiej. — Trupa łódzka pod dyrekcyą p. Wołowskiego i reżyseryą p. Trapszy przeniosła się na lato do Warszawy i występuje w budynku cyrkowym przy ul. Ordynackiej. Z dawniejszych poznańskich artystów znajdują się w towarzystwie: panowie Sosnowski, Rapacki i Trapszo, oraz panie Pankiewicz, Wróblewska, Zimajer i Modzelewska. W repertuarze letnim teatru łódzkiego figurują między innemi utwory następujące: „Matki“ Hirschfelda, „Kula“ Nordana, „Dzika kaczka“ Ibsena, „Buburekok“ (Bańki mydlane) Czikyego. — Echegaray wykończył nowy dramat p. t. „Amor salvaje“ (Dzika miłość). — Na scenie warszawskiego teatru Rozmaitości wystawioną ma być wkrótce komedya Zapolskiej p. t. „Żabusia“. — Teatr lwowski zamierza wystawić operetkę „Cnichotka“.

Wyższe gimnazyum żeńskie w Krakowie. Rada szkolna krajowa udzieliła reskryptem z d. 26/IV b. r. l. 7051. śp. prof. Napoleonowi Cybulskiemu wspólnie z prof. Odonem Bujwidem i radcą szkolnym Bronisławem Trzaskowskim — zezwolenie na otwarcie prywatnej szkoły średniej dla kobiet w Krakowie z zakresem wyższego gimnazyum męskiego.

Szkoła obejmie 4 lata nauki i będzie miała na celu przygotowanie do matury gimnazyalnej, tudzież do egzaminu kwalifikacyjnego na nauczycielki wyższych szkół wydziałowych, zapowiedzianych na przyszły rok przez władze szkolne.

Z dniem 1 września br. będzie otwarty pierwszy kurs.

Dla przyjęcia wymaganem jest: wiek lat 14, świadectwo ukończonej z dobrym postępem szkoły wydziałowej żeńskiej, w braku zaś świadectwa ma być złożony egzamin wstępny.

Dyrekcyę szkoły obejmie radca szkolny p. Bronisław Trzaskowski.

Marya Dulębianka. Z powodu tworzenia specyalnego oddziału dla kobiet w Akademii sztuk pięknych w Krakowie „Kraj“ przypomina, że na tę dobrą sprawę zadzwoniła pierwsza przed kilku miesiącami w „Sterze“ utalentowana malarka p. Marya Dulębianka. Oddział ten pozostawać będzie pod kierownictwem kobiety, a wybór padnie prawdopodobnie na właściwą twórczynię rzeczy p. Maryę Dulębiankę. Gdyż w istocie — powiada „Kraj“ — „nikt nie ma nad nią więcej praw do tego stanowiska. Łączy ona bowiem z talentem twórczym doskonałą znajomość teoryi i historyi sztuki, wiele doświadczenia zdobytego dość długą pracą, oraz przebywaniem w głównych ogniskach ruchu artystycznego, a wreszcie duży zasób wiedzy ogólnej, nie często spotykany w świecie artystycznym, chętnie wyodrębniającym się z pośród innych. Wybór takiej kierowniczki postawi od razu sprawę oddziału kobiecego na gruncie właściwym. Omyłka zaś pod tym względem zwichnąć może podstawy całego tak pięknie zapowiadającego się dzieła“.

* Z prośbą o umieszczenie otrzymujemy odezwę następującą:

Odezwa.

W obec coraz trudniejszych warunków bytu w społeczeństwie naszem, spowodowanych nienormalnemi stosunkami, pod jakiemi handel i przemysł nasz cierpi, powstała w łonie Towarzystwa Kupieckiego w Poznaniu myśl wyszukania tego ogniwa, któreby węzły zadzierzgnięte przez utworzenie Towarzystwa Kupieckiego coraz więcej ścieśniło. — I oto postanowiono utworzyć biuro informacyjne, któreby oddając handlowi i przemysłowi naszemu usługi oparte na szczerej życzliwości wzajemnej, tym sposobem przyczyniło się do samopomocy, na którąśmy z konieczności skazani, a wypełniając nie mniej gorliwie drugą część swego zadania przez udzielanie rad i wskazówek przy osiedlaniu się młodych kupców i przemysłowców, chroniło ich przed smutnemi następstwami nieopatrzonych częstokroć kroków.

Wszakże instytucya taką, której wzorów zresztą nam znanych szukać należy u wszystkich narodów, tylko wtenczas liczyć może na powodzenie i rozwój, jeżeli dozna ogólnego w społeczeństwie naszem poparcia, jeżeli myśl ścisłej łączności do najodleglejszych dotrze zakątków.

Usiłowania nasze polecamy całemu społeczeństwu naszemu — polecamy je głównie tym, którzy już rok przeszło temu z gotowością pospieszyli do nas, by się w jedno zszeregować towarzystwo.

Jednakże skromna nas dotąd drużyna, na której budujemy nadzieje nasze — to też wątpić nam nie wypada, że myśl nasza w każdym z nas gorliwego znajdzie krzewiciela tak koniecznej nam idei łączności.

Ufni w pomoc kół interesowanych i tym tylko sposobem w powodzenie sprawy naszej, w imię Boże przystępujemy do pracy.

Zarząd Towarzystwa Kupieckiego w Poznaniu.

Dyr. M. Więckowski, przewodniczący. M. Dykier, sekretarz.

St. Pfitzner, skarbnik.

J. Paczkowski. Ks. Przyjemski. Hulewicz. Madaliński. Zboralski. H. Robiński Wegner. Śniegocki. Glabisz.

BŁĘDY JĘZYKOWE.

„Jak“ niepotrzebnem jest na początku takich zdań: „Jak nam donoszą z..,“ „Jak piszą z..,“ „Jak słychać...“ itp. Prościejby było i z logiką zgodniej: „Donoszą nam...“ „Piszą z...,“ „Słychać, że...“

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Abonent. Henryk Nitschmann mieszka w Elblągu (Elbing). Listy dochodzą bez ściślejszego oznaczenia adresu.

Kar. M. Wieści te są fałszywe. Chodzi tu o pewne zmiany formalne, — nie więcej.

Wykolejonej. Polecamy dzieła Chmielowskiego: „Zarys najnowszej literatury polskiej“ i „Współcześni poeci polscy“.

Maryan. Tej kwestyi w krótkiej notatce dokładnie rozstrzygnąć nie można. Wyraz „dekadenci“ oznacza w pierwotnem znaczeniu reprezentantów pewnych kierunków literackich i artystycznych, zrodzonych na paryzkim bruku, a odbiegających dziwactwem formy i treści od dotychczasowych norm i prawideł sztuki. Później uogólniono znaczenie tego wyrazu, określając nim objawy chorobliwej nadczułości, apatyi lub wyuzdania wieku naszego. Ta notatkowa informacya oczywiście nie rozjaśnia kwestyi. Radzimy przeczytać dzieło Nordana „Entartung“ choć zwracamy równocześnie uwagę na jednostronność tej książki.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28

Nr. 22. Poznań, niedziela 31-go maja 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: ul. Wilhelmowska 28.
(Drukarnia J. I r. Tomaszewskiego.)

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Wilhelmowska 28. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

TREŚĆ.

Organizacya i reforma kredytu rolnego *w Niemczech*

II.

Wobec niezwykłego rozkwitu nauk stosowanych, ożywienia stosunków międzynarodowych i międzynarodowego podziału pracy, znalazły się Niemcy w XIX wieku w tej fazie rozwoju ekonomicznego, w jakiej była Anglia w początkach stulecia. Produkcya zaczęła się koncentrować w gałęziach przemysłu, absorbując siły roboczo rolnictwa. Zmiana taka w charakterze produkcyi krajowej nadwyrężyć musiała równowagę podziału pracy między poszczególnemi klasami pracującemi: znalazło się więcej rąk, niż dana gałęź przemysłu zatrudnić mogła — i oto „armia zapasowa“ liczy dziesiątki tysięcy ludzi.

Wobec tego, że ludzie, co stanowią dziś proletaryat fabryczny, należeli dawniej do roli i praca ich była daleko więcej produkcyjną, — utrzymanie ich przy roli leży w interesie gospodarki narodowej.

Lecz nietylko to: chłop, choćby był właścicielem najdrobniejszego kawałka gleby, trzyma się go z pokolenia na pokolenie z przesądnym nieledwie uporem i tworzy element niezawisły, spokojny, niełatwo poddający się różnym fluktacyom, nie odczuwający tak boleśnie wszelkich przesileń ekonomicznych, bo jest pracodawcą i robotnikiem zarazem, bo pracy swej nie sprzedaje, nie jest więc narażony na odczuwanie różnic w jej cenie.

Robotnik fabryczny zaś, będąc przedstawicielem produkcyi bardziej zróżniczkowanej, związany jest z mechanizmem pracy międzynarodowej, narażony na odczuwanie wszystkich jej kataklizmów i powikłań, skłonny do wynarodowienia się. Charakter pracy jego jest kosmopolityczny, podczas gdy rolnika — narodowy. Oto dlaczego tak wielkiem jest znaczenie najmniejszej własności ziemskiej w gospodarce narodowej. W uznaniu wartości tej dąży polityka ekonomiczna zarówno do utrzymania dotychczas istniejącej małej własności ziemskiej jak do ułatwienia powrotu do roli, do wytworzenia małej własności.

Pierwszym warunkiem potemu jest reforma organizacyi kredytu: widzieliśmy, jak utrudnionem jest korzystanie z kredytu realnego dla małej własności, widzieliśmy, jakie wady ma odnośne ustawodawstwo. Reforma w tym względzie jest tylko kwestyą czasu, a żądania jej, tyczą się dwóch punktów:

1) aby granica wymagalnej wartości majątku, na który ma być zaciągnięta pożyczka, była obniżona choćby do tego poziomu, jaki przyjęło Towarzystwo Ziemskie na Szląsku.

2) aby dłużnik miał prawo sześciomiesięcznego wymówienia kredytu uzyskanego bez względu na to, czy w zawartym kontrakcie punkt ten został zmodyfikowany.

Najbliższym wynikiem rozszerzenia kredytu realnego na szersze warstwy byłoby zmniejszenie działalności instytucyi pożyczkowych prywatnych, przedewszystkiem zaś umożliwienie dłużnikowi wyrwania się ze szponów lichwiarskich. Mając możność spłacenia swych długów zapomocą pożyczki z Towarzystwa Ziemskiego, mała własność ziemska skorzystałaby na tej zmianie wierzyciela niesłychanie wiele: zważmy, że gdy dłużnik, zamiast 9% (minimum) jakie musi — a więc może — płacić przy obecnym stanie rzeczy, miałby do płacenia 4%, to pozostałe 5%, idąc na amortyzacyę długu, pokryłyby go w przeciągu lat kilkunastu.

Jakkolwiek w myśl potrzeb gospodarki narodowej koniecznem jest uwzględnienie potrzeby kredytu najdrobniejszej własności ziemskiej, z charakteru jednak Towarzystwa Ziemskiego i kredytu realnego, tj. opartego na nieruchomości, wynika, że musi być pewna granica w wartości majątków, niżej której ustaje prawo do kredytu. Najmniejsza własność więc w mniejszym lub większym stopniu musi być pozbawioną kredytu. W tym razie na miejsce kredytu realnego zjawia się kredyt osobisty, a instytucyą powołaną do zorganizowania kredytu osobistego są spółki kredytowe (Kreditgenossenschaften). Celem ich jest „zdemokratyzowanie kredytu“ tj. danie dowodu, że i klasy najniższe są godne kredytu i zdolne do niego, że dostarczenie go im jest koniecznym wynikiem zaufania, na które zasługują.*)

Kapitał, którym obracają spółki kredytowe tworzy się z minimalnych składek członków, a za całą pewność ze strony dłużników służy poręczenie jednego członka. Przeciętna stopa procentowa wynosi 5—$5^1/_2$%.

Jak żywy udział biorą spółki kredytowe w zaspokojeniu kredytu rolnego, dowodzi istnienie spółek „w celu pomagania wszystkiemi rozporządzalnemi środkami do utrzymania się w posiadaniu ziemi“. (§ 2 statutu spółki kredytowej w Limanowie, Galicya). Tamże w r. 1892 z pomiędzy 759 członków było 686 właścicielami małych posiadłości ziemskich.

Wkłady wynosiły w 1891 r. 24 fl. 78 kr.
w 1892 r. 24 fl. 50 kr.

Kapitał rezerwowy 11 546 fl., rozpożyczono 71 564 fl., spłacone pożyczki wyniosły 65795 fl., czysty dochód za 1892 r. 1653 fl., dywidenda 5%.

Są to cyfry na pozór minimalne, gdy się je porówna z miljardami, któremi obracają Towarzystwa Kredytowe Ziemskie, gdy się jednak zważy, jak olbrzymią jest liczba tych spółek i jak wciąż wzrastają, trzeba uznać je za pierwszorzędną dźwignię kredytu najmniejszej własności ziemskiej.

Sprawozdania z r. 1891 z 1961 spółek kredytowych w Niemczech wykazują:

Aktywa wynosiły w końcu 1891		109,938,000
Passywa		109,298,000
Zysk czysty za rok 1891 .	mrk.	640,000

Cyfry powyższe o tyle są niedokładne, że nie opierają się na sprawozdaniach z działalności wszystkich spółek kredytowych monarchii Niemieckiej, których liczba wynosiła z końcem 1893 roku przeszło trzy tysiące, o 376 więcej niż w roku poprzedzającym.

Niżej podana kolumna cyfr wykazuje wzrost i liczbę spółek pożyczkowych w poszczególnych krajach Niemiec. Ilustruje ona przedewszystkiem niezmierną ich wagę wogóle a wagę w kwestyi kredytu rolnego szczególniej.**)

Państwo pruskie liczyło	w r. 1892 1 czerwca	w r. 1893 1 lipca
	846	1001
a mianowicie:		
Prusy wschodnie . .	63	74
Prusy zachodnie . .	15	17
Pomorze	2	3
Brandenburgia . . .	14	23
W. Ks. Poznańskie .	11	12
Szląsk	57	74
Saksonia	44	48

*) „Kreditfähig zu zeigen und creditwürdig zu machen und so dem sittlichen Halt die unentbehrliche, wirtschaftliche Unterlage zu geben“. Schultze-Delitzsch.

**) Gamp. Der Landwirtschaftliche Credit und seine Befriedigung. B. 1893.
Beilagen zu den stenogr. Protokollen des Abgeordnetenhauses. Nr. 710. 711. XI. Session 1893. 1.

Hanower	84	99
Szlezwik Holstein	3	3
Westfalia	175	181
Prowincye Nadreńskie	125	184
Hessen Nassau	247	277
Hohenzollern	6	6
*	*	*
Bawarya	567	679
Wyrtembergia	461	567
Saksonia	22	27
Badenia	136	141
Hessya	251	272
S. Weimar	37	42
Alzacya Lotaryngia	131	139
Ces. Niemieck. ogółem	2664	3040

Kazimierz Rakowski.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Germanizacya. W „Przeglądzie Wszechpolskim“ (Lwów) czytamy:

„W tych ziemiach polskich, które bezpośrednim wpływom niemieckim oddawna już ulegają, zniemczyła się przed innemi ta warstwa społeczna, która zajmowała stanowisko przewodnie. Jeszcze w XVIII stuleciu były na Śląsku szlacheckie domy polskie, dziś nie ma już ani jednego. W Prusiech Wschodnich XVII nawet i w XVIII stuleciu liczono kilkaset rodzin szlacheckich polskich, które albo wysiedliły się następnie, albo zniemczyły całkowicie. Nawet w Prusiech Zachodnich i w Poznańskiem zrobiła już germanizacya znaczne szczerby w tej warstwie narodu i w związku z wielu innemi czynnikami silnie podkopała jej stanowisko społeczne.

Warstwa społeczna, w znaczeniu swem i podstawach bytu swego zachwiana, bezwiednie słabością swoją mierzy siłę narodu. W obec dążności germanizacyjnych rządu, społeczeństwa niemieckiego, a poniekąd i kościoła, z nieubłaganą stanowczością zmierzających do wytkniętego celu — szlachta w zaborze pruskim i inteligencya polska, która w przeważnej większości z urodzenia lub z przekonań i usposobienia dziś jeszcze jest szlachecka, czują swoją słabość i niezaradność. Jedni pragną za pomocą ustępstw i kompromisów powstrzymać, chociażby na czas krótki działanie systemu, który przedewszystkiem im zagraża. Drudzy, rozumiejąc, że Niemcy od systemu swego nigdy dobrowolnie nie odstąpią, i nie ufając w siły własnego społeczeństwa, w zwątpieniu i przygnębieniu bezczynnie załamują ręce i wyrzekają się wszelkiej nadziei lub oczekują jakiegoś cudu, który naród nasz od grożącej mu zagłady ocali. Inni wreszcie, bo są i tacy, w przystępie rozpaczy gotowi byliby zmienić jarzmo niemieckie na rosyjskie, byleby tylko pozbyć się wroga, którego przemoc wydaje im się niezwalczoną.

Zrozumieć można stan umysłów i nastrój uczuć wywołujących tego rodzaju zboczenia polityczne. Nie są te zboczenia następstwem błędnych rachub lub poglądów fałszywych, ale poprostu wynikają z poczucia słabości. Przed kilku laty na jakimś zjeździe w Poznaniu jeden z mieszkańców Królestwa zapewniał, że Polacy w zaborze rosyjskim z radością powitają pikelhauby pruskie na ulicach Warszawy. Na innem znowu zebraniu pewien mówca wielkopolski wygłosił zdanie, że ziomkowie jego pragnęliby usłyszeć brzęk podków koni kozackich na bruku Poznania. W tych i w ogóle w podobnych wyrażeniach nie trzeba upatrywać zapowiedzi jakichś zwrotów politycznych lub programów działania, ale są one objawem znamiennym usposobienia większości naszej inteligencyi szlacheckiej i wielkomieszczańskiej.

Należałoby wykazać różnicę, jaka istnieje między germanizacyą a rusyfikacyą, chociaż ta druga jest pod wieloma względami kopią pierwszej, do odmiennych warunków zastosowaną. Nie możemy dziś poobieżnie natwet traktować tego przedmiotu, ale zaznaczymy, że jako system polityczny rusyfikacya jest gorszą chociaż w rzeczywistości mniej szkodliwą niż germanizacya. To zaś, że jest mniej zgubną zawdzięczamy nie twórcom i wykonawcom systemu, ale przedewszystkiem naszej wyższości naturalnej, a następnie warunkom terytoryalnym i ekonomicznym.

Bądź co bądź, ludność polska w państwie niemieckim ma możność chociaż ograniczoną, obrony praw swoich, a obok tego ma, co jest ważniejszem, względną swobodę organizowania sił narodowych w różnych dziedzinach działalności. Stowarzyszenia polskie i prasa ludowa polska oddały sprawie narodowej polskiej olbrzymie usługi, których należycie ocenić dziś jeszcze nie możemy. Bez nich polskość ludu byłaby dotychczas jego właściwością bierną, bezwiedną, kiedy dziś jest już potężną siłą czynną i świadomą. Ta zamiana jest już faktem dokonanym który pozostanie i rezultaty odpowiednie wyda, chociażby dziś ludność polska w Prusiech pozbawiono nawet wszelkich praw konstytucyjnych.

Germanizacya jest systemem politycznym, w pewnej mierze z interesami narodowości niemieckiej, a przedewszystkiem i interesami państwa pruskiego ściśle związanym, wytworzonym przez warunki historyczne oraz współczesne racye państwowe i ekonomiczne. Powinniśmy to sobie uświadomić należycie, bo nasza działalność odporna musi być przystosowaną do charakteru działalności przeciwnika. Nie możemy spodziewać się zmiany tego systemu: żywienie takich nadziei jest szkodliwem dla nas złudzeniem a rozprawianie o niemoralności germanizacyi — próżną gadaniną, nie mającą nic wspólnego z polityką. Nie ma stronnictwa w Niemczech, nie wyłączając socyalistów, któreby się wyrzekło stanowczo tego rodzaju dążności, co najwyżej inaczejby tylko system stosowało. Niemcy naszą dzielnicę zachodnią uważają za swoje dziedzictwo, którego posiadanie pragną jaknajrychlej utrwalić.“

* *

Zruchu wyborczego w Galicyi. W demokratycznej prasie galicyjskiej wywołuje wielkie rozgoryczenie kandydatura ministra Rittnera w uzupełniających wyborach do sejmu zmiasta Tarnopola. Nawet umiarkowane organy stronnictwa demokratycznego utyskują na presyę rządową, potęgującą pokrzywdzenie miast, tkwiące już w samej ustawie wyborczej. Oto, co pisze w tym względzie „Słowo polskie“, wychodzące we Lwowie:

Rząd odniósł łatwe zwycięztwo. „Kolega ustąpił koledze — przyjaciel przyjacielowi — i minister Rittner będzie wybrany posłem na Sejm, wśród gorącego aplauzu dobrowolnie i niedobrowolnie urzędowych organów prasy. Ale żaden z tych organów nie raczył nam dać odpowiedzi na postawione przez nas pytanie, jaki pożytek odniesie Sejm, kraj i miasto Tarnopol ztąd, że p. minister w czasie sesyi sejmowej przyjedzie na kilka dni do Lwowa, a choćby i na dłużej przyjechał, to jako minister, nie będzie mógł brać tak czynnego i żywego udziału w pracach

---

MAJAK.

MŚCICIEL.

(Dokończenie).

Lecz tamci się przerazili. Uśmiecha się. Ktoby to mógł być? Widocznie para kochanków.

Nagle staje mu przed oczyma twarz owej kobiety w koronkowym negliżu, oblicze owego mężczyzny. Czuje, jak go jakieś dziwne zimno przejmuje. To Etelka! Coraz wyraźniej występują rysy jej twarzy na tle szarem, brudnożółtem, refleksami przyćmionej lampki słabo oświetlonem. Nie może być inaczej. A on? Wie teraz dokładnie, to ów mężczyzna z tego pozornie cichego domu, i znów mu się przypomina bagno, lśniącą porośnięte zielenią. Ha! teraz wszystko mu jasne. To ów oficer od ułanów, dawny Etelki narzeczony — brzmi, huczy, wrzeszczy w nim. Wszystko to na niego oddziałuje, jakby spojrzał w czarną, straszną otchłań, a patrząc w nią, zawrót go bierze. Potem ogarnia go całego cicho pełzające, lecz duszące przerażenie. A potem jeszcze przypomina sobie ową woń, narkotyczną, intenzywną, przenikającą jego powonienie. I do owej chwili żyje pod tem wrażeniem i cierpi. — — — — — — — — — — — —

Od owej chwili też nie był u Lorysów, unika starannie zetknięcia się z nim. Jemu się wydaje, że jest współwinnym. Minęło kilka tygodni. Nie dawno temu odebrał karteczkę z zapytaniem, czemu nie przychodzi? On ma iść do niego! Dla tego dzisiaj tak walczy z sobą. Powiedzieć mu, czy nie powiedzieć? Jeżeli powie, wie, że pozbędzie się tej trapiącej go mary, lecz zarazem zniszczy szczęście przyjaciela, jeżeli nie powie, na długo będzie chodził ściśle złączony z tą przykrą wizyą, a przyjaciel jego będzie żył z kobietą, która... wzdrygnął się.

Od owego dnia nie może się pozbyć obrazu, który mu się w wyobraźnię wpił jak kleszcz, nie zdoła, nie zdoła zapomnieć tego. Co za okropne położenie! Wszędzie ta wizya przed nim majaczy; widzi tych dwoje w szarych kątach owego pokoju, mrocznych jesiennem, ołowianem światłem, widzi ich na kanapie... wzdrygnął się. Tak, tak, oni siedzieli tam — tam w owej ulicy robotniczej usłali sobie gniazdko zaciszne... Wdycha w siebie powietrze, bo wydaje mu się, że go to wrażenie dusi, przygniata. — W tem w jego kawalerskiem mieszkaniu unosi się woń jakaś znajoma, drażniąca, oddech zatrzymuje mu się w piersiach, chciałby wyrzucić powietrze z krtani, płuc, z nosa, bo to ta sama woń, która wtenczas.... nie, nie, on nie chce o tem myśleć. Próżne wysiłki; wrażenie już przybrało w nim postać stuframiennego polipa, który go obejmuje i ssa z niego nie krew, nie soki żywotne, lecz jego spokój. A on nie umie go określić, nie umie dać mu nazwy. Dawniej starał się każdy rodzaj, każdą odmianę usposobienia swego wyrazić albo barwą, albo jakim dźwiękiem; miał zawsze siłę określić najlżejszy objaw, wyskok swej chorobliwej tkanki nerwowej. Oczywiście nie mówił o tem, lecz wewnętrznie odczuwał, że usposobienie jego miało dziwaczną grę kolorów, że jest czarno, różowo, niebiesko lub inaczej usposobiony. Na *to* uczucie, na *ten* stan duszy, w jaki go wprawiło otrzymane wrażenie, nie miał nazwy. Czuł, że z tych barw, któremi umiał oznaczać swe usposobienie, swój stan duszy, powstał jakiś dziki chaos gorączkowych, poplątanych z sobą kolorów, niby zupełnie bezbarwnych, a jednak o cechach wybitnych, tylko że nieokreślonych. Próbował uchwycić wrażenia z tego dzikiego rozstroju, z tej nieharmonijności zlanych, rozbijających się, gryzących, wijących się w około siebie i w sobie barw, a przy tych wysiłkach ujęcia wrażenia w jakąś stałą masę otrzymywał odbicie, jakie czasami miewał w gorączce- — Jakież ono było? To wiedział, że było niepokojące, trawiące... przykre. Już dalej nie próbował uchwycić w jednolitą całość tego chaosu, zadowolił się wyrażeniem „przykre“. Rzeczywiście, — prawie stan swej duszy pojął. Gdy wizya owa wracała, czuł przykry smak na ustach. Da-

Sejmu, jakiego od posłów wogóle, a już zgoła od posłów z miast ma się prawo wymagać.

Ten ostatni punkt jest dla nas szczególniej ważny i nie możemy zataić szczerego żalu do wszystkich, którzy w tej sprawie byli czynni, za takie nią pokierowanie. Posłów z miast jest 20, będzie obecnie (po sankcyonowaniu uchwały ostatniego Sejmu) 23, a razem z posłami z Izb handlowych 26, — posłów z wielkiej własności jest 44, z małej własności 74, wirylistów 10 — razem 154. Miasta więc mają wszystkie razem 17 proc. reprezentacyi, pomimo, że sam tylko Lwów i Kraków, nie licząc wcale wszystkich innych miast, płacą najmniej 25 proc. wszystkich podatków bezpośrednich, tak, że według tej miary należałoby im się 35 posłów. A może nie spotkamy się z zaprzeczeniem, twierdząc, że i z tytułu inteligencyi, w miastach skupionej, zasługiwałyby one także na większą, niż dotąd, reprezentacyę. To pokrzywdzenie miast jest zresztą dawno uznane i stwierdzone.

A skoro tak — to niechże przynajmniej praktyka wyborcza nie powiększa jeszcze tego w samej ustawie już tkwiącego pokrzywdzenia. A powiększa się je przez to, że się miastom narzuca posłów, którzy swoich obowiązków pełnić nie mogą, którzy nie mogą Sejmowi poświęcić tyle pracy, ile potrzeba, nie mogą być przy głosowaniach, w których idzie czy to o interes ich wyborców, czy też o polityczne zasady i kierunki tych wyborców — a to tem bardziej, że właśnie dla owej słabej liczebnie reprezentacyi miast w Sejmie zwiększa się waga każdego głosu. Wybór ministra z kuryi miast jest krzywdą, wyrządzoną miastom i wogóle tym zasadom postępu, które w miastach mają główne swe ogniska. Rząd, który się wyboru tego naparł, minister, ktory go przyjmuje, exkolega ministra, profesor uniwersytetu, który mając wszystkie szanse wyboru, ustąpił wobec kandydatury ministra — matadorzy miejscowi wreszcie, którzy na „wink" p. starosty zaraz się godzą na wybór ministra — wszyscy oni wyrządzili miastom niemałą krzywdę. A szczególniej szczery żal mamy do prof. Balasitsa, który bez żadnego politycznego powodu opuścił plac boju bez wystrzału.

Wprawdzie lwowski „Przegląd" wyraził z tego powodu gorące uznanie dla prof. Balasitsa, — który według pisma tego, dał dowód poszanowania „solidarności narodowej" — ale chyba nigdy jeszcze z tem pięknem hasłem solidarności nie popełniono tak jaskrawego nadużycia, jak stosując je do tego wypadku. Radzibyśmy istotnie dowiedzieć się, jaki jest związek między solidarnością narodową a kwestyą wyboru posła z miasta, któremu nie zagrażał żaden antinarodowy kandydat? Co na tem sprawa narodowa zyska, że na spisie posłów sejmowych będzie figurować nazwisko Jego Ekscelencyi, ale że się z niem nie spotkamy ani wśród nazwisk referentów komisyjnych, ani mówców sejmowych, ani w listach rozstrzygających imiennych głosowań? A dalej pytamy: dla czego owa solidarność narodowa ma zawsze zastosowanie do tej kuryi, która i tak jest w Sejmie zbyt słabo reprezentowana i tylko do tego stronnictwa, którego główny zastęp z miejskich wyborów wychodzi? Dla czego z tą zasadą nie zwrócono się w tym wypadku do innego okręgu wyborczego, gdzie wakuje mandat po śp. Horodyskim — i gdzie wybiera kurya i tak już zbyt silnie w Sejmie reprezentowana?

Jeżeli zaś sferom decydującym zależy na tem, żeby rekrutujące się głównie w miastach stronnictwo umiarkowanej, choć szczerej demokracyi polskiej, zredukować do minimum, odbierając mu mandaty przez narzucanie kandydatów ministeryalnych, — to nic łatwiejszego, jak życzeniu temu zadość uczynić. Potrzeba tylko rzucić hasło obojętnego, spokojnego przypatrywania się temu, co się dzieje, i usunięcia się z coraz bardziej przykrych stanowisk. Umiarkowana polska demokracya zniknie wtedy z pola walki, a jeżeli jej miejsce zajmie nieumiarkowana, to już nie my temu będziemy winni".

— ski.

LITERATURA I SZTUKA.

Jan Kubisz

poeta szląski.

I.

Podczas jakiejś uroczystości narodowej w Ameryce — opowiadał w swoich listach z podróży Ks. Marmier — kilku członków kongresu z trudem przedzierało się przez tłumy, dążąc na przygotowaną dla siebie estradę. „Usuńcie się moi przyjaciele — mówili — jesteśmy przedstawicielami narodu". Na to ktoś z widzów, niezadowolony, że go popychają i chcący zapewnie przypatrzyć się uroczystości na własne oczy, nie zaś oczami swoich pełnomocników, porwał jednego z natrętów za kołnierz, wołając ku wielkiej uciesze sąsiadów: „Usuń się, bo oto my jesteśmy samym narodem!"

Nieraz się zdarzało, że tych, którzy się narzucali ze swojem „przedstawicielstwem", trzeba było brać „za kołnierz", po amerykańsku, bo przedstawiciele zbyt często zapominają o interesach klientów i pod pozorem sprawy publicznej prowadzą własne sprawy.

Na Szlązku austryackim, którego obudzenie się do samowiedzy narodowej dokonało się prawie przed naszemi oczyma, nic podobnego nie stało się; więcej nawet powiem, zapoznawszy się z ruchem, ku odrodzeniu się narodowemu skierowanym, nie dostrzegam tam żadnej warstwy, żadnej klasy, nawet żadnej grupy ludzi, któraby uzurpowała sobie prawo przedstawicielstwa interesów lub polityki narodowej. Dostrzedz tam natomiast można wspólność pracy w jednym celu po całym obszarze Szląska.

Drobna to rzecz na pozór, a jednak jest dowodem wielkiej dojrzałości społecznej i politycznej tamtejszego społeczeństwa i tego umiarkowania rozumnego, które nie hałasuje, nie rzuca się z kijem na oślep, lecz kroczy wytrwale i powoli, a świadomie po obranej drodze. Zachodzi ta wielka różnica między Szląskiem a nami, że u nas pracują i prowadzą społeczeństwo jednostki, tam naród idzie sam, bo wszyscy są jednomyślni i wiedzą dokładnie, czego chcą. Społeczeństwo, w którem jedna warstwa wykształconą jest politycznie i posiada tradycye narodowe, a reszta stanowi ciemną masę, potrzebuje przewodników, a z tego stanowiska miał racyą Machiawel, kiedy radził wodzowi, podbijającemu obce państwo, przewodników zjednać, albo zniszczyć. Taką drogą postępowała także Rosya względem Polski. Naród bez przewodników — powiadał Tacyt — nic ośmieli się niczego przedsięwziąć.

W społeczeństwie nowożytnem takie poglądy nie dadzą się już zastosować, bo świadomość polityczna i narodowa przenika

---

wniej, gdy był poruszony, dźwięczały mu w duszy rozmaite dźwięki, melodye, motywa. Nie był muzykalnym, nie grał na żadnym instrumencie, lecz czuł w sobie wielką ilość strun, które odzywały się pod wpływem wrażeń. Była to jego muzyka, jemu właściwa. Były tam i akordy szumne jak fale rozhukanej orkiestry, były ciche drgnienia, półdźwięki, były dyssonanse zgrzytem rozdzierające mu duszę. Miały wrażenia więc obszerne pole odbijania się w nim, a na najlżejszy ich objaw znalazł się w nim stosowny dźwięk. Tym jednak razem nie było żadnego tonu w jego duszy, którydy choć w przybliżeniu oddał to, co czuł. Z początku zdawało mu się, iż pod siłą tego, co ujrzał, powstał chaos ogromny, bezmierny, jakby ręka o pięćdziesięciu palcach uderzyła nagle w wszystkie klawisze fortepianu. Tak też było na razie, lecz pod wpływem ciągle wracającej wizyi ustał ów chaos i powstał jakiś bezdźwięk, głuchy, zupełnie głuchy, jakby struny nagle stężały, niezdolne były do wibracyi. To było zupełne zniecztulenie. Tak mu się wydawało, lecz było to nieprawdą, bo on czuł, tylko nie umiał w sobie tego czegoś odnaleźć, coby mogło rzucić jakiś promyczek do tej wielkiej niewyraźności, jaka w nim zapanowała.

Ma wyjść na miasto do Lorysa. Jeszcze nie wie, czy pójdzie. Staje przed lustrem, rzadki włos układa starannie na głowie. Wie, że wyłysiał, jest mu to obojętne, gorzej jest, że czuje właśnie teraz samotność. Tem więcej ją czuje, widząc się w lustrze i cały swój pokój, który w odbiciu taki szary, taki nagi, taki pusty, chociaż mebli w nim dosyć. Warto pomyśleć o towarzyszce. Wstrząsnął się, nieprzyjemny uśmiech wykrzywia mu usta. A gdyby jego tak zdradzono? A może i on żyłby z kobietą, która po za jego plecami oddaje się innemu? — Roześmiał się, przecież nie wiedziałby o tem, — ba, ale gdyby się dowiedział, odczuwał, jaki wstręt przejąłby go na myśl, że żył z kobietą, która... Przerywa swoje wątpliwości mocnem postanowieniem. Pójdzie do Lorysów — nie wie jeszcze co zrobi, lecz pragnie jej zajrzeć w oczy, za tę mękę, którą mu ona sprawiła, za tę hańbę, w której żyje przyjaciel jego, pobawi się jej męką.

— — — — — — — — — — — — — —

Poszedł do nich. Pyta się, czy państwo w domu, służący daje mu potwierdzającą odpowiedź. Nie pozwala mu anonsować swego przybycia — przeczuwa, że Etelka mu się nie pokaże, a on chce ją widzieć.

Wchodzi. — Zastaje ich w małym saloniku w łagodnem świetle abażurowej lampy.

Ze strony Lorysa kordjalne przywitanie i wymówki za długą niebytność. Ona w pół leżącej pozie spoczywa na szezlągu z książką w ręku. Idzie ku niej, spostrzega, że nie ma siły, by powstać na jego powitanie. Lecz chwila to tylko. Podpiera się ręką o poręcz, on przeczuwa, że nogi pod nią drżą. Wita ją zwrócony tyłem do przyjaciela, — zmusza się do podania jej ręki. Jeżeli wzrokiem oplwać można — on to uczynił. W tej chwili rozgrywa się straszny dramat. Ona ma uczucie ofiary, winowajcy wobec mściciela, oczekuje słowa, które padnie na nią, niszczące jak grom — lecz słowo to nie pada, chwila mija spokojnie, tak jak zwykłe powitanie ludzi, którzy od dawna się znają.

Lorys podaje mu krzesło.

— Powiedz mi mój mruku-pesymisto, — tak go nazywa, gdy jest w dobrym humorze, — dla czego tak dawno do nas nie zajrzałeś. Nawet Etelka pytała się kilka razy o ciebie.

To „nawet" daje mu poznać, że kobietę tę trawił niepokój, że spodziewała się, że on powie, co widział i zdruzgoce szczęście przyjaciela, który nawet cienia podejrzenia nie ma.

Cieszy go, że ona żyła w niepokoju, w obawie o jutro, które ją wyrzuci z tych wspaniałych wygód, z tego miękkiego zacisznego ciepła ogniska domowego i zmusi ją do poniewierki, do życia awanturniczego z tym tam. O! dałby dużo za to, gdyby mógł zajrzeć w jej duszę.

Bada ją uważnie, spostrzega w jej wzroku niepewność, obawę, jakieś wyczekiwanie czegoś strasznego.

Poczekaj piękna pani!... Błyska mu nagle myśl.

i rozszerza się we wszystkich warstwach i wszędzie powołuje robotników pod wspólny sztandar, do wspólnej pracy. Nie przedstawiciel i przewodnicy, ale robotnicy prowadzą sprawę narodową. Ci, którzy na czele stoją i noszą nazwę przedstawicieli są tylko echem żądań i głosów powszechnych.

W sprawie przebudzenia narodowego Szląska nie widzimy ani jednego wielkiego człowieka, w zwykłem pojęciu historycznem, tj. człowieka, któryby powstał krzywdą i nieszczęściem innych, był nieraz sławą własnego narodu, a hańbą — ludzkości. Łatwo byłoby do tej kategoryi zaliczyć Napoleonów, Moltkich, Bismarków, Murawiewów (wieszatiela) i wielu innych. Wielką, w znaczeniu humanitarnem, była na Szląsku cała masa ludowa, która ideę narodową, tkwiącą w niej, wypielęgnowała i rozpoczęła na jej podwalinach nową budowę.

Zaszczyt i sława należą się ludowi szląskiemu i tym wszystkim pracownikom, którzy dla idei narodowej pracowali, nie roszcząc sobie żadnego prawa do przewodnictwa. Wodzowie stoją wprawdzie na czele, biorą udział w walce, swoją część do zwycięstwa przynoszą, ale nie oni zwyciężają. Zrozumieli to Grecy, kiedy po bitwie pod Maratonem odmówili tryumfów Milcyadesowi. „Gdybyś był sam zwyciężył Persów, mógłbyś używać zaszczytów!“

W sprawie zwycięstwa na Szlązku niema także tryumfatorów, którzyby wspaniałe wjazdy odprawowali; którymby wawrzyny wkładano na skronie, ale wielu bardzo w dziejach odrodzenia zapisało się pięknemi głoskami zasługi i pracy, a nazwiska ich tak są spojone ściśle z tą chwilą, że z pamięci ludzkiej i dziejów nie ich wymazać nie zdoła. Oni wspólnemi siłami, w różnych końcach i stronach tego kraju podjęli pracę odrodzenia, opierając ją prosto i bez żadnych krasomówczych ozdób na prawie natury, na prawie do życia człowieka, społeczeństwa i narodu, nie wdając się z tymi, którzy nie chcieli słuchać, zresztą w żadne wywody praw politycznych i narodowych. Ziarno było w duszy niedobitków z pogromu dziejowego, chwila stosowna do skiełkowania przyszła, a robotników, rozumiejących doniosłość tego zadania nie zabrakło.

Jednym z takich robotników jest Jan Kubisz.

Wydało mi się rzeczą niezbędną prawie uwagi powyższe poczynić, zanim zacznę mówić o osobistości, która także cząstkę swojej pracy dla dobra publicznego złożyła. Czytelnik nasz, przyzwyczajony do wielkich wyrazów, do nazwisk wielkich ludzi, których imiona związane są zwykle z chwilami szczęścia lub nieszczęścia narodów, mógłby się spodziewać, że mu przedstawię geniuszów i bohaterów — nieznanych. Nie, pragnę tylko zapoznać z czytelnikiem jednego z tych, którego praca bardzo drobna, który do szczytów literackich nie sięgał nigdy, do górnych myśli nie rwał się, ale pomimo to był i pozostał owym robotnikiem historycznym, który długo dźwigał na swoich ramionach ciężar jakiś. Nieraz może spragniony, głodny, z sił opadły, jak żołnierz, długim pochodem znużony, narzekał na ten ciężar, ale niósł z poczucia obowiązku; aż potem dopiero przekonano się, że on dźwigał najdroższy skarb swego narodu — żywe słowo.

Takim przedstawia mi się Jan Kubisz.

Urodził się on w pamiętnym roku 1848 w Końskiej (Końska) pod Cieszynem, z rodziców, należących do stanu wieśniaczego.

Krótkie te słowa zawierają dużo treści i są poniekąd kluczem, za pomocą którego możemy otworzyć przejście do duszy poety. Tkwią w nich dwa wypadki — jeden doniosłego znaczenia politycznego, drugi — rodzinnego, a obydwaj złożyły się niezawodnie na to otoczenie moralne i umysłowe, którego wpływ w życiu i poezyi dostrzedz można. Hasła wolności, z takiem weselem, pełnem nadziei, rozbrzmiewające w Europie, różnemi drogami wpadać musiały i pod wiejską strzechę Kubiszów, zt d przedostawały się do młodocianej duszy dziecka, obdarzonego większą od innych wrażliwością. Ten nieświadomy posiew kiełkował poza sferą rodzinną, pod kierunkiem i wpływem obcym i przerabiał się stopniowo w mniej szerokie, ale pożyteczniejsze pragnienia lepszej doli dla tego kraju, który obejmował mały horyzont Księstwa Cieszyńskiego.

Wieś i jej życie w najobszerniejszem znaczeniu wycisnęły na duszy poety daleko większe piętno indywidualizmu, niż doktryny polityczne i rozbudziły miłość do tych wszystkich haseł narodowych, w obronie których stanął później zarówno Jan Kubisz, jak i inni. Na wsi był świat na wskroś polski i na wskroś ludowy. Jak w całej Polsce, tak i tutaj zapewne polskość i narodowość nie przechowywała się w idei, w literaturze, sztuce, dziejach, w tych czynnikach, które wytworzyły się skutkiem życia politycznego państwowego, lub tradycyi dziejowych, — ale w języku, jako najpotężniejszej sile odrębności szczepowej, w poezyi i literaturze ludowej, które będąc wytworem tego języka i ducha narodowego, tworzyły same dla siebie świat zupełnie samodzielny. Nie mając dopływu soków żywotnych z organizmu państwowego, bo takiego organizmu już nie było, świat ten zasklepił się sam w sobie i nie dopuszczając do rodziny pierwiastków obcych, a nawet walcząc z niemi, zdołał tę samodzielność przechować, ażeby z czasem, gdy się ona wzmocni, znaleźć dla niej łączniki ze wszystkiemi arteryami życia narodowego, stanowiącego odrębną całość etnograficzną.

Miejsce swego urodzenia i warunki, w jakich się wychował, opisał sam poeta.

Dom mój ojczysty stał nad samym brzegiem
Olzy, co swoim wartkim, srebrnym biegiem
Spieszy równiną za Odrą daleką.
Przy chacie lipa, a pod jej opieką
Tak było dobrze tej rodzinnej chatce
I tak bezpiecznie dzieciom, ojcu, matce,
Jak pod wszechmocną dobrą ręką bożą!
— — — — — — — — — — — — — —
I tu mi matka pierwszy pacierz kładła
W dziecinne serce, tu mię abecadła
Uczył mój ojciec, a dziaduś sędziwy
Uczył ztąd biegać na rodzinne niwy — —
— — — — — — — — — — — — — —
I kędy warczy raczy kołowrotek
Ojczystej pieśni posłuchałem zwrotek.
— — — — — — — — — — — — — —
Tych cudnych bajek o strachach i czarach,
Duchach zaklętych w podziemnych pieczarach,
Co skarby dają temu, co ich pragnie,
O tańcujących nocnicach na bagnie,
I o topielcach w głębokiej zatoce
I o strzygoniu, który w pewne noce
Odwiedza chaty i w okna łopoce — —

— Pytasz się czemu u was nie byłem? Czułem się przygnębiony. Wiesz, że jestem wrażliwy. Odebrałem smutną wiadomość, pozostawałem pod jej wpływem i bałem się zetknięcia z ludźmi.

— A więc to dawny twój spleen! Kiedyż ty się z niego wyleczysz mój ty mrukupesymisto! Zrób tak jak ja — ożeń się.....

— Taak? — odpowiada przeciągle. — A pani czy sądzisz, że dobrze się ożenić?

Zwraca się do Etelki i zatapia się z całem wytężeniem w tej pięknej twarzy, widzi jak lekki kurcz chwyta jej usta. Pytana odpowiada spokojnie, równo, chłodno.

— Nie umiem radzić.

— A! — lekkie skinienie głowy.

— Lecz słuchaj, — woła Lorys — jakaż to ta twoja smutna nowina?

— Właściwie nic ona ciebie nie obchodzi, — nie znasz tych osób. Otóż jedna z moich znajomych, baron Binaczek, Węgier — nie znasz go — nieprawda?

— Nigdy o nim nie słyszałem.

— Więc ów baron ożenił się przed kilku laty. Potem przekonał się przypadkiem, że żona go oszukuje, — nie wiem na pewno, czy sam się o tem dowiedział, czy też który z przyjaciół dostarczył mu dowodów.

— I cóż dalej? Opowiadasz jakbyś był senny.

Pan tajemnicy przysłonił ręką oczy, aby mógł niepostrzeżenie paść oko widokiem Etelki. Jest przekonany, że od chwili wymówienia ostatnich jego słów, kobieta ta wije się w moralnych bólach.

— Tak — wycedził wreszcie — czuję się też strasznie zmęczony.

— I co się potem stało? — pyta Lorys.

— Ha! właściwie nie wiele, kochanek baronowej był to człowiek bez czci i wiary, nie godzien uderzenia prętem, a cóż dopiero kuli. Więc baron zabił ją, a że nie mógł znieść hańby, i siebie. Nie prawda, że głupstwo zrobił?

— Hm! nie podzielam twego zdania. W jego miejscu pewno nie postąpiłbym inaczej. Lecz dziwi mnie, że nic o tem nie czytałem w dziennikach?!

— Nie uważałeś. Była też tylko krótka wzmianka. Pani z pewnością czytała?

— Być może — wykrztusiła Etelka. Głos jej dźwięczał jak ochrypły.

— Taak! Widzisz Lorysie, żona twoja o tem wie. Ostatnie wyrazy podkreśla intonacyą głosu.

— To jest, — przerywa drżącym głosem Etelka — nie twierdzę tego na pewno.

— A cóż pani na to wszystko mówi?

— Ja? — Ach Boże!... — próbuje być objektywną i chłodną, a trwoga targa nerwami. W głowie jej się mąci, ona wie, do czego rozmowa zwrócona, lecz nie wie, jak się skończy.

— Ja? istotnie nie zastanawiałam się nad tem, nawet nie uważałam na cały przebieg... Zresztą Lorys już powiedział, co myśli, ja zgadzam się na jego zdanie.

— A! — lekkie skinienie głowy.

W tej chwili Lorys ujął mściciela za rękę.

— Więc to było przyczyną twego smutku. No, rozwesel się i chodź na cygaro do mej kancelaryi.

Poszedł z postanowieniem, że nie powie nic, poszedł z przekonaniem, że ta się wić będzie z trwogi podczas ich rozmowy. Oczy Etelki zagrały strachem.

— Pójdę z wami, pragnę towarzystwa!

Lorys uśmiechnął się uszczęśliwiony.

— Pójdź!

* * *

Wyszedł od nich. Nie powiedział nic i nie powie nic, lecz tego drugiego spoliczkuje gdziebądź... i zabije. On czuje, że ręka go nie zawiedzie.

Oto był ten świat ludowy, w którym się chował Jan Kubisz i śród którego miłość dla ziemi ojczystej pielęgnowano.

A prządka snuła ducha złote nici
Z pieśni, powieści ojczystych by ze lnu,
A choć nić była nikłą i subtelną,
Prześ się nadała na wątek żywota.
(*Pamiętnik Czytelni ludowej w Cieszynie.* Cieszyn 1887.)

Poeta rozumiał był doskonale, jak wiele był winien tym „złotym nitkom“ świata ludowego, jaka jest w nich siła odporna i dlatego w wieku dojrzałym już odzywał się do kolegów nauczycieli szkół wiejskich: „A kiedy długie nadejdą wieczory i tajemniczemi otoczą ziemię zmroki, wtedy przy lampy połysku opowiadaj gadki ojczyste. Wprowadzisz przez to dzieci w dziedzinę wyobraźni i przypniesz niejako skrzydła duszy twej dziatwy, że niemi pobują (bujać będą) po swojskich niwach. Wierzcie mi, że ja się tem opowiadaniem gadek w dzieciństwie rozmarzyłem na całe życie. Opowiadanie gadek ma i dla nauki w szkole wielką wartość. Dzieci nabywają przez to smaku i zapału do nauk, stają się lepszemi i szlachetniejszemi, ich umysł rozbudza się i rozwija szybko. Z większą dziatwą można urządzać śpiewy narodowe. Tą myślą powodowany urządziłem swego czasu „prządki“. Gdyby je zaprowadzono w każdej gminie zimowemi wieczorami, przyczyniłyby się wielce do rozbudzenia życia narodowego, ale również do zebrania poezyi ludowej, tej „arki przymierza między dawnemi a nowemi laty“. — (Odczyt w „Polskiem Kółku pedag.“, w Wiśle na Czarnym, 1895).

Myśl godna istotnie urzeczywistnienia. Ze świata na wskroś ludowego, pełnego ciepła rodziny, poezyi i miłości, przeszedł Kubisz wprost do szkoły *niemieckiej*, bo innych dla polskiej dziatwy nie było; uważano ją za przeznaczoną na zagładę i gwałtownie niemczono, ażeby co rychlej tego czynu cywilizacyjnego dokonać.

Na wstępie do nowego świata, o którego wielkości miał się poeta później dopiero dowiedzieć, dano mu za przewodnika do ręki książkę z *kogutem* — tak nazywano elementarz niemiecki, używany na Szlązku, mający na okładce godło koguta, symbol budzenia do wczesnej nauki. Istotnie, kogut niemiecki jednym zwiastował przebudzenie, drugim — śmierć i zagładę.

Jak się nauka szkolna odbywała, najlepiej nas objaśnią własne słowa poety.

Głównym celem dawnej szkoły ludowej — powiada on — była nauka języka niemieckiego. Wszystko się do niej odnosiło i tak było urządzonem, aby ją wspierać i umacniać. Chłopiec, nauczywszy się jako tako czytać, uczył się następnie słów niemieckich, czyli wokabuł, potem zaś rozmów, czyli „geszprechów“. Skoro w „geszprechach“ o tyle postąpił, że mógł na najprostsze pytania po niemiecku odpowiedzieć, obowiązany był pod grozą kary, używać tylko języka niemieckiego. W tym celu wpisywano go równocześnie na s i g n ę. Była to mała drewniana tabliczka z rączką w formie kijanki, powleczona białym papierem i zapisana nazwiskami tych wszystkich, którzy byli obowiązani mówić po niemiecku. Za każde słowo wymówione po polsku, pisano kreskę na signie, a za każdą kreskę bito z końcem tygodnia, t. j. w sobotę, rózgą. Ten zaś, który miał najwięcej kresek, oprócz plag otrzymanych musiał nadto signę, uwiązaną na sznurku i przewieszoną na plecy, zanieść do domu i na nowo białym oblec papierem, aby ją następnie w poniedziałek oddać nauczycielowi. Można sobie wyobrazić śmiech i urągania współuczniów, które biedakowi towarzyszyły do domu. Była to największa kara i hańba, jaka chłopców spotkać mogła. Dziś już signy nie ma, ale duch systemu, stawiającego język niemiecki na czele nauki szkolnej, przetrwał dotychczas, a gdzieniegdzie z spotęgowaną rozwielmożnił się siłą.

Gdy się przypadkiem zebrali w szkole tylko tacy uczniowie, którzy obowiązani byli do rozmawiania z sobą po niemiecku, panowała zazwyczaj cisza, z tej prostej przyczyny, że tym językiem mówić nie umieli. Skoro jednak pojawił się taki, który nie był jeszcze obowiązany mówić po niemiecku, rzecz się natychmiast zmieniła. Obstępowali go dokoła i zaczynali ze sobą rozmawiać po polsku, używając kolegi za pośrednika lub n i e m e g o tłomacza, bo z nim po polsku wolno im było mówić. Jan zwracał się wówczas do pośrednika i mówił: „Powiedz Pawłowi, żeby mi oddał książkę“. Zagadnięty w ten sposób ubocznie Paweł, przystępował z kolei do pośrednika i odpowiadał: „Powiedz Janowi, że mu książki nie oddam, bo nie jest jego“. W ten sposób porozumiewali się wszyscy po polsku, nie przekraczając przepisu, nakazującego im rozmawiać z sobą po niemiecku; nie rozmawiali wprost ze sobą, ale p o ś r e d n i o, przez owego niemego tłomacza, z którym wolno im było mówić. Jeżeli się jednak który pomylił i zamiast przez pośrednika, odezwał się po polsku wprost do współucznia, z którym powinien był mówić po niemiecku, natychmiast wołano: „hat polnisch gesprochen“ i dostawała mu się kreska na signie, wypłacana z końcem tygodnia — rózgą.

Oto w jaki sposób wysilał się niemiecki umysł i niemiecka wyższość cywilizacyjna, ażeby zmuszać polskie dzieci wstydem i rózgą do nauki obcego im języka. Ale to jedna tylko strona tego dziwnego sposobu cywilizowania przemocą; druga jest daleko wstrętniejszą — jest to obniżanie, a nawet unicestwianie wszystkiego co polskie, z wyraźną tendencyą zbudzenia wstrętu do tego, a podnoszenie natomiast na najwyższy szczebel kultury niemieckiej.

Piękna ta praca rozpoczynała się już od „koguta“ ale nabierała dopiero znaczenia doniosłego, stając się systemem niejako, w szkołach średnich. Taką drogę przeszedł Jan Kubisz.

Powiada on:

Lecz mię dziwiło, czemu nie uczono
Nas historyi naszej ziemi? Pono
Tu u nas były w dawnych, dawnych czasach
Tylko zwierzęta w wielkich, ciemnych lasach.
A, jak wiadomo u dzikich bestyi
Nie piszą nigdy kronik, historyi — —

— — — — — — — — — — — — —

Z tego powodu niepotrzebną rzeczą
Było wspominać o tym naszym kraju,
Jego narodzie, życiu i zwyczaju.
Potem się zaraz zkądsiś ludzie zbiegli,
Lasy wycięli i pola zalegli.

Gabryela Zapolska.

PIELGRZYMKA
PANI JACENTOWEJ.
SZKIC.

— Żeby cię wszystkie cholery zatłukły tak... pońdę.

— Nie pońdziesz, mówię ci, jakem uczciwy! Skórę ci zgarbuję a zostaniesz w domu.

Jacentowa parsknęła śmiechem.

— Skórę mi zgarbujesz? Ty psiakrewska niedojdo? Czem? Garściom? Może miotłom?... Co?...

Jacenty spojrzał z góry na żonę.

Chłop to był setny, wielki jak dąb, choć pochyło się trzymający, o długich rękach orangutanga, zwieszających się miękko i leniwie po obu stronach jego postaci.

Postąpił kilka kroków i machnął miotłą, którą wlókł za sobą jak kometa ogon. W kącie dziedzińca kilka kur chudych pokrytych kojcem zagdakało ze strachu.

Tymczasem Jacentowa, siedząc na progu drzwi, z rękami splecionemi na kolanach, chichotała, złośliwie mrugając maluchnemi oczkami, po nad któremi pasma lśniących pomady włosów kleiły się w wężowate smugi.

— Zgarbujesz mi skórę — piszczała cieniuchnym głosikiem — a to się przechwala!... Niby ty jak każdy inny masz siłę i chętkę jaką... A toć cholero jedna, jeżeli odprawię tę świętą pielgrzymkę, którą sobie ślubowałam, to może i tobie wyńdzie taka odpustowa ochwiara na pożytek... Może cię Najświętsza Panienka odmieni i lenia z ciebie wypędzi, a to nietylko, że mi zagradzać drogi nie powinieneś, ale wyprawić jeszcze i Bogu polecić!..

Mówiła jednym tchem, bez przerwy, jakby się nauczyła lekcyi i słowa jej szemrały cicho a dobitnie wśród ciasnej i smrodliwej przestrzeni podwórka. Jacentowa nie otwierała ust, mówiąc; sine i wązkie wargi zaciskały się prawie. Nozdrza spłaszczonego nosa nie poruszały się, to samo i deka piersiowa, pokryta cienką tkaniną perkalowego kaftana. Jedynie oczy migotały i latały pod zamkniętemi silnie brwiami i skóra na olbrzymiem, wypukłem czole marszczyła się w masę fałd jak zwoje zbyt obszernego płaszcza. Kobieta była chuda, mała, mizerna, czarna, ze skórą spaloną, a mimo to lśniącą. Ot, mucha wobec olbrzymiej postaci Jacentego. A przecież chichotała ciągle jak mała małpka skurczona na progu izby. Resztki zachodzącego słońca wydobywały z ciemni jasną barwę jej kaftana i kładły migocący punkt na samem środku jej czoła. Ot, jak dukat złoty ruchomy i nieuchwytny, migocący tuż pod pasmami ciemnych włosów.

Jacenty machnął raz jeszcze miotłą i podszedłszy ku kątowi dziedzińca, gdzie skład był wszelakich rupieci, wielką polewaczkę z łoskotem i brzękiem wydobył.

Nic mówiąc ani słowa, ku studni podszedł i wodę do konewki ściągać zaczął. Na odgłos plusku wody, zadudniło w głębi izby i jak bomba z ciemnego wnętrza domu wyleciała na dziedziniec mała dziewucha bosa i zasmolona, w perkalowej sukience i z cieniuchnemi warkoczykami po obu stronach olbrzymiej jak dynia głowy.

Z rękami rozezapierzonemi pędziła w stronę studni i nie zatrzymała się aż w bryłantach wody, która całą kaskadą rozpryskiwała się dokoła..

Jacentowa uderzyła się po kolanach.

— Julko!... Wiedźmo zatracona!.... — zawołała — pońdziesz precz od wody... kieckę na nic zamoczysz, fladro jedna!...

Lecz Julka, nazwana „fladrą“, kręciła się jak wrzeciono w pyle wodnym, obsypującym ją ożywczym, chłodnym deszczem. Żółta główina pokryta rzadkiemi włoskami migała jak olbrzymia bania wśród wodotryska.

— A odpędź ją — krzyczała matka.

Jacenty postawił konewkę i pochmurnie na dziecko spojrzał.

— Poszła! krzyknął wreszcie, lecz Julka kręciła się wciąż wyciągając brudne ręce, żółte i jakby napuchłe, ręce skrofulicznego dziecka....

— Zdziel ją bez łeb!... — Wołała Jacentowa.

Z niemi mój ojciec razem przywędrował,
Osiadł nad Olzą i domek zbudował.
(*Pamiętnik Czyt. lud. w Cieszynie.* 1887.)

Tak ironicznie tłomaczy J. Kubisz poglądy niemieckich cywilizatorów na kraj polski i ludności.

W takich ciężkich warunkach moralnych rozpoczął poeta szląski życie szkolne. Wyniósł z domu wielki zapał do nauki, serce pełne religijnych uczuć, a pamięć przyświecała mu na tej żmudnej i jałowej drodze, na którą wstąpił, poezyą i gadkami. Pod grozą signy, plag i pod opiekuńczemi skrzydłami niemieckich belfrów rozpoczął naukę, trybem wskazanym nieco wyżej, w Cieszynie. Nie doprowadził jej dalej jednak jak do ukończenia tamże niższego gimnazyum. Jakie były przyczyny do przerwania nauk gimnazyalnych — nie wiem, dość, że je przerwał — czego później przez całe życie żałował i uskarżał się, że nauk uniwersyteckich nie pobierał. Kto wie, może i lepiej się stało. Uniwersytety, szczególnie w dawniejszych czasach, dawały wprawdzie naukę, ale w zamian za nią łamały i koszlawiły charaktery, wciągając te ofiary światła w krąg życia i pracy narodowej niemieckiej. Rzadko kto zdołał z uścisków wabiącej syreny wyjść cało i czysto. Łatwo możemy policzyć wszystkich, którzy poświęcili pracę swoją i siły własnemu społeczeństwu, ale trudno zrachować zmarnowanych i zbłąkanych. Niejeden —

Później się zewlókł z chłopszczyzny
I zaczął po pańsku się nosić,
A że polskie miano mniej błyska,
Podług panującej maniery
Ze swego polskiego nazwiska
Powykreślał polskie litery,
Co się też zupełnie pochwala,
Za co cześć zyskał niemałą —
Bo przedtem się pisał Ciňciała,
A teraz się pisze Tintala!
(*Śpiewy starego Jakóba.* Cieszyn. 1889.)

J. Kubisz uniknął tego. Po ukończeniu niższego gimnazyum w Cieszynie, wstąpił tamże do seminaryum nauczycielskiego, a od r. 1867 jest nauczycielem ludowym w Gnojniku, gdzie i dotychczas pozostaje.

Fr. Rawita.

Miłość w poezyi.

(Pogadanka.)

Wypisawszy taki tytuł, przestraszyłem się go sam i pomyślałem sobie: „Du sprachst ein grosses Wort gelassen aus“...

Wszak pod tym tytułem możnaby napisać książkę choćby tak obszerną, jak razem wzięte *„L'amour“* Michelet'a i *„Psychologie de l'amour“* Stendhal'a. Taki przedmiot — w małej pogadance — jak to pomieścić? Właściwie byłaby na to jedna rada: zmienić tytuł, ścieśnić go i ograniczyć zbyt obszerny przedmiot. Ale ten, który wypisałem, brzmi dobrze, a wiadomo, ile znaczy dobry tytuł: *exemplum* powieści Jokay'a, który ma prawdziwy geniusz do tytułów.

Zostawiam więc: „Miłość w poezyi“ z tem zastrzeżeniem, że piszę pogadankę, w której wprawdzie chciałbym powiedzieć trochę więcej, niż mówi Bellac ze „Świata nudów“, ale w której nie zdołam powiedzieć, coby się powiedzieć dało, gdybym pisał kilkutomowe dzieło.

Pisząc takie dzieło trzebaby w I-ym tomie odpowiedzieć na pytanie: „czem jest miłość w ogólności i w szczególności? w II-im: „czem jest, czem była i czem będzie poezya?“

Jednem słowem same pytania, w rodzaju owej sławnej kwestyi, jaką postawił sobie Piłat: „Co jest — prawda?“ W dalszych tomach dopiero należałoby przechodzić wiek po wieku, poetę po poecie, pisarza po pisarzu, i traktować wyczerpująco miłość w poezyi starożytnej: greckiej i rzymskiej, w poezyi średniowiecznej, u Trubadurów i Minestrelów, u Petrarki Danta, w poezyi Odrodzenia etc, aż do romantyzmu i poezyi dzisiejszej. Ile tomów — i jaka piła!

Nie — doprawdy wolę pisać pogadankę. Ale od czego zacząć?

Od tego, że niema miłości bez poezyi, a poezyi, bez miłości?

Wolę nie bawić się w puszczanie tak tanich aforyzmów. Bo wprawdzie nie można zaprzeczyć, że miłość, jako temat poetycki,

ist eine alte Geschichte,
Doch bleibt sie immer neu...

ale spostrzeżenie to „ist auch eine alte Geschichte“, tylko „sie bleibt nicht immer neu“.

Zostańmy na razie przy Heine'm — jeśli mowa o miłości w poezyi, to przedewszystkiem na myśl przychodzi „Der blasse Heinrich“. Ileby o nim samym można powiedzieć, gdyby już o nim tyle nie powiedziano! Niemcy opisali na wszystkie boki każdy czterowiersz z „Buch der Lieder“, ale mniejsza o Niemców — napiszę co myślę, a jeśli się w zdaniu z jakim uczonym Niemcem spotkam, tem większy dla mnie zaszczyt.

Otóż w Heinem zachwyca mnie:

1º) Przedziwna, cudownie melodyjna forma, tak, iż pod wiersz Heinowski kompozytorowi *„difficile est musicam non scribere“*, — jeśli wolno tak przekręcić łacińską sentencyę. Nieregularność rytmiki, czy rymów, u Heinego tak częste, są zawsze umyślne, używa on ich świadomie jako dysonansów, łamiących monotonię tam, gdzie nagle myśl łamie się i przeskakuje w ton inny.

2º) Bardziej jeszcze niż formą czaruje Heine wdziękiem i siłą, a nadewszystko szczerością uczucia. Nigdy fałszywego tonu, nigdy przesady, nigdy tych niegodziwych patetycznych frazesów, tych frazesów które — nawet, gdy się je cicho czyta — robią wrażenie, jak gdyby się słyszało nad uchem wymawiane sztucznym, gardlanym głosem prowincyonalnego aktora. Któż u Heinego znajdzie jeden taki wiersz? Jeżeli każdy poeta ma w swych wierszach jakiś odrębny ton głosu, to w głosie Heinego słychać naprawdę łzy.

3º) Najpiękniejsze i najcudowniejsze jest w nim to, że formę tę mistrzowską tak umiał związać z treścią, z uczuciem. Wiadomo, że zanim napisał jeden czterowiersz *„z Buch der Lieder“*, układał go nieraz całemi dniami, leżąc na kanapie z zamkniętemi oczyma. Może miewał wówczas

„.....na twarzy taki wyraz boski,
Jak wieszcz, co pisząc wiersze liczy zgłoski“.

Zgłosek prawdopodobnie liczyć nie potrzebował, ale że słowa śpiewne i rzewne dobierał i ważył, że przez banalne niby efektowne frazesy przebijał się do najprostszych, najnaturalniejszych zwrotów — to pewna. Może się to wydaje dziwnem, ale

---

Lecz już z wnętrza izby wylazło nowe, pokraczne stworzenie, blade i maluchne, czołgające się na czworakach, z taką samą wielką żółtą głową jak dynia i z trudem dźwignąwszy się na wygięte w pałąk nogi, dążyło ku tej drugiej, całej brylantowej od rosy wodnej czepiającej się jej nędznych włosów i wyciągniętych rączek. W brudzie zaduchu i ciemnicy zrodzone i chowane istoty dążyły instynktownie do światła, chłodu i wody, tryskającej promienną strugą wśród smrodliwej ciemni dziedzińca.

Lecz równocześnie oboje rodzice, podnieceni i podrażnieni sprzeczką, rzucili się jakby na komendę na te drobne ciała pokurczone i nędzne, dźwigające się z takim trudem od ziemi.

But Jacentego obalił na ziemię Julkę, pięść Jacentowej przygniotła do ziemi to drugie stworzenie.

Poczem Jacenty porwawszy za konewkę zniknął w głębi a Jacentowa wpadła do izby i zaryglowała się wewnątrz.

Na dziedzińcu, na szarem tle bruku, obok skrzyni ze śmieciami, przypadło do ziemi młodsze dziecko, zanosząc się z płaczu.

Nieco dalej, pod pompą, wśród kałuży wody, leżała Julka, cicha, z zaciśniętemi ustami.

Po nad niemi, nad temi atomami ludzkości, wznosiły się mury kamienicy, otaczające fortecznym murem maluchną przestrzeń dziedzińca. Olbrzymia drewniana rynna przeznaczona do zlewania nieczystości, żółciła się w kącie jak potworna gromnica.

Na jednem z wyższych pięter jakaś żydówka wywiesiła czerwoną pierzynę. Zdaleka słychać przyciszony łoskot jadącej dorożki lub głos sługi śpiewającej godzinki.

Nareszcie dźwignęła się z ziemi Julka i, kiwając swą olbrzymią głową, ku młodszej siostrze iść zaczęła.

— Cyt!.. Cyt!... Karusia;... — wymówiła cichutko.

Karusia umilkła i załzawione swe oczy w idącą siostrę utkwiła.

Były zupełnie do siebie podobne, obie brzydkie, skrofuliczne, smutne, brudne, napiętnowane od kołyski nędzą.

Obie miały jednakowe, wielkie, błękitne źrenice, załzawione i pełne nieokreślonej tęsknoty, usta sine i malutkie, uszy duże, żółte i odstające jak wachlarze, szyje cienkie i szramami szkrofuł poznaczone.

Tylko Karusia była o wiele mniejsza i nędzniejsza od Julki, która zdawała się być zrodzoną w jaśniejszej i czystszej jeszcze atmosferze niż ta, jaka panowała wśród ścian dziedzińca.

Julka usiadła na ziemi obok Karusi i ująwszy dziecko w ramiona, przytuliła do swej maluchnej piersi.

Karusia łkać przestała i tylko od czasu do czasu wzdychała ciężko, a Julka wtedy delikatnie jej włosy gładziła.

I tak siedziały obie długo w swych brudnych różowych sukienkach na szarym tle kamieni, malutkie a tak już ogromem chorób i strapienia przygniecione — w zaraniu życia, jak braki społeczne na rzeź niedoli wysortowane i zrządzeniem losu piętnem hańbiącem znaczone.

* * *

Jeszcze przed świtaniem zerwała się Jacentowa z pościeli.

Nie mogła przecież zaspać dnia dzisiejszego. O piątej bowiem kompania wyrusza do Studzienki z pielgrzymką do Panny Najświętszej, cudami na mil kilkanaście dokoła słynącej.

Pewnej nocy, dawno już dosyć, bo niemal zaraz po narodzeniu się Julki, Jacentowa zbudziła się nagle, czując jakby szarpnięcie prawego ramienia.

— Kto to?.... zawołała, siadając na łóżku.

Lecz odpowiedziało jej tylko chrapanie Jacentego, który dzień cały rąbiąc lód, spracował się ciężko i teraz spał snem kamiennym, wetknąwszy nos w czerwono kratkowany perkal powłoczki poduszki.

Niedaleko łóżka stała kołyska, pod której bieguny podłożono kilka tarcic. W komórce bowiem, służącej za mieszkanie stróża, wilgoć była przerażająca i podłoga gniła, rozpadając się jak trup w wilgotnym grobie.

W kolebce spała Julka cicho, nie oddychając prawie, mając ciało przytłoczone ciężarem olbrzymiej głowy, która czyniła z

tak jest rzeczywiście: do naturalności i prostoty dochodzić trzeba w pisaniu; człowiek to takie cudaczne stworzenie, że, choćby najszczerzej, najgłębiej czuł, w chwili gdy weźmie pióro, traci szczerość i prostotę, i musi dopiero odszukiwać ich w sobie gdzieś bardzo głęboko.

4⁰) Wielkość Heinego leży i w tem, że, jak mało kto umiał wciągnąć w miłosne swe pieśni całą przyrodę jako tło, i otoczenie, a zatem tylko po kawałku, po trosze, kilkoma rysami: tu grzęda kwiatów, tam jedna lipa, ówdzie jedna kwitnąca gałąź bzu pełna słowików. Szerokich, wykończonych krajobrazów prawie że nie ma, przynajmniej w „*Buch der Lieder*“, ani w „*Neue Gedichte*“, przyroda akompaniuje tylko pieśniom miłosnym.

Chciałbym napisać dalej: 5⁰) — ale wstrzymuje mnie myśl, że takich punktów możnaby wyliczać bez końca i ostatecznie nie wymieniłoby się wszystkiego, co w małych wierszach Heine'go jest wielkie i piękne. Zresztą, w tej chwili przypomina mi się, może nieco zapóźno, mój poczciwy gimnazyalny profesor zoologii, u którego przy każdej sposobności było 1⁰), 2⁰), 3⁰), 4⁰), itd. bez końca. Kto wie, czy staruszek nie zazdrościł czasem swoim wypchanym małpom tego, że mają po dwie pary rąk — suma czyni dwadzieścia palców.

Od profesora i małp wracam do poezyi i miłości.

Otóż w liryce miłosnej oprócz melodyjnej formy, jak w każdej innej poezyi, trzeba więcej, niż w innej poezyi, prostoty i szczerości, uczucia i serdeczności w tonie: jeśli przesada, sztuczność i deklamacyjna napuszystość, są zawsze „obrzydliwością w uściech moich“, — jak powiada Wujek, to już w poezyi miłosnej muszą być do niezniesienia. Szczerość: naturalnie naprzód trzeba czuć to, co się pisze — to szczerość życiowa, powtóre zaś trzeba napisać to, co się czuje, i to nic więcej, niż się czuje i nie inaczej jak się czuje — to szczerość artystyczna, poetycka.

Jak tę szczerość wydobyć z siebie?

Przedewszystkiem, panie poeto, nie chciej robić nadzwyczajności ani z siebie, ani ze swej miłości, ani ze swej poezyi. Jeśli sobie powiesz: „Teraz napiszę takie wiersze, że się „ona“ pod wrażeniem skręci nakształt korkociąga“ — to wszystko przepadło. „Ona“ i czytelnicy „skręcą“ się, ale chyba od śmiechu. Przeklinać, ryczeć, tupać, drzeć włosy z głowy, tarzać się po ziemi w desperacyach miłosnych, albo zmobilizować od kilku strof cały wszechświat, ziemię, sfery niebieskie i rozdymać tem wszystkie swoje wiersze i szturmować w ten sposób z hukiem i pompą do serca biednej kobiety — to poezya zarówno łatwa jak i niepoetyczna.

Uspokój się jegomość — panie poeto. Sprobujmy inaczej. Kochasz na prawdę? Bardzo kochasz? Tak jak Abelard? jak Romeo? Jak Werther? Nie to wszystko są reminiscencye literackie — Romeo, Werther? Co nam potem? Kochasz ją po prostu, po swojemu, jak tylko umiesz najbardziej. Nietylko ją kochasz — ale ją lubisz, tak ją lubisz. Chcesz jak najwięcej i najdłużej być z nią razem, tylko, że nie zawsze można. Chciałoby się jej tyle powiedzieć! Ale gdzie i kiedy? Idź do domu — i napisz to, cobyś jej powiedział. Przecież się na biedną pannę, czy panią nie krzyczy jakimś głosem, jak z beczki: „Kocham panią!“ Nie zasypuje się jej całą górą porównań, obrazów, frazesów, jęków, przekleństw, wykrzykników. Im prościej, im ciszej, im szczerzej — tem lepiej. Biada człowiekowi, który idąc do „niej“ układa na wschodach napuszyste dytyramby, a w przedpokoju przybiera sentymentalny wyraz twarzy. Na cóż więc te dytyramby i ten sentymentalizm w poezyi?

Powie mi kto: „A Romeo?“ — Prawda — Romeo mówi dytyramby, sypie porównaniami, jęczy, tarza się nawet po ziemi. Tak, ale Romeo to prawie dzieciak — takim robi go Shakespeare, tak interpretują go wszyscy wielcy artyści, np. Rossi. Wszak ten mały Montecchi może niedawno jeszcze czuł to, co wypowiada Cherubinek, z „Wesela Figara“: *depuis quelque temps je sens ma poitrine agitée, mon coeur palpite au seul aspect d'une femme, les mots* ***amour et volupté*** *le font tressaillir et le troublent. Enfin le beso'n de dire à quelqu'un: ‚je vous aime‘ est devenu pour moi si pressant que je le dis tout seul en courant le parc... aux nuages, au vent...*“ Potem, zamiast chmur i wiatru nawinęła mu się Rosalinda — więc się w niej podkochiwał, aż dopiero z Juliettą przyszło pierwsze prawdziwe uczucie. Prawdziwe, ale dziecinne jeszcze, pełne studenteryi, wykrzykników deklamacyi — zresztą ślicznych deklamacyi. W tych deklamacyach miłosnych Romea — jak to subtelnie wykazuje Klaczko, — tkwi także trochę reminiscencyi z trubadurów, ztąd szczegóły, które nam się mogą wydawać sztuczne, bośmy nie wyrośli na trubadurach, jak Romeo; podobnie sztuczną i wyszukaną może się kiedyś wydawać najszczersza, najgłębsza miłość ludzi dzisiejszych którzy mimowoli przejmują się Heine'm, Musset'em, Słowackim. Poezya miłosna danej epoki zabarwia zawsze potrosze miłość samą: człowiek, nie umiejący znaleźć własnego wyrazu na swoje uczucia, przejmuje wyraz ten z poezyi, jakiej się naczytał. A wreszcie, pewne gwałtowne historye, które wyprawia Romeo, tłomaczą się także niezwykłemi, tragicznemi dziejami jego miłości: kto się ożenił potajemnie, w dzień ślubu zabił człowieka i musi na wygnanie iść od młodej żony, a w dodatku ma lat dziewiętnaście, temu pozwólmy krzyczeć, targać się za włosy, tarzać po ziemi z rozpaczy.

Ale np. Mohort jest i starszy i hartowniejsze ma nerwy od tamtego dzieciaka i o trubadurach nie słyszał, i takich nadzwyczajnych zdarzeń nie przeszedł, nie powinienby więc wyprawiać takich awantur, jakie wyprawia po śmierci narzeczonej: porywa trumnę z ciałem i ugania się z nią po polach, że niczem Orland Ariosta, oszalały z rozpaczliwej miłości dla Angeliki

Tamten przynajmniej zwaryował co się zowie. Poprostu Pola nie było stać na prawdziwy, wielki liryzm i na głęboką psychologię rozpaczy — wymyślił nieprawdziwe, przesadne objawy uczucia i w pogoni za nadzwyczajnem wrażeniem dla czytelnika, przeciągnął tutaj strunę. Oczywiście, trudno przejść wszelkie rodzaje i odcienia miłości, jak ją maluje poezya: od elementarnych, półdzikich popędów, które upajają prostych, grubych bohaterów Homera, do mistycznych zachwytów Danta wobec Beatryczy; od zdrowych a zarazem już wydelikaconych uczuć Catulla do chorobliwych, erotycznych szałów Catulle Mendès'a i od

---

niej rodzaj potwora, przedwczesnego płodu, konserwowanego w brudnych słojach, na purpurą obciągniętych półkach wędrownych muzeów.

Jacentowa usiadła na łóżku i doznała nagłego uczucia szalonej trwogi. Przed jej oczyma zaczęły przesuwać się w zwartym szeregu białe kościotrupy, niosące na barkach trumny i wlokące za sobą długie prześcieradła.

Cała ohyda śmierci nieuszlachetnionej rozumną legendą, wraz z aparatem kościelnym, piszczelami wyszytemi na tle katafalkowego sukna, z „Salve Regina“ śpiewanem nad otwartą jamą grobu, z całą potworną komedyą pogrzebu, obliczoną na szarpanie nerwami tych, którzy zostają — wypełniła teraz ciasne wnętrze izbebki.

Było to nagłe widzenie owej *śmierci* nieuniknionej a nieoczekiwanej i Jacentowa w spazmie szalonej trwogi, drżała teraz, cała wstrząsana jakby przedśmiertnym dreszczem.

Tuląc do piersi cały komplet medalików, ukrytych pod grubem płótnem koszuli, otwierała szeroko małe ślipki i nagle wyschłym językiem obracała w rozwartych ustach.

Wreszcie ze spieczonege gardła zdołała wykrztusić:

— Panno Najświętsza!... Ślubuję Ci odprawić pielgrzymkę do najbliższego świętego miejsca, niech jeno rana doczekam... i nie zamrę tak po ciemku przez świecy i pomocy ludzkiej!..

Nie zamarła — owszem, nazajutrz obudziła się zdrowa, lecz pamięć owego nocnego „stracha“ pozostała już ciągle w jej umyśle i często, kładąc się wieczorem, drżała na samą myśl, że napad ów grożnych śmiertelnych widziadeł ponowić się może.

Jacenty opowieść żony przyjął pogardliwem wzruszeniem ramion i, splunąwszy, oznajmił, że baby to jak nie mają prawdziwego stracha, to go zełżą, byle językiem mleć i ludziom czas zajmować.

Trzy lata minęło, po Julce przyszła Karusia – Jacentowie z wilgotnej komórki przenieśli się do... komórki wilgotnej.

Jacenty zaczął pić i z kompanami do harfiarek zaglądać, Jacentowa nabrała „gęby“ — zrobiła się „cięta“, lecz zarazem wychudła, zczerniała i miała w dwudziestym piątym roku powykręcane ręce od reumatyzmu.

O pielgrzymce nie było mowy, Jacentowa bowiem najmowała się do posługi i do prania, rodziła dzieci, karmiła je, gotowała, chorowała, łatała odzież, biegała po szynkach i wywłóczyła z nich męża, robiła plotki, biła się z sąsiadkami, odmawiała i stręczyła sługi, katowała dzieci, wymyślała „handlom“, zajmowała się „merdunkami“, spełniała funkcyę denuncyanta przy boku „pana rządcego“ — słowem, wieczorem zaledwie miała czas wykuksać dzieci, obetrzeć im nosy, nałożyć sobie na włosy trochę pomady, zjeść coś nie coś, wykłócić się z mężem i runąć na posłanie, wyciągając daleko po za sosnową ramę parę nóg zczerniałych, spuchniętych, często pokrwawionych lub od mrozu i brodzenia w ługu spękanych.

Naraz ów „strach“ owa bojaźń śmierci powtórzyła się wśród nocy wiosennej jeszcze więcej wyrazista i przerażająca. Jacentowej tchu w piersiach nie stało. Przypomniała sobie ślub uczyniony i swe cudowne od śmierci ocalenie. Wstała z pościeli blada, z oczyma świecącemi i poszła na naradę do sklepikarki Bączkowskiej, osoby otyłej, pobożnej i do bractwa Adoracyi wpisanej. Obie uradziły, że pielgrzymkę odbyć trzeba a Bączkowska, jako osoba fachowa, doradziła Studzienkę, o mil kilkanaście odległą. Właśnie w czerwcu zbierały się kompanie, pobożnie i ze śpiewem i chorągwiami wyruszały do świętego miejsca.

Od tej chwili w komórce Jacentów rozpoczęło się piekło. Jacentowa dzień i noc mówiła „pońdę“ — na co Jacenty odpowiadał „nie pońdziesz!“ I ta mistyczna przyczyna niezgody tak rosła, potężniała codziennie, iż w wigilię wyruszenia kompanii, doszła do kulminacyjnego punktu naprężenia.

(Dokończenie nastąpi).

lekkiej, pogodnej miłości Anakreonta do smutnych, gorzkich i dziwacznych miłości u Ibsena — każdy z tego nieprzejrzanego tłumu poetów ma swój typ miłości, od innych odmienny, a dla siebie i swej epoki znamienny.

Ale widzę, że zaczynam wpadać w taki ton, jakgdybym pisać miał conajmniej wstęp do tego wielotomowego dzieła; z drugiej strony staje znowu widmo Bellac'a ze „Świata nudów". Może więc najlepiej będzie urwać, żeby nie było wielu tomów ani Bellac'a, ani — co najgorsza — nudów.

Lucyan Rydel.

Żale krytyka.

Liczba istotnych adeptów sztuki przerażająco się zmniejsza u na , gdy tymczasem tych, co pragną wedrzeć się w jej obręb (na wzór świeżej arystokracyi rwącej się do Almanach de Gotha) jest coraz więcej z dniem każdym.

Z masy tych, co powiadają dumnie o sobie: „my artyści", „my literaci", co nosa zadzierają w obec rzeszy „symplistów" i myślą, że z innej gliny są od nich ulepieni, nie wiele dałoby się wybrać dusz, nie napiętnowanych filisterstwem. Dla nich sztuka jest tylko najdogodniejszą formą używania, środkiem ułatwiającym robienie karyery, najkrótszą drogą do rozgłosu, wreszcie pracą dodatkową, kaprysem, słowem wszystkiem, tylko nie celem, któremuby się poświęcało najlepsze siły duszy i podporządkowywało nikłe rachuby i widoki „użycia".

To już nie dyletantyzm nawet, ale drobny wstrętny handelek, prowadzony w widokach natychmiastowego zysku pod płaszczykiem szczytnych haseł i dążeń niepowszednich. Nie służenie sztuce, ale wyzysk sztuki spotykamy najczęściej. Sztuka wymaga bezwzględnego oddania się jej celom, mozolnej pracy, nieustannego czuwania i wysiłków. Czy wielu u nas znajdzie się takich wśród tych, co rozkładają swe stragany w świątyni sztuki, którzyby odpowiadali wymaganiom, stawianym artyście? Wymagania tego rodzaju postawił kiedyś H. Balsac, w sposób nieporównany (Cousine Bette strona 193—195): „W sztuce najbardziej godną sławy jest odwaga, męstwo, o jakiem zwyczajny śmiertelnik nie ma wyobrażenia. Myśleć, marzyć, projektować piękne dzieła, jest to rozkoszne zajęcie. To palić cygara zaczarowane, to wieść życie kurtyzana, oddanego swoim fantazyom... Ale tworzyć, ale wydawać na świat, ale wychowywać mozolnie dziecię, układać je do snu nasycone cowieczór mlekiem, ściskać je do rana z niewyczerpanem uczuciem matki, lizać gdy jest brudne, ubierać po sto razy w najpiękniejsze sukienki, które nieustannie drze; nie zrażać się konwulsyami tego szalonego życia i zrobić z niego arcydzieło. . to jest wykonanie i wszystkie jego trudy". A dalej: „Jeżeli artysta nie rzuca się w dzieło własne (ne se précipite pas dans son oeuvre), jak Kurcyusz w otchłań, jak żołnierz na redutę, bez zastanowienia i jeżeli w tym kraterze nie pracuje tak, jak górnik, zasypany ziemią, dzieło pozostaje niedokończonem... Praca nieustanna jest prawem sztuki, tak samo jak życia; gdyż ona jest istnieniem idealizowanem."

Na palcach moglibyśmy policzyć naszych zdeterminowanych „Kurcyuszów". Iluż natomiast mamy „kurtyzanów" oddanych swoim fantazyom. Ale ci ostatni nie są najgorsi. Oni przynajmniej — marzą, myślą o pięknych dziełach i poczynają takowe, tylko brak męstwa i determinacyi, brak sił i zdolności poświęcania się udaremniają ich plany. Największą plagą są tu nie oni, lecz ci, co o żadnych „pięknych dziełach" nie myślą, o niczem zaszczytnem nie marzą i oddani są tylko udoskonaleniu sposobów zwiększania swej wytwórczości i wydawania na świat maximum „dzieł" za pomocą minimum wysiłku, zużycia sił i poświęcenia. Są między nimi zwyczajni „aferzyści", dla których sztuka jest gałęzią przemysłu, są próżni zniecierpliwieni histerycy, zwracający się ku niej, jako do czegoś, co obiecuje im zaspokojenie ich drobnych ambicyjek i cierpiący na hipertrofię miłości samego siebie (nie mówimy: miłości własnej, gdyż tej towarzyszy poczucie godności osobistej, czego im brak); są fanfaroni, którym chodzi o błyszczenie w świecie, o poklask na rautach i laury, zbierane na five oklock'ach, dla których sztuka jest sportem, są wreszcie cierpiący na manię wielkości, których główną ambicyą jest być drukowanym, gdyż to ich zdaniem prostą i najłatwiejszą drogą prowadzi do „sławy grodu."

Cała ta szarańcza zgłodniała i nienasycona spada najgrubszą warstwą, rzecz prosta na literaturę, ta bowiem mniej niż inne formy twórczości wymaga wysiłku, uzdolnienia, studyów przygotowawczych i tej niewyczerpanej miłości macierzyńskiej w chwili tworzenia. Ażeby zostać artystą dramatycznym, śpiewakiem, muzykiem, malarzem, trzeba przyrodzone pierwiastki talentu przez dłuższy czas ćwiczyć; trzeba odbyć okres pracy przygotowawczej, tak samo jako w innych zawodach, zanim talent posiądzie możność uzewnętrzniania się. O pracach przygotowawczych, o czeladnictwie, polegającem na zbogaceniu doświadczenia życiowego, kontrolowaniu wrażeń osobistych, poznaniu złożoności zjawisk psychicznych, koncentrowaniu siebie samego i ćwiczeniu władz myślenia nie chcą słyszeć ci, którzy czują w sobie „pociąg" do twórczości literackiej. Największą trudnością techniczną, jaką mają do pokonania jest umiejętność pisania: gdy ta zostanie usuniętą, nic nie stoji im na przeszkodzie do uzewnętrzniania się: w innych rodzajach twórczości trudności techniczne mogą niejednego aspiranta zrazić, tu tak tych przeszkód niewiele, że tylko zachęty można doznać. Zresztą i ta jest zbyteczną, gdyż w aspirantach do twórczości literackiej tak jest silnem „parcie wewnętrzne" do ujawnienia się, tak wielka chęć „wystąpienia" na niwie pracy literackiej, że żadnej zachęty im nie trzeba. To też uzewnętrzniają się bez wahania, bez większego namysłu, gdyż to jest naczelną potrzebą ich istoty. Nie mówimy tu o „uzewnętrznieniach" się nie chybionych, obiecujących na przyszłość wiele, które później usprawiedliwiły chęć wystąpienia szeregiem dzieł i czynów wartościowych.

Chodzi nam głównie o tych, którzy ani talentem nie zdobyli sobie prawa na coś podobnego, ani zdolnością poświęcania się dla sztuki, o tych, dla których fizyczna strona wystąpienia jest najbardziej pilną sprawą, wyczerpującą ich ambicyą i troskę o przyszłość. Taki „twórca", gdy raz już wystąpił — mniejsza o to udatnie czy nie — gdy raz wcisnął się przypadkiem, czy też dzięki uprzejmości innych, do okólnika literackiego, staje od razu u szczytu swych marzeń: niczego już więcej nie pragnie, do żadnych obowiązków się nie poczuwa, o niczem innem nie myśli, jak tylko o wyzyskaniu tego prawa, jakie „zdobył" sobie przez włączenie się do gromady. Wówczas zaciera ręce z radości, bo teraz może już broić bezkarnie, wierzgać na wszystkie strony. Tacy nie poprzestają na pierwszem „uzewnętrznieniu" się, lecz starają się jaknajśpieszniej potwierdzać samych siebie szeregiem „dzieł" i „prac" powołanych do życia chęcią dogodzenia swoim próżnostkom, lub poziomym interesom. Początki mogą być nieśmiałe, „wystąpienie pierwsze bardzo skromne, lecz gdy się ono uda, wtedy powiada sobie autor: modestie à part! — dość tych dziecinnych chwiejności, patent na „twórcę", wszak mamy w rękach, można więc sobie pozwolić! Wówczas to zaczyna się orgia „twórcza" — rozpoczynają się kankany i sztuki łamane, urządzane na niwie literackiej. Można być na tę drogę wciągniętym wskutek nacisku smutnych okoliczności życiowych, potrzebą pospiesznej pracy dla chleba, za sprawą zgubnych oddziaływań prasy kuryerkowej, która tak traktuje talenty pisarskie — zwłaszcza młode, budząc wśród ogółu zaciekawienie — jak szewca lub krawca, u których obstalować można wszystko, czego moda wymaga. Często jednak brak szacunku dla swego powołania, brak gruntownych zasad, obojętność dla spraw sztuki, jak również przypadkowość, jednająca jej adeptów stanowią o tem kankanowaniu i aroganck'ch harcach na „niwach" twórczości. Na niwach tych dają sobie rendez-vous wszelkie wykolejenia i zniecierpliwienia współczesnego chorobliwie gorączkowego życia; literatura staje się ucieczką zwyrodniałych ambicyi i pragnień wywyższenia za jaką bądź cenę, a raczej za cenę najmniejszego wysiłku — wszelkich zawodów i rozgoryczeń, sił skrępowanych szukających chciwie natychmiastowego zajęcia i zużycia się, słowem tego wszystkiego, co uważa literaturę nie za cel, lecz za środek, ułatwiający urzeczywistnianie sprzecznych z nią rachub i widoków. Wszystkie te siły i czynniki mogą wprawdzie wysunąć na powierzchnię życia literackiego sporo cennych rzeczy, częściej jednak okrywają ją szumowinami i wszelkiego rodzaju śmieciem.

Jednym z najbardziej opłakanych objawów powyższego stanu rzeczy jest brak zupełny prawie wśród młodego pokolenia autorów, którzyby gromadnie zajęci byli urzeczywistnianiem jakiegoś wspólnie opracowanego ideału artystycznego, jakiejś idei społecznej; którzyby o niezależność twórczą dbali, nie przyjmowali gotowych szablonów bez protestu i nie wchodzili bez oporu, jak owce, do przygotowanej dla nich, przez konwenans i modę zagrody. To wszystko naraża na straty, na niepowodzenia, odsuwa daleko chwilę rozgłosu i wymaga bezinteresownego zużywania sił oraz usposobień twórczych. A jak tu z góry przystać na to, kiedy żądza wysunięcia się z szeregów pospólstwa, nie daje spokoju, kiedy walka i opór przez długi czas mogą trzymać w ciemnym kącie.

Nasi młodzi autorowie nie znają nawet tego, co filozof francuzki nazywał: przyjemnością ryzyka; po co tu ryzykować, kiedy można od razu wybrać sobie ciepłe miejsce na zapiecku jakiejś poważnej koteryi, siedzieć tam sobie spokojnie i zbierać powoli zasłużone wawrzyny. Widzimy wtedy codzień to beznamiętne i cyniczne przenoszenie się rozmaitych „twórców" z jednego podwórka na drugie, wędrowanie tam gdzie więcej dają i gdzie się znajdzie więcej poważniejszych wędrowników. Proszę znaleźć wśród nas grono młodzieży, oddanej ideałom artystycznym, literackim lub naukowym z takiem zaparciem się, umiłowaniem bezinteresownem swego powołania i polotem ducha, jak ci ludzie, których wzór dał nam Balsac w „Illusions perdues". Czy my choć bladem odbiciem czegoś podobnego pochwalić się możemy? Za to iluż mamy literackich Rastignac'ów, Vautrin'ów, a w najlepszym razie Lucyanów de Rubanprés co doszli odrazu, bez wahań się i wątpień do przekonania: że między ludzi trzeba wpadać jak bomba, albo wciskać się jak zaraza,

tylko „robienie łokciami“, bezwzględne i nie oglądając się na nikogo, może przynieść owoce. Te i tym podobne usposobienia spotykane obecnie u większości naszych twórców, wydały i wciąż wydają masę utworów, należących do literatury „łatwej.“ Co mamy rozumieć przez to miano? Ponieważ jesteśmy skłonni do widzenia wszystkiego w czarnych kolorach, zrzekamy się tu głosu na rzecz kogo innego. Już w r. 1833 sławny krytyk francuzki D. Nisard literaturę taką przedstawiał w ten sposób: (Etudes de Critique littéraire). „Rozumiem przez literaturę łatwą wszelką pracę literacką, która nie wymaga ani studyów ani staranności, ani wyboru, ani krytycyzmu, ani sztuki, ani wreszcie tego wszystkiego, co jest trudne; która leci na oślep, chwyta się pierwszych lepszych rzeczy, zadawala się wszystkiem, notuje najniklejsze szmery mózgu, wszelkie pół-myśli bez związku i ciągu, które się krzyżują, popychają i ścigają w czaszce, jest to skutek czysto fizyczny podniecenia mózgowego, które jedni wywołują za pomocą wina, inni dymem tytuniu, niektórzy wprost skrzypieniem stalówki: są to błyskawice, zygzaki, komety bez ogona, race nieudatne, którym uprzejmi dali pojednawczą nazwę fantazyi.“ Nie chcemy się kusić o lepsze określenie rzeczy. Możemy poprzestać na definicyi Nisarda i zastosować ją dosłownie do naszych stosunków.

Każdy, cokolwiekbądź obeznany z naszym współczesnym ruchem belletrystycznym, zgodzi się z tem, że znaczna część tego, co on nam daje, jest rezultatem owego fizycznego głównie podniecenia mózgowego. Z powieści zrobiono prawdziwą szufladę, do której pierwsza lepsza nieudolność usiłuje wsypywać wszelkie strzępki i skrawki swej pół-myśli i pół-doświadczenia. Powieść stała się w większości wypadków stekiem gadulstwa nudzącego i komeraży, zbiornikiem jakby umyślnie zbieranych banalności, składem tandety, ciągle tylko odświeżanej, by się zupełnie nie zleżała. Żaden z młodych autorów naszych nie chce słyszeć o tem, że kopalnie pomysłów niezużytych i tematów świeżych zostały prawie do dna wyczerpane, że najrozleglejsze doświadczenia już zużyto i ujawniono i że trzeba wyjątkowego talentu i wzroku niepospolicie przenikliwego, by dojrzeć istotnie coś niepowszedniego na łanach naszego życia, gdzie wszystko, co było prawdziwie znamiennem, sprzątnięto już dawno i wymłócono; że trzeba trochę poczekać zanim nowe zboża dojrzeją, zanim nowy jakiś układ stosunków nie da powodu do świeżych spostrzeń i doświadczeń. Dawniej, gdy na powierzchni życia naszego co chwila ukazywały się rozmaite „kwestye“ bardzo żywotne i roznamiętniające umysły (mamy tu na myśli wszystko to, co poruszała powieść nasza z przed laty kilkunastu), nie trudno było o świeży temat, interesujący bez względu na dobre opracowanie, o pomysł, ułatwiający sprawę tworzenia. Dzisiaj garściami „kwestyi“tych zbierać nie można: powierzchnia życia naszego nie roi się od spraw, bijących każdego w oczy i dających się obserwować; trzeba po treść sięgać głębiej i lada jakim zbiorem nie zadawalać się. Warunki twórczości nie są tak proste, trzeba więc być przezorniejszym i wybredniejszym. Z tem wszystkiem mało kto się liczy; dla tego też dzisiaj zbyt często młody autor występuje w roli odkrywcy nowych światów i widnokręgów, jakby był pierwszym pionierem na drodze, już dawno przez innych utorowanej.

Czują to doskonale wielcy nasi powieściopisarze (Prus, Sienkiewicz, Orzeszkowa), że doświadczenie, choćby największe, prędko się wyczerpuje, a o nowe nie tak łatwo, jeżeli, rzecz jasna, nie ssie go się z palca, i dla tego zwracają się do epok minionych, do życia przeszłego, poznawanego tylko pośrednio z dokumentów historycznych. Robią to samo nawet tacy jak p. T. Jeske-Choiński, który przecie nigdy się nie namyślał nad wyborem tematu do swoich utworów (choćby dla tego, że był echem czyimś); i p. Kosiakiewicz nawet, po wydaniu na świat tuzina swojskich „Janków“ i „Władków“, zrozumiał, że można wkrótce dostać ostatecznego rozmiękczenia mózgu przy takiej robocie i zapragnął zmienić przynajmniej tło swoich wdzięcznych utworów („Słowo“ zapowiedziało powieść p. K.. osnutą na tle życia studentów Szwajcarskich). Młody, żądny popisu „twórca“, nie liczy się z tem wszystkiem: wszystko, co widzi przez okno własnego pokoju, włącza do swego utworu, wszelką zdobycz myśli własnej, nie porównaną z dorobkiem ogólnym, pakuje tam bez namysłu i rozwija z niewysłowioną rozkoszą ojcowstwa. Żadne perswazye i błagania przyjaciół nie pomogą, najsurowsze cięgi, brane od krytyki, nie odstraszą go od tego uzewnętrzniania własnego niedoważenia i niedojrzałych rozmyślań.

Jedna dobra powieść, obmyślana i w treść bogata, wystarczy by wyczerpać doświadczenie wielu lat i odebrać myśli na czas dłuższy jej jędrność i intensywność. Tymczasem nasi powieściopisarze po kilku, raz poraz wyrzuconych z siebie dziełach, chcą nie wyjałowieć i na jednym stopniu utrzymać swą moc twórczą. Mógłby mnie kto posądzić, że chciałbym, iżby nasi autorowie pocili się nad utworami, jak Flaubert, po kilkanaście lat. Nie myślimy wcale skazywać ich na to, wymagać jednakże możemy większej sumienności, większego przebierania w materyale, słowem większych skrupułów twórczych i nie tak częstego puszczania rac nieudatnych, baloników, wydętych nikłą treścią. Wymagamy tedy od nich: trudu, pracy skupionej i uważnej, gdyż twórczość wszelka nie składa się wyłącznie z t. zw. „natchnień“ nie jest tylko sprawą intuicyjnego poznawania i bezwiednej cerebracyi.

Do literatury „łatwej“ możemy także włączyć ogromną większość naszych utworów nowelistycznych. Tu jeszcze mniej namysłu, mniej wyboru, większe zadawalanie się lada błahostką, niż w powieści. Najobfitszy jednak plon zbiera literatura łatwa na bezbarwnych łąkach poezyi naszej.

Większość wieszczów naszych potwierdza pogląd znakomitej poetki L. Ackermann na poezyę. „Ażeby pisać prozą — powiedziała — trzeba, bądź co bądź, mieć coś do powiedzenia; ażeby być poetą, można nie mieć nic“. Nasza poezya współczesna sprawia właśnie takie wrażenie, jakby większość jej przedstawicieli, nie miała „nic do powiedzenia“. Proszę rozejrzeć się uważnie w jakim całorocznym plonie naszej produkcyi poetyckiej. Pomijając zużyte, wyblakłe, zatęchłe komunały, talentem tylko — jeżeli on jest — wyświeżone i tak przystrojone, że nie rażą zbytnio swą powszedniością; zostawiając na stronie monotonne żale i skargi na niedolę życia i ciosy, jakie świat wymierza przeczulonym jaźniom poetyckim, w czem jeszcze, stosunkowo, najwięcej odszukać można talentu i siły twórczej — będziemy mieli do czynienia z całą masą takich utworów, które niżej jeszcze stoją od wszelkich skutków fizycznego tylko podniecenia mózgowego. Wszelkie niedokończone fermentacye miękkich jeszcze, niesformowanych mózgów, wszelkie powstrzymane w pół drogi procesy myślenia, nierozwinięte i porwane myśli, uczucia, będące zaledwie w stanie zalążkowym, wzruszenia nikłe i przelotne, słowem całe ubóstwo ducha, jego niepewność, bezwiedność i nieruchomość, zamiast pełni, świadomości i natężenia, znajdują w rymach tych ujście. Poezya jest „językiem serca“ — powiada podniośle poeta; przyznać jednak trzeba, że język tych „serc“ poetyckich zupełnie odpowiada bełkotaniu dzieci, a niekiedy i dźwięki mowy nieartykułowanej przypomina.

Cóż z tego, że brak nam silnych wstrząśnień ducha? — powiadają nasi zawodowi pieśniarze, — cóż z tego, że myśl nam nie dopisuje i że wytwarzać jej mózgi nasze nie umieją, kiedy my mamy „coś“ co pieniom naszym daje racyę bytu, kiedy mamy formę, która zapewnia twórczości naszej przewagę nad wszelkiemi innemi rodzajami wytworów umysłu ludzkiego.

I mają słuszność. Wiedzą, że przewaga zewnętrzna, jaką posiada ich twórczość, że ta forma sama przez się, bez żadnych niepotrzebnych dodatków, jak myśl, wprowadzi ich do literatury, zwróci uwagę czytelników i zapewni rozgłos. Każdy z nich wie o tem doskonale, że treść ich poezyi, wyrażona mową zwykłą, nie nadawałaby się do głośnego wypowiadania, tymczasem ujęta w formę wiersza, może nawet olśnić, oszołomić i sprawić wrażenie. Jakże tu nie uledz pokusie wierszowania? Bez tego siedziałoby się przez całą wieczność w mysiej norze i nikt-by uwagi nie zwrócił, nikomu bowiem nie są potrzebne nikłości ducha: pół-czucia, pół-myśli i pół-doświadczenia. Lecz gdy się to wszystko uzewnętrzni w wiązanej mowie, wypłynąć można od razu, a przynajmniej od razu być zarejestrowanym w spisie niezwykłych istnień. Stanowisko poety jest uprzywilejowane; w mniemaniu ogółu reprezentuje on właściwie najwyższą duchową działalność i istotną twórczość umysłu ludzkiego. Do tego stanowiska aspirują u nas wszelkie możliwe nicości, którym ubóstwo ducha dzwoni nad uchem: zginiecie bez śladu, w wierszowaniu tylko wasze zbawienie! W rezultacie spada deszcz takich utworów, iż przysiągłbyś, że ktoś przez figle oddał do druku sztambuchy pensyonarek.

W. I. Gryf.

TO I OWO.

W sprawie Górnoszląskiego Towarz. literackiego.

Od jednego z emigrantów polskich, przebywających czas dłuższy w Rumunii odbieramy pismo następujące:

Szanowny Panie Redaktorze!

Gdy w r. 1892 dla zmiany warunków miejscowych rozwiązała się biblioteka polska w Rumunii, licząca przeszło 4000 tomów i przeszło 7000 franków żelaznego kapitału, postanowił zarząd z dr. I. Łukaszewskim na czele ofiarować wszystkie książki i fundusze górnoszląskiemu towarzystwu literackiemu z siedzibą w Bytomiu, na którego czele stanęli pp. poseł Szmula jako przewodniczący, A. Napieralski, redaktor Katolika, jako bibliotekarz, oraz J. Szaflik, jako skarbnik. Do darowizny tej skłoniło zarząd wzniosłe zadanie górnoszląskiego Towarzystwa, które wytknęło sobie jako cel „wydawać dobre książki, zbierać materyały tyczące się dziejów, literatury, zwyczajów ludu na Szląsku, utrzymywać bibliotekę większą i zakładać biblioteki dla ludu, słowem stać się pierwszem i jak na teraz jedynem ogniskiem, z którego ma się rozchodzić na całą prowincyę ożywcze ciepło narodowej oświaty“.

Górnoszląskie Towarzystwo literackie przyjęło książki i pieniądze, kwitując z odbioru pismem następującem.

„Bytom G.-szl. 8 grudnia 1892.

Niżej podpisany zarząd „Górnoszląskiego Towarzystwa Literackiego“ z siedzibą w Bytomiu kwituje z odbioru:

1) Bibljoteki istniejącej dawniej w Jassach pod nazwą „Biblioteki polskiej w Rumunii“, a składającej się z przeszło 4.000 dzieł;

2) funduszu żelaznego tejże Biblioteki w sumie 7.000 (siedmiu tysięcy) franków w złocie w 5 proc. państwowej rencie rumuńskiej (rente 5 proc. amortisable);

3) sumy 98 i pół fr., jako kwoty otrzymanej ze sprzedaży „Książki pamiątkowej Biblioteki polskiej w Rumunii.“

Z przejęciem powyższego majątku Biblioteki polskiej w Rumunii zobowięzuje się niżej podpisany zarząd: a) że raz na rok będzie zdawał sprawę z czynności Towarzystwa literackiego, przesyłając poczytniejszym czasopismom polskim sprawozdanie do ogłoszenia; b) że w razie rozwiązania towarzystwa, bibliotekę rumuńską i złączony z nią fundusz żelazny odda pod takiemiż samemi warunkami innemu towarzystwu, równe lub podobne cele mającemu, co „Górnoszląskie Tow. literackie.“

Zarząd górnoszląskiego Towarzystwa literackiego. Przewodniczący major Szmula, poseł na oba sejmy berlińskie. Sekretarz i bibliotekarz Adam Napieralski, redaktor „Katolika“: Kasyer J. Szaflik“.

Od chwili powyższego pokwitowania minęło 3 i pół roku, a nie wiadomo mi, aby towarzystwo górnoszląskie wypełniło przyjęte na siebie obowiązki. Ponieważ napróżno śledzę za rozwojem działalności tegoż i napróżno szukam regularnych sprawozdań rocznych w poczytniejszych czasopismach, zatem upraszam uprzejmie Szanownego Pana Redaktora, aby przez ogłoszeniu listu niniejszego spowodował publiczne wyjaśnienie, a gdyby żądanie moje było bezpodstawne, tj. oparte na niedostatecznych informacyach, w drodze prywatnej o sprawie uwiadomić mnie raczył. Chyba nikt się dziwić nie może, że interesują mnie losy biblioteki, do której jako jeden z dawnych opiekunów przywiązałem się serdecznie. Dzieło to tak pięknie się rozwinęło i szkoda byłoby zaiste, gdyby zmartwieć miało.

Z głębokim szacunkiem

. . . . ski.

Przypisek Redakcyi. Nie posiadając bliższych informacyi o losach biblioteki i funduszów przekazanych Górnoszląskiemu Towarzystwu literackiemu, czynimy zadość życzeniu korespondenta naszego, ogłaszając pismo powyższe. Wyrażamy przytem nadzieję, że zarząd towarzystwa raczy uprzejmie udzielić pożądanych wyjaśnień.

* * *

O wywoływaniu w teatrze.

Ernest Possart, indendant teatrów dworskich w Monachium, następującą, nader trafną wygłasza opinię o wywoływaniu artystów w teatrze:

„Na podstawie mej trzydziestoletniej praktyki teatralnej nie byłbym w zgodzie z mojem przekonaniem, gdybym powiedział: „precz z wywoływaniem!“ Nie zgadza się to może z pojęciem o sztuce. jeżeli n. p. artysta grający Franciszka Moora, po scenie bezgranicznej rozpaczy składa publiczności konwencyonalny ukłon. Mniemaćby można, że artyście powinno być obojętne, czy za objawy gorącego uznania skwituje ukłonem, lub nie, ale zdarzają się chwile, — a byłem tego świadkiem nietylko w Niemczech, lecz i za granicą, — w których zachwyt publiczności z tak żywiołową wybucha siłą, że nieukazanie się artysty byłoby krzywdą dla rozentuzyazmowanego audytoryum. U nas w Monachium nie wolno prezentować się publiczności wywołującej podczas aktu; nie wolno też przedstawicielom tych postaci, które w ciągu aktu umarły, bezpośrednio po zapadnięciu kurtyny się pokazywać. Artyści tacy muszą czekać aż do końca widowiska, zanim ukazać się mogą publiczności. Zresztą dozwolonem jest artystom prezentować się przed kurtyną przy końcu każdego aktu, a odnosi się to także do tych artystów, którzy tylko w pierwszych scenach aktu występowali. U nas w Monachium zdarzało się często, że n. p. w wielkiej aryi Leonory w „Fidelio“ taki zapał ogarniał publiczność i taka zrywała się burza oklasków, potęgująca się z każdą chwilą, że było niepodobieństwem zabronić artystom powtórnego ukazania się, nie chcąc do żywego dotknąć publiczności. Biegłem wtedy za kulisy i prosiłem artystkę, by powtórnie przedstawiła się widzom. Zdając sobie sprawę, że postępuję przeciwko przyjętym zasadom i regulaminowi, byłem jednocześnie głęboko przekonany, że w takich warunkach nieobecność artystki byłaby efekt całego wieczoru zepsuła, a publiczność wychodziłaby z teatru przygnębiona Mojem zdaniem nie powinno się zachwytu publiczności osłabiać pedantycznem stosowaniem ciasnych prawideł. Jeszcze dzisiaj żywo sobie przypominam podobne zajście w Bayreucie. Było to ostatnie przedstawienie „Parsifal'a“, na którem Wagner był obecny. Ostatnie sceny grała orkiestra pod dyrekcyą samego mistrza. Zachwyt, rosnący z każdą minutą. doszedł po zapadnięciu kurtyny do niebywałych rozmiarów. Publiczność, żądna jeszcze raz zobaczyć mistrza, chciała go widzieć na scenie i chcia a mu owacyjnie dziękować. On usiadł w loży pierwszego piętra, obojętny i głuchy na wszelkie prośby i oklaski. Dziesięć minut, długich dziesięć minut trwał grzmot oklasków i nieustające wołania publiczności. Mistrz pozostał niewzruszony. Wychodziliśmy z teatru przygnębieni — uroczysty i podniosły nastrój całego wieczoru zniknął. Jeszcze na dworcu panował ogólny rozstrój i rozczarowanie. Jeśli wielki i zasłużony człowiek pozostaje obojętnym na szczere i serdeczne objawy hołdu jedynie dla zasady: „nie chcę waszych hołdów, podziwiajcie moje dzieło, a mnie zostawcie w spokoju“ — to niepotrzebnie święty ogień zapału gasi strumieniami zimnej wody. Według mego zdania, nie ubliża wielkiemu człowiekowi dziękować osobiście za hołdy składane jego dziełu, bo sympatye nasze z dzieła przenosimy na twórcę. Nie inaczej ma się rzecz z produkcyą aktorską. Doskonała i wybitna gra aktorska jest tak samo dziełem artystycznem i tym samym podlega prawidłom; w obecnych czasach trzeźwej krytyki i zimnej analizy nie należy oziębiać zapału publiczności. Z tego względu wydają mi się przepisy, obowięzujące w Monachium zupełnie odpowiednie i poleciłbym je gorąco wszystkim innym scenom:

Ukazywać się wywołującej publiczności podczas aktu jest niedozwolonem — dozwolonem natomiast po skończeniu aktu. Przedstawicielom tych postaci dramatycznych, które w ciągu wieczoru umierają, wolno dopiero po ukończeniu całej sztuki prezentować się wołającym widzom.

* * *

Wyższe gimnazyum żeńskie w Krakowie.

W uzupełnieniu podanej w przeszłym numerze wiadomości o założeniu wyższego gimnazyum żeńskiego w Krakowie, zamieszczamy poniżej *wykaz przedmiotów nauki oraz ilości godzin tygodniowo na nie przeznaczonych.*

Przedmioty nauk.	I. klasa	II. klasa	III. klasa	IV. klasa (najwyższa)
	Godziny.			
Religia	1	1	1	1
Język polski . . .	3	3	3	3
Język niemiecki .	3	3	3	3
Język francuzki .	3	3	3	3
Język łaciński . .	6	5	5	5
Język grecki . .	—	5	5	5
Geografia i kosmografia	3	—	—	—
Historya polska i powszechna . . .	3	3	2	3
Historya literatury powszechnej . .	—	—	2	2
Matematyka . . .	3	3	3	2
Nauki przyrodnicze	2	2	3	3
Rysunki z nauką o stylach i poglądach na historyę sztuki	2	2	—	—
Psychologia z pedagogią i logiką .	—	—	2	2
Gimnastyka . . .	2	2	2	2
Ogólna liczba godz.	31	32	34	34
Po odliczeniu nadobowiązkowych .	25—28	22—29	24—29	24—29

Uwaga. Dla uczennic, które zechcą się uwolnić od nauki jednego lub obu języków klasycznych, będzie język francuzki i historya literatury powszechnej przedmiotem obowiązkowej nauki, dla innych będą te dwa przedmioty nadobowiązkowemi.

Wyższe gimnazyum żeńskie w Krakowie jest z kolei 4 w monarchii Austryackiej zakładem, w którym zbiorowa inicyatywa prywatna stara się zadość uczynić coraz silniej występującej potrzebie gruntownego wykształcenia dziewcząt. Zakłady te staną się bezwątpienia rodzajem probierza różnych kierunków i zakresów, a doświadczenia w nich uzyskane wywrą stanowczy wpływ na ustrój szkół żeńskich rządowych, po części zaś oddziałać nawet mogą bardzo poważnie na program szkół męskich, jeśli skupienie nauki języków klasycznych już w czterech klasach wyda rezultaty dodatnie.

Na Wyłomie.

(Liga demokratyczna).

Dotychczasowe niepowodzenia ruchu postępowo-demokratycznego w zaborze pruskim źródło swe mają nietylko w opanowaniu umysłów przez dwudziestoletnie wszechwładne rządy reakcyi konserwatywnej z przymieszką klerykalnych i ugodowych doktryn, lecz w rozsypce tych opozycyjnych żywiołów, które w tłumy głów kiwających przed bożyszczem starego porządku społecznego i nowej rzymsko-berlińskiej dyplomacyi rzuciły swe „*Liberum veto.*“ Niejednokrotnie już z tego miejsca ostrzegałem przed iluzyami, że z Cezarowem „*Veni, vidi, vici*“ wtargniemy na szańce przeciwników, niejednokrotnie wróżyłem, że niejeden z nas czoło sobie rozkrwawi o twardą skorupę, w którą reakcya, ugoda i kościelna polityka zakuły olbrzymią większość społeczeństwa, zanim pancerz ten pęknie i dusze ludzkie rozjaśni światło liberalniejszego i demokratyczniejszego na świat poglądu, — z drugiej strony jednak trudno całą winę niepowodzeń spychać na stosunki i zamykać oczy na te hamulce rozwoju, które są produktem własnej apatyi i kalectwa własnej energii politycznej.

Całą demokracyę zaboru pruskiego podzielić można dzisiaj na dwa obozy lub poprawniej „skrzydła“. Jedno, to inteli-

gencya, skupiona około „Przeglądu Poznańskiego“, drugie, to „ruch ludowy“ z kierującym organem swoim „Orędownikiem“ na czele. Pierwsze utworzyło się na wzór realistów czeskich bez wyraźnych form politycznego stronnictwa, drugie zespoliło się w ściślejszą organizacyę z własnym zarządem i komitetem wyborczym. Tamci to przeważnie teoretyczni wyznawcy pewnych społeczno-politycznych, literackich i filozoficznych kierunków, które szeroką działalnością publicystyczną zaszczepić się starają w opornem społeczeństwie, ci to ruchliwi działacze, spełniający w nieco wązkich warsztatach, o wyłącznie politycznym charakterze, grubą, aktualną robotę. Zdawałoby się, że oba te skrzydła demokracyi naszej uzupełniają się szczęśliwie — jedno jest słowem a drugie czynem, jedno szerokim ideowym podkładem, drugie węższem zastosowaniem praktycznem; przy dokładniejszej analizie jednak stosunek tych dwóch odłamów opozycyi obudzić musi wątpliwości pewne, i kto wie, czyby ruch postępowy w zaborze pruskim dzis już poważniejszemi zdobyczami poszczycić się nie mógł, gdyby mimo dzielących dwa skrzydła odcieni, cała demokracya złączyła się w jedną organizacyę partyjną. Organizacya taka musiałaby niewątpliwie oprzeć się na obustronnych koncesyach, lecz nie wymagałaby bynajmniej zupełnego zniwelowania różnic, tkwiących w samym charakterze demokratycznej i n t e l i g e n c y i i ruchu l u d o w e g o. O ile szerszym dzisiaj jest Przegląd od Orędownika, o tyle szersze byłyby w przyszłości dążenia Przeglądowego skrzydła od ruchu Orędownikowego, — odrębność ta jednak, mogąca ewentualnie nawet tu i owdzie przybrać charakter kolizyi, nie powinna żadną miarą przeszkodzić ułożeniu wspólnego politycznego programu i rozrzuceniu po całym zaborze pruskim sieci wielkiego stronnictwa. Centrum katolickie jest potężną, zwartą cyfrą polityczną, lubo przepaść szeroka, przepaść dzieląca chłopa bawarskiego od szląskiego magnata, między lewem a prawem skrzydłem jego się roztacza. Inteligencya skupiona koło „Przeglądu“ gotowa jest każdej chwili opuścić te katedralne wyżyny, na które ruch ludowy tak często utyskuje, jeżeli ruch ten zdecyduje się poczynić pewne ustępstwa formalnej i taktycznej natury, które dotychczas stanowią kość niezgody, a które bliżej unormować powinni delegaci obu skrzydeł demokratycznych. Ponieważ jednak kompromis polityczny między stronnictwem ludowem a rzeszą demokratycznej inteligencyi wtedy tylko w realne kształty przyodziać się może, jeżeli ostatnia na wzór pierwszego wcieli się w odrębne n a r a z i e formy organizacyjne i już nie jako luźne rycerstwo o jednej zasadniczej barwie, lecz jako „partya“ starać się będzie przez oficyalnych mandataryuszów swoich o połączenie dwóch skrzydeł demokracyi naszej, — zatem koniecznem jest, aby stronnicy Przeglądu utworzyli tymczasem samodzielny organizm partyjny, zanim przystąpimy do wielkiego dzieła zjednoczenia całej demokracyi w jedną lewicę o wspólnym programie, wspólnym generalnym zarządzie w Poznaniu i wspólnych komitetach lokalnych na prowincyi.

Rzuciłem tu szkic projektu, który, jak mi się wydaje, posiada cechy praktyczności, nie zaprzeczam jednak, że w rozwoju wypadków znajdą się może metody uproszczenia powyższej akcyi politycznej. Chodzi mi przedewszystkiem o to, aby usunąć wreszcie zarzut wytaczany przez przywódzców ruchu ludowego, a nie pozbawiony pewnej słuszności, że demokratyczna inteligencya, nie posiadając form stronnictwa, nie posiada tem samem warunków do układania obowiązujących i w praktyce skutecznych kompromisów. Chodzi mi dalej o to, aby raz wreszcie koniec położyć tej fatalnej rozsypce, która dotychczas paraliżuje najszlachetniejsze i najrozumniejsze wysiłki. Ten i ów zjawia się na arenie, kruszy kopię odważnie i ginie po bohatersku, — tak! jednostki zawsze ginąć będą, zwycięży tylko stronnictwo. Dopóki ta spoistość partyjna ze sfery luźnych projektów nie przejdzie w dziedzinę czynów, nie pozostanie nam nic innego, jak pocieszać się bolesnem zdaniem Rzymianina: *Victrix causa diis placuit sed victa Catoni.*

Więc liga demokratyczna! — oto najbliższy cel wszystkich dążeń naszych. Niech tylko organa ruchu ludowego przestaną utrudniać wcielenie tego zamiaru przez małostkowe i niepolityczne legendy o fałszywej demokracyi Przeglądowej, której tylko „karety i czwórki“ potrzeba dla skompletowania stylowego munduru. Idea demokracyi nie jest bynajmniej identyczną z ideą zupełnej niwelacyi społecznej, — w obrębie demokratycznego stronnictwa zawsze będą szczyty i doliny, różne potrzeby umysłowe, różne formy działania i różne upodobania towarzyskie, — ponad tem wszystkiem jednak unosi się jedna myśl, która nas wszystkich łączy i którą tak długo rozpalać będziemy, aż ogarnie całe społeczeństwo i stworzy nowe warunki bytu.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA

* J e r z y G r o t o J a n i e K a s p r o w i c z u.

W nr. 20 „Przeglądu“ podaliśmy czytelnikom naszym wyjątek z pięknej rozprawy Jerzego Grota o poecie wielkopolskim Kasprowiczu, zamieszczonej w „Głosie“ warszawskim. Poniżej cytujemy końcowy ustęp trafnej krytyki:

„I oto nie poruszyłem wcale tego, co u nas właściwie nazywają „ludowością“ w pisarzach. Nie mówiłem wcale o przepięknych utworach Kasprowicza, w których już wyłącznie odtwarza świat wiejski: chłopa, przyrodę. Nie zacytowałem nawet wiersza: „Z całej gęby roześmiał się dzionek“, ani tej cudnej przygrywki:

Rozwiały się twoje włosy,
Złote włosy twoje.
Jak jutrzniane
Blaski ranne
Tak ci się rozwiały...;

ani cudnego opisu zalotów góralskich „na opalowej grani“ tatrzańskiej; ani tembardziej tych ustępów, w których opuszcza Kasprowicza (na krótką chwilę) zmysł świeżej prostoty, i do jędrnych pieśni zakrada się pod jej pozorami trywialne słownictwo dziennikarskiego żargonu; ani wreszcie żadnego z tych sonetów, których cykl miłośnie obejmuje szare chaty i lud ich szary:

Szare chaty! Nędzne chłopskie chaty;
Tak się z wami zrosło moje życie,
Jak wy proste, jak wy bez rozkoszy...
Dziś — wy dla mnie wspomnień skarb bogaty,
Ale wspomnień, co łzawią obficie —
Hej! Czy przyjdzie czas, co łzy te spłoszy?!

Jeżeli nie mówiłem o niezwykle pięknych motywach, dotyczących wsi i przyrody u Kasprowicza, o jego chłopskich duszach, które porównać w trafności można tylko do szlacheckich dusz naszej dotychczasowej poezyi — to nie bez ważnego powodu. Oto — jakkolwiek śliczne i pełne znaczenia są te rzeczy — są one jednak już tylko szczegółem w ogólnych rysach fizyognomii Kasprowicza. Nie chcę mówić paradoksów. Kasprowicz od mowy swojej — wielkopolskiej ludowej mowy — aż do ostatniego ze swych tematów nie przestaje być „ludowym“. Tylko, że ludowość jego nie jest ani chłopomanią, ani demokratyzmem, ani zamiłowaniem do chłopskich tematów, lecz jest samą jego organizacyą duchową, przenika go na wskroś żywiołowo.

Ta odważna świeżość rytmu i mowy, ta świeżość czucia, ta prostota i siła, ta powaga i szczerość, które podnosiłem jako nastrój jego zasadniczy — nie sąż to głęboko „ludowe“ cechy? Ta skłonność do przeważających tematów biblijnych i ich utrafienie, ta zdolność uszanowania bliźniego, sąsiada niemal, w szarym człowieku z gromady — nie są też to jeszcze rysy „ludowe?“ W samem traktowaniu sztuki przez Kasprowicza tkwi jakiś, wolno mi to powiedzieć, naiwnie święty ton, taki prosty a niezwykły, jaki odnaleźć można u Homera i wśród ludu.

Bo nie jest to nawet ów znany nam z doby romantyzmu „wieszczy“ polot; nie, to jest dużo spokojniejszego coś, nie tak strzelistego, choć nie mniej stanowczego.

Tak więc w całym swoim nastroju, w zasadniczej barwie temperamentu, czuciowości, umyśle — a jak na wstępie zaznaczyłem, w składni i słownictwie jest dla mnie Kasprowicz jakby pędem, strzelającym wprost, bezpośrednio z rdzenia ludowego. I oto jest żywiołowa, że tak powiem, podstawa znaczenia jego w poezyi naszej.

Gdybym mógł w tem miejscu poświęcić kilka kart na rozpatrzenie się w rytmice Kasprowicza, kilka innych — na analizę stylu, kilkanaście — na pochwycenie na gorącym uczynku roboty jego myśli, refleksyi w paru typowych utworach — miałbym również sposobność wykazania, co osiągnął już i z czem walczy jeszcze ten talent niespożyty. Nie, — muszę to odłożyć na inny raz. Proszę wziąć M i ł o ś ć, najświeższą rzecz Kasprowicza, i proszę się dać unieść tym wspaniałym fragmentom. Co tylko jest w nowożytnej poezyi dążenia do panrytmizmu, co tylko jest Shelley'owskiej w tem spuścizny lub nowych dorobków — znajdzie czytelnik w tych fragmentach. Jak tam huczy z gór prometejską drogą rozpętany z wszelkich okiełznań rytm! Trzeba mieć silną pierś, dużo w niej tchu, żeby za tym rwącym potokiem zdążyć.

Rzecz ciekawa: ten niby taki twardy język jak się rozpieszcza w brzmieniu i w miarach, kiedy poeta maluje swoją jasnowłosą! Żeby pisać tak, jak pisana jest M i ł o ś ć, trzeba bezwątpienia znajomości szkół literackich i najśmielszych przebojów wielkiej poezyi. Ale jednak są tam i reminiscencye chórału szeptów ludzkich z kościelnego tumu, nawet rytm litanii. A nadewszystko szał, smutek, pieszczota — każda zmiana duszy sama sobie stwarza swoją muzykę i swój rytm — jak w I m p r o w i z a c y i, jak w P s a l m a c h, jak w modlitwach, jak w swobodnej pieśni gminnej. Tu już przytoczenie strofy jednej niczego nie nauczy“.

(Cóż na to „Kuryer Poznański“, który mówiąc niedawno o literatach wielkopolskich, oświadczył kategorycznie, że o „p o r n o g r a f i e“ Kasprowiczu wspominać nie warto. Zaiste! papier jest bardzo cierpliwy. Przyp. Red.)

* * *

* S a r n e c k i Z y g m u n t. Nowelle. (Marta. — Powiem Mamie. — Terenia. — Wilki. — Nastka. — Dolcio. — Pelagia. — Pojedynek). Wydawnictwo W. Zukerkandla w Złoczowie. (Biblioteka Powszechna nr. 143—145.)

Wobec całej masy znakomitych dzieł naszego i obcego piśmiennictwa, których rozpowszechnianie powinno być przedewszystkiem celem wydawnictwa w rodzaju „Biblioteki Powszechnej“, przeznaczonego dla szerokich sfer czytelnictwa, dziwnym wydaje się wybór tego tomiku. Nowele p. Sarneckiego nie zalecają się ani formą, ani tre-

ścią. Pisane naprędce i niestarannie robią wrażenie niedokończonych obrazków. Treść każdej z nich znacznie przechodzi ramy noweli. Pełno tam tanich melodramatycznych efektów, z których autor nie umie nawet umiejętnie skorzystać. Kiedy chce wywołać wrażenie grozy, wywołuje ironiczny uśmiech. Spotykamy tam nagłą śmierć żony po skonstatowaniu niewinności męża (Terenia), pożarcie przez wilki (Wilki), tenora dostającego pomieszania zmysłów po ochrypnięciu na scenie (Dolcio) i t. p. straszne wypadki. Podobnie bezsensownej nowelki jak „Pelagia" dawno nie zdarzyło nam się czytać.

Wogóle „Biblioteka Powszechna" nie spełnia swego zadania. Widoczny jest tam brak kierunku literackiego. Dzięki temu znajdujemy w niej Ibsena „Wroga Ludu" obok „Poradnika dla tańczących" Kaczorowskiego.

Brak wydawnictwa w rodzaju Reclama w Niemczech daje się u nas uczuwać. „Biblioteka Powszechna" z pewnością luki tej nie zapełni, jeżeli wydawać będzie nadal dzieła takich świeczników naszego piśmiennictwa, jak p. Sarnecki.

* * *

* Lud. organ Tow. ludoznawczego we Lwowie, t. II, resz. 2. Przekształciwszy się w r. b. z miesięcznika na kwartalnik, „Lud" rozwija się raźno i obok „Wisły" warszawskiej staje się prawdziwą ozdobą naszej literatury ludoznawczej, zbiorem nowych prac i materyałów. Z powodu spóźnienia się pierwszego zeszytu kwartalnika w krótkim stosunkowo czasie ukazuje się już zeszyt drugi, odznaczający się bogactwem i doborem treści. Na czele numeru znajdujemy gruntowną i pięknie napisaną pracę p. Witorda, „Jus primae noctis." Autor z wielką erudycyą wykazuje, że prawo pierwszej nocy, uważane zwykle za wytwór wieków średnich i stosunków feodalnych, w rzeczy samej było pozostałością prastarego heteryzmu i że właśnie wieki średnie i kościół katolicki przyczyniły się do jego zaniku. Praca dr. St. Karwowskiego „o niemczeniu Szląska" ma charakter szkicu raczej historyczno-statystycznego, niż ludoznawczego, mimo to jednak jest pożądanym przyczynkiem w czasopiśmie ludoznawczem i wskazuje te punkty, gdzie ludoznawstwo styka się z żywotnemi kwestjami polityki, narodowości i dążeń społecznych.

Pani M. Wysłouchowa podaje zajmujące przyczynki do opisów wsi Wisły w Cieszyńskiem; opisów takich znamy już pokaźny szereg, pisali o tej wsi i o źródliskach rzeki Wisły zarówno Polacy jak i Czesi. Pani Wysłouchowa podaje opisy potraw i pieczyw ludowych w tej wsi używanych, nazwy dawane zwierzętom i wołania tych zwierząt, opis sprzętów i narzędzi gospodarczych i wreszcie kilkadziesiąt nazw roślin. Artykuł ozdobiony jest rysunkami. P. Rzechorz, etnograf czeski specyalnie pracujący nad etnografją Rusinów galicyjskich, podał opis poświęcenia mieszkania ruskiego w Galicji, w okolicach Żydaczowa. Opisano tu przeważnie obrzęd cerkiewny, lecz podano także parę ceremonij i wierzeń ludowych, towarzyszących temu obrzędowi. P. A. Strzelecki ciągnie dalej opis wystawy etnograficznej w Pradze. Do działu materjałów należą L. Magierowskiego „Leki, używane przez lud polski we wsi Wesołej w powiecie brzozowskim", E. Kolbuszowskiego „Materjały do medycyny i wierzeń ludowych", A. Siewińskiego „Bajka o trzech zaklętych królewnach" i Leonarda Zeega „Pieśń o Napoleonie I.", oczywiście książkowego pochodzenia, lecz powtarzana także przez lud. W dziale rozbiorów i sprawozdań omówiono 8 prac. Całości zeszytu dopełnia bibliografia i sprawozdanie z czynności Towarzystwa.

I. Fr.

* * *

* W Zagórski. W wieku XX. Fantazya humorystyczna. Warszawa 1896, str. 139.

Nowelki humorystyczne są ulubionym rodzajem twórczości p. Zagórskiego. W tej „fantazyi" autor rzeczywiście puszcza cugle swej wyobraźni, wprowadzając czytelników w urojoną przezeń Warszawę z końca wieku XX. Występują tam na scenę aeroplany, elektroskopy, pałace kryształowe na dnie Wisły, witalina Brown-Sequarda, oraz inne cudowne rzeczy. Bohater opowiadania, Czarny Tulipan, ścigany przez dawną kochankę, Niezabudkę, przechodzi różne koleje, zanim mu się udaje poślubić jakąś piękną kreolkę według obrządku budhaistycznego. „Fantazya" p. Zagórskiego jest żartem literackim, który może uprzyjemnić czytelnikom parę wolnych chwil.

* * *

* Sewer. Biedronie. Petersburg. Grendyszyński. 1896. str. 321.

Zanim obszerniejsze sprawozdanie z tej powieści ukaże się w „Przeglądzie", zaznaczamy jej ukazanie się na świat w nader ozdobnej formie. Treść malownicza, jak we wszystkich utworach Sewera, dała możność tak utalentowanemu artyście, jakim jest p. Tetmajer, rozrzucić na stronnicach książki znaczną ilość rysunków, mających charakter bardzo swojski i bardzo artystyczny.

Z prośbą o umieszczenie otrzymujemy odezwę następującą:

Odezwa

Powszechnie uznaną jest rzeczą, że szkoły żeńskie w Austryi, w szczególności zaś w Galicyi, nie odpowiadają dzisiejszym potrzebom społecznym. Dowodzą tego zamierzone lub mające być wprowadzone w życie reformy szkół wydziałowych, istotnie licznych o różnych programach pensyonatów prywatnych i klasztornych, w końcu dowodzą tego głosy publiczne odzywające się od czasu do czasu w prasie. Fakt ten został uznany nawet przez sfery decydujące, mianowicie przez p. ministra oświaty, który w Radzie państwa niedawno złożył oświadczenie, iż zamiarem jego jest w każdym kraju koronnym oznaczyć gimnazyum, w którem młodzież żeńska mogłaby zdawać egzamin dojrzałości, o ile prywatnie do takich egzaminów przygotować się zdoła. I rzeczywiście dotychczas w Austryi właściwie wcale nie posiadamy szkół, któreby dawały dziewczętom wykształcenie średnie, odpowiadające zakresowi gimnazyów męzkich. Pojmując budzące się dążenia do wyższego wykształcenia, które coraz wyraźniej wśród kobiet się ujawnia, brak racyonalnego przygotowania w zakresie takich przedmiotów, jak matematyka, fizyka, historya, literatura, nauki przyrodnicze w ogóle, zamyka przed naszemi kobietami możność nawet fachowego, racyonalnego wykształcenia, bądź w zakresie gospodarstwa wiejskiego, bądź też w zakresie przemysłu a nawet w zawodzie nauczycielskim i t. p.

Wobec oświadczenia p. ministra, że Rząd o takich szkołach na razie nie myśli, i że w tym względzie inicyatywę pozostawia społeczeństwu; wobec okoliczności, że Czechy w Pradze a Niemcy w Wiedniu już o tem pomyśleli i podobne szkoły z prywatnych założyli funduszów; wobec faktu, że te same potrzeby, może w wyższym stopniu istnieją u nas w Galicyi, która musi mieć na względzie stosunki w innych dzielnicach Polski, — niżej podpisani zawiązują „Towarzystwo szkoły gimnazyalnej żeńskiej", które będzie miało za zadanie szkołę taką w Krakowie utworzyć i utrzymać. Ponieważ do urzeczywistnienia tego zamiaru potrzebne są dość znaczne środki, przeto niżej podpisani odwołują się do wszystkich tych osób, którym sprawa oświaty w ogóle, a w szczególności sprawa wykształcenia kobiet nie jest obojętną, i zapraszają do jak najliczniejszego zgłaszania się na członków „Towarzystwa szkoły gimnazyalnej żeńskiej".

Statut tego Towarzystwa, przedłożony do zatwierdzenia Wysokiemu ck. Namiestnictwu, odróżnia 3 kategorye członków:

1. Członków założycieli, którzy płacą jednorazowo 100 złr.
2. Członków wspierających, którzy płacą rocznie 25 złr.
3. Członków zwyczajnych, którzy płacą miesięcznie 1 złr.

Licząc na to, że społeczeństwo nasze, odczuwając dosadnie brak racyonalnej i podług zasad pedagogicznych prowadzonej średniej szkoły żeńskiej, chętnie myśl tę poprze, niżej podpisani mają nadzieję, że znajdą należyte poparcie materyalne, aby jeszcze w roku bieżącym I-szą klasę szkoły tejże żeńskiej otworzyć.

Wszelkich objaśnień co do warunków przyjęcia na członków udzielają prof. Bujwid. (Studencka 11), prof. Cybulski. (Szczepańska 11), oraz radzca szkolny Dr. Trzaskowski, (Pijarska 5). Tamże zasięgnąć można wiadomości o programie nauk w zamierzonej szkole oraz o warunkach przyjęcia.

Kraków, w maju 1896 r.

Prof. Dr. Odo Bujwid. Prof. Dr. Napoleon Cybulski.
Radzca szkolny Bronisław Trzaskowski.

KRONIKA POWSZECHNA.

Teatr i muzyka. Zwracamy uwagę na dzisiejszy (sobota) koncert p. Majdrowicza, byłego artysty teatru poznańskiego. — Grono artystów poznańskich, objeżdżających nasze miasteczka prowincyonalne, straciło ostatnią wybitniejszą siłę. Trapę opuścił bowiem pan Królikowski. — Teatr lwowski zapowiada na czerwiec gościnne występy Marcelówny, Leszczyńskiej i Wolskiego, — na sierpień: Ladnowskiego i Rapackiego, — na wrzesień: Leszczyńskiego. — Warszawianka Margo Kaftal zaangażowana została do opery królewskiej w Berlinie na lat pięć. — Na scenie teatru wielkiego w Warszawie wystawiono jednoaktową operę Czajkowskiego pt. „Jolanta". Oto, co pisze o przedstawieniu M. Gawalewicz w „Kraju" petersburskim: „Teatr, pomimo premiery i dnia świątecznego, świecił pustkami: co prawda trudno było wybrać porę mniej przyjazną dla wystawienia tej nowości. Po wyeksploatowaniu kieszeni naszych na występy włoskich artystów, pod sam koniec sezonu, na początku wiosny, w dniu otwarcia dwóch wystaw, podczas koncertów dwóch orkiestr zagranicznych, w dniu, w którym cztery teatry były czynne, a w jednym dwa odbywały się przedstawienia, nie mogła biedna „Jolanta" liczyć na wielkie powodzenie kasowe. Nazwisko Czajkowskiego jest wprawdzie u nas popularne, jako kompozytora, obdarowanego niepospolitym talentem, którego utwory orkiestrowe, symfoniczne, przez krytyków i miłośników poważnej muzyki należycie są cenione; ale jednoaktowa jego opera, wprowadzona po raz pierwszy do naszego repertuaru, nie należy do rzędu jego dzieł najcelniejszych, nie może zainteresować żywiej i utrzymać się dłużej na scenie, zwłaszcza w takich warunkach, o jakich powyżej wspomniałem, z dodatkiem bardzo nieszczególnej obsady w partyi tytułowej. Ślepą Jolantę śpiewała u nas artystka młoda, obdarowana wdziękami i powierzchownością sceniczną nader efektowną, ale pod względem głosu i talentu drugorzędna, pozbawiona zupełnie temperamentu i wyrobienia aktorskiego. Na p. Skulskiej można z przyjemnością patrzeć, nawet w mniejszych rolach operowych można pobłażliwie jej słuchać, ale w odpowiedzialnej partyi, wymagającej inteligentnej gry, poezyi i ekspresyi, primadonna ta nie dorasta swojego zadania." — Operetka lwowska rozpoczyna dziś szereg gościnnych występów w Krakowie. Na pierwsze przedstawienie wybrano „Palestranta".

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Selekcianka. Podajemy dziś wykaz przedmiotów naukowych, które wchodzą w plan krakowskiego gimnazyum. Po bliższe informacye niechaj Pani raczy się zgłosić do dyrektora B. Trzaskowskiego Kraków, ul. Pijarska nr. 5.

Józefowi S. Niechaj Pan w tym względzie zasięgnie opinii u zarządu berlińskiego muzeum (dyr. Bode), któremu rzekomego Rembrandta należy przedstawić. W Poznaniu chwilowo nie ma osobistości, któraby w tym względzie wydać mogła sąd miarodawczy. Zwracamy jednak uwagę, że Rembrandt należy do najczęściej podrabianych i kopiowanych malarzy; oprócz tego kursuje mnóstwo obrazów, wykonanych przez uczniów jego, a poprawionych tylko lub uzupełnionych przez mistrza.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego" w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28

Nr. 23. Poznań, niedziela 7-go czerwca 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: ul. Wilhelmowska 28.
(Drukarnia J. i r. Tomaszewskiego.)

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Wilhelmowska 28. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

TREŚĆ.

W sprawie stronnictwa demokratycznego.

Myśl rzucona przez feljetonistę naszego w przeszłym numerze „Przeglądu“ znalazła oddźwięk silny w szerokich kołach społeczeństwa. Ze wszystkich stron Księstwa i Prus Zach. odbieramy gorące słowa zachęty, by położyć fundament pod gmach demokratycznego stronnictwa i po dwuletniej krytyce, czyszczącej zatęchłą atmosferę zaboru pruskiego, rozpocząć dzieło społeczno-politycznej reorganizacyi na odmiennych, do nowych warunków życia przystósowanych podstawach. Z listów otrzymanych w tym względzie publikujemy poniżej pismo jednego z poważnych obywateli Księstwa, który już od lat kilku dzwonił na dobrą sprawę, a obecnie wita z uznaniem nasz program, o którego zisz'zenie wołał dotychczas napróżno. List brzmi:

Szanowna Redakcyo!

W tej chwili przeczytałem Wasz artykuł o połączeniu wszystkich demokratycznych żywiołów w jedno stronnictwo z jednym programem, jednym zarządem i siecią wykonawczych komitetów lokalnych. Już niejednokrotnie w sprawie tej pukałem do rozmaitych redakcyi i starałem się zainteresować nią szersze koła społeczeństwa, lecz wszędzie odpowiadano mi apatycznem milczeniem lub zdawkowym frazesem, że „projekt jest przedwczesny“, że „sama siła faktów ekonomicznych i politycznych stosunków dokona przeobrażenia społecznego“, że wreszcie „takie rozdwojenie znękanego kraju mogłoby niekorzystnie oddziałać na losy walki śmiertelnej z niemieckim żywiołem“. Tak mówili przed kilku jeszcze laty wielcy i mali, tak mówiły pisma i ludzie. Potem wystąpił ruch ludowy i wstrząsnął do głębi zgangrenowanym organizmem życia naszego, a w krytycznej chwili, wśród zamętu walki, gdy starym zwyczajem starano się się nowe prądy zadusić piętnem zdrady narodowej, a identyfikując interes koteryi „ładu i porządku“ z interesem społeczeństwa, wyzyskiwano w bezprzykładny sposób hasła patryotyczne i uczucia religijne, — w tej chwili wstąpiło na arenę nowe skrzydło demokracyi z pismem waszem na czele.

Praca wasza dotychczas była w pierwszym rzędzie krytyczną. Każda opozycya tak rozpoczyna i tak rozpoczynać musi. Ujawniliście te grube pokłady rdzy, które niszczą cały nasz organizm narodowy, odsłoniliście problematyczną wartość wszystkich doktryn, któremi „ład i porządek“ łudził społeczeństwo, rzuciliście smugę światła w nowoczesne tendencye kościelnej polityki i ukryte dążenia klerykalnego stronnictwa, zdzieraliście sztuczne dekoracye z naszego ubóstwa umysłowego i płaskich ambicyi, — jednem słowem świeciliście latarką Diognesa w wszystkich zakątkach życia, by jako bilans dwuletnich badań postawić fakt stwierdzony tysiącznemi dowodami, że gdzie dotkniesz, próchno się sypie i w proch się wszystko rozpadnie, jeżeli nie nastąpi reorganizacya na nowych podstawach i przypływ sił świeżych, zdrowych, niezużytych.

Rozpoczyna się teraz wasz okres pozytywny, okres niewątpliwie trudniejszy, lecz w skutki obfitszy. Na czele stawiacie budowę stronnictwa, które stać się ma opoką, kierownikiem i systematycznem regulatorem demokratycznego rozwoju. Plan naszkicowany przez feljetonistę waszego jest niewątpliwie doniosłym jako szereg praktycznych wskazówek ku przeprowadzeniu trudnego w naszych warunkach połączenia dwóch skrzydeł demokracyi w jednolitą całość, nie wskazuje jednak ręki, która pierwsza ma położyć cegłę do budowy stronnictwa. Rozumiem zupełnie, że redakcya „Przeglądu“, wypowiedziawszy słowo inicyatywy, nie chce narzucać się na kierownika i organizatora ruchu, — rozumiem także, że mające kurs w społeczeństwie naszem zapatrywanie, jakoby pierwszym obowiązkiem redaktorów polskich było spełnianie praktycznej, politycznej roboty, jest z wielu względów niesłusznem i odbija się w rzeczy samej niekorzystnie na wartości prasy poznańskiej, — rozumiem wreszcie, że sama redakcya „Przeglądu“, zaprzątnięta wyczerpującą lecz widocznym skutkiem nwieńczoną pracą nad udoskonaleniem tego w naszych warunkach niezbędnego organu, nie może rwać się do dzieła, wymagającego wielu starań i zachodów, — i dla tego właśnie ośmielam się uzupełnić artykuł wasz propozycyą, aby na najbliższem zebraniu akcyonaryuszów pisma waszego z łona ich wyszedł komitet organizacyjny. Pierwszy krok zrobić należy natychmiast, a reszta pójdzie łatwiej może, niż przypuszczacie. Dwuletnia praca wasza tak przysposobiła umysły, że to, co przed kilku laty było marzeniem, dziś posiada wszelkie szanse urzeczywistnienia. Zresztą gdyby nawet piętrzyły się przed nami coraz groźniejsze trudności i zapory, gdybyśmy nawet za pierwszym zapędem nie zdołali skruszyć więzów apatyi i czekających nas intryg przeciwników, nic od zamierzonego celu powstrzymać nas nie powinno. Obecna cisza polityczna i obecna nieśmiałość klerykalno-konserwatywnej partyi jest tylko pozorną. Tam z niczego nie zrezygnowali i przy pierwszej lepszej okazyi politycznej ujrzymy ich znowu w pełnym rynsztunku z dawnym programem i dawnym absolutyzmem. Czy wiecie, co ks. arcybiskup Stablewski wygłosił w Śremie „o wspólnem działaniu państwa z kościołem katolickim“? To, co się już dzisiaj dzieje na Szlązku i w Prusach Zachodnich, dziać się może niezadługo w Księstwie — symptomy tego niebezpieczeństwa mnożą się z dnia na dzień i w całej akcyi ugodowego stronnictwa coraz wyraźniej Rzym się odzywa. Powtarza się historyczna tragedya ojczyzny naszej. My dla Kościoła poświęcaliśmy nieraz interesy narodu, — kościół dla nas własnych interesów nie poświęcił nigdy. Niechaj nikt się nie łudzi pozorną ciszą chwili obecnej, — tam z żelazną konsekwencyą lubo z niesłychaną ostrożnością prowadzą krecią robotę. Więc trzeba nam raz wreszcie zabrać się do rozgraniczenia interesów narodu od interesów Kościoła, trzeba zerwać z Kurycrowem hasłem, że sprawy narodowe rozpatrywać należy „**jedynie** przez pryzmat katolicyzmu“, trzeba przedstawicieli elastycznego kierunku „ugody“ usunąć od wpływów demoralizujących i przez zdrowy ruch demokratyczny odświeżyć całe życie zaboru pruskiego. Czas nagli! Najbliższe posiedzenie akcyonaryuszów „Przeglądu“ powinno przyłożyć rękę do dzieła, które stać się może jednym z najpotężniejszych czynników rozwojowych w społeczeństwie naszem.

Upoważniając Szanowną Redakcyę do ogłoszenia pisma powyższego, jeżeli publikacyę taką uzna za stosowną, kreślę się

Z głębokim szacunkiem
Dr. J.

Od Redakcyi. Podając do wiadomości publicznej bez jakiejkolwiek zmiany list korespondenta naszego, nadmieniamy, że propozycyę jego uważamy za najpraktyczniejsze rozwiązanie kwestyi i o ile wpływ nasz

sięga, starać się będziemy o urzeczywistnienie projektu. Z drugiej strony zwracamy się do czytelników naszych z uprzejmą prośbą, aby raczyli nam w dalszym ciągu nadsyłać opinie swoje w formie korespondencyi lub artykułów, oraz podać dla dyskretnego użytku dokładne informacye o lokalnych stosunkach partyjnych i politycznych w różnych miejscowościach Księstwa i Prus Zachodnich. Chodzi nam o najściślejsze poznanie terenu, na którem powstać mają ogniska stronnictwa naszego, i ludzi, którym powierzyć należy kierownictwo ruchu. Będzie to cenny materyał, ułatwiający wstępne prace komitetowi organizacyjnemu.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Stojałowski przeciw Bojce W ludowych stronnictwach Galicyi zaostrzają się z dniem każdym różnice i starcia. Ks. Stojałowski mianowicie stara się cały ruch demokratyczny ująć w karby swej chrześciańsko-socyalnej partyi i w tym celu zwalcza wszelkiemi siłami, nie cofając się przed żadnym gatunkiem broni, stronnictwo ludowe. na którego czele stoją Lewakowski, Wysłouch, Bojko, Stapiński, itd. Przed kilku dniami starły się znowu oba kierunki demokratyczne na sejmiku relacyjnym, zwołanym przez posła Bojkę do Dąbrowy. „Kuryer Lwowski“ tak charakteryzuje przebieg dyskusyi polemicznej:

Nad sprawozdaniem posła Bojki otworzył przewodniczący dyskusyę. Pierwszy zażądał głosu ks. Stojałowski. Nie czując gruntu pośród ludności pow. dąbrowskiego dla swoich jezuickich socyalno-chrześcijańskich wichrzeń, jak kot schował pazurki i jąkając się, nieśmiało rozpoczął swoje przemówienie. Najpierw niby to żądał wyjaśnień dokładniejszych, dla czego między posłami stronnictwa ludowego, a resztą posłów włościańskich nie przyszło do porozumienia i utworzenia jednego klubu. Groził okazaniem listu od posła Szweda, że jedynie religijne pobudki stanęły na przeszkodzie, ale listu tego nie okazał. Bojko odparł ten zarzut stanowczo. Wówczas Stojałowski począł dowodzić, że poseł Bojko nie jest chrześcijaninem, że wypiera się Boga, że chce lud zaprowadzić prosto do piekła, bo nie ma zbawienia ani religii poza chrześciańsko-socyalnem stronnictwem ks Stojałowskiego. Gdy dalej w tym duchu przemawiając, rzucał podejrzenia i oszczerstwa na wszystko i wszystkich, przewodniczący Lewakowski upomniał go, aby przemawiał do rzeczy. Ironiczne uwagi i uśmiechy włościan, skierowane do „Wgo ks. redaktora“, jak się sam zawsze nazywa, podniecały go jeszcze.

Gdy ani pochlebstwami, ani sławieniem siebie samego nie zyskał oklasków słuchaczy, widocznie podrażniony głuchem milczeniem ludu, jak szalony począł się rzucać na stronnictwo ludowe i wszystkich swoich „wrogów“. Mówił jednem słowem w ten sposób, że przysłuchujący się tym obradom i obserwujący go lekarz dr. Müller, orzekł, iż „Stojałowski zdradza początki obłędu zwanego „mania ambitiosa“, który skończy się zupełnem obłąkaniem. Charakterystycznem jest to tem więcej, że poseł dr. Bernadzikowski, zażywający sławy znakomitego lekarza, już przedtem podobną zrobił diagnozę. Nie mogąc w inny sposób uspokoić mówcy, odebrał mu przewodniczący głos i sprostował krótko fałsze wygłoszone. Na to ks. Stojałowski zawołał do dr, Lewakowskiego: pan jesteś masonem, co zgromadzeni śmiechem przyjęli. To do reszty wyprowadziło Stojałowskiego z równowagi. W czasie przemówień dalszych mówców wstawał i siadał ustawicznie, wydawając okrzyki często od rzeczy.

Przemawiali następnie poseł Bernadzikowski i Wójcik, wyświetlając zarzuty czynione posłom ludowym. Poseł Bojko złożył deklaracyę, że i nadal tą samą drogą pójdzie do wywalczenia sprawiedliwości dla ludu. Ani na życzenie ks. Stojałowskiego, ani czyjekolwiek nie podejmie się niczego, co nie zgadza się z jego przekonaniami.

Stapiński przedstawił robotę „WX. redaktora“ w innych powiatach, która zmierza jedynie do zupełnego zawichrzenia i z którego spodziewać się można nie dobra ludu lub czyjegokolwiek, ale tylko niepohamowanych osobistych ambicyi ks. Stojałowskiego. Poparł to kilku stwierdzonemi faktami. Gdzie lud ma żal do księdza, tam St. występuje jako wróg duchowieństwa. Między włościaństwem, uderza na socyalilistów, a gdy mu dogodniej, sam jest socyalistą. Tajemnica prywatna, prawdomówność, wzgląd na dobro ludu, to wszystko nieznane ks. Stojałowskiemu. W końcu przedstawił Stapiński przyczyny, które wstrzymują stronnictwo ludowe od przyjęcia hasła wyznaniowego do walki politycznej.

Włościanin Krzciuk wyraził żal za wywołanie całej tej dyskusyi. Wójt Rzeszotko oświadczył, że lud walczący o lepszą przyszłość dla ludu i całego narodu, powinien się łączyć z ludźmi, których czyny są sprawiedliwe i życie uczciwe, bez względu na wyznanie (brawa).

Przemawiało jeszcze kilku innych włościan, wyrażając uznanie swemu posłowi. Na wniosek wyborcy Musiała, uchwalono p. Bojce zaufanie i podziękowanie wśród oklasków. Ze względu na opóźnioną porę, obrady nad innemi sprawami odroczono do następnego zgromadzenia i o godz. 2 zamknął przewodniczący posiedzenie.

Okazało się tedy dowodnie, jak wielkiem zaufaniem wyborców cieszy się poseł Bojko. Ani jeden włościanin nie poparł ataków ks. Stojałowskiego, pomimo że oddawna rzucał w pismach swoich oszczerstwa na szan. posła, chcąc go zmusić do uległości dla siebie.“

* * *

Do naszych Sokołów. W „Gazecie Grudziądzkiej“ czytamy:

„Niedawno odbywał się w Bydgoszczy zjazd delegatów niemieckich „turnfereinów“, na którym, jak donosiły gazety, delegat z Wąbrzeźna stawił zapytanie, czy członkowie polskich towarzystw sokolskich mogą być równocześnie członkami niemieckich turnfereinów. Rozstrzygnięcie tej kwestyi pozostawiono na razie pojedyńczym fereinom.

Otóż zaszedł przypadek, że pewien „Sokół“ zgłosił się do takiego ferajnu o przyjęcie i dostał odpowiedź od zarządu, że „es verlautet, dass Sie dem polnischen Sokol angehören u. wir ersuchen Sie, uns anzuzeigen, ob dieses Gerücht auf Wahrheit beruht.“

Jeżeli teraz pan ów doniesie, że należy do Sokołów, czy go przyjmą? Pewnie nie, boć gdyby go chcieli przyjąć, toby nie pytali o to. — Tak więc albo wystąpi ze Sokoła i zostanie turnerem, albo z długim nosem i zblamowany przez turnerów odejdzie z kwitkiem,

Druhowie! Znowu nauka dla nas, aby trzymać się swoich polskich towarzystw a nie mieszać się do obcych. Kto Polakiem szczerym, ten niech nie szuka kamratów niemieckich, a kto się dotąd z nimi bratał, niech się od nich natychmiast odczepi, aby później nie spotkał go wstyd, gdy mu powiedzą: Jesteś Sokołem, więc precz z tobą od…

Gabryela Zapolska.

PIELGRZYMKA
PANI JACENTOWEJ.
SZKIC.

(Dokończenie).

Z dudnieniem nóg bosych i podciąganiem nosa wybierała się teraz Jacentowa w drogę, wiążąc rzeczy w węzełek, ledwie odziana, w spódniczynie zarzuconej na chude biodra.

Na tapczanie spała Karusia a obok niej leżała Julka, która, milcząc, szeroko rozwartemi oczyma patrzeć poczęła na krzątającą się matkę.

Kaganek świecił na brzegu stołu. Przez małe okienko wdzierał się świt szary i nędzny.

Nagle na łóżku podniósł się i usiadł Jacenty. Był cały zapuchnięty jeszcze od snu i wąsy sterczały mu groźnie pod zaczerwienionym nosem. Rozhamrana koszula spadała mu prawie z ramion. Przetarł oczy i spojrzał na żonę.

— A ty co wyrabiasz? — zapytał chrapliwie — kręćka dostałaś, czy co?...

Jacentowa składała właśnie chustkę dużą, dostatnią, w kraty białe i czerwone; nie patrząc na męża, odmruknęła:

— Co ci do tego, co ja robię!... w niewolę mnie nie wziąłeś!...

Tłomoczek spakowany położyła na ziemi, wdziała trzewiki, kaftan, śliną przygładziła włosy i małą chustkę na głowie wiązać zaczęła.

— Gdzie cię niesie? — spytał Jacenty.

— Cztery mile za piec! — odparła kobieta.

Teraz Jacenty przypomniał sobie pielgrzymkę, ową czterodniową wycieczkę, podczas której on miał wraz z dziećmi pozostać sam w mieście.

— Słuchaj, Maryna!... — wyrzekł dobitnie, a zęby mu aż z wielkiej złości drżały — jak ty mi nogą za próg przestąpisz, tak ci takie wały sprawię, że na drugi rok przypomnisz....

Lecz ona porwała tłomoczek i ku drzwiom przyskoczyła.

— Żebym ja ci pierwej wałów nie sprawiła, pijaku! — krzyknęła prawie już na progu.

— Dyablica!... cholera!... suka!...

Teraz oczki Jacentowej zabłysły jak ogniki; chwileczkę zawahała się, lecz przez umysł jej przebiegła chytra chłopska myśl, iż jeden więcej grzech niewiele znaczy, zwłaszcza skoro idzie się tam, gdzie odpuszczą grzechy całego życia...

Szybko, jak mała pantera, poskoczyła ku łożu i reumatyzmem pokręconą pięścią uderzyła po karku męża.

Zanim Jacenty mógł się opamiętać, Jacentowa była już na dziedzińcu, wpadła do bramy, otworzyła drzwi trzymanym w ręku kluczem i wpadła na ulicę.

Jak strzała pomknęła wzdłuż trotuaru, trzymając się cienia domów i skręciła w pierwszą boczną uliczkę.

Tam zatrzymała się dla nabrania oddechu i podniósłszy oczy ku niebu, które już lekko różowiło się na skraju widnokręgu — wyszeptała.

— Panno Najświętsza!... Ofiaruję ci te mizerye na chwałę Twoją — Amen!...

* * *

Pierwszego dnia nieobecności żony, Jacenty przyniósł dzieciom kiełbasy, bułek i piwa. Wypiwszy butelkę na dwie, obie dziewczyny upiły się i nataczawszy się po dziedzińcu, zasnęły wreszcie, opierając głowy o skrzynkę od śmieci.

Jacenty klnąc, zaniósł je do izby i ubrane porzucił na łóżko, a sam poszedł pod bramę wydziwiać i wymyślać na żonę.

Bączkowska stała właśnie przed sklepikiem i słysząc monolog Jacentego, zaczęła mu przyświadczać, mówiąc, że dzieci, mąż i dom, to pilniejsze obowiązki dla baby, niż chodzenie po pielgrzymkach.

nas Niemców. Zapiszmy sobie tę naukę dobrze w pamięci!

Zresztą dotyczy ona nietylko samych Sokołów, lecz w ogóle Polaków, którzyby należeli do jakiegobądź Tow. niemieckiego. Nie dla nich tam miejsce.

Czołem!

* * *

Niegdyś a dziś. Proponowany przez młodzież uniwersytetu Jagiellońskiego obchód 35-tej rocznicy śmierci Joachima Lelewela spotyka w kołach Stańczyków galicyjskich wyraźną niechęć lub zimną obojętność. Dziwnie zaiste zmieniają się sympatye ludzi i pism. Oto co przed 35 laty pisał o Lelewelu „Czas“ krakowski:

„Śmierć jednego z najcnotliwszych ludzi, śmierć pełnego zasług Lelewela żałoba okryła całą Polskę. Nazwisko Lelewela przejdzie do odległej potomności i zawsze z czcią wspominane będzie. Nie było jednej chwili w jego życiu, którejby na pożytek Polski i ludzkości nie poświęcił. Patryota, biorący czynny udział we wszystkich usiłowaniach ku dobru kraju od pół wieku przedsiębranych, pierwszorzędny historyk, mąż, który na chwilę z zasad cnoty nie zboczył, i niczem zachwiać się nie dał, przedstawiał się nam jako wielki starożytnego świata charakter i posągowa postać świetnie wystająca na ciemnem tle naszej niedoli. Jego dobrowolne ubóstwo, zaparcie się siebie, niezmordowane bojowanie za prawdę, postawiły go wysoko i sprawiły, że mąż ten będzie wzorem obywatela, typem polskiego uczonego i przykładem cnoty. Niezmordowanie aż do zgonu pracował, wiele wpłynął na oświatę w kraju i z ubogiej swojej stancyjki tułaczej rozświecał Polsce jej minione dzieje. Cały kraj zwracał na niego uwagę i bacznie słuchał każdego słowa swojego historyka. Cały naród otaczał go szacunkiem i czcią i boleśnie odczuł stratę Lelewela. Grób jego na obcej ziemi będzie celem pielgrzymki, dopóki zwłok jego wraz z zwłokami innych wielkich naszych ludzi do rodzinnej nie sprowadzimy ziemi... Cześć publiczna, oddana u nas Lelewelowi, nowym jest dowodem silnego życia w narodzie, którego po wielu latach doczekał się przecież Joachim...“

Tak pisał „Czas“ o Lelewelu dnia 14 czerwca 1861 r. A dziś?... „Dziś inne zwyczaje“. Milczy staruszek i nie ma nawet jednego słowa pamięci dla tego, któremu cały naród po latach zapomnienia winną cześć oddaje... „A chrapali tak twardym snem, że ich nie budzi blask...“

* * *

Bankructwo polityczne. Warszawski „Głos“ charakteryzuje w trzeźwo napisanym artykule rosnące bankructwo polityczne i moralne stańczykowskiej partyi galicyjskiej, trzymającej dotychczas ster w swoich rękach. Na zakończenie wypowiada „Głos“ uwagi następujące:

„Nie trzeba się jednak łudzić, że następstwem tego bankructwa będzie upadek stanowczy powagi i wpływów stronnictwa zachowawczego. Zabezpieczyło ono dobrze swoje stanowisko, i wyparcie go z tej obwarowanej przywilejami twierdzy wymaga całego szeregu lat i zabiegów energicznych. Przedewszystkiem ustawa wyborcza zapewnia zachowawcom sporą liczbę mandatów w kuryi wielkiej własności, a stosunki miejscowe dają im nadzieję zdobycia pewnej ilości mandatów i w kuryi posiadłości drobnych, przynajmniej we wschodniej części Galicyi. Powtóre, szlachta galicyjska posiada dziś wpływ nieograniczony zarówno na władze autonomiczne, jak i na władze państwowe i działa w ścisłym sojuszu z wyższą hierarchią duchowną. Jakkolwiek wmieszanie się duchowieństwa do walki politycznej zachwiało jego powagę w oczach ludu i zaszkodziło mu dotkliwie, biskupi galicyjscy, ściśle ze szlachtą związani, sojuszu tego dziś jeszcze nie zerwą.

Stronnictwo ludowe, od niedawna dopiero istniejące, niema odpowiedniej liczby ludzi, którzy mogliby skutecznie współzawodniczyć o mandaty poselskie. Nie brak w niem może ludzi zdolnych, ale ci są za młodzi i nie mogli dotychczas wykazać swoich kwalifikacyi politycznych. Gdyby tzw. demokraci galicyjscy mieli więcej zmysłu politycznego, zrozumieliby, że chwila dzisiejsza jest dla nich bardzo korzystną, i zamiast występować przeciw ruchowi ludowemu, postaraliby się iść z nim razem i w ten sposób go poniekąd opanować. Ale stronnictwo liberalne w Galicyi jest i nieudolnem politycznie i niedołężnem i, kto wie, czy ono nie zapłaci głównie rachunku likwidacyi podczas przyszłych wyborów.“

—ski.

Lelewel a młodzież polska.

Łatwa sława nie bywa udziałem tych, co zuchwałą ręką zrywają zasłonę z oblicza prawdy i w burzącą się otchłań myśli ludzkiej śmiało idą, aby z niej perłę nowego wynieść blasku. Wyjątku z ogólnego prawidła nie stanowi i Lelewel, którego pierwsze kroki w zawodzie naukowym spotkały się z nieufnością, lekceważeniem, a nawet szyderstwem i krzywdą. I jeden tylko odłam społeczeństwa oświadczył się od pierwszej niemal chwili za, a nie przeciwko niemu, otoczył go uznaniem, które wzmagało się w miarę, jak wyrastała jego sława, jego wziętość obywatelska. Odłamem owym była młodzież, owa „do światła zwrócona źrenica narodu“. Przeczuła ona wielkość Lelewela wówczas jeszcze, gdy ta była tajemnicą dla pierwszych głów w kraju. Kochankiem jej stał się mędrzec republikanin; „rozmnożyciel i patron rewolucyjnych w Polsce wyobrażeń — mówi Mochnacki — omamił ją rozległością pojęć swoich, mocą wyobrażeń, głęboką znajomością powodzeń i klęsk rodu ludzkiego“. I wiele, — że nie powiem wszystkie, — zielonych liści lauru rzuciły młodzieńcze dłonie na górną, a więc skalistą i znojną drogę Lelewela.

Kiedy uczona krytyka doradzała przyszłemu autorowi „Polski, dziejów i rzeczy jej“, aby się nie zapuszczał w badania zamierzchłych czasów, bo tem własnej tylko dowiedzie zarozumiałości; kiedy Towarzystwo przyjaciół nauk nie chciało go przyjąć na członka, a drukarnie wzdragały się wytłoczyć swą firmę na jego dziełach, których bywał sam — w braku innego — nakładcą, młódź w Krzemieńcu, a potem w Wilnie i Warszawie, otaczała go najżywszą sympatyą, słuchała jego słów jak wyroczni. Było to wszakże tylko przegrywką, wstępem do wziętości, jaką pozyskał za powtórnego w Wilnie pobytu. Wielowładne wpływy Jana Śniadeckiego odpychały przez dłuższy czas Lelewela od katedry historyi przy uniwersytecie wileńskim, lecz kiedy uczony matematyk uległ w końcu opinii publicznej i Lelewel przybył do grodu Gedymina z nominacyą na profesora, młodzież witała go z radością, z uniesieniem bez granic. W dniu otwarcia kursu żadna z sal wykładowych nie mogła pomieścić zgromadzonego tłumu, aż rektor zmuszony był uchylić podwoje olbrzymiej auli, która się w mgnieniu oka przepełniła słuchaczami. Po skończonej prelekcyi, w której Lelewel porwany prądem ogólnego uniesienia, prześcignął samego siebie, mury trzęsły się od oklasków ochoczych dłoni młodzieńczych. I wówczas to młode pokolenie

---

Bączkowska była jeszcze niczego, jędrna jak rzepa, okrągła i zawsze czysto a szumiasto odziana. Mówiąc, uśmiechała się i zawracała oczami.

Jacenty zauważył, że sklepikarka była jeszcze niczego i zbliżył się, tembardziej, że znalazł w niej chętnego słuchacza.

Rezultatem było zaproszenie Jacentego przez Bączkowską na szklankę piwa i, jakkolwiek nic zaszło nic zdrożnego, jednak już Jacenty nie uczuwał tak bardzo osierocenia i opuszczenia swego.

Bączkowska, rozczulona, przyrzekła nawet zająć się dziećmi i rzeczywiście nazajutrz przyszła z dużym garnkiem mleka i porcyą suszonych śliwek.

Zastała tylko Karusię, bo Julka doprowadziła do skutku dawno ułożony plan i wyszedłszy za bramę, powędrowała w świat Boży.

Jakie były jej losy, o tem nikt nie wiedział, gdyż nazajutrz przyniósł ją policyant z rozkrwawioną od uderzenia kamieniem głową.

Musiała jednak Julka widzieć piękne i słoneczne rzeczy, bo w głębi swych olbrzymich źrenic zdawała się mieć nagromadzone tajemnicze skarby, zazdrośnie i w milczeniu ukryte.

Tymczasem Bączkowska szastała się po izdebce stróża i teraz Jacenty nie wychodził do szynku ani przed bramę, lecz wciąż starał się być blisko otyłej wdowy.

Ciągnęło go do niej jak muchę do miodu.

Kobieta nie broniła się, owszem chętnie podsuwała swe rozrosłe ciało pod wzrok i ręce mężczyzny, który jej zawsze imponował olbrzymim wzrostem i niewzruszonym spokojem.

I na trzeci dzień, Bączkowska i Jacenty wynieśli się z izdebki do sklepiku, gdzie byli o wiele swobodniejsi po za szafami i gdzie nie ścigały ich milczące i zdziwione oczy Julki.

Tymczasem obie dziewczynki napróżno wyczekiwały jakiegokolwiek pożywienia.

Karusia zanosiła się z płaczu, a łzy jej, ściekając po dawno nieumytej twarzy, tworzyły długie, szare, tłuste pasma.

Julka, zacisnąwszy usta, jak małe prosię, instynktem wiedzione, szukała po kątach jakich okruszyn jadła.

Znalazła trochę spleśniałych kartofli i te po odrobinie wsuwała w buzię siostry.

Pod wieczór jednak głód szarpał jej wnętrzności.

Słyszała, jak ojciec pompował wodę na dziedzińcu, jak zamiatał i czyścił skrzynię do śmieci.

Nie mogła się jednak odważyć stukać i wołać o trochę pożywienia.

Zamknięto je bowiem na klucz z obawy nowej wędrówki po świecie.

Wieczór nadszedł, Karusia leżała teraz w kącie tapczana i nie miała już siły płakać, tak bardzo drobne jej piersi spracowały się od ciągłego krzyku.

Julka stała oparta o ścianę. Brudna szmata, którą owinięto jej czoło, spadła jej na ramiona i na olbrzymiem czole wśród błękitnawego światła wieczoru ciemniała szrama, z której sączyła się powoli krew, cieknąc na wybladłe policzki.

Klucz zachrobotał w zamku i Jacenty stanął na progu izdebki.

Przypomniał sobie wreszcie dzieci i prosił Bączkowskiej, aby przyszła ugotować im trochę ciepłej strawy. Lecz wdowa, czując się już panią sytuacyi, nie miała ochoty męczyć się bezpotrzebnie i ograniczyła się jedynie na daniu Jacentemu trochę mleka i białego chleba, radząc mu, aby mleko przegotował.

Klnąc, plując, drżącemi ze znużenia rękami, rozpalił Jacenty ogień i postawiwszy na fajerkę rądel z mlekiem, zabierał się do rzucenia się na łóżko, gdy zapukano cicho do okna.

To stróż z sąsiedniej kamienicy przyszedł wyciągnąć Jacentego na kieliszek „słodkiej“ przed zapaleniem światła na schodach.

Jacenty, po chwilowem wahaniu, wyszedł, zamykając drzwi na klucz.

W izdebce, oświetlonej skąpo przebłyskami płonących w piecu drzazg, pozostała

złożyło przez usta genialnego tłumacza zbiorowej swej duszy, przez usta piewcy „ody do młodości“, pierwszą daninę publicznego hołdu u stóp tego, co światłem przenikliwej myśli rozpraszał ciemność, rozciągnioną nad kolebką narodu. Adam Mickiewicz, były uczeń Lelewela, przybyły umyślnie na tę uroczystość z Kowna, wygłosił znany swój wiersz „Do Joachima Lelewela“, który kończy z prośbą, aby nie pogardził wieńcem, jaki mu „wdzięczni składają młodzieńce“.

Obok uwielbienia dla uczonego, które znalazło wyraz w dniach powitania, zakwitła niebawem w młodych duszach gorąca miłość i cześć dla człowieka. Bratersko życzliwy dla wszystkich bez wyjątku słuchaczy, gotów spieszyć każdemu z pomocą, czy kto potrzebował złota jego wiedzy, czy zasiłku na chleb powszedni (na to ostatnie niemal całą pensyą profesorską wydawał), ujmujący w ruchu, spojrzeniu i słowie, Lelewel — że powtórzę wyrażenie jednego ze spółczesnych — „zawracał głowy“ młodzieży, której z górą tysiąc uczęszczało na jego wykłady.

Niedługo trwał wszakże zawód profesorski Lelewela. Car, który go nienawidził potrójną nienawiścią jako Polaka republikanina, rewolucyonistę, pozbawił wkrótce katedry, ale wpływu na młodzieńcze umysły pozbawić nie miał władzy. W Warszawie, dokąd się przesiedlił po opuszczeniu Wilna, otoczyły go znowu młode, gorące, szlachetne serca ciasnem kołem.

Wiara w światło jego rozumu i serca była bezbrzeżna: przed forum jego powagi wytaczano najważniejsze i mniej ważne sprawy. W komentarzach do listów sławnego swego syna Marya Mochnacka przytacza zajmujące w tej mierze szczegóły. Opowiadając mianowicie o żwawych dysputach, jakie miewały miejsce między Maurycym a przyjacielem jego Michałem Podczaszyńskim, tak pisze dalej: „...czasami jeden za drugim w największym nieładzie kamizelek i tużurków i głów nieuczesanych, dla szybkości bez kapeluszów biegli na drugą stronę ulicy do Joachima Lelewela, naprzeciwko mieszkającego; a ja w oknie widziałam, jak przed nim, ową wyrocznię całej młodzieży, nawzajem się oskarżali i za sędziego brali. Te sceny tak bywały częste i zajmujące, że ich pominąć nie mogę; charakteryzują one szczęśliwy wiek naszej młodzieży, która żyła w całem znaczeniu tego wyrazu, światłem wszelkich nauk i mądrością ludzi sławnych.“

Najwymowniejszy atoli dowód zaufania dała swemu wybrańcowi młodzież, zwierzając się przed nim z tajemnic politycznej swej roboty. Przeczuwała snać, że geniusz tego męża pojmie wysokie loty jej wyobraźni i sny serc gorących. Piotr Wysocki, twórca Związku Wojskowego kilkakrotnie porozumiewał się przed Nocą Belwederską z Lelewelem, piastującym natenczas godność poselską i u niego szukał sankcyi dla działań i zamysłów stowarzyszenia, o którem pisze historyk, że „była to burza zawarta w ognistych głowach, przechodem swoim, jak gwałtowny uragan, mogąca obrócić w niwecz wszystko, coby jej na drodze zawadzało.“

Podczas powstania Lelewel — minister oświaty w pamiętnej onej dobie zaznacza ponownie solidarność swą z młodzieżą, stając w obronie głośnego jej przedstawiciela, belwederczyka, Seweryna Goszczyńskiego, którego biskup płocki oskarżył o bezbożność z powodu wiersza pt. „Modlitwa wolnego“. Lelewel w płomiennej poezyi winy nie dostrzegł i młodego poetę od oskarżenia uwolnił.

Potem, kiedy w krwawym zamierzchu dnia walki poszedł, bolejący cierpieniem Polski na obcą ziemię, w ślad za nim biegła sympatya młodego pokolenia. Miał jej dowody liczne we Francyi. A gdy wyścigany nawet stamtąd mściwą ręką monarchów znalazł schronienie w Belgii, jego głośne na cały świat dzieła, jego wzniosły charakter, zjednały mu podziw Belgów; uboga rzesza robotnicza widziała w nim brata, najwyżsi dostojnicy z królem na czele szukali z nim znajomości, ogół, mówiąc o nim, nazywał go krótko „wielkim człowiekiem“, nie dodając nazwiska. Ale któż otaczał miłością tego starca w perkalowej bluzie robotniczej, pochylonego od świtu do nocy nad pracą w ascetycznej nieopalanej smutnej izbie? — Młodzież. Ona też wspólnie z gronem uczonych żegnała „wielkiego człowieka“ obiadem składkowym, gdy na dni kilka przed śmiercią, naglony przez przyjaciół, opuszczał Brukselę, jej przedstawiciele z uniwersytetów Brukseli, Candawy i Leodium składają mu hołdy gorące na dworcu w chwili odjazdu do Paryża. Jakaż potęga cofa — ku zdumieniu lekarzy — konającego już Lelewela od krawędzi grobu i przedłuża o dni kilka jego życie? — Potęga miłości serc młodych: czar wspomnień, wyniesionych z uniwersytetu wileńskiego.

Czyj głos brzmiał najwymowniej nad otwartym grobem Lelewela? Młodego robotnika, Paryżanina. Za czyjem staraniem odbyły się okazałe manifestacye na żałobną wieść o śmierci przyjaciela ludzkości? Za staraniem ognistej z r. 61 młodzieży polskiej w Warszawie i Wilnie, a polskiej i ruskiej w Kijowie. Kto wziął sobie jak sztandar imię Lelewela w walce o wolność z r. 1863? Młodzieńczy partyzant Marcin Borelowski.

Któż teraz nakoniec echowo biegnącym po kraju oklaskiem przerywa ciszę zapomnienia, co od lat trzydziestu pięciu przytłacza mogiłę wielkiego Polaka w obcej ziemi? Czy może uznani wyobraziciele opinii publicznej lub uczone jakie ciało? — Nie! To wierna swej tradycyi młodzież polska zapala lampę pamięci nad grobem mistrza, który wiódł jej myśl w pomrokę dalekiej przeszłości i w blask przyszłych czasów i udowadnia tem raz jeszcze prawdę słów samego Lelewela, że „węzła myśli“ jego z młodzieżą „żadna moc ludzka nie rozerwie“, że ta myśl wryje się głęboko w serca, w dusze kochanych dzieci strapionej Polski.

(Tydzień.) *Marya Wysłouchowa.*

LITERATURA I SZTUKA.

Ze spuścizny literackiej po śp. W. Sawiczewskim.

Do pocałunków.

Pocałowania brały usta moje,
Pocałowania silne, bezprzytomne...
Których wspomnieniem dotąd myśli poję,
Choć innych pieszczot dziewczyny nie pomnę.

Julka i Karusia, obie pełne nadziei dostania wreszcie okruszyny ciepłej strawy.

Na czworakach wylazła Karusia ze swego legowiska i skierowała się do pieca, za nią poszła Julka.

Obie znalazły się przy kominie, dostając zaledwie czubkami głów do skraju tegoż, z głowami zadartemi, z oczyma wlepionemi w ten rądel, gdzie grzało się mleko, które w tej chwili przedstawiało dla nich jedyne pożądanie i tak gorąco upragnioną i wypłakaną strawę.

Nagle Julka poruszyła się niecierpliwie. Mleko zaczęło kipieć, z szumem wylatywało na blachę i w tysiącach perełek, drżąc, biegając, tańcząc, niknęło w przestrzeni. Julce nabiegły łzy do oczów. Obejrzała się na drzwi, ojciec nie wracał, mleko ucieknie, zbiegnie tak całe... i znów nie pozostanie ani dla niej, ani dla Karusi nawet okruszyny, nawet jednej kropelki.

Na wypukłem jej czole zarysowała się nagle zmarszczka jakiegoś silnego postanowienia.

Przysunęła do komina stołek i wdrapała się nań z wielkim trudem. Stanąwszy, wyciągnęła rękę i ujęła za rączkę rądla, pociągnęła ku sobie, lecz naczynie było ciężkie i nie stało równo, wtłoczone jednym brzegiem w otwór fajerki.

I nagle, równocześnie, rozległ się nieludzki krzyk z obu dziecinnych piersi. Mleko gorącym warem oblało całą głowę i ciało stojącej koło komina Karusi, a Julka, straciwszy równowagę, spadła z krzesła na ziemię, rozraniając sobie do reszty swą nieszczęsną głowę skrofulicznej istoty.

* * *

Na czwarty dzień pod wieczór, pani Jacentowa, zabłocona, wychudła, zczerniała, ze spódnicą obszarpaną, z odzieżą zlaną deszczem, weszła na dziedziniec, niosąc pod pachą dwa różańce, butelkę wody Studzienkowskiej, kilka obrazków, kropielniczkę i masę innych przedmiotów.

Pchnęła drzwiczki od izdebki i zatrzymała się na progu, mrużąc oczy, nie widząc dokładnie w tej ciemni, od której odwykła.

Usłyszała tylko jakby pisk kociaka i w kącie na tapczanie dojrzała wreszcie pakunek waty, z której się pisk ten wydobywał.

Obok leżała Julka z oczyma płonącemi, z głową obandażowaną, milcząca i chmurna.

Na stole stał talerz, na którym żółciła się oliwa i leżało duże gęsie pióro, ociekłe złotą cieczą.

Jacentowa rzuciła na ziemię tłomoczek i ku drzwiom podbiegła.

Nie było w stancyi nikogo, lecz leżąca na łóżku czapka Jacentego wskazywała, że stróż musi być niedaleko. Jacentowa odsunęła watę i z ust jej wybiegło jedno słowo:

— Jezu:...

Z Karusi została jedna żywa rana, purpurowa, bąblami białemi pokryta.

Drzwi skrzypnęły, Jacenty wszedł do izby. Spojrzał na żonę wrogo, nienawistnie i za czapkę pochwycił.

— Co się tu stało? — spytała Jacentowa.

Lecz on, zamiast odpowiedzi, splunął pogardliwie i wyszedłszy z izby, drzwiami trzasnął.

Jacentowa stała chwilę w milczeniu, aż wreszcie na kolana upadłszy, modlić się poczęła.

Julka poruszyła się niespokojnie na łóżku i swe wielkie, zgorączkowane źrenice utkwiła w matkę, jakby z zapytaniem i pozostała tak ciągle milcząca, z ustami spieczonemi, zaciśniętemi w upartem milczeniu. Lecz Jacentowa wyciągnęła rękę w stronę, w której na ciemnem tle ściany połyskiwał wyzłacany obrazek Dziewicy.

— A... wyprowadźże dziecinę moje z tych chorób, Panno Najświętsza! — zawołała, zanosząc się od płaczu, a ślubuję ci nową pielgrzymkę!...

Dorobek literacki J. Kubisza bardzo niewielki. Zdaje mi się, że oprócz zbiorku p. t. „Śpiewy starego Jakóba (Cieszyn 1889 żaden inny zbiór całkowity jego poezyi nie ukazał się. Inne jego utwory różnej wartości i obszerności rozsiane są po pismach: „Pamiętnik Czytelni ludowej“ w Cieszynie 1887, „Przyjaciel ludu“, pismo ewangielickie, jakoteż „Przegląd polityczny“ później ży dodatek do „Przyjaciela ludu“ i innych. Ogólną cechą wszystkich utworów poetyckich J. Kubisza jest charakter okolicznościowy na wskroś tendencyjny w kierunku podniesienia i rozbudzenia świadomości narodowej.

Występował on gorąco przeciwko tym, którzy —

— — nieszczęśliwi, do ojczystych progów
Wnieśli cześć cudzych, cześć fałszywych bogów.
Niewinne serca swych dzieci zatruli,
Bo je ucz li tym bogom się modlić,
Bo je uczyli ohydnie znieważać
Swoje świętości, a obce poważać —
O, takie dzieci musiały się spodlić!

(Śpiewy starego Jakóba 6).

Nuta szczerego patryotyzmu podzwania w każdym wierszu Kubisza: czy uskarza się na tych, którzy —

— — — śpią sobie bez troski.
Gdy twoi bracia twój upadek knują — —

czy odzywa się z żalem:

Ziemia nasza bracie młody
Śpi jeszcze, śpi jeszcze;
Nad nią ciche szumią wody
Ciemny bór szeleszcze...

(Śpiewy starego Jakóba, 24, 25)

Staje się ta nuta jeszcze bardziej rzewną, ile poeta rozwija ją w obrazie, jak np. we w pomnianym już wierszu na jubileusz Czytelni ludowej w Cieszynie, w którym opowiada z prostotą i ciepłem dzieje własnego sielskiego życia na tle natury i stosunków panujących.

Pierwiastek religijny, tkwiący głęboko we wszystkich poezyach J. Kubisza, a będący również najwybitniejszą cechą jego talentu pisarskiego, łączy się zawsze z nutą patryotyczną. Dla tego też poeta najchętniej posługuje się tematem na tle religijnem wysnutym i z upodobaniem zatrzymuje się na obrazach, porównaniach i myślach bibilijnych, szczególnie z życia Mojżesza. Tożsamość położenia, życie w niewoli, pragnienie wydobycia się z niej, podsuwają mu bardzo łatwo tematy biblijne. O ile z jednej strony czyni go to, jako poetę, przystępniejszym i zrozumialszym dla ludu wiejskiego, o tyle krępuje jego twórczość obrazami i myślami już gotowemi i odsuwa od rodzinnego źródła natchnień. Próba zaczerpnięcia z tego zdroju, dokonana bardziej udatnie, niż inne próby poetyckie w wierszu wygłoszonym w Czytelni Cieszyńskiej w czasie jubileuszu, powinny były poetę na drogę twórczości swojskiej zwrócić. Brak siły dramatycznej w jego charakterze i energii w wierszu biblijnym, czyni go bladym i pozbawia tego patosu, jakim tchnęły poezye biblijne K. Ujejskiego.

W wierszu p. t. „Mojżesz“ poeta szuka analogii z dzisiejszem położeniem Śląska, a właściwie dzieci polskich na Śląsku. Obawa przed niepewnym losem każe matce oddać dziecię na wychowanie córki Faraona. Dalej powtarza się i rozwija legenda hebrajska aż do chwili wyzwania do boju Egipcyanina, zamordowania go i ucieczki. Opowiadanie pozbawione wprawdzie ciepłego kolorytu biblijnego, ale ożywione i podniesione zrozumieniem krzywd, jakie się dziś dzieją.

Za cóż się tak uj ujesz za braci twych rzeszą
Spo lonych i jęczących pod jarzmem niewoli? —
A cóż tobie do tego? Czy to ciebie boli?
A cóż tobie do tego iże oni biedni,
Gdy jeno ty jesz z złotej miski chleb powszedni!

Mojżesz J. Kubisza jest tylko z imienia Mojżeszem hebrajskim: Egiptem jego jest Śląsk, a bodźcem do walki ta krzywda, która codziennie się dzieje ubogim dzieciom polskim. Mojżeszowi poety każą czuć i myśleć tak, jak tylko pragną Niemcy, ażeby każdy Polak na Szląsku myślał.

— — — Miłość, ojczyzna, sława, przyjaciele,
Ofiarność, cnota, święte o czyste poczucie —
To głupstwa, śnią dziś o nich tylko marzyciele!
A działać dla swej braci, to śmieszne rzemiosło,
Które jeszcze nikomu zysku nie przyniosło!

Faraonowi i niemczycielom Śląska dzisiejszym można było jednako dogodzić:

Gdybyś tak pierś twej braci rozdarł i pokrwawił —
Za czyn taki królewskiej dostąpiłbyś łaski.
A kapłani Egiptu dalić-by oklaski!

Takim samym duchem owiany jest drugi poemacik Jana Kubisza pod tyt. „Woda ze skały“, napisany na uroczystość otwarcia gimnazyum polskiego w Cieszynie. (Przegląd polityczny, dodatek do Przyjaciela ludu 15-go września 1895). Wiersz ten przewyższa inne spokojnym i głębszym liryzmem I tu bierze poeta myśl z legendy staro-hebrajskiej o Mojżeszu, który narzekającemu i zmęczonemu podróżą do Chanaan ludowi, otworzył źródło czystej wody ze skały w pustyni. — Wiadomo, że Niemcy, życzenie Polaków otwarcia polskiego gimnazyum w Cieszynie, starają się przedstawić jako czyn zbrodniczy nieomal, barbarzyński — bo po co jakaś polska szkoła tam, gdzie się pali pochodnia niemieckiego światła! Garstka polskich renegatów, którzy zdołali już zniemczyć myśli, tylko im na świadectwo polskości nazwiska zostały, stanęła po stronie Niemców, bo oni dotychczas występują na Śląsku w roli owych krajczych, mających dla przyjaciół zawsze pełne misy; obok nich stanęli trwożliwi i wahający się. Do takich niewierzących odezwał się poeta pięknemi słowami:

On nie winien, że ręce, która mu otwiera
Podwoje szczęśliwości, gwałtem się opiera;
Nie winien, że się lęka i ofiar i trudów
I tylko się ogląda na moc Twoich cudów!
Panie! On i tak biedny, skarany dla tego
Że prócz chleba nic w życiu nie widział innego,
Że na okół błędnemi spogląda oczyma,
Ażali też gdzie wody k' pokrzepieniu nie ma.

(Mojżesz).

Najdłuższym pod względem objętości jest poemat p. t.: „Syn marnotrawny“, do którego pomysł, jak do wszystkich prawie swoich utworów poetyckich J. Kubisz zaczerpnął z opowieści biblijnej, zmodernizował go tylko, jeżeli można tak powiedzieć i przystosował do tych ciężkich anormalnych warunków, jakie panowały, a poniekąd panują na Śląsku. Nie umiem powiedzieć, czy poemat ten był kiedy drukowanym i gdzie.

---

gini.. (przeciąga się i leniwym krokiem odchodzi na lewo.

Merkury (spoglądając za nią): Oj, tak, tak!... serce się kraje patrzeć na muzę, co kozy pasie!... Tegoby żadna chórzystka nie zrobiła, nawet przed wstąpieniem do teatru. Okropność, co za degrengolada!... Wolałbym być tragarzem, listonoszem, ekspresem, niż bogiem na emeryturze! (w dali w głębi słychać wołanie: hop, hop! za sceną). A to co? kto tam?... co za śmiałek wdziera się na Olymp?... O tej porze?... patrzcie państwo'... (idzie w głąb sceny, przykłada rękę do oczu i spogląda w dół). Czy mi się przysłyszało? ktoś wołał hop, hop!... głos ludzki! Wyraźnie od ziemi ktoś woła!!.. (nasłuchuje).

SCENA 3-cia.

Merkury, Farsalski (po chwili) Polip.

Farsalski (za sceną): Hop, hop!... panie Polip!... a gramólże się pan prędzej!... (jesteśmy już u szczytu (w głębi, z po za krawędzi skały ukazuje się głowa w cylindrze).

Merkury (wystraszony): Na Zewsa!... człowiek!...

Farsalski (wspinając się na skałę i zeskakując z niej zgrabnie na scenę; we fraku, białym krawacie i białych rękawiczkach, w szapoklaku na głowie). Albo tu, albo nie tu?... (spostrzegając Merkurego). Hej, człowieku!... słyszycie?...

Merkury (kuleje szybko ku wzgórkowi): Ja nie jestem żaden człowiek.

Farsalski: Nie człowiek?... Pyszny facet!... a czemże ojciec jest?

Merkury: Ja jestem bóg!.. Merkury!...

Farsalski: Merkury?... A to serwus, Merkury!.. bardzo mi przyjemnie. Właśnie nam takiego potrzeba! (zdejmując szapoklak, kłania się z przesadną elegancyą) Farsalski!... Apoloniusz Farsalski!... dyrektor trupy prowincyonalnej!... Mam honor się rekomendować. Nie uciekajno ojciec, jak od cholery!... (wracając w głąb) No, panie Polip! wyleziesz pan raz, czy nie?... Na czworakach się wspina, jak nieboskie stworzenie! Dawajże pan łapę!... pomogę panu (podaje mu rękę i wyciąga na skałę). A toś się pan zasapał!... Wstydź się pan!... Ładny z pana reporter!...

Polip (ocierając sobie czoło chustką): Uf!... zmachałem się, jak przy pożarze. Wszystkie kosteczki mnie bolą!... Dyrektor skaczesz, jak pchła, a ja ledwie się wdrapałem w górę. To już ten zatracony Olymp, co?... Bo puszczę kantem tę całą wyprawę i dalej ani kroku nie zaryzykuję! Dwa tysiące dziewięćset siedmdziesiąt trzy metry nad powierzchnią morza choćby po pięć kopiejek tylko, to...

Farsalski: Już pan naciągasz?...

Polip: Nie naciągam, ja obliczam tylko koszta podróży. Tego mi przecież żadna redakcya nie zwróci (złazi ze skały). Pomarańczowy pomysł dyrektor miałeś z tą wyprawą na Olymp. (rozgląda się dokoła) Pustka!.., idę w zakład o pięć fajglów, że tu nawet kubełka pilznera nie dostanie na odwilżenie gardła. Ale od czego przezorność!... (wyjmuje z kieszeni butelkę piwa) Wziąłem ze sobą podróżną piwniczkę. Golniesz dyrektor?...

Farsalski: Nie teraz. Wpierw audyencya!... (do Merkurego) Słuchajno ojciec, my tu w deputacyi. Mamy mały interesik do was.

Polip: Kokosowy interes!... (przyglądając się Merkuremu) A to co za trupiszon?...

Farsalski: Jakto nie poznajesz redaktor? to Merkury!...

Polip: Merkury?... Dawaj Merkurego! Patrzcie państwo, to ten złodziej żyje jeszcze?...

Merkury: (grożąc mu kulą) Niech śmiertelny nie ubliża!... Tylko bez dyfamacyi!...

Farsalski: Możesz redaktor mieć proces. Trzeba z nim grzecznie. (do Merkurego) No, i jakże, ojciec?... możemy się widzieć z panną Muzą?...

Merkury: A z którą?...

Farsalski: Z panną Melpomeną, rozumie się, — z naszą szanowną boginią i dobrodziejką!...

Merkury: Z Melpcią?... a cóż to za interes?...

Farsalski: [z emfazą] Interes sztuki i sceny. Właśnie mamy zamiar wystawić dla niej nową świątynię.

Merkury: Na ziemi?

Farsalski: Nieinaczej.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Przeznaczył go był wprawdzie autor do felietonu Przeglądu politycznego w Przyjacielu ludu; zdaje się jednak, że w całości nie ukazał się, o ile sądzić mogę z licznych przekreśleń na posiadanym rękopisie.

Tak czy inaczej, jest to poemat, który z powodu myśli przewodniej dawał autorowi szorokie pole do stworzenia utworu bardzo popularnego i mogącego mieć wielką doniosłość moralną i narodową. Poeta przedstawił tu młodzieńca, wychowanego pod wiejskim dachem Śląska w miłości ziemi ojczystej i poszanowaniu rodziny. Popychany żądzą nauki, natchniony w szkole myślą, że tylko niemiecka nauka jest prawdziwem światłem na świecie, pojechał szukać tego światła w obcem i dalekiem mieście. Otoczony tą obczyzną ze wszech stron, zasłuchany w powieści o sławie i wielkości niemieckiej, zaczął się wstydzić swego narodu, wsi i rodziny, z której wyszedł.

Mnie tak było prawie,
Jak studentowi co się ojca wstydzi,
Że licho odzian, bowiem mu się widzi
Że gdy jest biednym, musi być w niesławie.

Śród tego otoczenia, na wskroś obcego i wrogiego z dawnych „uczuć i miłości“

Gasła iskierka ciągle po iskierce —
I było chłodnem, zimnem moje serce,
A po tej walce i po tej katuszy
Nastała próżnia wielka w mojej duszy. — —

Powoli przyszedł okres bezwzględnej adoracyi niemieckiej „kultury, sławy, wielkości i potęgi“. Potem nastąpiła miłość dla „niemieckiej dziewicy“

Starożytnego, potężnego rodu
Sławną ze swego wdzięku i piękności,
Dziewicę ducha, pieśni, poezyi;
Ukochałem ją całą siłą młodą
I całym ogniem mej pierwszej miłości.

Miłość ta nie zgasiła na szczęście w jego duszy wspomnień młodzieńczych, nie zatarła obrazów wsi rodzinnej, nie zagłuszyła dźwięku mowy ojczystej. Prześladowany temi widmami własnej duszy, oszukiwał sam siebie myślami o wielkości niemieckiej, aż nareszcie przekonał się powoli, że obca wielkość nie w stanie jest nigdy wypełnić całej duszy ludzkiej; że na dnie jej, w rozmaitych zakątkach pozostają zawsze dawne echa rodzime, które w ciszy nocy, śród samotnych rozmyślań grają dziecinne wspomnienia. Rozbudzone sumienie nie dawało mu spokoju i pchało go coraz głębiej w wir życia, ażeby ciche dawne echa zagłuszyć w duszy. Jednym z kroków do tego było przystąpienie do „Verein deutscher Jugend aus Ost-Schlesien“ — jednego z tych towarzystw, które się tworzą umyślnie dla niemczenia polskich dzieci. Bohater wdział na siebie wreszcie „czarno-złocistą przepaskę“

I tem publicznie przed światem okazał
Żem się z narodu polskiego wymazał,
Że się z wrogami mymi połączyłem.

Łatwiej jednak było nosić obce godła, niż duszę na obcą przerobić. Syn marnotrawny poznał się na tem, że

Była to sztuka prawdziwie zdradziecka —
Przeciwko ojcu dać nóż w rękę dziecka.

Przyszły chwile rozwagi, zastanowienia się, rozbudzenia się drzemiących, lecz niewygasłych uczuć narodowych i „czarno-złocista przepaska“ poszła na ofiarę tych uczuć. Młodzieniec wrócił w progi ojczyste, wyleczony z wielkości niemieckiej.

Poemat powyższy, trzymany w tonie opowiadania, tu i owdzie błyszczy pięknemi myślami i tryska ciepłem rodzinnem, jako całość jednak nie należy do udatnych. Brak dokładnego rozwinięcia myśli i obrazów nadają mu pewną suchość; chropowatość wiersza, słabe rymowanie pozbawia go dźwięczności poetyckiej. Niedostateczne opanowanie języka i niedość wielka zasobność słownikowa uniemożliwiają poecie wyrażenie i wycieniowanie myśli.

Zresztą, znaczenie J. Kubisza dla Śląska trzeba mierzyć inną miarą, niż dla literatury pięknej — nie estetyczną, nie artystyczną, lecz społeczną. Kubisz nie jest wprawdzie poetą ludowym, ale jest poetą dla ludu, do jego serca i myśli swoją prostą mową trafić umie, a w tem właśnie jego wielka zasługa.

W „Śpiewach starego Jakóba“ ze zwykłą poecie skąpością poetyckiego słowa, ale z wielką prawdą przedstawił dwa współczesne typy śląskie („To Niemiec i To Polak“), które w życiu idą odmiennemi drogami: pierwszy nienawidził Polaków — znamienny rys renegatów wszystkich narodowości wogóle — wychwalał niemczyznę i miał przed sobą drogę do życia otwartą: drugi szedł przez życie ciężko z powodu, że się własnego języka i obyczaju nie zaparł, a każdemu krokowi jego towarzyszyły jak hańba słowa: hat polnisch gesprochen! Prawda przeważyła tu szalę poezyi.

W ostatnich utworach, jak „Woda ze skały“ — na uroczystość otwarcia gimnazyum w Cieszynie — i „Mojżesz“ znać większe wyrobienie, gładkość wiersza i siłę.

Wogóle można powiedzieć, że się J. Kubisz nie rozwinął wszechstronnie i nie wydał jeszcze całego zapasu poetyckiego, jaki przyniósł ze sobą. Polot jego myśli poszedł jednym szlakiem tylko — narodowym: śpiewał on uczucia, pragnienia, bóle, walki i nadzieje dzisiejsze, że tak powiem, wyłącznie dzisiejsze i w tem właśnie wielka jego zasługa koło odrodzenia Śląska. Prace jego i poezya dla literatury ogólno-polskiej są małe, ale zasługi dla idei narodowościowej wielkie, bo jego można porównać właśnie do tego siewacza, który po raz pierwszy dawno niezorany zagon obsiewa. Skiby na nim spiętrzyły się wysoko, brona nie w stanie była rozszarpać skłaczonych korzeni, chód przeto siewacza ciężki i nierówny, nierówny też siew, nierówne wschody, bo ziarno nie na jednaką głębokość zapada, ale na takiej ziemi piękne i zdrowe rodzą się plony. Obfitych można tam czekać zbiorów, gdzie siewacz miłości prawdę sieje, a głos jego wieczornej pieśni nie rozprasza, lecz skupia ludzi do wielkiej idei — jedności narodowej.

Odcień religijny poezyi J. Kubisza, na który już poprzednio zwróciliśmy uwagę, służący niejako za tło narodowe poecie, jeszcze bardziej zbliżył go do ludu i ułatwił zrozumienie podniesionych przez niego myśli.

Fr. Rawita.

SZKOŁA I WYCHOWANIE.

Nowe uniwersytety ludowe
w Wiedniu i Londynie.

Uniwersytety ludowe, dążące do zapewnienia sposobności dalszego kształcenia się jednostkom, które ukończyły szkołę elementarną, od dawna z korzystnym bardzo skutkiem funkcyonują w Danii, Skandynawii i Ameryce. W ostatnich zaś czasach rozwijać się zaczęły pomyślnie w Wiedniu i Londynie. Wiedeński uniwersytet ludowy jest dziełem tamtejszego towarzystwa oświaty ludowej w połączeniu z uniwersytetem. Towarzystwo to urządza od dłuższego już szeregu lat odczyty dla związków robotniczych, uczniów rzemieślniczych i handlowych, oraz poparte przez docentów wiedeńskiego uniwersytetu przystępne dla wszystkich, kursy naukowe. Obecnie wystąpiło z projektem obszerniejszych tego rodzaju urządzeń. Odnośna petycya, podpisana przez połowę profesorów wszystkich fakultetów znalazła poparcie ze strony senatu akademickiego. Austryacki minister oświaty wyznaczył w r. z. na urządzanie tych popularnych wykładów sumę 6000 guldenów. Kierunek tego przedsiębiorstwa, mającego szerokim warstwom ludności przynieść wiedzę i oświatę, spoczywa w rękach komitetu wybranego przez senat akademicki i pojedyńcze fakultety, a złożonego z profesorów i docentów prywatnych. Wykłady pomijać mają religijne, polityczne i społeczne kwestye sporne. Po wykładach następuje dyskusya, w której biorą udział słuchacze. Zapowiedziane już wykłady obejmują historyę grecką, rzymską, niemiecką, austryacką i francuzką, dramat grecki, „Fausta“ Goethego, Szekspira, malarstwo włoskie; dalej anatomię, fizyologię, bakteryologię, pierwszą pomoc lekarską, choroby dziedziczne, nerwowe i umysłowe, wreszcie botanikę, chemię, geologię, budowę machin, geometryę, prawo państwowe i prywatne oraz statystykę. Urządzono na razie dwadzieścia katedr w stolicy podług których później w kraju, a zwłaszcza w głównych ogniskach przemysłu mają być ustanowione dalsze kursy naukowe. Zwiedzający te kursy otrzymują świadectwa, projektowane jest także wyrobienie pewnych praw dla egzaminowanych słuchaczów.

Wyczerpujące i ciekawe dane o uniwersytetach ludowych w Anglii i Ameryce zawiera świeżo wydane dzieło dra Jamesa Russel'a, profesora przy uniwersytecie stanu Colorado. Na wstępie zaznacza autor, że początkowo w Anglii nie brak było ludzi, upatrujących w zakładaniu instytucyi, mających na celu podniesienie poziomu oświaty w sferach robotniczych, dzieło szatana, dążące do zburzenia politycznego, społecznego i moralnego porządku. Dziwić się temu nie można, jeźli się zważy obłudę i bigoteryę, szerzącą się w pewnych sferach angielskiego społeczeństwa, a mianowicie w duchowieństwie. Mimo to posiada Anglia już od r. 1854 swe „Working Men's Colleges“. Nastąpiły popularne odczyty James'a Staarta w r. 1869; w roku zaś 1871 przyłączył się uniwersytet w Oxfordzie, w r. 1875 uniwersytet w Cambridge do tego ruchu. W r. 1876 założone zostało „Towarzystwo londyńskie“ (The London Society for the Extension of University Teaching), urządzenie kursów letnich w Oxfordzie (1889) i t. d. Dążenia te napotykały początkowo na niemałe trudności; korzystną działalność paraliżował brak potrzebnych funduszów, obojętność publiczności i t. p. Wreszcie w r. 1890 wyznaczył rząd angielski sumę 15 miljonów marek na poparcie tej sprawy. Zapewniło to środki do urządzenia znacznej liczby kursów przemysłowych i przyrodniczych, szczególnie po małych miastach i wsiach. Największe jednak znaczenie posiada projektowane założenie uniwersytetu ludowego w Londynie. Rząd zapewnił swe poparcie i temu projektowi, podług którego stolica angielska otrzyma uniwersytet, złożony z 6 fakultetów, a oprócz tego urządzone będą popularne wykłady wieczorne. Dozór i kierunek tego przedsiębiorstwa powierzony będzie stałej komisyi. Wyżej wymienione „Towarzystwo londyńskie“ urządza zresztą od chwili swego założenia kursy naukowe zarówno w stolicy jak i w miastach prowincyonalnych. Razem z urządzonemi przez Cambridge, Oxford i Manchester odbyło się w r. z. w Anglii 700 tego rodzaju kursów a ogólna

Pocałowania brały usta moje,
Co się czerwonem piętnem w duszy znaczą,
Łącząc na zawsze z sobą ludzi dwoje,
Idących w życia wędrówkę tułaczą.

Pocałowania brały usta moje....
Oczy w szafiry źrenic się wpijały,
A na ramionach miałem, jak powoje,
Splecione ręce, niby wianek biały.

Dzisiaj, gdy szczęście odbiegło odemnie,
A duszę naszły ból i niepokoje —
Jest wspomnień światło, co rozjaśnia ciemnie,
Bo pocałunki brały usta moje!

31 czerwca 1895.

Józef Przyborowski.

W dniu 13 bm. nauka nasza poniosła cios wielce dotkliwy, przez śmierć śp. Józefa Przyborowskiego, b. profesora i bibliotekarza b. szkoły głównej, ostatnio bibliotekarza najznakomitszej w kraju naszym prywatnej książnicy ordynacyi Zamoyskich. Akademia umiejętności w Krakowie na wiadomość o śmierci zasłużonego męża i członka swego, wywiesiła żałobną flagę.

Zmarły profesor nie należał do liczby osobistości znanych masom, po za ścisłą nauką stojącym; natomiast każdy, kto w sposób poważny zajmował się badaniami nad archeologią, numizmatyką, bibliografią, lub morfologią, etymologią, fonologią, oraz historyą ojczystego języka: kto chciał zasięgnąć wskazówek do badań źródłowych, lub opracować metodę naukową, chroniącą od błędów w zakresie powyższych specyalności: ten nie mógł nie wiedzieć o Józefie Przyborowskim i nie znać jego prac gruntownych i krytycznych: ten zarazem nie mógł nie żywić w swem sercu wdzięczności dla zgasłego profesora za jego uczynność, chęć przyjścia z pomocą każdemu i dzielenia się skarbami wiedzy, oraz bogatego doświadczenia.

Józef Przyborowski urodził się dnia 7 marca 1823 r. w Gałęzowie, pod Wrześnią, w WKs. Poznańskiem. Ukończywszy gimnazyum w Trzemesznie, udał się w r. 1843 na uniwersytet do Wrocławia i zapisał na wydział języków starożytnych. Ambrosch, Haase i Schneider byli mu naówczas przewodnikami. Równocześnie oddawał się studyom nad gramatyką porównawczą języków słowiańskich pod kierunkiem profesora Czelakowskiego, a nadto słuchał wykładów historyi od słynnego w swoim czasie Roeppela, a filozofii u Branissa i Elvenicha. Badanie i odczytywanie prastarych pomników języków słowiańskich, którym się oddawał z niezmiernym zapałem pod przewodnictwem prof. Czelakowskiego w domu tego uczonego, i studya w seminaryum filologicznem, uzupełniały szereg przedmiotów, stanowiących szerokie podstawy dla tylu cennych i samoistnych badań, jakiemi w przyszłości miał zasłynąć Przyborowski. Ciągła, bez wytchnienia, w tylu kierunkach praca i męczące zajęcie się przekładami Platona tak poderwały zdrowie młodego uczonego, że dwóch lat pobytu na wsi było trzeba, aby siły odzyskał i mógł, celem zdania egzaminu państwowego, do Wrocławia powrócić. Uzyskawszy w roku 1852 tamże stopień *pro facultate docendi* mianowany został wkrótce nauczycielem gimnazyum w Trzemesznie, a następnie w r. 1854 w gimnazyum św. Maryi Magdaleny w Poznaniu, gdzie wykładał języki: polski, łaciński i grecki, oraz historyę literatury polskiej. Już w owym czasie młody pedagog dał się tak korzystnie sferom naukowym poznać, że niezadługo po osiedleniu się jego w Poznaniu powierzono mu zarząd archiwum grodzkiego, w którem nietylko miał sposobność gruntownego obeznania się z mnóstwem źródeł dziejowych, lecz i umiejętnego ich wyzyskania i ogłoszenia między r. 1857 a 1863 szeregu niezmiernie ważnych prac. Prace te od razu postawiły Przyborowskiego na stanowisku pierwszorzędnego badacza i znawcy staropolszczyzny, oraz bibliografii polskiej. Ściśle biorąc, Przyborowski był pierwszym, który właściwie znaczenie tych materyałów ocenił i sposób ich spożytkowania podał.

Przymioty, jakiemi się prace Przyborowskiego odznaczały, i poważne naukowe stanowisko, jakie już tak wcześnie zajął, nie mogły nie zwrócić na się uwagi komisyi oświecenia w Królestwie polskiem, która zajęta była w r. 1863 uorganizowaniem najwyższej w kraju uczelni, tj. szkoły głównej. Komisya usilnie się starała o ściągnięcie wyborowych sił naukowych, na jakie nasz kraj podówczas stało. Zaproszono wówczas i Przyborowskiego, który w charakterze lektora języka polskiego swe świetne wykłady w szkole głównej w r. 1863 rozpoczął, powierzony sobie mając jednocześnie urząd bibliotekarza biblioteki szkoły głównej, gdyż do zajęcia i tej posady godniejszego nad niego nie było. Mianowany w r. 1865 profesorem języka polskiego, musiał Przyborowski w r. 1869, z chwilą przeobrażenia szkoły głównej na uniwersytet i zwinięcia katedry języka polskiego, z zajmowanego stanowiska ustąpić, pozostawszy już tylko na urzędzie bibliotekarza. Wkrótce jednak musiał przyjąć posadę lektora języka niemieckiego przy nowouformowanym uniwersytecie. Opuściwszy w r. 1872 uniwersytet, przyjął urząd bibliotekarza biblioteki ordynacyi Zamoyskich, i na nim aż do zgonu pozostawał. Jak na każdem stanowisku, tak i tu znalazł zmarły profesor obszerne pole do pracy, zawsze płodnej w doniosłe rezultaty. Dzięki jego mrówczej pilności, biblioteka ordynacyi Zamoyskich należy do najlepiej zorganizowanych, a więc dających możność łatwiejszego korzystania ze skarbów w niej zawartych.

Uczeni znają wszystkie prace nieboszczyka, gdyż każda z nich była ważna, każda wnosiła do nauki rzeczy nowe lub inaczej oświetlone. Niewtajemniczonych w specyalne kierunki, jakie zmarły profesor uprawiał, a chcących choć z tytułu poznać dzieła jego, odsyłamy do numerów 4 i 5 „Wiadomości Bibliograficznych“ z roku 1882, przez Paprockiego w Warszawie wydanych, gdzie zarazem są podane i inne szczegóły z powodu 25-lecia działalności prof. Przyborowskiego i jego przybycia do Warszawy, kompetentnem piórem pana A. B. Brzostowskiego skreślone.

Od r. 1874 do 1882 śp. profesor redagował „Wiadomości Archeologiczne“, w których umieszczał opisy swych corocznych wy-

Wyprawa na Olymp.

Komedya fantastyczna w 1-ym akcie,

oryginalnie napisana

przez

M. Gawalewicza

OSOBY:

Melpomena, muza tragedyi.
Thalia, muza komedyi.
Euterpe, muza śpiewu i muzyki.
Merkury.
Nimfa, służebna.
Poeta.
Farsalski, dyrektor teatrzyku.
Eimer, restaurator.
Głodysz, aktor.
Oczko, aktorka.
Filisterski, reprezentant publiczności.
Polip, reporter.
Zoilkiewicz, krytyk.

Rzecz dzieje się na szczytach Olympu za naszych czasów.

(Scena przedstawia szczyt góry skalistej, w głębi na podwyższeniu szczątki kolumnady w ruinie z portykiem, zamkniętym drewnianą kratą na dużą kłódkę. Nad portykiem napis: „Olymp, muzeum starożytności“, z boku na tyczce deska z napisem: „Wstęp śmiertelnym wzbroniony“, na bramie tablica z ostrzeżeniem: „Nie wolno dotykać bogiń ani żadnych okazów“. Po scenie walają się pogruchotane kapitele i części posągów, zarosłe chwastami. Dekoracyę w głębi stanowi niebo, oblane u spodu blaskami zachodzącego słońca).

SCENA I.

Merkury (siedzi na odłamie skały, stary, przygarbiony, łysy zupełnie, w wyszarzanem odzieniu, w kapeluszu dziurawym ze skrzydełkami, z pękiem zardzewiałych kluczów u pasa, w rogowych dużych okularach i ceruje podarte trykoty; jednę nogę ma w berlaczu, obok na ziemi leżą dwie kule, na których się wspiera, chodząc po scenie i powłócząc chorą nogą; po chwili, zajęty swoją robotą). Sama Darachne nie dałaby już temu rady!... Okropnie się ta garderoba psuje!... Podły materyał!... Jakieś tam głupie trzy tysiące lat tylko, a już dziura na dziurze. Łataj i łataj i łataj i łataj, cóż z tego, kiedy się drze!... A przecież nago trudno chodzić, nawet bogom (przestaje cerować i podpiera sobie brodę kułakiem). Gdzie to te czasy, kiedyśmy jeszcze panowali!... Olymp był w całym majestacie, Zews rządził światem, a śmiertelni tam na dole spoglądali na nas ze czcią i przestrachem. Zews potrzebował tylko zagrzmieć, a wszystko plackiem przed nami padało (wzdycha). A dzisiaj co?... Degrengolada, klapa!... poszliśmy wszyscy na emeryturę, postarzeli się, zdziadziali i nawet małe bębny się nas nie boją, odkąd tam na dole zapanował nowy porządek (po chwili). Oj, to były czasy!... aż wspomnieć miło. A dziś, ot, rudera, pustka, gruzy. Dyabli wzięli cały Olymp i basta!... Bogowie się porozłazili, pomarnieli, zbankrutowali zupełnie i zostało trochę niedobitków, same dziady i kaleki, jak w „Dobroczynności.“ Piękny los dla nieśmiertelnych!... (ceruje dalej.) Dalibóg, nieraz mi się chce plunąć na to wszystko, rzucić mój głupi urząd i zleźć także pomiędzy ludzi, bo mi już ta rola kustosza olympijskiego dojadła do żywego. Siedzieć i siedzieć i pilnować ruin, w których jeszcze tych kilka głupich, starych muz się wałęsa i poziewa z nudów po całych dniach, i kłóci się o swoje dawne przywileje. Ha!... cóż dziwnego, zgorzkniało to, zetryczało na starość, bez zajęcia, więc zwyczajnie jak baby, tyr-tyr-tyr bez ustanku. Poczciwa Euterpe przynajmniej kozy pasie i na piszczałce sobie przygrywa; ona tu pewnie za chwilę już powróci, by nam mleka udoić. Erato szelma dała nura i została gdzieś szansonistką tam na dole. Cóż miała robić? — kwasić się tu z nami razem w muzeum starożytności?... Ho, ho!... ziółko było z tej Erato! Klio ogłuchła biedactwo; nic nie wie, co się na bożym świecie dzieje; z Terpsychory zostały tylko nogi, ale i to zreumatyzmowane, do niczego. Melpomena jedna, trzyma się jeszcze jako tako i Thalia ujdzie, tylko że się okropnie rozleniwiła; nawet pończoch nie chce robić, chociaż jej autorowie mnóstwo bawełny dostarczają. A ja, Merkury, lotnonogi Merkury, mam artretyzm straciłem prawie wszystkie zęby i zostałem

cieczek i podawał wiadomości o ciekawszych okazach, znalezionych przez siebie przy rozkopywaniu cmentarzysk pogańskich.

Lecz nietylko u nas, lecz i zagranicą zmarły znany był, jako poważny uczony i z uczonymi innych krajów obszerne stosunki podtrzymywał. Szczególniej uczeni szwedzcy byli z prof. Przyborowskim w stosunkach. Ciągnęły ich szczególniej nader cenne zbiory zmarłego profesora, który, pracując na polu bibliografii, numizmatyki i archeologii, pozostawił po sobie liczne zbiory zdaniem znawców, nadzwyczajną wartość posiadające. Unikaty i największe rzadkości znaleźć w nich można.

Obok gruntownej i bardzo wszechstronnej wiedzy, posiadał śp. profesor pamięć nadzwyczajną zarówno w zakresie bibliografii jak i historyi. Tem się też tłómaczyła jego niezmierna łatwość orjentowania się w najzawikłańszych kwestyach bibliograficznych, ścisłość i krytycyzm wobec oceniania faktów naukowych.

Jeżeli prace Przyborowskiego, jako zbyt specyalne i szczegółowe, dostępne były tylko specyalistom, zatem szczupłemu kółku wybranych, to natomiast, przez studya nad Kochanowskim, imię jego stało się bardzo popularnem. Nikt gruntowniej nad Przyborowskiego nie zbadał ducha poetów zygmuntowskiej epoki, z księciem ich, Janem z Czarnolasu na czele, nikt nie nagromadził większego materyału do charakterystyki tejże epoki, oraz nie odszukał skrzętniej drogich sercu naszemu okruchów odległej przeszłości. Czterdzieści lat pracy poświęcił ukochanemu poecie Przyborowski, gdyż jego pierwsze o Kochanowskim studyum wyszło w r. 1857 a ostatni tom wielkiego dzieła, jeszcze w tej chwili znajduje się pod prasą. W studyach nad Kochanowskim włożył nasz czcigodny profesor całe swe serce i duszę; epoka zygmuntowska była mu najmilszą; dał nam też jej obraz piękny, skończony i żywy, który dla niego samego będzie trwałym pomnikiem działalności.

* * *

W pogrzebie wzięło udział wszystko, co kocha naukę, co umie oddać hołd cnocie i zasługom niespożytym. Uczeni sfer różnych, literaci, szczupła już dziś drużyna kolegów zmarłego, profesorów szkoły głównej, i inni wybitni obywatele kraju, ponieśli na swych barkach drogie szczątki Przyborowskiego na miejsce wiekuistego spoczynku; a profesor seminaryum warszawskiego, ks. Szlagowski, w pełnych prostoty i podniosłości słowach, językiem pięknym skreślił stanowisko naukowe zmarłego, zagrzewając młodzież do wejścia w ślady, któremi kroczył czcigodny profesor. Wśród wieńców, któremi cała trumna była okryta, wieniec od uczniów b. szkoły głównej był najwymowniejszy.

Jan Kubisz

poeta szląski.

II.

„W małych moich pracach literackich — pisze do mnie w jednym z listów poeta — złożyłem prawie całą duszę i wypowiedziałem cel życia: oto że pragnę przebudzenia się narodowego naszego ludu i że chciałbym się do tego przyczynić. Siły mam słabe i nie uczone, bo tylko niższe gimnazyum i seminaryum niemieckie skończyłem, ale na woli dobrej i chęci do tej najpiękniejszej w życiu człowieka pracy, mi nie schodzi. Gdybym był otrzymał wykształcenie uniwersyteckie, wtedy byłoby zemną i z pracą moją inaczej. Ale tak!...“

W tych krótkich słowach ocenia poeta sam siebie bardzo trzeźwo, nie według talentu i jego siły, które od woli człowieka nie zależą, ale według pragnień, chęci i pracy. Do każdego pisarza można dwojaką miarę przyłożyć: artystyczną i społeczną, a da się ona usprawiedliwić w każdem społeczeństwie. Sztuka łączy się z zasługą publiczną, cywilizacyjną, narodową często, ale nigdy może tak ściśle jak u nas, gdzie nigdy prawie nie bywa celem sama dla siebie, lecz staje w szeregu innych czynników do walki narodowej. W społeczeństwie, które o życie walczy, o najlepsze warunki dla jego rozwoju sztuka staje się bronią, potężniejszą tylko od innych, bo nie ciało, ale duszę ludzką i umysł atakuje. Ma ona rozmaite stopnie i od tych stopni często jej użyteczność zależy — i gdyby tego celu użyteczność, w najszerszem i najpiękniejszem pojęciu, nie miała przed sobą, wpływ jej stałby się w naszem społeczeństwie tak chłodnym i tak mało dostępnym dla ludzi, jak owe starogreckie i starorzymskie marmury, wypełniające sale muzeów europejskich. Ideał plastycznego piękna Greków i Rzymian mało nas zachwyca, a nie unosi prawie nigdy. Nasza sztuka musi nasze ideały uplastyczniać, nasze zadania i cele przyoblekać w formy piękne i na tej drodze kołatać do myśli i do serca ludzkiego.

W szerokiem pojęciu takich ideałów znalazł Jan Kubisz wdzięczne pole do pracy dla siebie. Jako poeta nie stawił on. wzorem nowożytnych synów Feba, przed sobą żadnych zadań i ideałów artystycznych, nie męczyło go pragnienie szukania nowych dróg, wciskanie myśli w nowe formy. Poezya była dla niego nie celem sama przez siebie, ale środkiem do celu. Zdało mu się, że myśl w rymy związana, wypowiedziana obrazem łatwiej trafi do serca ludzkiego i do głowy niż każda inna. Poezya jego nie wysoka, nie górna, nie porywająca za sobą: prosta, szorstka niekiedy i naiwna w swojej prostocie jak dusza ludu wiejskiego. Gdyby nie pewien sztuczny dodatek sielankowości — dar niemieckiej literatury, który zaraził całą słowiańską poezyę — możnaby ją uważać za monotonne nieco, ale wyraźne echo tamtejszego ludu.

Poeta nie rościł do nikogo żadnych pretensyi i wiedział doskonale, jaką skalą ma mierzyć swój talent niewielki. „W naszem obecnem położeniu — pisał do mnie — to co zrobiłem, jest pierwszym świegotem skowronka, który nuci wiosenną pieśń, jest niby pierwiosnkiem na niwie Szląska. Prace te mają małe, chwilowe znaczenie, ale publiczność przyjmuje je mile i wybacza niejedno, jak się wybacza pierwiosnkowi jego barwę nikłą i słabą. Niekorzystnie na mnie wpłynęło i to — powiada — że nie odebrałem wykształcenia polskiego, jakoteż że mam tak trudne i zmudne stanowisko, jakiem jest nauczycielstwo.“

---

kustoszem Olympu, odźwiernym, woźnym, dozórcą starych gratów i darmozjadem, który trykoty cerować musi na starość!.. To dola, co?... (wzdycha i przez nos nuci sobie; za sceną odzywa się w oddali głos fujarki pastuszej). Aha!... Euterpuchna powraca!... będzie świeże mleczko na wieczerzę. Evoe Bacche!... (przypominając sobie, kiwa głową). Hm, hm! gdzie to te czasy, kiedyśmy ambrozyę spijali!... Nec locus ubi Olympus fuit!... Hej, hej!..

SCENA II.

Merkury, Euterpe (wchodzi leniwym, powolnym krokiem, z miną ospałą i znudzoną, prowadząc na sznurku dwie kozy.)

Merkury: Jesteś, jesteś z powrotem?... gdzieżeś tak długo bawiła dzisiaj?

Euterpe (ziewając): Czegóż się miałam spieszyć?

Merkury: Cóż to nie wiesz, że siostry twoje głodne?... a i mnie coś ckliwo na wnętrzu. Prędzej, kozy doić!.. no, ruszajże się!

Euterpe: Kiedy mi się nie chce!.... (przeciąga się).

Merkury (wstając o kulach): Co to nie chce?... jakto nie chce?... Od czegóż tu jesteś?...

Euterpe: Ja jestem od pieśni, od muzyki, od poezyi!.., (z utęsknieniem wyciągając ramiona). Ach, poety mi dajcie, artysty!...

Merkury: Masz tobie!... czego jej się zachciewa!... poety!... na tym punkcie zbzikowały wszystkie. Zkąd ja im wezmę poetów i artystów, kiedy na Olymp żaden teraz nie zagląda?... Obywają się bez nas tam na dole

Euterpe (rozmarzona): Kochanku mój, ach gdzieżeś ty?... przyjdź, niech ramieniem cię oplotę, na duszę zwieję cudne sny, na skroń dam liście złote!...

Merkury (niechętnie): Et idź lepiej kozy doić!

Euterpe: Merkury, przestań!... stajesz się trywialny. Zapominasz, kim jestem!

Merkury: Kim byłaś, chcesz powiedzieć. Dziś jesteś starą, wyranżerowaną muzą, o którą śmiertelni więcej nie dbają.

Euterpe: Starą?.. (z urazą). Bardzo proszę.

Merkury: No, przecież mnie nie weźmiesz na kawał! Odkąd nam ambrozyi zabrakło, nie mamy się czem odmładzać? Latka idą, wieku przybywa.

Euterpe: Mam w duszy młodość wieczną!...

Merkury: Tak, w duszy może, ale ciałko?... O, i ja byłem niegdyś młodym i pięknym!... A dziś, na posłańca bym się nie zdał, choć sługiwałem samemu Zewsowi (wzdycha i nos uciera tuniką.) Poszłabyś kozy doić. Słońce zachodzi!...

Euterpe: O losie!... być nieśmiertelną i kozy doić!... (zasłania sobie oczy).

Merkury: Tylko bez patosu, zostaw to Melpomenie!... Nie jesteś więcej muzą!...

Euterpe: Tylko czem?

Merkury: Antykiem!... zabytkiem starożytności. Mytem!... wszyscyśmy zeszli na stare rupiecie. Skończyło się nasze panowanie!

Euterpe: Bluźnierco!... (odwraca od niego głowę urażona i idzie ku ruinom Olympu).

Merkury [kicha]: A psich!... znowu się nabawiłem kataru przez ciebie. Każesz mi po zachodzie słońca siedzieć tu i czekać na twoje kozy!..

Euterpe: Któż ci zabrania iść na spoczynek?

Merkury: Kto?... obowiązek!... wiesz przecież, żem dozorcą Olympu teraz i jestem odpowiedzialny wobec potomności za waszą konduitę. Przyrzekłem Zewsowi, że was będę pilnował, abyście się nie uszkodziły i przechowały w możliwej całości, dopóki bóg bogów nie powróci na Olymp!... I tak mam zdefektowany wasz komplet. Wiesz, jaki nam wstyd zrobiła Erato, czmychnąwszy do śmiertelnych?

Euterpe: Erato miała rozum!... (ziewając), Tu można z nudów skamienieć, jak Niobe. Ach, artystę mi dajcie!...

Merkury: Co prawda, to prawda!.. paskudne nudy na Olympie. Zeby też kto zajrzał tam z dołu od dwóch tysięcy lat. Ani żywa dusza!... ani pies!... Idź-że raz te kozy wydoić! Będziesz miała rozrywkę.

Euterpe: Piękna mi rozrywka dla bo-

liczba słuchaczów wynosiła około 37,000. Co się tyczy prelegentów, wysyłanych przez stolicę. to domaga się Oxford obok stopnia akademickiego także specyalnego zapewnienia, że kandydat posiada zdolność do publicznego przemawiania. Zobowiązany jest najpierw przedstawić myśli zasadnicze, które rozwijać zamyśla w swym kursie. Następnie odczytuje całość lub część kursu przed szczupłem gronem osób kompetentnych; odczyt bywa gruntownie omawiany i w razie potrzeby poprawiany. Dopiero po załatwieniu tych formalności przyjęty zostaje jako prelegent i wysłany do miejscowości, gdzie początkowo pod kierunkiem doświadczonego nauczyciela próbuje sił swoich. W podobny sposób postępuje Cambridge.

W Danii istnieją uniwersytety ludowe od przeszło pół wieku. W pierwszej linii — pisze o tych uniwersytetach prof. Hartmann — zwraca naszą uwagę niezwykła swoboda i pozorny bezład, panujący przy zakładaniu, utrzymywaniu i prowadzeniu wszystkich tych instytucyi. Nie czytamy tam nic o „regulaminie", nic o „koncesyi", nic o „inspekcyi i nadinspekcyi", natomiast spotykamy tam po części bardzo znaczną „subwencyę państwową", w największej liczbie wypadków powiększoną przez pojedyńcze powiaty. Instytucye te powstały po części z zapisów, po części są przedsiębiorstwem pewnej liczby osób, w ostatnim wypadku zwykle towarzystwami akcyjnemi".

Dochodzi się do przekonania, że te z powyższych instytucyi, które się utrzymały do dnia dzisiejszego, wyrosły na gruncie rzeczywistych potrzeb ludu. Nie są to szkoły rządowe. dążące do wcielenia w umysły młodzieży pewnych przedmiotów naukowych lub nawet idei, które rząd uważa za korzystne dla ludu, za pomocą z góry obmyślonego programu z pobocznym zamiarem zapobieżenia niebezpiecznym prądom, szerzącym się w kraju. Są to przeciwnie zakłady naukowe, na których kierunek wyryły swe znamię przedewszystkiem osoby lub sfery, które powołały je do życia. Jeśli kierunek ten napotyka na wdzięczny oddźwięk w kraju, instytucya odnośna utrzymuje się przy życiu. — W przeciwnym razie zamiera po mniej lub więcej krótkim żywocie. Jeźli się cieszy powodzeniem i licznym udziałem słuchaczów, wtenczas na żądanie otrzymuje pomoc od rządu. Tak więc mówić nie można o ogólnym duchu, przenikającym te instytucye. — W każdym jednak razie dają się wyróżnić dwa prądy: starszy, pozostający pod wpływem osobistości Grundtvig'a. pierwszego założyciela duńskich uniwersytetów ludowych, mający przedewszystkiem na celu religijne obudzenie ludu, i młodszy, kładący główny nacisk na umysłowe wykształcenie.

W okresie pięćdziesięcioletnim od r. 1844 do 1894 wykładało ogółem na duńskich uniwersytetach ludowych 1600 do 1800 nauczycieli i 500 do 600 nauczycielek. Liczba uczniów wzrastała stale. Ogółem zwiedziło te zakłady w ubiegłem pięćdziesięcioleciu około 110,000 osób, a mianowicie 75,000 w półroczach zimowych i 35,000 w półroczach letnich. Te same mniejwięcej liczby oznaczają stosunek pomiędzy chłopcami a dziewczętami, uczęszczającymi do tych zakładów naukowych. Jeźli się zważy, że podług spisu z d. 1 lutego 1890 ludność właściwej Danii wynosiła ogółem 2,172,380 głów, to wyżej przytoczone liczby słuchaczów na duńskich uniwersytetach ludowych przedstawiają się jako bardzo pokaźne. Państwo dopłaca od 1892 r. 120,000 koron rocznie.

O północnych tych zakładach naukowych w ogóle pisze jeden ze znanych pedagogów niemieckich co następuje: „Od naszych szkół wieczornych (Fortbildungsschulen) różnią się te uniwersytety ludowe bardzo korzystnie tem, że zwiedzanie ich jest dobrowolne, oraz że nauka w nich nie ogranicza się na kilku wieczorach w tygodniu, lecz podczas zimy udzielana bywa przez dzień cały: w języku ojczystym, w historyj powszechnej i w historyi ojczystej, w geografii i naukach przyrodniczych, w fizyce, chemii, hygienie, w arytmetyce, kaligrafii i rysunkach, a nawet w śpiewie i gimnastyce ćwiczenia odbywają się codziennie. Zakłady te znajdują się po większej części na wsi; uczniowie, młodzi ludzie w wieku od 18 do 25 lat (latem młode dziewczęta) mieszkają u kierownika zakładu, który pospołu ze swą żoną baczną zwraca uwagę na moralne wykształcenie, powierzonej swej opiece młodzieży. Są to początkujący rzemieślnicy, rolnicy i robotnicy, którzy tutaj nabywają głębszego zrozumienia pracy cywilizacyjnej całego narodu, całej ludzkości. Nie małe także posiada znaczenie, że w zamkniętych tych zakładach budzi się i wzmacnia poczucie wspólności, świadomości narodowej i miłości ojczyzny."

I angielskie uniwersytety ludowe spotkały się z pochlebną oceną. Tak pisze Norwegczyk prof. J. Mourlty Vold, który w lecie 1892 r. zwiedził Oxford: „Jaka uwaga, jaki zapał podczas wykładów, jaka energia przy pracy, jakie zainteresowanie, jaki humor i jaka tolerencya w dyskusyi, jaka wesołość podczas rozmów i na wycieczkach! Jednem słowem: jakie życie, jakie zdrowie, i jakie ożywienie! Zebranie tych uczniów i profesorów porównać by można z starożytną ucztą grecką". A duchowny pewnej małej parafii w Nowej Anglii, dokąd ruch ten przeniósł się za starej metropolii, pisze o wynikach kursu z historyi nowoczesnej, wykładanej przez cztery miesiące w jego wiosce: „Dziesięć lat takich kursów, a jak ogólne wykształcenie byłoby ich wynikiem! Kobiety i mężczyźni, obejmowaliby wówczas swym wzrokiem z pagórków i dolin naszej Nowej Anglii świat cały, skandale i drobne interesa zaściankowe utraciłyby swój urok, zbogaciłoby się życie umysłowe i podniósł poziom moralności."

W klasycznym kraju szkół i profesorów, w Niemczech, ruch dążący do wytworzenia uniwersytetów ludowych, najpóźniej zapuścił korzenie. Tłomaczy się to głównie brakiem inicyatywy, cechującym Niemców, oczekujących zawsze i wszędzie pierwszego popędu z góry, ze sfer rządowych. Rząd zaś zdaje się upatrywać w tych instytucyach nowe siedlisko socyalistycznej zarazy i nie spieszy się z inicyatywą w tej sprawie. W ostatnich jednak czasach ujawnia się i w Niemczech dość ożywiona agitacya na tem polu. Myśl tę krzewi przedewszystkiem Towarzystwo Komeniusza, które na ostatniem swem zebraniu, odbytem przed kilkoma tygodniami, ułożyło już program uniwersytetu ludowego w Berlinie.

I w naszem społeczeństwie kiełkować zaczyna powoli myśl wytworzenia instytucyi, mającej na celu podniesienie poziomu ogólnego wykształcenia w szerszych warstwach ludności. Obawiać się jednak należy, że jak większa część myśli zdrowych, i ten projekt zmarnieje u nas, zanim przybierze cokolwiek wyraźniejsze kształty.

X.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Ruch kobiecy na ziemi galicyjskiej.

Lwów, 31 maja.

(Stowarzyszenie kobiet i ich rozwój. — Wadliwe urządzenie. — Jak w Krakowie? — Kongres berliński. — Poprawmy się.)

W stolicy naszej gwarno było do niedawna, teraz zaczynają upały osłabiać energię działania, ręce opadają, każdy jeno wzdycha do wyjazdu na wieś — rozumie się z wyjątkiem biedaków. Kobiety zajęte przygotowaniami do willegiatury zapomniały o wszystkich posiedzeniach, których miały po trzy na każdy dzień do niedawna. — A to u was zapewne kobiety na tych częstych posiedzeniach znakomite wypracowują dzieła? — powiecie. Takby być powinno — ale czy jest? Rozpatrzmy się w tej sprawie. Mamy tu kilka stowarzyszeń kobiecych i tak: *Stowarzyszenie nauczycielek*, młode ale *de facto* najczynniejsze (dowód, że przyzwyczajone do obowiązkowej pracy kobiety lepiej rozumieją zadania swoje) — *Czytelnię dla kobiet*, trochę zapleśniałą, — *Ognisko kobiet*, bardzo postępowe, — *Pracę kobiet*, stowarzyszenie na liście skazanych na śmierć z atrofii (a może jedynie z apatyi?) — no i cóż jeszcze za stowarzyszenie? — żadne; w Krakowie takież same, to jest tej samej nazwy stowarzyszenia z dodatkiem *Koła Pań towarzystwa Szkoły ludowej?* — Jakto? więc we Lwowie Koła pań nie ma? Czyżbym całkiem o tem zapomniała? Nie! opuściłam je umyślnie, nie wiem bowiem, gdzie właściwie we Lwowie szukać tego Stowarzyszenia „Koła pań szkoły ludowej", gdyż stałej siedziby, lokalu stałego nie posiada. Podobno kątem mieszka w Czytelni dla kobiet. Nie byłoby w tem nic złego, a nawet ze względów oszczędnościowych bardzo chwalebnie, lecz przypomina się tu przysłowie: „*skąpy dwa razy traci.*" Ile razy kto chce się zapisać do Koła pań, nie wie, gdzie się udać z tem, i nikt mu poradzić nie umie. Do Czytelni? tam jest dozorczyni, która pieniędzy nie odbiera. Nie ma zupełnie wyznaczonych dni i pory, kiedyby się do towarzystwa szkoły ludowej zapisać można i złożyć roczną składkę 1 złr. Towarzystwo wogóle zamało występuje na zewnątrz, nie posiada np. najzwyklejszej tabliczki z napisem na drzwiach lokalu, w którym przebywa. Nieład cechuje całe to „Koło pań" we Lwowie. — Inaczej i trochę lepiej jest z „Kołem pań" w Krakowie. Ma ono swój lokal, ogłasza g d z i e i k i e d y przyjmuje się składki, wydaje jednodniówki i książeczki, z których dochód przeznacza na budowę polskiej szkoły w Białej, a poprzednio przeznaczało na gimnazyum cieszyńskie. Również „Czytelnia dla kobiet" w Krakowie ma jeszcze tę świeżość młodości i ruchliwość, które cechują u nas zawsze młode instytucye. Toż pogadanki, toż odczyty odbywają się tam często, a członkowie wszyscy biorą w życiu stowarzyszenia gorący udział. We Lwowie przeciwnie. Mało tu pracy poważnej, dużo zabawy i krzyku. Kto gadatliwszy, ten ten znakomitszy i większy ma wpływ, który niestety obniża powagę czytelni. Odczytów, pogadanek, wspólnego czytania i zdawania sprawy z ruchu literackiego, jakto się z początku, zaraz po założeniu czytelni praktykowało, tego nie ma. Krzykactwo uprawia się tu na wielką skalę, a to zniechęca innych. Wydziału się nie zmienia, nie odświeża, członkowie jego są prawie ci sami od lat ośmiu a nawet od początku istnienia Czytelni. Walne zgromadzenie ledwo się odbyło jedno na

dwa lata. Cóż dziwnego, że po dziesięciu latach nie ma nawet dziesięciu dziesiątek członków? Zasługą i cichą pracą nie trafia się do czytelni, jeno blagą.... i tak u nas wszędzie. Jedynie Czytelnie ludowe zaopatruje i dba o nie pilnie jedna z pań towarzystwa szkoły ludowej i ta chociaż w części ratuje opinię „Koła“.

Powiedziało się wyżej, że „Praca kobiet“ jest na liście skazanych na śmierć. Historya ta sama co gdzieindziej, — kto chwycił, że się tak wyrazimy, instytucyę za uszy, ten nią trzęsie. Podobało się pewnej rządzącej w „Pracy kobiet“ pani z wielkiej bigoteryi, jaką się odznacza, oddać całą tę wybornie uposażoną, najlepiej u nas pod względem materyalnym stojącą instytucyę (bilans zeszłoroczny wykazuje czystego dochodu 2954 złr. 49 cent., a samych subwencyi ma towarzystwo 1400 złr. rocznie) — zakonnicom i w miejsce dotychczasowego bazaru, który jest jedynem miejscem sprzedaży ręcznych robót kobiecych, urządzić dormitaż na 10 łóżek dla ubogich szwaczek. Dormitaż taki jest rzeczą dobrą i pożądaną, ale mógłby on istnieć osobno pod zarządem zakonnic, a „Praca kobiet“ ze szkołą i bazarem, jako instytucya świecka, istnieć powinna, jak dotychczas, odrębnie. Niestety, jednostka dla swych własnych widzimisię rządzi opacznie, a wydział jest zajęty równocześnie w innych stowarzyszeniach tak dalece, że na nią wszystko zdaje i nie wiele się interesuje tą sprawą. Ekonomiczne i społeczne względy, chociaż są arcyważne, stoją u nas na ostatnim planie, a drobnostki, o które nogą zawadzić nie warto, ustawiają się z hałasem i tartasem na forum.

O kongresie berlińskim szeroko u nas mówią i nawet układają wysłanie dwóch pań, które, ile razy zostaną na jaki zjazd wydelegowane, powracają, urządzają zebranie w Czytelni i mówią: — Widziałyśmy, poznałyśmy, lecz tego powiedzieć nie możemy? — Co za tajemnica? spytacie. — Były we Warszawie i przyniosły ze sobą strach, co ma tak wielkie i tak brzydkie oczy! Darujcie pesymizm, lecz doprawdy, gdy patrzę na to, co kobiety czynią za granicą, żal mi niesłychanie i rozgoryczam się, że w moim kraju bawią się tylko.

Nareszcie będziemy mieć gimnazyum żeńskie, — to może deską ratunku się stanie. Światła! koniecznie światła! Powagi w działaniu i w dążeniu! Wytrwałości! Niezasklepiania się w drobiazgach!

W przyszłej pogadance przedstawię stosunki nauczycielskie wśród kobiet.

J. Aleksota.

Kronika wiedeńska.

2-go czerwca 1896.

Parlament i delegacya w Peszcie. — Węgry contra Wiedniowi.

Parlament przyjąwszy reformę wyborczą i narobiwszy awantur z powodu rozruchów studenckich w uniwersytecie, wybrał członków do wspólnej delegacyi i na parę dni zamknął swoje skrzypiące podwoje. Antysemityzm, wprowadzony do Rady państwa przez Luegera ma tę dobrą stronę, że przynajmniej większość posłów, szczególniej polskich, siedzi teraz w sali i pilnuje uważnie każdego zdania wypowiedzianego przez któregoś z posłów antysemickich. Raz tylko Koło polskie fatalnie zblamowało swoją większość. Było to przy trzeciem czytaniu reformy wyborczej, przy głosowaniu nad wnioskiem jednego z posłów czeskich, aby wyborcy głosowali tajnie. Rząd i Koło polskie sprzeciwiało się temu. Przyszło do głosowania i przeszedł niespodziewanie wniosek Czecha, bo polskich posłów na 59 brakowało 37. Prezes Koła, eksminister Zaleski, wysłał zaraz kurendą reprymandę każdemu z posłów, napominając ich do „spełnienia przyjętych obowiązków“. Obecnie Izba panów rozstrzygać będzie nad tym paragrafem i od niej ostatecznie zawisło, tajnie czy jawnie odbywać się będzie przyszłe na posłów głosowanie.

Dzisiaj w Peszcie cesarz otworzy mową tronową wspólne delegacye. W przemówieniu swojem zaznaczył smutek z utraty drogiego brata Karola Ludwika i radość z doskonałych stosunków przyjaźni z ościennemi mocarstwami. Co do trójprzymierza, to istniejący pokój w Europie tylko jemu podobno zawdzięczamy itd. itd.

Wszystkie pisma węgierskie bez różnicy barw, — wszystkie w sprawach narodowych mają jeden, to znaczy ultraszowinistyczny charakter, — potępiają i plwają na Luegera za jego ostatnią mowę w Radzie państwa, gdzie wystąpił mówca przeciw „Millenium“ w Peszcie. „Pester Lloyd“ przedewszystkiem występuje z całą zaciekłością madyarską przeciwko cierpliwemu austryackiemu rządowi i jego mężom stanu, którzy jednego słowa stosownego nie znaleźli dla odparcia wywodów ciętego antysemity. Jedno z radykalnych pism pisze w artykule p. t. „Nie kupujcie w Wiedniu“, aby na wszystkich ulicach porozlepiać afisze z nawoływaniem, że kto cokolwiekbądź kupuje w Wiedniu, obraża swoją ojczyznę, bo wspiera miasto, w którem hoduje się nienawiść do Węgier. Trzeba jednak wiedzieć, że wszystkie pisma węgierskie są tak samo jak i wiedeńskie w rękach żydów, — po większej części galicyjskich, którzy stali się zaciekłymi pionierami wszech-węgierskości, ale mogą być w razie przewrotu i jej przeciwnikami. Moralność pism węgierskich równa się moralności ich rządu. Razem idą one tylko w gnieceniu słowiańszczyzny i urządzaniu takich hocus pocus patryotycznych, do rzędu jakich zaliczyć wypada i Millenium węgierskie — popierane niestety i przez kilku dziennikarzy polskich, którzy zapomnieli widać o kradzieży Morskiego Oka!

Xi .

TO I OWO.

Międzynarodowy zjazd kobiecy w Berlinie.

W Berlinie odbędzie się od 19 do 27 września br. międzynarodowy kongres kobiet, — pierwszy na niemieckiej ziemi. Celem zjazdu jest wymiana zdań o różnorodnych zakresach pracy kobiecej, ruchu i dążnościach kobiet w różnych krajach. Program jest następujący.

Od dnia 15 do 27 września 1896.

Pierwszego wieczora. (Sobota) Powitanie delegowanych. Lista obecności. Rozdział kart członkowskich i porządków dziennych na wszystkie 7 dni. Przyjmowanie przez Zarząd piśmiennych życzeń od delegowanych i zapowiedzi sprawozdań. Wybór zmieniającego się prezydyum na wszystkie 7 dni. Towarzyskie zebranie.

Pierwszego dnia od 9 rano do 12: Referat wstępny o stanie ruchu kobiecego w obecnym czasie. Referat o pielęgnowaniu małych dzieci i o wychowaniu. O żłóbkach i ogródkach dziecięcych, schroniskach dla dzieci i dla młodzieży — Stowarzyszeniach opieki nad dziećmi. Kierownictwo zabaw dziecięcych na boiskach przez kobiety.

Sprawozdania ze wszystkich krajów — Dyskusya.

Wspólny obiad.

O 5-tej zwiedzenie odpowiedniego działu wystawy.

Dzień drugi: Szkoły ludowe. Szkoły żeńskie i gimnazyum żeńskie. — Położenie nauczycielek w tych zakładach. Szkoły wykształcenia zawodowego. Seminarya dla bon i nauczycielek.

Dzień trzeci: Studya naukowe w szkołach wyższych i uniwersytetach. — Wykształcenie lekarek, dentystek, dozorczyń chorych, akuszerek. — Stan obecny tego wykształcenia i statystyka. — Szpitale prowadzone przez kobiety.

Dzień czwarty: Hygiena domowa i publiczna. — Dążenia do wstrzemięźliwości, pożywienie ludu, zabawy ludowe. — Szkoły kucharskie i gospodarskie, szkoły owocarskie i ogrodnicze. — Kuchnie ludowe. — Sanatorya. — Kolonie letnie.

Dzień piąty: Kwestya robotnic i płacy w przemyśle, handlu i rzemiosłach. — Instytucye dobroczynne dla robotnic. — Organizacya stowarzyszeń zawodowych. Sprawa służących. — Kwestya obyczajności.

Dzień szósty: Sprawa unormowania stanowiska kobiety w prawie cywilnem, handlowem, stowarzyszeniowem.

Udział kobiet w dobroczynności publicznej, w radach szkolnych i prawie opieki.

Dzień siódmy: Udział kobiet w rozwoju nauki, literatury i sztuki. Współdziałanie kobiet w towarzystwach pokoju powszechnego.

Powyżej przytoczone sprawy będą na kongresie wyłożone w krótkich relacyach, w których przedstawicielki różnych krajów zdadzą sprawę o stanie danej kwestyi w swoich krajach.

Posiedzenia kongresu trwać będą od g. 9 do 12, po przerwie zaś obiedniej nastąpi zwiedzanie albo instytucyi i zakładów, stojących w związku ze sprawami poruszonemi na kongresie, jak np. szkół kobiecych, kuchni ludowych, szpitali, pogotowi ratunkowych, ochronek, przytułków, albo wycieczki na wystawę i w okolice Berlina.

Kongres przedstawia się zatem bardzo zajmująco i uczestnikom swoim przyniesie niewątpliwy pożytek.

* * *

Choroba górska.

Dr. Drasche, prof. medycyny, zajmuje się chorobami naszego wieku; nie chodzi mu o okrzyczane a niesłuszne twierdzenie, jakoby nasz wiek odznaczał się szczególnym rozwojem chorób nerwowych, jeno przedmiotem studyów swoich uczynił on chorobliwe objawy, występujące u naszych współczesnych wyłącznie tylko wskutek zajęć i wysiłków nieznanych w dawnych wiekach. Takiemi zajęciami są np. jazda balonem, praca w warsztatach technicznych, w których robotnik oddycha zgęszczonem powietrzem, a wreszcie wycieczki w góry, które przedsiębierze obecnie mnóstwo ludzi. Te ostatnie dają dr-owi Draschemu materyał do następujących uwag: Osobiste wrażenia i spostrzeżenia czynione na innych podczas wycieczek w wysokie góry, są tak charakterystyczne, że składają się na wykończony obraz pewnej oznaczonej choroby. Zaczyna się ona ciężkim znużonym chodem, nogi zwieszają się u korpusu, jakby były z ołowiu, ledwie je podnieść można, oddech staje się utrudniony i dusznym, a równocześnie puls bije przyspieszonom tętnem. Turysta wkrótce wyczerpuje siły, z konieczności musi stanąć albo usiąść, poczem chorobliwe objawy natychmiast ustępują. Po rozpoczęciu dalszego wspinania się, występują one jednak napowrót, a dołącza się też do nich bicie serca, szum

w uszach, zawrót głowy, mdłości i nudności. Po nowym wypoczynku i pozornem wytchnieniu. dalszą drogę odbywać można tylko z największym wysiłkiem. Nakoniec staje się zupełnie niemożliwą, bo następuje ogólne znużenie, trwoga i upadek na duchu, krwiotoki z nosa a nawet omdlenia, które zmuszają do odwrotu.

Choroba górska występuje u różnych ludzi na różnych wysokościach. Kiedy np. wstępując na góry z dolin uczuwają ją nieprzyzwyczajeni już na wysokości 2,000 lub 3,000 metrów, to doświadczeni turyści i przewodnicy wcale jeszcze nie czują różnicy. To też z czasem można się do takich wysokości przyzwyczaić. Natomiast na wyżynie ponad 3,000 metrów, każdy człowiek ulega chorobie górskiej, skoro tylko cokolwiek szybciej idzie i w ogóle się nateża.

Rozrzedzone powietrze i brak tlenu wywierają przedewszystkiem wpływ na organizm ludzki podczas wstępowania na wysokie góry. Przez to jednak nie jest jeszcze wyjaśnionem, jakim sposobem występujące na jaw chorobliwe przypadłości natychmiast ustępują, skoro człowiek usiądzie lub się położy, a znowu powracają, gdy człowiek zrobi choćby najmniejszy ruch. Chociaż skurcz mięśni połączony jest ze zużyciem pewnej ilości tlenu, a zatem powiększa i tak istniejący w górach brak jego, to jednak nie wystarcza do określenia całego zjawiska. Badania w tym względzie doprowadziły do cennych rezultatów. Na wysoczyznach jest wprawdzie ciśnienie powietrza i napięcie tlenu mniejsze, niż na stokach i dolinach, ale wskutek tego niekoniecznie musi się objawiać brak materyału oddechowego. Zjawia się on dopiero wówczas, gdy organizm wdycha go mniej, wydycha zaś tyleż albo więcej, niż przedtem. Zapobiedzby można przeto górskiej chorobie tylko w ten sposób, gdyby do organizmu można było doprowadzić większą ilość tlenu, albo zmniejszyć jego użycie.

* * *

Samobójstwo indyjskiego księcia.

Przed miesiącem odebrał sobie życie maharadża z Patny, powody jednak tego samobójstwa dopiero teraz wychodzą na światło dzienne. Władca z Patny był tak zw. „niezawisłym“ księciem. Każdy taki indyjski książę otrzymuje od rządu angielskiego do swego boku agenta politycznego, który pośredniczy między Anglią a księciem i w każdym wypadku służy księciu swą... radą. Maharadża, bez wyraźnego zezwolenia agenta nie może zaprosić żadnego europejczyka, zadnej podróży przedsiębrać, żadnej mowy wygłosić, żadnego bankietu wydać. Otóż polityczny agent angielski w Patnie nadużywał swej władzy w niemożliwy sposób. Wzbraniał maharadży nawet najspokojniejszej rozrywki. Pewnego dnia przyniósł agentowi jego szpieg list maharadży, wystosowany do rządu angielskiego, a błagający o odwołanie tego agenta. Wściekłość agenta nie miała granic; w obec sługących obsypał maharadżę prostemi obelgami. Odtąd zaczęło się straszne życie dla maharadży, agent odmawiał mu wszystkiego, a nawet ogołocił go z funduszów, gdyż na swój użytek zabrał mu jego kasę. Maharadża wreszcie, nie umiejąc dać sobie rady, przyprowadzony do ostateczności, odebrał sobie życie. Wypadek ten wywołał wśród innych książąt wielkie oburzenie, a rząd angielski dokłada wszystkich starań, aby wzburzone umysły uspokoić. Pisma angielskie milczą o tem zajściu, chociaż krajowa prasa indyjska obecnie tylko o niem pisze.

* * *

Oświata ludu dokona cudu.

Koniec świata, i to już w najbliższej przyszłości, przepowiada wychodząca w Krakowie „Gazeta dla wszystkich“. Ma to być jak w nagłówku powiedziano, „pismo chłopskie“. Redakcya tego pisma raczy w ostatnim numerze swoich czytelników następującą moralną strawą:

„Demonizm. Co się niedowiarki dawniej nakpiły z djabłów czyli demonów, co się nawyśmiewały z tych, którzy wierzyli w ich istnienie, a wiecie co teraz robią? Na swoich tajemnych zgromadzeniach we Francyi, Anglii, Ameryce i innych krajach oddają cześć szatanowi, a nawet utrzymują, że się on im widocznie ukazuje podczas tych zgromadzeń. Inni znowu dla zabawki zajmują się wywoływaniem duchów, i z tego zapadają w ciężkie choroby, albo tracą zdrowe zmysły. Przed kilku laty bezbożni ludzie dla zniewagi Ojca świętego postawili w samym Rzymie pomnik dla pewnego mnicha odstępcy, który żył kilkaset lat temu i zwał się Giordano Bruno. Przy uroczystem odsłonięciu tego pomnika obnoszono chorągiew, na której był wymalowany djabeł, zaś nierządnice, wziąwszy się za ręce, tańczyły wkoło pomnika (!). Kobiety noszą tam na kapeluszach czarne pióra w ten sposób, aby się wydawało, że mają rogi. Należy przypomnieć, że objawienie św. Jana wyraźnie przepowiada, że pod koniec świata będzie szatan cześć odbierać. Wszystko się sprawdza, nawet to, co uważano za niemożliwe!“

No! a myśmy znowu nie przypuszczali, aby ktoś takiemi andronami lud chciał oświecać! Całe szczeście, że chłopi galicyjscy o tem „chłopskiem piśmie“ pewnie nawet nie wiedzą!

Na Wyłomie.

(Koleżeństwo w prasie. — Przyczyny rozstroju. — Jedenaste przykazanie poznańskie).

My, dziennikarze, nie możemy poszczycić się koleżeństwem wzorowem. I nie ma w tem zaiste nic dziwnego. Inni modlą się przed tym lub owym ołtarzem politycznym, lecz o bóstwa swoje bić się nie potrzebują, my z urzędu walczyć musimy, walczyć codziennie nieomal, walczyć najdotkliwszą bronią, bo drukowanem słowem. I tak w tej walce upijamy się nieraz wzajemną niechęcią, że trudno nam mimo wszelkich teoretycznych rozumowań i refleksyi wymówić ten wyraz, którym np. lekarz wita lekarza, prawnik prawnika, — trudno nazwać kolegą człowieka, który przed chwilą może w drastyczny sposób ogłosił światu, że ten i ów z nas jest zerem politycznem, lub zręcznym manewrem dziennikarskim sparaliżował pomysły wojenne, plany i zamiary nasze. Azresztą ten nasz zawód niewdzięczny stał się zbiornikiem najrozmaitszych żywiołów dwuznacznych, które rycerską polemikę zamieniły w jakieś nocne zasadzki i napady, i w ktorych arsenale więcej znajduje się kamieni i pałek, niż szpad i floretów. Ci to publicyści zaułkowi rozmnożyli się z przerażającą szybkością w dziennikarskim świecie i tak zatruli, tak skwasili koleżeńskie stosunki, że nie ma chyba drugiego zawodu, gdzie płaz nienawiści i pogardy tak często głowę podnosi i syczy. A społeczeństwo tak się przyzwyczaiło do walki brutalnej, rozdzierającej wszystkie węzły koleżeństwa i zamieniającej przedstawicieli różnych idei w wrogów dyszących odrazą, że nieraz pojąć nie może i dziwi się i podejrzywa, gdy w dziennikarskiem bagienku znajdzie się kilku ludzi rozsądnych, trzeźwych i uczciwych, którzy jednej barwy politycznej nie noszą, a mimo to obrusa między sobą nie przecinają i po za murami redakcyi, po za kordonem polityki przyjaciołmi się mienią. A nie ma chyba drugiego miejsca na tym Bożym świecie, gdzie zacietrzewienie koteryjne i jadowita walka dziennikarzy dokonała w tym względzie gorszego pomieszania i wypaczenia pojęć, niż Poznań, — to Eldorado Liliputów udających olbrzymów, ta mroczna piwnica, gdzie tylko nietoperze i koty ruszają się śmiało, a *ludzie* rozbijają sobie czoła w ciemnicy. Ot, podam wam drobny przykład z najświeższych czasów.

Dwa lata temu w dziennikarskim świecie panowało takie rozdarcie, że w całem mieście nie było prawie dwóch redaktorów, z których jeden spotkawszy drugiego uchylał kapelusza. Jakiś szał nienawiści ogarnął całą prasę, jakiś wstręt wzajemny tak wgryzł się w serca publicystów, że tam nawet, gdzie chodziło o obronę materyalnych interesów całego stanu, o zabezpieczenie bytu dziennikarskich inwalidów i starców, zwołanie wspólnej narady napotykało nieprzezwyciężone trudności. W owej to chwili zjawił się na gruncie poznańskim publicysta warszawski, któremu zdawało się niestety, że miasto nasze należy do Europy. Skuszono go złotemi widokami, przemówiono do jego uczuć obywatelskich, wskazano na doniosłe znaczenie prasy w pruskim zaborze, witano jako siłę, mającą zająć wybitne, kierujące stanowisko w Księstwie, — i oto zdolny dziennikarz opuścił nader korzystny teren dawnej działalności swojej, szanującą talent jego publiczność i przywiązane do pióra jego redakcye, by naszej dzielnicy służyć doświadczeniem swojem, rozumem i talentem. — Wstąpiwszy do tego organu prowincyi naszej, który mimo swej chwiejności i bezkrwistości zajmuje najwybitniejsze stanowisko w prasie poznańskiej, zjednał sobie w krótkim czasie opinię pierwszorzędnej siły dziennikarskiej, a w kierunku literackim złożył kilkakrotnie dowody krytycznego zmysłu i gruntownej wiedzy, odbijającej korzystnie na jałowym gruncie dyletantyzmu naszego. I stanowisko jego byłoby niewątpliwie coraz silniejszem i byłyby się spełniły wszystkie nadzieje, któremi kuszono go u bram nowej działalności, gdyby człowiek ten nie był zapomniał o jedenastem przykazaniu poznańskiem: „Będziesz nienawidził redaktorów innych obozów z całej duszy i będziesz przeklinał nietylko ich samych lecz braci ich, dzieci i powinowatych“. Europejczyk po europejsku pojmował obowiązki dziennikarskie i lubo służył na wskroś sumiennie pismu swojemu, lubo nie żałował ostrza swej szpady wobec przeciwników różnych odcieni, — nie wahał się po za murami redakcyi, w obrębie towarzyskiego życia zawiesić broni na kołku i w różnych obozach, czy to więcej na prawo, czy więcej na lewo posuniętych, zadzierzgnąć węzły przyjaźni. Sympatycznemu koledze udało się przełamać kordony, któremi każda redakcya poznańska odgraniczała się długo od reszty dzienników, i stał się fakt u nas niezwkły, że nieraz spotykałeś na ulicy lub w kawiarni dwóch dziennikarzy różnych obozów w serdecznej harmonii. Poznań zaczął się dziwić, potem podejrzywać, potem sarkać. Za plecami „nowatora“ odezwał się syk sceptycyzmu i niechęci, — kręcono głowami w miarodawczych sferach i nagle ujrzał dzielny publicysta, że pozycya jego się chwieje, że przyszłość, w imię której go powołano, usuwa się przed nim, że ci, którzy mu sami ofiarowali wicekrólestwo w organie, któremu służył, a ukazywali prezydyalne krzesło w oddali, zaczynają w ukryciu minować stanowisko jego i na plan drugi go spychać. Więc rozżalony, wobec złamanych obietnic, wobec operetkowych

stosunków prowincyi naszej, wobec skrzywionych pojęć i dusznych klatek, w których żyć mu kazano, rzucił pióro niewdzięczne i opuścił redakcyę.

Nagłe ustąpienie znanego publicysty wywołało w całem mieście powszechną sensacyę. Przez kilka dni komentowano w najrozmaitszy sposób fakt niespodziewany i dziś jeszcze tysiące sądów kursuje w około. Niewtajemniczeni pytają ciekawie o przyczyny głośnego wypadku, a wielcy augurzy prowincyi naszej z miną fałszywych Katonów patetycznym głosem taki ogłaszają wyrok:

„Kierującego stanowiska w prasie poznańskiej nie zajmie nigdy ten, kto w przeciwniku politycznym uszanuje człowieka. Redaktor ściskający rękę koledze innej barwy nie budzi zaufania. Niech idzie! W Poznaniu niema dlań miejsca.“

Tak mówią augurzy, a mnie rumieniec pali na twarzy, że takie rzeczy opowiadać muszę. Przeczuwam, że koledzy z Warszawy i Galicyi uśmiechną się z niedowierzaniem, a przecież... przecież to prawda.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA

* Jeszcze o książce p. Koźmiana. Jako uzupełnienie znakomitej odprawy K. Bartoszewicza, udzielonej osławionej „Rzeczy“ p. Koźmiana, przytaczamy poniżej ustęp z artykułów T. Romanowicza, zamieszczonych w najświeższych numerach „Słowa polskiego“. P. Romanowicz zdruzgotawszy sztuczne rusztowanie, na którem p. Koźmian opiera argumentacye swoje, taką wypowiada opinię:

„Wszystko to potrzebnem było p. Koźmianowi, gdy chciał swoim rodakom „wybić mrzonki z głowy“ i uzasadnić wobec nich swój program zrzeczenia się państwowej przyszłości. Program zgubny, samobójczy, mieszczący w sobie ostateczne *Finis Poloniae* — dowodzenie, jak to w pierwszej naszej pracy o książce p. Koźmiana wykazaliśmy, zupełnie błędne. Ale jeżeli to jest istotnie przekonaniem i wiarą p. Koźmiana — trudno mu odmówić prawa do głoszenia tych zasad pomiędzy rodakami.

Ale jaki cel, jaki sens ma podawanie tego wszystkiego europejskiej a szczególnie niemieckiej publiczności? Czy sprawa narodowa może jakikolwiek z tego odnieść pożytek — czy raczej nie musi ponieść szkody, gdy się o narodzie polskim takie „prawdy“ głosi i w opinii europejskiej rozpowszechnia? Czy jest gdzie na świecie naród, któryby swą politykę zasadzał na tem, żeby po szerokim świecie głosić, iż nie ma żadnej przed sobą politycznej przyszłości, iż nie jest żadnym czynnikiem politycznym, lecz jest tylko jakimś żywiołem etnograficznym, któremu do szczęścia starczy zachować swój język i obyczaj? Czy gdziekolwiek w świecie znajdzie się historyk, czy publicysta, któryby przed obcymi własny swój naród w tak przesadnie czarnem świetle przedstawił, jak to uczynił p. Koźmian w swojej *„autorisirte deutsche Bearbeitung?“* Wszystko, cokolwiek kiedy Bismarck w swoich najgwałtowniejszych mowach przeciwko Polakom powiedział — to wszystko znajduje zupełne potwierdzenie w książce p. Koźmiana — i Niemcy mają teraz wszelkie prawo zapytać, dla czego polska prasa tak się oburzała na zarzuty, jakie Bismarck Polakom czynił, skoro dzisiaj polski publicysta w książce, dla europejskiej publiczności przeznaczonej, zarzuty te najzupełniej potwierdza?“

* * *

* Wiktor Gomulicki. Zielony kajet. Szkice z ustronia. Warszawa. Nakład księgarni T. Paprockiego i S-ki, 1896, str. 212.

Rzucając może od niechcenia te szkice na papier, utworzył Gomulicki kilkanaście prawdziwych perełek poetyckich. Napisane piękną prozą, posiadają one, mimo całej swej urywkowości, cechę lekkich i wdzięcznych obrazków, czyniących wrażenie harmonijne i przyjemne. Są to obrazki wiejskie, z nad granicy pruskiej, z młynu, z łąk, z lasów, wspomnienia z czasów dziecińswa, wizye ciche i jasne, senne odbicie dawnych rozmów z bliską autorowi osobą, Niną, ktorej pamięci ten zbiór został poświęcony. Czuć w tem smętną poezyę i zadumę, spowitą w sieć marzeń osobistych. W urywku p. t. „Czego nie rozumieją jaskółki i motyle“ rzecz dzieje się nad granicą. Z jednej strony płotu rośnie żyto krajowe, z drugiej — żyto niemieckie. Gdy we dwoje z Niną zbliżyli się do płotu, zapytano ich gromko: „Wy za granicę?“ Zrozumieli i stanęli, patrząc z zazdrością na jaskółki i motyle, które swobodnie przelatywały nad płotem.

* * *

„Dziady“. Lwowska księgarnia H. Altenberga puściła w obieg II. zeszyt „Dziadów“, ozdabiając tekst bardzo pięknemi ilustracyami Cz. B. Jankowskiego. Załączono do zeszytu II. dwie fotograwury, ilustrujące słowa:

Myśl dziwna! zawsze mi się zdaje,
Że ktoś łzy moje widzi i słyszy westchnienia,
I wiecznie koło mnie krąży na kształt cienia,

oraz dwuwiersz:

Upiór skoro wyszedł z ziemi,
Oczy na gwiazdę poranną wywrócił...

* * *

* Nowy przekład „Boskiej komedyi.“ Znany historyk literatury i krytyk p. Piotr Chmielowski podaje w „Gazecie Polskiej“ wiadomość, że p. Edward Porębowicz, znawca literatur zachodnich i wyborny tłómacz Calderona, Byrona, Leopardiego i trubadurów prowansalskich, wykończył już przekład pierwszej części „Boskiej komedyi“ Dantego. Z przekładu tego trzy pieśni podało „Ateneum“, a tłómacz ukończywszy pracę nad „Piekłem“ ma zamiar również dokonać przekładu „Czyśca“ i „Nieba“. Z próby ogłoszonej drukiem widać, że tłómaczenie p. P. jest nader dokładne, zachowuje formę oryginału, a nawet odznacza się jasnością i wysokiemi zaletami poetyckiemi. „Teraz — pisze p. Chmielowski — możemy mieć niepłonną nadzieję, że utwór Danta zostanie w całości przełożony tak, iż żadnemu z europejskich narodów nie będziemy potrzebowali zazdrościć posiadania tłómaczenia, stanowiącego zaszczyt literatury“. Potrzeba nowego przekładu tem bardziej nagląca, że poprzednie mniej szczęśliwie dokonane tłomaczenia Korsaka i Stanisławskiego są wyczerpane.

* * *

* Bronisław Gubrynowicz. Malarze Jana III. Lwów. Gubrynowicz i Schmidt, 1896, in 8-0, str. 23.

Autor na podstawie traktatu Jakóba Haura „O malarskich kunsztach“, wydanego w r. 1669, jako część dzieła „Skład albo skarbiec znakomitych sekretów o ekonomii ziemiańskiej“ charakteryzuje w krótkich słowach poglądy społeczeństwa szlachecko-polskiego w wieku XVII na malarstwo. Po tym małym wstępie p. G. podaje szczegóły o życiu i działalności cudzoziemców: Marcina Altomonte, Ferdynanda van Kessela i Aleksandra Franciszka Deportes'a, oraz Polaków: Semiginowskiego i Triciusza.

* * *

* R. H. Quick. Reformatorzy wychowania. Zasady wychowania nowoczesnego. Przełożył z angielskiego J. Wł. Dawid. — Warszawa, 1895, 8-o, str. 426.

Wykład rozpoczyna się od epoki odrodzenia, po której odziedziczyliśmy dotychczas jeszcze istniejący w naszych gimnazyach system klasyczny. Autor dalej podaje przegląd historycznych, zmieniających się ciągle z biegiem wieków pojęć wybitnych myślicieli o zadaniach wychowania, metodzie, jego zakresie, wykazuje, jak stopniowo rozwijał się pogląd na to, że należy uczyć nie słów, lecz rzeczy, że pedagog winien nietylko dawać swemu uczniowi pewien szereg wiadomości, lecz rozwijać jego umysł, serce i ciało, a na dziecko zapatrywać się, nie jak na maszynę, lecz jako na człowieka i zastosowywać swe postępowanie do jego indywidualnych właściwości fizycznych, moralnych i umysłowych. Książka obejmuje wykład poglądów na wychowanie: Sturma, jezuitów, Rabelaisa, Montaigne'a,Raticha, Rousseau'a, Basedowa, Pestalozziego, Frebla, Jacotota i Spencera. Rozdział p. t. „Wyniki“ kończy dzieło.

KRONIKA POWSZECHNA.

Teatr i muzyka. Była artystka poznańska, p. Marya Paszkowska zasłabła nagle w czasie przedstawienia „Coriolana“ na krakowskiej scenie i zmuszoną jest na kilka tygodni usunąć się od pracy dramatycznej. — Dramat Vossa pt. „Upadek lwa“ doznał w Warszawie chłodnego przyjęcia. — Kompozytor nasz Stojowski wystąpił z powodzeniem na sali Erarda w Paryżu. — P. Józef Krysta wydał we Lwowie następujące kompozycye muzyczne na fortepian: 1) Wspomnienie zmarłym poświecone, 2) Elegia. 3) Czar miłości, fantazya.

BŁĘDY JĘZYKOWE.

Ograniczyć się, tak jak płotem, ogrodzeniem, można tylko *czemś*, ale nie *na czemś*, albo *do czegoś*. Mówić więc należy: *autor ograniczył się kilku uwagami*, ale nie *na kilku uwagach*, albo *do kilku uwag*. Jest to niemczyzna: sich *auf* etwas beschränken. Nie należy też zapominać o równoznacznych czasownikach: *przestać*, albo *poprzestać na*....

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

I. Ka W Niemczech istnieją trzy katedry języków słowiańskich: w Berlinie, Lipsku i Wrocławiu (prof. Brückner, Leskin, Nehring). W Królewcu jest tylko lektorat.

Panom Józefowi M., K. S., Żołnierzowi. Za uznanie dziękujemy serdecznie. Z uprzejmie udzielonych wskazówek skorzystamy chętnie. Liczymy na pomoc waszą w pracy nad dziełem zamierzonem, które niewątpliwie przyczyni się do uzdrowienia stosunków naszych.

Sigma „Rzym“ Zoli już się ukazał w formacie książkowym. Recenzyę zamieścimy w jednym z najbliższych numerów.

Autorowi „Szarady“. Nadesłana szarada jest bardzo dowcipna, lecz mogłaby nas wprowadzić w kolizyę z prokuratorem. Dla tego korzystać z niej nie możemy.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28

Nr. 24. Poznań, niedziela 14-go czerwca 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: ul. Wilhelmowska 28.
(Drukarnia J. Fr. Tomaszewskiego.)

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Wilhelmowska 28. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

TREŚĆ.

Typy germanizatorów *górnoszląskich.*

I.

Badając długo stosunki górnoszląskiej ziemi, budzącej się z długiego uśpienia do narodowego życia, zamierzam się podzielić z czytelnikami „Przeglądu“ rezultatem swoich studyów i doświadczeń, a przedewszystkiem rzucić na papier szkicowe sylwetki tych cichych i głośnych germanizatorów, którzy w najświeższym czasie w dziejach ewolucyi szląskiej wybitną odegrali rolę.

Typem germanizatora na Górnym Szląsku jest ksiądz wikaryusz Grund w Mikołowie. Dał on się poznać w sierpniu roku zeszłego podczas wyborów do sejmu z okręgu pszczyńsko-rybnickiego, gdy na zwołanem przez siebie zgromadzeniu przedwyborczem w Mikołowie, nazwał pisma górnoszląskie: „Gazetę Opolską“, „Nowiny Raciborskie“ i „Katolika“ gazetami „buntowniczemi“, a redaktorów tych gazet „buntownikami“. Wyrażał się wówczas tak: „Przyniosłem wam tu te gazety, które was buntują, a buntują was w nich redaktorzy z Poznania, ale pokażcie, że wy nie jesteście buntownicy i nie dacie się zbuntować. Buntują was, żebyście nie trzymali z księżmi, ale ja wam mówię, że wy nie macie takiego rozumu, i potrzebujecie opieki księży. Nie słuchajcie tych redaktorów z Poznania, bo oni was do buntu chcą prowadzić“.

Charakterystycznem jest to, że ten ksiądz zebrania polityczne zwołuje tylko z kazalnicy, a nie przez pisma publiczne. Mówi on śmieszną i nędzną polszczyzną, a znany jest w mieście i w okolicy z tego, że na każdem zebraniu powołany czy nie powołany się znajduje i „redy haltuje“ jak się sam po polska wyraża. „Kapelonek“ Grund (tego słowa używa lud szląski) lubi namiętnie „redy haltować.“ Miewa mowy na zebraniach politycznych, na komersach, na „ferajnach,“ palnął śliczną mówkę na uroczystości Sedanu a nawet kropnął oracyę na niejednym „Kaffeklatschu“. Mówca prawi po polsku i po niemiecku zawsze w tonie kaznodziejskim jak z kazalnicy, ale że biedak nie ma talentu krasomówczego, mówki jego są tak zawiłe, że śmiech wzbudzają w Niemcach i Polakach. „Kapelonek“ ten chcąc sobie zjednać popularność i posłuch u ludu, w każdą prawie niedzielę i święto na rannej mszy św. zwołuje zebrania celem zakładania kas Reiffeisenowskich. Podczas wyborów do sejmu bałamucił lud tem, że obiecywał kasy takie każdej gminie, a pan baron Huene miał się wystarać od rządu o pieniądze. Kandydaturę niemieckiego nauczyciela Latacza na posła do sejmu uzasadniał tem, że „rząd już tak dobrze jest usposobiony, że pozwoli wprowadzić język polski do szkół na Górnym Szląsku, ale potrzeba, żeby taki szkolarz jak pan „rektur“ Latacz rządowi to tylko przedstawił, a tego nikt inny nie potrafi zrobić, tylko pan „rektor“ Latacz.“ Pokazało się potem, że pan „rektur“ ani buzi nie otworzył w sejmie w sprawie wprowadzenia języka polskiego do szkół ludowych. „Kapelonek“ ten przedstawił adwokata Radwańskiego, kandydata do sejmu, a następnie do parlamentu, jako człowieka liberalnych pojęć, jako heretyka, a przynajmniej jako wątpliwego katolika. Rozsądny jednak lud polski nie dał się obałamucić, okazał, że nie jest trzodą bezrozumną, ani wołami roboczemi, dającemi się poganiać i wybrał posłem do parlamentu właśnie owego liberała, owego „heretyka“, adwokata Radwańskiego, i to jeszcze olbrzymią większością głosów, ktora germanizatorów w najwyższym stopniu przeraziła.

„Kapelonek“ Grund miewa całogodzinne kazania o polskich gazetach, polskich redaktorach i o wielkopolskiej agitacyi, zamiast ze słów ewangeli św. nauczać miłości bliźniego i innych cnot teologicznych. Używa on nawet konfesyonału do agitacyi politycznych, bo przy spowiedzi zabrania prenumerowania wszystkich innych gazet polskich z wyjątkiem organu księży germanizatorów, nowo powstałej „Gazety katolickiej“ w Królewskiej-Hucie, która jest dalszym ciągiem „Kuryera Górnoszląskiego“ wydawanego w Raciborzu. „Katolik“, „Nowiny“ i „Gazeta Opolska“ to zdaniem jego pisma heretyckie i masońskie, a dla zadokumentowania tego fałszu krzyczącego postarali się księża germanizatorzy równocześnie z powstaniem własnej gazety w Królewskiej Hucie o to, że „Katolikowi“ w Bytomiu zakazano na czele numeru zamieszczać wzmianki o błogosławieństwie otrzymanem od papieży Piusa IX i Leona XIII. Czyż takie postępowanie księży może wzbudzić w ludzie zaufanie do księży, czyż przyczynia się do podniesienia powagi duchowieństwa? Bynajmniej! Lud na Górnym Szląsku przychodzi zwolna do przekonania, że księży słuchać należy tylko w rzeczach wiary a w rzeczach polityki i w sprawach społecznych wolno się rządzić własnym rozumem.

Gdy w dniu, w którym tryumf adwokata Radwańskiego został wiadomym, dzieci z okolicznych wsi przyszły do kościoła na naukę przygotowawczą do pierwszej spowiedzi św., ksiądz Grund był tak straszliwie zirytowanym rezultatem wyborów, że w szalonej złości powiedział: „Wynoście się! Idźcie sobie na naukę do Witka!“ Objaśniam, że Witek był podczas wyborów w okręgu pszczyńsko-rybnickim do sejmu i do parlamentu wybitnym agitatorem, i jego to głównie jest dziełem, że adwokat Radwański został wybranym. Dzieci pojmując rozkaz „kapelonka“ dosłownie, przyszły do sklepu rzeźnika Witka na naukę religii. I cóż biedne dzieci zawiniły „kapelonkowi?“ Przecież one nie były wyborcami.

„Kapelonek“ Grund był przed powstaniem i jest teraz jeszcze głównym agitatorem „Gazety Katolickiej“ w Królewskiej-Hucie. Nakazał on ją abonować z kazalnicy i w konfesyonale, reklamowałna zebraniach i verajnach, rozdawał przed kościołem i na cmentarzu, rozwieszał na parkanie probostwa itd. Słowem agitował za tą gazetą wszędzie. Pomimo tej silnej agitacyi „kapelonka“ w Mikołowie a innych księży po całym Górnym Szląsku, pomimo rozrzucenia numerów okazowych w stu tysięcy egzemplarzach, wynik okazał się niepomyślnym, bo gazeta germanizatorów posiada tylko dwa tysiące płatnych prenumeratorów i 300 bezpłatnych, któremi są głównie założyciele gazety. księża germanizatorzy.

„Kapelonek“ Grund przygotowuje dzieci polskie, nie rozumiejące po niemiecku, do pierwszej spowiedzi w języku niemieckim, usuwa w kościele śpiew polski, a podczas nabożeństwa majowego wygłasza co drugi dzień nauki w języku niemieckim, lubo parafia jest czysto polską. W mowie powszedniej używa on tylko niemieckiego języka i żąda, aby wszyscy parafianie w tym języku z nim rozmawiali. Całem tem swojem postępowaniem, a nadto niesłychaną bezwzględnością dokazał „kapelanek“ tego, że jest znienawidzonym przez katolików i ewangielików, przez Polaków, Niemców i żydów.

Na tem kończę sylwetkę księdza-germanizatora, a przystępuję do charakterystyki jednego z świeckich germanizatorów w tem samem Mikołowie. Jest nim drukarz Karol Miarka. Czas już wielki, aby w tym względzie rozproszyć resztki iluzyi. Karol Miarka jest synem śp. Karola Miarki, byłego nauczyciela na Górnym Szląsku, założyciela „Katolika“ bytomskiego, który położył pewne zasługi około polskości na górnoszląskiej ziemi. Dziennikarz Karol Miarka stroi się w piórka zasług swego ojca i położenie to wyzyskuje dla celów osobistych; w gruncie rzeczy jest Niemcem i germanizatorem. Już Józef Chociszewski w „Podręczniku geografii ojczystej“ na str. 60-ej powiedział, że „synowie śp. Karola Miarki się zniemczyli“. Drukarz Miarka, gdy był biednym, ale niezależnym od wpływów Niemców i księży-germanizatorów, okazywał brak wyrazistości i udawał niekiedy Polaka. Chciał on ciągnąć korzyści z ludu polskiego, a jednocześnie i Niemcom się podobać. Gdy jednak zbudował olbrzymią drukarnię z nader małym kapitałem, zabrnął w długi po uszy i rozpaczliwie szukał poparcia. Z jednej strony napierali go wierzyciele, z drugiej gnębili go Niemcy i księża, jako nie dość zdecydowanego germanizatora, a w trudnem tem położeniu oddał się duchowieństwu i przechylił stanowczo do germanizacyi. Obecnie zaprzestał używać języka polskiego, nawet w potocznej mowie. Cały swój zakład zgermanizował tak, że wszyscy pracujący u niego Polacy z Poznańskiego i ze Szląska muszą mówić po niemiecku. Żona jego, górnoszlązaczka, umiejąca po polsku, również mówi tylko po niemiecku. — Schlebia on Niemcom i umizga się księżom-germanizatorom, a z opisanym powyżej „kapelonkiem“ Grundem żyje w najściślejszej przyjaźni.

Drukarz Miarka do czasu, dokąd wydawał tylko książki do nabożeństwa i jarmarczne publikacye ludowe, nie był szkodliwym, teraz jednak, gdy wydaje dwa pisma polskie dla ludu, staje się prawdziwie niebezpiecznym. Wydawnictwo jego polskich czasopism bez tendencyi narodowych, z ukrytem dążeniem, by nie budzić ducha, bezbarwne, senne, obliczone tylko na zarobek, jest w rzeczy samej cichem, powolnem germanizatorstwem. Miarka wierzy w istnienie „wielkopolskiej agitacyi“, lęka się jej bardziej, niż Bismarckowski Niemiec i broni przystępu do pism swoich wszelkiej myśli narodowej. Strzeże on pisma te argusowem okiem, aby się w nich nie znalazło coś nieprzyjaznego dla Niemców i księży-germanizatorów. Karol Miarka głosi, że jest wydawcą dzieł ludowych i pism dla ludu, a w swoich wydawnictwach występuje przeciw ludowi polskiemu i łączy się z jego nieprzyjaciołmi. Przytoczę tu małą próbkę zasług Karola Miarki dla ludu górno-szląskiego. — W Poznańskiem mało komu zapewne wiadomem jest, że Miarka wydaje także „blat“ niemiecki i jest jego redaktorem. Blat ten ma nazwę: „Oberschlesiche Rundschau“, a jest redagowanym w duchu na wskroś niemieckim. Są tam apoteozy pruskich zwycięstw nad Francyą, jest „Sedan“ wierszem i prozą, jest wieńczenie nietylko wielkich tryumfów orężnych, lecz nawet trzeciorzędnych potyczek pomyślnych dla Niemiec. „Oberschlesiche Rundschau“ zamieszcza sprawozdania nad wyraz patryotyczne z komersów niemieckich i wszelkiego rodzaju „ferajnów“, i pokazuje raz po raz wcale niedwuznacznie pazury germanizacyjne. W Nr. 37 z 14-go września r. z. znajduje się z powodu wyborów do sejmu w okręgu pszczyńsko-rybnickim charakterystyczny artykulik, który tu w dosłownem tłomaczeniu przytaczam:

„Wybór posła do sejmu z okręgu pszczyńsko-rybnickiego odbył się w czwartek w Zorach, a wynikiem jego jest, że kandydat Centrum p. rektor Latacz z Katowic otrzymał 362 głosy, kandydat Polaków pan adwokat Radwański z Pszczyny 40, pan radzca ziemiański Schröter 177. Przeszłej niedzieli odbyło się zebranie celem porozumienia się wyborców. Jak jednak dalekiem było to porozumienie, o tem niektóre gazety i świadkowie, którzy na własne uszy słyszeli i na własne oczy wszystko widzieli, donoszą. Zebranie to trafnie określono jako: „Obóz indyjski z dzikim okrzykiem wojennym!“ Przywódzcą wyborców biorących udział w tem zebraniu, rozszalałych piwem i wódką, które agitatorzy polscy z funduszów agitacyi wielkopolskiej zadarmo rozdawali, był znany tutajszy rzeźnik. Rzeźnik ten, który dawniej przy wszystkich okolicznościach i sposobnościach niemieckie mowy wygłaszał, a nawet okolicznościowe niemieckie wiersze pisywał, w wściekły sposób agitował dla Polski. Rezultatem jednak jego agitacyi było haniebne fiasko. A gdy w dniu wyborów wolność jego osobista była niepewną, opuścił Zory wraz z podobnymi mu wisielcami, aby w cichem ustroniu rozmyślać nad bohaterskiemi swojemi czynami“.

Objaśniam, że na owem zebraniu germanizator „kapelonek“ Grund chciał palnąć mówkę w niemieckim języku, a choć wyborcy, przeważnie Polacy, żądali, aby mówił po polsku, choć nawet Niemcy żądanie to poparli, on gwałtem darł się do niemieckiej mowy i doprowadził do tego, że go w niegrzeczny sposób musiano ściągnąć z mównicy. Z inicyatywy „kapelonka“ i na jego intencyę Miarka palnął tak mały artykulik. Dziki obóz indyjski, pijacy i wisielce — oto epiteta, któremi Miarka lud polski traktuje. Nienawidzi on z całej duszy „Katolika“ czycha na jego zgubę, nienawidzi „Nowin Raciborskich“ i „Gazety Opolskiej“. — Dla niego wzorem gazet jest nowo powstały organ w Królewskiej-Hucie, czyli dalszy ciąg „Kuryera górnoszlązkiego“. To też zawiązało się trójprzymierze germanizatorskie: Ojciec Andrzej w Westfalii, Karol Miarka w Mikołowie i ksiądz Adolf Chytrek w Królewskiej-Hucie, a u Miarki w Mikołowie jest kuźnia spokojnej, cichej, powolnej germanizacyi.

Maksymilian Ocetkiewicz.

Wyprawa na Olymp.

Komedya fantastyczna w 1-ym akcie,

oryginalnie napisana

przez

M. Gawalewicza

(Ciąg dalszy).

Merkury: Świątynię?... No, no!... A to się Melpunia ucieszy! Nowina!... patrzcie!... Świątynie zamyślają nam znowu stawiać!...

Farsalski: Zróbże ojcze, żeby nas panna Melpomena przyjęła. (do Polipa półgłosem) Jak redaktor myślisz? Trzeba mu dać co w łapę?...

Polip: W łapę?... spróbować nigdy nie zawadzi.

Farsalski: A nuż się obrazi?

Polip: (sentencyonalnie) Obraża tylko mała łapówka.

Farsalski: (próbując Merkuremu wsunąć w rękę pieniądze) Weź-no ojcze na tabakę i zameldųj nas.

Merkury: (wzdrygając się z udaną urazą) Co?... pieniądze?... bogom mamony nie trzeba! To się daje (z pogardą) Calchasowi!

Farsalski: Nie robiłbyś ojcze kawałów.

Merkury: Mogę wziąć, ale nie jako łapówkę, tylko jako ofiarę. (bierze pieniądze) Ale za to (szuka w zanadrzu) niech śmiertelny weźmie odemnie na pamiątkę talizman wyjmuje garść kamyków) o, to chroni od febry.

Farsalski: Cóż to takiego?... Cóż to za czopki?...

Merkury: To są pioruny Zewsa skamieniałe! Ile razy gruchnął ze złości o ziemię, to się ziemia stopiła w tem miejscu i to właśnie są takie piorunowe kamienie. Ja tego nazbierałem i sprzedaję na pamiątkę gościom, co przychodzą zwiedzać Olympijskie Muzeum. Bo ja tu jestem kustoszem. Śmiertelny wie o tem, że ja tu jestem dozórcą muz, odkąd je z Parnasu wywłaszczyli?

Farsalski: A, teraz wiem!... Toście sobie państwo Muzeum tu urządzili? Proszę, proszę!... I dużo tu przychodzi turystów?

Merkury: Od dwóch tysięcy lat pan dobrodziej pierwszy się zjawił. Ale to nic dziwnego. Za mało reklamy!...

Polip: (dosłyszawszy ostatni wyraz) Reklamy?... To moja rzecz!...

Farsalski: A, już redaktor poczuł interes!... Co to za nos!... (do Merkurego) A cóż znaczy ten napis: „Wstęp śmiertelnym wzbroniony?“ Skoro jest Muzeum...

Merkury: E, to tylko tak sobie.... *pro forma*...

Farsalski: (idąc ku pagórkowi No, to chodźmy.

Merkury: (zatrzymując go) Ee, nie!... wpierw muszę zameldować. Melpomena ma swoje fochy, gotowa się obrazić, gdyby tak niespodzianie... (wyjmując klucze z za pasa) Ja się z nią naraz rozmówię.

Polip: (podając mu niedopitą butelkę) A możebyś stary tak łyknął?...

Merkury: Co to jest?

Polip: Pilzner!...

Merkury: Pilzner?... Nie znam tego trunku.

Polip: To szlachetny trunek Gambrinusa.

Merkury: Czemuż śmiertelny odrazu nie powie, że to piwo?

SCENA IV.

Ciż i Eimer, Oczko, Filisterski i Głodysz (ukazują się z poza skały w głębi).

Eimer: (wyskakując pierwszy, okrągły, opasły, ale ruchliwy). Piwo? A jakie?... (ze śmiechem uradowany) Jak Boga kocham i tu mają piwo! Gdzie ja jestem, musi być piwo! (zbliża się) Patrzcie, moi państwo, pan dyrektor!... pan redaktor!... (kłaniając się kapeluszem słomkowym Merkuremu) Z uszanowaniem, Eimer! restaurator z pod „Ciemnej Gwiazdy!“

Oczko: (wystrojona przesadnie z parasolką czerwoną). Bon jour!... (podając rękę Farsalskiemu) Witam dyrektora!... (do Polipa) Jak się masz redaktorku!... Kochasz Pimpcię?... (nadstawia mu buziaka z udaną naiwnością).

Głodysz: (deklamatorskim tonem). Czołem!... pozdrowienie bogom!... (rozgląda się) Jesteśmy tedy na Olympie!...

Eimer: (spostrzegając napis nad kolumnadą „Olymp!“ do Polipa) Patrz-no redaktor! toby była dobra firma na restauracyę! Jak Boga kocham, jest myśl!... Olymp!... co?.., to lepsze od „Ciemnej gwiazdy“. Ciekawy jestem, co oni za lokal płacą?

Filisterski: (w nankinach, z pledem

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Broszura Piotra Stromy. Broszurze Piotra Stromy p. t. „Program Przeglądu Poznańskiego", omówionej przez nas w Nr. 21. poświęca „Przegląd Wszechpolski" następujące uwagi:

„Broszura poruszyła trochę naszą inteligencyę i wywołała nawet artykuły polemiczne w pismach. „Dziennik", zbijając wywody p. Stromy, ani słówkiem nie wspomniał, że broszura wymierzona jest przeciw „Przeglądowi" i czytelnik z artykułu wynosi przekonanie o zgodności poglądów autora broszury z poglądami organu „Młodej Polski". P. Stroma należy do doktrynerów, którzy nie liczą się prawie wcale z warunkami rzeczywistości i obok wielu trafnych uwag, wygłasza nieraz zdania, że tak powiem, studenckie. Napadania na pismo, które jest u nas jedynym organem inteligencyi postępowej i demokratycznej, w chwili, kiedy boryka się ono z rozmaitemi przeszkodami — nie można uważać za taktykę właściwą. Nawet słuszne zarzuty lepiej było na inny czas schować, nieby na tem poglądy autora nie straciły, gdyby się trochę odleżały".

* * *

Pan Jaworski a pan Kulerski. W „Orędowniku" (Nr. 131.) czytamy:

„Centralny komitet wyborczy na Prusy Zachodnie i Warmię ogłasza urzędownie p. Juliana Sasa Jaworskiego jako kandydata do parlamentu, na którego wyborcy okręgu świeckiego mają oddać swe głosy w dniu 26 czerwca.

Skoro już wyborcy mają głosować na tego kandydata, niech przynajmniej Prusy Zachodnie z ostatniego doświadczenia czerpią naukę: jak sobie dobierać kandydatów i czego od nich obecnie żądać. Z nauki tej mogą zaraz zrobić użytek przy blizkich wyborach do sejmu pruskiego w okręgu starogardzko-tczewsko-kościerskim.

Pan Julian Jaworski, kandydat na okręg świecki, odmawia p. Kulerskiemu, redaktorowi „Gazety Grudz." prawa, aby się rozpisywał o nim, jak to w swej gazecie uczynił: że nie należy do tak zwanych ugodowców.

Pan Jaworski oświadcza, że nie należy do żadnej partyi, że nie pozwoli sobie narzucać żadnej partyi; że nie chce znać żadnej partyi w społeczeństwie polskiem; że sztucznie wywoływane stronnictwa polityczne zagrażają u nas solidarności; (??) a więc są — zgubne! — że jego polityka w Kole będzie — „jedynie polska!" (?!?)

Dalej pisze p.Jaworski o swem pochodzeniu szlacheckiem i osobistem zapatrywaniu na socyalne różnice poszczególnych obywateli. Ten ustęp jest spokojnie, a nawet bardzo rozsądnie napisany. Możnaby się z powodu tego rozprawić z p. Jaworskim zupełnie objektywnie. Na nieby się to jednak nie zdało, bo przyjaciele polityczni p. Jaworskiego, którzy go wyforytowali na kandydata w okręgu świeckim, występują w swej prasie pod względem formy jako ordynaryusze najprostszego kalibru, a pod względem zmysłu i rozumienia politycznego jako proste niezdary. Biją ciągle — i to na pateli stawiają, żeby każdy podziwiał — w jakiś rozum polityczny i pieniądz. A u nich pieniędzy mało i coraz mnie; a rozumu politycznego ani szczypty.

Dowód na świeższy: znęcanie się po wielu organach partyi dworskiej nad redaktorem „Gazety Grudziądzkiej", p. Kulerskim — za to, że ktoś śmiał wymienić nazwisko jego na kandydata!

Solidarność, zgoda, jedność, a nawet miłość bliźniego panują u nas tak długo, dopóki wyborcy i redaktorzy trzepią płaszcze kandydackie; ale jak któremu z nich ktoś ten płaszcz zarzuci na ramiona, wtedy najemnicy partyi dworskiej wyzywają, lżą i krzyczą w niebogłosy, że się rwie solidarność, że się wali sprawa narodowa.

Nie piszemy tego ani dla p. Jaworskiego, ani dla jego przyjaciół, bo ci pisma naszego nie znają, ale dla Was. Szanowni Czytelnicy, tak w Księstwie, jak w Prusach, żeby ruch ludowy szedł ławą i zabierał zwolna wszystko z sobą i niewolił nawet przeciwników do takich deklaracyi, jaką musiał zdać p. Parczewski w Świeciu: że spadają na naród czasy takie, iż lud polski musi sam sobą politycznie rządzić i kierować.

Pan Jaworski nie jest stosowny kandydat ani dla ruchu ludowego, ani nawet na obecną mocno zawikłaną sytuacyą. Sądząc po tem, co w Świeciu powiedział i co w „Gaz. Grudziądzkiej" napisał, w najlepszym razie może posłużyć partyi dworskiej za pożądany materyał.

Kandydat, który w obecnej chwili prawi jeszcze publicznie, że nie chce znać żadnej partyi, że stronnictwa polityczne, zagrażające solidarności, uważa za zgubne, — ten albo przespał ostatnie lat sześć, albo w tym czasie był za granicą i sprawa narodowa ani go nie ziębiła, ani parzyła; albo też — jeżeli był w kraju i patrzał na to, co się działo i dzieje, udaje przed wyborcami, że o niczem nic nie wie...

Głównem zadaniem całego naszego narodu winno być, by jak najspieszniej z mas ludu wyprowadzić jak najwięcej ludzi w szeregi obywateli politycznie myślących i działających.

Najbliższym zaś i chwilowym celem powinno być rozsadzenie obecnego składu obu Kół polskich.

To jest conditio sine qua non, jeżeli naród polski w zaborze pruskim ma zachować swą samoistność narodową.

Dla tego nie należy przypuszczać nikogo na kandydata, kto nie zdeklaruje się publicznie, że jest zasadniczym przeciwnikiem polityki partyi dworskiej.

Wyborcy w Prusach Zachodnich umieją nogami pracować dla sprawy narodowej, ale jeszcze nie głową. Takich jak p. Kulerski, jest tam bardzo mało obywateli i jeszcze żaden z nich ust nie umie otworzyć.

Gdyby to umieli, możeby kandydat świecki jeszcze w ostatnich dniach ściślej sformułował swe stanowisko polityczne. Lepiejby nawet było, żeby się wprost przyznał do partyi dworskiej, bo wtedy wiedziałby nietylko Świeć, ale cały naród: kto z Świecia jedzie do Berlina".

* * *

W sprawie zlotu wszechsokolskiego w Poznaniu. Głośnemu rozporządzeniu policyi poznańskiej, wydanemu w sprawie zlotu sokolskiego w Poznaniu poświęcają wszystkie pisma pruskiego i austryackiego zaboru dłuższe artykuły. Z uwag „Nowej Reformy" cytujemy wstęp następujący:

„Rozpoczęta przez naszych przeciwników gra jest bardzo niebezpieczną. Polaków nie wymażą oni z rzędu narodów żyjących; na to ich ręka jest zaw-

---

w torebce podróżnej, z lornetką w ręce, lornetuje okolicę i odczytuje napisy). „Uprasza się, bogiń, ani niczego nie dotykać". Głupi zakaz!... Oni tu zbankrutują przy takich rozporządzeniach. (do Oczkówny) Prawda?

Oczko: (z grymasem). Muszą być chude te boginie... jabym się tu nie zaangażowała. (Do Filisterskiego z tą samą miną, co poprzednio) Filisterski, kochasz Pimpcię?.. to masz buzi!... (kiedy ją Filisterski chce pocałować, usuwa się nagle). Obejdź się smakiem!...

Filisterski: A pani mi obiecała, że kiedy będziemy na Olympie...

Oczko: Mogę panu jeszcze co obiecać, ale obiecanka cacanka...

Filisterski: (z czułem westchnieniem). A mnie radość!

Merkury: (na stopniach wiodących do portyku). Czy... czy śmiertelni chcą obejrzeć muzeum, czy też co innego?...

Głodysz: My w deputacyi!...

Oczko: Z wyjątkiem mnie, bo ja tylko *pour plaisir* z tymi panami.

Eimer: A ja z geschäftem!... ja, jak w dym do pani Melpomeny! Potrzebuję się widzieć natychmiast. Proszę mnie pierwszego wpuścić!.., Z uszanowaniem, Eimer!... Eimer, restaurator z pod „Ciemnej gwiazdy".

Merkury: Kiedy bo tu już inny śmiertelny... (zakłopotany) Ja tego... kto pierwszy, ten lepszy!...

Farsalski: Jest racya!... ja tu byłem pierwszy. Nie stawiaj się pan, panie Eimer!

Eimer: Ale ja przychodzę z propozycyą, z ważną propozycyą. Pan dyrektor może sobie potem...

Farsalski: A kiedy mi się podoba przedtem.

Eimer: To i mnie.

Farsalski: (zirytowany) Gargociarz!...

Eimer: Co?... co ja jestem?... powtórz pan!.. Proszę nie zapominać, żeś mi pan jeszcze winien za ostatnią kolacyę rubla trzydzieści kop!... (wyliczając) Wódeczka zakąska, zrazy Nalesońskie, cztery piwa...

Głodysz: (rozdzielając ich). Pssst!.. Silentium! Nie zapominajcież panowie gdzie jesteśmy. Z uszanowaniem!...

Eimer: (instynktownie się kłaniając). Eimer!... (spostrzegając się) Te... bo jakże?... kiedy mi kto psuje interes... Zrobiłem taki kawał drogi... To panie o gruby grosz chodzi!...

Polip: (zacierając ręce). Awanturka!... doskonale!... będzie o czem napisać ze trzydzieści wierszy burgosu!

Filisterski: Ja panów pogodzę, ja reprezentant publiczności, od której panowie obaj zależycie. Więc tedy, panie Eimer, co za interes pan masz na Olympie?... może pan tu chcesz bufet założyć?

Eimer: No, tymczasem nie pomyślałem jeszcze o tem. Ale ja się wybrałem zaangażować panią Melpomenę pod „Ciemną gwiazdę". Panowie goście mnie do tego namówili i panowie z prasy także. O, pan Polip mógłby o tem zaświadczyć!... Ogródek jest, scena jest, piwo antałkowe jest, interes gotów! Niech się pani Melpomena tylko zgodzi wejść do spółki z Eimerem na lato, nie pożałuje tego. „Ojoj."

Głodysz: (z ironią). Sztuka i piwo!... (pogardliwie) Panie Eimer, jesteś czop do beczki, jeśli sztukę traktujesz, jak butersznyty. Profan!...

Eimer: Przepraszam bardzo, ja jestem stary praktyk, ja się znam na tem. Sztuka!... wielka mi rzecz!... Sztuka jest, jak sztukamięs, panie; zaraz lepiej smakuje, kiedy ją się piwem podlewa. To panie faramuszki wszystko, co panowie o sztuce gadacie. Żeby nie antrakty, coby dla mnie warta była cała sztuka!... To panie, trzeba rzeczy brać praktycznie, o!... interes grunt!

Farsalski: No, to ja panu radzę, abyś swoim kosztem powracał, zkąd przybyłeś. Z tej beczki nawet nie zaczynaj.

Eimer: (urażony), E, mój panie, co mi pan będziesz od beczek wymyślał!... ja ich więcej naszpundowałem, niż pan masz włosów na głowie.

Głodysz: (pogardliwie). Czop!...

Eimer: (w pasyi). Wymawiam panu kredyt!...

Głodysz: A ja panu zabraniam odzywać się do mnie. Pan wiesz, kto ja jestem?.. ja jestem artysta!... Z uszanowaniem!...

Eimer: (instynktownie, znowu się schylając). Eimer.

Farsalski: Co tam będziemy słuchać takiego gargociarza! (do Merkurego) Niechno ojciec mnie zameldłuje pannie Melpomenie.

Głodysz: Mnie również!

Filisterski: I mnie!

Polip: A dla mnie maleńki interview wyrób stary!

Oczko: To i mnie! niech stracę! Po-

sze za słaba. Natomiast zasiew narodowej nienawiści wyda plon stokrotny, który może ogromem przerość nadzieje swoich siewców i wyjść na korzyść gnębionej dzisiaj narodowości.

„My tutaj w Galicyi musimy ostatecznie raz na seryo pomyśleć o tem, aby ani jeden halerz od nas nie dostawał się do kieszeni Niemców pruskich. Przemysł w Austro-Węgrzech, a wreszcie w innych państwach niemieckich, stanął na tym stopniu rozwoju, że zarówno w handlowych jak przemysłowych interesach, możemy bezpiecznie zerwać wszelkie stosunki z Niemcami pruskimi.

„Do kwestyi tej powrócimy jeszcze; na razie sądzimy, że delegaci nasi powinni pomimo tego jechać na zlot „Sokołów“ do Poznania. Cóż im się stać może? Stoją ostatecznie pod ochroną swego państwa; jeżeli policya każe im wyjeżdżać z Poznania, to naturalnie rozkazu usłuchać muszą, ale wtedy będziemy także wiedzieli, jak to postąpienie rządu pruskiego ocenić“.

W tej samej sprawie zabiera głos „Słowo polskie“ i cytując uwagi „Dziennika Pozn.“ wyrażające nadzieję, że władze policyjne cofną rozporządzenie swoje, tak pisze:

„Co do nas, wnosząc z dotychczasowego postępowania rządu pruskiego, nie podzielamy optymistycznych nadziei „Dzien. Pozn.“ Rozporządzenie Nathusiusa nie jest bynajmniej odosobnionem; jest ono wynikiem systemu, kultywowanego z całą możliwą energią i konsekwencyą.

Ci, którzy kiedykolwiek marzyli, iż pod berłem Niemiec zaświtać może lepsza Polakom przyszłość, otrzeźwią się może teraz. Poczucie sprawiedliwości, którego fama — Bóg wie, zkąd — przylgnęło do Niemiec, dostało obelżywy policzek. Polacy poznańscy mieli już czas otrzaskać się z ową dziwną sprawiedliwością, która nawet na czarne policzki Hotentotów wywołałaby musiała rumieniec zawstydzenia; nie pozostaje naszym braciom nic innego, jak połknąć i tę gorzką pigułkę, ale czy takie postępowanie wyjdzie Niemcom na zdrowie — to pokazać może tylko przyszłość, kto wie, czy jeszcze ciągle bardzo daleka“.

— *ski.*

LITERATURA I SZTUKA.

Dziennikarstwo w Anglii.

I.

Od wieku z góry stanowi prasa jeden z najważniejszych czynników w społecznym i politycznym organizmie Anglii. Nie tylko ona sama zajęła stanowisko powszechnie uznanej instytucyi, ale udziela ona także wszystkim innym instytucyom swego kraju najskuteczniejszej opieki. „Zastanawiając się nad tem — mówi Montelembert w swem dziele „Polityczna przyszłość Anglii“ — co właściwie głównem jest kołem społecznego mechanizmu, stanowiącem najskuteczniejszą gwarancyę posiadania i zachowania tylu starych i nowszych praw i zdobyczy — to odpowiedzieć wypadnie, że kołem tem jest publicystyka“. W żadnym kraju świata naród od warstw najwyższych do najniższych nie czyta tyle gazet, przeglądów i książek, co w Anglii, ale też w żadnym kraju prasa nie jest tak dobrze informowaną, szczerą i przyzwoitą jak w Anglii. Dzienniki i książki stanowią dla każdej warstwy i każdego wieku ludności pierwszy i najważniejszy środek wykształcenia. Anglik czyta przez całe swoje życie, nie dla zabawy, ale nawet po opuszczeniu szkoły w pierwszej linii celem uczenia się. Wychodzi bowiem ze słusznej zasady, że człowiek nigdy nie może nabyć dosyć wiedzy.

Wpływ prasy na naród angielski był w ciągu bieżącego wieku olbrzymi i nadzwyczaj błogi w swych skutkach. Już w 1831 roku oświadczył lord Lyndhurst do Greville'a: „Zaiste, Barnes jest najpotężniejszym człowiekiem w całej Anglii!“ Barnes był wówczas naczelnym redaktorem „Timesa“. A o całej ówczesnej postawie angielskiej prasy posiadamy powołany sąd w krytyce „Westminster Review“, w której czytamy pomiędzy innemi: „Tendencye prasy angielskiej skierowane były na dobro ogółu, i dziennikarstwo oddało swój wpływ na usługi mądrości, cnoty i prawdy“.“ A w 60 lat później prasa angielska doznała nie mniej cennej i pochlebnej oceny ze strony lorda Rosebery'ego, a więc męża stanu, którego szczerość i inteligencya nie ulegają najmniejszej wątpliwości: „Prasa tego kraju — mówił b. prezes angielskiego gabinetu — kieruje naszymi mężami stanu i przedstawia im życzenia i idee narodu. Gdyby prasa nie spełniała dwóch tych funkcyi, nie zasługiwałaby też na oddawany jej przez nas hołd i szacunek. Hasło naszych dziennikarzy mogłoby brzmieć: „Be just and fear not“ (sprawiedliwy i bez obawy!) bo jedynie dzięki swej sprawiedliwości i swej odwadze prasa angielska wyniosła się po nad dziennikarstwo wszystkich innych krajów.“

Jeźli już w r. 1831 Barnes uchodził za najpotężniejszego człowieka w Zjednoczonym Królestwie, to cóż dopiero mówić dzisiaj o dyrektorach albo naczelnych redaktorach pięciu czy sześciu wielkich dzienników londyńskich?

Więzy, które krępowały niegdyś prasę angielską dzisiaj w zupełności zostały zerwane. W roku 1836 obniżono podatek od dzienników z 4 pensów na 1 pensa; w roku 1851 zniesiono podatek od ogłoszeń, w roku 1855 zniknął podatek od gazet w zupełności, a w r. 1861 i podatek od papieru używanego na dzienniki. Oprócz tego zwiększyły się w olbrzymi sposób środki techniczne, wszelkie siły ducha i kapitału w ruch puszczono, tak że dzisiaj słusznie „Times“ po trzy pensy, albo dzienniki po pensie jak „Standard“, „Daily News“ i inne nazwać można „najdoskonalszym i najbardziej zdumiewającym wytworem ludzkiej działalności, informującym nas o wszelkim postępie i będącym jednocześnie niejako wynikiem wszelkich odkryć i wynalazków“.

W roku 1846 pojawił się pierwszy wielki dziennik pensowy, „Daily News“ i od tej

---

znam się raz z prawdziwą muzą. To musi być ciekawa facetka. Zresztą, myśmy przecież skuzynowane. Grałam w „Orfeuszu“, pamiętasz dyrektorku?.. zrobiłam furorę w kankanie!...

Merkury: Zaraz... zaraz zamelduję, tylko sobie nazwiska spamiętam.

Farsalski: To zbyteczne!... Oto moja kartka (daje mu bilet wizytowy).

Polip: (dając także swój bilet). A to moja.

Filisterski: (podobnie). I moja.

Oczko: (do Filisterskiego). Połóż pan i mnie na swoim bilecie.

Filisterski: Całą?... To byłoby trochę trudno.

Oczko: Ee, głupie żarty!

Eimer: [szukając po kieszeniach]. Żebym miał gdzie kawałek papieru.. [przypominając sobie] Ale!... [wyciąga z kieszeni butelkę piwa] Mam tu coś lepszego! [pokazując na etykietę] „Piwo gwiaździste z zakładu F. F. Eimera w Warszawie“. To moja karta wizytowa [podając Merkuremu butelkę]. Proszę to pokazać pannie Melpomenie i powiedzieć, że odemnie [n. s.] Zasypałem ich!...

Polip: [odbierając mu skwapliwie butelkę]. A masz pan konsens na wyszynk na Olympie?... Aha!... konfiskujemy!

Eimer: Cóż to znowu?... napaść na gładkiej drodze?!... Pan redaktor...

Polip: [kończąc]. To piwo sam zreferuje [chowa butelkę do kieszeni].

Merkury: [zabrawszy karty wizytowe, idzie pod portyk, otwiera kłódkę przy kratach i mówi]. A to się do naszej Melpuni dobijają!... Ho, ho!... świetne czasy dla Olympu wracają.

SCENA V.

Ciż i Nimfa służebna (z amforą na ramieniu).

Nimfa: (do Merkurego) Mleko niosę dla bogiń

Merkury: (zatrzymując się przy wyjściu): Mleko?... pokaż! (odbierając amforę, zrzędliwie). O, o!... a kto wam pozwolił brać to naczynie? Jeszcze czego! Będziecie mi tu gospodarować, jak szare gęsi. Amfora po ambrozyi do mleka — także! Jeszcze mi się stłucze, a to ostatnia z Zewsowego kredensu (zabiera amforę i chce odejść z nią, mrucząc).

Nimfa: Euterpe tak kazała (chce wracać na lewo).

Filisterski: (zachodzi jej drogę) Pardon! chwileczkę!...

Eimer: (z drugiej strony przyglądając jej się z zajęciem) Patrzajcie państwo, fest panna!... Oni tu mają ładne dziewczęta na tym Olympie! (klepie ją po ramieniu) A jak zbudowana!...

Filisterski: (nadskakując, głaszcze ją pod brodę) Ananasik!...

Oczko: (odciągając go za rękaw) No, no, tylko proszę mi się nie sprzeniewierzać.

Merkury: (rozgniewany) Nie dotykać!... nie dotykać!.. Co to jest!... (schodzi ze stopni).

Farsalski: Możeby ją zaangażować?... (do Polipa). Jak redaktor myślisz?... Ma kształty — musi mieć talent.

Polip: Warta poparcia prasy!... Co za plecy, pi, pi! (otaczają Nimfę i przyglądają się jej).

Filisterski: (obejmując ją wpół) Możeby tak na kolacyjkę .. jestem miłośnikiem sztuki i protektorem piękna.

Merkury: (j. w.) Nie dotykać!... A to co znowu!... Nie czytali śmiertelni? (do Nimfy, którą uwalnia z rąk Filisterskiego). Wynoś mi się zaraz!

Farsalski: (do Merkurego) Powiedzno ojciec, kto to taki? Dałbym jej gaży piętnaście rubli i ..

Merkury: E, to sobie nimfa taka czwartej klasy! popychadło!... ale dotykać nie wolno. (do Nimfy) Jeszcześ tu?... (stuka kulą o ziemię) Marsz do groty, kozy pilnować!...

Nimfa: (robi oko Filisterskiemu i Farsalskiemu, odchodząc) Bardzo mili ludzie, ci śmiertelni!... Mężczyźni spoglądają na nią pożądliwie i kłaniają się z uśmiechem).

Filisterski: Au revoire!... Cukiereczek!...

Oczko: która mu zastąpiła drogę, mizdrząc się do niego) Kochasz Pimpcię?...

Filisterski: Kocham, ale tam na ziemi.

Merkury: Niechże śmiertelni zaczekają, ja tu zaraz wrócę. Tylko proszę się grzecznie zachowywać i kamyków nie zbierać na pamiątkę, bo się Olymp niszczy! (wychodzi po stopniach, kulejąc.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

chwili datuje się okres tanich dzienników. W samym Londynie wychodzi pół tuzina takich wielkich. tanich dzienników porannych, posiadających nie tylko w Anglii, ale w całym cywilizowanym świecie swych czytelników. Kapitał złożony w tych przedsiębiorstwach dziennikarskich jest olbrzymi i dzięki tej trwałej kupieckiej podstawie bez obawy spoglądać one mogą na współzawodnictwo innych tego rodzaju przedsiębiorstw. Przewaga ta nie wielkiej liczby, lecz wielkich dzienników, dostępnych wskutek swej taniości i dla uboższych warstw ludności angielskiej, ocaliła Anglię przed pojawiającą się w innych krajach powodzią drobnych, szybko znikających. a pozbawionych zwykle wszelkiej wartości pisemek. Za dziesięć fenigów otrzymuje Anglik co rano osiem stronnic wprawdzie ścisłego, lecz mimo to czystego i wyraźnego druku na dobrym papierze, informujących go o wszystkiem, co w ubiegłej dobie przyniósł drut telegraficzny z najodleglejszych części całego świata. Spotykamy tam polityczne, literackie, handlowe, finansowe, przemysłowe wiadomości, informacye o żegludze, koloniach itp. i to gruntownie opracowane, dobrze ułożone i w razie potrzeby zaopatrzone w należyte komentarze. Ale nawet przy 300,000 abonentów, którymi cieszy się np. „Standard“, dochód z abonamentu i sprzedaży pojedyńczych numerów ani w przybliżeniu nie wystarczyłby na pokrycie kosztów wydawania takiego dziennika. Pomijając bowiem koszta redakcyi, używany bywa jedynie najlepszy papier i najlepsza farba drukarska, składanie odbywa się z drobiazgową starannością, a do tego dochodzą jeszcze koszta dostawiania gotowego dziennika abonentom i innym czytelnikom, odbywającego się w specyalnych pociągach, które już o godzinie 4 rano wilgotne jeszcze arkusze z błyskawiczną szybkością zawożą do najodleglejszych zakątków całej Anglii.

Wszystkie więc te dzienniki utrzymują się prawie wyłącznie z nadzwyczaj rozpowszechnionych w Anglii ogłoszeń. Właściwe wiadomości bieżącej chwili, artykuły wstępne i feljetony, stanowią jedynie rdzeń dziennika. Gdy jednak zwykle rdzeń stanowi także najcenniejszą część danego przedmiotu, to tutaj dzieje się odwrotnie, przynajmniej jeśli zapatrywać się będziemy na takie przedsiębiorstwo dziennikarskie z kupieckiego punktu widzenia. Cztery stronnice artykułów wstępnych (leaders) i depesz otoczone są taką samą, lub większą liczbą kolumn, zapełnionych inseratami. Spotykamy tam ogłoszenia narodzeń, ślubow i śmierci, polecenia hoteli, podaż i popyt mieszkań, ogłoszenia i reklamy, odnoszące się do wystaw, podróży, teatrów, zakładów wychowawczych, wyścigów, sprzedaży i kupna, inseraty sądowe i urzędowe, wiadomości handlowe wszelkiego rodzaju, ubezpieczenia, poszukiwania posad, słowem cały odrębny świat, olbrzymie targowisko, na którem wszystkiego szukać i wszystko znaleźć można, i to tem łatwiej, że w dziennikach angielskich każdy oddział ogłoszeń posiada specyalną swoją rubrykę.

Swoją drogą drobiazgowe względy kupieckie odgrywać nie mogą w wielkich dziennikach angielskich żadnej roli, jeśli się zważy, że budżet roczny wydatków wielkiego londyńskiego dziennika pensowego (Standarda) wynosił 5 i pół miliona marek, przy czystym zysku 1,200,000 marek. Koszta dzienne wykazywały sumę 17,500 marek, a codzienny zysk czysty 4000 marek.

Myliłby się jednak bardzo, ktoby sądził, że niezwykłe znaczenie, jakie zdobyły sobie te dzienniki nietylko w Anglii, ale w ogóle w całym cywilizacyjnym świecie, jest b e z p o ś r e d n i e m następstwem olbrzymich kapitałów, złożonych w tych przedsiębiorstwach. Nie masy te pieniędzy, uwięzione w gruntach, w gotówce, w drukarniach i wszystkiego rodzaju zakładach, należących do pojedyńczych dzienników, stanowią główną podstawę majątku tych organów, lecz jedynie większa lub mniejsza ich poczytność, ich rozprzestrzenienie po wszystkich krajach, w których mówią lub rozumieją po angielsku, ich powaga i znaczenie. Właśnie ta poczytność stanowi towar, za który inserująca publiczność płaci drogo lecz chętnie, ponieważ każdy inserujący wie dobrze, że jego ogłoszenie czytane będzie przez setki tysięcy osób.

Ponieważ zaś wielkie dzienniki angielskie prawie wyłącznie z dochodu z ogłoszeń czerpią całą swą siłę żywotną i swój zysk czysty, przeto zacięte współzawodnictwo zmusiło te organa opinii publicznej do zwracania głównej swej uwagi na rozszerzenie zakresu swych czytelników. Nie było to jednak łatwem zadaniem, jeśli się zważy, że czytelnik angielski stawia do swego dziennika zupełnie inne wymagania, niż to czyni, nie mówiąc już o naszym, niemiecki, francuzki lub włoski abonent. Wskutek ogromnych swych posiadłości kolonialnych, naród angielski na wszystkich prawie punktach świata zmuszony jest bronić swych interesów, ponieważ zaś wielkie te pisma przedewszystkiem dążą do służenia ogólnemu dobru swego narodu, a nie ograniczają się, jak dzienniki stałego lądu Europy na pewnem ściśle ograniczonem kole czytelników, lub na pewnych warstwach ludności, przeto przy wyborze i zestawianiu swego materyału kierować się muszą najobszerniejszemi i najrozmaitszemi względami, służyć muszą tak samo interesom milionera i wielkiego kupca, domagającego się informacyi o położeniu handlowem w Azyi, Ameryce, Afryce lub Australii, jak potrzebom i wymaganiom najuboższego robotnika, który często z największym wysiłkiem oszczędza codziennie pensa na swój dziennik.

X

Lojalne idyotyzmy.

(Artykuł niniejszy jest uzupełnieniem notatki, poświęconej tej samej kwestyi w jednym z dawniejszych numerów).

Sobiesław hr. Mieroszewski wydał niedawno broszurkę p. t. „W sprawie reformy dziennikarstwa“. Jest ona bardzo ciekawą — nie ze względu na głębokość myśli autora, słuszność diagnozy choroby i rad podanych, lecz jako objaw dziwacznej reakcyi i chorobliwego lojalizmu austryackiego, który wszystkie ważne sprawy publiczne mierzy własnym łokciem.

Krytyka dziennikarstwa galicyjskiego w wielu razach jest słuszna. Wypadła ona bardzo ujemnie, ale trzeba dodać, że są to poglądy już wypowiedziane dawno, nie są przeto bynajmniej wynikiem pracy p. Mieroszewskiego. On ze swej strony dużo domieszał do tych poglądów pretensyi osobistych, gdyż trzeba wiedzieć, że gdy przed kilku laty ogłoszono konkurs na dyrekcyę teatru krakowskiego, pan hrabia wystąpił z kandydaturą. Nie posiadał wszakże żadnych przymiotów po temu — oprócz prywatnego wspierania (jak powiadano) kształcących się artystek. Ważniejszą rzeczą było, że nie posiadał odpowiedniego funduszu — w gotówce. Wówczas prasa zawiniła niedyskrecyą względem p. Mieroszewskiego — i ztąd podobno źródło gniewu wypłynęło.

Do osobistych pobudek przyłączyły się także przekonania i poglądy społeczne, polityczne, a poniekąd i filozoficzne hrabiego. Wrzuciwszy to wszystko do lojalnego kociołka, zmieszał on razem i ulepił z tego broszurkę — szczyt ciekawości.

Mocno zmartwiony tem, że istnieją złe dzienniki i złe książki w Galicyi — on sam smakuje w fabrykatach francuskich, — a tem bardziej, że to wszystko przedostaje się do szerokich kół czytelników, „wytwarza filozofów, niedowiarków i socyalistów“ — szuka na to lekarstwa. Pan hrabia proteguje wprawdzie sztukę, a nawet artystki (byle ładne), ale filozofią się brzydzi. Autor nietylko sam gotówby klasyfikować „książki i gazetki“, jak u siebie klasyfikuje zapewne owce i barany, ale każdą pracę publiczną, jej cele, zadania, pożytek — wszystko przymierzyć do korzyści, jakie przynosi dla stronnictwa stańczykowskiego. Chłop na to, według pojęcia takich panów, stworzony, ażeby pracował — dla nich. Wszystko, co tylko sprzeciwia się interesom „własnej strzechy“, — jest złem.

P. Mieroszewski jest tak dalece zwolennikiem „ładu i porządku“, że radby je zaprowadzić i w dziennikarstwie.

„Ażeby podnieść się moralnie“ — powiada — należy zreformować dziennikarstwa, zaprosiwszy do tego dzieła rząd z Wiednia.

Ideałem jego reformy jest — któżby się domyślał! — ograniczenie ilości dzienników. Skasować lub uniemożebnić istnienie takim, które się nie podobają p. hrabiemu, a utrwalić byt tych, które się podobają. Po za tem ukrywa on skromnie jedyną myśl „zdrową“, która w jego broszurze przegląda: że radby sam stanąć na czele takiego dziennika, byle pensya była stosowną do tytułu i godności.

W celu także zreformowania dziennikarstwa p. hrabia radzi: upaństwowienie ogłoszeń i odebranie ich dziennikom drugo- i trzeciorzędnym. „Istnienie dzienników politycznych drugo- i trzeciorzędnych, oparte na inseratach — powiada hrabia — jest wręcz przeciwne interesom społeczeństwa i państwa, bo inseraty są niejako subwencyą, którą społeczeństwo daje — w tym wypadku nieprzyjaciołom porządku społecznego. Inseraty powinno państwo przyznawać tylko organom swoim, rządowym i tylko j a k o t a k i e — ulubione słówka galicyjskie — można je wogóle przy dziennikach pojmować“.

Pan hrabia nie myśli wcale poprzestać na uszczupleniu materyalnych środków dziennika; pragnie jeszcze „obostrzenia ustawy prasowej w tym zakresie głównie, aby dziennik wpierw przeszedł przez ręce radzców z Namiestnictwa, a następnie dopiero mógł być rozesłanym i rozdawanym publiczności“. Dotychczas istnieją tylko kary za pewne przekroczenia prasowe i niszczenie nakładu dziennika, pan hrabia żąda jeszcze wstrzymania wydawnictwa „na 3 dni, 5, tydzień, miesiąc, co do poczytności pisma politycznego (nie lubionego przez hrabiego) z pewnością się nie przyczyni“. Jest on przekonania, że taka, jakiej żąda, ustawa prasowa będzie dopiero rękojmią „zdrowego postępu i prawdziwej wolności“ i da zupełną gwarancyę „utrzymania równowagi społecznej“.

Pomijając rozumowania tego dziwnego okazu. reformatora, przechodzę do dalszych rad w celu „utrzymania porządku społecznego“. Stempel, obecnie istniejący, po cencie od numeru, wydaje mu się za nizkim, żąda więc zwiększenia go do dwóch i przywrócenia niedawno skasowanej kaucyi. W celu ułatwienia rządowi austryackiemu kontroli nad wychodzącemi dziennikami, książkami, drukami itp. należy, według jego projektu, znieść wszelkie prywatne drukarnie, a pozostawić tylko rządowe i j a k o t a k i e uniwersyteckie“. Od tego krok jeden — do upaństwowienia drukarń. „Drukarnie powinny się znajdować pod ścisłą kontrolą władz rządowych i mogłyby drukować tylko

to, coby uzyskało pozwolenie z Wiednia, Krakowa lub Lwowa“.

„Ażeby zapewnić społeczeństwu spokojny rozwój umysłowy i umożebnić zdrowy (koniecznie) postęp“, p. hrabia wiele nie żąda: oto, ażeby w każdym (kraju świa-tły autor nie określa bliżej tego pojęcia) były wydawane tylko dwa dzienniki polityczne: Najchętniej widziałby tylko jeden — „Rządowy dziennik polityczny“, a drugi — „Dziennik krajowy“ „autonomiczny“, pod kontrolą reprezentacyi kraju, tj. wydziału krajowego“. Przy tem piśmie, jako dodatek niedzielny, wydawanoby dla gmin w formie tygodnika, streszczający wiadomości polityczne, a podający w sposób przystępny różne artykuły z rolnictwa i przemysłu.

Pan hrabia, wszakże hołdując systematowi ekonomicznemu p. Dunajewskiego, żąda drobnej kwoty od wszystkich płacących podatki, nie wykluczając naturalnie nie umiejących czytać, na utrzymanie dziennika krajowego i jego kierowników, wstydzących się żebrać.

„Tendencya obu pism — austryackiego i krajowego — byłaby otwartą, rozumną i społecznie zdrową,“ a redaktorem odpowiedzialnym byłby naczelnik władzy rządowej: starosta, delegat namiestnictwa, wiceprezydent i ten odpowiedziałby przed naczelną władzą państwa za kierunek pisma.“

Wówczas dopiero nieszczęsna dzisiejsza Galicya przeobraziłaby się w Arkadyę, gdzie wilcy paśliby jagnięta.

Jeszcze jedno curiozum. Pismo oprócz papieru, atramentu, stempli, kaucyi i zdrowego kierunku potrzebuje także współpracowników. Zkąd ich dostać i jakimi oni być mają? Pan hrabia i tu sobie poradził. Na razie trzeba byłoby zadowolić się skupieniem ludzi „luzem chodzących,“ ale potem — przepraszam! Nie wolno pisać byle komu! P. hrabia radzi zorganizować komisyę egzaminacyjną, któraby brała na pytki pana brata literata lub publicystę i ona dopiero zawyrokowałaby—o wszystkiem. Taka komisya nadałaby z pewnością p. hrabiemu tytuł: „c. k. redaktor uprzywilejowanego dziennika rządowego austryackiego politycznego.“ Wówczas w areopagu sędziów zasiędą łysi radcowie — namiestnictwa, sądu, skarbu, oni wydadzą wyrok, czy jesteś lub nie uczciwym, czy twoja długoletnia nauka coś warta, czy znasz kraj i jego potrzeby, wreszcie czy posiadasz talent literacki lub poetycki!

S. W.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Kartki paryzkie.

(Jasnowidząca z ulicy Paradis. — Cudotwórca Vignes z gór ceweńskich. — Wspomnienie pozgonne profesora Feliksa Lejarsa o Teichmanie. — Teza panny Złotowskiej o zastosowaniu seroterapii w szpitalach francuskich.)

Rue de Paradis — ulica rajska — od jakiegoś czasu w zupełności zasługuje na swą nazwę. Zdaniem łatwowiernych tłumów osiadł bowiem na niej w domu i, co więcej w osobię Henryki Couédon, archanioł Gabryel. Życzliwi reporterzy otrąbili urbi et orbi, jaką specyalność wybrał, a najlepsza stręczycielka: głupota ludzka, ze wszystkich krańców Paryża i Francyi przywiodła mu chciwych rady.

Osoba, w którą zstąpił, liczy lat 24. Ojciec — pisarz u adwokata, matka — kobieta bez żadnego wykształcenia. Tą samą zaletą odznacza się i panna Couédon. Lekturę swą ograniczyła kilkunastu książkami popularnemi, które bywają rozdawane na egzaminach, jako nagrody. Czytuje zapewne brukowe pismo „Le petit Journal“, a silne wrażenie wywarła na nią historya dziewicy orleańskiej. Głównie wspomniane czynniki zawierają jej proroctwa.

Do 5 sierpnia 1894 r. około dziesiątej rano goszcząc u pani O., która także posiadała ongi dar jasnowidzenia, panna Couédon wpadła w ekstazę kilkogodzinną. Ponieważ jednak przez rok zachwycenie nie wracało, zapomniano o niem.

Aliści 5 sierpnia 1895 o tejże godzinie co poprzednio, zwiastun przyszłości znowu zawitał do młodocianej duszy.

Znajomi i nieznajomi dowiedziawszy się, że Henryka Couédon przepowiada przyszłość, jęli zosobna, potem tłumnie zwracać się do niej. Na wiadomość o tem spowiednik rodziny, ksiądz Valadier, zatrwożył się. Któż wie — sądził — czy nie szatan wcielił się w dziewicę. Dnia 17 marca 1896 r. wieczorem odwiedził ją i po rozmowie przeszło półgodzinnej wyszedł zadowolony ze łzami w oczach. Na wszystkie pytania bowiem Gabryel odpowiadał jak najuprzejmiej i z pełną życzliwością. Henryka reporterom podała te, które pamiętała. „Jeślibym miał eucharystyę, cobyś uczynił?“ — pytał duszpasterz. „Ukląkłbym przed tobą“ — brzmiała odpowiedź. „A gdybym ci podał krucyfiks?“ „Ucałowałbym go.“ Więc wszelkie wątpliwości księdza Valadier rozchwiały się i odtąd ani on, ani rodzice Henryki, ani sama panna Couédon nie potrzebują czuć skrupułów religijnych.

Jakich przeto rozkoszy mogą doznawać dzięki temu potomkowie d'Alembertów i Diderotów! Pani X. np., nie powiedziawszy nawet swojego imienia (co zwiększa znacznie cud!), dowiedziała się, że jej były mąż, z którym się rozwiodła, oszukiwał ją!... Pana J., grubego notaryusza z prowincyi, zasmucił Gabryel tąż samą wiadomością, dotyczącą jego — nawet nie rozwiedzionej żony. Kapłan z wioski V. był uprzedzony, że przeniosą go do innej dyecezyi. I przenieśli go! A panu Janowi Sabatier z bulwaru La Tour Maubourg anioł przepowiedział spadek. Większą jednak przysługę uczyniłby wszystkim tym osobom lokator panny Henryki — rzekł dowcipnie Karol Richet — jeśliby odkrył wysokość giełdy za dwa lub trzy dni. Bo bez trudnośct mógłby się znaleźć w posiadaniu kilka milionów.

Przepowiednie polityczne — gdyż i polityką zwiastun nie gardzi są bardzo groźne Francya będzie ukaraną za swą bezbożność' w Paryżu spłonie ratusz i opera, giełda będzie zamknięta. Coś, czego jednak anioł nie umie dokładnie wypowiedzieć, stanie się w budowanym obecnie kościele Serca Jezusowego na Montmartre. Co? Sądzę, że nie trudno domyśleć się, zważywszy inne przepowiednie Gabryela. Wszak przybędzie król, który już nietylko urodził się i dostał ząbki, ale liczy lat trzydzieści, ma nos z garbem i oczy wpadnięte. Nazywa się Henryk, herb lilia. Lecz nie jest nim żaden z dwu żyjących Henryków orleańskich. Przyjdzie z kraju lodowatego. A zatem będzie jego koronacya na Montmartrze.

Prócz tego ujrzymy wówczas podział Anglii (dzwonienie na gwałt przeciw Anglikom w dziennikach francuzkich, Guilbert nawróci się na chrześciaństwo, Feliks Faure dostanie dymisyą, aniołowie będą obcować z ludźmi, słońce zbliży się do ziemi, ale na nią nie spadnie. Lotaryngia w zamian za to będzie przyłączona do Francyi (Alzacya nie) wybuchnie wojna, a w końcu spadnie deszcz ognisty.

Ale przyjrzyjmy się wypadkowi poważnie. Zabawna ta prorokini nie przedstawia nic szczególnego. Wypadki podobne — mówi Richet w bardzo pięknym artykule pisma „Revue scientifique — należą do tak znanych w zakresie zboczeń psychicznych, jak róża, albo złamanie żebra w zakresie patologii. Słowa samej pacyentki rzucają zbyt wyraźne światło na charakter jej słabości. „Kiedy anioł mówi przez me usta — oświadczyła reporterowi Meromu — ja nic nie słyszę. Nie słyszę zarówno pytań zadawanych mu. Wówczas jestem tylko narzędziem, niczem więcej. Osobowość moja znika i dopiero od matki i innych osób dowiaduję się o rozmaitych proroctwach wyszłych odemnie i spełnionych.

Każdy, kto zajmował się psychologią patologiczną, pozna w tym razie dwuosobowość. Usposobienie naturalne, wychowanie, lektura, wreszcie obrazek przedstawiający zwiastowanie i od lat kilkunastu zawieszony nad łóżkiem Henryki, wpłynęły na przemieszczenie ośrodka jej osobowości. Lada wstrząśnienie zewnętrzne, mała pobudka oddziaływają silnie. Człowiekowi pogrążonemu w śnie hypnotycznym, wystarczy, aby dokonać tej przemiany i nadać jej formę dowolną. Uśpiony może przemienić się w pieska, będzie nietylko szczekać, ale jak pies ogryzać świeże kości i za nogę chwytać. Od Azemy, który przed kilkunastu laty przytoczył podobny wypadek, wynikający niezależnie od uśpienia hypnotycznego, w życiu codziennem wielu badaczów europejskich gromadziło podobne fakty. Stany te mogą trwać nietylko kilka godzin, ale kilka tygodni i więcej. Większość czarownic składała się z chorych na dwuosobowość. Nawet bez pomocy patotologii widzimy wypadki dwuosobowości, chociaż niezupełnej. Poeta, wkładając jakąś mowę w usta jednej ze swych osób, zlewa się z nią, traci chwilowo własną osobowość. Mówca, wypowiadając obronę, podstawia siebie zamiast oskarżonego. Mózg Henryki Couédon, gdy stała się „archaniołem Gabryelem“, pracuje nad zachowaniem nowego jej charakteru i snuje nowe przędziwo, chociaż co prawda, bardzo liche [wiekszość wróżb posiada formę dwuwierszów.]

Nie przeszkadza to, aby ją codzień odwiedzały tłumy, a nędzna broszura o niej miała wielkie powodzenie.

Dotknąwszy zapału cudotwórczego, chciałbym powiedzieć słów kilka o innym bohaterze dnia. „Revue des Revues“ umieściła niedawno artykuł o wieśniaku Vignes, hugenocie z wioski ceweńskiej Valias. Jest to starzec liczący 72 lata, w zakres wiezszych nie wkracza zupełnie, poprzestając na leczeniu siłą woli, cytatami z obu testamentów i ostatecznie środkami ludowemi. Przed ćwierć wiekiem zaczął udzielać rad znajomym, rozgłośne jednak imię wyrobił mu dopiero w r. 1895 pastor szwajcarski, Schlachter z miejscowości Biel. Broszura jego zatytułowana: Dobra nowina dla chorych“; wywarła wielkie wrażenie w znacznej części Szwajcaryi i zwiększyła poważnie zastęp chorych, którzy podążali z protestanckiej części Francyi i republiki helweckiej do Valias.

Doktór Pin tak opisuje we wspomnianem piśmie konsultacyą Vignesa:

„Dwudziestu pięciu chorych weszło wraz z przewodnikiem do izby cudotwórcy. Przewodnik wyliczył wówczas choroby pacyentów. Vignes przybrał minę poważną, pełną prostoty i wypowiedział mowę następującej treści:

Jest tylko jeden lekarz: Bóg w osobie Jezusa Chrystusa. Gdy zechcecie go poznać, jemu się oddać, będziecie wyleczeni. Jesus mówił do porażonych niemocą: wstańcie i idźcie, i szli: do ślepych: przejrzyjcie

i widzieli — do głuchych: słyszcie i słyszeli. Tak z wami będzie, jeśli macie wiarę, która i góry podnosi: Idźcie w spokoju i bądźcie uzdrowieni. Chorzy podczas mowy klęczą, następnie całują szaty wieśniaka i wychodzą — uleczeni.“

Młody chirurg i anatom, docent tutejszego uniwersytetu, Feliks Lejars ogłosił w „Revue scientifique“, bardzo serdeczny nekrolog Teichmana. Rozprawa ta pod względem naukowym i co do formy zasługuje na wyszczególnienie.

W czerwcu 1888 r. uczony francuzki, wiedziony rozgłosem słynnego preparatora i badacza ustroju naczyniowego, przybył do instytutu anatomicznego w Krakowie. Szybko staruszek zaprzyjaźnił się z przyjezdnym i „godziny, które z nim spędziłem — mówi Lejars — należą do najmilszych, jakie sobie przypominam.“

Wprowadziwszy czytelnika odrazu w życie Teichmana, autor roztacza potem obraz biograficzny: młodość na wydziale teologii protestanckiej w Doparcie, studya medycyny w Heidelbergu i w Getyndze, podróż po Europie dzięki stypendyum, otrzymanemu tytułem nagrody z uniwersytetu getyńskiego: wspomina o stosunku przyjaznym z Hyrtlem, o długoletnim protektoracie w Getyndze i o przyjęciu katedry krakowskiej 1868 r. Przechodzi następnie do znaczenia jego w anatomii, roztrząsa większość prac drukowanych i oświetliwszy mile swoją rozprawkę kilku anegdotkami, kończy opisem ostatnich dni życia profesora.

Niedawno broniła tezy doktorskiej, pochodząca z Warszawy panna Regina Złotowska. Praca jej: „Seroterapia i jej zastosowanie“, nie zupełnie wprawdzie wyczerpująca, zawiera dość liczne dane, zwłaszcza co do używania surowicy, jako środka leczniczego we Francyi. Nadto autorka podaje historyą nowej metody, opisuje sposób wyrabiania i dołącza kilka własnych spostrzeżeń, dotyczących szczególnie leczenia dyftetytu i wstrzykiwań doktora Marmorka.

W. Bugiel.

Deportacya w Rosyi.

Sprawa deportacyi przestępców w ostatnich czasach na nowo wchodzić zaczyna na widownię dyskusyi publicznej. Z samej natury rzeczy zajmują się nią przedewszystkiem, obok sfer prawodawczych, kryminaliści rozmaitych narodowości. Dwa kongresy kryminalistów, a mianowicie londyński i sztokholmski oświadczyły się stanowczo przeciwko deportacyi jako karze i to głównie z powodu trudności, połączonych z jej wykonaniem. I zeszłoroczny paryski kongres więzienny omawiał obszernie tę sprawę, nie doszedł jednak do jako tako zadawalających wyników. O tyle jednak przyczynił się do lepszego rozświetlenia kwestyi, że ogłosił francuzkie tłomaczenie traktującej o deportacyi pracy znanego rosyjskiego kryminalisty Foinickiego (La transportation russe et anglaise avec une étude historique sur la transportation par Ivan Foinicki. Paris, Lecene, Oudin et Cie., 1895). Bonet Maury, urzędnik w bibliotece francuzkiego „Comité de Législation Etrangere“, wydał dzieło Foinickiego o „teoryi kar“ po części w dosłownem tłomaczeniu, po części w wyjątkach. Były prokurator, a obecny profesor prawa karnego przy uniwersytecie petersburskim, zbadał gruntownie i omówił obszernie dzieje angielskiej i rosyjskiej deportacyi. Gdy jednak o systemie karnym Anglii posiadamy Stephensa „Dzieje angielskiego prawa karnego“ i Aschrott'a pracę o „więzieniach angielskich“, brak nam co do Rosyi na tem polu wystarczających danych.

Wprawdzie znaną jest powszechnie rozgrywająca się na tem tle powieść Dostojewskiego p. t. „Dom śmierci“ i Kennan'a „Syberya.“ Dwa te utwory nie mogą jednak uchodzić za historyczne dokumenty. Zdania rosyjskich kryminalistów na rozmaitych zjazdach były nadzwyczaj sprzeczne. Foinicki natomiast zdumiewa nas nie tylko obfitością materyału statystycznego, ale i szczerością swych poglądów.

Deportacya rosyjska wykazuje dwa kształty, administracyjny i sądowy. Deportacya administracyjna nakazywaną bywa przez władze polityczne i dzieli się na dwa podgatunki, na polityczno-religijne i gminne przesiedlenie. Car stanowi polityczną i religijną głowę Rosyi, i w swych funkcyach reprezentowany bywa przez władze administracyjne. Każdy protest i każdy opór przeciwko jakiemukolwiek politycznemu rozporządzeniu, każde odstępstwo od prawosławia uważane bywa za zbrodnię przeciwko majestatowi i karane przesiedleniem na Kaukaz lub do wschodniej Syberyi. Pięć lat trwa to ograniczenie pobytu na pewien okręg, w obrębie którego pozostawiony jest skazanemu wybór miejsca pobytu i zatrudnienia. Dozór jest surowszy niż nad innymi przestępcami.

Przesiedlenie gminne stanowi instytucyę napotykającą jedynie w anglonormandskiem prawie i to bardzo osłabione podobieństwo. Gminie (mir), która odpowiada za nałożone na pojedyńczych jej członków podatki państwowe, przysługuje prawo przesiedlania niezdolnych do pracy i płacenia jednostek. Ostracyzm ten bywa uchwalony z inicyatywy naczelnika gminy przez dwie trzecie jej członków i przybiera dwie formy. Jeźli zwykle z powodu pijaństwa niezdolna do pracy jednostka zamieszkuje w gminie, wówczas gmina bez wszelkich formalności deportuje ją na pięć lat do Syberyi Zachodniej. Jeźli natomiast członek gminy skazany został za przekroczenie praw sądownie, to wyrokiem sądowym utraca swą przynależność do gminy, może się jednak po nią zgłosić ponownie w 6 miesięcy po upływie kary. W razie odrzucenia jego prośby, wywożony bywa na Sybir i pozostaje tam i po upływie 5 lat, dopóki go nie przygarnie do swego łona jakakolwiek gmina. Fakt, że z tem urządzeniem nie połączone jest zbyt wielkie nadużycie tłomaczy się jedynie tem, że gmina zobowiązana jest do ponoszenia dość znacznych kosztów transportu na Sybir i utrzymywania deportowanego podczas transportu. W roku 1883 wynosiła liczba w ten sposób wygnanych około 6000, nie licząc w to 3500 kobiet i dzieci, które dobrowolnie towarzyszyły swym mężom względnie ojcom na wygnanie.

Skazanie na deportacyę przez sądy zawdzięcza swój początek — tak samo jak w Anglii — potrzebie uwolnienia kraju, a zwłaszcza stolicy od najniebezpieczniejszych zbrodniarzy, zatwardziałych recydywistów. Z czasem jednak zaczęto nadużywać tej kary na cele wewnętrznej i zagranicznej polityki i zdyskredytowano ją doszczętnie. Wywiezionych na Sybir pozostawiono początkowo w zupełności ich losowi, później używano ich do osiedlania i rusyfikacyi nowo zdobytych obszarów. Od połowy 18 wieku używa rząd wygnańców do budowy nowych środków komunikacyi, w fabrykach i kopalniach państwowych. Opracowane przez hr. Sperańskiego projekty reform rozbiły się z powodu braku pracy i kobiet. Dążył on bowiem do urządzenia kolonii przestępców, oddzielnie od osad miejscowej ludności, odstąpił jednak niebawem od tego zamiaru i zadowolił się osiedlaniem przestępców, skazanych na „posielenie“ w istniejących już wsiach. Ale i ten projekt nie udał się z powodu wstrętu miejscowej ludności przed przyjmowaniem przestępców do swych rodzin, a dalej i z powodu lichej wydajności gruntu i braku kapitałów, potrzebnych do racyonalnego prowadzenia roinictwa.

Obecnie odbywa się deportacya w dwojaki sposób. Przestępca skazany bywa albo na ciężkie roboty (katorgę), albo na prostą deportacyę (posielenie). Do katorgi skazuje sąd albo na pewien okres czasu albo na całe życie. Po przejściu fabryk i kopalni państwowych w ręce osób prywatnych, po ukończeniu budowy fortec i kolei państwowych, okazywać się zaczął brak sposobności do pracy. Celem opanowania obfitego napływu więźniów rząd pobudował w okresie od 1870 do 1880 r. więzienia centralne, w których pomieszczano skazanych na deportacyę. Zwiększająca się jednak stale śmiertelność (w końcu 25%) zmusiła rząd do szukania innych środków. Dokupił więc należącą do Japonii połowę wyspy Sachalin w morzu Ochockiem, do należącej już od dawna do Rosyi drugiej połowy i zatrudnia tam wywiezionych przestępców w rolnictwie i w eksploatacyi kopalni węgla. Nieznaczna część skazanych na ciężkie roboty wysyłana bywa do kraju Zabaikałskiego, reszta zatrzymywana w więzieniach centralnych. Na Sachalinie dzielą się przestępcy na trzy klasy o zmniejszającej się stopniowo surowości kary. W klasie II wolno jest więźniowi na gruncie należącym do fabryki lub kopalni wznieść dla siebie i dla swej rodziny domek, i w razie, gdy jest nieżonatym, pojąć żonę. Po jego śmierci domek przechodzi na żonę, jeśli pozostać pragnie na Sachalinie, w przeciwnym razie staje się własnością wspólnego funduszu klasy. Po upływie kary, lub przy karze dożywotniej, po upływie 20 lat, więzień staje się wolnym osadnikiem. Liczba skazanych na ciężkie roboty wynosi rocznie około 1.700 osób; na samym Sachalinie przebywało dnia 1 stycznia 1885 r. 30,004 mężczyzn i 338 kobiet. Przewóz z Odesy do Sachalina, utrzymanie i dozór kosztował państwo w 1889 r. 259.000 rubli, czyli 225 rubli na głowę.

Prosta deportacya bez ciężkich robót wykazuje dwa stopnie, odpowiednio do miejsca wygnania: Zachodnia Syberya (stolice Tomsk i Tobolsk) i Wschodnia Syberya (stolica Irkuck). Wszelkie próby zakładania kolonii przestępców lub osiedlania ich w istniejących gminach chybiły celu. Na nic się nie zdało wyznaczanie nagród dla rodzin, przyjmujących wygnańców do swego grona, na nic zakup młodych dziewczyn u koczowniczych szczepów Syberyi celem zakładania ogniska domowego. Wygnańcy jedynie formalnie przydzielani bywają do pewnych gmin, które ich niebawem wyganiają. Zajmują się oni wówczas żeglugą, rybołówstwem, produkcyą soli i złota, wałęsają się po kraju i stanowią stałe niebezpieczeństwo dla życia i majątku miejscowej ludności. Rząd zaniechał wszelkiego dozoru i w ten sposób cierpi Syberya wskutek ogólnego braku bezpieczeństwa publicznego i olbrzymich wydatków na utrzymanie znacznej liczby strażników, żandarmów, sądów i więzień, co wszystko nie jest w stanie opanować fluktującego bezustannie strumienia zbrodniarzy. Wygnaniec pragnący się osiedlić, otrzymuje od państwa kawał ziemi. Po dziesięcioletnim beznagannym pobycie staje się równouprawnionym członkiem gminy, w której przebywa. Ten przepis przedewszystkiem wywołał opór miejscowej ludności i spowodował proskrypcyę wygnańców. Jeśli się zważy, że wygnaniec, wyczerpany trudami transportu, często ciężko chory przybywa

do Syberyi, tam napotyka na obcy, surowy klimat, i właściwie przez lat dziesięć pozbawiony jest praw wszelkich, to zrozumieć nie trudno wyżej opisane stosunki Syberyi. Koszta przewozu (125 rubli na głowę) ponosi państwo, koszta żywienia więźniów gubernie, przez które odbywa się transport. Ogólne koszta wynoszą 820 franków na głowę. Z 10,000 deportowanych zapada na zdrowiu przecięciowo 2000, umiera 200, a ucieka 350. Trudy transportu są i dzisiaj jeszcze bardzo znaczne, chociaż w ostatnich czasach wskutek używania kolei żelaznych, okrętów i kibitek nastąpiły pewne ulgi.

Gdy Foinicki w dziejach deportacyi rosyjskiej widzi jedynie strony ciemne samej tej kary, spodziewa się jego kolega, prof. Tagancew po radykalnej reformie polepszenia, i przypisuje nie samemu środkowi lecz jedynie sposobowi jego stosowania całą winę niepowodzenia.

Ruch kobiecy na ziemi galicyjskiej.

Lwów, w czerwcu

II.

Zastęp nauczycielek w Galicyi jest spory. W samym Lwowie mamy ich 300, w Krakowie w szkołach świeckich 120, drugie tyle prawie po szkołach klasztornych, a ileż po naszych wsiach, wioskach, przysiółkach, miasteczkach małych i większych! O doli nauczycielstwa galicyjskiego rozwodzono się szeroko i długo w pismach naszych, a nawet w austryackiej radzie państwa, ale pomimo niezliczonych jeremiad, jakie wywodzono nic się dotychczas nie polepszyło w losie nauczycielstwa. — A jakie to stanowisko i uposażenie, osądzi czytelnik sam z tego, co tu poniżej podamy. Nauczyciel po ukończeniu 3 kursów rocznych w seminaryum idzie na bezpłatną praktykę w którejś ze szkół lwowskich a po roku lub 2 latach dostaje 240 złr. rocznie — po kilku latach może zostać nauczycielem młodszym o płacy rocznej złr. 480 a po długoletniej pracy dochodzi do 800 złr. rocznie. Nie byłoby to tak źle, gdyby nie to, że we Lwowie życie jest bardzo drogie, a nadto płace te obniżają się po miastach innych, w miarę malejącej liczby mieszkańców. Po wsiach płacą nauczycielowi po 200 złr. rocznie do 360 złr.

Położenie nauczycielek jest jednakże jeszcze gorsze. Po ukończeniu 4 kursów w seminaryum (4 lata) i po zdaniu egzaminu dojrzałości odbywają one albo praktykę w szkołach lwowskich albo idą na prowincyę. We Lwowie praktykują pięć lat bezpłatnie, to znaczy, że przez te lata żyć muszą jedynie z lekcyj prywatnych, które u nas bardzo licho są płatne. Po odbytej bezpłatnej praktyce otrzymują płacę 240 złr. i to może trwać drugich lat 5, jeśli się nie ma żadnych protekcyi. Nie pomogą zdolności, ni kwalifikacya, choćby najznakomitsza, ani aplikacya. — „Plecy“! to grunt! I dziwcie się, że tyle rozgoryczenia spotyka się u nas. Ta, która nie może reflektować na żadną pomoc ze strony rodziny, wyjeżdża na prowincyę; jest szczęśliwą, jesli się jej uda dostać posadę na małem miasteczku, ale ciężka, bardzo ciężka czeka ją dola, gdy na wsi osiąść wypadnie. Jakie to opłakane stanowisko, świadczą o tem tysiączne przykłady, o których opowiadają sobie ludzie lub piszą, — a pomimo to rady szkolne, nie zdobyły się na postanowienie, żeby na wieś dawać jedynie mężczyzn, zwłaszcza tam, gdzie jest lud ciemniejszy. Parę mil od Lwowa we wsi ruskiej dostała posadę nauczycielka młoda, bo 20 lat życia licząca. Nie podobało się chłopom, że ta pani każe się dzieciom myć, czesać i łatać dziurawe ubrania, — wymagania te wydały się im tyranią nie do zniesienia, — zatem postanowili rozprawić się z nauczycielką i doraźny sąd utworzyć... Nie długo się naradzali, napadli na nią z kijami i puścili ledwo żywą. Prawda, że sprawą tą sąd się potem zajmował, ale faktu cofnąć nie zdołał. A ileż to razy pijany pan wójt z kilku radnymi ze wsi wpada do klasy podczas nauki i wymyśla w obec przelęknionych dzieci nauczycielce?! Wszystkie w ogóle ujemne wypadki tego rodzaju przemawiają stanowczo zatem, żeby posady po wsiach nadawać mężczyznom, którzy w trudnych warunkach prędzej z chłopami radę sobie dadzą od kobiet.

Nauczycielki w Galicyi, zwłaszcza dobre Polki, spełniają często swe obowiązki z prawdziwem kapłaństwem. Powiecie: pracują dla chleba. Prawda! c h l e b, to nieodzowny warunek życia, ale zaręczam wam, że są kapłanki, nawet w tych naszych czasach pozytywnych i materyalistycznych. — Znam wiele takich, które jak o raju marzyły o tem, że zaraz po skończeniu seminaryum pojadą na wieś między lud z pochodnią wiedzy i oświaty, że życie całe dla ludu pracować będą. Z rozrzewnieniem serdecznem patrzyłam na te młode adeptki ciężkiego nauczycielskiego zawodu — i życzyłam im szczęścia. Szczęścia? Tak to znaczy, żeby miara rozczarowań zawodowych była dla nich jak najmnjejszą, żeby zaczęły jak najpóźniej opadać listki z tego wspaniałego kwiatu wiary w dobre, który im w duszy rozkwitał. I cóż się stało? Niestety.. pozostały tylko rozbitki.. ocalało nie wiele. Jedne z gorszych miejsc dostały się na lepsze, drugie, dzięki silniejszej organizacyi fizycznej, przetrwały złe i jakoś ciągną ze spokojem i rezygnacyą taczkę żywota, ale ileż to było takich, które ponmierały z niedostatku?! Znałam ich wiele, nawet koleżankę moją z ław szkolnych spotkał los taki..., w tydzień po jej śmierci doniesiono mi, że ciało w kostnicy leżało trochę zadługo, bo nie było grosza na trumnę. Przypomniało mi się życie tej dziewczyny. Smutne to było kołatanie się w łodzi życiowej, w której żeglować tak ciężko, tak bardzo ciężko, a morze tak niebezpieczne, takie straszne bywa, zwłaszcza dla dziewczyny-sieroty. Inne z tych idealistek, nie mając tyle hartu, skwitowały ze swych aspiracyi wyższych i powychodziły za mąż najgorzej, bo za ludzi o poziomie umysłowym więcej niż małym, — inne jeszcze zgorzkniały. a kilka tylko w tej twardej szkole życiowej zahartowało się i dziś mówią z dumą: „Przebyło się dużo złego, do wielu rzeczy przywykło się — ale za to lat się nie zmarnowało: Patrzcie dzisiaj na tę wieś! Porównajcie ją z tem, co było przed laty dziesięciu!“ W istocie miały się czem chlubić. Przez jakież to piekła przejść musiały! Niedola, nieufność ludu, grubiaństwa miejscowego nadzoru szkolnego, często przeważnie z chłopów złożonego, a w końcu inspektorowie okręgowi, pomiędzy którymi bywają tacy, których inaczej nazwać nie można, jak egipską plagą. Szczęśliwa nauczycielka, jeśli natrafiła na ludzi porządnych, przyzwoitych, ale ilużto bywa między nimi ludzi bez wartości, pragnących podwładną zamienić w zmysłów zabawkę. Wszędzie ta sama historya... wszędzie spotka się, *la bête humaine* Zoli, — zwierzęta w skórze człowieka.

Tak się przedstawiają nasze stosunki nauczycielskie. W czasie obecnym pośród nauczycielek we Lwowie zapanował ruch niezwykły. Wywołany on został okólnikiem rady szkolnej okręgowej (miejskiej), która przekonawszy się, że przyjęła do szkół lwowskich o kilkadziesiąt praktykantek więcej, aniżeli zamierzała, postanowiła usunąć je, chociażby po kilku latach służby we Lwowie. Wywołało to alarm, i młode nauczycielki a raczej fabrykantki z niebywałą dotychczas solidarnością zabrały się do akcyi obronnej. Energiczniejsze zapoczątkowały czynności, które podjąć należało w celu ratowania się, i tak stanęła petycya, podpisana stukilkudziesięciu podpisami, wręczona przez delegatki reprezentantom władz szkolnych. Nadto dzielne pracowniczki kazały petycyę w stu egzemplarzach wydrukować, potem na grupy się podzieliwszy pukały do stu radnych miasta Lwowa i każdemu jeden egzemplarz tej petycyi wręczyły. Brzmienie petycyi jest następujące: (podajemy ją, jako wyborne przedstawiającą stosunki nauczycielskie lwowskie).

Swietna Reprezentacyo miasta! — Podpisane, płatne i bezpłatne praktykantki w szkołach miejskich we Lwowie, którym reskrypt Rady szkolnej krajowej grozi usunięciem z zajmowanych dotychczas miejsc, wnoszą prośbę o rozpatrzenie ważnych powodów, nie dozwalających im przesiedlenia się na prowincyę, — a temsamem proszą o pozostawienie ich w szkołach lwowskich. Prośbę swoją popierają następującemi motywami: a) Pracując gorliwie, od 3 do 9 a nawet 10 lat bez awansu, spodziewałyśmy się, że praca nasza zostanie uznaną prędzej czy później — a praca to nie łatwa, połączona z obowiązkiem zdawania egzaminów kwalifikacyjnych i wydziałowych, bo i te są dla nas obowiązkowe, jakkolwiek nauczyciele mogą je zdawać dowolnie i z pomocą kursów przygotowawczych, dla nas niedostępnych. Dodać musimy, że nawet przeniesione do szkół męskich, podejmowałyśmy się tych trudnych obowiązków, — b) Odbywając praktykę od 3—5 nawet lat zupełnie bezpłatnie otrzymywałyśmy następnie tak małą płacę, że ona żadną miarą wystarczyć nie mogła na najskromniejsze nawet utrzymanie, musiałyśmy więc udzielać lekcyi prywatnych, które tak wiele czasu i zdrowia pochłaniają, a tak małe i niepewne przynoszą dochody. c) Pomimo tych trudnych warunków nie mogłyśmy jednakże przenieść się na prowincyę, gdyż na to nie pozwalały, a tembardziej teraz nie pozwalają nam stosunki rodzinne. — Jedne z nas bowiem pomagają osiedlonej tu rodzinie, innym rodziny dają pomoc i opiekę, której nie mogą się pozbawić przez wyjazd. d) Gdyby to było dla nas możliwem, byłybyśmy zaraz po maturze wyjechały na prowincyę, gdzie otrzymałybyśmy odrazu płacę a po dwuletniej praktyce i egzaminie kwalifikacyjnym posadę stałą, a jednak musiałyśmy się zgodzić na tyloletnią praktykę, podczas której jedyną dźwignią moralną dla nas było najgłębsze przekonanie, że stablizacya we Lwowie nas nie ominie, jak tego przykład miałyśmy na koleżankach. e) Regulamin przeznacza praktykantkom 12 godzin zajęć tygodniowo, jednak w rzeczywistości mają one ich daleko więcej, gdyż zastępują nieraz całemi miesiącami bez żadnego wynagrodzenia chore nauczycielki, gospodynie klas i, jak wizytacye inspektorów wykazały, bez żadnej szkody dla nauki, niektóre nawet samoistnie prowadzą klasy. Z usunięciem praktykantek straciłoby więc i szkolnictwo, gdyż pozbyłoby się ukwalifikowanych i posiadających rutynę nauczycielek, zastępując je coraz to nowemi siłami nauczycielskiemi. f) W ewentualnym razie usunięcia nas ze szkół lwowskich, musiałybyśmy się wyrzec służby nauczycielskiej, a byłoby to dla nas niepowetowaną krzywdą, bo do żadnego zawodu innego nie posiadamy kwalifikacyi, musiałybyśmy się więc sposobić do innych zawodów w tak spóźnionym i na rozpoczęcie ponownego, specyalnego kształcenia się nieodpowiednim wieku“.

Tak się przedstawia petycya, która jest już w ręku władz i u radnych. Oby tylko dobry, pożądany odniosła skutek. Na dzisiaj dosyć już pogadanki, a na przyszła przygotuję rzecz o ruchu literackim wśród kobiet w Galicyi.

J. Aleksota.

WOLNE GŁOSY.

Z poważnego źródła odbieramy artykuł następujący:

Nasza „inteligencya“.

Wyraz inteligencya ma, jak wiadomo, podwójne znaczenie. Właściwie oznacza rozum, wykształcenie, bystrość, zdolność, — a przenośnie i zbiorowo oznacza tę klasę osób, które posiadają powyższe zalety, lub o których się przypuszcza, że z powodu swego wykształcenia szkolnego przymioty te posiadać mogą i posiadać powinny. Dzisiaj używa się tego wyrazu zazwyczaj w owem przenośnem znaczeniu i o tej inteligencyi naszej pragnąłbym tu kilka słów powiedzieć.

Tego pojęcia inteligencyi, jako pewnej klasy w łonie społeczeństwa, dawniej wcale nie było. Dzieliło się dawniej społeczeństwo na stany: był stan duchowny, była szlachta, był stan mieszczański i był lud wiejski. Byli ludzie mniej lub więcej inteligentni we wszystkich tych stanach, były w każdym z tych stanów stopnie i odcienie, ale nie mówiono o inteligencyi, jako o osobnym odłamie, jako o osobnej klasie społecznej. Jestto wyrób nowszych dopiero czasów. Szranki, dzielące dawniej jeden stan od drugiego, upadły głównie pod wpływem rewolucyi francuzkiej. U nas konstytucya 3go maja zrobiła pierwszy wyłom w tym murze, dzielącym różne stany, — reszty dokonały: ogólny postęp, uprzystępniona wszystkim oświata, wreszcie stosunki nasze polityczne, niwelujące wszystkie różnice stanowe wobec ciążącej na całym narodzie zależności od obcej przemocy.

Ale przez dłuższy jeszcze czas nie wyrobiła się u nas „inteligencya“ jako odrębny odłam społeczny. Pierwszym wybitnym reprezentantem takiej inteligencyi był u nas Karol Marcinkowski. Ani wskutek swego urodzenia, ani wskutek majątku lub urzędowego stanowiska, lecz dzięki jedynie swej inteligencyi, swej dzielności umysłu i charakteru zajął on pierwszorzędne w społeczeństwie stanowisko i starczył sam jeden za wielu, wypełniał sam to, co w innych narodach spełniała w owym czasie cała liczna klasa inteligencyi. Zrozumiał on też jasno, że społeczeństwo nasze, jeżeli się ma normalnie rozwijać, potrzebuje całego szeregu inteligentnych ludzi, potrzebuje „inteligencyi“ w dzisiejszem jej znaczeniu, — i w tej myśli stworzył wiekopomne swe dzieło: Towarzystwo Pomocy Naukowej.

Jest to w przeważnej części jego zasługą, jest zasługą stworzonego przez niego Towarzystwa, że Wielkopolska ma dzisiaj cały szereg ludzi światłych, wykształconych, że możemy już dzisiaj mówić o inteligencyi, jako o oddzielnym odłamie społecznym, a rekrutującym się ze wszystkich warstw społecznych.

Przypatrzmy się teraz bliżej, jaką nasza dzielnica ma dzisiaj „inteligencyę“.

Niewątpliwie zaliczyćby do niej należało cały stan duchowny. Od kilkudziesięciu lat każdy ksiądz musi u nas ukończyć nauki gimnazyalne i odbyć następnie studya specyalne w seminaryum, które zastępują studya uniwersyteckie i akademickie innych zawodów. To też nietylko ze swego stanowiska wobec społeczeństwa, mianowicie wobec ludu, i nietylko wskutek swego niezależnego pod względem materyalnym stanowiska, ale i z powodu swego wykształcenia jest stan duchowny potężnym u nas czynnikiem, wywierającym wpływ bardzo wybitny na ustrój i rozwój naszych stosunków. Z uznaniem też zaznaczyć należy, że stan duchowny w przeważnej swej części niezapoznaje i niezaniedbuje płynących ztąd obowiązków swoich wobec narodu. Widzimy duchownych biorących gorliwy udział w sprawach ogólnych, politycznych i społecznych, widzimy z nich wielu nietylko między pracownikami ale i między kierownikami naszych instytucyi społecznych, Kółek rolniczych, Towarzystw przemysłowych, Spółek zarobkowych i innych, słowem spotykamy ich wszędzie, gdzie chodzi o dobro narodu.

Wobec tego wszystkiego jednakże nie należy spuszczać z oczu dwóch względów — i to najprzód, że bądź co bądź głównem zadaniem duchowieństwa jest i będzie zawsze piecza duchowna około poświeconych jego opiece parafii — i że temu zadaniu przedewszystkiem poświęcać się musi, — a powtóre, że w całości swej tworzy duchowieństwo stan odrębny w narodzie, z własną, odrębną organizacyą, a z jednolitym z góry kierunkiem. W interesie i całego narodu i samego stanu duchownego pragnąć należy, aby interesa narodowe nigdy się nie rozchodziły ze specyalnemi interesami stanu duchownego, aby nigdy między jednemi i drugiemi dążeniami nie zachodziła kolizya. To jest idealny stan rzeczy, — tak zawsze być powinno. Ale trudno zamykać oczy na to, że może też być inaczej. Mogą zachodzić i niestety zachodzą też rzeczywiście takie stosunki, że najwyższa władza dyecezyalna nie tylko jest obojętną na dążenia narodowe całego społeczeństwa albo przeważnego odłamu tegoż, ale jest im wprost niechętną i nieprzyjazną. Tam kolizya jest nieunikniona, a biada społeczeństwu gdyby w takich chwilach i okolicznościach nie miało innych przewodników, niż stan duchowny, bo tenże nawet mimo najszczerszej chęci, mimo odmiennego zupełnie przekonania i uczucia mógłby być skrępowany wskazówkami z góry lub wprost rozkazami swej władzy, której w pewnych granicach słuchać musi.

W naszych przeto stosunkach — a nie mam tu na myśli specyalnie ani wyłącznie W. Ks. Poznańskiego — nie byłoby wcale pożądaną rzeczą, aby ster spraw publicznych i społecznych, a wogóle ster spraw świeckich trzymało w ręku duchowieństwo, jakkolwiek, jak to już wyżej zaznaczyłem, z wszelkiem uznaniem i wdzięcznością przyjąć należy obywatelski współudział duchownych w pracach narodowych.

Nasuwa się teraz pytanie, czy tak samo, jak stan duchowny, możemy szlachtę uważać za reprezentantkę „inteligencyi.“ Stanowczo odpowiedzieć należy, że nie! Pojęcie szlachty, jako odrębnego stanu społecznego, jest już wogóle u nas anachronizmem. Nie mówiąc już o Szląsku ani o Prusiech Zachodnich, my szlachty — jako odrębnego stanu społecznego — już nawet w W. Ks. Poznańskiem nie posiadamy. Szlachcic — a dziedzic, czy właściciel ziemski — były dawniej pojęciami identycznemi. Dzisiaj atoli mamy między dziedzicami wielu nie mogących się wylegitymować ze szlachectwa ani wogóle nie mających do tego pretensyi, — jak odwrotnie mamy wielu herbowych, karmazynów i szaraczków we wszystkich zawodach i sferach, nie wyjmując nawet prostych robotników. „Szlachectwo“ jest już dzisiaj tylko zabytkiem historycznym, pamiątką rodzinną, której pielęgnowania i cenienia nie należy nikomu brać za złe, chociaż nie ma ono już dzisiaj żadnego praktycznego znaczenia. Wyróżnianie się z tego powodu, wszelka pretensyonalność z tego tytułu — byłyby wprost śmieszne, ale też takich osobników, którzyby z tej racyi uważały się za jakąś wyższą, uprzywilejowaną klasę, jest już u nas bardzo mało.

Skoro zaś nie ma już u nas szlachty, jako odrębnego, uprzywilejowanego stanu, któryby sobie z tego tytułu rościł pretensyę do przewodnictwa, to też wszelką walkę ze szlachtą uważaćby trzeba za rzecz śmieszną, za donkiszoteryę.

Pojęcie „szlachcica“ zastąpiło u nas w praktycznem życiu pojęcie „dziedzica“ czy „obywatela wiejskiego“, i możnaby dziś mówić chyba o „stanie dziedziców“ ale już nie o „stanie szlacheckim“.

Całego dzisiejszego stanu dziedziców także nie można uważać za reprezentanta naszej „inteligencyi“. Mamy wśród tej sfery wielu ludzi światłych i bardzo inteligentnych, wielu takich, którzy pokończyli nie tylko szkoły średnie, ale uniwersytety i różne wyższe zakłady naukowe, — ale całego stanu obywateli wiejskich do „inteligencyi“ zaliczać nie możemy. Owych jednakże wybitniejszych reprezentantów zawodu rolniczego, o których wyżej mówiliśmy, słusznie zaliczać należy do „inteligencyi“ w ściślejszem znaczeniu, i mówiąc o tejże inteligencyi, zaliczać ich też do niej będziemy.

Że i między kupcami i przemysłowcami mamy coraz więcej światłych i wykształconych ludzi, których tak samo, jak wielu dziedziców do „inteligencyi“ zaliczać należy, o tem powszechnie wiadomo. Tak samo i między gospodarzami włościańskimi — dzięki pracy Kółek rolniczych — wyrabia się coraz więcej ludzi światłych z jasnym poglądem na sprawy publiczne. Ale bądź co bądź są to na wielkim obszarze sfer kupieckich, przemysłowych i rolniczych wyjątki — „rari nantes in gurgite vasto“. Ogół tych zawodów wiele jeszcze nad sobą pracować musi, zanim stanie na równi z pokrewnemi zawodami u innych narodów. Postęp znaczny — ale do celu jeszcze daleko. Z drugiej jednakże strony to zaznaczyć należy, że reprezentanci inteligentni tych właśnie sfer przez swój więcej wyrobiony zmysł praktyczny mogą na bieg spraw publicznych bardzo korzystny wpływ wywierać.

Przechodzę teraz do zawodów, które dostarczają najwięcej składników naszej inteligencyi — tj. do profesorów, prawników, lekarzy, aptekarzy, architektów, inżynierów, wreszcie wykształconych literatów, dziennikarzy i artystów. W zwykłem, potocznem użyciu rozumie się przez inteligencyę reprezentantów tych właśnie zawodów, — zawodów ściśle naukowych.

Ciekawą byłoby rzeczą zestawić statystykę tej właśnie inteligencyi w zaborze pruskim. W braku takowej nie mogę operować dokładnemi liczbami, ale sądzę, że bez przesady można reprezentantów tej inteligencyi, włączając kwalifikujące się tutaj osoby z innych zawodów, liczyć na kilkaset.

Zachodzi teraz pytanie, czy ta inteligencya — w stosunku do swego wykształcenia, do swego stanowiska społecznego, a wreszcie i zasobów materyalnych — zajmuje odpowiednie miejsce przy sterze spraw społecznych, — czy razem wzięta posiada przynajmniej tyle wpływu na sprawy publiczne, ile go miała swego czasu jedna potężna indywidualność — Karól Marcinkowski. Odpowiedź bodaj wypaść musi przecząco.

Jeżeli się zapytamy o przyczynę tego zjawiska, to nie należy jej upatrywać w braku sił lub zdolności, lecz w braku porozumienia się, w braku organizacyi. Cząstka tej inteligencyi próbowała zorganizować się przed dwoma mniejwięcej laty — i z dobraniem inteligentnych żywiołów ze wszystkich niemal sfer społecznych założyła „Przegląd Poznański“, — z niemałą ofiarą zasobów pieniężnych.

Zdaniem mojem popełniła jednakże ten błąd, iż obiecywała sobie za pomocą pisma stworzyć organizacyę i szeregowanie inteligencyi, — kiedy należało raczej zacząć od organizacyi, którąby dopiero stworzyła pismo, jako swój organ, albo przynajmniej rozwinąć działalność równocześnie w obu

kierunkach. Były wprawdzie propozycye ku temu, ale nie zostały wykonane. „Przeglądowi“ jednakże należy bądź co bądź przyznać zasługę, że utorował drogę ku temu, że do pewnego stopnia zszeregował i skupił w koło siebie dość liczny zastęp inteligencyi. W braku atoli rzeczywistej organizacyi nie zdołał wywrzeć wpływu wyraźniejszego na bieg spraw publicznych — i stanął wreszcie wobec trudności materyalnych, kwestyonujących nawet byt jego.

Od czasu założenia „Przeglądu“ zmieniły się stosunki nasze pod niejednym względem. Rozwiały się marzenia optymistów politycznych, rozjaśniły się pojęcia i wyrobiło i umocniło się przekonanie, że każdy naród, a szczegółowo nasze polskie społeczeństwo pod panowaniem niemieckiem, jedynie na własne siły liczyć może i powinno, jako też że jedynie wtenczas zdoła obronić swe ideały narodowe i przeprowadzić swe odrębne zadanie i dążenie, jeżeli do współudziału w tej pracy powoła i przygotuje w s z y s t k i e warstwy, jeżeli w całym narodzie — począwszy od wierzchołków aż do najprostszego robotnika — rozbudzi poczucie narodowe, poczucie praw i obowiązków, jeżeli je uświadomi i wdroży do samodzielnego pełnienia obowiązków — przejąwszy się przekonaniem, że to jedynie, ale też to stanowczo prowadzi do zwycięstwa.

Z drugiej strony w obozie naszych przeciwników politycznych powstała organizacya, która nie wywiesza wprawdzie na swym sztandarze naszej zagłady, ale z żelazną konsekwencyą do niej dąży i prowadzi, i która niewątpliwie przyniosłaby nam niepowetowane szkody i poczyniłaby dotkliwe szczerby w naszych szeregach, gdybyśmy się tym zabiegom przypatrywali spokojnie i z założonemi rękoma, gdybyśmy tej organizacyi nie przeciwstawili własnej i gdybyśmy temu naciskowi należytego nie dali odporu.

Przeciwnicy nasi przyszli, jak się zdaje, do przekonania, że zgermanizowanie ludu naszego jest mrzonką. Nie dokazały i nie dokażą tego ani różnorodne specyalne prawa, ani też szkoła, nie dokazałoby nawet tego duchowieństwo, gdyby — czego nie przypuszczamy — zaprządz się miało w rydwan tej polityki. Przeniesiono więc walkę na pole ekonomiczne. Słabemu społeczeństwu trudno bronić swych skarbów narodowych, — chodzi więc o osłabienie nas o podkopanie naszego bytu materyalnego. Ten system dzisiejszej walki zawiera dla nas głęboką nauką i powinien nam być bodźcem i wskazówką własnego dalszego postępowania i organizowania się.

Chwila dzisiejsza jest bardzo ważna. — Powyżej przytoczone okoliczności zmuszają nas do lepszego zorganizowania się, jeżeli nie mamy uledz naciskowi. Obowiązek zaś inicyatywy do zorganizowania się ma przedewszystkiem inteligencya. Jeżeli nie spełni tego obowiązku, jeżeli nie wytęży wszystkich sił w kierunku obrony naszych interesów, to ciężka na nią spadnie odpowiedzialność wobec całego narodu i jego przyszłości.

Wytyczne tej organizacyi wynikają z owych dwóch wyżej wymienionych okoliczności: z potrzeby wzmocnienia naszej obrony wobec zewnętrznego nacisku — i z konieczności powołania do niej i odpowiedniego przygotowania wszystkich sfer naszego społeczeństwa. Organizacya powinna więc być przeprowadzona w kierunku ludowym, na podstawie demokratycznej, powinna objąć wszystkie warstwy naszego społeczeństwa i wszystkie dziedziny życia społecznego — a powinna się gruntować na przekonaniu, że naród jedynie własną siłą stać może — i że taka organizacya — oparta zresztą ściśle na legalnej podstawie, — zwalczy wszystkie przeciwności i zakończyć się musi zwycięstwem dobrej i słusznej sprawy.

Zanimby jednakże inteligencya przystąpiła do przeprowadzenia takiej ogólnej organizacyi, ma bliższe zadanie — zorganizowanie własnych szeregów. Do tej organizacyi nawołujemy dzisiaj inteligencyę naszą.

* *

W sprawie stronnictwa demokratycznego.

Z Szląska polskiego.

Szanowna Redakcyo! Jakkolwiek w ostatnim num. „Przeglądu“ wyrażone życzenie nadsyłania wiadomości o lokalnych stosunkach partyjnych wyraźnie do Księstwa i Prus ograniczono, odzywam się ze Szląska polskiego, przekonany, że stronnictwo demokratyczne przy zakładaniu swych fundamentów Szląska nie pominie, lecz owszem w miarę rozwoju budzącej się samowiedzy narodowej dokona i w politycznym względzie tego, co dotychczas ledwie na papierze figuruje — połączenia się Szląska z resztą Polski.

Demokratyczne hasła, z któremi nowe stronnictwo do walki stawa, nie mogą na Szląsku przebrzmieć bez echa. Nie ma bowiem chyba dzielnicy polskiej więcej demokratycznej nad Szląsk. Arystokracya szląska znaczy tyle, co niemiecka — a więc wroga i taka, która w naszej statystyce nie wchodzi wcale w rachubę. Nawet i o mieszczaństwie zupełnie to samo można powiedzieć, bo te początki nieledwie nam w oczach i na poczekaniu tworzącego się mieszczaństwa polskiego nie są tak liczne, by przy obliczaniu sił narodowych osobno na uwzględnienie zasługiwały. Jednostki te składają się przeważnie z emigrantów Wielkopolskich, z których ani jeden dla własnej przyjemności rodzinnej strony nie opuszczał, lecz gnany twardą koniecznością szukania chleba; każdy z nich należy do tej klasy arystokracyi pracy, która powstaje nie z soli ani z roli, ale z tego co to boli. Jak w ogóle poza kraj wychodzą z natury rzeczy, tylko dzielniejsze jednostki, a pomiędzy nimi najdzielniejsze tylko zdobywają dla siebie w obec obcej i nieufnej lub wręcz nieprzychylnej ludności jakie takie stanowisko, więc i my tu na Szląsku mamy wielu ludzi dzielnych, którychby i sam Poznań nam mógł pozazdrościć. W nowszym czasie w szeregi polskich przodowników na Szląsku sporo rodzimej inteligencyi napływa i zdaje się, że dziś te czasy, kiedy to w kołach rządowych się może łudzono, że ruch polski da się powstrzymać i wyniszczyć, bezpowrotnie minęły.

Przodownicy polscy tu tylko bardzo odosobnieni i jak gdyby dla utrzymania nasienia polskiego na Szląsku, przez Opatrzność nader rzadko rozsadzeni, na jakiś związek i łączność w sprawach narodowych dotychczas się nie zdobyli. Stan obecny prędzej czy później, w ten czy ów sposób zakończyć się musi. A może to natychmiast w najlegalniejszy na świecie sposób się odbyć, jeżeli się zdobędziemy na komitet centralny polski. Biorąc w dotychczasowym ruchu demokratycznym udział czynny, zauważyłem z jednej strony niezaprzeczoną dążność do rozprzestrzenienia granic naszej działalności politycznej, z drugiej strony jednak nie obce mi również względy przeciwko centralizacyi takiej przemawiające.

Opozycya stara się wymownie uzasadniać twierdzenie, że na Szląsku z Centrum zrywać nie można. Nieznając własnych sił, przecenia ona wpływy przeciwników i zdaje jej się, że bez pomocy tych kilku niewyraźnych Centrowców, własnego kandydata pod nowem hasłem nie przeprowadzi, — więc za sobą mostów popalić się lęka. Jest także wielu i takich, co wierzą nieugięcie w to, co w nich wmówiono, tj. że centrum dotychczas dobrze broniło interesów polskich i że i nadal tego uczynić nie omieszka. Nikomu przekonania mego nie chcę narzucić, tylko tylko po raz niezliczony powtarzam, że tak jak Polak z Niemcem. tak samo polski Szlązak z niemieckim ultramontaninem nader często zgodzić się nie może, a o tem, jak centrum interesów swych polskich wyborców broniło i broni, różnie kroniki pisały. Wierzę ja chętnie, że niejeden głos by nam tu odpadł, gdybyśmy pod nowem hasłem i w łączności z resztą Polski w pruskim Zaborze do walki wyborczej stanęli, lecz i w to wierzę, że nie oglądając się na tę garść „niewyraźnych“, którzy wbrew Centrowym kartelom z Bismarckowcami i liberałami ślepo wierzą centrowej partyi, daleko intenzywniej walczyć i daleko skuteczniej naszych śpiących rycerzy budzić moglibyśmy. Co do mnie nie obawiam się mniejszych sukcesów bez i przeciw Centrum, byle tylko zgodnie i karnie wystąpić.

Ale zresztą to wszystko pominąć można. Z łączności Szląska z Wielkopolską w razie akcyi wyborczej nie wynika bynajmniej konieczność rugowania tego, co jest obecnie. W Komitecie wyborczym centralnym zasiedliby najprawdopodobniej ci sami ludzie jako delegaci szląscy, którzy dziś tutejszym ruchem kierują. Gdyby więc nie miano się zgodzić na bezwzględną łączność i nie chciano na Szlązku stawiać kandydatów stronnictwa demokratycznego, to i wtenczas nic nie przeszkadza wybierać tak jak dotychczas własnych kandydatów do Centrum. W każdym razie nagnałaby łączność Szlązka z Wielkopolską panom centrowcom więcej respektu przed ludem górnoszlązkim i w każdym razie możnaby za udzielenie pomocy w jednem miejscu uzyskać pomoc na innem miejscu, chociażby w Poznańskiem lub w Prusach Zachodnich.

Wielu z naszych polityków szląskich obawia się, nie bez słuszności zresztą, łączności nie tak dalece z Wielkopolską, jak raczej z polityczną reprentacyą tejże, t. j. z Kołem w dzisiejszym jego składzie.

Z okazyi głosowania „koła“ za projektem wojskowym mianowicie, przychodziło tutaj pomiędzy pojedyńczymi „politykami“ do wymiany zdań, przyczem przeważało przekonanie, że w obec takiego postępowania Koła, zgoła mowy być nie może o tem, aby w danym razie jeden lub drugi z naszych polskich posłów szląskich mógł się przyłączyć do Koła. Wyrażano tu bez zastrzeżeń przekonanie, że Koło gotowe dla pierwszych lepszych złudnych widoków lub elastycznych przyrzeczeń natury separatystycznej, postąpić przeciwko woli wyborców i interesa ich, mianowicie interesa wyborców szląskich, wprost zdradzić.

Lękliwszych ludzi straszy jeszcze i wzgląd na sfery urzędowe, które oczywiście połączeniu się Szląska z Wielkopolską w każdy możliwy sposób starają się przeszkodzić. Ostrożni ci politycy obawiają się rząd jątrzyć i do nowych przeciwko nam wycieczek wyzywać.

I to są płonne i niczem nieuzasadnione obawy. Rząd pozostanie zawsze jeden i ten sam, — tak dziś jak jutro chciwy zagłady naszej. Każda godzina nowym jest dowodem krzyżackich intencyi, — więc na bok wszelkie złudzenia! Toż policya poznańska podobno dała do zrozumienia, że sierpniowy zlot Sokołów na większe jeszcze natrafi trudności, niż ograniczenie liczby uczestników z Galicyi, jeżeli szląscy druhowie poważą się doń przyłączyć.

No, druhowie! sądzę, że to jako próbka rządowych intencyi wystarczy. Galicyjscy

Sokoli, spodziewam się, będą umieli się postarać o satysfakcyę u rządu austryackiego, który przy okazyi niemieckich Ganturnfestów w Austryi, będzie mógł nawet dotkliwiej zapłacić za niemiecką gościnność, jeżeli cała ta sprawa na pokojowej drodze się nie załatwi i Niemcy zakazu nie cofną.

A o jakiej satysfakcyi pomyślą druhowie szląscy? Czy polski Szląsk nie odczuł policzka mu wymierzonego pod adresem Sokołów?

Nie łagodnością i uległością droga do zwycięstwa z tak wielmożnym sąsiadem, lecz także — ością, ale w gardle.

Chim.

TO I OWO.

Poeci niegdyś a dziś.

Aleksander Świętochowski tak charakteryzuje różnicę między dawnymi a tegoczesnymi poetami w nr. 23 warszawskiej „Prawdy“:

„Poeta romantyczny był ptakiem, był orłem, przebywającym na skałach i bujającym w podniebiu lub jaskółką nie umiejącą chodzić po ziemi i krążącą ustawicznie nad nią: poeta tegoczesny posiada również skrzydła, ale przypinane, gdy potrzebuje wznieść się, przyczepia je, — padłszy na ziemię odejmuje i chodzi jako beznlotek. Talent jest to siła żywa, która zależnie od warunków rozwoju i działania może zmieniać swoją naturę i natężenie. Gdyby Mickiewicz był dziś między nami, pisałby również piękne utwory, ale nie piastowałby w sobie żadnego kapłaństwa: uczęszczałby na rauty i bale, rozprawiałby szeroko o wpływie rowerów na zdrowie ludzkie, grałby w winta i totalizatora, spotykałby się w jakiejś knajpie z przyjaciołmi i zjadałby z nimi codzienną porcyę plotek. Bo do takiego życia usposabia, niemal zmusza literacko-artystyczna atmosfera Warszawy. Nie wiem, jak tę atmosferę odmalują potomnym pamiętnikarze; wątpię jednak, ażeby oni w niej odnaleźli jakieś źródła daleko sięgających prądów, jakieś pierwiastki przyszłości, coś co w historyi wszystkich oświeconych społeczeństw i naszego stanowi znamienne wyrazy osobnej epoki. Literaci i artyści warszawscy oddychają tem samem powietrzem, co filistrzy najpospolitszego gatunku, niczem się od nich nie różnią — ani stósunkami, ani upodobaniami, ani zwyczajnym biegiem myśli. W tym wszystkim potoku nurzają się nawet najlepsi z nich. To też nieraz dziwić się trzeba, jakim sposobem oni — o ile nie usunęli się w samotność lub obczyznę, mogą ocalić swe umysły od zupełnego wyjałowienia, jakim sposobem zdołają wznosić się z duszącej niziny w wyższe kręgi myślenia i czucia. Ileż razy słyszymy czyjeś zdziwienie po poznaniu jakiegoś bohatera literatury: całkiem inaczej go sobie wyobrażałem — nigdybym się nie domyślił. I czy może się domyśleć mieszkaniec odległego zakątka, wierzący, że na ziemi rzeczywiście istnieje Parnas i oblubieńcy muz, że każdy autor jest kandydatem do księgi Plutarcha? Przystąpiwszy bliżej do tych „nadludzi“, przekonywa się, że jeden z nich przyznaje sobie talent rozpoznawania win z „zamkniętemi oczami“, drugi — „przegrałby z djabłem duszę w winta“, trzeci „wynalazł najsmaczniejszą zakąskę po wódce“, czwarty — umie wyliczyć wszystkich kochanków ładnej aktorki, piąty przesiaduje w stajni koni wyścigowych, szósty — gra na giełdzie itd.

Co tego rodzaju ludzie poza interesami swoimi mają pisać w swych listach do przyjaciół? Oni nawet tych przyjaciół w swojej sferze nie mają. O takich serdecznych, ścisłych i trwałych związkach dusz bratnich, o jakich dowiadujemy się z korespondencyi Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Zaleskiego, w naszych czasach nikt chyba nie słyszał, natomiast nienawiściach, kłótniach, zazdrościach, intrygach — bardzo wiele. Jeśli się wiążą, to w klikę wzajemnej reklamy, jeśli się rozdzielają — to z powodu frazesu, drobnej sprzeczki lub mizernych pretensyi towarzyskich.

A jednakże ci ludzie mogliby — źle mówię — powinniby otrząsać swe dusze z pyłu pospolitości, wyzuć się ze skóry filisterstwa i stworzyć dla świata literackiego taką atmosferę, jaka przystoi wyżynom życia. Potrzebna ona jest nietylko dla nich samych, ale dla społeczeństwa, które zdrowieje i krzepnie, oddychając prądami świeżego powietrza, płynącego z gór na doliny.“

* * *

Ernesto Rossi.

Umarł Ernesto Rossi, tragik znakomity. Bez względu na to, iż grywał tylko po włosku, zaliczał się on do tego niewielkiego grona wybranych, którzy znalazłszy się na wyżynach sztuki, należą do wszystkich i przez wszystkich są podziwiani.

Sławny artysta włoski urodził się w r. 1829 w Liwornie i miał zamiar początkowo oddać się studyom prawnym. Opanowany namiętnością do teatru, zaciągnął się do trupy aktorów i zaczął już występować w siedemnastym roku życia w rolach pierwszych kochanków w Genui. Później należał do pierwszych kochanków głośnego aktora włoskiego Modeny. W r. 1847 występował w Medyolanie, w r. 1852 w Turynie, a w r. 1855 podczas wystawy w Paryżu razem z p. Ristori. Od tej pory Rossi odbywał liczne podróże artystyczne. W Wiedniu pierwsze jego role realistycznem traktowaniem zwróciły nań powszechną uwagę. Bawiąc na gościnnych występach z trupą włoską w Paryżu, grał na przedstawieniu poświęconem pamięci Corneilla, jego „Cyda“ na scenie „komedyi francuzkiej“. W r. 1869 w Lizbonie rozpoczął odgrywać role szekspirowskie. W czasie wystawy w r. 1873 występował po raz trzeci w Wiedniu z olbrzymiem powodzeniem, a potem zbierał tryumfy w Berlinie, Dreznie, Pradze, Warszawie, wreszcie w Londynie. Największemi kreacyami znakomitego artysty były role: Otella, Hamleta, Fausta, Cyda, Ludwika XI (w sztuce pod tymże tutułem Delavigne'a) i Nerona w „Nerone Artista“ Cossy. Rossi był zdeklarowanym realistą, który dążąc za prawdą, zwykł odtwarzać z całą wiernością i wstrętne, ponure jej strony, a jako technik należał do największych mistrzów sceny. Pracował również na polu dramatycznem, napisał kilka sztuk, pomiędzy innemi „Adelę“, specyalnie dla pani Ristori.

Oprócz tego ogłosił „Studii dramatici“ (Studya nad Szekspirem) i swoje pamiętniki w formie autobiografii: „Quarant' anni di vita artistica.“

Za najlepszą rolę Rossiego uważano „Hamleta“. Podzielał zdanie to i jego wielki rywal Salvini, który jednak twierdził, iż interpretacya Rossiego więcej odpowiada smakowi rasy romańskiej, niż anglo-saskiej. Salvini w swych pamiętnikach wyraża się z zapałem o tryumfach, jakie Rossi święcił już za młodych lat w teatrach włoskich. W scenach miłosnych zwłaszcza był niedoścignionym i porywał widzów. Autor pamiętników twierdzi, iż chyba nie było jeszcze artysty, któryby krótkie zdanie „kocham cię!“ — umiał tak mówić, jak Ernest Rossi. Nic też dziwnego, iż wielki artysta był też wielkim oblubieńcem pań zarówno w Paryżu i Wiedniu, jak i w Warszawie, oraz w innych stolicach. Nikt nie spodziewał się tak szybkiego zgonu artysty, który pomimo 67 lat wieku, był uosobieniem siły męzkiej. Prawdopodobnie, gdyby był więcej oszczędzał się, powstrzymywał od pracy, mógł był żyć jeszcze długie lata. Lecz dla niego żyć znaczyło grać na scenie, z którą nie mógł się rozstać, choć dała mu sławę, jaką niewielu wybrańcom dawać zwykła.

Dziś trudno już uprzytomnić sobie wrażenie, jakie swego czasu robiła realistyczna gra Rossiego, daleka od klasycznego dramatu i starej szkoły deklamacyjnej. Była to istna rewolucya w świecie teatralnym. Od tej pory realizm zapanował na wszystkich scenach włoskich, poparty pracą wielkiego artysty, który poświęcił mu swój talent. Rossi poszedł w tym kierunku nawet tak daleko, iż nie wahał się rzeczy wstrętnych i okropnych przedstawiać z prawdą, która krew ścinała w żyłach. Arcydziełem w tym rodzaju była scena śmierci Ludwika XI, konającego w kurczach epileptycznych. Przed nim nigdy jeszcze nie oglądano na scenie agonii tak strasznej w swej prawdzie. Zresztą i w innych kierunkach Rossi zachwycał: był tem co Francuzi zwą: Charmeur. W scenie z Ofelią, szczerość i czułość w tonie głosu, w którym drgały łzy, gdy ją do klasztoru odsyłał i jego „Va... va...“ na końcu, podbijały serca słuchaczów, budząc zapał niesłychany.

Rossi, jak to widać z ostatnich jego zwierzeń, pragnął zawsze umrzeć na scenie. Teatr był jego światem i w nim pragnął cicho zasnąć na wieki, jak „Lear“, którego grając w Odesie, uległ pierwszemu atakowi serca. Następne przyprawiły go o śmierć. O wielkim tragiku można powiedzieć, iż „był to w każdym calu król... w państwie sztuki!“

* * *

Młot godłem i pogoń za sercem.

W pierwszych dniach tegorocznej wiosny, we wszystkich większych miastach zatrzymywali się przechodnie przed nalepioną na rogach ulic ryciną, której znaczenia nikt w pierwszej chwili nie odgadł. Niezgrabna ręka, z niezgrabnym młotkiem, stercząca po nad jakąś podartą kołdrą, czy popękaną skorupą, groziła światu. Nie umiano sobie zdać sprawy, czy ma to być bezmyślny figiel, czy też niezrozumiała satyra, lub może symbol jakiejś chorobliwej sekty.

Był to afisz, zapowiadający wystawę przemysłową w Berlinie. We Włoszech, w Szwajcaryi, w Niemczech południowych, oglądano ten dziwoląg ze zdumieniem. Naiwni mieszkańcy tych ziem nie mogli pojąć dlaczego na przynętę rozesłano po świecie rysunek, odznaczający się brzydotą. Niemcy, których krocie przejeżdżają co roku przez Alpy, doznawali sami pewnego zażenowania, ile razy ta fatalna ręka z młotkiem pogroziła im niespodzianie gdzieś pod obcem niebem. Z zakłopotania wyprowadzało ich dopiero zapytanie cudzoziemca, czy rysunek ten jest naprawdę w guście niemieckim?

— O nie, panie — brzmiała w takim razie odpowiedź — to tylko gust berliński!

Dla przyszłego badacza naszej epoki byłaby to szkoda nieoceniona, gdyby przynajmniej jeden egzemplarz tego afisza nie przechował się na pamiątkę. Tak jest, to gust berliński. Tak nie rysują w Monachium, Sztutgardzie lub Düsseldorfie. Ale, co więcej, to może się podobać tylko prusakom. Bawar, nadreńczyk lub szwab zapewnia z pośpiechem, że arcydzieło to nie jest produktem jego ojczyzny. Cóż go to może obchodzić, że Berlin ośmieszył się niefortunnym pomysłem.

Drobne szczegóły odsłaniają nieraz tajniki psychologii narodów. Stolica Niemiec i otaczająca ją część cesarstwa mają swój gust odrębny, z którego śmieją się na po-

łudniu i na zachodzie. Liczą się tam z prusakami często, potrzebują ich czasem, boją się ich zawsze, ale nikomu w tamtych krajach nie przyjdzie na myśl przejmować się gustem berlińskim, lub bronić go przed obcymi.

— Sądziłeś pan, że to w stylu niemieckim. Cóż znowu! Przecież odrazu poznać można prusaka!

To samo, co w drobnostkach, widzimy w rzeczach ważniejszych. Jest w tym młotku pewna tężyzna kapralska, pewne urąganie ludzkości, pewne, rzecby można, dorobkiewiczowskie wyemancypowanie się z pod prawideł dobrego tonu. Twórca afisza może powiedzieć z dumą, że wcielił weń duszę swego ludu. Ta tężyzna, ta buta jest złem charakteru narodowego. Nie może polubić gustu berlińskiego, kto nie pokochał duszy pruskiej, a na południe od Menu, na zachód od Wezery, nie pokochano jej dotychczas.

Prusacy to czują. Władza im nie wystarcza. Chcą, żeby ich kochano, a o to nie tak łatwo. O Fryderyku Wilhelmie I krąży podanie, że wpadał w gniew, ile razy, przejeżdżając konno przez ulice Berlina, widział swych poddanych, uciekających przed obliczem królewskiem. Król, dogoniwszy zbiega, używał niekiedy szpicruty. „Nie chcę — wołał — żebyście się mnie bali. Powinniście mię kochać, łajdaki!“ Prasa berlińska przejęła się tą zasadą. Złagodziwszy ton, powtarza ona to samo rodakom z za Menu.

Niedawno obchodzono w Monachium jubileusz tryumfów niemieckich we Francyi. Święcono ten dzień, jak gdyby był dniem narodowego bawarskiego święta. Cóż mogło być radośniejszem dla prusaków, jak widok tych uroczystości, dowodzących, jak drogą jest bawarom pamięć czynów wojennych, których dokonali pod komendą pruską dla dobra wspólnej ojczyzny niemieckiej?

Takby rozumowano gdzieindziej. Skoroście za nas krew przelewali, wolno wam dziś szczycić się waszem męztwem!

Logika berlińska jest jednak tak odrębna, jak gust berliński. Duch królewski ocknął się po stu pięćdziesięciu latach. Cóż z tego, że w Monachium cieszono się wspomnieniami, skoro nie wołano po ulicach, że to dynastya pruska i sztab pruski wiodły bawarów do zwycięztwa! Ręka z młotkiem wyjrzała ze szpalt dziennikarskich i pogroziła południowcom. Kochać nas powinniście, bo szpicruta Fryderyka Wilhelma jeszcze się w razie potrzeby odnajdzie!

Są okolice, w których silna pięść mężowska bywa najlepszą rękojmią miłości małżeńskiej. Czy zasada ta obowiązuje także w stosunkach między pobratymczemi szczepami? Poeci z nad Nekaru i Menu inaczej o tem mówili, inaczej też mówią o tem i dzisiejsi mieszkańcy tamtych stron. Młotek na afiszu bawi ich, do serca im nie przemawia.

T. S.

Na Wyłomie.

(Fabrykacya „olbrzymów“. — Biuletyny. — Zrozumieli.)

Ani królewskości ducha ani królewskości uczuć nie posiadają „królikowie“ czy też „królicy“ poznańscy. Ot! pospolite krasnoludki myśli i serca z papierową koroną obnosicieli szopek na głowie, a przed nimi tłum bezkrytycznych, wylęknionych dzieci, bijący pokłony, to typowy obraz społeczeństwa naszego. Co jednak jest podziwienia godnem w tych postaciach królów teatralnych, to wielka komedya pozorów i głośny tamtam reklamy, któremi królewskość swoją rozdymać i utrwalać lubią.

A kiedy palec przyłoży do nosa
I w płaszcz z purpury zamieni kubraczek,
Rzekłbyś, że wzleciał w słoneczne niebiosa
Orzeł, król ptaków... głupcze! toć to szpaczek.

Przypatrzcie się tylko, jak oni umieją aranżować swe królewskie gody, z jakim aplombem majestatu prezentują swoją balonową wielkość otoczeniu. Stanie taki pan i powie „dwa razy dwa jest cztery“, ale jak on to powie, — co za mina, co za głos! rzekłbyś, że rozwiązał jednę z siedmiu zagadek przyrody, nad którenu Du Bois Reymond głowę sobie suszył naprożno. A gdy którego palec zaboli, jakiż to bęben buczy po mieście i prowincyi, jakież wyliczanie każdej łzy litościwej, jaka reklama nabożeństw na intencyę zdrowia, jakie biuletyny wspaniałe! Komedya ta w najświeższych czasach przybrała rozmiary tak niesmacznej blagi, że nawet najpotulniejsi czciciele wszelkiej powagi „ładu i porządku“ zaczynają głowami kręcić, krzywią się i drwią coraz głośniej. Domyślacie się niezawodnie wszyscy, o czem mówię — mówię o jednym z najruchliwszych komiwojażerów własnej wielkości, typowym króliku poznańskim, któremu imię „Franciszek Mały.“

Pan Dobrowolski złamał przed niedawnym czasem nogę i od krytycznej tej chwili „Dziennik Poznański“ zamienił się w gorliwszego niż zwykle pozłotnika gasnących blasków swego redaktora i w stroiciela opinii, której harmonia uwielbienia coraz częstszym rozdźwiękiem zgrzytała. Gwoli pouczenia następców tronu starego królika, pozwolę sobie tu zestawić kilka wyjątków z reklamowej farsy, a przekonany jestem, że taki indeks przyda się może niejednemu z tych, dla których nie wielkość prawdziwa, lecz wydęcie własnej małości pozostanie celem zabiegów.

„Dziennik Pozn.“ pisze:

Poniedziałek. Dowiadujemy się, że w środę odbędzie się msza św. na intencyę wyzdrowienia redaktora pisma naszego w kościele X. Y. Z. itd. Donoszą nam również, że w miasteczkach A. B. C. i wsiach C. D. E. poważni obywatele zakupili nabożeństwa na intencyę p. Dobrowolskiego.

Wtorek. Przypominamy, że jutro odbędą się msze itd.

Sroda. Dziś rano odbyły się nabożeństwa etc. Zebrała się ogromna liczba wiernych.

Czwartek. Pauza.

Piątek. Dowiadujemy się, że „dzieci polskie“ i „panienki z pensyi panny W.“ zakupiły mszę świętą na intencyę pana Dobrowolskiego

Sobota. Biuletyn. „Złamanie nogi p. Dobrowolskiego odbywa się zupełnie prawidłowo (Boże! co za styl!) i jest uzasadniona nadzieja, iż pacyent po upływie kilku tygodni powróci do dawnego zdrowia. *Dr. A. — Dr. B.*“

Niedziela. Pismo nie wychodzi. — Pauza.

Poniedziałek. Z powodu choroby naczelnego redaktora pisma naszego nadesłali telegramy i listy kondolencyjne: książę C., hrabia P., poseł K.

Wtorek. Odpowiedzi Redakcyi. Hrabiemu S. Na łaskawe zapytanie odpowiadamy uprzejmie, że stan zdrowia naczelnego redaktora naszego ma się ku lepszemu.

No i tak dalej.

Od dwóch tygodni ta sama melodya, tylko kuplet inny. Czyż jest na świecie monarcha, którego organ przyboczny głośniejszą obsługuje reklamą? Czy w razie choroby wielkiego poety, wielkiego myśliciela, wielkiego męża stanu „Dziennik Poznański“ kiedykolwiek krzykliwszą — co mówię? równie krzykliwą urządzał żałobę? Gdyby dziś narodził się drugi Mickiewicz i drugi Kościuszko, i gdyby ten Mickiewicz lub Kościuszko złamał obie nogi, z pewnością żadne z pism nie komentowałoby tak szeroko i tak często każdej mszy, każdego telegramu, każdej recepty, każdego bandażu, proszku i pigułki. Tak się u nas reperuje sztuczne wielkości. Spamiętajcie to sobie kandydaci do berła i korony na poznańskim bruku.

Proszę mi tylko nie podsuwać fałszywych intencyi. Życzę p. Dobrowolskiemu z całej duszy, aby jego „złamanie nogi odbywało się w dalszym ciągu prawidłowo“ i będę szczęśliwy, jeżeli modły niewiniątek i pensyonarek wyproszą u Najpotężniejszego z wszystkich lekarzy łaskę dla pacyenta. Życzenia moje są tem szczersze, ponieważ Nestor dziennikarstwa naszego pod wieczór życia zaczyna się nareszcie orjentować w stosunkach Księstwa i rozpoznaje robaka tam, gdzie przez długie lata widział tylko różę, symbol miłości. Ileż to klątw padało na głowy nasze, gdy zrazu organy ruchu ludowego, a później „Przegląd Poznański“, uderzyły w dzwony na trwogę, wskazując na rozbieżne dążenia interesów kościelnych i narodowych, — ileż to razy „Dziennik“ mianem agitacyjnego frazesu piętnował nasze przestrogi i proroctwa nasze, — a dziś? bielmo tam z oczu opada i po raz pierwszy od lat wielu odzywają się jakieś ciche podejrzenia, jakieś symptomy przeczuć bojaźliwych. Dziwny rozwój wypadków! To samo pismo, które w sojuszu z „Kuryerem Poznańskim“ mianowało nas wrogami religii za to jedynie, że odmówiliśmy bić bałwochwalczych pokłonów przed polityczną rolą Kościoła, — to samo pismo dziś okiem podejrzliwem bada intencye rzymskiej dyplomacyi i może niebawem usłyszy nad głową swoją ten okrzyk, którem starano się i nas zdruzgotać: Wróg religii! Anathema sit!

Tak! Wy tępemi oczyma nie dojrzeliście tego, co nasze oko od lat już kilku spostrzegło. Wy z drobnych objawów sądzić nie umiecie, lekkich, podziemnych drgnień nie odczuwacie, — wam trzeba zawsze faktów masowych, uderzeń silnych i głośnych. I dla tego zdarzyć się może łatwo, że gdy za broń chwycicie i szyki sprawiać zaczniecie, zabrzmi wam nad uchem to smutne słowo: „Zapóźno!“

Sulla.

KRONIKA POWSZECHNA.

Teatr i muzyka. Teatr łódzki, występujący w letnich miesiącach w gmachu cyrkowym w Warszawie, rozpoczął sezon szeregiem żywych obrazów z Sienkiewiczowskiej powieści „Quo Vadis“. — Przeciw reżyseryi p. Szymanowskiego w warszawskich teatrach rządowych budzi się coraz ostrzejsza opozycya. Maryan Gawalewicz domaga się stanowczo w „Kraju“ petersburskim, by w interesie sceny postarano się niezwłocznie o zmianę kierownictwa. — Opera lwowska, goszcząca w letnich miesiącach na krakowskiej scenie, zapowiada szereg gościnnych występów śpiewaków i śpiewaczek warszawskich. — Panna Marta Jankowska występuje obecnie w operze berlińskiej. — Z Chicago donoszą do dzienników krakowskich, że Helena Modrzejewska zachorowała niebezpiecznie na serce i reumatyzm stawowy.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Sokół. Szanowny druh ma o tyle słuszność, że istotnie zlot Sokołów czeskich w Cieplicach został pierwotnie wzbroniony. W ostatnich dniach jednak nadeszło pozwolenie na odbycie zlotu (14 bm.), który Niemcom jest solą w oku.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28

Nr. 25. Poznań, niedziela 21-go czerwca 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“
wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: ul. Wilhelmowska 28.
(Drukarnia J. Fr. Tomaszewskiego.)

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Wilhelmowska 28, **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

TREŚĆ.

Od Redakcyi.

Dzielimy się z czytelnikami naszymi wiadomością, że z dniem 1-go lipca przechodzi »Przegląd Poznański« na własność nowej spółki wydawniczej, która postanowiła dołożyć wszelkich starań i żadnych ofiar nie szczędzić, by jedyny ten w całym zaborze pruskim postępowy tygodnik nietylko utrzymać, lecz coraz więcej ulepszać. W tym celu redakcya pozawierała już umowy z całym szeregiem nowych współpracowników, wśród których znajdują się nazwiska najwybitniejszych publicystów polskich. Starać się będziemy mianowicie o to, by rubryki poświęcone sprawom społeczno-politycznym tak pod względem aktualności jak różnolitości materyału udoskonalić a dział literacki zamienić w zwierciadło odbijające wszystkie prądy pulsujące w piśmiennictwie polskiem. Do części belletrystycznej Przeglądu znajdą wstęp tylko utwory, wykazujące ślady wybitniejszego talentu, a feljetonowe pogadanki pozostaną nadal śmiałą krytyką palących kwestyi publicznego życia.

Próg nowego kwartału przestępujemy z zapasem sił nowych, nieugięci ciężką walką i pewni zwycięstwa. Jedna chwila, choćby największego wysiłku i męstwa, nie zdobywa jutra, lecz w tem biednem, zdemoralizowanem i zbłąkanem społeczeństwie praca nasza nie pozostała bez śladów, i młoda opozycya, którą w pewnych kołach uważano za efemerydę, staje się cyfrą poważną. Tem słowem wiary i nadziei rozpoczynamy nowy okres naszego istnienia.

POLITYKA.

Typy germanizatorów *górnoszląskich*.

II.

Sylwetka księdza germanizatora Grunda z Mikołowa, w poprzednim numerze „Przeglądu“ skreślona, jest tylko małą cząsteczką wielkiego obozu księży germanizatorów na Górnym Szląsku. Takich sylwetek można zebrać bez porównania więcej, co najmniej ze trzysta. Oczywiście nie będę czytelników nudził wyczerpującym obrazem tych wszystkich bohaterów z pod chorągwi Bismarcka, których fizyognomie polityczne bardzo są do siebie zbliżone — skreślę tylko jedne jeszcze sylwetkę duchownego germanizatora, a jest nim ks. dr. Kremski, proboszcz z Rybnika. Ksiądz ten zajmuje wyższe w hierarchii duchownej stanowiska od poprzednio opisanego wikaryusza, a jako starszy wiekiem i doświadczeniem, oraz niezły mówca, popiera germanizacyjne swoje zapędy zręczną argumentacyą i jaskrawą retoryką. Powtarzam tu krótki ustęp z dłuższej mowy księdza dr. Kremskiego, wygłoszonej na pewnem zgromadzeniu polskich wyborców a wypowiedzianej naturalnie po niemiecku, pomimo bezustannych protestów zgromadzenia. Ustęp ten przytaczam w dosłownem tłomaczeniu z gliwickiej gazety niemieckiej „Oberschlesiche Volksstimme“:

„Wszyscy mogą tu głos zabierać, ale nie trzeba stawiać żądań niemożliwych. „Nowiny Raciborskie“ twierdzą, że germanizatorów należy zwalczać wszelkiemi środkami... (ze strony polskich słuchaczy potakiwania: Tak!)

„Czekajcież tylko. Co to znaczy „wszelkiemi środkami“? Wszelkiemi środkami siły moralnej i fizycznej? (zaprzeczenia ze strony polskich słuchaczy co do siły fizycznej). A więc dobrze. Zastanówcie się, czy rząd to ścierpi, gdy takich „wszystkich“ środków użyjecie? Czyż rząd, gdy wy będziecie gwałtownie występować, gwałtu przeciw wam nie użyje, co przecież z waszej winy nastąpi? Któż wtedy straci? (oburzenie u polskich słuchaczy). Ludzie, którzy to piszą, nie znają usposobień ludu. (Głośne zaprzeczenia). My księża znamy go i dobrze pojmujemy. Gwałtów nie dopuścimy. Wiem, że to, co wam mówię, mówię na wiatr; spełniam jednak mój obowiązek i ostrzegam was. (wielkie i krzykliwe oburzenie). Tak, a więc więcej mówić nie mogę.“ (Wzmagające się oburzenie.)

Księdza dr. Kremskiego starał się poprzeć ksiądz wikaryusz Grund z Mikołowa. Powstał tedy i rozpoczął swoją mowę tak: „Dziwię się bardzo, widząc tu prądy niebywałe dotąd na zgromadzeniach katolickich. To przecież jest duch rewolucyi“....... (Okropny wrzask. Tumult. Zgromadzeni pchają się naprzód całą siłą i niepozwalają dokończyć mówcy rozpoczętej mowy.)

W rezultacie przewodniczący zamknął zebranie, a żandarm wskoczywszy na stół, wezwał zgromadzonych do natychmiastowego opuszczenia sali.

Po księżach zwracają główną uwagę w szeregach germanizatorów nauczyciele szkół ludowych, i to wszyscy prawie bez wyjątku. Tępią oni narodowość polską w interesie osobistym, bo gorliwość w germa-

nizowaniu dzieci szkolnych zapewnia im łaski przełożonych, daje nadzieje uzyskania korzystniejszej posady i przynosi od czasu do czasu zarobek w formie nagród od 50 do 100 marek wynoszących.

Nauczyciele obowiązki swoje w kierunku germanizacyjnym spełniają gorliwie, dokładając nietylko w szkole, ale nawet po za szkołą wszelkich starań, aby dzieci polskie jaknajszybciej zniemczyć. W szkole za każde słowo polskie przez dzieci wymówione karcą je niemiłosiernie, bijąc często trzcinami po twarzy, plecach, i rękach. Pokazywano mi dziewczynkę, dziewięcioletnią z sinemi, krwią nabiegłemi pręgami na szyi i pokaleczonemi palcami u rąk. Winą jej była gawęda w ojczystym języku. Opowiadały mi dzieci, że „f r e l k i", (tak na Szląsku dziatwa zowie nauczycielki) są niemiłosierniejsze od „r e c h t u r ó w" tj. nauczycieli, bijąc dzieci bez litości i upamiętania. Tak! świszczy trzcina, świszczy za lada drobnostkę, a biada dziecku, które przyniesie do szkoły zeszyt do pisania lub książkę do nauki, obwinięte w polską gazetę.

W pewnej szkole w okolicy Katowic nauczyciel zbił niemiłosiernie dziecko za to, że przyniosło do szkoły polski elementarz, a elementarz wrzucił do pieca. Inny nauczyciel w okolicy Bytomia okazał gorliwość swoją nawet po za szkołą. Będąc w jednym z sklepów kolonialnych zauważył, że kupiec i jego pomocnicy mówią z dziećmi po polsku. Poprosił więc kupca, aby „d l a d o b r a s p r a w y", on i jego pomocnicy mówili odtąd z dziećmi tylko po niemiecku, a kupiec posłuchał „p a n a r e c h t u r a" i podwładnym swoim odpowiednie wydał rozkazy. Źle jednak wyszedł na swojej powolności i gorliwości „dla dobra sprawy". Miejscowość bowiem fabryczna zaludniona była polskimi ludźmi, a matki oburzone na kupca, że użyć się pozwolił za narzędzie germanizacyjne, zaprzestały solidarnie od niego kupować. Czyż u nas w Poznańskiem znajdzie się przykład podobny?

Jak lud polski na Górnym Szląsku usposobiony jest względem nauczycieli, o tem daje wyobrażenie wyciąg z niemieckiej gazety, który tu w dosłownem tłomaczeniu przytaczam.

Gazeta gliwicka „Oberschlesische Volksstimme" tak reprodukuje mowę niejakiego T h o m a s a, wygłoszoną w języku polskim na przedwyborczem zebraniu: „Komitet zaleca nam, aby pana Latacza na posła do Berlina wybierać. Toż samo niemieckie gazety zalecają. Lecz czemże są niestety górnoszląscy nauczyciele? Są oni wszyscy g e r m a n i z a t o r a m i. I jakąż to przynoszą nam pociechę? Pochodzą z ludu, idą do miasta, zostają wielkimi panami, wracają do nas i depczą nas nogami. Idziesz do nauczyciela z prośbą, to nic nie wskórasz, a często cię oskarży przed prokuratorem. Ale on? Braknie mu tylko drzwiczek do pieca, to sołtys zaraz biedz musi i starać się o nie". (Niemcy nie pozwalają mówcy dalej mówić. Wołania: O b r a z a!) Objaśniam, że ten mówca z niemieckiem nazwiskiem: „T h o m a s m ó w i ą c y p o p o l s k u" tak gazetę niemiecką zadziwił, że przy nazwisku jago postawiła znak pytania. Jest to poważny wiekiem, rozumny gospodarz wiejski; mowa jego dobitnie charakteryzuje wszystkich nauczycieli górnoszląskich, a więc i „p a n a r e c h t u r a L a t a c z a z K a t o w i c" tak gorliwie, tak usilnie i wszelkiemi środkami popieranego na posła do sejmu przez księży germanizatorów.

Maksymilian Ocetkiewicz.

Przegląd prasy polskiej.

O ś w i a t a l u d u w G a l i c y i. „Przegląd Wszechpolski" rozpoczął w najświeższym numerze szereg artykułów o instytucyach galicyjskich służących oświacie ludowej. Pracę tę poprzedza wstęp nader ciekawy, z którego cytujemy ustęp następujący:

„Bez mała wszystkie ważniejsze, w zasoby dziś silne i powszechnem cieszące się poważeniem instytucye publicznego dobra, wszystkie, co choćby tylko w pośrednim lub słabym stoją związku z patryotycznem, narodowem dążeniem, powstały w Galicyi i rozwijały się przez długi szereg lat bez najmniejszego udziału, a często nawet wbrew zaciętemu oporowi i przeszkodom ze strony umiejętnie dziś podnoszącego swe zasługi stronnictwa stańczykowskiego, ktore, w każdym objawie samodzielnych usiłowań wietrząc zarodki spisków i żywotność zasady „*liberum conspiro*", a zarazem zamach na własny swój wpływ i powagę, posługiwało się najrozmaitszemi środkami, — w których umie być zresztą niewybrednem — aby tylko stłumić i wyplenić z gleby narodowej każdy posiew, który bez nich piękne rokować mógł żniwo. Ale też z drugiej strony partya ta pierwszą znów była i jest zawsze do tego, aby widząc, że ta lub owa instytucya, mimo systematycznych ataków i podkopywań wzrosła, wzmogła się i, materyalnie zwłaszcza, na pewnych, jak to mówią, stanęła nogach, w stósownej chwili zręcznie nią owładnąć, nagiąć i skrzywić do własnych celów, a zasługę rozwoju w końcu, — jeżeli się da, nie dzieląc jej zgoła z tymi, którzy ją naprawdę położyli, — sobie samym wbrew prawdzie i rzeczywistości całą wyłączną przypisać.

Ofiarą tej zawziętej, stronniczej, wielokrotnie wypróbowanej taktyki było np. przez czas długi zasłużone Towarzystwo pedagogiczne, a są dotąd — bez najmniejszej zresztą stąd szkody dla siebie — Towarzystwa gimnastyczne „Sokół" w Galicyi Takie same koleje przechodziły też wszystkie instytucye, wprost i bezpośrednio poświęcone ludowi. Dzieje „Kółek rolniczych", Towarzystwa „Oświaty ludowej", „Macierzy" nawet, stwierdzają na sobie również długoletnie ślady niechęci galicyjskiego konserwatyzmu. Jest w tem przedewszystkiem wymowny dowód, że ci właśnie, którzy wątpliwe prawo wynalazku idei „pracy organicznej" sobie przypisują, do urzeczywistnienia „idei" w praktyce najmniej się przykładali, — a dalej jest w tem także do pewnego stopnia rozwiązanie zagadki, dlaczego w Galicyi, która od lat trzydziestu znajduje się niewątpliwie w lepszych, niż inne dzielnice Polski, warunkach politycznych, oświata ludowa mimo usilnych, ćwierćwiekowych starań, tak strasznie powoli postępuje naprzód.

Wyprawa na Olymp.

Komedya fantastyczna w 1=ym akcie,

oryginalnie napisana

przez

M. Gawalewicza

(D o k o ń c z e n i e).

SCENA VI.

Ciż: i Zoilkiewicz (który podczas ostatnich słów wszedł na scenę z prawej strony i zatrzymał się na skale, przyglądając się zebranym).

Farsalski: (poprawiając na sobie ubranie i przyczesując włosy, przegląda się w małem kieszonkowem lusterku) Trzeba się trochę oporządzić!... Niech muza wie, że ma do czynienia z dyrektorem comme il faut!

Filisterski: (do Farsalskiego) Cóżeś się dyrektor tak wyelegantował?

Farsalski: No jakżeż?... z pierwszą wizytą i w deputacyi.

Filisterski: No i ja w deputacyi od publiczności, ale znów frak, białe rękawiczki, za dużo parady.

Farsalski: W jakimże pan właściwie charakterze? (otrzepuje sobie buty chustką).

Filisterski: Ja?... ja, co prawda, z żalem. My się nudzimy kochany dyrektorku. Sztuka upada, repertuar pod psem, talentów brak. To tak dalej potrwać nie może! My za nasze pieniądze mamy prawo wymagać, ażeby nas bawiono. Człowiek nie po to przychodzi do teatru, aby ziewał. Od czegoż jest tu jakaś Melpomena i Thalia? Ja jej palnę *verba veritatis*, że jej aż w pięty pójdzie. Kiedy się zajmuje sztuką, to niech robi porządek Co to jest?... My, publiczność, jesteśmy poszkodowani. Wasz teatr dzisiejszy, to proszę pana szopka, to buda, to skandal!... Nam się już sprzykrzyło patrzeć na starzyznę, my chcemy coś nowego, my za to płacimy!...

Polip: A rozumie się!... brawo publiczność!...

Głodysz: I pan także?... pan przecież chodzisz za darmo do teatru.

Polip: To też mogę wymyślać bezinteresownie.

Głodysz: Ale chwalić pan bezinteresownie nie możesz?...

Polip: A nie mogę, bo to jest wbrew mojemu przekonaniu.

Głodysz: Panie Polip, pan powinieneś się nazywać Pijawką.

Polip: Czekaj pan, ja pana za to zerznę przy najbliższej sposobności!.. ja panu pokażę, co znaczy prasa!... Ja pana sprasuję na opłatek!...

Oczko: Ale mnie zrobisz reklamę, prawda?... Kochasz Pimpcię, redaktorku?... Prawda, że kochasz?... Tę Łydkiewiczównę to chwalisz w każdym numerze, a to przecież krowienta, że nie idzie dalej!... Wszystko ma wypchane, daję słowo uczciwości!

Eimer: (który przez ten czas usiadł na skale w głębi i zajadał buterszynty, rozwinięte ze starego Kuryera) Panie redaktorze, odkorkujno pan moją kartę wizytową, napijemy się! A możeby pan co przekąsił?

Polip: Można! — czemu nie? (wyjmuje butelkę zabraną Eimerowi i przygląda się jego wiktuałom).

Eimer: Tu na tym Olympie to powietrze człowieka wytrawia. Ja nabrałem apetytu!... (do Głodysza) A widzi pan, coby znaczyła sama sztuka bez buterszyntów!... Nie żeń się pan, proszę! (podsuwając mu zakąski) Ja pana znam! pan ma tylko takie ostre zęby, dopóki pan na nie czego nie położy.

Głodysz: Nie znam pana! (odsuwa się od niego wyniośle).

Zoilkiewicz: Brawo, Głodysz... to byłaby dobra poza!... mogłaby ci się przydać do Don Carlosa.

Farsalski, Filisterski i Głodysz: (spostrzegając go jednocześnie) A, pan Zoilkiewicz!.., nasz krytyk!... nasz autor!...

Farsalski: (z wielkiem uszanowaniem) A pan redaktor zkąd się tu wziął?... Co za niespodzianka!...

Filisterski: Jakżeż pan drogę znalazł?...

Zoilkiewicz: Krytyka idzie śladami sztuki, drogi panie. (ściskając rękę Oczkównie) Jak się masz Pimpciu?... i ty tu także?... kocham cię, daj pokój swoim naiwnym minkom! Wiem, o co mnie chcesz zapytać. Państwo, jak widzę, zrobiliście formalny najazd na biedny Olymp!... Cóż muzy?... żyją jeszcze te biedaczki?...

Farsalski: A żyją i właśnie czekamy na audencyę.

dlaczego wyniki tej pracy tak stosunkowo małe są i niewydatne.

Rzecz jasna. W innych krajach, (bliski przykład Czech mimowoli się tu nasuwa), obywatelska praca nad kulturalnem podźwignięciem warstw nieoświeconych uchodzi za rzecz zupełnie naturalną, od której uchylać się nikomu nie wolno, staje się treścią narodowego dążenia, jednoczy i skupia ludzi najrozmaitszych przekonań, dokonywa się ofiarnością całego społeczeństwa. U nas przeciwnie: z razu trzeba się było co krok potykać o nieznane gdzieindziej przeszkody, pokonywać mimowolne przesądy, rozmyślną złą wolę i podejrzenia, walczyć z brakiem niezbędnych środków materyalnych, a poczucia i ducha ofiarności wyrabiać dopiero w społeczeństwie, wewnętrznie rozdartem i stańczykowską trutką systematycznie znieczulanem. Tak zwane „czoło narodu“, szlachta, a raczej ogół właścicieli ziemskich, ulegający bezpośrednio hypnotycznemu wpływowi „organiczników“, z małemi wyjątkami od „anarchistycznej“ roboty trzymał się zdala, o popieraniu jej ani myśleć nie chciał, ani mówić sobie nie dawał. Od ludu wiejskiego, który żyjąc w ciemnocie i nędzy, znaczenia oświaty nie rozumiał zgoła, nikt ofiarności żądać nie miał prawa, co najwięcej zadowalniać się było trzeba, gdy włościanin chleb duchowy, jaki mu podawano, przyjmował nieobojętnie. Pozostała więc właściwie tylko jedna warstwa społeczna, mieszczaństwo, słynące z ofiarności od dawna, skore i dziś zawsze do popierania ogólno-narodowych celów, samo jednak, niestety, dzięki opiekuńczym rządom austryackim zubożone i materyalnie słabe.

A przecież mimo to wszystko, w Galicyi brakiem szkół i milionową analfabetów cyfrą zniesławionej, ogólny poziom oświaty ludowej nie przedstawia się tak rozpaczliwie, jakby sądzić można. Do ideału wprawdzie bardzo jeszcze daleko, że się jednak powoli do niego zbliżamy, to fakt niezbity, któremu przeczyć może tylko niepoprawny pesymizm. Zwyczajnych przybytków oświaty pozbawiany lud polski w Galicyi, powołany wszakże bądź co bądź od czasu nastania w Austryi ery konstytucyjnej do pewnego bodaj czynnego udziału w życiu publicznem i politycznem, nadspodziewanie szybko dojrzewa w tej twardej szkole życiowej, a jeżeli już nie co innego, to świadczy o tem wymownie potężniejący z dniem każdym ruch ludowy, który przy ostatnich wyborach na pierwszy strzał wprowadził do Sejmu zdrowy, chłopski żywioł, reprezentowany w kilku wybitnych pracowitych i zdolnych jednostkach, a w najbliższym czasie święcić będzie niewątpliwie dalsze jeszcze i większe tryumfy. Ten ruch ludowy w Galicyi — pod wielu względami do ruchu wielkopolskiego podobny, — byłby zapewne i dziś jeszcze albo wcale się nie zrodził, albo przynajmniej nie wystąpił odrazu z taką siłą żywiołową, gdyby mu stosownego podkładu nie była przygotowała teoretyczna, co prawda, ale mrówcza działalność stowarzyszeń i instytucyi, pracujących od szeregu lat nad tem, aby „z ducha gminu błysnęła w ogniach twarz człowieka“.

* * *

„Centrum“ na Warmii. Z powodu ostatniego zebrania katolickiego centrum w Olsztynie zamieściła „Gazeta Olsztyńska“ kilka uwagi godnych artykułów, z których podajemy ustęp końcowy:

„Uznając wogóle zasługi centrum około języka polskiego, wyrazilibyśmy przedewszystkiem życzenie, aby też nasi centrowi działali w myśl tego centrum. Cóż to pomoże, że się wybiera do centrum, cóż to pomoże chwalić całe centrum, kiedy się wedle zasad i słów tego centrum nie postępuje? Tu leży właśnie sęk, który do niezadowolenia u nas najwięcej się przyczynia. Nie może centrum ani posłowie polscy przywrócić języka polskiego do szkół, ale jest jeszcze wiele innych spraw, gdzieby można i powinno się język polski uwzględnić, a czego jednak nasi centrowcy nie robią. Głową trudno mur przebić, więc niemożebnych rzeczy nie żądamy, ale wiele dałoby się zrobić dla polskiego języka u nas, wieleby nasi centrowcy zdziałać mogli, ale w ich uczynkach nie widać tej życzliwości dla nas, jakiej nam całe centrum daje dowody.

„Próżno się w Berlinie wadzisz, kiedy doma nie uradzisz“, możnaby powiedzieć naszym centrowcom, gdy widzimy, że polska nauka przygotowująca do Sakramentów św. ustaje, że rodzicom, żądającym aby ich dzieci po polsku były do Sakramentów św. przygotowywane, odpowiada się, że Pan Bóg po niemiecku rozumie, że polskie śpiewy kościelne idą w zapomnienie. Centrum może sobie w Berlinie płuca popsuć od ciągłego proszenia i dopominania, nam tu, zanim słońce wejdzie, rosa dawno oczy wyje. Tu jest żniwo wielkie i wdzięczne pole do pracy i zgody, bez szumnych mów i wychwalań. Gdy tu widzieć będziemy sprawiedliwość nam na każdym kroku wyrządzoną, gdy będziemy widzieli, że i u nas duch centrum jest nietylko w słowach, ale i w uczynkach i w sercu, wtedy z pewnością bez wszelkich wielkich zjazdów i zebrań, bez palenia sobie wzajemnie kadzideł, uznamy to wszyscy, że nietylko centrum w Berlinie, ale i ci, co do centrum u nas wybierają, tym samym ożywieni są duchem i za wolność, prawdę i prawo nietylko dla siebie, ale i dla Polaków, o których głosy im chodzi, chcą walczyć. Wtedy usunięta byłaby nieufność, jaką mamy nie dla centrum, ale właśnie dla tych jednostek centrowych u nas“.

— ski.

LITERATURA I SZTUKA.

Z literatury polskiej.

Kwartalnik historyczny. Organ Towarzystwa historycznego, założony przez Xawerego Liskego, pod redakcyą Aleksandra Semkowicza. Rocznik X. Zeszyt I i II. Lwów 1896. w 8-ce str. 1—255 i 256—486.

Pierwsze dwa zeszyty wydawnictwa tego, które od początku roku zeszłego przeszło z pod kierownictwa prof. O. Balzera pod również umiejętne prof. A. Semkowicza, a którego część nakładu [druk i papier] wziął na siebie Zakład narodowy Ossolińskich, darzą nas znowu ważnemi i ciekawej treści rozprawami, miscellaneami, recenzyami itp. Na czele zeszytu I-go umieszczono obszerną rozprawę dr. Antoniego Prochaski pt. „Stosunki Krzyżaków z Giedyminem i Łokietkiem“, w której autor odsłania całą sieć in-

---

Zoilkiewicz: Co widzę!... i pan Eimer z uszanowaniem także?

Eimer: (z pełnemi ustami) Sługa pana redaktora.

Zoilkiewicz: Jesteśmy tedy w komplecie: dyrekcya, artyści, publiczność, reporterya i restauracya!...

Farsalski: (z przymileniem) No i krytyka!... cóżbyśmy znaczyli bez krytyki.

Zoilkiewicz: Bez reporteryi, bez reporteryi, kochany dyrektorze! Krytyka jest jak deszcz, który was od czasu do czasu zleje, ale reporterya jest, jak rosa, która was codziennie skrapia.

Eimer: (z westchnieniem) Aj kropi, kropi, ale przy bufecie.

Zoilkiewicz: (do Farsalskiego) I z czemże dyrektor się aż na Olymp wybrałeś?

Farsalski: Ja w interesie i sztuki i sceny; chciałbym się oddać w szczególną opiekę Melpomenie i zciągnąć ją na ten sezon do mojego teatru, jako protektorkę.

Zoilkiewicz: Aż tak?... fiu, fiu!... a cóż jej pan za to myśli ofiarować?

Farsalski: Co zechce, panie redaktorze!

Zoilkiewicz: Nawet miesięczną gażę z góry?...

Farsalski: Z góry?... Kiedy ja zaliczek nie daję nikomu. Mało to mnie zarwali?... Zresztą, taka pani grosza nie potrzebuje. Jeszcze ja od niej mógłbym się spodziewać malutkiej subwencyjki. Scena potrzebuje poparcia. Mam nadzieję, że przy łaskawem pośrednictwie Melpomeny uda mi się pozyskać względy prasy i publiczności (podając ręce Filisterskiemu i Zoilkiewiczowi). Popierajcie sztukę, dobrodzieje!... Bez waszej protekcyi — klapa generalna!.. Słowo honoru!

Zoilkiewicz: Sztuka niech się sama proteguje, to najlepsza rękojmia powodzenia. Ale z tem coraz trudniej. Zatęchło dziś w państwie sztuki, trzeba nowości. Powtarzam wam to ciągle. Nowości, nowości!... W tym celu właśnie przybyłem zrobić tu małą konferencyjkę z Melpomeną i zażądać od niej pewnej reformy w teatrze, w sztuce, w komedyi i dramacie. Trzeba raz zerwać z rutyną, moi drodzy!.. Co do was, mogę wam dać tylko jedną radę: grajcie dobrze dobre rzeczy, a powodzenie was nie minie!

Głodysz: A co ja zawsze dyrektorowi powtarzam?... Dawajcie mi dobre role, a zobaczycie!,.. A nie — niech rozstrzygają muzy, czy wolno talenta marnować. Ja w imieniu talentów przyszedłem aż na Olymp upominać się o nasze prawa!... (chrząka) Pozwólcie mi tylko pierwszemu przemówić. Artyzm powinien mieć przedewszystkiem głos...

Polip: (złośliwie) Niezachrypnięty.

SCENA VII.

Ciż, Melpomena, Thalia, kilka Muz i Merkury (ukazują się na wzgórzu przed potokiem). (Podczas poprzedniej sceny ściemniło się, w głębi tylko czerwony blask zachodzącego słońca staje się coraz silniejszym).

Merkury: (zmieniony zupełnie w dorodnego młodzieńca, ze skrzydełkami u nóg, w niebieskiej tunice, złotych ciżmach, z laską herolda (caduceus) w ręku. Za jego ukazaniem się pod portykiem pada z głębi jasność, jakoby od Muz, które z Melpomeną na czele grupują się pomiędzy dwiema kolumnami). Przystąpcie śmiertelni!... wzywam was!... olśnione zwróćcie oczy!... Kto tu do Muzy sprawę ma, niech przed nią ją wytoczy! Jam jest Merkury, lotny bóg, odmłodzon przed wami staję! Cna Melpomena posłuch wam daje — przed olympijski przystąpcie próg! (schodzi o parę stopni niżej. Wszyscy, jakoby widokiem Muz zaskoczeni, odsłaniają głowy i stoją nieporuszeni).

Eimer: (półgłosem do Polipa) Czy to ten sam stary Merkury, jak pan myślisz?... Przenicował się chyba! (chwila milczenia).

Merkury: Żywo! Cóżeście tak osłupieli? Kto tu pierwszy mówić chce?... (wszyscy mają miny zakłopotane).

Eimer: (podsuwając się bliżej i przyglądając się Melpomenie) Z uszanowaniem, Eimer (kłania się niezgrabnie) Bo... bo niby... nie wiem dobrze, z kim teraz mam przyjemność. Tamten stary pan... to niby zupełnie co innego...

Merkury: (zmienionym głosem, poufnie) To nic; w amforze z mlekiem zostało kilka kropel ambrozyi, która nam znowu młodość powróciła (wracając do dawnej pozy i tonu). A więc śmiertelni, dajcie głos swym myślom i żądaniom... Muzy gotowe słuchać was!

Głodysz: (trącając łokciem Farsalskiego) Zaczynajże dyrektor, bo ja zacznę...

Farsalski: (półgłosem, zakłopotany) Kiedy nie pamiętam pierwszych słów mojej roli.

Oczko: (do Głodysza) Czego się tak trzęsiesz.

tryg krzyżackich, dyplomatycznych zabiegów, gwałtów wreszcie, nie licujących zupełnie z powołaniem pierwotnem i prawdziwem zakonu, który zamiast oddać się szczytnemu zadaniu nawracania pogan, wszelkiemi środkami dążył do stworzenia własnej świeckiej potęgi. — Objawem takich dążności były po zrzuceniu zwierzchnictwa Rzymu i cesarstwa nietylko łowiecko-wojenne wyprawy na pogańską jeszcze wówczas Litwę, ale przedewszystkiem krzywdy wyrządzane dawniejszym dobroczyńcom zakonu, książętom na Mazowszu, a następnie Polsce za Łokietka, gdy po wielu innych zdradą i podstępem dokonanych rabunkach Krzyżacy opanowali także ziemię pomorską. Aleć obraza jednego z przepisów dekalogu była zakonu chlebem codziennym! Ze złego ziarna, tak autor kończy swe obszerne i cenne wywody, złe też wynikły plony. Zakon nie mógł zadaniu ujarzmienia Litwy sprostać, przeciwnie przyczynił się do jej wzrostu i do wzniesienia się za Giedymina w potężne i obszerne państwo, podczas gdy niemoralne środki, jakiemi się posługiwał, wzmogły tylko wśród niego korupcyę, wniosły do niego rozterki i zamęt, a chciwość i fałszywa jego polityka podkopały silnie powagę tych „bojowników wiary" wobec świata chrześciańskiego. Natomiast w twardej szkole doświadczenia, oblana potokiem łez i krwi odrodziła się znowu korona Bolesława i pod grozą miecza krzyżackiego spoiły się luźno stojące części dawnego państwa polskiego w jedną całość, ażeby następnie w połączeniu z ochrzconą już i silnym węzłem spojoną Litwą dać odwet upokarzający butę krzyżacką na polach Grunwaldu.

Następna rozprawa prof. A. Lewickiego p. t. Król Zygmunt Luksemburski a Polska 1420—1436 jest obszernem sprawozdaniem, rozbiorem krytycznym i uzupełnieniem rozprawy profesora praskiego Jarosława Golla, zatytułowanej „K. Sigmund und Polen 14 0 bis 1436". Roztrząsa w niej autor, zasłużony wydawca „Codex epistolaris s. XV" i wytrawny znawca owej epoki, jeszcze raz kwestyę stosunków czesko-polskich za wojen husyckich, która, jakkolwiek najpoważniejsi nasi i obcy uczeni się nią zajmowali, bynajmniej dotąd jeszcze nie doczekała się zupełnego wyjaśnienia. Do ciekawych też i odmiennych nieraz od czeskiego historyka poglądów i rezultatów dochodzi w niej autor, mianowicie co do ówczesnej, dwulicowej polityki polskiej, której celem, jak słusznie zauważa, było odzyskanie za cenę ofiarowanej przeciw wziętym poprzednio w opiekę Witołda Czechom utraconej niegdyś polskiej dzielnicy szląskiej. Różnią się też autorów poglądy mianowicie na wypadki bezpośrednio po kesmarkskim pokoju r. 1423 następujące, ponieważ prof. Goll nie uznaje autentyczności ogłoszonych przez prof. Lewickiego szeregu listów z roku 1428, odnoszących się do stosunków husycko polskich, a których autentyczności autor powtórnie stanowczo broni, wykazując, że treść ich odpowiada sytuacyi ówczesnej politycznej i że wpadają dokładnie w ramy obrazu wypadków, jaki z innych współczesnych źródeł wytworzyć sobie musimy.

Rozpoczynająca drugi zeszyt rozprawa prof. L. Finkla pt. „Konfessya podana przez posłów na sejmie piotrkowskim w r. 1555" jest ważnym przyczynkiem do dziejów innowierstwa polskiego. Konfessya owa przedłożona królowi na sejmie piotrkowskim przez różnowierców, którzy zwarte po raz pierwszy utworzyli stronnictwo polityczne z programem dokładnie tu określonym, znaną dotąd była tylko z dwóch współczesnych, w tłomaczeniu i skróceniu niemieckiem wytłoczonych druków. Autor podaje ją z Tek Gołębiowskiego, znajdujących się w bibliotece hr. Dzieduszyckich we Lwowie, w oryginale polskim, w którym po krótkim wstępie idą naprzemian po sobie ustępy zatytułowane „C o n f e s s i o" i „O d m o w a" t. j. refutacya artykułów podanych przez innowierców. Odmowę tę na „konfessyę" napisał Marcin Kromer, który był obecnym na sejmie piotrkowskim jako sekretarz królewski; za autora „wyznania wiary" uważano dotąd mylnie ks. Feliksa Krucygera, superintendenta kościołów innowierczych. Otóż autor po obszernym wywodzie, wyświecającym genezę i treść „konfessyi", daje wyraźne na to dowody, że źródłem jej było „wyznanie" głośnego swego czasu herezyarchy i przyjaciela Stankara, Stanisława Lutomirskiego, przedłożone królowi i biskupom w r. 1554, że tenże je w roku następnym powtórnie zredagował i że w tej szacie podanem zostało na sejmie piotrkowskim.

Następna rozprawa dra Aloizego Winiarza: Ziemia sanocka w latach 1463—1552" jest obszernem sprawozdaniem i streszczeniem Tomu XVI ‚Aktów grodzkich i ziemskich z czasów Rzeczypospolitej polskiej", których wydawnictwo po nieodżałowanej pamięci Liskiem objął dr. Antoni Prochaska. Tom XVI, wydany już przezeń, obejmuje zapiski sądów sanockich z lat 1463—1552 i podobnie jak poprzednie, przedstawia pierwszorzędną wartość do poznania stosunków ziemi sanockiej, a pośrednio i całej Polski w tym okresie. Autor stara się za ich pomocą dać obraz stosunków społecznych i ekonomicznych tej części Rzeczypospolitej, a rozpoczynając od ludności, streszcza to, co nam akta podają o żywiole szlacheckim, stanie duchownym i mieszczaństwie, które tu nie odgrywało prawie żadnej roli, a mianowicie o ludności kmiecej i odrębnym jej rodzaju t. zw. bartnikach. W końcu dosyć szczegółowo omawia sprawy sądowe tej ludności, różnej między sobą stanem i położeniem majątkowem, które zatrudniały ówczesne sądownictwo ziemskie, grodzkie i sąd wyższy prawa niemieckiego, a do poznania których organizacyi i kompetencyi akta zawierają oczywiście również bogaty materyał.

W dziale „Miscellanea" dr. Al. Hirschberg, kustosz Zakładu Ossolińskich, umieścił spis bibliograficzny źródeł rękopiśmiennych, odnoszących się do historyi polskiej, a znajdujących się w Archiwum państwowem w Sztokholmie (Riks-Arkivet, jako też w bibliotece uniwersyteckiej w Upsali i bibliotece hr. Brahe, która do niedawna była w Stoh Roster, a obecnie przeniesiona do Archiwum państwowego w stolicy, oddaną została do użytku publicznego. Dokładny ten spis relacyi posłów szwedzkich i aktów dy-

---

Głodysz: To święty dreszcz na widok bogiń!

(Farsalski i Filisterski wysuwają się naprzód i zaczynają jednocześnie).

Farsalski: Czcigodna pani... jestem dyrektorem teatru...

Filisterski: Jako przedstawiciel publiczności i protektor sztuki...

Farsalski: Mam zaszczyt w interesie sceny, której...

Filisterski: Uważam sobie za obowiązek niektóre dezyderata...

Fimer: Czekajcie panowie... interes przedewszystkiem! (zwrócony do Melpomeny, z ukłonem) Eimer. z uszanowaniem, restaurator z pod „Ciemnej gwiazdy".

Oczko: (śmiejąc się do Zoilkiewicza) Chi, chi, chi!... dyrektor się sypie!...

Głodysz: Muzo, ja powiem... jestem artystą, mam talent i zapał do sztuki, ról mi nie dają, gaży nie płacą regulnie, nie nie grywam, prasa mnie nie popiera, marnuję się. Łaski!...

Eimer: To wszystko faramuszki!... ja pani... ja pannie... przyszedłem zaproponować spółkę... Możemy ten interes ubić jednem słowem. Mam teatrzyk w ogródku...

Farsalski: (odsuwając go) Ośmielam się polecić szczególniejszym względom i moją trupę oddać pod łaskawą opiekę...

Merkury: (wyciągając swą laskę nad nim) Zamilczcie! Tutaj w harmonii wiecznej sfer, bezładnej waszej mowy słowa brzmią jak brzęczenie much. (zwrócony do Melpomeny) Czy chcecie siostry słuchać ich i gwar ten znosić dłużej?... Może rozpędzić mam ten rój?...

Melpomena: (w stroju klasycznym, z maską w lewej, a z mieczem krótkim w prawej ręce; na głowie ma wieniec z winnych liści).

Pozwól im zostać bracie mój,
Kto się na Olymp trudził,
Niech chociaż muzom spojrzy w twarz,
Choć pieśni ich nie zbudził.

Eimer: (do Polipa) Panie, ona wierszami gada?... co?... to wiersze?

Polip: (który pilnie notował na kolanie) Daj mi pan pokój!... wiersze.

Eimer: A co!... ja się znam na tem.

Melpomena:

Przenikam myśli waszych głąb
I dzięki mej potędze
Zapuszczam w serca wasze wzrok
I czytam w nich, jak w księdze!...
Daremny zachód wasz i trud
Aż na Olympu szczyty,
Dla marnych celów żadna z muz
Nie wyjdzie za błękity!...
Kramarstwo sztuki — nie nasz dział,
A z naszych łask korzysta
Ten tylko, co ukocha nas:
Poeta i artysta!...
Gdy jego nas zawezwie głos
Miłości i zapału
Pójdziemy za nim, kędy chce,
Z pochodnią ideału,
I lejąc boskiej sztuki czar
Na ziemską pospolitość
Łaknącym duszom z piękna sfer
Zniesiemy boską sytość!...

Gdzie ten wybraniec nasz i druh,
Co przyjść tu winien w posły,
Abyśmy za nim sztuki czar
Na ziemski padół niosły?...

(Za sceną w oddali daje się słyszeć muzyka łagodna, zbliżająca się coraz bardziej crescendo).

Za nim pójdziemy chętnie wraz,
Ja z siostrą Thalią społem,
Gdy w oczach mu zaświeci żar
I błyśnie laur nad czołem!...
Lecz kędy kupczyć nami chcą
Za lada korzyść nizką,
Tam ni dla sztuki, ni dla muz
Nie znajdzie się siedlisko!...

SCENA VIII.

Ciż i Poeta (wchodzi w wieńcu na głowie, przybrany w strój klasyczny, z złotą lutnią w prawej i zapaloną pochodnią w lewej ręce).

Poeta:

Co widzę!... toż Olympu szczyt
Goreje w blaskach zorzy!...
Muzy, witajcie!... pokłon wam!...

Euterpe: (wychylając się z poza kolumny)

Cóż to za młodzian hoży?
Patrz, siostro, jaki nosi strój...

Poeta: (w zachwyceniu spoglądając na Olymp) Więc to tu Olympu gruzy?!...

Melpomena: Ktoś jest, młodzieńcze, czego chcesz?

Poeta: (oddając im pokłon) Jam jest poetą, muzy!...

plomatycznych oraz rękopisów w znacznej części wywiezionych przez Szwedów, w czasie wojen z Rzecząpospolitą, uzupełnia urywkowe wiadomości, podane już przez hr. Przeździeckiego i hr. Eust. Tyszkiewicza. Jednego jednakże przytem doznaliśmy rozczarowania, a mianowicie tego, że biblioteka starożytnej wszechnicy w Upsali, w której składano najcenniejsze łupów wojennych skarby w rękopisach, tak nieliczne i stosunkowo niezbyt starożytne zawiera źródła rękopiśmienne (tylko 14 voluminów).

Szymon Askenazy podaje następnie z Tek Naruszewicza dochowane w przekładzie francuskim dwa listy sułtanki Chasseki Churrem (Roxolany) i dwa prawie identyczne jej córki sułtanki Chanum do króla Zygmunta Augusta. Listy te zdają się potwierdzać pochodzenie ruskie dziwnej tej postaci, która z niewolnicy kupionej do sułtańskiego haremu wyniesioną została do wszechmocnej małżonki Wielkiego Sulejmana, prawodawcy, zwycięzcy z pod Mohacza, zdobywcy Rhodosu i niemal zdobywcy Wiednia.

Artykuł dra Prochaski „Do krytyki opowiadania Długosza o Elżbiecie Granowskiej“ nowy dorzuca dowód na to, że pomawianie przez historyków dawniejszych Długosza o tendencyjność, posuniętą aż do przekręcenia faktów, a nawet do zmyślania ich, było tylko bezpodstawnem przypuszczeniem. Dowodzi tego mianowicie przeciw zarzutom przez prof. Caro uczynionym z powodu opowieści Długosza o trzech mężach Elżbiety Granowskiej, a wypowiedzianym w surowych wyrazach: „diese scheinen als Ehegatten Elisabeths nur im Lügengeiste Zbigniew Oleśnicki's existiert zu haben“. Po dawniej stwierdzonym w osobnej rozprawie na podstawie wielu współczesnych źródeł, i to zarówno polskich jak pruskich, fakcie, że król był już czwartym z rzędu mężem Elżbiety i że wszystkie prawie poruszone przez Długosza z życia nieszczęśliwej królowej szczegóły nie mijają się z prawdą, wyjaśnia źródłowo z trzech przedrukowanych, nieznanych dotąd aktów z kodeksu biblioteki uniwersyteckiej pragskiej, oraz kodeksu bibl. kórnickiej jeden jeszcze przywiedziony przez Długosza szczegół: nazwiska pierwszych dwóch mężów królowej.

Wreszcie ksiądz dr. Fijałek w artykule pod tytułem „Zamierzona osada zakonna zakonu kapucyńskiego w pałacu spiskim na rynku w Krakowie 1683/5 roku“ z ogłoszonych w dodatku dokumentów podaje nieznaną dotąd wiadomość o zabiegach O. Jakóba z Rawenny, komisarza jeneralnego OO. Kapucynów w Polsce, gdzie zakon ten osiedlił się dopiero za króla Jana III, celem osadzenia ich w sławnej kamienicy „pałacem spiskim“ zwanej, jeszcze przed powstaniem dzisiejszego kościoła i konwentu.

Dział najobszerniejszy „Kwartalnika“ tworzą recenzye dzieł odnoszących się do historyi polskiej oraz z nauk jej pomocniczych. W zeszytach tych zwracają na siebie uwagę szczególną rozbiory dzieł: A. Pawińskiego „Sejmiki ziemskie“, przez dr. Winiarza. — tegoż „Polska w XVI wieku, Mazowsze“, przez A. Jabłonowskiego, — L. Finkla i Starzyńskiego „Historya uniwersytetu lwowskiego“, przez dra A. Karbowiaka. Z. Kaczkowskiego „Kobieta w Polsce“ przez A. Machczyńską, oraz dalszych tomów ks. Smolikowskiego „Historya Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego“ i Z. L. S. „Historya dwóch lat“ przez H. Lisickiego. Przegląd literatury historyi powszechnej starożytnej i średniowiecznej dany przy współpracownictwie młodszych sił przez prof. L. Finkla, Przegląd rozpraw i artykułów odnoszących się do historyi polskiej, zamieszczonych w czasopismach polskich i obcych, wreszcie sprawozdania z posiedzeń Towarzystwa pożądane nader dają zaokrąglenie tego jedynego dotąd w polskiej literaturze czasopisma historycznego.

Józef Wysocki.

Dziennikarstwo w Anglii.

II.

Tysiącznym tym i najrozmaitszym wymaganiom odpowiadają jednak w zdumiewający sposób olbrzymie dzienniki angielskie, i to głównie z tej przyczyny, że chodzi tu po prostu o ich kwestę bytu. Gdyby bowiem ten lub ów z wielkich dzienników naraził się na niechęć swych czytelników niedokładnemi sprawozdaniami lub informacyami, w krótkim czasie przy zaciętej konkurencyi dziennikarskiej utraciłby swą powagę, a tem samem i swych abonentów. Z drugiej jednak strony liczyć może z wszelką pewnością na stały i znaczny wzrost swej poczytności, jeźli pod względem szybkich, dokładnych i rozległych informacyi odpowiada wymaganiom publiczności. Doświadczenie wykazało, że w Anglii zalety dziennika na polu wysoko rozwiniętej działalności informacyjnej nagradzane bywają zawsze odpowiednim wzrostem zysków, ponieważ z samej natury rzeczy podnoszenie się liczby abonentów i zwiększenie się poczytności dziennika pociąga za sobą zwiększony napływ ogłoszeń. A znów główny ten dochód z ogłoszeń umożliwia dziennikowi ponoszenie ogromnych wydatków na możliwie dokładną informacyę.

Arcydziełem angielskiego dziennikarstwa są bez kwestyi „Times'y“. Biorącego do ręki numer tego wszechświatowego organu, który już o godz. 4-ej rano opuszcza prasę drukarską, ogarnia zdumienie nad nagromadzoną tam masą ludzkiej i maszynowej pracy. Na 12 – 16, czasem i więcej stronnicach znanego olbrzymiego formatu, spotykamy na wybornym papierze „alfa,“ ustawione równym wyraźnym a tem samem i dla oka przyjemnym drukiem niezliczone mnóstwo ogłoszeń wszelkiego rodzaju, a jeźli zważymy przy tem starannie i z werwą pisane artykuły wstępne, szczegółowe podane rozprawy parlamentarne, mowy wyborcze, sprawozdania z kongresów i zebrań wszelkiego rodzaju, opisy nieszczęśliwych wypadków itp. — to mi-

---

Muzy: (poruszone z radością) Poeta!..

Melpomena: Cóż za rzadki gość!... Ach, zbliż się, druhu miły!...

Poeta: (zatykając pochodnię u stopni portyku).

Aż z ziemi szedłem na wasz szczyt,
I już mi zabrakło siły;
Lecz teraz świeżą czuję moc,
Wasz widok mnie ocucił —
Niebianki, oto laurów garść,
Którą mi kraj ten rzucił!

(Zdejmuje wieniec z głowy i składa go u nóg Melpomeny).

Ofiarę z niego niosę wam,
Lecz w zamian błagam łaski.
Natchnienia coraz słabszy zdrój
I sztuki gasną blaski...-
Pomocy waszej wzywać śmiem,
U waszych staję progów —
Zejdzie w gościnę do was znów
Z niebiańskich swych rozłogów!...
Rozniećcie jaśniej sztuki Znicz,
Zapalcie twórcze duchy,
Harmonii boskiej nowy strój
Niech zabrzmi w pustce głuchej!...
O muzy piękne, wzywam was,
Zaklinam z serca drżeniem —
Zejdźcie!... tam w dole waszych łask
Czekają z utęsknieniem.
Na lutni tej nawiążcie znów
Porwane struny dźwięczne,
A jako harfy dadzą wtór
Słuchaczów serca wdzięczne!...

Melpomena:

Młodzieńcze, mile brzmi twój głos
Tu, na Olympu szczycie,
Wnijdź w nasze progi, gościu nasz,
Nagrodzim cię sowicie!
Odpocznij, siły nowe zbierz
I zabaw w naszem gronie —
Poeto, w świeży dzisiaj laur
Zwieńczymy twoje skronie,
A potem, kiedy zechcesz sam,
Powiedziesz nas swą drogą,
Bo z tobą tylko godnie iść
Dłoń w dłoni muzy mogą!

(Schodzi ku niemu, podaje mu rękę i prowadzi po stopniach w górę pomiędzy Muzami, które się rozstąpiły po obu stronach, robiąc im przejście. Za nimi wchodzi ostatni Merkury, zatrzaskując za sobą kratę).

SCENA IX.

Ciż i (po chwili) Nimfa.

Eimer: (z głupowatą miną spogląda jakiś czas po wszystkich, którzy nie mogą wrócić do równowagi) Nic nie rozumiałem! Wiem tylko, że panie muzy zaprosiły sobie poetę na kolacyę. Ładny gość! Zje pół porcyi, ze trzy pajdy chleba, wypije kufelek piwa, napsuje z dziesięć wykałaczek i pójdzie sobie. Znam ja takich! No, ale co będzie z nami?...

Farsalski: (z komiczną miną) Nagadała nam morałów i pokazała plecy! Dobra sobie ta Melpomena! Jabym jej odstąpił dyrekcyę, niechby spróbowała!...

Filisterski: (ziewając) Nie, to nie było wcale zabawne! Żeby jeszcze w operetce, to możeby i uszło.

Głodysz: A ja wam powiadam, że ma dykcyę nieszczególną, chociaż jest muzą tragedyi!...

Oczko: Zawracanie głowy!... jabym to lepiej powiedziała, chociaż grywam tylko naiwne.

Farsalski: Szkoda się było we frak ubierać!... Ha, no!... niema co, nie udała nam się wyprawa! Trzeba wracać bez pani Melpomeny. (do Polipa) Cóżci redaktor tam nagryzmolił całą librę papieru?

Polip: (klaskając językiem) Będę miał sensacyjną wiadomość z Olympu. Zrobię z tego oryginalną korespondencyę. Panie Eimer, dajno pan tę butelkę! Może tam zostało co jeszcze pańskiej brei?

Zoilkiewicz: A ja wam powiadam, moi drodzy, że jeśli poeta ma naprawdę talent i przyjdzie mnie się jeszcze poradzić, to on jeden kwestyę rozwiąże!... Ale wy tego nie rozumiecie, więc chodźcie, sprowadzę was krótszą drogą z tej góry.

Głodysz: No, przynajmniej raz krytyka pokaże nam, którą drogą iść trzeba.

Filisterski (wyjmuje papierosa i zapala go u pochodni, zatkniętej przez poetę na stopniach Olympu).

Zoilkiewicz: (zgorszony) Panie, pan popełnia profanacyę!... zapalasz pan papierosa od pochodni poetyckiego zapału.

Filisterski: (puszczając kłąb dymu z lekceważeniem) Pchi!... my, publiczność, przecież za ten zapał płacimy.

Oczko: (podając rękę Filisterskiemu) A co?... kochasz pan Pimpcię? Prawda, iż ja jestem zabawniejsza niż wszystkie Melpomeny? (Szykując się do odejścia z Zoilkiewiczem na przedzie. Eimer, który pozo-

mo przeprowadzonego w tych dziennikach do ostatecznych granic podziału pracy, pomimo wszelkich zastosowanych w dziennikarstwie środków technicznych i maszynowych, zdumiewać nas musi uwaga, że na dobę przed tem nic z tego wszystkiego nie było napisanem, złożonem, a po części nie wydarzyło się nawet jeszcze. Numer taki „Times'ów“ słusznie nazwać by można historyą wypadków całego świata w ubiegłej dobie. Ale nie dość na tem. Chociaż bowiem w Anglii nie istnieje urzędowa publikacya ciągnąca się często późno w noc obrad parlamentarnych, to jednak czytelnik „Times'ów“, z wszelką pewnością liczyć może na to, że już następnego rana otrzyma dosłowny tekst nietylko mów wygłoszonych poprzedniego wieczora w Londynie w izbie gmin i izbie lordów, ale i rozpraw toczących się o tym samym czasie np. w Edinburgu lub Glasgowie.

Jest to, rzecz jasna, możliwa jedynie przy najintensywniejszem wyzyskaniu wszelkich tak wydoskonalonych w dzisiejszych czasach środków technicznych, w pierwszej linii drutu elektrycznego, służącego do przenoszenia telegraficznych jak i telefonicznych wiadomości; tem się też tłomaczy, że informacyi starszych niż dobę przeciętny czytelnik angielski nie uważa za „najnowsze wiadomości“. Do tego jednak, aby módz rejestrować wszelkie ważniejsze wypadki, wydarzające się w najrozmaitszych miastach i krajach świata, że się tak wyrazimy, natychmiast przy ich powstawaniu, wymagają te dzienniki owej po całej kuli ziemskiej rozrzuconej armii korespondentów i reporterów, których trudne bardzo zadanie polega na bezustannem informowaniu swego dziennika o wszelkiem, co zasługuje na uwagę. Koszta połączone z tą reporteryą nie odgrywają przy tego rodzaju przedsiębiorstwach dziennikarskich żadnej roli. Jedynym celem, do którego dąży wielki dziennik angielski jest podawanie swym czytelnikom oryginalnych, najszybszych i najdokładniejszych wiadomości. Dzienniki te posiadają więc albo własne swe połączenia telegraficzne z głównemi krajami Europy, albo co najmniej umowy, zapewniające im pierwszeństwo przed innymi klientami tych środków komunikacyi. Tak podczas wielkiego przesilenia pieniężnego w Argentynie wysłały „Times'y“ do Buenos Ayres jednego z najwytrawniejszych swych korespondentów, który przez kilka dni krytyczne telegrafował na drogim telegrafie podmorskim swemu dziennikowi prawie co godzina o położeniu tamtejszego rynku pieniężnego. Pochłonęło to wprawdzie w przeciągu dwóch dni pokaźną sumę 30,000 mk., ale w ten sposób dowiedzieli się zaangażowani miliardami w argentyńskich walorach kapitaliści Europy trzy tygodnie wcześniej o smutnych tamtejszych, politycznych i finansowych stosunkach, co zabezpieczyło ich przynajmniej przed najdotkliwszemi stratami.

Nie tylko jednak stolica rozporządza pewną liczbą tak wyborowych dzienników, i inne wielkie miasta handlowe Anglii posiadają podobne przedsiębiorstwa, mogące się śmiało mierzyć z londyńskimi swymi współzawodnikami, chociaż służą one wyłącznie prawie interesom handlu i giełdy. Pomiędzy temi wydawnictwami zajmuje obok „Liverpool Courier“, „Birmingham Daily Mail“ i „Leeds Mercur“ pierwsze miejsce Manchester Guardian“ i pracuje przy pomocy prawie tak wielkiego aparatu jak „Timesy“, mianowicie na polu kwestyi socyalnych, na którem uchodzi za najdokładniej informowany i pod względem fachowym najlepiej redagowany organ całego świata.

Jeźli dążenie do utrzymania swych pism na stopniu możliwej doskonałości dyktują wielkim angielskim przedsiębiorcom dziennikarskim względy czystego interesu, ponieważ dzienniki te stanowią w pierwszej linii przedsiębiorstwo kupieckie, liczące na zysk jaknajwiększy, to jednak wydawcom tych organów wszechświatowych nie wolno ani chwili zapominać poczucia ogromnej odpowiedzialności, spadającej na nich jako bezpośrednie następstwo wielkiej poczytności i powagi, jaką się cieszy ich dziennik nie tylko w Anglii, ale i daleko po za jej granicami. Im większy i poczytniejszy jest taki organ, tem większe i cięższe brzemię odpowiedzialności spada na barki jego redaktorów, a należy im się uznanie, że brzemię to noszą z godnością i powagą. Wszyscy bowiem posiadają w najwyższym stopniu nieledwie instynktowe zrozumienie ogólnego dobra swej ojczyzny, wysoko rozwinięte, co prawda, obrażające często inne narodowości, poczucie godności angielskiego imienia, a dalej także, czego wcale, o ile się zdaje, nie zna wiele pism francuzkich, niemieckich, włoskich, a po części i naszych, uznania godny wstręt przed naruszaniem dobrej sławy, życia domowego i osobistych interesów osób prywatnych, dopóki tego rodzaju sprawy nie znalazły wyjaśnienia na drodze prawnej.

Na uwagę zasługuje dalej fakt, że ważniejsze artykuły, a zwłaszcza artykuły wstępne „leaders“, we wszystkich prawie większych dziennikach angielskich pojawiają się bez podpisu autora. Za treść ich odpowiedzialny jest wyłącznie redaktor naczelny lub wydawca, co kładzie skuteczną tamę wszelkiej osobistej polemice. Zresztą nawet polemiki pojedyńczych dzienników pomiędzy sobą zachodzą w prasie angielskiej względnie dość rzadko, ponieważ jak słusznie zaznacza Daryl w dziele „La vie publique en Angleterre“: „Walki te dziennikarskie nie są już na czasie. Od dawniej już niż pół wieku doszli Anglicy do świadomości, że nie ludzie lecz idee zasługują przedewszystkiem na uwagę, i wyleczyli się w zupełności od panującego u innych narodów kultu osobistości“. Prasa w Anglii wyrosła z czasem na potężną instytucyę publiczną, w której ramach nie ma miejsca dla małostkowych osobistych kłótni, tem bardziej, że czytająca publiczność odpycha ze wzgardą tego rodzaju niezdrowe objawy dziennikarstwa.

Wogóle czytelnik angielski nie żąda wcale, aby mu dzienniki przedstawiały gotowe i jednostronne swe zapatrywania, lecz domaga się przedewszystkiem możliwie bezstronnego i wszechstronnego oświetlenia danej sprawy, celem wytworzenia sobie własnego sądu i zupełnie słusznie twierdzi Montalembert, że „publiczność w Anglii uważa się za nieustający trybunał, a dzienniki sza-

---

stał trochę z boku, spostrzega wchodzącą Nimfę i zaczaiwszy się, kiwa na nią palcem).

Eimer: Psst!... panno!... panienko!...

Nimfa: Kiedy się wstydzę!... jeszcze znów kto zobaczy!

Eimer: Chodź-no panna na słówko!... (przygląda się jej i szczypie ją w policzek) Wiesz panna, co pannie powiem?

Nimfa: No, co?...

Eimer: Z panny-by była dopiero Melpomena, jak Boga kocham! Podejmij-no panna sobie trochę wyżej tę kieckę. (chce jej podnieść tunikę po za kolano) O tak!... To nic nie szkodzi, że będzie trochę podkasana. Panna umie śpiewać?

Nimfa (filuternie głową kiwa).

Eimer: A tańczyć panna umie?... tak coś pikantnego?...

Nimfa (robi ruch kankanowy).

Eimer: Pyszności!... wie panna nimfa, co ja pannie nimfie powiem? Chodź panna Nimfa ze mną pod „Ciemną gwiazdę“. To restauracya pierwszego rzędu! Angażuję pannę na muzę!... no?... zrobimy interes. Mniemby się taka podkasana muza przydała. Wikt, mieszkanie, opierunek i dwanaście blatów miesięcznie. Zgoda?...

Nimfa: (po chwili namysłu, jakby się nie mogła zdecydować) Ale co do piwa, to nie będę roznosiła?...

Eimer: Niee!... uchowaj Boże!

Nimfa: (podając mu rękę) No to jazda! Tu i tak z nudów można się skręcić!

Eimer: (chwyta ją wpół i wybiegając woła) Mnie się jednak wyprawa na Olymp opłaciła!

Polip: (trzymając się za boki ze śmiechu) Górą nasi!... a co?... Ten ma rozum!...

SCENA X i ostatnia.

Merkury (po chwili) Melpomena, Poeta i Muzy.

(Pod koniec ostatniej sceny ukazuje się pod portykiem Olympu Merkury i oparty na swej lasce przysłuchuje się z miną ironiczną rozmowie Eimera z Nimfą, a po ich odejściu lekkim krokiem zeskakuje po stopniach na scenę i woła za nimi).

Merkury:

Szczęśliwej drogi!... a spieszcie się
Ku ziemi ze swą zdobyczą!...
Ot, taka muza przyda się tam,
Gdzie sztukę do sztuczek liczą,
Ale świętego ognia skry
Profanów dłoń nie skrzesze,
My nie przedamy siebie, nie! —
Gawiedzi ku uciesze!...
Tym, co na handel sztuki chcą,
Pozorem jej frymarczą,
Niech łaski takich tylko muz
Za nasze względy starczą!

(Z pod portyku schodzi poeta, prowadząc Melpomenę i Thalię, za nimi grupują się Muzy uwieńczone kwiatami i stają po obu stronach na stopniach Olympu).

Poeta:

O, dzięki, dzięki, dzięki wam
Za świeżych natchnień dary!...

(ujmując w rękę pozostawioną pochodnię)

Sztuka z poezyą rzuca blask
W mrok życia mglisty, szary,
Boską ma władzę ich zaklęć moc,
I duszę rozpłomienia,
I uszlachetni śmiech czy łza,
Gdy płynie z ich natchnienia!...
Więc pójdźcie ze mną ludziom nieść
Z tych podniebiańskich szczytów
Na sztuki cześć, poezyi cześć
Skarb wrażeń i zachwytów!...
Powiodę was w czcicieli tłum,
Co z duszy rad wam będzie,
I w grono waszych wiernych sług —
Pójdziecież ze mną?...

Muzy: (z zapałem) Wszędzie!...

Melpomena:

Niech twa pochodnia, jak płonący ptak,
Przed nami przodem poleci
I niech rozwidnia mroczny, ziemski szlak
Wszędy, gdzie blask jej zaświeci.
Prawda i piękno błysną w świecie jej
I olśnią ziemi syny,
Sztuka z nich weźmie nowy czar,
A tobie da wawrzyny!...

(Melpomena z poetą na czele i Muzy grupują się do pochodu. Orkiestra intonuje Poloneza Chopin'a. Kurtyna powoli spada).

KONIEC.

sując samowładzę opinii publicznej zgodzić się muszę na rolę sędziów, którym anglosaksońskie poczucie prawne zabrania bezwarunkowo znęcać się nad oskarżonym lub zastawić nań podstępne sidła". A ton przyzwoity bywa zachowywany zarówno przy podawaniu parlamentarnych i innych obrad i rozpraw, jak w sprawozdaniach z sensacyjnych procesów.

Jedynie artykuły wstępne o tyle wykazują coś indywidualnego, osobistego, że służą one do wyjaśnienia stanowiska stronnictwa, którego bronią interesów.

Rozumie się samo przez się, że nie brak w pracie angielskich licznych i to dość poważnych cieniów. Przedewszystkiem razi w dziennikarstwie W. Brytanii przekraczająca wszelką miarę stronniczość w sprawach, w których interesa angielskie wchodzą w kolizyę z interesami innych narodów. Wrodzone nieledwie Anglikowi i głęboko zakorzenione przekonanie o swej wyższości nad wszystkiemi innemi narodami całego świata, nie pozwala mu wżyć się w myśli i uczucia obcego narodu i zdobyć się wobec niego na postawę, zgadzającą się z wymaganiami słuszności i sprawiedliwości. Oświadczył przecież wybitny Anglik, Sydney Whitman w swem dziele „le pays du Cant": „Wymagań ludzkości nie należy uwzględniać, skoro się one sprzeciwiają interesom angielskim; z drugiej jednak strony wysuwamy je chętnie naprzód, jeźli przez to inne narody narazić możemy na trudności i zatargi."

X.

Współczesny dramat rosyjski.

Hipolit Spasinski.

Narodowa scena rosyjska zawdzięcza swój początek Ostrowskiemu. Genialny ten dramaturg wytworzył szkołę, która współczesnemu teatrowi rosyjskiemu zapewniła szereg utalentowanych autorów, odzwierciadlających w swych utworach zgodnie z prawdą, a przytem w artystycznie wykończonej formie zewnętrznej życie rosyjskie i ucieleśniających należycie wszelkie objawy i prądy, nurtujące społeczeństwo rosyjskie. Gdy bowiem komedye Vonvisina („Gagatek", „Brygadier") trzymają się niewolniczo francuzkich pierwowzorów, gdy komedya Grybojedowa „Gore ot uma" zasługuje jedynie na nazwę dowcipnej satyry społecznej, gdy wreszcie „Rewizor" Gogola nie wytworzył szkoły i nie pozostawił po sobie wyraźniejszych śladów — dramatyczne utwory Ostrowskiego wywołały w teatrze rosyjskim radykalny przewrot i przekształciły do gruntu smak rosyjskiej publiczności teatralnej. Dopiero w dramatach Ostrowskiego wystąpili przed publicznością rosyjską prawdziwi, pozbawieni wszelkich osłon, „rosyjscy ludzie" w których potężnem tętnem biło rodzime życie z wszystkiemi jego dolegliwościami i ranami, z wszelkiemi zaletami i wadami, jasnemi i ciemnemi stronami. Zrozumieć wobec tego łatwo, że następcy Ostrowskiego nie szczędzili starań, aby wiernie służyć ideałom twórcy rosyjskiej sceny narodowej.

Do najwybitniejszych z tych naśladowców należy niewątpliwie Hipolit Wasiliewicz Spasinski, który przed 20 laty poraz pierwszy przedstawił się rosyjskiej publiczności, i na samym wstępie zdobył sobie jej uznanie. Zaczerpnięty bezpośrednio z życia utwór pierwszy Spasinskiego wywarł dzięki świetnemu, iskrzącemu się od dowcipu i humoru dyalogowi, dzięki nadzwyczaj interesującej akcyi silne wrażenie, chociaż ówczesna publiczność teatralna pozostawała jeszcze pod potężnym urokiem dramatów Ostrowskiego.

Talent dramatyczny Spasinskiego zaznacza się najsilniej w odtwarzaniu postaci kobiecych rozmaitych warstw rosyjskiego społeczeństwa. Poznał on na wskroś duszę rosyjskiej kobiety, umie spoglądać w głąb tej duszy i chwytać najtajniejsze jej drgania. Przy tem utwory tego autora wolne są od wszelkiego gonienia za sztucznemi efektami teatralnemi; objawy codziennego życia rosyjskiego przedstawiane bywają w tych utworach z taką prostotą i takim realizmem, że życie to roztacza się przed oczami widza w zatrważającej nieledwie swej nagości. Działające postacie w utworach Spasinskiego są pełne życia, pochwycone na gorącym uczynku wytwory społeczeństwa rosyjskiego i środowiska, w którem się poruszają. Żadna jednak ze sztuk tego dramaturga nie zdobyła sobie tyle uznania, co wystawiony w r. 1878 po raz pierwszy dramat ludowy p. t. „Majorowa". Sztuka ta, która dotychczas doczekała się z górą 1300 przedstawień, ugruntowała sławę Spasinskiego na zawsze.

Utworowi temu należy się cokolwiek obszerniejsza ocena. Stanowisko kobiety w rodzinie rosyjskiej, a zwłaszcza w niższych warstwach ludności, było i jest do dnia dzisiejszego nadzwyczaj smutne. Tradycyjne zapatrywania na kobietę, wytworzone przez lud w duchowej jego ciemności, degradują kobietę do roli prostego przedmiotu, któremu nie wolno posiadać uczuć ani pragnień, namiętności ani słabostek. Brutalny despotyzm (samodurstwo) głowy rodziny, przedstawiony przez Ostrowskiego w licznych niezrównanych typach, stanowi wiecznie jątrzącą się ranę rosyjskiego życia rodzinnego w niższych warstwach ludności. Pod tym też względem wykazuje „Majorowa" wiele podobieństwa z Katarzyną Kabanową, bohaterką najlepszego dramatu Ostrowskiego. I Katarzyna Kabanowa w „Burzy" rzuca się w nurty Wołgi, wyspowiadawszy się z grzesznej swej miłości przed despotycznym swym małżonkiem. Udręczona ta dusza kobieca, pożerająca się w płomieniach swej namiętności, a zmuszona żyć w otoczeniu ludzi, nie różniących się niczem od bezmyślnych zwierząt, stanowi już sama w sobie dramat wstrząsający do głębi porywającą swą prawdę. I „Majorowa" Spasinskiego jest wytworem tego środowiska i ona jest taką udręczoną duszą kobiecą, którą zabija występna miłość.

Z całego szeregu utworów, któremi Spasinski podczas dwudziestoletniej swej działalności autorskiej wzbogacił rosyjską literaturę dramatyczną, zasługują przedewszystkiem na uwagę sztuki z ostatniego dziesięciolecia. Dojrzały talent wydawał też dojrzałe owoce. W dziełach z tego okresu występuje Spasinski jako bystry psycholog i pełen talentu badacz współczesnego rosyjskiego społeczeństwa. Różnobarwny szereg typów i charakterów przesuwa się przed naszemi oczyma, pełnych życia i uwydatniających ze zdumiewającą prawdą najnowsze prądy i objawy społeczne. W pięcioaktowym dramacie „Zwykłe dzieje" (Prosatja istorija) przedstawia nam autor w Siłwaczewie, bohaterze sztuki, typ owych niezdecydowanych i pozbawionych wszelkiego gruntu moralnego frazesowiczów, w których tak bogate jest społeczeństwo rosyjskie, a których pierwowzoru szukać należy w Rudinie Turgenjewa. Pułkownik Siłwaczew, komendant pułku w mieście prowincyonalnem środkowej Rosyi, zdobywa sobie miłość młodej i pięknej żony kupca Wjery Roswałowej. Dziwić się trudno, że Wiera łamie wiarę swemu mężowi. Mąż ten, Nikanor Roswałow jest owym dawnym, brutalnym despotą domowym z połowy bieżącego wieku, w odświeżonem cokolwiek wydaniu. Spędza on noce w towarzystwie dam z półświata, odprawia orgie po orgiach, zaniedbując w zupełności młodą swą żonę. Niezaspokojone pragnienie miłości i obrażona godność kobieca znajdują swój wyraz w namiętności ku Siłwaczewowi. Z właściwą kobiecie rosyjskiej energią korzysta Wjera z najpierwszej nadarzającej się sposobności, aby opuścić męża i przenieść się do Siłwaczewa. Już zakłopotanie, jakie objawia Siłwaczew wobec tego kroku swej kochanki, ukazuje nam charakter tego bohatera we właściwem świetle. Gdy zaś powraca prawa żona Siłwaczewa, która go opuściła niegdyś i staje przed nim dopominając się ze zdumiewającą bezczelnością praw swoich, porzuca ten bohater swą kochankę, która mu poświęciła wszystko, nie pożegnawszy jej nawet. Wjera opłaca miłość swą i rozczarowanie śmiercią; umiera na suchoty. Około głównych postaci tego utworu, narysowanych po mistrzowsku grupuje się szereg epizodycznych figur, stanowiących nadzwyczaj cenny materyał do charakterystyki współczesnego rosyjskiego towarzystwa. I tak młody Arawin, którego jedynym ideałem jest „pieniądz, pieniądz i jeszcze raz pieniądz" płaszczący się i nie przebierający w środkach, aby dojść do swego swego celu, jest przedstawicielem jednego z chorobliwych objawów we współczesnem życiu rosyjskiem.

Głęboka znajomość rosyjskiego społeczeństwa, zdolność ucieleśnienia swych spostrzeżeń w pełnych życia postaciach, mistrzowskie odtwarzanie codziennego życia i namiętności ludzkich cechuje także wszystkie prawie inne utwory autora „Majorowej".

W pięcioaktowym dramacie „Ofiara" przedstawia nam Spasinski prosty i prawdziwy, a wstrząsający najbardziej nawet sceptycznego widza obraz rosyjskiego życia rodzinnego. Mitrofan Rakitin, podrzędny urzędnik, należy do idealistów, których naiwna wiara w miłość, przyjaźń i cnotę nie zna granic, otoczony jest jednak ludźmi, nie wykazującymi najmniejszych śladów człowieczeństwa. Brat jego Sachar, zamężny rejent, hołdujący zasadzie, że świat cały istnieje tylko dla jego przyjemności, traktuje go z największem lekceważeniem; matka Arina, na wpół idyotyczna i nieokrzesana kobieta, dręczy go na każdym kroku, chociaż ubogi urzędnik odmawia sobie wszystkiego, aby jej uprzyjemnić życie. Jedynym jasnym promieniem w życiu Mitrofana jest jego żona Walentyna, którą wyrwał z największej nędzy i poniżenia. W swej naiwności nie spostrzega jednak Mitrofan burzy, która się zrywa w duszy jego żony. Walentyna nie różni się od Sachara i Ariny. I ona uważa uczciwość Mitrofana za głupotę, i ona nie znajduje szczęścia przy boku idealnego męża, i bez oporu oddaje swe serce ubiegającemu się o jej względy Cowelasowi. Mitrofan spostrzegłszy swą żonę w objęciach kochanka, opuszcza ten świat pozorów i obłudy i szuka śmierci w nurtach rzeki. Wszystkie charaktery tej sztuki narysowane są po mistrzowsku, akcya rozwija się prawidłowo, a prostota rozgrywających się przed naszemi oczyma wypadków potęguje jeszcze dramatyczność sztuki.

Ale i utwory dramatyczne, których treść zaczerpnął Spasinski z przeszłości Rosyi odznaczają się prawdą i życiem i dają nam dokładny obraz ówczesnych stosunków społecznych. Do tej kategoryi należą dramaty: „Wolność bezszranek" (Woliszaja woliuszka) i „Przed wielu laty" (W staryje gody). W „Wolności bez szranek" roztacza autor szmat życia z czasów Iwana Groźnego.

Za daleko by nas zaprowadziła szczegółowa ocena wszystkich utworów dramatycznych Spasinskiego. Wyżej podana charakterystyka najgłówniejszych jego dramatów

wystarcza do poznania tego autora, należącego do najwybitniejszych przedstawicieli współczesnego rosyjskiego teatru. Z dwudziestu sztuk napisanych przez Spasinskiego, nie mała liczba zasługuje na uwagę nie tylko rosyjskiej publiczności. Spasinski jest prawdziwym talentem dramatycznym, którego utwory malują może najdokładniej, najzgodniej z rzeczywistością współczesne rosyjskie życie społeczne.

K.

Pałac Kryształowy w Monachium.

Wszechświatowa wystawa sztuki w r. 1896.

Monachium, 10 czerwca.

Pałac Kryształowy, Glaspalast, — komu nie jest znanym gmach ten, albo kto przynajmniej o nim nie słyszał?

Jest to osobliwość miasta artystycznego, które w jednej ręce trzyma kufel z słodkiem i silnem piwem bawarskiem, w drugiej zaś pędzel, umaczany w farbie, i westchnąwszy wpierw do Apolla potem do Gambrina... tworzy.

Trudno pojąć w istocie, jak to Monachium, słynące przecie ze swej reputacyi artystycznej, może zarazem tak obfitować w uderzającą, niezwykłą ilość czerwonych opojów, których się tu na każdym kroku spotyka... Dziwna to zagadka i niewytłomaczona.... Być stolicą sztuki, nauki i wzniosłych ideałów, a równocześnie stekiem największego na świecie pijaństwa, niezwykła to rzecz doprawdy.... Ale porzućmy na teraz wszystkie pesymistyczne refleksye i przejdźmy do tej osobliwości grodu tutejszego, której tytuł na samem czele niniejszej korespondencyi umieściłem.

Glaspalast — to olbrzymi pałac, cały ze szkła zbudowany (fundamenty i podparcia rzecz prosta z materyału trwalszego), nie powiem, żeby ładny i zbyt oryginalny, owszem brudny na oko i dziwaczny, „clou“ swoje zawdzięczający jedynie materyałowi, z jakiego go zbudowano. Przeznaczony wyłącznie do pełnienia funkcyi specyalnie artystycznej, raz do roku o tej porze otwiera swe podwoje żądnym wrażeń i zamyka je dopiero przy końcu października. Czasu więc niby niebrak na obejrzenie i przetrawienie tego wszystkiego, co twórczość, przedsiębiorczość i usiłowania ludzkie tu nagromadziły.

Śmiało rzec można, że „Glaspalast“ jest prawdziwą atrakcyą Monachium. Gdy zbliża się się termin jego otwarcia, wszyscy na ustach mają tylko gorączkowe pytanie: kiedy? czy już?.... Kobiety sposobią swe toalety, by módz je publicznie zaprezentować, świat elegancki i filistrzy dają sobie tam rendezvous... Malarze zaś spieszą oglądać, uczyć się, studyować, podziwiać to, co inni stworzyli, lub ganić i wytykać błędy... Między publicznością szerszą, jak wszędzie zresztą, miłośników mało się znajduje...

Glaspalast nie obchodzi się tu także bez zwykłych, właściwym wszystkim podobnym instytucyom „awantur“. Uroczystość rozwarcia podwoi chwilowego przybytku sztuki, przez resztę roku stojącego pustkami, odbywa się w asystencyi całej ciżby możnych gapiów płci obojga, przeróżnych próżniaków i zbijaczy bąków, wreszcie osób postawionych wyżej itp. Jest to komedya niesmaczna i niezabawna wcale. Tak każe jednak tradycya....

Z zaciekawieniem przestępowałem progi tegorocznej „Münchener Jahresausstellung der Kunstwerke aller Nationen“. Zawsześ to powaga w świecie malarskim ta wystawa „glaspalastowska“ i figurowanie na niej nie jest byle czem. Wielu z tutejszych-młodych adeptów sztuki wyczekuje z utęsknieniem chwili, w której obraz ich lub rzeźba uzyska wstęp do monachijskiego salonu“... „Jury“ jest surowe i nieubłagane. Sortuje zawzięcie i bez pardonu. Mnóstwo utworów wraca melancholijnie do pracowni, lub szuka ratunku u... Secesyonistów.

A propos „Secesyi“. Otwarta i ona. Podobno bardzo dobra, krążą jednak głuche pogłoski, że to już ostatni jej występ na tym świecie, i że na rok przyszły zleje się napowrót z „królewskim“ Glaspalastem..... Niewierne to więc i buntownicze dziecko, które nie mogło dłużej znieść koteryjności, zaśniedziałej rutyny i jednostronności papy Glaspalastu, i poczuło w sobie dość siły, by się oderwać od niego i stworzyć pod własną egidą i własnym protektoratem wystawę „niezależnych“, gdzie obok największego, że się wyrażę po malarsku „kiczu“, można było znaleźć rzecz godną uwagi, zachwytów i uwiecznienia, — dziecko to zbuntowane zmiękło w swym uporze i kornie chyląc głowę, wraca pod ciepłe, opiekuńcze skrzydła królewskiego ojca.... A szkoda! Już może nie tego nawet, że młodzi artyści własne drogi torowali i przebojem naprzód szli, ale choćby tego, iż duch szlachetnej opozycyi wszędzie, w najlepszych nawet sprawach staje się często nieodzownym i nieodbicie potrzebnym dla prawidłowego rozwoju stosunków.

Tak więc, jak nadmieniłem, z ciekawością wstępowałem w progi przybytku piękna i sztuki. W przeszłym roku, mając sposobność widzenia wystawy, wyniosłem z niej wrażenie jaknajsympatyczniejsze; byłem ciekawy, jaka też będzie tegoroczna, czy przewyższy poprzednią, lub naodwrót, czy poprzednia zdyskredytuje obecną?

Na samym wstępie zostałem uderzony gwarem rozmów, prowadzonych w językach francuskim, angielskim, rosyjskim, polskim, rumuńskim, serbskim itd. itd. Jest to bardzo naturalnem. Monachium obecnie ugaszczać zacznie całe roje tych różnojęzycznych ptaków, które od 1 czerwca począwszy nie omijają sposobności, by wpaść do nas i zobaczyć, co jest do widzenia na wystawie...

Pozwólcie, bym biorąc się do opisania tegorocznego salonu zaczął od rzeźby, choćby dla tego, iż dano jej tu miejsce (jak zwykle) na samym środku, tak że zaraz od drzwi wchodowych rzuca się w oczy.

Z góry pozwolę sobie wypowiedzieć zdanie, które zdaje się tu być powszechnem: oto tegoroczna wystawa w Glaspalaście pod względem doboru i wartości dzieł ustępuje przeszłorocznej. Ja dodam, że w rzeźbach to się odczuwać daje najdotkliwiej...

Podczas gdy w roku przeszłym było w dziale tym dość utworów bogatej fantazyi i nietuzinkowej myśli (o wykonaniu już nie mówiąc), w bieżącym uderza pustka, jałowość, szablon. Kilka biustów jak zwykle, — kilka główek jak zawsze, — parę fragmentów — oto i wszystko. W dziale malarskim również utworów natchnionych, głębiej pomyślanych, prawie że nie ma. Zewsząd wygląda rozpaczliwy brak pomysłów i tematów, czczość myśli i ubóstwo ducha... Drzewa i trawa, gęsi na trawie, martwa natura, krowy, woły i owce, niemieckie Kaśki i Maryśki z opasłymi Johannami i Gottliebami, naga kobieta, rozrzucona tak sobie bez wszelkiej myśli — oto temata tutejszych obrazów i obrazków... Nie będę się sprzeczał o to, czy te wszystkie trywialne pospolitości nie mogą być malowane dobrze, świetnie lub wspaniale, — na to zgoda, ale wybaczcie, chyba sami żądacie od sztuki jeszcze czegoś więcej... I łatwo można zauważyć ten ogólny głos narzekania, że sztuka, jak w błędnem kole, kręci się w pomysłach aż do dna wyczerpanych...

Ten i ów z młodych zrywa się do lotu, odrzucając na bok z niechęcią „trawki“ i „owieczki“ i w każdym obrazie stara się uwydatnić to „coś“, co miałoby myśl i ideję. Dobre to, szlachetne i na gorące poparcie zasługujące, cóż, kiedy wielu wpada w przesadę i ugania się często za „idejami“ zupełnie niemożliwemi, fantastycznemi, w pobudzeniu chorobliwem chyba zrodzonemi. Spoglądam nieraz i nic nie rozumiem...

Na samym wstępie przy drzwiach wprost siebie ustawione, sterczą dwie naturalnej wielkości figury heroldów średniowiecznych na koniach, zakutych w zbroję i z lancami w rękach. Bronz to, zbroja zaś z blachy. Konie doskonałe, jak żywe. Jest to dzieło Rudolfa Maison, zamieszkałego w Monachium. Dalej widnieje „Fragment do wodotrysku w Lipsku“ Jakóba Ungerera, duży, nie osobliwy, gdyż pozbawiony cech oryginalności... Z szablonowych, wiecznie na jedno kopyto i według jednej miarki fabrykowanych posągów, zanotować można pomnik cesarza Wilhelma I na koniu, roboty Klemensa Buschera z Düsseldorfu. Pomnik ma stanąć w Frankfurcie nad Menem. Wszędzie, a więc i tutaj, nie brak bachantki, lubieżnie na skórze tygrysiej rozrzuconej (Wind z Monachium), damy kameliowej (Cifareriello z Rzymu) i nagiej kobiety z bronzu, leżącej bez zbytnio mądrego wyrazu na twarzy (Du Bois, Bruksella). Tytuł jej: Milczenie. Z lepszych rzeźb zanotować wypada „Poete“ Karola Desvergnes'a z Paryża: Naga postać młodego mężczyzny (marmur), z piórem w ręku, zabierającego się do pisania w chwili natchnienia. Tak należy się domyślać, gdyż wyrazu prawdziwego upojenia twórczego na twarzy nie widać. „Szał miłosny“, to kobieta obnażona, z przymrużonemi namiętnie oczyma i wyrazem lubieżnej ekstazy w obliczu. Ciało jej okręca brzydki wąż. Jest to dzieło Francuza Le Roy, zamieszkałego w Genui. „Kain“ Józefa Magra z Lipska przedstawia głowę mężczyzny z ognistym, pałającym wzrokiem i namiętnym skurczem mięśni w twarzy, zapatrzoną w górę.. Z ciekawością przypatrywałem się temu wyrodnemu synowi Adama, ze względu na zapowiedzianego przez naszego rzeźbiarza Romana Lewandowskiego „Kaina“, do wykonania którego w pracowni swej wiedeńskiej już po kończeniu „Zniwiarki“ przystąpił.

O tym narodzić się mającym „Kainie“ usłużna reporterya doniosła, że ma być on wyobrazicielem symbolicznego uzmysłowienia zbrodni i psychologicznem uwydatnieniem duszy zbrodniarza. Z ciekawością więc patrzałem na „Kaina“ Magra, starając się go porównać z „Kainem“ Lewandowskiego, takim, jakim mi go wyobraźnia przedstawiała. Trudne to jednak było zadanie... „Kain“ Magra — to zwykły namiętny, zadąsany mężczyzna, wpatrujący się w przestrzeń z zawziętością, którą może słodka kochanki ręka ułagodzi... Nie ma tu w nim nic „zbrodniczego“ nic demonicznego nawet. Czekajmy, co nam Lewandowski pokaże.

Zresztą warto tu zaznaczyć, że idea „Kaina“ w malarstwie i rzeźbie błąka się nie od dzisiaj. Wielu już próbowało uchwycić znamienne rysy tego pierwszego na świecie zbrodniarza, a i na obecnej wystawie w Glaspalaście możecie oglądać obraz nie duży Matiegzecka z Monachium: Kain nagi po zabójstwie brata ucieka w lasy, głowę w rękach skrywszy. To stanowczo wywiera pewne wrażenie i zastanawia.

Chciałbym tu jeszcze z rzeźb zanotować dwie wielkie grupy, które bądź co bądź zasługują na głębszą uwagę. Pierwsza — matka ukrzyżowana, brutalnie powrozami skrępowana, które wpijają się w jej białe delikatne ciało kobiece, przyciska do siebie i osłania jedyne pewnie dziecię, które się

pod skrzydła jej schroniło. Jest to „Mutterliebe“ Fuchsa z Rzymu. Druga grupa, w pomyśle nie zbyt nowa i rzecz stara jak świat, opiewająca, lecz ratująca jeszcze jako tako honor rzeźbiarza, to „Artysta i życie“ J. Jordana z Monachium. Naga kobieta stoi na podwyższeniu, a ku niej wdziera się „artysta“. Ona zaś wieńczy go koroną... cierniową. Warto nadmienić, że dla dopełnienia ironii i goryczy, powabna ta kobieta ma koło siebie jeszcze złotego cielaka, na którym opiera swą białą, toczoną rączkę... Ach, czytelnicy! Ta zwodnicza syrena — to życie, a ciernisty wianek jedyna za pracę i szarpanie ducha nagroda!...

Dziwne wrażenie pozostawia tu pierwszy rzut oka. Z początku zdaje się, iż te ciernie to laury, a wieńcząca kobieta dobra wróżka, ale wnet mija złudzenie i usta wykrzywiają się bolesnym uśmiechem.

Jordan z boku umieścił parę wierszy, które objaśniają jego ideę:

. . . . .Um Lorbeer,
Nicht um den goldnen Gotzen müht sich
und strebet der Künstler,
Doch das Leben ihm krönt — nur mit
Dornen das Haupt...

Ładne, prawda? choć stare.

Na tem kończę przegląd rzeźby, która jest tu dość licznie reprezentowaną... — Wychodzę niepokrzepiony na duchu, oczy moje zwracają się z upragnieniem w stronę tych niezliczonych obrazów, które wiszą na ścianach Glaspalastu. Żywię nadzieję, iż widok ich poprawi wrażenie. Zwracam się do najlepszego może z lepszych obrazów. Jest nim płótno Maksa Ringa, berlinczyka. „Spoczynek po kąpieli“. — Naga kobieta, nie sprawiająca coprawda wrażenia wydobytej świeżo z ożywczej wody syreny, lecz jakby naumyślnie dla kokietowania rozebrana i odwrócona ku nam wielkiemi, wydatnemi i soczystemi udami, zdolnemi przyprawić niejednego goretszego o przyspieszone falowanie krwi, pełna ponęt zmysłowych i tego, co starzy rozpustnicy wykli nazywać „zapaszkiem kobiecym“, leży na koronkowej pościeli i czyta książkę. Zaletą tego „aktu“ jest oryginalna robota i oświetlenie. Ciało jędrne i prawdziwe.

Potem jest obraz Scholza z Drezna „Zwyciężony“, odznaczający się smutną prawdą. Starzec, ponuro podparty na ramieniu siedzi w izbie, a przed nim stoją dwaj młodzi i wpatrują się w niego z współczuciem... Palmi'ego „Postrzyżyny“, dobrze oświetlone, Kunza Meyera „Sehnsucht“, duży, ładny obraz: kobieta na złomie skalnym, do połowy w draperyę przybrana a przy niej chłopiec... W tym samym rodzaju jest obraz Raubera „Andromeda“: naga kobieta nad morzem o skałę oparta, oczy przestraszone do góry podniosła i wpatruje się gdzieś w dal z trwogą. Do tego „Nu“ dodać trzeba jeszcze Oliviera nagą kobietę na trawie pełnej kwiatów, otoczoną pawiami na tle zielonych drzew. Wykonanie świetne. Z religijnych obrazów zwraca uwagę Hartmanna „Pieta“: Chrystus w objęciach Maryi, dobrze malowany. Tego samego malarza jest też „Adam i „Ewa“, obraz oryginalny, cały w lekko niebieskim tonie trzymany.

To zdaje mi się z najlepszych — wszystko. Są jednak jeszcze niektóre płótna, na które chciałbym zwrócić uwagę, mianowicie na dobrze i oryginalnie malowane obrazy Amerykanina Levisa Herzoga z Filadelfii i Leibla z Abling, na obrazy t. zw. „ideowe“ i na dział naszego polskiego malarstwa, które na wystawie w Pałacu Kryształowym przedstawiają panowie Czachórski, Gierymski, Brandt, Wierusz-Kowalski, Horowitz i Malczewski.

A więc Herzog wystawił aż 14 obrazów i obrazków, z których trzy się wyróżniają. W deszcz, nad brzegiem morza, wędruje kupa ludzi pod parasolami. Oświetlenie oryginalne. Potem drugi „Schmutzweg“: Wiejską drogą, również w deszczu rzęsistym, wracają ludzie pospiesznie do domów, — i wreszcie, najładniejszy chyba, duży obraz, „Burza“. Stado owiec, gnane przez małą dziewczynę, ucieka przed nawałnicą, drzewa jęczą i łamią się pod ciosami wściekłego wichru, niebo ciężkie, pełne chmur i jakby płonące. Wszystkie te obrazy malowane są grubo, niedbale na pozór i niestarannie, same „plamy“, a jednak oryginalne i nie po blagiersku efektowne. Dużo tu tego, co w malarstwie nazywa się: „Stimmung“ nastrój.

Leibl wystawił coś 8 obrazków, między innemi „Tischgesellschafft“ i studyum staruszki „Bildniss-Skizze“. Świetnie przedstawiono to chude, nędzne, trupie ciało żyjącego szkieletu, a szczególniej ręce, do rąk zasuszonej mumii podobne.

Z krajobrazów wybitniejszych doprasza się o zanotowanie śliczny, oryginalny, cały żółty, w łagodnym tonie trzymany widok starego uroczyska, miejsca dawnych ofiar, składanych bogom na cześć, — Wilhelma Bombacha. Uderza to wdziękiem i do złudzenia naśladuje prawdę. Wymienić muszę wreszcie i „Zorane pole“ Dubowskiego, Rosyanina. Zdaje się, że się schylisz na tem polu, by chwycić w pełną garść tej ciemnej, soczystej ziemi, która ci tak rodzoną przypomina.

Dubowskoj wraz z Rouband'em, uczniem naszego Brandta (jest to na pół Rosyanin, na pół francuz) reprezentuje malarzy rosyjskich, których w roku zeszłym było tu daleko więcej. Rouband'a „Muzułmanie przed modlitwą“ i „Bitwa pod Kuszką (napad czerkiesów), tak samo wreszcie jak i jego obraz, znajdujący się w Pinakotece monachijskiej (nowej) p. t. „Przejście przez Dniepr“, są niewolniczem, nie wyzwolonem zupełnie z pod wpływu nauczyciela naśladownictwem Brandta, choć przyznać trzeba, że malowane wspaniale.

Z obrazów „ideowych“, a jest ich bardzo niewiele, trzeba zaznaczyć „Koniec świata“, ogromny, tryptyk Waltenbergera, no, i nie dość zrozumiały, lecz może dla tego właśnie skupiający dużo widzów koło siebie obraz Guillerego „Zniweczone sny“. Grupa jakichś dzikich postaci otacza zrozpaczonego mężczyznę, który twarz położył na stole i zakrył ją ręką. Obok tego mężczyzny siedzi szkielet ludzki, — śmierć — i wytrzeszcza ku niemu białe zęby swoje. Wieczór już jest, więc na stole pali się lampa, rzucająca świetne blaski na około i szczególnie dobrze oświetlająca część postaci mężczyzny. To światło jest jednym z potężniejszych w tym obrazie czynników, działających silnie na wrażliwszego widza.

Polskie malarstwo wystąpiło ubożuchno. Niema nawet tego, co to mówią „wenig, aber gut“. Z pewnością lichoty w tem wszystkiem nie znajdziesz, broń mnie Panie Boże od tego zarzutu, ale i nic nadzwyczajnego, nic, coby kazało się przed temi obrazami zatrzymywać i podziwiać. Polaka interesują te płótna, jako polskie na dalekiej obczyźnie dzieła, niemcy przechodzą obojętnie, tak jak mimo wielu, dalej. Z młodych artystów nie wystąpił nikt, zupełnie nikt, natomiast pojawiły się obrazy starszej generacyi Brandta, Czachórskiego, Gierymskiego i Kowalskiego, wszystkich stale w Monachium zamieszkałych i Glaspalast corocznie pracami swojemi zasilających. Z „nowych“ — nikogo, literalnie nikogo. Brandt wystawił obraz, pono już dawniej malowany, p. t. „Bitwa“. Przy płocie wiejskim rajtarya szwedzka naciera na kupę Polaków walczących zajadle. Obraz ten nie różni się niczem od innych w tym rodzaju Brandtowskich utworów, nie stanowi zaś pewnie najlepszego z dotąd przez mistrza namalowanych.

To samo da się powiedzieć o „Do miasta“ Wierusz-Kowalskiego. Notować to trzeba chyba dla tego, że nasze. Chłopski wózek, w trójkę koni zaprzągnięty, w nim trzy kobiety i chłop. Niebo zachmurzone, droga szara. Laurów ten obraz autorowi nie przysporzy. Są jeszcze: Czachórskiego „Podarek“, Aleks. Gierymskiego „Noc“, motyw z Monachium i L. Horowitza dwa portrety męskie.

Kończę to sprawozdanie na obrazie Jacka Malczewskiego z Krakowa, zatytułowanym „Jesienią“. — Polskość tego utworu bije widza już zdaleka w oczy, a to dzięki naszej swojskiej Kasi czy Marysi, swobodnie leżącej „na brzuchu“ na otwartej łące i nakrytej niebieską w białe pręgi płachtą, jakiej włościanki nasze w Polsce powszechnie używają. Widać, że korpulentna i zdrowa „Maryś“ myśli nad czemś dość silnie, ba, może o „Jontku“, co się niedługo zjawi? Szczera to polska dziewucha!

J. D. A.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Ruch kobiecy na ziemi galicyjskiej.

III.

Lwów, w połowie czerwca.

(Jeszcze o Stowarzyszeniach lwowskich i przemyskich. O wakacyach dla szwaczek. — Stare przysłowie o prawdzie).

Dobrej woli ludziom nie brak nigdzie, a tembardziej u nas. Niezawodnie, że właściwością naszego wieku nerwowego jest osobny gościniec dla chęci i teoryi, a osobny dla czynu i praktyki, tak, ażeby się rzadko ze sobą spotykały. Mimo to przyznać musimy, że w ostatnich czasach dokonane zostały u nas urządzenia takie, przed któremi z całem uznaniem i sprawiedliwością uchylić czoła należy. Istnieje od lat kilku we Lwowie stowarzyszenie t. zw. „Związek koleżeński byłych seminarzystek“. O stowarzyszeniu tem cicho, bo i one ciche, nie szukające rozgłosu, ale znaczące swój byt takiemi pomnikami, jak ogromny budynek przy ulicy Kurkowej, w którym „związek koleżeński“ urządził internat dla ubogich seminarzystek, istniejący od 4 lat. Komu wiadomo, jak ciężką jest egzystencya wielu kandydatek do stanu nauczycielskiego, ten dopiero zrozumie należycie, jak szlachetnego obowiązku społecznego dopełnił „Związek“. Najnowszem zaś dziełem tego stowarzyszenia jest kolonia wakacyjna dla nauczycielek, założona w przepięknej okolicy w Łomnie. Do Łomny wyjeżdżają nauczycielki i otrzymują za bardzo małą opłatą całe utrzymanie i pomieszkanie, a jest nawet 5—10 miejsc zupełnie bezpłatnych dla potrzebujących tego. — W uznaniu zasług „Związku“ przystępujemy do wzmianki o rodzonej jego siostrze, — o stowarzyszeniu nauczycielek: mieści się ono w lokalu dogodnem, w rynku, i ma swe biuro dla nauczycielek prywatnych, poszukujących miejsca, a oprócz tego zajmuje się mnóstwem spraw wchodzących w zakres nauczycielstwa kobiecego, np. lokacyą kandydatek podczas egzaminów ich we Lwowie itd. Nadto odbywają się pogadanki i odczyty w sezonie zimowym w lokalu stowarzyszenia, — słowem jest życie, jest praca i ruch.

Obecnie, gdy wszyscy zbliżającym się czasem wakacyjnym zajęci, pomyślano i po innych miastach, ażeby biedne, słabowite i

wyczerpane nauką przy niedostatku dzieci powysyłać na wieś. Przodownictwo w tej mierze wziął Przemyśl, gdzie Koło pań tow. Szkoły ludowej wystąpiło z inicyatywą kolonii wakacyjnych, na wzór lwowskich. Pospieszono z datkami na ten cel, a zarazem znalazł się ofiarodawca, który na usługi kolonii oddaje dom swój w leśniczówce; znając piękny, szpilkowy las Chołowic, cieszymy się serdecznie, że dziatwa przez 6 tygodni będzie mogła oddychać takiem wybornem, balsamicznem powietrzem. — Warszawa, zawsze tak szczerze zajmująca się dolą pracownic, od lat dwóch wysyła staraniem pań z „delegacyi pracy kobiet“ ubogie szwaczki na wieś do dworów, potrzebujących na czas letni mieć u siebie do kilkagodzinnej pracy krawczynie lub szwaczki. Krawczynie te otrzymują wynagrodzenie odpowiednie, mieszkanie, stół zdrowy i dostatni, dużo mleka i wytchnienia. — Za przykładem Warszawy podjęto i u nas tę myśl, zwłaszcza za pośrednictwem czasopism, i jak się dowiadujemy, panie z okolic podlwowskich (Janów, Bóbrka, Kurowice, Winniki) oraz dalszych z pod Stryja zgłosiły do redakcyi „Przedświtu“ dziesięć ofert dla tego rodzaju pracownic. Cztery lata wychodzący we Lwowie „Przedświt“, rozpowszechniony bardzo, zwłaszcza na prowincyi, znany po wszystkich wsiach naszej Galicyi, będzie mógł być arcyużytecznym w lokowaniu szwaczek po wsiach, — dla tego nawet osobne przeznaczył godziny w biurze swem dla ubogich pracownic, spragnionych świeżego powietrza i odpoczynku.

Zdaje się, że sprawozdanie moje z ostatnich wypadków jest wierne, cóżby tedy dodać dla uzupełnienia? Festyny chyba, które u nas mają zawsze wielkie powodzenie, zwłaszcza, że panie nasze festynami umieją się zajmować z niesłychaną gorliwością. Na dowód niechaj posłuży ilustracya z przygotowań do festynu na dochód weteranów powstania z r. 1863. Wezwane przez prezydentową miasta, zebrały się panie w tak znacznej liczbie, że posiedzenie nie mogło się odbyć w sali prywatnego mieszkania pani prezydentowej, lecz w głównej sali ratuszowej. Prócz pań, rozumie się, byli i mężczyźni. Rozdano listy do zbierania fantów i w kilka dni zapełniono wszystkie, a festyn ma wszelką perspektywę powodzenia, jeśli tylko pogoda dopisze.

A gdy już chodzi o dopełnienie obrazu różnemi barwami tu wymalowanego, dodać muszę, że skoro odważyłam się w pierwszym obrazku ze Lwowa przedstawić rzeczy w barwach codziennych, nie ubierając ich w odświętne sukienki, znalazły się natychmiast osoby, które podniosły krzyk o kalaniu własnego gniazda, osobistych wycieczkach itp. Stara to historya, stara drażliwość rodu kobiecego, popsutego karmelkami odwiecznemi. Otóż zapewniam te zirytowane siostrzyczki moje, że przedstawiając stan rzeczy i istotne stanowisko tej lub owej instytucyi, nigdy nie kieruję się osobistemi względami, lecz jedynie względem na dobro sprawy. W imię prawdy ogłosiłam sprawozdanie moje z ruchu kobiecego, nie schlebiając nikomu, nie krzywdząc nikogo. Prawda często autorowi osobiście napyta kłopotu, lecz pomimo to powiem: „świeć się, świeć się prawdo złota, żyj i kwitnij w łez padole“.

J. Aleksota.

Echa rosyjskie

z Pola Chodyńskiego.

Przeznaczona na zabawy ludowe przestrzeń pola Chodyńskiego obejmowała 25 tys. sążni kw. Wznosiły się na niej namioty z poczęstunkiem, pawilony i teatry ludowe. Już w przeddzień zabawy ludowej na polu Chodyńskiem zaczęły się zbierać tłumy wielotysięczne. Wszystkiemi traktami ciągnął lud. Wszystkie pociągi idące ku Moskwie, były przepełnione. Żeby dostać się do pociągu, prości chłopi brali nawet bilety pierwszej klasy. Opustoszały zupełnie wsie i sioła podmoskiewskie: wszystko zmierzało do Moskwy. Wieczorem wzdłuż całej ul. Twerskiej stały tysiące i tysiące niedorostków, dzieci i kobiet — i wszystko to niekończącym się sznurem ciągnęło na miejsce zabawy.

„O godz. 4 rano — pisze korespondent „Piet. Gaz.“ — było nas kilku dziennikarzy na Chodyńskiem polu. „Dla czego nie ma tu pomiędzy nami wielkiego artysty? wołał wprost oszołomiony tym widokiem Dalheim z „Temps“; nic, nic podobnego nie mógłbym sobie wyobrazić nigdy. Toż tu, co najmniej milion ludu, wszak ludność całego państwa zebrała się na tem polu.“

Korespondent „Birż. Wied.“ tak tłum zebrany maluje:

„Kiedy się widzi to bezbrzeżne morze głów, można zrobić sobie przybliżone pojęcie o całej potędze żywiołowej, jaka się kryje i rozwija w owej zbiorowości, która nosi nazwę ludowego zebrania, w rzeczywistości zaś jest tylko nikłą częścią narodu całego. Z pośród tego morza ludzkiego niby słabe, zaledwie dosłyszalne echo, dolatywały dźwięki oderwane jakiejś pieśni chóralnej lub muzyki prostaczej, lecz wszystko to ginęło i zlewało się w jeden zmieszany zgiełk gwaru tłumów, unoszący się nad placem całym. Jako drzazga nic nie znacząca zginąłby w tem morzu, ktoby się odważył przecisnąć przez ten tłum nieprzejrzany.“

Korespondent „St. Petersb. Ztg.“ porównywa swe wrażenie, gdy minął wrota tryumfalne i otoczony został obłokiem kurzu, z tem, jakiego raz tylko doznał w życiu swojem, a to patrząc na obraz, przedstawiający karawanę, duszącą się wśród Samumu. Widok był straszny.

Katastrofa moskiewska zajęła uwagę powszechną i wszyscy szukają rozwiązania zagadki, w jaki sposób mogło zdarzyć się nieszczęście podobne. Wydawca „Swieta“ p. Komarow, nadmieniwszy, że urządzanie zabaw ludowych na Chodyńskiem polu stało się w Rosyi tradycyjnem — dodaje:

Jeżeli mówić o błędach, to (jeżeli nie uważać za błąd w ogóle urządzania zabawy na 500,000 osób, nie uorganizowanej według stanów i sfer społecznych, według rodzaju zajęć, bytu, stosunków, rzemiosł itp.) za błąd chyba uznać należy tylko to, że nie rozdawano poczęstunków i kubków od godz. 6 wiecz. 17 maja, tj. od chwili, kiedy lud zaczął się zbierać“. Opisując w dalszym ciągu katastrofę i wskazując, że dużo do nieszczęścia przyczyniły się wązkie wyloty między namiotami (tu miał miejsce drugi moment katastrofy) W. K—w pisze: „Mówiłem z wieloma, którzy w owej chwili znajdowali się wśród tłumu i przypadkowo ocaleni zostali od śmierci. Jednych przyciśnięto do ścian namiotu i, rzec można, o te ściany zmiażdżono. Okropną była śmierć tych ludzi. Powyciskano im brzuchy, przełamano żebra. Krew tryskała im z gardła. Nie wszyscy jednak zostali na miejscu. Kto wpadał w dół albo kanał — ten ginął. Potknąwszy się, został wywracany i w jednej chwili stratowany przez żywiołowo pędzącą masę. Dwóch świadków naocznych opowiadało mi w konwulsyach i ze drżeniem nerwowem, jak czuli, że szli po żywych ludziach, stąpając im po brzuchach, piersiach, głowach i nie mając możności odwrotu, ruszali się i byli poruszani przez tłum.. Inni ginęli wskutek błędu nie do darowania ze strony kilku rozdających dary, którzy widząc ciasnotę i pragnąc jak najprędzej załatwić się z rozdaniem poczęstunków i kubków, rzucali takowe pomiędzy tłum. Kto uchwycił je podczas lotu, był ocalony, ale kto się nachylił — był stracony. Kiedy tłum roznamiętniony spostrzegł, że depce po ludziach żyjących, począł uciekać nagle w kierunku przeciwnym. Swiadek tej ucieczki opowiadał, że niepodobna wyrazić przerażenia, jakie malowało się na twarzach uciekających. Wszyscy chcieli uciekać i uciekali niby warjaci. Najwięcej tu padało i umierało dzieci. Większa część trupów straszny przedstawiała widok“.

„Nowosti“ opowiadają o pierwszych krokach władz śledczych w sprawie katastrofy:

„Publiczność z niecierpliwością najwyższą wyczekuje rezultatów tego śledztwa i wciąż zapytuje: kto winien? Z tem samem zapytaniem korespondent zwrócił się do prezesa komitetu, który urządzał zabawy ludowe podczas koronacyi N. N. Cara. Wedle wyjaśnienia p. Bera, kiedy w nocy z piątku na sobotę około godz. 4 nad ranem, razem z jen. Iwanowem pojechał na chodyńskie pole, powołany tam przez telefon wiadomością, że naród pędzi wałem — zastał już na placu około 200,000 osób, napieranych przez coraz nowe hufce nadciągające z miasta. „Jen. Iwanow powiedział mi — mówił p. Ber, że będzie bieda, że wszystko przepadło, dla tego, że nie ma już żadnej ludzkiej możności utrzymania w porządku całej tej masy, i że jeżeli masa przebije się dalej, wszystko pójdzie dnem do góry. Tymczasem ani na placu, ani przed bufetami nie było jeszcze policyi. Było tylko półtora setciny kozaków w obec półmilionowego tłumu niesfornego, zwartego w masę stałą, z siłą żywiołową pędzącą naprzód! Podbiegli do mnie komendanci obozowi z zapytaniem, co robić?“ Wspomina potem p. Ber o środkach ostrożności, jakie podjęte były podczas poprzedniej Koronacyi już w przeddzień wieczorem — i że d. 18 maja rb. pułkownik Własowski z policyą przybył dopiero o godz. 9 rano, kiedy już były setki trupów. Od dnia 18 wieczorem tłum bez żadnej kontroli i nadzoru zalegał pole. Okoliczność ta w połączeniu z tem, że bufety z piwem postawiono tuż obok kanału, że nie postarano się należycie zasypać dawnej studni artezyjskiej, że na placu były wyboje i doły — stała się pierwszą przyczyną nieszczęścia. „Policya — mówi p. Ber — zaczęła przybywać partyami dopiero około godz. 9 rano, tj. wtedy, kiedy już było po wszystkiem“. Nakoniec jeszcze jedno przyczyniło się do powiększenia nieszczęścia: na całym obszernym placu nie było wody.“

W „Now. Wr.“ p. Suworin kładzie główny nacisk na to, że trzeba umieć rozporządać i kierować tłumem: „Pozostawiony sam sobie, może stać się zależnym od wszelkich przyczyn przypadkowych i zamienić się w powolne narzędzie prowodyrów samozwańców.“ Na Chodyńskiem polu nie było dostatecznej liczby ani policyi, ani wojska, chociaż od godz. 2 w nocy policya wiedziała, jakie rozmiary przybierał tłum.

„Czy przypuszczano, że tłum nasz jest wzorowym? — pyta. Jakkolwiek chłopski tłum rosyjski mało w czem różni się od tłumu inteligentnego, wzorowego nie ma w żadnym z nich nic.“

Tu przypomina p. Suworin skandale, jakie się działy przed kilku laty podczas bezpłatnej kolacyi na balu francuskiego To-

warzystwa dobroczynności, oraz na galowem przedstawieniu w teatrze Wielkim przy bufetach z szampańskiem. Poczem tak dalej mówi:

„W Moskwie wynaleziono liny żelazne dla powstrzymania nacisku tłumu na ulicy. Ale i liny te pękały, a w przednich szeregach wrzynały się w nie ciała. Celu tego, jak mi się zdaje, lepiejby dopiął rozum, zdolność i energia, aniżeli liny żelazne. Dodać należy — powiada w innem miejscu — że przez cały ciąg dni koronacyjnych tłum sprawował się dobrze. Był to tłum spokojny, posłuszny, trzeźwy, jeżeli zaś był mały nieporządek gdzieś podczas rozdawania ogłoszeń o koronacyi, wywołali go raczej przekupnie, którzy wynajęli sporo obdartusów do wyrywania pięknych arkuszy... Bufety z obu stron były w oblężeniu, ze strony Moskwy i ze strony Chodyńskiego pola, na co pewnie nie zwrócili uwagi zarządzający. Czy obliczono dokładnie, jaka liczba ludzi i w jakim czasie mogła przejść między bufety, otrzymać podarki i odejść — nie wiem. Ale jeśli obliczono, to zapewne w przypuszczeniu, że wszyscy będą wchodzić spokojnie, bez zamieszania, podczas gdy nawet inteligentna publiczność z teatru np. wychodzi bardzo powoli, popychając się i wzajem zatrzymując... Na zasadzie zeznań świadków naocznych i ocalonych, z którymi mówiłem ze dwie godziny, mam prawo powiedzieć, że wśród tłumu były i jednostki podejrzane, bosa komenda z przywódzcami swemi, byli pijacy, raczący się wódką w rowie w noc katastrofy. Co się tyczy udziału tych pierwiastków podejrzanych, jeden z uratowanych tak się wyraził: „był spisek", tj. istniał zamiar rozpocząć szturm i zawładnąć jak największą ilością czarek, a nawet wywołać zaburzenie. „Obok mnie — mówił — stały dwie panienki i chłopczyk szesnastoletni. Panienki złożyły ręce na piersiach i trzymały parasolki. „Uwolnijmy panienki — zawołałem — unieśmy je." „Nie potrzeba, po co przyszły — usłyszałem odpowiedź. Tłoczono się umyślnie. Inni ocaleni oponowali: „W takich razach każdy myśli o sobie. Żadnego spisku nie było." „A ja panu mówię że był" — odparł pierwszy. „A cóż panienki?" pytali słuchacze. „Widziałem je później bez życia..." Jeden z uratowanych tak objawiał swą skruchę. Patrzę, śmierć. Obejrzałem się, uwolniłem sobie rękę, przydusiłem jednego, ścisnąłem pod sobą i stanąłem na nim... W ten sposób siebie wybawiłem od śmierci."

...„Kto winien?" pyta p. Suworin.

„Dużo bardzo mówiono o tem w Moskwie. Mnie to jednak mało obchodzi i zdaje mi się, że kwestya ta albo bardzo skomplikowana, albo bardzo prosta — stosownie do punktu widzenia i szczegółowego zbadania wypadku. Śledztwo zapewne wykryje winnych. Nie mogę nie przytoczyć trafnej uwagi jednego z administratorów petersburskich, chwilowo bawiącego w Moskwie. Pomiędzy gospodarzami nie znalazł się nikt, ktoby — wyrażając się obrazowo — tak głośno zawołał „gwałtu!" iżby wszyscy skoczyli i zapobiegli katastrofie. A można to było zrobić i czasu było dosyć."

„...Niech jednak nieszczęście będzie dobrą dla nas nauką" kończy p. Suworin.

„Tłum moskiewski — to coś starodawnego, zarywającego czasami Alekseja Michajłowicza; tchnie to szynkiem, wątpliwą lekturą i wzrastającą zawiścią do klas posiadających. Wyobraźcie sobie tylko, że w ciągu jednej nocy może się zebrać w mieście tłum 600—800 tys., w tłumie zaś takim zawsze się znajdzie żywioł awanturniczy. Dla niego samego i dla innych w najwyższym stopniu niebezpiecznem jest pozostawiać go własnej woli, jak stado bez pastucha... Trzeba wychowywać masę, szerzyć wśród niej zdrowe pojęcia i karność. Kościół sam, który dotychczas służy tłumowi i za kościół i za szkołę, nie może sprostać podwójnemu temu zadaniu, w obec niesłychanego wzrostu ludności. Nietylko rząd, ale i społeczeństwo pomyśleć powinno o środkach wychowania. Na wszelki wypadek koniecznem jest pamiętać, że nie trzeba nigdy dawać tłumowi ani powodu, ani możności do rozporządzania się gdziekolwiekbądź."

TO I OWO.

Dla zakochanych.

Kaźmierz Tetmajer ogłasza w „Kuryerze Codziennym" nader interesujące listy z włoskiej podróży. Z ostatniego listu, pisanego w Desenzano nad Lago di Garda, cytujemy ustęp następujący:

„Przypłynąłem tu dziś statkiem z Rivy. Nagie, skrzesane, czerwonawe skały, wązki wbieg jeziora między te piętra, ze wszystkich stron góry ogromne i niezmiernie puste; wszystko to czyni Rivę, mimo południowej strony świata, posępną. Góry są czasem za ciężkie, nawet dla nas, górali z pochodzenia. Czasem dusza potrzebuje szerokiej przestrzeni, szerokiego powietrza, aby się po niem tułać mogła i przed samą sobą uciekać; czasem potrzebuje takiej łagodnej zieleni, aby się mogła kryć sama przed sobą w gąszczach; czasem potrzebuje także takiej cichej wody, która ma kolor jednej ogromnej łzy...

Vogue la galère!... Vogue la galère!...

O tej porze mnóstwo niemców się żeni i przewłóczy swoje miodowe miesiące po Alpach i Włoszech. Spotykałem takie pary w wagonach w Tyrolu, spotkałem w Rivie, miałem na statku i tu w tej małej włoskiej mieścinie spotykam. Wszyscy są dziwnie ordynarni, bezceremonialni i niezajmujący: mniejsza już o to, że co dwudziesty trzeci niemiec nie je ryby nożem. Nie żenują się tak, że gdzieś koło Franzensfeste byłem pewny, iż będę świadkiem sceny, o której lubią marzyć młode i stare panny. Byli bardzo blizko siebie i on wśród pocałunków coś jej szeptał. Mówiłże jej w języku Heinego: „ty moja, ty moja, ty świecie mój jedyny, ty ukochanie moje najmilsze, ty umiłowanie, życie moje, duszo moja, kocham cię sercem, kocham cię mózgiem, kocham cię krwią moją serdeczną, ty wszystko moje?..." Dalibóg, nie komponuję: wśród pocałunków i kiedy byli tak blizko siebie, ten niemiec spytał się swojej niemki: *du, was hast du dem Kellner gegeben?* A ona mu wśród pocałunków odparła: *Dreissig Kreuzer, Schatzi...*

On, o ile puszczał ją z rąk, to tylko po to, aby brać do nich Bedekera i czytać jej, ile metrów ma długości który tunel, a jak się która góra nazywa. Ona słuchała i pytała się go, czy nie głodny. Widocznie sobie nie mieli nic więcej do powiedzenia, bo skoro się nie żenowali w „czynach" czemuż mieliby się żenować w rozmowie? Jeżeli jemu to wystarcza, tem lepiej dla niego; jeżeli jej to wystarcza, tem lepiej dla niej... Wahlverwandschaft przedewszystkiem. Kura z kaczką, czy indyczką zrozumie się łatwo, ale rajski ptak z sokołem — nigdy...

Znów gdzieś daleko bije dzwon... Burza poszła stroną, cicho jest i łagodnie. Niezmierna jakaś melancholia schodzi na świat. „O takiej porze — jak to jest u Słowackiego? — jeśli coś mają zapomnieć, zapomną..." Czy tak?

Czytelniku, któryś się jeszcze nie ożenił, a ożenisz z dziewczyną młodą, śliczną i dobrą, przyjedź tu do Desenzano. Będziecie sobie chodzili po gajach nad wodą, która jest nieba kawałem odjętym, a ma w sobie taką senność jakąś, taki spokój niezmienny i cichość. Będziecie sobie tu chodzili, będziesz róże zrywał i dawał jej, a ona przypinać będzie róże do gorsu z takim anielskim uśmiechem... To jest dosyć przykre, jeśli się na całym wielkim świecie nie ma komu jednej róży dać.. Wszak sam Bóg rzekł: źle jest człowiekowi samemu; ja znam jeszcze jedno słowo. nie tak wielkie, ale smutne, jak śmierć...

Będziecie sobie chodzili nad jeziorem, przytuleni do siebie, rękoma opleceni nawzajem, ona z główką na twojem ramieniu, albo wsiądziecie w łódkę i puścicie się na ten kryształowy sen wód, na te przejrzyste, złotawe lazury jeziora. Będziesz ją miał przy sobie, tę twoją ukochaną, serdeczną, blizko, „bijącą sercem, brylantową w oczach".... Powoli, powoli, ogarnia was jakieś omdlenie. Tobie wiosła wypadną z rąk, a ona pochyli się ku tobie jakby mimowolnie, upadnie ci na piersi i szepnie: „kocham".... A ty jej wtedy odpowiesz: „Oto serce moje jest w twojem ręku, jak ptak zmęczony.... masz je całe, całe, i możesz wszystko z niem zrobić"...

Bywają różne dusze kobiece, ale są także takie jak gwiazdy.

Może kiedy który z czytelników siedzieć będzie ze swoją ukochaną na tej samej werandzie Hôtel Du colombe, pod bluszczową altaną, w której ja piszę w tej chwili; będziecie sami, bo tam jest pusto. Przypomnę ci się ja, żem ci tu poradził przyjechać, a jeśli znasz moje wiersze, przypomni ci się moje preludium:

Mów do mnie jeszcze.... ludzie nas nie słyszą,
Słowa twe dziwnie poją i kołyszą,
Jak kwiatem, każdem słowem twem się pieszczę...
Mów do mnie jeszcze....

Mów do mnie jeszcze.... Za taką rozmową
Tęskniłem lata.... Każde twoje słowo
Słodkie w mem sercu wywoływa dreszcze....
Mów do mnie jeszcze....
Mów do mnie jeszcze....

Są chwile takie, jak chwile śmierci — kiedy się wszystko przypomina tak żywo, tak wyraźnie, kiedy słyszysz szelest oddechu i szelest sukien, słyszane kiedyś dawno, dawno, może lata całe temu, kiedy ci się zdaje, że przy dłoni czujesz dłoń, co się jej może lata całe temu dotykała... Odpędzaj takie chwile przyjacielu i *carpe diem*, korzystaj z dnia, jak radzi rzymski poeta. Vogue la galere!...

NA WYŁOMIE.

(Emigracya talentów. Jej przyczyny. Wina prasy. Czas do odwrotu!)

„Kraj" petersburski zamieścił w najświeższym numerze krótką notatkę o życiu intellektualnem Księstwa, protestując przeciwko smutnej legendzie o „umysłowem omdleniu Wielkopolski" o „wyczerpaniu się siły stwarzającej talenty", o „wyjałowieniu gleby, która wydawała Libeltów, Marcinkowskich, Mielżyńskich" itd. — „Kraj" przeczy hypotezie, jakoby „dzieci obdarzone zdolnościami przestały się rodzić nad Gopłem a zaczęły natomiast przychodzić na świat nad Dunajcem, Sanem i Strypą", bo zdaniem jego emigracya inteligencyi poznańskiej do Galicyi, — tacy Milewscy, Chotkowcy, Ćwiklińscy, Wicherkiewicze, Dembińscy, Kasprowicze, Gorgolewscy — świadczą wymownie, że dzielnice nasze wydają obfite i wielkie talenty.

Na drugą połowę argumentacyi zgoda, pierwsza natomiast zdaniem mojem sprawę w fałszywem przedstawia świetle i wymaga pewnej korekty. Nie zdarzyło mi się bowiem nigdzie jeszcze ani słyszeć ani czytać twierdzenia, że jakiś dziwny grymas przyrody rzucił w łona matek wielkopolskich okrutną klątwę rodzenia samych nullów umysłowych lub przeciętnych miernot — przeciwnie skarga, która od lat 20 brzmi „nad Notecią i Wartą“ mówi, że prawdziwe s i ł y u nas marnieją lub odlatują, że zatem ziemia nasza rodzi talenty, tylko im warunków egzystencyi i rozwoju nie daje. Jest ona jak matka, która wydawszy dziecko z łona swego na świat, skąpi mu mleka i pieszczoty. „Kraj“ walcząc z legendą o rzekomej bezpłodności Księstwa, sam tę legendę komponuje — należało raczej dokładniej zbadać przyczyny, dla których od lat tylu patrzymy na emigracyę talentów — dla czego, mimo egzystencyi rodzimych sił umysłowych, pustką, coraz większą pustką świeci nasza literatura, sztuka i nauka prowincyonalna. Kto winien? Niewątpliwie w pierwszym rzędzie warunki polityczne Nie mamy uniwersytetu, — dla profesorów naszych zamknięte bramy gimnazyalne — o wyższe stanowiska urzędowe Polak, choćby najzdolniejszy, naprożno się upomina lub szukać ich musi w Niemczech dalekich, — sztuki naszej nie otacza państwo opieką swoją — jednem słowem uczony, literat, artysta-polak żyć musi, a Prusy skąpią mu chleba.

Kto winien? pytam po raz drugi i teraz skarga moja zwraca się przeciw społeczeństwu samemu. Słyszałem nieraz twierdzenie, że talent z siebie jedynie twórczość swoją czerpie, że komu iskra Boża w piersiach się pali, ten nie szuka odźwięku w otoczeniu swojem, nie potrzebuje bodźców zewnętrznych, ani uznania, ani dusz współczujących, — on sobie śpiewa nie ludziom. Tak mówią. Nie przeczę, że takie talenty istnieją, lecz o ile więcej jest takich, które w atmosferze niewłaściwej, w otoczeniu zimnem i oschłem tracą siłę wzlotów, tępieją lub sznurują sakwy podróżne i z dusznych uciekają piwnic. Dla artysty mianowicie właściwe otoczenie jest często nieodzownym atrybutem twórczości. Jemu potrzeba nieco ukochania, nieco dusz słonecznych, nieco tych ech czarujących, które mówią, że ludzie piękno cenią i miłują. On rzadko tylko się zgodzi być „u n t e r L a r v e n d i e e i n z i g f ü h l e n d e B r u s t“, a gdy go otoczenie zrazi swym cynizmem, swą banalnością, swem filisterskiem pojęciem życia, wtedy się odwróci i pójdzie szukać innych serc i innych stosunków. A my? Cóż my dajemy artyście? Ktoś powiedział dowcipnie, że u nas w Poznaniu cenią tylko jednę sztukę, t. j. sztukę mięsa, a u literatów interesuje nas najwięcej przysłowiowa kwestya, czy boso chodzą, czy całe buty posiadają. Serca, szacunku, zrozumienia, zachęty malarz lub poeta szukać tu będzie naprożno, — lada zero umysłowe z pełną sakiewką, spełniające wiernie wszystkie przykazania „ładu i porządku“, cieszy się większem uznaniem i miłością. Sztuka i nauka nie jest w pojęciu naszem wybranką zawodów, — jest to sobie takie samo zajęcie, jak każde inne, z tą tylko niekorzystną różnicą, że mniej złota daje i często łączy się z hardym indywidualizmem, nie lubiącym stąpać w przepisanych deptakach życia.

Do tego obniżenia poziomu artystycznego i umysłowego w społeczeństwie naszem przyczyniły się również niewątpliwie stosunki polityczne: Ogólne zubożenie, gorączkowa pogoń za chlebem, skierowanie wszystkich wysiłków w kierunku obrony narodowej. Lecz bez winy nie są także te rodzime źródła życia, zkąd płynie wychowanie narodu, — bez winy nie jest prasa, odgrywająca tak potężną rolę w społeczeństwie naszem. Ona to rozpolitykowała ludzi, zacieśniła ich widnokrąg, zabarwiła jednostronnie naszą duszę zbiorową, — ona to zamieniła nas w dzielnych żołnierzy, lecz jak z Sparty starożytnej wypłoszyła muzy. A przecież kultura narodu jest jak harfa o tysiącznych strunach. Biada temu, kto tylko jedną potrąca a innym rdzewieć pozwoli.

Tak, prasa wielkopolska stała się dla sztuki i nauki prawdziwą macochą. Jakiś rozpaczliwy kult dyletantyzmu wgryzł się w cały jej organizm, jakiś wołający o pomstę do nieba brak krytycyzmu i lekceważenie piękna szły jak zaraza przez sioła i miasta, paczące pojęcia i wyjaławiając myśl społeczeństwa. Któż z nas nie czytał w poznańskich dziennikach tych idjotycznych ekstaz nad lada próbką malarską wystawioną w oknach księgarzy, jeżeli autor miał w redakcyach przyjaciół lub mundur nosił koteryi. Ktoż z nas nie widział laurów składanych u stóp autorów, produkujących nie przedmioty sztuki, lecz gimnazyalne wypracowania. U nas trzeciorzędny reporter bywa często rozstrzygającą instancyą w dziedzinie nauki i piękna. Komuż to nie przyznawano talentu, ba! geniuszu nawet? Trzeba się tylko umieć zabrać do rzeczy, trzeba królom opinii stopy całować i należeć do bractwa, lub być bezbarwnym, banalnym, dla wszystkich grzecznym chłopczykiem. O! nasz strychulec dziennikarski dokonuje cudów. Zrówna malującą pensyonarkę z Rafaelem, rymującego dyletanta z Homerem. I więcej nawet O wielkich dziełach sztuki i literatury milczą dzienniki, lecz o utworach popełnionych przez członków kliki lub osobistych przyjaciół redakcyi cukierkowe nucą kantyczki.

Tak od lat dwudziestu wychowuje prasa wielkopolska społeczeństwo nasze, głodząc lub krzywiąc smak artystyczny, dusząc zamiłowanie do nauki i piękna. I oto doprowadziliśmy do tego, że wydział historyczno-literacki w Tow. Przyj. Nauk świeci pustkami, że na wystawach obrazów duma samotnie kasyerka, że księgarze poznańscy lękają się jak ognia nietylko naukowych, lecz nawet belletrystycznych nakładów, a taki Gebethner i Wolff, obliczając zyski przypuszczalne z poważnych wydawnictw, w rubryce zaboru pruskiego kreśli wielkie zero.

W tej atmosferze żyć trudno uczonemu, literatowi, artyście, — więc odlatują te górne ptaki i właściwszego szukają otoczenia. Dusz nieugiętych, któreby w imię idei narodowej, mimo męki życia, mimo duszenia się w ciasnych stosunkach naszych, wytrwały i prowadziły walkę zaciętą z jałowem, tępem, wystudzonem społeczeństwem, jest mało, — większość otrząsa pyły poznańskie z nóg swoich i w świat daleki ucieka. Smutne to, lecz psychologicznie zupełnie naturalne zjawisko. Emigracya naszych talentów zmniejszy się wtedy dopiero, gdy społeczeństwo nauczy się więcej szanować, rozumieć i miłować naukę i piękno. Prasa popsuła, prasa powinna naprawić publiczność.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA

* K u p e t z k y — P e s n e — c z y M a n y o k i? Poznań 1896.

Pod powyższym tytułem ogłosił zasłużony konserwator Towarzystwa Przyjaciół Nauk p. *Dr. B. Erzepki* krótką broszurkę, poświęconą spornej kwestyi autorstwa dwóch cennych potretów, znajdujących się w zbiorach muzeum naszego. Pan dr. Erzepki zaprzecza na podstawie gruntownej i zręcznej argumentacyi dotychczasowym przypuszczeniom, jakoby autorem portretów był węgierski malarz Kupetzki, lub Francuz Pesne, — i stawia natomiast twierdzenie, że są one dziełem węgierskiego mistrza Manyokiego. Broszura dr. Erzepkiego zaintryguje niezawodnie dyrekcyę muzeum narodowego w Peszcie, gromadzącą starannie wszystkie wiadomości, odnoszące się do sztuki węgierskiej.

ODEZWA.

Z prośbą o umieszczenie otrzymujemy odezwę następującą:

„Zarząd średniej szkoły żeńskiej (gimnazyum żeńskie) w Krakowie podaje do wiadomości, że dyrektor szkoły Radca szkolny p. Bronisław Trzaskowski będzie przyjmował wpisy do klasy I, (odpowiadającej 5-tej gimnazyalnej) począwszy od 10-go czerwca do 10-go lipca br. codziennie od 10-tej rano do 4-tej po poł. (Pijarska 5, I-e piętro).

Warunki przyjęcia zostały w swoim czasie ogłoszone, obecnie wszelkich informacyi będzie udzielał również pan Radca Trzaskowski.

Dla uczennic zamiejscowych postara się Zarząd o odpowiedni internat, który się podda kontroli Dyrekcyi i zgodzi na warunki przystępne także dla mniej zamożnych uczennic.

Dyrekcya uprasza wszystkich, którzy zamierzają korzystać z średniej szkoły żeńskiej, o wczesne zgłaszanie się, ponieważ tylko pod tym warunkiem będzie mogła poczynić przygotowania, ażeby szkołę odpowiednio do ilości uczennic we właściwym czasie urządzić tak, ażeby rozpoczęcie kursu nie doznało zwłoki

Zarząd

Prof. Napoleon Cybulski.“

KRONIKA POWSZECHNA.

Teatr i muzyka. Na pułkach księgarskich ukazała się broszura p. t. „Teatr polski w Poznaniu“. Broszura ta, napisana wytrawnem piórem, z wielką znajomością rzeczy i stosunków, zawiera ostrą, lecz ze wszech miar zasłużoną krytykę obecnego kierownictwa sceny poznańskiej i rozumne plany reformy. — Warszawskie teatry ogródkowe cieszą sie w roku bieżącym niezwykłem powodzeniem. — W teatrze krakowskim wystawiono na benefis J ó z e f a K o t a r b i ń s k i e g o Szekspirowskiego „Koryolana“. Krytyka wyraża się z wielkiem uznaniem o grze utalentowanego artysty. — Wodewil warszawski zapowiada nową farsę Kaźmierza Zalewskiego, p. t. „Lichwiarskie swaty“, w której występuje aż siedmiu żydów. Ponętny to temat dla publiczności ogródkowej. — O dyrekcyę sceny poznańskiej zamierza się ubiegać kilku rutynowanych i miennych przedsiębiorców. Zalecałoby się, aby rada nadzorcza ogłosiła w jak najkrótszym czasie warunki dzierżawy, bo obecna gospodarka stanowi niechybną ruinę sceny.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Feniks. Feniks? Co za dumne słowo! Z utworu nadesłanego sądząc, autor jest pospolitym trznadlem.

Marya Wa. Dziękujemy za serdeczne słowa. — Krecia robota wiadomych osób jest nam najdokładniej znaną. Ludzie się jednak zaczynają poznawać na rzeczywistych motywach tych knowań; cała akcya jest i pozostanie bezsilną.

Przyjaciel. 1) Prace K. Bartoszewicza ukazywać się będą po krótkiej przerwie nadal w piśmie naszem. 2) Bylibyśmy bardzo szczęśliwi, gdybyśmy nie mieli innych wrogów prócz takiego „kolegi“.

Weteran. Pismo nasze nie jest założone w tym celu, by schlebiać gustom jaknajszerszej publiczności.

Wierny katolik i Polak. Podzielamy zupełnie pańskie zdziwienie i niechęć, lecz na to bizantyjskie obłąkanie rady nie mamy. Kto wie zresztą, czy w takiem przedstawieniu kwestyi nie tkwi podstępna konsekwentnie przeprowadzana tendencya.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28

Nr. 26. Poznań, niedziela 28-go czerwca 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań. św. Marcin 22 II p.
Administracya: ul. Wilhelmowska 28.
(Drukarnia J. Fr. Tomaszewskiego.)

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi w Poznaniu 4,00 mrk. Przyjmuje Administracya: ul. Wilhelmowska 28. w Niemczech i Austryi 5,00 mrk. (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 mk. — Prenumeratę przyjmują Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

TREŚĆ.

Od Redakcyi.

U progu nowego kwartału prosimy przyjaciół naszych serdecznie o rozszerzanie »Przeglądu Poznańskiego« w jaknajszerszych kołach społeczeństwa, zapewniając z swej strony, że mimo »martwego sezonu« pismo to odznaczać się będzie fizyognomią barwną i żywą. Nasze rozgałęzione stosunki literackie stanowią gwarancyę, że czytelnicy znajdą w »Przeglądzie« interesujące oceny wszelkich ważniejszych kwestyi z dziedziny życia społecznego, literatury, nauki i sztuki, a rosnący zastęp współpracowników miejscowych nastręcza nam sposobność poświęcenia szczególniejszej uwagi palącym sprawom ściślejszej ojczyzny. Zapoczątkowane przez nas zszeregowanie inteligencyi demokratycznej w silne i jednolite stronnictwo wymaga organu, któryby stanowił łącznik ideowy między zwolennikami nowych, coraz energiczniej do zwycięstwa zdążających prądów. Tym łącznikiem byliśmy dotychczas i nadal zostać pragniemy, a im żywszemi sympatyami zwolennicy wspólnej idei otoczą »Przegląd Poznański«, tem wszechstronniej i dokładniej spełniać będzie redakcya zadanie swoje, torując tem samem coraz skuteczniej drogę do ostatecznego tryumfu.

Nadmieniamy wreszcie, że w dziale powieściowym zamieściny już w najbliższym czasie kilka interesujących utworów pierwszorzędnych polskich i cudzych pisarzy.

Kobieta-lekarz.

Wystąpienie profesora uniwersytetu wiedeńskiego dra Alberta, który w broszurze, ogłoszonej pt: „Die Frauen und das Studium der Medicin“, oświadczył się wprost i bezwzględnie przeciwko dopuszczeniu kobiet do studyów lekarskich, stało się jednym z najgłośniejszych wypadków chwili bieżącej. Autor, pierwszorzędna zresztą powaga naukowa w świecie medycznym, nie spodziewał się zapewne, że wywoła tak kolosalną polemikę, nietylko ze strony kobiet, ale i kolegów, polemikę, która nań silne a zasłużone ściągnęła gromy. Do walki przeciw na wskroś reakcyjnym poglądom prof. Alberta stanęły najpierw niewiasty z tytułem doktorskim. a na czele dr. Rozalia Kerschbaumer, jedyna praktykująca w Austryi (w Salzburgu) lekarka, ostatniemi czasy powołana do Petersburga. W pomoc pospieszyło im poważne stowarzyszenie kobiet „Der allgemeine österreichische Frauenverein“, z przedstawicieli zaś płci brzydkiej przyłączyli się do strony walczącej najpierw niektórzy posłowie do parlamentu, jak Engelbert Pernersdorfer, dr. Wiktor Kraus, dalej koledzy uniwersyteccy dra Alberta, jak dr. Benedikt, dr. Antoni Meyer, dr. Emil Zuckerkandel i inni, wreszcie także profesorowie zagranicznych uniwersytetów, jak prof. Miecznikow i dr. Maurycy Loewy, dr. Dorota Klumpke z Paryża, dr. Łukaniow, dr. Arystydes Brezina z Petersburga i wielu innych. Za dr. Albertem, w jego obronie, stanął tylko współkolega jego dr. Schrotter, który atoli, jak to w podobnych wypadkach nieraz się zdarza, zamiast poprzeć świeżemi argumentami twierdzenia swego przyjaciela, nic nie przytoczył nowego, lecz przeciwnie, większą część argumentów dra Alberta osłabił a nawet zupełnie obalił.

Ze względu na zajmującą treść i aktualny przedmiot tej polemiki, w której odsłoniły się zapatrywania kilku pierwszorzędnych powag naukowych, postaramy się w krótkości bodaj ją naszkicować, podając z niej szczegóły ciekawsze.

Paniom pierwszeństwo.

Wdzięczną — pisze ciętym sposobem dr. Rozalia Kerschbaumer w jednym z tygodników wiedeńskich – trzeba być prof. Albertowi, że poruszył tę kwestyę, gdyż okazało się, że nawet tak znakomita powaga naukowa, jaką on jest, potrafi wypowiedzieć poglądy, które żadnej nie wytrzymują krytyki. Autor nie może pojąć, aby kiedyś mogło być inaczej, jakkolwiek na świecie zaszły zmiany, o jakich się nawet profesorom nie śniło. Nie może żadną miarą pojąć, że kobieta podlega wolnemu rozwojowi, lecz wierzy w to niewzruszenie, że dusza kobiety inną jest niż u mężczyzny; zdaje mu się, że dziedziczność ojcowskich przymiotów nie odnosi się do córek i że przeto mózg kobiety „musi“ mieć pewne granice. W dalszym ciągu kreśli oponentka stan kwestyi kobiecej w każdym kraju z osobna, wylicza ilość studentek, wykazuje usługi, jakie one społeczeństwu oddają. W ustępie odnoszącym się do Rosyi cytuje zdanie dra Uwarowa, wypowiedziane na kongresie lekarskim w Petersburgu 1880 r. „Kobieta lekarka rozwija znakomitą czynność, a wśród ludzi, zwłaszcza zaś wśród kobiet, cieszy się większą wziętością, niż lekarze-mężczyźni. Wpływ jej na zdrowie i moralność ludzi jest nader zbawienny i temu to jej wpływowi zawdzięczyć trzeba, że choroby weneryczne i prostytucya znacznie się zmniejszyły.“ Wywody swoje kończy dr. Kerschbaumerowa temi słowy: „Sprawa studyów kobiecych jest nietylko kwestyą społeczną, którą można według potrzeby regulować, ale ma także w najdosłowniejszem tego wyrazu znaczeniu istotne cechy kwestyi prawnej. Juryści przy każdej sposobności twierdzą, że panstwo nowożytne jest państwem prawnem. Jeżeli tak jest, to państwo powinno i musi przyrodzonego prawa kobiety

do równego wykształcenia sił i zaspokojenia jej potrzeb duchowych bronić, nie zaś wyrządzać większości obywateli (którą stanowią kobiety) krzyczącą niesprawiedliwość przez zagradzanie jej drogi do studyów. Silniejszą od „veta“ uczonych reakcyonistów, jest potęga żywotnej idei. Ja przynajmniej spodziewam się jeszcze dożyć, że i w Austryi kobiety - lekarki współzawodniczyć będą z mężczyznami na polu Albertowskiej „ars divina.“

Poważnie i z godnością odpowiedziała d-rowi Albertowi panna Dorota Klumpke, doktór matematyki, asystentka obserwatoryum paryzkiego. Wykazała, że współdziałanie kobiety na polu nauki nie jest bynajmniej nowością, że już w czasach dawniejszych niewiasty z powodzeniem w pracach naukowych udział brały. W XVI wieku np. aby już tylko mówić o swoim zawodzie, astronomowie najgorliwszych współpracowników mieli w swych żonach i córkach. Państwo wiedzy jest niezmierzone, miejsca w niem i dla kobiet nie zabraknie z pewnością. W Ameryce kwestya studyów kobiecych jest już oddawna przesądzona i załatwiona, a we Francyi (w Paryżu) dopuszczono kobiety do wszystkich wykładów uniwersyteckich i do egzaminów. W Paryżu są kobiety-lekarki, dentystki itp., a obok nich inne zajmują się badaniami i wiedzą teoretyczną. Żadna z nich na brak dochodów uskarżać się nie może, a mimo to nie miałam sposobności od współzawodników mężczyzn słyszeć utyskiwań z powodu konkurencyi niewiast... Mówi się, że kobiecie brak wszelkich zdolności kobiecych. Ależ to właśnie powinnoby uspokoić wszystkich geniuszów, którzy walkę przeciw studyom kobiecym prowadzą! Niczego nie żądamy, jak tylko wolności pracy. Jeżeli nie potrafimy wznosić gmachów wiedzy, to niech nam wolno będzie przynajmniej dopomagać w znoszeniu kamieni i cegieł do budowy tych gmachów. Że praca nasza będzie może przecież coś warta, doświadczenie już o tem dostatecznie poucza.

„Powszechne austryackie stowarzyszenie kobiet“ w Wiedniu odpowiedziało na pismo prof. Alberta jednomyślnem uchwaleniem petycyi, żądającej w tonie stanowczym dopuszczenia kobiet do studyów medycznych i dozwolenia praktyki lekarskiej tym, które uzyskały stopień doktorski na którymkolwiek z uniwersytetów zagranicznych. Uchwałę powyższą poprzedziła obszerna w stowarzyszeniu dyskusya, z której na uwagę zasługują dwa szczególne głosy: przewodniczącej towarzystwa panny Augusty Fickert i nauczycielki Maryi Mussil.

Pierwsza z nich w dziejach kultury liczne dowody żywego współudziału kobiety na wszystkich polach pracy ludzkiej znalazła. W pierwotnych już czasach, kiedy mężczyzna siłę swą wytężał ku zdobyciu środków żywności, w rękach kobiety spoczywał cały przemysł. Kobiecie też z owych zamierzchłych czasów zawdzięczać należy niejeden wynalazek, większej może doniosłości niż dzisiejsze pomysły konstruowania skombinowanych maszyn. Prawda, że z biegiem czasu, z postępem rozwoju ducha ludzkiego, odstęp między mężczyzną i kobietą stawał się coraz większym, tak iż dziś kobiety ani w sztuce ani w nauce nie mogą się wykazać reprezentantkami, któreby godnie postawić można obok znakomitych bohaterów ducha płci mezkiej. Ale mimo to imiona Safony, Hypatyi, Zofii Germain, Mary Sommerville, Zofii Kowalewskiej, Ady Negri i innych — nie pozwalają wątpić o genialności mózgu kobiety. Prof. Albert w broszurze swej chce koniecznie wykreślić kobietę z rodzaju „homo sapiens,“ atoli w sprzeczność z samym z sobą popada, gdy mówi o jedności i równorodności intelektu u człowieka i zwierzęcia, bo chociażby nawet zaliczył kobietę do rzędu zwierząt, to jednak musi przyznać kobiecie także ową jedność i równorodność z mężczyzną. Oponentka słusznie w końcu zauważa, że do ustalenia granic zdolności kobiecego mózgu potrzeba: 1) ogromnego pogłębienia naszych wiadomości biologicznych, 2) wyjaśnienia praw życia psychologicznego i 3) doświadczenia.

Nauczycielka wiedeńska panna Mussil przypomniała, że podobna walka zdań zawrzała onego czasu, gdy chodziło o dopuszczenie kobiet do zawodu nauczycielskiego. Nauczyciele wszystkich sił dokładali, aby nie dopuścić do konkurencyi niewiast. Mieli oni wielu przyjaciół w parlamencie i sejmie. Na nic się jednak nie zdał ich upór. „Zwyciężyłyśmy i dziś, po latach dwudziestu pięciu, tworzymy silną armię, która sumiennie pracuje na niwie oświaty ludu.“ Prof. Albert twierdzi, że kobieta jest pod względem fizycznym słabą i dla tego wyklucza ją od sprawowania funkcyi lekarskich, a dopuścićby pragnął co najwyżej do wykonywania opieki nad chorymi i do akuszeryi, zapomina wszakże o tem, że te właśnie oba zawody większej siły fizycznej wymagają niż inne. Przeciw zatrudnianiu kobiet przy budowlach i robieniu cegieł, wtrąca dowcipnie p. Mussil, żaden jeszcze profesor nie napisał broszury i nie robił żadnych przedstawień rządowi, jakkolwiek ta praca jest faktycznie ciężka i pozbawia kobiety nietylko wdzięków, lecz i zdrowia. Gdy zaś chodzi o przypuszczenie kobiet do studyów, nie wymagających wszakże tak wielkiej siły fizycznej, jak przy robieniu cegieł, wówczas głos puszczyka ozwie się zaraz...

Wspomnieliśmy wyżej, że w obronie kobiet stanęli również mężczyźni, uczeni, profesorowie, między innymi także koledzy prof. Alberta. Posłuchajmy najpierw, co mówi rektor uniwersytetu wiedeńskiego, poseł dr. Antoni Mayer: Jestem za rozszerzeniem praw kobiety w ogólności, a już najkategoryczniej oświadczam się za przypuszczeniem ich do studyów wyższych. Kobiety lekarki są nam potrzebne choćby tylko ze względu na Bośnię i Hercegowinę. Niewątpliwie rząd będzie musiał wypowiedzieć w tej mierze słowo decydujące, gdyż pierwszym warunkiem rozwiązania tej kwestyi jest założenie państwowego, publicznego gimnazyum dla dziewcząt. Wtedy prze-

---

Andrzej Niemojewski.

PEŁNIA.

Był to prześliczny wieczór lipcowy. Chłopaszek mój leżał już w łóżeczku, a ja siedziałem przy otwartem oknie, przez które wbiegał do pokoju miły chłód, połączony z zapachem gwoździków i rezedy. Nad polami wschodził właśnie księżyc w pełni. Po chwili widniała już na niebie jego ogromna czerwona tarcza. Chłopaszek mój zaniepokoił się, spojrzał z zabobonną trwogą w okno na księżyc i przykucnął na łóżeczku.

— Tatuśku — szepnął cicho.

— Co malutki? — zapytałem.

— Czy tatusiek go widzi?

— Kogo?

— Tego — rzekł malec, pokazując ręką na niebo.

— To księżyc — odparłem.

— Jak on na nas dziwnie patrzy! Dlaczego on tak patrzy?

— To się tylko tak zdaje człopcze.

— Ale!... Patrzy, tatuśku, patrzy z nieba w okno tu do nas, aż mi się coś dzieje....

— Nie bój się — rzekłem. — Przecie wiesz już, co to jest księżyc.

— Wiem, tatuśku. Ale on tak patrzy, jak gdyby mu coś było...

— Nic mu nie jest. To przecież nie człowiek. Słońce z za ziemi rzuca na niego światłość, a on swą tarczę ku nam obraca.

— Ja to dobrze wiem, tatusiek mi to opowiadał. Ale mnie się tak dziwnie robi, jak on tak całą tarczę ku nam obraca.

— Dla czego malutki?

— Bo mnie się ciągle zdaje, że to twarz...

— To ci się przecież tylko tak zdaje.

— Ja wiem, że mi się tylko tak zdaje, ale cóż ja zrobię...

— Oho, już widzę, że ci Maryśka jakieś bajki musiała opowiadać!

— Tatuśku, nic, żadnych bajek mi nie opowiadała!

— Żadnych?

— Opowiadała mi tylko o Twardowskim.

— Więc jednak opowiadała!

— O Twardowskim to opowiadała. Wie tatusiek, o tym panu Twardowskim, co to siedzi na księżycu!

— No, to przecież nieprawda!

— Naturalnie, tatuśku, że nieprawda! To tylko tak sobie ludzie opowiadają! Ja to dobrze wiem! To takie śmieszne....

— Dlaczego śmieszne?

— Takie śmieszne, że aż strach! Bo czyż to podobne, żeby ktoś na księżycu siedział? Coby on tam robił, prawda? Nikt nie siedzi, to się tylko tak wydaje!

— Ale nie wydaje się wcale!

— Wydaje się, tatuśku! Wydaje... — Niech tatusiek patrzy: o, nos, oczy, usta, zupełnie jak twarz...

Mimowoli spojrzałem na księżyc. Istotnie, podobieństwo było tak łudzące, że trudno było zapanować nad wrażeniem.

Malec zachichotał i po chwili rzekł tajemniczo:

— Wie tatusiek co? Ja tatuśkowi powiem, że Maryśka jest bardzo głupia...

— Skąd ci to nagle przyszło do głowy?

— Taka głupia, że doprawdy śmiać się trzeba...

— Eh, może tak źle nie jest!

— Głupia, tatuśku! — powtórzył malec, machając z przekonaniem ręką.

— Ale powiedz, dlaczego?

— A no z tym Twardowskim...

— Jakoś ci ten Twardowski z głowy wyjść nie może!

— Bo ona takie płupie rzeczy mówiła!

— To jej nie słuchaj.

— Ja też nie słuchałem.

— Połóż się i odwróć główkę do ściany.

— Dobrze, tatuśku.

Położył się, odwrócił do ściany, ale po chwili zaczął wzdychać.

— Co ci jest, mały? — zapytałem.

— Kiedy on, tatuśku i z tyłu na mnie patrzy...

— Kto taki?

— A ten księżyc!

— Zdaje ci się!

— O nie, nie zdaje mi się... To zawsze tak, tatuśku! Choćby się ktoś z tyłu patrzył, to się wie!

Za oknem zaczął wyć pies przeciągle. Malec zerwał się, usiadł na poduszce i nadstawił.

— Słyszy tatusiek?

— Co takiego?

— Nie słyszy tatusiek?

— No, pies wyje.

— To nic, że wyje...

konamy się, czy i dla kobiet wskazane są i jakie zawody naukowe. Jak dotąd, działalność kobiet, gdziekolwiek się ujawniła, była zawsze, co najmniej dodatnią. Jak sumiennie i gorliwie np. pełnią kobiety służbę pocztową i telegraficzną! Mamy też w literaturze pierwszorzędne talenty niewieście. Zdaniem mojem okazują kobiety zdolność, zwłaszcza do dwóch fakultetów: medycznego i filozoficznego- W Ameryce musiano już dla nich otworzyć także wydział prawniczy. Sądzę, że i u nas kobiety zdobędą z czasem należne im prawa w całej rozciągłości.

Dr. Maksymilian Gruber, profesor medycyny na uniwersytecie wiedeńskim, wyraża się w tej sprawie krótko, ale stanowczo: „Nie widzę żadnego powodu — mówi — aby kobietom wzbraniać przystępu do studyów medycznych i wykonywania praktyki lekarskiej. Nie stworzyłoby to bowiem żadnych anormalnych stosunków. Zajmowałem się swego czasu tą sprawą gorąco i stwierdziłem, że działalność niewiast na polu medycyny jest ze wszech miar zadawalniającą. Przykładem godnym naśladowania w tej mierze jest Rosya, gdzie obecnie właśnie otwarto akademię dla studentek.“

Dr. Maurycy Benedikt odpowiedział Prof. Albertowi na zebraniu „Stowarzyszenia kobiet.“ Z przemówienia jego zacytujemy kilka charakterystycznych wyjątków. „Na pytanie, czy kobiety mogą się oddawać studyom lekarskim, dała już odpowiedź pierwsza niewiasta, która medycynę skończyła. Wielką wartość ma fakt pozytywny i jestem przekonany, że tylko obawa przed konkurencyą każe niektórym „powagom“ oświadczać się przeciw studyom kobiecym.“ Dr. Benedikt twierdzi dalej: „że tylko do chirurgii kobieta mogłaby się nie nadawać, gdyż jego zdaniem z natury swej łatwo ulega panice. Atoli jako lekarz sprawować będzie swój zawód z większą powagą moralną i z większem poczuciem delikatności, nie poświęci też wszystkiego — jak niejeden lekarz-mężczyzna, — tylko ambicyi. Lekarką utrzyma moralny porządek i wstydliwość u kobiet, a to najważniejsze. Mogą się uczyć. Całkiem na pewno! Swoją drogą nader mała liczba osięgnie cel zamierzony, gdyż natura niewieścia nie nadaje się do abstrakcyjnego myślenia, do walki o byt, a przyjęcie cięższej pracy przez mężczyznę, oznacza postęp kultury... Twierdzą niektórzy, że kobieta w historyi rozwoju ludzkości nic nie zdziałała. Jestem wprost przeciwnego zdania: we wszystkich religiach ona była motorem, a bez kobiet bylibyśmy dzis jeszcze pogrążeni w toniach pogaństwa. Sprawa kobieca jest kwestyą społeczną, a jeżeli nie ocenia się jej z należytą objektywnością, to przyczyna tego w tem leży, że nasze stosunki prawne są nienormalne, nienaturalne. Skoro kiedyś w społeczno prawnym porządku etyka zastąpi prawo, zdolne kobiety dopuszczone będą z pewnością do wszelkich studyów wyższych.“...

Wielką stanowczością odznaczają się poglądy profesora i posła do parlamentu dr. Wiktora Krausa. Twierdzi on całkiem otwarcie, że już z praktycznego punktu widzenia, głupotą jest oświadczać się przeciw wolności studuów kobiecych. Im smutniej układają się nasze stosunki społeczne, im mniej mamy widoków zabezpieczenia córkom naszym przyszłości, tem usilniej powinnismy się starać dać im kapitał, któregoby ich nikt nie był w stanie pozbawić.. Miałem aż nadto sposobności przekonania się np. w Zurychu, że studentki z zapałem garną się do studyów medycyny i wielkie rokują nadzieje. Ale i z tego powodu oświadczono się za przypuszczaniem ich do tych studyów, ponieważ pod względem wykształcenia płci żeńskiej w Austryi jesteśmy ogromnie w tyle za innemi państwami. Potrzebujemy dzielnych matek, któreby ostatecznie poczęły myśleć nad kwestyami społecznemi i w następstwie mogły stosowny wpływ wywierać na dzieci. Turek ma niezłe przysłowie: „Badam matkę a wybieram córkę.“ Co do mnie, w zupełności piszę się na to, by otworzyć kobietom na ścieżaj bramy uniwersytetów. Tłumienie tych poglądów i dążeń do niczego nie prowadzi. Kobiety mają wiele energii, by cele swoje osięgnąć.“

Znany poseł Engelbert Pernerstorfer zabrał w tej sprawie także głos poważny: „Jestem zwolennikiem zupełnej wolności studyów kobiecych i sądzę, że kobieta na każdem polu powinna być postawiona na równi z mężczyzną. Przedewszystkiem należy próbować, albowiem próba dopiero pokaże, czy kobieta potrafi tego dokonać, co mężczyzna, czy może nawet czegoś lepszego. Dziwi mnie, że profesorowie w guście d-ra Alberta zapatrują się na kwestyę studyów kobiecych za nadto ze stanowiska czysto fizyologicznych „przypuszczeń“. a w zupełności przytem zapominają o momentach historycznych... Naród czeski dał pierwszy (w Przedlitawii) impuls w praktyce do złamania tych zakrzepłych poglądów, przypominam tylko założenie gimnazyum żeńskiego „Minerwa“ w Pradze.... Jeżeli zaś Niemcy dzisiaj oświadczają się przeciw studyom kobiecym, to zdumiewać to tylko może, tem bardziej gdy inne narody szczepu germańskiego, jak anglicy, amerykanie, skandynawowie właśnie w kwestyi kobieeej w ogólności, a szczególnie w sprawie studyów kobiecych, daleko wyższe zajmują stanowisko i szersze obejmują horyzonty. Bez wątpienia średniowieczne te zapatrywania w Austryi i w Niemczech stoją w ścisłym związku z politycznemi stosunkami tych nieszczęśliwych krajów. Gnębienie duchowych kierunków, systematycznie przez władze tu i tam praktykowane, sprawia, że większa część ludzi, należących do klasy mieszczańsktej, nie mając w sobie ani siły ani ochoty do walki z tem gnębieniem, nie zajmuje też wobec tak ważnej doniosłe znaczenie mającej kwestyi kobiecej[1] odpowiedniej, energicznej i stanowczej postawy.“

Broszura prof. Alberta wywołała powstanie małej literatury polemicznej w przedmiocie omawianym. Między innemi jeszcze o dwóch głosach wspomnieć wypada. Dyrektor gimnazyum żeńskiego dr. Emanuel Hannek punkt za punktem zbija zasadnemi

---

— Tylko co?

— Tatusiek nie wie?

— Nic nie wiem.

— To on tak do księżyca wyje! — zawołał malec z przeświadczeniem.

— Co ty opowiadasz! Gdzieby on tam wył do księżyca! Niebawem sprzykrzy mu się i pójdzie spać do budy.

— Nie pójdzie, tatuśku.

— Przekonasz się.

— Zobaczy tatusiek!

— Więc dlaczego nie pójdzie?

— Bo się księżyc i na niego patrzy!

Za parkanem w polu słychać było liczne, charakterystyczne ujadania. Malec zachichotał i szepnął, podciągając kołderkę:

— Tatusku...

— Co chłopcze?

— Niech tatusiek nie odchodzi. .

— Nie bój się, nie odejdę.

— Ta głupia Maryśka ..

— Cóż ci ona tam znowu naplotła?

— Jej, jaka ona głupia!

— No, powiedz, cóż takiego?

— Hi, hi, hi... Niech tatusiek sobie wyobrazi, ona mówiła, że ludzie po księżycu chodzą... A jakże to jest możebne, żeby ludzie po księżycu chodzili? Jakimby oni sposobem tam się dostali? Prawda?

— Naturalnie!

— Oni by spadli!

— Możeby i spadli!

— To też tak się co innego nazywa...

— Co się tak nazywa? — zapytałem patrząc w oczy malca.

— Ludzie po ziemi chodzą, a nie po księżycu! — zawołał głośno i wesoło, jak gdyby odkrył wielką prawdę, nagle jednak urwał, jak gdyby się płaczem zachłysnął.

— Tobie coś jest chłopcze? Zamknę okno, bo już zimno zaczyna iść do pokoju.

Malec drżał. Za oknem posłyszałem kroki stróża. Zawołałem na niego, aby zaryglował okiennice.

— Kładź się, chłopcze, i śpij — rzekłem do malca. — Widzisz już późno. Chciałbym odejść, bo mam robotę, a nie odejdę, dopóki na dobre nie uśniesz.

— Już śpię tatuśku! — zawołał chłopak i rzucił się na posłanie, zakrywając się kołderką.

Przymknął oczy i udawał śpiącego. Ale co chwila ruszał się i tem się zdradzał. Tymczasem stróż ryglował okiennice. Wyszedłem do drugiego pokoju i powiedziałem mu, aby tylko w moim pokoju zostawił okno otwarte. Wróciłem i siadłem przy łóżku malca. Spał już naprawdę. Ujadanie psów znacznie przycichło z powodu zamknięcia okien i okienic. Ale zawsze jeszcze dochodziło. W pokoju było zupełnie ciemno, tylko przez szparę w okienicy wpadała maleńka smuga księżycowego światła. Było tak cicho, że słyszałem terkotanie zegarka w kieszeni. Chłopaszek mój spał spokojnie, jak gdyby wcale nie oddychał. Wysunąłem się ostrożnie za próg, przeszedłem przez salkę i siadłem w swoim gabinecie na otomanie.

Spojrzałem na przeciwległą ścianę. Światło księżyca wpadało przez otwarte okno i obrzucało sinym blaskiem prawą połowę twarzy wiszącego na tej ścianie fauna, który ze swym uśmiechem w tem trupiem oświetleniu wyglądał strasznie. Nie mogłem dłużej patrzeć...

Za oknem lekki wiatr poruszył liście na drzewach. Zdawało się, że to się ozwał przyciszony szept ludzkich głosów. Uniosłem się nieco, wyjrzałem przez okno i aż drgnąłem z wrażenia...

Jak gdybym był ujrzał na żywe oczy między trawnikami, na ścieżce, w świetle księżyca, sunące parami, nachylone, małe białe postacie... To były lilie

Roześmiałem się.

Spojrzałem na niebo. Było ono przeczyste. Drobniuchne gwiazdki migotały jak rozsypany pył śnieżny. Zwróciłem wzrok na księżyc. Utracił już swoją czerwoność i świecił teraz światłem wypolerowanego mosiądzu. Granica jego tarczy ostro odcinała się na niebie. Dwie plamy kraterów były łudząco do oczodołów podobne. Nad temi plami szły liczne bruzdy, świeciły rysy dawnych kataklizmów. Rysy te zbiegały po policzkach i krzyżowały się koło ust, których wargi podobne były do dwóch wałów górskich. Cała ta twarz, niby twarz skostniałego w cierpieniu człowieka, patrzyła na mnie z okropnym spokojem. Była to twarz straszna, a obojętna. Przerażająco jasna i przerażająco chłodna. Przymrużyłem oczy, bo czułem budzący się we mnie niepokój, który się wzmagał i za chwilę mógł się był stać nawet przykrym. Wiatr znowu poruszył drzewami. W jego szeleście tworzyła fantazya szepty, narady, skradanie się, szmer ocierającego się o ścianę ubrania lub rąk, sunących po murze. Na chwilę usnąłem. Przywidział mi się prześliczny dzień letni. Mój chłopaszek ugania po trawnikach za motylkami. Nagle staje, wskazuje ręką ku górze i powiada: „Widzisz. tatuśku, noc

argumentami wywody d-ra Alberta i na swych uczennicach gimnazyalnych wykazuje, że czynią lepsze postępy od chłopców. Wreszcie lekarz wiedeński dr. Swetlin w osobnej broszurze nie kryje się wprswdzie z obawą przed konkurencyą niewiast lekarek przemawia jednak mimo to goręco za najzupełniejszą wolnością studyów kobiecych i pod tym ostatnim względem idzie znacznie dalej niż inni, żąda bowiem otwarcia dla niewiast wszystkich fakultetów, wszystkich gałęzi wiedzy bez wyjątku, ale — odrazu. Niebezpieczną jest rzeczą — mówi dr. Svetlin — otwierać dla kobiet wydziały lekarskie, bo cóż poczną te z nich, które ukończywszy gimnazyum, dojdą do przekonania, że do studyów medycznych się nie nadają? Praca ich poszłaby na marne. Dla tego należy „dać kobietom wolność studyów jaknajzupełniejszą.“

Z powyższego, pobieżnego przeglądu protestów, jakie broszura d-ra Alberta wywołała, przekonać się można, że reakcyjne zapatrywania na kwestyę kobiecą nawet w Austryi są odosobnione i wśród ludzi inteligentnych zwolenników liczą bardzo niewielu.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Pod adresem Koła polskiego w Berlinie. „Przegląd Wszechpolski“ zamieścił w najświeższym numerze nader interesujący artykuł, z którego cytujemy ustępy następujące:

„Gdyby Koło Polskie w Berlinie nie przyznawało sobie samowolnie zwierzchnictwa niejako nad całą dzielnicą, sięgnęłoby zdawna po siły nowe, młode duchem, odradzające cherlawy i zużyty w politycznem samolubstwie jego organizm. Ale nie, krokami wręcz przeciwnemi dowodzi ono coraz silniej, że niczego już od niego spodziewać się nie można. Stało się partyą klasową, koteryą i pozbawiło się dobrowolnie względów, jakie każdej reprezentacyi narodowej, choćby błądzącej, przynależą.

W podobnych warunkach największym błędem krystalizującej się opozycyi byłoby stosowanie do rozkładowych pierwiastków panujących takiej właśnie taktyki, jaką te z tak marnym skutkiem wobec systemu pruskiego praktykują. W obu wypadkach nie jest to kwestya taktyki, ale zasadniczego stanowiska, nie wyżebrania ustępstw, ale zmuszenia do cofnięcia się wobec następującej z niewzruszoną systematycznością społecznej i moralnej siły.

Właściwy program polityczny w walce z nawałą pruską zredukowano u nas niemal do wskazań taktycznych. Jakiegokolwiek planu ogólnego kampanii narodowej, zarówno wewnętrznej, do własnego społeczeństwa zwróconej, jak i zewnętrznej, napróżno od lat wielu wyglądamy i taktyka ugodowa ma go zastąpić. ...Rząd pruski dążeń naszych, ani pragnień podzielać nie może, dobrowolnie nic nam nie da, to pewna, ale możemy zmusić naród niemiecki do tego, żeby nie lekceważył naszych praw i aspiracyi, żeby widząc w nas nawet wrogów, szanował nas tak, jak się godnych siebie przeciwników szanuje, żeby czuł w nas tę siłę charakteru, którą sam niezaprzeczenie posiada. Wtedy zyskamy od razu przewagę moralną, przewagę cywilizacyjnych naszych dążeń nad średniowieczną, napoły azyatycką, junkierską duszą Prusaków.

Koło wręcz odwrotne zajęło stanowisko: wmawia w rząd pruski mniemany jego interes w wymierzeniu sprawiedliwości Polakom, od lat całych licytuje samo *in minus* swoją polityczną ofertę, a równocześnie zdradza taki brak charakteru, tak nizki poziom godności narodowej, tak słabe tętno ogólno- ludzkich cywilizacyjnych dążeń, że w narodzie niemieckim szacunku nawet dla słusznej sprawy wzbudzić nie jest wstanie. Na tak przygotowanym gruncie żaden program rozwinąć się nie może.

Czyż można rzeczywiście wymagać od Niemców, aby brali w jakąkolwiek polityczną rachubę Koło Polskie, o którem wiedzą doskonale, że nietylko nie stoi za niem cały naród, od którego się dobrowolnie odcięło, ale nawet własne warstwy ludowe, których interesy i potrzeby sprowadziło do swego własnego minimum. Że takie a nie inne zajęło stanowisko, za to wyłączna odpowiedzialność na nie spada, ale że w podobnych warunkach niczego dokonać nie jest w stanie, z tego już zarzutu robić mu nie można.

Od dawna, od bardzo już dawna nie słyszeliśmy w parlamencie takiego głosu polskiego, któryby wstrząsnął duszą, duszą narodu, któryby powtarzano nad Wisłą, nad Niemnem i Dniestrem, jako wyraz tego, co wszyscy czują, a czego wszyscy wypowiedzieć nie mogą, któryby się odezwał w najdalszych zakątkach siedzib polskich śród niemczyzny. A takiego echa czujniej w parlamentach słuchają, niż potwierdzeń traktatów rozbiorowych. Rząd nie dla tego odrzucił tę wyciąganą rękę zgody, z dłonią do góry zwróconą, żeby nie mógł niedowierzać szczerości oferty, ale dla tego, iż wiedział dobrze, że za nią masy ludu nie stoją i nigdy nie staną...

Fałszywem z gruntu byłoby stanowisko Polaków zasadniczo opozycyjne wobec całych Niemiec i ich zjednoczonego państwa: stanowczym i bezwzględnym wrogiem naszym są tylko Prusy, z właściwym ich charakterowi systemem, od którego brutalności cierpią całe rdzenne Niemcy, ich cywilizacya, ich wolność i tradycye. Zadaniem Polaków, obywateli państwa niemieckiego, jest wystawienie wyraźne i głośne programy rozszerzenia autonomii i samorządu państw niegdyś zwierzchniczych, oraz stopniowego wprowadzania Niemiec na drogę federalizmu. Hasła te Polacy z większą śmiałością, z większą stanowczością rzucać mogą z trybuny w masy niemieckiego ludu, bo płyną one z ich narodowych instynktów i tradycyi, z mózgów nieolśnionych Sedanami i Bismarkiem, ale mocno przeświadczonych o tem, że służyć tu będą sprawie cywilizacyi europejskiej, przeszłości Niemiec i swej własnej zarazem. Sprzymierzeńców naturalnych na tem polu nie zabraknie, co ważniejsza będzie ich coraz więcej: południowo-niemieckie stronnictwo ludowe jest nową wzrastającą siłą, która ogarniać będzie coraz dalsze kręgi lokalnego życia prowincyi, dławionych przez centralizm pruski. Równocześnie prowadzona walka o postęp i cywilizacyę, o prawa klas pracujących, słowem o idee raczej, niż o interesy, zapewni nam wpływ i posłuch oraz stanowisko poczesne śród stronnictw niemieckich. Dobijać się praw dla ludności polskiej, a zarazem wzmacniać konserwatyzm niemiecki i reakcyę rządową, jest to polityka, zmierzająca pewnym krokiem do narażenia sobie wszystkich, a szczególniej najzdrowszych, najlepszych żywiołów, w Niemczech....

Zły przykład idzie z góry. Brak wszelkiej odwagi cywilnej śród przedstawicielstwa parlamentarnego sparaliżował umysły i wolę. Zbyt przywykło społeczeństwo uważać je za konwencyonalny wyraz swych dążeń, dostroiło się do jego poziomu i obniżyło charakter całej dzielnicy. Sumiennie powiedzieć można, że Koło tytularnych wybrańców politycznych nietylko w niczem nie podniosło żywotności narodowej ogółu, nie przyczyniło się do rozbudzenia świadomej, uplanowanej akcyi samego społeczeństwa, ale podcięło mu skrzydła, oderwało duszę zwyrodziło charakter.

W naszem położeniu codziennej, nieustannej walki o byt narodowy, ten tylko powinien piastować godność politycznego przedstawiciela, kto rzeczywiście przoduje społeczeństwu w walce pozaparlamentarnej, kto sam przyczynił się do wydobycia z uśpienia tej siły, którą ma reprezentować. Każdy poseł polski powinien być agitatorem w walce narodowej, organizatorem sił społecznych, bojownikiem praw ludu, ale nie figurantem, nie dyplomatycznym agentem do stronniczych konszachtów. Nie mówiąc już o faktach skandalicznych, jak stawianie kandydatur ludzi, składających równocześnie oferty komisyi kolonizacyjnej, jak może wogóle kierować sprawami narodowemi człowiek, który nic dla tych spraw nie zrobił, nic nie dał społeczeństwu, ale tylko zgodził się być narzędziem w ręku kół panujących. Ze strony ostatnich jest to pozowanie na jakiś rząd *„in partibus infidelium“*, który rekrutuje sobie podwładne organy, mające służyć jego własnym, a nie ogólnym interesom. Taki rząd tylko w państwach i to w państwach autokratycznych utrzymać się może, bo ma za sobą, w braku siły poparcia, siłę przemocy. Ale tu panowanie podobne tylko biernością ogółu da się wytłomaczyć. Rozbudzenie samodzielnej akcyi społeczeństwa, wprowadzenie w stan czynny mas ludowych położy kres temu samoprzedstawicielstwu i wysunie na czoło narodu tych, co rzeczywiście przodować będą w jego życiu“.

* *

Gazeta ludowa dla polskich ewangelików. Warszawski tygodnik „Głos“ poświęca następujące uwagi gazecie wydawanej w Ełku na Mazurach dla Polaków ewangelickiego wyznania.

„Od Nowego Roku zaczął wydawać w Ełku „Gazetę ludową“ p. Bahrke, który przez czas jakiś mieszkał w Warszawie. Gazeta, prowadzona bardzo zręcznie i ostrożnie, zamieszcza nawet niekiedy artykuły w duchu patryotyczno-pruskim, ale gorliwie i wytrwale broni praw narodowych ludności, powoli uświadamia politycznie lud mazurski. Pomimo zachowywania niezwykłej ostrożności, niejednokrotnie naraził się już p. Bahrke władzy i Niemcom, którzy zawzięcie prześladują Gazetę. Naprzód wezwano redaktora do policyi, gdzie go wypytywano: czy jest Polakiem, czy przebywał w Rosyi i czy stamtąd otrzymał pieniądze na wydawanie pisma. Następnie konsystorz ewangelicki wytoczył proces „Gazecie ludowej o rzekomą obrazę, a na zjeździe pastorów potępiono pismo. Te jednak prześladowania wykazały, że lud mazurski przywiązał się odrazu do swego pisma i że rozumie jego znaczenie. Listy czytelników świadczą, że solidaryzują się oni z Gazetą. Ciekawe są niezmiernie te listy, których wzorowo czysty i piękny język przypomina starą polszczyznę z XVI wieku, a treść wyraża taką świadomość narodową, jakiej nikt może nie przypuszczał

---

dokoła, a wysoko na niebie świeci słońce!“ Istotnie pociemniało od razu na okół, a na nocnem niebie świeciło przeraźliwie i oślepiająco słońce. To niemożebne, zawołałem sam do siebie i koniecznie chciałem się zbudzić. Ale nie mógłem żadnym sposobem oczu otworzyć. Zdawało mi się, że nie śpię, tylko mam oczy zamknięte. Na to chłopaczek mój podbiegł ku mnie, ujął mnie za rękę i rzekł z uśmiechem: „Zbudź się, tatuśku! Widzisz, jakie się to dziwne rzeczy dzieją?“ Ale jak gdyby mi ktoś pozaklejał powieki, ani rusz ich rozerwać. Pies tymczasem za oknem ujada jak do księżyca i czuję, że jest noc. Nagle przejmuje mnie nieopisany strach. Zimny pot występuje na czoło, a mrowie przebiega od stóp do głowy. Otwieram oczy i nareszcie budzę się.

— Co to takiego? Jezus Marya!

Na środku pokoju, oświetlony blaskami księżyca, stoi w koszulince mój chłopaszek, blady, oczy błędne, rozchylone usta, rączyny przed siebie wyciągnięte... Lunatyk, czy co?...

Pochwyciłem go na ręce i pobiegłem z nim do jego pokoju. On się zbudził, uczepił mej szyi i szeptał na wpół przytomnie:

— Co to, tatuśku, co to?

Położyłem go do łóżeczka, przytuliłem obok niego głowę na poduszce i wnet usnęliśmy obaj.

Obecnie „Gazeta ludowa“, chociaż jest pismem prawowierno-ewangelickiem, prowadzi już jawną walkę z pastorami. Ma ona silną broń w ręku, bo wprowadzenie niemczyzny do kościoła wywarło ten skutek, że ludność odstrychnęła się od niego. Rozmaite sekty, głównie baptyzm, zyskują coraz więcej zwolenników wśród Mazurów i jeżeli uwzględnią w należytej mierze język polski, będą mogły pozbawić pastorów znacznej części trzody“.

* * *

Prądy polityczne w Poznańskiem. Korespondent poznański „Słowa polskiego“ (Lwów) tak ocenia stosunki nasze:

„W ostatnich tygodniach rozgrywała się znowu jedna z typowych scen naszej polityki wewnętrznej, w której od lat kilku ścierają się ostre hasła demokratycznego stronnictwa z doktryną ugody. Mówię o wyborach uzupełniających w świeckim okręgu, o mowach przedwyborczych kandydata koteryi „ładu i porządku“, p. Sasa Jaworskiego i interpelacyach przedstawicieli opozycyjnych prądów. Polemika z areny wieców przeniosła się do szpalt dziennikarskich i ujawniła w całej nagości polityczne kontrasty, wrzynające się coraz głębiej w organizm społeczeństwa. Pan Sas Jaworski, zdeklarowany zwolennik awanturniczych eksperymentów ugodowej dyplomacyi, znajdował się w dość niemiłem położeniu wobec wyborców, przejętych w mniejszym, lub większym stopniu ideą demokratycznej opozycyi. Otwarte wyznanie własnych przekonań politycznych znaczyło tyle, co niechybna klęska, — chwycił się tedy ulubionej metody stronnictwa swojego i przedstawił się wyborcom w obłocznych zasłonach patryotycznych ogólników i Pithyjskich rebusów.

Na zapytanie, któremu panu służyć będzie, której zasadzie politycznej hołduje, brzmiała odpowiedź kandydata: „Polityka moja będzie polska!“ a później w dziennikach przyciśnięty do muru, oświadczył, że stronnictw żadnych nie uznaje i pójdzie tam gdzie większość Koła polskiego. Znaczna część wyborców czuła doskonale, że kandydat stara się usilnie zamaskować istotne przekonania swoje, — większość jednak poszła na lep frazesu, — no! i przeważnych świeckich i duchownych inspiracyi, i o rzy-kła p. Sasa Jaworskiego zwycięzca.

Zdaje mi się jednak, że wszystkie te zwycięztwa wielkiej, ugodowo klerykalnej koteryi są jak ostatnie błyski gasnącej lampy. Coś w masie ludu kotłuje, coś szeptem idzie przez tłumy i społeczeństwo coraz podejrzliwszem okiem spogląda ku tym wyżynom, które kierowały i dotychczas kierują jeszcze polityką narodu. Charakterystycznym jest nagły i niespodziewany zwrot „Dziennika poznańskiego“ ku lewicy, — charakterystycznym fakt, że organ, który przez długie lata w intencyach naszej kościelnej polityki uparcie przywdziewał puklerz polskości, drgnął nagle niespokojnie w witaszyckiej sprawie (kolizya księdza Polaka z niemieckim nauczycielem wiejskim) wymówił słowo: germanizacya przez kościół. — Groźne to widmo jest obecnie na porządku dziennym polityki naszej. Ludzie przecierają oczy, spoglądają na Szląsk, na Prusy zachodnie i Warmię, i przeczuwają, że walka duchowieństwa z ludem, która się tam obecnie rozgrywa, może z czasem i naszą prowincyę napełnić wrzawą wojenną. Ks. arcybiskup Stablewski, ten dzielny obrońca sprawy narodowej w Sejmie pruskim i parlamencie niemieckim, jest może dobrym patryotą, lecz w polityce kościelnej zjawia się niekiedy taka *vis maior*, że najlepszy ksiądz — patryota musi przed nią czoło uchylić“.

—ski.

LITERATURA I SZTUKA.

Kilka słów
z powodu
„Żalów krytyka“.

Korzystając z gościnności „Przeglądu Poznańskiego“ dla osobistych zapatrywań na poruszane w jego łamach kwestye, ośmielam się podzielić z czytelnikiem uwagami, które nasunął mi interesujący artykuł pana W. Z. Gryfa p. t. „Żale krytyka“. Zarzuty czynione młodej generacyi pisarzy i lamenty nie poparte konkretnemi danemi nie są niezwykłą rzeczą. Nie ulega wszakżeż wątpliwości, że autor stan najnowszej literatury maluje trafnie. Niedawno znalazłem w artykule dr. J. Suessera ten sam pogląd, ujęty w słowa: „brak filozoficznego poglądu na świat i ludzi, brak łączności z najwybitniejszemi prądami przenikającemi ludzkość, sztuczność uczucia — oto główne cechy naszej literatury“. Atoli skonstatowawszy ten fakt, p. S. nie rzucił kamieniem na młodych publicystów. Naturalnie poniekąd miałby powód rozżalić się na tego lub owego, bo przypuszczam, że w gronie literatów są tacy, dla których sztuka nie jest niczem innem jak „handelkiem“. Na wzór słów Heinego: „Das Publicum sind viele Leut, drum ist es dumm und auch gescheut“ — da się powiedzieć o gronie literatów z wielu różnych złożonego jednostek, że mieści w swem łonie tandeciarzy, co wszakże nie wyklucza, aby byli i tacy, którzy „mozolnie wychowują dziecię i układają je co wieczór nasycone mlekiem“. Nie dziwi mnie, ani nie oburza, że liczba napiętnowanych filisterstwem pisarzy przewyższa ilość wybranych dusz, bo nie inaczej mają się rzeczy na całym świecie. Zamiast zatem rozbijać sobie głowę o mur, przyjmuję ten stan za normalny. Tem mniej jestem skłonny do lamentów, że ta kategorya, składająca się z jednostek bez istotnego talentu i powołania, nie wywiera wpływu na literaturę i nie stanowi literatury. Nie jest ona miłą memu sercu, lecz bynajmniej nie chciałbym zgładzić jej z świata jak p. Gryf, który widocznie chciałby zaprowadzić jakiś idealny stan rzeczy, gdzie li tylko najczystsze krople sztuki spadałyby na spragnioną ożywczego deszczu ziemię. Przeciwnie, jaknajwięcej życzę sobie w Polsce tej „tandety“, bo z jej rozkwitu powezmę przekonanie, że książka zaczyna być tak potrzebną jak piwo lub wint. Istnieje już dziś dość znaczny popyt na ową „tandetę“ literacką, lecz niestety dostarczają go po wielkiej części zagraniczni pisarze. Z artykułu p. J. Lorentowicza w „Przeglądzie Tygodniowym“ dowiaduję się, że tłomaczone (a jak tłomaczone?) powieści stanowią 40 procent ogółu naszych powieściowych utworów. A zatem wielka potrzeba nam swojskich wyrobników literackich, tem więcej, że dostarczyliby pożyteczniejszej dla niższych warstw lektury, nie odrywając ich od rodzinnej sfery, ani nie odżywiając umysłów polskich płodami, przesiąkłemi obcemi nam pojęciami, tendencyami i ideałami społecznemi. Z łona tego proletaryatu, zapełniającego lukę w piśmiennictwie krajowem, wyszedłby zresztą niejeden pisarz z literackiemi właściwościami pióra. Czy kto zaprzeczy racyi bytu n. p. Janowi Kubiczowi, z którego działalnością zapoznał Czytelników „Przeglądu“ p. Fr. Rawita? Literatura bez takiego proletaryatu rozwijać się musi nieprawidłowo, tak jak społeczność bez stanu mieszczańskiego. „Łatwa“ literatura jest koniecznie potrzebną dla umysłów nie zdolnych przetrawić trudnej. Czy bowiem panny służące mają czytywać „Nieboską komedyę“? Ależ to byłoby strasznem!

P. Gryf utyskuje bardzo, że w literackie progi wdziera się tylu kurtyzanów, aferzystów, fanfaronów i grafomanów. Dziwiło by mnie, aby w istocie liczba tychże musiała być znacznie większą niż w innych zawodach, bo literatura jako „afera“ jest przecież możliwie najgorszym interesem, a nie mam ludzi za takich idyotów, aby sądzić, że dla tego poświęcali się literaturze, że panna Marynia lub Józia ma słabość do ludzi, którzy „byli drukowani.“ Jeżeli jednak świat literacki roi się od istot, którym można insynuować cały stek wyliczanych przez p. Gryfa małostek, to jestto raczej chorobą społeczną, która nie objawia się specyalnie na niwie sztuki. Godzę się wszakże zupełnie, że „na palcach moglibyśmy policzyć naszych zdeterminowanych Kurcyuszów“, którzy znają „przyjemności ryzyka“. I mnie niejednokrotnie raziła niemile owa nieznana w innych literaturach trwożliwość, ów brak indywidualności, które literaturę polską znaczą piętnem niewolniczości. Niewola, pod którą jęczy większa część ziem polskich, dosadnio odzwierciadla się w ruchu umysłowym. Jednakże nie mogę zwalić winy za to na młodszą generacyę pisarzy; dałoby się jedynie wywnioskować na ich niekorzyść, że mało między nimi wielkich talentów, bo wielki talent jest z swej natury odważnym. Zważywszy zaś warunki, w jakich znajduje się literatura w Polsce, wina pisarzy spada do minimum.

Nie wspominając o cenzurze, która w najgłówniejszem ognisku literackiem przytłacza do ziemi piśmiennictwo, wskażę tylko na to, że w ostatnich latach ojcami chrzestnymi nie są wydawcy, lecz przeważnie redaktorowie pism. Co to znaczy przejść przez ręce redaktorskie, to p. Gryf może wiedzieć lepiej odemnie. Nepotyzm i stronniczość panujące w gronie redaktorów napiętnowano wielokrotnie. A zatem człowiek, który napisał powieść, musiał pracę swą stworzyć nie dla siebie, nie dla ogółu, lecz dla pana redaktora, dla koteryi. Pisarz uznany, którego imię w felietonie jest przyjętą na abonentów, posiada dopiero prawo dopuszczania się pewnych licencyi, które u nieznanego pisarza nazwanoby niemoralnemi, trywialnemi itd. Oni muszą przykroić sukienkę według modelu redakcyjnego. A czy p. Gryf zajrzał tak głęboko w tajniki dusz tworzących literatów, że może twierdzić, iż oni nigdy nie pragnęli wypowiedzieć siebie śmiało i bezwzględnie? Otóż mam to przekonanie, że pod grozą konieczności niejeden autor z bólem serca wykreślał ustęp swej pracy, któryby rzecz całą był podniósł na wyższy szczebel, lub przerabiał go według zwyczajnej mody. Jak powiedzieliśmy, prace młodych literatów wykazują brak samoistności i śmiałości poglądów, lecz jakie one mają być, kiedy przejść musiały przez cenzurę często absolutnie niezdolnych ocenić pracę redaktorów. A oni to piastują dziś powieść polską, gdyż mało wychodzi drukiem romansów i nowel, które by poprzednio nie ukazały się w odcinku pisma. W oczach wydawcy niezawodnie poleca to pracę nieznanego autora. W tem leży wielkie zło. Czegoż to wymaga redaktor od pracy? Aby najmniej dostarczała pola do nieprzychylnej krytyki i do krytyki wogóle, innemi słowy wymaga — dobrej roboty, przyzwoicie ubranej, poczytnej a poziomej miernoty.

Po za plecami redaktora zaś kryje się ogół. Każdy kraj ma taką literaturę jaką mieć pragnie i na jaką zasługuje. Jeżeli literatura nasza w ujemnem przedstawia się świetle, to odpowiedzialną za to jest ostatecznie społeczność. Pomiędzy młodymi można spotkać także utalentowanych pisarzy, którzy jednakże nie mają ani pola, ani atmosfery odpowiedniej, ani wreszcie najmniejszej z strony ogółu lub redakcyi zachęty. Prócz redaktorów bowiem cały ogół boi się, jak złego ducha wszelkich „filozoficznych poglądów na świat“, stroni od wszelkiej „łączności z wybitniejszemi prądami przenikającemi ludzkość“ i wprost protegnje „sztuczność uczucia“. Gdyby publiczność jak n. p. w Anglii sprzyjała nowym prądom, cieszyła się widokiem świeżych latorośli, ceniła indywidualność i szukała jej w pismach — to

redaktorowie połamaliby dawne łokcie krytyczno-koteryjne, ujrzelibyśmy silniej zaakcentowane i śmielej strzelające indywidualności i literatura wydobyłaby się z pod tego przygnębienia, rozkwitłaby bujnie. Dziś ona marnie wegetuje....

Pan Gryf przemawia często tak, jakby literatura była jakimś rajem, do którego pnie się kto żyw.

Z tego co czytam i słyszę, powziąłem przekonanie, że daleko lepiej w Polsce tłuc kamienie na żwirówce niż być literatem. Czy istotnie jest ona najdogodniejszą formą używania? Czy jest tak dobrym środkiem ułatwiającym robienie karyery, najkrótszą drogą do rozgłosu? Pragnąłbym, aby mi kto wymienił kilka nazwisk tak sądzących literatów i takich, którzy na tej drodze odrazu zrobili karyerę i zdobyli rozgłos. Nie mogę bowiem pojąć, aby człowiek oddający się literaturze nie miał przyjść prędzej, czy później do odmiennego pojęcia. Jest faktem, że w literaturze daleko trudniej okryć się sławą niż np. w muzyce lub w sztuce plastycznej, zwłaszcza gdy pisarz nie jest synem Francyi lecz „zapomnianego narodu“. Zresztą wszyscy wielcy autorzy, jak Tołstoj, Ibsen, Zola, Ruskin lub Sienkiewicz dopiero w późniejszym wieku doszli do znaczenia. O początkujących autorach zaś ogół nic nie wie zupełnie, ani wiedzieć nie chce. Gdzież więc ów raj? Czy redaktorowie tak świetnie wynagradzają pracę? Czy ogół ich tak faworyzuje?

P. Gryf oczekuje, aby młodzi pracownicy na niwie literackiej „gromadnie zajęci byli urzeczywistnieniem jakiegoś wspólnie opracowanego ideału artystycznego.“ Czy innemi słowy literaci mają wprzód naradzić się wspólnie i wytknąć sobie pewien z góry obmyślany ideał artystyczny a potem brać w ręce pióra? Czy mają założyć spółkę w celu eksploatacyi idei społecznej? Eksperyment taki byłby chybionym, bo musiałby się zacząć od bankructwa duchowego spólników. Jedynym wypadkiem podobnym był związek kilku francuzkich realistów pod laską Zoli, a jedynym jego owocem „Soirées de Medun“. Lecz spółka się rozbiła naturalnym biegiem rzeczy; Maupassant i Huysmans poszli odrębnemi drogami. Nie mogło być inaczej. Ideałów artystycznych nie potrzeba opracowywać; one tkwią w prądzie przenikającym społeczeństwo, lecz należy je odczuć, jeżeli autor ma dotrzymać kroku postępowi i ucieleśnić je zgodnie z sobą. Pisarze nie grupują się sami, lecz grupuje ich traf i historya literatury. Pomijam tu dekadentów francuzkich, gdyż składają się oni z wyrobników literackich, a poeci jak Beaudelaire lub Verlaine postępowali swą drogą samopas, nadając naśladowcom kamerton, lecz nie troszcząc się o uradzone w kawiarni formułki. Zresztą nawet to grono drugorzędnych artystów rozbiło się na rozliczne cząstki: na instrumentalistów, neo-katolików, symbolistów i innych „istów“, którzy wsławili się na przeciąg jednego wieczoru.

Żadną miarą nie podobno sie zgodzić na zdanie, że „kopalnie pomysłów niezużytych i tematów świeżych zostały prawie wyczerpane do dna“, że nie ukazują się dziś na powierzchni życia społecznego rozmaite kwestye bardzo żywotne“, że wreszcie nasi wielcy powieściopisarze dla tego zwrócili się do epok uciśnionych, bo „doświadczenie, chociażby największe, prędko się wyczerpuje“.

Podejmując najprzód ten ostatni punkt wyznać muszę, że zwrot kilku naszych powieściopisarzy ku tematom historycznym przypisuję powodzeniu Sienkiewiczowskiej trylogii i wynikłemu ztąd rozmiłowaniu się czytającej publiczności w romansach z dawnych czasów, a nie wyczerpaniu się doświadczenia tychże autorów. Pod doświadczeniem nie rozumie zapewne p. G. sumy popełnionych w życiu błędów, lecz owe rzeczywiste doświadczenie, które dwudziestoletni człowiek posiadać może w daleko wyższym stopniu od ośmiedziesiątletniego starca — ów życiowy instynkt, który kieruje ludzkiemi krokami. Ten instynkt, ta pełnia życia, jest bardzo cenną dla powieściopisarza, bo zawiera w sobie całą siłę twórczą, lecz dla tego właśnie przymiera, zanika tylko z obniżeniem się tej pełni życia. A zatem doświadczenia ma autor tyle, ile ma życia. Pisarz historyczny tak samo jak współczesny posługuje się swem doświadczeniem osobistem. Wprawdzie Prus nie widział na oczy starożytnych Egipcyan ani pomiędzy nimi nie żył, lecz widział ich oczyma swej duszy i żył między nimi, dzięki swej intuicyi i sile twórczej. Nie potrzeba być na śmierć skazanym, aby doskonale uprzytomnić ostatnie chwile skazańca. Sienkiewicz właśnie tyle zdobył doświadczenia na dworze Nerona ile autor X. w więzieniu. Istotne zdarzenie, opisane w powieści, może się wydać zupełnie nieprawdziwem a nawet nieprawdopodobnem, a zupełnie fikcyjna scena realną, bo nie chodzi o to, aby autor doświadczył czegoś na sobie, lecz by umiał dzięki pełni życia czy sile twórczej wcielić się w tę scenę i przejąć nią. Twórczość artystyczna jest jedna, jedyna; koncepcya Petroniusza rodzi się w głowie autora w absolutnie identyczny sposób, jak np. kucharki Małgorzaty, którą widujemy od dzieciństwa.

Gdy mowa o doświadczeniach, nieodzownie staje przed oczyma Zola. A jego karyera dowodzi, że doświadczenie jest niewyczerpalnem, gdyż nawet autor, który podejmuje przed napisaniem powieści studya, źródeł tych ma więcej, niż zużytkować jest w możności. Zresztą, pomimo, że Zola doświadczał sam życia w kopalniach, nikt nie powie, że to źródło wyczerpał. Czy autor posługuje się dokumentami ludzkiemi, czy archiwami, jest zupełnie obojętną rzeczą. — Prawda w powieści jest kwestyą ustroju duchowego, kwestyą siły twórczej, „kwestyą stylu“.

Nie lękam się wcale, aby kiedykolwiek kopalnie pomysłów miały się wyczerpać. Gdyby to mogło nastąpić, to z pewnością dawno już nie byłoby powieści. Ściśle biorąc, tematów niezużytych wcale nie ma! wszystko już było. Lecz kopalnia pomysłów to nie mina złota, z której tylko pewną ilość kruszczu da się wydobyć; jest ona tak wielką, bogatą i nieskończoną, jak życie, przetwarzające się w coraz to inne formy. Idąc dalej, istnieje jeden tylko temat — życie, zawsze to samo, a zawsze inne. Stare pomysły przeto będą zawsze nowe, bo *„si duo faciunt idem non est idem“*, bo opracowała je jednostka i umysł, jaki dotąd nie istniał. A oko pewnego pisarza nietylko eo ipso widzi rzecz pewną inaczej, lecz musi widzieć inaczej, bo ona, nie zmieniając się chociażby wcale, stoi dziś w innej proporcyi do otoczenia jak jutro i inną odgrywa rolę w różnych epokach cywilizacyjnych. Gdy p. Gryf radzi autorom zawiesić pióra na kółku i „poczekać trochę, zanim nowe zboża dojrzeją“, to wygląda to tak, jakby kazał ustać życiu na pewien czas. Tymczasem gdy zboże nie dojrzało jeszcze, autorowie piszą poprostu o niedojrzałem, a byle tylko umieli pisać dobrze, to spełnią swą powinność.

Nawet na brak „kwestyi“ uskarża się p. Gryf, a zaiste dostrzegam ich tyle, że aż mnie mrówie przechodzi. Sądziłbym, że czem życie staje się więcej skomplikowanem, tem więcej kwestyi wyrasta jak grzybów po deszczu. Lecz dość wskazać na wdzięczną dla nowelisty a jak ocean głęboką kwestyę emancypacyi kobiet, która nie mniej w Polsce „roznamiętnia“ umysły. Jeżeli autorowie dotykają tej materyi trwożliwie, lub nie poruszają wcale, to tłomaczy się tem, że owe „kwestye“ są dla ogółu „strachami“, przed któremi dzieci kryją się pod fartuch matczyny.

Z prawdziwą przyjemnością wyczytuję właśnie w wyżej wspomnianym artykule pana I. Lorentowicza, że znany redaktor „Prawdy“ w tym samym duchu rozstrzyga pytanie, kto zawinił: autorowie czy wydawcy, twierdząc, że „najmizerniejsza trawka“ ma prawo bytu, a bezstronny krytyk powinien „zająć stanowisko przyrodnika! zamiast ganić i chwalić — określać i tłomaczyć“. Tymczasem nasi krytycy najczęściej wychodzą z fałszywego stanowiska; zamiast zajmować się tem, co autor daje, troszczą się raczej o to, czego nie daje. A robi to wrażenie, jakby krytyk zamawiał sobie powieść autora, a potem wymyślał mu, że tę parę butów odrobił nie według jego gustu, że mu za ciasne lub za wielkie. Aby ocenić pisarza właściwie, trzeba stanąć na jego stanowisku, a nie na własnem; to każdy filister potrafi. Pewien wybitny essayista angielski, Tomasz Wainewight, za jedyne zadanie krytyka uważa zastanowienie się, czy dane dzieło sztuki jest w zgodzie z prawami, które dadzą się z tegoż wyprowadzić, bo — jak powiedział pewien francuzki pisarz — „każdy człowiek formuje teoryę swego talentu“. Ta nasza krytyka zaściankowa nie może chyba być przynętą do literatury dla młodych pisarzy. Zamiast żalić się na „ofiary spekulacyi“ należałoby raczej pociągnąć do odpowiedzialności „uwodzicieli społeczeństwa, handlarzy literatury“.

Nobody.

Ruch kobiecy na ziemi galicyjskiej.

IV.

(Piśmiennictwo i jego adeptki w Galicyi. — Zawcześnie i bez szkół. — Kto pośród kobiet pisze rzeczy naukowe? — Jak pracują uczone kobiety u nas? Prasa i kobiety).

Literatura na naszej ziemi nie może się żalić na to, by była upośledzoną, a na wyżyny jej coraz śmielej i coraz częściej wspina się także kobieta. Warszawa i Królestwo Polskie wogóle ma więcej piszących, ma zatem i więcej kobiet — literatek. — U nas od czasu, gdy śp. Boberska złożyła pióro, najczęściej spotykamy nazwiska następujące: M. Wysłouchowa, A. Machczyńska, J. Sedlaczkówna, Szczęsna (obecnie także się przeniosła do Warszawy). A. Korngutówna, Wodzicka (Teresa z Potockich), W. Niedziałkowska, Lewicka, Kossowska, Mrozowicka, J. Zubrzycka (Strokowa). Lisicka (Anna z hr. Mycielskich), Antonina Gawrońska i Marya Jarmundówna. Prócz tych nazwisk przygodnie zdarzy się spotkać i z innemi, ale dość rzedko. Z najmłodszych adeptek literatury spotykamy od czasu do czasu pedagogiczne i nowelistyczne prace Gergowiczówny. Niejednokrotnie czytając próby pióra niewieściego przychodzi na myśl, że u nas zawcześnie i bez należytych poprzednio studyów pisać zaczynają. Obok tego literatki nasze pracują zwykle na polu pedagogicznem, ztąd rychło się wyczerpują, zapracowują i pomimo błysków, jakie się spostrzega w pierwocinach ich twórczości, szybko gasną i omdlewają. Obok tej ujemnej strony daje się także odczuwać bardzo brak szkół wyższych. Jedynie pensyonaty dają ogólne wykształcenie, a seminaryum specyalne. Szkoły wydziałowe kładą podwalinę do dalszego kształcenia się, do którego wszakże w publicznych instytutach

nie przyszło, gdyż założenie gimnazyów żeńskich jest na razie i jak dotąd w projekcie, aczkolwiek bardzo blizkim urzeczywistnienia. Kraków pierwszy pochlubi się żeńskiem gimnazyum. Jest także zapis 20' tysięcy złr. na taką szkołę w Przemyślu, ale o tem na razie cicho i głucho.

Wracając do kobiet, piszących w Galicyi, zaznaczyć wypada, w jakim dziale która pracuje. Jako wydawczynie i redaktorki pracują od lat kilku Anna Lewicka, Janina Sedlaczkówna, Zofia Mrozowicka i siostra jej Irena, nowelistka, która dostarczyła także scenie hr. Skarbka dwóch obrazków dramatycznych. Pierwsza z wymienionych tu poświęca się wyłącznie literaturze dziecięcej, zwłaszcza w dziale przyrodniczym, druga zaczęła swój zawód pisarski przed laty dziewięciu od następujących biografii dla młodzieży: O życiu i czynach Kościuszki, Dwaj mistrze (Grottger i Szopen), Szymon Konarski, Karol Marcinkowski, Agaton Giller; nastąpiły potem opowieści dla ludu, drukowane przeważnie w „Niedzieli“ i „Gazecie Gdańskiej“, dalej kilkaset powiastek historycznych dla dzieci, potem rozprawki pedagogiczne i „O kwestyi kobiecej“ w „Przedświcie“, wreszcie nowelle i obrazki historyczne. Z. Mrozowicka wydała przed kilkunastu laty zbiorek swych poezyi pod pseudonimem Iry, potem pisała powiastki dla dzieci, które i obecnie najżywiej ją zajmują. Stefania Kossowska dostarcza od kilkunastu lat drobniutkich wierszyków dla dzieci, a napisała ich już prawdopodobnie z tysiączkę. Obok niej pojawiały się nazwiska młodych panien, piszących mniej lub więcej udatne wierszyki, ale te przesunęły się po niebie naszego piśmiennictwa jak meteory: błysły i zgasły. Z tych meteorów dłużej na horyzoncie zatrzymało się imię Eweliny E. (Eulenfeldowej), która pisywała dla pism dziecięcych galicyjskich bardzo udatne i wielce przez dziatwę ulubione wierszyki, pełne humoru i uczucia. Dziatwa deklamuje je dotychczas z przyjemnością a szkoda, że nie stanowią one zbiorku, coby się do ich popularyzowania wielce przyczyniło. A kiedy już jesteśmy przy poezyi, to przedewszystkiem podnieść tu musimy wartość poezyi Szczęsnej. Wiersz jej każdy nieomal ma drogocenny podkład ideowy; to jest jej utworów cechą i zaletą: może w nowelach Szczęsnej czasem ktoś się dopatrzy zbytku egzaltacyi, nam jednakże w tych czasach zalewu materyalistycznego, chłodu a nawet zamrożenia serc — świecą jej utwory światłem poezyi, zapału i serdecznego uczucia. Takich leków nam potrzeba, bo jak mówi de Tocqueville: *„La grande maladie de l'âme, c'est le froid“* (wielką chorobą duszy jest oziębłość). Teresa z Potockich Wodzicka dostarczyła literaturze naukowej 2 tomy „Historyi Polski“ napisane na podstawie bardzo sumiennych badań, z niemałym talentem narracyjnym. Nie mniejszą żywością opowiadania odznacza się jej najświeższa praca, nosząca miano: „Eliza Radziwiłłówna i Wilhelm I“. Drugą, pokrewną poniekąd autorką jest Anna z hr. Mycielskich Lisicka. Jej dzieło „Ze świata muzyki“ stanowi bardzo interesującą i zarazem pouczającą lekturę. Obraca się ona w dziedzinie muzyki, na której się doskonale rozumie, i ze zdrowym krytycyzmem rozpatruje dzieła arcymistrzów i mistrzów muzyki, podaje ich życie i odsłania przed czytelnikiem z ogromną erudycyą tło historyczne, społeczne i polityczne, na którem tem plastyczniej rysują się ich postacie. Razi tylko zbyt częste wtrącanie całych zdań francuskich, niemieckich, angielskich i włoskich. Niezawodnie gdy się temi językami dobrze włada, nasuwa się częstokroć wyborna terminologia lub całe frazesy, ale język ojczysty i czystość jego przedewszystkiem! — O innych autorkach początkujących, lub zbyt mało piszących, nie możemy się rozwodzić, lecz natomiast wspomnieć należy o Maryi Wysłouchowej, która poświęca się przeważnie dziennikarstwu, redagowaniu „Przyjaciela ludu“, oraz tłomaczeniu, zwłaszcza z czeskiego i innych słowiańskich języków. Niezwykły entuzjazm i werwa, bujna fantazya, potoczystość stylu, pamięć bogata, mająca w zapasie setki przykładów dla uzasadnienia każdej obrony lub oskarżenia — oto cechy jej talentu pisarskiego. Nieco pokrewne pracom M. Wysłouchowej są świeżo wydane nowelle Teresy Klemensiewiczowej: „Z męczeńskiego żywota“. Są one arcypesymistyczne, jakkolwiek nie brak im życiowej i psychologicznej prawdy. Nowelle te należą do literatury schyłkowej, działającej deprymująco na umysł czytelnika, przygniatającej zwątpieniem bezgranicznem.

Do pilnych tłomaczek galicyjskich, zwłaszcza w zakresie literatury dramatycznej, należy artystka lwowskiej sceny hr. Skarbka, pani J. Otrębowa. Przekłada głównie z francuskiego bardzo poprawnie. A skoro już o języku francuskim mowa, tedy dodać musimy umiejętnie opracowane podręczniki polsko-francuskie przez Stefanię Wechslerową, która nieustannie sprawom publicznym się poświęcając, w różnych pracuje kierunkach.

Na tem kończymy pierwsze słowo o piszących u nas kobietach, zastrzegając się wszakże, że do kwestyi tej niejednokrotnie powrócimy jeszcze. — Kobietom u nas chęci dobrych nie brak, — a odwaga rośnie i zapał. Dawniej więziły w pamiętnikach lub biurkach swych „uczuć przędzę i swych myśli kwiaty“, dziś śmiało stają na forum publicznem. Ilekroć np. zdarzy się jaka klęska, z której ludzi ratować trzeba, kobiety pierwsze skupiają się jako armia silna w akcyi ratunkowej. Wtedy to pojawiają się obok innych usiłowań także jednodniówki, złożone przeważnie z prac kobiecych, rozsprzedawane na rzecz dotkniętych nieszczęściem pożogi, powodzi, głodu lub nieurodzaju. Taką jednodniówkę swego czasu wydała Czytelnia dla kobiet, a bodaj czy nawet nie zapoczątkowała tego rodzaju wydawnictw w naszym świecie kobiecym: później pojawiła się jednodniówka wydana staraniem Koła pań Towarzystwa Szkoły ludowej w setną rocznicę powstania Kościuszkowskiego, gdzie pośród nazwisk męzkich spotykamy wiersze: Jadwigi z Zubrzyckich Strokowej, bardzo u nas popularnej, niezmordowanej w pracy, utalentowanej poetki i redaktorki „Polskiego ludu“, której wszystkie utwory odznaczają się niezwykłym ogniem patryotyzmu; dalej wiersz okolicznościowy J. Siedlaczkówny, a z prozaicznych prac drobnostkę p. Drzewieckiej i Antoniny z Miłkowskich Gawrońskiej (córki T. T. Jeża). O tej ostatniej jeszcze słów parę. Kierowniczka pensyonatu w Przemyślu, poprzednio mieszkała we Lwowie, gdzie wygłosiła seryę odczytów „o głównych prądach literatury francuskiej“. Wspaniałe te prelekcye później w streszczeniu podawał „Przedświt“. Następny jej odczyt: „O kobietach w powieści współczesnej polskiej“ zamieściła Gazeta lwowska. Pani A. Gawrońska jest laureatką uniwersytetu Zurichskiego, włada świetnie językiem polskim i francuskim i w obydwu tych językach pisze naukowe rozprawy. Pomimo wielkiej erudycyi jest bardzo skromną i pracuje niestrudzenie, cicho w swym zakątku przemyskim. Kształci i wychowuje świetnie dzieci własne oraz powierzone jej uczennice. Działalność jej tedy jest i szeroką i arcyużyteczną. Obyśmy tu setki takich nazwisk mieli do zanotowania.

J. Aleksota.

Salony paryskie 1896.

Rzeźbiarstwo.

Rzeźbiarstwo rozwinąć się, dojść do pewnego rozkwitu może tylko w społeczeństwie o pierwiastku przeważnie indywidualistycznym; zdaje mi się, że wniosek ten można uważać za słuszny, opierając go i na motywach psychologicznych i na dowodach zaczerpiętych z historyi. Czyż nie potrzeba żywiej rozbudzonej indywidualności, by własnem uczuciem i myśleniem ożywić marmur, który zazwyczaj mniej a przynajmniej ciszej zdaje się do nas mówić niż obraz jakikolwiek mający potężny język barw na usługi swoje? — Grecy, naród o wybitnym popędzie indywidualistycznym rozwinęli wspaniałe rzeźbiarstwo, toż samo Włochy w czasach odrodzenia, które tem wielkie były, że rozbudziły indywidualizm do samodzielnej pracy myśli i czucia, i dziś najwyżej stoi rzeźbiarstwo we Francyi, w tym kraju najswobodniejszego rozwijania się jednostek.

Wiele na ten temat możnaby mówić, roztrząsając psychologiczną treść rzeźbiarstwa — temat nadający się do szczegółowego opracowania — mnie tu dosyć było potrącić go tylko, zanim przejdę do krótkiego przeglądu francuskiego rzeźbiarstwa, o ile ono reprezentowane jest w tegorocznych salonach.

Nie ma, zdaje się, przedmiotu, czy to ze świata ciał, czy idei, któregoby Francuzi w rzeźbie przedstawić i opanować nie zdołali, — takie wrażenie wynosi się z salonów. Nie wynika ztąd, by wszystkie marmury czy gipsy, które tam znajdujemy, były dziełami bez zarzutu, lecz wśród tysiąca robót w obydwóch salonach na *Champs Elysées i Champ de Mars* znajdujemy arcydzieła rozwięzujące zwycięzko najtrudniejsze problemy sztuki rzeźbiarskiej. Choć nie ma już dziś Pradierów, Houdonów i Rudeów, są za to rzeźbiarze jak Lefevre, Laroche, Bertrand, Hengul i tylu innych. Nie brak tam marmurów wiernie kopiujących ciało ludzkie o najróżniejszych pozach, o najróżniejszem napięciu muszkułów, od zupełnego martwego spokoju aż do najżywszego ruchu, nie brak ciał żywych, w których zewnętrzne piękno walczy o lepsze z wyrażeniem wewnętrznej myśli, nie brak w końcu i grup o prawdziwie dramatycznych akcentach.

Ten młody żołnierz E. Peynota, który w boju „pro patria“ życie postradał, jakże widocznie już śmierci stał się ofiarą. Muszkuły zwiędłe osłabły, marmurowe członki stężały raz na zawsze i uśmiech bolesny zamarł na wargach; mimowoli przypomina się ten sławny na łonie Menelausa obwisły Patroklos nieznajomego starożytnego mistrza. Równie dobrą jak ten żołnierz Peynota jest Mattona dziewczynka, która w słodkiem farniente ułożyła się do sennego spokoju. Tam życie uszło na zawsze ustępując śmierci, — tu tli życie pod osłoną chwilowej nieruchomości.

Od zupełnej nieruchomości przejdźmy do powolnego, niepewnego ruchu, wyrażonego znakomicie w grupie G. Michela „l'aveugle et le paralytique“. Niósł ślepy kulawego, — jakże powoli a ostrożnie on stąpa ten żebrak o równie poczciwej i sympatycznej twarzy jak ten, który mu się na plecach umieścił. Grupa już tematem samym mogłaby łatwo wpaść w niesmaczny, uliczny rodzaj, a jednak utrzymał ją artysta na odpowiedniej wyżynie.

Przykładem najszybszego, błyskawicznego niemal ruchu, najwyższego napięcia muszkułów niech będą 2 grupy: „walka“ Lambeaux i „bieg“ Richera. Pierwsza, dwaj chłopcy trzymający się silnie w pas, jeden

drugiego przewrócić, pokonać usiłujący, tem zasługują na uwagę, że każdy z nich w następnej zaraz chwili jednym ruchem zmieni pozycyę ciała całego i każdego muszkułu.

Zbliżona zadaniem do tejże jest grupa Richera, w której dał nam mistrz trzech młodzieńców biegnących na wyścigi a w pracy swej złożył tem większe dowody talentu, obserwacyi i owładnięcia materyału, że w każdem ciele z osobna wyraził natężony bieg, dając przecież każde w innej fazie ruchu i broniąc się tem samem od monotonności. Nadmienić tu wypada, że obiedwie te grupy są na razie tylko modelami w gipsie, obrobione w marmurze, zyskałyby odpowiednio na precyzyi i wyrazie, podnosząc, delikatne akcenta, którebyby wartość dzieła tem więcej uwydatniły, a które z natury rzeczy w gipsie poczęści zaniknąć musiały.

Jeżeli wspomniane wyżej prace zastanawiały nas śmiałością zadania i zwycięskiem wywiązaniem się z tegoż, to prawdziwą ucztą dla miłośnika piękna będzie obserwacya tych wszystkich marmurów, które za model wzięły sobie to, co zazwyczaj — słusznie czy niesłusznie — uważamy za ostatni wyraz piękna: ciało kobiece. Te wszystkie Zuzanny, Flory, Bacchantki itd. tyle mają w sobie piękna, wdzięku i wiosny, ile tylko kwiat świeży i dziewczę młode mieć mogą. A przecież jak różna treść i znaczenie nie mal każdej z nich. Od modlitwy i ekstazy dziecięcej przez pierwsze dreszcze miłości, do Wenery i Bacchantki — ileż tam stanów psychicznych i subtelnych odcieni. — Mimo, że tak wiele tam tych pięknych ciał kobiecych, nie ma przecież w nich szablonu, bo treść ich nie leży w samej tylko kopii fizycznego piękna, lecz w pięknie różnego nastroju duchowego.

Prześliczny bas — relief I. Bertranda, zatytułowany „en priere“ przypomina miękkością rysunku, delikatnością linii, a w końcu tem zupełnem owładnięciem zewnętrznej techniki na korzyść wewnętrznego duchowego wyrazu sławną Cecylię Donatella. Niewinność, czystość, jakieś wprost Boskie tchnienie wieje z tej marmurowej rzeźby. Zbliżony myślą i mistrzowską robotą jest gip Peyre'a „ekstaza dziecięca“, przy którym nie wiedzieć, na co więcej zwrócić uwagę, czy na tę wewnętrzną ekstazę, czy też na zupełnie zewnętrzną stronę, mianowicie na wykonanie koszulki, która z największą naturalnością przylega do ciała jeszcze niezupełnie rozwiniętego. — Nie mogę z osobna zatrzymywać się nad Desceata oburzonią Zuzanną, Matheta rozkwitłą Florą, Gontaut-Birona rytmem i powiewnością zachwycającą Bacchantką, nadmieniam tylko, że nigdzie siła ekspressyi nie doszła do tej wyrazistości, jaką wlał Jespers w popiersie zatytułowane „non“. Twarz młodej kobiety, o rysach regularnych a ostrych, o ściągniętych brwiach z taką stanowczością wymawia swoje „nie“, że trzebaby być bardzo śmiałym, by po tak niedwuznacznej odpowiedzi powtórzyć własne żądanie wobec tej uosobionej, urągającej negacyi.

G. Michel, ten sam, o którego grupie „ślepy i paralityk“ już mówiliśmy, wystawił jeszcze allegoryczną „Myśl“. Wszelkie takie allegorye to zadania, przy których rzeźbiarzy często talent i twórczość zawodzi. Trzeba było być Michałem Aniołem, by wykuć „Noc“, „Wieczór itd. Wiemy natomiast jak marnie wyszedł na swych zamiarach wcielenia siły, sprawiedliwości i innych pojęć niemiecki Begas! Michel nie upadł pod brzemieniem zadania. „Myśl“ jego to młoda kobieta, siedząca w poważnej pozie i pełnem odzieniu na skromnym tronie, — pomysł sam dość oryginalny wobec tych, dotychczasowych brodatych i zgrzybiałych starców, którzy „Myśl“ uosabiać mieli, — pomysł oryginalny a szczęśliwy.

Marqueste, — ten, który Kupidynem swym, Galateą i innemi pracami przeszedł już do muzeum de Luxemburg panteonu nowoczesnej sztuki francuskiej, — wystawił tego roku przedziwnym wdziękiem owianą grupę „les premiers pas“. Młoda matka na kamieniu przysiadłszy trzyma przed sobą drobne chłopię chodzić usiłujące; jest w tej grupie mistrzowskie władanie dłutem, ujawniające się w płynności linii twarzy i całego ciała, jako i w obrobieniu lekkiej, w delikatne fałdy układającej się sukni, jest ciepło, prostota i prawda, świadczące, że rzeźbiarz z równą miłością brał się do swego dzieła, jaką wlał w rysy i w całą postac tej matki, niemowlęciem swem zajętej.

Nie mógłbym zamknąć tego krótkiego przeglądu, nie zatrzymawszy się nad grupą J. M. Mengue'a „Kain i Abel“. Temat to często już powtarzany; tragiczna postać Kaina tak wielu zajmowała i zajmuje artystów, że niema prawie wystawy i większego muzeum bez Kaina i Abla. Jeżeli zaś Mengue swoją grupą odniósł nad wszystkimi swymi braćmi w zawodzie zwycięstwo, otrzymując tegoroczny medal pierwszej klasy, to dowiódł tem samem tej starej prawdy, że prawdziwy talent nie w szukaniu oryginalnych pomysłów, lecz w artystycznem obrobieniu, oryginalnem pojęciu, choćby i najstarszych tematów, się ujawnia. Jest w tej grupie prawdziwy dramatyczny akcent przejmujący dreszczem grozy; jest przedewszystkiem o tyle odrębne pojęcie postaci Kaina, że łączy ona w sobie widocznie biblijny strach, niemal już skruchę z byronowską hardością szturmującą niebo; tem wyróżnia się Kain Mengue'a od innych znanych mi grup tego samego motywu, wyobrażających Kaina wyłącznie, czy to w biblijnem, czy w byronowskiem pojęciu. Mengue połączył te dwa wzajem wykluczać się zdające pierwiastki i stworzył tem samem rzeźbę oryginalną o wartości wysoce artystycznej. Jury złożyła dowód głębokiego znawstwa i delikatnego poczucia piękna, wieńcząc tę właśnie pracę pierwszym medalem.

Starałem się w tym krótkim zarysie dać nie tyle krytykę rzeźb w tegorocznych salonach paryskich, ile pojęcie o dzielności i sile francuskiego rzeźbiarstwa. Dla tego nie wspomniałem np. wcale o Basteta „Venus au myrte“, obdarzonej zbyt rubensowską pełnią nóg w stosunku do górnych partyi, nie noszącej przytem piętna Wenery nigdzie tak wyraźnie jak na tabliczce z podpisem; nie wspomniałem o „tancerce“ Falguière'a, która przypominając rysami jednę z najwięcej znanych paryskich artystek scenicznych, tyle hałasu wywołała; nie wspomniałem o Tegnera grupie „la suprématie“, pozującej na głęboką filozofię etyczną, a nie będącej niczem innem jak nieznośną pustą pozą, goniącą za taniemi efektami. — w każdym razie większość tych prac z najzupełniejszą słusznością odniosła medale 2-giej czy 3-ciej klasy, pochwały lub honorowe wzmianki, gdy tymczasem z równą słusznością nie znaleziono żadnego obrazu godnego medalu 1-szej klasy. Jest to wielce harakterystyczną cechą; możnaby o współczesnych malarzach powiedzieć. co niegdyś o Sokratesie jako filozofie powiedziano: że sprowadzili malarstwo z nieba na ziemię, do mieszkań ludzkich. Jest i w tem pewna zasługa, sztuka zyskuje na popularności, ludzie przychodzą do przekonania, że jest ona dla nich a nie dla galeryi i muzeów, ale traci ona tem samem na głębokiej treści, wydaje rzeczy nie tyle wielkie i potężne, ile skończone w technice, ładne i miłe dla oka, — co jednakże nie wystarcza, by miały przetrwać chwilowe wrażenie.

Rzeźbiarstwo już samo przez się nie nadaje się tyle do popularyzowania i dla tego może choć stosunek jego liczebny mniejszy od malarskich okazów w tegorocznych salonach, łatwiej było w niem znaleść dzieło monumentalne.

Stefan Waszyński.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Walka z alkoholem
w Północnej Ameryce.

I.

Badając ekonomiczne stosunki pojedynczych narodów przekonywamy się, że w wielu krajach wydatki na napoje wyskokowe w porównaniu do wydatków na najniezbędniejsze artykuły spożywcze odznaczają się anormalną wysokością. Podług obliczenia dokonanego w Niemczech przypadało w r. 1889 na głowę ludności 4,64 litra wódki, 105,3 litra piwa i 6,44 litra wina; co przy ludności 50 milionowej stanowi wydatek 40 marek na osobę, ogółem zaś oznacza olbrzymią sumę 2 miliardów wydawanych corocznie na gorące napoje. Podług tego samego obliczenia przypadała na głowę konsumcya 7,8 kgr. cukru, 1,72 kgr. ryżu, 13,7 kgr. soli, 2,31 kgr. kawy, 0,19 kgr. kakao, 0,04 kgr. herbaty i 11,25 kgr. nafty, co wszystko razem nie wyniesie jeszcze 20 marek.

To samo spostrzeżenie, że wydatki na picie nie pozostają w odpowiednim stosunku z innemi wydatkami zrobiono także w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki, gdzie w 1889 r. skonsumowano za 329 milionów dolarów mąki, 115 milionów wyrobów bawełnianych, za 90 milionów obuwia, za 70 milionów garderoby, za 70 milionów towarów wełnianych i za 40 milionów książek i gazet. Wobec tych sześciu pozycyi, wynoszących razem 715 milionów dolarów, prezentowało się bardzo pokaźnie, 1,487 milionów wydanych na gorące napoje. W r. 1890, gdy ludność Stanów Zjednoczonych liczyła 50 milionów głów, wynosiła konsumcya napojów wyskokowych 596.276.400 galonów (1 galon 3,785 litra), konsumcya ta podniosła się jednak do 1893 r. na 1,297,731,... galonów, podwoiła się więc z górą, gdy ludność podniosła się w tym okresie zaledwie o 15 milionów głów, a mianowicie do 65 milionów. Wydane przez ludność Stanów Zjednoczonych w r. 1893 na gorące napoje pieniądze obliczają na 1,900—2,000 milionów, suma, której olbrzymią wysokość pojmiemy dopiero wtenczas należycie, jeżeli zważymy, że w tym samym roku wartość zbioru pszenicy, żyta i owsa we wszystkich stanach Unii wynosiła 1,173 miliony dolarów, oraz że wszystkie koleje żelazne kraju przy ogólnym dochodzie 1,200 milionów, osięgnęły zaledwie 358 milionów dolarów czystego zysku.

Spostrzeżenie, że konsumcya gorących napojów w porównaniu z innemi potrzebami wykazuje anormalną wysokość, a obok olbrzymich wydatków pieniężnych pochłania liczne ofiary, przyczynia się do niweczenia szczęścia i życia ludzkiego, że dalej w skutek pijaństwa zwiększa się liczba przestępstw i nędza — obudzić musiało z samej natury rzeczy w sferach ludności, dążących do poprawy obyczajów ruch skierowany przeciwko nadużywaniu gorących napojów. Ruch ten datuje się w Stanach Zjednoczonych od r. 1808, w którym to roku w miejscowości Greenfield w stanie NewYork powstało pierwsze stowarzyszenie wstrzemięźliwości od go-

rących napojów. Stowarzyszenia tego rodzaju rozszerzyły się z czasem po całym cywilizowanym świecie, a pomimo wybryków, jakich się dopuszczają zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki, uważać je należy za urządzenia, pokładające znaczne zasługi około dobra ludzkości.

Podług wzoru z niewielu członków składającego się stowarzyszenia w Greenfield utworzyła się w r. 1826 w Bostonie „American Temperance Union“, która agitacyą swą przeciwko nadużywaniu gorących napojów rozwijała głównie w miastach portowych, gdzie w tych czasach whiskey pomiędzy marynarzami straszliwe czynił spustoszenia. W r. 1842 powstał w New Yorku zakon „synów wstrzemięźliwości“ (Sons of Temperance) dzielący się dzisiaj na cztery związki narodowe, z których jeden obrał sobie Amerykę Północną za widownię swej działalnosci, gdy inne w W. Brytanii, Irlandyi i Australii wojują przeciwko pijaństwu. Północno-amerykański związek liczy od 60 do 70,000 członków. W dziesięć lat później powstał również w Nowym Yorku „Niezależny zakon dobrych Templaryuszów (independant Order of Good Templars), który zapożyczył swej nazwy od rycerskiego zakonu Templaryuszów. Członkowie tego zakonu poświęcili się walce z alkoholem, którego wyrobowi, dowozowi i konsumcyi na inne jak przemysłowe, naukowe i lekarskie cele starają się zapobiedz wszelkiemi środkami. Wstępujący do zakonu zobowiązany jest do zupełnego wstrzymywania się od wszelkich napojów wyskokowych. Związek ten naśladuje wolnomularzy, otacza się wobec świata zasłoną tajemnicy, dzieli się na loże, których członkowie noszą oznaki, a poznają się wzajemnie w „świecie“ za pomocą im tylko znanych gestów, znaków i haseł. Zakon ten, który w r. 1883 zakrzewił się także w Niemczech, i w Szlezwigu-Holsztynie, Berlinie, Lipsku i w Szwajcaryi urządził loże, liczy obecnie 403,849 dorosłych członków.

Oprócz tego należy do oddziału młodzieńczego 169,804 członków. Głową zakonu czyli ściślej, „czcigodnym wielkim Templaryuszem loży wszechświatowej“ jest naczelnik indyańskiego szczepu Mohikanów, żyjący w Torruto w Kanadzie lekarz Oronhyatukha. Istnieje oprócz tego w Stanach Zjednoczonych założone w 1848 r. katolickie stowarzyszenie wstrzemięźliwości, z 200,000 członków, oraz utworzony w 1870 roku zakon „Royal Templars of Temperance z 22,165 członkami. Oba te związki domagają się zupełnej wstrzemięźliwosci od alkoholu. Z samej natury rzeczy ruch ten zainteresować także musiał w wysokim stopniu świat kobiecy. Żony przecież i matki najwięcej cierpią w skutek zniszczonego szczęścia rodzinnego, im też najczęściej rzucają się w oczy straszliwe skutki pijaństwa.

Przy cechującej amerykańską kobietę skłonności do czynnego udziału w wszelkim ruchu publicznym, dziwić nikogo nie może powstawanie kobiecych stowarzyszeń wstrzemięźliwości i tak utworzyła się w r. 1874 w Cleveland w stanie Ohio „National Woman's Christian Temperance Union“, licząca dzisiaj 171,344 kobiety jako członków płacących składki i 19,253 mężczyzn jako członków honorowych. W Chicago, głównem siedlisku związku, założono „zbór“, z którego w r. 1893 rozesłano przeszło 270 milionów stronnic druku. Drugi składający się wyłącznie z kobiet i kierowany przez kobiety związek założony został w r. 1890 również w Cleveland w stanie Ohio. Jak głosi jego nazwa — Non Partisan National Womans's Christian Temperance Union — surowo jest wzbronione wszelkie mieszanie jego dążeń, skierowanych wyłącznie ku propagandzie wstrzemięźliwości ze sprawami konfesyjnemi i politycznemi.

Pomimo młodego swego wieku związek ten liczy już dzisiaj 475 filii i blisko 8000 członków. Od narodowego chrześciańskiego kobiecego stowarzyszenia wstrzemięźliwości w Chicago oddzielił się w r. 1883 inny związek pod nazwą „World's Woman Christian Temperance Union“, mający na celu rozszerzyć się po całym świecie. Z głównej swej kwatery, znajdującej się również w „zborze“ w Chicago wysyła ten związek od lat kilku kobiecych mówców wędrownych do wszystkich narodów, celem propagowania wstrzemięźliwości. Służyć ku temu celowi ma projekt skłonienia za pomocą olbrzymiej petycyi, podpisanej przez poddanych wszystkich państw, głów panujących całego świata, aby potężny swój wpływ rzuciły na szalę walki przeciwko alkoholowi. Olbrzymia ta petycya, zaopatrzona już w kilka milionów podpisów w najrozmaitszych językach i alfabetach wystawiona została ubiegłej jesieni w Waszyngtonie na widok publiczny i przedstawiona prezydentowi Clevelandowi. Zeszyte z sobą kartki wykazywały razem długość kilku kilometrów a wypełniały pięć olbrzymich skrzyń. W lecie bieżącego roku petycya ta ma być przedstawiona panującym europejskim. Wynika z tego, że stowarzyszenia wstrzemięźliwości stały się w Ameryce potęgą, oraz że kobietom amerykańskim zawdzięczają te stowarzyszenia znaczną część swych korzyści.

ODEZWA
w kwestyi statystyki studyów kobiecych.

Ruch kobiecy w kierunku wyższych studyów datuje od lat przeszło trzydziestu; w okresie tym kobiety stopniowo uzyskały prawo wstępu do 5-ciu uniwersytetów szwajcarskich, dwóch francuzkich (Paryż i Montpellier) oraz do wszechnicy brukselskiej. Od r. 1866, tj. od czasu, gdy po raz pierwszy spotykamy nazwisko studentki w spisach uniwersytetu zürichskiego, w samej Szwajcaryi przeszło 1,600 kobiet ukończyło lub prowadzi jeszcze studya. Na tle tej liczby, w skład której wchodzą przedstawicielki prawie wszystkich narodowości europejskich, Polki wydzielają się grupą, wynoszącą blisko 12% całości. Wartość względna tego stosunku okaże się zresztą znacznie wyższą, gdy weźmiemy pod uwagę, że dążenie kobiet do studyów uniwersyteckich opóźniło się u nas prawie o dziesięć lat w porównaniu do innych krajów. Wprawdzie pierwsza studentka Polka ukazała się już w r. 1870—71, ale właściwy ruch w tym kierunku rozpoczyna się dopiero w latach 1876—77.

Dwadzieścia lat upływa od tego czasu. Ruch, który w początkach istnienia liczył w swych szeregach zaledwie jednostki, mimo przeszkód, stawianych mu przez opinię, mimo trudności, wynikających ztąd, iż nauki trzeba było szukać na dalekiej obczyźnie, rozwijał się powoli lecz stale, wzrastając liczebnie i z biegiem lat nabierając w coraz to wyższym stopniu cech ciągłości. Cechy te stwierdza przedewszystkiem fakt, iż coroczny napływ nowych studentek znacznie przewyższa ilość czy to kończących, czy to przerywających studya. Wytrzymawszy próbę przeciwności i czasu, ruch kobiecy u nas w jego stadyum obecnem może już z kolei stać się probierzem teoryi, sprzyjających lub przeciwnych równouprawnieniu kobiet na polu pracy naukowej. Dziś, gdy jego historya znaną jest zaledwie w swych najogólniejszych zarysach, głosy „za“ i „przeciw“ opierają się tylko na mniej lub więcej gołosłownych twierdzeniach. Dokładne zbadanie stanu rzeczy zapobiegłoby skutecznie dyletanckiemu traktowaniu kwestyi; siła faktów zdyskredytowałaby wtedy z konieczności jedne opinie na rzecz drugich i przyczyniła się w znacznej mierze do uproszczenia poglądów.

Oprócz tego względu nasuwa się inny, szerszej natury.

Każde zjawisko jest tylko formą zewnętrzną, w której ujawnia się działanie pewnego kompleksu sił. Ukazanie się nowego zjawiska wskazuje fakt, iż stosunek sił, działających w danym układzie, uległ pewnym zmianom. Stałość zjawiska jest w tym razie miarą stałości i głębokości zmian; jego charakter określa ich naturę.

Dla społeczeństwa nie mogą być obojętnemi zmiany, zachodzące w jego łonie. Nie może ono pomijać milczeniem pytania: jakiem jest ich źródło i zakres i czemu siły, działające dawniej w pewnym kierunku, rzeźbią sobie obecnie inne łożysko. Odpowiedź na to pytanie jest kwestyą świadomości społecznej, świadomość zaś jest owym czynnikiem, który człowiekowi podaje do ręki ostatnie ogniwo przyczynowego łańcucha i pozwala — choć w części — celowo pokierować danem zjawiskiem.

Jest faktem uznanym, iż dążenie naszych kobiet do wyższych studyów fachowych i ogólnych wskazuje głębiej leżące przyczyny i spornie bywa rozstrzyganą tylko kwestya charakteru i doniosłości tych przyczyn. Sądzimy, iż zbadanie zjawiska samego w sobie oraz stwierdzenie jego stosunku do niektórych innych, zachodzących współcześnie, rzuci niejakie światło i na same przyczyny i, jeśli nie wyjaśni ich w całości, to przynajmniej wskaże kierunek, w którym winny być prowadzone dalsze poszukiwania.

W tym celu podejmujemy dziś pracę przeprowadzenia statystyki studyów kobiecych zagranicą. Dostęp do źródeł oficyalnych, jako to: spisy uniwersyteckie, wykazy udzielonych stopni naukowych, w znacznej mierze ułatwia nam zadanie. Ale źródła te grzeszą niekiedy brakiem dokładności równocześnie zaś nie mogą zawierać wszystkich potrzebnych informacyi. Dlatego też niniejszem zwracamy się do wszystkich studentek-Polek, które czy to ukończyły, czy przerwały studya, z prośbą o odpowiedź na następujące pytania:

1. Miejsce pochodzenia.
2. Zajęcie rodziców.
3. Zajęcia przed rozpoczęciem studyów.
4. Stopień przygotowania (patent, studya przygotowawcze samodzielne).
5. Data wstąpienia i wystąpienia.
6. Miejsce studyów.
7. Wydział.
8. Stopień naukowy.
9. Zajęcia po ukończeniu.
19. Przyczyny ew. przerwy w studyach.
11. Stan cywilny (z wzmianką, czy ew. zamążpójście miało miejsce przed, czy po wstąpieniu na uniwersytet).

Z załączonych pytań wynika, że oprócz ilościowego stanu ruchu kobiecego u nas i jego rezultatów bezpośrednich, zamierzamy uwzględnić:

a. jego sferę geograficzną i społeczną (1, 2),
b. stosunek do wykształcenia średniego (4)
c. charakter, wynikający z wzajemnego stosunku studyów fachowych do ogólnych,
d. stosunek do instytucyi rodziny.

Zebranie i usystematyzowanie tych danych pozwoli następnie wyciągnąć z nich wnioski ogólne.

Ufamy, że nasze przedsięwzięcie zainteresuje tych wszystkich, których obchodzi wyjaśnienie tego przyczynku do „kwestyi

kobiecej“ w naszem społeczeństwie; ufamy, że nie odmówią nam swej pomocy te jednostki, które czynny przyjmowały udział w stwarzaniu ruchu emancypacyjnego u nas. To też kończymy wyrazami nadziei, iż odezwa nasza nie pozostanie bez echa.

E- Czyżowska. M. Goldfus. Ż. Bassak.

Odpowiedzi uprasza się nadsyłać pod adresami: M-lle Sophie Bassak, Genève 38 rue de Carouge. M-lle Goldfus, Genève, Université, Laboratoire de Botanique.

Wolne Głosy.

O prawdę.

W sprawie lwowskich korespondencyi naszych pt. „Ruch kobiecy na ziemi galicyjskiej“ otrzymujemy z prośbą o umieszczenie pismo następujące:

Szanowny Redaktorze! Nie zabierałabym głosu w sprawie niesłusznych zarzutów, podniesionych w korespondencyi N-ru 23 „Przeglądu Poznańskiego“ przeciw lwowskiemu Kołu pań Towarzystwa Szkoły ludowej, gdyby nie szkoda, jaką one sprawie samej przynieść mogą. (?? Przyp. Red.) Chorobą, która powstrzymuje każdą żwawszą działalność na polu spraw publicznych jest lenistwo: do niego jednak nikt otwarcie przyznać się nie ma odwagi, szuka zatem tłomaczenia w rodzaju: „Po co mnie tam, wiem, że i tak nic się nie zrobi.“ A powiedziawszy to najpierw dla uniewinnienia swej bezczynności, wmówiwszy w siebie następnie, by ukołysać odzywające się jeszcze poczucie obowiązku, zasypia snem... sprawiedliwego i radby przedrzemać tak życie całe.

Oprócz celu bezpośredniego, zadaniem stowarzyszeń, jak Towarzystwo Szkoły ludowej, bardzo może karygodnem w oczach takich spokojnych jednostek (?? Przyp. Red.), jest przerywać zbyt wygodny spoczynek, budzić z niego i przypominać obowiązki dla kraju i narodowości. To zadanie lwowskie „koło pań“ spełnia ze wszystkich sił, bo stara się objąć jak najszersze koła, korzystając z każdej sposobności, aby przypomnieć się czasopismami, ogłaszając sprawozdania i krzątając się koło budowy samodzielnych szkół (Łukowiec wiśniowski w obecnej chwili), lub też łącząc usiłowania swoje z u iłowaniami całego kraju, (pomoc, jaką niesie dla zebrania funduszów na szkołę w Białej itp.) Gdyby autorka korespondencyi interesowała się dość żywo pracą kobiet w naszej dzielnicy, nie zdradziłaby się niezawodnie z tak grubą nieświadomością, jakiej dowodzą podniesione zarzuty, mając sposobność być zawsze a u courant spraw Koła, które nie otacza ich tajemnicą, bo prosi nawet usilnie o jak najliczniejsze przybywanie na posiedzenia Wydziału w każdy pierwszy piątek miesiąca. Od chwili zawiązania lwowskiego Koła pań, a więc rok piąty odbywają się posiedzenia Wydziału nieodmiennie w każdy piątek między godziną 5 tą a 7-mą i osoby, mające chęć szczerą czy to zapisać się na członka, czy złożyć wkładkę roczną, mają po temu dość sposobności i korzystają z niej skwapliwie. Zapisywać się też można w uproszonych o to pismach handlowych, o czem donosiły dzienniki — oprócz tego Koło zaprasza nietylko członków, ale i szerszą publiczność na kwartalne i walne zgromadzenia. Stale też posiedzenia swoje odbywa i czynności załatwia w lokalu Stowarzyszenia Nauczycielek, uiszczając za to niską opłatę i oszczędzając tem samem znaczną kwotę, jakąby inaczej na lokal oddzielny, tegoż urządzenie, utrzymanie i obsłużenie wydać wypadło, o którą w ten sposób powiększa fundusz, mogący być użyty na cele Towarzystwa. Jestże to grzechem? Co do zarzutu panującego rzekomo w Kole tem nieładu najlepszą odpowiedzią będzie drukujące się właśnie sprawozdanie roczne, które Koło niebawem Szanownej Redakcyi nadeśle. Autorkę zaś korespondencyi prosi gorąco o przybycie na walne zgromadzenie, które lada dzień ogłoszą dzienniki tutejsze — członkowie Koła bowiem nie uważają się bynajmniej za ostatni wyraz doskonałości i rozumu i chętnie korzystają z rad, udzielanych szczerze, o które jednak niestety trudniej niż o gołosłowną krytykę. *M.*

TO I OWO.

Epizod z wojny.

Jedna z większych potyczek hiszpanów z kubańczykami, stoczona d. 11 z. m. w miejscowości San Claudio, zaznaczyła się wypadkiem istotnie tragicznym. Kubański, porucznik Alvarez, spostrzegłszy, że podpułkownik wojska hiszpańskiego, Debos, oddalił się zbytnio od prawego skrzydła sił swoich, pospieszył do niego w towarzystwie dwóch kubańskich szeregowców, w zamiarze wzięcia go do niewoli. Podpułkownik jednak zdążył cofnąć się ku swoim, gdy tymczasem trzej kubańczycy zostali w jednej chwili otoczeni przez żołnierzy hiszpańskich. Pani Alvarez, dzieląca w szeregach jenerała Maceo dolę i niedolę ze swoim mężem, widząc, że zagraża mu śmierć niechybna, rzuciła się bez opamiętania na pomoc. Dwóch jeszcze kubańczyków podążyło za nią. Walczono machetami, tj. krótkiemi pałaszami, używanemi w całej podzwrotnikowej Ameryce dla torowania dróg w dziewiczych lasach. Hiszpanie i kubańczycy skłębili się w krwawem śmiertelnem starciu. Wśród nich odważna kobieta cudów męztwa dokazywała, broniąc swego męża z wściekłością tygrysicy. Ze zdumieniem patrzyli na nią żołnierze. Już czterech kubańczyków legło. Wreszcie herciczym wysiłkiem otworzył Alvares lukę i wołając na żonę, rozgorączkowany walką, oślepiony krwią i potem, zaczął się cofać ku swoim. Gdy jednak stanął w bezpiecznem miejscu, zobaczył, że żony przy nim nie ma. Zginęła waleczna pod ciosami żołnierzy hiszpańskich. Straszną tę wieść przynieśli mu towarzysze. Nieszczęśliwy człowiek jęknął i raptownym ruchem przyłożywszy rewolwer do własnych piersi, wystrzelił. Jenerał Maceo, który widział tę scenę, podszedł do ranionego. — Po coś to uczynił? spytał. — Nie chcę, by mówiono, żem stchórzył, żem opuścił żonę w niebezpieczeństwie. — Proś Boga — rzekł na to słynny dowódzca kubański — by ci śmierć zesłał. Jeżeli bowiem żyć będziesz, zostaniesz powieszony. Potrzeba mi ludzi, którzyby ginęli od kul hiszpańskich, a nie własnych. Zmarnowałeś kulę. Po chwili Alvares skonał.

* * *

Wystawa w roku 1900.

Oddawna się mówi jak o fakcie nieodwołalnie stać się mającym, o międzynarodowej wystawie w Paryżu w r. 1900. Otóż dopiero w połowie czerwca rb. senat zatwierdził projekt rządu francuzkiego co do przygotowania owej wystawy, której koszta są obliczone na 100 milionów franków. Dyskusya nad tą kwestyą zajęła całodzienne posiedzenie senatu, wielu bowiem mówców występowało przeciwko urządzeniu wystawy a zwłaszcza przeciwko urządzeniu jej na tak wielką skalę. Wystawa w r. 1889 kosztowała 40 milionów, dla czegoż więc przyszła ma pochłonąć aż 100 milionów? Na co zwolennicy wystawy, popierając cyfrę postawioną przez rząd, oświadczyli, że Francya jest obowiązaną godnie odpowiedzieć na oczekiwanie całego cywilizowanego świata, zatem każdą z paryzkich wystaw międzynarodowych, powinna urządzać coraz świetniej i w coraz szerszym zakresie.

Kto dostarczy potrzebną sumę 100 milionów? — .0 milionów da państwo, 20 milionów miasto Paryż, a reszta, czyli 60 milionów powinna wpłynąć za bilety wejścia, tymczasowo zaś suma ta zaawansowaną zostanie przez finansowo-przemysłowe syndykaty, tworzące się z powodu przyszłej wystawy i gwarantujące dostarczenie tego funduszu na własne ryzyko. Tak więc rząd i miasto Paryż stoją po za możliwością strat, będących prawdopodobieństwem naprzód przewidywanem przez tworzące się syndykaty, spodziewające się wynagrodzenia swej hojności drogą wywołanego impulsu handlowego. Wystawa w r. 1889 miała wyjątkowe powodzenie, a pomimo to bilety wejścia przyniosły tylko 21 milionów franków, zatem dla uniknięcia deficytu w r. 1900, trzeba, aby wystawę zwiedziło trzy razy więcej osób, bowiem .ena biletów ma pozostać ta sama co wr. 1889, tj. frank „jeden“.

*

Honor oficerski.

Żyjemy — pisze „Wien. Allg. Ztg.“ — w nadzwyczaj wydelikaconych pojęciach o honorze. Przed kilkoma dniami w delegacyi austryackiej poseł Bareuther przytoczył fakt, który zdanie to potwierdza. Pewien oficer armii austryackiej wyjechał za urlopem do swego brata na wieś. Oficer miał zamiłowanie do rolnictwa i bawiąc na wsi, lubił zajmować się oraniem ziemi. Chodzącego za pługiem widział jeden z kolegów pułkowych i doniósł przełożonym. Złożono sąd honorowy, który polecił oficerowi złożyć godność oficerską za to, iż orał.

Z tego powodu odzywa się „Kuryer Przemyski“ jak następuje: „Armia i wszystko, co się w niej dzieje, są dla prasy, „sacra sancta“ w pojęciu naszych ustaw prasowych. Opinii własnej o owem zajściu nie wolno nam wypowiadać; wolno jednak, i to czynimy, sięgnąć myślą w przeszłość i przeciwstawić dzisiejszym pojęciom o honorze wojskowym zapatrywania niedawnych jeszcze czasów.

Dotychczas jeszcze w szkołach obowiązują czytanki, gdzie, chyba nie dla naśladowania, opisano z pietyzmem jak to najwyższy wódz armii austryackiej, cesarz Józef II publicznie orał pługiem tę czarną glebę, co karmi zarówno maluczkich rolników, jak i najwyższą „szarżę“. Cesarz Józef II miał zapatrywania, które, Bogu dzięki, dzisiaj są nam obcemi. Dzisiaj zwykły oficer za taki popis musiał — „kwitować“. Reakcyoniści, którzy nie umieją cenić honoru ludzkiego, niechaj sobie pielgrzymują do starożytnego Rzymu i radują się wspomnieniami o niejakim Cyncynacie. Lutius Quintius Cincinatus — ów zardzewiały inwentarz szkolnych wypisów, — niechajby dziękował Opatrzności, iż nie kazała mu urodzić się dzisiaj w Austryi. Nie zrobiłby pewnie takiej karyery, jak ongi w Rzymie. Miałby się spyszna stary wódz, gdyby mu przyszło stosować się do modnego pojęcia o honorze!

Wiadomo bowiem, jak nieprzyzwoicie zachowywał się ów Cincinatus i jak niebywale czajnie deptał honor rzymskiego sztandaru. Rozmaite zajścia złożyły się na to, że prosty ten chłop rzymski. dziwnym sposobem

awansował na najwyższego wodza armii. Jako taki bił nieprzyjaciół i prowadził ich pod jarzmo. Ale nie mógł oczyścić się z plebejuszowstwa, albowiem po wojnie wracał do rodzinnej zagrody i bezwstydnie sam orał swe pola. Charakterystyką niskiego poziomu pojęć o honorze u starożytnych Rzymian jest właśnie okoliczność, iż Cyncynatowi nie odebrano wojskowej godności. A jeszcze dziwniej, iż dzisiejsi pedagogowie austryaccy stawiają go za przykład w czytankach dla dzieci. Takiego prostaka, co śmiał orać ziemię! Fe! Pług jest wprawdzie najgłówniejszem narzędziem dla zdobycia chleba, — ale jest narzędziem krzywdzącem honor szanującego się oficera. Jeżeli oficer ma już zamiłowanie do gospodarki rolnej, to niechaj raczej odda się hodowli koni: to jest zajęcie honorowe.

Mamy przytem i totalizatora, czego pługowi braknie. Wprawdzie i totalizator niejednemu oficerowi przyniósł utratę szarży; no, ale przynajmniej nie bezpośrednio. I to pociecha. A zresztą — dość o tej sprawie. Mamy wszakże tylu, co zasługują na to, iżby szli przed pługiem, że co nas tam obchodzi nieszczęście jednego, który ośmielił się za pługiem kroczyć!“

Na Wyłomie.

(Symptomy trwogi. — Zamęt. — Frazesy polityczne).

Dawno już w atmosferze poznańskiej nie odczuwałem tyle niepokoju, co w obecnej chwili. Oczy błądzą szukając czegoś, jakieś drżenie idzie przez tłumy, wszystko bada, pyta i jutra szuka z przestrachem. — Tak przed burzą krążą jaskółki, tak liście drzew grają nerwowo, gdy chmura kryje błękity i pomruk gromów bije z oddali. I cóż dziwnego? Lata całe mówiono nam cicho i głośno, że tej znękanej ziemi zaświeci słońce cesarskie i ludzie wyciągali ręce do pięknej fatamorgany, którą kuglarze polityki naszej ulepili z orderowych błyskotek i czarujących obietnic. Lata całe to trwało i naród pieścił się tem bawidełkiem, a w duszy jego gasł zwolna bunt i siła, co sobie ufa, nie innym. Nagle wiatr powiał, wstrząsnął raz i drugi gromadą rozmarzonych dzieci, i kraj zrozumiał, że tam na firmamencie nie ma blasków przedświtu, jeno noc i burza. A im dłużej w mrok się wpatrywał, tem gęstszą stawała się ciemność i silniej grało chmur łono. Dziś nikt już nie wątpi, że finałową sceną wielkiej komedyi „ugody“ stał się ucisk spotęgowany, wgryzający się w żywe mięso na wszystkich punktach społecznego organizmu. Nasamprzód ozwało się smutne fiasco w polityce szkólnej, — później z wyżyn rządowych wysunęła się ręka błogosławiąca hordę Hakatystów, — następnie zaczęła się naganka na stowarzyszenia polskie i zgrzytła sprawa sokolskiego zlotu, — wreszcie przemówiły Witaszyce w akompanjamencie potwornej nienawiści germańskiej. — Nie wesoły bilans ugody, — zaczyna się nowy Bismarckowski taniec i nikt się już dzisiaj nie łudzi prócz ślepców Kuryerowej barwy, którym żadna sztuka lekarska wzroku nie przywróci.

Krążą przed burzą jaskółki, lecz ten niepokój strwożonogo ptactwa inne ma jeszcze przyczyny. Starzy sternicy tępieją lub umierają, rozpoczyna się szukanie sił nowych i nagle spostrzegamy, że się nawzajem nie znamy. Ludzie macają po ciemku, chwytają na oślep wybrańców swoich, wskazują tu i tam i lęk mają w duszach. Egoizm dotychczasowej oligarchii tak pilnie czuwał, by obok dawnych firm żadna nowa się nie ukazała, i tak zręcznie dusił każdy silniejszy indywidualizm, każdy talent, każdą aspiracyę do wyniesienia się ponad tłumy szare, że dziś mamy przed sobą jakąś wielką, nieubłaganym strychulcem dokładnie wyrównaną masę, wśród której może znajduje się ten i ów wybitniejszy umysł, lecz któż go odnajdzie! A w takich warunkach nic łatwiejszego, jak błędny wybór uczynić; niech tylko zjawi się efektowny rycerz pozorów i wyzyska chwilę, a pewnym być może zwycięstwa.

Sytuacya staje się tem krytyczniejszą, że nietylko toczy się ku nam ze świtą gromów i błyskawic nawałnica germańska, lecz wewnątrz coś się przewraca, coś kotłuje i dąży do nowych form życia. Zażegnać tej burzy nie można, tak jak nikt nie powstrzyma narodzin wiosny lub wstrząśnień planetarnych, wytwarzających często odmienne kształty istnienia. Wielkiego ruchu demokratycznego, który z nieubłaganą konsekwencyą zdąża do stanowczych przeobrażeń społecznych, żaden czarnoksiężnik spętać już nie zdoła, lecz łudzić się również nie wolno, że obrońcy starego porządku uchylą czoła bez walki przed koniecznością rozwojową i zawiesiwszy stare zbroje w muzealnych gabinetach, gdzie tęsknie dumać nikt im nie zabrania, przykroją umysły swoje i dążenia do nowych form życia. Zdawałoby się, że mistrzyni życia, historya, powinna być najnajskuteczniejszą wskazówką, że takich przełomowych, warunkami kultury i ekonomii podyktowanych bojów, żadnym egzorcyzmem zażegnać nie można, a przecież pojawiają się u nas bezustannie jacyś deklamatorzy i wyklinają „duchy niezgody“ lub podniósłszy rękę, prawią o pogodzeniu poważnionych stronnictw, o nakryciu wszystkich kontrastów kapeluszem solidarności i o tysiącach podobnych czarnoksięzkich czynów. Prawdą a Bogiem wszystko to dźwięczy jakąś rajską melodyą i nie dziwiłbym się wcale, gdyby jaki smakosz tanich oklasków z pucharem w ręku i w bankietowym nastroju rzucił fajerwerk taki rozczulonym współbiesiadnikom. Nie dziwiłbym się również, gdyby w w chwilach wielkich patryotycznych uniesień, na sali w girlandy przybranej, gdy tłum upić się pragnie potęgą momentu, ktoś takiem płomiennem „Kochajmy się“ próbował zgłuszyć na kilka godzin społeczne antogonizmy, — lecz u nas błyskotliwa retoryka tak silnie wpiła się w dusze ludzkie, że nawet tam, gdzie grono „poważnych“ polityków przy drzwiach zamkniętych radzi nad budową programów, sprężynami publicznego życia, prądami chwili, powtarza się ten piękny frazes o czarownej harmonii społecznej, o zbrataniu wszystkich klas i stronnictw i zaklęciu całego kraju w jakieś Elizium zgody i miłości. „Kochajmy się na bankietach“ i „Kochajmy się“ w polityce, — tak budujemy przyszłość i tumanimy bezkrytycznych słuchaczy, upojeni własnym frazesem.

Nie myślę przeczyć, że zaprowadzenie jakiegoś „modus vivendi“ między skłóconemi prądami doby obecnej jest wobec wspólnego wroga nietylko pożądanem, lecz możliwem do urzeczywistnienia. Zdaje mi się jednak, że to królestwo liryzmu politycznego, który nie widząc głębokich podstaw nowego ruchu i płynącej z niego konieczności walki, wszystko kładzie na karb jakichś przelotnych duchów niezgody, jakichś chwilowych nieporozumień i osobistych uprzedzeń, — prowadzi tylko to zmącenia pojęć w społeczeństwie naszem. Niech się nikomu nie zdaje, że jakąś cudowną modlitwą odżegna burzę i sklei zerwane ogniwa, — ten bój, który od lat kilku wre na ziemi naszej trwać będzie, bo trwać musi i prędzej czy później skończy się waszą kapitutacyą, obrońcy starego porządku, maroderzy stulecia! *Sulla.*

KRONIKA LITERACKA

Wydawnictwo groszowe imienia Tadeusza Kościuszki puściło w świat sześć nowych książeczek z działu dotychczas w piśmiennictwie popularnem najbardziej zaniedbanego, a mianowicie z hygieny. Autorem tych cennych broszurek (a nader tanich, bo po 3 ct.) jest dr. O. Bujwid, profesor hygieny przy Wszechnicy Jagiellońskiej.

W pierwszym dziełku, p. t. „O przyczynach i zapobieganiu chorobom zaraźliwym“ tłómaczy autor w bardzo zrozumiały sposób istotę zarazków czyli bakteryi w ogóle, nieco więcej mówi o zarazkach suchot, tyfusu, cholery, szkarlatyny, ospy, wąglika. Następnie podaje, w jaki sposób te zarazki dostają się do organizmu ludzkiego, jak się tam rozwijają i wywołują chorobę, wyjaśnia istotę szczepienia niektórych chorób, jak ospy, wścieklizny i wreszcie kreśli sposoby ustrzeżenia się przed chorobami zakaźnemi.

W książeczce drugiej „Jakie pokarmy i napoje są najzdrowsze“ omawia najpierw skład chemiczny ciała ludzkiego, aby tym sposobem uzasadnić potrzebę różnorakich pokarmów, zawierających w sobie rozmaite pierwiastki, podaje następnie, w jakiej ilości poszczególne pokarmy powinny być użyte i jak mają być przyrządzone, aby jak najwięcej sił i zdrowia przysporzyć naszemu ciału. — Nader cenne są uwagi o żywieniu dzieci, a szczególniej niemowląt i matek je karmiących. Niemniejszej wagi są wskazówki o żywieniu się dorosłych, przy czem znakomity hygienista podaje zestawienia kolacyi, obiadów itp. (obiady w cenie od 12 do 25 ct.) najodpowiedniejszych dla zdrowia.

Następne książeczki: „Jak należy urządzić pomieszkanie, aby uniknąć chorób“, „O tytoniu i napojach alkoholowych“, „Jak otrzymać dobrą wodę do picia. Znaczenie wodociągów i kanałów“ już tytułami swymi mówią o swej treści. — W ostatniem dziełku p. t.: „Pierwsza pomoc w nagłych wypadkach zachorowania“ znajdujemy rady i wskazówki o udzieleniu pomocy przy skaleczeniach, złamaniach, utonięciu, zaczadzeniu, otruciu i t. p.

Broszurki te zasługują na jak największe rozpowszechnienie nie tylko wśród ludu, ale nawet i inteligencyi, a szczególniej wśród mieszkańców miast gdzie stosunki zdrowotne wiele pozostawiają do życzenia.

Cena sześciu książeczek 18 ct., z przesyłką 22 ct.

Adres „Wydawnictwa groszowego“ brzmi: Lwów, ul. Ormiańska 2.

* * *

* Nr. 6 „Przeglądu literackiego“ wyszedł i zawiera: A. N. Mickiewicz przez K. Bartoszewicza. „Janka“ Zapolskiej przez Kaźm. Zdziechowskiego. „Pierwsza miłość“ Konara p. Antola Krzyżanowskiego. Sewera „Biedronie“ p. K. Bartoszewicza. „Zielony kajet“ Gomulickiego i „Jedynaczka“ Lemianowicza p. R. Zawilińskiego. „Starzy i młodzi“ Sewera p. M. Offmańskiego. Vrchlicky'ego przekład „Dziadów“, Czarnika „Korzeniowski“ i Studzińskiego „Geneza utworów Szaszkiewicza“ przez J. T. Tretiaka. „Lysistrata“ Koźmiana p. Z. Samolewicza. „Historya lit. pols.“ Maryana z nad Dniepru p. K. Wojciechowskiego. Kalinki „3 maj.“ p. A. Chmiela. Jelinka „Spolecnosti a ustawy polské“ p. F. Konecznego, Steckiego „Wspomnienia“ p. K. Bart. Lisieckiej „Ze świata muzyki“ p. Ludwika Glatmana. Krceka „Szkolnictwo czeskie“ p. Bart. X. Bukowskiego „Pamiętnik Zjazdu Kateche-

tów“ p. X. Fijałka. Doleżana „Moralność a śmiertelność“ p. C. Bibliografia czasopism polskich. Przekłady z Polskiego i rzeczy polskie w obcej literaturze. Wiadomości literackie. Nekrologia. Pogadanki w Związku literackim.

* * *

* Wiktor Gomulicki. „Do niej i do niego“. Pogadanki na temat małżeństwa. Warszawa. Paprocki 1894. 10-o str. 80.

W pierwszej części tych swoich pogadanek zwraca się autor najprzód do panny „na wydaniu“, a potem do kawalera, pragnącego się ożenić, wykazując, jak błędnemi są pojęcia o małżeństwie, którym większość ludzi, zabierających się do tego stanu, hołduje. W drugiej połowie broszury zbija zarzuty korespondentek, które protestują przeciwko pesymistycznym autora zapatrywaniom na płeć piękną. Mężczyźni, jakkolwiek w pogadankach swych G. odmalował ich czarno, połknęli pigułkę bez protestu. Listy „emancypantek“, „tych, które mogą zostać żonami“ i innych oponentek dają obfity materyał autorowi nietylko do poważnej obrony swych poglądów i spostrzeżeń, ale i do gorzkiej satyry, która też nieraz ukrywa się pod lekką formą pogadanek autora.

* * *

* Kaz. Laskowski. Żydzi przy pracy. Notatki wieśniaka. Warszawa, 1896, str. 89.

Autor widocznie pozazdrościł Junoszy wawrzynów i zapragnął odtworzyć kilka typów żydowskich ze wsi i z miasteczek. Czuć to przynajmniej z pewnej dozy humoru, z jakim swe postacie opisuje; lecz nadzieja go zawiodła, bo szkice te nie mają szczególnych cech artyzmu, a są raczej robotą dziennikarza, usiłującego przeprowadzić pewną tendencyę. W rzeczy samej, autor przyznaje się w końcu książki, że miał na celu popchnąć „ogół społeczny“ do przeciwdziałania „kultowi takiej pracy“, jaką uprawiają żydzi prowincyonalni. Realnych cech jego postaciom nie braknie; są one dostatecznie prawdziwe i mogą zająć czytelnika, miewającego z niemi styczność w życiu codziennem. Autor wystawia typy handlarza zbożem, faktora, lichwiarza, cyrulika, przemytnika i sklepikarza. Typy te autor uposażył jednak w takie barwy, że można podziwiać raczej naiwność ofiar, niż przebiegłość synów Izraela.

* * *

* Władysław Nowicki. „Na letniem mieszkaniu.“ Z 20-ma ilustracyami Jana Wasilewskiego. Str. 190. Cena rs. 1,35.

Teresa Jadwiga. „Szlachetne serca, trzy powieści dla młodzieży.“ Str. 110. Cena kop. 80.

Zbigniew Kamiński. „Cyrkiel i ekierka, początkowe wiadomości z geometryi.“ Z 26-ma figurami w tekście. Stron 110. Cena kop. 80.

Trzy książki powyższe, zalecane przez wydawcę na wakacye tegoroczne, stanowią dalszy szereg wydawnictw młodej względnie firmy M. A. Wizbeka, która w ostatnim roku dość żywo zaznaczyła swą działalność na polu wydawniczem.

„Na letniem mieszkaniu“ — jest opowiadaniem o pobycie dzieci miejskich na wsi, gdzie pod kierunkiem rodziców zaznajamiają się z życiem wsi, szczegółami gospodarstwa wiejskiego, narzędziami rolnika, warsztatami wiejskiemi itp. Jest to niejako nauka poglądowa o wsi, udzielana na tle przechadzek, przygód i zabaw, jakich dzieci nasze używają podczas pobytu na wsi. Bardzo ładne rysunki mile dopełniają opowiadanie, nadając książce charakter zupełnie swojski. To wyróżnia ją bardzo korzystnie od wielu podobnych opowiadań, tłómaczonych z języków obcych i ozdobionych obcemi kliszami.

„Szlachetne serca“ zawierają powiastki nieco tkliwe, ale tchnące, jak zawsze u p. Teresy Jadwigi, wielką dobrocią. W pierwszej przedstawioną jest młoda córka doktora, opiekująca się dwojgiem chorych dzieci biedaków. Jako wzór filantropii dla ludzi zamożnych powiastka jest na miejscu, lecz dziwnie wygląda w niej na końcu ustęp o szlachetnych sercach, które pamiętają o biednych nieszczęśliwych, zwrócony do chłopca biedaka.

W powiastce „Niekochana“ widzimy obrazek rodziny, gdzie jedna z sióstr uważa się za nielubianą przez matkę i drugą siostrę i dopiero wypadek tonięcia pokazuje jej, że się myliła.

W ostatniem opowiadaniu młody chłopiec po śmierci ojca zostaje opiekunem rodzeństwa, pomaga mu kształcić się wyżej i sam pracą i nauką wybija się na wyższe stanowisko.

Obiedwie powyższe książki, przedewszystkiem zaś „Na letniem mieszkaniu“ stanowić mogą pożyteczną rozrywkę dla dziatwy.

„Cyrkiel i ekierka“ jest książeczką ściśle pedagogiczną, zawierającą elementarne pojęcia figur geometrycznych i ich własności, wyłożone w zadaniach. Jeszcze przed 10-ciu laty p. S. Dikszta jn zwrócił u nas uwagę na zaniedbanie w kursie elementarnym z dziećmi nauki geometryi i napisał odpowiedni podręcznik („Geometrya w zadaniach.“) Do tamtej przybywa obecnie książka p. Kamińskiego, ułożona systematycznie i stanowiąca dość wykończoną całość. Postawilibyśmy jej wszakże dwa zarzuty: po pierwsze zbyt jest teoretyczną, zbyt mało uwzględnia praktyczne zastosowanie geometryi w życiu codziennem; powtóre zaś jako podręcznik, jest może za ładnie wydaną, a więc za drogą. W każdym razie „Cyrkiel i ekierka“ w znacznym stopniu ułatwią niewprawnemu nauczycielowi wprowadzenie geometryi do kursu nauk z dziećmi w wieku przedszkolnym. *M. B.*

* * *

* Teatr amatorski. Wydawnictwo Gebethnera i Wolffa.

W dalszym ciągu ukazały się w tym szeregu dwie książeczki: „Nasze bziki“, farsa w jednej odsłonie przez Henryka Piątkowskiego, oraz „Mankiet“, fraszka sceniczna przez Edw. Lubowskiego, grana po raz pierwszy w Warszawie na korzyść rodziny po ś. p. Adolfie Ostrowskim.

ODEZWA.

Od redakcyi „Ziarna“ (Lwów) otrzymujemy z prośbą o umieszczenie odezwę następującą:

Zgon śp. Emilii Sczanieckiej wywołał żal szczery i uznanie powszechne dla jej obywatelskich zasług. Wyrażając wszakże to uznanie, opieraliśmy się wszyscy na jedynym, o ile nam wiadomo, opracowanym materyale w tej mierze przez zacną śp. Felicyę z Wasilewskich Boberską w broszurze: „O polkach, które się szczególnie zasłużyły Ojczyznie w powstaniu listopadowem“. A chociaż materyał to opracowany gruntownie, na podstawie starannie zebranych informacyi i z tem zrozumieniem charakteru i dążności śp. Emilii, które dać może jedynie wspólność przekonań i pracy dla jednego celu, jednak sam tytuł wskazuje, że nie był to właściwy życiorys.

W broszurze pamiątkowej wydanej obecnie staraniem redakcyi „Gońca Wielkopolskiego“ podano opis pogrzebu śp. Sczanieckiej, jej ostatnią wolę i bardzo zajmujący szereg faktów cechujących wzniosły jej charakter, zaznaczając słusznie iż na opracowanie życiorysu potrzeba dłuższego czasu, a praca to tem trudniejsza, że śp. Emilia „rzadko o sobie mówiła, a pisać nie pozwalała“. Pamięć więc jej czynów tradycyą tylko z pokolenia w pokolenie przechodzi.

Otóż tradycyę tę zebrać i utrwalić drukiem, ku nauce młodych pokoleń, pragnie redakcya „Ziarna“ i dla tego zwraca się z uprzejmą prośbą, o łaskawe dostarczenie jej materyałów tak do Szanownej Rodziny śp. Emilii Sczanieckiej, jak i do Wszystkich, którzy są świadomi prac i działalności Zmarłej na polu narodowem, społecznem, dobroczynności i stowarzyszeniowego życia. Szczegóły odnoszące się do organizowanych przez nią stowarzyszeń kobiecych w celach patryotycznych, ujawnić mogą nawet niejeden przyczynek do historyi naszego narodu, a zawsze stanowić będą bardzo ważne dane do charakterystyki obywatelskiej działalności Polek i urabiania ich charakterów i poglądów pod wpływem miłości ku Ojczyznie. Pożądane są nam materyały różnorodne: fakta, wspomnienia, charakterystyczne czyny i słowa Zmarłej. Listy jej samej, o niej i do niej, sprawozdania i ustawy stowarzyszeń, lub wiadomość o nich. Naturalnie wszelkie dokumenta udzielone najstaranniej zwróconemi będą.

Mamy nadzieję, że uznanie dla zasług wielkiej Patryotki, oraz wzgląd na potęgę przykładu i pożytek wypływający ze zgłębienia wielkich i zacnych charakterów, skłoni osoby posiadające dane do życiorysu śp. Emilii Sczanieckiej do nadesłania ich nam łaskawie pod następującym adresem.

Redakcya Ziarna we Lwowie (Galicya).

KRONIKA POWSZECHNA.

Teatr i muzyka. W niektórych pismach warszawskich i krakowskich pojawiła się wiadomość, że rada nadzorcza teatru poznańskiego postanowiła powierzyć dyrekcyę panu Edmundowi Rygierowi, znakomitemu artyście teatru krakowskiego. Z wiarogodnego źródła dowiadujemy się, że sprawa znajduje się dopiero w pierwszej fazie rozwoju, — życzyćby jednak wypadało, aby pertraktacye osięgły skutek pożądany i na czele sceny naszej stanął człowiek, którego talent, fachowość i charakter stanowią gwarancyę, że teatr nasz dźwignie się nareszcie z upadku. — Herman Sudermann napisał trzy jednoaktówki, z których każda stanowi osobną całość, wszystkie jednak związane są z sobą ideą przewodnią. Rzecz pierwszej dzieje się w czasach bajecznych, drugiej w czasach historycznych, trzeciej w naszych czasach. Nowość ta przedstawiona będzie w „Deutsches Theater“. — Znana i u nas z gościnnych występów śpiewaczka p. Czosnowska, opuściła warszawski „Teatr mały“ i zaangażowała się do moskiewskiego „Ermitażu“. — Zygmunt Sarnecki napisał nową sztukę teatralną p. t. „Cud — dziewica“. Na scenie krakowskiej utwor ten będzie wystawionym w sezonie jesiennym.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Franciszkowi S. Zanim udzielimy dokładnych informacyi, prosimy nam donieść, gdzie te dukaty z czasów Jana Kaźmierza są bite: czy w Toruniu, czy w Gdańsku, czy w Elblągu. Prosimy również o doniesienie z którego roku pochodzą. Wtedy dopiero oznaczyć możemy w przybliżeniu wartość monet.

Czytelnikowi z Torunia. Arnauci to turecka nazwa Albańczyków. Identyfikowanie ich z cyganami jest błędnem. Radzimy przeczytać dzieła Schwiekera i Potta o cyganach.

Sylwan. Nie mamy ani obowiązku ani czasu aby „dokładnie uzasadniać“, dla czego ten i ów utwór nadesłany redakcyi nie kwalifikuje się do druku. Jesteśmy zawsze gotowi służyć radą i wskazówkami abonentom naszym, nie należy jednak żądać za wiele. Gdybyśmy o każdej z odrzuconych nowel lub poezyi podawali autorom wyczerpujące oceny, wykazywali wszystkie błędy i zalety, podawali „projekty zmian i przeróbek“, nie starczyłoby nam zaiste czasu na redagowanie pisma.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winlewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28

Nr. 27. Poznań, niedziela 5-go lipca 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: ul. Wilhelmowska 28.
(Drukarnia J. Fr. Tomaszewskiego.)

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Wilhelmowska 28, **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

TREŚĆ.

Po zlocie Sokołów w Krakowie.

Kraków 30 czerwca.

Skończył się generalny egzamin Sokolstwa polskiego w Krakowie, a — powiedzmy to z góry i bez zastrzeżeń — gimnastycy nasi wyśli zwycięzko z próby ogniowej. Widzieliśmy rutynowanych „Turnerów“ niemieckich, witających żywemi oznakami zadowolenia popisy polskich Sokołów, a z loży generalicyi krakowskiej, z panem Albiorim na czele, odzywały się grzmiące oklaski w obec imponującej zręczności, precyzyi i siły ćwiczeń na boisku. W górze zaś, na wieży, stał w czerwonej koszuli, z trąbką w ręku, naczelnik związkowy Antoni Durski, i śląc swe komendy w niziny, z dumą spoglądał na dzieło, które jego jest głównie dziecięciem. W takich chwilach ludzie chętnie wstecz się cofają pamięcią, i oto jeden z osiwiałych druhów, zapatrzony w twórcę sokolstwa polskiego, tak mówił do nas: Gdy przed 25 laty człowiek ten zaczął na lwowskim bruku apostołować ideę sokolstwa, i szerząc kult ćwiczeń fizycznych, wołał bezustannie, że tylko w zdrowem ciele zdrowy duch mieszkać może, to ludzie spoglądali na niego jak na awanturnika i maniaka. Poważni obywatele nie chcieli przyznawać się do jego znajomości, inni traktowali go z lekceważeniem, wzruszając ramionami, a on nieugięty z najwyższem poświęceniem i zaparciem porzucił karyerę naukową i całe życie swoje w sokolstwie umieścił. Jakże dumnym być może ten człowiek spoglądając dzisiaj na dzieło swoje, na te tysiące mundurowych druhów, na to boisko rojne, na ten wspaniały popis siły i zręczności. Wiara jego, zapał i wytrwałość cudów dokazała, — czem Jahn dla Niemców, tem Durski stał się dla Polaków.

Tak mówił do nas jeden z najstarszych gimnastyków polskich. Siwizna posrebrzyła mu włosy, zmarszczki poorały czoło, a on silny i młody stąpał w szeregu, stawał do ćwiczeń i zadziwiał zręcznością swoją. Nasi gimnastycy poznańscy spoglądali z zazdrością na tego starca i na mnóstwo innych głów siwych, bielących się na boisku, bo u nas niestety przekonanie o doniosłości ćwiczeń cielesnych i korzystnym ich wpływie na organizm fizyczny i moralny człowieka jeszcze za mało owładnęło społeczeństwem, by starsze generacye w Sokołów zamienić. Nasze Sokoły to młodzież, i tylko wyjątkowo ukazuje się w ich szeregach człowiek w dojrzalszym wieku, choć, jak słusznie zauważył jeden z mówców zlotowych, sokolstwo jest owem cudownem źródłem odmłodzenia, o którem mówią stare legendy.

I co głównie zadziwiało w zlocie krakowskim, co mianowicie podziw budziło w niemieckich „Turnerach“, to owa powaga, karność i ład manifestujący się nietylko na boisku w zastępach ćwiczących, lecz w wielkim pochodzie mundurowych druhów przez ulice podwawelskiego grodu. Przeszło 2000 Sokołów stanęło w szeregach, łączyło się i rozwijało w wzorowym porządku, — zdawało się, że te z przeróżnych stron napływające szeregi są wielką maszyną, którą w ruch wprawia jedna sprężyna. Wszystkie kółka funkcyonowały prawidłowo, nigdzie ambarasu, nigdzie opieszałości, lub zamieszania, każda komenda w mgnieniu oka w czyn się zamieniała. Obawiano się, że na rynku krakowskim, gdy długa linja pochodowa łamać się zaczęła w kolumny, stające frontem do Maryackiego kościoła i czekające na sztandary swoje, nastąpi jakie powikłanie lub zamęt, — lecz i tu dzięki dokładnym planom, kierownictwu naczelnemu i rutynie poszczególnych naczelników żaden hufiec nie zmylił szyków przepisanych. Porównując ten wzorowy porządek sokolskich pochodów i ćwiczeń z generalnemi zjazdami niemieckich Turnerów, wstydzić się nie mamy powodu. Gimnastycy germańscy przewyższają nas niewątpliwie liczbą i doskonałością swych ćwiczeń przyrządowych, lecz w ich pochodach króluje „deutsche Gemütlichkeit“ a rozstawieniu i wolnym ćwiczeniom brak tej sprężystości i zdumiewającej precyzyi, która cechuje sokolstwo polskie. Nie wdajemy się tu w krytykę drobnych usterek, których oczywiście i na zlocie krakowskim nie brakło, pozostawiając ściślejszą ocenę fachowym organom gimnastycznym, — to jednak bez przesady przyznać musimy, że igrzyska niedzielne i poniedziałkowe były nową etapą w rozwoju sokolstwa i szeregiem świetnych dowodów jego rozkwitu.

Jedno tylko w tym zlocie najświeższym nieco przykre na wszystkich przybyszach wywierało wrażenie, — dziwna obojętność, niemal chłód miejscowej publiczności. Ten gród podwawelski tak często spogląda na różne kongresy i uroczyste obchody, że zobojętniał i zastygł w zimnej rutynie. Napływowe żywioły wnosiły entuzyazm, — sam Kraków pozostał chłodnym. Zaledwie jedna ulica przybrała się w odświętne szaty, zaledwie gdzieniegdzie padały kwiaty pod nogi sokołów, zaledwie tu i owdzie brzmiał oderwany okrzyk radości i zapału. Lwów inaczej wita swoich gości, — to czuli wszyscy uczestnicy zlotu.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że sokolstwo zaboru pruskiego iść nie może z Galicyą w zawody, i jasnem jest, że sierpniowe igrzyska w Poznaniu będą zaledwie miniaturą krakowskiego zlotu. To przekonanie wyrażamy jednak już dzisiaj, że miasto nasze serdecznie, z zapałem i miłością witać będzie dziarskie drużyny, składając tem samem dowód, że oceniać zaczyna należycie doniosłość zasady: „W zdrowem ciele zdrowy duch“.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Uwięzienie Piotra Chmielowskiego. Do „Nowej Reformy“ piszą z Warszawy:

„Z uczuciem żywego zadowolenia pospieszam wam donieść, że Piotr Chmielowski został 19 bm. po sześciodniowem uwięzieniu wypuszczony na wolność. Sledztwo wykazało najzupełniejszą niewinność aresztowanego, wskutek czego władze żandarmskie nie czyniły przeszkód w uwolnieniu więźnia, którego aresztowanie wywołało tak wielkie wrażenie i tak powszechną panikę w Warszawie.

Dziś gdy nie tajną jest nikomu sprawa, która aresztowanie Chmielowskiego spowodowała, zdumiewać się istotnie przychodzi, jak błachych potrzeba żandarmom tutejszym poszlak, aby podjąć śledztwo, rewizyę i aresztowanie. Uwięzienie Piotra Chmielowskie-

go zarządzone zostało wskutek doniesienia i na rekwizycyę żandarmów w Lublinie, którzy przejęli list pisany przez jednę z uczennic p. Swołyńskiej do siostry w Lublinie. W liście tym uczennica donosiła między innemi szczegół: „gdyby żandarmi wiedzieli, co tutaj u nas wykłada Chmielowski, to i nas i jego zamkniętoby w cytadeli.“

List zawierający takie zdanie pensyonarki, był dla żandarmów zupełnie wystarczającym dowodem winy. Warszawska żandarmerya zna dokładnie lojalność i cichą, mrówczą pracę Chmielowskiego, który władzy nigdy nie dał powodu do dochodzeń i znany jest ze swego spokojnego i rozważnego postępowania, była jednak zmuszoną rozpocząć śledztwo, a znanej gorliwości żandarmskiej przypisać należy, że chociaż przy rewizyi żadnych zgoła kompromitujących ani podejrzanych papierów nie znaleziono — znakomitego uczonego naszego aresztowano i w cytadeli osadzono.“ (Fałszem więc było doniesienie organu ugodowców stańczykowskich, że Chmielowskiego wcale nie osadzono w cytadeli. „Czas“ widocznie chciał w ten sposób zmieszyć wrażenie, wywołane aresztowaniem Chmielowskiego. Przyp. Red.)

* * *

Proces polityczny. W „Gazecie Toruńskiej“ czytamy:

„Pod nagłówkiem „Polskie Towarzystwa pod pruską policyą“ rozpisuje się „Katolik“ w kilkułamowym artykule o procesie, który toczył się w poniedziałek przed Izbą karną w Bytomiu. Chodziło o to, czy policya ma prawo uważać Towarzystwo przemysłowców w Katowicach za polityczne. Przewodniczący Towarzystwa p. Lewandowski odmawiał policyi informacyi, jakich ona ma prawo żądać od politycznych Towarzystw i skutkiem tego skazany został przez sąd ławników na 100 marek kary i koszta. Izba karna po ciekawych rozprawach, z których zdaje sprawę „Katolik“, odrzuciła rewizyą. Jako świadkowie stawali burmistrz Kosch i komisarz policyjny Ludwik. Z zeznań ich podajemy najcharakterystyczniejsze:

W Towarzystwie omawiano rzeczy, które szerzą przeciwieństwo do „panującego narodu i języka“. Świadek przytoczył jeszcze kilka szczegółów, z których dla niego wynika, że Towarzystwo jest polityczne. Otóż przewodniczący p. L. i inni członkowie kazali się przy spisie ludności zapisać jako Polacy, chociaż nie są nimi, jak p. Kosch twierdzi. P. Kosch żałował, że to dopiero później spostrzegł i już nie mógł zbadać którzy z członków oświadczyli się przy spisie ludności za polską narodowością. Przewodniczący pisze w pismach do policyi zawsze „Katowice“ (zamiast „Kattowitz), Zając (zamiast Zajonz), Moczygęba (zamiast Motschigemba) i ma stosunki z Polakami w Krakowie, Poznaniu, Wrocławiu itd.

Na końcu zeznał p. Kosch, że on sam nigdy na wyżej wymienionych zebraniach nie był, nie zna języka polskiego i wszystko, co tu zeznał, wie li tylko z opowiadań swych urzędników.

Komisarz policyi Ludwik odwołał się na akta i „berychty“, przyznając, że nie zna dobrze języka „wysoko-polskiej mowy“, nawet nie mówi dobrze zwyczajną gwarą, więc miał na posiedzeniach przybocznego policyanta, o którym sądzi, że zna polską mowę.

Po świetnej obronie ze strony adwokata i oskarżonego, który oświadczył, że Towarzystwo jest niewinne, za jedyną zbrodnią jego w oczach policyi uważa on używanie języka polskiego przy obradach, zawyrokował sąd, że apelacya została odrzuconą. Dyrektor sądu Stelle uzasadnił wyrok tak:

Nie ulega wątpliwości, że towarzystwo ma na celu wielkopolskie dążności i że zajmowało się sprawami publicznemi. Obchód 3 maja jest czynem politycznym. Tymczasem są tutaj Niemcy i Prusacy, a nie Polacy, więc czyn oskarżonego uważa sąd za sprzeciwianie się powadze prawa, co powinno być surowo karane. P. Stelle żałował, że nie można za to przekroczenie p. L. wyżej ukarać.

* * *

Wojna księży z „Katolikiem“. W bytomskim „Katoliku“ czytamy:

„Nowy kwartał się zbliża, — więc też znowu w niektórych parafiach kwitnie agitacya przeciw „Katolikowi“. Wydawnictwo nowej gazety rozesłało zachętę do księży, ażeby popierali przedsiębiorstwo. Gdyby tylko to czyniono, „Katolik“ niczby nie powiedział, bo każdemu wolno zalecać gazetę, jaką chce. Lecz niektórzy księża idą dalej i z miejsc poświęconych występują przeciwko „Katolikowi“, wojując bardzo nieoględnemi słowami. Skutkiem tego zmuszają „Katolika“, że w obronie swojej głos czy sam, czy przez korespondentów zabiera. Co z tego wzajemnego zwalczania wyniknie, niech spadnie na tych, którzy nam spokoju nie dadzą.“

* * *

Barnum-Koźmian. W „Kuryerze Lwowskim“ czytamy:

„Pomówimy dzisiaj o mistrzach reklamy. Amerykanie mieli w tym zakresie znakomitość w Barnumie, głośnym właścicielu menażeryi i muzeum osobliwości, i my mamy w p. Koźmianie, który znów ze swoją... czelnością w reklamowaniu samego siebie, sam zasługuje na umieszczenie w muzeum osobliwości. Książka jego o roku 1863, pod względem literackim bez wartości, bo napisana nudno a stylem niedbałym, pozbawiona śladu nawet krytycyzmu, bo składa się z poprzepisywanych dosłownie artykułów i korespondencyi „Czasu“, jak to udowodnił K. Bartoszewicz, spotyka się z oceną najrozmaitszych pism obcych; przeważnie niemieckich. Dzieje się to w sposób bardzo prosty. P. Koźmian ma zawsze w zapasie kilka entuzyastycznych recenzyi własnego dzieła; owóż skoro się zjawi jakiś wiedeński półliterat, potrzebujący protekcyi możnej kliki Koźmianowskiej, autor „Roku 1863“ daje mu jeden z zapasowych feljetonów, każe go podpisać, lub co najwyżej przetłumaczyć i umieścić, w którem z usłużnych pism wiedeńskich. A potem powtarza się zjawisko, na które już Bismark podczas powstania zwrócił uwagę. Powiedział on razu mianowicie, że to dziwne, iż wszystkie telegramy przesadne o zwycięztwach powstańców, są na przemian podpisywane „Koźmian“

JÓZEF PELADAN.

Walka byków.[1]

Było to w jedną z tych lipcowych niedzieli, gdy zawieszenie codziennej pracy wespół ze skwarnem gorącem atmosfery, przemienia Langwedocyę w krainę Wschodu.

Ciemno lazurowe niebo, jednolitej barwy, bez cieniów i chmur, rozciągało się tak olbrzymie, sztywne nowością welum, ponad jaskrawą wyspą miasta, martwo cichego w blaskach palącego je słońca.

Od kamieniami wyłożonych ulic, od murów domostw odbijało się światło, a we wgłębieniu bram, gdzie trochę kryło się cienia, leżały dyszące psy, zmęczone dusznością i ogniem południa.

Kolejno na wszystkich zegarach miasta Tyfonii[2]) wybiła godzina pierwsza, godzina odpoczynku po ukończeniu śniadania, w której mieszkańcy, chroniąc się w najchłodniejsze zakątki swych siedzib, oddają się powolnemu trawieniu. Lecz oto co chwila poczynają się ukazywać na ulicach miasta odświętnie przybrane postacie robotników, drobnych przemysłowców, dążąc wszystkie w jednym kierunku. Ludzie ci byli weseli i raźni, pomimo nurzącego upału. Nawoływali się wzajemnie, rozprawiali gestykulując i w miejscowem narzeczu wrzeszczeli na całe gardło: «Niech żyją byki!»

Ze wszystkich ulic ludność spływała na szeroki bulwar otaczający miasto. Coraz gęściej i gwarniej wytaczały się na bulwar nowe gromadki ludzi. Stare kobiety, starcy wiodący dziatwę, całe rodziny, pensyonaty. Tłum ten dążył jakby na obchód jakiegoś święta narodowego lub regaty.

Od strony dworca kolei żelaznej nadciągnął tłum nowy, złożony z przybyszów z okolicy a nawet ze stron dalszych, mieli oni przez ramiona przewieszone torby lub lornetki. Miejscowi mieszkańcy spoglądali na nich z promieniejącą dumą, pysznili się, że Tyfonia przyciągnęła tak liczny zastęp obcoprzybyszów.

Falujące morze ludzkie zatrzymywało się w biegu wzdłuż murów olbrzymiego amfiteatru i drżało z niecierpliwości przed zamkniętemi jego bramami, jakby z obawy, czy ławy rzymskiego cyrku, mocno zbudowanego na pomieszczenie dwudziestu tysięcy widzów, obejmą cisnących się barbarzyńców.

Nieco na stronie stał młody, smukły brunet w białem letniem ubraniu i patrzał na zwiększające się zbiegowisko. Zdawał się liczyć przybywających i nie spuszczając oczu zapatrzonych w ludzką zgraję, mówił coś głosem zdławionym, urywanym, a słuchający go towarzysz, wiekiem młodszy i życzliwy tłumowi, powstrzymywał go i hamował.

— Czego żądać można, czego się spodziewać, jaką ideją natchnąć te zbydlęciałe istoty? Nic oni lepszego dać nie mogą. Czy słyszysz, Marestanie? .. nic.

— Mylisz się... mają namiętne żądze, więc gwałtownych potrzebują widowisk... barbarzyńskich, jak je nazywasz... lecz patrząc na nie, zaostrzają się sami do walki... a walka ta szlachetne może mieć cele... Każda kraina ma swoje obyczaje; poczekaj, sam zobaczysz, wszak nie znasz i nie wiesz, ile jest tragizmu i ile jest plastycznego piękna w walce byków.

— Jesteś poetą, mój kochany. Zamiast myśleć, odczuwasz... albo też jesteś ciasnym prowansalskim patryotą.

Brunet strofujący w ten sposób swego towarzysza, miał łagodne wielkie oczy o powiekach w poważne ujętych linie; czarne włosy wiły mu się obficie na głowie, dokoła policzków i brody; mógł mieć lat dwadzieścia i pięć, lecz moralnie znacznie był dojrzalszy. Zakres jakości umysłowej tworzy odmienne stopniowanie ludzi, aniżeli ich wiek i lata. Patrzał on na zbiegły tłum, nie widząc malowniczości tego widoku, lecz obliczając i ważąc jego siłę, marnie w danym wypadku nagromadzoną, żywą, potężną, lecz bezcelową, jak katarakta spływająca z szczytu i nieujęta w karby regulujące energię.

Towarzysz jego był prawie gołowąsy

---

[1]) Utwór powyższy jest wyjątkiem z większego dzieła pt: „La decadence latine.“

[2]) Tyfonia, o ile się zdaje, ma oznaczać według myśli autora, miasto Nimes.

albo „Stanisław“. Owoż tak samo teraz, skoro pojawi się w którem z pism, np. wiedeńskich, sforsowana tak recenzya „Roku 1863“, do pism konserwatywnych w Galicyi lecą telegramy, podpisywane albo „Stanisław“, jeśli pismo nie jest czysto stańczykowskie, albo wprost już otwarcie „Koźmian“, jeśli dziennik jest miłym sercu jego. Nazajutrz telegramy ukazując się w druku, robią wrażenie „dreszczu radości“, jaki przechodzi prasę polską na widok powodzenia p. Koźmiana.

Powód do tych uwag dała nam świeżo w „N. W. Tageblacie“ zamieszczona ponowna recenzya książki Koźmianowskiej, niewątpliwie takie samo jak dawne źródło mająca. Przy tej sposobności przypominamy parę jaskrawych tego rodzaju faktów tutejszy organ lenderbankowski np. onego czasu zamieścił wielofejletonową recenzyę pamfletu Koźmiana, w sposób poprostu bezczelny palącą kadzidła dla jego „geniuszu“. Dla przyzwoitości firmę tej recenzyi dał pewien młody adwokat, potrzebujący protekcyi, a łaknący karyery, tak, że dla niej zrobił nawet „interes z religiią“. W rzeczywistości jednak recenzya nietylko była duchową własnością Koźmiana, lecz w trzech czwartych napisana była własną jego ręką!

Albo pamiętne jest oburzenie, jakie się objawiło w społeczeństwie ukazaniem się falsyfikatu „Lisystraty“ aristofanesoskiej, dokonanego przez Koźmiana. Słuszność przyznać każe, iż ze względów moralności najostrzej go atakowali jezuici. W obronie Koźmiana nieśmiało stawał „Czas“, a namiętnie pewne pisemko humorystyczne we Lwowie, gdzie się pojawiały zjadliwe „Listy Marceliny do Figara“, wielbiące Koźmiana, a chłoszczące jezuitów.

Po tem, cośmy dotychczas powiedzieli, czytelnicy się nie zdziwią, jeśli odkryjemy tajemnicę, że listy te pisał — sam Koźmian!

To się nazywa usilnie pracować nad swoją sławą literacką!“

—*ski.*

Strejk robotników petersburskich.

O wielkim strejku robotników petersburskich podaje wiedeńska „Arbeiter Zeitung“ uwagi godny artykuł, który tutaj powtarzamy: „Okropna katastrofa na polu Chodyńskiem nie minęła bez śladu dla rozwoju świadomości klasowej proletaryatu rosyjskiego. Dała ona nietylko potężny impuls do zniszczenia wkorzenionego w głowach tłumu, niedorzecznego wyobrażenia o „carze chłopskim“, wyobrażenia w ostatnich lat dziesiątkach tak troskliwie, pielęgnowanego przez obrońców istniejącego ładu politycznego lecz przyspieszyła także pośród bardziej rozwiniętej części robotników rosyjskich wybuch istniejącego już powszechnego, choć instyktowego niezadowolenia ze swego położenia ekonomicznego. Wymownym dowodem podnoszącego się buntu przeciw niewoli ekonomicznej i politycznej pracującego ludu jest strejk masowy robotników we wszystkich rękodzielniach petersburskich. Tylko dwie firmy, znajdujące się na Wyborgskiej, nie biorą udziału w strejku.

Według ostatnich, zupełnie wiarogodnych wiadomości, jakieśmy otrzymali do robotników rosyjskich d. 21 bm., strejk trwa już drugi tydzień, a bierze w nim udział daleko więcej jak 30,000 robotników; powodem strejku było to, że przez policyę i przez fabrykantów robotnicy byli zmuszeni świętować całe trzy dni podczas koronacyi carskiej, by w ten sposób paradzie dworskiej nadać charakter uroczystości ludowej. Później jednak, gdy za patryotyzm trzeba było zapłacić, okazali się fabrykanci bardzo słabymi patryotami, gdyż oświadczyli robotnikom, że za przymusowe bezrobocie podczas koronacyi nie zapłacą im ani kopiejki.

Wobec istniejącego już niezadowolenia robotników, ta podła odmowa płacy wywołała burzę protestów, a w dalszej konsekwencyi strejk tysięcy robotników petersburskich.

Pomyślcie, co to znaczy: strejk w Rosyi! W Rosyi, gdzie brak wszelkiej swobody słowa, gdzie nie ma prawa zgromadzeń, gdzie prawo stowarzyszeń jest rzeczą nieznaną, gdzie ucisk policyjny i samowola rządów są nierównie większe i różnorodniejsze, niż na zachodzie. Niewątpliwie musieli organizatorowie robotników we wszystkich krajach europejskich cierpieć liczne prześladowania ze strony władz; ale przewodnicy proletaryatu rosyjskiego na każdym kroku stoją jedną nogą w jaskini zbójeckiej, która się nazywa twierdzą Piotropawłowską i przy każdem usiłowaniu o poprawę losu swych towarzyszy muszą mieć przed oczyma perspektywę Sybiru.

Petersburski strejk masowy jest jednak zdarzeniem o znaczeniu historycznem i inauguruje nowy rozdział w rozwoju Rosyi. Rosyjski proletaryat przemysłowy wstępuje po raz pierwszy na scenę ze swemi własnemi, samodzielnemi żądaniami i celami! po raz pierwszy szeroka warstwa robotników prowadzi tu świadomie, z pewnym planem, walkę o płacę. Tym sposobem rosyjski ruch socyalistyczny z dziedziny teoryi politycznej występuje na grunt praktycznej walki klasowej, a skutki tego zdarzenia dla Rosyi nie dadzą pewnie długo na siebie czekać. Walka tych dziesiątek tysięcy robotników rosyjskich prowadzi się nietylko śród ciężkich niebezpieczeństw dla jednostek, ale także śród okropnej nędzy całych mas. Wszyscy robotnicy petersburscy, nie biorący udziału w strejku, chętnie spieszą z pomocą strejkującym, dzieląc się z nimi swą i tak już skąpą płacą. Ale nawet to, nawet każdy dar dany dla buntowników, uważa się w Rosyi za zbrodnię, która ostro bywa karaną, a o jakiemś odwołaniu się do prasy nie może być ani mowy.

Organizacya robotników petersburskich, mająca nazwę „Związek dla walki o oswobodzenie rosyjskiej warstwy robotniczej“, zwraca się do świadomych robotników, do socyalnych demokratów zachodu, zwłaszcza austryackich, tusząc, że ci starsi bracia nie pozostawią swych towarzyszy bez pomocy, pomimo tego faktu, że każde zwycięstwo robotników rosyjskich w walce z istniejącym porządkiem jest zwycięstwem nad wrogiem swobody w całym świecie nad podporą i ochroną reakcyi europejskiej. Koronacya carska w Moskwie połączyła wszystkie żywioły reakcyjne w całym świecie, dokoła owych biednych robotników fabrycznych petersbur-

---

młodziencem i wygląd miał na nauczyciela; wrażliwa jego natura odczuwała piękno zewnętrzne, niezdolna będąc wznieść się w pogodnie spokojną dziedzinę myśli.

— Czemże jest ta rasa na wpół chrześciańska a na wpół przesiąkła pogańskiemi wspomnieniami?... Godzi ona w swem pojęciu cyrk i kościół... wszak większość tych ludzi modliła się z pobożności, podczas mszy dzisiejszej... katolicyzm zapomniał o litości względem zwierząt. A wszak na siedm wieków przed chrześciańską erą, Siddartha rzekł uczniom swoim: „Nie zabijaj i nie kalecz żadnego żyjącego stworzenia.“

— Zapominasz o tem, czego żądasz od tłumu... Wszak dla przeprowadzenia twoich zamiarów, odwagę stawiać powinieneś wyżej nad łagodność...

— Nie znajdę ja nigdy posłuchania u tych ludzi... kierunek moich myśli jest wręcz przeciwny ich upodobaniom...

W tem rozwarto bramy zamykające arenę i w tłumie rozległ się przeciągły okrzyk zadowolenia, ulgi. Rzucono się gromadnie naprzód, gniotąc się, rozpychając i klnąc. Znaleźli się siłacze, którzy, pozostając chwilowo na miejscu, raptownym ruchem całego ciała podawali się naprzód, waląc przed sobą na ziemię cały szereg słabszych i nieprzygotowanych na to popchnięcie; siłacze zdawali się bawić tem rozkosznie i z upodobaniem wybierali swe ofiary pomiędzy kobietami i dziećmi. Płacz i krzyki padających doprowadzały dowcipnisiów do głośnych i wesołych wybuchów śmiechu.

— Dlaczego pchają się oni tak zawzięcie? — spytał Merodack swego młodego towarzysza, który jako prowansalczyk znał miejscowe obyczaje.

— Bo każdy z nich chciałby usiąść w cieniu — odpowiedział Marestan. — O tej porze dnia, dwie trzecie hemicyklu jest w słońcu i kamienne jego ławy są rozpalone jak ogień. W tej części cyrku wydarzają się liczne wypadki apopleksyi i śmiertelne porażenia od słońca.

— Niechajby każdy lubujący się widokiem krwawych igrzysk, zmarł gwałtowną śmiercią!

— Nie złorzecz!... Lepiej patrz na to, co warte widzenia! — rzekł Marestan, ukazując towarzyszowi na uboczu, zdala od tłumu stojącego Fryderyka Mistrala, otoczonego gwarnem kołem felibrów. Piękna postać poety uosabiać się zdawała pana i władcę Prowancyi, tak dalece Fryderyk Mistral wcielił w siebie ducha tej ziemi.

— Ten człowiek ciasnotą swego patryotyzmu, przyczynia się do utrwalenia barbarzyństwa... Męczarnia, na którą idzie patrzeć wraz ze swym ludem, jest niesprawiedliwością a każda żądza zaspakajana kosztem sprawiedliwości jest zbrodnią...

„Womitorna“ wchłaniały teraz w olbrzymie swe korytarze tłum cisnący się i duszący na zewnątrz gmachu. Raz dostawszy się do wnętrza, wrzaskliwa zgraja szturmem waliła się na strome schody, szukając miejsc, z których niedługo ustąpić miało słońce, cała bowiem wschodnia część amfiteatru leżała w cieniu i nabitą już była ludźmi. Roiło się tam i migotało ludzkie mrowisko, jaskrawe i różnobarwne, hałaśliwe i rubaszne. Mężczyzni zdjęli surduty, machali kapeluszami, każdy się sadowił jak mógł najdogodniej, aby użyć w całej pełni ohydnego widoku igrzysk, mających się rozpocząć za chwilę.

Merodack i Marestan zbliżyli się do womitoryum pozostawionego jako przejście honorowe dla oficyalnego świata miasta Tyfonii. Wchodziła również tędy uprzywilejowana garść publiczności, drogo mogąca płacić za najpierwsze miejsca. Zjeżdżały powozy i wysiadały z nich kobiety w jasnych, wytwornych strojach, oraz mężczyzni, niosący lornetki swych żon lub kochanek.

— Żona prefekta... patrz jaka ładna i jak pięknie ubrana — szepnął Marestan.

Szli generałowie w pełnych mundurach, pułkownicy... lśniło się od złoceń, mieniło się od różnobarwności strojów niewieścich. Wojskowi w białych rękawiczkach defilowali, jakby podczas parady, ociężalej i mniej gracko postępowały rodziny wysokich urzędników... nikt nie chciał się spóźnić na dzisiejszą uroczystość. Inaczej przecie działo się gdy ciż sami ludzie szli do teatru... przybywali wtedy pod koniec pierwszego aktu „Edypa“ lub „Walkyryi“.

— Widok igrzysk musi w nich roznie-

skich zgrupuje wszystko, co pragnie uwolnienia ludu roboczego we wszystkich krajach“.

Tej samej sprawie poświęca berliński „Tageblatt“ następujące uwagi: „Właściciele fabryk śledzą rozwój strejku z całym spokojem, gdyż pogłoski, jakoby robotnicy otrzymywali zasiłki przeważnie z zagranicy, mianowicie z Anglii, nie potwierdziły się wcale. Fabrykanci petersburscy są przekonani, że ich robotnicy, pozbawieni prawie zupełnie środków do życia, wrócą wkrótce do pracy. Pogląd ten jednak jest może zbyt optymistyczny. Zmowom tutejszym, o ile są zorganizowane systematycznie i porządnie prowadzone, sprzyja niezmiernie ta okoliczność, iż robotnicy rosyjscy mają bardzo małe potrzeby i potrafią wyżyć za 7 kopiejek dziennie. Teraźniejszy ruch robotniczy jest czysto wewnętrzno-rosyjski. Międzynarodowa socyalna-demokracya usiłowała wprawdzie ująć jego kierunek w swoje ręce i znaleziono tu liczne odezwy, zachęcające robotników rosyjskich do święcenia uroczystości 1 maja, właściwie 13 maja według starego stylu, ale projekt ten, niezrozumiany przez Rosyan, nie trafił do ich przekonania. Mimo to, jednak znowu utoruje niezawodnie socyalnej-demokracyi przystęp do Rosyi“.

LITERATURA I SZTUKA.

Na moim pogrzebie.

Śniło mi się, żem umarł. Przy dębowej trumnie
Stanęli przyjaciele na mym świeżym grobie,
Z szczeremi łzami w oczach i z sercem w żałobie
Po raz ostatni o mnie rozmawiali u mnie.

Wspominali, żem życie przepędził rozumnie,
Żem, czyniąc, wiedział dobrze, dlaczego co robię,
Żem swoje złote pieśni śpiewał jeno sobie,
Żem w przyszłość patrzył śmiało a czoło niósł [dumnie...

Potem wyszłaś ty cicha z czarną ziemi grudką,
Twoja słodka twarzyczka wielkim smutkiem drżała,
Zgięłaś drogie kolana swe tuż, tuż bliziutko

Trumny. I jedno słowo szepnęłaś cichutko
„Kochał...“ Ziemia się z twojej ręki wysypała...
I upadłaś podcięta, jak lilijka biała...

Władysław Sterling.

Uwagi o „Quo vadis“.

Gdy czytelnik otrząśnie się z natłoku wrażeń, w których się nurzał przez cały czas czytania powieści, gdy się od niej trochę oddali i zamknie oczy, by bezpośrednie wrażenia zbladły, gdy ujarzmiona wyobraźnia jego odzyska polot swobodniejszy, samoistny, a zmysł krytyczny wchodzi w swe prawa, — wtedy obok świetnych obrazów „Quo vadis“ stoją, przez pamięć przywołane, skromne, surowe, szlachetną prostotą tchnące obrazy z „Mirtali“ Orzeszkowej. Wprawdzie oba te utwory są tak odmienne pod względem pomysłu i uczuć, które kierowały natchnieniem pisarzów, a zwłaszcza pod względem kolorytu, — tak nie wiele posiadają punktów zetknięcia się, tyle różnic, a tak mało podobieństw, iż o zestawieniu z sobą tych dzieł nie pomyślelibyśmy może, gdyby nie ta okoliczność, że widownia powieściowa w obu utworach jest ta sama, że zarówno Sienkiewicz, jak Orzeszkowa prowadzą nas do tej samej nieomal chwili dziejowej, bo panowanie Nerona przedzielone jest od objęcia rządów przez Wespazyana zaledwie kilkoletnią przerwą. Stąd w powieści Sienkiewicza niejednokrotnie spotykamy wzmianki o osobach, które występują w roli czynnej we wcześniejszym utworze Orzeszkowej. W najogólniejszych zarysach budowy możemy nawet dostrzedz pewne znamiona pokrewieństwa, bardzo zresztą niewyraźnego. W „Mirtoli“ głównemi działającemi osobami są właściwie dwie różne a niechętne sobie narodowości, dwa społeczeństwa, obok siebie żyjące w murach stolicy. Tych dwu zbiorowych zapaśników miano: Rzym i Judea. Między nimi przebiegają potężne prądy nienawiści, pogardy, wstrętu, współzawodnictwa ekonomicznego, a uczucia, postępki i losy bohaterów są powiązane licznemi nićmi z ogólniejszemi stosunkami i wypływają z nich, jak ze swego źródła. Coś podobnego dzieje się w „Quo vadis“. I tu ścierają się wrogo dwa społeczeństwa — pogańskie i chrześciańskie. Na tem tle i w zależności od przebiegu walki owej roztacza się właściwa akcya powieściowa. W „Mirtoli“ obok występujących na pierwszy plan zapasów między Rzymem a Judeą, widzimy w głębi sceny odgrywający się inny dramat, którego źródło tkwi w ukrytym, lecz niemniej wyraźnym oporze ze strony pretora, jako przedstawiciela pewnej warstwy rycerstwa, przeciw panującemu składowi rzeczy. W „Quo vadis“ pod uśmiechniętym pozorem najlepszych stosunków odbywają się gonitwy na ostre między Neronem a Petroniuszem.

Zresztą nie mam zamiaru osnucia kilku wniosków moich, dotyczących „Quo vadis“ na nieustannych zestawieniach utworu tego z „Mirtalą“. Porównania te mają za jedyny cel — wprowadzenie nas *in medias res*, są środkiem do zapoznania się z zakresem zjawisk i stosunków społecznych, objętych powieścią Sienkiewicza. Oczywiście nie mam na myśli właściwej osnowy. Muszę uczynić to przypuszczenie, iż czytelnik, któremu wpadną do rąk niniejsze uwagi, ma dzieło Sienkiewicza w świeżej pamięci. Nie będę również podawał treści utworu Orzeszkowej, bo czyż mogę na chwilę pomyśleć, iż „Mirtala“ znaną czytelnikowi nie jest? Wrócimy jednak do rzeczy.

Przedewszystkiem, jak niema chrześcian w „Mirtali“, tak też nie ma w „Quo vadis“ żydów, którzy ukazują się tu przygodnie w jednej tylko scenie. W tym więc względzie porównań żadnych być nie może, chybabyśmy mówić chcieli o zachowaniu się prześladowanych względem swych prześladowców. Ale o tem niżej. Wobu utworach wszakże

---

cać jakieś skryte i sprośne namiętności — zauważył Merodack.

— Zachwycającą się zręcznością i odwagą — odparł Marestan.

— Zachwyt ich musi być czysto lubieżny...

Wtem rozległ się odgłos trąby i dwaj młodzi przyjaciele, wszedłszy do starodawnego, rzymskiego cyrku, dostali się na najwyższe stopnie kamiennego amfiteatru.

Zarząd igrzysk zgarnął dziś do swej kasy przeszło sto tysięcy franków, zapłaconych przez ośmnaście tysięcy widzów, zbiegłych tu by nic nie uronić z krwawych katuszy, któremi oczy swoje napoić łaknęli. Z tych stu tysięcy, matador otrzymał dziesięć dla siebie i pięć dla swojej kwadryli. Byki występować mające, pochodziły z Hiszpanii; dla czterech pikadorów przygotowano szesnaście koni na zmianę, gdy legną w walce, rozprute rogami sztucznie rozjuszonego zwierza. O tych szczegółach rozprawiano głośno i zajadle wśród tłumu, każdy chciał uchodzić za najlepiej poinformowanego.

— Słuchaj, co ten opowiada — rzekł nagle Marestan, pokazując towarzyszowi olbrzymiego wzrostu mężczyznę, mówiącego do starego, wymuskanego eleganta, będącego księciem:

— Nikt nie przypuszcza, do jakiego stopnia dzisiejsze igrzyska będą zajmujące! Jeden z ośmiu byków uśmierci matadora. Wiem na pewno. Czy książę widzi tę hiszpankę w koronkowej mantyli, z czerwonym wachlarzem?... Tam przy samym murze otaczającym arenę, przy podium... Jestto dawna kochanka El Cocolo... chcąc ukarać niewiernego, przygotowała mu śmierć, a teraz czeka tej chwili...

— Nie doczeka się — odrzekł książę, poruszając pogardliwie sztywno nastawionemi wąsami — El Cocolo jest mistrzem nad mistrze... niema sobie równego matadora, nawet nigdy nie był ranny...

— Tak, ale tak dobrze El Cocolo, jak wszyscy inni jemu podobni nosiciele szpady i hiszpańskiego płaszcza walczyli tylko ze świeżemi bykami... Otóż piękna Doria posiada nietylko wdzięki lecz i dużo złota... z łatwością też przekupiła kogo należało i jeden z byków zna się już z m u l e t ą.

— W takim razie El Cocolo padnie dzisiaj trupem! — zauważył książę z żywością a oczy błysnęły mu dziko i drapieżnie.

— Biegnę też natychmiast do kawiarni naprzeciwko, by mankiet coprędzej artykuł o śmierci matadora.., Czy książę wiesz, jaką mam genialną myśl!... Na drugiej stronie arkusza każę wydrukować nasz program polityczny... co przy zbliżających się wyborach... rozumie pan?.. A co, wszak prawdziwy ze mnie mąż stanu a nietylko redaktor głównego dziennika miasta Tyfonii!

Zakręcił się na pięcie, wyprostował olbrzymie swoje ciało i, wymachując laską, począł zchodzić na dół z wielkim pośpiechem, nieco utrudnionym strzemiączkami zbyt silnie naprężonemi.

Merodack nie zrozumiał dokładnie, więc Marestan objaśnił mu:

— Byk, który brał udział kiedykolwiek w igrzyskach, nigdy się nie rzuca na płaszcz powiewany przed nim przez matadora, tylko szuka po za płaszczem człowieka. Dowodzi to nietylko wielkiej pamięci, lecz zarazem zastanowienia, zrozumienia ze strony byka. Okoliczność ta jest powszechnie znaną pomiędzy ludźmi, mającymi do czynienia z kwestyami odnoszącemi się do igrzysk i żaden toreador nie zgodzi się nigdy walczyć z bykiem uświadomionym, to jest powtórnie wyprowadzonym do mierzenia się z człowiekiem pośród areny.

— Cóż za nizki podstęp ze strony człowieka! — zawołał Merodack głosem pełnym oburzenia.

Na środek areny wjechał teraz konno alguazil, za nim pikadorzy z tyłu po za jeźdzcami postępował El Cocolo ze swoją kwadryllą. Merodak zauważył, iż podobnymi byli do klownów, szykujących się popełnić nikczemną zasadzkę.

— Patrz na cały ten wstęp — rzekł Marestan — bo przypuszczam, iż wszystko dalsze przejmie cię sroższem jeszcze oburzeniem.

Matador wystąpiwszy naprzód i z twarzą zwróconą ku trybunie oficyalnej, składał przysięgę pokonania byka, podług reguł przyjętych, przekładając umrzeć, aniżeli je przekroczyć. Stosownie do przyjętego obyczaju, ujął w górę swą czapeczkę i zręcznym ruchem

autorowie wprowadzają na widownię świat rzymski. A i tu jeszcze obaj powieściopisarze się rozmijają. Orzeszkowa maluje usposobienie ludu, żołnierzy, zamożnego mieszczaństwa (według współczesnego nam słownictwa). Sienkiewicz zaś wprowadza nas głównie na dwór Nerona, ukazuje domowe życie wierzchniej warstwy rycerstwa i senatorów, wreszcie dotyka stosunku panów do niewolników... Wprawdzie w Sienkiewiczu lud występuje często, ale tylko jako zwarta masa, przeważnie jako gawiedź cyrkowa lub rynkowa.

Prawdziwe spotkanie obu autorów nastąpiło tam, gdzie i jeden i drugi zaglądają do tych cichych zakątków, w których się kryli najstaranniej ludzie, zachowujący staro-rzymskie tradycye, ludzie, którym nie przypadał do smaku Rzym nowożytny, ani oni jemu nie przypadali do gustu. Dom pretora Helwidyusza Priscusa z „Mirtali“ rozpoznajemy z łatwością w cichej siedzibie Aulusa Plautiusza. Podobieństwo sytuacyi dalej jeszcze sięga. Ligia jest cudzoziemką, przybranym dzieckiem Graeciny Pomponii. Mirtalę — żydówkę — tylko własna wola wstrzymała od zajęcia w domu Helwidyusza takiego samego stanowiska.

To spotkanie się autorów, o którem mówiliśmy, jest czysto przypadkowe. Kilka pospiesznych pociągnień ołówkiem, kilka rysów i Sienkiewicz opuszcza dom Aulusów, by już tam nigdy nie zajrzeć, gdy tymczasem część akcyi „Mirtali“ odbywa się właśnie w domu pretora, zgraja zaś otaczająca Domicyana, ukazuje się ledwie na chwilę. Nie trudno wyświetlić przyczynę tej różnicy. U Orzeszkowej tłem był obraz usposobień masy żydowskiej i gminu rzymskiego. I w wyższych warstwach społeczeństwa chciała autorka wykazać istnienie prądów głębszych, samoistnych, od przypadkowego zbiegu okoliczności niezależnych. To też uwydatniła nieustający, acz skryty, antagonizm między władzą cesarską a tą warstwę patrycyuszów, która nie mogła się pogodzić ani z przesunięciem się środka ciężkości politycznej, ani z niepewnością swego życia, swobody i mienia wobec wszelkie tamy wywracającej samowoli dowódzców wojskowych. Sienkiewiczowi zaś chodziło jedynie o uchronienie Ligii od zakaźnej atmosfery Rzymu cesarskiego, o uprawdopodobnienie tej okoliczności, iż przybrana córka Pomponii wobec powszechnego zepsucia obyczajów pozostała czystą moralnie. I stąd od chwili, gdy kochanka Winicyusza znalazła innych opiekunów wśród chrześcian, rodzina Aulusów usuwa się z widowni. Ponieważ znowu autor nasz osnuł swą powieść na tle prześladowania chrześcian przez Nerona, więc z istoty rzeczy wypadło mu zwrócić baczniejszą uwagę zarówno na głównego sprawcę pogromu jak i na tę część społeczeństwa rzymskiego, która czyny swego władcy oklaskiwała i chęci jego uprzedzać spieszyła.

Zważmy atoli następującą okoliczność. W utworze powielekroć spotykamy wzmianki, że Neron dbał o przychylność ludu, ponieważ potrzebował go mieć po swojej stronie w walce, którą toczył z patrycyatem. Otóż walki tej nie widzimy wcale. Już przez to samo, że w powieści występują przeważnie, — wyłącznie nieomal, — tylko pogodzeni z losem, tylko usiłujący przystosować się do panującego stanu rzeczy, a nawet wyzyskać go na swoją korzyść, — już to samo, powiadam, utrudnia autorowi głębokie ujęcie i przedstawienie zapasów owych między Cezarem a ukrytymi republikanami. Ani widzimy, ktoby mógł myśleć o rzuceniu rękawicy władzy cesarskiej, ani pod jakiem hasłem mógłby uczynić wezwanie do boju. I kogo miał się obawiać Neron, by mu potrzeba było skarbić łaski ludu? Czy Petroniusza? czy Aulusa, który szczęśliwym się mienił, jeśli się na oczy cezarowi nie nawijał? Czy Tigellina, który wprawdzie w niebezpieczeństwie nie cofnął się przed groźbą, lecz tylko jako przedstawiciel żołdactwa, tego jedynego a właściwego źródła władzy imperatorów? Jeżeli Neron wreszcie lękał się skrytobójczego zamachu, przed tym osłonić go łacniej mogła czujna straż, niż przychylność tłumu, z luźnych jednostek złożona... Co do ludu, nie widzimy w powieści, skądby urość miało przeciwstawienie potrzeb i dążeń między patrycyatem a ogółem wolnych obywateli państwa. Dla tego też szaleństwa Nerona i jego tyranów są w dziele Sienkiewicza tylko potwornem wybujaniem indywidualizmu złoczyńcy i skoczka, lecz nie objawem pragnień ludowych, nie wyrazem jakiegoś starcia się dwu różnych prądów społecznych, dwu dążności politycznych. A nawet wbrew zapewnieniom autora, rozpasana i okrutna samowola „Miedzianobrodego“ znajduje swą przeciwwagę tylko ze strony jego rzekomego sprzymierzeńca, albowiem postawa tego ludu właśnie zmusiła go wielokrotnie do liczenia się z czyjąkolwiek jeszcze wolą, oprócz swojej. Petroniusz zyskał sobie serca ludności przez to, że próbował zapobiedz rzeczi sprawionej wśród kilkuset niewolników za zabójstwo, dokonane przez jednego z nich na swym panu. Jak widzimy, role tu zupełnie się odwracają: arystokrata jest rzecznikiem gnębionych. A nawet prześladowanie chrześcian było przedsięwzięte przez Nerona w myśli odwrócenia od siebie podejrzeń i powszechnej nienawiści. Przecież Winicyuszowi przemknęła już była przez głowę myśl wyzyskania wzburzenia tłumów na swą korzyść i przeciw Neronowi. A ten spisek chybiony, o którym się dowiadujemy z pobieżnej wzmianki, był tylko zamierzonym przewrotem pałacowym, był wybuchem nienawiści, wywołanych przez osobiste a bezmyślne okrucieństwa Nerona, przez ciągłą niepewność losu, która była udziałem najbliższego otoczenia Cezara; głębszego znaczenia sprzysiężenie to nie miało, nie było oznaką jakiejś szerszej dążności politycznej...

Nie przeceniajmy atoli wagi poczynionych zarzutów, choć widoczną jest rzeczą, że wykonanie nie urzeczywistniło pomysłu w wytkniętym zakresie. Dla celów pisarza wystarczało rozwinąć przed nami obyczajową stronę chwili, by na tem podścielisku umieścić obrazy silne, potężne, wywierające głębokie wrażenie. Strona obyczajowa nie została wprawdzie przedstawiona wyczerpująco, np. nie widzimy prawie kobiet, oprócz niewolnic, ale widowisko szaleństw Cezara jest prawdziwie świetne.... Przesuwają się przed nami coraz to nowe rzeczy, a zawsze żywe, barwne, plastyczne, w pamięć się wdrażające, działające na nerwy... Niemniej też plastycznie występuje przed naszym wzrokiem część domowego życia tych „mężów konsularnych“, którzy w szaleństwach swego pana uczestniczyli. Na tem tle głównie, nieomal wyłącznie, widnieje postać Petroniusza, bo-

---

rzucił ją ku trybunie, by na znak hołdu spadła u stóp władzy, reprezentowanej tutaj w osobie prefekta. Poczem alguazil wręczył matadorowi symboliczny klucz torilu i zabrzmiała trąbka na znak rozpoczęcia igrzyska. Ucichła trąbka i nastąpiła chwila głębokiej ciszy; odsunięto wązkie przejście w pobliżu bramy, którą dopiero co wkroczył orszak przyszłych pogromców i stanął w pośrodku areny wspaniale piękny byk o straszliwych rogach; w pędzie swem zatrzymał się raptownie, olśniony słońcem; wielki swój łeb uniósł w górę ku tłumowi patrzącemu nań z natężoną uwagą i zaniepokojony począł ryć ziemię kopytami a potężnie ryknąwszy zwrócił się szybko w tył, biegnąc z powrotem do czarnej swej nory.

Odwrót ten wywołał szydercze okrzyki i gwizdanie.

Zwierzę spostrzegło, iż zamknięto przed niem przejście i zrozumiało, iż wpadło w zasadzkę. Rozejrzał się tedy byk z wściekłością, szukając nieprzyjaciela. Powiewały ku niemu czerwone płachty, rzucił się na nie spuściwszy łeb wojowniczo, lecz rogi jego napotkały tylko próżnię. Z niecierpliwością i niepokojem obiegł arenę do koła, szukając wyjścia. Toreadorzy, ukryci za drewnianą palisadą, naigrawali się z byka, drażniąc go swym krzykiem.

Wtem dwa żelazne ostrza utkwiły mu w karku; oswobodzić się chciał z ich ukłucia; wstrząsnął się cały, lecz banderille wpiły się tem mocniej, pękając z trzaskiem, ogłuszając go hukiem, krwawiąc mu skórę pierwszemi ranami. Czerwone szmaty powiewały bezustannie dokoła, więc rzucać się począł kolejno, lecz nic jak tylko próżnię po za niemi znajdując, drżał z rozjątrzenia, daremnym wysiłkiem męcząc sprężystość swych muskułów. Porzucił tedy tę próżną walkę i pomijając obstępujących go toreadorów ukrytych za powiewanemi kapami, wymijając lance pikadorów, byk rzucił się na konie. Straszliwe jego rogi pruły końskie brzuchy a toreadorzy zatykali cieknące ich rany wiechciami ze słomy, lecz te wyskakiwały pod naciskiem wnętrzności, wytryskujących skłębioną masą a gdy jeździec ostrogami wydostawał ostatnie siły z nieszczęsnego konia, trzewia jego wlokły się po ziemi, oplątując nogi padającego wierzchowca.

Publiczność wpadała w szał na ten widok. Klaszcząc w dłonie, tupiąc nieprzytomnie nogami, wrzeszczeli ci ucywilizowani ludzie: „Brawo, Toro! Brawo! Brawo!...

Merodak był teraz trupio blady; nerwowe drżenie zawładnęło nim, chociaż oczy odwracał od wstrętnego widowiska. Marestan zaś patrzał chciwie, chociaż prawie nieprzytomnie.

Coraz to nowe banderille utykały w ciele rozjuszonego, wspaniale walczącego byka. Krew spływała wązkiemi pasmami po całej jego skórze żebrując ją cieknącą czerwonością.

Tłum wyć począł, domagając się śmierci byka. El Cocolo wysunął się naprzód, by zadość uczynić żądaniu. W jednym ręku trzymał czerwoną chorągiewkę, słaniając nią przed oczami byka a ręką drugą dzierżył miecz, ukrywając go jakby laskę po za swemi plecami. Skoki El Cocolo i migotanie chorągwią przed oszołomionym zwierzem, trwały jeszcze minut kilkanaście, wreszcie matador zadał cios zwycięzki, topiąc ostrze szpady powyżej łopatki; byk padł na kolana, jakby gromem rażony. Wówczas człowiek zwycięzca, pastwiąc się nad swą ofiarą drażnił obumierające jej oczy czerwonością mulety, powiewając nią zwolna, blizko, coraz bliżej, aż do ostatniej chwili skonania....

— Krzyż krzyż! Czy widzisz ich świętokradztwo! — szepnął zbielałemi usty Mcrodack, ukazując swemu towarzyszowi rękojeść miecza, przeszywającego drgające ciało powalonego zwierzęcia.

Wyjący z uniesienia tłum widzów szalał i w roznamiętnieniu najwyższem rzucał w arenę cygara, kapelusze, chustki. Gdyby ci chrześcianie mogli ująć swe dusze, byliby się nie zawahali rzucić je w ofierze do stóp matadora.

Kobiety padały, omdlewając z nadmiaru rozkoszy, oczy ich promieniały zachwytem, piersi, falując, dyszały namiętnie, cała istota tych niewiast uwydatniała poryw ekstazy, paroksyzm zadowolonej żądzy.

— Bekowisko śmierci! Nie przypuszczałem, że to istnieć może! — szeptał, rozglą-

daj najpyszniejsza obok postaci samego Nerona. Jest on nawet sympatyczny, a tę sympatyę czytelnika zawdzięcza może pewnej niekonsekwencyi w odmalowaniu swego charakteru przez autora. Paradoksalnem może się wydać takie twierdzenie z mej strony, postaram się je wszakże uzasadnić.

Postawmy obok siebie dwa wizerunki: Patroniusza i Nerona. Jeżeli w twarzy tego drugiego również dostrzeżemy pewne niezgodne rysy, to dla tego tylko, że one tkwiły w osobowości Nerona, jak go zrozumiał Sienkiewicz, lecz bynajmniej nie z tej przyczyny, że postać nie była przez autora przemyślana. Zbój, okrutnik, tchórz, bez zarodków szlachetniejszych popędów, lecz z porywami artystycznemi i idącą z niemi na równi zdolnością do uczuć udanych, naśladowanych, w które się wprawia drogą umyślnej egzaltacyi, a nadto próżny i naiwny w swej próżności, jak dziecko... oto zdaje się cała jego charakterystyka. W niej znajdzie chyba pogodzenie i owa prawdziwość wzruszenia, z którem opiewa pożar Rzymu, i ten doskonały spokój duchowy, z którym dźwiga na sobie ciężar odpowiedzialności za spalenie tegoż Rzymu....

Co innego Petroniusz.... Ten według charakterystyki autora, utracił poczucie między czynem złym a dobrym, lecz natomiast jest niepodrobionym, prawdziwym artystą, i nietylko w używaniu, lecz i w zakresie twórczym, jest przecież autorem „Satiricona“. Nie ma krwiożerczych Nerona instynktów, ale zresztą jest zupełnie obojętnym względem etycznej wartości postępowania własnego lub czyjegokolwiek. Cierpienia ludzkie nie obchodzą go wcale, łzy wywołać mogą tylko uczucie niesmaku.... Otóż czyny Petroniusza niezawsze w tej charakterystyce mieścić się mogą.... Zapewne, zbyt miękkich uczuć nie mamy prawa wymagać od nikogo w tej atmosferze, w którą wsiąkały wyziewy krwi, przelewanej dla rozrywki, — w tym czasie, kiedy widok męczarń napawał oczy rozkoszą, gdy ludzi hodowano jak chlewnię na rzeź.... Petroniusz na te widowiska uczęszczał i spoglądał na śmierć i męki z zimną krwią. Mimo to okrutnym nie był. Czy tylko tyle? Gdy Winicyusz każe siec swych niewolników rózgami, Petroniusz z niesmakiem wychodzi z jego domu. Dla czego? Czy że ćwiczeni będą brzydko jęczeć i krzyczeć, że ciała biczowane niekształtnie wyglądają? Może. Lecz dlaczego tenże Patroniusz dał swój głos przeciw masowemu ukaraniu niewolników za winę jednego? Siepaczem ani widzem być mu przecie niekazano, nie groził mu zatem widok niecstetyczny. Dlaczego znowu do otwartej niemal walki staje z Neronem w obronie Ligii i chrześcian? Czy z powodu Wincyusza, dla którego zachował trochę uczuć ludzkich? To dlaczego dawniej uratował Wespazyana? Cóż ten go obchodził? I czytelnik zaczyna podejrzewać, iż Petroniusz jest lepszym, niż o sobie mówi, niż sam siebie rozumie.... Nie z estetycznych względów, lecz dla tego, że w sercu jego żyły jeszcze nie zupełnie zgłuszone zarodki uczucia sprawiedliwości i litości, czyny jego nie zawszo były występne i złe... Nie jest on jeszcze skończonym i wyłącznym „estetą“... Mimowiednie bywa dla niego niekiedy nie to, co piękne — dobre, a co brzydkie — złe, lecz odwrotnie: co dobre — to piękne, co złe — to brzydkie. Nadto w powieści występuje on niekiedy w roli złego doradcy, ale zawsze jako obrońca Winicyusza... Taką jest niekonsekwencya charakteru Petroniusza, która go w oczach czytelnika czyni sympatycznym.

Jak powiedziałem, jest to bodaj najwyrazistsza postać w utworze; ta walka dowcipu, talentu, przebiegłości z tyranem, nad którym się panuje tylko moralną i umysłową wyższością, który w każdej chwili gotów zerwać te pęta pajęczynowe, — ta walka zawiera w sobie jakiś szczególny urok i jest istotną składową częścią utworu. Do pięknych i cennych ustępów powieści należy też śmierć Petroniusza, jego ostatnie pożegnanie z Cezarem. I podziw nas zdejmuje na widok tych ludzi, którzy w ostatnich chwilach nawet wieńczyli swe czoło różami, pili jeszcze ostatnie krople rozkoszy... Skąd oni brali siły, skąd czerpali ten spokój duchowy, oni, dla których niebo było puste, a nadzieja szczęścia przyszłych pokoleń nie przyświecała, oni, którzy nie mieli oparcia w żadnych podstawach moralnych, przed którymi nicość otwierała na rozcież podwoje? Piękny, piękny to ustęp — śmierć Petroniusza.

Ale dzieje twórcy „Satiriconu“ nie stanowią jeszcze tej nici, która wiąże z sobą wszystkie wypadki powieściowe. Tą nicią jest wytrwałe dążenie Winicyusza do połączenia się z Ligią.... Ujrzał ją w domu przybranego jej ojca; Ligia nas prowadzi na dwór Nerona, wraz z nią dopiero wstępujemy między chrześcian, na nią oczekujemy wciąż w amfiteatrze. Lecz nim zdążymy do końca, udajmy się wraz z Ligią i przebranym Winicyuszem do Ostranium, by posłuchać świadectwa Piotra o Panu.

Zatrzymujemy się tu na chwilę. Jeszcze nim Sienkiewicz miał czas bodaj z lekka wcielić swe pomysły w kształty zewnętrzne, heroldowie wrzawą trąb i okrzykami tryumfalnemi ogłosili *urbi et orbi*, że autor „Pójdźmy za nim“ stał się twórcą wspaniałej epopei chrześciańskiej. Nie czyńmy pisarza odpowiedzialnym za przesadne chwalby głosicieli. To wszakże nie ulega wątpliwości, że ideą dzieła jest zobrazowanie walki, jaką staczać musiał młody kościół chrześciański z pogańskim światem. Według legendy, gdy Piotr uchodził z Rzymu, by uniknąć srogiego prześladowania, ukazał się mu Pan. Wtedy zamienione zostały te słowa „Quo vadis“, które czytamy w nagłówku powieści. Już zatem wybór tytułu świadczyć może, iż w wskazanej scenie według wcześniejszego rozmysłu miał się znajdować punkt ciężkości całego dzieła. Piotr uosobia losy całej powszechności chrześciańskiej. Jak apostół, zachwiany chwilowo w ufności, lecz skarcony przykładem i wymówką Boskiego Nauczyciela powraca na stanowisko swoje, by na nim wytrwać do końca, tak też i nowa wiara, zamiast ugiąć się pod ciosami na nią spadającemi, święcić miała wciąż nowe tryumfy. Jeżeli dobrze odczytaliśmy znaczenie symbolu, mamy prawo mówić o epopei, — epopei chrześciańskiej, mamy prawo oczekiwać, że autor da nam poznać ducha, panującego właśnie kościoła pierwotnego, i że w dalszym ciągu okaże, jakie stosunki zachodziły między gminą wyznawców Chrystusa w Rzymie, a obcem jej lub wrogiem środowiskiem społecznem. Układ wypadków powieściowych jest również przystosowany

---

dając się dokoła siebie, coraz to bledszy Merodack.

Przez otwarte podwoje wjechała do areny para koni zaprzężona do rodzaju wyplatanej wielkiej ramy, na które złożono martwe ciało byka; uprzątano je. dla nowego igrzyska. Konie wlokły trupa ku stajni a rogi poległego zwierza, orały bruzdę wzdłuż przebywanej drogi. Zabierano w ten sposób trupy czterech koni, rozprutych w czasie walki, a trzewia ich wlokły się długiemi wężami, znacząc w smugi pylny grunt areny.

— A więc jeszcze siedm razy wznowi się to okrutne widowisko! Opuszczam cię... muszę się skryć w jakim kącie... wrócę tu do ciebie pod koniec, by zobaczyć zemstę byka.

Merodack błąkał się jakiś czas wśród starożytnych murów rzymskiego cyrku a przybywszy na piętro przeznaczone niegdyś dla niewolników, siadł i ukrywszy twarz w dłoniach- pragnął otrząsnąć się z nerwowego wzruszenia i zastanowić nad tem co widział. Lecz skutkiem rozdrażnienia, jakiemu ulegał, myśl urywała się niesfornie; pałać począł chęcią zemsty, żądzą wytępienia ludzi, mogących się rozkoszować widokiem krwawej katuszy zwierząt. Jeżeli skupiona wola człowieka może swą siłą przeważyć i przyspieszyć spełnienie się wypadku wynikającego z fatalności, to wysiłek Merodacka spowodować był powinien zatratę i śmierć dla El Cocolo.

Chwilami stawała mu w pamięci wspaniała postać Fryderyka Mistrala. Dotychczas wielbił poetycki jego geniusz, obecnie wszystko zmiotła i zatopiła najwyższa pogarda dla całego rodu ludzkiego, o ile ród ten podobien jest do okrutników wyjących tuż obok w spazmach rozkoszy.

Tylu mężów stworzyło naukę, mającą udoskonalić człowieka, pierworodne atoli jego instynkty czynią go dotychczas niepoprawnie złym i o wiele gorszym od najokrutniejszych bestyi.

Podniósłszy głowę, Merodak ujrzał naprzeciwko arkady, o którą się opierał, wysoki mur, stanowiący ścianę na zewnątrz stojącego budynku. Przypatrzywszy się nieco uważniej, poznał iż było to więzienie. Przy jednem z małych zakratowanych okien, stał jakiś mężczyzna i wpatrywał się w niebo. Gorzka ironia opłynęła duszę Merodacka. Cóż zawinił ten więzień?... O ileż popełniona przez niego zbrodnia mniejszą jest od dokonywanego w danej chwili morderstwa, przez dwadzieścia tysięcy łotrów, ziejących żądzą w amfiteatrze miasta Tyfonii?... A może więzień jest tylko drobnym przestępcą, może jest włóczęgą, kłusownikiem, zgłodniałym, ratującym się od śmierci okruszyną chleba, napotkaną na cudzym stole... Czemże są podobne winy, w porównaniu z zbrodnią odbywającą się w arenie!... Merodack przypomniał sobie, iż mu pokazywano dopieroco łożę, zajętą przez najwyższego sędziego Tyfonii, patrzącego wraz z żoną i dziećmi swojemi na męczarnie byka, na katusze koni. Był to człowiek bardzo poważny i tyfończycy podziwiali łagodną sprawiedliwość jego wyroków.

Długo przesuwał Merodak różaniec swoich myśli i bolał nad obrzydliwością przedmiotu rozmyślań swoich. Słońce prawie już zaszło, przypomniał więc sobie, iż czas było wrócić do cyrku, by nie przepuścić ostatniego igrzyska.

Gdy siadł obok Marestana, uchyliła się właśnie klapa zamykająca byka w ciemnej komorze, zbudowanej z umiejętną sztuką dodawania męczarni. Czarny, wspaniały byk wyrwał się ze swego więzienia i odrazu wpadł na jedynego już z szesnastu koni, kładąc go trupem na ziemię, poczem zwrócił się na wysadzonego z siodła pikadora, nadział go na rogi i odrzuciwszy jak szmatę, pocwałował aż przed trybunę prefekta; wstrząsnął ją potężnemi uderzeniami rogów, jakby świadomy mściciel. Nie zważając na banderille boleśnie przerzynające mu skórę, gardząc rzucaniem się na powiewane zewsząd kapy, szukał jedynie rzeczywistego swego wroga, to jest człowieka. W jednej chwili cała kwadrylla znikła, schroniwszy się poza baryery.

Merodak drżał chęcią zemsty, jednoczył się z ziejącym wściekłością bykiem i całą moc swej duszy rad byłby w niego przelał.

Widząc ucieczkę swoich pomocników, El Cocolo stanął sam do walki i nadstawiał w zręcznych ruchach jaskrawą opończę, lecz

do tej myśli przewodniej. Winicyusz, póki nie zrzucił z siebie powłoki pogańskiej, nie może otrzymać Ligii. Bierze ją dopiero — symbolicznie — z rąk Piotra apostoła. Ligia poddana jest prześladowaniu na równi z innymi współwyznawcami za wiarę. Stąd płyną następnie wszelkie przeszkody, stojące na drodze połączenia kochanków, stąd dramatyczne powikłania. I oto do pojętego w ten sposób pomysłu autora stosować będziemy wyniki rozbioru. Teraz wrócić się możemy do szczegółowszego przeglądu środków, które pisarzowi posłużyły do zewnętrznego upostaciowania swych myśli.

Obraz świata chrześciańskiego wypadł u Sienkiewicza bardzo blado i jednostronnie, i w każdym razie nieodpowiada wydatnej roli, którą autor przeznaczył temu czynnikowi w ogólnej koncepcyi dzieła.

Odmalowanie obyczajowej strony pewnej części społeczeństwa rzymskiego dało pisarzowi powód do nakreślenia scen jaskrawych, do użycia mocnych barw i głębokich cieni. Ciche, zamknięte w sobie społeczeństwo chrześciańskie odpowiedniego materyału dostarczyć nie mogło. Stąd zapewne uderzająca różnica w plastyczności i sile pendzla w różnych częściach utworu. Chrześcian widzimy stale zamodlonych lub wsłuchanych w słowa każących nauczycieli swoich. Uważmy tylko zachowanie się Piotra. Ilekroć on się odezwie, czy to wobec zgromadzonych osób, czy też w kompletnem Kole wyznawców, zawsze opowiada z namaszczeniem rozdziałki z historyi świętej. Wyobraźnia pisarza nie miała tu z pewnością dla siebie obszerniejszego pola. W chwili, gdy wyznawcy Chrystusa powstają z klęczek, znikają zupełnie nam z oczu. Nie wiemy, jak myślą, co czują i co czynią. A tylko wtajemniczenie nas w ten zamknięty świat duchowy mogłoby nam wyjaśnić warunki zwycięzkiego pochodu zasad nowej wiary, mogłoby wyświetlić jej wpływ magnetyczny, który mimo prześladowania stwarzał wciąż nowe rzesze prozelitów. Ale autor nie dał nam odczuć tego wpływu, nie wskazał dokładniej i wybitnych punktów zetknięcia się dwu różnych potęg, z których jedna miała odtąd wzrastać, druga chylić się ku coraz widoczniejszemu upadkowi. W około wysepki wyznawców szaleje Rzym pogański, szaleje Cezar. Powietrze jest przesycone zaduchem krwi, przelewanej w amfiteatrze, wyziewami poszarpanej przez bicze skóry niewolników itd. itd.

A chrześcianie nic nie widzą, nie czują, nie słyszą.... To biedne ofiary, którym cała potęga wiary i uniesienia potrzebna jest na to, by nie czuć męczarni, by zapomnieć o wstydzie obnażonego ciała, wytrwać w ścisku więziennym. *A. Drogosław.*

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ZOLA.

W kilka dni po ukazaniu się w handlu księgarskim najnowszego dzieła Zoli p. t. „Rzym“, jakiś podrzędny dziennikarz podniósł przeciw niemu zarzut plagjatu. Znakomity pisarz zamieścił z tego powodu w „Figarze“ kilkoszpaltowy artykuł, w którym zbija uczyniony zarzut i objaśnia szczegółowo swoją niesłychanie mozolną i sumienną metodę pracy. Wyjaśnienia te wykazują dowodnie, jaką olbrzymią sumę pracy musi płodny ten pisarz pokonać, zanim wzniesie choćby rusztowanie do nowego dzieła i napisze pierwszy wiersz pierwszego rozdziału. „Od pierwszego romansu, jaki napisałem“, brzmią słowa Zoli, „moja metoda pracy została niezmienioną. Znam tylko trzy źródła informacyjne: książki które mi otwierają przeszłość; świadków, którzy mi ustnie albo zapomocą pisanych notatek dostarczają dokumentów o tem, albo co widzieli, co wiedzą, i wreszcie trzecie, bezpośrednia obserwacya na miejscu. Przy każdej nowej powieści otaczam się całą biblioteką dotyczącą tematu, jaki obrałem. Wypytuję wszystkie kompetentne osoby, do jakich tylko dostać się mogę, o zdanie co do danego przedmiotu; podróżuję, studyuję kraj, ludzi i obyczaje. Jak można wymagać odemnie, żebym wszystko wiedział? Jestem powieściopisarzem i nie moja to rzecz wiedzieć wszystko. Skoro tylko zabieram się do nowej roboty, nie pozostaje mi nic innego tylko studyować wszystko, co ma związek z nowym przedmiotem i zdobyć te specyalne wiadomości, które są potrzebne do pisania o danej kwestyi.“

Tu wylicza Zola książki i źródła do jakich się uciekał, przed napisaniem różnych powieści swoich. W „*Assomoir*“ np. śmierć Coupeau w napadzie *delirium tremens* jest dosłownie wiernym opisem obserwacyi lekarskiej, dokonanej przez jednego z szefów kliniki w szpitalu S-tej Anny. Gdy Zola powziął zamiar napisania „*Au bonheur des dames*“, p. Chauchard z wielkich magazynów Luwru i administracya magazynów „*Bon marché*“ zaopatrzyli go w obfity materyał. Przed napisaniem „Germinala“ przestudyował całe góry broszur specyalnych z dziedziny wiadomości technicznych i naradzał się z wielu inżynierami. Po „Ziemi“, „Śnie“ i „Zwierzęciu w człowieku“, z których każde wymagało specyalnych studyów, najwięcej „łamał sobie głowę“ Zola przed napisaniem „Pieniądza“. Materyał, jaki mu dostarczyli giełdowcy, był dla niego taki chaotyczny, że dziś jeszcze wątpi sam, czy z tego cokolwiek dobrze zrozumiał. Do „*Débacle*“ przestudyował więcej niż sto dzieł o wojnie i przewertował wszystkie raporty dowodzących jenerałów; cała ta biblioteka nie opuszczała go nigdy, — ułożył wszystkie książki i dokumenty na ruchomej półce, która stała obok jego biurka. „Jakże odetchnąłem“ pisze „gdym tę seryę zamknął „Doktorem Pascalem“. Dla przedstawienia wymarzonego, wysoce idealnego zadania sztuki lekarskiej, które starałem się w tej książce rozwinąć, zaopatrzył mnie we wszystkie potrzebne materyały mój dobry przyjaciel, doktór Maurycy de Fleury. Pomocników chciałem, pomocników szukałem, pomocników znalazłem!“ Wymieniwszy różnych specyalistów, którzy mu zawsze śpieszyli z pomocą, pisze Zola dalej: „Uczeni zwłaszcza i medycy nacierpieli się odemnie najwięcej; nigdy nie dotknąłem kwestyi naukowej i nie opisałem choroby, nie poruszywszy poprzednio całego fakultetu. Korzystałem przytem z niezaprzeczonego prawa. Powtarzam, nie jestem uczonym, ani historykiem, jestem powieściopisarzem. Można odemnie wymagać tylko, bym znał przedmiot, o którym piszę i zba-

---

byk obojętnie pomijał to wyzwanie; rzec można było, iż zastanawiał się i nie chciał czynić próżnych wysiłków.

Ze wszystkich stron cyrku rozległo się świstanie. Publiczność karciła tchórzowskie zachowanie się kwadrylli. Próżno El Cocolo krzyknął na całe gardło: „Ustępuję! To bydlę brało już udział w igrzyskach!“ Świstanie tylko się wzmogło, nie chciano słuchać; krwią pijana gawiedź do końca poić się nią chciała. Błazny składające kwadryllę naradzać się poczęły, a byk wciąż stał w pośrodku areny, wspaniały, potężny, straszny. Stał nieruchomy, jakby ze spiżu odlany i czekał. Grzmoty oklasków sypnęły się na cześć jego. Wreszcie kwadrylla wskoczyła w arenę, powiewając kapami, lecz co chwila któryś z tych podszczuwaczy przesadzał baryerę, chroniąc się przed napaścią zwierza cwałującego wprost na człowieka. W tem rozległ się przeciągły okrzyk pomiędzy widzami: byk przeszył piersi jednemu z mniej hyżych prześladowców i znęcał się nad powalonym, bodąc go i tratując. Rzuciła się cała kwadryla na ratunek towarzysza i podczas gdy go unoszono, byk chwycił na rogi innego klewna i, podrzuciwszy go w górę, runął w dal, szukając nowego tryumfu. El Cocolo przeczuł złowrogą chwilę. Wśród wrzawy wzmagającej się wraz z zapadającym zmrokiem, wyróżniał głos dawnej swej kochanki; przechylona po za lożę słała mu najsroższe złorzeczenia. Wydała mu się uosobienie złego ducha. Rozkazał kwadrylli oddalić się za baryerę i sam z muletą i mieczem ukrytym po za siebie, wystąpił do walki z bykiem. Ten ryknął przeraźliwie, lecz nie drgnął nawet, gdy purpurowa chorągiew łechtać mu poczęła rozognione nozdrza. Wśród ciszy, jaka teraz zapanowała, rozległy się wyraźne słowa matadora:

— To nie byk! To sam szatan stoi przedemną!

Rzuciwszy muletę, El Cocolo przysiadł nieco dla nabrania rozpędu i zatopił miecz w grzbiecie byka, lecz zadany raz nie był śmiertelny i w tejże prawie chwili matador leżał powalony na ziemi, z piersią przeszytą rogiem, jakby sztyletem. Zwierz pewien śmierci wroga, nie znęcał się nad jego ciałem, pozwolił je unieść, rycząc żałośnie z własnego bólu. Stanął teraz przed nim inny matador, lecz mniej biegły w swej sztuce od poległego El Cocolo, wymierzył cios, lecz nie trafił w właściwe miejsce powyżej łopatki. Miecz utkwił pomiędzy żebrami. To partactwo w zadawaniu śmierci wywołało burzę naigrawań i złorzeczeń w roznamiętnionym do szaleństwa tłumie patrzących okrutników. Kwadrylla powiewała do koła czarnego byka jaskrawemi kapami, które kołysały się na kształt potwornych motyli, lecz zwierzę tracące krew strumieniami nie odpowiadało na te wyzwania, stało w miejscu, bijąc się gwałtownie ogonem po bokach a gdy matador poskoczył z trzymanym na storc mieczem, byk rzucił się naprzód i wbił się nań piersiami, prawie że po samą rękojeść.

Z utkwionemi w swem ciele trzema mieczami, zwierzę zwróciło się w bok areny, szukając wyjścia, odmawiając dalszej walki.

Gorączkowe zdenerwowanie tłumu burzyło się, dochodząc do szału. Wszyscy powstali z miejsc, wrzeszcząc nieludzkiemi głosami. Wieczorna ciemność zalegała olbrzymią przestrzeń cyrku, z górnych piętr prawie widzieć nie można było kończącego się w arenie dramatu. By koniec położyć rzezi, jakiś hiszpan podszedł ukradkiem tuż do boku słabnącego byka i ugodził go śmiertelnie pchnięciem sztyletu. Dzielnie, po bohatersku broniące się dotychczas zwierzę padło na przednie kolana i, wznosząc potężny łeb w górę, w ryku bolesnym wydało ostatnie tchnienie. Zgnębiony wrącym w duszy wstrętem, Merodack, chwiejąc się ze wzruszenia, chciał skierować się ku wyjściu, gdy oczy jego padły na postacie dwóch braciszków zakonnych przybyłych do cyrku w duchownych swych szatach. Zadziwił się ich widokiem. Wszak oni kapłanami bratniej miłości i współczucia się mianują?... Spojrzał na ich twarze. Były nieprzytomne szałem upojenia. Merodack zrozumiał, iż najokrutniejszym ze zwierząt jest c z ł o w i e k, człowiek gardzący bydlęciem, pyszny tem co cywilizacyą zowie; tworzyciel kultów; zwyrodniały syn natury.

dał grunt, na jakim zamierzam stanąć. Dlatego zaopatruję się we wszelkie możliwe dokumenty i czerpię ze źródeł, które są niezbędne; potem dopiero zaczyna się moja właściwa czynność, a polega ona na tem, aby ze wszystkich pierwiastków, jakie mogłem zdobyć, stworzyć rzecz żywą. Czy wlałem w moje postacie tchnienie życia, czy wytworzyłem cały świat, czy wydałem na świat istoty z krwi i ciała, prawdziwych ludzi?! Jeżeli tak jest, to zadanie moje spełnione i mało mię obchodzi, zkąd wziąłem doń bryłę ziemi!

Gdy Flaubert, po długich miesiącach usilnych studyów wstępnych, miał już nareszcie wszystkie dokumenty, potrzebne mu do nowego dzieła, odczuwał dla tych środków pomocniczych tylko niewypowiedzianą pogardę. Podzielam tę pogardę najzupełniej. Wszystkie te notatki są tylko cegłami, któremi artysta musi rozporządzać swobodnie, gdy przystępuje do budowy dzieła. Mam tylko jeden cel: życie! A prawda leży mi na sercu, bo ona tworzy życie.“ Przechodząc do dzieła swego „Rzym“, które nań ściągnęło zarzut plagjatu, Zola wylicza mnóstwo prac, z których czerpał, i zapewnia, iż cała szpalta dziennika wystarczyłaby zaledwie na pomieszczenie tytułów wszystkich książek o Rzymie papieskim, które przeczytał. Wspomina też o osobach, które mu dostarczały cennych objaśnień podczas jego pięciotygodniowego pobytu w Rzymie, a kończy te swoje zajmujące wywody jak następuje: „Jeden z moich przyjaciół nazwał mnie przed laty olbrzymim rekinem. Nie wiedziałem, czy mam się za to obrazić, czy uważać to za pochlebstwo. Chodzi tu, zaznaczam, o rekina, który dąży za okrętem i wszystko pochłania. W gruncie rzeczy, gdy się dobrze zastanowię, ten „rekin“ to wielkie pochlebstwo. Tak, jestem z tego dumny, chcę być rekinem, tym rekinem, który pochłania całą swoją epokę. Mam do tego prawo, a jeśli temu istotnie podołam, — to w tem moja chwała. Człowiek wielkiej twórczości, człowiek czynu nie ma innego zadania, jak stulecie swoje spożyć, strawić i stworzyć nanowo, wlać w nie ponownie życie. Jakże nie mam wzruszyć ramionami, gdy jakiś jegomość podnosi przeciw mnie oskarżenie o plagjat? Zużyłem przeszło trzydzieści lat mego życia na wytwórczość, i istnieją dzieci, więcej niż tysiąc, którym dałem życie, i stronice za stronicami, cały świat osób i wydarzeń. Czy nie dostatecznie dowiodłem mojej męskości, jako twórca ludzi? Czy moja rodzina nie jest taka olbrzymia, że należy z szyderczym śmiechem przyjąć oskarżenie, iż kradnę dzieci cudze? Daj pokój, daj pokój, mały człowieku, możesz powiedzieć, że spotrzebuję wszystko, że sobie wszystko przyswajam, ale nikt ci nigdy nie uwierzy, że gromada moich dzieci nie pochodzi w istocie odemnie!“

BADANIA HISTORYCZNE.

W rocznicę śmierci Jana Sobieskiego.

Dzień 17-go czerwca 1696 roku! Tragiczna data. Koniec i początek bolesnego końca! Dwieście lat temu król Jan III umiera w Wilanowie, w rocznicę swojej elekcyi. Król? Nie! Króla nie stało już od lat kilku. Sterał się w walce z niesfornością szlacheckiego demosu, zniechęcił się i dał za wygranę. Komu? Szlacheckiemu demosowi, naturalnie — no, i Marysieńce. Na wyżynie królewskiej roli, do której los go powołał, nie potrafił utrzymać się. Urodził się i umiera szlachcicem. O! pysznym szlachcicem, wspaniałem uosobieniem tej dynastyi królewiątek, która od piętnastego wieku zbudowała sobie własną swoją Polskę, dla swojej własnej przyjemności, pociechy i wygody, i dźwigała ją w górę, podpierała ją ramionami swojemi, dopóki mogła.

Szlachcic, rycerz, husarz w stalowej zbroi. Patrzcie, orle skrzydła na barkach mu siedzą, a pod skrzydłami dusza do orlich lotów sposobna, szlachetna, dzielna. Ach, co za żołnierz! I nietylko w powodzeniu do wielkich podźwigów zdolny. Słuchajcie go po przegranej pod Parkanami: „Fortuna się odmieniła, mówicie? Zdepczę fortunę jak małpę!“ I nie tylko rębacz; wódz całą gębą, taktyk, strategik. Pamiętacie go pod Żurawnem? Dwa tygodnie oblężenia wśród zaimprowizowanych w polu okopów; dwa tygodnie harców z dziesięćkroć liczniejszym nieprzyjacielem, a potem najkorzystniejszy traktat, jakiego doczekała się kiedykolwiek rzeczpospolita z tej strony. A marsz pod Wiedeń! A szturm na obóz turecki z najmniej przewidzianej strony! A cała niesforna także rzesza niemieckich aljantów, trzymana w garści do ostatniej chwili, do zwycięztwa! Ale i po za placem boju nie prostak bynajmniej. Polityk, gracz wytrawny, wyćwiczony w niezrównanej szkole sejmów, sejmików i konfederacyi. Pilny czytelnik Machjawela, odzywający się z tem, że *„eventus non causae bellorum quaeruntur.“*

Czegoż mu brakowało tedy, aby być więcej, niż to, czem był, więcej, niż ostatnim jaskrawym promieniem zachodzącego słońca? O! wielu rzeczy. *Charakteru* najpierw. Tego nie wyrobiła w sobie, nie miała jak, gdzie i kiedy wyrobić brać szlachta. Od początku pojęła ona swój zawód jako romans bohaterski. Kilkotygodniowy, kilkomiesięczny w najgorszym razie bój z turkiem, czy z tatarzynem, a potem miły odpoczynek w domu. Dramat i sielanka. Zajrzyjcie też do tej wielkiej duszy wiedeńskiego bohatera: stal ostra i płytka; sztorcem tnie wybornie; ale na płask pierwszy lepszy szlachetka gnie ją kolanem aż do złamania. Otóż i złamał! Niech go tam! Z szabli złamanej będzie lemiesz. Szukajcie Żurawińskiego, żołnierza z r. 1691, w ostatniej, bezskutecznej, przez domowe burze zwichniętej wyprawie dla odzyskania Kamieńca. Nie zobaczycie go. Gospodarz tylko się został zabiegliwy. Dla kogo? Dla kraju? Gdzie tam znowu? Otóż i brak drugi w naszym ukrólewionym szlachcicu: brak pojęcia samego królewskości, jej przeznaczeń i jej zadań.

I spojrzyjcie więc jeszcze po domowem otoczeniu tego króla, tego boskiego pomazańca! Zobaczycie całą, powszednią, obyczajową czeladź szlacheckiego dworu. Na prawo, przy śmiertelnej pościeli, żona-francuzka. W tej uosobiło się znowu tradycyjne upodobanie do obczyzny, z jego znamiennemi cechami; wszystko to, cośmy polubili za granicami kraju i co przez długi szereg wieków staraliśmy się przyswoić sobie ztamtąd, więc paplanina francuzka, francuzki dowcip, francuzka ogłada i szyk, i szych, i błyskotki cudzoziemskie naogół. A zresztą nic, nic poważniejszego, praktycznego, użytecznego prawdziwie. Oto i on, Sobieski, oprócz żony, architektów z zagranicy sprowadził socie i pałac sobie wybudował we włoskim stylu. Ale ani śniło mu się wybudować jakąś fabrykę, zwerbować z Francyi czy z Niemiec jakichś rzemieślników, założyć jeden i drugi warsztat! Za to kochać umiał. Pamiętacie strzemię, oderwane od tureckiego siodła na wiedeńskiem pobojowisku, i posłane Marysieńce w upominku, z wiadomością o wielkiej wygranej?

Nie tak, o nie tak przystawało umierać polskiemu królowi! I czuje on to prawdopodobnie. I dlatego śmierć jego jest tak tragiczną! Mówią, że tonącym życie całe przesuwa się kalejdoskopowym obrazem przed oczyma. On od lat już kilku tonął — w rozgoryczeniu bolesnem, w sceptycyzmie beznadziejnym. „Niech ogień spali ziemię po mojej śmierci!“ — odpowiadał biskupowi płockiemu, Załuskiemu, zachęcającemu go do pisania testamentu. I zapewne stawało mu wtedy w oczach wielkie, straszliwe bankructwo całego, tylu nadziejami brzemiennego zawodu. Tyle trudów i tryumfów tyle, na co? dla jakiego rezultatu? dla zostawienia spadkobiercom jakiej spuścizny? Kraj rozdarty większą niż kiedykolwiek niezgodą, kłótnia Litwy z Koroną, Brzostowskiego z Radziejowskim, Sapiehów ze światem całym, sejmy zrywane raz po raz, wojsko nie płatne, zdemoralizowane. Zewnątrz, Europa z odmienionem od lat dwudziestu, i jakże groźnem teraz, niepokojącem obliczem....

Tam, na dalekim zachodzie, Francya, zniechęcona przystaniem do austryackiego przymierza i niemieckich familijnych związków, a zresztą chyląca się już do upadku. Tradycyjna jej opieka nad rzecząpospolitą, tradycyjna przewaga na targowisku elekcyjnem pod Wolą skończyły się. Znajdą się jutro inni, bliżsi licytanci! Ludwik XIV nadużył zdobytej hegemonii europejskiej i zużył w niej, wyczerpał narodowe siły. W szkole jego natomiast wyrośli od lat kilkudziesięciu inni kandydaci do wypuszczanego z rąk berła. Jeden w najbliższem zaraz sąsiedztwie: spanoszony kurfirst brandenburski. Niedawno do nóg padał królom polskim na rynku krakowskim, a dziś? Dziś własna poddanka króla polskiego, Radziwiłłówna, wolała kurfirstowego krewniaka, niż polskiego królewicza! I niemiec worał się od zachodu w szeroką piędź ziemi polskiej....

Przyjaźni francuzkiej nie zastąpiła austryacka. Wygrana pod Wiedniem ocaliła cesarstwo — na zgubę, rzec można, rzeczypospolitej. Marysieńka dostała strzemię, wojenna drużyna kilkadziesiąt bogatych namiotów, ale Polska co? Batory nie byłby poszedł pod Wiedeń. Byłby pokierował gdzieindziej, wyzyskał inaczej ten wielki, ostatni wysiłek rycerskiego animuszu. Ale Batory nie był szlachcicem. Dwuwiekowe bałamutne wspomnienia wojen krzyżowych nie pokutowały mu w głowie. Może zresztą było już zapóźno dla pchnięcia resztek narodowej energii, narodowego zapału w inną stronę. Rogaty pół-księżyc kłuł jeszcze oczy nabożnej szlachcie; innych nieprzyjaciół, innych niebezpieczeństw nie widziała ona, nie chciała widzieć. Domatorstwo opanowywało ją coraz bardziej, zasuwało w ospałą obojętność dla spraw wszelkich.

Sam Sobieski, jeżeli w przedzgonnych chwilach myślał boleśnie o rzeczach straconych, to dla tego, co się działo na wschodzie Europy, nie miał podobno zbyt przenikliwej troski. A działo się tam właśnie coś stanowczego dla przyszłych Rzeczypospolitej losów. Wyrósł tam człowiek, uosabiający także ciałem, umysłem i charakterem, milionową rzeszą, tylko nie swawolnej braci szlachty, a karnych poddanych. Ciało miał muskularne, umysł bystry a nawskroś praktyczny, charakter żelazny.

Mieszkał w chałupie, pełnił służbę prostego żołnierza, w czasach wolnych od obozowych zajęć trudnił się dziesiątką rzemiosł rozmaitych, i od siekiery, młota, piły, hebla, nosił nagniotki na palcach. Cudzoziemców lubił, ale nie pytał ich o ostatnie mody paryzkie, ani o żargon wersalskich salonów,

Uczył się od nich okręty budować, armaty lać i płótno wyrabiać na żagle. Z turkiem wiódł także wojny. Choć się więc wiązał także traktatami z Austryą, o podawaniu ręki wojskom cesarskim nie pomyślał wcale. W roku 1695 poszedł pod Azów, szukając drogi poprostu do morza Czarnego, do handlu ze Wschodem. Nie powiodło mu się; ale się uparł. Umiał być upartym, czego po za krótkotrwałą chwilą wojennego rozgorączkowania, nie potrafił nigdy żaden szlachcic polski. W roku następnym ponowił próbę, i właśnie na dzień Wilanowskiej katastrofy dopinał swojego celu. Ten szlachcicem nie był na włos jeden, ani romantykiem. Był monarchą.

W dziesięć lat później zobaczyła Rzeczpospolita tego sąsiada w swych granicach. A jeszcze pierwej staje w niej czwarty sąsiad od północy: Karol XII, zaprawiający się w tej chwili na niedźwiedziach do walki z połową Europy.

Może przyszłość majaczyła w głowie umierającego szlachcica, kiedy mówił Zaluskiemu o „żniwie złego, które tak urosło, że już o nic nie dbać i o nic troszczyć się nie warto, tylko o zbawienie duszy". Duszę zbawił zapewne. Anieli musieli ją zanieść na rekach wprost do nieba, tak była czystą i piękną, tylu cnotami zdobną! Nie skrzywdził nikogo; nie przelał niczyjej krwi niewinnej. A jak umiał, póki mógł, walczył, pracował, poświecał sie nawet. Tak, to co było w nim nieziemskiego, aniołom się dostało: ale resztę...

Trupowi tego rzekomego króla korony zabrakło. Marysienka wzięła koronę pod klucz, i wydać nie chciała. Poradził wierny druch bojowy, Matczyński: hełmem rycerskim przyodział głowę Wiedeńskiego zwycięzcy. Tak poszedł do grobu ostatni szlachcic wielkiego imienia, ostatni żołnierz dużej ręki w Polsce.

K. W.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Ruch kobiecy na ziemi galicyjskiej.

V.

Znowu o Tow. Szkoły Ludowej. Słówko o pensyonatach. Gimnazyum żeńskie. Nerwowy wiek. Jak u nas czytają. Walne Zgromadzenie „Koła pań".

Błogo czołem uderzać przed zasługą rzetelną. W tak miłem właśnie jestem położeniu. Pierwsza moja korespondencya w „Przeglądzie Pozn." wywołała wielkie rozgoryczenie wśród naszych stowarzyszeń kobiecych i jakby dla potwierdzenia słowa poety: „Gorzkie lekarstwo dobre skutki sprawia", spowodowała pewne ożywienie sennego ruchu. Zakrzątnięto się około wyznaczenia miejsca, gdzieby się zapisać można, oprócz lokalu Czytelni dla kobiet, o każdej porze do Koła pań z tow. szkoły ludowej i ogłoszono to we wszystkich dziennikach. Zdaje się, że teraz przynajmniej narzekać nie będą miały prawa te osoby, które jeszcze dotychczas do tego wielce użytecznego, podstawowego prawie w naszem społeczeństwie towarzystwa nie należą. Równocześnie te same panie zajęły się gorliwie rozsprzedażą numeru pamiątkowego „Małego Swiatka dla dzieci", który wydano w rocznicę dwusetną śmierci króla Jana III Sobieskiego. Rozsprzedano go w liczbie 14 tysięcy egzempl. a trzeba przyznać *suum cuique*, że stało się to jedynie dzięki energii wydziału towarzystwa szkoły ludowej; panie chodziły niezmordowanie po wszystkich naszych zakładach szkólnych, powierzając dyrekcyom i nauczycielom rozsprzedaż egzemplarzy dziesięciocentowych. Dochód z rozsprzedaży przeznaczono na cele towarzystwa.

Towarzystwo szkoły ludowej w Przemyślu, a głównie Koło pań tamtejsze, zajęło się urządzeniem kolonii wakacyjnych dla ubogich dzieci; zasługa staje się tem większą, że dotychczas w Przemyślu tej myśli nie podjęto jeszcze; Kolonie wakacyjne dla ubogiej dziatwy i kolonie lecznicze dla chorych dzieci znano nieomal wyłącznie we Lwowie i w Krakowie.

A skoro już o szkołach mowa, tedy zwrócimy uwagę na kwestyę pensyonatów u nas. Posiada ich sporo Lwów, Kraków, Przemyśl, Stanisławów i inne drugorzędne miasta. We Lwowie istnieją dawne pensyonaty o wyrobionej sławie i opinii, a do najznakomitszych należą zakłady p. Niedziałkowskiej i M. Bielskiej, autorki pierwszej u nas *historyi p dagogii* w języku polskim. Nieco mniejszą popularnością cieszy się pensyonat pani Zagórskiej, prócz tego istnieje w tym roku założony pensyonat panny Strzałkowskiej i Grusiewicz. Jak się dowiadujemy z wierzytelnych źródeł, zostanie od września br. począwszy otworzony nowy pensyonat dziesięcioklasowy w tej dzielnicy, w której dotychczas ani szkoły w pobliżu ani pensyonatu nie ma, to jest przy ulicy Mikołaja, — na drodze do sławnego parku Kilińskiego. Kurs szkolny po pensyonatach zakończył się i w końcu czerwca odbyły się zwykłe popisy wszędzie. Oczekiwania rodziców i publiczności interesowanej nie zostały zawiedzione, a mianowicie tracą coraz więcej na sile swojej zarzuty, z jakiemi odzywano się u nas do niedawna, że w pensyonatach kształcą głównie pamięć, nieuwzględniając myślenia. Rozsądne odpowiedzi uczennic na pytania zadawane przez obecną na popisach komisyę rugują zupełnie pojęcie dawniejsze o pensyonarskich pozytywkach.

W obec dzisiejszego ogólnego zdenerwowania i fizycznego zwyrodnienia należałoby jednak pomyśleć o radykalniejszej reformie pedagogii naszej. Odzywają się coraz liczniejsze głosy, domagające się wyrzucenia z repertuaru wiedzy w szkołach podawanej tych wiadomości, które jako arcy-abstrakcyjne, nie mają ani wartości utylitarnej ani nawet ogólnie kształcącego wpływu. Tedy zredukować matematyczną wiedzę szkólną do form najużywańszych i najpotrzebniejszych: gramatyki uczyć w sposób krótki, jędrny, na przykładach, a Boże broń, na teoryi opartej. Dążyć do tego, by nauczyć dobrze bodaj jednego języka obcego. Uczyć więcej literatury i gruntowniej nauk przyrodniczych. Do takiej koniecznej i bardzo upragnionej reformy zdążają nowe plany i programy, jakie w roku przyszłym zostaną wprowadzone w lwowskich i krakowskich szkołach wydziałowych. Będą one już, nie jak dotychczas ośmioklasowe, lecz dziewięcioklasowe.

W Krakowie prawdopodobnie gimnazyum żeńskie, pierwsze na ziemi galicyjskiej, ściągnie więcej studentek, aniżeli nawet zreformowane szkoły wydziałowe. Lwów na gimnazyum poczeka sobie jeszcze, jakkolwiek i tutaj znalazła się fundatorka hojna i cały swój majątek przeznaczyła zrazu na wzniesienie a przynajmniej zapoczątkowanie gimnazyum żeńskiego. Była to niejaka panna Kosko, odbywająca niegdyś studya w Zurichu. Gdy we Lwowie oświadczyła gotowość ofiarowania swych 20 tysięcy na gimnazyum żeńskie, zagrały wszystkie pisma radosną reklamą, lecz nagle zdarzył się fakt, wprawdzie zwyczajny, ale w tym razie niespodziewany: Panna K. wyszła za mąż i fundacyę wzięły w opiekę duchy hymenu. Zawód bardzo był nieprzyjemny, a niedoszła fundatorka próbowała wrażenie niemiłe ułagodzić, pisząc, że nigdy owych 20 tysięcy nie zapisywała na gimnazyum, lecz tylko *rentę z nich*, czego i obecnie nie cofa. Co dalej... nie wiemy. Zdaje się, że nic. Na razie zatem mamy jedynie gimnazyum w Krakowie, wpisy już się odbywają, plan nauk szczegółowo został wypracowany. Wobec ogromnej hyperprodukcyi zawodu nauczycielskiego, jak również przepełnienia na posadach kobiecych pocztowych, nowe pole studyów i pracy jest rzeczą niezbędną, i jest nadzieja, że studya gimnazyalne u nas otworzą obfite źródła wiedzy i życia, a temsamem zmniejszą zaciętą walkę o byt, która toczy się w obecnych dziedzinach pracy kobiecej.

Wspomnienie o walce przypomniało mi znowu wrzenie umysłów pośród czynniejszych członków lwowskiego Koła pań tow. szkoły ludowej. „Przegląd Poznański" za mało ma u nas abonentów, jak to w Galicyi wogóle ludzie prenumerowanie pism poważniejszych uważają jeszcze za zbytek. Stąd też ktoś przeczytał artykuł o stowarzyszeniach galicyjskich w „Przeglądzie Poznańskim" opowiedział komuś drugiemu, ten drugi, czy ta druga mniej dokładnie trzeciemu, ktoś trzeci jeszcze niedokładniej, ale z tem bujniejszem zabarwieniem fantazyi komuś czwartemu — i tak wszyscy *niby czytający* opowiedzieli jednę i tę samą rzecz w najniewłaściwszy sposób, tak, iż w końcu urosła bajka, iż artykuł, o którym mowa, przedstawia w czarnych kolorach całe towarzystwo szkoły ludowej i jego tendencye. Otóż ośmielamy się spytać przedewszystkiem: Czy jest u nas chociażby najbardziej miałki umysł, któryby mógł potępić tendencye towarzystwa szkoły ludowej? Przy sześciu zdrowych zmysłach, a chociażby przy pięciu — tego nikt w całej Polsce nie uczyni, boć każdy czuje i rozumie to doskonale, że to rdzeń naszego bytu, dusza naszych dążeń.

A teraz drugie pytanie: Czy wytknięcie usterek jednej z kilkudziesięciu filii towarzystwa (bo „Koła" niczem innem nie są, jak tylko filiami) może uchodzić za potępienie całego towarzystwa, albo chociażby tej jednej filii? Wytknięcie usterek to nie potępienie, to jeno pragnienie, by nic nie stało na przeszkodzie towarzystwu do pomyślnego rozwoju. A po trzecie: Łaskawe Panie, czemu nie przeczytałyście odnośnego artykułu, jeno polegacie na wykrzywionem powtórzeniu z dziesiątej lub dwudziestej ręki?

Po tem rozstrząśnięciu sprawy przystępujemy jeszcze do zanotowania, że w końcu ubiegłego tygodnia, t. j. 26 czerwca odbyło się walne zgromadzenie „Koła pań" towarzystwa szkoły ludowej. W obecności kilkudziesięciu osób sekretarka zdała sprawę z czynności Wydziału, od którego dowiadujemy się, że lwowskie Koło pań liczy 805 członków. Takiej liczby nie dosięgało u nas żadne Towarzystwo; dalej, że w ciągu roku 1895 Wydział odbył 30 posiedzeń i jedno nadzwyczajne zebranie, na którem głównie poruszoną była myśl budowy szkoły w Białej. To też cały rok krzątano się około zbierania funduszów na ten cel i posłano 118 złr. 90 cent., nie licząc funduszu uzyskanego ze sprzedanych cegiełek (książeczki z kartkami po 10 cent.) przysłanych z Zarządu głównego z Krakowa. Dalej zajęło się Koło pań budową szkoły we wsi Łukowiec i posłało na tę budowę 1000 złr.

Ażeby zebrać fundusz odpowiedni urządzono płatne odczyty, koncert i staropolskie święcone. Dochód z samego „Święconego" wynosił 930 złr. Poszczególne komisye lwowskiego Koła pań zaopatrywały czytelnie, w książki, ubogą dziatwę w ciepłą odzież źle uposażone szkoły w kajety oraz w przybory do nauki i do robót ręcznych, a komi-

sya przemysłowa zajmuje się wydawnictwem papierów listowych z winietami towarzystwa szkoły ludowej. Nadto Koło pań udzieliło stypendyum dla kształcącego się na nauczyciela ludowego M. O. w kwocie 60 złr. Do budowy szkoły w Uhnowie przyczyniło się „Koło“ kwotą 66 złr. i jeszcze wedle wymagań statutu wysłało Zarządowi głównemu w Krakowie 422 złr. 35 cent. Jak na przeciąg jednego roku zrobiono w istocie sporo, zwłaszcza, gdy się uwzględni, że członkowie czynni zajęci są pracą swą zawodową, sporo czasu zabierającą, — a Wydział obejmuje tylko ośmiu członków. Bardzo tedy słusznym jest projekt pomnożenia członków wydziału. Piękny ten rezultat prac całorocznych każdego utwierdzić musi w przekonaniu, że jakkolwiek są obojętni i obojętne, to nie brak takich, co umieją sprężyście wziąć się do czynu. Oby w przyszłym roku przyszło nam na czele sprawozdania położyć liczbę członków nie 800 lecz ośm tysięcy.

J. Aleksota.

Walka z alkoholem

w Północnej Ameryce.

II.

Nie ma chyba rozumnego człowieka, któryby nie uznawał korzyści połączonych ze spoczywającym na racyonalnych zasadach i trzymającym się we właściwych granicach ruchem, dążącym do szerzenia wstrzemięźliwości. Ale jak wiadomo, natura Amerykanina skłonną jest do krańcowości. Skoro jakakolwiek idea zdobędzie sobie popularność, natychmiast ujawniać się zaczyna przesada w jej propagowaniu. Tak wyrodził się tamże ruch wstrzemięźliwości, skoro od umiarkowanych jego krzewicieli, nie uważających bezprzesadnego używania gorących napojów za grzech śmiertelny, odłączyła się partya, która niezadowolona z powyższem zapatrywaniem, nietylko sobie samej nakazywała zupełną wstrzemięźliwość (total abstinence) od wszelkich gorących napojów, ale starała się także wmusić tę abstinencyę swym współbraciom. W zapale swym apostolskim, posuwającym się tak daleko, że wyganiali wino z kielichów do komunii i zastępowali je zabarwioną wodą lub moszczem, stali się ci ludzie fanatykami, którzy niezadawalając się głoszeniem wstrzemięźliwości z ambon i mównic, starali się skłonić ciała prawodawcze pojedyńczych stanów do uchwalenia praw, zakazujących wyrobu i sprzedaży napojów wyskokowych. W stanach, w których dzierżył przewagę, przybyły pospołu z purytaninami do Ameryki surowy duch kościelny, prohibicyoniści (od prohibition, zakaz) łatwe odnieśli zwycięstwo, i w rzeczy samej udało im się już w latach 1846 i 1851 wpłynąć do tego stopnia na legislaturę stanu Maine, że uchwaliła tak zw. prohibicyjne prawo. I w innych stanach zwyciężyli prohibicyoniści, tak w r. 1858 w Vermont, w 1854 r. w Conecticut, 1855 w New-Hampshire i New-York, później w Rhode Island, Delaware, Massachussets, Ohio, Indiana, Illinois, Michigan, Jowa, Dakota, Nebrasko i Kansas. Od połowy bieżącego wieku stali się prohibicyoniści poważnym czynnikiem politycznym, mianowicie odkąd się połączyli w narodowe stronnictwo, które w r. 1872 postawiło własnego kandydata na urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych. W programie swym politycznym domagali się zupełnego zakazu wyrobu i sprzedaży gorących napojów. W uznaniu ożywionego udziału kobiet w szerzeniu wstrzemięźliwości domagali się oprócz tego prohibicyoniści rozszerzenia prawa ogólnego głosowania na kobiety w przekonaniu, że przyznanie tego prawa płci słabszej wzmocni w wysokim stopniu potęgę „prohibition party“.

Gwałtowna agitacya tych fanatyków umiarkowania, nie liczących się wcale z nawyknieniem i zwyczajami swych współbraci, z samej natury rzeczy obudzić musiała ducha oporu, zwłaszcza w kraju, którego konstytucya zapewnia obywatelom jak najobszerniejszą swobodę osobistą. W razie, gdyby przesadzone wymagania prohibicyonistów uzyskały moc prawną, to obawiać się należało, że prędzej czy później i inni fanatycy starać się będą o uchwalenie zakazów, używania tytoniu, zwiedzania teatrów, koncertów i balów, które to niewinne rozrywki, jak wiadomo w oczach niektórych świętoszków za takie same uchodzą zgorszenie, jak spożycie bifsztyku w oczach wegetaryanów, uważających w tem spożywaniu „trupów zwierzęcych“ wstrętny zabytek ludożerstwa. Ponieważ trzeźwo myślący abywatele nie chcieli się narażać na takie następstwa, przeto zaczęto zakładać przeciwne stowarzyszeniom wstrzemięźliwości związki, które przez wybór liberalnych urzędników, dążyły do zniesienia lub przynajmniej łagodnego wykonywania praw prohibicyjnych, co im się też udało w kilku z wyżej wymienionych stanach, tak że dzisiaj zakaz używania gorących napojów istnieje jedynie w Maine, New-Hampshire, Jowa, Vermont, obu stanach Dakota i Kansas.

W walce tej przeciwko wstrzemięźliwości wybitny biorą udział Niemcy, zamieszkali w Stanach Zjednoczonych, nietylko jako potomkowie narodu, z dawien dawna hołdującego pijaństwu, lecz głównie i z tego powodu, że znaczna bardzo liczba Niemców zainteresowana jest w wyrobie i sprzedaży gorących napojów. Fabrykantom jednak gorących napojów i szynkarzom agitacya ta szerzenia wstrzemięźliwości, nietylko pod względem materyalnym dała się we znaki. Prohibicyoniści nie ograniczyli się bowiem na samem wyklęciu alkoholu, lecz jako prawdziwi fanatycy ogłosili za pozbawionych czci wszystkich tych, którzy się trudnią wyrobem i sprzedażą gorących napojów. Zapatrywanie to przyswoili sobie w ostatnich czasach pewni, polujący na głosy prohibicyonistów politycy, oświadczając jawnie, że szynki stoją na tym samym poziomie co pewne inne domy publiczne, oraz, że handel gorącemi napojami stanowi największą zbrodnię przeciwko przyzwoitości i moralności. Na uwagę zasługuje dalej, że w ostatnich czasach z wielu katolickich lóż i związków wykluczeni zostali piwowarzy, destylatorzy, szynkarze i w ogóle osoby, trudniące się sprzedażą gorących napojów.

Jeśli z jednej strony środki te wywoływały niepotrzebnie nienawiść i rozgoryczenie, to z drugiej znów zakazy te nie wywarły oczekiwanego dobroczynnego wpływu na moralność publiczną. Przeciwnie stwierdzono, że zakazy wyhodowały oszustwo, obłudę i najwstrętniejszy z wszystkich nałogów: tajne pijaństwo. Nie zaprzeczy temu nikt obeznany cokolwiek bliżej ze stosunkami, panującemi w stanach prohibicyjnych. Wszędzie omijano zakaz sprzedaży piwa, wina, whiskey w ten sposób, że napoje te sprzedawano pod innemi nazwami, jako „sos niemiecki“, „morską pianę“, „napój boski“, „herbatę brunatną“ i t. p. Zamiast z kufli pito piwo z filiżanek do kawy, lub jedzono łyżkami z talerzy. Ponieważ lekarzom wolno było zapisywać płyny alkoholiczne, przeto szynkarze zamienili się w przeciągu jednej doby na lekarzy, zapisujących cierpiącym na pragnienie pacyentom w najliteralniejszy sposób te dawki alkoholu, jakich wymagał stopień ich choroby, czy pragnienia. Inni szynkarze zamykali ostentacyjnie główne bramy swych zakładów, zaopatrywali jednak stałych swych gości w klucze do drzwi bocznych. W Desmoines, w stanie Jowa, założyli szynkarze w dowcipny sposób ze swymi gośćmi towarzystwo akcyjne, w ten sposób, że każdemu członkowi towarzystwa przysługiwało prawo nabyć każdego czasu akcyę, wartości ćwierć dolara i akcyę tę niezwłocznie zrealizować w piwie, winie, lub whiskey. Szynkarz więc nie „sprzedał“ piwa i literze prawa stało się zadość.

W hotelach omijano zakaz w ten sposób, że za napoje skonsumowane przez gości nie pobierano zapłaty lub nie umieszczano jej w rachunku, lecz obliczano należność pod rubryką „extra“. W klubach „wypożyczano“ jedynie członkom butelki, napełnione winem lub piwem, zobowięzywano ich jednak do zwrotu nieuszkodzonych butelek. Następowało to przy najbliższej podróży do stanu nieprohibicyjnego, zkąd przemycywaną bywała taka sama liczba pełnych butelek, jaką wypróżnił członek klubu, w starych kufrach i skrzyniach do lokalu klubu.

Stosunki te, otwierające na rozcież wrota obłudzie i oszustwu, wynikające ztąd, że apostołowie umiarkowania sami nie znają miary, istnieją w stanach prohibicyjnych do dnia dzisiejszego, a istnienie ich odczuwane bywa przez wszystkie trzeźwo myślące jednostki jako hańba, niegodna kraju, szczycącego się tak chętnie, że jest najswobodniejszym na całej kuli ziemskiej.

K.

Olbrzymi kanał.

Francya nie straciła jeszcze śmiałości do wielkich pomysłów po sprawie panamskiej i śmierci Lessepsa. Obecnie stworzyła ona niezwykły projekt, tem bardziej zasługujący na uwagę, że już go traktują nie jako fantazyę, ale rzecz, mającą, podstawy realne. Oto postanowiono połączyć olbrzymim kanałem morze Baltyckie z Czarnem. Według opisu, podanego w Nord na podstawie informacyi p. Flourensa, jednego z inicyatorów przedsięwzięcia, dzieło to ma się tak przedstawiać: Kanał przejdzie od Rygi do Chersonu. Według projektu powinien on mieć 64 metry szerokości na powierzchni wody i 25 m. na dnie, przy głębokości 6 i pół m. Pozwoli to na przypływanie największych statków handlowych i wojennych z jednego morza do drugiego. Ogólna długość wynosić ma 1,800 kilometrów, Kanał przejdzie korytem Dźwiny, Berezyny, a następnie Dniepru. Pomiędzy Dźwiną a Berezyną będzie urządzony kanał łączący. Wielkie jezioro centralne, mające około 250 hektarów między Prypecią a Berezyną ma być zachowane, przy pomocy Prypeci będzie się łączyło z Niemnem i Wisłą. Na całej długości kanału w główniejszych miastach mają być urządzone porty, mianowicie w Chersonie, Nikopolu, Aleksandrowsku, Ekaterynosławiu, Krzemieńczuku, Kaniowie, Kijowie, Dźwińsku, Rydze. Dalej za pomocą skanalizowania rzeczek bocznych główna droga może być połączona z szeregiem miast, jak: Czernihów, Połtawa, Żytomierz i t. d. Siła spadku wody ułatwi urządzenia oświetlenia elektrycznością na całej przestrzeni, co pozwoli na pływanie statków zarówno w dzień, jak nocą. Na przejazd kanałem z Rygi do Chersonu potrzeba będzie sześciu dni, licząc przeciętnie 6 węzłów na godzinę. Od chwili rozpoczęcia robót kanał może być ukończony w ciągu lat 5-ciu. Inicyatorowie przedsięwzięcia pragną otrzymać koncesyę na lat 66, rząd ma gwarantować 4 proc. od

akcyi i 1 proc. na amortyzacyę. Państwo otrzyma prawo bezpłatnego przewozu statków wojennych i transportowych i będzie posiadaczem pół części akcyi.

Podziwiać tu trzeba śmiałość pomysłu i zarazem dobrze wyrachowaną jego celowość. Taki kanał zrobiłby olbrzymi przewrót w komunikacyi morskiej całej Europy, a pośrednio i innych części świata. Transporty, odbywające dziś długą drogę dokoła Europy południowej przez cieśninę Gibraltarską i Dardanelską, zyskałyby znacznie na skróceniu czasu i przestrzeni. Cały punkt ciężkości handlu morskiego przeszedłby z portów południowych i zachodnich ku północnym; taryfy wreszcie uległyby również przewrotowi; słowem północna droga morska ożywiłaby się znacznie i za pośrednictwem morza Czarnego, tudzież kolei Zakaukazkich i Zakaspijskich wpłynęłaby na przekształcenie stosunków wymiennych ze Wschodem azyatyckim. Oczywiście udział znaczny w tym ruchu wezmą: Ameryka północna, Anglia i Niemcy.

Co zaś do Rosyi, kanał ten będzie miał dla niej niezmiernie doniosłe znaczenie zarówno pod względem handlu zewnętrznego, jak i warunków ekonomicznych wewnątrz państwa, szczególnie na całej przestrzeni olbrzymiej między Bałtykiem a morzem Czarnem. Zbudowanie portów morskich na kontynencie, — to jest dzieło przechodzące wszelkie dotychczasowe marzenia. Wyobraźmy sobie, jak dalece zmienić się może charakter tych rozległych płaszczyzn, ile nowych czynników wprowadzi ta arterya morska do życia ekonomicznego i społecznego milionów ludności, rozsianej nad brzegami Dźwiny zachodniej, Berezyny, Prypeci, Dniepru i ich dopływów. Podania mówią o szczątkach wielkich statków, które znajdowano w głębi bagnisk poleskich i ztąd wnoszono, że tam niegdyś panował żywioł wód bezbrzeżnych. Tradycya z zamierzchłych czasów zbudzi się w rzeczywistości z tą różnicą, że ów żywioł już nie bezbrzeżny, lecz ujęty w łożysko, przez sztukę inżynierską zbudowane, poniesie na swych grzbietach ten cały kolos handlu międzynarodowego i strategii, krążący dzisiaj po rozległych przestworach wód morskich. Obecne drobniuchne żyłki komunikacyjne, służące dla spławu materyałów drzewnych do Chersonu, Mikołajewa, Memla, lub dla drobnego handlu krajowego, stałyby się naraz potęgą interesów międzynarodowych. Kijów, Krzemieńczuk, Ekaterynosław walczyłyby o lepsze z pierwszorzędnemi portami morskiemi.

Zważmy jeszcze, jak doniosłą rolę odegrać może na przyszłość olbrzymia droga wodna dla floty rosyjskiej, która dziś, skutkiem warunków geograficznych, stanowi parę grup oddzielnych. Flota baltycka nie może zasilić czarnomorskiej, chyba bardzo długą drogą dokoła Europy, co w pewnych wypadkach strategicznych jest rzeczą niemożliwą.

Nie wnikamy w stronę techniczną tego kolosalnego przedsięwzięcia, o którego wykonanie toczą się już podobno układy. To tylko nadmienimy, że znacznem ułatwieniem zapewne będą łożyska rzeczne, których pogłębienie, rozszerzenie i ujęcie w ściśle karby, zależy od sztuki inżynierskiej.

Zn. P.

TO I OWO.

Z mętów społecznych.

Zamordowanie baronowej de Valley przypomniało Paryżowi, że istnieje w stolicy cała armia złoczyńców. Wydano prawo, pozwalające wysłać na całe życie do kolonii dalekich złodzieja kilkakrotnie skazanego, ale prawo to rzadko bywa zastosowane, ponieważ koszt podróży wysoki, ucieczki częste, a na miejscu nie umieją z temi żywiołami dać sobie rady. Setki ludzi praktykuje w Paryżu grabież i mord, jako jedyne rzemiosło, zbierają się po knajpach, obradują spokojnie, policya płaci szpiegów, lecz zwyczajnie uwiadomiona jest po czasie. W świecie złodziejskim najgorsza kategorya najmniej naraża się. Są złoczyńcy, którzy jedynie szukają, gdzie można zbrodnię korzystną wykonać i wskazówek tych udzielają odważniejszym. — Zwykle skazani są stręczyciele zbrodni arcyłagodnie, do zbrodni ręki nie przyłożyli, nie byli naocznymi jej świadkami. Po roku więzienia wracają do swoich poszukiwań.

Baronowa Valley była skąpą lichwiarką. Żyła z gałganami, wynajdującymi jej nieszczęśliwców, których niemiłosiernie wyzyskiwała. Za totumfackiego używała młodego łobuza Lagueny, który złoczyńcom z profesyi podał myśl zgładzenia jej. Jego historya jest historyą tysięcy mu podobnych, wałęsających się po Paryżu zbójców.

„Nie miałem grosza. Wiedziałem, że baronowa mi testamentem coś zapisała. Postanowiłem szukać takich, coby ją zamordowali. Była bardzo stara. Nie skracało to znacznie jej życia. Zkąd pochodzę, nie wiem. Nazywam się Lagueny, ale nie jestem pewny, czy to prawdziwe moje nazwisko. Matka mną się nie zajęła. Puszczono mnie małym chłopcem na ulicę. Żyłem czasem z jakich robocizn, zwykle strawę moją dostawałem w *fourneaux économiques*. (Jest to instytucya dobroczynna, rozdająca darmo trochę zupy i kawałek mięsa). Spałem w nocnych publicznych schronieniach. Nie umiem ani czytać, ani pisać. Ferrau i Kiesgen, którzy wprowadzeni do mieszkania baronowej, udusili ją, są „darwiniści“ praktykujący.“ „Wielka to rzecz! — odpowiedział Kiesgen sędziemu śledczemu — nie tak strasznie skrzywdziliśmy staruszkę, zabijając ją. Nie pozostawało jej, jak kilka miesięcy życia. Gdyby była młodą, zawahałbym się. Starej nie było czego żałować“.

Walka o życie wyradza podobne rozumowania w istotach, w których sumienie nie rozbudziło się, które wychowały się i żyły w najohydniejszem otoczeniu. — Cywilizacya szczyci się z elektrycznego oświetlenia ulic, a w szkołach ludowych nawet dziesięciu przykazań już nie uczą i dzieci, pozbawione opieki moralnej, rosną narażone na najgorsze pokusy stolicy, nie słyszawszy nawet o prawdach, które naprowadziłyby je na właściwą drogę. Lagueny aresztowany, odpowiedział: „Nic sobie z tego nie robię! Nie mam już ani grosza. Wspólnicy moi okradli mnie w podziale łupu. Wydam ich i zemszczę się“. Samą siłą materyalną nie poskromi się dziczy zgłodniałej, zepsutej do szpiku, rojącej się po mieście: siły moralnej brak społeczeństwu zmateryalizowanemu, które dba o zabezpieczenie bogactw swoich, a nie o poprawę bytu i duszy nędzarzy.

* * *

Z wystawy hygienicznej w Warszawie.

Na wystawę hygieniczną w Warszawie przysłał Dr. Wysokiński nader ciekawy zbiór przedmiotów, odnoszących się do samoleczenia i praktyk znachorskich ludu z okolicy Międzyrzeca. Są tam przedewszystkiem „korzenie maciczne“; paznogcie, obcięte od „zimnicy“, które zakopują w ziemię, parę drągów osowych do nacierania brzucha „od uroków“, stalowe obrączki, mające zabezpieczać od choroby św. Walentego. Dalej widzimy szklankę z kawałkiem chleba i wetkniętemi w niego 3-ma zapałkami, „do stawiania na pępku „nitkę z miotły“ od womit; woreczek z jakiemś zielem „od złego oka“; pas ze skóry węgorza od gośćca; igłę, którą łamią nad dzieckiem w czasie konwulsyi, „wilcze gardło“ od bólu gardła, pasek antycholeryczny żydowski, mąka na sołoduchę itp. Zważywszy, że wszystko to zebrane przez jednego człowieka, widzimy, jakie bogactwo tego rodzaju zbiorów moglibyśmy mieć przy dobrej woli inteligentnych lekarzy z innych okolic kraju.

Obok tych zbiorów wisi kilka tablic z modlitwami znachorskiemi, z których jedną pozwolimy sobie przytoczyć:

W Imię Ojca—itd. Zdrowaś Marya-—itd.

Różo, rózico!
Kołtunie, kołtunico!
Macico, macico!
Wyleź z głowy w piersi,
Z piersi w brzuch,
Z brzucha w kości,
Z kości w golenie,
Z goleni w stopy,
Ze stóp w palce,
Z palcy na sto łokci w ziemią.
Nie ja lekarz,
Pan Bóg lekarz;
Ciebie boli, ty wyrzekasz.
Czy pomoże, czy nie pomoże,
Zapłać nieboże!

Na Wyłomie.

(Sylwetki Sokołów.)

Szanowna Pani!

Obiecałem, że w Twoje Zakopiańskie ustronie prześlę ci bukiet niezapominajek z sokolskiego święta. Lękam się jednak, że w szeregu tych, którzy kwiaty takie u stóp Twoich złożą, będę ostatni, — że moje niezabudki nic Ci nie powiedzą, prócz tego, co starsze ich siostry, inną zerwane ręką, już zdradziły Tobie. Za żadną cenę nie chcę znudzić Pani, — jesteś piękną, gdy mówisz, piękną, gdy milczysz, piękną, gdy się uśmiechasz, lecz gdy ziewać zaczniesz.... tu jak Słowacki kropki tylko kładę. Zrozumiesz więc, że z roli urzędowego herolda muszę rezygnować i z wspomnień moich te tylko dobędę, które ani płomieni ani akcentów silnych może nie posiadają, których jednak widz przelotny, nie wtajemniczony w głębiny życia sokolskiego, pozbierać nie umie.

Sokół! ptak w ptaka szary i amarantowy, lecz podaj mi rękę i pójdź w tłum szeroki, wsłuchaj się w głosy zmieszane, połóż dłoń na sercach, a wtedy zadziwisz się może różnobarwnością tych sokolskich typów. Ot! widzisz, ten wysoki mężczyzna z krótko przystrzyżoną brodą, gestykulujący tak żywo, o błyszczących oczach, to jeden z najlepszych i najdzielniejszych Sokołów. Patrz! jakiś „cywil“ zbliża się do niego, — on patrzy z pogardą i pyta:

— Pan nie sokół?

— Nie, panie!

— Tfu, do djabła, to pan nie człowiek.

Tak! piękna pani, — to fanatyk u którego człowiek „zaczyna się dopiero od sokoła“, — oczywiście kobiety stanowią wyjątek z reguły ogólnej. Jest on inżynierem rządowym w małej mieścinie galicyjskiej, a nie posiadając karku giętkiego i gardząc bluszczową wegetacyą, nie umiał sobie zaskarbić łaski cesarsko-królewskiej. Więc rzuca nim władza jak piłką z miasta do miasta, a on idzie z uśmiechem na twarzy, i gdzie nogę postawi, Sokoła zakłada. Prześliczna postać! twarda, nieugięta, cała oddana idei sokolskiej. Widzi pani, jak jednemu z towarzyszy odrywa kwiat od munduru. Rzuca go o ziemię i mówi:

— „Zostaw to druh lowelasom“.

Właściciel róży zamroczył się, lecz spojrzał na wstęgę prezesa i salutując, bez słowa odstąpił. W tej chwili jakaś młoda jeszcze kobieta z małym chłopczykiem zbliża się do surowego Sokoła. — Powitał żonę, ucałował chłopca.

— Przychodzimy po ciebie Władku. Henrykowie czekają z herbatą.

Potrząsnął głową.

— Nie mogę, najprzód służba sokolska.

— Ależ ..

— Żadnego ale. Wiesz dobrze, że skoro mundur włożę na siebie, to domem moim, żoną i dzieckiem jest sokół.

Pani się uśmiechasz... a przecież jest w tym fanatyźmie urok przedziwny, jest siła elektryzująca, jest twórczość wielka, co sen w życie zmienia. Ten człowiek już osiem gniazd sokolskich założył.

Niestety, takich bronzowych postaci w tym tłumie nie wiele. Częstszym natomiast jest typ sokoła z różyczką, w eleganckich butach, w zgrabnie skrojonym mundurku, z ufryzowaną czupryną, podkręconym wąsikiem i złotym łańcuszkiem na amarantowej koszuli. W pochodach rzuca ten sokolski galant tęskne spojrzenie tam, gdzie z okien wychylają się uśmiechnięte twarze kobiece, i przeklina w duszy tysiąc razy zakaz naczelnika, by nie zbierać kwiatów sypanych pod nogi. Ach! gdyby mógł, obwiesiłby się niemi jak orderami kotyljonowy wodzirej.

Typ to pospolity i wcale nie ciekawy. Wiem, Szanowna pani, jak głęboko pogardzasz perfumowaną, czeredą pawi salonowych, i wiem, że paw sokolski tem większą obudzi w tobie odrazę. Pójdźmy więc dalej! Zbliżmy się do owego stolika, gdzie wśród grzmiących oklasków słychać głos mundurowego retora. To typ sokolskiego patetyka. Gdziekolwiek stanie, tam strzeli oracyą. W oczach jego błyszczą iskry zapału, w głosie gra muzyka energii i natchnienia, mówi o posłannictwie sokołów, o skarłowaceniu społeczeństwa, o braterstwie i subordynacyi, — porywa, zapala, entuzyazmuje. To teoretyk sokolstwa, niezbędny tam mianowicie, gdzie idea nasza ozdobiła ciało, lecz krwią i duszą jeszcze się nie stała. Na boisku nie ujrzysz go nigdy, lecz na wycieczkach, festynach. wieczornicach on wódz i bohater. Widzi Pani, jak rękę podnosi, słyszy pani, jak grzmią oklaski, — a teraz skończył, zdejmuje czapkę i prosi o składki na sztandar, na budowę sali gimnastycznej. Sypią się centy i korony, jakiś stary obywatel rzuca garść papierków, ktoś trzeci zbliża się: Panie, gdzie ja się mogę na druha zapisać?

Ten patetyk kruszy mur obojętności, mnoży drużyny, gromadzi kapitały sokolstwa.

Jeszcze chwilkę cierpliwości, Szanowna Pani, już podróż nasza zbliża się ku końcowi. Chciałbym ci jeszcze pokazać sylwetkę sokoła-biurokraty. Szukać go trzeba na posiedzeniach wydziałów, w komisyach organizacyjnych, w ciałach prawodawczych. To także w swoim rodzaju entuzyasta sokolstwa, — często więcej zapracowany niż gimnastyk lub retor. a zwykle pozbawiony efektownego uznania, głośnych oklasków i kadzideł tłumów. Cichy pracownik zna na pamięć wszystkie ustawy, czytuje sumiennie od deski do deski każdy numer „Przewodnika“, pisuje setki korespondencyi, redaguje odezwy, układa plany, czuwa nad każdym kółkiem wielkiej maszyny, jednem słowem to sokół biurowy, nieoceniony tam mianowicie, gdzie organizacya nie doczekała się jeszcze zupełnego wykończenia i nici rwą się lub plączą bezustannie. Zwykle krzywo się trzyma, mundur ma zaniedbany i okulary na nosie.

Wypadałoby na końcu zaprezentować typ g i m n a s t y k a — a r y s t o k r a t y, spoglądający z wysoka na każdego druha, który nie jest bywalcem boiska, mięśni żelaznych nie posiada, młyńców karkołomnych się lęka i munduru nigdy na trykot nie zmienia, — lecz zdaje mi się, że ta wędrówka po sokolskim świecie już znudziła towarzyszkę moją. Cóż począć? Interesujące momenty zlotu opowiedzieli Ci inni, więc nie pozostało mi nic innego, jak zadowolić się skromną rolą przygodnego portrecisty.

Być może, że kiedyś, gdy razem z Tobą słuchać będę łoskotu szumiących potoków i spoglądać na góry-olbrzymy, znajdę dla wspomnień swoich silniejsze i płomienistsze barwy, a wtedy raz jeszcze roztoczę znane Ci obrazy sokolskiego życia i dumać będę wraz z Tobą nad tym narodem, który jest kruchy jak wapień, a któremu twardości granitu potrzeba. Dziś jednak jestem daleki od Tatr, daleki od Ciebie, — znużony walką, pospolitością życia naszego, małym światem i małymi ludźmi. Zazdroszczę Ci gór, a górom zazdroszczę Ciebie.

Wypowiedziawszy tak zuchwałe słowo, należałoby się wzorem typowych feljetonistów coś szepnąć o wachlarzu, którym ręka Twoja śmiałka ukarać powinna. W samą porę przypominam sobie jednak, że Pani tam w Tatrach nie wachlarz, lecz siekierkę góralską piastujesz. Wilka z lasu wywołać nie pragnę, kończę więc bez wachlarza.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA

Z o f j a K o w e r s k a. Na służbie. Powieść, 2 tomy. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1896, str. 292 i 257.

Wychowana w zbytku i pieszczotach 23-letnia Alina Stamarska przekonywa się nagle, że w świecie trzeba ciężko pracować. Ojciec jej traci posadę i zamożnej rodzinie grozi nędza. Panna Stamarska jedzie więc „na służbę“, jako nauczycielka, do bogatego domu obywatelskiego na Litwie. Trafia tam do szczególnego środowiska: dziwaczna i despotyczna pani Skierczyna, tocząca ciągłą wojnę z zięciem Prędowiczem, wdowcem; stary mąż Skierczynej, nałogowy pijak i karciarz, rzucający się na nią ze scyzorykiem; syn Skierczynej, rozumny i zacny Juliusz, urzędowy narzeczony chorowitej Koci Kowzgirdówny; różne nieme figury przy stole, chytra bona francuzka i t. d. Przyjęta zrazu niegrzecznie, młoda „warszawianka“ zdobywa potrosze serca otaczających. Prędowicz, milioner, roznamiętniony jej wdziękiem, ofiaruje jej rękę i pieniądze, lecz ona go odrzuca. Kocia podejrzywa ją o niecne schadzki z narzeczonym i z trudnością daje się przekonać o jej uczciwości; jeden z kuzynów domu brutalnie ją zaczepia i dostaje odprawę. Po długich walkach wewnętrznych Juliusz Skierka zdołał nareszcie podbić serce nauczycielki i, zerwawszy z niekochaną Kocią, został jej narzeczonym. Fabuła nader prosta, jak zwykle u autorki; opowiadadanie płynne, jasne, serdeczne, typy zarysowane dość wyraźnie i tchnące prawdą życiową — oto zalety tej powieści. Pani Kowerska zachowuje w niepokalanej czystości zdrowe kobiece cechy swego talentu i dla togo powieść jej wywiera nader sympatyczne wrażenie na czytelnikach-mężczyznach.

S. H.

BŁĘDY JĘZYKOWE.

— W jednym z tygodników warszawskich czytamy: „W rozprawce poruszają się różnorodne kwestye, na punkcie których nie wolno być ignorantem“. „Na punkcie których...“ jest francuszczyzną, zamiast: „co do...“ albo „względem...“ Drugi błąd spoczywa w „poruszają się“, zamiast „autor porusza“, „poruszane są“, lub inaczej. W języku polskim czasowniki zwrotne dość rzadko w podobnych razach zastępować mogą bierne. Mówimy, gdy chodzi o zwrot nieosobisty: „Muzyki jego s ł u c h a s i ę z przyjemnością“, ale błędnemi są takie frazesy, jak n. p.: „W książce tej mówi się o reformach“, albo „W artykule tym wykłada się nowy pogląd na...“ i t. p.

— Błędnie mówimy: *przyjąć udział* w czemś, zamiast *wziąć, brać udział; przepuścić,* zamiast *opuścić; oczyścić* (plac, miejsce), zamiast *opróżnić; mało tego, że..* zamiast *nie dość tego,* albo *nie dość na tem.*

KRONIKA POWSZECHNA.

— **Teatr i muzyka.** Kwestya nowej dyrekcyi teatru poznańskiego dotychczas nie jest jeszcze stanowczo rozstrzygnięta. Dowiadujemy się jednak, że rada nadzorcza krząta się nader energicznie około wyszukania odpowiedniej siły dyrekcyjnej i w tym względzie zawiązała już stosunki z kilku przedsiębiorcami. Kandydatami są: Edmund Rygier z Krakowa, Zygmunt Przybylski i Terentiew z Warszawy. — Lwowska opera, goszcząca obecnie w Krakowie, cieszy się wielkiem powodzeniem. Tryumf prawdziwy odniósł pan Bandrowski w Lohengrinie, a pani Zimajerowa czaruje po dawnemu amatorów w Nitouche. — O warszawskich występach p. Sosnowskiego, dawniejszego bohatera sceny poznańskiej, wyrażają się miejscowe dzienniki z najwyższem uznaniem.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

— **Abonent.** Istotnie! Nie zadrwiono sobie bynajmniej z Szanownego Pana, bo w Nr. 131 „Kuryera Poznańskiego“ z dnia 10 czerwca br. czytamy na trzeciej stronicy zdanie następujące: P o w y s t a w i e n i u N a j ś w. S a k r a m e n t u **raczył Najprzewielebniejszy X. Arcypasterz sam klęczyć przed Najśw. Sakramentem** i o d p r a w i ć m a j o w e n a b o ż e ń s t w o.“ Coraz lepiej! Wiedzieliśmy dotychczas, że car wyświadcza łaskę niedźwiedziowi, gdy według doniesień gazet rosyjskich „r a c z y go zabić własnorecznie“. Teraz dowiadujemy się, że arcybiskup klęcząc przed Najśw. Sakramentem, wyświadcza łaskę Bogu tam utajonemu. Oj! Kuryerze, Kuryerze! jakież ty przysługi oddajesz religii i Kościołowi! Cóż zresztą znaczy wyraz „sam“ („raczył sam klęczyć“)? Czy Kuryer mniema, że Bogu cześć można oddać przez jakiego delegata? A w końcu lekcya gramatyki: „Klęczyć“ oznacza według Lindego tyle co pokrzywić, zgiąć, np. „sklęczyć gałąź jak łuk.“ „Klęczeć“ znaczy na kolana upaść, np. „klęczeć przed ołtarzem.“

— **Autorowi wierszyka o lidze demokratycznej.** Wiele zapału i siły, forma jednak miejscami trywialna. Prosimy o inne próbki.

— **NN.** Korespondencya ta w części opiera się na faktach i cytatach tendencyjnie przekręconych, a w części na dziecinnem doktrynerstwie, nie umiejącem pojąć wymagań dyplomacyi na zewnątrz i na wewnątrz; dyplomacya taka jest niezawodnie mniej efektowna od „twardego karku“, lecz idei w samej rzeczy znaczniejsze, choć powolne oddaje korzyści. Zresztą wtajemniczeni znają dobrze główne motywy tej polemiki. Z małej duszy popłynęła ona — z duszy, w której króluje jedno tylko uczucie: chorobliwa próżność.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28

Nr. 28. Poznań, niedziela 12-go lipca 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: ul. Wilhelmowska 28.
(Drukarnia J. Fr. Tomaszewskiego.)

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Wilhelmowska 28. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

TREŚĆ.

Kolonizacya pruska przed sądem parlamentu.

Nie po raz pierwszy i nie po raz ostatni zapewne doczekała się pruska polityka wyraźnej odprawy ze strony parlamentu niemieckiego, i nie bez słuszności ktoś pono powiedział, że Niemcy stoją na straży konstytucyi, Prusy natomiast czyhają na jej zagładę. Najświeższe dzieje parlamentu niemieckiego stanowią ciekawy przyczynek do tej charakterystycznej prusko-niemieckiej kolizyi.

Wiadomo wszystkim, że ks. Bismarck zbudował z stumiljonowym nakładem wielką maszynę kolonizacyjną, przerabiającą polskie majątki ziemskie na patentowane parcele niemieckie, i jako integralną część tej maszyny ukuł prawo wyjątkowe, niedozwalające koloniście Niemcowi sprzedać Polakowi nabytej zagrody. Nowa reforma kodeksu cywilnego zmusiła Prusy do szukania u parlamentu niemieckiego sankcyi dla ustawy kolonizacyjnej i w tym celu rozwinięto starania, aby zbór przedstawicieli rzeszy niemieckiej pozostawił nietknięte pruskie prawo krajowe o kolonizacyi wschodnich prowincyi, wcielając je do kodeksu cywilnego w charakterze prawnych wyjątków z tej ogólnej zasady, która opiewa, że każdy obywatel rzeszy niemieckiej posiada zupełną swobodę rozporządzania dowolnie swoją własnością ziemską. Zdawało sie istotnie przez długi czas, że uda się rządowi pruskiemu narzucić wolę swoją reprezentantom rzeszy niemieckiej i skłonić parlament, by wzorem sejmu pruskiego obalił podstawową ideę konstytucyjną: Równe prawa dla wszystkich poddanych.

Wnioski Koła polskiego o skreślenie klauzuli, warującej w nowym kodeksie cywilnym ustawie kolonizacyjnej charakter wyjątkowego prawa krajowego, doznały tak w obradach komisyjnych jak na plenarnem posiedzeniu parlamentu w drugiem czytaniu stanowczej porażki, a charakterystycznym mianowicie jest fakt, że stronnictwo centrum wzbraniało się długo z względów utylitarnych udzielić Kołu polskiemu pomocy swojej. Dopiero bezpośrednio przed trzeciem czytaniem w parlamencie udało się ks. prałatowi Jażdżewskiemu i mecenasowi Dziembowskiemu z jednej, a posłowi Szmuli z drugiej strony, użyć takich argumentów dyplomatycznych, które zjednały nam wreszcie głosy wielkiej katolickiej partyi. Chwila obecna nie jest odpowiednią, aby odsłaniać zakulisowe tajniki parlamentu, — to jedno przecież dziś już powiedzieć możemy, że stronnictem centrum nie tyle kierowały względy humanitarne i konstytucyjne, ile stara, praktyczna „Interessenpolitik“ śp. Windhorsta. Nie wystarczało jednak w obec numerycznego stosunku stronnictw w parlamencie, wobec niepewnej, zmiennej, często zawodzącej liczby posłów głosujących, zawrzeć ciche, niespodziewane dla rządu przymierze z partyą katolicką, lecz należało wynaleźć taką formę dla polskiego wniosku, aby nie budzić czujności w partyach rządowych i nie nęcić na arenę parlamentarną w krytycznej chwili całej zszeregowanej, zaniepokojonej opozycyi. W tym celu za inicyatywą posłów szambelana Cegielskiego i Czarlińskiego postanowiono unikać dłuższych polemicznych dyskusyi i zadowolić się prostym wnioskiem, by na dwie części rozdzielić głosowanie nad paragrafem, zastrzegającym charakter prawa krajowego dla ustawy a) o włościach rentowych, b) o dobrach kolonizacyjnych. Taktyka ta okazała się skuteczną. Postanowiono głosować nad każdą częścią z osobna, — pierwsza zwyciężyła, drugą parlament odrzucił, wcielając tem samem ustawę kolonizacyjną do ogólnych przepisów kodeksu cywilnego, czyli kasując klauzulę, mocą której kolonista Niemiec nie może swej zagrody sprzedać Polakowi. Stronnictwo konserwatywne i narodowo-liberalne nie stawiło się w komplecie, natomiast socyaliści, wolnomyślni i centrum, w poważnej zgromadzone liczbie, po naszej myśli głosy swoje oddali. Zrazu większość zdawała się niepewną i marszałek Buol (centrum) zawyrokował nawet na korzyść partyi rządowych. Gdy jednak na życzenie posłów polskich zarządzono głosowanie powtórne, okazało się dowodnie, że większość parlamentu oświadczyła się przeciw klauzuli, warującej ustawie kolonizacyjnej charakter wyjątkowy.

Rezultatem tego niespodziewanego przebiegu sprawy była na razie ogólna konsternacya stronnictw rządowych, nazajutrz jednak pojawiły się w kilku pismach zachowawczych, w wolnomyślnej „Freisinniege Ztg.“ i katolickiej „Germanii“ artykuły, obniżające wartość realną zwycięztwa naszego. Równocześnie z tryumfalnemi artykułami polskich dzienników odezwały się głosy niemieckie, wskazujące rządowi pruskiemu środki i drogi, prowadzące wbrew poniesionej klęsce do zamierzonego celu. Zwrócono mianowicie uwagę na ustawodawstwo rentowe, które zatrzymało nadal charakter prawa krajowego, i podniesiono z naciskiem, że rząd zamienić je może w drugą edycyą ustawy kolonizacyjnej, wprowadzając do niego warunek, że nabywcom włości rentowych nie wolno sprzedawać ich Polakowi. Ponieważ zaś komisya kolonizacyjna od lat kilku parceluje w samej rzeczy dobra swoje w charakterze włości rentowych, ponieważ dalej rząd pruski liczyć może w sejmie na niewątpliwe poparcie wszelkich germanizacyjnych dążności, a prawo o włościach rentowych należy według najświeższej uchwały parlamentu do prawodawstwa krajowego, zatem nic łatwiejszego, zdaniem czasopism niemieckich, jak klęskę poniesioną w parlamencie powetować w sejmie.

Takie głosy odzywają się coraz częściej w przeróżnych organach prasy niemieckiej, — nam się jednak wydaje, że mimo jaskrawej bezwzględności, właściwej polityce pruskiej, rząd nie odważy się takim adwokackim fortelem przewrócić uchwały parlamentu. Wybieg powyżej scharakteryzowany byłby policzkiem wymierzonym pruską ręką rzeszy niemieckiej i sprzeciwiałby się tej myśli przewodniej, która spowodowała skreślenie klauzuli o dobrach kolonizacyjnych. Z rozpraw komisyjnych wypływa bowiem jasno, że usunięcie wyjątkowego charakteru ustawy kolonizacyjnej ma niewątpliwie ogólny charakter pozytywny, innemi słowy, że nie mówi ono jedynie: „Koloniście Niemcowi nie wolno dóbr swoich Polakowi sprzedawać“, lecz głosi zasadę: „Każdemu obywatelowi państwa niemieckiego bez wyjątku przysługuje prawo dowolnego rozporządzania swoją własnością ziemską.“ Jeżeli parlament pozostawił prawodawstwo krajowe o włościach rentowych nietknięte, to uczynił to jedynie z tego powodu, że w dotychczasowej swej formie nie sprzeciwia się ono podstawowej zasadzie kodeksu cywilnego, że nie ogranicza swobody obywatelskiej w kwestyi rozporządzania własnością ziemską. Nie ulega też najmniejszej

wątpliwości, że gdyby prawodawstwo rentowe w chwili głosowania miało ten sam wyjątkowy charakter, co ustawa kolonizacyjna, to parlament byłby mu równy los zgotował jak skasowanej klauzuli. Jest to prosty i żelazny postulat logiki.

Zważyć zresztą wypada, że prawo niemieckie stoi ponad pruskiem, czyli *że w razie kolizyi prawa krajowego z prawem rzeszy sąd zawyrokować musi na korzyść ostatniego.* Takie przypadki nieraz się zdarzały i ewentualna transfiguracya ustawy kolonizacyjnej w prawo o włościach rentowych byłaby z natury rzeczy pozbawioną jurydycznego uzasadnienia, *budując sztucznie taką ustawę pruską, która sprzeciwia się prawodawstwu rzeszy.*

Względy powyższe przemawiają przeciw przypuszczeniu, że rząd na drodze przez pisma niemieckie wskazanej dążyć będzie do obejścia uchwały parlamentu i przepisów kodeksu cywilnego. Gdyby jednak stary duch Bismarckowski miał pokusić się o tak bezprzykładne podeptanie prawa i konstytucyi, to nie wątpimy ani jednej chwili, że parlament znajdzie dość siły i odwagi, by założyć hamulec pruskiemu absolutyzmowi i zaświadczyć głośno przed Europą, że ponad Prusami stoi Rzesza niemiecka.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Niemczyzna w Galicyi. W „Przeglądzie Wszechpolskim“ czytamy:

„Polaka, który z zaboru rosyjskiego lub z Poznania pierwszy raz przyjeżdża do Galicyi i żywi błogą nadzieję, że wpadnie tu, „jak w centrum polszczyzny, gdzie się człowiek nałyka, nadysze ojczyzny“, ogarnia niemiłe zdziwienie, kiedy wciąż słyszy język niemiecki na kolei, w rozmowach na ulicy i w miejscach publicznych, kiedy widzi w kawiarniach mnóstwo pism niemieckich, a w restauracyach nawet spisy potraw po niemiecku drukowane. Poznawszy bliżej stosunki miejscowe, znaleść może mnóstwo dowodów dziwnej pobłażliwości, a nawet uprzejmej życzliwości dla niemczyzny. Są w Galicyi miasta i miasteczka powierzchownie na wpół zniemczone, zwłaszcza we wschodniej części kraju, gdzie przeważną część ludności miejskiej stanowią żydzi, lub na pograniczu Szląska. Biała np. jest miastem niemieckiem; chociaż Polacy stanowią większą część ludności, język niemiecki panuje tam wszechwładnie. Władze krajowe tolerują ten stan rzeczy, społeczeństwo energicznie przeciw niemu nie protestuje, nie domaga się zmiany, i jakby uznając swoje upośledzenie, składa ofiary dobrowolne na szkołę polską, która powinna tam istnieć na koszt miasta. W Brodach język niemiecki jest w użyciu powszechnem, nawet w izbie handlowej, i teraz dopiero zajść ma zmiana na lepsze. W Galicyi mamy 125 szkół niemieckich, oprócz 3 szkół dla dzieci wojskowych, nawet we Lwowie jest gimnazyum niemieckie, a w szkołach ludowych miejskich dręczą niemczyzną dzieci, które, wbrew wszelkim zasadom pedagogii, uczyć się tu muszą aż trzech języków. Słowem język i w ogóle żywioł niemiecki zajmuje w Galicyi stanowisko, które mu się nie należy, a społeczeństwo znosi pobłażliwie takie stosunki i nie przeciwdziała im wcale.

Nie zadawala to jednak narodowców niemieckich i niedawno „Deutsche Zeitung“ zamieściła artykuł o zaniku i prześladowaniu niemczyzny w Galicyi. Dziennik wiedeński zwraca szczególną uwagę na położenie kolonistów, osiedlonych w ubiegłym wieku, którzy zachowali poczucie niemieckie i których obojętni rodacy oddają dziś jakoby na „pastwę szlachcicom“.

Nie warto odpowiadać na skargi ani zbijać kłamliwych twierdzeń organu narodowców niemieckich, ale należy nam samym zastanowić się nad wpływem i znaczeniem niemczyzny w Galicyi, bo sprawa nie jest tak błahą, jak wielu ludzi, nie wnikając w nią głębiej, sądzi.

Niemców mamy w Galicyi około 230,000 czyli zaledwie $3^{1}/_{2}\%$ ogółu mieszkańców. Nie może być więc mowy o takiem bezpośredniem niebezpieczeństwie, jakie grozi np. kresom naszym w zaborze pruskim lub nawet na Szląsku austryackim. To tłomaczy naszą obojętność i pobłażliwość, ale jej nie usprawiedliwia, bo skutki pośrednie uprzywilejowanego stanowiska niemczyzny w Galicyi są dosyć ważne i należy zwrócić na nie baczną uwagę.

Tolerowanie języka niemieckiego w stosunkach publicznych i prywatnych wywiera wpływ demoralizujący na Polaków w zaborze rosyjskim i pruskim. Ogół ich nie zdaje sobie sprawy z tych pobudek, które na postępowanie społeczeństwa galicyjskiego wpływają, ale wiedząc tylko o tem, że ma ona zapewnioną swobodę rozwoju narodowego, uważać musi takie stanowisko języka państwowego za fakt naturalny, konieczny.

Nie wiemy, ile przychodzi do Galicyi pism niemieckich, ale w każdej prawie kawiarni jest ich dwa razy więcej niż polskich. Klasy inteligentne prenumerują i czytają sporo pism niemieckich, i to jest jedną z przyczyn, dla czego w Galicyi pisma literackie, zwłaszcza pisma ilustrowane utrzymać się nie mogą. Znieprawia to umysłowość naszą, osłabia samodzielność ducha narodowego i wytwarza coraz częstszy typ mieszańca, który uważa się za Polaka i mówi po polsku, ale ze sposobu myślenia, z upodobań i uczuć jest Niemcem.

Mamy w Galicyi możność rozwoju narodowego, powinniśmy więc tu starać się przedewszystkiem o usuwanie skutków zgubnych okaleczenia indywidualności narodowej, spowodowanego podziałem kraju i pozbawieniem narodu samodzielności politycznej. Jeżeli warunki życia państwowego utrudniają nam nieraz wytwarzanie instytucyi odrębnych, właściwościom i potrzebom narodu odpowiadających, to tembardziej w drobnych nawet szczegółach należy im nadawać charakter polski. Nie dosyć, że Polacy zajmują urzędy, te urzędy powinny być polskie. Dotychczas, jak wiadomo, język niemiecki utrzymuje się jeszcze na kolejach państwowych, w zarządzie poczt i telegrafów itd.

Panowanie języka niemieckiego w wojsku ma być, jak twierdzą, koniecznem ze wzgldu na jednolitość siły zbrojnej. Nie będziemy poruszali tej sprawy, zaznaczamy tylko, że trudno zrozumieć zbawienny wpływ na sprawność i dzielność wojska komendy niemieckiej, której żołnierz nie rozumie i której w kilka lat po wyjściu ze służby zapomina. W celu zapewnienia tej wątpliwej jednolitości wielu oficerów Polaków służyć musi w pułkach niemieckich, a natomiast do pułków galicyjskich przysyłani są oficerowie Niemcy. Wprawdzie każdy oficer powinien

---

Waryat czy nie waryat?

— Oto jeden z nich!... patrz pan — rzekł mi intern, oprowadzający mnie po ogrodzie.

Który?... Ten pan?...

— Tak, panie, ten pan... Zabił on kobietę, panią de Balnerte... Mówiono, że to była jego kochanka — ale nie można za to zaręczyć. Naturalnie, przysięgał się na wszystkie świętości, że waryatem nie jest. Ale było to tak widoczne, że został uniewinniony i zamknięto go tutaj... Siedzi przeszło od dwóch miesięcy... Porozmawiaj pan z nim, zabawi pana. Wszystko co mówi ma sens, oprócz tego jedynie co ciągle powtarza... że nie jest waryatem...

— A czy pan jesteś zupełnie pewny, że to jest waryat?... — zapytałem z pewnym niepokojem.

— O!... jak najzupełniej!... Zresztą wszyscy zabójcy są waryaci. — Wszyscy nadzwyczajni jednem słowem. Ci, których umysł jest w równowadze, zajmują się spokojnie swojemi interesami i nie uważają za potrzebne, puszczać się na niebezpieczne awantury... Jak tylko jakiś osobnik ludzkiego rodu poświęca dla jakiejś idei swój instynkt samozachowawczy, to odrazu można powiedzieć na pewno, że jest waryatem!... Prosta rzecz!...

— Naturalnie! — odparłem coraz bardziej zaniepokojony i niepewny.

Zbliżyliśmy się do przedmiotu naszej rozmowy. Intern przedstawił nas sobie wzajem z pewnym odcieniem ironii i wyższości, jaką mu nadawało przekonanie, że należy do tych osobników ludzkiego rodu, u których instynkt samozachowawczy jest nienaruszony i dominujący.

Potem oddalił się, tłomacząc się zajęciami zawodowemi i pozostawił nas — mnie i waryata — samym sobie.

Był to mężczyzna średniego wzrostu, z głową zbyt dużą w stosunku do swego ciała — dziwnie zasłaną włosami bardzo jasnemi. W czub ten wciskały się promienie słoneczne, tworząc mu nad głową jakąś złotą niby aureolę. Z rysów jego nie zostało mi w pamięci nic, oprócz jego oczów, koloru wody, szarych, zielonych lub niebieskich naprzemiany.

Po kilku słowach wymienionych o pogodzie, o kwiatach jakie do koła rosły, zamilkliśmy, jakoś dziwnie naraz obaj zaambarasowani. I zacząłem już myśleć o tem, w jakiby sposób rozstać się z tym jegomością, gdy nagle odezwał się on do mnie w te słowa:

— Opowiedziano pewno panu moją historyę... co?... Czy pan jesteś doktorem?...

— Nie, nie jestem doktorem — odpowiedziałem śpiesznie.

— Ale pan jesteś przekonany, że ja jestem waryat!... bo jakże by było inaczej?

— Boże jedyny... — odpowiedziałem z wahaniem — waryacya jest to stan tak trudny do określenia...

— ...Że pan nie jesteś zupełnie pewny czy przypadkiem sam nie jesteś waryatem... nieprawdaż?... — zauważył z jakimś śmiechem suchym.

— Tak... właśnie.

— Otóż, widzisz pan, ja jestem jak najmocniej przekonany, że jestem przy zdrowych zmysłach... I posłuchaj pan... opowiem panu moją historyę... Opowiadałem już dwom czy trzem osobom, które wydawały mi się inteligentnemi... ale nie zrozumiały z tego nic... i pan pewno też nic nie zrozumiesz... Ale mniejsza o to, to mi zrobi przyjemność... bywają chwile, w których musze o tem mówić... Powiedziano pewno panu, że zabiłem kobietę... Wytłomaczę więc panu dla czego ją zabiłem i, dla czego zabiłbym ją jeszcze raz, gdyby się też same okoliczności powtórzyć mogły... Widzisz pan pewno sam z łatwością, że jestem człowiekiem przyzwoitym, lepszego tonu. Niegdyś w świecie byłem tem co się nazywa szykowny chłopiec. Miałem majątek, nie jestem głupszy, niż wielu innych, ale nigdy nie robiłem nic, chociaż miałem zdolności do wszystkiego... Ale miałem zawsze wstręt do wszelkiego wysiłku... a przytem zanadto się ubiegałem za kobietami... Miałem kochanki!... Nie wyobrazisz pan sobie jakie mnóstwo!... Zmieniałem często... bo widzisz pan... miłość, jeśli ma być zawsze piękna, musi być krótka. A przytem najlepszą chwilą jest może ta, w której człowiek czuje, że się to już kończy...

znać „Regimentssprache“, tj. język ludności, z której się rekrutują żołnierze pułku, ale ta znajomość jest często bardzo powierzchowna. Wojsko, właściwie oficerowie, są główną podporą niemczyzny w Galicyi. O usposobieniu ich świadczą takie fakty, jak n. p. wypisanie się z kasyna w Tarnopolu z powodu, że korespondencya klubu prowadzona była w języku polskim. W delegacyach poseł polski, pan Popowski, przedstawia zwykle sprawozdanie z budżetu ministeryum wojny, ale przy tej sposobności nie porusza nigdy stosunku armii do kraju, który, dając pieniądze na wojsko, może tyle przynajmniej wymagać, żeby nie szkodziło ono uprawnionym jego dążeniom i interesom narodowym, nie ubliżało jego uczuciom“.

* * *

Porażka komisyi kolonizacyjnej. W sprawie wiadomej uchwały parlamentu niemieckiego, znoszącej wyjątkowy charakter ustawy kolonizacyjnej, taką wypowiada opinię „Orędownik“ w nr. 151:

„Chodzi teraz o to, czy uchwała parlamentu będzie miała dla nas Polaków praktyczne znaczenia, czy też jest tylko moralnem zadowoleniem. Naszem zdaniem o praktycznem znaczeniu nie ma wcale mowy. Z kilku stron w kołach niemieckich tłómaczono sobie początkowo, że uchwała parlamentu niemieckiego zniesie całkiem pruskie antipolskie prawo kolonizacyjne. Tak jednak nie jest, tyczy ona tylko niektórych przepisów ustawy kolonizacyjnej, a mianowicie, o ile one mają charakter prawa wyjątkowego przeciw Polakom. Ale ponieważ — jak zauważa berlińska „Germania“ — kodeks cywilny nie narusza przepisów o włościach rentowych, to w praktyce w prawie kolonizacyjnem nie wiele co się zmieni. W razie bowiem potrzeby skorzysta rząd pruski z swego prawa o gospodarstwach rentowych, a że przepisy o prawie kolonizacyjnem zaliczać wolno także do przepisów o gospodarstwach rentowych, więc jak nie prawem kolonizacynem, to prawem o gospodarstwach rentowych będzie rząd mógł bić Polaków, nie kijem go, ale pałką!

Wielkiego praktycznego znaczenia dla nas Polaków nie będzie więc miała uchwała parlamentu niemieckiego. A jeżeli uchwałę tę nazwaliśmy „ważną uchwałą“, to tylko dla tego, że parlament niemiecki — to najważniejsza reprezentacya narodu niemieckiego — potępiła w tym wypadku antipolską politykę pruską. To jest bądź co bądź fakt, z którym się rząd pruski w zasadzie liczyć musi. Ale trudno pojąć, że „Dziennik Poz.“ i „Kuryer“ podnoszą za to pod niebiosa naszych posłów polskich i widzą w nich zaraz jakąś nadzwyczajną mądrość polityczną. Przecież rzecz jest prosta i jasna. Posłowie nasi nie mogli głosować za kolonizacyjną ustawę antipolską, bo o zniesienie tej ustawy domagają się już od lat dawnych w sejmie pruskim. A że w sejmie pruskim mają większość żywioły, wrogie Polakom, więc też w sejmie posłowie nasi nic wskórać nie mogą. Inna atoli rzecz jest w parlamencie niemieckim, i gdyby parlament dekretował o prawach antipolskich, to byłoby całkiem inaczej. Że parlament powziął taką uchwałę, to nie tyle zasługa posłów polskich, ile w ogóle składu parlamentu niemieckiego. Rzecz trzeba zawsze prosto po imieniu nazwać — nie przesadzać!

...Usunięcie ustępu tyczącego Komisyi kolonizacyjnej z nowego kodeksu cywilnego jest niewątpliwie wielką klęską dla polityki Komisyi kolonizacyjnej, jak i moralną porażką dla rządu pruskiego. Rząd pruski widocznie nie znajduje w Niemczech i w parlamencie dostatecznego poparcia dla swej antipolskiej polityki.

„Dziennik Pozn.“ widzi już w przyszłości, jak chłop polski będzie wykupywał zagrody wydzielone kolonistom niemieckim skutkiem sukcesu, jaki Koło polskie w parlamencie zdobyło. Sukcesu nie zaprzeczamy, jest on istotnie wielki, a nawet nie spodziewany przy znanych hałasach Hakatystów. Ale od sukcesu w parlamencie — do wykupywania niemieckich kolonistów przez chłopów polskich droga jeszcze bardzo daleka i byłoby znowu błędem z naszej strony, żebyśmy nasze nadzieje i — złudzenia też — opierali na redakcyjnych zmianach tego lub owego paragrafu.

Zastrzeżenie, że nie wolno Polakowi nabywać parcel od Kolonizacyi, ani koloniście sprzedawać parcel Polakowi straci w Rzeszy swe prawne znaczenie, ale przez to nie straci jeszcze ekonomicznego znaczenia w dzielnicach polskich.

Komisya Kolonizacyjna nie zostanie przez ten „sukces“ Koła zniesioną; może nim być krępowaną, ale jeszcze znaleść środki, by dochodzić do celu swego. I rząd pruski nie odstąpi też od swej tendencyi i swego systemu. Jeżeli w parlamencie z strony rządu wykazywano, że skreślenie ustępu odnoszącego się do Kolonizacyi uniemożliwi jej działanie, to oczywiście tylko dla tego, żeby rząd pruski zasłonić przed moralną porażką, bo zresztą i przy nowym kodeksie cywilnym będzie rząd pruski miał jesze wiele prawnych sposobów do dopięcia swego celu.

LITERATURA I SZTUKA.

Uwagi o „Quo vadis“.

(Ciąg dalszy).

Odosobnienie Chrześcian posunięte jest do tego stopnia, że tłum wielbicieli Chrystusa, oddany na pożarcie dzikim zwierzętom, odcięty jest jakoś zupełnie od tego mnogiego zbiorowiska widzów, którzy obsiedli wyższe i niższe ławki amfiteatru. Czyż żaden z męczenników nie miał tam choćby jednego krewnego lub znajomego? Czy ci zamodleni — wszyscy byli przybyszami lub pochodzili wyłącznie z warstwy niewolników? Są oni całkiem obcy Rzymowi, nietylko duchowo, ale i fizycznie i Rzymianie oprócz niewyraźnego podziwu, nic innego doznać nie mogą na widok tych bezbronnych ludzi, z wyrazem błogości i zachwytu na twarzy, dających się szarpać i męczyć....

Takie jest ogólne wrażenie. Ze wspólnego tła wyrazistością rysów indywidualnych wydobywa się jedynie postać Kryspa, który jest kapłanem religii miłości i przebaczenia, lecz na którego twarzy osiadł wyraz surowości i grozy. Zupełnie konsekwentnie do charakteru jego przystaje owo przemówienie z krzyża do Nerona. Tylko ten srogi człowiek, nie mający litości ni dla siebie, ni dla innych, mógł w obliczu śmierci mieć tyle przytomności umysłu, tyle hartu, by rzucić w twarz swemu prześladowcy słowa, ciężkie jak ołów, raniące jak noże. Inni przywoływali całą siłę ekstazy, by nie widzieć swych katów i narzędzi tortur, nie doznawać bólu, by się wpatrywać w zstępujące już na ich spotkanie chóry aniołów. ust ich dosłyszymy szept modlitwy, nie przekleństwa....

Ale oprócz tej jedynej postaci Kryspa nie ma innej, która byłaby zarysowana mocniej i wydatniej. Sylwetki apostołów Piotra

---

Doznałeś pan kiedy tej rozkoszy?... co?... A przytem jakie to upojenie cudowne, ta rozpacz kobiety, którą się porzuca!... Ach!... upojeń tych doświadczyłem wiele!... Żal mi ich więcej, niż wielu innych — ale powróćmy do tej historyi ostatniej... nie chcę pana nudzić zbyt długo.

Spotkałem tę kobietę, jedyną, przez którą cierpiałem... spotkałem ją w jakimś salonie. Nie mogę zapomnieć tego momentu, kiedy oczy moje padły na nią po raz pierwszy. Wszedłem właśnie do salonu, uściskałem ręce kilku przyjaciół, — gdy pani domu rzekła do mnie:

— Chodź-no pan, przedstawię panu panią de Balnerte, której podasz ramię, gdy będziemy szli do stołu.

Doprawdy, niema na świecie w ogólności nic głupszego nad te banalne frazesy, w których się przecież mieści nieraz cała fatalność przyszłych, losów człowieka.

Stała oparta o kominek, wysoka i wyniosła. W chwili, gdym przed nią stanął, wymawiała te wyrazy do jakiegoś mężczyzny, również, jak ona, o kominek opartego:

— „Strach?... o! nie!... nigdy w życiu bałam się niczego!...“

I uczułem się, jakby wyzwany przez te wyrazy, jak gdyby obrażony przez nie!.. Nie cierpię kobiet, które się nie boją, kobiet, które mają duszę surową, które umieją chcieć i którym się zdaje, że myślą. To są potwory!... Trzebaby je pozabijać, tak jak ja zabiłem tę jedną!

Gdym ją prowadził do sali jadalnej, nienawidziłem jej nad wszelki wyraz. A przecież, gdy podczas obiadu i później wieczorem rozmawiałem z nią dłużej, poczułem, że nie będę już w stanie obyć się bez jej widoku!... Była dowcipna bardzo, tym dowcipem ostrym, gryzącym, który drwi ze wszystkiego. Wyrażała się ciągle twierdząco i stanowczo, jakby gardziła wszelką inną opinią, wszelkiem innem zdaniem i dyskutowała twierdzenia swoje do ostateczności, z pozorem logiki nieprzepartej. Chciała mieć zawsze racyę w każdej rzeczy. I po pewnym czasie rozmowy z nią, ten, kto jej słuchał, doznawał wrażenia jakiegoś zawrotu mózgowego, paraliżującego umysł i odbierającego możność dowiedzenia jej, że się myli...

Nazajutrz rzuciłem kartę w jej przedpokoju. Potem poszedłem złożyć jej wizytę w dniu jej przyjęcia potem zaprosiła mnie na swoje wieczory i bardzo prędko zaliczałem się już do jej najbliższego otoczenia. Powiedziałem jej zaraz, że ją kocham... Drwiła sobie ze mnie, ale było coś tak silnego w uczuciu pożądania i wściekłości, jaki we mnie budziła, że bardzo prędko drwić przestała.

Przez całe sześć miesięcy trwała pomiędzy nami walka prawie okrutna. Nigdy ani razu jednego nie złapałem jej na jakiemś nerwowem osłabieniu, na jakiejś z tych serca miękkości, jakie się wydarzają kobietom najuczciwszym. Zawsze była wyniosła, dumna i samowolna... Panowała nademną ohydnie!... posłuszny jej byłem, jak zwierzę bezmyślne!... Bałem jej się czasem... i nienawidziłem jej... Nie wiem, w jaki sposób mógłbym pana przekonać, jak dalece można nienawidzieć kobietę, która się niczego nie boi, — kobietę, która chce, — kobietę, bez której życie wydaje się człowiekowi niemożliwem...

W takiej chwili powinienbym był zwaryować, gdybym miał zwaryować kiedykolwiek. Spędzaliśmy ze sobą godziny i godziny całe. Mówiła o wszystkiem tak, jak gdyby nad wszystko była wyższa, silniejsza nad okoliczności, jednem słowem niezwyciężona... Czy pan rozumiesz dobrze znaczenie wyrazu: „niezwyciężona!?“

Gdyśmy byli sami, czasem, chwytałem ją nagle w ramiona i chciałem pocałować... Nie uwierzyłbyś pan nigdy, jak bardzo była silna... silniejsza odemnie, wyobraź pan sobie. Jakie to śmieszne, nieprawdaż?... Była także wyższa niż ja, i miałem przy niej uczucie słabości, jakiegoś dziwnego tchórzostwa... Tak!... Tak, tak... byłem doprawdy śmieszny... bardzo śmieszny... Wiedziałem o tem!... A jednak nic mnie nie mogło oderwać od tej piekielnej istoty. Była w niej jakaś tajemnicza siła upajająca, którą tylko ja jeden odczuwać mogłem i czułem doskonale, że ona właśnie ma mi dać tę rozkosz najwyższą, jakiej nigdy nie zaznałem... Ale jaką miała być ta rozkosz... tego długo zrozumieć nie mogłem... I nareszcie zrozumiałem.... Muszę panu opowiedzieć jakim sposobem!...

Często jeździliśmy na spacer konno razem... Na koniu była istotnie nadzwyczaj-

i Pawła, zaznaczone barwami blademi, nie zajmują środkowego pola uwagi czytelnika. Paweł, zręczny sofista, wdający się w niezbyt skuteczne spory z subtelnym Petroniuszem, nie wygląda zupełnie na powtórnego, jak go zowią, założyciela chrześciaństwa. Piotr posiada bardziej określone oblicze duchowe, ale niezbyt podniosłe wrażenie sprawia jakąś płaczliwością swego tonu, chwiejnością swą, która zapewne była wyrazem wewnętrznej walki duchowej, ale ta nie została uwydatnioną należycie. Wogóle obaj apostołowie, jeżeli są otoczeni nimbem powagi nadzwyczajnej, to tylko dla tego, że musimy uwierzyć zapewnieniom autora. Nie czynią oni ani mówią nic takiego, żeby czytelnik sam przez się w ich słowach, ruchach, czynach dojrzał jakąś siłę wyższą nad zwykłą moc ludzką, która jedynie byłaby odpowiednią charakterowi i przeznaczeniu tych postaci: być środowiskiem i uosobieniem nowej wiary, jej wzmagającej się potęgi, jej tryumfów przyszłych, a już teraz widnych. Nieprzezwyciężone niemal trudności miał Sienkiewicz do zwalczenia, wprowadzając na widownię osoby apostołów, bo oczekiwania czytelników, zgodnie z wymaganiami samej rzeczy, są nastrojone na wysoką nutę. Ale też tych trudności autor w najmniejszym stopniu nie zdołał pokonać. Nie umiał on przejąć się tem tchnieniem entuzyazmu, który ogarnia tłumy w chwilach napięcia duchowego, nie porwał czytelnika na wyżyny egzaltacyi, dla tego może tak blado, tak nikle wyglądają postacie obu apostołów...

Tak się przedstawia społeczeństwo chrześciańskie samo w sobie. Działanie jego na zewnątrz, szerzenie „dobrej nowiny“ wśród świata pogańskiego odbywa się już poza widnokręgiem powieściowym. Paweł chrzci niewolników Winicyusza, widzimy jak klękają przed Piotrem żołnierze, ale to wszystko dzieje się w zbyt wielkiem od nas oddaleniu.... Mamy wszakże w utworze dwie sceny nawrócenia, więc widomego przykładu zwycięstwa nowej potęgi duchowej nad konającymi już bogami Olimpu grecko-rzymskiego i wschodniego. Mówię o chrzcie Winicyusza i o scenie z Chilonem wobec zdradą jego umęczonego Glauka. W ostatnim jednak wypadku mamy do czynienia ze zbyt wyjątkowemi okolicznościami, by mogły służyć za modłę ogólną. Scenę ową zawdzięczamy świetnej i niewyczerpanej wyobraźni pisarza, nie konieczności wypływającej z samej istoty stosunków między chrześcianami a poganami. Bądź co bądź, w szczegółach nie widzimy, jak się mógł odbyć tak wielki przełom w duszy Greka, nie wiele mającej w sobie pierwiastków lepszych, iż szpieg i zdrajca własnowolnie idzie na męki dla odpokutowania swej winy i zostaje ukrzyżowany pospołu z swemi ofiarami. Ale to wstrząśnienie nerwowe, którego doświadczył biedny dostojnik w amfiteatrze, to zakradające się do jego serca poczucie winy przygotowało już poniekąd czytelnika do możliwości czegoś nadzwyczajnego. To też scena między Glaukem a Chilonidesem nie zawiera w sobie oznak nieprawdopodobieństwa i należy do najsilniejszych scen w utworze, któremu nie zbywa na momentach wstrząsających.

Wypada nam jeszcze rozejrzeć się w szczegółach przewrotu duchowego, który przerodził Winicyusza. Sprawczynią tej tak potężnej zmiany była Ligia. Bliższe jej poznanie byłoby zatem rzeczą bardzo ciekawą; niestety, niepodobna nam uczynić zadość tej chęci, albowiem ukryła się nietylko przed zbyt natarczywym kochankiem, ale i przed czytelnikiem. Wprawdzie widzimy ją przez jakiś czas jako siostrę miłosierdzia, lecz tylko jako siostrę miłosierdzia. Duszy jej nie znamy, a czynny jej udział w powikłaniach powieściowych ogranicza się do skromnej roli — być celem krzyżujących się zabiegów ze strony przyjaciół i nieprzyjaciół. Jeżeli życzymy sobie, by oszczędziły ją spiętrzone zewsząd niebezpieczeństwa, od ludzi i żywiołów nawet (podczas pożaru), to chyba dla Winicyusza, nie dla niej samej, o tyle jest nam obcą, nieznaną.

Co do Winicyusza, nawrócenie jego mogło się stać mikrokosmem, w którym się odbić powinny całe dzieje przekształcenia się pogańskiej Romy na Rzym chrześciański. W jaki sposób to rozumiem? Oto np. w tej duszy jednostkowej mogły się z sobą spotkać z jednej strony: znużenie, spowodowane czczością życia, brakiem idealniejszych w nim pierwiastków, tęsknota do jakichś wyższych światów; z drugiej — słowo ewangielii, które przed myślą otwierało nowe widnokręgi, — sercu znużonemu nudą, niewiarą, przesytem, niosło ukojenie, — dla woli, pragnącej czynu, wskazywało jakiś cel, godny wysiłków i pracy. W ten czy inny podobny temu sposób powinien autor przedstawić wzniesienie się swego bohatera na wyższy stopień moralności, — uczynić je zależnym od pobudek, mających swe źródło w najgłębszej treści ducha, nie od okoliczności zewnętrznych, nie od mechanicznie i przypadkowo działających bodźców. Zobaczymy, jak się rzecz ma w rzeczywistości.

Najprzód uważmy, iż Winicyusz występuje w powieści najczęściej obok Petroniusza, i to towarzystwo nie zawsze wychodzi pierwszemu na dobre. Postać Petroniusza z pewnością jest o wiele oryginalniejszą, ciekawszą i plastyczniej się uwydatnia na ogólnem tle. Wybór środków, prowadzących ku odszukaniu i odzyskaniu Ligii zawsze należy do Petroniusza; Winicyusz nic sam wymyślić nie może i daje się powodować łatwo swemu starszemu przyjacielowi. Czynna tedy rola przypadła raczej wujowi niż siostrzeńcowi. Mimo to moralne tortury, które męczą Winicyusza, zyskują dlań współczucie czytelnika, i ten wraz z bohaterem niepokoi się o pomyślny wynik zabiegów, a zabiegi te, które się zamieniły w cały szereg efektownych scen, o wiele silniejsze sprawiają wrażenie, aniżeli przełom duchowy, który miał odmienić całą wewnętrzną istotę bohatera. W ogólnych zarysach oto przebieg zmian, zachodzących w odradzającem się sercu: Pożądanie Ligii pod wpływem różnych czynników przechodzi stopniowo w szlachetniejsze uczucie. Winicyusz zrozumiał wreszcie, że moralne przeszkody stanowią o wiele trudniejszą do przebycia tamę dla jego chęci, niż zewnętrzne okoliczności. To prowadzi go do wniknięcia w te przyczyny, które uczyniły Ligią tak niepodobną do znanego mu dobrze typu kobiet rzymskich. Ale czy to wystarczało do zupełnego odrodzenia? Może, lecz pisarz czytelnika upewnić o tem nie zdołał, mimo usiłowań w tym kierunku; samoanaliza Wini-

---

na!... Czuć było, że jest silniejsza niż zwierzę, które ją niesie i nad którem ona panuje dowolnie. Silniejsza!... Ona była zawsze silniejsza!... Otóż pewnego razu byliśmy w lasku, w małej alei wązkiej, w pełnym galopie, gdy w tem wprost przed nami o jakieś dwadzieścia metrów z za skrętą drogi ukazuje się powozik leciutki, ciągniony przez parę koni rozbieganych... W powoziku niema nikogo, na kozle niema woźnicy... Po obu stronach drogi ciągną się gęste krzaczki... Droga jest wązka, jak to już panu powiedziałem i materyalnie... niema miejsca na niej dosyć, abyśmy się mogli zmieścić razem; powozik ten i my... Niema czasu zawrócić... Pojmujesz pan sytuacyę... nieprawdaż?... No!... i wyobraź pan sobie co ona zrobiła... bez wahania, natychmiast!... Zwróciła swego konia nieco w skos drogi i w tej sekundzie, gdy rozbiegane konie powoziku wpaść na nią miały, stickiem swoim z szaloną siłą i szybkością palnęła je po łbach dwa razy... Konie rzucają się w bok, przewracają powozik, przewracają się same jeden na drugi, a ona tymczasem, już stoi spokojna, jakby się nic dziwnego nie stało.

Otóż widzisz pan... przez cały ten czas nie spuściłem z niej oka ani na jedno mgnienie... Nie zarumieniła się, ani nie zbladła... wykonała ten nieprawdopodobny manewr z całą pewnością siebie... z oczyma spokojnemi!...

Tak, to był ten moment, w którym zrozumiałem, czego mi potrzeba, bez czego żyć dłużej nie byłbym w stanie: trzeba mi było zobaczyć strach w tych oczach... To była ta rozkosz, której tylko ja jeden doznać sobie obiecywałem!... Teraz mnie pan musisz rozumieć... prawda?... co!?... Jakiż tedy mógł być sposób zobaczenia strachu w tych oczach ostrych i potężnych, w tych oczach, których spojrzenie, gdy na mnie padało, czyniło mnie słabym jak dziecko?... Zabić ją... nieprawdaż!?... To był tylko jeden sposób!... jedyny!...

. . . .

— Zobaczysz pan teraz — zaczął znowu po chwili — jak się to głupio skończyło. Pewnego wieczora zakradłem się do jej pokoju i schowałem się. Czekałem aż uśnie i wtedy przybliżyłem się do jej łóżka... Miałem ze sobą latarkę krytą, zamkniętą... Przypatrzyłem się jej śpiącej... Ach!... cóż to były za minuty!... Nie możesz pan sobie wyobrazić jak w takich chwilach człowiek czuje, że żyje!... Nakoniec otworzyłem latarkę... Została nagle oświetlona pełnym blaskiem... I ja także... Obudziła się i spojrzała na mnie... Wtedy rzekłem do niej:

— To ja!... Czy mnie poznajesz pani!?...

— Poznaję doskonale!... i proszę mi się wynosić z tąd w tej chwili!...

— Przyszedłem zabić panią!

Zauważ pan dobrze, kochany panie, że przez cały ten czas miała ciągle oczy zupełnie spokojne... Gdy wymówiłem te wyrazy, uśmiechnęła się tylko i odpowiedziała:

— Ach!... gdybyś pan wiedział, jak dalece jesteś śmieszny!...

Wtedy utkwiłem jej nóż w piersi... Zapomniałem powiedzieć, że miałem ze sobą nóż... Ciało jej rzuciło się dwa czy trzy razy na łóżku i wszystko się skończyło!... I oczy jej, panie drogi... oczy jej pozostały otwarte... Wiesz pan przecie, że, jak wszyscy mówią, oczy zamordowanych zawsze wyrażają strach?... Otóż widzisz pan... w jej oczach został tylko gniew... i ten wyraz wyniosłości i pogardy, jaki miewała wtedy, gdy czasem kiedy ją chciałem pocałować mówiła: „nienawidzę ludzi źle wychowanych!“

I to jest cała historya... Zostałem tam do rana, ciągle mając nadzieję, że coś się zmieni w wyrazie tych oczu piekielnych... ale nic!... Nic!... Zaaresztowano mnie... powiedziano, że jestem waryat i zamknięto mnie tu... To mi wszystko jedno!... Ale nic... rozumiesz pan... nic pocieszyć mnie nie zdoła w tym żalu, że w tych oczach... nie widziałem strachu!... Ich już teraz niema... i nigdy, nigdy tego nie zobaczę!... Dla czego patrzysz pan na mnie takim wzrokiem dziwnym?... Ach! tak! i pan mnie masz za waryata... Głupiec!...

I krokiem szybkim zabójca oddalił się odemnie!...

J. Ricard.

cyusza nie udziela czytelnikowi ręki pomocnej. A nawet ta forma właśnie niby monologowa, mająca wydobyć na jaw stopniowe przeistoczenia się usposobień i wierzeń Winicyusza, nie wiem, czy jest szczęśliwą w zastosowaniu do niedbającego o subtelności żołnierza, który nie zwykł zbytnio zastanawiać się nad tem, co się wewnątrz jego duszy dzieje. Wogóle od ukazania się „Bez dogmatu“ monolog, najczęściej nieposuwający analizy o krok dalej, przechodzi u Sienkiewicza w manierę, która zresztą mniej przykre wrażenie sprawia w „Quo vadis“, aniżeli w „Rodzinie Połanieckich“.

Dotychczas, poddając rozbiorowi odosobnione składowe części utworu, mniej baczyliśmy na sposób ich współdziałania, na miejsce, które im wyznaczone zostało w ogólnym planie budowy. Teraz mieć będziemy na względzie ogólny układ wypadków powieściowych, i postaramy się odpowiadać na pytania, jaką rolę gra w tym układzie pierwiastek chrześciański?

Znowu odbiegnijmy myślą do Mirtali. I tam mamy obraz pogromu, którego przebieg wszakże jest o wiele łagodniejszy niż Sienkiewicza. Nocną napaść na dzielnicę żydowską wywołały poniekąd wystąpienie Jonatana w cyrku, ale samo to wystąpienie jest ze swej strony uwarunkowane przyczynami ogólniejszemi, a nadto odegrało ono tylko rolę iskry, która wpadła między nagromadzone masy materyałów wybuchowych.

Żydzi, słabsi, zachowują się biernie, inaczej nie mogą. Ale ich uczucia są również, a może nawet więcej zapalne, niż tej gawiedzi różnojęzycznej, która spadła na nich wraz z burzą i grzmotem. Potężne, spodem toczące się, a sprzecze sobie prądy zwarły się wreszcie i wystrzeliły nad spokojną pozornie powierzchnią słupem wrzącej lawy.

Czy coś podobnego widzimy w stosunku wzajemnym wyznawców Chrystusa do pogańskiego Rzymu? Czy wykazał autor istnienie między obu temi żywiołami głębokich społecznych lub narodowych antagonizmów, które przykryte czas jakiś popiołem, rozpalić się mogły w pożogę, obejmującą cały widnokrąg dokoła? Nie. Chrześcianie zachowują się biernie wobec prześladowców, nie tylko wtedy, gdy już są wystawieni na męki. Jeszcze wówczas, gdy przyszli męczennicy tyle obchodzili Nerona, co zwiędłe liście, według wyrażenia Petroniusza, odpłacali mu oni wzajemnością, nie dbając ani o niego, ani o Rzym, który wiedział o nich tylko to, że są „sektą żydowską“. A i obecnie, nie są oni czynnikiem niezależnym i działającym, lecz kilkodniowemi ofiarami okrucieństwa tyrana, łupem dzikich zwierząt w cyrku, męczennikami na krzyżach przed gawiedzią, pochodniami żywemi w ogrodach Cezara, wogóle są wyłącznie i jedynie materyałem do scen jaskrawych i głęboko poruszających, o co autorowi przedewszystkiem chodziło. Prześladowanie spada na chrześcian z nienacka, niespodzianie; było ono następstwem szczególnego zbiegu okoliczności, chwilowego pokrzyżowania się wpływów przy dworze Nerona, wynikło z przesądu Poppei, jej żydowskich sympatyi, a przedewszystkiem z potrzeby zrzucenia na kogoś winę w sprawie podpalenia Rzymu. Wszystko to przypadkowe, od stosunku chrześcian do państwa i całego społeczeństwa rzymskiego niezależne. Inaczej by było, gdyby np. Krysp wystąpił publicznie z grzmiącym oskarżeniem przeciw „grzesznicy babilońskiej“, gdyby wołał, że pożar miasta jest widoczną oznaką ciężkiej prawicy pańskiej. Ten wyraz niechęci łatwo mógłby posłużyć za dowód dostateczny zbrodniczego udziału w podpaleniu, zwłaszcza wobec powszechnej nieznajomości ducha i zasad nowej wiary.

Tyle o ogólnem tle. Zejdźmy teraz na szczuplejsze, lecz bardziej zbliżone przed oczy czytelnika pole baśni powieściowej. Wiemy już, że losy bohaterów są połączone przyczynowo z wypadkami ogólniejszej natury. Otóż uzależnienie owo uczynione jest w sposób dość powierzchowny. Ujęcie Ligii nastąpiło tylko pod pozorem, że jest ona chrześcianką. Pierwotną pobudką była zazdrość Poppei, jej przesądne mniemanie, iż Ligia stała się przyczyną śmierci jej syna. Dla samego Nerona umęczenie Ligii było tylko okrutnym żartem, w którym miano na myśli raczej Winicyusza, niż Ligię. Wreszcie wchodzi w grę współzawodnictwo Tigellina z Petroniuszem. Ponieważ Petroniusz stawał w obronie Winicyusza, upokorzony przezeń Tigellin postanowił uczynić mu na złość... I dalej, całego zbiegu przypadkowych okoliczności trzeba było, by doprowadzić Ligię do amfiteatru, a doprowadzić nieskalaną przez zwierzęce chuci Nerona i jego wspólników. Więc ujęto Ligią, nim uprzedzony przez Petroniusza Winicyusz zdołał ukryć ją w bezpieczniejszem schronieniu. Gdy już wszystko było przygotowane do uwolnienia Ligii z murów więziennych, w ostatniej niemal chwili straże pretoryańskie zaciągają przed więzieniem warty. Uprowadzenie stało się niepodobieństwem. I w jednym i drugim przypadku różnica chwil kilku nadałaby zupełnie inny kierunek przebiegowi wydarzeń w utworze... Choroba Ligii zabezpiecza ją przed shańbieniem, ochrania ją przed przedwczesnem ze względu na zamiar autora wystawieniem jej w amfiteatrze, i wreszcie pociąga za sobą przeniesienie chorej do innego więzienia, a te przenosiny znowu wypadły właśnie o godzinę wcześniej niż się odbyć miało zupełnie już przygotowane wykradzenie dziewczyny z rąk siepaczy. Widzimy tedy, jak autor krok za krokiem piętrzy umyślne przeszkody na drodze Winicyusza, jak mu zawsze każe chybić przed uczynieniem ostatniego już, zdaje się, poruszenia, ostatniego wysiłku. Niespodziewany wynik walki między Lygem a Krotonem, mimo znamienia przypadkowości (bo i cóż ma wspólnego siła Lyga z chrześciańskiemi zasadami Ligii?) — znajduje jednak swe wytłomaczenie w chęci autora doprowadzenia Winicyusza do uznania moralnych przeszkód, stojących między nim a Ligią, w zamiarze ukazania nam chrześcian w ich domowem otoczeniu, poddania bohatera nowym wpływom itp. Być może skusiła autora antyteza wykrzykników: „Zabij“, „Nie zabijaj“, wychodzących kolejno z ust poganina i chrześcianki... Ale obecnie, gdy przedmiot przekonań już w grę nie wchodzi, gdy wykradzenie Ligii z więzienia miałoby zupełnie ten sam skutek, co uwolnienie jej w amfiteatrze z rąk Nerona za sprawą Lyga i widzów, teraz już widoczna jest chęć pisarza nawiązania na tę samą nić wiele wyjątkowych sytuacyi, rozbudzenia niepokoju i utrzymania oczekiwań czytelnika w ciągłem zawieszeniu.

(Dokończenie nastąpi).

Ostatnie powieści Rodziewiczówny.*)

P. Rodziewiczówna wiecznie jednę powieść pisze — na różnych tłach haftuje wciąż te same wzory: cichego bohaterstwa, wielkich poświęceń, charakterów niezłomnych, apostołów idei itp. Wiecznie „Dewajtys“, z którego autorka coraz świeższe kopie odciska, lecz coraz bledsze, coraz mniej zabawne. „Dewajtys“ zrodził już: „Szary Proch“, „Hrywdę“ i parę drobniejszych rzeczy; „Na Wyżynach“ i „Jerychonka“ należą także do spóźnionych owoców tej przedziwnej partenogienezy. Bohaterowie utworów p. R. zmieniają od czasu płeć, stanowiska społeczne, wiek lub urodzenie, w istocie jednak zawsze są mitycznymi Heraklesami, którym *fatum* narzuciło od kolebki wykonanie nadludzkich „dwunastu prac.“ P. R. rozwija działalność swoich „nadludzi“ zawsze na tle niezwykłem i tak każdego oświetla, że czytelnik, z zewnętrznej tylko wnosząc postawy, powiada sobie odrazu: „oto jest ten, co urwie łeb hydrze“, albo: „tego z góry los przeznaczył na ofiarę bogom.“ Dekoracye utworów swoich maluje p. R. barwami tajemniczo-ponuremi, jeżeli można tak powiedzieć: zawsze dymią się tam jakieś zgliszcza, biją nagle pioruny, walą się w gruzy gmachy, słychać huk, trzask, jęk dusz pokutujących.... Śmierci nagłe podstępy, zdrady, mordy.... uwijają się wśród tego chaosu melodramatycznego, jak najpospolitsze zjawiska. Autorka lubuje się w efektach przesadnie jaskrawych, w scenach przerażających. Z tego względu utwory p. R. przypominają t. zw. „straszliwe“ powieści pani Radcliffe i jej podobnych. Ta tylko pomiędzy niemi zachodzi różnica, że tamte nie miały pretensyi do wyobrażania rzeczywistości, utwory zaś p. Rodziewiczówny mają jakoby odtwarzać życie prawdziwe.

Powieść „Na Wyżynach“ jest historyą jednego z tych operetkowych tytanów p. R., który gołębią prostotą, pokorą, uległością, wyrzekaniem się dóbr ziemskich chce zreformować dość opłakane stosunki, panujące w fabryce sukna w Holendrach pod Łodzią. Jest nim młody Dyzma Kryszpin, syn siostry właściciela fabryki, Fusta, który wyrzekł się jej był przed laty za to, że postąpiła wbrew jego woli, poślubiając doktora Kryszpina. Po śmierci siostry stary Fust zajął się losem pozostałych po niej sierot: siedemnastoletnim Dyzmą, młodszym od niego o parę lat Frankiem i malutką Elżunią. — Los sierot dzieli ich babka — uosobienie cnót chrześciańskich, postać podniosła, ledwie dotykająca stopą ziemi, przebaczająca wszelkie krzywdy i wyrzekająca się wszystkiego, co ziemskie; jedna to z lepszych figur powieści, pomimo swej koturnowości.

Chłopców przeznaczono do podrzędnych i uciążliwych zajęć fabrycznych. Fabryką rządzi surowo i brutalnie pasierb Fusta, Rudolf Ulm. Siedemnastoletni Dyzma wchodzi w życie fabryczne z tak dojrzałemi planami reformowania go, z programem działań tak ściśle i z góry ułożonym, jakby to było wynikiem długoletniego doświadczenia i wielu prób ogniowych. Program ten za najskuteczniejszy regulator stosunków społecznych uznaje miłość, obejmującą wszystko: zło i dobro, krzywdzących i pokrzywdzonych, spragnionych naprawy społecznej i sprzeciwiających się jej. Od zasady tej Dyzma ani na włosek nie odstępuje: sam stara się być jej żywem wcieleniem, innych pragnie nią przejąć bezwzględnie. Z początku wszystko idzie, jak z płatka. Młody reformator pozyskuje zaufanie robotników, dzięki czemu udaje mu się założyć parę pożytecznych dla nich instytucyi, jak oto: czytelnię, chór robotniczy i kapelę, wreszcie gospodę, dzierżawioną przez samych robotników. Na tem kończą się reformy! Różdżka czarodziejska, która przez czas jakiś działała tak cudownie, że w okamgnieniu wprowadzała ład do chaosu fabrycznego, przestała działać i wypadła z rąk Dyzmy. Ognia z wodą nie była w stanie połączyć bez krzywdy dla jednego z tych żywiołów; sprzecznych interesów — dwóch odrębnych światów nie mogła pojednać. Dyzma chciał być wiernym i zwierzchności fabrycznej i robotnikom, pragnął spełniać

*) Jerychonka. Powieść. Warszawa 1896 Lewental. Na Wyżynach. Warszawa 1899. Gebethner i Wolff.

święcie obowiązki względem obydwóch tych stron i był mocno przekonany, że tylko na takiem stanowisku można wielkich rzeczy dokonać, nie nadwerężając zasady miłości. Dyzma głosił: zadowolenie z losu i poprzestawanie na swojem, pogardę dla bogactw i posłuszeństwo absolutne, i jednocześnie pragnął towarzyszy swoich wydobyć z nędzy moralnej i materyalnej, ulżyć ich doli i trosce ich o poprawę bytu nadać charakter bardziej samodzielny, sprzęgnąć wysiłki jednostek i zorganizować je. Namawiał słowem kogoś, był dążył do zmiany swego losu i zarazem pozbawiał go środków, umożliwiających tę zmianę. Życie nie omieszkało zdyskredytować ideału Dyzmy, pełnego sprzeczności i niekonsekwencyi. Niepowodzenia i nieszczęścia zaczęły, jak grad spadać na jego głowę. W początkach jego zapędów reformatorsko-filantropijnych dyrektor fabryki bierze go za niebezpiecznego wichrzyciela i pozbawia miejsca.

Później, gdy został znowu do fabryki przyjętym, robotnicy podejrzywają go o konszachty z dyrekcyą, widzą w nim szpiega starego Fusta, lżą go i zniesławiają. Nic go jednak nie zraża, jak również najboleśniejsze doświadczenie nie może przekonać, że kto życie chce reformować, powinien je opanować i sposoby zwalczania złego brać z samego życia, nie narzucając mu niewykonalnych, zgóry skazanych na niepowodzenie planów. Dyzma przeciwnie, jakby umyślnie wytrąca sobie z rąk broń ziemską i wyrzeka się bez wahania środków, któreby mu mogły okazać dzielną pomoc w walce ze złem. Oto przykład, charakteryzujący jego sposób zapatrywania się na rzeczy. Wypadki tak się układają, że Dyzma zostaje uniwersalnym spadkobiercą swego wuja. W ten sposób nawet jego filantropijnym zachciankom odkrywa się ponętna perspektywa. Będąc właścicielem fabryki i znacznych kapitałów, mógłby choć cząstkę swego ideału miłości ogólnej urzeczywistnić, a gdyby nie chciał obniżać własnego polotu i przystosowywać się do wymagań praktycznych, to mógłby przynajmniej targnąć się na coś wielkiego, choć przez chwilę jedną mieć nadzieję, że wymarzoną utopję wcieli w życie najbliższe. Ale Dyzma właśnie jest tak nieubłaganie konsekwentnym, że pragnąłby ideały swoje urzeczywistniać bez pomocy jakichkolwiek środków — dlatego wyrzeka się spadku. Lud fabryczny, który wiele sobie obiecywał od tych zmian niespodziewanych, dowiedziawszy się o postanowieniu Dyzmy, obrzuca go tym razem już nie śmiechem, lecz błotem i kamieniami. Na takich to „wyżynach“ absurdu i spełniania obowiązków, nie wiadomo względem kogo, postawiła autorka swego bohatera. Rzuca to także światło i na jej pojmowanie obowiązków społecznych, i na to, jakby pragnęła rozwiązywać powikłanie obecnych stosunków ludzkich. Niedziałanie, wyrzekanie się środków walki, jałowe poświęcanie się dla celów, stojących poza życiem: oto co ma, jej zdaniem, zaradzić najskuteczniej złemu.

Od powieściopisarzy nie wymaga świat zdolności reformatorskich, ale o mniejszą naiwność w poglądach na sprawy pierwszorzędnej wagi każdy ma prawo ich prosić. Nie potrzebujemy wyliczać tych wszystkich ciosów, jakie zwala autorka na swego bohatera, by przekonać czytelnika, iż nic nie jest w stanie ściągnąć go z tych wyżyn, na jakich podobało się jej go postawić. Wymieniamy tu jednak kilka, ażeby czytelnik mógł podziwiać pomysłowość autorki. Śmierć zabiera Dyzmie najukochańsze istoty: babkę, siostrę i Herthę, której wprawdzie nie kocha ziemską miłością, gdyż toby go mogło ściągnąć z wyżyn, ale która pomimo to jest mu wielce droga. Następnie złość ludzka posądza go o zbrodnię i pakuje do więzienia; później przyjaciel, który zawiódł go przedtem i oszukał, rani go w twarz wystrzałem z pistoletu etc. etc. Pomniejszych okropności i ponurych scen, rzecz prosta, co niemiara w powieści.

W „Jerychonce“ Tytan zmienia płeć i nazywa się Magdą Domontówną. Magda jest artystką-malarką wielkiego talentu. Uwielbia sztukę, jest prawdziwą jej kapłanką, gotową do największych poświęceń. W chwili natchnienia twórczego rzeczy ziemskie i ludzkie malały w jej oczach i myśli. Mimo to jedna „rzecz ziemska i ludzka“ zaprząta ją mocniej od innych: jest nią Filip Osiecki, jej kuzyn i malarz także. Kuzynek flirtował z nią niegdyś, kiedy była młodszą, i podniośle rozprawiał o sztuce; odtąd żywi ona dla niego w głębi ducha szczere uczucie miłości, z którem przed nikim się nie zdradza, owszem, stara się nawet je przykryć powagą i sztuczną surowością zapewne dlatego, by nie wystawić na szwank swego wysoko pojętego powołania kapłanki sztuki. Filip szaleje za baronówną Faustanger, przewrotną lwicą, która go zwodzi, rozprzęga talent i wolę twórczą i rujnuje materyalnie (Filip jest bardzo bogaty). Magda opętanego szałem miłosnym Filipa traktuje pobłażliwie, jak chore dziecko, ostrzega go przed niebezpieczeństwem, jakie mu grozi od pustej kokiety światowej, i postanawia „cieszyć się z nim razem i boleć i, o ile można strzedz jego duszy“. Nic nie pomagają jednak wykłady, urządzane przez Magdę dla Filipa o tem, „że miłość artysty powinna być czystą, nieszczęśliwą i niedostępną, mieszkać razem z jego natchnieniem w niebie...,“ nic nie skutkują jej przestrogi i rady. Baronówna wciąga powoli Filipa w przepaść i odziera go z pieniędzy, potem porzuca. Filip, pozbawiony nadziei odzyskania przedmiotu swoich szałów, z bólu i rozpaczy zapada ciężko na zdrowiu, do którego z trudem powraca.

Dotychczas nic nie było nadzwyczajnego w przebiegu wypadków: wszystko szło pospolitym trybem. Ale właśnie dlatego musiało przyjść do głowy autorce, że powieść zostanie zepsutą, jeśli jej nie zakończy jakąś sceną przerażającą. Więc dała ją. Nie dość jej było tego, że — według przepowiedni Magdy — baronowa rzuciła Filipa, jak połamaną zabawkę, niedość, że opróżniła mu kieszeń i wyssała życie z duszy: wszak pozostało jeszcze ciało, nadwątlone wprawdzie chorobą, ale zawsze żywe, trzebaż więc coś z niem zrobić. Uśmiercić? To takie proste. Zwyczajna przecież śmierć jest pozbawioną wszelkiej grozy, należy więc stworzyć dla niej niepowszednie warunki.

Byłoby rzeczą zbyt naturalną dla autorki, gdyby Filip, po doznanych zawodach miłosnych, sam sobie życie odebrał, robi więc tak, że mu je odbierają inni, z woli baronowej, pragnącej uwolnić się raz nazawsze od dawnego gacha. Dzięki temu umierający Filip ma możność wynurzenia wobec baronowej wszystkich swych żalów do niej za złamane życie — i to w tak długiej tyradzie, że zdrowemu człowiekowi zabrakłoby tchu do jej wypowiedzenia. Magda po śmierci Filipa drętwieje nieco, ma jednak nadzieję odżyć rychło przez sztukę.

„Jerychonce,“ pomimo wszystkich jej nienaturalności, przyznajemy wyższość nad poprzednią powieścią Rodziewiczowny. „Jerychonka“ pisana jest dość żywo i z werwą. Magda jest postacią przesadną wprawdzie, deklamującą wciąż i na wysoką nutę niezmiennie nastrojoną, pomimo to jednak sympatyczną i konsekwentną. Udatną także postacią jest malarz Oryż, bez wzajemności zakochany w Magdzie, — typ cygana — artysty, cynik i pijak, w gruncie jednak uczciwy i z dobrem sercem; postać ta, jednak jest jak inne przesadną. — Autorka zajęta była głównie w „Jerychonce“ wikłaniem sensacyjnej tabuły, nie sądzimy bowiem, by chodziło jej przedewszystkiem o udowodnienie tej tezy: że miłość artysty powinna być koniecznie czystą, nieszczęśliwą i niedostępną.

Omawiane powieści Rodziewiczówny rażą nas tem samem, co i dawniejsze. Brak im prostoty, miary i poczucia rzeczywistości, postaciom ich brak piętna indywidualnego: są to jakieś typy, jacyś l u d z i e w o g ó l e, nie zaś indywidua, żyjące samotnie, wytworzone jakiemś otoczeniem znanem. Autorka czyni, co może, ażeby kreacye swoje wystawić w świetle niepowszedniem i wlać w nie ducha szczytności, doznaje jednak pod tym względem niepowodzenia: podniosłość zawsze brata się u niej z rozdzierającą banalnością, a tragizm przechodzi w pozę teatralną! Postacie jej utworów robią wrażenie osób, które przed rozpoczęciem najzwyklejszego działania oglądają swoje oblicze w zwierciadle, studyują swoje ruchy z myślą o tych, wobec których będą się swoją szlachetnością i wdziękiem popisywać.

Akcyę powieści swych rozwija najczęściej Rodziewiczówna w środowiskach fikcyjnych, pozbawionych kolorytu miejscowego, nieprzypominających nam szczegółem żadnym otoczenia, w którem żyjemy.

Wł. Jabłonowski.

SZKOŁA I WYCHOWANIE.

Wychowanie publiczne w Anglii.

I.

Żadne z wielkich współczesnych państw cywilizowanych nie zaczęło tak późno wciągać wychowania publicznego w zakres swej działalności jak Anglia. Po tak korzystnym dla oświaty ludowej okresie reformacyi i renesansu — 500 szkół z zapisów pochodzi w Anglii z XVI wieku — nastąpił długi peryod zastoju a nawet cofania się. Parlamentarna arystokracya XVII wieku nie tylko nic nie uczyniła dla wychowania publicznego, ale nawet istniejące już instytucye naukowe, powstałe z zapisów, tak szkoły jak uniwersytety, odwiodła od pierwotnego ich celu służenia całemu ludowi, a zwłaszcza niezamożnym jednostkom, i zamieniła je na zakłady dla „gentry“ i kościoła państwowego. Zmonopolizowane w ten sposób przez panującą warstwę skostniały wyższe zakłady naukowe, tak iż Adam Smith w swym Wealth of Natines uznał wolne współzawodnictwo za najwłaściwszą zasadę dla wychowania publicznego i domagał się jedynie dla szkół elementarnych pomocy państwowej w możliwie szczupłych rozmiarach. Gdy wreszcie w pierwszych dziesiątkach lat bieżącego wieku obudziła się i wzmocniła świadomość, że państwo zapobiegające sprzedaży fałszowanych artykułów spożywczych, zobowiązane jest także i uprawnione do czuwania nad umysłowym pokarmem narodu — zwróciła się uwaga prawodawców i filantropów najpierw na najniższe i najwyższe stopnie wychowania, na szkoły elementarne i uniwersytety. Założenie bezwyznaniowej „University of London (1828) stanowiło początek gruntownej, prowadzonej racyonalnie i odpowiadającej wymaganiom czasu reformy uniwersytetów; przyznanie subwencyi państwowej w wysokości 20,000 funtów rocznie szkołom elementarnym w r. 1833 prowadziło sto-

pniowo do zaprowadzenia ogólnego obowiązkowego, a w r. 1891 bezpłatnego wychowania elementarnego.

Cała wielka, spoczywająca w środku pomiędzy temi dwoma krańcami dziedzina tak zw. szkół średnich pozostawała przez czas daleko dłuższy wystawiona na błogosławieństwo popytu i podaży; z jakim skutkiem w wielu wypadkach — przedstawił nam Dickens w swym Mikołaju Nickleby i Dawidzie Copperfield w pamiętny sposób. W r. 1861 zebrała się wreszcie królewska komisya pod przewodnictwem lorda Clarendana celem zbadania stosunków w dziewięciu największych szkołach, utworzonych z zapisów (Eton, Winchester, Westminster, Harrow, Rugby, Shrewsbury, St. Pauls i Merchant Taylors. Dwie ostatnie są „day-schools“; reszta „boarding-schools“). Sprawozdanie tej komisyi, która odkryła wiele niedostatków, spowodowało uchwalenie w r. 1868 ustawy Public-School, reformującej gruntownie zarząd siedmiu wielkich alumnatów pomiędzy temi zapisami. Większe znaczenie posiada komisya z r. 1864, której działalność obejmowała wszystkie wyższe zakłady naukowe i której sprawozdanie ogłoszone zostało w r. 1867 w 20 tomach. Komisya ta uznała wyższe wychowanie w Anglii za niedostateczne tak pod względem jakości jak ilości, bez organicznego związku zarówno z uniwersytetami jak szkołami elementarnemi, i poleciła energiczną reformę na wewnątrz i zewnątrz oraz jednolitą organizacyę pod dozorem państwowym. Na razie jednak uchwalony został jedynie bil Endower School (1869) przez który szkoły średnie, powstałe z zapisów, poddane zostały specyalnej władzy, najpierw „Endower School Commission“ a w r. 1874 „Charity Commission“, której zadaniem było jednolite uregulowanie ich zarządu. Działalność jednak tych ciał była za powolna i ciężka, i oprzymia liczba szkół prywatnych lub założonych na akcye szkół stowarzyszeń pozostawała w dalszym ciągu w dawniejszym swym anarchicznym stanie.

Swoją drogą w ostatnich czasach spostrzegamy w angielskiem wychowaniu publicznem dość znaczny postęp. Parlament, uniwersytety, wielkie sekty religijne, korporacye miejskie, nauczyciele i osoby prywatne, współzawodniczyli z sobą w dążeniu ku powiększeniu liczby szkół dla chłopców i dziewcząt i ulepszeniu tych zakładów, ale na wysiłki te zdobywano się zbyt sporadycznie i bez należytego związku, i wskutek tego wynik nie zawsze odpowiadał nakładowi czasu, pracy i pieniędzy. Na wniosek więc ówczesnego wiceprezesa urzędu dla wychowania, Aclanda, zebrała się w marcu 1894 r. nowa komisya, której powierzono „zbadanie najlepszych wobec istniejących braków i miejscowych źródeł dochodu metod, mogących zapewnić Anglii należycie zorganizowany system wyższego wychowania publicznego“. Prezesem tej komisyi był James Bryce, wybitny profesor uniwersyte u, autor i członek parlamentu. (Napisał pomiędzy innemi epokowe dzieło o rzeczypospolitej północno-amerykańskiej). Reszta komisyi składała się z nauczycieli elementarnych, dyrektorów wyższych zakładów naukowych, profesorów uniwersytetu, duchownych, członków lokalnych zarządów i trzech kobiet, a mianowicie nauczycielki wyższego zakładu naukowego dla dziewcząt, kierowniczki gimnazyum żeńskiego w Cambridge i damy z najwyższej arystokracyi. Komisya ogłosiła owoce swej pracy w 9 tomach, z których pierwszy zawiera właściwe sprawozdanie (Report of the Royal Commission on Secindary Educations Vol. 1. 1895), gdy reszta obejmuje prace przedwstępne i dokumenta. Sprawozdanie ogranicza się na kwestyi organizacyi, pobieżnie tylko poruszając plac i metody nauczania. W tych granicach jednak jest tem zupełniejsze, przedstawia autentyczny obraz angielskiego wychowania publicznego i podaje główne zasady prawdziwie narodowej jego reformy.

Istniejące w Anglii szkoły podzielić można podług ich stopnia i działalności na trzy klasy, chociaż podział ten w szczegółach nie da się ściśle przeprowadzić. Szkoły pierwszego stopnia, zatrzymujące swych uczniów od 18 lub 19 roku, kształcą ich dla uniwersytetu i wyższych zawodów; szkoły drugiego stopnia, opuszczane przez uczniów w 16 lub 17 roku, przygotowują ich do kupieckiego lub przemysłowego zawodu; szkoły trzeciego stopnia, w których kończy się nauka z 14 lub 15 rokiem ucznia, kształcą chłopców i dziewczęta do warsztatów i sklepów. Podług swej administracyi dzielą się, rzecz jasna te szkoły znów na zakłady, utrzymywane z zapisów, przez stowarzyszenia i na szkoły prywatne. Co się tyczy szkół utrzymywanych z zapisów, to szkoły pierwszego stopnia dostępne z powodu wysokiej bardzo opłaty za naukę, i dzisiaj jeszcze wyłącznie prawie arystokracyi rodowej i finansowej, odznaczają się niezwykłym stopniem rozwoju. Jako zakłady wychowawcze we właściwem tej nazwy znaczeniu, przygotowujące młodzież do życia publicznego w wolnem państwie, szkoły te od czasów reform zaprowadzonych przez dr. Tomasza Arnolda, sławnego „headmaster“ z Rugby, są niedoścignione i jedyne w swym rodzaju, a i wykład, dzięki przedewszystkiem zaprowadzeniu wolnych egzaminów konkurencyjnych dla służby wojskowej i cywilnej uległ znacznemu rozszerzeniu i pogłębieniu; obok języków starożytnych coraz pilniejsza zwracana bywa uwaga na języki nowsze i nauki przyrodnicze.

K. P.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

„Dla zdrowia ludu.“

Dowodził ktoś, zdaje się nadworny lekarz Bismarcka, że stan zdrowotny wsi znacznie jest gorszy niż miast wielkich; że procent śmiertelności na prowincyi zwykle bywa większy, niż w miastach. Jeżeli tak jest w Niemczech, gdzie miasteczka i wsie słyną z czystości i porządku, to cóż mówić o stosunkach zaboru rosyjskiego, o tych osadach i miasteczkach, które są gnojowiskami, kloakami zbiorowemi i gdzie brud i niechlujstwo tak jest wielkie, jak wielka ciemnota mas ludności; gdzie ta ludność odznacza się niesłychanym uporem i solidarnością, gdy chodzi o zażartą walkę z... hygieną! Na te warunki okropne zwrócono baczną, powszechną uwagę dopiero w chwili groźnej dla całego kraju — podczas epidemii cholery. Stworzono „komisye sanitarne,“ które przeraziły się ogromem pracy, przekonały się, że chcąc oczyścić te odwieczne zbiorowiska brudu i miazmatów, trzeba pracy olbrzymiej, trzeba dużo poświęcić kosztów, wysiłków i walki w mrokach.

Na jaki grunt te czasowe organizacye trafiły, powziąć możemy pojęcie z opisów twórcy takich komisyj, d-ra Józefa Tchórznickiego, w najświeższej jego pracy p. t. „Dla zdrowia ludu“ (Warszawa, 1896). Są tam zawarte dzieje owych przeciwdziałań (od 27 lipca do 5 grudnia r. 1892 w gub. Siedleckiej osadach Sterdyni i Kosowie), które, o ile wiemy, nie są zjawiskiem wyjątkowem w jednym tylko zakątku, lecz, niestety, ogólnem w całym kraju.

Przedewszystkiem zobaczmy, jak wygląda osada (Kosów): Pierwszy rząd domów od ulicy stoi na gruncie, drugi już na warstwie nawozu, trzeci — na wysokiej warstwie błota, nawozu i śmieci. Uliczki wąziutkie, wszelkie ścieki dążą ku małej rzeczce, przepływającej przez osadę. Tamują je domy, „kuczki,“ drzewo rąbane, bezładnie i dowolnie zawalające podwórza, kąty i inne miejsca. Nawóz uliczny przechowywany w stodołach; łaźnia i mykwa w najokropniejszym stanie. Bydłobójnia — w chlewach zwykłych od strony rzeki; pod nimi zaś cuchnące zdala kałuże, głębokie na trzy łokcie. Bóżnica na najbłotnistszym placu, a nad rzeką klozety żydowskie, wstrzymujące bieg wody. Poza domami z lewej strony ulicy przechodził niegdyś głęboki rów, prowadzący wodę ze źródeł i pól do rzeki. Na nim zbudowano kilka „kuczek“ każda zaś z nich zamknęła bieg wody, skutkiem czego potworzyły się kałuże błotniste. Inny rów zaorany i rzeka zatamowana poniżej osady. Woda, pozbawiona odpływu, oblewa bóżnicę w koło, podbiega pod domki i tworzy w nich wieczną wilgoć. Przepełnienie w mieszkaniach niemożliwe. Cała mieścina to kupa zgnilizny, z której nigdy nie wychodzą: ospa, dyfteryt, tyfus plamisty, dysenterya i wszelkie inne choroby.

Obraz ten, jak rzekliśmy, nie pojedyńczy, nie wyjątkowy; jest on zjawiskiem powszechnem w całym kraju. Wobec takich warunków wystąpiły do walki z niechlujstwem komisye sanitarne. „Prości ludzie i Żydzi — pisze dr. Tchórznicki — zwrócili głównie swe oczy na dwory i podpatrując, co te czynić będą, wyczekiwali swej kolei, w nadziei, że dwór pierwszy wykona doskonale roboty i da im przykład. Gdy zaś dwór ociągał się, ciekawi byli bardzo, czy też do sądu zaskarżony będzie? Jeżeli nie — to konsekwentnie rzeczy biorąc, i ich ominie cała niepożądana ciężka praca.“ Przykład dworu zawiódł atoli oczekiwania: Napotkano tam — opór! Roboty szły powoli z przerwami; widząc to mieszkańcy osady tembardziej nie zabierali się do porządku, ten zaś przykład zaraźliwy udzielił się i sąsiedniej osadzie. „Za wiele wymagań; mogłoby się i bez tego obejść!“ — wołano. Tłum ciemny chwytał te słowa i na nich swój opór fundował, za co potem niepotrzebnie płacił kary i odsiadywał kozy. „Nowe interwencye do p. właściciela, nowe starania i delikatne prośby, dowodziły tylko, że pomimo teoryi, nie wszyscy w praktyce są wobec prawa równi; że instrukcye sanitarne są martwą literą, a każdy przepis jest względnym dotąd, dopóki stosuje go osoba w jaki bądź sposób związana stosunkiem osobistym z wykonawcą i grzeczna aż do zapomnienia świętych obowiązków ochrony zdrowia publicznego, przyjętych na siebie w chwili tak ważnej, jak epidemia.“

Względy natury osobistej odegrały w tej mierze bardzo smutną rolę, ale jednocześnie zaogniły stosunki sąsiedzkie. Ludzie, żyjący przedtem w najlepszej zgodzie, zaczęli potem sobie wygrażać wzajemnie. Utrudniło to ogromnie działalność komisyi. Gdy jednak zbliżyła się cholera i zastała ludność pomimo usiłowań jednostek, prawie nieprzygotowaną, członkowie komisyi uznali za niezbędny warunek pozbycie się wszelkich skrupułów i przyjęcie zasady bezwzględności. Uchwalono, ażeby każdy opiekun sanitarny podał gminie wykazy niewykonanych robót na jego terytoryum i aby wójt uciekł się do sądu. Uchwałę tę powzięto dopiero po miesiącu bezowocnych wyczekiwań. Jakoż uka-

rano dozory bożnicze i 18 tu opornych, a paręset rubli zasądzono za nieporządki sanitarne. Pobudziło to opieszałych i niechętnych — do roboty, ale zarazem zrodziło nienawiść tłumów ku komisyi. Złorzeczyli jej nietylko ciemni, ale i tak zwana inteligencya wiejska, która tym sposobem jeszcze bardziej wrogo usposabiała nieoświeconych. Zaczęto w najrozmaitszy sposób grozić członkom organizacyi zdrowotnej; szczególnie zaś przewodniczącemu. Radzono mu np., aby nie jeździł wieczorem, gdyż Żydzi zamierzają zastąpić mu drogę; zapowiadano otrucie, okładano dom w nocy świecącem próchnem, wreszcie obiecywano wyciągnąć na niego takie przekleństwa, jakich przez 100 lat nie wyciągano. Zrażeni tem widocznie członkowie komisyi, coraz rzadziej zaczęli uczęszczać na posiedzenia, aż wreszcie i na nich kary nałożono (od 30 kop. do 1 rs. na rzecz komitetu dobroczynnego). Nie wiele to wszakże pomogło.

Obok komisyj sanitarnych postanowiono stworzyć w każdej gminie „rady zdrowia“ z udziałem lekarza i pod przewodnictwem wybranego z pośród mieszkańców obywatela. Oprócz prezesa i jego zastępcy, wchodziło w skład tych organizacyi kilku opiekunów sanitarnych i sekretarz; na posiedzenia wezwano duchowieństwo. Podzielono gminy na „rewiry sanitarne“ i co tydzień zwoływano narady. W końcu połączono komisye sanitarne z radami gminnemi. Zadania ich były nadzwyczaj proste: wywieźć nawóz na pola, oczyścić ulice i porobić rowy lub tylko poprawić, wyrównać podłogi klepiskowe, wybielić izby, zrobić w oknach lufciki, oddalić trzodę od domów i przebrać studnie. Pomimo wszakże tej prostoty zadań, były one prawie niemożliwe do wykonania w obec nieprzeniknionej ciemnoty ludności i nałogowego jej niechlujstwa. Rozsiewano najfałszywsze wieści o komisyi, jej celach i członkach. Niektórzy przez zemstę za nałożone kary wmawiali w lud, że lekarze trują chorych w szpitalach i domach, że będą nałożone stałe podatki choleryczne, że lekarze powaryowali, że sprowadzili z Azyi robaczka cholerycznego, którego pilnie hodują w szpitalach dla trucia chorych. Na mocniejszych puszczają tego robaczka; uśmierca on biedaków. Wreszcie wmawiano, że porządki są zbyteczne, że więc nie trzeba wcale ich robić. Lud oczywiście dawał posłuch tym fałszom.

Do wsi wszakże nie były stosowane kary, starano się wszystko uzyskać dobrowolnie i wytworzyć „przekonanie“ o konieczności ulepszeń zdrowotnych. Przy każdem nowem rozporządzeniu lekarz starał się tłómaczyć potrzebę środków ochronnych. W dni świąteczne urządzano wykłady przystępne o cholerze, rozdawano książeczki popularne, zapisywano ochotników na dozorców i dozorczynie chorych. Wywierało to wpływ, ale nadzwyczaj drobny, osłabiany przy tem odpornością i arogancyą tych, którzy powinni być bodźcem i dobrym przykładem dla ogółu ludności wiejskiej. „Dwaj najzamożniejsi ludzie w okolicy — pisze dr. T. — przez pierwsze kilka tygodni nie kazali wykonywać żadnej roboty, odmówili udziału w posiedzeniach i dyskredytowali rozporządzenia komisyi, zbywając milczeniem sołtysów, przynoszących wezwania. Dopiero list naczelnika powiatu i osobista wizyta lekarza poprawiła nieco stan rzeczy.“ Mniej zamożni obywatele chętnie wzięli udział w posiedzeniach i przewodniczyli zebraniom.

Te niedawne dzieje zabiegów około uzdrowotnienia prowincyi, rzucają bardzo smutne światło na poziom umysłowy i charakter jej mieszkańców. Ciemne tłumy, podsycane przez liche, spodlone jednostki, wyraziły całą swą fanatyczną nienawiść względem urządzeń zdrowotnych i ich organizatorów. „Inteligencya“ — uporem, lekceważeniem hygieny, drwinami, wygłaszanemi wobec ludu, wytworzyła w nim jeszcze większą odporność. Tam, gdzie do komisyi powołano przedstawicieli wszystkich warstw ludności o bardzo różnym poziomie umysłowym, weszli w skład tej organizacyi członkowie nietylko mało pożyteczni, ale wprost szkodliwi, gdyż nie rozumiejąc doniosłości środków ochronnych, wzmacniali żywioł opozycyjny, ku szkodzie ogólnej. Przykład ten wymownie dowiódł, że system parlamentarny w takich urządzeniach jest przedwczesny, że absolutyzm i nacisk administracyjny są jedynemi środkami, torującemi drogę ulepszeniom hygienicznym przez ciemnotę tłumów. Oczywiście mówię tu o takich wypadkach, gdy chodzi o wzmocnienie tymczasowej ochrony wobec groźnej epidemii. Gruntowne i stałe uzdrowotnienie kraju taką drogą nigdy się nie da osiągnąć — po pierwsze — że stoi na przeszkodzie ubóstwo masowe i warunki pracy, powtóre — że przemocą narzucone środki zawsze będą wrogo przyjmowane i odpychane całą siłą mroków umysłowych.

Jakież dzisiaj można znaleźć sposoby możliwie najskuteczniejsze? Dr. Tchórznicki podaje ich aż jedenaście: 1) Przepisy sanitarne powinny być nakazane z góry w jasno określonej formie. Wykonaniem ich powinna się zająć tylko władza administracyjna. 2) Udział lekarza miejscowego powinien się zasadzać na udzielaniu objaśnień specyalnych w rzeczach naukowych i spornych. 3) Władza wójtów i sołtysów na miejscu nie jest wystarczającą. Potrzeba władzy administracyjnej powiatowej lub urzędnika specyalnie i jedynie zajętego epidemią i mającego na swe usługi przynajmniej dwu strażników w gminie. 4) Rozporządzenie co do robót, pociągających za sobą koszta, powinno być połączone z udzielaniem na nie środków materyalnych, przynajmniej dla ubogich. W tym celu należy zużytkować wszelkie kary pieniężne, naznaczone przez sędziów na nieposłusznych. 5) Terminy, oznaczone do wypełniania robót, powinny ściśle odpowiadać rzeczywistej ilości czasu, potrzebnego do wykonania. 6) Wobec niesłychanej biedy śród ludności osad, należy wymagania, o ile można, uprościć i ograniczyć, mnogość ich bowiem stawia mieszkańców w położeniu bez wyjścia. Często niema czego jeść, a tu — termin i kara. 7) W przepisach budowlanych należy zwrócić uwagę na hygienę mieszkań i stosować przepisy te bez tak wielkich kosztów, jak obecnie (plan i pozwolenie wynosi nieraz czwartą część kosztów budowli). 8) Ważną rolę gra jednolitość wymagań w całym kraju. 9) Częste posiedzenia rad zdrowia mają tę dobrą stronę, że zaznajamiają uczestników, a więc i ludność całą, ze środkami ochronnemi i sposobem ich stosowania. Żeby wszakże nie znużyć większości, posiedzenia zwoływać należy tylko raz na tydzień, najwyżej na godzinę lub półtorej. 10) Obywatele, duchowieństwo, przedstawiciele inteligencyi w różnych zawodach i opiekunowie sanitarni powinni dawać nieustanny przykład za pomocą bezzwłocznego wykonywania przepisów i „rad.“ 11) Należy wprowadzić wykład hygieny w szkołach elementarnych i średnich. Wreszcie wnioskodawca zaleca stosować wszelkie środki sanitarne we wsiach i osadach, jako ochronne od chorób zaraźliwych, nietylko w czasie epidemii, lecz stale, ciągle i obowiązkowo, pod okiem odpowiedniej władzy zdrowotnej.

Środki powyższe, niewątpliwie do pewnego stopnia skuteczne, należałoby przyjąć jako tymczasowe, doraźne. Nie obejmują one bowiem całokształtu warunków, nie wnikają w jego rdzeń. Zdrowotność kraju jest związana ściśle z ogólnym bytem i jego objawami. Nie można więc za pomocą przepisów, zawartych w 11-tu punktach, przekształcić zasadniczo ani tego bytu, ani jego objawów.

Zen. Piet.

Ruch kobiecy na ziemi galicyjskiej.

VI.

Lwów. 5 lipca.

(Walne zgromadzenie Stowarzyszenia nauczycielek. — Co się dzieje ze sprawą lwowskich praktykantek? — Niedźwiedzia przysługa).

„Cudze chwalicie, swego nie znacie, sami nie wiecie, co posiadacie“ — mówił ongi ojczuś Pol Wincenty i mówił prawdę. Dzisiaj wszakże uczciwe serce czuje się szczęśliwem, gdy może rozpalić się radością i chlubą nad zaletami własnego społeczeństwa a rozum da mu na te jego uniesienia aprobatę. W tak miłem położeniu znajduje się Wasza korespondentka, — a jeśli wskaże gdzie czego brak, to jedynie z tej samej przyczyny gorącego przywiązania do gleby własnej i pragnienia, by ta gleba najżyźniejszą i najchlebodajniejszą była. Jakież to piękne hasło: „wszystkim ciałom rozdać chleba, wszystkim duszom myśli z nieba“. Czy o niem! pamiętą instytucya, o której dzisiaj pisać zamierzamy? — Proszę, niechaj Czytelnicy sąmi osądzą z naszego rzetelnego sprawozdania.

Odbyło się walne zgromadzenie zawiązanego przed czterema laty stowarzyszenia nauczycielek we Lwowie, na wzór takiegoż samego istniejącego w Krakowie, które wraz z tamtejszem biurem dla nauczycielek i guwernantek nosi tytuł „Filopajdaja“. Głównym celem stowarzyszenia nauczycielek jest niesienie pomocy materyalnej członkom i budowa schroniska dla spracowanych, wysłużonych, emerytowanych, a bardziej jeszcze pozbawionych emerytury nauczycielek. Jak w dalszym ciągu niniejszej korespondencyi wykazać się postaram, stowarzyszenie to występuje jako wyjątkowo postawiona instytucya, albowiem daje oparcie nietylko materyalne, lecz i moralne swym członkom; to też udają się członkowie po tę pomoc i opiekę, ile razy czują się pokrzywdzeni, ilekroć w zawodzie swym natrafią na bezprawie i nieludzkość. Faktycznie, wyjątkowe to stanowisko stowarzyszenia kobiet, jakiem się rzadko które poszczycić może!

Najlepszym dowodem takiej moralnej opieki jest wdanie się stowarzyszenia w sprawę stabilizacyi nauczycielek, która u nas żółwim posuwa się krokiem. Siedzą nieraz na prowizorycznych posadach rządowych nauczycielki w Galicyi po parę lat, a czasem i po kilkanaście lat, nie mogąc się doczekać, by mianowano je stałemi. Ztąd u nas takie opłakane stosunki nauczycielskie. Aby tę ciężką bryłę szkolnictwa pchnąć naprzód, stowarzyszenie porozumiewa się z władzami nadzorczemi szkolnemi, i o ile można wnioskować ze sprężystości stowarzyszenia, potrafi ono wpłynąć na polepszenie sprawy stabilizacyi. — Opieki i pomocy towarzystwa doznają nietylko sami członkowie lecz i nauczycielki, które do towarzystwa nie należą, jeśli jej tylko zapotrzebują. (Wszak nie brak takich, którym trudno zdobyć się nawet na wkładkę miesięczną 25 cent., tj. 40 fen., wynoszącą i jednorazowe wpisowe 1 złr.) — Jest to dowód zacnych tendencyi stowarzyszenia i jego rozumnego działania. Ponieważ na razie towarzystwo nie posiada funduszów na budowę schroniska dla nauczycielek, radzi sobie jak może i w lokalu swym w rynku ma urządzone pokoje, w których bawiące czasowo nauczycielki z pro-

wincyi mogą przebywać za bardzo niską opłatą lub zupełnie bezpłatnie, jeśli tego potrzebują. W roku ubiegłym z pomieszczenia w lokalu stowarzyszenia korzystało 83 nauczycielki, które przyjechały do Lwowa zdawać egzamina lub przygotowywać się do nich. Prócz tego jeszcze udzieliło stowarzyszenie 8 zapomóg, które razem wyniosły 150 złr. Zapomogi są bezzwrotne. Dwie nauczycielki otrzymały na wyjazd na wiejską posadę 20 złr., gdyż nie były w możności opłacenia sobie kosztów podróży; za jednę z nauczycielek złożyło stowarzyszenie taksę egzaminacyjną. Równocześnie krząta się zarząd około budowy schroniska i w krótkim czasie zebrał już przeszło 2000 złr. Dla korzyści nauczycielek, zwłaszcza prywatnych, utrzymuje stowarzyszenie osobne biuro, starające się o posady dla zgłaszających się tamże kandydatek.

Świetnym pomysłem towarzystwa jest projekt urządzenia kursów przygotowawczych do egzaminów wydziałowych. Nauczycielstwu pracującemu, zwłaszcza na prowincyi, często niepodobieństwem jest przygotować się do egzaminów; rada szkolna uwzględniając te trudności, ustanowiła kursa przygotowawcze we Lwowie dla mężczyzn. Nauczyciele z prowincyi otrzymują, przybywając na kurs, wynagrodzenie osobne, oprócz płacy zwykłej, bezpłatny wykład, i jeszcze opłacają za nich władze szkolne egzaminacyjną taksę. Zdawanie egzaminów wydziałowych jest w dodatku dowolnem dla mężczyzn, gdy tymczasem jest ono przymusowem dla kobiet, którym tego rodzaju kursów rada szkolna urządzić nie chce, prawdopodobnie dla tego, by im w ogóle i tak już uciążliwy zawód pedagogiczny utrudnić. Mężczyźni coraz częściej emigrują z zawodu nauczycielskiego, — kobiety w Galicyi nie mają innego pola do pracy umysłowej. Ztąd ogromna hyperprodukcya, fatalne stosunki pod względem płacy, stanowiska i zarazem niesłychanie trudny awans pośród nauczycielek. Przy niezamożności ich, zapracowywaniu się lekcyami, braku czasu, braku podręczników do nauki, takie urządzenie kursów przygotowawczych będzie rzeczą szlachetną rozumną, użyteczną. Jakkolwiek już obecnie siedmiu profesorów obiecało za bardzo niską opłatą uczyć na tych kursach, przecież wydaje się nam rzeczą racyonalniejszą, żeby Stowarzyszenie szturmowało do władz szkolnych dopóty, dopóki takowe nie zezwolą na to, by nauczycielki mogły równocześnie ze swymi kolegami uczęszczać na owe bezpłatne kursa, istniejące obecnie dla mężczyzn.

Wedle projektu stowarzyszenia kandydatki owego kursu przygotowawczego opłacałyby taksę miesięczną 2 złr. o d p r z e d m i o t u. I na to nie każda się zdobędzie, gdyż jeśli weźmiemy na uwagę, że n. p. w grupie pierwszej, tj. t. zw. filologicznej, wykłada się przedmiotów 5, tedy opłata wyniesie złr. 10 od każdej słuchaczki. W każdym razie bez względu na to, jakich jeszcze reform projekt ten będzie wymagał, przyznać trzeba, że czyni on zadość najgorętszym pragnieniom młodych nauczycielek. Dla uzupełnienia wiadomości o Stowarzyszeniu podajemy, iż liczy ono 332 członków zwyczajnych i 97 wspierających, a cieszy się u ogółu największą z pośród wszystkich stowarzyszeń sympatyą i umie wzbudzić powszechne zainteresowanie swoją niezwykłą żywotnością.

Wszedłszy już raz na tory szkolnictwa, pozwolimy sobie jeszcze powrócić do sprawy, raz już przez nas w poprzednich korespondencyach poruszanej, mianowicie do losu praktykantek szkół lwowskich, które miały być w sierpniu br. usunięte z tutejszych zakładów. Niewiadomo jaki je los spotka, lecz mówią w sferach rządowych, iż władze zamierzają płatne i dłużej pracujące zostawić, a wszystkie inne usunąć. Druga wszakże wersya o tej sprawie powiada, że radni oświadczyli, iż nad każdem wniesionem podaniem będą z osobna konferować i wedle tego, co uznają za stosowne, podanie uwzględniać lub nie. Czy to dobrze, przyszłość okaże, a ja nie omieszkam z całą wiernością donieść o tem Szan. Czytelnikom „Przeglądu."

Sprawą tą w ogóle interesują się bardzo, mówią o niej jeszcze więcej, ale oby tylko cała energia nie zużyła się w słowach, jak to u nas niestety tak często bywa. Pośród nauczycielek z prowincyi znalazła się jedna, która do „Przeglądu lwowskiego" raczyła przesłać list, a w nim nie ubolewając wcale nad losem praktykantek, twierdzi, iż zgotowały go one sobie same niczem nieprzełamaną niechęcią wyjazdu i zajmowania posad na wsi. Nad całym tym pobożnym listem, zgodnie brzmiącym z intencyami rządowemi, możnaby przejść do porządku dziennego, gdyby nie był iście niedźwiedzią przysługą dla praktykantek. Nie brak mu pewnych drobnych racyi, ale ogłoszenie go w czasach obecnych wygląda co najmniej na złą wolę. My jeszcze raz stanowczo twierdzimy to, cośmy poprzednio uzasadnili przykładami, że po wsiach galicyjskich powinni uczyć przeważnie a nawet wyłącznie mężczyźni. Kto tylko patrzy okiem nie apatycznego, zaspanego widza, lecz okiem obserwatora humanitarnego i psychologa, ten z pewnością oponować będzie przeciw zajmowaniu posad wiejskich przez kobiety.

Dość będzie dla nich miejsca po miasteczkach i miastach, a skoroby tylko podwyższono płacę nauczycieli wiejskich, mężczyźni udawaliby się tam chętniej. Lecz dość już o szkolnictwie, bo czytelników znudzę rozciągłością tematu, chociaż przyznać trzeba, że na długo będzie on kwestyą niewyczerpaną. — Na przyszłość zwrócę się do świata artystycznego, by trochę, po tem patrzeniu w niedolę odetchnąć i z tej szarej ziemi wzlecieć nieco w górę. Sztuka bowiem zawsze pozostać powinna źródłem czystych, duchowych rozkoszy, a dla spracowanych, smutnych, przygnieciony ciężarem życia i jego trosk, prawdziwym balsamem na rany, ukojeniem, wytchnieniem, odżyciem. Więc po deszczu smętków, pesymizmów, bólów, ku tobie sztuko — czarodziejko wyciągniem ramiona i spragnione usta przytkniem do twej kryształowej czary!

J. Aleksota.

Słowianie na wystawie rękodzielniczo-przemysłowej w Dreźnie.

Drezno, dnia 7-go lipca 1896.

Saska wystawa rękodzielniczo-przemysłowa jest dla nas Polaków z bardzo wielu względów sympatyczną. Nie dając na teraz opisu właściwej wystawy, pobieżnie nadmieniam, że odtworzenie starego miasta Drezna, z czasów pomiędzy rokiem 1730 a 1752, a więc za panowania elektorów saskich a królów polskich Augusta II i Augusta III, powinno nietylko Saksończyków, lecz i nas interesować. W oddziale wystawy *„Alte Stadt"* cofnięto pozornie bieg czasu o półtora wieku wstecz. Widzi się n. p. odwach żołnierzy z warkoczami. Mają oni ładownice powiązane prostemi konopnemi sznurkami, pod nosem sumiaste wąsiska, a w chwilach wolnych od warty, którą z całą akuratnością wojskową w różnych punktach miasta zaciągają, robią pończochy z powagą i wielkiem zajęciem. Obok odwachu mieści się szynk z napisem: *„Kurfirstliche priviligirte Schnaps Casino"*, a w tem Kasynie wojacy piją z pończochami w ręku. Widzi się dalej *„Rathhaus"*, pachołków miejskich i areszt miejski z groźnym napisem: *„Zuchthaus"*, który pod surową postacią jest wcale miłym domem poprawy, bo mieści się w nim szynk i piwiarnia. Pachołkowie miejscy od czasu do czasu zabierają i przenoszą w lektykach burzycieli spokoju publicznego do aresztu, a że ten areszt jest miłym spoczynkiem, więc też nigdy nie brakuje amatorów do posiedzenia w Zuchthauzie. Jak tu o nas Polakach nie zapomnieli, niechaj za dowód posłuży i to, że poczciwy *El, Zschöckel. Wirth der Rathskellerei des alten Rathhauses 1730.* daje wyśmienite nasze polskie zrazy, które na jego *„Nahrungszettlu"* (oryginalnym z r. 1730.) figurują pod szumną nazwą: *„Ein polnisch Reichsbaffsteak"*, a kosztują tylko 5 groszy.

Pomijam opis całego starego miasta, chociaż jest on we wszystkich szczegółach bardzo zajmujący, a przystępuję do opisu Serbów, zwanych nie zupełnie właściwie także Łużyczanami, biorących udział w wystawie drezdeńskiej. Udział ten jest rzeczywiście wybitnym, z powodu utworzenia etnograficznej wystawy serbskiej w *Muzeum serbskiem we wsi serbskiej*, a przedstawiał się imponująco w uroczystym pochodzie dziewięciu ludów wchodzących w skład królestwa saskiego. Przedewszystkiem objaśniam, że Słowian tych dla tego nazywam Serbami, bo w ustach ludu samego przeważnie tylko tę nazwę słyszałem, a zresztą z rzeczywistych Łużyczan po niemiecku *„Lausitzer"* (dolni Łużyczanie) nie wielka pozostała już pociecha dla Słowiańszczyzny, gdyż ich niemieckość tak wynarodowiła, że zapomnieli zupełnie języka ojczystego, lub mowy swojej się wstydzą. Niemcy także odróżniają Serbów, których nazywają *„Wenden"*, od Łużyczan, których nazywają *„Lausitzer"*. W uroczystym pochodzie Łużyczanie nie połączyli się z Serbami, lecz szli w osobnej grupie, która w programie nosiła nazwę *„Die Lausitzer"* a grupa Serbów *„Die Wenden"*. Bez zaprzeczenia Łużyczanie są pochodzenia słowiańskiego, wspólnego z Serbami, ale są teraz znacznie mniej Słowianami niż Serbi, podobnie jak inne ludy, wchodzące w skład Saksonii: *Altenburger, Spreewälder, Voigthländer, Winzer, Grossröhsdorfer, Erzgebirger, Ruditz-Michten-Uebigen,* w powodzi czasu zatraciły słowiańskość swoją. Obecnie, tylko Łużyczanie *górni*, tj. *Serbowie*, bronią wszelkiemi siłami swojej narodowości, przechowują swoją mowę ojczystą, swoje zwyczaje i obyczaje narodowe. Z żalem wyznaję, że my Polacy bez porównania więcej wiemy o Dahomeju i Kamerunie, niż o pobratymczym narodzie, znajdującym się jak wyspa pośród morza niemczyzny. Przedstawiamy sobie Serbów jako ludek wymierający, nie mający sił żywotnych, a przecież ludek ten ma niezwykłą odporność na wpływy zewnętrzne i z dnia na dzień bujniej się rozwija.

Naród serbski dla swoich przymiotów cieszy się ogólną sympatyą Saksończyków, opieką króla saskiego i całej rodziny panującej, szczególniejszą zaś sympatyą i protekcyą księżny Matyldy, która włada językiem serbskim i ubiera się w malowniczy strój tego ludu. Przyjemnie było spoglądać, jak ta zacna pani cieszyła się swoimi faworytami, gdy lud serbski przed trybuną, na której znajdował się król z świtą swoją, puścił się w pląsy narodowe, wydając od czasu do czasu okrzyki „Sława" na cześć króla i członków panującej dynastyi. Rozkoszny widok przedstawiała ta wesoła i swobodna młodzież serbska z okolic *Krościcy i Stepego,*

produkująca się swemi narodowemi tańcami jak: *ptaszkiem, grymaskiem, tańcem panny młodej, szewskim tańcem, kukułką itp.*

Mowa narodu serbskiego mało się różni od mowy polskiej, i zdaje mi się, że jest nawet więcej niż czeska do polskiej zbliżoną. Dla mnie przynajmniej, władającego także innemi językami słowiańskiemi, była prawie zupełnie zrozumiałą.

Serbi są bardzo śpiewnym i muzykalnym narodem, a przechowali oni starosłowiańskie instrumenty muzyczne *„gęślę“* i *„kobzę“*. To też tak mężczyźni, jak i kobiety serbskie, tworzą tu sobie grupy i śpiewają bezustannie, a grajki w innych znowu oddziałach na gęśli i kobzach wygrywają. Niemcy tej serbskiej narodowej muzyki z przyjemnością słuchają, szczególniej zaś lubią głos kobzy. Tąż samą muzyką grajkowie serbscy produkowali się przed królem i dworem królewskim.

Uroczysty pochód w strojach ludowych, pomimo ulewnego, bezustannego deszczu i przejmującego zimna, był prawdziwie imponującym. Żałuję więc, że w ramach udzielonej mi w „Przeglądzie“ gościnności nie mogę go opisać tak obszernie, jakby na to może zasługiwał.

Nadewszystko podnoszę wyszczególniającą się i zobowiązującą dobroć króla saskiego, który pomimo podeszłego wieku i słabego zdrowia, nie pożałował fatygi i podczas deszczu i zimna przyjmował pochód raz pod baldachimem przed ratuszem w mieście, a drugi raz z trybuny, *„we wsi serbskiej“* przed *„Muzeum serbskiem“* na placu Wystawy, co trwało najmniej dwie godziny. Pochód ten rozciągał się na przestrzeni trzech kilometrów. Bo i co tam w tym pochodzie nie było?! Jeźdzcy na koniach i na osłach, wozy drabiaste z sianem, kosiarzami i grabiarkami, wozy z ogrodowizną, ogrodnikami i ogrodniczkami, wozy z wyprawą panny młodej, pełne skrzyń, pierzyn i poduszek, wozy z winem, winogronami i chodowcami wina, kobiety z dziećmi w poduszkach wracające od chrztu, całe wesele serbskie, górnicy, rękodzielnicy, a nawet maziarze, (rozwożący po wsiach smołę) i najrozmaitsi kramarze wędrowni z tobołami na plecach. Pochód etnograficzny dzielił się na 9 grup, każda grupa miała kilka albo kilkanaście oddziałów, a wszystkie grupy i oddziały ze sztandarami i muzyką. Wszystkie wogóle stroje ludowe reprezentowane w pochodzie były malownicze, a stroje serbskie szczególniej się wyróżniały. Stroje te, mianowicie kobiece, są prześliczne, a lud sam nadzwyczaj urodziwy. Serbi stanowią skończony typ piękna słowiańskiego.

Wprawdzie ostatnią z rzędu była grupa Serbska, ale zato prawdziwie imponująca. Składała się bowiem aż z 17 oddziałów w poważnej liczbie ośm set uczestników. Taką imponującą ilością ludzi i oddziałów żadna inna z poprzednich grup poszczycić się nie mogła.

Przywódzcą grupy serbskiej był *Dr. Ernest Muka*, gorący patryota serbski, kawaler orderu królewsko-serbskiego Sw. Sawy, profesor gimnazyum w Freiburgu, główny inicyator Muzeum serbskiego i grupy serbskiej w uroczystym pochodzie. Drugim pracownikiem nad dziełem serbskiej wystawy ludoznawczej był nauczyciel *Sommer* z Budziszyna. Podnoszę z uznaniem, że nauczyciel Sommer, należący wykształceniem do wyższej inteligencyi, nie powstydził się stroju ludowego i podczas pochodu ubrany był w kostyum narodowy. Któż z naszych nauczycieli, pochodzących z ludu, przywdziałby chłopską sukmanę?

Przypominając czytelnikom „Przeglądu“ artykuły moje p. t. *„Typy germanizatorów górnoszląskich“*, zaznaczam tutaj z naciskiem, że pastorzy i księża oraz nauczyciele serbscy wręcz odwrotnie działają, a w tem staraniu od zachowanie narodowości wszystkie warstwy społeczeństwa serbskiego ich naśladują.

Krótkie to sprawozdanie moje kończę pobieżną wzmianką, że śliczną jest *„wieś serbska“*. Wieś zbudowano nad rzeką (sztucznie utworzoną), po której pływają kaczki i gęsi, a na brzegach pasą się owce i kozy. Wszystkie budynki postawiono z drzewa i pokryte słomą, a całość wywiera wrażenie sędziwej starości. — We wsi tej nie razi żadna sztuczność, — ludzi ona naturalnością swoją. Jest tu chata wiejska z całem wiejskiem umeblowaniem i przyrządami gospodarczemi. Obok chaty w stajni są trzy śliczne krowy i owca, są i kury, a nawet kot siedzi na dymisku i pies leży w budzie. Jest *Karczma serbska*, obok *młyn*, wiatrak, *Kawiarnia i restauracya* wiejska, *hotel* pod nazwą *„Erbgericht“*, *winiarnia*, *folwark serbski*, *studnia* z ocembrowaniem kamiennem, *kuźnia* (w tej kuźni sprzedają gorące kiełbaski), jest *„Chata rybacka“* (tu sprzedają różne zimne przekąski rybne) jest wreszcie *browar wraz z szynkiem*, (tu naturalnie sprzedają wódkę i piwo). Przez wieś od czasu do czasu przejeżdża poczta (*Kurfirstliche fahrende Post z roku 1752.*) Znajduje się na wystawie także urząd pocztowy *„Erbpost Ampt“*. Wóz pocztowy jest to furgon płótnem pokryty. Pocztylion i konduktor paradują w strojach z r. 1752. Furgon mieści w sobie sześciu podróżnych, a że poczta wozi darmo, ma więc zawsze pasażerów. Ha! taką pocztą list wysłany z Drezna do Warszawy jechał sobie z półtora miesiąca.

Wieś serbska cieszy się nadzwyczajną sympatyą i powodzeniem. Od ranado północy krążą w niej tysiące ludzi, muzyka, tańce, śpiewy, gwar, pisk, ścisk, tłumnie i wesoło. Poczciwe drezdenki używają rozkoszy wiejskich, bawiąc się z krowami, owcami i kozami, a Saksończykow rybaczki serbskie wożą łodziami po rzece. I tak wszyscy rozweseleni i zadowoleni o północy dopiero wracają do miasta.

M. Ocetkiewicz.

Walne Zebranie
Tow. Kupieckiego
w Poznaniu.

Z prośbą o umieszczenie odbieramy poniżej załączony referat:

Walne zebranie Towarzystwa kupieckiego w Poznaniu odbyło się dnia 29-go czerwca r. b. w hotelu francuskim, po zagajeniu którego przez przewodniczącego, dyrektora p. M. Więckowskiego, odczytał sekretarz p. M. Dykier następujące sprawozdanie:

„Powołany z urzędu mego, by zdać panom sprawę z czynności całorocznych Tow. kupieckiego, uważam za niezbędne sięgnąć po za okres istnienia Tow. naszego pod firmą obecną, by uprzytomnić panom genezę powstania, raczej powiedziałbym przeistoczenia od wieków już istniejącej korporacyi, której, jakkolwiek zakres jej działania tylko na miejscowe skazany był siły, w całej pełni przyznać i podnieść należy niespożyte zasługi, położone około kształcenia młodego pokolenia na polu kupiectwa naszego. Wszakże stara ta instytucya wobec coraz szybciej bijącego tętna w życiu narodów, a ztąd wyradzających się nowych potrzeb, tem więcej uledz miała przeistoczeniu w społeczeństwie naszem, spowodowanem koniecznością skupienia sił rozstrzelonych. Potrzebę tę odczuła w całej pełni młodsza generacya, a pierwszym jej krokiem ku wcieleniu myśli swej było wstąpienie w nader poważnej liczbie do korporacyi. Był to jednak bodaj dopiero początek z góry powziętego zamiaru, by całą dzielnicę naszą powołać pod jeden sztandar wspólnej pracy i idei. Zamiar ten znalazł też wkrótce wyraz w zwołaniu wszystkich kupców z całego Księstwa na naradę do Poznania.

Ze czyn ten był ogólnie odczutą potrzebą a idea dojrzałą, przekonaliśmy się nie bez wewnętrznej radości z nader licznego udziału, którego owocem był związek kupców, na który złożyło się liczne grono przybyłych braci naszych z tak odległych okolic, bo od Gdańska aż do Wrocławia.

Jednakże nie tutaj jeszcze kres dążeń naszych — silnie odczuta idea łączności objawiła się w gorącem życzeniu, by nowy związek zlał się z starą korporacyą w jedno ciało. Grono mężów, przejętych doniosłością tych życzeń, podjęło się wykonania tego wdzięcznego zadania, które uwieńczone zostało pomyślnym skutkiem.

Jakkolwiek nie bez łatwo dla nas zrozumiałej przykrości przyszło seniorom naszym rozstać się z uświęconą wiekami nazwą, jednakże śledząc bacznem a doświadczonem okiem zamiary i potrzeby nasze dzisiejsze, z uznania godną skwapliwością zgodzili się na zlanie obu Tow. w jedno ciało i nadanie mu nowej, znanej panom nazwy „Towarzystwa kupieckiego w Poznaniu.“

Odtąd rozpoczyna się właściwa działalność Tow. kupieckiego, a zaznacza się ona na samym wstępie doniosłym faktem, bo przyjęciem na dniu 14 maja 1895 roku nowych ustaw, z których w dalszej konsekwencyi jeszcze dwa nadzwyczajne miały wyniknąć walne zebrania, mające stanowić o kwestyi nie tylko dla samego Tow. nader żywotnej, ale wedle przekonania naszego żywo obchodzącej całe społeczeństwo nasze.

Kwestyą tą było utworzenie biura informacyjnego w łonie Tow. kupieckiego, z którą załatwiły się dwa walne zebrania wprawdzie w znacznym odstępie czasu, bo od 4 grudnia 1895 do 15 kwietnia 1896 r., jednakże na usprawiedliwienie przytoczyć wypada należyte przygotowanie się wybranej ad hoc specyalnej komisyi, której przypadła rola ułożenia znanych panom ustaw. Komisyę tę stanowili pp. Paczkowski, Eichstaedt, Bryliński, Domagalski, Wegner, Sniegocki i Tomaszewski. W tym samym dniu dokonano także wyboru nowego zarządu w składzie obecnym, a więc pp. dyrektora Więckowskiego, M. Dykiera, St. Pfitznera, Paczkowskiego, Przyjemskiego, Sniegockiego, Wegnera, Al. Glabisza, członkowie zaś zarządu zamiejscowi pozostali ci sami, a mianowicie pp. Madaliński, Hulewicz, H. Robiński i Zboralski.

Ażeby jak najszersze koła sprawą biura informacyjnego zainteresować, a przedewszystkiem jak największą pozyskać liczbę członków, postanowił zarząd wysłać odezwę publikowaną w wszystkich pismach, a każdemu z członków przesłaną, z prośbą o kaptowanie członków, a mianowicie o przyjęcie roli mężów zaufania, bez których biuro informacyjne fungowaćby należycie nie mogło.

Niestety dotąd nader szczupłą liczbę chętnych zaznaczyć wypada, a objaw ten położyć jestem zniewolony na karb bodaj osobistych licznych zajęć i trosk, dalekim będąc od przypuszczenia, jakobyśmy dotąd jeszcze trwać mieli w starym przesądzie niewiary w własne siły.

O przewodnictwie w biurze informacyjnem należy mi wspomnieć, że poruczono je tymczasowo sekretarzowi Towarzystwa.

Przechodząc następnie do zdania sprawy z czynności zarządu, który do 23 marca r. b. pod przewodnictwem p. B. Leitgebra,

z chwilą zaś jego ustąpienia pod kierownictwem p. dyr. Więckowskiego aż do obecnej chwili 14 odbył posiedzeń, podnieść należy działalność jego nie tylko ściśle na polu spraw kupieckich, ale zwrócić uwagę i na to, że czując się w całej pełni upoważnionym z racyi poważnego stanowiska swego do stawania w szeregu tam, gdzie tego okaże się potrzeba, wziął udział w obchodzie jubileuszowym 25-letniej rocznicy założenia stałej sceny polskiej w Poznaniu, wysyłając reprezentacyę swą złożoną z pp. W. Brylińskiego, B. Leitgebra i J. Paczkowskiego — a kiedy bracia nasi z Galicyi w gościnę do nas przybyli, wtenczas z gotowością na przyjęcie pożądanych nam i miłych gości 200 marek ofiarował.

Raz jeszcze nadarzyła się sposobność zaznaczenia solidarności z społeczeństwem naszem, a mianowicie przy uroczystości jubileuszowej 25-letniej pracy redaktorskiej, dzisiaj ciężką złożonego niemocą p. Fr. Dobrowolskiego, gdzie Towarzystwo nasze reprezentowali pp. W. Bryliński, B. Leitgeber i St. Pfitzner.

Obok zwykłych spraw bieżących, któremi panów zajmować uważam za zbyteczne, zwrócił zarząd zaraz na samym początku swą uwagę na ważność jak najczęstszego komunikowania się z sobą członków, choćby tylko miejscowych, i w tym celu ustanowił schadzki tygodniowe, którym przewodniczyli członkowie zarządu, — schadzki te jednakże nie cieszyły się spodziewanem powodzeniem.

Już na samym wstępie mego referatu wspomniałem o czynności byłej Korporacyi, zwłaszcza o wspieraniu znaczną kwotą szkoły handlowej — otóż zadanie to zarząd Towarzystwa kupieckiego również gorliwie pełnił, a chcąc także widzieć postępy wspieranej przez siebie instytucyi, uważał za stosowne poprosić kuratoryum szkoły o przyjęcie do grona swego dwóch członków zarządu, na co też kuratoryum ochoczo się zgodziło — początkowo zasiadali przeto w kuratoryum pp. W. Bryliński i B. Leitgeber, w końcu zaś pp. dyr. Więckowski i M. Dykier.

Nie wolno mi także pominąć milczeniem wspólnej wycieczki do Rogalina, która ku ogólnemu zadowoleniu udział biorących członków wypadła, jakkolwiek życzyćby sobie należało, by udział w podobnych wycieczkach był ogólniejszy — nader rzadko bowiem nadarza nam się sposobność tak dogodna zbliżenia się w znaczniejszej liczbie do siebie, wzajemnego poznania się, wymiany myśli, odświeżenia umysłu swego, z czego znów świeże czerpiemy siły do dalszej, a w obecnych czasach od licznych trosk bynajmniej nie wolnej pracy.

A teraz nie pozostaje mi już nic więcej, jak tylko wyrazić szczere z serca płynące życzenie, by tak doniosłe cele, jakie sobie Towarzystwo nasze wytknęło, a które nie tylko nam samym, ale całemu społeczeństwu ważne oddać mają usługi, z nowym rozpoczynającym się rokiem bodaj całkowicie się ziściły, a ziszczą się one, jeżeli wszyscy ożywieni jedną myślą uczciwego służenia sprawie przy wzajemnej wyrozumiałości wstąpimy na jedyną nam pozostałą, a do celu wiodącą drogę solidarności, nie tylko w sprawach zawodowych, ale także społecznych".

Na propozycye przewodniczącego postanowili obecni sprawozdanie to drukiem ogłosić.

Z wniosków przyjęto jednogłośnie propozycyę przewodniczącego p. dr. Więckowskiego, ażeby odziedziczone po Korporacyi kupieckiej przedmioty, mające cenną wartość, przekazać do aserwacyi Towarzystwu Przyjaciół Nauk w Poznaniu.

Na tem walne zebranie obrady swe zakończyło.

Zarząd Towarzystwa Kupieckiego w Poznaniu:

M. Więckowski, przewodniczący. *St. Pfitzner*, skarbnik. *M. Dykier*, sekretarz.

A. Glabisz. R. Hulewicz, J. Madaliński, J. Paczkowski, K. Przyjemski, H. Robiński, Śniegocki, Wegner, Zboralski.

TO I OWO.

Grzeczność dla kobiet.

Kongresy feministek niejednokrotnie już odzywały się z pogardą o uprzejmości mężczyzn dla kobiet, twierdząc że ona jest zbyteczną i szkodliwą, bo niezgadza się z jednej strony z ideą równouprawnienia płci,, z drugiej jest rodzajem karmelka którym mężczyźni hojnie szafują, by tą marną kompensatą wynagrodzić kobiecie odjęcie praw obywatelskich. Kwestyi tej świeżo poruszonej na kongresie paryzkim poświęca B o l e s ł a w P r u s w ostatnim numerze „Kraju" następujące uwagi:

„Człowiek jest zwierzęciem, potrzebującem walki. Walka, wojna jest dla niego takim warunkiem bytu, jak chleb, woda i powietrze. Z tego powodu ludzkość ani przez jeden dzień nie zna i nie chce znać spokoju. Kiedy w Europie milczą armaty, w Afryce i Azyi pękają łby przynajmniej pod uderzeniami pałek. Ledwie w roku 1871 ucichła orężna walka między dwoma najucywilizowańszemi narodami, zaraz wewnątrz nich rozpoczęły się polityczne walki między stronnictwami. Po stronictwach zaczęły przyskakiwać do siebie z pięściami klasy społeczne, po klasach — wyznania, a po wyznaniach — płcie!...

Tak — płcie. Dzieci ze swymi ojcami dawno już znajdują się w rozterce, która dziś uzbraja żony przeciw mężom, a dokładniej... płeć żeńską przeciw płci męzkiej!

Niema co taić: damy wypowiedziały wojnę mężczyznom. których już tak nienawidzą, ale tak nienawidzą, że pogardzają nawet ich... „uprzejmością"!

Od tej pory już nie będziemy... Co to jest nie będziemy?... Od tej pory nawet — nie mamy prawa... ustępować miejsca kobietom: przy wejściu do pokoju, na ulicy, w tramwaju i t. d. Od tej pory nie będzie wolno nam: zdejmować przed kobietą kapelusza, kłaniać się jej, wstawać z krzesła, przepraszać, gdy się ją potrąci...

Kobiety bowiem (od roku 1896, miesiąc i dzień dokładnie nie są znane) kobiety bowiem zaczęły gardzić „objawami męzkiej uprzejmości", przekonawszy się (co prawda bez lekkomyślnego pośpiechu), że „mężczyźni tak hojni w komplementy dla kobiet, są względem nich okrutni w walce o byt"...

Krótko mówiąc, najnowsze stanowisko płci pięknej wobec mężczyzn jest takie:

— Wyrzucam za okno twój cukier, który ofiarowałeś mi dobrowolnie, ponieważ targujesz się ze mną o chleb razowy...

Za pozwoleniem. Przecież można targować się o chleb, czyli zarobek, nie wyrzekając się cukru, czyli uprzejmości. To jedno.

A drugie: czy kobiety mają prawo wyrzekać się i skazywać na zagładę okazywaną im uprzejmość męzką?

„Uprzejmość" jest to pewien zwyczaj społeczny, który ułatwia stosunki między ludźmi i osładza im życie, jak np. jedzenie zupy łyżką ułatwia proces karmienia się i zabezpiecza palce nasze od zamaczania się i gorąca.

I „uprzejmość" więc i „jedzenie łyżką" są to dobre zwyczaje, są to „społeczne skarby", których ludzkość nie powinna wyrzekać się, bez względu na uchwały damskich kongresów.

Dziś „uprzejmość" obowiązuje głównie mężczyznę wobec kobiet. Gdybyśmy ją skasowali, ludzkość utraciłaby jedną z cywilizacyjnych zdobyczy i stoczyłaby się o jeden szczebel ku prastarej dzikości. Czy tego chcą kongresy feministek?...

Ale jutro, w miarę rozwoju cywilizacyi, „uprzejmość" stanie się obowiązkiem wszystkich wobec wszystkich, a wówczas życie ludzkie będzie nieco szczęśliwsze niż jest dzisiaj...

Był czas, że ludzie jadali tylko zupę łyżką, a mięso brali palcami. Gdyby w owej epoce odrzucono łyżkę, może dziś przyjmowalibyśmy pokarmy — zębami z ziemi. Ale cywilizacya zamiast cofnąć się, poszła naprzód i, obok łyżki, wprowadziła widelce, dzięki czemu, nawet przy jedzeniu mięsa nie walamy sobie palców.

Tak będzie i z „uprzejmością męzką dla kobiet" w naturalnym biegu rzeczy; ale nie tak byłoby, gdyby cywilizacyą dyrygowały kongresy nieprzejednanych feministek..."

* * *

Sokoły.

Interesujący feljeton o zlocie wszechsokolskim w Krakowie zamieścił „D z i e n n i k K r a k o w s k i". Z feljetonu tego cytujemy poniżej kilka ustępów:

„Żółtawe trybuny w czworokąt, pełne pstrej publiczności, która faluje ruchem głów, porusza się w miejscu, szumi rozmową jak odległy wodospad, — z pod trybun strzelają w górę słupy młodych sosen z kory obdartych, festonem zieleni połączone, na ich szczytach łopocą w słońcu różnokolorowe pasma chorągiewek; żółtawe trybuny w czworokąt, stopniami ku ziemi zbiegające, a w tych jakby wgłębiających się ramach zielone błonie rozległe, regularnie oświecone słońcem ukośnem, co dobywa kolory, ale ich blaskiem nie zalewa; — tysiąc ciał ludzkich na tym zielonym prostokątnym pluszu, tysiąc plam jednego kształtu, koloru, i w jeden ułożonych deseń: moment ciszy, którą czujesz w oczach, skroniach, w uszach, w żyłach całego ciała, — ciszy w sobie, w powietrzu i w błękicie... za chwilę rozlegnie się komenda. Co dopiero dwa długie, jednako grube, ku sobie pełznące węże zsunęły się po bokach boiska, spotkały w środku boku dłuższego, zderzyły i wyparły na środek; rozległ się głos trąbki, kolumny rozpadły się na oddziały, oddziały na szeregi proste, regularne, długie jak słupy palisad — teraz czekają rozkazu.

Krótki metaliczny głos trąbki a po niej ostra komenda. I nagle stało się coś dziwnego. Łagodny, miarowy takt muzyki wypełnił powietrze, a zgodnie z jej rytmem i kadencyą ogromna żywa masa poruszyła się na całej przestrzeni; tysiąc ciał poczęło ze zgodną dokładnością maszyny wahać się, zwracać, pochylać, prostować i wyginać, tysiąc różowych nagich ramion prężyć się, załamywać, zakreślać zgodne półkola, zdawało się, że jeden kolosalny potwór obudził się na głos muzyki i w cichem półsennem upojeniu drga w blasku słońca i tysiącem macek wywija.

Czujesz, że owłada tobą nowe niespodziewane uczucie, coś podobnego, jak po kieliszku starego, mocnego wina. Jakaś czysto fizyczna radość i siła wypełnia całe ciało i ogarnia je od stóp do głów, czujesz się lekkim, rzeźwym, jak Greczyn, namaszczony przed zapasami oliwą, czujesz się silnym, jak ci wszyscy razem, co teraz w blasku słońca giętkiemi ruchy się kołyszą. Tak działa tłum, tak przyciąga i pochłania jedną wolą kierowana zorganizowana masa...

Idea Sokolska ma swoję głęboką racyę. Jesteśmy zmęczeni życiem, jak cała nasza cywilizacya, która widzi w człowieku znak symboliczny, metafizyczną przenośnię, upiora. Ciało jest tekstem, na którym duch wypisuje swe misterya; jest zmiętym i pożółkłym pergaminem.... Przeszliśmy taką tresurę chrześciaństwa, że ludzkie ciało, ten poemat przyrody, wydało nam się rzeczą pogardy godną, dodatkową. „Jeśli pilnie rozważysz“ — mówi św. Bernard — „co z ciebie ustami, nosem i innemi otworami ciała wychodzi, obaczysz, żeś podlejszego gnojowiska nigdy nie widział“. Człowiek jest śniegiem pokrytą gnojówką — konkluduje inny...

Sokół jest rodzajem renesansu w sztuce życia, bo i życie ma swoję sztukę...

Na Wyłomie.

(Bomba. — Coby Niemcy zrobili? — Bestyalność. — Perspektywa przyszłości. — Czego nie przebaczamy nigdy?).

Gdy z początkiem bieżącego tygodnia „Dziennik kujawski“ przyniósł nam wiadomość, że jakiś urzędnik niemiecki, na widok wracających z wycieczki „Sokołów“, wyraził żal swój głośno i dobitnie, że nie ma bomby pod ręką, aby ją rzucić „in diese Gesellschaft“, — pomyślałem sobie, coby to się działo na ziemi i niebie, gdyby tak ową bombą pogrożono Niemcom lub.... swarzędzkim żydom Przypominacie sobie zapewne jeszcze straszną katastrofę w owej 9 kilometrów od Poznania oddalonej Jerozolimie, gdy garstka dzieci polskich pobiła się z czeredą żydziątek o pożyczone na szkólną majówkę i nie zwrócone dość wcześnie zabawki. Gewalt geschrieen! co to za hałas piekielny powstał w całej prowincyi. Niewinną bójkę dzieciaków wydęto do balonowych rozmiarów wielkiej awantury politycznej. Pismom niemieckim uwidziało się natychmiast, że zdala już ciągną pułki kosynierów, całe H. K. T. zatrąbiło na alarm, rozprawiano o smutnych owocach polskiej propagandy, lano łzy krokodylowe nad uciskiem niemiecko-żydowskiej ludności, wzywano rząd, by bronił bezsilnych ofiar polskich rozbójników, — jednem słowem przedstawiono nas jako sforę psów wściekłych, uganiających po całym kraju za germańsko-semickiemi łydkami.

Pamiętacie to wszyscy. A teraz pomyślcie tylko, jakie straszne historye i krew w żyłach ścinające „Berychty“ szłyby z Inowrocławia do niemieckich biur urzędowych i kuźni redakcyjnych, gdyby tak jaki kujawski krzykała pogroził dynamitem spacerującym „Turnerom“ lub żydom w bóżnicy. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że poznański „Tageblatt“ zamieściłby wstępny artykuł p. t. „Polnisches Bombenattentat in Inowrazlaw“, a „Berliner Neueste Nachrichten“ opowiedziałyby z największą dokładnością, według jakiego systemu fabrykowane są bomby inowrocławskie, jak wyglądają podziemia, gdzie kujawscy Fenjanie założyli skład nitrogliceryny, i że władze policyjne są na śladach olbrzymiego, po całej prowincyi rozgałęzionego spisku. „Ściślejsze“ zaś „berychty“ urzędowe opiewałyby prawdopodobnie, że bomb wprawdzie nie znaleziono, że jednak są pewne poszlaki tajemnych konspiracyi, a słowo o bombach charakteryzuje dokładnie nastrój ludności polskiej, którą silniej jeszcze w dyby okuć należy.

Takby zrobili Niemcy, gdyby ten pan, co z żalem za bombą się oglądał, był Polakiem, — my jednak nie posiadamy politycznych „Münchhausenów“ i nie mamy talentu do sztucznego plantowania nienawiści narodowej na zagonach naszych. Kilka pism zanotowało sucho ów dynamitowy okrzyk kujawskiego Hakatysty, zaopatrzyło go w oklepany, blady komentarz i... koniec. A przecież należałoby się może nieco bliżej przypatrzeć tej bombie inowrocławskiej, nie dla dla tego koniecznie, by siać awanturnicze anegdoty o niemieckich Ravacholach, lecz dla tego, że jest ona jednem z błyszczących ogniw długiego łańcucha symptomów tej zarazy moralnej którą potworna nauka Hansemanna i spółki zaszczepiła w społeczeństwie niemieckiem.

Szło między lud trzech apostołów znaku H. K. T. i mówiło ludowi temu: „Nienawidź“, — imię ich niebawem stało się legion, a w niemieckich duszach na wschodzie i zachodzie budziły się z przerażającą szybkością najbrutalniejsze instynkty i „zwierzę ludzkie“ kły szczerzyć zaczęło. To słowo o bombie, to nie odosobniony okrzyk fanatyka, nie! To typowe znamie Prusaków najświeższego stempla. Co tamten jeden powiedział, to czują wszyscy nieomal, a mówią głośno tysiące. Nadstawcie tylko dobrze ucha, ziomkowie moi, a usłyszycie na rynkach i ulicach, w knajpach i ogródkach, na wielkich i małych zebraniach, jeszcze jadowitsze, jeszcze więcej spienione pogróżki i hasła wstrętu rozszalałego. Przed chwilą właśnie opowiadano mi o drugiej edycyi bomby inowrocławskiej. Drogą od Szeląga ku miastu szło grono Niemców, należących o ile z pozorów osądzić można, do wyższej inteligencyi. Dyskusya była nadzwyczaj ożywioną, a do uszu referenta mojego dolatywały urywane słowa, jak „Pollaken... mit der Faust dreinschlagen.., schlappe Regierung.... itp.“ — Rozpolitykowane towarzystwo zbliżyło się wreszcie do miejsca, gdzie w nizinach łąk dominikańskich zwożą nasyp pod nową rzezalnią miejską. Niemcy przystanęli, — sprawozdawca mój zbliżył się do nich. Nagle jakiś pan w okularach wyciągnął rękę ku łąkom i na cały głos zawołał: „Gdyby w tym szlachtuzie polskie woły zarzynano, to chciałbym być pierwszym rzeźnikiem!“ Śmiech homeryczny był odpowiedzią na cyniczny dowcip i nikt.... nikt nie splunął. Tak już zatruto ducha niemieckiego, że najpotworniejsze barbarzyństwo nie szarpie, lecz pieści naród Schillerów i Göthów.

Co dalej będzie, nietrudno przewidzieć. Dzieje prześladowań religijnych i narodowych świadczą wymownie, jakie owoce wydaje systematyczne karmienie społeczeństwa nienawiścią. Tłumy, to palny materyał.... Były wypadki, że jedna piosenka niebaczna kończyła się gradem kamieni, brzękiem szyb i okrzykami rannych, — a jakież rezultaty wy osiągniecie, wy, którzy bezustannie budzicie zwierzę w ludzie niemieckim. Ten urzędnik z pod Inowrocławia bomby może nie rzuci, ale kto wie, czy on i jemu podobni jutro nie chwycą za kamień.

A gdy tak w około złość krzyżacka szaleje, my dziwnie jesteśmy spokojni, apatyczni i senni. Zdawaćby się mogło, że ten ucisk spotęgowany nas rozgrzeje, skupi i przykazania narodowe w dogmaty zamieni i czyny. Lecz sumienia pozostały miękkie, wyrozumiałe, przebaczające wszystko, — nawet handel ziemią ojczystą dla spekulacyi, nawet iluminacye i chorągwie polskie na świętach Sedanu, nawet przynależność do pruskich towarzystw i udział w ucztach niemieckich. Każdy grzech narodowy zyskuje z łatwością nasze „Absolvo“, — a potępiony ten tylko, kto przed „ładem i porządkiem“ czołem nie uderza, kto wszystkich świateł humanitarnych w duszy nie pogasił, kto przez pryzmat kościelnych interesów na dolę ojczyzny nie patrzy, kto niezaspokojony martwą literą zwraca nieraz ku niebu wzrok tęskny i pyta, bada bez końca, — no! i kto wymawiając nazwiska: Darwin, Renan, Zola, — nie doda: łotr, łajdak, złoczyńca!

Sulla.

KRONIKA POWSZECHNA.

Teatr i muzyka. Z licznych pretendentów do objęcia dyrekcyi teatru poznańskiego tylko panowie Rygier i Janowski mają szanse powodzenie w staraniach swoich. Rada nadzorcza teatru upełnomocniła panów Bronisława Zychlińskiego i dr. Kusztelana do bliższego rozpatrzenia propozycyi obu kandydatów. — Na jednej ze scen londyńskich, granym jest dramat Carmen, osnuty na tle nowelli Prospera Merimée. Dramat ten grany był przed laty dwudziestu w jednym z teatrów bulwarowych; opera Bizeta ze świetnem swem librettem oczywiście pozbawiła dramat prawa bytu. Dopiero obecnie znana artystka pani Olga Nethersole odgrzebała sztukę, aby rozwinąć w roli tytułowej cały zasób realizmu, którym piętnuje grę swoją. Konwencyonalna heroina operowa ustępuje przed wyuzdaną zalotnicą, idącą za doraźnym popędem namiętności. Te wszystkie znamiona natury nieokrzesanej, prostej, podlegającej głosowi krwi, pulsującej szybko w rozgorączkowanych żyłach, oddaje p. Nethersole z realizmem tak silnym, że wrażenie jej gry przechodzi wszystko, cokolwiek widziano dotąd w teatrze. Realizm aktorski tworzył kurtyzany, heroiny miłości lub poświęcenia, ale taka ordynaryjna, trywialna dziewczyna z fabryki, w tej dopiero kreacyi znalazła swój jeskrawy wyraz. Oczywiście jedni zachwycają się tym realizmem, drudzy przeciwko niemu powstają; w każdym razie zgadzają się wszyscy na jedno — jestto gra, jedna z najlepszych w teatrze. — W teatrze Rajmunda w Wiedniu dyrektor Getke, rozpoczynający swą działalność, wystawił komedyę duńską: Luba rodzina. Rzecz upadła, podaje bowiem obrazy wstrętne, rzeczy zmanierowane i jakby umyślnie malowane kolorem czarnym, a bardzo nieprawdopodobnym. — pisma warszawskie donoszą, że na stanowisko reżysera dramatu i komedyi teatrów warszawskich, zajmowane dotąd przez p. Władysława Szymanowskiego, powołany został p. B. Ładnowski, jeden z najdolniejszych i najinteligentniejszych artystów sceny warszawskiej. — Ignacy Paderewski kończy podróż koncertową po Stanach Zjednoczonych i zjeżdża do Anglii na czas pewien. Tournee ostatnie, rozpoczęte od stycznia, przyniosło artyście 900,000 mr. dochodu; przeciętnie wo zyski z koncertu pojedyńczego wynosiły od 17 do 28 tysięcy mr.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Ma. W nadesłanych willanellach nie ma wiosny. Nie dość to pachnie, nie dość śpiewa i nie dość słońca tam świeci.

Biblioteka I. I. Kraszewskiego w Nanticoke. Pa. Nie możemy ani zwolnić Panów zupełnie od prenumeraty, ani jej zniżyć.

Karol S. „A la grecque“ w architekturze może mieć najrozmaitsze znaczenia, odnośnie do naśladowania różnych form greckiego budownictwa. Przyjaciel Pański jednak ma o tyle słuszność, że najczęściej zwrotu tego używamy na oznaczenie prostokątnego motywu dekoracyjnego, znajdującego się w tak zwanym staroorientalnym ornamencie Mäandra.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28.

Nr. 29. Poznań, niedziela 19-go lipca 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: ul. Wilhelmowska 28.
(Drukarnia J. Fr. Tomaszewskiego.)

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Wilhelmowska 28. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

TREŚĆ.

Franciszek Dobrowolski

umarł dnia 11-go lipca 1896 r.

Tout comprendre — beaucoup pardonner.

Stoimy nad mogiłą politycznego przeciwnika. Padł wódz wielkiej armii, z którą długie i ciężkie staczaliśmy walki, — więc zwyczajem rycerskim broń prezentujemy. Życie ś. p. Dobrowolskiego było jednak tak ściśle złączone z rozwojem społeczno-politycznym i umysłowym dzielnicy naszej i tak dominującą w rozwoju tym odegrało rolę, że trudno nam, nie powołanym do roli nadwornych poetów, poprzestać na akcie hołdu konwencyonalnego.

Gdy przed kilku miesiącami społeczeństwo uczciło jubileusz redaktorskiej pracy p. Dobrowolskiego, wtedy feljetonista pisma naszego między innemi tak określił charakter zmarłego:

„Dobrowolski, ruchliwy działacz narodowy i dyplomata o prowincyonalnym zakroju. Nie ukochany przez muzy, lecz owładnięty gorączką czynu. Zwycięzca w walce z ultramontanami, pukający po latach kilku do bram Canossy. Przedstawiciel protestu politycznego a później szermierz ugody. Nie króluje nad społeczeństwem umysłem, lecz zdobywa je energią i dyplomacyą. Pozbawiony szerszego grona przyjaciół i wielbicieli, lecz otoczony tłumem zawojowanych i wylękłych. Natura kompromisowa i zarazem samowładcza. Żadnego piętna ideowego na epoce swojej nie wycisnął, — pozostanie po nim jednak pamięć człowieka, który sztandaru narodowego bronił wytrwale, organizował społeczeństwo w rozlicznych kierunkach życia i lubo walczył uporczywie z demokratycznym rozwojem zaboru pruskiego, zaborowi temu oddał niezaprzeczone usługi w boju z germanizmem“.

Ta szkicowa sylwetka nie wyczerpuje może całego materyału, który nasuwa dokładne studyum duszy i życia ś. p. Franciszka Dobrowolskiego, — zawiera jednak najcharakterystyczniejsze rysy człowieka, który przez ćwierć wieku w publicznych pracach dzielnic kresowych niepoślednią odgrywał rolę. W sylwetce tej mieści się rówież odpowiedź na pytanie, w czem tkwi rozwiązanie zagadki powodzeń Franciszka Dobrowolskiego, — dla czego obcy ten przybysz, pozbawiony wybitniejszych sił umysłowych i atakowany niejednokrotnie przez ludzi wielkich zdolności, przewyższających go pod każdym względem wiedzą, talentem, głębokością poglądów, utrzymał się tak długo na eksponowanem stanowisku i niemal berło królewskie w ręku swojem dzierżył. Pracował... pracował bezustannie, wszędzie był, wszystkiego się imał i owładnięty ambicyą władzy, ambicyi tej życie poświęcił, a gdy tych lub owych zajęć na barki swoje brać nie mógł, starał się zwykle o łudzące pozory, że działa, że króluje, że inicyatywa jest jego własnością. Oczywiście dla wtajemniczonych w stosunki życia naszego jasnem jest zupełnie, że aureolę pracy i wszechstronnych działań zdobył sobie nieboszczyk nietylko dzięki własnej ruchliwości, lecz dzięki tej potężnej sile pomocniczej, którą stanowił „Dziennik Poznański“. Któż u nas przed laty dziesięciu bez pomocy „Dziennika“ zdołał w ruch wprawić jakiekolwiek działanie publiczne?! Wstępował więc jeden za drugim do redakcyi i tam składał pomysły swoje, tam musiał prosić o akcept. Zręczny redaktor z właściwym sobie sprytem kładł nieraz stempel na cudzych myślach i cudzej pracy, a firma jego błyszczała często tam, gdzie inni byli duszą działania. Gdy jednak ci „inni“ zbyt czujnie strzegli swoich praw własności, gdy samodzielności zrzekać się nie chcieli, wtedy zdarzało się nieraz, że dla braku poparcia więdły ich pomysły i plany, a dopiero później podjęte obcą ręką, rozwijały się pod skrzydłami „Dziennika“, z kartą wizytową redaktora na czole. Dla uniknięcia błędnych komentarzy raz jeszcze podnosimy z naciskiem, że ruchliwość, nieugiętość i energia śp. Franciszka Dobrowolskiego jest niewątpliwie kluczem jego powodzeń i jego rozgłosu, — że jednak z bilansu pracy nieboszczyka należy wyłączyć poważną cyfrę na korzyść pisma, którem kierował wszechwładnie, a które było potężnym pomocnikiem dla jego działań, wpływów i pozorów.

Nie ulega też dla nas żadnej wątpliwości, że nad temi zwłokami, które tłum kilkotysięczny odprowadził na miejsce spoczynku, żal byłby większy i powszechniejszy, gdyby ś. p. Franciszek Dobrowolski był ograniczył działalność swoją do ciaśniejszego zakresu, lecz ta niezwykła gorączka czynu i chorobliwa gorączka władzy, która mu duszę opanowała, pchała go dalej i dalej, do coraz nowych zajęć, w coraz to nowe dziedziny. Stało się zatem to, co stać się musiało. Człowiek przeciążony pracą często nie sprostał zadaniom, lub zaprowadził w instytucyach, któremi kierował, ślimaczy stan wegetacyi. Przypominają się tu zaiste następujące słowa wypowiedziane o zmarłym redaktorze Dziennika w „Wydawnictwie materyałów do historyi powstania 1863 r.“: „*Dobrowolski w swej osobie skupiać się starał wszystkie teki spraw wewnętrznych, zagranicznych i skarbu, — a że wszystkiemu nie mógł podołać, stagnacya zapanowała tam, gdzie niedawno praca wrzała.*“ Może to za ostre słowo, ale podobnym był zmarły za młodu, podobnym pozostał aż do końca życia.

Jeżeli jednak dobrze pojęty obowiązek publicystyczny zmusza nas do oświetlenia tej nieco ujemnej strony ś. p. Franciszka Dobrowolskiego, to z drugiej strony nie wahamy się ani jednej chwili uchylić czoła przed tym ogromem pracy narodowej, której życie całe poświęcił. Nie sądźmy za ostro motywów, jeżeli rezultaty i cele w znacznej przynajmniej mierze były dodatniej natury. Ten człowiek kochał bardzo *siebie*, ale kochał też całą duszą *ojczyznę*, więc w imię tej miłości, w imię niezmordowanej obrony praw narodowych, w imię tych okopów obronnych, które sam sypał lub sypać pomagał, należy mu się uznanie i cześć społeczeństwa.

Dla nas, którym na ciasnym gruncie poznańskim, w bezpośredniem sąsiedztwie śp. Franciszka Dobrowolskiego żyć i działać wypadło, trudno jest niesłychanie zapomnieć o tych wszystkich słabościach zmarłego, których widz patrzący z pewnego dystansu ocenić nie umiał, które jednak utrudniały niesłychanie wspólną z nieboszczykiem pracę. Śp. Franciszek Dobrowolski wiedział dokładnie, że natura go wybitną siłą umysłową nie uposażyła, i dla tego lękał się nieustannie, by u boku jego nie wyrósł ktoś ponad innych i do wyżyn jego nie sięgnął. To też z zadziwiającą zręcznością tak kierował stosunkami, że na plan pierwszy wysuwał zawsze ludzi przeciętnych, pozbawionych silniejszego indywidualizmu, bez górujących zdolności, bardzo posłusznych i bardzo zależnych. Odbywały się przez ćwierć wieku w społeczeństwie naszem operacye dziwa

czne przy pomocy wielkiego strychulca i, co za tem idzie, nastało królestwo miernoty.

Zapominać zresztą nie wolno i o tem, że zasadniczą barwą całej ery Dobrowolskiego był elastyczny oportunizm. Tajemnica powodzeń zmarłego tłomaczy się i tem, że nie był to człowiek żelaznych przekonań, wyciskający na społeczeństwie piętno własnej idei, lecz natura odczuwająca dokładnie każdą zmianę wiatrów i stosownie do nich rozpinająca swe żagle.

Szedł zawsze z prądem, umiał się uginać, umiał ustępować, a kto należycie rozważy wpływy „Dziennika Pozn.“ ten z łatwością zrozumie, że przykład taki musiał spowodować pewne obniżenie pojęć etycznych w społeczeństwie, które dziś nie w znaku bronzu, lecz w znaku gumy stanęło.

Z drugiej strony jednak rozbudzenie zmysłu organizacyjnego w dzielnicach kresowych jest niezaprzeczoną, a ze stanowiska interesów narodowych doniosłą zasługą śp. Dobrowolskiego. Porównując stan naszej obrony politycznej z stosunkami przed dwudziestu laty, przekonamy się łatwo, że w tym kierunku zabór pruski rozwinął się nadspodziewanie, a rozwój ten w znacznej mierze zawdzięcza niezmordowanej, bezustannej, czujnej pracy zmarłego redaktora. Nauczyliśmy się budować wały ochronne, a jednym z najlepszych nauczycieli był śp. Franciszek Dobrowolski.

Jakie będą dalsze losy „Dziennika Poznańskiego“, tego dziś jeszcze przewidzieć nie można. Organ ten był dotychczas reprezentantem pewnej warstwy, która przed 20 laty miała może prawo identyfikować własny interes z interesem całego społeczeństwa, ale dziś w obec zupełnie przekształconych warunków ekonomicznych i społecznych prawo to utraciła stanowczo. Jeżeli „Dziennik Pozn.“ pragnie nadal dominujące stanowisko swoje w zaborze pruskim zachować, powinien niezwłocznie ewolucyi tej głębszą poświęcić uwagę, aby nagle nie zrozumiał, że przespał całe lat dziesiątki, że jest umarłym wśród żywych. Niech się przebudzi, bo coraz głośniej brzmi już głos przestrogi: „I takie cienie chcą ludźmi rządzić?!“

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Kobieta w nowym kodeksie niemieckim. W warszawskim tygodniku „Głosie“ czytamy:

Centralizacya państwowa, która jest cechą historyi Niemiec w bieżącem stuleciu, zrobiła krok naprzód. Niemal w tym samym czasie, gdy protest ks. Ludwika na bankiecie w Moskwie rozżarzył partykularystyczne uczucia ludu bawarskiego, — parlament niemiecki postawił kropkę pod dziełem zjednoczenia Niemiec, uchwalając jednolity kodeks cywilny, który od początku XX-go stulecia obowięzywać ma w całych Niemczech. W tym znaczeniu posłowie, którzy go uchwalili, przejdą do historyi wieku przyszłego.

Prawodawcy niemieccy nie poszli za radą znakomitego filozofa i nie patrzyli na dzieło swoje „sub speciae aeternitatis“. Dalecy od tego, nietylko nie uwzględnili zmian społecznych, mogących zajść w przyszłości, ale nawet pozostali obojętni na dążenia w chwili współczesnej. Dzieło ich — to nie pomnik wielkości germańskiej, ale smutne świadectwo formalizmu, zatęchłych pojęć prawników niemieckich i niemożności wyzwolenia się z pod ciężkiego prawa rzymskiego.

Jak prawo dziesięciu tablic, tak i kodeks niemiecki okazał się okrutnym dla kobiety. Ale wieki minęły od czasu stworzenia pierwszego pomnika prawa rzymskiego. Zmienione warunki życia sprawiły, że kobieta przestała być wyłącznie kapłanką domowego ogniska, romantyczną Szarlotą werterowską. Zaostrzona walka o byt i ją wciągnęła w swe tryby. Ale cóż to obchodzi prawodawców niemieckich! Dla nich zawsze jeszcze „mężczyźnie służy prawo rozstrzygania we wszystkich wspólnego pożycia dotyczących sprawach; oznacza on zwłaszcza miejsce pobytu i obiera mieszkanie.“ Według nich „majątek żony przez zawarcie małżeństwa oddany jest w zarząd i używalność męża; do wniesionego majątku należy i ten, który żona w stanie małżeńskim zapracuje.“

Napróżno mówcy mniejszości zwracali uwagę na barbarzyństwo tego paragrafu. Napróżno wykazywali oni, że odbije się on ciężko szczególnie na najbiedniejszych klasach pracujących, gdzie ekonomiczne równouprawnienie kobiety oddawna jest faktem dokonanym, że oddaje on częstokroć w ręce męża pijaka zarobek żony, jedyne źródło utrzymania dzieci. Napróżno wreszcie baron Stumm, znany konserwatysta, postawił poprawkę. aby w „braku umów małżeńskich następował podział dóbr“, mając właśnie na myśli interesy biednych, którzy przy zawieraniu małżeństw intercyz nie spisują. Większość pozostała głuchą na te i inne argumenty.

Niewolnictwo kobiet, faktycznie zatwierdzone przez nowy kodeks, mają one do zawdzięczenia stronnictwu centrum. Stronnictwo to było niezaprzeczenie arbitrem sytuacyi... Przyłożyło ono rękę do oburzającego prawa.

Obok centrum po stronie rządu stanęli naturalnie junkrzy pruscy i konserwatyści wszelkich odcieni. Zjednoczenie wolnomyślne, wolnomyślna partya ludowa i socyaliści stanowili mniejszość; do niej należało też kilku konserwatystów, jak baron Stumm, Schönaich — Carolath i inni. I stała się rzecz dziwna: widzieliśmy ludzi zwalczających się zazwyczaj zajadle, zjednoczonych w imię wyższej zasady sprawiedliwości.

A Polacy? Polacy głosowali za wszystkiemi wnioskami rządowemi. Wynaleźli oni sobie nową politykę, opartą na subtelnem rozróżnieniu pomiędzy Niemcami i Prusakami. Postanowili drugich zwalczać na każdym kroku, a popierać za to ogólne interesa pierwszych. Ponieważ kodeks jest dziełem wszechniemieckiem, więc w myśl zasady wart był poparcia posłów polskich. Dziwna zaiste polityka! Ale Koło polskie w Berlinie takie ciągle gotuje nam niespodzianki, że z tej strony wszystkiego spodziewać się można...

Nihilistka.

POWIEŚĆ

ZOFII KOWALEWSKIEJ

(prof. wszechnicy w Sztockholmie.)

I.

Miałam lat dwadzieścia dwa, gdy zamieszkałam w Petersburgu — trzy miesiące przedtem ukończyłam jeden z zagranicznych uniwersytetów i powróciłam do Rosyi z dyplomem doktora w kieszeni. Po pięcioletniem cichem, prawie pustelniczem życiu w małem uniwersyteckiem miasteczku, uczułam się nagle porwaną w wir życia stolicy. Na pewien czas zapomniałam w zupełności o funkcyach analitycznych, przestrzeni, czterech wymiarach, wogóle o tem wszystkiem, co jeszcze przed niedawnym czasem wypełniało moje myśli, stanowiąc mój cały świat wewnętrzny i oddałam się całą duszą nowemu życiu; robiłam znajomości na prawo i na lewo, usiłowałam dostać się do rozmaitych towarzystw i z palącą ciekawością śledziłam zjawiska tego zagmatwanego, w gruncie tak czczego, ale na pierwszy rzut oka tak ponętnego chaosu, zwanego życiem światowem. Wszystko zajmowało mnie i cieszyło: teatry, wieczory dobroczynne i literackie ze swojemi niekończącemi się nigdy dyskusyami. Zwykli słuchacze byli już niemi znudzeni, dla mnie jednak sprzeczki te miały cały urok nowości. Oddawałam się im z zapałem do jakiego tylko Rosyanin może być zdolny, tak rozmowny z natury, który przez pięć lat skazany był wyłącznie na towarzystwo paru specyalistów, oddany tak swoim studyom, że żaden z nich nie mógłby pojąć, jak można marnować czas, tracąc go na niepotrzebnej gadaninie. Przyjemność, jakiej sama doznawałam, udzielała się memu otoczeniu: rozbudziłam nowe życie w kołach, w których najczęściej przebywałam. Sława uczonej kobiety otaczała mnie rodzajem aureoli, znajomi spodziewali się czegoś nadzwyczajnego po mnie. czasopisma rozpisywały się, głosząc o mem przybyciu, a rola sławnej kobiety tak nowa, choć sprawiała mi pewien kłopot, z początku bawiła jednak niemało. Słowem, byłam w najrozkoszniejszem usposobieniu — przeżywałam, że tak się wyrażę, w tym okresie *lune de miel* mej sławy; gotowa byłam zawołać; „Wszystko jest najlepiej urządzone na tym najlepszym ze światów.“

Dzis byłam w szczególnie dobrym humorze. Wczoraj mieliśmy wieczór w redakcyi nowo założonego pisma i ja byłam zaproszoną na współpracowniczkę. To nowe przedsiębiorstwo zajmowało wielce wszystkich współpracowników, a roboty redakcyjne odznaczały się nadzwyczajnem ożywieniem. Około trzeciej nad ranem przyszłam do domu i wstałam z tego powodu późno, siedziałam długo przy śniadaniu, przeglądając gazety. W jednej z nich znalazłam ogłoszenie, że poszukuje się nabywcy na rzeźbioną szafę na książki. Pojechałam, aby szafę tę obejrzeć. Na drodze spotkałam w tramwaju znajomą panią, która również jak i ja była członkiem komitetu: „wyższych kursów dla kobiet,“ otwartych właśnie w tym czasie; mówiłam z nią o „interesach,“ odwiedziłam potem paru znajomych i około czwartej godziny wróciłam do domu..

Teraz siedziałam spokojnie przed kominkiem, rozglądałam się z zadowoleniem po mej pięknie urządzonej pracowni. Po pięcioletniej włóczędze po rozmaitych pokojach umeblowanych u niemieckich gospodyń, byłam obecnie rada, że mam nakoniec swój własny miły kącik.

W przedpokoju dał się słyszeć dzwonek. „Kto to może być?“ pomyślałam, wyliczając w myśli nazwiska wszystkich znajomych. Z pewnym niepokojem spojrzałam w zwierciadło. Wesoła młoda kobieta w skromnem futrze sukiennem weszła do pokoju. Z powodu mego krótkiego wzroku nie mogłam zrazu rozróżnić, czy tą osobę znam, czarna chustka zasłaniała jej twarz w zupełności. Z pod niej wyglądał tylko mały nosek, zaczerwieniony od mrozu, tem trudniej było mi odgadnąć kogo w nowoprzybyłej mam powitać, powstałam, podeszłam

Skutki upośledzenia kobiety w nowym kodeksie łatwo są do przewidzenia. Widzieli je ci konserwatyści, którzy występowali przeciwko niemu. Kobiety niemieckie, nie znajdując poparcia dla swych skromnych żądań w stronnictwach rządzących dziś i potężnych, przerzucą się do tych, które ich interesów bronią i szersze ich uwzględnienie obiecują. Wpływ kobiet w życiu społecznem jest olbrzymi. Jako żony i matki, szczególnie w Niemczech, bywały one zbyt często hamulcem daleko idących pragnień i ideałów ich mężów i synów. Wzgardzone i podeptane przez nowe prawa mogą się stać ich gorliwemi sprzymierzeńcami. Zrażając sobie taką siłę społeczną, dotykając ją w najważniejszych jej interesach, rząd niemiecki i ci, co za nim poszli, popełnili błąd, którego skutki poczują, zanim nowy kodeks wejdzie w życie. Ale wtedy na lekarstwo będzie już zapóźno.“

* * *

Gdzie się podziała konstytucya pruska? W „Dzienniku Kujawskim“ (Nr. 156) czytamy:

„Konstytucya pruska zapewnia równość w obec prawa wszystkim obywatelom państwa. Tymczasem patrząc na to, jak różne organa władzy traktują niektóre polskie towarzystwa, zwłaszcza na Górnym Szląsku, zwątpić rzeczywiście można, czy żyjemy w państwie konstytucyjnem.

„Towarzystwo przemysłowców polskich“ w Katowicach na Górnym Szląsku, którego prezes p. Lewandowski niedawno, jak już donosiliśmy, skazany został na 100 m. kary za rzekome niewypełnienie przepisów prawnych, urządził w ubiegłą niedzielę z okazyi czwartej rocznicy założenia zabawę latową, na którą przybyło kilka sąsiednich towarzystw. — Zarząd wystósował do policyi podanie o pozwolenie na pochód przez miasto z muzyką i sztandarami, jakie urządzają podczas takich uroczystości wszystkie niemieckie towarzystwa tamtejsze, ale policya nie dała pozwolenia. Niedość na tem, równocześnie policya oświadczyła, że jakakolwiek demonstracya polska na zabawie będzie powodem do natychmiastowego zamknięcia uroczystości. Z powodu tego udali się członkowie i goście pojedyńczo do lokalu, gdzie miała się odbyć zabawa, a chorążowie osłonili sztandary futerałami. Tylko Tow. „Lutnia“ z Bogucic nie miało futerału dla znaku swego w kształcie liry, i tę lirę, gdy reprezentant towarzystwa chciał z nią wejść do lokalu, policya zabrała i do dziś dnia trzyma pod kluczem. Aby nadać uroczystości tej charakter groźny dla państwa przysłano: prócz komisarza i wachmistrza policyjnego pięciu policyantów, a nadto przybyli: z Bytomia pułkownik żandarmeryi, dalej pograniczny komisarz p. Maedler, będący cenzorem pism polskich i dozorujący zebrania polskich Towarzystw, wreszcie z okolicy 12 żandarmów. Ma się rozumieć, że nagromadzenie tylu stróżów bezpieczeństwa zrobiło w mieście wielkie wrażenie, boć spodziewano się po takiem rozwinięciu siły zbrojnej co najmniej... rewolucyi polskiej.

Gospodarz lokalu, w którym się uroczystość odbyła, ma zwykle pozwolenie przyjmowania gości aż do godz. 1 po północy. W tym dniu zaś kazała mu policya zamknąć lokal już o godz. 11-tej

Zażalenie wystósowane przez zarząd do rejencyi w Opolu pozostało po dziś dzień bez skutku i bez odpowiedzi. Rejencya odtelegrafowała tylko, że odpowiedź nadejdzie, gdy policya nadeśle sprawozdanie, ale dotychczas odpowiedzi nie ma.

Rzeczywiście wyrazić trzeba uznanie tamtejszym rodakom naszym, że w obec takiego traktowania zachowali krew zimną i „bawili“ się jak mogli.

Ale przeszło 350 uczestników obchodu rozeszło się i rozjechało, wprawdzie w spokoju, lecz w przekonaniu, że traktowani bywają jako obywatele drugorzędni i w poczuciu doznanej krzywdy.

My zaś pytamy: Gdzie się podziała konstytucya pruska?

* * *

Obchody narodowe w Galicyi. W ostatnim numerze zamieszcza następujące uwagi „Przegląd Wszechpolski“:

„Każdy obchód smutny czy radosny jest właściwie manifestacyą uczuć narodowych i powinien być uroczystym, w przeciwnym razie nie warto go wcale urządzać. Nie chodzi przecie o wdrażanie w pamięć ludności lat historycznych. Takie obchody, jakie kilka razy do roku, co najmniej, urządzane są w Galicyi, wyglądają jak parodye uroczystości narodowych. Nie budzą one, nie podnoszą uczuć narodowych, ale je kompromitują. Nie udają się one z dwóch przyczyn: powtarzają się za często, a ci, co je urządzają, chcieliby wykazać swój patryotyzm i zarazem uniknąć niezadowolenia sfer wyższych. Bo t. zw. sfery rządzące w Galicyi, naturalnie, nie lubią wszelkich obchodów, a tembardziej obchodów, w których lud bierze udział gromadny. Sobieski nic matadorom galicyjskim i stańczykom nie zawinił, dla Austryi położył nawet wielkie zasługi, można więc pamięć jego uczcić, nie obrażając lojalizmu, ale nie trzeba przyuczać ludu do gromadzenia się, do wylęgania na ulice i słuchania mów lub śpiewania pieśni patryotycznych. Urządzono więc obchód, ale zamknięto go w kościele w sali ratuszowej, w szkole.

Patryoci i „demokraci starego autoramentu“ nauczyli się przystosowywać swoje uczucia i zamiary do wymagań sfer wyższych. W parku stryjskim postawiono np. pomnik Kilińskiego, ale przy odsłonięciu jego nie było żadnej uroczystości. Załatwiono się z tem po cichu, ukradkiem. Spełniono obowiązek patryotyczny, nie narażono się wcale władzy i stańczykom. Młodzież rzemieślnicza chciała to naprawić: pewnego wieczora oświetliła pomnik lampkami i odśpiewała przed nim chórem kilka pieśni patryotycznych. Skromnemu uczczeniu pamięci szewca-bohatera przypatrywała się gromadka ludzi. Nie chcemy ubliżać dobrym chęciom poczciwej młodzieży, ale robiło to bardzo przykre wrażenie. Dużo rozprawiają zachowawcy i demokraci o tem, że propaganda socyalistyczna osłabia w warstwie pracującej poczucie narodowe. Czyż w taki skromny sposób należało hołd oddać pamięci szewca-patryoty?“

—ski.

---

do gościa uprzejmie, ale z pewnem zdziwieniem.

— Przepraszam, że naprzykrzam się pani, choć jej osobiście nie znam — powiedziała przybyła — jestem Wiera Barancow. Pani zapewne nie pamięta już mego nazwiska, chociaż rodzice nasi sąsiadowali z sobą. Czytałam o pani niedawno w gazetach, wiem, że pani studyowała długo za granicą, a wszyscy mówią, że pani jesteś dobrą, poważną osobą. Przyszło mi więc zaraz na myśl, że pani mogłaby mi przyjść w pomoc radą swą.

Wszystko to wypowiedziała szybko, jednym tchem, głosem nadzwyczaj przyjemnym. Pierwszy raz zwrócił się do mnie ktoś obcy z prośbą o radę, byłam zmieszana i przyjemnie zdziwiona.

— Ach, cieszę się bardzo! proszę, niech pani usiędzie, proszę bardzo, niech pani złoży futro — jąkałam zakłopotana.

Wiera zdjęła chustkę z głowy. Piękność jej nadzwyczajna uderzyła mnie.

— Jestem sama na świecie i niezależna, moje osobiste życie już skończone, dla siebie samej nie pragnę i nie oczekuję niczego, ale gorącem mem, jedynem życzeniem jest być pożyteczną „sprawie.“ Niech mi pani powie, niech mnie pani pouczy, jak i co robić — powiedziała Wiera nagle, przystępując odrazu do celu swych odwiedzin.

W każdej innej byłby ten szczególny, niespodziewany wybuch niemiłym, wyglądałby afektacyą, ale Wiera mówiła tak prosto, głosem tak szczerym i błagalnym, że wcale mi nie przyszło na myśl dziwić się. Ta wysoka smukła dziewczyna, z tą bladą twarzą i temi myślącemi błękitnemi oczyma, stała mi się naraz bardzo bliską, bardzo sympatyczną. Lękałam się tylko jednej rzeczy, mianowicie, że na jej zaufanie nie zasłużyłam, że nie będę w stanie dać jej jakiejś użytecznej rady. A moje własne życie, jakie pędziłam przez ostatnie cztery miesiące, wydało mi się teraz bezmyślnem i pustem. Nagłe wyrzuty sumienia ukąsiły mnie w serce.

— Co ja jej powiem, jak jej pomogę?

Nie wiedziałam jak rozpocząć, prosiłam więc Wierę, aby usiadła i kazałam podać herbaty. W Rosyi nie można prowadzić rozmowy bez samowara. Co mnie u Wiery zaraz z początku uderzyło, — to jej obojętność na otoczenie. Podobną była do jasnowidzącej, której wzrok i uwaga, pochłonięte jednym przedmiotem, czynią niewrażliwą na świat zewnętrzny. Pytałam jej, jak dawno bawi w Petersburgu, czy znalazła dobre mieszkanie. Ale na te wszystkie pytania odpowiadała z roztargnieniem, małostki życia nie interesowały jej. Chociaż nigdy dotąd nie była w Petersbugu, ruch i życie stolicy nie zadziwiały jej. Cała zajęta była jedną myślą: znaleść cel życia. Ta młoda dziewczyna tak niepodobna do tych, które znałam dotąd, pociągała mnie dziwnie, usiłowałam pozyskać jej pełne zaufanie. Powiedziałam jej, że muszę ją pierwej poznać dobrze, nim jej rady jakiejś udzielę, aby mi opowiedziała przeszłość swoją. Wiera sama chciała mi się zwierzyć i odpowiadała szczerze i otwarcie na wszystkie moje pytania.

Po paru tygodniach czytałam w jej sercu, jak tylko kobieta w sercu drugiej kobiety czytać może.

II.

Rodzina hrabiów Barancow należy do arystokratycznych, choć nie można o niej powiedzieć, żeby należała do bardzo starych rodów. Jej drzewo genealogiczne sięga wprawdzie aż do Ruryka, ale wolno wątpić o wiarogodności dokumentów, fakt ten stwierdzających. Pewnem jest tylko to, że niejaki Iwaszko Barancow służył, jako szeregowiec, w gwardyi najjaśniejszej cesarzowej Katarzyny II.; był wysoki na dobry sążeń, był rumiany i umiał tak dobrze służyć najjaśniejszej pani, że w nagrodę tych zasług został mianowany kapralem, dostał posiadłość i 500 dusz, a do tego tysiąc rubli w gotówce. Dusze były wtedy tanie, a pieniądze drogie. Od owego czasu datuje się wielkość rodu Barancowów. Tytuł hrabiowski pozyskali za Aleksandra I., na którego dworze piękna pani Barancow znakomitą odgrywała rolę.

Zresztą w kronikach tego rodu zapisane są nietylko szczęśliwe zdarzenia; w ostatnich stu latach spadały nań rozliczne niepowo-

SZKOŁA I WYCHOWANIE.

Wychowanie publiczne w Anglii.

II.

Dość smutny natomiast obraz przedstawiają utrzymywane z zapisów szkoły drugiego i trzeciego stopnia tak zw. „grammer-schools“ na wsi i po małych miastach. Szczupłe środki, niekorzystne położenie i nieudolne kierownictwo obniżyły ich poziom do tego stopnia, że często nie różnią się niczem od lichych szkół elementarnych. Należałoby zamknąć znaczną ich liczbę, a otrzymane w ten sposób siedliska zużyć w skuteczniejszy sposób na wychowanie publiczne. Ogółem zakłady te naukowe wychowują 0,25 procent ludności, 21,878 chłopców i dziewcząt w siedmiu zbadanych dokładniej przez komisyą hrabstwach Anglii (1893).

Co najmniej równają się pod względem swego znaczenia tym zakładom, utworzonym z zapisów, szkoły utrzymywane przez stowarzyszenia; mianowicie szkoły tego rodzaju co Marlborough, Cheltenham, Cliftin, Melvern College itd. cieszą się zasłużoną sławą. Przedewszystkiem około wychowania dziewcząt towarzystwa te akcyjne położyły w ostatnich lat dziesiątkach nie małe zasługi; same tylko „Girls Public School Company“ (założone 1872 r.) utrzymuje 36 szkół z 7111 uczennicami. Większe ze szkół tych są zresztą jednocześnie, lub zamieniają się z czasem w zakłady ufundowane. W siedmiu hrabstwach, o których nadmieniono powyżej, uczęszczało (1893 r.) do tych szkół 39,298 chłopców i dziewcząt.

Liczba szkół prywatnych waha się pomiędzy 10,000 a 15,000. Z nielicznemi wyjątkami należą one do zakładów drugiego i trzeciego stopnia, wiele z nich przygotowuje uczniów do szkół publicznych. Zwłaszcza tam, gdzie istnieją szkoły publiczne, zakłady te prywatne marny wiodą żywot. I wykład w nich, mimo niewątpliwego postępu, jest biorąc na ogół mało zadawalający i domaga się uregulowanego dozoru. Komisya sądzi jednak, że nie należy żadną miarą tłumić w szkolnictwie inicyatywy prywatnej, ponieważ zapewnia ona wychowaniu publicznemu rozmaitość i ruchliwość.

Dozór nad szkołami i egzaminowanie uczniów powierzone jest rozmaitym władzom. „Charity Commission“ uprawnione jest do wizytowania szkół ufundowanych, z prawa tego jednak korzysta ona w bardzo ograniczonych rozmiarach. Wielkim wpływem cieszy się natomiast „Science and Art Department“ w Kensington, który udziela za odznaczenie się w wydziałach technicznych, w naukach przyrodniczych i matematyce wsparć, nagród i stypendyów pojedyńczym klasom i szkołom (w 1893 r. 173,869 funtów szterlingów.) Wiele szkół skazanych jest w swem istnieniu na tę pomoc, i z tego powodu główny kładą nacisk na nauki techniczne i przyrodnicze.

Wyższe szkoły elementarne i klasy uzupełniające, których liczba wynosi w Anglii z wyłączeniem Londynu 74, podlegają departamentowi wychowania, a rólnicze szkoły i klasy dozorowane bywają przez radę rolniczą, która wyznacza rocznie 8000 funtów na te zakłady.

Wielkie znaczenie posiada tak zw. „rozszerzenie uniwersytetu“ polegające w kursach odczytów z wszystkich dziedzin wiedzy i miejscowych egzaminach w szkołach. W tem miejscu obchodzą nas jedynie egzamina. Egzamina te, dzielące się na trzy stopnie, uprawniają do studyum medycyny, prawa, budownictwa, techniki, farmacyi, weterynaryi itp. i uwalniają od egzaminu wstępnego w uniwersytecie. Oxford egzaminował w 1893 r. 3737, Cambridge 8,817 uczniów. Oprócz tego zasługuje jeszcze na wymienienie College of Preceptors, założone w 1846 r., korporacya odbywająca półroczne egzamina również w trzech klasach. Mianowicie szkoły prywatne, poddają się tym egzaminom, które uprawniają do studyum medycyny i prawa.

Środki finansowe, któremi rozporządza wyższe wykształcenie szkólne, są dziś znaczne. Komisya oblicza je na 2 i pół miliona funtów szterlingów rocznie. Suma ta składa się z zapisów, kwot wyznaczanych przez „Science and Art Department“, rozmaitych wsparć, udzielanych przez parlament, mianowicie z tak zw. „napiwnego“ tj. nadwyżki podatku od piwa i spirytusu (Local Taxation Act. 1890) i podatków w wysokości 1 pensa od funta szterlingów. Do rozpisania tego podatku upoważnił parlament rady hrabstw, celem podniesienia „technicznego wykształcenia“

Widzimy więc, że w ostatnich czasach zdziałano w Anglii dość wiele na polu wychowania publicznego. Brak jednak wszędzie organicznego związku i jednolitej myśli przewodniej. Tem się też tłomaczy, że w niektórych miejscowościach odczuwać się daje dotkliwy brak szkół, gdy w innych wytwarzają sobie niepotrzebną konkurencyę, że dalej pomiędzy wyższemi a niższemi szkołami nie ma najmniejszego związku, co utrudnia przechodzenie z jednych do drugich, że wreszcie pieniądze często wydane bywają bez należytego celu i skutku. Plan nauki wykazuje także pewną jednostronność. Przyznawane przez parlament i Science and Art Department wsparcia na przedmioty techniczne i przyrodnicze spowodowały, że zaniedbywano często tak zw. „literackie przedmioty“ czyli języki, historyę, geografię itd. i cała nauka otrzymała filistersko-praktyczny kierunek. Liczne wreszcie, wyłącznie prawie piśmienne egzamina wywołują bezmyślne wtłaczanie („cramming“) wiedzy, posiadające dla istotnego wykształcenia umysłu podrzędne bardzo znaczenie.

I stanowisko nauczycieli i nauczycielek pozostawia wiele do życzenia. Wprawdzie zorganizowali się oni w ostatnich lat dziesiątkach w znacznej części jako stan w odpowiednich stowarzyszeniach, ale łatwość dymisyi, i liche przeważnie wyposażenie stoi na przeszkodzie publicznemu uznaniu tego stanu. Odczuwać się też daje brak sposobności do racyonalnego pedagogicznego przygotowania. Celowi temu służy jedynie „Teachers Training Syndicate“ przy uniwersytecie w Cambridge, który jednak kształci wyłącznie tylko nauczycielki. College of Preceptors“ zamierza obecnie założyć w Lon-

---

dzenia. Wszyscy Barancowowie odznaczają się gwałtownością i niepowściągliwością, a te właściwości bywały zawsze powodem nieszczęść. Nie jeden wielki majątek przegrali w karty, roztrwonili na konie i kobiety.

Szczęście rodziny Barancow zaćmiło się czasowo, ale łaska Boga sprawiła, że lekka ta chmurka rozwiała się znowu. Jakiś członek rodziny Barancow umiał tak urządzić, że w porę oddał wielką usługę cesarzowi i ojczyźnie i na miejsce utraconych wróciły nowe wielkie dobra tak, że rodzina Barancow wzrastała w powagę i znaczenie. Chociaż te nowonabyte dobra znowu roztrwonione zostawały, przechował się w tej rodzinie jeden cenny skarb, przechodząc z pokolenia na pokolenie, z ojca na syna, z matki na córkę: nadzwyczajna piękność. Nie było w tym rodzie ani jednego odstręczającego, brzydkiego, wogóle nie — pięknego.

Hrabiowie Barancow żenili się z pięknościami, a piękne ich córki znajdowały zawsze pięknych mężów, tak się dobierali, jak gdyby przeczuwali teoryę Darwina. Na skutek tego zachował się typ familiny w czystości. Jest on tak znanym, że jeżeli się komuś z arystokracyi rosyjskiej powie: „on albo ona ma twarz Barancowów,“ zaraz staje w wyobraźni piękna wyniosła postać, biała owalna twarz z lekko zaróżowionemi policzkami, niskie szerokie czoło z delikatnemi niebieskiemi żyłkami na skroniach, włosy czarne, jak krucze pióra i niebieskie czarnemi rzęsami ocienione oczy. Kto tego obrazu przy tych słowach w wyobraźni swej nie widzi, ten nie należy widocznie do arystokracyi.

Ten typ Barancowów był silny i długotrwały. W dobrych starych czasach, w czasach pańszczyzny, widziano nieraz, że przechodził na chłopów i na służbę dworską. Było to przecież rzeczą nadzwyczajną, jeżeli młodzi panicze przepędzali czas w swych dobrach, to przychodziły wtedy na świat w wiejskich chatach dzieci z twarzyczkami Barancowów: miały szlachetne rysy dzieci ze dworu.

Hrabia Michał Iwanowicz Barancow był zasłużonym potomkiem swojej rodziny, oprócz swej piękności miał jeszcze i to szczęście, że urodził się na początku panowania Mikołaja, w czasie pełnego rozkwitu petersburskiej gwardyi. Po kilku latach służby w pułkach kirasyerów pozdobywał tak wiele serc kobiecych, że zasłużył sobie na przydomek: „postrach mężów.“

Jeszcze w młodym wieku zakochał się w swej dalekiej krewnej Maryi Dymitrównie Hudrawcew, która na pięknej swej i jakby przez artystę wyrzeźbionej twarzy wyraźne piętno typu Barancowskiego nosiła. Pozyskawszy jej wzajemność, ożenił się z nią i pozostał dalej w służbie. Byłby może dosłużył się wysokiego stopnia, lecz w początkach panowania Aleksandra II zdarzyła mu się mała nieprzyjemność. Przyczyna tejże leżała także w krewkości Barancowów i w ich niebezpiecznej piękności. Michał Iwanowicz, zazdrosny o swoją żonę, wyzwał oficera gwardyi i zabił go w pojedynku. Sprawę tę jakoś zatuszowano, ale młodemu hrabiemu było przecież nieprzyjemnie pozostać w pułku po tym wypadku; prosił o uwolnienie i pojechał do swego majątku, który odziedziczył po ojcu, zmarłym właśnie w tym czasie.

Było to w roku 1857. W Petersburgu chodziły głuche wieści o uwłaszczeniu chłopów, ale do Barków (tak nazywała się wieś hrabiego Barancowa) wiadomości te nie dotarły. Tam szło wszystko po staremu. Jak wielkim był w owym czasie majątek hrabiego Michała Iwanowicza, tego nikt dokładnie nie wiedział, najmniej on sam. Dobra były wielkie, choć nie tak rozległe jak dawniej. Ojciec nieboszczyk lubił również wesoło żyć, a za jego życia wycięto niemałą część lasu i sprzedano wiele dziesiatyn łąk. Michał Iwanowicz opuścił Petersbug po piętnastoletniej służbie, rozumie się nie bez długów. Rządy swoje rozpoczął tem, że sprzedał kawał dóbr, zaciągnął pożyczkę na resztę, aby pokryć stare grzechy. Dotychczas można było wszystko dobrze urządzać, a hrabia nie niepokoił się bynajmniej. Wójt był dzielnym człowiekiem, musiał on wszystko załatwiać bez krzyku, bez niepotrzebnej gadaniny: kiedy hrabia potrzebował pieniędzy, były one zawsze pod ręką.

W czasie swego osiedlenia się na wsi uważał się hrabia Michał Iwanowicz i hrabina Marya Dymitrówna, pomimo swych

dynie „Day Training College“ (seminaryum), które zapewnić ma także sposobność do ćwiczenia się w nauczaniu w szkołach.

Licznym tym niedogodnościom zapobiedz pragnie plan reform, opracowany przez komisyę. Na czele całego wychowania publicznego stanąć ma odpowiedzialny przed parlamentem minister oświaty, który jednak wyposażony będzie w dość ograniczoną władzę wykonawczą. Wykonywać on będzie dozór nad władzami lokalnemi, udzielać im rady i wspierać oraz bronić szkoły prywatne i utrzymywane przez stowarzyszenia przed bezprawnym uciskiem. Rada wychowawcza, złożona z 12 po części wybranych, w części mianowanych członków stać będzie przy jego boku jako władza kierująca. Rada ta prowadzić będzie urzędową listę nauczycieli i rozstrzygać w kwestyach spornych.

Inicyatywa w wyższem wykształceniu szkólnem przysługiwać będzie głównie nowo utworzonym władzom lokalnym dla wyższego wykształcenia, których okręgi łączyć się będą z utworzonemi przez prawo z r. 1888 wiejskiemi i miejskiemi hrabstwami. Liczba członków tych ciał, którzy również w części wybrani zostaną przez radę hrabstwa, po części mianowani i kooptowani, stosować się będzie do wielkości ich okręgu i wynosić od 14 do 42. Dla Londynu wydane będą specyalne przepisy.

Tym władzom powierzone będzie właściwe staranie w sprawie wyższego wykształcenia szkólnego. Zarządzać one będą rozporządzalnemi funduszami, rozpisywać nowe podatki (2 pensy od funta szterlingów) i dozorować istniejące wyższe zakłady naukowe. Szkoły prywatne i stowarzyszeń podlegają im tylko wtedy, jeśli pragną być „uznane“ za publiczne i zgodzą się na ich rozporządzenia co do planu nauk, przyjmowania, zwalniania i wyposażania nauczycieli. Z tego powodu szkoły te dopuszczane także będą do udziału w stypendyach i nagrodach. Sanitarny jednak dozór władz rozciągać się będzie na wszystkie bez wyjątku szkoły.

Co się tyczy wewnętrznej organizacyi szkół, to komisya powstrzymuje się od wydania obowięzujących przepisów. Przeciwną jest ona szematycznej jednolitości i poleca jedynie, aby więcej kładzono nacisku na ogólne wykształcenie, nie na nabywanie wiedzy, dającej się bezpośrednio zużytkować. Stypendya, zapisy i nagrody uprzystępnić mają przedewszystkiem uboższym jednostkom dobrodziejstwa wyższego wykształcenia, nie jak dotychczas, ułatwiać dobrodziejstwa zamożniejszym.

Dla nauczycieli domaga się komisya urzędowej listy, obejmującej wszystkich, którzy przedstawić mogą świadectwa z naukowego i praktycznego swego uzdolnienia. Otrzymać oni także mają lepsze wyposażenie i prawo apelacyi przeciwko zwalnianiu z obowiązków.

Oto główne zasady reformy wyższego wykształcenia szkólnego, które prawdopodobnie w bliskiej przyszłości uzyskają moc prawną. Podług wypróbowanej angielskiej metody reforma ta opiera się na istniejących stosunkach i stara się ujawniające się w nich bezwiedne tendencye rozwijać i przekształcać. Członkowie komisyi zastrzegają się kilkakrotnie przeciwko przypuszczeniu, jakoby dążyli do zaprowadzenia jednolitego systemu państwowej wszechwładzy na sposób, panujący na stałym lądzie Europy; zachować oni pragną za każdą cenę rozmaitość i żywość angielskiego wychowania. Ich ideał zajmuje pośrednie miejsce pomiędzy ministeryalną wszechwładzą w Niemczech i Francyą, a panującą w Anglii anarchią; dążą oni do podniesienia narodowego wykształcenia, bez tłumienia inicyatywy i indywidualnej odrębności.

W uwzględnianiu i pielęgnowaniu tej indywidualnej odrębności spoczywają zalety takiego systemu. Gdy w Niemczech szukają zbawczej rzekomo szkoły normalnej i bezustannie pracują nad udoskonaleniem metod, angielscy pedagogowie bezustannie ten wielki cel mają na oku, że wychowanie przedewszystkiem dążyć powinno do kształcenia dzielnych obywateli, ożywionych duchem wolności mężów i kobiet.

K.

LITERATURA I SZTUKA.

Uwagi o „Quo vadis“.

(Dokończenie).

Zakrawa to już na tak zwany romans przygód. Autor prowadzi nas drogą dowolnie przez siebie obraną do głównego efektu, zgotowanego dla czytelnika, a tym efektem są zapasy Ursusa z turem, który na grzbiecie niesie nagą Ligię... Nadzwyczaj znamiennym w tym względzie jest następujący szczegół. Piotr pociesza Winicyusza pół-proroctwem: „Miej nadzieję, c h o ć b y ś widział ukochaną istotę w paszczy dzikiego zwierzęcia“... Tak się też staje. Ligia cudem niemal uratowana. Przez siłę wyższą natchniony apostoł wyrzekł przepowiednią, która się ziściła... Ale warunkowy sposób obietnicy nie może uspokoić Winicyusza, ani też daje pewność czytelnikowi, że Ligia ocaloną będzie. Miał to widocznie na uwadze autor, by przez wyraźną zapowiedź nie usunąć przedwcześnie trwożnego wyczekiwania i przez to nie osłabić wrażenia, gdy nadejdzie stanowcza chwila. Ulubiony to przez Sienkiewicza środek obdarzania pewnych wybranych przez siebie osób nadludzką prawdziwie siłą fizyczną. A Ursus kręcący kark turowi, przeszedł chyba w tym przymiocie swoim i Podbipiętę i Kmicica. Zaiste, dość pierwotny to sposób wzbudzenia podziwu. Ale w danym wypadku umiał autor przejąć czytelnika nerwowym niepokojem, który ogarnął widzów... Czuje się zaparty oddech tysiąca piersi, widzi się te pobladłe twarze, gorejące oczy, wzniesione ręce, pochylone postawy... Ztąd też pochodzi i ten żywy udział, który czytelnik bierze, nie pytając o prawdopodobieństwo, w ważeniu się losów bohaterów między uporem Nerona i jego drapieżnemi popędami, a wolą tłumów, które wpadły w szał i zmusiły wreszcie Cezara do ustąpienia przed

---

trzech córek, za ludzi bardzo młodych. Nie brali oni na siebie ani troski, ani zobowiązań żadnych, a nikt nie odmawiał im prawa żyć według własnego upodobania. Wszystko więc poszło po dawnemu, swobodnie, wesoło. Jeszcze za życia nieboszczyka pana stał dom na wielkiej pańskiej stopie: trzydzieści koni w stajni do wyjazdu, angielski ogród, cieplarnie i liczna służba.

Jedyną zmianą, jaką młodzi państwo zaprowadzili, było, że z pomysłami starego sybaryty połączyli nowe wyrafinowane zamiłowania o jakich dawniej po wsiach nie marzono. Meble zostały obciągnięte jedwabną materyą, okna i posadzki dawniej nagie, pozakrywane teraz portyerami i dywanami. Służba nosiła dawniej wytarte, stare surduty swych panów, teraz dostała liberyę. Kuchnię oddano w zarząd kucharzowi, wyuczonemu w angielskim klubie, a do wielkiej ilości pokojówek, wyrosłych w domu, które się zajmowały szyciem, haftowaniem, robieniem koronek, dodano elegancką, dobrze płatną garderobianę.

Młodzi państwo wywierali swoim przykładem zbawienny wpływ na sąsiedztwo. Nie bez racyi powiedział gubernator w swej mowie, podczas obiadu, wydanego na cześć nowoprzybyłych, że wnieśli oni nowe życie w gubernię. I rzeczywiście z ich przybyciem rozpoczęła się epoka uroczystości, uczt i rozrywek. Nikt nie chciał się powstydzić przed gośćmi ze stolicy.

Właściciele i właścicielki dóbr przezwyciężyli swoje wiejskie lenistwo, dawniejsze rozrywki, nudne przyjęcia, imieniny, gra w karty, zmieniły się na wyższe niejako. Po przybyciu hrabiego Barancowa pojawiały się w miasteczku teatry amatorskie, koncerty z żywemi obrazami, wieczory kostyumowe.

Michał Iwanowicz i Marya Dymitrówna byli zachwyceni wrażeniem, sprawionem w gubernii, oboje byli przejęci znaczeniem swej misyi cywilizacyjnej. Hrabia mówił nawet raz na jednym obiedzie o znaczeniu angielskiej *gentry* i wyraził życzenie, ażeby rosyjscy właściciele stali się podobni angielskim landlordom. Hrabina również niemniej starała się o uszlachetnienie obyczajów w prowincyi: uważała sobie za obowiązek sprowadzać kosztowne toalety z Petersburga. Dom hrabstwa był zawsze otwarty dla gości. Obiad podawano późno, według miejskiego zwyczaju i wszyscy domownicy musieli się do stołu przebierać, jak każe obyczaj angielski. Przed śniadaniem pito niezwykłą wódkę, jak dotychczas, ale *englisch-bitter*.

Pałac Barancowów był ciężkim, starym budynkiem, mury jego grube na dwa arszyny; zewnętrznie podobny on był do wielkiej czworograniastej skrzyni, na której Bóg wie dlaczego poustawiano tu i owdzie fantastyczne latarnie, balkony i inne ozdoby. Był on budowanym w owym szczególniejszym stylu, który nazwaćby można stylem pańszczyźnianym. Wszędzie spotrzebowano wiele materyału, ale wszystko było niezgrabne; wszystko świadczyło, że dom ten budowany był w tym czasie, kiedy jeszcze pracy nie płacono, a materyał znajdował się blisko; cegły wypalano wtedy we własnej cegielni, posadzki wyrabiali chłopi z własnego drzewa, nawet budowniczy, który plan rysował był chłopem. Wnętrze domu i rozkład pokojów nie odróżniały się niczem od innych domów w owych czasach. Na górze mieszkali państwo, na dole były pokoje dziecinne, w suterenach mieściła się kuchnia i mieszkanie służby. Do suteryn wchodziła hrabina tylko w dzień Zmartwychwstania, aby ze służbą wymienić pocałunki wielkanocne; do pokoju dziecinnego zaglądała czasem nawet i w dni powszednie, jeżeli jej czas na to pozwolił, to jest, jeżeli nie miała gości, albo jeżeli sama nie wyjeżdżała w odwiedziny, co zresztą zdarzało się dość rzadko.

W pokoju dziecinnym domu Barancowów wzrastały i rozwijały się trzy panny pod okiem dwóch guwernantek, z których jedna M-lle Julie była wysoką, żywą i rozmowną brunetką, w nieokreślonym wieku, druga M-me Night była wspaniałą wdową o wielkiej surowej twarzy, obramowanej grubemi szaremi lokami. Oprócz tych dwóch wychowawczyń kręciło się niemało innych osób koło dzieci: stara niania, pokojowa Anisia i dziewczynka do posyłek, słowem, wszystko było tak, jak w pańskim domu być powinno. Trzy panienki były na swój

gwałtowną burzą uniesienia zbiorowego.... Autor dopiął celu. Scena z turem jest rzeczywiście szczytowym punktem utworu. A oglądając się z tej wyniosłości na długą drogę, na szczyt prowadzącą, widzimy wyraźnie, iż sceny gwałtowne, jaskrawe opanowały twórczą wyobraźnię pisarza. Znać ognistą i gorącą była ona. Siła jej nie osłabła od czasu stworzenia trylogii, wzmogła się może, mimo tych śladów niby zmęczenia, które czytelnicy dostrzedz mogli n. p. w „Rodzinie Połanieckich“. Porównajcie opis igrzysk trojańskich w „Mirtali“ z obrazem tych okropności, które się dzieją w amfiteatrze w „Quo vadis“. Ale tu porównania być nie może... Tam, u Orzeszkowej, mamy prześliczny haft... tylko tyle. Tu zaś, w Sienkiewiczu, same gorące barwy... Tu nie mamy czasu nawet na rozkład wrażenia na pojedyńcze szczegóły, utrudnia to przyspieszony obieg krwi. Głowa pała. Czujemy się w stanie gorączkowego podniecenia. Ujarzmione władze umysłowe czytelnika poddają się wreszcie biernie wrażeniom... Patrzymy, widzimy, słyszymy... Bo czyż nie słyszymy tego żałosnego pół krzyku, pół śpiewu. *Ave, Caesar. — imperator! Morituri te salutant...?* Czy nie widzimy sieciarza, obchodzącego w koło przeciwnika, czy nie brzmi w uszach naszych zwrotka jego: „*Non te peto, piscem peto. Quid me fugis Galle?!* I serce bić przestaje z trwogi, z wyczekiwania, co to stać się może, co to się stanie?...

Wprawdzie koloryt to Mackarta. Wrażenie silne, ale farby nietrwałe, spłowieć łatwo mogą. Przecie to uczucie niepokoju i wyczekiwania, to napięcie nerwowe zawisło w mocnym stopniu od n i e w i e d z y czytelnika, jaki to obrót wreszcie sprawy wezmą... W pierwszem czytaniu wrażenie ogromne i zupełne; w drugiem już znacznie łagodniejszem i słabszem stać się musi. Inaczej być nie może. Ale bądźmy wdzięczni i za to, co nam dzieło daje.

Nie mówiłem dotychczas o obrazie płonącego Rzymu. Ale widowisko pożaru, jakkolwiek wspaniałe, traci wiele na swej grozie w porównaniu ze szczuplejszemi w zarysach swych ogólnych, ale plastyczniejszemi i bardziej poruszającemi widokami krwi i walk w amfiteatrze...

Mówiliśmy już, jaki jest stosunek wątku powieściowego do ogólnego tła. Zobaczmy teraz, w jakich punktach następuje zetknięcie się losów jednostkowych bohaterów z losami całej powszechności chrześciańskiej w Rzymie. Najprzód chrześcianie porywają Ligię za jej wolą i tu się zaczyna odysea Winicyusza. Następnie, rozpaczne jego wysiłki do odzyskania Ligii skierowane, wypełniają sobą cały utwór. Ukończone one zostały w chwili, gdy Neron daje wymuszony znak łaski... Zniknąwszy z amfiteatru, znikają też kochankowie z widowni dzieła. Tylko z daleka dobiegają nas wieści o szczęściu pary, zgubionej wśród łąk i gajów Sycylii i zapomnianej przez władcę świata. Nić, wiążąca wypadki, zerwaną została. Od tej chwili należy też uważać treść powieściową za zamkniętą. Wszystko, co się jeszcze przesunie przed naszemi oczami, jest tylko dekoracyjnym dodatkiem, nie organiczną częścią utworu. A jednak dotychczas jeszcze nie zostały wyrzeczone te słowa: *Quo vadis?* które nadały tytuł całemu dziełu; a jednak właśnie wśród upiększających dobudowań, które do planu nie wchodzą, i z niego nie wynikają, znalazła się ta scena, która według myśli pierwszej miała być środkową i punktem ciężkości, jak łatwo wywnioskować. Już ta okoliczność, że spotkanie Piotra z Panem fizycznie nawet wyjęte jest z właściwej tkanki powieściowej, świadczyć może o organicznym błędzie budowy, o niedostatecznem zlaniu się w całość różnych części pomysłu. Może raczej powiedziećby należało, że pomysł pierwotny pozostał na uboczu, że wykonanie weszło na inne tory. Wyobraźnią pisarza owładnęły te wspaniałe w swoim ponurym nieraz kolorycie sceny, których tyle rozrzucił po kartach swego dzieła. I gdy, kazawszy wprzód czytelnikom przejść przez wszystkie stopnie trwogi, niepokoju, wstrząśnień nerwowych, spowodowanych widokiem okrucieństw, autor doprowadził go do owego wyżynowego punktu, którym jest walka Lyga z turem, uczuł się już widocznie zmęczonym. Zdobył się wprawdzie jeszcze na piękną, ale pogańską śmierć Petroniusza. Spotkanie Pana w widzeniu Piotra nie sprawia wcale silnego wrażenia. Jest to dodatek dekoracyjny, powtórzę, który tytułu autora nie usprawiedliwia wcale. Wizya owa nie wpływa w najmniejszym stopniu na losy głównych bohaterów powieściowych, nie pozostawia żadnego śladu w ich uczuciach, napomnieniach, choćby dla tego, że są oni nieobecni. A ponieważ znowu widzenie samo przez się osobnego punktu ciężkości nie stanowi, więc i jednośé artystyczna utworu, ciągłość wrażenia zachowaną została od rozbicia. Ale jakim kosztem? Czy po chwilowem rozmyślaniu nie wyda się nam trochę dziwną i trochę przykrą dysproporcya między potęgą, wielkością działających czynników a wydanym przez nie skutkiem? — Wprowadzono w grę cały aparat dziejowy, poruszono w czytelniku najgłębsze uczucia litości, odrazy, przerażenia, ukazano tyle i tak świetnych, wspaniałych i okropnych zarazem obrazów... tyle krwi wylanej, tyle męczarń. widok najwyższego rozpasania i okrucieństwa... i to wszystko dla tego, by Numa połączyła się z Pompiliuszem?! Kościoł wstrząśnięty w posadach, niedobitki tułają się i kryją w najciemniejszych kątach, książę apostołów zachwiał się w wierze... a Ligia i Winicyusz mają być szczęśliwi? Łatwo im to przyszło! Gdyby nie Petroniusz, który sprawił, że Ligia zmuszoną była szukać schronienia wśród współwyznawców, burza, unosząca na falach swych skołataną nawę pańską, możeby nie dotknęło swem skrzydłem dachu, pod którym szczęśliwa para gniazdko uwiła. Była chwila, gdy sam Winicyusz uczuł, jak drobną kropelką jest jego osobiste nieszczęście wobec tego gromu, który spadł na całą społeczność chrześciańską. Ale to tylko chwila była... Piotr gotuje tłumy wiernych na śmierć nieuchronną... sam jest gotów dać życie za swą gromadkę.. A Winicyusz, zawachawszy się wprawdzie, wymaga od głowy kościoła, by zechciał łaską i potęgą od Pana mu daną uwolnić Ligię z paszczy dzikich zwierząt. Piotr ma szczególne względy dla Winicyusza. Gdy dla tamtej ciżby modlił się tylko o wytrwanie — dla niego wyprasza u niebios kochankę. Więc sam książę apostołów jest narzędziem dla Numy

---

wiek wysokie, miały przepyszne gęste włosy, które zaplatano rano w warkocze, a do obiadu rozpuszczano, wszystkie trzy obiecywały z czasem stać się pięknościami.

Dwie starsze Lena i Liza stały już na progu salonu. Jedna z nich miała lat czternaście, druga trzynaście. Obie nasłuchiwały z namiętnem zajęciem na każdy ton, który z górnego piętra do nich się przedostawał i obie szemrały niezadowolone, że je zmuszano jeszcze do noszenia krótkich sukien.

Trzecia, panna Wiera, jeszcze zupełnie młoda, ośmioletnia dziewczynka z okrągłą różową twarzyczką i tem dziwnem spojrzeniem, które zwykle spotyka dzieci, mające swoje własne życie, nie buntowała się jeszcze przeciwko niczemu. Jak u wszystkich dzieci, których życie regularnie upływa, były u niej konserwatywne instynkta silnie rozwinięte; poddawała się wszystkiemu, co ją otaczało nieświadomie, ze zwierzęcem przywiązaniem pielęgnowanego pieska domowego, nie przyszło jej nigdy na myśl wątpić o zasłudze, którego ze swych bliźnich. Jej matka była najlepszą z matek, jej pokój dziecinny, najlepszym z pokojów dziecinnych.

Tak, w domu szło wszystko jak najlepiej, każdy miał swoje miejsce i wszyscy żyli obok siebie przyjaźnie i spokojnie, jak zawsze w towarzystwie, gdzie są pewne silne podpory i nikt nie jest zmuszony głową rozbijać muru, aby dla siebie znaleźć drogę wyjścia.

Wogóle myślano, szeptano i marzono wiele o miłości, taksamo na górnych jak i dolnych piętrach. I zaprawdę, oprócz uciech i cierpień miłości nie mogło nic, jak się zdawało, pokrzyżować prostej drogi życia, która leżała przed trzema pannami Barancow, równa i gładka, jak nitka.

Życie ich można było napród przewidzieć i oznaczyć. Papa i mama byli zdecydowani najstarszej Lenie dać w posagu Mistino, Lizie Stepino, a najmłodszej, Wierze Barki.

Hrabstwo wiedzieli także, że po trzech, czterech latach bezwątpienia zjawi się jaki huzar, albo dragon i zabierze Lenę, a po roku przyjdzie inny huzar dla Lizy; potem dopiero przyjdzie kolej na Wierę. Dzieci nie będą mieszkały w Barkach, nie Anisia będzie im usługiwała, ale jakaś inna pokojówka, a oprócz tych małych zmian powtórzy każda bieg życia swej matki. Wszystko to było bardzo proste i bardzo prawdziwe i rozumiało się samo przez się, wszystko to było wiadomem tak, jak naprzykład wiadomem jest, że jutro będzie obiad i pojutrze.

Wszystkie te jednak pewne plany zostały nagle zniszczone przez pewne nieoczekiwane zdarzenia. Właściwie to co się wydarzyło, nie wydarzyło się ani nagle, ani niespodziewanie, gdyż już przed dwudziestu laty mówiono o tem i cała Rosya była na to przygotowaną; ale jak wszystkie wielkie wydarzenia miało i to tę właściwość, że gdy się nakoniec urzeczywistniło, wyglądało, jakgdyby spadło nagle i zastało wszystkich nieprzygotowanymi. Pierwszy cień tego zbliżającego się nieszczęścia spostrzegła Wiera przy następującej okoliczności: z końcem roku 1860 był w domu Barancowów wspaniały obiad, na którym oprócz zwykłych ciotek, babek i najbliższych sąsiadów zjechał rzadki, szacowny wujaszek z Petersburga, wysoki urzędnik ministeryum. Przybył z rana, i przy obiedzie podtrzymywał rozmowę, rozumie się, sam jeden. Opowiadał przeróżnaite historye z kół rządowych, których z gazet znać nie było można.

Podczas obiadu hrabina przerywała mu kilkakrotnie.

— Stefanie, *prenez-garde* — mówiła tajemniczo, wskazując głową na służących usługujących przy stole, którzy zachowywali swą zwykłą, obojętną minę.

Po deserze udali się wszyscy do salonu. hrabia sam przekonał się osobiście, czy wszystkie drzwi do przybocznych pokojów prowadzące, są zamknięte.

— *Vous pouvez parlez* Stefanie — powiedział uroczyście.

Wiera siedziała na kolanach nowego wuja, nie zwracano na nią uwagi, sądząc, że nie rozumie nic z tego, o czem mówiono.

— *C'est fait! l'Empereur a souscrit le projet, qui a eté presenté par la commission* — obwieścił wujaszek uroczyście.

Ręce matki, która właśnie w tej chwili nalewała kawę, opadły bezwładnie, łyżeczka

i Pompiliusza. A wśród całej tej rzeszy, czy nie było mężów, którym odebrano żony i oddano je na męki i shańbienie? Czy nie kochali oni równie gorąco jak Winicyusz, czy boleść ich była mniejszą i mniej ważyła, niż boleść tego na pół dopiero nawróconego poganina? Ta niewspółmierność celu i środków przypomina mi nieco podobną z „Rodziną Połanieckich“ okoliczność. Tam Litka miała to opatrznościowe przeznaczenie, by połączyć p. Marynię z p. Stanisławem... Szkoda Litki...

Docierając do mety, chciałbym uprzedzić jeden zarzut, że w uwagach mych o dziele Sienkiewicza nie obrałem historycznego punktu wyjścia, jedynie może właściwego w ocenie powieści historycznej. Nie czując się atoli uzdolnionym do innego traktowania sprawy, brałem stosunki rzeczone, jak one zostały pszedstawione w utworze przez pisarza, nie troszcząc się o to, czy ten lub ów szczegół zgodny jest z prawdą dziejową. Czy pomimo tego opuszczenia rozumowania moje posiadają jaką wartość, sąd nie do mnie należy.

Na zakończenie chciałbym rzucić parę ogólniejszych uwag. Sienkiewicz w literackiej działalności swej od dawna i stanowczo przechylił się w kierunku idealizowania tradycyi i zachowawczych ideałów zarówno w przeszłości, jak w życiu współczesnem. — Z tego źródła pochodzi i tendencya jego dzieł i wybór tematów nawet. Z tego względu rozważone „Quo vadis“ nie jest jakiemś zjawiskiem odosobnionem. – jest przeciwnie dalszem ogniwem w ewolucyi duchowej pisarza. Ale nie podejmuję na razie tego wątku i nie wysnuwam ztąd wniosków co do psychologii samego autora, jak i jego czytelników. Obecnie mówić chcę o innej właściwości talentu Sienkiewicza, tak jaskrawo uwydatnionej w ostatnim jego utworze, o właściwości, którą już poznały najszersze koła czytających z tak głośnej trylogii jego.

Nie potrzebuję chyba tłomaczyć, iż mam na myśli usiłowanie autora olśnienia widza zewnętrznym przepychem dekoracyi, dramatyzmem powikłań sytuacyjnych... Ten koloryt jaskrawy, gorący pociąga ku sobie czytelników Sienkiewicza, i nietylko pociąga, ale najczęściej im wystarcza. I dla tego Sienkiewicz zawsze pozostanie najpoczytniejszym ze wszystkich powieściopisarzów.

I nie może być inaczej. Trzeba tylko przypomnieć sobie, jak zwykle czytamy. Powieść u nas powszechnie jest to przedmiot jednodniowego zajęcia, czyta się zawsze tylko raz jeden, nigdy się do niej po przeczytaniu już nie zabiera. Czynią to chyba dzieci. Zapewne, w całej tej powodzi nowel„ powieści, opowiadań, nie wielka tylko ich ilość zasługuje na wyróżnienie. Ale ogólnemu losowi ulegają też dzieła najcenniejsze, że już nie wspomnę o klasykach naszych. Książka nie jest dla nas pokarmem duchowym, lecz rozrywką, „zabiciem czasu“, lub, co najwyżej, za przeznaczenie ma swoje — wstrząsnąć nerwami czytelnika. Książka zamknięta, zamkniętą jest na dobre. Nie powraca się do niej myślą, nie daje ona powodów do zastanowienia się nad jej treścią lub wyborem środków artystycznych, nie budzi sporów, wyjątkowo chyba. Zmysł krytyczny w masie czytelników nie jest zgoła rozwinięty. Dla tego może zazwyczaj najmniej troszczy się ona o sądy i wyroki krytyki fachowej, której najwybitniejsi nawet przedstawiciele nie zawsze są choćby z imienia znani. Może przeciwnie krytyka sama ulega niekiedy suggestyi bezwiednej ze strony ogółu przeciętnej publiczności. Najpewniej to samo dzieje się i gdzieindziej. Zawsze masy czytelników spożywają ladajaką strawę książkową. Ale tam, gdzie czytelnictwo jest szeroko rozlane w warstwach narodu, zbyt szczczupłą nie jest i ta mniejszość, która posiada wyrobiony smak i wyższe wymagania estetyczne. U nas mniejszość owa garstką jest zaledwie.

W uwagach swych o „Quo vadis“ starałem się uzasadnić to twierdzenie swoje, że powieść Sienkiewicza dostarczyć może wrażeń silnych, ale t y l k o przy pierwszem z nią zapoznaniu się. W tem dziele nie ma głębin, stopniowo się odsłaniających przed okiem badawczem. Owóż to „t y l k o“ dla większości czytelników nie istnieje. Wszak oni po raz drugi nigdy już na nowo do utworu tego nie powrócą, za siebie oglądać się nie będą, by je podać krytycznemu roztrząsaniu. Pierwsze wejrzenie jest zwykle i ostatniem; wyrokuje ono o doskonałości dzieła i rozgłosie pisarza, bo w tem pierwszem wejrzeniu zawarta jest całkowita ilość wrażeń, jakie tylko dzieło dać może. Ale jest przecie garstka niewielka czytających inaczej, szukających w utworze artystycznym i estetycznego zadowolenia i pokarmu pożywnego. Nie wystarcza im pobieżne obejrzenie obrazu. Mają oni swe upodobania, ulubione utwory. Bez przykrości powracają oni do nich niekiedy. I dzieło bezwątpienia posiada treść głęboką i piękne kształty estetyczne, jeśli przy takiem oglądaniu nie traci, owszem zyskuje, jeśli nam nowe głębie ukazuje, nowe strony odsłoni. Czy się bardzo omylę, gdy powiem, że wyroki tej małej garstki bardziej mogą pochlebić talentowi pisarza, niż rozgłos chwilowy? Dzieła, przez tę garstkę na wyżyny podniesione, — nie zawsze, lecz często, dziedzictwem spadają z pokolenia na pokolenie.

Czy może Sienkiewicz t a k i e dzieło stworzyć? Może. Dowiódł tego niejednokrotnie. Wspomnę tu tylko choćby o „Dzienniku nauczyciela poznańskiego“. A w zakresie ducha swego posiada czar zaklinania duszy czytelników, posiada potęgę wyobrażeń w tym stopniu, którego u nas nie dostąpił nikt. Nie lekceważymy tego daru cudownego. Wszak czując w sobie tę dziwną moc panowania nad wyobraźnią czytelników, twórca Balladyny, tym orężem uzbrojony, porwał się do walki z tytanem z ciemnego sosen litewskich uroczyska, a choć go nie pokonał, pozostał na słońcu przeciwnem — przeciwnym tamtemu bogiem. Ale jakiż użytek robi autor Trylogii i Quo vadis z tej potęgi twórczej, którą jest obdarzony? Warunkiem koniecznym piękna jest pewna harmonia części z sobą i z całością, pewien zgodny rytm — niekoniecznie w kształtach zewnętrznych, lecz w zakresie ducha, ożywiającego dzieło. Tym rytmem i tą harmonią będzie pewna zgoda między wysiłkiem a skutkiem, środkiem a celem. Pięknym może być sam w sobie ruch atlety, wznoszącego ciężki młot, lecz pierwsze wrażenie może przejść w śmieszność, jeśli dostrzeżemy, iż ruchu tego celem jest wbicie małego gwoź-

---

zadźwięczała na podstawce i kilka kropel kawy splamiło drogą serwetkę.

— *Mon Dieu, mon Dieu!* — mówiła, upadłszy na krzesło, zakrywając twarz obiema rękami.

Wszyscy obecni siedzieli jak skamieniali.

— Czy to już napewno rozstrzygnięte — zapytał ojciec cichym, stłumionym głosem.

— Pewnie i nieodwołalnie! Z początkiem lutego zostaną rozesłane manifesty do wszystkich proboszczów, aby je dziewiętnastego tego miesiąca ogłosić ludowi — powiedział wujaszek, mieszając kawę łyżeczką.

— To znaczy, że teraz nie pozostaje nam nic innego, jak tylko zdać się na łaskę nieba — westchnął ojciec.

Kilka chwil panowała ogólna ciężka cisza.

— Mój Boże, cóż to jest? Przecież to właściwie poprostu jest rabunkiem — dał się nagle słyszeć głos Siemiona Iwanowicza. Był to wuj ojca; w wielkiem wzruszeniu podskoczył z miejsca, uderzył pięścią w stół, białe włosy spadały mu na rozgniewaną twarz.

— Nie krzycz wuju, na miłość boską! *Les domestiques peuvent entendre* — błagała przelękła mama.

— A więc, wytłómacz mi przecież raz, co to będzie z tego? przestaną nas teraz słuchać, prawda? — wmieszała się do rozmowy stara ciotka, Arina Iwanowna.

— Nie gadaj głupstw, siostro — powiedział ojciec niecierpliwie, odsuwając ją delikatnie ręką — daj mi wypytać Stefana Michałowicza, który zaczął coś opowiadać z wielkiem ożywieniem. Panie były oburzone, jak przedtem.

— *Comment est ce que l'empereur qui, est si bon, peut nous faire tant de peine* — dziwiła się jedna z nich.

Służący wszedł, w tej chwili umilkli wszyscy.

— Panienko, panienka została dzisiaj po obiedzie w salonie, nie słyszała panienka o czem państwo mówili? — spytała późnym wieczorem Anusia, kładąc Wierę do łóżka.

Wiera rozumiała z całej rozmowy tylko tyle, że rodzinie jej grozi wielkie niebezpieczeństwo. Nikt jej wprawdzie nie zakazał mówić o tem co słyszała, ale poczucie kastowe jest tak silnie rozwinięte w tem rasowem zwierzątku, że z godnością odpowiada: „Nie słyszałam nic, Anusiu.“

Chociaż obecnie wiedzieli wszyscy, że manifest został nietylko podpisanym przez cesarza, ale że będzie ogłoszony we wszystkich cerkwiach, nie przestawali państwo obawiać się do ostatniego dnia, ostatniej minuty, aby służba zawcześnie się o tem nie dowiedziała. Służba ze swej strony nie dawała niczem do poznania, że wie cośkolwiek, a wszystkie rozmowy w przedpokoju i kredensie, urywały się równie szybko, gdy ktoś z państwa nadszedł, jak milkły rozmowy w salonie za zjawieniem się kogoś ze służby.

Nakoniec nadszedł ten straszny, tak długo oczekiwany, fatalny w swych skutkach dzień 19 lutego. Cała rodzina Barancowów wyprawia się do kościoła, po sumie odczyta kapłan manifest. Już o 9 zrana wszyscy byli ubrani, wszystko wykonywa się dzisiaj gorączkowo, a uroczyście tak, jak się to dziać zwykło przed pogrzebem, wszyscy lękają się wypowiedzieć jakiegoś zbytecznego słowa: nawet dzieci, czując instynktownie znaczenie dzisiejszego uroczystego dnia, zachowują się cicho i grzecznie, nie odważając się na żadne pytania.

Przed podjazdem stoją dwa powozy; są one wyczyszczone, aż błyszczą, konie mają najlepszą uprząż, a woźnica najlepszy kaftan. Ojciec jest także w pełnej paradzie, w mundurze z orderami, matka w drogiem aksamitnem okryciu, dzieci postrojone, jak lalki.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

dzika w tekturę... Czy ma to jaki związek z „Quo vadis“, lub przynajmniej z memi uwagami o „Quo vadis“, czytelnik sam wyrozumie. Gdy czytam jakąś bajkę Hoggarda, w której Numa 20 wieków oczekuje na swego Pompiliusza o postawie i twarzy greckiego boga a inteligencyi wołu, staram się nie widzieć białych nici, bo nie chcę, by mi się tkanina w rękach rozpadała. Ale do Sienkiewicza wolno przykładać miarę wyższą, niż do Dumasów i Colinsów, wolno pożałować, że marnotrawi tak rzadkie, tak cenne dary ducha, że oko jego zatrzymuje się na powierzchni, nie wnikając w głąb ludzkich dusz i społeczeństw. Pozwolę sobie wyręczyć się słowami Taine'a o Tintorecie: „Nie ma na świecie potężniejszego i płodniejszego temperamentu artysty. — Z wielu rysów podobny jest do Michała Anioła. Zbliża się do niego oryginalnością dziką i energią woli...“ „Zdaje mi się, że zanim się widziało jego świętego Marka, nie można mieć pojęcia o wyobraźni ludzkiej“. O ukrzyżowaniu tegoż mistrza mówi Taine: „Nie ma oka, któreby objęło taką całość, któreby połączyło podobne efekty“. O tym samym obrazie: „Jest on mniejszym przy drugiem wrażeniu, e f e k t c a ł o ś c i z p i e r w s z e g o w e j r z e n i a z a n a d t o s t a n o w i i s t o t ę t a l e n t u T i n t o r e t t a; podporządkowuje mu on wszystko, j e g o r ę k a j e s t z a n a d t o p o r y w c z ą, nazbyt chętnie trzyma się pierwszej idei...“

Nie potrzebuję chyba dodawać, że właściwie najmniej mnie obchodzi talent mistrza weneckiego; mógłbym tedy nie spieszyć z wyznaniem, że nie widziałem ani jednego wyrazu Tintoretta, że nie mam się za uzdolnionego do wyprowadzenia jakichbądź wniosków w zakresie sztuki malarskiej. Napiszę tylko zamiast: Tintoretto — Sienkiewicz.

A. Drogosław.

Kajetan Kraszewski.

(Wspomnienie pośmiertne).

Powieściopisarz, szczery miłośnik nauk, człowiek nieskazitelnie prawy, brat znakomitego pisarza, Józefa Ignacego, zakończył życie w Starym Kuplinie dnia 1 b. m. Urodzony dnia 11 marca 1827 r. w Dolnem, w gub. Grudzieńskiej, ukończył nauki gimnazyalne w Swisłoczy i następnie szersze wykształcenie otrzymał w domu, pod kierunkiem prof. Jana Baranowskiego w zakresie nauk przyrodniczych, fizyki, meteorologii i astronomii. Objąwszy w posiadanie majątek Romanów w pow. Włodawskim, gub. Siedleckiej nad Bugiem, Kajetan urządził swoje zasobne muzeum, bogaty księgozbiór (około 10,000 tomów dzieł), obserwatoryum astronomiczne, do którego sprowadził z Monachium wielki refraktor Steinheila, lunety i instrumenty Starkego i Plossla z Wiednia, Leverbousa z Paryża, Mortiusa z Berlina i wiele innych. Posiadał wielce bogaty zasób narzędzi do czynienia spostrzeżeń meteorologicznych, którym się oddawał całą duszą. Oprócz tysięcy dzieł historycznych i przyrodniczych, księgozbiór romanowski (ułożony staraniem Bogusława, syna nieboszczyka), posiada bardzo rzadkie druki, bogaty zbiór autografów, niemal całkowity komplet herbarzy i kronik polskich. Prócz tego w siedzibie romanowskiej jest około 100 portretów z XVI—XVIII w. Wyniki swoich sumiennych i długoletnich badań astronomiczno-meteorologicznych umieszczał w nieistniejącem już dziś czasopiśmie: „Przyroda i Przemysł,“ w „Kosmosie,“ francuskim, a następnie w „Pamiętniku Fizyograficznym.“ Obok szczerego zamiłowania nauki człowiek ten ujawnił błyski wszechstronnego utalentowania: był wirtuozem fortepianistą, kompozytorem. Prócz tego często brał pióro do ręki, kreślił opowiadania i powieści. Oto szereg jego prac: „Monografia domu Kraszewskich vel Kraszowskich Jastrzębczyków“ (1861), „Koniuszyc brzeski,“ powieść (1875), „Chełmianie, opowiadanie z lat 1792—1796“ Warszawa, (1879), „Opowiadania mniejsze. Votum, Co się dzieje na księżycu, Białonóżka pana majora, Trzewiczek, Skarb stolnikowicza“ (1879), „Od szkolnej ławy, opowiadanie z lat 1798—1823“ (Warszawa, 1880), „Pod wyrokiem, opowiadanie z lat 1706—1713“ (1883) i „Bartochowski“ (1889 r.)

Nadto ogłosił ważne szczegóły o gen. Filipie Haumanie i rodzinie poety Antoniego Malczewskiego (1888), tudzież pospołu z Sewerynem Smolikowskim zabrał pełny erudycyi, rozstrzygający głos „W sprawie Szczerbca Bolesławowego“ (Warszawa, 1879, z trzema tablicami).

Jako zacny obywatel, uczynny, gorąco odczuwający potrzeby i niedole ludzkie, zaskarbił sobie szczerą miłość szerokiej okolicy.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KRONIKA WARSZAWSKA

Warszawa, 13 lipca.

(Rozwiane znaczenia ugodowców. — Słówko o teatrze. — Kto obalił Szymanowskiego? — Nowości. — Pani Zapolska. — Żniwa.)

Jesteśmy niepoprawnymi optymistami, ludźmi, nie liczącymi się z rzeczywistemi warunkami położenia, a łudzącymi się bezustannie niepochwytnemi jakiemiś nadziejami. Powitaliśmy z zapałem wstąpienie na tron cara Mikołaja II., spodziewając się po młodym, ożywionym podobno najlepszemi chęciami monarsze mniej lub więcej radykalnej zmiany stosowanego wobec nas z całą bezwzględnością systemu rusyfikacyi. Gdy nas zawiodła ta nadzieja, oczekiwaliśmy łask i ulg obszernych w manifeście koronacyjnym. Minęła koronacya, nie przyniósłszy nam oczekiwanego szczęścia, i obecnie upatrujemy zbawienia w toczącym się o nas sporze „Petersburgskich Wiedomosti“ z innemi organami prasy rosyjskiej, w ogłoszonym w „Dniewniku Warszawskim“ liście Apuchtina, w którym osławiony ten kurator warszawskiego okręgu naukowego broni swego postępowania, w wyjeździe wreszcie jenerała żandarmów Brocka do Petersburga. Tymczasem rzeczy idą dalej dotychczasową swą koleją, organa rządowe wytężają wszystkie swe siły, aby w kraju „prywiślańskim“ przynajmniej na zewnątrz zatrzeć ślady polskości, aby zgnębić do reszty wszelką swobodniejszą myśl polityczną. Dotychczasowe, aczkolwiek krótkie dzieje panowania cara Mikołaja II, przekonać już były powinny naszych ugodowców, na jak kruchych zbudowali podstawach swą politykę. W rzeczy też samej nie małej potrzeba naiwności, aby mówić o ugodzie z przeciwnikiem, który godzić się niechce, lecz żąda kategorycznie bezwarunkowego poddania.

O ile nie wchodzą tu w grę inne, mniej szlachetne lub wprost nieszlachetne pobudki, myśl o ugodzie poddało niektórym reprezentantom naszego społeczeństwa przekonanie o samowładztwie rosyjskiego cara. Starano się wytworzyć pewne przeciwnictwo pomiędzy carem a jego urzędnikami, a nawet pomiędzy społeczeństwem rosyjskiem a polityczną i religijną jego głową. Tymczasem jednak i w Rosyi nie przeszły bez śladu czasy ostatnie, znaczące się olbrzymim rozwojem politycznym społeczeństw na oko mało nawet cywilizowanych. Dzisiaj car rosyjski jest samowładnym w teoryi jedynie, w praktyce zaś poważnie bardzo liczyć się musi z prądami nurtującemi naród. Prądy zaś te — nie należy się łudzić dłużej pod tym względem — są nam, jak wogóle wszelkiej odrębności, psującej harmonię panrusycyzmu i prawosławia, w wysokim stopniu przeciwne. Jak w innych krajach, jak we Francyi i Niemczech szowinizm nie noszący współzawodnika i w Rosyi głębokie zapuścił korzenie, shołdował sobie w zupełności prawie miarodajne warstwy społeczeństwa. Wątpić też należy, aby car, zwłaszcza młody i niedoświadczony, zależny od swego otoczenia i przez nie inspirowany, mógł stawić skuteczny opór tym potężnym prądom i skierować je w inną stronę. Bezwzględnego rusyfikowania obcych narodowości, wchodzących w skład rosyjskiego państwa, nie można już dzisiaj uważać za politykę zależną od woli cara; rusyfikowanie to — i w tem polega głównie ogromne jego niebezpieczeństwo dla nas. — jest systemem popieranym przez całą prawie urzędową i nieurzędową Rosyę. O cokolwiek radykalniejszej zmianie tego systemu przynajmniej na razie nie może być mowy; możliwe jest jedynie pewne złagodnienie w jego wykonywaniu. Ale i na to się nie zanosi, i największy chyba optymista stwierdzi jakąkolwiek różnicę pomiędzy obecnem naszem położeniem a stosunkami panującemi pod zaborem rosyjskim przed dwoma laty. Zapewne, że nie należy popadać w krańcowość przeciwną i grzeszyć zbyt daleko posuniętym pesymizmem. Zgadzamy się więc na to, że najsilniejsze nawet prądy ulegają zmianie, że zwłaszcza w Rosyi dobra wola cara i jego doradców wiele bardzo, więcej w każdym razie niż w konstytucyjnych monarchiach, przyczynić się może do tej zmiany — obecnie jednak, pomimo najszczerszej chęci spostrzedz nam się nie udaje najmniejszych objawów, ani nawet zapowiedzi jakiejkolwiek zmiany ku lepszemu.

Po ekskusyi tej politycznej przejdźmy jednak do spraw miejscowych.

Jak zwykle o tej porze Warszawa wyludniła się z jednostek nadających ton jej życiu. Arystokracya rodowa, wysokie finansoba! literaci nawet opuścili już piekielnym żarem zionące ulice miasta, aby po całorocznych znojach a niekiedy i po całorocznem próżnowaniu na łonie natury szukać wypoczynku. Bliższe i dalsze okolice przedmiasta zaroiły się od letników, a u wód krajowych i zagranicznych co krok spotkać można dzieci Syreniego grodu. W murach miasta pozostali jedynie ci, którym nieznająca żadnej przerwy zawodowa praca, lub brak gotówki, nie pozwala odważyć się na dłuższą czy krótszą wilegiaturę.

Ci nieszczęśliwi, skazani na pobyt w mieście, gdy każdy szanujący się Warszawianin bawi po za jego murami, pocieszają się, jak mogą, wystawami i wyjątkowo obfitą w tym roku produkcyą dramatyczną. Więcej jednak teatrem niż wystawami. Wystawa hygieniczna zrobiła dość kompletne fiasko, i coraz mniej jest ciekawych, pragnących oglądać hygieniczne urządzenia najniehygieniczniejszego pod słońcem miasta. Rzeczywiście zaś ładna wystawa mebli stylowych zachwyca jedynie nieliczne w Warszawie

grono specyalistów i lubowników. Pozostaje więc teatr. Tutaj spostrzegamy objaw, na pierwszy rzut oka trudny do wytłomaczenia, że opanowanych z dawien dawna teatromanią Warszawiaków nie nęci w obecnej chwili teatr „porządny“ i „przyzwoity“ lecz ogródki, że młodzież warszawska nie składa swych, co prawda przeważnie platonicznych zapałów u stóp Marczelki i Lüdowej, lecz przysięga na Zapolską („Wodewil“) i Wróblewską (teatr łódzki), że z serc nadobnych Warszawianek wyrugowali Ładnowskiego, Prażmowskiego i Frenkla, — Sosnowski, Trapszo i Winkler. Ale żart na stronę. Kilkoletnim niedołężnem i niesumiennem kierownictwem zdyskredytował dotychczasowy reżyser p. Szymanowski do tego stopnia pierwszą naszą scenę, że interes wszystkich prawie tutejszych miłośników sztuki dramatycznej skupił się około pogardzanych dawniej tak bardzo ogródków, które zwłaszcza w obecnym sezonie odznaczają się repertuarem ożywionym i wystawiają co chwila nowości, podczas gdy teatr Rozmaitości karmi swą publiczność wyłącznie wznowieniami sztuk, ogranych już do niemożliwości. Prawdopodobnie lepsze losy zaświecą teraz temu teatrowi, którego reżyseryę objął w miejsce usuniętego nagle z obowiązków Szymanowskiego, p. Bolesław Ładnowski, artysta odznaczający się nietylko niezwykłym talentem i inteligencyą, ale także wielką sumiennością, której złożył dowody za poprzedniego swego reżyserstwa. Swoją drogą nie należy łudzić się zbyt wygórowanemi nadziejami. Kierownictwo naszego teatru nie zależy wyłącznie od reżysera, ale w znacznej mierze także od dyrekcyi, która obecnie spoczywa w rękach Rosyanina, nie okazującego zbyt wiele zainteresowania do prowadzenia sceny polskiej.

Niektórzy z wielkich krytyków tutejszych starali się wmówić w siebie i innych, że oni to piorunującemi swemi artykułami obalili dotychczasowego reżysera naszego dramatu. Jest to bałamucenie opinii. Kto zna cokolwiek bliżej tutejsze stosunki, wie dobrze, że prasa nasza nie wywiera żadnego a żadnego wpływu na decyzyę dyrekcyi warszawskiego teatru; jej nagana na tem polu nie jest niczem innem, tylko kiwaniem palcem w bucie. Szymanowskiego obaliły nieznane dotychczas spory zakulisowe; prawdopodobnie łapownictwo, które raziło nawet Moskali.

Ze sztuk oryginalnych, które się pojawiły w ostatnich czasach na scenach tutejszych, zasługują na wymienienie odegrana w Belle-Vue „Sprawa kobiet“ Bałuckiego i wystawione w Wodewilu „Swaty lichwiarskie“ Zalewskiego. „Sprawa kobiet“, nie wykazująca w rzeczy samej oprócz kilku dobrze narysowanych figur epizodycznych, żadnych wybitniejszych zalet, nie zachwyciła tutejszej publiczności i szybko zeszła z afiszu, natomiast „Swaty lichwiarskie“, dzięki przeważnie aż siedmiu razem żydom, włóczącym się po scenie, doczekały się dnia dzisiejszego dwudziestu pięciu przedstawień z rzędu. Główną rolę kobiecą w tej sztuce gra p. Zapolska, a gra ją bardzo dobrze, z wolnym od wszelkiej przesady, prawdziwie artystycznym realizmem. Z p. Zapolskiej zrobił Paryż dobrą aktorkę.

Podług wiadomości nadchodzących z prowincyi, rozpoczynające się obecnie żniwa zapowiadają się nadzwyczaj pomyślnie tak pod względem ilości jak i jakości zboża. Mimo to nie ustają skargi rolników na trudne nad wyraz położenie. Tak już bowiem dość nizkie ceny spadają coraz niżej, a przez to panuje taki brak popytu na zboże, że rolnikowi po najniższej nawet cenie trudno pozbyć się swej produkcyi.

X. Z.

Ruch kobiecy na ziemi galicyjskiej.

VII.

Sztuka i kobiety. — Malarstwo. — Rzeźba. — Brak poparcia pracy i studyów pośród kobiet.

Geniusz jest czarodziejki-sztuki najbliższym serca i najukochańszym synem, talent również bardzo ukochanem dzieckiem a zdolność to już jej nierodzone dziecię, ale przyrodnie. Geniusz jednak i talent nawet to *„rara avis“*, samą zdolność spotykamy najczęściej, a gdy się do niej doda rutynę, może ona zadowolnić mniej wybrednych. Dziś wszakże świat cywilizowany jest wymagającym i byle czem zaimponować sobie nie da; to też w naszym salonie sztuki pojawiają się często ironiczne uśmiechy i zgryźliwe uwagi na ustach publiczności, bo kolorowych „kiczów“ sporo tu porozwieszano. Z satysfakcyą jednak zaznaczam, że pomiędzy temi zielono-żółto-czerwonemi malowidłami nie ma prawie żadnej pracy ręki kobiecej. Natomiast z prawdziwem zadowoleniem zatrzymują się znawcy i półznawcy przed obrazami Anieli Pająkówny, Modzelewskiej, Olgi Boznańskiej, B. Łukomskiej, Maryi Młodnickiej itd. Zacznijmy od Pająkówny. Mieszka stale we Lwowie, posiada dobrą pracownię po malarzu Makarewiczu, maluje bardzo pilnie. Nieporównaną jest czystość jej pędzla. Artystka to prawdziwie „z Bożej łaski“, utalentowana a przytem gorliwa, nierozumiejąca wcale, jakby to można obraz nieudany lub niedbale wykończony dać na *forum* publicznego sądu. Przeglądnijmy szereg jej prac z ostatnich trzech lat. Oglądaliśmy najpierw jej „P o r t r e t m ł o d e j p a n i“ — dalej portret pani K. B. — a fachowa krytyka nie miała dość słów na wychwalenie tych utworów. Później nieco pojawiły się obrazy: „D z i a d e k“, „S t u d y u m“ (przedstawiające dziewczynkę z naszych przedmieść) „D z i e w c z y n a z o k o l i c K r a k o w a“, wreszcie drugie s t u d y u m, przedstawiające jakąś panią w czarnej sukni i obraz zatytułowany: „W m o j e j p r a c o w n i“. — Jeżeli o wszystkich tu wymienionych obrazach powiedzieć możemy, że odznaczają się wykończeniem artystycznem, delikatnością pendzla, dobrym smakiem i kolorytem, to tembardziej zastosować należy to uznanie do płótna średnich rozmiarów, noszącego tytuł: „Z a d u m a n a“. Możnaby zresztą wcale nie tytułować tego obrazu. Sliczna, sympatyczna dziewczyna, w czarnej spódnicy i czerwonym fartuszku, stoi przy stoliku, na którym widać w dzbanku kwiaty a opodal kartki białego papieru. Zapewne i list i kwiaty nadeszły od kogoś drogiego sercu i wywołały taką błogą, tęskną, głęboką zadumę. Ten k t o ś daleko, — myśli lecą ku niemu... rozpołowiła się dusza i ciało. Nie mniej korzystne wywiera wrażenie „D r u c i a r z“ Pająkówny. Mały chłopak z miną dziarską, z twarzyczką jowialną, trochę ogorzałą, z pękiem drutu w kółko zwiniętego na ręku, z torbą skórzaną i kilku wyrobami własnemi, które zawiesił u pasa, spogląda na nas z obrazu śmiejącemi się, szaremi oczyma. Któż nie zna tego miłego druciarczyka lwowskiego, wesołego filozofa, który kpi sobie z całego świata, gdy ma parę groszy w kieszeni, a kpi zeń jeszcze więcej gdy ich nie posiada wcale. Takiego, jakiego spotykamy go co dnia, wołającego po kamienicach: Jest co drutować?!; głosem prawie tenorowym, — przyłapała artystka i zatrzymała jako model. Toż to minę miał uszczęśliwioną i na poły dumną „w y m a l o w a n y d r u c i a r c z y k“ — zupełnie jak na obrazie wystawionym w salonie Towarzystwa sztuk pięknych. Tyle o pannie Pająkównie, której nowych prac zawsze z niecierpliwością oczekujemy a z radością witamy. Z Pająkówną walczy o lepsze Olga Boznańska, laureatka paryzkich i monachijskich salonów. Z sądem stanowczym o utworach tego pierwszorzędnego talentu powstrzymuję się jednak tak długo, dopóki więcej utworów jego nie przesunie się przed okiem korespondentki waszej. Pod względem obfitości tworzenia uderza panna Marya, czyli jak się sama podpisuje, Maryla Młodnicka. Talent do rysunku i malarstwa jest w tej rodzinie widocznie dziedzicznym. Ojciec panny Młodnickiej jest profesorem rysunków w seminaryum nauczycielskiem a matka związana była serdecznemi węzłami z Arturem Grottgerem, jako jego narzeczona; śmierć nieubłagana stanęła temu związkowi na przeszkodzie. Wracając jednak do akwarel i rysunków panny Młodnickiej, których wystawa posiada wielką obfitość, zarzucić im musimy, zbytni pospiech w wykonaniu i wynikające ztąd usterki. Po zacięciu artystycznem i śmiałości, z jaką panna Młodnicka rysuje i maluje, można wnosić, iż potrafiłaby się zdobyć na coś większego, gdyby obniżyła galopowe tempo swej pracy. Trzeba koniecznie tej młodej adeptce sztuki malarskiej o tem pamiętać, że nie m n o g o ś ć lecz j a k o ś ć wyrabia wartość dzieł, a co zatem idzie, zdobywa należne listki wawrzynu u współczesnych i potomnych. Faktycznie zasłużyła się panna M. Młodnicka bardzo poprawnemi ilustracyami do bajek Audersena, przetłomaczonych przez jej matkę panią Wandę Młodnicką. Z pośród tych ilustracyi na uwagę zasługują: rycina do bajki pt. „S y r e n a“ — „L i p o w a b o g i n k a“ i „L a t a j ą c y k u f e r“. „S y r e n a“ ma w sobie coś Grottgerowskiego, zaś „L i p o w a b o g i n k a“ posiada ten wdzięk, jakiego tak skwapliwie poszukuje każdy estetyk w ilustracyach dla młodzieży, a niestety tak go rzadko znajduje. — A teraz czas nam powrócić do salonu sztuki.

Po Pająkównie drugie miejsce co do wykończenia i staranności rysunku zajmuje B. Ł u k o m s k a. Jej „T r a g a r z“ — żyd ubrany w kożuch, opasany sznurem, dźwigający potargany kosz, zdobył sobie należne uznanie. — Co do panny Olgi Modzelewskiej, to niepodobna odmówić tej artystce dużych zdolności, a jeszcze gorliwszej pracy i dobrych studyów. Uzyskawszy bowiem stypendyum od „Wydziału krajowego“, udała się do Paryża a po roku bardzo mozolnej pracy powróciła do Lwowa. Oglądałam kilkakrotnie jej pracownię, która nigdy bezrobocia nie zdradzała. Wszystkie portrety jakie wykonywała na życzenie znajomych i na zamówienie, zjednały sobie przynajmniej *succès d'estime*, i kto wie, jak daleko byłaby doprowadziła panna Modzelewska, gdyby nie zamieniła palety na brewiarz... tj. nie wstąpiła do klasztoru. Znamy wprawdzie i po klasztorach zdolne malarki, ale bodaj czy talentowi nie łamie ten tryb życia skrzydeł.

Pozostaje nam jeszcze parę słów do powiedzenia o rzeźbie, względnie współpracy kobiet w tej dziedzinie w Galicyi. Spotykamy się tu głównie z dwoma nazwiskami: p. Władysławy Gostyńskiej, rutynowanej i uzdolnionej rzeźbiarki, oraz mniej znanej od pierwszej: Dąbrowskiej. Obie pracują głównie w dziale portretowym bądź to w płaskorzeźbach (portret Felicyi z Wasilewskich Boberskiej niezrównanej wartości, wykonany przez p. W. Gostynską) bądź to w biustach —(Dąbrowskiej portret p. M.) Kraków posiada kursa malarstwa i rzeźby dla kobiet, a na wystawie w salonie sztuki pojawia się sporo próbek zdradzających początkujące talenty. O tych na razie nie mówimy, czekając cierpliwie aż z pośród znacznej liczby studentek wyłoni się wybitniejsza siła artystyczna.

Na zakończenie poświęcam wspomnienie mogiłom. Niepospolity talent rzeźbiarski

zdradzała zmarła we Lwowie przed kilku laty Wanda Zagórska, zaś sława malarki naszej Maryi Bilińskiej (Bohdanowiczowej) rozniosła się szeroko. Walka z biedą materyalną, zwłaszcza w czasie studyów w Paryżu, podcięła jej zdrowie, a kres biedzie położyło dopiero odznaczenie jej prac „złotym medalem“ przez „Salon paryzki“. Znakomitej artystce nie stało wszakże sił do uśmiechającego się po raz pierwszy wówczas życia; zmarła w 35 roku. „Była to smutna śmierć — pisze Konopnicka w sylwetce Bilińskiej — podobna do śmierci wichrem złamanego drzewa, które pada pełne niedojrzałych owoców, przeto, iż go nikt w czasie właściwym nie podparł“. — Alboż to jeden u nas talent tak marnieje? a zwłaszcza pośród naszych kobiet, ktore albo nie lubią występujących naprzód z szarego tłumu współtowarzyszek, okazując im często niechęć swą w dotkliwy i szkodliwy sposób, albo nie raczą spojrzeć nawet na studyujących w biedzie, o głodzie i chłodzie, i nieść im pomoc z wypchanej sakiewki. A gdy już śmierć skosi talent nędzą dręczony, wtedy ta i owa z naszych „pań jedwabnych“ uspakaja sumienie zdawkowym frazesem litości: „Jaka to szkoda, że umarła artystka z biedy“, poetka z głodu a studentka z nędzy i braku dachu nad głową! Gdybyśmy wiedziały!“

O! moje panie, gdybyście tylko szczerze chciały, gdybyście tylko umyślnie ócz nie zamykały, to ujrzałybyście obrazy takich walk o życie, które krew w żyłach ścinają. A przecież: *E pur si muove*. Sztuka i nauka posiada czar magnetyczny, — więc chociaż tyle talentów więdnie dla braku powietrza i rosy, inne zajmą ich miejsce, wołając z wielkim bólem lecz większą miłością:

„I cóż winnaś poezyo, że nie dajesz chleba,
„Że kto ciebie ukochał, najczęściej ma kwiaty
(Tak po śmierci! Przyp. Kor.)
„Lub złoty laur na czole, a na butach łaty?!

I. Aleksota.

TO I OWO.

Sonnenthal.

Z powodu jubileuszu czterdziestoletniej pracy artystycznej Sonnenthala w wiedeńskim „Burgu“ nie od rzeczy będzie przypomnieć kilka szczegółów z życia tego wielkiego artysty.

Dnia 14 maja 1856 r. Sonnenthal po raz pierwszy w roli Mortimera wystąpił w tym teatrze. Jak wielu innym sławnym potem na różych polach mężom, pierwszy występ wcale mu się nie udał. „Si parva magnis componere licet“, prezes włoskiego gabinetu, margrabia di Rudini, który sobie zjednał z czasem opinię wytrawnego męża stanu, wstąpiwszy r. 1869 po raz pierwszy na trybunę parlamentarną, przemówił tak niezręcznie, że sprytny Francesco de Sancti powszechne wrażenie skreślił w aforyzmie: „Ha parlato ed è morto.“ Głośny już jako romansopisarz, Disraeli, późniejszy lord Beaconsfield, pierwszą swą mową w parlamencie 7 grudnia 1837 r. wywołał tak ogólny śmiech i ubliżającą wrzawę, że musiał zaniechać dalszych wywodów, jąkając tylko: „Chociaż teraz muszę usiąść, nadejdzie czas, w którym mnie będziecie słuchali.“ Pierwszy zbiorek miernych poezyi Byrona („Honur of Idleness“) wywołał ową głośną, zjadliwą, w gruncie rzeczy sprawiedliwą recenzyę w „Edinburgh Review“, kończącą się szyderstwem: „Bądźmy wdzięczni małoletniemu lordowi, błagajmy Boga z poczciwym Sancho Pansą, aby błogosławił dawcy, i nie patrzmy darowanemu koniowi w zęby“, która dopiero obudziła uśpiony jeszcze geniusz wielkiego barda.

Po pierwszym występie Sonnenthala najznakomitszy recenzent tutejszy, w niewychodzącej już, ale miarodajnej naówczas „Morgenpost“, zauważył: „Czego niedostaje scenie dworskiej, pokazuje się to wyraźniej w tem, co nam daje, niż w tem, czego nam odmawia. Jedynie zupełne zwątpienie o możliwości znalezienia zdolnego kochanka mogło skłonić dyrekcyą do eksperymentu z p. Sonnenthalem, który przedwczoraj dopuścił się attentatu na Mortimerze. P. S. wygląda wprawdzie bardzo dobrze i posiada głos przyjemny, ale w deklamacyi i grze nie wznosi się ponad poziom drugorzędnego aktora prowincyonalnego. Główną scenę Mortimera w trzecim akcie odegrał raczej jako młody Don Juan, znajdujący się w usposobieniu czułem, który się uwziął dziś zdobyć dziewczę, niż natchniony demoniczną miłością Mortimer. Po czwartym akcie ozwały się sporadyczne oklaski, jednak dalszy ciąg tych występów gościnnych uważamy jako zbyteczny.“ Tymczasem drugi występ w „Tajnym agencie“ Hacklaendera udał się lepiej, a trzeciego dnia dyrektor teatru cesarskiego, znany poeta Laube, krókto debiutantowi oświadczył: „Abyś pan odegrał rolę Karlosa z wszelką odwagą, powiadam ci już dziś, że jesteś na trzy lata angażowany!“ Taki był początek 40-letniej czynności Sonnenthala w teatrze cesarskim.

Właściwie początki jego zawodu aktorskiego ukrywają się w warsztacie krawieckim w Budapeszcie. Świeżo wydana z powodu jubileuszu obszerna biografia Sonnenthala obejmuje wszystkie zebrane z nadzwyczajną skrzętnością szczegóły i dokumenta, wyjaśniające pragmatycznie to, co dotąd obiegało jako podanie. Sonnenthal urodził się w Budapeszcie jako syn kupca. Katastrofa majątkowa zmusiła rodziców oddać go w naukę do krawca Pragera, który pod dniem 1 list. 1850 r. wystawia mu świadectwo, że przez dwa lata uczył się u niego rzemiosła i został wyzwolony jako czeladnik. Przeniósłszy się do Wiednia na dalszą robotę, Sonnenthal z wolnych chwil lub zastoju pracy korzystał, aby śpieszyć do teatru. W Dawizonie, ktorego początki były równie ciężkie, znalazł opiekuna i za jego wstawieniem się otrzymał posadę figuranta w Burgu. Potem rozpoczęła się wędrówka po teatrzykach koczujących w Temeswarze, Hermanstacie itd., która młodego kochanka zaprowadziła aż do dalekiego Królewca, zkąd właśnie na wezwanie Laubego przybył na ów występ gościnny do Burgu. Miał on wtedy lat 23, od tego czasu odegrał całą skalę typów dramatycznych od młodych kochanków, jak Mortimer, Ferdynand, Carlos, do salonowych bonwiwantów komedyi francuzkiej, aby wreszcie w rolach Fausta, Wallensteina i Leara wznieść się na najwyższe stopnie sztuki i zjednać sobie przydomek „pierwszego niemieckiego aktora.“ Może taka sama zdolność i pracowitość, nie połączona z równem mistrzowstwem w użyciu reklamy dziennikarskiej, nie byłyby innemu zapewniły równie świetnej karyery, jak p. Sonnenthalowi, ale w dzisiejszych stosunkach towarzyskich byłyby w każdym razie zabezpieczyły aktorowi bardzo przyzwoitą pozycyę społeczną.

* * *

Cynizm.

Coraz szerzej rozpanosza on się w prasie brukowej. Oto jego próbka z „Kuryera Warszawskiego:“ „Walerya Zaremska, tancerka w Berlinie, która po wypiciu znacznej dozy atramentu rzuciła się z czwartego piętra na bruk uliczny, przyszła już do zdrowia. Atrament zdesperowanej tancerce nie zaszkodził, a wygimnastykowane członki snać niewiele ucierpiały w zetknięciu z brukiem ulicy Marienstrasse. Po tak efektownym skoku panna Z. powinna mieć teraz na scenie pewność siebie, a więc — powodzenie.“ Takie bezprzykładne, ohydne naigrawanie się z cierpienia ludzi nieszczęśliwych, zrozpaczonych, zgnębionych jakimś strasznym bólem moralnym lub rozterką duchową, — przechodzi u nas bezkarnie, bez napiętnowania, przynajmniej przez rozumniejszą i szlachetniejszą cząstkę ogółu.

* * *

Sprawa prof. Adamkiewicza.

W wiedeńskich kołach lekarskich gwałtowną burzę ściągnął niedawno na siebie b. profesor krakowski dr. Adamkiewicz. Umieścił on trzy artykuły w tygodniku „Neue Revue“ p. t. „Klika i nauka,“ w których z ciężkich dział pali do warowni wiedeńskiej medycyny, kierując swe pociski przeciw kilku powagom wiedeńskiego uniwersytetu a głównie przeciw prof. Albertowi, który wezwany został w r. 1891 przez ministra Gautscha, aby umożliwił prof. Adamkiewiczowi wypróbowanie środka przeciw rakowi, „cancroiny.“ wynalezionego przez tegoż na co prof. Albert się zgodził i otworzył gościnnie swą klinikę.

Prof. Adamkiewicz, który już poprzednio kilkakrotnie żalił się na postępowanie, jakiego wówczas doznał ze strony d-ra Alberta, teraz zarzuca temuż, iż nie dostarczał mu materyału klinicznego, utrudniał badanie, przekręcał jego słowa i poglądy, z góry nieprzychylnie był dlań usposobiny etc., i dochodzi w końcu do przekonania, iż wiedeńska szkoła medyczna zachowała się wobec niego (prof. Adamkiewicza jako klika, zazdrosna i ciasna. Artykuły wywołały wielką burzę w wiedeńskiem Towarzystwie lekarzy. Wydział przedłożył zgromadzeniu memoryał, dopominając się wykluczenia prof. Adamkiewicza (który jest członkiem korespondentem) z grona członków, a to bez żadnych debat. Docent Teleky, oraz prof. Hochenegg zażądali odczytania inkryminowanych artykułów, lub przynajmniej głównych ustępów. Wnioski odrzucono i prof. Adamkiewicz 112 głosami przeciw 15 został wykreślony z listy członków Stowarzyszenia. W „Wiener Medicinische Wochenschrift“ pojawiły się nadto dwa oświadczenia 1) ze strony prof. Alberta i 2) ze strony ówczesnych jego asystentów w klinice, zwrócone przeciw prof. Adamkiewiczowi. Ale w oświadczeniach owych nie spotykamy się wcale z roztrząsaniem poszczególnych zarzutów prof. A., jeno z gołosłownem zaprzeczeniem. Czy profesora A., który zresztą w namiętnym osobistym tonie odezwał się w swoich artykułach, nie stała się krzywda — tego profani obecnie rozstrzygnąć nie mogą.

* * *

Uleczalność suchot.

Feljetonista „Nowego Wremieni“, mówiąc o uleczalności suchot, pod wpływem czystego, świeżego powietrza, na dowód przytacza to, że podczas, gdy w szpitalach miejskich: Obuchowskim, innych petersburskich i moskiewskich, oraz niektórych zagranicznych — na 100 suchotników umiera przecięciowo 48, w specyalnych lecznicach zamiejskich, tak zwanych sanatoryach — umiera tylko 7%. Jako dalszy zaś argument w tym względzie powtarza rozmowę jaką prowadził o sanatoryach z sybirakiem, przybyłym niedawno z Błagowieszczeńska.

„Sanatorya? Ale po cóż panu sanatorya? — spytał sybirak: Przysyłajcie waszych

suchotników do nas, do kraju Nerczyńskiego. Czy wiesz pan, że w całym okręgu nerczyńskim niema ani jednego suchotnika? Opowiem panu rzecz następującą: byli u nas Polacy, przybyli z dziedzicznemi suchotami i, rozumie się, wkrótce wyzdrowieli. Lecz oto pozwolono im wrócić do kraju. I cóż? Ci, których już u nas uważano za zdrowych, wróciwszy do dawniejszych warunków, znów zachorowali, a niektórzy umarli na suchoty. Więc powiem panu, że wielu, widząc to, pospieszyło z powrotem do kraju Nerczyńskiego, inni zaś otrzymywali listy: zostańcie tam i zostali. Przyjemnie to. widzi pan, umierać w kraju. ale żyć jeszcze przyjemniej, chociażby na obczyźnie."

Na Wyłomie.

(Przeczucia. — Samobójcy. — Cyniczny pesymizm i jego konsekwencye. — Maskarada.)

Dziwne niekiedy człowiek miewa przeczucia. Dziś właśnie mija tydzień od owej chwili, w której na tem miejscu wróżyłem smutne następstwa hecy Hakatystów i dosłownie taką napisałem przestrogę. „Tłumy to palny materyał. Były wypadki, że jedna piosenka niebaczna kończyła się gradem kamieni, brzękiem szyb i konaniem rannych, a jakież rezultaty wy osięgniecie, wy, którzy nieustannie budzicie zwierzę w ludzie niemieckim. Ten urzędnik z pod Inowrocławia bomby może nie rzuci, ale kto wie, czy on i jemu podobni j u t r o n i e c h w y c ą z a k a m i e ń."

W czwartek o nocnej porze rzucałem te słowa na papier, a w tej samej chwili nieomal rozgrywał się w okolicy Bukówca krwawy dramat, znany już szerszej publiczności z telegramów i korespondencyi codziennych czasopism. Czterech Niemców postanowiło spełnić akt zemsty politycznej na obywatelu polskim, panu Domaradzkim, za energiczną pracę jego przy wyborach w świeckim okręgu. Jak bandyci w rowie stuleni czyhają na ofiarę swoje. Pijani nienawiścią, z katechizmem Hakatystów w duszach zatrzymują konie pana Domaradzkiego, jego samego powalają na ziemię, biją po głowie kamieniami i byliby może zamęczyli patryotę polskiego, gdyby nie rewolwer, który przypadkiem nosił przy sobie. Ofiara wydziera się napastnikom, dobywa broni i jednego rani ciężko w piersi, drugiemu kaleczy rękę.

Wróżba moja spełniona, — panowie Hakatyści już krwią poszczycić się mogą. Jeżeli to jest waszym celem i pragnieniem, hodujcie dalej nienawiść. wy bracia rodzeni Wehlauów. Oświeceni wojować będą słowem, knutem policyjnym i denuncyacyą, tłum prosty przetłomaczy nauki wasze na język zbrodni, zacznie podpalać i kamienować.

Niepotrzebna fatyga, wy towarzysze znaku H. K. T. Słuchajcie! Oto mówi do was jedno z pism poznańskich: Pocóż formujecie przeciw nam zgraje bandytów, pocóż ryzykujecie konflikt z prokuratorom, jeżeli nas kupić możecie?! Macie skarby nieprzebrane, macie stumilionowe fundusze, a ojcowie narodu naszego przychodzą do was i ziemię polską wraz z ludu setkami niosą wam na sprzedaż. Czemu z a b i j a ć chcecie s a m o b ó j c ó w? Czyż wam nie dosyć tych obszarów polskich niesionych na targi niemieckie, czyż wam nie dosyć S o ś n i c y? Jednych kupicie, bo nędza ich chwyta za gardło, i drugich kupicie, bo im złoto wasze się uśmiecha, bo wśród potomków rycerstwa spekulantów znaleźć nie trudno...

Wybaczcie przyjaciele! Tak przeraźliwie jękła ta ziemia, rzucona bez potrzeby, bez presyi bankructwa przed tygodniem zaledwie w paszczę kolonizacyi, że trzeba najprzód całą żółć wykrztusić i żal wielki ukoić, zanim się odważy w ten bezdenny mrok pesymizmu rzucić promień wiary i pobudkę walki, lubo nie ulega wątpliwości, że „trzeźwi" panowie z Orędownika gotowi każde słowo otuchy i każdy apel do patryotyzmu, do siły moralnej społeczeństwa poczytać starym zwyczajem za „deklamacyą rajskiej młodości". Tam powiedziano sobie z determinacyą: Prędzej czy później, wszystko wypalić się musi do ostatniego węgielka i nic ratować nie warto. — Tak mówią nasi ludowcy, ja jednak wierzę w siłę opinii publicznej, która u wrót kolonizacyi założyć może i założyć powinna łańcuch żelazny. Łańcuch ten nie powstrzyma desperatów, gnanych widmem ruiny materyalnej, ale przypuszczam, że stać się może hamulcem dla tych, których nie bankructwo przywiodło do wielkiego młyna, mielącego polskie ziarno na niemieckie otręby, lecz wybujałość kramarskich instynktów. Wiem, że bicz opinii nie uratuje wszystkiego, lecz przecież cząstkę ocali, i dla tego nie pojmuję tej Orędownikowej „trzeźwości", która mówi społeczeństwu: Ziemia stracona, nie warto budzić opinii. a gdyby nawet opinia ratować nas mogła, nikt jej obudzić nie zdoła. (A Mieleszewy?)

Smutne to słowo, smutne świadectwo, które organ ruchu ludowego rzuca w oblicze społeczeństwa naszego, a co najwięcej boli w tej krytyce Orędownikowej, to jakaś radość cyniczna, szczerząca tam zęby swoje. W tym pesymizmie nie błyszczy łza ani jedna, słychać tylko zgrzyt nieprzyjemny, i nie pojmuję zaiste, dla czego panowie z Orędownika zabierają się do pracy dziennikarskiej w społeczeństwie, w którem opinia publiczna „dobrą jest tylko d o t r z e p a n i a s t a r y c h d y w a n ó w" i innej misyi spełnić już nie może.

Toż lepiej złamać pióro i zabrać się do wyrobu powideł, fabrykacyi margaryny lub donośnego faktorstwa. Nie przeceniam wartości słowa drukowanego, ale gdyby kiedykolwiek zbudzić się miało we mnie to przekonanie, że nasze wołania pozostaną bez echa, że dla chorej duszy zbiorowej nie ma już lekarstwa, to zaiste wolałbym zostać szczurołapem lub piasek rozwozić, niż redagować pismo i pisać artykuły. I jeżeli ostatnia enuncyacya „Orędownika" w sprawie kolonizacyi nie jest tuzinkowym frazesem rzuconym w przystępie złego humoru, lecz wyrazem głębokich, podstawowych przekonań, to radzę mu szczerze: łap szczury, fabrykuj powidła.

Autora niniejszego feljetonu bezstronny czytelnik posądzać chyba nie będzie o karmelkowy optymizm względem społeczeństwa własnego; tyle razy rzucałem wielkim i małym ludziom kraju naszego rękawicę, tak często wskazywałem chorobliwe objawy w rozmaitych składnikach organizmu narodowego i kładłem rękę w „ropiejące rany", że mam poniekąd prawo powątpiewać, by natura obdarzyć mnie miała różowemi szkłami. Ale między diagnozą moją, tak chmurną nieraz i bolesną, a okrzykiem determinacyi: Bez wyjścia i bez ratunku! przestrzeń jest bardzo daleka. Wiem, że w ostatnim dwudziestoleciu opinia publiczna w Księstwie stała się istotnie ladacznicą, wiem również, że wśród ziemian naszych poziom etyki narodowej znacznie się obniżył, wiem wreszcie, że społeczeństwo stan ten w pewnej przynajmniej części prasie swojej zawdzięcza, lecz zdaje mi się, że właśnie ten krzyżacki wicher, szalejący nad nami i spotęgowana, pozbawiona ubocznych względów inicyatywa ludzi dobrej woli, wyprostować może nasze garby, zgięcia i załamania.

Skarżył się niedawno jeden z korespondentów poznańskich do „Słowa polskiego" na kolizyę interesów partyjnych i kastowych z interesami narodowemi, skarżył się mianowicie na to, że stronnictwo konserwatywne maskuje nieraz handel ziemią ojczystą, by nie obniżać powagi politycznej swoich pułków herbowych, i nikt chyba skardze tej nie odmówi słuszności, komu znane są zakulisowe tajniki prasy poznańskiej i prowincyonalnej. Głośnym zresztą jest fakt, że powołano lud polski do urny wyborczej, by głosy swe oddał na człowieka, o którym wróble na dachu śpiewały, że z komisyą kolonizacyjna rozpoczął targ wstrętny, — głośnem także i notorycznie stwierdzonem zjawisko, że ci, którzy w stumilionowym funduszu ręce zanurzyli, zajmowali bezpiecznie wybitne stanowiska społeczne i nikt ich nie ruszył, nikt ku zgorszeniu społeczeństwa nie zepchnął z piedestału robaczywych wielkości. Czy konserwatywno-klerykalny obóz nie zaprzestanie wreszcie tej trującej roboty? Czyż wiecznie naród będzie kopciuszkiem, a kasta i stronnictwo Bogiem? Takiemi sztuczkami nie ratuje się gasnącego słońca, lecz zachodowi odbiera się jego piękność królewską...

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

— T a k ż e k o n k u r s! Ucieszną zabawkę wymyślił sobie „Tydzień" piotrkowski. W Nr. 51 z r. z. ogłosił konkurs w tych słowach:

„Po zapowiedzeniu sylwetki „P a w i c a" odebraliśmy dziesięć prac, z których najlepszą, podpisaną pseudonimem „Szarotka", pomieszczamy w nr. bieżącym. Okoliczność ta nasunęła nam myśl ogłoszenia konkursu na napisanie sylwetki prowincyonalnej pod dowolnym tytułem, lecz nie dłuższej nad jeden feljeton sześcioszpaltowy. Najlepsza z prac nagrodzoną zostanie 4-tomową powieścią Al. Prusa pt: „E m a n c y p a n t k i" i drukowaną będzie w „Tygodniu".

Pozatem nie znajdujemy w warunkach konkursu bliższego określenia co do rodzaju sylwetki. Do konkursu stanęło dziewięciu autorów, między którymi znalazł się literat tak wybitny, jak Andrzej Niemojewski, który przebywając na prowincyi, pragnąłby się przyczynić do ożywienia ruchu literackiego w piśmie miejscowem.

W oznaczonym terminie redakcya „Tygodnia" ogłosiła (Nr. 24 z r. b.) wyrok, jakiego nie znały jeszcze dzieje zapasów konkursowych: w motywach tego wyroku znalazły się szczegółowe warunki konkursowe. Odezwa rzeczona dopiero po konkursie informuje literatów guberni Piotrkowskiej, czego sobie redakcya „Tygodnia" życzyła:

„Sądząc z dziewięciu nadesłanych nam prac na konkurs na napisanie sylwetki — przyszliśmy do przekonania, że mało kto z nadsyłających takowe, zdał sobie jasno sprawę z tego, co to jest mianowicie „Sylwetka" i jaką powinna być jej treść i forma.

Przedewszystkiem, sylwetka — to nie powiastka, nie nowelka, a tem mniej szkic powieściowy, choćby najkrótszy. Nie można w formę sylwetki wtłoczyć żadnej akcyi skończonej; nie można opisywać czyichś czynności, iść za swym bohaterem krok w krok i wdawać się w jakiekolwiek szczegóły z jego życia. Uchwyciwszy jaki typ, należy raczej wskazać główne znamienne jego cechy, któremi się różni od swego otoczenia, któremi zwraca na siebie ogólną uwagę, które go ośmieszają, podają w pogardę, budzą politowanie, wywołują gniew, lub uwielbienie."

Podajemy tylko urywek tego długiego, przepełnionego przecinkami przepisu na syl-

wetkę, kończy się zaś odezwa wnioskiem, „że biorąc bezwzględnie, żadna z tych prac (nadesłanych) nie uczyniła zadość powyższym wymaganiom.“

P. Niemojewski słusznie postąpił, posyłając po przeczytaniu powyższego przepisu, taką admonicyę „Tygodniowi“:

Szanowna Redakcyo! Wyczytałem w nr. 24 „Tygodnika“ rezultat konkursu, ogłoszonego przez Szanowną Redakcyą w nr. 51 r. z. Załączając trzy znaczki pocztowe siedmiokopiejkowe uprzejmie proszę o łaskawy zwrot mojej sylwetki pt. „Eskulapi“. Przy tej sposobności zmuszony jestem zwrócić uwagę Szanownej Redakcyi na logicznie z dwóch powyżej przytoczonych odezw wypływający wniosek, że Redakcya ogłosiła warunki konkursu po konkursie. Bowiem do kategoryi „sylwetek prowincyonalnych pod dowolnym tytułem“ można zarówno zaliczyć Zoli „typy duchowieństwa“ jak i „Pawicę“ naszej skromnej Szarotki. Określenie „sylwetka“, wzięte z dziedziny sztuk plastycznych, jest określeniem obrazowem, a tem samem nieścisłem; rysownik może poprzestać na rysunku jednego charakterystycznego profilu, zdjętego z cienia, w dalszym jednak rozwoju swego talentu, obserwacyi i pomysłowości, rzucać na papier cały szereg i stwarzać akcyę, czego dowodem roczniki choćby takich „Fliegende Blätter“. Tak samo w dziedzinie literackich sylwetek. Lekko zarysowane kontury typów, powiązanych akcyą, mogą w dalszym ciągu wytworzyć, że się tak wyrażę, sylwetkę oryginalnych sytuacyi, w jakie życie wogóle, tem samem prowincyonalne, obfituje. W Nr. 51 Redakcya nie stawiła granic pomysłowości. Tymczasem w Nr. 24 dowiadujemy się, że Redakcya z pomiędzy wielu kategoryi miała tylko jedną na myśli. Wobec tego trudno było dziewięciu autorom „zdawać sobie jasno sprawę“ z zadania, gdy Redakcya nie umiała „jasno wypowiedzieć się.“ Modła sylwetki, podana w Nr. 24, to niesłychanie pierwotny rodzaj literackiej twórczości; mamy dziś w literaturze skandynawskiej, francuzkiej itd. wzory ogromnego rozwoju z tego zakresu: jeżeli więc życzeniem Redakcyi było, aby autorowie guberni Piotrkowskiej wrócili do formy najpierwotniejszej (nie widzę swoją drogą racyi, dla czego ich tak postponować), to nie należało pisać: „Nie można w formę sylwetki wtłaczać żadnej akcyi“, lecz trzeba było z góry powiedzieć: Prosimy ect. Nie należało pisać: „Nie można (w sylwetce) opisywać czyichś czynności,“ lecz trzeba było powiedzieć: „Prosimy“ ect. ect.“ Bowiem wobec takiego poglądu na rodzaje twórczości literackiej autorowie guberni Piotrkowskiej będą musieli poza granicami swojej guberni szukać powagi sądu, bez którego konkurs najmniejszego pisma obyć się nie może. Powyższe słowa kreślę nie w obronie moich „Eskulapów“, lecz w imię praw twórczości.

Z poważaniem

Andrzej Niemojewski.

* * *

Treść N-ru 7 „Przeglądu literackiego“: Korespondencya literacka z Warszawy p. Anatola Krzyżanowskiego. Powieść naukowa: „Rome“ Zoli (pogadanka), przez dra F. Konecznego. „Pax“ J. Żuławskiego, przez K. Wojciechowskiego. „Wnuczek“ Kl. Junoszy i „Gołębie“ Eminowicza, p. R. Zawilińskiego. „Opowiadania“ Żeromskiego, p. M. Offmańskiego. „Bez woli“ Grot-Bęczkowskiej, p. L. Glatmana. D. Toporskiego: „Przyczynki do studyów nad twórczością A. Mickiewicza,“ p. A. Mazanowskiego. Jar. Vlcka: „Prvni novoceska skola basnicka,“ p. F. Konecznego. „Ze wspomnień kasztelanica“ Kaj. Kraszewskiego, p. K. Wojciechowskiego. Fr. Majchrowicza: „W sprawie egzaminów dojrzałości w naszych gimnazyach,“ p. Z. Samolewicza. Hugo Kegel: „Von d. drei-Kaiser-Ecke in Oberschlesien,“ przez B. — F. Piotrowski: „Nauka o pogodzie,“ p. C. — Ponowne wydania: Suffczyńskiego „Zawsze oni“ i Prusa „Pierwsze opowiadania,“ przez B. — Bibliografia czasopism od połowy maja do połowy czerwca. Przekłady z polskiego. Rozprawy Polaków w pismach obcych. Rozprawy niepolaków o rzeczach polskich. Wiadomości z literatury polskiej. Odczyty. Curiosa. Z literatur słowiańskich. Nekrologia. Rozmaitości. Sprawy Związku literackiego.

* * *

* „W XX wieku“. P. Wł. Zagórski, usprawiedliwiając napisanie swej fantazyi humorystycznej „W XX wieku“, zasłania się słowami: „jak fajerwerk z rac kilku tysięcy, chciałem, aby spłonęły tylko... i nic więcej!“ Ale Słowackiemu, który posiadał wspaniałą fantazyę, obrazy i język poetyczny, wolno było użyć tych słów i wywołać wrażenie odpowiednie w czytelniku, zaś z fajerwerku p. Wł. Zagórskiego pozostał tylko dym, niemający nic wspólnego z kadzidłem i mirą. — W końcu wieku XX żyje w Warszawie poeta Tulipan przeszło sto lat liczący, utrzymujący swe zdrowie i życie vitaliną Brown-Séquarda; prześladuje go swą miłością kobieta, którą poznał w połowie XX wieku, podczas gdy on kocha się w milionowej brazyljance, pochodzącej z Królestwa. Miłosne przygody tego poety opowiada autor, wplatając w akcyę wynalazki XX wieku. Pomysł to wprawdzie nie nowy, ale byłby dobry, gdyby autor posiadał fantazyę, humor i chociażby bardzo pobieżną znajomość stanu nauki obecnej o elektryczności, magnetyźmie, balonach i żegludze morskiej. Z dzisiejszych danych pozwoliłby się wywnioskować taki obraz przyszłości, że mógłby, przynajmniej na chwilę czytania, złudzić czytelnika swoją możliwością i zabawić. U p. Zagórskiego z każdej stronicy wieje przymus pisania o rzeczy, która go nie bawi, ani nęci, ani zajmuje; to znudzenie autora i wysiłek bezpłodnej fantazyi oddziaływa też usypiająco na czytelnika, nawet język, zwykle dobry u p. Zagórskiego, w tej fantazyi jest zaniedbany, banalny i nudny. Zdaje się, że cała książka została napisaną dla kilku bardzo wątpliwych dowcipów o dzisiejszych literatach. Autor chciał ich ugryźć szyderstwem, ale nie starczyło mu ani sił, ani humoru i po przeczytaniu książki, jak po dymie fajerwerkowym, pozostaje tylko — niesmak.

* * *

* Leger L. „Etudes de mythologie slave. I. Peroun et saint Elie“. Paryż 1895, str. 31 w 8-ce.

Książeczka ta jest początkiem streszczenia wykładów autora, mianych w r. 1895 w Collège de France. Jeżeli dozna powodzenia, mówi autor, to wyjdą po niej dalsze.

Po ogólnym a treściwym zarysie mitologii ogłoszonym w „Encyclopédie des sciences religieuses“, powtórzonym w tomie IV „Revue de l'histoire des religions‘ i w autora „Nouvelles études slaves 1886“, a przełożonym na język czeski przez prof. Polivkę, autor chce zaznajomić szersze koła inteligencyi francuskiej ze szczegółami tej mitologii i w tym celu drukuje obecnie studyum o Piorunie w związku z podaniami ludowemi Słowian o św. Eljaszu, na którego, jak wiadomo, przeniesiono niektóre rysy Piorunowe. W studyum tem p. Leger zgromadził prawie wszystko, co się w słowiańskich zbiorach folklorystycznych znajduje dotyczącego wzmianek kronikarzy o Piorunie i bajań gminnych o św. Eljaszu. Rzeczy te znane są dobrze wszystkim nam, choć powierzchownie z mitologią własną obeznanym Słowianom; dla Francuzów będą one nowością i pożądanym przyczynkiem do badań porównawczych nad wiaroznawstwem powszechnem.

Nie wątpimy, że powodzenie pierwszej tej broszury zachęci autora do ogłoszenia całego szeregu następnych.

BŁĘDY JĘZYKOWE.

— Dawniej pod wpływem łaciny, a obecnie pod wpływem niemczyzny i francuszczyzny używaliśmy i używamy czasami przypadka czwartego zamiast drugiego w wyrazach, oznaczających przedmiot czynności zaprzeczonej; źle tedy mówić: „Nie znam tę panią“, „Nie piszę rachunki nigdy przed południem“ itp.; należy mówić: „Nie znam tej pani“, „Nie piszę rachunków...“ itd. Wyjątek stanowią tylko wyrazy: *co, nic, ile, tyle, wiele*: „Nie mam co jeść“; „Nic nie wiem“; „Nie mam tyle pieniędzy“ itd. Dowcipny Jan Lam błędne to używanie przyp. czwartego nazywał „accusativus tromtadraticus“.

KRONIKA POWSZECHNA.

Teatr i muzyka. Artyści poznańscy ukończyli w ubiegłym tygodniu koczowniczą wędrówkę po miastach prowincyonalnych. — Znakomity artysta krakowski, p. Edmund Rygier bawi w mieście naszem. — Znany poznańskiej publiczności barytonista, p. Bernhard występował z niezwykłem powodzeniem w Peszcie. Dziennik „Pesti Naplo“ nazywa go „wybornym śpiewakiem, o metalicznym, świetnie ułożonym głosie“. — Pp. Zygmunt Przybylski i Klemens Junosza napisali do spółki czteroaktową komedyę p. t. „Baby“, która w krotce wystawioną będzie na scenie Wodewilu w Warszawie. — Ignacy Paderewski po powrocie z Ameryki udał się na spoczynek do Aix les Bains. — Artysta poznański p. Królikowski, dziś w nocy życia dokonał.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Szarotka. Do gimnazyum żeńskiego w Krakowie zapisało się dotąd, o ile nam wiadomo, jedenaście panien. Z listów jednak otrzymanych przez dyrekcyę wnosić wypada, że liczba ta w terminie późniejszym znacznie urośnie.

Lubownik sceny. Sprawa teatru rozstrzygnie sią już w najbliższym czasie. Niewątpliwie w przyszłym tygodniu będziemy w możności zaspokoić ciekawość pańską.

Gra. Zgadzamy się chętnie, jeżeli rozprawa nie jest za długą i posiada warunki literackie.

A. A. Dziękujemy serdecznie za wycinki, ale ramy pisma naszego za ciasne, by krytykować wszystkie dziwolągi gramatyczne, lingwistyczne i literackie, pojawiające się w poznańskich i prowincyonalnych czasopismach.

BIBLIOGRAFJA.

Franciszek Rawita-Gawroński. Kartki z historyi szkolnictwa pod zaborem Rosyi. Gimnazyum w Niemirowie na Podolu w połowie XIX w. Lwów. 1895.

Fr. Rawita Gawroński. Rodzina Hurków. Kilka kartek do monografii tej rodziny. Kraków. 1895.

SPROSTOWANIE.

Do artykułu wstępnego w Nr. 28 zakradła się następująca omyłka: Na stronie 1, w łamie 3, wierszu 14 od dołu czytać należy zamiast: „Koloniście Niemcowi nie wolno dóbr swoich Polakowi sprzedawać“, — „Koloniście Niemcowi nie zabrania się sprzedawać dóbr swoich Polakowi“.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28

Nr. 30. Poznań, niedziela 26-go lipca 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: ul. Wilhelmowska 28.
(Drukarnia J. Fr. Tomaszewskiego.)

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Wilhelmowska 28. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

TREŚĆ.

Konserwatyzm „Koła polskiego“.

Dzieje „Koła polskiego“ w ostatniem dziesięcioleciu walki o byt narodowy zdradzają potęgujący się bezustannie przyrost zachowawczych i reakcyjnych prądów w reprezentacyach parlamentarnych społeczeństwa naszego. Źrodła objawu tego szukać należy zarówno w tej wybujałości konserwatywno-klerykalnych kierunków, która od czasu walki kulturnej jest znamienną cechą całego życia dzielnic kresowych, jak w ścisłym sojuszu Koła polskiego z katolickiem „Centrum“ i wypływającej z niego licytacyi dążeń reakcyjnych, — a wreszcie i w polityce ugodowej, uchylającej głowy dyplomatów naszych przed konserwatyzmem rządowych i tronowych intencyi Pomijając na razie ogólne tło ultra-zachowawcze życia naszego i oddziaływanie jego na reprezentancye parlamentarne, zwracamy tu przedewszystkiem uwagę na przymierze z centrum i hasła ugody, które ktoś trafnie jako „politykę krótkiej mety“ określił. Cała dyplomacya biorąca z źródeł powyższych swój początek jest arytmetyką ciasną, nie wybiegającą po za rogatki interesów chwili przelotnej, nie wkraczającą w szeroką dziedzinę ewolucyi społecznej i w głębokie podkłady psychologiczne wszelkiej polityki.

Nie przeczymy bynajmniej, że takie sojusze konserwatywne, jakie Koło polskie od pewnego czasu konsekwentnie zawiera, a raczej umizgi, któremi rozbroić się stara stronnictwa reprezentujące siłę i władzą w społeczeństwie niemieckiem, mogą w pewnych warunkach wytargować dla nas jakiś uśmiech kokietyryjny na obliczu rządowem a nawet jakieś drugorzędne zwycięstwo faktyczne przy pomocy silnych sprzymierzeńców o barwie konserwatywnej, lub wreszcie drobną koncesyę u wyżyn tronowych. Ktokolwiek jednak spojrzy z wyższego stanowiska na stosunek narodu naszego do zaborców potrójnego gatunku, ktokolwiek wstecz rzuci spojrzeniem i rozczyta się dokładnie w dziejach porozbiorowych oraz w zasadniczych motywach przeróżnych zmian położenia naszego, ktokolwiek przyszłość naszą na dalszej rozpatruje przestrzeni, ten zrozumieć musi, że dola i niedola nasza stała wczoraj i stać będzie jutro w stosunku prostym do rozwoju prądów humanitarnych i postępowych w tych mocarstwach, które Polskę do granic swoich wcieliły. Czy to w zaborze pruskim, czy austryackim, czy nawet rosyjskim, los nasz wtedy jedynie pomyślnie się układał, gdy w narodach zaborców prądy liberalne silnie się odzywały, zdobywając umysły i serca.

Historya Niemiec zna jedne chwilę w której oswobodzenie Polski stało się hasłem popularnem, nietylko ulubionem przez najwyższe duchy narodu lecz ukochanem przez tłumy. Była to epoka liberalizmu niemieckiego między czterdziestym a pięćdziesiątym rokiem, królestwo myśli konstytucyjnej i wielkich prądów humanitarnych. Jakiś wicher wolności uniósł kraj cały, i zbiorowa dusza niemiecka rozegrała się potężną muzyką rewolucyi francuskiej, a w czarującej tej harmonii brzmiała nuta miłości dla wszystkich co cierpią, dla uciskanych i pokrzywdzonych — dla Polski. A gdy zagasło to słońce postępu i mrok pruskiej reakcyi zaległ w Niemczech całych, gdy w miejsce zuchwałych i szlachetnych „Achtundvierziger“, wstąpił Bismarck z całym absolutyzmem swoim i junkierskim mózgiem, wtedy zawitały do nas wydalania, kolonizacya, banicya języka polskiego i cały arsenał plag narodowych. Jakże dziwną wobec tego wydawać się musi ta polityka Koła polskiego, która w ostatnich latach dziesięciu stała się zaciętym wrogiem dążeń liberalniejszych i heroldem wszystkiego, co myśl swobodną, postęp i humanitarność spętać się stara. Jakiś kopalny konserwatyzm przenika całą politykę naszą i wita ukłonem kagańce ustawy przewrotowej, a przy obradach nad prawem małżeńskiem w nowym kodeksie cywilnym wstecznictwem swojem licytuje centrum katolickie i o głowę przewyższa takich przedstawicieli pleśni i rdzy politycznej, jak baron Stumm w parlamencie niemieckim.

Jest to dyplomacya „krótkiej mety“ panowie z „Koła polskiego“, bo prawdziwe zwycięstwo sprawy naszej to zwycięstwo liberalizmu w Niemczech; im silniej w kraju zaborców krążyć będą te idee postępu, które demokratyczne stronnictwa w sejmie i parlamencie dziś reprezentują, im potężniejszą będzie ta lewica, która dziś w „Kole polskiem“ widzi wrogów swoich, tem jaśniejszem stanie się życie dzielnic kresowych. Przyjaźń rządu i centrum oportunistycznego to chorągiewka na dachu, — oparciem zasadniczem i względnie przynajmniej niezawodnem są tylko stronnictwa lewicy.

Szło ręka w rękę z nami centrum katolickie w ostatniem zwycięstwie parlamentu nad kolonizacyą pruską, ale jakie to targi, jakie *„do ut des“* poprzedziło ten sojusz, ileż zastrzeżeń, wahań i połowiczności było w tej pomocy! A Richter i Bebel? „Wir sind für die Freiheit“, — odparli, gdy polscy wrogowie postępu błagali ich o głosy, i bez względów oportunizmu, z twardą jak stal zasadą na ustach stanęli po stronie Polaków. Rząd po krótkim momencie kokieteryi pokazał nam pięść bismarckowską, centrum — ta partya handlarzy politycznych — zdradzi nas prędzej czy później, — wierność konsekwentną dla idei swobody, równouprawnienia, konstytucyi gwarantują najsilniej stronnictwa lewicy.

Nie przeciągajmy struny. Zasadnicze tamowanie ze strony polskiej postępu, zasadnicza walka z stronnictwami liberalnemi pozbawić nas może ostatecznie sympatyi najstalszych przyjaciół. Nie zapominajmy, że i oni są ludźmi i że widząc w Polakach zatwardziałych przeciwników ogólno-ludzkich dążeń postępowych, staną się końcu obojętni dla bytu, walk i cierpień naszych.

I o jednem jeszcze „Kołu polskiemu“ zapominać nie wolno. Z wyżyn arystokratycznych społeczeństwo nasze toczy się z wzrastającą szybkością, jak kula na powierzchni pochyłej, w niziny demokracyi. Ewolucyi tej nic już powstrzymać nie zdoła i za lat kilkadziesiąt staniemy się krajem drobnej własności ziemskiej, drobnego przemysłu i proletaryatu. W tej konieczności rozwojowej tkwi niedwuznaczny drogoskaz dla reprezentacyi naszej w sejmie i parlamencie: zdemokratyzowanie polityki, demokratyczne dążenia i demokratyczne przymierza.

Sprawa nizin społecznych staje się sprawą narodową i dla tego popieranie zasadnicze wszystkiego, co popiera sprawę drobnej własności ziemskiej, drobnego przemysłu i proletaryatu, jest dziś już kardynalnym postulatem polityki polskiej. Jasnem jest oczywiście, że interesy powyżej wyszczególnionych trzech kategoryi społecznych niezawsze będą identyczne a niekiedy nawet zupełnie przeciwnie, lecz nie paraliżuje to bynajmniej programowej myśli zdemokratyzowania polityki naszej, a nakłada tylko obowiązek w chwilach nieuniknionych kolizyi

godzenia i równoważenia sprzecznych interesów różnych warstw demokratycznych, lub popierania tych, które w danej chwili gwarantują większą korzyść sprawie narodowej.

Nie łudzimy się ani jednej chwili, aby tych kilka uwag, podyktowanych żalem nad rdzawem obliczem polityki obecnej i trwogą o przyszłość społeczeństwa naszego, dokonało rychłego przewrotu w dyplomacyi parlamentarnej; wiemy bowiem dobrze, że głosy prasy nie znajdują w Kole polskiem żadnego odgłosu, a najczęściej niechęć lub wyraźne potępienie w darze przynoszą autorom.

Może jednak nie minie lat wiele, a społeczeństwo, które dziś już budzić się zaczyna, powtórzy głośniej i dobitniej postulaty nasze. Wtedy.... niech oligarchia parlamentarna raczy się dobrze zastanowić nad niedokończonym finałem.

POLITYKA.

Nasze stronnictwo ugodowe.

Warszawa, 20 lipca.

Śmierć Aleksandra III, uchodzącego słusznie czy niesłusznie za ucieleśnienie bezwzględnego rusycyzmu, i wstąpienie na tron młodego cara obudziły kiełkujące tu i owdzie od dawna już w naszem społeczeństwie nadzieje, powołały na nowo myśl ugody do życia. Głównym rzecznikiem tej myśli ugodowej stał się „Kraj“ petersburski, a za jego przykładem podążyło, aczkolwiek nieśmiało, warszawskie „Słowo“. Nawiasem mówiąc, o jakiemkolwiek stronnictwie z wyraźnym programem politycznym w naszych stosunkach nie może być mowy z tej prostej przyczyny, że panujący u nas system rządowy nie dopuszcza wytwarzania się tego rodzaju produktów politycznych. Istnieją jedynie koterye, grupy złożone z ludzi jednych i tych samych przekonań, porozumiewających się poufnie co do swych celów i zamiarów. Otóż koterya taka grupująca się około dwóch pism wyżej wymienionych, a rekrutująca się nieomal wyłącznie z przedstawicieli wielkiej własności ziemskiej i wielkich finansów, oraz nielicznych jednostek, należących do inteligencyi w ścisłem tej nazwy znaczeniu, wystąpiła po śmierci Aleksandra III z programem zbliżenia się naszego społeczeństwa, jeźli już nie do Rosyi, to przynajmniej do dworu petersburskiego. Myśl ta wytworzenia pewnego rozdziału pomiędzy carem a jego rządem, przypominająca zresztą pewne eksperymenta pseudo-polityczne, dokonywane swojego czasu i u was, względnie w Berlinie, była dość dowcipną, szkoda tylko, że zrobiła kompletne fiasko. Niebawem przekonano się bowiem, na jak fałszywych podstawach spoczywały kombinacye tak zw. stronnictwa ugodowego.

Przedewszystkiem — jak już zaznaczyłem w pierwszej korespondencyi mojej — fikcyą jest pozbawioną wszelkiej racyonalnej podstawy mniemanie, jakoby polityka Rosyi zależała wyłącznie od woli każdorazowego cara. Zapewne, że samowładny car w danym razie daleko większy wpływ wywierać jest w stanie na bieg tej polityki, niż zmuszony liczyć się z parlamentem monarcha konstytucyjnego państwa. W gruncie jednak rzeczy absolutyzm ten carski istnieje dzisiaj już więcej w teoryi tylko, niż w praktyce. I car rządzić nie może według swej woli, lecz trzymać się musi systemu, naznaczonego przez wolę narodu, a przynajmniej warstw jego miarodajnych. A system ten, wyznać to należy otwarcie, jest wręcz przeciwny jakimkolwiek ustępstwom na rzecz obcych narodowości, wchodzących w skład rosyjskiego państwa.

Błędne też z gruntu jest mniemanie, jakoby obecny nasz ucisk był wynikiem dotychczasowej naszej politycznej postawy, karą za bezustanne jakoby nasze bunty i powstania. Nie ma chyba szczepu w szerokiem państwie cara, któryby większe około rządu rosyjskiego położył zasługi, przyczynił się więcej do wzrostu potęgi Rosyi, jak nadbałtyccy Niemcy. Dostarczali oni przecież zawsze carom rosyjskim najdzielniejszych i najwierniejszych narzędzi do ujarzmienia i gnębienia obcych narodów. Nigdy też nie występowali z bronią w ręku, a nawet z innego rodzaju cokolwiek energiczniejszą opozycyą przeciwko petersburskim swym panom. A jednak ten sam, co u nas; system bezwzględnej politycznej i wyznaniowej rusyfikacyi panuje od całego już szeregu lat w prowincyach nadbałtyckich. Wobec tego stosowanego z konsekwencyą, cechującą całą politykę rosyjską, systemu trudno się łudzić nadziejami co do jakiejkolwiek znaczniejszej zmiany stosunków na korzyść naszą, co do jakichkolwiek ustępstw ze strony młodego cara i jego rządu na rzecz naszej narodowości.

Prędko też rozwiały się iluzye naszych ugodowców. Zmiana tronu nic nie zmieniła w naszem położeniu, i wiernopoddańcze hołdy, składane w Petersburgu przez samozwańczą zresztą reprezentacyę naszego społeczeństwa, żadnych nam nie przyniosły realnych korzyści.

Nie chcemy jednak, aby nas zrozumiano fałszywie, aby nas posądzano o zasadniczą niechęć przeciwko ugodzie z Rosyą. Owszem, jeźli gdzie, to u nas myśl ta w zasadzie na poważną zasługuje uwagę. W każdym razie z pobratymczym bądź co bądź narodem rosyjskim łączy nas daleko więcej punktów stycznych, niż z zaborczym i zabójczym dla Słowiańszczyzny germanizmem. Zbratanie się więc Polski z Rosyą na podstawie równouprawnienia stanowiłoby cel, do którego dążyć by należało wszelkiemi siłami. Chwilowo jednak, wobec systemu, stosowanego wobec nas przez rząd rosyjski, a popieranego przez miarodajne sfery Rosyi, cel ten uważać należy za mrzonkę, dającą się urzeczywistnić w bardzo dalekiej chyba przyszłości.

Swoją drogą zaprzeczyć sie nie da, że w ostatnich czasach mnożą się objawy dowodzące pewnego złagodzenia tak zaostrzonych do niedawna stosunków. Mianowicie spotykamy się w miarodajnej prasie rosyjskiej coraz częściej z głosami, oceniającemi bezstronniej niż dotychczas nasze położenie, a nawet nasze żądania. Być więc może, że

---

Nihilistka.

POWIEŚĆ

ZOFII KOWALEWSKIEJ

(prof. wszechnicy w Sztockholmie.)

(Ciąg dalszy).

W pierwszym powozie siedzą państwo: hrabia i hrabina, naprzeciw nich trzy córki; w drugim guwernantki, gospodyni i rządca. Służba idzie pieszo. Z wyjątkiem małych dzieci i głupiego starego Mateusza, nikt nie zostaje w domu.

Do kościoła są trzy wiorsty: w drodze matka przykłada często do oczu perfumowaną chusteczkę, ojciec milczy ponuro.

Cały plac przed kościołem czerni się od ludzi, dwa do trzech tysięcy chłopów i chłopek zeszło się z wsi sąsiednich. Zdaleka wygląda to, jak zbita masa szarych sukman chłopskich, na których tu i owdzie odbija jaskrawo kolorowa chustka.

— „Ce spectacle me fait mal, je pense involontairement à 89!“ — szepce hrabina.

— „De grace, taisez-vous ma chère!“ — odpowiedział hrabia wzruszonym szeptem.

I dziś jak zwykle oczekiwał odźwierny na dzwonnicy zjawienia się powozu pańskiego, a skoro tylko tenże się ukazał na skręcie ulicy, uderzono w dzwony.

Kościół jest wypełniony po brzegi; jabłko nie miałoby miejsca, by spaść na ziemię, ale według starego zakorzenionego zwyczaju rozstąpił się ten tłum z uszanowaniem, przepuszczając panów na ich zwykłe miejsce z prawej strony chóru.

— Módlmy się wszyscy do Pana, módlmy się! — zawołał kapłan, występując w pełnym ornacie zakrystyi.

— I do Ducha Świętego! — odpowiada chór śpiewaków.

Jak jeden człowiek modli się dzisiaj ta ciemna, szara, natłoczona masa. Chłopi i chłopki żegnają się często i padają na ziemię; opalone, ponure twarze pobrużdżone zmarszczkami krzywią się chorobliwie z wysiłku i oczekiwania:

Swiątynio wzdychania, świątynio żałoby,
O biedna świątynio mej ziemi,
Cięższych westchnień nie słyszał
Ani Piotr rzymski, ani Kolosseum.

Ale dziś nie słychać w tej świątyni ani westchnień, ani jęków. Dziś w tej świątyni i nietylko w tej jedynie, ale we wszystkich setkach tysięcy kościołów rosyjskiej ziemi wznoszą się modły tak gorące, tak nieskończonej wiary i nadziei pełne, jak nigdy pewnie od czasu istnienia ziemi równocześnie przez cały stumilionowy lud nie były wznoszone.

— Panie, nasz Zbawicielu, czy zmiłujesz się nad nami, nasza boleść jest wielka i trwa tak dawno, czy teraz będzie lepiej.

Co zawiera cesarski manifest? Dotąd jest jego zawartość znana tylko ze słyszenia, właściwie nikt nic pewnego nie wie, gdyż manifesty przysłane proboszczom są zapieczętowane pieczęcią państwową i dopiero po sumie otwarte zostaną.

Z powodu niezwykłego zgromadzenia się ludu prostego i wielu świec, gorejących w małym niskim kościółku, było pomimo otwartych okien i drzwi nadzwyczaj duszno. Ciężkie wyziewy przepoconych sukien, brudnych butów mieszały się ze swędem świec i dymem kadzideł.

Z kadzielnic wznoszą się niebieskie kłęby dymu, pierś podnosi się ciężko, brak oddechu, a fizyczne cierpienie, połączone z niecierpliwością oczekiwania, staje się męką nieznośną i wywołuje uczucie nieopisanej trwogi.

— Czy to będzie zaraz — pyta hrabina, ściskając kurczowo ręce męża; kapłan podnosi krzyż, mija dobre pół godziny nim wszyscy obecni zbliżyć się mogą, wreszcie skończyło się całowanie krzyża.

Kapłan znika na chwilę za ołtarzem i zjawia się znowu na kazalnicy, trzymając w ręku zwój papierowy z wielką państwową pieczęcią.

Głębokie, długie westchnienie daje się słyszeć w kościele, jakgdyby cały tłum naraz z jednej piersi westchnął. Nastaje nagle ogólne zamieszanie, wielka część ludu,

z czasem wytworzy się w rosyjskiej opinii publicznej, a nawet w sferach rządzących przekonanie o wadliwości systemu, praktykowanego w Królestwie Polskiem. Wówczas też nadejdzie pora dla stronnictwa ugodowego, które w dzisiejszych naszych stosunkach uważać należy za płód poroniony, za kombinacyę polityczną, nie posiadającą żadnych podstaw w szerszych warstwach naszego społeczeństwa.

X. Z.

Przegląd prasy polskiej.

Koło polskie a kodeks cywilny. Nawet dla ultrakonserwatywnego „Kraju" petersburskiego wydaje się nadto konserwatywnem stanowisko zajęte przez Koło polskie w sprawie kodeksu cywilnego. Oto co pisze Korespondent berliński tego pisma w nr. 25:

„Największe zajęcie budziło prawo familijne, w związku z którem kwestya kobieca wielekroć poruszaną była. Frakcya polska stała na wyłącznie konserwatywnem stanowisku, protestując przeciwko ślubom cywilnym, przeciw rozwodom w razie nieuleczalnej choroby umysłowej, przeciw obniżeniu lat, po za któremi ustaje władza rodzicielska nad dziećmi. Słowem, projekt komisyi był dla naszych posłów o wiele za liberalnym, podczas kiedy większość społeczeństwa niemieckiego przyjmuje go jako anachronizm, nie uwzględniający nowych prądów i pojęć. Dr. Z. Dziembowski, nasz poseł, który przy każdym niemal punkcie głos zabierał, człowiek młody, dobry mówca, znawca litery prawa, stoi na zgoła odmiennem stanowisku, niż dzisiejsze społeczeństwo niemieckie: małżeństwo wydaje mu się stosunkiem, opartym tylko na uczuciu, na wzajemnych ustępstwach, stosunek ojca do syna patryarchalnym i poważnym. Tymczasem, kto zna społeczeństwo niemieckie, dochodzi do wniosku, że uregulowanie prawne stosunków między małżonkami jest koniecznością dla znacznej jego części; podług słusznej opinii, prawo zbyteczne jest dla dobrych i sumiennych, lecz konieczne dla złych i przewrotnych. Najlepszym dowodem, że prawodawstwo dotychczasowe nie zadawalnia sfer zainteresowanych, są protesty masowe kobiet."

Ten sam korespondent mówi w nr. 24:

„Faktem jest, że nowy kodeks nie będzie postępem w znaczeniu kultury, a tylko jednym więcej węzłem w spójności, a więc sile państwa niemieckiego. Czyż istotnie od siły tej spodziewać się możemy, że będzie nam dobroczynną, nie wrogą?

Przy tej sposobności zwracamy uwagę na różnice opinii berlińskiego i poznańskiego korespondenta „Kraju." Pierwszy nie godzi się bynajmniej na politykę „Koła" i niejednokrotnie już wyraził żal głęboki z powodu antihumanitarnych i ultralojanych dążeń reprezentacyi naszej; drugi w każdej korespondencyi zdradza średniowieczne pojęcia zatęchłą reakcyą i klerykalno — ugodowy fanatyzm.

* * *

Bierność polityczna. W ostatnim numerze „Przeglądu Wszechpolskiego" czytamy:

„Społeczeństwo nasze w ostatnich czasach otrząsa się powoli i wyzwala z bierności politycznej, w której było pogrążone. Nawet w warunkach najmniej pomyślnych, w zaborze rosyjskim objaw ten jest tak widocznym, że dostrzega go świadek niepodejrzany, korespondent „Czasu" i stanowczo zaznacza, aczkolwiek fałszywie tłomaczy. Ruch ludowy w Galicyi i Poznańskiem, szybki wzrost świadomości narodowej w śpiących do niedawna dzielnicach kresowych — to także pokrewne objawy nowego zwrotu. Nie wyrażają go one całkowicie, ale świadczą o jakimś fermencie, o jakiejś robocie przygotowawczej do zmian ważnych w polityce narodowej. W takiej chwili należy tymbardziej zastanowić się nad zasadami naszego postępowania, należy sprawdzać je i oceniać na nowo ich wartość, oczyszczać je z błędów, pozbywać się pospolitych i fałszywych komunałów i kłamstw umówionych, które jasność sądu mącą....

Niema polityki bez walki, t. j. bez starcia się przeciwnych dążeń i interesów, nie ma walki bez ofiar, bez strat nawet dla zwycięzców. Narody, które skąpią poświęceń, które dlatego, że boją się ofiar, a boją się dlatego, że nie umieją rachować strat i zysków — wyrzekają się zadań swoich, uszczuplają dobrowolnie zakres swych interesów, takie narody zawsze marnieją i giną. Historya nie zna żadnego narodu, któryby zgubiły śmiałe zamysły, szerokie plany, gotowość do ofiar, do wytrwałej obrony swych interesów żywotnych, bez względu na doraźne straty i niepowodzenia. Ale my z własnego doświadczenia dobrze wiemy, jaki los czeka państwo i naród, które nadewszystko spokój miłują i dla tego lubego spokoju, dla uniknięcia przykrych wstrząśnień, zgadzają się na złożenie w ofierze interesów publicznych byle ocalić swoje interesy osobiste. Taką była właśnie polityka polska w epoce upadku. Nie wtedy upadła Polska, kiedy straciła resztę wątpliwej samodzielności, ale już wtedy, kiedy w czasie pierwszego rozbioru dla ocalenia kraju od klęski wojny, dla utrzymania za wszelką cenę pokoju, oddawała dobrowolnie całe prowincye. A nawet wcześniej jeszcze zaczął się ten upadek, kiedy Sobieski odstąpił bez walki Kijów Moskwie i zawarł z nią pokój wieczny, kiedy Rzeczpospolita bez protestu pozwoliła wydrzeć sobie Kurlandyą. Ideałem politycznym ówczesnego szlachcica był taki spokój absolutny, taka cisza błoga, żeby mógł „słodko drzemać na łonie miłej ojczyzny." Nie chcąc przerywać gnuśnego wywczasu, społeczeństwo szlacheckie pozwalało obcym poniewierać sobą, abdykowało z godności narodu, poświęcało najżywotniejsze swe interesy i dla usprawiedliwienia swej bezczynności wymyśliło potworną teoryę, że słabość państwa i narodu stanowi „najpewniejsze palladium Rzeczypospolitej." Ci, co dzisiaj wciąż mówią o znękaniu i wyczerpaniu społeczeństwa polskiego, które potrzebuje i pragnie spokoju, co twierdzą, że każde poruszenie się narodu, każdy krok śmielszy naraża byt nasz, co drżą z obawy

---

która przedtem nie mogła wejść do kościoła i oczekiwała podczas nabożeństwa na podwórzu, straciła teraz cierpliwość. Przez szeroko otwartą bramę kościelną, wtłoczyła się nagle. Ludzie, stojący na przodzie, padają na stopnie ołtarza; słychać krzyki, przekleństwa, jęki i płacz dzieci.

— „Mon Dieu, mon Dieu, prenez pitié de nous" — płacze hrabina, chociaż jej żadne niebezpieczeństwo nie grozi, gdyż jest osłoniona chórem.

Dzieci są również przerażone. Po paru minutach zapanował znowu porządek, była cisza jak przedtem uroczysta. Wszyscy słuchają z wstrzymanym oddechem, od czasu do czasu tylko słychać gwiżdżący ton z piersi astmatycznego starca, albo krótki płacz niemowlęcia, które przerażona matka tak gorąco w swych ramionach tuli, że znowu umilka.

Kapłan czyta powoli, śpiewnie, przeciągając słowa tak, jak czyta ewangelię.

Manifest pisany jest stylem książkowym. Chłopi słuchają, zapierając oddech, ale chociaż tak wysilają swoją uwagę, aby zrozumieć ten dokument, który dla nich rozstrzyga pytanie „być albo nie być," mogą zrozumieć tylko poszczególne słowa, właściwa treść pozostaje dla nich ciemna. W miarę, jak odczytywany manifest zbliża się do końca, znika powoli naprężenie z ich twarzy, ustępując miejsca wyrazowi trwożnego zakłopotania.

Kapłan skończył.

Chłopi nie wiedzą jeszcze właściwie, czy są wolni, czy nie nie wiedzą kwestyi najważniejszej, dla nich palącej kwestyi życia; do kogo teraz należy ziemia. Milcząc, kiwając głowami, rozchodzi się tłum

Powóz pański porusza się zwolna krok za krokiem przez tłumy ludu. Chłopi idą dalej, zdejmują czapki, ale nie kłaniają się tak głęboko, jak to przedtem czynić byli zwykli i milczą złowrogo.

— Szanowny hrabio. my jesteśmy pańskimi, pan jesteś naszym — zawołał nagle wpośród ogólnej ciszy zuchwały głos pijanego, niepozornego chłopka w, podartem futrze i bez kapelusza, który zdążył się upić podczas tego, gdy nabożeństwo odprawiano. Rzucił się na powóz i usiłował w biegu dotknąć ustami rąk pańskich.

— Nie bądź natrętnym — powiedział mu gniewnie wielki chłopak z dużą ponurą twarzą.

Wieczorem tego samego dnia zebrała się cała rodzina Barancowów w mniejszym salonie hrabiny, oprócz domowych była tu M-lle Julie, ciotka Arina Iwanowna i wuj Siemion Iwanowicz. Zwykle wieczorem był każdy u siebie w pokoju, ale dziś ogólne poczucie nieszczęścia zbliżyło ich razem. Matka leży z migreną na szezlongu, m-lle Julia zmienia jej zimne okłady, ojciec z rękami na plecach przechadza się po pokoju ponury i zamyślony, wuj ukryty w kątku chrapie melancholijnie, ciotka kładzie wielki pasyans i wzdycha przytem głośno od czasu do czasu.

Na dworze dęła śnieżna zawieja, w piecu jęczało tęsknie, jakby się tam ktoś bił i mocował. Naraz wiatrem wstrząśnięte zabrzęczały szyby, hrabina drży za lada odgłosem i zrywa się z szezlongu. W pokoju robi się coraz ciemniej, chociaż knot lampy wykręcono wysoko, paliła się ona ponuro i kopciła; wszyscy jednak udają, jakgdyby tego nie widzieli. Trzebaby dodać oliwy, służba się rozpierzchła, a nikt nie chce wstać zawołać służącego.

— Chłopi podpalili przed paru dniami dom dziedzica w Leskowce — wyrywa się nagle ciotka.

— I podpalą nietylko ten jeden — słychać z kąta złowróżbne krakanie wuja. — Tak, tak nadrobili sobie — powiada po kilku minutach głosem proroczym — zobaczymy jak to zjedzą. Niech ta, wskazał ręką na M-lle Julie — opowie nam jak to było u nich w r. 1789.

— „Mon Dieu, mon Dieu, que l'avenir est terrible" — szeptała nerwowo matka.

— Nie gadajcie głupstwa, rosyjski chłop nie jest Jakóbinem — powiedział ojciec spokojnie, można było atoli poznać, że ton był wymuszony, ojciec zaś sam bynajmniej nie był spokojny.

— Ach nie, Michale, nasz chłop to bydlę, nasz chłop gorszy niż francuski. — Matka podniosła się i oparła głowę na łokciu — wiesz, że chłop nas niecierpi.

W sąsiednim pokoju zaskrzypiały drzwi, wszyscy zerwali się i spojrzeli przerażeni.

strat możliwych i umieją liczyć tylko ofiary, a nie widzą skutków tego nakładu energii — to nieodroni potomkowie polityków szlacheckich XVIII wieku, spadkobiercy ich mądrości. Wyszukano w przeszłości naszej mnóstwo błędów urojonych lub istotnych, nie zwrócono jednak uwagi na ten fakt znamienny, że nasza myśl polityczna nietylko w pojęciach ogółu, ale nawet w pojęciach wybitnych jego przedstawicieli, nie otrząsnęła się dotychczas z wpływu tej zgubnej tradycyi politycznej, tego doktrynerstwa szlacheckiego, które przed stoma laty doprowadziły Polskę do upadku.

Był to sromotny upadek polityczny potężnego niegdyś państwa, upadek duchowy narodu, którego myśl i wola w epoce męzkiego rozkwitu nie lękały się prób najcięższych i wyprowadzały go z nich zwyciężko. Płodami ówczesnej zgnilizny żywimy się dziś jeszcze świadomie lub bezwiednie, są one dla nas cudownym eliksirem roztropności politycznej....

Polityka realna, jeżeli mamy na myśli jej cele bezpośrednie oraz środki i sposoby działania, nie powinna przekraczać zakresu życia jednego pokolenia, wybiegać za granice tych stosunków, które dokładnie poznać lub z wszelkiem prawdopodobieństwem przewidzieć możemy. Ale nie powinna również zrywać ciągłości interesów narodu, która wypływa z jego tradycyi dziejowej, z jego dążeń przyrodzonych.

Wiemy o tem doskonale z własnego i cudzego doświadczenia, że rozszerzenie zakresu praw narodowych, że wszelkie wogóle nabytki polityczne nie mogą dostać się nam z łaski, że na przypadek szczęśliwy w polityce liczyć nie wolno. To, czego nam potrzeba, musimy wymódz, wytargować, zdobyć, słowem wywalczyć, zniewolić rządy zaborcze do ustępstw i kompromisów. W Prusiech, zwłaszcza zaś w Rosyi posiadamy tak niewiele, zakres praw naszych tak jest szczupły, że polityka nasza nie może być obronną, musi być zdobywczą. Zresztą i walka obronna bez ofiar obyć się nie może. Nie wolno nam zapominać o tem i cofać się z obawy strat nieodzownych. Nie mówimy tu o ofiarach z życia i mienia w przedsięwzięciach ryzykownych, ale o przejęciu się tą myślą, że przebieg każdej walki nawet najszczęśliwiej prowadzonej musi być zmiennym, że nie można w każdej chwili robić dowolnie bilansu zysków i strat na jego podstawie wyrokować o skuteczności działania, że chcąc coś zdobyć, trzeba też coś poświęcić koniecznie. Ocenianie działalności publicznej z punktu widzenia spraw i interesów osobistych jest nową odmianą tej prywaty, która była jedną z głównych przyczyn naszego upadku politycznego i z której dotychczas otrząsnąć się nie możemy. Niema ofiar zbyt wielkich, kiedy chodzi o dobro pospolite, o interesy żywotne i przyszłość narodu. Trzeba strzedz się wysiłków i poświęceń zbytecznych, trzeba rozważnie szafować energią i zasobami narodu, ale nie można wyrzekać się czynnej pracy politycznej, dlatego, że ona ofiar wymaga. Trzeźwość w polityce nie ma nic wspólnego z taką praktycznością poziomą."

* * *

W sprawie solidarności narodowej. Poseł galicyjski hr. Wojciech Dzieduszycki ogłosił z powodu zbliżających się wyborów do rady państwa list otwarty, z którego cytujemy ustęp następujący:

„Narodowem tedy hasłem, przy przyszłych wyborach do Rady państwa, będzie jedynie hasło jedno: Chcemy, aby solidarne Koło polskie w parlamencie wiedeńskim dało, istniejąc, świadectwo temu, że *reprezentuje kraj polski i polskie społeczeństwo.* Oto hasło, jakie się powinno odezwać we wszystkich stanach, u wszystkich stronnictw, przy wyborach ze wszystkich kuryi. Poza tem hasłem otwarta walka; wyborem narodowym będzie wybór każdego posła, który do Koła polskiego przystąpi; obowiązkiem narodowym będzie zwalczać wybór Polaka, któryby głośno wołał, że jest Polakiem patryotą, ale chciał równocześnie zniszczyć podstawę politycznej pracy narodu polskiego, kwestyonując solidarność narodową, albo pytając się, na co ta solidarność ma służyć? Ma służyć dla zaznaczenia odrębności narodowej; dla obrony interesów narodowych, dla robienia zdobyczy narodowych. To proste, to jasne, to rozumie każdy obcy, o to nie wolno się Polakom spierać. *Nigdy zaś nie jest i być nie powinna zasada solidarności bronią w ręku jednego stronnictwa;* kto powiada, że solidarność służy jedynie albo winna służyć do zwycięstwa zachowawczych albo postępowych zasad, tego lub innego zapatrywania na politykę narodową, kto gotów solidarność o tyle tylko uznawać, o ile posłuży jego społecznym teoryom, ten występuje z obozu narodowego, ten bywa przedewszystkiem radykalnym, liberalnym, albo konserwatywnym politykiem, a dopiero potem, to jest wcale nie na prawdę Polakiem; ten gotów zwalczać Polaków, z pomocą obcych, a może i nieprzyjaciół, aby zapewnić zwycięstwo przekonaniom politycznym kosmopolitycznej natury — albo też namiętnościom takim, jak te, które niegdyś demokratę Chmielnickiego zagnały w objęcia Moskwy, a arystokratów Opalińskiego i Radziwiłła zamieniły w popleczników szwedzkiego najeżdżcy.

„Sprawa narodowa, poczucie polskości, domagają się tego, abyśmy wszyscy czynili, co się należy, by zapewnić istnienie solidarnego polskiego Koła w Wiedniu, któreby reprezentowało kraj nasz. Tego mamy dokonać przy przyszłych wyborach, broniąc całości Ojczyzny kartką, oddaną przy głosowaniu, skoro nie możemy iść śladem ojców, którzy granic bronili orężnie. Na zewnątrz mamy, musimy być wojskiem karnem, w którem nie ma rokoszan i zbiegów. Ale niech się w radzie wojennej wszystkie odezwą zdania. *Czem głośniej wszystkie mnogie choćby najskrajniejsze odcienia opinii polskiej odezwą się podczas obrad przyszłego Koła, czem bardziej prądy opinii w Kole odzwierciedlą prądy opinii w kraju, tem lepiej solidarne głosowanie Koła wyrazi myśl i wolę narodu:* ale Koło to musi być solidarne z narodem, solidarne z Sejmem, który jest bezpośrednim wyrazem woli i potrzeb kraju".

Do powyższego listu dodaje „Słowo polskie" (Lwów) następujący komentarz:

„Nigdy nie jest i być nie powinna zasada solidarności bronią w ręku jednego

---

Matce wyrywa się trwożne „ach!" z piersi.

To Stefan przyszedł zameldować, że podano herbatę.

Na Wierę już czas do snu, ale w pokoju dziecinnym niema nikogo. Otwiera drzwi korytarza. Z dołu z pokoju służby słychać rozmaite zmącone odgłosy: rozmowy, brzęk talerzy i nożów i huczący śmiech. Wiera ma surowo wzbronione schodzić do izby czeladnej, ale dziś zapomniała o tem; i jej tak ciężko na sercu, chce zajrzeć co tam się dzieje.

Stoi parę chwili, wahając się, ale nie należy do lękliwych; ciekawość zwyciężyła i szybko jak strzała zbiega Wiera na dół.

Tam wszystko idzie wesoło. Rano było usposobienie służby wyczekujące, nawet przygnębione, lękano się jeszcze w to wierzyć, ale wieczorem ton się podniósł. Skądś dostano wódki do kolacyi, wszyscy byli podochoceni, ani śladu z porannego przygnębienia; twarze płoną, oczy są wilgotne, a włosy rozburzone.

Zapach kwaśnicy i chleba żytniego miesza się z ciężkiemi wyziewami wódki i ostrym, piekącym dymem tytoniu; dźwięki rozstrojonej harmoniki, krzykliwe głosy — wszystko to uderzyło Wierę przy wejściu. Ujrzawszy ją, umilkli nagle wszyscy, powstali, ale tylko na chwilę. Wkrótce wszczął się hałas nanowo.

— Panienko, panienko, chodźno tutaj, nie bój się — wołał pijany woźnica. — Cóż, płaczą państwo na górze? żal im, że już nie wolno nas tyranizować.

— Nieprawda, nieprawda, nieprawda, nikt was nie tyranizował, ojciec i matka są dobrzy — zawołała Wiera głośno, tupnęła nogą w bezsilnej złości.

Krew Barancowów obudziła się, byłaby wybiła tych bezwstydnych parobków, oburzenie stłumiło w niej obawę.

— Nie tyranizowali, jakto nie? a czy niebożczyk dziadek panienki mało ludzi nakaleczył, dlaczego posłał Andriuszkę stolarza do wojska, choć to nie jego kolej była, dlaczego posłał Arinę do pilnowania bydła? słychać z rozmaitych stron.

Harmonika umilkła, służba zebrała się w kupę i zaczyna opowiadać historye z dawnych dobrych czasów, straszne — od których włosy stawały na głowie.

— To był dziadek, ale ojciec i matka są dobrzy.

Wiera już nie przeczy teraz, mówi cicho, jakby zawstydzona przez łzy.

— Tak, młodzi państwo jeszcze ujdą, dobrzy są — przyznali niechętnie niektórzy.

— Tak, teraz pan trochę się uspokoił, ale dosyć nam dziewczętom się nadokuczał — zauważyła złośliwie stara klucznica.

— Wy bezbożnicy, grzesznicy, czyż wam nie żal młodego dziecka — zawołał nagle oburzony głos piastunki. Już dawno biegała po całym domu, szukając dziecka, dopiero teraz przyszło jej na myśl zaglądnąć do izby czeladnej.

Wiera nie mogła tej nocy usnąć, nowe straszne, poniżające myśli kręciły jej się po głowie. Nie umiałaby sama powiedzieć co ją tak bardzo boli, dlaczego się tak straszliwie wstydzi. Leży w swem łóżeczku i płacze, płacze. A z dołu, z izby czeladnej, dochodzą ciężkie kroki, rozstrojone dźwięki harmoniki i urywane odgłosy pieśni tanecznej.

III.

Po uwłaszczeniu chłopów zmieniło się nagle wszystko w domu. Dochody z majątku zmniejszyły się tak bardzo, że całe gospodarstwo musiało być prowadzone na inną stopę.

Wójt zmienił się nagle, z dzielnego człowieka zrobił się zwykły łotr; stał on się teraz grubiańskim, robił przy wszystkiem trudności i nigdy nie przynosił na czas pieniędzy. Ojciec był zmuszony oddalić go i przyjąć innego, ale z tym szło jeszcze gorzej. Prawie każdego dnia wyrastały jakby z pod ziemi stare długi i zobowiązania, zaciągnięte tak dawno, że hrabia o nich zapomniał. Na widok każdego nowego weksla hrabia wybuchnął gniewem, dowodził, że go sfałszowano, ale zapłacić musiał. Okazało się koniecznem sprzedać Betino, Stepino, łąki i lasy; zostały tylko Barki z małym kawałem ziemi. Największą nieprzyjemnością było, że obecnie trudno było znaleść nabywców na ziemię, a wszysko musiano oddawać za połowę ceny. Większą część słu-

stronnictwa". Niestety, zbyt często nią bywała — zbyt często zdarzało się, że zasady tej używano do celów stronniczych tak dalece, że zdawać się nieraz mogło, iż obowiązuje ona tylko wtedy, gdy idzie o to, aby przy jej pomocy zwalczyć kierunki postępowe i demokratyczne. Występowało to nieraz jaskrawo i w Kole polskiem i w komitetach centralnych. Odezwa prezesa komitetu jest nam rękojmią, że się to zmieni na lepsze. Niech przy wyborze mężów zaufania na powiaty wszystkie stronnictwa będą uwzględnione; niech w składzie komitetów powiatowych wszystkie znajdą odpowiednią reprezentacyę; niech komitety powiatowe mają zupełną swobodę stawiania kandydatów, bez względu na odcienia polityczne, byle tylko wyznawali zasadę solidarności Koła; niech im kandydaci nie będą narzuceni, — a wtedy i przy wyborach i po nich, w samem Kole, solidarność będzie tem silniejszą, że będzie ochocza, szczera, nie narzucona i nie wymuszona i że się nikt przez nią nie uczuje pokrzywdzonym. Do takiego sprawiedliwego uwzględnienia i zastrzeżenia stanowiska wszystkich stronnictw przy wyborach zobowiązał się swym listem prezes komitetu."

Oby sobie politycy poznańscy zapamiętali powyższe słowa.

— ski.

LITERATURA I SZTUKA.

Secesya.

(Internationale Kunst-Ausstellung „Secession" 1896)

Monachium, w lipcu.

Secesya minęła się ze swem godłem. Grecka, klasyczna, harmonijna i niepokalana w swej stylowej czystości twarz młodzieńca z fantastycznym hełmem na głowie, ten „stempel", że się tak wyrażę, firmowy, po którym z daleka już każdy prawowierny monachijczyk poznać może zawiadomienie, lub ogłoszenie secesyonistów, — nie wyraża i nie uwydatnia tego, czem secesya być zapragnęła, czem poniekąd już jest.

Przyjmować najoryginalniejsze, najfantastyczniejsze i najdziwaczniejsze nawet dzieła, byle w chwili prawdziwego tchnienia rzeczywistego talentu spłodzone — oto zadanie Secesyi. Samoistne pojęcie, sposób malowania, oświetlenia, harmonii, rodzaj kontrastów, doboru barw i kolorów, wszystkie metody oddawania i przelania na płótno tego co się w duszy czuje — to już twoja rzecz artysto. Ty nam tylko daj coś, coby naszą uwagę przykuło do twego obrazu, coby nam niepozwoliło przejść mimo niego obojętnie i zimno, bez zauważenia nawet, co przedstawia i zawiera, coby nam kazało patrzeć, wzruszać się, radować, lub podziwiać... To twoje zadanie, artysto....

W praktyce niestety to nieco inaczej wygląda Na wystawie Secesyonistów zaznacza się ogólnie prawie szeroka, niedbała, nie bez dzielnego jednak czasem zacięcia fantazya w robocie, pewne lekceważące, a nawet pogardliwe traktowanie procesu tworzenia. Pomysły to od niechcenia i jakby chorobliwie rzucane szerokiemi plamami, to znowu grubemi i wydatnemi smugami, są pociągnięciami pędzla, przysiągłbyś, zniecierpliwionego, rozdenerwowanego, lekceważącego. Uganianie się nie zawsze szczęśliwe za oryginalnością i dobitne, mocne wyłamywanie się z pod szablonu, dążenie do swobody w twórczości, rozmach pędzla i szerokość rzutu — to są główne właściwości tych wszystkich młodych z Secesyi. Uderza tu odrębna atmosfera jakaś, wygląd, nastrój cały i usposobienie. Czujesz, żeś wstąpił do przybytku, gdzie nie chwytają za nogi, gdy rów przesadzać zechcesz, gdzie ci bez mała na wszystko prawie pozwolą.... I to jest wielką zaletą Secesyonistów. Tu może nieraz jaskrawiej i zgrzytliwiej dotknie cię jakiś kontrast niemożliwy, lub zgoła dziki, niż w takim Glaspalaście np. — tu częściej staniesz przed obrazem i stukając się w czoło, bezskutecznie odgadywać będziesz, co on przedstawia,... ale też tu nieraz pełniej odetchniesz, serce ci żywiej zabije, lub myśl rozpłomieni.... I nie dla tego, byś tu ujrzał coś wspaniałego, genialnego (jak mówią filistrzy) i wiekopomnego (jak mawiają entuzyaści), nie.... Tutaj w tym roku przynajmniej tego nie zobaczysz... Są może rzeczy, których się zbyt prędko nie zapomni, lecz silnie wrażających się w mózg i duszę tu niema... Jednak i za to powiesz „dank" przy wyjściu i może nieraz tu z ochotą wrócisz... Będzie cię zajmować to zbiorowisko niesforne jaskrawych prawie bez wyjątku płócien, ta massa barwnych plam, to rzucanie od niechcenia pomysłów swych na płótno...

Wspomniałem już o tem. Tak jest. Robota to po największej części szkicowa, czasem wręcz niedbała, a jednak niektóre z tych obrazów zwycięzko pobijają wyszczotkowane utwory „tych innych".

U Secessyonistów, pomimo wielu niedonoszonych, albo zwichniętych w locie ptaków, nie ma tyle, nawet prawie że niema wcale, tej mocy wylizanych, wymęczonych nieledwie obrazów i obrazków... I z pewnością mniej tu różnych krówek, krówek z barankami, baranków z osiełkami, kawałków trawki z trochą wody, odrobiny wody z trochą żabek w niej itd. itd., tej całej litanii „genialnych" pomysłów i „wspaniałych" tematów. .

Tu napewno mniej znajduje się tych grzecznych, bo po samą szyję ubranych, ładnie uśmiechniętych, z paluszkiem w gębie zanurzonym, bezmyślnych, a tak pięknie przez matusię wystrojonych, w tak poprawnych sukienkach paradujących „baranków" i owieczek". Poczciwe dzieci! Czegoż od was jeszcze więcej żądać się ośmielają?

Robota szkicowa secesyonistów (tam, gdzie ona nie jest dobrze i trafnie zastosowaną), przyznać trzeba szczerze, — razi, budzi żal... Dlaczego, dlaczego tak mało zadałeś sobie trudu, albo czemu chcesz nam tanim sposobem zamydlić oczy i na swój lep bez wysiłku brać? U niektórych jest ona pewnie naturalną, choć koszlawą, u drugich umyślną, ale nie osięgającą efektu, właściwie — wrażenia zamierzonego. Bo nie każdy może kilkudziesięcioma pociągnięcia-

---

żeby trzeba było oddalić, a pozostała przyzwyczajona od dziecka do próżnowania, szemrała od rana do nocy, że obarczono ją nową pracą. Państwo gniewali się — a gniewanie się i zły humor było teraz normalnym stanem państwa. Kłócili się dość często ze sobą, ale kłótnie te tym razem tak mało były podobne do dawniejszych, jak zimny, gęsty deszcz jesienny do ciepłego wiosennego deszczyku. Nie z zazdrości kłócili się teraz hrabia z hrabiną, ale o pieniądze. Za każdym razem kiedy ich hrabina zażądała, robił jej hrabia wymówki, że jest rozrzutną, niedbałą i leniwą. Żaden obstalunek nowej sukni dla niej, lub dla córek, nie odbył się bez podobnych scen. Z drugiej strony jak tylko hrabia wspomniał o przejażdżce do miasta, albo do sąsiada, zaraz nerwy hrabiny zaczynały tańcować; ale nie lękała się teraz pięknych sąsiadek, chodziło jej tylko o to, żeby hrabia nie przegrał pieniędzy w karty, lub nie stracił ich w inny sposób.

Z każdym dniem było gorzej — odmawiano sobie wszystkiego, a przecież nie starczyło pieniędzy. Jak wszyscy niepraktyczni ludzie byli hrabstwo oszczędni, stosowali jednak oszczędność nie tam gdzie potrzeba, odmawiali sobie najpotrzebniejszych rzeczy w domu, o każdy kawałek cukru, o ogarek świecy wszczynały się kłótnie, ale wszystkie większe wydatki pozostawały nietknięte. Wójt, rządca, klucznica, kucharz, woźnica — wszyscy wzbogacali się jak dawniej kosztem hrabstwa, z tą tylko różnicą, że przedtem każdy kradł z miarą, z pewną względnością. Teraz robiono sobie często wyrzuty bez przyczyny, ustawicznie grożono winnym, a to jeszcze nieprzyjaźniej usposobiało służbę; większa część też zabierała przed odejściem ile tylko mogła; i tak okradano państwo złośliwie i zuchwale.

Wszystko w domu nosiło teraz piętno sknerstwa. Przez ustawiczne sprzeczki i nieprzyjemności oboje hrab-two również wiele stracili. Wiera, przypominając sobie swoją matkę, miała w wyobraźni dwie kobiety zupełnie różne i niepodobne do siebie: jednę młodą, piękną, wesołą — to matka jej dzieciństwa; drugą kapryśną, kłótliwą, niedbałą, zatruwająca życie sobie i drugim, to matka ostatniego okresu.

Podobnie działo się u wszystkich sąsiadów. Właściciele tracili grunt pod nogami i nie wiedzieli, co się z nimi działo. Nie było już śladu przyjemności ani rozrywek. Gdy dwaj lub trzej właściciele zebrali sie razem, słychać było tylko skargi na chłopów i rząd. Młodsi i energiczniejsi porzucali gospodarstwo, wyjeżdżali do miasta szukać stanowiska, na wsi pozostali tylko starzy. Lena i Liza były teraz dorosłemi pannami, obie umierały z nudów i szemrały przeciwko losowi. Rzeczywiście strasznie się z niemi obszedł, co się zostało z ich wszystkich świetnych nadziei? Ich młodość cała, ich wychowanie było, rzec można, tylko przygotowaniem do owego szczęśliwego dnia, w którym miały włożyć długie suknie i wejść w towarzystwo, a teraz dzień ten nadszedł i nie przyniósł im nic prócz nudów. Wiera żyła również nieszczególnie wesoło. Pierwszą oszczędnością w familii Barancowów było, że oddalono cały personał, zajmujący się dziećmi. M-me Night odprawiono pod jakimś pozorem, M-lle Julie nudziła się i odjechała sama. Rodzice byli zdania, że nie mają środków, aby trzymać guwernantkę do samej Wiery. W miasteczku gubernialnem otwarto naówczas pierwsze gimnazyum dla dziewcząt, ale tam chodziły przeważnie córki mieszczańskie, córki kupców i małych urzędników, a hrabina Barancow była od samego początku niechętna temu zakładowi. Postanowiono oddać Wierę do Smolnego instytutu, mówiono o tem rok cały. Nakoniec napisała hrabina do starej przyjaciółki do Petersburga i prosiła o podanie warunków przyjęcia, dostała jednak wkrótce niespodziewaną odpowiedź, że Wiera już nie jest w tym roku, żeby mogła być przyjętą do tego instytutu.

Więc hrabia zaproponował starszym córkom, aby się zajęły wychowaniem Wiery, ale projekt ten nie podobał się bynajmniej pannom.

— Czyż nas wychowano na guwernantki? — szemrały, zabierając się niechętnie do roboty.

Według ich zdania, była Wiera głupią, leniwą i mało inteligentną. Żadna lekcya nie obeszła się bez łez, nauczycielki i uczennica starały się godziny skracać jak naj-

mi pędzla stworzyć i wywołać to, czego pragnął... Panowie, powinniście pamiętać o tem...

A mimo to, oglądając wystawę Secesyonistów, wynosi się to niezłomne przekonanie, iż instytucya ta potrzebną jest koniecznie. I gdyby się miały te pogłoski sprawdzić (nie chcę w to wierzyć), że Secesya zleje się z Glaspalastem napowrót, byłaby to szkoda niepowetowana...

Pogardliwe traktowanie (w szlachetniejszem rozumieniu) sądów motłochu i zdań jaśnie-oświeconej krytyki, młodość, gdzieniegdzie wielka tężyzna i pewność, często śmiałość i, że się tak wyrażę, jędrna lekkomyślność biją z wystawy krnąbrnych buntowników i uwydatniają najbardziej i najdosadniej potrzebę ciągłego, koniecznego wyrywania się z zasklepionej formułkowatości dotychczasowych sposobów i sposobików artyzmu... Powinniśmy jednak pamiętać o tem, że choć na całym świecie we wszystkiem, a w sztuce chyba najwięcej, niema nic gorszego nad rutynę, zaskorupiałość, stęchłość duchową, lub zadawalnianie się kilkudziesięcioma „nieomylnemi“ i zawsze pewnemi receptami specyalistów od 365-ciu obiadów artystycznych, to jednak przesada w drugim kierunku umyślna, czy też mimowolna, w to wchodzić nie możemy, jest chyba jeszcze czemś gorszem. Mniej więc tych jajecznic, marmolad i makagig. — wszakżeż można godzić się na wszystkie impresyonizmy i inne „izmy“ ale w granicach zdrowego smaku estetycznego i rozumu....

A tak, do czegoż się dojdzie? Wszakże wielu pewnie widziało tych parę impresyonistycznych krajobrazików nieboszczyka Podkowińskiego, z jego smutnych ostatnich zapasów ze śmiercią (wystawione wtedy w „Zachęcie“ warszawskiej, pod pseudonimem „Ausgarego“). Były to rzeczy (niektóre z nich) niemożliwe pod względem niesłychanego, drożniącego i denerwującego, a więc nienaturalnego kontrastu barw, co jednak nie przeszkodziło artyście tak wspaniale i tak umiejętnie stonować wszystkich kolorów w sławnym, potępianym i uwielbianym zarazem „Szale“. I któryż z tych dwóch rodzajów twórczości zgotował laur Podkowińskiemu? Zakusy zbyt oryginalnej „oryginalności“ nie mają chyba racyi bytu...

Obrazów wydatniejszych jest w Secesyi względnie dość sporo. Nie wymienię ich wszystkich. Wspomnę tylko „Nieczyste sumienie“ Franciszka Stucka, wynoszonego przez jednych, przez drugich z błotem mieszanego malarza. Utwór ten przedstawia złego, rozognionego mężczyznę w ucieczce, a gonią go złe istoty, unoszące się w powietrzu. W rękach trzymają pełne zwoje wężów.... Wszystko to na tle gorącego, płonącego nieba. Obraz ten ustępuje innym, dotychczas przez tego malarza stworzonym dziełom. Bardzo dobre jest Karola Busse „Płonące morze“ i grubo lecz odrębnie malowana „Orka“ Gioranniego Segantigniego. Trudno nie chwalić, tak to jest dobre, konie szczególniej. Obraz ten zakupiła Nowa Pinakoteka do swoich zbiorów. Wogóle Pinakoteka porobiła sporo zakupów w Secesyi tegorocznej. Prócz „Orki“ kupiła jeszcze mniej już dobre płótno Kalckreutha (W deszcz), Herttericha (Wieczór letni), Habermana (Mnich). Jest tu i sławny Boecklin z Florencyi, ale nie wystawił nic takiego, coby poprzednie prace jego zaćmiło. Dużo tu jeszcze rzeczy dobrych, lecz na tem poprzestaję już dzisiaj. Rzeźba ubożuchna i nic szczególnej uwagi godnego.

Na zakończenie warto podnieść ciekawy fakt i przeprowadzić maleńkie porównanie statystyczne. Oto, gdy na wystawie Secesyonistów monachijskich malarzy rosyjskich znajduje się aż czterech (każdy z nich wystawił po parę obrazów), — naszych polskich jest.... aż dwóch. Potężna to cyfra, niema co mówić, i wymowna! Niemcy, nabiorą kolosalnego pojęcia o naszej produkcyi artystycznej. Co to jest? Tu już chyba trzebaby zapytać panów malarzy Polaków. W każdym razie nie można im odmówić wielkiej skromności i wstrętu do popisywania się swemi zaletami.... Cześć im za to!

Pan Samuel Hirszenberg z Łodzi wystawił dość duży obraz „W święto sabbatowe“: ładne to i rzewne. Rodzina żydowska zgromadzona przy łóżku starej, chorej babki, wnuk czyta, dziadek tuli do piersi małe dziecko, młoda dziewczyna, oparta o okno, stoi zadumana smętnie... Ten obraz przemawia do widza swą prostą i nie naciąganą treścią... Panna Olga Boznańska z Monachium dała „Portret młodego mężczyzny.“

Ot i wszystko.

A.

Pamiętniki krytyka.

Paryż, w lipcu.

P. Juliusz Levallois ogłosił pamiętniki bardziej literackie, niż osobiste. Rozpoczął zawód swój w najświetniejszej epoce Cesarstwa, a doprowadza czytelnika do upadku Komuny. Hr. d'Argout, o którym król dowcipnie mawiał, że jest zdolny do wszystkiego, prócz podania się do dymisyi, czytywał jaknajwięcej powieści, twierdząc, że są najwierniejszem zwierciadłem życia. W powieściach jednak wyobraźnia zbyt wielką odgrywa rolę. Autorowie pamiętników bardziej oszczędzają prawdę, więcej odsłaniają duszę ludzką.

Juliusz Levallois był przez długie lata sekretarzem Sainte-Beuva, recenzentem wielkich dzienników paryskich. Pisarze są zwykle bardzo czuli na pochwały krytyków. Levallois poznał mistrzów Parnasu francuskiego z ostatnich lat 30-tu, uczęszczał też trochę na pogadanki cyganeryi poetyckiej, więc może z niezaprzeczoną kompetencyą oceniać jednych i drugich.

Surowy jest dla Baudelaira; zapewnia, że w nim wszystko było sztuczne i że wszystko obrachował na galeryę, chociażby złożoną z jednego widza. Przytacza aforyzmy które zdobyły Baudelairowi famę głękokiego myśliciela w knajpach studenckich. Narzekał np. na ckliwość barwy drzew. „Chciałbym — mawiał — mieć łąki czerwone rzeki żółto-złote, a drzewa niebieskie. Brak naturze imaginacyi.“ Widać, że Baudelaire jest ojcem impresyonizmu w malarstwie. Artyści tej szkoły mają o wiele więcej imaginacyi, aniżeli przyroda.

Raz odwiedził Levallois Quineta w Veytaux. Quinet zgryziony był wygnaniem, wyobraził sobie, że w Paryżu mordują ludzi

---

częściej, a że rodzice widocznie prędko zapomnieli o nieszczęśliwej kwestyi wychowania swej najmłodszej córki, ustały lekcye w zupełności i w 14-tym roku życia była Wiera zostawiona zupełnie samej sobie. W lecie było jeszcze jakotako: całe dnie spędzała w parku, albo biegała po polach i lasach. Dzieci wiejskie umykały przed nią trwożnie, a prawdę powiedziawszy i ona lękała się ich niemniej. Gdy przypadkiem szła przez wieś, zdawało się jej zawsze, że ją wszyscy wyśmiewają i pogardzają nią. Budziło się w niej instynktownie nieprzyjazne uczucie dla chłopów.

W zimie żyła Wiera gorzej jeszcze, niż w lecie. Biegała po dużych pustych pokojach, tułała się po wszystkich kątach, nie znajdując zajęcia. Z nudów zaczęła szperać w bibliotece, ale tam były tylko francuskie książki, a Wiera, która w 5-tym roku życia tak dobrze po francusku mówiła, teraz zapomniała zupełnie i nie rozumiała tego języka.

Najgorsze było to, że wszyscy w domu byli zawsze w złych humorach. Gdziekolwiekbądź się zwróciła, wszędzie była sprzeczka, a przedewszystkiem gniewano się na nią. Gdy spojrzała na siostry, kłóciły się one o drobiazg, o szmatkę, której nie mogły podzielić między siebie. Jeżeli się czasem przeciw wszelkiemu oczekiwaniu pogodziły, skarżyły się obie na rodziców.

— Tak, o n i nie żyli tak, jak my, kiedy byli młodzi, majątek zmarnowali, a teraz my musimy tu gnić i nudzić się na wsi.

Gdy się Wiera zwróciła do matki, natrafiała zawsze na scenę z pokojową, albo z klucznicą. A w izbie czeladnej było jeszcze gorzej. Słowem, zdawało się, jakgdyby wszyscy po to istnieli, aby sobie nawzajem dokuczać. Jedyną w całym domu, która nikogo nie dręczyła, nikomu nie dokuczała, na nic się nie skarżyła, była stara Niania — miała tylko jedną troskę: żeby lampka przed świętym obrazem w kąciku jej izdebki nie wygasła. Była szczęśliwą i zadowoloną, gdy miała parę kopiejek na kupienie oliwy. Starą, prawie oślepłą kobietę zostawiono w domu, ale zdaje się, że zapomniano jej zupełnie, całemi dniami nie zaglądano do niej, tylko dziewka przypomniała sobie czasem i podawała jej coś do zjedzenia, albo jej ulubienica, Wiera, przychodziła do niej wieczorem. U wstępu do malutkiej izdebki Niani, gdzie zwykle uderzał dziwny zapach kadzidła, oliwy i kamfory, opanowywało Wierę dziwnie spokojne, błogie uczucie.

— Nudno jest, Nianiu — mówiła, siadając na nizkim stołeczku i opierając głowę o prosty stół drewniany.

— Dlaczego się nudzisz dziecko, pomódl się do Boga — mówiła Niania takim tonem, jakim zwykła była przemawiać do Wiery, gdy ta miała pięć lat.

A Wiera słucha rzeczywiście tej rady i zaczyna się modlić. Modli się gorąco, namiętnie z przejęciem. Namiętność do religii, do zewnętrznych jej form, zaczyna powoli wypełniać puste próżniacze życie dziecka.

W tym roku przed świętami Bożego Narodzenia, pościła Wiera przez trzy tygodnie, a w sam dzień wilii nie jadła nic, nim gwiazdy nie zabłysły na niebie. Dlatego też, gdy o zmroku jak zwykle księża przyszli, aby przed ołtarzem zaimprowizowanym w kątku jadalnym odprawić nabożeństwo, czuła przyjemne osłabienie we wszystkich członkach, jakgdyby już nie miała ciała i mogła każdej chwili z ziemi odlecieć.

Błękitne chmury dymu, wznoszące się z kadzielnicy, napełniały pokój, przez nie połyskiwały słabe promienie świecy. Przenikający słodkawy zapach kadzidła przyprawiał o ból głowy.

„Spokojne światło, święta sławo,“ śpiewali, a Wierze wydawało się, że śpiew płynie z oddali.

— Niczego, niczego więcej nie pragnę na świecie, tylko Tobie służyć, Panie! myśli wzruszona. Jej dusza jest pełna wielkiej, jasnej radości, łkanie ekstazy podnosi jej pierś.

Tego samego dnia dokonał się na niej cud, właściwie ona to za cud uważała, co się jej wydarzyło.

Chociaż stara Niania nie umiała ani czytać, ani pisać, przechowywała jak świętość kilka książek religijnej treści i prosiła czasem małej panienki, aby jej z nich coś głośno przeczytała. Pomiędzy temi książkami było „Życie 40-tu męczenników i 30-tu mę-

na rogach ulic, i gorszył się, że flegmatyczni szwajcarzy nie podzielali jego oburzenia. „Genewa nie może jednak — szepnął jeden z nich — wypowiedzieć wojny Francyi!“ Biedny Levallois zaproponował przechadzkę do sąsiedniego uroczego Chillonu. „Dosyć jest więzień w Europie — odparł Quinet żeby zwiedzać jeszcze więzienia szwajcarskie!“ Zmieszany obrócił się, do pani Quinetowej, rumunki z pochodzenia. „Czy pani Jass nie żałuje?“ — zapytał. „Jestem francuzką“ — odrzekła mu z oburzeniem.

Adolf Guéroult, przyszły dyrektor dziennika „L'Opinion Nationale“, rozpoczął swój zawód w redakcyi „Debats'ów. Narzekał raz na niedorzeczności organizacyi społecznej. „Potępiasz nadużycia — rzekł do niego Saint-Marc Girardin — bardzo to pięknie, ale może lepiej byłoby z nich korzystać.“ Odpowiedź ta zawierała całe *credo* orleanizmu.

Na jakimś wieczorze literackim, jedna pani, przybyła z prowincyi, wyraziła zdanie, że znakomici pisarze powinni być przystojni. Zaprowadzono ją do stolika, przy którym grali w karty: Eugenjusz Delacroix, podobny do czarownicy, Sainte-Beuve, który wyglądał na odźwierną, i Balzac. istny rzeźnik.

Levallois d. 4-go września 1870-go roku spotkał Vermosela, przyszłego członka komuny, który do niego rzekł: „Rzeczy nie szłyby tak źle, gdybyśmy nie mieli prusaków na widnokręgu.“ Można powiedzieć że tysiące francuzów w tej chwili tak rozumiało i dąsało się na tę małą chmurkę niemiecką, zaciemniającą im widnokrąg! „Ludność — pisze Levallois — robiła wrażenie uczniów raptem uwolnionych od nauczycieli. Płynęli sobie do Charenton lub Auteuil oglądać improwizowane fortyfikacye, stare pale wbite w ziemię, które miały stać się „grobem konnicy pruskiej“, jakgdyby Moltke zamierzał kiedykolwiek zdobyć Paryż szarżą ułanów!“

Levallois schronił się do Rouen. Znalazł tam Flauberta, wściekłego na Paryż; zapewniał, że Paryż był miastem skażonem, nieszczęsnem, nie godnem zostać stolicą Francyi; że już nigdy osoby bogate, spokojne, cywilizowane do niego nie powrócą, że ludność tameczna nie zostawi kamienia na kamieniu, a o literaturze już mowy być nie może. Levallois trafnie tłumaczy usposobienie gniewne pisarzy paryskich, którzy musieli uciec z Paryża. „Literat, człek zwykle bardzo łagodny, staje się łatwo srogim, jeżeli mu zakłucają tryb życia i brutalnie mącą jego poszukiwania i medytacye.“

Levallois, dokładny, ilekroć pisze o ludziach, których znał i słyszał, jest mniej wiarogodny, czerpiąc w cudzych opowiadaniach. Dwie czytuje anegdoty o Adamie Mickiewiczu. Jedna i druga mogą mieć źdźbło prawdy, ale uległy upiększeniu. Mickiewicz lubił wyrażać się przypowieściami i często powtarzał, że nie wiemy, czem są zwierzęta, że mogą to być pokutujące duchy. Tego rodzaju spostrzeżenie przybiera w dziele Levallois kształt dziwaczny. Jakiś Herandeu (były ksiądz) zapewnił autora, że poeta, przechodząc po południu w wielki upał przez Pont-Neuf, wspomniał mu o grzesznikach, zamienionych w konie omnibusowe.

Druga anegdota przedstawia Mickiewicza, machającego laską podczas prelekcyi w College de France. Levallois nigdy nie był na żadnym wykładzie poety i sam dodaje w przypisku, że nie trzeba spuszczać się ślepo na legendy, bo jeden z słuchaczy Mickiewicza pisze, że jeżeli poeta opierał się na lasce, to nigdy nią nie machał, że był usposobieniem godności, starym szlachcicem XVIII-go wieku, z okiem natchnionem, z głosem drgającym i z postawą, nie pobudzającą wcale do śmiechu.

Żal było wyrzucić zmyśloną anegdotę, więc Levallois zaprzeczenie ogłosił, ale anegdotę zostawił. Przypomina to Lamartina, któremu świadek jakiegoś zdarzenia z pierwszej rewolucyi dowiódł grubego błędu. „Czy przekreślić tę stronicę?“ – zapytał go sekretarz. „Opowiadanie to ładne — odpowiedział Lamartine — nie zmieniajmy ani słowa.“

Wł. Mickiewicz.

„Na służbie,“

(Zofia Kowerska „Na służbie,“ powieść. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1896, t. I, str. 292, t. II, str. 257.)

Jakiś czas łudził się p. Zenon Stamarski zwodniczemi nadziejami, że się utrzyma na urzędzie, który wśród powszechnych przeobrażeń naszego stulecia pozostał już tylko jako samotna wysepka *in periculo maris*. Powodziło się mu dotąd w życiu tak świetnie, że wystawiano go młodzieży na dorobku jako dowód, że pracą i zdolnością dojść można do znaczenia i majątku. Majątek ten składał się wprawdzie tylko z wystawnie prowadzonego domu, powozu i paru koni do wyjazdu z wizytami i na rozmaite corsa; ale za to dziatwy była gromada spora i wychowanie jej prowadzono w takim stylu, jak gdyby chłopcy wyjść mieli odrazu na pułkowników lejb-gwardyi, dziewczęta zaś, po włożeniu długich sukienek — dostać za mężów półudzielnych książąt bawarskich. Nad przyszłością rzeczywistą najmniej się zastanawiała matka rodziny — pani Karolina, która czerpiąc obficie z zawsze otwartej kieszeni mężowskiej, wspaniałomyślnie pozwalała na to, „by ją uwielbiano, by jej dogadzano i by ją życie unosiło na fali leniwej, pełnej blasków, a kołyszącej do bezmyślnego szczęścia.“ Szczególnie w ostatnich latach życie Stamarskich przybrało wygląd wspaniały i wykwintny, z powodu ich córki najstarszej, Aliny, pieszczotki kochającego ojca i chluby ubóstwiającej matki. „Od chwili, gdy dziewczyna w świat wprowadzoną została, wszystkie myśli rodziców dokoła niej się obracały. Matce byłoby się wydawało zbrodnią pozbawić ją jednego balu, jednego koncertu, spaceru, podróży; żadne przedstawienie lub zabawa nie mogły się obyć bez pań Stamarskich.“

Taki jest początek powieści, tytuł zaś jej zawczasu wskazał, z czego się składać będzie środek. Grom padł nie z pogodnego nieba. Stamarscy sprzedają najpierw konie i powóz, przenoszą się następnie na skromniejsze mieszkanie, wreszcie wyprawiają Alinę „na służbę.“ Traf ślepy, który u nas

---

czenniczek,“ Wiera, zacząwzzy czytać, tak się zachwyciła tą książką, że wyprosiła są sobie u Niani i czytała całemi godzinami.

— Dlaczego nie urodziłam się wtedy w owych czasach? — myślała często z żalem,

Owego wieczora w wilię, gdy w duszy swej uczyniła ślub, że całe życie poświęci Bogu, spotkało ją coś nadzwyczajnego: siedziała wieczorem sama w pokoju, gdzie dawniej odbierała lekcye, wzrok jej padł na stary numer „Gazety dla dzieci“ którą dawniej prenumerowano dla jej sióstr. Z nudów zaczęła ją przerzucać i otwarła na wzruszającą opowieść o trzech misyonarzach w Chinach, spalonych przez pogan na stosie.

— W Chinach są jeszcze poganie? — pomyślała — tam można jeszcze dziś zasłużyć na koronę męczeńską. Boże, Ty sam wskazujesz mi drogę i wzywasz mnie do bohaterskiego czynu.

We wzruszeniu i ekstazie rzuciła sie Wiera na kolana W tym przypadku, że ten stary numer właśnie dziś wpadł jej w ręke na jej gorące modły, widziała niewątpliwie potwierdzenie boskiej opatrzności. Od tego dnia los jej był postanowiony. Wszystkie jej sny i marzenia przybrały pewną określoną formę. Wszystko, co Chin dotyczy, interesuje ją żywo, a gdy przypadkiem przy stole padnie jakieś słowo o tym kraju, rumieni się silnie. Tylko jednej rzeczy lęka się Wiera, żeby Chiny nie zostały nawrócone, nim ona dorośnie.

* * *

IV.

Dom Barancowów stał na wzniesieniu. Z północy spływał pagórek do stawu, wykopanego, rozumie się, przez chłopów. Tu był ogród w stylu wersalskim z małemi prostemi ścieżkami. wysypanemi żwirem, z bukietami kwiatów w formie serc, lub waz, z altankami brzozowemi, jaśminowemi i bzowemi, Dawniej mógłby ogród ten zachwycić każdego miłośnika sztucznie przystrzyżonej natury, ale dziś, gdy miejsce dawnego artysty-ogrodnika, któremu usługiwał cały sztab pomocników, zajmował się ogrodem chłop samouk i dwaj chłopcy — ogród przedstawiał smutny nędzny widok. Staw był zanieczyszczony i służył za mieszkanie niezliczonym rojom komarów, altanki groziły upadkiem, ścieżki zarastały trawą.

Niema nic smutniejszego, jak widok niepielęgnowanych strzyżonych altanek. Zato na drugiej stronie — nie od frontu — tam, gdzie sztuka mniej się wysiliła, tam było jeszcze teraz bardzo pięknie. Do domu przytykał lasek dębowy za którym góra stromo spadała ku potokowi. Potok szumiał i pienił się, gdy woda stała wysoko, w czasie posuchy stawał się piaszczystym rowem, na dnie którego sączyła się cienka, wąziuchna żyłka wody. Cały stok porosły był krzakami, na wiosnę oblany był wonnem, białem kwieciem, jak mlekiem, a dokoła rozbrzmiewały pieśni przepiórek, czyżyków i innych drobnych ptaków, czasami przelatywały także słowiki; w jesieni było mnóstwo orzechów laskowych i dzikich malin; w zimie zbierały się tam tak wiele śniegu, że stok tworzył białą jednolitą masę, z której tu i owdzie sterczały czarne gałęzie wierzby.

Wzgórzem tem kończyła się posiadłość Barancowów. Na przeciwległym brzegu strumyka rozciągały się dobra Stefana Michałowicza Wasylcowa. Ten nie mieszkał w swoich dobrach, jego jednopiętrowy dom stał tu samotny i pusty z zaryglowanemi drzwiami i okiennicami, a zapuszczony ogród zamienił się w zieloną cienistą pustynię, zarosłą bluszczem, jaskrami, dzwonkami i goździkami. O Wasylcewie opowiadano, że jest uczonym człowiekiem, w zimie mieszkał w Petersburgu, gdzie był profesorem technologicznego instytutu, na lato wyjeżdżał zwykle zagranicę i zapomniał, zdaje się, o swem niewielkiem dziedzictwie. Ale tej pamiętnej zimy zatrzymały się jednego dnia, przed domem Wasylcewa, sanki pocztowe; w saniach siedzieli dwaj żandarmi, a między nimi Wasylcew.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

najpunktualniej wspiera niedołęztwo, ospałość próżniactwo wytworne, przenosi Alinę na skrzydłach pary pod Oszmianę, do zamożnego ziemiańskiego domu Skierków czy Oskierków, w którym milioner Prędowicz po stracie żony umieścił przy babce nieletnią swą córeczkę Miecię, na wychowanie; panna Stamarska obejmuje przy niej obowiązek guwernantki z płacą roczną 2 tysięcy rubli, co jej pozwoli w kraju tym jeszcze niemal barbarzyńskim powtórzyć cywilizacyjną rolę Jadwigi Piastowiczówny. I rzeczywiście, już na str. 126 tomu I-go dowiadujemy się, że między nią, a młodym dziedzicem z pod Oszmiany, Juliuszem Oskierką, „powstaje coś, jak węzeł wzajemnej sympatyi.“ O trzy kartki dalej znajdujemy taki dyalog:

A l i n a. Możemy teraz być przyjaciółmi. Ja pana nigdy nie wezmę za konkurenta, pan mnie nigdy za kokietkę...

J u l i u s z. I staje między nami przymierze zaczepne i odporne, które się wzmacniać będzie, jeżeli przy bliższem poznaniu przyjaźń i szacunek nasz wzajemny wzrastać będzie...

A l i n a. I przynajmniej raz w życiu dwoje młodych ludzi, żyjących pod jednym dachem, nie będzie miało na myśli tego banalnego zakończenia wszystkich kwestyi: miłości i małżeństwa. Będziemy w takiej przyjaźni, jak gdybym nie była tą nieszczęśliwą panną na wydaniu, ale naprzykład chłopcem. Będzie to dla mnie prawdziwa rozkosz raz przecie nie widzieć prawdopodobnego konkurenta w młodym człowieku, który szuka mego towarzystwa...

J u l i u s z. Będzie mi, co prawda, nieco trudno wystawić sobie, że pani jest chłopcem, ale nawet bez tego wysiłku wyobraźni i widząc w pani młodą pannę, będę się czuł zupełnie swobodnym. Wiem, że pani pewno już nieraz wzbudziła w mężczyźnie silniejsze uczucie, że je pani pewno nieraz jeszcze wzbudzi, ale ja panią nie pokocham, bo sobie na to nie pozwolę w żadnym razie i nigdy... Ludzie sądzą o życiu wedle literackiej, powieściowej egzaltacyi, przeznaczając miłości pierwszą rolę... Co do mnie, nie jestem ani salonowy, ani zręczny, i pani pewno nie jednego przyjemniejszego odemnie widziała... A więc, panno Alino, będziemy rozmawiali, będziemy śpiewali, będziemy opowiadali... itd. — do str. 136.

Wnosićby z tego należało, że opowiadanie trzymane jest w tonie humorystycznym; ale nie, — rozmowy w tym guście prowadzone są wszędzie na seryo, obejmują po pięć, po dziesięć, po piętnaście stronnic, a ciągną się przez cały tom pierwszy i przez cały drugi — do samego końca. Na str. 139 tomu pierwszego Alina oznajmia Juliuszowi: „wszak ja nie mówię, że nie poszłabym za mąż: poszłabym prawdopodobnie, gdyby mię chciał za żonę taki, coby mi się podobał.“ Na str. 158, Juliusz, ze swojej strony, wyznaje przed sobą, że, „życie miał dotąd ciężkie i mozolne, teraz zaś, poczuwszy pierwszy gorący płomień miłości dla Aliny, zapytywał siebie, po co była cała ta praca. jeżeli się nie posiadało szczęścia.“ Na str. 167 opadają go skrupuły: ‚czy też Alina mogłaby go pokochać?.. sam on jest silny, on zniesie i wytrzyma, ale ta dziewczyna, która uczuciom swoim oddawała się z taką egzaltacyą, — coby z jej sercem uczyniła miłość nieszczęśliwa?...“ Tymczasem Alina, dopiero na str. 9 tomu II-go zaczyna powoli się domyślać przyczyny cierpień oszmiańskiego Wertera, chociaż już w tomie I-ym od str. 126 te źródło zobopólnych westchnień każdodziennie zwiedzała i szeroko nad niemi się rozwodziła. Nie przestaje przecież wciąż siebie badać i wypytywać w skromności swej dziewiczej i siostrzanej: „Czemu on cierpi? co go boli, co przygnębia? — „i w usposobieniu swem, tak skłonnem do litości, chciałaby była tego przyjaciela zapytać, co mu było, chciałaby była wziąć go za rękę, wyprowadzić go do ogrodu i tam wśród poczciwych, dyskretnych lip zapytać: co ci jest, powiedz mi dlaczego jesteś smutny? — a onby jej odpowiedział szczerze, bo odczułby w niej życzliwość gorącą i chęć przyniesienia ulgi współczuciem.“ Na str. 58 tegoż II-go tomu mamy obrazek. Matka Juliusza Skierki, surowa, poważna, sprężysta gospodyni domu spostrzegła pewnego dżdżystego dnia Alinę stojącą na stołku, ukrytą między płaszcze od kurzu wiszące w przedpokoju. Dziewczyna zdradziła się niebieską wstążką, której brzeg pozostał nieschowany. — Co to znaczy? — spytała Skierczyna. — Bawimy się z Miecią w chowanego: ona mię szuka w drugim końcu domu, a ja tu uciekłam...“ Niebawem atoli okazuje się, że i Juliusz nauczył się grać w chowanego. Dawniej gniewało go to, gdy Alinę spotkał w towarzystwie Mieci, obecnie brał dziecko na kolana, zaczynał poznawać je i lubić, wyrzucał sobie, że córka jedynej jego siostry (nieboszczki Prędowiczowej) była mu niegdyś obojętną, teraz zaś, ilekroć obie je — Miecię i Alinę — spotykał w polu, namawiał je, by szły z nim razem, bo tym sposobem, trzymając Miecię za rękę, mógł rozmawiać z Aliną swobodnie i spokojnie (61)... I wleką się te rozmowy, wleką, wleką...

Istnieją przeszkody, to prawda. Juliusz ma narzeczoną — Kocię, przytem milioner Prędowicz, ojciec Mieci, oświadcza się o rękę Aliny: obok tego ceny na zboże spadają, interesy majątkowe w energicznej dłoni pani Skierkowej (czy też poprawniej: Skierczynej), wikłają się, Juliusz podupada na duchu, powstają plotki, stary Skierka gra w karty, wyprawia awantury, rzuca się ze szczorykiem na żonę, obala ją na posadzkę, zadaje jej ciosy. Alina opuszcza służbę, wraca do rodziców, — raz do Warszawy, drugi raz do Rygi, gdzie Stamarscy znaleźli zyskowniejszą jakąś posadę. Z Kocią Juliusz zrywa, Prędowicz dostaje czarną polewkę, Skierczyna jedzie do Rygi po Alinę, przy której wierci się nowy konkurent — także zdaje się milioner — Adaś Poraj. Rozmowa... Tym razem rozmowa Skierczynej z Aliną, na str. 214 tomu IIgo.

— Alinko! zawołała matka Juliusza. — On potrzebuje ratunku, którego mu stara matka dać nie zdoła, a który dać mu możesz ty tylko jedna!

(Oczywiście Alina ani w ząb nie rozumiała o co chodzi).

— Ratunku?... Cóż się stało, pani?

— Powiem ci zaraz, i ty będziesz miała litość nad nim i nademną! Nie odmówisz mi!

— Jeżeli o ratunek chodzi... Ale co ja uczynić mogę?

— Słuchaj! On ciebie kocha i od twego wyjazdu tęsknił, rozpaczał, walczył sam z sobą... Miał nawet myśl samobójstwa... i nie wiem, czy jej jeszcze nie miewa chwilami... On mego nieszczęśliwego brata często przypomina, a brat mój umarł z melancholii... Ale teraz stała się rzecz najgorsza. Obudziła się w nim nagle namiętność ojcowska... pewno z rozpaczy i z braku nadziei .. Zaczął grać w karty... sama widziałam... czyniłam mu uwagi, ale on ich nie przyjął...

(I matka ćwiczy w ten sposób z kwadrans, a dziewczyna ani mrugnie, — dopiero, gdy przemówienie się skończyło) —

— O Boże! — zawołała Alina — co się z nim stało? On taki dobry syn! Wszak dawniej był tak pełen przywiązania, tak pełen uszanowania!

...Mniemacie, że to już koniec? — Wcale nie. Jest jeszcze stronic 42. Jest najpierw rozmowa o tem, j a k Juliusza ratować? później, c z e m go ratować? później, k i e d y go ratować? a nawet, c z y ratować?... Oto na str. 229 Alina wchodzi do pokoju nieprzytomnego prawie Juliusza, a on ją odpycha...

— Odejdę, jeżeli pan chce — rzekła Alina — ale nie rozumiem pana. Przyszłam powiedzieć, że cierpię wraz z panem, tak jak pan... Czy to nic nie znaczy?... Niech pan usiądzie, pan jest cały drżący od zmęczenia... Zaraz odejdę...- Pamięta pan, jak mię pan niegdyś wezwał w chwili podobnej?... Wtedy nie byłam panu ciężarem jak dzisiaj! Gdyby pan wiedział, jak jabym pragnęła wziąć na siebie połowę trosk pana!.! Dlaczego pan chce, bym odeszła?.. Niegdyś pan mię nazwał siostrą... Nie śmiałabym tego przypomnieć szczęśliwemu, ale dziś... przyszłam tu jak siostra...

Ma się rozumieć, kurtyna nie zapada jeszcze. Matka Juliusza chora, dogorywa. Nagle, na stronie 256, do pokoju syna wpada Alinka...

— Żyje! żyć będzie! — woła. — Gorączka spadła spadła, oddech łatwiejszy... Żyć będzie! Doktorzy mówią...

Juliusz stał przed nią, upojony jeszcze snem i naraz stało się coś, czego nie przewidział ani on, ani ona. Otworzył ramiona, a radość z uzdrowienia Skierczyny rzuciła w nie Alinę... Jego objęcia zamknęły się. Długi uścisk ich połączył. On ogarniał ją ramionami, ona tuliła się do niego. Płakali oboje ze szczęścia. Przez długą chwilę uścisk ich wydawał się czemś naturalnem, dopiero szelest jakichś kroków sprawił... że ramiona jego opadły, a ona, płonąca od wstydu, stanęła ze spuszczonemi oczyma. Serce jej biło jak młotem, oddychała spiesznie, w głowie jej szumiało, w oczach zrobiło się ciemno...

Lekarz przyszedł zawołać Juliusza do chorej... Ale co się przewlecze, to nie uciecze. Na str. 253 Juliusz wchodzi i widzi Alinę na klęczkach... Rodzi się w nim chęć powtórzenia poprzedniej sceny — to jest wyciągnięcia znowu rąk ku niej... Rozmowa:

— Jeżeli mi pani powie, że to był uścisk siostry, ja temu odrazu uwierzę, ja to zrozumiem. Przyszedłem, żeby panią uspokoić...

Alina zasłoniła twarz rękami.

— Ja nie chcę kłamać! — zawołała. — Nie wiem co się stało! Przyrzekłam być aniołem-stróżem, a teraz czuję...

Łzy zabłysły w jej oczach.

Nie kochałam pana.. doprawdy tylko jak brata! Ale gdy się czyją duszę weźmie w opiekę, to się ją musi pokochać silniej! Nie wiem kiedy się to stało.. dopiero teraz widzę, że to już od jakiegoś czasu było we mnie...

Pr.

Ruch kobiecy na ziemi galicyjskiej.

VIII.

(Jeszcze słówko o rzeźbie. — Nowe obrazki. — Muzyka i kobiety).

W sferze artyzmu znękany duch wypoczywa, — darujcie tedy Czytelnicy, że Was jeszcze zatrzymam przez chwilę w lwowskim salonie sztuki, lubo już korespondencyę poprzednią wyłącznie tym tematem wypełniłam. Głównym zaś z tej powodów tautologii jest fakt, świeżo skonstatowany, a dla miłośników sztuki arcymiły: Oto wspomniana już poprzednio rzeźbiarka, panna Dąbrowska umieściła w salonie pokaźną liczbę prac nowych, posiadających wybitne znamiona rozkwitającego talentu. Nadesłanemi rzeźbami wysunęła się p. Dąbrowska odrazu na wy-

żyny artystyczne, jako najwybitniejsza rzeźbiarka w Galicyi. Przeglądnijmy kolejno jej dzieła. U wstępu do salonu, naturalnej wielkości popiersie hr. Henryka Skarbka, kuratora fundacyi drohowyzkiej i teatralnego gmachu, zwraca ogólną uwagę, a zwraca ją świetnością wykonania, subtelnością dłuta; podobieństwo pozostawia niewątpliwie nieco do życzenia, lecz wina to po części szczególniejszej fizyognomii modelu: wyraz jej zmienia się bezustannie: apatyczna, skrzywiona, drwiąca itp., prawie nigdy pogodna, spokojna tym spokojem, który w harmonii władz duchowych ma źródło swoje. Lepszym jest biust pana H. — lepszym co do podobieństwa, ale pod względem wykonania przewyższa go portret hr. Skarbka. Świetne jest również studyum p. Dąbrowskiej, przedstawiające biust wieśniaczki; twarz jowialna, typ humoru i zdrowia chłopskiego, strój narodowy, malowniczy, niepozbawiony odrobiny pretensyi. Kokieterya stroju odpowiada takiemuż lekkiemu odcieniowi kokieteryi w ufryzowaniu, w uśmiechu zalotnym, w wystawieniu perlistych ząbków. Uchwyciła to z natury rzeźbiarka wybornie. Szereg prac p. Dąbrowskiej zamyka niewielki biuścik murzyńskiego dzieciaka, wykonany z terracoty (inne rzezby są z gipsu.) Murzynek ten śmieje się z całą swobodą dziecka, zwłaszcza dziecka społeczeństwa, nie znającego newrozy, przecywilizowania i przeestetyzowania! Ten uśmiech wymowny nadaje rzeźbie cechę prawdy i niesie z sobą ożywienie, które jest przymiotem wszystkich rzeźb p. Dąbrowskiej. Stoi tedy w dziedzinie rzeźby na takiem stanowisku, na jakiem Pająkówna w dziedzinie malarstwa.

Ale jeszcze słówko *à propos* p. Pająkówny. W ostatnich dniach pojawił się na wystawie jej obraz p. n. „Modlitwa". Przedstawia on Chrystusa modlącego się. „Modlitwa" Pająkówny nie jest wszakże zwykłem odmawianiem pacierzy, to raczej zapuszczenie wzroku ducha w daleką przyszłość i kontemplacya. (Twarz Chrystusa, jest twarzą mądrości, pracy myśli, zagłębiania się, cierpienia i trudu. A kto wie, czy tego ostatniego nie najwięcej. Blasku boskości, aureoli świetlanej nadziemskości Chrystus p. Anieli Pająkównej nie posiada. Zapatrzony w przestrzeń i smutny; odziany w białą szatę a przez jedno ramię zwiesza mu się płaszcz barwy fioletowej, od refleksu światła w różową barwę przechodzącą. Tło poraz pierwszy dała p. Pająkówna impresyonistyczne. Charakter obrazu zdradza sporą dozę realizmu.

I jeszcze słówko dodać musimy o nowej malarce, pannie Zofii Brühl, która nie maluje na razie nic, prócz owoców: więc jest kolekcya różnych gatunków pomarańcz, ugrupowanych na tacy, jest także i druga kolekcya cytryn; barwy nie pozostawiają nic do życzenia, a przekroje są dziwnie łudzące. Nie umiem ocenić tego rodzaju malarstwa inaczej, jak tylko zarzutem, iż pomimo wszystkich technicznych zalet, jest ono za drobiazgowe, za poziome i bezmyślne. Niezawodnie, jeźli mamy specyalistę od malowania koni, możemy mieć i specyalistkę od malowania cytryn i pomarańcz, lecz zauważyć trzeba, że Kossak maluje obok koni także ludzi działających i myślących, a jakkolwiek we Francyi pani Rosa Bonheur zdobyła sobie wielką sławę i medal złoty malowaniem jedynie zwierząt, to ja przynajmniej do tego rodzaju sztuki przekonać się nie mogę.

Tyle o malarstwie i rzeźbie. Przechodzę z porządku rzeczy do muzyki. Lwia część muzyki u nas należy do kobiet. One przeważają po szkołach muzycznych, na pensyach, w udzielaniu lekcyi prywatnych, zwłaszcza, jeśli chodzi o tak brutalny instrument jak fortepian. Nauczycieli gry na fortepianie mamy stosunkowo mniej; za to inne instrumenty jak skrzypce, flet, bas, obój, wiolonczellę, cytrę opanowali, stósownie poniekąd do natury samych instrumentów, mężczyźni. Jakkolwiek spotyka się tu i owdzie kobiety grające na skrzypcach i cytrze, to już kobieta, grająca na wiolonczeli, basie, flecie, klarnecie, byłaby, u nas zwłaszcza, fenomenem. Pomiędzy kobietami uprawiającemi z zamiłowaniem muzykę, i to nie jako akcesoryum życia prywatnego, ale jako sztukę, spotyka się obok odznaczonej w konserwatoryum paryskiem pianistki Heleny Krzyżanowskiej, głównie nazwiska nauczycielek konserwatoryum towarzystwa muzycznego, szkoły Mikulego, oraz szkoły Marka we Lwowie. Trzy te instytucye odbyły właśnie doroczne popisy, na których uczennice, odznaczające się biegłością gry, pilnością i zdolnościami otrzymały medale lub listy pochwalne. Pomiędzy nauczycielkami dobrze zasłużonej sławy używają: pani Kozłowska, nauczycielka gry na fortepianie, p. Thotowa, Zellingerowna, Maliszowa, Brzechowska i t. d. W szkole Mikulego najwybitniejsze uzdolnieniem są nauczycielki: panna Setmajerówna, pani Latour i Łuczkiewiczowa. Prócz tych są jeszcze odrębne szkoły gry na fortepianie: pani Jadwigi Duninowej, Słomkowskiej, Markiewiczowej, Ostrowskiej i Kościeleckiej. Szkołą śpiewu w Lutni kieruje panna Stróżecka, zresztą oddziały inne mają kierowników mężczyzn. Jako wiolinistki znane są u nas panny Podgórskie, które zresztą zna i zagranica z koncertów smyczkowych — oraz p. Daczkowska-Loeblowa. Kraków ma także towarzystwo muzyczne, i wybitne siły kobiece w zakresie muzyki, a obecnie nawet polską posiada operę. W gronie artystek operowych wyróżnia się pani Kruszelnicka, której gra i wyraźna deklamacya są uderzająco piękne, głos jednakże, pomimo, iż znać w nim dobrą szkołę, w wysokich tonach nie ma potrzebnej śmiałości i swobody. W operze i operetce występuje tam obecnie młodziutka adeptka sztuki, panna Broccard, której pewne koła wróżą wielką przyszłość; dziś jednak jeszcze głos artystki jest niewyrobiony, trochę za słaby, a główną jego wadą w wysokich tonach częste *tremolando*. Spotykałam nieraz podobne głosy jak p. Broccard, jedne ginęły w powodzi coraz to nowych debiutów, inne wybijały się na pierwszy plan. Do takich np. należy pani Malinowska, która karyerę swą rozpoczęła we Lwowie, a następnie wyjechała zagranicę, gdzie ją bardzo życzliwie, równie jak u nas, przyjmowano, i gdzie dotychczas zbiera wawrzyny. W czasie jej występów, zwłaszcza po sukcesie w „*Hugenotach*", powtarzała sobie prasa następujący czterowiersz:

„Po cóż nam tych przedartych, zbrakowanych gości,
„Gdy nam śpiewaków naszych cały świat zazdrości?
„Zdołaż do nas przemówić obca zgraja włoska
„Jak serdeczny Myszuga albo Malinowska?

I nie była to frazeologia!

Wiele w przyszłości obiecuje głos panny Janiny Koralewiczówny; najlepsi znawcy i zamiłowani muzycy uznali głos ten za fenomenalny; kształci się jeszcze ciągle, a niebawem, prawdopodobnie w zimowym sezonie operowym, usłyszy ją publiczność lwowska. Z dotychczasowych sił opery tutejszej trudno zachwycać się śpiewem pani Kasprowiczowej, której głos średniej wartości ma wyborną, co prawda, rutynę, ale deklamacya jest nie polska. Porywała niegdyś swym śpiewem pani Skalska, lecz dziś, niewiadomo czemu, prawdopodobnie dla jakiegoś widzimisię zarządu teatralnego, usuniętą została na plan ostatni, jakkolwiek należałoby się jej jedno z pierwszych miejsc. Miły, aczkolwiek nie wielki, głos posiada ulubiona śpiewaczka operetkowa, pani Radwan; prowincya dostarcza nader małego kontyngensu talentów, nie obrażając miasta Bolechowa, z którego podobno pochodzi pani Sembrich-Kochańska, władająca potężnym i czarującym głosem.

J. Aleksota.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Wspomnienia o Karolu Marksie.*)

Gdym w roku 1847 wyruszał w podróż do Europy, dał mi jeden z moich znajomych, obywatel ziemski z gubernii stepowych, list polecający do Karola Marksa. Znajomy mój cieszył się w swojem otoczeniu sławą doskonałego śpiewaka cygańskich piosnek, dobrego gracza i wytrawnego myśliwego. Jak się okazało, był on w najlepszych stosunkach z nauczycielem Lassala i przyszłym wodzem Międzynarodówki. Zapewniał on Marksa, że jest duszą i ciałem oddany jego wniosłej nauce, idei przekształcenia stosunków ekonomicznych Europy, że wraca do Rosyi z zamiarem sprzedania swoich dóbr i poświęcenia całego majątku na rzecz zbliżającej się rewolucyi. Iść dalej w ofiarności chyba nie można! Jestem też przekonany, że ów obywatel w chwili, gdy dawał te obietnice, sam święcie w nie wierzył. Ale powróciwszy do Rosyi, naprzód do swoich dóbr, później do Moskwy, oczywiście nie myślał więcej o entuzyastycznych przyrzeczeniach; umarł on niedawno w Moskwie, jako stary, ale pełen jeszcze ognia kawaler. Doprawdy nic dziwnego, że po tego rodzaju doświadczeniach zarówno u Marksa, jak i u innych na długie lata utrwaliło się przekonanie, że każdy rosyanin, który się do nich zbliża, musi to być albo szpieg, albo niecny oszust.

Skorzystałem z rekomendacyi mego ognistego szlachcica, który wówczas jeszcze był w entuzyastycznym nastroju i zostałem przez Marksa przyjęty bardzo uprzejmie. Marks był wtedy w Brukselli jeszcze pod wrażeniem wspomnień o owym klasycznym przedstawicielu „szerokiej rosyjskiej natury", z którym się poznał zupełnie przypadkowo; mówił o nim z wielkiem zajęciem i, jak mi się zdaje, upatrywał w tem nowem dla niego zjawisku objaw niesfałszowanej siły rosyjskiego narodu.

Marks przedstawiał sobą typ człowieka, na który składała się energia, siła woli i niewruszone przekonanie, typ w najwyższym stopniu ciekawy nawet ze strony zewnętrznej. Gęstwina czarnych włosów na głowie, ręce porośnięte włosami, surdut źle zapięty; miał jednak wygląd człowieka, który umie nakazać szacunek, jakkolwiek dziwnym mógł się wygląd jego zdawać. Ruchy jego były niezgrabne, ale śmiałe i pewne siebie; maniery przeczyły wszelkim regułom uświęconego *comme-il-faut*. Ale nosiły na sobie piętno dumy z lekką domieszką pogardy; jego silny głos o metalicznym dźwięku doskonale harmonizował z radykalnemi poglądami na świat i ludzi, które wypowiadał. Nie mówił inaczej jak w rozkazujących, nie znoszących oporu słowach, które jeszcze bardziej zaostrzał ton, przenikający wszy-

*) Artykuł powyższy Rosyanina M. Annenkowa podajemy w przekładzie krakowskiej „Krytyki".

stko, co mówił, a we mnie budzący prawie bolesne wrażenie. Ton jego wyrażał silne przekonanie o jego misyi kierowania ludźmi i przepisywania im praw. Zdawało mi się, że widzę przed sobą wcielenie demokratycznego dyktatora, jakie wymarzyć sobie może fantazya.

Zaraz przy pierwszem spotkaniu zaprosił mnie Marks na świadka rozmowy, która miała się odbyć nazajutrz pomiędzy nim a krawcem Weitlingiem, przywódcą dość znacznej partyi robotniczej w Niemczech. Rozmowa ta miała na celu porozumienie się — jeśli to będzie możliwe — przywódców ruchu robotniczego co do wspólnej taktyki. Naturalnie nie wahałem się ani chwili z przyjęciem zaproszenia.

Krawiec Weitling był to przystojny, młody blondyn, w nieco kuso skrojonym surducie, z kokieteryjnie ostrzyżoną bródką; wyglądał on raczej na komiwojażera, niż na posępnego, zgorzkniałego, ciężarem pracy i myśli przygnębionego robotnika, jak go sobie wyobrażałem.

Gdyśmy się sobie przedstawili, — co Weitling uczynił z pewną wyszukaną grzecznością — zasiedliśmy przy małym, zielonym stoliku. Marks usiadł przy wąskim końcu, z ołówkiem w ręku, pochyliwszy swą lwią głowę nad arkuszem papieru, podczas gdy jego nierozłączny przyjaciel i współpracownik, wysoki, wyprostowany, po dżentelmeńsku poważny Engels otworzył posiedzenie. W przemówieniu swem wskazał on na to, jak konieczną jest rzeczą, by ludzie, którzy poświęcają się reformie pracy, wyjaśnili sobie wzajemnie poglądy i ułożyli program, który mógłby posłużyć za sztandar wszystkim towarzyszom, nie mającym czasu lub możności zajmowania się teoretycznemi kwestyami. Jeszcze Engels nie skończył, gdy Marks podniósł głowę i zwrócił się wprost do Weitlinga:

„Powiedzcie nam, Weitlig, wy, coście swą komunistyczną propagandą tyle hałasu narobili w Niemczech i przyciągnęli tylu robotników, pozbawiając ich zajęcia i chleba — powiedzcież nam, jakiemi argumentami bronicie swej socyalnej-rewolucyjnej agitacyi i na czem myślicie ją oprzeć w przyszłości“?

Przypominam sobie zupełnie dokładnie nawet formę, w której było postawione to ostre pytanie. Rozpoczęła się w naszem małem kółku namiętna dyskusya, która jednakże, jak się okaże, nie długo trwała.

Weitling chciał widocznie utrzymać rozmowę na torze ładnych frazesów. Z poważnym, nieco zakłopotanym wyrazem twarzy począł on wywodzić, że jego zadaniem nie jest tworzenie nowych ekonomicznych teoryi, lecz tylko rozwijanie tych, ktore, jak się okazało we Francyi, najłatwiej mogą robotnikom otworzyć oczy, nauczyć ich, że nie należy wierzyć żadnym obietnicom, lecz liczyć tylko na siebie samych.

Mówił on długo, ale ku memu zdziwieniu, w przeciwieństwie do Engelsa, niejasno i zawile, często się powtarzając, poprawiając, z trudnością zdążając do wniosków, ktore przychodziły albo za późno albo też wyprzedzały przesłanki. Miał on teraz innych słuchaczy, jak ci, którzy otaczali go w warsztacie lub czytali jego pisma i różne pamflety: to też stracił zwobodę myśli i wysłowienia.

Prawdopodobnie mówiłby jeszcze dłużej, gdyby Marks z gniewnie ściągniętemi brwiami nie przerwał mu i nie rozpoczął swej odpowiedzi. Treścią jego sarkastycznych wywodów było, że jest to poprostu oszustwo poruszać lud, nie dając mu trwałych podstaw dla jego działalności. Budzenie fantastycznych nadziei, o których była właśnie mowa, — ciągnął Marks dalej, — nigdy nie prowadzi do wyzwolenia cierpiących, lecz tylko do ich zguby. Zwłaszcza w Niemczech zwracać się do robotników bez ściśle naukowych idei i konkretnego programu znaczy to w lekkomyślny, niesumienny sposób bawić się w propagandę: z jednej strony natchniony apostoł, z drugiej gromada osłów, słuchających z rozdziawionemi gębami. Oto mamy między sobą, mówił Marks, szybkiem poruszeniem ręki na mnie wskazując, — mamy między sobą rosyanina. W jego kraju, Weitling, wasza rola byłaby może na miejscu, tam rzeczywiście można skutecznie zakładać związki, złożone z niedorzecznych apostołów i równie niedorzecznych uczniów. W kraju cywilizowanym, jak Niemcy, bez wyraźnego, konkretnego programu nie można nic zrobić i nic się jeszcze nie zrobiło prócz hałasu, szkodliwego podniecenia i gubienia samej prawy.

Blada twarz Weitlinga pokryła się rumieńcem — a mowie wróciła łatwość i ożywienie. Drżącym ze wzruszenia głosem zaczął dowodzić, że człowiek który skupił naokoło siebie setki w imię idei sprawiedliwości, solidarności i braterstwa, nie zasługuje na nazwę pustego i nic nie znaczącego, że on Weitling, wobec tych napaści pociesza się setkami listów, oświadczeń, które otrzymuje ze wszystkich zakątków kraju, a które zgodnie wyrażają mu wdzięczność, że może jego skromna przygotowawcza praca więcej ma znaczenia od naukowej krytyki i gabinetowej analizy, zdala od cierpień i potrzeb ludu rozwijanej.

Przy ostatnich słowach Marks, pełen gniewu, uderzył pięścią w stół tak silnie, że stojąca na nim lampa zadrżała, i podnosząc się zawołał:

„Ciemnota nikomu jeszcze nie przyniosła korzyści!“

Poszliśmy za jego przykładem i wstaliśmy. Rozmowa była skończona i podczas gdy Marks w niezwykłem gniewnem podnieceniu chodził po pokoju, szybko się pożegnałem i wyszedłem, zdziwiony tem wszystkiem, co widziałem i słyszałem.

Stosunki moje z Marksem nie przerwały się z wyjazdem moim z Brukselli. Spotkałem się z nim i Engelsem raz jeszcze w r. 1848 w Paryżu, dokąd obaj przybyli zaraz po rewolucyi lutowej w zamiarze studyowania francuzkiego socyalizmu, który teraz zyskał zupełną swobodę ruchu. Wkrótce wszakże porzucili ten zamiar, gdyż socyalizm ten zupełnie opanowany został przez kwestye polityczne czysto miejscowej natury, i miał już swój gotowy program, od którego odwieść się nie dawał — program wywalczenia dla klasy robotniczej z bronią w ręku dominującego stanowiska w państwie.

Ale jeszcze przedtem dłuższy czas prowadziłem z Marksem poufną — dla mnie niezmiernie ciekawą korespondencyę. Tak np. z powodu znanej książki Proudhona „Le systéme des Contradictions economiques“ (System sprzeczności ekonomicznych) napisał mi Marks długi list po francuzku, gdzie rozwinął swoje poglądy na teorye Proudhona. List ten niezmiernie jest ciekawy. Jego znaczenie określają dwie cechy: po pierwsze krytyka twierdzeń prudhonowskich, która zawiera w sobie wszystkie zarzuty, później przeciwko nim kierowane, powtóre zupełnie nowy pogląd na znaczenie ekonomicznej historyi społeczeństwa. Marks jeden z pierwszych rozwinął zasadę, że formy polityczne i wogóle całe życie społeczne, moralność, filozofia, sztuka i nauka, są tylko rezultatem stosunków ekonomicznych, i że ze zmianą tych ostatnich zmieniają się, nawet znikają formy polityczne i społeczne. To też poznanie i wyjaśnienie praw, kierujących zmianami w ekonomicznych stosunkach, jest rzeczą największej wagi. Ale w antynomiach (sprzecznościach) Proudhona, w jego przeciwstawianiu zjawisk ekonomicznych — zupełnie dowolnem i nie opartem na historycznym ich przebiegu, — w antynomiach tych upatrywał Marks tendencyę autora, by uspokoić sumienie burżuazyi sprowadzaniem przykrych faktów rzeczywistości do niewinnych abstrakcyj à la Hegel. Dlatego też nazwał on Proudhona teologiem socyalizmu i przedstawicielem drobnomieszczaństwa. Podaję tu w dosłownem tłomaczeniu koniec listu, gdyż może on posłużyć za komentarz do wyżej opisanej sceny i za klucz do jej zrozumienia.

„W jednej tylko rzeczy zgadzam się z p. Proudhonem, mianowicie w jego nienawiści do czułostkowości socyalistycznej. Jeszcze pierwej niż on, zyskałem sobie mnóstwo wrogów z powodu drwin z utopijnego czułostkowo-baraniego socyalizmu (socialisme moutonnier). Ale pan Proudhon myli się w najdziwniejszy sposób, chcąc jeden rodzaj sentymentalizmu zastąpić przez drugi, przez sentymentalizm drobnomieszczaństwa z jego deklamacyami o świętości domowego ogniska, o miłości małżeńskiej i tym podobnych pięknych rzeczach — przez sentymentalizm, który w dodatku wyrażony jest u Furiera daleko głębiej, niż w banaluych frazesach cnego Proudhona. Zresztą on sam czuje, że niezdolny jest do rozumowania o tych kwestyach, gdyż wpada przy tem w nieopisany gniew, w patos i oburzenie uczciwej duszy. Pieni się, rzuca, oskarża, krzyczy o hanbie i korupcyi, bije się w piersi i wzywa Boga i ludzi na świadków, że nie ma nic wspólnego z okropnościami socyalistów. Nie zajmuje się krytyką ich sentymentalizmu, lecz jak istny święty lub papież wyklina nieszczęsnych grzeszników, piejąc jednocześnie hymny na cześć drobnomieszczaństwa. Cóż to jest drobnomieszczanin? W społeczeństwie rozwiniętem musi on być z jednej strony drobnomieszczańskim ekonomistą, z drugiej zaś socyalistą. Olśniewa go blask wielkiej burżuazyi, a jednocześnie przejmuje współczucie dla cierpień ludu. Jest on jednocześnie mieszczaninem i ludem. W głębi swego sumienia dumny jest ze swojej objektywności, dumny z tego, że znalazł tajemnicę równowagi, która według niego, nie ma nic wspólnego z „juste milieu“, złotym środkiem. Taki człowiek umie łączyć rzeczy najsprzeczniejsze, gdyż on sam nie jest niczem innem jeno żywą społeczną sprzecznością. Przedstawia sobą w praktyce to, czego uczy jego teorya.

P. Proudhon zasługuje na zaszczyt reprezentowania francuskiego drobnomieszczaństwa. I to jest prawdziwą zasługą. Drobnomieszczaństwo bowiem będzie niewątpliwie odgrywało znaczną rolę w przyszłych przewrotach społecznych.

Chętnie posłałbym panu wraz z tym listem moją książkę: „O ekonomii politycznej“. Ale dotychczas nie mogłem znaleźć wydawcy ani na tę pracę, ani na moją krytykę niemieckich filozofów i socyalistów. Nie masz pan pojęcia, jakie przy tego rodzaju wydawnictwach napotyka się trudności — zarówno ze strony policyi, jak i księgarzy, którzy właśnie są przedstawicielami zwalczanych przezemnie tendencyj. A co się tyczy naszej partyi, to jest ona przedewszystkiem bardzo uboga, a powtóre znaczna jej część oburzona na mnie za wystąpienie przeciwko jej deklamacyom i utopiom.“

Praca „o ekonomii politycznej“ będzie to zapewne „Kapitał“, który dopiero niedawno wyszedł*). Muszę wyznać, żem wraz z wielu innymi nie wierzył wówczas w słuszność sądu, który Marks wypowiedział o Proudhonie: oczarowany bowiem byłem, jak i znaczna część publiczności, patosem i dyalektyczną zręcznością Proudhona

*) Autor się myli: „Kapitał“ jest owocem późniejszych kilkunastoletnich studyów Marksa w Britisch Museum; mowa tu zapewnie o „Nedzy filozofii“ pracy polemicznej przeciwko Proudhonowi (1847).

Z powrotem moim do Rosyi w październiku 1848 r. ustały moje stosunki z Marksem i nigdy już nie zawiązały się na nowo. Czasy nadziei, mglistych tęsknot już przeszły, a praktyczna działalność, jaką Marks wybrał, tak była odległą od życia rosyjskiego, że chcąc w niem pozostać, mogłem śledzić działalność Marksa tylko zdala, pośrednio i urywkowo za pomocą gazet.

M. Annenkow.

TO I OWO.

Dola nauczycielek.

We warszawskiej „Prawdzie“ znajdujemy następujące uwagi o doli nauczycielek:

„Dola ich osławiona, głośna, niejednokrotnie już się odbiła echem współczucia śród lepszej cząstki społeczeństwa, niejednokrotnie śród niej gorycz i oburzenie wywołała. Nauczycielka, szczególnie wędrująca po prowincyi, jest istotą najbardziej narażoną na poniewierkę, podeptanie godności i praw człowieczych, najbardziej znieważaną i policzkowaną moralnie na każdym kroku, najbardziej bezsilną i najmniej obronną wobec pogardy i wyzysku. Daje ona to, co może dać najlepszego młodej latorośli śród burżuazyi i filisteryi społecznej: trochę światła i serca. W zamian za to otrzymuje zimny pieniądz, owinięty w zniewagę. „Zapłacona“ niemal tyle znaczy, co „kupiona.“ Ponieważ jest przyjęta do domu, częstokroć sypia w jednym pokoju ze swemi pupilkami, więc musi nad niemi czuwać i we dnie i w nocy, pilnować, ażeby zasnęły spokojnie i „przyzwoicie,“ ażeby się zbudziły na czas i wedle przepisów „wychowania,“ ażeby wzorowo zjadły śniadanie, wzięły się do lekcyi, poszły na spacer, spożyły podwieczorek i kolacyę, ażeby przy stole zachowywały się wedle przepisów kodeksu towarzyskiego. Nauczycielka ma całkowicie zagwożdżoną niemi głowę i we śnie i na jawie; zrywa się w nocy, ażeby zobaczyć, czy śpią spokojnie, czuwa w dzień nad każdym ruchem i słowem. Niema dla siebie kąta osobnego, chwilki jednej na rozmyślanie niezależne, wypoczynek, lub czytanie. Dobrze, jeżeli choć sztywnie, lecz „przyzwoicie“ i względnie grzecznie jest traktowaną, jeżeli po za pracą pedagogiczną nie jest na nią wkładana żadna inna rola. Wyjątkowo zaliczana bywa „w poczet rodziny,“ otaczana serdecznością niekłamaną.

W większości wypadków dzieje się inaczej. Bywają takie fakty, które należy podawać jako ostrzeżenie publiczne. Oto jeden z wielu zasługujący na ujawnienie: Do Falenicy, ogiska letnich mieszkań przy kolei Nadwiślańskiej, rodzina przemysłowca sprowadziła sobie nauczycielkę, którą odrazu po przybyciu na miejsce wzięto nietylko w niewolę, lecz pod każdym względem zaliczono do kategoryi sług. Nie wolno jej było nawet w pokoju wieszać swego ręcznika, kazano umieszczać go w kuchni: nie wolno było czytać, ani też na chwilę zniknąć z oczu „pani domu.“ Nie miała prawa w niedzielę udać się na parę godzin do krewnych, mieszkających w pobliżu. Obrzucana na każdym kroku zniewagą, którą zwykle najhojniej szafują ludzie z drobnomieszczańskich sfer dorobkiewiczów, musiała wreszcie po tygodniu męk i obelg porzucić swoją pracę niewolniczą. Zapłacono jej akuratnie za tydzień i akuratnie wytrzymano do tej godziny, o której przed tygodniem przyjechała. Takie znamienne fakty będą się zdarzać ciągle, póki nie powstanie u nas racyonalne pośrednictwo, zamiast obecnych kantorów stręczeń, mających tylko spekulacyę na celu. Pośrednictwo takie powinno się opierać na obustronnem sumiennem badaniu stosunków. Dotychczas tylko zarobkodawcy żądają danych dotyczących uzdolnienia i konduity nauczycielek. Jest to całkiem słuszne wymaganie. Ale należałoby również skrupulatnie badać wartość moralną zarobkodawców. Zapewne — przyczyną wzajemnej goryczy i niechęci między zarobkodawcami i nauczycielkami bywa nieraz brak odpowiednich kwalifikacyi ze strony pracownic, lub ich temperament, pozostający w wiecznej rozterce z niewłaściwym rodzajem pracy. Ale to w całej tej dziedzinie daje znacznie mniejszą sumę faktów i — łatwiejszą możność unikania tych rozczarowań i zawodów.“

NA WYŁOMIE.

(Nowy dyrektor teatru. Moja rozmowa z p. Rygierem i jego program.)

Post tot discrimina rerum zakończyła się sprawa teatru zwycięstwem p. Edmunda Rygiera z Krakowa. Radzie nadzorczej, a w pierwszym rzędzie panu Bronisławowi Żychlińskiemu i dr. Kusztelanowi, jako członkom ściślejszej komisyi, należy się słowo serdecznego uznania, że energią swoją i sprężystością kłam zadali pogłoskom o typowej apatyi ministeryalnego biura sceny poznańskiej, a torując wybór kierownika, który jako człowiek i jako artysta posiada nader cenne zalety, złożyli zarazem dowód krytycyzmu zdrowego.

Mamy zatem nowego dyrektora i witamy go z tą ufnością, że dokona on pomyślnie reorganizacyi teatru i stanie się odnowicielem tej biednej sceny, która w ostatniem dziesięcioleciu, mimo ofiar stutysięcznych, spadała na coraz niższe szczeble artyzmu i służyła tak w naszych jak zakordonowych dzielnicach za temat drwin zasłużonych. Niech tylko publiczność poznańska oceni należycie ogrom zadania i niechaj nie żąda, by p. Edmund Rygier jak rycerz legendowy uprosił sobie u leśnej wróżki różdżkę czarodziejską, która za jednem dotknięciem stajnię w pałace zamienia. Nowy dyrektor obejmuje teatr poznański w trudniejszych warunkach niż którykolwiek z poprzedników jego: Garderoba pusta, dekoracye pożal się Boże, rekwizyta w ruinach, — same rupiecie i strzępy. Każdy z dawniejszych kierowników brał w spadku po zdetronizowanych dyrekcyach jaką taką spuściznę w kostyumach, meblach, przyborach scenicznych, lecz śp. Franciszek Dobrowolski na przestrzeni ostatnich lat dziesięciu wolał opłacać sowicie całe legiony nieużytków w personelu teatralnem niż poświęcić kilka marek na malarzy, tualety i — nie uwierzycie — gwoździe i powrozy. Proszę nie posądzać mnie o przesadę. Nie korzystam dzisiaj z przywilejów feljetonisty i nie szukam na palecie jaskrawych kolorów. Opowiadam fakty autentyczne, na które nieraz tak często i tak gorzko się skarżyłem. I niechaj mi nikt nie przypomina znanego przysłowia: „Tak krawiec kraje, jak mu sukna staje“ bo ten krawiec poniesiony niedawno do mogiły źle krajał, i dla tego sukna nie stało i dla tego dziś takie gruzy i sypkie rumowiska w teatrze. Nie tykałbym grobów, gdyby nie konieczność zapoznania publiczności z tem wyjątkowem zniszczeniem, w które p. Edmund Rygier wstępuje, by pracować, budować i dźwigać scenę z upadku.

Dni kilka temu spotkałem go wracającego z wycieczki na teren przyszłej działalności. Oblicze miał zasępione i troską pokryte, lecz w oczach błyszczała nieugięta wola. Wyciągnąłem rękę:

— Cóż? niewesoło w teatrze?

— Niewesoło — powtórzył cicho, a po chwili zadumy tak do mnie mówił:

— Mam wrażenie, że stanąłem na ruinach zburzonej świątyni, powołany, by zbudować nowy przybytek sztuce. Widzi Pan, jest w tych ruinach niepokój, który pełza ku mnie i mrokiem duszę otacza, ale jest w tym ogromie zadania zarazem coś kuszącego i człowiek zaczyna prawie kochać te gruzy tak, jak matka najsilniej miłuje dziecko swe wtedy, gdy chore i słabe, gdy śmierci wydrzeć je trzeba. Niech się redaktor z moich literackich metafor nie śmieje. Jest w nich może pewna doza przesady, ale my artyści już z zawodu mamy pewien pociąg do barw pełnych i sytych... Tu trzeba być nietylko dyrektorem, reżyserem, artystą, lecz budować, z prochu dźwigać, walczyć ze zniszczeniem. Do takiej sceny, jaką tam widziałem — tu zwrócił głowę ku teatrowi) — publiczność nie mogła mieć przywiązania. Restauracyę rozpocząć muszę od gruntu i cały warsztat odświeżyć.

Umilkł. Po chwili jednak znów mówić począł.

— Przychodziła mi dzisiaj myśl rzucić to wszystko i wrócić na dawne, wygodne stanowisko w teatrze krakowskim, lecz chciałoby się po sobie na ojczystej ziemi jakiś ślad zostawić. Przecież to nie dosyć być artystą, trzeba być także obywatelem. O moich Otellach i Stockmanach ludzie zapomną niebawem, lecz gdy wielkopolskiej scenie przywrócę jej dawne blaski i ten czar, który niegdyś na publiczność wywierała, to może w tem biednem i znękanem, a wdzięcznem za najdrobniejsze przysługi społeczeństwie zaskarbię sobie trochę serca i trochę trwalszej pamięci.

— A czy pan dokładnie obliczył siły swoje i plan reformy ułożył? — spytałem sympatycznego artysty.

— Nie przeczę, że jest to pewne ryzyko, — odparł — i wiem, że może utopię bez ratunku kawał osobistego mienia w tej scenie, która już tyle pochłonęła tysięcy. Po przeprowadzeniu jednak bardzo ścisłych, nawet nieco pesymistycznie zabarwionych rachunków, nabrałem przekonania, że dzieło reorganizacyi powiedzie mi się niewątpliwie, jeżeli publiczność i prasa nie będzie mi skąpić choćby tylko średniego poparcia. Nie żądajcie jednak za wiele. Muszę działać ostrożnie i oszczędnie, bo zuchwałe eksperymenty finansowe zgotowałyby mi może przelotne powodzenie, lecz mogłyby mnie w pół drogi pozbawić sił, niezbędnych do stanowczej reformy. Dekoracyę, garderobę, rekwizytornię — wszystko to zrestauruję, ale w tempie powolnem, bez efektownego galopu. Gdzie rękę przyłożę, próchno się sypie — w jednej chwili uzdrowić tego kalectwa niepodobna. Przedewszystkiem uleczmy duszę...

— A propos duszy — przerwałem — czy pan pomyślał już o nowej trupie.

— Oczywiście — zawołał żywo artysta. — Jest to może najtrudniejszą częścią mojego zadania, bo zrozumie redaktor, że teatr prowincyonalny musi pracować taniemi siłami, a zatem do powag uznanych i głośnych, do wyżyn artyzmu sięgać nie może. Opierać się będę głównie na talentach początkujących i z młodych artystów złożę *ensemble* przyzwoity. Leszczyńskiego, Ludowej — takich gwiazd naturalnie tu na stały pobyt nie sprowadzę do was, — lecz *si magna parvis comparare licet*, Meiningeńczycy także nie posiadają wybitnych talentów, a podziw budzą *ensemblem*. W poznańskich warunkach reżyserya jest głównym atutem rozstrzygającem o partyi. Zakładam szkołę

i wychowuję artystów. Ciężka to praca lecz wdzięczna zarazem.

— A cóż pan pocznie z dawną trupą poznańską? Ona w części już zgromadziła się na bruku naszem i przypuszcza, że jako spuścizna po starej dyrekcyi znajdzie swój kącik w teatrze. To twardy orzech do zgryzienia takie *„beneficium inventarii“*.

— Myślałem o tem. Ta stara gwardya zgotuje mi niewątpliwie przykrość niejedną. Ale trudno, nie mogę bawić się w żadne sentymenty, chcąc wszechstronnie i konsekwentnie urzeczywistnić plany reformy. W towarzystwie dotychczasowem było mnóstwo nieużytków, które bezwarunkowo usunąć muszę. Pan Dobrowolski forytował z szczególnym pietyzmem artystyczne małżeństwa na poznańskiej scenie. Zdaje mi się jednak, że takiej zasady szczęśliwą nazwać nie można, bo rzadko tylko tak się ułoży stadło aktorskie, by mąż i żona byli użyteczni. Albo jedno albo drugie jest zwykle balastem. Mąż doskonały, żona do niczego, — żona aktorka, mąż blady apendyks; dyrekcya zatem opłaca dwie siły, z których tylko jedna służy teatrowi z pożytkiem. Zresztą jest tu mnóstwo aktorów zastygłych w rutynie i manierze. To najniewdzięczniejszy materyał dla reżysera, bo każda wskazówka odbija się o twardą skorupę jak groch o ścianę. Wolę tysiąc razy siły nierozwinięte zupełnie. Z tych zrobię kiedyś artystów, z tamtych już nigdy. Czy pan redaktor jest innego zdania?

— Bynajmniej. Zastanawiam się tylko nad walką, która pana czeka. Widzi pan, nasz partykularz ciasny posiada prasę o strasznie małomiejskim zakroju. Każdy z dymisyonowanych aktorów znajdzie jakieś pisemko, które poczuwać się będzie do obowiązku opiekowania się „naszym zasłużonym“, — „nzszym utalentowanym“, — „naszym sympatycznym“, — naszym „starym filarem teatru“ i t. d. Pojawią się niewątpliwie artykuły, broniące rzekomych praw tego lub owego artysty do teatru naszego, i znajdą się kółka i kółeczka inspirowane, które kwaśnym i słodkim głosem domagać się będą „sprawiedliwości“ — to ulubiony wyraz naszych alarmistów — dla pupilów swoich. Niech to pana nie przestrasza. Watę w uszy i swoje robić! Olbrzymia większość społeczeństwa ufa Panu zupełnie i nie zrazi się oklepanemi deklamacyami naszych dzienniczków.

Nowy dyrektor wzruszył ramionami:

— Cenię prasę jako potęgę, i wiem dobrze, że bez jej poparcia dążenia moje pójdą na marne. Starać się też będę wszystkiemi siłami, aby naprawić dawne stosunki i wszystkie redakcye przywiązać do teatru, lecz reorganizując towarzystwo dramatyczne, kierować się nie mogę żadnemi ubocznemi względami. Talent artysty, jego użyteczność w granicach e n s e m b l e' u i programu, jego wszechstronność, a wreszcie i finansowa strona kontraktu, — oto momenty rozstrzygające o angażowaniu. Uwzględniając sympatye i antypatye jednostek lub grup miniaturowych, nie stworzyłbym nigdy dobranego towarzystwa.

Na tem urwała się rozmowa nasza. Pożegnałem p. Rygiera słowami: „I n h o c s i g n o v i n c e s“. Czy dobrym jest prorokiem? Tak wierzę, i zdaje mi się, że dziewięć dziesiątych poznańskiej publiczności wiarę tę podziela.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

* M a c i e j W i e r z b i ń s k i. W znakomicie redagowanym tygodniku londyńskim „The Savoy“ ukazała się oryginalna nowela p. Macieja Wierzbińskiego pt. „The Clown“. Nowella ta odznacza się poprawnym stylem, żywością opowiadania i prawdziwym nerwem dramatycznym. Pan M. Wierzbiński, syn znanego posła a stały współpracownik pisma naszego, nie poraz pierwszy próbuje sił swoich w belletrystyce angielskiej, a krytyka wyraża się zawsze z uznaniem o pracach jego.

* * *

* B i b l i o t e k a w a r s z a w s k a, jak piszą pisma warszawskie, ma przejść w ręce Michała ks. Radziwiłła, miłośnika literatury, znanego z kilku utworów poetycznych i mniejszych noweli.

* * *

* A n t o n i M a ł e c k i. Z dziejów i literatury. Pisma pomniejsze. Lwów. Altenberg. Petersburg. Grendyszyński 1896 8-o str. 370.

W książce tej autor zebrał pisma swoje pomniejsze, rozproszone po różnych publikacyach zbiorowych, które już dziś w pewnej części do rzadkości bibliograficznych należą. Na treść dzieła składają się prace: O stanowisku i dziełach autora Irydjona. Irydjon. Jan Andrzej Morsztyn i jego imiennicy. Andrzej Frycz Modrzewski. Jana Kochanowskiego młodość. Miejsce urodzenia Adama Mickiewicza. Biskupstwa w pierwotnej Polsce. Klasztory w Polsce w obrębie wieków średnich. Z tych prac dwie pierwsze, przed 50 laty pisane, jak sam autor mówi, zawierają w sobie miejsca, którychby dziś nie podpisał bez zastrzeżeń: dwie zaś ostatnie, przerobione według źródeł w ostatnich czasach poznanych, zajmują prawie połowę książki. Wszyscy, którzy się interesują historyą literatury i dziejów naszych, wdzięczni będą czcigodnemu autorowi za to zbiorowe wydanie pomniejszych dzieł jego.

* * *

* E x t e r u s. Po zdrowie. Powieść. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1896, str 303.

Bohaterami powieści Exterusa są sami prawie suchotnicy. Rzuca nas w cudną dolinę Meranu i ukazuje małe kółko polskie, które tu się zebrało w poszukiwaniu zdrowia. W kółku tem wrą namiętności, podobnie jak wśród ludzi zdrowych. Ponieważ jednak chorzy pędzą żywot bezczynny, więc uczucia ich są głębsze i drgają niezdrowemi nutami. Kółko to składa się z pani Adeli Przygodzkiej, panny Maryi Zawiełłówny, Juliana Dolskiego i jego siostry Zofii, oraz z panów Ruszczyca, zamożnego podolaka. Własłowicza, poczciwego litwina, Leona Krzyckiego, młodego lekarza z Warszawy i Martynoff'a, porywczego rumuna. Całe kółko zajęte jest wyłącznie sprawą miłości. Rumun, zakochany do szaleństwa w pani Adeli, dobrej i czystej wdowie, zostaje przez nią odrzucony; młoda Zosia Dolska kocha żonatego Ruszczyca; doktor Krzycki żywi uczucie dla pani Adeli itd. Kończy się na tem, że Ruszczyc pod naciskiem perswazyj przyjaciela wyjeżdża z Meranu, aby zapomnieć o Zosi, a doktór Krzycki umiera w Warszawie, zabity suchotami i wieścią, że idealna pani Adela była kochanką zdrowego, o czerwonej szyi, d-ra Męckiego. Pomiędzy epizodami powieści związek jest luźny, charaktery zarysowane dość silnie, treść zajmująca.

KRONIKA POWSZECHNA.

— Nowy dyrektor teatru poznańskiego, p. Edmund Rygier, wyjechał do Berliua dla nabycia pewnej ilości niezbędnych dekoracyi i kostyumów, mianowicie zaś garderoby francuzkiej. Następnie udaje się p. Rygier do Krynicy i Warszawy dla skompletowania nowego towarzystwa dramatycznego. — Towarzystwo łódzkie, występujące obecnie w Warszawie, odegrało premiowaną komedyę węgierskiego autora Csikyego p. t. „Buborekok“ czyli „Bańki mydlane“. Krytyka poważniejsza przyjęła utwór ten obojętnie. Niebawem wystawi trupa łódzka nową farsę W. Rapackiego (syna) pt. „Cudowne dzieci“. — Dzienniki medyolańskie donoszą: Adelina Patti powiedziała razu pewnego, że nieustąpi prędzej ze sceny, dopókąd nie znajdzie godnej siebie następczyni. Jeźli Diva słowa swego dotrzyma, to może dzisiaj zapowiedzieć stanowczo „ostatnie pożegnalne przedstawienie“, gdyż następczyni znalazła sie w tej chwili w osobie młodością kwitnącej i pięknej Rumunki, panny Mary d'Asty. Artystka pochodzi z wysoko poważanej, arystokratycznej rodziny z Bukaresztu. Jej krewni zajmują wysokie stanowiska na dworze królewskim, a wiele walk i dużo łez upłynęło, zanim rodzina panny Mary d'Asty pozwoliła jej obrać karyerę artystyczną. Lecz kto ma powodzenie, ma zarazem i słuszność, i panna Mary d'Asty z pewnością nigdy nie pożałuje kroku, który uczyniła. Wszystkie powagi muzyczne Medyolanu i Rzymu jednogłośnie się zgadzają, że mają do czynienia z fenomenalnym talentem, a raczej ze zjawiskiem, dokazującem cudów pod wzgledem śpiewu koloraturowego. Najtrudniejsze pasaże, niemożliwe staccata zwycięża artystka z bajeczną łatwością, tryler jest rzadkiej piękności i czystości, prowadzenie oddechu, frazowanie, intonacya, wogóle całość znamionuje wielką gwiazdę operową. Przytem posiada głos ten prawdziwy srebrzysty dźwięk, który u wysokich sopranów jest tak bardzo rzadkim. Specyalność artystki stanowią ludowe pieśni rumuńskie. Te melancholijne, pełne smutku i skarg utwory, pojęte i oddane w tak genialny i czarodziejski sposób wywierają dziwne i niepojęte wrażenie na umysł i serce. Potędze artystki nie oprze się nikt. Panna Mary d'Asty udaje się do Paryża w celu przestudyowania swego repertuaru w języka francuzkim u sławnej Marchesi, poczem wystąpi w operze wielkiej paryskiej. Z Paryża podejmie artystka dłuższą podróż artystyczną po pierwszorzędnych miastach Europy, między innemi po całych Niemczech i Rosyi, i przy tej sposobności da się usłyszeć w Berlinie i w Wiedniu.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

— **Sokół.** Nie zwróciliśmy uwagi na tę zaczepkę poznańskiego korespondenta do petersburskiego „Kraju“, bo osławiony p. W o j n i c z alias D o m a r a t tak często mija się z prawdą, że nie stałoby miejsca na szczegółowe prostowanie jego fałszów. Na życzenie Pańskie jednak cytujemy próbkę ostatnią. Oto „prawdomówny“ korespondent lamentując nad spustoszeniami kolonizacyi, tak kończy: Wśród takiego ucisku i takich klęsk głosi mówca wielkopolski w Krakowie, że sokolstwo odmłodziło społeczeństwo. Już to przesadą gotowiśmy grzeszyć na każdym kroku“. Fałsz p. Wojnicza polega na tem, że mówca wielkopolski nie powiedział: „Sokolstwo o d m ł o d z i ł o społeczeństwo“, — tylko „Sokolstwo p o s t a n o w i ł o społeczeństwo odmłodzić“. Wyrażenie zamiaru przedstawiono więc tu jako fakt spełniony i na zmyślonej podstawie zbudowano zarzut przesady. Ponieważ żadne z pism referujących o zlocie krakowskim nie przekręciło myśli przewodniej wielkopolskiego mówcy, zatem uważać musimy zaczepkę p. Wojnicza za fałsz t e n d e n c y j n y, ukuty dla zadowolenia osobistych niechęci.

— **Przyjaciółka.** Z nadesłanych „błędów językowych“ skorzystamy częściowo. Polecamy się nadal łaskawej pamięci.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28

Nr. 31. Poznań, niedziela 2-go sierpnia 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański" wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: ul. Wilhelmowska 28.
(Drukarnia J. Fr. Tomaszewskiego.)

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi w Poznaniu 4,00 mrk. Przyjmuje Administracya: ul. Wilhelmowska 28. w Niemczech i Austryi 5,00 mrk. (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 mk. — Prenumeratę przyjmują Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

TREŚĆ.

Wolne małżeństwa.

Kwestya niemiecka zawierania małżeństw, pochodząca jeszcze z czasów walki kulturnej (Kulturkampf) Bismarka, weszła obecnie znowu na porządek dzienny. Powodem tego ożywienia sporu, tyczącego się większej lub mniejszej wagi ślubów kościelnych a cywilnych, jest rozprawa wytoczona w parlamencie rzeszy niemieckiej nad nowym kodeksem cywilnym. Pytanie brzmi: które małżeństwo ma być odtąd prawnem, — kościelne czy cywilne? Centrum i partya konserwatywna żądają koniecznie zmiany dotychczasowej ustawy, — wszystkie partye liberalne były przeciw zmianie, a rządy państw Rzeszy oświadczyły również stanowczą chęć wytrwania przy małżeństwie cywilnem. Ostatecznie zwolennicy małżeństw kościelnych, centrum i zachowawcze stronnictwa, zdecydowali się ustąpić pod presyą życzeń rządowych, do których dołączono niedwuznaczną pogróżkę, że wielkie dzieło narodowe: jednolity kodeks cywilny dla całej Rzeszy niemieckiej, gotów się rozbić zupełnie, gdyby większość parlamentu oświadczyła się przeciw ustawie o obowiezujących ślubach cywilnych. Zważywszy polityczne stosunki niemieckie trzeba przyznać, że rezultat taki, użyty jako straszak na centrum i zachowawców, w skutkach swoich nie byłby pod żadnym warunkiem ujemny. Rzesza niemiecka składa się bowiem z panstw i państewek nie stanowiących w spojeniu swem organicznej całości. Chcieć te wszystkie państwa zaopatrzyć w ten sam kodeks cywilny, — znaczy zapomnieć o tem, iż każde z tych państw stanowi samo dla siebie całość z własnemi zwyczajami, obyczajami, a co najważniejsza: z własnemi tradycyami prawnemi. Prawo prywatne niemieckie wykazuje w swym rozwoju nadzwyczajną różnorodność, wytłumaczoną dostatecznie samodzielnym rozwojem politycznym każdego z tych niezliczonych państewek. Zadaniem zaś prawodawstwa nowoczesnego jest uwzględnianie rozwoju i tradycyi politycznej i prawnej, i to tem większe, czem mniej tradycye te przeszkadzają rozwojowi ekonomicznemu państw. Prawo do bytu ma jedynie zjednoczenie prawa karnego, handlowego i wekslowego — bo tego wymagają wzajemne stosunki polityczne i handlowe, — co zaś do zjedooczenia prawa prywatnego, jest ono bez wątpienia bardzo na rękę jurystom, — ale nie publiczności. Nie należy jednak zapominać, iż nie publiczność dla jurystów, ale juryści są na usługi publiczności, a prawa powinny mieć na celu tylko dobro tej ostatniej.

Przyjąwszy to ostatnie za aksyomat a nie zapominając równocześnie, że zadaniem prawodawcy jest uwzględnianie wszelkich tradycyi narodowych, — musimy dojść do wniosku, iż forma zawierania małżeństw jest ze stanowiska państwowego rzeczą zupełnie obojętną. W interesie tegoczesnego rządu leży jedynie regulowanie prawa małżeńskiego i utrzymywanie go pod ścisłą kontrolą. Dlatego też tylko państwo może rozstrzygac o prawności zawartego małżeństwa i o warunkach, pod jakiemi małżeństwo może być prawnie zawarte Nadto może państwo — podobnie jak w wypadkach śmierci lub narodzin — prowadzić spis ściśle urzędowy zawartych ślubów. Z tego wszystkiego jednak nie wynika, aby w rzeczywistym interesie państwa leżało ustalenie tej lub owej formy ślubów. Wmieszanie się w tę sprawę czysto osobistą organów rządowych sprzeciwia się wprost demokratycznej konstytucyi niemieckiej i nie jest niczem innem, jak tylko brutalnym objawem wszechwładzy biurokracyi. Specyalnie w Niemczech ten zwyczaj asysty rządowej zachował się jeszcze z czasów walki kulturnej, podczas której liberalizm często popełniał błędy i sprzeciwiał się własnym swoim zasadom.

W obec pojęć, związanych z ideą nowoczesnego państwa niemieckiego, **małżeństwo jest zwykłym kontraktem.** Czy więc dwoje osobników, należących do związku państwowego, zawiera małżeństwo tylko przy asyście rodziców, opiekunów, lub innych świadków, czy też w obecności urzędnika, — to powinno być państwu zupełnie obojętnem. To samo da się powiedzieć o obopólnem oświadczeniu nowożeńców że wchodzą w związki małżeńskie; czy oświadczenie to zostanie dane uroczyście księdzu lub pastorowi w kościele, czy zupełnie nie zostanie dane ani księdzu ani urzędnikowi, natomiast nowożeńcy ugodę w tym względzie załatwią sami między sobą — jestto zawsze sprawą w zasadzie czysto osobistej natury, i państwu na tem bezwarunkowo zależeć nie powinno; zadaniem jego bowiem jest czuwanie jedynie nad prawomocnością związku, a do tego wystarcza po pierwsze: uprawnienie do wejścia w związki małżeńskie — i po drugie: zaregestrowanie spełnionego faktu. Warunek pierwszy pociąga za sobą pełnoletność i brak wszelkich ewentualnych przeszkód, mogących stanąć na opak ślubom — warunek drugi ma na celu utrzymywanie w ewidencyi statystyki instytucyi w każdym razie najważniejszej w życiu społecznem, a zawikłania mogące ewentualnie w dalszem pożyciu małżeńskiem wyniknąć, procesy rozwodowe itd. wymagają koniecznie spełnienia powyższego wymagania. Kontrakt małżeński — tak pojęty — nie różni się zupełnie od zwykłego kontraktu kupna-sprzedaży. Jeżeli np. A kupuje od B pole, w takim razie kontrakt jest między nimi prawomocnie zawarty, choćby nawet formalne objęcie na własność nie odbyło się natychmiast; koniecznem jest ono ze względu na osoby trzecie. Przypuściwszy, że B wzbrania się dopełnić przepisanych form, w takim razie kontrakt nie zostanie przez to unieważnionym, — tylko A jest w prawie domagać się w drodze sądowej od B spełnienia rytuału.

Zapatrując się na małżeństwo z tego stanowiska, a zachowując przy tem możliwą przedmiotowość, musimy przyjąć raz na zawsze formę następującą: zawarcie związku musi poprzedzać poświadczenie urzędowe, że przeszkód żadnych nie ma, a następnie zaregestrowanie faktu. To zaregestrowanie mogłoby się odbyć w sposób następujący: Nowożeńcy zjawiają się w przepisanym przeciągu czasu w urzędzie i oświadczają przed dwoma świadkami, że zawarli małżeństwo. Oczywiście forma ta nie jest obowiązującą niewolniczo, bo małżeństwo może być zawarte tak samo przed, jak w chwili wciągnięcia do protokółu, przed lub po ślubie kościelnym.

Nad kwestyą, czy należy zgłaszać się do urzędu przed ślubem czy po ślubie — toczy się spór między kanonistami (Profesor Cremer w Greifswaldzie i — „Reichsbote"). Za i przeciw obejmuje dużo dowodów wprost komicznych n. p. przeciw zgłaszaniu się po ślubie przemawia niezbity fakt(!), iż nowożeńcy są zawsze do głebi

wzruszeni, że muszą słuchać powinszowań i przyjmować gości, a co najważniejsza(!!) wyjeżdżają w podróż poślubną; obowiązek zjawienia się w urzędzie po ślubie znaczyłby więc to samo, co konieczność przewleczenia podróży!....

Gubią się więc uczeni teologowie w kombinacyach, jakby usunąć niebezpieczeństwo, grożące podróży poślubnej, — i ostatecznie wynaleziono aż trzy rozmaite sposoby wydobycia się z matni. Nowożeńcy mają s w o b o d n y w y b ó r: 1) albo trzymają się obecnego status quo t. z. zawierają małżeństwo przed cesarskim urzędnikiem a ceremoniał kościelny mogą dopełnić lub nie, — rząd w to wcale nie wchodzi; 2) albo po pewnym oznaczonym czasie, który upłynął od zawarcia ślubu kościelnego oświadczają się w urzędzie w celu zarejestrowania; 3) albo wreszcie w kilka dni przed lub w sam dzień ślubu oznajmiają dotyczącemu urzędnikowi swój zamiar i mianują równocześnie dwóch pełnomocników, którzy po zawarciu małżeństwa donoszą o tem urzędowi dla ostatecznego zarejestrowania faktu. We wszystkich trzech wypadkach zapowiedzi wyprzedzają wydanie poświadczenia, że przeszkód w zawarciu małżeństwa nie ma.

Tak pojęte „w o l n e m a ł ż e ń s t w o“ nie ujęłoby kompetencyi państwa nic, prawo małżeńskie nie straciłoby również nic ze swej doniosłości, — a społeczeństwo niemieckie uzyskałoby w tym kierunku większą swobodę. Różnica, (ze stanowiska prawnego nieznaczna, — ale w praktyce bardzo doniosła), między dawną formą a proponowaną, byłaby ta, że kiedy nowożeńcy w Niemczech dotychczas mówili i mówią stale: „zawieramy małżeństwo“ — mogliby mówić w przyszłości: „zawarliśmy małżeństwo“ — i byłoby im dozwolone złożyć to oświadczenie przez pełnomocników.

Parlament niemiecki otrzymał petycyę, zredagowaną w tym duchu, a opatrzoną setkami tysięcy podpisów. Widocznem jest z tego, iż znajduje się w Niemczech bardzo dużo jednostek, których religijne uczucie jest dotknięte faktycznem zawarciem małżeństwa — bez św. sakramentów. Szczególniej odnosi się to do kobiet, które przed ołtarzem stają — według teraźniejszej ustawy — już jako prawe żony swych małżonków. Reforma, której przeprowadzenie zawierała petycya — ustanowiłaby nie fakultatywne cywilne małżeństwo (fakultative Civilehe), lecz fakultatywne śluby kościelne (fakultative kirchliche Eheschliessung) t. zn. m n i e j s z o ś ć nowożeńców — bo liczba podpisów na petycyi nie powinna łudzić, jakoby reformy żądał ogół ludności — brałaby naprzód ślub w kościele a dopiero potem zgłaszałaby się w urzędzie, — gdy tymczasem w i ę k s z o ś ć pozostałaby przy teraźniejszym zwyczaju. Czyż jednak dla tego, że to tylko mniejszość żąda reformy, ma ona nie przyjść do skutku? I dla czegóż wydawać zawsze prawa jedynie dla większości, jeżli jest możebnem zadowolnić cały ogół!

Niemcy mają ogólne i tajne prawo głosowania, swobodę wykonywania rzemiosł, wolność zmiany miejsca pobytu itp. prawa gwarantujące wolność osobistą; wolność religijna w ogólności a w szczególności w o l n e m a ł ż e ń s t w o jest tylko konsekwencyą konstytucyi niemieckiej.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

List hr. Zygmunta Wielopolskiego.

W „K r a j u“ petersburskim ukazał się list hr. Zygmunta Wielopolskiego (bliższe szczegóły w „Kronice warszawskiej“ zamieszczonej w dzisiejszym numerze pisma naszego) piętnujący w sposób bezwzględny nasz ruch rewolucyjny w r. 1863 i przyznający z charakterystycznym cynizmem, że rzeczywistym inicyatorem osławionej branki, poprzedzającej styczniowe powstanie, był nie hr. Aleksander Wielopolski, lecz autor listu. O liście tym takie wypowiada zdanie „D z i e n n i k K r a k o w s k i.:“

„Jesteśmy przez naszych — jakto powiedzieć... „najpierwszych“ w społeczeństwie przyzwyczajeni do czytania wszystkiego, co tylko cierpliwy papier znieść może. Do elukubracyi na tle polityczno-historycznem takich: Tarnowskich, Koźmianów, Moszyńskich i innych tym podobnych, przyzwyczailiśmy się już, jak do wielu innych rzeczy brzydkich, które życie przynosi, lecz których uniknąć trudno. Ci panowie zrobili sobie doktrynerskie rzemiosło z plugawienia historyi narodowej, z rzucania błotem na tych, do wysokości których nie dorośli ani charakterem, ani zdolnościami, ani zaletami serca; — w każdym jednak razie wiemy z kim mamy do czynienia. Prawdziwie oburzającemi są dopiero występy hr. Zygmunta Wielopolskiego, w. łowczego dworu carskiego, który od czasu do czasu chwyta za pióro, by dać Polakom naukę patryotyzmu w ogóle; z której oczywiście wynika nauka zachowania się na przyszłość.

Cenną jest u ludzi odwaga przekonań, lecz pokrewna z nią bezczelność należy chyba do najbrzydszych wad, szczególniej u ludzi, którzy, czy to z urodzenia, czy ze stanowiska nabytego pracą stoją na świeczniku i innym przyświecać i dobry przykład dawać powinni. Taki margrabia, który ma odwagę powiedzieć głośno: „ja jeden, ówcześnie na urzędzie prezydenta m. Warszawy... przeparłem zawieszenie świeżo wydanego prawa o poborze rekruckim dla przeprowadzenia poboru w formie branki“ — jest albo człowiekiem pozbawionym zupełnie poczucia moralnego, albo — chorym!

Ktokolwiek choć trochę obeznany jest z historyą r. 63-go, wie czem była t. zw. „branka.“ Powstania nie powstrzymała, owszem przyspieszyła go, a sama dla siebie była aktem brutalnego, bezcelowego gwałtu.

O innych ustępach listu szanownego margrabiego nie wydajemy sądu — bo jak on sam powiada „w obronie mego ojca ani najbliższych jego współpracowników stawać za małym się czuję; zresztą historya ich już osądziła,“ podobnie też osądzi ona wybryki jego margrabiowskiego pióra.

Nihilistka.

POWIEŚĆ

ZOFII KOWALEWSKIEJ

(prof. wszechnicy w Sztockholmie.)

(C i ą g d a l s z y).

Rzecz była prosta. Wasylcew już dawno uchodził za liberalnego i zapisany był źle u wszystkich wpływowych osobistości. Tej zimy wydali profesorowie i studenci technologicznego instytutu bankiet z powodu jakiejś uroczystości, na bankiecie tym miał być obecny Wielki książę, dostojny protektor instytutu. Jego Wysokość dała poznać, że nie byłoby mu przyjemnie spotkać się z Wasylcewem; powiadomiono tegoż o tem, ale on odpowiedział, że jeżeli nie życzą sobie jego obecności — należy mu posłać oficyalny nakaz, by nie wziął udziału w bankiecie, gdyż on uważa się tak dobrze, jak każdy inny profesor, za gospodarza. Oficyalnego zakazu, rozumie się, nie posłano, a w dzień naznaczony zajął Wasylcew miejsce między innymi profesorami u stołu biesiady. W dwa dni potem zjawił się u niego naczelnik policyi i zaproponował mu uprzejmie, aby się podał do dymisyi i zamieszkał w swoich dobrach, z których nie wolno mu się było wydalać. Dla większego bezpieczeństwa dodano mu dwóch aniołów-stróżów w mundurach żandarmów, żeby mu w tej podróży towarzyszyli. W takich okolicznościach nastąpił powrót Stefana Michałowicza do tak dawno opuszczonego ojczystego domu.

Można sobie łatwo wyobrazić, jak wiele sensacyi wypadek ten narobił w okolicy. O nowoprzybyłym i o przyczynach jego nieprzewidzianego zjawienia się krążyły najniedorzeczniejsze, przesadne pogłoski; wielu przeczuwało w nim niebezpiecznego spiskowca. To podejrzenie otaczało go tajemniczą, równie zastraszającą, jak pociągającą glorią; w Rosyi bowiem, nawet ludzie konserwatywni, o ile nie są członkami tajnej policyi, żywią instynktowną, mimowolną cześć dla politycznych przestępców.

Barancowowie byli najbliższymi sąsiadami Wasylcewa. Nie można się zatem dziwić, że u dwóch starszych panien, Leny i Lizy, rozbudziło się pewne uczucie własności co do interesującego sąsiada, który im spadł jak z nieba. Był on kawalerem, a chociaż prawdę powiedziawszy, do młodych zaliczanym być nie mógł, bo przekroczył czterdziestkę, więc nie mógł mieć sławy Adonisa, ale w tych czasach tak ubogich w epuzerów, mógł stanowić dobrą partyę. Wasylcew zdziwiłby się zapewne niemało, gdyby mu powiedziano jaką rolę odgrywał w rozmowach i planach dwóch młodych dziewcząt.

Dziwnym przypadkiem nie mógł ani razu wyjść, by nie spotkać Leny i Lizy, a co szczególniejsza zawsze w niezwykłych malowniczych sytuacyach. To natknął się nagle na swawolną Lenę, która jak wiewiorka wdrapała się zręcznie na drzewo i przez gęste liście kokieteryjnie na niego spoglądała; tam znowu marzycielska Liza w stroju tęsknej Ofelii nachylała się nad strumieniem z wiankiem niezabudek w ręce. I trzeba było słyszeć z jakim wdziękiem panny przerażone wykrzykiwały, ujrzane tak znienacka. Ale wszystko to nie prowadziło do niczego. Wasylcew kłaniał się sztywno, zimno i odchodził. Do rozmowy nie przyszło nigdy. Nie można się zatem dziwić, że panny przyszły wreszcie do wniosku nie zbyt pochlebnego dla ich sąsiada, uważały go za nieokrzesanego niedźwiedzia. Natomiast między nim a Wierą, zawiązała się znajomość w sposób prosty, wcale nie poetyczny. Lato miało się ku końcowi, brudna dżdżysta jesień nadeszła; nuda wyganiała przecież Wasylcewa i skłaniała go do szukania rozrywki w dalekich przechadzkach. Ale jak wszyscy ludzie, którzy jeszcze nigdy w ruskiej wiosce nie mieszkali, napotykał na swej drodze rozmaite trudności, które mu się wydały wielkiemi niebezpieczeństwami.

W kołach profesorskich, w których Wasylcew dotąd się obracał, nie przyszłoby nikomu przez myśl, posądzać Wasylcewa o tchórzostwo, przeciwnie koledzy lękali się zawsze, żeby ich, z powodu jego zbytniej

Smutno! Mieliśmy swego czasu szlachtę i arystokracyę z niej wyszłą, które miały mnóstwo błędów, lecz okupywały je wieloma zaletami a nawet w swych wadach zdradzały pewną wielkość. Dziś inaczej. Taki marny epigon z całym cynizmem bierze na siebie odpowiedzialność za morze krwi wylanej, za ocean nieszczęść, który wylał się na Kongresówkę — bo nikt inny, tylko tacy jak ów prezydent m. Warszawy i zgraja im podobnych pchali nieszczęśliwy kraj do kroków nierozsądnych zapewne, lecz podyktowanych rozpaczą. Oni uratowali głowy i majątki z pogromu za cenę wszystkiego, co drogie uczciwemu człowiekowi i dobremu Polakowi, dziś chełpią się z tem i lżą tych co spełnili swój obowiązek."

* * *

Litwini przeciw Polakom.

W „Dzienniku Kujawskim" czytamy:

U Litwinów uwydatnia się od pewnego czasu bardzo wybitny prąd narodowy. Nie byłoby w tem nic zdrożnego, gdyby prowodyrowie nie parli do potargania węzłów, które Litwę łączą z Polską od pięciu wieków. Lecz zachodzą objawy, które ani prawego Polaka ani patryoty Litwina zbudować nie mogą. Już „Auszra" pismo litewskie, które się pojawiło przed kilkunastu laty, wywiesiła chorągiew buntu przeciw dziełu Jagiełły, uwieńczonemu 1569 wiekopomną Unią Lubelską ku zobopólnemu dobru obojga narodów: polskiego i litewskiego. Teraz zaś rozżarza namiętności u Litwinów tygodnik „Lietuva," poza którym stoją zamaskowani fanatycy, rozrzuceni podobno po całej gubernii suwałkowskiej, którą, jak się zdaje, za główne pole swej działalności obrali. W parafii Łóździeje rozegrały zię niedawno w kościele między Polakami a Litwinami przykre sceny z powodu sporów o śpiew. Parafia składa się z 40 wsi, zamieszkałych przez litewskich chłopów, z miasteczka oraz 12 dworów, gdzie mieszkają Polacy, których chłopi nazywają „szlachtą," lubo to są przeważnie oficyaliści i mieszczanie. Chłopi litewscy, namówieni przez agitatorów, zażądali od księdza, aby w kościele urządził śpiew litewski. „Szlachta" tj. ludność polska oparła się temu i ksiądz, chcąc zadowolnić obiedwie strony, kazał jednej niedzieli śpiewać pieśni polskie, drugiej litewskie. To nie podobało się ani szlachcie, ani chłopom i dnia 16 lutego przyszło z tego powodu w kościele do zaburzeń. Gdy Polacy zaśpiewali po polsku, chłopi, których było więcej, przekrzyczeli ich, zaintonowawszy pieśń litewską. Działo się to podczas Mszy św., ale w szale nie uszanowano nabożeństwa. Nareszcie wśród gorszących krzyków przyszło w kościele do bijatyki, Litwini wyparli „szlachtę" na cmentarz i bójka toczyła się dalej w mieście, do której wmieszali się jeszcze i żydzi, biegnąc „szlachcie" na ratunek. Ostatecznie skończyło się na tem, że w awanturę wmieszała się władza, księdza wywieźli, kościół w Łoździejach kazał gubernator zamknąć.

Roztropniejsi z pośród Litwinów ubolewają nad tym smutnym wypadkiem, ale „Lietuva" upiększa go i wciąż rozdmuchuje zaszczepioną już w sercach Litwinów ku żywiołowi polskiemu niechęć. Według niej prąd separatystyczny ogarnął już wielką część gubernii Suwałkowskiej a nawet niektóre okolice na Żmudzi, jak Kroże, Rosieny itd.

Zdawaćby się mogło, że kość niezgody między Litwę a Polskę rzucają Moskale, lecz pisma polskie, które tę sprawę bliżej śledzą, nie przepisują w tem Rosyanom żadnej winy. „Przegląd Wszechpolski" i korespondent „Nowej Reformy" stwierdzają, że bunt wychodzi od samych Litwinów, a jest on skierowany także i przeciw rządowi rosyjskiemu."

— ski.

LITERATURA I SZTUKA.

Edmund de Goncourt.

Dnia 16 lipca zmarł nagle w ciągu kilku godzin Edmund de Goncourt w Champrosay pod Paryżem u przyjaciela swego Alfonsa Daudeta. Natychmiast po śmierci Ed. de Goncourta Alf. Daudet rozesłał depesze do wszystkich dzienników paryskich: „Ed. de Goncourt zmarł nagle tej nocy w Champrosay na zapalenie płuc". „Le Journal" podaje następujące sprawozdanie jednego ze swych współpracowników, wysłanych do Champrosay po otrzymanej ztamtąd depeszy:

„Wysiadłszy z wagonu na stacyi Ris Orangis, zastałem powóz, przyjeżdżający we czwartki z Champrosay na wszystkie pociągi po gości, którzy w ten dzień zwykle odwiedzają dom państwa Daudet. Dziś atoli nie goście, lecz dziennikarze zajęli miejsca w powozie. Przebywszy kilka kilometrów żyznych wiejskich łanów, przeciętych szerokim gościńcem wysadzanym topolami, powóz zajechał przed obszerną willę Alf. Daudeta. Dom cały i wielki park po za nim stoją pogrążone w ciszy. Szara, bezsłoneczna pogoda harmonizuje ze smętkiem, jaki tchnie od tego domu zawsze tak wesołego a dziś będącego w żałobie. Służący wprowadził nas do pracowni Daudeta, którego zastajemy w towarzystwie Gustawa Gefroy, jednego z najbliższych przyjaciół de Goncourta. Wejście nasze nie przerwało żadnej rozmowy, bo obadwaj ci ludzie milczeli w nadmiarze swego bólu. Daudet, zwróciwszy ku nam smutną twarz swoją, rzekł:

— Mój syn Lucyan zaprowadzi panów do pokoju, w którym spoczywa zmarły.

Idziemy na drugie piętro, a w chwili gdy przestępujemy próg pokoju, w którym umarł de Goncourt, wysunęła się z niego pani Daudet, zajęta dotąd zdobieniem go kwia-

---

odwagi, nie pociągano do odpowiedzialności. Gdy jego profesorska karyera tak niespodziewanie się skończyła, mówili najodważniejsi z jego przyjaciół: To było nieuniknione. Czyż z taką szaloną pałką, jak Wasylcewa, można żyć w Rosyi?!

Stefan Michałowicz uważał się w duszy za człowieka zuchwałego. Lubił on w swych snach tajemniczych — w tych snach, z których się nawet najbliższemu przyjacielowi nie zwierza — stawiać sie w rozmaite nadzwyczajne położenia i nierzadko brał udział w „swej pracowni" w obronie barykad. Chociaż Wasylcew był przekonany o swej odwadze, miał on, trzeba to przyznać, wielki respekt dla psów wiejskich, o których mówiono, że przeszłej wiosny rozszarpały przechodzącą żebraczkę, i przed bykiem, który już dwa razy podniósł na rogach swego pasterza w górę i wyrzucił go w powietrze, więc Wasylcew trzymał się od nich zdaleka i omijał je starannie. Razu jednego zdarzyło się, że zapuścił się daleko od domu, szedł, jak zwykłe, z rękami na plecach, z głową spuszczoną, zatopiony w myślach, nie zważając na drogę.

Gdy spojrzał w górę, znalazł się w dość trudnej sytuacyi: znajdował sie na bagnistej łące, a nogi jego grzęzły w wilgotnym mule do kostek, przed nim płynął szeroki strumień, a za nim rycząca trzoda bydła.

— Hej, hej! pastuchu, zatrzymaj twoje bydło, — wołał Wasylcew.

Pastuch, młody piętnastoletni chłopak, słabowity i głupowaty, którego zrobiono pastuchem, bo do czego innego nie był zdolny, zamruczał coś w odpowiedzi i śmiał się głupio, jak idyota. Wasylcew stał niezdecydowany.

— Przeskocz pan strumień, nie jest głęboki, — zabrzmiał nagle młody, prawie dziecinny głos, w którym czuć było powstrzymywany śmiech.

Wasylcew spojrzał w stronę, zkąd zabrzmiała rada i zobaczył na wzgórku przeciwległym panienkę może piętnasteletnią w kapeluszu, przybranym wyblakłą wstążką, w sukience zaciasnej i zakrótkiej.

Wiera, którą także nuda tu przypędziła, przyglądała się już od chwili temu dziwnemu, suchemu człowiekowi, który się tak bardzo trwożył takiemi drobiazgami.

— Przeskocz pan śmiało — zawołała raz jeszcze, ale Wasylcew nie mógł się zdecydować. Wtedy zbiegła Wiera ze wzgórka, weszła w bagno, przyniosła deskę i przerzuciła ją przez strumień, przyczem mocno zawalała swoje białe pończoszki i szare spodnie sąsiada.

Po przebytem niebezpieczeństwie, Wasylcew podziękował swej wybawicielce. Stojąc przed nią z wymuszonym uśmiechem, wstydził się swego tchórzostwa. Nie chciał odejść odrazu, sprawiwszy tak niekorzystne wrażenie, ale nie wiedział właściwie jak ma rozpocząć rozmowę z tą swawolną dziewczynką, spoglądającą na niego z nieukrywaną ciekawością podlotka.

Wreszcie zapytał.

— Jakążto pani ma książkę, czy wolno zobaczyć?

Wiera trzymała w rękach swoje drogie „Żywoty Świętych." Wasylcew otworzył książkę i przeczytał co następuje: „Imperator Dyoklecyan rozgniewany na świętego Izydora, rozkazał straży zaprowadzić go do kapitolu...."

— Cóżto za głupstwa?! — wyrwał się Wasylcew mimowoli.

Błękitne oczy Barancowskie błysnęły gniewnie. Wiera odebrała szybko książkę, odwróciła się i poszła drogą ku domowi.

Przez cały wieczór myślał Wasylcew nieraz o komicznem porannem zajściu, a to wspomnienie wywoływało zawsze uśmiech na jego usta i lekki gniew.

Następnego dnia poszedł prawie nieświadomie na miejsce wczorajszego wypadku. Ku swemu zdziwieniu ujrzał tam także Wierę, stała nad strumykiem zamyślona, jakgdyby go oczekiwała.

— Dzień dobry — powiedział i wyciągnął uprzejmie rękę.

— Czy to wszystko naprawdę nie jest prawdą? — zapytała, zamiast odpowiedzieć, podnosząc na niego swe wielkie oczy.

Usłyszawszy wczoraj tak niepochlebny sąd o swojej ukochanej książce, zagniewała się najprzód; wkrótce jednak gniew zmienił się w inne przygnębiające uczucie: wszyscy mówią, że sąsiad jest uczony, on przecież

tami, tak bardzo lubionemi przez zgasłego mistrza. Piękna, arystokratyczna twarz de Goncourta w śmiertelnej swej nieruchomości jeszcze wyszlachetniała, złagodniała. Bujne, jedwabiste, srebrne i falujące włosy otaczają wspaniałe czoło zmarłego, którego maska pełna dumy i majestatu, wzrusza nas swem pięknem. Zostawszy tu czas jakiś schodzimy na dół do pracowni Daudeta. Stoimy wszyscy milcząc, wreszcie Daudet zaczyna mówić krótkiemi, urywanemi zdaniami, wypowiadając nam, że nie jest w stanie zebrać myśli, czuje się bowiem powalony gromem tej niespodziewanej, śmierci, która mu wydarła najserdeczniejszego przyjaciela: „Doznaję wrażenia, jakby stary mój i kochany towarzysz został zamordowany. Śmierć go schwyciła, jak zbrodniarz zaczajony i mordujący przechodnia, który szedł bezpiecznie i pełen ufności. Edmund de Goncourt przyjechał do Champrosay przed kilku dniami z zamiarem pozostania u nas czas jakiś, jak zwykle w tej porze roku. Gdy przybył tu w sobotę, był nieco cierpiący na swe bóle wątrobiane. Mówił, że zapewne rychło go opuszczą, gdy wypocznie wśród nas kochających go serdecznie, bo zapomni o świeżo doznanych nieprzyjemnościach po ukazaniu się dziewiątego tomu „Dziennika.“ I rzeczywiście pozdrowiał, był wesoły, niezwykle ożywiony i rozmowny w ten uroczy, pociągający, właśny swój sposób, znany tylko bliższym mu osobom. Opowiedział mi między innemi, że przez pierwsze dziesięć lat po śmierci swego brata Juliusza co noc się z nim spotykał, bo wszystkie sny połączone były ze wspomnieniami o Juliuszu. Nocami więc żył w dalszym ciągu w towarzystwie ukochanego brata i współpracownika. Naraz przestał się z nim spotykać w snach swoich i nocą był samotny, tak jak był samotny na jawie. Otóż ostatniemi czasy znów Juliusz zaczął się zjawiać w snach Edmunda. Gdy tylko zasnął, był pewien spotkania się z bratem. Ach, z jakiem wzruszeniem opowiadał mi o tem ułudnem szczęściu!... Bo ten brat jego był najwyższem przywiązaniem, jakie czuł w życiu! Nie zdarzyło mi się spotkać drugiego przykładu tak wzniosłej, głębokiej miłości, wiążącej dwóch braci, miłości, która oparła się śmierci i przetrwała blizko ćwierć wieku w całej pełni po za ostatecznem rozstaniem się tych dwóch kochających się istot. Otóż Edmund de Goncourt przybył do nas w sobotę nieco cierpiący, następnych dni był zdrów i wesół, aż dopiero wczoraj, tj. w środę uczuł znów ból wątroby. Lecz był przyzwyczajony do tego rodzaju ataków i zażądał, by mu przygotowano ciepłą kąpiel, która zawsze oddziaływała uspokajająco. Może kąpiel była za gorąca? bo przed wyjściem z wanny czuł się bardzo osłabiony, tak dalece nawet, że zawołał Lucyana, prosząc, by mu powiedział, która godzina, gdyż nie miał siły sięgnąć po zegarek. Ubrawszy się, chciał iść na przechadzkę do parku, lecz namówiłem go, by wpierw wypoczął, i usłuchał mojej rady. Nie przypuszczał on groźniejszej choroby i zaczął ze mną rozmawiać o proszonym obiedzie, jaki dziś we czwartek miał mieć u nas miejsce. Domagał się nawet, by koniecznie był kompot z brzoskwiń. Również i ja, który się uważam za dość biegłego fizyognomistę, nie dostrzegłem w jego twarzy najmniejszego śladu groźby, mogącej nas naprowadzić na myśl o niebezpieczeństwie.

Idąc za naszą namową, Goncourt wypoczywał w pokoju, ale dla wszelkiej pewności, przez troskliwość zatelegrafowałem do Paryża, do jego doktora. W kilka godzin już doktor Barier był tutaj. Zbadawszy Goncourta rzekł, że spostrzega symptomaty zapalenia płuc. Przez resztę dnia byliśmy wszyscy w pokoju chorego, a wieczorem udałem się o zwykłej godzinie na spoczynek, pozostawiając Edmunda z moją żoną i z Lucyanem. Około północy zbudzono mnie, mówiąc, że stan chorego bardzo się pogorszył. Gdym wszedł do jego pokoju, usłyszałem złowrogie, śmiertelne chrapanie. Przemówiłem, lecz nie odpowiedział nic, nie wiem nawet, czy mnie poznał, przynajmniej żadnej nie było tego oznaki, zkądże jednak wiedzieć możemy, jak długo trwa przytomność w umierającym człowieku?... Chrapanie wzmagało się i przerażało nas, pamiętam, że w rozpaczy mojej widząc, że zgon jest już blizki, pochyliłem się nad moim Edmundem i rzekłem z głębi zbolałego serca: „Va Edmond, va retrouver ton frère.“ W godzinę potem już nie żył.“

Alfons Daudet zamilkł a po dłuższej chwili zawołał z bólem a zarazem z wymówką prawie naiwną, lecz usprawiedliwioną zmęczeniem i rozdraźnieniem po tych godzinach niespania i rozpaczy:

„I powiedzieć, że wczoraj o tej porze był zdrow, dziś o tej godzinie powinniśmy się wspólnie weselić z gośćmi sproszonymi na obiad, a zamiast wesołości mamy żałobę! Ach, niedobry przyjacielu, pocóżeś nas opuścił!...“

Znów nastąpiło głuche milczenie. Wtem ktoś z pomiędzy naszego grona, chcąc oddalić myśli gospodarza domu od bólu chwili obecnej, zapytał półgłosem: Kiedy się spotkał po raz pierwszy z Edmundem de Goncourt? Milcząc, popatrzył na pytającego, wreszcie rzekł, ożywiając się w miarę opowiadania:

— Było to jeszcze za trzeciego cesarstwa, podczas pierszego przedstawienia „Henriette Maréchal“, sztuki napisanej przez obu braci de Goncourt. Wtedy sztuka upadła z powodów politycznych, wiedziano bowiem, że księżna Matylda obroniła ją przeciwko surowości cenzury. Tak. wtedy „Henriette Maréchal“ została wygwizdaną, a pamiętacie panowie, gdy po latach kilkunastu ponownie ją wystawiono w Odeonie? Odniosła tryumf... najświetniejszy tryumf, tylko, że jeden z autorów już tego dnia tryumfu nie dożył. Otóż po raz pierwszy spotkałem się z braćmi de Goncourt, podczas przedstawienia „Henriette Maréchal“. Nie pamiętam. bym kiedy był obecny podczas takiej szalonej wrzawy w teatrze... gwizdano od pierwszej chwili podniesienia kurtyny, chociaż na początek grano „Les Précieuses ridicules“ Moliera, lecz publiczność wyobraziła sobie, że jest to prolog pozostający w związku ze sztuką braci de Goncourt. Oburzeni tą niesprawiedliwością, ja i moi koledzy odpowiedzieliśmy na gwizdanie grzmotem oklasków. Widzę się jeszcze zajmującego z kolegami lożę trzeciego piętra. Hałasowaliśmy jak banda szalonych zapaleńców, która tu przybyła z zamiarem manifestowania swych zasad i poglądów literackich. Ja zwłaszcza zwracałem uwagę djabelskością mojej gwał-

---

musi wiedzieć, a gdyby to wszystko o tych męczennikach bajką było?

Te wątpliwości dręczyły ją, musiała je usunąć za wszelką cenę.

— Pani myśli o tej książeczce — zaśmiał się Wasylcew — no proszę, niech pani osądzi sama: Dyoklecyan panował w Bizancyum, a kapitol znajdował się w Rzymie. Jakżeż więc mógł rozkazać straży zaprowadzić tam męczennika Izydora?

— Ach, o tem pan mówi! więc tylko to jest nieprawdą.

— Jakto *tylko* to? Czyż to nie wystarcza?

— No, a czy prawda, że byli męczennicy?

— Tak, byli.

— A czy ich dręczono, kamienowano, palono, rzucano dzikim zwierzętom na pożarcie?

— Wszystko to się działo.

— Dzięki Bogu — zawołała Wiera, oddychając.

— Jakto?.... Dzięki Bogu, że ich męczono?

Oryginalna dziewczyna bawiła Wasylcewa.

— Ach nie to, nie to, rzeczywiście nie to — dodała Wiera spiesznie, zmieszana nieco — chciałam tylko powiedzieć: dzięki Bogu, że przynajmniej wtedy byli ludzie dobrzy, święci męczennicy.

— Męczennicy są i dzisiaj — powiedział Wasylcew poważnie.

Wiera spojrzała na niego zdziwionem, powłóczystem spojrzeniem.

— Tak w Chinach — powiedziała wreszcie.

Wasylcew zaśmiał się znowu.

— Dlaczegóż szukać tak daleko... bywają męczennicy bliżej.

Wiera spojrzała na niego, na jej twarzy malowało się coraz większe zdziwienie.

— Czyż pani nigdy nie słyszała o tem, że u nas w Rosyi zamykają ludzi w cytadeli, wysyłają na Sybir, że ich często wieszają. Jakżeż pani pytać się może, czy bywają jeszcze męczennicy?

— Tak, ale u nas męczą tylko złoczyńców.

Słowa te wyślizgnęły się jej, zaledwie je wypowiedziała, rumieniec oblał jej twarz, przypomniała sobie bowiem, że jej sąsiad jest zesłany.

— Zdarza się, że wysyłają także „na posielenie“ ludzi za coinnego — powiedział Wasylcew półgłosem.

Chwilę szli obok siebie milcząc, Wiera ze spuszczoną głową, skubiąc końce swej chustki.

Rój dziwnych, splątanych myśli, szumiał jej po głowie. Lękała się bardzo powiedzieć coś głupiego, mogła nawet obrazić sąsiada, ale myśl jedna była dla niej tak ważna, tak pełną znaczenia, nie mogła się wstrzymać od pytania.

— A dlaczego pana zesłano? — spytała nagle, szybko, nie patrząc na niego.

Wasylcew uśmiechnął się.

— Pani-by to chciała wiedzieć?

Wiera pochyliła głowę, ale twarz jej mówiła za nią.

— A o dzisiejszych męczennikach, czy chciałaby pani także słyszeć?

Oczy Wiery zapłonęły.

— Jeżeli pani chce, opowiem to. ale uprzedzam, że będę musiał o wielu, wielu rzeczach mówić.

Twarz Wiery promieniała.

— Także i o Dyoklecyanie i kapitolu będę może musiał mówić, czy pani będzie słuchała?

— Będę, tak, będę.

V.

Następnego dnia złożył Wasylcew wizytę hrabstwu Barancow. Znajomość zawiązała się szybko, a gdy po pewnym czasie Wasylcew oświadczył, że chciałby uczyć Wierę, przyjęto jego propozycyę z wdzięcznością, zwłaszcza, że hrabia, pomimo swej niedbałości, doznawał czasem wyrzutów sumienia na myśl, że najmłodsza z Barancowów wyrasta tak bez wykształcenia, jak jakaś wiejska dziewczyna. Od tego czasu siostry nie wątpiły, że Wiera zachwyciła sąsiada. Winszowały jej żartem wielbiciela. Nabieranie ją „wielbicielem“ stało się wkrótce ich przyzwyczajeniem.

Ta gadanina i te zaczepki gniewały i mieszały Wierę z początku. Powoli jednak

towej, południowej natury. Nosiłem wtedy długie na ramiona spadające włosy, a w ten pamiętny dzień włożyłem srebrną kamizelkę, lśniącą i mieniącą się jak lustro. Była to moja czerwona kamizela!*) Na moje usprawiedliwienie nadmieniam, że miałem wtedy lat 25. W jednej z lóż pierwszego piętra spostrzegłem hrabiego d'Osmoy, krewnego braci de Goncourt, a wśród osób z nim będących zwracała moją uwagę młoda panna, która zdawała się wybornie bawić naszą hałaśliwością, zwłaszcza zaś podziwienia godnem mojem krzyczącem ubraniem. Pomimo szału, jakim byłem opętany, dostrzegłem, że się zapytała hr. d'Osmoy: kto jest ten kędzierzawy, hałaśliwy, srebrny młodzieniec, który się może wyrwał z domu waryatów? Hrabia powiedział moje nazwisko dodając, że jestem autorem jednoaktowej sztuki „l'Oeuillet blanc“ niedawno wystawionej w teatrze komedyi francuzkiej. Panną tą była Julia Allard, będąca obecnie moją żoną. Podczas antraktu zaproponowano mi zapoznanie się z autorami. Udałem się więc za kulisy i spotkałem się z Edmundem i Juliuszem de Goncourt. Stali samotni, bladzi, znękani, nie rozumiejąc przyczyny wrzawy, złości, nienawiści, jaką wywoła napisana przez nich sztuka. Zapalczywość słów moich, żarliwość uznania, jakie im wyraziłem, zbliżyła nas od razu, i Edmund de Goncourt ściskając mnie za rękę, zapytał: „Cóżeśmy uczynili, by tak się nad nami znęcano?“ Odpowiedziałem mu jeszcze mocniejszym uściskiem, który miał wyrażać: „Nie obawiaj się niczego, bo my młodzi z tobą jesteśmy“. Ach młodość, młodość! Jakaż to rzecz piękna, pełna wiary i złudzeń! A ja byłem młody w całej pełni tego wyrazu. Lecz pomimo moich wszystkich rojeń, ani mi przyszło na myśl, że w dziesięć lat później zawiążę ze starszym z braci de Goncourt ścisłą, serdeczną przyjaźń, która się przedłuży aż do ostatniej chwili jego istnienia! Tak, przyjaźń Edmunda de Goncourt była jedną z wielkich rozkoszy mojego życia.“

*) Alfons Daudet słowy: „Była to moja czerwona kamizela“ — robi aluzyę do słynnej czerwonej kamizelki a la Robespierre, którą włożył Teofil Gauthier, idąc na pierwsze przedstawienie „Hernaniego“ Wiktora Hugo. Było to na początku epoki romantyzmu, w 1830 roku.

Edmund de Goncourt nie był żonaty, rodziców wcześnie utracił i zawsze mieszkał wspólnie ze swym bratem Juliuszem. Po jego śmierci najbliższymi jego serca byli państwo Daudet, księżna Matylda, którą zawsze nazywał „la bonne princesse“, Emil Zola, Gustaw Geffroy i liczne kółko literatów i artystów, uczęszczających co niedzielę na zebrania na „Strychu“, o którym tak często Goncourt wspomina w swoim „Dzienniku“. „Strychem“ nazwał drugie a zarazem ostatnie najwyższe piętro swego pałacyku, będącego rodzajem muzeum sztuki francuskiej z XIII wieku, oraz sztuki japońskiej, ku której wczesne powziął zamiłowanie i zapoznał z nią Francyę a zarazem Europę, bo dzieła i artykuły które pisał, tłomaczone są na wszystkie języki, podziw i uwielbienie wzniecając całego ucywilizowanego świata. Pałacyk swój Goncourt opisał bardzo szczegółowo w książce pod tytułem: „La Maison d'un artiste“. Co stanie się obecnie z tym pałacykiem i z bogatemi zbiorami sztuki, jakie go przepełniają — jeszcze nie wiadomo w chwili obecnej, jak również niewiadome są bliższe szczegóły testamentu, dotyczące fundacyi Akademii imienia braci de Goncourt.

Przed kilku laty Alfons Daudet nie chcąc, by go posądzano o interesowną przyjaźń względem Goncourta, nie mającego spadkobierców swego majątku, zmusił go do wyjawienia swej myśli pozostawienia całego funduszu na rzecz instytucyi, nosić mającej miano Akademii braci de Goncourt, a złożonej z dziesięciu członków oznaczonych imiennie w testamencie, a następnie dopełnianych drogą wyborów, lecz zawsze wśród literatów. Każdy z członków wchodził w dożywotnią używalność 6,000 fr. rocznego dochodu, mając przytem nieograniczoną żadnemi przepisami wolność tworzenia. Wkrótce szczegóły testamentu Goncourta staną się publicznie wiadomemi.

Zwłoki zmarłego mistrza spoczywać będą w Paryżu na cmentarzu Montmartre, gdzie jest pochowany Juliusz de Goncourt, obok zwłok matki i ojca dwóch braci.

Jeden z dzienników paryzkich, wiedząc o blizkich stosunkach Goncourta z Emilem Zolą, wysłał do niego jednego ze swych redaktorów, który tak opisał swoją wycieczkę do Médan: „Wprowadzono mnie do salonu poczekalnego, wychodzącego na wspaniały kwietnik ogrodowy, lecz oczy moje zatrzymały się na wielkim portrecie Ed. de Goncourta, zawieszony naprzeciw portretu Emila Zoli. Wtem drzwi się otworzyły i wszedł gospodarz domu, mówiąc:

— Patrzysz pan na portret mojego przyjaciela, starego kolegi, którego śmierć spadła na nas tak niespodziewanie... Wszak wszyscy byliśmy zdania, że ten człowiek, będący w sile swej twórczości, żyć będzie jeszcze długo, krzepiąc nas widokiem czerstwej starości. Prawda, że podobny jest na tym portrecie?

— Nadzwyczajnie podobny, możnaby myśleć, że przemówi. Przybywam do pana z prośbą o artykuł dla mojego dziennika. Mam polecenie czekać i nie wyjechać ztąd, dopóki pan nie napisze swego poglądu na działalność literacką Edmunda de Goncourt.

— W takim razie musiałbyś pan bardzo długo czekać, bo obecnie nie chcę nic pisać, muszę wypocząć i dla zupełnego wypoczynku zawiadomiłem „Figaro“, że przestaję nadsyłać redakcyi artykuły, które tam umieszczałem. Z Goncourtem znałem się długie lata i był czas, gdy przyjaźń nasza żywiej się objawiała, lecz teraz rzadko bywałem na „Strychu“, częściej on u mnie bywał, chociaż z Alfonsem Daudet żył w stosunkach o wiele bliższych, niż ze mną. W każdym razie najniezawodniej pisać o nim będę, lecz nie zaraz, pozostawiam to przyszłości.

Emil Zola zamilkł i westchnąwszy, dodał:

— Towarzysze i przyjaciele znikają... Z naszych tygodniowych „Obiadów pięciu“, trzech już umarło: Flaubert, Turgeniew, Goncourt — pozostało tylko nas dwóch: Daudet i ja.

Edmund de Goncourt był rodem z Lotaryngii. Urodził się w Nancy w 1822 r. Z woli rodziców czas jakiś był urzędnikiem w ministeryum, lecz nie mogąc się przystosować do tego zawodu, wystąpił ze służ-

---

zaczęła znajdować w tem przyjemność. Przecież to jest przyjemnie, jeżeli mówią, że ktoś się w nas kocha. Wiera urosła sama w swych własnych oczach, odkąd znalazła wielbiciela.

— Jakże się dzisiaj zachował względem ciebie? jeszcze się nie oświadczył? Nie ukrywaj nic przed nami, powiedz — wołały siostry po każdej lekcyi z Wasylcewem.

A Wiera opowiadała, prawie mimo swej woli, dodając także mimo swej woli — niejedno. Bóg wie zresztą, jak to się stało. Siostry umiały nadać takie znaczenie każdemu słowu, które Wasylcew do niej powiedział, że rzeczywiście teraz, gdy im to opowiadała, brzmiało to zupełnie inaczej, niż wtedy, kiedy on to mówił.

Wiera sama nie spostrzegła, jak sąsiad zawładnął jej myślami, jak obraz jego zmienny zjawiał się w jej wyobraźni.

— Długi, niepozorny, niemłody mężczyzna, z twarzą szarą, z oczyma tak krótkowzrocznemi, że prawdopodobnie i przez okulary nie wiele widzi — tak opisywała sąsiada zaraz po jego poznaniu.

Teraz, kiedy już był jej uznanym wielbicielem, pragnęła tak bardzo zamienić go w bohatera, że codziennie odkrywała w nim nowe zalety.

Dziś znajdowała, że ma przyjemny uśmiech, drugiego dnia spostrzegła, że gdy się śmieje, tworzą się dokoła oczu jego takie komiczne zmarszczki; zmarszczki stały się nagle bardzo przyjemnemi dla niej.

Żyła teraz w stanie wiecznego oczekiwania. Na każdą lekcyę przygotowywała się nerwowo, z biciem serca, — podczas lekcyi siedziała rozstrojona, pytając: może to dziś?

Jednego dnia siedzieli oboje sami w pokoju. Lekcya już była skończona, ale nauczyciel nie zabierał się do odejścia. Usunął książki na bok i usiadł, podparłszy głowę na ręce. To zdarzało się zresztą nie rzadko.

Wiera siedziała obok niego bez ruchu, zrobiło jej się nagle tak jakoś ciężko i nieswojo, nie mogła się ruszyć: patrzyła na ciemną, chudą, niewielką rękę Wasylcewa, mechanicznie przyglądała się grubej, błękitnej żyle, która zaczynając się u nasady ręki, zwężała się coraz bardziej ku środkowemu palcowi. Zmrok zapadał, ściemniało się, ręka Wasylcewa niknęła coraz bardziej w cieniu. Wiera siedziała milcząca, z każdą chwilą robiło jej się ciężej, nieznośniej, serce tłukło się głośno, w uszach szumiało, jakgdyby gdzieś daleko woda płynęła.

Wasylcew nagle ocknął się z zadumy.

— Wieroczko droga... — zaczął miękko, jakgdyby kończąc rozpoczętą myśl i położył swą rękę czule na jej głowie.

Teraz przeszło jej przez myśl nagle, jak błyskawica: teraz się oświadczy. Ale nerwy jej są nadto naprężone, w piersiach coś kurczy się i podnosi. Jeszcze słowo, a zadławi ją.

— Proszę, proszę, niech pan nie mówi, ja i tak wiem — wyrzekła z trudem, głosem przytłumionym.

Powstała i odbiegła w przeciwny kąt pokoju.

Zdziwiony Wasylcew patrzył na nią przez parę minut, nic mówiąc ani słowa.

— Wieroczko, co tobie się stało? — zapytał wreszcie trwożnie i cicho.

Dźwięk jego głosu uprzytomnił Wierę, nagle zrozumiała, że popełniła wielkie, straszne głupstwo. Co pocznie teraz, jak się wytłomaczy.

— Ja myślałam, mnie się zdawało, — jąkała nieprzytomnie i westchnęła.

Wasylcew nie spuszczał z niej wzroku, a wyraz trwożnego zdziwienia na jego twarzy zmieniał się powoli na wyraz podejrzliwy.

— Wiero, życzę sobie, wymagam, żebyś mi powiedziała, co ci się zdawało.

Stał przed nią i trzymał jej rękę, głos jego brzmiał ostro i metalicznie. Błękitne, krótkowzroczne oczy wpiły się jak dwie śruby w jej twarz. Pod tem badawczem spojrzeniem traci Wiera swobodę i panowanie nad sobą. Wie ona, że wyznanie będzie strasznem, ale gdyby nawet chodziło o życie i śmierć, nie mogłaby przed nim zataić prawdy lub skłamać.

— Ja myślałam... że pan jesteś we mnie zakochany — szepnęła urywanym ledwie dosłyszalnym głosem.

Wasylcew puścił jej ręce, jak ukłuty przez pszczołę.

by i z gorączkowym zapałem chwycił za pióro, pisząc artykuły, sztuki, powieści; atoli wszystkie te utwory początkowe nie zjednały sobie powodzenia, wyróżniały się bowiem oryginalnością, poczytywaną autorowi za zbrodnię. Przez lat kilkanaście bracia de Goncourt pisali wspólnie dzieła historyczne na podstawie pracowitych badań XVIII stulecia. Rosny tak mówi o tym dziale ich utworów:

„Za mało cenimy braci de Goncourt jako historyków. Porozumiejmy się wszakże w tym względzie i zauważmy, że nigdy nie mieli oni pretensyi pisania całości dziejów jakiejkolwiek epoki, ani też historyi rozwoju narodowego. Nie, nigdy to nie wchodziło w zakres ich planów. Natomiast z zapałem badali oderwane chwile lub postacie z XVIII stulecia, a nawet z bieżącego XIX wieku. Częściami więc opracowali psychologiczne objawy cywilizacyi, przedstawiając je ze zdumiewającą nowością formy i ze ścisłością niezawodnych dokumentów. Ich dzieła odnoszące się do historyi społeczeństwa francuzkiego stanowić będą nieoszacowane dokumenty dla późniejszych pisarzów. A dzieł tych stworzonych pracowitością braci de Goncourt jest sporo, bo około dwudziestu tomów, stanowiących dwadzieścia okien, którémi patrzeć ufnie możemy na wiek XVIII i na nasze kończące się stulecie!

Prócz kilkunastu tomów historycznej treści, bracia de Goncourt pozostawili kilka tomów traktujących o sztuce, oraz kilka wspólnie napisanych powieści, z których najsłynniejsze są: „Charles Demailly“ (obyczaje świata dziennikarskiego), „Soeur Philomène“ (szpitale), „Germinie Lacerteux“ (dzieje służącej), „Manette Salomon,“ (malarze, artyści, modelki). Po śmierci Juliusza Edmund de Goncourt napisał: „La Faustin“ (aktorka), „La fille Elisa“ (prostytutka), „Les Frères Zemgano“ (akrobaci, cyrk.) Przed kilku tygodniami ukazała się jego książka o sztuce japońskiej i najznakomitszym rysowniku japońskim Hokusai, oraz dziewiąty tom „Dziennika“, którego całość jest może najcenniejszym i najżywotniejszem z dzieł zmarłego mistrza, zacnego człowieka i wielkiego artysty, jakim był Edmund de Goncourt.

„Ave Caesar.“

Pożądać namiętnie, bez granic, wszystkie drgania nerwów dostroić do jednego tonu, opasać świat i siebie łańcuchem tysiąca ogniw, ukutych z żądz, bólu, radości, łez i uniesień — jest to zamknąć w sobie świat cały z jego groźnemi burzami i tęczą różnobarwną, jest to żyć. Takie spotęgowanie poczucia łączności swej ze światem jest tylko przywilejem młodości: starzec tak nie żyje, a świat usuwa się od niego coraz dalej, aż wreszcie zepchnie dawnego kochanka w otchłań zapomnienia.

W literaturze — która jest przecież syntezą życia — dzieje się jak w życiu; typy współczesne starzeją się i schodzą do grobu, inne zaś starzeją się przedwcześnie: jednym z tych, co się zestarzeli w młodości, jest bohater współczesny. Zamiast patrzyć na świat, zamiast czuć, chcieć i czynić, wpatrzył się w siebie, analizował subtelnie uczucie, czyn i wolę, a dziś na schyłku swej doby przekonał się z przerażeniem, że znika mu gdzieś jego wola, uczucie i czyn, że zwarzyła mu się krew w żyłach i przestała tętnić tętnem młodości.

Analizował się, przekonał się o swej niemocy, stracił wiarę w siebie, pozbył się złudzeń, a dziś mu zabrakło żądzy namiętnej, ale prawdziwej, otoczonej orszakiem nieznanych wzruszeń, lecz naturalnych. Czuje się bezwładny i apatyczny, morfinizuje się sztucznemi wrażeniami, ale już nawet zapach zatrutych kwiatów spółczesnego ducha nie jest mu dość silnym.

Chore dziecko odpycha ulubione swe zabawki: stały mu się obojętne, odkąd przestały drażnić jego wolę. Znużenie woli charakteryzuje bohatera doby dzisiejszej. Życie przedstawia się mu jak jednostajna szara płaszczyzna: na jej skraju ołowiano niebo, stykające się z ziemią, kreśli nieubłaganie jednostajną, zimną, biegnącą wkoło linię graniczną, a wyjścia z niej niema. I duch jego czuje się samotny i przygnębiony. Żądze przestały elektryzować, zmysły łaskotać, bo zwykłe a nawet niezwykłe środki straciły urok nowości. Wszystkie rozkosze, które mi życie wabić może, wywołują tylko uśmiech sceptyczny na jego usta: „Znamy już to wszystko! — i te namiętne uściski i nerwowe płacze: komedya!“

Kto przeszedł całą szkołę rozczarowania w teoryi i w praktyce, kto na wszystkie możliwe sposoby eksperymentował swą wolę, żądze i namiętności, ten po zrobieniu obrachunku spostrzedz musi deficyt: chcieć czegoś określonego już nie jest w stanie. Przejściowem stadyum w tej fazie jest stan gorączkowego poszukiwania drażniących nerwy środków, a charakterystyczną cechą tego stanu jest bezustanne natężanie woli bez wyraźnego skierowania jej na pewien przedmiot. Chore dziecko wie dokładnie, że czegoś chce, lecz wszystko mu jest zbyt łatwe, zbyt szablonowe, zbyt zrozumiałe, jak formuła algebraiczna, do której klucz już posiada: nie emocyonuje go wcale.

Apatya i pożądanie emocyi — oto kontrast, który nosi w sobie bohater doby dzisiejszej. Chce wiedzy, a jednocześnie gorzko szydzi z jej wyników; on, co dawniej biczem bezlitośnej krytyki tak ćwiczył swego ducha, że opadały z niego dogmaty, jak kawały ciała odrywające się od szkieletu — dziś nie cofa się przed próbą ostatnią i prosi wiary, tej odwiecznej siostry miłosierdzia dla duchów chorych, aby przyszła do niego, położyła rękę na głowie i krzyżem go przeżegnała. „Chcę wierzyć,“ woła, czując dobrze, jakim paradoksem chce zaspokoić swego ducha. „Może to ulży,“ — lecz nie ulży.

I cichy, trawiący smutek, jak nicią pajęczą osnuwa dalej jego duszę: nie widać ani początku, ani końca tego smutku, a snuje się wciąż dalej i boli:

Il pleure dans mon coeur
Comme il pleut sur la ville,
Quelle est cette langueur
Qui pénètre mon coeur?

Il pleure sans raison
Dans ce coeur qui s'écoeure.
Quoi! nulle trahison?
Ce deuil est sans raison.

C'est bien la pire peine
De ne savoir pourquoi

— Ach Wiero i pani nie jest lepszą jak inne i pani jest laleczką salonową — powiedział z wyrzutem i wyszedł z pokoju.

Wiera została sama nieszczęśliwa, unicestwiona.

— Boże, jaki wstyd, jak można żyć po takiej hańbie.

To była pierwsza myśl z jaką się drugiego dnia przebudziła.

Jeszcze jest wcześnie, słyszy spokojne, równe oddechy sióstr. Obie wczoraj nic nie spostrzegły, niczego się nie domyśliły, ale co powiedzą, gdy usłyszą. Być cały miesiąc interesującą bohaterką romansu, aby naraz stanąć przed niem, jak głupia, zarozumiała dziewczyna.

— O jaki wstyd, jaki wstyd!

Ukryła głowę pod kołdrę i płakała rzewnie, gryząc zębami poduszkę, aby zdusić łkanie.

Lena odwróciła się w łóżku. Siostry wstały.

— Ach, gdyby tylko nic nie spostrzegły!

Na myśl tę łzy jej oschły. Jakgdyby się nic nie stało, ubiera się, chodzi, rozmawia, śmieje się nawet, jakgdyby nic nie zaszło. Czasami udaje się jej rzeczywiście na chwilę zapomnieć, ale w sercu tkwi zawsze głuchy, natrętny ból tak świeży. Dzień przeznaczony na lekcye nadszedł.

— Co się teraz stanie — myśli Wiera i drży na myśl spotkania z Wasylcewem.

Około 3-ciej nadbiegł chłopiec od niego z biletem usprawiedliwiającym, że nie przyjdzie na lekcyę, bo jest niezdrów.

— Dzięki Bogu, myśli Wiera.

Zaczęło się dla niej znowu jej dawne, nudne, próżniacze życie, jak było przed zaznajomieniem się z Wasylcewem. Biega znowu po wszystkich kątach i nie wie co z sobą począć, czego się jąć. Chociaż starała się to wszystko ukryć, siostry domyśliły się czegoś i prześladowały ją natrętnemi pytaniami. Wiera uciekła od nich.

Tak minął jeden tydzień i rozpoczął się drugi, Wasylcew nie zjawił się.

— On już nie przyjdzie nigdy — pomyślała Wiera, rozgoryczona i tęskna.

Jednego dnia siedziała w pustym pokoju sama i przerzucała obojętnie książkę dziesięć razy czytaną, gdy posłyszała w korytarzu kroki dobrze jej znane. Pierwszą jej myślą było porwać się i uciec, ale nim plan swój wykonać zdołała, już Wasylcew stał przed nią.

Był spokojny i łagodny, jak zawsze, jakgdyby się nic nadzwyczajnego nie wydarzyło.

A ona, ona nienawidziła go przeszłego tygodnia, teraz jednak poczuła wielką radość, zapierającą jej oddech. Doznawała wprawdzie także uczucia wstydu, ale radość przeważała.

— Wiero, moja mała przyjaciółko, tak nie może być dalej — powiedział, jak do dziecka głosem spokojnym i serdecznym — drobne nieporozumienie wkradło się między nas, nieprzyjemne, nieznośne nieporozumienie, ale teraz rozmówimy się jasno, zapomnimy o tem co było i będziemy znowu przyjaciółmi. Ja przecież mam czterdzieści trzy lata, jestem stary, trzy razy starszy niż pani; pani mogłabyś być córką moją, ale nie żoną. Zakochać się w tobie, byłoby z mej strony nietylko głupotą, ale i podłością. Ja też, dzięki Bogu, nigdy o tem nie myślałem; polubiłem panią szczerze i prawdziwie, i pragnąłbym bardzo zrobić z pani dobrego człowieka. Przecież to tylko lalki salonowe wmawiają sobie, że mężczyzna nie może być ani przez pół godziny w ich towarzystwie, aby sobie głowy nie zawrócił, a pani nie jest laleczką — prawda.

Wiera stała milcząca, z głową pochyloną, wielkie łzy drżały na jej długich rzęsach.

— Posłuchaj pani, moja droga, podaj mi pani rękę — dodał Stefan Michałowicz — Ażeby dowieść jak cenię twoją przyjaźń powiem pani to, czego od wielu, wielu lat nikomu nie mówiłem. Raz w życiu kochałem rzeczywiście kobietę, lepszej, milszej nie spotkałem. Los jej był straszny. Było to zaraz po zamachu Karakozowa, wtedy więziono wielu; jedno nierozważne słowo wystarczyło, aby dostać się do twierdzy. I ją uwięziono. Więzienie było przepełnione i musiała sześć miesięcy przebyć w wilgotnem, ciemnem podziemiu, zalanem wodą, a była ona tak słabą i delikatną. Gdy nakoniec przyszła kolej na rozpatry-

Sans amour et sans haine.
Mon coeur a tant de peine.

Paul Verlaine. Ariettes oubliées.

Ten bohater współczesny nie będzie mieć epigonów: sam jest ostatnim z nich. Myśl, która w tym samym kierunku dalej już pójść nie może, zwraca się w odwrotnym, tworzy antytezę. Bohater jutra będzie antytezą bohatera doby dzisiejszej: temu brakło woli, tamten będzie jej miał aż do zbytku, a duch kontrastu, który go rodzi, da mu wiarę w siebie, zamiast samoanalizy, — prostotę, zamiast wyrafinowania, tchnie w pierś jego nieposkromioną żądzę czynu, uzbroi dłoń w siłę olbrzyma, a serce w naiwność dziecka; uczyni go zdolnym zarówno do dzikiego szału jak do tkliwych wzruszeń. Imię tego nowego bohatera, który występuje teraz na widownię, jest — tłum. Tylko on potrafi tak czuć, tylko on łączy przymioty nowego bohatera w literaturze współczesnej, do niego też należy jutro. Wstępując na tron spotka się oko w oko z temi wybladłemi postaciami, co dziś jeszcze królują. One już mają słowa na ustach: *Ave Caesar, morituri te salutant*. Czekają tylko na przyjście nowego władzcy.

Berlin 1896.

Kazimierz Rakowski.

Piśmiennictwo peryodyczne.

(Czerwcowy zeszyt „Ateneum").

Czytelnik naszych pism peryodycznych, znudzony mnóstwem błahych drobiazgów szarego brukowego życia, albo obszernemi wywodami z dziedziny polityki egzotycznej, z przyjemnością weźmie do ręki czasopismo poważniejsze, redagowane według pewnego rozumnego planu, złożone z prac sumiennych, obrobionych staranniej, o tematach żywotnych i interesujących.

Oto leży przed nami czerwcowy zeszyt „Ateneum". Kilkanaście rozpraw, utworów i krytyk, a wśród nich nic, coby stanowiło jedynie balast przeznaczony do skompletowania przepisanej liczby szpalt. Przeczytać można wszystko, żadnego arkusza nie zostawia się nierozciętym. Po przeczytaniu pozostaje pewna suma wrażeń estetycznych, trochę nowych wiadomości, kilka myśli, które snuje się dalej...

Na wstępie piękny wierszowany obrazek A. Lange'go, stwierdzający na przykładzie słuszność gorących pochwał, oddawanych temu poecie w krytyce p. B. Lutomskiego, a zarazem obalający zarzut oderwania się poety „od interesów realnych i społecznych, od tego, czem ludskość żyje najwięcej i co ją najwięcej boli". Treścią „Jędrka" jest myśl o ścisłem powiązaniu przyczyn i skutków w zakresie życia społecznego na całym obszarze cywilizowanego świata. Gdzieś na drugiej półkuli szarańcza zniszczyła plantacye bawełny i dlatego odprawiony z łódźkiej fabryki Jędrek przybył do Warszawy. Forma wiersza doskonała, przypomina pierwszorzędne wzory — treść odmalowana bardzo plastycznie, ale trochę za kusa. Wygląda to, jak gdyby tylko wstęp do obszerniejszego poematu.

Dwie nowele: „Nad ranem" Jerzego Algosa i „W sobotę" Edwarda Maliszewskiego, dziwnym trafem mają rozwiązanie wielce podobne. W pierwszej — stara zapracowana służąca nagle traci wzrok, spada ze schodów do piwnicy i zabija się. W drugiej — majster ślusarski wraca do domu pijany, spada ze schodów i zabija się. W obu drobiazgach znać talent, ale młody, bo jeszcze nie oryginalny.

W artykule „Newroza i zbrodnia" dr. Juliusz Makarewicz rozbiera głośny proces galicyjskiego szarlatana - hypnotyzera Czyńskiego i charakteryzuje podsądnego, jako człowieka niemoralnego i zasługującego na karę, ale nie zbrodniarza. Był to, zdaniem dr. M., histeryk, osobnik anormalny, znajdujący się w stanie na pół patologicznym, wszakże poczytalny ze stanowiska odpowiedzialności karnej. Wyrok monachijskiego sądu przysięgłych, odrzucający oskarżenie o uwiedzenie baronówny Zedlitz i skazujący Czyńskiego jedynie za fałszerstwo aktu ślubnego, dr. M. uznaje za zupełnie sprawiedliwy i stara się go uzasadnić teoretycznie.

Oprócz wspomnianej już rzeczy p. Lutomskiego o poezyach Lange'go, mamy jeszcze trzy rozprawy literackie. Pan Edward Porębowicz doszukuje się, zkąd mógł się Słowackiemu nastręczyć pomysł do tragedyi „Beatrix Cenci". Źródło odnajduje się w ogłoszonej podówczas z archiwów watykańskich kronice krwawych dziejów rodziny Cenc'ich, oraz w tragedyi „Guido Reni" Bévauda i Bouilly'ego, granej w roku 1833 w „Théâtre Français". Dr. Ignacy Suesser, bezwzględny wielbiciel Ibsena, spiera się o charakterystykę norwezkiego dramaturga z autorem nowego o nim studyum, d-rem Ludomirem Germanem, oraz ze wszystkimi którzy u nas o Ibsenie pisali. Podług p. Suessera, Ibsen jest najwybitniejszym przedstawicielem kierunku „mieszczańskiego", który „poddaje gryzącej krytyce cały ustrój mieszczański", a ideały mieszczańskie „obnaża z kłamliwych obsłonek i ukazuje je we wstrętnej brzydocie". Ma więc właściwie ten „przedstawiciel mieszczańskiego kierunku", wedle p. Suessera, w krytyce swej pozory radykała, ale nie może przekroczyć granic, zakreślonych programem liberalizmu i dlatego z radykalizmu przerzuca się w beznadziejny pesymizm. Ale pesymizm ten, według zapewnienia dr. S., nie jest bynajmniej groźny. Bo to nie jest pesymizm filozoficzny, tylko „pesymizm oburzenia" na głupotę i nikczemności spółczesnego mieszczaństwa.

Zamiast „Kroniki miesięcznej" znajdujemy w zeszycie czerwcowym artykuł podznaczony dobrze znanemi inicyałami F. K., p. t. „Drażliwość literacka". Autor zabiera głos z powodu świeżych utyskiwań na upadek obyczajów dziennikarskich i sądzi, że powodem gorszących zajść jest przecenianie przez literatów i artystów samych siebie i swoich utworów, zkąd płynie nadmierna drażliwość. W razie przekroczenia przez krytyków lub polemistów granic dozwolonych, autor zaleca zwracanie się do sądów polubowych, a wreszcie zwyczajnych.

Ig.

---

wanie jej sprawy, wykazało się, że nie było żadnych dowodów przeciwko niej. Musiano ją uwolnić. Ale w tem strasznem podziemiu nabawiła się okropnej choroby, okropniejszej niema na świecie: dostała próchnienia kości. Przez trzy lata umierała powolną śmiercią. Ja nie odstępowałem jej, rozumie się, ani na krok, musiałem patrzeć, jak ta choroba strasznie ją zmieniła, jak rozkładała za życia z dniem każdym. Cierpienia jej były tak wielkie, że nawet ja, który ją kochałem nadewszystko w świecie, pragnąłem dla niej śmierci — jedynej wybawicielki. Teraz pojmiesz Wieroczko, że człowiek, który coś podobnego w życiu przeszedł, nie może uważać miłości za żart. Tak, zaprawdę, w kraju, w którym podobne rzeczy dziać się mogą, nie ma też człowiek prawa myśleć o osobistej miłości i osobistem szczęściu.

Głos Wasylcewa urwał się ze wzruszenia, Wiera płakała cicho i rzewnie.

Niedługo potem pokazał jej Wasylcew portret swojej byłej narzeczonej, jak wyglądała przed chorobą: piękna, inteligentna ciemna twarz z czarnemi, marzącemi oczyma. Wiera nie widziała nigdy w życiu piękniejszej twarzy; ze czcią przycisnęła usta do portretu i ze łzami w oczach powtórzyła ślub, uczyniony dawniej: zdobycia sobie korony męczeńskiej. Nie pójdzie po nią do Chin, teraz wie, że los ten przypada w udziale wielu ludziom w Rosyi.

Od owego dnia nie było żadnego nieporozumienia między Wierą i Wasylcewem, a przyjaźń ich była trwałą i silną.

VI.

Był koniec kwietnia. Wiosna w tym roku przyszła nagle. Gdy wody puściły i śnieg stopniał, długo jeszcze trwało zimno: wszystko rozwijało się powoli, leniwie, jakby niechętnie, krok naprzód, a dwa w tył. Zdawało się, jakgdyby trzeba prosić każdą trawkę, każdą roślinkę i namawiać, żeby się zdecydowały wreszcie otrząsnąć sen zimowy i wychylić z ziemi delikatne koniuszki listeczków. Prawdziwego wiosennego życia nie można było dostrzedz. Nagle spadł w nocy ciepły, ożywczy deszczyk i odtąd zmieniło się wszystko, jak pod dotknięciem różczki czarodziejskiej. Wszystko powstawało z pragnieniem życia, wszystko spieszyło, przygniatając się, popychając nawzajem, jakgdyby lękając się spóźnienia. Żadne stworzenie nie chciało ustąpić, wszystkie walczyły o swe prawa bytu.

Rano wstali mieszkańcy Barków i zdziwili się, co się zrobiło w jedną noc, nie poznać ani ogrodu, ani pól, ani lasów. Wczoraj wieczorem było to wszysto jeszcze czarne i gołe, teraz przyodziane delikatną zielenią, a powietrze jest dziś także inne, inaczej się niem oddycha. Dziś właśnie praca ta i gorączka wiosenna najwyższego dosięgnęły szczytu, brzozy pokryły się drobnemi listeczkami, przezroczystemi jak koronka. Wielkie pęki topoli pękając, odrzucają swoje lepkie, żywiczne osłony, napełniając powietrze orzeźwiającym zapachem. Żółty wonny pyłek kotków leszczyny i olszy zmieszany z białemi listeczkami czereśniowego i wiśniowego kwiecia unosi się w powietrzu. Na jodłach widać wielkie, jasne szpilki, stojące prosto jak świece, a pod niemi stare przeszłoroczne igliwie, tylko dąb stoi nagi i ponury, jakgdyby dla niego wiosna nie nadeszła. Z południa przylatują każdego dnia nowi goście, już przed tygodniem zarysował się na niebie pierwszy trójkątny klucz żórawi. Dzięcioł uderza dziobem w pusty pień starego buku, jaskółki latają pod balkonem, szukając swych starych gniazd i prowadzą zaciętą walkę z wróblami, które je sobie w zimie przywłaszczyły. Z ziemi podnoszą się ciepłe opary, zdaje się, że wyczuć można, jak tam pod ziemią dokonywa się tajemnicza praca. Nie można zrobić kroku, by nie stąpić na kiełek nowego życia: grzyba, źdźiebełka trawy lub owadu. W strumieniu odbywają się gorące oświadczyny i sceny miłosne, każde bagno roi się od miliardów przeróżnych form istnienia, a wszystko to porusza się, wszystko to przejęte jest przeświadczeniem o ważności swego własnego „ja."

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Goplana.

Znakomity muzyk polski, Zygmunt Noskowski, który jak wiadomo umyślnie przybył do Krakowa na premierę „Goplany“ Żeleńskiego, zamieszcza w „Kuryerze warszawskim“ taką charakterystykę tej opery, zaznaczywszy poprzednio, że akcya libretta zgodnie jest przeprowadzona z akcyą „Balladyny“ Słowackiego.

„Działalność Goplany — pisze Noskowski — i jej dla Grabca miłość pośrednio tylko wpływają na bieg akcyi, ale za to opera świetnie się rozpoczyna tajemniczą sceną, oświetloną blaskiem księżyca, przy którego promieniach zgromadzone nad brzegiem jeziora duchy wodne poetyczny śpiew zawodzą.

Ukazuje się niebawem Goplana, aby oczekiwać na przybycie ukochanego Grabca. Charakterystyczna piosnka jego zyska na powodzeniu, skoro będzie śpiewaną na scenie, czego zapewnie przy dalszych przedstawieniach autor nie omieszka uczynić.

Bardzo charakterystycznem jest wejście orszaku Kirkora w tempie marszowem. Romans o jaskółce podobał się ogólnie, choć p. Sienkiewicz, wykonawca partyi Kirkora, nie bardzo umiejętnie włada głosem. Ukazaniu się wdowy z córkami towarzyszy śliczna melodya o nastroju ludowym. Akt pierwszy kończy się bardzo efektownie śpiewem Aliny, która pozostawszy sama na scenie, oddaje się tęsknemu marzeniu o pięknym rycerzu. Jest to ustęp wysoce poetyczny, który zjednał wykonawczyni (pannie Kruszelnickiej) sute oklaski i był powodem wspaniałej dla Żeleńskiego owacyi, zakończonej tuszem orkiestry i wręczeniem mistrzowi kilkunastu wieńców i bukietów.

Akt drugi od początku do końca jest znakomity. Przemianie Grabca w wierzbę śliczna towarzyszy przygrywka orkiestrowa i chór niewidzialnych duchów. Scena ta ma urok niepospolity i odrębny...

Następuje potem korona opery: duet między siostrami, z których jedna nuci wesołą piosenkę, gdyż ma już dzban pełny, druga zaś w ponurych zwrotach opowiada, iż widzi maliny czerwone jak krew.

Przeciwstawienie liryzmu z dramatycznością jest w tej scenie wybornie oddane. O ile Aliny postać pociąga do siebie urokiem i jasnemi blaski, o tyle jej siostra budzi grozę. Następuje zabójstwo, winowajczyni ucieka, scenę zasłania obłok i orkiestra rozpoczyna prześliczne Intermezzo, w którem nader trafnie użyty rożek angielski tęskną wygrywa melodyę przy towarzyszeniu figury skrzypcowej.

Scena się przemienia. Do oczekującej przed chatą wdowy wraca z dzbanem siostrobójczyni, oznajmiając, iż Alina nie wróci, gdyż uciekła... z Grabcem. Matka przeklina ją w nieświadomości, poczem przybywa orszak weselny i bardzo udatny chór na tle basu kobzowego kończy ten znakomity akt.

W trzeciej odsłonie rzecz się odgrywa na zamku Kirkora, którego niema, gdyż musiał udać się na wyprawę wojenną. Małżonka jego siedzi zagłębiona w ponurych myślach. Szczęścia nie znalazła, gdyż męża nie kocha, a widząc, że Kostryn, jego namiestnik, pała ku niej namiętną miłością, sidła go, aby zeń uczynić niewolnika, narzędzie do wykonywania jej planów, równie zbrodniczych, jak zabójstwo siostry. Ustępy te pod względem muzycznym są świetnie opracowane, ale siłą dramatyczną nie dorównywają aktowi drugiemu.

To samo muszę powiedzieć o następującym potem duecie między wdową i jej córką. Okresy melodyjne w tej scenie nie są dość zaokrąglone, rwą się co chwila i dlatego obraz ten cały cokolwiek mniejsze uczynił wrażenie.

Następuje potem obraz uczty. Na zamek przybył Grabiec, przemieniony znowu z wierzby na księcia, który zamiast berła dzierży w ręku prostą fujarkę: na której każe grać swym towarzyszom: Skierce i Chochlikowi.

Przy towarzyszeniu ślicznej przegrywki fletowej śpiewa Chochlik piosenkę o malinach a kończy ją Grabiec, oznajmiając, że był świadkiem — niemym jako wierzba — straszliwego czynu. Na te słowa Kostryn, na rozkaz swej pani, wlewa truciznę do puhara Grabca i nuci piosenkę „brindisi“, wnosząc zdrowie gościa.

Grabiec wychyla puchar i niebawem pada martwy. W tej chwili zjawia się Kirkor, który wrócił właśnie z wyprawy i z oburzeniem dowiaduje się o zbrodni. W górze ukazuje się Goplana, która mszcząc się za otrucie Grabca, piorunem zabija winowajczynię.

Ostatnia scena jest stanowczo za długa, zwłaszcza że i wdowa wbiega na scenę, opowiadając w urywanych słowach o wypędzeniu jej przez córkę. Słuchacz za długo oczekuje na katastrofę i dlatego jestem pewny, iż dla dobra całości ustęp ten skrócić należy.

Instrumentacya „Goplany“ jest wyborną, w wielu miejscach świetną. Widać tu rękę doświadczonego mistrza, zarówno w użyciu mas jak i oddzielnych instrumentów.“

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Kronika Warszawska.

Warszawa, 27 lipca 2796.

(List margrabiego. — Dymisya Brocka. — Żandarmi. — Cenzura. — Sprawy miejscowe — Teatr.)

Margrabia Zygmunt Wielopolski od dość dawna nie szczędzi starań, aby w społeczeństwie naszem zająć górujące stanowisko. Znane są pomiędzy innemi jego uwieńczone kompletnem fiaskiem zabiegi o godność prezesa komitetu głównego w tutejszem Towarzystwie Kredytowem Ziemskiem. Ponieważ zaś do takiej roli nie uprawniają go własne moralne i umysłowe kwalifikacye, przeto zwyczajem małych synów wielkich ojców powołuje się przy każdej stosownej i niestosownej okoliczności na zresztą dość wątpliwej natury zasługi „wielkiego“ margrabiego Aleksandra Wielopolskiego. Tym razem posłużył mu zamieszczony w petersburskim „Kraju“ nekrolog Aleksandra Ostrowskiego, jednego z głównych przywódzców stronnictwa tak zw. białych w r. 1863, do napisania listu otwartego, w którym z imponującym cynizmem napada na twórców ostatniego powstania, podsuwając im najhaniebniejsze motywa i zarzucając najpotworniejsze zbrodnie. List ten, który się pojawił w „Kraju“ przedrukowały naturalnie bez wszelkich komentarzy wszystkie prawie pisma tutejsze. Paszkwil ten margrabiego na bądź co bądź nie pozbawiony pewnej wielkości r. 1863 pozostanie bez odpowiedzi. Postara się o to cenzura. Pośrednio co prawda, odpowiedziało już całe tutejsze społeczeństwo, potępiając bez wszelkich zastrzeżeń nędzną tę elukubracyę i nie podziwiając odwagi cywilnej margrabiego, lecz zdumiewając się nad jego bezczelnością. W rzeczy też samej dotychczas jeszcze grunt tutejszy nie jest przygotowany do tego rodzaju występów i społeczeństwo nasze nie dość jeszcze upadło, aby przyjmować bez oporu bezczeszczenie swoich ideałów.

Daleko jednak ważniejszym wypadkiem, niż niefortunny występ publicystyczny margrabiego Wielopolskiego, jest dymisya jenerała Brocka i połączone z nią zniesienie warszawskiego okręgu żandarmskiego. Któżby z mieszkańców „prywiślańskiego“ kraju nie znał żandarmów. Sama już ta nazwa budzi w najwyższych i najniższych, winnych i niewinnych pewien dreszcz trwogi. Podziemne cele cytadeli warszawskiej i lodowate pola Syberyi przepełnione są śladami działalności żandarmów w naszym kraju. Organizacya żandarmów w państwie Rosyjskiem z wielu względów przypomina regułę, jaką słusznie czy niesłusznie przypisują zakonowi Jezuitów. Żandarm nie zna, a przynajmniej znać nie powinien ani ojca ani matki, ani przyjaciela, ani kochanki. Wszystkie jego myśli, pragnienia i dążenia wypełniać powinna służba cara, niestrudzone i nieubłagane tropienie wszystkich tych, którzy w ten lub ów sposób buntują się, lub buntować by się mogli przeciwko wszechwładnej potędze cara. Psy te gończe, rekrutujące się z najdodatniejszych pod pewnym względem żywiołów społeczeństwa rosyjskiego, wyposażone są w wyjątkowo obszerne przywileje i atrybucye. Pomiędzy innemi wolno prostemu żandarmowi, którego zresztą podług dość utartego mniemania trudniej przekupić niż gubernatora, pisywać wprost do Petersburga do najwyższych nawet urzędników państwa, z pominięciem wszystkich pośrednich instancyi. Naczelnik zaś korpusu żandarmskiego odnosi się we wszelkich ważniejszych kwestyach, nie zasięgając rady ani wskazówek jeneral-gubernatora, bezpośrednio do swego najwyższego zwierzchnika, ministra spraw wewnętrznych, a niekiedy i wprost do cara.

Otóż obecnie skończyło się, przynajmniej w Królestwie Polskiem, to wszechwładne panowanie żandarmów. Naczelnik warszawskiego korpusu żandarmskiego, jenerał Brock, swoją drogą uczciwy, choć surowy urzędnik, poszedł w „duraki“. Sama posada naczelnika została zwinięta, a korpus żandarmów poddany pod rozkazy jenerał-gubernatora. Zdawać by się mogło, że wiadomość o tej zmianie powita całe tutejsze społeczeństwo z uczuciem ulgi i zadowolenia. Stało się jednak wręcz przeciwnie; dziwić się temu trudno. Bo jeżeli naczelnik żandarmów w Królestwie Polskiem był srogim gnębicielem wszystkich rzeczywistych, a często nawet domniemywanych tylko przestępców politycznych, to z drugiej strony mógł także uchodzić za pewien rodzaj bóstwa opiekuńczego. Służąc wiernie carowi, nie pozwolił dyskredytować jego imienia czynami zbyt jaskrawej samowoli lub zbyt rażącemi nadużyciami. Podobno za rządów Hurki niejednokrotnie oparł się skutecznie despotycznym zapędom wielkorządzcy. Działalność ta obrończa mogła być tem skuteczniejszą, że przed szefem korpusu żandarmskiego, wyposażonym w nieograniczoną władzę denuncyowania, drżeli wszyscy, choćby najwyżsi czynownicy. Obecnie władza, którą dzierżył dotychczas naczelnik żandarmów, przechodzi w ręce jenerał-gubernatora, pozbywającego się w ten sposób niewygodnego współzawodnika, a niekiedy niebezpiecznego kontrolera swych czynności.

A teraz cokolwiek weselszego! Nasi optymiści upatrują zmianę ku lepszemu w naszych stosunkach w rzekomem złagodnieniu cenzury. Najlepiej ilustruje to złagodnienie następujący przykład. Jedno z tutejszych pism humorystycznych sparafrazo-

wało i zastosowało do teatru łódzkiego znaną bajkę Jachowicza: „Dała mi złotówkę mama itd.“ Dzięki energii i inteligencyi cenzora p. Iwanowskiego, cenzurującego, nawiasem mówiąc, obok humorystyki także utwory dramatyczne, a trzymającego się przepisu, że nie wolno używać w druku nazw dawnych monet polskich, parafraza ta pojawiła się w ostatnim numerze „Kuryera Świątecznego“ w następującej postaci:

„Dała mi piętnaście kopiejek mama
Bym zobaczył panorama,
Co się zowie Buberokokiem,
A w tem starzec idzie bokiem,
Tak mi się go żal zrobiło,
Że choć nowość widzieć miło,
Wyrzekłem się jej dla cnoty,
I dałem starcowi piętnaście kopiejek.“

Za to ośmieszenie tak poważnej istytucyi jak cenzura, otrzymał p. Jwanowski potężnego nosa od prezesa komitetu cenzury p. Jankulii, wątpić jednak należy, aby to zapobiegło skutecznie powtarzaniu się tego rodzaju przykładów przemyślności cenzorskiej, pojawiających się co chwila.

Ze spraw miejscowych zasługuje na zaznaczenie ostateczne rozstrzygnięcie sprawy szpitala Dzieciątka Jezus. Umowa zawarta z konsorcyum francuzkich kapitalistów została cofnięta i magistrat warszawski zajmie się sam budową nowego szpitala na tak zw. folwarku Świętokrzyskim wraz z sprzedażą placu, na którym stoi obecnie gmach szpitalny. Odzywają się wprawdzie głosy, domagające się urządzenia na placu poszpitalnym ogrodu publicznego, w obec jednak olbrzymich ofiar, jakieby miasto na cel ten ponieść musiało, głosy te pozostaną prawdopodobnie głosami wołających na puszczy.

Zatrąciłem o puszczę. W miejscowości Puszcza (gub. Warszawska) znajduje się, jak wiadomo, zakład wychowawczy dla moralnie zaniedbanych dziewcząt, pozostający pod zarządem Towarzystwa osad rolnych. Otóż w zakładzie tym dzieją się podobno skandaliczne historye, a mianowicie dozorczyni zakładu utrzymuje stosunek miłosny z dyrektorem Towarzystwa osad rolnych b. profesorem uniwersytetu prof. Miklaszewskim. Oczywiście, że romans ten był dla niektórych pism tutejszych „robiących w moralności“, jak to u was mówią, „ein gefundenes Fressen“. Rozdęto sprawę tę do niemożliwych rozmiarów, a pogorszyło ją jeszcze trzymane w stylu ukazów carskich sprostowanie zarządu Osad rolnych, zaprzeczające gołosłownie i z przekraczającą wszelką miarę arogancyą zarzutom stawianym zarządowi Puszczy. Ostatecznym wynikiem tego zatargu Osad z prasą było wmięszanie się w tę sprawę Apuchtina, który zmienić kazał dotychczasową polską korespondencyę wewnętrzną zarządu Osad rolnych na rosyjską. *Duo litigantibus tertius gaudet.*

W teatrach tutejszych, oczywiście ogródkowych, pojawiły się w ostatnich czasach dwie ciekawe, choć odmienne zupełnie nowości. W Bellevue odegrano pełną niewymuszonego dowcipu i werwy komedyę Ruszkowskiego p. t. „Jadzia wdową“. Wodewil zaś wystawił napisany z niezaprzeczonym talentem, lecz rażący zbyt chorobliwym nastrojem pierwszy utwór sceniczny młodego autora hr. Bohdana Jaksy-Ronikiera p. t. „Nieszczęśliwi“. O utworze tym, zdaniem mojem przecenionym przez tutejszą krytykę, napiszę w następnym liście obszerniej.

X. Z.

Kronika Wiedeńska.

25 lipca 1896.

(Strejk pod przewodnictwem żydów. — Arbeiter Zeitung. — Wyprowadzka „suszycieli“. — Konsekwencya antysemitów. — Rettungsgesellschaft).

W tych dniach zakończył się wielki strejk robotników fabrycznyzh w Neukirchen, trwający przeszło pięć tygodni! Ile pieniędzy stracili przez ten czas robotnicy, których było dziewięć tysięcy, ile rodzin straciło byt swój i zarobek, o tem milczą uparcie wszystkie socyalistyczne pisma! Strejk ten spowodowało głównie grono żydów pracujących w „Arbeiter Zeitung“ i urządzających na gwałt i na oślep bezrobocie, aby się wydostać na widownię w roli prowodyrów i mieć widoki zdobycia mandatów przy nowych wyborach do Rady Państwa. Do takich należy świeżo upieczony prowodyr dr. Berstl. Młody adwokat, o którym nikt nic nie wiedział, raptem zapisuje się w kadry socyalistyczne, zaczyna buntować robotników, przeszkadzać w zgodzie z pracodawcami i niedopuszczać do zakończenia strejku. We wszystkich pismach codziennie się czytało: dr. Berstl to mówił, albo to, — i przez parę tygodni wyrósł on na „capacität“! „Arbeiter Zeitung“ wiedeńską redagują sami żydzi-socyaliści i sami zbankrutowani lub niedoszli adwokaci. Połowa ich — to nasi współziomkowie mojżeszowego wyznania z Galicyi. Sami genialni ludzie. Szef-redaktor dr. Adler, ochrzcony, szwagier Hofrata Halbana (dawniej Blumenstoka) dyrektora kancelaryi austryackiego Parlamentu i maklera rządowego w załatwianiu wszelkich głosowań po. słów na korzyść kwestyi rządowych. Szwagrowie ci bardzo się niekochają, jeden bowiem pracuje w radykalizmie, drugi w konserwatyzmie, obadwaj jednak rzadkich i wyjątkowych zdolności. Jest potem dr. Ellenbogen adw., dr. Ornstein dto, Ingwer, dr. Berstl, dr. Diamand ze Lwowa i cała falanga młodych doktorów żyjących nadzieją posłowania z piątej kuryi wyborczej. Wszystko to żyje z głupiego chrześcianina, który jest robotnikiem, umie pracować i głodzić się, a nieumiejąc samodzielnie zabrać się do rzeczy, pozwala na swoich barkach wyłazić w górę osobistościom, którzy sztukę wyzyskiwania praktykują w przeróżne sposoby.

Do takich sposobów należy i tak zwane „osuszanie mieszkań“ w Wiedniu. Po zrobieniu z Wiednia „Gross-Wien“, to znaczy przyłączeniu kilku dotykających do rogatek przedmieść, miasteczek i wsi granicznych, np. „Kahlenbergerdorf“, oraz celem regulacyi samego miasta, wyznaczył rząd 20 lat wolnych od podatków dla nowo budujących się domów. Naturalnie wszyscy spekulanci żydowscy rzucili się do tej roboty. W przeciągu pięciu miesięcy buduje się kamienicę wysokości sześciu piętr, a budując parter, już wynajmuje się mieszkania. Komisya przez budującego spekulanta skaptowana, pozwala w tydzień po wykończeniu domu na jego zamieszkanie. Mieszkania daje właściciel bardzo tanio, aby je zaludnić i „wysuszyć“. W pierwszym kwartale zwykle spekulant dom dobrze sprzedaje, a nowonabywca, niezadowolony z niskich czynszów, lokatorom wymawia, i w następnym kwartale „suszyciele“, spełniwszy swój obowiązek, bywają wyrzucani, aby ponownie wprowadzić się do mokrego mieszkania. Choroby panujące między tymi ludźmi są okropne, a dzieci wszystkie krzywe i połamane. To też czasami policya się mięsza w tę sprawę, wpada z komisyą budowlaną i sanitarną do takich mieszkań, robi awanturę i... wyrzuca w przeciągu 24 godzin wszystkie familie na ulicę!...

Nowa antysemicka Rada miejska postępuje z żelazną konsekwencyą w dokumentowaniu swojej siły. Żadnego żyda nie potwierdziła na stanowisku nauczyciela szkół miejskich. „Towarzystwu oświaty ludowej“ odmówiła dotąd udzielanej subwencyi w kwocie 500 guldenów rocznie dlatego, bo w radzie zasiada dwóch żydów. Obecnie skompromitowała się nawet uchwałą wydaną na prośbę „Towarzystwa ratunkowego“ o pomoc. Uchwalono bowiem dać 5000 guld. na fundusz budowy własnego domu i 10.000 rocznego wsparcia, ale postawiono warunek, aby Rada miejska miała prawo zmienić statuty, i otrzymać przywilej kierowania wyborami do wydziału. Każdy wie aż za dobrze, czem dla Wiednia i jego mieszkańców jest „Rettungsgesellschaft“ i jak chętnie spieszy ono z pomocą każdemu i w każdej porze dnia i nocy bez względu na subwencye miejskiej. Obecna Rada, idąc konsekwentnie, chce się zemścić na Towarzystwie za to, że należą do niego żydzi; zemsta ta oczywiście w tym wypadku źle jest zastósowaną.

Lueger rządzący wszystkiem daje teraz nagrody swoim wiernym. Niejaki von Pacher nagrody takiej nie otrzymał, ani jako płatny wiceprezydent, ani jako dyrektor magistratu, wściekły więc na Luegera wystąpił dzisiaj z Rady miejskiej, zaznaczając w pismach, że wkrótce powody swego wystąpienia ogłosi. Von Pacher wybrany był w dzielnicy Leopoldstadt, zamieszkałej przez żydów, i sztucznie tylko jako antysemita wszedł do Rady. Na litość więc ze strony żydów liczyć nie może.

Xi.

TO I OWO.

Wspomnienia pośmiertne.

W ubiegłą sobotę rozstał się z tym światem po długiej i ciężkiej chorobie redaktor „Wielkopolanina“, ś. p. Juljan Bukowiecki. Zmarły poświęcił się zawodowi dziennikarskiemu dopiero w ostatnich kilkunastu latach życia swojego, gdy szereg niepowodzeń materyalnych pozbawił go pięknych i obszernych włości. Zanim jednak pług na pióro zamienił, niósł wszystko, co posiadał: pracę swoją, wiedzę i majątek, ojczyźnie w ofierze. Trudno zaprzeczyć, że ta gorączkowa miłość dla sprawy publicznej, to stałe podporządkowanie własnych interesów interesom kraju przyczyniło się poniekąd do jego ruiny materyalnej, ale tylko głos oschłego utylitaryzmu urągać może tym, co kochali za wiele. Sp. Juljan Bukowiecki był na wskroś szlachetną naturą o silnie lirycznym podkładzie i charakter ten udzielił się także pismu, którem czas dłuższy kierował. Wielkopolanin nie zawsze należycie oceniał ewolucyę stosunków społecznych i wynikające z niej dążenia, prądy i hasła, a poglądy jego na lud zdradzały wybitne piętno patryarchalności; zmarły redaktor nie manifestował jednak tak silnie zaakcentowanych dążeń partyjnych, jak je obecna energiczna i ruchliwa redakcya „Wielkopolanina“ objawia.

S. p. Juljan Bukowiecki należał do naszych zdecydowanych przeciwników politycznych, — nad mogiłą jego jednak stajemy z prawdziwym żalem, bo kryje ona człowieka, którego motywy zawsze były czyste i który „kochał Polskę nie połową, ale całą duszą“.

Niemal równocześnie z redaktorem Wielkopolanina położył się do grobu jeden z najwybitniejszych przemysłowców poznańskich ś. p. Bolesław Leitgeber. W przeciwieństwie do Juljana Bukowieckie-

go była to natura trzeźwa, pozbawiona wszelkich pierwiastków sentymentalizmu, bardzo czynna i bardzo praktyczna. Z małych początków wyrosła fortuna jego. Sprytem, niezmordowaną pracą i niezwykłą znajomością zawodu wznosił się wyżej i wyżej, tak, że firma jego w krótkim przeciągu czasu zajęła królujące stanowisko w kupiectwie poznańskiem. A firmie tej nietylko złoto i sumienność zawodowa udzielały blasku, lecz poczucie obywatelskich i narodowych obowiązków, którem właściciel jej zawsze się odznaczał. Sp. Bolesław Leitgeber nie zasklepiał się w ciasnych granicach kupieckich interesów, lecz służył pracą swoją uczciwie ojczyźnie i miastu rodzinnemu. Zrozumiawszy mianowicie znaczenie przemysłu dla materyalnie wycieńczonego społeczeństwa, rozwinął energiczną i ofiarną działalność, by wychować w tej właśnie dziedzinie dzielnych pracowników, a życie jego stało się dla przyszłych generacyi cenną wskazówką, jak łączyć obowiązki zawodu z obowiązkami wobec ojczyzny. Może kupcowi niemieckiemu wolno być tylko kramarzem, — kupiec polski winien być także żołnierzem i sługą narodu.

* * *

Walka z nauką.

Wychodzi we Lwowie ciekawe czasopismo p. t. „Gazeta kościelna.“ W jednym z ostatnich numerów znajdujemy artykulik, poświęcony „krytycznej“ (sic) ocenie lwowskiego towarzystwa etnograficznego i jego świetnie redagowanego organu p. t. „Lud“. Ocena ta jest w swoim rodzaju czemś tak niesłychanem, czemś na schyłku XIX wieku tak zdumiewającem, że jako pierwszorzędną osobliwość podajemy ją in extenso czytelnikom naszym. Artykuł zatytułowany: „Z prasy peryodycznej“ brzmi:

—

„Zdarza się nieraz, że przyjaciel serdeczny przez niezaradność lub brak przezorności wyrządzi nam prawdziwie „niedźwiedzią przysługę“. Swieżo powtórzyło się to we Lwowie. Profesor uniwersytetu, dr. Antoni Kalina, który niejednokrotnie występował jako wierzący katolik i żywy bierze udział w ruchu katolickim naszego miasta, założył przed rokiem Towarzystwo ludoznawcze z organem p. t. „Lud“. Już w samym początku dziwnie złożyło się, że między członkami znaleźli się obok księży i ludzi wierzących, znani ze swej ruchliwości niedowiarkowie i radykali. Milczeliśmy, bo cel Towarzystwa był nam sympatyczny, a przytem redaktor „Ludu“ przedstawiał pewne rękojmie. Tymczasem Towarzystwo i organ jego, zamiast zaznajamiać nas z ludem polskim, jak to było jego celem, poszło śladem niemieckich folklorystów i zajmuje się w znacznej części stanem człowieka w epoce dzikości; z widocznem upodobaniem traktuje rozmaite możliwe i niemożliwe formy pożycia małżeńskiego u ludów pierwotnych; w sprawozdaniach z dzieł niemieckich podaje rozmaite poglądy i teorye, oparte przeważnie na tem (mylnem) przypuszczeniu, że pierwotny stan ludzkości był stanem dzikim; chce w nas wmówić, że człowiek ze zwierzęcia doszedł do stanu cywilizowanego; z lubością chwyta każdy objaw kazirodztwa, spotykany u ludu, na poparcie teoryi o pierwotnej wspólności żon, (chociaż objawy te niczego więcej nie dowodzą, jak zepsutej natury, która w najbliższem otoczeniu szuka zaspokojenia swej chuci). Lektura, przyzna to każdy ani miła, ani budująca, jeżeli zważymy pospolitego czytelnika. Zapewne są między członkami Towarzystwa tacy, którym podobne artykuły już nic a nic nie zaszkodzą, ale Towarzystwo szczególnie poluje na ludowych nauczycieli(?), poczyniło im wielkie ułatwienia i dosyć ich przyciągnęło. Dla nauczycieli zwłaszcza młodszych, bo starsi zapewne się z tego śmieją, lektura ta co najmniej niestosowna. Łatwo też „Lud“ z rąk nauczyciela może dostać się do ludowej czytelni, a tam będzie wprost zgorszeniem.

Dość wziąć ostatni numer wydawnictwa (tom II. zeszyt 2), aby się przekonać, że nie mamy już czego zazdrościć Niemcom i Francuzom, budującym świat i ludzkość bez Boga. Artykuł wstępny pod tytułem: „Jus primae noctis“ zawiera wiele kwiatów, którychby się nie powstydził największy libertyn i cynik. Dalej idą artykuły obojętne, a nawet pożyteczne np. o zniemczeniu Szląska. Na zakończenie podaje autor sprawozdanie z odczytu profesora Dybowskiego na zgromadzeniu miesięcznem. *Schöne Geister finden sich.* Przyrodnik na zebraniu ludoznawczem rozwiązał (tak się przynajmniej jemu i Redakcyi „Ludu“ zdawało) kwestyę kobiecą i to — na podstawie biologii, sprowadzając ją do samczości i samiczości. „Na podstawie — powiada — badań nad rozwojem rodowo-organicznym samczości i samiczości przychodzimy do przekonania, że... indywidua żeńskie i męskie powstały z istot bezpłciowych, a te zamieniły się kolejno w organizmy hermafrodytyczne i że z zaniku jednej strony płciowości w istotach dwupłciowych powstały tak zwane osobniki jednopłciowe. Tak pojęta istota osobników jednopłciowych każe ją uznać za indywidualność skryto-hermafrodytyczną... Celem odrodzenia społeczeństw, wykolejonych skutkiem barbarzyńskich przesądów i wierzeń i degradacyi kobiecości, powinno być podniesienie poziomu godności istoty kobiecej, nadanie praw równych wszystkim istotom normalnym ludzkim i świadoma swoich celów i środków, racyonalna, bo według zasad biologicznych prowadzona kultura społeczeństw w duchu braterstwa, zgody i altruizmu“. (Str. 191). Oszczędzając naszych czytelników, poprzestajemy na tych wyjątkach. Dostatecznie one cechują i mówcę i pismo, które jego rzekome naukowe teorye, a raczej mrzonki, umieściło w swych łamach. Nie dziwimy się p. Dybowskiemu; nie po raz pierwszy składa on dowody swej niewiary. Wszak przed paru laty podobne bezeceństwa rzucił w oczy arcybiskupom na uroczystości rozpoczęcia roku szkolnego. Dziwimy się jednak redakcyi. Dwojakiego rodzaju niedowiarkowie bywają. Jedni chowają swoje przekonania dla siebie i z tymi w sprawach obojętnych możnaby się zgodzić; inni występują jako apostołowie niedowiarstwa i takich właśnie pochwytał p. Kalina do swego Towarzystwa. Oczywiście nie może być tam miejsca dla księży i uczciwych chrześcian. Czy w tem Towarzystwie jest jeszcze miejsce dla p. Kaliny, niech się zapyta swego sumienia“.

—

Tyle „Gazeta kościelna“. Ten głos średniowieczczyzny nie potrzebuje żadnych komentarzy. Sama publikacya wystarcza, aby zwrócić uwagę na niebezpieczeństwo, grożące z wiadomej strony zdobyczom humanitarnym wieku naszego i tej potokami krwi i łez, na stosach i na torturach okupionej swobodzie nauki, z której tak dumni jesteśmy.

* * *

Z stowarzyszenia pomocy naukowej dla Polek im. J. I. Kraszewskiego.

Z prośbą o umieszczenie otrzymujemy pismo następujące:

Dnia 20 czerwca b. r. odbyło się posiedzenie kwartalne wydziału stowarzyszenia Kraszewskiego. Na konkurs ogłoszony przez stowarzyszenie w dniu 15 maja nadesłano 8 podań od studentek uniwersytetów w Paryżu, Genewie i Lille. Stosownie do brzmienia konkursu były do rozporządzenia tylko dwa stypendya, które też przyznano zeszłorocznym stypendystkom, a mianowicie p. M. K. licencyatce nauk matematyczno-fizycznych fakultatu paryskiego, jako pomoc do napisania rozprawy doktorskiej, oraz p. T. C. studentce 4-go roku medycyny w Paryżu. — Nadto przyznano nadzwyczajną zapomogę w kwocie 150 złr. p. H. S., słuchaczce 4-go roku medycyny w Genewie. 5 podań musiano niestety odrzucić, a to jedynie dla braku funduszów.

Co do jednej petentki wydział postanowił czynić wszelkie możliwe usiłowania, aby żądania jej uwzględnić. Chodzi tu bowiem o przyszłą hospitantkę uniwersytetu Jagiellońskiego, a pomoc osobom studyującym w kraju leży na pierwszym planie działalności stowarzyszenia. Dla tego też dano petentce odpowiedź warunkową, że o ile Senat uniwersytetu Jagiel. na hospitentkę ją przyjmie, o tyle Stowarzyszenie wypłacać jej będzie miesięcznie wedle możności 10—15 złr. Ponieważ w chwili obecnej sprawa przyjęcia do Uniwersytetu została załatwioną przychylnie, wydział musi zobowiązania dotrzymać i dla tego zwraca się do ogółu, żeby bądź to drogą jednorazowych datków, bądź to zapisywaniem się na członków Stowarzyszenia kasę tegoż zasilić zechciał.

Wydział nie ustanie w pracy, dopóki choć połowa odrzuconych na razie podań nie zostanie załatwioną przychylnie. Prawie wszystkie petentki są to osoby kończące studya, zmuszone obok pracy nad nauką ciężko zarabiać na utrzymanie. Każdy pojmie, jak utrudnione są studya w tych warunkach, szczególniej na obczyźnie. Dla tego też jak najgoręcej polecamy sprawę naszych odrzuconych uwadze ogółu, a w szczególności sióstr-polek.

W dalszym ciągu uchwalono, żeby Stowarzyszenie przystąpiło jako członek założyciel z wkładką 100 złr. do „Towarzystwa szkoły gimnazyalnej żeńskiej.“

Z kolei rozpatrzono wnioski komisyi dochodowej i uchwalono urządzić w jesieni b. r. seryę odczytów a jako prelegentki postanowiono uprosić kobiety-polki posiadające stopień naukowy i poświęcające się naukowej pracy. Postanowiono rozesłać odpowiednie zaproszenia. Dotychczas mamy już obiecane dwa odczyty. Doktór Teodora Krajewska z Dolnej Tuzli w Bośnii obiecała dać sprawozdanie z praktyki swojej wśród bośniaków i Dr. Zofia Daszyńska, docentka akademii Humboldta w Berlinie, przyrzekła odczyt „o ekonomii.“

Nadto uchwalono prosić prof. Cybulskiego, aby podczas wakacyi wygłosił odczyt w Zakopanem, na co tenże łaskawie się zgodził i zapowiedział wykład na pierwszą połowę sierpnia.

* * *

Wyznanie fakirów i nasza łatwowierność.

Zdemaskowani w Peszcie fakirzy wyznali ze skruchą całą prawdę sprawozdawcy „Budapester Tageblatt“ który opisuje w tymże dzienniku swoją u nich wizytę. Mieszkają oni w małym pokoiku o jednem oknie od podwórza, na drugiem piętrze, przy ulicy Kmetty. W tym pokoiku znajdowały się cztery osoby. Zdemaskowany fakir, Bheema Sena Pratapa, leżał wygodnie, w swym kostiumie na kanapie, i gdy dziennikarz wszedł, czytał coś ze śmiechem swoim towarzyszom z jakiejś gazety indyjsko-angielskiej. Drugi fakir, Rama Chandra, właściwy ich zwierzchnik, siedział, paląc papierosa, przy stole. Opócz tego był jeszcze obecny zaufany sługący, oraz szwagier byłego impresarya „dr.“ Fricker, jegomość również wtajemniczony.

Trzeci fakir, Gopal Krishna, był chwilowo na mieście. Rama Chandra oświadczył odrazu gotowość do wszelkich wyjaśnień. Na zapytanie, czy i fakirzy w Indyach grają tylko tę rolę, odpowiedział, że większa ich część to kuglarze: są wprawdzie fanatycy, członkowie sekty religijnej, którzy biorą swój zawód na seryo, ale to wyjątki, a nawet i ich sztuki są w większej części humbugiem. Nawet słynni, chowani żywcem fakirzy, o których z takiem zdumieniem opowiadają Europejczycy, którzy byli w Indyach — dopuszczają się oszustwa. Przyjaciele takiego fakira wykopują podziemne przejście do grobu, z którego wynoszą do tego przejścia trumnę, i fakir podczas rzekomego snu posila się tam należycie. W czasie oznaczonym na otwarcie grobu, fakir układa się znów w trumnie, przyjaciele umieszczają go w dawnem miejscu, zasypują przejście i zdumieni widzowie znajdują fakira w trumnie w takim stanie, w jakim został do niej złożony. Rama Chandra opowiadał ciekawe rzeczy o swoich dwóch kolegach. Gopal Krishna może spać tylko zapomocą hypnozy; po zahypnotyzowaniu leży bez ruchu 24 godziny; po upływie tego czasu musi wszakże otrzymać pożywienie, następnie, zahypnotyzowany ponownie, znów śpi 24 godziny. Powtarza się to codziennie, dopóki sen ma trwać. Pożywienie podaje fakirowi jego czuwający kolega, który go nigdy nie opuszcza, a w nocy zaufany służący, gdy dostęp do fakirów nawet komisyi kontrolującej był wzbroniony. Drugi fakir, Bheema Sena Propata, który został zdemaskowany, jest wprawdzie młodszy, ale ma silniejszą wolę i nie potrzebuje być hypnotyzowany, ale może leżeć tak nieruchomie w trumnie, jak gdyby spał. Oczywiście i on musi być co noc karmiony, — odbywało się to nocą między godziną 12 a 2; pod pozorem, że czuwający kolega musi go masować, niewolno było nikomu pozostać w pokoju, i wtedy „śpiący“ fakir zajadał, palił papierosy, gimnastykował się. Nie biorą oni bynajmniej tragicznie swego zdemaskowania i produkują się obecnie w Orfeum peszteńskiem jako indyjscy tancerze i śpiewacy.

Nawiązując do powyżej opowiedzianego zdarzenia, zamieściła „Prawda“ warszawska następujące uwagi:

„Swiat chce być oszukiwanym, więc go oszukują.“ Słuszność tego przysłowia stwierdza się u nas znowu bardzo wymownie. Pomimo że „śpiący fakir“ (który miał uratować żywotność wystawy hygienicznej) został w Peszcie zdemaskowany, pomimo że go tam złapano, jak w nocy pił mleko i palił fajkę, jakiś tutejszy znawca „świata.“ który „chce być oszukiwanym,“ nie zrzekł się zamiaru sprowadzenia do Warszawy oszusta i pokazywania go naiwnej gawiedzi, naturalnie za opłatą. Ze stanowiska psychologii tłumów uparty ten przedsiębiorca ma zupełną racyę, bo dla łatwowierności niema dowodów przeciwnych, ona widzi tylko te, które jej dogadzają. Gdy Eusapię złapano na oszustwie, zdawało się, że jej cudowność została zabita raz na zawsze. Gdzie tam! Natychmiast wymyślono teoryę „bezwiednego pomagania objawom,“ czyli „zwracania rąk i nóg w kierunku tajemniczej siły“ — i cudowność ocalała. A jeżeli dowodzono, że pewna część produkcyi Eusapii (mianowicie ta, w której dostrzeżono kuglarstwo), jest fałszywą, ale reszta (w której nie dostrzeżono) jest prawdziwym objawem nieznanej siły, to dlaczegóżby z równą słusznością ktoś nie mógł twierdzić, że wtedy, kiedy fakira złapano na piciu mleka, on nie spał, ale przez wszystkie dni, w których go nie złapano, spał jak umarły? A w dalszym ciągu według tejże logiki, czemużby jego senność nie miała przypaść akurat na czas pobytu w Warszawie? *Mundus vult decipi.*

Charakterystyka prasy polsko-amerykańskiej.

W „Kuryerze lwowskim“ czytamy:

„Prasa polsko-amerykańska przejęła cechy i charakter nerwowej wrażliwości prasy amerykańskiej. Jak w dziennikach amerykańskich zupełna tam anarchia w układzie, jak w dziennikach amerykańskich mieszanie wiadomości najróżniejszej wartości, przyczem pomiędzy dwa poważne najzupełniej artykuły wciska się np. reklama dla jakiegoś „cudownego lekarza“ zatytułowana niby sensacyjnie: „Ksiądz wyleczony,“ tak jak gdyby ksiądz był jakiemś osobliwszem stworzeniem, które wyleczyć trudno!... Owóż ujemną stronę charakterystyki tej prasy stanowi przedewszystkiem sposób prowadzenia polemiki, który delikatnie nazwiemy — maczugowym... Prym pod tym względem trzyma wspomniany powyżej „Polak w Ameryce“ pp. Slisza i ks. Pitasa. Oto próbka:

„Donoszą nam z Freeland, że tamtejszy „niezależny“ pryczer Cymbał rekte Pliszka dostał w pewnej szynkowni baty i to od Polaków, których chciał przeciągnąć na schyzmę, (tj. do niezależnego kościoła). Nie pochwalamy użycia takiego środka nawet wobec „niezależnych“ pryczerów, chociaż dla takiego Cymbała jest to jedyny argument. Teraz stał się mniej żarliwym i zupełnie stracił ochotę nawracania Polaków na „niezależność.“

Co prawda niewiele pod tym względem ustępuje „Polonia w Ameryce“ pp. Dewoyny i Rutkowskiego, traktująca konkurencyjny organ, który ją przyłapał na drukarskiej pomyłce, w taki sposób:

„D z i e n n i k P o l s k i doszedł już do takiej perfekcyi, że potrafi dziś stanowczo twierdzić, iż nie pisze się „nieodżałowanej pamisci,“ lecz — „nieodżałowanej pamięci,“. No, patrzcie tylko — co to za mądrale z tych redaktorów D z i e n n i k a P o l s k i e g o, skoro aż tak dalece sięga ich wiedza, że na niektórych zecerskich pomyłkach poznać się mogą! Maluczko — a w D z i e n n i k u P o l s k i m nie znajdziemy takich wyrażeń, jak „osławiony 4 lipiec“ i chętnie przyznamy wtedy, że D z i e n n i k P o l s k i nie jest redagowany przez wielce zarozumiałe miernoty i żółtodziobów, — tylko przez ludzi osławionych.“

Trudno w ostrzejszym tonie prowadzić polemikę o... błąd drukarski.“

NA WYŁOMIE.

(Nasze kobiety a kodeks cywilny. — Poglądy prasy poznańskiej na kwestyę emancypacyi. — Czy Poznań jest Atenami).

Jedna z korespondentek poznańskich do pism galicyjskich wyraziła bolesne zdziwienie, że gdy nowy kodeks cywilny umałoletnił kobietę, wyznaczając żonie i matce rolę kopciuszka w małżeństwie, — Polki zaboru pruskiego przyjęły zupełnie obojętnie wyrok parlamentu i żadna z nich nie przemówiła głosem krzywdy odczutej. Podczas gdy w całem państwie niemieckiem ozwał się protest zbiorowy, podczas gdy mianowicie kwiat inteligencyi kobiecej wołał o sprawiedliwość u bram izby prawodawczej i skarżył się głośno, że ani rząd ani posłowie wołania jego nie słyszą, — u nas kodeks cywilny ruchu nie zbudził wśród kobiet, i żadna z Wielkopolanek nie zapytała przedstawicieli naszych w parlamencie, dla czego wśród wrogów równouprawnienia oni w pierwszym stanęli szeregu. Korespondentka, która pierwsza fakt ten poniosła w dziennikarskie szranki zakordonowych czasopism, nie przypuszcza, aby kobiety nasze nie odczuwały w życiu krępujących je ograniczeń prawnych i zadowolone były zupełnie z położenia swego, lecz skarży się na ten brak „uświadomienia społecznego,“ który z poczucia krzywdy nie wydobywa głosu protestu i dążeń reformy, nie budzi energii czynu i nie pozwala kobietom naszym zrozumieć jasno „że zło, które je gnębi należy zatamować u źródła, że ono nie wypływa tylko z najbliższych dla nich widocznych przyczyn, lecz z upośledzonego stanowiska, jakie one jako kobiety w obec prawa zajmują.“

Zdaniu temu słuszności odmówić nie można, — nasuwa się tu jednak pytanie, dla czego właśnie u kobiet zaboru pruskiego „uświadomienie społeczne“ tak żółwim postępuje krokiem, dla czego właśnie w naszej dzielnicy mniej, niż w którejkolwiek innej, idea równouprawnienia kiełkować zaczyna, a uspołecznienie kobiety, jej udział w życiu publicznem, jéj zrozumienie położenia swego i cały ruch emancypacyjny zaledwie w mikroskopijnych zawiązkach się ujawnia. Gdy przed kilku laty ośmieliłem się strofować nasze panie i panienki za pewien zanik energii w pracach narodowych, to ozwała się za oknami redakcyi taka kocia muzyka różnych sopranów, altów i dyszkantów, że o mały włos byłyby pękły w uszach moich bębenki, a dziś gdy kodeks cywilny pieczętuje małoletność kobiety, ukróca prawo matek wobec dzieci i waruje władzy mężowskiej w małżeństwie wpływ dominujący i przywileje, spychające żonę w fatalną nieraz zawisłość, dziś w świecie kobiecym głuche zaległo milczenie, jakby uchwały parlamentu były czemś cudzem, dalekiem, nie wkraczającem w samą rdzeń bytu familijnego, — jakby ten nasz kawał ziemi był jakimś szczelnie zamkniętym patryarchalnym zakątkiem, gdzie ewolucya stosunków zakrzepła i starych form życia małżeńskiego nie podała w wątpliwość, gdzie wszystko starym trybem jest uszczęśliwione i nowych pragnień, nowych dążeń, nowych ruchów nie odczuwa wcale. Czyżby tak było w istocie? Czy tylko brak odwagi obywatelskiej, brak znajomości tych zasadniczych przyczyn, z których płyną fatalne kolizye, krzywdy i bóle kobiety w życiu małżeńskiem, staje na przeszkodzie wszelkiej zewnętrznej manifestacyi drzemiących życzeń reformy? Dokładna znajomość stosunków i ludzi wyklucza pierwszą ewentualność , a w analizie drugiej zwrócić się musi do tych czynników wychowawczych, które w życiu nowoczesnem pierwszorzędną odgrywają rolę, i wskazać na prasę, jako na źródło uśpienia społecznego wśród kobiet wielkopolskich. Kwestya emancypacyi kobiecej nigdzie tak słabym nie odzywa się echem jak właśnie w dziennikarstwie poznańskiem, a może najcharakterystyczniejszym objawem w tym względzie jest fakt, że gdy cała prasa niemiecka wiodła zacięte walki o paragrafy małżeńskie nowego kodeksu, nasze dzienniki polityczne poprzestały na wzmiankach pobieżnych i nie kusiły się nawet poinformować dokładniej publiczności o prawnem stanowisku kobiety, zatwierdzonem przez nową ustawę. Zresztą każdy samodzielniejszy ruch w świecie kobiecym budzi u naszych potęg prasowych tylko uśmiech ironii lub grom potępienia, i gdyby tak istotnie ta pobudka „Przeglądu“ ocuciła drzemiące niewiasty, gdyby spowodowała jakiś ruch ożywiony, jakąś rezolucyę w duchu niemieckich oponentek kodeksu, to w mgnieniu oka posypałyby się z trybuny „Dziennika“ patetyczne deklamacye o tradycyach patryarchalnych, o domowem ognisku, o nieprzystojnej dla „naszych aniołów“ emancypacyi i t. d. (chyba, że nowy redaktor w ślady starego nie wstąpi.) A „Kuryer?“ No! ten po swojemu zacząłby kąsać i pięś-

cią wygrażać i drwić co się zmieści, a w końcu krzyknąłby coś o masonach i zagroził ekskomuniką. Chór małych pisemek sekundowałby oczywiście frazesem lub żółcią, liryką lub satyrą, i wreszcie nasze biedne malkontentki wróciłyby przerażone do domów swoich i z poczuciem grzechu śmiertelnego w duszy przeklinałyby wszystkie hrabiny Butler, Minny Cauer, Liny Morgenstern i nas — „liberalnych suflerów.“ Ha! może to i lepiej. Obrońcy starego porządku zbudowali kobiecie w zaciszu domowem i w błyszczących salonach ołtarz wspaniały. Tam króluje, tam jest naszą „pieszczotą, kwiatem, gwiazdą“ i za te wszystkie przywileje zrzec się ma tylko drobnostki: Niech uzna małoletność swoją, niech w obliczu prawa zdecyduje się odgrywać podrzędną rolę jako matka i żona, niech w walce o chleb nie marzy o konkurencyi z mężczyzną. Wszak to tak mało, tak bardzo mało, a za to wszystko zwie się przecież „królową i aniołem.“ A że tam czasem w dramatach rodzinnych, w tragicznych powikłaniach małżeńskiego życia ona rozpaczliwie zawoła o ratunek, a trybunały wzruszą ramionami i nowy kodeks cywilny otworzą, — któż tam dbać będzie o takie komary, które zresztą u nas tak rzadko kąsają!

My przecież jesteśmy wyjątkowym krajem, Elizium szczęścia i zgody, ziemią jasnych duchów i wielkich serc, ba! nawet rodzajem Aten nowożytnych, jak „Kuryer Pozn.“ w piątkowym numerze Europie ogłosił. Ktokolwiek z blizka rozpatrywał stosunki nasze, ten zawsze kończył badania swoje skargą żałosną, że Muzy do nas nie przychodzą w gości, że literatura i sztuka śpią tu od lat wielu, dłużej i silniej zaiste, niż fakirzy indyjscy w węgierskiej stolicy. Nagle wchodzi „Kuryer“ na mównicę i woła: „Jeżeli ktokolwiek raz jeszcze odważy się pisnąć o „Beocyi poznańskiej, to dalibóg przeklnę. Jest to fałsz wierutny, tu Parnas, tu Pallas Athene, tu Phoebus srebrnołuki blaski swoje zlewa.“ Zakrawa to prawdziwie na farsę, lecz zaręczam czytelnikom moim, że Kuryer z całą powagą zabiera się do mydlenia ócz przed- i zakordonowej publiczności. Wszak prawda, świętobliwy kolego? Posiadamy teatr wspaniały, pierwszorzędne galerye obrazów i wystawy artystyczne! Miasto i prowincya roją się od poetów, muzyków, malarzy! Setki czasopism i towarzystw literackich uprawia kult piękna i szerzy zamiłowanie do sztuki! W księgarniach naszych roje Ateńczyków rozchwytują w mig każdą nowość naukową, każdy utwór poezyi, każdego Asnyka, Prusa, Orzeszkową! Tu tłum się korzy przed sztuką, tu ludzie umieją ocenić wielkość słowa: „Es soll der Dichter mit dem Konig gehen,“ i dla tego tak garną się do nas synowie muz, tak bardzo kraj ten kochają! Wszak prawda, panie kolego? Spuszczasz oczy, rumienisz się, bełkoczesz, — nie wstydź się, panie — mów, proszę, otwarcie!

Już się otrząsnął z przestrachu, spojrzał wyniośle i rzekł: „A czytelnictwo ludowe? Powiedz sceptyku, gdzie ono więcej rozwija się, niż u nas?“ Oto główny argument Kuryera. Legendę o rozkwicie literatury i sztuki w Poznaniu uzasadnia się wzrostem oświaty wśród ludu! No! subtelny w pojęciach swoich kolego, ciesz się, że Poznań nie jest Atenami, bo ręczę ci, że w mieście Fidiaszów, Periklesów, Platonów miejsca by nie było dla ciebie.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA

— Gabryela Zapolska. W jednem z ostatnich numerów praskiej „Politik“ p. Ludwik Szczepański pomieścił felieton, zapoznający niemiecką publiczność z działalnością literacką naszej powieściopisarki p. Gabryeli Zapolskiej; skreśliwszy obustronną jej działalność zarówno sceniczną jak piśmienniczą, taką oceną jej talentu szkic swój rozpoczyna: .... jest to jeden z najśmielszych i największych talentów współczesnej literatury polskiej, jedna z najbardziej zajmujących postaci powszechnej nowoczesnej beletrystyki wogóle. Artystycznie wysoko zajmująca jako powieściopisarka, która nawskroś nowocześnie myśli i czuje: psychologicznie zajmująca jako jeden z typów nowoczesnej kobiety... patrzy ona i widzi wszystko, nic nie ukrywając... ale zawsze i wszędzie czuje i myśli nerwami, nerwami współczesnej, namiętnej, śmiałej i dumnej kobiety... Gorące a zagmatwane erotyczne pragnienia, ekstatyczną migotliwość rozpłomienionych nerwów, dręczące powątpiewanie, wyczerpującą do znużenia męczarnię dusz nowoczesnych, przedewszystkiem zaś dusz kobiecych — umie zaprawdę z wielką malować potęgą...“ „Dzieła jej są po większej części jaskrawo pesymistyczne, dla tego, że w życiu tyle widzi brutalności i brzydoty... Lubuje się w obrazach, które wyprowadzają na jaw całą pospolitość trywialną i dziką brutalność człowieka i jego stosunków i niemiłosiernie je odsłania“. Krytyk zarzuca wszakże p. Z. brak spokoju. „Kocha i cierpi, walczy, nienawidzi i pogardza. Ma bystry a surowy pogląd psychologiczny. Najgłębsze, najskrytsze wrażenia duszy kobiecej umie z niezrównaną subtelnością odgadnąć i przedstawić. Ilekroć zaś przedstawia mężczyznę — a rzadko kobieta ośmieliła się tak przedstawić mężczyznę! — czuje się w tym obrazie coś w rodzaju nienawiści i wstrętu“. Krytyk daje następnie pokrótce streszczenie wszystkich niemal utworów naszej autorki, podnosząc przed innemi wartość artystyczną „Janki“. Cały felieton napisany jest ciepło, życzliwie, z dużą znajomością prac p. Zapolskiej — niezbyt może tylko szczęśliwie wybrane zostały obrazki z „Menażeryi ludzkiej“. — „Żabusia“ np. i „Koteczek“, te prawdziwe perły zbiorku, nie zostały wymienione...

KRONIKA POWSZECHNA.

Teatr i muzyka. W Warszawie wystawiono z powodzeniem najświeższy utwór Ruszkowskiego p. t. „Jadzia wdowa“. W sztuce tej wystąpił były artysta teatru poznańskiego p. Knapczyński i zjednał sobie uznanie krytyki. — Dawniejszy „pierwszy kochanek“ sceny naszej, p. Sosnowski debiutował w rządowym teatrze letnim w Warszawie. Znakomity krytyk, Władysław Bogusławski, wróży wielką przyszłość artyście temu. — P. Felicya Kaczowska objęła z dniem 1-go czerwca stanowisko prymadonny dramatycznej w operze lipskiej. — Herman Sudermann, znakomity niemiecki dramaturg, wytoczył był dyrekcyi wiedeńskiego „Deutsches Volks Theater“ proces z powodu obsady roli Ady podczas przedstawienia dramatu „Koniec Sodomy“. Chciał on, aby tę rolę grała ulubiona przezeń artystka, panna Adela Sandrock, dyrekcya jednak sprzeciwiła się temu i wybrała inną aktorkę. Wskutek tego — zdaniem Sudermanna — przedstawienie sztuki nie udało się tak, jakby to być mogło, gdyby rolę obsadzono po jego myśli. Proces ciągnął się przez czas dłuższy, lecz pomimo, że rzeczoznawcy przyznawali słuszność autorowi, Sudermann przegrał sprawę w dwóch instancyach. — Eleonora Duse została skazana przez sąd w Medyolanie na wypłatę 80,000 lirów impresaryom Chiachi i Mozeno za złamanie kontraktu. Słynna tragiczka zobowiązała się na tournée artystyczne po Stanach Zjedn. północnej Ameryki, lecz zasłaniając się chorobą, nie dotrzymała umowy. — Gerhard Hauptman napisał nowy dramat p. t. „Die versunkene Glocke“ na tle podania o mieście pomorskiem Wineta, które się z mieszkańcami zapadło w morze.

Rzeźba i malarstwo. W paryzkim salonie na polu marsowem ogólną uwagę zwraca rzeźba Falguiére'a, oddająca nagą postać kobiety. Rysy twarzy z wiernością nadzwyczajną oddają postać p. Kleo de Merode, wiotkiej baletnicy Opery, a zarazem słynnej piękności paryzkiej. Z okazyi owego świetnie oddanego studyum ciała niewieściego, dr. Maurycy Henry występuje z energicznym artykułem hygienicznym przeciw „gorsetowi“. Pisze on pomiędzy innemi: „Nie wchodzę ja w to, kto pozował do rzeźby Falguiére'a, zwracam tylko uwagę, iż budowa ciała tego jest całkowicie spaczona i zwyrodniała. Jest-to istny symbol kobiety spółczesnej, przerażająco wierny obraz deformacyi, wywołanej gorsetem. Nie sprzeczam się o to, jak się przedstawia podobne odstąpienie od naturalnego typu pod względem artystycznym. Zwracam jedynie uwagę na to, jakie spustoszenia fizyczne zdziałała barbarzyńska tortura kobieca, w pochodzie wieków przeinaczając normalny rozwój układu kostnego i mięśni, powodując niezliczone zboczenia i katusze fizyczne, będące bodaj przyczyną i wielu klęsk moralnych. Zestawmy dwa modele kobiety starożytnej i niewiasty schyłku stulecia, a teraźniejszość i przyszłość matek rodzaju ludzkiego wyda się wprost przerażającą groźba tragicznych następstw!“ Tak mówi hygiena, idąca ze zdrową sztuką w dobranej parze. Cóż na to moda? Milczy ironicznie, pewna bądź co bądź bezwzględnego zwycięztwa...

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Ciekawy. Wieści o rzekomej spółce p. Rygiera z jednym z literatów poznańskich są pozbawione nawet atomu prawdy a rozsiewane tendencyjnie przez ludzi, którzy mają w tem osobisty interes, by nowej dyrekcyi teatru zgotować szeregi niechętnych. Pan Rygier jest człowiekiem rozumnym i samodzielnym, to też tańczyć nie będzie według piszczałki osób, które dotychczas z bardzo smutnym sukcesem rządziły się jak szare gęsi w teatrze. „Inde irae“ i — plotki.

Jeden z abonentów. „Językoznawca“ ś. p. Julian Bukowiecki nigdy nie był, bo studyami lingwistycznemi się nie zajmował. Autor nekrologu w Wielkopolaninie chciał widocznie powiedzieć, że był dobrym stylistą i mówcą, a nie znając znaczenia wyrazów, jak to często dzieje się w Poznaniu, ni ztąd ni z owąd sfabrykował na poczekaniu nowego Grimma i Miklosicza. Mimo najszczerszej chęci zatem nie możemy Szanownemu Panu dzieł lingwistycznych ś. p. Juliana Bukowieckiego wymienić, — bo takich nigdy nie pisał. „Językoznawstwo“ było obce zmarłemu redaktorowi „Wielkopolanina.“

BIBLIOGRAFJA.

(Książki nadesłane Redakcyi).

Cezary Jellenta. Nurty. Ogniwa dramatyczne. Kraków 1896.

Dr. F. Twardowski. Przed forum polskiego społeczeństwa. Stosunki polskie na Szląsku. Kraków 1896.

W. M. Kozłowski. Manfred, hr. Henryk i Płoszowski. Warszawa 1896.

K. Skrzycki. Młodzież polska w zaborze rosyjskim. Lwów 1896 Nakł. Przeglądu Wszechpolskiego.

K. Miarka. 1) Wielkopolska i Wielkopolanie pod względem rozmiaru, podziału, zarządów i plodów, zwyczaje i obyczaje, zabawy, obrzędy, przesądy i t. d. ludu wielkopolskiego. Mikołów 1896 r. 2) Historya biblijna dla rodzin chrześciańskich. Zeszyt 5 i 6. Mikołów 1896 3) Soteris. Opowiadanie historyczne z czasów panowania cesarza Maksymina. Mikołów 1896.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28

Nr. 32. Poznań, niedziela 9-go sierpnia 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę. **Redakcya:** Poznań, św. Marcin 22 II p. **Administracya:** ul. Wilhelmowska 28. (Drukarnia J. Fr. Tomaszewskiego.)

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi w **Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Wilhelmowska 28, w **Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego. **Pojedyńczy numer:** w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen. **Rękopisów drobnych nie zwracamy.**

TREŚĆ.

Ukarany patryotyzm.

Dotykamy dzisiaj znowu jednej z owych spraw drażliwych, o których ludzie w poufnych gawędach z goryczą mówią od dłuższego czasu, a które rzadko tylko głosem skargi wyraźnej odzywają się w organach prasowych. Chodzi tu o sprawę ks. Bartscha z Wonieścia, fermentującą od kilku tygodni w szerokich kołach społeczeństwa a palącą dzisiaj tak boleśnie myślącą głębiej i czującą głębiej publiczność polską, że ciche głosy trwożliwych przeczuć zamieniają się w donośne szemranie.

Historya smutnego zdarzenia jest bardzo krótka. Polski włościanin Gronostaj napisał do ks. Bartscha, proboszcza z Wonieścia, list w fatalnie zepsutym języku niemieckim, z prośbą o wydanie metryki. Proboszcz, któremu pod rewerendą bije serce polskie, odpowiedział włościaninowi, że metryka jego nie znajduje się w aktach kościelnych, — mimochodem zaś dołączył naukę, że polski włościanin powinien do polskiego księdza pisać w ojczystym języku, a nie popisywać się niemiecką mową, której nadomiar nie zna i w tak wykrzywionych formach używa, że zaledwie zrozumieć go można. Jakiemi drogami wiadomość o liście tym dotarła do redakcyjnych kuźni Hakatystów, nie wiemy, — dość, że nagle pojawiły się w poznańskim „Tageblacie“ piorunujące artykuły przeciw patryotycznej akcyi proboszcza z Wonieścia, żądające z niesłychaną efronteryą, by ks. Bartscha surowa spotkała kara. Na mieście i prowincyi zaczęły kursować różne tajemnicze domysły i półsłówka. Mówiono, że ks. arcybiskup skarży się na księży, „utrudniających mu pozycyę,“ szeptano, że władze rejencyjne zażądały w myśl „Tageblattu“ ukarania księdza — patryoty, że kara ta w ten czy ów sposób wymierzoną zostanie i t. p. Po pewnym czasie odezwał się znowu poznański organ Hakatystów, donosząc z tryumfującą miną, że ks. Bartsch otrzymał kanoniczne monitum i rozkaz ogłoszenia tego wyroku... w Tageblacie. Wieść była potworna. Co? Ksiądz zniewolony uderzyć się w piersi w organie Hakatystów? I za co? Za miłość do mowy ojczystej? Najwięksi pesymiści nie wierzyli temu, — jakoż istotnie w kilka dni później „Tageblatt“ sprostował wiadomość o tyle, że udzielenie kanonicznego monitum jest faktem dokonanym, lecz proklamacya nie odbędzie się w łamach antipolskiego i antikatolickiego organu. Nam doniesiono już przed kilku dniami z wiarogodnego źródła, że wiadomość powyższa zgadza się z prawdą, a tylko jedna kwestya jeszcze jest wątpliwą: Czy ks. arcybiskup poprzestanie na urzędowej naganie, czy też upokorzy silniej kapłana-patryotę, zniewalając go publikować w polskich organach otrzymane monitum. Pytanie to długo się ważyło w biurach urzędowych, — ludzie kręcili głowami, jedni wołali: Niepodobno! inni w stronę kapituły przerażonem spoglądali okiem, lękając się ukrytych tam gromów. Nagle w środę wieczorem pojawił się w „Dzienniku Pozn.“ i „Kuryerze“ list następujący:

„Upraszam Szan. Redakcyą o łaskawe umieszczenie następującego oświadczenia:

„Skoro, jak twierdzi „Posener Tageblatt“ wyższy urzędnik rejencyjny powiadomił go, że odebrałem „monitum“ od mojej władzy duchownej, położę może koniec dalszym domysłom w tej sprawie, oświadczając z całą otwartością, że takowe odebrałem, a dodaję, że zasłużyłem sobie na nie porywczością odpisu mojego.

„Żyłem zawsze w najlepszych stosunkach ze współobywatelami narodowości niemieckiej, szanuję i szanowałem zawsze uczucie narodowości niemieckiej, nie chciałbym nigdy mu ubliżyć, co mi zupełnie niesłusznie imputują, bo wiem, jak to przykro wobec własnego uczucia. Gdy zaś skutkiem tego od 2 lat ciągłego podburzania przeciwko nam w rozdrażnieniu, w jakiem tu żyjemy, na chwilę się uniosłem i straciłem równowagę, żal mi tego, a przykro mianowicie, żem na ciernistą drogę mojego ukochanego Najprzewielebniejszego Arcypasterza dorzucił kamień.

Wonieść, 3 sierpnia 1896.

Ks. Bartsch.“

A więc publiczna skrucha i biczowanie publiczne? Czy to własna inicyatywa księdza-patryoty, czy rozkaz z góry? Nie potrzeba być chyba bardzo domyślnym, by z z listu tego wyczytać presyę, pod którą został pisany. Nie dość było miarodawczym sferom upomnieć ks. Bartscha za skromny objaw patryotyzmu, — nie! karę rozkrzyczano na rynkach i ulicach, a raczej zmuszono księdza-patryotę do publicznego „Mea culpa,“ aby upokorzenie to służyło za postrach dla wszystkich kapłanów, którzyby kiedykolwiek pokusić się chcieli o zamanifestowanie przed światem, że ksiądz-Polak nietylko kościół lecz i ojczyznę miłuje, nie tylko religii, lecz i języka ojczystego broni.

Na ciekawe stosunki zanosi się w Księstwie. Co tam się dzieje za kulisami w arcybiskupich kancelaryach, tego dokładnie nie wiemy, faktem jednak pozostaje stwierdzonym, że charakterystycznem znamieniem rządów ks. Arcybiskupa Stablewskiego jest lojalna giętkość, gotowa zawsze do ustępstw na korzyść władzy niemieckiej, tendencyami germanizacyi przejętej, — na szkodę narodu, którego synem jest dawny poseł społeczeństwa polskiego, dawny obrońca sprawy ojczystej w sejmie i parlamencie. Niech nam ks. Arcybiskup Stablewski wybaczy te słowa podyktowane goryczą, która całe patryotyczne obywatelstwo piecze coraz silniej. My dobrze wiemy, że położenie jego jest trudnem, ale wiemy również, że w dyplomacyi tumskiej nie ma tej twardości i stanowczości narodowej, która stałaby się mogła puklerzem dla kraju, deptanego brutalną stopą niemiecką. Nie przeczymy, że interesów kosmopolitycznego kościoła strzeże ks. arcybiskup Stablewski mądrze i wytrwale, lecz kościół narodowy niknie nam z przed oczu, a kanoniczne monitum, spadające na głowę kapłana za skromny objaw przywiązania do mowy ojczystej, napełnia nas trwogą o jutro i z dnia na dzień potęguje w pewnych kołach obawę, że stosunki Szląska i Prus Zachodnich mogą się zjawić i u nas. Trzeba nam zawczasu rozpatrzeć się w położeniu i uwzględniając smutną ewentualność, zastanowić się dobrze nad stosunkiem duchowieństwa do spraw publicznych. To nie liberalizm, jak „Kuryer“ wołać będzie niezawodnie, dyktuje te głosy alarmujące, — nie liberalizm zmusza nas do wystąpienia przeciw arcypasterzowi naszemu, lecz dobrze zrozumiany interes ojczyzny.

Na zakończenie tych smutnych refleksyi poczytujemy sobie za obowiązek poświęcić słów kilka stanowisku, jakie w sprawie ks.

Bartscha zajął „Dziennik Poznański“. Odnośny artykuł organu tego zdradza między wierszami, że cios, który z tumskiej wyżyny uderzył w społeczeństwo polskie, zabolał i przeraził kierowników redakcyjnych; właściwa jednak „Dziennikowi“ chwiejność i lękliwość nie pozwala mu myśli ukrytej zamienić w drukowane słowo, a konsekwencyą tej typowej polityki „grzecznych dzieci“ jest artykuł słodkawy, bez nerwu, bez kości, z piętnem sofizmatu na czole. Spodziewaliśmy się, że nowa redakcya wyrazistsze odsłoni oblicze, dziś jednak jesteśmy zniewoleni powtórzyć ironiczny komentarz „Posener Zeitung“: Dobrowolski redivivus.

„Dziennik Poznański“ przyznaje wspaniałomyślnie, że ks. Bartsch spełnił tylko obowiązek Polaka, że pisząc list do p. Gronostaja, był zupełnie w prawie swojem i że winić go o to nie można. Wypowiedziawszy jednak to zuchwałe słowo, rejteruje natychmiast jak na „grzecznego chłopczyka“ przystało, i takim adwokackim wykrętem rozstrzyga sprawę na korzyść trybunału, potępiającego księdza — patryotę:

„Jeźli w rzeczy samej, tj. w apostrofie wystosowanej przez ks. Bartscha do Gronostaja, żadnej winy nie widzimy, to nie chcielibyśmy przez to twierdzić, że postępowanie ks. proboszcza Bartscha jest bez zarzutu.

„Uważamy przeciwnie, że ks. proboszcz Bartsch zawinił w tej sprawie formą, w jaką ubrał swą odpowiedź daną Gronostajowi, a zdaje nam się, że także zarzut mógłby go spotkać za sposób, w jaki w znanem sprostowaniu swojem starał się postępowanie swoje wytłomaczyć. I jeśli Najprzewielebniejszy nasz Arcypasterz uważał za potrzebne ks. Bartschowi przesłać monitum, którego odebranie tenże poświadcza, to sądzimy, że prawdopodobnie napomnienie owo tych dwóch przez nas wytkniętych punktów się tyczyło. — Ponieważ atoli brzmienie dosłowne udzielonego ks. Bartschowi monitum nie jest nam znane, powyższego twierdzenia z tą pewnością, jakiejbyśmy sobie chętnie w tej sprawie życzyli, postawić nie możemy.

„Przypuszczamy, że Najprzewielebniejszy ks. Arcybiskup może jeszcze inny powód uważał za dość ważny, aby ze swej strony w rzeczonej sprawie zabrać głos i to w formie napomnienia przysłanego księdzu Bartschowi.

„Wstrzymujemy się od rozbierania tych możliwych innych powodów, gdyż jesteśmy przekonani, że Najprzewielebniejszy ks. Arcybiskup, chcąc spełnić wysokie zadanie i wielkie a trudne obowiązki, przywiązane do stanowiska Naczelnika kościoła w naszej dzielnicy, widzi się nieraz spowodowanym do użycia środków, które nie zawsze mogą być sympatycznemi, ale w kórych konieczność wierzyć powinno nie być trudnem dla społeczeństwa, które zna księdza Arcypasterza i które zna sytuacyę, — wstrzymujemy się i dla tego od dalszego rozbierania tej sprawy, ponieważ i my nie chcemy ani możemy na ciernistą drogę Najprzew. ks. Arcypasterza dorzucać kamieni.“

Ten miękki głosik „politycznego rzezańca“, jak to już od lat kilku „Dziennik Poznański“ w szerokich kołach Księstwa nazywają, nie wymaga żadnych komentarzy, bo nietylko treścią swoją, lecz tonem i formą zdradza całą połowiczność i całą tchórzliwość autorów. Chcielibyśmy tylko sprostować obliczone na łatwowierność lub krótką pamięć czytelników twierdzenie, jakoby „forma“ listu ks. Bartscha była rażąca, nieprzyzwoitą, stanowi kapłańskiemu ubliżającą. List ten publikowany w „Gońcu Wielkopolskim“ nie zawiera żadnych jaskrawych wyrażeń lub zwrotów. Jest to sobie dobroduszne upomnienie sędziwego pasterza, wysłane pod adresem zbłąkanej owieczki. Wieje z tego listu jakieś tchnienie ojcowskie i odrobina lekkiej jowialności, — nic więcej. Nie pisał go polityk wielki i dyplomata, nie pisał wytworny stylista ani biegły adwokat, tylko proboszcz poczciwy, przywykły pouczać prosto, serdecznie, bez żółci parafian swoich. Podobnie i późniejsze sprostowanie, które ks. Bartsch w sprawie tej publikował, a z którego „Dziennik Poznański“ bije dziś kapitał, by uzasadnić „monitum kanoniczne“, nie zawiera nic jaskrawego i nieprzyzwoitego, a jako odpowiedź na ostre inwektywy Hakatystów odznacza się nawet uderzającem umiarkowaniem. Z tej strony zaczepiać księdza-patryotę uważamy za pomysł bardzo nieszczęśliwy, a najmniej odpowiedni dla „Dziennika“, który w przeciwieństwie do „Kuryera“ uchodzić pragnie za organ o wyraźnej barwie narodowej.

Proboszczowi z Wonieścia należy się cześć najgłębsza za obronę ojczystego języka, a za krzywdę doznaną ze strony organów „ładu i porządku“ niechaj przyjmie to zapewnienie, że trzeźwe obywatelstwo nie solidaryzuje się bynajmniej z sędziami jego i błogosławi mu z uczuciem wielkiej i prawdziwej miłości.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Solidarność Koła polskiego w Wiedniu.

W lwowskim „Przeglądzie Wszechpolskim“ czytamy:

Pospieszne przygotowywanie list wyborczych z piątej kuryi nasuwa, pomimo zaprzeczeń półurzędowych, przypuszczenie, że wkrótce mogą się odbyć wybory do Rady państwa, ma się rozumieć według nowej ustawy. Zaznaczamy to warunkowo, bo wierzymy, że hr. Badeni wolałby je odłożyć do wiosny i rządzić tymczasem z izbą, którą zna, od której wie, czego się spodziewać może. Ze względu jednak na stosunek lewicy niemieckiej do rządu i na sprawę ugody z Węgrami wcześniejsze rozwiązanie Rady państwa nie jest nieprawdopodobnem. Centralny Komitet wyborczy zaczął już przygotowywać t. zw. opinię publiczną, a powtarzające się coraz częściej zakazy zgromadzeń publicznych lub nawet prywatnych, za zaproszeniami zwoływanych, świadczą, że zbliża się chwila stanowcza.

W poprzednim numerze mówiliśmy już o uchwale komitetu centralnego, który ze-

Nihilistka.

POWIEŚĆ

ZOFII KOWALEWSKIEJ

(prof. wszechnicy w Sztockholmie.)

(Ciąg dalszy).

W dawniejszym pokoju szkolnym domu Barancowów siedzi pochylona nad stolikiem młoda ośmnastoletnia dziewczyna, wysoka i smukła, z delikatnym, jakby rzeźbionym profilem, błękitnemi, marzącemi oczyma, ocienionemi czarną rzęsą. Przed nią na stole leży otwarta książka, tomik Dobrolubowa, widać jednak, że trudno jej skoncentrować myśli na tem, co czyta. Co chwilę podnosi głowę, opiera się na poręczy krzesła, ręce jej bawią się kościanym nożem do rozcinania papieru, w oczach widać naprężony wyraz oczekiwania.

Trudno byłoby poznać w tej młodej piękności dawną, chudą, opaloną, napół dorosłą Wierę. Od owej pamiętnej rozmowy z Wasylcewem upłynęło lat trzy. Zewnętrznie czas ten minął bez wrażeń i wstrząśnień, dla Wiery jednak był on pełen treści. Przyjaźń z Wasylcewem utrwalała się coraz bardziej, ale w zamian odsunęła się Wiera zupełnie od swoich. Siostry znudziwszy się prześladowaniem jej z powodu wielbiciela, zrobiły krzyżyk nad nią. Ponieważ zbliżenie to nastąpiło wtedy, kiedy Wiera jeszcze była małem dziewczęciem, nie uważali rodzice w swej niedbałości za potrzebne przeszkadzać temu, gdy Wiera już była dorosłą.

W ostatnich czasach jednak spadły akcye Wasylcewa w oczach sąsiadów bardzo nisko. Opowiadano, że popełnił kilka ważnych przestępstw. Po pierwsze odstąpił chłopom grunta, za które dawniej płacili czynsz, a przez to nietylko sam poniósł wielką szkodę, ale dał innym powiatom zły przykład; powtóre podejrzywano, że miesza się w obce interesy, że daje obcym chłopom rady i przez to niszczy niejedną dobrze obmyślaną kombinacyę dziedzica.

Chociaż nie można mu było nic niezgodnego z prawem dowieść, byli wszyscy tego mniemania, że on się bynajmniej tak nie zachowuje, jak powinien, że według wszelkiego prawdopodobieństwa zdawał się zapominać, że zesłańcy polityczni powinni być nadzwyczaj ostrożni.

Jeden ze znajomych usiłował nawet lekko go upomnieć, powiedział mu, że już gubernator zaczyna na niego zęby ostrzyć. Nic to jednak nie pomogło.

Kiedy tak właściciele gniewali się na Wasylcewa, chłopi kochali go nadzwyczaj i cieszyli się jego obecnością. Z początku zachowywali się lękliwie i niedowierzająco, potem myśleli, że musi być głupi. Przekonali się jednak powoli, że nie można było postępowania jego tłomaczyć głupotą. Widzieli, że zawsze, ilekrotnie się do niego zwrócili, znajdowali pomoc, lub radę. Od tego czasu nie mógł się ich pozbyć. Gdy mieli jakąś familijną sprawę do załatwienia, lub prośbę sądową do napisania, cisnęli się tłumem do niego.

W wolnych chwilach czytywała Wiera z Wasylcewem i prowadzili długie nieskończone rozmowy, dotyczące kwestyi abstrakcyjnych. Jak przed trzema laty, mówili i teraz o współczesnych męczenników. Wiera tak jak wtedy, tysiąc razy silniej niż wtedy, pragnie wstąpić w ich ślady.

Ale korona męczeńska, to kiedyś później w przyszłości; teraz jest jej życie piękne i z każdym dniem staje się piękniejsze i pełniejsze treści. Tylko ostatnie dni były trochę smutne i nudne, Wasylcew musiał w sprawach chłopów wyjechać na dwa tygodnie. Strasznie leniwie czas przechodził, kiedy nie ma nadziei zobaczyć się wieczór z przyjacielem i wygadać. Niema się do niczego ochoty, nic się nie udaje. Ale dzięki Bogu, ten czas już się skończył. Dziś po obiedzie przybiegł chłopiec od sąsiada z wiadomością, że pan przyjechał i że będzie u nich na herbacie.

— On tu będzie wkrótce.

Gwałtowny wybuch niepowstrzymanej

brał się na naradę 8 lipca. Wkrótce potem hr. Wojciech Dzieduszycki ogłosił w dziennikach list otwarty, wyjaśniający poglądy komitetu i obiecujący wyborcom wszelką swobodę. P. Dzieduszycki, który przed rokiem także w liście otwartym wzywał wyborców, żeby nie głosowali na radykałów, na ludzi pragnących wywrócić porządek społeczny, nie chce teraz krępować swobody przekonań, pozwala łaskawie ubiegać się o mandaty kandydatom najjaskrawszym, zgodziłby się nawet bodaj na socyalistów, byle tylko zobowiązali się wstąpić do Koła i zachować tam solidarność.

„Da liegt der Hund begraben". Widocznie solidarność jest najcenniejszem dobrem, złośliwi mówią — najkorzystniejszym interesem dla dzisiejszych przedstawicieli Galicyi. Ażeby ocalić to święte „palladium" rządów szlacheckich, gotowi są do ofiar znacznych, bo spodziewają się następnie dzięki tej zasadzie, powetować sobie straty i szkody. P. Dzieduszycki „enfant terrible" obozu zachowawczego, lekkomyślnie odsłonił przeciwnikom najsłabszy punkt pozycyi, na który z pewnością główny atak skierują. Niewątpliwie ani stronnictwo ludowe ani socyaliści na żaden kompromis w tej sprawie się nie zgodzą. Zasadę solidarności poselskiej możnaby ocalić jedynie ścisłem określeniem jej granic, jak to poprzednio niektóre pisma radziły. Tymczasem jej obrońcy o żadnych zmianach słyszeć nie chcą i domagają się solidarności zupełnej, twierdząc dowolnie, że „każda sprawa w parlamencie, w którym Polacy zasiadają obok innych, jest narodową."

Zasada w ten sposób sformułowana jest po prostu niedorzecznością i pozwalamy sobie wątpić, czy nawet większość członków komitetu centralnego zgadza się na zdanie swego prezesa. Przeciwnicy bezwzględnej solidarności postawili i wciąż powtarzają pytanie: kiedy, w jakiej sprawie solidarność Koła polskiego okazała się niezbędnie potrzebną i pożyteczną dla kraju? Na to pytanie nikt dotychczas nie odpowiedział, a frazesy, że „o to nie wolno się Polakom spierać" nie przekonają wątpiących.

Jedynym argumentem, mającym jakiś pozór słuszności, jest zdanie: „Wobec ludzi, którzy nie są Polakami, musimy występować jako jeden mąż, jako jeden naród, skoro nie ma politycznego organizmu narodowego, któryby w imieniu wszystkich Polaków przemawiał." Gdyby Koło chociaż raz jeden obowiązek ten spełniło, miałoby podstawę do obrony solidarności. Ale czy kiedykolwiek zaprotestowało przeciw gwałtom i bezprawiom, popełnianym w Prusiech i Rosyi, czy wystąpiło kiedykolwiek w imieniu narodu polskiego? Nie, Koło zdobyło się tylko „w imieniu wszystkich Polaków" na złożenie hołdu pośmiertnego Aleksandrowi III., i ten jeden poseł, który protestem swoim uczucia całego ogółu wyraził, zerwać musiał solidarność.

List hr. Dzieduszyckiego jest bądź co bądź abdykacyą ze stanowiska, dotychczas zajmowanego przez stronnictwa rządzące. Uznać one musiały pracowitość ruchu ludowego, ale uznały za późno, żeby ocalić to, o co najwięcej im chodzi. Stronnictwo, które abdykuje, właściwie przegrało już sprawę, chociaż wątpliwości nie ulega, że w przyszłych wyborach zdobędzie jeszcze większość znaczną mandatów. Straciło przywilej przedstawicielstwa, który stanowił jego siłę, czuje to i rozumie, chwyta się więc rozpaczliwie zasady solidarności — bo to ostatnia deska ratunku. Wybranie do parlamentu, chociażby kilku tylko niezależnych posłów polskich, wytworzy bardzo niebezpieczne dla Koła współzawodnictwo. Posłowie ci mają w ręku niezawodny środek zyskania popularności — interpelacye, które dotychczas w sprawach żywo obchodzących opinię publiczną w kraju, wnosili zazwyczaj Niemcy lub Czesi. Ze 119 interpelacyi, wniesionych do rządu w ciągu ostatnich 9 miesięcy, jedną tylko podpisało Koło. O krzywdy osób pojedyńczych, gmin, miast, całych warstw ludności, lub nawet całego kraju upominali się zwykle w Radzie państwa posłowie obcy. Jeżeli w przyszłości niezależni posłowie polscy energicznie ale rozważnie interpelować będą w sprawach galicyjskich, to albo zmuszą Koło do zmiany taktyki, albo osłabią bardzo stanowisko jego w kraju.

Niepomyślnym również dla polityki Koła objawem jest usuwanie się posłów dotychczasowych z życia publicznego. Nie chce posłować do Rady państwa p. Szczepanowski, składa mandat ks. Kopyciński, jeden z niewielu posłów, przychylnych sprawie ludu. Ustąpienie tych dwóch posłów jest faktem znamiennym. P. Szczepanowski, człowiek ambitny i wrażliwy, nie chce zapewne narażać się na możliwą porażkę i zniechęcił się do działalności politycznej, w której nieszczególnie mu się wiodło. Sojusz z zachowawcami skompromitował go w opinii publicznej, przyjaciele jego, pp. Rutowski i Lewicki, zbankrutowali moralnie, sławy ani wpływu nie zyskał. Jest człowiekiem rozumnym i widzi, że dalej tą drogą iść nie warto, a na nową wstąpić nie chce lub nie może. Ks. Kopyciński wybrany był przez lud, wbrew stronnictwu rządzącemu, które go nazywało czerwonym radykałem i oskarżało, że „nóż zakrwawiony chowa pod suknią kapłańską". W kole przystosował się powoli do większości, ale gdy ruch ludowy się rozwinął, gdy wypadało mu oświadczyć się za jedną lub drugą stroną, poczuł, że dwom panom służyć nie może. Zaczyna się więc z początku dobrowolna „eliminacya gatunków pośrednich."

* * *

Próbka „równouprawnienia".

W „Nowinach raciborskich" czytamy:

„Szan. Czytelnicy przypominają sobie z pewnością jeszcze dobrze, cośmy na początku lipca pisali o obchodzie czwartej rocznicy katolickiego Towarzystwa Przemysłowego i o trudnościach, jakie Towarzystwo wówczas doznało ze strony policyi. Ponieważ policya zakazała pochodu, Towarzystwo użaliło się telegraficznie u prezydenta regencyi opolskiej, ale bez skutku. W trzy tygodnie po odbytej uroczystości otrzymano bowiem z Opola odpowiedź, która w przekładzie polskim brzmi jak następuje:

„Na telegraficznie przesłane zażalenie z dnia 4 t m. oświadczam Panu stosownie do uwiadomienia, które tego samego dnia przysłałem, iż wedle sprawozdania, którego zażądałem od zarządu policyjnego w Katowicach, na publiczny pochód, jaki tamtejsze Towarzystwo Górnoszląskich Przemysłowców

---

radości owładnął Wierę, nie mogła usiedzieć na miejscu, odrzuciła książkę i podeszła do okna. Ukośne promienie zachodzącego słońca oblały ją czerwienią, przymknęła oczy przed niemi.

— Jak pięknie jest na dworze, jeszcze nigdy, nigdy nie było tak cudownie, a jak wszystko rośnie; dziś rano jeszcze to wzgórze było prawie nagie, a teraz można zbierać garściami pierwiosnki i dzwonki, jakgdyby już takie rozwinięte z ziemi wyszły. Bajka opowiada o jednym chłopcu, który miał tak dobry wzrok, że widział jak trawa rośnie. Na wiosnę to nic nadzwyczajnego, gdybym ja tylko lepszy wzrok miała i jabym to mogła.... Cóżto? kukułka, odezwała się w lesie, pierwsza tej wiosny. O Boże, jest tak pięknie, że prawie boleśnie, chce się płakać!

Gdy Wasylcew wreszcie wszedł do pokoju, rzuciła się Wiera ku niemu z tak gwałtowną radością, że straciła swe zwykłe panowanie nad sobą. Ujął jej obie ręce i patrzył na nią z czułością i zachwytem.

— Co się z panią stało? nie poznałem pani na pierwszy rzut oka: przed dwoma tygodniami zostawiłem dziewczynkę, a znajduję...

Nie dopowiedział, ale spojrzenie jego domówiło reszty.

Twarz Wiery pokryła się rumieńcem, spuściła oczy. Jest jej tak dobrze, tak radośnie.

Te dwa tygodnie sprowadziły rzeczywiście wielką zmianę. W jego obecności nie były nigdy jej ręce tak zimne, a twarz tak płonąca. Zaczęła układać książki na stoliku, aby ukryć wzruszenie.

— Nie, dziś nie będziemy czytali.

Usiadł przy otwartym oknie i zapalił papierosa. Wiera usiadła obok niego, serce jej biło szybko, szybko, jak ptak spłoszony.

Na dworze ciemniało. Niebo w górze było ciemnobłękitne, na zachodzie rozjaśniało się, a horyzont obrzeżony był jasnemi bursztynowemi pasmami. Żaby w stawie zarechotały, w kątach pokoju słychać było lekkie brzęczenie komarów, chrząszcz przeleciał koło okna. W krzakach oddzielających kuchnię od ogrodu, błysnęło coś jasnego. Kobieta w chustce na głowie stanęła tam przez chwilę niepewna, rozglądając się dokoła, czy nikt za nią nie idzie, potem poszła szybko w stronę lasu. Po krótkiej chwili słychać było stamtąd cichy szept mężczyzny i szczęśliwy śmiech. Z dalekiego folwarku dochodziły tęskne tony fujarki pasterskiej.

— Opowiedz mi pan o tej sprawie, słyszałam dzisiaj o tem tak wiele — powiada Wiera nagle, ale widocznie zmusza się do mówienia; głos jej brzmi nienaturalnie.

Wasylcew zrywa się, jak ze snu zbudzony.

— Tak, pojmuję, że mnie posądzają — powiedział, ręką trąc czoło — ale nie wątpię, że opinię przerobię na korzyść chłopów, wszystko to opowiem pani szczegółowo, ale później, teraz nie mogę!...

Znowu parę minut trwało milczenie, tylko komary brzęczą i pasterz skarży się boleśnie.

— Wiero, czy pani sobie przypomina naszą rozprawę z przed trzech lat?... Wtedy byłem tak pewny, że to się nigdy nie stanie... a teraz... Wiero, powiedz, czy wydaję ci się bardzo starym?

Te ostatnie słowa wyszeptał drżącym, ledwie dosłyszalnym głosem.

Wiera chciała coś odpowiedzieć, ale zabrakło jej głosu.

Bóg wie, jak się to stało, że jej ręka znalazła się w ręce Wasylcewa. Oddech zaparł się w ich piersiach, stoją bez ruchu.

— Stefanie Michałowicz, Wiero! — słychać z korytarza głos Lizy.

Wasylcew zerwał się szybko.

— Do jutra — powiedział — przez niskie okno wszedł do ogrodu i zniknął w ciemnościach.

Wonna, podniecająca noc wiosenna, pełna tajemnego uroku wisi na niebie. Światła we wsi pogasły; robi się ciszej, coraz ciszej. Fujarka pasterska zamilkła dawno, żaby i komary się uspokoiły. Od czasu do czasu słychać tylko dziwny szum w krzakach, coś pluszcze w strumieniu, albo wiatr przynosi wycie samotnego psa, którego cisza tej cudownej nocy niepokoi. Wiera nie może spać, jest jej duszno w wielkiej chłodnej sypialni, którą teraz zamieszkuje sama.

wespół z innemi towarzystwami urządzić zamierzało, policya nie dała zezwolenia życzonego z tego powodu, ponieważ zarząd policyi miał obawę, że takowy doprowadziłby do zakłócenia publicznego porządku. Po zbadaniu stosunków nie mogę wystąpić przeciwko temu zapatrywaniu. Jak jeszcze niedawno stwierdzono wyrokiem sądowym, towarzystwo, którem Wielmożny Pan kierujesz, chociaż zewnętrznie przybrało inne nazwanie, dąży w rzeczywistości do narodowo polskich, ku szerzeniu i popieraniu polskości skierowanych celów.

Reszta na zgromadzenie dnia 4 t. m. zaproszonych towarzystw zajmuje takie samo lub podobne, niemczyźnie wrogie stanowisko. W takich warunkach trzeba było w zamiarze użycia publicznych ulic miasta Katowic do urządzenia pochodu wspomnianych towarzystw dopatrzeć się oczywistego wyzywania niemiecko usposobionej ludności i umyślnego ranienia jej narodowych i patryotycznych uczuć. Jeżeli przeto zarząd policyi od podobnej, z gruntu nieuprawionej demonstracyi obronił ludność niemiecką i z tego powodu odmówił zezwolenia na pochód, natenczas postąpił sobie jedynie wedle obowiązku, a w niniejszym wypadku można mu tem mniej zarzucić, że skorzystał z przysługującego mu na mocy paragrafu 10-go ustawy o stowarzyszeniach prawa, ponieważ skutkiem zaostrzenia narodowych przeciwieństw, wywołanego przez agitacyę t. zw. wielkopolskiej partyi, obawiać się musiał, że ulicami miasta Katowic postępujący polski pochód mógłby dać powód nietylko do zatamowania ruchu, ale także do bezpośrednich zakłóceń publicznego porządku. Zażalenie przez Wnego Pana wniesione muszę przeto jako nieuzasadnione odrzucić.

Prezydent regencyjny
podp. v. Bitter."

Nie wchodzimy w rozbiór zarzutów, które pan prezydent Towarzystwu katowickiemu poczynił, bo to sprawa zupełnie jasna: warto jednak zaznaczyć, że przy uroczystości „Kriegervereinów" i pochodzie ich, w którym wzięło udział około czy przeszło 4 tysiące ludzi, a skutkiem którego ruch na ulicach był od rana aż do godz. 4 tamowany, policya mniej się obawiała o hamowanie ruchu."

* * *

Refleksye polityczne Jakóba Bójki

Znany i u nas w Poznaniu, sympatyczny poseł ludowy Jakób Bojko, zamieścił w lwowskim „Przyjacielu ludu" szereg ciekawych artykułów o ruchu demokratycznym w Galicyi. Z artykułów tych przytaczamy ustęp następujący:

„Od czasu wstąpienia do sejmu śledziłem bacznie, co się w kraju dla nas dzieje, jak się szlachcice i inteligencya w sejmie z nami obchodzą, a to dla tego, bo chciałem poznać, czy my nie jesteśmy przypadkowo na bezdrożu.

Bo człowiek nigdy nie powinien nikomu na ślepo wierzyć, a ludzie są na świecie rozmaici. Dziś, gdy miałem sposobność przekonać się o tej miłości bratniej, muszę wam w krótkości przedstawić same fakta, a wy sobie wydajcie sami sąd i zrozumiejcie, kto was okłamuje i kogoby wykląć i potępić należało, a kogo się tendencyjnie piętnuje.

Wiadomo wam, jak niesumienne stanowisko zajęli stańczycy, wraz z władzami świeckiemi, duchowieństwem, a nawet i z tak zwaną demokracyą, wobec stronnictwa, któreśmy zawiązali w Rzeszowie. Postulata naszego stronnictwa, skromne, podobały się ludziom dobrej woli, a nawet światlejsze duchowieństwo wyrażało się o nich pochlebnie, z wyjątkiem o budowie budynków gospodarskich plebańskich. Prasa gadzinowa, rozumie się, uderzyła na to stronnictwo z całą zjadliwością i nazwała to konfederacyą rzeszowską itp. Bądźcobądź udało się temu stronnictwu przeprowadzić do sejmu kilku posłów, a w wielu powiatach tylko dzięki strasznym gwałtom rządowym i stańczykowskim wydarli ludowi małą większością głosów mandaty. Na długo? Na 6 lat. Po wyborach „Czas", polecany gorąco przez ks. biskupów do czytania księżom i wiernym, ryknął głosem smoczym: „precz ze sejmu z chłopami, nawet i z takimi, jak Potoczek i Kramarczyk, bo to balast."

Czytelnicy „Czasu" „wysoka szlachta" i — niestety — wielu księży, czerpiąc całą wiedzę polityczną tylko z tego i jemu podobnych organów, krzyczeli co mogli po gazetach, po ambonach, a co smutniejsza po konfesyonałach, ażeby tylko posła chłopa poniżyć i w złem świetle go przedstawić. Nie chcę pisać tego, co np. ksiadz pleban Suwada w Luszowicach na ten temat w kościele biednemu ludowi głosi. Będzie dość czasu pomówić o tem potem. Nie chcę pisać, jakie i gdzie ludowi starostwa prowokacye robiły, nie chcę też zatrzymywać się nad tem, że gdy zaszło kilku ludzi do starostwa po paszporta za Wisłę, to im p. starosta powiedział: „Idźcie sobie po paszporta do posła N.", że rewizorowie niektórzy, np. w dąbrowskim powiecie, nie wiem czy ze swego, czy z czyjego natchnienia głosili, że dla tego nie wolno trzody sprzedawać, boście Bojkę wybierali itp. i dla facecyi jedynie wspomnę o drobnym fakcie, który świadczy, jak to wszystko ludziom w głowach porządek zepsuło.

Przed samem otwarciem sejmu byłem w sprawie osobistej we Lwowie, a gdym wrócił ztamtąd, dewotki opowiadały, żem jeździł wyrzekać się Pana Jezusa i całą tę sprawę jedna z nich w następujący przedstawiała sposób: „Kazali mu wyrzec się Pana Jezusa przed słupkiem i wyrzekł się; kazali się mu wyrzec Matki Boskiej aż się rozpłakał Bojko, ale się też wyrzekł." Wiem doskonale, kto i gdzie te pobożne duszyczki tak informował, ale niech to będzie na razie tajemnicą, aż uzbieram więcej takich facecyi.

Po wyborach poczęła się pisanina o ruchu ludowym w gazetach. Wszystkie pisma niby polskie (prócz, rozumie się, katolickiego „Czasu") przyznawały, choć niewyraźnie, że chłopi, których komitet centralny aż trzech postawił, powinni brać udział w życiu politycznem, ale wszystkie jednomyślnie dopatrzyły się, że ten ruch ludowy, to jest owoc agitatorów, czyli, jak to np. p. Merunowicz Teofil powiada w „Gazecie Narodowej," „to jest agitacya stronnictw, stojących właściwie po za ludem, a spekulujących tylko na to, ażeby ową siłę, jaka tkwi w masach ludowych, dla swoich celów ujarzmić i wyzyskać." I żeby już sprawę ubić, obryzgał jadowicie ruch stronnictwa ludowego i wmawia w nie-

---

Wychodzi z łóżka, otwiera okno i przykłada rozpaloną twarz do zimnych szyb, ale to jej nie daje ochłody; twarz pali ją jak przedtem, a słodkie, ubezwładniające uczucie, wzruszenie nieokreślone, ale nadzwyczaj rozkoszne, opanowywa całą jej istotą. Jak cicho dokoła — lasek wydaje się teraz duży i ciemny, drzewa stoją teraz takie wielkie, tak gęsto tuż obok siebie, jakgdyby ścieśnione miały nad czemś obradować, usiłowały ukryć jakąś ważną tajemnicę. Śród tej ciszy słychać nagle cichy turkot; to trójka pocztowa, jadąca po szerokim gościńcu. Powietrze jest tak czyste, że słychać dźwięk dzwonka zdaleka, blisko o pięć wiorst; na chwilę umilkła, zapewne jest teraz trójka za małą górką, ale znowu słychać ją wyraźnie, bliżej, coraz bliżej; zdaje się jechać szybko w pełnym galopie; teraz słychać trzask bicza, głos woźnicy i tupot koni. Turkot znowu się oddala, jakgdyby nagle zduszony, zapewne trójka stanęła gdzieś w pobliżu.

— Dziwne, doprawdy dziwne, jak taki dźwięk dzwonka pocztowego w nocy rozdraźnia, przecież nie można niczego się obawiać; zapewne nadjechał sędzia robić poszukiwania o szkodę w polu.

A przecież, na dźwięk ten srebrny, zasłyszany z dalekiego gościńca, bije serce silniej, tęskniej, w dal za nieznanemi krajami.

— Boże, jak piękne jest życie!

Wiera składa nieświadomie ręce, jak do modlitwy.

Wasylcew nazywa się materyalistą i Wiera jest też poznajomiona ze wszystkiemi nowemi teoryami, jest przeświadczoną, że nie wierzy w Boga. Ale dusza jej jest w tej chwili przepełnioną nieograniczoną wdzięcznością dla kogoś, który jej dał szczęście, i według starego swego dziecinnego, nie dającego się wykorzenić zwyczaju, zwraca się z gorącą modlitwą do Boga, w którego istnienie nie wierzy.

— O Boże, wiem, że na ziemi jest wiele bólu, wiele niesprawiedliwości, wiele nędzy, chcę ludziom służyć, gotową jestem za nich dać życie! Ale później, później! O Boże, teraz pragnę... ogromnie pragnę szczęścia!

Na krótką chwilę zasnęła Wiera snem niespokojnym.

„Do jutra." Ta myśl zbudziła ją nagle i przejęła słodkim dreszczem i gorączką rozkosznego oczekiwania. Zorza poranna stała na niebie, koguty już często piały, wróble ćwierkały hałaśliwie pod oknem, Wiera rzuciła się na łóżko z twarzą gorącą i zimnemi rękami. Dopiero po wschodzie słońca zasnęła silnym, ołowianym snem. Spała długo. Było już późno, prawie południe, gdy owładnęło ją znowu uczucie czegoś nadzwyczaj szczęśliwego, co ją wczoraj spotkało.

— Jak to pięknie obudzić się drugiego dnia, po wielkiej, niespodziewanej radości.

Wiera leży w łóżku i przeciąga się.

— Ale cóż ja robię właściwie — pomyślała, wyskoczyła z łóżka, zaczęła się szybko ubierać, spojrzała na zegarek, widziała, że już było późno, że lekcya już i tak stracona. Nie warto więc się spieszyć. Położyła się znowu do łóżka, zamknęła oczy, marząc o swem bliskiem szczęściu.

Pokojowa weszła cicho do pokoju, popatrzyła ostrożnie, czy panienka jeszcze śpi.

— Anisio, mateczko, czemuś mnie nie zbudziła wcześniej.

— Byłam tu pięć razy, panienka spała tak dobrze, że było mi żal ją budzić.

— Jaką ona dziwną twarz ma dzisiaj — pomyślała Wiera.

— Panienko, nieszczęście stało się tu dzisiaj — powiedziała Anisia tym głosem dziwnym, jakim zwykle służące udzielają ważnych wiadomości.

— Co się stało — zawołała Wiera zrywając się; nie wie jeszcze o co chodzi, ale przeczuwa nieszczęście.

— Sąsiada napadła dziś w nocy policya.

VII.

Jak grom spadła ta straszna wieść: tej nocy zatrzymał się znowu wózek pocztowy z kapitanem żandarmeryi i dwoma niższej rangi żandarmami przed domem Wasylcewa, kapitan pokazał dziedzicowi papier, opatrzony stemplem i pieczęcią państwową. Na papierze tym było napisane, że szlachcic Stefan Michałowicz Wasylcew jest osobisto-

go, „że ono o niczem nie myśli, tylko o tem, jakby powtórzyć straszne wypadki z r. 1846, czyli żeby szlachtę wymordować i zabrać im grunta, których mają za dużo... a księży przedstawić ludowi jako bałamutów, którzy głowy zabobonami zawracają, aby nas zdzierać“ („Gazeta Narodowa“ nr. 282 z 11 10 1895.) Tyle tylko się poseł Merunowicz dopatrzył w pracach i zamiarach stronnictwa ludowego.

Nie wiem, co za przyjemność mają podobni ludzie wmawiać w kogo to, o czem on nie myśli, czem się brzydzi, co potępia; natomiast pojmuję wybornie, że to się pisze w tym celu szatańskim, aby ruch ludowy nigdzie serca przyjaznego nie znalazł, tylko potępienie. Pamiętam, jak będąc obaj z kolegą Wójcikiem u jednego z naszych ks. biskupów, słyszeliśmy z ust tegoż zdanie o ruchu ludowym i pismach ludowych, że to wszystko ma na celu tylko wyrżnięcie szlachty i rabacyę, jaka była w r. 1846. Straszna rzecz, że ludzie nie boją się sądu Pana Boga i śmią takie insynuacye ks. biskupowi podsuwać.

— A czyta ks. biskup — pytamy — „Przyjaciela Ludu“?

— Nie, odparł — ale mnie tu tak księża mówią itd.

— To się nazywa znajomość stosunków...

Jeżeli przykro było czytać takie brednie p. Merunowicza, to z tem większą radością czytałem artykuły, pisane w „Nowej Reformie“ przez posła Romanowicza, z których wietrzyk życzliwszy wiał dla sprawy ludowej i dużo sobie obiecywałem na przyszłość po mężu, który takie zasady wyznaje. Oto jego słowa: „Nadawać większości sejmowej pozory jakiegoś nieprzyjaznego przeciw tym posłom włościańskim stanowiska, występować przeciw nim, byłoby działaniem, dla dalszego rozwoju naszego życia publicznego bardzo szkodliwem. Tych posłów przeciwnie — przygarniać, otwartemi rękami w sejmie ich przyjąć, do komisyi sejmowej wybierać, aby byli świadkami i uczestnikami prac przygotowawczych, wysłuchać ich głosów i ich życzeń, zanim jeszcze sprawy są w komisyach i w klubach zadycedowane, i w ten sposób sprawić, aby ci włościańscy posłowie czuli się w sejmie między swoimi, oto jedynie zdrowa polityka. Naturalnie, nie znaczy to, iż wszystkie ich wnioski i żądania mają być bez krytyki przyjmowane, znaczy tylko, iż nie powinno się stać nic takiego, coby większość sejmową stawiało jako z góry już przeciw posłom włościańskim uszykowaną, przeciw nim i wszystkiemu, co od nich wychodzi, uprzedzoną... Uczują się oni wtedy organiczną częścią całości, która pracuje dla dobra kraju. I to uczucie wyniosą z izby sejmowej pomiędzy tych, którzy ich wysłali. Nikt nie ma prawa powątpiewać o szczerości słów p. Bojki, wypowiedzianych w Poznaniu: „nie pod szlachtą, ale obok szlachty“ itd. („Po wyborach — przed sejmem.“ „Nowa Reforma“ nr. 262 i 254).

Nie wszyscy zatem ludzie tak pstro mieli w głowie, jak p. Merunowicz, (mimo że niby należy do lewicy), toż człek poszedł do sejmu z dobrą wiarą, że chociaż — stara prawda jak świat — są dobrzy i nie dobrzy ludzie, ale przecież i ci, co wyszli z urny przy pomocy bagnetów i pieniędzy, staną wszyscy w tym bodaj wypadku razem i bodaj jakieś okruchy rzucą ludowi, aby zaznaczyć, że dlatego tylko siłą wcisnęli się do sejmu, bo tak lud kochają i duchem chcą go bronić i koić jego rany, a choć tu i owdzie chłopów wpakowano do turmy, to głupstwo! „My czynami dowiedziemy ludowi i jego agitatorom, że błędnie o nas sądzą,“ — jak mi to jeden z posłów powiedział.

Tak czytając takie i tym podobne gadania, byłem raźnie nastrojony i myślałem napewno, że to jakoś pójdzie. Przed sejmem na parę dni spotykam się z posłem N. który mię pyta:

— A co to tam się w gminie u was stało?

— Kiedy? — pytam.

— W tych dniach — odparł.

— Nic nie wiem.

— Ponoście mieli jakieś kłopoty z kasą gminną?

— Kto to panu mówił?

— A był u mnie chłop z waszej wsi, nazywa się Lewicki, który mi mówił, że macie w kasie jakieś nieporządki, i żebym na to co poradził, ale ja odpowiedziałem mu, że macie swego posła, to ja się waszemi sprawami nie zajmuję.

A w gminie ani takiego chłopa nie było i niema, a powtóre, że w kasie mam porządek, bo rada składa się z ludzi piśmiennych i prowadzimy wspólnie, jak nigdzie, rachunki. Chciał mi tylko ten mąż tem powiedzieć niajako, żem złodziejem, albo żeby rad był, abym nim został. Ile razy spojrzałem na tego posła w sejmie, zawsze mi ten fakt stawał przed oczyma, a wówczas myślałem sobie: toś ty taki przyjaciel chłopski!“

LITERATURA I SZTUKA.

Wiadomości literackie z Paryża.

(„Rzym“ Zoli — Goncourt o japońskim malarzu Hokusai. — Tragedya majtka.)

„Rzym.“ powieść Emila Zoli, jakkolwiek od paru miesięcy ukazała się w formie książkowej i jest tłomaczona na wszystkie języki europejskie, jednakże dotychczas jeszcze wywołuje w prasie francuzkiej bezpodstawne napaści, lub też na odwrót wielbiące pochwały. Zauważyć należy, że tych ostatnich jest więcej, bo nawet umysły dogmatyczne są za Zolą. Nawet taki Franciszek Coppée, którego nikt nie może uważać za pisarza o krańcowo postępowych poglądach, powiada o Rzymie: „Tak, jak świat cały, tak i ja przeczytałem „Rzym“ Emila Zoli, i jak wszyscy, którzy już przeczytali lub czytać go będą w przyszłości, jestem olśniony talentem, siłą i pięknością tej książki. Część opisowa jest niezrównanie wspaniałą. Wywołane obrazy książką tą sprawiły, że mam nostalgię, jestem roztęskniony za „Rzymem“ i gorzko żałuję, iż nie mogę w tym roku

---

ścią, zakłócającą porządek publiczny. Dlatego proponuje mu gubernator na zasadzie pełnomocnictwa, udzielonego mu z góry, ażeby swoje dotychczasowe mieszkanie zamienił na mieszkanie we wspaniałem, chociaż nieco odległem mieście, w Wiatce. Trzy dni i trzy noce zostawiają mu do uporządkowania swoich interesów, potem ma być wysłany na miejsce przeznaczenia.

Można sobie wyobrazić, jakie wrażenie wywarła ta wiadomość na całą rodzinę Barancowów. Najbardziej przeląkł się hrabia. Posiadał on tę właściwość, nierzadką w Rosyi, że przy zamkniętych drzwiach odgrywał rolę liberała i ostrzył sobie język na koszt rządu, ale niech tylko zjawił się błękitny kołnierz, zwijał się w sobie i stawał najspokojniejszym synem wszechmocnego cara.

W tym wypadku tchórzostwo to zwiększało jeszcze jego wyrzuty; jak mógł pozwolić na takie zbliżenie między własną córką a tym wolnomyślicielem — gdzie miał oczy swoje?!

Wasylcew, wczoraj jeszcze poważany, zamożny właściciel, dobra partya, stał się nagle bezdomym włóczęgą, człowiekiem, z którym znajomość mogła się stać niebezpieczną, o małżeństwie między nim, a jego córką nie mogło być mowy obecnie, a dziewczyna została nazawsze skompromitowaną.

Jak to zwykle dzieje się w życiu, usiłował hrabia przytłumić uczucie własnej odpowiedzialności, wyrzucając innym nieostrożne postępowanie.

— Widzisz pani, ty potrafisz się tylko zajmować twemi nerwami, a na córkę nie uważasz — mówił do żony.

Hrabina sama odczuwała, jak wielką hańbą okrywa jej dom ten cały wypadek, już teraz miała przedsmak tych wszystkich niewinnych pytań i litościwych kondolencyi, jakiemi ją panie znajome przy pierwszej sposobności zarzucać będą.

W całym domu panował ów instynktowny strach, jaki widok błękitnego munduru w Rosyi wywołuje.

Wszyscy żyli w oczekiwaniu strasznego, nieuniknionego nieszczęścia.

— Policya, policya jedzie do nas — z taką wiadomością przybiegła raz dziewczynka, usłyszawszy na gościńcu dzwonek pocztowy. Wszyscy ze strachu potracili głowy. Hrabina pobiegła do sypialni i położyła się do łóżka; było to najbezpieczniejsze miejsce schronienia. Hrabia wpadł do pokoju Wiery, porwał obiema rękami książki i pisma bez wyboru i sam rzucił je do pieca, w którym na nieszczęście palił się ogień. Służba rozbiegła się. Okazało się, że obawa była próżną, przejeżdżał urzędnik podatkowy, ale długo jeszcze nie mogli przyjść do siebie po przebytem wzruszeniu.

Na Wierę spadł ten cios tak niespodzianie, tak druzgocąco, że była nim ogłuszona i nie mogła naraz objąć całej głębi swojego nieszczęścia. Ta myśl, że miano jej Wasylcewa zabrać nazawsze, była tak straszną, że nie znalazła miejsca w jej głowie. Co będzie po jego odjeździe, o tem nie myślała.

To „później“ wydawało jej się ciemną, bezdenną otchłanią, w którą bez zawrotu głowy spojrzeć nie mogła. Teraz dręczyła ją jedna wielka troska i straszna obawa: żeby on nie odjechał, nie pożegnawszy się z nią. Widzieć go tylko raz jeszcze chociaż, chociaż godzinę, chociaż minutę, a potem niech się stanie, co chce! Zdawało jej się, że niech tylko się zobaczą, a już wszystko dobrze będzie, wszystkie jej pragnienia, wszystkie myśli koncentrowały się tylko w tem jednem: widzieć go!

Ale o spotkaniu nie mogło być mowy. Wasylcew znajdował się pod ścisłym nadzorem i Wiery pilnowano także. Cała rodzina podejrzywała bowiem, że ona gotowa jest uczynić jakiś rozpaczliwy krok. We dnie pilnowała jej matka i siostry, w nocy Anisia. Dwa dni już upłynęły, a Wiera nie mogła, pomimo usilnych starań, opuścić na chwilę domu. Nie miała nawet wiadomości o Wasylcewie, nakazano bowiem surowo służbie nie wpuszczać na podwórze nawet psa z sąsiedniego dworu.

Zostawała tylko jedna noc, jutro o świcie uprowadzą go, a potem skończy się wszystko. Na myśl o tem zdawało się Wierze, że oszaleje.

— Anisio, moja droga, moja gołąbko, puść mnie do niego tylko na godzinkę, na jedną godzinkę, nikt się o tem nie dowie.

jechać do wiecznego miasta, które lepiejbym odczuł teraz, pozostając pod wrażeniem arcydzieła napisanego przez Emila Zolę.“ Ledrain zaś, jeden z lepszych krytyków francuzkich, tak mówi w swem sprawozdaniu o „Rzymie“: „Niewiem, czy ta książka będzie miała równie wielkie powodzenie handlowe jak „Assomoir“ albo „Nana,“ lecz jestem zdania, że jest to najpiękniejszy z dotychczasowych utworów Emila Zoli. Wśród dekadentyzmu, jaki nas stopniowo ogarnia, jakże pocieszającą jest rzeczą dla krytyka stwierdzać rozrost potężnego umysłu autora „Rzymu,“ jego wzlot coraz to wyższy ku światłu i pięknu. Zola we wszystkich swych książkach wziął sobie za zadanie przedstawienie całości rzeczy, którą traktuje. Pojedyńcze figury mało go obchodzą, wprowadza je na scenę jedynie dla przynęcenia czytelników, którzy zawsze żądają miłostek i efektów romantycznych, a gdy tego brak, zamykają książkę zbyt nużącą dla poziomu ich umysłu. W przedostatniej książce Zoli, w „Lourdes,“ mało jest właściwego romansu a więcej filozofii, więcej olbrzymich fresk, wśród których żyją tłumy wierzące i inteligentne duchowieństwo sceptyczne. „Rzym“ wyżej jeszcze stoi od „Lourdes,“ tu bowiem Zola prawie zupełnie usunął intrygę powieściową, a dał nam wspaniale piękny obraz współczesnego społeczeństwa rzymskiego. Jako filozof, jako pisarz, jako artysta, Zola był pociągnięty dwoistością teraźniejszego Rzymu, w którym prócz władcy w Kwirynale, jest władca, barykadujący się w Watykanie. „Rzym“ Zoli jest dziełem nadzwyczajnej piękności. Jest to zarazem utwór, pisany przez głębokiego myśliciela, gardzącego ustępstwami, idącego wprost przed siebie i wypowiadającego swe poglądy bez troski o sąd ogółu. Cześć mu się za to należy.“

* * *

Niedawno zmarły E. de Goncourt i brat jego z dawnych jeszcze czasów rozmiłowali się w sztuce japońskiej i gust ku niej rozbudzili we Francyi. Ed. de Goncourt, przez całe swe życie zbierając cenniejsze zabytki sztuki japońskiej, doszedł do słynnego dziś zbioru, oraz nabrał wielkiej znajomości w dziedzinie historyi rozwoju sztuki w Japonii; niejednokrotnie pisał w tym kierunku a na krótko przed śmiercią wydał dzieło, poświęcone wyłącznie Hokusai, którego uważa za najznakomitszego artystę japońskiego. Materyały do napisania tego dzieła autor zbierał od lat kilkunastu z pomocą japończyków, kształcących się, lub przebywających w Paryżu. Oni to dostarczyli autorowi francuzkiemu przekładu z tekstów japońskich, z listów Hokusai, oraz z napisów, jakie on zwykł był umieszczać pod swemi rysunkami i malowidłami. Naprzykład album, w którym Hokusai przedstawił tańce, zakończył uwagą: „Jeżeli w ruchach lub takcie poczyniłem pomyłki, proszę wybaczyć mi. Rysowałem podług swego marzenia a ponieważ marzenie pojedyńczego widza nie może oddać wszystkiego z pożądaną dokładnością, zatem, jeżeli zechcecie nauczyć się tańczyć, wezwijcie lepiej mistrza tańca. Wszakże, jeżeli te moje rysunki nie stworzą dobrego tancerza, pozostaną jednak albumem, notującym tańce.“ Pod albumem z krajobrazami Hokusai pisze: „Przeszłej jesieni byłem smutny, więc by się rozerwać, zacząłem marzyć, że wędruję wśród okolicy, w której mnóstwo było mostów, a kraj taki piękny, że smutek mój się rozwiał i ustąpił miejsca szczególniejszej radości. Pochwyciłem przeto za pendzle i zacząłem malować wszystko, co widziałem w marzeniu, lękając się, że czas zatrze ślady tej miłej wędrówki.“ Edmund de Goncourt przedstawia Hokusai, jako olbrzyma sztuki japońskiej: „jest on badaczem i poetą, mistrzem prostoty, znawcą przestrzeni, giestów i ruchu; artystą, umiejącym pochwycić ze szczególniejszą prawdą istotę ludzi, zwierząt i natury. Krajobrazy jego, zdaje się, że znamy, odgadując całą słodycz, piękno lub trwogę ich wyrazu.“ Hokusai dużo pisał o sztuce, nawet o sztuce europejskiej i, mając lat siedemdziesiąt pięć, twierdził, że dopiero od lat kilku zaczął rozumieć prawdziwą budowę natury a przypuszcza, że doszedłszy do lat stu, dosięgnie pożądanej doskonałości nadania życia wszystkiemu, co zechce rysować. Wtedy każdy punkt, najdrobniejsza kreska rysunku stanowić będzie niezbędne dopełnienie, bez którego iskra życia jaśniećby niemogła. Książkę tę Hokusai podpisał: „Są to zapatrywania moje, gdy miałem lat siedemdziesiąt pięć, dawniej zwałem się Hokusai a dziś Gwakio Rojus, starzec szalenie miłujący sztukę rysowania.“

* * *

Jerzy Hugo, wnuk Wiktora Hugo, ma obecnie lat około trzydziestu, od kilku lat jest żonaty i po bardzo burzliwie spędzonej młodości, niespodziewanie wziął się do pióra i wydał temi czasy pierwszą swoją książkę pod tytułem: „Souvenirs d'un matelot.“ Są to spostrzeżenia, wrażenia i wspomnienia osobiste autora, który przez czas jakiś służył jako prosty żołnierz w marynarce francuzkiej, gdzie się zapoznał z cierpieniem, z niedostatkiem i z trudem... Książka ta jest niezwykle zajmująca pięknością formy a wzrusza prawdą ciężkich warunków bytu marynarzy na statkach wojennych. Oto z niej ustęp: „Któregoś wieczora miałem do odbycia zwykły rond o godzinie dziesiątej. Zwolna, z latarką w ręku wyszedłem po drabinach na pomost, na którym żołnierze wyznaczeni do warty przesuwali się, jak błędne cienie. Potem zeszedłem na dół a znalazłszy się pod pomostem, gdzie w zawieszonych dość nizko hamakach spali moi koledzy snem ciężkim, męczącym z powodu braku powietrza i niezdrowego gorąca, pochyliłem się, ażeby nie potrącać ich ciał, spoczywających w opuszczających się płachtach, z po za których wysuwały się i wisiały bezwładne ręce i nogi, zniszczone, nabrzmiałe, czerwone, dotykające nieledwie żelaznej podłogi. Oczy mi się kleiły z nudy i ze znużenia a może wreszcie sen tych wszystkich uśpionych oddziaływał na mnie z coraz silniejszą zaraźliwością. Chciałem coprędzej odbyć obowiązek służbowy i pójść na spoczynek, chciałem uzyskać prawo zaśnięcia. Wreszcie rond mój zbliżał się ku końcowi, gdy wtem usłyszałem jakby oddalony, stłumiony odgłos organów. Odgłos ten był tak nieśmiały, tajemniczy, że zdawać się mogło, iż dolatuje z głębi dna morskiego. Zbliżyłem się do drabiny, spuszczającej się na niższe piętro i

---

— Co panience się zachciewa, niech panienka o tem ani myśli.

Anisia przeraziła się i odganiała trwożnie rękami myśl podobną.

— Anisio, przypomnij sobie twoją młodość, opowiadałaś mi często, jak wam źle było dawniej i pomyśl: za was przecież, za chłopów cierpi Michał Stefanowicz.

— Ach panienko, moja biedna panienko, nie mów już nic, ja wiem dobrze, że on jest dobrym panem i nam go żal, bardzo żal i panienki żałujemy także. To będzie para, myśleliśmy sobie, serca nasze cieszyły się, gdyśmy na was patrzyli, ale cóż można zrobić. Pan tak chce... O moja panienko kochana, co się panience stało, rozum straciłaś gołąbko. Rzucasz się do moich nóg, ty przed taką biedną sługą.

Wiera w rozpaczy uklękła przed Anisią i całowała jej ręce.

— Anisio, jeżeli mnie nie puścisz, to wiedz, że życie moje masz na sumieniu, przysięgam na Boga ukrzyżowanego, że odbiorę sobie życie, jeżeli go nie będę mogła widzieć przed odjazdem.

Anisia nie miała tak twardego serca, z wielkim płaczem przyrzekła wreszcie, że później trochę, kiedy wszystko w domu uda się na spoczynek, wypuści panienkę tylną furtką.

Była już noc, gdy Wiera przebrana w suknie Anisi, w czarnym starym szalu na głowie, wykradła się z domu. W ostatnich dniach ochłodziło się znowu, a chociaż we dnie słońce gorąco dopiekało, wieczorem było zimno, kałuże na drogach zamarzły, cienki lód skrzypiał pod nogami Wiery, lekki dreszcz przebiegł jej ciało. Strumień, oddzielający obie wioski wylał, nie można więc było przejść zwykłą drogą przez wzgórze, należało okrążyć je i nadłożyć drogi o dwie wiorsty. Nigdy jeszcze nie była Wiera samą w nocy w polu, droga tak dobrze znana, wydała jej się zupełnie inną, jak za dnia, wszystkie przedmioty zmieniły się, nie mogła ich poznać.

Szła naprzód, nie oglądając się. Nie doznawała ani obawy, ani wzruszenia, nawet żal jej osłabł, jakgdyby lekka mgła otulała jej zmysły, nie czuła ciężaru swego ciała, nogi niosły ją same. Szła jak we dnie i przebudziła się tuż przed bramą domu Wasylcewa. Tam było ciemno, widocznie wszyscy spali, tylko z jednego okna dochodził słaby promień światła. Wiera zapukała najprzód cicho, nieśmiało, nikt się nie zjawił, zaczęła pukać silniej, coraz silniej. Dwa psy zerwały się i zaczęły wyć głośno, wreszcie usłyszała kroki. Zaspani żandarmi wetknąwszy bose nogi w buty, w mundurach zarzuconych niedbale na plecy, przyszli z latarniami otworzyć bramę.

— Co się stało, kto tu się włóczy po nocy — mruczał jeden z nich niechętnie. — Ehe, jakaś mamzell! — niechęć jego zamieniła się w zdumienie.

— Muszę się widzieć z panem — powiedziała Wiera ledwie dosłyszalnym głosem.

Drżała na całem ciele, choć nie lękała się bardzo.

Żandarm podniósł latarnię wysoko, aby światło padło na twarz Wiery i zaczął się jej przyglądać bezczelnie.

— Zapewne służąca — pomyślał. Twarz jego rozjaśniała się coraz bardziej. — Słuchajno piękna, tobie zdaje się droga do pana dobrze znaną — powiedział z uśmiechem — ale dziś widzisz będzie troszeczkę trudniej dostać się do niego — dodał, zmieniając ton.

— Puść mnie pan, na miłość boską — błagała Wiera.

Ze słów żandarma wnosiła, że będzie musiała odejść, nie widząc swego przyjaciela.

Głos jej brzmiał błagalnie, tak rozpaczliwie, że żandarm, widocznie słaby dla rodzaju żeńskiego, nie mógł się jej oprzeć.

— No, no, nie jęcz, — uspakajał ją — zobaczymy, zobaczymy, ale kapitanowi trzeba powiedzieć.

Wpuścił Wierę, przeprowadził ją przez podwórze i kazał czekać w przedpokoju. Sam poszedł do kapitana, który się już był przebudził.

(Ciąg dalszy nastąpi).

dosłyszałem coś jakby krzyk pasterza na wierzchołkach górskich. Znów wszystko ucichło i spokój zaległ na całym pancerniku; lecz znów nagle zagrały organy i śpiewne ich odgłosy były czemś niepokojącem, niezrozumiałem na tym wojennym statku, na którym wszystko milkło po wieczornej komendzie, wszystko zasypiało siłą znużenia i dyscypliny. Teraz byłem już na dolnych piętrach nigdy niewidzących światła dziennego. Tu wyraźnie już słyszałem smętną, dziką muzykę, a znów taneczne przygrywki; tańczono nawet, a przygłuszone bicie nóg po podłodze odzywało się rytmicznie. Posuwając się dalej, poznałem grę na kobzie a czerwonawa smuga światła wysuwała się z pod drzwi izdebki, będącej składem pakuł, farby i różnych przyborów, służących do czyszczenia pancernika. Jakiś głos starca czy też pijaka śpiewał niezrozumiałe słowa a noga biła takt w podłogę. Zwolna, nieśmiało, uchyliłem drzwi izdebki. Na stole paliła się dogorywająca łojówka, zatknięta w latarnię, a siedzący a raczej rozwalony na zydlu Tanguy, dozórca składu, grał na kobzie, przyciskając skórzany worek pod pachą, to znów dmąc w długą szyjkę instrumentu, lub przebierając spracowanemi palcami po dziurkowaniu fleta. Kiwał przytem głową a nogami wybijał takt, wsłuchując się w w swoję muzykę. Grał melodyę bretońską, rodzinną. Stanąłem przed nim, czekając aby mi powiedział, co znaczy to przekroczenie dyscyplinarne, jakiego się dopuszał, lecz ku wielkiemu mojemu zadziwieniu, zupełnie mnie nie widząc grał dalej, zapatrzony, nieprzytomny a łzy płynęły mu z oczu.

— Ucisz się, usłyszą cię! Będziesz ciężko karany!

Nawet nie drgnął, i grał, śpiewał, w takt tupiąc nogami. Zacząłem go trząść za ramię. Spojrzał na mnie, uśmiechnął się boleśnie, lecz grał dalej ze wzrastającym zapałem, podczas gdy łzy spływały mu wzdłuż policzków.

— Co ci jest?... Ucisz się... wszak wiesz, czem grozi ta niebezpieczna zabawka...

Tym razem usłyszał. Spojrzał na mnie i, śmiejąc się tak boleśnie, że łzą wydawał się teraz uśmiech, rzekł:

— Dziś w mojej wiosce wszyscy tańczą, bo dziś w Launion rodzice wyprawiają wesele mojej siostrze...

Westchnął głęboko, sapał, hamując się — wreszcie padł na ziemię jak martwy i, chociaż już spał, łzy wybiegały mu z pod zamkniętych powiek. Odszedłem po cichu, wzruszony rozpaczą tej tęsknoty."

J...z.

Józef Rogosz.

(Wspomnienie pośmiertne).

Dziennikarstwu galicyjskiemu ubył jeden z najgłośniejszych i najbardziej typowych jego przedstawicieli, — Józef Rogosz.

Rogosz wystąpił na arenę literacką bardzo wcześnie, bo jako student szkół średnich, a pisywał wtedy, jak większość dziś już ustępujących z pola literatów galicyjskich, wiersze niezbyt zgodne z tym kierunkiem, który wyznawał pod koniec życia. Wyszły one w r. 1869 pod zbiorowym tytułem »Niby żarty, niby prawdy," a choć dziś już trudno przyznać im jakąkolwiek wartość literacką, na owe czasy cechowała je pewna świeżość myśli, pewna brawura. Poezye swoje wydał Rogosz pod pseudonimem Ajo, znanym już publiczności z licznych korespondencyi, pisywanych w latach 1865—1867 zrazu z Szwajcaryi i Włoch, potem z Francyi, a odznaczających się nietylko ciętością pióra, ale zarazem zdolnością gromadzenia najbardziej charakterystycznych informacyj oraz układania trafnych, jak się kilkakrotnie pokazało, kombinacyi politycznych. Kiedy w r. 1869 Rewakiewicz i Lam, założyli „Dziennik," Rogosz, jeszcze stosunkowo bardzo młody (ur. 1844), objął jego redakcyę.

Równocześnie rzucił się na pole powieści. Z początku nie miał powodzenia. Pierwsze próby ("Wojewodzic 1872, Tak być musiało 1876) miały braki i w kompozycyi artystycznej, i w psychologii i nie budziły większego zainteresowania. Dopiero później, kiedy wziął się do powieści historycznej, zyskał rozgłos nie mały, który jednak tkwił nie tyle w wartości utworu („Marzyciele"), ile w wyborze tematu i w dostrojeniu się do niezbyt wysokiego kamertonu przeciętnych czytelników. To samo mniej więcej da się powiedzieć i o innych powieściach Rogosza, których napisał coś dwadzieścia kilka (nb. tomów o wiele więcej) i stał się wcale poczytnym pisarzem, poczytniejszym od wielu bardziej uwagi godnych.

Jak powstały jego powieści, niech powie następujący przykład. Przed siedmiu czy ośmiu laty, kiedy pisma galicyjskie i warszawskie pełne były odkryć na temat głośnego wówczas procesu Strzeleckich, który dotknął mnóstwo rodzin galicyjskich, Rogosz w lot napisał pod pseudonimem Veraxa powieść p. t. „Grabarze", którego treścią był właśnie ów proces. Gazeta, w której odcinku drukowała się ta powieść, ogłaszała wówczas urbi et orbi (niewiadomo, kto tu więcej winien, Rogosz, czy redaktorowie „Gaz." pp. Vogel i Kostecki,) że „Grabarze" wyszły „prawdopodobnie" zpod pióra zmarłego niedawno przedtem Ottona Hausnera.

W r. 1874 założył i przez lat kilka wydawał pismo literackie p. t. „Tydzień". Tu drukował Rogosz swoje studya estetyczne o Grotgerze i Matejce, znów, jak wszystko, co wyszło z pod jego pióra, niezbyt gruntowne, nieraz nawet wprost fałszywe. Zasługa jego polega na tem, że jeden z pierwszych zabrał się do tego rodzaju studyów i innym drogę pokazał.

W „Tygodniu" również cisnął Rogosz zarzut prof. Kuliczkowskiemu, że jego podręcznik historyi literatury jest plagjatem głośnych wykładów Małeckiego w uniw. lwowskim. Kuliczkowski odpowiedział gruntownym artykułem, w którym zarzut odparł, Rogosz zaapelował do prof. Małeckiego, który głosu nie zabrał, i spór pozostał nierozstrzygnięty.

Redakcyę „Dziennika" opuścił Rogosz w r. 1878 wtedy, kiedy pismo to drogą kupna stało się własnością Adama ks. Sapiehy. Spędziwszy kilka lat na wsi, wyjechał do Ameryki, a po powrocie wstąpił w Krakowie do redakcyi „Kuryera polskiego," na którego czele stał Józef Orłowski, pozostający na żołdzie kilku magnatów (między innemi Wojc. Dzieduszyckiego), którzy wytoczyli mu później proces o fałszowanie podpisów na wekslach, przedtem zaś policya ukarała tegoż pana grzywną za bezprawne używanie tytułu doktora. Wówczas Rogosz należał do najgorętszych obrońców tej niesympatycznej osobistości.

W ósmym lat dziesiątku dokonał się w przekonaniach Rogosza przełom: z liberała stał się antysemitą, w stylu luegerowskim; taką markę miał i obiecuje obecnie zachować założony przezeń w Krakowie w r. 1893 „Głos Narodu". Rogosz, jak zapewnia redakcya, oparł wydawnictwo na niezachwianych podstawach materyalnych. Nadto pisywał Rogosz od czasu do czasu korespondencye i artykuły do Biblioteki Warszawskiej, Ateneum i petersburskiego Kraju.

Do zasług Rogosza policzyć trzeba jeszcze wydawnictwa, które różnemi czasy podejmował. Mam tu na myśli założoną w r. 1869 wspólnie z księgarzem Gubrynowiczem „Bibliotekę powieści i romansów", w której wyszło wiele cennych utworów, wspomnę tylko „Pana Grabę" Orzeszkowej lub tłumaczenia Massimo d'Azeglio'a; wydawana ostatniemi czasy podobna biblioteka w Gródku nie czyni zadość skromnym nawet wymaganiom.

Jako dziennikarz niejednolity, łatwo uprzedzający się, nie umiejący przekonań swych oprzeć na podstawach naukowych i, co najgorsza, z dobrą wiarą otaczający się nieraz indywiduami lichej wartości moralnej, umiał mimo to Rogosz zachować niezależność osobistą. Dziennikarz z zamiłowania i temperamentu, odznaczał się wielką pracowitością. Schodzi z nim do grobu typ literata galicyjskiego doby minionej; przyszły historyk naszego piśmiennictwa będzie się musiał zatrzymać na ocenie długoletniej i wszechstronnej działalności zmarłego bez względu na to, jak ona wypadnie.

LITERATURA WSPÓŁCZESNA
ZA OCEANEM.

Opinia częstokroć trwa dłużej, niż same rzeczy. Raz wygłoszona, utrzymuje się, dzięki rutynie i lenistwu umysłów, potrzeba nieraz znacznego wysiłku, aby ją zmienić. Tego rodzaju opinia zawisła nad literaturą Stanów Zjednoczonych. Utarło się zdanie — powiada Gausseron — że Stany Zjednoczone nie mają literatury własnej, że pisarze tamtejsi są jakby anglikami z za kordonu i że najświetniejsze ich dzieła świecą światłem księżycowem, zapożyczonem od słońca — Anglii. Przytem zwykle wymienia się nazwisko romansopisarza Cooper'a lub poety Longfellow'a.

Należy jednak tę opinię odrzucić. Tylko umysły krótkowidzów mogą sądzić, że naród tak oryginalny, jak yankesi, tak potężny w przemyśle, nauce i sztuce, nie ma własnej literatury. W Ameryce też zabłysły imiona, których nie powstydziłaby się Francya; kraj, co je posiadł, nie może być uważany za grunt jałowy i niezdolny do życia literackiego.

Podobnie jak życie naukowe, ruch literacki nie zcśrodkowuje się w Ameryce w jednem mieście (jak to bywa zazwyczaj w Europie), lecz rozszerza się po całym kraju. San-Francisco, Pittsburg, New-Orlean, Philadelphia, Baltimore, Chicago, Washington, nawet nieznane mieściny w Wisconsin lub Ohio mają swoje przeglądy, swoje książki i swoich autorów, szukających sławy wśród ich mieszkańców. Panuje tam rodzaj decentralizacyi życia literackiego, jakkolwiek New-York i Boston usiłują zająć dominujące miejsce.

Do niedawnych czasów gmach literacki Stanów Zjednoczonych był jeszcze niewielki. Dziś imponuje on swemi rozmiarami i ilością narodowych autorów. Poezya — ów najszczytniejszy wyraz ducha narodowego — liczy w Ameryce godnych siebie przedstawicieli. Oczywiście, niewielu tam jest takich, którzy się jej wyłącznie poświęcili; jak w Europie, tak i tam większość poetów pracuje w dziedzinie dziennikarstwa i nawet przedsięwzięć ekonomicznych. Wśród nich pierwsze miejsce należy się dziś człowiekowi, noszącemu imię Oliver Wendell Holmes, ur. 1809 r. w Cambridge (stan Massachusetts.) Twórca lekkich i przyjem-

nych rymów podnosi się nieraz do wyżyn elegii, przenikającej serca głębią melancholii; często uderza w strunę patryotyzmu i rozpryskuje się w zdrowym a szczerym humorze. Znaną jest w całej unii, jego rzecz, p. t. „The One Hackney“, opisująca dzieje starego kabrjoletu, który się rozbija w stuletnią rocznicę swego istnienia. Ten i parę innych poematów, wydane ozdobnie w Bostonie w r. 1892, mogą zająć nawet europejczyka, przywykłego do wręcz odmiennych utworów. Cieszy się także powodzeniem jego prześliczny poemacik „The Last Leaf“ (Ostatni liść), pełen słodkiego smutku.

Drugi z kolei poeta, James Russel Lowell, nie ograniczając się do utworów lirycznych lub poematów epicznych, jak np. wizye sir Launfal'a o św. Graalu, uprawia krytykę literacką, zbierając artykuły swoje w jednej książce, jak np. „Fireside Travels“ (Podróż przy ognisku), albo też „Among my Books“ (Wśród moich książek). Posiada on żywość i wdzięk, czyniący go sympatycznym dla francuzów, którzy cieszą się też jego względami.

John Burroughs, trzeci wśród plejady poetów, jest twórcą sielanek. Człowiek średniego wzrostu, z opaloną twarzą i wielką brodą, oddaje się on z zapałem ogrodnictwu na brzegach Hudsonu, cztery godziny od New-Yorku. Książki jego opiewają wdzięki natury i życie ptaków z niezwykłą prawdą i wdziękiem; łatwo się przekonać o tem, czytając jego „Winter-Sunshine“ (Zimowe słońce), albo „Fresh Fields“ (Świeże pola.) W krytycznych studyach nie posiada on ani tego wdzięku, ani nawet trafności sądu, co się okazuje zwłaszcza w jego studyum o Wiktorze Hugo, zatytułowanem „A malformed Giant“ (Źle sformowany olbrzym).

Czwartym z rzędu jest Richard Henry Stoddard, poeta, który z początku był odlewaczem czcionek, a potem redaktorem pism. Poezye jego, zwłaszcza liryczne, znane są już od lat 40, gdyż jest trochę młodszy od Longfellow'a; szczególniejszy rozgłos zyskała oda jego na cześć Szekspira, w 300-setną rocznicę tego wielkiego dramaturga (1864 r.) Przytoczymy wreszcie imię Williama Deana Howelsa konsula Stanów w Wenecyi i redaktora wielkiego bostońskiego miesięcznika. „The Atlantic Monthly“. Posiada on znaczny talent poetycki, a cechuje go niezwykła wyrozumiałość dla młodości oraz prostota życia.

Ileż to jeszcze mamy imion do zacytowania! Joachim Miller, poeta dalekiego Zachodu; Celia Thaxter, piewca wielkich ludzi i małych dzieci; Eugeniusz Field, poeta zmierzchu; George Lathrop, zięć sławnego poety Hawthorne'a; Robert Underwood Johnsohn, obrońca własności literackiej; delikatny i marzycielski Ryszard Watson Gilder, redaktor „Century Magazine“, który dawniej był drukarzem i żołnierzem; dalej Charles Godfroy Leland, badacz legend i życia cygańskiego; wreszcie z młodszych — Henry Abbay James Whitcom Riley, Thomas Bailey Aldrich, autor pięknej „Ballady z Nantucket“ i William Winter, umysł subtelny i niespokojny, odznaczający się siłą obrazowania.

W kołach literackich New-Yorku cieszy się powagą Edmund Clarence Stedman, bankier, poeta i krytyk, który stracił majątek na giełdzie. Jego przepiękne studya krytyczne, wydane w osobnej książce, przyniosły mu co najmniej 50,000 fr.

Od poetów przechodzimy do niezliczonej rzeszy pisarzy-prozaików, z których wymienić należy tylku kilku wybitniejszych, żeby nie nużyć czytelnika.

Z pomiędzy nich Cable celuje w opisach z życia kreolów na południu; miss M. Murfree, dzisiejsza pani Craddock, bada życie irlandczyków i niemców w Tennessee; Ivel Harris analizuje murzynów, jakkolwiek moda na nich od czasów „Chaty wuja Tomasza“ już przeszła; miss Wilkins odtwarza obyczaje starych miasteczek nowej Anglii; Harrold Frederick zagląda w tajemnice New-Yorku, współzawodnicząc w tem z Edgardem Fawcettem, który zresztą chętnie opisuje wyższy świat. Edgar E. Saltus zgłębia charaktery kobiece, zbliżając się cokolwiek do Maupassant'a. Edward Eggleston zyskał popularność kilku obszernemi powieściami. Trzeba jeszcze wymienić Read'a, Oktawjusza Thanet'a (jest to pseudonim kobiety), oraz E. W. Howe i miss Foote, mieszkających w San Francisko.

Henry James znany jest we Francyi z przekładów, drukowanych w „Revues des Revues“, i zyskał sobie uznanie w Europie.

Szczególną uwagę zwrócić należy na t. zw. „essayistów“, na czele których stoją Franciszek Bret-Harte i Mark Twain, dobrze znani czytelnikom; oprócz nich zasługują na poznanie F. R. Stockton i popularny w Ameryce Edgard W. Neye; wreszcie dali się poznać: A. Ward, Kate D. Wiggin, G. W. Curtis i E. Bellamy.

Wśród pisarzy w dziedzinie poważnej myśli nie możemy wymienić wielu, gdyż ogromna ich większość pracuje wyłącznie prawie w zakresie kwestyi religijnych i czysto ekonomicznych. Z historyków znani są szerzej: Fr. Parkmann, badacz dziejów Francyi w Ameryce, oraz Ed. Lowell, który pisał o roli wojsk niemieckich w walce o niepodległość Stanów Zjednoczonych, jako też o wielkiej rewolucyi francuzkiej. Justyn Winson jest autorem ogromnej historyi Ameryki w 8 tomach, z mnóstwem map, planów i portretów, John Bigelow i Charles Dudley Warner słyną jako biografowie. Co się tyczy filozofów, to znani przedewszystkiem G. F. Parsons w dziedzinie psychologii i J. F. Clark w dziedzinie badań nad religiami świata; z historyków literatury zasługuje na największą uwagę E. P. Whipple, doskonały znawca dziejów literatury w Anglii i Ameryce.

Bezwątpienia w tej olbrzymiej i potężnej produkcyi literackiej nie wszystko należy całkiem do Ameryki. Wpływy obce były koniecznością, zwłaszcza angielskie; ale w miarę zwiększenia się różnic obyczajowych i cywilizacyjnych pomiędzy Stanami Zjednoczonemi a ich macierzą, rośnie wciąż różnica w stylu, formie, szczegółach artystycznych i sposobie literackiego oddawania myśli. Dziś już nie powinno ulegać najmniejszej wątpliwości, że literatura amerykańska jest zupełnie odrębną, samoistną i mającą wszelkie dane do coraz wspanialszego rozwoju.

St. Hłasko.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z WYGNANIA.

(Dla informacyi czytelników naszych nadmieniamy, że artykuł poniższy wyszedł z pióra jednego z znanych publicystów, który przez czas dłuższy pracował w Poznaniu, lecz nie mogąc pogodzić się z wykrzywionemi i dusznemi stosunkami miasta naszego, powrócił do Warszawy na dawny teren działalności swojej. Wskazówkę tę uważamy za niezbędną dla zrozumienia pierwszych ustępów załączonej korespondencyi. Przyp. Red.)

I.

Warszawa, 1 sierpnia.

Trudno mi było przywyknąć do waszych stosunków. Onieśmielała mnie „głębokość“ i „powaga“ waszych poglądów na wszelkie, choćby najdrobniejsze sprawy codziennego żywota, upokarzała rozczulająca troskliwość, jaką otaczać zwykliście każdą, choćby najmarniejszą jednostkę, wszelkie jej kroki, czyny a nawet myśli, a wobec tak licznych na waszym bruku wielkości czułem się tak maluczkim, iż przepraszać chciałem za to, że wobec takich powag i ja sobie pozwoliłem istnieć. Opuściwszy więc waszą ziemię obiecaną, płynącą mlekiem miłości bliźniego i miodem wolności i swobody, i przeniósłszy me lary i penety do tej krainy łez i wszelakiego ucisku — odetchnąłem nowem życiem.

Co prawda, bawiąc pomiędzy wami, sercem byłem zawsze w Warszawie. Nie miałem przecież ducha obywatelskiego, nie nęciła mnie wielka polityka, polegająca na wywoływaniu burzy w szklance wody; sądziłem, że polityczny antagonizm nie koniecznie powinien być połączony z osobistą nienawiścią, nie chciałem i nie umiałem wycierać przedpokojów różnych „wielkich ludzi“ aby dobić się urzędu. Byłem wreszcie do tyla naiwnym, że wypowiadałem zdanie, iż szewc powinien pilnować kopyta, a dziennikarz jest od tego, aby przedewszystkiem dbał o swój dziennik i nie podawał czytelnikowi samych śmieci. Z góry przewidzieć było można, że człowiek z tak idyotycznemi i zacofanemi zapatrywaniami do niczego nie dojdzie w waszem „postępowem“ i „rozumnem“ społeczeństwie.

Nie żywię jednak ku wam najmniejszego żalu; owszem uczuciem wdzięczności wzbiera moje serce za to wygnanie. Znany ci jest, redaktorze, mój nieuleczalny optymizm w sprawie kobiet, naturalnie młodych i ładnych. Co prawda pierwszy z dwóch tych epitetów jest zbyteczny, bo kobieta zawsze jest młodą, dopóki jest ładną. Tyle razy sparzony, jak ćma zawsze lecę do ognia, bo w kobiecie upatruję ucieleśnienie tego wszystkiego, co piękne, szlachetne i dobre. Może się zresztą nie mylę tak bardzo. Zakrawać to będzie na parodoks — a jednak tym kultem kobiety tłomaczy się z psychologicznego punktu widzenia gorące moje przywiązanie do Warszawy. Nie darmo obrała sobie Warszawa za godło Syrenę, tj. kobietę, bo któraż kobieta nie jest syreną? Nie ma też chyba na kuli ziemskiej miasta, któreby do tego stopnia, co Warszawa, przypominała kobietę z wszystkiemi jej zaletami i cudami, z całym jej niewysławionym czarem i urokiem, lecz jednocześnie także z wszelkiemi jej kaprysami i zgubnemi niekiedy skłonnościami.

Nie ma też drugiego miasta, w którem by żywioł kobiecy tak górującą nie tylko w życiu domowem ale i publicznem odgrywał rolę. Nie świadczy to zbyt pochlebnie o brzydszej, lecz uchodzącej, zupełnie zresztą niesłusznie, za silniejszą połowie tutejszego rodzaju ludzkiego; lecz jest to fakt, z którym pogodzić się trzeba, a pogodzić się tem łatwiej, że jarzmo to nakładają na nasze karki piękne, biorąc na ogół, rączki, piękniejsze w każdym razie niż w innych środowiskach ludzkości, z wyjątkiem chyba jednego.... Poznania. Lecz żart na stronę, przewaga ta kobiet w Królestwie Polskiem w ogóle, a w Warszawie w szczególności, stanowi ważny bardzo objaw społeczny, zasługujący na głębsze zastanowienie. Objaw ten trudno uważać za pomyślny. Jak bowiem jednostka, wychowywana przez kobiety nie nabierze energii i hartu, potrzebnego do walki z życiem, tak i społeczeństwo, w którem rej wodzą kobiety, wykazywać będzie cechy pewnej zniewieściałości i braku nale-

żywej siły oporu przeciwko wszelkiego rodzaju przeciwnościom. Z drugiej jednak strony kobieta, wywierająca wpływ przeważny na swe otoczenie krzewi w niem zapał i wiarę w ideały, i chroni je przed zwątpieniem i beznadziejnym pesymizmem, stanowiącym cechę charakterystyczną wszystkich prawie dzisiajszych cywilizowanych społeczeństw. Jeźli też w społeczeństwie naszem, mniej niż w któremkolwiek innem, zaznacza się apatya i wyziębienie, jeźli serca biją goręcej i szybciej się zapalają do każdej myśli szlachetnej i wzniosłej, jeźli wreszcie miłość ojczyzny silniejszem bije tętnem — to zasługa tego pocieszającego, zwłaszcza w dzisiejszych czasach faktu należy się przedewszystkiem naszym kobietom.

Zapewne, że nadmiar ten zapału prowadzi nas niekiedy na manowce, popycha do czynów nie zgadzających się z wymaganiami chłodnego rozumu, wolę jednak zwłaszcza w młodszej generacyi ten nadmiar fantazyi, niż brak jej nieledwie zupełny, ów sceptycyzm i wyłączne gonienie za chlebem, ogarniające coraz bardziej dzisiejszą młodzież w dwóch innych naszych dzielnicach. Młodzież ta wydać może przyzwoitych bardzo ludzi, dobrych adwokatów, lekarzy, kupców lub przemysłowców, nie wytworzy jednak obywateli, zdolnych do największych nawet poświęceń dla dobra ogółu.

I pomiędzy naszą młodzieżą szerzyć się zaczyna w ostatnich czasach coraz bardziej ten duch egoizmu i zimnego, lekceważącego wszelkie idealne cele wyrachowania, bądź co bądź jednak ogromna większość tej młodzieży, i to z wszystkich bez wyjątku warstw tutejszego społeczeństwa, nie zrzekła się jeszcze pogoni za ideałami i wiary w przyszłość. W sercach jej pali się jeszcze ten święty ogień młodzieńczy, który zdaje się wygasa coraz więcej u przedwcześnie dojrzałej waszej młodszej generacyi.

Oczywiście, że mówiąc o przewadze kobiety, miałem na myśli kobiety z miarodajnych warstw naszego społeczeństwa. Rozumie się samo przez się, że obok kobiet nadających ton w prywatnem i publicznem życiu, o ile ono przejawiać się może w naszych warunkach, — kobiet rządzących w buduarach, salonach i pośrednio lub bezpośrednio w rozmaitych instytucyach tutejszych, istnieć musi w mieście tak wielkiem jak Warszawa, w mieście dalej, w ktorem kobiety liczebnie tak bardzo przewyższają mężczyzn, znaczny bardzo zastęp kobiet nie żywiących aspiracyi do jakiegokolwiek panowania, a toczących rozpaczliwą walkę o byt codzienny. Jak wszędzie tak i u nas wytwarzająca się kwestya kobieca, nie będzie ostatecznie niczem innem tylko kwestyą chleba. Wprawdzie w Warszawie zawierają się łatwiej niż gdziekolwiek indziej legalne i nielegalne związki małżeńskie. Młodzież tutejsza, odznaczająca się przy innych zaletach także sporą dozą lekkomyślności, nie oblicza tak skrupulatnie jak w innych stolicach Polski posagu panien na wydaniu, a w danym razie nie tak bardzo się obawia obrażenia światowych konwenansów. Pomimo to jednak liczba kobiet, nie mających widoków do założenia sobie własnego ogniska domowego i zmuszonych o własnych siłach przebijać się przez życie, i u nas jest olbrzymia i wytwarza coraz groźniejsze współzawodnictwo mężczyznom na tak już dość przepełnionym rynku pracy.

Nadmierna ta podaż rąk do pracy wywołuje z samej natury rzeczy wyzysk. Wyzysk zaś jest tem groźniejszy, jeśli się zważy, jaką rolę odgrywa w naszem życiu ekonomicznem żywioł semicki, żyjący wyłącznie z pracujących warstw ludności. Skargi też na straszliwy wyzysk mianowicie pracownic igły, pobierających za 14 a niekiedy 16 godzinną pracę wynagrodzenie 20 do 30 kopiejek dziennie, stanowią stałą rubrykę wszystkich tutejszych organów prasy. Nieludzkiemu temu wyzyskowi zapobiedz by mogła jako tako skutecznie możliwie ścisła organizacya samych pracownic, o takiej jednak organizacyi w naszych stosunkach politycznych nie może być mowy. Na razie więc zadowolić się trzeba doryweczemi środkami, w rodzaju zakładania chrześciańskich magazynów, wyszukiwania i zapewniania pracownicom korzystniejszej pracy itd. Przyznać też trzeba, że na tem polu prywatna inicyatywa działa u nas dość wiele, chociaż naturalnie nie jest ona wstanie usunąć najbardziej nawet krzyczących nadużyć.

Biorąc na ogół kobiety nasze, mianowicie należące do inteligentniejszych warstw społeczeństwa, cechuje znaczny zasób energii i duch inicyatywy. Nie ulega wątpliwości, że energia ta i przedsiębiorczość ujawnia się dość często w niewłaściwych, a nawet wprost szkodliwych kierunkach; w największej jednak liczbie wypadków wydaje korzystne owoce. Gdy np. u was panna z tak zw. dobrego domu nie mając widoków wyjścia za mąż, kształci się bez wyjątku prawie na nauczycielkę, czyli do najniewdzięczniejszego, najprzykrzejszego i w naszych warunkach społecznych najbardziej upakarzającego zawodu, u nas pod tym względem przeważać zaczyna coraz bardziej kierunek praktyczny: panny z najlepszych rodzin kształcą się na buchalterki, ogrodniczki, pszczelarki a nawet — *horribile dictu* — na akuszerki.

X.

SZKOŁA I WYCHOWANIE.

Prywatne ıstytucye
dla oświaty ludowej w Ameryce

przez

Dr. fil. Józefę Kodisową.

I.

WSTĘP.

Rozpatrując system kształcenia ludowego na kontynencie Europejskim, zostajemy przedewszystkiem uderzeni tym faktem, że uwzględniono w nim wyłącznie i jedynie kształcenie małoletnich. Wychowanie ludowe obejmuje zwykle wiek ludzki tylko od jakiego 7 lub 8-go roku do lat 14 najwyżej. Dalej człowiek zostaje pozostawionym samemu sobie i jeżeli los nie sprzyja mu szczególnie, zupełnie odciętym od dalszego kulturnego rozwoju. W czasie szkolnym dziecko ludu było podniesionem z niższej kultury swej klasy do kultury wyższej — potem zaś wraca znowu napowrót do form i sposobu myślenia swego niższego kulturnego życia. Szkoła dawała mu wiedzę za pomocą metod, wypracowanych przez umysły, wysoko stojące w duchowym rozwoju: uczono go myśleć ściśle, ekonomicznie, przystosowywać środki do celu, podporządkowywać pojęcia jedne drugim; — dalej dano mu metody zdobywania wiedzy, jakiemi są: czytanie, pisanie, mówienie gramatyczne i niekiedy odrobinę samejże wiedzy, jak geografię i artymetykę. Na tem przerywa się wszystko. Wchodząc do życia, człowiek ma do czynienia zwykle jedynie z temi pierwotnemi formami kultury, z których szkoła starała się go wyprowadzić.

Formy tego życia nie dają zaś prawie nigdy ludowi pola do zastosowania wiedzy takiej, jaka mu była podaną w szkole. Zwykłe bowiem funkcye życiowe jak np. praca koło roli, nie wymaga wcale ani ścisłego myślenia, ani gramatycznego wysławiania się. Pozostawiony sam sobie, wraca wieśniak z konieczności do poglądów i obyczajów tej klasy do której należał. Każdy, kto zna warunki bytu ludu w naszej ojczyźnie, wie, jak wielu ludzi nawet z wykształceniem średniem pochłania grube otoczenie, które po kilku latach zaciera kompletnie ślady zdobytej nauki. W ten to sposób nawet te korzyści, które przynoszą nasze nieliczne szkoły, zostają zneutralizowane.

I nie może być inaczej. Cztery albo sześć lat szkoły wobec wpływów całego życia jest bardzo mało. Przytem nauka przerywa się w tym wieku, kiedy umysł zaczyna zaledwie funkcyonować z właściwą sobie siłą. Doświadczenie pedagogiczne coraz bardziej przekonywa, że stosunkowo korzyść z nauki jest największa w wieku dojrzałym, naturalnie z wyłączeniem wypadków degeneracyi. Mimo to społeczną koniecznością jest, ażeby naukę pobierano w wieku dziecinnym, ponieważ tylko w tym czasie człowiek nie jest zmuszonym do pracy na chleb i może cały swój czas poświęcić własnemu kształceniu.

Z drugiej znów strony również konieczną jest rzeczą, ażeby nauczano metod zdobywania wiedzy, jak to obecnie czyni szkoła ludowa i ażeby dano człowiekowi tę bezpośrednią korzyść, jaką przynosi tak zwane „elementarne“ wykształcenie. Szkołę zatem, jeżeli można zmienić, to tylko w bardzo niewielkim zakresie.

Jak więc zaradzić złemu? Kwestyę tę rozstrzygnięto z dobrym praktycznym skutkiem w Arglii i Ameryce już około 20 lat temu. Utwierdziło się tam bowiem powszechne mniemanie, że *na szkole ludowej nie powinno się kończyć wykształcenie człowieka z ludu, ale że społeczeństwo obowiązane jest dać mu do niej supplementa*.

Istotnie, takie supplementa posiadają klasy wyższe we wszystkich krajach. Porównując wykształcenie w różnych sferach widzimy, że w klasaah wyższych praca nad rozwojem umysłowym jednostki nigdy nie kończy się na szkole, ale kształcenie się jej trwa dalej w mniej lub więcej silnym stopniu. Tyle srodków ku temu nastręcza dziś życie człowiekowi inteligentnemu! Ma on uniwersytety, wystawy, kongresy, biblioteki, pisma, teatra, koncerty, zresztą obcowanie z inteligentniejszemi od siebie jednostkami, politykę, podróże etc. etc. Im inteligentniejszem jest dane individuum, tem bardziej kształcenie się duchowe przechodzi w *normalną funkcyę jego istnienia*. Wnosi on owoce swego inteligentnego rozwoju w życie, które przez to staje się intenzywniejszém i szerszem, pogłębia się i wzbogaca.

Otóż chodzi o to, ażeby kształcenie się ciągłe, jako stała funkcya życiowa, było własnością klas wszystkich, objęło cały naród! Nauka i sztuka powinny stać się strawą codzienną, wejść w życie ludu w ten sposób, jak to czyni religia. Muszą one wpleść się w każdy okres życiowy i prowadzić człowieka od dzieciństwa aż do grobu.

Potrzeby intelektualne muszą być z równą koniecznością zadawalane, jak potrzeby życia fizycznego. Człowiek nabiera tych potrzeb niezmiernie szybko i zwykle z wielką boleścią traci warunki sprzyjające ich zaspokojeniu. Nawet takie w porównaniu z życiem naszego ludu niewielkie straty w zakresie życia kulturnego lub umysłowego,

jak np. przeniesienie się ze stolicy krajowej do prowincyonalnego miasta, albo wyjście z uniwersytetu, są nieraz dla naszej klasy inteligentnej źródłem cierpień długoletnich. Otóż ta sama tęsknota za wyższem życiem kulturnem istnieje i wśród ludu, oczywiście dopiero w zarodku. Mamy jednak przed oczyma ciągłe przykłady niesłychanie szybkiego rozrostu potrzeb duchowych w warstwach ludowych, o czem np. świadczy wymownie emigracya polska w Ameryce. To też musimy liczyć się z temi potrzebami, tem bardziej, że otwierają nam one w przyszłości niezmiernie szerokie drogi.

Rozszerzenie kultury na klasy niższe narzuca się nam obecnie z siłą konieczności. Wskutek odmiennych bowiem warunków duchowego życia rozwój kultury idzie dziś zupełnie innym krokiem w klasach niższych i wyższych. Tam, gdzie funkcya kształcenia się jest sporadyczną, i tam gdzie ona jest ciągłą, nie może być mowy o zachowaniu tej samej proporcyi w rozwoju. Ztąd też coraz więcej wzrasta ten przedział pomiędzy klasami, na który słychać dziś skargi. Coraz trudniejszem staje się oddziaływanie na siebie różnych klas i porozumienie się między niemi. Stosunek ten okaże się tem groźniejszym, jeżeli uwzględnimy, że w innych narodach przeciwieństwa coraz bardziej się zacierają. Tak n. p. tendencyą wszystkich niemal dodatniejszych osobników angielskiego i amerykańskiego społeczeństwa jest zatarcie różnic klasowych. Naturalnie dzieje się to — nie przez poniżenie poziomu klas wyższych, lecz przez podniesienie niższych sfer społecznych. Podczas zatem, gdy w tych narodach powołane będą do świadomego życia niezliczone zastępy ludu, u nas kultura ograniczy się do małych kółek towarzyskich.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wolne Głosy.

Z poważnego źródła otrzymujemy artykuł następujący:

Frymark ziemią polską.

Kiedy przed dziesięciu laty kuto w Berlinie ustawę stumilionowego funduszu, nikt nie przypuszczał u nas, ażeby komisya kolonizacyjna mogła na ziemi wielkopolskiej zapuścić swe korzenie. Opinia publiczna jednomyślnie frontem przeciw niej stanęła, a stara gwardya obywatelska gotowa była przysięgać na armatę, że między posiedzicielami Polakami nie znajdzie się nikt tak podły, któryby sprzedał ziemię ojczystą na wieczne zatracenie. Ale jakże strasznie się zawiedziono!

Nastała chwilowa złowróżbna cisza, poprzedzająca przerażające rozczarowanie. Zakradające się zepsucie do dusz nizkich popędów zaczęło toczyć nieskazitelność cnoty obywatelskiej i poświęcenie a podsycać indyferentyzm narodowy i egoistyczną prywatę. Zadrżały, cienie Zofii Chrzanowskiej, bohaterki Trębowli, gdy ujrzały, jak pierwsza otworzyła bramy swej włości komisyi kolonizacyjnej — niewiasta! dzisiejsza „matrona polska". Jakże bolesne, okrutnie dojmujące igrzysko prześladującego nas losu! Jakby na dane hasło zaczęły na wyścigi wieś po wsi dążyć do biura komisyi kolonizacyjnej, i rzucać się na pożarcie w gardziel nienasyconego jej Molocha za wory złota, napiętnowane hańbą.

Wstrzęsły się groby, poruszyły prochy przodków, których potomkowie ziemię krwią i znojem ich przesiąkłą, a od dziesięciu przeszło wieków przez ducha obywatelskiego strzeżoną, — dla dogodzenia żądzy używania zaprzedali nieprzejednanemu wrogowi wraz z honorem osobistym i tradycyami rodu. To haniebne opuszczenie tak drogich, świętych, rzec można, dla sprawy narodowej posterunków i wydanie ich na budowanie twierdz, mających swą osadą kraj germanizować, wzburzyło serca, wstrząsło umysły, wywołało lament powszechny i przekleństwo na sprawców tego tak zabójczego w skutkach przeniewierstwa. A biedny lud polski wyparty z siedzib przez żywioł obcy przy współudziale panów, opuszcza je w ponurem milczeniu, — popada w zwątpienie, obojętnieje dla sprawy narodowej, przestaje wierzyć w to, co mu o Ojczyźnie prawią, lub o niej piszą, jeżeli widzi, jak panowie tę „macierz karmicielkę" po kawałku od całego ciała odrywają i wrogom sprzedają, często nie z konieczności, lecz dla wygody i gwoli pędzenia życia wśród przyjemności bez kłopotów i pracy.

Znali już starożytni potęgę ziemi i siłę przywiązaną do niej, a mytologia grecka uosobiła ją w olbrzymie Anteuszu synie Gei, który tak długo jak miał czucie z swą matką ziemią i opierał się na jej łonie, był niezwyciężony. Zmiarkował to Herkules, który z nim walki staczał bez nadziei zwycięstwa; uniósł go więc pewnego razu od ziemi, potrzymał w powietrzu, a gdy uczuł, że słabnąć zaczyna, zgniótł go i rzucił dzikim bestyom na pożarcie. Znaczenie myśli ukrytej w tym fantastycznym mycie zdumiewa i budzi poszanę dla mądrości Greków, którzy już przed tysiącami lat głęboko wnikali w tajniki egzystencyi człowieka, a warunki jej pojmowali jaśniej i zdrowiej, niż dzisiejsi polskopruscy kolonizatorowie. Sens moralny tego mytu, zastosowany do obecnego naszego stanu, leży jak na dłoni. Olbrzym Anteusz to naród polski, jako rolniczy, opierający swój byt na ziemi. Herkules tegoczesny, jest Bismarck, który gdy daremnie przez długie lata z Polakami wojował, ducha ich nie złamał i żadnym podbojem na polu germanizacyi pochlubić się nie mógł, — przyszedł ostatecznie do przekonania, że nie będzie miejsca dla niemieckiego żywiołu w polskim zabranym kraju dopóty, dopóki ziemia będzie w ręku posiedzicieli Polaków. Uwziął się zatem, nie przebierając w środkach, za jakąbądź cenę nabyć polską ziemię. I oto przeprowadził komisyę kolonizacyjną z stumilionowym funduszem, którego siłą atrakcyjną wystawione na handel ziemie zabiera, a sprzedawczyków handlarzy w powietrzu zawiesza — i politycznie uśmierca.

Ale czy ci nieszczęśnicy czują rzeczywiście zadaną im śmierć polityczną? — wątpić należy. Pomimo całej ohydy czynu, której czy nie rozumieją, czy rozumieć nie chcą, nadrabiają rezonem jakby nie popełnili godnego potępienia czynu. — stworzyli sobie światek mały, z podobnych i równych sobie osobników, w nim się obracają, w nim żyją i grą w karty etc. sumienie swe zagłuszają.

Są między nimi indywidua, które mają pretensyę utrzymania się na utraconych stanowiskach do ziemi przywiązanych. pchają się na zebrania rolnicze, jakby nie wiedzieli o tem, że tam nie masz miejsca dla kolonizatorów, śmią nawet, nadużywając delikatności przewodniczącego głos zabierać, jakoby z tytułu byłego obywatelstwa, — które samowolnie za „miskę soczewicy" utracili. Inni znowu w myśli rehabilitacyi narzucają się z rozmaitemi niepraktycznemi projektami, aby się nazywało, że chcą pracować, a zapominają o tem, że sprawa publiczna nie jest ścierką do zacierania piętna, które sami na sobie wycisnęli. Są i tacy, którzy dla poprawienia reputacyi, zgłosili się na członków Tow. P. Nauk i — co powiecie na to — zostali przyjęci. Wstrzymuję się od uwag, same one bowiem czytelnikom się nasuną.

Handel ziemią wydał nieznaną u nas a wstrętną ablegrę, a tą jest kuplerstwo i to w stanie obywatelskim, które zajmuje się ułatwianiem interesów między komisyą kolonizacyjną a młodymi, niedoświadczonymi utracyuszami. Jest to nowa plaga, a zdarza się niestety, że nasze ziemiaństwo takiego kusiciela z piekieł wysłanego, zaszczyca na zebraniach wyborem przewodniczącego, lub wysyła jako delegata do zarządu głównego. Jeżeli tacy ludzie mają być wyrazem danej korporacyi, to wybaczcie, należący do niej panowie, jeźli kto powie: Cóż dopiero ta reszta musi być warta? Wasza wina, że do wyborów przystępujecie nie dosyć poważnie usposobieni, że stosunki osobiste stawiacie przed publicznemi i że prywata bierze górę nad cnotą. Albo drugi podobny przypadek: Znany utracyusz, sprzedawszy dwie wsie komisyi kolonizacyjnej, przeniósł się do innego powiatu, w którym objął majątek po ojcu. Przychodzą wybory powiatowe, na których jako kandydat występuje w szranki z postawionym przez powiatowców obywatelem, znanym z obowiązkowości i zdolniejszym od niego. Intryga zwyciężyła, kolonizatora wybrano deputatem. To fatalne zwycięstwo fałszu nad prawdą, jakże smutnie świadczy o poziomie moralności i pojmowaniu godności obywatelskiej tych, co mu sekundowali. Co za straszny upadek i to tak nagły i niespodziewany! A pisma nasze, mające reprezentować opinię, co na to? Ni ciepłe ni letnie, prześlizgują się po tak drażliwych faktach ostrożnie, aby się nie zarwać i nie zamazać swej powagi. „Dziennik Poznański" przed laty kilku przynajmniej stereotypowem „Ojczyzna się kurczy" odzywał się do sumień kolonizatorów, w ostatnim czasie poprzestaje na zwyczajnem zaregestrowaniu przefrymarczonej ziemi. „Kuryer Poznański" zdala i ostrożnie dotyka spraw kolonizatorskich, z obawy, ażeby stawianiem przeszkód komisyi kolonizacyjnej, działającej w myśl ustawy uchwalonej prawem, nie wprowadził „polityki ugodowej" w kolizyę z sferą rządową. Pisma niezależne, chociaż bez ogródki, jak „Goniec Wielkopolski", całą ohydę tego występnego frymarku przedstawiają, to nie wywierają należytego wpływu z tej prostej przyczyny, że w kołach kolonizatorskich ich nie czytają. I tak powoli bez impulsu z góry, — kiedy indeks narodowy stanął i nie porusza się, by wskazać straszną grozę czynu i niebezpieczeństwo chwili, zaczynają się ludziska oswajać z sprzedażą na kolonizacyę, — jej adepci zadzierają głowy coraz wyżej, sytuacya społeczna zaczyna się zabagniać, złe wyziewy zatruwają zdrowe instynkty narodowe. Czas wielki zaprowadzić desinfekcyę moralną, ażeby kolonizacya nie odniosła tryumfu, któryby okryłby naród nasz hańbą. Ale nie traćmy przedwcześnie ducha. Jeszcze cnota obywatelska żyje w narodzie, tradycye przodków jak wiara, prawość i ofiarność nie wygasły, a miłości Ojczyzny nie uśpili jeszcze ugodowcy. Ojczyzna nie pragnie, byśmy krew przelewali na jej ołtarzu, tylko żąda byśmy złożyli na nim jako ofiarę dla niej złe żądze i namiętności, jak hazard, marnotrawstwo, lenistwo, pychę, obłudę i inne błędy, któremi pewne części naszego społeczeństwa tak na wsiach jak po miastach rozterczone, budzą obawę o utrzymanie ich żywota i bytu. Widać, że jest wiele niezdrowia. gdyby bowiem społeczność nasza ziemiańska była choć tylko tak zdrowa, jak przed laty 20-tu, to kolonizacya nie byłaby na polskiej ziemi zapuściła swych zagonów. Ażeby zdrowe jeszcze części uchronić od zepsucia, niezbędnem jest zaprowadzenie segregacyi, któraby zapobiegła szerzeniu się zarazy.

tem przy sposobności na innem miejscu, teraz wracam do sprzedaży czy handlu iedną naszą ziemią ojczystą.

By nie wyrządzić nikomu krzywdy, nazuje sprawiedliwość podzielić sprzedająych na kolonizacyę ziemię na dwie kateorye. Do pierwszej należą posiedziciele rześladowani niepowodzeniami, o jakie w gopodarstwie nie trudno, lub zrujnowani udzieniem kredytu ludziom nierzetelnym, bliz- bankructwa, których ziemie jeżeli nie wolnej ręki, to na subhaście po niższej enie nabyłaby kolonizacya. Takim ofiarom osu przysługują łagodzące okoliczności. Do rugiej zapisać należy tych, co przez marotrawstwo, nierząd, grę na giełdzie lub azard w karty podrujnowali swe majątki, ako też i tych, co nie z potrzeby lecz spekulacyi sprzedali swe ziemie.*) Do ostanich należą także potomkowie obywateli iejskich, którzy uczciwą pracą dorobiwszy ę kapitałów ulokowali je na zakupionych siach. Dzisiejsza generacya zepsuta wygoami, których ojcowie nie znali, zleniwiała ez patryotycznego poczucia, zbrzydziła soie ziemię, która wymagała zachodów i pray, sprzedała ją na kolonizacyę i z kapitaem znacznym, przechodzącym połowę warości wsi, przeniosła się do miasta. Dla tej ategoryi szkoda słów, — osądzi ją sam Bóg.

Próbowała komisya kolonizacyjna nabyać zagrody od włościan, lecz z tymi tru niesza była sprawa, — wrota sadyb waownie były zaparte a złote klucze nie zdody ich otworzyć z taką łatwością, jak bram ałaców i dworów, bo strzegł ich i strzeże eniusz narodowy i wiara, wrodzone przyiązanie do ziemi, do kościółka na pagórku toczonego staremi lipami, do grobów ojców a cmentarzu. Ci synowie młodsi, którzy ajmniej doznawali dobrodziejstw i czułości d swej macierzy, okazują jej najwięcej iłości a najmniej sprawiają jej bólu, te ż oni mają odziedziczyć w spuściznie przyłość, — kiedy synowie starsi, jedni koleją asy już zgrzybiali, drudzy gnuśnością zniedołężniali, sami z dziedzictwa sztandaru idei arodowej się wyzuwają.

Nie dosyć jest wykazać krzywdy i stra-, jakie wyrządził sprawie narodowej fryark ziemią ojczystą; ważniejszą i pożyteczniejszą jest zastanowić się nad szukaniem posobów, gwoli naprawienia straszliwie szkodzonej i po części pozbawionej załogi awy naszej narodowej. Pukajcie a będzie am otworzone, szukajcie a znajdziecie, — oi w piśmie. I oto nie daleko szukając alazł się sposób. Oczywiście sprzedaej ziemi nie masz sposobu odzyskania chwiwo! Ale natomiast to jest rzeczą pewną, ziemi dosyć jest jeszcze do zbycia, gdy- tylko nabywcy się znaleźli. Co tych doczy, to mamy ich pod ręką w osobach koizatorów posiadających gotowe kapitały, óre za sprzedaż ziemi ojczystej wzięte, usznie też na zakupno tejże ziemi jako ależący jej się ekwiwalent użyte być winny. ilku z tych, co sprzedali ziemię ojczystą misyi kolonizacyjnej, nabyli inne posiadło-, jedni od niemców drudzy od polaków. ieszno im nawet było, jak jeden z nich owiadał, zostać powrotnie obywatelami emskimi, by się pozbyć tej wstrętnej na-y „kolonizatora,“ z którą niezrehabilitowawszy się, trzeba było żyć, z nią umierać z nią być pochowanym.

Jeżeli obowiązki względem ojczyzny narodach używających bytu politycznego wielkie, to o wiele większe i trudniejsze w narodach tegoż bytu pozbawionych. kże wielką musi być potęga miłości ojczyzny w narodzie przez szczep obcy ujamionym, aby nie upaść w twardym ucisku i nie znikczemnieć. Na jak ciężkie próby jest wystawiony jego patryotyzm! A wśród nich ma zachować w całości organizm narodowy, moralny, fizyczny i terytorialny, aby gdy głos z góry padnie, — już czas! miał siłę powstać czysty i nieskażony. Ażeby udźwignąć ten dziejowy, ciężki krzyż, trzeba potężnej, iście chrześciańskiej siły ducha, któraby podtrzymywała, na tej ciernistej posłannictwa drodze.

Czy atoli frymarczący ziemią polską są zdolni podnieść się do wyżyn abnegacyi, która posłannictwu idei narodowej daje namaszczenie i siłę do pokonania stojących w drodze przeszkód?

Jeżeli zważymy, że kolonizatorowie rekrutują się po większej części z indywiduów spaczonego wychowania pod względem moralnym i narodowym, którym już jako dzieciom dawano do zabawy karty, czem zaostrzano zabójczy później dla nich instynkt hazardu, których zmysł używania rychło rozwinięto, którzy nie słyszeli w domu rodzicielskim polskiej powiastki ani pieśni, a wyraz ojczyzna nigdy o ich uszy się nie odbił. — natomiast guwernantki francuskie i nauczyciele niemcy ułatwiali wstęp duchowi obcemu do słabych, wrażliwych, młodocianych jestestw, — co doroslszy nie szukali towarzystw poważnych, zajmujących się sprawami społecznemi, co objąwszy majątki znali tylko przysługujące im prawa, lecz obce im były przywiązane do nich obowiązki: to gdy zmierzymy tę szeroką przestrzeń dzielącą ich od tego wzniosłego posłannictwa, zwątpić musimy o jakiem w przyszłości doń zbliżeniu.

Dzieją się jednak niepojęte zmiany i konający duch narodowy budzi się nieraz pod biczem wroga, wśród dzikszych z dniem każdym pieśni zagłady.

Nie wolno nam jako chrześcianom rzucać na nikogo kamieniem potępienia, to też dalecy jesteśmy od tego, a wytykając błędy i czyny niegodne, mamy na oku poprawę i przywrócenie społeczeństwu zbłąkanych jednostek.

W końcu, — ażeby ten bolesny traktat o „Frymarku ziemią polską“ nie zaginął bez śladu i echa, lecz przyniósł pożądany rezultat, radzimy tym, — jak to już wyżej powiedziano — którzy wstrętnego handlu się dopuścili, iżby dla zrehabilitowania własnego honoru, zaspokojenia swego narodowego sumienia i zagojenia zadanych ojczyznie ran, za kapitały wyniesione z sprzedaży na kolonizacyę niemiecką zakupili, czy od swoich czy też od obcych, na targ wystawione ziemie.

Tylko po restytucyi krzywdy grzech może być odpuszczony, a więc nie tracąc czasu, zechciejcie zabierać się panowie do zakupna ziemi, do pracy około zachowania gleby, tej podstawy naszego bytu: jest to conditio sine qua non będziecie mogli z sumiennymi pracownikami na polu narodowem i ekonomicznem używać wspólnie poważania i praw obywatelskich.

Molo.

*) Przypominamy tu tylko dwa nazwiska, okryte hańbą w najświeższym czasie: Henryk Dzierzykraj awski i Nepomucen Chełkowski.

TO I OWO.

Przyczynek do charakterystyki prasy w Królestwie Polskiem i państwie rosyjskiem.

W „Prawdzie“ warszawskiej czytamy:

Już raz zaznaczyliśmy to nadużywanie cierpliwości i kieszeni ogółu czytelników pism codziennych — raczenie ich wielką obfitością depesz pustych, błahych, donoszących np., że w jakimś zakątku nieznanym nikomu ktoś wziął udział w teatrze amatorskim lub zwyciężył w wyścigu na rowerze, albo, że w jakiejś wiosce urodziło się ciele z dwoma ogonami. Czytelnik mając przed sobą tę moc bibuły zadrukowanej jest w położeniu wilka z bajki, który zobaczywszy prosię na dnie strugi, usiłował wszystką wodę wypić, ażeby tę pożyteczną dla siebie zdobycz dostać. Czytelnicy piją bezustannie ową wodę zabagnioną niedorzecznościami, wiadomościami zakrawającemi na kpiny z ogółu. Zdobyczy — treści pożytecznej, znaleźć jednak nie mogą i jeżeli nie wyczerpie się ich cierpliwość, ulegną smutnemu losowi wilka, który zanadto opił się wody. Okolicznością łagodzącą, chociaż nie zupełnie, dla prasy codziennej jest — wspólnik wyzysku, napiętnowany całkiem słusznie przez organ kijowski. (Zizń i Iskustwo.)

Działalność „Rosyjskiej Agencyi Telegraficznej“ — pisze wymieniony dziennik — wywołuje ogólne niezadowolenie, które potęguje się z dniem każdym dzięki systematycznemu lekceważeniu zaciągniętych zobowiązań. Brak sensu i treści w telegramach, dostarczanych gazetom prowincyonalnym, przekracza doprawdy wszelkie granice. Pomijamy już to, że depesze przychodzą późno, że są redagowane tak sobie, bez żadnej myśli przewodniej i że nikt nie zadaje sobie trudu, aby rozgatunkować krytycznie materyał telegraficzny. Kiedy ukaże się gdzieś wędrowna pogromczyni zwierząt, agencya obwieszcza natychmiast urbi et orbi ważny ten fakt; dość, aby gdzieś przeszedł deszcz wązkim pasem, a depesze agencyjne biegną znów na wszystkie strony świata. O tem wszystkiem, co się dzieje na kuli ziemskiej i co w każdym razie jest stokroć ważniejsze, niż rekordy cyklistów, a nawet wędrowna sztukmistrzyni, dowiadują się gazety prowincyonalne z innych źródeł. Zdarzają się wreszcie i takie wypadki, że telegram agencyjny przynosi nam wiadomość, którą w tymże dniu lub poprzednim znajdujemy w otrzymanych pocztą pismach petersburskich. Ani sposób zresztą wymienić tu wszystkiego. Powtarzamy to tylko, że agencya depeszami swemi, pozbawionemi zupełnie treści, stawia gazety prowincyonalne wprost w położeniu bez wyjścia. Rozumiejąc swe obowiązki względem czytelników, pragnęłyby one zawiadomić ich o wszystkiem, co się dzieje w sferze politycznej, ekonomicznej, finansowej, naukowej, literackiej i co interesuje najżywiej czytelników; tymczasem agencya o niczem literalnie wiedzieć nie chce i rozsyła niedorzeczne depesze, podkopujące tylko powagę słowa drukowanego.“

Dalej gazeta ujawnia zdzierstwo tego przedsiębiortwa, oblicza jego czysty dochód na 600% i proponuje organizacyę nowej agentury konkurencyjnej, ktora odpowiadałaby celowi i spełniała uczciwie swoje zadanie. Organ kijowski radzi kwestyę tę rozstrzygnąć na zjeździe przemysłowym niższonowogrodzkim w specyalnej sekcyi wydawniczej.

Na Wyłomie.

(Panegiryk pana Koryzny).

Publikując przed dwoma tygodniami interwiew mój z nowym dyrektorem teatru poznańskiego i poglądy moje na dotychczasowe prowadzenie sceny, nie wątpiłem wprawdzie ani jednej chwili, że obrażam ambicye dawnych ministrów teatralnych i drażnię lubowników wszelkiego rodzaju maskarad społecznych, nie przypuszczałem jednak, mimo ciekawych w tym kierunku doświadczeń, że znajdzie się człowiek dość zuchwały i pi-

smo dość śmiałe, by stanąć na rynkach i uderzywszy w bęben reklamy, tak mówić do ludu:

„Najmilsi! powiedziano wam, że teatr poznański to zbiedzony kaleka, że nędzy jego i chorobie winien jest dawny dyrektor, lecz ja dwa palce w górę podnoszę i przysięgam: Teatr nasz to bogacz opływający w skarby Krezusowe, to ideał wszystkich teatrów, a ten, kto przez ostatnie lat dziesięć tam rządził, to wzór dyrektorów.

Zdawałoby się w obec notarycznie stwierdzonej, materyalnej i moralnej ruiny teatru poznańskiego, że podobnego panegiryku nikt chyba ogłosić się nie odważy. Można było starać się upiększyć jakiś garb, jakieś szklane oczko naszego „kaleki“, — można było w imię zasady *„de mortuis nil nisi bene“* uniewinnić to lub owo z niedomagań artystycznych śp. Franciszka Dobrowolskiego, lecz wmawiać w ludzi, że kawał spruchniałej belki jest wspaniałym dębem, kawał cegły pospolitej rubinem lśniącym, to zaiste zakrawa już na dowcip niefortunny, stósowny chyba dla pism humorystycznych. A przecież proszę posłuchać, co mówi pan W. Koryzna w „Dzienniku Poznańskim“:

„W końcu w odpowiedzi na zarzut, że scena poznańska pod dyrekcyą śp. Franciszka Dobrowolskiego „służyła, tak w naszych, jak zakordonowych dzielnicach za temat drwin zasłużonych“ — dość przytoczyć, że komisya wydziału krajowego dla teatru Skarbkowskiego stawiała temuż przed kilku laty w swych monitach — za wzór scenę poznańską obok krakowskiej — a pracujący i goszczący tutaj artyści cenili i podnosili wysoko ustrój i obywatelski charakter sceny poznańskiej, która mimo ciężkich warunków i pewnych niedostatków i niedomagań, zaliczała się, nie do scen „prowincyonalnych“, lecz do scen stołecznych — i na tem stanowisku oby się utrzymała!“

A więc rumień się Lwowie! w proch karły nadpełtwiańskie przed poznańską sztuką! A ty narodzie ciesz się, że obok Warszawy i Krakowa przybyła ci trzecia scena stołeczna. Gdyby mi pan Koryzna zechciał wskazać dokument owego historycznego „monitum“, upiększyłbym niem ściany redakcyi, jako straszną przestrogą dla wszystkich Zoilów, tymczasem jednak bije ku mnie z całej powiastki jakaś woń legendowa, a gdy wreszcie uda mi się stłumić w sceptycznej duszy niewiarę, szepcze mi pamięć wesołe wspomnienie z lat dawnych, dziecięcych. Oto, ile razy jako chłopiec młody złamałem gałęź, wybiłem szybę, podarłem ubranie, lub powiedziałem „coś brzydkiego“, zawsze bona moja wskazywała na „dzieci z przeciwka“ i pouczała: „Widzisz, jakie tamte są grzeczne. Kazio i Józio nigdy nie martwią mamy a ty....“ Nazajutrz zdarzało się, że Kazio i Józio potłukli donice w ogrodzie, i wtedy słyszałem, jak „bona z przeciwka“ mniej więcej to samo mówiła, wskazując mnie, najgorszego z wisusów, za wzór swoim pupillom. Wyobraźcie sobie, jaki dumny byłem! Czy przypadkiem ten „wydział krajowy“ nie jest taką boną, teatr lwowski Józiem i Kaziem, a poznańska scena wielkim wisusem, jak w latach chłopięcych pokorny wasz sługa.

Lecz żart na stronę. Panegiryk „Dziennika Poznańskiego“ jest dziwnie charakterystycznym objawem etyki naszej, i wybaczy mi p. Koryzna, że jako urzędowy analityk znieprawionych stosunków miejscowych, jestem zniewolony uchylić rąbek zasłony i zapuścić sondę w człowieku. Nie popełnię zapewne wielkiej niedyskrecyi, jeżeli wyjawię publiczną tajemnicę, która dla nikogo w Poznaniu nie jest już furtą zamkniętą: Za pseudonimem Koryzna, tak często spotykanym w przeróżnych statystykach i pamiętnikach teatralnych, ukrywa się były sekretarz sceny poznańskiej, urzędnik do szczególnych poruczeń śp. Franciszka Dobrowolskiego. Otóż nie mając zwyczaju pisać na wiatr oskarżeń moich, wytaczanych w rubryce niniejszej, starałem się, mimo długoletniej znajomości zakulisowych tajników sceny naszej, zasięgnąć raz jeszcze najdokładniejszych informacyi i wysondować opinie samego pana Koryzny.

Tydzień cały przed napisaniem uwag moich o teatrze badałem i pytałem o stosunki naszego przybytku sztuki sekretarza dawnej dyrekcyi, a gdy w wynurzeniach p. Koryzny znalazłem potwierdzenie własnych w tym względzie poglądów, gdy nadto interwiew z p. Rygierem w drobiazgach tylko różnił się od interwiewu z byłym ministrem teatru, wtedy dopiero pióro moje umaczałem w kałamarzu. I stał się oto fakt dziwny: Pan Koryzna polemizując ze mną w „Dzienniku Poznańskim“ polemizuje sam z sobą. Wszystkie moje poglądy na ruinę dekoracyi, sprzętów i garderoby, skargi na nieużytki teatralne, ujemne opinie p. Rygiera o małżeństwach artystycznych, — wszystko to zgadza się co do joty prawie z krytyką, którą z ust p. Koryzny kilkakrotnie słyszałem. Ostrożność moją posunąłem nawet tak daleko, że gdzieniegdzie ipsissima verba byłego sekretarza teatru zamieściłem w feljetonie swoim, i dziś jeszcze brzmi mi w uszach cierpka skarga p. Koryzny, że ś. p. Dobrowolski nawet „złotówki na gwoździe w teatrze żałował.“ A w dwa tygodnie później kwestyonuje pan sekretarz prawdziwość tego zarzutu i kłam własnej opinii zadaje. W obec takiej etyki w sprawach publicznych nie może chyba pan Koryzna mieć pretensyi, abym dłużej jeszcze szpadę z nim krzyżował i wiersz po wierszu udowadniał całą problematyczność jego cyfr statystycznych i całą sztuczność tych dekoracyi, któremi bankructwo sceny poznańskiej osłonić się stara. Prezentuję zatem tylko dwa momenty z tragikomicznej roli, którą p. Koryzna w najświeższej polemice teatralnej odegrał, a które wystarczą najzupełniej, by należycie ocenić wartość panegiryku, ogłoszonego w „Dzienniku Poznańskim.“ Gdy rozgrywała się walka o berło teatralne między panem Janowskim a p. Rygierem, były minister sceny poznańskiej popierał energicznie kandydaturę pierwszego, a zapytany o motywy faworów swoich odpowiadał z żelazną konsekwencyą: „W teatrze naszym nie ma warsztatu a Janowski warsztat cały przywozi ze sobą.“ Dziś ten sam minister stara się udowodnić w kilkułamowym artykule, że „warsztat“ sceny naszej jest niemal wszechstronnie doskonałym. A gdy p. Rygier w towarzystwie p. Koryzny zwiedzał garderobę, dekoracye i rekwizytornię, wtedy z uśmiechem tryumfu oświadczył mi wielki Cicerone, że „odechciało się kandydatowi wszystkiego, skoro zobaczył, jak u nas w teatrze wygląda.“ W kilka dni później ten sam Cicerone stara się ludziom wytłomaczyć, że tam za kulisami wszystko jest piękne, dobre, znakomite.

Żal mi istotnie, że zniewolony jestem posługiwać się w polemice wyjątkami z dyskusyi prywatnych, ale w naszych znieprawionych stosunkach społecznych pewna bezwzględność etyczna i weryzm surowy jest niezbędny dla wypalenia ropiejących bólów. Zapytacie niezawodnie, co mogło skłonić p. Koryznę do odegrania w „Dzienniku Poznańskim“ tak nieszczęśliwej komedyi: Z jednej strony uzasadniona obawa, że krytyka moja o ruinie sceny poznańskiej, może przylgnąć i do jego własnej osoby, jako ukrytego lecz wpływowego wielkorządcy w ubiegłem dziesięcioleciu teatralnem, z drugiej strony owa typowa poznańska lękliwość przed każdem śmielszem pociągnięciem kurtyny, za którą kryje się grzech, próchno lub zgliszcza. Tak w cztery oczy ludzie nieraz mają gorzkie uśmiechy na ustach i nieraz rękę zanurzą w rany drgające i cisną łzy i przekleństwa, lecz na arenie publicznej wszyscy udają ślepych i trupa kryją różami. Zasiądzie grono mężów poważnych nad martwem ciałem, ubranem w liście i kwiaty, — każdy z nich czuje zapach zgnilizny, lecz wszyscy mówią o wiośnie. A jeźli czasem ktoś niewtajemniczony w misterya „ładu i porządku,“ lub jaki wróg maskarady nie nazwie stypy weselem, jesieni wiosną, szkieletu życia rozkwitem, wnet pomruk pocznie się głuchy w senatorów gronie i syk przeciągły, niemiły. Spojrzysz zdumiony. ...Toż oni sami przed chwilą jeszcze.... Fałsz! krzyczą chórem, a ty idź spać mój werysto!

Sulla.

KRONIKA POWSZECHNA.

Teatr i muzyka. Nowy dyrektor sceny poznańskiej, p. Rygier, wyjechał do Warszawy celem skompletowania trupy dramatycznej. — W teatrze miejskim w Krakowie rozpoczęła szereg gościnnych występów pani Adolfina Zimajer. — W warszawskim teatrze letnim wznowiono „Mazepę“ z p. Leszczyńskim w roli wojewody. Znakomity krytyk Wł. Bogusławski wyraża się z bezwzględnym zachwytem o potężnej grze wielkiego tragika, który w ostatnich czasach zdradzał często niedbałość i zniechęcenie z powodu przykrych stosunków, panujących w teatrach warszawskich. Nareszcie „lew się przebudził“. Obok p. Leszczyńskiego występował gościnnie z niemałem powodzeniem artysta krakowski p. Śliwiński w roli Zbigniewa. — Oskar Wilde, znakomity dramaturg angielski, odsiadujący, jak wiadomo, więzienie za obrazę moralności, wkrótce zostanie ułaskawiony. Powodem ulgi będzie nadwątlony stan jego zdrowia.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

— **F. w Gnieźnie.** Poświęcamy dzisiaj tej sprawie artykuł wstępny. Dwie inne kwestye, o których Szan. Pan wspomina, poruszymy wtedy dopiero w łamach pisma naszego, gdy obiecany materyał dowodowy znajdzie się na biurku naszem.

— **Jadwiga M.** Zofia Kowalewska umarła w r. 1891. Bliższych szczegółów o życiu tego przedwcześnie i nieco tajemniczo zgasłego talentu, dowie się Pani z autobiografii, przełożonej na język niemiecki przez M. Karellę i z świetnej sylwetki, skreślonej piórem Laury Marholm.

— **Logos.** Zamieścimy, jeżeli Pan zgodzi się na skreślenie pierwszego rozdziału. Prosimy o uchylenie anonimu i dokładny adres.

BIBLIOGRAFJA.

Książki nadesłane Redakcyi.

Marya Wysłouchowa. Seweryn Goszczyński. Lwów 1896.

Wojciech Gorazda. Silesiana. Z pamiętnika dziennikarza. Kraków 1896. Skład główny w Księgarni Gebethnera i Sp.

Toruński elementarz polski z obrazkami zastosowany do potrzeb dzieci uczących się w szkołach niemieckich.

S. Dickstein. Hoene Wroński, jego życie i prace. Kraków 1896.

Publicysta z Warszawy. Obrachunki polityczne. I. Rosya w obec Polski. II. Polska w obec Rosyi. Kraków 1896.

Ksiądz dr. Antoni Kantecki. Przyczynek do dziejów W. Ks. Pozn. Poznań 1896. Nakładem i czcionkami drukarni „Kuryera Pozn.“

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28

Nr. 33. Poznań, niedziela 16-go sierpnia 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: ul. Wilhelmowska 28.
(Drukarnia J. Fr. Tomaszewskiego.)

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Wilhelmowska 28. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

TREŚĆ.

Na zlot wszechsokolski *w Poznaniu.*

W chwili, gdy numer ten w świat wysyłamy, napływają ze wszystkich stron kraju do grodu naszego drużyny sokolskie, by dać świadectwo bujnego rozwoju tych zdrowych idei, które na obszarach pruskiego i austryackiego zaboru powołały do życia setki towarzystw gimnastycznych.

Obywatelstwo poznańskie z dumą i radością spogląda na gości swoich, lecz w tej ogólnej harmonii wesela rozlega się przykry denerwujący zgrzyt śruby politycznej, która od pewnego czasu z coraz większą natarczywością i siłą wpija się w ciało stowarzyszeń polskich. Dzieje zlotu wszechsokolskiego w Poznaniu stanowią charakterystyczny przyczynek do historyi gwałtownego bankructwa tych różowych marzeń, któremi stronnictwo ugodowe przez lata całe karmiło społeczeństwo polskie, a w dziejach konstytucyi pruskiej będą ciekawym dokumentem smutnej reakcyi Bismarckowskiej, zamieniającej spuściznę humanitarnych haseł ery liberalnej w szumną etykietę na fałszywem winie, w błyszczący uniform od parady, maskujący nędzę codziennego życia.

Ileż to razy w dziennikach niemieckich złościowym głosem śmieje się satyra, której imię: „Barbarzyństwo Rosyi“. Ileż to śliny wyrzucono na żelazną stopę rosyjskiego kolosu, depcącą ludy podwładne, odtrącającą konstytucyjne zdobycze stulecia i broniącą wstępu do państwa swego „prawom człowieka“. A dzisiaj, któż przed Europą rumienić się powinien: Czy ci, którzy na łódzkim bruku przyjmują gościnnie obcych śpiewaków niemieckich, czy ci, którzy Sokołom galicyjskim bronią wstępu do grodu naszego, nad czysto fachowemi obradami delegatów sokolskich rozciągają kontrolę policyjną i wykonanie marszu gimnastycznego uważają za piorun grożący bezpieczeństwu miasta? Wsłuchując się w te dziwne wyroki spadające na społeczeństwo polskie z wyżyn rządowych, trudno zaiste zdobyć się na szacunek dla narodu, który przez sejmowych przedstawicieli swoich bije oklaski tej wstrętnej parodyi równouprawnienia i raduje się, że po latach 50 wzniosły dramat konstytucyi zamienia się w niesmaczną operetkę, w której wolność obywatelska w stroju pajaca tańczy kankana na scenie.

Stało się. Z palącem piętnem krzywdy doznanej gromadzą się Sokoły do wielkiego popisu karności, siły, zdrowia i zręczności. Dzięki prokrustowej robocie policyi pruskiej egzamin ten będzie tylko połowiczny, — nietylko zewnętrznie mniej świetny i efektowny, lecz w treści zasadniczej skurczony. Może to boleć i usta zacinać i serce dręczyć goryczą, lecz idei sokolskiej, ogarniającej coraz większe masy i przenikającej w „gąszcz narodowy“, jak mawiał Mirosławski, stłumić nie jest w stanie. Sokolstwo pójdzie dalej po wytkniętej drodze i zapatrzone w swój sztandar Spartański stanie na straży tam, gdzie dekadentyzm zachodu zapuszcza zagony swoje, pustosząc naród zniewieściałością ciała i ducha.

Przekonani jesteśmy, że obywatelstwo poznańskie otworzy drużynom sokolskim nietylko domy lecz serca pełne miłości i szacunku, - jest jednak inna nagroda, której Sokół pragnie gorąco, goręcej niż wieńców i kwiatów, goręcej niż entuzyastycznych okrzyków. Niechaj inteligencya poznańska, ta w arystokratyzm wyższej kultury jak w pancerz niedostępny uzbrojona klasa, zstąpi nareszcie z wyżyn swoich w demokratyczne niziny sokolskie i niechaj z łaskawych mentorów, którzy raz po raz raczą się zbliżać do ludu, zmieni się w druhów prawdziwych, staje w jednym szeregu z najmłodszymi braćmi, jeden wdzieje mundur, jednej słucha komendy i jednemu służy celowi. Jeżeli do dnia dzisiejszego rozwój sokolstwa nie jest prawidłowy, jeżeli kult ćwiczeń fizycznych gdzieniegdzie żółwim postępuje krokiem, jeżeli życie naszych towarzystw gimnastycznych zacina się gdzieniegdzie i haczy, to winę tych niedomagań należy w znacznej części przypisać temu, że inteligencya miejska bądź to zupełnie stroni od ruchu sokolskiego, bądź oddawszy raz jeden kartę wizytową, nie poczuwa się do obowiązku zawiązania bliższych stosunków z sokolską rodziną. Dziś właśnie w zawiązkach rozwoju współudział warstw inteligentniejszych i finansowo dobrze uposażonych mógłby towarzystwom gimnastycznym niepospolite oddać przysługi i dla tego, zamiast głośnych, w dzwonki stylowe strojnych powitań, wyrażamy w przededniu zlotu gorące życzenie, by na górnych szczeblach społeczeństwa zaroiły się wreszcie szare mundury i wraz z tem ptactwem sokolem, które z nizin wylatuje, utworzyły wielką rodzinę. Jeżeli zlot poznański w tym kierunku choćby najskromniejsze rezultaty przyniesie, to związek sokolski zapisze w księgach swoich dzień 15 i 16 sierpnia jako jeden z jaśniejszych momentów.

POLITYKA.

Wynurzenia Pobiedonoscewa.

„Jakie jest właściwe jego miano? — zapytuje autor zjadliwego epigramu rosyjskiego i odpowiada: Dla cara jest on Donoscew, dla rosyi Biedonoscew dla siebie samego Pobiedonoscew.“ Bądź co bądź — figura to niezwykła, wpływowa jak nikt inny w Rosyi z czasów Aleksandra III., a nawet i obecnie. Człowiek świecki, profesor prawa cywilnego, kierujący losami cerkwi prawosławnej i odgrywający u schyłku XIX. w. rolę na pół Grzegorza VII. a na pół Torquemady — czyż nie zajmujące zjawisko! Niewątpliwie brak temu zjawisku wielkiego tła dziejowego i głębokiego tragizmu owych starych postaci; jest ono raczej ich karykaturą, niż kopją. Ze jednak karykatura ta stoi na olbrzymim piedestale Rosyi i wyciska łzy i krew milionów, gnębi postęp i oświatę pod pozorem utrzymania ładu społecznego, gwałci sumienia ludzkie pod pozorem salwowania prawowierności, warto przysłuchać się jej własnym wynurzeniom. Niewątpliwie gwiazda Pobiedonoscewa ma się ku schyłkowi; czuje on to i w wynurzeniach jego, które opublikował korespondent „Neue Freie Presse“ z rozmowy swej z potężnym

„oberprokuratorem“ św. synodu, nie brak nut melancholijnych.

„Przyszłość Rosyi — mówił między innemi Pobiedonoscew — leży w pielęgnowaniu wiary i uczucia. W imię tych zasad walczyłem całe życie, to mi też narobiło dużo wrogów, którzy we mnie widzą jedyną przyczynę wszystkich zjawisk naszego życia publicznego. To fałsz. Nie jestem wszechmocnym, trzymam się w granicach mej kompetencyi urzędowej, których nigdy nie przekraczałem.

„Gdy kwestya żydowska zaostrzyła się była w Rosyi, otrzymywałem listy ze wszystkich stron świata, z Niemiec, Francyi, Anglii, Ameryki, nawet z Australii. Łżono mię, grożono mi, zaklinano, bym zaprzestał prześladować żydów. A ja panu mówię, że nie jestem winien postępowaniu z żydami w Rosyi. Mam przyjaciół między żydami, którzy mię znają dokładnie i wiedzą, że nigdy nie prześladuję nikogo za to, iż wyznaje inną religię. Jaki religijny i rzeczywiście wierzący człowiek mógłby to uczynić?

„Kwestya żydowska w Rosyi nie łatwą jest do osądzenia, jest to jedna z najzawilszych kwestyi na świecie. Otrzymaliśmy ją od Polski jako zgubny spadek, jak kawałek inwentarza. Polacy wskutek swej arystokratycznej gospodarki nie potrafili wytworzyć mieszczaństwa; jego miejsce zajęli żydzi, ale szlachta i żydzi wywierali wzajemnie na siebie bardzo zły wpływ, wskutek czego wytworzył się typ żydów, których nie można porównywać z żydami innych oświeceńszych krajów. Doprowadziło to po wsiach do smutnych objawów i nadużyć, a po miastach popchnęło młodzież żydowską do udziału w brzydkich knowaniach. Państwo musiało jakoś temu zaradzić, by zapewnić utrzymanie powagi ustaw. Chcieliśmy zrobić coś podobnego, jak wolna Ameryka z Chińczykami. Nic więcej, nawet mniej.

„Nie chodziło nam o walkę rasową. Porządnym, wykształconym żydom powodzi się u nas dobrze i będzie się zawsze dobrze powodzić. Gdy miało zapaść stanowcze postanowienie, pisał mi zmarły br. Hirsch: „Ofiaruję Rosyi 50 milionów na budowy kolejowe, jeżeli wstrzymacie swój plan gnębienia żydów.“ Odprawiłem go z tem do rządu i wyłuszczyłem mu swoje zapatrywania na sprawę. Nie musiałem mu się wydać tak strasznym, gdyż korespondował ze mną dalej. Pewnego dnia oświadczył mi, że chciałby oddać milion na cel dobroczynny. Poradziłem mu, by złożył tę sumę do rąk św. Synodu celem zakładania szkół za te pieniądze. Uczynił to. Widzi pan, Hirsch był żydem i pewnie się nie zgadzał na ogólny krzyk przeciwko mnie, w którym tak dużo jest niewiadomości, zaślepienia i świadomych oszczerstw.

„Mówią, że ja przeszkodziłem zaprowadzeniu konstytucyi w Rosyi po wstąpieniu na tron Aleksandra II. Ależ wówczas nie chodziło o to. W owej smutnej chwili mowa była tylko o zwołaniu zgromadzenia, nie wiadomo dokładnie w jakim celu. Proszę pomyśleć, wśród jakiego zamętu się to działo. Przy trupie zamordowanego ojca miałem radzić synowi. Nie zwykłem ukrywać swych przekonań i nie ukrywam ich nigdy. To mój obowiązek. Dyplomatyzowanie, faryzeuszowska obłuda mojem zdaniem może czasem być największą zbrodnią. Ta otwartość, ta szczerość wobec włamanego sumienia narobiła mi również dużo wrogów. Nie dbam o to. Co wówczas zamierzono zrobić, choćby to były i najumiarkowańsze, w konserwatywnym duchu zrobione zmiany, byłoby śmiercią dla Rosyi. To wypowiedziałem otwarcie i uważałem wszelkie koncesye za niebezpieczne. Najmniejsze koncesye w podobnych sytuacyach bywały powodem największych przewrotów. To co proponował Loris Melikow, miało złe strony, że raz dane nie mogłoby być cofnięte a nie zadowolniłoby nikogo. To było wówczas, to jest i dziś moje przekonanie, którem wypowiadał, ale decyzya nie należała do mnie za to zrobiono ze mnie potwora. Ale ja kocham swój kraj i swój lud tak dobrze, jak ktokolwiek inny i nie ścierpię, by je prowadzano na złą drogę — także na drogę panslawizmu.

„Panslawizm! Co za głupie słowo. Tylko wrogowie Rosyi mogli je wymyśleć. Czego chce panslawizm? Czy sądzicie, że u nas na seryo ktoś myśli o tem, że Rosya może pożreć wszystkie słowiańskie kraje i narodowości? Wiemy, czem jesteśmy i czujemy swą siłę, ale większymi nie chcemy być. Jesteśmy największem państwem, słowiańskiem. Tego nam dosyć. Jako słowianie sympatyzujemy z innymi słowianami i życzymy, by im się dobrze powodziło pod względem religijnym i językowym. Czy to tak trudno osiągnąć w innych państwach, zwłaszcza w Austryi? Pewnie nie, byle tylko nie wpływy Jezuitów. A teraz właśnie ich pora. Prawda, rząd ich nie popiera, ale jest chwiejny. W Galicyi i na Bukowinie Jezuici panują bezgranicznie. Pragnę szczerze, by to tak zawsze nie pozostało, pragnę też, by Węgrzy szczerze stanęli na stanowisku równo uprawnienia Słowian — byłoby to i dla nich z korzyścią. Nie wypieram się tych pragnień, ale wywodzić z nich dążności panslawistyczne — to fałsz i głupota“.

Przegląd prasy polskiej.

W sprawie ks. Bartscha.

W sposób niezwykle ostry, w tonie wyjątkowej goryczy omawia „Gazeta Ostrowska“ stanowisko prasy i ks. arcybiskupa Stablewskiego w sprawie ks. Bartscha. (Conf. Przegląd Poznański Nr. 32). Z uwag kwestyi tej poświęconych cytujemy ustęp następujący:

„Obrzydliwa woń całej tej sprawy nie tylko przykra jest dla społeczeństwa polskiego pod zaborem pruskim, ale nawet woń tę odczuje całe polskie społeczeństwo kędyś daleko po za granicami zaboru pruskiego na wszystkich obszarach dzielnic Polski...

„Dziennik Poznański“ widocznie pod wrażeniem oświadczenia ks. Bartscha rozpisał się obszerniej, ale dyplomatycznie, obu stronom przyznał racyą, bo i ks. Bartschowi i ks. Arcybiskupowi. Czuć jednak, że „Dziennik“ inaczejby to wypowiedział, gdyby nie względy uboczne, które „Dziennik“ od wypowiedzenia otwartego zdania wstrzymują.

Nie tylko ks. Bartsch w swojem oświadczeniu wspomina o „ciernistej drodze“ ks. Arcybiskupa, ale i „Dziennik“ także na tę drogę nie chciałby kamieni dorzucać.

Nihilistka.

POWIEŚĆ

ZOFII KOWALEWSKIEJ

(prof. wszechnicy w Sztockholmie.)

(Ciąg dalszy).

Ta sama obojętność, jakby osłupienie, owładnęła Wierę. Słuchała obojętnie, jak żandarm meldował kapitanowi, że kochanka Wasylcewa przyszła, aby się z nim pożegnać; słyszała, jak kapitan żartował sobie z niej i dopytywał się, czy jest ładna, ale to wszystko nie sprawiało na niej żadnego wrażenia, jak gdyby jej nie dotyczyło.

— Do dyabła, puść ją, niech się ucieszy raz ostatni.

Żandarm otwarł drzwi do wnętrza pokoju, a Wiera wbiegła szybko.

— Patrzcie-no jaki ogień — zaśmiał się żandarm — ale posłuchajno, jak się nazywasz serce? nie zapomnij też o nas, jak twój luby wyjedzie — wołał za nią.

Ale Wiera nie słyszała, bez tchu biegła przez dwa, trzy pokoje, oddzielające ją od drzwi, przez szczeliny których przebłyskiwało słabe światło.

Wasylcew siedział w pokoju, który był zarazem sypialnią i pracownią. Nie rozebrał się jeszcze, zajęty porządkowaniem papierów i książek. Obszerny pokój miał teraz ów smutny, nieporządny wygląd, jaki zawsze spostrzegać się daje przed wyjazdem. W kącie na wąskiem żelaznem łóżka leżała bielizna; teki i zeszyty, skrawki papieru, podarte listy, stare rachunki leżały na podłodze. Dwie wielkie paki napchane były książkami, puste półki wzdłuż ścian, wyglądały jak nagie szkielety. W pośrodku pokoju leżała otwarta walizka, w której było widać bieliznę, suknie i parę butów.

Gdy Wiera otwarła drzwi, owładnęło nią pierwszy raz od chwili gdy wyszła z domu tak silne wzruszenie, że zdawało jej się przez chwilę, że serce jej bić przestało. Stała na progu, nie mogąc zrobić kroku ani wymówić słowa.

Wasylcew siedział odwrócony plecami do drzwi, pochylony nad biurkiem, tak zatopiony w swej pracy, że nawet skrzypnięcia nie słyszał. Gdy się za chwilę przypadkiem odwrócił i nagle ujrzał wysmukłą postać Wiery, twarz jego nie wyrażała zdziwienia, tylko nadzwyczajną radość, jak gdyby jej oczekiwał, jakgdyby był pewny jej przybycia. Przypadł do niej i przez parę sekund stali naprzeciw siebie, ściskając się za ręce, nie mówiąc ani słowa, jakgdyby gardła ich kurczem ściągnięte były. Ze stłumionem łkaniem podeszła Wiera bliżej do niego. Za drzwiami usłyszano kroki, czuć się dała nagle w pokoju obecność trzeciej osoby. Dreszcz nerwowy, jakby obrzydzenie fizyczne wstrząsnęło Wasylcewem.

— Wiero, moja droga, uspokój się na miłość boską! nie jesteśmy sami, podsłuchują nas, nie pozwólmy, aby te łajdaki bawili się naszą męką — szepnął Wasylcew.

Całe jego panowanie nad sobą powróciło znowu, wziął ją za rękę i usiadł z nią na sofie, usunąwszy stos książek. Twarz jego była blada, kąciki ust drgały mu od czasu do czasu, żyły nabrzmiewały jak postronki na skroniach, ale mówił głosem spokojnym, łagodnym o rzeczach obojętnych.

— Tu w tej pace leżą te książki, które pani zostawiam, zacząłem z panią czytać Spencera, znajdzie tam pani uwagi ołówkiem poczynione, zrobiłem je dla pani.

Siedziała nieporuszona, jak zdrętwiała, ręce zaciskała tak mocno, że paznokcie jednej ręki wpiły się w drugą. Słowa jego uderzały jej ucho, jak niewyraźne dźwięki bez treści. Gdy się zwrócił do niej z pytaniem, odpowiadała mechanicznem skinieniem głowy, mówić nie mogła, gdyż czuła, że za pierwszem słowem wybuchnie łkaniem. Uderzanie wahadła ściennego zegaru rozbrzmiewało wyraźnie. Wielki chrząszcz wleciał z głośnym przerywanym brzęczeniem, umilkł na chwilę, potem jak wściekły zaczął uderzać w okna i sufit.

Słowem są tu wykręty dyplomatyczne, czcze frazesy, bezcelowe utyskiwania, słowa prawdy połowicznie wypowiedziane, ale nikt tej sprawy nie traktuje ze stanowiska społeczno-narodowego.

Gdyby sobie ks. Bartsch dostał był pisemne napomnienie za czyn „szorstkiego obejścia się z Gronostajem" (odtąd zapewne księża będą z należytem ugrzecznieniem dla podobnych gburów) i napomnienie to w kieszeń schował, byłaby ta sprawa czysto karności kanonicznej pomiędzy księdzem a jego władzą duchowną. Gdy jednak ks. Bartsch zmuszony został do opublikowania swego oświadczenia w gazetach, i to w formie tak upokarzającej, prawdopodobnie z góry mu nakazanej, sprawa ta przestała być sprawą duchowną, a stała się sprawą zasadniczą, sprawą ogólną, społeczno narodową. Upokorzeniem kapłana katolickiego Polaka w tak poniżający sposób, upokorzono i znieważono całe społeczeństwo polskie.

Powszechnie wiadomo, że ks. Arcybiskup Stablewski z całym klerem w swojej archidyecezyi postępuje nadzwyczaj despotycznie, i to nietylko w stosunkach duchownych, ale i społecznych. Ks. Arcybiskup narzuca księżom swoje przekonanie polityczne, i tym księżom, którzy są zwolennikami jego przekonań, dobrze się dzieje, innym zaś niekoniecznie, bo jest dla nich nieugięty. Na tej przeto podstawie twierdzimy, że ks. Arcybiskup nakazał ks. Bartschowi umieścić znane oświadczenie w tak upokarzającej formie.

Ks. Arcybiskup uprawia politykę t. zw. dworską czyli ugodową, której skutki widzimy w tych t. k błogich łaskach dla kraju, dla narodowości polskiej i Polaków.

Każdemu wolno mieć swoje przekonania polityczne i uprawiać na swój sposób politykę, ale ks. Arcybiskup uprawia ją na szkodę kraju i społeczeństwa polskiego, bo ks. Arcybiskup Stablewski nadużywa swego historycznego stanowiska, i jako Prymas Polski, jako Interex, chce swoją politykę ugodową narzucać nietylko Polakom pod zaborem pruskim, ale nawet całemu społeczeństwu polskiemu.

Niemcy śmieją się i szydzą złośliwie z tych zachcianek ks. Arcybiskupa Stablewskiego, drażni ich to przybieranie władzy „Interexa". Społeczeństwo polskie nie myśli wcale poddawać się pod przewodnictwo ks. Arcybiskupa Stablewskiego wraz z jego polityką dworską czyli ugodową, a Polakom nie przynosi to żadnej korzyści, ale owszem ich na straty naraża.

Upokorzenie ks. Bartscha jako kapłana Polaka jest zarazem upokorzeniem arcybiskupstwa gnieźnieńsko-poznańskiego.

Do czegóż teraz dojdzie w tej przesławnej archidyecezyi poznańsko-gnieźnieńskiej, gdy Arcypasterz pozbawia kapłanów możności odporu wpływów germanizacyjnych. Czyż Arcypasterz chce oddać swoje owieczki polskie na łup germanizacyjnych wilków?

Tego nawet za rządów Arcypasterza nierodaka nie było.

Oto owe złote góry, które z rządów Arcybiskupa-Rodaka obiecywano?"

Tej samej sprawie poświęca „O r ę d o w n i k" następujące uwagi, nawiązując do mdłych, lękliwych, krętackich komentarzy „Dziennika Pozn.":

„Dla czego „Dziennik Pozn." wysunął tak manifestująco „ciernistą drogę" ks. Arcybiskupa, trudno zrozumieć. Że ten zwrot znajduje się w deklaracyi ks. Bartscha, to jest dość zrozumiałe: ów zwrot miał zasłonić owo monitum, które mu się dostało. Ale „Dziennik Pozn." nie jest monitowanym proboszczem i od kiedy to u niego datuje się era „ciernistej drogi" ks. Arcybiskupa? Czytelnicy „Dzien. Pozn." nie znają żadnej „ciernistej drogi" ks. Arcybiskupa, chyba tylko drogę, która miała być wysłana różami, co najmniej — kwiatkami. Toć to nie kto inny, tylko „Dziennik" razem z „Kuryerem wmawiali w wszystkich gwałtem, czy kto chciał wierzyć czy nie, że „Arcybiskup-Rodak" przyniesie narodowi polskiemu Bóg wie co. Złote góry obiecywano wszystkim, a kto nie chciał wierzyć, to go lżyli i wyzywali. Czy „Dziennik" sądzi na seryo, że wszyscy zapomnieli, jak w Poznaniu i na prowincyi — na rachunek „Arcybiskupa-Rodaka" dokazywano, z jaką gęstą miną chadzano po arenie politycznej; jak do ministrów słano memoryały, deputacye j zapowiadano naprzód, co to za szczęśliwe czasy nastaną, jak „Arcybiskup-Rodak" zasiadł na tronie prymasów polskich!

Zkąd przychodzi „Dziennik" do cierni? Przecie te liczne tytuły, odznaki i wstęgi papieskie, jakiemi z łaski „Arcybiskupa-Rodaka" zostali zaszczyceni właśnie matadorzy, stojący za „Dziennikiem" o wszystkiem świadczą, tylko nie o „ciernistej drodze", której nie było a nawet nie ma, bo jeżeli jest w tem coś, czem „Dziennik Pozn." — nie przeczymy — nie bardzo zbudowany, to jest coś innego, ale nie „ciernista droga".

Dotąd formalnie wszystko szalało przy muzyce polityki partyi dworskiej; naraz zaczynają sarkać, że ciernie czują pod stopami.

Lamentacyami na „ciernistą drogę" ks. Arcybiskupa ani „Dziennik" ani inne organa partyi dworskiej nikogo w pole nie wywiodą."

* * *

Germanizacya w seminaryach.

„G a z e t a T o r u ń s k a charakteryzuje w Nr. 183 hakatystowskie tendencye gdańskiego „Volksblattu" i takie w końcu załącza uwagi:

„Ubolewamy wszakże szczerze, że takie właśnie pismo zalecono do czytania przyszłym naszym duszpasterzom w seminaryum duchownem w Pelplinie. Czy kierownicy tego zakładu życzą sobie, aby duchowieństwo przejmowało się tą samą nienawiścią do Polaków, jaka przebija z łamów zarażonego widocznie hakatyzmem pisma? Nie mielibyśmy nic przeciw czytaniu przez kleryków nie tylko Niemców) „Volksblattu", bo ten, kto ma niebawem zacząć pracę nie tylko religijną, lecz także społeczną, kto — jak np. ks. Melz — w kilka lat po wyjściu z seminaryum duchownego stanąć może na czele wielkiej parafii, powinien poznać gruntownie stosunki, wśród których pracować mu wypadnie. Do tego wybornym środkiem jest czytanie gazet, zwłaszcza wydawanych w danej prowincyi. Aby sobie wszakże wyrobić sąd bezstronny, trzeba czytać równocześnie pisma wszelkich kierunków. Tymczasem w seminaryum duchownem w Pelplinie, obok wychodzącego tam codziennie i bardzo wojowniczego „Volksblattu" wolno z pism zachodnio-pruskich czytywać tylko „Pielgrzyma", który wychodzi tylko trzy razy tygodniowo i odznacza się nadmiernem za-

---

Wiera doznawała uczucia, jakgdyby czas wyciekał z pękniętego naczynia kropla za kroplą; coraz mniej tego kosztownego płynu. Rozłąka zbliża się na długie, długie lata, może nazawsze. Ani jednego słowa, ani jednej pieszczoty. Jak obcy siedzą naprzeciw siebie, a w przyległym pokoju słychać lekki szmer.

Płomień świecy nagle pożółkł, okno ze spuszczoną firanką, przed chwilą jeszcze ciemne, teraz nabrało niebieskawo-liljowych blasków: na dworze zapiał kogut, wróble świerkały, krowy ryczały — zwykłe przedsłanniki ranka wiosennego na wsi.

Zimna, tępa rozpacz owładnęła Wierę. Teraz zrozumiała pierwszy raz całą beznadziejność rzeczywistości. Dotąd leżało zawsze między nią, a końcem, oczekiwane szczęście ujrzenia go. Niejasna nadzieja czegoś nieokreślonego była w niej tak silną, że zaciemniała myśl o rozłące. Teraz jednak nic nie pozostawało, wszystko się skończyło.

Wasylcew wstał, podniósł roletę i otworzył okno. Jasny snop cudownego, wiosennego poranku wpadł do pokoju; światło, hałas, woń kwiatów, dźwięk pieśni — wszystko to wpływało do pokoju wesoło, tryumfująco, okrutnie.

Szybkim mimowolnym ruchem zatrzasnął Wasylcew okno i spuścił roletę. Rzucił się na sofkę i zaszlochał głośno, jego wielka, silna postać drżała od łkań.

Wiera przypadła ku niemu, rzuciła się do nóg jego i tuląc się do niego, okrywała go pocałunkami.

— Mój drogi, nie jedź sam! moje życie! zabierz mnie z sobą.

Wasylcew dusił ją prawie w swych ramionach. Teraz nie myślał jej uspakajać; odpowiadał na jej gorące pieszczoty; usta ich spotkały się pierwszy raz w długim namiętnym pocałunku. Nagle oprzytomniał Wasylcew. Szybko, prawie szorstko odepchnął Wierę od siebie, powstał i zaczął chodzić po pokoju.

Sama przed sofką klęczała Wiera, płacząc długo i rzewnie.

Gdy Wasylcew znowu do niej się zbliżył, była jego twarz tak zmienioną, jak po długiej, ciężkiej chorobie.

— Wiero, gołąbko moja, przebacz mi wiele boleści wyrządziłem tobie, moja biedna, jakże cię mam zabrać ze sobą, czy mogę przykuć ciebie, istotę świeżą i młodą do mego starego, już prawie ukończonego życia! Tak, gdybym nawet chciał, czy pozwolą na to, czy rodzice nie odbiorą cię przemocą?

Głos jego brzmiał ponuro, głucho. Wiera nie płakała, wiedziała, że już koniec.

Już się rozjaśniło zupełnie, usłyszano głośne pukanie do drzwi, żandarm wszedł, zawiadomiając, że za godzinę wyruszą w drogę.

— Wiero, czy nie lepiej dla ciebie, abyś teraz odeszła — powiedział Wasylcew cichym, głuchym głosem.

Wiera potrząsła głową przecząco, chciała pozostać przy nim aż do końca. Dziwne odrętwienie, obojętność na wszystko, co ją otaczało, ogarnęło ją znowu. Wasylcew mówił i krzątał się także, jak we śnie. Wszyscy jego domownicy: stara kucharka, wójt, znajomi chłopi przychodzili jeden za drugim, aby się z nim pożegnać. Wchodząc do pokoju, żegnali się najpierw przed obrazami świętych, potem przystępowali do Wasylcewa i otarłszy wąsy, całowali go trzykrotnie poważnie, uroczyście, jakgdyby spełniali jakąś religijną ceremonię. Kilka kobiet z dziećmi na rękach stało przed bramą, zawodziły jak po zmarłym. Wiera patrzyła suchemi oczyma, jak ci ludzie przychodzili, wzdychali, płakali; wydawało jej się, że są maryonetki, dające dziwaczne przedstawienie.

Kapitan jadł śniadanie w sąsiednim pokoju, popijając często z flaszki.

— I panu, Stefanie Michałowicz nie zaszkodziłoby posilić się przed podróżą — mówił zachęcająco. Przez uchylone drzwi rzucał ukradkiem ciekawe spojrzenia na Wierę, nie wprost, domyślał się widocznie, że nie jest zwykłą służącą.

Tarantas zaprzężony trójką, zajechał przed bramę. Kapitan usiadł obok Wasylcewa, jeden z żandarmów usiadł obok woźnicy na koźle, drugi został jeszcze przed domem.

— Z Bogiem!

miłowaniem spokoju, co łatwo wyrozumieć, jeżeli się zważy, że każde śmielsze wystąpienie „Pielgrzyma“ może połączoną z wydawnictwem księgarnię i drukarnię na dotkliwe narazić straty. Wszystkie inne pisma polskie są zabronione.

Naszem zdaniem nakazywałaby sprawiedliwość albo w miejsce „Volksblattu“ polecić klerykom pismo katolicko-niemieckie nie wojujące z duchowieństwem polskiem, albo pozwolić, żeby klerycy prócz „Pielgrzyma“ i „Volksblattu“ czytywali inne gazety katolickie, tak polskie jak niemieckie. Zważywszy, że klerycy podczas wakacyi, a przedtem jako gimnazyaści i wreszcie jako księża czytają, co im się podoba, trudno uznać takie czasowe narzucanie pewnych gazet za pożyteczne.

Na zakończenie jeszcze jedna uwaga. Pisma polskie, które śmielej występują przeciw germanizacyi w kościele, są bojkotowane przez gorliwców katolickich duchownych i świeckich, rzekomo w interesie powagi duchowieństwa. Równocześnie cieszy się „Volksblatt“, który tak brutalnie zaczepia duchowieństwo polskie, szczególną tych kół opieką i polecany jest jako pismo arcykatolickie. Czy niektórzy księża są wyjęci z pod prawa dla tego, że za misę soczewicy nie wypierają się łączności z ludem, nad którym ich Bóg postawił? Tak to wygląda.“

Walka z anarchią.

„Kraj petersburski wzywa w najświeższym numerze do systematycznej, energicznej walki z ruchem demokratycznym na gruncie galicyjskim. Potępiając ruch, uznają olbrzymią pracę jego kierowników, a niedołęztwo partyi konserwatywnej, i tak kończy uwagi swoje:

„Agitacyę radykalną potępialiśmy szczerze i otwarcie od początku i właśnie dla tego mamy prawo równie szczerze powiedzieć, że ludzie rozumni będą musieli rzucić na szalę niezmiernie wiele pracy, niezmiernie wiele ofiarności, niezmiernie wiele zaparcia się siebie, ażeby dorównać agitatorom strony przeciwnej. Cel ich był naganny — zgoda! ale praca olbrzymia.

Byłoby prawdziwem nieszczęściem dla Galicyi, gdyby ci, którzy mają złamać tę agitacyę, wyobrażali sobie, że zdołają dokazać tego bez wielkiej pracy, po redakcyach, na wiecach, po sklepikach i kółkach, a nawet po targach i odpustach. O chłodzie i głodzie pracowali tam agitatorowie radykalizmu. Smutnie się kończy akcya ratunkowa, jeżeli kierownicy jej nie widzą tego, lub widzieć nie chcą.

Przed wielu laty jeden z weteranów polityki galicyjskiej w rozmowie z piszącym te słowa takie rozwinął prawidła dla wszelkich przepowiedni i prognostyków politycznych: „Gdy chcesz wiedzieć co ludzie zrobią, nie licz na dobroć ludzką. Rachuba to zawodna. Bezpieczniej jest liczyć na głupotę ludzką. Lecz i to nie zawsze jest pewne. Najgłupszy człowiek, gdy się tego najmniej spodziewasz, wyjedzie ci nagle z czemś mądrem i od razu popsuje ci szyki. Ale, ile tylko razy będziesz miał do czynienia z naszymi, licz zawsze śmiało na lenistwo ludzkie. W każdej akcyi zbiorowej komuś się nie zechce, ktoś się spóźni lub zaśpi. Ta rachuba nie zawiedzie cię nigdy!“

Czyżby nie zawiodła i tym razem? Czyżby w walce z anarchią pokazało się znowu, że nie pokonano jej, bo jedni się spóźnili, a drudzy zaspali?...“

— ski.

LITERATURA I SZTUKA.

FATA MORGANA.

Z okiem w dal szarą wbitem, niepomni omdlenia,
Skróś grzeskich prą się piasków! — Czasem nagie [głazy
Skądś się wyłonią — znikną: to ich drogoskazy! —
I puszcza, głucha puszcza! — Ni źródła, ni cienia!....

O nie, o tam się cudnie z piasków wypromienia
Słodko wabiące widmo zielonej oazy,
Już bliżej, coraz bliżej śmieją się obrazy! —
Więc naprzód prą się, naprzód! — wpatrzeni.....
w złudzenia!...

Dzieci, stare wy dzieci! — Jeszcześ tedy śnicie?! —
Wiecież, jak długo wasza pogoń rozhukana
Trwać jeszcze będzie, wiecie? — Całe, całe życie!

Dzieci, biedne wy dzieci! Zielona ta ściana,
Mara, za którą wszyscy tak oślep pędzicie,
Czy wiecie, jak się zowie?? —
To Fata morgana!!

Wiedeń.

Zygmunt Bytkowski.

„Afrodyte.“

Taki tytuł nosi romans, czyli raczej „Moeurs antiques“, wydany w Paryżu, a w krótkim przeciągu czasu rozchwytany w 30 wydaniach po świecie. Autor jego, Piotr Louys, stał się nagle powszechnie znaną osobistością. Napisał on już wprawdzie przedtem kilka „starożytnych“ romansów, jak „Astarte“, „Chryzis“, „Leda“ i „Ariadne“, ale wszystkie one nie doczekały się nawet drugiego wydania i dopiero ostatni stał się dla autora owem dzieckiem szczęścia, które mu przyniosło sławę i pieniądze.

Piotr Louys, młody jeszcze człowiek, posiada niezwykłe zdolności literackie. Język jego brzmi jak najcudowniejsza muzyka, ma wszystkie tony i barwy. Młody autor należy — przynajmniej dziś jeszcze — do owej klasy ludzi, których zwykliśmy nazywać naturami artystycznemi. Swobodny i dowcipny, wesoły a chwilami smętny, posiada wielkie poczucie piękna i równocześnie sporą dozę najwyuzdańszego cynizmu. Ta ostatnia właściwość jest u niego szczególnie silnie rozwinięta, z tego też powodu niezbędnym jest na ostatniem jego dziele napis, jaki nieraz spotykamy nad drzwiami:

Konie pociągnęły, a tarantas jechał, kołysząc się na rozmiękłej drodze, zniknął wkrótce na skręcie za laskiem brzozowym. Dźwięk dzwonków słabł coraz bardziej, wreszcie ucichł zupełnie, słychać było tylko zwykłe głosy, rozlegające się po wsi i polach.

Wiera wracała do domu z głową spuszczoną, nie oglądając się. Kwiecie wiśni osypywało ją drobniuchnemi białemi listeczkami, wielkie wonne krople rosy spadały na nią z gałęzi; młody zając siedział na wzgórzu porosłem mchem i bębnił przedniemi łapkami, nawołując samicę, ale zobaczywszy ludzką istotę, stulił uszy i jednym susem był już w lesie. Niebo promieniało i jaśniało, jakgdyby słońce rozlało się w lazurowym eterze, zalewając strop niebios. W górze widniał drobny, ciemny punkcik i stamtąd dolatywał potężny śpiew o szczęściu i miłości, wypełniający atmosferę.

VIII.

Cicho i powoli ubiega czas. Dzień za dniem pełznie jednostajnie, ciężko, pełen szarej ołowianej melancholii.

W pierwszym czasie po odjeździe Wasylcewa był cały organizm Wiery tak wstrząśniętym wielkim ciosem, że nie czuła nawet wielkiego żalu; wszelka zdolność życia, wzruszania się zamarła w niej, doznawała wielkiego przygnębiającego wyczerpania. Całemi dniami siedziała, jak senna, niezdolna do żadnej myśli, zdawało się nawet czasem, że wśród rozmowy zasypiała. W tej apatyi na chwilę występowały wspomnienia ostatnich godzin, spędzonych z Wasylcewem.

W uszach jej brzmiał jego miękki czuły głos; na ustach czuła jeszcze gorący pocałunek. Całe ciało wstrząsało się dreszczem wzruszenia. I dziwna, po każdej takiej chwili następowało uspokojenie, z przeświadczeniem nie dającem się zachwiać — mówiła sobie:

— Nie, to nie może być koniec, my się zobaczymy jeszcze!

Czas ubiegał, a siły jej wracały. Powróciwszy do zwykłych swych zajęć, uczuła gwałtownie potrzebę widzenia Wasylcewa, coraz gwałtowniej, z coraz większą męką, potrzebę wyrosłą z trzechletniego, codziennego przyzwyczajenia. Każdy drobiazg, każdy przedmiot przypominał jej jego, on zostawił piętno swe na wszystkich przedmiotach z jej otoczenia; do czego się wzięła, zawsze napotkała na coś, co zbudziło w niej wspomnienie przeszłości, szczęśliwych chwil mnóstwa drobnych epizodów nic nie znaczących, na które dawniej nie zwracała uwagi, ale to wspomnienie powiększało jej głęboką rozpacz.

Najgorsze bywało przebudzenie się rano. Miewała teraz tak dziwne, tak wyraźne sny: widziała go tak dokładnie, tak żywo, czuła całą swą istotą bliskość jego i wszystko było tak naturalne, z takiem mnóstwem wiernych drobnych szczegółów, zupełnie jak w rzeczywistości, że nieraz zdawało się jej, iż ze sna wołała radośnie: nie, teraz to nie jest sen, teraz to jest rzeczywistość. I naraz, jakgdyby zasłona się rozdarła, wszystko zmienia się, znika i rozpływa, cały jej organizm wstrząsa się silnie, i znowu jest sama; znowu zdejmuje ją straszne uczucie samotności. Znowu leży i rozpływa się w beznadziejnych łzach, a z każdym dniem staje się gorzej, smutek jej coraz większy.

Wiera i dawniej trzymała się zdala od swych bliskich, teraz jednak towarzystwo sióstr, ich małostkowe interesy i czcza gadanina stają się nieznośnemi. Wszystko jest dla niej bezbarwne, bez treści. Gdy się z kim spotkała, myślała tylko o tem, jakby najszybciej od towarzystwa się uwolnić: musiała być samą, myśleć poważnie, wtedy zaczynała myśleć, snuć marzenia szybko, namiętnie. Często przeżywała w duchu scenę ucieczki, uciekała z domu, szukała Wasylcewa, choćby na dnie morza. Sny sprawiały jej na parę chwil ulgę, ale nagle wynurzała się w niej zimna, orzeźwiająca myśl.

— Nie mam ani kopiejki, a do Wiatki jest 3,000 wiorst, tak, a bez paszportu... w Rosyi nigdzie się nie można udać bez paszportu, odeszlą etapem z pierwszej stacyi.

Marzenia rozpływały się, zostawał po nich gorzki, wstrętny posmak, nie było najmniejszej nadziei, zostawała tylko wiara w cud.

„Obcym wstęp surowo wzbroniony“. Obcemi są tu naturalnie jak zwykle młode dziewczęta.

Czyż jednak kierując się względami skromności, dzieło to mamy pominąć milczeniem? Sądzimy, że nie przydałoby się to na nic. Cóż pomogło Ludwikowi XVIII, że używał wszelkich sposobów, aby zatrzeć pamięć swego poprzednika? — cały świat mówił mimo to o Napoleonie. Piotr Louys nie jest wprawdzie Napoleonem, choćby na polu literatury, mimo to jednak byłoby rzeczą nie wytrzymującą krytyki pomijać go milczeniem.

Treść romansu da się bez naruszenia moralności opowiedzieć. Bohaterką jest nadobna kurtyzana Chryzis, a bohaterem piękny rzeźbiarz Demetrio, ukochany przez królowę i ubóstwiany przez wszystkie kobiety Egiptu. Akcya rozgrywa się w Egipcie w Aleksandryi, na setki lat przed wynalezieniem dobrego tonu.

Znudzony zbyt już długo trwającą miłością królowej Demetrios, ucieka pewnej nocy nad brzeg morza i przechadza się pogrążony w zadumie. Kurtyzany, które tu zwykle urządzają swe schadzki (praw zakazujących tego jeszcze wówczas nie było) pochowały się w swoich mieszkaniach. Demetrio może więc jedną przynajmniej noc spędzić spokojnie, bez udręczeń miłosnych.

Nagle spostrzega w dali przed sobą samotnie siedzącą postać kobiecą, zbliża się więc ku niej i ze zdziwieniem poznaje w niej Chryzis, ową sławną Chryzis. Pomimo młodego jeszcze wieku potrafiła już zakosztować owocu zakazanego i nie obce są już jej wszelkie namiętności i uciechy. Demetrios przemawia do niej, lecz o dziwo! Chryzis, która nigdy jeszcze nie odmówiła miłości żadnemu mężczyźnie, odmawia Demetriosowi, który dotąd jeszcze od żadnej nie otrzymał odkosza.

Odmowa ta potęguje namiętność młodego, pięknego i ognistego rzeźbiarza. Po samotnem wybrzeżu rozbrzmiewają jego skargi miłosne, którym zdają się wtórować wzburzone fale morskie. Pięknej Chryzis nie wzrusza to jednak. W końcu oświadcza, że będzie należeć do niego, pod warunkiem jednak, że spełni trzy jej życzenia.

Jakież to życzenia? — pyta Demetrios, a piękna Chryzis wylicza trzy drobnostki. Pragnie mieć zwierciadło, które jest w posiadaniu kurtyzany Bacchis. Właścicielka przywiązuje bardzo wielką wagę do tego zwierciadła, w którem się sama Safo przeglądała, Demetrios więc musi ukraść poczciwej Bacchis ten drogocenny klejnot.

Następnie żąda Chryzis grzebienia z kości słoniowej, który tkwi we włosach małżonki arcykapłana. Grzebień ten pochodzi z bardzo dawnych czasów: nosiła go pierwsza królowa Egiptu, a obecna właścicielka nigdy się z nim nie rozłącza — Demetrios musi więc ją zabić, by przyjść w posiadanie grzebienia. W końcu chce Chryzis mieć naszyjnik, zawieszony na szyi posągu Afrodyty w świątyni, posągu, który wykuł Demetrios i któremu nadał kształt i rysy ukochanej królowej. Naszyjnik ten składa się z owych najprawdziwszych pereł, które stoczyły się po białych członkach bogini, gdy ta powstawała z piany morskiej.

— Jesteś szaloną! — woła Demetrios, a Chryzis uśmiecha się i opowiada mu przeróżne historye, które nie wszystkie nadają się, aby je tu można powtórzyć. Dość, że wzburzają one do głębi Demetriosa. Pragnie on ucałować usta kusicielki, ta mówi jednak: „Do jutra!“ „Będziesz miała wszystko“, szepce jej Demetrios i odchodzi.

Stosownie do obietnicy wykrada u kurtyzany Bacchis zwierciadło, zabija małżonkę arcykapłana, która go kocha (bo i któż go nie kocha!) zdziera z trupa grzebień, zakrada się do świątyni i zdejmuje z łona marmurowej Afrodyty prawdziwe perły bogini.. Gdy już tego wszystkiego dokonał, usypia i we śnie widzi Chryzis i przez sen doznaje wszystkiego, co ona mu obiecała. Między egipskiemi snami, które znamy z historyi żaden nie jest taki zajmujący.

Nazajutrz wieści o trzech zbrodniach rozchodzą się po Aleksandryi. Miasto przywdziewa żałobę. Ale Chryzis tryumfuje, bo wie teraz, że Demetrios ją kocha.

Spotyka ją jednak wielkie rozczarowanie. Gdy bowiem stosownie do umowy chce go wynagrodzić, on odwraca się ze słowami: „Nie... do widzenia.“ Chryzis stoi jak skamieniała, nie rozumiejąc, co to ma znaczyć, nawet wówczas, gdy Demetrios mówi: „Sen wystarczy mi,“

Teraz ona kocha, teraz ona chce z siebie zrobić ofiarę, której żąda Demetrios. Chce on, by wziąwszy zwierciadło do ręki ze zrabowanym grzebieniem we włosach i perłami na szyi weszła w tłum.

W więzieniu, na godzinę przed śmiercią, przyrzeka ją odwiedzić.

Chryzis przyjmuje żądanie to z razu ze śmiechem, później jednak bierze zwierciadło do ręki, wkłada grzebień we włosy i perły na szyję i wychodzi na miasto.

Na środku miasta wznosi się wieża, otoczona dokoła tarasem, na który prowadzą szerokie schody. Po tych schodach kroczy Chryzis i staje na drugim tarasie. Z dołu dochodzi szum, jakby morskich bałwanów — to pomruk wzburzonego ludu. Nagle rozlega się z tłumu okrzyk, pochwycony przez tysiące piersi: „Afrodyte! Afrodyte!“

„To Chryzis stała naga, jak bogini, trzymając w lewej ręce końce szkarłatnej zasłony, igrającej z wiatrem, a w prawej zwierciadło, w którem odbijały się promienie zachodzącego słońca.“

W więzieniu odwiedza ją Demetrios w owym dniu, w którym przyjąć ma truciznę. Ale w obojgu zamarł dawny zapał. Demetrios duma o znikomości uczuć miłosnych, o pracach rozpoczętych i o proszonych obiadach. Chryzis wypija wreszcie truciznę. Gdy członki już zesztywniały, nadaje jej Demetrios takie położenie, w jakiem ją widział we śnie i modeluje ją w glinie. W nocy wykradają ciało dwie ubogie, małe przyjaciółki sławnej kurtyzany, niosą je na swych słabych barkach na cmentarz i tam je grzebią w poświęconej ziemi.

Romans zawdzięcza olbrzymie swoje powodzenie nie tyle szczegółom, które tu zostały wypowiedziane, ile raczej tym, które opowiedziane nie zostały. Cała akcya rozgrywa się prawie wyłącznie w jednej tylko dzielnicy Aleksandryi, nazwanej przez autora „ogrodami bogini“, a mianowicie w dzielnicy kuryzan, położonej dokoła świątyni Afrodyty-Astarte.

Autor gniewa się podobno, gdy przyjaciele i krytycy twierdzą, że starzy jego egipcyanie nie są niczem innem, jak tylko nowożytnymi paryżanami. A jednak tak jest w rzeczywistości i to może właśnie głównem jest źródłem olbrzymiego powodzenia tego

---

Z początku owładnięta bólem oburzała się: „nie można tak cierpieć, to musi się skończyć,“ ale koniec nie nadchodził. Cierpienie stawało się rzeczą powszednią, codzienną. Tylko za każdym paroksyzmem zwiększała się gorycz na myśl, jakie było wczoraj i że jutro takiem samem będzie.

Nagle, gdy Wiera już zupełnie zwątpiła, gdy jej ponury smutek stał się jej zwykłym nastrojem — zabłysła nadzieja szczęścia; dostała list od Wasylcewa. Nie mógł do niej pisać przez pocztę, policya albo rodzice nie doręczyliby jej listu, ale posłał jej wiadomości przez znajomego kupca, który był z Wiatką w stosunkach handlowych.

List był krótki, prawie oziębły, widocznie Wasylcew się lękał, żeby nie wpadł w obce ręce. Ale nigdy najdłuższy list, najnamiętniejsze wyznania nie sprawiły większej radości, jak ten mały skrawek papieru. Wiera ze szczęścia traciła prawie zmysły, jak to zwykle się dzieje, jeżeli kto wiele wycierpiał cieszy się najdrobniejszą ulgą w cierpieniu tak bardzo, że mu się zdaje, iż wszystko przeszło, a ból nie istniał nigdy.

Najważniejszem było, że miała wiadomość od niego, najstraszniejszą była dla niej ta myśl, że gdzieś zginął, że zniknął tak, iż nie można mieć z nim żadnej łączności. Teraz po otrzymaniu listu, wydało jej się to rozłączenie przykrością przemijającą, nie było jednak tak przygnębiającem, beznadziejnem, jak przedtem.

Chociaż Wiera po paru minutach umiała na pamięć treść listu Wasylcewa, i nawet zewnętrzny jego wygląd pamiętała dokładnie, nie przeszedł dzień, żeby tego kosztownego skrawka papieru nie czytała po kilkakroć. W pierwszym tygodniu żyła radością z listu; później oczekiwała tylko przyszłych wiadomości.

Podobnie jak wszyscy ludzie wypełnieni wyłącznie jedną myślą mimowoli są skazani na bierną, wyczekującą rolę, stała się i Wiera bardzo zabobonną. W każdej drobnostce widziała teraz dobrą, albo złą przepowiednię, dobry albo zły znak. Objawiła się w niej dziecinna skłonność do odgadywania. Gdy rano przebudziła się, myślała sobie: jeżeli Anisia, wszedłszy do pokoju, najprzód mnie pozdrowi, będzie to znak, że wszystko pójdzie dobrze, że wkrótce przyjdzie list, jeżeli jednak nie mówiąc nic, podejdzie do okna i podniesie storę, będzie to zły znak. Wzruszona, z bijącem sercem oczekiwała na zjawienie się Anisi, a potem cały dzień bywała smutna, albo wesoła, stosownie do wyroczni.

Pomimo trudności, znalazł Wasylcew sposobność przesłania Wierze przez lato i jesień trzech listów. Gdy się upewnił, że listy dochodziły adresatki nie naruszone, zaczął pisać coraz swobodniej. Ostatni list był szczególniej czuły i dodający jej otuchy. Wasylcew skarżył się przytem na uporczywy kaszel, którego się pozbyć nie może, ale wogóle zdawał się być dobrze usposobionym i po raz pierwszy mówił o jakichś pewnych planach na przyszłość. Robią mi nadzieję — pisał — że zesłanie moje kiedyś się skończy, ale gdyby nawet się to nie spełniło, będziesz za półtrzecia roku pełnoletnią i możesz o twej przyszłości rozstrzygać sama — moje drogie dziecko. Gdybyś wiedziała, jak szalonem marzeniom oddaje się czasem twój stary mrukowaty, kochający cię przyjaciel!“ Wiera nie posiadała się z radości po otrzymaniu tego listu Teraz już nie rozpaczała, półtrzecia roku to nie wieczność, to minie, a po tem nic jej nie wstrzyma od podążenia do ukochanego.

Ale po tym wesołym liście nie nadchodził żaden, znajomy kupiec wyjechał nieszczęściem na czas dłuższy, przyrzekał wprawdzie, że w jego nieobecności jego zastępca będzie oddawał listy, ale tydzień za tygodniem mijał, a wiadomość nie nadchodziła. Wiera tak silnie wierzyła w szczęście, że z początku nawet niebardzo się trapiła brakiem listów — wymyślała rozmaite przyczyny dlaczego tak jest. Powoli niepokój jej wzrastał, wkrótce stał się jedynem uczuciem, wypełniającem ją całą. Wszystkie jej myśli kierowały się ku jednemu: otrzymać list. We dnie nasłuchiwała czy kupiec nie posłał kogo, nocą marzyła, że oddają jej kopertę z drogiem pismem. Męka tego oczekiwania była tak straszną, że wstrząsnęła całą jej istotą. Nieraz nawet pełna

dzieła. Nic straciłoby ono wcale na wartości, gdyby nawet udowodniono, że nie jest historycznie wiernem. Główną zaletą autora jest. że ludzie jego, pomimo całego fantastycznego otoczenia, czują, jak prawdziwi ludzie. A są epizody w dziele tem malowane z takiem mistrzowstwem, że można tylko schylić czoło przed autorem. Do tych należy scena ukrzyżowania. Piękna niewolnica Afrodisia, na którą padło podejrzenie o kradzież zwierciadła, skazaną zostaje na śmierć przez ukrzyżowanie. Dawny jej kochanek, młody epikurejczyk Tymon siedzi u stóp krzyża i pociesza umierającą. I scena ta, jak już powiedzieliśmy, oddana jest z takim nieporównanym artyzmem, że przeczytawszy ją, mimowoli odkładamy na bok książkę, a z piersi naszej wyrywa się westchnienie.

Powodzenie romansu jest zupełnie usprawiedliwione. Wprawdzie porównać „Afrodyty“ z „Salambo“ nie można, tak jak nie można porównywać Piotra Louys z Flaubertem, w każdym jednak razie należy bezsprzecznie autor jej do rzędu najzdolniejszych powieściopisarzy młodej Francyi.

Oby tylko talentu swego używał do tematów bardziej podniosłych i mniej zmysłowych. *Ad. D.*

Nowe tematy.

Nie trzeba zbyt wiele chłodnej krytycznej obserwacyi, aby dostrzedz zbliżający się przełom w piśmiennictwie odczuwa go się nerwami, jak nadchodzącą burzę. Symptomatów jest wiele. Tematy dotychczasowe tracą powoli powab i nie interesują. — poszukiwania nowych nie zawsze zadowolić mogą. Najdelikatniejszy rysunek sielanki domowej, słodkiej zacisznej spowiedzi miłosnej, z milutkiemi epizodzikami zdrady, zazdrości i nawiązania znów zerwanych nici — jest ładny, zapewne, ale — — zbyt podobny do poczciwego „Wiesława“: miłosne nieporozumienia i przeszkody zostają szczęśliwie przełamane, spokój wraca do serc zbolałych, a po dniu znojnej pracy kołysze wszystkich do snu słodka świadomość, że jutro taki sam dzień pogodny zawita, a gdyby miały być chmury, to i one wiecznemi być nie mogą.

Ładne to, wdzięczne, ale zbyt izolowane od wielkiego prądu życia, który chce dziś być tłem wszystkich czynów i myśli naszych, a nie toleruje takiego zacisznego zapatrzenia się w siebie. Na tem olbrzymiem tle najwyższem nieszczęściem nie jest — osobista klęska, a szczytem szczęścia nie jest słowo „kocham“ z koralowych usteczek, bo tysiące innych ważniejszych problematów o głowę przerosło tych małych bohaterów i ich widnokręgi. Takie obrazki, takie typy, ta sfera wzruszeń, co do dziś dnia zachwycała i wabiła, nie ma już dawnej świeżości. Sie bleibt doch ewig neu — ale tylko w praktyce.

Jak się to stało, że żądamy uwzględnienia szerszych horyzontów, że chcemy spotkać się w literaturze z uświadomieniem innych ideałów, że mamy poczucie piękna nietylko w sferze indywidualnej czułostkowości, lecz w sferze życia jednostek zbiorowych — — jak się to stało, że nie wystarcza nam dziś widzieć bohatera powieści w stosunkach do najbliżej obchodzących go osób, ale chcemy nawiązać drgnienia jego duszy do form wyżej stojących od niego, do całych prądów społecznych? — Życie samo tak dziś ludzi dostraja, że kwintessencyi jego nie mogą pomieścić w dylemacie: Kocha czy nie kocha? — I zarówno mało interesuje wszystkie perypetye miłości dwojga kochanków, których dusze zapomniały o całym świecie, a zmysły dostroiły się tylko do siebie nawzajem jak wszystkie fazy zwątpienia i samoanalizy modnego do niedawna bohatera z duszą, podobną do ciemnej głębokiej studni, gdzie oko oswoić się musi ze zmrokiem, zanim dojrzy gdzieś na dnie karykaturę szaleńca, rozdrapującego rany, które sam sobie zadał. I u niego kontemplacya własnego „ja“ pochłonęła wszystkie siły duszy, zwróciła je na wewnątrz, zamiast na zewnątrz i niepozwoliła działać tam, dokąd były przeznaczone — w społeczeństwie.

W systemie społecznym jednostka jest niejako przewodnikiem prądów, odbiera je sama i podaje dalej: a byt jej indywidualny nie istnieje o ile wyłączony zostanie z prądu. Stanowisko, jakie zajmuje jednostka wobec prądów społecznych, nadaje jej cechę charakteru, bo jest ona zaledwie maleńką cząstką tej olbrzymiej całości intellektualnej i moralnej, która też czuje i płacze, jak ona, tylko tysiąckroć potężniej, tysiąckroć silniej, która posiada szerszą i silniejszą skalę uczuć, wobec której niknie skala indywidualnych emocyi, a mierzenie wszystkiego własnem „ja“ równa się ciasnocie widnokręgu.

Jakby czarem odsłania się teraz oczom nowa, nieznana dotychczas sfera piękna, z niewyczerpanemi zasobami sił i świeżości, a wobec niej jakże szczupłym jest ten zakres indywidualnych wzruszeń. któreśmy przywykli dotychczas uważać za jedyne dziedzictwo literatury.

Mało zaznacza dotychczas literatura prób wyzyskania tej nowo odkrytej dziedziny piękna i wyzwolenia się z pod utartych szablonowych tematów, w których alfą i omegą jest pojedyńczy umysł i serce, dość wspomnieć jednak „Tkaczy“ Hauptmanna, aby mieć dowód, ile piękna nieznanego, a prawdziwego pełną dłonią zaczerpnąć można z rozległych tych obszarów, ze sfery społecznych zjawisk.

Jeśli można stawiać jakieś horoskopy co do przebiegu przyszłego przełomu w literaturze, to niewątpliwie wydaje się. że odbyć on się musi pod hasłem tematów społecznych, pod hasłem wyzwolenia się z ciasnych widnokręgów, pod hasłem ścisłego związania literatury z ewolucyą społeczną.

Pierwszym wynikiem tego kierunku jest odsunięcie jednostki na dalszy plan, bo szczupły zakres jej uczuć nie wystarcza. Tematem najbardziej wyzyskiwanym z tej szczupłej sfery była miłość. Jakże nikłą i małą staje się ona wobec potężnych odruchów organizmów zbiorowych, w których krystalizuje się wola z siłą nieokiełznanego żywiołu, torując sobie drogę naprzód bez żadnych rachunków ze sobą, bez żadnych układów ze swem sumieniem i bez analizowania swej istoty! Jakże nikłą i śmieszną jest ta miłość wraz z całym orszakiem wzruszeń przedwstępnych. zwątpienia, zazdrości, roz-

---

gniewu i goryczy myślała: „gdybym go była nie spotkała, żyłabym szczęśliwie, jak moje siostry.“ Raz w chwili takiego gniewu, chwyciła jego list ostatni i podarła go na drobne kawałki, ale gdy białe drobne kawałki papieru padły na posadzkę, obudził się w niej żal i rodzaj wstrętu do samej siebie, jakgdyby ręką świętokradzką targnęła się na coś, co jej było najdroższe. Całą godzinę spędziła na zbieraniu tych kosztownych strzępków i na zlepianiu ich na nowym arkuszu papieru. Na dworze jest znowu wiosna, a zawsze niema wiadomości. W pogodny dzień wychodziła Wiera na wzgórze, skąd mogła widzieć dwór sąsiada; siedziała całemi godzinami na starej ławce, pogrążona w smutku. Jednego dnia siedziała tam jak zwykle, nagle zobaczyła tarantas pocztowy, jadący gościńcem w kierunku domu Wasylcewa.

— Co to znaczy, dokąd on jedzie — myślała, a serce jej biło silnie i szybko. — Może do wioski sąsiedniej? Nie, oto spieszy po starym spróchniałym moście. teraz skręcił w aleję. Boże, kto to jest!

Wzruszenie było tak silne, że nogi jej się chwiały i nie mogła wstać. Serce zabolało ją, ściśnione bolesnem przeczuciem, a równocześnie przebiega ją dreszcz radości.

— Przynajmniej się dowiem co to jest, wszystko jest lepsze niż niepewność.

Zarzuciwszy chustkę na ramiona, biegła szybko w kierunku dworu Wasylcewa, ale im bardziej się zbliżała, tem wolniejszemi stawały się jej kroki, serce ściskało się coraz boleśniej. W wysokiej trawie przed bramą stoi pusty tarantas, woźnica zdjął czapkę i ociera sobie pot z czoła; główne drzwi na tarasie tak długo zamknięte, teraz stoją otworem. Wiera weszła do przedpokoju, do salonu — nikogo. Czuć wilgoć, przez nawpół odemknięte okiennice, wpada słabe światło.

Sprzęty, krzesła, stół, sofka stoją tak, jak w dzień jego odjazdu, wspomnienie tego strasznego ranka zbudziło się w niej. Z gabinetu słychać głos; Wiera weszła tam. Stary zarządca usiłuje otworzyć okiennice, dawna kucharka z pękiem kluczy u pasa ociera łzy fartuchem, w półcieniu rozróżnia Wiera z trudem jeszcze trzy postacie. Jedna z nich to sędzia obwodowy, dwie drugie mężczyzna i kobieta w sukniach podróżnych są jej zupełnie nieznane.

Gdy wreszcie otwarto okiennice, sędzia poznał Wierę i przystąpił doń.

Pani pozwoli sobie przedstawić: państwo Gołubińscy, krewni naszego biednego Michała Stefanowicza. W tych dniach otrzymali oni wiadomość, że ich krewny umarł w Wiatce na suchoty, wczoraj przybyli i zwrócili się do mnie, abym ich zawiózł tutaj. Według przepisów prawa, dobra te do nich należą.

Tym razem okazała się natura miłosierną dla Wiery. Usłyszawszy tę straszną wiadomość, utraciła zmysły. Zapadła w ciężką gorączkę, całemi tygodniami leżała nieprzytomna.

Powoli jednak wracała do życia i czuła, jak wszyscy rekonwalescenci po ciężkiej chorobie — wielką fizyczną radość istnienia. Z instynktem właściwym rekonwalescentom oddalała od siebie wszelką poważną myśl, wszystkie jej pragnienia koncentrowały się na drobnych radościach i cierpieniach, w które tak obfituje życie chorych, a drobiazgi te miały w jej oczach szczególne znaczenie; wszystko miało dla niej wdzięk nowości jak dla dziecka. Cieszyła się kiedy bulion był dobrze przyrządzony i płakała, gdy poduszka nie leżała tak jak należy. Było to wielkiem wydarzeniem w domu, gdy pierwszy raz doktór pozwolił jej zjeść skrzydełko kury.

Gdy wreszcie zupełnie do zdrowia przychodzić zaczęła, a życie poszło zwykłym swym trybem, przeszłość wydała jej się daleką, jakby przykryta zasłoną.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

paczy i przesytu! Jak mała ta jednostka, co takie wzruszenia podnosi do potęgi bólu wszechświata!

Wszechwładny dotychczas temat „miłość" ustąpić musi przed ważniejszemi i piękniejszemi a równocześnie z tem zmienia się temat pokrewny „kobieta". I schodzi już ona z misternie wyrzeźbionego, filgranowego tronu odaliski, półbożka-półniewolnicy, a zrzekając się swych przywilejów dąży do odzyskania społecznej wolności. Przemiana ta nasuwa kilka myśli, wymagających oddzielnego opracowania.

Berlin.

Kazimierz Rakowski.

SZKOŁA I WYCHOWANIE.

Prywatne instytucye
dla oświaty ludowej w Ameryce

przez

Dr. fil. Józefę Kodisową.

(Ciąg dalszy).

Jakże mało robi się u nas dla przeciwdziałaniu złemu. Jeżeli zastanowimy się nad sposobami, jakiemi u nas zdobycze kulturalne klas wyższych przedostają się do ludu, to ze wstydem wyznać musimy, że wojsko, kościół a dawniej dwór są niemal jedynemi drogami, któremi się nasz lud komunikuje z szerokim światem. Mogą nam zarzucić, że tak źle nie jest, że cywilizacya rozszerza się już przez samo życie tj. przez stosunki, jakie ono za sobą pociąga. Tak np. handel zmusza już z konieczności osobniki klas różnych do starcia się ze sobą; — to samo znaczenie ma sądownictwo, robota po fabrykach etc. Niezaprzeczenie jest w tem twierdzeniu część prawdy, ale kultura idąca wyłącznie tą drogą, szłaby istotnie żółwim krokiem. Przesliźga się ona przytem tylko po powierzchni ludu, nie wnikając w jego wnętrze. Już w historyi mamy mnóstwo przykładów stosunkowo wysoko sięgającej kultury klas wyższych i zupełnego zdziczenia fundamentów narodu Naturalnie, że taki stan rzeczy nigdy nie trwał i nie mógł trwać długo, ale też nie wszystkie narody idą dalej w swoim rozwoju: wiele cofa się, dezorganizuje i umiera. Sama przez się, bez świadomych wysiłków we właściwym kierunku oświata nie przeniknie mas ludowych. Koryta zaś, któremi obecnie do ludu kultura dopływa, są zbyt wązkie i niewystarczające. Koniecznością jest zatem stworzyć koryta inne. J a s n e m b o w i e m j e s t, ż e t e n p r z e d z i a ł p o m i ę d z y k l a s a m i, j a k i o b e c n i e i s t n i e j e i c o r a z b a r d z i e j s i ę p o w i ę k s z a, s z k o d z i n a r o d o w e j k u l t u r z e.

Za dawnych czasów, gdy w świecie politycznym zupełnie nie było wielkich demokratycznych organizmów, niebezpieczeństwo takiego stanu rzeczy nie było dla pojedyńczych narodów tak groźnem jak obecnie. Mogły one dłuższy czas wegetować, pokryte pozłotą u góry i brnąc w ciemnościach u dołu. Teraz kultura tego rodzaju, już z natury rzeczy niestała, jest zupełnie znikomą. Społeczeństwa bowiem, w których światło rozkłada się równiej na całą masę narodu, postępują w kulturze bez porównania szybciej, niż te, w których cywilizacya ogranicza się do jednej klasy wyższej. Przewaga kulturalna społeczeństw pierwszej kategoryi nad drugiemi będzie tak wielką, że zagłuszy kompletnie te ostatnie. Nie tylko zbożowa konkurencya Ameryki grozi Europie! Jeszcze więcej może grozi nam oświata ludu amerykańskiego!

W Ameryce, właściwie mówiąc to, co my nazywamy „ludem", nie istnieje zupełnie. Istnieją tylko ludzie wykształceńsi i mniej wykształceni, bogatsi i biedniejsi. A że przejścia od mniejszej fortuny do większej nie są tak bardzo jak u nas utrudnione, więc społeczeństwo amerykańskie nie jest wcale obciążone tym balastem, jaki u nas lud przedstawia. 70 milionów już świadomych obecnie i kształcących się coraz dalej ludzi stanie się wkrótce taką potęgą, przed którą bezwarunkowo upaść muszą nasze stare arystokratyczne społeczeństwa ze swoją garstką inteligentów. W Europie łudzą się jeszcze tą myślą, że średnie i wyższe klasy europejskiego społeczeństwa są bardziej wykształcone niż odpowiednie im majątkiem yankesy. Ale i takie twierdzenie pochodzi z nieznania Ameryki. Przeciwnie, w Ameryce średnie wykształcenie jest daleko więcej rozprzestrzenionem, niż u nas. Tak np. nasza klasa inteligentna w Polsce nie może się nawet porównać pod względem kulturnym z takąż klasą w Ameryce. Już ten sam fakt, że w Ameryce wszystkie kobiety pobierają takie samo wykształcenie, jak mężczyźni, zmienia ten stosunek do niepoznania. Obecnie jeszcze Ameryka znacznie ustępuje Europie pod względem ludzi uczonych, których w stosunku do swego obszaru i zaludnienia posiada bardzo niewiele. Ale i to zło zostanie wkrótce usuniętem, gdyż w całem społeczeństwie obecnie już widać ogromny wysiłek w celu wytworzenia klasy uczonych specyalistów. Naturalnie, że gdy to nastąpi, nie będziemy mogli i myśleć o zachowaniu naszej kulturalnej indywidualności!

Jedyny środek przeciwdziałania jest przejęcie się u nas tą myślą, że t r w a ł a k u l t u r a n i e m o ż e s i ę w y ł ą c z n i e o p i e r a ć n a j e d n e j k l a s i e. Jeżeli chcemy zachować naszą etnograficzną indywidualność, musimy dbać o podniesienie wykształcenia naszego ludu. Im równiejsze będzie to wykształcenie we wszystkich klasach, tem bardziej naród nasz zrośnie się z sobą, — tem więcej przedstawi oporu w walce o swoją duchową odrębność.

Naturalnie, że podniesieniu kulturnemu klas niższych przeszkadzają obecnie ekonomiczne warunki tj. ciężka walka o byt. Ale jednak przyznać należy, że i w tych warunkach możnaby wiele zrobić, a nie robi się prawie nic. Pochodzi to przedewszystkiem z rozpowszechnienia się wśród naszej klasy inteligentnej mylnego przekonania, że można czekać na poprawę warunków ekonomicznego bytu, nie pracując w tym czasie na polu kulturnem. W ostatnich bowiem paru dziesiątkach lat kwestya ekonomiczna tak silnie zajęła wszystkie umysły, że starano się przedewszystkiem ją samą rozwiązać. Działo się to nietylko u nas, ale i w całej Europie. Otóż już dzisiaj można widzieć w Niemczech złe skutki takiego wyłącznego zajęcia się sprawą ekonomiczną. Około 60 roku istniał tam dość silny ruch kulturny. Założono w Berlinie pewną ilość szkół w celu rozleglejszego kształcenia ludu. Szkoły te w owym czasie cieszyły się powodzeniem. Robotnicy okazywali większą chęć do uczęszczania na wykłady i zdawało się, że wszystko idzie pomyślną drogą. Ale pomału — szkoły te przekształcono wyłącznie w centra agitacyjne. Ruch ekonomiczny wypędził z nich zupełnie ogólniejsze zadania. Dziś szkoły te zamykają się jedna po drugiej*) i wykształcenie ogólne wśród ludu roboczego upada. Robotnik poprzestaje na wyuczeniu się kilku ekonomicznych formułek, które powtarza bez należytego zrozumienia i na tem koniec. Wskutek tego upada wogóle wartość nauki w pojęciu ogólnem i widzimy nawet to smutne zjawisko, że ruch robotniczy zachowuje się czasem wrogo względem wyższego wykształcenia i instytucyi, służących temu celowi. Ale nie tylko stan roboczy traci na wyłącznem zajęciu się kwestyą ekonomiczną. To samo można powiedzieć i o klasie inteligentnej Chociaż obecna reakcya w świecie umysłowym zależy od bardzo wielu przyczyn postronnych, to jednak jednym z niezaprzeczonych powodów jest i zaprzątnięcie się wyłączne umysłów kwestyami ekonomii politycznej. Trzeba być ślepym, ażeby nie spostrzedz, że poziom humanitarny naszego społeczeństwa jeszcze przed dziesięciu laty był znacznie wyższym niż obecnie. Wielu z naszych postępowców nie wstydzi się dzisiaj występować publicznie z antysemityzmem lub potępieniem równouprawnienia kobiet. A jednak przed kilku laty nie było ani jednego członka obozu postępowego, któryby podobne zdania wygłaszał. Tracimy więc nasze zdobycze na polu kultury i te idee humanitarne, które z tak ciężkim wysiłkiem zdobyła ludzkość pracą długich wieków. A skoro raz zaniedbamy się pod tym względem, kto wie, czy będziemy później w stanie odzyskać, cośmy wpierw nierozważnie stracili!

Ruch ekonomiczny jest społeczną koniecznością i może iść dalej w swoim rozwoju. Ale klasa inteligentna nie powinna zapominać, że ma o n a s w o j e s p e c y a l n e z a d a n i a s p o ł e c z n e, których nikt oprócz niej wypełnić nie może. Takiem zadaniem jest n i e s i e n i e ś w i a t ł a s w o j e m u n a r o d o w i, p o d t r z y m y w a n i e i r o z w i j a n i e d a l e j k u l t u r n y c h z d o b y c z y, p i e l ę g n o w a n i e i n t e r e s ó w d u c h o w y c h. Spuszczenie z oka tych spraw tak ważnych grozi niebezpieczeństwem całemu narodowi. Kto nie postępuje ten się cofa, a cofanie się takie widzimy już w łonie naszego własnego społeczeństwa. Ogólne wykształcenie u nas, już nie tylko u ludu, ale i w klasach średnich, i nawet wśród samych inteligentów, stoi bezwarunkowo niżej, niż w wszystkich prawie krajach na zachodzie Europy. Zmiana gospodarki społecznej, jaka ma miejsce obecnie, wymaga natężenia sił umysłowych, do którego okażemy się niezdolni, jeżeli tak mało, jak dotychczas będziemy dbali o oświatę.

Wszelkie próby szerzenia kultury po za obrębem szkoły ograniczają się w naszym kraju do wydawnictw i pism ludowych, a z kierunku, w jakim idzie ta praca około oświaty ludu, wynosi się wrażenie, że zbyt ciasno pojęliśmy zadanie kultury. Pod tym względem musimy się uczyć u anglosaskiej rasy. Kultura wnosi się do ludu nietylko za pośrednictwem nauczania, a szczególniej nauczania rzeczy teoretycznych. W rzeczy samej nauczanie jest tylko jedną i to bynajmniej nie zasadniczą częścią całego systemu. U o b y c z a j e n i e, p r a k t y c z n a e t y k a, t o w a r z y s k i e ż y c i e, s z t u k a i t e c h n i k a g r a j ą r ó w n ą, j e ż e l i n i e w a ż n i e j s z ą r o l ę. Zasadę tego zrozumieć łatwo. Ażeby człowiek stał się zdolnym do przyswojenia sobie przedmiotów teoretycznych, musi on przedewszystkiem odebrać wychowanie, któreby go udelikatniło i wyrobiło mu gusta, podnoszące go po nad poziom grubego życia, zdolnego do odczuwania jedynie fizycznych przyjemności. Potrzeba zatem obudzić w nim i kultywować zdolność do przyjemności duchowych. U nas w tym kierunku nic nigdy nie zrobiono. Pochodzi to z tej dziwnej, a fałszywej zasady, że można człowiekowi dać wyższą naukę i

---

*) Patrz Social-politisches Centralblatt z r. 1895.

pozostawić go równocześnie na tej niższej stopie kultury, na jakiej był przedtem. Tak np. myślą u nas ogólnie, że chłop może posiadać astronomię, a obyczajami swojemi być takimże chłopem jak inni. A nawet uważamy to niemal za jego obowiązek, ażeby zachował swoje piękne chłopskie ubranie, swoje proste obyczaje i grube formy pracy. Nic tak może nie wrosło w przekonanie naszego narodu, jak uwielbienie kultury klasowej. Pozostanie przy niej, pomimo wykształcenia, uważamy za moralny obowiązek każdego uczciwego człowieka. Pan niech będzie panem, a szewc szewcem. T y m c z a s e m n i c t a k n i e s t o i w d r o d z e s z e r z e n i u s i ę k u l t u r y, j a k t o p r z e k o n a n i e. Jeżeli zbliżamy się do klas niższych, ażeby je oświecać, to musimy nieść im naszą własną oświatę, a nie jakąś specyalną oświatę klas niższych. I tak musimy nasz lud przyzwyczaić do tych pojęć etycznych i estetycznych, które są naszemi, chociaż byśmy się mieli narazić z początku na przykry widok nieumiejętnego naśladownictwa. Pracując nad oświatą ludu, trzeba zaprzestać spoglądać na ten ostatni rozmiłowanem okiem folklorzysty lub rodzajowego artysty. Oświata może być niesioną tylko i wyłącznie w imię postępu Takim zaś postępem dla ludu jest przyjęcie kultury klas wyższych. Starać się zachowywać stare formy, a zarazem podnosić oświatę jest rzeczą poprostu niemożebną. Choćbyśmy przypuszczali nawet, że nie pod każdym względem zmiana wyjdzie naszemu ludowi na dobro, to jednak zgodzić się na nią musimy. Takie bowiem rzeczy, jak formy zewnętrzne, ubiór, obyczaje, domowe otoczenie etc. są dla klas niższych symbolem ich niższości lub zbliżania się do wyższego społecznego stanowiska.

Tę prawdę państwa posiadające demokratyczne instytucye pojęły oddawna. Dążą one nie do zachowania kultury klasowej, lecz do wytworzenia narodowej jedności, do zlania się w organizm społeczny, żyjący w imię wspólnych ideałów i świadomy wspólności swych celów.

W niniejszej pracy mamy zamiar przedstawić naszemu społeczeństwu sposoby i środki, jakiemi inteligentne klasy amerykańskie starają się dźwignąć kulturę niższych warstw społecznych. Sądzę, że niejedne z tych środków dałyby się z pożytkiem zastosować i w naszym kraju. W Ameryce wydają one świetne rezultaty. Jeżeli zaś coś jest możebnem wśród takiego aglomeratu różnych narodowości, jaki przedstawia publiczność amerykańska, to dla czegóż by to nie miało wewnętrznych warunków powodzenia wśród stosunkowo jednolitej naszej ludności słowiańskiej? Ludzi dobrej woli u nas z pewnością nie braknie. Może kto z nich znajdzie pożyteczne wskazówki w tej pracy.

II.

Osady uniwersyteckie. (University seklements.)

Instytucya ta została przeniesiona do Ameryki z Anglii w r. 1889. Od tego czasu przyjęła się na gruncie amerykańskim tak dobrze, że w północnych stanach jest obecnie górą 30 osad tego rodzaju.

Idea zasadnicza osad uniwersyteckich polega na zbliżeniu niższych warstw społecznych do kultury i nauki ludzi, posiadających najwyższe wykształcenie w danem społeczeństwie. To też przedewszystkiem osada uniwersytecka tworzy się przez zamieszkanie pewnej ilości ludzi posiadających uniwersyteckie wykształcenie i w większości wypadków stojących w związku z uniwersytetami w dzielnicach roboczych. Ludzie ci wnoszą życie kulturne w sfery takie, któreby się bez ich pomocy spotkać z niem nie mogły. Ażeby zrozumieć zadanie takich osad, trzeba wiedzieć, że człowiek z ludu w Ameryce w większach centrach jest bardzo izolowany. Nie styka się on wcale bezpośrednio z inteligentniejszemi klasami. Pracując dzień cały we fabrykach, wieczory spędza w „saloon'ach“ (rodzaj naszych szynków), albo w klubach, gdzie się spotyka tylko z równemi sobie wykształceniem ludźmi. Ztąd też wszelakie objawy życia towarzyskiego wśród robotników amerykańskich mają grubą formę. Oddziaływanie na te warunki za pomocą wnoszenia delikatniejszych upodobań do ludu jest jednem z głównych zadań osad uniwersyteckich. To też od osady takiej wymaga się przedewszystkiem rozpoznania warunków bytu klas pracujących. Osadnicy starają się wejść na stopie przyjacielskiej w życie ludu ich otaczającego. Starają się oni nawiązywać stosunki wszędzie, gdzie się to udać może. Ztąd też zbliżają się przedewszystkiem do ludzi nienajniżej stojących na szczeblach społecznych, tak n. p. do dobrze stojących ekonomicznie robotników, drobnych przemysłowców, handlarzy i subjektów handlowych etc. Pomału, za pomocą tych ludzi, udaje się przeniknąć i w najbiedniejsze klasy ludności.

Poznajamiając się z całą okolicą, osadnicy tacy starają się zbadać, jakie kwestye zajmują najbardziej ludność w danej miejscowości, jakiego rodzaju stosunki rodzinne panują wśród ludu, jaki nastrój religijny, jacy są kierównicy organizacyi, znajdujących się w tem miejscu, i jakie jest zadanie i cel owych organizacyi? To wszystko robi się za pomocą wizyt, składanych wszędzie w sąsiedztwie, urządzania przyjęć w samejże osadzie dla sąsiadów i przez wstępowanie w związek z okolicznemi organizacyami, przemawianie na ich mityngach etc. etc. W największej ilości wypadków działalność osadników rozpoczyna się od założenia ogródka dla dzieci, gdyż przekonano się, że w ten sposób najłatwicj zawięzują się stosunki z całą okolicą. Droga, którą większość osad przebyła, jest następująca. Zakłada się ogródek dziecinny, i kiedy już się zebrała dostateczna ilość dzieci, zaprasza się ich matki na pogadankę, tyczacą się kwestyi wychowania dziecinnego. Po niejakim czasie zawiązuje się klub towarzyski w pośród matek dzieci, drugi także klub wśród nauczycielek ze szkół okolicznych, które już uprzednio najczęściej dopomagały do prowadzenia ogródka. Dalej tworzą się kluby wśród starszych dzieci: chłopców i dziewcząt, wśród dorastającej młodzieży, nakoniec wśród dorosłych mężczyzn. Pomału życie klubowe obejmuje całą okolicę i tysiącznemi nićmi związuje ją z osadą. Przypatrzmy się tym klubom. Jeden z członków, zamieszkały w takiej osadzie lub dojeżdżający do niej czasowo, podejmuje się być kierownikiem klubu. Przy tem wybiera sobie do prowadzenia klub, mający jakieś zadanie, wchodzące w zakres jego kompetencyi. Tak np. student, zajmujący się naukami przyrodniczemi, podejmuje się kierownictwa klubu chłopców studyujących przyrodę. Literat — prowadzi kółko nauczycieli ludowych, chcących bliżej się zapoznać z literaturą. Dobra i wykształcona gospodyni opiekuje się klubem dziewcząt, założonym w celu poprawy gospodarstwa domowego i t. d. i t. d. Taki przewodnik lub przewodniczka klubu jest zobowiązany bywać regularnie na posiedzeniach klubowych i dbać o to, aby się klub nie rozprzęgał i odpowiadał rzeczywiście swemu zadaniu. Przytem musi starać się urozmaicać posiedzenia klubowe, wnosić tam jakiś nowy żywioł, urządzać od czasu do czasu wycieczki wspólne, specyalne towarzyskie wieczorki tego klubu (reception) itd. Kierunek ten musi jednak być oparty więcej na warunkach wewnętrznych, tj. na przewadze umysłowej danej osoby i na zaufaniu do niej członków klubu, niż na zewnętrznych formach. Tak np. kierownik niekoniecznie jest prezesem klubu. Przeciwnie chodzi nawet o to, aby istotny zarząd klubu był wybrany z pośród jego rzeczywistych członków. Członkowie ci zwykle mają jakieś specyalne znaczki, które noszą, i specyalną nazwę swojej działalności.

Kluby takie osięgają wielki wpływ, zwłaszcza wśród młodzieży. Wpływ ten objawia się nawet zewnętrznie. Chłopcy, którzy poprzednio byli ulicznymi łobuzami, i którzy nie mogli przemówić nawet parę słów bez grubiaństwa, pomału stają się prawdziwymi gentelman'ami. Wyuczają się mówić przyzwoicie, zachowywać zwykle formy grzeczności, uczą się nawet okazywać pewne względy dla kobiet. To ostatnie nabiera tem większego znaczenia, jeżeli zważymy, że grubijańskie obejście się z kobietami jest prawdziwą plagą wśród klasy robotników po miastach. Wskutek przyzwyczajenia do grzecznego traktowania kobiet wnosi się element względności do życia rodzinnego i zapobiega się wielu ciężkim przejściom, na które narażona jest uboga rodzina. Młodzież garnie się zwykle bardzo chętnie do takich klubów i jest z należenia do nich niezmiernie dumną. To ostatnie grozi nawet pewnem niebezpieczeństwem. Członkowie bowiem klubu wydzielają się z pośród wszystkich okolicznych towarzyszy i tworzą wśród nich jakby pewien rodzaj duchowej arystokracyi. To też od kierownika klubu wymaga się wiele taktu i rozsądku w sprawach życiowych. Musi on przyzwyczaić młodzież bez używania wszelkich silniejszych środków, i napomnień gwałtownych do form cywilizowanego życia. Musi ich nauczyć słuchać i mówić przyzwoicie, a przedewszystkiem musi w nich rozwinąć towarzyskie instynkta. Trzeba bowiem wiedzieć, że po wszystkich wielkich miastach rozwija się ogromnie wrogie uczucie człowieka do człowieka. Wśród dzieci uczucie to jest tak silne, że prześladują one w najdotkliwszy sposób każdą obcą postać, pojawiającą się na swojej ulicy. Tak np. negr, przechodzący ulicą w dzielnicy zamieszkałej przez słowian, jest obrzucany kamieniami. To samo dzieje się z porządnie ubranym człowiekiem wśród biednej dzielnicy, lub z żydem pośród ludności irlandzkiej.

Pod żadnym może względem wpływ osady uniwersyteckiej tak bardzo się nie ujawnił, jak pod tym ostatnim. Miejsca przez które przed paru laty przejść nie było można, nie dostawszy w kark kamieniami, po utworzeniu osady stają się pod tym względem zupełnie bezpiecznemi. Przeciwnie każdy, nawet mały chłopak w okolicy osady chętnie wskaże drogę przybyszowi i odda każdą małą przysługę, której od niego zapotrzebują. Wszystko to ma miejsce nie wskutek gołosłownych morałów, ale przez stykanie się w osadzie z ludźmi najrozmaitszych rodzajów i kondycyi i przez nawyknienie do pewnych form obcowania towarzyskiego, odpowiednich kulturnemu człowiekowi.

Klubowcy zwykle wnoszą małe składki miesięczne od 5 do 10 centów. Z tych składek kupują sobie różne ozdoby dla pokoju, w którym odbywają posiedzenia: chorągwie, portrety, obrazy etc. Od czasu do czasu urządzają sobie przyjęcia, składające się z kawy, ciastek, lodów itd. Czasami odbywają się też wspólne wycieczki do parków lub za miasto.

Co się tyczy regularnych posiedzeń takich klubów chłopców, to jeżeli celem ich jest nauka, to nauka ta nigdy nie jest podawaną w formie książkowej — suchej. Tak np. w klubach przyrodników kierownik ma przedewszystkiem za zadanie otworzenie oczu młodzieży na przyrodę, wyro-

bienie zamiłowania i upodobania w zewnętrznej naturze. To też chłopcy znoszą na posiedzenia rozmaite rodzaje motyli i robaczków, złapanych gdzieś na bulwarach albo na przedmieściach, muszle, konchy, rośliny, kamienie itd. Kierownik naturalnie objaśnia im niezrozumiałe rzeczy, tłumaczy, opowiada, pokazuje rysunki, dostarcza sam ciekawych egzemplarzy i stara się prowadzić naukę w tonie przyjemnej pogawędki.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BADANIA NAUKOWE.

Reforma studyów lekarskich.

W „Przeglądzie lekarskim“ ogłosił przed niedawnym czasem prof. dr. Napoleon Cybulski szereg artykułów poświęconych sprawie reformy studyów lekarskich w Austryi. Ponieważ rodzaj naukowego przygotowania lekarzy na niemieckich uniwersytetach, gdzie nasza młodzież się kształci, równa się niemal zupełnie metodzie przyjętej w austryackich wszechnicach, zatem podajemy poniżej w streszczeniu wywody zasłużonego profesora, które zainteresują niewątpliwie nietylko koła lekarskie, lecz całą myślącą publiczność.

Sprawa reformy studyów lekarskich dotychczas w piśmiennictwie lekarskiem prawie poruszaną nie była — zajmowały się nią jedynie sfery urzędowe. Wypowiedzieli opinię swą referenci sanitarni, profesorowie wydziałów lekarskich — w końcu ankieta, złożona z delegatów Wydziałów lekarskich, Izb lekarskich, protomedyków i kilku zaproszonych luminarzy medycyny. Wnioski tą drogą zebrane posłużą prawdopodobnie ministerstwu za podstawę do zamierzonej reformy. Dziwnie uderza jednak fakt, że prasa lekarska tym razem ograniczała się tylko do podania gołosłownych uchwał, nie rozbierając krytycznie takowych. A szkoda! Opinie te bowiem budzą obawę, że nie były pozbawione niektórych znamion jednostronności.

Z kolei rozbiera profesor Cybulski pytanie, czy reforma studyów lekarskich jest potrzebną, czy nie — i wysnuwa wniosek, że potrzebę reformy tej odczuwają wszyscy, którzy bliżej sprawy tej stoją i z blizka na nią patrzą.

Ostatnia reforma studyów lekarskich w Austryi miała miejsce w r. 1872. Od tego czasu mija już lat prawie 25, a w czasie tym medycyna postąpiła niezmiernie naprzód; powstały nowe działy nauki, tak czysto teoretyczne, jak i w dziedzinie praktyki lekarskiej.

Zmieniał się system nauczania, który wymagał rozszerzenia nauki lekarskiej prawie we wszystkich kierunkach. Musiano mianować profesorów do histologii, embryologii, laryngologii, otyatryi, chorób nerwowych, umysłowych, hygieny, policyi lekarskiej i t. d. Od ram ustawy z r. 1872 odbiegliśmy bardzo znacznie, a nowe wymagania ciągle postępującej nauki lekarskiej spowodowały różne zmiany — które stały się czysto przypadkowo — bez niezbędnej w materyi tej dokładności. Z powodu tego wytworzyły się pewne usterki w nauczaniu, które z konieczności swej odbić się musiały na postępach studentów medycyny. Ukończeni lekarze ostatnich czasów mają za mało wiadomości z zakresu medycyny praktycznej. Ten zarzut był głównym motywem w opiniach referentów sanitarnych, ankiet i Wydziałów leczniczych.

Niedostateczna znajomość medycyny praktycznej u kończących studya może pochodzić tylko z trzech następujących powodów: 1) studenci, zapisujący się na wydział lekarski, są niedostatecznie przygotowani do tej nauki. 2) Młodzież obecna uniwersytetów mało pracuje lub mało ma czasu do pracy. 3) Sposób nauczania przedmiotów medycyny praktycznej jest nieodpowiedni.

Profesor Cybulski uważa, że rzeczywiście młodzież z gimnazyów naszych wychodząca, zamało jest przysposobiona do studyów lekarskich. Maturzyści odnoszą słabe tylko wiadomości z zakresu fizyki, nauk przyrodniczych, matematyki i geometryi. Przewaga kierunku humanistycznego w naszych szkołach średnich powoduje, iż młodzież pozbawioną jest zupełnie umiejętności myślenia obrazowego, co w wysokim stopniu utrudnia naukę takich przedmiotów, jak anatomia, histologia, embryologia. Myśleć obrazowo, wyobrażać sobie łatwo kształt rozmaitych przedmiotów, których się nie widzi — jest to rzecz, którą się zdobywa tylko drogą mozolnego ćwiczenia. W gimnazyum jedyną nauką obok przyrodniczych, która tego rodzaju myślenia wymaga, jest geometrya, a w szczególności stereometrya, lecz właśnie tę naukę traktuje się u nas prawie *per non est.* Z tego powodu student 1-go roku medycyny nie może sobie wyobrazić, jak wygląda skośny przekrój walca lub stożka — i nie jest w stanie z przekrojów, które widzi pod mikroskopem, tworzyć sobie kształtu całej bryły. Niedostateczne przygotowanie z zakresu fizyki stanowi bardzo znaczne utrudnienie w zrozumieniu przyrządów fizyologicznych. Profesor fizyologii zmuszony jest tedy opisanie każdego przyrządu fizyologicznego poprzedzić dokładnym wykładem prawa fizycznego, na którem przyrząd ten polega, wskutek czego wiele czasu dla medyków jest w pierwszych dwóch latach straconem. Przez przeciąg tego czasu uniwersytet musi wyrównać luki w naukach okazujące się uczniom po opuszczeniu gimnazyum — tak, że po dwóch latach studenci medycyny stają się już dostatecznie przysposobieni do odbywania dalszych studyów. Profesor Cybulski mniema jednak, że niedostatecznego przygotowania do studyów lekarskich — w pierwszych stadyach pobytu młodzieży na uniwersytecie - nie można uważać za główną przeszkodę w nabywaniu wiadomości z zakresu medycyny praktycznej.

Co się tyczy drugiego czynnika, t. j. czy uczniowie za mało nie pracują, odpowiada szanowny profesor przecząco. Uczniowie Wydziałów lekarskich, tak w Krakowie, jak i gdzieindziej — pracują dostatecznie w domu i pilnie uczęszczają na wykłady teoretyczne i ćwiczenia praktyczne. Ze pomimo ich pracy ostateczny wynik wypada ujemnie, pochodzi to także z krótkości czasu. Ferye i święta pochłaniają bowiem przeszło pół roku: 3 miesiące trwają ferye główne, 1 miesiąc na Wielkanoc, tydzień na zapusty i tyleż na na Zielone święta. Gdy do tego dodamy także nabożeństwa i inne obchody, będziemy mieli okrągłe pół roku przerwy, a nawet często więcej. Niezbędne są tedy w tej mierze zarządzenia ministeryum, któreby ograniczyły nieco długość tych feryi i wolność słuchaczy — i wymagały od profesorów większej ścisłości w wypełnianiu obowiązków. Liczne bowiem wyjazdy profesorów zmniejszają tę i tak małą ilość wykładów. W przyszłości proponowałby profesor Cybulski, aby każdy z profesorów, któryby chciał choć na dwa dni z powodu wyjazdu przerwać wykłady, obowiązany był natychmiast o tem dziekana zawiadomić. Ten zarządziłby bezzwłoczne zastępstwo bądź przez profesora pokrewnego przedmiotu, bądź przez docenta, lub asystenta tak: aby słuchacze nie byli narażeni na niepotrzebną stratę czasu. Nadto ustawa nowa powinnaby baczyć, aby wykłady odbywały się nie jak dotychczas podczas godzin wykładowych, ale poza niemi. W ten sposób uzyskałoby się znacznie więcej do nauki czasu i reformę w tym kierunku uważa profesor Cybulski za donioślejszą, niż przedłużenie studyów lekarskich na obecnych warunkach do lat sześciu.

Że obecny system nauczania przedmiotów lekarskich jest nieodpowiedni, to fakt udowodniony. Nauka lekarska postąpiła znacznie, potworzyły się całe szeregi specyalistów, którzy pomimo wielkich zdolności zaledwie w stanie są objąć obszar faktów, odnoszących się do jednej specyalnej dziedziny; a o innych działach medycyny specyaliści zaledwie słabe tylko mają wyobrażenie. Obecnie jest już rzeczą niemożliwą, aby w mózgu jednego człowieka mogła pomieścić się cała nauka lekarska, wszystkie szczegóły z różnych specyalnych dziedzin tej nauki. Nieuniknioną konsekwencyą takiego stanu rzeczy musi być wniosek, że wymagać od ukończonych słuchaczów znajomości całej nauki lekarskiej jest rzeczą nielogiczną i niemożliwą. — Profesor Cybulski wyraża następnie, co od młodego lekarza wymagać powinny Wydziały lekarskie. — Po pierwsze powinien on przez czas studyów wyrobić sobie ogólny pogląd na całą naukę i posiąść gruntownie zasady metod badania ustroju ludzkiego, oraz zrozumieć wszystkie zasadnicze jego funkcye. Po drugie winien przyswoić sobie gruntowną znajomość wszystkich tych postaci chorobowych, z któremi jako lekarz praktykujący na prowincyi najczęściej spotkać się może. Po trzecie powinien wyrobić w sobie tę sumienność, aby w przypadkach dla siebie wątpliwych, uważać sobie za obowiązek odwoływanie się do pomocy specyalistów.

Potrzeba także koniecznie zastanowić się nad tem, co z każdej dziedziny adept sztuki lekarskiej wiedzieć dokładnie powinien, a co tylko powierzchownie; koniecznem jest w tej sprawie porozumienie się między profesorami. Każdy z nich bowiem uważa swój przedmiot za najważniejszy i dowolnie wymaga od studentów znajomości dokładnej najdrobniejszych nawet szczegółów. Za tem idzie, że uczniowie są straszne przeciążeni pracą i o zdobycie niektórych drobnych wiadomości kusić się tylko muszą p r o r i g o r o s o, bo one im później i n p r a x i p r i v a t a zgoła nie są potrzebne, N. p. w chirurgii uczeń zmuszony jest wykuć wszystkie sposoby operacyjne resekcyi, laparatomii i t. d., w okulistyce różne sposoby operacyi zaćmy, sposoby wykonywania irydektomii i t. d. Wszystko to jest zbyteczne. Lekarz bowiem praktyczny na prowincyi, prosto z igły osiadły, nie będzie tam wykonywał resekcyi stawów ani laparotomii, jak również operacyi warstwowych zaćmy, lub irydektomii — tylko odeśle chorego do specyalisty do wielkiego miasta; specyalista zaś musi się tych przedmiotów nauczyć, już po uzyskaniu patentu. Zatem przed reorganizacyą studyów lekarskich, wypadałoby zdaniem profesora Cybulskiego zwołać ankietę, która miałaby za zadanie, na podstawie porozumienia się i opinii rozmaitych specyalistów, ułożyć program najodpowiedniejszy studyów lekarskich, z oznaczeniem zakresu wymagań od kończących te studya.

(Dokończenie nastąpi).

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Kronika Warszawska.

—

Warszawa, 10 sierpnia.

(Sprawa oświaty ludowej — Rusyfikacya. — „Dniewnik“. — Wystawa hygieniczna. — Teatr. — „Nieszczęśliwi“ i „Popychadło“. — Żniwo.)

Ciągnąca się od blisko dwóch lat głośna sprawa oświaty ludowej w tych dniach stanowczo została zakończona rozkazem z Petersburga, nakazującym umorzenie całego śledztwa. Nie wiem czy znane wam są szczegóły tej sprawy, trzymającej przez czas tak długi w gorączkowem naprężeniu uwagę tutejszej publiczności. Winnymi straszliwej zbrodni byli słuchacze instytutu agronomiczno-leśnego w Puławach i kilku studentów tutejszego uniwersytetu, którzy celem podniesienia oświaty rozdzielali pomiędzy lud w okolicach Puław książki do czytania, nawiasem mówiąc przeważnie dozwolone przez cenzurę rosyjską. Naczelnik żandarmów jen. Brock wpadł na trop tego „spisku“ i pospołu z głównym prokuratorem Turanem rozpoczął energiczne śledztwo. Aresztowano znaczną liczbę studentów i włościan, podejrzywanych o współudział w tym niebezpiecznym zamachu na całość rosyjskiego państwa i trzymano ich całe miesiące w więzieniu. Sprawa ta przybierając coraz groźniejsze rozmiary i pochłaniając coraz większą liczbę ofiar, ciągnęłaby się zapewne do nieskończoności, gdyby reklamacye wystosowane przez rodziny uwięzionych studentów, nie zwróciły na nią uwagi ministra sprawiedliwości, który zażądał przedstawienia sobie akt śledztwa. Z akt tych przekonał się oczywiście minister, że sprawa ta, wydęta przez tutejszych czynowników do rozmiarów politycznego spisku, nie zawiera w sobie nic karygodnego. Nakazał więc natychmiastowe zaniechanie dalszego śledztwa i wypuszczenie na wolność wszystkich obwinionych. Mówią też, że niełaska, jaka spotkała Brocka, pozostaje w ścisłym związku z jego skompromitowaniem się w walce z oświatą ludową. Skompromitowany jest również prokurator izby sądowej Turan, którego wymieniano jako najpoważniejszego kandydata na świeżo kreowany urząd pomocnika policyjnego przy generał-gubernatorze, w miejsce skasowanego urzędu naczelnika żandarmów w Królestwie Polskiem. Prawdopodobnie ominie go teraz to wpływowe stanowisko.

Od czasu do czasu więc reklamacye, przeciwko nadużyciom i samowoli władz tutejszych, wystosowanych do petersburskich sfer decydujących, odnoszą pożądany skutek. Po za tem jednak rusyfikacya naszego kraju na każdem polu postępuje w dotychczasowem tempie. Naturalnie rusyfikacya ta jest czysto zewnętrzna, mechaniczna, nie wnikająca w głąb duszy narodu, nie przekształcająca jego istoty. Wobec też znikająco drobnego procentu, jaki stanowi w zaludnianiu Królestwa Polskiego żywioł rosyjski, trudno marzyć o zruszczeniu tego kraju. Wysiłki więc zagorzałych rusyfikatorów z samej natury rzeczy ograniczać się muszą na nadaniu Królestwu Polskiemu zewnętrznej cechy kraju rdzenno rosyjskiego. Do tej kategoryi wysiłków należy także kampania, jaką od dawnego już czasu prowadzi „Dniewnik Warszawski“ przeciwko nazwie Królestwa Polskiego, domagając się zmiany tej nazwy na „gubernię przywiślańską“ lub „kraj przywiślański“. Domaganie zaś to opiera Dniewnik na rzekomym fakcie, że nazwa „Królestwo Polskie“ nie ma w dzisiejszych warunkach politycznych i geograficznych najmniejszej podstawy.

Czasami jednak warszawski organ rosyjski bierze nas w obronę i pod tym względem wykazuje pewne podobieństwo do waszych „Posenerek“ i „Tageblattów“. Sam bowiem napadając bezustannie na nasze społeczeństwo i narodowość i popierając nadzwyczaj gorliwie wszelkie dążenia rusofikatorskie, gniewa się gdy mu korespondenci warszawscy do pism moskiewskich i petersburskich psują interes, przesadzając go jeszcze w szowinizmie a przedewszystkiem w manii denuncyatorskiej. Tak świeżo wystąpił „Dniewnik“ przeciwko „Nowoje Wremia“, której korespondent warszawski upatrywał w obchodzie św. Józefa w Kaliszu intrygę polską.

W ogóle korespondent ten miarodajnego petersburskiego organu zdaje się cierpieć na manię prześladowczą i na każdym kroku wietrzy spiski. Oto najbardziej jaskrawy i przytem najśmieszniejszy przykład: na placu wystawy hygienicznej jest fontanna, a w środku jej olbrzymich rozmiarów niedźwiedź biały z gipsu dławiący delfina. W rzeźbie tej upatrywał korespondent wielce niebezpieczną dla całości rosyjskiego państwa alegoryę. Zdaniem jego biały niedźwiedź przedstawiać ma Moskala, a delfin wykazuje jakoby rażące podobieństwo do syreny (herb Warszawy). Na domiar złego niedźwiedź nie udał się rzeźbiarzowi, i sprawia w rzeczy samej wrażenie, jakoby cierpiał na obstrukcyę.

Należy się słów kilka i samej wystawie. Wyznaję, że poddając się suggestyi niektórych pism tutejszych miałem pewne uprzedzenie do wystawy hygienicznej i zwlekałem bardzo długo z jej zwiedzeniem. Ulegając jednak żyłce dziennikarskiej, która mi nakazuje wścibić nos we wszelkie, choćby najniepotrzebniejsze i najniewłaściwsze rzeczy i sprawy, wybrałem się przed kilkoma dniami w podróż na ulicę Kaliksta, aby się przekonać, że uprzedzenie to, które zresztą zdaje się dzielić ogromna większość mieszkańców Warszawy — wystawa stale świeci pustkami — jest nie słuszne. Wystawa bowiem zawiera mnóstwo ciekawych bardzo okazów nie tylko z dziedziny hygieny, ale i ludoznawstwa. Pomówię o tem w innem miejscu obszerniej. Obojętność zaś publiczności warszawskiej tłómaczy się przedewszystkiem znaczną odległością placu wystawy od centrum miasta, po części także osobistością głównego inicyatora i kierownika wystawy. Dr. Pollakowi trudno odmówić niezwykłej energii i gorliwości, po za tem jednak przypomina daleko więcej pruskiego podoficera niż uprzejmego lekarza warszawskiego i szorstkiem swem i samowolnem postępowaniem odstręcza wszystkich od siebie, a pośrednio i od swego dzieła.

Jak zwykle o tej porze, gdy teatry ogródkowe stanowią główną atrakcyę publiczności warszawskiej, tutejsza produkcya dramatyczna zaczyna przybierać prawdziwie niepokojące rozmiary. Nie ma więc tygodnia, w którymby się nie pojawiło na tak licznych obecnie scenach tutejszych kilka nowości. Są to przeważnie efemyrydy, płody mniej lub więcej poronione, ginące po kilku przedstawieniach na zawsze w zapomnienia fali. Pomiędzy tą masą tandety od czasu do czasu spotykamy się jednak z utworem, wykazującym poważniejsze zalety. Dziwnym zbiegiem okoliczności w bieżącej kampanii teatralnej największe i po części słuszne uznanie zdobyły sobie dwa utwory autorów, występujących po raz pierwszy przed szerszą publicznością. Autorem „Nieszczęśliwych“ jest hr. Ronikier, dwudziestokilkoletni potomek znanej tutejszej arystokratycznej rodziny, z zawodu, jeźli się nie mylę, inżynier. Towarzyskim też swoim stosunkom zawdzięcza p. Ronikier w pewnej części hymny tryumfalne, jakiemi miarodajni tutejsi recenzenci powitali jego pierwociny literackiej działalności, wzorowane żywcem na utworach współczesnych niemieckich i francuskich realistów. Zgrzeszyłbym jednak niesprawiedliwością, odmawiając „Nieszczęśliwym“ dość poważnych zalet, ujawniających się mianowicie w trafnej charakterystyce działających osób, dowodzącej dużo obserwacyi życia i jego objawów u młodego autora. Swoją drogą „Nieszczęśliwi“, prawdopodobnie z powodu zbyt pesymistycznego swego nastroju, nie zdołali sobie zjednać uznania tutejszej ogródkowej publiczności. Po dwóch przedstawieniach wycofano tę sztukę z afisza.

Natomiast niezwykłem powodzeniem cieszy się „Popychadło“ p. Szutkiewicza. Nie mam zaufania, pouczony tylokrotnem doświadczeniem, do sztuk napisanych przez aktorów — autorem „Popychadła“ jest średniej miary aktor prowincyonalny. Z pewnem też niedowierzaniem udałem się do „teatru łódzkiego“ goszczącego w odpowiednio przerobionym gmachu cyrkowym na tę sztukę. Spotkała mnie przyjemna niespodzianka. Wprawdzie i „Popychadło“ nie jest arcydziełem, spostrzegłem jednak w niem zalety, których brak zwykle utworom aktorskim, a mianowicie trafna bardzo obserwacya życia, zwłaszcza t. zw. niższych warstw ludności warszawskiej. Do podniesienia utworu przyczynia się wyborna gra artystów: pp. Trapszy i Winklera w głównych rolach męzkich, pp. Trapszowej i Przybyłkówny w kobiecych. Gwiazdą jednak teatru łódzkiego jest p. Wróblewska, która od czasu poznańskiego swego pobytu zrobiła znaczne postępy i która ma pewne widoki objęcia ról bohaterek na scenie warszawskiej. „Wodewil“ wystawił zabawne lecz pozbawione głębszej wartości „Baby“ Przybylskiego i Klemensa Junoszy; w „Belle-Vue“ stanowi w dalszym ciągu siłę przeciągającą tłumy publiczności „Jadzia wdową“ Ruszkowskiego. Jednę z głównych ról kobiecych gra obecnie w tej sztuce znana poznańskiej publiczności p. Trzcińska, którą zaangażował p. Rygier na sezon zimowy do Poznania. Zdziwi was zapewne, że w tym przeglądzie teatralnym pominąłem milczeniem „przyzwoity“ teatr. Cóż kiedy pomimo zmiany reżysera pierwsza nasza scena nie daje znaków życia. Przepraszam, wystawiono wtych dniach w teatrze Rozmaitości po raz pierwszy — „Komedyantów“ Paillerona.

Zapowiedziany na tegoroczną jesień przyjazd cara do Warszawy i Spały został odwołany z powodu oczekiwanej w tym czasie słabości cesarzowej. Do Spały przyjedzie na polowanie w. ks. Włodzimierz, stryj obecnego cara. Wysnuwają z tego przyjazdu rozmaite, pozbawione wszelkiej faktycznej podstawy kombinacye.

X. W.

TO I OWO.

Andrée w podróży do bieguna.

Z wielkiem zajęciem śledzi świat cały przygotowania śmiałego aeronauty Andréego, który przedsięwziął ryzykowną podróż balonem do bieguna północnego Berlinski (Local Anzeiger) znalazł się w kropce i wysłał specyalnego korespodenta na Szpizberg, zkąd Andrée ma wyruszyć. Telegram tego pana, wysłany okrętem do najbliższej stacyi telegraficznej w Tronsö, dnia 30 z. m., brzmi jak następuje:

„Napełnienie gazem balonu już ukończone. Balon nieść może 5,000 klg., którą to wagę podał już Andrée poprzednio Próby co do ubytku gazu, wskutek ciśnienia powietrza atmosferycznego, nie zupełnie stwierdziły obliczenia Andréego. Wiatr południowy, który z końcem miesiąca lipca wiał pomyślnie, zmienił swój kierunek i rozpoczęła się słota. Stacya meteorologiczna zapowiada jednak wkrótce powrót tego wiatru i Andrée ma wszystko w pogotowiu, by wyruszyć w podróż.“

W dalszym ciągu publikuje Lokal Anzeiger rozmowę swego korespondenta stockholmskiego z inżynierem Malborgiem, szkolnym kolegą Andréego.

— Co pan sądzi o śmiałym aeronaucie? — pytał korespondent.

— Na razie trudno mi odpowiedzieć dokładnie — rzekł już Malborg — lecz znając od wielu lat energię mego kolegi i jego plan podróży, jestem przekonanany. że albo podróż powiedzie się szczęśliwie, albo Andrée życiem to przypłaci.

Lata całe pracował nad projektem i doświadczenia prowadził bardzo szczegółowe, pozyskując równocześnie sympatyę ludzi, którzy mu przyśli z pomocą materyalną do śmiałego przedsięwzięcia. Życie swoje postawił na jedną kartę i nie cofnie się zapewne przed niczem.

— Sądzisz, panie inżynierze, iż balon będzie w stanie bujać w powietrzu, może i tygodnie całe?

— To najważniejsze właśnie pytanie. Andrée nie przystąpił do dzieła lekkomyślnie. W pierwszej linii studyował prężność różnych gazów, oraz ich odporność na ciśnienie powietrza atmosferycznego i udało mu się wynaleźć stosowną mieszaninę gazów lekkich. Aby przeszkodzić zbytniemu wzniesieniu się balonu, gdyż w pewnej wysokości, gaz wypełniający wnętrze balonu musiałby silniej rozprężać się i ubywać, zaopatrzył Andrée balon w liny, które spoczywają na powierzchni balonu i ciężarem swoim nie dopuszczają, by balon zbytnio gazy wewnętrzne rozdymały. Końce tych lin wloką się po ziemi i tarciem swojem wytwarzają rodzaj balastu. Dalej skonstruował Andrée żagle, które pozwalają na pewne zboczenie w razie niepomyślnego wiatru. W czasie jednej z prób, które Andrée z balonem „Swea“, w roku 1894, wykonał, żagle te pozwoliły mu utrzymać balon we właściwym kierunku, mimo, że wiatr dął o 25 stopni skośnie. Zapewne, że i balon przeznaczony do wyprawy podbiegunowej, musi mieć żagle, które pozwalałyby utrzymać go we właściwym kierunku, choć wiatr będzie od tego kierunku zbaczał więcej nawet niż o 25 stopni.

— Czy śmiały podróżnik nie będzie narażony na zbytnie zimno?

— To niemożliwe — odparł inżynier Malborg. — Studya przeprowadzone wykazały, że mróz okolic Szpicbergu, w miesiącach lipca i sierpniu nie przekracza 11 stopni niżej zera, a ponieważ okolice te oddalone są tylko o 11 stopni szerokości od bieguna, nie należy się spodziewać o wiele silniejszych mrozów w tej porze roku.

— Czy nie należy przypuszczać, że Andrée i jego towarzysze mogą minąć biegun nie zauważywszy tego?

Na to odparł inżynier:

— O tem będzie balon informować kompas w pierwszej linii, oraz astronomiczne spostrzeżenia na miejscu czynione, przez chronometry i sekstanty. Zresztą Andrée zaopatrzył się w najnowsze aparaty naukowe. Że podróż ta nastręcza na razie wiele pytań, na które nie można znaleźć odpowiedzi, gdyż zbywa na danych, tego nikt nie zaprzeczy. Gdyby przedsięwzięcie Andréego było zwykłej natury, nie śledził by świat cały z naprężeniem daty rozpoczęcia podróży mego kolegi i nie wyczekiwałby gorączkowo rezultatów. Lecz gdyby nawet Andrée nie dotarł aż do bieguna, to wiadomości zebrane z okolic dotąd nieznanych, będą bardzo cennym nabytkiem naukowym. Jednego należy sobie i Andreemu życzyć, aby mógł wrócić, lub przynajmniej dać znać, co spostrzegł i zbadał.

Na tem skończyła się rozmowa. Andrée zabrał z sobą mnóstwo gołębi pocztowych, przez które ma zamiar posyłać od czasu do czasu, o sobie wiadomości. Czego dokaże, zobaczymy wkrótce. *J. Tyrowicz.*

* * *

Rozmowa Brandesa z Chińczykami.

Znakomity krytyk duński, Jerzy Brandes, umieszcza obecnie w fejletonach Neue fr. Presse wspomnienia ze swego ostatniego pobytu w Londynie, dokąd jeździł celem studjów nad Szekspirem. W pewnem towarzystwie spotkał też kilku Chińczyków, z którymi rozmawiał o sprawach literackich i społecznych. Treść tej rozmowy, którą podaje Brandes, jest dość zajmującą i dla naszych czytelników.

„Zwrócono moją uwagę na sekretarza poselstwa chińskiego, p. Kindzista Canga, syna owego sławnego markiza Canga, który brał wybitny udział w powstaniu Tonpingów. Zawiązałem z nim rozmowę, którą próbowałem rozpocząć od słów, że imię jego ojca jest mi znane. Dotknęło go to, jak mi się zdawało trochę niemile, gdyż odpowiedział z wymuszonym uśmiechem.

— Muszę zwrócić uwagę pańską, że nie reprezentuję tutaj swego ojca, jeno rząd chiński.

Rozmowa zeszła na rozmaite poezje klasycznej literatury chińskiej, które znam dość dokładnie z tłumaczeń i wymieniłem mu te, które najbardziej podziwiam. To nam dało pole do bliższego zetknięcia się. Sam on poprzetłumaczał mnóstwo starych poematów chińskich — nie pomnę już, czy na angielski czy na francuski język, ale nie mógł znaleźć nakładcy.

Rozgadywaliśmy się o stosunkach literackich w Chinach.

— W ilu mniejwięcej egzemplarzach drukuje się u was książka wybitniejszego autora?

— Co najmniej w milionie egzemplarzy.

— W milionie?

— Nie zapominaj pan, że ludność Chin wynosi 450 milionów i że wszyscy dorośli umieją czytać!

Sama przez się wysokość takich nakładów nie jest zadziwiającą. Nawet w Danii popularne pisma ilustrowane drukują się w 100,000 egzemplarzy, a za granicą w kilku stach tysięcy. Bądź co bądź jednak jest to szczególne, jeżeli pomyślimy, że cała nasza biblioteka królewska z dodaniem biblioteki uniwersyteckiej liczy jeszcze o paręset tysięcy tomów mniej, niż nakład jednej jedynej książki wybitniejszego autora chińskiego.

Markiz Cang mówił dalej:

— Mimoto autor nie otrzymuje za swoją książkę żadnego honoraryum. Jego płacą tylko cześć: dokądkolwiek w Chinach przyjdzie, wszędzie go znają. Książkę jego może też przedrukowywać każdy, kto chce. Co napisał, to powinno stać się dobrem całego narodu. Jest to demokratyczne zapatrywanie. a my Chińczycy jesteśmy demokratami. Sądzę, że ten system jest pożyteczny, jest dobry. (Potem trochę podejrzliwie:) Widzę, że pan się uśmiechasz w duszy na te moje słowa. (Nie uśmiechałem się wcale). O. tak! Ale mimo to ja jestem demokratą i uważam to za rzecz zbawienną.

Innym razem zgadaliśmy się o stosunkach chińskich w porównaniu do europejskich.

— Stosunki te są w głównych zarysach całkiem jednakowe — mówił do mnie maleński, inteligentny Chińczyk, mrugając swemi trochę ukośnemi oczkami. Zupełnie to samo, czy w Pekinie, czy w Londynie czy w Berlinie, czy w Paryżu!

Znałem już tę skłonność Chińczyków żyjących w Europie do możliwego zaprzeczania różnic między obyczajami wschodnio-azyatyckiemi i europejskiemi, i dlatego nie dziwiąc się wcale temu twierdzeniu, zapytałem:

— Naprzykład?

— Weź pan religię! — odparł Chińczyk. — Tutaj prostaczkowie są chrześcianami, niebo dla dobrych, piekło dla złych itd. Wykształceni nie mają żadnej religii. U nas prostaczkowie są buddystami — niebo dla dobrych, piekło dla złych itd., a wykształceni nie mają żadnej religii. Widzisz pan, w Pekinie to samo, co i w Londynie i w Berlinie i w Paryżu.

— Ale stosunki między mężczyzną i kobietą — powiedziałem — są przecież zupełnie odmienne. Czy to prawda, co mi powiadano, że dziewczęta nigdy nie widują się z młodymi mężczyznami, nigdy z nimi nie rozmawiają? Czy może to tylko prawda na papierze?

— Nie, nie, to prawda rzeczywista.

— To znaczy, że to jest zakazanem, ale mimo to się dzieje?

— Nie, nie, wcale się nie dzieje! Dla dziewczyny pociągnęłoby to za sobą ogromną hańbę.

— Więc kiedyż i jak poznaje dziewczyna swego przyszłego męża?

— Poznają się oboje w sypialni poślubnej. Sądzimy, że to w samą porę.

— No, i dobrze im z tem?

On (z niewypowiedzianą przebiegłością w małych rozumnych oczkach):

— A tutaj dobrze?

Nad tą kwestyą oczywiście możnaby filozofować długo i szeroko. Poprzestałem jednak na następującej uwadze:

— Ale później. kiedy młoda żona naraz uczuje się wolną, obcuje z innymi mężczyznami i zakocha się przypadkiem w kimś innym, a nie w tym, z którym ją połączono jak kota w worku, co wówczas?

On, znowu z wyrazem niezmiernej przebiegłości, rzekł:

— Tego już się łatwo domyślić. U nas tak samo jak w Berlinie, jak w Paryżu, jak w Londynie.

— No tak, domyśleć się można. Ale co potem? Co w takim razie z nią robicie? Czy ją zabija mąż, czy państwo? Czy ją publicznie karzą śmiercią?

— Śmiercią? Broń Boże! Co też pan wymyśla! Zasądzają ją na 7, 8 lat domu poprawy.

— Siedm lub osiem lat domu poprawy! No, moje uszanowanie!

— No tak, chciej mnie pan jeno zrozumieć. Zasądzają ją, jeżeli wiedzą. Ale kiedyż to człowiek wie? W tem sęk. Człowiek nigdy tego nie wie. Jeżeli mężowi się zdaje, że to wie, to udaje, że nie wie. Bo po co mu się przyda to wiedzieć? Nie pomoże mu to nic. Widzi więc pan, u nas zupełnie tak, jak w Londynie, w Paryżu i w Berlinie.

Na Wyłomie.

(Grafomani. Apotezya niemieckich Urszulanek.)

Któraż redakcya nie zna grafomanów? Są wśród nich tacy, którzy kolejno pukają do wszystkich redakcyi, są i tacy, którzy ukochali stale jedno czasopismo i w pewnych odstępach czasu zaszczycają je arkuszami

własnoręcznie zapisanego papieru. Redaktor zna dobrze grafomanów swoich. Spojrzy na rękopis, uśmiechnie się i rzuca do kosza produkt tej dziwnej odmiany patologii mózgowej, która znaną już wprawdzie była mnichom średniowiecznym, lecz dopiero z rozwojem prasy urosła do znaczenia typu chorobliwego i zwróciła na siebie uwagę psychiatrów.

W dziennikarskiem życiu spotykałem nieraz tych literackich pacyentów, a mając z natury upodobanie do analizy zboczeń umysłowych, wczytywałem się z ciekawością w kołowroty myśli i chaosy wiązań stylowych, któremi grafomani karmią skrzynki redakcyjne. W szeregu zebranych dokumentów dwa mianowicie gatunki jednego typu patologicznego wybitne zajmują miejsce. Z pierwszym spotkałem się lat temu kilka w redakcyi „Dziennika Poznańskiego.“ W skrzynce do listów znajdowano trzy a nawet cztery razy tygodniowo zwitki złożone z brudnych skrawków papieru i urywków starych dzienników, — często w kopertach, czasem związane tylko nitką lub szpagatem. Wykazało się potem, że listy te kreśliła kobieta. Wszytko tam było zapisane dużemi, bardzo niezręcznemi literami. Rysunek kaligraficzny zdradzał rękę niewyrobioną, dziecięcą, — ortografia była zupełnie błędna, lecz zdradzała w błędach konsekwencyą pewną, — a treść składała się z dziwnej mieszaniny dewocyi, patryotyzmu, plotek brukowych, opisów życia rodzinnego i potrzeb domowych. Jakiś urywek modlitwy, kończył się np. ni ztąd ni zowąd skargą na sąsiadkę, która zdechłego kota przerzuciła na cudze podwórze, — jakieś „Jeszcze Polska nie zginęła“ wskazywało w ostatniej zwrotce ilość kaszy zakupionej na targu. Co jednak najcharakterystyczniejszem było w tym chaosie myśli i wężowisku cudacznych splotów stylowych, to widoczny wstręt do każdego kawałka nie zapisanego papieru. Każda kartka zapisaną była podwójnie, a nawet potrójnie. Po zapełnieniu stronnicy grafomanka obracała kartkę i kreśliła dalej hiroglify swoje między wierszami, a często jeszcze w poprzek rzucała tasiemcowe zdania. I nie dość na tem. W kącikach skrawków papierowych, gdzie po ukończeniu pisaniny oko dostrzegło jakąś białą oazę, nie pokrytą atramentem, autorka lokowała urywane słowa. Byle zakryć białość drażniącą mózg chory! Identyczną tendencyę wykazywały fragmenty starych dzienników, których marginesy zasiane były hiroglifami grafomanki, a każde niezadrukowane miejsce, markujące nowy ustęp, pokryte wyrazami bez związku i sensu. Razu pewnego udało mi się przydybać autorkę, wciskającą gruby zwój rękopisów swoich do skrzynki redakcyjnej. Była to kobieta lat 50, ubraniem swojem przypominająca przedmiejskie waspanie, twarz rumiana i okrągła, oko zamglone, włosy ukryte w dużym kapeluszu słomkowym, związanym pod brodą wstążką niebieską. Wyjąłem z szczeliny skrzynki otyły rękopis i zapytałem, czy życzy sobie, aby utwór jej znalazł gościnność w łamach Dziennika. Spojrzała na mnie mętnemi oczyma i z wielką powagą odparła:

— Matka najświętsza kazała.

Oświadczyłem, że rozkazowi temu stanie się zadość, a ona snać zachęcona uprzejmością mcją, powtarzała bezustannie, że „musi pisać“, że „świat jest zły“, że „oczy bolą, ale pisać trzeba“.

Przymieszka obłędu religijnego jest nader częsta u grafomanów. Pod wpływem wizyi religijnych siada do stołu i posłuszny halucynacyom chorej wyobraźni pisze i pisze aż do ostatecznego wyczerpania sił. O losy manuskryptów swoich nie troszczy się wcale. Wrzuciwszy rękopis do skrzynki lub powierzywszy go poczcie spełnił swój obowiązek i nigdy nie zdarzyło mi się spotkać maniaka tej kategoryi, żądającego zwrotu rękopisu lub zamieszczenia w łamach czasopisma.

Druga, częstsza jeszcze odmiana typu grafomanów, to psychopata zapisujący foljanty papieru pod wpływem bodźców zewnętrznych, czy to wypadków politycznych, czy to sensacyjnych dzieł naukowych, czy wreszcie zdarzeń należących do działu kryminalistyki. Różni on się od pierwszej kategoryi pewną jednolitością tematów i tą potrzebą presyi okolicznościowej dla rozbudzenia namiętności pisania. Pokazywano mi w jednej z berlińskich redakcyi człowieka, którego specyalnością były długie moralne traktaty na temat samobójców i morderców. Ile razy ktoś w Grunewaldzie przewiercił sobie piersi na wylot, ile razy w „Lokal-Anzeigerze“ pojawił się jaki „Fall Heinze“, lub „Kuba Rozpruwacz“, natychmiast zjawiał się grafoman z pliką papierów, bądź to krytykujących ofiary własnej zgryzoty, czy cudzego noża, bądź też lubujących się w kombinacyach co doosoby nieznanego mordercy. Obecnie od pewnego czasu zawarłem znajomość z dwoma maniakami powyższego typu, z których jeden zarzuca mnie listami z nad Sekwany, drugi z nad Wełtawy śle zwoje papierów. Pierwszy w elaboratach swoich milowych zdradza mistycyzm w rodzaju Towiańskiego i karmi mnie proroctwami o „kuli trzech duchów krążących nad światem“ o „bombie gniewu bożego“ która pęknie i ludzkość zdruzgoce, o „trzech liczbach kryjących przyszłość Europy“ itd. Drugi zdradza również niewątpliwe cechy mistycyzmu, farbuje jednak wszystkie rojenia polityczne barwikiem lirycznego słowianofilstwa. Czy to zamordowanie Carnota, czy wystawa etnograficzna w Pradze, czy dymisya Hurki, zawsze z tej strony liczyć mogę na całe zaspy „aktualnych“ artykułów, pisanych wprawdzie niezłą polszczyzną i zdradzających pewną energię stylu, lecz przesianych tym haftom chorobliwych uwidzeń i snów obłocznych, które stanowią rdzeń mistycyzmu. Jest to jakieś błędne koło, którego autor przekroczyć nie może i męczy się i powraca wiecznie do jednego punktu i kopiuje sam siebie na niezliczonych arkuszach papieru. Toczy się w tych rękopisach jakaś tragiczna walka między myślą błędną a słowem, drga jakiś strach bezustanny, że ktoś je pojmie fałszywie. Chwilami nawet zjawia się przebłysk idei rozumnej, lecz po sekundzie życia tonie w oceanie mistycyzmu.

Takim jasnym momentem jednego z grafomanów moich są pierwsze słowa artykułu p. t. „Córka wyrodna“ nadesłanego dzisiaj z frankaturą podwójną. Zabolała biednego maniaka-patryotę apoteoza wrocławskich Urszulanek, zamieszczona w „Dzienniku Poznańskim“, i oto chwytając autorkę idyotycznego elaboratu w dwa palce, jak szczypawkę, powtarza jej z namaszczeniem słowa bajki: „Różdżką duch święty dziateczki bić każe“. Żałowałem istotnie, że naczelny organ „ładu i porządku“ nie znalazł rózgi na ukaranie korespondentki swojej, która ośmiela się zalecać wrocławski klasztor niemiecki, jako wzorowy instytut wychowawczy dla Polek. Sześćdziesiąt sióstr naszych i córek urabia umysły i serca swoje w warsztacie Niemek-Urszulanek, a my, zamiast rózgą siec grzbiety „Niepoprawnych“, wołamy: „Chwała wam wszystkim, co grosze polskie do cudzej niesiecie kieszeni i dzieciom swoim w atmosferze niemieckiej rość pozwolicie!“ Nie wiem, czy prawdą jest twierdzenie „Gońca Wielkopolskiego“, że wychowanki wrocławskiego zakładu okazują zamiłowanie do tańca po karczmach, w to jednak wierzę i to powtarzać będę bez końca, że żadna z tych wychowanek Emilią Sczaniecką nie będzie.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA

Pieśni i szkice Gustawa Kubik-Horodyńskiego, Lwów, nakładem A Kulczyckiego.

Autor ani się nie sili na orle loty, ani w zaciekaniach filozoficznych nie szuka dla pieśni swoich szerokiej podstawy, ani wreszcie formą ich nie należy do nowatorów poetycznych, którzy brzmienie końcówek i rytm ze słowem, a słowo z myślą usiłują stopić w jedną harmonię. Jednak trudno odmówić pewnego wdzięku takiej np. zwrotce, która ponadto dość trafnie oddaje główny nastrój tomiku

Daremnie śnić, gdy życia nić
Nie w naszą dana moc.
Lecz dobro siać, o bliźnich dbać,
Rozświecać ducha noc:
Na myśli miej — i miłość siej
A znajdziesz życia cel.

Prozaiczne „Szkice“ cechują bardzo dobre chęci. Najlepszym z nich jest „Ofiara“.

I. Zg.

KRONIKA POWSZECHNA.

Teatr i muzyka. Dowiadujemy się, że kilku z byłych artystów sceny poznańskiej zamierza utworzyć towarzystwo dramatyczne i w zimie objeżdżać miasta prowincyonalne. — W Beyreuth rozpoczął się 19 lipca nowy cykl Wagnerowskich oper: dyrygentem jest Zygfryd Wagner; przewidywany deficyt wynosi 100.000 mk., gdyż sprawiono nowe kosztowne dekoracye. — W warszawskim teatrze Małym wystawiono sensacyjną operetkę Varneya pt. „Owieczki.“ Rzecz pełna drażliwych sytuacyi rozgrywa się w sypialni pensyonarek. — Z teatrów berlińskich: Teatr Lessinga, na którego scenie dotąd rozbrzmiewały wesołe melodye operetkowe trupy Ferezy'ego rozpoczął w sobotę sezon wystawieniem czteroaktowej komedyi Oskara Waltera i Leona Steina p. „Panna doktór,“ przedstawianej już z wielkiem powodzeniem w Hamburgu i Lipsku. Jednocześnie z teatrem Lessinga rozwarły swe podwoje teatr pod Lipami, który wystawił „Krola Chilperyka“ z nową obsadą w partyach solowych baletowych, oraz teatr Centralny, próbujący ponownie szczęścia „Nocą stalona,“ która doczekała się dotąd już 254 przedstawień, a prawdopodobnie dociągnie i do trzeciej setki. Teatry: Nowy, Residenz, Schillera i Adolfa Ernesta, z uwagi na wystawę, wcale nie zawiesiły przedstawień. — Z sił dramatycznych zaangażowanych świeżo przez p. Rygiera dla teatru poznańskiego wymieniamy artystów i artystki następujące: panowie: Tarasiewicz (amant liryczny i bohater), Danielewski (komik charakterystyczny i lekki amant), Karpowicz (lekki amant), Olszewski (rezoner i komik), Neuman (do ról charakterystycznych); panie: Tańska (bohaterka), Biernacka (liryczno-naiwna), Wiśniewska (kokietka salonowa), Zalewska (rezonerka), Talko (amantka), Winiawska (do ról komicznych). Resztę nowych artystów podamy w jednym z najbliższych numerów.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

— **Ad. K. w Szamotułach.** Z nadesłanego wierszyka p. t. „Grabarze Ojczyzny“ korzystać nie możemy. Dużo tam uczucia — lecz formie brak warunków artyzmu.

— **S. S.** Na razie musimy zachować milczenie. Nadejdzie jednak chwila, w której gospodarce tej poświęcimy taką krytykę, na jaką zasługuje.

— **Pani Kuczalska-Reinschmit.** Na życzenie Pani notujemy, że wzmiankowany przez nas w poprzednim numerze artykuł o stanowisku kobiet poznańskich wobec nowego kodeksu cywilnego, zamieszczony był w lwowskim dwutygodniku „Ster.“

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28

Nr. 34. Poznań, niedziela 23-go sierpnia 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: ul. Wilhelmowska 28.
(Drukarnia J. Fr. Tomaszewskiego.)

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi w Poznaniu 4,00 mrk. Przyjmuje Administracya: ul. Wilhelmowska 28. w Niemczech i Austryi 5,00 mrk. (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 mk. — Prenumeratę przyjmują Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

TREŚĆ.

Rozwój socyalizmu w ziemiach polskich.

Delegaci socyalistycznych grup i związków, rozsianych po ziemiach polskich, ogłosili z powodu kongresu londyńskiego niemieckie (!) sprawozdanie z propagandy socyalistycznej na obszarach wszystkich trzech zaborów.

Sprawozdanie obejmuje cztery działy, opisujące działalność polskich socyalistów pod zaborem austryackim, pruskim i rosyjskim. wreszcie działalność „Zagranicznego związku dla polskich socyalistów“. Dział pierwszy nie zawiera wiele nowych i zajmujących szczegółów a odznacza się brakiem ścisłości statystycznej. Sprawozdanie stwierdza tutaj wzmożenie się ruchu socyalistycznego w obu częściach Galicyi od czasu kongresu zurychskiego, co najlepiej uwydatnia wzrost peryodycznej i przygodnej prasy socyalistycznej. Od grudnia 1894 r. wychodzi: „N. Robotnik“, organ wschodnio-galicyjskich kół agitacyjnych, trzy razy miesięcznie (zamiast dwa razy, jak to dotąd bywało); „Naprzód“, organ dla Galicyi zachodniej, raz w tygodniu (zamiast dwa razy na miesiąc); oba pisma mają nakładu 3,500 egzemplarzy. Oprócz tego założono: „Swiatło“ (przestało już dawno wychodzić. Przyp. Red.), organ fachowy drukarzy „Ognisko“, „Kuryer kolejowy“, organ fachowy robotników kolejowych. „Der Arbeiter“, dziennik w żargonie żydowskim. Nadto wydano 6 polskich i 4 żydowskie broszury.

Dalej, wspomina sprawozdanie o ruchu w sprawie reformy wyborczej i utworzeniu nowych organizacyi fachowych, które torują drogę czynności politycznej. Oprócz dwóch prowincyonalnych wieców stronnictwa i kilku wieców powiatowych, uczestniczyli socyaliści także w austryackich wiecach stronnictwa, a nadto urządzili wiele zgromadzeń ludowych. Co do kar sądowych. to — razem wziąwszy, — przesiedzieli dotychczas: w areszcie śledczym 12 lat, 8 miesięcy i 8 dni, w więzieniu zaś na mocy wyroku sądowego 7 lat, 8 miesięcy i 19 dni. Kary pieniężne wynosiły 131 złr.

Najbardziej zajmujący jest ustęp końcowy sprawozdania: o ruchu między ludnością wiejską. Przytaczamy go w dosłownym przekładzie:

„W niektórych miejscowościach, po wsiach, rozpoczęli nasi towarzysze czynność agitatorską. Klerykali i rząd szlachecki bronią tej ostatniej fortecy swej władzy politycznej, — lecz ruch ludowy chłopów polskich z patryotyczno-polskiemi tendencyami, oraz stronnictwo ruskie, opierające się na teoretycznym socyaliźmie, czynią wyłomy w tej fortecy, jeden po drugim. Jeżeli na dłuższy jeszcze czas jesteśmy zmuszeni organizować przeważnie proletaryat miejski, to nadchodzące wybory w kuryi piątej zmuszą nas do wkroczenia do kuryi wiejskich i pozyskania proletaryatu włościan i służby dla naszego programu.“

Przechodzimy do działu drugiego, poświęconego działalności stronnictwa w Poznańskiem. Agitacya socyalistyczna musi tu walczyć z wielkiemi trudnościami i dlatego rozwój socyalizmu jest tu o wiele mniejszy, aniżeli w Galicyi, lub w Królestwie polskiem. Zaraz po kongresie w Zurychu wzięto się do organizacyi stronnictwa, na wzór organizacyi niemieckiej partyi socyalno-demokratycznej.

Co roku gromadzą się kongresy, które wybierają przewodników, kierujących następnie przez cały rok sprawami partyjnemi i reprezentujących te sprawy na zewnątrz. W kongresach niemieckiej socyalnej demokracyi bierze zawsze udział jeden delegat „polskiego stronnictwa socyalistycznego“. Jest to wielkiem postępem w organizacyi, dawniej bowiem każde stowarzyszenie, każda grupa działała na własną rękę. Jako „ogólną teoretyczną podstawę praktycznej działalności“ przyjęto program niemieckiej socyalnej demokracyi, przyczem położono nacisk na konieczność skutecznej agitacyi za autonomią polskich prowincyi i za wprowadzeniem polskiego języka wykładowego do naszych szkół. Kierownictwo partyi i organ tegoż oświadczały się też kilkakrotnie za koniecznością uzyskania niezawisłości kraju i sprawa ta była omawiana i w powyższym duchu rozwiązywana na publicznych zgromadzeniach. Agitacya polega głównie na rozszerzaniu pism i na zgromadzeniach. Święta 1. maja nie obchodzono dotychczas jeszcze ani razu w wielkich masach, ale i w tym kierunku objawia się postęp przez liczniejsze i poważniejsze w tym dniu zgromadzenia.

Na Górnym Szląsku zdobyło stronnictwo dopiero w latach ostatnich silną podstawę. Przyczynił się do tego znakomicie międzynarodowy kongres robotników górniczych, odbyty w Berlinie w r. 1894. Po kongresie tym rozpoczęła się zaraz — pomimo prześladowań — organizacya robotników górniczych, a wkrótce potem organ stronnictwa socyalistycznego zyskał na Górnym Szląsku około 600 abonentów.

Rocznica Kościuszkowska dała polskiej socyalnej demokracyi sposobność objawienia swego stanowiska wobec dawniejszych powstań, a pamięć czterech towarzyszy, straconych w Warszawie, uczczono równie uroczystym obchodem. jak w całej Polsce. Udział stronnictwa w ruchu wyborczym był dotychczas bardzo mały, w każdym razie jednak da się stwierdzić wzrost głosów, oddanych na kandydatów socyalistycznych. Nie brakło też prześladowań, które głównie dotykały redaktorów pism socyalistycznych i wybitniejszych agitatorów. Organem stronnictwa jest wychodząca raz na tydzień „Gazeta robotnicza“. Nadto wydano trzy broszury majowe, broszurę o położeniu robotników górniczych i przetłómaczono z niemieckiego pisemko ulotne p. t. „Baczność! Socyalni demokraci nadchodzą!“

Tyle powiada sprawozdanie o działalności polskiej socyalnej demokracyi w zaborze pruskim. Dział trzeci — jak już wspomnieliśmy wyżej — opisuje działalność stronnictwa w Królestwie polskiem. Proletaryat — czytamy w sprawozdaniu — znajduje się tutaj skutkiem barbarzyńskiego, politycznego i narodowego ucisku, w wyjątkowo trudnem położeniu. Zupełny brak politycznej wolności, prześladowanie języka, religii i wogóle wszystkiego, co rozróżnia Polaków od Rosyan, wreszcie brutalność i samowola rosyjskich czynowników — wszystko to zmusza robotników do stawiania na pierwszym planie żądania radykalnej zmiany politycznych stosunków. ale zarazem jest ogromną przeszkodą w szerzeniu świadomości klasowej i organizacyi proletaryatu, który uporządkowaniem swych spraw może zajmować

się tylko w tajemnicy, pod ustawiczną groźą surowej kary. Pomimo to i tutaj od czasu kongresu zurychskiego ruch robotniczy wzrasta. Należy to przypisać wzmocnieniu organizacyi partyjnej i postawieniu jasnego politycznego programu. Pierwszego dopięto przez stworzenie „Polskiego stronnictwa demokratycznego“ z dawnych organizacyi odrębnych i grup socyalistycznych. Drugie streszcza się w żądaniu niezawisłej demokratycznej polskiej rzeczypospolitej.

Agitacya z natury rzeczy musi się ograniczać do tajnej propagandy w fabrykach i warsztatach i do rozszerzania ulotnych pism socyalistycznych. To pociąga za sobą konieczność zakładania tajnych drukarń, zorganizowania stałego przemytnictwa przez granicę i wiele innych podobnych uciążliwych a zarazem kosztownych urządzeń. Ale polskie stronnictwo socyalistyczne nie zraża się temi trudnościami, czego najlepszym dowodem, że w ostatniem trzechleciu wydało dziewięć broszur agitacyjnych a około 100,000 egzemplarzy innych socyalistycznych pism i broszur przemycenęło przez granicę i rozrzuciło między robotnikami. W r. 1894 rozpoczęto wydawać pismo „Robotnik“. Pismo to, drukowane w tajnej drukarni, wychodzi raz na miesiąc, a wzrastająca ustawicznie liczba jego abonentów dochodzi do 1500. W razie, jeżeli wydaniu pisma stoi co na przeszkodzie, ogłasza stronnictwo proklamacye, które jako plakaty bywają rozlepiane na murach miasta i rozrzucane wśród publiczności. W ostatnich trzech latach wydano takich proklamacyi 22. Nadto wśród więcej wykształconych robotników szerzy się organ „Zagranicznego związku polskich socyalistów“ „Przedświt“, przemycany regularnie co miesiąca przez granicę.

Ruch socyalistyczny rozszerzył się w Królestwie w latach ostatnich także terytoryalnie. Dawniej obejmował on tylko dwa wielkie centra przemysłowe: Warszawę i Łódź — dziś do zdobyczy swoich może już zaliczyć: Radom, Częstochowę, Zawiercie, Pabjanie, Lublin i okręg fabryczny sosnowicki z 50,000 robotników. Dzień 1 maja — pomimo ucisku policyjnego — święcony jest corocznie w ten sposób, że 20—30 tysięcy robotników zaprzestaje w tym dniu roboty. W ciągu ostatnich trzech lat było 19 większych strejków, w których wzięło udział 61,400 robotników, czyli 20 proc. proletaryatu fabrycznego.

W miarę wzrostu ruchu, wzrosły także prześladowania. Dokładnej liczby ofiar — wobec panujących w Rosyi stosunków — trudno podać, to też sprawozdanie ogranicza się jedynie do statystyki ważniejszych procesów. Sądownie skazano jednego towarzysza na dożywotnie roboty przymusowe w kopalniach Sybiru, 4 towarzyszy razem na 38 lat takich robót, a jednego na dożywotnie więzienie. W drodze administracyjnej, to znaczy bez sądu, wymierzono ogółem 65 lat i 8 miesięcy więzienia z robotami przymusowemi; 407 lat zesłania na Sybir i do północnej Rosyi. Więzienie śledcze trwa przeciętnie $1^1/_2$ roku, jakkolwiek nie brak wypadków, w których dosięgało do lat 3 a nawet 3 i pół.

Były też w łonie stronnictwa chwilowe nieporozumienia, które nawet w r. 1893 spowodowały stworzenie osobnej grupy pod nazwą „Socyalnej demokracyi Królestwa polskiego“ — grupa ta jednak utrzymała się tylko przez dwa lata, poczem secesyoniści wrócili napowrót do stronnictwa.

Pozostaje nam jeszcze streszczenie sprawozdania o działalności „Zagranicznego związku dla polskich socyalistów“ i o taktyce stronnictwa. Zostawiamy to do jednego z następnych numerów.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Pan Chełkowski i opinia publiczna.

Nawięzując do uwag o sprzedaży Sośnicy komisyi kolonizacyjnej tak pisze „Przegląd Wszechpolski“:

„Z wyjątkiem „Gońca Wielkopolskiego“ żadne (?) inne z pism miejscowych nie oburzyło się z powodu tej sprzedaży, chociaż niektóre podały tylko wymienione fakty. Przeciwnie, znalazło się nawet pismo — ultralojalny i katolicki „Kuryer Poznański“, które otwarcie w obronie p. Chełkowskiego wystąpiło. Niejednemu z czytelników naszych wydać sie może dziwną taka obojętność opinii publicznej, sprobujemy więc ją wytłomaczyć.

Przedewszystkiem fakty podobne tak często się powtarzały, że nie mogą już wywierać silnego wrażenia. Powtóre t. zw. opinia publiczna w rzadkich wypadkach tylko bywa zgodnem wyrażeniem zdania ogółu. Zwykle są rozmaite opinie publiczne rozmaitych warstw i grup społecznych. Któraż z tych opinii może się oburzać na p. Chełkowskiego? Opinia tej warstwy, do której on należy, tj. obywatelstwa ziemskiego, już z tego względu pobłażliwą być musi, że nie ma chyba rodziny pańskiej lub szacheckiej, któraby w gronie bliższych, bądź dalszych członków nie liczyła bodaj jednego sprzedawczyka. Po prostu ustałoby życie towarzyskie w tej klasie społecznej, zerwałyby się stosunki rodzinne, gdyby takie wykroczenia surowo potępiano. Zresztą szlachta wielkopolska i pruska wie o tem lub czuje bezwiednie, że jej rola społeczna już się skończyła. Ci co nie sprzedają Niemcom majątków, powstrzymują się od tego najczęściej przez wzgląd na stosunki lub interesy osobiste, interes publiczny bardzo mało ich w gruncie rzeczy obchodzi. Każdy niemal z nich w pewnych okolicznościach sprzedałby za dobre pieniądze swoją Sośnicę, nie może więc potępić sąsiada, który to zrobił. P. Chełkowski był tylko szczerszym i śmielszym może od innych.

Opinia znowu tych warstw, które widzą i rozumieją bankructwo moralne i materyalne szlachty, dla tego już nie może sądzić go surowo i bezwzględnie, że widzi w tego rodzaju faktach objawy naturalne pewnego procesu społecznego. Ci *morituri* są żywymi okazami rozkładu społecznego. Szkodliwe następstwa tego rozkładu należy usuwać, należy im przeciwdziałać, ale powstrzymywać jego przebiegu, tymbardziej gniewać

Nihilistka.

POWIEŚĆ

ZOFII KOWALEWSKIEJ

(prof. wszechnicy w Sztockholmie.)

(Ciąg dalszy).

Raz, gdy już w łóżku prosto siedzieć mogła, przyniósł jej ojciec papiery do podpisania. Drżącą ręką podpisała Wiera swoje imię, nie pytając wcale do czego to potrzebne straszliwem przeczuciem tknięta. W kilka tygodni potem, gdy już zupełnie zdrową była, powiedzieli jej rodzice, że Wasylcew zrobił przed śmiercią testament, w którym zapisał jej część swego majątku. Ojciec z wdzięczności za to uważał sobie za obowiązek oddać jej list Wasylcewa, pisany do niej przed śmiercią.

„Ty byłaś mi córką i kochanką, Wiero — pisał do niej — a teraz przed śmiercią myślę tylko o tobie, mnie nie udało się zrobić cośkolwiek na ziemi, całe życie byłem niepotrzebnym, bezużytecznym marzycielem! umieram, a ślady moje zostaną, jak trawa na polu, o której mowa w pieśni, skoszona, a miejsca, gdzie ona rosła znaleźć już nie można. Ty jednak Wiero moja, jesteś młoda, silna, ja wiem, ja czuję, że jesteś powołaną do czegoś wielkiego; to, o czem marzyłem, ty spełnisz, zrobisz to, co przeczuwałem tylko.“

Z głęboką czcią, przejmującą całą jej istotę, czytała Wiera te głoski, pisane dla niej ręką ostygłą nazawsze, zdawało jej się, że mówi do niej głos z tamtego świata. Nie doznawała już tej namiętnej, bezstronnej rozpaczy, jak dawniej, czuła jakgdyby się wielki czarny cień roztoczył na jej życiu, odcinając nazawsze możliwość osobistego szczęścia.

Choroba Wiery zmieniła cały kierunek w domu Barancowów. Po niej następowała jedna zmiana za drugą. Najprzód nastąpiło to, czego wszyscy dawno sobie życzyli i oczekiwali: Lena zaręczyła się. W miasteczku od dawnego czasu stał nowy pułk wojska, jeden z oficerów był sprawcą tej szczęśliwej zmiany. Wkrótce po weselu musiała młoda para wyjechać, gdyż ten pułk przeniesiono w inną stronę. Liza nudziła się teraz jeszcze bardziej i pojechała za siostrą z nadzieją znalezienia narzeczonego między kolegami szwagra. Tak rozproszyła się familia Barancowów. Ogólna cisza i spokój stały się teraz jeszcze monotonniejszemi, niż przedtem.

Ale wkrótce potem nastąpiło znowu nowe niespodziewane zdarzenie — już nie wesołe. Hrabia został sparaliżowany. Tym razem śmierć zapukała w okno i przeszła dalej, zostawiając niezatarte ślady. Nogi hrabiego zesztywniały, stracił pamięć. Drugim razem zachorowawszy, zdziecinniał zupełnie, leżał w wielkim fotelu, kaprysił i płakał, domagając się, żeby go bawiono, jak dziecko. Otoczenie nużyło się i męczyło nim coraz bardziej, wymagał on, ażeby mu ustawicznie opowiadano bajki; mógł mówić godzinami, przekręcając słowa, powtarzając sto razy jedno i to samo, obrażony, gdy go nie słuchano.

Tylko Wiera umiała pielęgnować starego, rozumiała jego mowę. Humor hrabiny zmienił się znacznie, stała się nadzwyczaj pobożną, otaczała się księżmi, mniszkami i pielgrzymami i odwróciła się od wszystkiego, co świeckie. Wiera pielęgnując chorego ojca, nie mogła myśleć o jakiejś działalności, poddała się losowi, zapadła w beznadziejną, pełną rezygnacyi apatyę. Nie można było przewidzieć kiedy się to skończy, lekarze utrzymywali bowiem, że choroba mogła trwać i lat dziesięć.

Ale ta zapowiedź nie spełniła się na szczęście. W trzy lata później zjawiła się śmierć nagle. Pewnego pięknego dnia zasnął hrabia spokojniej, niż zwykle, a gdy Wiera, zdziwiona jego długim snem, przyszła go budzić, znalazła go zimnym. Na pogrzeb zjechała się familia, potem rozeszli się wszyscy w romaitych kierunkach.

Hrabina objawiła córkom, że postano-

się, że rozpada i gnije to, co warunków do życia nie posiada — nie można.

Są niewątpliwie w warstwie szlacheckiej wyjątki dosyć liczne, których istnienie bałamuci opinię ludzi, nie zdających sobie sprawy z właściwego charakteru przeobrażeń społecznych. Ludzie tacy w najlepszej wierze łudzą się jeszcze, że można uratować to, co zginąć musi, że zjawi się jakiś cud, który „przeżyte kształty“ odrodzi, że dla kilku czy kilkudziesięciu sprawiedliwych ocaloną będzie Sodoma szlachecka, bo przecie nie jest ona taką grzeszną, jaką była jej imienniczka starożytna, owszem jest nawet dosyć sobie poczciwą i dobroduszną Sodomą. Widzą oni pomiędzy szlachetnymi wyjątkami i sprzedawczykami tłum szary, bezbarwny i sądzą, że ten tłum do poziomu wyjątków podnieść można, gdy w rzeczywistości tłum ten składa się ze sprzedawczyków *in potentia* lub z ludzi, skazanych na wymarcie, bo sami w to nie wierzą, że żyć mogą. Doświadczenie coraz częściej przekonywać będzie naiwnych, że ulegają złudzeniu optycznemu, że ten tłum, który jak się im zdaje, przechyla się na prawo i podnosi się ku górze, w samej rzeczy idzie na lewo i zsuwa się po pochyłości coraz niżej.“

* * *

Aresztowanie posła.

Ciekawą ilustracyę stosunków galicyjskich podaje „Kuryer Lwowski“. W Nr. 223 pisma tego czytamy:

„Fakt nadzwyczajny, wyjątkowy zdarzył się w ubiegłą niedzielę. Komisarz starostwa nie mający do tego żadnego pisemnego upoważnienia, aresztował posła na sejm krajowy z powodu całkiem fiktywnego i żadnym kodeksem nieprzewidzianego przekroczenia. Nie przesądzając tej sprawy chcemy dziś tylko stwierdzić sam fakt według opowiadań samego posła.

Członkowie czytelni gminnej w Wytaszycach pow. przemyskiego zwołali w ubiegłą niedzielę za poradą wójta Glińskiego poufne zgromadzenie za zaproszeniami imiennemi, celem narady nad sprawami gminy i powiatu. Rozumie się, że Gliński w niedzielę zaraz doniósł do starostwa o odbyć się mającem zgromadzeniu. Zaledwie zaproszeni się zebrali zjawił się też komisarz starostwa przemyskiego p. Mirski i rozwiązał zgromadzenie pod pretekstem, że we wsi istnieje choleryna. Proboszczowi miejscowemu oświadczył jednak, że trochę później, gdy się część zaproszonych rozejdzie, pozwoli na odbycie zgromadzenia.

Na zgromadzenie owe zaproszony był także poseł Nowakowski z sąsiednich Torek, zajęty jednak w domu zdążył przybyć do Wytyszyc dopiero o godz. 4, tj. parę godzin po rozwiązaniu zgromadzenia, kiedy ludzie bądź rozeszli się do domu, bądź też przechadzali się po ulicy. Poseł Nowakowski wszedł do czytelni, gdzie zastał księdza miejscowego, jeszcze 4 członków czytelni komisarza Mirskiego. Zaledwie poseł wszedł do czytelni, przystąpił do niego komisarz i zapytał:

— Cóż to, panie Nowakowski, czy będziemy się co niedzieli spotykać?

Dodamy, że p. Mirski poprzedniej niedzieli rozwiązał takie samo poufne zgromadzenie włościan w Torkach i kilkakrotnie już groził posłowi Nowakowskiemu aresztowaniem. Poseł Nowakowski na to obcesowe zapytanie odpowiedział, że mogą się spotykać i częściej, niż raz w tygodniu, poczem komisarz oświadczył mu, że zgromadzenie jest rozwiązane z powodu choleryny. Poseł Nowakowski zapytał, czy choleryna jest rzeczywiście urzędownie stwierdzona przez lekarza powiatowego (co nie miało miejsca) komisarz jednak w odpowiedzi na to wezwał go, by natychmiast salę opuścił. P. Nowakowski odparł, że nie widzi tu żadnego zgromadzenia, lecz wszedł do czytelni, gdzie mu przecież wolno być. Komisarz powtórzył jeszcze raz wezwanie do opuszczenia sali, gdy jednak Nowakowski tego nie usłuchał i za trzeciem wezwaniem sali nie opuścił, tłómacząc komisarzowi zupełną bezpodstawność tego żądania, komisarz przywołał żandarma, kazał aresztować posła i odstawić do starostwa w Przemyślu. Nowakowski nie opierał się, najął podwodę i w towarzystwie żandarma pojechał do Przemyśla, dokąd równocześnie p. Mirski pojechał fiakrem.

W starostwie kazano Nowakowskiemu pod opieką żandarma pół godziny czekać na kurytarzu. Następnie wezwał go komisarz N. celem spisania protokółu, gdy jednak Nowakowski oświadczył, że żadnego protokółu w starostwie składać nie będzie i prosi o niezwłoczne odstawienie go do sądu, komisarz po ponownej całogodzinnej deliberacyi z p. starostą „tymczasowo wypuścił go na wolną stopę“.

Ojcu posła Nowakowskiego, który przerażony wkrótce potem wiadomością o aresztowaniu syna przybył do starostwa, starosta oświadczył, że syn jego aresztowany był „za nieposłuszeństwo“, ale został natychmiast wypuszczony. Aresztowanie to zrobiło w całym powiecie wśród ludu ogromne wrażenie i oczywiście wręcz przeciwne, niż tego pragnęła władza. Sprawa ta oprze się niezawodnie o najwyższe instancye. Władze polityczne muszą się raz przekonać, że służba ich połączoną jest z osobistą odpowiedzialnością i że ustawy są nie po to jedynie, by były w dowolnych dozach wykonywane, lecz po to, by były przez wszystkich zarówno szanowane.

— *ski.*

LITERATURA I SZTUKA.

Nowe utwory Junoszy.

(Klemens Junosza: Synowie pana Marcina, powieść wiejska. druk J. Zawadzkiego w Wilnie 1896, str. 276. Z papierów po nieboszczyku Czwartym. Warszawa, nakład Czajkowskiego, 1896, str. 168. Przy kominku, obrazki i opowiadania, Warszawa, nakład Dubowskiego i Gajewskiego, 1896, str. 281.)

W niedługim stosunkowo okresie lat dwunastu, tj. od r. 1884, kiedy się ukazał pierwszy zbiorek opowiadań pt. „Z mazurskiej ziemi“, Klemens Junosza Szaniawski zajął w najnowszej beletrystyce polskiej stanowisko wyjątkowe, niemal naczelne. Chę-

---

wiła wstąpić do klasztoru. Dawniejszy zarządca kupił dobra; po sprzedaży dostało się każdej córce dwadzieścia tysięcy rubli. Starsze siostry wróciły do swego dawniejszego życia, Wiera znalazła się sama w świecie swobodna, od nikogo niezależna; nie namyślała się długo, pojechała do Petersburga szukać sposobności, gdzieby działalność swoją rozwinąć mogła.

IX.

W pierwszym czasie spotkała Wiera same rozczarowania. Przekonała się, że być pożyteczną, jest o wiele trudniej niż to myślała. W jej rozumieniu być pożyteczną, znaczyło pracować samej nad zniszczeniem despotyzmu i tyranii, albo popierać tych, którzy w tym kierunku pracują. Nie rozumiała, że można być użytecznym, używając bardziej prostych środków. Ale do kogo miała się zwrócić po stosowną pracę? Rozmowy jej z Wasylcewem nie przygotowywały do żadnej określonej działalności; obracały się one zawsze w zakresie abstrakcyi i ideału. Dzięki Wasylcewowi przeczytała Wiera mnóstwo rewolucyjnych broszur. Wasylcew sam przedstawił jej w sposób wstrząsający obraz okropnej nędzy, w jakiej ludzkość żyje, a przyczyną tego wszystkiego był fakt, że teraz podstawą życia jest ucisk i konkurencya, a nie swoboda i dobrowolna umowa. Nie jeden raz mówili o tych męczennikach, o tych wszystkich współczesnych bohaterach, równości, którzy poświęcali życie swoje i szczęście za świętą sprawę.

Wiera ukochała tych bohaterów, płakała nad ich losem, ale w żadnej z tych rozmów, nie wspomniano o tem, co Wiera robić powinna, aby się stać pożyteczną sprawie.

W latach, które nastąpiły po uwięzieniu Wasylcewa, rozmyślała często o tem. Zawsze gryzła ją myśl o najbliższem zadaniu; należało zerwać z rodziną, wyjść z tego ciasnego koła, w którem życie swe spędzała. Jej nieznajomość rzeczywistego życia była tak wielką, że wyobrażała sobie, iż nihiliści są jakiemś zorganizowanem stowarzyszeniem, pracującem według określonego planu, dążącem do jakiegoś wyraźnego celu.

Nie wątpiła też, że, przybywszy do Petersburga, łatwo dostanie się do ogniska tej agitacyi i bezzwłocznie zostanie zaciągniętą do tej wielkiej podziemnej armii i otrzyma w niej miejsce, może skromne, ale pewne i określone. Takie były jej marzenia przez te lata. Teraz w Petersburgu jest zupełnie panią siebie, może robić co jej się podoba. I?... Cel jej jest tak niejasny, jak przedtem. Nie wie do kogo się udać, nie umie nawet odszukać rzeczywistych nihilistów. Było to dla niej wielkiem rozczarowaniem, gdy się dowiedziała, że żadnego z nich nie znam, że nawet wątpię o istnieniu dobrze zorganizowanej party nihilistów w Petersburgu. Spodziewała się ona czegoś lepszego, poradziłam jej jednak, żeby tymczasem w oczekiwaniu odpowiedniejszej jakiejś działalności — zapisała się na wykłady przyrodnicze. Właśnie otwarto wtedy kursy dla kobiet.

Posłuchała mnie, zaczęła uczęszczać na wykłady, ale umysł jej nie był w tym kierunku należycie przygotowany, nie mogła zrównać się z koleżankami swemi, nie umiała przejąć się ich interesami. Koleżanki te były to przeważnie młode dziewczęta, pracowały gorliwie, mając jasno określony cel przed oczyma. Wszystkie pragnęły pozdawać egzaminy jak najprędzej, aby otrzymawszy miejsce nauczycielek, módz żyć z własnej pracy.

Wszystkie ich myśli koncentrowały się teraz na studyach, wykłady, profesorowie, praktyczne zawody, to było treścią ich rozmów. Nie cierpiały wcale na „Weltschmerz.“ W wolnych godzinach chętnie się zgromadzały razem, a gdy była potemu sposobność, tj. gdy się zebrało trochę studentów, nie mogły się wstrzymać od tańców i kokieteryi.

Wszystko to nie pociągało natury tak marzycielskiej, jak Wiera. Nie dziw więc, że chociaż im często pomagała swoją sakiewką, trzymała się od nich zdaleka, uważając je za dzieci.

Także studya nie zadawalniały jej bynajmniej.

— Jeszcze będzie czas zajmować się nauką — myślała — trzeba wprzód spełnić najważniejszą część zadania.

— Nie rozumiem — mówiła raz do

tnie przyznałby się do niego nawet Kraszewski, gdyby wstał z grobu. Nie zrywając się do wysokich orlich lotów, nie kusząc się o wykradzenie tajemnic przyszłości dalszej, nie wybiegając po za widnokręgi spraw domowych — lokalnych, bieżących, autor „Syzyfa“, „Panów braci“, „Na zgliszczach“, „Pająków“ i dobrej setki pomniejszych zarysów i nowel, pruł zagon ojczysty, aby dalej, aby dalej.... czasami nieco głębiej, czasami trochę płyciej, stosownie do natury gleby, ale zawsze z tem mocnem przeświadczeniem rolnika, gospodarza, który wie, że plony — w najgorszym razie, nie chybią wszędzie jednocześnie na każdym kawałku mniej więcej gorliwie uprawionego gruntu. Zeschnie siejba w jednem miejscu, wymoknie w drugiem, ale przecież nie wymoknie tam, gdzie ma zeschnąć, ani nie zeschnie tam, gdzie zazwyczaj wymaka. Rachunek prawdopodobieństwa zrobiony był najprawidłowiej, przeto i nadziejom na nim osnutym nie zaniedbał Bóg pobłogosławić. Zbiory lat ostatnich nietylko nie ustępują dawnym pod względem ilości, ale wykazują znaczny, niezaprzeczony postęp w gatunku, doborze i rozmaitości ziarna. Gdyby tak jeszcze i rzeczywistość równolegle i równomiernie dopisała progresyi agronomiczno-powieściowej!... Ale tego nikt żądać nie może od najbieglejszej bodaj kombinacyi romansopisarskiej.

„Synowie pana Marcina“ demonstrują ten pewnik w sposób nie pomału pouczający. Jest to właśnie cel owego licha, które niegdyś w „Syzyfie“ zgnębiło biednego pana Jana ze Stawisk.

W fatalnych warunkach, przytłaczających własność ziemską, większą i średnią, żadna zmiana na lepsze nie zaszła. O samem położeniu ojca rodziny — pana Marcina, również nic innego powiedzieć nie sposób nad to, cośmy już przed laty słyszeli o położeniu pana Jana. Wstawał do dnia, późno w nocy szedł na spoczynek, garstce słomy zmarnować się nie dał, całości mienia pilnował jak źrenicy w oku, oszczędność i punktualność posuwał do ostatecznych granic, zajęty był wyłącznie wychowaniem dziatwy i myślą zabezpieczenia starości od zawieszonej nad głową groźby wydziedziczenia i tułactwa... I cóż — wypłynął. Dla czegoż Jan ze Stawisk utonął? — Albożnie znał uniwersalnego owego środka chirurgicznego, który Marcinowi pozwolił jedną połowę majątku ocalić kosztem drugiej, wyśliznąć się z pazurów lichwy krwiożerczej, ożenić się z panienką ubogą wprawdzie, lecz ukochaną, synom dać edukacyę gruntownie praktyczną i wyjść pod koniec — nie z torbami, lecz ze sporym trzosem gotowizny... Wiedział owszem pan Jan o tem panaceum, trąbiły wszak o niem dzienniki już i za jego czasów; jeśli zaś go nie zażył, to chyba dla tego, że parcelacya wymaga znajomości geodezyi, której nie posiadał, o której miał wyobrażenie fałszywe — homeopatyczne, zgodne zresztą z biedą, doskwierającą mu na łuty, na uncye. Pytania co? jak? zkąd? od kogo? kiedy? — gryzły go, według zapewnienia Junoszy, niby owad natrętny, brzęczały, rzucały się do oczu; świdrowały czaszkę o każdej dnia porze, nad ranem, w południe, pod wieczór, o północku. W głowie miał taki zegar, który mu biedę wyklepywał co minuta, co sekunda. Ktoby pana Jana chciał był pocieszać obietnicą, że za rok, za dwa, będzie lżej — parsknąłby mu w żywe oczy. Rok? dwa? — alež powaryowali ludzie: dziś płacić trzeba ratę Towarzystwu, jutro rozpoczynają się żniwa, pojutrze zjeżdża komornik. Na nieprzyjaciela trzeba się wybierać z grubszym — nadewszystko zaś z dłuższym kijem... Albož nie prawda? — Prawda. Część pierwsza mechaniki — jako racyonalna — jest więc z pewnością bez zarzutu; czy zaś część druga — zastosowawcza — istotnie posiada wartość, jaką jej przypisuje Junosza, odpowiedziećby na to mogły jedynie osoby bezpośrednio zainteresowane. Z naszego teoretycznego punku widzenia zapewnić tylko możemy, że na przerzuceniu kwestyi ekonomicznej z pod bieguna pesymizmu (w Syzyfie) ku biegunowi optymizmu (w „Synach p. Marcina“) artyzm zyskuje co najmniej 25⁰/₀, temat bowiem drugi nieskończenie więcej niż pierwszy, odpowiada usposobieniu Junoszy i naczelnym przymiotom jego literackiej twórczości: 1) kompozycyi jasnej, logicznej, prosto i najczęściej bez intrygi, zmierzającej ku wytkniętemu z góry rozwiązaniu; 2) dykcyi swobodnej, anegdotycznej, barwnemi epizodami przeplatanej, ujętej w formy odręcznego, zaniedbanego nawet niekiedy, lecz dziarskiego, zajmującego dyalogu.

Szczerze współczując niedoli człowieczego istnienia, zaprzątniętego głównie różnorodnemi kwestyami doczesnemi — przewozowemi, młynarskiemi, piekarskiemi, kramikowemi — Junosza nie zapomina, że są strefy, zkąd na nas spływają mniej mętne źródła zadowolenia wewnętrznego, i gdzie duch ludzki doznawać może rozkoszy bezinteresowniejszej nieco — bez zagadnień macznych w zanadrzu, bez wysmarowanych pożytkiem dłoni, bez pieniężnej nagrody na wierzchołku celowego słupa; wycieczkom atoli w tę krainę oderwania i ideału autor poświęca zazwyczaj mało miejsca, — tyle zaledwie, ile dobry przeciętny mieszczuch warszawski przeznacza w tygodniu godzin na przechadzkę po wystawie hygienicznej, to jest dwa, trzy feljetony najwyżej. Z takich to przygodnych, ulotnych szkiców składa się w większej części książka „Przy kominku“, obejmująca opowiadań jedenaście, a z dołączeniem osobno wydanego obrazka „Z papierów po nieboszczyku Czwartym“ — okrągły tuzin. Całość tworzy mieszaninę przyjemną, podaną w dozach szczupłych, ale zrównoważonych, rozsegregowanych odpowiednio do ogółu stosunków naszych społecznych, w których chłopi, żydzi, szlachta, grupują się w kolumny dotąd najgęszcze, najtwardsze, wydzielające z siebie lub wchłaniające w siebie nie stężałą, dokoła niej wirującą materyę kosmiczną naszego proletaryatu wiejskiego i miejskiego (wyrobniczego, służebnego, przemysłowego, urzędniczego, piśmienniczego, artystycznego itd.) Podołać temu wszystkiemu naraz Junosza nie mógł, pomimo rozległej skali swych zdolności postrzegawczych i zasobności swych doświadczeń życiowych; wszakże i to na co się po dziś dzień zdobył, podziwiać każe jego zabiegliwość, pracowitość i wszechstronną niemal zdolność oryentowania się wśród tysiącznych naszych zaczynów i niedoczynów klasowych i klasyfikacyjnych, na które ciężko, niemal wyłącznie rozkładowo oddziaływają powszechne wpływy klimatyczne, atmosferyczne, geograficzne, czy jak tam sobie nazwać je zechcemy. W „Nieboszczyku Czwartym“ podany jest w streszczeniu pamiętnik wykolejonego nauczyciela

---

mnie — jak można wpośród tej nędzy, otaczającej nas dokoła, pod wrażeniem tych cierpień, dręczących ludzkość, znajdować przyjemność w oglądaniu oka muchy pod mikroskopem, a przecież nasz profesor zajmował się tym wyższym przedmiotem przez całą godzinę.

Gdy się przekonałam, że Wiera nie ma zamiłowania do nauk przyrodniczych, radziłam jej, aby się zajęła ekonomią polityczną. Ale wykłady z ekonomii nużyły ją, żadnej nie przynosząc korzyści. Przystępując do tych studyów, była z góry przekonaną, że aby zamierzony cel — szczęście ludzkości — sprowadzić, należy podzielić wszystko między siebie, znieść własność i ucisk. Uważała to za prawdę niezaprzeczoną, o której wątpić nie było można, dla której dowodu nie było potrzeba.

— Pocóż więc łamać sobie głowę nad temi wszystkiemi kwestyami, płaca robotnicza, procenty, kredyty i mnóstwo innych nudnych zawikłanych rzeczy, które tylko rozum mieszają i odciągają ludzi od wyższych celów. W naszych czasach żaden uczciwy człowiek nie ma prawa zapytać się siebie: „jaki cel stawiam memu własnemu życiu?“ On powinien się tylko zająć wyborem najkrótszej drogi, któraby go zawiodła do jednego, ogólnego, z góry określonego celu. Dla Rosyanina celem tym może być tylko rewolucya społeczna i polityczna. A na te pytania nie daje ekonomia polityczna żadnej odpowiedzi, więc pocóż czytać i uczyć się jej?...

Tak dysputowała Wiera ze mną, a przecież może się to wydać dziwnem, byłyśmy serdecznemi przyjaciółkami. Schodziłyśmy się coraz częściej, a w naszych rozmowach coraz widoczniejszą była osobista sympatya, tłomaczyłam sobie to rzadkim urokiem, właściwym Wierze. Jej rysy twarzy były tak szlachetne, jej ruchy tak wdzięczne i harmonijne, tyle szczerości i naiwności było w całej jej istocie, że patrząc na nią, rozkoszowałam się.

Debatować z nią, było niepodobieństwem, żałowałam bardzo, że umysł jej był zamało rozwinięty — dlatego pozostała ona zupełnie obojętną na zdobycze współczesnej cywilizacyi. Wiera przenosiła mnie nad wszystkich znajomych, nie mogła atoli zrozumieć, że się zajmuję wyłącznie matematyką. Zdawało jej się; że matematyk jest dziwakiem, zajmującym się rozwiązywaniem szarad liczbowych. Można mu tę manię wybaczyć, gdyż jest ona nieszkodliwą, ale trudno jest wstrzymać się od pewnego lekceważenia tej słabości. Tak patrzyła każda z nas na drugą z pewnej wysokości, ale to nie mąciło naszej przyjaźni.

Tymczasem czas ubiegał a Wiera była coraz niecierpliwszą, coraz niespokojniejszą, widząc, że nie zrobiła jeszcze ani jednego kroku do osiągnięcia zamierzonego celu. Zdrowie jej cierpiało z tego powodu, że jej życzenie poświęcenia się sprawie, nie znalazło zadośćuczynienia; rumieńce znikły z jej twarzy, a wyraz jej szafirowych oczu stawał się z każdym dniem smutniejszym, bardziej zamyślony. Przypominam sobie, jak raz w zimowy poranek przechadzałyśmy się na Newskim Prospekcie. Niebo było czyste, a słońce rozlewało dokoła swoje jasne, jaskrawe promienie. Świat wyglądał tak, jak owe pełne światłości królestwo śniegu, o którem opowiada bajka. Srebro iskrzyło się w szybach wystawowych, srebro połyskiwało pod naszemi nogami i rozpryskiwało się naokoło nas w drobniutkich blaszkach. Tak wiele orzeźwiającego ma w sobie czyste zimowe powietrze, że dodaje otuchy do życia.

Pomimo szerokich chodników posuwałyśmy się z trudem, tak wiele było przechodniów; mężczyźni, dzieci, kobiety z jasnemi rumieńcami na twarzach, z brodą ukrytą w futra cisnęli się przed nami, za nami i wokoło nas.

— Gdy pomyślę — rzekła nagle Wiera do mnie — że może między tymi ludźmi znajdują się ci, których właśnie szukam... może niejeden z nich mógłby mi właśnie powiedzieć, co tak bardzo wiedzieć pragnę! Czy wiesz, że za każdym razem, gdy spotykam jakiegoś sympatycznego człowieka, gotową jestem zatrzymać go i zapytać się czy nie jest jednym z tych...

— No proszę, nie przeszkadzaj sobie — odpowiedziałam spokojnie — patrz naprzy-

łaciny, Melchiora Kurkiewicza, który w boskiej mowie Liwiuszów i Cyceronów wyćwiczył się jeszcze za czasów, kiedy w szkołach X. przełożonym był ks. prefekt Budziłowicz (wszak tak: Budziłowicz?), a Juliusza Cezara komentował prof. Klepalski. Zaproszony na wieś do obywatelskiego domu Kwiecińskich z Sędziwej Woli zatabaczony Kurkiewicz doznał najpierw oszałamiającego zdumienia, następnie olśniewającej, niebotycznej radości, skoro się tylko przeświadczył, że łaciny uczyć się pragnie ośmnastoletnia urocza Wandzia, jedyna córka starego, przykutego do fotelu paraliżem nogi dziedzica Woli (50 włók takiej ziemi, że choć cebulę sadź od skiby do skiby, las jak drut, łąki nadrzeczne, z których siano panny warszawskie w tyfusie jeśćby mogły, jezioro, inwentarz, budynki, a podobno stary i kapitalik ma — zapewniał przy umowie z Kurkiewiczem rządzca Biernacki)... O jakże marne, zwodnicze i śmiechu godne są wszystkie te uniesienia nasze nad nauką, umiejętnością, genialnością — jeżeli taka nawet zacna, dobra, kochana Wandzia w kłamstwa się bawi! Bo i cóż się to okazało? Oto przywiązanie dziewczyny do supinów i gerundiów było najwierutniejszem zmyśleniem: nauczyciela żądała ona jedynie po to, ażeby przy chorym ojcu wraz z proboszczem i p. Dukszneren był dopełnieniem „czwórki“ niezbędnej dla dobrej partyi winta... Figiel, dziwactwo, igraszka ślepego trafu — ot co wszechwładnie rozrządza losami mędrców i potentatów wiedzy. Utrzymują niektórzy, że Junosza nie jest głębokim myślicielem, filozofem, psychologiem. Oho, oho! odczytajcie uważnie w „Przy kominku“ jego człowieka o skrzypiących butach, jego pierwszy dzień miodowego miesiąca, jego fałszywą dziesiątkę, jego babską duszę; posłuchajcie, jak dalece przyczynowo i skutecznie — w tryumfie stryjenki, w gospodarskim ranku, w śnie na kwiatach — kartują się zdarzenia, projekty, wypadki na małym świecie — a zastąpi to wam wielką socyologię i historyozofię Wiców, Herderów, Bucklów, Spencerów...

Plecionkę tę wszechrzeczy odgadła zresztą przed wiekami jeszcze ciemna baśń gminna, której Junosza jest znawcą, wielbicielem i często mistrzem nienaśladowanym. Przypomnijcie sobie np. ową deterministyczną klechdę o pyrdce, która nie chciała do chaty iść, o psie, który nie chciał na pyrdkę szczekać, o kiju, który psa nie chciał bić, o siekierze, która nie chciała kija siekać, o kowalu, który siekiery nie chciał narychtować, o powrozach, które kowala nie chciały krępować, o szczurach, które z powrozami nie chciały wojować — dopóki na szczury nie sprowadzono kotów... wtedy jak zaczną koty szczurów gnieść, jak zaczną szczury postronki jeść... pies wreszcie jak zacznie pyrdkę gryść, — pyrdka musiała do chaty iść...

Jest, — niewątpliwie jest sens w powiastkach Junoszy — i psychologiczny i filozoficzny, i socyologiczny, tylko że wysnuwa się on na pozór dość ociężale, chropowato, rubasznie, a majacząc niby trzy po trzy, — rozpływa się w końcu jak we mgle wiosennej, rozprasza się i wikła jak w pajęczynie babskiego lata — w ironii wiotkiej, słodkiej, wstrzemięźliwej, bojaźliwej... Jeśli to w humorystyce polskiej jest wynik i odwzór ogłady towarzyskiej, uwzajemnionego z nią obcowania literackiego — w takim razie wieczne odpocznienie gustom, wytrawności, strawności i żołądkowi narodowemu: wypadnie chyba odtąd baraninę cukrzyć i śledzie w miodzie marynować.

Królowa-Niewolnica.

Nowe prądy w literaturze, co na swej fali przyniosły żądanie wyzyskania innego tematu: „kobieta“ — harmonizują z prądami, które żądają dla kobiety innego stanowiska wśród społeczeństwa. Kwestya emancypacyi kobiety, będąc kwestyą ekonomiczną, rzuca wyraźny refleks w literaturze.

Kwestya emancypacyi kobiety jest zbyt ważną, aby wobec niej zabierać tu zasadnicze stanowisko: dość jest skonstatować jej wynik.

Zadanie kobiety w społeczeństwie było dotychczas praktycznem zastosowaniem formuły ekonomiczno-społecznej: Ohne Dienstboten — keine Kultur. Zależność kobiety uważaną była za warunek cywilizacyi. Zadaniem jej było stworzyć jaknajlepsze, jaknajdogodniejsze warunki dla tych, co cywilizacyą na swych barkach nieśli w górę — i nic więcej. A gdy padło z ust jej zapytanie, dokąd idą, dla czego jej nie pozwolą brać udziału w uczcie duchowej — usłyszała odpowiedź, że równowaga społeczna wymaga pewnych ofiar z jej strony — zrzeczenia się swej samowiedzy czynu: rola jej bowiem miała być bierną.

A jeśli życie długotrwałemi zgłoskami wyryło w księdze przeznaczeń kobiety słowa, dyszące bezdenną otchłanią ofiar dla nieznanego jej dotąd bóstwa: cywilizacyi, — to te same słowa brzmią echem do dziś dnia w literaturze.

Kobieta w literaturze była przystosowaniem tej formuły do najbardziej emocyonującego tematu — miłości. Bez miłości — nie było poezyi i piękna w literaturze, kobieta zaś była naczyniem tej miłości — Dienstbote der Liebe.

Cóżby się stało z tysiącem tematów miłosnych, wyśpiewanych na różne tony, cóżby się stało z poezyą, sztuką, jeśliby „on“ — bohater — nie miał do kogo wzdychać, przed kim klękać, dla kogo walczyć i przy kim odpocząć!... Cóżby się stało z temi cudnemi spowiedziami miłości, gdy „jego“ serce przepełnione uczuciem bez granic, otworzyło się radośnie dla całego świata i światu pozwoliło zajrzeć we wnętrze swej istoty. — Bez Heleny nie byłoby wojny Trojańskiej, bez Małgorzaty — Fausta; a biedny Werther potrzebował swej Lotty, aby mógł cierpieć, jak cierpiał. On nie dla tego cierpiał, że ona była, lecz ona dla tego była, aby on mógł cierpieć.

A gdy się Adamowi nudziło, stworzył Pan Bóg Ewę z żebra jego, aby go mogła rozweselić: — jest to typowy przykład, którego analogie znajdują się wszędzie, mniej lub więcej widoczne. Tym „panem Bogiem“ był zawsze artysta, który tworzył dla „niego“.

I ta potrzeba więc, aby kobieta była zbiornikiem uczuć „jego“, aby go emocyonowała, aby się mógł dla niej pojedynkować lub zabić, zakreśliła pole dla jej indywidu-

---

kład ten oficer z błyszczącemi epoletami, albo ów wzorowy adwokat, który ci się z taką pewnością przygląda przez swój monokl — czy nie zaczniesz od tych. Ich powierzchowność zapowiada wiele.

Wiera wzruszyła ramionami i westchnęła głęboko. Z końcem zimy zdarzyło cię coś, co cierpienia i męki Wiery zakończyło i dało jej możność znaleźć to, czego szuka. Już z początkiem stycznia rozeszła się wieść, że w wielu miejscowościach w Rosyi udało się rządowi wykryć socyalistyczny spisek. Pogłoski te zostały wkrótce potwierdzone: w rządowej gazecie ogłoszono sprawozdanie, w którem zawiadomiono wiernych poddanych, że władzy udało się schwycić i uwięzić siedmdziesięciu pięciu przestępców politycznych.

Po stłumieniu powstania polskiego, po nieudanym zamachu Karakozowa i zesłaniu Czernyszewskiego, rozpoczął się w Rosyi okres względnie spokojny. W czasie tym było coprawda niemało podejrzanych; więziono i wysyłano na Sybir jak dawniej, ale nie było w owym czasie ogólnego ruchu. Epoka systematycznych zamachów nie rozpoczęła się jeszcze, właściwy charakter rewolucyjnej propagandy zmienił się istotnie, zdaje się, że za działaniem wpływu zagranicznego.

Dawniej zajęci byli wszyscy myślą o politycznych reformach i zniesieniem absolutyzmu, teraz zwrócono się do zadania społecznego. Inteligencya rewolucyjna przekonała się, że osiągnięcie istotnych rezultatów jest niemożliwe, jak długo lud pozostaje w ubóstwie i ciemnocie.

Aby cośkolwiek osięgnąć, należy iść między lud, zbliżyć się do niego „sprościeć.“ Ludzi tej generacyi nie można lepiej przedstawić, jak to uczynił Turgeniew w swoich „Nowinach.“ Do liczby tych naiwnych, a bynajmniej nie zbrodniczych propagatorów, należeli ci uwięzieni, o których co dopiero wspomniałam. Nie używali oni ani bomby, ani dynamitu. Większa część z pomiędzy nich pochodziła z dobrych domów, jedyną ich zbrodnią było to, że poszli między lud.

Przebrali się w suknie wiejskie, chodzili jako robotnicy do fabryk z zamiarem propagowania swych idei między klasą pracującą, ale najczęściej działalność ich ograniczała się na zachodzeniu do szynków, na wygłaszaniu mów rewolucyjnych i rozdzielaniu broszur między chłopów.

Nie znając zwyczajów ludu, nawet jego języka, zabierali się propagatorowie tak niezręcznie, że po pierwszych próbach zostawali wydawani policyi przez właścicieli, przez szynkarzy, nierzadko nawet przez samych chłopów.

Choć praktyczne rezultaty ich działalności były tak małe, uważał rząd za konieczne ukarać działaczy surowo w nadziei zakończenia nazawsze wszelkiej propagandy. Wyszedł rozkaz, aby uwięziono wszystkich, których tylko ująć można było. Aby wzniecić podejrzenie, wystarczyło przebrać się w suknie chłopskie. Aresztowanych odesłano do śledztwa i do rozprawy do Petersburga. Chociaż większa część była sobie nawzajem nieznajoma, oskarżono ich o jedną zbrodnię. Władza chciała olśnić energią, surowością i przenikliwością. Właściwie oddano sprawę tę nie pod sąd przysięgłych, ale specyalnej komisyi, wybranej przez rząd; wolno jednak było każdemu z oskarżonych wybrać sobie adwokata, a rozprawa miała być toczoną przy drzwiach otwartych.

Jak się zdawało rząd nie wiedział tego, że w takim kraju, jak Rosya, z powodu jego wielkich rozmiarów i braku swobody prasy, polityczne procesy są najlepszym środkiem propagandy. Wiele młodych osób nie znalazłoby nigdy możności „służenia sprawie,“ gdyby nie polityczne procesy, które im od czasu do czasu wskazywały, gdzie mają szukać właściwych nihilistów.

W ogóle wzbudzali oskarżeni w rozmaitych kołach sympatye. Chociaż się z nimi nie komunikowano, gdyż siedzieli zamknięci za kratą okazywano jednak ich krewnym — i przyjaciołom wielką życzliwość. Między współczującymi i cierpiącymi zawiązuje się przyjazny stosunek, budzi się ufność. Jedni wspierają drugich, pomagają sobie nawzajem. Nie można się zatem dziwić, że po każdym politycznym procesie powtarza się

alności; z poza linii zakreślonej nie wyszła: — była miększą i uległą, jeśli „on“ wymagał, była kokietką, zazdrosną, rozpustną, była jędzą złośliwą, wyrafinowaną pobożnisią, była kokotą lub naiwnem dziewczęciem, mieniła się różnemi barwami jak kameleon, na jedno skinienie „jego“ — lecz sobą nie była nigdy. Była dodatkiem, warunkiem — była przeszkodą lub pomocą — lecz samoistnie nie żyła nigdy, a miarą jej był zawsze stosunek do niego.

„On“ ją za to ubóstwiał lub przeklinał, zabijał lub tarzał się w prochu przed nią. Jak niewolnicę w haremie ubrał w złotogłowia i perły, posadził ją na tronie, poddawał się sterowi jej miękkiej, jedwabnej dłoni, nazywał kapłanką miłości, dziecięciem Bogów wybranem — lecz otoczył ją dokoła kratami, — dał jej królestwo, lecz uwięził na tronie.

A ona? — Przesuwa mi się w tej chwili szereg typów kobiecych — od tworów nieśmiertelnego Homera aż do ostatnich czasów. Homer ją najlepiej rozumiał, a choć ludy o nią walczyły lat dziesiątek, on naszkicował Helenę podobnie jak i brankę Bryzeidę, jak i tyle innych — wszystkie fizycznie piękne, dorodne, ponętne dla oka jako kochanki, obiecujące jako matki — karmicielki przyszłych pokoleń. Każdą z nich można by mierzyć skalą miłości, jaką z niej wyssać można — i skalą siły żywotnej jaką tchnąć może w swe dziecko.

Od Homera aż do naszych czasów była kobieta kochanką, — rola jej zamieniła się w wielu punktach, w zasadniczym rysie pozostała jednaką. Dziś życie jej oddzielnem zaczyna płynąć łożyskiem, a ta doza samoistności, którą sobie już wywalczyć zdołała wskazuje kierunek dalszego rozwoju. Zwrot ten oznacza wiele, — przedewszystkiem przysporzy jeden typ więcej do tej garstki nowych postaci, których kontury dopiero zaczynają być widzialne z poza mgły porannej.

Możemy być pewni jednak, że typ ten mało będzie podobnym do tej „emancypantki,“ jaką dziś widzimy. Ta dzisiejsza ma w sobie dużą dozę karykaturalności, jest wytworem epoki przejściowej, pierwszym owocem reakcyi i jako taka, jest we wszystkiem krańcowa. Zanadto apeluje do uczucia, zanadto jest rewolucyjną, odwrócić chce odrazu ład społeczny, cofnąć go wstecz niejako, aby odszkodować się za lata niewoli, apostołuje z fanatyzmem herezjarchów w kwestyi, którą ekonomiczna konieczność pcha do rozwiązania, — i patrzy zarówno na swoje dzieło jak i na wrogi obóz przez szkło powiększające. Przez to niejedno z jej zwycięstw jest fikcyjnem a niejedno niebezpieczeństwo urojonem.

Rzeczywistość nie daje po dziś dzień pozytywnych podstaw do odgadnięcia tego typu. Stanowisko kobiety wyemancypowanej w społeczeństwie nie jest jeszcze dość wyraźnem. Niewątpliwie jednak wiele, zawsze wiele piękna ukrywa się za mgłą: sytuacya kobiety, jako jedwostki samoistnej, stojącej u steru swych losów dostarczyć musi wobec istniejącego porządku społecznego wiele tematów z któremi myśl estetyka — artysty się zbrata, — i wiele też takich po których zaślizgnie się ze zgrzytem, jak po szkle żelazo; podczas gdy tak się zmienia postać kobiety — kochanki, — postać kobiety matki pozostaje niezmienną. Jest sfera pewna w życiu jednostek, po nad którą przesuwają się wszystkie zmiany organizacyi społecznej, nie wpływając na zmianę jej charakteru: do sfery tej należy miłość macierzyńska. W tej sferze spotyka się życie nie z organizacyą dowolną, ale z siłą pierwotną, płynącą bezpośrednio z naturalnego fizycznego zespolenia się matki z dzieckiem. Miłości tej obcem jest wszelkie wyrafinowanie, i wszelka analiza, — jest to coś, co, jak egoizm. trzeba uznać na siłę nieskomplikowaną, pierwiastkową, za żywioł, który nie obliczać — lecz z którym się liczyć trzeba.

Berlin.

Kazimierz Rakowski.

BADANIA NAUKOWE.

Reforma studyów lekarskich.

(Dokończenie).

Medycyna jest wiedzą opierającą się na naukach przyrodniczych — dla tego prof. Cybulski jest zwolennikiem tego, by nie wyrzucać nauk przyrodniczych z programu wykładów dla medyków, jak to uchwaliła ankieta wiedeńska. Nauki przyrodnicze są wprawdzie wykładane na naszych uniwersytetach w sposób nieodpowiedni, nie wynika jednak z tego, aby je wyrzucać, bo one dają jedyny materyał do nauczenia się obrazowego myślenia.

Każde badanie lekarskie, choćby najprostsze, wymaga dokładnej obserwacyi, umiejętnego wnioskowania i racyonalnego sądu — wymaga nietylko bystrości wzroku, słuchu i dotyku, ale także i pewnej zręczności. Ale te wszystkie właściwości naszych zmysłów musimy dopiero wykształcić, umysł nasz musimy wyćwiczyć w pewnych kategoryach myślenia. Najlepszą szkołą wyćwiczenia się w myśleniu biologicznem są nauki przyrodnicze — one dają nam możność zdobycia owego myślenia lekarskiego, przy łóżku chorego nam potrzebnego. Dla tego jedynie za wyrzuceniem mineralogii głosowałby prof. Cybulski, zoologią i botanikę radzi zatrzymać.

Także stanowczym przeciwnikiem ograniczenia studyów fizyki i chemii jest prof. Cybulski. Obie te nauki niezmiernej są dla lekarza doniosłości. Wszakże cały kierunek, w którym obecnie dąży rozwój medycyny jest tego rodzaju, iż podstawą dla niego przeważnie jest chemia. Nie idzie o to, aby lekarz umiał wykonywać dokładne rozbiory chemiczne, lecz aby był w stanie zrozumieć wszystkie te sprawy, które zachodzą w ustroju, aby badać umiał przynajmniej wszystkie te wydzieliny i wydaliny, które ustrój wytwarza, a które w klinikach tak

---

to, co bajka mówi, że z jednego olbrzyma robi się dziesięciu.

I na Wierze okazał się wpływ politycznych procesów. Na pierwszą wiadomość o rozprawie, przestała myśleć o czemkolwiekbądź innem. Każdy numer gazety odczytywała z uwagą. Znała nietylko imiona oskarżonych, ale i ich obrońców i skorzystała z pierwszej sposobności, aby się poznajomić z krewnymi oskarżonych. W ten sposób otwarło się dla niej pole działalności, o jakiej marzyła; 75 rodzin, pogrążonych w nędzę i rozpacz, potrzebowało jej pomocy, mogła im pomagać czynnie, mogła służyć „sprawie,“ a przez to zbliżyła się nagle do bliskich sobie uczuciem i przekonaniami. Rozumie się, że zajęta swoimi nowymi przyjaciółmi, przestała uczęszczać na wykłady i nie przychodziła do mnie. Gdy wpadała na chwilę, to tylko wtedy, kiedy potrzebna jej była moja pomoc w celu wsparcia tych ludzi tak jej drogich. To musiałam zbierać składkę na jedną z tych rodzin — to znów umieścić gdzieś jakieś dziecko pozostałe, to trzeba było prosić jednego z najsławniejszych adwokatów, aby przyjął obronę któregoś z nich — słowem Wiera nie szczędziła trudów ani swoich, ani obcych. Z końcem kwietnia zostało śledztwo ukończone i rozpoczęła się rozprawa. Od szóstej z rana tłoczył się tłum ludzi do sal sądowych. Tylko za biletami można było wejść na salę: ci, którzy biletów nie mieli, zatrzymywali się w korytarzach w nadziei usłyszenia czegoś, co się na sali dzieje. O wpół do dziewiątej zaczęto wpuszczać publiczność i nagle znalazłyśmy się w sali, między dwoma rzędami żandarmów, przyglądających się nam uważnie, jakgdyby chcieli skontrolować nasze prawo do biletów wstępu. Na pierwszy rzut oka można było poznać, że publiczność składa się z dwóch kategoryi.

Jedni przyszli z ciekawości jak na rzadkie widowisko, byli to po większej części ludzie z towarzystwa, którym nie trudno było dostać bilety wstępu. Pomiędzy nimi można było dostrzedz panie, które już pierwszą młodość dawno przebyły! czarno ubrane, jak tego dobry ton wymagał, trzymały w rękach lornetki, lękały się widocznie stracić najdrobniejszego szczegółu tego dramatu. Ich ciekawość była tak naprężona, że dla jej zaspokojenia poświęciły zwyczaj późnego wstawania i naturalny wstręt do jakiegokolwiek zetknięcia się z ludem. Wszyscy ludzie tej grupy wyglądali jak wysocy urzędnicy, jedni, dla mundurów, inni z powodu orderów. W pierwszej chwili oczekiwali wszyscy, jakby w osłupieniu, ale wkrótce uroczysta cisza została zakłóconą, znajdowano znajomych, zamieniano ukłony. Uprzejmość panów znalazła wyraz w wyszukiwaniu najlepszych miejsc dla pań; powoli zawiązywały się rozmowy z początku szeptem, potem coraz głośniej. Gdyby się to nie było odbywało tak wczesnym rankiem wpośród gołych ścian i okien, na zwykłych drewnianych ławach możnaby było mniemać, że jest to towarzystwo zebrane w modnym salonie.

Oprócz tych widzów byli i inni, grupa ta składała się z przyjaciół i najbliższych krewnych oskarżonych. Smutne, wynędzniałe twarze, zniszczone suknie, ciężkie, ponure milczenie, spojrzenie pełne trwogi skierowane ku drzwiom, któremi mieli wejść oskarżeni — wszystko zdradzało gorzką rzeczywistość, smutne przeczucie strasznego końca.

Punkt o dziesiątej słychać zwykły okrzyk „sąd otwarty.“ Do sali wchodzi dwunastu senatorów, starcy, z których każdy ma więcej orderów, niż włosów na głowie; pomiędzy nimi spostrzedz można było wszystkie kategorye wysokich godności: obok dumnego, pewnego siebie urzędnika, uderza starzec niedołężny z obwisłą wargą i przygasłym wzrokiem. Nie spiesząc się bardzo siadali uroczyście na przygotowanych fotelach. Wtem otwierają się drugie drzwi i tym razem, prowadzeni przez żandarmów, wchodzą oskarżeni, jest ich 75-ciu.

Zbrodniarze mają dziwny wygląd, wychudłe ich twarze stanowią jaskrawy kontrast z ich młodością, najstarszy nie ma jeszcze 30-tu lat, najmłodszy ma dopiero 18-cie, wszyscy przywdziali lepsze ubrania — wyglądają uroczyście; widać między nimi młode, piękne dziewczęta, wzruszenie nadaje ich oczom połysk i pokrywa lica chorobliwym rumieńcem. Długie miesiące siedzieli

ważną stanowią podstawę wszelkiej dyagnozy. Gdyby nawet gruntowna znajomość chemii wymagała dwóch lat, to i tak — zdaniem profesora Cybulskiego — uczniowie żadnej nie ponieśliby szkody, bo nauka fizyologii, patologii ogólnej, a i szczegółowej w wysokim stopniu byłaby ułatwioną. Naukę tych wszystkich przedmiotów należałoby tylko w ten sposób zmodyfikować, aby osobno były wykładane dla adeptów medycyny — (nie jak dotąd wespół z studentami filozofii i farmacyi) — aby ściśle były przystosowane do potrzeb lekarzy i aby prowadzone były w ten sposób, aby uczeń nie tyle zdobywał znajomość tej lub innej nauki, ile bardziej kształcił swój umysł i zdolności obserwacyjne.

Reformy wymagają także nauki ściśle lekarskie i w pierwszym rzędzie anatomia, fizyologia, embryologia i histologia. Wykłady teoretycznej anatomii, trwające dotychczas przez 4 półrocza, ograniczyć należy do dwóch. Naukę histologii i embryologii zaliczyć należy do kursów obowiązkowych — oraz rozszerzyć ćwiczenia histologiczne. W wykładach histologii, embryologii i fizyologii należałaby się na przyszłość tylko ograniczać do kwestyi ważniejszych, ogólnych. Wyliczanie bowiem całego szeregu zapatrywań, które długo zostaną jeszcze tylko hypotezami, nie prowadzi do celu, lecz sprowadzając zamęt w umysłach niekrytycznych, niweczą w nich zaufanie do całej nauki. Głównie tedy trzeba rozszerzyć zakres ćwiczeń praktycznych z tych dziedzin nauki, aby studenci nauczyli się obchodzenia ze skalpelem i mikroskopem, sporządzania preparatów histologicznych itd., ogółem nabyli tej zręczności, której wymaga zawód lekarski. Należy także rozszerzyć ćwiczenia fizyologiczne i to na oba półrocza drugiego roku medycyny. Lekarz przyszły powinien już w charakterze słuchacza przyłożyć rękę do badania funkcyi fizyologicznych organizmu ludzkiego w stanie prawidłowym, powinien nietylko teoretycznie o nich wiedzieć, ale umieć je obserwować *in vivo*.

Gruntownej reformie powinna uledz nauka przedmiotów praktycznych w klinikach naszych. W audytoryach naszych klinik spotykamy słuchaczy z różnych lat, obok nowicyuszów, którzy po raz pierwszy przekraczają progi przybytku tego, widzimy uczniów zapisanych już na kurs czwarty lub piąty kliniki lekarskiej. Cóż za korzyść mogą odnieść ci nowicyusze, gdy wywołani złożą „konsilium wspólnie ze „starszym kolegą“ przy łóżku chorego? Co najwięcej z powodu swej nieśmiałości i dowcipnych „naciągań“ profesora mogą wzbudzić wesołość w audytoryum — sami żadnych nie odnosząc korzyści. Przez dwa półrocza siedzą jakby na tureckiem kazaniu, nie mając pojęcia ani o sposobach badania, ani o celu tej lub innej metody leczniczej.

Aby uczniowie racyonalnie korzystać mogli z wykładów klinicznych, zachodzi potrzeba zaprowadzenia obowiązkowego porządku studyów. Najpierw powinni studenci uczęszczać na wykłady o fizycznem badaniu chorych i dyagnostyki lekarskiej; równocześnie mogą słuchać patologii ogólnej i teoretycznego wykładu patologii z zakresu chorób wewnętrznych i chirurgicznych. Dalej winni w czasie tym przerabiać anatomię patologiczną i studyować zmiany chorobowe anatomiczne *in cadavere*. Dopiero po obznajomieniu się z temi przedmiotami mogliby się zapisać na wykłady kliniczne, a i tu powinny zajść pewne modyfikacye. Przedstawienie chorych nie powinno być dziełem przypadku, ale profesor powinien pewien dział chorób uczniom wyłożyć, a potem dopiero przedstawić demonstracye na odpowiednich chorych. Materyału jest aż nadto, w braku takowego możnaby czerpać po za kliniką ze szpitali powszechnych.

Ambulatoryum mogłoby także z wielką korzyścią dla słuchaczy przez nich być wyzyskane — gdzie pod kierunkiem asystentów przyjmowaliby sami chorych, stawiali dyagnozę i oznaczali terapią. Do tego trzebaby przypuścić uczniów ostatnich dwóch półroczy, podzieliwszy ich na grupy, a korzyść byłaby tak wielka, że samo uczęszczanie na kliniki, mogłoby się ograniczyć do trzech semestrów. U chorych stałych powinni być uczniowie ordynaryuszami, podobnie jak to się teraz dzieje — powinno to jednak skrupulatniej być wykonywane niż dotychczas. Na klinice chirurgicznej winni nadto uczniowie ostatniego kursu wykonywać operacye w asystencyi profesora.

Stan ten nauk w klinikach naszych jest tego rodzaju, że uczniowie chcący zasiąść do egzaminów, zmuszeni są za drogie pieniądze brać kursy u asystentów, bez których np. tu w Krakowie żaden do rygorozum nie przystąpi.

Dzisiejszy stan nauk lekarskich wymaga niezbędnie zaprowadzenia obowiązkowych wykładów z psychiatrii, chorób nerwowych, hygieny, chorób skórnych i wenerycznych, a także chorób dzieci. Z tego wynikną koszta, ale to stać się musi w imię postępu nauki!

Oprócz kosztów staje jeszcze na przeszkodzie w zaprowadzeniu tych zmian zasada wolności nauki (Lehr- und Lernfreiheit). Profesor Cybulski jest jednak zdania, że zasadę tę należy poświęcić dla dobra nauki. Profesorowie powinni się zbierać i uchwalać porządek — w jakim rozmaite przedmioty mają być słuchane i powinni ustanowić zakres każdego przedmiotu. Uczniowie na tej ofierze z wolności wyniosą tylko korzyść, zmuszeni do uczęszczania na obowiązkowe przedmioty. Zostałyby jeszcze w każdym razie wykłady docentów — obejmujące specyalności: choroby uszu, krtani, zębów, kurs opatrunkowy itd. — na które uczniowie wedle swej woli uczęszczaćby mogli.

Aby uczniowie mieli jakąś kontrolę nauki swojej, proponuje profesor Cybulski zaprowadzenie kollokwiów z niektórych przedmiotów. I tak z końcem pierwszego roku powinien mieć miejsce egzamin z fizyki i chemii ogólnej, oraz z przedmiotów przyrodniczych. Z końcem drugiego roku kollokwium z fizyologii i anatomii, oraz z chemii fizyologicznej. Dostateczny postęp z tych przedmiotów mógłby być uważany za warunek do zapisania się na rok wyższy. Miałoby to tę jawną korzyść, że uczniowie byliby więcej przygotowani do słuchania przedmiotów na wyższych kursach, a i tę, że pewna ilość mniej zdolnych uczniów już na wstępie opuściłaby wydział lekarski i innym oddała się zawodom. Natomiast zaprowadzenie egzaminów rocznych na trzech ostatnich latach uważa profesor Cybulski wprost za szkodliwe. Uczniowie uczą się bowiem wtedy tylko dla egzaminu — nie będąc w stanie opanować w tak krótkim czasie gruntownie całości. Takie egzamina istnieją w Rosyi: prof. Cybulski przyjrzawszy się im dobrze, bo i sam w ten sposób zdawał, twierdzi, że uczniowie uniwersytetów austryackich, gdzie egzamina te dopiero w absolutoryum studyów lekarskich zdawać można, znacznie więcej posiadają wiadomości, niż uczniowie uniwersytetów rosyjskich.

Reasumując wszystkie dane, zestawił prof. Cybulski tabelę, obejmującą plan całej nauki lekarskiej. Nie przedstawiamy jej tu, odsyłając ciekawych do broszurki szanownego autora. — Przedstawimy tu tylko jego wnioski:

Egzamina ostateczne winny się odbywać dopiero po ukończeniu 10-ciu półroczy. Porządek ich mógłby pozostać takim, jakim jest obecnie, z tą tylko różnicą, że wypadałoby znieść podział na egzamina teoretyczne i praktyczne z tego samego przedmiotu, uzupełnić egzaminem z kilku nowych przedmiotów, oraz w 1 rygorozum opuścić chemię i fizykę.

Rygorozum I mogłoby obejmować anatomię, fizyologię, chemię fizyologiczną, z których egzamina odbywałyby się w odpowiednich zakładach, praktycznie i teoretycznie; z patologii ogólnej i farmakologii tylko teoretycznie.

Rygorozum II, podobnie jak w projekcie ministeryalnym, obejmowałoby anatomię patologiczną, medycynę wewnętrzną, choroby skórne i weneryczne, oraz choroby dzieci, każdy przedmiot praktycznie i teoretycznie.

Rygorozum III: chirurgię, położnictwo i okulistykę praktycznie i teoretycznie; sądową medycynę, hygienę i psychiatryę tylko teoretycznie.

Racyonalny rozkład nauki lekarskiej tylko wtedy będzie możliwy, jeżeli ministeryum przed zaprowadzeniem nowej ustawy nauk lekarskich zniesie służbę wojskową medyków pod karabinem. Ta służba i tak żadnej nie ma korzyści dla celów wojskowych, a medykom wielką przynosi szkodę — powinna tedy stanowczo być zniesioną.

A. K.

---

ci ludzie w zupełnem zamknięciu, oddzieleni od reszty świata, a teraz mają się spotkać ze swymi najbliższymi, których rozeznają w pstrym tłumie. Radość wielka, dziecinna prawie maluje się na ich twarzach, zapominają o strasznych zbliżających się chwilach, o zawieszonym nad nimi wyroku, który ich na wiele lat pozbawić ma wszelkiej radości życia. W tej chwili zapominają o wszystkiem, widzą tylko swoich. Pomimo żandarmów, udało się wielu z nich uścisnąć wyciągnięte dłonie, zamienić kilka słów. Przyjaciele i krewni nie mogąc się powstrzymać na ich widok, rzucili się do nich z radosnemi pozdrowieniami. Nikt z obecnych tam nie zapomni tej chwili — nawet panie i panowie z wyższych sfer, którzy już oddawna byli stracili zdolność do silnych uczuć — teraz dali się unieść ogólnemu nastrojowi. Na chwilę zwrócili swe sympatye ku oskarżonym. Później jednak, gdy powrócą do domu, a czas ich nerwy uspokoi, nie jeden raz zarumienią się na wspomnienie tej słabości. Ale teraz i oni nad sobą zapanować nie umieją. I wiele z tych szanownych dam powiewa chustkami na widok tych strasznych nihilistów. Wszystko to jednak trwa tylko chwilę, żandarmom udaje się wkrótce zaprowadzić znowu porządek.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

SZKOŁA I WYCHOWANIE.

Prywatne instytucye
dla oświaty ludowej w Ameryce

przez

Dr. fil. Józefę Kodisową.

(Ciąg dalszy).

Ale są inne kluby chłopców, mające odmienne zadania. Są to kluby gimnastyczne i towarzyskie. Pierwsze z tych ostatnich

cieszą się szczególnem powodzeniem. Każda osada stara się posiadać kawałek gruntu, na którym by chłopcy po za obrębem regularnych lekcyi gimnastyki, mogli się bawić w rozmaite gry, rozwijające siłę fizyczną. Stosownie do amerykańskiego zwyczaju nadzór nad zabawą spoczywa często w rękach policyanta, wyznaczonego w tym celu umyślnie przez miasto.

Kluby towarzyskie czytają na posiedzeniach zabawne i zajmujące rzeczy, rozmawiają o bieżących sprawach, przeglądają dzienniki, grają w szachy, lub nawet karty (naturalnie w gry nie hazardowe). Wszystko to odbywa się także w obecności kierownika lub kierowniczki, którzy starają się utrzymać całą zabawę w tonie cichym i przyzwoitym.

W klubach specyalnie dziewczęcych, szczególniej zwrócono uwagę na rozwinięcie techniki, potrzebnej w gospodarstwie domowem. Uczą się więc dziewczęta w odpowiednich klubach szycia i innych robót ręcznych, gotowania, gospodarki domowej itd. Wszystkie osady dbają bardzo o dobre wykłady gotowania, ażeby tym sposobem rozszerzyć w okolicy zdrowe, smaczne i tanie sposoby odżywiania się — w miejsce okropnych pokarmów, będących obecnie w użyciu u ludu.

Jedną z najciekawszych organizacyi klubowych są kluby matek. Starsze już kobiety, skazane wyłącznie na życie domowe, nieraz nadzwyczaj przykre z powodu ciężkich warunków bytu klas niższych, często po raz pierwszy dopiero za pomocą klubów dochodzą do poznania swojej człowieczej godności. Kluby matek, będąc w zasadzie niby tylko organizacyami towarzyskiemi, starają się przez odpowiednie kierownictwo wzbudzić w kobietach interes dla spraw ogólniejszych i wydobyć je po nad sferę drobiazgów i plotek sąsiedzkich. Przedewszystkiem więc na posiedzeniach poruszane są kwestye kształcenia dzieci, czystego utrzymania mieszkań, dopilnowania, aby zarząd miejski dbał o warunki zdrowotne okolicy, rozprzestrzenianie książek odpowiednich do czytania w rodzinach, agitacyi przeciwko alkoholizmowi itd. Zebranie takiej organizacyi przedstawia na pierwszy rzut oka dziwny widok. Jest to zbiór kobiet starszych i młodszych, o spracowanych rękach, czerwonych twarzach, w kostiumach nie bardzo modnych, nieraz kulawych i garbatych. Z początku też istotnie kluby matek zbierają się w celu pogadanek towarzyskich i wspólnego wypicia kawy. Po kropli jednak podawana im wiedza i delikatniejsze otoczenie wywierają swój wpływ. Między kobietami znajdują się nawet takie, które pomimo lat 50 lub 60 z całą namiętnością zaczynają się kształcić. Niektóre z nich w czasie wakacyi letnich udają się do letnich szkół, o których będziemy mówili później, i do sześciu godzin dziennie poświęcają nauce. Oczywiście kobiety tego rodzaju muszą wywierać wpływ korzystny na swoje otoczenie, a przedewszystkiem nie grać tej roli hamującej wszelkie szlachetniejsze popędy, jaka nieraz przypada w udziale naszym niewiastom z ludu.

Niewiara i nieufność okolicznej ludności, z którą początkowo tak ciężko przychodzi walczyć osadnikom, przy współdziałaniu klubów, ustępują miejsca gorącemu uwielbieniu i szacunkowi. Po kilku latach osada zdobywa zwykle przeważny wpływ w miejscowości, w której się znajduje. Wpływ ten sięga tak daleko, że tutejsi kierownicy polityczni używają wszelkich możliwych środków, ażeby zrobić z osadników swoich sprzymierzeńców. Zwykle jednak starań tych nie wieńczy skutek pomyślny, gdyż osady, mające przed sobą zadanie czysto kulturne, pragną zachować niezależność od stronnictw ściśle politycznych, lubo mając do czynienia z ludem roboczym, muszą sprzyjać i faktycznie sprzyjają stowarzyszeniom robotniczym, o ile te nie są organizacyami politycznemi. Bardzo wiele unii i innych związków robotniczych zawiązuje się w takich osadach.

Oprócz organizacyi tego rodzaju są naturalnie i męzkie kluby towarzyskie i naukowe. W towarzyskich grają w karty, bilard, szachy itp., pod warunkiem jednakże wyłączenia wszelkiej gry hazardowej. Kluby takie przynoszą tę korzyść, że ludzie mogą się w nich zabawić w sposób przyzwoity bez pijatyki, bójek i tracenia w sposób hazardowny pieniędzy, jak to ma miejsce po szynkach lub innych instytucyach tego rodzaju. Wśród ludzi dorosłych kierownik musi uczynić swój wpływ jeszcze mniej formalnym, jeszcze mniej narzucającym się, niż wśród młodzieży. Często nawet w klubach takich nie ma bezpośredniego kierownika, a faktyczne kierownictwo spoczywa w rękach jednego lub dwóch klubowców, zasługujących na zaufanie osady.

Jedną z największych zasług tych wszystkich klubów jest wyrabianie solidarności pomiędzy ludźmi. W epoce, w której żyjemy, w której „człowiek człowiekowi jest wielkiem", rozszerzanie uczuć przyjaznych wśród ludzi jest jedną z potrzeb najkonieczniejszych. W pośród dzisiejszej zaostrzonej walki o byt istota ludzka potrzebuje stworzyć sobie warunki, w których by mogła poruszać się swobodnie, nie bojąc się ani zdrady ani jakiejbądź ujmy. Mówiąc po prostu — człowiek potrzebuje przyjaciół i sam potrzebuje być przyjacielem, aby módz rozwinąć w sobie lepsze władze swojej duchowej istoty. Otóż bez pomocy organizacyi klubowych, nie opartych na interesie, zbliżanie się i poznawanie większej ilości ludzi jest obecnie rzeczą możebną tylko dla bogatych jednostek. Klub zaś przedstawia taki teren neutralny, na którym bez nadzwyczajnych wydatków i straty czasu mogą się schodzić z sobą ludzie wspólnych upodobań. Klubowcy są tego zupełnie świadomi i nieraz na ich zebraniach słyszy się słowo b r a t e r s t w o, jako wyraz uczucia, które ich wszystkich łączy.

Podobne zadanie szerzenia solidarności i wskazywania na wspólne cele, łączące ludzi, ma tak zwana „Gilda sąsiadów" (Neighbour hood guilde). Instytucya ta stara się usilnie o dopilnowanie zobowiązań miasta względem danej dzielnicy: przedewszystkiem o porządek, hygienę, szkolnictwo etc. Do takiej gildy należą wszyscy sąsiedzi bez różnicy stanowiska i bogactwa. Wybierają oni z pomiędzy siebie zarząd, który zajmuje się sprawozdaniem wszelkich zażaleń zarządowi miasta i dopilnowaniem, aby te zażalenia były uwzględnione. Trzeba bowiem wiedzieć, że wskutek niedbalstwa ze strony biedniejszych dzielnic miejskich, miasto nie wykonywa względem nich swoich zobowiązań ani o połowę tak ściśle, jak względem dzielnic, zamieszkałych przez bogaczy. W ten to sposób gilda wyrabia jednocześnie nawyknienie do samorządu w obywatelach, tak koniecznie potrzebne w państwach demokratycznych.

Do gildy sąsiadów należą jednak de facto nie najbiedniejsi ludzie. Kompletnie wydziedziczony proletaryusz nie może naturalnie zajmować się kwestyami, wchodzącemi w zakres gildy. Z ludźmi tej ostatniej kategoryi zawiązuje osada stosunki przez pośredniczenie między nimi a instytucyami i osobami filantropijnemi. Niektóre z osad w czasie ostatniego kilkoletniego kryzysu przemysłowego w Ameryce rozdawały w ten sposób po kilkanaście tysięcy dolarów. Wskutek tego, że osadnicy znają miejscowe warunki, same towarzystwa filantropijne przychodzą zwykle prosić o pośredniczenie w rozdawaniu pomocy. Pomoc udziela się nietylko w pieniądzach, ale i w rzeczach należących do ubrania i pożywienia, w węglach na opał i t. d. Osadnicy starają się, aby ludzie pobierający pomoc, choć najmniejszą pracą wywdzięczyli się za nią. W tym celu wzywają n. p. raz tygodniowo wszystkie matki rodzin biorących wsparcie i dają im jakie pranie, szycie lub inne zajęcie na parę godzin. Jest to zasadniczą ideą osady, ażeby wszelka działalność była opartą na obustronnych usługach. Przekonano się bowiem, że nawet najmniejsza praca zupełnie zmienia stosunek odbierającego jałmużnę do jego dobroczyńcy. Biedak nie czuje się upośledzonym. Jeżeli zaś jest żebrakiem z fachu, to zwykle usuwa się od zaproponowanej mu roboty i pozostawia wolne miejsce innym, więcej potrzebującym.

W ogóle osady nie uważają siebie za instytucye czysto filantropijne lecz za publiczne zakłady, mniej więcej w tym guście jak szkoły lub szpitale. Gdyby osady występowały tylko w roli zakładów filantropijnych, to z pewnością odstręczyłyby od siebie wszystkie porządniejsze żywioły w danych miejscowościach. Robotnik zwykle szanuje się dostatecznie, aby nie przyjąć jałmużny, chociażby w najłagodniejszy sposób podanej. O drobnych zaś przemysłowcach, handlarzach, nauczycielkach i nauczycielach ze szkół ludowych niema co i mówić. Ludzie ci nie garnęliby się do instytucyi, którą by uważali za filantropijną. To też zwykle za każdą swą pracę osada pobiera maleńkie opłaty, które służą do rozwijania instytucyi, do pokrycia kosztów jej prowadzenia, a w niektórych miejscach tworzą się z nich nawet małe pensye dla osadników. Pod względem finansowym osady dążą do utrzymywania się z własnych dochodów. Zwykle też po kilku latach istnienia dochodzą one do tego. Na początku naturalnie potrzebna jest ofiarność publiczna i prywatna.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z wygnania.

II.

Warszawa, 18 sierpnia.

Dowiaduję się z dość wiarogodnego źródła, że pierwszy mój list „z wygnania" nie zdobył sobie uznania u miarodajnych waszych sfer i osobistości. Całkiem niespodziewana ta wiadomość napełnia serce moje niewymownym żalem i nieledwie rozpaczą. Ponieważ jednak co się stało, odstać się już nie może — przeto pogodzić się trzeba z losem. Zniosę więc bez szemrania tę niełaskę, jak zniosłem już w ciągu nieszczęsnego mego żywota ciosy daleko groźniejsze i w dalszym ciągu krytykować się poważę, o ile się tego okaże potrzeba — co w stosunkach waszych uważam za niewłaściwe, choćbym się nawet miał narazić na większe jeszcze niezadowolenie tak zw. powag waszych.

Zresztą pocieszyć się możecie faktem, że, aby stracić iluzye, należy was poznać bliżej, przebywać w waszem otoczeniu; po za granicami zaś ściślejszej waszej ojczyzny cieszycie się opinią, na jaką, prawdą a Bogiem, nie ze wszystkiem zasłużyliście. Miałem świeżo przekonywający dowód. Przed kilku dniami interwiewował mnie w sprawie Wiel-

kopolski pewien, nawiasem mówiąc, bardzo inteligentny Warszawianin. Zaciekawił mnie, a więcej jeszcze, co prawda, rozśmieszył obraz waszych stosunków, jaki się wyrobił w mózgu tego syna syreniego grodu. Poznań więc, to coś w rodzaju nowoczesnych Aten, społeczeństwo zaś wielkopolskie złożone, jeśli nie wyłącznie, to przeważnie z filozofów, doktorów filozofii, a przynajmniej z kandydatów na filozofów. Gdy nasze rozmowy zaczynają się i kończą stale na — no, jakby się to wyrazić najparlamentarniej -- na kobiecie, wy, zdaniem Warszawianina, wychylając olbrzymie kufle piwa, radzicie bezustannie nad dobrem ludzkiem w ogóle, a powodzeniem Wielkopolski w szczególności. *„Difficile est satiram non scribere.“* Nie odbierałem mu tego złudzenia, bo najpierw powstrzymywała mnie resztka lokalnego patryotyzmu, a powtóre — cóż mnie to szkodzić może, że ktoś korzystne o was żywi mniemanie.

Tak – w waszem a po części i naszem przekonaniu wy jesteście ludźmi poważnymi, traktującymi nadzwyczaj seryo życie i jego obowiązki — my lekkomyślnemi nad wyraz istotami, ślizgającemi się po powierzchni spraw najpoważniejszych. A jednak sąd taki jest z gruntu fałszywy. Zapewne, że Warszawa na bezkrytycznym widzu, biorącym za treść życie zewnętrzne, najbardziej rzucające się w oczy jego objawy, sprawia wrażenie lekkomyślnego, goniącego za zabawami miasta, a Warszawianie niemożliwych blagierów i łobuzów, drwiących z najpoważniejszych, najświętszych nawet rzeczy. Obok lowelasów, rozbijających się pojazdami po alejach Ujazdowskich, obok czytelników „Kuryera Porannego“ i „Kolców“ istnieje jednak w Warszawie spory bardzo zastęp ludzi myślących poważnie i pracujących z prawdziwem poświęceniem dla dobra ogółu, obok publicznych, lub zachowujących jeszcze pozory dam wielkiego świata kokot, - kobiety, mogące pod względem energii, inteligencyi i poczucia obowiązków służyć za wzór do naśladowania płci pięknej innych naszych dzielnic.

W waszem zwłaszcza mniemaniu, — słyszałem to niejednokrotnie na własne uszy, bawiąc pomiędzy wami — Warszawa uchodzi za klasyczne miasto nieuctwa i nieuków. A jednak, gdy wy, ojczyzna filozofów, nic prawie, a w każdym razie, bardzo nie wiele czynicie dla nauki, jedna warszawska Kasa Mianowskiego więcej działa na polu naukowem niż cała Galicya z dwoma swemi uniwersytetami i W. Ks. Poznańskie razem wzięte. Mam właśnie przed sobą ostatnie sprawozdanie tej instytucyi. Dowiaduję się z niego, że w roku ubiegłym kasa Mianowskiego wypłaciła na cele, badania i wydawnictwa naukowe 16,363 ruble, że ogólny dochód Kasy w roku sprawozdawczym wynosił 94,062 ruble, a rozchód 92,295 rubli. Dzięki materyalnemu poparciu tej instytucyi wychodzą tak pomnikowe, nie ustępujące najlepszym zagranicznym tego rodzaju wydawnictwom dzieła jak *„Pamiętnik fizyograficzny“* (świeżo opuścił prasę drukarską tom XIV tego wydawnictwa) i „Słownik geograficzny“, poświęcony wiedzy przyrodniczej tygodnik *„Wszechświat“*, zajmujący się ludoznawstwem kwartalnik „Wisła“, „Biblioteka filozoficzna“, „Prace fizyczno-matematyczne“, „Prace filologiczne“, pomijając cały długi szereg prac sporadycznych z rozmaitych dziedzin wiedzy.

Lecz na wydawnictwach Kasy Mianowskiego nie ogranicza się tutejsza działalność naukowa. Muzeum przemysłu i rolnictwa wydaje w drugiem już rozszerzonem wydaniu olbrzymich rozmiarów starannie opracowaną *Encyklopedyę Rolniczą, Gazeta Rolnicza* cały szereg bądź to oryginalnych bądź tłomaczonych dzieł fachowych. A przecież naszych hreczkosiejów posądzają tak chętnie w przeciwieństwie do waszych wysoko wykształconych agronomów, o zacofanie i nieprzezwyciężony wstręt do czytania. Najlepiej dowodzi tego zacofania fakt, że pierwsze wydanie *Encyklopedyi rolniczej*, dzieła składającego się z pięciu czy sześciu olbrzymich tomów, wyczerpało się w przeciągu kilku lat w handlu księgarskim.

Aby zaś ocenić ruch tu panujący na polu naukowem, zważyć wypada, że nasze wydawnictwa naukowe u nas liczyć nie mogą, jak w Galicyi, na materyalne a choćby tylko moralne poparcie władz państwowych, że zawdzięczają swe istnienie i swój rozwój wyłącznie prywatnej inicyatywie i prywatnej ofiarności. W rzeczy też samej pod względem ofiarności na cele idealniejsze, nie mające na oku bezpośrednich materyalnych korzyści, żadna z waszych dzielnic równać się nie może z Królestwem Polskiem. Sam fakt znaczniejszej liczby zamożnych jednostek nie tłomaczy tego pocieszającego objawu, jest on przedewszystkiem wynikiem większego niż gdzieindziej poczucia obywatelskich obowiązków w tutejszem społeczeństwie.

Wypowiedział ktoś nie pozbawione pewnej słuszności zdanie, że najlepszem odbiciem danego społeczeństwa jest jego prasa. Do nas jednak zdanie to żadną miarą zastosować się nie da, i ktoby chciał sądzić nasze społeczeństwo podług naszego dziennikarstwa doszedłby do zupełnie fałszywych wniosków. My nie mamy prasy, na jaką zasługujemy, lecz na jaką pozwala nam cenzura. Najżywotniejsze, najbardziej palące kwestye, a mianowicie wszelkie kwestye, dotyczące politycznego naszego położenia, z góry są wykluczone z omówień naszych dzienników. Ale i zagadnienia polityki zagranicznej omawiane być muszą w sposób nie obrażający uczuć ani interesów rosyjskich. Wreszcie i na polu społecznem i ekonomicznem publicysta tutejszy krępowany jest na każdym kroku, ważyć musi każde słowo, aby nie wzbudzić podejrzenia, że żywi nieprzyjazne intencye wobec rządu i jego rozporządzeń. Czyż w takich warunkach o rozwoju prasy może być mowa, czyż dalej prasa uwydatniać jest w stanie przekonania i prądy nurtujące w narodzie, wyjaśniać jego skargi i bóle, stanowić wierny wizerunek wewnętrznego jego życia? Nie ulega wątpliwości, że i poziom wymagań naszej publiczności do podawanej w dziennikach strawy duchowej obniża się coraz bardziej, nie jest to jednak winą prasy, lecz systemu, który nie pozwala jej rozwijać się swobodnie. O ile jej jednak nie stoją na przeszkodzie niezależne od niej okoliczności, prasa warszawska spełnia z uznania godną sumiennością swój obowiązek publicystyczny; daleko lepiej w każdym razie, niż dziennikarstwo w którejkolwiek innej naszej dzielnicy. Przyczynia, się co prawda, nie mało do tego konkurencya pomiędzy pojedyńczemi dziennikami, nie będącemi jak u was i w Galicyi organami stronnictw politycznych, lecz w pierwszej linii przedsiębiorstwami kupieckiemi. Bądź jak bądź publiczność zyskuje na tem współzawodnictwie, otrzymując szybkie i dokładne wiadomości o wszelkich ważniejszych miejscowych i zagranicznych wypadkach. Przytem dzienniki tutejsze daleko baczniejszą, niż poznańskie i galicyjskie, zwracają uwagą na zewnętrzną formę i urozmaicenie swej treści, dbają o czystość języka i poprawność stylu.

Natomiast formalną plagą dziennikarstwa warszawskiego staje się panosząca się z dniem każdym bardziej reporterya. Wyhodował ją również system rządowy, który nie pozwalając karmić czytelników poważniejszą strawą, zmusza redaktorów tutejszych do szukania ucieczki w możliwie szybko podawanych i możliwie sensacyjnych wiadomościach bieżących i potocznych. Specyalność tę uprawiały początkowo „Kuryery“, obecnie podążają za niemi i poważniejsze organa tutejszej opinii publicznej i dzisiaj roi się od reporterów w redakcyach, w których przed kilku jeszcze laty nie było ich na lekarstwo. Rozumie się samo przez się, że warszawskiego reportera porównać nie można z angielskim lub amerykańskim sprawozdawcą, oddającym zawsze cenne bardzo, a niekiedy olbrzymie nawet usługi swemu dziennikowi. Nasi reporterzy są to po większej części moralnie i materyalnie zbankrutowane, pozbawione zwykle najelementarniejszych zasad wykształcenia jednostki, rekrutujące się z najrozmaitszych warstw tutejszego społeczeństwa. Ponieważ im nie wystarcza skromna zwykle płaca za skromniejszą jeszcze produkcyę literacką, przeto główny swój interes upatrują w przemycaniu do dzienników sprytnie bardzo, dla omylenia czujności redaktorów, zredagowanych reklam. Zdarzają się i pomiędzy reporterami wyjątki, jednostki uczciwe, i szanujące swe powołanie, biorąc jednak na ogół, są to wyrzutki społeczeństwa, dyskredytujące cały stan dziennikarski w oczach warszawskiej publiczności. Przeciętny bowiem filister, spotykający najczęściej włóczącego się bezustannie po mieście reportera, w nim właśnie upatruje głównego przedstawiciela dziennikarstwa i podług niego urabia sobie z samej natury rzeczy nie bardzo pochlebną opinię o reszcie dziennikarzy. Zresztą, o ile się przekonać miałem sposobność w Poznaniu, i u was zaczyna już grasować ta plaga reporterska.

X.

Młodzież polska w zaborze rosyjskim.

(K. Skrzycki. Młodzież polska w zaborze rosyjskim. Odbitka z „Przeglądu wszechpolskiego“. Lwów 1899.)

Z obrachunków naszych społeczno-politycznych wykluczamy prawie zawsze naszą młodzież. A jednak niepodobna ustawić bilansu życia narodowego ni horoskopu przyszłości, nie wciągając w rachubę charakteru, skłonności, moralnych i fizycznych zasobów tej generacyi, która ma prowadzić dalej pracę naszą i dziś już na całokształt życia narodowego wywiera wpływ znaczny.

U narodów żyjących w normalnych stosunkach może to mniej jest potrzebne. Tam młodzież, wychowana w szkołach narodowych, mniej w charakterze i usposobieniu oddala się od starszej generacyi, i ciągłość życia nao dowego wytwarza pewną jednolitość pojęć i zasad w następujących po sobie pokoleniach. U nas nienormalne warunki politycznego bytu, system wychowania, skierowany na wynarodowienie uczącej się młodzieży, ucisk materyalny i moralny i wynikające stąd rozdrażnienie umysłów nie pozwalają na prawidłowy rozwój młodej generacyi i wymagają bacznej uwagi na nurtujące pośród niej prądy i na wyrabiający się pod wpływem niekorzystnych okoliczności jej charakter. Wtenczas tylko będziemy mogli osądzić, jakiemi drogami w życiu publicznem i domowem pójdzie dorastające pokolenie, i w razie potrzeby wpłynąć, o ile to w naszych jest siłach, na jego wychowanie.

Zajmowano się tem u nas dotąd tak mało, że nikt bodaj z umysłowego i moralnego stanu naszej młodzieży nie zdaje sobie należycie sprawy. Spotykając się codziennie z objawami, których nie można uważać za dodatnie, czujemy instynktownie wszyscy, że „jest źle“; ale dla czego jest źle, i jak złemu zaradzić, o tem nie myślimy, a co gorsza, przywykamy do niego tak dalece, że z czasem przestaje nas już samych razić.

Najsmutniej przedstawia się niewątpliwie wychowanie młodzieży w zaborze rosyjskim. Znalazł się nareszcie człowiek, który podjął się trudnej a niewdzięcznej pracy zestawienia jej bilansu umysłowego i moralnego, a z zadania tego wywiązał się w sposób, wskazujący na zdolność obserwacyjną i analityczną, lubo nieco pesymizmem przyćmioną. Mamy tu na myśli zamieszczone w ubiegłem półroczu w „Przeglądzie Wszechpolskim“ a obecnie wydane osobno artykuły R. Skrzyckiego p. t. „Młodzież polska w zaborze rosyjskim“.

Przystępując do skreślenia obrazu młodzieży polskiej w zaborze rosyjskim, zwraca autor nasamprzód uwagę na podpadającą nikłość fizyczną i anemiczny wygląd dorastającej generacyi. Złożyły się na to zdaniem jego rozmaite przyczyny. Stwierdzono przedewszystkiem, że młodzież uczęszczająca do wyższych zakładów naukowych — ta młodzież z której rekrutuje się „inteligencya“ — jest po większej części pochodzenia szlacheckiego, synami tej części szlachty, która dla słabości fizycznej lub braku odwagi nie wzięła czynnego udziału w ostatniem powstaniu i dla tego po tegoż upadku mogła pozostać w kraju.

Słabi ojcowie słabe wydali pokolenie, a słabość odziedziczoną spotęgowało nierozsądne wychowanie, pozostające prawie wyłącznie w rękach kobiecych, i wpływ pozytywizmu warszawskiego, który uznając rozum za jedyną miarę przy ocenianiu wyższości człowieka, tem samem zalety ciała podawał w pogardę. Rozpieszczone i wychuchane przez rodziców dzieci dostają się do gimnazyum rosyjskiego, przygniatającego systemem swoim polskich wychowańców i potęgującego fizyczne zwyrodnienie młodych latorośli.

Naturalnym skutkiem braku sił fizycznych jest brak energii, ochoty i odwagi do pracy samodzielnej, do jakiegobądź czynu samodzielnego, jednem słowem zniewieściałość umysłowa, która stanowi główną cechę młodzieży Królestwa Polskiego. Wadę tę zaś kształci i podnosi do wysokości cnoty szkoła rosyjska, „tłumiąc zasadniczo wszelką samodzielność myśli, zdolność rozumowania, dochodzenia do jakichkolwiek prawd bez pomocy nauczyciela i książki, wyrabiając obojętność umysłową, zdolność uczenia się z jednakowem zajęciem, a właściwie jednakowym stopniem cierpliwości wszystkiego, bez względu na wartość i treść podawanej nauki.“

Wpojona młodzieży w ten sposób niesamodzielność i lenistwo umysłowe wydają w swych skutkach najfatalniejsze owoce. Przynosi ona z sobą z domu wiadomości nie wiele, w szkole rosyjskiej znajduje niesłychanie małe zasoby wiedzy rzetelnej, a nie posiada po większej części dość energii, aby po za szkołą douczyć się tego, czego jej w szkole nie dano. Mniejszość zaś, która czuje w sobie dość energii, aby po za szkołą szukać strawy umysłowej i uzupełnić swe wykształcenie, wyjątkowo tylko dochodzi do celu.

Wypowiedziawszy posłuszeństwo szkole i zwątpiwszy w jej autorytety, idzie młody umysł dalej w tym kierunku rewolucyjnym, szuka na własną rękę prawdy i przejmuje się w ogólności zasadami pozytywizmu. Ale podczas, gdy pozytywizm warszawski z przed 30 laty zwalczał pojęcia „starych“ z fanatyczną wiarą w nowe ideały, młodzież dzisiejsza zadawalnia się samem krytykowaniem tylko, a nie wierzy w to, co służy jej za punkt wyjścia krytyki. Nie uznając żadnych zasad i żadnego programu, nie może też kształcić się systematycznie, lecz szuka tylko tego, „co w łatwy i dobitny sposób uzasadnia zmianę jej pojęć, i strawa umysłowa sprowadza się do artykułów, broszur itp.“ Skutkiem tego wiadomości tej lepszej części młodzieży są w ogólności bardzo powierzchowne i pełne najrozmaitszych braków, i nie może się ona pod względem umysłowym równać z młodzieżą innych europejskich krajów.

Pod względem wykształcenia narodowego sprawa przedstawia się jeszcze smutniej. Większość młodzieży nie umie nawet poprawnie mówić po polsku, nie mówiąc już wcale o gramatyce lub ortografii. Zapomina ona w szkole rosyjskiej, czego się nauczyła w domu, a o samodzielnem uzupełnieniu nauki nie myśli; lepsza mniejszość zaś tak zajęta jest zagadnieniami filozoficzno-społecznemi, że na naukę języka ojczystego nie znajduje czasu, a na uniwersytecie uczyć go się wstydzi. O dziejach narodu młodzież Królestwa Polskiego bardzo ma niedokładne wiadomości, i to samo odnosi się do znajomości naszej literatury, do historyi rozwoju myśli polskiej. Skutkiem tego, „nie rozumie ona należycie ducha języka ojczystego, ducha tradycyi narodowej, nie zna tego, co stanowi najwspanialszy wykwit myśli polskiej,“ — przeszłość narodu jest jej obcą.

„Gdy Anglik np. — pisze Skrzycki — zdobywając coraz większe wykształcenie, coraz więcej jest Anglikiem, bo coraz więcej gromadzi pod swą czaszkę skarbów myśli angielskiej, o inteligentnym Polaku tego powiedzieć nie można. Jest on o tyle Polakiem, o ile się w Polsce urodził i wśród otoczenia polskiego wychował; ale z wykształcenia jest kosmopolitą. Pod naciskiem obcej szkoły i z własnej woli młodzież nasza zrzeka się najcenniejszej spuścizny duchowej po przeszłych pokoleniach narodu, a ztąd pod względem umysłowym nie posiada wybitnego charakteru polskiego, nie jest godną przedstawicielką ducha swej rasy.“

Młodzież polska w zaborze rosyjskim zatraca więc charakter narodowy, wynaradawia się umysłowo zdaniem autora, i to najważniejszy punkt jego zapatrywań. Jeżeli mimo to czuje się polską, jest to skutkiem tradycyi spotęgowanej dotkliwym uciskiem. Ale brak charakteru wybitnie polskiego czyni ją z związku wykazanem niedołęztwem umysłowem jałową i nieprodukcyjną.

Słabością fizyczną i towarzyszącym jej brakiem energii umysłowej tłomaczy się też dziwny pociąg do teoryi socyalistycznej, znamionujący młodzież Królestwa Polskiego. Stoi ona pod względem moralnym dość wysoko, posiada pod wrażeniem ucisku i tradycyi silnie rozwinięte popędy obywatelskie, a zajmując się wiele sprawami społecznemi, spotyka się na każdym kroku z trudnemi zagadnieniami, których o własnych siłach nie umie rozstrzygnąć. Szukając rozwiązania spotykają się młodzi ludzie z teoryą łatwo zrozumiałą, nie wymagającą samodzielnego myślenia, nie pozostawiającą żadnych wątpliwości, nad któremi trzeba by sobie głowę łamać, a zawierającą lekarstwo na wszystkie dolegliwości społeczeństw ludzkich — z teoryą socyalistyczną, sprowadzającą wszystkie zawiłe kwestye społeczne do jednej robotniczej. Nie dziw, że chwytają jej się słabe umysły i poddają się całkowicie pod jej panowanie.

Nie trzeba jednakże sądzić, aby socyalizm młodzieży polskiej w zaborze rosyjskim był prądem silnym, popychającym do czynu lub przynajmniej agitacyi. Skrzycki nazywa go bardzo trafnie socyalistycznym dekadentyzmem. Podczas gdy gdzieindziej socyalizm spoczywa na silnej wierze w wymarzone ideały i dla tego też objawia się namiętnym udziałem w życiu społecznem, młodzież Królestwa Polskiego używa socyalistycznych zasad tylko dla osłonięcia swej bierności, swej obojętności na wiele spraw ogółu. I nie jest to faryzeuszostwem, lecz skutkiem uczuć humanitarnych, paraliżowanych płytkością umysłu i brakiem energii. Młodzież to czuje, że nie jest tak jakby być mogło i powinno i pragnie naprawy stosunków, a widząc swe pragnienia sprowadzone w socyaliźmie do jednego mianownika kwestyi robotniczej, przyjmuje teoryę tę za swoją i nie troszczy się dalej o poszczególne sprawy, a nie ma dość energii ani dość odwagi, aby dla przeprowadzenia doktryny socyalistycznej jakiekolwiek ponosić ofiary. Jest to socyalizm, że tak się wyrażę, czysto platoniczny i jałowy.

Anomalią, ale poniekąd dodatnią stroną młodzieży Król. Polskiego jest pociąg jej do polityki. Tłomaczy się to i tradycyą i stosunkami. Z jednej strony jest dorastające pokolenie nieodrodnymi synami dziadów swych szlacheckich, którzy mieli monopol na politykę, wyłączne prawo radzenia o sprawach rzeczypospolitej. Główną jednakże przyczyną rozpolitykowania się młodzieży są warunki naszego politycznego bytu, ucisk społeczny i brak kierownictwa w walce z rusyfikacyjnemi dążnościami rządu. Był czas, kiedy „młodzi“, jako obóz odrębny, stanowili potęgę w Warszawie, toczące ze „starymi“ fanatyczną walkę o zasady pozytywizmu. Pamięć tych czasów niewygasła, i dziś młodzież, widząc niezaradność starszej generacyi w walce z rusyfikacyą, pragnie ją zastąpić i wydrzeć jej kierownictwo. Są to mrzonki młodzieńcze; ale uprawiają one do nadziei, że przyszłe pokolenie porzuci bierną apatyę i dążyć będzie do zręcznego paraliżowania rusyfikacyjnego systemu. pytanie tylko, czy do oporu tego sił starczy moralnych i energii ...

Może w tej mierze młodzież wykształconą akademicko, zastąpią ci, którym władze rosyjskie nie pozwoliły ukończyć szkół wyższych, a większość z nich musiała opuścić zakłady naukowe dla tego tylko, że nie umiała zgiąć karku pod jarzmo pedagogiki rosyjskiej, że jak na szkołę rosyjską zbyt wiele miała energii. Wielka ich część musiała przerwać zupełnie studya, ale wielu kształciło się po za szkołą rządową i pracując nad sobą w trudniejszych wprawdzie warunkach, lecz unikając skoszlawienia moralnego i umysłowego doszło dalej od tych, którzy ukończyli szkołę. Z ich grona wyszła większa część tych młodych pracowników, którzy dziś w Królestwie Polskiem obok Galicyan pielęgnują naukę i literaturę.

Tak mniej więcej przedstawia się w grubych zarysach obraz młodzieży kształcącej się w wyższych zakładach naukowych Królestwa Polskiego. Nie powiemy, aby mimo mnóstwa trafnych spostrzeżeń, był zupełnie wyczerpującym i wszechstronnym; ale o to też nie chodziło autorowi. Chciał on tylko zwrócić uwagę społeczeństwa na ważną sprawę wychowania młodzieży na czynnych i energicznych obywateli kraju i wywołać dyskusyę, która by mogła doprowadzić do naprawy stosunków. Od rządu rosyjskiego nie można się chwilowo w tej mierze spodziewać żadnych zmian i ulepszeń; tem więcej powinien starać się sam naród o to, aby przyszła generacya stanęła na wysokości zadania, które ją czeka, i przeciwdziałać zgubnym wpływom szkoły rosyjskiej.

Z. Olcski.

Wolne Głosy.

Pod wrażeniem występu Sokołów w Urbanowie.

Upłynęły już wieki całe od czasów, jak stawali naprzeciw siebie do walki w turnieju w stal zakuci rycerze, a uderzając na siebie kruszyli kopje, druzgotali tarcze, łamali koncerze, młotami rozbijali zbroje, by pokonać przeciwnika; dzisiaj występują na arenę turnieju ludzie pracy z otwartą piersią, odkrytą głową, zbrojni w samowiedzę, że wyzwolenie ludu przez oświatę, pracę i zdrowie jest myślą naszą wspólną, i że w tym kierunku spotykają się serca i działania rozumnych i uczciwie myślących patryotów. Jeżeli turniej rycerski czasów zamierzchłych, — acz tchnął poniekąd barbarzyństwem, — imponował jednak wspaniałą okazałością, to dzisiajszy skromny, ma szlachetniejsze dążności i dla ludzkości pożyteczniejsze.

Do takiego nowoczesnego turnieju wystąpiły w Urbanowie nasze „Sokoły“ w liczbie 300. Rosło serce patrzącym na te muskularne postacie, które wczoraj pracowały na chleb powszedni, a dzisiaj raźno do popisu stanęły w imię dobra ogólnego i pokazania zgromadzonym ziomkom, że ćwiczenia gimnastyczne dają zdrowie i siłę, — które jeśli komu, to nam do utrzymania egzystencyi są konieczne.

Na dany znak rozeszły się oddziały miarowym krokiem na cztery strony boiska, a po niedługiej chwili ukazali się pojedyńczo gimnastycy na przyrządach, produkując się swą siłą i zręcznością, które zebrana publiczność grzmotem oklasków darzyła. Wszystkie produkcye wypadły świetnie, niektóre z nich przechodziły oczekiwania, jak akrobatyczne salto-mortale, wykonane z drabiny, potem błyskawiczne tworzenie niezwykle trudnych piramid itp. Wolne ćwiczenia nie pozostawiły nic do życzenia, przyniosłyby nawet zaszczyt wyćwiczonemu wojsku. Znakomicie też wywiązali się z swego zadania Sokoły-kołownicy, którzy jeździli w ośm par poloneza w tak symetrycznych figurach, że nie powstydziłaby się za nie sala Bazarowa.

Cały korpus występujących „Sokołów“ robił miłe i chwytające za serce wrażenie, a kto się wpatrzył w inteligentne rysy, tej młodzieży, ten mógł w nich wyczytać sentencyę „*in corpore sano, mens sana*“. Instytucya Sokołów oddziaływa korzystnie na ogół i zasługuje na jaknajszersze rozpowszechnienie; nie może bowiem czas wolny od pracy pożytecznej być obrócony jak na ćwiczenia gimnastyczne, dające zdrowie, wyrabiające muskuły i wychowujące społeczeństwu twardych, energicznych, karnych pracowników.

Publiczność Poznańska okazała swą sympatyę dla Sokołów licznym udziałem. Około 5000 osób zapełniło tak boisko jak ogród cały. Przesuwały się obok siebie połączone ideą wspólną wszystkie stany, zgromadził je pociąg ku swoim i bezwiednie wytworzyła się upragniona jedność, mająca te same dążności i cele.

Nie było tylko jednej koteryi!

Jak nie masz w żadnem społeczeństwie samych doskonałości, tak też i w naszem są wyjątki, odłamujące się od całości, do jakich zalicza się odłamek czy ułamek ultrajalistów, hołdujący polityce tak zwanej ugodowej. Uznał on za stosowne niezaszczycić swą obecnością uroczystości ludowej w Urbanowie, by nie skompromitował go cień hołdującego demokratyzmu. Odłamek ten wzywa od czasu do czasu, mianowicie przed wyborami do jedności i zgody w imię „porządku i ładu.“ Gdyby słowa jego były natchnione prawdą, to szłyby w parze z czynami, i on zawsze i wszędzie byłby razem z ludem, którego jak widzimy unika. Trwoni ducha na marne słowa i puste frazesy, a pracy jego szczerej nie widać.

Duch narodowy ogarniając coraz szersze masy, budzi je z senności, obchodzi tryumf swego zwycięstwa i wzywa cały ogół do pracy. Ktokolwiek nie chce zostać pogardy godnym pasożytem, wyzyskującym na własną korzyść mozoły, poświęcenie i zasługi przodków, niech stawa do szeregów pracowników naszych: — odłogów jeszcze dużo, znajdzie się na nich dla każdego dosyć miejsca do pracy wedle sił i zdolności, byle tylko chęci starczyły.

Molo.

TO I OWO.

Brak kobiet.

Są kraje, gdzie mężczyźni narzekają na brak kobiet. Dowodem tego, jak dotkliwie uczuwać się daje fakt ten w niektórych miejscowościach „dalekiego Zachodu“ i północnej Ameryki jest podanie, złożone na ręce burmistrza w Vancouver w Kolumbii. W podaniu tem zawarta jest prośba założenia przytułku dla dziewcząt, któryby dostarczał żon wolnym młodzieńcom zachodniej Kanady. Obecny stan rzeczy usprawiedliwia prośbę tę w zupełności, na całym bowiem zachodzie kobiet jest bardzo mało, podczas gdy w miasteczkach na wschodzie jest ich za wiele. Podanie to tem jest ciekawsze, że wyszło nie od kandydatów, lecz od kandydatek do stanu małżeńskiego. Petentki zaznaczają w podaniu swem z naciskiem, że na zachodzie przeszło 40 tysięcy młodzieńców skazanych jest na starokawalerstwo, gdy tymczasem na wschodzie tyleż przynajmniej dziewcząt gotowych jest serce ofiarować małżeństwu.

Rząd kanadyjski, pragnąc zwiększyć immigracyę do zachodnich prowincyi, wyznaczył nagrodę dla osiedlających się tu przybyszów, co wywołało silny napływ ludności męzkiej do Kolumbii, Manitoby i wyspy Vancouver.

Główna jednak część przybyszów składała się bądź z myśliwych, którzy rozbiegli się po lasach, bądź z tkaczów i wogóle z ludności rolniczej, która w marnych lepiankach nędzny swój żywot prowadzi. Oryginalna ta petycya dziewcząt wchodniej Kanady jest więc wypływem „głęboko odczutej“ konieczności i wywołała w pismach tamtejszych obszerną dyskusyę. Większość pism oświadczyła się za projektem.

Zdaniem ich, gdyby każdy z tych 40 tysięcy, którym grozi widmo starokawalerstwa, ofiarował tylko pięć dolarów na założenie takiego schronienia, to suma ztąd powstała wystarczyłaby na utrzymanie stu kandydatek do stanu małżeńskiego. Dalsza egzystencya zapewniłaby się dała temu schronieniu w ten sposób, że każdy biorący zeń żonę obowiązany byłby do złożenia pewnej sumy. Dziewczęta łatwo możnaby sprowadzać ze wschodu.

W Ameryce nie jest bynajmniej nowością, że rząd podejmuje się pośrednictwa w małżeństwach. Coś podobnego istniało już przed 200 laty w koloniach Virginii: sławna kompania Hudsonbai do bardzo niedawnych czasów dostarczała urzędnikom swoim, osiadłym w samotnych koloniach północnej Ameryki dozgonnych towarzyszek aż z Londynu.

Wychodzący w Milwaukee dziennik przytacza pewną w stanie Wisconsin położoną miejscowość, która pozbawiona jest zupełnie kobiet. Nazywa się ona Aliceton w hrabstwie Jefferson, liczy stu mieszkańców, wśród nich jednak nie ma ani jednej istoty, która „splata ciernie z kwiatami“ w podziale z mężem. Są tam tylko sami mężczyźni! Że jednak wartość płci pięknej ocenić umieją, dowodem tego nazwa miejscowości: „miss Alice Aspinwall.“ Panuje tam mimo to ład i czystość tak wzorowa, że brak kobiet nie odrazu daje się poznać. Już kilka razy rozchodziła się pogłoska, że „Aliceton“ utraci sławę jedynej w Stanach Zjednoczonej wolnej od kobiet osady, że mianowicie jeden z jej mieszkańców zamierza zawrzeć związek małżeński; pogłoska ta wywołała zawsze ogromne wśród mieszkańców wzburzenie, okazywało się jednak później, iż to był żart niewinny.

Dla pragnących wyjść za mąż panien — pole do tryumfu!...

* * *

„Ogórki.“

Mają one swoje prawa i okres panowania w życiu bieżącem; ale gdy w ich godła prasa zaczyna się przystrajać i zalewać swe szpalty wodą ogórkową, licząc na pobłażliwość czytelników, znużonych upałami, jest to już karygodne niedbalstwo, lekceważenie ogółu, który ma swoje kaprysy nielogiczne, ale często też może rościć bardzo słuszne pretensye i za własne pieniądze żądać odpowiedniego towaru. Kto jest wrażliwy na usterki, ten łatwo dostrzeże, że w „sezonie martwym“ wiadomości te same powtarzają się w jednem piśmie po parę razy tygodniowo, że nawet takie bliźnięta czasem figurują obok siebie w jednym numerze, że wreszcie masa omyłek trudnych do przebaczenia zwiększa się zazwyczaj w lecie. Mylnej zasady trzymają się redakcye pism, jeżeli sądzą, że znużony upałem czytelnik, rozleniwiony na „wilegiaturze“ lub w miejscu kuracyjnem, przebiega niedbale szpalty i nie dostrzega tych grzechów. Karbuje on je sobie dobrze w pamięci i buduje z nich nieufność do danego organu. Lato istotnie wyciska swoje piętno na pracy dziennikarskiej, gdyż zwykle najlepsze siły po całorocznej pracy udają się w tym czasie na wypoczynek. Ale to jeszcze nie upoważnia sklepików dziennikarskich do dawania odbiorcom zleżałego lub sfałszowanego towaru. Takim produktem, dręczącym ogół, są obecnie korespondencye z różnych miejscowości letnich, przeznaczonych na zabawy lub kuracye. Bale, koncerty, korsa, reuniony, teatry amatorskie, loterye — aż mdło i słabo się robi! Pewna znajoma opowiadała mi niegdyś, iż zemdlała pod wpływem nieustannej, czczej gadaniny jakiejś terkotki. Na wrażliwych, osłabionych i nerwowych może tak samo podziałać obecnie ta powódź słów gazeciarskich, ten gorący jej udział w pustocie życiowej garstki społeczeństwa, skazanego na wieczne próżniactwo lub podrygiwanie.

* * *

Młot godłem wystawy berlińskiej.

Co ma oznaczać młot, wznoszący się groźnie nad ziemią, a zdobiący afisze i ogłoszenia wystawy przemysłowej berlińskiej? Nie jest to bynajmniej symbol przemysłu, lecz hegemonii Niemiec nad światem: jest to młot Thora. W tego rodzaju starogermańskich reminiscencjach mitologicznych, jak powszechnie wiadomo, specyalnie lubuje się cesarz Wilhelm II, w Eddzie i Nibelungach wyszukujący imion dla swych dzieci (Eitel), lub tytułów dla kompozycyi (Aegir). Znaczenie tego młota Thora objaśnia najlepiej przytoczony poniżej wiersz Feliksa Dahna, prof. uniw. wrocławskiego, znanego barda urzędowego wielkości Prus i domu Hohenzollernów:

Thors Hammerwurf.

Thor stand am Mitternacht-Ende der Welt,
Die Streitaxt warf er die schwere:
„Soweit der sausende Hammer fällt.
„Sind mein das Land und die Meere.

Und es flog der Hammer aus seiner Hand,
Flog über die Ganze Erde,
Fiel nieder am fernsten Südens Rand,
Dass alles sein eigen werde.

Seitdem ist's freudig Germanenrecht,
Mit dem Hammer Land zu erwerben:
Wir sind von des Hammergottes Geschlecht
Und wollen sein Weltreich erben.

Ciekawy ten dokument wybujałego pruskiego szowinizmu znaczy po polsku mniej-więcej:

Młot Thora.

Thor na północnym ziem krańcu stał,
Młot ciężki cisnął w przestworza:
„Dokąd dosięgnie świszczący młot —
Tam lądy moje i morza!“

Młot wyrzucony z potężnych rąk
Nad ziemią przeleciał całą,
I na ostatni spadł świata krąg —
Wszystko się bogu dostało.

Odtąd ma prawo germanów lud
Zdobywać obszary młotem,
Gdy wstanie Thora potężny ród
Świat cały legnie pokotem!...

Na Wyłomie.

(Policya na zlocie poznańskim. — Oj! Lechu! Lechu! — Pod adresem małych kolegów).

Co to? Mały stan oblężenia w Poznaniu? Przesuwając się między szeregami wiejskich żandarmów i miejskich konstablerów zgromadzonych na zlocie Sokolstwa naszego, doznawałem chwilami wrażenia, że istotnie na coś podobnego się zanosi. Gimnastyka! Jakież to straszne słowo! Jaki strach bije z niego ku wyżynom rządowym i jaka olbrzymia skrzynka Pandory, pełna ukazów, otwiera się za tem magicznem zaklęciem. Dziękowałem Bogu, że na drodze mojej nie spotkałem żadnego rowu, bo gdybym tak musiał skoczyć przez niego, usłyszałbym może, jak niegdyś Borne, ponure słowo policyanta: „Złoczyńco! Skoczyłeś przez rów, a więc gimnastykowałeś, a więc aresztuję cię.“

Żart żartem. Nie chcę ubliżać policyi pruskiej, bo od czasów Bornego przybyło jej wiele delikatności i rozsądku, — przynajmniej w Poznaniu. Kazano jej stanąć na miejscu ćwiczeń sokolskich, kazano świecić pikelhaubą jak czerwoną chustką w arenie hiszpańskiej, więc usłuchała, ale w zakresie samodzielności swojej złożyła dowody taktu i nie zdradzała nigdy żandarmskiej arogancyi. Komisarz rządowy, kierujący tą policyjną strażą bezpieczeństwa, przestrzegał nader sumiennie, by literze ukazów zadość się stało, lecz otaczał się tą dyskrecyą i uprzejmością rozumną, która nie wymachuje szpadą i nie krzyczy na całe gardło „ja władca i pan,“ lecz szeptem, półtonem, grzeczną wskazówką spełnia swój obowiązek. Zdawało mi się nawet, że w tych wszystkich pikelhaubach rozrzuconych na drogach, przy bramach i w ogrodach Urbanowa, był jakby lekki uśmiech ironii, jakby jakieś niewypowiedziane „T a n t d e b r u i t p o u r u n e o m e l e t t e.“ Nic dziwnego! to ludzie praktyczni, zaglądający prosto w oczy stosunkom i zrośli z społeczeństwem naszem. Dla nich wszystkie ujadania i szczucia Hakatystów to fałszywy alarm. Znają charakter ludności, znają dokładnie ducha towarzystw, znają Sokołów i wiedzą dobrze, że na wszystkich naszych zebraniach i zabawach mogą z czystem sumieniem zaśpiewać „Lieb Vaterland magst ruhig sein.“ Lecz tam u góry, gdzie przy zielonych stolikach fabrykuje się polityka miejscowa, — tam w rejencyjnych gabinetach, gdzie z wysokich okien spoglądają na życie nasze i słuchają chętnie opowiadań o żelaznym wilku, stworzonych kłamstwem panów H. K. T. — tam oczywiście kuje się surowe werdykty i porusza tłum policyantów, pełniących z cichym protestem w duszy niepotrzebną i drażniącą spokojnych obywateli służbę. Ba! tam postarano się nawet o to, by Sokołom nie było za jasno, i zakazano spalić fajerwerki. Niech wam idzie na zdrowie, przezacni nieprzyjaciele jasności, — to nam humoru nie popsuje, a każdy sokół gotów trawestować historyczne słowa owego Spartanina z pod Termopilów: „Gdy nam zgasicie rakiety, bawić się będziemy po ciemku.“

Cóż jednak dziwić się pruskim urzędnikom, kiedy i w prasie polskiej znalazł się typowy wróg światła, któremu imię „L e c h“, gazeta gnieźnieńska Po rozmaitych podrygach demokratycznych organ ten zawinął do spokojnej a obfitującej w tłuste ryby i drogocenne perły przystani „ładu i porządku“. Wodzem naczelnym jest ks. Sołtysiński, a jego maszyna do pisania zwie się p. Gajzler. Znam nerwowe kobiety, które na widok żaby wpadają w paroksyzm histeryi, — czytając „Lecha“ przekonuję się, że przy końcu dziewiętnastego stulecia są jeszcze ludzie, którzy na dźwięk wyrazu „demokracya“ dostają konwulsyi. Zdarzyło się bowiem, że jeden z mówców zlotowych, szkicując rozwój społeczny w przedświcie wieku naszego, wspomniał o „zwycięztwie zdrowej demokratycznej cywilizacyi nad światem peruk pudrowanych“ i otóż ta niewinna notatka odegrała w obec „Lecha“ tę samą rolę, którą odgrywa żaba w obec bab histerycznych. Krzyknął, zapienił się i dostał wielkiej choroby. Nieszczęsny mówco! Cóżeś uczynił? Ty to „rzucasz spleśniałe i zbutwiałe ziarna w serca młodych sokolików“, ty „trujący pokarm społeczny“ zamiast zdrowej strawy im podajesz. Tak mówi „Łech“, gazeta gnieźnieńska, lubo na wstępie paroksyzmu dziennikarskiego przyznaje z smutną determinacyą, że „idea demokratyczna stanowi zawsze podwalinę konstytucyjnego ustroju.“

Mój Lechu poczciwy, pojmuję twoją boleść i twój żal spóźniony, pojmuję także, że irytuje cię demokratyczny prąd Sokolstwa naszego, pojmuję wreszcie, że drażnić cię musi ta rola kierująca, którą „Młoda Polska“ odegrała na zlocie, ale widzisz, — taka już natura ludzka, że przed napisaniem polemicznego artykułu słaby dziennikarz powinien zawsze wziąć prysznic zimnej wody na głowę, bo w przeciwnym razie zdarzy się łatwo wypadek, że napisze taki dziwoląg logiczny i taki nonsens krzyczący, jak ty w numerze poświęconym zlotowi. Ośmielam się także zwrócić uwagę publiczności na ten dziwny demokratyzm, którym „ład i porządek“ czytelników swoich kokietować lubi. Są w tym obozie sprytni dziennikarze, którzy rolę demokratów grają z mistrzostwem rutynowanych aktorów, — zdarzy się niekiedy jednak takie niezręczne „e n f a n t t e r r i b l e“ w rodzaju „Lecha“, i w mgnieniu oka przez dziury Kościuszkowskiej sukmany szczerzy swe zęby reakcya. I wtedy dowiadujemy się, że obóz przeciwników naszych nietylko uważa za grzech śmiertelny żywą, bezpośrednią tendencyę demokratyczną, lecz wyklina nawet historyczne wzmianki o wielkim przełomie społecznym, który sto lat temu w Francyi wziął początek. Oj! gaduło gnieźnieński, jak ty niezgrabnie służysz swoim panom! Gdybyś jednak nawet wirtuozem był w zawodzie swoim, nie powstrzymasz tej wielkiej ewolucyi społecznej, która, — jak słusznie mówi „Orędownik“ — „potoczy się dalej własną siłą, nie oglądając się ani na twój patronat, ani na twoje wyzwiska.“

Na koniec dwa słowa jeszcze. Głosy prasy prowincyonalnej o zlocie poznańskim są interesującym przyczynkiem do charakterystyki stosunków naszych, znieprawionych epidemią niehamowanych zawiści redaktorskich. Ponieważ jednak drobiazg dziennikarski operuje z dziwną konsekwencyą żółtemi dzióbkami koło własnych nóg moich, a nie mam zwyczaju odgrywać roli Heroda i odpierać publicznie na tem miejscu inwektyw osobistych, zatem tym wszystkim głębokim myślicielom subtelnym literatom i szerokim krytykom z prowincyi, którzy zamieniwszy pióro do pisania w pędzel do murzenia, więcej własne ręce niżm nie poplamili, nie przesyłam nic, prócz k r o p k i, — symbolu ich małości.

Sulla.

KRONIKA POWSZECHNA.

Teatr i muzyka. W uzupełnieniu notatki. zamieszczonej w poprzednim numerze, donosimy, że oprócz wymienionych już artystów i artystek, angażowanych świeżo przez p. Edmunda Rygiera dla teatru poznańskiego, nowy dyrektor sceny naszej zakontraktował jeszcze siły następujące: panowie S t r ó ż e w s k i (tenor i aktor charakterystyczny), B e ł c i k o w s k i, B r z e z i ń s k i i A u g u s t y n o w i c z (początkujący artyści); panie K a r l i ń s k a (do ról lirycznych), S t r ó ż e w s k a (do śpiewu i tańca), Z a w i s t o w s k a i R ó ż a ń s k a (początkujące artystki). — Po zmarłym przed niedawnym czasem Edmundzie Goncourcie pozostała jeszcze sztuka pt. „La Faustin“, przerobiona przez niego z powieści pod tym samym tytułem. Utwór ten wystawiony będzie w zimie z Sarą Bernhardt w głównej roli kobiecej. — Jak donoszą dzienniki włoskie, Mascagni pisze obecnie nową operę pt. „Irys“. — Dla świata muzycznego ciekawą będzie wiadomość, iż znaleziono trzy nieznane dotąd piesni Franciszka Szuberta. Kompozytor ten, jak wiadomo, tworzył bardzo łatwo i szybko, niekiedy nawet notował pieśni na stole piwiarni, w której bywał stałym gościem. To też kompozycyi wiele zaginęło. Trzy pieśni, świeżo znalezione, były w posiadaniu p. Mayerhofera. Manuskrypt kompozycyi, ujęty w formę zniszczonego już dziś albumu, wystawiony będzie na „Wystawie Szuberta“, którą Wiedeń organizuje na początku przyszłej wiosny. — Adelina Patti wystąpić miała w Londynie w koncercie na cele dobroczynne. Bezpośrednio przed koncertem odmówiła jednak, bo bilety kosztowały od osoby tylko... 10 mr. Żądała, by cena wynosiła minimum 20 mr. Jak na stary, przekrzyczany głos, cokolwiek za wiele.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

N. w Ostrowie. — Dziękujemy uprzejmie za przysłany nam numer gazetki. Uwagi te są tak naiwne, że polemika staje się zupełnie zbyteczną. Dla informacyi Szanownego Pana nadmieniamy tylko, że zmuszeni byliśmy przed kilku tygodniami odrzucić temu „autorowi“ kilka niedołężnych artykułów, nie kwalifikujących się nawet do trzeciorzednych pisemek. I n d e i r a e. Ztąd gniewy i zemsta, — ale Boże! jaka to zemsta!

M. w Inowrocławiu. — Dobrze Pana poinformowano. Humorystyczny wierszyk na temat „ulubionej klątwy polskiej,“ wygłoszony na wieczornicy sokolskiej, jest podany w książce Bełzy o „Maryli“, jako nieznana improwizacya A d a m a M i c k i e w i c z a.

Sokół. Jest przyjętym w Sokolstwie zwyczajem, że przewodniczący nie dzwonkiem, lecz trąbką udziela sygnałów na uroczystych wieczornicach, ucztach i t. d. Nie była to zatem innowacya, jak się Panu wydaje, lecz rzecz najzwyklejsza, ogólnie przyjęta.

X. X. Na życzenie Pańskie stwierdzamy, że p. Henryk Dzierżykraj Morawski, sprzedając wieś rajnę na kolonizacyę, działał podobno pod presyą materyalnej. Ostatnie słowo w tej sprawie wypowie nasz korespondent.

Ż w Pradze. Dziękujemy za informacye. Skorzystamy z nich w jednym z najbliższych numerów.

M. S. Redaktorem „Głosu Narodu“ jest obecnie p. Ehrenberg, redaktorem „D z i e n n i k a K r a k o w s k i e g o“ p. W. Feldmann.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28

Nr. 35. Poznań, niedziela 30-go sierpnia 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: ul. Wilhelmowska 28.
(Drukarnia J. Fr. Tomaszewskiego.)

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi w Poznaniu 4,00 mrk. Przyjmuje Administracya: ul. Wilhelmowska 28. w Niemczech i Austryi 5,00 mrk. (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 mk. — Prenumeratę przyjmują Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

TREŚĆ.

Szabla Rakoczego.

(F). Szczera stal, ostra stal, długo brzęczała przy boku bohaterów, z blaskiem i siłą pioruna spadała na karki nieprzyjaciół, jaśniejąc przodowała w bojach o wolność i sumienie — dziś świat i ją zmuszą do kłamstwa... Car ofiarował szablę Rakoczego Węgrom przed swem przybyciem do Wiednia.

Gdyby krople krwi, które błyszczały na tej stali, w słowa się zmieniły, gdyby dłonie, w których się znajdowała, moc jeszcze miały, usłyszelibyśmy wspaniałą epopeję z życia ludów, zakończoną w duchu prawdziwego dekadentyzmu, t. j. wyrafinowanym upadkiem i zepsuciem. Opowiedziałyby nam o zmianie pokoleń i wieków, o przeobrażeniu się bohaterów — w przekupni.

W ręku Franciszka Rakoczego II-go była prawdziwym „mieczem bożym“ na absolutyzm starej Austryi i fanatyzm reakcyi religijnej. Było to w roku 1703, zaledwie w cztery lata po wyzwoleniu się Węgier z pod przemocy Turcyi, rozpoczętem tak dzielnie przez odsiecz Sobieskiego. Dom Habsburgów objął panowanie i w krótkim czasie doprowadził do rozpaczy wszystkie warstwy ludności. Konstytucyę węgierską gwałcono, protestantów zaczęto przemocą nawracać i ciemiężyć. Wybuchło tedy powstanie nietylko magnatów, ale miast i wsi, prawdziwe powstanie narodowe. Wówczas wszystkie oczy madiarskie zwróciły się ku potomkowi książąt siedmiogrodzkich, ku Franciszkowi Rakoczemu. Do Polski, gdzie bawił jako zbieg z dworu wiedeńskiego, przybyła deputacya chłopów z północnych komitatów, a w r. 1705 zamianowano go głową skonfederowanych stanów. Wojna kilkuletnia, krwawa i powszechna, w której niemało też polskiej krwi się lało, ogniem objęła całe Węgry. Szabla Rakoczego cudów dokazywała dla wolności wiary i swobody narodu, twierdze oprzeć się jej nie mogły, wojska austryackie szły przed nią w rozsypkę. Nią dumnie podparł się wódz powstańczy, gdy sejm w Onod wyrzekł detronizacyę Habsburgów. Nią pobrzękiwał, nią wskazywał swej drużynie drogę, gdy zagrzany muzyką Anny Czinki, niesiony na skrzydłach pieśni, pierwszy wpadał w szeregi wrogów. A gdy go przemoc zgniotła, nie poniżył się, szabli nie poplamił; uniósł ją z sobą na dobrowolne wygnanie.

Wiek przeszło drzemała, a nie było dłoni, godnej jej dźwigania. W Węgrzech tryumfował absolutyzm, wyczerpany lud długo nie mógł myśleć o swej narodowości i konstytucyi — aż go Lajos Kossuth gromkim głosem swej wymowy, ogniem swego zapału, blaskiem swego pióra do wolności powołał. Wówczas obudziła się też szabla Rakoczego. Kraj cały był pożogą wojny zalany, marsz Rakoczego, jak ongi marsylianka, bohaterskie zapałał instynkty, a uniesiony dumą powodzenia, naród znowu wyrzekł detronizacyę Habsburgów, szedł ku tryumfowi ostatecznemu swej niepodległości. Szablica w najgodniejsze dostała się ręce, kobiety węgierskie ofiarowały ją jenerałowi Bemowi. I rzeczywiście, w całej galeryi ówczesnych bojowników trudno o postać wspanialszą. Żołnierz ten napoleoński, ktory w r. 1831 uratował honor polski pod Ostrołęką, w r. 1848—9 był piorunem rewolucyi, ze swoją artyleryą z miejscowości do miejscowości wpadał, niespodzianie raził wrogów, zdobył Siedmiogród i Banat, austryackie i rosyjskie pobijał szeregi. Szabla Rakoczego czysto i dumnie jaśniała przy jego boku, aż mu Moskale jej nie wydarli. Po krwawym boju temeszwarskim dostała się w ich ręce, pokonana lecz nie upokorzona; Bem ustąpił niezmiernej przemocy. Wraz z podartą kartą konstytucyi Węgier, z sztandarami walczących, morze krwi zostawiając i ponury zgrzyt szubienic, zabrali ją moskale do swoich skarbców.

Dzisiaj inne czasy... Węgrzy chęci zemsty nad Rosyą ze serc swoich nie wydrą. Polityk austryacki z nieufnością i trwogą na północnego spogląda sąsiada; ten nie zapomni Austryi jej roli z czasów krymskich. Wszystkie te trzy czynniki pełne są nienawiści ku sobie i obawy — mimo to patrzą na się z przyjaznym uśmiechem i wymieniają między sobą czułości i wizyty. Szczera, naga namiętność czasów dawnych ustąpiła hypokryzyi; bohaterstwo — kłamliwej dyplomacyi. — I jestto jej szczytem, gdy car przesyła Węgrom szablę Rakoczego i Bema.

Szabla ta dwa razy rozcinała węzeł, łączący Węgry z Austryą — czyżby car to chciał przypomnieć? Chciałbyż powiedzieć, iż zwraca symbol walki — żałując, iż jego przodek na korzyść Austryi a szkodę Rosyi ją rozstrzygnął? Sianie niezgody jest starem rzemiosłem dyplomacyi, ale w danym wypadku młody władca Północy takich celów może nie miał. Dar jego ma tylko Madiarów dobrze dlań usposobić, odegrać rolę prezentu przekupnia, celem nawiązania lepszych stosunków.

Myli się atoli dyplomacya i kłamią gazety urzędowe, przypuszczając, iż szablą tą car sobie serca podbił. Będzie ona spoczywać w Muzeum narodu węgierskiego, lecz jako przestroga, jako straż. Na horyzoncie ukazują się chmury, ale węgrzy są na burzę przygotowani. I gdyby znowu miał spaść jakiś zamach na ich narodowość albo kamień ucisku na swobodę sumienia, — wówczas na nowo zabłyśnie w krwi i słońcu szabla Rakoczego i Bema...

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Rozmowa z wyklętym księdzem.

„Dziennik Krakowski“ podaje w nr. 194 interwiew jednego z współpracowników swoich z ks. Stojałowskim. Z artykułu poświęconego tej sprawie cytujemy ustęp następujący:

„— Przyjechałem do Cieszyna w niedzielę 23 b. m. — pisze nasz sprawozdawca — i po długich poszukiwaniach, przy pomocy listonoszów, odkryłem nareszcie jego mieszkanie. Wszedłem na drugie piętro i zapukałem do drzwi.

— Czy zastałem księdza redaktora?

— Tak jest, proszę wejść do drugiego pokoju.

Wszedłem. Włosiennicy nie miał na sobie, ani nie kupił jeszcze biletu do Kanossy. Siedział uśmiechnięty przy biurku i rozmawiał swobodnie z kilkoma chłopami. Przywitał mnie serdecznie i kazał siąść; przeprosił, że nie może zaraz mi służyć, bo musi wpierw załatwić kilka spraw chłopskich. Usiadłem i przyglądałem się tymczasem urządzeniu mieszkania. Skromniej chyba mieszkać nie można. Dwa małe pokoje, pierwszy podzielony przepierzeniem na kuchnię i sypialnię, w drugim wpada przedewszystkiem w oczy ołtarz, urządzony naprzeciw wejścia, w środku podłużny stół, przy oknie biurko do pisania, w jednym i drugim pokoju stosy książek i gazet, słowem, lokal redakcyjny obok prywatnej kapliczki i sypialni. Przy oknie siedzi ksiądz-redaktor i udziela posłuchania interesentom. Ubrany w nową sutannę z odznakami prałata, z twarzą bez rumieńców, o cerze woskowej, z uśmiechem na ustach, rysy i układ twarzy charakterystyczne tak, że bardzo łatwo je zapamiętać, oczy spoglądają niespokojnie, podejrzliwie, badawczo... Rozmawiał z chłopami. Jeden radził się, jak się ma zachowywać na zgromadzeniu wyborczem, drugi przyszedł z żoną, by pożalić się przed księdzem dobrodziejem nad swojemi nieszczęściami domowemi i dać na mszę świętą.

Przyszła w końcu na mnie kolej.

— Co? zapewne z kondolencyą pan? Chcesz mi wyrazić współczucie z powodu klątwy? Ależ panie, ktoby tam sobie z tego... co robił!

Ładny początek, pomyślałem sobie, dobitniej nie mógł chyba ksiądz-redaktor zaznaczyć, że „straszna klątwa“ nie przygnębia go zanadto... Zaczętą rozmowę przerwało wezwanie do obiadu, na który zostałem uprzejmie zaproszony. Ksiądz-redaktor zmówił przed jedzeniem modlitwę, której wysłuchałem stojąc, poczem wzięliśmy się do spożywania skromnych darów bożych. Funkcye gospodyni spełniała redaktorka Niewiasty pani Helena Hempel, poważna matrona, z wyrazem cichej rezygnacyi czy melancholii na obliczu, która nie znikała i wtedy, gdy składały się do uśmiechu. Widocznie przeciwności losu dały jej się więcej we znaki, niż ks. Stojałowskiemu.

Przy stole nawiązaliśmy znowu poprzednią rozmowę.

Sposób wydania i ogłoszenia klątwy — prawił ks. Stojałowski — jest nielegalny pod każdym względem. Klątwy tej nie podpisał ani papież, ani który z kardynałów, lecz wyłącznie jakiś młody członek Manzini, który niema do tego prawa. Według ustaw kanonicznych oskarżyciel, świadek i sędzia nie mogą być jedną osobą; — tymczasem w tym wypadku tak jest: oskarżycielami, świadkami i sędziami są biskupi galicyjscy z ks. Puzyną na czele. Tekstu klątwy do dnia dzisiejszego nie doręczono mi wcale. Gdym usłyszał o klątwie, zaniepokoiłem się z początku, bo myślałem, że Bóg wie jakie misterne oskarżenie wysnuli pp. biskupi przeciw mnie. Gdy jednak przeczytałem tekst, musiałem się roześmiać. Oskarżają mnie tylko o polityczne sprawy, o nic więcej. Panowie biskupi wzięli się do tego bardzo plump — to ich zgubi. Cała intryga pochodzi stąd, że papież nie jest należycie poinformowany o sprawie, — bo tego nie chcą biskupi. Wyznaję takie zasady polityczne i społeczne, jakie są zawarte w encyklice papieskiej. Zresztą zrobiono całą sprawę bez żadnego sądu, bez przesłuchania mnie — a przecież z najgorszym zbrodniarzem inaczej postępują. Jestem gotów poddać się pod sąd, ale złożony z ludzi niezawisłych. którzy rozstrzygną sprawę. Do Rzymu nie pojadę, bo nie dopuszczą mnie do papieża. Chętnie odwołam wszystko, ale niech mi powiedzą. co mam odwołać! Tego nie potrafią nigdy powiedzieć. Gazetki wydawać będę nadal, nikt mnie nie zmusi do zaprzestania tego.

Zapytałem, co myśli teraz zrobić. — Wydam list otwarty do papieża — brzmiała odpowiedź — we wszystkich językach. W liście tym podam najpierw swoje wyznanie wiary, poczem przedstawię swoje przekonanie społeczne, tyczące się ograniczenia wpływu biskupów. Przedstawię także, jakie są nadużycia biskupów galicyjskich.

— A więc pracy swej nad ludem ks. redaktor nie porzuci?

— Oczywiście, że nie. Owszem teraz dopiero rozpocznie się walka na dobre. Głównem hasłem w tej walce będzie: precz z politycznym wpływem biskupów. Kościół traci na tem, jeżeli miesza się go do polityki, jak to czynią biskupi. Kościół powinien być instytucyą moralną, a nie polityczną.

Podczas naszej rozmowy siedział przy stole chłop z Milówki, który będąc w Cieszynie wstąpił do ks. St., aby go zobaczyć i pomówić z nim. Opowiedział nam w prostych słowach zwykłą chłopską historyę. Miał zapłacić 36 ct. i drobna ta kwota urosła dzięki sztuczkom biurokratycznym do 20 złr. Biedak żalił się, że niema sprawiedliwości i pytał, kiej też będzie biednemu narodowi lepiej... Stojałowski spojrzał na mnie z uśmiechem. „Widzę pierwszy raz w życiu tego chłopa; i kto tu podburza więcej, buntownik Stojałowski czy oni!“

Chłop tymczasem dalej wywodził swe żale i przyszedł w ciągu rozmowy na myśl, że biskupi źle robią, prześladując ks. redaktora. Potem dodał: tak samo jak arcykapłany prześladowali Chrystusa Pana.

Ksiądz Stojałowski się uśmiechnął...

Po obiedzie zaproponował mi gościnny gospodarz podróż do Karwiny na zgromadzenie przedwyborcze. Przystałem na to chętnie. W drodze w pociągu rozmawialiśmy o zbliżających się wyborach do rady państwa. Poglądy w tej mierze były następujące. Partye opozycyjne, t. j. socyaliści, radykali, ludowcy powinni iść razem przeciw szlachcie. Nieporozumień nie będzie, jeżeli będą się też trzymać tej zasady, iż piąta kurya należy się robotnikom, zaś czwarta chłopom. O ludowcach wyrażał się dość pogardliwie, szczególnie śmieszył go ich program rzeszowski. Zapytałem, czy zamierza kandydować? Odpowiedział na to, że nie postanowił jeszcze nic w tej mierze, ale może że ogłosi w którymś okręgu kandydaturę. W Krakowie będzie stanowczo popierał p. Daszyńskiego.

Wysiedliśmy z wagonu i udaliśmy się na zgromadzenie. Po drodze nie można było prawie odjąć ręki od kapelusza. Wszyscy cisnęli się, by ucałować rękę księdza redaktora. Tak witano tego, którego uznano jako vitandus. Lud jakoś nie odstraszył się.“

* * *

Nihilistka.

POWIEŚĆ

ZOFII KOWALEWSKIEJ

(prof. wszechnicy w Sztockholmie.)

(Ciąg dalszy).

Prokurator wniósł oskarżenie. Pomimo ważności cytowanych faktów, nie zważają oskarżeni na jego wymowę. Spoglądają po sobie, a każdy stara się dać wyraz swym uczuciom jeżeli nie słowami, to znakami. W obecnej chwili byli tak szczęśliwi, jak gdyby zwycięstwo było już po ich stronie, choć tak wiele przeszli i tak ciężkiego obawiali się losu.

Prokurator był młodym człowiekiem, który chciał szybko zrobić karyerę. Jego wymowa była też wielką. Przeszło przez dwie godziny kreśli ponury obraz rewolucyjnego ruchu w Rosyi. Podzielił on oskarżonych na grupy, a w grupach tych wykazuje poddziały — wszystko to z taką śmiałością i szybkością, jak botanik klasyfikujący rośliny swojego zielnika. Przeciw każdej z tych kategoryi inne wnosi oskarżenie, ale najśmiertelniejsze strzały jego wymowy skierowane są przeciw pięciu oskarżonym. Z tych pięciu dwie były kobietami. Jedna z nich to młoda dziewczyna o bladej podłużnej twarzy i marzących szarych oczach: jestto córka wysokiego urzędnika przez towarzyszy zwana „świętą.“ Druga jest starszą, silniejszą, widocznie natury grubszej; jej szeroka, płaska twarz nie jest piękną, cechuje ją wyraz fanatyzmu i uporu.

Z mężczyzn jeden jest robotnikiem o inteligentnym wyglądzie; drugi nauczycielem ludowym z widocznemi oznakami suchot galopujących, trzeci student medycyny, żydowskiego pochodzenia, Pawlenkow. Ten szczególnie wywołuje nienawiść i oburzenie prokuratora.

Gdy mowa o Pawlenkowie, nie może prokurator wstrzymać swego gniewu, przedstawia go jak wcielonego Mefistofelesa. Wszyscy zresztą oskarżeni są bezwątpienia nadzwyczaj szkodliwymi ludźmi. Władza ma obowiązek postarać się o ich usunięcie ze względu na bezpieczeństwo całego społeczeństwa, ale w nich należy uwzględnić okoliczności łagodzące. Jakkolwiek nierozsądnymi są propagowane teorye — wszyscy oskarżeni wierzą w nie, o Pawlenkowie tylko tego powiedzieć nie można.

Dla niego jest propaganda rewolucyjna tylko środkiem do wzniesienia się i strącenia innych w błoto. Natura obdarzyła go nadzwyczajnym rozumem, on używa tego daru jedynie po to, by wtrącić siebie i drugich w przepaść. Idąc za przykładem francuskich kolegów, kreśli prokurator życie Pawlenkowa od najpierwszej młodości. Przedstawił oskarżonego jako ambitnego młodzieńca, syna rodziców nie zasługujących na żaden szacunek. Dla nich żadne moralne zasady nie istniały, a ponieważ ich sami nie mieli, nie mogli nic dobrego wszczepić w serca dzieci i zwalczyć ich złych instynktów.

Bogaty żyd, kupiec, uderzony inteligencyą młodego Samuela, oddaje go do szkół. Samuel uczy się pilnie z dobrym skutkiem, ale studya nie rozwijają w nim uczuć moralnych. Dostał świadectwo dojrzałości i zapisał się na medycynę. Dla biednego, żydowskiego chłopca, którego bracia i siostry dotąd jeszcze biegały boso i w łachmanach, było to rzeczywiście powodzenie nieoczekiwane. Ale zamiast podziękować Bogu i swemu dobroczyńcy, rozwija Pawlenkow w sobie to uczucie, które ubóstwo i poniżenie obudziły w nim. Czuje on coraz większą nieposkromioną nienawiść do tych, którzy stoją po nad nim; swego rozumu i swych zdolności używa tylko na to, aby wywierać zgubny wpływ na kolegów, należących do lepszych rodzin. Zajęty jest tylko jedną myślą: jak ich pozyskać dla swoich występnych zamiarów.

I tak dalej mówił prokurator. Zakończył swą mowę prośbą, aby prześwietny sąd do Pawlenkowa zastósował całą surowość. Nad takim przestępcą, jak on — nie należy mieć litości.

Gdy tak prokurator przemawiał przeciw oskarżonemu, przyglądałem się uważnie

Polacy na obczyźnie.

Wychodzący w Bochum „Wiarus polski" zamieszcza w jednym z ostatnich numerów uwagi następujące:

„Ilu nas na obczyźnie, pytał się już niejeden, ale prawdę powiedziawszy, to dokładnie liczby wychodźców polskich w prowincyach niemieckich oznaczyć nie można. Sama Westfalia i Nadrenia ma ich kilkadziesiąt tysięcy. Liczni są też Rodacy nasi tułający się po Saksonii, Hanowerskiem, Brunświckiem itd., oraz mieszkający w Berlinie i tegoż okolicy. Pewna część wychodźców bawi na obczyźnie z rodzinami, inni pozostawili rodziny w Polsce, dokąd od czasu do czasu zaglądają, dużo jest takich, co zimę przepędzają na obczyźnie, a lato w domu, a są to głównie tacy, co w Polsce mają kawałek roli. Liczne też tysiące ludu polskiego wychodzą wiosną na obczyznę, zostają tam przez mniej więcej osm miesięcy, a na zimę wracają pod ojczystą strzechę. Największą liczbę wychodźców stanowi młodzież, tak między Polakami Westfalii, jak i między wychodźcami do innych zakątków Niemiec.

Różnie wiedzie się wśród obcych naszej wielotysięcznej braci. Za dalekoby nas to zaprowadziło, gdybyśmy opisywać chcieli wszystkie dobre i złe strony wychodztwa, gdybyśmy opowiadać mieli o pracy rodaków, o ich sposobie życia, troskach i mozołach, o ich zabiegach w kierunku utrzymania wiary św. i narodowości itd. itd.

Dziś chcielibyśmy zwrócić uwagę na jedne głównie rzecz. Oto niejeden z rodaków przez dłuższe lata bawi na obczyźnie, żyjąc przytem oszczędnie, zaoszczędza sobie trochę grosza i radby wrócił do Polski, by osiąść na własnym kawałku roli, założyć warsztat lub kramik jaki. Rodak taki nie ma jednak często znajomości w Polsce, a nie chętnie porzuciłby pracę i na chybił trafił jechał do stron rodzinnych. Zdaje się, że byłoby rzeczą pożądaną i bardzo chwalebną, gdyby się takim rodakom przyszło z pomocą. Chcąc w tym kierunku coś korzystnego zdziałać, trzeba się koniecznie starać o większą, niż dotąd, łączność wychodźtwa z krajem, który to związek pod niejednym względem obu stronom przynieść rozmaite mógłby korzyści.

Trudno nie przyznać, że na obczyźnie wielkie grozi Polakom niebezpieczeństwo utraty wiary i języka ojców. Z tego względu praca, zdążająca do ułatwienia rodakom powrotu do Polski, by tamże zdobyć byt niezależny tem więcej staje się konieczną. Wynikłaby z tego i ta korzyść, że wśród Polaków rozbudziłby się więcej zmysł oszczędności.

Wiemy dobrze, że zarobki spadły tak nisko, że posiadając liczną nieraz rodzinę, podziśdzień robotnik i tu jest kontent, jeżeli zarobek starczy mu na utrzymanie jego i rodziny. Pisząc o oszczędności mamy tu głównie na myśli młodzież naszą, która mogłaby rzeczywiście więcej oszczędzać, niż się się to dotąd dzieje. Trzeba pamiętać o przyszłości. Praca w kopalniach i po fabrykach jest bardzo uciążliwa, więcej wyczerpuje siły, niż praca na świeżem powietrzu, pomimo iż tu robotnik się lepiej odżywia, niż mógł to czynić w domu. Ludzie, pracujący w niezdrowem powietrzu w podziemiach kopalń węgla, lub w fabrykach, hutach i koksowniach, nie są w stanie przeciętowo dłużej pracować jak 20 lat, co przez statystykę zostało udowodnione. Z tego względu nie tylko starsi, ale szczególnie też młodzież nasza, idąc na obczyznę, przejąć się winna myślą, że pobyt wśród obcych ma być tylko czasowy, każdy Polak, zmuszony udać się na obczyznę, powinien iść tam z mocnem przedsięwzięciem powrotu do Polski, skoro tylko stosunki na to pozwolą."

SZKOŁA I WYCHOWANIE.

Prywatne instytucye
dla oświaty ludowej w Ameryce

przez

Dr. fil. Józefę Kodisową.

(Ciąg dalszy).

Osadnicy kierują się tą myślą, że jeżeli z jednej strony biedniejsze klasy ludności potrzebują pomocy bogatszych, to z drugiej strony prawdziwem dobrodziejstwem jest dać bogaczowi możność do wyjścia po za obręb jego samolubnego życia. Twierdzą oni, że życie klas bogatszych nie jest szczęśliwsze, niż ubogich — tylko że nieszczęście u nich wypływa z przesytu, podczas gdy u ubogich powstaje ono z niedostatku. To też osada stara się stanąć po za klasami i przedstawiać teren, na którym osobniki klas różnych mogą się schodzić i poznawać wzajemnie. Wskutek odrębnego życia klas poszczególnych człowiek bogaty, zdaniem osadników, ma do czynienia z cyframi, a nie z ludźmi. Fakt ten wyrabia w nim brak współczucia dla klas biedniejszych. Otóż osada ma za zadanie przeciwdziałać temu przez zmuszenie bogatszej klasy do zapoznania się osobistego z ludem i wniknięcia duchowego w jego życie i potrzeby. Z naszej strony chcielibyśmy do teoryi tych dodać uwagę, że są one w Ameryce łatwiejsze do wykonania, niż w Europie — z tego względu, że przeszłość amerykańska nie miała jeszcze dotychczas klasowych powstań i rewolucyi. Ztąd też nie ma w Ameryce takiego zaostrzenia stosunków, jak w innych starszych krajach.

Ażeby uskutecznić zbliżenie się towarzyskie między ludźmi i rozwijać przez to obyczajową kulturę i altruistyczne uczucia, osadnicy urządzają bardzo często — trzy lub cztery razy tygodniowo — towarzyskie zebrania, znane w Ameryce pod imieniem

---

twarzy Pawlenkowa. Pod pewnym względem była jego powierzchowność bardziej interesującą niż powierzchowność jego towarzyszy. Zdawał się starszym wiekiem i doświadczeniem. Na jego twarzy nie można było dostrzedz ani śladu owej dziecięcej naiwności, widocznej na twarzach innych oskarżonych. Był brunetem, miał ostre żydowskie rysy. Oczy jego uderzały pięknością, ale gorzki sarkastyczny uśmiech, trochę zmysłowy — szpecił jego usta. Jego czerwone grube wargi stanowiły niemiły kontrast z górną częścią jego twarzy, napiętnowanej wyrazem szlachetności. Drganie muszkułów twarzy i szybkie ruchy rękami świadczyły o jego nerwowości; on jedyny nie okazał najmniejszej radości przy zetknięciu się z towarzyszami, jego też nie ścigało żadne zwilżone łzą spojrzenie. Pawlenkow słuchał uważnie mowy prokuratora i od czasu do czasu notował coś na wąskich skrawkach papieru. Żadna z tych uwag nie wyprowadziła go z równowagi i gdyby nie te lekkie nerwowe drgania, przebiegające od czasu do czasu po jego twarzy, możnaby go wziąć za obojętnego, chociaż uważnego słuchacza, któremu osobiście nie zależało bynajmniej na przebiegu całej sprawy.

Po mowie prokuratora nastąpiła półtogodzinna pauza; wszyscy opuścili salę sądową. Senatorowie i adwokaci pobiegli na śniadanie, publiczność rozeszła się po bliskich restauracyach. Posiedzenie otwarto znowu, teraz nastąpiła kolej na adwokatów. Nie jest to łatwa rzecz być obrońcą w procesie politycznym. W rzeczy samej jest taki proces wybornym środkiem do wsławienia się; z drugiej strony niech tylko adwokat okaże przytem nieco zapału lub sympatyi dla oskarżonych, staje się zaraz podejrzanym. Wielu pamięta, że po wymownej obronie nastąpiło razu jednego zesłanie adwokata.

Jednak można to przyznać na chwałę adwokatów, że znajdowali się zawsze między nimi ludzie wielkoduszni, którzy ofiarowali swoje usługi oskarżonym nawet zupełnie bezinteresownie. I w tym wypadku było taksamo i teraz znaleźli sie ludzie, którzy podjęli na siebie chętnie ten niewdzięczny i odpowiedzialności pełen obowiązek. Nie wpadło im zupełnie na myśl bronić klientów swych i zaprzeczać, że należeli do rewolucyjnej agitacyi. Zadowolnili się oni tylko wyświetleniem motywów ich działalności, starali się je w najlepszem okazać świetle, rozwijali śmiałe teorye i nierzadko pozwolili sobie na wyrażenia, które w żadnym innym procesie nie uszłyby. Przewodniczący usiłował często powstrzymać ich w tych wywodach, ale wszelkie jego usiłowania były bezskuteczne. Zaraz potem mówili obrońcy tak, jak przedtem i wypowiadali jeszcze śmielsze i jeszcze dalej idące idee. Sympatye publiczności dla oskarżonych wzrastały. Osoby z lepszego towarzystwa, które ciekawość tu przygnała słuchały z osłupieniem rzeczy, które im nigdy przez myśl nie prze szły: ich umysł w tym kierunku był mało wyćwiczony. Podobnie jak Wiera uważała socyalizm za jedyny środek rozwiązania wszelkich kwestyi — myśleli tamci, że wszystkie teorye nihilistów są szaleństwem. Teraz poznawali ich ideje i widzieli, że ci straszni nihiliści nie byli wcale tak dziwacznemi stworzeniami, jak sobie to wyobrażali, lecz że w przeważnej części byli to ludzie nieszczęśliwi, pracujący z zupełnem zaparciem się siebie. Przed oczyma ich otwierał się nowy świat i nie wiedzieli z jakiemi uczuciami mają się odnosić do oskarżonych. Teraz nie było ani śladu z ich poprzedniego sarkazmu i nieufności; sympatya ich tak się wzmogła, że chwilę jeszcze, a zamieniłaby się w entuzyazm. Tylko sędziowie okazywali zwykłą obojętność; zręczni adwokaci mało ich wzruszali, otrzymali już przedtem swoje instrukcye, i już wiedzieli naprzód jaki wyrok wydać mają, tylko wielkie znużenie widać było na ich twarzach.

Kiedy się to skończy?

Wieczór zapada, przewodniczący zamknął posiedzenie; drugiego dnia rozprawa przeciągnęła się późno w noc.

I tak dzień za dniem trwa przez cały tydzień. Zajęcie się publiczności nie słabnie, owszem wzrasta widocznie.

Do najświetniejszych mów obronnych zaliczyć można mowę Pawlenkowa. I jemu nie odmówiono adwokata, ale on postanowił skorzystać z pozwolenia i bronić się sam. Pod technicznym względem była mo-

„reception“. W tym celu zapraszają jakiś klub i wszelkie osoby, które klubowcy zechcą ze sobą przyprowadzić, a oprócz tego jednostki postronne, mniej lub więcej zainteresowane sprawą tego klubu, ażeby wspólnie spędzić parę godzin wieczornych lub poobiednich. Godziny te zapełnione są rozmową, czasami muzyką, czasami zaś dyskusyą odnoszącą się do jakiej sprawy na dobie. Po wspólnem wypiciu filiżanki kawy rozchodzą się zebrani do domów. W ten sposób życie towarzyskie osady obejmuje pomału coraz większe koła i zbliża i łączy ludzi. Wpływ życia towarzyskiego jest u nas wogóle zbyt nisko ceniony. Nie zwracamy uwagi na wielką doniosłość tego faktu, że po miastach nieraz żyją ludzie po lat kilka lub kilkanaście obok siebie, nie znając się między sobą. Człowiek przepędza życie izolowany, pozostając obcym nawet dla bliższego swego otoczenia. A przecież fakt ten ma niezaprzeczenie wielkie znaczenie dla ustroju duchowego a nawet materyalnego stanowiska „samotników“. Nie mówimy już o potrzebie nieraz nagłej pomocy lub wsparcia, któreby uratowało życie niejednej rodziny, będąc jej podanem w porę, ale pod względem moralnym człowiek przeciętny cierpi wiele, czując się odosobnionym; jeżeli zaś nawet nie odczuwa potrzeby wyjścia z tego stanu rzeczy, to wyrabia się w nim nieżyczliwość i oschłość uczucia w stosunkach ze wszystkimi ludźmi, którzy nie są bezpośrednio związani z jego własnym losem.

Dla lepszego zrozumienia wpływów życia towarzyskiego na duszę ludzką, przedstawmy sobie coby się stało np. z naszem obywatelstwem wiejskiem, gdyby mu odjęto stosunki towarzyskie. Nie mając w większości wypadków wyższego nad średnie wykształcenia, ludzie ci zgnuśnieliby w uczuciach i wróciliby do stanu kulturnego naszych bogatszych chłopów. Wiele stron życia duchowego wyrasta jedynie na podstawie towarzyskości. W samotnej celi więziennej nawet zajmowanie się czystą nauką jest niemożliwością. Ten sam duch humanitaryzmu i kultury przenika osadę w jej staraniach co do rozpowszechnienia zamiłowania w sztukach pięknych. Już urządzenie całej osady jest przeniknięte tym duchem. Osadnicy starają się, ażeby wygląd ich domu był estetyczny na wewnątrz i jeżeli to jest możebnem, na zewnątrz. Stosując się do amerykańskiego zwyczaju ubierania mieszkań obrazami, pokrywają oni ściany pięknemi fotografiami lub kolorowanemi reprodukcyami z dzieł mistrzów. Przytem uwaga jest ogromnie zwróconą na dobór kolorów. Nawet papier, którym ściany są oklejone, dobiera się bardzo starannie. Kolorowane obrazy uznawane są tylko wtedy, jeżeli farby są rzeczywiście harmonijne i nie mają w sobie nic gminnego. Całe serye obrazów, zwykle w bardzo prostych oprawach, są wypożyczone kolejno po wszystkich domach w okolicy. Obrazy te zostają w jednym domu po parę miesięcy, następnie przechodzą do drugiego, trzeciego itd. Nieraz ludzie znajdują w nich tanie upodobanie, że zapisują je sobie, naturalnie za pośrednictwem osad, z Włoch lub Francyi. Celem osady jest, ażeby nadać wszystkim mieszkaniom pozór o ile możności estetyczny. Idea rozprzestrzenienia sztuki wśród ludu przywędrowała do Ameryki z wielu innemi ideami z Anglii za pośrednictwem dzieł Roskin'a. Znakomity ten publicysta zauważył różnicę rozwoju estetycznego wśród ludu angielskiego i włoskiego i sądził, że różnica ta właśnie jest powodem większego rozkwitu sztuki we Włoszech niż w innych krajach. Amerykanie, jako niezmiernie patryotyczny naród, nie mogąc znieść swej niższości pod względem sztuk pięknych w porównaniu z innemi narodami — gorąco wzięli do serca tę sprawę. Chociaż ruch obecny trwa zaledwie lat kilka, nieraz zdumiewa rezultatami swojemi. Tak np. nauczyciele szkół ludowych nieraz rozprawiają o Boticellim, Fra Angelico, Del Sarte etc., nie mówiąc już o Rafaelu albo Michale. Nauczycielki ogródków dziecinnych mają nieraz śliczne kolekcye fotografii z włoskich galeryi itp.

Jednym z najdodatniejszych czynników rozpowszechniania wykształcenia artystycznego są lekcye publiczne z demonstracyami, urządzane w osadach albo nawet w galeryach miejskich. Nauczyciel albo nauczycielka przedstawia szereg obrazów wypożyczonych od właścicieli specyalnie w tym celu, tłumaczy i zwraca uwagę na to, co w nich jest pięknego, wykazuje różnice ich stylu i wykonania i objaśnia ideę artysty. Drugim podobnym środkiem są wystawy obrazów, urządzane raz do roku w przeciągu miesiąca po osadach. Najlepiej jest na wystawie takiej umieszczać na początek obrazy treści dramatycznej i portrety, gdyż lud to najwięcej rozumie i najbardziej ceni, — powoli zaś można przejść do innych obrazów. Bezwarunkowo jednak obrazy muszą być dobre: przekonano się bowiem, że błędnem jest rozpoczynać w sztuce od rzeczy poślednich. Wstęp na wystawę jest zwykle bezpłatny. Niewielka suma pieniędzy, potrzebna na ubezpieczenie obrazów i ich przewóz, zbiera się zwykle z małych opłat za parę lekcyi o sztuce, urządzanych poprzednio. Mieszkańcy okolicy okazują wiele zamiłowania do wystaw i nieraz liczba zwiedzających wynosi 5—6 tysięcy.

Drugą sztuką piękną, grającą większą rolę w życiu osady, jest muzyka. Każda osada stara się o utworzenie chórów śpiewackich w okolicy, w której przebywa. Z tego też powodu przynajmniej jeden z osadników musi być wykształconym muzycznie. Chóry są dwojakie: dzieci i osób dorosłych. Rozwijają się one przy umiejętnem prowadzeniu bardzo szybko. W jednej z nowozałożonych osad w przeciągu roku urządzono chór dziecięcy, złożony ze 120 i chór dorosłych złożony ze 150 osób. Chóry takie zwykle już po kilku miesiącach nauki są w stanie urządzić koncert publiczny, na który zbiega się masa okolicznej ludności. Czasami chóry z rozmaitych części miasta łączą się z sobą i dają większe koncerty. Ponieważ zaś agitacya w celu rozszerzenia zamiłowania do muzyki i śpiewu w Ameryce jest bardzo silną, więc nawet niezależnie od osad tworzy się dużo towarzystw śpiewackich.

Lepsze chóry, złożone z wykształceńszej muzykalnie publiczności uważają za moralny obowiązek śpiewać od czasu w uboższych dzielnicach, aby służyć za wzór mniej wykształconym stowarzyszeniom. Podczas gdy najlepszy z miejskich chórów śpiewa oratorya Hendla i Mendelsohna, chóry począt-

---

wa jego bez porównania gorszą, niż mowy adwokatów, ale szczególną siłę i znaczenie miała ona z powodu swej prostoty i niekunsztowności. Zakończył ją temi słowy:

„Pan prokurator powiedział państwu, że jestem biednym, nędznym żydem i powiedział prawdę; dlatego właśnie, że znam ubóstwo i pochodzę z tego pogardzonego plemienia, współczuję tym wszystkim, którzy cierpią i walczą. Gdy zobaczyłem, że niemożliwem było dojść do celu zwykłemi środkami, postanowiłem uciec się do ostateczności, nie rozmyślając nad tem, czy to jest prawnie, czy nie. Pan prokurator powiedział państwu, że z powodu mego ubóstwa powinienem być surowiej ukarany niż inny, niech i tak będzie, niech zrobią ze mną, co on chce, nie będę prosił o litość, należę bowiem do tego plemienia, które przywykło cierpieć i znosić.“

Po rozprawie oddalili się sędziowie w celu wydania wyroku. Publiczność została w sali. Po dwóch godzinach powrócili sędziowie, a przewodniczący odczytał wyrok cicho i uroczyście. Trwało to około godziny. Większość została zesłaną na Sybir, albo w głąb Rosyi, tylko owi pięciu zostali skazani na katorgi od 5 do 20 lat. Jak się można domyślić, został Pawlenkow ukarany najsurowiej.

W kołach rządowych uważano ten wyrok za pobłażliwy — wszyscy oczekiwali czegoś surowszego. Ale publiczność zebrana w sali, była innego mniemania, uważała ona ten wyrok za ciężki i niespodziewany cios. Cały tydzień żyła ona razem z oskarżonymi, poznała każdego z nich osobiście, znała ich przeszłość, trudno też było pozostać obojętnym na ich los. Po odczytaniu wyroku nastąpiła w sali wielka cisza, tu i owdzie tylko łkaniem przerywana.

Mimowoli spojrzałam na Wierę. Stała i trzymała się silnie poręczy, była blada jak płótno, jej szeroko rozwarte oczy miały ów zdziwiony, prawie ekstatyczny wyraz jaki spostrzegać się zdaje na twarzach męczenników.

Tłum rozchodził się zwolna, milcząc.

Na dworze była wiosna, z dachów ściekała woda i płynęła chodnikiem. Czyste, świeże powietrze przepełniało atmosferę. Wszystko, co w ostatnich dniach przeżyli, zdawało się ciężką zmorą i trudno było uwierzyć w rzeczywistość tego, co się stało. Jak we mgle ukazywały się zarysy twarzy owych dwunastu słabych starców, którzy już dawno wszystkich rozkoszy życia użyli, a teraz ze spokojem i zadowoleniem wypowiadali wyrok, który kosił kłosy szczęścia i radości 75-ciu ludzkich istot. To mogło się tylko wydawać ironią.

* * *

X.

Kilka tygodni minęło. Wiera nie pokazywała się i nie dawała znaku życia; przedsięwzięłam sobie, że ją odwiedzę, ale nie mogłam tego uskutecznić.

Było to z końcem maja, miałam gości na obiedzie, gdy nagle drzwi się otwarły i weszła Wiera, ale jak zmieniona!

Całą zimę nosiła czarną niezgrabną suknię, habit zakonny, jak to nazywałam żartem, a dziś zjawiła się w jasno niebieskim modnym kostyumie, przepasana srebrnym kaukazkim paskiem. W tej sukni było jej bardzo do twarzy, wydawała się młodszą o lat sześć. Ale nie od sukni zależało to, wyglądała promiennie, tryumfująco, na twarzy rumieniec, szafirowe oczy błyszczały, sypiąc iskry. Wiedziałam, że Wiera jest piękną, ale że taką pięknością jest, tego nie przypuszczałam.

Większa część mych gości widziała ją po raz pierwszy, jej wejście sprawiło sensacyą. Nietylko panowie, panie także zostały uderzone jej pięknością. Ledwie usiadła, otoczono ją.

Dawniej, gdy Wiera przyszła niespodzianie i spotkała u mnie kogoś, usuwała się natychmiast w najodleglejszy kącik i nie można było ani słowa z niej wydobyć. Nie śmiała z natury, uciekała instynktownie przed każdym nowem człowiekiem, szczególnie jeżeli przypuszczała, że nie znajdzie u niego sympatyi dla swych idei. Dziś jednak by-

kujące poprzestają na hymnach narodowych i łatwych piosenkach.

Po za obrębem chórów udzielane są lekcye muzyki za umiarkowaną cenę. W niedzielę zaś po południu urządzonym bywa zwykle koncert bezpłatny, złożony z dzieł należących do wyższej muzyki. Nieraz najlepsi miejscy artyści biorą udział w tanich koncertach. Publiczności zwykle nie podoba się z początku poważny charakter muzyki, ale pomału przywykają do niej i zaczynają ją lubić. Koncerta te wywierają wielki wpływ na okolicę. Pisząca te słowa słyszała na własne uszy śpiew „Jerusalem“ z Tanhäusera, wygrany na skrzypcach przez młodego robotnika litewskiego, przybyłego przed paru laty do Ameryki. Nauczył się go słysząc ten utwór śpiewany kilka razy na koncercie w osadzie. Koncerty bywają przeplatane deklamacyą i jeden z osadników przed każdą częścią programu tłumaczy w krótkich słowach charakter rzeczy, mającej być wykonaną.

Amatorów do uczenia się muzyki i śpiewu jest bardzo wiele. Ciekawym przyczynkiem do psychologii ludu jest ten fakt, że wszyscy pragną przedewszystkiem rzeczy, mających wartość zewnętrzną. Tak np. nie można nastarczyć nauczycieli dla ludzi pragnących uczyć się elokwencyi, retoryki, tańców, muzyki i gimnastyki i o ile się zdaje specyalnie amerykańskiej nauki nazwanej „Del Sarte“ i polegającej na zdobyciu pięknego układu i dobrych ruchów. Z naszego krajowego punktu widzenia wyda się to niejednemu zabawnem. Bądź co bądź jednak nic można odmówić racyi bytu i tego rodzaju nauce. A kto wie, czy nie jest to nawet właściwa droga do zdobycia wyższych stopni kulturnego rozwoju. Wszak już filozof niemiecki powiedział, że w pedagogice zewnętrzna forma stwarza wewnętrzną.

Pomimo kładzenia nań wielkiego nacisku na inne formy kulturnego życia, osada nie wyrzeka się i nauki w ścisłem słowa tego znaczeniu. Za małą opłatą urządzają się zbiorowe lekcye wszystkich przedmiotów, wchodzących w skład wychowania, nie wyłączając obcych języków i rysunku. Oprócz tego raz lub dwa tygodniowo wieczorami odbywają się w osadzie wykłady, należące do ludowego uniwersytetu, o którym będzie mowa poniżej. W osadzie zwykle znajduje się biblioteka, z której wypożyczają się książki. Oprócz tego urządzają się niewielkie klatki — rodzaj pudełek, mieszczących po jakie 50 tomów starannie dobranej lektury. Biblioteczki takie krążą pod imieniem „wędrujących bibliotek“ po całej okolicy. Zwykle jedna osoba w pewnej miejscowości podejmuje się wziąć biblioteczkę do domu i wypożyczac książki sąsiadom. Kiedy już wszystkie zostały odczytane, odsyła się biblioteczkę w inne miejsce, a bierze się do domu drugą. Jest to jeden z najekonomiczniejszych środków dostarczenia książek danej okolicy. Sposób ten ma przytem tę zaletę, że książki same przychodzą do domów i ludziom pozostaje tylko je przeczytać.

Jeżeli osada rozporządza odpowiedniemi środkami, to zakłada u siebie wanny publiczne i tanią hygieniczną kuchnią. To ostatnie nawet jako interes zwykle dobrze się opłaca. W każdej zaś osadzie jest udzielaną w pewnych godzinach darmo pomoc lekarska. Niektóre osady mają domy letnie, w których urządzają letnie kolonie dla chorych i dzieci, w rodzaju tych, jakie mamy u nas w kraju.

Mniemam, że to co powiedziałam dotychczas o osadach, daje czytelnikom mniej więcej jasny obraz ich działalności. Pozostaje mi jeszcze dodać parę słów o organizacyi samejże osady. Kierunek całej instytucyi spoczywa w rękach naczelnego prezydenta albo prezydentki osady, gdyż w Ameryce bardzo wiele kobiet poświęca się sprawie osad. Taki zawiadowca ma do pomocy kilku lub w miarę potrzeb kilkunastu kierowników, zwykle osób bardzo szanownych, mających liczne stosunki i traktowanych przez całe społeczeństwo amerykańskie z największemi względami. Nadto dojeżdża do osady masa postronnych osób, chcących dołożyć swoją cegiełkę do dobra ogólnego bez poświęconego na to całego czasu. Tak więc jeden przyjeżdża na wykład gimnastyki, drugi dla wygłoszenia odczytu publicznego, trzeci by urządzić przyjęcie dla danego klubu itd. Wogóle osadnicy trzymają się tej zasady, ażeby każdy zajmował się tem, co najbardziej odpowiada jego usposobieniu. Unikają oni przedewszystkiem rutyny i szablonu, twierdząc, że w tym razie każda instytucya traci swą żywotność.

Chociaż oddzielne osady mają często wspólne kongresy, na których obradują nad ogólnemi kwestyami, jednak nie mają one wspólnego regulaminu. Każda osada robi to, do czego jej członkowie okazują największej zdolności. i czego najbardziej wymaga dana okolica. Jako przykład służyć może stosunek osad do instytucyi kościelnych. Tam gdzie ludność jest bardziej jednolitą pod względem religijnym i jest bardziej nabożną, osadnicy łączą się w swojej pracy z instytucyami klerykalnemi. Gdzie zaś panuje różnorodność wyznań lub religijny indyferentyzm, osada funkcyonuje zupełnie niezależnie od kościoła. Osadnik nie jest obowiązany poświęcić całego życia sprawom osady. Wielu kierowników przebywa zaledwie po kilka miesięcy w osadzie, ustępując miejsce innym. Pożądaną jest jednak rzeczą, ażeby główny prezydent utrzymywał się dłuższy czas na swem stanowisku.

Jako przykład osady służyć może Hull-House, znajdujący się w Chicago i uważany za jedne z najlepszych instytucyi tego rodzaju w Ameryce. Hull-House istnieje już obecnie sześć lat.

Założyły go dwie kobiety, rozpoczynając od małego ogródka dziecinnego. Obecnie instytucya ta mieści się w ogromnej kamienicy i kilku przyległych domach. Znajdują się tam mieszkania dla kilkunastu rezydentów osady, kilka sal dla przyjmowania odwiedzających i interesentów, biblioteka i niewielka wypożyczalnia książek, ogródek dziecinny, ochronka dla dzieci, duża sala do koncertów i śpiewów chóralnych, druga mniejsza do wystawy obrazów, sala do modelowania i nauki rysunku, pokoje wynajęte przez kluby męzkie, pokój dla specyalnego użytku włochów — (ponieważ okolica ta jest zamieszkaną głównie przez robotników włoskich), sala do gimnastyki z pryśnicami i wannami, bezpłatna poliklinika itd. W bliskości H.-H. znajduje się klub kooperacyjny dziewcząt, zajmujący duży dom i także klub męzki, mieszczący się w nieco mniejszym domu. Członkowie tych klubów wybierają administracyę i żyją za wspólne pieniądze

---

inaczej, była uprzejmą, rozkoszną, dla każdego przyjemną. Wielka radość wypełniała ją i rozlewała się na całe otoczenie.

Dawniej nie było dla Wiery nic nieprzyjemniejszego, jak komplimenty — dziś słuchała ich spokojnie z pewną wyniosłą gracyą i odpowiadała tak trafnie, że patrzyłam na nią zdziwiona. Skąd się to u niej wzięło. Światowość, spryt i kokieterya! Myślałam, że jest — nihilistką nawskroś, a odkryłam w niej damę salonową. Ta niezwykła scena jednak trwała bardzo krótko, rozmowność Wiery znikała, w oczach jej ukazywał się wyraz nudy i pogardy.

— Czy twoi goście odejdą wkrótce. Chciałabym z tobą pomówić — szepnęła mi do ucha.

Na szczęście zaczęli goście odchodzić.

Co tobie, Wiero? — zapytałam, gdyśmy zostały same.

Zamiast odpowiedzi pokazała mi Wiera czwarty palec swej lewej ręki, na którym teraz, ku wielkiemu memu zdziwieniu, gładką obrączkę zobaczyłam.

— Wiero, ty wychodzisz zamąż?

— Już wyszłam; dziś o pierwszej w południe był mój ślub.

— Ale jakżeżto, gdzie twój mąż?

Twarz Wiery rozjaśniła się, rozkoszny, zachwycony uśmiech okolił jej usta.

— Mój mąż jest w twierdzy, wyszłam za Pawlenkowa.

— Co, ty? przecież nie znałaś go — gdzież poznaliście się?

— Myśmy się wcale nie poznali, widziałam go zdaleka podczas procesu i dziś na krótko przed ślubem mówiłam z nim przez kwadrans po raz pierwszy.

— Tak, ale jakto Wiero, cóżto ma znaczyć, czy zakochałaś się w nim odrazu na pierwszy rzut oka? Przecież chyba nie wtedy, kiedy prokurator tak na niego wygadywał?

— Nie gadaj głupstwa — przerwała Wiera — o zakochaniu niema mowy, ani z jednej, ani z drugiej strony, wyszłam za niego poprostu, bo wyjść musiałam, bo był to jedyny środek uratowania go.

Umilkłam i spojrzałam na Wierę pytająco.

Usiadła i zaczęła opowiadać, nie spiesząc się, ani się nie wzruszając, jakgdyby mówiła o zwykłych, codziennych rzeczach.

— Widzisz, zaraz po procesie rozmawiałam z adwokatami, wszyscy byli tego zdania, że sprawa innych oskarżonych nie stoi tak źle z wyjątkiem sprawy Pawlenkowa. Nauczyciel umrze, rozumie się, po dwóch, albo trzech miesiącach, ale on i tak nie żyłby długo, gdyż ma suchoty. Wszyscy będą zesłani, po upływie tego czasu każdy wróci i podejmie „sprawę“ nanowo. O Pawlenkowie tego powiedzieć nie można. Z nim będzie źle, byłoby lepiej, gdyby go skazano odrazu na śmierć przez powieszenie lub rozstrzelanie, przynajmniej skończyłoby się wszystko naraz, ale tak będzie się męczył przez dwadzieścia lat w katorgach.

— Ach Wiero, ilu już zostało skazanych na ciężkie roboty! — zauważyłam.

— Tak, widzisz bywają rozmaite roboty, gdyby on był zwyczajnym przestępcą, nie politycznym — to prokurator nie usiłowałby go tak wspaniale przedstawić, tak jednak to zupełnie co innego. Wysłanoby go na Sybir i byłoby tylko pół nieszczęścia, w Sybirze żyją także ludzie. A politycznych przestępców jest tam tak wiele, że stanowią potęgę; władza musi się z nimi liczyć. Jeżeli się teraz kogoś wysyła na Sybir, to go to bynajmniej nie martwi; chociaż życie tam jest ciężkie, wie on przecież, że tam od czasu do czasu spotka się ze swymi braćmi, z towarzyszami. Nie jest się zupełnie oddzielonym od świata, ma się nadzieję. A gdy na Sybirze komu bardzo smutno, może uciec, już niejeden próbował tego. Rząd jednak posiada środki stokroć gorszę niż wygnanie. Dla politycznych przestępców najwyższej kategoryi, dla najniebespieczniejszych istnieje „aleksiejewski rawelin“ w twierdzy petropawłowskiej. Tych, z którymi się chce prędko załatwi, posyła się nie na Sybir, ale dotej jaskini. Znajduje się ona w Petersburgu, pod wzrokiem władzy. O pobłażliwości i łagodności nie można tu mówić: tu panuje system odosobnienia w całej surowości, kto tam się raz dostanie, jest jakoby żywo pogrzebany; nie styka się z innemi więźniami, nie dostaje też listów od

daleko taniej i wygodniej, niżby to mogli zrobić, żyjąc oddzielnie.

W związku z H.-H. znajduje się jeszcze w danej okolicy inspekcya fabryczna stanu Illinois, a główny inspektor fabryczny jest rezydentem osady. W tejże okolicy za staraniem H.-H. znajduje się dział biblioteki publicznej miasta Chicago, a w jednym z domów osady znajduje się też tania kuchnia hygieniczna prowadzona przez H.-H. Latem urządzaną bywa gdziekolwiek na wsi szkoła letnia, a w ciągu całej zimy wykłady według systemu Univ. Extension i inne popularne lekcye.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Stulecie założenia szkoły normalnej *w Paryżu.*

„Szkoła Normalna“, z której wychodzi najznaczniejsza część profesorów wyższych szkół francuzkich obchodziła stulecie swego istnienia.

Aż do Wielkiej Rewolucyi, rzec można, iż oświata i nauczanie spoczywały wyłącznie w rękach duchowieństwa. Szkół ludowych nie było innych, jak tylko mizerne bakalarnie przy niektórych probostwach. Szkół żeńskich, rzec można, nie było żadnych, prócz klasztornych, a wiadomo, jak nikłym jest jeszcze obecnie program nauk na pensyonatach, pozostających pod strażą zakonnic. Dopiero od r. 1789 zaczęto wprowadzać ożywcze reformy pod względem wykształcenia publicznego. Mirabeau pierwszy opracował projekt organizacyi szkolnej dla płci obojga. Talleyrand zaproponował podział szkół na trzy kategorye: szkółek elementarnych, wyższych i najwyższych, w których Deklaracya Praw Człowieka miała zastąpić naukę katechizmu. Szkółki elementarne nazywały się k a n t o n a l n e m i, albowiem każdy kanton, na który to podział Francya została zreorganizowaną, powinien był posiadać swoją szkołę bezpłatną dla każdego, (lecz nie położono jeszcze wtedy warunku obowiązkowego do niej uczęszczania, którą to reformę zaprowadziła we Francyi dopiero trzecia Rzeczpospolita). Jednym z najgenialniejszych projektodawców reformy szkolnej był Condorcet. Stawił on sobie dwa pytania: Jakie są obowiązki Państwa w kwestyi publicznej oświaty? O ile program nauk powinien być jednakowy w szkole męzkiej i żeńskiej?.. W odpowiedzi na pierwsze z tych pytań Condorcet powiada, że należy rozróżniać wychowanie od wykształcenia. Wykształcenie obejmuje dane wiadomości, z któremi łączą się wierzenia polityczne i religijne. Tem więc zajmować się powinno Państwo. Wychowanie zaś spoczywa w ręku rodziców. Co do drugiego pytania, Condorcet stanowczo twierdzi, iż program nauk w szkołach męzkich i żeńskich powinien być jednakowy. Żądał przytem, by ilościowo nie ograniczano się na szkółkach kantonalnych, lecz by zakładano takowe stosownie do ilości mieszkańców. Chciał on zarazem, aby nietylko szkoły elementarne, lecz wszystkie aż do najwyższych były bezpłatne. W tymże samym czasie, tj. za czasów Konwencyi Narodowej, wielkie zasługi w opracowywaniu programu oświecenia położył Lakanal. W 1793 Danton zajmując się tą kwestyą, przeprowadził projekt „szkół, w których dzieci pobierać będą nauki, otrzymując przytem bezpłatne i całkowite utrzymanie.“

Prócz organizacyi szkółek elementarnych Konwencya Narodowa założyła mnóstwo wyższych zakładów naukowych, które niejednokrotnie zmieniając a raczej modyfikując swój program zależnie od formy rządu istniejącego, przetrwały aż do chwili obecnej. Z owej epoki datują: Szkoła politechniczna, szkoła wojskowa, konserwatoryum sztuk i rzemiosł, szkoła nauk ścisłych, instytut muzyczny, wreszcie szkoła normalna, która dopiero co obchodziła setną rocznicę swego założenia. Uroczystości wynikłe z tej okazyi trwały trzy dni. Korzystając z wakacyi zjechali się profesorowie obejmujący katedry na prowincyi i wspólnie zwiedzano różne zakłady naukowe w Paryżu, bankietowano a zwłaszcza wygłaszano mowy, które zebrane i razem wydrukowane stanowić będą księgę pamiątkową zjazdu.

Treść mów stanowiły wspomnienia szkolne i historyczny przebieg dziejów szkoły, życiorysy główniejszych postaci dawnych uczniów. Teraźniejszy dyrektor Szkoły Normalnej p. Jerzy Pezzot powiedział między innemi, sięgnąwszy do epoki powstania zakładu naukowego, na którego czele jest obecnie: „Konwencya narodowa postanowiwszy zorganizować warunki oświecenia publicznego, wszystko tworzyć była zmuszona. Brakowało jej bowiem wszystkich potrzebnych ku temu elementów. Istniejące programy należało uważać za niebyłe, brak było odpowiednich książek, a ilość ludzi mogących je pisać i wykładać nauki też była niewielka. Przedewszystkiem zajęła się Konwencya przygotowaniem nauczycieli. W tym celu założyła Szkołę Normalną, w której obowiązki i programy nauczania wykładali przyszłym profesorom ludzie tej miary jak: Lagrange, Monge, Laplace, Daubenton, La Harpe, Volney, Bernardin de Saint-Pierre. Słuchaczami tych mężów byli ludzie zwiezieni ze wszystkich zakątków Francyi na koszt Skarbu Narodowego.“

P. Gaston Boissier (świeżo obrany dożywotni sekretarz Akademii francuzkiej) przemawiał w imieniu Towarzystwa byłych uczniów Szkoły normalnej. „W wiekach średnich, a nawet w epoce odrodzenia, która tyle radykalnych zmian wprowadziła w ustroju cywilizowanych społeczeństw, profesor zawsze był księdzem. Nie umiano sobie wyobrazić nawet by nauczanie mogło stać się udziałem człowieka świeckiego. Dopiero Wielka Rewolucya zmieniła te poglądy. A wszakże dziś uważamy za warunek niezbędny, by młodzież mająca brać czynny udział w życiu publicznem, mająca je tworzyć, kształconą była pod kierunkiem ludzi biorących w niej udział. Słusznem bowiem jest, by duchowni kształcili przyszłych swych spadkobierców, to jest księży, ludzie zaś świeccy, teraźniejszością przejęci i o niej dbający, przygotowywać powinni pokolenia młodzieży do walki i przymierza z rzeczywistością, to jest z życiem.“

---

towarzyszy, nie wolno mu też dawać wiadomości o sobie. Człowiek jest wymazany z listy żyjących i to wszystko. Nasz rząd nie robi sobie wiele z tego, ale przecież przykro mu podpisywać często wyroki śmierci, wstydzi się tego, co powiedzą zagranicą. W tym celu wymyślono ten „aleksiejewski rawelin“ ,zawsze to lepiej brzmi niż „śmierć przez powieszenie“ a rezultat ten sam.

Chociaż tam wielu politycznych przestępców więziono, nie słyszano, żeby chociaż jeden wyszedł stamtąd. Zwykle mijają miesiące, najwyżej rok, albo dwa, a krewni dowiadują się, że ten albo ów „szczęśliwie“ zmarł, albo rozum utracił, albo sam się zabił. Mówią, że nikt tam dłużej nie wytrzyma nad trzy lata. I Pawlenków miałby dostać się do tej przeklętej jaskini?...

Wiera zbladła ze wzruszenia, głos jej drżał, a na rzęsach wisiały łzy.

— Ale w jaki-sposób mogłaś go uratować? — spytałam niecierpliwie.

Czekaj, dowiesz się zaraz — odpowiedziała Wiera spokojnie. — Gdy się dowiedziałam, jaki los czeka Pawlekowa, zrobiło mi się go tak żal, że tego wyrazić nie mogę. Dniem i nocą myślałem tylko o niem. Poszłam do jego adwokata, zapytałam? czy jest niemożliwem coś wymyślić. „Nie, odpowiedział adwokat, gdyby był żonaty, to byłoby co innego, wtedy byłaby nadzieja. Według naszych praw może żona, jeżeli chce iść z mężem do katorgi; gdyby Pawlenkow miał żonę, mogłaby ona wnieść podanie do cara o pozwolenie towarzyszenia mężowi na Sybir, a cesarz zlitowałby się może, ale na nieszczęście jest Pawlenkow kawalerem“.

— Pojmiesz — mówiła dalej Wiera — co postanowiłam, usłyszawszy to; muszę prosić cara o pozwolenie, żebym mogła zostać żoną Pawlenkowa.

Ale Wiero — zawołałam — czy pomyślałaś jakie taki krok może mieć następstwa dla ciebie, nie wiesz przecież jakim człowiekiem jest Pawlenkow i czy jest godnym takiej ofiary.

Wiera spojrzała na mnie surowo.

— Mówisz to seryo? czy nie możesz naprawdę pojąć, że i ja, gdybym nie uczyniła wszystkiego, co dla mnie możliwe, aby go uratować, że i ja byłabym winną jego zguby? Powiedz mi tak szczerze — czy nie zrobiłabyś tego samego, gdybyś nie była zamężną?

— Nie, Wiero zdaje się, żebym się na to nie zdecydowała — odpowiedziałam szczerze.

Wiera spojrzała na mnie surowo.

— W takim razie żałuję cię — odpowiedziała i mówiła dalej: — mnie zaraz to uderzyło, że tak uczynić jest moim obowiązkiem, ale jak uzyskać pozwolenie? Gdy to powiedziałam adwokatowi, zawołał, że o czemś podobnem i myśleć nie można, na to nie zezwolą nigdy. Ale nagle przyszło mi na myśl, że jest człowiek, który mi pomódz może. Czy słyszałaś co o hr. Ratow?

— Któżby o tym byłym ministrze nie słyszał? Mówią, że on i teraz, chociaż już dawno usunął się od spraw, ma niemały wpływ na cara; ale jakiż związek może mieć Ratow z tą sprawą?

— Widzisz, on jest daleki mój krewny, ale to nic nie znaczy, głównem jest to, że był zakochany w mej matce i to nie żartem. Często gdym była dzieckiem trzymał mnie na rękach i przynosił mi cukierki. Rozumie się, że nie przypominałabym się mu; co mnie obchodzą tacy ludzie, ale teraz przyszło mi na myśl, że może mi być pożytecznym, napisałam do niego i prosiłam o audyencyę. Odpowiedział bezzwłocznie i oznaczył godzinę.

— No Wiero, opowiadaj szybciej, jak się rzecz miała. Mogę sobie wyobrazić. stary ogłupiał pewnie, zobaczywszy ciebie, ucieszył się pewnie swoją dawniejszą ulubienicą.

Przypomniałam sobie wszystko, co słyszałam o starym hrabi, że stał się bardzo pobożnym i całe dnie się modli i pości. „Dziwne musiało być to spotkanie,“ pomyślałam i zaśmiałam się.

— Tu niema nic do śmiechu — powiedziała Wiera tonem obrażonym — posłuchaj jak rozsądna jestem, jakie świetne myśli przychodzą mi do głowy. Ty wyobrażasz sobie może, że przedstawiłam mu się jako nihilistka. Ani myśli, wiem przecież, że ci starzy grzesznicy lubią ładne twarzyczki; chociaż tak poszczą i modlą się, jak tylko zobaczą ładną maseczkę odrazu można ich kupić, niczego wtedy nie odmawiają. Więc też wystroiłam się ładnie i poszłam. Na 10

P. Poincaré, minister oświecenia i sztuk pięknych, powiedział między innemi: „Szkoła Normalna powstała w chwili najświetniejszego naszego przewrotu społecznego, w epoce naszego narodowego odrodzenia się i odnowienia, gdy nareszcie Francya zawładnęła sama sobą, poznała swoje prawa, cele i gatunek obowiązków względem samej siebie. Uznała ona wtedy, iż oświata narodowa jest rzeczą główną, obowiązkiem wyższym po nad inne. Zerwała wtedy z przewrotnie pojmowaną uniwersytecką tradycyą i nauczać postanowiła w chęci kształcenia ludzką jednostkę dla własnego jej dobra, nie zaś dla dobra garstki, czy też pojedyńczych osobistości stojących u steru spraw publicznych. Przed Wielką Rewolucyą wiedza i filozofia były służkami oficyalnych doktryn, wytwarzających kohortę posłusznych i biernych uczniów, trzymanych w ryzie zmonopolizowanych metod i pojęć. Od naszej wielkiej historycznej daty, następuje przełom i oświata staje się dobrem ogółu, prawem każdego. Szkoły przestają być narzędziem wytwarzającem rządzonych, lecz stają się narzędziem przyspasabiającem rządzących. Światło roznięcone Wielką Rewolucyą ulegać mogło zaćmieniu, w różnych chwilach naszej historyi narzucono stłumienie jego czystej jasności, lecz ogień jego nigdy zgaszonym być nie mógł i być nie może.“

Trzydniowe uroczystości stulecia Szkoły Normalnej, rozpoczęły się wmurowaniem przy bramie gmachu marmurowej tablicy, na cześć Pasteur'a, który był przez długie lata jednym z profesorów Szkoły i posiadał tu swoje laboratoryum od r. 1864 do 1888, to jest do chwili, gdy przeniósł swoją obserwacyjną pracownię do ukończonego pod tą datą Institut Pasteur. Na marmurowej tablicy, którą odsłonięto wśród wielkiego ogólnego wzruszenia zebranych i przed którą wygłoszono mowy zaznaczające zasługi Pasteur'a, są wypisane słowa i daty wiekopomnych jego odkryć: *1857, Fermentations. 1860, Generations spontanées. 1865, Maladies des vins et de la bière. 1868, Maladies des vers à soie. 1881. Virus et vaccins. 1885, Prophylaxie de la rage.*

I...z.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Kronika Warszawska.

Warszawa, 26 sierpnia.

(Ugoda. — Przyjazd cara. — Deszcze. — Wystawa w Niższym Nowogrodzie. — Sprawa Puszczy. — Rozmaitości.)

Wydawane przez ks. Uchtomskiego „Petersburskie Wiedomosti“ w dalszym ciągu prowadzą propagandę, mającą na celu pogodzenie Polaków z Moskalami. I tak w jednym z ostatnich swych numerów zamieściły korespondencyę z Warszawy, zasługującą na baczniejszą uwagę. Autor rzeczonej korespondencyi, podpisujący się Nabladatiel, podawszy na wstępie kilka zebranych z rozmaitych okolic Królestwa Polsk. faktów wiernopoddańczych uczuć ludności, które się ujawniły z okazyi koronacyi młodego cara, zaznacza z radością, że i w inteligencyi polskiej budzą się na stosunki z Rosyą nowe zapatrywania. Znaleźli się ludzie wybitni — mówi Nabladatiel — o poglądach szerszych, rozleglejszych, którzy mieli odwagę w druku oświadczyć, że stronienie od narodu rosyjskiego, a tem samem od całej słowiańszczyzny, niepowetowaną przyniesie krzywdę interesom Polaków, i którzy wzywali społeczeństwo polskie, aby faktycznie i w pełni świadomości uznało swą lojalność względem państwa, do którego składu należy, nie czyniąc bynajmniej tej lojalności zależną od spodziewanych ustępstw. Ludwik Straszewicz w Petersburskim Kraju i ktoś inny, piszący pod pseudonimem „Ja“ w Krakowskim Czasie, jednocześnie prawie ubolewają nad brakiem odwagi cywilnej pośród wybitnych członków społeczeństwa polskiego, którzyby „nie wahali się krzewić wśród tego społeczeństwa nowych myśli, bardziej dojrzałych i skończonych, myśli zgodniejszych z obecnym stanem rzeczy“.

W dalszym ciągu swych wywodów przyznaje korespondent z rzadką u rosyjskiego publicysty bezstronnością, że część winy za obecne stosunki spada na urzędników państwowych, nie obeznanych z rzeczywistemi celami i zamiarami rządu, i kończy list swój następującą apostrofą: „Publicyści polscy i kierownicy opinii publicznej, zalecający bezwarunkowe pojednanie z Rosyą, winni przedewszystkiem oddziałać na tę część inteligencyi polskiej, która szuka zbliżenia z prostym ludem, szczególniej zaś z włościanami, w celu obudzenia obcych tej sferze dążeń politycznych. Dalej, winni pociągnąć pod sąd opinii publicznej klikę szowinistów, podniecających namiętności, siejących niezgodę i prawiących o możliwości przywrócenia Polski w granicach r. 1772. A potem sprawa zbliżenia dwóch pokrewnych narodów będzie już tylko kwestyą czasu“.

Wobec systemu rusyfikacyi, praktykowanego z dawniejszą bezwzględnością na każdem polu tutejszego życia, nadzieja „zbliżenia dwóch pokrewnych narodów“ chwilowo na kruchych spoczywa podstawach, i przynajmniej pomiędzy nami bardzo nie wielu liczy zwolenników. Swoją drogą nie ulega najmniejszej wątpliwości, że wytworzyły by się daleko znośniejsze stosunki pomiędzy obu narodami, gdyby i inne miarodajne organa rosyjskiej opinii publicznej przyswoiły sobie przy omawianiu naszych stosunków ton panujący w „Petersburskich Wiedomostach“. Nie ma chyba w naszem społeczeństwie trzeźwo myślącego polityka, któryby nie dążył do zbliżenia się ku Rosyi, o ile to zbliżenie się nie narazi nas na zatratę naszej narodowości. A tego niebezpieczeństwa zdają się nie uwzględniać ci, którzy już w dzisiejszych warunkach przemawiają za polityką lojalności wobec rządu, nie wykazującego w postępowaniu swem względem nas i śladu lojalności. Dalecy jesteśmy od tego, abyśmy zwątpili we wszelką możliwość zbliżenia się do Rosyi, ale jak dzisiaj rzeczy stoją, zbliżenie to jest kwestyą dalekiej jeszcze przyszłości.

Lecz zwróćmy się do spraw aktualniejszych. Po piekielnych upałach, panujących przez cały lipiec i początek sierpnia, mamy obecnie od dni kilkunastu bezustanne deszcze. Oddychamy więc choć nie świeższem, to przynajmniej chłodniejszem powietrzem.

---

własnie sprawiłam sobie tę suknię, a jaką minę przybrałam, możnaby myśleć, że nie umiem wody zamącić. Hrabia naznaczył mi godzinę dziewiątą rano. Przyszłam. Ale powiadam ci jak oni mieszkają ci bogacze. Pokutnicy, asceci nie powinni mieszkać w takich pałacach. U wejścia przywitał mnie szwajcar z ogromną laską, straszny, sam podobny do wielkiego pana. Z początku nie chciał mnie puścić, pokazałam mu list hrabiego, wtedy uderzył o płytę miedzianą na ścianie, w tej chwili zjawił się, jak z pod ziemi, hajduk, wysoki, w ubraniu pokrytem sznurami, i prowadził mnie przez schody przystrojone roślinami. Na górze spotkaliśmy innego hajduka, również wysokiego, ten zaprowadził mnie przez kilka salonów i tam oddał mnie w ręce lokaja w liberyi. Prowadzono mnie i prowadzono z jednej sali do drugiej po posadzkach gładkich, błyszczących i tak śliskich, że można na nich było upaść plackiem, nim się człowiek spostrzeże. Malowane sufity, na ścianach zwierciadła w złoconych ramach, złoconą materyą kryte meble, a wszędzie pusto, ani żywej duszy; a lokaj jest tak majestatyczny idzie milcząc, nie mówi ani słowa. Wreszcie zaprowadził mnie do pracowni hrabiego, tam przyjął nas hrabski kamerdyner. Wszyscy lokaje, którzy mi wskazywali drogę, byli wzrostu wysokiego, mieli bogate, złotem zdobne liberye, ten stary był mały, wyglądał biednie, miał na sobie stary, wytarty surdut, ale twarz jego była mądra, przebiegła — cały dyplomata. Zmierzył mnie uważnie od stóp do głów, jakgdyby chciał zajrzeć aż w duszę, potem powiedział powoli: Pani tu poczeka łaskawie, jego dostojność wstał dopiero i raczy się modlić.

Zostawiono mnie samą w pracowni. Był to duży pokój tak, że z jednego końca nie można dojrzeć na drugi, tu nie było ani zwierciadeł, ani złoceń, zwykłe żelazne meble, wszędzie ciemne portyery i żaluzye, nawet okna są do połowy zasłonione tak, że w pokoju panuje półzmrok. W jednym kącie stał wielki obraz świętego, przed którym paliło się kilka lampek. Tu siedziałam i siedziałam, czas wlókł się powoli, strasznie powoli, a hrabia nie przychodził, zaczęłam się niecierpliwić. Nasłuchiwałam. Za jedną z portyer słyszałam niewyraźny szmer, podniosłam ją ostrożnie i znowu zobaczyłam pokój, wybity czarnym suknem, podobny do katolickiej kaplicy, wszędzie obrazy świętych, krucifiksy i lampki; w kąciku stał drobny człowieczek, zasuszony jak mumia, mruczał coś i co chwilę uderzał czołem o ziemię, a dwaj lokaje podpierają go z dwóch stron, to spuszczają go, jak lalkę drucianą na kolana, to podnoszą na nogi, a jeden z nich liczy głośno ile razy jego dostojność ku ziemi schylić się raczyła.

Mnie wydało się to tak śmiesznem, że nieśmiałość moja przeszła. Kiedy lokaj policzył do czterdziestu, nazywało się to dosyć na dzisiaj, a hrabia został odprowadzony z przed ołtarza. Zaledwie mogłam spuścić portyerę i przybrać skromną minę, gdy jego dostojność stanął przedemną.

Spojrzał na mnie i zawołał: Boże, przecież to Alina, (takie było imię mej matki) podobna do Aliny, jak dwie krople wody. I jego dostojność wylał kilka łez. Zaczął mnie błogosławić, przerywał mi, ja ucałowałam jego ręce i usiłowałam także wycisnąć trochę łez z moich oczu. Stary przypomniał sobie przeszłość, rozczulił się, a ja przecież nie jestem głupia — naśladowałam go; o mojej sprawie ani słówka. Opowiadałam mu rozmaitości, jak matka go ciągle wspomina, jak się modli i widzi go w snach swoich. Skąd to wszystko wtedy brałam, nie wiem. Jego dostojność wzruszył się bardzo, jak stary kot, zaczął mi obiecywać wiele pięknych rzeczy, chciał mnie nawet przedstawić na dworze. Była nawet taka chwila, że chciał mnie przyjąć za córkę, on nie ma żadnej rodziny, żona i dzieci dawno pomarły. Zauważyłam, że stosowna chwila nadeszła; skąpana w łzach wyznaję mu, że kocham jednego człowieka, a gdy nie zostanę jego żoną, nie będę żyła.

(Dokończenie nastąpi).

gdy z bliższych i dalszych okolic kraju nadchodzą rozpaczliwe skargi letników na wodę, która im się leje na karki w licho zaopatrzonych willach i chatach wiejskich. Powracać też już zaczynają do Warszawy coraz liczniejsze zastępy tych pożałowania godnych męczenników mody i powoli ożywia się miasto nasze. Nadzieje czy obawy, że wyludni je wszechrosyjska wystawa w Niższym Nowogrodzie, spełzły na niczem. Pomimo wszelkich udogodnień, bezpłatnych biletów jazdy dla całych kategoryi ludności itp. procent mieszkańców Królestwa Polskiego udających się do Nowogrodu jest znikająco niski. Widocznie jesteśmy społeczeństwem zachodniem i nic nie pociąga nas do oglądania i podziwiania cudów dalekiego wschodu, swoją drogą nie uważamy tego wstrętu do poznania i zbadania życia rosyjskiego na miejscu za objaw dodatni. Jeźli mi czas pozwoli wybiorę się w przyszłym miesiącu do Nowogrodu, aby następnie podzielić się z wami wrażeniami tej bądź co bądź niezwykłej podróży.

W jednym z poprzednich mych listów poruszyłem sprawę puszczy. Powracam do niej raz jeszcze, ponieważ zatarg pomiędzy zarządem Osad rolnych a kilku organami prasy tutejszej zaostrza się coraz bardziej i stanowi w obecnej chwili główny przedmiot ogólnego zainteresowania. Po długiem wahaniu zdecydował się wreszcie komitet osad rolnych, pod którego zarządem pozostaje także zakład dla moralnie zaniedbanych dziewcząt w Puszczy, wystąpić z odpowiedzią na stawiane mu zarzuty. Sążnisty ten momoryał nie wyjaśnia właściwie niczego, a przedewszystkiem nie zbija twierdzenia, „robiącego w moralności“ p. Jeleńskiego, redaktora „Roli“, że przełożona Puszczy, jako w wysokim stopniu moralnie zaniedbana kobieta nie nadaje się do kierowania wychowaniem i poprawą moralnie zaniedbanych dziewcząt. Należałoby bez hałasu usunąć tę damę od kierownictwa przytułku, zamiast wdawać się w polemikę, która wobec dowodów znajdujących się w ręku p. Jeleńskiego, wobec wreszcie niezwykłego talentu polemicznego tego pana i poczytności, jaką się cieszy jego pismo, skończyć się musi stanowczą porażką zarządu Osad rolnych. Cóż, kiedy na czele tego zarządu stoi prof. Miklaszewski, którego właśnie łączą z ową przełożoną więcej niż blizkie stosunki, i który, co mu się zresztą chwali, nie chce opuścić w tych opałach swej przyjaciółki. Znalazłaby się wprawdzie skuteczna rada, a mianowicie usunięcie pospołu z przełożoną Puszczy i prezesa zarządu; wątpić jednak należy, aby Komitet osad rolnych, odznaczający się wyjątkową nieudolnością, zdobył się na krok tak heroiczny. Podług wszelkiego też prawdopodobieństwa kłótnia ta trwać będzie w dalszym ciągu, dopóki nie zwróci uwagi rządu rosyjskiego, który korzystając z tej sposobności pogodzi strony wojujące, zabierając osady rolne pod własny zarząd.

Powitana z takiem zadowoleniem nowa reżyserya naszej sceny mało daje znaków życia. Znalazłszy w „Komedyantach“ Paillerona sztukę przyciągającą, spoczywa na tych laurach. Co prawda, obecna pora, gdy większa część najlepszych artystów bawi na urlopach, mało się nadaje do ożywienia repertuaru. Za to rozpoczął się sezon gościnnych występów. I tak z niezwykłem powodzeniem wystąpił kilka razy na scenie Rozmaitości artysta teatru krakowskiego p. Śliwicki, wyborny lekki amant, odtwarzający stylowo zwłaszcza postacie Fredry. W przyszłym tygodniu wystąpić ma kilkakrotnie p. Wróblewska-Cichowiczowa.

Towarzystwa ogródkowe, którym przy dżdżystej porze obecnej dzieje się nieszczególnie, przygotowują się już do odlotu — sezon kończy się z dniem 13-go września. P. Wołowski wraca z swą trupą na zimowe leże do Łodzi. Goszczący w „Bellevue“ p. Terentjew, który, nawiasem mówiąc, występuje obecnie w swym teatrze jako baryton pod nazwą Silvaniego, udaje się z swą trupą do Odesy i Kijowa. PP. Przybylski i Dobrzański z „Wodewilu“ zakontraktowali podobno teatr w Petersburgu. Niezależnie od tego kilka trup aktorskich grasować będzie podczas zimy po prowincyi. Przed kilku dniami bawił tu nowy dyrektor teatru poznańskiego, p. Rygier, celem skompletowania swej trupy, która liczyć będzie przeszło 30 osób, przeważnie sił młodszych.

Pojutrze przejeżdżać będzie przez Warszawę, nie zatrzymując się, koleją obwodową, car, udając się do Wiednia. Powrót nastąpi prawdopodobnie w nadchodzącą sobotę. I z powrotem nie zatrzyma się car w Warszawie, lecz uda się bezzwłocznie w dalszą drogę do Petersburga. Do Spały przyjeżdża na kilkotygodniowy pobyt stryj cara, W. ks. Włodzimirz.

X. W.

Sverdrup i Nansen.

W aureoli sławy, jaka otoczyła Nansenowską wyprawę podbiegunową dwa nazwiska wybiły się na czoło: kierownika jej Fritjowa Nansena i tego, który po nim objąwszy dowództwo „Frama,“ doprowadził go zupełnie szczęśliwie do Ojczyzny, Ottona Sverdrupa.

Nansen wiedział dobrze co robi, powierzając okręt temu właśnie człowiekowi, wypróbował go bowiem, jako niezrównanego towarzysza podczas swojej podróży w poprzek Grenlandyi w r. 1888. Jestto mężczyzna 41-letni, z powierzchowności nie należący do norwegskiego typu: niskiego jest bowiem wzrostu, ma czarne włosy i czarną krótką brodę, silnie zagięty nos orli, bystre oko, wyraz twarzy ponury i zdeterminowany. Urodził się w dzikiej północnej Norwegii, jako syn właściciela ziemskiego, a więc od chłopięctwa musiał pasować się z dziką naturą, przyzwyczajając się do życia północnego myśliwca, który na nartach, czyli po norwesku „ski“ (czyta się: „szi“), lotem ptaka przebywa ogromne śniegowe przestrzenie. „Zbyt wielkiem zamiłowaniem do książek, Sverdrup się nie cieszy“ powiada o nim Nansen, ale zato niezrównany jest, jako marynarz na wodach podbiegunowych. Młodym chłopcem poszedł na morze, z majtka awansował na sternika i kapitana okrętu i tłukł się wiele po morzach północy, wyrabiając się w człowieka, któremu trud za poduszkę, a niebezpieczeństwo za kołdrę służy. Kiedy onego czasu Nansen wraz

Zaczątki powstania 1863 roku

na Podlasiu i na Litwie.

(Ze wspomnień b. naczelnika oddziału.)

WSTĘP.

Przed kościołem OO. Karmelitów w mieście W. zgromadziło się szczupłe grono ludzi dojrzałego wieku męzkiego, wyczekując z zaciekawieniem zbliżania się nowych przybyszów, którzy z rozmaitych stron ciągnęli na miejsce umówionego spotkania.

Był to dzień 4 czerwca 1896 roku, trzydziestopięcioletnia rocznica opuszczenia ławy gimnazyalnej przez gromadkę przed kościołem zebraną, zbierającą się peryodycznie, najprzód co lat dziesięć, a następnie — ponieważ życie biegnie rączej, im bardziej do kresu się zbliża — i co lat pięć, by takiem uświęceniem pamiątki dni jutrznianych, zacieśniać węzły przyjaźni i koleżeństwa, zadzierżgnięte za młodu.

Naturalną losów koleją, z każdą rocznicą zmniejszało się owe grono i z rezygnacyą spoglądało w przyszłość, wyczekując chwili, gdy ostatni z grona przyjdzie ostrzelać plac spotkania i pomodlić się za duszę tych, co już wcześniej swą ziemską zakończyli pielgrzymkę.

Tym razem jeszcze nie bardzo się przerzedziły szeregi. Od ostatniego spotkania czterech jedynie nie dopisało....

I bielały zwolna, ongi tak czupurnie w świat spoglądające głowy i chyliły się zwolna ku ziemi, ongi tak sprężyste karki, lecz z oczu wszystkich tryskał ogień młodzieńczego zapału i radości, że po latach wielu, znowu mogli uścisnąć dłoń bratnią i przekonać się, że między owem gronem niema ludzi wykolejonych i nadłamanych, lecz wszyscy w miarę możności pracują na znojnej glebie życia powszedniego, nie wyzuwszy się z ideałów, któremi ich piękna namaściła młodość.

Byli między owem gronem: ziemianie, strzegący czujnie ojczystego kawałka ziemi; byli przemysłowcy i fabrykanci, byli zacni i skromni urzędnicy instytucyi obywatelskich, byli adwokaci i literaci, nie obcego ogółowi nazwiska, był nawet między nimi i bankier, wyjątkowej — nie tylko między bankierami — zacności i uczynności, do którego kieszeni znajdowali zawsze dostęp nie tylko koledzy biedniejsi, lecz i wielkie i ważne sprawy, z filantropią i oświatą krajową związane. Czas nie oziębił uczuć serdeczności między członkami grona, zrekrutowanego z najrozmaitszych warstw społeczeństwa rodzimego. Dobrze zrozumiana równość sprzęgła ich na gruncie wzajemnego przywiązania i życzliwości bratniej, a poczucie obowiązku względem kraju spotęgowało owe węzły cementem wspomnień przeżytej doby — doniosłości historycznej, która, w ostatniem trzydziestopięcioleciu nie tylko dla nich, lecz i dla szerokiego ogółu nie była pozbawiona cech tragicznych....

Gdy już ostatni z oczekiwanych kolegów znalazł się na miejscu spotkania, i zebrane grono, po wesołem powitaniu się wzajemnem i po obliczeniu głów siwych, lub też zupełnie bezbarwnych, zabierało się do wstąpienia w progi kościoła, dla wysłuchania mszy żałobnej, pojawiła się jakaś nieoczekiwana postać w osobie szpakowatego, lecz dzielnie, po żołniersku trzymającego się mężczyzny, który zbliżywszy się do zebranych, wyciągnął ku nim ręce z zapytaniem:

— Czy mnie poznajecie bracia?

— Roman! dzielny Roman! zawołało kilka głosów i wnet otoczono przybysza z oznakami radości i zdziwienia, tak jak się wita człowieka nieoczekiwanego, a pożądanego, od lat dawnych z orbity stosunków potocznych wytrąconego.

— Nie zapomniałem o rocznicy naszej odezwał się przybysz — a nie moja, jak wiecie wina, żem na poprzednich jubileuszach nieobecnością swą świecił. Teraz jestem znów wolny, o ile nim być może dziecko tego kraju. Odpokutowałem — jeśli tak chcecie — za grzechy młodości, niedoświadczenia i szlachetnych krwi porywów, oderwałem się od szubienicy, odsiedziałem karę w kopalniach i na zesłaniu; obecnie zaś, kr-

z nim przebywszy szczęśliwie na nartach Grenlandyę dotarł do zachodniego jej wybrzeża, obaj śmiali towarzysze znaleźli się mimo powodzenia o 100 kilometrów od zamieszkałych miejsc, oddzieleni od nich morzem, Sverdrup z rozmaitych kawałków drzewa i płótna żaglowego, zbudował małą łódkę, którą wraz z Nansenem przeprawił się przez morze. A kto wie czy bez tego heroicznego wysiłku Sverdrupa, wyprawa owa nie była się skończyła śmiercią obu śmiałków. Takiego człowieka potrzeba było, aby „Frama“ szczęśliwie przeprowadzić przez lody.

Ale, aby wyciągnąć wszelkie korzyści naukowe z wyprawy podbiegunowej, na to potrzeba oprócz odwagi, wytrwałości, przytomności umysłu, także głębokiego wykształcenia. A te wszystkie przymioty łączy w sobie Nansen. Mało kto zapewne wie, że ten śmiały podbiegunowy awanturnik, jest z zawodu spokojnym doktorem filozofii i konserwatorem zoologicznego instytutu na uniwersytecie w Chrystyanii. Co prawda to mało jest podobnym do przyrodnika z „Fliegende Blätter“ ubranego w okulary i uzbrojonego siatką na motyle. Na bardzo długich nogach osadzony jest potężny, szeroki w ramionach korpus, a na nim jasnowłosa, typowa norwegska głowa, o długim prostym nosie, wystającą brodą. Wygląda tak, jak człowiek, co nie wiele robi sobie z niebezpieczeństwa, a mimo to po bliższem przyjrzeniu się w rysach jego odkrywa się subtelnego uczonego. Ta podwójna natura jego, łączy się harmonijnie w całość i przebija się w całej jego istocie.

Fritjof Nansen, urodzony d. 10 października 1861, w Fro'en pod Chrystyanią, liczy obecnie lat niespełna 35, a dla badań naukowych obcował zawsze z bliska z naturą, a także jako namiętny myśliwiec, w wyprawach na nartach odbywanych, podróżach wodnych, i wędrówkach po spadzistych górach, rozmiłował się przedewszystkiem w północnem morzu lodowatem. Wykształcenie naukowe Nansena jest nietylko głębokiem, ale i wszechstronnem. Doskonale jest obznajmiony z literaturą nietylko ojczystą, ale i obcych narodów, a przytem obdarzony jest niezwykłym talentem literackim, który wysokiej dodaje wartości jego rozprawom naukowym i opisom podróży. Z szczególniejszem zamiłowaniem Nansen studyuje życie ulubionych swoich Eskimosów, których opisał Europejczykom z niemniejszem ciepłem i talentem, jak niegdyś Tacyt Germanów Rzymianom.

Nansen nie jest wcale blagierem i nie potrzebuje wcale przesadzać niebezpieczeństw swoich podróży; zuchwałość i ten pęd, który tylu ludzi pognały ku biegunowi, mieszkają i w nim, lecz kontrolowane i ograniczone przez wielką przezorność.

Oprócz pragnienia wiedzy i zuchwałej żądzy zajrzeć niebezpieczeństwu w oczy, ciągnął Nansena na północ patryotyzm. Od czasów Eryka czerwonego wszyscy skandynawowie uważają dalekę północ za swoją dziedzinę i dziś niechcą oni zatem dać się wyprzedzić innym narodom w odkryciach podbiegunowych. Patryotyzm był pobudką dla Duńczyków przy odkryciu i zajęciu Grenlandyi, patryotyzm kierował Nordenskieldem i Nansenem. Nansen nie jest wcale pustym szowinistą, bo szowinistów nie ma, lecz sami rozumni patryoci w tym dziwnie sympatycznym kraju chłopskim, jakim jest Norwegya. Owszem nikt bardziej niż Nansen nie umie cenić zasług i czynów narodów, a przecież wszystko co czyni, czyni „na większą sławę Norwegii.“

Oto dwie najwybitniejsze postacie z bohaterskiej garstki, które stanowiła wyprawę nansenowską. Do ludzi tych możnaby zastosować wyrażenie Słowackiego, że mają „pierś na miarę nie krawca, lecz Fidyasza.“

Ruch kobiecy w Niemczech.

Kobiece zjazdy dotychczasowe w Niemczech robiły często wrażenie sesyjek, na których kumoszki, cerując skarpetki swych towarzyszów życia, wynurzały się wzajemnie przed sobą ze swych dolegliwości. Mówiono o przewrotności mężów, o ich brutalnem obejściu z połowicami, uskarżono się na późne wychodzenie za mąż córek, na nierząd utrudniający karyerę małżeńską kobiecie uczciwej, zgadzano się, iż należy inaczej wychowywać dzieci itd. Bez wrzawy rozchodziły się delegatki, aby na przyszły rok powtórzyć kubek w kubek to samo w nieco odmiennej formie. Prasa pomijała te kongresy milczeniem, a opinia publiczna lekceważyła je zupełnie. Od kilku lat przecież zjazdy te, zdaje się, zmieniają swój charakter na lepsze. Tegoroczny wiec „Związku stowarzyszeń kobiecych,“ jakby urągając tradycyi, odznaczał się bogatą treścią rozpraw, poważnym, nie małostkowym przebiegiem posiedzeń i po części sympatyczną cechą tematów. Zanosi się chyba na to, iż ruch kobiecy, który już od lat kilku ugrzązł w Niemczech w bagnisku frazesów i filisterstwa, ma zamiar wystąpić czynnie na polu politycznem i ekonomicznem. Kobiety niemieckie, skutkiem smutnych doświadczeń i rozczarowań, które przeszedł ich ruch, przychodzą do wniosku, że życie polityczne jest w Niemczech koniecznością dla nich — nietylko dlatego, że było ono dotychczas przywilejem mężczyzn, lecz przeważnie z tego względu, że ciała prawodawcze tego kraju decydują o wszystkich sprawach bytu społecznego. Chcąc polepszyć swe położenie prawne lub ekonomiczne, kobieta musi posiadać głos w życiu politycznem. Tak np. Reichstag ma wkrótce nadać swą sankcyę kodeksowi cywilnemu, w którym ukuto nowe kajdany dla kobiet. Kodeks ten, na którym reakcya ostatniego dziesięciolecia wycisnęła swe piętno, pod niektóremi względami pogorszy położenie kobiet niemieckich. Zrozumiały więc one, że kiwanie palcem w bucie nie wystarcza w tak ważnej chwili. Bombardowano parlament petecyami, napisano sporo broszur przeciwko nowonarodzonemu kodeksowi, lecz nie zdobyto się na to, aby w mieście takiem, jak Berlin, który posiada pół miliona dorosłych kobiet, zwołać zebranie w celu zaprotestowania przeciwko prawnym bezprawiom. Lecz, bądź co bądź, ostatni zjazd „Związku stowarzyszeń kobiecych“ w Kasslu odbył się pod znakiem agitacyi polityczno-ekonomicznej. Na tym zjeździe 70 kilku stowarzyszeń kobiecych można było napotkać różne typy szermierek. Były tam takie, które widzą zbawienie uciskanej

---

rzystając z manifestów, pracuję wraz z rodziną w rodzimym kącie, na kawałku ziemi, oddany wspomnieniom lat ubiegłych, i oto, staje wśród was, ubielony nieco, lecz nie przygarbiony, i patrzę śmiało w oczy wasze, jak człowiek, który w walce życiowej wytrwał, przebolał, a nie złamał się i nie skisł moralnie!....

Wyciągnęły się ku przybyszowi ręce kolegów i łzy rozrzewnienia były odpowiedzią na takie słowa powitania. Przypomnieli sobie serdecznego paliwodę Romana na ławie szkolnej, niezwykłe losów koleje, jakie przebył, a które znano z opowieści jedynie, ze wzmianek dziejopisów nieszczęsnego roku 1863; przypomnieli sobie, że ten, którego widzieli przed sobą, porwany prądem ogólnym, ruszył na czele młodzieży na Podlasie i Litwę, stoczył kilka krwawych bitew, i osaczony wreszcie przez wrogo względem powstania usposobionych chłopów prawosławnych na Pińszczyznie, wzięty w niewolę, dzięki jedynie szlachetności dowódzcy rosyjskiego, generała Nostitza, który umiał uszanować w nim nieustraszone męztwo, uniknął stryczka.

Nie on jeden z pośród dawnych kolegów gimnazyalnych ujawnił czynem bezgraniczne poświęcenie dla kraju, w epoce, gdy niestety! za poświęcenie takie uważano nie mrówczą pracę około odbudowy ruin, dawnemi klęskami spowodowanych, lecz — zapał i gotowość do przebicia muru głową własną, lub też brawurę rzucenia się z kijem w ręku na ziónące ogniem paszcze armat....

Nazwiska: Leona Frankowskiego, Symeona Rapackiego, Józefa Łazowskiego, Jana Rzeszotarskiego i Grabowskiego i wielu, wielu innych zarejestrowały się w katalogu takich szlachetnych lecz nierozważnych ofiar młodzieńczego animuszu. Wszyscy oni legli na placu boju i skromny krzyżyk nie znaczy nawet kresu ich wędrówki doczesnej. Ocalał jedynie ten, który łącząc pogardę śmierci, z żądzą czynów rycerskich, obudzoną pod wpływem pieśni wieszczów epoki romantycznej, pospieszył wprost z ławek szkólnych, do Cuneo, by odbyć studya przygotowawcze do żołnierskiego zawodu i przywództwa kup zbrojnych, planowanych już wówczas (w r. 1860) na wypadek zamętu wojennego w Europie...

Odświeżyły się wszystkie owe wrażenia i wspomnienia przeszłości w poufnej gawędzie, która po nabożeństwie odbyła się za miastem za skromnym stołem biesiadnym.

Przypomniano sobie „**Metamorfozy**“ Kraszewskiego, w których zebrani po latach wielu towarzysze szkólni opowiadają przebyte życia swego koleje.

Za ich przykładem i gromadka, o jakiej mowa, wysłuchała opowieści szarego żywota każdego z obecnych. Gdy przyszła kolej na Romana, wszyscy z zaciekawieniem wysłuchali odysei jego życia i, dzięki wynurzonej prośbie, dał się opowiadający nakłonić do ujęcia swej relacyi w formę luźnego, dorywczo spisanego pamiętnika, który, jako autentyczny przyczynek do historyi zaczątków ruchu zbrojnego z r. 1863, trzymany w tonie ściśle przedmiotowym, bez cienia fanfaronady, a przytem jako zawierający charakterystyczne szczegóły lekkomyślności, nierozwagi i karkołomnych rzutów młodzieńczego zapału ówczesnego pokolenia, nie będzie bezwątpienia obojętnym dla przyszłych owego nieszczęsnego ruchu dziejopisów.

1.

....Z kraju odebraliśmy rozkaz: „Wracajcie! bo czas się zbliża....“ Wyjechaliśmy więc z Zygmuntem Padlewskim z Paryża, przez Berlin (gdziem się po raz ostatni spotkał z Józefem Narzymskim) do Warszawy. Padlewski pojechał przez Poznań i Kraków, ja zaś przez Toruń, gdzie miałem wręczyć list powierzony mi przez generała Wysockiego — Gutremu i porozumieć się w paru sprawach z Saladyckim, obywatelem z pod Torunia, bardzo podówczas w sprawie czynnym.

Zjechaliśmy się z Padlewskim w Warszawie, dnia 15 października 1862 roku. On pozostał w stolicy, ja zaś zostałem przez ówczesny Komitet Centralny zamianowany komisarzem województwa Podlaskiego, do którego były zaliczone powiaty: Bialski, Siedlecki, Łukowski i Radzyński. Przedtem agentem komitetu w owem województwie był Edward Lisikiewicz, student uniwersytetu Kijowskiego, kolega Ignacego Chmie-

połowy rodu ludzkiego w dopuszczeniu jej do studyów: były tam bojowniczki, sprowadzające kwestyę wyzwolenia kobiet do rozpowszechnienia tanich kuchen i zupy rumfordzkiej.

Obok Panny Heleny Lange, patrzącej na kwestyę emancypacyi wyłącznie ze stanowiska karyery, występowała pani Cauer, była współpracowniczka pani Giżyckiej, kobieta o szerszych poglądach społecznych. Giżyckiej nie było, gdyż spaliła za sobą zupełnie mosty ruchu kobiecego. Wiceburmistrz miasta, zaproszony wraz z policmajstrem, przywitał w imieniu miasta delegatki. Panna Schmidt, prezydentka Związku, nakreśliła rozwój Związku. Powstanie swoje zawdzięcza on inicyatywie dam, które przedstawiały Niemcy na konkresie kobiecym w Chicago. Agitacya sprawy kobiecej datuje się już od lat 30. „Powszechne stowarzyszenie kobiece“ wystawiło hasło równouprawnienia, formulując je w duchu nieco idealistycznym. Wkrótce powstał szereg innych stowarzyszeń o bardziej praktycznym i poziomym charakterze. Nowe i stare utworzyły dwa związki, które współzawodniczyły z sobą dopóty, póki nie podały sobie rąk dla wspólnej działalności. Co dwa lata jeden z nich zwoływał kongres, w którym i drugi brał udział. Życie jednak zmuszało kobiety do zabierania głosu w różnych sprawach i podbijania nowych pól zarobkowych. Powstawały nowe stowarzyszenia. W ten sposób ruch kobiecy przedstawiał istną wieżę Babel. O porozumieniu się tych idących samopas grup nie mogło być mowy, dopóki wszystkie nie zlały się w jedną całość. Tej centralizacyi dokonały delegatki, powracające z kongresu kobiecego w Chicago. Powstał „Związek stowarzyszeń kobiecych“, organizacya mająca na celu wogóle podniesienie materyalnego i duchowego poziomu kobiet. Pani Cauer zaznajomiła kongres ze swą działalnością w założonem przez siebie stowarzyszeniu pracownic handlowych w Berlinie. Dużo trudów i funduszów pochłania wyszukiwanie pracy pannom. Przy stowarzyszeniu istnieją szkoły wieczorne o 4 klasach. W ten sposób konkurencya z mężczyznami jest ułatwiona. Kasa dla chorych ze swemi lekarkami roztacza pieczę nad zdrowiem pracownic, do czego przyłącza się dom dla rekonwalescentek i letnie kolonie. Dla rozrywek stowarzyszenie urządza przedstawienia teatralne i koncerty; członkinie utworzyły również kluby cyklistek, wioślarek i gimnastyczny. Pani Schwerin starała się dowodzić, iż sprawa zarobku stoi obecnie na czele wszystkich t. zw. kwestyj kobiecych. To dało jej pochop do zaznajomienia zebrania ze smutnemi wynikami, które otrzymano przez ankietę sądu przemysłowego w Berlinie podczas bezrobocia „konfekcyonistek.“ Gdyby rolę sędziów, stawiających pytania, powierzono kobietom, wszyłyby na jaw o wiele smutniejsze jeszcze rzeczy. „Ile pani zarabiasz?“ — pyta sędzia jednej z pracownic. „Sześć marek tygodniowo“ — brzmi odpowiedź. — Z tego odchodzi jeszcze na nici.“ — „Jakże pani z tego możesz się utrzymać?“ Milczenie. Pani Schwerin wyraziła swe zadowolenie z tego, że kobiety zażądały w ostatnich czasach wprowadzenia inspektorek fabrycznych. Kilka państw niemieckich zgodziło się na to. Reszta opiera się jeszcze, lecz nie może postawić zasadniczych zarzutów. Rząd wydelegował komisyę do Anglii dla zbadania rezultatów działalności inspektorek fabrycznych. Pani Simson wystąpiła przeciwko temu, że komisya starała się wprowadzić w błąd sfery miarodajne fałszywemi relacyami. Z oburzeniem odparto zarzut, stawiany kobietom, jakoby żądając wprowadzenia tej instytucyi, chciały rozszerzyć pole karyery dla niewiast. Również zaznaczono, iż cała ta instytucya chybia celu, jeżeli inspektorka fabryczna zajmuje stanowisko pośrednie między robotnicą a inspektorem fabrycznym. Związek zgodnie z tem wystosował petycyę do rządu. Kongres, jak widzimy, skupił swą uwagę na zagadnieniach praktycznych; o zasady nie polemizowano. Z różnych przedmiotów poruszonych jeszcze, zwrócę uwagę na „Stowarzyszenie obrony prawnej kobiet,“ istniejące od $2^1/_2$ roku w Dreznie. Stowarzyszenie to posłużyło za wzór do dwu podobnych instytucyj, założonych w Berlinie i Austryi i mających na celu zarówno oświecenia kobiet w kwestyach prawnych, jak pomoc prawną dla potrzebujących. Wychodząc z trafnego psychologicznego spostrzeżenia, iż kobiety niechętnie wtajemniczają mężczyzn w swe sprawy, stowarzyszenie złożyło działalność w ręce kobiet. Przyjmują zwykle 3 damy. Jedna zadaje pytania, druga prowadzi protokół, trzecia robi notatki dla adwokata. Zebrano olbrzymi materyał rzucający światło na prawne upośledzenie kobiet. Stowarzyszenie stało się podobno postrachem na niegodziwych mężczyzn. Pani Stritt, która referowała w tym przedmiocie, starała się zilustrować znaczenie instytucyi anegdotą. Pijak mąż, będąc w stanie nietrzeźwym, znęcał się zwykle nad żoną. Ta w rozpaczy zagroziła, iż zwróci się do „Stowarzyszenia obrony prawnej kobiet.“ Usłyszawszy to, mąż pada na kolana i przysięga nie brać nigdy do ust gorzałki. Żona cofnęła swój zamiar, a mąż dotrzymał słowa i stał się wzorowym małżonkiem!“

H. F.

TO I OWO.

Ks. Helena Czarnogórska.

O księżniczce Helenie Czarnogórskiej pisze „Corriere della Serra“ z okoliczności zapowiedzianych zaręczyn z następcą tronu włoskiego: Księżniczka Helena, piąte z rzędu dziecko, trzecia z córek księcia Czarnogórskiego, liczy obecnie 24 rok życia i odznacza się nadzwyczajną urodą. Gdy król Humbert poznał ją w ubiegłym roku w Wenecyi, piękność jej i wdzięk wprawiły go w zdumienie. Pierwsze pogłoski o zaręczynach księcia Neapolu z księżniczką Heleną pojawiły się na wiosnę roku zeszłego. Spotkanie królewskiej pary z młodą księżniczką nastąpiło rzeczywiście w dniu 25 kwietnia z 1895 r. w Wenecyi, dokąd para królewska udała się na otwarcie międzynarodowej wystawy sztuki. Bawiące tam podówczas księżna Milena z córkami, złożyły wizytę królowej, która od pierwszej chwili nadzwyczaj je polubiła. Zwracało podówczas ogólną uwagę, iż przy wszelkich wycieczkach król stale towarzyszył księżniczce Helenie, podawał jej ramię, rozmawiał z wielkiem

---

lińskiego. Mieszkał z matką w Zburzyniu pod Siedlcami, gdzie była ich rodzinna wioska. Brat starszy trzymał pocztę, szwagier zaś Lisikiewicza, Jan Matliński, także przy matce mieszkający, czynny brał udział w organizacyi ówczesnej.

Przyjechawszy w Podlaskie zastałem organizacyę tajną jeszcze w zawiązku. Szło więc o to, by ją rozprzestrzenić, rozpowszechnić między szlachtą zaściankową, tak w Podlaskiem liczną, i wciągnąć do niej mieszczan, służbę dworską, a lud wiejski przedewszystkiem. Trzeba więc było zszeregować pojedyńczych ludzi, rozlokowanych po różnych punktach, w gromadki, poznać ich ze sobą i wskazać dalszy sposób działania.... Pierwsze takie zebranie, złożone z członków organizacyi z czterech powiatów, odbyło się w Łosicach, u doktora Czarkowskiego, niezmiernie ruchliwego działacza. (Rozstrzelanym został następnie w Siedlcach, niedługo po ślubie z młodą, inteligentną kobietą, która z rozpaczy po stracie męża dostała pomięszania zmysłów....)

Nastąpiły na owem zebraniu wybory członków do rozmaitych urzędów organizacyi. Wojewodą Podlaskim został Bronisław Deskur. Naczelnikami powiatowymi cywilnymi zamianowani: Siedleckiego powiatu — Jan Matliński, Łukowskiego — słynny ksiądz wikary Brzoska (następnie dowódzca oddziału, ujęty w Łędzie i rozstrzelany), Radzynskiego — Zieliński, obywatel, Bialskiego — ówczesny pomocnik Naczelnika powiatu N.

Od nich zależało dalsze wyznaczanie setników i dziesiętników. (System dziesiętny był przyjętym w organizacyi.) Do zbierania funduszów na każdy powiat wybranym był poborca.

Wtedy właśnie nakazanem było przez Komitet Centralny ogólne opodatkowanie kraju. Na pobierane pieniądze wydawano kwity, których numera ogłaszano w piśmie ówczesnem podziemnem „Ruch“, organie Komitetu Centralnego. Redakcya owego pisma mieściła się przy ulicy Widok pod nr. 11. w mieszkaniu pani Heinrich, ciotki Bronisława Szwarcego, (Le Noir).

Szwarce był młodzieńcem inteligentnym, inżynierem, synem emigranta. Służył na kolei Warszawsko-Petersburgskiej, w kompanii francuzkiej. Aresztowany został w grudniu 1862 r. przy wykryciu drukarni „Ruchu“, za pośrednictwem policyi francuzkiej, która wówczas była w zupełności oddaną usługom rządu rosyjskiego, aresztując osobistości podejrzane Polaków w Paryżu.

Główne swoje locum usadowiłem w Białej, skąd dojeżdżałem do swoich powiatów. W Białej był podówczas proboszczem ks. Mleczko, u którego zamieszkałem. Czas schodził szybko, wypadki gromadziły się, zapowiadając rychłą burzę. Organizacya postępowała bystro. Wszyscy owiani byli duchem zapału i garnęli się do roboty. Mieszczaństwo po miasteczkach, szlachta zaściankowa, czeladź dworska — wszystko to stanowiło jednę zwartą falangę. Lud jedynie był oporny, nie okazywał zapału i wyczekiwał dalszych wypadków....

II.

W ciągu tych kilku miesięcy, w województwie podlaskiem pracowano gorliwie nad przygotowaniem umysłów do wspólnego działania. Ważnym tu czynnikiem był zjazd księży katolickich w Maciejowicach, na którym, jak to miało już miejsce na Zjeździe w Sandomierzu, duchowieństwo jednomyślnie uznało władzę Komitetu Centralnego, z którego ramienia delegowanym był Jan Majkowski. Drugim takim Zjazdem, nierównie donioślejszego dla województwa podlaskiego znaczenia, był urządzony przezemnie zjazd księży unickich. Odbył się on dnia 22-go grudnia 1862 r. w klasztorze Paulinów (następnie zniesionym) we wsi Leszno o 10 mil od Białej odległej.

O zjeździe tym mało kto wiedział w Warszawie, oprócz Zygmunta Padlewskiego, Oskara Awejde i Stefana Bobrowskiego. Nigdzie o nim nie wspominają, nawet Gillerowi zjazd ów jest nieznany, a przecież było na owym zjeździe 150 księży unickich, ludzi biednych, jakimi w ogóle byli w tę porę parochowie uniccy, i wszyscy oni złożyli przysięgę na wierność rządowi narodowemu i wspólność pracy i poświęcenia, którego też później oczywiste złożyli dowody.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ożywieniem i witał i żegnał nadzwyczaj serdecznie. Rychło książęca rodzina Czarnogórska przyjmowała udział nietylko w uroczystościach urzędowych, lecz i zebraniach rodzinnych na dworze królewskim. Największe zwycięstwo święciła piękność księżniczki Heleny na galowem przedstawieniu w teatrze „Fenice“, gdzie zasiadała w loży dworskiej przy boku królowej. — W wielkiej liczbie obecni artyści unosili się nad idealną, płomienną pięknością księżniczki, która w skromnej różowej sukience ściągała na siebie oczy wszystkich. Zauważono też wówczas ogólnie, iż książę Wiktor Emanuel nie spuszczał wzroku z pięknej księżniczki.

* * *

Spotkanie Nansena z „Framem.“

Spotkanie Nansena z „Framem“ było bardzo serdeczne. Sverdrup, zastępca Nansena na okręcie, myślał, że Nansen wraz z Johansenem zginął, gdyż mimo, że przez lody parł ustawicznie z „Framem“ na północ, nigdzie nie znalazł nawet śladu Nansena. Kiedy więc „Fram“ przybył do portu na Skjarvö i dowiedziano się tam, że Nansen zdrowo powrócił, zapanowała na pokładzie „Frama“ ogromna radość, połączona ze zdumieniem. Swerdrup natychmiast zatelegrafował do króla Oskara i do Nansena z Hammerfestu, donosząc o swem przybyciu. Powitanie Nansena z załogą „Frama“ było niesłychanie serdeczne. Ludzie otoczyli go z płaczem i puścić go z objęć nie chcieli. Nansen każdemu z osobna dziękował a pocałunkom jego z Swerdrupem końca nie było. Dodać należy, że „Fram“ od tej sekundy, kiedy się na jego pokładzie dowiedziano, że Nansen żyje i powrócił, na znak radości przystrojony został w flagi, wieńce, festony i tak oczekiwał przybycia swego dowódcy.

Jak wiadomo Nansen plan swój oparł na przypuszczeniu, że istnieje prąd, który przez biegun przechodzi na drugą półkulę. Na istnienie takiego prądu naprowadził fakt, że na wybrzeżach wschodniej Grenlandyi znajdowano kawałki drzewa syberyjskiego a przedewszystkiem to, że na lodach tamtejszych znaleść miano przedmioty z wyprawy biegunowej okrętu „Jeanetty“ który wypłynąwszy od strony Syberyi rozbił się w lodach. Wśród tych przedmiotów główną rolę grały spodnie jednego z majtków „Jeanetty“ niejakiego Norosa, który wyjątkowo ocalał. Owoż teraz obiega pogłoska, że odnalezienie owych spodni redukuje się do prostego marynarskiego żartu. Mianowicie Noros należał do amerykańskiej wyprawy ratunkowej dla załogi „Jeanetty“, która składała się z czterech okrętów, a Noros płynął na pierwszym okręcie. Owoż majtek ten miał całkiem poprostu rzucić spodnie z okrętu na lód, a okręt następny znalazł je i sądził, że to prąd morski wraz z lodem przeniósł je przez biegun. Gdyby nawet jednak ta anegdota była prawdziwą, to przecież istnienie owego prądu jest faktem, którego dowodzi wyprawa Nansena i droga, jaką „Fram“ opisał w lodach podbiegunowych.

Jak z Tromsö donoszą Nansen planuje podróż do bieguna południowego. Wedle jego pomysłu wyprawa musiałaby się składać z dwu okrętów. Jeden miałby przezimować około wulkanów „Erebus“ i „Terror“, których dosięgła wyprawa Rossa w roku 1872, a drugi okręt miałby się puścić dalej ku biegunowi, mając po za sobą w tamtym rezerwę dla załogi na wypadek rozbicia.

* * *

Aforyzmy.

Juliusz Stettenheim pisze znów wesoło. Oto: Największem złem starości stała się okoliczność, że wierność przestała być cnotą. — Gracz mówi: „Jeden musi przecie wielki los wygrać“. Ale wygrywa zawsze drugi. — Małe rączki kobiet trzymają silniej, niż wielkie. — Aby ci wzlecieć na szyję, nie potrzebuje kobieta być motylkiem. — Kto długo pościł, rad ugryzie wszystko. — Jak wiele dróg przebyć musi człowiek, który swoją drogę chce odbyć! — Wiele kobiet nie użycza nam swego ucha dlatego, bo drogie zdobią je kolczyki. — Kto nie słyszy tego, co nie zostało wymówionem, widzi źle. — Są kobiety, które najchętniej ustępują przed gwałtem, kierowanym wcale nie do nich. — Głupcy zmieniają się tylko na korzyść swych krawców. — Istnieje rodzaj wielomownej dyskrecyi. — Gdy raj utracił ludzi, stał się biedniejszym od ludzi, którzy raj utracili. — Woda wciska się do suteryn, wino na pierwsze piętra. — Niejeden zawaha się z powodu nadmiernej grzeczności, by dobry dać przykład. — Dziś nie wiemy właściwie, co cierpliwsze: papier, czy płótno. — Dziewczyna, co się boi, by jej ukochany nie ukochał innej, nie wie najczęściej, że ona jest tą inną. — Kobieta, która odmawia, obiecuje.

Na Wyłomie.

(Słówko o „godności narodowej“.)

Są wielkie słowa, które jak monety długo w obiegu będące brudzą się, wycierają i w blaszki pogięte zmieniają. Na targach politycznych frymarczą niemi handlarze, przybijają na sklepikach jako szyldy nęcące i lepią na butelkach win fałszowanych jako etykiety ułudne.

Religia? ileż to namiętności nizkich, ile spekulacyi finansowych, ile intryg partyjnych osłaniano tem słowem?

Honor? Lampart uliczny uwodzi żonę uczciwego człowieka, zabija go w pojedynku i stąpa dumnie po salonach jako Donżuan rycerski, strzegący z pistoletem w ręku praw galanteryi. Uwiódł żonę, zabił męża, — honorowi stało się zadość.

A „godność narodowa“? W walkach politycznych ostatniej doby wielkie to słowo było nieraz przedmiotem drwin jadowitych ze strony galicyjskich i poznańskich Stańczyków. Ten zgrzyt ironii wciąż się jeszcze odzywa i stał się sportem formalnym w takim Czasie, Kraju i Kuryerze Poznańskim. Czyżby owa „świętość“ spadła istotnie tak nizko w cenie, że jak pierwszej lepszej tandecie z jarmarku wolno jej rzucać pogardę? Bolesne to, a przecież zaprzeczyć nie można, że ten sarkazm stańczykowski, ścigający śmiechem swojem „godność narodową,“ nieraz po swojej stronie miał słuszność i prawdę, bo pajace polityczni ściągali ją często w arenę cyrkową i jak czapeczkę błazeńską sadzali na głowie. Każdy wybryk politycznego szaleństwa strojono tym szyldem błyszczącym, każdy poryw histerycznej wrażliwości krył się za niego, jak za parawan wygodny, i niejeden program bez myśli maskował próżnię swoją tą szeroką suknią. Lecz gdy się wsłuchamy uważniej w świst bicza stańczykowskiego nad wielkiem słowem, spychanem tak często w krainę niebezpiecznego frazesu, to wpadniemy na ślad intencyi innej, godzącej nie tylko w karykaturę „godności narodowej,“ lecz zmierzającej ku zupełnemu wymazaniu tego wyrazu z słownika politycznego. „Potrójny lojalizm“ zrozumiał dobrze, że program abdykacyi w proch się rozsypie, spotkawszy na drodze swojej to potężne uczucie dumy, które protestu narodowego do muzealnych zabytków nie składa i w zrozumieniu doniosłego znaczenia moralnych podstaw egzystencyi naszej, odpycha wybujałą służbistość, płacącą kornym ukłonem za wszelkie krzywdy i przyjmującą z uśmiechem rezygnacyi najniebezpieczniejszy manewr polityczny, jeżeli na nim błyszczy stempel gabinetów królewskich, watykańskiego „R o m a l o c u t a,“ lub kancelaryi biskupich. Z właściwą więc ugodowym dyplomatom zręcznością postanowiono wyzyskać częste nadużycia, których szowinizm polski dopuszcza się na hasłach „godności narodowej,“ by c a ł e pojęcie podać w pośmiewisko i, jako rzecz bezwartościową, rzucić na śmiecie. Walka rozpoczęła się pręgierzem dla wszelkiej n a d e z u ł o ś c i politycznej, lecz wkrótce posłano pod pręgierz i umiarkowaną, niczem niesfałszowaną dumę narodową. Gdziekolwiek wymówiono ten wyraz, wnet rozbrzmiewały drwiny stańczykowskie, a tam nawet, gdzie go nie wymówiono, lecz zaprotestowano w imię najrealniejszych interesów społecznych przeciw tej lub owej krzywdzie politycznej, zjawiali się satyrycy ugodowi z stereotypowym uśmiechem: „Naturalnie! znów „godność narodowa“ deklamuje.“

Nie szukam daleko przykładów, — chwytam zdarzenie najświeższej daty. Gdy w znanej sprawie ks. Bartscha ks. arcybiskup Stablewski wysłał pamiętne monitum kanoniczne i skłonił „obżałowanego“ kapłana do publicznej pokory wobec Niemców, kilka pism demokratycznych wyraziło, bądź to otwarcie, bądź w dyplomatycznych półsłowach, przekonanie, że wyrok arcypasterza rzuca cień nieufności na stosunek narodu do Kościoła i staje się dla kleru wyraźną wskazówką, by polskie duchowieństwo strzegło się manifestowania patryotyzmu swego i oddziaływanie na lud w kierunku narodowym skreśliło z życiowego programu. — Opozycya zastanawiała się głównie nad dysproporcyą winy i kary i w tej dysproporcyi upatrywała słusznie niebezpieczny zamach polityczny. Godząc się bowiem nawet i na to, że list ks. Bartscha zawierał pewne formalne uchybienia, trudno zrozumieć tę niezwykłą surowość władzy biskupiej, dyktującą kapłanowi publiczną pokutę. Nasunąć się zatem musi przypuszczenie, że „tumska polityka“ wyzyskała drobnostkę dla jaskrawego zamanifestowania swych uczuć lojalnych w obec rządu pruskiego, nie bacząc, jaki wpływ demoralizujący postępowanie takie wywierać musi na kler i społeczeństwo polskie. Protestowano zatem ze strony demokratycznej w imię najrealniejszych, prostą logiką podyktowanych interesów politycznych, nie wysuwając nigdzie pustych deklamacyi nerwowego szowinizmu, a mimo to znany korespondent poznański do „Kraju“ petersburskiego zaśmiał się znowu zwietrzałym frazesem na temat „g o d n o ś c i n a r o d o w e j: „Prasa ludowa — mówi on — ze sprawy ks. Bartscha kuje broń przeciwko żywiołom umiarkowanym; władza duchowna potępiła księdza „patryotę“, więc obrażoną została „g o d n o ś ć n a r o d o w a.““

Wyraz „patryota“ w cudzysłowach, „godność narodowa“ w cudzysłowach! To ironiczne przedrzeźnianie stało się metodą. Dziś już nie histeryą polityczną, nie sentymentalny liryzm wielkich haseł stroją w dzwonki poliszynelów, lecz każde drgnienie opozycyi przeciw lojalizowaniu społeczeństwa staje się tematem drwin pospolitych dla ugodowych kuglarzy. Godność narodowa? Nadużywano tak często tego słowa, więc łatwo rzucić je na pastwę śmiechu, łatwo wmówić w społeczeństwo, że to dźwięk

bez treści. O to wam chodzi panowie z „Kraju“, „Czasu“ i „Kuryera“! Wasz program trzech abdykacyi i trzech lojalizmów, wasze „padam nóg“ przed każdą koroną, tiarą i infułą, bez względu na jej intencye polityczne wobec społeczeństwa polskiego, może królować jedynie na gruzach godności narodowej, — nietylko tej, którą szowinizm sfałszował, lecz i tej zdrowej i umiarkowanej, na której każda rozumna polityka opierać się musi. Zgaście to uczucie, a żadna sztuczka dyplomatyczna nie ocali narodu przed zagładą. Polak zginie, zostanie tylko „po polsku mówiący Prusak, Rosyanin i Austryak“ — zostanie społeczeństwo karyerowiczów, dworaków i zjadaczy chleba.

Sulla.

BŁĘDY JĘZYKOWE.

— Trzeba mówić *zadowolony, zadowolic, zadowolenie*, ale nie *zadowolniony, zadowolnić, zadowolnienie*, bo wyrazy te nie pochodzą od *wolny*, ale od *wola*.

— W jednym z tygodników warszawskich czytaliśmy niedawno filipikę przeciwko używaniu *gdzie*, zamiast *dokąd*, *przytomny*, zamiast *obecny* itp. Szanowny autor grzeszy tu pedanteryą i przesadą, wymagając stosowania prawideł logiki do mowy. Żywy język jest *sui generis* sztuką i drwi sobie często z logiki, matematyki i innych nauk ścisłych; mówimy i mówić będziemy: *większa połowa*, *gdzie* pędzisz, kozacze ....i tym podobne herezye logiczne, które w mowie żywej a obrazowej wcale herezyami nie są, dodając jej owszem barw i siły. Co się zaś tyczy wyjaśnienia *osnowy i wątku*, to właśnie autor popełnia *„qui pro quo“*, objaśniając rzecz nawspak: *osnową* są nici *osnute* na krosnach, a *wątkiem* jest nić, *wtykana* czółenkiem w osnowę, i dlatego tak się nazywa.

— Przez wpływ języków obcych, mianowicie niemieckiego i francuskiego, zdarza się u nas błędne używanie zaimków dzierżawczych, mianowicie: Niepotrzebnie szafujemy niemi tam, gdzie zwyczaj językowy nakazuje je opuszczać, co szczególnie daje się słyszeć na scenach, w sztukach tłumaczonych z języków obcych; błędnie więc mówimy: Alfred zapiął *swój* paletot, odwiedziłem dziś *mojego* ojca, zabierz *swój* kapelusz itp., zamiast: Alfred zapiął paletot, odwiedziłem ojca, zabierz kapelusz itp.; w razach podobnych zaimek wtedy tylko jest potrzebny, gdy wypada go wymienić z pewnym naciskiem dla uniknięcia dwuznaczności.

— Grasuje u nas skłonność do zastępowania 6-go przypadku dodawaniem przyimków do rzeczownika; coraz częściej słyszymy: „Jechał po drodze...,“ „dowiódł przez rozumowanie...,“ „ukarany został przez niepokój...,“ tłumaczył się przez niewiadomość...“ zamiast: „jechał drogą,“ dowiódł rozumowaniem,“ „ukarany został niepokojem,“ tłumaczył się niewiadomością“ itp. itp.

KRONIKA POWSZECHNA.

— **Teatr i muzyka.** Wśród świeżo zaangażowanych przez p. E. Rygera artystek znajduje się także p. J u t k i e w i c z-Wolska (wydział ról liryczno-dramatycznych). — Czteroaktowy utwór Pawła Lindaua pt. „Pierwsza“, wystawiony w Lipsku, doznał fiaska. Wybrać tezę lub wypadek sensacyjny, przyczepić do niej kilka efektownych lecz nieprawdopodobnych sytuacyi, nie znaczy jeszcze napisać dramat. Prawdy tej doświadczył na sobie krytyk Lindau, który jednakże sam siebie krytykować nie potrafi. Lindau miał w sztuce na celu zaatakowanie prawa, udzielającego rozwodu z chorą i niepoczytalną żoną i zezwalającego jednocześnie na zaślubienie drugiej za życia pierwszej. — Towarzystwo p. Wołowskiego z Łodzi, goszczące chwilowo w Warszawie, udaje się na 11 przedstawień do Kielc. — Druga serya przedstawień w Baireuth cieszyła się dobrem powodzeniem, a p. Cosima Wagner odkryła nowego „cudownego“ tenora, Karola Kienlechnera, młodego kowalczyka z Bozen. — Poeta Gomano Sciava opracował Hauptmanowskich „Tkaczów“ na libreto dla Mascagniego. — Mistrz Verdi bawi od niedawna w Medyolanie — gdzie często schodzi się z przyjacielem swoim Arrigiem Brito i jego bratem Kamilem, który prowadzi budowę internatu imienia Verdiego dla artystów. Niedawno otrzymał od córki hotelisty, gdzie mieszka, piękną lirę. Podziękował jej: „Vi ringrazio, caro Olga; vostra lira vale piu che la mia; quella e spezzata e non ha piu corde. (Dziękuję pani bardzo, miła Olgo: lira pani więcej warta, niż moja; ta już złamana i strun więcej niema). Nie wierzą atoli, by lira mistrza już na zawsze zamilkła — spodziewają się jeszcze niejednego po nim dzieła, choć Verdi już 85 lat liczy. — Maryan Gawalewicz skarży się w „Kraju“ petersburskim, że reporterzy teatralni bałamucą publiczność. Oto jego słowa: Prasa nie może się obejść bez informacyi zakulisowych, to prawda, ale w ostatnich latach reporterya steroryzowała krytykę, bałamucąc publiczność przesadną reklamą, która zużyła już cały słownik superlatywów w codziennych wzmiankach, pozbawionych wszelkiej miary krytycznej i znawstwa; zaczęła nawet fałszować cyfry dla wyszrubowania sukcesu pewnych sztuk i pewnych teatrzyków, podając w druku podwójną, a nawet potrójną ilość widzów w ogródkach. Publiczność czyta, że ten lub ów teatr był przepełniony, że artyści grali przewybornie, że widzowie zanosili się od śmiechu, że sztuka ma rosnące powodzenie, że teatr trzasł się od oklasków, a tymczasem w teatrze były pustki i nudy, a na scenie gorzej grano, niż na premierze. Reporterya zaciera ręce i tryumfuje, że czytelników za nos wodzi.

* * *

— **Gimnazyum żeńskie w Krakowie.** Z prośbą o umieszczenie otrzymujemy komunikat następujący:

Towarzystwo szkoły gimnazyalnej żeńskiej uorganizowało się na zasadzie statutu zatwierdzonego reskryptem Wys. C. K. Namiestnictwa z 5 czerwca 1896 r. Celem Towarzystwa jest założenie i utrzymywanie w Krakowie, a w miarę środków także i w innych miejscowościach szkoły żeńskiej z programem, któryby umożliwił otrzymanie świadectwa dojrzałości w jednem z gimnazyów austryackich lub także złożenie egzaminu kwalifikacyjnego na nauczycielkę w mającej powstać wyższej szkole wydziałowej.

W miarę środków może Towarzystwo utrzymywać dla uczennic, a wedle uznania także dla członków bibliotekę i czasopisma i również może urządzać wykłady nie wchodzące ściśle w zakres programu gimnazyalnego za uczynieniem zadość wymogom przepisanym przez ustawę (§ 3 statutu).

Członkowie zwyczajni płacą rocznie 12 złr., członkowie wspierający rocznie 25 złr., — członkowie założyciele jednorazowo 100 złr.

Obecnie zajmie się Towarzystwo przedewszystkiem urządzeniem pierwszej klasy żeńskiej średniej w Krakowie, na którą zezwolenie władz szkolnych otrzymali prof. Bujwid, prof. Cybulski i radzca szkolny Trzaskowski.

Tymczasowy Zarząd Towarzystwa stanowią: prof. Ernest Bandrowski, prof. Odo Bujwid, prof. Napoleon Cybulski, dr. Adolf Gross, prof. Kazimierz Zórawski, radca szkolny Bronisław Trzaskowski i p. Marya Wiśniewska.

Jako członkowie założyciele przystąpili dotychczas z wkładką jednorazową 100 złr.: 1) Stowarzyszenie pomocy naukowej dla polek im. Kraszewskiego, 2) prof. Bujwid Odo, 3) prof. Bujwidowa Kazimiera, 4) prof. Cybulska Julia, 5) dr. Gross Adolf, 6) radca Trzaskowski Bronisław.

Jako członkowie zwyczajni z wkładką 12 złr. rocznie przystąpili: 1) dr. Boroński Lesław, 2) p. Dydyński Henryk, 3) p. Hopcas Józef, 4) dr. Kański Mikołaj, 5) prof. Kostanecki Kazimierz, 6) p. Machczyńska Antonina, 7) prof. Mars Antoni, 8) p. Rogoyski Witold, 9) prof. Walentowiczowa, 10) p. Wiśniewska Marya.

Jako członek wspierający z wkładką 25 złr. rocznie przystąpił dr. Holzer Gustaw.

Wkładkę jednorazową złożyli: Kasa Oszczędności we Lwowie 25 złr. Doc. dr. D. 20 złr.

Dalsze zgłoszenia na członków przyjmują prof. Napoleon Cybulski (przewodniczący) Szczepańska 11 i prof. Odo Bujwid, Kolejowa 3.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

K. w Gnieźnie. Jedną lekcyę uważamy za wystarczającą i dalej na niezręczne wierzganie „Lecha“ zważać nie będziemy. Przeciwników takich raz po raz uderza się rózgą, lecz zrozumie Pan, że wojny z nimi się nie prowadzi. Zresztą, o cóż się tu sprzeczać? Czy w całym artykule „Lecha“ jest chociażby jeden argument, lub chociażby cień argumentu? Bezsilny, by bronić dawniejszych nonsensów, maskuje gnieźnieński dzienniczek swoją kompromitacyę całem szeregiem najbanalniejszych w świecie wymyślań i jakichś wygrażań szabelką... z drzewa. Nie ma to nic wspólnego z przedmiotem polemiki, a forma swoją jest tak nieudolne, tak pod względem literackim jałowe, tak niesmacznie nasrożone i wydęte, że najwłaściwszą odpowiedzią byłoby może przedrukowanie całego artykułu „Lecha“ bez wszelkich komentarzy w Przeglądzie. Żal nam jednak papieru i żal czytelników, którym pragniemy oszczędzić niesmaku, no i — francuszczyzny gnieźnieńskiego dziennika. „Lech“ bowiem nawymyślawszy się do syta na „togę uczoności“ w którą rzekomo Sulla ubierać się lubi, postanowił zadokumentować że i on, mosterdzieju! — także umie po francusku, i zebrawszy wszystkie prymanerskie reminiscencye oświadczył, że „ćma poznańska już k i l k a grubych dopuściła się „f a u t e s p a s.“ Oj! panie Lechu... s i t a c u i s s e s.

Ergo. Przekłady nadesłane nie kwalifikują się ze względu na treść drastyczną do publikacyi w piśmie naszem. Prosimy o dokładny adres dla odesłania manuskryptu.

HUMORYSTYKA.

(A u t e n t y c z n e).

W ogródku przy kawie siedziało sobie trzech obywateli: doktór, kolonizator i stręczarz.

Kolonizator: Widziałem też Pana Doktora w mundurze między Sokołami w Urbanowie. Co prawda, nie myślałem.....

Doktór: Nie rozumiem Pana.... — dla czego?

Kolonizator: Jeżeli mam powiedzieć otwarcie, to dla tego nie spodziewałem się widzieć Pana w tem towarzystwie, bo Sokoły to socyaliści.

Doktór: Nie wiem o tem. Myślę, że Pan nie mówisz tego na seryo.

Kolonizator (zaperzony): Słowo honoru, na seryo, słyszałem jak oczerniali szlachtę, że wsie kolonizacyi sprzedaje, majątki marnuje, z hakatystami biesiaduje itp. wygadują na nią historye.

Stręczarz (do kolonizatora). Milczałbyś lepiej.

Doktór (z uśmiechem): Ha! Kiedy tak, to mnie Pan w ich towarzystwie już nie zobaczy.

Kolonizator (z radością): Doprawdy!

Doktór: Tak, bo widzi Pan, na przyszłych występach Sokołów wstęp kolonizatorom będzie wzbroniony. — Żegnam Panów. (Odchodzi, a stręczarz wyłupiwszy oczy na kolonizatora, puka palcem w czoło). —

* * *

(K o n j u g a c y a ładu i p o r z ą d k u“).

Ja znakomity, ty znakomity, on znakomity, my znakomici, wy znakomici, oni znakomici.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28

Nr. 36. Poznań, niedziela 6-go września 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: ul. Wilhelmowska 28.
(Drukarnia J. i r. Tomaszewskiego.)

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi w Poznaniu 4,00 mrk. Przyjmuje Administracya: ul. Wilhelmowska 28. w Niemczech i Austryi 5,00 mrk. (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 mk. — Prenumeratę przyjmują Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

TREŚĆ.

Konstytucya trzeciego maja.

Przed kilku tygodniami „Spółka wydawnicza polska w Krakowie“ wydała jako tom IX. dzieł ks Waleryana Kalinki ustęp z pozostałych po tym historyku rękopisów, zatytułowany „Konstytucya trzeciego maja“. Książka zawiera dwa rozdziały: 1) „Stosunki europejskie i przygotowania w Warszawie do konstytucyi trzeciego maja“. 2) „Zamach stanu“. W rozdziale drugim znajdujemy ocenę konstytucyi.

Pomimo obfitej względnie literatury, traktującej ten przedmiot, wiele jeszcze pozostało stron ciemnych. Trudności bowiem, jakie napotyka tu badacz, są olbrzymie. Trafnie charakteryzuje je ks. Kalinka.

„Przygotowania do konstytucyi trzeciego maja musiały być z natury swojej robotą konspiracyjną, i jak każda konspiracya nie nadają się prawie do historyi. Tam, gdzie wszystko dzieje się w szczupłem kole i w najgłębszej tajemnicy, tam nie może być mowy o dokumentach jasnych, ciągłych i wiarogodnych; tam co moment zdarzyć się musi jakaś rzecz ukryta, do której wyjaśnienia źródeł nie ma; i z takimto brakiem dokumentów spotykamy się w tej chwili. Żaden z uczestników tego dzieła nie chciał w zupełności wyjawić. jak ono się zrodziło. Zrazu wstrzymywała ich może obawa, by się nie przyznawać, jak mała garstka ludzi dokonała tej zmiany; a później, gdy rzecz upadła i twórców i naród cały w przepaść popchnęła, tem więcej mieli powodów, by jej początek zostawić w ciemności.

„Głównem źródłem, z którego czerpali polscy historycy do opisania tego epizodu, była znana książka: „O ustanowieniu i upadku konstytucyi 3-go maja“, ale źródło to skąpe, i, co gorsza z umysłu zamącone. Po za niem trochę listów oderwanych, kilka wspomnień albo wyznań przelotnie wtrąconych, oto wszystko, co nam z tych czasów pozostało i na czem historyk oprzeć się dziś musi. Rzecz prosta, że ktoby chciał z takich okruchów odtworzyć obraz, bez domysłów obejść się nie może“.

Zastrzeżenie to tem bardziej konieczne, że obrazy ks. Kalinki są układane jak mozaika z drobnych fakcików, badanych skrupulatnie. o ile na to pozwala materyał, ale nie zawsze odpowiadają w kolorycie charakterowi, epoki, jaką odzwierciedlać mają. Prócz tego można cenić pracę tego historyka, a pomimo to nie szczędzić mu zarzutu ciężkiego, że uprzedza się bezwzględnie do historycznych postaci i względnie do swoich sympatyi lub antypatyi arbitralnie dosyć stawia je po lewicy lub po prawicy.

Czytając książkę Kalinki czytelnik tak musi przedstawić sobie historyę przygotowań do „zamachu stanu“. Sejmiki listopadowe roku 1790 oświadczyły się prawie jednogłośnie za obieralnością króla; pomiędzy jedenastu prawami kardynalnemi, uchwalonemi pod koniec tegoż roku, jeden warował wolne wybieranie królów. Te dwa fakty były dwiema porażkami dla stronnictwa reformy, które jako jeden z postulatów dla polepszenia rządu stawiało dziedzictwo tronu. Wówczas stronnictwo reformy przemieniło się w spisek. Małachowski Stanisław, Ignacy Potocki, książę jenerał ziem podolskich, Kołłątaj, Linowski i Łanckoroński zbierają się na tajne narady i „przemyśliwają — to słowa Kalinki — jak podnieść na nowo sprawę sukcesyi“. Przekonali się jednakże, że bez króla niczego dopiąć nie można. Przy pomocy więc sekretarza królewskiego, zręcznego włocha Piatolli, dało im się wciągnąć Stanisława Augusta. Król dał się uprosić napisał po francusku projekt konstytucyi, który oddano Kołłątajowi do „poprawienia i wykończenia w niektórych punktach“. — Potem kilka nieprzewidzianych wypadków powstrzymuje prace przez miesiąc blisko. 18-go kwietnia przyjęto jednomyślnie prawo o miastach. Ten sukces dodaje otuchy, a groźne wiadomości z zagranicy, donoszące, że Anglia zmienia front względem Rosyi, zmuszają do pośpiechu. Wtajemniczono tedy znaczniejszą liczbę posłów oraz ministrów: Mniszcha, Chreptowicza, kanclerza Małachowskiego. Od ostatniego. jak niesie fama, dowiedzieli się o planach stronnicy Moskwy. Wówczas król kazał przyspieszyć zamach i dokonać go trzeciego maja.

Otóż co do pojedyńczych faktów są one znane i niewiele nowego powiedział ks. Kalinka, chodzi jednakże o całokształt obrazu. W przedstawieniu naszego historyka zatraca się związek pomiędzy konstytucyą a całą długoletnią pracą stronnictwa reformy. Dwie przegrane, o jakich była mowa, zupełnie niweczą stronnictwo, pozostaje tylko spisek i wówczas król jegomość, ten sam król, który n gdy nie był zdolnym do powzięcia i wykonania jakiegokolwiek planu politycznego, który celował jedynie w maluczkich intrygach, a i tu zostawał pobity przez jedynych godnych siebie przeciwników, przez intrygantki wielkiego świata, ten król staje się osią, dokoła której wszystko się kręci. Przytem nawet król ten stawia trafny plan uzyskania dla sprawy elektora saskiego, jako następcy tronu polskiego, oraz dworu berlińskiego, lecz plan ten nie zostaje wykonany, ponieważ Ignacemu Potockiemu uroiło się, że to nie potrzebne. Całe zaś stronnictwo reformy schodzi z widowni, członkowie jego dowiadują się dopiero o fakcie dokonanym, a wódz duchowy tego stronnictwa, Hugo Kołłątaj, tyle tylko bierze udziału, że tłomaczy rękopis królewski na polski język i czyni poprawki.

Sądzimy, że takie przedstawienie rzeczy niezupełnie odpowiada rzeczywistości. Cała literatura sejmu czteroletniego, stworzona przez stronnictwo reformy świadczy o tem, w jak ścisłym organicznym związku były idęje zawarte w konstytucyi z ideją przewodnią całego stronnictwa. Sądzimy przeto, że nie w głowie królewskiej wylągł się ten pomysł. Jeżeli króla wciągnięto do spisku, jeżeli dla formy powierzono mu napisanie projektu, jeżeli później projekt chwalono z obowiązków grzeczności, to przecież możliwem i bardzo prawdopodobnem jest, że owe „poprawki“ dokonane przez Kołłątaja były poprawkami zmieniającemi rzecz doszczętnie. Inaczej nie można wytłómaczyć bliskiego pokrewieństwa tej konstytucyi z projektem, jaki Kołłątaj już dawno był złożył w „Listach anonyma do St. Małachowskiego.“ Projekt ten pod względem społecznym o całe niebo stoi ponad konstytucyą 3-go maja. Pierwszy bowiem ustęp praw kardynalnych brzmi tu: „Wszelki człowiek w państwach Rzeczypospolitej urodzony, zamieszkały albo przychodzień, wolny

jest!“ — podczas gdy konstytucya uświęca niewolę chłopa „na wieki“. To cofnięcie Kołłątaja jednakże tłumaczy się tem, że przekonawszy się z biegiem czasu o niedostateczności sił swego stronnictwa robił koncesye szlachcie krok za krokiem, aż doszedł do owej konstytucyi. W każdym jednak razie stronnictwo to nie potrzebowało jeszcze rezygnować i składać ster wypadków w niedołężne ręce królewskie. Poniosło ono porażkę przez wota sejmików i przyjęcie praw kardynalnych, ale jego wodzowie nie z tego byli przecież drzewa, co król i jegomość, i nie tak łatwo dali się zrażać niepowodzeniem. Toż przecież już 18 kwietnia stronnictwo znów odniosło sukces świetny, przeprowadzając prawo miast. Prawdopodobnem więc jest, że nie w pokoikach księdza Piatollego, ale w owej sławnej „kuźni Kołłątajowskiej“ przygotowywała się główna akcya.

Dla czegoż więc nasz historyk usiłuje przydać sprawie tak miniaturowe rozmiary, dla czego pragnie w tak odmienny sposób przedstawić rzeczy? Czyżby dla tego tylko, że ma pewną słabość do króla jegomości, którego inny historyk napiętnował ohydnem mianem łapownika, wstręt zaś czuje do reformatorów w ogóle, a do Kołłątaja, którego obrzuca błotem, w szczególe? Czy też może dla tego, że historycy tej co ks. Kalinka szkoły wiedzą bardzo dokładnie, co się działo lat temu sto w przedpokojach królewskich i gotowalniach dam, ale z konieczności tracą z oka całokształt obrazu? — Rozstrzygać nie chcemy. W każdym razie obraz kreślony przez historyka prawdziwie wielkiej ręki, historyka, który dla tego tylko nie jest sławą europejską, że pisze po polsku, przez Tadeusza Korzona, więcej przemawia do przekonania.

W drugim rozdziale, jak wspomniano, znajdujemy ocenę konstytucyi trzeciego maja. Dział ten na tem baczniejszą zasługuje uwagę, że dotąd więcej znaleźć można w literaturze polskiej frazesów panegirycznych, aniżeli ocen krytycznych tego dziejowego aktu. Dla czego tak jest, trafnie wyjaśnia Kalinka: „Nie łatwo jest Polakowi mówić o konstytucyi 3-go maja, w której czci wychował się od dzieciństwa, z którą wszystkie starania nasze w bieżącym wieku czynione o odzyskanie niepodległości mają pewne pokrewieństwo i w której trzy z kolei pokolenia przyuczyły się widzieć jakby ostatnią wolę gasnącej matki. Ale mniemamy, że dziś po stu latach historya powinna odzyskać swe prawa i dać głos trzeźwemu sądowi, choćby ten sąd miał zaboleć i wydać się nieuszanowaniem wielbionej długo relikwii.“

Ktokolwiek czytał broszury i artykuły pisane w stuletnią rocznicę konstytucyi, które, czy wychodziły od zachowawców czy od partyi krańcowych, brzmiały jednym hymnem pochwały bezkrytycznej, nie odmówi słuszności tym uwagom. Błądziłby wszakże, ktoby ze słów Kalinki chciał sądzić, że literatura polska nie posiada również innych ocen. Istnieją bowiem krytyki, może za ostre nawet, jakkolwiek płynęły z pod pióra ludzi, którym patryotyzmu nikt zaprzeczyć nie śmie, bo go dowiedli nie frazesem, ale krwią przelaną na polach walki o niepodległość. Mówimy o pismach członków dawnego Towarzystwa demokratycznego polskiego. Publicyści współcześni przywykli wprawdzie o pismach tych mówić tonem politowania i lekceważenia, a przecież zawierają one nieraz myśli światłe i głębokie, które dla społeczeństwa polskiego i dziś jeszcze są nowe i godne zastanowienia. Przypomnieć też warto, że pod względem formy owe broszurki są pisane częstokroć polszczyzną piękną, szlachetną i jędrną, w obec której tem smutniejsze wywiera wrażenie niejedna elukubracya współczesna, gdzie napuszoność pokrywa tylko brak myśli. Korzystam tedy ze sposobności, by przypomnieć z pism owych ocenę konstytucyi 3-go maja, napisaną w r. 1837 przez Wiktora Heltmana,[1]) a zarazem przeciwstawić tę ocenę ocenie Kalinki.

Heltman zaczyna od tego, że wykazuje szkodliwość wszelkich półśrodków, które zawsze doprowadzały do upadku ruchy rewolucyjne w Polsce i taką połowiczność właśnie zarzuca twórcom konstytucyi 3-go maja. Ta połowiczność zdaniem jego równa się zbrodni.

Wykazuje ten demokrata z przed lat sześćdziesięciu, że „potworność towarzyskiego w Polsce porządku była jedyną jej niemocy przyczyną“, i że tylko głęboko sięgająca reforma społeczna, powołująca do życia politycznego masy ludu polskiego, mogła ocalić ginącą Rzeczpospolitę. Prawodawcy trzeciego maja jednakże — powiada — „nie wznieśli się do takiej myśli, nie zstąpili do głębi, do serc narodu.... stanęli w środku, który z natury swojej będąc niedołężny, dawnej bezsilności zniszczyć nie był w stanie.“

Przechodząc następnie do krytyki rządu ustanowionego, Heltman, jako republikanin, natrząsa się nad usiłowaniem narzucenia Polakom, tym republikanom z tradycyi i zasady, fikcyi o nieodpowiedzialności króla. Wykazuje, że władza wykonawcza wzmocnioną nie została, jakkolwiek do tego dążono. „Król to tylko mógł czynić, co szlachta chciała, to jest nie naruszać jej przywłaszczeń, utwierdzać jej przywileje“. Przy ocenie społecznego charakteru konstytucyi znów wykazuje Heltmann, że „naczelne złe — wyłączne jednego stanu panowanie — nietkniętem pozostało! potworność dawnego stosunku zachowana, stosunki społeczne nie zmienione, na tejże podstawie, na przywileju oparte“. Ustępstwa miastom poczynione nie wystarczają mu; artykuł IV, o chłopach, który tylu bałamutnych twierdzeń stał się źródłem, oburza go hipokryzyą, gdyż pomimo górnolotnych frazesów nic dla chłopa nie zrobiono. „Szyderstwem, woła, są u niej (u szlachty ówczesnej), wyrazy: sprawiedliwość, obowiązki chrześciańskie, szyderstwem opieka prawa, zatwardziałym, ślepym egoizmem, dobrze zrozumiany interes....“

A oto ostateczny wyrok Heltmana: „Kiedy należało rzucić się w ostateczności, wszystko głównej myśli, ocaleniu ojczyzny poświęcić, oni stanęli w najfałszywszem, bo w środkowem stanowisku. Dlatego wszystkie ich usiłowania, przeciwny zamierzonemu odniosły skutek. Chciano władzę wzmocnić, i nie wzmocniono jej. Elektor saski wzbraniał się przyjąć ofiarowanej mu korony, widząc, że na tronie nową konstytucyą zbudo-

[1]) Czytelnik znajdzie ją w broszurze: „Konstytucya 3 maja 1794 r. z uwagami podawanemi jej twórcom w 1789 r. oraz dwoma późniejszemi tejże konstytucyi ocenieniami. Lipsk u Kasprowicza 1865.

Nihilistka.

POWIEŚĆ

ZOFII KOWALEWSKIEJ

(prof. wszechnicy w Sztockholmie.)

(Dokończenie.)

— Więc, jakżesz przyjął hrabia to wyznanie —- zapytałam.

— Naprzód był pełen współczucia, pocieszał mnie i powiedział, że będzie się starał, aby wszystko poszło dobrze. Dowiedziawszy się jednak, za kogo chcę wyjść, wściekał się z gniewu i nie chciał słyszeć o niczem. Zmienił ton i nagle od „ty“ przeszedł na „pani“. Już nie nazywał mnie dzieckiem, aniołeczkiem, mówił do mnie „łaskawa pani“.

— „Jeśli się zdarzy, łaskawa pani, że panienka z dobrego domu zakocha się w niegodnym człowieku, krewnym pozostaje tylko jedna rzecz: modlić się do Boga, żeby ją oświecił“.

Wtedy widziałam, że sprawa inaczej stoi. Byłam zrozpaczona.

Wiera przerwała opowiadanie.

— Więc cóż się stało, Wiero, opowiadaj dalej.

Wiera zarumieniła się.

— Widzisz, teraz sobie sama nic mogę przypomnieć, jak to było i co ja mu powiedziałam, tylko... on zrozumiał, że muszę wyjść za Pawlenkowa koniecznie, ażeby grzech pokryć i honor mój uratować.

— Ach Wiero, i tyś się nie wstydziła starego tak oszukać — zawołałam z wyrzutem.

— Biednego, starego oszukać — przedrzeźniała Wiera żartem —- ja się wstydzić? dlaczegoż on się nie wstydzi? Na jego stanowisku z wpływym jaki ma, ile dobrego mógłby on zrobić, a on? Leży czołem na ziemi, może mu i w niebie dadzą takie dobre miejsce, jak tutaj, a o innych nie troszczy się wcale. Dla mnie jest uprzejmy. Dlaczego? Bo mu się moja maseczka podoba. Przypomniał sobie swoje stare grzechy, jego stara krew rozgrzała się. Tak, jest nawet za co dziękować. Czy dla tych ludzi, którzy giną w Sybirze jest on dobrym? Ani myśli. Ile wyroków śmierci sam już podpisał. Czyby mi nawet przyszło na myśl oszukiwać go, gdyby z nim można postępować po ludzku. Ale to nie można przecież; gdybym mu była powiedziała poprostu: „ratuj pan Pawlenkowa“ odpowiedziałby mi: „niech się łaskawa pani nie miesza do obcych interesów“ i skończyłoby się. Więc jakżeż nie miałam go oszukać?

Wiera chodziła po pokoju cała zarumieniona.

— No, więc dalej proszę, cóż było dalej.

— Aha; więc z początku strasznie się zgniewał, chodził po pokoju i zaczął zwyczajem starych ludzi, coś mruczeć pod nosem: nieszczęśliwa dziewczyna! zapomnieć się do tego stopnia, z takiej rodziny! Dziewczyna nie warta, żebym się nią zajmował, ale dla matki to zrobię, dla matki uratuję tego hultaja! I trzeba będzie ten grzech pokryć, żeby nie shańbić całej familii.

I tak chodzi po pokoju, a ja patrzę i słucham, śmiać mi się chce, a muszę mieć minę skruszoną. Siedząc z rękoma spuszczonemi, nie odważam się podnieść oczu — słowem Gretchen.

Wreszcie stanął przedemną i powiada tonem surowym: siadaj Wiero pisz natychmiast do cesarza, że padasz mu do nóg i prosisz go, aby ci pozwolił wyjść za twego niegodziwego uwodziciela. Ja biorę na siebie resztę, wniosę podanie i urządzę wszystko tak, żeby nie było gadaniny.

Chciałam mu podziękować, ale nie pozwolił, „nie robię tego dla ciebie, ale dla twojej matki“. Siadam i piszę za jego dyktatem, ale znowu nowa przeszkoda, on dyktuje i ani słowem nie wspomina o Sybirze.

— A cóż ze Sybirem? — pytam — pójdę z moim mężem do Sybir. Stary zaśmiał się: „No, tego od ciebie nikt nie będzie wymagał, powiedział, grzech się pokryje, a ty potem żyj sobie, gdzie chcesz, jako uczciwa wdówka“. Zlękłam się, usłyszawszy te słowa. Co zrobić? Lękam się obstawać przy Sybirze, w końcu będzie to podejrzane, mo-

wanym, byłby tylko bezwładnem anarchicznej szlachty narzędziem. Chciano uspokoić sąsiednich tyranów, na odgłos rewolucyi francuskiej pobladłych, i nieuspokojono ich. Moskwa i Prusy pod pozorem zniszczenia jakobinizmu na ziemię polską wkroczyły i rozszarpały ją. Chciano nie rozdrażniać uprzywilejowanego stanu śmiałem przywłaszszeń jego zniszczeniem; a republikańska szlachta pod głosem dawnych swobód Targowicę zawiązała i obce wojska na kraj sprowadziła. Chciano masy zainteresować sprawiedliwości wymiarem, a zainteresowano tylko drobną, nic nie znaczącą cząstką narodu. Nieszczęśliwa myśl dogodzenia wszystkim, pojednania wszystkiego: wolności z absolutyzmem, sprawiedliwości z gwałtem, energii z umiarkowaniem — wszystko zgubiła“.

Tak pisał przed sześćdziesięciu blizko laty demokrata polski. Zobaczmy, co mówi najnowsza książka konserwatywnego historyka.

Na pytanie, co przyniosła konstytucya 3-go maja narodowi? odpowiada Kalinka: „Bardzo wiele. Utworzyła rząd, którego od zniesienia „rady nieustającej“ nie było, skupiony w ręku króla i ministrów przezeń mianowanych; wiązała naczelne komisye dotąd od sejmu tylko zawisłe w jedność, oddając je pod rozkazy króla i straży, znosiła „liberum veto“ i konfederacye: zapobiegała porywczości uchwał sejmowych przez sankcyę senatu; wyrzekała się obieralności królów, tej, jak mniemano, najprzedniejszej perły wolności polskich“.

Wnet jednakże przechodzi do podkreślenia stron ujemnych i tu, o dziwo, konserwatysta okazuje zupełną zgodę z demokratą. Tak samo bowiem jak Heltman, potępia Kalinka chwiejność i niepewność, tak samo jak on przyznaje, że dla wzmocnienia władzy wykonawczej niewiele zrobiono. Trafnie twierdzi: „W tem wszystkiem, co dotyczy króla i władzy, prawodawca czuje potrzebę tłumaczyć się i uniewinniać, jakby nie prawo, ale projekt pisał; albo wikła się w swych postanowieniach, i co jedną ręką kreśli, to drugą zdaje się zacierać; albo wreszcie tak myśl swą wyraża, jakby nie chciał być odrazu i od wszystkich zrozumianym. Natomiast ilekroć mówi o władzy narodu, o stanie rycerskim i o izbie poselskiej, grzeszy umyślną rzec można napuszystością.“

Co do strony społecznej powiada: „Najsmutniejszym w konstytucyi 3-go maja jest fakt, że dla chłopów nic prawie nie uczyniła. Chłopom **wolnym** przyznała sądy referendarskie, jeden na każdą prowincyę. Takich chłopów było zaledwo szósta część; rzadki między nimi trudnił się rolą.*) Ogromną większość włościaństwa, sześć milionów przeszło, pozostawiono w dawnem, wiekowem opuszczeniu. Wprawdzie rząd przyjmuje chłopów pod swoją opiekę, ale wtedy dopiero, gdy dziedzice zawrą z nimi umowy. Z nim się przyjdzie do tego,*) miliony ludzi cierpieć będą w wielu prowincyach stan bardzo zbliżony do niewoli. I oto państwo, które zapragnęło powstać z upadku, które wyznaje dawne swe błędy i chce poprawić swój rząd, nie robi nic dla poprawy losu tej klasy, którą samaż konstytucya trzeciego maja nazywa najdzielniejszą siłą! Rzeczby można, że szlachta polska ratując kraj, miała na pamięci nie naród cały, tylko samą siebie. Nie mogło to przynieść błogosławieństwa Bożego tej sprawie“.

Tyle ks. Kalinka. Szlachta polska miała na pamięci wyłącznie siebie, — nic to nowego w dziejach ludzkości. Historya bowiem nie zna przykładu, by klasa panująca jakakolwiek poświecała swój interes dla ideałów choćby najwznioślejszych, choćby dla ideału narodowej niepodległości. Tak było dawniej, tak jest i dziś! Chodzi tylko o to, czy ta klasa przynajmniej zrozumiała swój interes. Kalinka pociesza się tem, że gdzieindziej nie lepiej bywało. Sejm węgierski oparł się projektom reformy włościańskiej Maryi Teresy; Fryderyk II nie był w stanie przeprowadzić jej w zupełności u siebie. Nie zupełnie tak jest. Szlachta polska opierała się reformom, ale je zapoczątkowano, i przeparto je w końcu po bitwie pod Jeną, kiedy groziła państwu zupełna zagłada. Zdołano tego dokonać wbrew woli szlachty, ponieważ w Prusiech ówczesnych istniały już wówczas żywioły społeczne, w interesie których leżała reforma. W Polsce jednakże nie zdołano zapoczątkować nawet reformy ogólnej i groza utraty bytu politycznego nie doprowadziło nawet do postawienia pierwszego kroku na tej drodze, do ustanowienia wymiaru pańszczyzny po nad który niewolno byłoby wychodzić. Nieuczyniła tego konstytucya. Lecz i po latach kilkunastu, kiedy Napoleon wezwał do siebie deputacyę szlachty, dla ułożenia konstytucyi, ta deputacya, pomimo ostrzeżeń jednego z członków, ograniczyła się tem, że zaproponowała wprowadzenie w życie konstytucyi 3 maja! Zachnął się bohater rewolucyi i podyktował w ciągu godziny swemu sekretarzowi konstytucyę zaczynającą się od słów: „Le servage est aboli.“ A panowie szlachta stali i kłaniali się w pas[1]).

Twierdzi też Kalinka o szlachcicu polskim: „żyjąc nad stan i w próżniactwie, nie miał z czego opędzić kosztów przemiany w stosunkach rolniczych, i potrzeby takich przemian nie uznawał wcale.“ Co do pierwszego zdania, jest ono względnie tylko słusznem. Część bowiem szlachty zawsze jeszcze rozporządzała znacznemi środkami, czego dowodem choćby to, że statyści ówcześni nie przewidują trudności w sprzedaży projektowanej starostw, a przytem do stopniowego przeprowadzenia reformy, do przejścia n. p. do systemu czynszowego szlachcic nowych znacznych nakładów nie potrzebował. Co zaś do drugiego zdania, przeczy temu cała ówczesna literatura. Nie było bowiem wówczas w Polsce tajemnicą, że przyczyną upadku polskiego rolnictwa była niewola chłopa. To też wielu z ziemian nietylko uznawało potrzebę przemian w stosunkach rolniczych, lecz je pozaprowadzało. Inaczej więc rzecz wyjaśnić należy, i sądzimy że wyjaśnia się prosto bar-

*) Przypisek oryginału: „Byli to tak zwani **bartnicy albo rudnicy**; oprócz nich mała garstka osad niemieckich **Olendrów**. Konstytucya nie wspomina o sądach referendarskich dla chłopów z królewszczyzn i ekonomii, które dawniej istniały. Jaka przyczyna tego opuszczenia? Być może, że takiem ograniczeniem władzy posesora nad chłopami nie chciano utrudniać sprzedaży starostw, o której już wówczas zamyślano.“

*) „A czy przyjdzie do tego? Naiwnym byłby szlachcic, gdyby zawierał takie umowy dobrowolnie, a rząd go, tymczasem przynajmniej, nie zmuszał“.

[1]) Świetną tę scenę opisuje Wybicki w swoich „Pamiętnikach.“

że się domyślić, o co chodzi. Nagle wpada mi znakomita myśl do głowy. Powiadam mu, że chcę odpokutować za grzech i dlatego pragnę pójść na Sybir z moim mężem. Stary zrozumiał, było to po jego myśli. Był bardzo wzruszony, zdjął obrazek święty ze ściany i zawiesił mi go na szyi.

— No, a dalej, cóż było dalej? — spytałam.

— Dalej wszystko szło już jakoś samo. Idę do domu i nic nie mówię, gdzie byłam. Ale w tydzień niespełna przebiega moja gospodyni, cała czerwona, bez tchu i wręcza mi kartę wizytową; ze wzruszenia ledwie mówić mogła.

„Generał przyjechał, taki wielki, posłał lokaja w liberyi z zapytaniem, czy panienka jest w domu, bo chce z nią mówić koniecznie, on siedzi w powozie i czeka“.

Spojrzałam na kartę i przeczytałam: „Son Excellence le prince Gelovizky,“ a pod tem ołówkiem dopisane: „de la part de comte Ratov.“ Zgadłam natychmiast w jakiej sprawie przybywa.

— Proszę — powiedziałam.

Moja gospodyni straciła głowę.

„Ah, Ojcze święty, co ja tu zrobię, generał tak uważa na to, a u nas jeszcze nie uporządkowane, a jak na nieszczęście gotujemy dzisiaj kapuśniak, w całym domu czuć kapustę.“

— Nic nie szkodzi — powiadam — generał będzie wiedział, że jemy kapustę, poproś go tylko.

Słyszę już generała wchodzącego po schodach, a schody są u nas ciemne, wąskie i tak stare, że skrzypią pod nim. Kilkoro dzieci z domu przybiegło, stanęło z palcami w ustach, patrząc na niego jak na dzikie zwierzę. Generał wszedł, nie był jeszcze stary, w średnim wieku, wyelegantowany. Długie, szpakowate wąsy miał wywiksowane i zaperfumowane. Zdaje mi się, że przez całe życie nie widział podobnego urządzenia domu, ale jako człowiek światowy nie okazał tego. Gospodyni przysunęła mu szybko drewniany fotel z wyściełaną poręczą. On usiadł na nim swobodnie, jak w salonie, położył czapkę na kolana, wysunął jedną nogę naprzód i zwróciwszy się do mnie z uprzejmym uśmiechem: „C'est bien à la princesse Vera Barantzow, que j'aie l'honneur de parler?“

— Tak — odpowiedziałam — to ona sama.

On dał znak gospodyni, żeby nas zostawiła samych, pochylił się do mnie i z miną poufałą powiada, że sam cesarz posłał go do mnie z zapytaniem, czy to jest prawdą, że chcę wyjść za politycznego przestępcę Pawlenkowa i iść z nim na Sybir.

— Tak jest — odpowiadam.

Wtedy on usiłuje, mnie przekonać, żebym czegoś podobnego nie robiła. Taka młoda, pyszna dziewczyna, taka piękność, niszczyć się tak i marnować. Czy pomyślałam, co robię, arystokratka, wychodzić za wychrzczonego żyda, politycznego więźnia, dzieci moje nie będą miały ani nazwiska, ani stopnia, one same będą mi robiły wyrzuty.

— O tem wszystkiem już myślałam — odpowiadam — i nie zmienię mego postanowienia.

Generał widzi, że trwam przy moim zamiarze, on układa swoją dobrą ojcowską twarz, przymyka nawet jedno oko, patrząc na mnie i mówi szeptem:

„Nie jestem młodym człowiekiem, sam mam dzieci, mówię do pani jak do własnej córki. Mój Boże, co to młodym dziewczętom zdarzyć się nie może, pani nie jest pierwsza i nie ostatnia. Nie warto jednego nierozważnego kroku płacić całem życiem. Cesarz jest łaskawy, a hrabia bardzo panią kocha; on jest gotów zrobić dla pani wszystko. A chociaż to był grzech, można go jakoś w inny sposób okupić, znajdziemy pani innego narzeczonego.“

Udaję, że nie rozumiem nic z tego i powtarzam ustawicznie: chcę wyjść za Pawlenkowa, chcę iść z nim na Sybir.

Generał widział, że nic nie może poradzić, podniósł się, ukłonił i wyszedł, a ja do adwokata Pawlenkowa i opowiedziałam mu wszystko. Parę dni potem dostałam pismo, dozwalające mi, hrabiance Barancow, zawrzeć małżeństwo z więźniem politycznym, żydem Pawlenkowem, gdy tenże na łono kościoła chrześciańskiego przejdzie. Ślub odbędzie się w kaplicy więziennej.

dzo. Ta właśnie część właścicieli ziemskich, która była zmuszona do gospodarki intensywnej, nie koniecznie była przeciwna reformie, dla średniej, biedniejszej części szlachty, reforma była zabójczą, ale właśnie ta część, jako liczebnie najsilniejsza, mogła do niej niedopuścić i nie dopuściła. Okoliczność, że Polska miała tej szlachty więcej, niż jakiekolwiek państwo europejskie, wstrzymywała reformę, która w gruncie rzeczy była już wówczas koniecznością ekonomiczną, a pomimo to przez tyle jeszcze lat pozostała marzeniem patryotów tylko.

W końcu powraca Kalinka jeszcze raz do trudności, w jakie się uwikłano. Postanowiono tron dziedziczny, nie pytając o zgodę kandydata do tronu, — opozycyi zaś Prus i Rosyi przeciw krokowi temu można się było spodziewać, w dodatku naród cały (czytaj szlachta) był przeciwny dziedziczności. Sądzi przeto, że lepiejby zrobiono, zadawalając się małym sukcesem, jakim był wybór następcy za życia króla. „Z królem, chociażby elekcyjnym do czasu, Polska miałaby przed sobą 20—30 lat ubezpieczonej egzystencyi, a w tym peryodzie niejedno ziarno rzucone na sejmie byłoby dojrzało, niejedna z reform dopiero zaczętych byłaby skończona, a naostatek niejedna przeszkoda byłaby ustąpiła ze świata. „„Przetrwajmy Katarzynę, mawiał Chreptowicz, z jej śmiercią wiele rzeczy się odmieni.““ Że tak się nie stało — tym razem nie zawinili Ateńczycy; winien był Solon, który prawo doskonałe zbyt wcześnie napisał.“

Ustęp ten nie zupełnie jest jasny. Nie wiadomo bowiem, czy Kalinka sądzi, że należało przeprowadzić reformy zawarte w konstytucyi trzeciego maja, pominąwszy tylko dziedziczność tronu, czy też sądzi, że należało się wogóle wstrzymać z reformą. Tak, czy inaczej, sądzimy, że metoda historyka, każąca mu jedynej sprężyny faktów historycznych szukać w osobistościach i wszystko opierać na chwilowych konstelacyach politycznych, zaprowadziła go tu na manowce. Czy konstytucya czyniła tron dziedzicznym, czy nie, było to rzeczą małej wagi. Rosya i Prusy nie byłyby zapewne w kłopocie o pretekst jakikolwiek dla planów, do których oddawna dążyły. Pozostawienie status quo nie ratowało sprawy. Naiwne nadzieje Chreptowicza, że z śmiercią Katarzyny wszystko się odmieni, nie są argumentem. Z Katarzyną, czy bez niej, polityka rosyjska musiała skorzystać z tak dogodnej sposobności posunięcia swych granic na zachód, jakie nasuwała zupełna bezsilność Rzeczypospolitej. Targowica również byłaby powstała przeciw jakiejkolwiek reformie. Usunięcie z projektu dziedziczności byłoby pozbawiło tylko jednego argumentu do pociągnięcia za sobą tłumu szlacheckiego. Nie o argumenta jednak chodziło, skoro zwolennicy anarchii mieli za sobą argumenty takie, jak ruble i bagnety moskiewskie.

Pozostaje więc jedna tylko alternatywa: albo nie należało robić nic i oddać się z rękami założonemi na łup wrogów, albo należało przeprowadzić reformę rządu prawdziwą, reformę opartą na przekształceniu ustroju społecznego, reformę, rzucającą na plac boju miliony ludu. Dla tego słuszność pozostaje zdaniem naszem przy Heltmanie: zgubiła konstytucyę 3 maja nie dziedziczność tronu, ale połowiczność.

Inna rzecz co do wyjaśnienia, dla czego powstała ta połowiczność. Demokrata z lat trzydziestych bierze rzeczy bardzo prosto: oskarża ludzi, że nie „zdobyli się na myśl,“ że „nie wniknęli do serca narodu“. Jest to niesprawiedliwość. Nie wątpimy bowiem na chwilę, że ludzie jak Kołłątaj i jemu podobni widzieli również dobrze, co demokraci późniejsi, że pobudzenie do akcyi całego narodu może zbawić kraj. Jednakże — i tu leży cała tragiczność sytuacyi, — musieli sobie powiedzieć jednocześnie, że plan taki jest niewykonalny, bo lud ten przygnębiony wiekową niewolą nie ma sił do oswobodzenia siebie. „Rewolucyi nikt nie robi, robią się same“ — „ludu nikt oswobodzić nie może, tylko lud sam,“ Słuszności tych zdań dowiodły ze straszną dokładnością ostatnie lata Rzeczypospolitej.

Działacze sejmu czteroletniego czynili, co mogli. Cześć im za to! Nie ich jest winą, że konstytucya 3-go maja taką jest a nie inną! jest ona bowiem tylko wyrazem ówczesnego ustroju społecznego, jest karykaturą, bo karykaturalnym był ustrój społeczny Rzeczypospolitej. Nie mogła nieść zbawienia krajowi, bo sił zabrakło temu krajowi, w którym klasa panująca wyssała wszystkie soki żywotne z mas ludowych.

Dr. J. B. Marchlewski.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Germanizacya w kościele.

Do „Gazety Toruńskiej“ piszą z Szwarcenowa (Prusy Zachodnie):

„Dzień dzisiejszy zapisał się nietylko w dziejach naszej parafii, ale szczególnie w sercach naszych, literami czarnemi, których nawet łzy nasze bodaj już nigdy zmyć nie potrafią.

Jak grom z jasnego nieba padły dziś słowa od naszego świętego ołtarza: „Na przyszłość będzie w każdą niedzielę ewangelia święta także po niemiecku czytana, a w każde drugie święto niemieckie kazanie i t. d.“ Serce się kraje na coś podobnego, bo jeżeli n. p. w Gdańsku tysiące Polaków błagać muszą o polskie kazania, i jeszcze im trudności stawiają, to u nas zaś co za troskliwość o kilku katolików „Niemców.“ którzy nieomal wszyscy po polsku mówią. Dla kilkuset katolików Polaków, którzy co drugie święto do kościoła podążą, to kazanie niepotrzebne, ale dla kilku katolików Niemców, którzy jako wyrobni ludzie na folwarkach pracują, i o których można bardzo wątpić, czy co drugie święto do kościoła przyjdą, to muszą być niemieckie kazania.

Gdyby nasi praojcowie, którzy tak hojnie tutejszy kościół wyposażyli, byli wie-

---

Wiera zamyśliła się, kilka chwil siedziałyśmy milczące, bez słowa.

— Wiero — zawołałam smutnie — już się stało, zapóźno rozmyślać na tem, rzuciłaś się na głowę w przepaść. Powiedz mi łaskawie, dla czego przed ślubem nie przyszłaś do mnie ani razu, nie powiedziałaś mi ani słowa z tego, co zamierzałaś uczynić, przecież się uważamy za przyjaciółki.

Wiera uściskała mnie i zaśmiała się.

— Czego ty nie wymagasz — zawołała wesoło — czy słyszałaś też kiedykolwiek, żeby ludzie inaczej w przepaść się rzucali, jak nie na głowę; cóż ty myślisz, jeżeli człowiek zamierza się powiesić, to przecież nie chodzi od jednego przyjaciela do drugiego i nie pyta się o radę, ani nie prosi o błogosławieństwo.

— Tak, to znaczy, że zgadzasz się na to, iż to się równa śmierci? — zapytałam cicho.

— Widzisz — powiedziała Wiera — przed tobą przecież nie będę udawała, mówię otwarcie: w chwili gdy przyszło pismo i dowiedziałam się, że wszelka przeszkoda jest usunięta, że przeprowadziłam to, com zamierzała, powinnam się była ucieszyć — nieprawdaż? Tymczasem mnie się serce ścisnęło i to okropne uczucie trwało przez cały tydzień, aż do wesela. Wyszukałam sobie zajęcie, aby być zawsze w ruchu i nie myśleć o tem. We dnie szło jeszcze jako tako, ale w nocy, gdy zostałam sama, zaczynała się straszna męka. Obawa gryzła mnie, lękałam się coraz bardziej. Dziś poszłam do więzienia. Wpuszczono mnie, ciężkie, żelazem okute drzwi, zapadły się za mną z trzaskiem. Na ulicy było ciepło, słońce świeciło, ale tu objęła mnie ciemność, czuć było wilgoć. Serce ścisnęło mi się, pomyślałam sobie: szczęście i wolność, młodość wszystko zostawiam za temi drzwiami, szumiało mi w uszach, zdawało mi się, że ktoś wpakował mnie do czarnego worka, musiałam komuś pokazać mój dokument, prowadzono mnie przez długie, nieznośnie długie korytarze; dwóch żandarmów prowadziło mnie: jeden z przodu, drugi z tyłu. Ze wszystkich drzwi wyglądały postacie w mundurach, przyglądając mi się z zuchwałą ciekawością od stóp do głów. Widocznie dowiedział się cały personał więzienny o mającym się odbyć ślubie i każdy chciał widzieć narzeczoną. Nie wstydzili się wcale, czynili głośne uwagi na mój rachunek, słyszałam jak jeden oficer mówił głośno do drugiego: „Ces sacrées nihilistes ne sont pas degoutées ma foi, c'est vraiment dommage d'accoupler, un beau brin: de fillete, comme ça à un brigand de forçat. Passe encore, si l'on avait le droit du seigneur.“

Towarzysz odpowiedział coś, czego nie zrozumiałam, zapewne coś nieprzyzwoitego, bo obaj wybuchnęli śmiechem. Przechodząc koło mnie pobrząkiwali ostrogami, patrzyli mi zuchwale w twarz tak blisko, że prawie dotykali się mnie swemi wąsami. Za każdym krokiem robiło mi się ciężej na sercu, wyznaję ci, że gdyby w tej chwili ktoś przyszedł i zaproponował mi, żebym się cofnęła, uciekłabym, nie oglądając się nawet. Wreszcie weszłam do pokoju pustego z nagiemi ścianami; dwa drewniane krzesełka stanowiły całe umeblowanie. Tu zostałam sama, kazano mi czekać. Czy siedziałam długo, nie wiem, czas wydawał mi się nieskończenie długi. W umyśle moim powstawało pytanie, czy robię dobrze, czy nie popełniam jakiegoś strasznego głupstwa, a myśl o spotkaniu z Pawlenkowem dręczyła mnie coraz bardziej. Bałam się, że go nie poznam. Co on powie, czy mnie zrozumie. Usiłowałam przywołać sobie jego obraz w myśli i nie mogłam, jakkolwiek bardzo chciałam.

Nakoniec usłyszałam kroki, otwarto drzwi i dwóch żandarmów wprowadziło Pawlenkowa... Jak on wyglądał, jaką miał twarz, nie mogę powiedzieć, pamiętam tylko, że miał na sobie szary, aresztancki płaszcz i że włosy jego były zgolone do skóry. Na kilka minut zostawiono nas samych, żandarmi odstąpili, udając, że nic nie widzą.

Co się stało, jak rozmawialiśmy, to przypominam sobie tylko, jak we śnie. Zdaje mi się, że Pawlenkow ujął mnie za obie ręce i szeptał: „Dzięki Wiero, dzięki.“ Jego głos urwał się. Ja też nie mogłam nic odpowiedzieć, ale czy uwierzysz, w tej chwili gdy wszedł do pokoju, znikły nagle moje wszystkie wątpliwości. W mojej duszy zrobiło się nagle jasno, wątpliwości, jakgdyby nie istniały nigdy. Wiedziałam teraz, że

dzieli, że i do niego raz germanizacya zajrzy, to z pewnością by w dokumencie fundacyjnym położyli jej tamę. Jeżeli obecne stosunki dłużej potrwają, to za kilka lat smutnych się doczekamy stosunków.

Gdy przed niejakim czasem jeden z parafian prosił księdza proboszcza, żeby przecież zaprzestał już raz tak kosztownych reparacyi, i przez to nie walił tak wielkich kosztów na parafię, bo inaczej zniewoleni będziemy udać się choć na prywatnej drodze do władzy Biskupiej i do królewskiej regencyi, gdyż parafia tak się osłabi, że się łatwo rozpaść może, odpowiedział mu ks. Proboszcz: „Nun, dann wird das einfach eine Missionsstelle.“

I cóż powiesz na to parafio, która od set lat istniejesz? Niezawodnie spotka cię ten smutny los i to w niedługich latach.

Jakie następstwa takie germanizatorskie zapędy mają, o tem najlepiej świadczy sprawa sztumska. A i tu bodaj na to się zanosi; bo ów parafianin otrzymał następnego dnia list, w którym ks. proboszcz przypomina jemu, i wszystkim, którzyby się do władzy udali ze zażaleniem a w czemkolwiekbądź proboszcza obrazili, „paragraf 186 księgi karnej“ i grozi bezwzględnie prokuratorem.“

* * *

W sprawie ks. Stojałowskiego.

Korespendent krakowski „Kraju“ petersburskiego wypowiada w sprawie ks. Stojałowskiego następujące uwagi:

„Najwybitniejszą nowiną dnia jest dekret inkwizycyi rzymskiej, skazujący ks. Stojałowskiego na eks-komunikę i wyłączający go ze społeczeństwa wiernych. Tak w prasie, jak i w kołach towarzyskich wielka kara duchowna i jej przypuszczalne następstwa są, naturalnie, przedmiotem ożywionych i często sprzecznych sądów, a raczej myśli. Dla znających jednak dobrze właściwości psychiczne wyklętego jest mniej więcej jasne, że w tym wypadku, chociaż *Roma locuta*, — *causa* jednak nie jest jeszcze *finita*. Odkrywa się więc szerokie pole do domysłów i odgadywania planów delikwenta i jego przyszłego postępowania. W każdym razie stoi przed nim otworem droga do pokuty i powrotu, formalnego przynajmniej, na normalne tory. *Polityka światowa i prawo kanoniczne sprzymierzyły się tak ściśle w sprawie ks. Stojałowskiego, że trudno orzec, który z tych dwóch sojuszników był powodem bezposrednim gromu, spadającego na niego w obecnej chwili, w chwili gorączkowej działalności agitatorskiej.* Swoją drogą uczucia ludzkie zawsze są jednakie — nieszczęście budzi litość, współczucie błąka się teraz wśród tych, którzy niedawno samo tylko potępienie mieli na ustach.“

— *ski.*

LITERATURA I SZTUKA.

Z wygnania.

Warszawa, 1 września.

III.

(Teatr).

Znana Ci jest, kochany redaktorze, abominacya, jaką mnie napełnia teatr i wszystko, co z tą instytucyą pozostaje w bliższym czy dalszym związku. Wstrętnym mi jest ten świat fałszu i kłamstwa, te kobiety, będące lepszemi komedyantkami w życiu niż na scenie, ci mężczyzni, których nierzadką nicość moralną pokrywa pożyczany płaszcz bohatera. Najchętniej więc nie dotykałbym się wcale tego przedmiotu. Ale jestem przedewszystkiem dziennikarzem i staram się, o ile to w mej mocy, spełniać sumiennie mój obowiązek. A wykroczyłbym przeciwko najelementarniejszej zasadzie etyki dziennikarskiej, gdybym zdając sprawę z warszawskiego życia i jego objawów pominął milczeniem teatr.

Wprawdzie grzeszy sporą dozą przesady twierdzenie, jakoby w Warszawie niczem się nie zajmowano tylko teatrem, o niczem nie mówiono tylko o aktorach a zwłaszcza o aktorkach. I w Warszawie znaleźć można, szukając dobrze, ludzi poważnych, którzy rzadko kiedy składają modły w tak zw. świątyni sztuki dramatycznej, których mało bardzo interesują przygody miłosne szlachetnej matki, lub lata naiwnej, wyposażonej od przyrody cudowną własnością odmładzania się z rokiem każdym więcej. Są nawet — aczkolwiek ich nie wiele — kobiety warszawskie, które nie przysięgają ani na Prażmowskiego, ani na Ładnowskiego lub Frenkla.

Biorąc jednak na ogół, rzadko w rzeczy samej spotkać miasto, w którémby choroba zwana teatromanią tak groźne jak w Warszawie szerzyła spustoszenie. Składa się na to dość wiele przyczyn. Najpierw mieszkańcy, w których krwi jeszcze od czasów smutnej pamięci ostatnich królów polskich spoczywa zamiłowanie do wszelkiego rodzaju widowisk. Zamiłowanie to podsyca nadomiar prasa, która nie mogąc z niezależnych od siebie przyczyn zajmować się poważniejszemi kwestyami, poświęca nadzwyczaj wiele miejsca sprawom teatralnym, podaje sążniste artykuły z każdego przedstawienia, wynosi sztuki lub występy choćby średniej tylko miary artysty, a oprócz tego informuje bezustannie publiczność o choćby najmniej znacznych wypadkach w świecie teatralnym. Wreszcie kult ten teatralny, panujący w tutejszem społeczeństwie, podtrzymują do dnia dzisiejszego wspomnienia świetnych, choć minionych już od dość dawna czasów sceny warszawskiej, gdy na niej występowali jednocześnie Królikowski i Żółkowski, Bakałowiczowa, Modrzejewska i Popielka.

Wszystko to sprawia, że nie ma może na kuli ziemskiej tak wdzięcznej, tak przywiązanej do swego teatru publiczności, jak warszawska. Gdy wy domagacie się bezustannej zmiany, gdy wam sprzykrzy się nadzwyczaj szybko nawet dość utalentowany aktor i dość ładna aktorka, warszawski bywalec teatralny przywiązuje się coraz bar-

---

postąpiłam dobrze, że inaczej postąpić nie mogłam.

Wprowadzono nas do kościoła, staliśmy obok siebie, kapłan ujął nas za ręce i oprowadził dokoła pulpitu. Wszystko to przypominam sobie, jak przez mgłę. Przez chwilę, gdy silny dym kadzidła nas owionął i zabrzmiała pieśń „Izajaszu ciesz się,“ zapomniałam o wszystkiem, zdawało mi się, że nie Pawlenkow, lecz Wasylcew stoi obok mnie: słyszałam jego drogi głos tak wyraźnie. Wiem, wiem napewne, że on zgodziłby się na to, że on ucieszyłby się, widząc co robię. I naraz stało mi się wszystko jasnem. Całe moje przyszłe życie leżało przedemną, jak otwarta karta: pójdę na Sybir, tam będę z zesłanymi razem, będę ich pocieszała, im służyła, listy ich do ojczyzny przesyłała...

Wiera umilkła.

— Jeżeli pomyślę, że całą zimę zmarnowałam, szukając pracy — zaczęła znowu wesoło głosem pewnym — a praca leży tu, tuż pod ręką i jaka praca! Lepszej nie mogłam wymyśleć, powiadam ci otwarcie, do innej pracy: do propagandy rewolucyjnej, do konspiracyi, byłabym, zdaje się, niezdolną. Do tego trzeba wielkiego rozsądku, wymowy, sztuki działania na tłumy opanowywania ich, a do tego ja nie jestem zdolna, a zresztą lękałabym się zawsze, że narażam innych na niebezpieczeństwa. Tak idę na Sybir, to jest właśnie dla mnie. I jak to wszystko prosto, niespodzianie, jak to wszystko zrobiło się samo. Boże, jakże szczęśliwa jestem!

Rzuciła mi się na szyję, uściskałyśmy się, płacząc.

*

W sześć tygodni po tem przybyłam na dworzec kolei Mikołajowskiej, aby się pożegnać z Wierą.

Zaraz po ślubie został Pawlenkow wysłany z innymi skazańcami na Sybir. Teraz nadszedł czas na Wierę. Nie jechała sama, z nią jechały dwie panie, córka jednej z nich i mąż drugiej byli między zesłanymi, jechały trzecią klasą, ale to była jeszcze podróż zbytkowna w porównaniu z tem, co je oczekiwało później. Wtedy szła kolej tylko do granicy europejskiej, resztę podróży miały odbywać w sankach lub telegach. W najlepszym razie, to znaczy, jeżeli żadna przeszkoda się nie znajdzie, podróż potrwa do trzech miesiecy.

A co ją czeka po przybyciu?

Ale wszystkie trzy nie myślały o tem, na twarzach ich malowała się jakaś uroczysta radość. Niezwykłe podniecenie w jakiem się Wiera znajdowała zaraz po tym śmiałym kroku, ustąpiło, stała się znowu cichą, zamkniętą w sobie. Zeszczuplała tylko trochę i wydawała się starszą; ale błękitne jej oczy patrzyły śmiało i wzruszającym był widok z jak czułą pieczołowitością zajmowała się obiema towarzyszkami. Wszystkie trzy zdawały się być połączone jednem wielkiem uczuciem, jakie tylko wspólne nieszczęście wywołać może.

Na dworcu zebrał się wielki tłum, wielu przyszło z ciekawości, inni ze współczucia, a kto miał krewnych lub znajomych w Sybirze, chciał im przez nie przesłać pozdrowienie.

Zaledwie mogłam kilka słów zamienić z Wierą, gdyż wszystko kupiło się dokoła niej. Ale gdy zabrzmiał ostatni dzwonek i pociąg już miał wyruszyć, podała mi rękę już z wagonu.

W tej chwili wyobraziłam sobie żywo los, jaki czekał tę młodą, piękną dziewczynę i rozpłakałam się.

— Płaczesz za mną? — zapytała Wiera z błogim uśmiechem — ach gdybyś wiedziała, jak ja się lituję nad wami, którzy tu zostajecie!

To były jej ostatnie słowa.

KONIEC.

dziej do artysty, spełniającego jako tako sumiennie swe zadanie, interesuje się nadzwyczaj żywo nietylko jego produkcyą na scenie, ale i zakulisowemi jego sprawami i losami. Ma to niewątpliwie pewne niedogodności, zwłaszcza, gdy chodzi o piękniejszą połowę świata aktorskiego, dowodzi jednak większego niż gdziekolwiekindziej zainteresowania się teatrem. I potrzeba tak niedołężnego a jednocześnie i niesumiennego kierownictwa, jak je wykonywał świeżo oddalony reżyser p. Szymański, aby odstraszyć na czas jakiś tutejszą publiczność od sceny.

Warszawski personał dramatyczny nie posiada obecnie ani jednej pierwszorzędnej siły, ani jednego prawdziwie genialnego artysty, lub genialnej artystki, wykazuje jednak ensemble bardzo przyzwoity, a w nim cały szereg aktorów, wznoszących się dość wysoko po nad poziom przeciętnego uzdolnienia artystycznego. Repertuar bohaterów reprezentuje godnie p. Leszczyński, kochanków bohaterskich p. Ładnowski, lirycznych p. Nowicki, salonowych p. Prażmowski, ojców charakterystycznych p. Rapacki. Niezwykle uzdolnionym komikiem, obdarzonym szczerym, chwytającym za serce humorem jest p. Frenkiel. Wybitne siły posiada także personel kobiecy. Prym tutaj trzyma p. Rakiewiczowa, jedyna jeszcze dzisiaj reprezentantka dawnych świetnych tradycyi naszej sceny. Role bohaterek salonowych dzierży w dalszym ciągu samowładnie p. Marcello, której wielkiego talentu odmówić trudno, która jednak grzeszy zbyt często brakiem artystycznej miary i równowagi. Przewyższa ją o całe niebo pod tym względem p. Lüdowa, wyborna kokietka salonowa, wykazująca jednak od czasu do czasu fałszywy apetyt do ról bohaterek. Współzawodniczy z nią na tem polu p. Trapszo-Chodowiecka, wysoce utalentowana naiwna-liryczna, próbująca niefortunnie sił swoich w rolach wojewodziny (w Mazepie) lub Ofelii. P. Czaki, wiecznie młoda nasza naiwna z niestarzejącym się wdziękiem, odtwarza od ćwierć wieku swojskie podlotki z pod szlacheckiej strzechy.

Obok tych wybitnych i znanych powszechnie artystów i artystek wchodzi w skład naszego personału dramatycznego liczny bardzo zastęp sił młodych. O uzdolnieniu młodszej generacyi z tej prostej przyczyny trudno powiedzieć cośkolwiek, że starzy tworząc zwartą klikę, nie pozwalają wybić się młodszym. W zwykłych tych warunkach artysta lub artystka, przyjęta na scenę warszawską, lata całe czekać musi, zanim los szczęśliwy pozwoli jej ukazać swą zdolność lub nieudolność w cokolwiek wybitniejszej roli. Dublowanie ról jest u nas prawie nieznane. Są to zresztą stosunki, które scena warszawska dzieli z innemi pierwszorzędnemi teatrami. Te same skargi na systematyczne gnębienie „młodych" przez „starych" rozbrzmiewają w „Burgu" wiedeńskim, berlińskim „Schauspielhaus'ie" i „Komedyi" francuskiej.

Obok dramatu uszczęśliwia warszawską publiczność teatralną farsa i operetka. Nad dwoma temi rodzajami „sztuki" dzierży samodzielne berło znany ze swej zręczności i umiejętności obniżania poziomu artystycznego p. Ludwik Śliwiński, któremu zresztą trudno odmówić uznania, że skompletował dobrze zgraną trupę i wystawia utwory, wchodzące w zakres jego repertoaru, nadzwyczaj starannie, sumiennie, a w danym razie nawet efektownie. Jego też „przybytek sztuki" noszący zimą nazwę „Małego" a latem „Nowego", cieszy się stale niezwykłem powodzeniem kasowem i żywi w znacznej części cierpiące na chroniczny niedobór balet i operę, przeznaczone przeważnie dla rosyjskich urzędników cywilnych i wojskowych.

Mówiąc o teatrze nie sposób pominąć milczeniem krytyki teatralnej. Krytyka ta spotyka się tutaj z licznemi, w znacznej części nieuzasadnionemi zarzutami. Zarzucają jej przedewszystkiem stronniczość i nieuctwo. Zapewne, że w naszych krytykach teatralnych odzywa się dość często strona osobista. Lecz gdzież znajdziemy absolutną bezstronność? Chcąc czy nie chcąc, przeciętny człowiek rządzi się osobistemi swemi sympatyami i antypatyami. Trudno zaś wymagać od krytyka teatralnego, aby był człowiekiem wyjątkowym. Pomijając jednak nieliczne wyjątki, krytyka warszawska jest uczciwszą niż w innych środowiskach cywilizacyi, nie kierując się w swych sądach o autorach i aktorach osobistym interesem. Mniej jeszcze uzasadniony jest zarzut nieuctwa. Pod względem znajomości ojczystej i zagranicznej literatury dramatycznej oraz wymagań sceny, Bogusławski, Koenig i Zalewski co najmniej równać się mogą z pierwszorzędnymi niemieckimi i francuskimi krytykami teatralnymi.

Niestety znaczenie warszawskiej krytyki teatralnej osłabia w wysokim stopniu panosząca się coraz bardziej tak zw. reporta teatralna. Nie brak wypadków, że w jednem i tem samem piśmie, sztukę zganioną przez krytyka, wynosi następnie pod niebiosa reporter. Publiczność zaś liczy się więcej z powtarzającemi się codziennie, dopóki odnośna sztuka nie zejdzie z afisza, wzmiankami reporterskiemi, niż z pojawiającą się raz tylko jeden krytyką.

X.

***

Adolf Pawiński.

(Wspomnienie pośmiertne).

Złożony ciężką niemocą i bawiący od dłuższego czasu w zakładzie leczniczym w Grodzisku, pod Warszawą, znakomity badacz dziejów naszych, profesor uniwersytetu warszawskiego, członek krakowskiej Akademii umiejętności, Adolf Pawiński, uległ 24-go sierpnia swym cierpieniom.

Ur. w r. 1840 w Zgierzu, nauki gimnazyalne pobierał w Piotrkowie, uniwersyteckie zaś studya prowadził w Jurjewie (Dorpacie) i ukończył je ze stopniem kandydata filozofii. Ztąd udał się do Getyngi, gdzie zdobył doktorat filozofii, po powrocie zaś do kraju otrzymał w uniwersytecie petersburskim stopień doktora nauk historycznych i objął docenturę w b. Szkole Głównej warszawskiej, a następnie katedrę profesorską historyi w uniwersytecie. Oprócz tego, w r. 1875 został mianowany naczelnikiem archiwum akt dawnych Królestwa Polskiego.

Zamiłowany w badaniu dziejów w ogó-

Zaczątki powstania 1863 roku

na Podlasiu i na Litwie.

(Ze wspomnień b. naczelnika oddziału.)

(Ciąg dalszy).

Zjazd ów wywołał dosyć charakterystyczne zajęcie. O jego wyznaczeniu dowiedziały się władze rosyjskie w Lublinie i doniosły bezzwłocznie o tem żandarmom w Białej, z rozkazem, by go nie dopuścili. Niewiedziały tylko o jego miejscu i dacie, w której się miał odbyć. Żandarm Bialski otrzymał zawiadomienie dnia 23 grudnia, t. j. drugiego dnia już po odbytym zjeździe; więc domyśliwszy się i skombinowawszy, że zjazd może być tylko u biskupa, a więc w Janowie Podlaskim zebrał swoich podkomendnych i sotnię kozaków i 24 Grudnia pojechał do Janowa, otoczył gmach kościelny — a że był wieczór — zastał salę rzęsiście oświetloną i siedzących przy stole biskupa wszystkich księży i całe seminaryum. Była to właśnie wilia. Miało nastąpić już aresztowanie zebranych i dopiero po wytłómaczeniu żandarmowi powodu zebrania, za miaru w czyn nie wprowadzono.

III.

Ludzie byli, szło o to, by była i broń. Nakazano przygotować kosy, z uwagi na tradycyę kosynierów Głowackiego, tylko że obecnie owe kosy miały do czynienia ze sztuceram, na dwa tysiące kroków bijącemi; broni palnej w Podlaskiem nie było! Dla zaradzenia temu, komisarz województwa płockiego, Edward Rulikowski, zebrawszy trochę pieniędzy pojechał do Liége, do Belgii i tam, w pewnej fabryce zamówił 15 tysięcy karabinów. Dawszy zadatek, zobowiązał się resztę należności zapłacić na 1 Stycznia 1863 r. w Paryżu; fabryka zaś, zobowiązała się dostawić ową broń do granicy Królestwa. By nie stracić zadatku i broni, komitet Centralny, choć z wysiłkiem, resztę należności posłał przez Fran. Godlewskiego, który pojechawszy do Paryża, zatrzymał się w hotelu Corneille, gdzie podówczas wielu Polaków mieszkało, między innymi Al. Ćwierczakiewicz i Włodz. Milowicz, a że policya francuska nas szpiegowała i Rosyi dopomagała, nastąpiło otoczenie hotelu i aresztowanie Polaków, przyczem zabrano im i pieniądze i papiery. Tym to sposobem dowiedziano się o warszawskim adresie drukarni „Ruchu", przy ulicy Widok.

Aresztowania te i zabór pieniędzy nie mały wyłom w pracach przygotowawczych do powstania uczyniły. Zwołano nas wszystkich komisarzy wojewódzkich do Warszawy. Przyjechał z Kijowa przedstawiciel młodzieży i stronnictwa ruchu Jurjewicz, (dla którego później zrobiono ów głośny podkop w fortecy kijowskiej, 27 sążni długi, przechodzący przez dwie niezwykłej grubości ściany, którym się wydostał na wolność i umarł w lat kilka później w Szwajcaryi).

Na owem to zebraniu walnem komisarzy i członków ówczesnego komitetu Centralnego, do którego należeli: Zygmunt Padlewski, naczelnik miasta Warszawy, — Oskar Awejde, minister spraw wewnętrznych, — Stefan Bobrowski (poległ następnie w pojedynku z Grabowskim z Galicyi), — Agaton Giller i inni, postanowiono: przygotować się do powstania, które nie wcześniej jak z wiosną wybuchnie, z uwagi że Litwa i Ruś wcześniej gotowemi nie będą. Uchwała ta zapadła dnia 11 stycznia 1863 r. Z uwagi na szerzące się o brance do wojska pogłoski, postanowiono popisowych ukryć przez przeniesienie ich z jednego powiatu do drugiego. W tym celu, ja, jako komisarz podlaski, otrzymałem 3000 blankietów na paszporty i z takiem poleceniem wyjechałem z Warszawy. Zaczęto tymczasem młodzież usuwać z Warszawy, głównie w Płockie. Popisowi zebrali się w kampinoskiej puszczy, lecz większość nie zdążyła wyjść z miasta i uległa brance. Wtedy to Zygmunt Padlewski, widząc, że szyki organizacyi powstańczej popsuto i odebrawszy jednocześnie wiadomość, że w fortecy Modlinie spiskowcy oczekują hasła przyłączenia się do ruchu, przeprowadził w komitecie, w którym swą

le, a dziejów naszych w szczególności, na tem ostatniem polu położył nieocenione zasługi.

Pierwszem dziełem Pawińskiego, po za rozprawami pisanemi dla zdobycia stopni naukowych było „Kilka słów o Buckle'u,“ wydanych w r. 1869, a następnie idzie cały szereg krótszych lub dłuższych rozpraw i studyów historycznych i archeologicznych, z których wymienimy: „Notatki kupca Krakowskiego“ (1892), „W sprawie narodowości Kopernika“ (1876), „O cmentarzysku w Dobroszycach“ (1875), „O zjeździe archeologów w Kijowie,“ „O kongresie międzynarodowym antropologów w Peszcie“ (1876).

Dziełem jednak, które zapewnia Pawińskiemu w dziełach wiedzy naszej niezatarte wspomnienie jest pszedsięwzięcie wydawnictwa „Źródeł dziejowych,“ w których z nadzwyczajnym nakładem pracy zebrał nieocenione skarby do historyi rozwoju cywilizacyi w Polsce. W szeregu tych „Źródeł,“ lub też oddzielnie ogłosił: „Pamiętniki Marcina Matuszewicza,“ „Dzieje zjednoczenia Ormian polskich z kościołem rzymskim w XVI w.“, „Stefan Batory pod Gdańskiem,“ „Początki panowania Stefana Batorego,“ „Polska XVI w. pod względem geograficzno-statystycznym,“ „Skarbowość w Polsce,“ „Jan Ostroróg,“ „Sprawy Prus Książęcych,“ i in., wreszcie pomnikowe dzieło: „Rządy sejmikowe w Polsce,“ nagrodzone w r. 1888 przez Akademię umiejętności, stanowiące dla badaczów historyi prawa państwowego w dawnej Rzeczypospolitej niewyczerpany skarbiec nowych prawd i poglądów.

Oprócz dzieł oryginalnych, wydał jeszcze przekłady: Macaulay'a „Dziejów Anglii“ i Zeissberga „Dziejopisarstwo polskie wieków średnich.“

Wyborną charakterystykę Pawińskiego, jako profesora i uczonego, podał w „Tygodniku illustrowanym“ (r. 1890, nr. 6) Aleksander Rembowski; z artykułu tego wyjmujemy ustęp następujący:

„Jako jeden z wielkich przymiotów Pawińskiego należy wymienić i tę głęboką świadomość, że do poznania dziejów dochodzi się wielką pracą a nie intuicyą. Badania a nie odgadywanie przyświecało jego studyom — i dlatego nie porywał się przedwcześnie na zbyt wielkie zadania i nie był nigdy zmuszony zastępować treści historycznej spekulacyami politycznemi, spowitemi w nastrój proroczy. Pawiński rozumiał wybornie, że zadaniem historyka jest krytyczne odtworzenie tego, co było w zamierzchłych wiekach, a nie bynajmniej gubienie się w zaciekaniach, coby mogło być, gdyby doniosłe fakty i wpływy były nieco odmiennemi.“

B.

SZKOŁA I WYCHOWANIE.

Prywatne instytucye
dla oświaty ludowej w Ameryce

przez

Dr. fil. Józefę Kodisową.

(Ciąg dalszy).

Ażeby ocenić, jaki wpływ ma H.-H. na daną okolicę, potrzeba zabawić tam choć kilka dni. Pewien anglik zwiedzający Chicago, przyrównał ruch ludności w H.-H. do przepływu wody. Istotnie ciągle 5—6 osób jest stale zajętych przyjmowaniem interesentów. Założycielka H.-H. Miss Adams jest obecnie bodaj najpopularniejszą osobą w stanie Illinois. Spełnia ona często funkcye rządowe w wypadkach, kiedy okazuje się szczególna potrzeba człowieka, któremu publiczność mogłaby zupełnie zaufać. Tak np. w bieżącym roku zmuszoną była wziąć udział w śledztwie w sprawach nadużyć w rządowych szpitalach dla waryatów.

W tymże roku jedna z rezydentek H.-H. była wezwana do spełnienia podobnych funkcyi w domu karnym dla dziewcząt. Z H.-H. powstało i było przeprowadzonem prawo o ośmiogodzinnej pracy kobiet w fabrykach. Instytucya ta wywiera wpływ na wszystkie zachodnie stany Ameryki.

Wpływ osad na wszystkie klasy społeczeństwa opiera się z jednej strony na tym fakcie, że osady zgromadzają wokoło siebie najmoralniejsze elementy amerykańskiego społeczeństwa, z drugiej znów, że osadnicy faktycznie studyują życie ludowe bezpośrednio, nie za pomocą książek, lecz przez osobiste stosunki i wniknięcie w interesa klas pracujących.

III.

System Chantauqua.

Pod tem imieniem znany jest w Ameryce system kształcenia ludu za pomocą połączonego działania książek i korespondencyi. Każdy, kto miał do czynienia z ludem, zauważył to z pewnością, że człowiek niewykształcony nie pojmuje książek, które czyta. Myśl jego jest tak przyzwyczajona do obejmowania zjawisk jedynie konkretnych, iż śmiało powiedzieć można, że nader rzadko tylko spotykamy człowieka, posiadającego mniej niż t. zw. „średnie wykształcenie“, któryby był w stanie rozpoznać stanowisko przeczytanego autora i zdać sobie sprawę, w imieniu jakiej idei autor ten występował. O skrytykowaniu zaś i ocenieniu tegoż stanowiska nie może nawet być mowy. Ztąd też czytanie bez pomocy inteligentnej nie przynosi tak wielkich korzyści, jakie by się osięgnąć dały, gdyby było należycie prowadzonem. Wśród ludu trudności komplikują się jeszcze tem, że autorowie, mając inne przygotowanie umysłowe, niż ich czytelnicy, nie mogą najczęściej trafić na tę drogę myślenia, która jest tym ostatnim właściwą: ztąd też wynika masa nieprzewidzianych nieporozumień i przeoczeń, wskutek których rezultat czytania jest nieraz zupełnie odmienny od tego, jakiegośmy się spodziewali.

System Chantauqua ma za zadanie przez odpowiednią organizacyę usunąć powyższe trudności. Aby jednak uniknąć wszelkich nieporozumień, musimy zauważyć z góry, że publiczność korzystająca z tego systemu nauki w Ameryce, nie pochodzi z najniższych warstw społecznych: Są to głównie subjekci handlowi, szwaczki, nauczycielki ludowe, dro-

---

przewagą i intelligencyą górował, uchwałę wyznaczającą dzień powstania na 22 stycznia 1863 r.

O Zygmuncie Padlewskim, jak dotąd, niewiele wzmiankowano, a jednak był to człowiek, który nakazał, by Polska powstała dnia 22 stycznia i — woli jego stało się zadość. Nie jest mojem zadaniem wdawać się w rozbiór krytyczny tej uchwały i przeciwstawić jej nieszczęsne następstwa, jakie wywołała. Pragnę jedynie dać w tem miejscu wyraz bezgranicznej czci dla pamięci człowieka szlachetnego, który miłość swą dla kraju i gotowość do wszelkich dla niego poświęceń męczeńską przypłacił śmiercią, i — pragnę złożyć jedynie hołd jego szlachetnej duszy, jego wierze w przyszłość kraju i w te ideały, którym za krótkiego swego hołdował żywota. Pożądał on tylko wyzwolenia swego kraju, zrzucenia zeń pęt niewoli, w których od wieku szarpie się i szamocze. Gdzieindziej takim apostołom wolności i miłości kraju, okupionej życiem, stawiają pomniki spiżowe, pamięć ich jak święta legenda przechodzi z pokolenia na pokolenie — u nas, wiele już znaczy, jeśli błotem na mogiłę takich męczenników swobody nie miotają! Zygmuncie! druhu mój serdeczny, z którym niejedną spędziłem chwilę, marząc o wolnej i niezawisłej Polsce! Niechaj te słowa będą napisane na twoim zapomnianym, nie wiadomo nawet gdzie wykopanym grobie, niechaj zaświadczą dzieciom naszym, żeś legł pod kulami siepaczy, ze słowami: „Jeszcze Polska nie zginęła!“ na ustach...

Zygmunt Padlewski, rodem z Ukrainy, powiatu Berdyczowskiego, ze wsi Czerniawka, był synem Władysława, szlachcica starego autoramentu, który, gdy wybuchło powstanie, siadł na koń, jako dowódzca utworzonego przez się oddziału, i wzięty w niewolę rozstrzelanym został niezadługo po zgonie syna. Pozostawił żonę, dwie córki i syna młodszego, Romana.

Jedna z córek wyszła za mąż za Michała Podhorskiego. Gdy Aleksander II był w Kijowie, rzuciła mu się do nóg, błagając, by synów jej pozwolił przyjąć do korpusu paziów.....

IV.

Rozkaz porwania za oręż odebrałem w Białej dnia 17-go stycznia 1863 r. Pomimo papieru, jaki się dostał do rąk moich, i umówionych na nim znaków, którym uwierzyć musiałem, nie ufałem oczom własnym, iżby taki rozkaz danym był na seryo...

Poleciałem bezzwłocznie do Warszawy, gdzie zastałem jeszcze Padlewskiego.

— Co czynisz? — zapytałem. Czyż nie rozumiesz, że nas rozbiją w puch, że nie mamy ani sił, ani oręża! Czyż nie wykładałeś nam w Cunco, że tylko żołnierz z dobrą bronią zwycięża?

— Stało się! — rzekł mi na to Padlewski. Spiesz z powrotem. Jeśli Bóg da, zwyciężymy. — Nie podobna, by Europa pozwoliła nam zginąć! Bywaj zdrów! Być może, że ostatni raz się już widzimy, lecz pamiętaj, cośmy przysięgli, iż nie cofniemy się.

Uścisnęliśmy się. Zygmunt siadł na bryczkę, a z nim adjutant jego, oficer artyleryi rosyjskiej Sejfried.

Pobiegłem jeszcze do Awejdy.

— Czemuś się zgodził? — spytałem.

— Zygmunt przegłosował nas, wiem, że to zawcześnie, ale kość rzucona; jeśli upadniemy — spotkamy się na rusztowaniu, lecz iść trzeba, niema czasu na rozprawy.... (Ten to Awejda uląkł się stryczka i zdradziwszy sprawę, opisał historyę organizacyi, za co darowano mu życie. Zesłany do Wiatki, jest tam obecnie jeszcze, jako obrońca przy sądach).

Pożegnawszy się z Awejdą, pobiegłem na pocztę, by zamówić konie. Tu spotkałem Leona Frankowskiego, — największego z pośród nas entuzyastę. Rzucił mi się na szyję z okrzykiem:

— Więc jedziemy bić się za kraj!

— Ba — odrzekłem — bić nie sztuka, ale czem?

— Czapkami ich zarzucimy! — zawołał. Całe Lubelskie jak jeden mąż powstanie. Jadę tam! Bywaj zdrów!

I rozbiegliśmy się, ja, by jeszcze pożegnać się z rodzicami i siostrą, tak jak się żegna jedynak z najdroższym na świecie skarbem.

Pobłogosławili mnie, jam ich za nogi

bni handlarze, konduktorzy kolejowi, rzemieślnicy ect. Jednem słowem ludzie mający już pewne naukowe przygotowanie, aczkolwiek bardzo niekompletne i niesystematyczne. Klasa takich ludzi, nie mogących w sposób prawidłowy zdobyć szerszego wykształcenia, a jednak pragnących go szczerze, jest i w naszym kraju bardzo liczną, i z pewnością metoda Chantauqua dałaby się do nich z łatwością zastosować. Sądzimy też, że przy odpowiedniej reorganizacyi systemu możnaby go rozszerzyć i na niższe jeszcze warstwy społeczne, na lud wiejski i roboczy.

System Chantauqua składa się z trzech oddziałów: 1) organizacyi dla rozpowszechnienia i ułatwienia systematycznego czytania domowego: 2) wykładów za pomocą korespondencyi; 3) szkoły letniej, tj. wykładów z różnych przedmiotów w czasie wakacyjnym. Nazwę swoją ma powyższy system naukowy od miejscowości Chantauqua, położonej nad jeziorem tegoż nazwiska, gdzie się instytucya ta rozwinęła około r. 1874 ze stowarzyszenia religijnego, zajmującego się urządzaniem szkół niedzielnych. Dziś liczba osób korzystających z niej jest ogromną. W samem miasteczku, w czasie lata, zbiera się na wykłady letnie do 3500 osób. Uczni-korespondentów ma instytucya ta po całym świecie, nawet w Indyach, Australii i Rosyi. Co do amerykańskiej publiczności, to kierownicy Chantauqua obliczają, że w przeciągu 19 lat swego istnienia, instytucya ta miała po 1 reprezentancie na 311 amerykanów (obliczając ogólną liczbę tychże na 70,000,000). W samym departamencie korespondencyjnym w przeciągu 10 lat było zarejestrowanych 2444 studentów. W departamencie systematycznego domowego czytania liczba studentów w przeciągu lat 17 wynosiła 225,000. Jak widzimy działalność to wcale pokaźna, a byłaby z pewnością jeszcze znaczniejszą, gdyby instytucya powyższa była prowadzoną przez bardziej postępowych ludzi i w nie tak konserwatywnym duchu, jak to ma miejsce dotychczas. Tak np. obecnie w naukach należących do systemu Chantauqua przyznaje się jedno z ważniejszych miejsc teologii. Również prowadzi się naukę greckiego, łaciny i innych rzeczy, nie mających bezpośredniego związku z życiem, a ztąd nie mogących pociągnąć za sobą ludzi praktyki.

Przyjrzyjmy się najpierw organizacyi, mającej na celu rozpowszechnienie systematycznego czytania domowego. Nosi ona miano koła literacko naukowego („The Chantauqua literary and scientific circle"). Kurs ogólnego czytania obejmuje cztery lata, po ukończeniu których odbiera się świadectwo od zarządu Chantauqua. Swiadectwo to jednak nie uważa się za stopień naukowy. Naturalnie nie wszyscy, którzy się na ten wydział zapisali, mają energię, aby prowadzić systematyczną lekturę przez lat cztery. Mniej więcej połowa czytelników przerywa pracę już po dwóch latach. Mimo to można nawet taki rezultat uważać za dość korzystny. Wszyscy czytelnicy z jakiej bądź miejscowości starają się wspomagać się wzajemnie w pracy i w tym celu zawiązują lokalne kluby dla konferencyi i wspólnego czytania. Takich klubów liczy Chantauqua obecnie 800.

Plan czytania ułożony jest w ten sposób, aby w przeciągu czterech lat potrzeba było na pracę poświęcić przeciętnie jedną godzinę dziennie przez 9 lub 10 miesięcy w ciągu roku. Czytanie obejmuje przedmioty historyczne, literackie, religijne i nieco nauk przyrodniczych W pierwszym roku nazwanym rokiem „Angielskim", czytają się dzieła, głównie stojące w związku z historyą i literaturą. W następnym roku „Amerykańskim" odbiera się ogólne wykształcenie, tyczące się Ameryki. Dalej następują lata: „Grecki" i „Rzymski". Plan lektury jest tak dziwaczny z europejskiego punktu widzenia, iż przytoczyć go można chyba jako curiosum. Tak np. rok angielski obejmuje: angielską historyę, ang. literaturę, sztukę w czasie renesansu i obecną współczesną historyę i geologię (!). Rok rzymski obejmuje: rzymską i średniowieczną historyę, łacińską literaturę, rzymską i średniowieczną sztukę, średniowieczną literaturę i polityczną ekonomię (!). Mimo to w tym planie, aczkolwiek zabawnym, widać tendencyę rozpowszechniania humanitarnego wykształcenia, którą jest przesiąknięta cała lepsza część amerykańskiego społeczeństwa. Podczas, kiedy inteligentne klasy europejskie wycofują się z humanitarnego ruchu, amerykanie biorą się doń z gorącym, chociaż nieraz i naiwnym zapałem. Książki, które mają być czytane, są dobrane starannie z pośród dzieł popularnych wybitniejszych autorów. Egzaminów nie ma żadnych, ale wszystkim zarejestrowanym członkom przesyła się każdego roku kwestyonaryusze, na które student może odpowiedzieć, jeżeli sobie tego życzy. Jeżeli student był w stanie dać zadowalniającą odpowiedź na 100 pytań, to otrzymuje szczególne odznaczenie na swem świadectwie. Nieraz wydarza się, że studenci nie zadowalają się nauką pobieraną w ten sposób i garną się do wyższych zakładów naukowych, gdzie mogą zdobyć systematyczną wiedzę. Ci jednak, którzy nie są w stanie tego uczynić, korzystają z innych środków naukowych, jakich dostarcza Chantauqua t. j. z pobierania nauki za pomocą korespondencyi i szkoły letniej.

Kursa naukowe przez korespondencyę obejmują następujące działy: 1) teologię ze wszystkiemi składającemi ją przedmiotami, jako to jęz. hebrajskim, greckim, biblijną i doktrynalną teologią, hist. kościoła, homiletyką etc. 2) Kolegium sztuk wyzwolonych (College of Liberal Corts), obejmujące języki współczesne i starożytne, matematykę, psychologię, ekonomię polityczną, historyę, nauki fizyczne, geologię i biologię — razem 16 kursów. Również w szkole teologii jak i w kollegium sztuk wyzwolonych po przesłuchaniu obowiązkowej ilości kursów w szkole letniej odbywają się egzamina i wydają stopnie naukowe bakałarza nauk lub teologii. Między składającymi egzamina znajdują się rok rocznie starcy i staruszki 70 i 80-cio letni!!

Co do metody nauki za pomocą korespondencyi, to zasadza się ona przedewszystkiem na nadaniu kierunku w nauce pracującemu. Przytem student, pozostając przez korespondencyę w stosunku z nauczycielem, ma od tegoż specyalną pomoc wszędzie, gdzie spotyka jakiekolwiek trudności. Obok tego nauczyciel obowiązany jest zwracać uwagę ucznia na zasadnicze punkta pracy i krytykować dokonaną już przez ucznia ro-

---

uścisnął, siadłem na brykę i pojechałem w Podlaskie...

Nocą stanąłem w Siedlcach. Zastałem tam Lewandowskiego, oficera z kampanii węgierskiej, emigranta. Był on wyznaczony w stopniu podpułkownika, na dowódzcę województwa podlaskiego. Prócz niego spotkałem się tam z kolegą moim z Cuneo, Wł. Jabłonowskim, studentem Uniwersytetu Kijowskiego. Osadziłem go w Sokołowie, by tam młodzież organizował wojskowo. Czasu było tak mało, żeśmy zaledwie ogólnikowo mogli się porozumieć, co do dalszego trybu działania. Z narady wypadło, że Lewandowski miał uderzyć na Siedlce, do czego mieli służyć ludzie w mieście z organizowani, ludzie z Sokołowa i Węgrowa, pod dowództwem Wł. Jabłonowskiego, — z pod Siedlec, ze wsi okolicznych z Matlińskim na czele, a także część szlachty zaściankowej z okręga Łasickiego pod wodzą Czarkowskiego, Wszystkich powstańców, gdyby się byli stawili na czas, winno było być około dwóch tysięcy, uzbrojonych w kosy i nieco w broń myśliwską.

Tak załatwiwszy się z Lewandowskim, pozostawiłem go dalszemu losowi, a sam pospieszyłem do Łukowa, by zakomunikować księdzu Brzosce o naznaczonem powstaniu. Brzosko miał ludzi w organizacyi dosyć, lecz trudno było mu zebrać ich na godzinę oznaczoną. Miał on w nocy uderzyć na miasto, licząc na współdziałanie kilkudziesięciu żołnierzy Polaków, zorganizowanych w szeregach wojska rosyjskiego.

Do Deckura posłałem rozkaz, by uderzył na Radzyń z ludźmi, jakich zdoła zebrać, sam zaś wróciłem spiesznie do Biały. Na ten punkt najwięcej liczyłem, gdyż przez parę miesięcy mego pobytu tamże, udało mi się wszystkich mieszczan wciągnąć do organizacyi: w powiecie zaś, oprócz oficyalistów i służby dworskiej, wszystkie zaścianki szlachty były złączone, tak, że można powiedzieć, iż nie było jednego w owej gromadzie, któryby duszą całą nie należał do organizacyi.

W Biały, powinienem był zastać oficera od saperów, Mroczka, jako dowódzcę powiatu Bialskiego, lecz rachuby moje nie sprawdziły się. Na skutek przesłanego przez naszych z Petersburga żądania, komitet Centralny wysłał nagle Mroczka do Kazania, gdzie spodziewał się wywołać dywersyę przez roznieceniе ruchów nad Wołgą. Mroczek w rzeczy samej pojechał, lecz okazało się, że tam w Kazaniu zebrało się wszystkich rewolucyonistów ośmnastu, przez których zaczęto ogłaszać złote hramoty. Ujęto ich wszystkich i Mroczka z trzema spiskowcami rozstrzelano w Kazaniu.

V.

Musiałem przeto radzić sobie na własną rękę. Z chwilą powstania, zadaniem mojem było: tworzyć oddziały, gromadzić je i posyłać tam, gdzieby wymagała potrzeba. Celem naszym było opanowanie dwóch linii: Warszawskiej i Brzesko-litewskiej i Warszawsko-lubelskiej w kierunku Uściługa, Wołynia i Rusi. Gdyby się nie udało odrazu utrzymać na której z tych linii, mieliśmy przerzucić się za Bug, by powstanie rozniecić na przestrzeni jaknajrozleglejszej, a tem samem i rozdrobnić siły nieprzyjacielskie. W organizacyi naszej w Biały mieli udział dwaj oficerowie w rosyjskiej służbie: dowódzca bateryi Suchodolski i adjutant jego Zalewski. Oprócz tego było szesnastu kanonierów — Polaków w owej bateryi i kilku żołnierzy z piechoty. Siły rosyjskie w Biały składały się z bateryi artyleryi, z dowódzcą Suchodolskim i adjutantem Zalewskim, roty piechoty (250 ludzi), roty inwalidów (200 ludzi) sotni kozaków i żandarmów, wszystkiego 500 ludzi, dowodzonych przez generała Mamajewa. W powiecie zaś rozlokowani byli: w Łomazach szwadron ułanów, w Kodniu nad Bugiem park artyleryi, 400 ludzi, uzbrojonych w karabiny, — w Międzyrzecu dwa szwadrony ułanow, z pułkownikiem. Czwarty szwadron stąd w Siedlcach.

Liczyłem bardzo na powiat bialski, był bodaj że najlepiej zorganizowany, przynajmniej w województwie podlaskiem. Brakło mu broni palnej, lecz kos miał podostatkiem i amunicyi, dostarczonej przez żołnierzy z Brześcia, za pośrednictwem żydków. Było na liście trzy tysiące ludzi, którzy winni byli się stawić na pierwsze wezwanie.

Rozporządziłem się następującym sposobem: W Międzyrzecu naczelnikiem mia-

botę. Za pomocą tego systemu daje się możność mniej więcej systematycznego wykształcenia tym wszystkim, którzy albo wcale nie mają czasu na naukę w wyższych zakładach naukowych, albo też tylko krótko mogą w nich przebywać. Nauczanie za pomocą korespondencyi jest dwojakiego rodzaju: formalne i nieformalne. W pierwszym wypadku studentowi dostarcza się drukowane cyrkularze, które mają być wypełnione. Nauczyciel przytem dostarcza uczniowi systematycznych wskazówek, kierując pracą tak, jak gdyby się ona odbywała w klasie. Student zobowiązany jest co tydzień przesyłać profesorowi piśmienne odpowiedzi na pewną ilość pytań z danego przedmiotu i wymieniać zarazem wszelkie trudności, jakie mu się przytem przedstawiły. Profesor zwraca mu jego wypracowanie wraz z poprawkami błędów i odpowiedniemi wskazówkami. Nauczanie nieformalne przeznaczone jest dla studentów wyższego stopnia, pracujących nad bardziej specyalnemi kwestyami. W tym razie student nie otrzymuje stale cyrkularzy, ale tylko szczegółowy plan pracy, i zobowiązany jest nawzajem przesyłać profesorowi albo szczegółowe opracowanie każdej pojedyńczej tezy, albo od razu całą pracę.

Każdy zajmujący się sprawami oświaty spostrzeże zapewne już z tego, cośmy powyżej powiedzieli, że system nauki przez korespondencye, aczkolwiek nie może zastąpić nauki systematycznej. — niesłychanie podnieca do pracy duchowej szersze koła społeczne. Już samo piśmienne obcowanie z człowiekiem wybitnym, zajmującym wysokie stanowisko społeczne, przedstawia dla ludzi garnących się do światła, ogromną pobudkę do dalszego rozwoju duchowego. Przy tem także uczenie za pomocą korespondencyi pozwala wytwarzać organizacye, które inaczej nie doszłyby nigdy do skutku. Łączy ono w związki szerokie koła ludzi zatraconych w najbardziej zapadłych zakątkach kraju, przykutych do jednej miejscowości, a jednak tak często mających gorące pragnienie do życia duchowego w szerszym zakresie.

Trzeci dział instytucyi Chantauqua stanowi, jak mówiliśmy wyżej szkoła letnia. Korzystając z tego, że wielu pracujących ludzi ma wolny czas jedynie latem, urządza się w Chantauqua przez czas paru letnich miesięcy serye wykładów, dopełniając naukę pobieraną przez korespondencye. Przedmioty te obejmują dalszy ciąg nauk z działu „kolegium sztuk wyzwolonych“.

Oprócz tego wykładają tam metody nauczania: pedagogikę i metodykę pojedyńczych nauk; dalej idą wykłady z działu sztuk pięknych, muzyka, gimnastyka, elokwencya, wykład biblii i lekcye według wzoru t. zw. „University extension“, o którym będziemy mówili później. Dla studentów są pobudowane specyalne domki letnie w rodzaju szałasów drewnianych. Lekcye odbywają się na wolnem powietrzu, albo w wielkim gmachu kolegialnym, gdzie też wieczorami urządzają się koncerty i zabawy. Studenci pozostają poddani pewnej dyscyplinie, potrzebnej właściwie tylko dla zachowania porządku wśród tak wielkiej liczby ludzi. Tak np. wszyscy muszą iść do łóżka o 10-tej i wstawać o 7-mej rano. Pod żadnym pozorem nie wolno mieć nikomu u siebie napojów alkoholicznych. Jedzenie odbywa się w pewnej określonej porze itd. Mimo to w Chantauqua, jak też zresztą i w innych szkołach letnich. panuje niesłychanie wesoły nastrój ducha. Młodzież obojga płci urządza wspólne zabawy, wycieczki gremialne po pięknej okolicy, wieczorami zaś maskarady, tańce, przedstawienia etc. i spędza czas bezwarunkowo przyjemniej, aniżeli u nas, nawet w arystokratycznych „wodach“.

Obecnie w Ameryce istnieje 50 takich zgromadzeń na wzór Chantauqua. Opłata za wykłady w szkole i przez korespondencye, jako też za kierunek w czytaniu, jest niewielka i dla każdego dostępna.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Trochę wrażeń z wycieczki po Bośni i Hercogowinie.

Sarajewo-Mostar, sierpień 1896 r.

Dziwne u nas słuchy krążą o Bośni. Pomijam nierozsądne gadaniny „ignorantów“, lecz wielu t. zw. wykształconych bardzo niejasne i niewyraźne o kraju tym ma pojęcie. To też gdy oświadczyłem się z zamiarem jechania do Bośni, jednocześnie uznano projekt mój za co najmniej... niepraktyczny.

I nic dziwnego. W Niemczech całych, a nawet, wstyd powiedzieć, w Austryi, która przecież kraje te okupowała, nasłuchać się można tak wiele dziwacznych i bezsensownych o kraju tym wiadomości, że zdawaćby się mogło, że Bośnia z Hercegowiną — to ląd oddalony, a jej mieszkańcy — barbarzyńcy, gotowi czychać na cię z nożem i trucizną w ręku...

Bośnia zaś jest ciekawą, w Bośni jest co widzieć i czemu się przypatrzeć, jest kraj nowy. odmienny, stary, jeżeli weźmiemy jego historyę i przeszłość pod uwagę, a przecież młody i świeży, z żądzą odrodzenia się naprzód wciąż kroczący, oryginalny i w swoim rodzaju może jedyny. Więc jest tu to wszystko, co może zastanowić i przykuć uwagę, co wartem jest, choćby nawet najkrótszego tu pobytu, a wreszcie prawdziwie zająć może i zainteresować. I nie sądźcie, by tam tylko były te pasma gór lesistych, lub dzikich i kamienistych, które wzdłuż i w szerz Bośnię przerzynają. albo te pola szerokie, lub ugory niewdzięczne, te winnice, stada kóz i owiec, lub całe roje innych rzeczy, nie. Tu ludzie w pierwszym rzędzie są tem, co zająć może i powinno w drugim zaś rzędzie — postęp niebywały jaki kraj ten za sprawą cudzoziemców i najeźdźców w niespełna lat 18 uczynił...

A ponieważ ci słowianie — to bracia

---

ta był syn urzędnika tamecznego, Krysiński, energiczny, dzielny młodzieniec. Pod jego to dowództwem mieszczanie powinni byli uderzyć na koszary ułanów, spalić je i zabrać, co się da. Oprócz ludzi z miasta, miał przybyć na pomoc zaścianek Bojarów (wielu zapewne nie wie, ześmy ich mieli w kraju), a miało ich być z górą stu ludzi. Po zdobyciu winien był Krysiński podążyć do głównego obozu w Biały. (Ten sam Krysiński był następnie oddzielnym dowódzcą, po powrocie z Litwy z oddziałem Lewandowskiego i wsławił się wieloma bitwami w powstaniu).

Do Kodnia przeznaczyłem Nenckiego, rządzcę z kodeńskiego majątku Krasińskich, byłego żołnierza z batalionów Oremburgskich, gdzie się dosłużył stopnia podoficera. Do napadu służyć mieli ludzie kodeńscy i dwa zaścianki: Tuczna i Wizki, 250 żołnierzy liczące.

Do Łomaz naznaczyłem kolegę mego Czapińskiego, rodem z Biały, ze szlachtą z zaścianku Huszczy, 250 ludzi, i z mieszczaństwem z Łamaz. Głównie na czele tego oddziału stał ks. proboszcz owych zaścianków — Nawrecki, ekskapelan II pułku ułanów z r. 1830, dzielny i prawy jako kapłan, żołnierz i obywatel kraju. Zesłany na Syberyę, umarł następnie w Rosyi.

Na pierwszą noc pozostałem sam w Biały. Oprócz mieszczan powinien był przybyć zaścianek z pod Łozic, do którego wysłałem Baltazara Wolanina, nauczyciela powiatowej szkoły bialskiej, a od Janowa Podlaskiego powinno było przybyć około 400 powstańców pod wodzą X Rozwadowskiego, proboszcza z Niemirowa nad Bugiem, wreszcie od Zalesia około stu ludzi z Kaźmirzem Bogusławskim. Mogłem tym sposobem liczyć na posiłek 800 ludzi, oprócz tych, którzy się w mieście znajdowali.

Zanim miałem czas wydać powyższe rozporządzenia, nastąpił pamiętny dzień 22 stycznia... Należało ludzi w mieście zawiadomić, że to dziś w nocy o godz. 12-tej powinniśmy uderzyć na rosyjskie wojska. Dwudziestu ze mną miało wtargnąć do mieszkania Mamajewa i inni, stosownie do rozlokowanego wojska i do siły rozporządzalnej — na baterye, stojącą na krańcu miasta, część na sotnią kozaków, w oddzielnych koszarach konstujących, — inni na piechotę. Liczyłem na popłoch, jaki wywołamy tym niespodziewanym napadem. Prócz tego Suchodolski i Zalewski zobowiązali się w razie alarmu nie opuścić swoich kwater, kanonierzy zaś, należący do organizacyi, mieli wystraszyć strzałami konie, by ich trudno było użyć artylerzystom. Nie byłem przeto pozbawiony widoków powodzenia... lecz widocznie inaczej było zapisane w księdze wyroków Opatrzności.

VI.

Gdym objawił mieszczanom, że nadszedł dzień powstania, rzucili się do kościoła, by wyjednać sobie błogosławieństwo i rozgrzeszenie. Nie było to tchórzostwo, lecz prawdziwie chrześciańskie uczucie. Księża Reformaci przestraszyli się i na spowiedzi nie chcieli dać rozgrzeszenia, odradzając im fatalnego kroku i mordowania bliźnich. Dano mi o tem znać. Można sobie wyobrazić, w jakie mnie to wprowadziło rozdrażnienie. Wpadłem do kościoła, za mną tłum ludzi. Widzę, że księża rozprawiając, nie dają się przebłagać... W uniesieniu zapowiedziałem, że ich żywcem spalę, jeżeli rozgrzeszenia odmawiać będą. Księża ustąpili i rozpoczęła się spowiedź, lecz dla sprawy fatalne to miało następstwo, gdyż z 200 ludzi zaledwie 80 wieczorem znalazło się na probostwie.

Suchodolski i Zalewski, gdy u nich wieczorem byłem, dla ostatecznego porozumienia się i zapowiedziałem, że nad ranem dowództwo obejmie Suchodolski, — stchórzyli i po mojem odejściu pospieszyli do Mamajewa z zawiadomieniem, że za parę godzin wybuch nastąpi, że należy wyprowadzić armaty na rynek i zebrać wojsko...

Godzina dziesiąta rano... Alarm. Trąbki grać zaczynają, zbierają wojska na rynku, rozkładają ogień, a ja z ośmdziesięcioma ludźmi na skraju tego rynku na probostwie czekam posiłków z zewnątrz, jakie o godz. 12 winny były nadciągnąć.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

nasi, przeto zrozumiałem będzie, dla czego należy im się szczególniejsza uwaga.

Pierwsze wrażenie, jakie się odbiera, wjeżdżając do Bośni, jest rzecz naturalna, dosyć silne, i jak zawsze przy rzeczach nowych — oryginalne. Z czasem, dość prędko nawet, można przyzwyczaić się do dziwacznych i nieestetycznych zgoła kostyumów, które tu noszą wszyscy, i do mowy gwarliwej i pełnej gestykulacyi, do całego sposobu zachowania się i ruchów mieszkańców, do nich samych wreszcie... Lecz nim skreślę parę słów o ich tegoczesnem życiu i urządzeniach, warto nadmienić, co się tu działo lat temu 18, przed okupacyą austryacką i przed wtargnięciem całej zgrai różnojęzycznych urzędników i żołnierzy cesarsko-królewskich.

Stosunki tu były okropne. Bośnia, rzec można, przygniecona i dławiona przez dzikich i okrutnych barbarzyńców tureckich, jęczała i płakała łzami, które wyciskały tyrania, samowola, bezrząd, despotyzm pomięszane z kompletnym chaosem i niemocą, o której słabe tylko pojęcie mieć może ten, kto śledzi obecne ruchy powstańcze w prowincyach tureckich. Znaną jest historya okupacyi. Opisywać jej nie potrzeba. Dość, że Austryi przyszło w udziale wziąć pod zupełny protektorat i opiekę dwa te piękne i bogate kraje, które rządy tureckie przywiodły do zupełnego nieledwie upadku. Miałem sposobność, na każdym kroku zresztą, rozmawiania tu z urzędnikami i wojskowymi niemieckimi, jak również i z tuziemcami. Doprawdy, wierzyć się nie chce, by w lat 18 można silną wolą, żelazną dłonią i hojnie szafowanym groszem uczynić z kraju upadłego obecną Bośnię i Hercogowinę, a z ludu dzikiego, nieufnego, podejrzliwego i w wysokim stopniu opornego na wpływy lepsze, — baranków łagodnych, dobrych, poczciwych, wcale rozwiniętych, mających zupełne pojęcie o tem, co może dać cywilizacya i zdających sobie jasno sprawę z tego, że iść naprzód z postępem nietylko można, ale trzeba.

I rzeczywiście. Teraz, nocą czy dniem, z zupełnym spokojem i bez obawy najmniejszej, śmiało podróżować można pieszo wszędzie po Bośni całej, można polegać na dobrej woli pierwszego lepszego wieśniaka, którego wygląd jednak może nie na żarty przestraszyć. Ileż tu pracy choćby w tem podniesieniu ludzkiej godności i samopoznania w całej masie narodu! A przecie nietylko to uczyniono. Zaprowadzono szkoły, pobudowano kościoły, dano urzędy i ustanowiono porządek. Pobudowano koleje, umontowano fabryki, przemysł z pieluch podniesiono, albo wręcz stworzono, miasta urządzono, wsiami się zaopiekowano, przeprowadzono pokaźną ilość dróg i szos pierwszorzędnego rodzaju, bez obawy mogących konkurować z górskiemi szosami w Niemczech. A jednak nie poszło to tak łatwo. Państwo austryackie miało tu nielada zadanie o b j ą ć ziemię tę w administracyą i trafić do przekonania zdziczałym jej mieszkańcom. Były więc bunty i przelewano krew, — a teraz nawet w to uwierzyć trudno. I doprawdy jak Europa nasza długa i szeroka, tak nie ma w niej kraju, któryby w ostatnich latach mógł służyć tak namacalnym dowodem, co może ład, porządek i siła. I choćby już dla tego Bosnia jest ciekawą.

Do Bośni przyjechałem przez Bosna-Brod. Jest to stacya pograniczna, która łączy kraj tutejszy z Europą. Dla tego jest ożywioną i pełną podróżnych zawsze. Inny świat się zaczyna wraz z tą małą stacyą. Mężczyźni rośli, silni, postawni w swych szczerze brzydkich i dziwnie nieestetycznych kostyumach, całe masy Turków, których byś tu ani nie poznał, tak są cisi i pokorni, kobiety śmiałe, żywe, energiczne... w spodniach tureckich, z małym fezem na głowie, z pod fezu zaś obowiązkowo dwa warkocze na plecy spuszczone, wieśniacy, noszący się odrębniej w czerwonych chustach, zawiązanych na głowie na sposób turecki i w białym kostyumie z pasem, mieszczącym w sobie całkowity sklep norymberski, żydzi bośniaccy, t. zw. w języku tutejszym „spanioly„, noszący się z bośniacka — wszystko to, nawet dla tego, co tu przyjeżdża z Węgier, jest nowe, dziwne, inne, oryginalne... Tu kończy się nasza zwykła, szablonowa i jałowa Europa, czujesz, żeś wpadł gdzieś, gdzie już Wschód bije w oczy i całkowicie sobą absorbuje. Ale nie masz żalu o to. Jakaś dziwna otucha wstępuje w serce i jakaś radość, ożywienie i wesołość, że te czarne lub kolorowe tużurki i surduty znikły za tobą, że malowane lalki w maszynach na piersiach i dzwonkowatych spódnicach podziały się gdzieś daleko. Z ciekawością i zainteresowaniem przypatrujesz się tej ożywionej gromadce, która gestykuluje przed tobą, uśmiechasz się, że ci się z nieufnością przypatrują, radujesz się, że ci słowianie mówią tak podobnie do twego rodzonego języka, że chwilami gotóweś przysiądz, iż to Polska.

Pociągi obowiązkowo osobowe. W Bośni inne nie chodzą. Tór jest wązki, o wiele węższy niż zwykły. Mówią, że dla tego, iż po górach biedz musi, ale poczynają już żałować tego. W Hercogowinie jest nawet t. zw. „Zahnradbahn“, tj. kolej zębata. Rzeczywiście nie na małe wyżyny wspinać się musi ta lokomotywka, by uciągnąć swych różnokolorowych podróżnych. Co jest tu oryginalne, ale konieczne i zupełnie zrozumiałe, to to, że wszystko tu jest wojskowe i pod zarządem wojskowym, tak więc poczta, urzędy i drogi, a kolej dopiero od roku poczęła zwać się Bosn- Herz. Staatsbahn. Służbę zatem na poczcie pełnią wojskowi wyłącznie.

Nie jestem przyjacielem Niemców. To też bardzo niesympatycznie mnie uderzają na każdym kroku, gdzie tylko z władzą zetknąć się trzeba; te uniformy, ta mowa gwarliwa, ta zarozumiałość i pycha wreszcie humor mi psują... Przyznać jednak trzeba, że panowie austryacy położyli tu zasługi niemałe, — niestety zasługi te maleją wobec wcale niedwuznacznego pewnika, że to wszystko uczyniono z pobudek jedynie najgorszych i najniehumanitarniejszych zawsze i wszędzie, bo zaborczych, a powtóre, że ci panowie w kraju nie swoim z u p e ł n i e, należącym przecież jeszcze do Turcyi, jeżeli rzecz brać będziemy d e i u r e rozpanaszają się i rozwalają, jakby w kraju własnym... Mimowoli przychodzi na myśl, co to będzie później, gdy Bośnia wejdzie w skład „wielkiej ojczyzny austryackiej“ zupełnie. A że tak się stanie, na to nie potrzeba być wielkim prorokiem. Jest to rzecz oczywista. Termin okupacyi upływa za lat dwa, Turcya nie ma ani pieniędzy na zapłacenie olbrzymich wkładów, jakie tu poczyniła Austrya, ani sił dosyć na zmierzenie się z Cis i Przedlitawią. Konsekwencye przedstawiają się jasno. Przebąkują tu o wojnie lub prolongacie okupacyi. To drugie jest chyba najprawdopodobniejszem... Tutaj ludziska wyczekują ciekawie „co to będzie“, i nie dziw; przecie ich to tak blizko, tak bardzo blizko dotyczy! Pytałem, tak dla ciekawości, wielu austryaków, osiedlonych tutaj i mających fach albo interesa handlowe, coby też uczynili, gdyby tak Bośnia m u s i a ł a wrócić pod zarząd turecki? „A tobym w tej chwili uciekł do Austryi“, — odpowiadał każdy. „Nie zostałby pan tutaj? — pytałem. „Za nic w świecie, — odpowiadał — pan chyba nie masz pojęcia, co to jest Turcya?“

To się nazywa wyrobić sobie reputacyę „solidnego“ państwa!... W Bośni naród mówi po serbsko-chorwacku, nie pozwala się jednakże nazywać serbami lub chorwatami. Tradycya niezależnej Bośni żyje tu pomimo tylowiekowego ucisku tureckiego... Jednak bośniacy utracili w tej niewoli dużo z tego, co się zalicza do ogólnej własności narodowej. „Skurczyli“ się, można powiedzieć, przejęli od swych panów dużo właściwości i cech, przejęli częściowo wiarę, zupełnie kostyum i niemało zwyczaji i obyczaji... To też Bośniak dzisiejszy to już nie ten, co żył i bił się za czasów wolnego królestwa bośniackiego. Ale zresztą mówią niezłomnie Niemcom: „my bośniacy zostaniemy bośniakami.“

Kostyum bośniaka ze sfery kupieckiej, miejskiej w ogóle, składa się z t. zw. tutaj pogardliwie przez Austryaków „Rewolwerhosen“, tj. wązkich u dołu a szerokich u góry spodni, mających z tyłu olbrzymi zwieszający się worek, z kaftana haftowanego na plecach, jasnej koszuli i fezu na głowie. Chłopi, jak wspomniałem, noszą na głowie chusty wiązane i rzadziej już „Rewolwerhosen.“ Wszyscy zaś mają olbrzymie, jak niegdyś nasze, pasy, które co najmniej z pięć minut wiązać trzeba. Turcy noszą się zupełnie podobnie. Niektórzy mają zawoje i wierzchnie ciemne lub jasne płaszcze. Kobiety strój przejęły od turczynek. Noszą fezki małe na głowie, bluzki (i tu nawet nasze modne bufy europejskie chwilowo wprowadzono!) i... szerokie, pakowne szarawary, które czynią je podobnemi, jak trafnie zauważył jeden mój świeży znajomy, do niedźwiedzi, bawiących się w chodzenie na dwóch nogach... Może się kto oburzy, ale te kostyumy nawodzą grzeszne myśli do głowy, wzbudzają żądze i porywy, z gatunku tych gorętszych... Niewiem, czy to na to obliczano...

Turczynki noszą spodnie takie same, tylko jeszcze więcej „męzkie“. Nie pokazują się jednak w nich na ulicy, lecz w szerokiem, do ziemi spływającem okryciu. Głowę i twarz całą według rytuału zasłaniają białym woalem. Wyglądają jak bardzo odstręczające zakonnice. Mówią bośniacy, że to dla tego, by każdemu „giaurowi“ a i obcemu turkowi również obrzydzić spotkaną turczynkę zupełnie. W Hercogowinie noszą kobiety tureckie na twarzy siatki. Jest to więc swojska menażerya.

Niektóre się emancypują. Noszą się więcej z europejska i głowę zasłaniają .. spódnicą. Zwykłe turczynki noszą podwójne buciki: wierzchnie głębokie są zwykle z żółtej skóry i wcale ładne.

Jak w Turcyi zresztą, surowo jest tu wzbronionem obcemu mężczyźnie zaglądać turczynkom w oczy. Za zdarcie zasłony państwo austryackie naznaczyło nawet kilkomiesięczną wieżę. Nie liczę tu, ma się rozumieć, możliwości zakłucia przez interesowanego turka, o co tu nietrudno. Turcy tu przestali już dawno, rzecz prosta, odgrywać rolę, jaką grali za czasów przedokupacyjnych... Teraz są cisi i „pokornego serca“. Nie chcą nic od nikogo, pragną tylko, by im pozwolono spokojnie oszukiwać przy swych kramach, kochać bezpiecznie swe żony w zbytkownie urządzonych świetlicach i odbywać rytualne omywania i modlitwy, gdy ich muezzin z wysokości swej wieży do tego wzywa. Zresztą, wszyscy oni prawie, prócz „uczonych“, zapomnieli, a raczej nie nauczyli się po turecku i mówią językiem krajowym, serbskim. Wielu z nich, z najbogatszych, wnet po okupacyi, utraciwszy swe względy i znaczenie, zmuszeni do uległości przez rząd najezdniczy, wyemigrowało do Turcyi i tam się osiedliło. Pozostali ci, co musieli. Są więc „grzeczni“; rząd zresztą bardzo niesprawiedliwie w stosunku

do bośniaków jest dla nich niezwykle względnym i łagodnym, na przekroczenia ich patrzy przez szpary i wiele win darowywa... Takie postępowanie gdzieindziej nazywa się demoralizującem, tu jednak ze względów „wyższej polityki“ musi być nietylko tolerowanem, ale zapewne i chwalonem.

(Dokończenie nastąpi).

TO I OWO.

Moralność, sztuka i religia w obec panoramy częstochowskiej.

Przed kilku tygodniami specyalnie wysłani do Częstochowy sprawozdawcy pism warszawskich ogłosili w swych organach teologiczno-artystyczne rozprawy z powodu otwarcia panoramy Golgoty. Panoramę tę sprowadzili do Częstochowy pp. artysta-malarz Stanisław Radziejowski i doktór praw z Krakowa Henryk Lgocki; malowali zaś ją Niemcy, pp. Frosch i Krieger. Drugą taką samą panoramę wymalował, jak wiemy z reklam, malarz Jan Styka; ta jest obecnie we Lwowie i ściągnąć ma niebawem do Warszawy, gdzie wznoszą dla niej gmach przy ul. Karowej. Zanim gmach ten stanie, zapewne parę jeszcze panoram tejże treści rozpoczną malować nasi malarze. Panorama częstochowska, pomimo że jest marnem dziełem sztuki (jeśli wogóle panorama może być dziełem sztuki), daje dobre dochody przedsiębiorcom. Trzeba przyznać, że w historyi pomysłów spekulacyjnych, obliczonych na obfity i łatwy połów pieniędzy, myśl otworzenia podobnej panoramy w Częstochowie uważać należy za jedną z najgenialniejszych.

„Przegląd Katolicki“ przeczuł odrazu, że od tej spekulacyi bardzo blizko do zniewagi rzeczy świętych i posłuszny pierwszemu instynktowi, zaprotestował w r. z. przeciwko urządzaniu panoram na temat Golgoty. Przemogły wpływy kupieckie przedsiębiorców, głównie p. Styki, mającego daleko poważniejsze stosunki w wpływowych sferach galicyjskich, niż na Parnasie.

Jak tedy panorama artysty-malarza Radziejowskiego reprezentuje sztukę w Częstochwie? Odpowiedź znajdujemy w „Gazecie Warszawskiej“ w artykule pt. „Ne misceatur sacra profanis:“

„Prostota ducha pątników, ten nastrój uroczysty, który owiewa wszystkich na Jasnogórze, a może potrosze i własne zabiegi przedsiębiorców, skierowane do otoczenia pewnym nimbem całej panoramy, w skutkach swoich wywołały coś tak niezwykłego i, przyznajemy to otwarcie, coś tak niemiłe czyniącego wrażenie, że wydaje nam się obowiązkiem powstrzymać dalsze zapędy. Osoby, które już w czasie pielgrzymek oglądały „Golgotę,“ są oburzone na pewne, delikatnie mówiąc, niewłaściwości przedsiębiorców.

Panowie ci, pragną widocznie wpoić w lud przekonanie, jakoby to było miejsce uświęcone, nakazując zwiedzającym jakąś powagę, objawiającą się np. obowiązkiem zdejmowania z głowy kapeluszy i czapek...

Powody tego ostracyzmu kapeluszowego tkwią oczywiście głębiej. Jasną dla nas jest chęć nadania panoramie pozorów miejsca uświęconego, któreby jako takie urokiem swoim pociągały tłumy. Owe tłumy ciągną też tu z namaszczeniem i nie zdają sobie sprawy, że to nie miejsce, gdzieby się odprawiały Sakramenta Święte, lub choćby śpiewy i modlitwy, że to nie figury przydrożne, przed któremi kornie chyli się czoła, ale tylko przedsiębiorstwo obrachowane na przynoszenie zysków. Co więcej, nawet kompanie z Krzyżem Świętym obchodzą panoramę, jak zwykły czynić przed kaplicami!

Pobożnego ludu naszego nie reflektuje nic, ani nawet napisy w różnych językach, on nie zdaje sobie sprawy z tego, że poza figurami osób, które wielbić przywykł, kryje się jakaś kasa i księgi handlowe, przyklęka też przy wejściu, żegna się i modli w miejscu, które z Kościołem nie ma nic wspólnego.“

Oto przykład, do czego dojść może artysta, kiedy się stanie spekulantem. Nie wyobrażam sobie większego upokorzenia ambicyi artystycznych nad to, jakie może sprawić widok prostych uczuć tłumu, wezbranych nieproporcyonalnie do środków, któremi artysta miał efekt wywrzeć, niezależnie od tych środków i rezultatów artystycznych, jakie osiągnął. Jeśli to zapożyczanie wpływów, ze źródeł. nie mających ze sztuką nic wspólnego, odbywa się świadomie, to przedstawmy sobie, jak gruboskórną musi być jednostka, która się tego dopuszcza!

Do artykułu „Gaz. Warsz.“ dodać to możemy, że do nadania panoramie tego charakteru miejsca świętego przyczyniły się niemało dzienniki warszawskie artykułami, których ton nie licował bynajmniej ze spekulacyjnym charakterem przedsiębiorstwa. Prosimy o przeczytanie np. artykułu p. Adama Dobrowolskiego w Nr. 202 „Kuryera Codziennego “

* * *

Bezcelowe i prawdziwe bohaterstwo.

Jeden z rodaków Nansena, F. Svensen z powodu jego powrotu, poświęca jego przedsięwzięciu bardzo interesujące uwagi pt. „Bezcelowe i prawdziwe bohaterstwo“.

Nie samo tylko fizyczne a nawet umysłowe wytężenie — czytamy tam — jest warunkiem bohaterstwa. Ktoś, jako sportsmen, może najogromniejsze prace wykonywać, może wdrapywać się na najwyższe góry, albo w otwartej łódce przepłynąć przez ocean, albo boso obiedz ziemię w około, a przecież jego bohaterstwo będzie miało ten posmak komedjancki, który nieodłączny jest od przygód toreadora.

Bohaterowie w Ariostowskim „Orlandzie szalonym“, jak wogóle reprezentanci średniowiecznych ideałów rycerskich, pod niejednym względem podobni są do nowożytnych sportsmenów. Wyruszają w pole, aby zwyciężać smoki i olbrzymy lub innych dzielnych rycerzy. Ale w gruncie rzeczy chodzi im jedynie o to, aby dokonywać czynów zarówno śmiałych jak bezcelowych. Miłosne przygody i chrześciaństwo bowiem było tylko dekoracją. Rzecz sama, oczyszczona z ozdób, daje sławę dzisiejszego sportsmena, którego ambicją jest, aby „ uzyskać najlepszy rekord“. A jestto najgorszą i najszkodliwszą stroną nowożytnej sportomanii, że rozpowszechnia w zastraszający sposób łatwe i bezcelowe bohaterstwo. Ambicja młodzieży odwraca się w ten sposób od „zbyt poważnych“ celów, a zamienia się w pospolitą próżność.

Owoż w tych czasach rozmaitych „rekordów“ niezwykle odświeżające wrażenie robi czyn prawdziwego bohaterstwa. Takiego bowiem czynu dokonał właśnie Norwegczyk Fritjof Nansen!

W usługach wiedzy, aby rozszerzyć wiadomości nasze o kuli ziemskiej, na której żyje i działa ród ludzki, wyruszył z garstką odważnych towarzyszy w wieczne lody morza biegunowego. A kiedy okręt zuchwałych Norwegów posunął się dalej niż kiedykolwiek stopa ludzka stanęła, śmiały badacz opuszcza go z jednym tylko towarzyszem i puszcza się dalej ku biegunowi przez niekończone, spiętrzone pola lodowe. Wiele tygodni obaj posuwają się naprzód, aż ujrzeli się zmuszonymi cefnąć się z okolic niezbadanych dotąd. I znów przechodzą miesiące samotnej wędrówki, aż wreszcie ci dwaj samotni zimować muszą. Nansen sam opisuje to zimowe leże w następujących słowach:

„Dnia 18. sierpnia zostaliśmy na cały tydzień zamknięci przez lody, a d. 26 dotarliśmy do lądu pod 81 stopniem 12 min. północnej szerokości a 56 stopni wschodniej długości, gdzie się nam wydało stosowne do przezimowania miejsce. Uważaliśmy więc za najlepsze tu pozostać i przygotować na zimę, gdyż zapóźno już było na długą podróż do Szpicbergów. Strzelaliśmy niedźwiedzie na pożywienie, foki na olej do palenia, zbudowaliśmy domek z kamieni, ziemi i mchu, a dach pokryliśmy skórami fok. Słoninę używaliśmy do gotowania, na światło i opał. Mięso niedźwiedzie i słonina — to było jedyne nasze pożywienie, skóry niedźwiedzie naszem posłaniem. Zima przeszła dobrze a zdrowie nasze trzymało się doskonale. Wreszcie nadeszła wiosna a z nią słońce i wolne przestrzenie morza na zachodzie i południowym zachodzie...“

Zdaje mi się, że rzadko kiedy w prostrzy i skromniejszy sposób donoszono o prawdziwem bohaterstwie. Uprzytomnijmy sobie życie obu samotników, miesiące i miesiące lodowej nocy polarnej, w których wyczekiwali ponownego ukazania się słońca.

„Wreszcie przyszła wiosna, a z nią słońce wolne przestrzenie morza.“...Ale czy wiosna przyniesie ocalenie? Czy prawdopodobnem jest, aby w okolice lodowe zawinął okręt, któryby zabrał obu? Czy też nowa zima zastanie ich tu i wyda ich w końcu śmierci głodowej? Wszak to już trzy lata, jak opuścili ojczyznę, z jakiemże uczuciem myślą o nich przyjaciele w domu, z jakiem uczuciem myślał Nansen o żonie i dziecku? Któżby tu nieprzypomniał sobie mimowoli słów, które Homer Odysseusowi, tęskniącemu za Penelopą i Telemakiem, w usta wkłada!

A potem cudowne ocalenie, nagły powrót, zasłużony entuzjazm rodaków, współudział i współczucie całego świata około radości z powodu dokonanego czynu. A przytem ta za serce chwytająca skromność, z jaką Nansen skwapliwie starał się o uzyskanie dla swoich towarzyszy należnego uznania powszechnego!

Oto prawdziwy bohater, bohater wiedzy, wzór dla młodzieży, jak dokonywać męskich czynów!

NA WYŁOMIE.

(Martwy sezon. — Manifest Armeńczyków. — Pod adresem pań z prowincyi. — Nowe pismo).

Sezon upałów i burz gradowych, wiejskich idyl i nadmorskich flirtów, górskich wycieczek i nieodłączonych zachwytów nad cudami przyrody, rzadko szczerych i oryginalnych, częściej fałszywych i banalnych, zbliża się ku końcowi. U nas w dodatku był to sezon pogrzebów...

W tej atmosferze kanikuły i letnictwa instynkt społeczny przeciętnych umysłów ludzkich układa się do snu błogiego i przybiwszy nad łóżkiem kartę z napisem „Niech mnie nikt nie budzi“, tylko w nadzwyczajnych wypadkach oczy otwiera, by rozejrzawszy się zaspanem okiem po świecie, znów drzemać dalej i dalej. Dziś jednak rozpoczyna się już przebudzenie na dobre. Ludzie wracają z letnich wędrówek do siedzib swoich, jeszcze rozbawieni, jeszcze odświęt-

ni, jeszcze pełni wspomnień minionego *dolce farniente*, lecz z dnia na dzień trzeźwiejsi, ruchliwsi, do walki z życiem gotowi. Cóż przebudzonym ten nowy sezon przyniesie? W oficynach „wielkiej polityki“ nie brak interesujących szeptów i półsłówek, nie brak też rozpaczliwych wołań ludów dręczonych, poświstów kul i jęków pomordowanych szermierzy wolności. Tragiczna walka w państwie sułtana rozbrzmiewa coraz namiętniejszą nutą, a ostatni manifest Armeńczyków jest bolesną skargą na chłód Europy, nie mającej nic dla ofiar tureckiej swawoli, prócz twardego rozkazu: W proch przed potęgą!

Jakże dziwnie zmieniło się oblicze społeczeństw europejskich w ostatnich latach trzydziestu. Był czas, gdy każdy ruch ludów walczących o wolność witano błogosławieństwem, — był czas, gdy na krzyk męki niewolników odpowiadało echo Europy słowem „*In tyrannos*!“ Rozbujała się dusza zbiorowa wielkiem pragnieniem swobody — braterstwo ludów i wolność ludów stały się hasłem cywilizacyi. Lecz dziś rewolucya zdeptanego narodu entuzyazmu nie budzi. Te wielkie bóstwa ideowe, którym w pierwszej połowie stulecia stawiano ołtarze, poszły w poniewierkę, i tak przygasły wielkie uczucia humanitarne, które niegdyś rozpierały serca społeczeństw, tak się ludzkość zaskorupiła w suchym egoizmie, tak dawne orle obniżyła loty, że chyba tylko jaki błędny marzyciel, samotny tułacz na jarmarkach świata, wykolejony z prądów chwili spadkobierca dawnych tradycyi, nastawi ucho na krzyk niewolników i pięść zaciśnie i zgrzytnie. Przed laty 40 Armenia i Kreta stałyby się przedmiotem uwielbienia dla tłumów, — tematem pieśni poetów. A dziś? Dziś w okół głuche milczenie, lubo wielką boleścią tak lud męczony się skarży:

„Bezustannie protestowaliśmy w obec Europy przeciw tyranii tureckiej, ale dotychczas nasze uprawnione żale nie znalazły posłuchu. Sułtan Abdul Hamid odpowiedział nam potokiem krwi armeńskiej. Europa patrzyła na te morderstwa i milczała. Nietylko, że nie powstrzymała dłoni siepacza. lecz nawet odważyła się żądać od nas, abyśmy się ukorzyli... Zginiemy, wiemy o tem, ale rewolucya, która przeniknie wszystkie warstwy narodu armeńskiego, będzie tak długo trwała i zagrażała tronowi sułtana, aż nie zdobędziemy naszych praw człowieka, lub do chwili, w której ostatni Armeńczyk odda ducha swego.“

Do nas Polaków echem wspomnień tragicznych mówią te słowa rozpaczy. Oby „dym pożarów“ i „kurz krwi“ armeńskiej, zakończył się nie modlitwą o wolność lecz tryumfem wolności...

Na zakończenie martwego sezonu, w obec na pół dopiero wytrzeźwionych letników pragnąłbym szczerze w tak uroczystym nie przemawiać tonie i weselsze tematy snuć na kanwie mojej Gdziekolwiek jednak rzucę spojrzeniem po ziemiach bliższej i dalszej ojczyzny, wszędzie witają mnie smutne oblicza uciemiężonych i coraz dziksze okrzyki zaborców. Z trwogą nieomal rozwijam arkusze wielkich i małych dzienników poznańskich, bo pewny jestem, że każdy numer spis nowych gwałtów zawiera. Ze Szląska, Prus zachodnich i Księstwa biją ku nam spotęgowane głosy ucisku, zmierzającego w pierwszej linii do rozbicia wszelkich organizacyi obronnych bytu naszego i stłumienia źródeł życiowych, z których dusza i żołądek narodu czerpią siły swoje. A w tych śmiertelnych zapasach doznaję chwilami wrażenia, jakoby na polskich szańcach i redutach samopomoc zdrzemła się gdzieniegdzie, i wróg bez wysiłku zdobywał serce fortecy. Wspomnę tu tylko o nauce języka polskiego, rozpoczętej z wielkim nakładem zapału, pracy i pieniędzy, a dziś wlokącej żywot anemiczny, równający się w wielu zakątkach prowincyi kresowych bezsile i nieruchomości paralityka. Cóż się stało z „opieką szkolną“? Śpi. Cóż się dzieje z kółkami rodzinnemi? Usnęły. W samym Poznaniu, dzięki energii szlachetniejszych kobiet z różnych warstw towarzyskich, polskie sieroty znajdują jaką taką opiekę i pomoc, lecz z miast i miasteczek prowincyi słychać bezustanne skargi na zupełne opuszczenie dziatwy wydziedziczonej. O! panie moje, — wy, które tak energicznie protestować umiecie, ilekroć jaki Sulla lub Nie-sulla zakwestyonuje doniosłość waszych zasług, ofiarności i pracy narodowej, — dajcież mi nareszcie sposobność, bym z czystem sumieniem, bez zdawkowych komplementów frakowego pana, zgasił gorzkie uśmiechy i uchylił czoło przed działań waszych bilansem. Czy chwili takiej długo jeszcze oczekiwać będę?

Tą smutną nutą nie chcę zakończyć feljetonu mojego. Oto leży przedemną prospekt nowego pisma, poświęconego sprawom rolnictwa, handlu i przemysłu. Tytuł jego „P r a c a“, wydawca p. Bidermann, — redaktor? Krąży jakaś plotka dziwaczna, trudno w nią uwierzyć, choć... Ta plotka kładzie się jak cień posępny na uczuciu zadowolenia, którem mnie napełniła wieść o narodzinach tak niezbędnego w stosunkach naszych czasopisma. Lękam się, że „Praca“ podzieli los poprzedniczek swoich, zgasłych przedwcześnie z powodu wodnitego mleka, którem karmiły je.... mamki. Nie była to zaiste wina społeczeństwa, że żaden z dotychczasowych organów, poświęconych sprawom przemysłu i handlu, usypiał po krótkiej wegetacyi, lecz wina tych, którzy poświęcając kierownictwo czasopism rękom nieudolnym, z góry na śmierć je skazywali. Niechże p. Bidermann zastanowi się dobrze nad losem swojego dziecka, nad warunkami jego egzystencyi, niechże je powierzy takim opiekunom, którzy nowonarodzoną „Pracę“ karmić będą nie wodą banalnych komunałów i aroganckiego beztaktu, lecz mąką wiedzy fachowej i dokładnej znajomości stosunków.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA

* „Q u o v a d i s“. W „Głosie“ warszawskim p. Józefat Nowiński kończy swą ocenę Sienkiewiczowskiej powieści „Quo vadis“ projektem przeróbki tego utworu na książkę dla młodzieży.

„Kto wie, czy istotna doskonałość takiego skrócenia nie postawiłaby tej powieści w bibliotece dla młodzieży obok przeróbek „Don Kiszota“ i „Chatki wuja Toma.“ Wspaniałe opisy wjazdów, wyjazdów, przedstawień cyrkowych i uczt podniosłyby do wysokiego stopnia wartość kształcącą tej książki.“

Oprócz tego krytyk sądzi, że: „Wielka obfitość pierwiastków dramatycznych umożliwiłaby, przy zamianie pierwszego planu na drugi i odwrotnie, wykrojenie dramatu z tej powieści. Jeżeli marna „Teodora“ tyle lat istniała na scenie, to o ileż razy dłużej mógłby istnieć na niej dramat z „Quo vadis“, który byłby jedną z ozdób najwspanialszego nawet repertuaru.“

KRONIKA POWSZECHNA.

Teatr i muzyka. Dwóch wybitnych artystów opuściło teatr krakowski: Marceli Zboiński (angażowany do Lwowa) i Śliwicki (angażowany do Warszawy). — Przedsiębiorstwo opery polskiej Heller-Bandrowski poniosło 12 000 złr. straty. — W czasie zimy podróżować będzie po Królestwie sześć prowincyonalnych towarzystw dramatycznych. — Mascagni pracuje nad nową operą japońską p. t. „Irys.“ Kompozytor studyował przez długi czas muzykę japońską i narzędzia muzyczne, używane w Japonii. — W celu odświeżenia starych dekoracyi teatru poznańskiego i sporządzenia nowych sprowadził p. Edmund Rygier pana Ziembę, młodego malarza z Krakowa. Pan Ziemba poświęca się specyalnie teatralnemu malarstwu i pracował dotychczas dla sceny krakowskiej. — W Medyolanie stowarzyszenia ŚŚ. Ambrożego i Łukasza ogłosiły konkurs na trzy moralne sztuki, kładąc za warunek, aby zawierały tylko role męskie, albowiem występowanie kobiet i panien „jest samo przez się niemoralne i stanowi pierwszy krok na drodze występku.“

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Czesław N. Nowelle te w znacznej części już są tłomaczone. Zresztą odcinek nasz zajęty jest na czas dłuższy.

Konrad. Wiersza: „Czy dziś czy jutro?“ zamieścić nie możemy. Brak tam prostoty, razi sztuczna patetyczność i przebrzmiały Byronizm.

Przyjaciel. Głosy cytowane w „Przeglądzie prasy polskiej“ nie zawsze zgadzają się z opinią redakcyi. Podajemy w tej rubryce cytaty z czasopism najrozmaitszych kierunków, pragnąc informować czytelników naszych o różnych poglądach dziennikarstwa polskiego na ważniejsze kwestye społeczne i polityczne. W sprawie artykułów literackich, poruszonych przez Szanownego Pana, odpowiadamy również, że oczywiście nie każda opinia tam wyrażona odpowiada zupełnie przekonaniom redakcyi. Naszym współpracownikom literackim pozostawiamy względną przynajmniej swobodę zdania.

HUMORYSTYKA.

Także „monopol.“

Jeden z korespondentów poznańskiego „P o s t ę p u“ doniósł przed niedawnym czasem, że jakiś żydowski kupiec z Ostrowa, nazwiskiem Grabowski, pobił chrześciańską dziewczynę. W kilka dni później ukazała się w nr. 25 „G a z e t y O s t r o w s k i e j“ sążnista apologia p. Grabowskiego, która w dziejach idyotyzmów dziennikarskich jest niewątpliwie unikatem. Między innemi tak pisze „Gazeta Ostrowska:“

„Ów korespondent obraził nietylko p. Grabowskiego, ale również i nas; my tu przecie jesteśmy miejscowym organem, nikt nie ma prawa w y ł a w i a ć n a m p r z e d n o s e m s e n s a c y j n y c h w i a d o m o ś c i i w y s y ł a ć i c h z a g r a n i c ę n a s z e g o t e r y t o r y u m a ż d o P o z n a n i a, do nas należy śledztwo i wydawanie wyroków w takich sprawach, i n i k t n i e m a p r a w a o d b i e r a ć n a m m o n o p o l u, j a k i w O s t r o w i e p o s i a d a m y.“

A to monopolistka z tej Gazety Ostrowskiej! Co?!

BIBLIOGRAFJA.

Książki nadesłane Redakcyi.

Ks. Jan Badeni. Ksiądz Karol Antoniewicz. Kraków. 1896.

Józef Chociszewski. Złota książeczka dla dzieci. Poznań. Nakł. K. Kozłowskiego. 1896.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28

Nr. 37. Poznań, niedziela 13-go września 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: ul. Wilhelmowska 28.
(Drukarnia J. i r. Tomaszewskiego.)

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi w Poznaniu 4,00 mrk. Przyjmuje Administracya: ul. Wilhelmowska 28. w Niemczech i Austryi 5,00 mrk. (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 mk. — Prenumeratę przyjmują Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

TREŚĆ.

M. W. S. W. F. R. G.

Ciekawy interwiew.

Byłem u hr. Tołstoja, autora „Sonaty Kreutzera“. Oglądanie tego człowieka stało się dla mnie oddawna bardzo gorącem życzeniem. Filozof w życiu, wielki człowiek w literaturze, człowiek nie ubiegający się o zaszczyty, nie żądny łask dworskich, kupowanych za sprzedajność lub pochlebstwo, nie przykładający ręki do teroryzmu politycznego, panującego dziś w Europie, wydało mi się już przez to samo czemś niezwykłem. Nie przeto dziwnego, że pragnąłem poznać tego człowieka, dowiedzieć się, co myśli, jak się zapatruje na różne wypadki dziejowego znaczenia, które przesuwają się przed naszemi oczyma, pełne grozy lub wstrętu.

Długo męczyła mnie myśl, w jaki sposób pragnieniu swemu zadość uczynić?

W pewnej chwili zdobyłem się na stanowczość i rozwiązałem tę zagadkę w sposób najpewniejszy: postanowiłem pojechać do niego, przedstawić się jako zwykły turysta i na drodze towarzyskiej gawędy dowiedzieć się o wszystkiem.

Jak postanowiłem, tak się stało. Nie będę nudził nikogo opowiadaniem, jak zbierałem się do podróży, co kładłem do walizki, jaki układałem kwestyonaryusz, a przechodzę wprost do rzeczy.

Przyjechałem do wsi, w której hr. Tołstoj zamieszkiwał, około godziny 10-tej rano i wprost udałem się do pałacu, gdyż „ciełowalnik“ w karczmie powiedział mi, że hrabia mieszka „w dworie“. Jak na filozofa, zrzekającego się zbyt głośno wszelkiej próżności światowej, wydało mi się to trochę za — wygodne, ale poszedłem.

Gdym się na ganku, w kolumny greckie strojnym, ukazał, na powitanie moje wyszło dwóch lokajów w białych mesztach ze skórki giemzowej, w białych pończochach, w czarnych krótkich spodeńkach i czarnych frakach ze złoconemi — prawdopodobnie — guzikami.

Podobał mi się wcale taki zakrój na marność światową: — dobra i wyćwiczona służba, chodząca po pokoju bez hałasu.

— Czy pan hrabia w domu? — spytałem.

— Nie, pan hrabia przy zmłockach na toku.

— Ale czy mogę się z nim widzieć?

— O! może pan. Pan hrabia zawsze bardzo chętnie każdego gościa wita u siebie.

— A kiedyż wróci?

Jeden z tych marszałków — dworu naturalnie, — a może dostojnik, dla którego mój język ubogi nie mógł wyszukać wyrazu lepiej malującego jego godność — wyjął zegarek złoty, bardzo piękny remontoir — i rzekł słodko, spojrzawszy nań:

— Za dwie godziny.

Po chwili inny dodał uprzejmie:

— Pan hrabia zawsze wstaje, kładzie się spać i jada wtedy, jak i jego robotnicy.

Dodatek ten nie rozwięzywał jednak zagadnienia, wobec którego stałem.

— Czy mogę tu poczekać na pana hrabiego? — spytałem.

— O, może pan — odrzekł z dyplomatycznym ukłonem starszy według wieku lokaj. Ale pan hrabia jest teraz w stodole i rad będzie bardzo, gdy pan zechce go tam odwiedzić! Proszę się pofatygować!

Powiedziawszy to, odwrócił się do głębi pokojów i krzyknął:

— Mekitka! A, Mekitka!

W sekundę zjawił się na ganku chłopaczek lat czternastu, w spodniach szerokich w czerwonej koszuli, podpasanej wązkim skórzanym paskiem, z czupryną nasuniętą na czoło i obciętą równo dokoła głowy — „w skobki“. Wesoło uśmiechnięta twarz miała łobuzowaty wyraz. Widocznie, że pracą niezbyt się obarczał.

— Zaprowadzisz tego pana do stodoły, do pana hrabiego — rzekł lokaj.

Skinąłem głową ku tym dostojnikom, nieznanym mi bliżej z „charakteru służby“, i w asystencyi Mekitki na tok ruszyłem.

Zabudowania folwarczne o dziesięć minut drogi odległe tylko były od pałacu p. hrabiego.

Było to w końcu sierpnia — więc ciepło jesze, ale już świeżo. Na boisku przed stodołą widać było dwa szeregi zmłocków — może ze dwudziestu, w koszulach rozmaitych jasnych kolorów, wśród których czerwony przeważał, bez czapek, a do uszu moich dolatywał stuk regularnych uderzeń cepów — raz, dwa, trzy, cztery. — raz, dwa, trzy, cztery. W powietrzu, pełnem słońca, migały białe bijaki, połyskując matowem światłem.

Gdyśmy się już zbliżali do boiska, Mekitka trącił mnie łokciem w bok.

— „Barin“ młóci — rzekł z nawpół tajemniczą, a na pół złośliwą miną.

— Gdzie?

— Ot, ten „baradasty“ w czerwonej koszuli i w pasastych spodniach, on na przedzie — widzi pan?

— Widzę.

— Czy to co dnia tak?

— Nie. Jeżeli ładna pogoda „barin izwoliat' zabawliat'sia“.

Zbliżyłem się do zmłocków, ale ponieważ wszyscy, ujrzawszy obcego, zawzięciej poczęli machać cepami, bałem się zbliżyć, aby w łeb bijakiem nie dostać. Widziałem, że pan hrabia także wymachiwał dość wprawnie. Wyniosła jego postać miała w sobie dużo elastyczności i siły. Siwa broda, siwe, duże, zwieszone nad oczy brwi świadczyły, że był to człowiek stary.

Kiedy obydwa rzędy rozłożonego żyta zostały omłócone i należało je na drugi bok przewrócić, — młocka ustała.

Hr. Tołstoj oparł się na cepie i odsapywał, — inni przewracali zboże już omłócone na drugą stronę. Zbliżyłem się do niego i przedstawiłem się.

Przełożywszy cep do lewej ręki, prawą podał mi uprzejmie.

— Bardzo rad jestem, gdy łaskawi goście odwiedzają mnie... — rzekł.

— Było to upragnionem mojem życzeniem.

— Lękam się, że się pan rozczaruje.... ja jestem człowiekiem bardzo prostym... nie zasługuję w niczem na to ogólne zainteresowanie, jakiem mnie darzą powszechnie.

— Ależ panie hrabio — prace jego.....

Tołstoj przerwał ostro.

— To wszystko funta kłaków nie warte.

Ręką wskazał robotników, odwracających cepami zboże.

— Oto jest życie.... tu zamknięte wszystko.... trudniej robić dobrze, niż pisać dobrze.

Dotychczas rozmowa nasza obracała się w ogólnikach salonowych — chociaż nie byliśmy w salonie, nie siedzieli na miękkich fotelach — przeciwnie staliśmy w kurzu zmłoc-

ków i pod jasnem błękitnem niebem zbliżającego się południa.

— Panom, co z Europy przyjeżdżacie, — odezwał się hrabia — wydawać się to musi dziwnem, że u nas na kresach barbarzyńskich zboże cepami walą. U was maszyny rżną, wiążą, młócą, wieją — ręce ludzkie kierują tylko pracą; u nas nie można jeszcze tego robić...

Widocznie słowa te wydały mu się niezupełnie wystarczającemi, bo dodał zaraz:

— Za ubodzy jesteśmy... nie mamy pieniędzy na maszyny...

Przestał i natychmiast znowu mówić począł:

— Zresztą — ręką wskazał na budynki — widzi pan... u nas dachy wszędzie ze słomy... potrzebujemy długiej słomy... maszyna łamie, w kłaki wszystko obraca...

Zmłocki zaczęli się szykować do młócenia.

Hrabia ujął mnie pod ramię.

— Przepraszam pana... odejdźmy trochę, ażeby takie barbarzyńskie narzędzie, jak cep, nie dotknęło się przypadkiem głowy Europejczyka.

Uśmiechnąłem się z grzeczności.

— Ja tu panu wykładam zasadę naszego gospodarstwa — zaczął hrabia, gdyśmy na stronę nieco odeszli i prawie we drzwiach stodoły stanęli — a pan zwyczajem wszystkich interwjewerów pragnąłbyś się dowiedzieć czegoś z własnych ust takiego, jak ja, dziwaka o moich doktrynach filozoficznych.

— Od razu muszę rozczarować pana hrabiego, — nie pragnę tego.

Słowa moje zdziwiły hrabiego; dostrzegłem to po ciekawym rzucie na mnie jego małych, żywych, siwych oczu. Nie odpowiedział mi jednak na to, ale do Mekitki, stojącego obok, zwrócił się:

— Pójdźno, przynieś tutaj dwie „ośminy“.

Mekita w jednej chwili przyniósł dwie miary, podobne z kształtu do naszej ćwierci, odwrócił je dnem do góry i tuż przy progu ustawił.

— Usiądźmy panie — rzekł hrabia najnaturalniejszym tonem, zupełnie jak gdyby przedemną stał wygodny fotel — i pogadamy.

Usiedliśmy tedy na odwróconych „ośminach.“

W szczerość i filozofię hrabiego przestałem już wierzyć. Zdawało mi się, że widzę przed sobą jednego z tych ludzi, który wdziałby na siebie dziurawy płaszcz — byle nań patrzano i mówiono o nim.

— No, więc cóż pana sprowadza pośród barbarzyńców? — zapytał, gdyśmy już usiedli.

— Polityka, panie hrabio.

Tołstoj zamyślił się.

— Bardzo ciekawa rzecz... zwłaszcza teraz. Uprzedzić pana wszakże muszę, że ja polityką się nie zajmuję — czyli jak mówią niektórzy: nie bawię się w politykę.

— Temi czasy zaszło wszakże kilka wypadków na pozór drobnych, ale doniosłości pierwszorzędnej.

Hrabia zamyślony, z głową pochyloną słuchał.

— A o jakąż panu politykę chodzi? — zapytał.

— O politykę Rosyi przedewszystkiem.

Tołstoj przerwał mi:

— Czy jest jeszcze inna jaka polityka? zapytał.

Zuchwałemi temi słowami, wypowiedzianemi łagodnie i spokojnie, zamknął mi usta.

— Jeżeli o polityce możemy mówić na seryo, o polityce, która Europy dotyczy — ciągnął hrabia — to dziś żadne z państw europejskich nie ma i nie prowadzi jasnej, świadomej celu polityki — oprócz Rosyi.

— Obudził się niedźwiedź — pomyślałem sobie — wykarmiony cywilizacyą europejską.

Postanowiłem jednak pytać o wszystko, a ile można najmniej z mojemi poglądami zdradzać się. Chodziło mi o to, aby się dowiedzieć co myślą o Rosyi ludzie, których słuchają. Z góry miałem powzięty plan, nie sprzeciwiać się hrabiemu w niczem.

— Austryę hrabia wyklucza... wtrąciłem.

Tołstoj uśmiechnął się. Dostrzegłszy uśmiech, spytałem:

— Hrabia ją zapewne lekceważy?

— Lekceważę?... Nie...

Nagle podniósł głowę i spojrzał na mnie złośliwie.

— Ale któż Austryę bierze na seryo? — rzekł. Ona może zasługuje na szacunek, ale tam, gdzie się liczą, nikt jej przecie w rachubę brać nie może.

— Dla czego?

— Bardzo naturalnie, bo z jej strony nie ma ani jednego czynu politycznego, któryby o żywotności tego państwa świadczył. Mówię o polityce zewnętrznej. Bo wewnętrzna polityka każdego państwa równa się — robieniu porządku w domu. Młoda gospodyni nieraz tak gwałtownie porządki robi, że zanim jednę rzecz na miejscu postawi, to drugą przewróci lub stłucze; stara robi to samo ostrożnie i pomału.

— Dobra charakterystyka — wtrąciłem.

Hr. Tołstoj zdawał się nie słyszeć moich słów i ciągnął dalej:

— Austrya podobną jest do tej staruszki, która przez całe życie zapobiegliwie gromadziła do swego mieszkania różne fatałaszki. Przywiązała się do nich z czasem i zdaje się jej, iż to rzeczy cenne — a to nic nie warte. W domu czuć stęchliznę, zapach ulubionych kotów, które już oddawna przestały myszy łapać i tylko wygrzewają się na słońcu; forma mebli przestarzała i niewygodna, ale jej się zdaje, ze to wszystko jest doskonałością niepodlegającą krytyce. Polityka Austryi stosuje się do jej wieku i zębów — jest zbyt miękka. Państwo to da się porównać do ciasta, z którego każdy minister innej formy pierożek ulepi, ale po nadto nic zrobić nie potrafi. Starowina każdym czynem zdaje się mówić: dajcie mi spokój, spać chcę. Przedrzemawszy się, znowu zaczyna krzątać się koło domu i porządków w tem przekonaniu, że jej chata najlepsza na świecie. Pośród państw europejskich ona cieszy się szacunkiem starości i zadowala się tem.

— A trójprzymierze — wtrąciłem, a-

NIECIERPLIWOŚĆ TŁUMU.

NOWELLA

Przez

Villiersa de l'Isle Adama.

Wielka brama Sparty — przyparta z obu stron do muru, niby tarcza do piersi wojownika — rozwartą była szeroko przed wyżyną Taygetu.

Piaszczysty schyłek góry czerwienił się zimnemi blaskami zachodzącego po nad pierwszemi mrozami słońca, odbijając obraz hekatomby, poświęcanej pośród brzemiennego grozą wieczoru.

Tam, w głębi poruszał się tłum, objęty krwawą łuną nocnej gwiazdy. Odblaski żelaza, wozy, ostrza pik, mieniły się w niej świetlanym połyskiem. Jedynie oczy tłumu były ponure; wysyłał on uporczywe i ostre jak miecz wejrzenia ku wierzchołkowi góry, zkąd nadejść miała wieść wielkiej doniosłości.

Pozawczoraj drużyna, złożona z trzystu rycerzy, opuściła gród Heraklesa. Uwieńczeni kwiatami odeszli na gody bojowe. Ci, których oczekiwały brzegi Styksu po raz ostatni przygładzili włosy w świątyni Likurga. Następnie, podnosząc tarcze w górę, uderzyli w nie mieczami, wobec entuzyastycznych oklasków niewiast i zniknęli w promieniach zorzy, śpiewając pieśń Tyrteusza. Teraz zapewne wysokie trawy wąwozu obejmują ich obnażone nogi, jak gdyby ziemia, w której stają obronie, chciała popieścić swych synów przed przyjęciem ich do kochającego łona.

Z rana chrzęst broni przyniesiony przez wiatr i odgłosy okrzyków tryumfalnych zdawały się potwierdzać opowiadania oszalałych z radości pasterzy.

Persowie cofnęli się po dwakroć w sromotnej porażce, pozostawiając dziesięć tysięcy trupów po za sobą. Lokryda widywała już podobne zwycięztwa. Tessalja powstaje, nawet Teby budzą się, rozgrzane przykładem. Ateny wysyłają na pomoc legjony, uzbrajają się pod wodzą Milcyadesa — siedm tysięcy żołnierzy powiększa falangę lacedemońską.

Ale oto nagle pośród hymnów chwały i modłów dziękczynnych w świątyni Dyany, pięciu Eforów, po wysłuchaniu przybyłych świeżo posłańców, spojrzało po sobie trwożnym wzrokiem. Senat wydał natychmiast rozkaz uzbrojenia miasta.

Ponury cień rozproszył całą radość. Nie wierzono już opowiadaniom pasterzy. Radosne wieści zostały w jednej chwili zapomniane, niby proste baśnie dziecinne.

Ramiona augurów, oświetlone płomieniem trójnoga, wznosiły się wysoko, wzywając potęgi piekielne. Słowa krótkie, urywane, rozchodziły się w przeraźliwym szepcie.

Zawezwano dziewice.

W ich obecności będzie wymawianem imię — zdrajcy. Długie ich szaty przy zejściu ze schodów portyku muskają rozłożonych na ziemi w pijackim szale Ilotów.

Daje się słyszeć wieść okropna.

Nie strzeżone w Focydzie przejście zostało odkryte przed nieprzyjacielem. Ktoś sprzedał ziemię Hellady, ktoś wydał Kserksesowi na pastwę własną rodzicielkę. I wojownicy perscy, na których czołach lśniły się złote szyszaki satrapów, opanowywali boską krainę, deptali niegodnemi stopami matkę tylu bohaterów.

Żegnajcie świątynie, przybytki przodków i wy, święte równiny! Przyjdą tu oni zniewieściali, wybladli, wybierać będą z pośród cór Lacedomonii niewolnico!..

Przerażenie wzmógł widok Taygetu, ujrzanego przy wstąpieniu na obronne wały. Wicher skowyczał w skalistych czeluściach, jęczał w uginających się z łoskotem jodłach, których nagie gałęzie podobne były do włosów głów, szamotanych agonią.

Gorgona biegała pośród obłoków, a tłum, oblany purpurą pożogi, gromadził się zwartą masą, podziwiając posępną rozpacz ziemi wobec pogróżki niebios.

Nie trzeba było przyspieszać biegu ich krwi motywami oskarżenia... Piekło nienawiści i pomsty w ich piersiach!...

Niecierpliwość, zawiedzione oczekiwania, niepewność co do rozmiarów klęski, potęgują śmiertelny niepokój. Czarną wydaje im się przyszłość, bliską — ostateczna zagłada.

Niebawem pierwsze czoło armii ukaże się na horyzoncie. Niektórym zdaje się, że widzą już na niebie odblaski hełmów perskich rycerzy, a nawet tryumfalny wóz Kserksesa.

Uzbrojeni, z pociskami w ręku, szykują się na obronnych stanowiskach. Dziewice

żeby zaznaczyć czemkolwiek żywotność Austryi.

— Przepraszam pana, trójprzymierze istnieje dla Niemiec. Z chwilą kiedy interesy Niemiec i Rosyi zbliżą się, Austrya pójdzie na zieloną paszę. Dziś trójprzymierze rujnuje Austryę i jej mieszkańców, a przez podtrzymywanie militaryzmu przyczynia się do ukształtowania się odrębnej klasy ludzi, którą w XVI wieku nazwalibyśmy Lisowczykami, w XVIII hajdamakami ulicznymi, a w XIX najodpowiedniejsza dla nich nazwa „opriczników“ Iwana Groźnego. Czy trójprzymierze zasłoni Austryę od Rosyi? Nigdy. Ja mogę panu ręczyć, że kiedy Rosya uderzy na Austryę, jeden pluton Prusaków na pomoc jej nie przyjdzie. Prusy znajdą sto racyi po temu, aby wystawić tylko korpus obserwacyjny na granicy.

— Przecież Włochy będą także obowiązane..

Tak, będą obowiązane patrzeć zdaleka. Zanim nad granicami Austryi stanie armia włoska już Austryi nie będzie, bo i teraz jest ona, prawdę powiedziawszy, nie państwem, lecz nomenklaturą.

— Czy i na Niemcy pan hrabia tak pesymistycznie zapatruje się?

— Na Niemcy — nie. W Niemczech są Niemcy, a w Austryi odrobina tylko Niemców, jak raz tyle, ażeby wystarczyło na ministrów, urzędników i lokajów — rzekł złośliwie — a reszta żydów za Niemców przebranych. Tam prawdziwa nowa Jerozolima! W Wiedniu poprzebierali się za Niemców, w Węgrzech za Węgrów, w Czechach za Czechów, a Galicya jest dla całej Austryi dostarczycielką tego materyału. Boże! to jest dziwoląg jakiś, nie państwo, który posiada dwie ssawki, duży brzuch, a brak mu zupełnie głowy!

— A jednak zwycięstwa polityczne hr. Gołuchowskiego zapewniły temi czasy Austryi bardzo poważne stanowisko.

— Tak. Austrya bardzo się z tego cieszy. Zdaje się jej, że ona czemś jest, a ona jest niczem.

— Więc pan hrabia tych zwycięstw na seryo nie bierze?

Tołstoj brodę gładził i myślał.

— Widzi pan, wszystko na świecie jest względne... Prawda, jaka to głęboka filozofia — dodał złośliwie. — A później zupełnie poważnym tonem rzekł: A, tak, głęboka! Ale... wracam do Austryi. Chce pan zobaczyć jak się objawia u ludzi największa radość i zadowolenie?

— O, to niezawodnie rzecz ciekawa...

Hrabia ciągnął dalej:

— Niech pan naszej wiejskiej dziewczynie podaruje jaką jaskrawą szmatę, kupioną na jarmarku — obaczy pan dopiero, jak ją to ucieszy...

Nie mogłem skombinować rozumowania hrabiego. Hrabia zdaje się domyślał się tego, bo dodał:

— Radość z tego, co się otrzymuje, jest proporcyonalną do wymagań i potrzeb człowieka; im potrzeby są mniejsze, tem radość jest większa. Owe zwycięstwa Austryi są tyle niezawodnie dla niej warte, ile jaskrawa chusteczka za kilka kopiejek dla wiejskiej dziewczyny. W arsenale historyi ona się znajdzie, tak samo jak się znalazły rozkruchy czerepow w muzeach archeologii, ale w życiu są to rzeczy bez znaczenia. Jedna kopiejka z podatku obniżonego więcej warta niż wszystkie zwycięstwa polityczne Austryi. Co państwu po tryumfach, których następstwem jest nędza ludu i zwiększanie armii, czyli sztuczna hodowla darmozjadów.

— Widzę, że pan hrabia bardzo ostro Austryę sądzi.

— Mówię, co myślę...

— Najtrudniejsza rzecz na świecie.

— Szczególnie w państwach konstytucyjnych, gdzie istnieje wolność druku równolegle i w najbliższem sąsiedztwie z wolnością konfiskaty.

(Dokończenie nastąpi).

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Nasi pomocnicy.

Na twierdzenie „G e s e l l i g e r a,“ jakoby w Prusach był tylko jeden język krajowy, język niemiecki, pisze toruński „Przyjaciel“ w artykule pod tyt. „N a s i p o m o c n i c y i k r z e p i c i e l e“ co następuje:

„Z jednej strony ma „Gaselige“ racyą, bo nie d w a, ale s z e ś ć języków krajowych jest w państwie pruskim, a mianowicie n i e m i e c k i, p o l s k i, l i t e w s k i, d u ń s k i, f r a n c u s k i i s e r b s k i czyli wendyjski. Urzędowe spisy wyliczają ich nawet ośm, bo z polskiego zrobiły aż trzy: polski, kaszubski i mazurski. Ale tak „Gesellige“ rzeczy tej nie pojmował. Jemu się uroiło, że sam tylko język urzędowy jest w królestwie pruskiem językiem krajowym. Powiedział więc wielkie głupstwo, gdyż na co byłoby prawo o języku urzędowym niemieckim, gdyby innych języków w kraju między ludnością nie było?

„Językiem krajowym nazywa się według zdrowego rozumu ta mowa, w której rozmaici osiadli mieszkańcy tego kraju mówią. Tyle więc bywa w państwie języków krajowych, ile ich się jako ojczystych między stałymi mieszkańcami państwa napotyka.

„Gesellige“ wie to bardzo dobrze, a jeżeli mimo to inaczej napisał, zrobił to w zaślepionem uniesieniu i w chęci upokorzenia nas Polaków, oraz w chęci zawziętej odmówienia nam wszelkich praw dla mowy ojczystej.

„Po niemiecku mówi przysłowie: Blinder Eifer schadet nur, co znaczy po polsku, że ślepa zawziętość szkodę tylko przynosi temu, który się tak unosi.

---

rozpalają ogniska dla przygotowania smoły, weterani, przybrani w zbroje, wyliczają liczbę nieprzyjaciół, których zgładzą przed wydaniem ostatniego tchnienia.

Sparta nie podda się nawet w razie oblężenia! Obliczają ilość żywności, kobietom przykazują bronić się od hańby samobójstwem. Zasięgają rad u dymiących tu i owdzie na ofiarę wnętrzności.

Ponieważ noc ma przejść na wałach w oczekiwaniu spodziewanej zasadzki ze strony persów, Nogakles, kuchmistrz gwardyi, dygnitarz kulinarny, rozpoczął uroczyście przygotowanie pożywienia publicznego.

Stojąc obok szerokiej kadzi, porusza poważnie ciężkim tłokiem kamiennym i mieszając z roztargnieniem ziarna w solonem mleku, spogląda na Tayget wzrokiem ponurym.

Czekają....

Najpotworniejsze zarzuty podnoszą się przeciw walczącym. Rozpacz tłumu nie waha się przed potwarzą, a bracia tych, którzy mieli skazać na wygnanie Arystydesa, Temistoklesa, Milcyadesa, za niepokój odpłacają wściekłym niemal gniewem.

Jedynie zgrzybiałe staruszki potrząsają dumnie głowami. One pewne swoich dzieci, zachowują spokój lwic, którym od piersi odebrano niemowlęta.

Nagła ciemność okrywa niebiosa, a nie są to cienie nocy; nie, to olbrzymi korowód kruków wyłania się z głębin północy, przelatuje po nad Spartą z okrzykami okrutnej radości, zalega całą przestrzeń sasłania światłość, czepia się wszystkich gałęzi świętych drzew, otaczających szczyty Taygetu. Tu złowieszcze ptaki zasiadają nieruchomie z dziobem zwróconym ku północy i z roziskrzonym wzrokiem.

Zagrzmiały niby pioruny setki przekleństw, miotanych w stronę drapieżników, a za przekleństwami poszybował grad kamieni....

Nic to nie pomaga!

Zwiastuny nieszczęścia pozostają nieruchomie na gałęziach, jak gdyby niebiańska woń poległych bohaterów przykuwała ich do miejsca; nie opuszczają gałęzi, uginających się pod ich ciężarem.

Matki zadrżały z przerażenia na ów widok.

Teraz niepokój szerzy się pośród dziewic. Rozdano im poświęcone miecze, od wieków zawieszone we wnętrzu świątyń.

— Dla kogo te miecze? — pytają. A ich łagodne spojrzenia przechodzą z blasków migocących ostrzy, na zimne oczy tych, którzy je podają. Uśmiechają się do dziewic rycerze — pozostawiając je w niepewności co do ofiar. — Dowiedzą się w ostatniej chwili, broń ma służyć do pszeszycia ich czystego łona....

Nagle dzieci wydały głuchy okrzyk. Oczy ich dostrzegły jakiś punkcik w oddali.

Tam, na zaróżowionym jeszcze szczycie opustoszałej góry, jakiś człowiek, gnany wichrem, zbiegał z wysokości, pędząc w stronę miasta.

Wszystkie wejrzenia kierują się ku niemu.

Nadbiega z głową opuszczoną, z ręką opartą o kij gałęzisty — widocznie w drodze gwoli bezpieczeństwa ułamany; — kij ten ułatwiał mu drogę ku bramom Sparty.

W chwili, gdy przestępuje oświetloną ostatniemi promieniami słońca pochyłość, oczom tłumu ukazuje się płaszcz, zarzucony aż do stóp... Człowiek musiał upadać w drodze, bo płaszcz jego, zarówno jak kij, obryzgane błotem. Nie żołnierz to pewnie, bo nie połyskuje na nim tarcza.

Głuche milczenie wita zbliżające się zjawisko.

Z jakiegoż przybytku grozy i zniszczenia uciekał on w sposób podobny?

Zwiastun to chyba hańby, upadku, spodlenia!

— Podobny bieg nie jest godnym mężczyzny, rycerza! Czego żąda?

— Schronienia? A zatem ściganym być musi! — Przez kogo? — Przez nieprzyjaciela? — Już, już!...

Uragan wściekłości i wstydu targa ich rozbrykaną myślą, zapominają o obecności dziewic, których nagła bladość przechodzi barwą lilje.

Nazwisko rzucone śród ogólnego przerażenia i ohydy, przenika sykiem złowieszczym powietrze.

To spartanin! Jeden z trzystu!...

Poznano go. On! To był on! Wojownik, który zrzucił zbroję!... Ale czemu? Czy w popłochu ucieczki? Uciekano więc? A inni? Czy i oni biegli za nim, owi „nieustraszenia?...“

Pot śmiertelnego strachu oblewa czoło, drgawki konwulsyjnego niepokoju wykrzywiają twarze.

„Tak się dzieje i „Geselligerowi.“

„Chce on tem dobić Polaków i polszczyznę, a robi tak jak ten, który chce uśpić człowieka świeceniem mu jaskrawem w oczy, albo kłóciem szydłem w boki. Te jego podżegania, kłócia i zaprzeczania właśnie Polaków budzą, bo ich oburzają i do bronienia swego zmuszają.

„Gdyby „Gesellige“ nie był takim zaciekłym na nas, jak jest sam z siebie, trzebaby go takim zrobić. Bo jak głód i zimno zmuszają ludzi do kręcenia się, starania i pracy, a przez to do wszelakiego postępu, tak też te zaczepki „Geselligerowe“ i jemu podobnych poruszają, budzą i do obrony swego zmuszają nas Polaków.

„Teraz właśnie występują przyjaciele „Geselligera“ przeciw polskiej pieśni „Jeszcze Polska nie zginęła.“ Możnaby z wdzięczności za budzenie i popychanie nas do obrony własnej bardzo trafnie i słusznie teraz tak śpiewać:

Jeszcze Polska nie zginęła,
Póki nas budzicie,
Coby pamięć uroniła,
Wy nam przypomnicie.

Przejdźcie Wisłę, przejdźcie Wartę,
Krzyczcie: Polski nie ma.
Takie krzyki śmiechu warte,
Boć was w strachu trzyma.

„Tak się to w co innego obraca każda robota na cudzą krzywdę godząca, a to wiedział już dawno i powiedział wielki poeta niemiecki Goethe, że złe złego pragnie, ale na swoje potępienie dobre tam sprawia. Nie jeden z nas jużby może zaniedbał, opuścił i wynarodowił się, lecz Bóg dał zaślepieńców po przeciwnej stronie, a ci tego nie dopuszczą. Tacy sprawiają nie jedną boleść, aleć w boleści odradza się pokolenie ludzkie, a więc i pokolenie polskie, duch w niem i żywotność narodu.

„A teraz z tego nauka dla każdego z nas! Jeżeli mówią, że drugiego języka krajowego, prócz niemieckiego u nas nie ma, to mówią, że tu Polaków nie ma. Mówią właściwie, że i ciebie, bracie Polaku nie ma.

„Jakie to głupie i śmieszne, sam czujesz, póki's żywy.

„Więc bądź żywy, nie tylko jako istota żywa, ale i jako Polak. Broń swego, cudzego nie pragnąc. Staraj się, żeby Polaków nie zabrakło, więc dzieci swoje na dobrych Polaków chowaj. Wpajaj im w serce, że są Polakami. Ucz je po polsku w domu, jak tam umiesz, a dopilnuj, żeby w domu tylko po polsku mówiły.

„W szkole pozwalają im mówić tylko po niemiecku. Więc szkoła od niemieckiej, dom od polskiej mowy! Niech się uczą dobrze po niemiecku w szkole, a jeszcze lepiej po polsku w domu.

„W szkole nakazały niemiecką naukę przepisy ludzkie. Naukę polską w domu nakazała twoja polska krew, polskie sumienie, polska miłość, polskie potrzeby naszej duszy, czyli prawo z natury, a raczej przez Boga dane.“

* * *

Z kresów szląskich.

Cieszyński korespondent „Kraju“ petersburskiego tak opisuje zebranie przedwyborcze w Jabłonkowie, na Szląsku austryackim:

„Wobec przewagi niemców w Księstwie cieszyńskiem, pomimo liczebnej ich słabości, wobec nie przebierającej w środkach sprężystości politycznej t. zw. hazowców, t. j. zwolenników wrogiego Polakom programu dr. Haase'go, superintendenta ewangelickiego, przedstawiciele rozmaitych grup polskich postanowili przy nadchodzących wyborach wytężyć wszystkie siły, żeby nietylko utrzymać się na nielicznych i mozolnie zdobytych posterunkach politycznych, ale też postawić nową kandydaturę, mianowicie z gmin miejskich. Wybory do sejmu krajowego, jako też jesienne wybory do rady państwa, z dodatkową kurją piątą, przedstawiają obszerne pola do rywalizacyi dla dwóch, a nawet trzech narodowości szlązkich. Dwie z nich zresztą, a mianowicie Polacy i Czesi zawarli przymierze tymczasowe dla złamania wspólnego i potężnego wroga. Nic dziwnego więc, że wśród takich okoliczności bardzo poważny nastrój panował na zgromadzeniu jabłonkowskiem.

Kiedy na wniosek pastora Michejdy dziekan i proboszcz miejscowy katolicki, ks. Kołodziej, obrany został przewodniczącym, msgr. Swieży, stanąwszy przy nim, rozpoczął sprawozdanie z czynności swych na sejmie, potrącając przytem i o działalność w parlamencie. Więc mówił o zabiegach swych w zdobywaniu rozmaitych zapomóg dla polskiej części Szlązka, o wnioskach, tyczących się naprawy dróg, regulacyi rzek, racyonalnego rozkładu podatków i ciężarów gminnych, polepszenia bytu nauczycieli wiejskich, słowem, o sprawach najważniejszych i najdostępniejszych dla zebranych tu ludzi. Na zakończenie jednak, załatwiwszy się z relacyą faktyczną, szan. poseł przeszedł do materyi ogólniejszej i, opierając się na boskim, przyrodzonym początku miłości do ziemi macierzystej i języka, zachęcał gorliwie zgromadzonych do wytrwania w nadchodzącej walce wyborczej przy hasłach narodowych, do jedności i przezorności, niezbędnych, kiedy się ma do czynienia z tak silnym i przebiegłym wrogiem.

W sali zapełnionej zbitym tłumem mieszczan i górali, panowała cisza. W skupieniu słuchano długiej mowy, za to w końcu rozległy się oklaski, podziękowania i pojedyncze okrzyki: „Nie damy się, nie damy“.

P. Jerzy Cieńciała, zająwszy miejsce swego kolegi, począł mówić z początku wytwornym językiem literackim, wkrótce jednak potem, zastosowując się do swego audytoryum, przeszedł do mowy potocznej, pełnej prowincyonalizmów i starożytnych form polskich, najzrozumialszej dla Szlązaków. Zarówno treść, jak i układ przemówienia, a nawet frazesy i dowcipy pojedyńcze zdradzały nietylko wytrawnego polityka, ale też i bystrego psychologa. Główny nacisk kładł poseł na gospodarkę sejmu i Wydziału krajo-

---

Widok tego człowieka równa się widokowi całej porażki.

Ach! I czemuż dłużej ukrywać przed sobą ogrom nieszczęścia? Uciekli! Wszyscy!.. Biegną za nim! Ukażą się za chwilę... dopędzani przez perskich wojowników...

Przykładając rękę do oczu, kuchmistrz woła, iż spostrzega ich już w mrocznej oddali....

Rozdzierający jęk przedziera się przez szemrania tłumów. Wychodzi on z piersi starca i wyniosłej postaci niewieściej. Oboje ukrywają twarze w dłoniach, wymawiając w osłupieniu okropne wyrazy:

Mój syn!

Uragan przekleństw zakotłował! Pięści wznoszą się groźnie ku dezerterowi. Wołają, choć wiedzą, że głos nie przedrze dzielącej ich od niego odległości.

— Mylisz się „bohaterze“... Nie tu plac bitwy!

— Nie biegnij tak prędko! Oszczędzaj swe cenne siły!...

— Czy persowie grubo płacą za tarcze i miecze?

— Baczność! Prochy Pelopsa, Heraklesa, Polluksa, pod twemi niegodnemi stopy. Przekleństwo tobie! z grobu wyprowadzisz zdjętych zgorszeniem przodków....

— Merkury użyczył ci swych skrzydeł. Na Styksa! zyskałbyś pierwszą nagrodę na Olympiadach!

Żołnierz, nic nie słysząc, biegł zda się bez tchu w stronę miasta.

A ponieważ błogi spokój zdawał się spoczywać na jego twarzy, ironiczne zaczepki zmieniły się w grad przekleństw najzjadliwszych.

Zdawało się, że z ust tłumu z sykiem wybiegały najwstrętniejsze gady. Dziewice słuchały nieznanych obelg z przerażeniem.

A kapłani:

— Nikczemniku, obryzgany błotem!... Tyś nie całował swej ziemi świętej, aleś ją gryzł!..

Zbliża się ku bramie.

— Ach, na potęgi piekielne. Nie wejdziesz!

Tysiące ramion wzniosło się ku górze.

— Precz. — Śmierć cię czeka! — Albo ruszaj precz! Nie chcemy twej krwi niegodnej na naszej ziemi.

— Do boju! Powracaj!...

— Wzdrygnij się na myśl o duchach bohaterów, które na ciebie spoglądają.

— Persowie dadzą ci wieńce i liry. Spiesz urozmaicić ich festyny, niewolniku!

Po tych słowach dziewice Lacedemonii pochyliły blade czoła i ściskając w ręku miecze, noszone przez królów wolnych i potężnych, wylewały w cichości łzy żalu i upokorzenia.

Oblewając bohaterskiemi łzami rękojeści szpad, przyciskały do serca zabójcze narzędzia. Teraz zrozumiały ich przeznaczenie i przygotowywały się na poniesienie śmierci na ołtarzu niewinności

Nagle jedna z nich chwiejąca się i blada przeszła na skraj wału; usunięto się zewsząd dla utorowania jej drogi.

Była to oblubienica, przyszła małżonka zbiega.

— Nie patrz tam... Semeis — upominały towarzyszki.

Ale ona z groźnem jak piorun wejrzeniem podniosła z ziemi kamień i rzuciła nim w nikczemnika.

Kamień trafił w skroń, wyprowadzając falę krwi na blade czoło człowieka, który zatrzymał się i podniósł wzrok do góry. Dreszcz wstrząsnął jego ciałem. Głowa wzniesiona w górę nieludzkim niemal wysiłkiem, pochyliła się ku piersi.

Zdawał się szamotać w mękach agonii.

Dzieci spoglądały na niego z szeroko rozwartemi oczyma, matki szeptały coś z cicha, ukazując co chwila chylącą się ku ziemi postać.

Majestatyczny i wojowniczy kucharz przerwał swoją pracę i oderwał się od olbrzymiej warząchwi. Coś w rodzaju świętego gniewu zniewoliło go do zapomnienia o obowiązkach zawodowych. Oddalił się od kadzi i poszedł na brzeg wału. Tu skupiając wszystkie siły i nadymając policzki, weteran splunął w stronę zbiega.

A wicher przechodzący poniósł ślinę oburzenia na czoło nędznika.

Zabrzmiał chór pochwalny, łączący się w jeden akord uznania dla energicznego objawu publicznej wzgardy.

Byli pomszczeni.

Oparty w zadumie o kij żołnierz, spoglądał wciąż na otwarte bramy miasta..

Nagle na znak wodza, ciężka brama zawarła ze złowieszczym zgrzytem swe wrota. Przed tą widomą zaporą, która wydalała go na wieki z rodzinnego miasta, zbieg padł na ziemię, z pobladłą nagle twarzą trupa.

wego w Opawie, w których ogromna większość niemiecko-liberalna umie doskonale chodzić około swoich interesów, skierowując swe dobrodziejstwa w formie ulg i ulepszeń rozmaitych, jako też sum pieniężnych na opawską część Szlązka i pozostawiając nieproporcyonalnie małe resztki księstwu cieszyńskiemu, zamieszkałemu przez lud polski.

Małe arkusiki, pełne danych statystycznych, poświadczały za każdą razą twierdzenia sprawozdawcy. W dalszym ciągu, jako prezes Towarzystwa rolniczego, nawoływał on energicznie rolników do zawiązywania kółek i spółek, do zaprowadzania gospodarstw mlecznych, dających gospodarzom szlązkim ogromne zyski, do zasadzania lasów na gołych wirchach, będących w ich posiadaniu, a przedewszystkiem do solidarności i zrozumienia interesu wspólnego. Pod tym względem stawiał im za wzór solidarność i organizacyę robotników socyalistycznych, osięgających, dzięki im, rozmaite zwycięztwa. Huczne oklaski były odpowiedzią na przemówienie p. Cieńciały i nadchodziła kolej interpelacyi. Zaledwie jednak podniósł się znany patryota, adwokat Kreisel, żeby się zwrócić z podziękowaniem i pytaniem do posłów, gdy przewodniczący obwieścił zgromadzonym, że tylko co przybyłe do Jabłonkowa wojsko musi się rozkwaterować i rozlokowuje się w browarze, że zatem niema czasu na wypełnienie całego programu. Pozostaje mu więc zapytać tylko wyborców, czy wyrażają oni v o t u m ufności posłom dotychczasowym i czy życzą sobie postawić ich kandydatury na wybory obecne? Ogromne ożywienie zapanowało po tych słowach wśród tłumu: v o t u m zaufania udzielono bez chwili namysłu i bez namysłu też zgodzono się na kandydatury ks. Swieżego i p. Cieńciały.

Uczestnicy zgromadzenia, niezbyt zadowoleni z przedwczesnego końca, rozpierzchli się w różne strony, oglądali skromny lokal czytelni z szafą książek, zebranych ze stron różnych i z parą polskich litografii, a nawet z miniatorową scenką dla polskich przedstawień amatorskich. Większość jednak podążyła ku ogródkowi, pełnemu już wyniosłych górali, przypominających strojem i typem górali tatrzańskich. Sciągłe twarze, suche nosy, pyszne, charakterystyczne głowy z długiemi włosami, przystrzyżonemi na czole, które im nadają jakiś średniowieczny charakter.

Posłowie gawędzą z wyborcami włościańskimi. My przysiadamy się do stołu zajętego przez nauczycieli wiejskich, „wychowawców pokoleń narodowych“, i przekonywamy się po chwili, że niektórzy z tych panów, chociaż polacy z języka, duchem właściwie i wszelkiemi nadziejami przebywają bardzo daleko od dzisiejszego otoczenia, wierzą w potęgę Haasego i w myśl jego programu skupiają się przy osobnym kandydacie na posła (nauczycielu Szugocie), spodziewając się w ten sposób polepszenia warunków swych materyalnych. Zręcznie zastosowana zasada: „divide et impera“ wydała już i w tym wypadku zwykłe swoje owoce. Tymczasem ironiczne uwagi o Galicyi, o jej stanie nauczycielskim, „składającym się z szewców i rzeźników“, stanowiły główny przedmiot rozmowy niektórych z tych panów przy butelkach ze smacznem jabłonkowskiem piwem. Na szczęście nie wszyscy są tacy; dość wspomnieć, że jeden z najszczerszych patryotów, popularny i pełen uczucia patryota, p. Kubisz, jest także nauczycielem w Gnojniku.“

— *ski.*

W tejże chwili słońce skryło się po za obłoki. Kruki rzuciły się żarłoczne na dogorywającego.

Przyklaskiwano im teraz, a ich zbrodniczy korowód zasłaniał przestępcę przed zniewagami ludzkiego tłumu.

A później przyszła rosa wieczorna i uwolniła z pyłu szaty jego.

Nad ranem z człowieka tego nie pozostało nic, krom porozrzucanych kości....

W ten sposób umarł — z duszą upojoną jedyną chwałą, której zazdroszczą nawet bogowie — z oczyma zamkniętemi nabożnie z obawy, aby widok rzeczywistości nie skalał żywionego w głębi serca ideału Sparty, — rycerz wysłany przez *trzystu* na zwiastuna wiekopomnego bohaterstwa...

W ten sposób zginął rycerz za krew przelaną, za śmiertelne rany, obrany posłem chwały bojowników, którzy rzucając do wód Termipolu tarczę i miecz jego, chcieli, aby przed wydaniem ostatniego tchnienia napełnił ziemię spartańską odgłosami męczeństwa podniosłego.

W ten sposób zginął, znieważony przez tych, za których krew przelewał — *wysłannik Leonidasa.*

K O N I E C.

Zaczątki powstania 1863 roku

na Podlasiu i na Litwie.

(*Ze wspomnień b. naczelnika oddziału.*)

(Ciąg dalszy).

Na alarm zbiegli się do mnie wszyscy kanonierzy. Ci nie zdradzili i przystali do nas... Wtedy spostrzegłem, że choć kos na probostwie było dosyć, jednak broni palnej mieliśmy wszystkiego jedenaście sztuk: siedm dubeltówek i cztery pojedynki. Ja jeden miałem rewolwer belgijski i sztylet..

Siły nasze były nierówne, bym się odważył uderzyć na rynek i czekam więc do 12-tej na posiłki. lecz 12-ta wybiła a nikt się nie zjawił. Spóźnili się — myślę — coś dziwnego? Toć to nie żołnierz, znający komendę, ten i ów chciał się pożegnać z rodziną — może na zawsze... Lecz i południe przeszło, a posiłków jak niema, tak niema. Wysyłam więc trzy extrapoczty z rozkazami. Wojska na rynku przepuszczają je... Rozkazałem by oddziały pospieszyły i skierowały się z Janowa do Białej. Tam miałem zamiar je spotkać, jeśli mi się uda wyjść z miasta. Przeczekałem jeszcze do godziny pierwszej — bezskutecznie. Trzeba było więc coś stanowczego przedsięwziąć. Licząc na popłoch między wojskiem rosyjskiem, jaki powstanie gdy nas zobaczą, wyciągnąłem linię moich kosynierów, i jednego kanoniera ustawiłem na brzegu z kosą i zawołałem: „Przewódź!“ Pójdziemy przez rynek, nie zaczepiając wojska, zaczem się opamiętają, przejdziemy miasto w kierunku Janowa i tam spotkamy swoich, z którymi, jeśli będzie można wrócimy do miasta.

Sam zaś, mając za sobą jedenastu strzelców i wznosząc rewolwer w górę, zawołałem: Bez mego rozkazu ani jednego strzału.. Bracia! Naprzód! W imię Boże!

Tak wyszliśmy na rynek... Stał tam gen. Mamajew z całą swoją, dziesięć razy większą siłą, z ośmiu armatami 400 karabinami i stu lancami!!

Przechodzimy o 30 kroków zdala przed frontem wojsk rosyjskich — głuche milczenie, słychać tylko odgłos naszych kroków miarowych. Tak przeszliśmy ulicę Janowską do skraju miasta...

Wtedy dopiero Mamajew, straciwszy nas z oczu opamiętał się i wysłał za nami kozaków, którzy z g i k i e m swym rzucili się na nas, lecz już byliśmy siebie pewni. Jedno: stój! na cel! i kozacy poszli w rozsypkę. Znowu: naprzód chłopcy! Nie strzelać, bo szkoda prochu! I znów poszliśmy dalej... Tak nas kozactwo przeprowadziło 5 wiorst po drodze Janowskiej do wsi Rozkoszy, nie zrobiwszy nam strzałami szkody. Tu spotkałem oba oddziały: Rozwadowskiego z Janowa i Wolanina z pod Łosic, ludzi ze trzystu razem. Rozbijamy tu obóz — rozpalamy ognie, rozstawiamy czaty i czekamy dnia białego, by oddział jako tako uporządkować. Wojska rosyjskie za nami nie poszły, tak,

---

LITERATURA I SZTUKA.

Zofia Kowalewska.*)

przez

Laurę Marholm.

(Studyum psychologiczne.)

I.

Fizyognomia czasu objawia nam kiedy niekiedy ukryty jakiś rys, który uwidocznia się nie skutkiem bystrości spostrzegacza lub badań krytycznych, lecz sam z siebie bezpośrednio, bezwzględnie, bez zastrzeżeń. Ukazuje się nam natenczas oblicze napiętnowane dłonią śmierci, wyczerpane cierpieniem, duszy jednakże, która w ten sposób oddaje swoje życie wewnętrzne we władzę najgłębszych dociekań psychologicznych, nie zobaczymy już nigdy. Jest to pozdrowienie umarłych, którzy żyją i wiecznie żyć będą w nowych pokoleniach, aby znowu na te same umrzeć cierpienia.

Tak po wsze czasy objawiali się mężczyźni. Ze świata kobiet objawienia podobne zstępują dopiero teraz, na schyłku naszego znużonego stulecia. I najprzedziwniejszym znakiem zbliżającego się świtu jest, że kobieta zaczyna uświadamiać sobie swoją istotę niewieścią i powiedzieć umie, czem jest, czego chce, do czego tęskni i z jakich powodów zamiera. Poznanie to opłaca dziś jeszcze śmiercią.

Objawieniem takiem był dziennik Maryi Baszkircew, książka, którą długa, szeroka fala sympatyi poniosła przez całą Eu-

*) Posłuszni życzeniom czytelników naszych podajemy znakomite studyum Laury Marholm o autorce drukowanej w „Przeglądzie Poznańskim“ „Nihilistki“. Frzyp. Red.

ropę i po za jej krańce. Gdziekolwiek się ukazała, rzucała zarzewie w serca kobiet, które płonęło i płonęło. Większa zaś część kobiet nie wiedziała nawet, co się w nich pali. Lecz czytały tę książkę z dziwnem, bolesnem upojeniem i w każdej z tych kartek, pełnych żaru, energii, łez i tęsknoty poznawały siebie, częstokroć nie wiedząc, dlaczego jest podobieństwo między niemi a autorką dziennika i na czem ono polega.

Dwudziestoczteroletnia Marya Baszkircew nie wyczerpała się ciężką, zewnętrzną walką, w której córki rodzin mieszczańskich tracą zazwyczaj młodość, odporność, świeżość i chęć do życia. Na drodze swojej spotykała tylko przeszkody, związane z tradycyą, która była drugą jej naturą. Otoczona była atmosferą wieku, ta przenikała ją do głębi, utworzyła własny jej widnokrąg, o który jednak otarło się i rozbiło jakieś coś w jej wnętrzu. Posiadała wszystko, co przyczynić się może do najwyższego rozwoju duchowego, psychicznego i fizycznego życia, wszystkie warunki, których brak tysiącom spragnionych ruchu, a duszących się w ciasnocie kobiet. Mimo to nie przeżyła życia i z każdej strony jej pamiętnika wieje rozpacz, rozlega się wołanie, że nic nie miała; że w wiecznej pustce zawsze była sama; że marła z głodu, podczas gdy stół życia nakryty był dla wszystkich; że stała z wyciągniętemi rękoma, żadnego nie otrzymując daru; że mijały młodość i zdrowie; otwierał się grób, coraz szerszy, i że zejść musiała do niego, nie mając za sobą nic, prócz pracy, wysiłków i męki, cierpliwości czekania i tej głupiej, pustej sławy, dającej kamienie zamiast chleba...

Zaś niezaspokojone i niemogące znaleźć zaspokojenia dusze kobiece owego czasu poznały w pamiętniku Maryi Baszkircew własne swoje odbicie, i książka ta stała się dla nich tajemną niejako biblią, w której czytały kładąc się i wstając.

Minęło kilka lat i ukazała się znowu taka spowiedź kobiety, napisana nie przez nią samą, lecz na podstawie szczerych wyznań i długoletniej znajomości, ułożona przez jej przyjaciółkę. Książka ta nosi tytuł: „Zofia Kowalewska. Osobiste moje z nią stosunki i to, co mi o sobie mówiła.“ Autorką tego utworu jest Anna Karolina Eggren-Leffler.

Spowiedź Maryi Baszkircew i wyznania Zofii Kowalewskiej przedziwne wykazują podobieństwo pod względem ich wewnętrznego, osobistego życia, temperamentu i losów. Obie pochodzą ze starych, arystokratycznych, bogatych rodzin, są genialne, od dzieciństwa mają możność rozwijania przyrodzonych darów i uzdolnień, są wreszcie istotami wyższemi, pierwotnemi dziećmi natury, w których jest bezmiar czaru, świeżości i dumnej samowoli. Pod każdym tedy względem należą do wybranek szczęścia.. a jednak... Jednak obie te wyjątkowe kobiety miały w sobie niezaspokojone tęsknoty, wskutek których umarły. I cóż to za dziwny znak czasu?

II.

Historyę życia Zofii Kowalewskiej czyta się jak zajmującą, romantycznemi przygodami aż nadto naszpikowaną powieść. Takiem jest życie. Wybranych obdarza pełnemi dłońmi i pełnemi dłońmi zabiera im przedmioty większej wartości, niźli te, które im dało.

Mając lat osiemnaście, była już panią swego losu. Wyszła za mąż podług własnej woli, kazała mężowi towarzyszyć sobie do Heidelbergu, gdzie oboje zapisali się na uniwersytet, następnie kazała się wieźć do Berlina, gdzie przez cztery lata zgłębiała matematykę pod kierunkiem Weierstrassa. Mieszkała z przyjaciółką, kształcącą się, jak i ona, z mężem spotyka się tylko, kiedy niekiedy, na wspólnych przechadzkach. Małżeństwo jej bowiem z Waldemarem Kowalewskim, późniejszym profesorem paleontologii na uniwersytecie moskiewskim, było związkiem pozornym, ta zaś dziwna okoliczność wprowadza nas odrazu do samego ośrodku jej osobowości.

Kowalewska nie kochała męża, w pierwszej młodości swojej w ogóle do niczego tak mało, jak do miłości, nie była usposobioną. Miała jakieś ogromne niejasne pragnienie, będące czemś więcej aniżeli pragnieniem wiedzy, które jednak pod przewagą nadzwyczajnego talentu, w niedoświadczonej, na pół dziecinnej jej duszy, taką przybrało formę. Kiedy Zofia Krukowska, córka generała, pana na Palibinie, miała lat szesnaście, drzemały w niej już zdolności wielkiego matematyka i wielkiej pisarki. O talencie swoim do matematyki wiedziała, o uzdolnieniu literackiem nie zdawała sobie jeszcze sprawy. Talent ten bowiem z natury swojej budzonym bywa w kobiecie dopiero przez życie. Istota jej była jakby ze stali i ognia, co u kobiet słowiańskich zdarza się częściej, aniżeli u innych ras europejskich. Posiadała też owo dziwne, niepokojące przeczucie krótkości życia, dzięki któremu i Marya Baszkircew w przeciągu kilku lat dokonała rzeczy, na jakie inni potrzebowaliby całego czasu swego trwania. Obie te kobiety uświadomiły sobie przedewszystkiem to, że nie mają czasu do stracenia. Kilka miesięcy zimowych, spędzonych w Petersburgu, postanowiło o losie Zofii i jej siostry starszej, Anny. Młode, spragnione wiedzy i samodzielności dziewczęta chwytały się podówczas nieraz pozornego małżeństwa, jako środka, mogącego je wyzwolić z pod władzy rodziców.

We wszystkich sferach panowała niezmierna, niema opozycya między pokoleniem starszem a młodszem. Panna chcąca wyjechać na studya za granicę, zawierała pozorne małżeństwo z wtajemniczonym w stosunki młodym człowiekiem i otrzymywała w ten sposób od niedomyślających się niczego rodziców pozwolenie na wyjazd. Z podróży poślubnej robiła się naukowa, i młoda para rozłączała się zazwyczaj bez wszelkich do siebie roszczeń, aby czerpać wiedzę z odmiennych krynic. Siostra Zofii, posiadająca wybitny talent literacki, którego ojciec nie pozwalał jej uprawiać, w ten właśnie sposób chciała wydostać się z domu. Jednakże Woldemar Kowalewski, któremu odpowiednią uczyniła propozycyę, wolał Zofię.

że mogliśmy do rana pozostać w Rozkoszy. Ztąd przeszedłem na szosę z Biały do Brześcia idącej ku Zalesiu, chcąc się spotkać z Kazimierzem Bugusławskim, by się dowiedzieć, co się na innych punktach zrobiło. Gdyśmy stanęli na szosie pod Zalesiem, postanowiłem zburzyć most rzucony przez rzekę Krznę i przez błota, by utrudnić Rosyanom komunikacyę między Brześciem a Białą. Tu ledwieśmy się zatrzymali, nadjechał z Brześcia powóz pocztowy. Siedział w nim naczelnik biura Namiestnika Królestwa Czerkasów. Był to pierwszy Rosyanin, co wpadł w nasze ręce.... Byłem pod wrażeniem rozdraźnienia, i nieudanego początku powstania. Na zapytanie: kto jest? kłamie, zasłaniając się nazwiskiem Wiszniewskiego. Ręka mi zadrżała, mimo woli chwyciłem za rewolwer, wypaliłem i — Czerkasów padł. Zarzucono mi, żem tak uczynił sam, a nie kazałem go rozstrzelać.... Na to mam jedyną odpowiedź, że miałem lat 24 i byłem żądny krwi nieprzyjacielskiej.... Czerkasów wiózł ważne papiery do Warszawy, rozkazy i rozporządzenia co do całej branki, gdzie i jak miano rozlokować rekrutów, których ogólna liczba określoną była na 25 tysięcy.

Trupa Czerkasowa, wraz z zabranemi przy nim papierami tymże powozem odesłałem do Warszawy.

VII.

Rozłożywszy się obozem pod Zalesiem, pozostawiłem naszych pod dowództwem Wolanina, a sam w kilkanaście koni udałem się do zaścianków Tuczna, Wiski i Huszcza, by się dowiedzieć, co się tam zrobiło i by ztamtąd zabrać ludzi. Przybyłem do Tuczny, gdzie zastałem Neckiego, który w nocy uderzył na Kodeń. Rosyanie byli nieprzygotowani. Wystrzałem z pistoletu powalił żołnierza na odwachu i uderzył w bęben na alarm. Szlachta rzuciła się z kosą na postój i zdobyła odwach. Rosyanie rozbiegli się ze swym komendantem tak, iż Necki zdobywszy Kodeń, zabrał ze 300 karabinów, wprawdzie starych, przerobionych ze skałkowych, lecz zawsze z bagnetami. Więc była już i broń palna, mnóstwo gotowych ładunków i pistonów, co było najważniejszem, wziął przytem do niewoli 80 żołnierzy, których przeprowadził do Tuczny. Radość moja była wielką, gdyż to mogło dodać nowej otuchy naszym. Zebrawszy szlachtę, rozkazałem jej gotować się do wymarszu, i sam pocwałowałem do Huszczy, głównego zaścianka, który miał za zadanie uderzyć na Łomazy. Wiedziałem już, że i tam się choć w części udało. Huszcza — jest to długi na parę wiorst zaścianek, po jednej jego stronie stoją domy mieszkalne, po drugiej zabudowania gospodarcze.

Gdym wjechał do zaścianka, przedstawił mi się widok następujący: Przy każdym domu, stosownie do tego, ilu ludzi zeń szło do powstania, stały kosy oparte o ściany domu. Była to ulica kos! Przebiegłem całą długość Huszczy do kościoła i probostwa, a za mną wszyscy, porwawszy za kosy podążyli. Na probostwie zastałem trochę ludzi, mieszczan z Łomaz: Czapińskiego i Szaniawskiego, obywatela z Krasówki, który, na hasło powstania, zebrał czeladź dworską i ruszył ze szlachtą na Łomazy. Sam energiczny, odważny i rzutki — mimo lat 50 — był duszą napadu na Łomazy wraz z księdzem Nawrockim. Rosyanie i tu nieprzygotowani, niezdążyli osiodłać koni, a kiedy nasi z kosami rzucili się na nich, uciekli do Międzyrzeca, pozostawiwszy w rękach naszych wachmistrza, trzech żołnierzy, siodeł na 70 koni, pałaszy i lanc mnóstwo.

Tak więc szlachta nasza dzielnie się owej nocy spisała. Gdyby była broń i choć setny między nią obeznany z taktyką wojenną, by owe masy od razu zorganizować, to — mówię to po latach przeszło 30, gdy już zapał minął i chłodno człowiek na przeszłość spogląda — wierzę silnie, że bylibyśmy górą! Był taki między nami poryw, a takie jakieś nieokreślone między Rosyanami osłupienie, że przewaga była po stronie naszej. Brak broni wszystko zniweczył.... Dziś, gdy patrzę w przeszłość i przypominam sobie ów zastęp, co poszedł za mną z trzech zaścianków, z kosami tylko w ręku, przeciw armatom i sztucerom, zostawiwszy żony, starców i dziatki w domu, bez opieki, — łza mimowoli nabiega mi do oczu, jako wyraz czci dla owych ludzi, którzy z miłości dla kraju gotowi byli zdobyć się na najwyższe poświęcenie. Byli to nieodrodni bracia owych Maćków Dobrzyńskich z Pana Tadeusza.... Naród, co takich posiada synów, — nie zaginie nigdy!

VIII.

Zebrawszy tedy owe zaścianki, powiozłem je do oddziału pod Zalesiem pozostawionego. Tu zastałem kolegę mego z Cuneo, Adama Radowickiego z Grodzieńskiego,

Ojciec nie przyzwalał na ślub młodszej córki przed starszą. Zofia atoli pozwolenie otrzymała przemocą. Podczas wieczornego przyjęcia u rodziców udała się potajemnie do mieszkania Woldemara. Nieobecność jej wyjaśniał wystosowany do ojca bilecik: „Jestem u Woldemara, nie sprzeciwiaj się dłużej naszemu związkowi.“ Generał Krukowski, chcąc nie chcąc, musiał coprędzej sprowadzić córkę do domu i obwieścił jej zaręczyny z Kowalewskim.

W pozornej podróży poślubnej, do której przyłączyła się od razu spragniona wiedzy przyjaciółka, później zaś i siostra Zofii, Kowalewscy odwiedzili najpierw sławną angielską powieściopisarkę, George Elliot, poczem Zofia z przyjaciółką i siostrą przez rok słuchały wykładów w Heidelbergu. Woldemar w tymże czasie studyował w Jenie i Monachium, wreszcie we trójkę przenieśli się do Berlina, Anna zaś potajemnie wyjechała do Paryża.

W Berlinie Zofia zagłębiła się zupełnie w nauce. Jedynem jej towarzystwem był prof. Weierstrass, który szczerze podziwiał jej talent matematyczny i według sił, ucząc ją prywatnie pracował nad jej rozwojem. Uczciwie mówiąc, życie tych dwóch kształcących się dziewcząt przez sześć półroczy było psiem życiem. Zofia wychodziła wtedy tylko, gdy wstępował po nią mieszkający na przeciwległym krańcu miasta i często wyjeżdżający z Berlina Woldemar. Zdawało jej się zawsze, że się kompromituje; obie z przyjaciółką niedoświadczone, trwożliwe, źle mieszkały, źle się żywiły, pozwalały się tyranizować i okradać przez sługę, nie używały sobie żadnej przyjemności, żadnej rozrywki. Od rana do nocy Zofia siedziała przy biurku nad zadaniami matematycznemi; ukończywszy pracę, biegała po pokoju, mówiąc do siebie głośno i bezustannie jeszcze mózgiem pracując. Przyzwyczajona do towarzystwa, usługi, opieki we wszystkich codziennych, drobnych sprawach życia, nie umiała kupić sobie w największej potrzebie sukni, jeśli nie wybierał jej z nią Woldemar. Lecz on nie chciał stale spełniać usług małżonka „z pozoru“ — i w celu dopełnienia wiedzy wyjeżdżał często i na długo do innych miast. Pieniędzy otrzymywali pod dostatkiem z domu, bieda nie zbliżała ich tedy do siebie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

SZKOŁA I WYCHOWANIE.

Prywatne instytucye
dla oświaty ludowej w Ameryce

przez

Dr. fil. Józefę Kodisową.

(Ciąg dalszy).

IV.

Szkoły letnie (Sommer-schools)

Jednostką w życiu społecznem amerykańskiem jest klub. Wszelka działalność społeczna, wszelka agitacya, propaganda etc. opiera się na klubach i rozwija przez nie. Wskutek tego też nieraz kluby, mające pozornie nic nie znaczące zadania przed sobą, jak np. urządzanie zabaw towarzyskich, odgrywają jednak w społeczeństwie bardzo ważną rolę. Zmysł praktyczny Amerykanów pozwolił im ocenić od razu znaczenie łączenia ludzi w grupy i uznać kluby za tę ziemię, wydającą dziesięciokrotny owoc, o której wspomina biblia. Każdy pragnący pracować na niwie społecznej zwraca się więc tutaj przedewszystkiem do jednego lub kilku klubów i stara się je pozyskać dla swojej idei. Skoro zapewni sobie ich poparcie, może uważać sprawę swoją za wygraną.

Podobnie dzieje się i z urządzaniem szkół letnich. Szkoły te mają za zadanie dać sposobność korzystania z nauki tym ludziom, którzy pracując ciężko rok cały, mają odpoczynek w ciągu paru letnich miesięcy. Ludzie interesowani w tej sprawie zwracają się zwykle z propozycyą urządzenia kursów letnich do jakiegoś klubu i starają się zapewnić sobie jego poparcie, „in corpore.“ Gdy to nastąpi, wynajmują gdzieś, — w niewielkiej odległości od większych miast, — zwykle na wsi, jakiś gmach kollegialny, lub wyszukują dostateczną ilość prywatnych mieszkań i wyjeżdżają tam wraz z całym klubem i wszystkimi przyjaciółmi i znajomymi członków klubu, którzy pragną wziąć udział w tej sprawie. Zarząd całej takiej gromady wakacyuszów spoczywa zwykle w rękach paru osób, które prowadzą gospodarstwo domowe, pilnują porządku, dostarczają nauczycieli i urządzają rozkłady godzin wykładowych.

Zarząd robi ze swej strony wszystko, co może, ażeby uprzyjemnić pobyt i naukę uczniom szkoły. Mieszkanie wyszukuje się zwykle z dużym ogrodem, dostarczają się łódki, urządzają wycieczki parostatkami i powozami i t. d. Cała osada zwykle rządzi się zasadami kooperacyjnemi, stąd też koszta są najczęściej bardzo niewielkie. Normują się one jednak naturalnie według stanu finansowego klubowców. Jeżeli klub złożony jest z ludzi biednych, jak n. p. drobnych szwaczek miejskich, — to robota gospodarcza dokonaną bywa przez samych członków klubu, z których każdy ofiarowuje jakąś godzinę dziennie na pracę dla dobra całego towarzystwa. Gdy klub jest w stanie opłacić służbę, — wynajmuje się odpowiednią ilość sług. Nie trzeba jednak sądzić, że towarzystwo szkoły letniej ogranicza się tylko do tej klasy społecznej, do której należą klubowcy. Jak już wspomnieliśmy powyżej, razem z klubowcami zjeżdża się nieraz duża ilość osób postronnych w celu dawania wykładów w szkole, albo nawet po prostu w celu spędzenia z młodzieżą wakacyi. W większości wypadków nikt nie jest zobowiązany do pozostawania w szkole

---

Walerego Goliana, emigranta (brata zmarłego kanonika Zygmunta Goliana), podoficera z legionów algerskich, a z tym nie jakiego Pawłowicza, młodego oficera armii rosyjskiej, tylko co ze szkoły artyleryi wypuszczonego. Obaj jechali do Kijowa z Warszawy i obaj przyłączyli się do oddziału. Radowickiego zamianowałem dowódzcą kawaleryi, Goliana naczelnikiem sztabu, Pawłowicza swoim adjutantem, Szaniawskiego dowódzcą wszystkich strzelców, z tytułem pułkownika, Wolanina kapitanem batalionu strzelców, Nęckiego dowódzcą kosynierów. Drugim przy mnie adjutantem był Stasiakiewicz, eksklervk z Janowa; prócz tego zamianowałem kilkunastu oficerów, podoficerów, jak np. Bogusławskiego, Żukowskiego i wielu innych, których nazwisk już dziś nie mogę sobie przypomnieć.

Odebrałem wtedy właśnie od Rządu narodowego akt uwłaszczenia chłopów, z manifestem, ogłaszającym, że kto dobrowolnie przystąpi do powstania, otrzyma na własność wieczystą pięć mórg gruntu. Przysłano mi również odezwę do narodu wzywającą do powstania, napisaną przez Gillera.

Uporządkowawszy oddział, o ile to było możebnem, ruszyłem do Janowa Podlaskiego (Księżego), by się zaopatrzyć w konie, które postanowiłem zabrać z tamecznej stajni rządowej, a zarazem, by przystąpić do umundurowania i wymustrowania naszych szeregów. W Janowie przebyłem dni trzy. Oddział nasz wzrósł do tysiąca ludzi i wtedy postanowiłem ruszyć na Białą, by ją zdobyć. Chciałem ze sobą powieźć biskupa Benjamina z Janowa, ekskapucyna, lecz udał chorobę i odmówił. Siłą go powlec nie chciałem, a szło mi głównie o wywarcie wrażenia na lud. W drodze dowiedziałem się, że Mamajew tegoż dnia wyszedł z wojskiem do Siedlec, zająłem więc Białą bez boju. Był to wieczór, miasto oświetlone, wszyscy mieszkańcy na ulicach, odwach zajęty przez żydów, którzy urządzili straż miejską, przypiąwszy do czapek narodowe oznaki. Radość była wielka... Tak przeszła noc. Rano odbyło się nabożeństwo. Deputacye żydowskie zaprosiły mnie do synagogi, gdzie żydzi składali przysięgę Rządowi narodowemu. Podczas modlitwy trzymałem rękę na Talmudzie (?), a żydzi, modląc się wykrzykiwali kilkakrotnie moje nazwisko. Potem było nabożeństwo w kościele, gdzie X. Mleczko poświęcał sztandary nasze. Wezwałem następnie właścicieli ziemskich, by przybyli dla wyboru rządu narodowego, według udzielonej mi instrukcyi. W Zarządzie powiatowym mieli zasiadać: jeden włościanin, jeden żyd, jeden mieszczanin, jeden ksiądz i trzech właścicieli ziemskich-szlachty, razem siedmiu członków. Istotnie zjechało się dosyć. Był Buchowiecki, luminarz powiatowy, lecz nie zjawił się Stanisław Alexandrowicz. Zamiast wybrać znaczniejszych obywateli, właścicieli ziemskich, zebrani wybrali przeważnie oficyalistów swoich, o których już wiedzieli, że do ruchu należą. Gdym zaczął im wyrzucać takie tchórzostwo, iż chcą się zasłonić drugimi, jeden z pomiędzy nich, Łojko z pod Piszczac, odezwał się:

— Wybierajcie sami z pomiędzy siebie. My do partyi ruchu nie należymy i powstanie nic nas nie obchodzi!

Krok taki smutne dla Łojki mógł spowodować następstwa. Już miałem dać rozkaz Radowickiemu, by Łojkę aresztować, gdy w tej chwili odebrałem zawiadomienie, że Rosyanie pod dowództwem generała Nostiza, w siedm rot piechoty, z jedną rotą saperów, dwiema armatami i sotnią kozaków wyszli z Brześcia i nad wieczorem staną w Biały. W przewidywaniu bitwy odłożyłem postanowienie co do Łojki, do następnego dnia i zebranie rozpuściłem. Tak przeszło kilka godzin. Nad wieczorem pojawili się Rosyanie i rozlokowali obozem na szosie o trzy wiorsty od Biały, w karczmie zwanej Białką: jedną zaś rotę piechoty i rotę saperów postawił gen. Nostitz u mostu na Krznie, by go poprawić. Widząc, że nieprzyjaciel zamierza nocować i dopiero następnego dnia uderzyć na nas, postanowiłem go uprzedzić, rozumiejąc, że lepiej ten na tem wychodzi, kto napada, niż ten, co się broni. Tak też zrobiłem. Zostawiwszy obóz w mieście, wyszedłem z oddziałem na Nostitza o godz. 10 wieczorem. Mogłem iść albo wprost po szosie aż do karczmy, w której stał przeciwnik, i przejść lasek, który go zasłaniał, lub też iść po drodze prowadzącej do Woskrzenic. Wybrałem tę drugą. Nieprzyjaciel był rozlokowany na polanie, wprost karczmy, otoczonej nie wielkim lasem. Idąc równolegle, byliśmy od niego oddzieleni drobnemi krzakami. Gdyśmy podeszli i znaleźli się na jednej linii z nim, ujrzeliśmy rozłożone ognie nieprzyjacielskie. Wtedy obróciwszy front nasz przeciw nieprzyjacielowi, rozdzieliłem swoich w taki sposób: lewe nasze skrzydło, pod

letniej dłużej, niż tego sobie życzy. Ztąd też panuje ciągła zmiana tak wśród wykładających jak i słuchaczy.

Lekcye, o ile na to pozwala pogoda i przedmiot wykładany, odbywają się zwykle na świeżem powietrzu. Przytem, z wyjątkiem szkół letnich specyalnych, o których wspomnimy poniżej, wykłady noszą na sobie pewną szczególną cechę, zależną od ich dorywczości i warunków bytu słuchaczy. Ponieważ ci ostatni składają się zwykle z mieszczan, więc chodzi przedewszystkiem o otwarcie im oczu na przyrodę. Wskutek tego urządzają się głównie lekcye z ornitologii, botaniki, mineralogii i t. d. Wykłady połączone są z wycieczkami, zbieraniem minerałów, roślin etc. Często nie ma w nich najmniejszego systemu — chodzi bowiem o to, aby nie trudzić słuchaczy, lecz rozwinąć w nich tylko zmysł obserwacyjny i gust do przyrody. W tym też celu urządzane są zwykle lekcye robienia szkiców, cieszące się w większości wypadków wielkiem powodzeniem. Obok przedmiotów przyrodniczych, wielką rolę odgrywają wykłady z literatury, a mówiąc właściwie, nie wykłady, lecz czytanie autorów z komentarzami. Dalej idą ulubione w każdej amerykańskiej szkole lekcye elokwencyi. tak zwane lekcye „Del Sarte,“ gimnastyki etc. Od czasu do czasu, przyjeżdżają też zwykle jakieś znane szerszym kołom amerykańskiej publiczności osoby dla wygłoszenia jednego lub dwóch odczytów w przedmiotach dotyczących ogólnego wykształcenia.

Naturalnie mowa tu o szkołach letnich, urządzanych wśród niższych warstw ludności amerykańskiej. W Ameryce jednak pod nazwą szkół letnich rozumieją wogóle wszelkie letnie wykłady, urządzane n. p. przez uniwersytety, kollegia, szkoły teologiczne etc. Obok szkół letnich na wsi, istnieją jeszcze szkoły letnie miejskie, a właściwie kursa wykładów popularnych, urządzane latem przez uniwersytety ludowe, lub inne instytucye tego rodzaju. O tych jednak, jako nieróżniących się niczem od szkół zimowych, nie potrzebujemy wspominać na tem miejscu. Szkoły letnie ludowe, właściwie mówiąc, nie wiele podają słuchaczom nauki w ścisłem znaczeniu tego słowa. Dostarczają one raczej zachęty do nauki, i pewnego zasobu idei, które inaczej nie przeniknęłyby do sfer zapracowanego i pochłoniętego walką o zdobycie chleba ludu. Gdy jednak zważymy, że rok rocznie tworzą się w Ameryce tysiące szkół tego rodzaju, mających od kilkudziesięciu do kilku tysięcy słuchaczów, i że wielu z tych ostatnich po kilkakrotnie powraca do letniej szkoły, — to zrozumiemy, że masowa działalność szkół nawet tego rodzaju przedstawia wielką społeczną siłę. Przytem jedną z pierwszorzędnych zasług szkół letnich jest wzbudzenie zamiłowania do czytania, które przy odpowiedniem kierownictwie nabywa się bardzo łatwo. To samo znaczenie mają i lekcye z zakresu przyrody. Niesłychanie wązki horyzont, w jakim się obracają interesa duchowe klas niższych, rozszerza się z łatwością, i jednostka ludzka, dotychczas pogrążona w nieskończonych drobiazgach codziennego życia, staje się zdolną do uczuć szerszych i czystszych.

W instytucyach tego rodzaju jak Chautauqua, szkoły letnie mają jeszcze inne dodatnie znaczenie, — a mianowicie: osobiste zbliżenie się i zapoznanie uczni z nauczycielami, od których poprzednio pobierali naukę tylko za pośrednictwem korespondencyi. W wypadkach, należących do ostatniej kategoryi, przypada szkole letniej doniosłe pedagogiczne znaczenie; daje ona bowiem możebność usunięcia wielu nieporozumień, które powstać mogły z powodu niedostatecznej znajomości uczni ze strony profesora.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Kobieta przy pracy.

Powolnym tylko, ale za to tem pewniejszym krokiem wstępuje kobieta na zachodzie Europy w zakres zawodów, które dla niej niedawno jeszcze tak dobrze jak zamknięte były, i ledwie od niedawna przyzwyczaja się Europejczyk do widoku młodych dziewcząt w kantorach banków, w biurach towarzystw ubezpieczeń i adwokatów, u okienka kasjerskiego na kolejach itd. Stenografują one, pracują nad maszyną piszącą, prowadzą księgi i noszą — można się o tem przekonać naocznie np. na budapeszteńskim dworcu, kupując od panny urzędniczki bilet jazdy — z taką samą godnością mundur urzędniczy, jak ich męscy koledzy. A doświadczenia, poczynione przez odnośne instytucye i prywatnych przedsiębiorców z zatrudnieniem i zużytkowaniem sił kobiecych na swoją korzyść, są tego rodzaju, że z roku na rok coraz dotkliwiej uczuwa męzka młodzież, szukająca posad w przeróżnych gałęziach kupiectwa, konkurencyę kobiecą.

Zarówno z telegrafistkami, telefonistkami, manipulantkami pocztowemi i nauczycielkami okazały się kobiety doskonałymi pomocnikami kupieckiemi w tych gałęziach handlu, które zdawało się, daleko bardziej powinny im być obcemi, niż krawiectwo damskie i kupiectwo modnemi towarami. Wzrasta też procent kobiet i dziewcząt zajętych we wszelkich gałęziach kupiectwa bez przerwy. Wzrost ten nie występuje w Europie tak gwałtownie, jak np. w Stanach Zjednoczonych, gdzie w samych tylko przedsiębiorstwach transportowych liczba zajętych kobiet w ciągu lat 20 od 1870 do 1890 r. powiększyła się przeszło o 1000 proc.

---

dowództwem Szaniawskiego, a przy nim Czapińskiego, ludzi 230, naznaczyłem, by wyruszyło i zajęło szosę między Białką a mostem, dla przecięcia komunikacyi między głównym obozem przeciwników a saperami i piechotą, zajętymi naprawą mostu. Z prawego skrzydła oddzieliłem pięćdziesięciu strzelców pod dowództwem Bogusławskiego, aby idąc równo z nami ku nieprzyjacielowi, odkryli fałszywy ogień od strony Biały i podeszli do przeciwnika lasem. Tym sposobem sądziłem, że główną uwagę nieprzyjaciela zwrócę na Białą; ja zaś, w tę porę, z całą resztą oddziału miałem uderzyć na nieprzyjaciela z boku.

IX.

Strzelcami idącymi na przedzie dowodził Wolanin; kosynierów prowadził Nęcki, kawaleryę w 80 koni Radowicki; przy mnie byli Golian i Pawłowicz. Zbliżamy się do nieprzyjaciela. Już go widzimy przy rozpalonych ogniach. Bogusławski wyprzedziwszy nas na 300 do 400 kroków odkrył ogień. Nieprzyjaciel, jak oparzony, zaczął gasić ognie i strzelać do lasu, na oślep. Pospieszamy naprzód. Wolanin ze strzelcami zajmuje rów szosowy naprzeciw polanki i rozpoczyna atak. Nęcki z kosynierami zdobywa karczmę, z której wyparowywa nieprzyjaciela, bierze dwóch oficerów do niewoli, kilkunastu żołnierzy rani i zabija. Nieprzyjaciel cofa się do polanki. Trzeba było kosynierom przejść przez tę ostatnię, by wyparować stamtąd wroga, a wtedy bitwa byłaby wygraną... Idą naprzód. Wprost nich stoją dwie armaty. Nieprzyjaciel daje ognia kartaczami. Pada kilkunastu i szlachta krzycząc „hura!“ cofa się ze szosy. Nęcki zbiera rozpierzchłych, porządkuje i znowu rusza na szosę. Tu znowu strzał kartaczami, znowu kilku pada, a reszta się cofa. Brakło podoficerów, którzyby zozumieli, że armaty straszne tylko — przed strzałem. Po wystrzale brać je można z łatwością. Widząc, że kosynierzy nie poradzą, zwracam się do Radowickiego.

— Adamie! wołam — musimy wziąć te armaty, bo bitwę przegramy.

Mogliśmy tylko przejść pomiędzy karczmą a stodołą obok stojącą. Po bokach ogrody i ogrodzenia, tak, że rozwiniętym szeregiem iść nie było można; a tu nadomiar ciemno. Formuję szóstki i ruszamy z kopyta. W pierwszej szóstce Radowicki, ja, Pawłowicz i trzech żołnierzy. Wypadamy na szosę. Tu spotkał nas strzał armatni. Kartacz zabija mi konia, ja padam, choć nie raniony, lecz koń przygniótł mi nogę. Nim się wydobyłem, pada strzał drugi — zamieszanie. Radowicki, w przekonaniu, żem ja zabity, cofa się, żołnierze za nim. Jeden z żołnierzy, spostrzegłszy mnie na nogach, podaje mi konia. Siadam na niego, lecz już chwila była stracona, tem więcej, że i po oddziale rozeszła się wieść, żem zabity. Nęcki cofa się z kosynierami. Dostał widocznie jakiegoś obłędu, gdyż wśród zamięszania ucieka z pola bitwy i odtąd go już więcej nie ujrzałem. (Wiem, że następnie poległ w jednej z bitew w Lubelskiem.) Wolanin, choć powoli, lecz także cofa się, strzelając ciągle. Zbieram oddział tuż pod Białką; chciałem raz jeszcze powtórzyć atak, lecz było to trudno, z powodu zamętu. Nadomiar złego, dano mi znać, że nieprzyjacielowi przyszły w pomoc posiłki od mostu. Spotkał je Szaniawski, lecz zbyt słabo atakował i pozwolił im spełnić zadanie, tak, że siły gen. Nostitza na polance znacznie się powiększyły, a nasze się rozpierzchły.

Postanowiłem więc wrócić do Biały, do miasta, by tam na nowo się zorganizować. Nostitz za mną nie poszedł i czekał dnia. Ja wróciwszy do miasta, oprócz przyprowadzenia mego oddziału do nowego porządku, musiałem mieć na oku gen. Nostitza. Była już godz. 12 w południe, a on się nie zjawił, gdyż, jak się dowiedziałem, czekał na posiłki z Brześcia.

Tymczasem Szaniawski nie wrócił, ja widząc, że trudno będzie z oddziałem moim utrzymać się w Biały, zabrałem, co tylko było można z pozostałości po artyleryi, ładunków, mąki i owsa i wyruszyłem do Janowa w przewidywaniu, że tam spotkam Szaniawskiego, co też istotnie nastąpiło nazajutrz po wejściu do Janowa. Jako trofea bitwy pozostali nam dwaj oficerowie, wzięci w karczmie przez kosynierów. Zajął Białą po odejściu naszem gen. Nostitz i tam pochował 140 zabitych żołnierzy i dwóch oficerów. Czynność tę musieli spełnić X. X. Bazylianie, których kościół z ciałem ś-go Józafata biskupa znajdował się w Biały.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Przyrost w gałęziach, w których się wymaga jedynie mechanicznej, ręcznej zręczności, wynosił 130 procent.

Mary Kelley poświęca w „Lippencotts Magazine“, poważnym amerykańskim przeglądzie, długi artykuł tej rewolucyi, jaka się dokonała w amerykańskiem społeczeństwie.

Bo trzeba wiedzieć, że dawniej, nawet w wolnej od przesądów Ameryce, ojciec rodziny musiał już bardzo zbiednieć, aby się zdecydował dać córce swojej jakiś zawód w ręce tak, aby samodzielnie na chleb zarobić mogła. Córki drobnych przemysłowców, urzędników nieuposażonych od losu majątkiem, lekarzy, adwokatów itd. pozostały tak długo ciężarem rodziny, póki się dla niej nie znazł mąż odpowiedni.

Rodziny, stanowiące wyjątek od powyższej reguły, musiały się nawet i w Ameryce godzić z tem, że je w „towarzystwie“ mniej wysoko poważano.

Dzisiaj nawet i za oceanem przestało być małżeństwo ogólną instytucyą ubezpieczania losu dziewcząt i nawet w domach zamożnych panuje zasada przygotowania córek do jakiegokolwiekbądź zawodu i jakiejkolwiek pracy, któraby im zapewniła chociaż skromne utrzymanie.

Rozwój tej idei, że kobieta jest istotą o własnej egzystencyi, a nie samym tylko akcesoryum mężczyzny, że ona porówno z mężczyzną winna spełniać obowiązki względem społeczeństwa i dźwigać moralną odpowiedzialność — to są rzeczywiste powody rewolucyi, której jesteśmy świadkami. Kobieta obserwatorka p. Kelley, za mało może tylko nacisku położyła na to, że w Ameryce jak w Europie, utrzymanie rodziny staje się coraz trudniejsze, a tem samem prawdopodobieństwo zdobycia dobrobytu w małżeństwie coraz mniejsze. Praca kobieca stała się w Europie koniecznością w warstwach społecznych, w której jej niegdyś zupełnie nie znano.

Nowe wynalazki takie jak telegraf, telefon, maszyna do pisania i inne nie mogły dostarczyć zajęcia wielu tysiącom szukających go dziewcząt, to też one w Ameryce zwróciły się do przemysłu i kupiectwa, rugując płeć silną ze stanowisk, którą dotąd bezpiecznie i wyłącznie zejmowała.

Co do kupiectwa, Mistress Kelley zaznacza, że rewolucya ta dotychczas dała tylko mierne rezultaty, bo bardzo rzadko która Amerykanka staje się dobrą pracowniczką kupiecką i robi karyerę. W kraju, w którym mężczyźni rodzą się ze zmysłem do interesów, dziwnym sposobem kobiety nie mają żadnych kupieckich zdolności. Równocześnie bardzo ekspanzywny i bardzo podejrzliwy charakter młodych Amerykanek, jak wogóle kobiet, wynikłe z wiekowego fałszywego wychowania, jest wielką przeszkodą.

Zupełnie bez żadnego przejścia dochodzą małe Jankieski od najgorętszej przyjaźni do najzaciętszego gniewu, znowu się przepraszają znowu wzajemnie sobie — wojnę wypowiadają.

W biurach pewnego wielkiego towarzystwa ubezpieczenia utknęła razu pewnego przez cały jeden dzień praca dla tego, bo dwie stenografistki pogniewały się na siebie i nie chciały udzielać sobie wzajemnie objaśnień, koniecznych do ekspediowania aktów. Wielkie nowojorskie przedsiębiorstwa kupieckie z powodu tej kłótliwości swoich urzędniczek zakazały im surowo wszelkiej konwersacyi podczas godzin urzędowych. Zakazały wprawdzie, ale rozumie się samo przez się, że zakaz ten pozostał na papierze.

Do powodów niepowodzenia należy zaliczyć, że wiele kobiet usiłuje pogodzić pracę zawodową z rozrywkami zwyczajnemi w otoczeniu, do którego wraz z rodzinami należą, albo z zajęciami domowemi, którym się chcą w wolnych chwilach poświęcać, albo wreszcie z przygotowaniem własnemi rękoma toalety codziennej i świątecznej.

Niemożliwem jest — mówi z naciskiem mistress Kelley — być równocześnie dobrą pomocnicą kupiecką i dobrą gospodynią w domu. Autorka zna pannę, która w kupiectwie doprowadziła do stanowiska stosunkowo wysokiego. Rozpoczęła od sprzedawania koronek w jednym z oddziałów wielkiego domu kupieckiego w Nowym Jorku, ale w czasie wolnym od pracy korzystała z każdej sposobności, aby się poinformować o różnicach w jakości towaru, cenach jego, pochodzeniu i wyrobie fabrykatów, które sprzedawała. Wolne godziny spędzała w bibliotekach na studyowaniu książek o historyi koronek, a dzięki teoretycznemu wykształceniu i doświadczeniu, które zdobyła, stała się taką znawczynią koronek, że dzisiaj w najpierwszym domu handlowym Nowego Jorku otrzymuje 4000 dolarów rocznej płacy.

Jest to z pewnością najlepiej płatna pomocnica handlowa na całym świecie. Własną pracą zdobyła wielki los, po który tylu ręce wyciąga, a którego tak wielu nie może pochwycić. Kobietom jednak na razie, również dzięki przesądom w wychowaniu, brak w tych usiłowaniach albo zdrowia, albo też, i na to kładzie mistress Kelley szczególniejszy nacisk, wytrwałości i ścisłości, jednak z postępem ogólnym i te przymioty w sobie niezawodnie wyrobią.

Trochę wrażeń z wycieczki po Bośni i Hercogowinie.

(Dokończenie).

Za czasów tureckich każdy turek był panem, a każdy Bośniak tak dobrze jak niewolnikiem... Teraz się to cokolwiek zmieniło. Czasy złotej wolności dla turków minęły — czy bezpowrotnie, niedaleka przyszłość pokaże. Obecnie turcy trudnią się przeważnie po miastach handlem, a i po wsiach każdy z nich musi mieć choć mały sklepik. Różne tu wieści kursują o nich. To wszakże jest pewnem, że wszyscy oni prawie są bardzo zamożni, a niektórzy bogaci. Ale także dziwnem jest ich życie. Chowają się, kryją, wszystko okrywają jakąś śmieszną tajemniczością.. Są tu bardzo nielubiani i tylko musowo tolerowani. Ich kobiety — to pasożyty, stworzone do zaspokojenia żądz swych mężów i dalibóg do niczego więcej. Wielożeństwo tu prawie jakby ustało. Wielu z turków uznało ten system osładzania sobie życia za zbyt kosztowny i niewygodny. Haremów tu w ścisłem znaczeniu tego słowa nie ma. Są to wszystko prywatne pomieszkania, zbytkownie urządzone, do których wstęp jest szczelnie zapartym.

Turcy tutejsi mają swoją specyficzną arystokracyę. Są to przeważnie bogacze, t. zw. begowie. Używają oni tu tego poważania, jakie na świecie odbierać można od czcicieli złotego cielca. Sami zaś mają się za coś lepszego i niechętnie się „pospolitują“.

Wręcz przeciwnie jest u Bośniaków. Nie wiem czemu to przypisać, ale naród ten obecnie nie posiada wcale t. zw. wyższej klasy, szlachty, jeżeli kto tak chce, — burżuazyi, jeżeli kto tak woli. Jest tylko B o ś n i a k, jeden bogatszy, drugi biedniejszy, jeden mądrzejszy, drugi głupszy, ale zresztą równi sobie najzupełniej. Wszelką zaś nawet imaginowaną różnicę stanu, zaciera jednakowy kostium, który tu noszą wszyscy. Mówiąc w s z y s c y, nie mam na myśli wieśniaków, ci bowiem noszą się odrębniej i łączą się przeważnie z sobą, tylko zdawaćby się więc mogło, że ci wieśniacy właśnie tworzą tu to, co zwykliśmy w naszej Europie nazywać klasą niższą. Lecz to pozornie tylko. W rzeczywistości jest on, wieśniak, zupełnie tak równym drugiemu Bośniakiem, jak oni tu wszyscy. Nowe czasy przyniosły z sobą i nowe porządki. To też teraz z masy narodu bośniackiego poczyna wyłaniać się burżuazya, tak jak we Francyi sto lat temu jeszcze. Pod tym względem Bośnia jest sobie bardzo jeszcze prymitywnem dzieckiem, nie mającem pojęcia o różnicach i walkach klasowych. Ta ewolucya, musowa zresztą, przyjdzie i przyjść musi, jak zresztą już teraz częściowo przychodzi, ale obecnie jest jeszcze w powijakach. To też Bośnia teraźniejsza nie jest wcale gruntem podatnym do rozwijania i propagowania idei i teoryi socyalnych. Dopóki chłop rosyjski, mający swoją „obszczynę“ i swoją wspólną własność gruntową, pracujący na niej z rezultatem dodatnim dla swej kieszeni i bytu w ogóle, nie rozumie i nie będzie potrzebował rozumieć tej walki kapitału z pracą i nienormalności stosunków obecnych, póty także bośniak taki, jakim go jeszcze obecnie warunki tutejsze wydają, nie będzie zaprzątał sobie głowy teoryami zmiany porządku teraźniejszego... Najprzód, jak mawiają socyaliści, musi przejść on epokę drobnoburżoazyjną, potem zas dopiero kapitalistyczną i wielkofabryczną, dopiero wtedy można się spodziewać, iż rzuciłby się tam, gdzieby widział swe oswobodzenie. Teraźniejsze zaś stosunki są prymitywne, patryarchalne, dobre. Każdy pracuje na roli, albo trudni się pasterstwem, niektórzy kupiectwem i już. Wielkiego przemysłu nie ma, nie ma więc i proletaryatu fabrycznego. To zaś, co jest, jest tak nielicznem, że brać tego w rachubę nie można. Proletaryat zaś wiejski nie istnieje. Może bardzo skromnemi są warunki bytu wieśniaków tutejszych, ale jeżeli tylko chcą pracować, — chleb znajdą zawsze. Żołądek ich jest pełnym, a przy pełnym żołądku łatwiej pomyśleć o drzemce, niżeli o podłości tego najmarniejszego ze światów... Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że ta chwila, w której pocznie się wyraźniejsza walka o byt i kęs chleba, jest już niedaleką, obecnie jednak stosunki są jeszcze znośne. Ogromny napływ cudzoziemców to ułatwi. Bośniacy już teraz czują to doskonale i jasno sobie z tego zdają sprawę, że dotychczasowe sposoby zdobywania egzystencyi nie wystarczą. To też rzucają się do kształcenia, ćwiczą się w rzemiosłach, patrzą i uczą się wszędzie, gdzie do tego sposobność znajdą. Głośno tu cudzoziemcy sarkają, że teraz coraz więcej w Bośni Bośniacy zaofiarowywują zdatnych głów i rąk bośniackich... Czyż może być coś naturalniejszego? A jednak przybysze naturalnie nie cieszą się z tego. Nas jednak bezstronnych ten objaw tylko radować może.

Kiedy lat temu 18 w Bośni, śmiało rzec można, nie było ani jednego wykształconego i t. zw. inteligentnego Bośniaka, kiedy naród bośniacki był jedną tylko wielką masą knechtów i niewolników zdziczałych, ogłupiałych, złych, niedobrych i nieufnych, teraz, w marne lat 18, posiadamy tu i lekarzy i adwokatów i różnych innych Bośniaków rodowitych, w Bośni wykształconych, choć częściowo przynajmniej. A że bośniacy są dość pojętnymi i sprytnymi, przeto te obawy cudzoziemców są dość uzasadnione.

Ale liczba tych wykształconych Bośniaków jest, rzecz prosta, nieliczną. To też giną w całej tej falandze najeźdźców, —

spekulantów, geszefciarzy i amatorów łatwego zbogacenia się, których tu okupacya ściągnęła i ściągać nie przestaje. I oni to wszyscy stanowią jednę z przygnębiających stron ujemnych Bośni obecnej. Na oko, cóż bardziej naturalnego i więcej dodatniego, jak te całe masy przybyszów, którzy przyszli dać Bośni oświatę, handel, przemysł i postęp w ogóle? A jednak to najmarniejszy element, jaki się tu znajduje. Nie znajdziesz między nimi nic nad aferzystów, spekulantów i amatorów lekkiego chleba. Począwszy od najmarniejszego kelnera, a skończywszy na najpierwszym jenerale — jedna to banda, solidarnie się za ręce trzymająca. To też Bośniacy nadali im wszystkim pogardliwą nazwę „szwabo“, którą traktują każdego surdutowca bez wyjątku. „Szwabo“ to jakby coś nieczystego, o którym się jednak głośno nie mówi, że zgnilizną trąci. „Szwabo“ ma w swych rękach wszystko, „szwabo“ wszystko może, „szwabo“ wreszcie jest tu panem de facto. Ale naród ich marnie farbowaną skórę odgadł, przeczuł w nich wyzyskiwaczy i złych ptaków niebieskich, wie teraz, co o nich sądzić. Ta cała zgraja jest tak bezwstydną, że nie wstydzi się publicznie przyznawać do tego, iż do Bośni przyjeżdża się robić karyerę i że za takie poświęcenie trzeba mieć przynajmniej jakąś nagrodę.

W kraju zabranym musi być z natury rzeczy cała masa urzędników niemieckich. Ci tłomaczą się tem, że służba nie przyjemność i że musieli tam jechać, gdzie im kazano. Każdy z nich pogardza i brzydzi się jawnie tym Bośniakiem, którego chleb je i czuje się najszczęśliwszym, gdy może dowoli nawymyślać na ten „marny kraj“. Ponieważ Bośniacy nie są jeszcze w stanie dostarczyć jako takiego sortymentu kupców, przemysłowców, rzemieślników itd., przeto wszystko to trzymają w rękach swych austryacy, z których dobrze, jeżeli na stu trafi się jeden niemiec — reszta to wszystko czesi, słowacy, chorwaci i Polacy. Każdy z nich jednak jest austryakiem, po niemiecku mówi, za swego „kaisera i königa“ dałby się porąbać. Już to w ogóle można podziwiać zmysł polityczny Austryi i jej niezwykłą zręczność w mięszaniu i przeciwstawianiu sobie swych różnojęzycznych tłumów. Ktoby sądził, że tu element niemczący stanowią niemcy, tenby myślał logicznie, ale byłby w grubym błędzie... Śmiać się albo zębami zgrzytać trzeba, widząc, jak te całe masy czechów, naszych polaczków i innych „słodkich diejatieli“ z powodzeniem uprawia t. zw. sport austryazowania rdzennie słowiańskich z'em Bośni i Hercogowiny.

Smutne to bardzo, a tem smutniejsze dla nas polaków, że lwią częścią do tego przykładają się tu i „nasi najserdeczniejsi“. W Bośni najwięcej karyerowiczowskim, najnicetyczniejszym i najbezczelniejszym pod tym względem narodem są czesi. Gdzie przemówisz — czech, gdzie się obrócisz — czech, czego się dotkniesz — czech, ale też tych czechów nienawidzą z całego serca... Ma się rozumieć lepsi. Potem główny kontyngens z „marnych ludzi“ stanowią polacy, a ci są tacy, że o nich doprawdy lepiej nie pisać, bo i wstyd i boli... Przecież w samym Sarajewie jest tych „kochanych“ do dwóch tysięcy, — urzędnicy, kupcy, profesyoniści, rzemieślnicy, — a wszystko albo naumyślnie mówi stale po niemiecku, albo zgoła woli rozmawiać jakimkolwiek innym językiem, byle nie swoim. Trafiałem na takich, którzy zdążyli w dwa lata, wyraźnie w dwa, po przybyciu wprost z Galicyi, gdzie wzrośli i wychowali się, zapomnieć albo zupełnie po polsku, albo tak kaleczyć język swój że aż wstręt słuchać. Przecież to trudne do uwierzenia i doprawdy zdaje się niemożliwem. A co powiedzieć o tych, co naumyślnie przekabacają się nie z przekonania, lecz ze względów dość nikczemnych na niemców? I ci po większej części to nasza t. zw. inteligencya, „czoło narodu“, urzędnikerya wyższa, szlachta itd., która tu nie z potrzeby gwałtownej, ale po służbie przychodzi. Ładna Polska i ładni polacy, a dla nas obcych, którzy tu przyjeżdżamy zwiedzać Bośnię i Bośniaków, przyjemnie jest słuchać, jak tym Polakom nie szczędzą najgorszych epitetów. A przecież nie mogą się skarżyć na niemożność rozmawiania po polsku. Jest ich tu dwa tysiące, spotykają się, znają. Jednak ktoby się śmiał zapytać, czy też istnieje lub istniała czytelnia polska, naraziłby się na miano waryata, albo lekko bzikowatego marzyciela. A przecież w Niemczech znam miasta, gdzie sześciu lub pięciu polaków utrzymuje czytelnię i szczęśliwi są, że po polsku zapomnieć nie muszą. Takie rzeczy należy piętnować publicznie, bo to jest nasz wstyd i nasza hańba, której nie mamy prawa połykać w milczeniu i nadstawiać drugi policzek do uderzenia. Tacy polacy, to zakała, z takich panów można i trzeba ździerać ich maskę obskurną.

Doprawdy, z obrzydzeniem odwracam się od tych naszych ziomków, którzy i tu nie zaniedbują dzielnie niemczyć ludność i urągać dowoli na niewdzięczną Polskę, aby przejść dalej do dokończenia niniejszych notat. Państwo austryackie pobudowało w Bośni oprócz kolei i szos jeszcze parę fabryk, hut, urządziło parę kopalń, założyło szkoły, podniosło handel i przemysł, więc w ogóle zaznaczyło wyraźnie swoją działalność cywilizacyjną. Szkoda tylko, że na każdym dobrym uczynku wyciśniętem jest wyraźnie piętno zaborcze i zgoła nic humanitarne... Austryacy tu nawet mówią głośno, że „co tam Bośnia ma być swobodną, albo choć trochę swobodną, niech będzie szczęśliwą, że Austrya raczyła przyłączyć ją do siebie!“ To jest już czysty patryotyzm austryacki!... Bośnia i Hercogowina — to same góry. Naród tu wzrosły od dziecka bez tych gór swoich żyć by nie mógł. Ponieważ lokomocya przez to jest w wysokim stopniu utrudnioną, wynaleźli sposób i na to. Mają tu wielką ilość koników, nie większych czasem od wielkiej dogi, albo psa bernardyńskiego, chudych, zbiedzonych, istne szkielety... Na te koniki ładują całe góry drzewa, siana, pakunków i wio! Nie widziałem dotąd, prócz wielbłądów, wytrzymalszych stworzeń nad te zwierzęta... Są one tu prawdziwem dobrodziejstwem i niewiadomo doprawdy, coby bośniak bez nich począł.

Już z właściwości swych geologicznych odróżnia się Bośnia od Hercogowiny. Podczas gdy Bośnia to góry pokryte lasem, często ogromnym i bogatym, Hercogowina — to same skały, kamienie, wapień i granit. W Bośni rodzi się dosyć zboża, w Hercogowinie jest masa trzód kóz i baranów; Bośnia obfituje w drzewo, — Hercogowina w kamieniołomy i t. p. W obu zaś krajach rodzi się dosyć kukurydzy, melonów, arbuzów i fig. Naród je masę mięsa i nie żałuje sobie pożywienia, wielkie to przeciwieństwo w stosunku do naszych polskich wieśniaków, widzących mięso nieledwie parę razy do roku...

Ogólnie, jak wspomniałem, lud jest rosły, silny i wytrzymały... Niewiadomo jednak, dlaczego daje się tu zauważyć mnóstwo kalek, — garbatych, ułomnych, niewidomych etc. Sprawia to wrażenie bardzo przykre.

Kobiety nie są tu ładne. Owszem, powiedziałbym nawet, że brzydkie, gdyby nie to, że każda z nich jest miłą i wesołą. Typu południowego nie mają najmniejszego, wszystko to blondynki, białe, dość mdłe nawet i wcale nie płonące ogniem namiętnym włoszek... Obyczajność tu jest stosunkowo dość dużą; rodzice surowo strzegą swych dzieci i trzymają je w silnej kurateli. Poczucia muzykalnego nie mają bośniacy. Ich muzyka jest niesforną kakofonią bez myśli i poezyi. Z narodowych tańców mają t. zw. „koło,“ bardzo prymitywne i dziwnie nieładne. W ogóle, co się tyczy duszy i serca bośniaka, jest on kompletnym prozaikiem i realistą. Nie wzrusza go nic prawie, a przynajmniej mało bardzo. Niema on tej smętnej poezyi i zadumy, co słowianie północni, niema tego ognia palącego, co narody wschodnie, nie jest materyałem na romantycznego rycerza, ani na nieszczęśliwego kochanka, tak jak jego dziewoja nie mogła by dumać i wzdychać za ukochanym, owszem, przejęli od turków ten niewzruszony i martwy spokój, lenistwo, ociężałość i ciężkość... Bośniak czuje się szczęśliwym, gdy może podjeść sobie dobrze, a potem usiadłszy po turecku w kuczki, zaćmić lulkę lub papierosa i oddać się rozmyślaniom o... niczem. Może nie od rzeczy będzie wspomnieć, że palenie tytoniu jest tu bardzo rozwiniętem. Palą wszyscy: mężczyźni, kobiety, nawet dzieci dwunastoletnie. Czy to jest zdrowem, kwestya. Mają zaś dobry tytoń, własny, bośniacki. Sprzedaż tytoni zostaje, jak w całej Austryi zresztą, pod wyłącznym monopolem państwa. Tytoń jest tani i bardzo dobry. Bośnia i Hercogowina plantują go bardzo dużo i przemysł ten jest jednym z główniejszych tutaj. Dużo również idzie na eksport. — Fabryk tabacznych istnieje kilka: w Sarajewie, w Trawniku, Mostarze, Banjaluce i t. d. Owoce, pomimo obfitości, są stosunkowo drogie. Hercogowina posiada również dobre winnice. Wino najlepsze mostarskie. Będąc na wystawie w Budapeszcie miałem sposobność zwiedzić tam pawilon bośniacki. Nic to jednak nie jest w obec kraju samego, — pięknego i ciekawego. Bośnia i Hercogowina są bardzo mało zaludnione. Można tu iść czasami godzinę lub dwie i trzy, nim się trafi na wioskę jakąś. Miast tu tak dobrze, jak niema: małe, nędzne, prymitywne. Zwiedzić jednak warto, każde bez wyjątku, gdyż każde jest zbiorowiskiem tylu piękności i oryginalności, o jakich nie codzień się słyszy.

Z głównych miast Bośni największe są: Sarajewo, stolica, Dolnja Tuzla, przemysłowe miasto, z kopalniami węgla, Banjaluka i Trawnik. Hercogowina posiada jedno prawdziwe miasto, stolicę swoją — Mostar.

Sarajewo, ongi zwące się Bosna-Seraj, co znaczy Bosna-raj, jest miastem teraz na pół europejskiem i na pół tureckiem. Z każdym rokiem przybywa więcej gmachów, ogromnych, pięknych, budowanych według najnowszych wymagań techniki współczesnej. I to bynajmniej turystę nie pociąga. Miasto przez to zatraca swój charakter wschodni, na wskroś inny i oryginalny, a staje się kosmopolitycznem, jednem z setek.. Półtora roku temu Sarajewo dostało tramwaj elektryczny i oświetlenie elektryczne. Leży w górach romantycznych, otoczone niemi, ze szczytu gór śliczny widok na panoramę miasta. Na szczycie jednej z nich sterczy jeszcze zachowany dobrze, a obecnie za koszary służący kastel turecki. W Sarajewie jest siedlisko władz krajowych i zarządu kolei, tam rezydują wszyscy urzędnicy i wojskowi, jest to serce Bośni i jej chluba. Gdy wyjdziesz wieczorem, w księżycową noc, tak jak ja to miałem sposobność uczynić, i rzucisz okiem na ten gród rozległy, leżący leniwie nad niewielką rzeką i opasujący ją z obu stron długiemi ramionami swemi, gdy miasto już usypia, a zdaleka tylko świecą się niezliczone kramy przekupniów tureckich i ich mnogie kawiarnie, gdy wszędy naokoło siebie widzisz niezliczone minarety świątyń tureckich, których tu jest trzysta

a z każdej takiej smukłej wieżyczki usłyszysz jękliwy głos muezzina, nawołujący do wieczornej modlitwy i ablucyi, gdy te głosy, pomieszawszy się z sobą, wzbiją się w przestrzeń powietrzną i wibrując naokoło, zdają się błagać potężnego Allaha o miłosierdzie nad ludem wybranym, wtedy zapomnisz, że znajdujesz się w tak blizkiem, brutalnem zetknięciu z cywilizacyą niewiernych i zda ci się, żeś gdzieś, o setki lat cofnięty, marzysz w grodzie niedotykalnym, w grodzie, gdzie żadna ręka świętokradzka nie poważy się zedrzeć zasłony z tajemnić muzułmańskich... Ale wrażenie znika prędko... Gdzieś, obok ciebie, rozległ się zgrzytliwy, głośny śmiech żołdaka austryackiego i wtedy budzisz się dla rzeczywistości, by wspomnieć, że tu już teraz inaczej zupełnie, inaczej...

W Sarajewie jest jedna jedyna w swoim rodzaju dzielnica. To bazar turecki. Gwar, chaos, zamięszanie, targi, jaskrawe i kolory, wschodnie twarze i ubiory, fezy i turbany. I znowu na chwilę złudzenie, że to nie Bośnia teraźniejsza, że to co innego... Pryska złudzenie... Trawnik jest miastem małem. Cicho tam i zacisznie. Są ruiny zamku tureckiego, jest brama jeszcze, na której sułtan powiesił trzydziestu baszów swoich, jest loch, w którym gnili więźniowie... Teraz za tradycyę starczy stary turek, który żądnym wrażeń to wszystko opowie...

I już zbliżamy się do końca Bośni, potem parę stacyi jeszcze i już Mostar, stolica Hercogowiny. Tu wszystko jeszcze prawie nietknięte... Domy kamienne, tureckie, ulice wązkie i długie, naokoło, gdzie okiem rzucisz, góry kamienne, ogromne, majestatyczne, groźne... Przez miasto biegnie, w kamiennem łożysku Narrenta, by wtoczyć potem swe zielonawe wody do modrych fal Adryatyku... Pięknie tu i zacisznie... Słońce, — palące, gorące, — płomienne, odurza i osłabia, próżno szukasz chłodu i cienia, — jak okiem sięgniesz, — wszędzie błyszczy ono — oślepiające i nieubłagane...

Mostar teraz, jak i Sarajewo, jest siedliskiem władz tutejszych. O ile jednak tamto przeinacza się i odmienia, o tyle to pozostaje po dawnemu niezmienionem... Jak długo to potrwa?...

Z uczuciem żalu i sympatyi opuszczam Bośnię i Herzogowinę. Niewiem, czy mnie losy tu kiedy zagnają jeszcze... W każdym razie, — czy na złe, czy na dobre, — zivio Bosna! i daj Boże, byś kiedyś powstała silna i zdrowa i odzyskała tę swobodę, która jest skarbem narodów, a którą ci przed wiekami tak brutalnie zabrano!

Jan Augustynowicz.

TO I OWO.

List bojkotowanego historyka.

Od p. Kaźmierza Waliszewskiego otrzymała redakcya »Kraju« petersburskiego list następujący:

Szanowny Redaktorze!

W szwajcarskich górach, gdzie »Aar wody błękitnemi spada«, dochodzi mnie zeszyt »Kraju« z ustępem zajmujących »Uwag historycznych« d-ra Łunińskiego, który, mimo niektórych tropiących szczegółów, jako to: zaliczenia między »najznaczniejszych historyków polskich«, zdaje mi się, że mnie dotyczy. Być może, że mylę się; nie jestem bowiem wymieniony z nazwiska; świeżo zaś w artykule »Kraju«, wyliczającym kilkunastu polaków, uprawiających literaturę francuzką, »najpoważniejszego« między nimi pana de Wyzewa (który się wcale za polaka nie ma), nazwiska mojego nie znalazłem; zkąd wniosek dla mnie, że nawet polscy »Kraju« współpracownicy o mnie nie wiedzą. Że jednak ja znowu nie wiem o drugim polaku, któryby świeżo wydał po francuzku dwutomowe dzieło historycznej treści, więc, mimo zbyt pochlebnych orzeczeń d-ra Łunińskiego, upoważnionym się czuję do wniosku, że mnie w rzeczy samej ma on na myśli. Otóż mogę oczywiście tylko być wdzięcznym za tę prawie, że pierwszą n i e ł a j ą c ą mnie wzmiankę, z jaką spotykam się w polskiej prasie po dwudziestu latach mozolnej pracy (na niwie polskiej literatury i historyi przez lat szesnaście). Mógłbym jednak wdzięczność swoją osobiście wyrazić d-rowi Łunińskiemu, nie zaprzątając swoją osobą osób trzecich. Ale dr. Łuniński wspomina o bezimiennym historyku, że, »zniechęcony obojętnością lub uprzedzeniem krytyków, na czworakach pełzających«, wziął się do pisania po francuzku. To znowu zdaje mi się wymagać odemnie sprostowania, obciąża mnie bowiem zarzutem małoduszności, do której się nie poczuwam. Że zaś i zkądinąd nagabywany byłem o to, dlaczego od lat kilku nie piszę po polsku i o polskiej historyi, może uznasz za stosowne, szanowny redaktorze, abym przy sposobności do podziękowań moich dla d-ra Łunińskiego dołączył dla kilku innych rodaków, których to obchodzić może, krótkie usprawiedliwiające objaśnienie w tym przedmiocie.

Nie zniechęciłem się i nie uległem niechęci n i e d o j r z a ł y c h krytyków. Poddałem się formalnemu wyrokowi formalnego areopagu historyków polskich najdojrzalszych i najprzedniejszych, którzy mnie odsądzili najformalniej od prawa zajmowania się polską historyą. Wyrok ten zapadł na ostatnim historycznym kongresie we Lwowie. Zaprosiwszy mnie do udziału w pracach tego zebrania i przyjąwszy obrany przezemnie t e m a t referatu, komitet kongresowy odrzucił następnie mój referat, jako nie posiadający odpowiednich kwalifikacyi naukowych. Jednocześnie, skutkiem innej pracy mojej, ogłoszonej w »Kwartalniku Historycznym«, pismo to otrzymało surową naganę od profesora Bobrzyńskiego w imieniu historyków krakowskich, za drukowanie prac, dostarczanych przez pismaków niekwalifikowanych, której to naganie, ogłoszonej w »Przeglądzie Polskim«, poddając się ze swojej strony, »Kwartalnik« wymówił mi dalsze współpracownictwo. Nawet od prawa repliki odsądzony zostałem. Nakoniec miałem powód przypuszczać, że i sama Akademia krakowska kontrasygnowała wyrok wyżej wspomniany. Zrywając bowiem samowładnie układ, zawarty ze mną, w jej imieniu, przez byłego jej sekretarza, śp. Szujskiego, taż Akademia zawiesiła o d l a t k i l k u n a s t u druk drugiej połowy moich S o b i e s c i a n ó w, którym poświęciłem najlepsze lata mojej młodości, krzywdząc mnie tym sposobem i moralnie i materyalnie nawet. Nawet do przyznanego mi dawniej tytułu »członka komisyi historycznej« przy tejże Akademii straciłem podobno prawo; nadsyłanie mi bowiem wydawnictw historycznych, do tego tytułu należące, zawieszonem także zostało. Raz tylko, nowomianowany delegat Akademii przy stacyi naukowej paryzkiej, dr. Korzeniowski, dostarczył mi — Bóg mu zapłać — ryczałtowy zbiór tych wydań drogocennych.

Oto pobudki, które mną kierowały. Zechciej zaś, szanowny redaktorze, i niech czytelnicy twoi zechcą nie brać bynajmniej wyrazu tych pobudek za skargę lub protest. Nie skarżę się i nie protestuję. Tylko ponieważ jestem przekonany, że nie potrafię nigdy napisać nic lepszego po polsku i o polskiej historyi, jak ów referat, dla kongresu lwowskiego przeznaczony; z drugiej zaś strony siedzieć z założonemi rękami nie potrafiłbym także, dla tej podwójnej racyi spróbowałem, czy w innym języku i w innym kierunku poszukiwań historycznych nie uda mi się lepiej. A że mi się udało, z powodu zapewne mniejszych wymagań nauki i krytyki historycznej w innych krajach, więc dalej ciągnę. W to jednak, znając mnie, uwierzysz, a może i czytelnicy twoi, choć nie znając mnie, uwierzą, że oddałbym chętnie trzynaście francuzkich i nie pamiętam ile angielskich wydań mojej ostatniej książki za dwieście bodaj egzemplarzy polskiego dzieła z moim podpisem, o których miałbym pewność, że nie zgniją na pułkach księgarskich i nie ściągną na mnie nowego dowodu surowości krakowskich czy lwowskich trybunałów.

* *

Zmiana w redakcyi „Bluszczu“.

Pani Marya Ilnicka, od lat trzydziestu kierująć redakcyą »Bluszczu«, z końcem sierpnia złożyła ten obowiązek. Oddając należną sprawiedliwość dobrej wierze, dobrej woli i staranności o literacką stronę pisma, musimy zgodnie z naszem przekonaniem, zaznaczyć, iż oddawna stało ono w zasadniczej sprzeczności ze stanowiskiem, jakie współczesna kobieta w społeczeństwie, nauce, literaturze i sztuce zajęła. Zamykanie się przed poglądami, które życie i jego wymogi wyłaniają, bierna opozycya przeciwko ruchowi kobiecemu nawet w tem, cô stanowiło naturalną potrzebę czasu, zupełne pomijanie tego, co nie odpowiada jakiejś wymarzonej dziedzinie niewieściego ducha — czyniło »Bluszcz« pod redakcyą p. Ilnickiej pismem coraz mniej odpowiedniem dla współczesnego pokolenia kobiet. Dalecy jesteśmy od bezwzględnej krytyki, wiemy, że aspiracye b. redaktorki płynęły z najszlachetniejszych źródeł, ale pogląd zasadniczy przeprowadzony w »Bluszczu«: iż kobieta powinna się ograniczyć do domowego ogniska, nie odpowiada już dzisiejszym stosunkom i nie da się utrzymać w piśmiennictwie, które musi nowe teorye i poglądy śmiało rozbierać, dobrą ich stronę adoptować, przeciwko błędom walczyć. Unikając ruchu, nie przyjmując udziału w starciu zdań, »Bluszcz« ostatecznie tylko drogą praktyczną — wzorami mód — wiązał się z życiem bieżącem. Banalne powieści, wysmarzone pogadanki, rozwlekłe przeglądy teatralne — zapełniały niemal wyłącznie szpalty pisma, którego stanowisko z szyderczem przezwiskiem »anielskiego organu« z roku na rok musiało maleć. Kto obejmie po p. Ilnickiej redakcyę »Bluszczu«, nie wiemy, ale że będzie musiał starać się o ożywienie pisma, to już dziś chyba nie ulega zaprzeczeniu. Najwięksi nawet zwolennicy tego kierunku, jakiemu »Bluszcz« hołdował, zgadzają się, iż trzeba wprowadzić do jego łamów nieco nowych sił, nadać treści więcej różnobarwności i ożywienia, jeśli nie ma ono stracić autorytetu nawet w tych kołach, które je dotąd popierały stale.

. . . .

NA WYŁOMIE.

(W sprawie ks. Stojałowskiego).

Odczytano zatem z ambon kościelnych ekskomunikę rzuconą na ks. Stojałowskiego. Lata całe walk politycznych, lata całe wielkiej miłości i wielkiej nienawiści, lata całe kar dyscyplinarnych, lata więzienia, wreszcie klątwa, — tak upływało życie temu, który silniej może, niż ktokolwiek, w ostatniem dzie-

sięcioleciu bytu naszego wstrząsnął stosunkami galicyjskiemi, zbudowawszy sobie tarany społeczne z fałszu i prawdy, z egoizmu i miłości ludu, z ambitnej rachuby i poświęcenia. Dziwna mięszanina uczuć i dążeń! W tej silnej indywidualności politycznej wszystko tak się plącze, — najwznioślejsze porywy i poziome instynkty — że trudno ją pomieścić w zwykłych szufladkach psychologicznych, a ci, którzy jednem słowem rozcinają węzeł gordyjski, w jednem szablonowem pojęciu widzą portret wyklętego kapłana, jednem Ukrzyżuj! lub »Błogosławiony« pieczętują wyrok, ci wszyscy równają się owym pół-ślepcom, których oko barw nie rozróżnia, — owym fanatykom ideowym, którzy w zwolennikach własnego dogmatu widzą tylko jasność, w najlżejszym kontraście tylko cień ponury.

Rzucona klątwa! Czy ten grom, co w wiekach średnich najwyższe potęgi druzgotał, dziś jeszcze nie stracił swej posępnej siły? Czy ks. Stojałowski to żywy nieboszczyk? Z tapczanu więziennego słychać harde słowa: »Jestem dziś gotów, — mówi w broszurze swojej kapłan wyklęty — odwołać każdą nieprawdę, jeżelim ją nieświadomie napisał lub cokolwiekby się sprzeciwiało nauce kościoła. Jestem gotów każdej chwili wykonać to, co mi prawowita zwierzchność kościelna, tj. mój biskup lub papież, w rzeczach »kościelnych« rozkażą. Ale rozkazu, abym zaprzestał wydawania pism lub działalności politycznej, rozkazu, wychodzącego od lwowskiego i krakowskiego biskupa, którzy od lat ośmiu najobrzydliwszemi, wprost niegodziwemi środkami gwałtu, niesprawiedliwości, oszczerstw i fałszywych oskarżeń do tego mnie zmuszają, n i e u s ł u c h a m n i g d y! Wydrzeć bowiem sobie pisma i usunąć siebie z pola działalności, zroszonego moją pracą i krwią, dla korzyści stańczyków n i e d a m n i k o m u — n a w e t p a p i e ż o w i, bo i papież owoców dwudziesto-kilkoletniej pracy, której szkodliwości dla kościoła i wiary nikt mi dotychczas nie udowodnił, odebrać mi nie może, i ja wiem, że nie chce i nie zechce.«

Tak mówi dziś jeszcze ten, którego »śmierć cywilna« uchodziła za fakt dokonany. Niektóre pisma wyrażają przekonanie, że siła opinii publicznej w katolickiem społeczeństwie skruszy ostatecznie hardego buntownika, — trudno jednak zamykać oczy na dość silny prąd opozycyjny, psujący jednolitość tej opinii, która zdusić ma wyklętego. Nietylko pisma sympatyzujące stale z politycznem działaniem ks. Stojałowskiego, lecz nawet kilka takich organów prasy galicyjskiej, które jak »Kuryer Lwowski« i »Przegląd Wszechpolski« otwartą i zaciętą toczyły z nim wojnę, dziś stoją po stronie ekskomunikowego kapłana i bronią »politycznej ofiary«. Uderzać musi i to, że »Kraj« petersburski, zdecydowany przeciwnik ruchów demokratycznych, ma jakieś lekkie tony współczucia dla ks. Stojałowskiego. Klucza zagadki nie szukam daleko. Myli się ten, kto kwestyę rozstrzyga ulubionem u nas okrzykiem »Masoni!« — kto przyczynę tej »sympatyi« upatruje w zasadniczem przeciwieństwie do kościoła i Rzymu.

Wystarcza pół łuta objektywizmu, by zrozumieć dobrze, że kościołowi przysługuje prawo ukarania księdza, który w sprawach rytualnych, ściśle kościelnych lub religijnych drwi sobie z przykazań hirarchii i, jak ks. Stojałowski, odprawia podobno msze »świętokradzkie«, — lecz wystarcza również najpowierzchowniejsza analiza klątwy rzuconej, by pojąć natychmiast, że ręką grom rzucającą kierowały, obok motywów religijnych, świeckie pobudki, — że na wyklętym kapłanie mszczą się nietylko obrażeni stróże katolickiego kościoła, lecz w równej mierze politycy, przerażeni ruchem demokratycznym, któremu ks. Stojałowski jest ożywczem tchnieniem. Nie twierdzimy bynajmniej, by klątwa rzucona na redaktora »Wieńca« i »Pszczółki« sprzeciwiała się formalnym przepisom, — przypuszczamy raczej, że protest ks. Stojałowskiego w tym kierunku jest szeregiem adwokackich solizmatów, — gdy jednak czytamy w dokumencie klątwy, że »nadchodziły bardzo poważne pisma do Jego Świątobliwości Leona XIII« z żądaniem, aby kres położono działalności duchownego demagoga, autora »artykułów podburzających« i nauk »wiodących do przewrotu«, — gdy nadto uwględnimy, jak rozszalałą nienawiścią ścigały ks. Stojałowskiego stronnictwa rządowe, i jaką rolę w polityce galicyjskiej odgrywają biskupi, to trudno oprzeć się wrażeniu, że obok uzasadnionej kary kościelnej na niesfornym kapłanie, dokonano tu zemsty politycznej na niebezpiecznym działaczu demagogii. I oto źródło sympatyi, budzącej się około ks. Stojałowskiego, oto przyczyna niezachwianego przywiązania tysięcy ludu katolickiego, który odepchnąłby niewątpliwie wyklętego gwałciciela religii, lecz całuje ręce politycznego skazańca, ściganego jak zwierz po kniei ludowca. Ten przysmak polityczny mąci pojęcia. Lud z a p o m i n a o r e l i g i j n y c h w i n a c h k a p ł a n a i widzi t y l k o ofiarę polityki.

A prasa? Niechaj nikt nie sądzi, by te czasopisma, które wczoraj potępiały ks. Stojałowskiego a dzisiaj kopje zań kruszą, działały jedynie, jak ktoś powiedział, przez wrodzony »wstręt do Rzymu« lub »współczucie dla nieszczęśliwych«. One broniąc wyklętego kapłana, bronią także siebie, bo któż przewidzieć może, czy nie spodoba się jutro biskupom użyć wpływów kościoła dla zdeptania ich własnych wierzeń politycznych, — któż nie wie, że z galicyjskim ruchem ludowym ambona walczy stale i zawzięcie. Stanowisko »Kuryera Lwowskiego« i »Przeglądu Wszechpolskiego« w sprawie zuchwałego kapłana, to protest przeciw nadużywaniu kościoła do politycznych celów.

Przekonany jestem, że po przeczytaniu powyższego wyjaśnienia sprawy, nasz organ lojalno-klerykalny zapieni się starym zwyczajem. Proszę! bez ceremonii! Trzeźwo myśląca publiczność przyzwyczaiła się już do tego, że dla Kuryera wrogiem kościoła jest każdy, kto przed dekalogiem politycznym »ładu i porządku« nie uchyli czoła i ócz nie zamknie na frymarkę religii w tej dużej bibule. Ta sama trzeźwo myśląca publiczność zrozumie także, że można potępiać »świętokradztwo« ks. Stojałowskiego, można uznawać władzę watykanu, a równocześnie skarżyć się na to, że w gromach bijących w głowę wyklętego kapłana słychać wyraźne dźwięki politycznych spekulacyi.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA

* K o n k u r s. Redakcya „Małego Światka" rozpisuje konkurs na powiastkę dla młodzieży, osnutą na tle społecznem. Powiastka ta ma obejmować dwa arkusze druku. Tendencya wybitnie społeczna, a wpływająca na uszlachetnienie i urobienie charakterów, barwny a przystępny dla młodocianego wieku sposób opowiadania i czystość języka, oto główne warunki pracy konkursowej.

Praca uznana za najlepszą, otrzyma nagrodę w kwocie 100 koron w. a.

Inne prace czyniące zadość wymienionym warunkom, ale nie dorównywające nagrodzonemu utworowi, nabędzie Redakcya chętnie na własność, po poprzednim porozumieniu się z ich autorami.

Autorowie zamierzający wziąć udział w konkursie, zechcą swe prace nadesłać do Redakcyi „Małego Światka" najdalej do 20. listopada 1896 r. Na utworze należy umieścić, zamiast podpisu, godło i tem samem godłem zaopatrzyć zapieczętowaną kopertę, kryjącą kartkę z nazwiskiem autora. Kopertę dołączoną do pracy, której przypadnie główna nagroda, otworzy sąd konkursowy zaraz po zapadnięciu wyroku. Po ogłoszeniu wyroku konkursowego, będą mogli autorowie prac nie odznaczonych odebrać je z redakcyi „Małego Światka".

* * *

* W y s z e d ł nr. 17. „Gazety Handlowo-Geograficznej," organu Polskiego Towarzystwa handlowo-geograficznego, i zawiera następujące artykuły.

Język polski za Oceanem. — Herva Mate. — Emigracya przez Gennę. — Emigracya francuska, Komitet dupleix. — Gospodarstwo, przemysł i handel. — Emigracya i kolonizacya. — Wiadomości geograficzne. — Informacye. — Sprawy Towarzystwa handlowo-geograficznego we Lwowie. — Nadesłane. — Od administracyi. — Od Redakcyi. — Ogłoszenia. —

KRONIKA POWSZECHNA.

— Redaktor pisma naszego, p. dr. Władysław Rabski, wyjechał na 3 tygodnie. Rękopisy i listy prosimy przesyłać do biura redakcyjnego.

— **Teatr i muzyka.** Na cześć p. Edmunda Rygiera, nowego dyrektora sceny poznańskiej, urządzili artyści krakowscy ucztę pożegnalną. — Dyrekcyę teatru Stanisławowskiego objął Jan Recki. — W Berlinie ukończono budowę nowego teatru p. t. „Theater des Westens." Gmach ten jest dziełem znanego architekta Bernharda Sehringa i odznacza się prawdziwie artystycznem wykończeniem oraz oryginalnością pomysłów. Wkrótce zamieścimy dokładny opis wspaniałego przybytku sztuki. — Na wezwanie dyrekcyi teatrów warszawskich przetłomaczył p. M. Gawalewicz pięcioaktowy dramat Wiktoryna Sardou p. t. Ghismonda i trzyaktową krotochwilę Franciszka Schönthana p. t. Hrabina Oczko (Comtesse Guckerl). — Na tle stosunków rzemieślniczych napisał p. Józef Schlader sztukę w 4 aktach ze śpiewami p. t. „Przez gorzałkę". Rzecz ta przedstawioną jeszcze będzie w bieżącym sezonie w teatrze łódzkim, bawiącym na gościnnych występach w Warszawie. — Dyrekcyę teatru lubelskiego objął p. Zygmunt Przybylski. Finansowych podstaw przedsiębiorstwa dostarczył podobno hr. Tyszkiewicz. Wydział ról bohaterskich objęła pani Federowiczowa.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

— **W. A.** Uwagi Pańskie są słuszne. Udzieliliśmy odnośnych wskazówek korektorowi.

— **Bez podpisu** (stempel pocztowy „Gniezno"). Dziękujemy za łaskawie nadesłany artykuł. Uważamy jednak polemikę z „Lechem" gnieźnieńskim na razie za skończoną i dla tego nadesłanej pracy, mimo doskonałej treści i formy, zamieścić nie możemy. Zresztą zdaje nam się, że informacye Pańskie co do ewolucyi politycznej tego pisemka są niedokładne. W przyszłym kwartale zamieścimy obszerną charakterystykę wszystkich organów i organków „ładu i porządku." Wtedy wyjaśnimy różne zakulisowe tajniki tego ruchu dziennikarskiego, którym operuje obecnie konserwatyzm poznański.

Iskierka. „Bociany" to dalszy ciąg ś. p. „Pokraki;" wydawca i redaktor się nie zmienił. To chyba wystarczy dla charakterystyki pisma.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego" w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28

Nr. 38. Poznań, niedziela 20-go września 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański" wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: ul. Wilhelmowska 28.
(Drukarnia J. Fr. Tomaszewskiego.)

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Wilhelmowska 28. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen
Rękopisów drobnych niezwracamy.

TREŚĆ.

Od Redakcyi.

Zamieszczając na czele dzisiejszego numeru przyjętym zwyczajem zaproszenie do przedpłaty, zwracamy się znowu do czytelników naszych z serdeczną prośbą, by w kołach znajomych i przyjaciół swoich pismo nasze rozszerzać raczyli. Warunki egzystencyi organu postępowego na poznańskim gruncie są tak uciążliwe, że »Przegląd Poznański« musiał z konieczności opierać się dotychczas na ofiarności akcyonaryuszów swoich. Staramy się jednak usilnie o to, by ten jedyny organ demokratycznej inteligencyi stanąć mógł jaknajprędzej o własnych siłach i przy nieco gorętszem poparciu ze strony czytelników niezawodnie cel nasz osiągniemy.

Obecnie postanowiliśmy, dla obniżenia kosztów drogiego przedsiębiorstwa, ograniczyć nieco ilość materyału podawanego w «Przeglądzie«, — uszczerbek ten jednak wyrównamy czytelnikom naszym przez najstaranniejszy dobór artykułów.

Udoskonalenie treści, spotęgowana barwność i aktualność politycznej i literackiej części, — oto zadanie, które redakcya w nowym kwartale przeprowadzić zamierza. Sezon zimowy nastręczy nam niejedną sposobność do wykazania, jak ważnym posterunkiem w stosunkach naszych jest »Przegląd Poznański«, a zapominać przedewszystkiem nie wolno, że programowe zadanie zszeregowania całej inteligencyi demokratycznej w poważne stronnictwo jest dotychczas zaledwie rozpoczętem dziełem. Dwa i pół roku prowadziliśmy pracę przygotowawczą, urabiając opinię publiczną, zaszczepiając idee nasze w jednych, umacniając je w drugich, — dziś nadeszła chwila, by przystąpić nareszcie do pracy organizacyjnej. To też przekonani jesteśmy, że czytelnicy nasi z tem większą energią popierać będą w nowym kwartale rozwój pisma naszego, które jest jednym z najgłówniejszych filarów całego ruchu. Nie dość abonować »Przegled Poznański«, lecz iść z nim należy od domu do domu i coraz nowych pod wspólnym sztandarem gromadzić szermierzy. Moment jest krytyczny, czeka nas ciężka praca i zacięta walka, — prosimy o pomoc, prosimy o agitacyę.

Ciekawy interwiew.

(Dokończenie).

— Pan hrabia, zdaje się, lekceważy ustrój konstytucyjny Europy?

— Więcej nawet szanowny panie, bo mam go za formę wyrafinowanego despotyzmu, więc gardzę nim. Wolę mieć przed sobą kułak, niż obłudę. A czy mnie wilk zje od razu, czy zadusiwszy będzie żuł pomaluśku, przyznam się, jest to dla mnie wszystko jedno.

— Czy i dla Francyi pan hrabia równie surowy jak dla Austryi!

— O jakiej Francyi pan myślisz, — o tej, która była, czy o tej, która teraz jest?

— O Francyi współczesnej...

Hrabia pogładził całą garścią brodę i utkwił we mnie siwe swoje, świdrujące oczy, potem nagle wyciągnął rękę w powietrze, palce rozszerzył jak pazury i tak ją chwilkę trzymał.

— Widzi pan? — pytał otwartą pięść pokazując.

Skinąłem lekko głową Hrabia ciągnął dalej:

— Dawna Francya była czemś, a teraźniejsza jest....

Nagle palce ściągnął i zamknął tak, że tylko silna muskularna pięść w powietrzu wisiała. Jakby na wytłómaczenie giestu dodał:

— W garści Rosyi. Francya jest tak posłuszną Rosyi jak dziecko prowadzone przez niańkę, która mu mówi: idź tam, nie idź tam. Ona wie, że ma Prusaków na karku, ale, żeby obronić się od wilka, woła do pomocy niedźwiedzia.

Wargi jego uśmiechnęły się złośliwie.

— To tak zupełnie, jak ciele napadnięte przez wilka, udaje się do niedźwiedzia na sąd i radę.

Pochyliwszy głowę mruczał powoli:

— Dla czegoż nie pomódz? Można... można... Ale oni będą mieli z Rosyi tyle pociechy, co Rosya z Patagonii.

— Dla czego!

— Bardzo naturalnie, bo ktoś trzeci może nam popsuć najlepsze projekty. Niech pan sobie wyobrazi tylko taką sytuacyę: wilk rzuca się na ciele, niedźwiedź na wilka, a tymczasem ktoś trzeci wypuszcza na niedźwiedzia niespodzianie psy gończe, które go z tyłu szarpią za kudły i wołają: stój Misiu! Naco daleko szukać i my mamy u siebie w domu dwa takie ogary: jeden nazywa się Polska a drugi Ruś. Teraz one drzemią, pomrukują tylko, patrząc na wiszącą nad nimi nahajkę, ale lada chwila zerwać się mogą i niedźwiedzia mocno poturbować.

— A zatem przymierze Francyi z Rosyą możebne tylko nominalnie?

— Oczywiście.

— Proszę pana — przecież my u siebie w domu mamy piękną zabawkę z Polską, która teraz Ruś jeszcze ze sobą ciągnie; po co nam spraw francuskich pilnować! Czy granice ich ciągną do dawnej Batawii i Renu czy też się ograniczą do departamentu niższej Sekwany — to dla nas absolutnie wszystko jedno. Niech sobie Francya swoich interesów państwowych pilnuje, a my — swoich.

— Ale podobno, — wtrąciłem — sojusz z Francyą ratyfikowany.

— O, to zupełnie inna sprawa! To co ja panu powiedziałem — to życie, a ratyfikacya — to polityka! Głupie traktaty są niemożebne do spełnienia. Dawniej przynajmniej zaprzysięgano je, bo w potęgę przysięgi wierzono, dziś słowo wystarczy. Łatwo się daje i łatwo się łamie. Słowo do niczego nie zobowiezuje; silną jest jedynie konieczność.

— Zatem pan hrabia niewierzy ani w trwałość ani w przyszłość przymierza franko-rosyjskiego?

— Ja wątpię czy istnieje kto na świecie, coby w to wierzył na seryo. Mniejsza o to, że nasze drogi polityczne rozchodzą się, ale rozchodzą się nasze podstawy państwowe, nasze systemy rządowe — więcej nawet, bo nasze myśli, uczucia, cywilizacya. Przyjaźn nasza o tyle trwać może długo, o ile pijemy wspólnie szampana. To też jest ona tak nowożytną, jak szampan i zapewne tak krótkotrwałą będzie, jak odurzenie przez szampan sprawione. Przez cały ciąg dziejowego życia niezrzeszliśmy się ani razu, bo moc nas nie ciągnęła ku sobie, teraz koziołki adwokackie francuskich prezydentów umyśliły zrobić z Rosyi straszaka na Prusy.

— Trzeba przyznać, że się im to w części udało.

— Ani trochę. Jesteśmy tak samo oddaleni od siebie, jak dawniej. Francuzi śmieją się w „kułak,“ śpiewając „Boże caria chrani,“ a prawdziwy moskal, wychowany pod knutem carskim, odśpiewawszy Marsyliankę spluwa i powiada: „czto za durackaja piesnia!“

Hrabia zamyślił się chwilkę.

— Widziałeś pan zapewne nieraz, jak ludzie zwiedzający ogród zoologiczny karmili przysmakami niedźwiedzia. Patrząc zdaleka zdawałoby się, że oni są w najlepszej zażyłości. Sprobuj pan jednak wypuścić niedźwiedzia z klatki — i kwita z przyjaźnią. Niedźwiedzia i ludzi łączą przysmaki, a nas pochlebstwa złączyły. To bardzo kruchy węzeł.

— A przecież zręczni adwokaci mogą go wzmocnić!

— Tylko mi pan o adwokatach nic nie mów! To klasa ludzi, oprócz do pieniactwa, niezdatna do niczego więcej. Oni Francyą gubią i zgubią, bo interesa państwowe traktują tak, jak sprawy rozwodowe lub kryminalne, gdzie kazuistyka i fałszywi świadkowie zwyciężają często prawdę. Im brak nietylko równowagi umysłowej ale także czystości moralnej — jakże tacy ludzie krajem rządzić mogą? Oni z charakteru swego powołania muszą albo trawić kogoś gwałtownie, albo gwałtownie napadać na kogoś. Tę samą metodę stosują i w polityce. Oni to stworzyli ten dziwoląg, który franko rosyjskiem przymierzem nazwali.

— Oczywiście według mniemania hrabiego taki dziwoląg nie ma w sobie zarodków życia.

Tak jest. Ja w ogóle utrzymuję, że teraźniejsze życie Europy jest anemiczne. Rozmaici lekarze stosują do niej środki sztuczne — jedni świeże powietrze, inni inhalacyę, inni znowu oddychanie stlenionem powietrzem. Zapewne, to podtrzymuje życie, ale już one nie wiele warte. Tam nie ma energii, trzeba liczyć puls i godziny.

— Przecież chory może wyzdrowieć!

— Widzi pan: jeżeli człowiekowi odejmą rękę albo nogę, on może żyć sto lat, ale jeżeli mu za każdym kaszlem wylatują kawałki płuc, to życie rachujemy wtedy na dnie i miesiące. Narody mają także swoją starość, a starość — to brak energii fizycznej i umysłowej. Nie jest to brednią bynajmniej, ale prawem natury. Z tej też racyi rasa łacińska jest w upadku. Stary naród możnaby porównać do starego drzewa: jest ono wielkie, okazałe, cieniste, rodzi dobre owoce, ale praktyczny sadownik dostrzeże łatwo, że rdzeń jego toczy robak, albo że brak mu pożywienia. Jest na to rada: sztuczne dostarczanie pożywienia, obcinanie gałęzi starych i wytworzenie nowych urodzajnych. Ale to wszystko nie usuwa starości i następstw z niej płynących. To samo dzieje się ze starszymi narodami i państwami: trzeba je sztucznie odżywiać i sztucznie płodność ich zwiększać. Stare gałęzie cywilizacyjne na łacińskiem drzewie muszą usychnąć — im prędzej je ogrodnik usunie, tem lepiej. Dawniej rodziły górne gałązki, teraz dolne rodzić muszą. Muszą wystąpić na widownię dziejową nowe warstwy — ludowe — świeże, silne, — do nich należy przyszłość. One teraz dopiero wybijają się do słońca, o prawa swoje walczą.

Hrabia był widocznie opanowany chęcią wypowiedzenia wszystkiego, co myśli. Nieprzerywałem mu.

— Teraz szanowny panie, w Europie są tylko dwa światy dziejowe: s ł o w i a ń s k i i g e r m a ń s k i. Słowiański reprezentuje Rosya, germański — Niemcy. Tu idzie walka o pierwszeństwo. Dziś jest już rzeczą widoczną, kto zwycięży.

Hrabia Tołstoj zamilkł, jakby umyślnie czekał na zapytanie. Z całego toku rozmowy domyślałem się odpowiedzi.

— Kto? — jeżeli wolno zapytać!

— Rosya. Powiedziałem panu, że ona jedna prowadzi dziś politykę świadomą celu, jedna z pośród państw europejskich posiada energię i siłę barbarzyńcy, zuchwałego i stawiającego na szali życie albo śmierć! Zwyciężywszy — zapanuje nad światem, zwyciężony cofnie się jak niedźwiedź do pieczary i tam znowu przez tysiąc lat będzie ssać własną łapę.

— Ja nie widzę — rzekłem — teraz żadnych czynów politycznych Rosyi, któreby to zwycięstwo przepowiadały.

Hrabia ironicznie uśmiechnął się.

— Pan myślisz zapewne o wielkich zwycięstwach, jak wzięcie Oczakowa, podział Polski bez boju, Borodina, wjazd do Paryża, kongres wiedeński.

Ów ton ironiczny zmięszał mię trochę.

Zaczątki powstania 1863 roku

na Podlasiu i na Litwie.

(Ze wspomnień b. naczelnika oddziału.)

(Ciąg dalszy).

X.

W Janowie byłem znowu dni kilka, ucząc żołnierzy i szyjąc mundury dla strzelców. Kawalerya moja zwiększyła się z górą o sto koni. Żołnierz to był wcale nie zły. Miałem czterdziestu masztalerzy ze stajni Janowskiej, którzy doskonałymi byli jeźdźcami; dalej z furmanów i młodzieży dobry oddzialik się sformował, a i Radowicki był to bardzo odważny, dający wszystkim dobry przykład jeździec. W Janowie odebrałem wiadomość o bitwie, choć nie wygranej, lecz bohaterskiej, stoczonej pod Węgrowem pod wodzą Wład. Jabłonowskiego, (przypisują ją mylnie Jankowi Sokołowi (Matlińskiemu), który choć był uczestnikiem owej bitwy, lecz dowódzcą w niej nie był.) Dowiedziałem się również, że po bitwie Węgrowskiej oddział przerzucił się za Bug, ku Drohiczynowi i że za Bugiem zbierają się znaczne oddziały.

Ponieważ miałem rozporządzenie komitetu centralnego, by w razie nie utrzymania się na linii Warszawsko-Brzeskiej przejść za Bug i tam rozniecić powstanie, postanowiłem przeprawić się za Bug.

Zbieram więc oddział, zabieram srebro z Janowa, wartości kilku tysięcy rubli, i w chwili gdy obóz nasz wyszedł z miasta ku Niemirowu, dowiedziałem się od podjazdu wysłanego do Biały, że gen. Nostitz dąży w kierunku Janowa. Cofając się ku Bugowi byliśmy każdej chwili gotowi do bitwy. Do Niemirowa było 7 wiorst. Wojska Nostitza przeszły Janów i podążyły za nami. Kozacy mieli za zadanie utrudnić nam pochód. Gen. Nostitz chciał widocznie spotkać się z nami na polu i tam stoczyć bitwę, ja zaś dążyłem ku Bugowi. Odstrzeliwając się kozakom, doszliśmy do Niemirowa. Jestto wieś rozłożona po obu stronach Bugu, znana jako punkt graniczny trzech państw rozbiorowych. Brzeg Bugu dosyć stromy, zarosły łoziną, -- przed wsią kilka wzgórz. Na brzegu był jeden prom. Obóz zaczął się przeprawiać, a że miałem sto wozów, bo kos wiozłem 2000 sztuk, więc przeprawa odbywała się wolno. Pozostawiłem zatem oddział frontem do przeciwnika, przed wsią, na lewem skrzydle na wzgórzu stanęła kawalerya Radowickiego, środek zajęli strzelcy z Wolaninem; na prawem skrzydle — część strzelców z Szaniowskim, po za nimi kosynierzy z Golianem.

W tym porządku cofaliśmy się eszelonami ku Bugowi. Kozacy zaczęli natarczywie atakować strzelców, by gen. Nostitz mógł nadciągnąć z piechotą i artyleryą. Posyłam rozkaz Radowickiemu, by rozpędził kozaków. Ten wyciąga kolumnę szóstkami i rusza z kopyta na kozaków. Atak był dzielny, lecz i kozacy nie stchórzyli. Essauła ich rozwinął szereg jak zwykle w półksiężyc tatarski. Chciał widocznie naszych otoczyć, lecz gdy się zbiegli do siebie, wyszło to, co tylko może się zdarzać w oddziałach powstańczych, a nie z żołnierzami wyćwiczonymi, — stanęli jak wkopani w ziemię i tylko pył ich otoczył od kopyt końskich, zarytych w ziemię. Wtedy Szaniowski wyskoczył naprzód ku nieprzyjacielowi i w drodze wystrzelił z pistoletu ku kozakom. Był to sygnał zaczepny. Nasi uderzyli i bitwa trwała nie więcej nad minut dwadzieścia. Przewaga była po stronie naszych jeźdźców, gdyż mieli konie rosłe, a gdy który uderzył o konia kozackiego, ten padał a kozak z nim. Trzydzieści trzy konie pozostało w rękach naszych, kilkunastu rannych kozaków legło na placu. Essauła zabił jeden z masztalerzy, choć sam był przez niego szablą, a przez innego kozaka lancą raniony. Naszych było także kilku rannych, żaden jednakże nie zginął. Do utarczki na bagnety nie przyszło, — strzałami nas tylko z oddala prażyli przeciwnicy. Przeprawiwszy obóz za Bug, przeprawialiśmy się kolejno i sami. Kawalerya przeszła wpław obsypywana granatami. Gdy ostatni pluton

Wydało mi się, że słyszę pomruk niedźwiedzia.

— O, zapewne... — zauważyłem wykręcając się, — to są wielkie wypadki...

Hrabia wrócił do równowagi.

— Ja panu zaraz wytłomaczę jakie zwycięstwa Rosya odniosła teraz.

Nastała chwila milczenia. Słońce paliło. Słychać było regularne uderzenia cepów. W powietrzu drgały w promieniach słonecznych atomy pyłu, unoszącego się z pod młóconego żyta.

Ze skupioną uwagą hrabia ciągnął dalej:

— Zacznę od Niemców. Niemcy są dwukrotnie skrępowane przez Rosyę: przymierzem z Francyą i Polską. Ja osobiście w trwałość i powagę przymierza nie wierzę, ale tam gdzie jest możność zawołania kogoś na pomoc, napadnięty nie wie, czy ów ktoś przyjdzie lub nie z pomocą. Sama niepewność jest hamulcem. Z Polską jeszcze trudniejsza sprawa. Państwa polskiego niby nie ma, ale ono zawsze w rachubach politycznych występuje. Polska w Prusach to pięść słowiańska w górę podniesiona, — ona krępuje i grozi. Chodzi tylko o to, by pięścią dobrze kierować, by ją do jednolitych działań Słowiańszczyzny zaprawić.

— Zważ pan tylko, że Prusy to jeden wielki cmentarz słowiański, — a na tym cmentarzu pobudowali się i żyją resztki Słowian i zniemczeni Słowianie, którzy kiedyś mogą zrzucić skorupę niemiecką.

Uśmiechnąłem się.

— Pan hrabia prędko załatwił się z Prusami.

— Nie twierdzę, że się tak stanie, ale tak stać się może. Samo prawdopodobieństwo już na szali waży. Rosya widmem pogrzebanej słowiańszczyzny straszy Prusy i trzyma je w zależności.

— Cóżby powiedziała na to Austrya?

— Pod Austryą mina podłożona. Rosya czeka tylko kiedy ona w powietrze wyleci.

— A toż jakim sposobem?

— Rosya nie tylko dokoła Austryi rozrzuciła sieci, ale we wnętrzu tego państwa wypielęgnowała sobie przyjaciół — takich przyjaciół, jacy się zwykle za pieniądze kupują. W polityce tacy najlepsi, bo bezwzględni. W Czechach młodoczesi z Gregrami i Vaszatymi staną do szturmu „burgu“ w pierwszych szeregach, a w Galicyi Swiętojurcy ze „Słowa“ i „Narodnego domu“, gotowi są zawsze do „borby.“ Trzymamy ich tedy w pogotowiu, ażeby w każdej chwili można było krzyknąć: hajże na szlachtę!

— A na Węgrów jak się hrabia zapatruje?

— O, to krzykliwy naród! Dopóki oni byli sami — znienawidzili Moskwę, ale od dwudziestu pięciu lat są w nauce u żydów. To dosyć czasu, ażeby spodlić każdy naród. Teraz już można było...

Hrabia zamilkł. Spojrzeliśmy po sobie. Domyślałem się co chce powiedzieć.

— Teraz już można było ofiarować szablę Rakoczego...

— Co za zręczność! — wyrwało mi się mimo woli:

Uwaga moja podobała się hrabiemu.

— To polityka, panie... W obcem państwie zapuszczamy powolnie tak swoje korzenie, jak jemioła. My tak ściśniemy tę Austryę, że ona tchnąć nie będzie mogła! Zważ pan tylko co się dzieje na tak zwanym wschodzie. Do niedawna, oprócz Czarnogóry, nie mieliśmy tam ani jednego przyjaciela — a teraz? Wszyscy u nóg naszych. Karól uspokoił się. Król Serbski rządzi tak, jak każe Rosya, a jeżeli ona będzie sobie życzyć — weźmie za żonę pierwszą lepszą wskazaną mu przez cara pokojówkę z garderoby carowej... A Ferdynand? Ach, Boże! Jemu o cały świat nie chodzi, tylko o królestwo, a to królestwo dała mu Rosya. Nic dziwnego przeto, że on pójdzie tam gdzie mu car każe. A co do jego etyki...

Hrabia rubasznie śmiać się zaczął.

— On „batinka“ i sam się każe obrzezać i swemu małemu Borysikowi sprawi obrzezanie — byle by tylko można było panować! Jeżeli potrzeba będzie — to na pierwsze skinienie Rosyi on przyjmie jeszcze mahometańską lub buddyjską wiarę, — jaką każą.... Zresztą, na to, ażeby Ferdynand nie znalazł sobie drugiego Stambułowa Rosya dała jemu Cankowa. Tak go dopilnuje!

Mimowoli wykrzyknąłem:

— Straszna obręcz, którą Rosya ścisnęła Austryę. Czyż tego mężowie, prowadzący politykę w Austryi, nie widzą?

— Widzą, — tylko nie doceniają tych faktów.

— Prawie nie do uwierzenia.

Hrabia nie oponował.

— Obręcz — jak pan nazywasz naszą politykę — ściska niezawodnie Austryę, ale sieć, rzucona przez Rosyę, sięga dalej.

— Co przez to pan hrabia rozumie?

— Czarnogórę.

— Czy podobno, ażeby takie małe państewka brać w rachubę! — zawołałem. Przecież to coś podobnego do San-Marino albo Monte-Carlo.

— Naturalnie. Tylko trzeba o tem panu wiedzieć, że polityką rosyjską kierują nie tylko ministrowie w Petersburgu, ale także i kobiety w Czarnogórze.

— Pan hrabia myśli zapewne o domniemanym związku Heleny czarnogórskiej z następcą tronu włoskiego?

Tak jest. Księżna Helena — wychowanica nasza. Nikt nie wątpi, że potrafi ona przenieść sympatye rosyjskie do Włoch. Możemy jeszcze z tej strony podkopać Austryę i Prusy.

Zuchwałość Rosyi nietylko w czynie ale i w słowach wydała mi się bezgraniczną. Jest to budowanie — pomyślałem sobie — jakiegoś nowego wału Trajana, czy muru chińskiego, którym Rosya pragnie opasać całą Europę. I nikt jej na przeszkodzie nie stanie?!

Jest ktoś i na ciebie...

— Istotnie, — rzekłem — pan hrabia ma racyę, że teraz tylko Rosya prowadzi politykę — inni drzemią w niedołęstwie. Ale — — przypuśćmy, że Rosya doprowadza politykę do ostateczności, grozi zrobieniem z Europy kilkunastu więcej, niż teraz posiada, gubernii, czy ona może być na tyle pewną spokoju wewnętrznego, że nikt jej do wykonania planu nie przeszkodzi.

— Rozumiem pana... pan myśli o Polsce...

— Nie... ale kto wie...

— Uspokój się pan... zaradziliśmy temu...

Nagle zwrócił się ku mnie.

— Czy pan myślisz, że z Włoch, nie dałyby się utworzyć dwóch państw, jednego ze

---

strzelców wsiadł na prom, ja z Wolaninem łódką przepłynęliśmy rzekę. Podano mi konia. Wydałem rozkaz by na probostwie wszyscy się zebrali, Wolaninowi zaś poleciłem pilnować brzegu. Wyciągnął prom na brzeg, przedziurawił go, lecz zaledwie siadłem na koń, gdy błędna jakaś kula uderza Wolonina w czoło i kładzie go trupem.

Była to dla nas strata nie mała. Energiczny i śmiały bardzo, — w pierwszej bitwie pod Białką dał tego dowody — przez cały czas bitwy stał na szossie, przy rowie, w którym nasi klęcząc, strzelali. Wyszedł podziurawiony jak rzeszoto od kul, żadna go nie powaliła, a tu, po bitwie, dziwnym trafem padł od błędnej kuli! Gdy taki jeden ginie, to giną z nim tysiące! Cześć twej pamięci bracie Baltazarze Wolaninie!

Pochowaliśmy go na drugi dzień po nabożeństwie w Niemirowie. Strzały dochodziły do nas, nawet granaty pękały. Owi dwaj oficerowie rosyjscy — wzięci do niewoli pod Białką, głowy przed owemi granatami zakrywali płaszczami, by nie patrzeć się na śmierć od kul własnych żołnierzy. Śmieszyło to naszych, ale tak już z tem się obyliśmy, żeśmy przestali zwracać na to uwagę. Tak noc przeszła. Odpoczynek — chowanie Wolanina. Ruszamy ku Wysokiemu-Litewskiemu. O wiorst siedm zatrzymujemy się obozem we wsi należącej do rodziny Ziemkiewiczów. Na drugi dzień, w kilkanaście koni, jadę do Wysokiego, do Sapiehy. Zastaję go i błagam, by przyjął dowództwo, by się poświęcił dla sprawy, by stanął na czele oddziału tysiąca ludzi, który już dwa razy był w ogniu i jest pełen ducha i że na jedno jego odezwanie się cała Litwa powstanie. Nic to nie pomogło. Nie był to niestety potomek owych Sapiehów, co szablice mieli w obronie kraju zawsze do walki gotowe... Dał nam sześć koni, dwie dubeltówki, 250 rubli pieniędzy — oto ofiara, jaką złożył dla sprawy. Z tem wróciłem do obozu.

XI.

Dowiedziawszy się, że w Siemiatyczach, o 35 wiorst odległości od Wysokiego, zebranym jest oddział powstańczy, niewiadomo pod czyjem dowództwem i jakiej siły liczebnej, posłałem do Siemiatycz list tej treści: „Naczelnik oddziału Podlaskiego, wzywa dowódzcę oddziału w Siemiatyczach, by bezzwłocznie przybył z tym oddziałem, dla wspólnego dalszego działania,“ (podpis, oraz pieczęć i podpis naczelnika sztabu Goliana).

Gdyby mnie był podówczas usłuchał ów dowódzca, być może, że i następstwa byłyby pomyślniejsze dla nas, gdyż zamiarem moim było iść na Białowieżę, siedlisko żubrów, lecz i ludu, co pamiętał jeszcze rok 1830.

Nieszczęście mieć chciało, że w Siemiatyczach dowodził człowiek zarozumiały, wypadkowo jedynie narzucony na dowódzcę, jakiś budowniczy z Łap. Zebrało się tam dużo młodzieży z Warszawy i okolicznej szlachty, bez wodza. Ten się im narzucił, blagą zaimponował, więc wszyscy ruszyli do Siemiatycz. Fanfaronada, z jaką traktował powstanie, dostatecznie ujawniła się w liście przezeń mi nadesłanym przez Juliana Chodorowicza, mego kolegę szkolnego. Odpowiedź brzmiała: „Naczelny wódz a r m i i podlaskiej, wzywa niniejszem naczelnika o d d z i a ł u podlaskiego, by niezwłocznie zjawił się w Siemiatyczach, w głównej kwaterze, dla wspólnego dalszego działania, (podp.) Zameczek, vel Cichorski. Naczelnik sztabu: Sejfryd“

Odpowiedź taka zdziwiła mnie niepomiernie. Na zapytanie moje uczynione Chodorowiczowi: Ilu was jest? Co robicie? odpowiedział mi, że ich jest zapewne ze trzy tysiące ludzi, że szyją mundury i robią pancerze dla ułanów. „Nasz jenerał — nadmienił — ma już śliczny mundur, z ogromną wstęgę na piersiach i dla tego właśnie przystań do nas, bo inaczej źle będzie...“

Zawachałem się i choć mogłem skorzystać z praw moich, jako komisarz rządowy i iść tam, gdziebym chciał, jednakże miłując kraj i sprawę, której się oddałem, pominąłem względy osobiste i w nadziei, że oddział mój pozostanie mi posłuszny, i że będę miał przewagę nad tą gromadą, poszedłem do Siemiatycz.

Miałem do przebycia 35 wiorst z oddziałem 950 ludzi i stu wozów. Przeprawa nie była łatwa. Był już wieczór, gdym się

stolicą w Rzymie, a drugiego — w Wenecyi. W takim razie to drugie można byłoby zwiększyć włoskimi kantonami Szwajcaryi, Tyrolem i włoskiemi prowincyami Austryi...

— Wielkie wojny przekształcą państwa... zapewne... — wtrąciłem.

— To miałoby swoje znaczenie. W południowych Włoszech byłoby państwo Rzymskie, z papieżem na czele, a w północnych rzeczpospolita Wenecka, z domem Sabaudzkim na czele.

— A Austrya, a Szwajcarya? — spytałem.

— Słabych w rachubę nie biorę.

— Ale cóż to ma za związek z Polską? — jeżeli śmiem zapytać.

Zamiast odpowiedzi, hrabia zapytał mię.

— Czy pan pozwoli, że ja będę otwarcie mówić z panem?

— Ależ, panie hrabio, tylko o otwartość mi chodzi.

— Słuchaj pan zatem... My w Rosyi jesteśmy tego przekonania że kwestya polska dopóty istnieje, dopóki istnieje w Polsce katolicyzm. Raz usunięty z rytuału kościelnego w tej formie jak istnieje, przestaje być katolicyzmem. Religia zrówna nas, a właściwie nada charakter jednolitości państwowej, której teraz Polska nie posiada. Byle na tej drodze pierwszy krok uczynić, — reszta sama się zrobi. Mamy przykład na Białorusinach i Rusinach, którzy straciwszy łącznik z Rzymem, utracili nietylko pretensye swoje państwowe, ale cała inteligencya stała się moskiewską, a lud zatracił pojęcie idei narodowej.

— Na długo... — wtrąciłem.

— Na zawsze, — dodał hrabia.

Niezmieniając tonu, w tejże chwili ciągnął dalej:

Rosya obieca papieżowi państwo Rzymskie, a papież, jako głowa kościoła, zgodzi się niezawodnie na pewne ustępstwa naszego języka rosyjskiego w rytuale katolickim. Rosya wiele żądać nie będzie... jej chodzi tylko o pozwolenie. Unią przerobiliśmy na prawosławie w ciągu pięćdziesięciu lat; na katolicyzm będziemy potrzebowali stu.. A wtenczas? Monsignor Agliardi bardzo gładki człowiek, do ustępstw chętny, a Leon XIII nie bez wstrętu dołączy do korony Piotrowej koronę podarowaną przez Mikołaja II. W muzeach rządowych znajdzie się z pewnością jakaś korona, którą można będzie Leonowi XIII podarować, jak Węgrom szablę Rakoczego.

Zamilkłem.

Hrabia zwrócił się do mnie z miną słodką:

— Czy wierzysz pan, że teraz tylko jeszcze Rosya prowadzi politykę?

— Wierzę.

W tej chwili przyszedł Mekitka z pałacu i oznajmił że obiad podany.

— Ja rzekł hrabia — chłopskim zwyczajem jadam obiad w południe.

Dzwonek odezwał się właśnie.

— To na południe...

A do mnie z uprzejmym uśmiechem zwróciwszy się, powiedział:

— Pan chlebem i solą nie pogardzi... Proszę... skończymy rozmowę naszą o polityce Rosyi.

T a r n o w o, 28 sierpnia 1896.

Wyszpolski.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

O owem sławetnem zebraniu nauczycieli w Laurahucie, na którem to zabrzmiały gromkie słowa ks. Swidra: „Wasserpolskiej mowy nie ma!“, a za które to śmiałe wypowiedzenie pp. nauczyciele et consortes ks. Swidra wyrzucili za drzwi słowami: „Raus! Hinaus!“ i o odezycie p. Grossera pisze „Katolik“:

W a l k a p r z e c i w P o l a k o m. Pan Grosser powiedział w Laurahucie, że nauczyciele nie tylko się o to mają starać, aby dzieci polskie niemczyć i niemieckiego ducha im wszczepiać, ale także i to, aby n a l u d w t y m s a m y m k i e r u n k u wpływać, to znaczy, że i lud mają germanizować. To mogą czynić, przez dzieci na rodziców wpływ wywierając i wprost na dorosłych. Tam gdzie rodzice po niemiecku choć trochę potrafią, sprawa dość łatwa. Rodzice z miłości do dzieci będą słuchali, jak dzieci opowiadają, jak z książek czytają po niemiecku. Główna rzecz w tem, aby się rodzice szkołą zajmowali. Należy ich przyciągać w różny sposób np. zapraszając na przechadzki szkolne. Starajmy się (nauczyciele), abyśmy na ludzi wpływ mieli, bo wtedy dobrze dla germanizacyi działać możemy.

Lecz gdy bieda, wtedy się człowiekowi niczego nie chce. A my nauczyciele jesteśmy często w wielkim ścisku, bo nam za mało płacą. Chociaż nigdy nie zapominamy o naszych obowiązkach, to jednak mielibyśmy więcej ochoty do germanizowania, gdyby nam więcej myta płacili.

Przeszkód jest dużo przy tej germanizacyjnej robocie. Gdy rodzice nabędą przekonania, że szkoła nie całkiem jest dobra, wtedy ją sobie nie wiele ważą. Tak jest na przykład z przygotowaniem do Sakramentów św. Szkoła uczy dzieci religii po niemiecku, a księża uczą po polsku i to wysoką polszczyzną. Wtedy rodzice muszą sobie myśleć, że dzieci w szkole nie nauczyły się niczego i muszą stracić do nauczycieli zaufanie. W niektórych parafiach uczą księża dzieci religii tylko po niemiecku. To dobrze dla niemczyzny. (Ale czy dobrze dla duszy dzieci? — Red.)

Dalszymi środkami do niemczenia młodzieży i ludu polskiego są szkoły uzupełniające, szkoły niedzielne, niemieckie związki i czytelnie ludowe. Trzeba ludzi różnymi sposobami wabić do takich szkół i do związków. Niech się one nazywają jak chcą, byle tylko niemieckiego ducha pielęgnowały i szerzyły.

Ale to wszystko nie odniesie skutku, jeżeli cała ludność niemiecka tak będzie obojętna w obec wielkopolskiej agitacyi. Każdy Niemiec powinien popierać i szerzyć germa-

---

zatrzymał na nocleg o 10 wiorst od Siemiatycz, w karczmie przy drodze.

Zaledwie się zacząłem rozlokowywać, gdy usłyszałem huk strzału armatniego. Domyśliwałem się, że to hasło do boju w Siemiatyczach. Dziesięć wiorst przebiedz po nocy z tysiącem ludzi, było rzeczą niemożebną, więc skrępowany w działaniu posłałem tych tylko, co zdążyć mogli: Radowickiego z kawaleryą i Goliana. Ci wpadli do miasta, w chwili, gdy nieprzyjaciel zeń się wycofywał.

Zanim opiszę ów nocny napad, wypada mi zatrzymać się na topografii Siemiatycz. Miasto to leży na drodze prowadzącej do Bugu, pomiędzy Drohiczynem a Bielskiem i Białystokiem, po nad szerokiemi błotami. Idąc zaś od Wysokiego litewskiego trzeba przebyć i błota i rzekę mostem, przez nie rzuconym, a prowadzącym wprost na rynek, z którego na lewo idzie aleja, prowadząca do pałacu i fabryk sukna, a dalej — droga do Drohiczyna. Po prawej stronie stoją dwa kościoły: katolicki i unicki, następnie dwa cmentarze, otoczone murem. Już na brzegu miasta, nad drogą prowadzącą do Bielska i Białegostoku, po za cmentarzami, rozciągają się owe wzmiankowane błota szeroką przestrzenią. Na rynku była podówczas duża murowana karczma, a od strony Wysokiego-litewskiego, przed błotami, — wielki drewniany szpital z kilku pawilonów złożony, w tę porę pusty. Miasto całe należało jako donacya do barona Faushawe. Dowódzca Zameczek stał już w Siemiatyczach od dni dziesięciu, zabawiając się szyciem mundurów i robieniem pancerzy z blachy obszytych ceratą. Otoczył się kilku dziesięciu młodymi ludźmi, których nazwał swoim sztabem, tworzył oficerów nieumiejących być żołnierzami, tem mniej zaś zdatnymi do kierowania wojskiem i demoralizował blagą ów zapał młodzieńczy. O tem — gdzie przeciwnik? co robi? najmniejszego nie miał wyobrażenia. Żadnych wart, żadnych podjazdów! Dla tego też, gdy Rosyanie od Bielska weszli do miasta i byli już na rynku, młodzież rozlokowana po domach dopiero ich spostrzegła i zaczęła z okien dawać strzały na oślep... Ciemna noc i rana zadana pułkownikowi prowadzącemu nieprzyjaciela, zmusiły tego ostatniego do odwrotu. Wtedy młodzież, bez przywódzcy, zagrzana tem powodzeniem, wybiega za cofającym się na pole i rusza wprost na armaty! Następuje strzał: kilku naszych pada i cofa się, lecz widzi że i Rosyanie, oszołomieni śpiewem „Jeszcze Polska nie zginęła! cofają się pozostawiając armaty na polu, aż do świtu...

Rano Zameczek zamierzył umknąć z miasta, wysłał obóz z kawaleryą do Drohiczyna, pod dowództwem Plucińskiego, naczelnika stacy kolei na Pradze, a choć wiedział od Radowickiego, że jestem o dziesięc wiorst od niego, nie wstrzymał wysyłki kawaleryi w 200 koni, czem nie mało osłabił oddział. Radowicki wraca z raportem że wroga już nie zastał, przybywa z nim Seyfryd, naczelnik sztabu Zameczka, ten, co wyjechał z Zygmuntem Padlewskim z Warszawy, także jak się następnie okazało, małej odwagi a zarozumiałości wielkiej.

Seyfryd powrócił zaraz do Siemiatycz, więc wiedział Zameczek z jakim idę oddziałem i że nad ranem się stawię. To go jednak nie powstrzymało od zamiaru wycofania się z Siemiatycz.

XII.

Godzina 8 rano. Podchodzę do miasta i zajmuję owe szpitale, urządzam obóz i rozdaję wszystkim ładunki, jakie miałem, strzelcom swoim, którzy tylko wyczekiwali chwili spotkania się z nieprzyjacielem... Zjawia się u mnie Jan Matliński z kilku jeźdzcami (Janek Sokół). Przyjechał od Jabłonowskiego, co stał z obozem w 800 ludzi o sześć wiorst od Siemiatycz. Po bitwie pod Węgrowem przeprawił się za Bug. Posyłam więc rozkaz Jabłonowskiemu by niezwłocznie przybył, gdyż bitwa spodziewana lada chwila. W takim razie niech uderza z tyłu (gdyż tak właśnie stał względnie do miasta). Z takim rozkazem Matliński pojechał, a ja byłem pewny, że za dwie godziny najdłużej nadejdą oczekiwane posiłki. Rozlokowawszy oddział pojechałem do miasta, wjeżdżam na rynek, gdy z drugiej strony wchodzi do miasta w 400 ludzi Lewandowski, który, po nieudanej wyprawie na Siedlce także przeprawił się za Bug. Był przy nim doktór

nizacyą. Mianowicie urzędnicy kopalni, hut i fabryk mają do tego najwięcej sposobności. Powinni tylko po niemiecku z robotnikami rozmawiać i niemieckie gazety między nimi szerzyć.

Przedewszystkiem jednak trzeba wszędzie tworzyć związki antypolskie, a wszystkie muszą mieć jeden zarząd, który będzie stale i wytrwale kierował walką przeciwko Polakom.

Dobrze, że p. Grosser tak otwarcie o różnych środkach germanizacyjnych powiedział. Wiemy teraz, że nauczyciele wszędzie niemczyznę wciskać mają, nawet aż do rodzin polskich. Tego nigdy dopuścić nie powinni rodzice katoliccy i polscy. Niech się dzieci w szkole po niemiecku uczą, skoro tego zmienić nie można. Ale w domu, w rodzinie, nie pozwalajcie rozszerzać się niemczyźnie, lecz uczcie dzieci czytać, pisać i śpiewać po polsku. W domu są rodzice najwyższą władzą. Tam już ani inspektor szkolny, ani żandarm nie może przepisów dawać. Starajcie się wszyscy rodzice, ażeby wasze rodziny były niejako fortecami polszczyzny, polskiego ducha.

Z mowy p. Grossora wiemy dalej, że środkami germanizacyjnymi są niemieckie związki. Strzeżcie się zatem tych związków, skoro są one niebezpieczeństwem dla narodowości polskiej. Polskich związków jest dosyć, a gdzie ich brak, tam można założyć związek.

Jednem słowem używajmy na korzyść naszej polskiej narodowości wszystkich tych środków, ile można, które nasi przeciwnicy do niemczenia zalecają prócz fałszów i nieprawdy. Sprawa polskiego ludu na Śląsku jest tak sprawiedliwa, że do jej obrony nie potrzeba fałszów, albowiem prawda Boska i historyczna jej broni. Gdy lud sam za swoją sprawę umiejętnie walczy, wtedy szkoła nie zdoła germanizacyi rozszerzyć. Pracujmy zatem umiejętnie i wytrwale dla dobra naszej polskiej sprawy.

* * *

Z powodu znanego procesu ks. dziekana Połomskiego z Wąbrzeźna przeciwko redaktorowi „Geselligera“ pisze „Dziennik Kujawski“:

„Lepsze czasy nastać teraz powinny i dla redaktorów polskich, jeżeli, jak rząd zapewnia, jesteśmy w obrębie monarchi pruskiej zupełnie równouprawnieni z Niemcami. Do nadziei tej upoważnia nas wyrok, wydany przez grudziądzką izbę karną w procesie ks. dziekana Połomskiego z Wąbrzeźna przeciwko redaktorowi „Geselligera“ p. Fischerowi. „Geselliger“ rozpisuje się o procesie tym w półtorałamowym artykule, a jest on rzeczywiście ze względu na wydany w nim wyrok nadzwyczaj ważnym i ciekawym. Zaznaczyć wypada, że przebieg jego był nieco innym, niż podała go „Gazeta Grudziądzka“, z której wyjęliśmy wiadomość, w numerze sobotnim podaną. Mianowicie to musimy sprostować, że ks. prałat Połomski nie czuł się obrażonym zarzutem, iż zakłada polskie towarzystwa, tylko twierdzeniem „Geselligera“, jakoby tym rodzicom, którzy posyłają dzieci swe do niemiecko-ewanielickiej ochronki, odmawiał spowiedzi. Na zapytanie prokuratoryi, czy zarzut taki mieści w sobie obrazę, odpowiedział ks. Biskup chełmiński, że rzeczywiście równa się zarzutowi grubego nadużycia władzy duchownej.

Zeznania świadków wykazały dowodnie, że ks. Prałat nie odpędzał tych rodziców od spowiedzi, że była to plotka, którą „Geselliger“ powtórzył. Sąd więc skonstatował, że „Geselliger“ obraził ks. Prałata. Dalej stwierdził, że oskarżony redaktor Fischer miał nawet zamiar obrażenia ks. Prałata, ale mimoto oskarżonego uwolnił od winy i kary i to z następujących powodów:

„Nasamprzód należy mu koniecznie przyznać opiekę § 193 kodeksu karnego, dotyczącego obrony uprawnionych interesów. Każdy bowiem Niemiec posiada prawo zwalczać zakusy polonizacyjne dozwolonemi środkami; po drugie, należy oskarżony redaktor do Towarzystwa HKT, którego zadaniem jest „odpierać polonizm“; po trzecie, jest redaktorem pisma, które postawiło sobie za zadanie, wszelkiemi siłami popierać niemczyznę „in den Ostmarken“ i zwalczać wrogie względem Niemców zakusy. Występując więc przeciwko ks. Połomskiemu, spełnił redaktor „Geselligera“ tylko potrójny swój obowiązek i dla tego, jakkolwiek rzeczowo i z rozmysłem obraził ks. Połomskiego, sąd uważa za słuszne uwolnić go od winy i kary.“

Tak podaje wyrok ten „Geselliger“. Uważamy go pod każdym względem za niezmiernie ważny i miarodawczy. I polscy redaktorowie bronią bowiem tylko uprawnionych interesów swej narodowości lub społeczeństwa swego, bronią go jedynie przeciwko zakusom, dążącym do zatracenia polskości, a jako Polacy są zupełnie uprawnieni do tego.

Jeźli więc ludność polska nie ma utwierdzić się w mniemaniu, że traktowaną jest jako ludność drugiej klasy, jeżeli prokuratorya nie założy rewizyi przeciwko wyrokowi temu i sąd rzeszy go nie obali, jeźli więc stanie się prawomocnym, natenczas sądzić wypada, że w przyszłości zasady wyroku tego zastósowywane będą i w procesach przeciwko polskim redaktorom, że i polscy redaktorowie wyjdą z nich w podobnych wypadkach obronną ręką. W każdym razie, gdy ten wyrok stanie się prawomocnym, powinni wszyscy redaktorowie postarać się o jego dosłowne brzmienie i odwoływać się nań w potrzebie.

Według wyroku tego, jeźli powyższe przez „Geselligera“ podane uzasadnienie zgadza się z oryginałem, wolno więc w obronie uprawnionych interesów i w zwalczaniu polskości popełnić obrazę.

* * *

W tym samym numerze „Dziennika Kujawskiego“ czytamy:

Czy to możliwe?

Z wiarogodnego źródła dochodzi nas następująca wiadomość:

Na lekcyi pedagogiki po wakacyach wielkich powiedział dyrektor seminaryum paradyzkiego dosłownie, mówiąc o chińskiem wychowaniu, co następuje:

Czarkowski z Łosić, o którym już wspominałem. Tak więc zebrała się naszych gromada. Zesiadam z konia i wchodzę do karczmy, gdzie była kwatera owego naczelnego wodza armii Podlaskiej, Zameczka. W izbie karczemnej przepełnionej dymem tytoniu, zastaję 50 młodych ludzi w jaskrawych ubraniach, mundurach ułańskich z blachami na piersiach, a pod oknem, z czarną brodą w białej czapce z czerwonym lampasem, w ciemnozielonym mundurze z czerwonym kołnierzem, z ogromną wstęgą niebieską przez piersi. Był to Zameczek.

Na moje zapytanie: co oznacza owe zebranie, jeden z młodzieńców odrzekł, iż to sztab jenerała.

Rożdrażniony tem, zwracam się do Radowickiego, przy którym stali: Golian, Szaniawski i Lewandowski i rozkazuję: Wypraw ich wszystkich do szeregów. Żołnierzy nam trzeba, a nie sztabowców.

Usłyszałem szemranie, lecz gdy Radowicki zakomenderował do swoich, którzy stali na koniach na ulicy: „Z koni!“ wszyscy opuścili karczmę.

Wtedy dopiero nastąpiła żywa między mną a Zameczkiem rozmowa. Wystąpiłem jako komisarz rządowy, przedstawiłem Lewandowskiego jako głównego dowódzcę naznaczonego przez Rząd Narodowy dla województwa Podlaskiego. Zameczek ustąpił. Wyjeżdżamy z nim za miasto, obejrzeć pozycye i naradzić się nad obroną. Nie było wiele czasu do stracenia. Przez lunetę spostrzegliśmy o kilka wiorst zbliżające się kolumny rosyjskie...

Stanęło na tem, że Zameczek ze swemi siłami zajmie stronę miasta od Bielska, zkąd dążył nieprzyjaciel, przenocowawszy na cmentarzach, za któremi stali kosynierzy. Środek miasta, rynek, zajmie Lewandowski ze swoim oddziałem, ja zaś mam zająć lewe skrzydło miasta — pałac.

Pędzę więc do obozu. Oddaję dowództwo nad kosynierami Golianowi, część strzelców Szaniawskiemu, nad resztą sam biorę komendę i prowadzę ją przez miasto, rynek, aleje do pałacu.

To była trzecia nasza bitwa. Szliśmy ochoczo i w porządku, a gdy wpadliśmy na rynek, oddział Lewandowskiego powitał nas salwą oklasków i okrzykiem: niech żyją!

Biegniemy do pałacu, zajmujemy go. Szaniawski staje na brzegu miasta, pomiędzy mną, a Lewandowskim; Radowicki z kawaleryą w alei, a Golian, po za murami pałacu ze swymi kosynierami.

Zamiar nasz był następujący: Jeśli się uda odbić atak nieprzyjaciela od miasta, to z całą siłą naszych kosynierów wyjdziemy na pole i tam się rozprawimy. Liczyłem na nasz zapał i na popłoch przeciwnika, gdy z tyłu nań uderzy Jabłonowski, o którym nic nie wiedzieli. Szło o to tylko, by zwycięzko odeprzeć atak! Rosyanie zbliżyli się, okolili miasto i zaczęli pod nie podchodzić rozwiniętym łańcuchem...

Wtedy spostrzegłem, że ich siły znaczne, gdyż, jak się okazało, przyszedł im w pomoc jenerał Maninkin z Białegostoku i przyprowadził dwa szwadrony ułanów, sześć armat, dwa bataliony piechoty i dwie sotnie kozaków.

Liczebnie — byliśmy górą, lecz broń nasza była mizerna, żadnej znajomości walczenia w żołnierzach i, niestety, brak koniecznej w takich razach odwagi!

Strzał armatni! Granat padł na dach pałacu, gruz posypał się na głowy nasze i zaczęła się bitwa.

Rosyanie rzucili się do ataku, posuwając się ku nam. Kule karabinowe zaczęły świstać, granaty pękać nad głowami, my zaś musieliśmy czekać aż się nieprzyjaciel zbliży na metę naszych dubeltówek i odstrzeliwać się bezskutecznie...

Na atakujących, wysunęli się kosynierzy. Można przyznać, że uderzyli dobrze, bo wróg się cofnął na chwilę. Chciałem się przekonać, czy to na całej linii się stało, lecz dym nie pozwolił mi ogarnąć okiem pozycyi. Posyłam do Szaniawskiego, by się dowiedzieć, jak idzie obrona? gdy wtem wpada Radowicki z kartką od Lewandowskiego w której zapowiada, że prawe skrzydło nasze, Zameczek, cofnęło się, wyparowane z cmentarzy przez dwie roty piechoty nieprzyjacielskiej i że wróg zabiera się atakować rynek..

(Dokończenie nastąpi.)

„Die Chinesen können wir mit den polnischen Bauern vergleichen. Diese beobachten ebenso, wie Chinesen nur die äussere Form. Sie (die poln. Bauern) haben keine Ahnung, was ein Sakrament ist, sie gehen zu denselben nur, weil es so Gewohnheit ist. In der Kirche werfen sie sich auf die Erde, küssen dieselbe, beten Rosenkränze und aus der Kirche gehen sie direct in die Kneipe“.

W dniu po uroczystości sedańskiej powiedział p. dyrektor tak:

„Mit den poln. Bauern kann man machen, was man will. Es sind nur solche Hetzer unter dem Volke, die das Bauernvolk authetzen und gerade diese sollen und müssen hochgenommen werden.“

W ocenę dwóch tych wycieczek przeciwko chłopom polskim na razie wdawać się nie będziemy. Zapytujemy się tylko p. ministra Bossego czy godzi się na to, aby takiemi wycieczkami na lekcyi pedagogiki obrażano uczucia polskich uczni seminaryum i całego ludu polskiego.

LITERATURA I SZTUKA.

S. p. Zygmunt Kaczkowski.

Znowu do kroniki żałobnej, w której społeczeństwo nasze zapisuje zgony utalentowanych i zasłużonych swych członków, przybywa nowe imię człowieka, który trwałą po sobie pozostawił pamięć na kartach literatury polskiej. Z Paryża dochodzi nas wiadomość o śmierci Kaczkowskiego. Niema chyba wśród inteligentnego ogółu polskiego nikogo, komuby nazwisko to obcem było. Ograniczamy się teraz na tej lakonicznej wzmiance, w najbliższym zaś numerze podamy ocenę działalności literackiej zmarłego. Na daleką mogiłę pisarza naszego szlemy życzenie: oby mu obca ziemia lekką była!

Wojciech Kętrzyński.

(Z powodu 30-lecia pracy naukowej).

Kto pozna osobiście tę postać wyniosłą, szlachetną, a dziwnie ujmującą w obejściu, spostrzeże pewien dualizm psychiczny. Z jednej strony łagodność, skromność, zupełny brak pretensyi (tak pospolitych w pewnej okolicy Polski), choć miałby do nich niejedno prawo, każe go zaliczyć do kategoryi tych, których ewangelia nazywa „cichymi“. Równocześnie jednak widzi się jasno, że ten „cichy“ nie dałby się zagłuszyć; ruch głowy, rąk, zdradzają wielką stanowczość, niemal twardość charakteru, i są widocznie tylko miarkowane ową „cichością“ tak, że nasuwa się domysł, iż gdyby ów cichy uważał za stósowne rozwinąć tę drugą stronę charakteru w całej pełni, nic krępując jej niczem, stałby się w jednej chwili z książkowego benedyktyna, z pokojowego strażnika pamiątek przeszłości, żołnierzem, chorążym zaciekłym, który da sobie prawą rękę odrąbać, a w lewicy sztandar poniesie do dalszego boju. Wzrok jego zdaje się mówić naprzemian· „Witaj przyjacielu“ i „Nie zaczepiaj mnie!“ — zaprasza do zbliżenia się i ostrzega przed ochotą do nadużycia.

Wychowywał się na niemca, nazywał się po niemiecku, czysto niemieckiem nazwiskiem Winkler. Urodził się w Lecu, w Prusach Wschodnich, w r. 1838; wyrastał w czasach i w otoczeniu, nie mających nic wspólnego z polszczyzną, nie znając nawet języka polskiego. Dopiero dorosłym już będąc młodzieńcem, dowiedział się, że właściwe nazwisko jego rodu jest: Kętrzyński, a całe „winklerstwo“ nie jest niczem innem, jak tylko brutalnym zamachem na jego pochodzenie, język i tradycye. Zaczyna walkę, nie daje się odstraszyć nawet więzieniem; staje w krótkim czasie w pierwszym szeregu młodzieży polskiej w Prusach oko w oko z germanizmem i odtąd walczy z nim ząb za ząb taką bronią, jaką czasy i okoliczności nakazały.

W Królewcu wychodzi w r. 1866 pierwsza jego praca. Świadomy on już swych obowiązków i swego celu. Za temat rozprawy wziął wojnę Bolesława Chrobrego z królem niemieckim Henrykiem (De bello a Boleslao Magno cum Henrico rege Germaniae gesto anno 1002—1005). Germanizacyjny zamach na jego nazwisko i osobę zwraca go do studyów w tym właśnie kierunku; wszak germanizuje i germanizowało się całe kraje. Germanizuje nietylko władza ale i nauka niemiecka, któraby rada przywłaszczyć wszystko niemieckiemu imieniowi. Z chęci obrony, a nawet odwetu powstała praca „Die Lygier“ (1868), która autorowi przyniosła sławę. Chodzi o interpretacyę tacytowskiej „Germanii“. Kętrzyński słusznie zwraca uwagę, że „Germania“ nie była dla rzymian pojęciem etnograficznem, lecz geograficznem. Dopatrzył się też słowian w większej części ludów, wymienionych przez Tacyta, a zwłaszcza „rewindykował“ lygiów, semnonów i swewów. Dzieło to nie ukończyło polemiki o pierwotne granice osiedlenia się praniemieckiego i słowiańkiego, ale bądźcobądź jeden wydało skutek: „O etnograficznych Germanach“ nad Odrą, a cóż dopiero nad Wisłą, żaden historyk, który chce być traktowanym na seryo, mówić już nie może. Może się wyrwać ten i ów królewsko-pruski historyk z twierdzeniem, że Szląsk i Poznańskie były pierwotnie germańskiemi ziemiami; ale wobec poważnej nauki tacy autorowie wyglądają już jak Filipowie z konopi.

Bardzo poważne jednak jednostki czyniły zastrzeżenia co do Prus królewskich, czyli zachodnich. W 1874 pojawia się w publikacyach krakowskiej Akademii praca Kętrzyńskiego „O narodowości polskiej w Prusiech zachodnich za czasów krzyżackich“ z dewizą „Suum cuique“. Czytamy tam na samym wstępie: „Wiadomo powszechnie, że Niemcy jakieś prawo naturalne roszczą sobie do Prus Zachodnich, jako do ziemi niegdyś niemieckiej, a potem dopiero spolszczonej; tym pretekstem nawet uniewinniają dziś rozporządzenia i prawa rządowe, dążące do zagłady zupełnej ludności polskiej. Że Prusy Zachodnie były niemieckie, uczono mię w szkole i czytałem w książkach poważnych. Że ludność wiejska nie była wszędzie niemiecka, później prędko

---

Oktawiusz Mirbeau.

Pod bukiem.

Wspomnienie z 18-go listopada 1870 r.

Już dwadzieścia pięć lat minęło od owego dnia! A pomimo lat tylu dręczy mnie to jak zmora, kiedy o tem wspomnę.

* * *

Sierżant Millard wracał do obozu, zmieniwszy żołnierzy, stojących na warcie. Szedł pustą, rozległą płaszczyzną, na której tu i owdzie rosły kępy drzew i kawałki lasu. Niebo było szare. Mrzył deszcz i było chłodno. Rozmoczona, śliska ziemia oblepiała błotem ciężkie buty sierżanta. Wśród olbrzymiej równiny nie było i śladu życia. Nie rysowała się na niej żadna postać człowieka lub zwierzęcia, a nad pustemi, opuszczonemi przez mieszkańców kilku chatami, nie unosił się dym z kominów. W dali, wielkiej dali, występowała lekko, niebieskawo, jakby chmurka, katedra w Chartres.*)

*) Miasto Chartres, o kilkanaście mil na południo-zachód od Paryża, posiada wspaniałą gotycka katedrę, która, stojąc wśród płaskiego kraju, widzialna jest o kilka mil dokoła.

Pułk nasz obozował od pięciu dni wśród tego pustkowia. Chodziły pogłoski, że prusacy już zajęli Chartres, i co chwila spodziewaliśmy się ich ujrzeć, wynurzających się na krańcu równiny. Wieczorem, wśród ciszy, zdawało się nam, że dolatują od strony miasta dzikie odgłosy mordów i wojskowej muzyki, tak, iż mrowie chodziło po kościach, chociaż nikt się z tem przed drugim nie zwierzał.

Poprzedniego dnia, podczas przeglądu, powiedział nam pułkownik:

— No, dzieci, spotkamy się z nimi jutro... tak, zapewne jutro.... Liczę na was, że wytępicie sporo tej szarańczy... A nie puszczajcie mi żywcem żadnego... Damy się im we znaki, psubratom! Oj damy! Niech żyje Francya!

Nasz pułkownik lubił przechwałki i chętnie udawał zajadłego wojaka starej daty. W gruncie nie był złym człowiekiem. Nawet robił co mógł, by nam biedę znośniejszą uczynić i oszczędzał nas, nie męcząc żołnierzy bezpotrzebnie.

Mimo przepowiedni pułkownika ranek dnia następnego zeszedł spokojnie, niczem nie różniąc się od poprzednich. Wśród olbrzymiej płaszczyzny nie drgnęło nic. Zniecierpliwiony pułkownik wyjechał z trębaczami naprzód i, przystanąwszy o jakie pięćset metrów od obozu, kazał zatrąbić jakby na urągowisko wrogom, stojącym załogą w Chartres. Ale nawet heroiczne odgłosy bojowe nie wywabiły prusaków na naszą pustą równinę.

Powrócił do obozu zły, krzycząc i klnąc:

— Tchórze!... powiadam wam, że to tchórze!... Ale cierpliwości... Damy im cięgi... nie zwlekając zapoznają się z nami... Kopiąc ich, zagnamy to plugastwo aż, pod paryzkie forty... Słyszycie dzieci... pojedziemy im na karkach jak na bestyach... Bo istna to bestya te prusaki... bestya z Bismarkiem zamiast pyska, a z Moltkiem zamiast ogona... Poczekajcie dzieci... jeszcze uśmiejemy się do syta!

Przez cały dzień chodził pułkownik po obozie i założywszy ręce na plecach, złorzeczył prusakom, mruczał coś pod nosem, gryzł niedopałki cygara, podczas gdy żołnierze szykowali w kociełkach strawę wieczorną.

* * *

Zmieniwszy wartę, sierżant Millard wrócił do obozu około godziny piątej. Już się ściemniało, lecz powrót jego wywołał ogólne zamięszanie. Żołnierze odbiegli od ognisk, około których stali kupkami, oczekując na gotującą się wieczerzę i zewsząd dopytywano się, popychano, każdy chciał wiedzieć, jak i co się stało.

A było czemu się dziwić, bo sierżant trzymał za cugle konia pruskiego kawalerzysty, lecz na siodle nikt nie siedział, tylko krwawiły się jakieś szmaty przytroczone

sam się przekonałem, ale szlachta, niemieckie mająca zazwyczaj przydomki, z niemców pochodzi, to zdawało się nie ulegać żadnej wątpliwości. Szlachta więc niemiecka spolszczała, sądziłem warto zatem śledzić, kiedy to się stało i jakie tego zjawiska były przyczyny? Ale zastanowiwszy się głębiej i zbadawszy źródła przystępne, i to twierdzenie okazało się wątpliwem. Postanowiłem zbadać tę rzecz gruntownie, a gdy przypadek zdarzył, że parę lat przepędzić w Prusach Zachodnich byłem zniewolony, korzystając z tej okazyi, zrobiłem na miejscu studya odnośne." Studya te opierają się głównie na niewyzyskanym jeszcze materyale archiwalnym z archiwów w Toruniu, Chełmnie, Grudziądzu, Gdańsku, Pelplinie, Malborgu, Sztumie. Nowiu, Łaszynie, Radzyniu, Kisielcu, Golubiu, Wąbrzeźnach, Świecach i w Szenwaldzie; wyzyskał tedy wszystko, czem tylko prowincya ta służyć mogła. Przechodzi najpierw ludność wiejską, a potem szlachtę obwodami, powiatami, dekanatami: okazuje się niewątpliwie, że szlachta była tam już za krzyżackich czasów w olbrzymiej większości polska (w znacznej mniejszości niemiecka była napływową), że nie spolszczała wcale dopiero w XVI i XVII w. Skoro jednak wsie za krzyżackich czasów miały dwojakie nazwiska (polskie i niemieckie, z polskich przekręcane), więc szlachta, siedząca po polskich wsiach, miała również dwojakie nazwiska i obydwóch używała, stosownie do tego, kto i w jakim celu akt sporządzał. Ciekawe jest odkrycie, że dawna ludność prusacka polszczyła się w Pomeranii za czasów krzyżackich. Trzecia część rozprawy poświęcona miastom. Wykazano, że już w czternastym wieku, nie tylko XV, mieliśmy tam Stojajów, Kińskich, Grzybowskich, Kotarskich, Kuszeckich.

Pierzchły wobec tego wywody uczonych niemieckich, którzy takie nazwy jak Jesko, Lanczko, Pasto, Pistko, Stasko itp. uważali za — starosaksońskie.

Na końcu rozprawy zamieścił Kętrzyński uwagę, że kraj mazurów (w Prusiech książęcych) w 15 wieku był jeszcze tak dalece polski, że szlachta tamtejsza nawet po niemiecku nie umiała, bo składała homagium wielkiemu mistrzowi w języku polskim. Już dwa lata przedtem ogłosił pracę p t. „O mazurach i zbiór pieśni gminnych ludu mazurskiego." (Poznań 1872).

Niesposób tu podawać cały katalog jego prac naukowych. W swych rozprawach specyalnych raz tylko posunął się za wieki średnie, w pracy o Stanisławie Górskim, zbieraczu t. zw. „Tomicyanów", zasadniczego źródła do historyi polskiej w. XVI. Umiłował zaś sobie okres Piastowski, a zwłaszcza poświęcił się t. zw. krytyce źródeł. Dzieło jego „Studya nad dokumentami XII w." (w Rozprawach Akademii, Kraków, 1891) jest pierwszem wyczerpującem studyum w tym przedmiocie. Czy wnioski przezeń tam zebrane utrzymają się wobec nauki, trudno dziś przewidzieć. Zaatakowali je dotychczas Wojciechowski i Krzyżanowski; ale bądźcobądź ktokolwiek dotknie tego przedmiotu, musi się liczyć z poważną pracą p. Kętrzyńskiego. Na razie trwa spór naukowy o początki dyplomatyki polskiej, o czem Kętrzyński także osobną rozprawę ogłosił.

Brał też Kętrzyński udział w pomnikowem wydawnictwie, zaczętem przez Bielowskiego, a kontynuowanem przez lwowskie grono komisyi historycznej Akademii umiejętności „Monumenta Poloniae historica."

W r. 1862 ogłosił w publikacyach Akademii pracę pt. „Granica Polski w X. w."; stara się tu wykazać, że Małopolska w wieku X nie była czeską prowincyą, lecz należała już do państwa Mieczysława I, jak również Słowaczyzna aż do Dunaju; Morawy nawet były polską zdobyczą już w r. 960. „Wielka Chrobacya" nie istniała, zdaniem autora, w Małopolsce, lecz siedzibą Chrobatów była Panonia po za Dunaj aż do granicy czeskiej. Na lewym brzegu Odry natomiast nie miało państwo Mieszka I po za Szląskiem żadnych innych posiadłości, oprócz ziemi lubuskiej. Co do granicy północnej, mniema autor, że Pomorze, pomiędzy Odrą a Wisłą (sięgające do Warty i Noteci) było prawdopodobnie w posiadłości polaków w ostatnich latach panowania Mieszka I, lecz czas zdobycia nie da się ściśle oznaczyć. Do rozprawy dołączył Kętrzyński bardzo ciekawą mapę, przedstawiającą Polskę w r 1000: państwo to olbrzymich rozmiarów, sięgające od Dunaju do morza Baltyckiego, a od granic czeskich aż do Narwi i Bugu.

Dzieło to nie pozyskało w pierwszej chwili uznania dla swych rezultatów, obalających śmiało dotychczasowe poglądy; zwolna jednak niektóre poglądy Kętrzyńskiego zaczynają zdobywać sobie trwalsze podstawy. Co do Krakowa np., opinia przychyla się już do hypotezy lwowskiego uczonego. Zresztą jak we wszystkich tego rodzaju kwestyach, należy czekać aż dalsze studya sprawę bliżej rozświecą; ale samo postawienie kwestyi jest niezaprzeczoną zasługą Kętrzyńskiego.

Sporną, pomiędzy Małeckim a Kętrzyńskim, jest sprawa o genezę i autora t. zw. „Kroniki wielkopolskiej" (Baszka). Kętrzyński wydał r. 1895 osobną pracę o tym przedmiocie; twierdzi, że autorem jest nieznanego nazwiska proboszcz w Santoku, a pisał pomiędzy rokiem 1356 a 1395. Małecki zaś staje w obronie autorstwa Baszka. Obecnie jest pod prasą obszerna praca Kętrzyńskiego „O rocznikach polskich." Wspomnieć też trzeba „Katalog rękopisów biblioteki zakładu narodowego im. Ossolińskich we Lwowie." Obszerna gruntowna praca zaczęła wychodzić w r. 1881; w r. 1890 wyszedł zeszyt pierwszy tomu trzeciego. Jedyną wadą tego katalogu jest, że pragnie być zbyt dokładnym. Doprawdy takiego katalogu nie posiada żadna na świecie chyba biblioteka; ale też za to mamy zkatalogowanych dopiero numerów 937 (nie przesądzając tego co może być w rękopisie) i zachodzi ciężkie pytanie: kiedy będzie koniec katalogu prowadzonego w ten sposób? Jeżeli się w ten sposób ukończyć da, wielka wygrana — i owszem; ale ryzyko jest wielkie. Bądźcobądź, przedsięwzięcie jest tego rodzaju, że ono samo tylko zapewniłoby Kętrzyńskiemu zaszczytne imię w nauce.

Za młodu zmiennym kolejom losu poddany, znalazł następnie locum standi we lwowskiem Ossolineum, gdzie mu upłynęła połowa życia. W „Katalogu rękopisów" trwałą pozostawia pamiątkę zakładowi, któ-

---

z boku. Za koniem szło kilku z patrolujących żołnierzy, jeden z nich niósł tryumfalnie zatknięty na karabinie hełm pruski, drugi potrząsał długim pałaszem a trzeci strzelbą. Twarz sierżanta promieniała radością.

— Cóż to? — zapytał pułkownik, nagle nadszedłszy i torując sobie drogę pośród żołnierzy otaczających sierżanta.

Spojrzawszy na pojmaną zdobycz, spytał: Gdzieżeś to znalazł?... Gadajże mi zaraz do stu piorunów, gdzieżeś to wykopał?...

Sierżant Millard zaczął opowiadać z miną człowieka pewnego pochwały swego zwierzchnika:

— Panie pułkowniku, rzecz się tak miała... Zluzowałem żołnierzy i wracali ze mną z posterunku. Przechodząc wzdłuż, brzegiem lasu, znalazłem się nagle nos w nos z pruskim kawalerzystą. Przestraszyłem się na razie... ale i on się przestraszył. Zatrzymałem się... on też konia zatrzymał. Nie chciałem oczom moim wierzyć, aby to miał być prusak. A jednak miał pruski hełmn na głowie i szeroki biały płaszcz. Patrzałem na niego jak na zjawisko... a tu mój prusak zdejmuje hełm i rzuca go na ziemię, rozpina płaszcz i także go ciska, odczepia pałasz i dalejże go na kupę... Wreszcie z siada sam z konia, uśmiecha się do nas, macha rękoma jakby witał przyjaciół i gada do mnie, przekręcając po swojemu: „Toi, bon Français!" Więc to naprawdę był prusak; Dopiero teraz jak zagadał, uwierzyłem, że mam przed sobą prawdziwego pludra i czułem, że mi serce rość zaczyna z dumy...

— Dalej... dalej, do rzeczy! — zawołał pułkownik. — Nie marudź z niepotrzebnemi uwagami...

— Otóż, panie pułkowniku, nigdybym nie był przypuszczał, że prusak może mieć tyle uczciwości na twarzy — mówił znów sierżant, ale głosem mniej stanowczym. — Włosy miał jasne i twarz różową, jak dziecko... a z oczu patrzała mu sama dobroć.

— Chwytajcie mi tę szpetną szarańczę! — zawołałem na moich żołnierzy. Prusak się nie bronił i podczas gdy mu odbierali konia i krępowali ręce, śmiał się jakby uradowany, powtarzając jakby przyjaciołom: „Mam żonę... tam... daleko... mam dzieci... nie chcę wojny... nie chcę wojny!"

— Więc poddawał się dobrowolnie? — spytał pułkownik a twarz mu nagle spoważniała.

— Tak, panie pułkowniku, prusak poddał się dobrowolnie — odpowiedział sierżant Millard. — Byłem rad, żem złapał prusaka, a zarazem miałem z tego kłopot. Nie wiedziałem, co mam zrobić z tem szpetnem plugastwem... Mówiłem sobie: „Jeżeli go dostawię do obozu żywcem, to pan pułkownik będzie w złości, bo przecież tyle razy nam powtarzał, aby żadnemu prusakowi życia nie darować". A znów w duszy strasznie mi było markotno zabijać tego człowieka, uśmiechającego się do nas jak do rodzonych braci. Zapytałem o radę moich żołnierzy: „Cóżbyście zrobili na mojem miejscu? A oni tylko pokiwali łbami. Żaden nie wiedział. Na szczęście przypomniałem sobie słowa pułkownika: „A nie puszczajcie mi żywcem żadnego!" To mnie zdecydowało.

— Więc cóż?... Rozstrzelałeś tego człowieka? — wrzasnął pułkownik.

O kilka kroków od miejsca gdzie staliśmy — mówił w dalszym ciągu sierżant, — rósł wielki buk... Gruby stary buk, który jakby wyskoczył naprzód z pomiędzy lasu. Kazałem prusaka mocno przywiązać do drzewa. Wtedy dopiero prusak zmienił się na twarzy, zaczął blednąć i prosić się:

— Nie chcę umierać... nie chcę wojny... ja mam żonę... mam dzieci... dobry francuzie, nie zabijaj... nie chcę umierać... nie chcę wojny....

Myślałem wtedy, że serce mi pęknie z żalu... byłbym beczał, słuchając jak szwargotał, tak mnie coś do niego ciągnęło. Alem powtarzał sobie w duchu słowa pana pułkownika i to mnie utrzymało i dodało mi otuchy. Więc niechaj się dzieje jak każe służba, krzyknąłem na moich: „Pal!" i odwróciłem głowę, bo myślałem, że sam padnę z żałości...

Sierżant zamikł a pułkownik opuścił na piersi pobladłą głowę. Jakoś wszystkim było niewesoło, gdy sierżant znów zaczął mówić:

— Zabraliśmy mu płaszcz i mundur, oto jego koń i wszystka broń... A jego zostawiliśmy tak związanego z bukiem, jak przed rozstrzelaniem... Wzięliśmy również

rego jest dyrektorem. Akademia umiejętności mianowała go swym korespondentem zaraz przy założeniu tej instytucyi; od r. 1887 jest jej członkiem czynnym; wysłużył się jej szeregiem poważnych rozpraw i wydawnictw źródłowych. Społeczeństwo zaś całe otacza go szacunkiem za niezłomność woli i charakteru, za wierne służby nietylko w nauce, lecz w ogóle dobrej sprawie, pod której sztandary sam przystał dobrowolnie, na ochotnika, zgłaszając się z pośród kohorty zgermanizowanych już straceńców. Żywot Kętrzyńskiego jest sam przez się dokumentem na nieprzedawnienie praw krwi; a taki dokument dodaje słusznej dumy społeczeństwu, że krew w niem jeszcze nie woda, że tętni jeszcze i ożywić organizm potrafi.

Poważną pracą, a nie szowinizmem, dorabiał się imienia w szeregu pierwszych bojowników; to też dorobił się honorów, oddanych mu także przez drugą stronę wojującą. Już dawno był członkiem niemieckiego Towarzystwa historycznego w Królewcu. W roku obecnym, gdy minęło lat 30, odkąd wydał pierwszą pracę naukową, przysłało mu dyplom na członka honorowego wrocławskie Towarzystwo historyczne, bardzo a bardzo niemieckie w wojującem znaczeniu tego wyrazu. W dyplomie oświadczają wyraźnie, że wiedzą dobrze, co Kętrzyńskiego różni z ich kierunkiem; ale cenią uczonego, którego badania dziejowe mają niepoślednie znaczenie dla historyi Szląska.

Zmusił niemców nietylko do zrzeczenia się „Winklera“, ale nawet do pełnego szacunku uznania dla „Kętrzyńskiego“. A to publiczne okazanie mu szacunku może służyć za wskazówkę, że możeby też inaczej o nas mówiono wśród germanizatorów, gdyby germanizowani częściej się mogli powołać na kogoś wyższego ponad zawiść, a przedstawiającego coś konkretnego, nietylko echo pustego hałasu.

Kętrzyński jest w pełni sił i pracuje pełnemi żaglami na swojem dziejowem przestworzu; nie ustępuje z widowni naukowej, lecz jest ciągle aktualną na niej postacią i ma jeszcze sporo... p r z e d sobą. Szkoda wielka, że nie zabiera się do ponownego opracowania tematu, poruszonego przed 28 laty w dziele „D i e L y g i e r.“ Takie ponowne poruszenie kwestyi, po latach trzydziestu przez uczonego, który przez ten czas nigdy nie spoczywał, wciąż się kształcił i wzmagał w wiedzę, miałoby niepospolitą wartość; każde słowo znalazłoby uważnych i pilnych czytelników. Zapewne, że niejeden ustęp sam autor wykreśliłby już dzisiaj. Isis nie byłaby już Jessem, Nerthus, Freyr i Freya nie byłyby już bóstwami słowiańskimi i Mugilones nie tak łatwo spolszczyliby się na „Mogilan“ -- zapewne, minęło przecież lat trzydzieści; ale to, coby z dawnego dzieła zostało, miałoby już trwałą wartość, wzmożone całym zasobem nowych spostrzeżeń naukowych, których u Kętrzyńskiego nie brak. Nikt bardziej od niego nie jest powołanym do tego, żeby w niejednej kwestyi z tej dziedziny zabrać głos rozstrzygający.

(K r a j). *Feliks Koneczny.*

Zofia Kowalewska.

przez

Laurę Marholm.

(S t u d y u m p s y c h o l o g i c z n e.)

(C i ą g d a l s z y).

Przyszedł i minął rok 1870 — Zofia wciąż się uczyła. Sen jej stawał się coraz krótszym i niespokojniejszym, po największej części nie wiedziała nawet, co jada. Nagle na wiosnę 1871 r. przerwać musiała naukę i wyjechać do Paryża. Wzywała ją tam siostra, która zakochała się była namiętnie we Francuzie, należącym do Komuny. Ukochanego jej uwięziono, znajdował się w niebezpieczeństwie. Zofia i Kowalewski przedostali się szczęśliwie przez kordon wojskowy i napisali do ojca. Teraz dopiero generał Krukowski dowiadywał się, co porabiały córki jego za granicą. Przybył natychmiast. Po rozmowie z Thiersem i dzięki odwadze Anny ułatwiono ucieczkę niepożądanemu zięciowi. Ojciec zachował sie w całej sprawie niepospolicie szlachetnie. Surowy ten mąż nietylko przebaczył i uznał fakty, lecz podziwiał córki swoje. Między ojcem a niemi wywiązał się stosunek tak serdeczny, tak pełny ciepła i zrozumienia, o jakiem dawniej marzyć było niepodobna. Bezwzględna miłość Anny imponowała mu, lecz na platoniczny związek Kowalewskich patrzał z zasmuceniem.

Zofia otrzymała 1874 r. w Getyndze stopień doktora na podstawie trzech rozpraw matematycznych, z których zwłaszcza jedna: „Przyczynek do teoryi ułamkowych zrównań różniczkowych“, liczy sie do prac jej najznakomitszych. W krotce potem cała rodzina zgromadziła się w Palibinie. Zofia była śmiertelnie wyczerpana — przez długi czas nie mogła jąć się żadnej poważniejszej pracy umysłowej. Lecz pora wypoczynku trwała krótko. Po kilku miesiącach umarł jej ojciec i cała rodzina przeniosła się do Petersburga. Dotychczas pracował był w Zofii tylko mózg — wszystko inne milczało. Pod wpływem upartej, nieustannej autosuggestyi, która działa u kobiety, zwłaszcza u młodego dziewczęcia częściej daleko, niż u młodego mężczyzny, pracowała z żelazną wytrwałością, bez miary i granic. Tak pracowała też Marya Baszkircew: bez tchu, bajecznie, gorączkowo, rok w rok, z niebywałem natężeniem, z niepojętą, niespożytą, twórczą świeżością - podczas gdy w młodem jej trawiącem się ciele gospodarowała już śmierć. I nagle było po wszystkiemu. Tak pracuje niezliczone mnóstwo przekwitających dziewcząt z przyzwoitych rodzin mieszczańskich — za nędzną zapłatę, którą przez współzawodnictwo wzajem sobie jeszcze obniżają; z podobnie gorączkowym pospiechem inne, lepiej postawione, ślęczą nad robótkami ręcznemi, z których nic nikomu nie przyjdzie; w ten sam sposób pracuje większa część smaganych przez biedę proletaryuszek. Rezultatem zaś tych zachodów jest, że wszystkie te kobiety zapominają, jak wygląda radość i stają się niezdolnemi do szczęścia.

Pobyt w Petersburgu sprowadza pierwszy przewrót w istocie Zofii. Usuwa matematykę, nie chce o niej słyszeć, pragnie ją zapomnieć. W miarę odzyskiwania zdrowia, ciało i duch jej zaczynają domagać się równowagi. Tęskni do towarzystwa, wymiany myśli, do rozrywek i rzuca się w wir wszystkich spraw publicznych i umysłowych. Nadto budzi się w niej kobieta. Wcześniej jeszcze, w rozdrażnieniu, poczuciu sieroctwa, w żałości po śmierci ukochanego ojca — po siedmioletniem prawie fikcyjnem małżeństwie — połączyła się istotnie z mężem swoim. Odtąd garnęła się do niego coraz bardziej. Ponieważ spuścizna po ojcu nie wystarczała na ich potrzeby, oboje rzucali się z jednej spekulacyi pieniężnej w drugą. Całą ruchliwość i ogień ich fantazyi pochłonęło budowanie domów i zakładów kąpielowych, tworzenie nowych czasopism i próbowanie wszelakich nowych wynalazków. W pierwszych latach przedsiębiorstwom ich towarzyszyło stale szczęście. W r. 1878 urodziła im się córeczka. Potem nastąpił krach. Tymczasem Kowalewskiego ogarnęła była gorączka spekulacyi. Mimo to, że w r. 1880 mianowany był profesorem paleontologii w Moskwie; mimo że żona jego czyniła co mogła, aby go powstrzymać, przyłączył się do towarzystwa oszustów, które miało na celu eksplotacyę źródeł naftowych w Rosyi południowej. Interes zawiódł i Kowalewski zastrzelił się.

Zofia nie żyła już z nim podówczas. Sny i przeczucia przepowiadaly jej przy-

---

zegarek, który panu pułkownikowi oddajemy, a także portmonetkę, ale była pusta... Koło buku zostały na ziemi jakieś listy i fotografie, które miał przy sobie w skórzanym woreczku...

— Dosyć!.... Milcz! — krzyknął pułkownik.

A zwróciwszy się do żołnierzy, zakomenderował:

—Aresztujcie tego sierżanta i odstawcie do głównej kwatery... Będę tam za godzinę.

Pułkownik wziął z sobą sześciu żołnierzy i wsiadłszy na konia, pojechał w stronę lasu, gdzie dopiero co sierżant kazał rozstrzelać pruskiego kawalerzystę. Dojechawszy na miejsce, pułkownik odwiązał trupa i w wykopany dół złożył go pod bukiem. A gdy grób już był zasypany, zatknął na nim dwie gałęzie, związane w kształt krzyża.

Pamiętam, że noc 18 listopada była niezwykle długa, zimna i dżdżysta...

* * *

Tegoż wieczoru pułkownik zebrał sąd wojenny. Narady nie trwały długo. Sierżant Millard został skazany na rozstrzelanie. Wyrok brzmiał, że rozstrzelanym będzie pod bukiem...

* * *

Przez cały przeciąg wojny, nasz pułk nigdy się nie spotkał z nieprzyjacielem, lecz pułkownik od pamiętnego owego dnia przestał wyzywać prusaków i nie groził im odprowadzeniem pod forty paryzkie.

* * *

Minęło lat kilka, pułkownik stał załogą gdzieś w innej okolicy Francyi, wspomnienie dramatu, owego dwoistego dramatu pod bukiem, nieco się zatarło i odmieniło w jego pamięci. Wieczorami, w kawiarni, pan pułkownik chętnie opowiada o bohaterskich czynach swego pułku w czasie wojny 1870 roku. Zwłaszcza utarczka, czy nawet bitwa w okolicach Chartres była żwawa i dla prusaków złowroga. Żołnierze pod wodzą pułkownika bili się do upadłego i nakłuli bagnetami co niemiara tej plugawej pruskiej szarańczy.... Niezliczona ich ilość padła koło lasku, przed którym wyskoczył trochę naprzód olbrzymi stary buk.... Tam właśnie pokopano głębokie doły i napełniono je trupami prusaków!... Tak, tak, biliśmy się nie na żarty, a kto nie wierzy, niech idzie obejrzeć mogiłę pod bukiem....

K O N I E C.

szłość, ponieważ zaś nadto utraciła wpływ na męża, a byt swój i dziecka zabezpieczyć chciała, rozłączyła się z nim i wyjechała do Paryża. Wyzdrowiawszy z choroby nerwowej, w którą wpadła po śmierci męża, otrzymała zamianowanie na profesora w Sztokholmie.

Walka emancypacyjna kobiet, której Kowalewska zawdzięczała katedrę, znajdowała się tu w pełnym rozkwicie. Pionierki usiłowały zaciągnąć ją w swoje szeregi. Zofia posiadała dar towarzyski i zdobywała sobie serca. Sama jednak z roku na rok czuła się coraz gorzej tam, na północy, i ilekrotnie kończyła wykłady, uciekała co sił do kraju, do Włoch, do Francyi, Anglii — gdziekolwiekbądź, byleby nie zostawać w Szwecyi i wejść na jakiś czas w stosunki szersze. Wogóle pobyt swój w Sztokholmie uważała za etap przejściowy. Tęskniła do Paryża. Lecz lata mijały, a nominacyi innej nie otrzymała. Wykłady zaczynały ją nudzić: umiała rozwijać całą umiejętność swoją tylko wtedy, gdy bodźcem była obecność jakiejś bardzo cenionej przez nią osobistości. Atoli zwolna ta cześć jej dla kilku osobników pobladła.

Na ten czas przypada przyjaźń jej z panią Edgren Leffler. Sława literacka p. Leffler rozbudziła uśpiony w Zofii talent pisarski. Miała za sobą życie pełne różnorodnej treści i wśród względnej jałowości jej bytu sztokholmskiego, perspektywy lat ubiegłych same z siebie niemal zaczęły się jej nasuwać. Początkowo opracowywała wybierane przez p. Leffler tematy dramatyczne i w ten sposób powstał dramat „Walka o szczęście“. Wkrótce jednak spotrzegła swoją przewagę nad uczciwą, prostą szwedką i napisała najpierw „Siostry Rajewskie“ — wspomnienia z własnej młodości, — potem doskonałą nowelę „Wiera Woroncow“, wreszcie zaś pierwszą część niedokończonej powieści p. t. „Vae victis.“

III.

Dotąd życie tej wyjątkowej kobiety płynie w burzliwych, lecz jasnych liniach. Odtąd rozpada się, rozczastkowuje, plącze, stając się dziwnem bezradnem, coraz bezsilniejszem trzepotaniem. Trudno powiedzieć, co było przyczyną tego braku równowagi u niej i powodem przedwczesnego zgonu. Materyał, zebrany przez panią Leffler, jest niedostateczny i liczne zawiera sprzeczności, przytem własne jej wnioski silnie zaciemniają widnokrąg.

Znam cztery portrety Zofii Kowalewskiej — tak do siebie niepodobne, że trudno przypuścić, żeby jedną wystawiały osobę. Nie posiadała pełnej uroku, nieprawidłowej piękności Maryi Baszkircew, która uprawiała artystyczny kult własnego ciała. Potężna, krótko ostrzyżona jej głowa, o wydatnym czole i krótkowidzących oczach, barwy „zielonego agrestu, skąpanego w syropie“, osadzona była na dziecinnym, delikatnym, chudym tułowiu. Czar jej tkwił w nadzwyczajnej żywości, w zupełnem poddawaniu się chwili — o sztuce uwydatniania wdzięku za pomocą ubioru, pojęcia wszakże nie miała. Przekwitła bardzo wcześnie. Pewien sławny poeta zapewniał mnie, że mając lat trzydzieści robiła wrażenie drobnej, starej, zaschłej kobietki. Ta jej powierzchowność stanowiła zupełne przeciwieństwo do smukłej jak jodły i jak jodły wysokiej, jasnej, świeżej rasy szwedzkiej. Odskakiwała tak bardzo od typu szwedzkiego, że nie mogła wzbudzać silniejszych, erotycznych uczuć, do których była skłonną. Spotykała się z chłodem i wrażliwa jej, spragniona podniet natura cierpiała coraz silniej pod świadomością całkowitego różnienia się od typu zwykłej, zwycięzkiej piękności. Na portrecie z 18-go roku życia podobną jest do Ludwika Bawarskiego — z rysów twarzy, wyrazu oczu i bardzo odwiniętych ust. Drugi jej obraz z r. 1887 przedstawia oblicze, nacechowane jakąś trochę wymuszoną uprzejmością, znużeniem, rozczarowaniem: czytasz niemal z tej twarzy usiłowanie przystosowania się do szorstkiego, sztywnego, pełnego wymagań środowiska sztokholmskiego, przyczem dawna, swobodna indywidualna pewność zatarła się zupełnie. Na portrecie robionym w Paryżu po otrzymaniu Prix Bordin, ma wesołą twarzyczkę. A wreszcie ostatnia jej, poniekąd urzędowa, silnie retuszowana podobizna z r. 1880, z takim szlachetnie-chorym, rozczarowanym, znużonym, chłodnym wyrazem twarzy! To są zupełnie różne od siebie kobiety, są to świadectwa o tem, jaką była jej niezmiernie wrażliwa, słowiańska natura do chwili wykorzenienia jej z właściwego gruntu i jaką się stała potem.

Był to geniusz iście słowiański — uparty, odskakujący, płodny, pożądający całej pełni nieobliczonych, rozrzuconych w naturze i ludziach tamtejszych bogactw. Dobrze jej było w atmosferze herbaty, papierosów i duchowego zarówno jak materyalnego zbytku, wśród ludzi takich, jak ona sama. Sztokholmczycy byli inni. W Berlinie żyła jeszcze w środowisku swojem — tu zupełnie ją z niego wyrwano. Ona, która nie umiała być samotną, była tu sama wśród uprzejmych, kanciastych, walczących o prawa swoje obcych kobiet. Żądano tu od niej, żeby była wzorem, spełniła pewną misyę; dyktowano jej obowiązki, przeciwko którym powstawała wtedy tylko, jeżeli wtargano do najtajniejszego, osobistego jej życia. Publiczne stanowisko, które zajmowała, schlebiało jej próżności; była też materyalnie od niego zależną, gdyż prywatny jej majątek nie mógł starczyć na życie i na częste podróże.

Długoletnia choroba nieszczęśliwej jej siostry w małżeństwie, Anny, powodowała bezustanne wyjazdy Zofii ze Sztokholmu do Petersburga i z powrotem. Po śmierci siostry zajmowały ją przez jakiś czas silnie bijące podówczas prądy literackiego i kulturalnego życia Północy. W przestankach pisała też książki i rozwiązywała zagadnienia matematyczne. Ilekroć wracała z wakacyi do Sztokholmu, spędzanych w Rosyi lub na południu, nie pamiętała ani jednego szwedzkiego wyrazu. Z każdym rokiem więcej biadała nad swojem wygnaniem. Szeroka, bujna jej natura nie mogła nawyknąć do panującego w Sztokholmie tonu; z drugiej zaś strony jako dobrze wychowana, wykwintna, pragnąca przystosować się cudzoziemka, w osamotnieniu swem nie śmiała wyłamać się z pod tego tonu. Życie jej stało się po raz pierwszy monotonnem — albo też takiem jej się wydawało. Siła jej żywotna słabła. Tęskniła do ciepła, tkliwości, fantastycznych stosunków — do wszystkiego co było w jej kraju, a czego tu nie miała.

I jeszcze do czegoś tęskniła, co było dla niej najdostępniejszem. Zbudziło się gwałtowne, nerwowe pragnienie miłości. Chciała być kobietą, posiadać dla innych urok kobiety. Póki trwało naprężenie jej sił duchowych, nie uczuwała tego pragnienia. Podczas zaciekłej matematycznej pracy zagłębiała się w sobie, była niedostępną, wolną od wszelkich pożądań; podczas pracy literackiej stała się mięką, uprzedzającą, pełną tęsknoty do miłości. Erotyczne jej życie rozbudziło się w wyobraźni. Żal jej było utraconej młodości, czasu strawionego na studyach, złorzeczyła nieszczęsnemu talentowi, który sprawił, że przestała wywierać czar kobiety. Chciała być kobietą i doznać szczęścia jako kobieta.

Miała jeszcze inne, równie gwałtowne i do spełnienia trudne pragnienie: otrzymania katedry w Paryżu. Poniekąd życzenie to spełniło się, gdy w r. 1888, na uroczystem posiedzeniu Akademii umiejętności w Paryżu, wobec wielu sławnych uczonych, odebrała osobiście t. zw. Prix Bordin. Było to najwyższe odznaczenie naukowe, jakiego dostąpiła kobieta. Od tej chwili stała się sławą europejską i miała w historyi miejsce zapewnione. Lecz przyjęła fakt ten obojętnie. Była tak wyczerpaną jak po doktoracie. Przygotowywała się do zwycięztwa, pracując miesiącami, dniem i nocą — bez wytchnienia. Obecnie chciano uczcić laureatkę i nastały tygodnie nieustannych zabaw i rozrywek. Kowalewska nie usuwała się od niczego, przyczem jej tęsknota do miłości stanęła u zenitu.

Trochę dawniej już poznała była kuzyna męża swego. Zwała go „grubym M.“, Towarzystwo sympatycznego rodaka — na obczyźnie — usposobiło ją jak najweselej. Stał jej się niezbędnym, chciała go mieć ustawicznie przy sobie, nie mogła żyć bez niego. M. zaś tak dalece nie był jej wzajemnym, ale chętnie byłby się z nią ożenił. Ztąd wywiązał się nieszczęsny, połowiczny stosunek. Zofia nie mogła żyć bez niego. Z Rosyi i Sztokholmu pojechali na kilka dni do Paryża i do Włoch. W drodze rozstali się, ponieważ nie mogli się z sobą pogodzić. Wskutek nagłej zmiany klimatu Kowalewska przeziębiła się. Przyjechawszy do Sztokholmu, niezwłocznie zaczęła wykłady, brała udział w życiu towarzyskiem, narażając się z rozpaczną jakąś obojętnością — a może umyślnie — na pogorszenie swego stanu. Niejasne przeczucia i sny, w które zawsze wierzyła, przepowiedziały jej, że rok ten będzie dla niej złowrogim. Tęskniąc do śmierci i bojąc się jej zarazem, umarła prawie nagle, na początku r. 1891.

IV.

Ci, którzy znają kobiety słowiańskie, a widzą je z dostatecznej odległości, nie pozwalającej zapuszczać się zbytnio w szczegóły, odróżniają w pośród nich dwa typy. Do jednego z nich należą owe ogniste lub sentymentalne, pełne, leniwe, nęcące kobiety o czarnych lub mieniących się szarych oczach, miękkie o miękkich ustach, które chętnie się śmieją i chętnie jedzą, o jakimś nieokreślonym, ujmującym uroku, o ruchach takich, jak gdyby nie podnosiły się z miękkiej pościeli, o szczebiotliwej gadatliwości, mogącej przejść równie prędko w najsłodsze przymilenia, jak i w najbrzydszą wściekłość — słowem kobiety najbardziej kobiece, nieprzewidziane w dobroci serca jak i w kaprysach, bezczynne i zmysłowe, kochające się i wzbudzające miłość w kochliwych mężczyznach. Do tych Kowalewska nie należała. Drugi typ — to najzupełniejsze przeciwieństwo. Tworzą go kobiety uczciwe, te, które najłatwiej określić mianem „bons camarades“, przyzwoite, jasne, odważne, energiczne, silne duchem i ciałem, o myślących głowach, chudych kształtach, bez owych wydatnych linii, będących właściwością połowy kobiet rosyjskich, o twarzach żółtych zazwyczaj, trochę gąbczastych; mają w sobie coś, co nawet najwybitniejszym z pośród nich odbiera czar zmysłowy, a co nazwałabym bezwonnością. Patrząc na nie, człowiek nie czuje, że ma kobiety przed sobą. I one same nigdy lub też bardzo rzadko myślą o tem, że są kobietami. Zwykle żyją dla pracy, dla zawodu, dla idei. W ekstazach umysłu znajdują to wszystko, czego im nie dostaje jako kobietom i ludziom kulturalnym.

Lecz jest to typ nietylko rosyjski — to także typ epoki. W Szwecyi kobiety takie stanęły do walki o prawa kobiet, w Anglii — agitują za czynnem i biernem dla

siebie prawem wyborczem, w Ameryce tworzą kluby, w Niemczech — są wychowawczyniami. Typ to ogólny i tylko stosunki każdego kraju stanowią o manii, w którą wpadnie i którą zwie natenczas „swojem powołaniem.“

Do typu tego zaliczyć musimy Kowalewską. Sama się do niego liczyła. Całem życiem swojem dowiodła i utwierdziła swoją doń przynależność. Sposób, w jaki reagowali na nią mężczyźni, jest jednym dowodem więcej. Znała mnóstwo mężczyzn — najwybitniejszych, najbardziej uzdolnionych w Rosyi, Skandynawii, Anglii, Niemczech, Francyi i Włoszech; wszyscy oni dobrze w jej towarzystwie czas spędzali, lecz żaden nie zakochał się w niej impulsywnie. Z pośród tysiąca ani jeden nie powiedział do niej: „żyć bez ciebie nie mogę!“

Należała do gatunku kobiet, w których widzi się tylko mózg. Uważano ją za przynależną do tego gatunku. Była jego tarczą, sztandarem zwycięzkim, najwyższym jego tryumfem. Orzeczono, że nie potrzeba jej niższych rozkoszy — w wiedzy miała rozkosz najwyższą; miała katedrę i uczyła mężczyzn. Nie przeczyła tym poglądom, sama przecież wyznawała je, dążyła do stwierdzenia ich, żyjąc pod nędznym płaszczem pozornego małżeństwa, podczas długich, mozolnych lat naukowej pracy.

Uważano, że jest geniuszem-kobietą o mózgu męskim, że urodziła się po to, by dźwignią być i wzorem dla mózgów sióstr swoich.

Ha, — była taką i taką nie była! Czuła i nie czuła się taką! Ostatniemi latami zadała kłam całemu poprzedniemu swemu istnieniu, i usunęła się od niej obrażona gromada sióstr. Gdyby nie te ostatnie lata, oddawna wyciągniętoby ręce po składki na pomnik dla niej. Lecz dziś — to już nie uchodzi. Dziś tylko milczeć wypada.

Bowiem była kobietą, była nią mimo wszystko, — mimo dziesięcioletniego fikcyjnego małżeństwa, mimo równie długiego stanu wdowieństwa, mimo stopnia doktorskiego, katedry i odznaczenia, jakiem jest *prix Bordin*. I w taki niemiły, obrażający, nieprzyzwoity sposób była kobietą...

Ona, która nigdy nie nęciła, więcej była kobietą od tych kusicielek, które z miłości czynią sobie zawód. Ujawniło się nowe w niej zróżniczkowanie kobiety, którego nikt nie rozumiał, ponieważ było nowe, i którego sama nie rozumiejąc, popełniała wskutek tego błędy. Winić za nie należy nie ją, lecz prąd czasu, który ją porwał i w wirze okręcił. Gdy ją zaś prąd ten opuścił, było za późno na tworzenie osobistego losu.

I kto wie, czy byłoby lepiej, gdyby prąd czasu nie był jej uniósł, lub gdyby wcześniej była ocalała. Kobieta nie ma własnej doli. Nie może jej mieć, gdyż nie może być samą. A i losem mężczyzny staje się nie bezpośrednio, nie dzięki temu, czem jest sama, lecz dzięki temu, co powoduje. Im więcej jest kobietą, im bogatsze posiada przymioty, tem wyraźniej mężczyzna, biorący ją sobie na własność, losem się jej stanie. A jeśli rozwój średnio uzdolnionej kobiety zależy od tego, jaki mężczyzna będzie wobec niej dawcą, to o ile silniej zawisła od okoliczności tej pomyślność kobiety genialnej, w której ciepło ucisku męskiego rozbudzić i wyzwolić ma geniusz zarazem i kobietę. I jeśli przeciętna kobieta zrozumieć może własną istotę tylko przy pomocy miłości męzkiej, — to ile więcej potrzebuje jej kobieta genialna, o zdolnościach twórczych, które drzemią zarówno jak indywidualność jej — w jej płci kobiecej. Jeśli pod tym względem kobieta pozostaje niezbudzona, głodna, to choćby istnienie jej rozpoczęło się pod znakiem najbardziej „obiecującym“, będzie w dalszym ciągu zanikiem i tem straszniejszą walką śmiertelną, im silniejszą była w niej energia życiowa.

Takiem było istnienie Zofii. Żaden mężczyzna nie przytulił jej do serca, nie uderzył o struny jej duszy tak, aby zadźwięczały. Była matką i żoną, lecz nie była żadnego mężczyzny życiem.

V.

Gdy piszę te słowa, dolatuje mnie co czas jakiś słodki, ciężki, mdły, a zarazem przenikliwy zapach. Spływa on ku mnie z tuberozy, stojącej opodal, na oknie. Dźwiga ona gruby pęk rdzawego trochę kwiecia na niezmiernie długiej, cienkiej łodyżce, okolonej kilku wiotkimi, chorymi liśćmi. Chora jest, gdyż przez długi czas stała wśród albumów i fotografii, na stole pod świecznikiem, w nawpół mrocznej atmosferze pokoju. Choroba tkwiła widać w korzeniach — nie było rady. Trzeba było przyznać, że jest rzadkim kwiatem, a niepodobua było nie dostrzedz, że z dnia na dzień staje się brzydszą.

Postawiono ją na oknie, gdyż tu właśnie znalazło się trochę miejsca, na stole zaś umieszczono pospolitą doniczkę rezedy. Trzymała się doskonale między albumami, fotografiami i kartkami wizytowemi i stanowiła bardzo ładną ozdobę. Na tuberozę nikt nie spoglądał, póki sama nie przypomniała się pamięci falą silnej swej woni. Natenczas spojrzało się na nią od niechcenia: na pierwszy rzut oka wydawała się tylko potarganą, schorzałą roślinką; przy uważniejszem atoli spojrzeniu dostrzedz było można, że łodyżka zakończona jest trzema zupełnie rozwiniętymi, lśniącymi, jak biały aksamit, kwiatkami. Łodyżka przechyliła się, tuląc kwiecie do szyby, przez którą aż do swego zachodu zaglądało słonko jesienne. Przywracała umierające kwiecie życiu i pod ciepłą pieszczotą słońca sama do sił wracała.

Zjawisko to przypomina mi Kowalewską.

(Dokończenie nastąpi.)

SZKOŁA I WYCHOWANIE.

Prywatne instytucye dla oświaty ludowej w Ameryce

przez

Dr. fil. Józefę Kodisową.

(Ciąg dalszy).

V.

(Uniwersytety ludowe („University extension“).

Wskutek systemu naszego szkolnictwa przywykliśmy od wieków uważać naukę w uniwersytetach za dostępną jedynie ludziom uprzywilejowanym, tak pod względem szkólnego przygotowania jak i funduszu. Tymczasem uniwersytecka nauka jest właśnie tą wiedzą, jakiej potrzebujemy wszyscy, jeżeli umysł nasz dąży do światła. Każdemu szukającemu wiedzy chodzi przedewszystkiem o poznanie swego własnego stanowiska wśród społeczeństwa i przyrody i o istotę otaczającego go świata. Jeżeli zwrócimy uwagę na historyczny rozwój nauk, to spostrzeżemy, że istotnie każda pojedyńcza nauka powstaje z potrzeby dania odpowiedzi na któryś z powyżej wymienionych problematów. Tą właśnie drogą szedł rozwój duchowy całej ludzkości. Jednakże, ażeby przygotować ludzi do samodzielnej i twórczej pracy naukowej, okazała się potrzeba odpowiedniego wytresowania ich umysłów i wyuczenia ich pewnych metod naukowych, które to zadanie wypełnia obecnie z mniejszym lub większym powodzeniem szkoła średnia. Wobec tego faktu jednak zapomniano o tej całej, bez porównania liczniejszej masie ludzi, która nigdy nie będzie się mogła poświęcić nauce i sama pracować nad jej dalszym rozwojem. A jednakże ludzie ci pragną także wyjaśnić sobie stosunki wszechświata i własną w nim rolę. Oczywiście, że od tego zrozumienia rzeczy zależy też rozwój społeczeństwa jako całości. Na tem opiera się całokształt społeczeństwa, jego dążności i cele. Tymczasem wobec panującej u nas arystokracyi nauki właśnie treść jej nie dochodzi wcale do ludu, nie rozszerza się w narodzie.

Wiele osób mniema, że bez odpowiedniego przygotowania nie może lud zrozumieć tematów uniwersyteckich. Praktyka przekonała, że tak nie jest. Kiedy w Anglii, około roku 1871, zaczęto robić przygotowania i prowadzić agitacyę w celu rozszerzenia wykładów uniwersyteckich na lud, koła stanowiące opinią publiczną powitały to śmiechem i drwinami. Obecnie ruch stał się tak poważnym i takiem się cieszy powodzeniem, że niema już nikogo, ktoby wątpił o jego możebności i pożytecznych rezultatach. Istotnie absurdem, popartym tylko długą tradycyą, jest mniemanie, jakoby łatwiejszym był do zrozumienia wykład arytmetyki niż naprzykład popularny wykład geologii, — a że ten ostatni więcej rozentuzyazmuje i zaciekawi słuchaczy, niema najmniejszej wątpliwości. Podobnie rzecz ma się z gramatyką, i np. chociażby polityczną ekonomią. Każdy, kto spróbował uczyć dorosłego człowieka, przekona się, jak bez porównania większą trudność przedstawi temu ostatniemu zrobienie rozbioru gramatycznego niż zrozumienie fizyologicznych procesow, np. obiegu krwi. Tymczasem uczymy masę ludzi gramatyki, a zaledwie garstkę zasad fizyologii, pomimo tego, że poznanie tej ostatniej bodaj czy nie większą ma wartość społeczną.

Taką właśnie naukę ma za zadanie podawać ludowi t. zw. w Anglii i Ameryce „University Extension“, co dosłownie oznacza rozszerzenie uniwersytetu. Instytucya ta, jak to już wymieniliśmy wyżej, powstała w Angli około roku 1872 przy uniwersytecie Cambridge. Ruch ten rozpoczął się od tego, że jeden z profesorów tego uniwersytetu James Stuart zmuszony był dawać lekcye astronomii kilku kółkom kobiecym w Manchester, Liverpool i w paru innych miastach. Profesor musiał podróżować po tych wszystkich miastach i każdego dnia mieć w innem wykłady. Zauważywszy, że słuchaczki nie są w stanie robić umiejętnych notatek, Stuart rozpoczął rozdawać przed lekcyą drukowane streszczenia mającego się odbyć wykładu, nazwane później syllabusami. Dalej, ponieważ ustne przesłuchiwania przedstawiały różne trudności, zaczął on rozdawać pytania drukowane, na które słuchaczki musiały odpowiedzieć piśmiennie. Odpowiedzi następnie poprawione były im zwracane po dniach kilku. Ponieważ ten system wykładów okazał się praktycznym, postanowiono zastosować go do szerszej publiczności. Powodowano się przytem tą ideą, że demokratyzacya nauki jest konieczną potrzebą naszej epoki i że uniwersytety angielskie na początku swego istnienia miały też daleko demokratyczniejsze tendencye, niż obecnie. Powodzenie, jakie zyskały wykłady uniwersytetu w Cambridge, zachęciły i inne angiel-

skie uniwersytety do naśladowania. Powoli ruch rozszerzał się coraz bardziej. Utworzyły się kluby i towarzystwa w całej Anglii w celu propagowania nauki tego rodzaju. Nawet biblioteki publiczne w wielu miejscach potwierały kursa wykładów według danego systemu. Obecnie „University extension“ stały się instytucyą ogólnie uznaną i niezbędną w angielskiem społeczeństwie. Studenci rekrutują się z najrozmaitszych klas społecznych, mężczyzn i kobiet, młodych i starych. Obecnie już Anglia zawdzięcza tej instytucyi wiele wybitnych i wpływowych ludzi, którzy tylko z jej pomocą wydobyli się z ciemnych warstw społecznych. Wobec takiego znaczenia instytucyi dla całego narodu, — niektórzy nazywają ją ‚people’ university“ — uniwersytetem ludowym albo wszechnicą ludową.

W r. 189(uniwersytety ludowe przeniesione zostały do Ameryki i obecnie niemal wszystkie większe amerykańskie uniwersytety mają specyalne działy dla wykładów ludowych. Przy wielu z bibliotek publicznych są też podobne wykłady. W każdem, chociażby odległem od wielkich centr miejscu, może być urządzona t. zw. organizacya lokalna, która zajmuje się skupieniem uczni i dostarczaniem dla nich profesorów. Droga agitacyi w tym celu jest zwykle taką: Osoba zainteresowana tą sprawą stara się przedewszystkiem zjednać dla niej kilka osób wpływowych w danej okolicy, jako to zwierzchników szkół, kierowników klubów, księży etc. W porozumieniu z nimi urządza się wiec (meeting), na którym jeden z przyszłych profesorów daje próbną lekcyę, tłomaczy zadania wykładów i podaje różne wskazówki co do planu przyszłej pracy. Jeżeli publiczność okazuje się dość zainteresowaną, przystępuje się natychmiast do uformowania organizacyi przez wybór prezydenta, wiceprezydenta, sekretarza, skarbnika etc. i lokalnego komitetu. W ten sposób centrum lokalne zostaje założone. Lokalny komitet najlepiej odpowiada swojemu zadaniu, jeżeli jest złożony z 10 do 20 członków, wpośród których znajdują się zwykle reprezentanci każdego elementu danej okolicy, jako to przedstawiciele różnych klubów, prasy, bibliotek, robotników, nauczycieli, przemysłowców etc. Komitetowi starają się wśród danej okolicy rozszerzyć pojęcie znaczenia wykładów i wogóle propagować tę ideę. Z drugiej strony dopomagają profesorowi, ażeby uczynić jego wykłady korzystnemi i prowadzą cały miejscowy zarząd instytucyi. Komitetowi zajmują się też anonsowaniem wykładów przez miejscową prasę, kościoły i drukowane cyrkularze.

Dla oszczędzenia czasu i kosztów przejazdu profesorów wykłada często jeden i ten sam profesor w kilku lokalnych centrach, niedaleko od siebie położonych. Takie centra łączą się zwykle razem w jedną całość i nazywają się „okręgiem“ (Circuit). Uniwersytet, którego profesorowie wykładają po centrach lokalnych, przedstawia rodzaj ogólnej centralizacyi tychże. On to w porozumieniu z komitetami centrów lokalnych układa plany lekcyi i naznacza odpowiednich profesorów.

Wykład jednego przedmiotu odbywa się w każdym centrze zwykle raz tygodniowo i trwa 2 godziny. Przekonano się, że najlepsze rezultaty osięgają sześciotygodniowe kursa wykładów.

Zadaniem wykładów jest nietylko podać pewną ilość wiedzy słuchaczom, ale przedewszystkiem zachęcić ich do nauki i podnieść w ich umysłach teoretyczne problematy. To też profesor powinien ciągle mieć na oku przedstawienie słuchaczom rzeczywistej wartości i znaczenia nauki. Naturalnie dzieje się to nie za pośrednictwem profesorów, lecz przez umiejętne przedstawienie istoty danej nauki i przez uwydatnienie tej właśnie jej strony. Nie jest to tak łatwą rzeczą, jak się na pierwszy rzut oka może wydawać. Tak np. przekonano się, że profesor nie może się stanowczo trzymać logicznego szematu w swoich wykładach. Słuchacze bowiem, składający się z ludzi praktycznego życia, nie mogą w ten sposób być utrzymani w stanie skupionej uwagi. Profesor musi posiadać dar żywego wykładu i być niezłym mówcą ludowym, obok doskonałego władania przedmiotem. W Ameryce i Anglii istnieje już obecnie duża ilość specyalistów w tym fachu. Profesor, posiadający dobre kwalifikacye tego rodzaju jest bardzo cenionym i poszukiwanym. Bywają wypadki, że Amerykanie zapisują sobie takich profesorów z Anglii, pomimo wielkiej liczby własnych nauczycieli. Wykłady zwykle są prowadzone przez ludzi, którzy jeżeli nie są profesorami uniwersytetu, to przynajmniej ukończyli studya uniwersyteckie i uczyli się specyalnie metodyki takich wykładów w sposób praktyczny. W Filadelfii istnieje nawet specyalna szkoła dla kształcenia profesorów uniwersyteckich ludowych.

Jedną z takich zasad uniwersytetów ludowych, do których ludzie doszli drogą praktyczną, jest, ażeby w owych seryach lekcyi, o których mówiliśmy powyżej, niepodawać słuchaczom ogólnej treści całej nauki. Należy się ograniczyć raczej do jednej jej części i tę za to opracować o ile możności wyczerpująco. Tak np. nie wykładać całej fizyki, ale przypuśćmy, naukę o świetle, — nie całą literaturę lecz np. podać rozbiór sześciu dramatów Szekspira itd. Zyskuje się przez to, po pierwsze, usunięcie powierzchowności z wykładów, powtóre, utrzymuje się w natężeniu interes umysłowy, który pobudza słuchaczy do dalszej nauki. Wykład uniwersytetu lud. odróżnia się od innych wykładów następnemi punktami: słuchaczom zwykle na dłuższy czas przed wykładem (czasem o pół roku) rozsyłają się krótkie streszczenia lekcyi, w których zaznaczone są główne punkta, mającego nastąpić wykładu. Daje to możność słuchaczom, wedle chęci przygotować się do lekcyi lub przynajmniej oswoić się z temi ideami, które w niej będą poruszone. Dalej w tymże celu służą małe w ę d r o w n e b i b l i o t e c z k i, które przesyłają się przed wykładami do danej okolicy i bywają rozdawane słuchaczom przed lub po wykładzie dla lepszego zapoznania się z przedmiotem. Sama lekcya składa się zwykle z dwóch godzin. Pierwsza godzina poświęconą jest wykładowi, druga zaś d y s k u s y i i pogadance o danym przedmiocie. Po lekcyi rozdaje się szereg d r u k o w a n y c h p y t a ń z zakresu danego przedmiotu, na które wedle życzenia słuchacze mogą piśmiennie odpowiadać, a profesor obowiązany jest poprawiać wypracowania i zwracać je autorom. Naturalnie nie cała publiczność, słuchająca danego wykładu, ma ochotę zajmować się pracą poważną: ztąd też studenci rozpadają się faktycznie na trzy kategorye: prostych słuchaczy, takich, którzy biorą udział w dyskusyi i takich, którzy podejmują się piśmiennych wypracowań.

(Dokończenie nastąpi).

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Projekt kolei na „Jungfrau“.

Szwajcarya przystępuje do nowego śmiałością zdumiewającego przedsiębiorstwa.

Projekt kolei na szczyt Jungfrau już wykonany, koncesya zatwierdzona, pomiary w biegu, a zapewne już pierwszego października wstrząsną górami pierwsze wybuchy ładunków dynamitowych, a świdry i kilofy zagłębią się we wnętrzu skalistych olbrzymów, formując tunele i przekopy.

Przedsiębiorstwo podzielone jest na cztery sekcye, z których każda zawiera pewną całość i jest przedmiotem specyalnej koncesyi. Tak, że w razie nieprzewidzianych trudności, chociaż kolej nie dobiegnie do szczytu, częściowo wykonaną będzie.

Kolej na Jungfrau wychodzi ze stacyi „Scheidegg“ drogi żelaznej na Wengernalp, leżącej 2064 metrów nad poziomem morza, pierwsza jej część wije się wśród niezbyt wysokich pagórków, podnosząc się powoli ku 2350 metrów wysoko leżącej stacyi „Eigedgletscher“. Nachylenie toru wynosi tutaj zaledwie 12,4% tj. podnosi się 12,4 metrów na każde 100 mtr. odległości. Część ta nie przedstawia najmniejszej trudności pod względem technicznym, linia jest już wytyczona, a roboty ziemne od 1-go sierpnia rozpoczęte. Powyżej wymienionej stacyi na wysokości 2424 metrów zagłębia się kolej w tunel, z którego z wyjątkiem dość licznych stacyi nie wychodzi do końca. Jest to część właściwej kolei górskiej, linia wytyczna obiega do koła grupę skalistą „Eiger“ podnosząc się 25 metrów na 100 odległości do stacyi Gindelwaldblick (2660 mtr.) a w dalszym przebiegu do „Kalifiru“ 3270 metrów nad poziomem morza.

Dalej biegnąc w prostej linii przy nachyleniu 15,5% dosięga do pierwszego punktu kulminacyjnego „Monchjoch“ (3550 mtr.) Ostatnia część kolei zniża się początkowo 10% na odległości 1700 metrów do stacyi Aletsch-Guggi (3393 m. n. p. m.) zkąd w przeróżnych łukach podnosząc się 25 metrów na 100 dobiega do ostatniej stacyi „Elevator“ (4093 m. n. p. m.), leżącej pionowo pod szczytem „Jungfrau“, na który wjeżdżać się będzie za pomocą 73 metrów wysokiej windy. Tak przedstawia się w grubszych zarysach główna linia kolei, która w czasie budowy ulegć jeszcze może drobnym zmianom. Długość toru kolejowego wynosi 12,260 kilometra, wysokość, na którą się w całym swoim przebiegu podnosi 2102 metrów, przeciętne nachylenie otrzymujemy 17,5%. Szybkość kolei obliczono na 8¼ km. na godzinę, tak, że cała podróż z Scheidegg na szczyt trwać będzie łącznie z przystankami około dwóch godzin.

Jako siłę motoryczną wybrano elektryczność, której dostarczą dwa górskie strumyki, czarna i biała Lütschina. Wyzyskanie tychże w tym celu jest zastrzeżone w koncesyi, będą one nie tylko użyte jako źródło siły motorycznej do ruchu, oświetlenia kolei, tunelu i stacyi, opału wagonów, lecz nadto już w czasie robót posłużą do obrotu machin pomocniczych. W tym celu założone będą pod Lauterbrunnen turbiny dostarczające siły faktycznej 1500 koni.

Swiat techniczny patrzy z zajęciem na to niebywałe dzieło sztuki inżynierskiej, zdając sobie dokładną sprawę z trudności, jakie wykonanie jego przedstawia. Nie są one jedynie technicznej natury, lecz leżą głównie w niedogodnościach atmosfery i kli-

matu. Wiadomem jest, że od wysokości 3000 metrów n. p. m. klimat staje się dla człowieka uciążliwym, pojawia się choroba górska z symptomów do morskiej dość podobna, jeżeli dodamy do tego zawieje śnieżne, mróz, wichry i burze, uprzytomnimy sobie łatwo, że wydajność pracy człowieka w tych warunkach będzie bez porównania mniejszą jak w zwykłych okolicznościach. Pomimo tego przedsiębiorcy liczą na niezły zysk. Koszta wykonania całej kolei obliczyli na 10 milionów franków, które, jeżeli rachuby nie omylą, odrzucać mają na czysto 6,8% dywidendy. Na rachunek ten jednak spogląda główny organ techników szwajcarskich „Schweizerische Bauzeitung“ z niedowierzaniem i wykazuje, że przedsiębiorcom przedstawia się spekulacya ze szczytu Jungfrau w za różowem świetle. — Cena biletu na szczyt i z powrotem wynosić ma 40 franków, o ile nam się zdaje dość nizka, wobec trudności przedsiębiorstwa i uroku, jaki dla każdego leżeć musi w tak pociągającej podróży. Tak więc w blizkiej przyszłości dozwolonem będzie szerszej publiczności stąpać po śnieżnem czole „dziewicy Alp“ i spoglądania ze szczytu 4166 metrów wysokiego na przecudną krainę szwajcarską, co do dziś dnia tylko wytrawnym i śmiałym turystom przypadało w udziale. Lecz nie trzeba się łudzić, aby w razie wykonania całkowitej kolei każdy bez wyjątku mógł podejmować tę pociągającą podróż. — Dla słabych i chorych będzie to wycieczka nie bardzo dostępna.

W każdym razie śmiałe to dzieło przynosi honor dzielnej i pod wielu względami przodującej technice szwajcarskiej. Jest to pierwsza linia kolei w Europie wkraczająca w wieczną dziedzinę śniegów i lodowców. Już sama jej budowa będzie bogatem żniwem dla nauk technicznych i wydajnem źródłem dla spostrzeżeń geologicznych, meteorologicznych i przyrodniczych.

Tuz.

KRONIKA LITERACKA

Lemianowicz Teodor. „Jedynaczka“ szkice z natury, Warszawa, Paprocki, 1896.

Jedynaczka? — A więc znowu zbytnie pieszczoty, kaprysy, mąż rozkochany, ale nie dość uległy, ucieczka do matki, łzy, rozpacze i nareszcie mąż pod pantoflem? I tak — i nie. Z tematu spowszedniałego nie mógł autor usunąć sytuacyi typowych, a nie umiał go ożywić nowemi szczegółami i oświetlić nowym promieniem obserwacyi, aby rzecz stała się nową naprawdę. Bo Jadwisia Łuniewska, ta lilijka wychuchana przez matkę, rozkochana po pierwszem spotkaniu się na balu w doktorze Rymkiewiczu, a potem jako żona jego, opuszczająca go bez poważnych przyczyn, z nienawiścią w sercu i chaosem w głowie — nie ma w sobie nic z goła nowego, prócz niekonsekwencyi i urojeń. Dr. Rymkiewicz przed ożenieniem się, a potem, to dwie różne postacie, z których późniejsza, niewiadomo dlaczego, powstała z wcześniejszej; matka Jadwisi, p. Łuniewska, bezbarwna i bezsilna ponad możliwość, a jej siostra p. Kaszurowa udaje energię, której nie posiada. To też nic dziwnego, że obie po opuszczeniu męża przez Jadwisię są bezradne, że nie mają innego argumentu dla rozgorączkowanej myślą rozwodu, nad słowa: „A niechże cię Bóg broni od tego!“ Jadwisia, parta koniecznością, wraca do męża, do którego czuje odrazę, szuka koniecznie śmierci i znajduje ją, a p. Rymkiewicz, jako młody wdowiec i dobra partya, pewnie się wnet pocieszy, chociaż w pierwszej chwili wyrzeka się tego „po takiej nieszczęśliwej pod każdym względem próbie“.

Ponieważ nieznajomość świata i mężczyzn sprowadza na Jadwinię nieszczęście, ponieważ nie może zrozumieć, dlaczego mąż jej stroił figle ze służącą Michaliną, a „śmiał się“, gdy jeden ze znajomych uganiał się za arfiarką, ponieważ wyrywa się jej okrzyk z piersi: „Dlaczego przedemną wszystko taili!“ — zdawaćby się mogło, że autor (czy może autorka?) chciał poruszyć kwestyę wychowania panien, a to wychowania w tym duchu, aby idąca za mąż znała nietylko swoje obowiązki, ale była wtajemniczoną w różne słabości mężów i była przygotowaną na — niewierność, bo „wszyscy mężczyźni są tacy“ (!?). Kwestya nieciekawa, a dawno rozstrzygnięta. Jeżli autor malował z „natury“, jak w tytule twierdzi, to życzyć mu należy z całego serca, aby w studyach swych dalszych więcej miał zwrócone oko na światła, niż na cienie, a w czerpaniu z bogatej krynicy przyrody miał otwarte oczy na lepsze i piękniejsze strony życia.

* Jego bóstwo. Najnowsza książka, osnuta na tle stosunków wiedeńskich i napisana przez znaną autorkę wiedeńską, kryjącą się pod pseudonimem Emila Marriota, nosi tytuł: „Jego bóstwo“ (Seine Gottheit) i zajęła mocno tutejszą publiczność czytającą, oraz krytykę. Tak pod względem treści jak i formy rzecz jest oryginalną. Osnowa dotyczy pewnej strony wiedeńskiego społeczeństwa, niewyzyskanej dotychczas w literaturze powieściowej — a mianowicie stosunków na tutejszym fakultecie medycznym. Forma opowiadania jest pamiętnikowa. Bohater jej, asystent w klinice chirurgicznej profesora Stradnitza, (nb. nazwiska zmyślone) młody dr. medycyny Eugeniusz Holtz opowiada ciężkie koleje swego dotychczasowego życia, zakończonego morderstwem córki profesora, wzbraniającej się oddać mu swą rękę. Wtrącony do więzienia, pisze pamiętniki, niemające z dotychczasową modłą tego rodzaju powieści o tyle nic wspólnego, że pisane są w duchu najbardziej współczesnym, przesiąkłym pozytywizmem i materyalistycznemi badaniami psychologii. Uroku dodaje dziełu głęboka, prawdziwa tragika, spotykana tak rzadko w płodach literatury bieżącej. Ma ona niewątpliwie swe słabe strony, jednak ogólne wrażenie, sprawione przez dzieło, jest pod każdym względem dodatnie. Szczególnie niektóre typy, jak „praczki wiedeńskiej,“ profesora-wielkości medycznej i jego córek, są uchwycone i oddane z rzadką plastyką. *K. Bicz.*

KRONIKA POWSZECHNA.

— **Teatr i muzyka.** Czytamy w Kuryerze Warsz.: „Towarzystwo dramatyczne, zostające pod kierunkiem komedyopisarza p. Michała Wołowskiego, gościć będzie u nas do 1go października. Ujrzeć mamy jeszcze dwie sztuki oryginalne: „Brzytwę“ M. Wołowskiego i „Sobotni wieczór“ Sterlinga; z tłomaczonych: „Matki Hyrszfelda i „Miłostki“ Sznyclera, oraz melodramat „Kocie oko“ Montepina. P. Wołowski przygotował już cały zimowy repertuar na Łódź. Z klasycznych rzeczy znajdują się na repertuarze łódzkim: Szekspira „Noc Trzech Króli“ (na otwarcie sezonu), „Ryszard III.“ i „Henryk IV.,“ Schillera „Śmierć Wallensteina,“ Eszegereja „Geniusz i obłąkanie,“ Sardou „Gismonda,“ Ibsena „Dzika kaczka,“ Hauptmana „Przyjaciel Krampton,“ Freitaga „Dziennikarze,“ Hirszfelda „Matki,“ Schillera „Miłostki.“ Z rzeczy lekkich: „Tilli“ Stala, Miliony“ Grom Hattona, „Wielki kometa,“ Laufsa „Wieża Ernestyny,“ Valabregue'a „System pana Ribodin,“ „U przystani“ Dumanoir i Lafargues. Z oryginalnych: „Stasio,“ dramat Karola Szajnochy, „Jadzia wdową,“ „Brzytwa“ i rzeczy, które się w sezonie ukażą. Trupę łódzka składać będą panie: Pankiewiczówna, Wróblewska (pierwsze dramatyczne). Zimajer-Rapacka, Przybyłko, Welli (naiwna), Trapszowa, Bartoszewska, Wolska (charakterystyczne), Staszkowska, Zawadzka (kokietki i rezonerki); nadto panie: Szobertowa, Maliszewska, Prus, Wisłocka, Knapczyńska i Ceremurzyńska. Panowie: Trapszo, Winkler (komicy), Sosnowski, Kopczewski, (amanci seryo), Mielnicki, Knapczyński (amanci komiczni), Staszkowski, Szobert i Różański (dramatyczni), Ceremurzyński, Bartoszewski, Prochaska, Rapacki, Dzwonkowski, Kisielewski, Wisłocki i sufler Zdanowski. W tym składzie towarzystwo ma zamiar zrobić dwie artystyczne wycieczki do Petersburga i do Berlina i w obu miastach dać po dwanaście przedstawień, złożonych przeważnie ze sztuk oryginalnych.“ Skoro się zważy, że to teatr prowincyonalny, niesubwencyonowany — to przyznać należy, że p. Wołowski wcale przyzwoicie wywiązuje się ze swego zadania. — Pani Marya Bissen-Janowska z dniem 20 b. m. rozpocznie szereg występów na scenie Rozmaitości. — Do Warszawy zamierza zjechać w ciągu listopada słynna tragiczka włoska Eleonora Duse wraz ze swoją trupą. Układy z dyrekcyą teatru są w toku. — Dobrze informowane dzienniki francuskie donoszą, że znakomity śpiewak Jan Reszke wkrótce połączy się dozgonnemi ślubami z hr. Mailly-Nesle, przedstawicielką jednej z najznakomitszych rodzin francuskich. „Les Annales politiques et litteraires“ w obszernym artykule charakteryzuje naszego artystę i jego przyszłą małżonkę: „Hr. de Mailly-Nesle — pisze wspomniany organ — jest zachwycającem zjawiskiem, typem pełnej wdzięku, dystynkcyi i dowcipu arystokratki francuskiej.“ Zaślubiny, według zapewnień autora artykułu, odbędą się w ciągu października w majątku Jana Reszkego, poczem znakomity śpiewak uda się do Londynu, a ztamtąd do Ameryki, łączą go bowiem zobowiązania z impresariem Grauem. Będzie to ostatni rok jego karyery artystycznej, Reszke bowiem zamierza usunąć się ze sceny zupełnie. Wiadomość ostatnią powtarzamy za powyżej wspomnianym tygodnikiem, nie ręcząc za jej autentyczność.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Pani J. Ma Pani słuszność. Prawa Likurga wyłączały od wszystkich urzędów ludzi bezżennych i byli smagani corocznie przez kobiety przy posągu Junony.

Panu M. K. Tundrą nazywają pas trzęsawisk podbiegunowych, 200 kilometrów szeroki, a przeszło 2000 kilometrów długi, okalający brzegi północnego morza lodowatego.

HUMORYSTYKA.

Curiosum. Starosta krakowski p. Laskowski, który jest nawet delegatem namiestnika, nadesłał p. Franciszkowi Wojcikowi, gospodarzowi, który jest posłem na sejm krajowy, ukaz, w którym zakazuje mu zdawać sprawozdania poselskiego przed wyborcami.

W ukazie swym mówi pan starosta: Pan Franciszek Wojcik, poseł na sejm krajowy, wprowadza władzę w błąd, donosząc jej, że na zwołanych przez się zebraniach będzie zdawał sprawozdanie poselskie. Tymczasem nie tylko prawi, co się w sejmie działo, ale mówi obszernie o urządzeniach w kraju i wywołuje przez to waśń społeczną, poruszając warstwy przeciw sobie. „Zresztą stoi dalej dosłownie w ukazie, już pan zdawałeś sprawozdania poselskie w Liszkach, Czerniedziwie, Kościelnikach, Rybnie, Wolicy, Morawicy, w Bronowicach Małych, Raciborowicach i Boledzowicach; to starczy najzupełniej do uczynienia zadość obowiązkom posła wobec wyborców. A tu jeszcze pan zapowiadasz zgromadzenia wyborcze w Kaniowie, Pleszowie i Modlnicy, które zagrażają dobru powszechnemu, przeto zakazuję tychże zgromadzeń na podstawie ustawy z 15-go listopada 1867 r. Prawo rekursu do namiestnictwa służy panu w ciągu dni 8

W Krakowie dnia 3 września 1896.

C kr. radzca dworu Laskowski.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28

Nr. 39. Poznań, niedziela 27-go września 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę. **Redakcya:** Poznań, św. Marcin 22 II p. **Administracya:** ul. Wilhelmowska 28. (Drukarnia J. Fr. Tomaszewskiego.)

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Wilhelmowska 28. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego. **Pojedyńczy numer:** w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen **Rękopisów drobnych niezwracamy.**

TREŚĆ.

Warunek bytu.

Przez

Maksa Nordana.

I.

„Czy nie masz jednego lub dwu ideałów na zbyciu? Kilka zużytych ideałów. Wyrządziłbyś mi nimi wielką przysługę.“ Tak mówi przeżyty Ulryk Brendel w Ibsena „Rosmersholmie“ do swego ucznia idyoty Rosmera. Ze stanowiska tuczenia swego brzucha, ze stanowiska odcinacza kuponów od papierów wartościowych, nic nie wydaje się zbędniejszem niż ideał. W istocie jednak to jest najniezbędniejszem. Nie dla indywiduum; kwestyę tę z góry usuńmy z pod dyskusyi. Drobnostkowe szczegóły życia jednostki nie cierpią z braku ideału. Przecież ideał nie ma żadnego widocznego wpływu na sen i trawienie! Ale dla każdego zbiorowego ciała jest rzeczą niezbędną. Nie od razu, nie zawsze bezpośrednio daje się to spostrzedz. Nie ma bowiem zróżniczkowanego uczucia wspólnego, któreby brak tej potrawy, lub nasycenie się nią uwiadomiło; nie ma wyraźnego głodu ani pragnienia ideału w masach. Ale pomimo, że organizm narodowy nie spostrzega tego zmysłami, czego mu braknie, to przecież wyzbycie się ideału opłaca tajemną niemocą, która mu szpik w kościach wysusza a z czasem niezawodnie go zabija.

W laboratoryach fizyologicznych można widzieć używane do doświadczeń zwierzęta, na których studyuje się rolę poszczególnych pierwiastków w pożywieniu. Takiego psa lub królika karmi się potrawami, w których brak zupełny żelaza, albo chloru, albo potasu, albo siarki. Biedne stworzenie najada się do syta. Pożywienie smakuje mu wybornie, wydaje się, że mu nic nie brak. Potrawa smakiem, zapachem i wyglądem nie różni się wcale od normalnie spreparowanej. A przecież brak jej czegoś i zwierzę chudnie, wypadają mu włosy, kości jego robią się strupieszałe, kruche i zwierzę ginie.

Zwierzę takie jest symbolem narodu, któremu na pozór wybornie się powodzi, który się cieszy pokojem, ładem i dobrobytem, pielęgnuje nauki, pisze książki i sztuki piękne spełnia, który jednakże mimo dostatków i mimo ustroju wybornego na pozór, żyje bez ideału.

Ludzie przekonani o ograniczoności umysłów poddańczych i uważający to za coś korzystnego, prawią zawsze: „Narodowi potrzeba religii.“ A Pailleron parodjuje to typowe wyrażenie hofratowskiego rozumu dość dowcipnie, wkładając w usta jenerała, chorego na rozmiękczenie mózgu w swoim „Swiecie nudów“ słowa: „Naród potrzebuje tragedyi.“ Jednak dogmat ten powinien brzmieć właściwie: „Naród potrzebuje ideału.“

We Francyi organizm narodowy okazuje niepokojące objawy. Ludzie młodzi nie chcą się żenić. Małżeństwa nie chcą mieć dzieci. Dorastające pokolenie, które się gotuje do wystąpienia na arenę, gdzie się rozstrzyga gra życia, bez wzdrygania się oświadczają, że jedyną ich ambicyą jest: dużo pieniędzy zarobić, dużo używać. Głośniej niż kiedykolwiek idzie po kraju hasło: Bogaćcie się!“ Każdy marzy o urzędzie, o synekurze.

Leibnitzewskie prawo natury o najmniejszem natężeniu uczyniono prawidłem życia karyerowiczów: jak największy zysk a jak najmniej pracy. Mądrość ostatniego owego zdania okazuje się brutalnem samolubstwem. Bliźni są po to, abym ja ich zużywał na swoją korzyść. Jest się eleganckim, dowcipnym, gładkim uprzejmym i podczas gdy w towarzystwie, które nic ze swej przesadnej ogłady nie straciło, ludzie swobodnie ze sobą obcują, doznając wszelkich estetycznych rozkoszy. każdy poza uśmiechem i dowcipnemi słowami dla sąsiada, jedną tylko kryje myśl: „W jakiej też przyprawie mam ciebie zjeść?“ — Zjawiają się więc powołani lekarze, rząd, nauczyciele, moraliści, stają do koła chorego, opatrują mu język, próbują pulsu, potrząsają głowami, opierają brody na dłoniach, próbując odkryć siedlisko złego i jego rozmiary.

W uroczystej mowie podczas największej uroczystości szkolnej we Francyi, tj. podczas rozdawania nagród zwycięzcom „powszechnych zapasów pomiędzy wszystkiemi gimnazyami Paryża i Wersalu“, Paweł Desjardins bardzo bystro roztrząsał tę kwestyę. Paweł Desjardins, gimnazyalny nauczyciel filozofii i autor moralnofilozoficznych traktatów, z pomiędzy których „Le devoir présent“ ma być najpopularniejszym, jest lekarzem specyalistą dla chorób ducha narodowego. Naród francuski obserwuje on już dawno. Podjął się nawet jego leczenia. Przepisuje mu mianowicie leczenie wiarą za pomocą systemu Oertela i szwedzką gimnastykę pracy. Czytelnik sądzi zapewne, że się nie dość dokładnie wyrażam. Jednak jak Oertel zalecał chorym swoim chodzić i wspinać się pod górę, nie aby dojść dokądś, tylko dla ruchu, tak Desjardins zaleca narodowi francuskiemu wiarę, nie w coś określonego, nie w Boga, Trójcę, raj, albo piekło, ale w pożytek wiary, mniejsza o to jakiej. Ma się więc wierzyć dla wierzenia, jako celu samego dla siebie, jako lekarstwa. A ma to działać tak, jak szwedzka gimnastyka, która nie jest pracą dla jakiegoś pożytku, lecz aby członki rozprostować i mięśnie ćwiczyć. Tylko, że chory widocznie nie zrozumiał czego chcą od niego i nie okazuje wcale skłonności do postępowania wedle recepty.

W mowie swej przy rozdawaniu nagród Desjardins uznał dalej, że duchowi narodu francuzkiego jest brak jedności. Wyjaśniał, że rozumie przez to brak jakiegoś sposobu myślenia i czucia, ktoryby był wspólny wszystkim wykształconym Francuzom.

Minister oświaty zaoponował mu w swej odpowiedzi. Duchowi francuskiemu nie brak jedności — mówił — miłość ojczyzny stanowi tę jedność.

Co do mnie, to wraz z panem ministrem sądzę, że p. Desjardins się myli. Nie położył palca na ranę. Naród, aby był zdrowym, wcale nie potrzebuje jedności myślenia i uczucia. Owszem ta jedność musi objawem być zabagnienia. Kontrasty bowiem działają z reguły podniecająco i płodnie, i raczej są pożądane niż szkodliwe. Ale to, czego w istocie brak ludowi francuskiemu, to jest ideał. Miłość ojczyzny, o jakiej mówił minister Rambaud, nie zastąpi tego ideału. Jako afekt powszechny jest ona bierną; aby zaś stała się czynną musi mieć bliżej określoną treść, a tej właśnie nie ma.

II.

Zazdrości godzien jest naród, który dokładnie określony cel przed sobą widzi, do którego dąży, lub tęskni, do którego wędruje, lub dłonie ku niemu wyciąga, chociażby nawet był nie wiedzieć jak dalekim i niedoścignionym!

W takich narodach każde dziecię przychodzące na świat, znajduje bogactwo w swej kołysce. Tak było z Włochami w czasach „Risorgimento". Każde dziecię, które we Włoszech w tych wspaniałych czasach jutrzenkowych od r. 1815 do 1866 do życia powstało, dokładnie wiedziało czego chcieć i co jego obowiązkiem. Od chwili, w której do swobodnego myślenia zdolne było, mówiło sobie: „Jestem po to, aby walczyć za odrodzenie Włoch wszelkimi środkami! Stanę się spiskowcem, wezmę szpiczasty kapelusz i sztylet Carbonarów; gdy wybije godzina, pójdę w bój przeciw obcym i swoim tyranom i spełnię wielkie sny Dantego, a jeśli tego nie uczynię, uczynią to moi synowie, wnukowie wnuków moich, a jeśli tak będzie koniecznem, złożę na to świadectwo krwi; a jeżli zgniję w więzieniu jak Silvio Pollizo, albo kat mnie powlecze na szubienicę Morellego, to będę wiedzieć, żem nienapróżno żył!"

To przeświadczenie nadawało całemu pokoleniu Włochów owych czasów cudowną pewność siebie i siłę czynów. Nie istniały ani zwątpienie, ani znużenie, ani klęska. Leopardi był wyjątkiem, którego też współcześni nie rozumieli. Pesymizm i abdykacya były im nie znane. Wiedzieli co to zawziętość i gniew, ale gesty zwieszania głowy i załamywania rąk były im nieznane. Ich druzgocącym zapałem i wesołą ich działalnością epigonowie ich dotychczas się krzepią, jakby fantazyą pieśni Homera.

Podobnie było w Hiszpanii. Siedm wieków chrześcianie hiszpańscy nosili ideał w duszy, aby półwysep swój uwolnić od zdobywców muzułmańskich. Półksiężyc, który ponad stolicami czterech andaluzyjskich królestw połyskiwał, wskazywał ich snom i życzeniom drogę. A ta wiecznie żyjąca myśl o świętym obowiązku, który spełnić należy w walce na śmierć i życie, wychowywała mężów Kastylii i Aragonii na lud żelazny, którego „nigdy niezwyciężona piechota" jak się Bossuet z podziwem wyraża, czerwono złotą wieżę i sztandar z lwem, w obu światach straszliwemi uczyniła.

A Niemcy, kiedyż zaznały świeżego życia duchowego, silnego rozwoju zmysłu bohaterskiego, młodzieńczej otuchy, jak nie w czasach od Wartburskiej uroczystości do wersalskiej proklamacyi cesarza? Wtenczas był w istocie przeciętny Niemiec „pieśniarzem i bohaterem"; była szerokość w duszach, wielkość w nadziejach i dążeniach, które przerażają ciasnotę małych państewek nie w tragicznem świetle, lecz przeciwnie niemal w humorystycznem postawiły i może właśnie dlatego tak długo z uśmiechem ją znoszono.

Niedawno temu prosił mnie pewien młody Polak o wpisanie się do pamiętnika. Napisałem mu na kartce ze złoconymi brzegami:

„Dziejowe nieszczęście narodu polskiego jest jego życiowem (biologicznem) szczęściem. Ponieważ nieszczęście to narodu nie zabiło, z konieczności musi go wyrobić na najodporniejszy i najpełniejszy charakteru naród Europy. Bohaterstwo stanie się u Polaków niejako przemysłem domowym".

Oto jest wpływ stałego ideału. Utrzymuje naród przy życiu i siłę mu daje. U istot żyjących, jakaś praca ustawicznie wykonywana, stwarza dla siebie organy. To jest zasadnicze prawo fizyologii. Słowa zaś poety: „Człowiek rośnie ze swemi zadaniami" można uogólnić w ten sposób: „Narody rosną wraz ze swemi zadaniami". Tęsknota, nadzieja, świadomość posłannictwa, wskazują na przyszłość i przyszłość tę narodowi poręczają.

Lecz aby ideał zachował całą swą siłę ożywczą, nie może być zbyt łatwo osiągalny. Gdyż skoro się urzeczywistni, traci moc i przestaje być cnotą.

Dla tego też największem i najgłębszem rozwiązaniem problematu stałego ideału dla narodu, jest nadzieja przyjścia Mesyasza, przez którą prorocy żydowscy narodowi swemu byt na lat tysiące zapewnili. Żydzi nie zginęli bo wierzą w przyjście swego Mesyasza.

To dało im siłę znieść swe losy ziemskie. Mieli ideał swój, który ich prowadził od stulecia do stulecia i szli za nim z ekstazą, niespostrzegając prawie cierni swej bolesnej drogi. Ideał mesyaszowy nie podlega żadnym zmianom ani zanikowi, gdyż wiecznie jest niedoścignionym. Lud, który wmówi w siebie, że zjawił się już jego mesyasz, nie pojął ostatecznej myśli i wartości mesyaszowego ideału i dowodzi, że tak wysokiego symbolu nie jest godzien.

III.

Możnaby jednak rzucić pytanie czy jest usprawiedliwionem, aby jakiś organizm narodowy zbyt długo istniał.

Naród jestto indywidualność wyższego rzędu i być może, iż wszystkie argumenta, któremi Götte i Weismann dowodzą biologicznego pożytku ze śmierci tj. ze znikania poszczególnych indywiduów, odnoszą się nie tylko do jednostek, ale też do organizmów zbiorowych. Możliwe, że ludzkość nie ma żadnej korzyści ze zbyt długiego istnienia indywidualności narodowych, i że dzieje świata, pojmowane jako pochód przemienny ludzkości do coraz wyższych zadań, dokonywać

Zaczątki powstania 1863 roku

na Podlasiu i na Litwie.

(Ze wspomnień b. naczelnika oddziału.)

(Dokończenie).

Tak. Zameczek cofnął się, nie uległszy sile, lecz wprost stchórzywszy, i tem zgubił cały oddział, i był przyczyną przegranej Siemiatyckiej. Cofając się przez błota, masę daremnie wystrzelanych wytracił.

Tymczasem Szaniawski ze swymi strzelcami, odbija strzelców rosyjskich — cofają się oni dwukrotnie przed jego strzałami, lecz nas zasypują gradem kul armatnich i karabinowych, nie podchodzą wcale pod nasze strzały. Trwa ta nierówna walka godzinę całą!

Nieprzyjaciel znów zbiera się do ataku skierowanego głównie na prawe nasze skrzydło, i idzie wprost na rynek, gdzie stał Lewandowski. Nowy goniec od niego: „Cofam się, bo nas okrążają i ataku nie wytrzymam!" Cały zastęp nieprzyjaciela przed nami. Strzelcy nasi, klęcząc po za sztachetami pałacu strzelają mierząc dobrze i tem zapęd ich powstrzymują. W tem Radowicki wpada z wiadomością, że wróg już na rynku, że Lewandowski się cofnął i, co robić pyta? Ha! i musieliśmy się z rozpaczą cofnąć i ruszyć do obozu, by go kozacy nie dosięgli. Rzeczywiście czas był wielki. Radowicki pędem przebiega rynek, most i wpada do obozu, gdy z drugiej strony już kozacy zdołali odciąć konie od paru wozów. Radowicki obóz odbija, zabiera go i prowadzi na drogę, po której przyszliśmy ku owej karczmie, w której nocowaliśmy. Ja tymczasem, wycofuję Szaniawskiego i zbieram oddział.

— Chłopcy! wołam, cofamy się, ale krok za krokiem, strzelając!

Tym sposobem zasłaniamy kosynierów, idących naprzód z Golianem, Wchodzimy na rynek; po jednej stronie — nieprzyjaciel, po drugiej — my. Strzelając do siebie wchodzimy na most. Tu, w ściśniętej kolumnie kilkunastu z nas pada od strzałów nieprzyjacielskich. Dążymy bezładnie na drogę, po za miasto, które, objęte dymem i ogniem od strzałów zapala się i oświeca nam złowrogo drogę odwrotu. Rozpacz i gniew miota nami, że trzeba się cofać, gdy rano jeszcze tak pewni byliśmy zwycięztwa! Zameczek dał się wybić z pozycyi, a Jabłonowski nie przybył, pomimo rozkazu. To nas zgubiło!

Ów Jabłonowski odtąd ustąpił z pola działania. Wyszedłszy za granicę, został agentem kompanii francuskiej i przed paroma laty umarł w Turcyi.

* * *

XIII.

Przegrana Siemiatycka musiała bardzo ujemnie oddziałać na rozwój powstania w gubernii Grodzieńskiej. Ja zostałem bez ładunków, zaledwie po parę sztuk mieli strzelcy. Mieliśmy wprawdzie jeszcze proch, lecz trzeba było czasu, aby ładunki przygotować, a żołnierz łaknął odpoczynku po dwóch dobach głodu i zmęczenia. Zatrzymuję się w karczmie na drodze do Wysokiego litewskiego na nocleg. Tu zastaję Lewandowskiego z częścią rozbitków Zameczka, jego samego i Seyfryda, gotowych do ucieczki. Gdy nas spostrzegli, pędem się puścili ku Bugowi i odtąd ich więcej nie widziałem!

Żałuję żem ich nie kazał przedtem rozstrzelać!

Dowiedziałem się później, że dopadli do Drohiczyna, tam z obozem wprzód wysłanym poszli dalej, że Zameczek przystawszy do oddziału Padlewskiego, znowu stchórzył i przyczynił się do przegranej.. Co się stało z Zameczkiem? nie wiem. Zapewne przestał się nazywać w ten sposób. Seyfryd dobił się dowództwa w województwie Mazowieckiem, lecz kto mu dał taką godność? także nie wiem. Wiem tylko, że w pamiętnej bitwie, w której zginął Jung de Blankenheim, a Włodek ledwie część oddziału wyratował (w maju, 1863) Seyfryd nędznie się popisał, wycofał ze środka i pozwolił nieprzyjacielowi otoczyć jednego i drugiego. Miał być za to wyrokiem Rządu Narodowego rozstrzelany, lecz w skutek słabości komisarza rządowego, który wyrok

się mogą przez smierć i narodziny coraz to nowych narodów. Ale od poszczególnych narodów nie można wymagać, aby pojęły swoją własną zbyteczność i uznały potrzebę swojej śmierci. Jeżeli naród wiedziony zmysłem samozachowawczym wola: „A jednak żyć muszę!“ to nie jest rzeczą jego przewódzców i prawodawców dawać mu straszliwej odpowiedzi napoleońskiej: „Nie widzę, dlaczegoby to było koniecznem“.

Jeżeli się więc usunie na bok pytanie: „Czy jest jaki pożytek z długiego istnienia narodu?“, a w jego miejsce postawi się inne: „Jakie środki najlepiej zapewniają mu byt długi?“, to odpowiedź jest jedna tylko: „Ideał mesyaniczny“.

Jakiś tępy krytyk może powiedzieć, że to jest nic więcej jak transcedentalną przeróbką przysłowiowego na drzwiach gospody: „Dziś za pieniądze, a jutro za darmo“. Ale to pobożne wywiedzenie w pole, usprawiedliwia się przez korzyść, jaką sprowadza. Naród rzymski panował nad światem. W tem przewódzcy jego dali mu za ideał: „Chleb i igrzyska“, to jest bezposrednie, praktyczne zadowolenie i naród rzymski marnie zginął.

Równocześnie małemu narodkowi zachodniej Azyi, prorocy dali za ideał powietrzne, dalekie przyrzeczenie i szczep ten żyje do dzisiaj.

Wielką wadą osiągalnych ideałów narodowych jest to, że są osiągalne. Nie ma bowiem cięższego, niebezpieczniejszego przesilenia dla narodu, jak zniknięcie jego ideału przez jego urzeczywistnienie. Jeśli mu rychło nie powiedzie się znaleść drugiego ideału, to popada w zanik, w którym każdy wypadek dziejowy, który go dotknie z łatwością stać się może dlań śmiertelnym.

Jeżeli Hiszpania wiekami tak daleko wstecz się cofnęła od 16-go stulecia, to dlatego, że nieznalazła innego ideału, w miejsce swego dawniejszego, którym było: uwolnienie kraju od Maurów, kiedy mnisi zajęli Alhambrę. Włochy i Niemcy po sławnem dokonaniu swego zjednoczenia, niezdołały wyrobić sobie żadnego nowego ideału narodowego i to jest przyczyną głębokiego niedomagania obu narodów. W Niemczech tylko socyalizm ma ideał i dlatego socyalistyczne stronnictwo jest najsilniejszem i najżywotniejszem.

I Francya także choruje przedewszystkiem na brak ideału: ideał odwetu na Niemcach, strasznie niebezpieczny, mogący doprowadzić do zguby, był przecież nieoceniony, czynny i płodny. Jeśli Francya zdumiała świat przez swe rychłe odrodzenie się, jeśli bez szemrania znosiła do niemożliwości spiętrzone ciężary, jeśli gruzy wojenne, że tak powiem, przez noc uprzątnęła, kosztem miliardów budowała koleje strategiczne i fortyfikacye, armię swoją z gruntu w sposób zdumiewiający przekształciła, to działo się tylko dla tego, że lud francuski miał wiarę w swoje zadanie; każdy Francuz w spartańskich latach 1870-ych był przeświadczony, że musi Sedan krwią wykreślić z księgi dziejów, a Alzacyę i Lotaryngyę odzyskać i dobrowolnie czynić wysiłki, które mu się konieczne zdawały. Ale z biegiem czasu naród francuski zbłąkał się od tego ideału. Słyszał jak jego przewódzcy mimo wycieczek ubocznych ciągle zapewniali o swej miłości pokoju; widział jak jego rząd polityce państwowej nadawał kierunek zamorskich zdobyczy. Niewierzył już w odwet, uważał za rzecz bez celu stać z przepasanemi biodrami w ciągłem pogotowiu, aby pójść ku granicy. I odkąd naród francuski stracił tę wiarę, trapią go najróżnorodniejsze choroby i dekadentyzm i budzą w mędrcach jego troski, które Paweł Desjasdins w swej mowie przy rozdzielaniu nagród wyraził. Statystyk, ekonomista, nie łatwo ujmą tę prawdę w cyfry, lecz historykowi z powołania nie łatwo się ona wymknie. Tą prawdą jest, że: „naród żyje swoim ideałem“. Polityka trzech królów biblijnych jest jedynie zdrową polityką. Zawsze za gwiazdą przewodnią! Tylko w ten sposób zachodzi się daleko.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Z kresów.

„Przegląd Wszechpolski“ zamieszcza korespondencyę z Górnego Szląska, do której dodaje od siebie uwagę: zamieszczając ten artykuł, pochodzący od jednego z mieszkańców Śląska, powstrzymujemy się tymczasem z wypowiedzeniem własnego zdania w poruszonych sprawach:

O krzywdach, jakich doznaje tu polskość na każdym kroku i o tem, jak taki prezes regencyi z niebywałym dotąd cynizmem śmie nam urągać, wiecie dostatecznie z prasy prowincyonalnej.

Tych, którzy obojętnie wysłuchali pogróżek, a nawet najpospolitszych wyzwisk ministra Bossego z trybuny parlamentarnej, nie może też wytrącić ze stanu biernośoi postąpienie najświeższej daty dr. Bittera, prezesa regencyi opolskiej, w Gliwicach.

Prasa prowincyonalna spełnia swoje zadanie, zaznaczając każdy taki wyskok rasowej nienawiści, informując szersze koła. Powtarzanie wszakże tego samego w kółko, nie tylko, że nic sprawy nie polepsza, ale owszem wytwarza duszną atmoferę, do której organizm ludzki powoli gotów przywykać. Chrońmy się tej ostateczności i zamiast lamentów, zastanówmy się nad godną obroną nie słowem oczywiście, lecz czynem zbiorowym.

Snadź wszyscy zdajemy sobie sprawę z krytycznego położenia z jednej i z niedostateczności dotychczasowych sposobów i środków obrony, z drugiej strony. Potrzebę reformy w tym kierunku w zaborze pruskim uzasadnił i drogi na przyszłość wytknął p. Ostoja*).

*) Patrz artykuł p. n. „Polityka polska wobec nawały pruskiej“. „Przegl. Wszechp, nr. 12.

---

miał wykonać, zdegradowanym jedynie został, pozbawionym dowództwa i że okryty hańbą wyszedł za granicę.

Przenocowawszy w karczmie, zebrawszy swój oddział i resztki innych, ruszyłem napowrót ku Wysokiemu-Litewskiemu, by przerzucić się napowrót w Podlaskie, lub iść do Białowieży, gdzie mnie coś ciągnęło... Najgłówniejszą myślą moją było: przerzucić powstanie na Litwę, by jego obszar był większy; a tem samem i trudniejszy do stłumienia. Przed wieczorem, na kilka wiorst przed wsią Zienkiewiczów, dowiaduję się, że Rosyanie pod dowództwem generała Nostitza tam biwakują. Byłem w pozycyi nie do pozazdroszczenia, gdyż ani czem atakować, aniteż czem się bronić. Wpłynęło to na mój odwrót ku Białowieży. Schodzę z drogi i zatrzymuję się w wiosce o 3 wiorsty od gen. Nostitza, tak, że tylko niewielkie błota i brzezina nas rozdzielały, a pikiety mogły ze sobą rozmawiać. Rozbiwszy obóz, na prędce robimy ładunki, wyczekując lada chwila nadejścia Nostitza. Lecz ten dwa razy już się z nami potykał, więc liczył, że znowu na niego uderzę. Przy tem, jak się okazało, nie wiedział o naszej porażce; był pewnym, że ja, zebrawszy siły Siemiatyckie powróciłem by go atakować... Tak staliśmy wprost siebie blisko dobę. Ja, odpoczywałem i zbroiłem się, oczekując napadu z jego strony...

Tutaj to właśnie zawiązała się między nami, jakby pierwsza znajomość...

Odbieram kartkę od pani Zienkiewicz, że były oficer armii rosyjskiej, niejaki Janiszewski, Tatar z pod Biały, który był u mnie w oddziale, a ranny pod Niemirowem, w powrocie do domu, wziętym został przez gen. Nostitza, jest u niego i jako oficer, będzie zapewne rozstrzelany. Ja zaś, miałem u siebie dwóch oficerów, wziętych pod Białką do niewoli.

Na taką wiadomość powziąłem myśl, zaproponować gen. Nostitzowi zamianę... Sadzam więc na brykę jednego z tych oficerów, kosyniera na kozieł i posyłam do generała z listem:

— Jenerale! proponuję zamianę. Wypuść Janiszewskiego, odeszlę Ci drugiego oficera. Jeśli nie, to — rozstrzelam!

W parę godzin wraca oficer, przywozi list od Janiszewskiego, że jest wolny, że jedzie do domu i kartkę Nostitza w tych słowach: „Proszę dotrzymać słowa!

Ma się rozumieć, że dotrzymałem. Sadzam drugiego oficera na brykę i odsyłam obu. Kosynier z bryką powrócił odwiózłszy jeńców do obozu.

Była to, jak powiadam, pierwsza moja listowna znajomość z gen. Nostitzem, która, później dla mnie miała bardzo ważne następstwa...

Doba cała przeszła, jak patrzyliśmy sobie w oczy. Ja, niemogłem zebrać sił by być pewnej wygranej, więc postanowiłem ruszyć do Białowieży, licząc na pozycyę w lasach, na lud tameczny, na ogólny ruch powstania.

Zwinąłem więc obóz i ruszyłem ku puszczy. Na noc dotarłem do wsi pana Śniżko. W domu go nie zastałem. Przyjechał dopiero w nocy z jakimś urzędnikiem ziemskim. Był wdowcem i miał ładnego chłopca, wieku lat 12 do 14.

Tu, u Śnieżki, chciałem zdać główne dowództwo Lewandowskiemu, jako naznaczonemu przez Rząd Narodowy, by dać przykład posłuszeństwa. Lecz wszyscy co byli ze mną od początku, jednogłośnie powstali przeciw temu, prosząc, bym ich prowadził i nadal. Nad ranem wyszliśmy w stronę puszczy. Nostitz, spostrzegłszy żeśmy wyruszyli bez atakowania jego wojska, wyruszył za nami, tak, że wieczorem po naszem odejściu nadszedł do Śnieżki. Kozacy jego wpadli najprzód w dziedziniec. Przed domem spotykają kucharza Śnieżki, który, ujrzawszy ich, wystrzelił jakoby do nich. Śnieżko wypadł na dziedziniec, chcąc zażegnać burzę. Wtedy jeden z kozaków uderzył go pałaszem i na miejscu trupem położył. Wszczął się alarm. Wojsko podchodzi, strzelanina na oślep z armat. palą wieś i niszczą majątek. W jednej chwili młody Śnieżko utracił ojca i mienie! (Jestto późniejszy Śnieżko, znany ze sprawy denuncyacyi przeciw Towarzystwu kredytowemu i uwolniony wyrokiem sądu! Obecnie pełni w Rosyi obowiązki biurowe...)

Zaledwie weszliśmy do puszczy, gdy Lewandowski nagle oświadczył, że dalej się nie ruszy, że musi wracać za Bug, do korony, gdyż tam naznaczony na dowódzcę. Nie

Drogi to dobre, sięgają wszakże zadaleko w przyszłość, podczas gdy my tu na poczekaniu potrzebujemy godnego odparcia tylu napaści. P. Ostoja zajmuje się zresztą więcej Poznańskiem, niż Śląskiem, który odmiennego nieco traktowania wymaga.

Politykę koła naszego w Berlinie, mocno nadszarpniętą, dobijając się dziś do władzy, nowe żywioły niewątpliwie w niezadługim czasie skierują na inną drogę.

Ale bawienie się w chowanego, jakie się odbywa pomiędzy naszymi prowodyrami śląskimi a centrum, wymaga niewątpliwie silniejszego bodźca z zewnątrz, aby się raz na zawsze otrząsnąć z tych ubocznych naleciałości i o własnych siłach kroku spróbować.

Małoduszna nieszczerość nie pozwoliła nam od samego początku przyznać się do narodowo-polskich dążeń przy wyborze naszych posłów i do dziś dnia nie zdobyła się na otwarte rozwinięcie polsko-demokratycznego sztandaru, pod którym niewątpliwie walczymy.

Niemcy widzą, co się święci i krzyczą w niebogłosy na naszą agitacyę narodową. My jednakże wobec tego udajemy najniewinniejszych, dowodząc, że lud śląski jak był dawniej, tak jest i obecnie wiernym poddanym Centrum niemieckiego, i byle tylko panowie Ballestrem i t, p. przestali się odgrażać biciem chłopów polskich po pysku, to on gotów tak samo Ballestremów wybierać według rokazu, jak obecnie Szmulów i Radwańskich, a o agitacyi t. zw. wielkopolskiej, czyli narodowo-polskiej, nic nie wie i na przyszłość jej się wyrzeka.

Jest to nieszczerość, która na własnej naszej skórze najwięcej się odbija. Narodowo-polska agitacya była na Śląsku, jest obecnie, a w przyszłości tylko spotęgować się może, bez względu na to, czy się to podoba lub nie podoba pp. Bitterom. Zresztą prezesów regencyjnych i ministrów pruskich o sympatyzowanie z naszemi dążeniami na Śląsku nikt nie podejrzewa, trudno więc rozumieć, na kogo i za czem jeszcze oglądać się mamy.

Nieszczerość ta i dwulicowość uwydatnia się na każdym kroku, w sposób dla nas zawsze szkodliwy.

U nas, jak to Wł. Bełza w dziełku „Na Śląsku polskim“ dowodzi, już sama rozmowa polska, byle głośno prowadzona, pobudzając lud prosty do naśladownictwa, jest środkiem agitacyjnym bardzo pożądanym. Już samo zaznaczenie potrzeby mówienia głośno, dowodzi, że nie umiemy mówić uczciwie po naszemu, a w każdym razie, że nie umiemy mówić głośno.

Czas przedwyborczy wszędzie na świecie wyzyskiwany bywa na to, aby wiecami, zebraniami i w ogóle głośnem zachowaniem się nietylko zwrócić uwagę ludu na sam akt wyborów, lecz wyzyskać sposobność taką w celu agitacyi narodowej w ogóle. Tak mianowicie postępują w Prusiech i na Warmii, gdzie w jednym tygodniu na kilku zebraniach, zwołanych w rozmaitych stronach, przemawiają: Milski, Kulerski i inni naprzemiany.

Tu odmiennie się dzieje. Nie działacze nasi polityczni wywołują tu zdarzenia, lecz naodwrót, okoliczności zmuszają tu naszych prowodyrów do podążania za niemi.

Tem się też tłomaczy, że mimo licznych walnych bitew i mimo trzech wygranych walnych, ani jedno nazwisko nie łączy się z historyą tych walk i zwycięstw.

Lud zwyciężył — tak brzmią biuletyny wojenne, a hetmani nasi, nie mogąc wymienić wielu bardziej zasłużonych ludzi, każą się domyślać, że to ich skromność tylko, własnych ich nazwizk wyraźnie wymienić nie pozwala. Tymczasem szeregowiec niezawsze tu mniej zasłużony od dowódzcy.

Celem uniknięcia podejrzenia, jakoby się tu istotnie agitacyę polską uprawiało — zgroza! — zakłada, się n. p. „Towarzystwo historyczne na Śląsku“, ale wszystko odbywa się tak skromniutko, że ludzie, którzyby w miarę sił pragnęli i mogli towarzystwo to zasilić, dopiero w dwa lata później przez Poznań i Lwów przypadkiem się dowiadują, że jest jakie towarzystwo — nie wiedzieć, gdzie i na co, i że jest nawet majątek, nie wiedzeć, w jakim celu użyty. Niema w tem nic wyjątkowo złego, że zarząd tow. hist. nie mógł na czas wykonać tego, czego się podjął, bo nie potrzeba być zaiste redaktorem lub posłem, aby zrozumieć, że niezawsze wszystkiemu podołać można, lecz trudno zrozumieć, z jakich przyczyn zarząd sam siebie i całe towarzystwo taką tajemnicą otacza nazewnątrz, jak gdyby się bał pruskich przeszpiegów, lub jakgdyby pragnął wzbronić przystępu świeżym siłom, aby one snać nie uchwyciły steru w swe dłonie, którego on utrzymać nie chce, czy nie umie.

Monopol ten niemocy czy nieudolności raz skończyć się powinien. Nastąpi to wtenczas, gdy się obok *Katolika* uczciwy współzawodnik na polu pracy narodowej ukaże.

Katolik, najstarsze i samym wiekiem już choćby najwięcej zasłużone pismo śląskie, mianowicie w ostatnim czasie znacznie postąpiło w kierunku narodowo-polskim. Jest to objaw tem bardziej pocieszający. Ile że *Gazeta Opolska* i *Nowiny Raciborskie* nie wychodzą wiele po za ramy swego najbliższego obwodu.

Katolik jednakże z jego 18 000 abonentów, z dodatkami: *Pracą* dla robotników hutniczych, *Rolnikiem* dla rolników, *Swiatłem* ilustrowanym tygodnikiem beletrystycznym i innemi wydawnictwami nie jest, według mego przekonania, w stanie podołać pracy narodowej, w obwodzie górniczym nagromadzonej.

Pracę, jako organ związku robotników polskich liczącego około 4000 członków, należałoby podnieść do samodzielnego organu polskiego dla robotników polskich i rozszerzyć działalność jego oraz działalność związku usilną agitacyą, sięgającą po za granice obwodu hutniczego górnośląskiego, tworząc stałe agencye w obwodzie kopalni wszystkich i morawskich, a nawet w obwodzie hutniczym Małopolski. Odpowiednio uzupełniona, mogłaby *Praca* w objętości do 3 arkuszy samodzielnie wychodzić i sobie, jako wydawnictwu, zapewnić utrzymanie, a sprawie robotniczej polskiej rozwój i postęp.

Tak samo ramy *Katolika*, jako pi-

---

chcąc szerzyć rozdwojenia, objawiłem oddziałowi, że go zwalniam od dalszego pochodu, lecz gdy dywersya jest potrzebną, przeto wzywam młodzież na ochotnika ze sobą. Przystało wtedy do mnie 150 młodych ludzi, część Litwinów z pod Siemiatycz, z Bronisławem Rylskim i Leginem, rządzcą majątku z pod Siemiatycz. Resztę stanowili ci, którzy byli ze mną od pierwszej nocy powstania. A że wiedziałem, iż gen. idzie za nami, więc zaraz z ową młodzieżą wyruszyłem, zabrawszy ze sobą parę wozów, jeden z amunicyą, drugi ze srebrem, zabranym w Janowie. Były to przeważnie puhary, wartości kilku tysięcy rubli. Wyruszyłem zaraz, by zmylić rachuby Nostitza. Tak się też stało! Wszedłszy do puszczy, wziąłem jednego ze strażników granicznych, by nas prowadził. Przewodnik ów widział, żeśmy się rozdzielili, więc po mojem odejściu uciekł do Lewandowskiego, wpadł na Nostitza i opowiadał mu, że ja, (to jest ten, który był w czerwonej koszuli Garybaldowskiej) — poszedłem do Strażnicy „królowym mostem“ zwanej, reszta zaś wróciła do Królestwa. Widocznie uważał mnie gen. Nostitz za ważną personę, gdyż przepuścił obok siebie Lewandowskiego, który swobodnie przeprawił się za Bug, i poszedł za mną z dwoma batalionami piechoty, dwiema armatami i kozactwem.

Nocujemy w Strażnicy, na brzegu puszczy. Rozdzielają nas od niej błota i kanał przerznięty, na którym ów most zbudowany. Porządkuję oddział, wyznaczając oficerów, podoficerów i dzieląc go na sekcye. Była to dzielna młodzież, gotowa na wszystko, ostrzelana już trochę, więc łatwo było pomieszczać między nią nowych żołnierzy. Nad ranem przyjeżdża niejaki Tołaczko, mieszkający nieopodal i oznajmia, że zostawił Rosyan o dziesięć wiorst za nami. Rzeczywiście, nie przeszła godzina, gdy strzał pikiety daje znać, że nieprzyjaciel nadciąga. Stajemy do broni. Widzę iż nieprzyjaciel chce nas otoczyć i że się rozwija w łańcuch, by nam zabiedz drogę do lasu. Trzeba nam było przejść groblę i most. Wychodzimy łańcuchem. Zaczyna się kanonada. Dwa bataliony dały do nas ognia, byliśmy w mniejszości, więc cofamy się, strzelając. Tracimy kilkunastu na owej grobli, wchodzimy do lasu, na którego skraju zatrzymujemy się. Tak przetrwaliśmy kilka godzin.

XIV.

Kozactwo i żołnierze, wpadłszy za nami do Strażnicy, do domu, w którym nocowaliśmy na dziedzińcu, spostrzegli owe dwa wozy i leżące na nich kufry. Rozbili pierwszy, a gdy ujrzeli srebra, rabować je poczęli. Od strzałów zapaliła się słoma, ztąd pożar. Rozbijają drugi kufer, ale tam był umieszczony — proch... Eksplozya. Kilkunastu ranionych i zabitych pada. Darmo nam przynajmniej prochu nie zabrali!

Widzę, że Nostitz wysyła oddział na drogę ku Białowieży, i dla tego nie idę w głąb, lecz brzegiem puszczy, by się oddalić od napaści i zyskać na czasie, Późnym już wieczorem wchodzę do miasteczka Szczerzewa. Jestto już powiat Prużański i miasto Prużany w odległości wiorst dziesięciu od Szczerzewa.

Byliśmy głodni, dobrze obdarci i znów bez ładunków i prochu. Szczerzew nadspodziewanie dał nam wszystkiego pod dostatkiem: butów, bielizny i jadła obficie. Całe miasteczko na wyścigi się zbiegło, by nas nakarmić: a żydzi dostarczyli reszty; gdym zapowiedział, że płacę gotówką, dali nam to, czego najwięcej było potrzeba: prochu, ładunków i pistonów do karabinów mnóstwo. Prochu samego kupiłem dziewięć pudów. Tak więc znowu było czem strzelać. Zeszło godzin kilka na robieniu ładunków. Dowiaduję się, że w Prużanach stoi załoga 250 ludzi, w koszarach murowanych wśród miasta. Trzeba było dać znak życia i pomścić się za Królowy Most. Wezwałem mieszczan, by nam czemprędzej zaprzęgli wózki. W godzinę byliśmy już w drodze do Prużan. Był świt. Wpadamy do sennego jeszcze miasteczka, podjeżdżamy wprost do koszar. Ja na pierwszym wózku. Żołnierz na warcie. Stajemy, by nie strzelił i nie dał sygnału. Skoczyłem z wozu i za chwilę szyldwach leżał nieżywy. Padł od mego sztyletu. Wpadamy do koszar na korytarz. Tam leży półsenne żołdactwo. Strzały! Wszystko się poddaje. Wynoszą nam na wozy całą broń, amunicyę, a choć ich było dwa razy tyle, stają jak barany w pokorze. Idziemy do kasy. Tu zabieram całą gotowiznę — 12 rubli... i najskrupulatniej kwi-

sma politycznego dla ludu, koniecznie wymagają rozszerzenia. Śląsk dziś jest tak rozbudzony pod względem narodowym, że może utrzymać pismo codzienne — o co się dawno dopomina — które musiałoby uchwycić kierownictwo w sprawie narodowej. Katolik przeobrażenia takiego może się bez ryzyka podjąć. Podwyższając stosownie przedpłatę, nie potrzebuje się zbytniego ubytku obawiać, bo lud tu dostatecznie jest na to zamożny i niemal każdy z abonentów zdobędzie się bodaj na zdwojenie opłaty. A część abonentów, któraby odpaść mogła i tak niekoniecznie zginie, bo zasili wzamian resztę naszych gazet.

To, co w dzisiejszych warunkach byłoby najlepszą odpowiedzią p. Bitterowi na jego zachowanie się wobec agitacyi polskiej, na Śląsku, nastąpi w danym razie później, lecz poniewoli, bo na codzienne pismo Śląsk zbyt długo czekać nie pozwoli, a ludzi chętnych i zdolnych do pracy narodowej jest tu podostatkiem.

Nigdzie może prasa polska tak daleko nie odbiegła od wspólnego nam wszystkim źródła, jak na Śląsku. Nie jest to jej winą, bo prasa jest zwykle odbiciem stosunków swego otoczenia. Lecz nie mniej jest prawdą, że powinna być równocześnie drogowskazem i słupem ognistym, prowadzącym nas do ziemi obiecanej — narodowej samodzielności.

Odpowiedź na zaczepkę prezesa regencyi opolskiej niech się objawi w formie nowego wydawnictwa polskiego lub innej jakiejś instytucyi, utworzonej ile możności wspólnemi siłami i popartej przez naszą brać z innych zaborów.

Wobec wypierania się naszych polityków, że tu agitacyi wielkopolskiej nie ma, należy właśnie udowodnić, że jest agitacya nawet wszechpolska, a tem samem podnieść poczucie wspólności i poczucie siły w tych, którzy tu cierpią za Polskę, a nie doznają nawet zadosyćuczynienia, aby ich liczono do synów tej wspólnej i jednej naszej ojczyzny.

Pierwszą pracą przyszłego dziennika śląskiego, to zwołanie wiecu w celu ukonstytuowania się polskiego komitetu wyborczego, — to urządzenie wieców z ramienia tego narodowo-polskiego komitetu i otwarte zerwanie z niemieckiem Centrum.

Niech nasz ruch narodowy na Śląsku nie ulega dobrowolnie klerykalno-niemieckim wpływom, a przynajmniej niech nie wmawia tego w Niemców, lecz przeciwnie niech się od tej zależności uwolni i popłynie własnem, narodowem łożyskiem.

Uczciwymi sprzymierzeńcami Centrum pragniemy pozostać i nadal, lecz nasz stosunek lenniczy skończyć się powinien koniecznie i natychmiast, bo jako na nieszczerości i obłudzie oparty, korzystnym być nadal nie może.

Rozwiązanie to nastąpi najlegalniej na świecie utworzeniem się polskiego komitetu wyborczego na Śląsku, albo centralnego komitetu na cały zabór pruski.

* * *

Rozmowa o Poznańskiem.

„Kraj" zamieszcza w ostatnim numerze następującą rozmowę o Poznańskiem. Nie można powiedzieć, aby spostrzeżenia te były w wszystkiem trafne. Przyczyną główną wychodzenia z rąk polskich większej własności, nie jest zbytek. Jeszcze mniej można zrozumieć tak bardzo pochlebne wyobrażenie o politycznem wykształceniu chłopów naszych. Byłoby to pożądanem, ale niestety jeszcze z latarką trzeba szukać chłopa, „co wie, co bierze do ręki", albo „który doskonale pojmuje położenie w parlamencie i sejmie", a i tych genialnych agitatorów nie tak łatwoby było odszukać. Trafniejszemi są końcowe uwagi o „nowych prądach" i o centrum. Ale otóż i „rozmowa" o Poznańskiem:"

Szczęśliwy przypadek nastręczył nam sposobność porozmawiania o sprawach politycznych z wybitnym obywatelem Księstwa poznańskiego,

Oto krótki szkic tej wymiany pytań i odpowiedzi. dotykających po kolei najważniejszych spraw bieżących. Prosimy przedewszystkiem o ogólną charakterystykę sytuacyi.

— Sytuacya — odpowiada gość z Poznania — jest w ogólnych zarysach zawsze ta sama, zawsze przygnębiająca i smutna. Zjawiskiem strasznem dla nas, trwającem oddawna, nadającem piętno stosunkom poznańskim, jest utrata ziemi. Pod tym względem nie widzę polepszenia i nie przewiduję go. Sprzedajemy ziemię nieustannie i sprzedawać ją będziemy w dalszym ciągu. Gdy myślimy o przyszłości naszego ziemiaństwa, najczarniejsze ogarniają nas przeczucia. Mając raz chwilę wolną, sporządziłem sobie spis właścicieli, którym absolutnie grozi wylecenie z majątków. Nie chcę nawet wymówić liczby nazwisk.

— No, przecież!

— Około czterdziestu.

— Czy to tylko wynikiem opłakanych dla rolnictwa stosunków, czy też może następstwem wad, które dziś grasują po dawnemu?

— Czyż pan przypuszcza, żeśmy się poprawili? Komfort, przyzwyczajenie do wygód zabijają nas. Porównaj pan Księstwo z Królestwem, a zobaczysz odrazu różnicę. Dziś szlachcic nie może już naszej młodzieży poczęstować byle jakiem winem, bo jeżeli etykieta nie modna, nikt go do ust nie weźmie. A cóż dopiero mówić o pokoju gościnnym! Możnaby mniemać, że im bliżej do bankructwa, tem śmielej zbytek się rozpościera. Rzecz oczywista, że wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby nie przesilenie, przygniatające rólników w całem państwie pruskiem.

— Skoro jednak na ziemi utrzymać się tak trudno, dlaczegoż kupują ją niemcy?

— Niemiec, który ją nabywa, bankrutuje także w wielkiej liczbie wypadków, odprzedaje ją znowu. Od niego nabywa ją atoli nowy przybysz z Saksonii lub Hanoweru, my zaś tego przypływu nabywców nie mamy. Saksończyk, słysząc o nizkich cenach ziemi w Księstwie, skusi się zawsze, i w ten sposób wytwarza się ten nieustanny prąd, który pochłonie naszą własność ziemską, o ile jej nie uratujemy przez parcelacyę.

— Więc o lud można być spokojnym?

---

tuję kasyera, nie ruszając wszakże pieniędzy wdów i sierot tamże złożonych.

Następnie rozbrajamy odwach więzienny i wypuszczamy wszystkich na wolność, gdyż nie miałem co robić z jeńcami.

W południe wychodzę z Prużan, skąd tylko dwóch ochotników przystało do nas i kieruję się ku Kobryniowi. Chciałem się przerzucić na Wołyń, by zmylić ślad za sobą. Po drodze wstąpiliśmy do majątku Szemiota, majora z 30 roku, tęgiego jeszcze, starego wojaka. U niego nocujemy.

Tu dowiaduję się, że Nostitz idzie za mną, że był w Prużanach, i że z Kobrynia wyszło wojsko z drugiej strony, by mi zajść drogę. Przybywa Hofmajster z pod Prużan. Dawny to z Orenburgskich batalionów żołnierz, bardzo szlachetny i prawy człowiek, kochający kraj obywatel. Przywozi pudełko cygar, a że ja nie byłem namiętnym palaczem, przyszła mi niewinna myśl do głowy i napisałem do Nostitza list w te słowa: „Jenerale! Ponieważ nie zastawszy mnie, będziesz się zapewne nudzić, pozostawiam Ci cygara, by Ci się czas krótszym wydał."

Rzeczywiście, gdy Nostitz nadszedł, Szemiot list i cygara mu wręczył i to mój stosunek z Nostitzem jeszcze bardziej zacieśniło...

By się wykręcić od spotkania z nierównemi siłami, parłem naprzód, i dla tego postanowiłem koniecznie przedostać się na Wołyń. Wtedy Sągin, którego rodzina pozostała pod Siemiatyczami, oświadczył, że pragnie powrócić do swoich. Wszystkie przedstawienia moje były bezowocne. Za nim poszedł i Bron. Rylski z 50 młodzieży z pod Siemiatycz. Oddaję im z żalem część broni zabranej w Prużanach, połowę amunicyi i pieniędzy.

— Wracajcie, mówię! Szczęść wam Boże! ja idę naprzód!

Zawrócili, lecz smutny był ich koniec, gdyż nazajutrz spotkali się z oddziałem Rosyan z Kobrynia i wszyscy, wraz z Rylskim i Sąginem na czele, zginęli.

XV.

Tymczasem doszedłem do Lubieszewa Tu dwie drogi się przedstawiały: albo iść na Wołyń, lub też ne Pińszczyznę. Wiadomości, jakie mnie doszły, choć poźniej okazały się fałszywemi, przeważyły, żem poszedł ku Pińskowi. W Pińsku nie wielka była załoga: rota inwalidów, rota piechoty i sotnia kozaków. Miasto, na pozór dobrze usposobione i zorganizowane, gotowe do powstania. Okoliczna szlachta ochocza do boju. Ruszam więc, podchodzę pod Pińsk o 10 wiorst i posyłam nocą do miasta Wołowicza, który znał dobrze stosunki tameczne; piszę list do Lubomirskiego, marszałka szlachty. Wzywam miasto by mi pomogło, gdy uderzę na nie następnej nocy. Było nas 130. Żołnierze w mieście zebrani stanęli za murami soboru prawosławnego. Lubomirski wszakże wręcz odmówił współdziałania, a i miasto, jak się okazało, żadnej organizacyi nie miało. Wyszło do mnie dwóch: Ostromęcki, nauczyciel gimnazyum, i Królikowski, uczeń klasy 7-mej, trudno więc było myśleć o ataku zwycięskim. Tak przebyłem pod Pińskiem dwa dni. Przerzucam się na drugą stronę miasta, na drogę do Słucka i Mińska prowadzącą, na ów kanał królewski i most zwodzony. Tu zatrzymuję sztafetę od naczelnika miasta do gubernatora przesłaną. Z niej dowiaduję się, że za godzinę wysyłają 36 tysięcy, bo się obawiają mego napadu. Czekam przez ową godzinę... Znowu sztafeta, wioząca pieniądze. Zabieram je i palę most, lecz tem oświetlam wjazd gen. Nostitza do Pińska. Idę ku Słuckowi, rzucam się, to na tę, to na ową stronę drogi, pomiędzy szlachtę, lecz ta była jeszcze w odrętwieniu. Budzę ją, gdzieniegdzie ktoś się z nami łączy, lecz to nie stanowi siły... Mam ze sobą broni 18 wozów, brak tylko ludzi. Nocuję w majątku Lubomirskiego Nad ranem mamy iść dalej. Kierując się ku majątkowi dawniej Radziwiłłów, każę szykować się i zdjąć warty. Był przy mnie oboźnym niejaki Zakrzewski. Idzie z nim dzielny chłopiec, Żukowski, ekskleryk z Janowa. Ściągają warty. Właśnie jednę z nich zajmował Ostromęcki. Poleciłem ściągnąć go do obozu, gdyż za chwilę wyruszamy. W tem strzał... To ów Ostromęcki, nauczyciel, strzela i rani obu: Żukowskiego i Zakrzewskiego, loftkami z dubeltówki, a sam ucieka... Dowiedziałem się następnie, że po dwóch dniach tułaczki wpadł w ręce Rosyan, pomieszany na umyśle, i zmarł w więzieniu.

— Najzupełniej. Chłopem poznańskim zachwycają się w innych dzielnicach już od lat kilkudziesięciu, ale nie każdy zdaje sobie sprawę z tego, jakie ogromne postępy lud ten poczynił w latach ostatnich. Dziś nie dosyć jest powiedzieć o nim, że czytuje książki i gazetki. Dziś trzeba dodać, że wie, co bierze do ręki i wybierać umie. Co krok spotyka się ludzi, którzy doskonale pojmują położenie w parlamencie i sejmie. Niedawne to czasy, kiedy całą zasługą naszych chłopów było, że tłumnie stawiali się na wybory i głosowali, jak im komitet kazał. Dziś pojmują wybornie, o co idzie; dziś przy stawianiu kandydatów trzeba się z ludem liczyć. Zdarzają się między włościanami naszymi genialni agitatorowie polityczni. Swoich dostawią niewątpliwie wszystkich, a czasem zdołają przekonać i kilku „głupich śwabów“, że jak wybiorą niemca, będą większe płacili podatki.

— Czyż jakichś zmian politycznych na naszą korzyść spodziewać się można?

— Mojem zdaniem, na teraz, nie. Ruch, obudzony w społeczeństwie niemieckiem przez naszych wrogów, nie ustanie tak prędko, a dziś jest on tak silny, że rządowi, gdyby nawet chciał, trudnoby było przeciw niemu płynąć.

— Czemże tłómaczyć sobie tę zaciekłość?

— Składają się na to pobudki najrozmaitsze. Niedawno rozmawiałem z jednym z kierowników stowarzyszenia ku obronie niemczyzny. „Wy jesteście narodem wyjątkowym — powiedział mi całkiem szczerze — nie dziwcie się zatem, że się chwytamy w walce z wami środków wyjątkowych. Jesteście jedynym przykładem plemienia, któremu mimo ucisku, przybywa sił. W zwykły sposób rady sobie z wami nie damy. Czuję, że wam się dzieje krzywda. ale innego sposobu nie ma.“ Daleko częściej można się atoli spotkać z poglądem naiwnym i ciasnym. Powodzenie przewróciło Niemcom w głowach. Nie mogą oni poprostu zrozumieć, iż ktoś nie chce skorzystać z możności zniemczenia się i odpycha lekkomyślnie takie dobrodziejstwo.

— Co sądzić należy o nowych prądach w społeczeństwie polskiem w Księstwie?

— Przez jakiś czas jeszcze nie wpłyną one na naszą politykę w Berlinie. Z czasem atoli niejedno będzie się musiało zmienić, gdyż ostateczne zniknięcie warstwy większych właściciceli musi wpłynąć na wyniki wyborów.

— Któż zapełni w takim razie tę lukę?

— Nie sądzę, żeby zwolennicy dawnego nieprzejednanego kierunku, którzy za pomocą drukowanego słowa agitują silnie między ludem, mieli w swem gronie odpowiednią liczbę ludzi zdolnych. Łatwiej jest odgrażać się na zdrajców, niż samemu ułożyć program i przystąpić do wykonania. Korzystniejsze wyobrażenie mam o zdolnościach młodych postępowców poznańskich, którzy są zresztą tylko spóźnionem odbiciem dawnego pozytywizmu warszawskiego. Gdyby to, co dziś naszem społeczeństwem rządzi, zapadło się nagle pod ziemię, nasza młodzież postępowa stanęłaby z konieczności na czele ludu.

— Cóżby zię wtenczas działo?

— To co wszędzie. Przekonaliby się niebawem, że między teoryą a praktyką jest różnica ogromna.

— Ale stosunek z centrum zerwałby się zapewne?

— Jestem przekonany, że nie... dopóki centrum isnieć będzie.

— Czyż może się ono rozwiązać?

— Zależy to wyłącznie od rządu. Niech da szkołę wyznaniową i przywróci klasztory jezuitów, a cały ruch opozycyjny w świecie katolickim osłabnie odrazu.

Taki był przebieg naszej rozmowy o stosunkach poznańskich.

—ski.

LITERATURA I SZTUKA.

Z literatury polskiej.

*(Aleksander Sewer. „**U progu sztuki.**“)*

Jak ciała niebieskie, w ustawicznym znajdując się ruchu, krążą w bezbrzeżnem prestworzu — tak też i ideały ludzkości w wszechświecie człowieczego ducha. Ciągłe zmiany są dźwignią, na której spoczywa cały postęp, rozwój i życie — tak w przyrodzie jak i społeczeństwie. Podobnie i w literaturze. I tu nie jaśnieją na horyzoncie jedne tylko i te same zawsze ideały, i tu nawet myśli przesuwają się ustawicznie jak obrazy w kalejdoskopie, bo i literatura żyje. Rzućmy pobieżnie okiem na nasz wiek tylko, a dowodów nam nie zabraknie.

Przez dwadzieścia lat żyjemy okruchami klasycyzmu, tej wspaniałej ducha świątyni, którą zbudował geniusz pięknej Hellady i mądrość Rzymu; dalsze lat 30 wypełnia poezya mistyczna, wyrosła na gruncie patryotycznego bólu, przybrana w wiośnianą szatę romantyzmu; i ta milknie, a z tronu, na którym błyszczały lutnie Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, rzuca dzisiaj na naród cały złoty snop promieni — pióro Sienkiewicza, Prusa, Orzeszkowej itd.

Powieść i nowela święcą dzisiaj wiek złoty.

Mnożą się u nas powieści i nowele, wzbogacając literaturę ojczystą, a mając ich dzisiaj całe stosy, coraz wybredniejszem okiem spoglądamy na nie.

Czytelnik bowiem podobny jest do podróżnika, który przejeżdżając przez okolicę martwą i ubogą, z radością odnajduje każdy kwiat, z lubością wsłuchuje się w szum pożółkłych krzewin, kiedy zaś wjedzie w krainę, gdzie majestat przyrody pełnym

---

Ranni zabrali mi kilka godzin czasu, zanim ich opatrzyliśmy. Powieźliśmy ich ze sobą, lecz w drodze trzeba było ich zostawić u jednego szlachcica, gdyż dostali silnej gorączki.

Kołujemy ciągle, wreszcie jednej nocy zatrzymuję się w Borkach, futorze z kilku chat kurnych złożonym i z kilku zabudowań.

Noc księżycowa, gwiazdzista. Widno, jak wśród dnia. Miałem dużo wozów i bryk, rozstawiono pikiety. Wszyscy półsenni, odpoczywamy. Godzina 11. Budzi nas strzał pikiety. Nieprzyjaciel idzie na nas, będzie bitwa! W jednej chwili stawiamy wozy w poprzek drogi, tworzymy barykadę, zajmujemy za nią i za węgłami chat stanowiska, czekając spotkania z ręką na cynglu... Z lasu, wężem po dwóch wysuwają się Rosyanie. Były to trzy roty rewelskiego pułku i sotnia kozaków. Kozacy zastępują nam tył, a piechota idzie ku nam. Byliśmy w sile o 7 razy od nieprzyjaciela mniejszej; nie chodziło więc o wygraną, lecz o sprzedanie życia jaknajdrożej. Zaczynają się strzały.

— Chłopcy! wołam, strzelać, mierzyć prosto w piersi, nie spieszyć się!

Strzały w rzeczy samej były celne, lecz i nas przerzedzają. Co chwila ktoś z nas pada, nie jęknąwszy nawet, skutkiem bliskości strzałów.

Reszta walczących tworzy klin i zaczyna się cofać. Kozacy chcą nas otoczyć, lecz ich strzałami zwalamy z koni i dostajemy się do lasu. Tymczasem piechota w futorze rabuje obóz.

Była to ostatnia moja bitwa. Cześć wam dzielni towarzysze z pod Borek! Legliście wszyscy rycersko z okrzykiem: „Jeszcze Polska nie zginęła!“

Cała przestrzeń Pińszczyzny, którą przeszedłem, była jeszcze w uśpieniu. Organizacya tam nie doszła. Wilno i komitety litewskie dopiero działać poczynały. I Ruś zaledwie budziła się z uśpienia. Jedna tylko korona była w części przygotowaną, lecz tam byli ludzie, a broni nie było. Tutaj zaś była broń, a niebyło ludzi przygotowanych do boju.

Przeszedłem taką przestrzeń, jakiej żaden z oddziałów nie przebył. Kręciły się one zazwyczaj w promieniu nie wielkim, póki ich nie rozbito, nie rozumiejąc zadania, jakie ruch nasz mieć był powinien... Wszystko to już minęło i powtórzyć się, daj Boże, nie powinno. Kraj inną drogą zdobyć musi udzielność. Młodsze pokolenie tę drogę, pracując nad swem odrodzeniem, wynajdzie...

Uniknąwszy pogoni, wpadliśmy do lasu, i do majątku Obuchowicza, potem przez głębie błót Pińskich docieramy do brzegu Prypeci, do majątku Antoniego Jeleńskiego. Tu nas chłopi całą gromadą otaczają, wrogo przeciw nam usposobieni. Musieliśmy sobie bronią torować drogę! Dowiaduję się, że w Turowie, u Młyńskiego, ma się odbyć nazajutrz zjazd szlachty. Ruszam z jednym z towarzyszów do Turowa, pozostawiwszy resztę gromadki na noc u rządzcy.

Zastaję tam właściciela majątku, byłego oficera ułanów, Młyńskiego. Miał właśnie jakiś zatarg z mieszczanami. Wszyscy prawosławni. Młyńskiemu zbywa na odwadze. Siada na koń i ucieka. Następnie, jak się dowiedziałem, przystał do oddziału X. Mackiewicza i wzięty w niewolę — rozstrzelanym został.

I moja również fatalna wybiła godzina. Chłopstwo z popem na czele otoczyło mnie i trzymało przez kilka godzin, aż do przybycia dowódzcy rosyjskiego, Albertowa, syna gubernatora z Płocka. Widząc niepodobieństwo oporu, poddałem się.

Przyznać muszę, że Albertow obszedł się ze mną po rycersku, a że w tej chwili przybył i adjutant Nostitza, który po bitwie w Borkach wrócił do Pińska, przeto urządzono zaraz kawalkatę, w ośm wozów. Wsadzono mnie na jeden z nich i pod konwojem kozaków i żołnierzy odwieziono w czwał do Pińska.

Tu pierwszy raz osobiście spotkałem się z Nostitzem.

Wszedł do pokoju, gdzie zebrało się wielu oficerów, przyglądających mi się z ciekawością, i przemówił po rosyjsku do mnie w te słowa:

— Panie R. szanuję Wasze mestwo. Podałbym wam zaraz rękę, lecz ręce Wasze oblane krwią moich rodaków. Podnieśliście bunt przeciw naszemu cesarzowi i narodowi. Jeśli wam to będzie przebaczone, zostaniemy przyjaciołmi...“

Zapytawszy, czym nie zmęczony i nie głodny, (36 godzin byłem w pochodzie)

przyświeca blaskiem — podziwia już tylko co wspanialsze krajobrazy, co uroczystsze okolice.

Tak i czytelnik.

Co przemawia za pięknością w powieści? Czy może język — czasami dźwięczny jak struny harfy anielskiej, jak melodyjny chorał pieśni słowiczej, czasami znowu przemawiający do nas piorunowym odgłosem burz rozszalałych, tak że piana wściekłości zdaje się tryskać z każdego słowa? Czy intryga zawiła, jak gmach labiryntu? Czy postać bohatera, wymarzona wśród przełomów i walk najrozpaczliwszych?

Zapewne, — są to czasami prawdziwe perły, rozsiane talentem pisarza, lecz nie w ich blasku dostrzegamy to, co nam powieść czyni tak miłą i powabną.

Największą zaletą powieści jest, by wiernie odźwierciadlała świat, by inni czytając ją przechodzili niejako przez cząstkę życia ludzkiego, by inni w niej widzieli człowieka, podobnego choć w części do Szekspirowskich postaci, w których żyje promień wieczystej prawdy. Zaletę tę w wysokim stopniu posiada jedna z najnowszych powieści Sewera pt: „U progu sztuki“, drukowana w „Gazecie Lwowskiej“ i „Kraju.“

Zródłem natchnienia dla Sewera była tu uboga buda, aktorskiej prowincyonalnej trupy galicyjskiej; z życia i stosunków, jakie panują po teatrach prowincyonalnych, wysnuł Sewer swą powieść, która jest prawdziwą ozdobą naszej literatury.

Umysł jego wniknął w tajniki moralnej nędzy, która tu jest wszechwładną królową, — lecz równocześnie dostrzegł, że z poza dziur tej nędzy przyświeca gdzieniegdzie jaśniejszy promień idealizmu. Kałuże moralnego błota: zazdrość, chciwość, wyuzdanie, zapoznanie godności ludzkiej, — te wady, co wyglądają z każdego kąta teatralnej budy, odmalował autor bez przesady wiernie i dobitnie, przesuwając przed oczyma czytelników szereg postaci, które już nie są rzemieślnikami, ale wprost pijawkami swojego zawodu.

Do nich, badając ich wspólne pożycie, można zastósować owe słynne zdanie angielskiego fiilozofa Hobbesa: „homo homini lupus“; na nich patrząc odwracamy się ze wstrętem, jak gdybyśmy zobaczyli ludzi wrzodami okrytych.

Jest to jednak tylko jedna strona medalu. Sewer nie zapomina i o odwrotnej; wśród tej zgnilizny moralnej, jaka się rozpościera na scenie jego teatru, wieje prąd, któremu nie brak idealizmu, poświęcenia i miłości dla sztuki.

Główna bohaterka powieści Dziunia ukochała sztukę całą duszą, i jak jaskółka potrzebuje ciągle powiewu wiosny i czaru lata, tak i ona żyć nie może... bez sceny — bez teatru! Tam w quasi przybytku Melpomeny jej życie; — horyzont jej wiedzy mały i szczupły — nie wyjrzała jeszcze poza zbutwiałe deski ciemnej, prowincyonalnej sceny, z której nie sztuka, lecz parodya sztuki, ubrana w czezwoną czapkę z dzwonkami przemawia, oklaskiwana przez rozbawione tłumy, — a jednak czuje swą wyższość nad wiecznie głodnym i spragnionym motłochem aktorów — pajaców, bo u niej dwie dźwignie aktorskiego zawodu są zespolone: talent i zamiłowanie.

Widzimy tu artystkę u progu sztuki, kołatającą do jej świątyni, cierpiącą, kształcącą ducha wśród walk i przełomów życiowych, zbrojną w pancerz idei i dla tego zwycięzką.

Prawdziwym junakiem sceny jest Janek, młody aktor, idący na przebój przez życie, — zawsze rozpromieniony i pełen zapału, nieczuły na głód i niedostatek, spragniony tylko... gry!

Do tej garstki można zastosować słowa, które Szekspir wkłada w usta Juliusza Cezara:

„. . . . ja stały jak gwiazda polarna,
„Która pod względem swej niewzruszo- [ności
„Na firmamencie nie ma sobie równej.“

Najpiękniej przedstawia się tło powieści, — barwne i dobitne skreślenie doli aktorskiej. Sewer okazał tu gruntowną znajomość stosunków, umiał je odczuć i zrozumieć, jak rzadko który z pisarzy.

To też bije z jego powieści żywe dla tych tułaczy współczucie, którzy niegdyś pozbawieni niemal miana człowieka, dziś są przez wielu jeszcze ścigani wzrokiem pogardy.

A przecież życie ich raczej na litość zasługuje, niż na wzgardę.

Wielu z nich spieszyło i spieszy na scenę z wiarą młodzieńczą i z zamiłowaniem — lecz głód, niedostatek, poniewierka, lekceważenie, jak nienawistne gromy strzaskały im skrzydła zapału i rozwiały wiośniane marzenia, jak mroźny wicher, wiejący od północnego bieguna, w którego szumie wszystko zamiera. Bez nadziei lepszego jutra występują na scenie, znękani, pędzeni głodem, jak niegdyś gladyatorzy biczem mastigoforów, — i śmieją się chwil kilka przed publicznością, by potem za kulisami godzinami wylewać łzy bólu i żalu do świata.

Życie ich to rzeczywistość losu mitycznych cór Beleusa, czerpiących wodę w wiadra bez dna; — dola ich to dola Syzyfa, toczącego skałę, na górskie szczyty ciągle spadającą....

Gelius w swoich „Nocach Atyckich“ (VII-5) opowiada o aktorze Polosie, który najlepiej odtwarzał postacie Sofoklesowskich tragedyi. Artysta ten występował raz w roli Elektry — krótko po zgonie syna, którego kochał nad życie. Doszedłszy do miejsca, gdzie Elektra z rąk brata bierze urnę z mniemanemi jego popiołami i wypowiadając owe smutne słowa:

„O pomniku najdroższego dla mnie z lu-
„dzi. O jedyny Szczątku życia Orestesa!
„Jakże wbrew nadziejom wszelkim nie ta-
„kiego witam ciebie, jakiegom cię pożgnała!
„Dzisiaj bowiem w nic zgasłego obejmuję
„ręką drżącą, a z domum cię, bracie miły,
„wyprawiła w blasku życia!“

tak się przejął losem swojej bohaterki, tyle spowinowaconej z własnym jego cierpieniem, — że głos mu naprawdę drżeć począł, strumień łez puścił się z oczów, mowa się ścięła i uczucie naturalne wzięło górę nad sztuką. Wrażenie w tej chwili, jak pisze Gelius, było tak wielkie, że razem z nim do łez rozczuliła się cała publiczność.*)

Wieluż to Polusów błąka się u nas, z bólem krwawiącym serce, przykutych do nędznej teatralnej budy — jak Prometeusz do skały wyrokiem Jowisza — i cierpi życia niedolę.

To właśnie dola artysty — łzawa i bolesna — znajduje swój wierny i wdzięczny wyraz w powieści Sewera i dla tego nie waham się jej nazwać prawdziwą epopeją aktorskiego życia u progu sztuki.

Alfred Brandowski.

Zygmunt Kaczkowski.

Na cmentarzu w Montmorency, gdzie jest pochowanych wiele kości jego współziomków, spoczął na wieki jeden z naiwiększych talentów literackich, jakie wogóle nasza literatura wydała, powieściopisarz, którego powieści rozrywano przed laty 40-tu z rąk do rąk, autor „Murdeliona“ i „Rycerzy Olbrachtowych“, śp. Zygmunt Kaczkowski. Zgasł jeden z najpotężniejszych umysłów, zeszedł do grobu powieściopisarz, który, jeżeli nie zajmuje najwybitniejszego stanowiska, to onego czasu wywierał wpływ i miał popularność, dające się chyba z wpływem i popularnością Kraszewskiego porównać, a chociaż potem zamilkł, nie popadł jednakże nigdy w zapomnienie.

Jest dziwny smutek, może nawet pewien tragizm w tej śmierci, budzący refleksye nad świeżą mogiłą. Kaczkowski od długiego czasu ciężko chorował i pasował się z śmiercią, u nas jednakże nie wiedziano o tem wcale; żył w Paryżu jako starzec sędziwy, a wiele osób oddawna miało go za umarłego; był sławny i bogaty, a na miejsce wiecznego spoczynku powiodła go garstka, złożona z osób kilkunastu, które jeszcze może w większej części z przypadku się tam znalazły. Co się na to złożyło, nie dzisiaj pora rozstrząsać.

Literatura nasza poniosła ciężką stratę: piśmiennictwo utraciło jednego z tych kolosów, który je dźwignął i który dziełami swemi wystawił sobie m o n u m e n t u m a e r e p e r e n n i u s. Obok Korzeniowskiego i J. I. Kraszewskiego, wielkiemu talentowi Kaczkowskiego zawdzięczać należy rozwój powieściopisarstwa u nas, on to w przeważnej części przyczynił się do wytrącenia z rąk ogółu czytającego romansideł francuskich, podając mu w zamian strawę swojską, posilną i karmiąc chlebem swojego ducha umysły wszelkiego wieku i stanu.

Kaczkowski, jako powieściopisarz i jako człowiek przekonań był przedstawicielem środka. Fantazyę miarkował w nim chłodny rozum, który stopniowo nad nią brał coraz większą przewagę. Przekonaniom skrajnym, zarówno rewolucyjnym, jak arystokratycznym, stanowczo niechętny, rozmiłowany w przeszłości, jako powieściopisarz przedewszystkiem

*) Patrz Gellins „Noce Attyckie“ i Dr. Lewestama „Historya literatury powszechnej“.

---

wezwał mnie do drugiego pokoju, pozwolił się umyć i rozpoczął rozmowę o losach naszego oddziału. Otoczyli nas oficerowie i zaczęliśmy rozprawiać o strategii wojennej, o szczegółach naszej wyprawy.

W Pińsku przebyłem dni kilka. Ztamtąd gen. Nostitz osobiście odwiózł mnie do Brześcia i zdjąwszy moją fotografię, polecił odwieźć mnie do Warszawy.

Tutaj ze stacyi kolei w karecie, otoczony kawaleryą i piechotą, odwieziony zostałem do cytadeli, jako jeden z pierwszych dowódzców powstania, ujętych z bronią w ręku.

Tu nastąpiła komisya śledcza pod przewodem Witkowskiego. Ogłoszony mi wyrok śmierci zamieniony został skutkiem wstawienia się Nostitza, na zesłanie na życie całe do Syberyi. 14go sierpnia 1863 wywieziono mnie z cytadeli. O komisyi wojennej, o Syberyi i innych epizodach ruchu powstańczego, o szkole wojskowej w Cuneo, jeśli siły pozwolą, opowiem innym razem...

Po latach trzydziestu pięciu, rozgrzeszony z win młodości, odzyskałem wolność i odwiedziłem gen. Nostitza, obecnie już staruszka, dożywającego dni swoich w dobrach własnych na Ukrainie.

Powitał mnie z niekłamaną radością i wzruszeniem....

K O N I E C.

historyczny, nie idealizował jej jednakże, a w kreśleniu swoich postaci poprzestawał raczej na charakteryzowaniu ich za pomocą rysów zewnętrznych, niż subtelnych zaciekań się filozoficznych.

„Szlacheckość“ w dawnem rozumieniu z wszystkiemi jej zaletami i wadami była najznamienniejszym rysem psychologii historyka szlachty sanockiej. Kaczkowski odtworzył dla tego tak doskonale tych junaków bez „spójni duchowej“ dla tego pisał z takim rozmachem i animuszem rycerskim, bo był sam nie tylko z pochodzenia, ale i z usposobienia nawskroś szlachcicem sanockim. Jako szlachcic „wioskowy“ stał pomiędzy magnatami, a szaraczkami i nienawidził magnatów, zaś szaraczków lekceważył.

Na stworzenie takiej, a nie innej postaci z Kaczkowskiego, złożyło się jego pochodzenie, otoczenie, w jakiem wzrósł, epoka, w której wystąpił na arenę publiczną.

Pochodził ze szlachty sanockiej, a urodził się r. 1826 w Bereźnicy, czy w Kamionce Strumiłowej i od najmłodszych lat zwracał uwagę na siebie objawiającemi się w dziecku wielkiemi zdolnościami. Dbały o prawdziwy rozwój swojego syna ojciec wykształcony powierzył go opiece dwóch nauczycieli, śp. ks. Pawła Zegestowskiego i Józefa Niklewicza, namiętnego wielbiciela poezyi. To zamiłowanie i rozkochanie się w poezyi nauczyciela, wywarło niewątpliwy wpływ na całe dalsze życie Zygmunta, a opowiadania babki staruszki o dawnych dziejach szlacheckich, któremi nieraz kołysała go do snu, dostarczyły mu później wątku do niejednej głośnej powieści.

Po ukończeniu gimnazyum, które przebiegł szybko, a gdzie kolegował z Zacharjasiewiczem, Ujejskim i innymi, wstąpił w 16 roku życia do uniwersytetu na wydział filozoficzny, po którego ukończeniu przeszedł na prawo. Tutaj wszedł w styczność z kołami literackiemi i już w r. 1845 w „Dzienniku mód paryskich“ tak wielką w dziejach naszej literatury rolę odgrywającym, drukował pierwsze swoje prace wierszem i prozą.

Właściwy zawód powieściopisarski zaczął Kaczkowski od współczesnej powiastki „Kato“, która przeszła prawie bez wrażenia i od historycznego opowiadania „Bitwa o chorążankę“, które od razu postawiło go na takim stopniu popularności, że najwybitniejsi autorowie prześcigali się w recenzyach, pochwalnych o jego pracach. To zachęciło młodego autora do dalszej pracy.

I tak w szybkiem tempie poszły opowiadania historyczne, należące do cyklu „Powieści ostatniego z Nieczujów, a nadto i inne: *Annuncyata, Bajronista, Dziwo-żona, Mąż szalony, Junacy, Swaty na Rusi, Pan Bal, Żądza dziedziczenia, Murdelio, Pierwsza wyprawa pana Marecza, Starosta Hołobucki, Sodalis Marianus, Wnuczęta,* — oprócz tego pomieścił w roku 1851 w „Gazecie Warszawskiej“ *Braci ślubnych*, a ostatnia jego praca przed kilkunastoletniem zamilknieniem *Rozbitki* — oto nie cały wykaz powieści, jakiemi nas obdarzył wielki jego talent.

Wśród tego szeregu utworów, znajduje się arcydzieło *Murdelio,* którego długi czas wielu za najlepszą powieść polską uważało, a który i dziś wobec najświetniejszych tego rodzaju utworów nie blednie.

Pod koniec jednak tego okresu objawiła się w talencie Kaczkowskiego stanowcza dekadencya i następuje też długa przerwa w działalności literackiej Kaczkowskiego. — Prócz wyczerpania powodem były wypadki w czasie powstania, kiedy go posądzono o związek z policyą i skazano na banicyę społeczną. Długi czas spoczywała ta plama na Kaczkowskim, bez czyjejkolwiek opozycyi, aż dopiero przed paru laty lwowski *Kwartalnik historyczny* podniósł bardzo poważny głos w jego obronie.

W roku 1864 opuścił Kaczkowski kraj i przeniósł się do Wiednia, a później do Paryża, gdzie się stał politykiem i finansistą, nie przestając być pisarzem.

Epoka od r. 1871 do 1882 była dla niego najprzyjemniejszą w życiu; w pogadankach ze znajomymi najchętniej wracał do roli, jaką odegrał w obec Thiersa po r. 1871 z okazyi wypłaty Prusom owych sławnych 5 miliardów. Niemcy żądały złota. Ilość monety złotej, pozostającej w obiegu we Francyi, znacznie się zwiększyła od czasu, kiedy złoto stało się wyłącznym środkiem wymiany międzynarodowej, ale trzebaby było ogołocić całą Francyę z monety złotej, aby zaspokoić żądania zwycięzcy. Wówczas Kaczkowski pojechał do Wersalu i przedstawił projekt założenia syndykatu zagranicznych poręczycieli długu francuskiego. Projekt przyjęto; on pierwszy podpisał umowę jako przedstawiciel Banku Północnego w Hamburgu i Francya zawdzięcza to Kaczkowskiemu finansiście, że spłaciła część haraczu w e k s l a m i banków n i e m i e c k i c h. Nagrodą był mu za to krzyż legii honorowej, udzielonej dzięki osobistej interwencyi Thiersa.

Interes, jednakowoż, na którym grubo zarobił, był „Bank rzymski“, który założył na spółkę z Okszą-Orzechowskim i którego interesami tak świetnie umiał pokierować, że akcye puszczone w obieg po 275 frank. w krótkim czasie osiągnęły cenę 780 frank.

W okresie tych finansowych operacyi nie przestał Kaczkowski, jak już nadmieniono, być pisarzem i politykiem. Późno wprawdzie, bo dopiero w roku 1878 odezwał się, wydając *Grafa Raka*, powieść, której społeczeństwo nie zrozumiało, i która wcale nie dowodziła, że artysta w niej odżył, chociaż autor sam cenił ją wysoko, jak to wynika z listu pisanego do „Kuryera Warszawskiego“ w r. 1890. Dopiero wystąpienie na arenę literacką Sienkiewicza obudziło w Kaczkowskim, który jeden z pierwszych napisał ich krytykę, zazdrość, przynoszącą mu zaszczyt tylko i postanowił przypomnieć się czytelnikom polskim. Napisał też *Abrahama Kitaja* i *Olbrachtowych rycerzy*, imponujący doskonałością utwór, w którym pod niejednym względem i swojego „Murdeliona“ i powieści Sienkiewicza przewyższył.

Poprzednio jeszcze na szalę dyskusyi politycznych rzucił *Tekę Nieczui*, jednę z najznakomitszych satyr politycznych, wymierzoną przeciw stańczykom i ich teoryi abdykacyi narodowej.

Ostatniemi dziełami Kaczkowskiego są: wydany bezimiennie po niemiecku „List otwarty do Bismarcka“ i drukowana w odcinku N. Reformy powieść na tle 1846 roku: „Święta Klara“. Oprócz tego została prawdopodobnie w tece praca jeżeli nieskończona, to na ukończeniu będąca, „ułożona“ już w roku 1890, skutkiem zachęty przez redaktora „Kuryera Warszawskiego“. Tak przynajmniej trzeba sądzić z listu Kaczkowskiego, pisanego w roku 1890 do tegoż „Kuryera“: „Kończę wszakże uwagą, że mówimy tu o rzeczach, które są jeszcze w powietrzu. Powieść, o której mowa, jest tylko ułożona, ale wcale nienapisana. Wprawdzie główną robotą jest ułożenie, a napisanie tylko prawie mechanicznem przelaniem gotowego materyału, ale przy moim stanie zdrowia i rozmaitych innych zajęciach sam jeszcze nie wiem, kiedy będę się mógł zabrać do tej roboty“.

Kaczkowski zostawił bardzo znaczny majątek, bo ceniony na 4 miliony franków, z którego (smutne!) ani okruszyny nie udzielił dla swego społeczeństwa, lecz zapisał go w całości Francuzce, długoletniej swej towarzyszce, poślubionej przez niego na parę miesięcy przed śmiercią. Oprócz tego poczynił mniejsze legata. Zapisał towarzystwu historycznemu we Lwowie swoją bibliotekę i prawo własności dzieł swoich. Reszta książek i trochę pamiątek ma być rozdzieloną pomiędzy szkołę Batignolską, a muzeum w Rapperswylu.

Zygmunt Kaczkowski był człowiekiem olbrzymiej pracy. O jakiejkolwiek było przyjść godzinie, zastawało się go zawsze zajętym. Czytał prawie wszystkie dzienniki galicyjskie; do ostatniej godziny czytał bardzo wiele. Nie było książek, albo ciekawszego artykułu, w języku polskim, któryby przeoczył.

Dwóch rzeczy tylko nie był ciekaw: teatru, od katastrofy w Ringteatrze, gdzie zginął bratanek jego, którego uważał za syna, ani noweli. Na definicyę noweli, jako fotografii pewnego momentu psychologicznego odpowiedział: „Ależ fotografia nie jest dziełem sztuki“....

Dom Kaczkowskiego był całkowicie francuski — żona jego nie władała innym językiem — ale duch w jego domu był szczerze polski. Kaczkowski był w stosunkach prywatnych łatwy i przyjemny. Świetny „causeur“, umysł wszechstronnie wykształcony, bardzo dobrze wychowany i obyty w świecie, umiał być nadzwyczaj miłym towarzyszem. Przystojny i wytworny nawet w wieku sędziwym, robił ten nieprzyjaciel „panów“ wrażenie wielkiego pana.

Nad grobem jego w Montmorency płakała wdowa bezdzietna i garstka współziomków, do których imieniem Akademii Umiejętności przemówił dr. Korzeniowski.

Zgasła pierwszorzędna gwiazda na niebie literatury, a nad jej utratą płaczą wszyscy, którzy tę literaturę kochają. —

Zofia Kowalewska.

przez

Laurę Marholm.

(Studyum psychologiczne.)

(Ciąg dalszy).

W tym świecie pełnym doniczek rezedy i normalnych pospolitości, przedziwną, egzotyczną była istotą. Wszystko w niej było nieproporcyonalne — zarówno drobne, chude ciało, jak i duża głowa, z której bił słodki, ciężki, upajający zapach jej geniusza. Czyż nie stała na honorowem miejscu' pod świecznikiem, pośród modnych pisarzy i myślicieli ówczesnych, i czyż nie chorowała, żądając czegoś jeszcze lepszego? I nerwowe kwiecie jej ducha pokrywa się warstwą rdzy coraz grubszą i cienka łodyżka, na której zawisła, pochyla się coraz więcej ku owemu wielkiemu źródłu ciepła, pełnemu łaski dla sprawiedliwych i niesprawiedliwych, tylko nie dla niej!

Dlaczego? Czemu nie doznala tych rozkoszy, które z ręki mężczyzn na najpospolitsze spływają kobiety?

— Była taka nieładna! odpowiadają dyskretne jej wielbicielki.

Przepraszam, wiemy dobrze, iż niekonieczne najpiękniejsze kobiety najsilniej bywają kochane, że mężczyzna najgorętszą otacza tkliwością te właśnie istoty, którym ma coś do przebaczenia. Barbey d'Aurevilly, największy piewca kobiet, pewnik ten sformułował w nieśmiertelnych strofach.

— Była za stara, tj. zestarzała się zbyt wcześnie — objaśniają usłużne wielbicielki.

Ależ to dzieciństwo! Ona umarła w 40 roku życia. W tym wieku każda paryzka „grande mondaine“ zbiera największe hołdy;

co zaś do przedwczesnego zestarzenia się, proszę zważyć, że kobieta genialna nie starzeje się, jak nauczycielka wyższych szkół panieńskich, że chora, zniszczała tuberoza, pachnie słodziej, silniej, aniżeli białe jej pękate siostry.

— Żądała za wiele! wyrokuje pani Edgren Leffler, która wyszła za mąż w tym samym wieku, w którym Zofia umarła. I autorka ta całą swoją kanciastą książkę o niej opiera na pewniku, że zbyt wiele żądała od miłości.

Proszę! A czyż to nie te właśnie kobiety otrzymują najwięcej, które najwięcej żądają? Wciąż tylko wymagać — oto zasada większej części pań z towarzystwa. I na tej pewnej zasadzie żadna jeszcze nie straciła!

— Miała wszystko, czego zapragnąć może człowiek! — powiada w toaście na jej cześć wzniesionym, dobry poeta, ojciec Jonasz. — Posiadała geniusz, sławę, stanowisko, swobodę, pierwsze miejsce na polu walki o rozwój ludzkości. Lecz ponieważ miała to wszystko, niczego nie ceniła. Jak mała dziewczynka, wyciągała rączkę, prosząc: „Ach, dajże mi tę pomarańczę!“

Powiedziane to jest bardzo serdecznie i rozumnie. Ojciec Lie był jedynym człowiekiem, który widział w Zofii to, czem była przez całe życie. Pozostała zawsze małą, niedojrzałą dziewczynką. Ale, kochany ojcze Lie, czyżby miłość miała w oczach twoich wartość pomarańczy?

Nie, w ten sposób niczego się nie dowiemy. Są to wszystko zbyt liche, mieszczańskie objaśnienia. Przyczyna tkwi głębiej, ma podstawę więcej organiczną, jest w silniejszym stopniu wyrazem cierpienia epoki, aniżeli sądzą naoczni świadkowie jej życia i taka nawet przychylna, rozumiejąca biografka, jak Ellen Key. I jak Kowalewska typowym jest znakiem najpoważniejszych emancypacyjnych zabiegów kobiecych i najwyższej duchowej działalności niewieściej — tak samo życiem swojem wyjaśnia typowy proces różniczkowania się kobiety w naszem stuleciu, zaświadcza, co w bolesnym procesie tym kobieta zatraca, a co zachowuje dla ukształtowania typu przyszłości.

Ona, której czar osobisty był tak silny, jak twierdzą wszyscy, którzy ją znali, zachwycała swojem gorącem poddawaniem się nastrojowi chwili, nie działała na mężczyzn tak, jak działają o wiele niższe, zimniejsze, puste kobiety dla tego, że nie posiadała rutyny w sztuce przyciągania. Rutyna to jak świat stara i przywykli do niej mężczyźni, odkąd z kobietą mają do czynienia. Mężczyźni — najwrażliwsi nawet, najbardziej rozwinięci — na tym punkcie odgadywać nie umieją. Starano się przecież o to usilnie, aby przychodzili od razu i zawsze do gotowego. Zofia nie nęciła, gdyż pewien rodzaj cechującej ją dziewiczości nie pozwalał jej rozpoznać wstępnych układów miłości, gdyż miała w sobie pewne szlachectwo duszy, będące nabytkiem dla typu nowego i pewien brak instynktu, który odziedziczyła może, lecz zatraciła.

Zofia należy do gatunku kobiet, które wypłynęły dopiero w drugiej połowie naszego stulecia, a są tak liczne, że stanowią typ epoki. Tworzą taką sprzeczność z dotychczasowem pojęciem o kobiecie, że wydają się niemal jakąś formą przejściową. A jednak jest to najlepszy materyał kobiecy, jakiego wiek nasz dostarcza. Są to te kobiety, które nie chcą rozpoczynać życia od spełniania powołania swego, które w młodości swojej uważają inne zadania za ważniejsze od obowiązków żon i matek. Ogólne o nich mniemanie jest takie: „nie dbają o małżeństwo“ — co w przekładzie większej części mężczyzn brzmi: nie nadają się do małżeństwa. Mężczyźni trzymają się tedy stada gęsi, spędzanych corocznie na targ i kroczących ku powołaniu swemu z głośnem gęganiem. Wprawdzie potomstwo takich ojców i matek wykazuje najminimalniejszą miarę zdolnej do rozwoju inteligencyi, lecz tworzy większość, słuszność zaś bywa zawsze po stronie większości. Dawniej rodzice jednako usiłowali powydawać za mąż córki mądre i głupie; obecnie przeznaczają „dobre głowy“ do nauki do zawodów, sprzyjających celibatowi, te zaś, które „ciężko pojmują,“ wyprowadza się na targowisko małżeńskie. Podział ten stał się już zasadniczą podstawą ekonomii mieszczańskiej. Córki, „mogące pracować na siebie,“ otrzymują „edukacyę,“ zaprawioną częstemi przymówkami o tem, ile to rodziców kosztuje; te, które „pracować na siebie nie mogą“ dostają niezbędną wyprawę i w ten lub inny sposób — męża. Pierwsze — to „dobre głowy,“ drugie — to „poczciwe kobietki;“ przyrodzony zaś ludziom zmysł sprawiedliwości, rozdzielającej dobra doczesne, strzeże linii granicznej, ściśle wyznaczonej między dwoma tymi gatunkami kobiet.

Że powstał ten rys typowy, tak dobrze oświetlający duch naszego czasu, winne są i same owe wybitniejsze kobiety. Pierwsze zaczęły wyosabniać się, pierwsze jęły przyzwyczajać ograniczonego drobnomieszczanina do nowego o kobiecie pojęcia. Potrawy, ustawione dla nich na stole życia, odtrąciły, sięgając po inne, które podobnie jak wino i papierosy, w mniemaniu powszechnem, dla mężczyzn jedynie były przeznaczone. A ponieważ okazało się, że zdają swoje egzamina bez szwanku, równościowy prąd naszego wieku podchwycił objaw ten, jako znak równości mężczyzny i kobiety, obwieścił żądanie równych dla obu płci praw i jednakość ich mózgów. O innych składnikach istoty ludzkiej, które przenigdy nie będą równe, ani jednakie, nie mówiono, ponieważ o istocie rzeczy w ogóle mówić nie wypada, a materyalistyczny wiek nasz nie sięga nigdy na dno rzeczy, bo ono jest głębią.

Czyż istotnie uzdolniona, rozwojowi podatna kobieta zapomniała, że ma z góry wyznaczone powołania, że niewolnicą jest praw odwiecznych? Czyż najlepsze kobiety miałyby istotnie ten groźny popęd do wykobiecania się? Tak sądzą powszechnie. Lecz na sąd taki nie wystarczyło nawet głupoty kobiet — trzeba było, aby stworzyła go bezmierna głupota mężczyzn. Największa ilość tych kobiet, które wybiły się ponad ogół niewieści, we wczesnym wieku odznaczała się rozbudzoną, w stosunku do mężczyzny, zmysłowością. Geniusz kobiecy naszego stulecia, Zofia Kowalewska, w dziewiątym roku życia tak gwałtownie odczuwała zazdrość z powodu innej małej dziewczynki, którą się młody jej, przystojny wuj więcej niż nią zajmował, że siedzącą na kolanach owego pana rówieśniczkę znienacka ukąsiła do krwi w ramię. I nie było to objawem złośliwości dziecinnej, bowiem od tej chwili uczucie Zofii dla wuja zamieniło się na skryte, chłodne rozczarowanie.

Rozczarowanie! Tak, gdyż kobiety takie, dziećmi będąc, przeczuwają już poniekąd, iż więcej są warte od towarzyszek przeciętnych. Silne ich popędy mają czujne oko i dobrą pamięć. Nie zakochają się, jak zwykle młode dziewczęta, w zupełnie zewnętrznych przymiotach lub w pierwszym lepszym mężczyźnie, który się nasunie. Pragną połączenia się z tym, który jest czemś więcej od nich samych, i nie zapominają upakarzającego doświadczenia, jakiego kiedykolwiek zaznało ich uczucie. A gdy po gorączkowych wzburzeniach najwcześniejszej młodości, nastaje chwilowa cisza, natenczas budzi się w nich inny popęd, pragnienie wydobycia z siebie wszystkich utajonych darów, całkowitego objęcia w posiadanie tego, co mają w sobie, zanim pójdą tworzyć z siebie nowe pokolenie. Po fizycznym następuje potrzeba umysłowego i psychicznego rozwoju. Zanim wstąpią w życie, chcą dojrzeć umysłem i duszą, zdobyć pełnoletność duchową, zawładnąć jestestwem swojem całkowicie, — i ten popęd do samoistnego bytu, któremu nie utorowano jeszcze drogi, sprowadza je prawie zawsze na manowce „kształcenia się.“

A cóż dopiero, gdy tkwi w jednostce uzdolnienie określone, potężne, które pędzi ją i popycha? Nawet Kowalewska nie stąpała po utartej, wyczerpującej drodze zwykłych kobiecych studyów. Wyposażona wyjątkowo hojnie, w niepospolicie pomyślnych żyjąc warunkach, znajdowała drogi dobre, które ją szybciej niż inne kształcące się dziewczęta, doprowadzały do celu. Mało która zaczynała w siedemnastym roku, jak ona, naukę pod opieką życzliwego mężczyzny, pod serdecznym kierunkiem wielkich uczonych; mało która doznała tyle co ona grzeczności i poparcia, skończyła naukę w kwiecie wieku, w 24-tym roku, obsypana odznaczeniami, mało która miała przed sobą takie bogate, pełne życie.

Lecz owe potrawy, któremi nęciła ją zastawa życia, nie były przeznaczone na posiłek. Po sześciu latach wytężonej pracy otrzymała w darze niezmierne fizyczne i duchowe znużenie, długotrwałą potrzebę wypoczynku, wstręt do nauki, dla której tyle zrobiła. Przepracowała się, jak większa część dziewcząt, gotujących się bądź do egzaminu nauczycielskiego, bądź do — uniwersyteckiego. Wyczerpała się wskutek tej utkwionej w jeden punkt pilności, przy której nie ogląda się ani w prawo ani w lewo i jest się niby łupem nieprzerwanej hypnotycznej suggestyi. Przy takim stanie jednostronnego wytężenia, wszystkie inne siły są ubezwładnione, wszystko inne milczy, a z jękiem pracuje tylko organ — pamięć. Wśród takiej pracy śpią też w kobiecie zmysły, lub odzywają się w ogólnem rozdrażnieniu.

Tak było i z Kowalewską. Co prawda zanim wpadła w szał roboczy Weierstrassa, fikcyjny jej małżonek niejedną musiał znieść przykrość. Nie dość, że używała go na posyłki, które spełnia zazwyczaj lokaj, ale odwiedzała go w jego kawalerskiem mieszkaniu, urządzała wspólne podróże i wycieczki, wogóle wtedy tylko w dobrym bywała humorze, gdy jej nie odstępował. Ale on tego nie rozumiał. Zgodził się dobrowolnie na rolę męża pozornego w obec niedojrzałej, małej dzieweczki i żeby utrzymać s t a t u s q u o sumiennie, szanował szaleńcze ideje owej epoki, jakie owładnęły główkę tej dzieweczki. Oczywiście i ona samej siebie również nie rozumiała. Zresztą nie jej było rzeczą rozumieć się w podobnej sytuacyi. Jednakże po każdem sam na sam z nim bywała rozdrażnioną, kwaśną, rozczarowaną i znacznie już później po jego zgonie, mawiała szyderczo: „Tak doskonale umiał się obejść bezemnie! Byleby miał swoje papierosy, szklankę herbaty i książkę — to mu wystarczało!“

Kowalewski, tłómacz „Życia ptaków“ Brehmsa i innych popularno-naukowych dzieł, należał do tych przedstawicieli rodu męskiego, którzy od najmłodszych lat uważani są za „wzory.“ Kuł zawzięcie, nie miał potrzeb, czynił zawsze, co należało i dobrze szedł w zaprzęgu. Lecz nie był ani indywidualnością wybitną, ani mężczyzną dla kobiety. Okazało się to od razu, gdy przystał na małżeństwo pozorne, zważyć zaś należy, że ślub w ich wyznaniu wiąże na całe życie. Dla uniknięcia powodowanych przez Zofię częstych przerw w nauce, przeniósł się do Jeny. Wtedy stosunki ich rozluźniły się. W Berlinie, gdzie jak wspomniałam, Kowalewska mieszkała z koleżanką, zdawała

się go wstydzić poniekąd. Przychodził po nią wprawdzie do Weierstrassa, nie przedstawiała go jednak nigdy i nie zdradzała się z tem, że jest jego żoną. Gdy później po ukończeniu studyów i po długim wypoczynku zmysły w niej ocknęły się, gdy wreszcie śmierć ojca nerwy jej wyprowadziła z równowagi, jęła się garnąć do niego tak serdecznie, że w końcu klocowata jego natura rozgrzała się trochę. Ale oczywiście ani uprzedzająca jej serdeczność, ani przyjście na świat córeczki nie zdołały przeistoczyć go całkowicie. Krótkie ich gorączkowe pożycie w Petersburgu zakłóciła intryga jakiegoś oszusta. Odtrącona, niezaspokojona, otrzeźwiona, pojechała natenczas do Paryża.

Chciała stanąć o własnych siłach, trzeba więc było zużytkować naukę — dla chleba. Przez długi czas pragnęła być nie uczoną, lecz kobietą i o szczęściu kobiecem marzyła. Źle na tem wyszła. Za pośrednictwem profesora Mittag-Leflera, brata pani Edgren, otrzymała nominacyę na docenta matematyki w Sztokholmie. Przyjęła wezwanie, dziękując w listach, ale subtelne ucho dosłyszeć może w tej podzięce dziwne, tłumione uboczne tony.

(Dokończenie nastąpi.)

SZKOŁA I WYCHOWANIE.

Prywatne instytucye
dla oświaty ludowej w Ameryce

przez

Dr. fil. Józefę Kodisową.

(Dokończenie).

Co do natury samego wykładu, to nauczyciel ani na chwilę nie powinien zapomnieć o tem, z jakich żywiołów składa się jego publiczność i całą lekcyę utrzymywać, że się tak wyrażę w życiowym związku z tem otoczeniem, do jakiego ta ostatnia nawykła. O ile możności trzeba się starać przy tem uczynić wykład konkretnym tak n. p. przez illustracye zapomocą latarni magicznej, doświadczenia naukowe, rozmaite okazy, cytaty z literatury etc. Najsuchsze przedmioty w ten sposób nabierają interesu w oczach słuchaczy, tak np. geografia zapomocą obrazów rzucanych przez latarnię staje się jednym z najciekawszych przedmiotów i wdraża się doskonale w pamięć słuchaczy.

Naturalnie, odpowiednio do słuchaczy, wykłady modyfikują się pod względem popularności. Zaczynając od takich, które stoją istotnie na poziomie uniwersyteckich wykładów, dla publiczności, nie mogącej z jakich bądź zewnętrznych powodów uczęszczać do uniwersytetu, aż do wykładów dla robotników fabrycznych, przechodzi się rozmaite stopnie i odcienia. Specyalną trudność przedstawia dla profesora zastosowanie się do umysłu robotników, jako mających najgorsze przygotowanie naukowe i najmniej czasu do pracy umysłowej. Temu rodzajowi publiczności profesor powinien podawać jedynie samą kwintesencyę nauki, same najważniejsze rzeczy i mniej dbać o ich szczegółowe opracowanie.

Już z powyższego widać, że uniwersytety ludowe decentralizują naukę, uprawianą dotychczas właściwie tylko w tych nielicznych miastach, które są w stanie utrzymywać wielkie uniwersytety. Za pomocą uniwersytetów ludowych wnosi się życie umysłowe we wszystkie, chociażby drobne miasta prowincyonalne i pozwala się ich mieszkańcom korzystać z tych dóbr, jakie są dostępne np. w naszym kraju wyłącznie tylko mieszkańcom stolicy. Miasto prowincyonalne, które urządziło u siebie dział uniwersytetu ludowego, otrzymuje z tego następujące korzyści: Zwykle 6 tygodni przed Bożem Narodzeniem i sześć po niem trwają wykłady. Czterech lub pięciu profesorów dojeżdżając kolejno do danej miejscowości, wygłasza po jednym wykładzie tygodniowo Na wykłady te uczęszczają wedle życzenia ci sami słuchacze, albo na każdy inni, tak, że w ten sposób prowadzi się cztery do pięciu oddzielnych kursów sześcio tygodniowych. Profesorowie przy tem zachęcają słuchaczy do łączenia się w kluby, celem lepszego studyowania i dyskusyi nad danym przedmiotem. Zwykle kursa następujące po Bożem Narodzeniu są dalszym ciągiem wykładów prowadzonych przed niem, chociaż stanowią same w sobie pewną zamkniętą całość. Każdy zrozumie łatwo, że instytucya tego rodzaju przynosi z sobą wielkie ożywienie miejscowości, w której powstaje. Już sam przyjazd ludzi uczonych, przebywających stale w wielkich centrach umysłowego życia, wnosi nawet w bardzo odległe i uśpione zakątki masę nowych idei i dążeń obecnej epoki. Pewną trudność przedstawia czasem wyszukanie odpowiednich lokali na wykłady. Trzeba przyznać, że pod tym względem duchowieństwo amerykańskie stoi po większej części na poziomie swojego czasu i ze swej strony przyczynia się do podniesienia ruchu umysłowego, pozwalając na urządzanie lekcyi po salach kościelnych. W tymże celu służą sale szkolne, klubowe etc. Ilość słuchaczy jest bardzo różną, — czasem zbierze się kilka set, czasem kilku zaledwie. Powierzchownemu badaczowi wydać się może w tym ostatnim razie, że rezultaty nie opłacają zachodu. Amerykanie jednak tem się nie zrażają. Jako prawdziwy Yankee's, którzy niedawno jeszcze zdobyli wielką fortunę, zacząwszy od małego, wiedzą, że stała praca zdoła przynieść ogromne rezultaty.

Co do kosztów utrzymania, to instytucya lud. uniw. oparta jest na zasadzie samopomocy. Pensya profesorów, koszta przejazdów i inne wydatki są opłacane przez słuchaczy. Opłaty za lekcye odsyłają skarbnicy lokalnych centrów do ogólnego zarządu, który rozporządza niemi, rozdzielając je między profesorów, proporcyonalnie do ogólnej liczby słuchaczy, jakich mieli w ciągu pewnego czasu. Z tejże ogólnej kasy opłacają się przejazdy i wydatki na utrzymanie samego centralnego zarządu uniwersytetu ludowego i środków pomocniczych do wykładów. Niektóre jednak stany, jak New-York dają pewne zapomogi (10,000 dol. rocznie) uniwersytetowi ludowemu, które jednak idą nie na profesorów, a wyłącznie na środki pomocnicze do nauki.

Jedną z największych trudności wykładów jest utrzymanie w nich pewnego systemu. Profesorowie bowiem muszą wykładać przedewszystkiem to, co zajmuje ich słuchaczy, a nieraz rzeczy systematycznie najważniejsze nie przedstawiają się jako najciekawsze dla tychże. W większości wypadków istotnie też okazuje się możebnem tylko najsystematyczniejsze nauczanie.

W obecnym stanie rzeczy największa ilość słuchaczy uniwersytetów ludowych składa się z kobiet; tak np. na 11 tysięcy słuchaczów 10 tysięcy stanowią kobiety, a jeden tysiąc tylko robotnicy i inni mężczyźni. Mimo to tendencyą uniwersytetów ludowych jest właśnie ogarnięcie właściwych sfer ludowych, robotników fabrycznych, wieśniaków etc. Wszelki postęp w tym kierunku wita się z niezmiernym entuzyazmem. Od profesorów wymaga się apostolskiego ducha, — chęci niesienia światła ludowi i zamiłowania w pracy tego rodzaju. Wielkie znaczenie w nauczaniu ludowem ma sama indywidualność profesora. Jeżeli to jest człowiek niesympatyczny w pojęciu ludu, z trudnem obejściem się, patronizujący swoich słuchaczy, — wszystkie jego wysiłki pójdą na marne. Lud bowiem, tak samo jak i dzieci przedewszystkiem zwraca uwagę na osobę nauczyciela. Od wykładu wymaga lud, aby był on na seryo; na słuchanie bowiem rzeczy, której nie ceni i nie uważa za ważną. — nie ma czasu człowiek z ludu. Dla tego też wielkie powodzenie mają ci nauczyciele, którzy umieją wszystkiemu, co mówią, nadać pewne zabarwienie ideowo społeczne. Podnosi to od razu wartość wykładanej rzeczy i entuzyazmuje słuchaczy.

Jak we wszystkich przedsiębiorstwach prywatnych, tak i w uniwersytetach ludowych system wykładów nie spoczywa w raz na zawsze określonych granicach, ale zmienia się i modyfikuje pod różnemi wpływami, tak n. p. uniwersytety ludowe zapożyczają nieraz metody wykładów od systemu przyjętego w Chantauqua i użyczają mu nawzajem swoich sposobów. Jednakże w uniwersytetach ludowych nauczanie za pomocą korespondencyi nie uważa się za równoznaczne z nauczaniem ustnem i uczniowie chcący zdawać egzamina na stopnie naukowe obowiązani są zawsze wykazać się z przesłuchania pewnej prawem określonej ilości wykładów.

Pozostaje nam jeszcze wspomnieć o tem, że w Ameryce istnieją próby zastosowania wykładów uniwersytetu ludowego do szerzenia oświaty wśród farmerów, tej klasy ludzi, która u nas w Europie wskutek swego izolowania i monotonnych warunków bytu przedstawia najkonserwatywniejsze elementa społeczne. W Ameryce jednak cała siła duchowa narodu tak się skupia po miastach i łatwość komunikacyi tak bardzo umożebnia wieśniakom korzystanie z dogodności miejskich, że wykłady dla farmerów nie wyodrębniły się niczem z pośród innych wykładów dla ludu. Urządzane są też one zwykle po miasteczkach, dokąd farmerzy zjeżdżają z okolicy z żonami i dziećmi. Zapewne zastosowanie wykładów do tego rodzaju publiczności przedstawia jeszcze dużo trudności, ale ciągły postęp i rozwój metodyki daje nadzieję, że wkrótce i te trudności zostaną usunięte. Prawdopodobnie za jakie lat kilkadziesiąt zdobędziemy umiejętność podawania kształcącym się ludziom znacznie więcej nauki z bezporównania mniejszym wysiłkiem. Dotychczas bądź co bądź krótkie istnienie uniwersytetów ludowych przyniosło już pod tym względem wiele owoców.

Ale nie tylko od postępów metodyki wykładowej zależy powodzenie całej sprawy. Równą rolę gra zbadanie i wynalezienie odpowiednich środków agitacyi w celu propagowania idei nauki i oświaty. Jest wiele rzeczy, które z natury swojej są zupełnie dostępnemi człowiekowi z ludu, a do których on jednak się nie garnie wprost z tego powodu, że nie umiano zwrócić na nie jego uwagi; rzeczą bowiem najmniej znaną ludziom nauki była dotychczas psychologia ludu. Gardzono niemal temi wszystkiemi środkami agitacyi, które będąc pozbawionemi znaczenia wśród ludzi wykształconych, mają jednakże wielki sens wśród ludu. Chcąc skłonić ten ostatni do pracy duchowej, podawano mu racye, mające jedynie znaczenie dla ludzi, którzy już przebyli długą drogę intelektualnego rozwoju. Dziś już Amerykanie pojęli, że do ludu trzeba przemawiać tym językiem, jaki on pojmuje i dopiero pomału podnosić go do wyższego stopnia duchowego.

To też łatwiej im się niż nam udaje zainteresować i pociągnąć za sobą masy. Jeżeli z czasem, jak tego można się spodziewać, nauka udzielana przez uniwersytety ludowe rozpowszechni się i istotnie cały lud obejmie, to stworzy ona tak niezmiernie silny czynnik w duchowym i społecznym rozwoju, że doniosłość jego znaczenia trudno nawet sobie obecnie przedstawić.

Wprowadzi się tu w społeczne życie zamiast rutyny i tradycyi, opartej tylko na nawyknieniu, element świadomości. Będzie to istotnie rzeczą nową, wypływem współczesnego ducha i kultury, potężnym czynnikiem dalszego rozwoju ludzkości.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Kongres kobiet w Genewie,

Od początku bieżącego tygodnia odbywa się kongres międzynarodowy kobiecy w Berlinie. Sprawozdanie z tegoż podamy później. Obecnie podajemy sprawozdanie z kongresu kobiecego w Genewie, który się odbył przed dwoma tygodniami.

Genewski kongres kobiet szwajcarskich, tem doniośłejsze ma znaczenie, że przez długie lata Szwajcarya opierała się wszelkim nowatorstwom w dziedzinie kwestyi kobiecej. Dopiero przed pięciu laty poczyniło kilka kobiet pierwsze kroki, ażeby kwestyi tej otworzyć drogę i dzisiaj istnieje na gruncie szwajcarskim pełno stowarzyszeń kobiecych, liczących przeszło 6000 członków. Obecnie zwolenniczki ruchu emancypacyjnego, mające dużo popleczników także w kołach męskich, zwłaszcza pomiędzy nauczycielami, czują się dość silne, aby wystąpić z mniej więcej ścisłym programem reform.

Usiłowania te znalazły głośne echo także w krajach ościennych, jak tego dowodzi udział delegacyi zagranicznych. Pomiędzy innymi przybyły na kongres pp. Tritfeld i Weinmann z austryjackiego stowarzyszenia kobiet, pani Reutern z Moskwy, panna Tribery z Helsingforsu, pana Menod z Wersalu i miss Wilson z Kanady.

Obrady zagaił genewski radca stanu R i c h a r d, wskazując z uznaniem na działalność kobiet szwajcarskich i zapowiadając, że kongres zajmie się przedewszystkiem sprawą wychowania młodzieży żeńskiej. Równocześnie napominał, ażeby nie stawiano zbyt daleko idących wymagań na polu politycznem, ponieważ kraj nie dojrzał jeszcze dostatecznie i ruch kobiecy mógłby wskutek tego bardzo łatwo stracić sympatyę.

Pierwsza już kwestya „o wspólnem wychowaniu na wszystkich stopniach szkoły“ dała powód do bardzo ożywionej dyskusyi. Starszy nauczyciel gimnazyalny S t u c k i z Berna, przemawiał za wspólnem wychowaniem obu płci na wszystkich stopniach szkoły, od szkół elementarnych począwszy, a skończywszy na uniwersytetach. Nie obawia się on żadnego pod względem moralnym niebezpieczeństwa, lecz owszem w wspólnem pożyciu, w wspólnej poważnej pracy obu płci, widzi właśnie najpewniejszą ochronę od zboczeń, których się przeciwnicy tego rodzaju edukacyi obawiają. W ten sposób stałoby się też najłatwiej zadość żądaniu, ażeby dziewczęta zażywały tej samej nauki, co i chłopcy.

Gdyby ostatecznie utworzono osobne gimnazya żeńskie, uczęszczanie do nich mogłoby bardzo łatwo stać się modnym nonsensem, albo też wiele rodziców zmuszałoby córki swe do uczęszczania do gimnazyów z samej tylko ambicyi, nie troszcząc się o to, czy uczennice mają należytą chęć lub zdolność.

Jednej części tych wywodów sprzeciwił się prof. Langiadere z Bazylei, dowodząc, że wspólnie kształcić można tylko do 12. roku życia, od tego czasu zaś aż do 18. roku należy dziewczęta kształcić osobno. Fizyologiczne bowiem procesy, spełniające się w tym czasie u dziewczyn, nie mogłyby przez długi czas ujść uwadze współuczniów, a wynikające z tego nieuniknione żarty i zaczepki, mogłyby doprowadzić do utraty jednej z największych cnót u dziewcząt. Kongres godził się z wywodami prof. Langiadere'go, odrzucając wnioski Stuckiego. W sprawie wyższego wykształcenia dziewcząt postanowiono dążyć do takiego systemu wychowawczego, aby kobiety wychowywać racyonalnie zarówno dla życia domowego, jak i zawodowego.

W tym celu mają być w wyższych szkołach żeńskich zaprowadzone kursa pedagogii,hygieny, pielęgnowania chorych oraz gospodarstwą domowego. Co do zawodów to w pierwszej linii uznano za najodpowiedniejszy zawód nauczycielek; dalej odpowiednią jest kobieta dla zawodu lekarskiego, na farmaceutę lub chemika.

Studya przygotowawcze dla uniwersytetu powinny się rozpocząć dopiero z 15 rokiem życia, powinny być jednak prowadzone w ten sbosób, ażeby w niczem nie pozostawały w tyle poza studyami męskiemi. Dalej domagają się kobiety gwałtownie, aby im otwarto podwoje handlu i przemysłu.

Tego rodzaju zawody i zajęcia są tylko środkami dla właściwych celów kulturnych i w niczem nie uszczuplają zadania płci żeńskiej w społeczeństwie. Jakkolwiek bowiem harmonijnie ukształtowane małżeństwo jest najpiękniejszym stosunkiem pomiędzy mężczyzną a kobietą i jakkolwiek przeważna część płci żeńskiej przenosi stan małżeński. to przecież mylnem jest zwykłe twierdzenie, że jedynem powołaniem kobiety jest małżeństwo, ponieważ przeszło połowa kobiet za mąż nie wychodzi i wcale nie jest ochronioną od nędzy. Zresztą należy kobiecie przyznać prawo postanawiania o sobie, według jej woli — czy chce wyjść za mąż, czy też pozostać pragnie w stanie bezżennym i pracować sama na utrzymanie.

Przy kwestyi ubezpieczania od chorób i wypadków, domagano się, ażeby ubezpieczania te zorganizowane były przez państwo, i aby rozciągały się na wszystkie osoby, nie mające przynajmniej 5.000 f. dochodu.

W końcu mówił słynny prof. prawa Breidel z Lozanny o prawnem stanowisku kobiety. Domagał się on następujących rzeczy: Kobieta ma zatrzymać całą swoją cywilno-prawną zdolność działania. Rozdział majątku ma być ustawowem prawem małżeńskiem, dopuszczalne są jednak kontrakty ślubne.

Każde z stadła małżeńskiego administruje swój majątek i korzysta z niego samoistnie, a obie strony mają według sił przyczyniać się równomiernie do ponoszenia ciężarów życia rodzinnego. W razie śmierci, kurateli lub nieobecności ojca w kraju, prawo opieki nad dziećmi ma kobieta, a przy wzięciu w kuratelę jednej strony z stadła małżeńskiego, prawa opiekuńcze przechodzą na drugą stronę. Prawo opieki nad dzieckiem ma także matka niezamężna.

Przy rozwodzie władza rodzicielska przechodzi na tę stronę, która w rozerwaniu małżeństwa, albo wcale, albo mniejszą ponosi winę. Jeżeli wina jest równomierną, chowają się dzieci aż do 12 roku życia przy matce, a potem dziewczęta pozostają przy niej, chłopcy zaś przechodzą pod opiekę ojca. W razie śmierci jednej strony, dziedziczy druga, jeżeli są dzieci, część, przypadającą na jedno dziecko i ma prawo korzystania z dochodów majątku nieletnich. Prawo to ma matka także po powtórnem wyjściu za mąż, jeżeli są spadkobiercy drugiego stopnia (rodzice, rodzeństwo pozostawiającego spadek i ich potomstwo) dziedziczy pozostała strona połowę, przy dalszych krewnych cały majątek. Pod względem dziedziczenia mają być córki postawione na równi z synami. W całem prawie prywatnem ma być kobieta pozostawioną zupełnie na równi z mężczyzną.

TO I OWO.

„Kobieta akademicka“.

Po tym tytułem ukaże się w tych dniach w Berlinie książka, w której przeszło stu wybitnych niemieckich profesorów uniwersytetu oraz kilku najsłynniejszych literatów niemieckich wypowiedziało swoją opinią co do uzdolnienia rodu kobiecego do studyów uniwersyteckich. Książka ta podzielona jest na cztery fakultety. W fakultecie teologicznym prof. Otton Pfleiderer, między innemi, wypowiada taką opinię: „Mojem zdaniem, bywają między kobietami i pannami takie, które są uzdolnione do studyów akademickich. Tym nie można odmówić prawa do uczęszczania na uniwersytet, przypuściwszy, że dopełniły wymaganych przez prawo warunków, podobnie jak każdy student“.

Profesor Pfleiderer proponuje, aby dla studentek otworzyć tymczasem mały uniwersytet na prowincyi. Większość uczonych, którzy wypowiedzieli zdanie swoje w owej książce, jest za wyższemi studyami kobiet; nie brak wszakże i przeciwników, a jednym z nich jest prawnik i literat, Feliks Dahn. Pisze on: „O ile pożądanem byłoby otworzyć kobiecie nowe drogi zarobku, o tyle wielkiemi są trudności studyów akademickich. Przedewszystkiem trzebaby otworzyć wystarczającą liczbę gimnazyów; bez wykształcenia gimnazyalnego mogą kobiety i panny uczęszczać z korzyścią na niektóre tylko wykłady (historyi, języków, literatury, estetyki). Ale nawet, otrzymawszy wykształcenie gimnazyalne, nie mogą z powodzeniem studyować prawa i medycyny (conajwyżej, żeby zostać lepszemi akuszerkami). Sędziny i adwokatki nie mają u nas racyi bytu, a do zawodu lekarskiego nie posiadają kobiety zarówno wystarczających sił fizycznych jak i pewnych właściwości charakteru.

Prof. August v. Esmarch oświadcza między innemi: „Do studyowania medycyny wewnętrznej i ginekologii, nadają się może niektóre kobiety, ale chirurgię powinnyby wyłącznie pozostawić mężczyznom“. Natomiast słynny operator heidelberski, profesor Czerny, oświadcza się za dopuszczeniem kobiet nietylko do fakultetu medycznego, ale i do filozoficznego, prawnego a nawet teologicznego. Profesor Gusserow, obecny dziekan fakultetu medycznego w Berlinie, który był czynny jako docent przez lat dwanaście przy uniwersytecie w Zurychu, wystawia swoim tamtejszym uczennicom co do powagi i pilności w studyowaniu najlepsze świadectwo. Filologowie są przeważnie przeciwnikami studyów kobiecych, a do nich należy profesor Weber, znany berliński znawca sanskrytu, oraz profesor Sachau, dyrektor berlińskiego seminaryum wschodniego, również sędziwy filolog, profesor Steinthal; ten ostatni pisze: „Przypuśćmy, że pozyskalibyśmy od-

tąd dwa razy więcej uczonych, artystów i literatów, niż mieliśmy dotychczas w każdem pokoleniu, skutkiem właśnie pomocy rodzaju żeńskiego, i żeby między nimi znajdowali się Leibnitz'e, Rafaele i Mozart'y płci żeńskiej, — nie skorzystalibyśmy na tem tyle, ile straciłby przez to rodzaj ludzki — mianowicie swoją kobiecą połowę. Dla niepewnej nadziei pozyskania jeszcze jednego Goethe'go, ubolewałbym nad pewnością utraty matki Goethowskiej".

* * *

Polskie kobiety — polska mowa.

Pragska „Polityk" zamieszcza w odcinku „Listy z Nowogrodu", których autor, opisując swoją drogę na wystawę, poświęca jeden ustęp wrażeniom z Częstochowy, w drugim, potrąciwszy o Warszawę, rozpływa się cały w entuzyazmie dla polskich kobiet, zwłaszcza warszawskich. „Rzadko tak bywa — pisze — aby w jakiemś mieście zdarzyło się spotkać tyle czystej krwi rasowych piękności co na ulicach i miejscach spacerowych miast polskich. Wyjątek stanowi Paryż, lecz trzeba o tem pamiętać, że Paryż jest punktem środkowym, ku któremu dążą piękności wszystkich krajów, spekulujące na swojej piękności, lub mogące spekulować. Paryż jest giełdą pięknego świata, wzorem dla mniejszych miast i dla takich, gdzie mniej najróżnorodniejszego krzyżowania ras i ludów. Ale po co dolewać wody do morza: przecież Polki oddawna słyną ze swej piękności. Ze wszystkiego poznać, iż tu się wytworzył specyalny kult wszystkiego tego, co kobietę zdobi i podnosi nad poziom codziennej powszechności. To jest jeden z najpiękniejszych rysów słowiańskiego charakteru, a Polacy rys ten do pewnej doskonałości doprowadzili." Dalej autor, mimowoli może, jest trochę niegrzecznym, twierdząc, że szminki i kosmetyki są u Polek powszechną rzeczą, lecz zaraz dodaje, że nie jestto u nich „środek oszukiwania i podania mężczyźnie fałszywego towaru, lecz ostatnia, najmniej ważna część zewnętrznego zdobienia się", a następnie tak pisze: „Elegancyę i wytworny zmysł formy można zresztą pod innym względem u Polek zauważyć, smukłe, giętkie formy, powiewne poruszenia, dyskretny chód, wdzięk gestów i dystyngowana modulacya głosu, wszystko jest tutaj do najdelikatniejszego wyrafinowania doprowadzone, bez wpadania w nienaturalność. Zdaje się, jestto skutek wrodzonego wytwornego instynktu, głęboko w życie zapuszczającego korzenie taktu. Jeśli Polki podniosą nieco w górę swoje suknie, ukazuje się z pod nich taka olśniewająca, bez zarzutu, niepokalana białość, jak gdyby po ulicy nie chodziły, jak gdyby stanęły przed nami w śnieżnej czystości swej porannej toalety. Ale najpiękniejsze u nich to zdaje się ich głos. Dzwonki brzmią około ciebie, wysokie, harmonijne, srebrne dzwonki, lecz pełne życia i silnego temperamentu. Polska mowa jakby tylko dla nich była stworzona, a z tych warg brzmi w swoim idealnym wdzięku. Jest to głos którym się „miłość" (po polsku napisane P. R.) wyznaje, pochlebny, czysty jak dzwon, prawdziwie kobiecy, giętki, a tak ujmujący, że chciałbyś oczy przymknąć i słuchać tego głosu, tej pieśni z ust dziewczęcych! Jak wąż owinie ci się około serca. To mowa miłości, pochlebnie woniejąca, mowa, na której rozwój zawsze niewątpliwie kobiety w pierwszym rzędzie wpływały. Sprzeczają się ludzie ciągle, gdzie właściwie Ewa Adama skusiła, czy gdzieś w Azyi nad brzegami Eufratu i Tygrysu, czy gdzie, lecz ja sądzę, że to tylko nad brzegami Wisły być mogło, gdyż znalazłem tutaj w całej doskonałości wszystkie czynniki tej przebiegłej, rozważnej rasy, wszystką tę broń, dzięki której słaba Dalila mocnego Samsona zmusiła do ucięcia włosów. Następnie autor na stu przeszło wierszach opisuje egzemplarz typowej Polki, że się tak trywialnie wyrazić, jaki udało mu się w tramwaju spotkać i przy tej sposobności powraca znów do piękności mowy naszej, pisząc: Słyszałem z ust jej tę wspaniałą melodyę polskiej mowy, która już samym wdziękiem swoim rozgrzewa, tę mowę o najbardziej uwodzicielskim, najniebezpieczniejszym dźwięku, jakim kobieta rozporządzać może."

KRONIKA LITERACKA

Od października zacznie wychodzić w Warszawie tygodnik p. t. „Kuryer Niedzielny". Pismo to zamierza uprawiać literaturę, sztukę i popularyzowanie wiedzy, prowadzić będzie również, jak głosi prospekt, obszerniej dział krytyczny, stawia zaś sobie za cel służenie ideałom wiedzy, dobra publicznego i piękna i artyzmu.

* * *

Wyszedł nr. 18. „Gazety Handlowo-geograficznej" organ polskiego Towarzystwa Handlowo-geograficznego i zawiera następujące artykuły:

Od administracyi. — Wznowienie emigracyi niemieckiej do Brazylii i wpływ tegoż na ludność polską pod zaborem pruskim. — Dom polski w Chicago. — Korespondencye. — Emigracya i kolonizacya. — Gospodarstwo, przemysł i handel. — Informacye. — Prospekt. — Odpowiedzi od redakcyi. — Ogłoszenia.

* * *

Nr. 9 (na wrzesień) „Przewodnika zdrowia" (Czarnowski, Berlin N., Karlstr. 32) wyszedł i zawiera: Denerwowani przez szkołę. — Otruwanie się jądrami owocowemi. — Pomidory jako pokarm i lekarstwo. — Ziółko wrześniowe. — Tajemnicze środki i ich składniki. — Z chwil bieżących. — Przestrogi i rady. — Rozmaitości. — Piśmiennictwo.

* * *

* Ruch literacki we Francyi. Ostatni numer czasopisma „Akademische Revue" zawiera ciekawe dane statystyczne o produkcyi literackiej we Francyi w roku 1895. Ogółem w roku sprawozdawczym wyszło z druku 10,115 nowych książek (włączając wydania powtórne), t. j. o 344 mniej, niż w r. 1894. Z dzieł treści naukowej przypada: na teologię 790 (wobec 948 w roku poprzedzającym), prawo 293, (wobec 284), filozofię i etykę 153 (wobec 138). nauki polityczne 473 (wobec 500), matematykę 76 (wobec 61), nauki przyrodnicze 251 (wobec 190), medycynę 1,141 (wobec 1,227), historyę 1,095 (wobec 1,179), geografię i etnografię, 267 (wobec 292), literaturę francuską 1,875 (wobec 2,022), literatury zagraniczne 242 (wobec 238), na literaturę starożytną 58 (wobec 61), na pedagogikę 1,822 (wobec 1,852).

BŁĘDY JĘZYKOWE.

— Nie można mówić w postawie leżącej, ani na odwrót w położeniu siedzącem, lub stojącem, tylko przeciwnie, gdyż postawa może być stojąca, lub siedząca, położenie zaś tylko leżące.

* Od p. K. Bujwidowej odbieramy następującą wzmiankę:

Ze „Stowarzyszenia pomocy naukowej dla Polek im. Kraszewskiego". Stosownie do uchwały wydziału stowarzyszenia zarząd zwrócił się do polek, które ukończyły studya uniwersyteckie i pracują naukowo z prośbą, by zechciały w jesieni r. b. wygłosić w Krakowie na dochód stowarzyszenia seryę odczytów. Dotychczas zarząd otrzymał odpowiedzi przychylne od pań dra. med. Anny Tomaszewicz-Dobrskiej z Warszawy, dra. filozofii Zofii Daszyńskiej z Berlina i dra. med. Teodory Krajewskiej z Dolniej Tuzli w Bośnii. Nadto otrzymał zarząd listy od dra. med. Bronisławy Dłuskiej z Paryża, oraz dra. fil. Soteyko-Rudnickiej z Warszawy, że radeby jaknajserdeczniej poprzeć cele stowarzyszenia, że w jesieni wszakże r. b. w żaden sposób uczynić tego nie będą mogły, że natomiast na wiosnę roku przyszłego z całą gotowością do Krakowa pospiesza.

Wobec tego zarząd postanawia urządzić na razie seryę tylko z 3ech odczytów złożoną, odkładając dalszy ciąg na wiosnę. Dokładny termin i tematy odczytów ogłoszone zostaną niebawem.

KRONIKA POWSZECHNA.

Teatr i muzyka. Warszawskie „Słowo" pisze: „Dowiadujemy się, iż Zygmunt Noskowski ukończył już operę swoją pt. „Livia Quintilia". Opera to dwuaktowa, a jak wyrażają się ci, co mieli sposobność słyszeć ją, jest ona bodaj czy nie najlepszem dziełem Noskowskiego. „Livia Quintilia" ma być wystawiona w sezonie zimowym w teatrze lwowskim, mamy jednakże nadzieję, że teatr warszawski nie pozwoli na wydarcie sobie pierwszeństwa w wystawieniu opery, napisanej przez kompozytora miejscowego, a tak wybitnego. Wszak nawet nie słysząc opery Noskowskiego, bez obawy popełnienia omyłki śmiało powiedzieć można, że będzie ona lepszą od wystawionej u nas przed dwoma laty „Mary", Cipoliniego „Małego Haydna", „A Santa Lucia" itd., i że będzie miała powodzenie. Obowiązkiem teatrów jest popieranie rozwoju talentów pisarzy i kompozytorów, choćby tylko dla ożywienia repertoaru." — P. Maryan Gawalewicz, na żądanie dyrekcyi teatrów warszawskich, przełożył na język polski 5-aktowy dramat Wiktoryna Sardou „Ghismonda" dla teatru wielkiego i 3-aktową krotochwilę Franciszka Schönthana pt. „Hrabina Oczko" (Comtesse Guckerl). — W czeskim „Divadle" narodowem na kierownika repertuaru wybrany został jednogłośnie p. Jan Lier, znany nowelista i krytyk. Nowy kierownik włada obcemi językami, między innemi i polskim, zna także literaturę naszą, o której niejednokrotnie wyrażał się bardzo sympatycznie. — P. Pius Weloński w przejeździe do Petersburga zatrzymał się w Warszawie. W ostatnim czasie w pracowni swojej w Rzymie, gdzie stale przebywa, wykonał p. Weloński dużych rozmiarów figurę, przedstawiającą „Prometeusza." — P. Józef Hofman — jak donosi „Echo muzyczne" przez całą jesień i połowę zimy koncertować będzie w Petersburgu i Moskwie, oraz w miastach prowincyonalnych Cesarstwa. W Warszawie p. Hofman da koncert w początkach listopada.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

— **Wielkopolaninowi.** Nadesłanego artykułu umieścić nie mogliśmy.

— **Panu A. R. B.** Decyzya nastąpi, skoro powróci redaktor p. Dr. R. z podróży swej do Anglii.

— **Panu X. Z.** Difficile est satiram non scribere jest cytatem z Juwenala (Satir I, 30). Juwenalis rzymski poeta satyryczny ur. się około r. 47 po Chryst.

OD ADMINISTRACYI.

Szanownych Abonentów, którzy odbierają „Przegląd" pod opaską, a nie nadesłali dotychczas prenumeraty za bieżący kwartał, upraszamy o niezwłoczne nadesłanie należytości.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego" w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28

Nr. 40. Poznań, niedziela 4-go października 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: Podgórna ul. Nr. 7. w podwórzu.

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi w **Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Podgórna Nr. 7. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.
Rękopisów drobnych niezwracamy.

TREŚĆ.

Fakty z życia ekonomicznego.

I.

Spekulacya.

Rozwój ekonomiczny przy kapitalistycznym ustroju nie jest stały i równomierny, lecz posuwa się skokami, posuwa się w ten sposób, że peryody zastoju przemysłowego szeregują się z peryodami szybkiego postępu. Po mistrzowsku charakteryzuje ten proces Fryderyk Engels: „Od roku 1825, kiedy nastał pierwszy ogólny kryzys, cały świat przemysłowy i handlowy, produkcya i wymiana wszystkich cywilizowanych narodów z ich mniej lub więcej barbarzyńskiemi satelitami, wychodzi co lat dziesięć z klubów. Interesa idą źle, rynki są przepełnione, produkty nagromadzają się i nie znajdują odbytu, gotówka znika, kredyt ustaje, fabryki zawieszają czynność, masy pracujące nie mają pożywienia, gdyż wyprodukowały zbyt dużo pożywienia, bankructwo idzie za bankructwem, licytacya przymusowa za licytacyą. Lata całe trwa zastój, siły produkcyjne i produkty trwonią się masami i niszczeją, dopóki powoli nagromadzone masy towarów, ubezwartościowione mniej lub więcej nie rozejdą się nareszcie, dopóki produkcya i zamiana stopniowo nie ruszą się ponownie. Wówczas bieg raz po raz zostaje przyspieszony, przemysłowy kłus przechodzi w galop, a ten wzmaga się do wściekłego pędu przemysłowego, handlowego, kredytowego i spekulacyjnego steeple — chase, który w końcu po karkołomnych skokach wali się — do rowu krachu. I tak zawsze ab novo. Nd roku 1825 przeżyliśmy taki cykl pięć razy i w tej chwili (w r. 1877!) przeżywamy go po raz szósty“*)

*) Herrn Eugen Dührings Umwälzung der Wissenschaft von Friedrich Engels.

Charakterystyka była świetna, ale Engels omylił się co do przyszłości. Od roku bowiem 1876 ruch zmienił charakter: minęło lat dziesięć, piętnaście i zawsze jeszcze kryzys nie mijał, stosunki nie polepszały się, rynek nie chciał „przyjść do siebie“. Zdawało się, że choroba stała się chroniczną, że społeczeństwa cywilizowane uległy raz na zawsze chorobie „przetłuszczenia“, że produkcya kuleje w skutek hyperprodukcyi, że nędza i zubożenie zapanują wskutek nadmiaru produktów. Wprawdzie miały miejsce lokalne polepszenia, tu lub tam robiono „dobry interes“, ale były to tylko drobne wyjątki. Nietylko galop ogólny nie zaczynał się, nawet truchcik powolny nie chciał przejść w kłus przyzwoity. Budowa jakiej nowej kolei, zdobycie jakiego rynku zamorskiego na chwilę elektryzowało świat przemysłowy, ale subskrypcye na nowe akcye zostały pokryte w dziesięćkroć, rynek został przeładowany w mgnieniu oka, i znów cisza, zastój, stagnacya.

Czegośmy nie dożyli przez ten czas. Jakich dziwacznych pomysłów, a co gorsza, czynów, stał się powodem ten zastój. Reakcya na całej linii wzmogła się, agrarczycy zaczęli frondę i otoczyli kraje chińskim murem cłowym, zwolennicy starych, dobrych czasów myśleli niemal o zakazie budowania fabryk o motorach parowych i chcieli powrócić do czasów świątobliwej a statecznej produkcyi rzemieślniczej; kupcy małomiasteczkowi i agrarczycy dopóty zrzędzili na giełdę, dopóki nie udało im się przeprowadzić tu i owdzie pewnych przepisów krępujących giełdy, co jest przedsięwzięciem równie roztropnem, jak leczenie symptomatów zamiast choroby samej; zwolennicy powagi mężowskiej w rodzinie chcieli usunąć wszelką pracę kobiecą i powrócić kobietę „do ogniska rodzinnego“, tylko, niestety, przy ognisku tem nie było pod co drzewek nałożyć.

Wraz z tą wstecznością na polu ekonomicznem, spowodowaną ślimaczeniem się życia ekonomicznego, zaczęła się też reakcya polityczna na całej linii, jak to się zdarza zwykle, kiedy strach wielkooki przed groźnemi potęgami odbiera rozum. W Niemczech szczytem tej reakcyi był projekt osławionej „ustawy przewrotowej“, we Francyi rozpanoszenie się klerykalizmu i przyjaźń franko-ruska, a w całym świecie przewaga polityczna Rosyi. Jednakże koło historyi wstecz nie daje się kręcić. Właśnie podczas stagnacyi odbyła się tem gwałtowniejsza koncentracya kapitałów, tem energiczniejsze duszenie mniej silnych ekonomicznie; właśnie wtedy powstały nowe organizacye ekonomiczne, jak trusty, syndykaty, kartele; giełda bynajmniej nie utraciła na znaczeniu, ale wzrosła w potęgę, bo wobec trudnych warunków finansowych rozwinął się raczej szczyt urządzeń obiegowych w ustroju kapitalistycznym, system bankowy i kompensacyjny, który nie może obyć się bez giełdy, jak maszyna parowa nie może się obyć bez koła rozpędowego; kobietę wir wypadków coraz więcej wyrywa z partykularza rodzinnego i rzuca w zamęt walki ekonomicznej, tak, że właśnie w czasie zastoju rugować zaczęła mężczyznę z zajmowanych dotąd niepodzielnie dziedzin zarobkowania. A z drugiej strony klasa robotnicza musiała, broniąc się w obec strasznego położenia ekonomicznego, stać się agresywną.

Właśnie w czasie ogólnego Debacle powstały we wszystkich krajach zwarte, karne, świadome celu partye polityczne robotnicze. Krępowano je prawami wyjątkowemi, prześladowano ekonomicznie ich członków, puszczono w ruch cały aparat międzynarodowej polityki z gromadami szpiegów i prowokatorów, rzucano w końcu okruchy „praw opiekuńczych“. Nic nie pomogło: prawa opiekuńcze okazały się niedostateczne i dowiodły tylko niemożliwości zażegnania klęsk społecznych przestarzałym aparatem dobroczynności, choćby państwowej; prawa wyjątkowe okazały się dziecińśtwem, policyjne represye strachem na wróble. Partye robotnicze skupiły się, zmężniały, przebyły próbę ogniową.

Tak więc po szeregu lat depresyi ekonomicznej, a co zatem idzie skowytu, pisku, łajania i zrządzenia reakcyjnego, stają naprzeciw siebie dwie potęgi nowożytne, wzmocnione i gotowe do zapasów: wielki kapitał i klasa robotnicza. Co stało pomiędzy niemi — cały ten tłum nieokreślonych egzystencyi drobnomieszczańskich, tłum takich, co nie są ani psem ni wydrą, którzy jednakże dotąd tworzyli jakby pokład ochraniający, jakby wał napiętrzony pomiędzy dwiema armiami, jakby środowisko neutralne, — ten żywioł został podkopany, osłabiony ekonomicznie i politycznie. Nowy okres rozwoju zastanie owe dwie potęgi bardziej wzmocnione, bardziej świadome swego wzajemnego antagonizmu. Prawdopodobnem więc jest, że początek nowego okresu ożywienia, początek owego „steeple-chase“ ekonomicznego, będzie tym razem jednocześnie okresem gwałtownego zmagania się tych dwóch żywiołów.

Okres zaś ten rozpoczął się już. Sygnalizowano go jeszcze pod koniec roku 1893, a teraz widzimy przed sobą wszystkie symptomaty ożywienia przemysłowego. Zdaje się jednakże, że tym razem przebieg nie będzie typowym, kłus nie będzie wzrastał stopniowo, ale od razu przejdzie w karkołomne „ventre à terre“. Nie było by w tem nic dziwnego. Kotły zostały przegrzane w ciągu lat piętnastu, nie dziw więc,

że maszyny ruszyły całą siłą pary; spekulacya międzynarodowa zbyt długo zgrzytała zębami, jak wilczyca zgłodniała, zbyt długo czuła czczość w trzewiach, żeby teraz nie miała rzucić się na żer łapczywie. Ona też zaczęła taniec, a po niej dopiero stopniowo przychodzi kolej na przemysł.

Spekulacya giełdowa zaczęła się na rynku „kafrów“ w Londynie, to jest w zakątku giełdy, gdzie handlują akcyami afrykańskich i australijskich kopalni złota. Są to typowe papiery spekulacyjne: zostają umyślnie wydawane w małych udziałach po 1 Ł., wartość ich zmienia się z każdą nowo odkrytą żyłą, z każdym okrętem kruszcu wyprawionym do Londynu. Poczęły one skakać w roku 1894; podwyżki kursu o 100, 200, 300 prct. nie należą do wyjątków. Stare kompanie górnicze powiększają kapitały zakładowe, nowe przedsiębiorstwa rosną w Transwalu jak grzyby po deszczu. Giełda londyńska pożera wszystkie nowe emisye; przestała być wybredną. Z Londynu gorączka przenosi się do Paryża. „Tout Paris“ spekuluje dziś na „afrykanach“, a nawet ostrożni niemcy dali się skusić. Czy długo będą się gracze cieszyli tą zabawką? „Qui vivra verra!“ Sądzimy, że akcye dosyć długo utrzymają się. Kurs wprawdzie jest sztuczny, bo chociaż wydajność kopalni wzrosła wprawdzie olbrzymio — 20, 30, 50% — to przecież nie w tym stosunku co kursy, jednakże może się trzymać rok, dwa i trzy, jeżeli nic nie zajdzie nadzwyczajnego i bardzo ważnego (nawet awantura zatargu transwalsko-angielskiego nie zdołała na stałe obniżyć kursów). Pewnego pięknego poranku zacznie się zapewne rwetes u „kafrów“ a wtedy nastanie degrengolada straszna. Ale, jak powiedziałem, do tego jeszcze daleko, więc tymczasem można hulać, ktoś przecież w końcu rachunek zapłaci.

„Shary“ (jak zwą akcye kopalni złota) nie pochłonęły przecież wszystkiej gotówki. Zostało jeszcze na chińską pożyczkę — tu już zagrała „haute finance“, która nie tak łapczywie angażuje się w „kafrach“, — oraz na rosyjską pożyczkę 400 milionów franków, która zdaje się była tylko próbą dla wymacania, czy rynek zechce przyjąć grubszą dawkę w przyszłości bliskiej. Ulokowano ją bardzo korzystnie, za co pan Rotszyld dostał teraz order orła białego od cara. To były wielkie festyny giełdy, ale nie gardzi ona też małym ochłapem: spekulacya w lot chwyta papiery przemysłowe i kolejowe. W ostatnich czasach szczególnie kwitną akcye fabryk maszyn, a to znak bardzo pomyślny. Skoro bowiem te fabryki cieszą się powodzeniem, znaczy to, że i ich kundmani, fabrykanci wyrobów, przeznaczonych na konsumcyę, mogą rozszerzać zakłady, a skoro tak, zarabia kupiec itd. A ponieważ giełda, na którą można rzucać gromy oburzenia ile tylko się podoba, ma jednę bardzo ważną zaletę — nos, którym czuje co się dzieje, — więc można zaufać, że „interes idzie“ i w najbliższej przyszłości będzie szedł. Nie znaczy to wprawdzie, aby od czasu do czasu nie zdarzały się na giełdzie „kawały“. Toż nie tak dawno z Wiednia „zalatywało trupem“ i mały krach był tuż, tuż nad karkiem, ale takie drobnostki teraz giełdy nie deranżują, jest co się zowie w „sztosie“ i gdyby Turek — ten „chory człowiek“ — dziś zapragnął pieniędzy, kto wie, czyby giełda nie zamknęła oczu na jego bezeceństwa i nie dała kilka set marnych milionów. Humor jej bowiem jest teraz aż nazbyt dobry, tak, że nawet The bank of England, owa opatrzność do której się modli złota międzynarodówka, musiała rzec słówko upomnienia. Jak wiadomo, giełda „pracuje“ — żargon giełdziarski akceptując to słówko dla operacyi spekulacyjnych, dokonał wprost chef d'oeuvre hipokryzyi i blagi bezczelnej, o którą przecież nie trudno dziś w Europie — pracuje nietylko własną gotówką, ale również pieniędzmi spokojnych obywateli, którzy takowe składają w banku, więc bank angielski, który lubi interes, ale nie lubi wybryków, widział się zmuszonym dla okiełznania swej dziatwy podwyższyć dyskonto do $2\frac{1}{2}$ a potem 24-go z. m. 3%. Taki prysznic może podziałać tylko zbawiennie, ale zupełnie nie wstrzyma spekulacyi. Nawet za taką cenę warto dyskontować dziś i robić obroty. Gdyby nawet na wyżynach spekulacyi chciano cokolwiek zwolnić tępo, nie uda się to. Dziś bowiem spekuluje nie tylko Londyn, Paryż, Berlin. Nawet taka Warszawka poczciwa rzuca „Lilpopami“ i „Starachowicami“ jak piłką; nawet taki filisterski Zürich spekuluje na place budowlane, dopóki sobie palców nie poparzy; Łódź już sobie poparzyła i może ocierać łzy chustkami Szeiblerowskiemi; Kopenhaga i Krystyjania, Sophia i Białygród bawią się jak mogą. Nie ręczę nawet za Pacanów i Ryczywół. Wobec tego więc opatrzność londyńska może sobie trąbić na odwrót zdrowa, wyżyny zostaną popchnięte przez niziny i muszą iść dalej niżby nieraz chciały i niż nakazuje rozwaga.

Oj te niziny! Nie wiedzą co robią niebożęta, jak ćmy idą same do świecy. Niziny nazywam tu owych drobnych graczy na giełdzie, których jest więcej daleko niż zwykle przypuszczają. Są to właśnie ludzie owej średniej warstwy, o której wspomniałem. Taki poczciwiec we Francyi lub Niemczech słysząc o złotym deszczu, który począł padać, skwapliwie podstawia swój garnuszek, chcąc też coś nałowić. Wygrzebuje więc grosiwo i niesie na rynek, a nie wie, że siebie zarzyaa. Poczciwiec taki bowiem ma zwykle rezerwę w papierach państwowych, tymczasem Miquel'owie tylko czyhali na pokazanie się pieniędzy i wnet zarządzili konwersye z pożyczki państwowej z $4\frac{1}{2}$ do 4 i do $3\frac{1}{2}$ %, a teraz nasz poczciwiec naturalnie będzie klął los zawistny. Za to śmieją się panowie z „Bund der Landwirte“, bo z obniżeniem stopy procentowej i oni będą mniej płacili od hipotek, a wskutek tego powoli, powoli zacznie narastać znów renta, a z nią cena majątków, bo lokacya w ziemi znów stanie się korzystną. Tak to zawsze jednemu płacz, drugiemu śmiech. Charakterystycznem jednakże, że najczęściej płaczą owi średni. Ci płaczą bowiem teraz, a więcej płakać będą w dzień sądu, kiedy „haute finance“ dzięki „nosowi“ giełdy, wycofa się już, zebrawszy śmietankę.

Nie ulega bowiem kwestyi, że ów karkołomny bieg spekulacyjny skończy się znów tam, gdzie wykazał stary Engels — w rowie krachu, gdzie cała ta czereda zapamiętała będzie tarzała się w kale, niechlujstwie i sprosności bankructw podstępnych, oszustw i ruiny, gdzie będzie płacz i zgrzytanie zębów. Ta chwila nadejdzie z pewnością, ale może, zwłaszcza tym razem, nadejść nie prędko, bo, jak powiedzieliśmy, przez długie lata

---

Artur Schnitzler.

POŻEGNANIE.

NOWELLA.

Czekał już od godziny. Serce mu biło i chwilami zdawało się, że mu oddechu zabraknie; wówczas wciągał powietrze głębokiem westchnieniem, ale to mu nie przynosiło ulgi. Właściwie mógł się do tego przyzwyczaić, bo zwykle bywało tak samo, zwyklę musiał czekać godzinę, dwie, trzy, często napróżno. A on nie mógł jej z tego robić wyrzutów, ponieważ nie odważała się wyjść, gdy mąż dłużej pozostawał w domu; dopiero, gdy on wyszedł, przybiegała pośpiesznie, zrozpaczona, złożyła pocałunek na jego ustach i wnet śpieszyła napowrót, zbiegała po schodach i pozostawiała go znowu samego.

Wówczas, gdy już odeszła, kładł się na kanapie, wyczerpany tem okropnem wyczekiwaniem, które go czyniło niezdolnym do żadnej pracy, które go powoli niszczyło.

Ciągnęło się to od kwartału dopiero, od końca wiosny. Co dzień od trzeciej godziny oczekiwał ją w swym pokoju, przy zapuszczonych roletach i nie mógł niczem się zająć, nie miał cierpliwości przeczytać książki, nawet żadnego pisma, nie był w stanie napisać listu; palił tylko papierosy, jeden po drugim, tak, że pokój cały zapełniały sinawe obłoki. Drzwi od przedpokoju były zawsze otwarte; był sam w całem mieszkaniu, służący nie mógł być obecnym, gdy ona przyjść miała; a kiedy nagle zadźwięczał dzwonek, zawsze się zrywał, jakby przestraszony.

Gdy to ona była, gdy to o n a była rzeczywiście, wtedy już było dobrze! Czuł się wówczas swobodnym, jak gdyby otworzono bramy jego więzienia, stawał się napowrót człowiekiem; często nawet płakał ze szczęścia, że już jest przy nim i że nie potrzebuje więcej czekać na nią. Szybko prowadził ją do pokoju, zamykał drzwi i byli bardzo szczęśliwi.

Umówionem było, żeby codziennie zostawał w domu do siódmej; później mogła już nie przychodzić — wyraźnie jej to powiedział, że po siódmej musi wyjść, gdyż oczekiwanie rozstrajało go zbytnio. A jednak zostawał zwykle dłużej w domu i zaledwie o ósmej wychodził na ulicę. Wówczas żałował straconych napróżno godzin i wspominał z żalem o przeszłem lecie, gdy rozporządzał swym czasem całkowicie, gdy często spędzał popołudnie za miastem, w sierpniu już wyjeżdżał nad morze, gdy był wesoły i szczęśliwy i tęsknił za swobodą, za podróżą, za samotnością, jednak nie mógł jej odjechać, gdyż ją ubóstwiał.

Dzisiejszy dzień wydawał mu się najnieznośniejszym. Wczoraj nie przyszła wcale i nie miał od niej żadnej wiadomości. Zbliżała się siódma, lecz niepokój nie ustępował; nie wiedział, co ma począć. Najokropniejszem było to, że nie mógł się z nią porozumieć w żaden sposób. Nic innego nie mógł uczynić, jak tylko iść pod jej dom i chodzić tam i na powrót pod oknami; ale nie śmiał zajść do niej, nie śmiał nawet u nikogo zasięgnąć wiadomości. Nikt bowiem nie przypuszczał, że się znają. Uczucie ich było tak gwałtowne, gorączkowe, niespokojne, że się mogli zdradzić jednem spojrzeniem. Na szczęście tak się złożyło, że ich stosunek trwał w najgłębszej tajemnicy; lecz takie dni, jak dzisiejszy, były tembardziej męczące.

Wybiła ósma — nie przyszła. Przez ostatnią godzinę stał nieruchomie pode drzwiami, wyzierając ciągle przez okienko na kurytarz. Właśnie zapalono w tej chwili gaz na schodach. Wrócił do pokoju i zmęczony śmiertelnie rzucił się na kanapę. W pokoju było całkiem ciemno; zdrzemnął się. Po półgodzinie zerwał się i postanowił wyjść. Czuł ból w głowie i w nogach, jakby po długiem chodzeniu.

Poszedł w stronę jej domu. Było to dla niego uspokojeniem, gdy zobaczył spuszczone rolety we wszystkich oknach. Tylko w jadalnym i sypialnym świeciło się trochę.

nagromadzone paliwo pozwala jechać całą siłą pary i jechać długo; tylko, że się wtedy wpada głębiej i gwałtowniej.

Skąd więc takie rozhukanie giełdy? Czy jest to wykwit tak sztuczny, jak w swoim czasie np. warjacka spekulacya na tulipany w Amsterdamie, lub szwindel genialnego Law w Paryżu? Nie sądzimy. Giełda przesadza, to nie ulega kwestyi, bo giełda zawsze jest nerwową, a teraz długie lata wstrzemięźliwości doprowadziły ją do histeryi po prostu. Ale giełda ma też powody, jak rzekliśmy, do pewnych nadziei. Położenie ekonomiczne zaczęło się zmieniać ku lepszemu, warunki produkcyi, będące podstawą ruchu ekonomicznego, zaczęły wchodzić w okres pomyślny. Widzimy to przedewszystkiem po dywidendach jakie płacono od akcyi fabrycznych, kopalniowych i kolejowych. Były one już niezłe w roku 1894, a w 1895 dosięgły takiej wysokości, jakiej nie miały od bardzo dawna. — Wszędzie możemy czytać o nowo powstających zakładach, lub powiększaniu istniejących. Zewsząd dochodzą wieści o obstalunkach, a nawet, co się już od lat nie zdarzało, fabryki odmawiają nowych zleceń, gdyż są zaopatrzone w robotę na całe miesiące. — Ceny podnoszą się też, jakkolwiek nie tak szybko. Wyjaśnia się to tem, że zawsze jeszcze potrosze oddziaływają niezupełnie zepchnięte zapasy z lat dawnych. W każdym jednak razie, rozpaczliwie jednostajne do niedawna brzmienie „kurszetli“: „usposobienie słabe, przy cenach zniżkowych“, zaczyna raz w raz przybierać bardziej wesołą dla producentów nutę: „usposobienie mocne, przy cenach stałych“, a nawet „przy cenach zwyżkowych“. Nie znaczy to wprawdzie, abyśmy doszli znów do cen z lat siedmdziesiątych. Sądzę, że pozostaniemy niżej cokolwiek, gdyż takim jest rozwój, że produkcya zmuszona stosować się do cen niższych w czasie przesilenia, nie dochodzi potem do cen dawnych, z tej po prostu przyczyny, że wartość społeczna produktu zmniejszyła się, produkuje się taniej, a konkurencya nie dopuszcza potem do nadmiernej zwyżki. W każdym razie o tem, że weśliśmy w porę ożywienia przemysłowego, świadczy fakt, że wywóz i przywóz powiększył się we wszystkich państwach europejskich bardzo, ale to bardzo znacznie w roku ostatnim. Nie chcąc nużyć cyframi podaję takowe tylko dla Niemiec: przywóz w roku 1894 — 3938 milioów marek, w roku 1895 — 4092; wywóz w r. 1894 — 2961, w r. 1895 — 3311. A więc wywóz powiększył się o 12 proc. w jednym roku! To fakt dotąd niebywały, Tak samo ma się rzecz w innych krajach.

Ale to tylko początek. Jeżeli wszelkie przewidywania nie zawodzą, to rozwój najbliższych lat będzie olbrzymi. Jakie są te przewidywania i z jakich przyczyn zaczął się peryod ożywienia o tem w przyszłym artykule.

J. B. M.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Jak optymistycznie nieraz zapatrują się niektórzy korespondenci na nasze stosunki, pokazuje się z korespondencyi poznańskiej do „Kraju“.

Mało jest takich, którzy przypuszczają, iż „opodatkowanie“ hakatystycznym żywiołom niemieckim się „uprzykrzy;“ nikt nie może nam wymienić tych „najmajętniejszych“ i „najpoważniejszych“, (z wyjątkiem jednego), którzy powystępowali z towarzystwa hakatystowskiego z poczucia sprawiedliwości, a już trzeba nadzwyczaj różowo spoglądać w przyszłość, skoro się sądzi, iż „koła decydujące“ zaczynają zdawać sobie sprawę z niebezpiecznych skutków działań szowinistycznych.

Korespondent ów tak o tem pisze:

„Na wszystkie takie imprezy i zachcianki hakatyści potrzebują dużo pieniędzy i dlatego agitują po całych Niemczech, zakładają wszędzie stowarzyszenia filialne, żeby jaknajwięcej składek ściągać. Organ hakatystowski „Ostmark“ podaje statystykę najświeższą swych gniazd filialnych; w Berlinie antypolskie stowarzyszenie ma 1,087 członków, w Hamburgu 263, w Dortmundzie 253, we Wrocławiu 150 i t. d. Charakterystycznym objawem kulturnictwa niemieckiego jest to, że w spisie owym jest 9 miast uniwersyteckich, w których profesorowie uniwersytetów są głównymi agitatorami rasowej nienawiści między obywatelami jednego państwa.

Należy przypuszczać, że to uczucie, a głównie opodatkowanie „patryotycznych“ żywiołów niemieckich na cele antypolskie uprzykrzy się w końcu, i wówczas, może już niedługo, kasa pp. hakatystów znajdzie się w takiem położeniu, że ciężarowi swych zobowiązań podołać nie będzie w stanie. Już teraz w Księstwie najpoważniejsi i najmajętniejsi obywatele (z wyjątkiem p. Kennemana) powystępowali z towarzystwa hakatystowskiego, a zrobili to nie dlatego, żeby byli złymi patryotami niemieckimi, ani też przez skąpstwo, ale dlatego, że wiedzą, jak niebezpiecznem dla państwa i cywilizacyi są owoce agitacyi hakatystowskiej, rozbudzającej w rezultacie tylko nizkie w obu walczących obozach namiętności. Rozumieją oni to, że „kto wiatr sieje, ten zbiera burzę“. Jeszcze ważniejszym objawem reakcyi jest okoliczność, że i w kołach decydujących zaczynają sobie zdawać sprawę z niebezpieczeństw, jakie zrodzić się muszą na gruncie obustronnego drażnienia namiętności szowinistycznych niemieckich i polskich. I jakże być może inaczej, kiedy „Posener Tageblatt“, pismo, uchodzące za organ półurzędowy, nieposledni udział bierze w obławie na polaków? Wprowadza ono poprostu w błąd wszystkich urzędników, którzy, czytając to pismo z obowiązku, sądzą, że heca antypolska jest nietylko usprawiedliwioną, ale i nanakazaną z góry, jeżeli półurzędowy organ ją popiera z całym cynizmem. To też w ostatnich czasach, zwłaszcza w kołach urzędników podrzędniejszych, t. zw. subalternów, zdarzały się wybryki niesłychane: niedawno usunięto inspektora szkolnego za sztuczki

---

Przechadzał się półgodziny po przeciwległym chodniku ze wzrokiem utkwionym w jej okna. Ulica była mało ożywiona. Dopiero gdy zobaczył służącą i stróżkę rozmawiające przed bramą, oddalił się, aby nie zwrócić na siebie uwagi. Tej nocy spał dobrze i mocno.

Następnego rana leżał długo w łóżku; nakazał służącemu, aby go nie budzono. O dziesiątej zadzwonił. Służący przyniósł śniadanie; na tacy znajdowały się nadeszłe listy; od niej nie było żadnego. Zaraz sobie pomyślał, że tem pewniej po południu u niego będzie i czas przeszedł mu spokojnie do trzeciej.

Punkt o trzeciej, lecz nie wcześniej, wrócił z obiadu do domu. Usiadł na krześle w przedpokoju, aby nie chodzić ciągle tam i napowrót, nasłuchując szelestu na schodach. Za każdym krokiem, posłyszanym w sieni, nowa nadzieja wstępowała w niego, lecz każda była zwodniczą.

Wybiła czwarta, piąta, szósta, siódma — nie przychodziła. Biegał po pokoju, nasłuchując, był blizkim omdlenia; rzucił się więc na łóżko. Był zrozpaczony zupełnie; to już było nie do zniesienia — mówił sobie: „dość tego — to szczęście kosztuje zbyt drogo!...“ Albo musi zaprowadzić zmianę — odtąd będzie czekał tylko godzinę, lub dwie, lecz tak nie może dłużej pozostać, bo inaczej wszystko w nim zamrze, energia do pracy i zdrowie, a w końcu i miłość. Spostrzegł, że o niej w ogóle nie myślał wcale; myśli jego wirowały w jakimś sennym ogromie. Zeskoczył z łóżka.

Otworzył okno i wyjrzał na ulicę, którą zalegał zmrok... Ach... tam... tam na rogu... w każdej kobiecie zdawał się ją poznawać. Odszedł od okna; już przecie nie mogła przyjść — zapóźno było. I przyszło mu na myśl, jak nierozsądnym był, przeznaczając tych kilka godzin, jedynie na oczekiwanie. Może właśnie teraz miałaby sposobność... może dziś przed południem mogła przyjść i już miał na ustach to, co jej następnym razem miał powiedzieć, szepcząc półgłosem: „Teraz przez cały dzień będę cię oczekiwać: od rana do nocy“. Lecz zaledwie to wymówił, zaczął się sam śmiać i znów mówił do siebie: „odchodzę od zmysłów, odchodzę od zmysłów!“

Znów pobiegł w kierunku jej mieszkania. Wszystko było, jak wczoraj. Światło przezierało przez zapuszczone rolety. Znów spacerował pół godziny po przeciwległym chodniku, i znów oddalił się, gdy stróżka i jakaś służąca wyszły przed bramę. Zdawało mu się, że one patrzą za nim i był przekonany, że drwią z niego: „Patrzcie, to ten sam, co wczoraj o tej porze łaził pod oknami!...“ Chodził po przybocznych ulicach, a gdy dziesiąta wybiła na wieży i bramy zamknięto, wrócił, wrócił i wpatrywał się w okna. Tylko w ostatnich, gdzie była sypialnia, świeciło się. Patrzał tam, jak zaklęty. Stał tak bezradny i nie wiedział, co ma począć, ani kogo zapytać.

— Dreszcz go przeszedł na myśl o następnych godzinach oczekiwania. Noc, rano, całe południe do trzeciej... Tak, do trzeciej... a potem... jeżeli znowu nie przyjdzie?... Skinął na przejeżdżającego fiakra i kazał się obwozić po przyległych ulicach... Przypomniał sobie ostatnie z nią chwile spędzone... Nie, nie, nie przestała go kochać — to z pewnością, nie! — A może domyślano się czego w domu?... nie, to też było niemożliwem i żadne podejrzenie nie padło na nich dotychczas, a ona była tak ostrożną. Tylko jeden powód mógł istnieć: była słabą i leżała w łóżku. Z tego też powodu nie mogła go zawiadomić... A jutro pewnie wstanie i przedewszystkiem napisze parę słów, aby go uspokoić... Tak, lecz jeżeli dopiero za dwa dni lub później będzie mogła opuścić łóżko... jeżeli naprawdę jest chorą... Jezu!... jeżeli ona jest ciężko chorą?... Nie, nie, nie... Dlaczegoż zaraz ma być ciężko chorą!...

Nagle błysnęła mu myśl, jak zbawienie. Ponieważ jest chorą naprawdę, może posłać jutro do niej, zapytując o zdrowie. Posłaniec nie potrzebuje wiedzieć od kogo pochodzi zlecenie — może zapomnieć nazwiska... Tak, tak się stanie! Czuł się szczęśliwym, że wpadł na podobny pomysł.

To też przepędził noc i następny dzień spokojniej, chociaż nie otrzymał żadnej wia-

hakatystowskie, a świeżo zawieszono podobnie w urzędzie komisarza obwodowego w Opalenicy za burdę, wywołaną na opalenickim dworcu kolei żelaznej, przez rozpędzanie ludu, który z pochodniami i śpiewem zebrał się tam, aby pożegnać odjeżdżającego arcybiskupa“...

*

„Gazeta Toruńska“ pisze w sprawie plakatu, wzywającego do podpalania Niemcom zabudowań:

„Pękła bomba, którą „Gesellige“ chciał zdruzgotać społeczeństwo polskie, i od razu zwaliła cały gmach kłamstw i intryg, zbudowany przez hakatystów. Donosiliśmy swego czasu, że „Gesellige“ ogłosił nadesłany mu plakat, wzywający do podpalania Niemcom zabudowań tak długo, aż ich żadne z towarzystw nieprzyjmie do ubezpieczenia. Cała prasa polska orzekła jednomyślnie, że plakat jest fabrykatem niemieckim i wezwała władze, aby przedsięwzięły surowe śledztwo celem wykrycia winowajcy. Gorącemu życzeniu Polaków stało się zadosyć.

Dnia 24 bm. zjechała do Starego Bukówca komisya śledcza, złożona z komisarza rządowego hr. S., landrata, prokuratora i sędziego śledczego wraz z protokolantami. Przybył na miejsce także reprezentant poszkodowanego z powodu ostatnich pożarów bukowieckich Towarzystwa ubezpieczenia od ognia, które również domagało się energicznego śledztwa i udzieliło komisyi niektórych informacyi.

Co się wykazało?

Oto plakat wydrukowany w „Geselligerze“ wśród potoku obelg na Polaków i katolików, a następnie powtórzony przez wszystkie pisma polakożercze, napisała szesnastoletnia córka protestancko-niemieckiego kolonisty, któremu niedawno spaliły się zabudowania, a który miał zboże bardzo wysoko zabezpieczone.

Czy wobec tego prokuratorya w Grudziądzu nie wytoczy „Geselligerowi“ procesu na podstawie § 130 kodeksu karnego? Powinni się o to upomnieć Polacy w Starym Bukówcu.

— ski.

LITERATURA I SZTUKA.

Zofia Kowalewska.

przez

Laurę Marholm.

(Studyum psychologiczne.)

(Ciąg dalszy).

W Sztokholmie nikt, a więc naturalnie i prof. Mittag-Lefler, do którego przylgnęła początkowo serdecznie, nie zwracał na to uwagi, że jest kobietą. Weszła w stosunki małostkowe, wśród których życie wydawało się zadaniem rachunkowem, opartem na czynnikach utylitarnych. Była to najjałowsza epoka w jej życiu i na jej wrażliw ej duszy wycisnęła rys pedanteryi.

Przedtem spotkała ją była w Paryżu nader charakterystyczna przygoda.

Przed śmiercią męża poznała tu, jak opowiada pani Leffler, młodego Polaka, matematyka i poetę, o duszy gorącej, jak jej własna. Nikt nigdy nie rozumiał jej, jak on, nikt nigdy nie podzielał w tym stopniu jej nastrojów, myśli i marzeń. Przebywali z sobą bezustannie, krótkie chwile rozłąki zapełniali długiemi listami. Oboje wierzyli, że „ludzie byli stworzeni parami, że każdy mężczyzna i każda kobieta są połowicznym tworem, póki nie znajdą swego dopełnienia...“ Przesiadywał u niej dniem i nocą, częstokroć o godzinie drugiej po północy przesadzał mur ogrodu, by wreszcie wrócić do domu. Pani Edgren, która sama dwudziestoletnią epokę swego małżeństwa spędziła w przedsionkach świątyni Hymenu, miłość zaś i uciechy macierzyńskie poznała dopiero w 40-ym roku życia, nazywa tę ich przyjaźń „dziwnie naciągniętym stosunkiem“. Oboje bowiem zabawiali się jedynie rozmową, upajali się słowami i zapewniali się wzajem, że nigdy połączyć się nie mogą, gdyż on pozostać musi „czystym“ dla czystej dziewicy przeznaczonej mu i oczekującej go na innej jakiejś planecie.

Pomyślećby można, że jest to gadanie dzieci, że kobieta o umyśle, doświadczeniach i stanowisku Zofii, powinnaby za pierwszem takiem słowem wyprawić za drzwi głupiego niedorostka. Ale gdzież tam! Ona wtórowała mu, „jak dwa płomienie zlewali się w jednem ognisku żaru.“ Siedzieli tedy z sobą — zdenerwowani, wzburzeni, nie mogąc się rozstać, rzucając sobie przez stół długie tyrady i przelewając całe potoki mądrych rzeczy do beczek Danaid. Przerwy bowiem w rozmowie nie można było dopuścić. Aby tylko nie przerwa, nie taka straszna cisza, wśród której słyszy się bicie tętna, i unikać trzeba wzajemnego spojrzenia niespokojnie latających oczu.

W sytuacyi tej interesuje nas tylko Zofia. Jest ona w niej istotnie bardzo zajmującą. Popierwsze sytuacyi takich nie wytwarza nigdy mężczyzna, a bądźcobądź nie powtarza ich nigdy. W sytuacyę podobną wejść może tylko kobieta, która jej szuka; najgłupsza młoda panna wie doskonale, w jaki sposób wskazać drzwi niemiłemu towarzyszowi. Każda dokona tego bohaterstwa znakomicie. Co innego, gdy się kobieta takiego pana pozbyć nie chce. Gdy zatrzymuje go, podnieca, zachęca do pozostania i drży przed chwilą, kiedy mógłby odejść.

Kto nie zna takich sytuacyi, częstych zwłaszcza między inteligentnemi pannami i bawiącymi się w dyletantów młodzieńcami! Zofia objęła w danym wypadku rolę inteligentnej panny. Cała jej taktyka, rodzaj podniecenia, w jakim się znajduje, zdradzają niedoświadczoną, nieobznajmioną z rdzeniem miłości kobietę. Kobieta, która wie z doświadczenia, co jest miłość, przy najgorętszym temperamencie zachować potrafi odmienny spokój. Wie, gdzie są rozdroża, nie obawia się rzeczy nieznanej i nie tęskni za niepewnością.

Odpowiedzą mi, że wiele kobiet zamężnych szuka właśnie takich sytuacyi. Zapewne. Już dużo kobiet, dla których małżeństwo nie jest ani *l'amour goût*, ani *l'amour passion*, ani *l'amour savant*, ani żadne inne „amour,“ lecz zdarzeniem mechanicznem. Obojętny mężczyzna, lub taki, który nie ma

---

domości; południe zeszło mu nawet znośniej, jak zwykle — wiedział, że wieczorem niepewność skończyć się się musi. Myślał o niej z wielką czułością i tęsknił za nią obecnie więcej, jak kiedy.

Około ósmej wyszedł z domu. Na jednej z dalszych ulic zawołał posłańca i kazał mu iść za sobą. Niedaleko od jej mieszkania zatrzymał się i dał mu ścisłe i dokładne zlecenie.

Spojrzał na zegarek przy świetle latarni i rozpoczął przechadzkę. Ale wnet przyszło mu do głowy: a jeżeli mąż domyśla się czego, jeżeli zacznie badać posłańca, przyjdzie tu wraz z nim?... W pierwszej chwili pobiegł za posłańcem, rozmyślił się jednak i patrzał, jak ten zniknął w bramie.

Stał dość daleko od domu, więc natężał wzrok, aby nie stracić go z oczów. Po chwili zobaczył go wychodzącego... obejrzał się, czy go kto nie widzi i pobiegł ku niemu.

— Cóż? — zapytał — co jest?

— Jaśnie pan kazał się kłaniać — odrzekł posłaniec — a jaśnie pani nie polepszyło się, za parę dni dopiero wstanie.

— Z kimżeś mówił?

— Ze służącą; poszła do pokoju i zaraz wróciła, zdaje mi się, że był właśnie pan doktór...

— Co mówiła?

Kazał sobie powtórzyć jeszcze parę razy to samo i nareszcie spostrzegł, że nie wiele więcej wiedział jak przedtem. Musiała być poważnie chorą; widocznie dowiadywano się z wielu stron o jej zdrowie — ztąd też jego posłanie nie zwróciło na siebie uwagi... To go też ośmieliło — zamówił posłańca nazajutrz na tę samą godzinę.

— Dopiero za parę dni wstanie: — więcej nic nie wiedział... A czy ona myśli o nim, czy wyobraża sobie, ile on cierpi z jej powodu — tego nie wiedział.

A może odgadła, że od niego pochodziło to ostatnie zapytanie o jej zdrowie?

— Jaśnie pan kazał się kłaniać, nie ona — on; może jej nie wolno nawet mówić...

Ale cóż jej być mogło?

Nazwy tysiąca chorób przebiegały mu po głowie.

Dopiero za parę dni ma wstać — więc nie było to nic groźnego... Lecz tak się to mówi zawsze: gdy jego ojciec leżał na łożu śmierci, mówiono to samo.... Spostrzegł, że zaczął biedz szybko, gdy go popychano co chwila na ludniejszych ulicach. Widział, że czas do następnego wieczoru wyda mu się wiecznością...

Godziny płynęły i chwilami dziwił się sam, że nie mógł uwierzyć w groźną chorobę swej ukochanej.

Zdawało mu się, że popełnia wielki grzech, będąc tak spokojnym...

I — co mu się już dawno nie zdarzyło — całe popołudnie spędził przy książce, jak gdyby nic go nie obchodziło i nic niepokoiło.

Posłaniec już czekał na rogu, gdy Alfred poszedł tam wieczorem.

Prócz zwykłego zlecenia, kazał mu się dowiedzieć szczegółowo od służącej, co właściwie było pani.

Upłynął kwadrans, zanim posłaniec wrócił. Alfred zaczynał się niepokoić, — wreszcie powrócił.

— Jaśnie pani ma się źle bardzo...

— Co?! — krzyknął Alfred.

— Jaśnie pani ma się źle bardzo — powtórzył posłaniec.

— Z kim mówiłeś? Co ci jeszcze powiedziano?...

— Służąca mówiła mi, że stan bardzo niebezpieczny... Dziś było trzech doktorów i jaśnie pan rozpacza bardzo.

— Dalej... dalej... co jej jest?... nie pytałeś się?... Mówiłem przecież....

— A jakże!... Musi być tyfus, od dwóch dni już pani nieprzytomna.

Alfred zdrętwiał i patrzał, jak nieprzytomny na niego. Po chwili zapytał:

— Więcej nic nie wiesz?

Ten zaczął opowiadać znów od początku; Alfred słuchał, jak gdyby każdy wyraz był dla niego nowością. Potem zapłaił mu, i poszedł napowrót pod jej mieszkanie. Tak, teraz mógł stać spokojnie, nikomu nie zawadzając — kto się tam o niego troszczył?

wpływu na kobietę — kobiety z niej nie uczyni. Nie macierzyństwo, lecz pocałunek kochającego mężczyzny budzi ze snu zaklętą księżniczkę.

Zofia nie rozumiała tej sytuacyi, jak nie rozumiała wielu innych późniejszych. Nie znała miłości męskiej. Kowalewski, który, mojem zdaniem, żadnej w życiu nie umiał wypełnić roli, i w stosunku do niej nie był tym, którego było potrzeba. Dla wyjątkowych kobiet, o umyśle pełnym świeżej oryginalności, o subtelnym temperamencie i delikatnych zmysłach, przeciętny mężczyzna nie może być mężem. Lecz kobiety takie nie znają się. Wielkie ich zdolności kryją się u samego źródła ich istoty i należy przebyć daleką drogę, aby zdobyć poznanie własnych swoich rozmiarów. Jedynie talent, biegłość, nic lub mało mająca wspólnego z osobowością, zna doskonale wymagania swoje i żadną naturalną skromnością na krzywdę swoją nie zezwoli.

Z wybitnem uzdolnieniem łączy się natomiast subtelna skromność. Wybitne jednostki czują brak równowagi między sobą a innymi i chociaż dla wyjawienia uzdolnień muszą torować sobie drogę, czynią to tak, jak gdyby przepraszały za swoje prywatne żądania. Bogate natury znają tylko małą cząstkę swych skarbów. Wstydzą się, rozdając królestwa, sądzą bowiem, że jest to grosz wdowi. A cóż dopiero kobieta, która wtedy dowiaduje się o swojem bogactwie, gdy obznajomi ją z niem rozkochany mężczyzna.

Taką była Kowalewska. Dawała pełnemi rękoma. Umysłem, wiadomościami, gotowością do usług, darami towarzyskimi obdarzała wszystkich — gdy jednak później, w tem odwiecznem, wewnętrznem osamotnieniu, na jakie skazany jest geniusz, zażądała dla siebie całego serca jednego człowieka, odpowiadano jej: „żądasz zbyt wiele!“ To bowiem, czego geniusz żądać musi, a to, co dać może przeciętna miara, nigdy zrównoważyć się nie zdoła. Z niepewnej, niejasnej skłonności do owego niedojrzałego Polaka, ze skłonności, w której zmysły odzywały się tak słabym głosem, donośnie natomiast szlochało uczucie osamotnienia — wyrwała ją wiadomość o samobójstwie męża. Każdy zgon w jej rodzinie wstrząsał nią głęboko — a nie oszczędził jej los ciosów. Podniosła się właśnie, była słaba jeszcze, zwiędła z febry nerwowej, gdy pionierowie sprawy kobiecej w Szwecyi powołali ją do Sztokholmu, gdzie dusza jej miała być skazana na chłód, duch — na tęsknotę, ciało — na zgon.

Okres, który nastąpił potem, streszczę pokrótce. Opisała go wyczerpująco pani Leffler w książce o Kowalewskiej, zaś Ellen Key w dziełku o p. Leffler sprostowała niektóre zbyt jaskrawe pomyłki i wypełniła braki. Nawet dla czytelników, którzy obu wspomnianych książek nie znają, streszczę ten okres życia Kowalewskiej tylko pokrótce. Były to bowiem w wewnętrznym jej bycie lata najbardziej martwe i pod względem psychologicznym najjałowsze. Weszła w ruch, z góry już z powodu krótkowidztwa na czczość skazany i miała być ruchu tego dźwignią. Wciągnięto ją do ściśle odgraniczonego towarzystwa, które rozpadało się na dwie wyraźnie oddzielone od siebie grupy: na umysłowo pobudzonych, pełnych reformatorskiej gorliwości pań i panów, wśród których nie było ani jednej prawdziwie wyższej, twórczej indywidualności męskiej; i na grupę męską, rdzennie szwedzką, do której nie należały kobiety lepsze. Spędzała ta gromada czas na wesołych biesiadach nocnych z winem i śpiewami, i miała w swojem łonie kilka wybitnych talentów, wrogo, pogardliwie spoglądających na grupę pierwszą. W Sztokholmie po raz pierwszy Zofia zmuszona była odrabiać pańszczyznę, tę zupełnie zwykłą, codzienną — musiała uczyć za zapłatę. Stanowisko czyniło ją zależną od moralnego widnokręgu pewnej kliki. Dzięki wrodzonej sprężystości, potrafiła zstąpić z szerokich, wielkich dziedzin swego geniuszu, aby, jako docent, podporządkować się profesorowi i pełnić obowiązki nauczycielskie, które wkrótce śmiertelnie zaczęły ją nudzić. Matematyka bowiem póty miała dla niej prawdziwy urok, póki przyświecał jej geniusz starego Weierstrassa, rozpalający w niej błyskawice twórczego rozumienia.

Przez jakiś czas jako tako dostrajała się do otoczenia. Nie potrafiła atoli tak zupełnie zniżyć się do poziomu swoich aniołów stróżów, aby nie pobudzać ich do kiwania głową i częstych napomnień. Żywa, dowcipna, żadnych niemająca wymagań, zabawiała rozmową całe towarzystwo — aż ten tak dobrowolnie sponiewierany przez nią nadmiar inteligencyi i temperamentu wywołał przykre znużenie w kole wielbicielek. Gdy spłowiał pierwszy blask nowości, zbliżyła się najwięcej do powolnej, spokojnej pani Leffler. Wywiązała się pomiędzy niemi przyjaźń, jedna z tych, które dziś, kiedy kobiety zaczynają żyć umysłem, tak są między niemi częste: przyjaźń rozumowa, bez głębszej wzajemnej sympatyi, zawarta nie z powodu bogactwa, lecz braku, — stosunek, w którym dwa minusy usiłują złożyć pospołu znak dodatni. Z chwilą, gdy znajdzie się jakiś plus, pierzcha zainteresowanie i rozumienie się wzajemne. Tak było i w tym wypadku, gdy na horyzoncie pani Leffler ukazał się książę Cajanello... We wspomnieniu pośmiertnem, poświęconem Zofii, a napisanem w najlepszych może zamiarach, podczas pierwszych tygodni miodowych miesięcy, pani Leffler okazała mało taktu i sympatyi względem przyjaciółki.

Z przyjaźni tej powstały owe utwory, do których Zofia dostarczała materyału, a które pani Leffler urabiała, usiłując ująć w formę objektywną, realistyczną to, co Kowalewska intuicyjnie, psychologicznie odczuła w życiu. Ona była istotą mistyczną, pełną chaotycznych mroków i tej bezbrzeżnej tęsknoty, właściwej Słowianom; pani Leffler była wykształconą córką rektorską, która „ustawicznie pracuje nad swoim rozwojem.“

Już podczas tej wspólnej pracy przychodziło do starć między przyjaciółkami. Pani Edgren gniewała się o to, że „zaparła się własnego dziecka“ — utworu p. t. „W około małżeństwa,“ gdzie miała zamiar opisać życie kobiet niezamężnych. Niewyczerpana wyobraźnia Zofii przytłaczała, krępowała ją, wnosząc do jej trzeźwości jakieś czynniki obce, wymagające szerokości powietrza. Tworzyła tedy duże, obszerne, napuszone powieści, które nie miały w sobie prawdy. Zupełnie inaczej oddziaływała pani Leffler na Kowalewską. Przekonała się, że towarzyszka jej nie tyle posiadała talen-

---

Wpatrywał się w szyby sypialni, chciał przebić je wzrokiem.

Tak – to było przecież jasne, że za temi spuszczonemi firankami musiał się znajdować ktoś ciężko chory; jak mu to mogło nie przyjść do głowy odrazu, pierwszego wieczoru?

Przed dom zajechał powóz i Alfred zobaczył znanego profesora, wysiadającego i wchodzącego do jej mieszkania.

Podszedł szybko do bramy, czekając powrotu lekarza, w nadziei, że wyczyta co z jego twarzy...

Stał jakiś czas bez ruchu, ziemia zaczęła pod nim kołować, przymknął oczy, a gdy otworzył napowrót, wydało mu się, że całe godziny prześnił.. Że była poważnie chora — wierzył, ale, że niebezpiecznie — nie... Tak młoda, piękna i tak ukochana....

Nagle przez głowę mu przemknął wyraz: „tyfus“... Nie wiedział dokładnie, co to jest. Przypomniał sobie, że zdarzało mu się czytać o tem, jako o przyczynie śmierci w wykazie umarłych.

I wystawiał sobie teraz jej nazwisko już wydrukowane, jej wiek, a potem: „zmarła 10 sierpnia na tyfus“...

To było niemożebne, zupełnie niemożebne... to byłoby zbyt potwornem, gdyby to miał rzeczywiście zobaczyć kiedyś wydrukowanem!...

Lekarz wyszedł z bramy. Alfred całkiem o nim zapomniał: oddech zamarł mu w piersi. Twarz lekarza była zupełnie spokojną i poważną i odjechał.

— Dlaczego się go nie spytałem? — myślał Alfred... a potem był z tego zadowolony, że tego nie uczynił. W końcu mógłby jeszcze co złego usłyszeć. A tak mógł dalej mieć nadzieję.

Oddalił się powoli od bramy i postanowił powrócić za godzinę...

Nagle przedstawił sobie tę chwilę, gdy ona po raz pierwszy po wyzdrowieniu przyjdzie do niego.... Miał tak wyraźny obraz tego, że aż się zadziwił. Wiedział nawet, że tego dnia będzie padał drobny deszczyk. I ona będzie miała na sobie płaszcz, który już zrzuci w przedpokoju i padnie mu w ramiona i będzie tylko płakać, płakać....

— Oto mnie masz znowu — szepnie w końcu...

Naraz wzdrygnął się... wiedział, że to nigdy, nigdy nie nastąpi... Nikt już nie przyjdzie do niego; przed pięciu dniami po raz ostatni była u niego i pozwolił jej odejść nazawsze i nie wiedział o tem...

Znowu przebiegał ulice, myśli huczały mu w głowie, pragnął stracić świadomość. Znowu był przed jej domem. Brama była jeszcze otwartą, a na górze świeciło się w jadalni i sypialni... Alfred zawrócił. Wiedział, że gdyby jeszcze pozostał przez chwilę, musiałby pobiedz na górę do niej, do jej łóżka, do ukochanej. I podług swego zwyczaju rysował cały obraz w wyobraźni.

Widział, jak mąż jej pojąwszy wszystko od razu, podbiegł do chorej, która leżała nieruchomie, wstrząsnął nią i krzyknął nad uchem:

— Twój kochanek jest tu!... twój kochanek!

Lecz ona już nie żyła...

Noc przeszła mu pośród ciężkich myśli, dzień w głuchej męczarni. Około jedenastej posłał znów posłańca. Mógł to już uczynić spokojnie; kto tam się troszczył, od kogo pochodzi zapytanie. Wiadomość, którą otrzymał, brzmiała: „bez zmiany“...

Całe popołudnie leżał w domu na kanapie i nie pojmował sam siebie. Wszystko mu było obojętne i myślał: jednak to pięknie być tak zmęczonym.... Spał dużo. Gdy się ściemniło, zerwał się, jakby zdziwiony, że dopiero teraz po raz pierwszy przez cały ten czas wróciła mu świadomość.

(Dokończenie nastąpi.)

tu, ile jej przypisywano, nabrała więc ufności we własny swój talent literacki. Napisała wzmiankowane wyżej wspomnienia p. t. „Siostry Rajewskie“ i opowieść „Wiera Woroncow.“ Są to książki niezwykle głębokie i obejmujące więcej, niż inne arcydzieła ówczesnych pisarek. Nie wynagrodzono jej uznaniem, na jakie zasłużyła, dlatego właśnie, że nikt nie rozumiał przemawiającej z utworów tych indywidualności.

Dotychczas mylnie pojmowano Kowalewską, najmylniej zaś pojmowała ją pani Leffler. Traktuje ją, jak równą sobie, widać z takiego punktu widzenia:

Ja jestem wielka i ty jesteś wielka —
Obie jesteśmy równie wielkie.

Lecz Zofia i pani Leffler — to bynajmniej nie równe wielkości. Pani Leffler wewnętrzną swoją istotą ma się do Zofii tak, jak zjawisko czasowe do zjawiska wiecznego. Pani Leffler jest zwykłą sobie kobietą, o nader starannie rozwiniętym talencie; Kowalewska zaś jest jedną z tych zagadek, zjawiających się w świecie co czas jakiś, gdzie przyroda, zda się, występuje z granic. Takie jednostki skazane są na samotność, na cierpienia i na śmierć przedwczesną, nigdy treści swojej nie poznawszy...

W r. 1888, mając lat 38, Zofia po raz pierwszy poważnie poznała tę miłość, w której tkwi dola kobiety. M. K. był to wysoki, barczysty światowiec, bogaty bojar, pensyonowany profesor, który żył po za granicami Rosyi i przeważną część czasu spędzał na podróżach. Nie był tak młody, jak książę Cajanello. Starszy o kilka lat od Kowalewskiej, posiadał indywidualność skończoną, zrównoważoną, wolnym był od bolesnych uczuć młodzieńczych, od tej potrzeby przywiązania się do kogokolwiekbądź, ogrzania się ciepłem czyjegoś serca, od niezaspokojonych tęsknot i złudzeń, któreby można jeszcze stracić. Stosunkowo łatwiej jest porozumieć się starszej kobiecie z młodszym mężczyzną, to też miłość jaką wzbudziła pani Leffler w młodym, niespokojnym księciu Cajanello, nie jest bynajmniej objawem zadziwiającym. Inaczej przedstawiała się rzecz u Zofii. Bojar, którego nazwiska wymienić nie mogę, bo żyje jeszcze i znajduje się w pełni sił, otrzymał był od życia wszystko, czego zapragnął. Był to imponujący, sceptyczny ulubieniec i znawca kobiet. O ile cokolwiek zająć go jeszcze mogło, zajęła go Zofia, jako rodaczka, geniusz, towarzyszka, ale jako kobieta nie miała dla niego tego fenomenalnego znaczenia, jakie kochająca kobieta ma dla młodego mężczyzny, któremu uśmiecha się po raz pierwszy przepełnione uczuciem serce niewieście. Owo przez tak długi czas tłumione ciepło, które objawiło mu się w niemłodej już kobiecie, nie miało dla niego ani uroku nowości, ani siły, mogącej niespodzianką podraźnić próżność. Przyjął miłość jej spokojnie i w niczem życia dla niej nie zmienił. Nie miał żony Zofia więc miała mu być żoną. Ale rozmarzonym, roztęsknionym kochankiem być już nie mógł.

Po raz pierwszy Zofia kochała jak młode dziewczę, z tem drżącem, zdradzieckiem, niepohamowanem uczuciem szczęścia z powodu tych niebywałych rzeczy, jakie działy się w jej własnej duszy, i dlatego, że ten człowiek był istotnie, że mogła widzieć go jutro, jak dzisiaj, dotknąć go ręką i objąć ramieniem. Żyła tylko wtedy, kiedy go widziała — nie widząc go, wpadała w rozpaczliwą bezradność. Teraz dopiero na dobre znienawidziła Sztokholm, gdyż więził i dusił ją. Człowiek, którego kochała, był słońcem południa, w nim — był szeroki świat, dalekie horyzonty, wolny duch, dumna pogarda przesądów. Przedewszystkiem zaś — on był duchem ziemi, z której ona powstała, mową, którą piastunka tuliła ją w dzieciństwie do snu, progiem rodzinnym dla tułającej się na obczyźnie samotnicy.

Gdy jednak, wziąwszy urlop, jechała do niego do Włoch lub do Paryża, spotykała się ze zrównoważonym spokojem, który na rozgorączkowane jej „ja“, działał, jak mroźny powiew. Spodziewała się dobroczynnego ciepła, w któremby cała istota jej rozszerzyć się i wyzdrowieć mogła. Zamiast niego — własne jej uczucie napływało powrotną falą do serca, trawiąc je suchym żarem.

Napięta struna sił zaczęła pękać. Wydało jej się, jakby naokół wszystko zmieniło się w czarną pustkę, w której znalazła się sama jedna, samiutenka. Miara przebrała się głównie dla tego, że codzienne jej z nim obcowanie przypadło na czas, gdy wśród mozołów i bezsennych nocy pracowała w Paryżu nad uzyskaniem „Prix Bordin“. Otrzymawszy najwyższe to odznaczenie, znajdowała się w stanie takiego zmęczenia, wyczerpania, w jakiem wysilony mózg i udręczone nerwy widzą wszystko w barwach czarnych. Szczęście wydaje się natenczas cierpieniem; z fizycznego i duchowego wyczerpania płynie jakaś niewysłowiona beznadziejność, przyoblekająca wszystko w kir nocy, nie dającej spokoju. W podobnych stanach pragnienie erotyczne potęguje się u natur twórczych: cały organizm jest jakoby tknięty jakąś niemocą, którą najłatwiej usunąć może z zewnątrz idący, ciągły prąd sympatyi. Wtedy człowiek, którego kochała, ofiarował jej rękę. Zofia wszakże widziała wówczas tylko przepaść, dzielącą jego gentlemeńskie zastosowanie się do jej gorącej miłości. Niczego nie chciała, ponieważ nie otrzymała wszystkiego. Potrosze stał jej na zawadzie obraz pierwszego małżeństwa, po części nieprzezwyciężony jeszcze całkowicie punkt widzenia szermierek praw kobiecych. Panie te ważą na złotej wadze: „za tyle a tyle łutów i uncyi miłości powinnam otrzymać tyle a tyle łutów i uncyi miłości; za cnotliwe moje życie, które wyrażam w tylu a tylu metrach, centymetrach i milimetrach, mam prawo żądać takiej samej miary cnoty u przeciwnej strony“.

M. K. nie wdawał się jednak w podobną arytmetykę miłosną. Zofia wróciła do Sztokholmu z bolesnem przeświadczeniem, że „nigdy nie była dla nikogo wszystkiem“. Tu wśród niechętnie odbywanej pracy zawodowej przyszła do świadomości, że miłość nie jest rzeczą, którąby mierzyć i ważyć można. Skierowała tedy wszystkie żądania ku temu, aby pozbyć się katedry w Sztokholmie — a katedrę tę od czasu uzyskania Prix Bordin oddano jej dożywotnie — aby wyjechać ze Szwecyi, gdzie zerwała była wszelkie ściślejsze stosunki. Miała widoki na otrzymanie honorowej godności członka Akademii umiejętności w Petersburgu, co dałoby jej materyalną niezależność i zupełną swobodę. Gdy w r. 1891 powróciła do Sztokholmu z Włoch od ukochanego, uczuła — może jak nigdy dotąd — że dłużej osamotnienia i pustki w życiu znieść nie potrafi, że należałoby co prędzej rzucić wszystko i przyjąć rękę ofiarowaną.

Była śmiertelnie znużoną, gdy odbywał się w niej wspomniany przewrót. Przez długi szereg lat wiodła życie temperamentowi jej wprost przeciwne. Natura jej, falująca między brzegami egzaltacyi i apatyi, weszła w jarzmo regularnej trzeźwej pracy; w tym samym czasie odumarły ją wszystkie drogie jej sercu istoty. Podczas gdy ona sama męczyła się i tęskniła, widziała jednocześnie, jak rozsypują się marzenia młodości ukochanej jej siostry Anny, jak marzenia spełnione zmieniają się w szyderstwo i biedna kobieta umiera powoli ciałem i duszą. Kiedy więc z ciepłego, wesołego południa pojechała po raz ostatni na zimną, twardą północ, pękło coś w jej wnętrzu. Nie miała już duchowej odporności dla zniesienia niewygód podróży, połączonej z częstem przesiadaniem wśród śniegu, wiatru i chłodu. Przyjechała do Sztokholmu chora i natychmiast rozpoczęła wykłady. Była ciężko zaziębioną, gdy w niepokoju, poprzedzającym gorączkę, wybiegła, złakniona powietrza, w lekkiem obuwiu na ulicę. Było to w lutym, podczas surowego, północnego mrozu.

(Dokończenie nastąpi.)

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Wrota żelazne.

Wielkie dzieło, którego pomyślne doprowadzenie do skutku, jest zaszczytem bieżącego wieku, zostało świeżo ukończone.

Wrota Żelazne, naturalna kamienna baryera, uniemożliwiająca od wieków prawidłową żeglugę na Dunaju, już nie istnieją.

Przed kilku dniami w obecności głów koronowanych i zaproszonych z całego świata gości, nastąpiło uroczyste ich otwarcie, dziś już parowce, zanurzające się głęboko w wodę, spokojnie przebywają całą drogę, od węgierskiego Bazias do rumuńskiego Turn-Severinu. Pamiętam dobrze żeglugę na tym kawałku wodnego szlaku, kilkanaście lat temu. Płynąłem z Belgradu do Orsowy i nie powstrzymany z początku w moim postępie naprzód, wkrótce po przebyciu Bazias, zmuszony byłem przesiąść się na maleńki statek, by módz dalej odbywać moją drogę.

A z jaką ostrożnością posuwał się ten statek w obawie, by nie rozstrzaskał się o zalegające całe łożysko rzeki głazy, jakie zadowolenie malowało się na twarzach nas podróżnych, gdy nareszcie z tego kamiennego gardziela, grożącego nam zagładą, wydostaliśmy się na szerszą wodę! Kto dziś tam, tą drogą spokojnie płynie, podziwiając wspaniałości wybrzeża serbskiego, ani się domyśla, że jeszcze nie tak dawno, podziw ten mieszał się z naturalnym strachem, na widok trudnych obrotów, jakie łódź, której, niby część składowa, złą i dobrą dolę dzielił, dokonywała wśród olbrzymich kamieni.

Świadek tego co tam było wczoraj jeszcze, gdym świeżo ponownie odbywał tę drogę, uprzytomniłem sobie te wrażenia, jakich się tam nie tak dawno doznawało, ale pod wpływem ich nie pozostawałem przecież długo, bo myśl moja zajęta była wielkiem dziełem, którego cywilizacyjne skutki już dziś łatwo obliczyć się dają.

Dzieje tych Wrót Żelaznych, to dzieje usiłowań ducha ludzkiego, zmierzających do ujarzmienia sił przyrody.

Zaledwie oddalone te, od środka ówczesnego świata, strony, poznane zostały, dążności państwa, uosobiającego w sobie cywilizacyjne pragnienia wieku, zwrócone zostały ku usunięciu przegrody, na przeszkodzie im stojącej. Masz tego ślad na stronie serbskiej, w Tablicy Trajana, który wędrując tędy z kohortami rzymskiemi kopał kanały, by niebezpieczeństwo żeglugi na Dunaju zmniejszyć. Ale siły ówczesne zbyt słabemi były na takie olbrzymie zadania i dopiero inżynieryi współczesnej przypadł w udziale zaszczyt usunięcia z powierzchni ziemi tego, co kaprys przyrody, na przekorę człowiekowi

w miejscach tych porzucił. Nauka, która niby domki z kart usunęła z przed posuwających się naprzód parowozów przepaście i górskie wyniosłości, i tu wyrzekła potężne swoje słowo, ale wyrzekła je dopiero dziś, gdy geniusz człowieka dał jej środki do zwalczania przeciwności.

Rozsadzenie Wrót Żelaznych zostało ostatecznie postanowione na kongresie berlińskim.

Powołano do tej pracy trzy państwa, przytykające do Dolnego Dunaju, ale kierownictwo robót złożono w ręce węgierskie. I nie pożałowano tego, ręce te bowiem nie okazały się za słabemi do tej pracy.

A była to praca i długa i mozolna, nie w jednem bowiem tylko miejscu koryto rzeki zalegały tamujące żeglugę głazy i aby o jej rozmiarach dać jakie takie pojęcie, dość będzie, gdy powiemy, że dla umożliwienia wielkim statkom swobodnego pochodu naprzód, musiano rozsadzić dynamitem 367,000 kubicznych metrów skał podwodnych. Tym sposobem w korycie rzeki utworzono wygodne kanały, wycięto wrota z zachodu na wschód, kosztem kilkunastu milionów złotych reńskich, ziszczono pragnienie twórców wielkiego projektu, streszczającego się w tem: aby siłom ekonomicznym i intelektualnym ludzkości nie stały w tem miejscu na zawadzie brutalne przyrody moce.

Doznaje się pokrzepiających wrażeń, gdy się też dziś temi wodami płynie. Gdzie dawniej ostre skały bodły rzekę, widzisz teraz gładką, niby lustro płaszczyznę i tylko miejscami pieniące się gwałtowniej fale zdradzają obecność przykutych do koryta skał. Ale na skały te nie zwraca dziś nikt uwagi i jak gdyby na urągowisko nad ich bezsilnością rozlega się w powietrzu tuż przy nich głośny turkot kół parowców, mknących szybko w dal modrego Dunaju.

Dzieło jednem słowem wielkie i na karcie intelektualnych zdobyczy końca tego wieku zapisze się złotemi głoskami.

To, o czem marzono od lat tylu, co ostatecznie jako niewykonalne zaniechano, w obec niedołęstwa ówczesnych środków technicznych, jest dziś faktem. Pękły tamy paraliżujące swobodną wymianę produktów na najważniejszej arteryi komunikacyjnej wodnej Europy, rozum i wola człowieka odniosły tryumf jedynie jego godny nad brutalną materyą.

Przed oczami robi się jaśniej, a w duszy pogodniej, kiedy się na takie dzieła patrzy i o takich tryumfach myśli.

TO I OWO.

Leczenie raka.

Rosyjskie czasopismo lekarskie „Wracz" podało niedawno temu sensacyjną wiadomość o leczeniu raka Glistewnikiem, jaskółczem zielem, (*Chelidonium majus*), rośliną bardzo pospolitą i używaną przez lud do niszczenia brodawek. Obecnie twórcą tej metody, dr. Denisieńko, przytacza w nr. 34 „Wracza" opis szczegółowy 7 wypadków leczenia. Sprawozdawca gazety „Nowosti" tak się o tych kuracych wyraża: „Wracz" zamieszcza 7 opisów przebiegu kuracyi i zaopatruje je fotografiami. Zdjęcia zrobione są z chorych, których nader trudno byłoby poddać operacyi, ponieważ nowotwór, znajdując się na szyi, obejmował sferę najniebezpieczniejszą dla operacyi. W ten sposób jest rzeczą niewątpliwą, że gdyby nawet glistewnik nie okazał się na tyle potężnym środkiem przeciw nowotworom rakowatym, o ile to może się teraz zdawać, to w każdym razie można się po nim spodziewać pomyślnych rezultatów w tych wypadkach, w których żadne inne środki nie przynoszą korzyści, a noża użyć niepodobna.

Wypadki leczenia raka wewnętrznego, jakkolwiek mniej pomyślne, dają także niespodziewane dla lekarza rezultaty. Każdy lekarz wie, że od chwili pojawienia się nowotworu rakowatego w organach wewnętrznych, zwłaszcza takich, gdzie operacya jest niemożliwa, chory uważa się, jako bezpowrotnie skazany na śmierć. Nowotwór rośnie mniej lub więcej szybko i w oczach otaczających siły chorego gasną, organizm wyniszcza się. Otaczający starają się tylko o to, aby przynieść ulgę w cierpieniach umierającego. Lekarz w takich wypadkach jest bezsilny.

W trzech opisach choroby, przytoczonych przez dra Denisienkę, z których dwa dotyczą raka w przewodzie pokarmowym i w żołądku, a w trzecim, miejsce nowotworu nie jest ściśle ustanowionem, jest widocznem, że po dawce wewnętrznej glistewnika stan zdrowia chorych polepszył się, a puchlina zmniejszała się. Ten ostatni rezultat jest szczególniej uderzającym. Chorzy, którzy z z trudnością przełykali płynne pokarmy, po 23 dniach jedli swobodnie kotlety, chleb i jaja na twardo. Badanie sondą wykazało, że nowotwory w przewodzie pokarmowym zmniejszyły się znacznie, a może nawet zniknęły zupełnie. Tymczasem wypadki zmniejszenia się nowotworów pod wpływem dawek jakiegokolwiek środka na wewnątrz dotychczas nie były znane.

W ten sposób medycyna może powitać odkrycie dra Denisienki, jako jedno z najwybitniejszych odkryć, wprawdzie czysto empirycznych, ale nie tracących przez to bynajmniej swego doniosłego znaczenia.

Pozostaje jedna i przytem najważniejsza kwestya, od której rozwiązania zależy dalszy los odkrycia. Jeżeli okaże się, że u chorych, „wyleczonych" glistewnikiem, nowotwory nie wracają po pewnym czasie, wówczas odkrycie dra Denisienki będzie najdonioślejszem odkryciem ostatnich czasów, donioślejszem nawet od odkrycia surowicy przeciwbłonicowej. Jeżeli zas nadzieje te nie spełnią się i „wyleczeni" glistewnikiem po pewnym czasie znów zachorują, wówczas znaczenie glistewnika pozostanie tylko w charakterze środka paliatywnego.

Przy użyciu glistewnika jest jeszcze jedna okoliczność, wymagająca wyjaśnienia, a mianowicie pytanie, czy dłuższe użycie tego środka nie przynosi mniejszej lub większej szkody organizmowi. Dr. Denisienko szkody tej nie spostrzegł, ale jeżeli przypomnimy sobie, że glistewnik należy do rodziny makowych i że w medycynie ludowej wywoływał wypadki zatrucia (bez rezultatów jednak śmiertelnych), że w nim mieszczą się dwa trujące alkaloidy: chelidonina i sangwinina, wówczas kwestya możliwej szkody dla organizmu przy dłuższem jego użyciu może mieć swoją *raison d'être*.

W każdym razie pożądanem jest, aby publiczność, rzucająca się chciwie na wszelkie, a w szczególności tak ważne środki, pamiętała, że tylko w rękach doświadczonego i kompetentnego lekarza glistewnik może przynieść pożytek i że w obec jadowitości tego środka nie można używać go jako lekarstwa domowego. Takie ostrzeżenie ważne jest i w znaczeniu naukowem, gdyż nieostrożne używanie glistewnika może zaraz na wstępie osłabić do niego zaufanie, jako do środka lekarskiego. Należy poczekać, dopóki liczniejsze próby nie wydadzą ostatecznego wyroku o nowem lekarstwie, a tymczasem należy pragnąć, aby próby te i doświadczenia przeprowadzone były w jaknajszerszym zakresie.

Z estrady i sceny.

Otwarcie sezonu.

Nie lubię inauguracyjnych przedstawień w prowincyonalnych teatrach. To zwykle parada artystów, — wielki akt prezentacyi nowozaciężnych służebników Talii i Melpomeny. I nie lubię tej publiczności studyującej ciekawie nowe fizyognomie, — tylko fizyognomie i kształty. Sztuka schodzi w takich uwerturach sezonu zwykle na plan drugi i nieraz wydaje mi się, że „oni i one" po to tylko wstępują na scenę, aby nam powiedzieć: „Jestem pierwszy kochanek, jestem pierwsza naiwna", — a publiczność się kłania i szepcze: „Co za figura! Co za gors!" lub odwrotnie: „Brzydka i stara" ,krzywy i za nizki".

Czwartkowa składanka nie stanowiła pod tym względem wyjątku, lecz dla nas zrozpaczonych niedołężną gospodarką ostatniego sezonu była ona, mimo właściwej sobie ceremonialności, jakby szczerym dźwiękiem prawdziwszego artyzmu, jakby wróżbą lepszego jutra. Nieznośna, zgrzybiała szarość kulis i dekoracyi zagrała żywemi kolorami, — kostyumy stylowe, pozbawione pstrokacizny niedawnej przeszłości, i grupowanie artystyczne, w pięknie ułożone linje, wszystko to zdradzało umiejętną rękę reżysera i staranną pracę. Oczywiście nowa tualeta naszej Melpomeny ukazywała jeszcze tu i owdzie pewną połowiczność, — jakiś sandał źle zawiązany, jakąś błędną fałdę w tunice lub wstęgę wybladłą na świeżym kostyumie. Któż jednak dziwić się może tym usterkom, właściwym wszystkim początkom. Jest ruch, jest praca, jest umiejętność, jest smak i miłość dla sztuki, — to nam chwilowo wystarcza, wystarczyć musi, i więcej nawet: to nam dyktuje szacunek dla nowej dyrekcyi.

Nie dziwię się też bynajmniej, że dojrzałych talentów wstąpiło niewiele na poznańską scenę, bo wypowiadałem już niejednokrotnie opinię, że w twardych warunkach bytu naszego teatr poznański musi być areną sił młodych, wyrastających zwolna do wyżyn prawdziwego artyzmu pod staranną opieką zdolnej reżyseryi; niechaj się plączą te młode stopy, niechaj ręce trzepotają bezradnie jak ptak usidlony, niechaj głos drży lub zgrzyta fałszywym akcentem, — całe to dzieciństwo talentu przerażać nas nie powinno, bo byle tylko te pączki surowe miały warunki rozwoju, to w kwiat wonny i piękny rozwinąć się mogą. Ileż to takich pączków zakwitło na poznańskiej scenie! Zrazu zamknięte, bezwonne i twarde, później odurzające zapachem i barwą. Byle tylko ręka umiejętna, byle tylko serce prawdziwego artysty i dobrego ojca karmiło je i przed zimnem strzegło, a kielichy swoje ku słońcu rozwiną. Dziś mamy takiego artystę i takiego ojca.

Pierwsze przedstawienie oczywiście może być tylko względną miarą jego działalności, i kto zna dokładnie warunki, w jakich się tworzy u nas nowe towarzystwo, ten zaiste dziwić się nie będzie, że obsada ról wczorajszych nosiła piętno ambarasu na czole. Zdaje mi się, że dziś, gdy towarzystwo już się skompletowało, nie powierzy dyrekcya po raz drugi roli Balladyny pannie Talko, która może posiada bardzo dobre warunki na salonową rezonerkę, lecz tej „która się krwawi" i stąpa po scenie z nożem w ręku jak wcielenie grzechu, nie odtworzy nigdy. Wierszem mówiła dobrze ta nowa artystka i nie kaleczyła starym zwyczajem poznańskim perłowych rymów Słowackiego, ale nie widziałem mroku, nie widziałem zbrodni, co jak chmura duszę ogarnia, nie widziałem Balladyny. Trochę

Dumasa, — być może, — Juliusz i Szekspir gdzieś mi się zapodział. Pan Tarasiewicz w roli Puławskiego (Konfederaci Barscy) miał płomienie w głosie, lecz mniej aktora a więcej człowieka byłoby dla roli Mickiewiczowskiego bohatera nader pożądanem zjawiskiem. W ruchach młodego artysty czuć szkołę, czuć lustro bezustannie. Mimika nie łączy się organicznie ze słowem, — jest sztucznie przylutowaną. Ta sama wadliwość razi także nieco w grze p. Prochaski, lubo znaczną część usterek położyć należy na karb pierwszej tremy i braku obycia z deskami naszej sceny. Bądź co bądź, w obu tych artystach zyskał teatr poznański użyteczne siły ze sporą dozą talentu i zapału. O p. Szelągowskim w roli Fredrowskiego Papkina to samo tylko powiedzieć mogę, co o pannie Talko. Roli nie pojął, stylu niezrozumiał. O rozwoju talentu u artysty tego mowy być nie może, bo jest to aktor starszy, i o ile się zdaje, zakrzepły w rutynie. Czekajmy, ile artyzmu ten skończony materyał objawi w innych, właściwszych dla siebie rolach.

O Rygerze mówiłem obszernie przed kilku laty z okazyi gościnnych występów na poznańskiej scenie, a dzisiaj tylko powtórzyć mogę, że talent ten króluje wysoko nad całem towarzystwem poznańskiem. Mniej mnie zachwyciła jego deklamacya prześlicznego prologu Asnyka, mniej jego ojciec Marek, chwilami nie dość kensekwentny i nieco sztuczny, lecz cześnikiem w „Zemście" Fredrowskiej wzniósł się na wyżyny prawdziwej sztuki, niczem niesfałszowanego artyzmu. Dawno już na scenie naszej nie widziałem tak stylowej postaci. Jeden Rychter takiem okiem lustrował szablice swoje, jeden Leszczyński tak dziś jeszcze nosi kontusz szlachecki. A gdy rozparty w fotelu dyktował list pisarzowi, gdy się zamyślał i szukał w głowie rębajły zwrotów palestrantowego stylisty, to zmartwychstały przed okiem naszem te piękne czasy, gdzie jeszcze Fredrę grać umiano na polskich scenach.

Należałoby na zakończenie słówko powiedzieć o efektownym marszu Dembińskiego, wykonanym pod batutą samego autora, o stylowym polonezie i nieco chropowatym, mało zaokrąglonym mazurze, lecz wyroki o muzyce nie do mnie należą w „Przeglądzie", a sztuce choreograficznej na scenie poznańskiej poświęcę w najbliższym czasie kilka uwag ogólniejszej natury.

W. R.

KRONIKA LITERACKA

— Nagroda za dzieła moralne. Akademia francuska przyjęła nowy zapis, wynoszący sto tysięcy franków, którego odsetki mają być użyte na premiowanie „moralnych utworów literackich". „Debats" powstaje przeciwko takiemu zapisowi, twierdząc, że Akademia posiada wiele podobnych i że nie rozdaje ich właściwie. Nagrody wynoszą 500—1000 fr. Tak małe sumy nie stanowią zachęty dla pisarzów wybitnych, mnożą się więc tylko literackie miernoty. Dziennik proponuje, aby połączyć te sumy i utworzyć mniej nagród, ale wyższe od 5000—10 000 fr.

* * *

— Historya Irlandyi. Literatura historyczna irlandzka wzbogacona została nową monografią O'Connor'a Morrisa. Jak wiadomo, dotąd większość dzieł historycznych, traktujących o Irlandyi, nie miała zbyt wielkiej wartości, ponieważ odznaczały się one jednostronnością: były to dzieła polityków, mające na celu przeprowadzenie tego lub innego punktu zapatrywania na przebieg wypadków. Autor nowej monografii, z zawodu prawnik, daje zupełnie spokojnie i objektywnie napisaną historyę Irlandyi, dzięki czemu dzieło jego jest nader cennym nabytkiem dla tych wszystkich, którzy chcieliby zapoznać się z historyą tego kraju.

* * *

— Historya literatury angielskiej. Instytut bibliograficzny w Lipsku zajął się obecnie wydawnictwem historyi literatury angielskiej, napisanej przez Ryszarda Wüfkera. Dzieło to wychodzi zeszytami. W pierwszych sześciu zeszytach autor daje obraz literatury angielskiej do Szekspira; w 7—10 zeszytach jest mowa o ruchu literackim podczas rewolucyi, restauracyi i w XVIII wieku. Zeszyt 10 obejmie charakterystykę Burnsa, którego setną rocznicę urodzin obchodzono w Anglii. Całe dzieło utworzy 14 zeszytów i kosztować ma w oprawie 16 marek.

* * *

— W Krakowskim Związku literackim p. Józef Kotarbiński odczytał szkice literackie z cyklu „Niezdrowa miłość". Następnie objaśnił prelegent, że są to wstępne rozdziały książki świeżo przez niego ukończonej, a poświęconej opisowi i krytyce zboczeń erotyzmu w życiu i literaturze. Potrąciwszy we wstępie o wspomnienie literackie, związane z tym przedmiotem, p. K. mówił o rozmaitem pojmowaniu miłości, streszczał poglądy Schopenhauer'a, Hartmanna i niektórych nowszych psychologów, a między nimi Wł. Dawida. Potem szkicowo przedstawił wartość dzieł Stendhal'a, Michelet'a, i Bourget'a poświęconych miłości.

W drugiej części prelegent zajął się wykazaniem fatalnego wpływu manii erotycznej na charaktery, rozwinął jej analizę psychologiczną, przytaczał przykłady dziejowe i opowiedział szereg faktów, zaobserwowanych z życia. Opierając się na podstawach naukowych, p. K. nadaje swym szkicom formę fejletonowej pogawędki — i jak sam twierdził — ma na oku głównie życiowe i etyczne znaczenie tej pracy.

„Szkic" p. Kotarbińskiego obudził wśród słuchaczy głębokie zajęcie i jak się dowiadujemy, ma niebawem znacznie rozszerzony, pojawić się w druku.

* * *

— W czasopiśmie niemieckiem „Internationale Litteraturberichte" Nr. 18 z d. 3 września r. b.) znajdujemy obszerną ocenę działalności pisarskiej Stanisława Bełzy, pióra Henryka Nitschmana, w artykule p. t. „Aus Polens neuester Litteratur." Przytoczywszy daty biograficzne i zaznaczywszy stanowisko Bełzy w naszem piśmiennictwie, jako podróżopisarza, Nitschmana rozbiera kolejno „Odgłosy Szkocyi," „Podróż po Apeninach," „W górach Olbrzymich," „Hollandyę" i „Obrazy Korsyki" wszędzie wypowiadając o naszym autorze bardzo pochlebne zdania.

* * *

— „Münchener Neueste Nachrichten" (w Nr. 407 z r. b.) poświęcają obszerną wzmiankę zmarłemu niedawno znakomitemu historykowi naszemu Adolfowi Pawińskiemu, przytaczając główniejsze jego dzieła i zaznaczając, że w pracach swych historycznych dotykał często Pawiński dziejów pruskich, a w początkach swej działalności naukowej pisywał także po niemiecku.

* * *

— P. Bronisława Gutmanówna, warszawianka, ukończyła politechnikę w Zurichu na wydziale VI przyrodniczo-pedagogicznym, otrzymawszy po napisaniu rozprawy p. t. „Ueber die Mittel der Desinfection und ihre Prüfung" dyplom, oraz tytuł nauczycielki fachowej.

KRONIKA POWSZECHNA.

— **Teatr i muzyka.** W bieżącym tygodniu odbywały się w teatrze naszym próby z najnowszej komedyi Bałuckiego p. t. „Sprawa kobiet" pod osobistym kierunkiem p. Rygiera. Sztuka dziś po raz pierwszy ukaże się na scenie a wystąpią w niej najwybitniejsze siły teatru poznańskiego. — Arcybiskup paryzki wznowił dawny zakaz, niedopuszczający, by kobiety w kościele popisywały się w partyach solowych, powód do tegoż dały głośne oklaski, któremi niedawno obdarzono w kościele jedną z śpiewaczek operowych. — Nowa opera jednoaktowa „Razzia" Van Dammego doznała życzliwego przyjęcia w Gandawie. — W Fermo we Włoszech obudziła zajęcie dwuaktowa opera Romota Bacchini „Wanda". — 1000 przedstawień z rzędu osiągnęła „Ciotka Karola" w teatrze „Globe" w Londynie, czyli innemi słowami od trzech lat dzień w dzień grają tam tę farsę Brandona, która ongiś odrzucona przez wszystkie teatra londyńskie, dziś przyniosła już autorowi kilka milionów franków majątku, a właścicielom teatru conajmniej dwa razy tyle, nieliczac aktorów, którzy w ten sposób na trzy lata mieli zapewniony byt. W większości bowiem teatrów londyńskich panuje dość osobliwy zwyczaj co do angażowania aktorów. W Londynie jak w ogóle także we wszystkich prowincyonalnych angielskich teatrach angażuje się nie na rok, miesiąc, lub jakiś przeciąg czasu w ogóle, lecz tylko dla pewnej roli w pewnej sztuce. Jeśli się rzecz podoba, to aktor zyskuje łatwy zarobek na lata całe, jak na to wskazuje przykład „Ciotki Karola"; w razie zaś „klapy" wyrzucają go na bruk i to bardzo często w dosłownem znaczeniu...

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Studentka in spe. Odczyt pani dr. Daszyńskiej, wygłoszony na kongresie berlińskim, ukaże się w druku w lwowskim dwutygodniku „Ster". Pani dr. Krajewska zamierza powtórzyć odczyt swój w Krakowie. O zamiarach trzeciej prelegentki polskiej nic nam nie wiadomo.

— **Romuald.** Z nadesłanego utworu skorzystać nie możemy. Wiersz jest dosyć gładki, lecz obrazowanie i rymowanie pospolite, a miejscami rażą stylowe i gramatyczne niedokładności.

— **P. R.** 1) O sprawie tej kursują tysiące wersyi po mieście, lecz są one bądź to zupełnie fałszywe, bądź też mieszczą zaledwie odrobinę prawdy. Na razie żadna decyzya jeszcze nie zapadła, lubo za kulisami toczy się nader żywa wymiana zdań. 2) W sprawie nowego przedsiębiorstwa na razie zachować musimy zupełne milczenie.

— **Marya Z.** Zakładu żadna z pań nie wygrała, bo obie macie słuszność. Plotka o znalezionych w odziedziczonej tece rękopisach i wydaniu ich pod własnem nazwiskiem kursowała zarówno o Kaczkowskim jako Rzewuskim. Legendy takie pojawiają się w każdej literaturze. U nas podobny zarzut uczyniono także niegdyś autorowi „Kirgiza".

OD ADMINISTRACYI.

*** Od 1-go października r. b. znajduje się Administracya i Ekspedycya pisma naszego na Podgórnej ul. Nr. 7 w podwórzu.**

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego" w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28

Nr. 41. Poznań, niedziela 11-go października 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę. **Redakcya:** Poznań, św. Marcin 22 II p. **Administracya:** Podgórna ul. Nr. 7. w podwórzu.

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi **w Poznaniu 4,60 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Podgórna Nr. 7. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego. **Pojedyńczy numer:** w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen. **Rękopisów drobnych niezwracamy.**

TREŚĆ.

Nuncyusz papiezki w Rosyi.

Pod tytułem „Un nonce du pape en Russie“ paryzki dziennik „Le Journal“ umieścił temi czasy artykuł Jana de Bounefon, który jako mogący interesować polską publiczność, podajemy w przekładzie:

„Dochodzą nas czasami wiadomości tak dziwne, iż wydają się na pozór nieprawdopodobnemi; do takich zaliczyć by się chciało zamiar Leona XIII osadzenia nuncyusza, to jest stałego posła apostolskiej stolicy w Petersburgu, przy dworze prawosławnego cesarza Wszech Rosyi.

Nowy dyplomata miałby niewątpliwie mnóstwo spraw do załatwienia, lecz aby módz go ustanowić, usunąćby trzeba trzy przeszkody, przyćmiewające jakby trzy chmury jasne niebo papieskiej myśli.

Nuncyusz osiąść może w Petersburgu dopiero po ustanowieniu rosyjskiego ambasadora przy Watykanie, tymczasem nic nie zapowiada podobnego zamiaru ze strony cesarza Mikołaja II. Przytem istnieje zastraszający brak odpowiednich ku temu figur pomiędzy wyższem duchowieństwem otaczającem papieża. Starsi prałaci już się zużyli, zniedołężnieli, zdruzgotani przedwcześnie brutalną ręką kardynała Rampolla, który, pomimo długoletniego pobytu w Rzymie, zachował w sobie sporo sycylijskiej dzikości. Młodzi celowo kryją swe zdolności, pragnąc je zachować na później, by wystąpić na widownię dopiero razem z nowym papieżem. Pełni jaknajlepszego o sobie mniemania, chcą jaśnieć dłużej aniżeli by im dozwoliły ostatnie blaski zachodzącego słońca.

Trzecią przeszkodą jest tradycya. A jakkolwiek od lat dwudziestu Leon XIII przywykł do częstego jej pomijania, wszakże tym razem waha się, bo tradycya — jedna z wielkich potęg Kościoła, — wymaga, by nuncyusze rezydowali wyłącznie w rzymsko-katolickich krajach, a Rosya jest prawosławną.

By wzgląd ten pominąć i zadość uczynić swym pragnieniom, Leon XIII może się wszakże odwołać do przeszłości, wskazując wspomnienia usiłowań kardynała Antonelli, który za panowania Piusa IX o mało co nie osadził nuncyusza przy rosyjskim dworze. Antonelli posiadał niezaprzeczenie potężny umysł, nie zawsze należycie oceniany. W Rzymie wyrósł i stale przebywał, wcześnie zamknąwszy się w Watykanie, i prawie nie opuszczając mieszkania, którego okna wychodziły nie na miasto, lecz na jeden z pałacowych dziedzińców; wszakże znał on wybornie całą Europę i o wiele lepiej jak z podróży, których nigdy nie uprawiał, mawiając z zadowoleniem, że tylko dwa razy przekroczył granice Państwa Kościelnego, podczas wycieczki do Gaety i do Portici.

Antonelli pałał miłością względem Rosyi, jeżeli można nazwać miłością głęboką politykę opartą na wyrachowaniu. Rosya wywdzięczała się mu hojnością pochwał i podarków, zachęcających wszechpotężnego ministra do trwania na stanowisku, jakie w obec niej dobrowolnie zajął, głosząc swe sympatye graniczące z uwielbieniem.

Cesarzowa rosyjska, żona Mikołaja I, pozostawała w stałej korespondencyi z kardynałem. Antonelli kochał się w drogich kamieniach równie namiętnie jak Leon XIII w koronkach. Najpiękniejsze brylanty w zbiorze kardynała pochodziły z bogatych darów składanych mu przez rząd rosyjski.

Dzięki protekcyi tego księcia Kościoła, pan Kisieleff otrzymał rękę donny Torlonia, a pp. Meyendorff i Kapnitz, wysłannicy rosyjskiego dworu, za poparciem Antonellego pomyślnie załatwiali powierzone sobie misye, jakkolwiek nie sprzyjał im Pius IX, pomijający wzgardliwie zawikłaną zwykle grę spraw politycznych, bezwzględnie obojętny na wszystko, co przechodziło zakres działania głowy Kościoła, następcy św. Piotra. Zdarzało się nawet, że Pius IX chętnie psuł plany swego ministra. Pewnego razu p. Meyendorff chciał papieżowi dowieść, że polscy katolicy są buntującymi się wichrzycielami. Posłyszawszy to orzeczenie, papież zerwał się z miejsca i z charakteryzującem go w ważniejszych chwilach uniesieniem zawołał, wskazując drzwi:

— Precz!

Zajście to zerwało dyplomatyczne stosunki pomiędzy rządem rosyjskim i stolicą apostolską.

Zręczne obroty Antonellego sprawiły, iż zerwanie dało się naprawić, a wznowiony sojusz okupiło dwieście tysięcy unitów chełmskiej dyecezyi zapisaniem na prawosławie.

Chcąc dalej kroczyć tą drogą, Antonelli zapragnął osadzić nuncyusza w Petersburgu. Na tę ważną posadę chciał wysłać kogoś indentyfikującego się z własnemi jego poglądami. Figurą taką był kardynał Berardi, równie przebiegły i rzutki jak Antonelli, prawdziwe jego dopełnienie, a w razie potrzeby zastępca.

Kardynał Berardi był jedynym zmarłym przyjacielem znienawidzonego ogólnie Antonellego, który pomimo swej genialności żył otoczony niechęcią nawet ze strony papieża, niełaskawego na swego sługę.

Berardi nizkiego był pochodzenia i z głęboko zapadłej prowincyi przybył w młodości do Rzymu z chęcią zdobycia karyery. Na początek ożenił się i szczęśliwie wkrótce owdowiał, po czem wstąpił w szeregi sług Kościoła. Nie przeszedłszy święceń dostąpił najwyższych godności. Śmiały jego umysł nie znał skrupułów i z niezmąconym spokojem dążył do raz zamierzonego celu, nigdy się nie wahając, jak czynią szczytną wiarą obdarzeni księża, zapatrzeni w przykład tego, który skonał na krzyżu.

Wysokiego wzrostu, majestatycznej postawy Berardi łączył z tem giętką, neapolitańską przebiegłość i cięty dowcip. Nieuzasadnioną wyniosłością obejścia raził, lecz zarazem działał narzucająco. Lękano się tej osobistości o wypukłem czole, poświęcającej jasność dla energii.

Taki siłacz pokusił się poddać siebie w niewolę i stał się krzepką odaliską polityki, której Antonelli był sułtanem. Giętkość tej duszy, zrodzonej do panowania, była tak zupełna, iż nigdy nie przykrzyła sobie dobrowolnie obranego jarzma.

Po gwałtownem zerwaniu stosunków przez Piusa IX z pełnomocnikiem cesarza rosyjskiego, Berardi z całych sił pracował nad nowem nawiązaniem przeciętej nici pomiędzy Rosyą i apostolską stolicą. Zręcznie a zarazem skrycie kierując sprawami, doprowadził ostatecznie usiłowania swoje do skutku. Osadzenie nuucyusza w Petersburgu zostało zdecydowane.

Naturalnym kandydatem na tę godność nie mógł być kto inny jak Berardi. Zgodzono się na niego, zamknął się więc któregoś poniedziałku w klasztorze, by się przygotować i otrzymać święcenia, w przeciągu tygodnia został księdzem a nawet arcybiskupem Nicei.

Podczas tych dni kilku, Pius IX namyślał się i pogrążał w modlitwie. Nadszedł uroczysty dzień św. Piotra, a nowy arcybiskup jeszcze nie pozyskał nominacyi na peters-

burgskiego nuncyusza. Tego dnia papież miał wypowiedzieć wielką mowę w trakcie uroczystego nabożeństwa w bazylice. Przed zebranymi kardynałami i rzymską arystokracyą Pius IX wzniósł się na wyżyny kaznodziejskiego krasomówstwa i począł ciskać nawałnicę kościelnych gromów na Rosyę, apoteozując męczeństwo Polski i niedolę ucisku gniotącego zwyciężonych polaków.

Antonelli niespodziewał się tego nagle spadającego piorunu, którego ogień zniweczył i w proch zamienił wzniesione przez niego polityczne rusztowanie. Pius IX nie skończył jeszcze mówić, gdy Antonelli zemdlał.

Papież ucieszony z odniesionego z łatwością tryumfu, zwrócił się do prałatów z najbliższego swego otoczenia i rzekł, jak gdyby ironia igrała z jego luzem puszczoną myślą:

— Ale cóż powie o tem Jakób?...

Jakóbem był kardynał Giacomo Antonelli.

Jakób przemilczał swoje wrażenia, bo przedewszystkiem cenił piastowany urząd, Berardi zaś, prawda że nie został nuncyuszem w Petersburgu, lecz zachował tytuł arcybiskupa i posadę podsekretarza Stanu, aż do dnia, w którym otrzymał kardynalski kapelusz.

Tak więc dzisiejszy projekt Leona XIII jest tylko wznowieniem nie urzeczywistnionego zamiaru kardynała Antonelli. Właściwie takiego a nie innego kierunku należało się spodziewać ze strony obecnie panującego papieża. Tym tylko sposobem pozostaje on wierny kardynałowi Pecci, to jest samemu sobie. Polityki swej nie zmienił i chyli się zawsze w stronę mocnych i potężnych. Tryumfalne przyjęcia, jakie obecnie spotykają podróżującego po Europie cara, oddziałały na papieża, wypowiadającego teraz wyraźnie swe uznanie dla rosyjskiego samowładcy.

Kardynał Lavigerie znał dokładnie charakter Leona XIII, i w paru słowach wybornie streścił jego politykę, siedząc pewnego wieczoru na tarasie swego afrykańskiego pałacu w otoczeniu kilku francuzów, z którymi zwykł był rozmawiać z całą swobodą.

Słońce już zaszło, lecz noc jeszcze nie zapadła, chyląc się zwolna, nieśmiało, jak zwykle we wschodnich krainach.

Prymas mówił właśnie o papieżu, posługując się wyrażeniami nieco drastycznemi. Pomiędzy obecnymi był dziennikarz, który z wielką uciechą przysłuchiwał się tym słowom. Wtem kardynał zwrócił się w jego stronę, wołając:

— Uspokój się mój kochany, bo przedewszystkiem Ty nie masz prawa do krytykowania Leona XIII! Jego polityka jest polityką zdolnego dziennikarza. *Elle suit le fil de l'actualité!*

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Memento dla Koła polskiego w Wiedniu.

Jak wiadomo zażądało zgromadzenie wyborców krakowskich, by posłowie polscy wnieśli energiczną interpelacyę w parlamencie wiedeńskim w sprawie niesłychanych nadużyć, praktykowanych przez władze galicyjskie dla poskromienia ruchu demokratycznego. Do rezultatu burzliwego zebrania nawiązuje „Nowa reforma“ uwagi następujące:

„Zgromadzenie wyborców krakowskich powinno być przestrogą dla władz rządowych. Niech raz przecie przejrzą, że postępowaniem swojem wspierają żywioły radykalne, a podkopują stanowisko nietylko skrajnych konserwatystów i klerykałów, ale nawet umiarkowanych żywiołów demokratycznych i postępowych. Dziś opozycya śmiała, lecz w granicach przyzwoitości zamknięta, przestaje zadawalniać. Opinia publiczna zaczyna się domagać, aby przestano szanować władze, które nie szanują praw obywatelskich, i żąda, aby krytyka gwałtownością dorównywała również gwałtowności prześladowania, jakiego dopuszczają się władze na swobodach obywatelskich. Żywioły radykalne rosną w popularność, nie dlatego, aby ich przekonania i zasady podzielano, ale dlatego, że ich forma odpowiada wzburzeniu umysłów, wywołanemu przez tych, którzy ze spokojem i bezstronnością powinni stać na straży porządku publicznego.

Powinny również otworzyć się oczy Kołu polskiemu. Jego większość musi raz zrozumieć, że reprezentacya polska w Wiedniu nie może i nie powinna być reprezentacyą stronnictwa i strzedz wyłącznie interesów tego stronnictwa. Niech więc Koło polskie zmieni swoje postępowanie, niech z posłusznego sługi rządu przedzierzgnie się w reprezentanta ludu. Niech solidarności nie nadużywa, aby tłumić każdą interpelacyę o każdą, choćby największą krzywdę, ale przeciwnie, niech tą solidarnością silnie walczy o przywrócenie prawa i sprawiedliwości w kraju. Niech zrozumie, że jeśli potrzebną jest solidarność członków Koła, to jeszcze potrzebniejszą jest solidarność Koła z krajem, nie ta jednak solidarność, która większość Koła łączy ze stronnictwem klerykalno-konserwatywnem, lecz solidarność czuła na krzywdy i potrzeby kraju, na dążenia i najświętsze cele narodu. Jeżeli na taką naprawę stosunków nie zdobędziemy się wreszcie, to zwycięstwo odniosą żywioły skrajne, i to nie te żywioły, o których patryotyzmie jesteśmy przekonani, ale te, których kosmopolityzm zbyt nam jest znany. Solidarność Koła runie, i to nie ta, jaką utworzyła dzisiejsza jego większość, ale ta jakiej pragną wszyscy dobrze myślący — solidarność w sprawach narodowych, i w Radzie państwa nie będzie posłów polskich, ale posłowie galicyjscy, ginący pośród innych stronnictw i niezdolni stać na straży interesów narodowych“.

Tej samej sprawie poświęca „Słowo polskie“ uwagi następujące:

„Przebieg zgromadzenia poniedziałkowego jednej tylko rzeczy niewątpliwie dowodzi: jak fałszywą jest metoda, zapomocą której nasi konserwatyści chcą zwalczać radykalne kierunki. Jeżeli na radykałów i na

---

Artur Schnitzler.

POŻEGNANIE.

NOWELLA.

(Dokończenie).

Niewysłowiona tęsknota i niepewność ogarnęły go; dziś musi rozmówić się sam z lekarzem.

Wyszedł spiesznie z domu. Stróżka stała przed bramą. Podszedł do niej i dziwiąc się sam swej obojętności, zapytał spokojnie:

— Jak się pani miewa?...

Stróżka odrzekła:

— Ach, z nią bardzo źle; nie wstanie już więcej!...

Alfred podziękowł i dodał:

— To smutne jednak.

„Pewnie“ — odpowiedziała tamta — bardzo smutne — taka młoda, piękna pani“.

Z temi słowami zniknęła w bramie.

Patrzał za nią...

— Nic po mnie nie zauważyła — pomyślał i w tejże chwili przeszło mu przez głowę, czyby się nie mógł odważyć wejść do mieszkania, skoro tak dobrze potrafi udawać... W tem nadjechał powóz lekarza. Alfred mu się ukłonił, gdy ten wysiadał z powozu i otrzymał grzeczne podziękowanie. Cieszyło go to — uważał go poniekąd za znajomego i swobodniej mógł go zapytać za powrotem... Czekał spokojnie i było mu dobrze na myśl, że lekarz był u niej. Bawił długo... w każdym razie musi być jakaś możebność ratunku, inaczej nie zostawałby tak długo. A może już była konającą... może... precz, precz, precz!

Chciałby był odegnać wszystkie myśli, na co się to zdało... Wszystko jest przecie możliwe.

W tem zdawało mu się, że słyszy głos lekarza; rozpoznawał wyrazy: jest to kryzys.

Mimowoli zwrócił wzrok na zamknięte okno. Rozważał, czy w pewnych okolicznościach, przy bardzo pobudzonych i przy to zaostrzonych zmysłach, nie można słyszeć i rozumieć słów, nawet przez zamknięte okna. Ależ naturalnie, on przecie słyszał, to nie było urojeniem, słyszał to wyraźnie.

W tej samej chwili lekarz ukazał się w bramie. Alfred przystąpił do niego. Lekarz wziął go za któregoś z krewnych, odpowiadając na jego nieme zapytanie, pokiwał głową, lecz Alfred nie chciał rozumieć.

— Czy mogę zapytać, panie profesorze — zaczął...

Lekarz wsiadał już do powozu i znowu potrząsnął głową.

— Bardzo źle — rzekł i spojrzał na niego, — pan jesteś bratem, wszak tak?

— Oczywiście — odrzekł Alfred...

Spojrzał na niego ze współczuciem i ukłoniwszy się, odjechał.

Alfred patrzał za powozem, jakby z nim znikała ostatnia nadzieja. Potem odszedł. Mówił coś po cichu ze sobą, bezmyślnie prawie i zęby mu dzwoniły.

— Cóż więc dziś poczniemy?... za miasto jechać zapóźno, za miasto zapóźno? Zapóźno, zapóźno... Tak jestem smutny? Czy ja smutny jestem?.. Czy jestem śmiertelnie strapiony? — Nie, nie jestem wcale! Nie — pójdę przejść się, wszak nic nie czuję, nic wcale... Mógłbym teraz pójść do teatru, lub pojechać za miasto... O, nie, tak mi się zdaje tylko... wszystko to jest szaleństwem, bo jestem zbyt wzruszony. Ważna to chwila, muszę zebrać całą przytomność umysłu, nie wzruszać się zbytnio.

Dreszcz go przebiegł.

— Do domu. Kiedyś już musiałem coś podobnego przechodzić... Lecz kiedy, kiedy? Może we śnie... A może to sen?...

Tak, pójdę teraz do domu, jak zwykle, jakby nic nie było, jakby się nie stało nic wcale. Lecz cóż znowu! przecież nie zostanę w domu, wśród nocy pobiegnę znów przed dom ukochanej, przed dom mej ukochanej, która kona...

Dzwonił zębami.

Znalazł się w swoim pokoju, nie mógł jednak z tego zdać sobie jasno sprawy. Zapalił świecę i usiadł na kanapie.

— Wiem, co to jest — mówił do siebie. — Ból puka do drzwi, a ja go nie wpuszczę. Wiem, że stoi tam, widzę go przez szybę. Ach, głupio, głupio!... A więc ukochana moja umrze?... tak, umrze, umrze! A może jeszcze mam jaką nadzieję i dla

ruch ludowy nie macie innego środka, tylko policyę, jeżeli bronią ku ich zwalczeniu mają być takie, z praw poselskich i wogóle obywatelskich szydzące reskrypty, jak ów pamiętny zakaz wydany posłowi Wójcikowi odbywania zgromadzeń wyborczych, to się przez to ruch radykalny podsyca tylko, zamiast go uśmierzyć. Ślepem jest, kto ze sprawozdań o krakowskim sejmiku relacyjnym tej prawdy nie wyczyta, a tylko zaciera ręce z radości, że galerya wyprawiała hałasy podczas przemówień demokratycznych posłów.

A dalej: Jeżeli Koło polskie w Wiedniu temu samemu ulegnie błędowi i zaślepieniu, jeżeli okaże się znowu obojętnem na naruszenie praw obywatelskich i na wniesienie interpelacyi nie zezwoli, — to znowu podsyci tylko ruch radykalny, znowu przyczyni się do osłabienia stanowiska tych wszystkich w kraju, którzy w dobrze zrozumianym interesie narodowym stoją przy zasadzie solidarności Koła. Szeroki ogół nie rozumuje teoretycznie — on bierze rzeczy ze strony praktycznej, on więc w tym wypadku powie: na co mi solidarność, jeżeli ona ma być przeszkodą dla obrony swoich praw. Dowodem tego jest fakt, że ci sami wyborcy krakowscy, którzy posłów Weigla i Sokołowskiego wybrali na zasadzie solidarności, obecnie żądają od nich złamania tej zasady, jeżeli Koło nie dopuści do interpelacyi".

* * *

Nowe nadużycie

W „Katoliku" bytomskim czytamy: „Towarzystwo gimnastyczne „Sokół" w Bytomiu urządziło w niedzielę na sali p. Banscha wieczornicę dla swych członków, ich rodzin i zaproszonych gości, którzy przybyli z różnych miejscowości. Obecnych było także kilkunastu członków gniazda katowickiego. „Sokół" bytomski postarał się o pozwolenie na ćwiczenia i tańce. Na to amtowy Rozbarski dozwolił. Władza wysłała komisarza pogranicznego p. Madlera z 3 żandarmami i 1 sługą amtowym, aby dozorowali zabawę. Na sali kazano sokołom poodpinać sokoliki i wstążeczki z napisem gniazda. Cała zabawa odbyła się w największym spokoju. Pod dozorem policyi bawiliśmy się jak najlepiej. Publiczność obdarzyła ćwiczących sokołów hucznemi oklaskami. Tańczono aż do rana. Nakoniec zawezwał żandarm Korditzke kapelmistrza, aby zagrał „Heil dir im Siegerkranz". Kapelmistrz zastosował się do wezwania żandarma.

Podczas tej muzyki zachowali się wszyscy obecni na sali wzorowo i spokojnie. Chodziło o zasadzkę na polaków — jak musimy sądzić podług opisów tego zdarzenia przez niemieckie gazety. Lecz sprawka się nie udała. Gazety niemieckie piszą, że „zum grossen Gaudium der Beamten" (ku wielkiej wesołości urzędników) śpiewano ową melodyę. A więc podług owego twierdzenia śmiali się urzędnicy z tego, że polacy śpiewali ową melodyę. Jeżeli by tak rzeczywiście było, to może władza sobie jeszcze pomówi z urzędnikami. Zresztą tymczasem tylko stwierdzamy, że żandarm wmięszał się w prywatne stosunki towarzystwa, to jest kierował muzyką, do czego nie miał prawa. Po gazetach niemieckich z powodu tego wiele nieprawdy i wiele pisania. Nie warto na to odpowiadać. Widać, że gniewa ich to, iż Polacy nie urządzili burdy. Tego się chyba nie doczekają".

— ski.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Fakty z życia ekonomicznego.

II.

Przyczyny i przypuszczalne skutki rozwoju ekonomicznego.

W poprzednim artykule wskazaliśmy na jeden z symptomatów rozwoju ekonomicznego, — spekulacyę giełdową. Wskazaliśmy na to, że ta spekulacya, jakkolwiek wygórowana, opiera się na realnym gruncie, to jest na ożywieniu w przemyśle.

Jakież więc są przyczyny tego ożywienia w produkcyi i jakie będą skutki? — Wiadomo, że od lat 15 stoimy w kryzysie agrarnym, wywołanym bezpośrednio rozwojem kapitalistycznej gospodarki w rolnictwie amerykańskiem, rosyjskiem, indyjskiem, dalej niebywałym dotąd rozwojem w środkach lokomocyi i spowodowanym poprzednio (w siódmem dziesięcioleciu) przez wysokie ceny zboża niepomiernym wzrostem renty w krajach środkowej Europy. W skutek tej wysokiej renty wzrosła cena ziemi, a wraz z nią wzrosło też obdłużenie szczególniej własności wielkiej, i dla tego rolnik europejski nie mógł wytrzymać konkurencyi, którą sprawił mu rolnik wspomnianych krajów, pomimo że wydajność jego gospodarstwa była i jest większą. Ale i ci konkurenci nie spoczywają w puchu. W Rosyi po krótkim czasie kryzys dał się odczuć rolnikom równie silnie jak w Europie zachodniej, a w Ameryce, pomimo wzrostu ludności, obszary uprawne zmniejszają się w ostatnich kilku latach. Tym sposobem kryzys stał się powszechnym, wszechświatowym. Stało się tak, ponieważ pomiędzy gospodarką rolniczą a przemysłową istnieje najściślejszy związek. Jak w danym wypadku związek ten się przejawił, to wyjaśnił najlepiej jeden z ekonomistów niemieckich pisujący, pod pseudonimem Parvus. Powiada on:*) „Rynek wszechświatowy na zboże powstaje w ten sposób, że przemysł kapitalistycznego kraju (autor ma na myśli przedewszystkiem Anglię) szuka rynku zewnętrznego dla swoich produktów. Im skuteczniej to czyni, tem więcej sam się rozwija. W miarę tego wzrasta ludność zajęta w przemyśle i w ogóle ludność miejska. Wskutek tego znów wzrasta zapotrzebowanie na zboże. Zatem podnoszą się ceny zboża. Im więcej to ma miejsce, tem korzystniejszym staje się import zboża z tych właśnie krajów, do których skiero-

*) Parvus: „Der Weltmarkt u die Agrarkrisis", w czasopiśmie „Neue Zeit" za rok 1895.

---

tego jestem tak spokojny? Nie, jestem tego pewny. Hm.. lekarz wziął mnie za brata! Gdybym mu odpowiedział: Nie — jestem jej kochankiem... Boże wszechmocny! — krzyknął nagle; zerwał się i zaczął biedz po pokoju... — Otworzyłem mu! Ból jest tu!... Anno, moja słodka, jedyna, ukochana Anno!... I ja nie mogę być przy tobie! Ja, jedyny, który do ciebie należy... Może ona nie jest nieprzytomną. Co można o tem wiedzieć! i ona tęskni za mną a ja do niej nie mogę — nie śmiem. Albo może w ostatniej chwili, nie krępowana już ziemskiemi względami, powie: „Przywołajcie mi go tu... chcę go jeszcze raz zobaczyć. ." Co pocznie wówczas?...

Na chwilę cały ten obraz stanął mu przed oczyma. Jak śpieszy po schodach, jak mąż go przyjmuje i prowadzi sam do łoża konającej, a ona uśmiecha się do niego gasnącym wzrokiem; nachyla się nad nią, ona go obejmuje, a gdy się podnosi, ona leży już nieruchoma...

Teraz zbliża się mąż i mówi: „Odejdź pan, wkrótce pomówimy ze sobą obszerniej!..." Lecz rzeczywistość taką nie jest, nie... to jeszcze byłoby lepsze, najlepsze ze wszystkiego; zobaczyć ją raz jeszcze — czuć, że był kochanym naprawdę! Musi ją zobaczyć jeszcze raz, w jakibądź sposób... ależ, na miłość Boską, nie może pozwolić, aby umarła, nie zobaczywszy się z nim. To byłoby okropne! nie mógł sobie nawet tego wyobrazić. Tak, lecz co robić?

— Północ jest blizko! Pod jakim pozorem mógłbym teraz wejść? — zapytał siebie. — Czyż teraz potrzeba pozorów... teraz, gdy śmierć... Lecz... po śmierci nawet muszę zachować jej tajemnicę, uszanować jej pamięć przed mężem i rodziną... Ale... mogę udać waryata. Przecież umiem teraz dobrze udawać... Boże cóż to znowu za pomysł!...

A jeżeli wezmą go naprawdę za waryata i zamkną w szpitalu obłąkanych... Albo jeżeli ona wyzdrowieje i uzna go za waryata, którego nie znała nigdy!...

— Oh, moja głowa, moja głowa!...

Rzucił się na łóżko.

Nocna cisza wokoło uspokoiła go trochę; z większym spokojem zaczął układać w głowie plany zobaczenia się z nią... to już było postanowionem.

Tysiące pomysłów przesuwało się przed nim raz widział siebie wstępującego po schodach w postaci asystenta, profesora, to znów jako uczeń aptekarski, lub agent zakładu pogrzebowego, potem jako żebrak, wreszcie widział siebie, jako posługacza pośmiertnego, jak siedział przy zwłokach, owijał je w całun i kładł do trumny...

Obudził się o świcie. Okno było otwarte i pomimo, że spał w obraniu, zimno go przejmowało, ponieważ padał drobny deszczyk i kilka kropel wpadło aż do pokoju...

— Więc już jesień... — pomyślał Alfred.

Podniósł się i spojrzał na zegar.

— Pięć godzin przespałem jednak... W tym czasie. . mogło się wiele stać. Dziwna rzecz, wiem dokładnie, co mam robić. Pójdę teraz sam do jej mieszkania, podniosę kołnierz i sam... zapytam...

Nalał kieliszek koniaku i wypił duszkiem. Podszedł do okna.

— Pfui! jak brzydko wyglądają ulice. Wcześnie jest bardzo... Ci ludzie już o siódmej idą do pracy... Tak — i ja dzisiaj już o siódmej mam pracę!... „Bardzo źle! — powiedział wczoraj lekarz — lecz z tego powodu nikt jeszcze nie umarł"... A ja wczoraj miałem ciągle uczucie, jak gdyby ona już... Idźmy, idźmy!...

Włożył surdut, wziął parasol i wyszedł do przedpokoju. Służący spojrzał na niego zadziwiony.

— Wrócę wkrótce! — powiedział i poszedł.

Szedł powoli, małemi krokami; naprawdę było mu bardzo przykro iść tam samemu. Co właściwie tam powie?

Zbliżał się już do mieszkania. Dom wydał mu się całkiem nieznajomym; o tej godzinie wprawdzie nie widział go nigdy... Dziwnie wyglądało miasto w szarem oświetleniu dżdżystego poranku... Tak, w takie dni się umiera... Gdyby Anna przy ostatniem widzeniu się pożegnała go poprostu, być może — dotychczas byłby zapomniał o niej... Ależ z pewnością... wydało mu się, że to już było tak dawno.

wany jest eksport przemysłowy. Wtedy tembardziej dopiero wzrasta eksport przemysłowy. Dopóki bowiem pozostawał jednostronnym, bez odpowiedniego importu, znajdywał ciasne szranki w małej sile kupieckiej kraju nierozwiniętego przemysłowo. Teraz zaś rozpoczyna się prawidłowy handel zamienny. Przemysłowy kraj wywozi towary rękodzielnicze i kupuje produkty rolnictwa w kraju rolniczym, powiększając siłę kupiecką ostatniego o sumę, jaką płaci za te produkty. Osiąga się tem dwie rzeczy: otwiera się swój rynek zbożowy dla kraju obcego i stwarza się w tym kraju rynek dla swoich wyrobów. Kraj przemysłowy przyczynia się nawet tak hojnie do gospodarczego rozwoju kraju rolniczego, że kupuje od niego zboża za sumę większą, aniželi czerpie z niego za towary wywiezione. Pomimo to przemysł kraju kapitalistycznego ma tymczasem swoją korzyść: ma tanie stosunkowo zboże, a zarazem rynek zbytu".

Jednakże wkrótce stosunki się zmieniają: kraj rolniczy, w którym dzięki rozwojowi rolnictwa wytworzył się rynek wewnętrzny, zaczyna rozwijać u siebie przemysł, ponieważ kapitału dostarczył kraj zakupujący zboże. Przytem przemysł ten nie potrzebuje zaczynać ab ovo, kapitalistyczny bowiem kraj dostarcza mu maszyn udoskonalonych długoletnim rozwojem techniki, dostarcza inżynierów i robotników wykwalifikowanych. Tak zdaniem autora Anglia spowodowała naprzód rozwój rolnictwa we Francyi i w Niemczech, za tym rozwojem poszedł wzrost przemysłu w tych krajach. Stały się one konkurentami Anglii. Potem środkowa Europa wraz z Anglią zaczęła grać tę samą rolę względem Ameryki i Rosyi. Kraje te weszły z kolei na drogą rozwoju przemysłowego, a przez to samo tracą powoli zdolność do konkurencyi na rynku zbożowym, gdyż wskutek właśnie tego rozwoju koszta produkcyi i renta wzrastają. Pojawiają się więc nowi konkurenci na rynku przemysłowym i nowe kraje zostają porwane przez wir rynku wszechświatowego. — Indye i Ameryka południowa zaczynają eksportować zboże, ale zarazem rozpocznie się tam rozwój przemysłowy. Za nimi pójdą Chiny i Syberya.

Kryzys więc rolniczy i przemysłowy zostają w ścisłym związku. Tymczasem jednakże rozpoczął się nowy okres ożywienia wskutek właśnie komplikacyi rynku wszechświatowego. Przedewszystkiem bowiem produkcya, którą zrewolucyonizowały nowe stosunki na tym rynku, doszła po piętnastu latach do równowagi. Ceny spadały szybko, ale do cen tych umiano się zastosować. Dziś wiele gałęzi przemysłu jest faktycznie w stanie produkować po cenach, jakie jeszcze lat dwadzieścia temu wydawałyby się absurdycznemi. Bicz konkurencyi zmusił do naprężenia wszystkich zdolności technicznych i kupieckich, drobni producenci zostali zgnieceni i bieg mógł się rozpocząć na nowo. Do tego, że mógł się rozpocząć, przyczyniły się rozmaite przyczyny. Wyjaśnia je znów dosadnie tenże autor Parvus. Powiada on:*) „Cztery zjawiska stanowią o przewrocie obecnym na rynku wszechświatowym: rosyjski głód, japońsko-chińska wojna, amrykański kryzys i szybkie wzrastanie produkcyi złota."

Głód rosyjski, zdaniem autora, zadał ostatni cios staroruskiemu ustrojowi gminnemu. Chłop, którego egzystencya była podkopaną oddawna, został proletaryuszem, został zapędzony do miast, napełnił fabryki tanim robotnikiem. Przemysł ten istniał już, ale teraz zaczyna rozwijać się z bajeczną szybkością. Rynkiem odbytu dla niego iest przedewszystkiem sama Rosya, ale teraz zaczyna się zalewanie Azyi towarem rosyjskim. Kolej transkaspijska rozwarła drogę do Azyi środkowej. Stworzyła ona tam rynek, a nawet spowodowała, że Anglia spotyka się z nowym konkurentem w Persyi etc. Kraje te dostarczają materyałów surowych, jak bawelna, i jedwab a w razie potrzeby staną się dostawcami zboża. Kolej syberyjska znów uprzystępni kolosalne bogactwa Syberyi południowej. Kopalnie, lasy, pola tamtejsze dostarczą olbrzymich bogactw z chwilą, kiedy przestrzeń zostanie zwyciężona nową linią komunikacyjną. Zarazem też nowa kolej stworzy dwa rynki nowe: samą Syberyę i Chiny. Tymczasem jednakże przemysł rosyjski nie jest w stanie zadość uczynić sam potrzebom jakie się rodzą, i przemysł Europy zachodniej korzysta z konjunktury, dostarczając maszyn, przędzy, wyrobów żelaznych, chemikalii itp.

Wojna chińsko-japońska spowodowała po pierwsze wystąpienie na widownię azyatyckiego państwa t. j. Japonii i otwarcie Chin dla Europy. Japonia już weszła na drogę kapitalistycznego rozwoju i dziś przechodzi pierwszy okres jego. Chiny dotąd opierały się światu. W tym kolosie zdawało się wszystko skrzepniętem na wieki. Przegrana wojna i nacisk Rosyi zmuszą je do wstąpienia na nowe tory, przemysł kapitalistyczny zdobędzie państwo niebieskie. Tymczasem zaczęła się budowa dróg, wkrótce zacznie się intensywne rolnictwo, zacznie się budowa fabryk. Środków technicznych ku temu dostarczy Europa, a nawet już zaczęła dostarczać. Tym sposobem kontynent azyatycki zostaje rozwarty na rościeź dla ogólnego wszechswiatowego rynku, podczas gdy dotąd szarpano tylko jego brzegi.

Kryzys amerykański powstał przed kilku laty wskutek rozwoju przemysłu, którego przyczyny wyjaśniliśmy wyżej. Rozwój ten spowodował chęć odgraniczenia się od napływu towarów europejskich przez wysokie cła; tak powstał bill Mac-Kinley'a. Cła te z kolei przyczyniły się do tem szybszego rozwoju produkcyi, powstała więc hyperprodukcya, za nią zatkanie kanałów odbytu, zatem stagnacya i w końcu „krach," który nastąpił w roku 1894. W r. 1895 zaczął się powolny rozkwit, ale warunkiem, aby ten rozkwit trwał dalej, jest zdobycie nowych rynków. To wyjaśnia dlaczego ludność Stanów zjednoczonych nalegała niedawno na swego prezydenta, aby zaczął więcej energiczną politykę zagraniczną. „Ameryka powinna coś znaczyć w świecie", wołano, to znaczy jednakże: „przemysł amerykański łaknie zbytu", i znajdzie takowy.

*) Die Gewerkschaften und die Sozialdemokratie. Dresden 1896. II Auflage. Str. 14.

Jakie dziwne pojęcie o czasie wyrabia taki deszczowy poranek... ach, Boże!

Alfred był zmęczony i rozstrojony... o mało co nie minął jej domu.

Brama była otwartą; wychodził z niej chłopak, niósł dzbanki z mlekiem. Alfred postąpił spokojnie parę kroków; nagle, gdy już był na schodach, wróciła mu cała świadomość tego, co się stało, co się miało stać, o czem się chciał dowiedzieć. Zdawało mu się, że dotychczas był w półśnie i nagle go zbudzono.

Z bijącem sercem wstępował dalej.

Więc to były schody?... przedtem ich nie widział. Zmrok zalegał jeszcze, na ścianach paliły się gazowe płomyki... Mieszkanie było na piętrze.

Cóż to?... Drzwi stały otworem. Mógł dojrzeć przedpokój — nie było w nim nikogo.

Otworzył drzwi do kuchni — i tu nie było nikogo. Przez chwilę się wahał. W tymże czasie drzwi od pokoju się otwarły i wyszła służąca. Alfred poszedł do niej.

— Jak się miewa pani? — zapytał.

Dziewczyna spojrzała na niego bezmyślnie.

— Przed półgodziną umarła — rzekła. Zawróciła się i poszła do kuchni.

Jemu się zdało, że cały świat zamarł w jednej chwili; był przekonany, że teraz wszystkie serca bić przestały, ludzie ruszać się, wozy jechać, zegary chodzić. Czuł, jak wszystko, co żyło i ruszało się, przestaje żyć i poruszać się.

— A więc to jest śmierć! — wczoraj nie rozumiałem tego jeszcze...

— Przepraszam — powiedział ktoś obok niego.

Był to jakiś jegomość czarno ubrany, chciał wejść do sieni i Alfred zasłaniał mu wejście; odsunął się i przeprosił go. Tamten wszedł do mieszkania, zostawiając drzwi uchylone, przez które Alfred mógł dojrzeć w pokoju prawie ciemnym od zapuszczonych firanek, kilka osób, siedzących przy stole.

Wstali na przywitanie nowoprzybyłego i poszli razem do przyległego pokoju. Alfred stał ciągle przy wejściu i myślał:

— Tam ona leży... Niema tygodnia, jak trzymałem ją w swem objęciu... i ja nie śmiem tam wejść.

Usłyszał kroki na schodach. Dwie panie przeszły obok niego. Młodsza z nich miała oczy zapłakane. Była to z pewnością siostra, o której nieboszczka nieraz mu opowiadała. Jakaś starsza pani wyszła na ich spotkanie, objęła obie i zaczęła cicho szlochać.

— Przed półgodziną — mówiła starsza pani — niespodziewanie...

Nie mogła mówić więcej od łez; wszystkie trzy przeszły do pokoju zmarłej.

Nikt nie zwracał na niego uwagi.

— Nie mogę jednak stać tu ciągle — pomyślał. — Wyjdę, a za godzinę powrócę.

Wkrótce znalazł sie na ulicy. Ruch poranny już się rozpoczął; potrącali go przechodnie, mijały powozy.

Za godzinę będzie więcej osób i będę mógł wcisnąć się z nimi razem. Jak to pewność uspokaja jednak!... Już mi dzisiaj lepiej, jak wczoraj, chociaż ona umarła... Przed półgodziną... Za tysiąc lat nie będzie ona dalszą w mem życiu, jak w tej chwili... a jednak świadomość, że ona oddychała przed godziną jeszcze, daje mi wrażenie, jakby ona jeszcze coś wiedziała; coś, czego się nie przeczuwa za życia... może cała wieczność zawiera się tylko w tej nieuchwytnej chwili przy przejściu z życia do śmierci... Tak, teraz już skończone popołudniowe oczekiwania... nigdy więcej nie będę stał podedrzwiami — nigdy, nigdy!

Przed oczyma mignęły mu znów godziny niewysłowionego uroku. Przed kilku dniami jeszcze był tak szczęśliwy!... To było głębokie, błogie szczęście i tak zawodne. Ach, gdyby słyszał zbliżające się jej kroki... gdy w zamroczonym pokoju, przesiąkniętym wonią kwiatów i papierosów, siedzieli obok siebie bez słów, bez ruchu... Skończone dziś wszystko, skończone...

— Wyjadę, to jedno, co mogę zrobić. Czy wogóle będę mógł wejść jeszcze do mego pokoju! Będę zmuszony płakać, i długo, zawsze, zawsze płakać będę...

Przechodząc obok kawiarni przypomniał sobie, że od wczorajszego południa nic nie miał w ustach i zaszedł na śniadanie.

Gdy wychodził, biła dziesiąta.

— Teraz muszę pójść znowu tam, muszę przecież zobaczyć ją jeszcze — co zrobię?... Czy mi się uda?... Muszę ją zoba-

Miejscem zbytu będzie po części znowu Azya, a po części Ameryka południowa. Tak wyjaśnia się krzyk: „Ameryka dla amerykanów". Dla uprzystępnienia tego rynku trzeba przedewszystkiem przekopać kanał panamski, który otworzy Amerykę środkową i skróci drogę z przemysłowych miast do wybrzeży zachodnich południowego kontynentu. Mylą się zaś ci, którzy sądzą, że sprawa kanału utonęła w błocie skandalicznej afery, która o śmierć przyprawiła genialnego, lecz lekkomyślnego twórcę projektu. Już bowiem utworzyło się nowe konsorcyum bankowe w celu ukończenia budowy. I tym razem po prostu na trupach drobnych kapitałów pocznie rość i tuczyć się wielki kapitał.

Co do produkcyi złota została ona zrewolucyonizowana postępami w technice metalurgicznej, która pozwala dziś dobywać kruszec z pirytów złotych. Przed kilku jeszcze laty górnicy natrafiwszy w kopalniach złota na takie piryty porzucali, kopalnię, dziś pojawienie się tychże jest znakiem, że kopalnia ma widoki powodzenia. Drugą przyczyną było odkrycie złotodajnych żył o niebywałej wydajności w Transwalu. Jednocześnie zaś powiększyła się produkcya w Ameryce i Rosyi. O rozmiarach wzrostu ogólnej produkcyi niech świadczą następujące dane: cyfra wartości produkcyi w roku 1895 wynosi około 820 mil. marek, to jest dwa razy więcej niż wynosiła przeciętna w czasie 1873—1883, a o 50% więcej niż osiągano w peryodzie 1856—60, peryodzie najobfitszej dotąd produkcyi. Myliłby się zaś, ktoby sądził, że ta produkcya zmniejszy się tak prędko, jak wzrosła. Wydajność kopalni i pól złotonośnych niezależy bowiem jedynie od obfitości złota, ale w równej mierze od sposobów produkcyi. Przebieg jest tu zwykle taki: najpierw na wieść o odkryciu złotodajnego piasku rzucają się do poszukiwania awanturnicy bez grosza pieniędzy, z najprymitywniejszemi narzędziami, które składają się z sita, kubła, oskarda, łopaty. Szukają oni grubych ziarn i brył, drobne ziarna przepadają. Potem zaczyna się mechaniczne przemywanie na małą skalę, do którego już trzeba kapitału, należy bowiem sprowadzić wodę, pobudować śluzy i t. p. Lecz i tu jeszcze nie wszystek piasek zostaje przemyty i na tych samych polach, gdzie drobny kapitał nie znajduje już zysku, zaczyna się w końcu wielka produkcya, z maszynami parowemi do pompowania wody, z maszynami do kruszenia kamieni, zawierających złote żyłki i t. d. Otóż dotąd na polach złotonośnych Syberyi, Afryki, Australii wielka produkcya zaledwie się zaczęła, rozwinie się zaś z chwilą uprzystępnienia tych krain przez koleje, z chwilą rozwoju w nich warunków odpowiadających kapitalistycznej produkcyi. Tak samo ma się rzecz z przedsiębiorstwami górniczemi, które eksploatują kopalnie złota. Dotąd były one w rękach drobnego kapitału i dlatego z konieczności prowadzono tu gospodarkę rabunkową, zadawalniając się eksploatowaniem bardzo wydajnych żył i porzucając je z chwilą, kiedy przy prymitywnych urządzeniach nie można było ciągnąć zysków. I tu więc — piosenka się powtarza ciągle — wielki kapitał pozwala drobnemu wygryść sobie zęby, aby potem skorzystać z jego pracy pionierskiej i zagarnąć zyski. Tak właśnie dzieje się chwilowo w Transwalu. Dzisiejsi spekulanci w końcu pobankrutują, ale kapitał ulokowany w kopalniach pozostanie, tylko że zyski będą ciągnąć wielcy przedsiębiorcy, którzy po krachu zakupią te kopalnie.

Efekt zaś dla gospodarstwa międzynarodowego jest tem, że pojawia się obfity zapas gotówki, — gotówki nie sztucznej, jaką chcą stworzyć panowie bimetaliści przez uratowanie srebra ubezwartościowanego, lub zwolennicy papierków. Obfitość tej gotówki musi dać pochop do gorączkowej spekulacyi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

LITERATURA I SZTUKA.

Zofia Kowalewska.

przez

Laurę Marholm.

(Studyum psychologiczne.)

(Dokończenie.)

Choroba trwała krótko. Umarła w przeciągu kilku dni. Sama umarła, podobnie, jak głębią duszy żyła sama. Przyjaciółki, które czuwały przy niej w nocy i którym dziękowała tak gorąco, jak dziękuje się tylko obcym, udały się właśnie do domu, gdy rozpoczęła się agonia. Nikogo nie było przy niej, prócz obcej posługaczki. Umarła i spoczęła w kraju, który siły jej złamał.

VII.

Atoli z poza obrazu, jaki tu skreśliłam, wyłania się inny jeszcze wielki, ciemny, niewyraźny. Uchwycić go niepodobna, tak jak niepodobna uchwycić odbijającego się na tafli wód obrazu. Wyciągniesz rękę — rozpłynie się. Lecz po chwili zarysowuje się i staje przed tobą ciemny, wielki, tajemniczy.

Znając dzieje życia pewnego człowieka, wiedząc z jakich wyrosło stosunków, w jakich rozwinęło się warunkach, jakie człowiek ten posiadał skłonności, jakie przeszedł cierpienia i na jaką, umarł chorobę, sądzimy, że znamy go dokładnie. Mamy przed oczami wizerunek mniej lub więcej szczegółowy, sąd o nim mniej lub więcej psychologicznie w świadomości naszej uzasadniony. Życie Zofii Kowalewskiej jest zaś jednem z tych, które z pozoru żadną nie są osnute zasłoną. Była otwarta, chętnie się udzielała, interesowała się sama psychologicznym swoim rozwojem, niczego nie miała potrzeby ukrywać; znało ją mnó-

---

czyć... muszę! moją ukochaną, zmarłą Annę zobaczyć po raz ostatni. Lecz czy mnie wpuszczą do jej pokoju?... Pewnie będzie dużo osób, wszystkie drzwi będą otwarte...

Poszedł.

W bramie spotkał się ze stróżką, pozdrowiła go, gdy przechodził: na schodach minęli go jacyś dwaj panowie. W przedpokoju znajdowali się również ludzie, drzwi były na ścieżaj otwarte — wszedł. Jedna firanka była podniesiona i trochę światła wpadało do pokoju. Kilkanaście osób siedziało, stało, rozmawiało po cichu. Wiekowa dama, którą widział przedtem, siedziała złamana bólem w rogu kanapy. Gdy przechodził, spojrzała na niego; zatrzymał się i wyciągnął rękę do niej.

Skinęła mu głową i zaczęła znów płakać.

Rozejrzał się wokoło; drzwi, które prowadziły do przyległeego pokoju były zamknięte. Zwrócił się do jednego z panów, który stał przy oknie, bezmyślnie patrząc przez szparę w firance...

— Gdzie ona leży? — zapytał.

Pan wskazał ręką na prawo. Alfred otworzył ostrożnie drzwi. Olśniło go światło, które uderzyło mu w oczy. Znajdował się w świetlnym pokoiku o złoconych tapetach i niebieskich meblach.

Nie było tam nikogo.

Drzwi do następnego pokoju były tylko przymknięte. Wszedł. To była jej sypialnia.

Okienice były zamknięte; paliła się lampa. Na łóżku leżała zmarła. Kołdra nasunięta była aż pod brodę; na nocnym stoliku przy głowie paliła się świeca, której światło padało na twarz zmarłej, szarą, jak popiół. Nie byłby jej poznał, gdyby nie wiedział, kto to jest.

Pomału zaczął w niej dopatrywać się podobieństwa, powoli stawała się ta Anna, jego dawną Anną i po raz pierwszy w tym okropnym dniu uczuł łzy pod powieką. Piekący ból przeszył mu piersi, chciałby był krzyczeć, upaść przed nią na kolana, całować jej ręce...

Teraz dopiero zauważył, że nie był sam. Ktoś klęczał u nóg zmarłej, ukrywszy głowę w kołdrze, trzymając rękę zmarłej w swoich rękach.

W chwili, gdy Alfred postąpił krok, aby się zbliżyć, ten drugi podniósł głowę i spojrzał na niego mętnemi od płaczu, zaczerwienionemi oczyma.

Był to jej mąż.

Nagle Alfred pomyślał: co mu powiem?... Poczuł jednak w tejże chwili, że klęczący ścisnął go za rękę i szeptał głosem, od łez przerywanym:

— Dziękuję, dziękuję!...

Potem odwrócił się znów, opuścił głowę na kołdrę i łkał po cichu.

Alfred stał i wpatrywał się z dziwną uwagą w twarz zmarłej. Łzy zniknęły gdzieś i ból jego nagle zamarł. Czuł, że kiedyś to spotkanie wyda mu się dziwacznem, a nawet śmiesznem. Sam wydałby się sobie komicznym, gdyby zaczął teraz z nim szlochać.

Zwrócił się ku wyjściu.

Przy drzwiach zatrzymał się i obejrzał... Płomień świecy zdawał się kreślić lekki śmiech na ustach Anny. Skłonił się, jakby się z nią żegnał, a ona mogła była to widzieć.

Chciał już odejść, zdawał się jednak przykuty tym uśmiechem. Wydawało mu się, że pojmuje ten pogardliwy, nieznany mu uśmiech; znaczył on: „kochałam cię, a ty stoisz tu, jak obcy i zapierasz się mnie!... Powiedz-że mu, że należałam do ciebie, że ty masz prawo klęczeć przed mojem łóżkiem i całować moje ręce. — Powiedz mu to! Dlaczego mu tego nie powiesz?..."

Nie miał odwagi. Zasłonił oczy ręką, aby nie widzieć tego uśmiechu...

Na palcach wyszedł z pokoju i zamknął drzwi za sobą. Poszedł przez oświetlony salon, przecisnął się pomiędzy tymi, co zapełniali pierwszy pokój; śpiesznie przebył sień i schody, a gdy wyszedł za bramę, przyśpieszył kroku i prędko uchodził zawstydzony dalej...

Zdawało mu się, że nie śmie być smutnym, jak inni, że go goni mara ukochanej zmarłej, której się musiał zaprzeć wobec ludzi i całego świata.

KONIEC.

stwo ludzi w całej Europie, żyła na widowni i umarła na zapalenie płuc, które było następstwem influenzy.

W ten sposób pojęła ją też pani Leffler, kreśląc rozumny obraz, w rozumne ujęty granice.

W obrazie tym jest wszystko, prócz — niej samej.

Ellen Key poprawiła i wypełniła ten rysunek, włożyła w pracę swoją subtelność i ciepło serdeczne, uchwyciła wszystko — prócz Zofii Kowalewskiej.

To zaś, co ja w szkicu tym przedstawiam — w tem przeświadczeniu, że wrażeniami, których sama w młodości doznałam w Rosyi, i temperamentem bliższą jej jestem od dwóch moich poprzedniczek — jest wprawdzie analizą jej życia, lecz nie jest nią samą.

Rzekłbyś, że stoi przed tobą bajecznie wielkie jak cień, rzucony przez wschodzący księżyc, widmo, które zdaje się rosnąć w miarę, jak mu się przyglądasz. I pytam sama siebie: kto ona jest?

Nie wiem. A i ona sama nie wiedziała. Żyła — to prawda. Ale własnem, prawdziwem, indywidualnem życiem nie żyła nigdy.

Więc stoi oto, niby postać, która wyszła z mroku i w mrok poszła. W najdrobniejszych rysach, w rozproszeniu, rozcząstkowaniu gorączkowego a bezcelowego życia jest dziecięciem czasu i typem kobiecym, przez prąd tego czasu urobionym. Geniuszem jest — na nic, kobietą — na nic, istotą — bez tchu biegnącą do celów, poza którymi tkwi pustka, człowiekiem, ginącym z głodu przy zastawionym fikcyjnemi potrawami stole, stworzeniem — śmiertelnie znużonem, a bojącem się śmierci. Umiera wreszcie, ponieważ instynkt samozachowawczy na chwilę w niej zamilkł, i ludzie czczą ją nekrologami, by zapomnieć o niej dla najbliższej nowości. Lecz poza tem wszystkiem jest jeszcze inna postać, o n a s a m a, umarła, która wiecznie żyć będzie: siła żywotna, taka gorąca, wulkaniczna, jak rozżarzone wnętrze ziemi, kobiéta w każdym calu i więcej niż kobieta. Mózg, który oderwał się od płci, myślał samodzielnie i wchłonięty był znowu przez płeć, by jej uledz; dusza, pełna mistycyzmu, wiedziona nieraz przez ducha czasu na manowce, lecz widząca w chwilach ekstazy wieczne oblicze wszechrzeczy. Królewski duch kobiecy, który karmił setki żebraków, rozdawał się wszystkim, a nie objawił się nikomu.

„Gdy podawała rękę — mówiła mi Ellen Key — zdawało się, że sfrunął w dłoń mały ptaszek o drzących skrzydełkach i bijącem głośno serduszku“. Zaś Hilma Strandberg, autorka, która podówczas znakomicie karyerę rozpoczęła i którą poźniej losy odegnały daleko od pierwszych początków, tak mówi o pierwszem swojem z Kowalewską spotkaniu: „Zdawało mi się, że „przejrzała“ mnie wzrokiem na wylot, jak nikt dotychczas; potem zaś doznałam uczucia takiego, jak gdyby powoli, stopniowo istota moja, z jej woli, rozpływałą się w nicość...“ Było to uczucie fizyczne, które spotęgowało się tak gwałtownie, że prawie zemdlała i z trudem zdołała wrócić do domu.

Dwa te rysy zdradzają, co w osobie Kowalewskiej najsilniejsze wywierało wrażenie: oczy i ręce. O tym jej przenikającym ludzi nawskroś wzroku dużo przechowało się anekdot; o rękach jej wspominają tylko Ellen Key i pani Leffler, która wzmiankuje, iż ręce Zofii wcześnie zeszpecone były przez żyły. Uwagi te wystarczają dla dopełnienia tego wrażenia, jakie uczyniły na mnie ręce jej na portrecie, są to małe rączki dziecięce, o cienkich, nierównych, trwożliwie i nerwowo zaciśniętych paluszkach; jedną rączką tak kurczowo, z tak widocznem naprężeniem obejmuje obojętną książkę, że patrząc na to, czuje się boleść i żal.

Ręce częstokroć lepszym bywają materyałem psychologicznym, aniżeli twarz. Twarz można opanować, rąk opanować niepodobna. Są ludzie o delikatnych, mądrych, uduchowionych obliczach, którym kłam zadają ręce grube, mięsiste, gładziutkie, o grubych, tępych palcach. I są twarze okrągłe, ciepłe, zmysłowe o pełnych, nieraz wprost grubych wargach, twarze, którym jednak tak boleśnie kłam zadają blade, żylaste, chore ręce. Twarz Zofii opanowana była przez przenikliwy wyraz jej oczu, przez intenzywne zaciekawianie się każdem zjawiskiem, przez wszystko, co na zewnątrz jej leżało. Ale słabe, naprężone, nerwowo drżące jej rączki opowiadały o cierpieniach bezradnego dziecka, któremu nigdy nie sądzonem było stać się kobietą.

K O N I E C.

Dyssonanse.

Charakterystyczną cechą nowych czasów w porównaniu do wieków minionych jest odmienny stosunek jednostki do społeczeństwa. Dawniej społeczeństwo było małem kółkiem sąsiadów, współobywateli i przyjaciół, dziś — w obec rozwoju stosunków międzynarodowych — stał się człowiek obywatelem świata i z tego tytułu łączą go losy wspólnością dążeń najczęściej z ludźmi, których on nie zna, ani oni jego. Dawniej — jednostka wobec współrzędnych jednostek — dziś stanął on w obec potęgi bezimiennej, prądu społecznego, masy, tłumu, jednostki zbiorowej, która mu często swą wolę narzuca lub mu się poddaje, zawsze jednak żąda ukorzenia się przed swemi ideałami. A on nauczył się uważać ją za coś jednolitego, bo jednolitość dążeń i czynów ją znamionuje w każdym pojedyńczym przypadku. Gdy on jest słaby, mało indywidualny, jaźń zbiorowo wchłania go w siebie i tworzy z niego cząstkę swej siły, lecz gdy on, jak Dr. Stockmann z „Wroga ludu“ Ibsena, nie zechce hołdu złożyć jej bożkom, gdy powie sobie że najsilniejszym jest ten, co sam stoi, gdy człowiek znajdzie w sobie odwagę do zdeptania uznanych dogmatów społecznych, wtedy wywiązuje się walka tragiczna, w której ginie zazwyczaj jednostka pod brzemieniem „winy“.

Najcharakterystyczniejsza cecha współczesnego kierunku ducha — pesymizm — opanowuje moralne strony współczesnego bohatera. O ile sceptykiem nie jest — jest pesymistą. Zmierzywszy się z jednostką zbiorową przyjść musi do poczucia zależności swej, swej znikomości w obec przemagającego prądu, w obec porządku społecznego, który jednostkę zepchnął na plan dalszy, który jej wolę ujarzmił świadomością niewoli, a czyn ujął w żelazne pęta konieczności.

Dziś jednostka znaczy daleko mniej niż dawniej, bo nie stoi w obec szczupłej garstki swego najbliższego otoczenia, lecz przed obliczem całej ludzkości, — tego olbrzyma, co ofiar wymaga i ofiary bierze w imię postępu, w imię cywilizacyi: symbolem jej jest tryumfalny pochód kapłanów Brahmy, którzy stąpając depczą po ciałach wybrańców.

Dziś czuje się jednostka porwaną przez prąd społeczny pomimo protestów i oporu, jak przez orkan porwany jest drobny pyłek w szalony wir masy; to znów jest ona jakby przykutą do miejsca, przez które zsunąć się ma tocząca się z góry lawina, miażdżąc i porywając ze sobą wszystko; — to znów społeczne jej uwarunkowanie jest dla niej murem, który jej drogę zastąpił, a głową go przebić nie można...

Ustrój społeczny prowadzi dziś człowieka często w położenie bez wyjścia, zamyka go w matni bez winy i nieubłaganą prawicą kreśli mu w losach wyrok pełen tragicznej grozy, w bezbronną jego głowę ciska pioruny i każe mu cierpieć lub ginąć za winy, których nie popełnił. Cóż dziwnego, że odzywa się w nim głuchy protest i dyssonansem brzmi w silniejszym porządku społecznym, cóż dziwnego, że chce odezwać się, chce być panem swych losów, chce rządzić się swem prawem i swą moralnością.

Dyssonans pomiędzy bohaterem a biegiem wypadków zawsze był źródłem tragiczności; lecz choć bohater dzisiejszy, zarówno jak bohater starożytny, ginąć ma bez winy, Ananke starożytna inną dziś przybiera postać: dziś jest ona istniejącym porządkiem społecznym, jest przyjętym przez świat kodeksem moralnym, jest sumą praw zwyczajowych, lub jest koniecznością ekonomiczną! — a mniejsza z tem, jak ją nazwiemy, zawsze stanowi dyssonans z dążeniami bohatera, zawsze ujmuje go w swe kleszcze i każe mu cierpieć — za swą indywidualność. Indywidualność jest zawsze największą zbrodnią w obec życia społecznego, bo ona jest źródłem dyssonansu. Epoka, jak nasza, co nowem łożyskiem pchnąć ma bieg życia w tylu rozmaitych dziedzinach, wydawać musi dużo takich dyssonansów. Bohaterowie jej też tragicznie kończyć muszą, bo godłem ich jest dyssonans.

Ich wina jest zagadką. Jeśli winą jest niezdradzanie swych przekonań, niesolidaryzowanie się z najsilniejszym prądem, obrona swej indywidualności, choćby kosztem najdotkliwszego rozdźwięku z całym światem — to są winni. — Oprócz „Tkaczy“ Hauptmanna jest „Nieboska komedya“ dziełem o równie szerokim zakroju, gdzie bohaterowie występują na tle olbrzymich prądów społecznych, a towarzyszy im jawnie ich Ananke.

Gdzie wina hr. Henryka? — wina to jego ojców, to coś problematycznego, co mu się udzieliło, przechodząc drogami nieznanemi dla krótkowidzącej sprawiedliwości jednostek.

Lecz nietylko pokolenie za pokolenie pokutuje, nietylko dla tego synowie są winni, że ojcowie zawinili, lecz całe warstwy społeczne stają się winnemi, jeśli to leży w interesie ogółu, jeśli stanowić to ma o utrzymaniu równowagi społecznej.

Jest dyssonans straszny między sprawiedliwością społeczną i poczuciem sprawiedliwości u jednostki, a jako ofiara tego dyssonansu jęczą narody całe, warstwy społeczne i jednostki. Sprawiedliwość społeczna nie jest dla nich nigdy Bogiem łaskawym, tylko gromowładnym Jehową. Komedya życia każe być im winnymi, więc są — ale nie zawinili, jako żywo.

B e r l i n. *Kazimierz Rakowski.*

Z estrady i sceny.

(Sprawa kobiet. Komedya w 4 aktach p. M. Bałuckiego.. — Nowe siły w „Niobie“.)

Powiedział niedawno jeden z recenzentów krakowskich, ze publiczność już śmiać się przestała na komedyach Bałuckiego. Zdaje mi się, że nieco za rychło śmiech ten pochowano. Nie mówię o niedzielnej publiczności naszej, bo ta śmieje się zawsze, bez względu na to, czy Papkin pisze testament, czy Lear Szekspirowski przeklina córki wyrodne, — lecz mówię tu o sobotniej premierze, witanej salwami śmiechu przez widzów licznie zebranych. Humor Bałuckiego omdlał nieco w ostatnich latach, lecz jakby podrażniony proroctwami zgonu bliz-

kiego, głoszonemi przez usta krytyki, ożywił się nagle i zaludnił scenę rojem wesołych sytuacyi i typów. Niech jednak nikt nie sądzi, że autor „Flirtu“ odmłodniał. Jest to nasz dawny Bałucki, tylko nieco odświeżony: Stare typy, stara technika, stare efekty i stara psychologia, rozkochana w najprostszych mechanizmach dusz ludzkich i gardząca subtelnym kolorytem uczuć. Nową jest chyba karykatura emancypantki, — nową u Bałuckiego, bo na zagonach swojskiej i cudzej literatury spotykaliśmy już niejednokrotnie tę płaską satyrę. Poważny tytuł najnowszej komedyi Bałuckiego osłania farsowe sytuacye i farsowe typy, a w obec tego nasunąć się musi pytanie, czy istotnie emancypacya kobiet na polskiej ziemi tak groźne przybrała rozmiary i w tak niedorzecznych przejawia się formach, że już potrzeba trywialnego śmiechu, grymasów żółciowych i karykatury, by powstrzymać cudactwa nowego ruchu i biczem ironii prostować skrzywienia dążeń kobiecych. Niewątpliwie wykazują dzieje emancypacyi na swojskim gruncie pewne wybujałości śmieszne, właściwe wszystkim ideom-noworodkom, niewątpliwie mogłaby Warszawa wymienić pewne nazwiska feministek, dyskredytujących sprawę emancypacyi pretensyonalną przesadą, fałszywem doktrynerstwem i tem niedorzecznem apostolstwem, głoszącem walkę spódnic z surdutami na śmierć i na życie, — lecz są to bądź co bądź nader rzadkie wyjątki, które zdrowego ruchu naszej emancypacyi kobiecej spaczyć nie są w stanie. Ktoby z sztuki p. Bałuckiego chciał sądzić o „S p r a w i e k o b i e t“, ten zaiste byłby podobny temu, kto jarmacznego krzykacza patryotyzmu typem patryoty mianuje, lub monstrualne dziecko o dwóch nosach i czterech oczach za wzór gatunku „homo“ uważa. Nasza „Sprawa kobiet“ ma dotychczas zupełnie inne oblicze, i ten ogólnikowy tytuł najświeższej komedyi Bałuckiego jest fałszem krzywdzącym zdrowy ruch emancypacyjny. Niechby autor, jeżeli taka wola jego, czerpał swoje typy z nielicznych klubów feministek, ale niech w takim razie, zamiast „Sprawy kobiet“, w etykiecie jego komedyi figuruje: „Dziwoląg w spódnicy“. Wtedy do śmiechu naszego nie zakradnie się przykre uczucie niezasłużonego policzka, któremu myśląca publiczność na sobotniej premierze chwilami oprzeć się nie mogła.

A mimo to rozbrzmiewał teatr wesołością. To już zasługa autora-artysty, któremu szeregiem scen dobrze pomyślanych i szczerym humorem okraszonych udało się w części przynajmniej uśpić nieprzyjemne refleksye. Nie są to francuskie, za wachlarzem ukrywane uśmiechy i uśmieszki, któremi darzy nas autor krakowski, lecz znowu ta jędrna, szeroka, rodzima wesołość, bijąca ku nam z „Grubych ryb“ i „Domu otwartego“. Wydelikacony smakosz literacki nie znajdzie w tym szorstkim, trywialnym często humorze ulubionych narkotyków, lecz po oranżeryjnych zapachach nadsekwańskiej komedyi dobrze jest czasem odetchnąć tą atmosferą swojską, poczciwą, naszą. I dla tego, mimo całej jednostajności i grubej tkaniny, właściwej komedyom Bałuckiego, lubię od czasu do czasu poddawać się działaniom jego humoru, lubię tem więcej, że te typy z pod szlacheckiej strzechy, któremi w komedyach swoich bawi nas i rozrzewnia, nikną mi z przed oczu. Wiem dobrze, że wszystkie jego słodkie podlotki, poczciwe chłopcy, stare matrony, rubaszni krzykacze, zgryźliwe panny, wszystkie te złota serca, szerokie usta, płytkie mózgownice, fałszywe cnoty, i wydęta zera, jednem słowem cała galerya typów wiejskich i małomieszczańskich powraca stale w każdej komedyi jedna i ta sama, z drobną zaledwie zmianą fizyognomii, — lecz każda z postaci Bałuckiego ma dużo rodzimej, lubo karykaturalnej prawdy, a niejedna z nich ginie bezpopotomnie. Chciałoby się nieraz czas w biegu zatrzymać, — „V e r w e i l e d o c h, d u b i s t s o s c h o n“ — i dla tego wybacza się Bałuckiemu chętnie pewne ubóstwo fantazyi i brak analizy, — i dla tego słucha się z upodobaniem tych gasnących dźwięków.

Oceniając ze stanowiska artystycznego najnowszy utwor krakowskiego autora, trudno pominąć milczeniem uczuciową stronę jego komedyi — to tchnienie serdecznego ciepła, które rotaczać umie na scenie. Recepta na ogrzewanie sztuki nie istnieje żadna. To tajemnica talentu, której w formułce wyrazić nie można, trzeba się z nią urodzić i w krwi ją posiadać. Scena tak często bywa prawdziwem, lecz zimnem odbiciem rzeczywistości, — Bałucki umie życiu wykradać rumieńce i niemi świat desek ożywiać. Ta zdolność tworzenia atmosfery właściwej jest, obok zręcznego dyalogu i humoru sytuacyi, wybitną zaletą „Sprawy kobiet“, i gdyby nie pewna ospałość akcyi w dwóch pierwszych odsłonach, gdyby nie pospolitość niektórych konceptów obliczonych na gusta galeryi, gdyby wreszcie nie przyklejone sceny ze śpiewem i tańcem, snać napisane z tendencyą zaostrzenia apetytu teatrzyków ogródkowych w Warszawie, — to w dziedzinie twórczości Bałuckiego najnowsza sztuka niepoślednie zajęłaby miejsce.

Wykonaniu sobotniej premiery tak pod względem zewnętrznej wystawy jak reżyseryi i interpretacyi należy się poklask gorący. Nowa naiwna sceny poznańskiej, p. B i e r n a c k a, posiada może głos niezupełnie dźwięczny, lecz nutą rzewnego liryzmu, serdecznej prostoty i wiosennej świeżości porywała publiczność. Za często tylko artystka mówi do lóż i krzeseł, za często uczuć nam daje, że świadomą jest lornetek wymierzonych na scenę, co niewątpliwie przekupuje widzów przeciętnych, lecz gasi nieraz złudzenie prawdy. Panna Biernacka nie ma potrzeby kokietować publiczności, bo i bez kokieteryi podbije ją talentem swoim.

Po raz pierwszy też wystąpiła na poznańskiej scenie panna T a ń s k a, dawniejsza bohaterka sceny Stanisławowskiej. Gra jej dyskretna i opiłowana zdradza dobrą szkołę, — zdaje się jednak, że talent to nieco zimny, roztapiający się z trudem w ton miękki, uczuciowy. I dla tego przebudzenie serca w poważnej sawantce miało kilka akcentów nieszczerych. Lubię tę metodę realistyczną, właściwą grze p. Tańskiej, pragnąłbym tylko więcej krwi i temperamentu, mianowicie w komedyach Bałuckiego. Pani K r ó l i k o w s k a, w roli śmiesznej emancypantki rozwinęła wiele charakterystycznego talentu i prowadziła typ swój stylowo od początku do końca sztuki. Gdzieniegdzie tylko czuć było suflera. Gra panny J u t k i e w i c z wreszcie, której dyrekcya powierzyła sympatyczną rolę Wisia, zdradza dużo rutyny i wdzięku. Mianowicie mimika przy końcu aktu drugiego świadczyła o finezyi artystki.

Z ról męskich zasługują w pierwszym rzędzie na wyszczególnienie pp. O l s z e w s k i, K n a p c z y ń s k i i K a r p o w i c z. Humor pierwszego był nieco suchy, ale charakterystyka postaci przemądrzałego ekonoma Swarka, ujęta w karby artystycznej miary, odznaczała się starannem wykończeniem i konsekwencyą. Pan K n a p c z y ń s k i, pomijając wadliwą chwilami dykcyą, porywał jak zwykle temperamentem, swobodą i doskonałą mimiką, a nowo zaangażowany artysta p. K a r p o w i c z celował sympatyczną prostotą. Pan T a r a s i e w i c z, w roli roztopionego spojrzeniem Zosi sensata, nie umiał dostroić się do atmosfery Bałuckiego. Zdaje się, że talent ten odsłoni wartość swoją dopiero w poważnych dramatycznych rolach. Z reszty artystów wywiązali się z ról swoich poprawnie p. p. J a k u b o w s k i i C z e r n i a k, doskonały, lubo nieco rozkochany w karykaturze, przedstawiciel ról chłopskich. Pan R a c z e w s k i natomiast w roli szlachcica Jacka zanadto markował ekonoma i ujaskrawił niepotrzebnie koloryt Bałuckiego.

* * *

W ubiegły wtorek wznowiono na scenie naszej „Dzienniczek Justysi“ i wesołą krotochwilę Paultona „Niobe“. W sympatycznym utworze Kościelskiego celował R y g e r niezrównanym artyzmem, a w angielskiej farsie zaprezentowała się korzystnie w charakterystycznej roli „starej kocicy“ panna M o d r z e w s k a, oraz tytułowa bohaterka p. A u d r a n. Niobe wtorkowa miała klasyczne kształty, koturnowe ruchy i koturnową deklamacyę z drobną przymieszką sztucznej, lecz przez autora pożądanej afektacyi. Kontrast klasycyzmu rzuconego na tło nowej cywilizacyi wystąpił w barwach soczystych i liniach stylowych, — ze względu jednak na oryginalną odrębność swoją, rola Nioby o właściwych zdolnościach p. A u d r a n nie pozwala wydać stanowczego sądu. Pan B e r s k i objawił również w dobrze wycieniowanej roli pociesznego kochanka Nioby, że od chwili, gdy scenę poznańską opuścił, pielęgnował starannie swój talent.

Z nowych artystów wymienić jeszcze wypada p. P r o c h a s k ę i p. S t r ó ż e w s k i e g o. Pierwszy odtworzył epidemiczną rolę swoją bez zarzutu, drugi natomiast budził niesmak mimiką i dykcyą pretensyonalną. W grze p. S r ó ż e w s k i e g o czuć bezustannie, że chce się ruszać, chce „grać.“ Swoboda jego to sztuczne rzucanie się po scenie — nic więcej.

Władysław Rabski.

TO I OWO.

Masoni.

Zwracaliśmy już kilkakrotnie uwagę, jak niedorzeczne są ulubione w czasopismach poznańskich baśnie o potężnych wpływach stowarzyszenia Masonów na stosunki polityczne i umysłowy rozwój Europy. Konserwatywne dzienniki nasze rzucają tym „strasznym“ wyrazem przy każdej sposobności. Ilekroć kościelna polityka dozna niepowodzenia, ilekroć pojawi się książka o liberalnych tendencyach, ilekroć ruch rewolucyjny szarpnie nerwami Europy, ba! ilekroć wstąpią na gruncie naszym ludzie niezupełnie rozkochani w ideałach „ładu i porządku“, zawsze spycha się całą winę na jakichś „Masonów“, którzy rzekomo gdzieś w ukryciu knują zamachy swoje na spokój społeczeństw i powagę kościoła, a tak są niebezpieczni, że walka z nimi jest najpoważniejszym postulatem chwili obecnej. Świeżo odbyty kongres trydencki znowu dał wyraz tej dziwacznej trwodze przed urojoną potęgą. W odczytach tam wygłoszonych i w obradach publicznych dźwięczało bezustannie słowo „Mason“, jak echo trąby ostatecznej, i ludzie drżeli przed czemś, co jak szatański czarnoksiężnik nieobliczonym swym wpływem na manowce, nad przepaść wiedzie Europę. W obec tych głosów wystąpił „Dziennik krakowski“ z dłuższym artykułem, kórego kilka ustępów przytaczamy poniżej, lubo nie na wszystkie szczegóły tam zawarte zgodzić się możemy:

„Czy są doprawdy — mówi wyżej wspomniane pismo — ludzie tak naiwni, by przewrót, jaki w ostatnich wiekach zupełnie umysł ludzki przekształcił, mogli przypisać wolnomularzom? Czy Kopernik, Monteskiusz, Wolter, Rousseau, Laplace, czy Kant, Marks, Darwin, wszystkie te potęgi, na których łonie duchowem wychowały się młodsze poko-

lenia ludzkości, należą do wolnomularstwa? Czy nowoczesne państwo, które utrzymuje szkoły przesiąknięte ich duchem, istotnie pozostaje pod wpływem garstki marzycieli lub komedyantów, uprawiawiających wśród zamkniętych murów misterye śmiechu godne?

....Wolnomularstwo brzmi dziś dla nas, ludzi nowoczesnych, jak dźwięk dawno przebrzmiały, przypomina alchemików, templaryuszy, illuminatów, ma na sobie w najlepszym razie płaszcz zblakłego romantyzmu, pod którym się kryje donkiszoterya idei. W najlepszym razie, bo jakżeż często okrywa ten płaszcz dusze nędzne i nikczemne! Podług statutów swoich ma masonerya dwa cele: zewnętrzny i wewnętrzny. Pierwszy polega na czynach filantropijnych, na niesieniu pomocy „braciom“ i bliźnim, na szerzeniu oświaty i pojęć humanitarnych; drugi obejmuje pracę cichą, duchową, doskonalenie się serca, pogłębianie idei filozoficznych. Tyle — w statutach. Może były one życiem za czasów pierwszej młodości, u pewnych idealistów. Teraz, jak można im przypisać jakiekolwiek znaczenie wolnomyślne, skoro się widzi na czele ich lóż takie osobistości, jak cesarza Wilhelma I i innych Hohenzollernów, jak księcia Walii i jemu podobnych? Jak można im przypisać chęć burzenia, skoro w klasycznym swym kraju, we Włoszech, mają na czele takich zbrodniczych pachołków reakcyi, jak Crispi? Dawno już pozbyli się wszelkiego balastu idealistycznego i utonęli w kałużach crispiańskich... W cieniach przeszłości ich miejsce, w składzie zabawek i dziecinnych misteryi, lub galeryi komedyantów ludzkości — klerykali powołują ich jednak napowrót do życia, przywracają im część popularności.

Ten tylko, a nie inny rezultat przyniesie kongres. Cóż zajmowało najwięcej uczestników? Sprawa miss Vaughan. Mianowicie nakładem eucharystycznego pisma „Pelikan“ w Feldkirch wyszła niedawno książka p. t. „Tajemnica piekła, czyli miss Diana Vaughan, wydana przez dra Michała Germanusa“. Zawiera ona „odkrycia“ uczynione rzekomo przez sławetnego wolnomularza Maigrottę, a odnoszące się przeważnie do jego stosunków z... dyabłami. Tak jest, odprawiali razem nabożeństwa, do czego potrzebują kradzionych hostyi, a zażyłość dochodziła do tego stopnia, iż dyabeł Vitru d. 18 paźdz. 1883 zjawił się w pewnej loży rzymskiej, gdzie wobec Criskiego, Lemmiego i innych obwieścił, że jedna z obecnych, Zofia Walder, ma pojechać do Jerozolimy, gdzie dnia 29 września 1896 zostanie babką antychrysta. Zajście tej loży jest w owej książce illustrowane „fascimilowanym podpisem dyabła“, który nosił tytuł: *Sanctus Daemon Primarius Praeses*...

I uwierzyć, że żyjemy z końcem XIX wieku, gdy czytamy takie książki!? I słuchać spokojnie, gdy i w nasze społeczeństwo łość ciemne wnoszą takie nauki, przetłomaczywszy owe dzieło „miss Vaughan“, która zapewne nigdy nie istniała“, na język polski aż w dwóch pismach warszawskich?!!“

NA WYŁOMIE.

Jak powstała myśl uniwersytetu ludowego w zaboże pruskim? — Doniosłość projektu. — Brak ludzi i jego przyczyny. — Malgre tout.

Pod firmą „uniwersyteckiej drużyny ludowej“ ogłosiły pisma codzienne przed niedawnym czasem projekt stworzenia u nas instytucyi, wzorowanej na amerykańskiej i angielskiej „*university extension*“, której „Przegląd poznański“ poświęcił przed miesiącem kilka szczegółowych artykułów. Projekt obecny jest własnością p. Joachima Sołtysa z Kluczborka, — myśl pierwszą jednak rzucił przed rokiem p. Walery Łebiński na posiedzeniu wydziału historyczno-literackiego Tow. Przyj. Nauk. Wonczas rozkochana w cmentarzach akademia nasza uznała myśl samą za dobrą, lecz oświadczyła stanowczo, że z królestwa mumii nie wychyli głowy i na rynki życia nie poniesie pracy. Wnioskodawca umilkł. Milczały dzienniki, a śp. Franciszek Dobrowolski oświadczył ironicznie, że „autor projektu marzy o pomniku za życia.“ Jeden tylko „Przegląd poznański“ szepnął tam coś niby słowo żalu a niby krytyki o zmumifikowanych instytucyach naukowych i wrodzonej starym powagom odrazie do młodych działaczy publicznych, a potem nie straciwszy nadziei, że kropla za kroplą i nasze kamienie wydrąży, postarał się o szeroki obraz amerykańskich uniwersytetów ludowych i obraz ten poniósł w szeregi inteligencyi naszej. Z rzuconego ziarna kłos strzelił niebawem. Pan Joachim Sołtys naszkicował statuty dla nowej organizacyi oświaty i zagrał gromką pobudkę, wołającą do szeregu prelegentów ludowych. Powstać ma w ziemiach naszych drużyna inteligentnych miłośników ludu, którzy pójdą od miasta do miasta i z jednej wioski do drugiej, by rozjaśniać mroki, zalegające niziny społeczne. Kto uważnie odczytał artykuły pani Kodisowej, ogłoszone w łamach pisma naszego, ten chyba zrozumie doniosłość tego zamiaru i oceni należycie wpływy, jakie uniwersytet ludowy w naszych warunkach wywierać musi na masy ciemne lub w półmrocznym zmierzchu wegetujące. Wszystko, co mówią o niezwykłej oświacie ludu naszego, wszystko, co niedawno jeszcze rozbrzmiewało dźwiękami dumy w „Kraju“ petersburskim, mieści wiele, bardzo wiele przesady, i byłoby szaleństwem spocząć nieruchomie na laurach wątpliwych, pieszcząc się fikcyjną potęgą światła, królującą rzekomo w nizinach naszych. Idźcie na zachód, starajcie się zgłębić tam kulturę wydziedziczonych, a wtedy myśl smutna pobiegnie do rodzinnej ziemi i skarzyć się będzie, że w pochodzie ludów nam rola ciurów została.

Oczywiście przesyłając moje „Szczęść Boże“ uniwersyteckiej drużynie ludowej, nie robię sobie najmniejszych iluzyi, że jednem „Stań się!“ stworzymy organizacyę wielką, żywcem z amerykańskiej ziemi na polski zagon przeniesioną. Wiem, że na razie ani o osadach uniwersyteckich, ani o klubach towarzyskich wśród ludu, ani o „gildach sąsiadów“, o systemie Chantauqua, o wędrownych muzeach, o „sommer-schools“ mowy być nie może, — wiem, że na razie cała akcya ograniczyć się musi do zorganizowania drużyny prelegentów, która na każde zawołanie stanie do apelu a nawet niewołana starać się będzie o to, aby ją wołano. Ciągłość pracy nad kulturą serc i umysłów, opierająca się u nas przeważnie na jednej klasie, musi znaleźć dobitny wyraz w przekonaniu, że wychowanie ludu na szkole ludowej kończyć się nie powinno, że społeczeństwo ma obowiązek utrwalenia i rozwijania tych zdobyczy umysłowych, któremi wychowańców swoich darzy szkoła ludowa. My kształcimy się ciągle w tej lub owej formie, — zasadę tej ciągłości zastósować należy i do najmłodszych braci. Wprawdzie drużyna prelegentów to tylko prymitywny zaczątek tego ruchu, który tak wspaniałe owoce wydał w Ameryce i Anglii, wprawdzie drużyna taka wyrzec się na razie musi potężnych wpływów towarzyskiego obcowania z ludem, które w uniwersyteckich osadach nowego świata jest pierwszą zasadą rozwoju, bo wyżej dusze podnosi od zimnego słowa katedry, — lecz połóżmy przedewszystkiem fundamenty, zainteresujmy lud, nauczmy go pożądać światła, a jutro stanie gmach wielki.

Dziś prelegentów nam trzeba. Czy znajdą się u nas? Z pewnem uczuciem strachu kreślę to pytanie, bo jedną z największych klęsk naszego życia jest brak ludzi zdolnych i chętnych do publicznej pracy. Zkąd do nas przyszedł ten pomór, na to jednem słowem odpowiedzieć trudno. Złożyły się na to warunki polityczne, zabierające nam całe legiony ludzi młodych, gorących i światłych — odegrały tu rolę wybitną ćwierćwiekowe rządy śp. Franciszka Dobrowolskiego, odsuwające od pracy każdy silniejszy idywidualizm, nie chcący chodzić na pasku prowincyonalnego możnowładcy, — zaliczyć tu wypada wreszcie wyczerpanie finansowe całego kraju, nakładające coraz cięższe obowiązki pracy dla chleba, zamknięcia w warsztacie i domowem ognisku, ograniczenia działań humanitarnych lub narodowych, wymagających wiele czasu, zaparcia i pieniędzy. A potem wypadałoby znowu powtórzyć moją smutną skargę na gasnące zapały, skurczone serca i oschły utylitaryzm nowych pokoleń. Dawniej coś się przecież miłowało, czegoś pragnęło, coś poświęcało, — może głupio, może bez rozwagi, — ale gorąco, ale z wiarą, ale z przekonaniem, że życie dla ogółu, to nie łaska, którą się świadczy, lecz obowiązek. A dziś? Spojrzmy w około, spojrzmy na młodzież: Fabrykanci, kupcy, literaci, adwokaci, lekarze, — lecz materyału na ludzi publicznych, na tych, co kochają „nie połową ale całą duszą“, tam mało.

Więc mnie trwoga przejmuje o losy naszej uniwersyteckiej drużyny ludowej, więc lękam się, że ta pobudka szląska, wołająca do szeregu prelegentów, pozostanie bez silnego echa w społeczeństwie poznańskiem. A przecież depcę tę trwogę, co mi duszę oplata, jak bluszcz wyrastający na ruinach tylu ukochanych zamiarów i dążeń, — depcę ją i witam nowy projekt z całym zapałem skwaszonej może nieco, ale niewygasłej jeszcze młodości. Do szeregu! kto gotów podać nam rękę, kto gotów zapisać swe imię wśród pionierów nowej idei, kto z słowem oświaty w lud polski iść pragnie lub złożyć daninę dla wspólnego celu, — niech da znak życia w redakcyi pisma naszego. My pośrednictwem służymy i pracy nie poskąpimy, by dźwięk nie pozostał dźwiękiem, lecz w czyn narodowy się zmienił.

Sulla.

OD REDAKCYI.

Przy zmianie administracyi i ekspedycyi pisma naszego z dniem 1go października rb. były nieuniknione pewne nieregularności w roznoszeniu i wysyłaniu pisma.

Z kilku stron doszły nas zażalenia, że pierwszy numer z bieżącego kwartału albo późno doszedł albo wcale nie doszedł Szanownych Abonentów. Będziemy się starali dopilnować, aby abonenci miejscowi i zamiejscowi otrzymywali nadal każdy egzemplarz pisma naszego na czas. W razie jakichkolwiek nieregularności prosimy nas o tem zawiadomić, a zalegające egzemplarze odwrotną pocztą prześlemy.

Osoby, które z powodów wyjątkowych pragną abonować „Przegląd Pozn.“ za zniżoną cenę, zechcą się udać wprost do administracyi pisma naszego na ul. Podgórną nr. 7.

OD ADMINISTRACYI.

Zarząd wydawnictwa „Przeglądu Poznańskiego“ upoważnił nas do zniżenia przedpłaty kwartalnej w razach wyjątkowych. Osoby, które życzą sobie abonować „Przegląd Pozn.“ po zniżonej cenie, zechcą się zgłosić do niżej podpisanej administracyi.

Na przedmieścia m. Poznania: Jeżyce, św. Łazarz i Wildę, wysyłamy „Przegląd Pozn.“ za cenę taką, jak w mieście, na co zwracamy uwagę.

Administracya „Przeglądu Poznań.“ Podgórna ul. 7.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28

Nr. 42. Poznań, niedziela 18-go października 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę. **Redakcya:** Poznań, św. Marcin 22 II p. **Administracya:** Podgórna ul. Nr. 7. w podwórzu.

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Podgórna Nr. 7. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego. **Pojedyńczy numer:** w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen. **Rękopisów drobnych niezwracamy.**

TREŚĆ.

Galicya przed sądem parlamentu wiedeńskiego.

Stało się nie po raz pierwszy, że stronnictwa opozycyjne w Galicyi zaniosły skargi swoje z pominięciem sejmu przed trybunał parlamentu wiedeńskiego, i nie po raz pierwszy się stało, że usłyszeliśmy ze strony partyi rządowej cierpkie słowo o braku patryotyzmu tych, którzy zamiast w własnym domu „prać brudy domowe“, wiozą je do Wiednia i tam wielką urządzają pralnię. Argument ten z lubością powtarzają i nasze konserwatywne dzienniki, operujące stale tanim frazesem o kalaniu własnego gniazda, ilekroć rozlega się ostrzejsza krytyka rodzinnych stosunków i wstrząsa stanowiskiem kierowników społeczeństwa. Odwoływanie się do uczuć patryotycznych nie w interesie całego kraju, lecz w interesie jednej koteryi, to stara i wypróbowana metoda, posiadająca zawsze jeszcze urok pewien i kurs w życiu publicznem. Że jednak takie pojmowanie patryotyzmu krytyki nie wytrzymuje, że konieczność polityczna zmusza niejednokrotnie do zerwania z zasadą powyższą, o tem świadczą wymownie właśnie stosunki galicyjskie.

Jeżeli rozważymy formalną stronę interpelacyi galicyjskich, wytoczonych w parlamencie wiedeńskim, i cel, do którego zmierzała akcya opozycyi, to wstąpienie na drogę wiodącą z Galicyi do Wiednia uznać musimy za prawidłowe przystosowanie się do stanowiska, jakie namiestnik na mocy ustaw istniejących w obec rządu austryackiego zajmuje. Namiestnik Galicyi odpowiedzialnym jest tylko przed ministrem spraw wewnętrznych w Wiedniu, a w dalszej konsekwencyi przed parlamentem. Trudno zatem dziwić się, że skargi przeciw hr. Badeniemu, tolerującemu bezprzykładne nadużycia swoich starostów galicyjskich i udzielającemu niewątpliwie dyrektywę tych prześladowań, które zdusić mają ruchy ludowe wszelkich odcieni, — trudno się dziwić, że skargi swoje zaniosła opozycya tam, gdzie jest właściwy trybunał i gdzie się władza znajduje, mogąca poskromić zamachy namiestnika na swobody obywatelskie. Z głosami sejmu Badeni liczyć się nie potrzebuje, z głosami parlamentu mniej lub więcej liczyć się musi.

Ważniejszym jednak motywem interpelacyi wiedeńskiej jest ukształtowanie stronnictw w sejmie i parlamencie, jest różnica prądów, pojęć i uczuć konstytucyjnych, panujących z jednej strony w reprezentacyi galicyjskiej, z drugiej w reprezentacyi austryackiej. Czyż charakter i potęga stronnictw rządowych w izbie sejmowej dawała jakąkolwiek nadzieję przedstawicielom partyi opozycyjnych, że znajdą tam sędziów sprawiedliwych, że głosy ich nie zginą jak kropla w morzu przeciwników? Doświadczenie uczy, jak się traktują interpelacye lewicy w sejmie. Przechodzi się nad niemi utartym ogólnikiem do porządku dziennego i zabija bez ceremonii tą olbrzymią większością, która nie posiada nigdy słowa krytyki dla najjaskrawszych nadużyć władzy krajowej, pozostającej nie na usługach społeczeństwa, lecz w służbie panującej koteryi. Na głosy krzywdy dotkliwej, na głosy swobód podeptanych odpowiada się uśmiechem augurów i rojem mętnych wybiegów, z których przebija dumne słowo absolutyzmu: „Car tel est mon plaisir.“

Inne oblicze ukazały obrady parlamentu. Rząd uzyskał 28 głosów mniejszości i głos protestu brzmiał tak donośnie, że nawet sprzymierzeni z konserwatywnym klubem Hohenwarta Słoweńcy nie mieli odwagi stanąć po stronie skompromitowanego rządu i opuścili salę obrad w krytycznym momencie. A potem rozpoczęła się wielka kampania całej prasy liberalnej w Austryi i skarga tak silna, że równej przy obradach sejmowych rząd nie usłyszałby nigdy. Nie przeczymy, że nawet u najgorętszych i najfanatyczniejszych zwolenników ruchu ludowego zakraść się musi do uczucia tryumfu jakiś żal zrozumiały, że przed obcym trybunałem skompromitowano władze autonomiczne, że teraz na ustach wspólnego wroga ukazują się ironiczne uśmiechy nad tą Galicyą, tem polskiem Eldoradem, gdzie z zagwarantowanych swobód obywatelskich zrobiono szmat papierowy, którym każdy starosta pomiatać może bezkarnie. Gdzież jednak szukać ratunku? Gdzież bronić się przeciw władzom, dla których nie ustawy, nie konstytucya, lecz interes koteryi panujących jest kanonem postępowania?! Może to boleć, ale konieczność polityczna pchnęła na tę drogę. Nie wina to opozycyi, lecz wina tych, którzy władzę w ręku swojem drzierżą i władzy tej nadużywają do stronniczych celów.

Cóż dalej teraz? Łudzić się nie można nadzieją, że władze galicyjskie w skutek rozpraw wiedeńskich zawrócą odrazu z drogi obranej. Koterya panująca bowiem złożyła już niejednokrotnie dowody, że absolutyzmu swojego umie bronić z zadziwiającym uporem, a czując wzrost prądów demokratycznych i zanik własnych sił swoich posługiwać się nadal będzie sztuczkami i bezprawiem starostów. Toż słowa Badeniego, że władze mają nietylko prawo rozwięzywać wiece, na których odbywa się podburzanie ludu, lecz nie dopuszczać wogóle do zgromadzeń, których inicyatorzy budzą obawę, że działać będą w kierunku podburzającym, są chyba dość wyrazistem streszczeniem intencyi i opinii kierowników kraju. Dowodzić nie potrzebujemy, jak bezprzykładne nadużycia zbudować można na takiej zasadzie. Jeżeli samo prawdopodobieństwo akcyi podburzającej może stać się dostatecznym powodem, by nie dopuszczać do wieców demokratycznych, — jeżeli sama fizyognomia polityczna Lewakowskich lub Bojków wystarcza, by im odmówić prawa zwoływania zgromadzeń wyborczych, to starosta galicyjski staje się wszechwładnym panem, który deptać może bezkarnie swobody zagwarantowane konstytucyą i własne widzimisię polityczne, własne sympatye lub antypatye zamienić w rozstrzygającą instancyę.

Taką opinię wyrażono w odpowiedzi na interpelacyę, — zdaje się jednak, że to otwarte wyznanie ukrytych życzeń było nie na rękę rządowi austryackiemu, lubiącemu zawsze salwować pozory, bo minister Madeyski dał do zrozumienia, że pragnąłby, aby starości zamiast zakazywać wieców zapowiedzianych dopiero, rozwięzywali raczej już rozpoczęte zgromadzenia opozycyjne. Wygląda to na poprawkę wysłaną pod adresem wyżej scharakteryzowanej enuncyacyi, — w rzeczy samej je-dnak oznacza tylko zmianę formy, nie zmianę systemu.

W najbliższym czasie zatem nie można się jeszcze spodziewać, aby hr. Badeni porzucił metodę dotychczasową, — myli się jednak rząd przypuszczając, że systematycznem bezprawiem złamie ruch demokratyczny. I u nas w Poznańskiem panująca koterya posługiwała się metodą sztuczek dla wytępienia ruchu ludowego, a przecież ruch ten rozwinął się i zorganizował. Były to podobne stosunki tylko w miniaturze, bo nasz „ład i porządek“ nie mając władzy takiej jak hr. Badeni, nie mógł też takich jak hr. Badeni uprawiać nadużyć.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

W sprawie „Banku ziemskiego“.

W „Gazecie Gdańskiej“ i „Grudziądzkiej“ pojawiły się artykuły, krytykujące ostro Bank ziemski, że do licytacyi w dzień przymusowej sprzedaży Topólna nie stanął i tem samem dopuścił nabycie tego pięknego majątku za bezcen (115 mrk. za morgę) przez p. Aronsona, który go natychmiast po licytacyi komisyi kolonizacyjnej odprzedał. Za Topólno ofiarowała przed dwoma tygodniami komisya kolonizacyjna 770 000 mrk., których właściciel nie przyjął w nadziei, że rozpoczęte już pertrakcye z Bankiem ziemskim pomyślny wydadzą skutek. Na subhascie zaś dla braku licytantów nabył p. Aronsohn majątek za 480 000 mrk. Skarży się także „Gazeta gdańska“ i „Grudziądzka“, że Bank ziemski polskiej właścicielce ostatniej hipoteki (115 000 mrk.) proszącej o pożyczkę kwoty potrzebnej do stawienia kaucyi przy licytacyi, tak uciążliwe podyktował warunki (zwrot długu w przeciągu 24 godzin), że przyjęcie ich było niepodobieństwem. W rezultacie hipoteka ta wraz z drugą (30 000 mrk.) znajdującą się w polskim ręku spadła przy licytacyi.

W obec zarzutów powyższych byłoby pożądanem, aby Bank ziemski podał do wiadomości publicznej motywy swego postępowania dla uspokojenia opinii publicznej. Nie wątpimy, że dyrekcya, której postępowanie dotychczasowe zasługuje na zaufanie i szacunek, musiała mieć chyba ważne powody, jeżeli przy sprzedaży Topólna świeciła nieobecnością.*)

*) Już po napisaniu uwag powyższych dowiadujemy się, że na walnem zebraniu Banku Ziemskiego udzielił hr. Żółtowski pożądanych wyjaśnień. Przeciw wyjaśnieniom tym zaprotestował jednak pan Piottuch-Kublicki. Przyp. Red.

* * *

Demokracya „Czasu“.

W „Słowie polskiem“, organie galicyjskiego klubu demokratycznego, czytamy:

„Czas protestuje przeciw naszemu twierdzeniu, że on, wraz ze swojem stronnictwem, zwalczał dążenia demokratyczne, że nie chciał uznać faktu demokratyzowania się naszego społeczeństwa i konieczności reform w tym kierunku. Nie! — powiada — myśmy nigdy nie zwalczali „uczciwych“ zasad demokratycznych, myśmy nawet popierali „pożyteczne i prawdziwe postępowe reformy wewnętrzne“. Szkoda tylko, że jako pożyteczne i prawdziwie postępowe reformy uznawał Czas wraz ze swojem stronnictwem tylko takie, które są wręcz przeciwne zasadom demokratycznym. Świadczy o tem historya naszego Sejmu. Kto zwalczał najsilniej połączenie gminy z dworem a zalecał natomiast skasowanie samorządu gminnego przez zaprowadzenie okręgów z mianowanemi z góry naczelnikami? Kto przez 10 lat sprzeciwiał się zrównaniu ciężarów szkolnych? kto konserwował dotychczas wielką nierówność ciężarów drogowych? kto udaremniał wcześniejsze i wydatniejsze polepszenie płac nauczycieli szkół ludowych? kto wszelkiemi sposobami powstrzymuje napływ młodzieży niezamożnej do szkół średnich? kto przez lat blisko 30 przeszkadzał powiększeniu liczby posłów z miast? kto natchnął komitety centralne duchem ekskluzywności, który jest głównem źródłem rozterki, jaka dziś w kraju panuje? kto przeciw pierwszej próbie silniejszej w Sejmie organizacyi żywiołów demokratycznych, organizował unię konserwatywną i wydał tem samem hasło walki, zamiast hasła pracy? Ale dosyć tych przykładów. Wystarczą one, aby okazać, ile jest obłudy w twierdzeniu Czasu, że on i jego przyjaciele nigdy „uczciwych“ zasad demokratycznych nie zwalczali.

Powtarza Czas znowu, że stronnictwo demokratyczne polskie jest bliskiem bankructwa, jest zupełnie podkopanem. Powtarzamy z naszej strony: zeszłoroczne wybory do Sejmu tego nie potwierdzają. Na 22 krzeseł, które lewica zajmowała w poprzednim Sejmie, utrzymała 17, straciła 5, a zyskała natomiast 5 nowych. To chyba nie jest klęską. A co do przyszłości — lepiej nie bawić się nikomu w proroctwa. Ale Czas popada w sprzeczność, skoro twierdzi naprzód, że stronnictwo demokratyczne jest podkopane przez radykałów — a potem, że między kierunkiem stronnictwa demokratycznego a obecnym kierunkiem radykałów „właściwie żadnych różnic zasadniczych ani przeciwieństwa nie ma“. Jeżeli to prawda — w takim razie nie ma co mówić o „podkopaniu“ — wtedy bowiem zwycięstwa radykałów byłyby zarazem naszemi zwycięstwami, skoro kierunek jest tu i tam jednaki. Wszak nie o osoby idzie, ale o kierunek i zasady. Logika Czasu szwankuje nie od dzisiaj“.

— *ski.*

***

† Juliusz Gregr.

W środę, 7-go października, niezliczone tłumy ludu czeskiego odprowadziły o zachodzie słońca zwłoki Juliusza Gregra na miejsce spoczynku. Zmarł jeden z najzdolniejszych przywódców młodoczeskiego stronnictwa, jeden z tych, którzy niezłomnie powtarzają swoje „ceterum censeo“: Niemiec to najpotężniejszy wróg całej Słowiańszczyzny. Więc do wspólnej łączmy się walki!

Juliusz Gregr urodził się 29 grudnia 1831 r. w Brezhradzie pod Królowym grodem i kończył studya w uniwersytecie praskim. Był on bratem posła młodoczeskiego, dra Edwarda Gregra, z którym wspólnie brał udział w agitacyi i politycznem przywództwie stronnictwa młodoczeskiego. Tym sposobem rosło stronnictwo to w siły, a usunąwszy stronnictwo staroczeskie z politycznej widowni, zawładnęło wreszcie całemi Czechami. Jako główny środek ku temu służył założony przez Juliusza Gregra i kilku przywódców czeskich organ stronnictwa „Narodni Listy“, których pierwszy numer ukazał się 1 stycznia 1861. Gregr rozpoczął natychmiast zażartą kampanię przeciw ministerstwu Schmerlinga i stronnictwu centralistycznemu, popierając z całą energią prawnopaństwową federalistyczną ideę pań-

---

Władysław Rabski.

A jutro?

Późno już było, lecz młody artysta nie słuchał dzwięków zegaru, przebiegając ręką po klawiszach fortepianu, z których płynęły tony i smutne i drżące. Opodal spoczywała na miękkim fotelu kobieta, wsłuchana w te urywane melodye, których muzyk łączyć się nie starał, a które jednak miały przedziwną harmonię dzikiego ustronia, nietkniętego jeszcze dłonią człowieka. I znowu ręce jego nerwowym ruchem przebiegły klawisze, rwąc z strun jakiś wicher namiętnych tonów i w szalonych pasażach ciskając bez słów skargę żałosną. Była to wspaniała improwizacya bólu, której dźwięki na nerwowych licach kobiety wyciskały piętno niepokoju i upojenia. Nagle artysta silniej uderzył i urwał, uchem tylko ścigając echo ginących melodyi.

Po chwili młoda kobieta poruszyła się i odgarniając włos złoty, który jej czoło zasłonił, szepnęła:

— To było dziwnie piękne.

Mężczyzna spojrzał na mówiącą i niepewnym, drżącym jeszcze od wzruszenia głosem powtórzył:

— Piękne?

Potem oczy skierował w ziemię i dodał:

— Gdyby nie muzyka, to nie wiem doprawdy, czy znalazłbym odwagę do życia. Tu się człowiek na strunach wypłacze, wyskarży i ukoi, choć na moment tylko.

Młoda kobieta znów poruszyła się niespokojnie.

— Tak, szepnęła wreszcie — to prawda.

Pochyliła się teraz nad poręczą kanapy i lekka zaduma błysła w jej błękitnych oczach.

— Dawniej... po ślubie — mówiła znowu, zaniedbałam muzykę, bo Hektor nienawidzi fortepianu, ale teraz jestem samą tak często, że wrócić mogę do starego przyjaciela.

Artysta oderwał oczy od ziemi.

— Hektor! szepnął i spojrzał na zegarek, jakby imię to przypomniało mu, że jest jakieś „coś“ filozoficzne, które „czasem“ zowią. Popatrzył chwilę na towarzyszkę swoją, podniósł się zwolna i oparty jedną ręką o krawędź fortepianu, wyrzekł z lekkiem wahaniem:

— Już północ.

— Godzina upiorów — odparła z smutnym uśmiechem kobieta.

— Ja żywych ludzi się boję, ja...

Zatrzymał się, oczy na chwilę przykuł do ziemi, a potem z nagłem postanowieniem skłonił się szybko:

— Dobranoc!

— Pan odchodzi? — spytała piękna gospodyni, wstając z fotelu. — Nie spostrzegłam nawet, że północ się zbliża. Dobranoc!

Przez chwilę zaległo milczenie elegancki salonik, w którym czuć było zmysłową woń heliotropu. Oczy tylko młodego człowieka natarczywie wpatrywały się w lica kobiety, a potem rękę wyciągnął i uniósł jej drobne paluszki do ust gorących, okrywając je długiemi pocałunkami.

— Panie Emilu! szepnęła młoda kobieta z lekkim wyrzutem — panie Emilu!

Głos ten zbudził artystę z zachwytu. Oderwał usta od malenkiej dłoni i z cichem westchnieniem odsunął ciężką portyerę, zakrywającą drzwi buduaru. Ręka jednak spoczęła machinalnie tylko na klamce, żal mu było nacisnąć ją i rzucić ukochaną kobietę. Raz jeszcze odwrócił głowę i patrząc smutnym wzrokiem na piękną towarzyszkę, cichym, melodyjnym powtórzył głosem:

— Dobranoc! pani Izo...

Zatrzymał się, chciał mówić, lecz słowa zamierały na ustach, a Iza zaambarasowana bawiła się błyszczącym sztyletem z kości słoniowej. Przeczucie mówiło jej, że usłyszy słowa, których słuchać nie powinna,

stwową, i walcząc równocześnie przeciwko żywiołowi niemieckiemu. Obaj bracia Gregrowie działali przez pewien czas wspólnie. Juliusz Gregr jako redaktor Narodnich Listów, wszedł niebawem w konflikt z władzami prasowemi; w 1862 skazano go na 10-miesięczne więzienie za przekroczenie prasowe. To otoczyło go w oczach Czechów aureolą męczennika narodowego. Gdy dla odbycia kary jechał otwartym powozem przez ulice, urządzono mu entuzyastyczne owacye, a gdy 27 sierpnia 1863 r. wyszedł z więzienia, przyjmowano go jak bohatera. Narodni Listy pod jego redakcyą wywierały olbrzymi wpływ na całą ludność czeską.

Przez długi czas nie chciał Juliusz Gregr przyjąć wyboru na posła do sejmu krajowego, gdyż wolał kierować polityką młodoczeską z pokoju redakcyjnego. Dopiero w r. 1877, gdy Młodoczesi wstąpili znowu do sejmu dał on się skłonić do przyjęcia mandatu poselskiego. Juliusz Gregr reprezentował liberalny, w kilku kwestyach radykalny kierunek polityki czeskiej; chciał on uwolnić naród czeski od wpływu szlachty i kleru i popierał wśród ludu czeskiego tak zwany „husycki“ kierunek, który znalazł w organie młodoczeskim gorliwego zwolenika. Także wzrastającą niechęć ku Niemcom skutecznie zasilał Juliusz Gregr w swym organie. Do rady państwa wybrano Gregra kilkakrotnie; ale dopiero z wstąpieniem Młodoczechów do reprezentacyi państwa, użył on swego mandatu na czas krótki. W jesieni 1879 r. wstąpił Gregr do Izby poselskiej, a 26 grudnia r. 1780 złożył mandat. Izba poselska nie wabiła go, również jak Sejm krajowy, gdzie uważano go jednakże za autora przeważnej części wniesionych ze strony młodoczeskiej projektów adresu i wniosków prawno-państwowych. W obec rokowań ugodowych za rządów hr. Taafego zajął on tak w Narodnich Listach jak w sejmie wrogie stanowisko. Opowiadał na posiedzeniu sejmu kraj. d. 2 czerwca 1890 r. bez najmniejszego skrupułu, jak hr. Taaffe usiłował rozpocząć rokowania z Młodoczechami, zaznaczając, że stronnictwo to odrzuciło propozycyą wstąpienia w służbę rządu, jak to uczynili Staroczesi. Na ten czas przypada zupełne zerwanie stosunków między Młodo- a Starochami, a za sprawcę tego kroku uważano powszechnie Juliusza Gregra. Podczas gdy Edward Gregr prowadził tę walkę po wsiach, na zgromadzeniach i wiecach ludowych, trzymał się Juliusz Gregr więcej na uboczu i walczył w swoim organie, dopóki nie rozbił reprezentacyi Staroczechów w radzie państwa i nie zmniejszył ich wpływu w sejmie krajowym.

Cierpienia fizyczne zmusiły go przed kilku laty do wystąpienia z sejmu, a w ostatnich latach do zaniechania kierownictwa Narodnich Listów. Od tego czasu usunął się zupełnie z areny politycznej.

Jako wydawczyni i właścicielka podpisuje obecnie Narodni Listy wdowa, pani Róża Gregr.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Fakty z życia ekonomicznego.

II.

Przyczyny i przypuszczalne skutki rozwoju ekonomicznego.

(Dokończenie).

Tak więc w Ameryce, w Rosyi, w Azyi, a poczęści w południowej Afryce zaczyna się otwierać rynek kolosalny dla produktów i produkcya ta zacznie się wzmagać w sposób olbrzymi. Nie znaczy to, że będzie wzrastała bez przeszkód. Tu i owdzie będą drobne bankructwa, lokalne przesilenia, których nie omieszka sprowadzić hyperspekulacya i hyperprodukcya; znaczy to jedynie, że owa zmora dusząca świat przez lat 15, ów kryzys ślimaczący się tak długo minął i wkraczamy w okres rozwoju.

A co nastąpi po tym okresie? Niebywały d é b a c l e! Jeżeli bowiem dotąd świat kapitalistyczny, tak maluczki stosunkowo, zostanie powiększony o Azyę, o Amerykę południową, o Afrykę południową, to można sobie wyobrazić, że klęski, jakie sieje i siać musi kapitalistyczna produkcya zolbrzymieją w sposób niebywały. Świat kapitalistyczny nie zatrzyma się już teraz w „rowie krachu“, jak mówił stary Engels, ale na złamanie karku poleci w przepaść bezdenną krachu wszechświatowego.

Już same Chiny przez wystąpienie na arenę współzawodnictwa zaostrzą to współzawodnictwo w sposób niebywały. To też są tacy, którym strach przed tym współzawodnictwem zapiera dech w piersi i mąci rozum. Krzyczą oni: hordy chińskie zabiją świat, kultura nasza zginie! Strachy na lachy. Hordy nie zabiją Europy właśnie dlatego, że naród chiński przestanie być hordą. Do podboju fizycznego nadają się tłumy Tamerlana, — nie nadaje się państwo kapitalistyczne. Horda tatarska mogła ruszyć wałem, zgnieść wszystko naporem swoim. Tego nie może naród, w którym zaczyna się podział pracy, spowodowany kapitalizmem, w którym zjawia się podział społeczny na klasy, wzajemnie trzymające się w szachu. Widzimy to z historyi Europy: Anglicy, potomkowie Normanów, którzy niedyś szli na podboje, dziś mogą tylko wojować w krajach o bardzo niskiej kulturze. Francya, z Napoleonem nawet na czele, dziś Europy nie podbije. Niemcy dziś nie są w stanie wznieść się do wielkiej akcyi. Jedna Rosya może na chwilę jeszcze istnieć jako państwo zaborcze, militarne na wskroś, ale i ta Rosya przestanie wkrótce być tem, czem jest, skoro podstawy samowładztwa carskiego, spoczywającego na państwie czysto chłopskiem, zostały podkopane przez przewrót kapitalistyczny. Tak samo będzie z Chinami. W dzisiejszej postaci do podbojów nie nadają się one. widzieliśmy przecież, że nawet obronić się nie mogą. Na przyszłość albo staną się łupem państw europejskich, które podbiją je nie w wielkiej walce, ale powolnemi utarczkami na polu przemysłu, zaprowadzając tam stosunki takie, jakie widzimy w Indyach, albo też staną się same państwem kapitalistycznem, nie zdolnem do tamerlanowskich podbojów. Ale, powiedzą nam, Chiny w takim razie zabiją nas ekonomicznie taniością swojej produkcyi. Sądzimy, że i tu przesadza się zwykle. Dotąd bowiem powtarzano gołosłowne frazesy o bajecznem uzdolnieniu chińczyków do pracy czysto mechanicznej i stąd wnioskowano o ich

---

a myśl bezsilna napróżno szukała środków, by powstrzymać wybuch grożący. I nastąpiła długa chwila milczenia, duszna i przykra dla obu tych ludzi. Wreszcie Emil opuścił rękę, spoczywającą ciągle jeszcze na klamce, i głosem wysilonym, szorstkim prawie, który niemile rozległ się w salonie, zawołał:

— A Hektor w klubie?

Iza skinęła smutnie głową i znowu cisza salonik zaległa. Dźwięk własnego głosu jednak ośmielił Emila, to też po chwili znów mówić począł, a słowa tym razem płynęły spokojniej, choć drgała w nich nuta bolesna.

— Hektor w klubie, — powtórzył, — a Pani zostawiona na łup samotności. Ballada jakich wiele.

Cień niezadowolenia przesunął się po licach Izy i lekki rumieniec zaczerwienił bladą twarzyczkę.

— O! Hektor wróci, wróci niebawem — zawołała szybko, lecz w głosie jej było tyle niewiary i zakłopotania, że Emil zaśmiał się głośno.

— On wróci? A może dla tego, żeby bieliznę zmienić.

— Panie Emilu! przestań pan! — przerwała Iza błagalnie złośliwe protesty młodego człowieka. — On jest mężem moim, on...

Dalej mówić nie mogła, tylko ręce załamała i łkając rzuciła się w fotel. Chmurne spojrzenie Emila jeszcze gęstszą mgłą się pokryło. Zdawało, się, że w tych mętnych czeluściach ocznych niema jednego blasku słonecznego, jeno noc jesienna bez księżyca, przesiąkła wilgocią.

— Idę już, — rzekł szorstko, — idę, powtórzył, ale po chwili zwrócił się znowu i zbliżając się do Izy, gwałtownie ścisnął jej rękę, spoglądając ponuro nieruchomą źrenicą, w której teraz błysk jakiś zaświecił. Młoda kobieta poczuła oddech jego na twarzy i usłyszała szept syczący, dziki i namiętny.

— Ja nie mogę inaczej, nie mogę, Izo.

Głos jego na rozpaczliwą nieomal już teraz rozegrał się nutę i cisnąc nerwowo dłoń ukochanej, mówił urywanym, jakby z głębi wyszarpanym głosem.

— Czy ty nie widzisz, Izo, co się zemną dzieje? Jestem szalony, lecz kocham. Nie masz prawa mnie potępiać. Nie... nie... słyszysz Izo? — I rzucając się do stóp ukochanej kobiety, okrywał jej ręce i kolana pocałunkami.

Chwilę słuchała Iza milcząca tych wyznań gorących.

Muzyka takich tonów durzy i zachwyca, a chociaż o uszy granitowej uderzy kobiety, na chwilę ją wstrząśnie, na chwilę oddech zatrzyma. Nigdy jeszcze ten człowiek tak ją nie pociągał, więc milcząc słuchała i bezwiednie upajała się dźwiękiem słów jego. Lecz nagle zadrżała. A Hektor, a mąż, a dziecko? I dumna powstała, i dumna wydarła dłoń z ręki Emila, i blada, nie mówiąc ni słowa, wskazała drzwi klęczącemu. Jakieś rzężenie ozwało się teraz w piersiach młodego człowieka i ochrypłym głosem powtarzał:

— O! nie tak, nie tak, Izo!

Był to i krzyk i jęk i płacz rozpaczliwy. To też ręka Izy wyciągnięta ku drzwiom opadła i usta tylko szepnęły łagodnie:

— Idź pan.

Emil, przyciskając dłoń do czoła rozpalonego, podniósł się zwolna, a potem wargi rozchylił kilkakrotnie, jakby słowo jakieś chciał z piersi wyrzucić, lecz dźwięku napróżno wydobyć się starał. Iza zdziwiona i zaambarasowana nie wiedziała, co począć, co mówić do niego. On stał cichy i nieruchomy; po chwili dopiero milcząc schwycił za kapelusz i ku drzwiom się zwrócił.

— Panie Emilu! szepnęła Iza.

Stanął i w martwem oku znowu blask zajaśniał.

— Będę się starała zapomnieć, ale proszę już nigdy nie przypominać mi o tem.

Usta młodego człowieka drgnęły, chciał coś powiedzieć, lecz nagle zwrócił się i bez słowa wybiegł z pokoju. Iza przykuta do miejsca spoglądała na portyerę, która chwiała się przez chwilę, a potem zamknęła cicho

uzdolnieniu do przemysłu. Są to jednak frazesy oparte na zupełnej nieznajomości pracy fabrycznej. Autorowie ich naczytali się o mechanicznej pracy fabrycznej, która rzekomo robi z robotnika fabrycznego dodatek do maszyny, wywnioskowali stąd, że zdolności umysłowych do takiej pracy nie trzeba, że chodzi tylko o pracę mięśniową; a z drugiej strony zasłyszeli o fenomenalnych zdolnościach chińczyka, który jest w stanie dłubać, choćby przez dzień cały, igłą kawałek drzewa bez żadnego znużenia, czego nie dokaże europejczyk, i stąd wywnioskowali o szczególnej podatności chińczyka do pracy fabrycznej w wielkim przemyśle. Otóż rzeczy tak się nie mają. Praca fabryczna jest jednostajną, jest mechaniczną, jest prostą, wszystko to prawda, lecz nie mniej praca ta wymaga specyalnego rozwoju umysłowego, wymaga szybkości oryentowania się, wymaga ciągłego myślenia, ciągłej uwagi, ciągłego wysiłku nerwów i mózgu, któremu nie każdy sprosta. Umiemy ocenić pracę tkacza indyjskiego, który wyrabia cudowne szale, lub pracę dawnego tkacza, żydka polskiego, który w Słucku tkał pasy złotolite. Postawmy jednakże takiego tkacza do tkalni mechanicznej, gdzie trzeba dopilnować krosien biegnących z piekielną szybkością, a nie wiemy, czy da sobie radę z jednemi krosnami, a napewno nie upora się z dwoma lub trzema, jak to czyni tkacz angielski lub łódzki. Cenimy wysoce artystę-ślusarza średniowiecznego, który wykonywał cudowne po prostu prace młotkiem, ale zaręczam, że ślusarz ten okaże się niedołęgą w dzisiejszej fabryce, skoro każą mu według planu wykonać część skomplikowanej maszyny. Praca kowala z Damaszku, który kuł i przekuwał stal po tysiąc razy, zanim wyrobił cudną szablę damasceńską, była bardzo trudną, ale postawmy tego samego kowala przy skomplikowanym młocie parowym, lub przy retorcie Bezemera, a pomimo, że jest to praca stosunkowo prosta, ucieknie od tej pracy.

Zaręczamy, że autor powyższych frazesów, zmuszony do pracy fabrycznej, przekonałby się bardzo prędko, że do jej wykonania trzeba conajmniej tyle wysiłku intelektualnego, ile trzeba do pisania tych właśnie frazesów. Wysiłek ten może nie jest większy, niż ten, jaki czynił rzemieślnik, jaki czyni azyatycki dłubacz, ale jest inny, i żeby być w stanie podołać mu, trzeba całego szeregu pokoleń nawykłych do tego właśnie rodzaju pracy. To też uczeni, którzy rzeczywiście wiedzą, co jest przemysł, do innych doszli wyników o wydajności pracy*). Wiedzą oni, że praca tkacza angielskiego jest wydajniejszą od niemieckiego, a tego wydajniejszą od rosyjskiego, nawet przy tych samych maszynach. To samo spostrzeżenie zrobiono w przędzalniach, gdzie przecież selfaktor jest ideałem prawie maszyny i jak najmniej tu pozostawia się robotnikowi. Właśnie im bardziej skomplikowaną jest maszyna, tem większej wymaga zdolności umysłowej od robotnika, który ją obsługuje. Że teoretycy nie mylą się, tego dowody mamy porównywając n. p. przemysł rosyjski z polskim. Niedawno ktoś zwiedzający wystawę w Niżnim Nowgorodzie zachwycał się w „Gazecie Polskiej“ pomysłowością rosyjskiego „kustara“, który prymitywnemi narzędziami potrafi zrobić fortepian, welocyped i t. p. Dowód to, że robotnik rosyjski jest bardzo sprytny. A pomimo to przemysł łódzki bije moskiewski na rynkach azyatyckich dlatego tylko, że ma robotnika o wyższej kulturze, robotnika, który już od dwóch pokoleń przywykł do pracy fabrycznej. Fabrykanci rosyjscy dziś często obawiają się zaprowadzić nowe systemy fabrykacyi, gdyż niedowierzają swoim robotnikom co do zdolności, i mają słuszność. Otóż, tak przypuszczać należy, będzie i w Azyi. Chińczyk „dłubiący“ tak wytrwale nie stanie się na pierwszy rzut robotnikiem doskonałym w wielkim przemyśle, nie będzie produktywniejszym od anglika, a nawet od niemca lub rosyanina.

Ale, odpowiedzą nam, chińczyk jest tani. Słusznie, ale przemysł z drogim robotnikiem dotąd bił zawsze przemysł z tanim. Zresztą tanim jest chińczyk dziś, czy zostanie tak tanim wtedy, kiedy kapitalistyczny ustrój ogarnie Chiny, to kwestya. Nie było tańszego robotnika jak chłop pańszczyźniany, padła niewola i robotnik stał się droższym, — przewrót zaś, który czeka Chiny, jest niemniej doniosłym, jak przejście Europy od pracy pańszczyźnianej do wolnego najmu.

A jeżeli chińczycy, jako robotnicy najemni, zaczną napływać do Europy? Ależ o to właśnie chodzi, że w miarę rozwoju kapitalizmu w Chinach ludność zostanie zaobsorbowaną na miejscu.

Te groźby o taniości chińczyka mają cel bardzo realny. Autorowie ich, jest pomiędzy nimi jeden polak, chcą wmówić w robotnika europejskiego, że wobec tej grożącej konkurencyi powinien zaniechać zabiegów o skrócenie dnia roboczego i podwyższenie płacy. Mamy nadzieję, że nie usłucha. Przez podwyższanie właśnie stopy życiowej, przez skracanie pracy, stanie się on tem więcej uzdolnionym do konkurencyi i przyczyni się do ciągłych ulepszeń technicznych. Gdyby proletarjat europejski pozwolił zniżyć siebie do stopy azyatyckiej, zginęłaby Europa. Przez wyższą swą kulturę, której warunkiem jest wysoka stopa życiowa robotnika, góruje ona nad światem; dopóki ją ma, ma wyższość, jaką ma rumak pielęgnowany nad zaniedbaną szkapą. A że ta kultura pozostanie wysoką, to zawdzięczamy walce klasy roboczej: bez tej walki już dawno zeszlibyśmy poniżej Azyi.

Nie tak więc, sądzimy, odbędzie się dalszy przebieg na rynku wszechświatowym, że Azya podbiję Europę, ale tak, że Azya, że świat cały zostanie rzuconym w wir kapitalistyczny. Wobec tego zaś zdobycze jak i klęski gospodarki kapitalistycznej staną się wprost olbrzymie i posuniemy się dalej na drodze kultury. Ale na drodze tej czekają społeczeństwa przewroty ekonomiczne, wobec których przejście od ustroju pańszczyzny i pracy rzemieślniczej do wolnego najmu i przemysłu fabrycznego są bagatelą, oraz przewroty polityczno-społeczne, wobec których rewolucya francuska jest igraszką. Jednakże tak samo jak w świecie zjawisk geologicznych, rozwój odbywa się zwykle bez kataklizmu, a przez powolne, ledwie dostrzegalne dla oka, drobne przejawy, tak samo w życiu społecznem narastanie maluczkich pozornie przyczyn przekształca w końcu ustrój cały.

Zjawiska więc, jakie odbędą się w dal-

*) Patrz specyalnie: Schulze von Gavernitz „Der Grossb trieb“.

---

skrzydła swoje i fałdami ciemnemi drzwi otuliła...

Po burzliwej scenie nic nie zostało, prócz wspomnienia i cichych westchnień, które się z piersi opuszczonej wydzierały kobiety. Po chwili w kącie salonu, na wykwitnej gotowalni, zegar śpiewnie wygłosił północ. Iza znów westchnęła i z cichą rezygnacyą rzuciła się na miękki fotel.

Mąż jej nie wracał.

Wzięła książkę do ręki, próbowała czytać, — daremno! Litery w jakieś fanastyczne składały się zygzaki, jakieś myśli majaczyły w rozburzonym mózgu, który ich ująć w organiczną całość nie umiał. Boże! jak nudno płyną te godziny. Dopóki Emil siedział tam opodal i drżącym, przejmującym głosem mówił... o czem? Mgła przesłoniła jej pamięć. Salonowa gawędka to czcza i monotonna gama muzyczna, lecz gdy w ukryciu cicha nuta przygrywa miłości, wtedy staje się pieśnią o cudownem brzmieniu, po której zostaje tylko wspomnienie melodyi, lecz słowa nikną w oddali i pamięć naprózno goni hen! za niemi. Czemu on dziś tak dziwnie, tak inaczej mówił? A może ona tylko inaczej słuchała. Bywają chwile, w których dusza, opanowana potęgą jednego wrażenia, staje się nieczułą na wszystko, co po za tem leży; bywają chwile, w których śpiew majowego słowika jest dla nas niczem więcej, jak brzęczeniem komara, a wschód słońca plamą czerwoną. W objęciach Hektora usnęła dusza Izy i nic prócz pana swego nie widziała, ale po tem miłosne rozwiły się sploty i budząc się usłyszała cichą nutę, niby tęsknotę stepowego jeźdźca, i ujrzała twarz smutną i te niemiętne oczy Emila, które tak paliły, tak ją przenikały.

A Hektor, a mąż, a dziecko! Nigdy!

Iza chwyciła za dzwonek, drzwi się otworzyły i młode dziewczę stanęło na progu.

— Jaśnie pani dzwoniła?

— Tak... to jest... czy Janinka śpi?

— Śpi, jaśnie pani.

— Nie płakała?

— Nie.

— Możesz się położyć! — albo czekaj, rozbierz mnie!

Dziewczyna przysunęła się, Iza rozpięła stanik i nerwowym ruchem rzuciła go na ziemię.

— Rozpleć mi włosy!

Dziewczyna gęste rozwijać poczęła sploty, a zegar zwiastował pierwszą godzinę.

Jakaś niezgrabna! Obędę się bez ciebie. Idź sobie, idź, idź natychmiast.

Dziewczę litościwem wzrokiem spojrzało na panią i pokornie wyszło z pokoju. Wargi Izy drżały konwulsyjnie, ręce zaciskały się kurczowo. Hektor nie wracał, a ludzie tak na nią patrzeli, jakby nad jej dolą litość wielką czuli. Emil drwić się odważył, służąca tak dziwnie spojrzała, a tam na stoliku fotografia jego uśmiechniętem spoglądała okiem. Czemu on się uśmiecha? Iza splotła dłonie i szalonym ruchem pokój przebiegała. Potem znów usiadła przed obrazem Hektora i patrzała weń długo martwem, osłupiałem spojrzeniem. Czemu on się uśmiecha? Czy on drwi z jej wiary dziecięcej? Spojrzała na zegar, — już wskazówka większą połowę drogi między pierwszą a drugą skończyła. A on? Może z inną.. Tu Iza głośnym wybuchła płaczem. Rozplecione włosy spływały na marmurową szyję, nagie ręce, oparte na stole, bezwładnie teraz opadły na kolana, a światło, filtrowane przez różowy abażur lampy, w tajemnicze kolory stroiło kształty obnażone. Po chwili łkania ustały, sztuczna rezygnacya okryła jej lica i usta zacięły się, jakby stłumić chciały ostatni wybuch rozpaczy.

— Będę czekała noc całą, niech wie, niech czuje moje położenie.

I niema, spokojna jak posąg grecki, głowę oparła o poręcz fotelu, a zegar zwiastował godzinę drugą. Cisza, — pierś młodej kobiety podnosi się lekko, powieki przymrużone czasami tylko odchylą się trochę, twarz cała martwa i bezwładna, a minuty płyną i płyną i głos dzwonkowy nuci trzecią po północy. W tej chwili lekki, ledwie dosłyszalny skrzyp ozwał się za drzwiami, — moment jeszcze, portyera zadrżała, podniosła się i przed smutną Izą stanął człowiek o twarzy miękkiej, kobiecej prawie. W dużych, niebieskich oczach, winem zapa-

szym toku rozwoju, przy nowej fazie, w jaką weszliśmy niespostrzeżenie, nie będą różniły się w niczem od innych. Koncentracya kapitałów, niwelacya społeczna pójdą dalej, walki pomiędzy kapitałem i pracą będą odbywały się w dalszym ciągu, tylko tempo będzie przyspieszone.

Weźmy pod uwagę ostatnią kwestyę: Kryzys minął, zaczęło się ożywienie; ceny wszystkich towarów poczną wzrastać: jeden jednakże towar regularnie pozostaje wyjęty z tego ruchu, a przynajmniej cena jego wzrasta wolniej. Towarem tym jest praca. Ale, jak powiedzieliśmy, kryzys ostatni piętnastoletni doprowadził do tego, że dwie wrogie potęgi: praca i kapitał, stanęły wobec siebie bardziej świadome swego antagonizmu, bardziej uzbrojone do walki. Walka więc będzie w najbliższej przyszłości ostrzejszą, bezrobocia, bojkoty, lockout'y będą większe, gwałtowniejsze Dalej zaś, ponieważ życie polityczne jest w związku bardzo ścisłym z życiem ekonomicznem, należy oczekiwać, że z peryodem depresyi ekonomicznej minął też okres reakcyi, a zacznie się okres gdzie życie to będzie biło żywszem tętnem.

Są tacy, którym strach tej przeszłości, którym bardzo wygodnie było w dotychczasowej atmosferze stęchlizny i zastoju; są też tacy, którzy teraz wobec nowych prądów i walk podniosą skowyt i larum wielkie, są w końcu tacy, co wzorem strusia zagrzebują głowę w piasku, nie chcą widzieć walki, i dla uspokojenia siebie i tych, co słuchać zechcą, deklamują szczerze lub obłudnie o harmonii, o miłej zgodzie, słowem rozlewają balsam i olejek różany. Co do nas, wolimy zgiełk i wrzawę walki, byleby była prowadzona, jak na rycerzy przystało. Toż w końcu — walczyć to żyć. *J. B. Marchlewski.*

BADANIA NAUKOWE.

Elektryczność
jako nowe źródło siły motorycznej.

Jeżeli uprzytomnimy sobie rozwój człowieka pomiędzy czasem, kiedy żyjąc w jaskiniach posługiwał się kamiennemi narzędziami w najprostszych formach, jakie mu natura w zaostrzonym kamieniu, lub sękatym kiju dawała, a dniem dzisiejszym, dostrzeżemy łatwo, że rozwój ten opiera się głównie na stopniowem poznawaniu praw natury i wyzyskiwaniu ich ku swoim celom. Siła mechaniczna, którą człowiek może rozwinąć, jest tak mała, że skazani tylko na nią stalibyśmy na jednym i tym samym stopniu rozwojowym, nie posuwając się ani krokiem naprzód, podobnie do innych społeczeństw zwierzęcych, ożywiających kulę ziemską, których postęp rozwojowy, jeżeli wogóle jakikolwiek egzystuje, jest tak nieznaczny, że go nawet zauważyć i skonstatować nie możemy.

Pierwszej siły pomocniczej dla człowieka dostarczyły zwierzęta domowe; pomoc ta przystosowana do pewnych praw fizycznych, zmniejszających tarcie, była przez długie wieki jedynem źródłem mechanicznej energii. Obok niej zaprzągł człowiek już z dawna w swoje jarzmo wiatr i prąd wody, zmuszając je do obracania wiatraków i młynów. Siły te jednak, jakkolwiek potężne w porównaniu z tą, jaką człowiek może rozwinąć za pomocą swych mięśni, są niczem wobec wynalazku maszyny parowej, czyli mówiąc językiem naukowym, wobec zużycia prawa naprężenia gazów, a mianowicie pary wodnej. Jaki przewrót ekonomiczny wywarło ujarzmienie tej nowej siły przyrody wiadomo każdemu, dość porównać środki komunikacyjne i produkcyjne z przed stu laty z obecnemi, aby ogarnąć całą doniosłość tego wynalazku.

Lecz i ten staje się powoli dla wzrastającego przemysłu niedogodnym i nieekonomicznym z powodu kosztów, jakich wymaga wytwarzanie dostatecznego ciepła na zamianę wody w parę. Przedsiębiorczy umysł człowieka szuka ulepszeń. Równocześnie z postępem ekonomicznym postępuje żywszem tempem nauka, a porzucając abstrakcye, skierowuje się na więcej praktyczne pole nauk przyrodniczych i zastosowanych. Nie mogąc pojąć i odgadnąć istoty siły i materyi zajmuje się ściślej bez porównania dla umysłu ludzkiego dostępniejszemi prawami i tworzy wspaniały gmach, teoretycznej i eksperymentalnej fizyki i chemii, w których znajduje się niewyczerpane źródło prawd, dających się zastosować praktycznie. Obok pary zjawiają się opierające się na tem samem prawie fizycznem naprężenia gazów, motory pędzone ciepłem powietrzem i gazem. Równocześnie wykazują badania naukowo techniczne nad elektrycznością, że może ona służyć nietylko do urządzeń telegraficznych, telefonów oraz wytwarzania światła, lecz daje się łatwo zamienić w siłę motoryczną. Nowe to, wielce zapowiadające się źródło energii mechanicznej, budzi w świecie technicznym wielkie nadzieje, jednogłośnie uznają wszyscy elektryczność jako siłę przyszłości.

Lecz i tu stawały warunki ekonomiczne długo na przeszkodzie szerszemu jej zastosowaniu. Konkurencya pomiędzy parą a elektrycznością dawała przewagę pierwszej ze względu na koszta wytworu. Zastosowana nauka jednak, przeczuwając bliskie zwycięztwo drugiej, pracowała usilnie nad zwalczeniem trudności ekonomicznych, a opierając się na prawie jednolitości siły t. j. że żadna siła nie ginie, lecz z łatwością daje się zamienić w inną, zwróciła baczne oko na prąd potoków i rzek, aby go w tym celu wyzyskać. Jest to stanowczo nowa era ekonomiczna, w którą przez poznanie i zastosowanie na szerszą skalę prawa tego, wstępujemy.

Prąd wody służył już dawniej jako motor, obracając koła młynów wodnych i fabryk, niedogodność przeszkadzająca szerszemu zastosowaniu leżała poczęściej w tem, że wytwarzana siła musiała być spotrzebowaną na miejscu, zdala od centrów przemysłu. Zamiana jej na elektryczność, a z tej znowu na siłę mechaniczną, stała się punktem wyjścia i okazywała możność coraz rozleglejszego spożytkowania prądu wody w potokach i rzekach. Główna trudność przedstawiała się w przenoszeniu elektryczności na dalekie odległości bez znacznej straty. Szybko rozwijająca się technika elektryczności poczęła skutecznie zwalczać tę zaporę.

W obec tej nowej zdobyczy wiedzy przystąpiły kraje przemysłowe do wyzyskania otwierających się przedsiębiorstw. Powoli musiały przyjąć kajdany wodospady, rzeki i niczem dotąd nieokiełznane potoki górskie. Groźny Niagara, odwieczny Nil, ojciec rzek, Missisipi, stary Ren poruszają obecnie tramwaje, pędzą maszyny lub oświetlają ulice i domy wielkich miast.

W imię tych samych praw natury ja-

---

lonych, błyszczała dobroduszność połączona z ambarasem, — niby żak schwytany przy paleniu cygareta. Na tużurku czarnym bielił się ślad pudru, zdradzieckie corpus delicti nocnych bachanalii, a ręka, opięta elegancką rękawiczką, bawiła się błyszczącym cylindrem, jakby dla zakrycia pomieszania. Iza rozchyliła zamknięte powieki i chwilę spoglądały na siebie w milczeniu te dwie istoty, które losom podobało się nazwać małżeństwem. Powoli jednak przybysz w uśmiech sztuczny usta ułożył i zbliżając się do żony usiadł na krawędzi fotelu, w pół ją obejmując.

— Pocóż ty na mnie czekasz, Izo? To niepotrzebne, ja mam liczne interesa. Spotkałam Józia Kryńskiego...

Iza milczała dumna i nieruchoma, w oczach tylko to ból, to żal głęboki igrały. Przybysz odłożył cylinder i zdejmując rękawiczkę, mówił pieszczotliwym głosem:

— Dziecko z ciebie. No! pocałuj mnie i zgoda.

Teraz jednak niema dotychczas Iza porwała się z fotelu, oczy mgłą łzawą przyćmione błysnęły obrażoną dumą i świadomością praw pogwałconych, ręka konwulsyjnie schwyciła ramię Hoktora a wargi drżały bez dźwięku.

— Dziecko? wyrzekła wreszcie. — Dziecko? Całe życie to samo, bez głosu, bez woli...

I trzęsła w kurczowym gniewie rękę mężczyzny, z którego twarzy uśmiech ustąpił nagle. Pijane oko Hektora zapalało się gniewem.

— Czyś ty oszalała?

— Tak! oszalałam, bo dwa lata przepłakane w sercu mojem noszę. Gdzie byłeś? Gzie noce spędzasz? Słyszysz?..

Hektor wzdrygnął ramionami, powstał i rękę podniósł ku klamce sypialnego pokoju.

— Dziecko z ciebie, Izo! — powtórzył z udanym spokojem.

Iza ręce zaplotła. Na twarzy jej bladej nie gniew już jedynie, lecz żal i boleść pałały.

— Zabij mnie, szepnęła, — zabij.!

W tej chwili jednak oko jej spostrzegło bielidło na czarnym kołnierzu Hektora. Drgnęła, — coś niby przestrach mignęło na delikatnej jej twarzy i podnosząc rękę, krzyknęła przeraźliwie.

— Ta plama... co to?... Hektorze!

Hektor zmieszany począł ścierać zdradzieckie znaki, wnet jednak wzburzony winem i nocną hulanką sapnął:

— Czemu mnie pytasz jak sędzia śledczy? Idź spać i nie drażń mnie... Nie drażń mnie! — powtórzył raz jeszcze, a słowom tym towarzyszyło takie spojrzenie, że Iza cofnęła się przestraszona.

Stolik z misternym wazonem runął na ziemię a z brzękiem szkła mieszał się urywany płacz rozżalonej kobiety. Bezsilna nie wiedziała, co począć, ból gardło jej ściskał, oczy mgłą zachodziły, a on z ręką na klamce tak na nią spoglądał, jakby pieścić się chciał jej boleścią. Bywają ludzie, z których przypomnienie pogwałconego obowiązku robi tygrysów, z oskarżonych stają się oskarżycielami, krzykiem wściekłości głuszą wyrzuty sumienia i przestrogi stróżów — aniołów, a gdy rozumem, honorem i sercem bronić się nie mogą, wtedy pokazują pazury.

— Zachciało się pani małżeńskiej sceny — syknął przez zęby — zachciało się po nocach huczyć jak sowa, służbę budzić i na pośmiewisko dom mój wystawiać. Komedyantka!

Patrzał, jakby protest lub jęk chciał z młodej żony wydobyć, ale Iza milczała teraz z zaciętemi usty. Przez chwilę jeszcze spoglądał Hektor gniewnie w lica kobiety, potem, zatoczywszy się lekko, zniknął w drzwiach przyległego pokoju.

Iza cicho oczyma powiodła za nim, a, dopiero, gdy drzwiami rzucił z łoskotem,

kiemi dawniej woda występowała podczas wylewu jako najzaciętszy wróg wszystkiego istnienia, a przedewszystkiem prac człowieka, stała się obecnie, ujęta w karby, jego niewolnicą, obracającą jego żarna i świecącą mu wspaniałemi pochodniami wśród ciemnych wieczorów i nocy.

Nie mniej ciekawą od samego powyżej opisanego fenomenu jest jego strona techniczna. Chcąc dać czytelnikowi dokładne pojęcie, w jaki sposób dzisiejsza technika przystępuje do wyzyskania siły wodnej, opiszemy w krótkości ogólne zarysy podejmowanych w tym celu prac inżynierskich, opierając się w szczegółach na projekcie wyzyskania Renu pod Rheinfelden na granicy szwajcarsko badeńskiej. Daleko posunięte już roboty tego pod każdym względem pierwszorzędnego przedsiębiorstwa mieliśmy sposobność niedawno zwiedzać i badać na miejscu.

Przewodnia myśl przy wszystkich temu podobnych urządzeniach jest następująca: Koryto rzeki i płaszczyzna powierzchni wody posiadają pewne nachylenie, które nazywamy spadkiem. Jak wiadomo spadek ten jest w blizkości źródła znaczny, ku ujściu stale się zmniejsza.

Jeżeli poprowadzimy wzdłuż rzeki kanał o mniejszem nachyleniu, niż je rzeka posiada, zyskamy na danej odległości różnicę pomiędzy powierzchnią wody w rzece, a kanale, mogącą utworzyć kilkometrowy wodospad, który posłuży jako siła motoryczna do obracania wodnych kół lub turbin. Fakt ten oddawna był znany i spożytkowany, doniosłość leży w zamianie tak zdobytej energii w prąd elektryczny, przenoszenie go na dalekie odległości do miast i fabryk i ponownej przemianie na siłę motoryczną. Dzieje się to w taki sposób: spadająca z wysokości woda obraca koła wodne (turbiny), ruch tychże służy za pomocą tak zwanych dynamomaszyn do wytwarzania prądów elektrycznych, które ładują akkumulatory (zbiorniki elektryczności) lub bywają przenoszone na drutach do opodal położonych miast, gdzie zostają zamienione w światło lub za pomocą procesu odwrotnego poruszają koleje, tramwaje i maszyny fabryczne. W taki sposób będzie poruszana w budowie będąca kolej na Jungfrau przez górskie strumyki białą i czarną Lütschinę, a Nil pędzi od pierwszego sierpnia r. b. elektryczny tramwaj miasta Kairo.

Pierwsze odnośne próby zrobił Marcel Deprez w r. 1886, przenosząc siłę 116 koni na odległość 15 km. pomiędzy Creil i Paryżem. Rezultat, którego świat techniczny i przemysłowy oczekiwał z niecierpliwością, nie był świetnym, gdyż dawał tylko 45 proc. pierwotnej siły. Lecz już w roku 1891 osiągnięto bez porównania lepsze rezultaty przy przenoszeniu siły 180 koni pomiędzy Lauffen nad Nekarem a Frankfurtem nad Menem. Przy zastosowaniu prądów zmiennych (Wechselstrome) skonstatowano 75 proc. pierwotnej energii. Fakt ten zadecydował o ekonomicznej doniosłości przenoszenia na wielką skalę siły motorycznej przy pomocy prądów elektrycznych na dalekie odległości bez znacznej straty i zapewnił wyzyskanie niewyczerpanych zasobów sił przyrody, spoczywających w prądach rzek ku celom produkcyjnym.

Opierając się na tych rezultatach przystąpiło grono przemysłowców do wyzyskania w ten sposób Renu pod Rheinfelden i otrzymało odnośne koncesye od rządów szwajcarskiego i badeńskiego. Z przeróżnych projektów uzyskał aprobatę podany przez firmę Zschotzke & Co. w Aarau z pewnemi zmianami, poczynionemi przez prof. Intze z Akwizgranu, zapewniający 15,000 sił koni, jako minimum przy najniższym stanie wody w Renie. Koncesya zastrzega ze względu na interesy rybołóstwa i żeglugi pozostawienie przynajmniej 50 metrów sześciennych wody w starem korycie rzeki. Aby wodę skierować do kanału poprowadzonego wzdłuż Renu na stronie badeńskiej, zbudowany jest jaz (Grundwehr) w poprzek rzeki zawierający śluzę dla przepuszczania statków. Interesującem jest także, w jaki sposób technika uwzględnia interesy rybołóstwa. Wiadomo, iż w Renie na wiosnę pojawiają się łososie i inne ryby, aby składać ikrę. Byłoby zatem wzbronionem stawiać w poprzek zapory, nie dające rybom wolnego przepływu. Aby zadosyć uczynić tym wymaganiom bez wielkiej utraty wody buduje się w jazie pochyłą płaszczyzną z poprzecznemi schodami dla zmniejszenia prądu wody, a zamykaną śluzą, którą dowolnie można wodę wpuszczać lub zatrzymywać. Przez schody w tak urządzonym przepływie, przeskakują ryby z łatwością. Ciekawem jest, że jak prędko znajdują one to wąskie i niewygodne przejście, tak łatwo uczą się przerzucać przez małe zapory.

Korzyści, jakie z przedsiębiorstw tego rodzaju wynikają, są znaczne. Według obliczeń wynosić będą koszta zakładów w Rheinfelden około 5,000,000 franków, tak, że uzyskanie jednej siły konia na wale obrotowym turbiny kosztować będzie 346 franków kapitału zakładowego, cena w porównaniu z parową maszyną lub innym motorem bardzo niska. Przy tem zauważyć należy, że wszystkie motory wymagają znacznych kosztów utrzymania tj. ciągłego opału, gdy tu produkcya siły dokonuje się po ukończeniu budowy prawie bezpłatnie. — O ile nam wiadomo, zamierza przedsiębiorstwo zyskaną energię motoryczną wynajmować fabrykom do obrotu maszyn, lub miastom w celach oświetlenia.

Cena dzierżawy za 75 kilogramometrów = 1 sile konia wynosić będzie około 50 franków na rok. I tu taniość budzić musi zdziwienie. — Roboty rozpoczęte w kwietniu 1895 r. mają być już w maju roku przyszłego w przeważnej części wykończone. Spadająca woda obracać będzie 20 turbin o działaniu maximalnem 840 koni każdej.

Szkic ten, o ile nam się zdaje, wystarcza do ogarnięcia doniosłości tych nowych zdobyczy na polu technicznem i ich znaczenia dla przemysłu. Z obawą wyliczali uczeni i statystycy, na ile jeszcze lat wystarczyć może zasób węgla kamiennego, spoczywającego w łonie ziemi, przepowiadając z jego wyczerpaniem upadek przemysłu i kultury. Technika weszła obecnie na drogę, która robi podobne obawy płonnemi; siły w naturze są niewyczerpane a przedsiębiorczy umysł człowieka, opierając się na nauce, znajduje coraz to nowe sposoby zawładnięcia niemi.

Kraje przemysłowe przystępują ochoczo do wyeksploatowania tego nowego źródła dobrobytu, zapewniającego wzrost przemysłu i taniości produkcyi. I w naszym kraju posiadamy w pełni te same siły przyrody, dające się łatwo i z korzyścią spożytkować. Jak zwykle dojdzie nasz kapitał dopiero wtedy do uznania tego źródła dobrobytu

---

westchnienie z piersi się wydarło i łzy popłynęły znowu strumieniem. Łkając rzuciła się w fotel i twarz dłońmi zakryła.

Wkrótce jednak jakiś dziwny, lodowy spokój ogarnął jej całą istotę, łzy płynąć przestały, a oczy bez wyrazu, nieme i martwe w dal spoglądały ku oknu, przez które iskrzące gwiazdy i księżyc melancholijny blade światło rzucały. Nie była to owa sztuczna cisza, którą nieraz chcemy ból przytłumić, ale czysto fizyologiczny objaw osłabienia i apatyi po męczącej walce i wielkiej boleści. Mgła gęsta pokryła świeże wypadki. Emil, mąż, dziecko, gniew, zdrada — wszystko to majaczyło przed strudzonem okiem, ale bezkrwiste, blade, beznamiętne. Atmosfera tylko była duszna, niby przyciszony wulkan resztki sił do nowego zbierał wybuchu. Długa godzina osłupienia, a potem znów życie wracać zaczyna. Zimno dokuczliwe wstrząsnęło ciałem opuszczonej Izy. Odgarnęła włosy rozwiane, podniosła się zwolna i zmęczonem okiem powiodła w około, a oko to spotkało w cichej wędrówce strzaskane szczątki wazonu i stolik przewrócony. Więc pamięć nagle wróciła; cały dramat nierozegrany jeszcze zupełnie przesunął się przed samotną kobietą, łez jednak ten nie zbudził na nowo, jeno uśmiech dziwny, w którym grała duma i pogarda. Iza zacisnęła dłonie, a wzrok płomienny w drzwiach utopiła, za któremi zniknęła postać Hektora. On się odważył! Coś się w niej łamało, coś kruszyło i w proch ścierało.

Zwolna gniew ustępował z jej twarzy, bladość tylko została, a w piersiach zgliszcza wygasłej miłości. Podniosła lampę ze stołu, cicho otworzyła drzwi sypialni, oświetlonej tylko słabym blaskiem gasnącego księżyca, i patrzała długo w śpiącego Hektora, z którego ust rozwartych wydobywały się jakieś chrapliwe tony, niby hulaszcze echa wesołej zabawy. Dawniej na czole śpiącego Iza składała pocałunek, a dziś... Podeszła do łóżka swego i suknie zsunąwszy dmuchnęła na światło. Powieki jednak się nie zamykały i długo jeszcze dwie postacie przed oczyma się snuły: Emil u stóp jej klęczący i Hektor, mąż jej pijany.

Przed kilku godzinami głos smutnego kochanka był dla niej głosem występku, a teraz?.. Hektor przez sen mruczał:

> Na rogu Freta,
> Jest tam kawiarnia...

Iza podniosła się z miękkich poduszek i głowę wsparła na dłoni. Czuła się tak strasznie samotną i opuszczoną. Tam opodal leżał człowiek obcy, z którym jej nic już nie wiązało, prócz kościelnej stuły, i było dziwnie smutno wśród tych ścian, które patrzały na rozkosz miodowych miesięcy, a dziś aj stały się pustynią. A przecież jest ktoś, który ją kocha namiętnie, — Emil szaleniec, Emil odepchnięty kochanek, ten biedny Emil, który u stóp jej drżał bólem serdecznym! A jednak... nie, nie... a mąż! a dziecko!

Z łóżka Hektora nowe dolatywały pomruki:

> Trzewiczki mam,
> Pończoszki mam...

A! Iza zacisnęła ręce. Chrapanie, rzężenie, mruczenie Hektora tworzyły orkiestrę zwierzęcą. Spazmatyczny śmiech wydarł się z piersi zawiedzionej żony... Przed kilku godzinami Emil uderzał w klawisze, a ta czarowna melodya dzikiej muzyki jego grała jeszcze w duszy młodej kobiety. O! tak! iskierkę przywiązania, choćby za cenę życia i sumienia.

Z cichem westchnieniem ukryła głowę rozpaloną w poduszki, lecz i tu ścigała ją muzyka Emila i sapanie Hektora.

Długo spoglądała w mroczną głąb pokoju, aż wreszcie znużenie ogarnęło jej członki i z cichem westchnieiem oczy do snu zmrużyła.

A jutro .. jutro??

i zarobku, gdy obcy, wyzyskawszy co było w swoim kraju, sięgną po korzyści do naszego. *Utinam falsus sim vates.*

Tuz.

LITERATURA I SZTUKA.

Nokturny Rzymskie.

W „Porta Pia".

W wielkiem milczeniu ruiny i nocy
Duchowi memu stanęłaś widoma,
A było mi tak, jak gdyby prorocy
Tu byli doma...
Że w pustce swojej masz głos, który woła,
Że przed twą ciszą schylają się czoła,
To jest największa może z twoich mocy,
O, Roma!

I srebrną urną stanęłaś przedemną,
W księżyca bieli, co z marmurów tło ma,
A choć pierś miałaś od popiołów ciemną,
Prochem znikoma,
Słyszałam przecież serca twego bicie...
Więc że w popiołach masz pulsy i życie,
To najdziwniejszą twą siłą tajemną,
O, Roma!

I tak stanęłaś mi, jako widzenie,
Między błyskami miesięcznymi dwoma,
W nizin twych pchnięta zmierzch i upodlenie,
A od wież stroma...
Żeś nie podniosła ludzkiego poniża
W światło, co niegdyś buchnęło tu z krzyża,
To jest twa nędza, słabość, to twe cienie,
O, Roma!

Marya Konopnicka.

Z estrady i sceny.

(Jadzia wdową. Krotochwila w 3 aktach p. Ryszarda Ruszkowskiego. — Właściciel kuźnic.)

Kuryerkowa reklama syreniego grodu zgotowała nam już niejeden zawód w murach teatralnych. Ostatnią mistyfikacyą to sobotnia premiera.

Powiedziano nam przez usta małych i wielkich reporterów warszawskich, że pan Ruszkowski po zerwaniu małżeństwa literackiego z Abrahamowiczem, złożył w „Jadzi wdowie" dowód znakomity samodzielnego talentu, — powiedziano nam, że ta „Jadzia" jest niewątpliwie królową fars polskich, — no i wreszcie przez krytyczną suggestyę dokonano tego, że Jadzię blisko 40 razy pokazano publiczności warszawskiej, a publiczność biła brawo i brawo bez końca. Powodzenie najświeższej krotochwili Ruszkowskiego niewątpliwie i tem się tłomaczy, że grano ją w jednym z teatrzyków ogródkowych, które mają swoją odrębną atmosferę i swoich odrębnych widzów. Inaczej patrzy się na sztukę w ogródku, inaczej w zamkniętym teatrze, — to pewna, niemniej jednak i to pozostaje faktem, że działanie sztucznej, tendencyjnie wydętej reklamy w tryumfach „Jadzi" wielką odegrało rolę.

Gdyby nie te ekstatyczne głosy Syreniego grodu, spoglądałoby się na farsę Ruszkowskiego jak na tysiące innych podobnych sztuczek i opuszczałoby się teatr z jakiem takiem zadowoleniem. Ot, nie lepsze to i nie gorsze od mnóstwa pospolitych balonów śmiechu, w które obfituje nowoczesna literatura sceniczna. — Ale reklama tak napięła oczekiwania nasze i tem samem tak przygotowała grunt dla rozczarowań, że „Jadzia wdowa" nawet mniej korzystne wywarła wrażenie, niż w rzeczy samej zasłużyła sobie. Bo bądźcobądź jest w tej trzyaktowej farsie kilka scen dobrze pomyślanych, jest dużo ruchu i wesołych typów, jest dyalog żywy, choć nieco trywialny, jest jednem słowem sporo zalet, mogących zadowolić niezbyt wygórowane pretensye i nie zbyt naprężone oczekiwania. Ale na sobotnią premierę każdy widz, który czytanie warszawskich dzienników, a mianowicie recenzyi teatralnych, nie uważa za zbytek, przynosił z sobą wyższą miarę artystystyczną, w obec której zalety sztuki zbladły, a wady wystąpiły w jaskrawych kolorach.

Zdaje mi się, że może najpoważniejszą wadą krotochwili Ruszkowskiego jest pewna sztuczność humoru, pewne urabianie sytuacyi, w którem znać bezustannie piłę autorską. Gdy np. w pierwszej połowie aktu drugiego rodzina „Jadzi" stara się młodziutką wdówkę przekonać, że niedorzecznym jest wstręt jej do męzkiego rodu, że stary mąż umiał tylko pokaszliwać i ręce całować, lecz młody umie śmiać się. i pieścić i usta z ustami łączyć, to scena ta odbywa się przy szczelnie zapuszczonych storach, aby nikt oblicza skromnej Jadzi nie oglądał. Wkrótce jednak ciemność staje się niewygodną autorowi, więc Feliks, łobuz warszawski, podnosi rolosy, i ani Jadzia, ani otaczające ją dewotki nie starają się przeszkodzić tej zamianie maskarady na „bal paré", a publiczność doznaje uczucia, że autor dla tego tylko zaciemnił scenę, aby pokazać kilka karamboli, aby Feliks mógł operować zapałkami i aby nowy ten efekt urozmaicił nieco dość nudną bitwą wdowy z nieprawdziwego zdarzenia z kliką familijną. Nie raziłoby to może, gdyby humor sztuki był tak porywający, że zdrowy rozsądek, uniesiony w szalony wir śmiechu, nie odzyskałby przytomności, ale karambol starego Gawałeckiego z kwaśnym Mieczysławem, kilka tłustych dwuznaczników i kilka po ciemku zapalonych zapałek, to jeszcze nie ten dowcip eksplodujący, który tak zawojuje publiczność, że o niekonsekwencyach i nieprawdopodobieństwach zapomni zupełnie. Krotochwila ma swoje prawa; wolno jej posługiwać się logiką bezsensu, wolno akcyę budować na fantastycznych przesłankach, wolno tworzyć sytuacye karykataralne, — wszystko jej przebaczymy, byle tylko komizmem swoim uśpiła na godzin kilka nasz trzeźwy krytycyzm. Panu Ruszkowskiemu nie zawsze się to udaje, lubo trudno zaprzeczyć, że nie brak mu wesołych i oryginalnych pomysłów.

Zwrócić zresztą wypada i na to uwagę, że „Jadzia wdową" posiada gdzieniegdzie barwę lokalnego humoru, który na obcym gruncie traci siłę swoją. Są tam zwroty, dowcipy i typy, noszące specyalnie markę lwowską i warszawską, — dla naszej publiczności były one cudze. Niejedna petarda, wybuchająca śmiechem nad Wisłą i Pełtwią, u nas nie pękła i przeszła niepostrzeżenie.

Z wykonawców sztuki palmę pierwszeństwa zdobył pan K n a p c z y ń s k i, który w roli Feliksa prezentował się już kilkadziesiąt razy w jednym z teatrzyków warszawskich. Nie dziw więc, że gra jego pod względem swobody i wykończenia górowała nad resztą artystów, a na szczególne odznaczenie zasługuje pewne artystyczne umiarkowanie, o które często dopominać się muszę u naszych komików i lekkich amantów. Pani J a k u b o w s k a w roli tytułowej była jak zwykle żywa, elegancka i pociągająca urodą, lecz w pierwszej połowie sztuki szukałem napróżno Jadzi, — tej naiwnej Jadzi, którą urobiła sobie humorystyczna fantazya Ruszkowskiego. Śpiewający Bolesław, u którego „co nie szansonetka, to nie kobieta", przedstawił się w interpretacyi p. S t r ó ż e w s k i e g o raczej jako Donżuan z Pacanowa niż wielkomiejski operetkowicz. A szkoda! Bo jest to jedna z najweselszych postaci sztuki, lubo pewien nowokreowany recenzent poznański uznał ją za zupełnie zbyteczną. Reszta artystów wywiązała się mniej więcej poprawnie z ról swoich, na szczególniejsze jednak odznaczenie zasługują p. p. K a r p o w i c z, B e r s k i, P r o c h a s k a i W o j d a ł o w i c z, oraz pocieszna w staropanieńskiej afektacyi swojej p. M o d r z e w s k a. Tylko ta Melanja, gdy mówi o uróżowaniu swojem i za „grzech śmiertelny" przeprasza Feliksa, powinna mieć istotnie twarz buraczaną, choćby nawet takie ufarbowanie miało dokuczyć pretensyom artystki.

* * *

W ubiegły wtorek wznowiono znowu na scenie naszej „Właściciela kuźnic", tę nigdy nie starzejącą się przeróbkę powieściową. Sztuka ta ma „role", jak mówią za kulisami, więc ją kochają aktorzy. Z żalem jednak zauważyłem, że w przeciwieństwie do dawniejszych przedstawień bieżącego sezonu coś się bezustannie haczyło i rwało na scenie, a nowej obsady efektownego dramatu w niektórych rolach szczęśliwą nazwać nie można. R y g e r miał w konwersacyjnych scenach chwilami ton sztuczny, lecz za to wznosił się w dramatycznych momentach do siły porywającej i szczerym był w każdym dźwięku i ruchu. Partnerka jego, p. T a ń s k a objęła rolę Klary po pannie P a n k i e w i c z, która w tej właśnie sztuce dosięgła wyżyn prawdziwego artyzmu. Mimo tak trudnej rywalizacyi, wtorkowa Klara wywarła na publiczności korzystne wrażenie. Głos dźwięczny i dosyć silny, dramatyczna gra ócz, wytworne ruchy i zrozumienie roli, oto zalety, któremi talent p. T a ń s k i e j zajaśniał w „Właścicielu kuźnic". Gdzieniegdzie tylko uczuć się dawał brak goretszych kolorów i subtelniejszego cieniowania, którem właśnie celowała dawniejsza przedstawicielka Klary na poznańskiej scenie.

Wręcz przykre natomiast wrażenie wywarła wtorkowa Atenais, p. T a l k o, której gra zdradzała bezustanny ambaras i brak dramatycznych akcentów. Końcowa scena aktu trzeciego była bladą, bardzo bladą dzięki tej grze dyletanckiej. O pani Z a l e w s k i e j nic więcej powiedzieć nie mogę, prócz tego, że odznaczała się pięknemi tualetami i blaskiem ócz magnetycznych. Być może, że w komedyi zaprezentuje się korzystniej ta nowa artystka, — do dramatu nie posiada stanowczo warunków. Panna O g i ń s k a jest w każdej roli panną z małego miasta, grającą w zielone z sekretarzem pana mecenasa. Taką też była w „Właścicielu kuźnic".

Role męzkie natomiast znalazły lepszych przedstawicieli, że tylko wymienię elegancką, dyskretną i dobrze cieniowaną grę p. T a r a s i e w i c z a oraz charakterystyczny humor p. O l s z e w s k i e g o.

W. R.

TO I OWO.

Zwycięzony szermierz.

W zeszłym tygodniu zmarł redaktor warszawskiego I z r a e l i t y — Pełtyn. Jako kierownik i długo niemal wyłączny współ-

pracownik pisma, poświęconego sprawom żydowskim, musiał on z konieczności zająć stanowisko wojujące. Rzeczywiście Izraelita był albo ustawiczną elegią, skarżącą się na złość i niesprawiedliwość innowierców względem Żydów, albo też redutą, odbijającą szturmy nieprzyjaciela. Łatwo zrozumieć, że pismo, napełnione w przeważnej części polemiką i powtarzające się ciągle w swych argumentach, musiało szybko znużyć czytelników. Nużyło zaś ono tem bardziej, że zależne w równej mierze od poparcia konserwatystów i postępowców swego wyznania, lawirowało między dwiema skałami, obawiając się rozbicia o którąkolwiek. Pewien wszakże mglisty ideał przyświecał z jego nieśmiałych i niewyraźnych marzeń. Pełtyn widział go w szczerym wyznawcy Starego Zakonu, w czcicielu tradycyi i obrządków mozaizmu, ale zarazem żądał, żeby ten niewynaturzony żyd był człowiekiem ukształconym, czynnym na rozmaitych polach działalności i życzliwym dla swego innowierczego otoczenia. Nie chciał on przyznać, ażeby w tym idealnym typie spotykały się sprzeczności, z których jedna wyłączała drugą. W jego przekonaniu kultura żydowska harmonizowała się doskonale z ogólną. Ale gdy on zacierał różnice i godził przeciwieństwa, jego czytelnicy, zależnie od tego, na którem stali skrzydle, dostrzegali je i ciągnęli go w dwie przeciwne strony. To też nie będąc przewodnikiem rzeszy jednolitej, trzymając w ręku właściwie dwa sztandary, nie mógł nigdy stanowczo zwyciężyć i padał ofiarą swej dwoistości. Jedni uważali go za wstecznika, drudzy za radykała.

NA WYŁOMIE.

(Apologia junkrów.)

Junkrowie pruscy! Kłaniał wam się Bismarck żelazny, uśmiechał się do was ród Hohenzollernów, słały za wami tęskne spojrzenia córki ubogich lejtnantów, — dziś w prochu przed wami ściele się „Kuryer Poznański“. Wy się dziwicie? Alež przezacni bracia Sudermannowskich Rocknitzów, pozwólcie, że wam przypomnę jeden z dawniejszych artykułów wielkiego herolda cnót junkierskich i zalet, — artykuł złożony u stóp tronu w dzień urodzin cesarskich. Wtedy powiedziano nam, że żaden król z Bożej łaski ani się mylić ani niesprawiedliwością grzeszyć nie może, bo przed ułomnościami ludzkiemi chroni go opatrzność, a ponieważ wy, Junkrowie pruscy, jesteście zwykle tronu janczarami, więc cóż dziwnego, że i wam u ramion wyrastają skrzydła aniołów. Zresztą, przyjaciele moi, wy przecież macie „tradycyjne szlachectwo“, a Kuryer, który niegdyś Ossę piętrzył na Pelion, by zdusić liberalizującą szlachtę polską, i był gotów herbowym panom nietylko uczciwości lecz nawet człowieczeństwa odmówić, dziś nagle uwierzył, że „tradycyjne szlachectwo“ to pancerz stalowy, o który dyabeł rogi sobie kruszy, to ów kamień filozoficzny, za którym szukali mędrcowie Indyi, a który mieści w sobie najwyższą wiedzę, najwyższą cnotę i najwyższą sprawiedliwość, prócz innych prawdziwie boskich atrybutów.

I cóż wam to szkodzi, że jakiś Aleksander Kraushar, pisząc o „Raubritterach“ taki wyśpiewał czterowiersz:

„Dziś to rycerstwo nie ma już mocy,
„Lecz mu pazury zostały.
„Dawniej grabiło wśród ciemnej nocy,
„A dzisiaj grabi w dzień biały“.

Ej! drwijcie sobie z tego, Raubritterów syny! Kraushar Krausharem, a Kuryer Kuryerem. Tamten nie ma za sobą nikogo, prócz talentu i nauki, a Kuryer ma za sobą takie figury, że aż mrowie przechodzi, gdy z senatorską powagą suną przez ulice miasta.

Tak! Kuryer ma stanowczo racyę. Bo, proszę państwa, któż tam będzie pamiętał o takich drobnostkach, że ilekroć Bismarck stary sforę psów gończych puszczał na Polaków i skrzynię Pandory w darze im przesyłał, to Junkrom pruskim od oklasków nabrzmiewały ręce. Wiadomo przecież, że w kraju naszym żył jakiś wielki polityk, który twierdził z straszną powagą w uczonych broszurach, że Bismarck marzy o zbawieniu Polski i tylko wypróbować pragnie żywotne siły uciskanego narodu. Wprawdzie tego mędrca wsadzono potem do Czubków, ale ileż to wielkich filozofiów i dyplomatów kończyło z ogoloną głową w domu obłąkanych.

Któż to zresztą powiedział, że wy, Junkrowie, jesteście ojcami wielkiej rodziny pruskich Hakatystów, wy sprężynami i filarami tego ruchu, który Bismarckowskie „ausrotten“ wypisał na sztandarach swoich? Mówi nam Kuryer Poznański, że „tradycyjne szlachectwo“ dyktuje wam wstręt nieprzezwyciężony do hec narodowych, że lubo ten i ów Junkier w chwilowym obłędzie stanął w szeregach Hakaty, to wnet przerażony dzikiem ujadaniem opuścił pułki barbarzyńców. Wy macie delikatne nerwy arystokratyczne, — ten wrzask szowinizmu was razi, i serce wzbiera wielkiem miłosierdziem dla dręczonego narodu. A że tam w księgach bractwa trzech liter figuruje mnóstwo nazwisk Junkierskich, że na listach składek Hakaty najpoważniejsze cyfry herbem są strojone, temu nikt się dziwić nie powinien, bo wśród szlachty pruskiej mnóstwo jest intruzów, mnóstwo zielonych jeszcze „Vonów“ i baronów. Homo novus! Czuć go pospólstwem i pospolite ma gusta, lecz gdy młode szlachectwo stanie się „tradycyjnem“, wtedy Junkier zamieni się niewątpliwie w serdecznego przyjaciela polaków. Tak mówi „Kuryer“. Któż mu nie uwierzy?

Junkrzy niewinni. Szukajmy winowajcy. „Kuryer poznański“ doręczy nam klucz zagadki.

Winien jest „geszefciarz“ z obozu „Posener Zeitung“; winien jest ten wolnomyślny Niemiec, któremu do szczętu nie wygasły iskry sprawiedliwości i któremu w piersiach gra jeszcze chwilami dźwięk humanitarny; winne są te stronnictwa, które w parlamencie miały piorun w ustach, gdy kanclerz żelazny wstąpił na trybunę.

Winni? uśmiech ironii zamiera na ustach. Proroctwo moje się spełnia, bo apologia junkrów to dowód wyraźny, że mimo klęsk najdotkliwszych Kuryerowa koterya abdykować nie myśli i znowu skrzydła gotuje, by w mgłach się nurzać lojalnych. Na prawo! dalej i dalej, choćby nas bito i w twarz nam plwano z pogardą.

Rozumiem kłamstwa dyplomacyi, ale zapytuję się panów z Kuryera, czy jest na świecie jaki król i jaki minister — oprócz Zulukafrów i Botokudów, tam może znajdzie się taki — który tumanić się pozwoli ich pisaninie niezręcznej? Zapytuję się, czy to polityczne małżeństwo z Junkrami, któremu artykuł Kuryera ma być stułą ślubną, posiada jeden atom prawdopodobieństwa, jeżeli ta ubóstwiana, centnarami cukrów i kwiatów zarzucana oblubienica szlachecka, kopie bezustannie swych klęczących wielbicieli i powtarza niezmiennie swój wyrok: „Idea państwowa wymaga waszej zguby, idea państwowa mówi nam: „Ausrotten“!

Lata całe żebrzecie łaski u tronu i tronowych pachołków, a w jałmużnie nie otrzymujecie nic, prócz błogosławieństwa rządu dla dzikiej Hakaty. Lata całe składacie ofiary w paszczę Molocha, a on drwi głośno z waszej wspaniałomyślności i niedwuznacznie uczuć wam daje, że rozumie maskaradę i komedyę waszą. Lata całe łudzicie kuglarstwem społeczeństwo, niańczycie je słodką bajeczką o uśmiechach królewskich, a ono, zasłuchane w Circeńskie melodye, zamraża serca, zatraca wiarę w własne swe siły i czekając na łaskę cesarską, na reformę szkoły ludowej, pozwala usnąć nauce języka polskiego, która w zaciszu domowem znalazła przytułek. Lata całe wysyłacie modlitwy swoje do stronnictw rządowych i wyrzekacie się sojuszu z lewicą, jak trądu i zarazy morowej, a oto dziś stoicie sami, bo prawica was odtrąca brutalnie, a przedstawiciele liberalnych kierunków za pogardę płacić zaczynają pogardą.

Posępny bilans!.... Wiem, że was ani bicz ironii ani druzgocąca siła logiki i doświadczeń nie wyleczy z złudzeń dziecinnych. Chyba was zwieje wielki ruch ludowy, który przedewszystkiem liczy na własną siłę, a jeżeli szuka przymierza, to wyciąga rękę do lewicy, wierny dewizie: „Uciśnieni wszystkich krajów łączcie się!“ i wierny przekonaniu, że rozluźnienie śruby rządowej w prowincyach polskich zależy głównie od zwycięstwa demokratycznych i humanitarnych prądów w państwie niemieckiem.

Sulla.

KRONIKA POWSZECHNA.

— **Teatr i muzyka.** Dowiadujemy się, że dyrekcya teatru poznańskiego zamierza wystawić głośny utwór Schnitzlera p. t. „Miłostki“ (Liebelei), grany z wręcz niezwykłem powodzeniem na scenach niemieckich i w teatrze lwowskim. „Miłostki“ uważają „młode Niemcy“ za najznakomitszy wyraz swych dążeń literackich, a we Wiedniu powstało nawet pismo, które dla zaznaczenia kierunku artystycznego, w jakim dążyć będzie, nazwało się „Liebelei“. — Dyrekcya policyi monachijskiej wzbroniła przedstawienia grywanej z powodzeniem na wielu już scenach operetki francuzkiej pt. „Owieczki“. — Dziś, w sobotę, ukaże się na scenie poznańskiej stary, lecz nie starzejący się i zawsze piękny utwór Narzymskiego „Pozytywni“. Reżyseryę sztuki prowadzi osobiście p. Edmund Ryger.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

M. P. Dziękujemy serdecznie za łaskawie nadesłany nam artykuł. Ogłosimy go w najbliższym numerze. Do obecnego było już zapóźno.

A. W. Zgoda. Numer wysyłamy. Bliższe informacye podamy listownie.

OD ADMINISTRACYI.

Skargi na nieregularne dochodzenie „Przegl. Pozn.“ nie ustają.

Abonentów w m. Poznaniu prosimy zwrócić się wprost do Ekspedycyi „Przegl. Pozn.“, obecnie przy ul. Podgórnej 7. Abonenci, zapisujący „Przegl. P.“ na pocztach raczą zażądać od poczty zaległego numeru, gdyż poczta z obowiązku dostarcza takich numerów bez kosztów. W razie potrzeby trzeba stanowczo tego się domagać.

Abonentom, którzy przysyłają przedpłatę do Administracyi i odbierają „Przegl. P.“ pod opaską, prześlemy na każde zawiadomienie odwrotną pocztą zaległy numer pisma. Prosimy tylko zawsze podać dokładny adres.

Szanownych abonentów, jako też i Stowarzyszenia, które pod opaską odbierają „Przegl. Pozn.“ prosimy o wczesne uregulowanie przedpłaty tak za IV jak za III kwartał rb. Bardzo wielu jeszcze zalega z przesyłką przedpłaty, co Administracyi utrudnia utrzymanie porządku w książkach kasowych.

Wobec wielkich kosztów, jakie wydawnictwo literackiego tygodnika pociąga za sobą w zaborze pruskim, będziemy zmuszeni zaprzestać dalszego wysyłania „Przegl. P.“ tym, którzy w ciągu dwóch tygodni nie uiszczą się z zaległej przedpłaty.

Pieniądze prosimy przesyłać pod adresem: Redakcya „Przeglądu Poznańskiego. — Poznań (Posen) św. Marcin 22. II p.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28

Nr. 43. Poznań, niedziela 25-go października 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: Podgórna ul. Nr. 7 w podwórzu.

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Podgórna Nr. 7. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.
Rękopisów drobnych niezwracamy.

TREŚĆ.

Położenie ekonomiczne Górnego Szląska.

W dawniejszych notatkach*) mówiliśmy o rozwoju ekonomicznym, jaki się przejawia w ostatniej fazie na rynku wszechświatowym. Zwróćmy się teraz specyalnie do dzielnic polskich pod zaborem pruskim i rozejrzmy się, jak przedstawia się tam położenie przemysłowo-handlowe za rok ubiegły. Materyału dostarczają sprawozdania roczne izb handlowych (Bericht der Handelskammer für den Regierungsbezirk Oppeln, 1895, Jahres-Bericht der Handelskammer für den R. B. Posen für 1895).

Zaczynamy od Szląska i zaznaczamy na wstępie, że sprawozdania opolskiej izby handlowej należą do najlepiej opracowanych, tak że na zasadzie ich łatwo wytworzyć sobie pojęcie o położeniu ekonomicznem.

W sprawozdaniu za rok 1894 znajdujemy na wstępie utyskiwanie: „Ogólny stan niepomyślny rynku wszechświatowego, trwający już od lat kilku, nie mógł nie wywrzeć swego wpływu na nasz okręg górnoszląski. Tylko przez wielkie natężenie i po części przez obniżenie cen można było utrzymać dawniejszy odbyt i cokolwiek rozszerzyć produkcyę“. Dalej zaznacza sprawozdanie, że jeżeli rok 1894 nie był jeszcze gorszym od poprzednich, to zawdzięcza się to jedynie traktatowi handlowemu z Rosyą, który pozwolił na znaczne powiększenie wywozu żelaza i węgla. Wywóz węgla do tego państwa wzrósł z 153,784 ton (po 1000 kg.) w roku 1893 do 224,747 ton w roku 1894. Odbyt wewnątrz okręgu Górno-Szląskiego na węgiel był nie zupełnie zadawalniający, gdyż fabryki cementu i cukru potrzebowały go mniej w skutek zastoju w tych gałęziach, a jedynie huty żelazne i koksownie, znów dzięki traktatowi handlowemu z Rosyą, miały produkcyę cokolwiek więcej ożywioną. Przemysł metalurgiczny jednakże wogóle narzeka. Przemysł tkacki był w położeniu bardzo przykrem. To samo przemysł chemiczny, cukrownie i młyny.

Zupełnie inną piosnkę słyszymy za rok 1895. „Liczne obstalunki zapewniające na dłuższy czas zajęcie, dozwalają wnioskować, że ruch ekonomiczny począł się wzmagać i należy oczekiwać nadal pomyślnego rozwoju interesów“. Zobaczmy jak przedstawiają się cyfry dla najważniejszych gałęzi produkcyi.

W kopalniach węgla powiększono w porównaniu z rokiem 1894 produkcyę z 17,19 milionów ton (po 1000 kg.) do 18,06 milionów; suma osiągnięta ze sprzedaży wzrosła z 86,5 milionów marek do 90,47 mil. marek. Cena za tonę podniosła się z 5,44 m. do 5,59 m. Przyczem zważyć należy, że liczba kopalń nie zwiększyła się, lecz zmniejszyła z 57 na 54, ale kopalnie te pracują z większą liczbą maszyn (903 przeciw 896) i maszyny przedstawiają większą liczbę koni parowych (82 553 przeciw 76 973 w roku przeszłym). Odbywa się więc koncentracya.

W kopalniach rudy żelaznej rzecz przedstawia się mniej pomyślnie, produkcya tu zmniejsza się stale od lat kilku. Wynosiła w latach od 1891—95 kolejno: 654,000 — 646,000 — 624,000 — 560,000 — 475,000 ton. Liczba kopalń zmniejszyła się z 49 do 45, siła jednakże maszyn powiększyła się z 389 do 460, co świadczy, że większe przedsiębiorstwa bądź co bądź liczą na powiększenie swojej produkcyi i zabierają się do podkopania drobnych.

Ten sam proces odbywa się w kopalniach rudy ołowianej i cynku: produkcya zmniejsza się, odbywa się koncentracya.

Inaczej w hutach żelaznych. Tu produkcya powiększa się stale od roku 1893 i wynosiła kolejno w latach 1893—94—95 ton 556,000 — 622,000 — 634,000, liczba zaś wielkich pieców zmniejsza się stale i wynosi kolejno za lata 1891—95 pieców: 30, 28, 25, 26, 25.

W walcowniach żelaza i stali liczba przedsiębiorstw pozostaje stałą (19) od lat kilku, liczba maszyn wzrosła w roku sprawozdawczym z 387 do 397, a siła tych maszyn z 27 277 parowych koni do 28 997; wartość produkcyi zaś wzrosła z 48,09 mil. marek do 55,38 mil. marek. Ceny wogóle podniosły się.

W koksowniach znów mamy wyraźną koncentracyę: liczba ich w roku 1891 wynosi 17, spada w roku 1892 do 15 i w 95 do 13, pomimo że właśnie w roku ostatnim produkcya powiększyła się o 51 000 ton, a wartość jej wzrosła z 11,7 mil marek do 12 mil. marek.

Odlewnie żelaza w roku sprawozdawczym robiły dobre interesy. Liczba ich wzrosła z 54 do 56, lecz liczba maszyn zmniejszyła się z 38 do 33, a zato siła koni tych maszyn wzrosła z 637 do 735, jak również liczba robotników z 1825 do 2156. Wartość produkcyi wzrosła z 5,0 do 5,6 mil. m.

Tak więc ogólnie widzimy pomyślny stan przemysłu kopalnianego i hutniczego. Inne gałęzie przemysłu żelaznego i wyrobu metalów wogóle przedstawiają się również pomyślnie.

Z innych zaś mniej ważnych gałęzi wytwórczych niepomyślnie przedstawia się przemysł chemiczny i tkactwo. Młyny miały obroty lepsze, o cukrowniach zaś czytamy: „ogólne położenie w porównaniu z rokiem minionym (1894) było o wiele korzystniejsze. Znaczne straty, jakie ponieśli w roku zeszłym producenci wobec zniżki cen cukru, oraz nadprodukcya zmusiły fabrykantów do obniżenia cen buraków o 10 15%.“ Na to rolnicy w roku 1895 odpowiedzieli zmniejszeniem plantacyi. Cena cukru w roku 1895 podniosła się o 12%.

O rozwoju ekonomicznym świadczy też ożywienie w interesach bankowych.

Ogólny obrót w bankach obrachunkowych wynosił około 631 milionów marek w porównaniu z 491 mil. mrk. w roku 1894. Charakterystycznem jest również zwiększenie sumy przekazów pocztowych; w roku bowiem 1894 biura pocztowe pierwszej klasy w tym okręgu przyjęły na przekaz sumę 69,2 mil. marek, w roku 1895 — 17,9 mil. marek. Zaznacza też sprawozdanie, że wzrasta „zainteresowanie publiczności dla transakcyi w effektach“, a więc podwyższenie dywidendy zachęciło publiczność i tu do spekulacyi.

Spław na Odrze również odpowiada ożywieniu przemysłowemu: przez szluzy przepłynęło w latach 1893—1895 kolejno statków: w dół rzeki 3155—3030—4492, w górę rzeki 3543—3010—4656. — Wszystkie te cyfry świadczą, że ogólne położenie pomyślne rynku wszechświatowego odzwierciadla się en miniature w tym okręgu.

Jeżeli teraz zwrócimy się do tych gałęzi handlu, które przedewszystkiem zależą od siły kupczej publiczności, obraz się zmienia. Oto co mówi sprawozdanie o handlu towarów łokciowych i konfekcyi: „W tej gałęzi w roku bieżącym nie nastąpiło w porównaniu z 1894 ożywienie, przeciwnie bieg interesów był bardziej utrudniony, obroty w największej liczbie sklepów zmniejszyły się, zyski zostały uszczuplone.“ Wczęści sprawozdawcy przypisują to wpływowi aury, gdyż jesień i zima w roku 1895 były łagodne. Natomiast dalej twierdzą, że handlarze mający klientelę przeważnie rolniczą odczuwają ogól-

*) Patrz artykuły „Fakty z życia ekonomicznego“.

ne złe położenie tej ludności: obroty zmniejszają się i publiczność żąda coraz tańszych towarów, gdyż nie jest w stanie opłacić lepszych gatunków. A dalej: „ożywienie przemysłowe, które nastąpiło przeważnie w drugiej połowie roku sprawozdawczego i spowodowane tem polepszenie gospodarczego położenia robotników nie zdążyło jeszcze pociągnąć za sobą ożywienia w tych gałęziach handlu.“ — Podobnie też stały rzeczy w handlu kolonialnym.

Sprawozdawcy więc z góry przypuszczają, że wraz z polepszeniem się ogólnych konjunktur w przemyśle polepszy się też dola robotników. Zobaczmy, co mówią cyfry sprawozdania.

W kopalniach węgla liczba zatrudnionych robotników wzrasta z 48928 w roku 1894 do 49230 w 1895. Liczba kobiet zatrudnionych zmniejszyła się nieco 4090—3937, przytem robotnicy ci byli zatrudnieni 275,8 dni, to jest o 5,5 dni więcej niż w roku 1894, jednakże zawsze jeszcze liczba dni pracy pozostała mniejszą o 0,2 dnia w porównaniu z przeciętną za lata od 1887—1894. Przeciętny zarobek dorosłego mężczyzny wynosi 792,3 marek, t. j. robotnik ma do rozporządzenia 2,15 marek dziennie. Dorosła robotnica zarabia rocznie 246,9 t. j. ma do rozporządzenia dziennie niecałe 0,70 marek. Jakkolwiek więc zarobki robotnika dorosłego podniosły się w porównaniu z rokiem przyszłym o 11,3 marek, a kobiety o 3,7 marek. To powiększenie zarobku, przy powiększeniu jednoczesnym dni pracy o 5,5 świadczy, że w kopalniach zarobki nie powięszyły się, chociaż wydajność pracy zwiększa się. Wynosiła ona na głowę 339,8 ton w roku 1895, a tylko 324,3 ton w roku 1894, czyli że robotnik wytworzył, więcej rocznie o 15,5 ton po 1000 kg. przy takim samym zarobku.

W kopalniach rudy żelaznej wraz z mniejszeniem produkcyi zmniejszyła się liczba robotników męskich z 2463 na 1984 i kobiet z 1519 na 1158, jednakże dzięki ulepszeniom technicznym, (jak widzieliśmy wzrosła siła motoryczna maszyn) podnosi się wydajność produkcyi na głowę z 139,17 ton do 148,88 ton. Dorosły robotnik zarabia tu tylko 505,98 marek rocznie, kobieta 232,67 czyli robotnik ma do rozporządzenia tylko 1,38 m. dziennie, kobieta 9,64 marek. W porównaniu z rokiem 1894 zarobki powiększyłysię zaledwie o 5 marek rocznie dla mężczyzny, pozostały bez zmiany dla kobiety.

Podobnie stoją rzeczy w kopalniach rud ołowianych i cynkowych: liczba robotników zmniejszyła się z 7828 do 7703, kobiet z 2569 do 2336. O płacy dowiadujemy się, że zmniejszyła się (cyfr nie podano) pomimo, że wartość produkcyi podniosła się o 17,9⁰/₀. Przy wielkich piecach pracuje 2937 mężczyzn i 599 kobiet; liczba wzrosła w porównaniu z rokiem 1894 o 14 mężczyzn i 65 kobiet, suma zaś produktu wzrosła o 12 000 ton. Praca więc stała się wydajniejszą, płaca zaś została obniżoną dla mężczyzn z 812,42 marek rocznie do 807,91, a płaca kobiet z 338,48 marek do 332,40 marek.

W walcowniach powiększono liczbę mężczyzn z 12 375 do 13 384, liczbę kobiet z 483 do 497, liczbę chłopców z 396 do 410, liczbę dziewcząt z 12 do 28. Zarobki wynoszą: dla mężczyzn 789,9, dla kobiet 308,2, dla chłopców 341,5; przyczem zarobki kobiet i mężczyzn polepszyły się o 6 marek rocznie, zarobki chłopców pogorszyły o 9 marek. Wartość zaś produkcyi wzrosła o 15,2⁰/₀.

Tak samo ma się z produkcyą cynku w której pracuje 5882 robotników i 1661 kobiet. Zarobek mężczyzn wynosi 811,5, a kobiet 310,75 marek.

W fabrykach kwasu siarczanego pracuje 461 robotników, 64 chłopców, 29 kobiet. Zarobek roczny zmniejszył się dla robotnika z 951 do 888 marek, zarobek kobiet z 376 do 325, wartość produktu zwiększyła się o 137 000 marek.

W koksowniach pracuje 2255 robotników (o 157 więcej), chłopców 82 (o 17 więcej), kobiet 1023 (o 98 mniej). Zarobek roczny mężczyzny wynosi 754 marek (o 22 marki więcej), chłopca 398 (o 12 więcej), kobiety 316 (o 6 mniej). Wartość produkcyi wzrosła o 6⁰/₀.

W odlewniach żelaza liczba robotników wynosi 2016 (o 305 więcej), liczba kobiet 18 (o 4 mniej), liczba chłopców 121 (o 29 więcej). Zarobki obniżyły się dla mężczyzn z 759 do 710, dla chłopców z 244 do 202, dla kobiet z 245 do 241.

W fabrykach blachy cynkowej pracuje 636 robotników, 9 kobiet, 40 chłopców; zarobki cokolwiek podwyższone. W fabrykach drutu pracuje 2421 robotników, 86 kobiet, 77 chłopców, 7 dziewcząt; zarobek mężczyzn zmniejszył się.

Obraz jak widzimy nieponętny. Dla uwypuklenia go zbieramy cyfry podane w sprawozdaniu w całość. Wtedy okazuje się, że w gałęziach przemysłu: kopalnie rudy żelaznej, kopalnie ołowiu i cynku, wielkie piece, walcownie żelaza i stali, huty cynkowe, huty ołowiu i srebra, kopalnie węgla, fabryki kwasu siarczanego, koksownie — pracowało:

Rok.	Robotnik. mężczyzn.	Kobiet.	Nieletnich*).	Z płacą rocz. marek.
1895	83,619	9,456	1801	66,871,333
1894	81,758	10,048	1772	65,043,613
	+ 1,861	— 592	+ 29	+ 1,027,720

A zatem te gałęzie najważniejsze zatrudniały więcej 1298 sił roboczych i zapłaciły za nie więcej przeszło milion marek. W roku 1894 jedna siła robocza (bez różnicy wieku i płci) kosztowała rocznie 697,1 marek, w roku 1895 — 704,8, to jest więcej o 7,7 marek. Ponieważ jednakże liczba nieletnich prawie się nie zmieniła, liczba kobiet zmniejszyła się, a liczba mężczyzn wzrosła, więc jakość tej siły przeciętnej jest znacznie lepszą i koszt jej raczej się zmniejszył. Ztąd wniosek, że ożywienie przemysłowe tymczasem doprowadziło do stosunkowego obniżenia płacy roboczej. Nic więc dziwnego, że kupcy detaliczni nie mogli mieć większej i bogatszej klienteli.

Położenie staje się jeszcze bardziej jaskrawe, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że ceny żyta podniosły się cokolwiek, w porównaniu z rokiem 1894 (przeciętnie około 0,75 marek za 100 kg).

Sprawdza się zatem na robotniku szląskim dowiedziony już stokrotnie fakt, że przy lepszych konjunkturach przemysłu położenie robotnika poprawia się bardzo powoli. Na teraz skorzystał tyle tylko, że przeszło 1000 głów znalazło zatrudnienie, stracił zaś na zarobkach. Czy położenie jego polepszy się na przyszłość z dalszym

*). Poniżej lat 16.

Stefan Żeromski.

„TABU“.

Pani Ewa, wysiadłszy z pociągu, szybko minęła dworzec i znalazła się na błotnistym jego dziedzińcu. Stał tam rozklekotany powóz, zaprzężony w parę koni bardzo starych i wychudłych. Ujrzawszy przybyłą właściciel „dryndy“ tęgiem smaganiem obudził ze snu konika i z hałasem bliżej podjechał.

— Możecie mię zawieźć do szpitala? — spytała go pani Ewa.

— Dla czegóż znowu nie mam zawieźć? Od tego tu dzień dnia stoję. Pani wiezie chorego?

— Nie, jadę sama... odwiedzić chorego.

— No to jeżeli łaska pani może wsiadać.

— A ileż wy za to będziecie żądali?

— Ij... bagatelka! Pół rubla mi wielmożna pani pofasujesz całego kramu...

Pani Ewa wsiadła i stary wehikuł zaczął podskakiwać i dzwonić na kamienistym i pełnym wybojów gościńcu. Gdy szkapy przebyły całą długość miasteczka i wyciągnęły dorożkę za ostatnie chaty na szczere pole, ukazał się w oddali szereg budynków szpitalnych. W czystem i nasyconem światłością powietrzu wiosennem na tle nowozrodzonej, kwietniowej zieloności pól i łąk — te ogromne ceglaste domy tkwiły ponuremi bryłami. Pani Ewa przyglądała się im i okolicy z pewnem zdumieniem. Jadąc tamtędy po raz pierwszy z chorym mężem przy końcu lutego, w samym momencie nieszczęścia prawie tego krajobrazu nie widziała. Przypominały się tylko jej pamięci niektóre rzeczy: małe, chorowite zimą i latem drzewko przydrożne z urwaną gałęzią, smutne, jak widok człowieka bez ręki, — pochylony słup wiorstowy, nagły zakręt drogi... Z miękkiego widoku pól wyrywały się one z okrutną tyranią i stawały przed jadącą, niby bezlitośne narzędzia przeżytej tortury. W miarę zbliżania się do szpitala przybywało ich coraz więcej. Gdy dorożka stanęła przed gmachem frontowym, pani Ewa wysiadła, opłaciła woźnicę, z trudem odemknęła ciężkie drzwi wchodowe i udała się na piętro po szerokich, kamiennych schodach. W kancelaryi zastała młodego lekarza, zawiadowcę tego właśnie oddziału chorych mniej niebezpiecznie, do liczby których miał jej należał. Doktorek rozmawiał z nią życzliwie, a więcej niż życzliwie przyglądał się jej pięknemu, pobladłemu obliczu; uspokoił ją kilkoma frazesami, brzmiącemi bardzo naukowo, jakie zapewne wypowiadał zawsze do żon, sióstr i matek, odwiedzających jego pacyentów — i poprowadził ją na dół przez szeroki dziedziniec do parterowego budynku, stojącego oddzielnie wśród martwego ogródka.

— Długo pani z nim siedzieć nie dam, — mówił, wchodząc na korytarz, przecinający wzdłuż dom cały.

— Dobrze, panie doktorze.

— Naprzód pani sama poczeka w mieszkaniu siostry Julii, później jego wprowadzę i chwilę z wami posiedzę, bo, widzi pani, on bywa jeszcze czasami rozdrażniony. Potem wyjdę na korytarz. Gdyby był niespokojny — zaraz się zjawię.

— Dobrze, panie doktorze.

Minęli kilka drzwi zamkniętych i stanęli przed szóstemi z prawej strony. Doktór otworzył je cicho swoim kluczem i wszedł do izby, służącej za rozmównicę. Pani Ewa zatrzymała się w pobliżu drzwi, a gdy lekarz wyszedł, usiadła na małej kanapce. Smutki, obawy, zgryzoty i niepokoje, władające na przemiany jej istotą aż do tej chwili — jedne po drugich ją opuszczały. Z głębi ich wypływał mężny i mocny spokój, heroizm dusz bardzo cierpiących. Wkrótce drzwi się otworzyły i wkroczył do pokoju człowiek młody, chudy, z włosami roztrzepanemi i ubraniem w nieładzie. Jego bladoniebieskie oczy wytrzeszczone i nieruchome błyszczały złowieszczo, usta spalone gorączką drgały bolesnemi ruchami, a zeschły język napróżno je usiłował zwilżyć co chwila. Obłąkany zdawał się nie zwracać uwa-

rozwojem? Na to pytanie stanowczo odpowiedzieć nie możemy. Zapotrzebowanie robotników według wszelkiego prawdopodobieństwa wzrosło już w roku bieżącym i wzrastać zapewne będzie, jednakże ów tysiąc zatrudnionych po nad liczbę roku 1894 nie wyczerpał zapewne armii rezerwowej, a prócz tego wobec nędznych zarobków wiejskich robotników, podaż zostaje ciągle zwiększoną ze strony tej kategoryi. Ponieważ zaś, polski robotnik należy do najmniej opornych, gdyż zupełnie niezorganizowanych, zatem wielkich nadziei żywić nie można, żeby los jego się polepszył prędko w obecnym okresie rozkwitu. *J. B. M*

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Coraz lepiej.

W „Gazecie Gdańskiej“ (Nr. 114) czytamy:

„Wpływ hakatystów sięga aż do sfer rządowych, a tak z ław ministeryalnych jak i z biór najniższych urzędników powiatowych padają nietylko pogróżki, ale wprost gromy mające na celu tłumienie żywiołu polskiego.

Jedną z takich oznak nastarcza nam świeżo sprawa opalenicka, której przebieg znają czytelnicy nasi dokładnie. Otóż krzyki hakatystów dokazały tyle, że, pomimo iż śledztwo nie całkiem ukończone a sprawa dopiero przed kratkami sądowemi należycie wyświeconą zostanie, — już teraz najwyższa władza poznańska tj. krol. rejencya przez pisma niemieckie oświadcza, iż wydała rozporządzenie, że tak samo ostro karać będzie każdą możliwą polsko-narodową manifestacyą, jak i bronić będzie praw ludności katolickiej do stosownego wyrażenia uczuć religijnych i czci dla zwierzchnika duchownego. Czyli innemi słowy, wolno ludowi polskiemu przyjmować swego arcypasterza, lecz nie wolno się przytem różnić od Niemców nawet ubraniem, gdyż w niewinnej czamarce lub maciejówce mogliby i z pewnością dopatrzyliby się szowiniści narodowopolskiej demonstracyi i znowu byłby „vaterland in Gefahr.“

* * *

Zamach na polskie nazwy.

Z prowincyi piszą do „Dziennika Poznańskiego“:

„Prezes rejencyi bydgoskiej wydał władzom podwładnym rozkaz, aby przeprowadzili coprędzej zmianę pisowni nazwisk miejscowości, mających litery i brzmienie czysto polskie, i tak ę ma być zastąpione przez en, ą zastąpione przez on itd. Podwładni urzędnicy rozporządzili teraz sołtysom i właścicielom dóbr, aby w pisowni odnośnych miejscowości unikali używania tych polskich liter, które w języku niemieckim nie zachodzą. Wszystkie miejscowości obwodu bydgoskiego zapisane są z tego powodu całym szeregiem ukazów, dotyczących zmiany tablic miejscowych i zagrożeń płacenia kar, jeżeliby nadal mieli zastępcy wsi używać dotychczasowej pisowni. Dąbrowa ma się pisać Dombrowa, Głębokie Glebokie, Kędzierzyn Kendierzyn, Odrowąż Odrowonz i t. d.

Wszelkie remontracye i powoływania się na hipotekę nic nie pomogły, a odpowiedzi od ministerstwa, do którego gmina Kędzierzyn, broniąca energicznie i stale swego „Kędzierzyna“, z zażaleniem się udała, dotychczas nie ma. Wszystkim interesowanym dajemy radę, aby zaraz po odebraniu rozporządzenia zmieniającego pisownią, wytoczyli skargę przed wydziałem powiatowym przeciwko tej władzy, od której ukaz wyszedł, a więc zwykłe gminy przeciwko komisarzowi dystryktowemu, a właściciele dóbr rycerskich przeciwko landratowi. Przepisy szczegółowe co do sformułowania skargi znajdują się w §§ 127—130 prawa z dnia 30 lipca 1883 roku.

Do posłów naszych zanosimy zarazem prośbę, aby zaraz po zjechaniu się sejmu, który w drugiej połowie przyszłego miesiąca zwołać mają, stawili nagły wniosek z interpelacyą ministra spraw wewnętrzych co do rozporządzeń rejencyi bydgoskiej. Sprawy leniwo traktować nam nie wolno, bo pan Tiedemann, prezes rejencyi bydgoskiej, uskromniwszy się z brzmieniem nazwisk polskich wsi, gotów wziąć się do oczyszczenia nazwisk osób z liter polskich i przepisać ortografią Kąkolewskim, Dąbrowskim, Prądzyńskim itd. Jest więc obowiązkiem tak mieszkańców wsi interesowanych, jak i posłów naszych, aby sprawy energicznie dopilnowali“.

—ski.

Szkoła i wychowanie.

Wyższe studya kobiece
w Polsce.

W ostatnich czasach zajmowano się w Poznaniu jak i w Poznańskiem w ogóle wiele sprawą kobiet. I prasa wzięła gorący udział w ścieraniu się rozlicznych opinii w tej kwestyi — pisano mianowicie obszernie, i to prawie we wszystkich gazetach wielkopolskich, przeciw rozszerzającej się coraz ogólniej modzie wysyłania panien za granicę na t. zw. dokończenie edukacyi. Kobieta powinna być li tylko aniołem domowego ogniska, matką rodziny, cichą towarzyszką mężowi — dowodzono w jednych — a jako takiej, motywowano dalej arcylogicznie, wystarczyć jej powinno koniecznie proste, skromne wychowanie domowe, lub co najwyżej na jednej z pensyi poznańskich. Tu znajduje ona sposobność, aby nietylko nabrać zwykłych, dla przeciętnej panny „z towarzystwa“ potrzebnych wiadomości, ale jeszcze w dodatku może zadowolić i wykształcić upodobania swe i talenta artystyczne. — a więc nauczyc się pięknie grać na fortepianie, troszkę śpiewać, a nawet i trochę malować! — A choćby i dobrze było, żeby dziewczyna trochę świat zobaczyła i języki rozliczne posiadła a talenta gruntowniej wykształciła — twierdzono w innych pismach wielkopolskich i salonach stołecznych i prowincyonalnych, — to pocóż wyrzucać pieniądze za granicę, pocóż nasz krwawo zapracowany grosz w tych tak ciężkich czasach jeszcze obcym dawać?.. — W tym

---

gi ani na przybyłą, ani na lekarza — wymijał ich niedbale i krzyczał ochrypłym głosem:

— Wojciech Jastrzębowski napisał agronomię, a ja Henryk Dąbrowski oprę na szerszym gruncie socyologicznym cebulonię altruistyczną...

Rzucił nagle okiem i jakby dopiero wówczas dostrzegł Ewę. Wnet zbliżył się do niej i podsuwając do oczu zeschły i ogryziony kawałeczek skóry sera szwajcarskiego, mówił:

— Patrz, moja ślubna żono, przypatrz się z łaski swojej, co ja gryzę, co ja liżę, co ja oblizuję z nadzwyczajnym apetytem...

— Panie Dąbrowski — rzekł doktór — czy to ładnie wcale się nie witać z żoną? Przyjechała odwiedzić pana, pogadać, a pan tak? Pocałuj ją pan zaraz w rękę!

Chory patrząc na niego zdradzieckiemi oczyma, chodził po izbie.

Doktór nieznacznie przyszedł do drzwi, otworzył je prędko i wysunął się z pokoju. Wtedy pani Ewa wydobyła z niewielkiego koszyka skrzyneczkę cukierków, otworzyła ją i podała mężowi. Rzucił się zaraz do cukierków, nabrał garść pełną i wpakował sobie w usta. Przełknąwszy pierwszą porcyę, złapał drugą, trzecią, wreszcie chwycił pudełko i wylizał okruszyny. Gdy już z pomadek nie zostało ani śladu, spojrzał na żonę i zaczął gadać na nowo. Nie przerywając swej wędrówki, wyrzekł kilkakroć wśród istnej powodzi wszelakich wyrazów:

— Ewunia, Ewunia...

Usiłowała wziąć go za rękę i posadzić obok siebie, ale się jej wydarł, — więc sama przysiadła na łóżku i oparła głowę na rękach. Dotknąwszy się jego ciała, jego dygocących dłoni z nabrzmiałemi żyłami, znowu uczuła w sercu ostrze włóczni, która jej życie przebiła. Szybkiemi pociskami myśli podobnemi do błyskawic, obejmowała ciemne noce, przeżyte w tym domu przez jej nieszczęśliwego męża, noce podobne do tajemniczych przestworów, zalanych przez martwe wody, nad którenni wisi ciemność wiekuista. W ciągu pojedyńczych minut usiłowała zdrowemi nerwami wyczuć i zmierzyć okropne jego boleści, straszliwe trwogi, — zapomocą potężnego skupienia całej swojej istoty ważyła się złamać wejście do wnętrza tego lochu, spokojnie rozpatrzeć sekrety tamtego potwornego kraju — i walczyć. Ach, walczyć! Wszak po to przyjechała. Zebrać potęgi duszy, jakiemi tylko człowiek włada i uderzyć w nieznanego wroga. Jeżeli to jest zły duch — to ucieczе, jeżeli to jest rana — to się zagoi, jeżeli to jest sama bojaźń — to ustąpi, jeżeli jakiś ból niepojęty — to się uśmierzy...

Obłąkany zatrzymał się przed nią na chwilę, później usiadł na łóżku i już to ziewał przeraźliwie, już szeptał do siebie. Objęła go z najczulszą miłością, przycisnęła jego głowę do piersi i zaczęła mówić cichym natchnionym głosem:

— Henryku, posłuchaj uważnie, Henryku... Powiedz mi, co tobie jest, co tobie się wydaje... Powiedz mi to wyraźnie, żebym ci mogła wytłómaczyć. Namyśl się dobrze, a zobaczysz, że ja cię bez niczego wyleczę. Czy się ty boisz jeszcze ciągle?

Chory milczał, patrzał w ziemię i wykonywał swe dziwaczne giesty.

— Czy ty się boisz jeszcze ciągle? — szeptała pani Ewa, przytulając się do niego całem ciałem. Głos jej brzmiał tak dziwnie że gdyby była w stanie dźwięk jego świadomie posłyszeć — wcaleby go za swój nie uznała.

— Ach, ach... — szeptał Dąbrowski.

Umilkła, pochłonięta przez nadludzką pracę swej duszy. Chciała w owej chwili przelać wysiłkiem woli w chorego swe zdrowie, niewidzialnemi rękoma szukała w ciemności ran jego duszy, wdzierała się dla poznania wszystkich jego cierpień po jakichś szczeblach niepojętych...

— Pomyśl sobie teraz — mówiła — pomyśl w tej chwili i zawsze później myśl to samo, ile razy do ciebie bojaźń przystąpi..

ostatnim chórze najwięcej brzmi głosów, a jednak wielkopolanki, chociaż przeważna ich liczba wtóruje dotąd echu piewców cnót tylko domowych, w coraz liczniejszych szeregach rwą się do nowszych prądów, uczuwają pragnienie zdobycia wiadomości szerszych i wyższych, któreby nietylko talent ich rozwinęły, ale i umysł i wiedzę wzbogaciły i w danym razie, właśnie z powodu onych ciężkich czasów, i chleb w rękę dać mogły. Mamy wprawdzie w księstwie seminarya nauczycielskie jak w Poznaniu, Bydgoszczy, Gnieźnie, ale kandydatek do zawodu nauczycielskiego coraz liczniejsze mnożą się zastępy, egzamin Polkom bywa utrudniany, a posady nauczycielskie z powodu nadmiernej konkurencyi na tem polu stają się tak mało korzystne, że kobiety nasze po prostu zmuszone są zwracać się gdzieindziej, szukać szerszej wiedzy, by nieco wyższe zdobyć stanowisko. Inne, które mniej potrzeba materyalna, a więcej jakaś chęć zobaczenia innego świata i ludzi, chęć zdobycia hen! gdzieś w dalszej stronie jakiegoś świetniejszego, niż inni śmiertelnicy, poloru i blasku, a może nawet nieokreślona i nieuchwytna jeszcze przez nie żądza wiedzy pcha naprzód, — łączą się z gromadą pierwszych, a wszystkie, aby dojść do celu swych najwyższych żądań i marzeń, udają się na pensye do Wrocławia lub Drezna, wreszcie do Berlina, albo, i to najczęściej, w ostatnich czasach do Belgii, do którego z tamtejszych klasztorów wychowawczych. Przedmiot naszej starej sympatyi, ta zawsze zwodnicza i niestała a przecież zawsze modna Francya pociąga po dawnemu panie nasze z nieprzepartą siłą. Sacré coeur w Paryżu, pensyonaty klasztorne w Beau-Geney, Boulogne, Gravelines, Mlou itd. stały się dla nich nęcącem źródłem nauki. Znana pod firmą „Hôtel Lambert“ instytucya naukowa bywa najliczniej odwiedzaną.

Wróciwszy do kraju, wykształcone tak wielkopolanki nasze mówią po francusku, po niemiecku, nawet trochę po angielsku, a niekiedy posiadły w wyższym stopniu sztukę malarstwa lub muzyki, co może im dać chleb pożądany, lub stosownie do okoliczności pomaga błyszczeć w salonach i zostać może prędzej podporą jednego z licznych „filarów społeczeństwa“. Pomimo tak widocznych zalet i korzyści, głosy niezadowolenia nie cichną, a łączą się do nich coraz nowe, pytając, czy panienki młode, pozostające dłuższy czas za granicą, zanim jeszcze zdołały lub probowały zbadać dokładnie język, literaturę i historyę ojczystą, zanim miały czas poznać stosunki i potrzeby swego społeczeństwa, — wrócą do kraju patryotkami i użytecznemi pracownicami swego narodu? Czy powróciwszy w rodzinne strony, zdołają pojąć i ocenić zadanie, jakie im pośród swego społeczeństwa spełnić należy? Czy odwykłe od skromnych i prostych stosunków naszych, nie poczują się tu obcemi? Czy ich razić nie będzie to, czego nie nauczyły się zawczasu kochać?

I wiele jeszcze takich lub innych powodów wygłaszanych lub pisanych mieliśmy w ostatnim czasie sposobność poznać. Wypływa z nich, że większość społeczeństwa zdaje się być wrogo usposobioną przeciw szukaniu wiedzy za granicą, a mimo to tak wiele jednostek działa wbrew opinii ogółu?

Gdzież przyczyna tej walki z opinią? Jeden z motywów podaliśmy już na wstępie artykułu, drugim jest brak wyższych instytucyi naukowych dla kobiet w Wielkopolsce. Doszło już do nas lekkutkie może, ale zawsze jakieś tchnienie tych wielkich prądów wiejących na szerokim świecie, gdzie kobiety usiłują wydobyć się z upokarzającego je stanu bezczynności i zawisłości — osięgnąć naukę szerszą, niezależność, chleb. I u nas kobiety zaczynają odczuwać instynktownie, że im się należy coś więcej, niż te skromne dawki nauki, które tu otrzymują i, że nie idąc naprzód, cofają się wstecz i pozostają coraz dalej i dalej za wszystkimi — za ogółem całym! Bo czemuż w czasie, gdy idee postępu opasują coraz silniej potężnem ramieniem wszelkie warstwy społeczne, — gdy uznajemy potrzebę oświaty dla ludu, stwarzamy mu szkoły, potem czytelnie ludowe, a dalej kółka włościańskie i rolnicze, ba! marzymy nawet o uniwersytetach ludowych, — gdy nie dziwimy się wcale, że chłopi teraz już powszechnie prawie trzymają wedle swych opinii rozmaite gazety i gazetki ludowe — gdy średnie warstwy rzemieślnicze mają odpowiednie ich położeniu społecznemu i wymaganiom szkoły wieczorne i niedzielne, czytelnie, stowarzyszenia, pisma, które podtrzymujemy i z których dumni jesteśmy — gdy nie mówiąc już o wyższej inteligencyi miejskiej, nawet synowie obywateli wiejskich wbrew dawniej rozszerzonym zwyczajom garną się do książki, do szkół i uniwersytetów, aby straciwszy ziemię nie stracić chleba i stanowiska społecznego — dlaczegoż kobieta ma w obec ruchu na polu nauki i postępu być pominiętą, pozostać w tyle na niskich szczeblach oświaty, wystarczających jej ongi?

A więc emancypacya? Tak i nie, — zależy jak kto emancypacyę pojmuje. Ten prąd, który w całej Europie umałoletnioną połowę ludzkości przenika, mimo wszystkich deklamacyi na temat „dobrych gospodyń“ i „aniołów ogniska domowego“ powstrzymać się nie da. Idzie jak fala, zbliża się do nas i nawet konserwatywną Wielkopolskę unosić zaczyna. Chodzi tylko o to, czy prąd ten wymaga emigracyi kobiet naszych do Francyi i Niemiec, czy też może w obrębie kraju, lubo nie w Poznańskiem, znajdują się zakłady, które wyższym aspiracyom naukowym świata kobiecego zadość uczynić mogą. Szukajmy!

W Warszawie są konserwatorya muzyczne, szkoły malarskie i doskonali metrowie języków. Inne studya z powodu smutnych okoliczności politycznych na wielkie napotykają trudności.

O wiele korzystniej przedstawia się sprawa wyższych studyów kobiecych w starej stolicy Jagiellonów.

Oprócz sposobności wykształcenia się w konserwatoryum pod kierunkiem Zeleńskiego i następcami znakomitego Galla, mamy tam instytucye, w których podają nam w polskim języku i w polskim duchu naukę wyższą, odpowiednią potrzebom umysłu i zadanom kobiety. Mówię tu o „kursach t. zw. dopełniających przy szkole żeńskiej św. Scholastyki“ i o „kursach wyższych naukowych dla kobiet imienia dr. A. Baranieckiego“. Z pierwszych, ponieważ trzeba tam składać egzamina wstępne, które są warunkiem przyjęcia, trudnoby było korzystać panienkom, kształcącym się w innych dzielnicach Polski i w zupełnie innych warunkach, — drugie zrodzone i w idealnej myśli stworzenia obfitego źródła, z któregoby wszystkie kobiety polskie pełną dłonią wiedzę i ducha polskiego czerpać mogły, są dla wielkopolanek odpowiedniejsze i na gorące zasługują poparcie. Twórcą ich był dr. Adryan Ba-

---

— Ona jest za wszystkiemi rzeczami, za wszystkiemi rzeczami, osobno, sama jedna...

— Nie bój się! Powiedz mnie tylko twojej Ewuni. Ja ci to wszystko zaraz wytłomaczę! Czego?

Podniósł głowę i spojrzał na nią dawnemi, ukochanemi oczami. Na twarzy jego malowała się niewysłowiona boleść. Przytulił się do żony i mówił jej tajemniczo do ucha:

— Wezmą mię..

— Ja ci zaraz wytłomaczę! Wez mię za rękę, o tu, trzymaj mię mocno! Czyż cię nie kocham?..

— Znowu mię wezmą, znowu mię wezmą... — jął mówić, patrząc na nią szeroko roztwartemi oczami. Nagle zerwał się, zaczął chodzić po izbie, potrząsać głową i wykrzykiwać swoje:

— Wojciech Jastrzębowski napisał agronomię...

Ręce, w których pani Ewa trzymała głowę męża, bezsilnie, jak martwe opadły. Zaczęła płakać. Niewyczerpane łzy płynęły po jej twarzy, łzy, które nie zabierają z serca boleści, lecz wynoszą zeń życie, łzy, co uchodzą z człowieka, jak uchodzi krew z żył poprzecinanych... Obnażały one jakąś ranę, odsłaniały jakąś mieliznę w duszy, pokazywały samo dno cierpienia...

Nie przemogła złego. Nic nie nada miłość. góry jakoby z miejsca na miejsce nosząca, nie poradzi wola nad wszelkie trudy mocniejsza i wytrwałe męstwo i ślepa wiara w ratunek sprawiedliwości. Patrzała w ziemię i nie podnosiła głowy. Chory znowu siadł obok niej i rozprawiał. Przez łzy widziała jego dzikie oczy, trzęsącą się głowę, ruchy niespokojnych rąk, czaszkę, w której już nic nie było, bezużyteczny kadłub zwierzęcy...

— Gdzież jest twoja nieśmiertelna dusza? — myślała w uściskach strasznego żalu. Tę myśl, jak szpadę wbijała w swe serce i zadawała mu cios po ciosie — aż do dzikiego okrucieństwa.

Nagle chory trącił ją w ramię. Spojrzała na niego i śmiertelnie zbladła. Miał na twarzy wyraz wstrętnej lubieżności, uśmiechał się i wykonywał ohydny giest błagalny. Porwała się z miejsca i jednym skokiem rzuciła ku drzwiom. Obłąkany chwycił ją w pół drogi. Wtedy drzwi się szybko otworzyły i lekarz odsunął waryata w kąt izby, ująwszy go potężną reką za klapy surduta. Pani Ewa wybiegła na korytarz, trafiła do wyjścia i znalazła się na brukowanem podwórzu. Idąc po kamieniach, w pewnych odstępach czasu głęboko i głośno, prawie z krzykiem łkała, nie roniąc łzy ani jednej. Była niemal pewną, że trzewiczki jej, uderzając o te kamienie, depcą, krzywdzą i nękają jakieś istoty nieszczęsne. Bez pojęcia dokąd idzie, znalazła się w bramie, prowadzącej na dróżkę uboczną. Ten szlak błotnisty, niedawno w bezużytecznym gruncie wyżłobiony, doprowadził ją na gościniec. Szła tamtędy, nie podnosząc głowy, nie będąc w możności oderwania oczu od ziemi i ani powstrzymania, ani zwolnienia kroku. Ruch machinalny i bezwładny, ruch rzeczy popchniętej wstrzymał ją od głośnego krzyku. Na drodze bitej stały tu i owdzie płytkie kałuże szarej wody. Gdzieniegdzie widniał na błocie ślad bosej nogi. Przed idącą — od jednej kałuży do drugiej — przelatywała mała pliszka. Ptak ten sfruwał z miejsca, gdy pani Ewa zbliżała się zanadto, mknął po linii falistej do następnego błota, tam wstępował w wodę, maszerował po niej w rozmaitych kierunkach, przekrzywiał główkę i za pomocą badawczych spojrzeń sporządzał jakieś ekonomiczne obserwacye. Kiedy niekiedy pliszka z cicha pogwizdywała, jakby z gniewem... Oczy pani Ewy, które od chwili wyjścia ze szpitala widziały tylko jakby zwłoki przedmiotów, poczęły się teraz trzymać małej ptaszyny, niby trwałego i żywego punktu.

— Jakaś ty szczęśliwa, jakaś ty szczęśliwa... — szeptały do pliszki jej drżące usta.

(Dokończenie nastąpi.)

raniecki, mąż o umyśle wzniosłym, o charakterze czystym jak łza, o sile woli niezłomnej, gdyż myśl raz powziętą i za słuszną uznaną nietylko w czyn zamienić umiał, lecz i stworzonemu dziełu wbrew wszelkim przeciwnościom materyalnym i moralnym upaść nie pozwolił. Osobistość ta niepośledniej miary, czy dla wielkich zdolności, czy dla hartu i piękności ducha, pomimo ogromnych zasług położonych około reformy społeczeństwa, zarówno w dziedzinie stosunków przemysłowych i przemysłowo-edukacyjnych jak na polu wychowania i wykształcenia kobiet, — osobistość ta, której pamięć gdzieindziej otoczonoby czcią i miłością, u nas niestety mało jest znana w szerszych kołach narodu.

(Dokończenie nastąpi.)

Wielkopolanka.

LITERATURA I SZTUKA.

Szkice Tretiaka.

(**Dr. Jozef Tretiak.** Szkice literackie. serya I Krakow, Spółka wydawnicza, druk. Czasu, 1896, w 8-ce str. 331 i 1 nl.)

W ostatnim czasie coraz to częściej spotkać się było u nas można z wydawnictwem często praktykowanem w innych piśmiennictwach tj. z wydaniem zbiorowem rozpraw i pism pomniejszych wybitniejszych współczesnych autorów, krytyków, estetyków. historyków itd. Wielkie pod tym względem obok innych poniosła dla literatury polskiej zasługi Księgarnia Spółki Wydawniczej w Krakowie, która w swej „nowej bibliotece uniwersalnej“ po zbiorowem wydaniu dzieł ks. Kalinki oraz dotąd jeszcze się ukazujących „Studyów do historyi literatury polskiej“ prof. Tarnowskiego świeżo puściła w obieg seryę studyów literackich jednego z wybitniejszych naszych krytyków i historyków literatury prof. J. Tretiaka.

Są to studya pomniejsze, które w ostatnim głównie lat dziesiątku ukazywały się w „Przeglądzie Polskim“ „Tygodniku illustrowanym“, „Swiecie“, „Ateneum“, „Przewodniku naukowym i literackim“ itd., wszystkie zaś, z wyjątkiem pierwszego i ostatniego z rzędu, odnoszą się do dziejów poezyi romantycznej i najnowszej literatury.

Rozprawa naczelna „o satyrach Krasickiego“, ogranicza się głównie do rozwiązania dwóch tylko pytań: Jakie światło rzucają na samego poetę? Jakie stanowisko zajmują w pokrewnej, współczesnej poezyi polskiej? Odpowiada nam na to krytyk, iż satyry pozwalają wejrzeć głębiej w duszę poety i odkryć w niej to, czego nam biografia, oparta na innych świadectwach, nie może ukazać, a mianowicie, że jakkolwiek katastrofy polityczne ówczesne przyjmował poeta jakby fatalistyczne niejako wypadki, którym zaradzić nie można, stan moralny narodu żywo go obchodził i wobec niego nie zakładał rąk bezczynnie, lecz z całem poczuciem obowiązku człowieka, obdarzonego wyższą potęgą umysłu i wysokim talentem literackim, występował do walki z tem, co w tym stanie moralnym widział groźnego dla przyszłości narodu. Co się zaś tyczy stanowiska, jakie satyry Krasickiego zajmują we współczesnej poezyi polskiej, autor nie waha się nazwać ich „najwyższym, najdoskonalszym, najharmonijniejszym utworem tej poezyi, wierzchołkowym jej punktem, — tem w okresie stanisławowskim, czem „Pan Tadeusz“ był w mickiewiczowskim, bo w nich satyryczny duch okresu najharmonijniej się wyraził, jak patryotyczny w mickiewiczowskiej epopei“.

Druga z rzędu rozprawa zatytułowana „Mickiewicz i Trembecki“ należy do szczupłej liczby tych rozpraw w literaturze naszej, które zajmują się szczegółowo wyjaśnieniem wzajemnego wpływu poetów pod względem stylu i języka. Do jak ważnych zaś rezultatów dojść tą drogą można, dowodem najlepszym rozprawa powyższa, w której autor wskazuje widoczne ślady wpływu Trembeckiego na poezye Adama, w którego początkowych zwłaszcza poezyach znalazł charakterystyczne nietylko cechy stylu autora „Zofiówki“, ale nawet dużo żywcem przejętych wyrażeń i stylowych reminiscencyi.

Oprócz tej powyższej trzy jeszcze dalsze rozprawy odnoszą się do Mickiewicza, mianowicie „Mickiewicz w Odesie, stosunki i pieśni miłosne“, — „dwie Zosie Mickiewicza“ i „Karolina Jaenisch“. W pierwszej z nich autor „Szkiców“ skreślił nasamprzód dzieje pobytu poety w Odesie oraz tych stosunków miłości „lekkiej“, które jak łatwo się zawiązały, tak łatwo rozprzęgły, przyczem domysł jego, iż pani Hieronimowa Solańska a bezimienna D. D., której poświęcony jest cały cykl miłosnych poezyi odeskich, są jedną i tą samą osobą, okazał się (z wydaniem biografii poety przez syna jego Władysława) zupełnie trafnem. Następnie daje nam Tretiak rozbiór odeskiej erotyki wieszcza, która w pierwszym okresie należy do czasów idealnej miłości dla Maryli, do niebiańskich zachwytów i namiętnych wybuchów cierpienia, w drugim zas do życia na poziomie odeskim wśród ponęt budzących w poecie zmysłowe uczucia. „Dwie Zosie Mickiewicza“ — Zosia w drugiej części „Dziadów“ i Zosia z „Pana Tadeusza“ należą według zdania p. Tretiaka do tej grupy utworzonych przez wieszcza postaci, które poeta „malował według żywych wzorów“. Zosia z „Dziadów“, za życia pierzchliwa dziewczyna, piękna „jak obraz Bogarodzicy“, zalotna i otoczona rojem wielbicieli, lecz śmiejąca się z ich uczuć — to według domysłu krytyka siostra przyjaciela Adama, panna Zofia Malewska, która jako „śpiewająca, piękna, obojętna dla westchnień wielbicieli“ występuje w korespondencyi poety. Drugą Zosią z „Pana Tadeusza“, we wszystkiem od pierwszej odmienną, jest zdaniem autora popartem zresztą i wyraźnem świadectwem poety, panna Zofia Maćkiewiczówna, późniejsza żona Odyńca. „Karolina Jaenisch“ jestto skreślony na podstawie nieznanych dotąd materyałów, podanych przez p. Władysława Mickiewicza, szkic stosunku, który uważano dotąd za przyjacielski tylko, a który w rzeczywistości był stosunkiem idealnej miłości między sentymentalną, młodą i piękną niemką, a wieszczem litewskim, — miłości polegającej na wspólności poetyckiego nastroju; związkowi temu (poeta nosił się z myślą małżeństwa) stanął na przeszkodzie głównie brak narodowej spójni.

Autorowi „Balladyny“ oraz analizie dzieł jego poświęcił krytyk dwa szkice („Julinsz Słowacki“ i „Hamlet polski“). Pierwszy z nich jestto szczegółowa krytyka wydanego w drugiem powiększonem wydaniu dzieła prof. Małeckiego o Słowackim; dziełu temu zarzuca autor nasz pewną pobłażliwość i łagodność sądu przy ocenie tak pojedyńczych wypadków życia jak i utworów poety. Przy szczegółowym rozbiorze i analizie dzieł Słowackiego pod niejednym względem różni się zdanie krytyka od opinii biografa poety, a odnosi się to głownie do tych utworów Juliusza, które największy w Małeckim obudzają zachwyt. „Hamlet polski“ to według bystrych wywodów Tretiaka bezimienna tragedya Juliusza, przez Małeckiego zatytułowana „Horsztyński“, a której bohaterem nie jest ów ślepy konfederat barski, lecz najnieszczęśliwszy z ludzi, syn hetmana, Szczęsny. Dla wykarmionego bajronizmem poety Hamlet ze wszystkich sztuk Szekspira posiadać musiał największą atrakcyjną siłę, a nawet w tym młodzieńcu pełnym zwątpienia, przesytu, ironii i pogardy dla ludzi poeta ujrzeć mógł pierwowzór bajronisty i siebie samego. Wyobraźnia nasunęła Słowackiemu poecie z pewnością niepowstrzymaną chęć zmierzenia się z Szekspirem i stworzenia drugiego Hamleta, który jednakże nie miał być plagiatem, zwyczajną kopią. Ztąd potrzeba go było postawić na tle narodowego życia, tło to zaś musiało być posępnem i tragicznem, atmosfera musiała być duszną jak niegdyś w Danii, — wszystko to znalazł poeta w ostatnich chwilach rzeczypospolitej, w czasach Targowicy. Otoczył wprawdzie poeta swego bohatera w braku odpowiedniej historycznej postaci wziętego z fantazyi zmienionemi lub zupełnie nowemi stosunkami, wprowadzając np. zamiast jednej Ofelii trzy kobiety: Amelią, Marynę i Salomeję, ale pomimo to przez całą sztukę tak żywo tętnią reminiscencye Hamleta (krytyk odkrywa nawet ślad zastanawiania się bohatera na temat znanego monologu „Być albo nie być“), że nie podobna nie przyjąć rodowodu tej tragedyi podanego przez p. T. Sąd zaś ogólny krytyka o wartości artystycznej i etycznej tego utworu nie wypadł bardzo pomyślnie, a zawiera się w tych słowach, że „bez wątpienia są w tragedyi ustępy pełne dramatycznej siły, są postacie i sceny odznaczające się wielką oryginalnością, ale całość wygląda jak ruina, malownicza wprawdzie, ale tchnąca niezdrowem powietrzem; Hamlet polski jest poronionym utworem, a poronionym głównie dla tego, że ciężar tragedyi spoczął tu na człowieku, który żadnym przymiotem duszy nie zasługiwał na rolę tragicznego bohatera.

Swietną charakterystykę najnowszej epoki naszej poezyi, tego nagłego zwrotu, tego stanowczego i szybkiego przełomu w pojęciach estetycznych, jaki się na początku tego wieku w literaturze naszej uwydatnił, zawiera szkic pt.: „O głównych kierunkach poezyi polskiej XIX „wieku“. Krytyk przyczynę tego „zwrotu i przełomu“ widzi wraz z innemi w zaznajomieniu się z nowszą literaturą niemiecką i angielską, które już od pół wieku strząsnęły z siebie jarzmo francuskiego smaku, a że „i u nas wpływ jego sprawił już był wszystko, co miał i mógł sprawić pożytecznego: oczyścił język, wyostrzył rozum i dowcip, podniósł znaczenie wiedzy, ośmieszył ciemnotę“, więc skończyła się jego rola dodatnia, a walka z jałowym kierunkiem pseudoklasycznym nie była zbyt trudną i długą. Zastanawiając się zaś nad tem, jakiemi strumieniami płynęła nowa, zwycięska poezya, autor zwraca uwagę naszą przedewszystkiem na nadzwyczajną w niej obfitość i rozmaitość prądów i kierunków, co ją tak korzystnie wyróżnia od zeszłej epoki, zastąpionej tylko trzema rodzajami: satyrycznym, sielankowym, wreszcie najmłodszym patryotycznym.

Mniej ważną i przelotne więcej mającą znaczenie jest reszta szkiców ujętych w tę seryę. „Asnyk i jego liryka“ to wypowiedziana po wydaniu trzeciego tomu poezyi Elego charakterystyka jego twórczości poetyckiej a głównie porównanie tomu tego z dwoma pierwszemi nie pod względem formy, wykończenia szczegółowego, barw, melodyjności, wogóle zewnętrznej szaty, ale przedewszystkiem pod względem uczuć, myśli, prądów współczesnych, rytmicznie pulsujących w każdej żywej poezyi; „Jan Lam, talent i charakter“, to napisany po zgonie znakomitego powieściopisarza i humorysty obszerny jego nekrolog i przegląd działalności literackiej; „Pierwsze występy Sienkiewicza“, to skreślona przed laty szesnastu, gdy S. jako autor kilku nowel i powiastek zaczął być znanym i w nadpeł-

twiańskiej stolicy, krytyka tomu pierwszego wydanych wówczas jego pism (Warszawa 1880). Odmiennym zupełnie od poprzednich jest szkic ostatni: „Romans eksperymentalny“. Zawiera on ostrą rozprawę krytyka z Zolą i jego pomysłem zastósowania doświadczalnej metody jak w nauce tak i w powieści; zdaniem naszego autora, dla metody tej nie może być miejsca w literaturze. *J. Wys.*

ŻYCIE SPOŁECZNE.

W Irlandyi

Przez **Marcelego Prévost**.[1])

Młoda dzieweczka szła zwolna drogą. Na głowę, ramiona i ręce zarzuciła ubogą, szarą derkę, skośnie złożoną jak chusta. A pod tej wełnianej opończy, wychylała się twarzyczka owiana jasnemi pasmami włosów, drobne palce przytrzymujące brzegi chusty, i bose nóżęta niedbale stąpające po rozmiękłej ziemi. Buzia dzieweczki pełną była wdzięku i przebiegłego rozumu, a świeżą cerę podtrzymaną wilgocią klimatu, przypruszały jasne piegi, zwłaszcza pod oczami, których niebieski kolor przypominał błękit północnego nieba podczas pogodnych dni lata. Szła zwolna drogą przecinającą bezbrzeżne torfowiska, kamieniste pola, wydmy i pustkowia zasłane purpurowym wrzosem. Szła i obojętnie mijała te smętne rozłogi, nie zatrzymując nawet wzroku na sterczących szkieletach chat, których mury i wiązania odarte z dachów melancholijnie się rysowały na tle nieba. Dziwaczność tych rumowisk nie noszących śladu pożaru ani też starości, nie zatrzymywały uwagi bosej wędrowniczki, bo od dzieciństwa przywykła na to patrzeć. Wszak całość znanego jej kraju jest jakby jednem cmentarzyskiem chat wieśniaczych. Wtem spotkała idących środkiem drogi dwóch czarno umundurowanych konstablów. Powitała ich przyjaznem skinieniem głowy i nie zatrzymując się, rozminęła się z możnymi stróżami publicznego porządku, idąc dalej zwolna, obojętnie, prawie zamyślona i uśmiechnięta, pokorna, pełna poddania, a jednak wesoło, pomimo swej nędzy. Zżyła się z nędzą, i zdaje się jej, że nędza jest równie nieuniknioną jak chmury na niebie i wrzosy na rozłogach.

Ta dzieweczka o duszy dziecęcej, to Irlandya!

* * *

Killarney.[2])

Wsiadłem do publicznego *car'u* kursującego pomiędzy Killarney i Kerry.

Car, to rodzaj wózka lub wozu czysto irlandzkiego pomysłu. Anglicy nigdy go nie używają, a nawet większość z nich nie widziała car'u, bo w Londynie zaledwie że kilku pochodzących z Irlandyi oficerów posiada takie wózki sprowadzone z rodzinnej wyspy. Jest to rodzaj skrzyni odwróconej dnem do góry i opatrzonej w dole deską przeznaczoną na oparcie nóg. Są krótkie car'y spoczywające na dwóch kołach, oraz długie, bardzo długie o czterech kołach, przeznaczone dla kilku a czasami dla kilkunastu osób. Jakim sposobem w powszechnem użyciu są podobnie niewygodne wozy, pozbawione budy chroniącej podróżnych od wiatru i deszczu, w kraju o dżystym i chłodnym klimacie? Pytałem się, lecz nikt mi tego nie umiał wytłomaczyć. Wszakże dla turysty *car* jest dogodny właśnie z tego względu, że jest otwarty i lekki. Z wysokości takiej skrzyni widzi się wybornie okolicę, zwłaszcza jeżeli droga jest równa lub konie zmęczone, inaczej bowiem zachodzi bezustanna obawa stracenia równowagi, skutkiem braku wszelkiego oparcia i jakiejkolwiek poręczy.

Tym samym car'em, co ja, jechało dwóch katolickich księży. Są oni bardzo liczni w Irlandyi, chętnie podróżują i cała ich postać świadczy wymownie o dobrobycie, jakiego używają wśród ubogich parafian. Każdego cudzoziemca zwiedzającego Irlandyę uderza kontrast istniejący pomiędzy rażącem ubóstwem chat wiejskich a wytworną plebanią, bogatym kościołem i okazałemi zabudowaniami klasztorów. Lud tutejszy jest przywiązany do katolickiej religii, będącej jego religią, odmienną od nienawistnych anglików. Z tego też względu irlandczyk księży swych kocha i poważa. Ksiądz nazywany jest przez lud Ojcem (father) i we wzajemnym tym stosunku jest rzeczywiście coś jakby miłość dzieci do uznanej głowy familii. Wieśniak, robotnik, woźnica czy przewoźnik, każdy zdejmuje czapkę, zobaczywszy czarny, długi tużurek i cylinder księdza. Trzeba oddać sprawiedliwość, że ogół irlandzkiego duchowieństwa zasługuje na okazywane przywiązanie i szacunek. Księża irlandcy to żarliwi patryoci, miłujący swą ziemię i z ufnością spoglądający w przyszłość ojczyzny, dla której wyzwolenia bezustannie pracują. W tem właściwie leży cała tajemnica ich łączności z ludem, który ich uważa za narodowych naczelników swoich, wrogo usposobionych dla rządów najezdczych anglosaksonów.

Cudzoziemiec, który tu przybył dla zwiedzenia kraju, otwarcie i swobodnie może z nimi mówić o Irlandyi. Wiedząc o tem, zapytałem księdza siedzącego przy mnie:

Cóż słychać księże proboszczu?... jakże stoją sprawy irlandzkie? Wszak wszystko ucichło i w kraju zapanował spokój?

— Tak,.. nieco nam lepiej... lecz był czas, że bardzo było niebezpiecznie podróżować tu u nas...

— Podczas rozruchów agrarnych?.. Wiem, wiem... wtedy nie mało krwi się polało...

— Tak... nie mało...

Nastąpiło milczenie. Lecz drugi ksiądz, przechyliwszy się w moją stronę, rzekł z przekonaniem:

— Wiedz pan, że popełniane zabójstwa były koniecznością... Od tego czasu nastąpił zwrot ku lepszemu..

Ksiądz siedzący przy mnie nieco się zatrwożył śmiałą otwartością kolegi, i rzekł do niego z odcieniem wymówki:

Father... father... jak można mówić coś podobnego...

Lecz śmielszy od niego kolega, rzekł w dalszym ciągu:

— Daj pokój... ten pan jest cudzoziemcem... więc można z nim rozmawiać otwarcie... on z pewnością rozumie nasze położenie... Otóż nie twierdzę ja, by zabójstwa były chwalebnym czynem wobec Boga, lecz dla dobra kraju były dobrodziejstwem... Wywarły wpływ na naszych ciemiężców i przyniosły nam korzyści, jakich nigdy nie otrzymalibyśmy czyniąc opozycyę na drodze legalnej... Wreszcie wszyscy wiemy, że zabici zasłużyli sto razy, nie raz, na los, jaki ich spotkał!...

(Dokończenie nastąpi.)

1) Marcel Prévost, jeden z najzdolniejszych powieściopisarzy francuzkich. Prócz powieści i artykułów dziennikarskich, Marcel Prévost opisuje wrażenia z odbywanych podróży. Tegoroczne lato spędził w Irlandyi i zanotowane tam wrażenia wydrukował w „Journal“, najlepszym z codziennych paryzkich dzienników.

2) Killarney, miejscowość w południowo-zachodniej Irlandyi.

W sprawie
pomnika Adama Mickiewicza.

Nieszczęsna sprawa Mickiewiczowskiego pomnika w Krakowie zamieniła się w prawdziwie „pomnikowy skandal“. Losy pierwszego projektu znają czytelnicy nasi, — obecnie rozstrzygają się losy drugiego i dzięki bezprzykładnej opieszałości komitetu oraz w skutek lekceważącego postępowania rzeźbiarza p. Rygiera zawsze jeszcze w embryonalnych znajdują się zaczątkach. Z ostatniego posiedzenia panów komitetowych dowiedziało się zniecierpliwione w najwyższym stopniu społeczeństwo, że prace rzeźbiarskie w dalekiem jeszcze są polu a sumienność p. Rygiera jest tego rodzaju, że wymaga ściśłej kontroli. Sprawa stanęła zatem znowu na porządku dziennym i spowodowała ostrą polemikę prasową, z której poniżej przytaczamy kilka wyjątków:

* * *

„Dziennik krakowski“ pisze;

Krótkie komunikaty, jakie mamy z ostatnich posiedzeń komitetu budowy pomnika Mickiewicza, są na tyle wymowne, że świadczą o niesłychanem lekceważeniu opinii całej Polski, o bezbrzeżnej lekkomyślności w gospodarowaniu pieniędzmi, złożonemi przez całą Polskę, o upokarzającej bezsilności i inercyi w stosunku do rzeźbiarza Rygiera — jednem słowem: że sprawa pomnika przemieniła się w skandal, który w najwyższym stopniu musi oburzyć i zawstydzić. Tyle dziesiątek tysięcy musiało złożyć biedne nasze społeczeństwo, tyle przeżyć chwil zapału, oczekiwań i zwątpień, tyle lat uśmierzać ból i tęsknotę, by się znowu dowiedzieć, że za kilka miesięcy będą dopiero... modele i że Rygiera trzeba w Rzymie pilnować...

Smutny stan sprawy pomnika oddawna stał się już przysłowiowym i nie dziwimy się wcale, że marszałek Badeni długo się wahał, zanim objął przewodnictwo tragikomicznego komitetu. Ale gdy na ten krok już się zdecydował — innego spodziewaliśmy się ducha, innego wzięcia się do rzeczy. Komitet odbył posiedzenie nie mając żadnego materyału pod ręką, nie wiedząc wcale, jaki jest „stan robót“. Komitet się rozstał, nie zgodziwszy się co do osoby kontrolera artystycznego nad p. Rygierem. Komitet jest tak siebie i swej misyi niepewnym, iż nie śmie nawet w przybliżeniu mówić o terminie odsłonięcia pomnika!! A ty narodzie — milcz i czekaj.

Otwarcie mówiąc — po tym komitecie nikt się innego rezultatu nie spodziewał. Prosimy zważyć, kto brał udział w ostatnich posiedzeniach. T r z e c h c z ł o n k ó w! Pan Tadeusz Stryjeński był obecnym jako „doradzca techniczny“. Wiemy dobrze, jak dobrze sprawa dotąd wychodziła na jego „radach technicznych“ — mimo to pozostał i nadal powagą. Pan Jul. Kossak jest wielkim artystą, ale artyzm w sztuce aż nadto często wyklucza artyzm życiowy, a takiego właśnie w wysoce energicznem natężeniu potrzeba, aby dalej sprawą komitetu kierować. Pozostaje p. dr. Jaworski „reprezentant młodzieży“. Nie przesadzimy wcale, twierdząc, że p. Jaworski reprezentuje obecnie nie mandantów lecz siebie, nie przeszłość akademicką, lecz przyszłość swą polityczną. On jest najwięcej odpowiedzialny, i inny na jego miejscu dawno już byłby złożył mandat, który piastować zaszczytnie i dodatnio stało się niepodobieństwem, w ręce najbardziej powołane — ręce walnego zgromadzenia młodzieży akademickiej. Członkowie komitetu Henryk Sienkiewicz i hr. Raczyński w obradach udziału nie biorą; (Pierwszy wystąpił. Przyp. Red.) w rękach więc trzech komitetowych, mających za sobą długoletnią kompromitacyę, pomnik i nadal spoczywa.

Weźmy pod uwagę ten wzgląd tak mało dodający otuchy, oraz drugi, czysto artystyczny. Czy sądząc podług prac dotychczasowych byłoby dzieło p. Rygiera istotnie zadawalniającem? Nie przesądzamy, jak wypadną grupy, będące obecnie w robocie, ale to należy głośno wyznać, że części już gotowe robią najgorsze wrażenie, że grupa np. „Patryotyzm" działa w wysokim stopniu nieestetycznie, że całe dzieło w ten sposób wypocone, wymęczone, wydłubane pod kontrolą rozmaitych nadzorców nie będzie odblaskiem „iskry bożej", nie będzie apoteozą Mickiewicza — owszem, zostałoby, by świadczyć w późne wieki o jednym z największych grzechów, jaki możemy popełnić wobec geniusza narodowego. I mamyż na to pozwolić — z założonemi rękami?

Naszem zdaniem należy dla uniknięcia większego zła poświęcić mniejsze, tj. p. Rygiera i opiekuńcze jego duchy. Komitet powinien złożyć swą godność w ręce kraju, tj. wydziału krajowego, a ów bezzwłocznie stworzyć inny komitet, w skład którego weszłyby odpowiednie żywioły nie z nominacyi, lecz z wyboru; mianowicie takie instytucye jak korporacye artystów, szkoła sztuk pięknych, towarzystwa sztuk pięknych, odnośna sekcya akademii umiejętności, muzeum lwowskie, towarzystwa techniczne, dalej koła obywatelskie z uwzględnieniem najwięcej w tej sprawie zasłużonej młodzieży, wydelegowałyby swoich przedstawicieli. Ci musieliby nad p. Rygierem przejść do porządku dziennego... Świeży, krótkoterminowy konkurs z pewnością plon przyniesie bogaty.

Kwestya funduszów nie nastręcza — zdaniem naszem - trudności. Istnieje jeszcze suma przeszło 30.000 złr. na 20,000 zdobędzie się jeszcze społeczeństwo, albo sejm krajowy, jeżeli odzyska wiarę. Kwota 50,000 jest aż nadto wystarczająca. Każdy, kto podróżuje zagranicą, widzi w każdem mieście włoskiem, belgijskiem, niemieckiem — pomniki, które imponują, w porównaniu z dziełem p. Rygiera — zazwyczaj podniosłe robią wrażenie, a rzadko kosztują więcej nad 100 tysięcy franków. W miejsce niedołężnych allegoryi rygierowskich nielepiej byłożby mieć na Rynku krakowskim naprzeciwko kościoła maryackiego prosty, potężny, w niebo idący obelisk?"

* * *

„N o w a R e f o r m a" pisze:

„Komentarze do wszystkich tych uchwał mogłyby być bardzo obszerne. Smutna ta, bolesna powiedzieć można, sprawa, wywołuje przecież jedne bardzo ważną uwagę. Uchwała ostatnia jaskrawo ilustruje stosunek komitetu do osoby narzuconego narodowi artysty-rzeźbiarza p. Rygiera. Nieraz już na koszt funduszu pomnika jeździli do Rzymu delegaci, aby kontrolować zobowiązania i zapewnienia p. Rygiera (warto wiedzieć, ile to kosztowało). Obecnie nie tylko, że delegat komitetu z Krakowa do Rzymu ma jechać, lecz i w Rzymie samym „trzecia osoba" ma być wynaleziona dla sprawozdań o miesięcznym stanie robót! O takim stosunku między artystą, którego wybrano dla dokonania sprawy obchodzącej naród cały, a komitetem, nie umiejącym wyjść z błędnego koła, przez tegoż artystę misternie wykonanego, opinię wyda kiedyś już nie „czwarta osoba", lecz historya gorszącej tej sprawy, historya smutniejsza nad wszelkie słowa, a dotkliwa dla całej Polski. Doprawdy przykro pisać o tem wszystkiem".

* * *

Podług „Czasu" sprawa pomnika dobrze stoi, na intencję bowiem tej sprawy, jak donosi „Czas", „danym był wieczorem u księcia biskupa krakowskiego, ks. Puzyny obiad, w którym oprócz głównego gościa, udział wzięli: JE. dr. Julian Dunajewski, prezes akademii umiejętności hr. Tarnowski, p. delegat Laskowski, rektor. uniw. Jagiell. dr. Kreutz, ks. infułat Gawroński, p. Jul. Klaczko, profesorowie uniwersytetu Jaggiell. dr. Zoll, ks. Pelczar, ks. Morawski, K. Morawski, dr. Antoni Górski, ks. kanonicy Nowak i Bondurski, redaktor „Czasu" Stanisław Tomkowicz, tudzież syn p. marszałka krajowego i synowiec księcia biskupa. Prosto z obiadu odjechał p. marszałek na kolej z powrotem do Lwowa, odprowadzony na dworzec przez grono znajomych". „Czas" nie dodaje, jakie uchwały zapadły po tym obiedzie, danym wieczorem, domyślać się jednak można, że pito na nim także zdrowie Rygiera i Laskowskiego

Charakterystycznem jest, że Henryk Sienkiewicz wystąpił z komitetu Adama Mickiewicza. Znakomity powieściopisarz pragnął widocznie wycofać nazwisko swoje ze sprawy zamieniającej się w skandal prawdziwy.

Z estrady i sceny.

(Zbójcy.)

Nie ma zapewne drugiego utworu, w którymby pióro przerabiaczy literackich, ołówek reżyserski i aktorskie szczypce tak swawoliły jak w „Zbójcach". Śmiało można powiedzieć, że każdy teatr niemal przykrawa najmłodszy dramat Schillera według własnego widzimisię, lutując pierwowzór z Mannheimską przeróbką, opracowanie Plümekego z przyprawami wiedeńskich i berlińskich kuchni teatralnych, wreszcie dodatki tej lub owej znakomitości artystycznej z pomysłami całego legionu literackich krawców. Nadto każdy reżyser skraca lub skreśla samowolnie całe sceny dramatu, a każdy aktor znów na własną rękę opuszcza niewygodne ustępy roli lub z kilku przeróbek układa sobie mozaikę efektownych frazesów, wykluczających się często nawzajem.

Wtorkowe przedstawienie w teatrze poznańskim opierało się głównie na połączeniu dwóch znanych przekładów poi kich, po za tem jednak uderzało jeszcze nadmierną obfitością kresek reżyserskich i mnóstwem grymasów panów artystów, urabiających po swojemu powierzone role. Nadużycia te grasują już od dłuższego czasu na scenie naszej, a czytelnicy przypominają sobie może ciekawe zestawienie oryginału i przeróbki aktorskiej, które w ubiegłym roku z powodu wznowienia na scenie naszej Balladyny podałem a d u s u m dyrekcyi w sprawozdaniu teatralnem. Dziś nowa dyrekcya, — nie od rzeczy zatem będzie przypomnieć tę epidemiczną swawolę, która tak się wgryzła w organizm sceny naszej jak grzyb w podłogę i ściany. Przechodzi ona siłą tradycyi z jednego sezonu na drugi, i p. Ryger będzie musiał stoczyć ciężką walkę, zanim poskromi różnych poprawiaczów i poprawiaczki Schillerów, Słowackich, Szekspirów. Ale ją stoczy, — w to wierzę.

Rola Franciszka Moora nie należy do najlepszych, które R y g e r posiada w repertuarze swoim, ale mimo to górował on, jak zwykle, talentem wybitnym nad resztą wykonawców. Wśród nowoczesnych artystów, popisujących się szatańskim demonizmem Franciszka, dwa typy wyróżnić należy. Jedni z góry rezygnują z niewdzięcznej pracy nad uprawdopodobnieniem psychologicznem tego w fantazyi młodziutkiego poety poczętego potwora i starają się tylko wyzyskać jaskrawe kolory roli, zaprodukować siebie jako wirtuozów mimiki, pokazać zwierzę, które Schillerowi podobało się nazwać człowiekiem. Inni, posłuszni wskazówkom kilku nowoczesnych komentatorów, że tylko wymienię berlińskiego Geigera, usiłują w Franciszku uwydatnić człowieka, dowieść, że potworność tego ojcobójcy posiada głębsze psychologiczne motywy, przedstawić szatańskość jego jako protest pokrzywdzonej przez naturę istoty, która mści się i buntuje przeciw niewidzialnej potędze, niosącej jednym jako dar królewski piękność, miłość, bogactwo, a drugim nic... nic. Za krzywdy swoje depce Franciszek prawa natury, a depcąc je czuje ból szarpiący, czuje ponure „Veto" tych praw, przeciw którym bój wiedzie posępny. Tak pojmuje Ryger Schillerowskiego bohatera i zdaje mi się, że słuszność jest po jego stronie, a jeżeli rysunek postaci, mimo rozpaczliwych wysiłków artysty, krzywi się miejscami lub urywa, to już wina poety, nie aktora. Jedno tylko znowu powtórzyć muszę o grze p. R y g e r a, — do którego oczywiście stosuję wyższą miarę artystyczną, — że o ile w silnych, eksplodujących, konwulsyjnych momentach roli wstrząsa potęgą gry swojej, o tyle w chwilach refleksyjnych i konwersacyjnych jest niekiedy wymuszonym i sztucznym.

Amelię odtworzyła panna A u d r a n. Zawsze żałuję artystki, której dyrekcya tę rolę powierzy, bo cóż tu począć z tym słodkawym zlepkiem sentymentalnych wykrzyków, który poecie zdawał się żywą kobietą. Gra się tedy bez krwi i duszy, bez życia i logiki, gra się deklamacyą i rutyną. Pierwsza była chwilami u p. A u d r a n bardzo szczęśliwą, druga natomiast znamionuje materyał jeszcze surowy i twardy. Czy w tej artystce tkwi talent wybitniejszy, tego dziś jeszcze nie rozstrzygam, bo obie jej większe role w bieżącym sezonie — Niobe i Amelia — są tak wyjątkowo sztuczne i karykaturalne, że zgłębić nie pozwalają artystycznego indywidualizmu aktorki.

Gra p. T a r a s i e w i c z a w roli Karola odsłoniła nam znowu prawdziwy talent deklamacyjny. Młody artysta jednak nie poznał jeszcze ekonomii głosu i nieraz, mimo najszczerszej chęci i zrozumienia roli, wyrzucał tony fałszywe lub blade. Skrępowane ruchy zdradzały również, że scena nie stała się jeszcze ojczyzną bohaterowi naszemu, — bądź co bądź jednak tkwi w panu T a r a s i e w i c z u talent, któremu na scenie piękna uśmiecha się przyszłość. Reszta artystów, z wyjątkiem p. K a r p o w i c z a, któremu pamięć w roli Kosińskiego znowu nie dopisywała, co nader przykre wywarło wrażenie, i p. S z a t k o w s k i e g o, który z otchłani swego wielkiego ciała takie tony wydobywał, że zdawał się być brzuchomówcą w dosłownym tego wyrazu znaczeniu, wywiązała się mniej lub więcej poprawnie z ról swoich. Obóz opryszków jednak nie odznaczał się ani malowniczością, ani ruchem i życiem. Snać Meiningeńczycy nie zrobili jeszcze szkoły w Poznaniu.

W. R.

TO I OWO.

Tajny organ policyjny.

Życzliwa ręka nadesłała nam nr. 41 tajnego organu policyi poznańskiej, zawierający wyjątki z prasy polskiej w całym zaborze pruskim i na Górnym Szląsku, oraz z kilku galicyjskich czasopism. Organ ten wydawany p. t. „Gesammtüberblick über die polnische Tagesliteratur" otrzymują jak wiadomo wszyscy landraci, wyżsi urzędnicy rejencyjni i ministeryum spraw wewnętrznych. Nr. 41 zawiera między innemi w przekła-

dzie artykuł „Kuryera Poznańskiego“ (nr. 228) o Banku ziemskim, sprawozdanie „Orędownika“ (nr. 229) o walnem zebraniu Sokołów, rozprawę statystyczną Gońca Wielkopolskiego (nr. 226) o liczebnej sile Polaków, Rusinów i Litwinów, artykuły „Dziennika (nr. 227, 228 i 229) o wysyłaniu rekrutów polskich do Niemiec, o spółce parcelacyjnej, o komisyi kolonizacyjnej i sprawie Carnapa, dalej krótsze i dłuższe wyjątki z Wielkopolanina, Gazety Grudziądzkiej, Gazety Toruńskiej, Dziennika Kujawskiego, Katolika, a nawet Dziennika Polskiego (Lwów) i Kuryera Lwowskiego“. Z przedmiotów poruszonych w nr. 41 tajnego organu policyi poznańskiej wymieniamy jeszcze: wystawę pszczelniczą w Inowrocławiu, mszę odprawioną w kościele farnym na pomyślność teatru poznańskiego, zatarg Gońca z przedsiębiorstwem pocztowem „Hansa“, sprawę opalenicką, polemikę „Gazety Toruńskiej“ z „Hamburger Nachrichten“, szykany policyjne w obec sokołów bytomskich, referat o rezultacie żniw w Galicyi, opis uroczystości Kilińskiego we Lwowie i t. p.

Niechajże sobie panowie urzędnicy przeczytają uważnie artykuły polskich gazet. Wyjdzie im to na pożytek.

* * *

Babie lato na warszawskiej scenie.

W „Kraju“ petersburskim czytamy:

„Tak, niestety, scena ma swoje prawa, dziesiątki lat nie przechodzą bez śladu i pomimo złudnej optyki teatralnej, trudno nawet w blaskach kinkietów zachować urok prawdziwej młodości, jeżeli ją życie zacierać zacznie. Ale o tem rzadko, a na scenie nigdy prawie nie chce się pamiętać. Stara gwardya nie łatwo kapituluje, a przysłowie nie darmo powiada, że w starych piecach dyabły palą.

Na scenie warszawskiej dzisiaj uczuwać się daje więcej, niż kiedykolwiek, brak rzeczywistej świeżości i młodocianego uroku. Naiwność z udanym wdziękiem dźwiga całe pudy wiosen, a przejrzałość kopy latek pokrywa sztucznie środeczkami charakteryzacyi i ubioru. Blaski zachodu udają zawsze jeszcze jutrzenkę, która boi się, jak dyabeł święconej wody, swojej własnej metryki.

Przykro to głośno wytykać, zwłaszcza płci pięknej, która ma wielką na tym punkcie drażliwość, ale skoro sama nie umie, czy nie chce się w porę opamiętać, dla dobra sztuki i sceny trzeba jej choć najdelikatniej przypomnieć, że dyplomaci i kobiety zyskują na tem zawsze, kiedy w porę umieją zejść ze stanowiska. Na scenie trzeba mieć tylko tę przezorność, aby sobie przejście z jednego repertuaru do drugiego zręcznie przygotować i zamieniać jedne role na drugie, nie upierając się wyłącznie przy „naiwnych“, „amantkach“ lub „kokietkach“, kiedyby się oddawna powinno grywać szlachetne matki i matrony.

Scenie warszawskiej przydałaby się bardzo taka rozsądna klasyfikacya „sił i środków“, po której konsekwentnie powinnaby nastąpić tansfuzya młodej, świeżej, odżywczej krwi w ten organizm, dobrze już przywiędły. Czasby już było skończyć z „babiem latem“ i „drugą wiosną“ na deskach naszej komedyi i dramatu, a postarać się o więcej miejsca dla prawdziwie młodych, których odmładzani nie zastąpią nigdy w zupełności“.

NA WYŁOMIE.

(Nowy redaktor „Dziennika Poznańskiego“.)

Kto zasiędzie na opróżnionem przez śmierć Franciszka Dobrowolskiego krześle redakcyjnem? — oto pytanie, które znowu zaprząta nietylko Poznań, ale całe Księstwo. Po „Franciszku giętkim“ nastąpił „Józef czerwony“, nie jako król, następca tronu, lecz jako rejent prowizoryczny. Nominacya ta w Kuryerowym obozie i na prawem skrzydle Dziennikowej koteryi zbudziła popłoch niemały i zrazu ciche, potem coraz głośniejsze objawy niepokoju. Poseł Głębocki redaktorem Dziennika? On sejmowy protestant? on wróg ugody? On, który nigdy Boga nie błagał, by pioruny swoje ciskał w ruch ludowy? Zagrano larum bojowe. I lubo nowy redaktor trzymał się utartej drogi starego, pomny przysłowia „*vestigia semper adora*“, lubo raz jeden tylko demokratycznym akcentem zdradził czerwień swoją w „Dzienniku“, — lubo miał minę baranka i wszelkiej, technicznej nawet unikał reformy, mimo to wszystko stronnictwo białych i najbielszych wyprowadziło swe pułki do walki. Bum! Pierwszy strzał zagrzmiał z reduty „Kuryera“. Nowy redaktor milczał. Bum! trzasła druga rakieta: Gdzie credo twoje nowy redaktorze? Poseł Głębocki milczał. Wreszcie sufler poznański „Kraju“ petersburskiego wysadził minę dynamitową: „To uczeń „Gońca“ ten nowy redaktor“, — a nowy redaktor milczał.

Mimo tych strzałów, stanowisko posła Głębockiego zdawało się być niezachwiane. Wtajemniczeni jednak szeptali o zakulisowych intrygach, o gorączkowej agitacyi za i przeciw, o adwokackiej zręczności wrogów i przyjaciół. Zbliżała się chwila stanowcza. Walne zebranie akcyonaryuszów „Dziennika“ miało zatwierdzić tymczasowego redaktora, lub rządy „Dziennika“ złożyć w inne ręce. Zebranie się odbyło, — lecz urna, z której wyjść miał stary lub nowy redaktor, pozostała zamkniętą. Wybrano tylko radę nadzorczą i w radzie tej zasiadł najbielszy z białych, filar Kuryerowego obozu, aranżer mgławic ugodowych, Józef Kościelski. Panu Kościelskiemu i pięciu innym akcyonaryuszom „Dziennika“ powierzono wybór redaktora. Znowu noc nastała — w mrokach jednak snuły się jakieś cienie i szepty syczały w około. Po tygodniu ciszy strzał i błyskawica. W niedzielnym numerze „Dziennika“ — a był to najciekawszy numer tego pisma w ostatnich latach dziesięciu — oświadczył poseł Głębocki, że redakcyjne rządy sprawuje tylko prowizorycznie i pod żadnym warunkiem ewentualnej nominacyi na redaktora stałego nie przyjmie.

Osłupienie, domysły, kombinacye. Jedni nam mówią, że trudno było „czerwonemu redaktorowi“ pogodzić obowiązki obywatela ziemskiego i posła z nawałą zajęć dziennikarskich, drudzy upatrują w abdykacyi zręczne wycofanie się z pola bitwy, gdzie p. Józef Kościelski działa swoje wytoczył, inni wreszcie plotą coś o nizkich honoraryach, uciążliwych warunkach kontraktu itd. Kto w tych domysłach prawdę zdobył, a kto fałsz, tego nie rozstrzygamy stanowczo. Faktem jest tylko, że gdy jeden Józef znalazł się w radzie nadzorczej, a drugi na krześle redakcyjnem, ten z krzesła dobrowolnie ustąpił.

Co dalej będzie, to z politycznego stanowiska rzecz prawie obojętna. Z tą samą chwilą bowiem, gdy pan Kościelski wszedł do rady nadzorczej, kwestyę zasadniczą uważam za rozstrzygniętą. Czy ten, czy ów z kandydatów zdobędzie berło redaktorskie, to dziś tylko drugorzędne posiada znaczenie, bo przez powołanie fanatycznego zapaleńca ugody na kierujące stanowisko, Dziennik powtórnie białą wywiesił chorągiew, zamanifestował swój zwrot ku wyblakłym ideałom ultralojalizmu i dał do zrozumienia jakiego redaktora pragnie i czyja batuta kierować będzie tym „nowym człowiekiem“. Niechaj nikt się nie łudzi, że pan Kościelski nie zawładnie pismem, będąc w zarządzie tylko jednym z sześciu. Większość rady nadzorczej nosi jego barwy, a gdyby nawet białość ich miała tony czerwone, to gdy taki wirtuoz zacznie pędzlem władać, zbieleje wszystko, jak... grób pobielany. Stało się. Dziś chodzi tylko o to, czy ten nowy a raczej odnowiony kierunek znajdzie redaktora, który, oprócz Kościelszczyzny, posiadać będzie talent odświeżania zawiędłych organizmów, restaurowania zardzewiałych maszyn i wymiatania tandety. Jeżeli już ma być białym, niech będzie przynajmniej zręcznym mechanikiem, niech dokona technicznej reformy, bo obecne koła i kółka „Dziennika“ tak skrzypią, że aż uszy bolą.

W takich warunkach dziwić się nie można, że znowu odzywają się głosy, zalecające zespolenie Dziennika z Kuryerem. Kraj nasz tak biedny, — pocóż ma żywić bliźnięta? Z drugiej strony jednak w szerokich kołach abonentów „Dziennika“ budzi się protest cichy i słychać szemranie. Wojna między czytelnikami a redakcyą — to stara historya. Przyzwyczajenie jednak, tradycya i brak innych, wielkich a żywotniejszych dzienników tamowały dotychczas tłumną dezercyę abonentów. Czy wobec nowego zwrotu tama ta nie runie, — czy tam, gdzie redakcya galopuje na prawo a czytelnicy pod presyą stosunków suną i suną w odwrotnym kierunku, nie pękną stare łączniki, — to najbliższa przyszłość pokaże, a łatwo być może, że oblicze tej przyszłości stanie się głową Meduzy dla panów akcyonaryuszów. Ta głowa podobno zabijała, — lecz któżby tam wierzył dziś w takie bajeczki!?

Są ludzie, którzy tak niezmylnie ufają własnej potędze i własnemu szczęściu, że gdy łuna czerwieni się na niebie, gdy okrzyk „Gore“ budzi ich z uśpienia i tysiące rąk wskazują na morze płomieni, im się wydaje, że to zorza świeci, lub w kominie palą się sadze, które jeden dzban wody zaleje. Nie! tych potężnych tknąć się nie odważy fala zniszczenia. Ha! zobaczymy. *Sulla.*

KRONIKA POWSZECHNA.

— **Teatr i muzyka.** Dziś, w sobotę, odegrają artyści poznańscy po raz pierwszy czteroaktową komedyę Zalewskiego „Syn“. Krytyka warszawska utworowi temu oddaje wielkie pochwały. — W Toruniu zawiązało się pod dyrekcyą p. p. Majdrowicza i Skirmunta towarzystwo prowincyonalne i podróżować będzie przeważnie po miastach zachodniopruskich. Życząc nowemu przedsiębiorstwu powodzenia, wyrażamy zdziwienie, że nowa trupa przywłaszcza sobie tytuł „teatru prowincyonalnego z Poznania“. Może to zbudzić fałszywe wyobrażenie, jakoby towarzystwo toruńskie było składową cześcią trupy poznańskiej. — Teatr lwowski przygotowuje nową komedyę „Krzywdzica“ p. t. „Krew nie woda“. Utwór ten składa się z 6 odsłon i zawiera balet, śpiewy i kapelę damską na scenie. — W Warszawie doznała sympatycznego przyjęcia czteroaktowa komedya Wildenbrucha p. t. „Skowronek“ (?). Oryginalny tytuł sztuki jest „Haubenlerche“.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

— **S. K.** Sprawa jest w biegu i skoro tylko zorganizuje się towarzystwo, nie omieszkamy skorzystać z propozycyi Szanownego Pana. Zonie Pańskiej za dobre chęci przesyłamy wyrazy głębokiego uznania. Będzie to czyn prawdziwie obywatelski.

— **A. C.** Z łaskawie nadesłanego utworu skorzystać nie możemy.

— **Czytelniczka.** Wymieniają kilku kandydatów. Czy jednak pan Donimirski ma największe szanse, rozstrzygnąć nie możemy. Pan Donimirski pochodzi z Prus Zachodnich i kieruje obecnie wraz z p. Godlewskim i ks. Chełmickim redakcyą warszawskiego „Słowa“.

— **99.** Wykonanie nie złe, lecz pomysł zużyty. Prosimy o inne próbki.

SKŁADKI.

— Na „Czytelnie ludowe“ złożyli w redakcyi pisma naszego: Panna M. K..... 1 mrk. X. z Warszawy 5 rsr.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28.

Nr. 44. Poznań, niedziela 1-go listopada 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę. **Redakcya:** Poznań, św. Marcin 22 II p. **Administracya:** Podgórna ul. Nr. 7. w podwórzu.

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Podgórna Nr. 7. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego. **Pojedyńczy numer:** w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen. **Rękopisów drobnych niezwracamy.**

TREŚĆ.

Połamane sztandary.

Dzień każdy niemal przynosi nam odgłosy walki toczonej w Austryi, a zwłaszcza nad falami Dunaju pomiędzy partyą quasi-liberalną — a partyą antysemitów.... Kto zwycięży? Luegerowskie „Vae victis“ brzmi coraz donośniej.

Lata całe w życiu politycznem Austryi wrzała walka zaciekła i gorąca — lecz wśród niej jaśniały zwycięstwem sztandary liberalizmu, niosąc znękanej absolutyzmem tronu ludzkości wolność i zbawienie.

Dlaczego dzisiaj sztandary te nie promienieją dawną chwałą bojową — dlaczego tak łatwo druzgocą je gromy, miotane nań przez szermierzy antysemityzmu? — To pytanie musi opanować nasz umysł, skoro przeglądamy kartę dziejową Austryi ostatniego stulecia i porównujemy okresy rozwojowe liberalizmu w monarchii Habsburgów.

* * *

Kolebką liberalizmu jest wiek XVIII, przynoszący ludzkości zasadnicze zmiany pojęć o państwie i stanowisku człowieka w państwie.

Średniowieczna teokracya zwalczana już teoretycznie najskuteczniej przez myśliciela XIV wieku Wilhelma Occama[1]) — spłonęła w pożarze reformacyi Lutra. — Lecz równocześnie wyrastała władza monarchiczna, wyradzając się w twardy absolutyzm — a pamiętne słowa Ludwika XIV „l'état c'est moi“ — przypominają żywo sławną bullę „Unam Sanctam“ Bonifacego VIII, głoszącego najwyższe panowanie tyary papieskiej nad światem. Reformacya nie była nawet przedświtem prawdziwej wolności, bo głosząc żelazną formułę „cuius regio illius religio“ była tylko przejściem z jednej niewoli w drugą.

Wiek dopiero XVIII wolno nam nazwać zaraniem tej wolności, którą dzisiaj oddychamy i żyjemy.

Założenie państw reprezentacyjnych przez kolonistów amerykańskich, zwycięskich w wojnie z Anglią o niepodległość, i huragany wielkiej rewolucyi francuskiej zdobywającej „prawa człowieka“ — spowodowały najzupełniejszy przewrot w pojęciach o stanowisku obywateli w państwie. Zasada: „panujący jest pierwszym sługą państwa“ zwyciężyła nad obłędem doktryn „oświeconego absolutyzmu“ i głów ukoronowanych.

Echa walki toczonej w Ameryce przebrzmiały, rusztowanie gilotyny, splamionej niestety krwią tylu niewinnych ofiar, w proch się rozpadło, ale słońce, które wśród tych przewrotów zajaśniało zbiedzonej ludzkości, — słońce wolności i swobody już nie zagasło, — przeciwnie jego światłem poczęły teraz żyć narody, znękane pomroką ubiegłych wieków. Najdroższym skarbem, jaki ludzkość wyniosła z tych wielkich przełomów dziejowych, jest właśnie liberalizm — idea wielka i promienna, oznaczająca: *wolność*. Znany publicysta polski Wilhelm Feldmann tak charakteryzuje liberalizm:

„Przeciw zamykaniu ludzi w szrankach stanów średniowiecznych, przeciw niewoli chłopa w poddaństwie, a rzemieślnika w cechu, przeciw panowaniu absolutyzmu królów, przywilejów feudałów, omnipotencyi duchowieństwa, przeciw krępowaniu tysiącem zakazów swobody osobistej i ekonomicznej, — podniósł on (liberalizm) sztandar protestu i wypisał na nim hasło równości obywatelskiej i wolności. Nad tym sztandarem unosiła się biała gołębica, zwiastująca spokój i szczęście, hasło braterstwa“[2]). Charakterystyka ta czyni zbyteczne dalsze wywody, bo zamyka w sobie wszystko, co o *prawdziwym* liberaliźmie powiedzieć możemy.

Hasła te dotarły i do granic Austryi w której absolutyzm królewski za Józefa II doszedł swego szczytu. Wiatr wiejący od tronu tłumił tu wszelkie objawy, dążące do wywalczenia zgnębionej ludności praw politycznej swobody. Dzień każdy przynosił nowe formuły i ukazy, ukute w kancelaryi cesarskiej, uciskające poddanych coraz to większym, coraz bezwzględniejszym absolutyzmem.

Jedną też z najcięższych walk musiał liberalizm stoczyć w monarchii austryackiej, i mimo największych przeszkód, napotykanych na każdym kroku, wyszedł z politycznego boju zahartowany i zwycięski.

Jak jutrzenka, która z za mgły nocnej wychyla zrazu blady tylko promień, powoli jednak rośnie, nabiera blasku i coraz to bardziej różowe smugi światła rozpościera na niebie — aż wreszcie złotą gloryą słońca zajaśnieje — tak, też i wielka idea liberalizmu wzrastała, nabierała sił i żywotności, aż skupiwszy pod swoją chorągwią całe szeregi miłośników wolności zwaliła w gruzy stary, nienawistny porządek rzeczy i stworzyła w Austryi ten świat polityczny, w którym dzisiaj żyjemy.

Uciemiężone stany znalazły w szermierzach liberalizmu szlachetnych obrońców. Wieśniak, jęczący w jarzmie poddaństwa, został usamowolniony, równość stanów i równouprawnienie wyznań, najpiękniejsze zdobycze *XIX* wieku, zostały urzeczywistnione. I za prawami kościoła katolickiego, zniewolonego do służalstwa rządowi, ujął się liberalizm, by potem gorzką odebrać zapłatę od partyi ultramontanów. Konstytucya zapewniła ludowi wolność i swobodę. Tak liberalizm oczyścił powietrze z trujących życie austryackiego narodu wyziewów — i dziś wszelkie zdobycze polityczne jego szermierzom ma Austrya do zawdzięczenia. Idea liberalizmu stała się arką zbawienia, świeciła narodowi w ponurych chwilach jasno i promiennie, jak ów, przechowany nam w powieściach biblijnych słup ognisty ludowi Izraela, spieszącemu nad fale Jordanu.

Tak świetnie rozpoczęty pochód ku urzeczywistnieniu najpiękniejszych ideałów liberalizmu dzisiaj prysnął, a wierny wyznawca tych haseł z pogardą w duszy odwrócić się musi od obecnych liberałów Austryi.

Z obrońców swobody stali się oni stronnictwem, szukającem tylko własnego interesu i zysku, egoizm partyjny czarnym osadem splamił ich sztandary, połamane i podarte na szmaty dłońmi tych, którzy je nieść powinni czyste i nieskalane, lśniące w promieniach politycznej cnoty i prawdy! Od nich — od tych handlarzy politycznych — gotowych dla własnego zysku poświęcić wszelkie interesa ludu odwraca się umysł obywateli Austryi.

Liberalizm sterczy dziś na polu walk politycznych, jak szkielet, odarty z uroków życia, a dzień każdy wzmacnia szeregi antysemitów, którzy zaprzysięgli walkę na śmierć i życie swym wrogom. Dawniejsza ludność Austryi z wiarą dziecięcą tuliła się pod opiekę liberałów; każdy niemal prawy obywatel ich ideałami żyć pragnął, — dziś gdy te świetlane postacie ojców ludu posnęły już w mogiłach, kiedy szranki bojowe, ozdobione przez nich zwycięskim wawrzynem, gęstym zarastają chwastem — bije godzina śmierci dla liberalnego stronnictwa.

[1]) Wilhelm Occam Dialogus.

[2]) Dziennik Krakowski Nr. 57. — Artykuł „Liberalizm wiedeński“.

„Precz z liberalizmem! niech żyje Lueger i jego hasła!“ wołają tłumy — niech nie zapominają jednak, że tylko z faryzeuszami liberalizmu kruszą kopje.

„Precz z liberalizmem!“ wołają — a okrzyk ten w fałszywem uogólnieniu ogarnia nietylko komedyantów liberalizmu lecz dyskredytuje wielkie idee tych, co pomarli. Gdyby nie liberalizm i jego zabory, czyżby dziś ta roznamiętniona ludność mogła i była zdolną występować na politycznej *arenie?* Liberalizm wywalczył jej prawa, wychował i wypieścił, uświadomił i wykształcił do politycznego życia. Broń, którą dzierzy, otrzymała z dawnych twierdz liberalizmu.....

A. B.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

„Kraj“ przeciw Stańczykom galicyjskim.

Nawet konserwatywny „Kraj“ petersburski wyraża w ostatnim numerze niezadowolenie swoje z postępowania galicyjskich Stańczyków wobec ruchu ludowego. W artykule „Na Bezdrożu“ czytamy:

„Stronnictwo, nadające kierunek dzisiejszej polityce galicyjskiej, popierało w swoim czasie reformę wyborczą p. Badeniego. Kto raz na to się zdobył, kto sam pchnął Austryę na drogę głosowania powszechnego i powołał do życia publicznego tylu nowych wyborców, temu nie wolno w parę miesięcy później przestraszyć się swego własnego czynu i widzieć w rozbudzonem życiu tylko wielkie nieszczęście, z którem policya po swojemu rozprawiać się musi.

Nikt nie posądzi nas o brak szczerej, gorącej sympatyi dla tej trzeźwej, rozumnej polityki, której Galicya tyle zawdzięcza, a która w gronie polityków krakowskich znalazła przedstawicieli, mających odwagę przyznawać się głośno do swoich przekonań i wysnuwać z nich nieuniknione konsekwencye. Ale właśnie dla tego pragniemy, ażeby między tą myślą przewodnią a dźwigającemi się z uśpienia masami nawiązała się ta niezbędna łączność, bez której każdy program w społeczeństwie, mającem życie konstytucyjne, zwiędnąć musi. Upragnionego tego związku nie wytworzy interwencya policyi, lub żandarmów. Wytworzą go tylko ludzie, którzy powiedzą sobie to, co już zrozumiały wszystkie wielkie stronnictwa na Zachodzie, a mianowicie, że kto nie umie trafić do przekonania szerokim warstwom, kto lęka się zetknięcia z niemi, kto nie wierzy w możność porozumienia, ten musi pisać testament polityczny, bo w w. XX miejsca dla niego nie będzie. Program większości sejmowej wogóle, a stronnictwa krakowskiego w szczególności, jest zanadto żywotny, zanadto wypróbowany, zanadto społeczeństwu potrzebny, ażebyśmy się ośmielili przypuścić, że właśni jego obrońcy narażą go na niebezpieczeństwo, zrażając do niego tych, którzy stanowią wielką siłę przyszłości.

— ski.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Sytuacya ekonomiczna w Poznańskiem.

Jeżeli mogliśmy z uznaniem mówić o sprawozdaniu izby handlowej w Opolu, to nie możemy tego powtórzyć o sprawozdaniu izby poznańskiej[1]). Wiele tu słów, mało cyfr, mało ilustracyi. Sprawozdawcy skrupulatnie zaznaczają każdy fakcik z działalności izby, każde choćby bezskuteczne podanie do władz i t. d., ale nie są w stanie dać żywego obrazu sytuacyi ekonomicznej. Sprawozdanie zajmuje 260 stron, Opolskie tylko 122, a pomimo to zawiera faktycznego materyału trzy razy więcej.

Szkicując położenie ekonomiczne, sprawozdawca zaznacza, że Poznań nie skorzystał z polepszenia sytuacyi w tym, co inne okręgi, stopniu. Wprawdzie zbyt wzmógł się w niektórych gałęziach, lecz ceny, zdaniem sprawozdawcy, uległy zniżce. Wyjaśnia się to tem, że nieliczne gałęzie przemysłu, jakie są reprezentowane w obrębie obszaru kompetencyi izby handlowej[2]), (fabrykacya spirytusu i wódek, nawozy sztuczne i klej) nie mogły skorzystać z udogodnionych warunków eksportu; handel zbożowy ożywił się nieznacznie. Przy tem warunki dla miejscowego handlu także nie wiele się polepszyły, gdyż rolnictwo zawsze jeszcze produkuje w warunkach nieprzyjaznych.

Zwróćmy się naprzód do handlu zbożowego w Poznaniu. Sprawozdanie zaznacza, że handel ten ożywił się już w roku 1894 i ożywienie trwało również w 1895. Ceny były z początkiem ostatniego roku niskie, na wiosnę podniosły się znacznie wskutek niepomyślnego stanu zasiewów w Niemczech północnych (żyto płaciło w kwietniu i maju 13.30—13,40 mrk., pszenica 16,30—16,50 mrk. za gatunki wyborowe), później jednakże ceny spadły, chociaż pod koniec roku były wyższe niż w roku 1894. Przeciętna cena za rok wynosiła (marek za 100 kg.): żyto 11,55 (11,245)[3]), pszenica 14,974 (13,825). Sprawozdanie zaznacza, że produkcya pszenicy zdaje się zmniejszać: żyto znajduje lepszy odbyt niż dawniej.

Produkcya jęczmienia zwiększa się, ale zawsze jeszcze gatunki nie odpowiadają wysokim wymaganiom zachodnich browarów.

Ziemniaki miały odbyt słaby do fabryk.

Producenci chmielu ponieśli straty wskutek wadliwej spekulacyi. W miesiącach wrześniu i październiku płacono po 160 do 240 marek za 100 kg.; spodziewano się dalszej zwyżki, tymczasem w listopadzie i grudniu ceny spadły na 100—160 mrk.

Ceny wełny podniosły się znacznie wobec ożywienia przemysłu. Ogólnie więc biorąc, ceny produktów rolniczych były wyższe, jednakże rozkwit przemysłu nie pociągnął za sobą dotąd poważnych skutków dla rolnictwa. Co do przemysłu dowiadujemy się następujących faktów: W okręgu sprawozdawczym znajdują się cztery kopalnie wę-

[1]). Jahresbericht der Handelskammer für den Regierungsbezirk Posen für 1895. Posen 1896.

[2]). Dotąd nie cały okręg rejencyi poznańskiej należał do okręgu izby handlowej. Od 1896 roku dopiero nastąpiła zmiana i izba handlowa ma pod sobą cały okręg.

[3]). W nawiasach podajemy ceny zeszłoroczne.

Stefan Żeromski.

„TABU“.

(Dokończenie).

Z wolna wzrok nieszczęśliwej przeniósł się na murawę przydrożną. Niezliczone mnóstwo połyskujących ździebeł usiłowało wtargnąć na szosę, wedrzeć się na pokład ubitych kamieni. Pani Ewa myślała przez chwilę, krótką jak mgnienie oka, o miękkich korzeniach tych roślinek, które tam w głębi gruntu macają pracowicie ostre kanty potłuczonych kamieni, wtłoczonych w glebę, niestrudzenie roją się pod stopami idących w poszukiwaniu dróg swych i pokarmu. Za rowem były mokre łąki. Deszcze wiosenne zostawiły na nich płytkie jeziorka granatowej wody, rozlane tu i owdzie. W tych smugach kąpały się długie, jasnożółte zagony jaskrów, na miejscach suchych, pod cieniem leszczyn, widniały bladoniebieskie przylaszczki. Naokoło lśniły się w słońcu młode, hajdamackie trawy. Zbolałe oczy pani Ewy, błąkając się bezwładnie po miękkich kępach ziół najbliższych — zbierały z nich i wnosiły do duszy jakiś kordyał przedziwnie uzdrawiający.

— Jakżeście wy szczęśliwe, jakżeście wy szczęśliwe... — mówiła cicho.

Jasna zieloność i niezmierna rozmaitość kształtów, miękkość szerokich, soczystych liści i rytmiczne pochylanie się od wiatru wysokich słupków — działały na duszę pani Ewy tak kojąco, jak niektóre soki traw, niweczące działania zabójczych trucizn. Przedewszystkiem jednak litował się nad nią ciepły i pachnący wietrzyk polny. Podlegała złudzeniu, że ten chyży wędrowiec opuszcza dla niej wysmukłe trawy, że sfruwa z kwiatów pachnących najbardziej, ażeby ją owiewać i pieścić, ażeby wysysać pot z jej czoła, wchodzić do płuc, dotykać nerwów i w głębiach duszy, nad rozszalałemi nurtami rozpaczy wołać swym słodkim głosem: — rozkazuję ci, ucisz się burzo!..

Po prawej ręce od gościńca szła wpoprzek łąki wąska dróżka. Wyżłobione jej koleiny ledwo było widać pod krótką, kędzierzawą wełną trawy. W tamtą stronę właśnie pofrunęła pliszka. I pani Ewa udała się za nią w tamtą stronę, niby przez sen wiedząc, że nie idzie ku stacyi kolejowej. Jak długo szła — nie umiałaby równie powiedzieć. Wstrzymała się wówczas dopiero, gdy jej drogę zastąpił staw dosyć szeroko rozpostarty. Weszła na groblę, obrosłą wysokiemi trawami, przy drugim końcu której widać było szeroki, czarny dach młyna schowanego za groblą i kępami gęstych zarośli. Tuż obok stały istne gaje trzcin zeszłorocznych, martwo żółtych i wydających jakiś pogrzebowy szelest za najlżejszym powiewem wiatru. W bliskości tych badylów, które panią Ewę raziły, jak wspomnienie cmentarza, wystrzelały z wody pierwsze pędy tataraków. Przy nich na płytkiej wodzie tarły się w słońcu ryby — i co chwila zarówno kiście zeschłych trzcin, jak młode sitowia wstrząsały się i drżały, jakby od miłosnego dreszczu. Daleko w trzcinach słychać było słodkie okrzyki małych ptaszyn, które sfruwały ze swych miejsc wzbijały się w górę i spadały znowu między krzewy. Po wierzchu wody biegały między drobnemi falami blaski słoneczne. Można było sądzić, że one drżą z jakiegoś powszechnego wzruszenia. Pani Ewa usiadła na ziemi i wkrótce poczuła tak wielkie znużenie, jakby bez przerwy szła dziesiątki mil. Po ciele jej przebiegało jeszcze od czasu do czasu wstrząsające westchnienie, ale myśli i uczucia daleko od rzeczywistego nieszczęścia odleciały. Widziała dokoła siebie ustronny kąt, zarośla i wodę, ale dalej, niejako za temi wszystkiemi zjawiskami spo-

gla brunatnego[4]), które wyprodukowały w roku 1893 — 25,245, ton, w r. 1894 — 27,366 ton, w r. 1895 — 25,259 ton. Zmniejszenie produkcyi jest skutkiem robót melioracyjnych w jednej z kopalń, która zmniejszyła chwilowo produkcyę. Wartość produkcyi wynosiła 80,816 mrk. z czego sprzedano za 63,223 mrkj (resztę zużywają kopalnie na własne potrzeby). Ceny podniosły się o 15 fenygów za tonę i wynoszą 3,20 mrk. Kopalnie zatrudniają 84 ludzi, których płaca przy 12 godzinnej pracy wynosi dla górnika 1,86 mrk., dla pomocników 1,60 mrk. Są to zapewne najgorzej płatni w świecie górnicy. Sprawozdanie zaznacza, że obfite pokłady węgla brunatndgo w okolicach Poznania zawsze jeszcze czekają na eksploatacyę.

Fabrykacya maszyn rolniczych po dawnemu niedomaga: oczekiwany odbyt do Rosyi nie nastąpił, a rolnicy krajowi ograniczają zakupy do minimum.

Gorzelnie osięgły cokolwiek wyższe ceny za produkt, jednakże ogólnie ta gałęź produkcyi nie postępuje. Natomiast browary rozwijają się.

Młyny o tyle źle wyszły na podwyższe zboża, że wskutek wielkich zapasów mąki ceny nie podniosły się w odpowiednim stosunku.

Ścisłych cyfr co do produkcyi, liczby robotników i zarobków sprawozdanie nie podaje niestety.

Cokolwiek dokładniejsze informacye otrzymujemy o handlu. Tak n. p. dowiadujemy się, że weszło w obieg handlowy produktów rolniczych w Księstwie Poznańskiem:

w roku	1891/92[5])	—	42,415,000 kg.
„	1892 93	—	28,520 000 „
„	1893 94	—	41,070,000 „
„	1894 95	—	56,660,000 „
„	1895 96	—	66,420,000 „

Przekazów pocztowych przyjęto w roku 1895 w całym okręgu pocztowym poznańskim na sumę 92,354,000 mrk. (89,270,000 w r. 1894), w biórach miasta Poznania 19,012,000 mrk. (17,776,000 w r. 1894); wypłacono zaś 66,058,000 mrk. (63,947,000 w r. 1894), w mieście 26,307,000 marek (25,160,000 w r. 1894), jak wogóle ruch na poczcie wzrósł znacznie.

Co do interesów bankierskich dowiadujemy się, że pokup na papiery państwowe był znaczny, tak samo, jak na pożyczkę prowincyonalną poznańską $3^{1}/_{2}$%ową i pożyczkę miejską. Angażowano się też silnie w akcyach przemysłowych w nadziei obfitej dywidendy. Obroty oddziału banku państwa wzrosły znacznie i wyniosły za rok 1895 — 756,556,400 mrk., w r. 1894 — 669,344,800 mrk., w r. 1893 — 678,819,300 mrk. Ciekawą jest następująca statystyka: Jeżeli obrót banku oznaczyć cyfrą 100 za rok 1876, to otrzymamy dla obrotów cyfry:

	dla całego banku:	dla oddziału Poznań:
rok 1891	— 299,7	211,3
„ 1892	— 284,8	221,7
„ 1893	— 302,4	213,7
„ 1894	— 301,0	210,8
„ 1895	— 330,7	238,2

Widzimy więc z tej tabelki, że obroty w całym banku potroiły się, w Poznaniu podwoiły się tylko. Zkąd wniosek, że handlowo-bankowo stosunki rozwijają się tu daleko powolniej niż przeciętnie w całem państwie. Dalej widzimy, że kryzys spowodował w banku centralnym zmniejszenie obrotów jedynie w roku 1892, w r. 1895 zaś nastąpiło bardzo znaczne ożywienie. W Poznaniu rok 1892 był jeszcze stosunkowo pomyślnym, za to obroty zmnieszyły się znacznie w 93 i 94 a ożywienie w 95 było mniej znaczne.

Bank akcyjny prowincyonalny zwiększył obroty stosunkowo nieznacznie; 70,306,000 mrk. w porównaniu z 63,133,000 w roku 1894. Ogólnego ożywienia życia ekonomicznego nie można jeszcze stąd wnioskować.

Kasa pożyczkowa rolnicza (Posener Landwirtschaftliche Darlehnkasse) miała obrotu w roku 1893 — 113 mil mrk., w 1894 — 135 mil. mrk., w r. 1895 — 183 mil. m. Zysk czysty za te lata wynosił: 6,77% — 8,17% — 6,06%.

„Bank włościański“ miał obrotu: w roku 1894 — 49,306,066 mrk. w r. 1895 — 50,974,403 mrk.

Liczba członków „Banku przemysłowców“ wzrosła z 1705 do 1941, a liczba udziałów po 2000 marek wzrosła z 1862 do 2166.

Obroty „Banku związku spółek zarobkowych“ także wzrosły znacznie: z 71,4 mil. mrk w roku 1894 do 80,6 mil. mrk.

Jeżeli te zwiększone obroty świadczą o tem, że depresya na rynku pieniężnym została cokolwiek usuniętą, to z drugiej strony w handlu detalicznym położenie jest ciągle jeszcze przygnębiające i sądzimy, że sprawozdanie trafnie charakteryzuje położenie, twierdząc pod rozdziałem „towary łokciowe“ (str. 213): „Kupcy detaliczni uskarżają się ogólnie, że nabywców nie sposób nakłonić do wyższych cen i z trudem tylko dał się osięgnąć obrót dorównywający takiemu, jaki był w roku 1894. Powodu szukać należy w zmniejszeniu siły kupczej ludności rolniczej, która ogranicza swoje zakupy do minimum“.

Naturalnie chodzi tu w pierwszej linii o „siłę kupczą“ ludności ubogiej, klasy robotniczej, gdyż w ogólnej sumie obrotów handlowych najpoważniejszą pozycyę stanowią nie ci, co kupują jedwabie i kamgarny, lecz ci, co kupują perkale i wyroby bawełniane w najtańszych gatunkach. Sprawozdanie więc potwierdza pośrednio znany niestety aż nazbyt dobrze fakt, że ludność robocza Księstwa Poznańskiego musi oszczędzać nawet na groszowych swoich wydatkach, że stopa życiowa nie podnosi się. Czy to położenie ulegnie zmianie z polepszeniem ogólnych konjuktur, o tem trzeba wątpić jaknajmocniej. Położenie bowiem jest takie, że z ożywienia ekonomicznego korzysta rolnictwo dopiero w drugiej linii, a dopiero w trzeciej linii korzysta prawdziwa masa producentów: robotnik, najmita rolniczy.

W roku bieżącym ceny zboża pod koniec zaczynają się poprawiać, urodzaje w Księstwie ogólnie można uważać za średnie. Położenie więc większej własności w roku bieżącym poprawi się w porównaniu z rokiem minionym. Stąd jednak nie wynika, że zarobki podniosą się o tyle, żeby wyrównały ogólnej zwyżce cen, a w każdym razie po nad tę zwyżkę nie pójdą. Jedynym więc rezultatem społecznej doniosłości, wynikającym z ożywienia przemysłowego, będzie dla Księstwa wzrost liczby „obieżysasów“, ponieważ nic nie wstrzyma ludności od poszukiwania lepszej doli na zachodzie, a zapotrzebowanie rąk roboczych tam wzrasta.

J. B. M.

4). Jedna w obwodzie Bydgoskim, jedna w Międzyrzeckim i dwie w Międzychodzkim.

5). Sprawozdanie odnosi się od 1go kwietnia jednego roku do 31 marca następnego.

---

strzegała wyraźnie inną dziwną jawę. Zdawało się jej, że wie doskonale, dlaczego to wszystko tak się odbywa, a nie inaczej, że przenika każdą rzecz i obejmuje drzemiącem spojrzeniem wszystko, aż do ostatecznych granic.

— Jakie to wszystko bezlitosne, jakie to zimne, jakie to nieubłagane... — szeptała, patrząc w przestrzeń, zasłaną krzewami, które wydawały się podobnemi z oddali do chmurek mgły zielonawej. Gdybym tu umarła w tej chwili, gdybym się stoczyła w wodę i utonęła, pożarłyby mię raki i robactwo, a ta woda igrałaby nade mną tak samo cudownie, te ryby tak samoby się pluskały i ta rozkosz, co idzie z rozkwitłej ziemi — szłaby tak samo dla innych...

Po chwili, wzdychając gorzko, znowu mówiła do siebie:

— Kto upada, ten ginąć musi. Śmierć przychodzi do nas nie z pompatycznym mieczem, nie ze zdradzieckim sztyletem, ale z brutalnym żegadłem rzeźnika. Z uśmiechem zabija według praw swoich, według swego obrachunku... Niemasz litości w tem wszystkiem... Och. a czemuż my ją czujemy, po co i na co?..

Po chwili, głucho płacząc, osunęła się twarzą na ziemię. Bardzo długo leżała tak rozbita w sobie i jakby unicestwiona. Dopiero świst jakiegoś pociągu, zdaleka przebiegającego równinę, obudził ją i przywołał do rzeczywistości. Wstała z pospiechem, oczyściła suknię i coprędzej udała się w stronę dworca, którego czerwona dachówka jaskrawo widniała na horyzoncie. Gdy zdyszana od prędkiego chodu przebiegła dworzec i znalazła się na peronie w celu zasięgnięcia wiadomości, kiedy najbliższy pociąg odchodzi do miasta, zobaczyła „tego pana“ Stał oparty o żółte sztachety, miał jak zwykle oczy spuszczone, a jednak widzące każdy szczegół, i uśmiechał się po swojemu. Gdy weszła na peron, raz tylko podniósł na nią oczy, ale ona zrozumiała natychmiast ich wyraz, mówiła bowiem do niej jaśniej, niż słowa: — jeżeli chcesz, ażebym się oddalił, zniknę niezwłocznie...

„Ten pan“ był rysownikiem w pewnem biurze technicznem. Pani Ewa już dawno jeszcze przed chorobą męża, spotykała go na swej drodze, ale nie był jej osobiście znany. Wychodząc z fabryki wieczorem dostrzegała go już to ukrytego na ustronnej ławce, między krzewami skweru, już przesuwającego się obok muru sąsiedniej ulicy. Wiedziała od pewnej przyjaciółki, że jest to bardzo porządny, „społeczny“ facet, wiedziała również — już nie od przyjaciółki, ale z własnego instynktu, — że on zna całe jej życie, czytała nieraz w przelotnych błyskach jego spojrzeń, jak się czule nad nią lituje, czy może — jak bardzo ją kocha. Ceniła to w nim, że nie szukał znajomości, ażeby jej nie podawać na ludzką obmowę, że poprzestawał na krótkich widzeniach zdaleka jej osoby raz na dobę, czasami raz na dwa i trzy dni...

Wszystko to zresztą poszło w absolutne zapomnienie czasu okropnej niedoli, odkąd Henryk Dąbrowski dostał pomieszania zmysłów. Żyła wówczas w tak wielkim upadku ducha, że każda myśl weselsza napawała ją zabobonną trwogą i była powodem bolesnych wyrzutów sumienia. Zdarzało się jej spotykać wówczas nieznajomego pana, ale nieumiałby rzetelnie odpowiedzieć, czy to było we śnie, czy na jawie. Wiedziała, tylko, że był jej miły, jako wspomnienie najlepszych dni życia, kiedy jeszcze nad nią słońce świeciło.

Spostrzegłszy go na dworcu, cofnęła się zaraz do poczekalni stacyjnej, kupiła bilet i usiadła na drewnianej ławce. Przez okno widziała młodego człowieka. Stał, jak przedtem, trzymając w ręce duży bukiet bladoniebieskich przylaszczek i spoglądał na te kwiaty. Później odszedł stamtąd i spacerował wzdłuż peronu. Wpatrywała się mimowoli w jego miękki kapelusz, oblany

LITERATURA I SZTUKA.

Tragedya kobiety.

(Cykl obrazów p. Annę Costenoble.)

Któż słyszał o Annie Costenoble? Przed dwoma tygodniami obrazy jej znane były zaledwie zawodowym sprawozdawcom dzienników berlińskich i garstce tej publiczności, która jest stałym gościem Gurlittowskich wystaw. Ten i ów przypominał sobie portret Stanisława Przybyszewskiego i jego interesującej żony, ten i ów kilka drobnych obrazków o symbolicznym kierunku, — lecz nikomu zapewne nie utkwiły głębiej w pamięci te skromne przebłyski talentu, podobne tysiącom innych próbek artystycznych i ginące w powodzi dzieł dojrzalszych, z któremi coraz częściej w Berlinie spotykać się można.

A dziś? Przypominają się słowa Byrona: „Przez noc jej laury wyrosły u głowy“.

Przed dwoma tygodniami mniej więcej wpadł mi w rękę artykuł Rabsilbera zamieszczony w „Kleines Journal“. Tytuł jego: „Tragedya kobiety“ — w nawiasach: „cykl obrazów p. Annę Costenoble“ — początek: „Niezwykłe zjawisko uderza jak wystrzał alarmujący w poranek sezonu wystawowego“. Potem następuje barwna, blaskami zachwytu lśniąca charakterystyka obrazów, a w końcu uwaga, że cykl wystawiony jest na widok publiczny w pracowni artystki, — we wtorki i piątki oglądać go można.

W trzy dni później stanąłem na bruku berlińskim i pędziłem fiakrem na Nettelbeckstr. do mieszkania artystki. Była godzina południowa.

Przed domem kilka powozów, u drzwi portjer znudzony.

— Czy tu panna Costenoble?

— Czwarte piętro, — informował sucho urzędowym tonem.

Drapię się tedy na Parnas, mijając po drodze kilka osób, wśród których poznałem jednego z wybitniejszych krytyków berlińskich.

Zatrzymał mnie.

— Pan także tutaj? To prawdziwa wędrówka ludów.

— Czy do Aten, czy na jarmark? — spytałem.

— O! eine beachtenswerthe Leistung.

Pożegnałem go, — wchodzę do pracowni. Kilkanaście osób płci obojga oblega obrazy. Pokój dość wielki, lecz wydaje mi się ciasnym z powodu mnóstwa sztalug, stolików i ciekawych widzów. Uzbrajam się zatem w cierpliwość i postanawiam czekać spokojnie, aż fala publiczności odpłynie, a tymczasem zatapiam się w szkicach i studyach artystki, wystawionych na uboczu. Lubię śledzić talent w jego krętych wędrówkach, gdy myśl szuka drogi właściwej, szuka linii i ruchu, szuka samej siebie. Jest coś tragicznego w tej walce idei i formy, w tym pierwszym porodzie myśli, niezadowolonej z swych dzieci i targającej okowy. Ileż męki ludzkiej tkwi w takich szkicach Rafaelowskich z Lille i Oksfordu? „Język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie“ — to samo w każdej sztuce, w malarstwie więcej może niż w poezyi. Tak dumając nad studyami do „Tragedyi kobiety“ i śledząc rozwojowe stopnie artystycznej pracy, przykutej zrazu niewolniczo do modelu, lecz coraz śmielszej, coraz indywidualniejszej, nie spostrzegłem nawet, że pracownia opróżniła się nieco. Dopiero, gdy dwóch mężczyzn — malarzy zapewne — poczęło dość głośno sprzeczać się o jakieś szczegóły techniczne, porzuciłem tekę i korzystając z chwili, zbliżyłem się do wielkich płócien.

Sześć aktów ma ta „tragedya kobiety“. Symbolizm i naturalizm podały tu sobie ręce, aby po raz miljonowy wyśpiewać historyę „kochanej i opuszczonej“, lecz pod względem śmiałości w przeprowadzeniu tematu posunęła się artystka dalej może niż Corregio w swojej „Jo z Jowiszem“ i „Ledzie z łabędziem“, niż Tician w „Danae“ swojej, — posunęła się tam, gdzie już się krańce sztuki zaczynają.

W słonecznym krajobrazie wiosny, na zielonej murawie spoczywa naga dziewczyna w różowych blaskach wschodzącego słońca. Półdziecko jeszcze, lecz już się budzi kobieta, a zdala bieleją dwie brzozy splecione gałęziami w jakiś groźny uścisk, — niby symbol przeznaczenia i wróżba tragedyi. Oto pierwszy akt.

W drugim obrazie znalazł się już on — mężczyzna — demon w pojęciu artystki. Nagi u stóp nagiej. Klęczy, ramionami obejmuje, a ona głowę tuli do niego z jakąś wielką, bezgraniczną tkliwością. I znów poranek, lecz światło półmgliste jeszcze, blade, zaledwie ze snu zbudzone, i zieleń gęsta w około. Ten obraz dyszy majową świeżością i w całej nagości swojej ma wielką czystość i czułość pierwszego uścisku.

A potem następuje „ekstaza“. Krew w żyłach kipi jak wrzątek, szał lubieżności skręca w konwulsyach obnażoną kobietę i oto oblana księżycowym blaskiem, wije się na dywanie, a w powietrzu błyskają jakieś światła tajemnicze, niby fale płomieni syczących, piekących i przenikających jej ciało. Symbolika barw jest tu właśnie bardzo szczęśliwie zastósowaną a pod względem anatomicznym nie ma ten akt równego sobie w całym cyklu obrazów.

Czwarta scena „tragedyi“ to niewątpliwie najśmielsza ze wszystkich. Na skalnem urwisku leży nadludzkich kształtów niewiasta, niby „Gaca“ olbrzymia, a nad nią huczy burza gromowa i piorun ciska w jej łono. To w symbolu ślub ziemi z niebem, — w naturalistycznem pojęciu: misterium ludzkiej miłości. Pod względem technicznym nie wytrzymuje ten obraz porównania z mistrzami włoskiego renesansu, którzy o mitologiczne odtworzenie podobnych momentów się pokusili, a zresztą mimo artystycznej powagi, cechującej wszystkie utwory artystki, razi tu pewna brutalność i pogoń za efektem. Jest siła wielka w tem płótnie, lecz tylko siła momentu, siła melodramatu.

Szał minął, — rozpoczyna się tragedya. Na tle dziwacznem, wśród jaskrawych plam czerwonych i niebieskich spogląda ku nam popiersie śmiertelnie bladej, bezgranicznie smutnej kobiety. Mężczyzna — demon wyssał jej piękność i porzucił. A ona ręce przyciska do skroni i ma w oczach zamkniętych krzyk przeraźliwej rozpaczy. I znowu ta symbolika barw, nieco sztuczna tym razem i mojem zdaniem zbyteczna. Plamy niebieskie i czerwone to niby obraz tych wrażeń kolorystycznych, których doznaje człowiek już bliski omdlenia. Tło nie podnosi tragedyi, lecz mistrzowskim pędzlem malowana twarz smutnej kobiety ma sama w sobie potężną siłę bezdennego bólu.

Wreszcie obraz szósty. Głową na dół zsuwa się naga kobieta w przepaść posępną, wśród kamiennych złomów, i jeszcze w przedśmiertnej chwili zatapia oczy w niego, — w kochanka — w zwycięzcę, który gdzieś

światłem słonecznem i doskonale harmonizujący z jasnemi włosami, obserwowała szykowne palto letnie, bukiet kwiatów, powolne, zgrabne ruchy i prowadziła oczyma każdy krok „pana“. Wybuchy cierpienia spaliły całą głębinę jej duszy, napełniając ją zarazem niby gruzami i popiołem; dym jakiś owionął mózg, a serce nic literalnie czuć nie było w stanie.

Nadbiegł pociąg. Pani Ewa szybko wsiadła do wagonu i znalazła się w małym i zupełnie pustym przedziale. O minutę później wszedł tam jej wielbiciel. Usiadł w kącie i, jak przedtem, przypatrywał się swoim kwiatom. Pociąg ruszył natychmiast. Pani Dąbrowska, nie odwracając oczu od krajobrazu, przesuwającego się za szybą, trwała w swej nieczułości. Szybki bieg pociągu zdawał się ją unosić, unosić... Nierychło poczuła na sobie wzrok towarzysza drogi. Wiedziała, jak w owej chwili on patrzy na nią, czuła z jak rozszalałą niecierpliwością wyczekuje na jedno jej spojrzenie, doskonale pojmowała jego tęsknotę za taką chwilą od miesięcy, może od lat...

I nagle serce w niej drgnęło. Zapragnęła namiętnie spojrzeć na tego człowieka, zobaczyć jego twarz, oczy, usmiech.

— Po co mam cierpieć, com winna? — spytała się buntowniczo.

Uczuła w sobie niechęć do wszelkich cierpień tak wielką, że gdyby tylko wstał, wziął ją w ramiona, oparłaby głowę na jego piersiach, wypłakała całe swoje nieszczęście i poszłaby z nim. Byleby tylko wyrwał z jej serca skirá boleści, który je toczył... Wszystek ziemski egoizm uderzył w nią: po cóż cierpieć, po co walczyć z koniecznością, której nic na ziemi nie przemoże?

Głowa jej, oparta o drewnianą deskę nad ławką, chwiała się bezwładnie do taktu z biegiem wagonu, na twarz wypełzał rumieniec, palący jak ogień...

Ażeby go ukryć, podniosła się z miejsca i stanęła w oknie. Zielone pola i łąki uciekały w dal niezmierną. Na horyzoncie widać już było tylko wysoki, czerwony komin szpitala obłąkanych. Z tego komina wydzielał się raz za razem bury kłębek dymu. Pani Ewa patrzała na ten dym uważnie i w łoskocie kół uderzających o szyny usłyszała znowu przeklęte słowa:

— „I być strażnikiem grobów, które proszą o łzy i miłość i być tylko cieniem...“

Rozeznawała treść tych słów ścierpłem sercem i słyszała nawet dźwięk ich bolesny. Nie był to jednak głos jej męża. Był to jakiś głos, niczyj. Usiadła na swem miejscu blada, z zaciśniętemi wargami. Opierając lewą rękę na ławce dotknęła bukietu przylaszczek. „Ten pan“ położył je obok miejsca, które zajmowała przed chwilą. Pani Ewa wzięła w ręce ten bukiet, trzymała go na kolanach i, spoglądając na listki tych nadobnych kwiatków szeptała w myśli do siebie: — zapóźno, zapóźno... Długo tak siedziała zamyślona. Gdy wreszcie podniosła oczy — były bardzo smutne. Zwolna rozwiązała bukiet i z uśmiechem, co jak promień światła jej twarz rozjaśnił, upuszczała te kwiaty na podłogę małemi wiązkami, aż do ostatniej. Wówczas spojrzała na swego towarzysza i rzekła cicho, jakby usprawiedliwiając się i prosząc o przebaczenie:

— Mój mąż jest chory, coraz bardziej chory...

Młody człowiek siedział bez ruchu aż do najbliższej, towarowej stacyi pod samem miastem. Gdy pociąg się zatrzymał, spiesznie wyszedł z przedziału, zstąpił na rampę i ruszył prędko w stronę miasta. Pani Ewa długo jeszcze widziała jego jasne włosy i słyszała odgłos jego kroków głuchy, głuchy...

KONIEC.

wysoko na skalnym szczycie siedzi nieruchomy, sztywny, w granit zmieniony jak Faraon, jak król Amenophis na kolumnie Memnona, co w blaskach zachodzącego słońca grała dźwiękiem tajemniczym. Jest coś asyryjskiego w stylizacyi tego demona — mężczyzny, coś, co przypomina charakter głośnych w ostatnim czasie alegoryi Saszy-Schneidra.

Takim jest cykl obrazów Anny Costenoble. Patrzałem długo w „tragedyę kobiety“, pieszcząc się tem objawieniem niepospolitego talentu. Nie wszystko tu jest doskonałe, czasami ręka zawodzi artystkę, niekiedy myśl w niewłaściwych uzewnętrznia się formach, lecz, mimo usterek technicznych, stają przed nami obrazy Anny Costenoble jako prawdziwe, wielkie dzieło sztuki. Nie ideowa i literacka zawartość tych płócien stanowi ich piękność, — lubo młodo-niemieccy zwolennicy „literatury w malarstwie“ w tym właśnie kierunku wysyłają zachwyty swoje — nie! to styl wielki, to bogactwo fantazyi, to muzyka barw i śmiałość rysunku składają urok „tragedyi“. Między dawnemi malowidłami Anny Costenoble a cyklem najświeższej daty jest skok tak nagły i niespodziewany, że wygląda to już nie na prawidłowy rozwój, lecz na czarnoksięstwo talentu. Fantazyę artystki mogły zaludnić wpływy młodych literatów niemieckich, mogły rozbudzić widziadła spirytystów, któremi podobno karmiła się niegdyś malarka, lecz wydoskonalenie formy pozostaje jej własną, wyłączną zasługą i znamieniem potężnych zasobów artyzmu. Jeszcze ręka malarki nierówno pędzel prowadzi, lecz jest w niej siła, która dziś już ujarzmia.

* * *

Pracownia stawała się coraz cichszą. Zaledwie kilka osób spoglądało na wielkie obrazy. Opodal na szezlongu siedziała wątła kobieta w skromnej, domowej tualecie, bez kapelusza i okrycia. Twarz miała bladą i bardzo zmęczoną. Domyśliłem się, — była to artystka.

— Czy mam przyjemność z panną Costenoble...?

— Tak.

Wymieniłem nazwisko i zawód i dodałem z przekąsem: „Ein Mann“.

Uśmiechnęła się.

— Robisz pan aluzyę do rzekomej tendencyi obrazów moich. Jestem podobno wrogiem męzkiej połowy ludzkości. Tak... tak... Panowie krytycy dużo się o tem napisali. Ochrzcili mnie nawet antypodą Strindberga.

— Imię to — odparłem — wydaje mi się poniekąd słusznem. — I ręką wskazałem na inny obraz artystki, przedstawiający elegancko ubranego mężczyznę, o apatycznej, znudzonej twarzy, i nagie kobiety tulące się do stóp jego. Tytuł obrazu: „Der moderne Mann“.

Uśmiechnęła się znowu, — a tym razem uśmiech był smutny.

— Szkoda tylko — zauważyłem po chwili, — że nieprzyjaciółka nasza ani u Gurlitta ani u Schultego nie wystawia swych interesujących utworów. Tu trochę daleko i ciasno.

— Cóż robić? — odparła. — Gurlitt nie ma chwilowo miejsca dla pomieszczenia tak wielkich płócien, a Schulte... Schulte widzi pan, lęka się nagości, bo cesarzowa tam bywa, a cesarzowa ciał nagich nie znosi. Moje biedne nagie obrazy muszą zatem pozostać w pracowni.

— A dużo ludzi odwiedza wystawę?

— O! mnóstwo, — od rana do wieczora. Sto razy więcej niż w obu salonach naszych. Zresztą zgłosiło się po moją „tragedyę“ kilku przedsiębiorców berlińskich. Zawiozą ją do Pragi, Drezna, Hamburga, Frankfurtu, a z wiosną ujrzy ją Paryż.

W tej chwili zbliżył się do nas jakiś młody człowiek, z pozoru sądząc giełdowicz. Z pretensyonalnym akcentem wydeklamował kilka banalnych komplementów i kilka jeszcze banalniejszych zarzutów, a w końcu zapytał, nad czem artystka pracować zamierza, — co po „tragedyi kobiety“ nastąpi?

Zmrużyła oczy. Lekka ironia skrzywiła jej usta.

— „Komedya mężczyzny“, — odparła.

Władysław Rabski.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

W Irlandyi

Przez **Marcelego Prévost.**[1]

(Dokończenie).

II.

Galway[1])

Zwłaszcza w tej części kraju Irlandya zasługuje na smutne określenie cmentarzyska siedzib wiejskiego ludu. Na olbrzymich przestrzeniach nie widać wiosek lecz tylko piętrzące się rumowiska ręką człowieka zrujnowanych domostw. Każdy z nas na tyle jest poinformowany o dziejach spraw agrarnych w Irlandyi, że wie czem są ewikcye dzierżawców. Chcąc się pomścić na dzierżawcy niewypłacającym się w oznaczonym terminie, landlord wzywa siłę zbrojną, policmeni oblegają dom dzierżawcy, przemocą wyłamują drzwi zwykle przed nimi zatarasowane i zabierają ruchomości, wyrzucając mieszkańców pod gołe niebo, bez względu na pogodę i porę roku. Chcąc zaś przeszkodzić, by ci nieszczęśliwi, pozbawieni wszelkiego mienia i przytułku, nie wrócili do pustką stojącego domu, policmeni zabierają drzwi i okna, niszczą dach, pozostawiając tylko ohydnie sterczące mury i połamane wiązania. Takich zniszczonych chat wiejskich jest mnóstwo na całej przestrzeni Zielonej Wyspy. Świadczą one, że ewikcye drzierżawców nie są legendą, lecz okrutną rzeczywistością, smutnemi dziejami istniejącego stanu rzeczy. Miejscami napotkać można całe wioski złożone z kadłubów domów, a porastający je mech rozrostem swym wykazuje epoki popełnianych gwałtów. Do niektórych irlandzkich miast dojeżdża się takiemi przedmieściami stojacemi w ruinach. Nawet zamożne miasto Sligo[2]) posiada przedmieścia w tym stanie.

Jakichże czynszów można było żądać od nędzarzy zamieszkujących te ubogie domostwa w czasach, gdy jaki taki dach pokrywał mizernie sklecone ich mury?.. Chaty irlandzkich wieśniaków zwanych drzierżawcami, są to nory, schroniska, któremi zadowolnić się mogą tylko ludzie wszelkiego dobrobytu pozbawieni. Nieurodzajność gruntu jest wprost przerażająca, i litość serce ogarnia patrząc na te malownicze, lecz jałowe obszary! Zwłaszcza do hrabstwa Counaught stosują się te uwagi. Niezmierzone okiem przestrzenie zarastają karłowate wrzosy, licho rosnące na torfowiskach. By módz tu sadzić jakąkolwiek jarzynę, by módz siać jakiekolwiek ziarno, trzeba utworzyć sztuczny pokład urodzajnej ziemi zwożonej z daleka, ze szczęśliwszych okolic. A gdy taka przygotowawcza praca jest już dokonaną i rolnik uwierzywszy w możliwość przyszłych plonów, zasieje ziarno, zasadzi kartofle, widzi, że wschodzą one marnie, przedwcześnie żółte, anemiczne, przeżarte wilgocią, zgniłe i niezdatne do zbioru. Jakaż musi być rozpacz rolnika patrzącego na takie rezultaty usilnej pracy! a jakaż nienawiść wre w jego sercu, gdy landlord zniecierpliwiony próżnem czekaniem na czynsze, siłą zbrojną wypędza go z chaty, skazując całą rodzinę na ostateczną nędzę. Jakżeż ten rolnik mógł zapłacić czynsze, których nieurodzajność ziemi nie pozwoliła mu zarobić?.. W obec tak nieszczęsnych warunków, czyż można się dziwić popełnianiu zbrodni?.. Czarna nędza i rozpacz irlandzkich wieśniaków, popycha ich ku nałogowemu pijaństwu, lecz wódka zbyt jest słabą, by nieść im dobroczynne zapomnienie, więc opijają się eterem, zabójczą trucizną grożącą wytępieniem rasy.

* * *

Dublin.

Anglia, za pomocą dzienników, systematycznie działa w Irlandyi w chęci zjednania sobie opinii publicznej. Główny z tych urzędowych dzienników Irish Times, jest stekiem chytrych dowodzeń, przewrotnych, antinarodowych poduszczań, które wstręt budzą w umyśle bezstronnego człowieka, czytającego w Irlaadyi tę narodową irlandzką gazetę. Każdy numer Irish Times'a jest hymnem pochwalnym dla Anglii, oraz wezwaniem Irlandyi, by raz ocenić zechciała zasługi i chwałę swej Starszej Siostrzycy, tak dbałej o dobro Erynu. Cynizm tego rodzaju kłamstw przechodzi miarę napotykanych bezczelności w innych angielskich dziennikach, nie pomijając Standard'a.

Podczas mego pobytu w Irlandyi, wypuszczonym został z więzienia patryota irlandzki Daly. Wypuszczono go po trzynastoletniem zamknięciu w różnych brytańskich lochach, albowiem doktorzy osądzili, że jest umierającym. Śmierć jego w więzieniu byłaby wywołała niepotrzebne wzburzenie umysłów, zatem chcąc tego uniknąć, wspaniałomyślnie ułaskawiono go i wypuszczono na wolność. Irlandzcy patryoci chcieli uczcić jego powrót do kraju gromadną manifestacyą radosnego powitania; pragnąc temu zapobiedz, pomieścił Irish Times w swych szpaltach cały szereg artykułów, z których jeden rozpoczynał się w ten sposób: „Rozumie się, że trzeba okazywać wdzięczność waszej królowej, która raczy ułaskawiać przestępnych irlandczyków. Lecz nie należy się rozczulać nad cierpieniami, które, jak niektórzy ludzie głoszą, znosić musiał Daly podczas swego pobytu w więzieniu. Było mu tam bardzo dobrze, a nawet wygodnie... i jeżeli jest chory, to tylko z powodu swego wyjątkowo zniedołężniałego organizmu. Wreszcie zechcijmy się zastanowić, kim jest ten Daly i jemu podobni?.. Są to ludzie do najwyższego stopnia szkodliwi, niebezpieczni, którzy jeżeli się nie trudnili wyrabianiem dynamitu, to mogli zacząć się tem zajmować. Przecież prawie, że im udowodniono zamiar wysadzenia banku w powietrze. Otóż takich ludzi należy unikać, zwłaszcza gdy wychodzą z więzienia. Żaden porządny człowiek nie zechce się przyznawać do znajomości z takim Dalym i jemu podobnymi“.

Czy ta urzędowa i podstępna prasa ma jakikolwiek wpływ w Irlandyi?.. czy wynaradawia miejscową ludność?.. czy przerabia irlandczyków na prawomyślnych synów old England'u?... w tym duchu formułowane pytania stawiałem wszystkim wykształconym irlandczykom, z których bardzo wielu poznałem podczas mej podróży, lecz wszyscy oni wątpili w powodzenie zamiarów angiel-

1) Galway, miejscowość na zachodnim wybrzeżu Irlandyi, na tej samej wysokości geograficzne co Dublin.

2) Sligo, miasto położone na zachodnio-północnych brzegach Irlandyi.

skiego rządu. Zdaniem ich, wpływ urzędowej prasy może znaleść podatny grunt tylko wśród ograniczonej warstwy zamożniejszej burżuazyi, która wszędzie jest jednakowo wroga nieprodukcyjnym ideałom. Robotnicy zaś i lud wiejski czytują mało, a prasą urzędową gardzą wiedzeni instynktem, nakazującym im przechowywanie narodowych tradycyi. Irlandya tak jak inne kraje dzierżone przemocą i wynaradawiane przez najezdcze obce plemiona, ulega przemocy, cierpi, lecz żyje, nienawidzi, lecz nie traci nadziei. Jeden jest tylko sposób wynarodowienia kraju przemocą pochwyconego i trzymanego siłą pięści, sposób ten praktykowany przez niemców polega na wytępieniu i wyeliminowaniu miejscowej ludności. Anglicy z powodzeniem uprawiają ten system. Irlandya, ten ostatni przytułek rąs celtyckich wypartych z Wielkiej Bretanii przez anglo-saksonów, została zawojowana w XIItym wieku przez następców Wilhelma Zdobywcy. Pomimo religijnych prześladowań pozostała katolicką, a w XVII wieku Cromwel rozdał całość irlandzkiej ziemi angielskim lordom, skazując ludność kraju na wieczystą nędzę i zależność. Irlandczyk może tylko być dzierżawcą drobnej cząstki swej ojczystej ziemi. Lecz prześladowania spotęgowały poczucie narodowości w sercach irlandzkiego ludu. Duch jego się nie poddał i narodowe tradycye żyją w całości, nawet wśród licznych, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych emigrantów-patryotów. Politycznym uciskiem, sztucznie podtrzymywaną nędzą, Anglia z systematyczną bezwzględnością wypiera miejscową ludność z Irlandyi. W roku 1841 ludność wyspy dochodziła do 8 milionów, w r. 1871 cyfra ta spadła do 5 milionów, a w r. 1891 jeszcze się zmniejszyła o pół miliona. Otóż jeżeli ta etniczna ewolucya nie zostanie powstrzymaną rewolucyą i gwałtownym przewrotem społecznego ustroju, to matematycznie można obliczyć, kiedy Irlandya stanie się rzeczywiście posiadłością angielską, oczyszczoną z prawowitych swych synów.

Szkoła i wychowanie.

Wyższe studya kobiece
w Polsce.

(Dokończenie.)

Dziełem Baranieckiego jest na wzór South-Resington w Londynie utworzone, a za hojnością jego i inicyatywą powstałe „muzeum techniczno-przemysłowe w Krakowie“, (założone w r. 1867). Było ono owocem studyi jego w czasie pobytu w Anglii w r. 1864, gdzie właśnie w łonie społeczeństwa nurtowały idee i ziarna, rzucone w nie już w r. 1851, podczas pierwszej wielkiej wystawy przemysłowej w Londynie, i zaczynały wywoływać wielkie przewroty na polu przemysłu, mianowicie pod względem techniki i artystycznego smaku oraz reform około studyi i edukacyi w zawodach rękodzielniczo-przemysłowych. Drugim znakomitym i pięknym owocem obserwacyi poczynionych w Anglii oraz idealnej, poczciwej chęci zasłużenia się około dobra ojczyzny były „Wyższe kursa naukowe dla kobiet“. śp. dr. A. Baraniecki uznał i ocenił słuszność żądań i dążności kobiet angielskich, wynikających z całego prądu kulturnego i ustroju ich społeczeństwa, i w umyśle jego zrodziło się postanowienie stworzenia nowych dróg dla kształcenia się kobiet polskich w nadziei gorącej, że gdy im się poda rękę z odpowiedniem wsparciem, to wzrosną i powstaną w nich świeże dźwignie bytu moralnego i materyalnego. Ale emancypacyę dla swych rodaczek pojmował Baraniecki inaczej niż dla cudzoziemek, żyjących w odrębnych stosunkach, na wolnej ziemi. Idee jego w tej kwestyi najlepiej określa biograf współpracownik i przyjaciel Baranieckiego prof. J. Wdowiszewski, obecny dyrektor muzeum techniczno-przemysłowego w Krakowie. „Śp. Adryan — mówi on w „Pośmiertnem wspomnieniu“ — odczuł całą słuszność dążności, zwłaszcza angielskich kobiet, ale odczuł także niebezpieczeństwa, jakiemi one groziły świętym tradycyom naszego kobiecego wychowania narodowego; odczuł, że wyżyna, do jakiej sięgały aspiracye zagranicznych emancypantek, musi się wcześniej lub później pomścić krzywdą, wyrządzoną warunkom spokojnego i normalnego rozwoju społeczeństw. Wskutek tego dusza jego stanęła rogato do ekscentrycznej strony emancypacyi kobiet, a przylgła za to tem silniej do zdrowego jądra głośnej kwestyi kobiecej. Podniósł on sztandar, na którym wypisana była kobiecie droga przez przyrodę, estetyczne rozwinięcie smaku i praktyczne poznanie gospodarskich obowiązków — emancypacyę pojmował jako usamodzielnienie kobiety duchowe pod wpływem wyższego wykształcenia, które chciał oprzeć na znajomości nauk przyrodniczych i literackich; pragnął on uczynić polską kobietę zarówno dzielną szafarką na polu dóbr codziennego życia, jakoteż szafarką ducha, którąby jako przyszła matka podawała swym dzieciom najlepszą karmę patryotycznych uczuć; chciał mieć umysł kobiecy zaprawiony estetycznie i czuły na wrażenia smaku i piękna, nietylko w rzeczach wielkiej sztuki, ale i artystycznego przemysłu“.

W myśl tych zapatrywań urządził śp. dr. Adryan Baraeiecki swój zakład naukowy dla kobiet. Podzielił go początkowo na 5 wydziałów: nauk przyrodniczych, historyczno-literacki, artystyczny, handlowy i gospodarczy.

Dla braku funduszów tylko trzy pierwsze są dziś w pełnym rozwoju, a kursa gospodarcze połączono z przyrodniczemi.

Do programu nauk wydziału literackiego należą: historya i literatura polska, historya liter. pow., hist. sztuki, hist. powszechna, hist. filozofii, zasady psychologii, pedagogika, etyka chrześciańska, ekonomia polityczna, hist. XIX wieku z szczególnem uwzględnieniem dziejów porozbiorowej Polski.

W wydziale przyrodniczym wykłada się chemię, fizykę, matematykę, biologię, kosmografię, botanikę, ogólne zasady astronomii i t. d.

Tu należą kursa gospodarcze, które obejmują obok głównych zasad kobiecego gosp. domowego, ekonomikę gospodarczą, ogrodnictwo, warzywnictwo i w ogólnych zarysach gospodarstwo rolne. W wydziale artystycznym wykładają anatomię artystyczną, naukę o stylach i naukę perspektywy, oraz udzielają lekcyi rysunku artystycznego, malarstwa olejnego i akwareli z żywej i martwej natury, tudzież modelowania w glinie i t. d.

Przez kilka lat wykładano w instytucyi tej historyę wszelkich gałęzi artystycznego przemysłu z popularnem i opartem na okazach wyjaśnieniem technik rękodzielniczych, z braku jednakże funduszów prelekcyi tych wkrótce zaprzestano.

Po śmierci nieodżałowanego założyciela „Wyższych kursów dla kobiet“, które podarował z prośbą o wspomaganie i czuwanie nad niemi gminie miasta Krakowa, Rada miejska zgodziła się w zasadzie na utrzymanie kursów, które zreorganizowano w r. 92 i 93 w myśl projektu i referatu z działalności ich, wypracowanego przez grono nauczycielskie.

Dyrektorem zakładu jest obecnie znany, znakomity przyrodnik dr. Rostafiński, prof. wszechn. Jagiel., a wykładają poszczególn przedmioty profesorowie gimnazyów i wyż szej szkoły przemysłowej, przeważnie zaś profesorowie uniwersytetu. Pomiędzy prelegentami widzimy: prof. uniw. dr. A. Lewickiego, dr. Rostafińskiego i Czerkaskiego, docentów uniw. Czermaka, Żurawskiego i dr. Konst. Górskiego, obecnie obejmującego stanowisko po Józefie Korzeniowskim w Paryżu, — dalej dr. Ernesta Bandrowskiego, p. Dubieckiego, prof. uniw. Cybulskiego, ks. prof. Gabriela, dr. Pieniążka i innych. Kierownictwo wydziału artystycznego, jak donoszą pisma warszawskie, objął J. Maleszewski.

Egzaminów wstępnych nie ma, — można składać je przy końcu roku szkolnego, na co otrzymuje się świadectwo z podpisem dyrektora zakładu i wykładających profesorów. Kobiety z patentem takim bywają bardzo poszukiwane jako nauczycielki domowe w Kongresówce i Galicyi; innego znaczenia patent nie posiada, gdyż stwarzając wyższe kursa, nie miał ś. p. Adryan Baraniecki na celu, by kobiety do jakiejkolwiek pracy zawodowej uzdolnić, lecz pragnął dać im raczej wyższe wykształcenie naukowe. Według nowego planu organizacyjnego „wyższe kursa“ mają na celu „umożliwienie kobietom nabycia wyższego uniwersyteckiego wykształcenia w zakresie nauk literackich i przyrodniczych, oraz uzyskania głównych podstaw do dalszego samodzielnego kształcenia się w rysunkach, malarstwie i modelowaniu“.

Z całego podziału widzimy, że uwzględnionem zostało wszystko, czego od kobiety wykształconej wymagać możemy, nie pomijając strony praktycznej wykształcenia, na co wskazuje wydział gospodarczy. Pragnieniem było założyciela „wyższych kursów“, aby osoby kończące tu edukacyę, jeśli zajmą stanowisko żon i matek rodziny w przyszłości, spełniły godnie swe obowiązki i umiały rozumnie połączyć je z zadaniami gorliwej obywatelki w społeczeństwie

Wielki nacisk kładł śp. dr. Ad. Baraniecki na studya uczennic swych w hist. sztuki i estetyki, hist. stylów i ogni hist. różnych gałęzi artyst. przemysłu, bo kobieta według niego powinna, obok rozsądku i wykształcenia, posiadać dobry gust i wyrobiony smak estetyczny — powinna sama być przedstawicielką wszystkiego, co piękne, i umieć siać w okół, czy w urządzeniach domu, czy w gospodarstwie i otoczeniu najbliższem, wdzięk, harmonię, piękno.

O pożytku, jaki z zakładu wynoszą uczennice wydziału artystycznego, świadczą odznaczenia, jakie tenże zakład uzyskał: rysunki bowiem i olejne studya uczennic oraz inne prace wystawione w dziale szkolnym na powszechnej międzynarodowej wystawie wiedeńskiej 1873 r. nagrodzone zostały medalem bronzowym, a na Paryskiej 78 r. medalem srebrnym. Przytem studya niektórych uczennic bywały przyjmowane na krajowe wystawy nieustające Towarzystwa sztuk pięknych, a na wystawie krajowej 87 r. w Krakowie studya jednej z uczennic oddziału rzeźbiarskiego były nagrodzone medalem na równi z pracami innych samodzielnych artystów. Dodać wypada, że odtąd wiele innych prac z wydziału art. „Wyższych kursów dla kobiet“ nagrodzone zostało, a nazwiska niektórych uczennic sławą się okryły.

Wielkopolanka.

Z estrady i sceny.

(Syn. Komedya w 4 aktach K. Zalewskiego).

Zalewski kocha się w tezach. Każda jego sztuka nieomal mogłaby nosić tytuł

„Jak myślicie? i takiem „Jak myślicie“ była znowu sobotnia premiera.

Kto jest prawdziwym ojcem? Czy ten, który dał życie dziecku nieprawemu, a potem go nie znał przez lat dwadzieścia i kilka, czy ten, który nie dawszy mu życia, otoczył je najczulszą opieką, wykształcił je i wychował. I komu on, syn nieprawy, jest winien szacunek i miłość? Oto pytanie najnowszej komedyi Zalewskiego. Lecz posłuchajmy fabuły.

Żył pod Warszawą magnat Olkszycki i miał kochankę we dworze. Związek ten nie pozostał bez skutków, a pan bogaty, chcąc matkę przed niesławą ocalić i dać nazwisko dziecku nieprawemu, które świat ujrzeć miało niebawem, kupił faworycie swojej za pieniądze małżonka. Pisarz jego, Koresz, dotknięty ciężką chorobą piersiową, zdecydował się poślubić cudzą kochankę. Wziął kilka tysięcy rubli w posagu. wziął ślub i umarł jeszcze przed rozwiązaniem swej żony. Po śmierci Koresza przyszedł na świat syn, któremu na imię dano Jan, a w kilka lat później zawarła Koreszowa po raz wtóry związki małżeńskie z poczciwym kancelistą Baluszyńskim. Magnat postarał się o to, by drugi mąż jego dawnej kochanki szybko awansował, a zapewniwszy w ten sposób byt swemu dziecku nieprawemu, nie troszczył się więcej o losy małego Jana. Baluszyński nie domyślał się tajemniczych sprężyn awansu swego. Radował się szczęściem, miłował żonę i kochał serdecznie pasierba, a Jan otoczony miłością matki i ojczyma ukończył szkoły i odbył studya prawnicze.

To wszystko stało się przed podniesieniem kurtyny. W chwili, gdy sztuka się rozpoczyna, spoczywa Olkrzycki na łożu śmierci, a w domu umierającego starca wiedzie bój zacięty o spadek rodzina. Magnat nie posiada dzieci z prawego łoża, więc państwo Klaporzewscy i młody utracyusz Dęboradzki starają się usilnie, by zagarnąć miljony bogatego kuzyna. Dęboradzki, jako najbliższy krewny, jest blizkim zwycięstwa i w poczuciu swej siły odrzuca propozycye rywali, aby zawrzeć kompromis i spadek podzielić. Wtedy to hrabina Matylda Klaporzewska postanawia chwycić się ostatecznego środka — zemścić się na przypuszczalnym spadkobiercy i chociaż cząstkę miljonów Olkrzyckiego dla siebie ocalić. Choremu starcowi w obliczu śmierci przypomniała się dawna kochanka i syn. Pytał się o nich często. lecz sprytna rodzina milczała. Teraz hr. Matylda, poznawszy przypadkiem młodego Koresza, sprowadza go wraz z matką do pałacu Olkrzyckiego. Koresz nie domyśla się niczego. Powiedziano mu tylko, że magnat umierający był przyjacielem i dobroczyńcą jego ojca, że pragnie go widzieć przed śmiercią. Idzie więc i zrazu nie dziwi się niczemu, lecz wkrótce się dziwić zaczyna. Uderzająca czułość chorego starca i jakiś niebaczne słówko hr. Klaporzewskiego rzucają cień podejrzenia na pogodny umysł, a w końcu zjawia się Baluszyński, któremu plenipotent Dęboradzkiego odsłonił całą tajemnicę, i Koresz poznaje ojca w Olkrzyckim. Żal, wyrzuty i łzy. W nieprawym „synie“ budzi się protest namiętny przeciw człowiekowi, który mu uwiódł matkę, a o nim, o dziecku swojem zapomniał. Jego serce należy do ojczyma, z tamtym nie chce mieć nic wspólnego, i gdy magnat ofiaruje mu cały majątek, jako odkupienie winy, on w idealnym porywie odrzuca niespodziewaną fortunę. Olkrzycki zapisuje więc mienie swoje na dom podrzutków, na opuszczone przez rodziców dzieci.

Oto jest szkielet sztuki, której rozwiązanie jest niewątpliwie efektowne, lecz prawdopodobieństwa posiada nie wiele. Grymas przypadku odgrywa wogóle w całym utworze rolę tak wielką. że scena dla widza nie zmienia się w życie. I przyczynowość, logika komedyi budzi chwilami poważne wątpliwości, że tylko wspomnę tę niejasną rolę, którą Baluszyński w ostatnim akcie odgrywa. Nasuwa się tu natarczywie pytanie, dla czego Polkiewicz, plenipotent Dęboradzkiego, odsłania staremu kanceliście tajemnicę żony. Pragnie on według rozumowania autora pokrzyżować plany hr. Matyldy i nie dopuścić, by Koresz odziedziczył mienie swojego ojca. Czyż jednak, nie znając wcale młodego Jana, nie znając jego idealnych, egzaltowanych nieco poglądów, może chociaż na chwilę przypuścić, że Koresz, dowiedziawszy się od ojczyma o tajemnicy swej matki, odrzuci miljony Olkrzyckiego. Obliczenie takie mogłoby się tylko opierać na dokładnej znajomości wyjątkowej natury młodego Koresza, — bez tej znajomości wygląda ten niby sprytny i z naciskiem jako celowa kalkulacya Polkiewicza wysunięty manewr arcynieprawdopodobnie, — tem nieprawdopodobniej, że plenipotent Dęboradzkiego jest zmateryalizowanym do szpiku kości spekulantem, który nie uwierzyłby wogóle w egzystencyę takich Koreszów gdyby ich w sztuce Zalewskiego zobaczył.

Zresztą postać młodego Koresza jest pod względem rysunku zupełnie chybioną. Nie chcę się sprzeczać z panem Zalewskim o prawdopodobieństwo takiej figury, — przypuszczam nawet, że spotykał takich „synów“ nieprawych, lecz my tego „syna“ przez trzy akty nie poznajemy i nikt z nas nie przeczuwa, jakie skarby egzaltowanego idealizmu tkwią w głębinach jego duszy. Rozwiązanie sztuki zastaje nas zupełnie nieprzygotowanych i wywiera wrażenie sztucznego fajerwerku. Brak tu związku logicznego, brak psychologicznych motywów — ale tak bywa zawsze, gdy tendencya ubrana w surdut lub spódnicę wstępuje na scenę.

Mimo tych błędów poważnych, nie waham się ani jednej chwili zaliczyć „Syna“ do udatniejszych utworów Zalewskiego w ostatnim okresie jego twórczości. Jest tam cała galerya typów prawdziwych, świetnych w rysunku i kolorycie, jest dyalog zręczny, naturalny i błyszczący, jest akcya żywa, rozwijająca się prawidłowo i napreżająca uwagę widza. Kwestyę „nieprawych dzieci“ wentylowano wprawdzie tak często w dramatach i powieściach francuzkich ubiegłej doby, że pleśnią trąci mi nieco ten „Syn“ Zalewskiego, lecz byle libretto było zręczne, dowcipne i nowe, to stara melodya nie straci swego uroku. Dobrze by jednak było, gdyby autor „Naszych zięciów“ zechciał nareszcie nieco odświeżyć technikę swoich dramatów. Wiem bardzo dobrze, że w gorsecie kulis konwenans zawsze zachowa królestwo swoje, wiem że najfanatyczniejszy realista musi n eraz w formach dramatu zgodzić się na pewne ustępstwa nie licujące z rzeczywistością, lecz Francuzi dowiedli, jak wiele dawnych „warkoczów“ poobcinać można z korzyścią dla sztuki, i jak nawet w ramach scenicznych zbliżyć się można do prawdy. Nauczył się dużo p. Kaźmierz Zalewski od nadsekwańskich kolegów, nauczył się od nich naturalnego dyalogu i prawidłowej budowy, — niechże więc zgodzi się także na wyrok śmierci, wydany przez francuskich wirtuozów względem monologów i uwag na stronie. Jest to wprawdzie bardzo wygodne, — nie przeczę, lecz nam synom realistycznej epoki wydaje się sztucznem i zakrawa zawsze na ambaras autora.

Wykonanie sztuki zasługuje z małemi wyjątkami na szczere uznanie. Prym wodzili niewątpliwie p. R y g e r w roli Olkrzyckiego i p. T a ń s k a w roli Matyldy, lecz i naturalna gra p. K n a p c z y ń s k i e g o (Dęboradzki) oraz talent charakterystyczny p. B e r s k i e g o składały ręce do oklasku. W trudnej roli Baluszyńskiego wystąpił p. O l s z e w s k i i w akcie trzecim stworzył typ doskonały, najlepszy niewątpliwie w dotychczasowej działalności swojej. Pod koniec jednak, gdy rola nabiera dramatycznych akcentów, zabrakło mu łez i szczerego bólu. Podobny los spotkał p. K a r p o w i c z a w roli Koresza. Gra jego w akcie III i IV raziła brakiem siły i prawdy. Zasobów głębszej dramatyczności jest mało w teatrze poznańskim.

Z innych osób zasługują na uznanie pp. C z e r n i a k, dobry przedstawiciel typów żydowskich i wiejskich, oraz J a k u b o w s k i w roli hr. Klaporzewskiego.

* * *

Na wtorkowe przedstawienie złożyły się trzy jednoaktówki: „Barkarola“ — „Mąż od biedy“ i „Czuła struna“. Rola Róży w pierwszym dramolecie to ulubiony popis wszystkich debiutantek. Każda szkoła i każda szkółka dramatyczna przygotowuje do „Barkaroli“ uczennice swoje. Nie wiem, kto pannę Talko ćwiczył w Barkaroli — był to może mistrz pierwszorzędny, — przekonałem się jednak, że nauka przylgnęła do niej tylko mechanicznie. Artystka była jak fonograf, a partner jej, p. T a r a s i e w i c z, był również drewniany, lubo, powtarzam raz jeszcze, tkwi w tym młodym aktorze materyał na bohatera.

Jedyny p. R y g e r ratował „Barkarolę“ a przedzierzgnąwszy się w następnej sztucce w Szymelskiego, znowu zadziwiał mistrzostwem charakterystyki. Z innych artystów występujących w „Mężu od biedy“ zasługuje na szczególne wyróżnienie p. R a c z e w s k i w roli Dawnowskiego i p. M o d r z e w s k a w roli Ludwiki. Młoda ta artystka zdaje się być korzystnym nabytkiem dla sceny naszej. Grę p. S t ę p o w s k i e j popsuła błędna charakterystyka zewnętrzna, na co zwracam uwagę reżyseryi. Twarz trupio blada, peruka rokoko i kostyum cudaczny złożyły się na prawdziwą karykaturę.

O ile „Mąż od biedy“, jako całość, wywarł nader korzystne wrażenia, o tyle końcowa operetka, stara i mdła „Czuła struna“, raziła najfałszywszą obsadą. Jedyna pani W a j d o w s k a posiada głos miły i dźwięczny, choć słaby, — reszta robiła heroiczne wysiłki, by zdobyć się na styl operetkowy, lecz głosu i słuchu nie było tam ani krty. Orkiestra pod batutą p. Zaremby wywiązała się dobrze z zadania swojego. *W. R.*

TO I OWO.

Jarmarki na konie w Kaliszu.

Brak rozwagi i przezorności — stary to nasz grzech, który przeszkadza pożądanemu rozwojowi niejednego przedsiębiorstwa. Biorąc się r razu gorąco do rzeczy nieobliczamy ściśle i doznajemy zawodu. Najświeższym dowodem tego są jarmarki w Kaliszu. Tego roku wiosną jarmark kaliski na konie udał się nadspodziewanie, bo ku temu nadgraniczne położenie miejscowości bardzo się nadawało: koni było dużo i pięknych, kupcy płacili dobre ceny — więc szło wszystko wesoło i swobodnie. Zachęceni dobrym początkiem, ojcowie Kalisza postanowili na jesień powtórzyć doświadczenie i zrobili, jeśli nie zupełne, to połowiczne fiasco. Dbały o powodzenie magistrat a głównie jego prezydent p. Grąbczewski, zaanonsował za granicą o jarmarku — przyjechali więc kupcy z Niemiec i znaleźli plac jarmaczny prawie pusty. Byli więc nabywcy, ale brakło towaru. Na drugi dzień wielu kupców zagranicznych wyjechało z pustemi rękami i ci zapewne zanotują sobie, iż niewarto jest

jeździć na jarmark kaliski... Jako objaśnienie tego względnego niepowodzenia, podają, iż okolica Kalisza nie była przygotowana na dwa jarmarki w ciągu roku, iż hodowla koni w tamtych stronach dopiero się rozwija i rozwinie za lat kilka pod wpływem odbytu. Zdaje nam się, że te wszystkie argumenty można było powiedzieć sobie przed ogłaszaniem jarmarku, uczyniony bowiem zawód kupcom zagranicznym nie będzie zbyt łatwym do powetowania.

NA WYŁOMIE.

(Sprawa opalenicka. — Moja rozmowa z adwokatem. — Album literackie).

Sprawa opalenicka tak elektryzuje całe społeczeństwo polskie, że nawet ta wielka gromada ludzi, która w dziennikach szuka tylko „drobnych wiadomości“ i anonsów z krzyżem, dzisiaj rzuca się chciwie na pierwsze stronnice i słowo za słowem pochłania z wilczym apetytem. Na ulicach, w kawiarniach i domach prywatnych, — wszędzie nowiny z międzyrzeckich sądów, wszędzie pan Carnap jest smutnym dnia bohaterem. Gdy słowa te piszę, rozgrywa się akt piąty dramatu. Czy będzie on prawdziwem wyrównaniem winy — i niczem więcej — według zasad Arystotelesa, czy tryumfem politycznych uprzedzeń, — tego dziś jeszcze powiedzieć nie umiem, a może z obawy przed prokuratorem nie powiem nigdy. Wiem jednak, że ten skorpion niemiecki, który w nas żądła zatapia, stać się może łatwo hurtownym dostarczycielem „przestępców“ dla oskarżycieli państwowych. Jest podobno jakiś robak jadowity w południowych krajach, którego ukąszenie w szał wprawia ofiarę. Oczy krwią nabiegają, piana z ust idzie, człowiek tygrysem się staje. Ten robak — znacie jego imię — mnoży się u nas z przerażającą szybkością.

Niedawno temu bytomski „Katolik“ uważał za potrzebne wysłać pod adresem czytelników swoich przestrogę, by o „krew zimną“ błagali Boga swojego. Oto modlitwa na czasie, nietylko w górnoszląskiej ziemi, lecz wszędzie, gdzie pod berłem pruskiem mowa polska rozbrzmiewa. A skoro nie każdemu ta łaska jest daną, że gdy mu drzazgi za paznogcie wbijają, on pali spokojnie cygaro lub liczy gwiazdy na niebie, więc może prawo szukać będzie coraz częściej paragrafów o pobiciu, obrazie, lub tem, co się „Grober Unfug“, czyli gumą kryminalną nazywa, — choć prawo inne, wyższe, nie papierowe łzami się zaleje.

A zresztą kodeks, — on rzadko się zmienia, lecz jego sługi tak często. Gwarzyłem niedawno z jednym z adwokatów. Chodziło o jakiś proces wytoczony sokołom, — tym biednym sokołom, którzy podobno w prężnikach mają ukryty dynamit, a gdy muskuły swe ćwiczy, to po to tylko, by dzielnie machać kosami. Otóż tych „wrogów państwa“ — jak prezes naczelny raczył nazwać gimnastyków naszych — zacytowano w jednem z miasteczek przed kratki sądowe, a przyjaciel mój opowiadał historyę procesu.

— Czy ich uwolnią? — spytałem adwokata.

On wzruszył ramionami.

— Gdybyś się zapytał o to przed trzema lub czterema laty, odpowiedziałbym: „Tak. Muszą ich uwolnić“, — lecz dziś jest wszystko możliwem. Paragraf się nie zmienił, lecz prąd inny, inni sędziowie, inna interpretacya. Przypomnij sobie tylko czasy walki kulturnej. Wyroki ówczesne pozostaną czarną kartą w dziejach sądownictwa. Karano ludzi o rzeczy, których w innych czasach nie poważyłby się żaden prokurator zamienić w akt oskarżenia. A jak ich karano! W drobnym wierszyku, opisującym żniwa, dopatrywano się namowy do buntu, — w żniwiarzach widziano kosynierów. Działy się niekiedy rzeczy wręcz nieprawdopodobne. Przypominam sobie, że jeden z redaktorów poznańskich przyniósł mi razu pewnego artykuł i oświadczył, że wytoczono mu proces o publikacyę artykułu tego. Nie pokazując aktu oskarżenia, prosił, bym znalazł ustęp inkryminowany. Przeczytałem, i nic znalazłem niczego. „Niech mecenas dobrze poszuka“ żartował mój klient. Przeczytałem raz jeszcze uważnie i wreszcie wskazałem dwa miejsca, które według ówczesnych pojęć mogły dać powód do skargi. Klient mój śmiał się głośno. „A to mi prawnik z mecenasa“ — zawołał i wskazał ustęp inny, — ustęp, w którym ani ja, ani nazajutrz dwóch moich kolegów żadnego atomu winy znaleść nie umieli. A jednak prokurator zwyciężył, — klienta mojego skazano. Kto wie, czy dzisiaj podobne nie nastaną czasy. Kodeks pozostawia sukjektywizmowi sędziów obszerne pole działania, heca antypolska zatruwa myśli i serca, a sędziowie należą do zwykłych śmiertelników. To, co dziś jest niewinnym uczynkiem, może jutro stać się karygodnym występkiem.

Tak mówił do mnie adwokat. Jakże się czasy zmieniają, jakże inaczej prawił ów znany młynarz do Fryderyka Wielkiego, powtarzając z niezłomną wiarą: „Są jeszcze sądy w Berlinie!“ Wpływ polityki na trybunały, — to ciekawy temat. Może który z jurystów naszych opracuje go na tle stosunków poznańskich.

Tymczasem jednakże mam inny projekt — także literackiej natury. Nasze panie z „Czytelni dla kobiet“ zamierzają złożyć hołd cieniom Emilii Sczanieckiej w formie tablicy pamiątkowej i marzą nawet o utworzeniu fundacyi imienia wielkiej patryotki. Myśl wcale piękna i świadcząca, że czytelnia, zamiast drzemać, jak każe zwyczaj poznański, manifestuje żywotność swoją, — obawiam się jednak, że apel do ofiarności publicznej zakończy się znowu zupełnem lub połowicznem fiaskiem, jak tyle podobnych projektów. Wina naszych niepowodzeń w kierunku gromadzenia groszy składkowych tkwi nietylko w finansowem wyczerpaniu społeczeństwa, lecz poniekąd i w tem, że nie umiemy w odpowiedni sposób pukać do publiczności. Odezwy w dziennikach tak często się powtarzają, że nie wywierają już żadnego wpływu, loterye również nie nęcą, a nasze koncerty amatorskie są prawdziwą plagą. Spróbujmy więc środka praktykowanego tak często w innych zaborach, a u nas mało znanego, — mówię o książce zbiorowej, o rodzaju albumu literackiego, którego ułożeniem zająć się powinna czytelnia. Kaliska „Prosna“ przyniosła znaczne dochody, warszawskie jednodniówki są rozchwytywane, czemużby w Poznaniu podobna publikacya udać się nie miała! Oczywiście po dyletancku do pracy zabrać się nie można, bo książka złożona z pensyonarskich wierszyków i wypracowań domorosłych publicystów nie zjedna sobie pokupu, lecz gdyby na pamiętnik składały się pióra literackie z wszystkich zaborów, to dobry towar znajdzie chętnych kupców, — nawet w Poznańskiem. Galicya zresztą dostarczy odbiorców, a i do warszawskich zamków dobierzemy klucza.

Wiem, że od czasu mej pamiętnej wojny z kobietami nie mam przyjaciółek w „Czytelni“. Sądzę jednak, że znajdzie się choć jedna dobra dusza, która z miłości dla sprawy plan mój w właściwem miejscu przedstawi i bronić go będzie. Na zakończenie dodam jeszcze, że autografy należy zachować i sprzedać w drodze licytacyi. To znowu grosza przysporzy.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

* Przeglądu literackiego nr. 9 i 10 za miesiąc wrzesień i październik zawiera: B. Wieliczkówna: „Z wiosny życia“ przez J. Tretiaka, „Nurty“ Cezarego Jellenty przez J. Kotarbińskiego, A. Krechowieckiego: „Jestem“ i „Kres“ przez L. Glatmana, M. Gawalewicza: „Szubrawcy“ i K. Glińskiego „Klęska“ przez R. Zawilińskiego, J. Ogińskiego-Kontrymowicza: „Książę Hołuba“ i K. Junoszy: „Z papierów po nieboszczyku Czwartym“ przez K. Bartoszewicza, Strindberga: „Mieszkańcy Hemsoe“ przez K. Zdziechowskiego, M. Gawalewicza: „Dusze w odlocie“ przez M. Offmańskiego, Stan. Bełzy: „W kraju tysiąca jezior“, „Na lagunach“ i „Obrazy Korsyki“ przez K. Bartoszewicza, M. Lityńskiego: „Sycylia“ przez F. Konecznego, J. Styki: „Szkice z ziemi świętej“ przez M. Roztworowskiego, St. Biegańskiego: „Prace St. Konarskiego“ p. M. Offmańskiego, „Mowy“ Juliana Dunajewskiego przez A. Krzyżanowskiego, Fr. Piekosiński: „Kamienie mikorzyńskie“ p. Ad. Chmiela, ks. p. Smolikowski: „Historya kolegium polskiego w Rzymie“ przez ks. J. Fiałka, A. B. Lickiego: „Narodowość współczesna“ przez A. Krzyżanowskiego, X. J. C.: „Położenie i potrzeby kościoła katolickiego w Stanach Zjednoczonych“ przez ks. Fiałka, Henryka Mayeux: „Pomysłowość zdobnicza“ przez M. R.. „Powszechna wystawa krajowa“ przez A. K. Nowiny z historyografii polskiej, pogadanka dra F. Konecznego w Związku literackim. Bibliografia czasopism polskich. Przekłady z polskiego. Pra e polaków w obcych literaturach. Cudzoziemcy o rzeczach polskich. Wiadomości literackie. Curiosa. Nekrologia: Z. Kaczkowski, A. Pawiński i t. d. Kwerendy. Odpowiedzi redakcyi. Ogłoszenia.

KRONIKA POWSZECHNA.

— **Teatr i muzyka.** Dziś, w sobotę ukaże się na scenie naszej porywająca swą wesołością krotochwila p. t. „Pan Dyrektor“. Tytułową rolę odegra p. Knapczyński. Główna rola kobieca spoczywa w rękach pani Zalewskiej. — Dowiadujemy się, że dyrekcya sceny naszej zamierza wystawić prześliczną jednoaktówkę Sudermanna pt. „Frycek“. Utwór ten należy do cyklu „Morituri“ i tak na wiedeńskiej, jak krakowskiej scenie doznał wręcz niezwykłego powodzenia. — Tysiączne przedstawienie „Damy kameliowej“ Dumasa przygotowuje się w paryzkim teatrze Renaissance. Sara Bernhardt ma grać rolę tytułową, a wszyscy aktorzy wystąpią w kostyumach współczesnych tym osobom, które były pierwowzorem dla autora. — Nowa sztuka Daniela Zglińskiego (autora Jakóba Warki) pt. „Szantaż“ przepadła z kretesem w warszawskim Teatrze Rozmaitości.

— **Jubileusz.** Henryk Rewakowicz, naczelny redaktor „Kuryera Lwowskiego“, kończy 1 listopada rb. czterdziesty rok pracy dziennikarskiej. W r. 1856 wstąpił on do redakcyi „Świtu“, który wówczas wychodził we Lwowie, i niebawem zjednał sobie rozgłos i szacunek jako zdolny publicysta i filar partyi demokratycznej. Jest to jeden z tych rzadkich w Polsce dziennikarzy, którzy przez całe życie pozostali wierni ideałom swoim; w rozwoju idei demokratycznej na galicyjskiej ziemi Henryk Rewakowicz pierwszorzędną odegrał rolę — zawsze czynny, ofiarny i wierny sztandarowi. To też z całego serca przesyłamy zasłużonemu koledze okrzyk „Ad multos annos.“

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Ciekawa. „Tabu“ oznacza tyle, co „świętość“ i „nietykalność“. Słowo to pochodzi z wysp oceanu spokojnego.

Dumar. Nowelli nadesłanej drukować nie możemy, bo odcinek nasz zaopatrzony na czas dłuższy. O przekłady Vrchlickiego prosimy.

Fr. Ger. w Lipsku. „Janko muzykant“ już jest przetłomaczony dwukrotnie na język niemiecki. O adresie Dąbrowskiego dowie się pan w księgarni Gebethnera i Wolffa (Kraków).

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winlewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28

Nr. 45. Poznań, niedziela 8-go listopada 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: Podgórna ul. Nr. 7. w podwórzu.

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Podgórna Nr. 7. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

TREŚĆ.

Dwa komitety Poznańskie.

Trzy lata mijają od pamiętnej chwili, w której stronnictwo ludowe stanęło w Poznaniu do samodzielnej, umiejętnie zorganizowanej akcyi wyborczej. Echa tych walk burzliwych, zrywanych zebrań, szalonej agitacyi, elektryzujących haseł i ckliwych deklamacyi na temat solidarności narodowej przycichły w powodzi czasu i tylko raz po raz słabym dźwiękiem odzywały się w łamach dzienników. Wkrótce jednak zerwie się niewątpliwie znowu stara burza, wkrótce rozpoczną się dawne egzorcyzmy i namiętna gra nienawiści partyjnych.

Stoimy u progu wyborów do rady miejskiej i mamy przed sobą dwa obozy i dwa komitety: ład i porządek z jednej, ruch ludowy z drugiej strony, — komitet pozornie legalny, uświęcony aprobatą władzy centralnej na prawo, — komitet ruchu ludowego, produkt secesyi na lewo. W chwilach walki pamiętnej rozpatrywaliśmy trzeźwo i bezstronnie wszystkie przyczyny rozdwojenia, więc dziś nie mamy potrzeby powtarzać dziejów dwóch stronnictw i odmierzać słuszność tych żalów, które niegdyś brzmiały tak donośnie. Stwierdzamy tylko fakt dokonany, że miasto Poznań posiada dziś dwa komitety i dwa obozy, że żadna z partyi przeciwnych nie ma zamiaru abdykować i że najświeższa akcya wyborcza liczyć się musi z stosunkami istniejącemi. W dalszej konsekwencyi nasunąć się musi pytanie, czy w takich warunkach jednolita a wobec wspólnego wroga pożądana akcya wyborcza jest możliwą, i na jakiej podstawie budować należy porozumienie.

Rozpatrując stosunki niemieckiego obozu w prowincyach kresowych, przekonujemy się, że pojedyńcze grupy polityczne stanowią tu samodzielne organizmy z własnym zarządem i własnym programem, że jednak w chwilach rozstrzygających wrogie stronnictwa łączą się często w sprzymierzoną armię, ażeby złamać wspólnych nieprzyjaciół t. j. polskich kandydatów. Są zatem stronnictwa, są odrębne zarządy i odrębne programy, — mimo to walka przeciw Polakom odbywa się nierzadko w złączonym szeregu. I w polskim obozie rozpoczyna się zwolna rozwój podobnych stosunków, lubo klasie, która dotychczas kierowała społeczeństwem, zgodzić się trudno na uznanie stronnictw różnorodnych tam, gdzie przez długie lat dziesiątki dzierżyła władzę swoją niepodzielnie i dyktowała całemu społeczeństwu własną politykę. Dlatego to rozbrzmiewa jeszcze tak często i donośnie u nas bezkrytyczne słowo: „Nie ma stronnictw, jest tylko naród“, — słowo, które nietylko w krasomówczem „Kochajmy się“ jest ulubionym tematem, lecz nawet na politycznych zebraniach i w poważnych dziennikach kursu nie straciło. Na cóż jednak zdadzą się wszystkie duszące zapachy politycznej idylli, jeżeli stosunki z nieubłaganą konsekwencyą przewracają ten patryarchalny ustrój, który zdetronizowani ojcowie narodu w interesie koteryi bezskutecznie utrwalić pragną!

Trudno! W miarę politycznego rozwoju społeczeństwa stronnictwa coraz więcej się różniczkują i z dniem każdem zarysowują się silniej te partyjne organizmy, których powstanie powitano na bruku poznańskim oklepanym zarzutem zdrady narodowej. Dziś walka o wspólny byt narodowy toczyć się może jedynie w drodze kompromisu a kompromis wtedy dopiero z krainy iluzyi przejdzie w dziedzinę rzeczywistości, jeżeli ci, którzy dotychczas uważali się za jedynie uprawnionych przedstawicieli interesów narodowych, za jedynie legalnych sterników społeczeństwa, za generalnych reprezentantów polskości w prowincyach naszych, zechcą uznać się na równi z komitetami innych stronnictw za komitety partyjne. Stosunki poznańskie stanowią ku temu najlepszą ilustracyę. Dopóki t. zw. „Komitet wyborczy miasta Poznania“ nie zdecyduje się złożyć w antykwarjach starej zasady o intruzach ruchu ludowego, dopóki komitetu tego ruchu nie uzna za współrzędną władzę wyborczą, tak długo o politycznem przymierzu w walce z Niemcami mowy być nie może, tak długo grozi nam rozdwojenie w chwili wyborów. Dziś nie czas zastanawiać się nad tem, po czyjej stronie w pamiętnej godzinie secesyi była legalność, dziś należy uznać fakt dokonany — fakt, który prędzej czy później, z tego czy z owego powodu dokonać się musiał — i na podstawie istniejących stosunków szukać porozumienia. Dla zwolenników jednak starego hasła: „Precz z stronnictwami“, to jedno z bojów przebrzmiałych przypomnieć warto, że obecny „Komitet wyborczy miasta Poznania“ wybrany został na mocy listy „stronnictwa narodowego“ a tem samem posiada niewątpliwie charakter partyjny. To „stronnictwo narodowe“ jest dziełem śp. Franciszka Dobrowolskiego. Z jakich materyałów, z jakich motywów i na jakich podstawach programowych założył je zmarły redaktor „Dziennika Pozn.“, tego tłomaczyć nie będziemy, — dość, że komitet wyborczy miasta Poznania jest tak samo komitetem stronnictwa jak komitet ruchu ludowego. Dziś nie ma ogólnej władzy wyborczej, są tylko dwa komitety partyjne, — oto fakt, z którym się liczyć należy i który w imię dobra publicznego uznać trzeba koniecznie.

Zdaje się, że większość komitetu wyborczego miasta Poznania, z przewodniczącym p. dyrektorem Więckowskim na czele, zbliża się w przekonaniach swoich do wyżej wypowiedzianych opinii, bo z uznania godną roztropnością porzuciła dawną niedostępność swoją i pretensye do jedynie legalnej władzy, aby utorować drogę do kompromisu z stronnictwem ludowem. Nie chcemy odsłaniać przedwcześnie rezultatu dotychczasowych porozumień, — stwierdzamy tylko, że wejście na drogę kompromisową uważamy za objaw zdrowego zmysłu politycznego. Przekonani też jesteśmy, że p. dyrektor Więckowski wraz z trzeźwo myślącą większością komitetu nie ustąpi z drogi obranej, choćby ze strony ślepych fanatyków rzucano mu coraz więcej kamieni pod stopy. Wieść niesie, że kilku zagorzalców Kuryerowej barwy, którzy wobec ruchu ludowego mają zawsze jedną receptę: „Niechaj się podda na łaskę i niełaskę“, — wytężą wszystkie siły, aby nawiązane nici kompromisowe pozrywać i iść na przebój przeciw „polskim intruzom“(!) i niemieckim wrogom. Oto nowy dokument krótkowidztwa politycznego. Tak postępują zadąsane dzieci, lecz nigdy praktyczni politycy.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Strejk szlachecki.

W wyborach do galicyjskich rad powiatowych zdobyli chłopi w wielu okolicach większość mandatów. Rozdrażniło to do tego stopnia dawnych kierowników życia publicznego, tj. przedstawicieli wielkiej własności ziemskiej, że odwracają się zupełnie od rad powiatowych i nawet w własnej kuryi wstrzymują się od głosowania. Z tego powodu zamieszcza „Słowo polskie“ (Lwów) następujące, nader słuszne uwagi:

„Kiedy przed 30 laty zaprowadzono w Galicyi Rady powiatowe, chłopi w wielu powiatach z początku strejkowali. Nie wiedzieli, czem będą nowe instytucye, obawiali się ich, zastraszały ich możliwe koszta, tu i owdzie znalazł się jakiś nieproszony opiekun i podsycił jeszcze obawy — i lud usuwał się od wyborów, tak, że w wielu powiatach ukonstytuowanie Rady opóźniło się znacznie.

Po 30 latach obraz zmienia się radykalnie. Lud ciśnie się do Rad powiatowych, chce niemi owładnąć, posiąść w nich większość i rządy. W wielu powiatach udaje się to — mała własność nie wybrała tam ani jednego ze szlachty, ani jednego duchownego, nikogo z inteligencyi miejskiej — odebrano zaufanie tym, którzy mieli dotąd większość i władzę. Na to szlachta: „ja się tak nie bawię!“ — i jak dzieciak, któremu odebrano zabawkę, zachmurzona siada w kącie. Tak zrobiła w pilzneńskiem — tak samo teraz w krośnieńskiem. Wielka własność uchyla się od głosowania — a w Krośnieńskiem pociąga także za sobą „najwyżej opodatkowanych z przemysłu i handlu, którzy w tym naftowym powiecie z tych samych składają się żywiołów, co wielka własność ziemska. Te Rady powiatowe, które były dotąd głównem, a tak naturalnem polem działania dla naszych ziemian, gdzie młode pokolenie szlachty wprawiało się do publicznej, krajowej posługi, gdzie była tak wyborna sposobność do udowodnienia, że się może i chce działać pożytecznie dla kraju i ludu — te Rady powiatowe miałyżby od razu ziemianom naszym tak się stać wstrętnemi, że odwracają się od nich i nawet z własnej kuryi wyboru od nich dokonać nie chcą? I dlaczego? Cóż się stało, że cała kurya dobrowolnie pozbywa się tak ważnego prawa obywatelskiego i nie staje do wyborów?

Nie stało się nic nie legalnego, nieprawnego. Lud skorzystał z praw swoich i wybrał „samych swoich“. Czy wybrał dobrze — to się pokaże. Ale faktem jest, że to, co zrobił, było zupełnie legalnem. Więc ów s t r e j k s z l a c h e c k i niczem nawet u p o z o r o w a ć się nie da.

Umieliżcie być w większości — a nie potraficie być mniejszością i zachować całą swą godność? Chcecież utwierdzić opinię, że dla was Rady powiatowe nie były polem pracy krajowej, ale że wam tylko szło o władzę, a gdy się obawiacie, iż wam ona będzie odjętą, to wy w kąt, do bezowocnych skarg i próżniaczego pessymizmu?

Warstwa społeczna, czy grupa interesów, czy partya polityczna, objawia swą siłę i żywotność więcej w klęsce, niż w tryumfach. Wyparto was z małej własności, macie zawsze poważną liczebnie siłę w wielkiej własności ziemskiej, macie ją w Radzie pełnej, macie przez samą ustawę zapewniony głos w Wydziale powiatowym. Z tego wam teraz korzystać, jako pokonana przy wyborach mniejszość. Brać udział w pracy, wywierać wpływ waszą inteligencyą, znajomością spraw i stosunków, waszem doświadczeniem. Prostować mylne kierunki, gdy się objawią; udzielać rady, jeżeli niedoświadczeni potrzebować jej będą; ostrzegać przed błędami: pomocną podawać rękę, aby sprawy szły dobrze — oto zadanie inteligentnej mniejszości wobec mniej inteligentnej większości. Ale usunąć się, znaczy urazę za utraconą władzę mścić nie na przeciwnem a zwycięskiem stronnictwie, ale na sprawie p u b l i c z n e j — znaczy: n i e m i e ć w i a r y w s i e b i e s a m y c h, w siłę swej inteligencyi i obywatelskiego poczucia; znaczy zwątpić o sobie samych.

Co więcej: strejk taki jest zaostrzeniem i tak już bardzo niemiłych stosunków, zaognieniem już przez agitacyę rozbudzonych niechęci. Włościaństwo powie sobie: „panowie“ gardzą nami, skoro nie chcą razem z nami zasiadać w takiej Radzie, w której my jesteśmy większością. Dobrzy im byliśmy dla parady, jako rządzona mniejszość usuwają się od nas, gdy mamy być rządzącą większością. W ten sposób zatem szlachta usuwając się od wyborów, podsyca rozjątrzenie, które dałoby się w wysokim stopniu załagodzić, gdyby szlachta, choć w mniejszości, do Rady weszła i lojalnie w niej chciała pracować.

Jakiż zresztą przykład dajecie włościaństwu tem postępowaniem? Czy to jest dobra s z k o ł a p u b l i c z n e g o ż y c i a, gdy się od was nauczą włościanie, iż przegłosowana mniejszość chwytać się ma środka tak radykalnego, jak rozbijanie instytucyi, w której się jest mniejszością? Jeżeli naprawdę jesteście konserwatystami — to powinniście przecie rozumieć, że abstynencya, że wszelka próba dekompletowania, przeszkadzanie ukonstytuowania się itp., że to wszystko są środki niekonserwatywne, wichrzycielskie, przypominające dawne *liberum veto*.

Nie to jest droga i nie to rola dla tych, co się mienią „starszą bracią“. Goić, godzić, przebaczać, jeśli potrzeba, — świecić przykładem pracy i ofiarności, ręki nie usuwać nigdy, radą wspierać i prostować, to wasza rola, to odpowiedź na liczne niesprawiedliwe zarzuty, to odparcie niesłusznych napaści, to środek jedyny do odzyskania utraconego zaufania. Gniewnem uchyleniem się od wspólnej pracy zwiększycie tylko tę przepaść, jaką niebaczne dłonie między wami a ludem wykopać usiłują“.

— *skl.*

Marya Napieralska (Simara.)

Z za kulis życia.

SYLWETKA.[1]

Czuła się nieszczęśliwą, bo nie była w stanie wydać własnym kosztem swojej pierwszej książki. Na podstawie utworów, rozrzuconych po czasopismach, źle płatnych, wyłudzanych, przyznawano jej talent rzeczywisty: wyjawić jednak tej prawdy głośno, poświadczyć swem nazwiskiem na tomiku jej utworów obawiał się każdy wydawca. „Autorka tak młoda; może to kwiat niezdolny przeżyć jutra: po co więc podtrzymywać go tak skwapliwie?“ — rozumowano ostrożnie.

Ona jednak z zaciętością drażnionej woli postanowiła bądź co bądź szukać sposobu; gdy nie znająca stosunków zależności od mężczyzn, którzy z prostego aktu podania ręki królewską łaskę czynić umieją, stanęła przed wskazanym jej właścicielem drukarni, przystępnym dla początkujących sił literackich, — miała w oczach pełno blasków odważnej pionierki.

Drukarz z uwagą taksatora wdzięków spojrzał na dziewczynę... Wpierw, niż kształty szczupłe, niż postać drobna, uderzyło oczy mężczyzny coś, co biło z rysów twarzy zapowiedzią siły, niespożytego ognia życia. Mężczyzna dał w myśli sile tej miano, które sprzyjać mogło ukrytym przed dziewczyną pragnieniom... Tymczasem mówi jej, że za bezcen książkę wydrukuje, niech tylko zechce przyjść do niego powtórnie, gdyż w tej chwili, jak wskazuje jego ubiór galowy, musi jechać na miasto w ważnej sprawie. Kareta właśnie czeka; z przyjemnością gotów odwieść literatkę do domu.

— Ach! kareta na poddasze. Zbyt rażący kontrast! — żegna go zaproszona z wesołością i swobodą młodości, upajającej się promykiem nadziei.

Przy powtórnem jednak spotkaniu następuje coś — nad program. Z czemże zwraca się do niej ta siwa zorana wiekiem głowa, czem drży ten korpus olbrzymi, noszący ślady niepospolitej niegdyś urody, pochylający się teraz z lekka, a przeszywany niby prądem galwanicznym? Drobnostki żąda, on, który przecież da poznać światu nową autorkę, żąda tylko jednego uśmiechu jej rozkwitającej kobiecości... jednej chwili biernego spokoju, posłuszeństwa... Nie upomni się potem nigdy o zwrot kosztów wydawnictwa, bo zresztą zkądżeby ona wzięła pieniędzy w razie niepowodzenia książki. Niechże się ona zastanowi, ile dla niej poświęca. W najgorszym nawet wypadku straty materyalnej, jeszcze, przez sam fakt wydania książki ona będzie stanowiła stronę wygrywającą. Czekać na wdzięczność z jej strony on nie może: dla niego nie ma już w zapasie pożądań drugiego jutra; życie pozwala mu zaledwie cieszyć się chwilą.

Dotyka ją nagle chłód grobu, wiejący od starca. Pod zszarzanym płaszczykiem faluje pierś, na której zwijał się wąż wstrętnej pokusy...

— Pani — szeptał były lew salonów i orgii — wahasz się, podczas gdy niejedna z sióstr płci twojej poświęca się... w imię blasku kolczyków brylantowych, w imię satysfakcyi posiadania powozu na gumowych kołach, — co mówię! — często piany szampana, spływające przy kolacyi w odzielnym gabinecie... zatapiają skałę hardości niewieściej... Czyż sława nie znaczy więcej nad klejnoty, nad miękkość kół gumowych, nad słodycz renomowanej marki wina szampańskiego?

— Sofizmaty! — wydzierało się z zaciśniętego goryczą gardła autorki. — Nie jestem z tamtych, dających rozkosz w miarę zapłaty. Literatura to kapłaństwo, do którego nie przystępuje się z dłońmi zbrukanemi błotem niegodnego, występnego handlu!

Sardoniczny uśmiech drukarza odpowiadał: „Z jakiej części świata przybywa ta dzika dziewczyna, biorąca rzeczy tak poważnie, nie dorosła do pojęcia miłości płatnej.“

— Ptaszku mój — syczał starzec, przeginając postać podobną do wspaniałej ruiny,

[1] Autorkę tego utworu pochowano przed dwoma tygodniami na cmentarzu Powązkowskim w Warszawie. Charakterystykę tak młodo zgasłego talentu podajemy w osobnym artykule. Tu zamieszczamy jeden z ostatnich utworów Simary, zawierający znamienne cechy jej indywidualizmu autorskiego. (Przyp. Redakcyi.)

LITERATURA I SZTUKA.

Simara.

(Wspomnienie pośmiertne.)

Poczta między zwykłemi listami przyniosła mi pakiecik z rękopisem. Była to nowela. Charakter kaligrafii ostry, kańciaty, podpis „Maryś N.“ a z treści ziało płomiennym erotyzmem. Podejrzywałem mistyfikacyę, mężczyznę ukrywającego się pod inicyałami kobiety. Ale niektóre części utworu jakby odlane z jednej sztuki szlachetnego bronzu, znamionowały niepospolity talent, a to podnieciło moją żyłkę redaktorską. Noweli nie mogłem drukować, ale autorce należało odpowiedzieć. Zawiązała się korespondencya a w parę miesięcy wezwany zostałem bilecikiem, abym pannę Maryę N. odwiedził w interesie literackim w NN. hotelu Polskiego, gdzie, przybywszy do Warszawy, stoi z rodziną. Zastałem pannę, bardzo starannie wizytowo strojną, ufryzowaną, o wyrazie twarzy inteligentnym i płomiennem oku. Przyjęła mię siedząc, wyprostowana i nieco sztuczna a po półgodzinnej, banalnej jak wszystkie pierwsze, rozmowie pożegnała, również nie poruszając się z miejsca. Szczegół ten uderzył mię i zdziwił, bo to było niezwykłem w naszych uprzejmością a nawet przesadą przesiąkniętych stosunkach towarzyskich. Dopiero później pojąłem przyczynę tego drobnego faktu. Dziewczę — bo wiekiem nie wyszła jeszcze z tego okresu — było ułomne, bardzo ułomne a obcemu nie chciało dać poznać tego. Teraz zrozumiałem niezwykły płomień w jej nowelach. W tej przyjemnej, małej główce paliła się wyobraźnia bez ujścia. Tłukła się jak ptaszę w niewoli o szczeble klatki... Gdyby jedną chwilę pobujać swobodnie, gdyby jeden wzlot ku błękitom szczęścia, ptaszę by się uspokoiło, wróciło na grzędę snuć dni codzienne... A tam za szczeblami roztacza się świat ułud i ponęt otwarty dla wszystkich, prócz niej... Jej niewolno nic, jej wszystko zakazane, niedostępne. Natura położyła na niej swą pieczęć tajemniczą. Zostawiła jej wszystko, miłość, siły, wszystkie pożądania — prócz możności ich zaspokojenia. Czy to nie tragiczne, czy w tem nie leży źródło owych płomienistych wylewów pesymizmu, jakiego się dopatrują krytycy w jej utworach. Tak, w tej strzaskanej stygmatem kalectwa ciała, duszy, szamocą się wszystkie potęgi odwiecznej kobiecości a szamocą między końcem stalówki i zimnem łonem papieru. „Wy mężczyźni“! rzuca ona w tym tytule wiązanki swych utworów cały program. Jestto protest upośledzonej, bezbronnej, oddanej na pastwę beznadziejną kobiety, protest istoty czułej i wrażliwej przeciwko tyranii losu, przeciwko tyranii męzkiej, władnej, potężnej siłą. Na nic się nie zdadzą wszystkie dary umysłu i serca, na nic potęga umysłu i uczucia, skoro się nie jest prostą i zdrową. A ci mężczyźni! stają w jej wyobraźni tacy piękni, tacy możni duchowo i cieleśnie, tacy namiętni i silni jak szatani poetów i malarzy. Miłość to raj zakazany — ale głupi, kto nie przestąpi jego progu, kto nieuszczknie wszystkich owoców drzewa rozkoszy, kto zostawi choć jedną kropelkę w kielichu szczęścia, jakiem się pieni życie. Świat się może zawalić, ale wprzód trzeba skosztować tego, co jest esencyą jego bytu. Na nieszczęście, rzeczywistość przeciwstawia się tym marom wyobraźni, chwile szczęścia są krótkie, przelotne, troski i zmartwienia zapełniają długie godziny, życie jest czarną kałużą, w której się rzadko przegląda jasny promień słońca, cierpienie nie jest pięknem, jest ono jak zasmarkana chustka, według dosadnego wyrażenia Gabryeli, cuchnącem i niemiłem; fałsz uczuć, fałsz czynów towarzyszą jak cień każdemu porywowi, rozpacz jest uczuciem, które ciągle trapi serce i przejada je powoli... mrok smutku roztacza swe skrzydła i pada jak krepa żałobna na płomienną wyobraźnię autorki. Tworzy ona w takiem pasowaniu się rozdrażnienia i niemocy, wzlotów ku wyżynom i upadków beznadziejnych. Przy takiem szamotaniu się nie ma naturalnie mowy o równowadze duchowej, tak koniecznej do tworzenia dzieł literackich, mających głębszą wartość. Żadne pierwiastki artystyczne nie mogą się ułożyć harmonijnie wśród burzy, huczącej między zwątpieniem a nadzieją. To też Simara — taki przyjęła pseudonim — choć tworzy dużo, pisze pracowicie, wydaje płody poronione, niecałkowite, w których łatwo doszukać się świetnych jakby z pantelickiego marmuru wykutych części, obok bezkształtnych i przypadkowo nagromadzonych okruchów. Drukuje Simara jeszcze mniej, co się tłomaczy konwencyonalną naturą naszej prasy literackiej, niechętnej każdemu silniejszemu objawowi osobistości autorskiej. Czemuż nie pisała utworów gładkich i przyjemnych! Była pesymistką, roztacza się w jej nowelach świat mroków i szkarad, obrazowała złe strony życia... Dziwna rzecz, gdy redakcye odrzucały jej prace, krytyka obchodziła się z niemi dość względnie, nawet ta zaściankowa krytyka brukowych świstków, znajdowała dla nich słowa uznania i ciepłą ocenę talentu. Tym razem mimowolną czy dobrowolną okazali krytycy szlachetność, była to bowiem jedyna radość tej skołatanej duszy, żądnej uśmiechu szczęścia i pogody. Niemożna im dość wdzięcznym być za to. Tem niemniej zarzuty bezwzględnego pesymizmu względem utworów Simary, nie są słuszne. Po nad tym światem zamętu skłębionym w jej nowelach, unosi się litość a często i rezygnacya. Jakiż to piękny obraz tego starego ojca, który w ciszy wiejskiego domu, osamotniony, z blasków kominkowego płomienia wysnuwa smutną historyę swej zbłąkanej córki i przywołuje ją modlitwą przebaczenia... Również i to jest niewątpliwem, że te wszystkie rozdzierające sceny, te cięcia jakby ostrzem puginału, nie są wystawiane na pokaz bezmyślnej gawiedzi, nie są robione dla zajęcia czytelnika, ale są to obnażenia ran serdecznych, narośli, które ból, upokorzenie, nędza na ciele ludzkiej duszy wytwarzają. Pod koniec swej krótkiej i bolesnej egzystencyi, Simara postawiła sobie szersze zadanie, napisała powieść psychologiczno-obyczajową. Był to pierwszy debiut

---

— ptaszku śnieżnopióry, czyż ja wymagam ofiary lat całych albo miesięcy, czy komedyi jakiejkolwiek zachwytu z twej strony?...

Ona, biedny listek rzucony w toń burzliwą, czuje się bez ratunku w obec tego człowieka, urągającego szyderczo sztuce, pragnącej się obchodzić bez protektora; — czuje się jak gdyby szarpana przez te palce krogulczo zgięte, dzwoniące pieniędzmi.

Ileż wart uścisk dwojga ludzi, wzajemnie się pragnących! życie przetwarza te uściski w narzędzie targu. Warunki popychają na tę drogę dziewczynę, lecz wstręt ją dławi i bezwiednie zwraca się ku drzwiom, do których odprowadza ją ironiczny głos mężczyzny: „Idź ty, ty odrzucające młode dziecko, idź na poszukiwanie wspaniałomyślnego, któryby cię podparł przez szacunek dla talentu. Ja ci wrócić pozwalam, jestem na usługi.“

Na ulicach snuł się zmrok jesiennego wieczoru. W haosie ruchu, jak w kalejdoskopie, mknęły masami różnolite obrazy doli ludzkich, ścierały się sfery, światy, szczęście i nieszczęście. W potokach gazowego światła twarze jaśniały jak karty, z których niejedne były łatwe do odczytania. Niejedna z nich oblokła się wyrazem ciekawości przy zetknięciu się z oczami dziewczyny, pociągającemi magnetycznie posępnym ogniem wyraźnej rozpaczy. Oczy te dążyły uparcie za postaciami kobiet, pozwalających się domyślać sfery, w której „poświęcają się“ w handlu za cenę dających zapomnienie upojeń haszyszowych... Daremnie w twarzach wyznawczyń tego kultu biedna dziewczyna szukała śladu jakiejkolwiek oznaki niepokoju, wyrazu piętnującego choć trochę to, czego ona doznawała w tej chwili. Wszystkie te ptaki, zwiedzające kosztowne klatki, miały pozór zadowolenia, spokoju, prawie błogości. Niektóre z nich oglądały się leniwie za nową zdobyczą...

I choć odepchnęła frymarczącego starca, wróciła do niego po kilku dniach. Z czołem ranionem kolcami upokorzeń, łykając łzy, przyszła tak, jak niektórzy szli na stos, lub pod miecz kata: z rezygnacyą istoty nawpół przytomnej...

* * *

Po wydaniu książki dosięgły autorkę pierwsze listki sławy. Odkryto w młodej literatce duszę gorącą obok zdolności do analizy bystrej a zimnej, bogaty zdrój natchnienia wyciskającego piętno na tem, co umiało pociągnąć ku sobie tę wrażliwość subtelną, polot wyobraźni, dar słowa. Odkryto wszystko, co składać się może na talent, dający już w tej chwili nadspodziewanie wiele, a obiecujący nadal w miarę pracy i nieodzownych studyów i warunków.

To wszystko jednak nie przeszkodziło, że w rok później, autorka nie mogła znów znaleźć nabywcy na nowy rękopis. Wielkie firmy znów przystęp do siebie dawały za cenę wyzysku, tym większego, im były bogatsze.

„Taka początkująca mówiono między sobą, — odda za byle co.“ Nikt też nie myślał o tem, że ta początkująca zamęczała się, zmuszona warunkami rodzinnemi nadmiernie pracować i całkiem niezgodnie z jej zamiłowaniem do pióra, z pragnieniem literackiego wykształcenia. Teraz jednak nie poszła szukać rady ani pomocy poza księgarniami wydawniczemi. Ludzie, którzy wiele mówili o cieple swych serc, o udzielaniu go tym warstwom, gdzie w duszach jest smutno, chłodno i ciemno, ludzie, bujający w sferze podniosłych pragnień, szerokich idei — własnoręcznie i niejedokrotnie obłożyli lodem jej piersi.

Świat z zamiłowaniem nowości zajął się piórem kobiecem, zupełnie oryginalnem, nieco smutnem, przypominającem uśmiechnięte oczy z poza łez, blaski słońca z za chmur ciemnych i ciężkich. Świat się zajął, lecz sarkał na śmiałość autorki zdzierającej osłonę, stanowiącą w życiu dla ludzi wygodną maskę lub klosz ochronny, aby rychło o niej zapomniał.

Jednego dnia stanęło przed nią groźne widmo nędzy. Wypadło to w chwili, gdy na ustach, purpurą młodej krwi nabiegłych, zrywa się pragnienie o jedną bodaj kroplę z puharu życia słodyczy. Przyszło to jakby senne zjawisko, niepokojące ciemnię nocy. Ohyda niedostatku ssącego jak wampir, zsyłała niejako pragnieniem tem ostrzeżenie, radę ucieczki przed rozpaczą, która wybuchem swoim znosi, gruchocze wszystko, i jeszcze przyszłość mogłaby dać w udziale. W dziewczynie męczonej długo bezowocną walką o polepszenie bytu, zakołatał instynkt obrony, zmorzenia hydry za jakąbądź cenę.

w tym kierunku. „Na falach życia“ nie jest jednak powieścią ze stosunków fabrycznych, jak głoszą pisma, w opowiadanie wplata się całe społeczeństwo i potrącone są silnie stosunki żydowskie, tak jaskrawo przeplatające ostatniemi czasy tkankę naszego żywota.

Po pierwszej wizycie straciłem Simarę z oczu; obracaliśmy się w innych kołach towarzyskich, mało o niej wiedziałem, w ogóle widziałem ją potem dwa lub trzy razy. Wiem, że nie była szczęśliwą, bo nią być nie mogła. Zgasła nagle, nie ujrzawszy swego najlepszego dzieła w druku. Jest to obszerna powieść i przy dzisiejszym nastroju literackim, oraz wydawniczym, niemożna przewidzieć, kiedy się ukaże światu. Byłaby jednak szkoda, aby ten utwor przepadł w niepamięci, zaznacza on nietylko psychiczny moment w twórczości autorki, ale i chwilę daną w naszem społeczeństwie, a jako powieść nie jest mniej sensacyjnym, niż inne w takiej obfitości przekładane płody cudzoziemskiej beletrystyki. Oto jest wszystko, co w mojej pamięci zarysowało się o Simarze. Był to blady płomyk. który z gasł brutalną dłonią losu zduszony. Blizej ją znający mogliby wysnuć z tego biednego życia cały dramat, ja miałem obowiązek odchylenia zasłony o tyle, o ile to było potrzebnem do wytłomaczenia jej utworów. W morzu literackiem utoną one jak tonie tyle niedośpiewanych pieśni, niedomówionych słów, niewcielonych marzeń. Ale jest dość, aby z nich uwić wianek pamięci po nad krzyżykiem u jej grobu.

N.

Dogmaty i ludzie.

Samo zestawienie tych dwóch pojęć: dogmaty i ludzie — tchnie pewnym czarem kontrastu; bo jeśli w człowieku rzuca się w oczy przedewszystkiem zmienność, to w dogmacie nieruchomość, spokój marmuru. Człowiek jest zmienny i w swych przekonaniach i w swych uczuciach, choćby się zapierał tego; dogmat jest zawsze jednakowy: inaczej by nie był dogmatem.

Wobec dogmatu człowiek zająć może zawsze stanowisko odpowiadające swej indywidualności. Pomiędzy wierzącym a niewierzącym jest jeszcze wiele odcieni: dla jednych jest dogmat potrzebą własnego ducha, dla innych potrzebą społecznej organizacyi; a tak więc nosząc na na ustach coraz to nowe hasła, w obliczu dogmatu podobni są ludzie do dzieci, które chcą przekrzyczeć echo.

Jakim jest stosunek ducha epoki współczesnej do dogmatów?

Walka z echem rozlega się najgłośniej w literaturze pięknej, bo tam występują na widownię filozofowie, którzy mieli nieszczęście przyjść na świat wcześniej od dowodów tezy, której są apostołami. Nie trudno scharakteryzować różnorodność stanowiska, które duch czasu zajmuje wobec dogmatu. Piśmiennictwo francuskie typowem jest w tym względzie.

Dla Verlaine'a, którego formacya duchowa najdoskonalszym jest może wyrazem ścierających się dziś prądów, — dogmat jest niczem więcej, jak potrzebą ducha, zaspokojeniem wewnętrznego pragnienia, skarbnicą form, w które jednostka wkłada sumę pewnych swych wzruszeń. Własna wewnętrzna potrzeba przyprowadzić każdego musi do uznania pewnych dogmatów. Zadanie ich zaczyna się i kończy w obrębie jednej ludzkiej duszy. Do społecznych celów nadawać się nie mogą, bo są zespolone z jednostką, jak skutek z przyczyną.

To z umysłu nieliczące się ze społeczeństwem stanowisko Verlaine'a wobec wiary znajduje zaprzeczenie w dedukcyjnie wyrozumowanym programie działalności społecznej dogmatów, który nakreślony został w „Rome“ Zoli.

Genezę stosunku Verlaine'a do dogmatów łatwo zrozumieć: nikomu nie są obce te niewyrozumowane odruchy duszy, które przybierają u niego postać wiary, i każden czuje, że jej sprężyną są drgnienia duszy, których nie można zmierzyć ołówkiem i cyrklem w ręku. Również łatwo uprzytomnić sobie czynniki, które podyktowały tendencyę „Rome“. O ile u Verlaine'a, jako u poety, który pisze przedewszystkiem dla siebie, na pierwszym planie pozostała własna indywidualność, o tyle u Zoli, jako pisarza, który ma na względzie publiczność, rolę decydującą odegrało hasło, które rozlega się dziś na wszystkich łanach życia współczesnego. Zręczny obserwator zastosował je do dogmatów wiary i taką mu nadał formę: Społeczeństwo chce mieć od wiary korzyści społeczne.

Czy Zola w zadawalniający dla estetyka sposób wywiązał się z tego zadania, inna to kwestya. Dzieło „Rome“ akcentując społeczną, i tylko społeczną wartość dogmatów posiada wybitną symptomatyczną cechę w każdym razie.

Niezależne od obydwóch stanowisko zajął Bourget. Mierzy on wiarę ilością estetycznych wrażeń, których mu ona dostarcza. Wobec jego artystycznej duszy większą ma wagę to, że wiara natchnęła Rafaela do Madonny Sykstyńskiej, że stworzyła światy całe, pełne arcydzieł sztuki, niż to, że była ocknieniem dla zbłąkanej duszy lub osią społecznej reformatorskiej akcyi.

W psalmach uderza go poezya więcej niż wiara, a raczej widzi w wierze — poezyę. Odczuwa on wiarę inną cząstką swej duszy niż Verlaine'a, choć obaj czują równie głęboko.

Wobec tych różnobrzmiących haseł, jakiemuż głosowi odpowie dogmat przyjaznem echem?

Wszechstronny w swej jednolitości, kryje on zarówno piękno jak reformę społeczną, jak balsam na rany dusz osamotnionych.

Jak wierne echo, wszystkim służy jednakowo. Ono się nie zmienia, lecz ludzie coraz to innego ducha w nie kładą: a gdy odbiwszy się o szczyty, hasło ich ku nim się wraca, własnego nie poznają głosu i czołem biją, jak przed rozkazem z góry. Tworzą sobie dogmaty, aby im módz się kłaniać.

Berlin.

Kazimierz Rakowski.

Młode życie zagrało chórem strun bliskich zerwania, ostatniem wołaniem o oddźwięk jakiś, o siłę, którąby ogarnęła łagodnie, kojąco cały proces tworzenia, zmuszonego szarpać się w bezustannej trosce o jutro.

Do takiego doszedłszy stanu zapytała po raz pierwszy, czy wrażenie przez nią doznane rok temu przy znajomości ze starym drukarzem, słusznie zwróciło się przeciw niemu odrazą, oburzeniem? Czemże on bowiem zawinił wobec niej? Żądzą zmysłową; lecz czy żądze, pragnienia dają się obejmować łańcuchem takiej kontroli, któraby posiadała moc unicestwienia ich? Istnieją wprawdzie różnice pragnień, rozliczne ich gatunki, lecz cóż kto winien, gdy właśnie taki a nie inny gatunek obrał sobie w nim miejsce i stworzony, istniejący raz, toczyć się musi w całym biegu, jaki mu wyznaczają siły, w skład jego wchodzące. Ona sama wiedziała, czuła dziś więcej, niż przed rokiem, czem jest ogień pragnienia, które zostało już spojone z osnową życia. Dla tego dziś przebaczała w myśli temu człowiekowi, który zostawił jej, prócz ciężkiego wspomnienia chwili z nim przeżytej, to do czego tak wielką wagę przywiązywała w życiu: możność postąpienia na obranej drodze. Wyzyskał jej położenie? Ależ inni uczyniliby to samo, do tego z warunkiem podziału uczuć i niewolnictwa na czas nieograniczony, aż do chwili przejścia ich kaprysom. Dziś — za tamtym człowiekiem, który od niedawna legł w mogile, za nim odsuniętym z milczącą dumą — ogarniał ją żal, jak za kimś, kto nie był jeszcze dla niej tak złym, tak brutalnym, tak okrutnym, jak byli inni.

Wraz z żalem wstępowała w nią żądza doznania czegoś, coby nie było samą przykrością. O! na ziemi chodzi przecież jakieś szczęście, jakaś rozkosz, jakieś objęcia losu, słodsze od tych, w jakich ona spoczywa. Wie o tem i zwolna podnosi się w niej bunt. Jestże ona ze spiżu wykutą, czyż otrzymała monopol na tak hartowną powłokę, że aż nieczułą, na umysł poddający się biernie wpływom przeciwnym, jego nieodzownym warunkom. Potrzebuje pieniędzy, marnych pieniędzy, tej drobnostki podniesionej do potęgi. Potrzebuje pieniędzy... W dwóch tych słowach zawarta jest cała tragedya, rozgrywająca się w tysiącznych odmianach na całym świecie...

I znów w jeden dżdżysty, jesienny i chłodny wieczór, źle ubrana, z mizerną twarzą, z oczyma pałającemi wewnątrzną gorączką, znalazła się na ulicy, z niewyraźnem postanowieniem zakończenia całej biedy... W oddalonej, pustej, ciemnej alei Saskiego ogrodu nieprzytomnie prawie rzuciła się na ławkę, przepełniona rozterką uczuć w obec zbliżającej się chwili wyboru dróg. Patrzyła w ciemnię nocy, znajdując w niej dziwną harmonię ze swoim stanem wewnętrznym. W miarę wzmagania się walki coraz chłodniejszy dreszcz ścinał jej serce, w którego krew młodą wsączyły się już krople zimnego jadu doświadczeń, zwątpień i bólu.

Co uczyni? — Nie ma o tem pojęcia. Czuje tylko, że nic dla niej nie będzie trudnem, ani niemożliwem, tak jak mogło być jeszcze rok temu. Gdy wyjdzie z ukrycia ciemnej alei między tłum, zalewający ulice, musi pójść bez wahania, z gotowością przyjęcia wszystkiego, cobądź przyniosłaby ta fala, wabiąc ku sobie choćby złudzeniem zadowolenia, odpoczynku...

Na tę chwilę musi odrzucić okrywający ją szczelnie płaszcz dumy, tej dumy, czerpanej z poczucia niezależności. Aż dotąd była głuchą na szepty pokuszeń zmysłowych, które nie były zdolne wstrząsnąć dreszczem pożądania niewinnych, czystych jej ramion... Wierzyła, że warto wyciągnąć ręce tylko wówczas, gdy życie uśmiechnie się obietnicą zadośćuczynienia naturalnym, szczerym, na wzajemności opartym uczuciom i stosunkom, nie mającym nic wspólnego z wyrachowaniem.

— Czy niezbyt naiwną byłam? — pyta się teraz sama siebie. — Wszak życie trzeba brać takiem, jakiem jest! A gdy ono wypada tak, że każe wyzyskać, a nawet wyszukiwać i skłonić do służenia moim celom te prądy i instynkty ludzkich piersi, które dotychczas omijam...

Co byłoby jednak — szepnęła do siebie z pogardliwą miną, wchodząc na trotuar pełen światła i gwaru — co byłoby przytem, gdybym się okazała... za brzydką za marną, niezręczną?... Co byłoby?....

K O N I E C.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Nasza praktyczność.

W jednym z najświeższych numerów „Głosu“ warszawskiego zastanawia się felijetonista tego organu nad istotą praktyczności krzewionej w społeczeństwie naszem. Myśli te zgadzają się w głównej swej treści z temi poglądami, które niejednokrotnie wysyłaliśmy pod adresem niskiego utylitaryzmu, panoszącego się wśród młodszej i starszej inteligencyi Księstwa.

Oto wyjątek z dłuższego artykułu:

„Praktyczność u nas — to brak zasad wyższych. Człowiek praktyczny — tak samo jak pismo praktyczne — to znaczy człowiek albo pismo bez zasad. Tytułem ustępstwa mówimy czasem, że można mieć zasady, ale d l a s i e b i e, szczytem jednak niepraktyczności jest czynne występowanie w ich obronie. Naprzód do wykonywania tej czynności n i e m a m y m i e j s c a.

— Swiętą miał słuszność, słyszymy o takim obrońcy, ale jakżeż można było we w ł a s n y m d o m u tak na tamtego powiedzieć.

Nazajutrz wyrok brzmi inaczej.

— Wie pan, zgodziłbym się z nim nawet, ale czyż podobna w o b c y m d o m u tak występować.

Na trzeci dzień znowu zmiana.

— Ludzie, bójcież się wy Boga! Wszystko to pięknie, ale któż się porywa na to w m i e j s c u p u b l i c z n e m?

Albo jeszcze.

— Racya panie, racya, ależ w j e g o w ł a s n y m domu tak go zekpać?

Powtóre, nie mamy ludzi odpowiedniej zamożności i stanowiska. Ująć się za słabszym, narazić się możniejszemu jak to bywa w książeczkach dydaktycznych, któż to zrobi?

— Panie drogi, zlituj się — jęczy biedak trzysturublowy — ja mam żonę, pięcioro dzieci, pensyjka — niema na co patrzeć — bój się pan Jezusa Ukrzyżowanego, anuż co na mnie? bo wtedy z torbami pójdziemy, czy jak?...

— Hm... Niech tylko łaskawy pan posłucha mnie cierpliwie. Ja, widzi pan, sobie zawdzięczam wiele, ale nie mało też ludziom. Dzisiaj, jak pan szanowny sam wie zapewne, dochody moje przenoszą 12,000 rs., stosunki mam ogromne, koligacye, mieszkanie — jedno z lepszych w mieście.... rozumie kochany pan, że zawiele miałbym do stracenia; to mogą zrobić — daruje pan — hołysze.,.

— Proszę pana, — ja panu powiem otwarcie. G d y b y m ja był potentat, pan całą gębą, tobym machnął ręką: stracić — wielkie rzeczy, no to stracę, mam się na czem odbijać; g d y b y m ja znowuż był biedak, charlak taki, co to panie Boże odpuść, co nie wiele albo nic niema do stracenia — no to jeszcze! Ale ja panie jestem sobie średniak, ja sobie swoją drogą idę, ja, panie, dalibóg nie mogę...

Po pierwszej odpowiedzi pomyślisz sobie, czytelniku: Niech go tam! i tak ma dosyć! Po drugiej: psia kość, istotnie za dużoby stracił! Po trzeciej nic już nie myślisz, tylko się przekonywasz, że jak nie mieliśmy takiego m i e j s c a, na którem można byłoby wygłaszać zasady albo ich bronić, tak nie mamy też odpowiedniej skali zamożności....

Nie powinniśmy ani pomawiać siebie o brak praktyczności, ani zachęcać do jej zaniedbania. Należy tylko otwierać ludziom oczy na to, czem jest praktyczność naprawdę. Na zakończenie podam taką notatkę dydaktyczną ze wspomnień osobistych.

Po cienistej alei parku przechadzałem się z pewną młodą mężatką, rozmawiając o innej mężatce, a raczej o jej dążnościach bardzo niepraktycznych.

— Ja, bo panie, rzekła interlokutorka moja, jestem przedewszystkiem praktyczną i w tym samym kierunku prowadzę mego Jasia. Nieprawdaż, panie, że to grunt? Jasiem, a zarazem jej mężem, był ciężko zapracowany wół naszej palestry.

Delikatnie i ostrożnie, jak tego wymagało miejsce wystawione na widok publiczny, postanowiłem dokonać wiwisekcyi na mojej pani w nadziei, że postępy naszej homeopatyi pozwolą mi później przywołać ją do życia. W żołądku znalazłem trochę krup, parę kąsków mięsa i kartofle — dużo kartofli. W głowie, na kołkach marzenia rozpięta była prześliczna suknia balowa, a obok wisiały papiloty nawinięte na zżółkłe i bardzo sterane kartki z „Poddaństwa Kobiet“ Milla. W sercu tej pani leżał Jaś, śpiący nad jakimś foljałem adwokackim i stała malusienka lalka — podobizna jej synka — w postaci Milusińskiego, przybrana w dużą czapę bardzo wysokiego przedstawiciela sztuki inżynierskiej. Aby czapsko mogło utrzymać się na małej główce, podłożono tam kilka kawałków ilustracyi z portretami Washingtona i jego towarzyszy.

Przywoławszy ją do życia, przemówiłem w te słowa.

„Proszę pani, praktyczność jest to umiejętność zaspakajania w życiu wszystkich swych pragnień — bez szkody dla innych i z pożytkiem dla siebie, jak mówią jedni, albo z pożytkiem dla innych i bez szkody dla siebie, jak się wyrażają drudzy. Uznaje pani, że człowiek doświadcza potrzeb bardzo wielu: nietylko niższych, od których zaspokojenia zależy jego istnienie, ale i wyższych, których zadowolenie pozwala mu się rozwijać i doznawać już nie prostego uczucia spokoju albo nasycenia, ale najwyższego szczęścia. Cóż się jednak okazuje? Oto, myśmy przywykli nazywać ludźmi praktycznymi nie tych, którzy potrafią zaspokoić wszystkie potrzeby, ale takich, co, nakazawszy milczenie wyższym, oszukają jako tako niższe i po życiu pełnem pracy, pogwałceń własnego serca, krzywd własnego rozumu, ran własnego honoru, wyprowadzą w końcu potomstwo swe na taką samą drogę. Najstraszniejszą niepraktycznością naszego wychowania jest to, że praktyczności naszej stawiamy zadania tak błahe, cele tak poziome. Z takich „praktyków“ tworzy się później deptany przez wszystkich drobiazg życiowy, czasem nawet zastęp dobrze wprawionych fagasów — fagasów medycyny, agronomów, inżynieryi, publicystyki — ale nigdy władzców zawodu i panów położenia“.

Z estrady i sceny.

(Pan Dyrektor. Komedya w 3 aktach p. M. Bisson i F. Carré. — Mazepa.)

W ubiegłą sobotę było bardzo wesoło w teatrze, lubo śmiano się głównie z słoniny i papryki sztuki, a pianka szampańska mijała bez wrażenia. Uderzało to tem więcej, że sobota teatralna to dzień inteligencyi poznańskiej, — wielki dzień małego świata.

Lecz prawda, chciałem pisać o „Panu Dyrektorze“. Jest nim niejaki pan de la Marre, szef biura ministeryalnego, przełożony całego sztabu urzędników, — surowy dla tych, którzy żon wcale nie mają, albo mają brzydkie, słodki jak sacharyna dla wszystkich, których los obdarzył siostrą, małżonką lub kuzynką nieszpetną i w dodatku „uczynną“ Znają podwładni słabość dyrektora i chętnie przymrużają oczy, gdy ich lepsze połowy znikają za drzwiami pana dyrektora, a tylko stary sługa, purytanin straszny, odwraca w takich chwilach tyłem do ściany biust republiki francuskiej i mrucząc, zbiera następnie szpilki rozsiane na ottomanie.

W gronie podwładnych znajduje się niejaki Lambertin, właściciel pięknej, lecz nieznanej jeszcze dyrektorowi małżonki. Pensya Lambertina jest bardzo skromną, bo natura giętkim karkiem go nie obdarzyła, a małżonkę ma dla siebie, nie dla dyrektora. Na nic się nie zdają namowy teściowej, przepysznej ekskabalarki, na nic łzy, wyrzuty i nawet pioruny, — on nie chce nikogo prosić o protekcyę, a na myśl, by żona jego miała się znaleść w gabinecie pana dyrektora, krew mu uderza do głowy. Na szczęście zjawia się na scenie Zuzanna, druga córka ekskabalarki, urocza i sprytna wdówka. Dowiedziawszy się o słabościach pana de la Marre i o wakującej posadzie podprefekta, postanawia wtargnąć do jaskini lwa i przedstawiwszy mu się jako pani Lambertin, zdobyć dla szwagra nominacyę. Sprytna kobietka ufa swym wdziękom i swej równowadze.

Rozpoczyna się akt drugi, najlepszy w całej sztuce, żywy i błyskotliwy, pełen dowcipnych pomysłów i, mimo drażliwych sytuacyi, nie przekraczający nigdzie granic dobrego smaku. Pan dyrektor przyjmuje. Najpierw zjawia się stara ekskabalarka — i nie zdziwiła się publiczność wcale, że babinka wyszła bez szwanku, lubo w chiromantycznych zachwytach podziwiała linje Wenery na dłoni p. de la Marre. Potem lokaj purytanin z kwaśną miną anonsuje panią Lambertin. Wchodzi Zuzanna. Sytuacya staje się groźną. Co to będzie, co to będzie? Otóż proszę się nie rumienić, nic nie będzie. Pan dyrektor jest olśniony, lecz po raz pierwszy w życiu uczuwa, że oprócz zmysłów, posiada także bijące serce. Zuzanna osięga wszystko, nie dawszy niczego, prócz koniuszka palców i obietnicy, że wróci niebawem.

W akcie trzecim Lambertin jest już podprefektem, a teściowa jego w blaskach nowego urzędu huczy i burmistrzuje aż miło. Pan podprefekt nie wie o niczem i czuje się bezgranicznie szczęśliwym, ale jego piękna żona i jeszcze piękniejsza Zuzanna drżą bezustannie, że nie dziś, to jutro pan de la Marre odkryje oszustwo. A nuż przyjedzie? Dzwonek za sceną. Przyjeżdża. — Rozpoczyna się interesujące „Qui pro quo“. Humor trzaska jak rakieta i oczywiście wszystko się kończy małżeństwem, — już nie w gabinecie pana dyrektora, lecz na cywilnym urzędzie. Piękna Zuzanna zostaje panią de la Marre.

Przepyszna farsa! a jak mówi Sarcey „L e v a u d e v i l l e a b i e n s o n p r i x, q u a n d i l e s t b o n.“ Opowiedziałem tylko szkielet, lecz trzeba widzieć ciało, to francuzkie ciało, aby należycie ocenić wszystkie zalety utworu. Jakiż to humor bije np. z owej sytuacyi, gdy Zuzanna uciekając przed natarczywem dyrektorem, siada na dzwonkach elektrycznych i całe biuro staje do apelu. Albo ta scena III aktu, gdy Lambertin nie mając pojęcia, że p. de la Marre uważa Zuzannę za żonę jego, zachwala mu jej wdzięki i zapewnia, że gdyby „pan dyrektor“ chciał się zbliżyć, to liczyć może na pomoc podprefekta. Może tu i owdzie struna jest nadto przeciągnięta, tu i owdzie splątanie nici nadto sztuczne, ale jako całość jest „Pan dyrektor“ niewątpliwie jedną z najlepszych krotochwil, jakie teatr poznański w ostatnich latach wystawił. Intryga zręczna, akcya pędzi galopem, scena zmienia się bezustannie, satyra uśmiecha się dyskretnie, dowcip musuje jak szampan, ludzie trącą

karykaturą, lecz żyją, — jednem słowem, tylko Francuzi tak farsy pisać umieją.

Wystawa sztuki i wykonanie przynoszą zaszczyt reżyseryi. Urządzenie sceny odznaczało się stylem i elegancyą. Nie brakło nawet portretu Faure'a, — szkoda tylko, że biust republiki zakrawał raczej na klasyczną Dianę.

Z artystów wyróżnił się w tytułowej roli grą wytworną, lubo za zimną chwilami, p. Knapczyński, a prawdziwą niespodziankę zgotował nam p. Tarasiewicz w roli Lambertina. Młody ten kochanek dramatyczny odtworzył po raz pierwszy postać charakterystyczną i objawił w tym kierunku sporo inteligencyi i sporo talentu. Pani Zalewska przekonała nas, że w ramach lekkiej komedyi stać się może użyteczną siłą. Jej Zuzannie brakło tu i owdzie nadsekwańskiej pianki i nie wszędzie zdołała artystka należycie wyzyskać sytuacye sztuki, lecz gra jej miała dużo swobody, elegancyi i umiarkowanej, może nadto umiarkowanej kokieteryi. Z innych osób występujących w „Panu Dyrektorze“ zasługuje na szczególne wyróżnienie p. Olszewski, który w roli kwaśnego tetryka i amatora cudzych obiadów Bouqueta wywoływał bezustanne wybuchy wesołości grą wyrazistą i okraszoną naturalnym humorem. Pan Olszewski umie się zmieniać, umie indywidualizować postacie swoje — to rara avis na poznańskiej scenie. Wreszcie zapisujemy tu wyrazy uznania dla pani Królikowskiej, pełnej energii i brawury teściowej — ekskabularki, oraz dla p. Berskiego, który wdzięczną rolą lokaja-moralisty szczerze ubawił publiczność.

* * *

Na „Mazepie“ loże i krzesła świeciły pustkami. Artystyczna publiczność poznańska poczytywałaby sobie za zbytek opłacać taką „starzyznę“. I nie skusiło jej to nawet, że rola wojewody spoczywała w rękach Rygera. Któżby tam chodził do teatru dla znakomitego artysty, dla brylantowych rymów Słowackiego, — u nas ceni się tylko fabułę, a sztuka raz widziana nie nęci „Ateńczyków“ poznańskich.

Na niedzielnem przedstawieniu dopisały tylko wyżyny, — te wyżyny, które najdramatyczniejsze sceny witają śmiechem głupim i brutalnym. Na „Mazepie“ było tak wesoło w teatrze, jak w sobotę na „Panu dyrektorze.“

Proszę mnie tylko fałszywie nie zrozumieć. To wina publiczności, nie wina aktorów; artyści z małemi wyjątkami sztuki nie popsuli. Jedna Amelja w interpretacyi panny Tańskiej wywarła niekorzystne wrażenie, a chwilami nawet fałszywą deklamacyą niesmak budziła. Dla Amelii nie ma chwilowo artystki na poznańskiej scenie. Panna Tańska jest z nieodpowiednich najodpowiedniejszą, ale talent tej artystki jest nieco posępny, oczy nie mają łagodności, głos ma dużo metalu, lecz nie ma słodyczy, — to raczej Balladyna była, niż Amelia.

Za to wojewoda pana Rygera pozostał tą samą świetną kreacyą, którą podziwialiśmy przed kilku laty, gdy jako gość wystąpił na poznańskiej scenie. Wojewoda w Mazepie jest jedną z najlepszych ról w repertuarze p. Rygera, ma on straszną grozę, ma pioruny w głosie i zemstę wściekłą, która z obłędem graniczy. A zważyć należy, że Ryger grał wczoraj na własnej scenie, w własnem otoczeniu, i dla tego gra jego była jeszcze równiejszą, niż wtedy, gdy na gościnnych bawił tu występach.

Pan Tarasiewicz w roli Zbigniewa ślicznie deklamował i mimo niekorzystnych warunków zewnętrznych, był chmurnym, nieco tajemniczym, prawdziwie Byronowskim typem. Mazepa w interpretayyi pana Prochaski trącił nieco zwierciadłem i miał chwilami głos sztucznie ułożony, ale artysta zrozumiał swoją rolę, dobrze mówił wierszem i zdobywał się na prawdziwie dramatyczne akcenty. Jana Kaźmierza odtworzył p. Jakubowski w stylu i bez szarży, a w maleńkiej roli wojewodziny p. Audran uderzyła w ton właściwy i właściwą znalazła mimikę.

W. R.

TO I OWO.

List Bojki do Rewakowicza.

Z mnóstwa telegramów i listów, które w czterdziestą rocznicę rozpoczęcia służby dziennikarskiej otrzymał Henryk Rewakowicy, redaktor „Kuryera Lwowskiego“ podajemy poniżej pismo Jakóba Bojki, tego włościanina galicyjskiego i posła do sejmu, który w ubiegłym roku gościł w Poznaniu i tak miłe po sobie zostawił wspomnienie. Oto list jego:

Panie Redaktorze! Dziś mija 40 lat, jak i Ty począłeś orać zagon ojczystej niwy, nie pługiem wprawdzie, ale piórem. Odłogiem podówczas leżała nasza rola w tym kierunku, w którym ją począłeś uprawiać, a uprawiać w czasach takich, w których reakcya święciła gody weselne i za lada cieplejsze słówko wtrącała za kraty więzienne. Czterdzieści lat pismami Twemi, pełnemi najczystszej miłości dla kraju ojczystego, stajesz, Bracie Rodaku, po stronie pokrzywdzonych, gnębionych, nieszczęśliwych i słabszych. Zbożna to droga, ale ciernista, krzyżowa i niepopłatna. I gdy redaktorzy pism konserwatywnych, króciej pracując, a raczej schlebiając możnym, mają dziś pyszne kamienice, to Ty, służąc uczciwej sprawie, służąc słabszym i pokrzywdzonym, możesz po 40-letniej pracy tylko chyba za Karpińskiem powtórzyć:

„W tym zamiarze praca mię całe życie tłoczy,
Nad książkami straciłem i zdrowie i oczy,
Co mi książki oddały? Jak niewdzięczna niwa,
Co zgubiła nadzieję rolnikowi żniwa,
Po wieku mego wiosny nie wróconej szkodzie;
Nachylony ku ziemi zostałem... o głodzie.

Nie zważając na nic i na nikogo, stoisz z młodzieńczym zapałem i wytrwałością przy swym prawdziwie demokratycznym sztandarze, który może wielu z Twych kolegów już dawno opuściło sromotnie a stajesz w obronie i nas biednych, bo ciemnych po większej części włościan.

Niechże za to wolno będzie dzisiaj i mnie, ubogiemu włościaninowi i posłowi tego serdecznego ludu polskiego, złożyć Wam serdeczne podziękowanie. Bóg Wam zapłać, ojcze Henryku, za tę Waszą czterdziestoletnią pracę w tym kierunku, stokrotnie Wam Bóg wielki zapłać!

Żyjcie z Bogiem jak najdłużej i druzgoccie swą maczugą niesumienne potwarze i niesłuszne uprzedzenia jurgeltników pism konserwatywnych do włościan polskich, dopóty, dopóki nie uznają w nas swych braci, którym się także trochę szczęścia na tej polskiej ziemi należy. A wierzcie, że runą pyszne kamienice płatnych pismaków, łaski możnych miną, a cześć poczciwego człeka pójdzie od wieka do wieka. Gręboszów 1go listopada 1896. Z szacunkiem i wdzięcznością *Jakób Bojko*, włościanin i poseł sejmowy“.

* * *

„Made in Germany.“

Jeden z najznakomitszych angielskich mężów stanu, Lord Rosebery poświęcił część swej mowy w Epsona małej książeczce p. F. Williamsa, niemal artykułowi czasopisma, mającemu tytuł „made in Germany“ (zrobiono w Niemczech). Angielskie i francuskie pisma powtarzają i komentują jej treść, która jest ani mniej, ani więcej, jak wykazaniem zdobyczy, poczynionych przez przemysł niemiecki na targach, dotychczas zaopatrywanych przez fabryki angielskie, a częścią i francuskie. Zdobycze te mają być wielkie, przedstawienie ich dosadne, tak, że nawoływanie swych ziomków przez autora do zastanowienia się i zaradzenia grożącej już angielskiemu przemysłowi ruinie, głęboko zrobiło wrażenie.

Statystyczne daty od r. 1872 wykazują znaczne zmniejszenie wywozu produktów angielskich do Rosyi, Niemiec, Japonii, Egiptu, Grecyi, Serbii, nawet Półwyspu bałkańskiego, a jednoczesny wzrost wywozu produktów niemieckich do tych samych krajów: taki sam stosunek czy raczej zmiana zachodzić ma obecnie w handlu z południową i północną Ameryką, a nawet z koloniami angielskiemi obu półkuli! Od r. 1891 do samej nawet Anglii zaczynają Niemcy sprzedawać swe wyroby żelazne. Fakt jest tak dalece prawdziwy i doniosły, że go zapisują już agenci rządowi angielscy w swych urzędowych sprawozdaniach, i w rozpoczętej przed laty dwudziestu walce o supremacyę w handlu i przemyśle szala przechylać się ma wyraźnie na stronę Niemiec; Anglii grozi ruina.

Jak się to stać mogło, a raczej jak się stało? Tłumaczenie jasne, sposób zwycięztwa wyraźny, miał też nieraz być wskazywany angielskim przemysłowcom. Niemcy uczyły się od innych narodów, uczyły się wszędzie i wszystkiego, co stanowi siłę w przemyśle — i całe rzuciły się do tej walki.

Stworzyły sobie pod kierunkiem rządu dobre szkoły przemysłowe i handlowe, wykształciły robotnika, równego innym robotnikom, subjekta handlowego starannego i zapobiegliwego, kupca i przemysłowca pracowitego i uważniejszego na potrzeby klientów, nareszcie najpilniejszego urzędnika, który nigdy nie zapomina o przysporzeniu klientów i zbytu swoim rodakom. Tą siłą całego społeczeństwa wyciskały Niemcy powoli Anglików i Francuzów z zajmowanych przez nich targów i dziś są bliscy pierwszeństwa.

P. Williams mówi dosłownie, że Anglia już utraciła swe wyjątkowe położenie niezaprzeczonego pierwszeństwa w świecie przemysłowym, i że nie ma nawet nadziei, by je odzyskała; chodzi mu tylko o to, żeby nie tracić dalej, żeby zło się nie zwiększało. Francuski autor (p. Ervede Bazine) obawia się, by wystawa r. 1900 nie zaznaczyła nowych postępów przemysłu niemieckiego, nowych zwycięstw nad francuskiemi wyrobami.

* * *

Wystąpienie Sienkiewicza z komitetu Mickiewiczowskiego.

O wystąpieniu Sienkiewicza z komitetu Mickiewiczowskiego pisze „Kuryer Warszawski“. „Obradujący trzej członkowie tegoż komitetu postanowili rezygnacyi Sienkiewicza nie przyjąć i o samym fakcie rezygnacyi w przesłanym do dzienników komunikacie nie uczynili żadnej wzmianki. Wiadomo, iż sprawa pomnika krakowskiego załatwiana jest przez ćwierć wieku... po krakowsku, lecz ten sposób potraktowania doniosłej rezygnacyi Sienkiewicza nie byłby chyba użyty nawet w... Ryczywole“.

„Nowa Reforma“ pisze w tej sprawie: „Jest rzeczą wielce charakterystyczną, iż o wniesieniu rezygnacyi oraz o jej nieprzyję-

ciu urzędowy komunikat komitetu wcale nie wspomina. Jesteśmy wyrazem opinii publicznej w doniosłem znaczeniu tego słowa, zaznaczając, iż takie załatwienie, krótko mówiąc, ukrycie ważnego tego faktu, jest bardzo niewłaściwem i pozostawia pole domysłom tego rodzaju, jakich bezwarunkowo unikaćby należało. Sienkiewicz występujący z komitetu, nie jest panem N. lub X., którego obecność lub nieobecność w tymże komitecie może być całkiem obojętną. Jest on człowiekiem najgłośniejszego w komitecie, a w całej Polsce dobrze znanego nazwiska, zatem czysto formalne załatwienie jego rezygnacyi i ukrywanie tego faktu, gdyby nawet skutkiem próśb i perswazyi zechciał sam rezygnacyą cofnąć, nie może być właściwem i trafnem. Obchodzi to nietylko panów z komitetu, lecz całą Polskę — dwóch zdań na tym punkcie być nie może. komitet zatem spełni swój obowiązek, ogłaszając w tej sprawie, jaki jest istotny stan rzeczy".

Obecnie prezesem komitetu jest marszałek krajowy, hr. Stan. Badeni, który pozwolić nie powinien na to, aby jeszcze ciągle bawiono się w cinciubabkę.

* * *

Jak giną instytucye narodowe na emigracyi?

Pod tytułem tym, w drukarni G. Maurin w Paryżu, autor podpisujący się „A" wydał broszurę, oznaczoną cyfrą „1" a ogłoszoną w zamiarze przejrzenia historyi „całego szeregu emigracyjnych instytucyi polskich, zarówno już pogrzebanych jak do upadku kierowanych". Pierwsza ta broszura zajmuje się „Wyższą szkołą polską" przy bulw. Montparnasse 68 (80), założoną przez hotel Lambert w r. 1849, zamkniętą w 1872. Oskarża ona strasznie założycieli i kierowników, którymi, przy pomocy dobieranej przez nich rady szkolnej, byli prezesowie dożywotni: ks. Adam Czartoryski i po jego śmierci ks. Władysław. Dwa najważniejsze rozdziały noszą tytuły: „Dla czego szkołę założono?" i „Dla czego szkołę zamknięto?" Według autora pomysł założenia jej wynikł z potrzeby kształcenia stronników, którzyby użyć się dali na „rodzaj męskiej świty", stanowiącej „odmianę Szkoły panien Hotelu Lambert". Oskarżenie to nie wielką miałoby doniosłość wobec drugiego, zarzucającego sprzeniewierzenie grosza publicznego. Szkoła posiadała własny dom, zbudowany wedle podanego kosztorysu za 200 000 franków, na którą to kwotę z zapisu wojewody Wodzińskiego i ze składek wpłynęło 140 967 fr. Kwotę tę „winniśmy poczytywać — słowa autora — jako sumę na domu szkolnym ulokowaną przez społeczeństwo." Po zamknięciu szkoły dom ów sprzedany został jako prywatna ks. Wł. Czartoryskiego własność. Jak to się stać mogło? Spadkobiercy książąt Czartoryskich posiadają zapewne rachunki i dokumenty, któreby powinni ogłosić i oczyścić się z zarzutu, błąkającego się od r. 1872 na emigracyi a obciążającego pamięć ich ojca i dziada, którzy oprócz subsydjów rządu francuskiego, opłat szkolnych i składek na utrzymanie szkoły, nic z własnej nie łożyli kieszeni, mieli bowiem tyle, że po opędzeniu wydatków z roku na rok pozostawał raz większy, to znów mniejszy remanent. Autorowi broszury mamy do zarzucenia, że z tak ciężkiemi zarzutami wystąpił bezimiennie.

* * *

Testament Kaczkowskiego.

Gazety ogłosiły ostatnią wolę zmarłego powieściopisarza. Dziś już nie ulega wątpliwości, że „uniwersalną spadkobierczynią" całego majątku uczynił on swoją żonę, „panią de Pomian", tylko Towarzystwu historycznemu we Lwowie darował prawo wydawania swych dzieł oraz bibliotekę. Nie możemy bez żadnej podstawy sądzić charakteru wdowy, dla której mąż miał widocznie wiele szacunku i miłości, skoro nawet w dodatku do testamentu zaznacza, że bibliotekę przekazuje Towarzystwu „za łaskawem zezwoleniem żony", która zastrzegła sobie tylko jako pamiątkę książki francuskie. Kaczkowski prawdopodobnie czuł do ostatniej chwili dla „pani de Pomian"" głęboką wdzięczność za spędzone z nim życie i chciał na jej usługi oddać wszystkie środki materyalne, jakie posiadał. Ale chociaż trudno gwałcić ludzką wolę z miłości płynącą, trudno również nie dostrzedz w obecnym wypadku zupełnego zapomnienia o obowiązkach społecznych. Kaczkowski wiedział, że jego żona jest Francuzką, że pozostawionego majątku nie zużyje, że w całości lub znacznej części odda go po śmierci swym krewnym, a jednakże nie zobowiązał jej ani jednem słowem do najmniejszej ofiary na korzyść społeczeństwa, któremu zawdzięczał nietylko sławę, ale poniekąd i zamożność. Przecież procenty od paru milionów franków wystarczyłyby zupełnie żonie, a kapitał powinienby po jej śmierci przejść do tych, z którymi nieboszczyka łączyły ściślejsze węzły, niż ze spadkobiercami bezdzietnej pani de Pomian. Niestety Kaczkowski nie miał w swej duszy tej silnie napiętej struny, którąby mu przed zgonem zadźwięczała życzliwością dla rodaków. Z ogłoszonej świeżo jego korespondencyi wybija się bardzo mocno nadmierna pycha, samolubstwo i niechęć do tego otoczenia, w którem wyrósł i zyskał sławę. Zbyt wiele pamiętał o sobie i dla tego umierając, pamiętał tylko o tej, która była osłodą jego życia.

* * *

Leopoliana.

Lwów 1 listopada.

(Słówko o teatrze).

Na gmachu teatralnym hr. Skarbka czarna powiewała chorągiew. Znowu runęła jedna z kolumn, podpierających sztukę dramatyczną. Marceli Zboiński, znakomity artysta, przeniósł się do wieczności. Liczne tłumy odprowadziły zwłoki ulubieńca długoletniego Lwowskiej sceny na cmentarz. Nad grobem przemawiał Zelazowski, reżyser dramatu, i Kotarbiński Józef w imieniu kolegów krakowskiego teatru, który w prześlicznych słowach uwydatnił działalność ś. p. Zboinskiego na niwie sztuki dramatycznej.

Jak za czasów Szekspira, tak i teraz silną konkurencyą teatrowi tworzy „towarzystwo skoczków na linie", które zjechało do Lwowa na całą zimę pod „batem" pana Sidolego.

Teatr ratuje się dubeltowemi przedstawieniami trzy razy w tygodniu. W sobotę przedstawienie popularno-studenckie, w niedzielę ludowo-operetkowe, we czwartek zaś dramat odbywa wycieczkę do Przemyśla, a operetka wabi melomanów lwowskich ku sobie w teatrze Skarbka. Włóczy się tu polska sztuka jak Ahasverus i przytułku znaleść nie może. Publiczność nie czuje smaku w tym pokarmie. Grające psy, tańczące małpy, cielęta o dwóch głowach więcej przemawiają jej do duszy.

„Publiczność, to kapryśne dziecko" — mawiają aktorzy i mają słuszność, a krytyka nasza nie umie prowadzić tego dziecka na pasku swoich recenzyi w ten sposób, aby nie zatrzymywało się przed bramami cyrku, lecz wprost zdążało do przybytku sztuki narodowej. Trudno uwierzyć, ażeby w całej armii lwowskich recenzentów istniały rzeczywiście tak różne zdania o sztuce. Cały zastęp krytyków, każdy inaczej pojmuje opisyw any przedmiot, każdy narzuca swoje zdanie nie starając się poprzeć słów swoich dowodem, a nie jeden chwali lub gani wbrew własnemu przekonaniu, li tylko dla dogodzenia osobistym względom.

U nas niestety recenzenci (z małemi wyjątkami) przedewszystkiem uważają pióro swoje za dzidę, na którą bezkarnie nadziewać mogą wszelkie niesympatyczne dla siebie osobistości. Następnie pamiętają o tem gorliwie, ażeby popisać się własną erudycyą i szybują na skrzydłach frazeologii, przelewając z pustego w próżne, nie ucząc ani aktora ani publiczności.

Karól Libelt w estetyce swojej powiada, że nie ma formy bez treści, ni treści bez formy, a dalej, że ideałem treści jest prawda.

Tymczasem krytyka nasza stara się dowieść słów tych nieprawdziwość, podając ostatniemi czasy samą formę zwykle napełnioną sarkazmem, czasem zadziwiającą retorycznemi kozłami, często grzeszącą brakiem logiki, a zawsze bez istotnej treści i daleką od ideału prawdy.

Korespondent.

Na Wyłomie.

(Opalenica i skutki Hakatówki. — Pan Carnap w pismach humorystycznych. — Jaki zysk? — Słówko o inteligencyi naszej).

Wiecie, moi państwo, co to jest kociokwik? Po niemiecku zwie się to „Katzenjammer", a gdy wam taka według wszelkich prawideł logiki zbudowana definicya nie wystarcza, to udajcie się do Opalenicy i zapytajcie pana Carnapa. Jeżeli szczery, to wam odpowie: Spojrzyjcie na mnie. Oto jest kociokwik in persona. Opiłem się Hakatówki a teraz tęsknię za śledziem, żurem i natrum bicarbonicum.

Pan Carnap w czasie przesłuchów sądowych miał podobno cyniczny uśmiech na ustach, lecz w krzyżowym ogniu adwokatów uśmiech ten zamierał, twarz się wykrzywiała i wreszcie znikł za drzwiami amator Hakatówki, pozostawiając na placu boju natchnionych bardów swoich czynów rycerskich. Ach! jaka to szkoda, że Poznań nie posiada „Kladradacza" swego. Jakiż cudowny temat tkwi w tej Carnapiadzie! Proszę sobie wyobrazić taką ilustracyę: W głębi sala balowa, na froncie restauracya i dwóch poczciwych filistrów przy szklance monachijskiego. Do stołu zbliża się z dobytym mieczem pan Carnap. — Tytuł obrazka: Zaproszenie do tańca. — Dyalog. Carnap: Proszę natychmiast tańczyć. Piwosze: Wprzódy wypijemy piwo. Carnap: To brak subordynacyi. To bunt przeciw władzy! Jako pruski komisarz muszę rozpłatać wam głowy!

Możnaby jeszcze zamieścić drugi obrazek: We krwi własnej tarza się jeden z piwoszów, a pan Carnap obciera z flegmą komisarską szpadę i mówi:

Uratowałem honor przez krew tego franta,
Mój honor komisarza i honor lejtnanta.

Wprawdzie nie radziłbym panu humoryście uogólniać zbyt energicznie takich dowcipów, bo mógłby się dostać tam, gdzie się niebawem dostanie p. Carnap, tj. przed kratki sądowe. A nużby oskarżał go prokurator międzyrzecki, ten bardzo groźny pan? Jakich mąk dantejskiego piekła zażądałby dla satyryków oficersko-komisarskiej tężyzny, jeżeli dla ofiar tej tężyzny domagał się długich lat cuchthauzu, a następnie po otrzymaniu zimnego tuszu z ław sędziów przysięgłych dwóch lat więzienia. Tylko? To bardzo groźny pan!

Na szczęście sprawiedliwość zwyciężyła. Z dziewięciu oskarżonych sześciu z patentem niewinności opuściło salę, dwóch otrzymało drobne kary pieniężne, jeden jedyny trzy miesiące wieży. Teraz rozpoczął się kociokwik u całej zgrai Hakakystów. Tak się upili radością, że polską rewolucyą odkryli, tak się upili szałem nienawiści, — cóż więc dziwnego, że teraz oczy spuszczone na kwintę i morska choroba ich trapi. Co za cudowne zrządzenie? Zbudowali szubienicę dla polskiego społeczeństwa, a na szubienicy wisi dziś pan Carnap. Zbudowali pręgierz dla ludu polskiego, a pod pręgierzem stoi dziś ich brat, ich bohater, ich duma, — stoi pruski oficer i pruski komisarz. !

I jakże umilkła ta bezwstydna zgraja. Jeden tylko warknął, że krzywo przysięgli polscy świadkowie, inny swą tubą dziennikarską nic otrąbił nic, prócz wniosków prokuratora. Tak się maskuje przegraną. Czy to Sedan, jak powiedziała Germania? Czy to Waterloo Hakatystów?

Tak być powinno — finis. A jednak mówi mi jakieś głuche przeczucie, że owa ręka rządowa, która niedawno jeszcze błogosławiła z trybuny parlamentarnej robocie małych Bismarków zadrzy może, ale się nie cofnie. Wrzaski przycichną na chwilę, — lecz za godzinę znowu się podniosą. Lud toczyć będzie walkę śmiertelną i cierpieć będzie i krwawić, a gdy krew swoją zaniesie na stół redakcyjny „Kuryera“, on okulary poprawi i z miną dyplomatyczną mu powie: „Sprawa jest w biegu. W dzień Zmartwychwstania Pańskiego rząd się nad tobą zmiłuje“. Ha! Któż wiedzieć może, co tam w trawie piszczy. Ale społeczeństwo polskie tak często schylało się po to „coś piszczącego“ i, zamiast kurczęcia, żmiję tylko znalazło, że obecnie już się nie schyla, już wierzyć przestaje.

I niechaj nikomu się nie zdaje, że ten sceptycyzm względem marzycieli ugodowych jest tylko lokalną chorobą w obozach „Orędownika“ i „Postępu“, — nie! ta niechęć i żal i bolesny cynizm bankruta ogarnia coraz szersze warstwy i dziś się znowu objawia w tem ogólnem szemraniu, którem w mieście i na prowincyi powitano wieści o przefarbowaniu „Dziennika“ na barwę Kościelskiego. A jeżeli to szemranie pozostało dotychczas jedynie „dźwiękiem i jękiem“, jeżeli inteligencya na ustach ma gorycz, lecz w protest czynny nie wkłada piołunu swego, to stwierdza tylko starą diagnozę, że w bilansie naszego życia publicznego rubryka odwagi cywilnej, zmysłu społecznego, energii i poświęcenia wykazuje spory deficyt. Idźcie w szeregi naszej inteligencyi, pytajcie po wsiach i miastach, czy wierzą w „Kuryera“ i jego po krótkim rozwodzie powtórnie zaślubioną małżonkę „Dziennik Poznański“, — chórem odpowie wam śmietanka umysłowa: „Kpisz? czy o drogę pytasz?“ Lecz zażądajcie, by słowo w czyn zamieniono, zażądajcie od malkontentów, by ten protest objawił się w wielkim dzienniku konkurencyjnym, nowych posłach, silnej agitacyi, wtedy rozpocznie się jakieś ospałe namyślanie, jakieś spychanie „na innych“, jakieś wykręcanie się sianem, — jednem słowem rejterada na całej linii, lub co najwyżej słomiany ogień, co błyska, strzela iskrami i ginie. Tak było dotychczas. Czy jednak wobec coraz wyraźniejszego lekceważenia opinii przez nasze wielkie organy i naszych sterników politycznych zawsze tak pozostanie? Polecam to raz jeszcze uwadze tych panów, którzy losami „Dziennika“ kierują. Na rakietowych zapałach i ospalstwie inteligencyi naszej opieracie zuchwalstwo swoje, lecz gdy ją zbyt dotkliwie tastać będziecie za brodę, ona się zbudzić gotowa i zapalić takiem ogniem, który was w popiół zamieni.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

Biblioteka zapomnianych poetów, prozaików polskich XVI — XVIII wieku wydawana przez prof. Teodora Wierzbowskiego. Zeszyt III – VI. Warszawa, wydanie z zapomogi Kasy im. Mianowskiego 1893 –1896 w 8ve.

Jeszcze przed dziesięciu laty rozpoczął był prof. W. to ciekawe i pożyteczne wydawnictwo, które obok wydawanej nakładem Akademji Umiejętności w Krakowie „Biblioteki pisarzów polskich“ przyczyni się znakomicie do bliższego poznania i ocenienia piśmiennictwa polskiego zeszłych wieków. Po dłuższej przerwie w ostatnim czasie wydawca przedrukował trzy nowe dziełka, unikaty z bogatych w pierwszo-rzędne białe kruki zbiorów hr. Zygmunta Czarneckiego w Rusku zaczerpnięte, t. j. Andrzeja Zbylitowskiego poemat opisowy p. t. „Wieśniak“, Stan. Orzechowskiego „Książki o ruszeniu ziemi polskiej przeciw Turkom“, oraz broszurę polityczną z XVI wieku p. t. „Napomnienie polskie ku zgodzie do wszech chrześcianów wobec, a mianowicie ku Polakom uczynione“. Najciekawsze ze wszystkich są przedrukowane z współczesnych druków i rękopisów (zachowanych w znacznej części w bibliotece Raczyńskich w Poznaniu) „Anny Memoraty, dziewicy polskiej“ łacińskie wiersze z lat 1640—1644. Anna Memorata pochodziła z czeskiej rodziny Memoratów, której członkowie w rozmaitych okresach i miejscach Wielkopolski obowiązki duchowne przy kościołach Braci czeskich sprawowali. Mieszkała ona w Lesznie, (gdzie też kilka jej utworów wyszło drukiem), a na nic pozbawionych wdzięku i polotu płodach swej muzy podpisywała się „Anna Memorata, virgo polona“.

Nadzwyczaj pożądanem i budzącem ciekawość jest zapowiedziane w dalszym ciągu wydanie Jana Seklucyana „Pieśni duchownych“ (Królewiec 1547), Jakuba Lubelczyka „Wiridarza chrześcijańskiego“ Kraków 1558 (którego jedyny znany dotąd egzemplarz w wrocławskiej bibliotece miejskiej się znajduje), Marcina Bielskiego „Komedyi Justyna i Konstancyi“ (Kraków 1557, unikatu również ze zbiorów hr. Z. Czarneckiego). Pieśni kościelnych polskich XVI wieku (z wydań arkuszowych), zebranych z druków i rękopisów, Wierszy polityczno - satyrycznych i pamfletów z drugiej połowy XVI wieku, oraz Poezyi Jana Achacego Kmity, wreszcie niedrukowanych dotąd jeszcze broszur Stan. Orzechowskiego „O upadku Korony polskiej“, Jerzego Radziwiłła, kardynała, Pamiętnika z lat 1556—1575, oraz ważnej i dla dziejów politycznych kraju broszury z 1572 roku zatytułowanej „Rozmowa Lecha z Piastem, napominająca swych obywatelow, jakiego pana mają sobie i królestwu temu obrać“.

J. Wys.

*

Ada Negri i Konopnicka. Wyszedł przed kilku laty zbiorek poezyi, zatytułowany „Fatalita“, a niedawno temu drugi młodej poetki Ady Negri, która dziś szerokim cieszy się w Europie rozgłosem. Otóż młody esseista polski p. Ludwik Szczepański zestawia z Adą Negri naszą poetkę Maryę Konopnicką w swym felietonie pragskiej gazety „Politik“, twierdząc, że obie są pokrewnemi sobie naturami, z tą wszakże różnicą, że pierwsza zrodzona w kraju słońca piękna i zmysłowości, płomienniejszą jest tam, gdzie głos krwi przemawia swobodnie i naturalnie; ton jej pieśni jest bez porównania namiętniejszym, zarówno czy wybucha miłością, czy nienawiścią.

Ada Negri jest prawdziwą córą swej ziemi, Konopnicka natomiast tam, gdzie jest czysto subjektywną, „uderza raczej w tęskną strunę melancholii i rezygnacyi.“ (?) — Jest to zdaniem sprawozdawcy, prawdziwa lutnia słowiańska. — W dalszym ciągu artykułu streszcza pokrótce p. Szczepański działalność naszej poetki, aby dać o niej wyobrażenie — podnosząc zwłaszcza to, że wszelki „helotyzm gniewem i szczerym bólem ją przejmuje“. Jedynym zarzutem, jaki stawia polskiej poetce, jest zbytnia jej retoryczność tam, gdzie temat jest objektywnym, nieco za wiele sentymentalizmu w czysto osobistej liryce, oraz pewien powiew mistycyzmu. Z temi zarzutami, a przynajmniej z dwoma ostatniemi, niekażdy znający poezye Konopnickiej by się zgodził, ale od tego rodzaju artykułu zbyt wiele krytycyzmu wymagać nie można. Na co wszakże niepodobna się zgodzić z młodym esseistą, to na zapewnienie, że w chwili obecnej święcimy rozkwit poezyi, oraz na poszczególne jego sądy w tej mierze.

KRONIKA POWSZECHNA.

— **Teatr i muzyka**. Na scenie poznańskiej ukaże się dzisiaj po raz pierwszy czteroaktowy dramat Krzywdzica, p. t. „Odgrzewana miłość“. Treść utworu osnuta jest na stosunkach polsko-rosyjskich. Główna rola kobieca spoczywa w rękach panny Tańskiej. — Warszawski teatr Rozmaitości wystawi niebawem nową sztukę Stanisława Kozłowskiego pt. „Turniej“. Kozłowski jest, jak wiadomo, autorem głośnego swojego czasu „Alberta Wójta“. — Jarecki napisał w trzech odsłonach operę na tle balady Mickiewicza „Powrót taty“; rzecz przeniesiona na granicę galicyjsko-węgierską, w okolicę Worochty. — W teatrze Nowym w Lipsku przedstawiono poraz pierwszy nową sztukę p. t. „Odrodzenie“ napisaną przez Franciszka Schönthana do spółki z p. Koppel - Ellfeld, byłym dramaturgiem teatru nadwornego w Dreznie, uwolnionym w swoim czasie ze służby za dowiedziony plagiat. Nowa ta spółka wywiązała się dobrze ze swego zadania, gdyż „Odrodzenie“ doznało świetnego powodzenia, które nie ominie go na żadnej poważnej scenie. Sztuka ta ma tę wielką zaletę, że na kilka godzin wyrywa nas z prozaicznej teraźniejszości i przenosi do pięknych czasów renesansowych i na tem barwnem tle przedstawia nam szereg osób i wypadków, świetnie charakteryzujących ów wielki przełom w sztuce i życiu. Bohaterem sztuki jest 15-letni Vittorino, który wybrykami swemi, pełnemi poetycznej swawoli, oraz budzącem się w jego sercu uczuciem ku wszystkiemu, co jest prawdą i pięknem, świetnie odbija w sobie prądy ówczesne odradzającego się społeczeństwa. Komedya ta, będąca prawdziwą oazą poezyi na pustyni współczesnej twórczości teatralnej, zapowiedziana została na wszystkich większych scenach niemieckich.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

— **Erma**. Anonimów uwzględniać nie możemy.

— **T. T.** Wiadomość „Orędownika“ jest prawdziwą. Rada Nadzorcza nie potwierdziła jednak dotychczas tej nominacyi. Czy ją potwierdzi, nie rozstrzygamy. Powinna dobrze się namyśleć.

— **Józef Kr.** Na początku listu radzi Szan. Pan, by usunąć dział powieściowy ze względu na szczupłe rozmiary pisma naszego, a w końcu mówi pan o potrzebie „zainteresowania naszych kobiet sensacyjną beletrystyką“. Jesteśmy wdzięczni za każdą radę, ale prosimy uprzejmie formułować logicznie życzliwe wskazówki.

— **Sceptyk.** Za najlepsze apologie chrześciaństwa z katolickiego stanowiska uważamy dzieła Hettingera i Weissa. O ile nam się wydaje, polski przekład nie egzystuje.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28.

Nr. 46. Poznań, niedziela 15-go listopada 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę. Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p. Administracya: Podgórna ul. Nr. 7. w podwórzu.

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi w Poznaniu 4,00 mrk. Przyjmuje Administracya: ul. Podgórna Nr. 7. w Niemczech i Austryi 5,00 mrk. (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 mk. — Prenumeratę przyjmują Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego. Pojedyńczy numer: w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen. Rękopisów drobnych niezwracamy.

TREŚĆ.

Partye i pisma polityczne *w Czechach.*

Nader zajmujący artykuł, skreślony piórem jednego z wybitniejszych czeskich polityków, a charakteryzujący pisma polityczne w Czechach, zamieściła wiedeńska „Volkspresse“. Artykuł ten nie pozbawiony pewnej tendencyjności, lecz zawierający sporo materyału faktycznego i trzeźwego sądu, podajemy poniżej w streszczeniu.

* * *

Z starych partyi politycznych *Staroczesi* są pod względem politycznym zupełnie bez znaczenia. Nie mówimy przez to jakoby „*staroczechizm*“ zupełnie zniknął z horyzontu, jakkolwiek spoczywa już na łożu śmiertelnem; Staroczesi dzierżą jeszcze: uniwersytet, akademię, muzeum, bank „Slavia“ i dzięki osławionej austryackiej ordynacyi wyborczej mają głos w radach powiatowych, gminnych i miejskich. Prasa ich natomiast zanika powoli coraz bardziej. Dziennik „Narodna Politika“ zniknął z widowni, „Morawska Orlice“ stała się w połowie młodoczeską, „Politik“ zaś — choć konserwatywna — staje się coraz bardziej od zarządu partyjnego niezawisłą, a „Ceska Politik“ jest prawie bez znaczenia, pozostaje więc tylko jeden „Hlas Naroda“ (!). Ów „Hlas“ nosił przedtem nazwę „Pokrok“, („Postęp“) ponieważ jednak sami jego opiekunowie widzieli w tej nazwie ironię, przeto przechrzcili swój organ, a ten pędzi żywot podtrzymywany subwencyami szlachty. Jego „*spiritus rector*“ jest profesor Albin *Braf*, a kierunek: feudalny, klerykalny, burżuazyjno-narodowy. Prowincyonalna prasa staroczeska zanika również coraz bardziej, po części staje się młodoczeską, w znaczniejszej atoli przechodzi w ręce klerykałów.

* * *

Wielką ruchliwość rozwijają klerykali. Wprawdzie tak jak i gdzieindziej są między nimi rozłamy, ale objawiają się one dotychczas tylko w literaturze; mianowicie wykształceni i poważniejsi księża odłączyli się od oficyalnej partyi klerykalnej i wydają „Katolicka Moderna“ z apologetyczno-naukowym i literackim miesięcznikiem „Hlivka“ (redaktor: Dr. Paweł Vychodil), jakoteż miesięcznik: „Nowy Ziwot“ (red. Dostał). Ów rozłam spowodowała brutalność i faryzeuszowstwo pragskich i berneńskich dzienników klerykalnych, jakoteż ultraklerykalnego pisma „Vlast“ (red. ks. Skrdel). Jak owi „młodzi“ zachowują się pod względem politycznym, i czy własny program polityczny stworzą — dotąd rzecz niewiadoma.

Na wzór wiedeńskich chrześciańsko-socyalnych stowarzyszeń ukonstytuowało się niedawno w Pradze „stowarzyszenie katolicko-ludowe“, którego duszą ks. Simon, a na którego pierwszem zebraniu zjawił się nawet hr. Schonborn: zdaje się więc, że szlachta tutaj chce lud pozyskiwać. — Wypada też nadmienić, że równocześnie powstało inne jeszcze stowarzyszenie antysemickie „Ceska Družina“, pod kierownictwem Jaromira Huška, wydające pismo „Ceski Zajmy“. Kierunek tego stowarzyszenia: antysemityzm rasowy, nieco narodowy, panrossyjski, nieco socyalny (ale nie chrześciańsko-socyalny). Prócz tego istnieją naturalnie katolickie stowarzyszenia czeladników i robotników, a nadto postanowiono w ostatnich czasach zakładać katolickie stowarzyszenia dla kobiet.

Organ realistów „Cas“ atakuje tych panów ostro, a nadto kontragitacyę przeciw klerykałom prowadzą postępowcy z znakomitemi swemi tygodnikami „Lid“ i „Ruch“, jakoteż i socyalni-demokraci, zwłaszcza berneńskie pismo „Cervanky“. Między hierarchią a niższym klerem przychodzi wprawdzie do nader częstych starć, ale te starcia odbywają się za kulisami i rzadko kiedy przedostanie się z nich coś do publicznej wiadomości.

Klerykali rozporządzają dwoma dziennikami: „Cech“ w Pradze i „Hlas“ w Bernie, jakoteż kilkoma pismami prowincyonalnemi, prócz tego posiadają miesięczniki „Vlast“, „Hlivka“, „Novy Zivot“, beletrystyczno-naukowy dwutygodnik „Obzor“ i kilka klerykalnych pism fachowych. Pominąwszy wielką posiadłość, są klerykali zastąpieni w Radzie państwa przez narodowca i zwolennika prawa państwowego posła S. Webera, a w Sejmie przez słynnego pana Mixę, który dawniej, a nawet i w czasie ostatniej kampanii wyborczej kandydatował jako Młodoczech i jako taki wybrany został.

* * *

Młodoczesi, których zwycięstwa w r. 1889 i 1891 były z takim ogromnym witane entuzyazmem — gorzko zawiedli pokładane w nich nadzieje. I zwycięstwo walne, odniesione zeszłego roku w czasie wyborów, powitano już całkiem chłodno (na 95 deputowanych z miast, małej posiadłości i izb handlowych wybrano: 90 Młodoczechów, 1 postępowca barwy „Radik. Listy“, 2 Staroczechów, 1 dzikiego (staroczech), 2 agraryuszy, 1 klerykała, wszycy ci jednak chcieli należeć do klubu młodoczeskiego!). Niezadowolenie z politycznego, prawnopaństwowego i ekonomicznego stanu w Czechach, objawia się już na dobre wśród młodoczeskich wyborców. Gdyby w tym względzie tajne układy klubu z Badenim nie odniosły rezultatu, a klub dalej mimo to uprawiał swą politykę oportunistyczną, to niezawodnie los Młodoczechów zostanie przypieczętowany. Wprawdzie zasiadają w klubie młodoczeskim niektórzy poważni, pod względem polityki i osobistego charakteru nieskażeni i wysoce inteligentni ludzie, ale w większości swojej klub ten jako całość, nie stoi na wysokości sytuacyi. To co powiedział „Cas“ o jednym z przewódców morawskiej partyi ludowej: „Polityczne jego wykształcenie jest niczem innem, jak rutyną dziennikarską, której może używać ze skutkiem w każdej partyi; wiele przestarzałego machiawelizmu — i nic więcej“, da się zastósować do większości tych panów. Gonitwa za popularnością i za dobrze dotowanemi posadami jest gwiazdą przewodnią większej części przewódców, a zaś pomniejszym rybkom brak ogólnego i politycznego wykształcenia, nie posiadają one zrozumienia potrzeb czasu i bywają tylko bądź to popychane jako nieświadome przez „zręczniejszych“ kolegów, bądź też przez interesa klasowe swoich wyborców, o kwestyach ogólnej natury nie mają pojęcia.

W kierunku politycznego i ogólnego wykształcenia ludu, Młodoczesi właściwie nic nie zdziałali; na wytrwałą, świadomą celu agitacyę nie potrafili się zdobyć. Przyobiecali wydawać tani demokratyczny dziennik, atoli obawa przed „Narod. Listami“, które przez to zagrożone byłyby w swej egzystencyi, skłoniła ich do złamania przyrzeczenia. Chcieli założyć młodoczeski tygodnik, ale i to na słowie się skończyło; dopiero w tym roku zdobyli się na wydawanie „po-

lityczncj biblioteki“, która jednak wiele pozostawia do życzenia. Celem uzyskania powszechnego, bezpośredniego tajnego prawa głosowania niezrobił klub nic, a to z obawy przed chłopami. Przeciw klerykałom również nic nie robią. Jedyne, co zrobili, jest: tegoroczna debata adresowa i zbliżenie się do szlachty. Klub, jakoteż cała młodoczeska polityka, stoi dziś pod komendą panów Herolda, Eima i spółki.

* * *

Agraryusze pod przewodem H. Rataja i Stiastny'go zachowują się w ostatnich czasach zdumiewająco spokojnie. Dotychczas występowali oni w południowych Czechach, sporadycznie tylko okazywali jaką taką ruchliwość i niezadowolenie swe z ludowej partyi morawskiej. Obecnie też objawia się w sejmowym klubie młodoczeskim pewien prąd agrarny, który dotychczas był tłumiony. Organem agraryuszów są „Selskie Noviny“ w Taborze, redagowane przez Stiastny'go. Z młodszych prądów politycznych tworzą właściwie jeszcze tylko socyalni-demokraci zamkniętą i zorganizowaną partyę.

* * *

W całej „Czeskiej Modernie“ odbywa się jeszcze ciągle silny ferment, jeszcze ciągle niewidać krystalizowania się, silnej postępowej, socyalnej partyi, chociaż „Rozhledy“ (r. 1896 nr. 8) pisały: „Nowe zadania i potrzeby rosną i formułują się w naszym umyśle, wypełniają nasz mózg i zaprzątają całą naszą duszę. Nie ma już miejsca dla negacyi. Dziś pragniemy już mieć syntezę“. A jednak do tej syntezy pozostaje jeszcze kawał drogi; trzeba jeszcze wiele, bardzo wiele pracy; a właśnie postępowcom brak głębszego filozoficznego wyrobienia się.

(Dokończenie nastąpi.)

POLITYKA.

Reforma prasowa w Rosyi.

W „Kuryerze Lwowskim“ czytamy: „Powszechnie wiadomą“ jest rzeczą, że razem ze wzrostem życia politycznego i umysłowego postępuje także wzrost prasy. Natomiast ustawodawstwo prasowe idzie daleko bardziej ospałym krokiem. Nie tylko w Austryi, ale i w Rosyi ustawy obowiązujące, dawno już nie odpowiadają faktycznym stosunkom i potrzebom. Ta dysproporcya jest źródłem bardzo poważnych i ważnych niedogodności. Stąd też myśl o reformie ustawodawstwa prasowego należą do najżywotniejszych w obu państwach. Warunki urzeczywistnienia tej myśli należą do najżywotniejszych w obu państwach. Co prawda, warunki urzeczywistnienia tej myśli w obu państwach są różne. W Austryi pomimo parlamentu i wolności druku myśl ta od wielu lat nie może postąpić ani o krok naprzód: Mamy dotychczas objektywkę i konfiskatę i stempel dziennikarski i inne dobrodziejstwa podobne. W Rosyi trudniej rzecz poruszyć, mimo to jednak obecnie, jak donoszą do „Neue Fr. Presse“, zanosi się tam na zmianę ustaw prasowych. Powód do tej reformy dała głośna petycya literatów i dziennikarzy rosyjskich, wniesiona wkrótce na tron cara Mikołaja II, Mikołaj petycyi nie przyjął, ale kazał wręczyć ją ministrowi spraw wewnętrznych do zbadania i ocenienia. Durnowo, który był wówczas ministrem spraw wewnętrznych, odroczył wykonanie carskiej woli na czas nieokreślony. Ale i po ustąpieniu Durnowa petycya pozostała bez skutku, gdyż szef naczelnego zarządu prasy, czyli tak zwanego biura prasowego, Feoktistow, w obszernym memoryale wystąpił przeciwko żądaniom pisarzy i publicystów rosyjskich, nazywając ich pomysły zgubnemi dla państwa i społeczeństwa. Poparł go Pobiedonoscew w „Mosk. Zborniku“, występując również przeciwko żądaniom, wyrażonym w petycyi.

Dopiero po ustąpieniu Feoktistowa nowy szef biura prasy Sołowiew wyraził odmienną opinię o liberalnych dążnościach pisarzy rosyjskich i wspólnie z ministrem spraw wewnętrznych, Goremykinem, wypracował projekt zmian, jakie należałoby zaprowadzić w ustawach prasowych.

Projekt ten przyznaje liczne ulgi prasie rosyjskiej. Przedewszystkiem projektodawcy projektują zniesienie cenzury prewentywnej dla wszystkich dzienników w Rosyi; dotychczas zaś bez cenzury wychodziły tylko dzienniki, wydawane w Petersburgu i Moskwie. Następnie mają być złagodzone dotychczasowe kary prasowe: w pierwszym rzędzie ma być zniesione zawieszanie dzienników za karę, co było nader uciążliwem dla dziennikarstwa. Niestety system ostrzeżeń ma być nadal utrzymany w sile, jak również pozbawianie dzienników prawa kolportażu za karę.

Zakładanie nowych organów prasy ma być dozwolonem każdemu niepodejrzanemu politycznie, przyczem ustanowiono dla kierowników prasy cenzus umysłowy, mianowicie kierownik czasopisma będzie musiał posiadać naukowy stopień uniwersytecki.

Dotychczas nie porozumiano się jeszcze co do tej kwestyi, czy przewinienia prasowe mają być karane w drodze administracyjnej, czy też mają należeć jedynie do kompetencyi sądów. Jak widzimy projektowane zmiany są doniosłe i mogą wywrzeć nie mały wpływ na położenie i znaczenie prasy w Rosyi.

Jeżeli zważymy, że w Rosyi stempla dziennikarskiego nie ma, a w razie zniesienia cenzury prewencyjnej i zawieszenia pisma za karę upadną najważniejsze zapory, hamujące rozwój prasy, to możemy sobie wyobrazić, o ile spotężnieje prasa rosyjska (mowa tu także o polskiej, wychodzącej w granicach Rosyi) w porównaniu z naszą.

Co się zaś tyczy ograniczenia, które od redaktorów wymaga wykształcenia uniwersyteckiego, to nie jest ono szkodliwem, lecz przeciwnie, może wyjść tylko na korzyść prasy, dając gwarancyę, że pismo prowadzone będzie przez człowieka światłego

Jan Dymitr Augustynowicz.

WYKLĘCI.

SZKIC.

I.

Stary jakut, który przyszedł właśnie przed chwilą do izby, by poprawić ognisko, ukończywszy grzebanie w niem osmalonym jakimś patykiem, zwrócił się do wysokiego Bratatałowicza i wyrzekł z niecierpliwionym, oschłym, niezadowolonym i pełnym złości głosem:

— Jak chcecie, pan Braczaczewicz, ja już u was dłużej nie wybędę, mnie nie potrzeba żadna wlec się po kątach, jak suka i szukać kości z tłuszczem do ogryzienia... Nie chcę was!... Szukajcie sobie innych, ja nie wybędę, nie potrzebuję głodu, nie nużda mi żadna, ja nawet kości pożądnej od was nie dostanę... Ja niechcę...

I powtarzając to ciągle w kółko miął w ręce poczerniały patyk i odwróciwszy się od Bratatałowicza, bełkotał coś dalej jeszcze z wzrastającą coraz więcej głuchą nienawiścią i niechęcią...

Bratatałowicz stał niemy, zdumiony tem, co nagle usłyszał i jakby niedowierzający... W oczach jego czytać można było, iż niechciał przypuścić, by to, co z suchej piersi jakuta wyszło, prawdą być miało... W skurczonych ustach przebijała się niemoc, w szeroko wpatrzonych w tuziemca tęczówkach niepojmowanie...

Po chwili wydusił zdumiony:

— Co ty, Rybka, pomięszania dostałeś, czy „gorzką“ się upiłeś?... Co ty znowu?...

Jakut stał rozdrażniony. Odwrócił się szybko w stronę Bratatałowicza i mierząc go wściekłym wzrokiem, wybuchnął:

— Tak, wy to wiecie... Nie potrzebujecie mnie robić pijanym, ni pomięszaniem wyzywać... Już wy dobrze wiecie... Ja, pan Braczaczewicz, u was nie będę, nie będę... Rozumiecie, pan Braczaczewicz? powtórzył, przyskakując do wysokiego mężczyzny z wzrokiem iskrzącym, wymachując kościstemi bronzowemi rękoma, ja nie będę, nie będę!...

To mówiąc stanął i wpatrywał się w niego ze złością, a Bratatałowicz wzajem patrzał na jakuta z zdziwieniem niezmiernem, jakby mało z tego pojmując...

Naraz w drugiej izbie zapłakało dziecko... Żałosne jego kwilenie poczęło przechodzić w płacz coraz gwałtowniejszy, aż potem zlało się w jeden krzyk niemowlęcy, doniosły, zgrzytliwy, wstrząsający...

Bratatałowicz drgnął i zdawało się, że zapomniał na chwilę o kłótni jakuta... Potem twarz jego się skurczyła, w oczach zaświecił ból...

Rybka zdawał się być niezmienionym i zupełnie obojętnym na to, co z drugiego pokoju dosłyszał... Wyraz twarzy jego tylko stał się więcej spokojnym, ale zato zaciętszym i uporczywszym... Stał pochylony nieco, a świecące białka jego oczów błyskały tu i ówdzie ponuro...

Dziecko zaczęło zawodzić coraz silniej...

— Rybka, kak tebe Boga ne strach takim czełowikom byt?... Żali nie masz upamiętania nawet na taką chwilę?...

Lecz Rybka, który był jak uparte rozzłoszczone dziecko, powtarzał wciąż swoje dokoła:

— Ja nie mogę... Ja zdechnę... Mnie nawet kości nie dajecie... Ja niemam choć tyci tłuszczu... Mnie tu nie służba... Ja nie mogę...

Bratatałowicz, na którego wychudłej i znędzniałej twarzy odbił się straszny ból i przygnębienie, przemówił do niego raz jeszcze:

— Nie gub duszy, Rybka... Wierz przecie, że i ja już dawno tylko kości suche ogryzam, a co lepsze żonie oddaję... Przyjdzie lepiej, będzie i tobie tłuszcz i mięso... Na Chrysta molim cię, Rybka, nie porzucaj, czełowikom bądź!...

Jakut wpatrywał się w mówiącego mężczyznę, jakby nie wiedząc o co chodzi i tylko nakształt echa powtarzał wieczną swą strofkę, wraz z ostatniemi słowami Bratatałowicza:

— Czełowikom bądź... Ani tłuszczu, ani mięsa... Psia służba... Nic niema... Cze-

Takiemu ograniczeniu i my w Austryi nie bylibyśmy tak bardzo przeciwni."

* * *

Ruch wyborczy wśród kobiet galicyjskich.

Do Dziennika krakowskiego piszą ze Lwowa.

„Wystąpienie na arenę walk wyborczych kobiet, naturalnie tylko „uprawnionych do głosowania", jest najcharakterystyczniejszym nabytkiem tegorocznych dopełniających wyborów sejmowych, które jutro zakończą się ostatecznie. Panie nasze uprawnione do głosowania, a więc właścicielki realności, sklepów i magazynów, oraz nauczycielki, zawiązały komitet przedwyborczy, pod przewodnictwem pani Katarzyny Wietrzyńskiej i wydały odezwę, że wszystkich wyborczyń jest we Lwowie około 1.400. Odezwę podpisały pp. Katarzyna Wieczyńska, Julia Barewicz, Wład. Dulębina, Marya Hoffmannowa, Stefania Kossowska, Anna Lewicka, Jadwiga Makusz, Ludwika Szwejcerowa, Sabina Teodorowiczówna i Magdalena Topolnicka.

Są to zatem pierwsze zbiorowo występujące w Galicyi pionierki na rzecz prawa głosowania wśród kobiet. Dziś po popołudniu o godz. 5 odbyło się w lokalu „Czytelni dla kobiet" pierwsze kobiece zgromadzenie przedwyborcze — niestety poufne. Przybyłych sprawozdawców dziennikarskich powitały panie „serdecznem przeproszeniem" i zapewnieniem, że same wrzucą sprawozdanie do skrzynek redakcyjnych. Chcąc cośkolwiek bodaj wydobyć dla Krakowa o tem wiekopomnem zgromadzeniu, zapytałem jednej z pań o kilka szczegółów, dotyczących udziału „wyborczyń" i przebiegu obrad, które wtedy właśnie były w toku.

Jest nas około 30 (na 1400 niestety nie wiele!) Jak pan widzi, więc i my już mamy do czynienia z „apatyą wyborczą". Dziś zdecydujemy się na jakiegoś kandydata i i na tem będzie koniec. Za wykluczenie panów przepraszamy jeszcze raz jak najmocniej; winna temu trema. Pierwszy raz radzimy nad wyborami."

LITERATURA I SZTUKA.

Z WIRCHÓW I HAL.

Cisza wieczorna.

1.

Rozmiłowana, roztęskniona,
Hen! od wieczornej idzie zorzy
Zamykać Tatry w swe ramiona.

Przed nią zawiewa oddech boży:
Wonie jedliczne i świerkowe
Ze swych lesistych wstają łoży.

A ona tuli jasną głowę
Do Osobitej, by wraz potem
Kłaść ją na piersi Giewontowe.

Po reglach muśnie li przelotem,
Czoło Świnniczne w żar rozpali
I Hawrań zleje krwawem złotem.

Tak mknąc po szczycie i po hali,
Z ogniem tęsknicy ginie w dali...

2.

Płonie kamienna Tatr korona,
A Cisza siada między granie,
Rozleniwiała, rozmarzona.

Nad przepaściami niema stanie,
Senność przelewa w mgieł opary,
Po skałach wiesza zadumanie.

Ani się ozwie bór prastary:
Ona milczeniem gniecie smreki,
Unieruchamia ich konary.

Przez cały przestwór, przez daleki,
Głuchą za sobą tęskność wlecze,
Snać dźwigającą wieki... wieki...

Za nią, jak zdrój, co ledwie ciecze,
Snują się ciężkie myśli człecze...

3.

Owiana mgłami różowemi,
Przystaje w drodze zalękniona,
Przykłada ucho swe do ziemi:

Nic!... tylko gdzieś tam echo kona,
Tylko przygasa obłok krwawy,
Tylko blednieje Tatr korona.

Pomrok osłania skalne ławy,
A od nich płynie do stóp Ciszy
Li jednostajny szmer siklawy.

Czasem zaklęty las zadyszy,
Albo wystrzelił krzyk pastuszy
I znikł... I ona znów nie słyszy

Nic w tej przelękłej, mrocznej głuszy —
Nic, prócz pojęku twojej duszy...

4.

Rozmiłowana, roztęskniona,
Schodzi powoli od miesiąca
Zamykać Tatry w swe ramiona.

Po halach srebrne krople strąca,
Srebrzy potoków seledyny,
Ciche pacierze szeptająca.

Upłazy tuli w całun siny,
Szkliwy, jak przędze te pajęcze;
Blask żenie srebrny na gęstwiny;

Blask żenie srebrny na przełęcze,
Na wichry, kopy, na grzebienie,
Na przepaściste ścian poręcze —

Blask naokoło srebrny żenie,
Z nim wyczerpanie i omdlenie...

5.

Opadły Tatry i omdlały,
Gdy na nie Cisza rozmarzona
Płaszcz zarzuciła wiewny, biały;

Gdy rozpostarła swe ramiona —
Srebrnej rozświetli mgławe smugi —
Garnące czoła gór do łona:

Jak pas szeroki, jak pas długi,
Od Lodowego do Krywania,
A z nimi puszcze, stawy, strugi,

Szczyt się przy szczycie ku niej słania...
Ona omdlenie wciąż rozsiewa.
Aż w tym bezkresie wyczerpania

Sama jak tęskna mdleje dziewa...
A z nią i ludzki ból omdlewa...

Jan Kasprowicz.

łowikiem bądź, nic nie dają, nie potrzeba, nie nużda... Czełowikom...

A Bratatałowicz usiadł, jak kamień, na krzywym zydlu jakimś i dusząc w głowie, duszy i mózgu płacz i kwilenie dziecięcia, próżno wołającego pokarmu z piersi, która go prawie nie miała, myślał o okropnym losie swoim i tych dwojga związanych z nim istot, a płacz dziecka mieszał się z marmotaniem jakuta i zdawało się, że wszystko: dom, ściany, sprzęty i puste naczynia, że to wszystko powtarza za Rybką groźne i złowieszcze słowa:

— Tłuszczu niema... Mięsa niema... Psia służba, psia służba!... Niema tłuszczu... Niema mięsa...

II.

...Co wy, panie?... Ja nie mogę... Przecież widzicie, u mnie już i tak kuso... A co ja pocznę, jak gorsze zimna nadejdą?... Choć z głodu zdychać!...

— Trochę tylko, mało, pożyczcie... Oddam z pewnością, w środku zimy, po Bożem Narodzeniu zaraz...

— Nie mogę, sąsiedzie... Ot, chleba kawałek, chcecie, bierzcie... Soli trochę, tytoniu... Ale nic więcej, nie mogę...

Bratatałowicz szedł dalej. Może Batynka mu pożyczy... Wszak odda napewno... Aby tylko sam wydobrzał i żona po ciężkim połogu i złej chorobie choć na chwilę się zwlokła... Wszak i nadal do kowalki się wziąć będzie w stanie i choćby sekretarzowi pomódz...

Poszedł do Batynki. Otworzyli mu nieprędko. Wreszcie wyjrzała kosmata głowa:

— Kto tam „stuczy" na dworze?...

— Ja, Sergieju Wasilowiczu, otwórzcie, prośbę do was mam...

Po chwili ukazała się w sieni figura niewysoka...

— Wchodźcie, Bratatałowicz... Po pieniądze pewnie, zapomogę?... Aj, jaki ciężki rok, jaka ciężka zima!... A u was choroba i połóg... Jak ciężko!... Co powiecie Stanisławie Kazimierzowiczu?...

— Po dwa ruble was prosić przyszedł... Nie na długo... Na miesiąc... Da Bóg, oddam wam napewno... Niech mi żona wstanie i niech mi ręce tylko dosłużą... Rybka opuszcza...

— Choć skórę z siebie... Ni kopiejki w domu... Wczoraj Maliwkin ostatnią za smarowidło pobrał... Ani kopiejki przy duszy... Mam cztery... Weźmiecie cztery, Stanisławie Kazimierzowiczu?

Bratatałowicz próbował jeszcze u Sikory. Ale Sikora, który choć był poczciwy z kościami, lecz sam wiecznie w długach, wódką go tylko poczęstował, a gdy mu się zdawało, że brak chleba trzeba czemś wytłomaczyć, wyjąkał desperacko:

— Ot, choroba i tyle... Gorzałka jedna na zalanie robaka została i to dopóki człek nie zdechnie... Nawet pomału, to się tak i przyzwyczaisz, że nic do niej nie potrzebujesz, sama idzie, jakby smarowana...

Bratatałowiczowi, którego coraz groźniejsze widmo nędzy bez ratunku przerażało, przyszedł na myśl sekretarz, u którego czasem trochę papierów przepisywał... Teraz bujał on gdzieś po okolicy... Zdybał go jednak niedaleko „kabaku"...

— Niemogę, odparł stanowczo i opryskliwie... Roboty niema, zresztą nie podołasz... Słabyś bracie!... Pieniądze się u mnie nie rodzą, a własnych nie mam... Ni „dieniezki" bym ci nie dał, bo u samego goło, jak u świętego tureckiego...

Bratatałowicz powlókł się ciężko do domu... W głowie mu szumiało, w uszach gwizdało przeraźliwie... Zdawało mu się, że nic nie słyszy i że ciemne, ponure i groźne niebo, które wisiało ogromne po nad nim, powoli spływa ku niemu i obejmuje go zewsząd chłodnemi płatami swemi, przemienia mu głowę w bryłę...

W domu zaś był, jakby odrętwiały i tak przesiedział resztę dnia w skamienieniu...

III.

Ciężka rozpacz zawisła nad Polakami... Nędza, która ich żarła już od miesięcy paru, zbliżała się coraz więcej do nich, — dotkliwsza, straszniejsza, nie przebaczająca... Widmo jej włóczyło się teraz ciągle po kątach, po sprzętach, kołysce dziecka, wychudłem ciele matki, suchych członkach Brata-

Pisma A. Świętochowskiego.

(Tom I.)

Kiedy biorę książkę Aleksandra Świętochowskiego do ręki, pierwszą myślą, jaka mi się nastręcza, bywa za zwyczaj: użyję rozkoszy stylu.

Nie chcę przez to powiedzieć, iżbym nie spodziewał się znaleźć w pismach Świętochowskiego karmi dla rozumu lub fantazyi; przeciwnie, wiem z góry, iż jej braku wcale nie zaznam; — pragnę jedynie zaakcentować tę cechę znamienną, że karm owa podana mi będzie w formie wytwornie wykończonej, o którą autor dbał tyleż, co i o treść samą.

Styl nie należy w piśmiennictwie naszem do rzeczy, stanowiących troskę szczególną twórców. Po większej części idziemy i w tej sprawie za brzmieniem rubasznego przysłowia: „jak zwał, tak zwał, byle tylko dał". Świeżość, barwność, plastyka, oryginalność wyrażenia, lekkość, werwa, dowcip ukazują się w artykułach, rozprawach, powieściach dramatach o tyle, o ile wrodzony talent pewnego pisarza ma te zalety w zasobach swoich. Ale żeby do uprawy tych darów natury chciał ktoś u nas przykładać starania i baczności, to już należy do wyjątków.

A nie mam tu bynajmniej na myśli niedbalstwa, a nawet prostej niechlujności pospolitych pismaków, bazgrzących na kolanie, co im zdarzenia chwili do mózgu wsączają, lecz stosuję tę uwagę do najpierwszych i najznakomitszych gwiazd naszego literackiego podniebia. Świecą one tak samo jak gwiazdy na firmamencie odpowiednio do swojej wielkości, ale nieposiadają pospolicie ochoty, a może nawet świadomości, by blask swój natężać lub przyciemniać. Najlepsi nawet, największym talentem obdarzeni pisarze nasi nie chcą zadawać sobie trudu przeglądania i poprawiania swoich rękopismów, nie są czuli na pewne usterki nietylko względem subtelniejszego pojmowania stylu, ale nawet względem zwykłych pospolitych, elementarnych przepisów sztuki pisarskiej.

I tak np. można się prawie założyć, że rzadko przybędzie utalentowanemu pisarzowi na myśl uwaga, jak niezładnie brzmi dla ucha częste nieraz w jednem zdaniu parokrotnie powtórzone słówko *był*, *była*, *było*, jak ponawiające się na początku, w środku lub na końcu wyrazów dźwięki pewne, użyte bezwiednie, tj. bez zamiaru wywoływania szczególnego efektu, niemile drażnią słuch człowieka wrażliwego na formę wysłowienia. Dotychczas u nas zwracano uwagę na takie szczegóły w rozbiorze poezyi tylko, wytykając chropowatości wiersza; co do prozy, nie pamiętam, żeby ktoś w recenzyi czegoś podobnego się dopuścił; poczytanoby go zapewne za gruboskórnego pedanta, który wykładając stylistykę i poprawiając ćwiczenia swoich uczniów, nabrał przyzwyczajeń szkolarskich i chciałby niemi krępować twórczość utalentowanego ducha.

Dochowały się jeszcze u nas dotychczas oddźwięki z owej epoki, kiedy prawidła wszelkie zaczęto uważać za hamulec swobodnego lotu fantazyi. Dzisiaj, chociaż dużo się mówi o formie, chociaż niektórzy wyżej ją w twórczości artystycznej cenią od treści, kończą się te wybryki przeważnie albo na teoretycznem jeno uznaniu ich słuszności, albo też na ubieganiu się za dziwacznemi połączeniami wyrazów.

Mało kto chce pamiętać, że słowa składają się z dźwięków, że zatem dbałość o piękno formy sięgać powinna aż do tych ostatecznych składników wyrażania myśli.

Atoli nietylko o same dźwięki i ich połączenia idzie mi tutaj, gdy mówię o niedbalstwie stylowem; podobne spostrzeżenia zrobić można co do układu wyrazów, co do ich wyboru, co do kształtowania zdań, ich spajania w ustępy, czy okresy. Pod każdym z wymienionych tu względów w najświetniejszych nawet utworach współczesnych, np. w pismach Sienkiewicza znaleźć można bez wielkiego mozołu liczne przykłady nieuwagi, pośpiechu, niewrażliwości na szczegóły, że tak powiem, akustyczne stylu. Wszyscy prawie zapominają, że dzieło sztuki słowa przeznaczone jest nietylko dla umysłu, ale także dla słuchu.

Świętochowski stanowi w tej mierze jedyny wyjątek.

Od początku swego literackiego zawodu, tj. od czasu, gdy publicystyką zajmować się zaczął, nie zaufał on wyłącznie wrodzonemu talentowi swemu, subtelnemu poczuciu stylu, lecz starał się go kształcić i doskonalić: a kiedy się wziął do tworzenia dzieł sztuki, dramatów i powieści, jeszcze usilniej nad owładnięciem narzędzia twórczego pracował. Wszelka niepoprawność, chropowatość, pospolitość raziła go, jak „zgrzyt żelaza po szkle"; ztąd popadał niekiedy w ostateczność, w zbytnią wytworność wyrażenia, która niezawsze licowała z temperamentem i ukształceniem osób rozmawiających: — ale wskutek takiej pieczołowitości o styl, wyodrębnił się od całej grupy współczesnych prozaików.

Jeśliby wszakże wysłowienie Świętochowskiego posiadało tylko zalety, o których dotychczas mówiłem, mielibyśmy w nim pisarza poprawnego i wytwornego. Jest on jeszcze czemś więcej, bo stylistą oryginalnym. Jak najkrócej wyrazić, na czem ta oryginalność polega? Możnaby powiedzieć, że na szczególnej zwięzłości pełnej blasku.

Niejednokrotnie Świętochowski wyrzucał naszym autorom dawnym i nowym gadatliwość, rozwlekłość i wodnitość. Sam też w stylu swoim chciał być i został przeciwstawieniem wad tych, u nas nieomal zakorzenionych: skondensował swe wyrażenia tak, iż dla niewprawnych w myśleniu mogą się one niekiedy zagadkowemi wydawać, a opromienił je taką świetnością, że migocą się one, jak drogie kamienie. Świetność tę czerpie autor częściej z umiejętnego, artystycznego zestawienia pojęć, wytwarzających świeże, oryginalne przenośnie, aniżeli ze świata zjawisk zmysłowych, któremi od wieków posługiwali się poeci.

Nie nazwałbym Świętochowskiego „kolorystą" w stylu, ponieważ w obrazach jego zauważyć można niewiele ciepłych barw; jest to raczej mocarz słów „lśniących jak mozajka", chociaż rzadko „śpiewających jak słowiki", jest to artysta, rozporządzający nadzwyczaj bogatem słownictwem, obeznany doskonale z właściwościami wyrazów i zwrotów przez siebie używanych, wybredny w wyborze i doborze każdej cząstki, składającej się na frazes, czuły niesłychanie na harmonię dźwięków, świadomy tajników zarówno mowy jak myśli, zasobny w dowcip wytwor-

---

tałowicza, po niechlujnym i dzikim Rybce wreszcie...

Wyciągała coraz więcej ku nim długie swe, ciemne ramiona i owijając ich niemi powoli, wołała, jakby z uporem.

— Pójdźcie, ja was wszystkich utulę... na zawsze!...

Bratatałowicz się wzdrygał, szukał ratunku, pomocy, oparcia... Starał się ją zażegnywać, odpychać, usunąć i przegnać na zawsze... Jednak ona zdawała się być mocniejszą i więcej stalszą od niego, z większym niż jego uporem sięgała po tych czworga i wyszczerzając do nich straszne swe zęby, nie przestawała nawoływać jednako:

— Pójdźcie, ja wam ukojenie dam!...

A polak chciał żyć i życiem swem dwie ukochane istoty od śmierci ocalić!... Tem straszniejszem było jego uczucie, gdy codziennie kładąc się na nędzny barłóg, całe noce przelegiwał z wlepionemi w jeden punkt, jak słup, oczyma i widział, jak na jawie, że ta, co tam stała, odarta i bezczelna, zwycięży go wreszcie i pociągnie za sobą tam, gdzie wskazywała jemu i tym dwojgu spokój wieczny i niezmącony...

A przecież drżał na tę myśl i pożądał życia dla nich i dla siebie...

Teraz spełnił się kielich... Jedyna pomoc obecna i podpora, nieoceniony i niezastąpiony niczem Rybka, porzucał ich i szedł w świat między ludzi ocalić choć siebie i nie dać zamrzeć sobie nędznie, marnie, śmiercią głodową...

Dla czegoż nie miał tego uczynić!?...

Bratatałowicz szarpał włosy...

Czy co wiązało go z nimi. czy był ich bratem, przyjacielem, psem?... Czy przysiągł im wierność do grobu, czy związał los swój z ich losem?... Czy przyrzekał im zostać i te parę tygodni żywić ich swą pracą?... Wszak on był wolnym nędzarzem, któremu wszystko jedno, przy jakim ogniu chleb swój jeść będzie, byle go miał poddostatkiem, byle go uczciwie zarobił?... Czyż jego można było winić?...

A jednak Bratatałowicz, gdy teraz przygnębiony i zupełnie zda się złamany, myślał nad tem, to mu się dusza wzdrygała, że ten jakut tak czyni. Gdy w długie bezsenne noce słyszał donośne kwilenie dziecięcia i ciężkie, halucynacyjne poruszenia żony, gdy czasami krótko na chwilę zajęczał jej kaszel suchy i zamarł w cichem rzężeniu, gdy jego czasami samego nachodziły jakieś wizye i widzenia, i gdy to wszystko pomieszawszy się z sobą, tańcząc w piekielny takt dokoła, szalało żywe, a jednak niewidzialne, wtedy sądził, że to ostatnie przejawy życia przychodziły i w brutalny, dziki jakiś sposób dawały znać o sobie... Jedynem wspomnieniem, którem usiłował zażegnywać te mary, była myśl o obecności Rybki, który do tej pory zręcznością swoją, posługami i pracowitością, zdobywał u obcych coś nie coś i podczas gdy on, sam po ciężkiej chorobie niewyleczony, dniami całemi nie opuszczał barłogu chorej żony, zapatrzony w nią błędnie i niebezpiecznie chorą najtroskliwszą opieką otaczający, Rybka biegał po mieście i pomagał do żywienia rodziny... Teraz było najgorsze i najlepsze. Nie żyć im już było na tym świecie... Wiedział, co ich czeka, a jeśli umierać, to wszystkim... Jakut opuszczał ich z postanowieniem niezłomnem... Nawet jego silna natura okazała się niezdolną do dalszego przenoszenia tego życia, i to co powiedział, prawdą było... Opuszczał ich nieodwołalnie, a nad nimi zawisnął...

— Grób, tylko cichy, spokojny, dobry grób!... wyszeptało z niemą prośbą, blade widmo, które Bratatałowicz ciągle widział, jak stało w rogu i z chciwością łowiło bieg jego myśli....

Niedaleko zaś, na paru skórach wytartych, niedojrzany przez bladą postać, leżał Rybka i szarpiąc ręką w ciężkim śnie, od czasu do czasu jakby jęczał żałośnie:

Nie mogę... nie mogę... Taka psia służba... I mięsa nie dajecie i tłuszczu nie dajecie i nic... Dopóki mogłem, to siedziałem... A teraz nie mogę, nie mogę, nie mogę...

Bratatałowicz zwrócił nieprzytomne swe oczy na bredzącego jakuta, i w głuchej ciszy izby powtórzył za nim, jak echo, błędnie:

— Nie możesz, nie możesz, nie możesz...

Naraz w jego oczach coś zaświtało, nic złowieszczego, lecz ogromnie spokojnego i niecofniętego...

— I nie potrzebujesz, Rybka, nie potrze-

ny, skłonny do antytez i epigramatycznego sposobu formułowania swych wywodów i określeń.

Długie to wyliczenie zapewne nie wyczerpuje wyszystkich cech stylu Świętochowskiego, bo subtelność jego wysłowienia nie da się ująć w jakąś formułę już znaną — a to samo właśnie dowodzi najlepiej jego oryginalności.

(Dokończenie nastąpi.)

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Państwo żydowskie

Do niedawna można było całe żydowstwo dzielić na dwa wielkie obozy: z jednej strony asymilatorzy-postępowcy, dążący do wyemancypowania żydów zarówno z pod ucisku obcych społeczeństw, jak z własnych zastarzałych przesądów i wyobrażeń, z drugiej prawowierni zacofańcy, stojący niewzruszenie przy dogmatach zakonu, separyzujący się dobrowolnie i z umysłu od reszty społeczeństw i upatrujący w tem odosobnieniu jedyną gwarancyę zakonserwowania swej odrębności narodowej i religijnej. Pierwsi należeli do przeróżnych partyi politycznych, przyczem każdy z nich na swój sposób dążył do asymilacyi; drudzy, unikając wszelkiej styczności z nie-żydami, nie brali wcale udziału w życiu politycznem, jakkolwiek przeważnie popierali rząd, upatrując w tem jedyną możność zabezpieczenia sobie ewentualnej pomocy jego przeciwko napaściom i wybrykom antysemitów. Obecnie wypada się liczyć z nową partyą żydowską, która przybrała nazwę „syonistycznej“. Należy ją ściśle odróżnić od ortodoksów, z któremi nie wiele ma wspólnego, podobnie jak cele jej i aspiracye wręcz są sprzeczne z celami asymilatorów.

Syoniści wychodzą z założenia, że wszelkie próby asymilowania żydów okazały się bezowocnemi. Rozbijały się zarówno o niechęć i wprost wrogie usposobienie społeczeństw nieżydowskich, jak o odporność żydów samych. Naród, który mimo wiekowego ucisku i prześladowań, potrafił utrzymać swoją indywidyalną odrębność, — rozumują oni — nie może zlać się z innemi, nie tylko nie może, ale przedewszystkiem nie chce. Naród taki musi przeciwnie dążyć do utrwalenia swego bytu narodowego, a ostatecznym celem jego być musi: samodzielność i niepodległość. Nie godzi się to z godnością narodu, który odznacza się niesłychanem bogactwem sił żywotnych i zasobów intelektualnych, aby wpraszał się do obcych, aby żebrał u nich litości i zbierał okruchy łaski, które mu ci wspaniałomyślni rzucają; naród ten ma dosyć sił, aby samemu sobie pomódz, aby własnemi siłami starać się o utrzymanie swego bytu, a w przyszłości dążyć do niepodległości i swobody. W istniejących więc warunkach separować się od społeczeństw innych i wzajem sobie tylko pomagać, rozbudzać i rozwijać w sobie poczucie godności narodowej i świadomość odrębności indywidualnej, przestrzegać gorąco wiary i obyczaju ojców: oto program na teraz; stworzyć kiedyś w przyszłości państwo samodzielne: oto program na przyszłość.

Na pozór zdaje się, że pokrewieństwo dążeń łączy syonistów z partyą hasydów. Nic mylniejszego! Syonizm nie pragnie zamknąć żydów w średniowiecznych *ghettach;* on chce ich podnieść do wysokiego poziomu kultury i oświaty, tylko bez pomocy i współudziału innych społeczeństw, on chce wskrzesić dawną literaturę żydowską, powołać do życia narodową organizacyę polityczną, w końcu — żydowskie państwo, które jednak niema być średniowiecznem państwem feodalnem pod protektoratem możnych rodów i „wielkich“ rabinów, ale nowoczesną republiką, wyposażoną we wszytkie zdobycze cywilizacyi i kultury, stojącej na wyżynie współczesnych prądów. Tu jest właśnie przepaść, dzieląca go od hasydyzmu. Syonizm łączy z asymilatorami dążenie do oświaty i kultury; z hasydami dążenie do zakonserwowania wiary i obyczaju narodowego; od obu dzieli go dążność do separatyzmu politycznego i socyalnego, który jednak niema być separatyzmem umysłowym.

Jak w każdym programie politycznym, największą wagę ma oczywiście cel ostateczny, który w danym wypadku przedstawia się jako dążenie do stworzenia państwa żydowskiego. W dotychczasowych enuncyacyach syonistów cel ten występował bardzo niewyraźnie, otoczony grubą mgłą. Było to marzenie, które otwierało wdzięczne pole do rozmyślań, lirycznych ekspresyi, nacechowanych iscie oryentalną bujnością fantazyi, dawało sposobność do wygłaszania pełnych polotu mówek na wieczorkach i zgromadzeniach, lecz do praktycznej dyskusyi politycznej nie nadawało się.

Obecnie znalazł się ktoś, który marzenie to przedstawił w realnym kształcie. Teodor Herzl, znakomity feljetonista, były korespondent paryski do „Neue Presse“, wydał przed niedawnym czasem broszurę, zatytułowaną: „Państwo żydowskie[1]), w której wystąpił z gotowym projektem nowego państwa. Bardziej zdumiewającym, niż sam projekt, jest fakt, że pochodzi on od Herzla. Autor znany jest w świecie literackim jako publicysta wytworny, cięty na wzór Heinego, pełen delikatnej ironii, i gryzącego sarkazmu, przytem sceptyk-dekadent, który gotów wszystko ośmieszyć dla efektu stylistycznego. Wielka bystrość obserwacyi, sztuka krótkiego — możnaby powiedzieć „telegraficznego“ — charakteryzowania osób i sytuacyi, niezwykła kokieterya stylu, która pozwala mu częściej olśnić czytelnika, niż przekonać, w połączeniu z brakiem ciepła wewnętrznego i pewną oschłością, że nie powiemy zblazowaniem — oto są cechy pisarza, który, mimo swych łamańców stylistycznych, jest jednym z najwybitniejszych publicystów niemieckich. Zbiór sylwetek pierwszorzędnych parlamentarzystów francuskich, ogłoszony przez niego w odcinku „Neue Presse“, a wydany potem osobno pt. „Palais Bourbon“ — to arcydzieło swego rodzaju, jakiemu mało równych.

---

[1]) Der Judenstaat. Versuch einer modernen Lösung der Judenfrage von Teodor Herzl, Doctor der Rechte. Lipsk i Wiedeń 1896.

---

bujesz, nie!... dodał dziwnym jakimś głosem, zrywając się z barłogu swego pod ścianą. O! nie będziesz potrzebował!

To mówiąc, podszedł do kominka pod wędzarnię i wziąwszy ztamtąd duży ostry nóż, który służył zwykle do czyszczenia skór reniferowych, stanął pośrodku izdebki z rozszerzonemi, wpatrzonemi uporczywie w widmo oczyma i począł szeptać coraz prędzej i głośniej, jak człowiek, będący w wielkiem podraźnieniu, lub pobudzeniu:

— Panie Boże, jeżelim zgrzeszył, odpuść mi! Panie Boże, jeżelim przewinił, przebacz mi... Jeżelim kogo skrzywdził, nie pamiętaj mi tego...

— Panie Boże, daj mi dość siły, bym to uczynił, a jeśli ręka moja by zadrżała, dodaj mi Boże rozpaczy...

— I wiedz Boże, że nie z podłości to czynię, lecz dla skrócenia mąk... I jeśli nie widzisz cierpień jej i tego stworzenia niewinnego, ulituj się nad nami i wejrzyj... A jeśli przeklinać będziesz, powstrzymaj rękę swą nieubłaganą i nie rzuć kamieniem... A gdy już będziemy bryłą, wejrzyj na katusze nasze i przyjmij nas na łono swoje... Ulituj się, Boże Najwszechmocniejszy, i przebacz... Zbaw nas od zguby wiecznej i pamiętaj w straszną godzinę sądu Odkupicielu i Zbawicielu... — To jęcząc, — przestąpił próg izby sąsiedniej i po chwili w niej zniknął.

* * *

Na drugi dzień stary jakut, który zwlókł się z posłania swego z trudem nieopisanym, zmęczony chorobliwym snem, w jaki wycieńczony zapadł, został niepomiernie zdziwiony widokiem, który się jego oczom w sąsiedniej izbie, do której się po bezskutecznem nawoływaniu udał, przedstawił:

Na tapczanie, z głową owisłą na dół, leżało zbroczone krwią, z piętnem silnej choroby na sobie, ciało młodej kobiety, niedaleko z zaciśniętemi piąstkami już nieżywe spoczywało niemowlę, a na glinianej podłodze twarzą do ziemi zwrócony i z rękoma na krzyż rozłożonemi i kurczowo zaciśniętemi, walał się długi trup Bratatałowicza... Obok niego kałużami czerwieniła się skrzepnięta krew.

— Co to, co to? szepnął jakut... Nieszczęście... Straszne... I już nic nie mieli do jedzenia. Ostatnią kość ze szpikiem wczoraj im od Czartkowa przyniosłem... A ona nawet niemowlęcia czem karmić nie miała... Nieszczęście!... I Bóg nie uchronił i zarżnęli się, zarżnęli, i nie ma ich, nie ma!...

Strach jakiś i niepokój zaczęły go opanowywać...

Potem starał się owładnąć tem uczuciem, ale miast otrząść się z niego, poddawał mu się coraz więcej... W końcu drgnął parę razy i patrząc z wzrastającem przerażeniem na nieżywą kobietę i martwego trupa Bratatałowicza, zdawał się wylękłemi i szklanemi swemi oczyma niepojmować tego, co tu zaszło... Wreszcie nie wytrzymał i z wzmacniającem się uczuciem panicznego strachu, począł cofać się ku drzwiom. Czuł jak mu się włosy zjeżyły na głowie i jak w skroniach zaczęło tętnić coraz bardziej.... Po chwili wrzasnął głośno przeraźliwie:

Pan Braczaczewicz, pan Braczaczewicz!... Ja zostanę u was, wy nie umierajcie, ja zostanę u was, wy nie umierajcie, ja zostanę!.

Ale Bratatałowicz, który był już nieżywy, zaśmiał się na to tylko wzgardliwie i z gorzką ironią powtarzać zaczął:

— Nie gub duszy, Rybka... Przyjdzie lepiej, będzie i tobie tłuszcz i mięso... Na Chrysta molim cię, Rybka, nie porzucaj, człowikom bądź!...

Jakutowi pociemniało w oczach... Potem schwycił się za głowę i wyleciawszy z domu jak szalony, począł krzyczeć ratunku w niebogłosy... Ten i ów wyjrzał z chałupy, niektórzy przybiegli mu na pomoc, ale gdy weszli do domu Polaka, ujrzeli go tylko martwego, leżącego z rozkrzyżowanemi rękoma na ziemi i wychudłemi swemi ramionami, jakby broniącego kobiety i dziecka, których zamordował...

Monachium 1896.

KONIEC.

Ten tedy Herzl nagle wystąpił z praktycznym projektem stworzenia samodzielnego, niepodległego państwa żydowskiego. Człowiek, który nigdy się nie zapalał, który ani na chwilę nie wychodził z roli „genialnego kpiarza“, który raczej o brak wszelkich przekonań dałby się posądzić, niż o dogmat, zapala się nagle do jednej myśli, jak pierwszy lepszy dziennikarz z prowincyi. Nie wolno nam ani na chwilę przypuszczać, że sprawy na seryo nie traktuje. Autor omawia kwestyę z całą powagą, i choćby nawet nie było wplecionych w jego dziele tu i owdzie wskazówek, aby autora traktowano „na seryo“ (uczynionych zapewne ze względu na przeszłość autora jako feljetonisty), sam układ dzieła, sposób pisania, wreszcie treść sama, świadczą wymownie, że autor rzecz traktuje z całą powagą, z głębokiem przekonaniem wewnętrznem i ciepłem, które się udziela i czytelnikowi z widocznym zamiarem przekonania go, z wiarą w słuszność swoich wywodów. Skąd to wszystko bierze się u autora „Palais Bourbon.“ Nikt pono tak idealizmu blizko nie stoi, jak dekadent; nietylko du sublime au ridicule, — od zwątpienia do wiary, od apatyi do zapału także tylko jeden krok. A zresztą któż nam ręczy, że osądziliśmy autora trafnie. Kto zapewni, że w istocie jest takim, jakim znamy go z jego pism? Któż wie, czy pod powłoką szyderstwa nie bije gorące serce, nie kryje się czynów łaknący umysł, ciepłem życia tchnąca indywidualność.

Autor rzecz swą rozpoczyna od skonstatowania przyczyn antysemityzmu i krytyki dotychczasowych sposobów rozwiązania kwestyi żydowskiej. Według zdania jego antysemityzm doby współczesnej nie jest wynikiem fanatyzmu religijnego. Ten bowiem oddawna już przestał istnieć. Kwestya żydowska jest kwestyą przedewszystkiem narodowościową. Nienawidzą żydów, bo są... żydami.

Wszystkie społeczeństwa europejskie są otwarcie lub skrycie (verschämt oder unverschämt) antysemickie — zwłaszcza lud. Dowodem najwierniejsze objawy opinii ludowych: przysłowie i bajka. Nienawidzą żydów nietylko dla ich wad, jeszcze w wyższym stopniu dla ich zalet. Ważną niezmiernie rolę odgrywają stosunki ekonomiczne. Emancypacya żydów nastąpiła zbyt późno. Żydzi byli już wtedy skrystalizowaną masą, niezdolną do zupełnego zasymilowania się. Po emancypacyi znaleźli się w sferze burżuazyi, są bowiem narodem, należącym do średniej warstwy społeczeństw (Mittelstandvolk). Z powodu specyalnych uzdolnień i historycznego rozwoju, w warstwie tej zdobyli przewagę ekonomiczną, narażając się przez to na zazdrość pokonanych konkurentów zarówno, jak proletaryatu. Ta zawiść (z pobudek ekonomicznych płynąca) w połączeniu z wrodzoną awersyą ludów do żydów stworzyła antysemityzm. Jakkolwiek kierunek ten wzrasta z dniem każdym i coraz to staje się gwałtowniejszym, przecież nie grozi żydom utrata równych praw obywatelskich. Akcya w tym kierunku przeciw żydom podjęta nie da się pomyśleć. Bo po pierwsze byłaby sprzeczną z ogólnemi pojęciami współczesnemi, a następnie spowodowałaby natychmiastowe przejście wszystkich żydów do partyi przewrotu. A jednak stan żydów jest nieznośny. Nie prześladują ich tak, jak w średnich wiekach, a przecież i obecne szykany — acz bez porównania mniej bolesne — nie mniej dotkliwie dają im się we znaki, bo są teraz wrażliwsi.

Kwestya żydowska zaognia się przez to, że żydzi produkują nadmiar średnich inteligencyi (adwokatów, lekarzy, techników itp.), które nie mając odpływu do urzędów, zaostrzają między żydami samemi walkę konkurencyjną i przy równoczesnym nacisku ze strony burżuazyi chrześciańskiej przyspieszają sproletaryzowanie tychże. W ten sposób pod wpływem nacisku z zewnątrz i wewnątrz, żydowski stan średni upada prędzej jeszcze, niż chrześciański, podobnie też proletaryat żydowski bardziej cierpi od chrześciańskiego. Z jednej strony wzrasta kolosalnie potęga finansowa wielkich kapitalistów żydowskich, z drugiej straszna nędza proletaryatu. Zarówno w obozie kapitalistycznym, jak i socyalistycznym żydzi stoją na najskrajniejszych posterunkach. Wynika z tego, że ewentualna walka socyalna pomiędzy niemi w pierwszym rzędzie musiałaby być stoczoną, skazując obie strony — jako na pierwszy ogień idące — na zagładę. Dla tego socyalizm — tak bardzo dla kwestyi żydowskiej groźny — rozwiązać jej nie może.

Pozostaje drugi system: asymilacya. Jest ona utopią. Żydzi starali się wszędzie usilnie o rzetelną asymilacyę. Pomnażali bogactwo narodów, wzbogacali ich literaturę, naukę i sztukę, przelewali za nie krew — wszystko napróżno. Narody nie chcą, by żydzi się zasymilowali. Lud jest im przeciwny. Lud wprawdzie jest wszędzie jeszcze wielkiem dzieckiem, któreby można wychować, ale wychowanie to zadługoby trwało... Jedyny sposób asymilacyi, to małżeństwa mieszane. Te jednak nie kojarzą się z powodu niechęci chrześcian. Żadna ustawa na to nie pomoże. Jedynym środkiem, któryby był zdolny zniewolić do tego chrześcian — to potęga ekonomiczna żydów Gdyby wszyscy żydzi doszli do wielkiej potęgi finansowej, wówczas małżeństwa mieszane stałyby na porządku dziennym. Dowodem: magnaci żydowscy, którzy kojarzą się ze szlachtą chrześciańską. Taka potęga finansowa jednak w stanie średnim, a cóż dopiero w proletaryacie żydowskim, nie da się pomyśleć, bo żydzi są mniejszością, która w dodatku nie posiada władzy ani wojskowej, ani administracyjnej.

Prócz tych głównych sposobów rozwiązania kwestyi żydowskiej są inne, podrzędnego znaczenia — również bez wartości: 1) kolonizacya, 2) osadzenie żydów na roli. Żydzi emigrujący albo giną w nędzy, albo dochodzą do dobrobytu; w takim razie powołują do życia antysemityzm i w ten sposób importują go tam, gdzie go dawniej nie było. Co się tyczy schłopienia żydów, to środek ten jest anomalią. Wobec postępów techniki, chłop ze swojemi prymitywnemi narzędziami staje się z każdym dniem coraz bardziej śmieszną figurą, skazaną na zagładę. Zresztą sami chłopi — wobec smutnych stosunków agrarnych — niedopuściliby żydów do roli, obawiając się słusznie konkurencyi.

(Dokończenie nastąpi.)

Z estrady i sceny.

(Odgrzewana miłość. Komedya w 5 aktach Żegoty Krzywdzica).

Chcąc na wstępie dzisiejszej recenzyi rozstrzygnąć pytanie, czy talent prawdziwy przemówił do nas z sobotniej premiery, jestem w niemałym ambarasie. Kategoryczne „tak“ byłoby równym fałszem, jak kategoryczne „nie“. Wątpię bardzo, czy p. Żegota Krzywdzic napisze kiedykolwiek dobrą sztukę, nie wątpię jednak, że może napisać utwór, który chwilami zajmie, zaciekawi, i poruszy publiczność. Posiada on bezwarunkowo znajomość sceny, poznał tajemnicę faktury dramatycznej, umie akcyę poprowadzić żwawo, umie nawet portretować życie, lecz wszystko to psuje i krzywi brakiem smaku i miary artystycznej. Jest on, jak aktor niepozbawiony głosu i rutyny, lecz spekulujący wiecznie na gusta galeryi, przylepiający do każdej roli trzaskające karmelki i poświęcający dla chwilowego efektu prawdę i logikę. Sztuka zajmuje, lecz zgrzyta i skrzypi mnóstwem dysonansów.

Zanim uzasadnię powyższe twierdzenie, muszę choćiaż w dwóch słowach zapoznać czytelnika z treścią sobotniej premiery.

Obywatel ziemski p. Ciot, owdowiały ojciec dorosłej córki, poślubił młodą rozwódkę Matyldę. W chwili, gdy się kurtyna podnosi, Matylda jest w trakcie powtórnego zakochania się w swoim pierwszym mężu Tarkiewiczu, którego dobra sąsiadują z majątkiem Ciota. Kosztem prawdopodobieństwa nić zerwana znowu się nawięzuje, i gdy się akt drugi rozpoczyna, rozwiedzeni małżonkowie odgrzewają już na dobre wystygłe afekty na zabawie połączonej z loteryą fantową i teatrem amatorskim w domu państwa Ciotów. W towarzystwie znajduje się także naczelnik rosyjski Kobylin wraz z małżonką swoją, — dwie postacie posiadające niewątpliwie sporo plastyki, życia i humoru. Kobylinowie sympatyzują z Polakami i chętnie do obywatelskich zaglądają domów, a szlachta ceniąc ich serca i urzędowe przysługi, drzwi im gościnnie otwiera, lubo pani naczelnikowa uśmiecha się czule do butelek z złotemi szyjkami i pogodzić nie może „szerokiej natury“ z formami polskiego salonu.

Szumi tedy zabawa. — Matylda i Tarkiewicz odgrzewają miłość, — Kobylinowa już się do „kozaczka“ zabiera, a młoda Bronka, córka pana Ciota z pierwszego małżeństwa, grucha na stronie ze Stachem, — tajemniczym młodzieńcem, który tu przybył z daleka i podobno składki zbiera na Unitów. Nagle uderza grom z jasnego nieba. Kobylin otrzymuje rozkaz telegraficzny aresztowania Stacha. Nie uczyni tego, nie brzęknie łańcuchem w tym gościnnym domu. Odbiera tylko słowo od młodego patryoty, że nazajutrz sam stawi się w biurze dla spisania protokółu.

Nazajutrz jednak przyjeżdża na śledztwo wysłannik żandarmeryi warszawskiej, niejaki Mordowcew. Poczciwa Kobylinowa uprzedziła wprawdzie Ciotów o grożącem niebezpieczeństwie i zaopatrzyła Stacha w paszport fałszywy, lecz wśród krzyżowych pytań zręcznego agenta plączą się fatalnie wszyscy podsądni. Ostatecznie w skutek nietaktownego zachowania Mordowcewa robi się awantura, grzmią strzały, błyskają pałasze.

Akcya przenosi się teraz do miasta gubernialnego. Ciota i Stacha wtrącono do więzienia, a rodzina czyni starania, aby ich przed Sybirem ocalić. W trakcie tych zabiegów wplątał się Tarkiewicz na dobre w awanturę miłosną z swoją eksmałżonką, którą w czasie wizyty Mordowcewa ranił wystrzałem sołdat rosyjski. „Odgrzawszy“ dawne zapały postanawia uciekać zakochana para. Bronka jednak odkrywa ukryte plany, a stryjenka Tarkiewicza, panna Jastrzębianka, surowa i rubaszna werystka, przedstawia Matyldzie tak energicznie nikczemność jej postępowania, że pani Ciotowa rozwodzi się po raz drugi z swoim eksmałżonkiem i wraca na drogę obowiązku. Po burzy słońce — nach berühmten Mustern... Mordowcew otrzymawszy od Ciotów 3000 rsr. jako „honoraryum“ zdaje korzystny raport do Warszawy, — Ciot wraca z więzienia na łono rodziny, — Stach ucieka za granicę, a goni go tylko zakochana Bronka.

Taką jest fabuła sztuki. Nie uznaję za właściwy zarzut jednego z recenzentów poznańskich, że kardynalnym błędem utworu jest zbudowanie grzesznego romansu na patryotycznym podkładzie. Z takiego splątania ludzkich ułomności z szerokiem tłem polityczno-narodowych stosunków mógł powstać dramat wstrząsający, gdyby nici intrygi łączył prawdziwy artysta. Ale p. Żegota

Krzywdzic artystą jest tylko w połowie i nie troszczy się ani o prawdopodobieństwo sytuacyi, ani poczucia rzeczywistego piękna w duszy swej nie nosi. Pomijam już zupełnie owe konie, które Matylda drażni umyślnie, aby ją uniosły, potrzaskały powóz i w ten sposób zmusiły eksmałżonka, aby ranną do swego domu wprowadził, — pomijam drobne nieprawdopodobieństwa w tej galopem „odgrzewanej miłości“, — ale zdaje mi się, że publiczność ma prawo spytać się autora o dzieje tej kobiety, która dziś zaślubia jednego, jutro się rozwodzi, pojutrze z drugim staje do ołtarza, a w tydzień znów wraca do pierwszego. Na świecie dzieją się tak dziwne rzeczy, że ostatecznie coś podobnego wydarzyć się mogło, ale w takim razie autor powinien powiedzieć wyraźnie, dla czego rozwód nastąpił. Ogólnikowe wyznanie Matyldy, że cała wina ciąży na niej samej, nosi piętno ambarasu na czole, i zresztą nie tłomaczy niczego. Kościół dla błahych powodów rozwodu nie daje, jeżeli zaś powody te były ważne, a mimo to takiej natury, że już przy drugiem spotkaniu eksmałżonków pozwalały na „odgrzewanie miłości“, to chyba naturalnem jest żądanie wysłane pod adresem autora: „Mów, co to było!“ Pan Krzywdzic nie odpowiada, bo odpowiedzieć nie umie, a nie uprawdopodobniwszy niczem sytuacyi, tak na początku jak na końcu sztuki stawia nam zagadkę.

Darowałbym jednak ten hiroglif autorowi sobotniej premiery, gdyby na kruchym fundamencie zbudował gmach artystycznie skończony. Stało się jednak inaczej. Rusztowanie jest niewątpliwie zręczne, linie wznoszą się i krzyżują dość harmonijnie, ale całość sztuki, niesmaczna ornamentyka i fałszywy koloryt psują to, co w sztuce jest piękne i dobre, psują a przynajmniej zacierają prawidłowość szkieletu. Jest n. p. ładna scena, gdy stary Ciot przed krzyżową drogą do wrót cytadeli żegna się z córką. W urywanych słowach dyalogu, w łzach i w jękach tłumionych jest sporo uczucia, lecz nagle w kulminacyjnej chwili siada jedna z osób do fortepianu i wali hymn narodowy. To jest i nieprawdziwe i śmieszne. Ten fortepian nie podnosi nastroju, lecz psuje cały koloryt. Albo znów na początku aktu czwartego wprowadza autor dyalog chłopa polskiego z sołdatem rosyjskim. Rozmowa posiada dużo prawdy i humoru, na końcu jednak zjawia się nagle grymas melodramatyczny: — sołdat zaczyna się skarżyć, że nie miał matki, któraby go nauczyła czuć i kochać. W ustach tego sołdata brzmi ten Byronowski akcent zupełnie sztucznie i fałszywie. Pan Żegota Krzywdzic pamięta bezustannie o publiczności trzeciego piętra i tak go kuszą tanie oklaski tych wyżyn, że choćby zaczął jak najlepiej scenę, w zakład iść można, że ją źle zakończy. A przytem nie posiada on w naturze swego talentu tego subtelnego poczucia barwy, które dyalogowej stronie dramatu nadaje charakter prawdy i życia. Jest coś forsowanego, coś sztucznego w jego stylu i jego dowcipach, że tylko przypomnę tu kłótnię starej werystki Jastrzebianki z cholerykiem i cynikiem Szafrańcem. Rozumiem, że nawet w salonowych stosunkach ludzie się unoszą, — rozumiem, że pewna dążność do plastyki wysłowienia tkwi w charakterze Jastrzębianki, ale sposób, w jaki przemawia prawdomówna panna, graniczy już z tynglem lub burszowską knajpą, i zamiast działać humorystycznie, budzi tylko niesmak w danych warunkach. Przytem ma autor „Odgrzewanej miłości“ pewien zasób dowcipów pozbieranych z bruku, a przyklejonych znowu do sztuki, jako wabik na galeryę. I tak psując po kolei najlepsze sceny, prowadzi nas autor aż do piątego aktu, który się kończy patryotycznym okrzykiem starego Ciota. Ale ten okrzyk mieści w sobie znowu sporo niesmaku, bo zamiast po prostu powiedzieć do chorej żony: „Nie znalazłszy w ojczyźnie spokoju, musimy go szukać na obczyźnie“, woła stary Ciot emfatycznie: „Pojedziemy na południe, pojedziemy na Rivierę“. Ta modna Riviera, przypominająca nam rendez-vous eleganckiego świata, zielone stoliki i francuskie romanse, działa wprost komicznie na słuchaczów. A jednak raz jeszcze powtarzam, że bez talentu nie jest autor „Odgrzewanej miłości“. Ma nerw dramatyczny, umie budować rusztowanie sceniczne, umie ożywiać postacie swoje. Za mało to jednak dla prawdziwego artysty i dla tego utwory jego pozostaną zawsze połowicznemi dziełami sztuki.

Wykonanie sobotniej premiery było prawie bez zarzutu, — jeżeli liczyć się wolno z warunkami prowincyonalnego teatru. Zastrzeżenie to wydaje mi się koniecznem ze względu na właściwość wielu artystów i artystek, którzy zdobywszy sobie poklask krytyki poznańskiej, są najmocniej przekonani, że gdyby tylko umieli po włosku, niemiecku lub francusku, to w kąt Rossi, Kainz i Sara Bernhard. Pyszałkowatość taka świadczy nietylko o umysłowej nicości, lecz hamuje rzetelną pracę i dążność do postępu artystycznego. Ostre to słowo nie będzie się niewątpliwie podobało rozmaitym kandydatom i kandydatkom do wielkości, lecz przekonawszy się, jak artyści fałszywie pojmują względność naszych recenzyi, jak zrozumieć nie mogą, że to, co w Poznaniu nazywać się musi dobrem, na wielkiej scenie nazywałoby się tylko miernem, jak wreszcie każdą uwagę krytyczną bez cukru poczytują za niegodny zamach na imaginacyjną wielkość, — zdecydowałem się takim strumieniem zimnej wody przywrócić do równowagi naszych pseudo-Salvinich i nasze pseudo-Dusy.

Miary poznańskiej nie stosuję oczywiście do p. **R y g e r a**, bo z dniem każdym przekonuje mnie coraz wyraźniej gra tego artysty, że nawet wybrednej krytyki lękać się nie potrzebuje. W „Odgrzewanej miłości“ odtworzył Ryger rolę Kobylina, a mimikę, dykcyę i ruchy zespolił w całość dziwnie interesującą, dziwnie prawdziwą i dziwnie plastyczną. Na szczególne odznaczenie zasługuje także pani **S t ę p o w s k a** w roli dzielnej Kobylinowej. Była to postać wystudyowana dokładnie, pełna werwy, życia i „szerokiej natury“. Po nieszczęśliwej roli Amelii w Mazepie znalazła się panna **T a ń s k a**, jako Matylda, znowu w właściwym żywiole, ukazując nam wierny typ nerwowej i egzaltowanej histeryczki. Mniej natomiast zadowoliła mnie p. **B i e r n a c k a** w roli Bronisławy, bo lubo gra jej była chwilami poprawną a w ostatniej scenie aktu czwartego nawet bardzo piękną, to w końcowych, silnie dramatycznych momentach zabrakło jej prawdziwej energii, zabrakło groźby i gniewu, zabrakło przejmującej boleści. Z innych artystów zasługują na wyszczególnienie pani **K r ó l i k o w s k a** w roli energicznej Jastrzebianki, — p. **O l s z e w s k i** i p. **J a k u b o w s k i** w dyskretnie a stylowo odegranych rolach Mordowcewa i Szafrańca, — oraz panowie **C z e r n i a k** i **S z a t k o w s k i**. Całość zdradzała rękę doświadczonego reżysera, a trudne zakończenie aktu trzeciego było wręcz wzorowe pod względem ruchu i układu.

W. R.

TO I OWO.

Żyłka karciarska.

Pod adresem grasującego w Warszawie karciarstwa wypowiada kilka trafnych uwag A. Świętochowski w ostatnim numerze „Prawdy“. Przytaczamy jeden wyjątek artykułu, który i do naszych stosunków wybornie zastosować można.

„Kilka pism — mówi Świętochowski — wystąpiło z żądaniem, ażeby kluby tutejsze wypłoszyły ze swoich siedzib „ptaszków niebieskich“, (Zawodowych graczów. Przyp. Red.) oraz zaprzestały gier hazardownych, i przechwalają się już nawet tryumfem swojego wpływu. Pozwolę sobie całą tę agitacyę wraz z przechwałką włożyć między bajki. W społeczeństwie, w którem ludzie zabijają się przy zdobywaniu losów na loteryę, w którem tłumy rzucają ostatnie grosze w paszczę totalizatora, w którym pożyczka premiowa jest przedmiotem najwyższych marzeń oszczędzającego biedaka, w którem zebranie towarzyskie bez kart skleić się nie może, w którem ofiary lichwiarzów przegrywają podczas jednego wieczoru po kilka tysięcy rubli, w którem na hazardzie opiera się wychowanie dzieci, związki małżeńskie, przedsięwzięcia ekonomiczne, instytucye społeczne — trudno nożem papierowym wyciąć gangrenę. I zresztą tego rodzaju choroby nie leczą się żadną doraźną operacyą. Usuwają się one tylko przez hygienę moralną, przez odpowiednie kształcenie jednostek od dzieciństwa, przez wszczepianie w umysły poważnych pragnień, przez wskazywanie dążeniom wzniosłych celów, przez nadawanie uczuciom szlachetnych kierunków. Pozostawmy więc tych, co grają, ich namiętności i nie próbujmy nawet ich krępować. Głęboka rana, zasklepiona z zewnątrz, nie goi się; ona musi zrastać się od dna, wytwarzać stopniowe granulacye, które ją wypełnią zdrowem ciałem. Ile razy więc widzimy szulerów, marnotrawców, próżniaków, zwracajmy się do młodych pokoleń i ubezpieczajmy je stósownemi środkami przeciw złym nałogom i występkom. Opowiadano mi, że gdy na zebraniu pewnego stowarzyszenia ktoś zaproponował usunięcie gry w karty, większość podniosła taki krzyk, jak gdyby ów bluźnierca zażądał od zgromadzonych w kościele usunięcia cudownego obrazu. Oburzonym członkom zdawało się, że Samson ujął kolumnę ich klubu, wstrząsnął nią i wkrótce całe sklepienie zwali na głowy obecnych, którzy zginą pod gruzami. Tych już żaden morał nie poprawi, ale ich dzieci mogą być ocalone od kultu dla kart. Nie znam dokładnie literatury dzieci i młodzieży, nie przypominam sobie jednak, ażebym w niej spotkał książeczkę, obrzydzającą małym czytelnikom gry hazardowne. A przecież jest to nałóg zbyt niebezpieczny i zbyt w społeczeństwie naszem rozpowszechniony, ażeby można było nie podcinać mu korzeni. Wiem, co na usprawiedliwienie jego rozwoju przytoczyć by się dało, wiem, że on najbujniej wyrasta na jałowym gruncie życia, na niezużytkowanych w dobrem namiętnościach, na bezczynnych siłach, na próżnujących uczuciach, ale to, co go tłomaczy, nie zmienia jego natury i działania, które są złe“.

* * *

Szkoła przemysłu artystycznego.

Z Krakowa piszą do nas: Szkoła przemysłu artystycznego p. Kotarbińskiej otwartą została po trzymiesięcznej wakacyjnej przerwie. Założenie szkoły tak potrzebnej, mającej cel bardzo szlachetny, a zarazem bardzo praktyczną doniosłość, było przykładem rozumnej inicyatywy. Obecny rozwój

kursów, liczba uczennic, świadczą, że szkoła uzyskała już trwałą podstawę. Każda szkoła artystyczno - przemysłowa ma o tyle i taką wartość, o ile zdoła połączyć dwa istotne warunki: estetyczny i handlowy, zaspokoić wymagania artyzmu, a zarazem zapewnić uczennicom stałe źródło zarobku. I w jednym i w drugim kierunku szkoła p. Kotarbińskiej spełnia zadanie. Zgromadzone obficie wzory przedstawiają motywa ściśle stylowe a nadto najnowsze reprodukcye pomysłów dostarczanych dla wyrobów angielskich i francuzkich przez wybitnych artystów, biorących w ostatnich czasach żywy udział w uszlachetnieniu sztuki stosowanej do przemysłu. Przedmioty, które wyszły z warsztatu szkoły, rozsyłane sklepom lub na miejscu sprzedawane, znajdują podobno niezwłocznie nabywców. Jest więc i rozwinęła się w Krakowie instytucya, w której kobiety zamożniejsze mają nauczyć się, jak upiększyć swoje mieszkanie, sprzęty i drobiazgi otoczenia, a co najważniejsza, mniej zamożne mogą znaleźć tak zawyczaj trudny zarobek, przy wprawie i uzdolnieniu nawet podstawę utrzymania i bytu. Wydział krajowy uznając żywotność i potrzebę szkoły, przyznał jej zeszłego roku subwencyę. Dotychczasowe działy powiększyła nauka dwóch nowych gałęzi przemysłu: zakopiańskiego wycinania w drzewie i wytłaczania na skórze.

NA WYŁOMIE.

(Nieco osobistej goryczy. — Niepoprawni. — Jak „Kuryer“ mówi? — Jak odpowiada „Dziennik P.“ i „Reichsanzeiger“? — Nowy redaktor.)

Więc znowu tygodniowa gawędka? Dawniej lubiłem bardzo ten kącik feljetonowy, w którym człowiek tak gwarzy, niby przy kominku a niby z katedry. Tak... dawniej. — gdy się wierzyło jeszcze, że skoro się w stęchłej piwnicy poznańskiej wybije okna i przeczyści strzałami powietrze, to ludziom — pergaminom wrócą rumieńce, mgła się rozwieje, co ich mózgi mroczy, i słońce witać będą z radością. Lecz oni zwlekli się z posłania i wybite okna jeszcze szczelniej gliną zalepili. Więc się nie dziwcie, że czasami ogarnia duszę znużenie, i tak się odrabia pracę dziennikarską, jak twardą robociznę, z cichem pragnieniem, by uciec jak najdalej.... „loin de l'incessant déluge de la sottisse humaine“.

Po tej szarańczy smutnych doświadczeń politycznych, która w ślad polityki ugodowej rzuciła się na niwy wielkopolskie, pochłaniając tak wiele. tak wiele z tego, czem się ciało i duszę karmiło, zdawało się chwilami, że nasi marzyciele i tronoluby oprzytomnieją. Toż każdy człowiek upija się czasem, jeżeli nie winem, to jakąś myślą, jakiemś urojeniem, jakąś chimerą odurzającą, lecz gdy bańki mydlane pryskają o stal rzeczywistości, gdy powiew mroźnego wiatru zwarzy jeden kwiat marzeń po drugim, to wreszcie wraca równowaga i trzeźwy rozsądek. Zostaje tylko garść niepoprawnych zaślepieńców, garść chorych ludzi, a biada narodowi, który losy swoje powierza takim śniącym bez końca Endymionom.

A nas nic nie budzi, nic. Kuryer starym zwyczajem wyśpiewał u wrót nowej sesyi parlamentarnej poemat o cesarskiem sercu i starym zwyczajem ogłosił bałamutną satyrę o „ludziach złej woli“ i „krótkowidzach politycznych“, nie chcących uznać „programów przyszłości“ i „nowych horyzontów“ lub jak najświeższa kabalistyka stylowa tego organu opiewa: „podporządkowania potrzeb gospodarstwa domowego postulatom t. zw. wyższej polityki“ i „przystosowania pracy organicznej do czynnej akcyi na zewnątrz“. Po zmudnem odcyfrowaniu tych hiroglifów językowych, które prawdopodobnie mają wywierać wrażenie filozoficznej głębi w rodzaju Heglowskim, pozostaje „ein Lied aus alten Zeiten“, najczystsza, niczem niesfałszona. potężnym głosem zagrana pobudka do wskrzeszenia dawnych iluzyi, dawnego pełzania i dawnych szachrajstw politycznych, w których oszukaną była zawsze Polska.

Lecz oto niespodziewany odezwał się protest. Prowizoryczny redaktor „Dziennika Poznańskiego“, p. Józef Głębocki, uderzył w śpiew łabędziowy. W tej samej chwili, gdy kruk zakrakał — w tej samej chwili, gdy „Józef biały“ zdobywał królestwo „Czerwonego“, w tej samej chwili redaktor-banita rzucił Kuryerowi i całej polityce ugodowej swoje „Liberum veto“. Żądano od niego programu — milczał. Dziś, gdy mu berło wytrącają z ręki — przemówił, a dawno już głos tak rozumny, tak śmiały i tak energiczny nie odezwał się w łamach „Dziennika Poznańskiego“. Jest tam i ślina dla tych, którym się wydaje, że w wyłączną dzierżawę wzięli „rozum polityczny“ i „dobrą wolę“, jest promień trzeźwej logiki rozpraszający mgły ugodowe, jest okrzyk: „Baczność! bo na trzęsawiska kuszą was kuglarze“. Przypomniał się „Dziennik“ z przed 20 laty, — ten dziennik, który umiał jeszcze mówić jędrnie i treściwie, nie bawił się w jeden krok naprzód i dwa kroki w tył, nie drapował się w mrok dwuznaczników, aby czerwonych pogłaskać, a białym dogodzić, i miał odwagę dumnie nosić swój płaszcz polityczny, a gdy Qui vive? zabrzmiało nad uchem, wołał imię swoje, wołał swoje „Jestem“. Piękne to były czasy, ale minęły tak dawno. Śpiew łabędziowy p. Głębockiego znów je przypomniał. Wdzięczni mu za to jesteśmy.

A w ślad za głosem Dziennika zagrało echo... w Berlinie. Na Kuryerowe modlitwy u stóp tronowych ołtarzy, na Kuryerowe piosenki o cesarskiem sercu odpowiedział sam monarcha, sam Wilhelm II w łamach „Reichsanzeigera“. Takiego zaszczytu nie spodziewał się Kuryer nigdy, więc zgiął kolana i słucha w pokorze. A oto mówi król pruski i cesarz niemiecki: „W dowód uznania za pomoc Koła polskiego w walnych zapasach o projekt wojskowy i traktaty handlowe, — w dowód uznania za tę głęboką wiarę w słońce tronowe, której, jak Kuryer powiedział, „bramy piekielne nie przemogą,“ — rozporządzamy, aby na przyszłość czerwono-białe barwy prowincyi poznańskiej zamieniły się w żałobne czarno-białe kolory. Wy, którzy tak często zapewnialiście mnie o przywiązaniu do pruskiej monarchii, wy „Prusacy polskiego języka“ dumni będziecie, że nowa barwa, ta barwa pruska, stanie się widomym znakiem zjednoczenia i zacieśni węzły, których tak gorąco pragniecie“.

Przedziwne losu zrządzenie! W tydzień po artykule Kuryera nastąpiła odpowiedź w „Reichsanzeigerze“ i brzmi jak straszna ironia. Tak! to już nie szept dyplomatyczny, nie protest zamglony, lecz zgrzyt przeraźliwy: „My nie chcemy i nie potrzebujemy waszych umizgów. A jeżeli ktokolwiek w polskim narodzie ludzi się jeszcze, że mamy zamiar uszanować wasze tradycye i uczucia narodowe, to mu zapowiadamy głośno i wyraźnie, że droga Bismarcków jest i naszą drogą. Wstecz nie pójdziemy! Drwimy sobie z wyssanej cytryny Koła polskiego i drwimy z całej komedyi ugodowej.“

Ha! jak to zgrzyta, jak to rzechoce się na całe gardło! A oni? Nie szukajcie u nich rumieńców na twarzy, bo oto jak na urągowisko ster „Dziennika Pozn.“ przechodzi w ręce najbielszego z wszystkich Kuryerowiczów, Dr. Władysława Łebińskiego. Nazwisko to mówi wiele. Wieść niesie, że osławiony artykuł „Kuryera“ pt. „W dzień urodzin cesarskich“ wyszedł z pióra tego niewątpliwie zdolnego publicysty, lecz zarazem jednego z tych fanatyków politycznych, u których doktryna ugodowa stała się szałem spienionym, i którzy konając, jeszcze wołać będą: „Przy Tobie Najjaśniejszy panie stoimy i stać chcemy“.

Tak! losy „Dziennika poznańskiego“ zapieczętowane! A ty inteligencyo wielkopolska milczysz? Znasz ty niemiecką baladę pt. „Rattenfänger von Hammeln.“ Gdy zagrał na piszczałce, szły za nim szczury i dzieci do wodnej topieli. Czyż szczurem lub dzieckiem będzie „kwiat narodu.“?

Sulla.

KRONIKA POWSZECHNA.

— **Teatr i muzyka.** W ubiegły wtorek i czwartek koncertował w teatrze naszym p. Lewiński, skrzypek z Krakowa. Gra młodego artysty posiada niewątpliwe zalety techniczne, lecz dla braku duszy nie wywiera silniejszego wrażenia. — Pan Zygmunt Przybylski napisał nową komedyę p. t. „Znawca kobiet“. — Adam Münchheimer wykończył muzykę do tekstu włoskiego Władysława Müllera „Il vendetatori“. — Najbliższą nowością w teatrze poznańskim będzie premiowany melodramat Pawła Kośmińskiego p. t. „Zły duch“.

— **Także humorystyka.** Jedno z pism poznańskich krytykując rozporządzenie cesarkie w sprawie barw prowincyonalnych, sięga w dziedziny techniki malarskiej i taki klei dziwoląg: „Pan Kossak, współtwórca panoramy Racławickiej, zamierza podobno szkice z polowania grunwaldzkiego wykonać nie akwarelą kolorowaną tylko czarno-białemi pastelami, w których więcej będzie białego guaszu, jak czarnego ołówka“. — W czarno białych pastelach biały guasz — istny groch z kapustą. Ależ. szanowni koledzy, nie operujcie pojęciami, których nie rozumiecie, bo wtedy dowcip zwróci się przeciw wam samym.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

— **J. A.** „Wyklętych“ zamieszczamy dzisiaj. O umieszczeniu wspomnień Mokriewicza i artykułu o Adamie Szymańskim rozstrzygnąć możemy dopiero po przeczytaniu. Prosimy uprzejmie o nadesłanie prac proponowanych.

— **Do Inowrocławia.** Tego rodzaju objawy pełzającego lojalizmu już nas przestały dziwić. Wstąpienie ks. Laubitza i ks. dr. Warmińskiego do komitetu, zajmującego się zbieraniem składek na pomnik Wilhelma I. w Inowrocławiu, jest zupełnie w stylu „nowych horyzontów“. Że pod berłem zmarłego cesarza katolicyzm był uciskany i polskość deptana, to tych panów mało obchodzi. Maluczko, a pojadą z wizytą hołdującą do Warcina. Na szczęście nikt z Polaków nie podążył ich śladem. Jest ich dwóch tylko, dwóch księży polskich w czysto niemieckiem otoczeniu.

BIBLIOGRAFIA.

(Książki nadesłane redakcyi).

44. A ona jednak się nie obraca! Studyum astronomiczne na nowej podstawie. Kraków 1896. Nakł. W. L. Anczyca i Sp.

Aleksander Kraushar. Ofiara teroryzmu. Legenda i prawda o tragicznym zgonie Rozalii z Chodkiewiczów ks. Lubomirskiej, ściętej w Paryżu w r. 1794. Kraków 1897. Nakł. G. Gebethnera i Sp.

Dr. med. H. Lachmann. Zasady naturalnego leczenia. Zeszyt I. W jaki sposób odzyskamy zdrowie. Tłom. S. S. Będzikiewicz. Kraków 1896.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28

Nr. 47. Poznań, niedziela 22-go listopada 1896. Tom II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“
wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya:
Podgórna ul. Nr. 7. w podwórzu.

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Podgórna Nr. 7, **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.
Rękopisów drobnych niezwracamy.

TREŚĆ.

Nowy program „Dziennika Poznańskiego“.

Jeżeli zaletą jest w wielu słowach nie powiedzieć niczego, lub powiedzieć bardzo mało, to artykuł programowy, którym nowa redakcya „Dziennika Poznańskiego“ zarekomendowała się publiczności, zaletę tę w wysokim stopniu posiada. Wprawdzie nazwisko p. dr. Władysława Łebińskiego starczy za program dla tych, którzy lubią zaglądać pod maski anonimów dziennikarskich i badać zakulisowe manipulacye ugodowego stronnictwa, lecz dla szerokiego ogółu nazwisko to, jako wartość polityczna, jest mniej lub więcej zamglone, a znane tylko jako cyfra dosyć poważna w naukowem piśmiennictwie Księstwa. Ztąd naturalnem było zaciekawienie względem artykułu programowego i naturalnem rozczarowanie po ukazaniu się wtorkowego numeru „Dziennika Pozn.“

Karta wizytowa, którą nowy redaktor oddał społeczeństwu, wywiera takie wrażenie, jakoby autor starał się wszystkiemi siłami utopić myśl polityczną w potoku słów najobfitszych. To, co najwięcej pali społeczeństwo, to co kraj cały na dwa podzieliło obozy — kwestya polityki ugodowej, kwestya stosunku kościoła do narodu i kwestya ruchu ludowego, — pozostało w artykule programowym nietknięte zupełnie lub osłonięte tak elastycznym ogólnikiem, że zaledwie gdzieniegdzie w labiryncie słów uchwycić można myśl wyraźniejszą. Klasycznym po prostu, jako wielkie nic w oprawie wielkich słów, jest początek artykułu, gdzie mowa o umiarkowanym liberaliźmie „Dziennika Poznańskiego“, — tem historycznem pojęciu, które śp. Franciszek Dobrowolski ugniatał w tysiączne kształty i raz wlókł na barykady paryskie jako apoteozę komuny, a potem znów nosił do Berlina jako filar tronu, — raz miotał jako bombę na klerykałów i „punkty kościańskie“, to znów przefarbował na apologią supremacyi duchowieństwa w narodzie — raz niem podpierał Garribaldiego, to znów arcybiskupa — na procesyi poznańskiéj. Jednem słowem ten biedny liberalizm służył do wszystkiego, — towar się zmieniał, szyld pozostawał zawsze jeden i ten sam. A oto nowy redaktor z spuścizny po śp. Franciszku Dobrowolskim dobywa starą etykietę i taki pisze komentarz:

„Jak dotąd tak i nadal „Dziennik“ pójdzie torem liberalno-umiarkowanym.

„Liberalnym, wolnomyślnym dla tego, że Polaka wiąże i pociąga do siebie wszystko, co tchnie wolnością i swobodą. Umiarkowanym zaś dla tego, że dzieje nas nauczyły, jak źle jest nie zachowywać miary w wolności i dążnościach, rwących się do bezwzględniejszej swobody.“

Tak się rozstrzyga polityczne zagadki. Gdyby prymaner na lekcyi propedeutyki filozoficznej podobną wygłosił definicyę, to ostatecznie możnaby głową ironicznie pokiwać, lecz zarazem powiedzieć mędrcowi młodemu: „Bene! Na ławie szkólnej więcej wymagać nie można“. Wybaczy nam jednak nowy redaktor, że do programowego artykułu „Dziennika“ inne stawiamy żądania, niż do wypracowań prymanerskich, i innych w praktycznej polityce wymagamy definicyi, niż na lekcyi ogólnych, teoretycznych pojęć z dziedziny filozofii. Takie określenie umiarkowanego liberalizmu, jakie „Dziennik“ do sztandaru swego przypina, niczego nie mówi i do niczego nie obowiązuje. Można w niem wszystko pomieścić i zarówno najskrajniejszy organ reakcyjny, jak pisma prawdziwie postępowe, mogą je śmiało wcielić do programów swoich.

Dalsze ustępy tej wstępnej spowiedzi nowego redaktora zawierają całe legiony zdawkowych frazesów, któremi u nas „ład i porządek“ operuje konsekwentnie ze stołka redakcyjnego i z katedry politycznej. Mamy tedy starą piosnkę, że społeczeństwo nasze pozwalać sobie nie powinno na „zbytek zabaw i igrzysk stronnictw politycznych, na które najczęściéj nie ma wcale odpowiednich żywiołów“. Mamy dalej efektowne ogólniki o „sztandarze zgody, który jest sztandarem siły miłości i braterstwa“, — mamy pioruny tradycyjne na „pobudzanie najniższych instynktów ludu“ — no! i mamy to, o czem prawie każde nowe pismo i każdy nowy redaktor zapewnia, tj. piosnkę miłości dla handlu, przemysłu i rolnictwa, słówko o koleżeńskich stosunkach prasy, słówko o czystości stylu i słówko o sumiennych sprawozdawcach z życia zakordonowych Polaków.

Z powodzi tych znanych przysiąg, egzorcyzmów i „szerokich pojęć“ można jednak wyłowić kilka zrozumiałych domyślników, które odsłaniają przynajmniej kawałek przyszłości. Przedewszystkiem charakterystycznym jest ustęp, w którym nowy redaktor zapewnia, że „cokolwiek w piśmie naszem było dobrego, to zatrzymamy i pielęgnować będziemy nadal, a jeśli zmienione okoliczności nasunęły lub nasuną nowsze drogi, wyniknie to z porządku rzeczy, które się toczą kołem w wirze życia, miotanego w przeróżne strony.“ Jest to oczywiście bardzo ogólnikowe i bardzo mgliste orzeczenie, bo ani się nie dowiadujemy, co nowy redaktor uważa za „dobre“ w starym „Dzienniku“, ani jakie nowe przewiduje drogi. Dla nas jednak, którzy nasłuchaliśmy się w ostatnich czasach tak wiele o „nowych horyzontach“ i którym nie jest obcem nabożeństwo dr. Wł. Łebińskiego dla polityki ugodowej, ogólnik ten nabiera indywidualnej formy i wyraźnej barwy. Znamy te „nowe drogi“, któremi „Dziennik“ podąży, i znamy te „zmienione okoliczności“, o których apostołowie ugody śpiewali wczoraj i śpiewają dzisiaj.

Charakterystycznem jest także zdanie następujące, — dziwne zdanie w łamach pisma polskiego:

„Stojąc na kresach zachodnich, musi być „Dziennik“ niejako przewodem cywilizacyi wielkiego świata. Idąc jednakże za popędem serca, musi się zajmować niemniej losem braci zakordonowych, mianowicie też za przykładem prasy niemieckiej, która się opiekuje pobratymcami niemieckimi na całej kuli ziemskiej.“

Klasyczne to słowo: „za przykładem prasy niemieckiej.“ Brzmi w tem jakiś strach niedwuznaczny, aby nas, Broń Boże! nie posądzono o poczucie narodowej jedności, i wygląda to tak, że gdyby nie przykład niemieckiego patryotyzmu, to my Polacy pruskiego zaboru wymazalibyśmy pojęcie braterstwa z programu politycznego.

Oto jest credo nowego redaktora. Mało to, bardzo mało w trzyłamowym artykule, ale niejasność ta i elastyczność wypływa z tendencyi kół kierujących Dziennikiem. W kołach tych wiedzą dobrzą, jak niepopularną z biegiem czasu stała się doktryna hyperlojalizmu wraz z całą teoryą „ładu i porządku“, deptaniem dążeń demokratycznych i koncesyami na rzecz klerykalnych zakusów — i wiedzą również dobrze, jak niepopularnem jest, mianowicie w mieście Poznaniu, nazwisko nowego redaktora, — postanowiono za-

tem przefarbować Dziennik w tempie powolnem, zrazu mówić w ogólnikach, potem w półsłówkach, a dopiero po upływie pewnego czasu zawrócić stanowczo do tej polityki, którą ś. p. Dobrowolski pod koniec życia zaczął opuszczać, a p. Józef Głębocki stanowczo potępił. Akcyonaryusze „Dziennika Poznańskiego“ nie tają zresztą wcale tej opinii w poufnych wynurzeniach. Jest wprawdzie drobna opozycya w kierujących kołach, lecz wobec dominujących wpływów p. Kościelskiego i jego świty nie posiada ona żadnego znaczenia.

Tak tedy „Dziennik Poznański“ staje się drugą edycyą „Kuryera“, a różnica polega jedynie na tem, że mniej będzie mówił o sprawach czysto kościelnych i mniej manifestował charakter półurzędowego organu ks. arcybiskupa. To dzisiaj w samym Poznaniu rozumieją wszyscy, a niezadowolenie rozlewa się już szeroką falą po całem Księstwie i Prusach Zachodnich. Czy niechęć z dnia na dzień rosnąca skrystalizuje się w nowym dzienniku o charakterze demokratycznym, tego dziś jeszcze rozstrzygnąć nie można, — trudno jednak zaprzeczyć, że jest to chwila najodpowiedniejsza, aby powołać do życia wielki organ konkurencyjny i zszeregować koło niego wszystkie trzeźwiejsze żywioły inteligencyi naszej.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Nowy redaktor „Dziennika Poznańskiego“.

Z powodu objęcia redakcyi „Dziennika Pozn.“ przez dr. Wł. Łebińskiego, zapowiada korespondent „Czasu“ krakowskiego zmianę kierunku tego pisma, a o nowym redaktorze tak się wyraza:

„Dr. Łebiński jest u nas osobistością wybitną. Za młodu był zapalonym liberałem. Kulturkampf, rozpatrzenie się w stosunkach i wyrobienie zmieniły jego wyobrażenia. Dziś człowiek wytrawny, przekonań stanowczo konserwatywnych i katolickich, nada niezawodnie „Dziennikowi“ jasny kierunek. Byłaby tylko obawa, czy potrafi mieć konieczną w polemice wyrozumiałość i zachować spokój sądu i miarę wśród nieraz bardzo przykrych walk, które staczać mu przyjdzie. Jeśli gdzie, to u nas dziennikarz powinien mieć w pamięci, że starać się musi zjednać, przekonać, a nie upokarzać przeciwników. Miodem więcej się much złapie, niż octem“.

* * *

Energiczny protest.

W „Gazecie Grudziądzkiej“ czytamy:

„Lekkomyślni ludzie z naszego własnego społeczeństwa przywiązują do zajść opalenickich i do wykrycia wichłactw Bismarcka zbyt wielkie znaczenie. Już dziś bowiem pośpieszają się z twierdzeniem, że rząd pruski zmieni zapewne swoją politykę antypolską i gotowi dla tego wskrzesić trupa polityki ugodowej, gotowi wznowić ową politykę upokorzeń, całowania tej ręki, która nas za domaganie się nieprzedawnionych praw naszych bezustannie biczem smaga. I w naszych Prusach Zachodnich są ludzie, którzy wedle własnego orzeczenia tylko czekają na zmianę stosunków, aby się znowu stać ugodowcami, dla tego więc też za wczasu wołamy: Baczność ludu polski!

My w zmianę polityki rządowej wobec nas, my w możliwość zaniechania dążeń germanizatorskich nie wierzymy, bo wierzyć nie możemy, ponieważ przeszłość dosyć nam smutnych daje przykładów. Z powodu procesu opalenickiego ręka rządowa zadrży może, ale się nigdy nie zatrzyma.

Dzieje słowiańszczyzny północno-zachodniej, którą Niemcy przez kilkanaście wieków okrutnie mordowali, i na której grobach dziś stoi rzesza niemiecka, dzieje ostatnich wieków, w których Prusak zawsze Polskę zdradzał i dzieje ostatniego stulecia, a mianowicie ostatnich lat przekonały nas, że od Niemca nie możemy się niczego dobrego spodziewać, a od Prusaka, który jest najgorszym wśród Niemców, jeszcze mniej.

Nic też tu żadna polityka ugodowa nie poradzi, chyba żeby ją można poprzeć milionem bagnetów, a ponieważ to jest niemożliwem, więc my polityki ugodowej nie chcemy i nie ścierpimy.

Gdyby zresztą nie owa fatalna polityka ugodowa, gdyby nie płynąca z niej demoralizacya polityczna, byłoby poczucie narodowe w Prusach Zachodnich już o wiele więcej rozbudzone. Lecz wobec usiłowań budzenia ludu przez zakładanie Tow. ludowych itd. wołali pp. ugodowcy: „Nie drażnić! nie drażnić!“ i zamiast budzić, starali się wszelkiemi siłami usypiać lud.

A lud polski spać nie chce, lud polski w Prusach Zachodnich dąży do świadomości narodowej i do dojrzałości politycznej, więc też o polityce ugodowej ani słuchać nie chce. To też pp. ugodowcom zwracamy na to uwagę, że u nas w Prusach Zachodnich nie ma miejsca dla ich polityki. Lud polski u nas teraz bardziej świadomy swej siły niż przed kilku laty, i piorunem zwali z świeczników, na których stoją, tych, którzy mu wbrew jego woli politykę ugodową narzucać będą. Lud polski nie będzie łaski żebrał tam, gdzie ma prawo żądać wymiara sprawiedliwości! A póki mu tej sprawiedliwości nie wymierzą, spokojnie będzie pracował nad podniesieniem swego poziomu oświaty, nad obudzeniem do życia narodowego reszty śpiących jeszcze braci i z głębi serca modlić się będzie do Boga o przywrócenie narodowi naszemu wolności i swobody.

Ale polityki ugodowej znać niechce i nie będzie“.

* * *

Nadużycia polityczne w Galicyi.

Korespondent krakowski warszawskiej „Prawdy“ donosi:

MAKS NORDAN.

Jak one potrafią kochać!..

Było to dnia 1 listopada 1878 r. Międzynarodowa wystawa paryzka została już zamkniętą i Rudolf Weltli zamierzał powracać do Szwajcaryi. Spędził pod pięknem niebem Francyi przeszło dwa tygodnie: studya na polu Marsowem, jako inżynierowi, mogły dostarczyć niemało korzyści — wystawę jednak wziął tylko jako pozór do odwiedzenia stolicy nadsekwańskiej, w rzeczywistości bowiem czas spędził tylko na błądzeniu po ulicach, na wycieczkach w okolice podmiejskie, na zwiedzaniu muzeów, wszystkich miejsc znanych mu dobrze z przed dwudziestu siedmiu laty, gdy był jeszcze studentem, a które zmuszony był porzucić, unosząc roje wspomnień.

Ćwierć wieku! Prawie całe życie! Przez tak długi czas nie widział Paryża, pomimo, że opuszczając go, zamierzał niedługo powrócić. Ale jak to zwykle bywa, okoliczności stanęły zamiarom na przeszkodzie. Obowiązki zatrzymały go zdala od Francyi i tylko wyobraźnia jego mogła błądzić po horyzoncie tak pełnym uroku, a tak oddalonym.

Każdy, kto po raz pierwszy przybywa do Rzymu, wrzuca monetę do Fontana Fredi, na intencyę, aby losy dozwoliły mu raz jeszcze odwiedzić wieczne miasto. W Paryżu nie trzeba wykonywać podobnych praktyk zabobonnych. Jego czar tajemniczy silnie odziaływa, uwodzi i przyciąga nieobecnego, a powrót tylko może uśmierzyć wzburzone żądze. Ale czy mocą podobną Paryż tylko rozporządza? Nie! Każdy najmniejszy nawet zakątek, w którym śniliśmy, kochaliśmy, cierpieliśmy. Dla każdego podobne miejsce jest drogiem, jak dla rolnika pole zasiane jego ręką.

Pragniemy przekonać się, czy nie znajdziemy śladów naszego tam pobytu i szczęśliwi jesteśmy, gdy widzimy, że wszędzie, gdziekolwiek zasieliśmy naszą młodość, pozostawiliśmy to wszystko, co było w nas najlepszego — wzrósł obfity plon wspomnień, niewidzialny dla innych, a nam tak drogi, tak nieocenienie drogi.

Co rok, Rudolf układał plan wycieczki do Paryża i zawsze był zmuszony odłożyć ją do roku następnego. Z biegiem czasu przyzwyczaił się do myśli, że może nigdy nie ujrzy już ukochanych miejsc, ale wystawa międzynarodowa w r. 1877 była doskonałym pozorem, uchwycił go z całych sił.

Wakacyjne tygodnie minęły jak sen i należało powracać do codziennej systematycznej pracy. Dzień Wszystkich Świętych był ostatnim, jaki miał spędzić w Paryżu. Poświęcił go za przykładem wszystkich paryżan, na wędrówkę po cmentarzach. Parę godzin przepędził na cmentarzu Père La-chaise, gdzie obok pomników znanych mu dobrze z czasów studenckich, ujrzał wiele nowo wzniesionych, jak: Musseta, Rossiniego, Micheleta, Regnaulta, hr. d'Agoult i innych znakomitych ludzi. Potem wyruszył na cmentarz Montmartre z zamiarem złożenia wieńca na grobie Heinego.

Błądził po alejach; obok skromnych krzyży, tablic żelaznych, piętrzyły się wspaniałe pomniki z szumnie brzmiącemi nazwiskami, mającemi przywilej przyciągania uwagi przechodnia, świadczącemi o pozagrobowej próżności tych, którzy oddawna roz-padli się w popiół.

Groby jako w święto zmarłych, strojne były w przeróżne ozdoby. Różnobarwne kwiaty poustawiano na płytach, na krzyżach pozawieszano wieńce z nieśmiertelników, nie brakowało też papierowych, pozbawionych gustu i powagi. Widocznem było, że groby te pielęgnuje ręka, kochająca dotąd istoty blizkie sercu, spoczywające w śnie wiecznym, że są one złączone nierozerwalnym węzłem z istotami żyjącemi, oddychającemi ciepłem słońca... ale były też groby zaniedbane, gniły na nich liście, narzucone przez wiatr i opuszczone, jak ci, którzy nie pozostawili po sobie wspomnień, którzy spoczęli zapomniani przez wszystkich. Jakże łatwo można być zapomnianym w Paryżu! Jakże ten ocean zwany stolicą pochłania nietylko człowieka, ale jego rodzinę, przyjaciół, znajomych — nareszcie pamięć o nim! Myśl ta wstrząsnęła Rudolfem, poczuł dreszcz

„Co do Lewakowskiego, można mu zrobić wiele zarzutów jako politykowi, to wszakże nie ulega wątpliwości, że miewa on w życiu swojem parlamentarnem szczęśliwe chwile i odwagę. Mowa jego i nagły wniosek przeciw nadużyciom urzędników galicyjskich miały ten charakter. Wniosek o mało nie przeszedł. Dowodziłoby to niezwykłego nastroju w parlamencie. Czesi i Niemcy skorzystali, ażeby rzucić jeszcze raz, znany dobrze i w Warszawie, frazes, że brudną bieliznę należy prać w ukryciu. Frazes dobry, ale źle zastosowany. Nie o Galicyę im chodziło, lecz o rządy Badeniego, niesympatyczne dla Niemców; skorzystano więc ze sposobności, ażeby powiedzieć: patrzcie, co się dzieje w Galicyi! Zapomniano jednak o rzeczy najważniejszej: nadużycie popełnili urzędnicy austryaccy. Z tego też punktu mowa Lewakowskiego miała zupełną słuszność. Jeżeli kraj posiada pewne prawa, a łamią je urzędnicy przez źle zrozumianą pilność, lub poprostu przez chęć przypodobania się, jak to miało miejsce w Przemyślu, gdzie jakiś marny „praktykant konceptowy" pragnie zbyt gorąco podwyższenia pensyi — to narodowość tych urzędników jest rzeczą obojętną. Papuasi, resztki czesko-niemieckich „precliczków", czy też „prawdziwi Polacy" jednako mogą być na stanowisku urzędników galicyjskich szkodliwi. Mowa Lewakowskiego miała na celu nie narodowość, lecz wstrętny i płytki biurokratyzm niemiecki, który przywdziawszy od parady polskie szaty, bruździ i drażni społeczeństwo, jak za dawnych czasów. Z takim rakiem państwowym, toczącym Austryę, krępującym jej życie, powstrzymującym jej politykę, walczyć trzeba i należy. Kwestyę nadużyć urzędniczych w Galicyi trzeba stawić nie na gruncie wyjątkowości, lecz fałszywej zasady politycznej, z którą trzeba brać się za bary. Szkoda tylko, że walczą z nią zbyt troskliwie".

— ski.

***

Partye i pisma polityczne *w Czechach.*

(Ciąg dalszy).

Realiści z tygodnikiem swoim „Čas" (VII rok istnienia, pod redakcyą D. Jana Herbena) i miesięcznikiem „Naše Doba" (III rok istnienia, redaguje prof. Massaryk) dotychczas nie usiłowali stworzyć partyi, jakkolwiek wśród inteligencyi mają bardzo wielu zwolenników, i gdyby publicznie jako partya wystąpili, niezawodnie pozyskaliby jeszcze więcej. Nie pomyśleli oni o założeniu partyi, chociaż większość narodu bezwątpienia najprzystępniejszą jest dla polityki realistycznej — przynajmniej obecnie i w najbliższej przyszłości. Zamiast ukonstytuować samoistną partyę, zadowalniają się realiści tem, że młodoczechizm, jakoteż i inne młodsze prądy (nie wyłączając nawet socyalnej demokracyi) usiłują swoimi ideałami zapłodnić i nadać wystąpieniom tychże stempel realistyczny. I w rzeczywistości wpływ ich jest wielki. I chociaż nie powiodło się im zreformować Młodoczechów, to jednak wstrzymał realizm z jednej strony przypływ młodzieży do Młodoczechów, z drugiej zaś strony na młodsze prądy, zwłaszcza postępowców silnie wpłynął. Odnośnie do Młodoczechów pisał „Čas" pod d. 22 lutego br.: „Partya młodoczeska względem haseł ludowych i społecznych, które głosiła w r. 1891, zachowała się z biegiem r. 1895 a bardziej jeszcze na sejmie w r. 1896 tak niecnie, że dla nas zachowanie się jej dalsze jest całkiem obojętne". Pod wpływem realistów — a poprzednio naturalnie Młodoczechów — wzrośli postępowcy, którzy obecnie zostają częścią pod wpływem realizmu, częścią socyalnych-demokratów, a prócz tego wskutek ciągłej postępowej pracy nad sobą rozpadli się na: radykalnych Młodoczechów z organem „Radikalni Listi" (tygodnik redagowany przez Ant. Hajna), następnie na wyznających idee czasopisma „Rozhledi" (V rok istnienia, redaktor Józef Pelcl) i na postępowych socyalistów z organem „Pokrokowe Listy" (dwutygodnik redagowany przez Skalaka).

W postępowcach, którzy redagują swój organ „Radik. Listy", tkwi jeszcze trochę romantyki; główną wagę kładą na politykę i pod względem politycznym są ultra-radykalnymi; pod względem narodowym bezwarunkowymi wyznawcami prawa państwowego a przy tem wszystkiem skłonni do porozumienia i zgody między Czechami a Niemcami, ludu z ludem; pod względem ekonomicznym są za daleko idącemi reformami, stoją blisko socyalnych-demokratów, nie mają jednak żadnego jasno wyrobionego programu. Do Młodoczechów nie odnoszą się wprawdzie „Radik. Listy" przyjaźnie, ale usiłują młodoczechizm zapłodnić postępowemi ideami i w ten sposób zmienić partyę młodoczeską w radykalnie postępową. Przykład realistów, którzy przed 6 laty całkiem bez korzyści poświęcili swe siły, aby owe reformy w stronnictwie młodoczeskiem przeprowadzić, powinien ich od tego powstrzymać. Uchwała, jaką powzięli zeszłego roku w grudniu małą większością głosów mężowie zaufania (33 przeciw 30), aby stanowić postępowe skrzydło partyi młodoczeskiej z własną swoją organizacyą, powitaną została przez „Rozhledy" i postępowych socyalistów jako błąd stanowczy i była jako połowiczność zwalczaną; „Rozhledy" stanowczo zaprotestowały przeciw temu, aby postępowcy tworzyli jakieś zorganizowane lewe skrzydło Młodoczechów. Organ młodzieży, dwutygodnik, „Časopis pokrokového studentstva" również zajął opozycyjne przeciw tej uchwale stanowisko, tak jak wogóle cała młodzież postępowa nieprzychylnie odnosi się do oficyalnych partyi postępowych i „Radik. Listów". Naturalnie, że redakcya „Radikalnich listów" nie jest niezawisłą, pismo to bowiem wydaje stowarzyszenie, w którem młodoczescy radykali stanowią większość.

Stanowcze wyparcie się Młodoczechów i ich c r e d a zawierają „Rozhledy", które pisały co następuje: „Już od samego początku młodoczeskiej ery życie nasze polityczne zawierało wiele niezdrowego, które tkwiło w samym charakterze i w samej treści młodoczechizmu... Młodoczechizm nie potrafił tak prędko wyjść z negacyi i na podstawie stałego pozytywnego programu rozwinąć pozytywną działalność. Wiedzieli

---

przebiegający po skórze. Być obcym w Paryżu i umrzeć obcym!

Idąc bez celu za pociągającym go tłumem, wraz ze wszystkimi zatrzymał się przed grobem, otoczonym przez wielką ilość modlących się. Panował tu nastrój uroczysty, pełny majestatycznej powagi, jakiej często nie widzi się nawet w kościele, Rudolf, wiedziony ciekawością, zwolna przecisnął się wśród tłumu i znalazł się koło grobu Baudina, republikanina, reprezentanta narodu, zamordowanego przez pijanych żołnierzy d. 3 gr. 1850 r. na ulicach Paryża w chwili, gdy uświęcony trójkolorowym sztandarem, znakiem Zebrania narodowego, wielkim głosem protestował z wysokości barykady przeciw Bonapartemu. Do głębi wzruszający szczegół towarzyszył śmierci tego bohatera. W chwili, gdy otoczony wiernymi przyjaciółmi, dzielącymi jego idee wchodził na barykadę, kilku rzemieślników zawołało:

„Precz z dwudziestoma pięcioma frankami!"

Było to przezwisko nadawane przez pospólstwo deputowanym, pobierającym dziennie 25 franków.

Baudin odpowiedział spokojnie:

— Zobaczycie, jak się umiera za 25 franków!

Po upływie paru minut poległ, przeszyty kulami żołdaków.

Rudolf, patrząc na pomnik, doznał uczucia, przepełniającego serce każdego z obecnych. Na piedestale kamiennym spoczywa Baudin w bronzie wykuty, okryty płaszczem. Lewa ręka zwisła, jak gdyby omdlała, prawa ściska nerwowo symboliczną tablicę praw podeptanych zdradziecko. Głowa nie ma w sobie nic charakterystycznego, ale jakże wiele mówi otwór w czole, z którego kiedyś krew płynęła — jak bohaterskie, wspaniałe na głowie tej kładzie piętno! Zdaje się, że przez otwór ten blask nadnaturalny wybiega i wyciska łzy z oczu każdego, kto nań spoglądał.

Widok ten wywołał w Rudolfie wzruszenie, być może, goretsze, niż we wszystkich, którzy grób otaczali. Wspomniał, że niewiele brakowało, a byłby go spotkał ten sam los.

Idąc w kierunku bramy cmentarnej, widział oczyma duszy tę noc straszną z dnia 3 na 4 grudnia, czuł, że tarza się w kałuży krwi na ulicy Montmartre, że w jego prawej nodze tkwi kula. Wspomnienie to tak wielką w sobie posiadało siłę, że oniemiał uczuł dawny ból; kulał mimowolnie, jak przed laty, gdy wstał z łóżka, do którego tak długo był przykuty.

W szerokiej alei, prowadzącej do głównej bramy, ujrzał cały szereg pomników, poświęconych pamięci współwyznawców idei Baudina. Naprzeciw grobu Godefroy Cavaignaca znajdowała się mogiła, ukrywająca rzucone w nieładzie ofiary walk ulicznych, o których zwłoki nikt się nie upominał. Mogiła ta wielka rozmiarami, grozą potężna, tonęła w kwiatach.

Rudolf stanął przed krzyżem, rozpościerającym nad grobem swe ramiona. Zdało mu się, że stoi w kole zaklętem, oddzielającem go od świata i ludzi. Powietrze tu było jakieś mroźne, przenikające, wstrząsające całą istotą. Zdało mu się, że czuje pod stopami drżenie, jakiś ruch tajemniczy; zdało mu się, że ramiona szkieletów wstrząsają podwojami, pokrywającemi ich, ciasne, wieczne siedlisko.

— Byłbym tam, z nimi — gdyby mnie wtedy kula ugodziła śmiertelnie.

Ciężko odetchnął i odwrócił się.

Wielka liczba kobiet, pogrążonych w cichej modlitwie, otaczała grób poległych.

— Po dwudziestu pięciu latach pamiętają o spoczywających zmarłych. Gdybym ja tu był pogrzebany, nikt nie przyszedłby się modlić!..

Z politowaniem spojrzał na klęczącą opodal kobietę.

Była żałobnie ubrana, twarz jej zakrywał długi, czarny welon. Czując spojrzenie Rudolfa, mimowolnie podniosła głowę. Spojrzenia ich spotkały się. Cofnęła się, tłumiąc okrzyk. Wyciągnęła ku niemu ramiona i mając przymknięte powieki, szepnęła:

— Rudolf! Rudolf!

On uniósł ją, przyciągnął do serca i ledwie dosłyszalnym głosem zawołał:

— Paulina! Czy to możliwe? Paulina!

Drżąc ze wzruszenia, zarzuciwszy ręce na jego ramiona, spoglądała wielkiemi oczyma.

o tem wszyscy, lecz mówili sobie: „Z biegiem czasu przyjdzie do tego“ — a tymczasem wcale nie przyszło. Prądy i dążności wyszły wkrótce po za ramy młodoczechizmu, co więcej stawały przeciw niemu, o ile bardziej i bardziej wytwarzała się zeń „narodowa“ partya burżuazyjna, przesiąknięta aż do szpiku kosci zasadami zamierającego liberalizmu i wymizerowanego demokratyzmu mieszczańskiego... Wcześnie nabraliśmy przekonania, że koniec młodoczeskiej opozycyi nie będzie innym jak Staroczechów, wiedzieliśmy od dawna, że stratą czasu i energii byłoby reformowanie tej partyi i dlatego postanowiliśmy iść własną drogą, w duchu naszego programu i własnemi odpowiedniemi środkami. Ze w obozie postępowym zdanie o Młodoczechach nie było do dziś wyrobionem, nic nie szkodzi, tuszymy jednak, że z biegiem czasu i z rozwojem spraw, ustąpi optymizm u tych postępowców, którzy jeszcze ciągle łudzą się nadziejami, że partyę młodoczeską da się przerobić na kierunek ludowy, który jest zasadniczym i charakterystycznym objawem, a który nas dzieli od narodowej, wolnomyślnej partyi. Abstrakcyjne pojęcie „narodu“ i „narodowości“ chcieliśmy ucieleśnić — tymczasem zobaczyliśmy obok małej garstki ludzi posiadających i rządzących, szerokie warstwy uciemiężonego, wyzyskiwanego, praw należnych pozbawionego, w ciemnocie trzymanego ludu. I stanął nam konkretny obraz „narodu“ przed oczyma i staliśmy się „ludowcami“, którzy sobie za cel postawili: pracować, aby uciemiężony a nieświadomy lud wyprowadzić z niewoli, aby przywileje wszelkie ustały, aby wyzysk zniknął, aby między wolnymi i równymi sobie ludźmi zapanowało prawdziwe braterstwo“.

(Dokończenie nastąpi.)

LITERATURA I SZTUKA.

Pisma A. Świętochowskiego.

(Tom I.)

(Dokończenie.)

Możnaby jeszcze bardzo długo mówić o przymiotach odznaczających formalną stronę twórczości Świętochowskiego, ale boję się, czy i tak już nie przekroczyłem granicy cierpliwości czytelników, pisząc uwagi, jakie mi się nastręczyły przy odczytywaniu pierwszego tomu „Pism“ tego autora, wydawanych obecnie w Krakowie i Warszawie.

Czas już przejść do treści.

Trzy pierwsze obrazki, pomieszczone w 1-ym tomie „Pism“, wyszły przed 16 laty w osobnym zbiorku p. t. „O życie“. Stanowią one rodzaj trylogii, której zasadniczym motywem jest walka o byt. „Damian Capenko“, „Chawa Rubin“, „Karol Krug“, to jednostki dobre, choć oczywiście bynajmniej nie doskonałe, zabiegające gorliwie o szczęście — w bardzo skromnych rozmiarach — swoje własne lub swojej rodziny, wytrwałe w pracy, uzbrojone w cierpliwość, znoszące przytyki, naigrawania bez namiętnych targań się, a ginące wskutek przeciwdziałania obcego, kierowanego uprzedzeniem, niechęcią, zawiścią, wzgardą. Autor umie otoczyć postacie te promieniami sympatyi, lubo nie myśli wcale taić ich słabości, śmiesznostek i rozmaitego rodzaju przywar etycznych lub obyczajowych. Dokonywa tego w sposób bardzo prosty, o którym jednak często zapominają powieściopisarze; oto odsłania w nich najgłębsze warstwy uczuć prawdziwie ludzkich, mających zawsze własność budzenia w nas objawów serdecznego nastroju. Im uczucia te są żywsze i im mniej posiadają w sobie pierwiastku samolubnego, tem silniej działają na duszę naszą, bo chociaż sami w postępowaniu swojem kierujemy się pobudkami egoistycznemi, lgniemy mimowoli do tych, co z miłości dla innych, o sobie zapominają. Dlatego to na mnie przynajmniej robi największe wrażenie Chawa Rubin, najmniejsze Damian, a pośrednie Karol Krug.

Po tej trylogii znajdujemy w zbiorze „Klemensa Borutę“, obraz nędzy na Szląsku pruskim wywołany opisami roku głodowego, jaki przed laty zwrócił uwagę całego kraju na tę cząstkę ludu polskiego, co od wieków pod uciskiem niemieckim pozostaje. Akcya ratunkowa wtedy podjęta, rzuciła jaśniejszy promyczek w mrok niedoli — ona też i w powiastce o nieszczęśliwym Borucie, który przeszedł piekło cierpień, wytwarza w zakończeniu utworu nastrój pogodniejszy. Sieroctwo, bieda, ciężka praca, wzgarda niezasłużona, los prześladowczy, wsączyły w serce Klemensa dużo jadu i prowadziły do szukania chwili zapomnienia na dnie butelki: nie zgnębiły go jednak, ręka pomocna, wyciągnięta z oddali, silnem przejęła go wzruszeniem i schyłek życia osłodziła.

Jak „Klemens Boruta“ jest obrazem nędzy materyalnej, tak „Oddechy“ przedstawiają nam nędzę moralną.

Rzecz dzieje się w Poznaniu. Wawruś Tryneza z natury był bojaźliwym, ale od czasu, gdy wraz z ojcem uciekać musiał i kryć się, dostał tak gwałtownych dreszczów strachu, że już odtąd ciągle nim trzęsły. Skończył gimnazyum, został kancelistą w magistracie, podczas wojny francusko-pruskiej przez spojenie chłopa francuskiego i wybadanie go oddał przysługę zwierzchności, dostał order i przytem z Tryneczy przerobiono go na Lorenza Trinkbiera. Przeciwko zamianie nazwiska nie protestował.

Zostawszy asesorem, słuchał we wszystkiem naczelnika wydziału, tak, że gdy ten mu oznajmił, iż kanclerz państwa życzy sobie, ażeby wszyscy urzędnicy byli „narodowo-liberałami“, zgodził się na to najchętniej i przy najbliższych wyborach, nie tylko sam głosował za kandydatem „narodowo-liberalnym“, ale nadto zjednał mu jeszcze kilkunastu wyborców. W nagrodę otrzymał podwyższenie pensyi o 10 talarów miesięcznie.

Wtedy ożenił się z niemką i w ciągu lat czterech doczekał się czterech synów i choroby żony. Pomimo zasług położonych, nie czuł się Trinkbier silnym na swojem sta-

— Ty, Rudolfie! Ty... ty żyjesz!

— A więc sądziłaś, że umarłem? — rzekł niepewnym głosem.

— Myślałam, że spoczywasz ot tu — odrzekła, wskazując grób poległych.

— I przyszłaś dziś...

— Dla ciebie, Rudolfie; dziś jak co rok, od dwudziestu siedmiu lat. Patrz, Rudolfie, ten oto wieniec dla ciebie przyniosłam. Gdy cię ujrzałam — szepnęła po chwili milczenia — sądziłam, że powstałeś z mogiły, aby mnie raz jeszcze zobaczyć.

Milczała jeszcze przez chwilę, a potem rzekła, spoglądając nań nieśmiało, ale z nieopisaną czułością.

— A wiesz, co upewniło mnie, że nie widmo stoi przedemną? Umarli nie zmieniają się, a ty, Rudolfie, bardzo się zmieniłeś.

— Ach! Uważasz, że jestem zmieniony?

Długo patrzała na niego. Spojrzenie jej błądziło po całej postaci, długo spoczywało na twarzy; potem rzekła, jak gdyby do siebie:

— Nie... nie bardzo... Nie tak bardzo, Rudolfie.

Zapewne tylko ona mogła tak mówić, ona tylko mogła w jego twarzy odnaleźć rysy młodzieńca, liczącego dwadzieścia trzy lata, jak oko wprawne przy pomocy powiększającego szkła odczytuje pismo zamazane, prawie niewidoczne. Dla niej głowa o włosach krótkich, rzadkich, siwawych, pokryta była, jak niegdyś, bujną, czarną czupryną; wąsy długie, ostre, sprawiały wrażenie jedwabiu, ułożonego delikatną ręką; żółta cera nic nie straciła z dawnego blasku i świeżości; cała postać w rzeczywistości zgrzybiała, zachowała dawne kształty — była wysmukłą, pełną młodzieńczości; w stojącym przed nią człowieku pięćdziesięcioletnim widziała obraz z fanatyzmem przechowywany w pamięci, może nawet piękniejszy od oryginału.

I jego opanowało podobne złudzenie. Nie widział zmarszczek na powiekach i twarzy; oczy osłonięte smutkiem lśniły pełne blasku młodości i radosnych upojeń; zgrubiałe kontury twarzy, szyi, piersi przybrały dawne powabne kształty, tak bardzo przez niego kochane; w kobiecie zwiędłej uwielbiał młode dziewczę, promieniejące urokiem dziewiętnastu lat, porzucone przez niego przed ćwierć-wiekiem.

Patrząc nań, opanowała wzruszenie, głos odzyskał spokój, drżał jednak zlekka, gdy go zapytała:

— Ale, na miłość Boską opowiedz mi, jak się to wszystko stało? Odźwierny nasz widział, jak padłeś na ulicy, jak cię potem uprowadzono.

— Nie mylił się.

— A więc raniono cię...

— Tak... byłem ciężko ranny!

— Ah! a potem...

— Pamiętasz nasze rozstanie... Przestałem panować nad sobą... uciekłem jak szalony... bez kapelusza. Kiedy wybiegłem z pasażu Saumon, kierując swe kroki na Montmartre, ulica była zupełnie pusta. W oddali słychać było odgłos bębnów. Od strony bulwarów zbliżali się żołnierze. Minęło mnie kilkunastu ludzi, szukających schronienia. Pierwej nim mogłem zdać sobie sprawę z tego, co się działo, usłyszałem huk wystrzałów, uczułem ból i upadłem. Koło mnie padł ktoś inny i już się nie poruszył. W pasażu Saumont otworzono okno, lecz zamknięto je natychmiast. Oddział szybko się zbliżał. Żołnierze byli zaopatrzeni w latarnie i pochodnie. Najpierw zbliżyli się do mojego sąsiada. Zbliżyli latarnie do jego twarzy i po chwili wśród wściekłych wrzasków zatopili w jego pierś bagnety. Następnie podeszli do mnie; widziałem połysk bagnetów, czułem ich chłód, instynktownie wyciągnąłem ręce, chcąc się bronić. Oficer zawołał: „Stać!“, poczem zapytał, kto jestem. Odrzekłem z całą przytomnością, na jaką mogłem się zdobyć w obec śmiertelnego przerażenia, że jestem Szwajcarem, uczniem Szkoły głównej, że mieszkam w pasażu Saumont, że wyszedłszy na miasto zostałem przypadkowo raniony. Oficer obejrzał moje ręce; nie dostrzegł na nich śladów prochu. Zrewidowano mnie i nie znaleziono broni.

(Dokończenie nastąpi.)

nowisku, bo mu przypominano jego pochodzenie. Dla lepszego zasymilowania się przyjął wyznanie ewangielickie. „W miejscowej gazecie niemieckiej zapisano ten wypadek z odpowiednią pochwałą i morałem politycznym".

Nastał czas t. zw. „rugów pruskich". Spodziewał się Trinkbier nowego awansu; zaczęto nawet mówić o tem; prezydent miasta powinszował mu go, chociaż zauważył, że nominacya jeszcze nie nadeszła, przyczem zaczął dopytywać o szczegóły, dotyczące miejsca urodzenia, czasu przybycia do Prus i t. d.

Nie pomogło mu wcale, gdy z narażeniem własnej osoby zadał kłamstwo mówcy demokratycznemu, występując w obronie partyi rządowej; zamiast nominacyi, otrzymał rozkaz opuszczenia Prus w ciągu dni ośmiu — choć pięcioro dzieci miało dyfteryt, a i żona leżała chora.

Zapóźno spostrzegł bojaźliwy Trinkbier, że jego układność i płaszczenie się Niemcom nie przyniosły mu korzyści nawet pod względem materyalnym.

„Na pogrzebie" mniejsze posiada znaczenie niż „Oddechy". Autor zestawia dwa pogrzeby: krowy i bażanta, karmicielki rodziny chłopskiej z jednej, a fantazyi zrujnowanego szlachcica z drugiej strony.

Krowę opłakiwały rzewnemi łzami dzieci i ich ojciec, mało zważając na dogorywającą matkę i żonę, gdyż razem z krową znikała ostatnia nadzieja otrzymania pożywienia: głód jako niszczyciel istnień fizycznych przytłumiał wrodzoną uczuciowość bardziej duchowego charakteru, tak, że z pozoru sądząc, możnaby tych, co krowę opłakiwali, o brak serca obwiniać.

Zadłużony szlachcic, w majątku, w którym niepodzielnie rozgospodarował się już Aron, do ostatniej chwili nadrabia fantazyą, łudzi innych, a może w końcu i siebie roztaczaniem projektów podniesienia stanu majątkowego za pośrednictwem hodowli bażantów, choć ma tylko jedną jedyną samicę, kupioną za 15 rubli, i w chwili gdy miał zamiar dostać samca, ów jedyny okaz rodu bażanciego na pustym folwarku ginie przy jedzeniu. I wtedy jeszcze szlachcic umie wyzyskać położenie, pocieszając się wyniosłym frazesem: „Ot, bądź bażantem wśród podłego drobiu, zadławią cię prostą kluską"

Chłop przyjął w pokorze ofiarowany datek i kupił sobie nową krowę; szlachcic, choć ciąż nic mógł zapewnić wygodnego noclegu, zaprasza przecież do siebie gości i odgrywa przed nimi komedyę dostatku... w przyszłości.

Ostatni obrazek w pierwszym tomie stanowią „Woły". Jest on okrzykiem przeciw okrutnemu hasłu: biada zwyciężonym! „Chłopiec źle zrobił, postraszywszy pasące się byczki; woźnica oberwał po karku za uderzenie wołów ciągnących wóz, ale te płowe mięsa — na rzeź przeznaczone — wolno ćwiczyć dla rozrywki". Tak się, niestety, dzieje w świecie, który całem współczuciem swojem darzy tylko powodzenie.

Świętochowski we wszystkich obrazkach pomieszczonych w tym tomie malował prawie wyłącznie warstwy niższe, a co najwyżej średnie pod względem inteligencyi; musiał więc naginać swój wytworny sposób wysławiania do poziomu umysłów, jakie wystawiał. Jakkolwiek w tym kierunku twórczość jego nie zdołała być dosyć giętką, bo odbijała głównie zewnętrzne strony gwary językowej, to przecież można wszystkie rozmowy lub wywnętrzania się nazwać artystycznie udatnemi, a niekiedy doskonałemi. Zupełną atoli swobodę swego świetnego stylu rozwija autor tam, gdzie mówi wprost od siebie.

Wydanie „Pism" bardzo harmonijnie odpowiada ich zawartości, jest ładne swoją wytworną prostotą i czystością.

P. Chmielowski.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Państwo żydowskie

(Dokończenie).

Asymilacya mogłaby wtedy tylko się dokonać, gdyby żydów nie prześladowano. W czasach największego ucisku najgłośniej odzywa się w nich samowiedza narodowa. Kiedy im się dobrze dzieje, asymilują się z łatwością. To jest prawo natury. Antysemityzm nie zniknie, bo nie znikną przyczyny, które go wywołały. Wobec tego nie ustanie także nigdy reakcya ze strony żydów, która osłabia w nich chęć do asymilacyi a utwierdza w separatyzmie; ten znowu zwiększa zawiść chrześcian. I oto jest circulus vitiosus, z którego niema wyjścia. Wszelkie wywody i argumenty nic żydom nie pomogą, nienawidzą ich, bo ich nienawidzą. Ich siła ekonomiczna zamiast pomagać, w ostatecznym rezultacie szkodzi mi jeszcze. Nie można ich zniszczyć ekonomicznie, bo potęga ich opiera się na kapitale ruchomym, tego zaś dosięgnąć nie można. Możnaby wprawdzie nałożyć nań progresyjny podatek dochodowy, ale krok ten wymierzonyby być musiał także przeciwko kapitalistom chrześciańskim, a zresztą wszelkie ograniczenia żydów pod względem ekonomicznym spowodowałyby niechybnie niesłychane kataklizmy w życiu gospodarczem, których skutki równie dotkliwie dałyby się uczuć społeczeństwom chrześciańskim. Ta właśnie bezsilność wobec żydów, ta niemożność zwalczania ich pod względem ekonomicznym, potęguje zawiść ku nim. Dobrobyt żydów drażni przeciwników, zapominają oni, że jestto walny środek zaniku indywidualności żydowskiej. W obecnym ustroju społeczeństwa panuje zasada „siły przed pra-

Ze starych szpargałów.

List Imć Pana Marka z Pęcławic Zadry do swej żony Barbary.

Laudetur J. H.

Wielce mnie miłościwa Jejmość Dobrodziko y sercem ukochana małżonko moja!

Z wielkiey Imć Pana Jana Kantego Krzywdzica ochoty y grzeczności korzystając ślę to pismo, by Jejmości yaknayspieszniej zwiastować iżem zdrów i cały do Sandomirza dojechał y razem o łaskawy respons poprosić, który to możesz Jejmość Dobrodzika śmiało przez Pana Krzywdzicowego podstarościego, retro do Sandomirza się odprawującego po dwa podjezdki y skarbniczek, przesłać.

Siedzę tu już tydzień u yednego zacnego mieszczanina, kwaterą stanąwszy samowtór z moim Mateuszem y liberuyę, żali by już nie czas do domu wracać. Mateusz cale mi się nie udał, ile że często za niego obrok koniom zasypywać muszę, a on jeno czeka okazyey by pod wiechę uciec y tam się spiwszy burdy z pachołkami y służbą starościńską czynić.

Byłem już u W. W. O. O. Dominikanów y z W. O. Przeorem względem naszego Jacusia rozmowiałem się generalnie na skutek czego kazał mi go na September należycie opatrzonego do konwiktu dostawić.

Mąkę, jabłka, śliwki suszone te z kminem na patyczkach, jagły y dwa klimki W. O. Przeorowi z pokorną prożbą o przyjęcie ofiarowałem, z czego, jakem to zakonotował, był rad bardzo, bo wszystkie grzecznie chwalił, niczego nie excypując.

Muszę też przy tey okazyey donieść Jejmość Dobr. iżem miał szczęście spotkać J. W. Pana Starostę, któregom dotąd personaliter honoru znać nie miał. Pokłoniłem mu się nisko, a on do mnie zagadał jakoby do równego sobie personata o ród y inne sprawy rozpytując. Pan to okrutnie łaskawy y rad jestem, iżem się tak w porę na niego natknął, jenom się sromał trochę mego chudopacholskiego przyodziewku jałowiczych butów y karabeli mizerney, submitując się zaraz J. Wielmożnemu Staroście iż yako jestem w podróży, przeto się mizernie prezentuyę. A on mi na to:

Znasz Waszmość przysłowie: „Nie szata człeka zdobi".

Dobry Pan y bardzo mi do serca przypadł a znajomość ta może być y dla naszych chłopaków cale fructuosa.

Szlachty tu dość, zełgałbym przeto gdybym rzekł, że mi tu czas leniwo uchodzi, jenom cały w umartwieniu, iżem taką mizerną szablinę z sobą zabrał. Podeślij że mi Jejmość przez onego podstarościego tę z Matką Boską w jaszczurze, bo jest śmigła niedawno toczona y naylepiey mi w dłoń wpada. Może się jaka okazya trafić a człek jak bez ręki.

Kończę ninieysze pismo moje Bogu Naywyższemu Jejmość Dobrodzikę polecayąc y piszę się Jej wiernym uniżonym sługą i kochayącym małżonkiem.

Marek m. p.

Jacusia y Wawrzusia w głowiny całuję.

List Jejmość Pani Barbary Zadrzyny do męża swego Marka.

Mnie wielce miłościwy Panie y mężu moy najmileyszy?

Radam jest bardzo y Przenayświętszey Panience dzięki składam iżeś Jegomość jest zdrów a o mnie niegodney pamiętasz. Spłonęłam cała jegomościne pismo poznawszy, bo srodze się ulękłam, żali się Jegomości jakowyś niedobry casus nie wydarzył, ile że w drodze różnych okazyi dopytać można. Ale że wszystko po myśli poszło, niechże Imie Pańskie będzie pochwalone!

W domu wszystko jak należy, jeno będzie temu dwa dni, „Białonóżka" nieco zachorzał, świeżey zroszoney trawy dopadłszy y dostał jakowegoś paskudnika, czy co, którego mu zaraz podstarości z włódarzem podkadziwszy y zamówiwszy skutecznie wyprowadzili, a teraz już Wawrzuś na nim harcuje, ile że jak to Jegomości wiadomo, Jacuś nie ma serca do figlów ni do rycerskiey zabawy.

Nieraz się srodze troskam o tego chłopczynę y nie wiem co z niego będzie, bo jak się zaszyje gdzie w jaki kąt, to jeno myśli a myśli, a do kalendarza zaziera!

Oj! miałeś Jegomość racyę, suponując, że w nim jakowaś palestrancka dusza siedzi chyba!

Biedna dziecina.

A może go też Pan Bóg na swego sługę powołuje? Niechby tam! Na tę intencyę odprawiam nowennę.

Zawszeć, to wielki splendor dla domu. Niechby tam!

Najwyższy wie co robi i najskuteczniej

wem“ a stan ten potrwa jeszcze bardzo długo. W stosunku do żydów społeczeństwa się nie zmienią. Od nich ratunku żydzi wyglądać nie mogą. Zresztą ogólne zbratanie ludów nie jest nawet „pięknem marzeniem“. Zawiść jest potrzebna dla intensywnego rozwoju indywidualności. Żydzi sami tylko mogą sobie pomódz. Żydzi mimo wszystko pozostali narodem, *jednym narodem*. Wiara ojców utrzymała ich łączność. Narodowa indywidualność żydów zginąć nie może i nie chce. Nie może — bo nieprzyjaciel zewnętrzny jej na to nie pozwala; nie chce — udowodniła to przez lat 2000. Poszczególne jednostki mogą się zasymilizować, masy ludu nie. Nie należy wcale dążyć do zaniku narodowej indywidualności żydowskiej, bo ona jest zbyt sławną. Faktem jest, że żydzi narodowej swej indywidualności nie zatracili; obecnie tylko od nich samych zależy, czy chcą ją nadal zachować i swobodnie rozwijać. To zaś mogą tylko czynić w obrębie własnej organizacyi państwowej. Istnieje tylko jeden środek rozwiązania kwestyi żydowskiej raz na zawsze, a jest nim: utworzenie państwa żydowskiego.

Autor roztacza plan, w jaki sposób myśl ta dałaby się urzeczywistnić. Zastrzega się wyraźnie przeciwko zarzutowi, jakoby pisał utopię. W celu uniknięcia tego zarzutu pomija z umysłu szczegóły (bo te właśnie znamionują utopijną „fantazyę“.) Omawia jednak, acz szkicowo, wszystkie ważniejsze kwestye, aby uniknąć drugiego ewentualnego zarzutu, że sam nie zdaje sobie sprawy, czy plon możliwy do urzeczywistnienia. Ich bin im Tiefsten davon überzeugt, dass ich Recht habe — powiada stanowczo. Pisze aforystycznie, bo pismo jego ma być agitacyjne.

Państwo żydowskie powstać musi, to jest koniecznością dziejową. Urzeczywistnienie tej myśli nie nastręcza nawet szczególnie wielkich trudności. Żydzi mają wszelkie warunki po temu. Nieprawdą jest, jakoby żydzi byli narodem żyjącym z pracy innych. Jestto jedno z tych kłamstw konwencyonalnych, które wrogowie żydów przez tak długi czas powtarzali, że sami żydzi w nie wierzyli. Gdyby nawet prawdziwem było twierdzenie, że żydzi są *tylko* przedsiębiorcami, to i tak przedsiębiorstwo jest funkcyą gospodarczą, mającą równie doniosłe znaczenie, jak każda inna. Zresztą żydzi nadają się do wszelakiego rodzaju pracy. „Materyał ludzki“ potrzebny do urzeczywistnienia planu, żydzi mają. Ale co dalej?

Pierwszym warunkiem jest oddanie żydom na ich wyłączną własność jednego z dwóch krajów: Palestyny lub Argentyny. Państwo, do którego którykolwiek z krajów tych należy, godziłoby się na odstąpienie go żydom. W zamian żydzi podjęliby się uregulowania jego finansów, ewentualnie przejęcia na siebie części jego długów. Zważyć też należy, że kraje okoliczne, tej samej władzy zwierzchniczej podległe, zyskałyby ogromnie na wartości z powodu założenia państwa żydowskiego. Założenie tego państwa odbyłoby się za zgodą wszystkich mocarstw, a pod protektoratem jednego z nich, np. Anglii. Celem założenia państwa musianoby do życia powołać dwie instytucye: „Jewish Company“ i „Society of Jews“. „Company“ ma za zadanie: 1) zlikwidować majątki emigrujących żydów, 2) zebrać kapitał potrzebny do założenia państwa. Siedzibą stowarzyszenia jest Londyn. Stowarzyszenie nie jest zarobkowe, ma starać się tylko o dochody dla pokrycia kosztów utrzymania. Do zarządu należy powołać i chrześcian, aby oddać stowarzyszenie pod kontrolę opinii publicznej i utwierdzić wiarę w bezinteresowność jego przy tranzakcyach majątkowych. Likwidacya będzie powolna, aby uniknąć wstrząśnień ekonomicznych. „Company“ będzie dokonywać zamiany dobr: nabędzie na swoją własność dobra nieruchome emigrujących żydów aby je potem autochtonom sprzedać), a w zamian da im nieruchomości w „Państwie.“ Zajmie się także urządzeniem „Państwa“ pod względem, że się tak wyrazimy, materyalnym. Zajmie się uprawą roli, budową domów, kanałów, kolei etc. Inne zadanie ma „Society“. Sie ist die Staatbildende Macht. Zadanie „Society“ jest „urządzenie“ „Państwa“ pod względem moralnym. „Society“ jest instytucyą składającą się z najwybitniejszych i najbardziej poważanych żydów. Występuje ona jako przedstawicielka całego żydowstwa wobec państw europejskich. Z jakiego tytułu? Czy otrzymała mandat ku temu z rąk ludu żydowskiego w drodze plebiscytu? Nie! Autor plebiscytu nie chce, bo jest on z wielu trudnościami połączony, ale głównie chyba dlatego, że obawia się, by plebiscyt nie unicestwił całego projektu.... „Society“ zaś musi mieć charakter legalny, jeżeli wobec obcych i swoich ma być otoczona należytą powagą. Autor z trudności wybrnął w sposób arcyciekawy. Dla uwierzytelnienia swojej „Society“ stwarza nową... teoryę prawno-publicznej *negotiorum gestionis*, polegającej na analogicznej instytucyi z rzymskiego prawa prywatnego. Jeżeli naród jaki znajduje się w niebezpieczeństwie, a sam nie chce lub nie może działać, wówczas może grono jednostek bez wyraźnego zlecenia zająć się jego sprawą i występować jako jego legalna reprezentacya. Od chwili, w której naród (negotii dominus) przez popieranie jej celów zatwierdzi czynności reprezentacyi, (negotii gestoris), będą one równie skuteczne, jak gdyby za wyraźnem zleceniem zostały wykonane. Na podstawie tej niezmiernie bystro pomyślanej i oryginalnej koncepcyi prawnej występować może i działać „Society“ jako prawowita reprezentacya wszystkich żydów. „Society“ jest właścicielką kraju, ona nadaje mu charakter samodzielnego państwa. Zadaniem „Society“ jest: 1) zbadanie natury kraju, 2) zaprowadzenie scentralizowanej administracyi, 3) podział gruntów. Ten ostatni odbędzie się w drodze licytacyi. Ceny kupna nie będą stanowić pieniądze, lecz usługi.

W dalszym ciągu omawia autor ustrój polityczny nowego państwa, jego stosunki socyalne, gospodarcze itd. *Państwo* będzie republiką arystokratyczną na wzór republiki weneckiej. Autor jest wprawdzie zdeklarowanym zwolennikiem monarchizmu, ale wśród żydów nić tradycyi monarchicznej od tak dawna się zerwała, że o nawiązaniu jej w obecnych czasach mowy być nie może; przeciwko republice demokratycznej oświadcza się autor z przyczyny, że ta nie daje gwarancyi spokojnego rozwoju politycznego i socyalnego społeczeństwa. Wobec wybujałości indywidualizmu żydowskiego, demokracya nie byłaby w stanie sprawować rządów w *Państwie*. Ustrój gospodarczy ma być liberalno-kapitalistyczny, ale postępowy; niektóre ważne urządzenia socyalne mają przyczynić się do wyrównania różnic majątkowych. I tak *Państwo* zaprowadzi 7-godzinny dzień pracy. Robotnicy otrzymają bezpłatnie pomieszkania i pożywienie na koszt państwa; płacy pobierać nie będą. Autor chciałby wprowadzić także paryską instytucyę *l'assistance par le travail* celem wspomagania biednych, omawia stosunki niefachowych robotników (uns killed labourers) itp. W ogólności zużytkuje *Państwo* wszelkie wyniki nowoczesnych prób reformy socyalnej, aby w ten sposób dać przykład innym i stać się „państwem wzorowem“. Język nie będzie hebrajski, ale ten z nowożytnych, który najlepiej odpowie ogólnej potrzebie. Teokracyi w *Państwie* nie będzie. Państwo zapewni każdemu najwyższą swobodę na punkcie wiary, nie ścierpi jednak wpływu duchowieństwa na sprawy publiczne. Na zewnątrz *Państwo* będzie zupełnie neutralne: wojsko jest mu potrzebne celem utrzymania porządku na zewnątrz i wewnątrz. Autor nie wątpi, że mocarstwa europejskie zgodzą się na *exodus* żydów. Jedynie wzgląd na zmniejszenie dochodów skutkiem utraty podatków żydowskiej, ekonomicznie silnej, warstwy ludności przemawiałby przeciw temu. Ale akcya cała przysporzyłaby niejedną korzyść rządom. I tak: 1) podatki płacone przez poszczególne organa „Company“ 2) opłaty od podwójnego przeniesienia własności (z żydów na „Company“, a z tej na autochtonów), 3) wzmocnienie ekonomicznej siły całej ludności przez to, że wszystkie przedsiębiorstwa, fabryki etc. żydów przejdą na własność chrześcian. Exodus żydów nie spowodowałby żadnych przewrotów ekonomicznych, bo cała akcya odbywałaby się powolnie, pod okiem władz. Handel państw odnośnych nie byłby narażony na szwank, bo na długi czas zaistniałby eksport towarów do państwa żydowskiego. Największą zaś korzyścią którą odniosłyby ludy Europy z powodu wyjścia żydów, byłoby odroczenie kwestyi socyalnej co najmniej na lat 20 (a więc przez cały czas wędrówki żydów).

Koszta całej akcyi oblicza autor na jeden miliard marek. Pieniędzy dostarczą magnaci żydowscy. Gdyby ci okazali się dla sprawy nieprzychylni, zajmie się nią stan średni, a w razie oporu i tego — proletaryat. Pieniądze zebranoby w takim razie w drodze ogólnej subskrypcyi, w której bez wątpienia wzięliby udział i chrześcianie. Proletaryat pójdzie z pewnością, zwłaszcza pod naciskiem antysemityzmu. Bo, naprzód, nie ma nic do stracenia, a dalej, pociągnie go nadzieja zarobku, zapał religijny i marzenie o „wolnej ojczyźnie“. To marzenie może się teraz ziścić. Ci żydzi, którzy tego pragną, będą mieć swe państwo, a co tam zdziałają dla swego własnego dobra, to wyjdzie na korzyść całej ludzkości.

Temi słowy kończy autor rzecz swoją.

E. W—r.

---

furtuną człeka kieruje. Dobrześ Jegomość uczynił, iżeś dla Jacusia u OO. Dominikanów locum obrał.

Imaginuj sobie Jegomość, że byłam świadkiem srogiej batalii, jaką chłopcy między sobą stoczyli.

Wawrzuś symulował towarzysza pancernego, Jacuś zasię tatarzyna y dalejże palcatami nacierać na siebie!

Wawrzek choć to młodszy, ale zawżdy animuszu pełen, tak Jacusia płatnął na odlew, że mu głowinę palcatem do krwie rozłupał. Zaraz też pobiegłam do alkierzyka, zmiotłam co było pajęczyny, y takową z chlebem umięsiwszy zalepiłam ranę.

Wawrzek cały dzień zato siedział in fundo o chlebie i wodzie z różańcem, odmawiając takowy y po każdym Oyczenaszu biczując plecy przez kubraczek, potem solennie brata przeprosił, totaliter wszystko bez oporu spełniając.

Wraz z niniejszem pismem przesyłam Jegomości karabelę potrzebną y niewielką taskę bigosu, a musi być dobry skoro Brat Ignacy, będąc u nas po kweście, okrutnie go chwalił y dwie miski skonsummował.

Niechże mu będzie na zdrowie!

Przenajświętszey Panience Częstochowskiey Jegomości Dobrodzieja polecając, piszę się Jego sługą y kochającą a wierną do śmierci małżonką.

Barbara m. p.

Chłopcy Imci Panu Ojcu nogi całują.

Za zgodność z oryginałem ręczy

Mieczysław Frenkiel.

Z estrady i sceny.

(Spirytyści. Komedya w 4 aktach p. Gustawa Mosera.)

Moserowski „Bibliothekar“ przedzierzgnął się na polskich scenach w „Spirytystów“. Nowa firma mniej od starej przylega do sztuki, lecz u nas króluje zasada, że „dobry tytuł robi dobrą kasę“ i w imię tej maksymy nie tyle troszczymy się o właściwość, ile o efektowność szyldu. Spirytyzm — to pukające duchy, wirujące stoliki, jasnowidzenia, — to przedewszystkiem moda. Więc lubo nowa ta zabawka odgrywa w Moserowskiej sztuce bardzo małą rolę, przylepiamy ją na afiszach, jako wabik na tłumy.

„Spirytyści“ należą do starszego repertuaru i w akompanjamencie śmiechu przesuwali się już nieraz przed publicznością poznańską, a na wiedeńskich i berlińskich scenach prezentują się przelotnie nieomal w każdym sezonie widzom pożądającym taniej arlekinady. Utwór ten nie posiada francuskiej elegancyi, tryskającego dowcipu i prawidłowej kompozycyi, lecz rusza się, plącze, skacze, ma sporo maskarady, kilka typów wesołych i dużo jaskrawych efektów. To przeciętnej publiczności wystarcza. Chwilami zakrawa to wszystko na pantominę clownów cyrkowych, chwilami wikła się w takie nieprawdopodobieństwa, że nawet w szerokich ramach farsy swawola ta trzeszczeć zaczyna, chwilami takie quodlibet najrozmaitszych zawikłań wpada na scenę, że autorowi samemu włosy jeżą się na głowie i z widocznem zakłopotaniem suwa tu i tam marjonetki swoje, lecz mimo to ściany teatru trzęsą się od śmiechu. Humor tu niemiecki, — surowy i krzykliwy, — lecz takiego właśnie tłum szeroki pożąda, a teatr, który często z nim liczyć się musi i który z biegiem czasu stał się „ulubionem miejscem rozrywki dla ubogich w duchu“, jak mówi Brandes, chętnie mu, a raczej za chętnie bramy swoje otwiera. Nie myślę krotochwili odmawiać praw obywatelskich na scenie, — przeciwnie, uważam ten najniższy gatunek komedyi za pożądany składnik repertuaru, lecz chciałem tu tylko ogólnikowo zwrócić uwagę na pewną wybujałość upodobań w tym kierunku i na prawdziwy potop niesmacznych, trywialnych i artystycznie zgniłych owoców, któremi rozmaici swojscy i cudzy farso-pisarze zasypali teatr. „Spirytyści“ nie należą do najgorszych krotochwil ostatniego dziesięciolecia, — lecz daleko im, bardzo daleko do pierwowzorów francuskich.

Obsada ról męzkich była niewątpliwie szczęśliwszą od kobiecych. Ryger, jako lord Macdonald, był w każdym calu stylowym ekscentrykiem angielskim i przypominał grą swoje piękne tradycye warszawskich teatrów. Na szczególne też uznanie zasługuje p. Tarasiewicz, który indywidualność swoją tak umiał dostroić do roli Roberta, że przylegała mu ona jak trykot do ciała. Może to miłem nie będzie młodemu artyście, aspirującemu do ról silnie dramatycznych, że właśnie w kierunku charakterystycznego komizmu już po raz drugi talent jego z szczególnym naciskiem podnoszę, ale zdaje mi się, że kiedyś wdzięcznym mi będzie p. Tarasiewicz za wskazanie nowej drogi, która wydaje mi się właściwszą dla artyzmu jego i na której niewątpliwie obfitsze zdobędzie wawrzyny. Przypominam sympatycznemu artyście, że i Rapacki (ojciec) rozpoczął swoją karyerę sceniczną w rolach kochanków lirycznych i długo się błąkał, zanim poznał indywidualność własnego talentu i właściwą drogą odnalazł. Przypominam wreszcie z historyi poznańskiego teatru te fałszywe tory bohaterów, na które za podszeptem fałszywych doradzców wstąpił niegdyś p. Łaski. Talent artysty tego przemówił do nas dopiero wtedy, gdy w ogniu krytyki zdecydował się kapitulować jako bohater i odrodzić się jako przedstawiciel ról charakterystycznych. Niech pan Tarasiewicz dobrze rozważy słowa moje, podyktowane najszczerszą życzliwością.

Z innych artystów występujących w „Spirytystach“ odznaczali się grą żywą i swobodną pp. Knapczyński i Karpowicz, a sporo stylu i rutyny rozwinęli p. p. Jakubowski i Prochaska. Humor p. Berskiego natomiast w roli krawca Gibsona był nieco wymuszony i blady.

Z artystek występujących w Moserowskiej farsie zasługuje na wyróżnienie tylko p. Modrzewska w roli Sary Gildern, podstarzałej guwernantki, dotkniętej manią spirytystyczną. Gra jej miała dużo szczerego komizmu, a podnoszę tu z naciskiem sumienną charakterystykę zewnętrzną, która zeszpeciła wprawdzie oblicze artystki, lecz podniosła plastykę typu. W tym kierunku nasze panie z teatru grzeszą bardzo często. Być piękną! — to jedenaste przykazanie wypisane na drzwiach garderoby. Co rola mówi — to mniejsza.

Pani Jakubowska i panna Ogińska starały się usilnie, by wmówić w widzów, że dwa naiwne podlotki pląsają po scenie, ale zdaje mi się, że nikt z całej publiczności temu nie uwierzył. Pierwsza miała przynajmniej kilka interesujących szczegółów w swej roli, — druga nic, prócz bezdusznej rutyny i... przeraźliwego kwiku w spotkaniu z duchami.

W. R.

Na Wyłomie.

(Miód i ocet.)

Wyczytałem niedawno w „Czasie“ krakowskim czarującą receptę — na muchy. I to nietylko na muchy, lecz i na kiełbiki i na złote rybki i na pawie i na mamutów, a przedewszystkiem na dudki i sroki, jednem słowem cudowny środek. A taki prosty! Proszę tylko posłuchać. Korespondent poznański tej zacnej gazety, której każdy abonent jest już hrabią, albo będzie hrabią, opisuje dokładnie, jakie to zalety serca i ducha posiada nowy redaktor „Dziennika Poznańskiego“. Jedno tylko niepokoi poczciwca, mianowicie, czy p. dr. Władysław Łebiński „potrafi mieć (Boże! co za styl!) konieczną w polemice wyrozumiałość i zachować spokój sądu i miarę“. A gdy tak duma nad straszną zagadką korespondent „Czasu“, jakaś wróżka dowcipna śpiewa mu ciągle nad uchem cudowną receptę z jezuickiej kuchni: „Miodem więcej się much złapie niż octem“.

Mam ochotę zakląć, zakląć na całe gardło. Bo, proszę państwa, że też ja dopiero teraz dowiaduję się o tej cudownej dziennikarskiej recepcie, — teraz, gdy za radą pewnego monarchy mam zamiar „otrząsnąć pył poznański z obuwia“ i w innych murach wiercić wyłomy swoje. Przez trzy łata wierzyłem w ocet, paprykę i piołun, — soliłem, kwasiłem, pieprzyłem, a te szelmy muchy ani rusz! Ba, jak na złość siadały mi na nosie i brzęczały nad uchem, a mojego octu żadna pić nie chciała, chyba jaka chora z błednicą. O Czasie! Czasie! czemuś ty mi miodu nie poradził!

Pamiętacie niezawodnie jeszcze wszyscy moją kwaśną polemikę z Wielkopolankami. Spostrzegłem ku mojemu nieszczęściu, że te „anioły nasze“ nie dość gorliwie do prac narodowych przykładają rękę, więc mój atrament zaprawiłem octem. A one? Bogu najwyższemu dzięki, że dziś jeszcze żyję wraz z moim „Wyłomem“. Pazurki, widelce, talerze, warzechy, — wszystko tam było w robocie.

Gdybym tak dzisiaj miał znowu do was przemawiać o „królowe moje“, to przysięgam, nie tknąłbym ani octu, ani pieprzu, ani żadnej rzeczy, która jego jest, lecz kupiłbym sobie wielki plaster miodu i wzorem jednego z prelegentów poznańskich śpiewałbym wam o włosach miękkich, jak aksamit, o oczach głębokich, jak morze, o Heinem i Mussecie, o Wandzie, co nie chciała Niemca, i Chrzanowskiej, co małżonka swego aż dwoma sztyletami uczyła rozumu, — ach! jakbym ja śpiewał, słodziuteńko jak cukier, jak miód, jak sahryryna nawet. A muchy, muchy, — ilebym ja much nałapał!

I was mężowie, „ładu i porządku“, zaprosiłbym na migdałową zupę z rozynkami. Już widzę, jak się uśmiechacie, jak wyciągacie ku mnie ręce i do serca tulicie. Dziękuję wam, serdecznie dziękuję i z całej duszy przepraszam, że w moim domu tak kwaśno bywało. Dziś jam już inny, dziś mam miód na ustach i migdałową zupę w kałamarzu. Jeżeli przyśni wam się kiedy podeptać prawa obywatelskie i wyklinać z ambony przeciwników swoich, bądźcie spokojni, ja wam zaśpiewam o rycerskiej stopie, co na proch ściera łeb ognisty smoka. Jeżeli znowu mamić będziecie społeczeństwo polskie „wielkanocnem“ jajkiem ugody, liczcie wy na mnie, bo z ust moich dowie się naród, że o całą głowę przerastacie Gladstona, Gambettę i Bismarcka. Jeżeli hypokryzyę, karyerowiczostwo i wydętą nicość laurem ozdobicie, ja wołać będę: „O! błogosławieni, co wielkie męże wieńczą wawrzynami.“ Jeżeli jaki Rozbicki „ładu i porządku“ napisze bardzo głupi dramat, mocno głupi wiersz lub strasznie głupi artykuł — niechaj mu strach przed „Wyłomem“ nie płoszy snu spokojnego, bo nowy Sulla powie: „Arcymistrzu! po wszystkie wieki brzmieć będzie dźwięk twojej lutni i sława imienia twego.“ Miód i miód bez końca! Niech żyje miód, niech żyją muchy!

I oto pozwólcie, że po raz pierwszy przemówię dzisiaj, jak miód tak słodko, jak puch łabędzi tak miękko, do ciebie, praso „ładu i porządku“!

Stojąc wiernie na straży ideałów narodowych, raczyłaś zwrócić oko swoje na wielką mogiłę Marcinkowskiego i upominasz społeczeństwo, by z łona swego wydało księgę, która uwieczni to życie pełne poświęceń i doniosłych czynów. Jedni wołają o nową księgę, drudzy reklamują starą, — opromienioną literackim geniuszem znanego męża ładu i porządku. Tak! niewątpliwie, dzieło dr. Zielewicza to owoc „niezwykłego talentu“ i prawdziwie „Benedyktyńskiej pilności“, ale ośmielam się pokornie zwrócić uwagę, że społeczeństwo pragnie takiej księgi, z którejby wyrastał duch Marcinkowskiego, wielki i potężny na szerokiem tle społeczno-politycznych stosunków. To, co p. dr. Zielewicz zebrał i zestawił, jest wzniosłe i piękne, — bo cóżby zresztą wzniosłem i pięknem nie było w ładzie porządku, — lecz to tylko skromny życiorys, nie historya epoki Marcinkowskiego. W biograficznych notatkach, dokumentach, listach i szczegółach mąż wielki nie znalazł reliefu, ukażmy go na tle dziejowem, ukażmy go w historyi instytucyi jego, a wyrośnie jak olbrzym, strzeli jak słup ognisty i stanie przed narodem w majestacie takim, jaki zasługom jego się należy.

Dostojni koledzy z ładu i porządku, obarczeni denerwującą pracą dziennikarską, nie raczyli przypomnieć sobie, że istnieje

pismo w Poznaniu, które z inicyatywy p. Niesiołowskiego już przed dwoma laty myśl takiej księgi rzuciło, a nawet zgromadziło fundusz tysiąca marek i rozpisało konkurs na wielkie dzieło o Karolu Marcinkowskim. Pismem tem jest „Przegląd Poznański.“ Nie skarżę się na nikogo i nie posądzam was, panowie z Dziennika i Kuryera, o uboczne zamiary, o zawiść konkurencyjną, o analizę myśli humanitarnej przez szkła stronniczych uprzedzeń. Daliście tyle razy dowody szlachetnej tolerancyi (o! miodzie, miodzie, przybądź mi na pomoc), stwierdziliście tylokrotnie czynem, że nigdy myśl postronna, nigdy jad zawiści koteryjnej nie sfarbował waszych dążeń humanitarnych i narodowych, że musiałbym być chyba dawnym Sullą, (o miodzie, miodzie!) aby przypuścić, że milczenie o konkursie rozpisanym przez pismo nasze jest produktem tendencyi. Kłamie ten, kto rzuca takie kalumnie, i niechaj nikt z cynicznym uśmiechem mówić się nie waży, że w chwili ogłoszenia konkursu żadne z pism „ładu i porządku“ nie raczyło powtórzyć odezwy naszej. Proste zapomnienie, nic więcej! Młyn dziennikarski tak huczy, tak myśli mele na mąkę, tak pamięć kurczy i mroczy, że w wirze pracy gorączkowej zginąć mógł łatwo nasz konkurs. Intencye wasze są zawsze czyste jak kryształ, jak łza dziewicza, jak modlitwa dziecka, (o miodzie, miodzie!) — więc dziś, gdy zaginiony konkurs prezentuję wam powtórnie, dostojni koledzy, wy go przytulicie, ogrzejecie płomienistem tchnieniem i w świat poniesiecie szeroki. Tem słowem żegnam was, słońca synowie. Szczęśliwy naród, który mężów tej miary posiada, szczęśliwy kraj, któremu takie przyświecają gwiazdy, szczęśliwa ziemia, gdzie aniołowie zstępują z nieba i piszą dzienniki.

Uf! Aż się spociłem, ale rad jestem, bo muchy roją się w miodzie. Jeżeli zaś miód mój ma jeszcze przysmak kwaskowy, i jeżeli was, dawni przyjaciele, słodycz o mdłości przyprawia, to zechciejcie mi wierzyć, że z czasem nabiorę wprawy i miód mój będzie słodszy od cukru, a wasze żołądki bez wstrętu kłamstwu udzielą gościny.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

Ilustrowany Kalendarz „Djabła na rok 1897. Nakład W. Poturalskiego.

Znana i u nas tradycya „Kalendarzy Djabelskich“, bogaty dział informacyjny, doborowa treść literacka i obfitość ilustracyi, wyróżniają Kalendarz „Djabła“ z powodzi licznych tego rodzaju wydawnictw, któremi zasypują w tym czasie rynek księgarski. Jest to także jedyny w Galicyi wychodzący kalendarz, który porusza w treści literackiej stosunki u nas, w Księstwie i na kresach panujące i gorąco sympatyzuje z Wielkopolanami.

Zauważyliśmy w kalendarzu Djabła portret ks. Arcybiskupa Stablewskiego, nowellę Wincentego z nad Warty: „Gwoździarz“, w której autor postawił pomnik zaginionemu już u nas typowi gwoździarzy i odmalował nadzieje nasze w r. 1863, oraz późniejsze gwałty rosyjskie, — dalej pięknie wykonany portret ś. p. Emilii Sczanieckiej i śp. Franciszka Dobrowolskiego. — Przepyszną w swoim rodzaju jest ilustracya, przedstawiająca naszą serdeczną spółkę H. K. T. u spodu z napisem: „Trójka hultajska, czyli spółka zarejestrowana z nieograniczoną poręką, bez żadnej odpowiedzialności“. — Na wyszczególnienie zasługuje także „Kronika pośmiertna z roku 1896“, ułożona przez Hermogenesa Klapę i dowcipnie napisane „Obserwacye meteorologiczno-astronomiczne na r. 1897.“

Z licznych obrazków, zdobiących Kalendarz, wymieniamy „Za wolność i ojczyznę“ Streita; winieter. 1897, Kossaka; „W Tatrach“ Eljasza; „Szczęść Boże“ i „Na zwiadach“ Stachiewicza.

* * *

Ze wspomnień szlacheckich. Kraków. Nakładem Spółki wydawniczej 1896 w 8ce str. 47. Jest to wiązanka opowiadań, osnutych na tle tradycyi, na własnych wspomnieniach oraz relacyach osób biorących udział w wypadkach opisanych. Z wyjątkiem pierwszego ustępu, odnoszącego się do dziejów rodziny Konopackich i Wilczopolskich w drugiej połowie XVII w., opowiedzianego podług tradycyi zachowanej w rodzinie Konopackich, a nie mającego ogólniejszego znaczenia, reszta odnosi się do dziejów naszego wieku. „Epizod z partyzanckich bojów 1831 r. majora Puszeta na Litwie“, oraz „Z opowiadań weterana b. wojsk polskich z kampanii 1831 roku, ś. p. Marcelego Zasowskiego“, stanowią drobne, lecz wdzięczne przyczynki do historyi walk o niepodległość, — „Kunegunda Giedrojcowa“ do smutnych dziejów sprzysiężenia Konarskiego, — wreszcie „Ksiądz Ambroży Nahujewski“ do kroniki gospodarki rosyjskiej w krajach zabranych.

J. Wys.

* * *

„Spartanka“, ballada Gwidona Pogonowskiego, wyszła z druku jako deklamacya z towarzyszeniem fortepianu. Muzyka, ułożona przez prof. Maryana Signio, nadaje się nietylko jako akompaniament do deklamacyi, ale może być traktowaną jako utwór fortepianowy. Ballada była kilkakrotnie już publicznie z powodzeniem wykonaną, przeto godna jest polecenia dla deklamatorow do wykonania na zbliżających się obchodach narodowych. Cena egzemplarza 1 zł. 20 ct. Do nabycia we wszystkich księgarniach we Lwowie i na prowincyi.

BŁĘDY JĘZYKOWE.

— Zupełnie niepotrzebnym zbytkiem gorliwości jest dodawanie do imion zdrobniałych wyrazu mały n. p. mały lasek, małe jeziorko.

— Nie mówmy i nie piszmy rodzenki, bióro, bót, obówie, ale rozynki, biuro, but, obuwie. Rozynki nie mają nic wspólnego z rodzeniem, a bióro z piórem; but wzięliśmy wprawdzie z zachodniej osnowy bot, aleśmy od wieków przemienili o na u, jak w furta, kluba, kufer itp. (z niemieck. Pforte, Kloben, Koffer:) obuwie zaś nie ma nic wspólnego z butem, gdyż pochodzi od obuć (ob-uć).

KRONIKA POWSZECHNA.

— **Teatr i muzyka.** W czwartek wznowiono na scenie naszej jednoaktową farsę poznańskiego autora Simona p. t. „Przewodnik dla zakochanych“. Robota to zupełnie dyletancka i z bardzo grubych włókien utkana, ale dla lokalnego kolorytu i niby — dowcipów trącących przedmieściem, znajduje zawsze chętnych klakierów na galeryi. Rzecz odegrano z werwą i życiem. Z artystów zasługują na wyróżnienie pp. Olszewski, Knapczyński i Berski, oraz panna Jutkiewicz, posiadająca dużo finezyi i filuteryi. — Dyrektor teatru poznańskiego p. E. Ryger bawił przez kilka dni w Berlinie dla sprawienia kostyumów i dekoracyi do „Madame sans gene“. — Dziś ukaże się w teatrze naszym po raz pierwszy głośny melodramat Szutkiewicza p. t. Popychadło, — za tydzień Sudermanowska „Walka motyli“. — Repertuar warszawskiego Teatru Rozmaitości zapowiada następujące premiery: krotochwila Bluma i Tosche „Paryż pod koniec stulecia“, komedya Mischa „Pośmiertna sława“, komedya Daudeta „Poświęcenie“ i jednoaktówka Banville'a p. t. „Sokrates i Ksantyppa“. — Roberto Bracco, twórca dramatu „Niewierna“, wystawił w Neapolu z wielkiem powodzeniem nowy dramat „Tryumf“. — Teatr lwowski wystawił z powodzeniem operę komiczną Wiktora Herberta pt. „Czarodziej z nad Nilu“. Autorem libretta jest Smith. — O p. G. Zapolskiej, utalentowanej autorce i artystce czytamy w „Dn. Warszawskim“: „W lecie r. b. p. Zapolska grała z powodzeniem w teatrzyku „Wodewil“, a następnie otrzymała debiut na scenie teatru Letniego, lecz do składu trupy teatru rządowego przyjętą nie została. Co było motywem odmowy, dokładnie nam niewiadomo, zresztą nie o tó idzie. P. Zapolska, uważając się za godną, aby należeć do składu warszawskiej trupy dramatycznej, i zadraśnięta, że tak powiemy, w swej ambicyi artystycznej, postanowiła dobić się zamierzonego celu, przyczem losem jej zainteresowali się liczni przedstawiciele miejscowej inteligencyi, którzy złożyli na imię dyrekcyi adres, a raczej prośbę, opatrzoną 300 podpisami. Adres ten, jak nam donoszą, został już wręczony za pośrednictwem redaktora Kuryera warszawskiego p. prezesowi zarządu teatrów warszawskich“.

— **Holger Drachmann,** najznakomitszy liryk duński od czasów Oehlenschlägera, obchodził niedawno w Hamburgu, gdzie przemieszkuje, 50-letnią rocznicę urodzin, a zarazem 25-letni jubileusz działalności poetyckiej. Pierwsze utwory poety pojawiły się wprawdzie wcześniej, lecz dopiero w 1871 r. wydał on tom poezyi, które go odrazu postawiły w pierwszym rzędzie poetów duńskich. Jako poeta odznacza się Drachmann żywiołową siłą, ogromnem bogactwem nastrojów i potężnym liryzmem. W przeciągu 25-ciu lat wypełnił on swemi utworami 46 tomów, pomiędzy którymi znajduje się 13 zbiorów poezyi lirycznych. Wskutek wielostronnej i zbyt pospiesznej twórczości Drachmanna, nie wszystkie jego rzeczy dają się mierzyć równą skalą artyzmu. Drachmann jest błędnym trubadurem, ceniącym nadewszystko nieokiełznaną swobodę i rozkochanym w bezkresach morskich, które sławił nietylko piórem, lecz także pędzlem; jest bowiem zdolnym malarzem. Wskutek nadwątlonego zdrowia musiał poeta zaprzestać chwilowo wyczerpującej pracy. Właściwości talentu Drachmanna wysunęły go na czoło „młodych“, którzy mistrzowi swemu złożyli hołd w księdze pamiątkowej, zawierającej ich utwory, a ilustrowanej przez 9 utalentowanych malarzy młodszego pokolenia.

— **P. Kaźmierz Rakowski,** współpracownik pisma naszego, napisał obszerną rozprawę w języku niemieckim p. t. „Die agrarische Umwalzung Polens im XVI. Jahrhundert. Praca ta zyskała uznanie berlińskiego ekonomisty, prof. Schmollera i ukaże się niebawem w naukowem czasopiśmie „Schmollers Forschungen“.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

M. w G. Berlin posiada kilku lekarzy specyalistów dla chorób żołądkowych. Największem poważaniem cieszą się dr. Boas i prof. Ewald.

N. 999. Kwestya ta wymaga osobistego porozumienia, a przynajmniej podania obszernego materyału dowodowego. Nie wątpimy, że doniesienie Sz. Pana jest prawdziwe, ale brak w niem ściślejszych wskazówek, nazwiska świadków, uwierzytelnionej kopii wiadomych listów i daty faktu samego.

Kometa. Dużo łez i dużo jęku, słabe rymy, mało wdzięku.

W. w S. i T. w K. Dziękujemy serdecznie za uznanie. Procesu się nie lękamy.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej Nr. 28 (Telefon Nr. 334.)

Nr. 48. Poznań, niedziela 29-go listopada 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański" wychodzi w każdą Sobotę. Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p. Administracya: Podgórna ul. Nr. 7. w podwórzu.

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi w Poznaniu 4,00 mrk. Przyjmuje Administracya: ul. Podgórna Nr. 7. w Niemczech i Austryi 5,00 mrk. (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 mk. — Prenumeratę przyjmują Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego. Pojedyńczy numer: w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen. Rękopisów drobnych niezwracamy.

TREŚĆ.

Nieco słońca, wiele mroku.

W chwili, gdy słowa te kreślimy, dwa nasze stronnictwa polityczne, stają po raz pierwszy ramię przy ramieniu do wspólnej walki wyborczej z niemieckimi przeciwnikami. Wprawdzie nie mandaty poselskie do sejmu i parlamentu, lecz opróżnione krzesła w radzie miejskiej miasta Poznania są przedmiotem walki i dla tego moment obecny posiada czysto lokalne i w kierunku politycznym drugorzędne znaczenie, ale kompromis zawarty między t. zw. stronnictwem narodowem a stronnictwem ruchu ludowego jest w naszych warunkach objawem poważnego znaczenia, — objawem zdrowego rozwoju stosunków. Gdy przed trzema tygodniami, dzięki inicyatywie ruchu ludowego, rozpoczęły się układy między delegatami dwóch komitetów wyborczych, wyraziliśmy nasze zadowolenie z rozumnego zastósowania strategicznej zasady „getrennt marschieren, vereint schlagen", nie tając przy tem żdziwienia, że mimo widocznych korzyści politycznych, płynących z kompromisu poważnionych stronnictw, znalazły się żywioły zasadniczo przeciwne wszelkiemu porozumieniu i wszelkiej akcyi wyborczej, opartej na wspólnych ustępstwach. Po mieście krążyły pogłoski, że w łonie komitetu „narodowego", ozwało się głosem protestu kilku nieprzebłaganych zwolenników Kuryerowej barwy, zalecając zerwanie wszelkich węzłów z ruchem ludowym, jako intruzem naruszającym zasadę „solidarności", a pogłoski te zamieniły się niebawem w pewność, gdy dwóch członków komitetu złożyło urzędy, odgrażając się niedwuznacznie, że protest swój zaniosą na walne zebranie wyborców i tam zażądają wyroku na tych, którzy akcyą kompromisową legalizują niejako secesyę.

Pod wrażeniem takich wieści krążących po mieście zdążaliśmy w ubiegłym tygodniu na walne zebranie stronnictwa narodowego w tem przekonaniu, że komitet będzie zniewolonym zaciętą stoczyć walkę, zanim dla listy kandydatów swoich uzyska sankcyę wyborców. Przypuszczenia te jednak okazały się mylne. Za kulisami musiało się rozegrać jakieś dyplomatyczne porozumienie, które przewidywane starcie polemiczne usunęło z widowni walki. „Nieprzejednani" tem tylko zaznaczyli stanowisko swoje w obec kompromisu, że na polu bitwy nie zjawili się wcale, a komitet bez najmniejszego oporu uzyskał zatwierdzenie swych kandydatów.

O ile jednak w tym kierunku witamy z radością zachowanie się wyborców miasta Poznania, którzy wreszcie zrozumieli, że tradycyjnemu hasłu: „precz z stronnictwami!" rozwój stosunków kłam zadał stanowczy, — o ile za symptom zdrowszej polityki poczytujemy to postawienie „ruchu ludowego" na stopie „równych z równymi" przez tych, którzy dotychczas uważali się za jedynych przedstawicieli społeczeństwa polskiego i mieli zawsze w pogotowiu słowo „odstępca" wobec demokratycznej secesyi, — o tyle trudno zrozumieć, trudno przynajmniej zgodzić się na tę apatyczną fizyognomię, którą objawiło walne zebranie stronnictwa narodowego. Wsłuchując się w tę ciszę grobową, którą zgromadzeni odpowiadali na każdorazowe otwarcie dyskusyi w tej lub owej kwestyi, trudno było oprzeć się wrażeniu, że wypełnienie sali przez wyborców jest tylko mechanicznem spełnieniem obowiązku a zamiłowanie dla sprawy publicznej, żywy interes dla zadań życia komunalnego i politycznego drzemie sobie aż miło. Gdy prezes komitetu, p. dyrektor Więckowski, oświadczył, że Koło polskie w parlamencie nie raczyło wcale odpowiedzieć na rezolucyę wyborców, żądającą usunięcia dotychczasowej, bezwzględnej prawie tajności uchwał, a Koło sejmowe wobec rezolucyi tej rzuciło tylko dyplomatyczną negacyę, to ci sami wyborcy, którzy rok temu jednomyślnie zatwierdzili opozycyjne stanowisko swoje wobec praktyk reprezentacyi naszej w obu izbach niemieckich, nie znaleźli dzisiaj ani jednego słowa krytyki na lekceważenie swych życzeń. Czyżby nastąpił tu jakiś powszechny radykalny przewrót w przekonaniach społeczeństwa, — czy też tradycyjna choroba apatycznego „laisser faire, laisser aller" rozpoczyna królestwo swoje?

A potem, gdy p. dr. Krysiewicz przedstawił wszechstronny obraz działalności reprezentacyi gminnej, — gdy poruszył cały szereg palących i spornych kwestyi, najściślej złączonych z życiem i rozwojem obywatelstwa poznańskiego, — to znowu po oklaskach nastąpiła cisza grobowa, nikt nie żądał informacyi, nikt nie pytał o bliższe szczegóły tej czy owej sprawy komunalnej, nikt nad ogrobleniem Warty, nad budową targowiska dla bydła, nad uregulowaniem koryta Bogdanki, nad pensyami nauczycielskiemi i całym szeregiem zadań wchodzących w zakres obowiązków reprezentacyi miejskiej, a nie pozbawionych poniekąd i politycznej barwy, nie rozpoczął dyskusyi.

Najsmutniejsze jednak wrażenie wywarła dezercya całej prawie inteligencyi, gdy walne zebranie przystąpiło do tworzenia podkomitetów wyborczych. W listach zapisywali nazwiska swoje prawie wyłącznie drobni przemysłowcy i rzemieślnicy, a panowie adwokaci, lekarze, śmietanka kupiectwa i t. d. wysłuchawszy referatów i podniósłszy ręce za kandydatami komitetu, opuścili salę natychmiast, spychając uciążliwsze obowiązki na „młodszych braci". Czy takie postępowanie świadczy o dojrzałości obywatelskiej, czy taka apatya w twardej walce o byt narodowy nie kryje w sobie poważnych niebezpieczeństw, czy taki przykład inteligencyi nie oddziałuje demoralizująco na warstwy ludowe, spoglądające ze zdziwieniem i oburzeniem na panów, „co tak pięknie prawić umieją o żołnierstwie kresowem" — nad tem chyba wiele słów tracić nie potrzeba.

Popsuło się coś w naszem społeczeństwie i psuje się ciągle. Nad nami huczy burza niemiecka a my śpimy i — piwo pijemy.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Rozumne słowo.

W „Przeglądzie Wszechpolskim" czytamy:

Wszystkie stronnictwa niemieckie dążą do germanizacyi ziem polskich, różnią się zaś tylko w użyciu środków, do tego celu wiodących. Jedni zalecają przemoc, drudzy

dodają pierwszeństwo odpowiednio wykierowanej polityce ekonomicznej, trzeci sądzą, że nadanie Polakom pewnej autonomii byłoby może najskuteczniejszem. Dla nas ten lub ów system może być korzystniejszym, ale dosyć naiwnem chociaż wytłómaczonem jest wyrażanie życzenia, ażeby rząd używał tego systemu, którego my chcemy; i przekonywanie władzy niemieckiej, że dla niej ten właśnie system będzie najodpowiedniejszym. Nieraz można znaleźć w pismach polskich dowodzenie, któreby było śmiesznem, gdyby nie było smutnym dowodem bezmyślności politycznej — że gwałtowne środki niemczenia chybiają celu, bo wzmacniają odporność narodową ludności polskiej. Jak gdyby nam właśnie o to chodziło, żeby nas niemczono, ale tylko łagodnemi środkami. Niemcy są państwem konstytucyjnem; możemy więc i powinniśmy domagać się równych praw, które nam ustrój państwowy zapewnia, możemy i powinniśmy wyzyskiwać każdy pomyślny dla nas układ warunków politycznych i zbieg okoliczności. Jest to jedyna droga legalna i praktyczna regulowania i poprawy stosunku społeczeństwa polskiego do rządu niemieckiego, wszystkie inne prowadzą na manowce.

* * *

Nowa Redakcya „Dziennika Pozn.“

W „Kuryerze Lwowskim“ znajdujemy rozumny artykuł o najświeższej ewolucyi stosunków poznańskich. Dla braku miejsca podajemy tylko kilka ustępów:

Po śmierci Franciszka Dobrowolskiego — pisze „Kuryer Lwowski“ — sądzono na chwilę, że społeczeństwo polskie ocknie się z letargu, że da za wygrane polityce, która, oprócz upokorzenia żadnych nie przyniosła korzyści. Redakcyę wpływowego niegdyś „Dziennika Poznańskiego“, który przez długie lata prowadzony był w duchu bądźcobądź liberalniejszym, i powstrzymywał ultrareakcyjne zapędy wielkopolskich klerykałów, grupujących się około organu duchowieństwa, a który w ostatnich dopiero czasach zaczął lawirować, choć i wtedy nie poszedł na bezwzględne usługi „ugodowców“ — otóż redakcyę „Dziennika“ powierzono na razie człowiekowi, znanemu z przekonań demokratycznych, trzeźwo patrzącemu na fantasmagorye „nowego kursu“, posłowi Głębockiemu. Polityczne jego stanowisko nie mogło się jednak podobać przemożnej klice; obawiano się, że dzięki jego zabiegom, jako redaktora wielkiego pisma, robota „ugodowców pójdzie na marne, że „niesforne“ żywioły przeszkodzą znowu łasce pańskiej mniej bystrego dosiadać konia. Postarano się więc o usunięcie niebezpieczeństwa i na czele „Dziennika“ postawiono osobistość fanatycznie hołdującą w dziedzinie zjawisk społecznych teoryom bezwzględnego wstecznictwa, w dziedzinie polityki tendencyom bezwzględnego lojalizmu. Nowy redaktor naczelny, p. dr. Wład. Łebiński, miał niejednokrotną sposobność zaznaczenia, czem jest i czego można się po nim spodziewać: przedewszystkiem zaś jako korespondent petersburskiego „Kraju“ oddawał stańczykom wielkopolskim nie małe usługi.

„Habemus papam“ — mogą zawołać Wielkopolanie, stanowisko redaktora „Dziennika Poznańskiego“ nie miało bowiem dotychczas nigdy charakteru czysto dziennikarskiego; na „Dziennik Poznański“ zwracały się oczy wielkiej części społeczeństwa w zaborze pruskim; redaktor trzymał niejednokrotnie w swym ręku wszystkie niemal nici tamtejszego życia publicznego; nie bez pewnej racyi nazywali go też z przekąsem przeciwnicy papieżem. Jest to stanowisko niezmiernie wpływowe — tem wpływowsze, iż Wielkopolska była zawsze skłonną do poddawania się kierownictwu rozmaitych „autorytetów“.

Odtąd więc, obok „Kuryera Pozn.“, który w bizantyńskim zelotyźmie polecał niedawno poruczenie swych losów cesarzowi, bo ten, jako „władza od Boga pochodząca, nic złego uczynić nie może“, będzie Wielkopolska posiadała nowego zapalonego rzecznika zasad i pojęć, rzucających w błoto godność narodu, stawiających najnikczemniejsze służalstwo na piedestale narodowego obowiązku.

A czy od czasu pamiętnej mowy toruńskiej, owego „point de reveries“, zmieniło się cośkolwiek w stosunkach zaboru pruskiego, coby uprawniało do prowadzenia takiej, a nie innej polityki, do oddania na pastwę polityki tej jedynego wielkiego pisma poznańskiego, które — mimo błędów, mimo chwilowych zboczeń z prostej drogi — reprezentowało bądź co bądź zdrowy kierunek narodowy, daleki od bezwzględnej abnegacyi narodowej? Nie godziliśmy się z społeczną barwą „Dziennika“, odmawialiśmy mu niejednokrotnie zdolności zrozumienia nowych prądów, jakie w ostatnich czasach zaczęły się przejawiać pomiędzy ludem, uznawaliśmy jednak — po za chwilowemi zboczeniami, powtarzamy to — jego zasługi na polu obrony interesów narodowych w zaborze pruskim.

Stosunek rządu pruskiego — co więcej stosunek całego niemal narodu niemieckiego, przesiąkłego duchem Bismarckowskim, pozostał ten sam, a może jeszcze się pogorszył...

Społeczeństwu wielkopolskiemu nowe zatem grozi niebezpieczeństwo, a jeżeli o niem rozpisaliśmy się tak szeroko, jeżeli zwracamy na nie uwagę i naszej dzielnicy, to dlatego, ponieważ jest to dowodem, iż krecia, demoralizująca robota naszych stańczyków znajduje nowy sukurs w Poznaniu. Połączyli oni swe siły do tem skuteczniejszej deprawacyi społeczeństwa.

....A deprawacyi tej coraz to wyraźniejsze widzimy ślady. Trójlojaliści ze szkoły Koźmiana występują pomiędzy innemi przeciw tak zwanym demonstracyom, jeżeli te mają na celu podtrzymywanie ducha polskiego; natomiast inną zapełnie przykładają miarę, gdy idzie o demonstracye ducha tego zabijające. Do takich demonstracyi owszem sami zachęcają. Gdzież przed kilkoma jeszcze laty można było przypuszczać, że lud polski dla zamanifestowania narzuconego mu lojalizmu będzie czynny brał udział w patryotycznych uroczystościach niemieckich w rodzaju Sedanu? A przecież w procesie opalenickim wyszły na jaw tego rodzaju fakta, że robotników polskich, biorących udział w święcie sedańskiem, bito i lżono za to, że nie umieją po niemiecku, sławili wielkość oręża niemieckiego piosenkami polskiemi? A czyż przed kilku laty można było

---

MAKS NORDAU.

Jak one potrafią kochać!..

(Dokończenie.)

— Gdzie jest pański kapelusz? — zapytał oficer.

— Wyszedłem z mieszkania bez kapelusza.

— To podejrzane! — rzekł ku memu przerażeniu.

Myślał przez chwilę, długą dla mnie jak godzina, potem wydał rozkaz, aby mnie złożono na wozie, stojącym w pobliżu.

Czterej żołnierze brutalnie porwali mnie na ramiona, wzięli na wóz i przewieźli do l'Hôtel Dieu.

Zamilknął.

Ona patrzyła na niego oczyma pełnemi łez.

— Oh, gdybym ci mogła opowiedzieć, co przeżyłam przez tę jedną noc! Zaledwie wyszedłeś, kiedy odźwierny wbiegł do mojego pokoju. „Panno Paulino! — zawołał — panno Paulino! Zamordowali pana Rudolfa!“ Chciałam wybiedz, ale zatrzymał mnie siłą; chciałam wyskoczyć oknem — nie pozwolił! Musiałam czekać do następnego dnia. Z pierwszym dnia świtem pobiegłam do Morgi, na cmentarz; wszędzie było mnóstwo trupów, przerażające mnóstwo! Ciebie nie znalazłam. Byłam przekonaną, że nie żyjesz i że wrzucono cię do ogólnego grobu. Wszyscy, do kogokolwiek się zwróciłam, upewniali mnie w tem mniemaniu. A ty nie dałeś znaku życia! Dla czego tego nie uczyniłeś, będąc w szpitalu? Czy straciłeś przytomność?

— Tak, moje biedne dziecko. Tak bardzo cierpiałem, że nie byłem w stanie zebrać myśli. Kiedy czułem się lepiej, rozciągnięto nademną surowy nadzór, gdyż podejrzywano, iż walczyłem na barykadach. Musiałem skomunikować się z ambasadą, która udzieliła informacyi i zaręczyła za mną.

— Jeżeli mogłeś skomunikować się z ambasadą, dla czego nie zgłosiłeś się do mnie?

Nie odrzekł ani słowa.

— A potem wyzdrowiałeś — ciągnęła omdlewającym głosem — i przez tyle, tyle lat nie przyszło ci na myśl zatroszczyć się o mnie...

Opuścił głowę, aby uniknąć jej spojrzenia.

Prawdy nie mógł wyznać, zwłaszcza w tej chwili i w tem miejscu.

Po wyjściu ze szpitala nie powrócił do swego mieszkania, nie napisał do niej ani słowa... Dla czego?

Opanował go wstyd — w tej chwili pogardzał sam sobą.

Dla czego tak postąpił?

Ot, był po prostu szczęśliwy, że mógł się pozbyć Pauliny...

Była to stara, wiecznie powtarzana historya. Jest się młodym, zawiera się znajomość z młodą, ładną szwaczką, samą, bez rodziny. Dziewczyna chętnie rzuca się w ramiona młodego człowieka, które ją doń przykuwają na długo, bardzo długo...

Miłość taka trwa rok, dwa lata, dopóki student nie skończy wykształcenia, wtedy żegnaj uroku miłosnych upojeń, żegnaj pokoiku napełniony młodością i nadzieją! Często następuje rozłąka bez żadnych trudności. On jest zimny, ona — rozsądna.

Oboje obradują po raz ostatni w podmiejskiej restauracyi, piją szampańskie, rozmawiają o projektach na przyszłość, życzą sobie szczęścia i każde idzie swoją drogą.

Albo oboje są sentymentalni. Wtedy płaczą trochę, wzdychają, przyrzekają sobie, że będą pisać i nawet przez pewien czas dotrzymują słowa, ale rana goi się szybko i wkrótce następuje zapomnienie.

Ale często! oh, często...

Gdy Rudolf postanowił opuścić Paryż, spostrzegł z przerażeniem, że węzły łączące go z Pauliną nie były łatwe do zerwania. W ciągu dwóch lat mieszkali razem w jednym pokoiku w pasażu Saumont. W ciągu tych dwóch lat nie wyrządziła mu żadnej przykrości; marzyła o tem tylko, aby był zadowolonym, szczęśliwym. Darzyła go uśmiechem i pocałunkiem, kiedy wychodził do szkoły, darzyła go uśmiechem i pocałunkiem, gdy powracał.

Kiedy pracował, siadała w kąciku i zda-

przypuszczać, że, patryotyczne na ogół duchowieństwo poznańskie, które tak świetnie zapisało imię swoje podczas walki kulturnej, zrzecze się ideałów narodowych i, demoralizujący dając przykład, tworzyć będzie komitety dla stawiania na ziemi polskiej pomników Wilhelmowi I., protektorowi prześladującego kościół polski Bismarcka? A przecież tego rodzaju smutny i oburzający fakt zdarzył się temi dniami w Inowrocławiu!

A za te dowody upodlenia cóż otrzymuje społeczeństwo poznańskie w zamian? Policzek za policzkiem!

I oto, aby uczyć naszych braci pokornego przyjmowania tych policzków, stańczycy tworzą w Poznaniu nową agendę!"

— ski.

Partye i pisma polityczne *w Czechach.*

(Dokończenie).

Gdy młodoczescy posłowie występowali z całych sił w obronie przedłożenia w sprawie cukru (wskutek którego cena tegoż poszła w górę o 3 ct. od kila), a Arb. Ztg. z tego właśnie powodu natarła na klub młodoczeski, wówczas pisały Nar. Listy, broniąc swej polityki: „Czescy deputowani nie są reprezentantami jednego stanu, jednej klasy, lecz wszystkich warstw narodu, a więc tak fabrykantów i wielkich przemysłowców, jakoteż rękodzielników, chłopów i robotników, i zastępowali, zastępują i zastępować będą wszystkie warstwy narodu".

Wskutek właśnie tego „narodowego" charakteru partyi młodoczeskiej i jej fałszywego poglądu, że młodoczescy deputowani są reprezentantami „całego narodu", wypływa ta chwiejność, ten brak decyzyi w kwestyach socyalnych. To pociąga za sobą największe niekonsekwencye młodoczeskiej delegacyi na polityczno-społecznem polu i dlatego też od partyi tej odwracają się wszyscy robotnicy i wszyscy stojący na gruncie ludowym. Również chwiejną jest ta polityka względem szlachty. „Dzisiejszemu stanowisku czeskiej polityki we Wiedniu, jakoteż i w domu — pisze „Volkspresse" — musi się raz koniec położyć, i to w jak najkrótszym czasie, jeżeli nie ma runąć to, co jeszcze jest świeże i zdrowe i co do pewnych uprawnia nadziei, aby objęło ster naszych politycznych losów i doprowadziło do szczęśliwszego i lepszego rezultatu, niż partya młodoczeska. Jeżeli ona upadnie bez iskry nadziei zbawienia, to jest obowiązkiem tych, którzy czują się na siłach do pracy, aby zaprzestali bezcelowych usiłowań ratowania tonącego z błota, gdyż sami nie spostrzegą, jak powoli w to błoto wejdą — a raczej, aby myśleli o własnych celach i zadaniach i ku spełnieniu tychże poświęcili całą energię i zapał. Im prędzej spostrzeże się ową bezwładność wielkiej „narodowej" partyi — tem lepiej. Jesteśmy przeciwni owym wielkim partyom „narodowym", które najrozmaitsze i najsprzeczniejsze cele usiłują zamknąć w jakąś jedność niemożliwą. Gdybyśmy w ostatnich 30 latach mieli więcej małych partyi, któreby więcej były liczyły na inteligencyę niż na ilość zwolenników, to bezsprzecznie byłyby lepsze rezultaty; małe te bowiem partye byłyby niezawodnie tworzyły czystszą i bardziej jednorodną krystalizacyę myśli i zasad politycznych i byłyby głębiej naród nasz zorganizowały".

„Rozhledy" wraz ze swymi zwolennikami zachowują więcej zimnej krwi i wyrozumiałości względem realistów i socyalnych demokratów, jakkolwiek właśnie w ostatnich czasach użyły ostrzejszego tonu przeciw realistom, wskutek całkiem niepotrzebnego sporu, jaki między obiema partyami wybuchł... Spór ten w chwili właśnie, kiedy potrzebną jest konsolidacya sił przeciw młodoczechom i klerykałom wre na niekorzyść postępu a ku korzyści reakcyi.

Robotnicy w znacznej części grawitują ku socyalnej-demokracyi. Mała cząstka należy do obozu klerykalnego i wydaje w Pradze „Delnickie Listy" a w Bernie „Delnik" i „Obecne Noviny" (tygodniki) dla „chrześciańskich" robotników. Część robotników należy także do obozu niezawisłych i socyalistów i anarchistów. Dawniej przed 5—10 laty istniała mała frakcya socyalistów-narodowców, która jednak wkrótce znikła. Pod wpływem realizmu i postępowych idei wytworzyła wyżej wspomniana partya postępowych (niezawisłych) socyalistów, która wprawdzie mniej liczy zwolenników, ale natomiast pod niejednym względem odznacza się bardziej postępowemi poglądami od socyalnej demokracyi. I tu objawia się usiłowanie dojścia do nowej syntezy. Obok tego zaznaczyć wypada, że czeska socyalna demokracya jest bardziej wolnomyślnie usposobioną, dostępniejszą dla nowych idei i bardziej skłonniejszą do wciągania do swego programu tych nowych idei, aniżeli wiedeńska, w której tkwi jeszcze wiele skostniałego centralizmu i liberalizmu.

Co do reformy wyborczej (badeniowskiej), to stanowisko socyalnej-demokracyi znane. Realiści i postępowcy występowali również ostro przeciw przyjęciu przedłożenia przez klub młodoczeski, nazywali stanowisko młodoczechów w kwestyi wyborczej „samobójstwem" a taktykę ich „niemoralnym" oportunizmem. Reforma badeniowska nie ma na celu sprawiedliwość, ale tylko pozbycie się naporu konieczności.

LITERATURA I SZTUKA.

Niedyskrecya literacka.

(George Sand i dr. Pagello).

Od jakiegoś czasu cała prasa francuska zajmuje się sprawą dawno przebrzmiałą, bo stosunkiem miłosnym George Sand z Alfredem de Musset. „Les amants de Venise", jak oznaczać się ich zwykło, ponieważ przez

---

leka nań spoglądała: w chwilach wolnych od zajęć obsypywała go pieszczotami.

Kiedy wychodził sam, była niespokojną, ale nie narzekała, o nic się nie pytała; postępowanie takie obowięzuje, więc rzadko bez niej wychodził.

Kiedy zamierzał złożyć jej podarunek — walczyła długo.

W ciągu dwóch lat nigdy nie zauważył ani jednego kaprysu... I ten stosunek, tak pełny przywiązania, tak wierny, — chciał, musiał zerwać...

Nie mógł żenić się, mając dwadzieścia trzy lata! To byłoby szaleństwem!

Żenić się z dziewczyną, którą się spotkało wypadkowo na ulicy Montmartre! Była to myśl niedorzeczna... nie warto nawet zastanawiać się nad tem.

Kiedy oświadczył, że muszą się rozstać — twarz jej była przerażająco bladą. Szlochając, porwała go w swoje ramiona, obsypała pocałunkami...

— Nie! nie rzucaj! — zawołała — Nie mogę... wolę umrzeć!...

Wszystkie perswazye były daremne.

— Co możesz mi zarzucić? — pytała.

Nie miał odpowiedzi, gdyż nie mógł uczynić jej najmniejszego zarzutu.

Była biedną, ale tego nie mógł jej wytknąć bez rumieńca wstydu; nie była wykształconą, ale ten brak nauki zastępował wrodzony spryt.

Żądała motywów zerwania.

— Ależ moje drogie dziecko, powinnaś rozumieć, że musimy się rozstać! — to jedno mógł tylko odpowiedzieć.

Nierozumiała, płakała, wołając głosem pełnym rozpaczy:

— Rudolfie, Rudolfie nie porzucaj mnie! Wszak widzisz, że cię kocham, a to przecież coś znaczy. Nic nie chcę od ciebie, pragnę tylko być zawsze przy tobie! Nikt nigdy, jak ja, kochać cię nie będzie!

Sceny podobne powtarzały się prawie codziennie i Rudolf nie miał siły zdobyć się na krok stanowczy. Kiedy nie mógł już patrzeć na łzy Pauliny, wybiegał na ulicę i godzinami błądził bez celu. Tak się też stało d. 5 grudnia...

Kulę uważał za wybawicielkę. Odzyskawszy siły, uciekł z Paryża. Sumienie jego było dosć spokojne. Sądził, że nic nie jest winien Paulinie, że ona go nie potrzebuje, że ze swojem usposobieniem, obdarzona naturą wyższą, nie zginie w odmęcie paryskim, że pójdzie swoją drogą. Ale głos wewnętrzy wołał bardzo często:

— Podły! podły!

Wzruszał wtedy ramionami, pocieszając się, że każdy na jego miejscu postąpiłby w ten sposób, że Paulina prędko się pocieszy.

Tego wszystkiego nie mógł jej wyznać w tej chwili, ale ona rozumiała.

— Rozumiem, rozumiem Rudolfie — rzekła, smutno się uśmiechając — byłeś zadowolony, pozbawiając się kłopotu. Kula oszczędziła ci widoku moich łez.

Mogła wiele mówić, ale wszak nigdy nie czyniła mu wyrzutów; pocóż miała go niemi obrzucać tu nad tym grobem?

Uchwycił jej rękę i chcąc nadać inny kierunek rozmowie zapytał:

— Co porabiasz teraz?

— Dziękuję, że pytasz o to.

W odpowiedzi nie było cienia ironii, ale wdzięczność.

— Ciężko pracowałam, jestem niezależną, posiadam majątek.

Jak gdyby czytając w jego duszy, ciągnęła dalej.

Pozostałam ci wierną, Rudolfie, byłam zawsze wierną. Miałam konkurentów, ale nie przyjęłam żadnego. W sercu mojem pragnęłam przechować wspomnienie o tobie. To cię dziwi? Nie wierzysz? Tak, to nieprawdopodobne! Tak... nadskakuje się młodej dziewczynie... a potem? Potem, kiedy się znudzi, rzuca się... ale jeżeli dziewczyna jest szaloną i szczerze pokocha... oh... wtedy nie ma dla niej pociechy.

Teraz mówiła z goryczą, wargi jej drżały, przetarła oczy, tłumiąc łkanie. Nagle wyjęła z kieszeni skórzany pugilaresik i podała go kochankowi.

W jednym z przedziałów znalazł swoją fotografię. Otworzyła medalyon, spoczywający na piersiach i ujrzał swoje włosy; był to podarunek od niego.

Nie mógł opanować wzruszenia, stłumić uczucia rozsadzającego serce. Nie zwracając uwagi na przechodniów, porwał ją w objęcia.

czas pewien mieszkali i kochali się w Wenecyi (w r. 1832) rozstali się w temże mieście z powodu młodego, pięknego włocha, doktora Pagello, który zdobył względy niestałej kochanki poety. Miłość swą, dramatyczne sceny jakich była powodem, wypowiedział przed publicznością Alfred de Musset i wypowiedziała jeszcze szczegółowiej George Sand. Książki ich o tem mówiące, aż do zbytku są znane i czytane przez trzecie już pokolenie. Z książek zaś, które napisali przeróżni autorowie przeróżnych narodowości o „nieśmiertelnych kochankach“ możnaby ułożyć całą bibliotekę, która, jak się okazuje, jeszcze jest w trakcie zwiększania swej liczby tomów, bo oto kwestya czy George Sand zdradziła Alfreda de Musset w Wenecyi podczas jego choroby, czy też dopiero rozstawszy się z nim i wyprawiwszy go do Paryża, jest obecnie na porządku dziennym. Okazało się, że doktór Pagello jeszcze jest przy życiu, zatem dla wyjaśnienia sprawy, udano się wprost do niego, do Włoch. Pagello ma obecnie lat przeszło dziewiędziesiąt, jest głuchy i bynajmniej nie przypomina zachwycającej piękności włocha, do którego George Sand pisywała płomienne listy, które w całości lub w urywkach drukują się obecnie we wszystkich naraz pismach francuskich. Stary, głuchy Pagello oddał te listy odwiedzającym go dziennikarzom, zatrzymując, jak się wyraził, „najmiłośniejsze“, które powierzył swej rodzinie. O swym stosunku z genialną francuską wyraził się obojętnie, jak o ulotnej miłostce i, o prozo! najżywsze wspomnienie pozostało mu o kulinarnych zdolnościach George Sand. Z nagłem ożywieniem zapewnił: „Lubiła zajmować się kuchnią i wyborne przyprawiała sosy!“ Dzięki niedyskrecyi d-ra Pagello, oddającego miłosne listy na łup ciekawości publicznej; wiemy dziś, bardzo dokładnie wiemy, że George Sand kochała go czas jakiś. „Je t'aime, parce que tu me plais; peut-être bientôt te hairai je“. Do nienawiści nie doszło, lecz pomimo, że Pagello przybył za nią do Paryża, gdy sprzykrzywszy go porzuciła Włochy, stosunek się ich rozerwał, i wkrótce potem George Sand wyjechała na wyspy Balearskie w towarzystwie Fryderyka Chopina. Z tej fazy jej życia pochodzi książka: „Un hiver à Majorque“.

Prasa francuska, zdobywszy listy d-ra Pagello, zapragnęła posiąść listy z tejże epoki Georges Sand i Alfonsa de Musset. Część tej korespondencyi ukazała się już poprzednio, więc obecnie drukują się ponownie te miłosne dokumenty, zaś listy niedrukowane i będące w posiadaniu rodziny Alfonsa de Musset, oraz dzieci George Sand, niezostały wydane prasie, pomimo natarczywych zabiegów.

O ile życie George Sand było burzliwe, namiętne aż do późnej jesieni, o tyle łagodnie, spokojnie przeżyła swą zimę, osiadłszy na starość na wsi w Nohant, gdzie otoczona kochającemi ją dziećmi i wnukami, przyjmowała z serdeczną gościnnością najznakomitszych współczesnych literatów i artystów. Cześć, jaką zachowali dla wysoce dobrej i niepospolicie inteligentnej kobiety, streszcza się w przydomku, jaki jej nadał Gustaw Flaubert, przydomku ściśle złączonego z pamięcią o George Sand: „Notre bonne dame de Nohant[1]“.

Przy tej sposobności niech nam wolno będzie wyrzec słówko o całej tej sprawie. Uważamy ją za ohydną, za rażący dowód upadku dziennikarstwa francuskiego. Jakiś włoski doktór, o którego marnem istnieniu i upodobaniu do sosów, dowiadujemy się z tej korespondencyi, cieszył się przez czas pewien względami wielkiej autorki, ale zarazem zmysłowej i namiętnej kobiety, która gdy minął okres burzliwy, stokrotnie dobrocią i szlachetnością spłaciła swe uniesienia lub kaprysy. Czyż godziło się wywłóczyć na światło dzienne tę historyę? Mówimy to nie przez pruderyę lub hipokryzyę, ale ze względu na pojęcie o przyzwoitości i literaturze. Gdyby rzecz szła o genialnego autora-mężczyznę, czyby mu liczono dziewczęta, jakie mógł posiadać w dniach płochej młodości? Dla czegóż ta miara podwójna dla wyjątkowo genialnej kobiety? Czyż jej druga epoka życia, jej literackie utwory nieokupiły prywatnego, do rodziny należącego życia? Cóż przyjdzie literaturze z tych odkryć, co one objaśnią w utworach George Sand? A tylko pod tym warunkiem i to dyskretną ręką, wolno zdejmować pieczęć z prywatnego życia znakomitych autorów! Ale pismakom paryskim szło o skandal i zrobili skandal...

[1]) W roku 1894 odsłonięty został w Nohant pomnik, wyobrażający postać George Sand. Na uroczystość tę zjechało do Nohant całe grono przedstawicieli inteligencyi francuskiej, oraz zebrał się licznie lud z całej okolicy. George Sand bowiem była przez całe życie ubóstwianą przez lud roboczy wiejski i miejski. Kwestye społeczne zawsze ją żywo zajmowały. A gdy Ludwik Bonaparte wydał słynną swą broszurę: „De l'extinction du pauperisme“, napisaną podczas swego uwięzienia w Ham, George Sand, rozentuzyazmowana, zaczęła z nim korespondować, a następnie bywała u niego w Elisée, gdy był prezydentem Rzeczypospolitej.

Z najnowszych powieści.

(***Hr. Łoś.*** *Odrębna istota. Lwów. 1896.*)

Niedawno mówiłem na tem miejscu o powszechnem u nas zaniedbaniu stylu; nadarza się właśnie sposobność okazania tego przykładowo na jednej z najnowszych powieści, napisanej przez młodego, a wielce płodnego autora, Wincentego hr. Łosia.

Hrabia Łoś w przeciągu mniej więcej lat 10-ciu wydrukował dwadzieścia tomów, nie licząc w to opowiadań, które w formie książkowej dotychczas się jeszcze nie pojawiły. Jest widocznie czytany, kiedy utwory jego znajdują nabywców nietylko dla zapełnienia feljetonów, lecz i dla sprzedaży w księgarniach. Są nawet tacy, którzy utrzymują, iż hr. Łoś należy do powieściopisarzów bardzo poczytnych, ponieważ umie rozsnuć zajmującą intrygę i na wzór autorów francuzkich, nie lęka się malowania scen dramatycznych.

Bądźcobądź, niepodobna zaprzeczyć 2-ch okoliczności: że hr. Łoś może i umie pisać dużo i że w pomysłach swoich, sposobie prowadzenia rzeczy i w stylu idzie torem powieściopisarstwa francuzkiego. Jak wygląda owo pisanie i jakie wyniki daje naśladownictwo, to właśnie rzecz, o której chcę parę słów powiedzieć.

Weźmy pod uwagę maleńki ustęp z najświeższego utworu hr. Łosia: „Odrębna istota“ (Lwów, nakład Gubrynowicza i Schmidta, 1896, str. 377). Autor opisuje podróż narzeczonych poślubną na jachcie prującym fale morza Śródziemnego.

„Było im dobrze na *tym* pokładzie statku, *przezwanym* Fellicita, a *który* prócz ich dwojga, unosił panią Duclos i kapitana La Scalla, *młodzieńca wieku Edwarda*, jego przyjaciela, *który* też podróżował po Atlantyku *razem z nim* i panną Delille“ (str. 153).

Gdyby ktoś umyślnie, dla przestrogi uczniów, wysilił się na ułożenie zdania źle zbudowanego, pod względem gramatycznym i stylistycznym niepoprawnego, nie mógłby się lepiej z zadania swego wywiązać, jak hr. Łoś, pisząc ustęp powyższy.

Bo najprzód na co tu zaimek t e n z francuzka użyty zupełnie bezpotrzebnie, gdyż my nim się w takich wypadkach posługujemy wówczas tylko, gdy mu w zdaniu następnem odpowiada zaimek k t ó r y. Trochę to czuł autor; odniósł bowiem, zresztą najniefortunniej, imiesłów p r z e z w a n y m — który przezwano — do owego zaimka ten: ale się wplątał w nielogiczne powiązanie pojęć; nie pokład bowiem lecz sam statek nosił miano Fellicita.

A dalej... jakież to zręczne złączenie zdań przez a k t ó r y! Ponieważ były poprzednio dwa rzeczowniki rodzaju męzkiego: p o k ł a d i s t a t e k, nie wiadomo więc gramatycznie, do którego z nich ten: a k t ó r y się odnosi; pod względem treści jestto zapewne wszystko jedno, ale pod względem poprawności — błąd elementarny, który w ćwiczeniach szkolnych zasłużyłby na surowe skarcenie. Gdy jeszcze zważymy, że w tym samym ustępie znajduje się zaimek k t ó r y odniesiony do zupełnie innego rzeczownika (przyjaciela), to niedbalstwo stylowe uwydatni się tak jaskrawo, iż zbytecznem się wydaje wszelkie kładzenie nacisku w tej mierze.

Nie dosyć jednak i na tem. W tymże ustępie znajdujemy również niemiłe wykroczenie przeciwko najprostszym zasadom stylistyki w zabawnem nagromadzeniu czwartych i drugich przypadków, nie różniących się od siebie końcówkami; m ł o d z i e ń c a w i e k u E d w a r d a, j e g o p r z y j a c i e l a...

A nie myślcie, czytelnicy, żebym umyślnie wybierał ustęp, grzeszący tak potwornemi błędami; natrafiłem nań odrazu przy losowem otwarciu książki. Podobnych ustępów jest pełno w całej „Odrębnej istocie.“

I takie wyroby stylu idą do druku, nie zwracają nawet uwagi redakcyi, która „Odrębną istotę“ w piśmie swojem pomieściła, zanim utwór ukazał się w formie książkowej! Jakże ogół nie ma się znieczulić na czystość i poprawność języka, na piękno wysłowienia, jeżeli widzi takie łachmany stylowe w dziejach autorów, którzy przez szereg lat piszą do druku; jeżeli spostrzega, że redakcye, które z zasady stać powinny

— Czy wierzysz mi teraz? — zawołała, wyrywając się z uścisku.

Zamiast odpowiedzi uchwycił jej rękę i zbliżył do ust.

Ona uczyniła to samo.

W chwili, kiedy wyrywał rękę, zauważyła na jednym z palców obrączkę ślubną.

Wydała stłumiony okrzyk, przymknęła oczy, zachwiała się. Padła na kolana w to miejsce, z którego powstała niedawno i za chwilę usta jej szeptały modlitwę.

— Paulino! — zawołał błagalnym głosem.

Lekko wstrząsnęła głową, jakgdyby pragnęła odegnać dręczący ją obraz.

— Paulino daj mi swój adres, ja nie mogę rozstać się z tobą w ten sposób!

Zasłoniła rękoma twarz, nie odrzekła ani słowa.

Zbliżył się i położył rękę na jej ramieniu. Zadrżała, jakgdyby dreszczem wstrząśnięta.

Zrozumiał.

Zabrzmiał dzwon na zamknięcie cmentarza. Raz jeszcze spojrzał na klęczącą kobietę i wolno, cicho jak cień, oddalił się od grobu. Zbliżywszy się do bramy, raz jeszcze spojrzał po za siebie.

Powietrze napełniała mgła, zacierając kontury przechodniów.

Owinięta w ten woal Paulina, ginęła gdzieś w dalekiej przestrzeni.

Rudolf uczuł, że ostatnie ślady jego miłości, a z nią marzeń i snów złotych, topnieją w mgle jesiennej.

Maks Nordau.

na straży mowy ojczystej, tak lekceważąco obowiązki swe spełniają.

Położenie końca temu zachwaszczaniu niwy pisarskiej nie jest oczywiście w mocy jednostek, ale ostrzeganie przed takiem niechlujstwem stanowić winno obowiązek każdego, co ma poczucie ducha języka i formy artystycznej.

Wzorowanie się hr. Łosia na pisarzach francuzkich zatarło w jego sposobie wyrażania się cechy swojskości niemal zupełnie; frazesy jego wyglądają najczęściej jako niedbałe tłomaczenia z francuzkiego i niemieckiego, w których wyrazy wprawdzie są polskie, lecz sposób ich użycia i połączenia jest zupełnie cudzoziemski. Czyż może być coś dziwaczniejszego pod względem językowym jak zdanie następne; „W i e l k i e jest mieć wolę, ale w i ę k s z e m jeszcze uznawać inną.“ („Odrębna istota“, str. 22). Tak może myśl swą sformułować cudzoziemiec, który się słów polskich nauczył, albo też też zcudzoziemczały polak.

Mało co lepiej jest z treścią utworów hr. Łosia. W licznych jego obrazkach i powieściach znajdują się oczywiście dowody trafnej obserwacyi życia spółczesnego lub niedawno ubiegłego, ale w ostatnich mianowicie czasach zaczął pomysły swoje czerpać z fantazyi zapłodnionej przez beletrystykę francuzką. Jego hrabiowie, literaci i artyści żyją w jakimś kraju wymarzonym, a ich charaktery, upodobania i zachcianki, ich bajeczne bogactwa, sposób postępowania, są tak dowolne, jak kojarzenie się wyobrażeń puszczone samopas, nie kierowane myślą świadomie zmierzającą do pewnego celu. Takich panów, coby mogli obstalowywać zegarki wartości miliona franków, na prezent dla zięcia, u nas chyba nie ma, a wątpić wolno, czy w rzeczywistości ktokolwiek zegarek podobny posiada, jeżeli fanfaronadę w wywnętrzeniach i przechwałkach nie będziemy brali za dobrą monetę.

Hr. Łoś nie określa cyfrowo majątku swego fikcyjnego bogacza, ale półsłówkami stara się wzbudzić w czytelniku przekonanie, że jego kapitały trzeba mierzyć stopą miliardów amerykańskich.

W ogóle usiłuje autor nadać postaciom przez siebie stworzonym nadzwyczajnej głębokości myśli i niesłychanej oryginalności, zarówno w myślach jak i w sposobie zachowania się. Używa ku temu bardzo prostego, lecz w zastósowaniu bardzo zdradliwego środka: oto sam od siebie upewnia, że ten lub ów jest mędrcem nad mędrce, albo też naturą niezmiernie subtelną i niesłychanie skomplikowaną.

Niestety, dawno już minęły czasy, kiedy się w naiwności ducha wierzyło takim zapewnieniom autorskim. Dzisiaj szukamy dowodów na wszelkie twierdzenia. A jeśli tą metodą rozstrząsnąć zechcemy pomysły hr. Łosia i ich wcielenie w formę artystyczną, to bez trudu dojrzymy otchłań, oddzielającą jedno od drugiego.

Ci jego głębocy myśliciele okażą się istotnie łamiącymi sobie głowę nad rozwiązaniem zawiłej a strasznej zagadki: ile jest dwa razy dwa. Podobni są oni do ludzi, którzyby idąc po asfaltowanym chodniku, zachowywali ostrożność akrobaty, kroczącego po linie nad wodospadem Niagary.

Jego odrębne istoty to bardzo zwyczajne histeryczki, zmieniające upodobania pod wpływem chwilowych podrażnień, dość inteligentne, by robić nad sobą studya, jako nad czemś zjawiskowem, ale nie dosyć rozumne, by w tych studyach osiągnąć jakieś poważne wyniki, któreby nietylko im samym, lecz i postronnym przyniešć mogły umysłowe przynajmniej zadowolenie.

Zniechęcenia, zwątpienia, rozpacze, malowane przez hr. Łosia są tak sztuczne a tak chłodne, że chyba nikomu na chwilę nawet nie mogą dać złudzenia szczerości i prawdy, nikogo wzruszyć, wstrząsnąć nie zdołają.

Co mu się, względnie oczywiście, najlepiej udaje — to przedstawienie upojeń zmysłowych.

Hr. Łosiowi nie można zrobić zarzutu, iżby bezmyślnym był pisarzem, ale wolno zaznaczyć w nim skłonność do przeceniania własnych pomysłów, do zbyt natarczywego wmawiania w swych czytelników, iż im podaje coś prawdziwie fenomenalnego.

Paradoks taki, który jest osią myślową całej „Odrębnej“, iż w każdem późniejszem uczuciu kochamy osoby, przypominające pod jakimbądź względem pierwsze nasze ukochanie, ma w sobie niewątpliwie jakąś cząstkę prawdy; może się nawet stać tematem do studyum powieściowo psychologicznego, jednakże pod warunkiem, by autor świadom był względnego jeno znaczenia swej tezy. Hr. Łoś takiej miary ani pod względem samej treści, ani pod względem obrobienia artystycznego nie umiał zachować; rozwałkował temat bardzo szeroko, nie umiejąc go pogłębić, ani urozmaicić dobrze obmyślonemi sytuacyami.

Na „Odrębnej istocie“ sprawdził się aforyzm Krasickiego: „Gdzie dużo przygotowań, tam nic z dyalogu.

P. Chmielowski.

BADANIA NAUKOWE.

Z literatury naukowej.

(*Dr. Adam Wizel., „Wiek nerwowy w świetle krytyki“. Warszawa. Nakładem księgarni G. Centnerszwera 1896.*)

Przed kilku laty dr. H. Nussbaum ogłosił w jednem z czasopism artykuł p. t. Nasz wiek nerwowy“, gdzie, stając w obronie XIX stulecia, przyszedł do wniosku, że czasy dzisiejsze są mniej nerwowe, niż dawne. „Nietylko niedowiedzionym, — mówi on tam, — ale nawet prawdopodobnym nie jest wniosek, że w wieku XIX liczniejsze i cięższe są cierpienia układu nerwowego, — owszem wszystko przemawia za tem, że chorób tych jest dzisiaj mniej.“

Dr. Adam Wizel w świeżo wydanem studyum p. t. „Wiek nerwowy w świetle krytyki“ zajął wprawdzie stanowisko pokrewne, lecz w twierdzeniach swoich nie posunął się tak daleko. Nie próbuje on nawet rozstrzygnąć akademickiej poniekąd kwestyi, które czasy uważać należy za bardziej nerwowe, dawne czy dzisiejsze, gdyż zdaniem jego, jest to problemat całkiem nierozwiązalny. Nie dająca się bliżej określić natura wielkości, z któremi tutaj mamy do czynienia i brak dokładnych danych z epok dawniejszych — czynią niemożliwem dokładne porównanie pod powyższym względem stulecia bieżącego z długim szeregiem poprzednich. Nie o to też autorowi chodziło.

Wiek nasz, jeżeli wierzyć powagom takim, jak Krafft-Ebing, Cullère, Kornig, Deschamps, Nordau i wielu innym, dotknięty został wyjątkową plagą nerwowości, szerzącą spustoszenie wśród społeczeństw dzisiejszych, niweczącą wszystkie niemal dobrodziejstwa cywilizacyi i ostatecznie sprowadzającą do zera najwspanialsze zdobycze kulturalne. „Na świetny obraz kultury — mówi prof. Krafft-Ebing — jaki możnaby narysować w wyobraźni i jakiego należałoby oczekiwać w rzeczywistości, pada ponury cień... Robakiem, który toczy owoc życia cywilizowanego, zatruwa naszą energię życiową i pozbawia nas szczęścia na ziemi, jest t. zw. nerwowość.“ W podobny sposób Deschamps przychodzi do wniosku, że newroza, jak królowa, panuje nad naszą epoką, a Nordau w głośnem dziele p. t. „Zwyrodnienie“ woła rozpaczliwie, że ludzkość przechodzi obecnie ciężką epidemię intelektualną, rodzaj czarnej zarazy histeryi i zwyrodnienia, i pełen obawy, zapytuje, co będzie dalej.

Nie dosyć na tem. Idee powyższe z wyżyn profesorskich katedr, z gabinetów i dzieł uczonych przedostały się szybko pod pióra beletrystów, na szpalty pism peryodycznych i ztąd rozpłynęły się już falą szeroką wśród inteligentnych sfer społeczeństwa, które wierzą niezłomnie, że ludzkość przeżywa w obecnej dobie chwile groźnej epidemii nerwowej, mogącej z czasem doprowadzić ród ludzki do kompletnej zagłady. Wyraz „fin de siecle“ nie schodzi z ust tysięcy ludzi, a świat teraźniejszy w pojęciu ogółu nie jest niczem innem, jak tylko wielkim szpitalem dla obłąkanych.

„Wszystkich nas — mówi nie bez pewnej przesady dr. Wizel, — prześladuje widmo strasznej i nieubłaganej newrozy. Wylęknionej naszej fantazyi przedstawiają się najposępniejsze obrazy. Oto zdaje nam się, że żyjemy w czasach okropnej epidemii, — stokroć gorszej, niż dżuma lub cholera. W bezgranicznej rozpaczy miotamy przekleństwa na cywilazacyę, na postęp, na oświatę. Co nam po cywilizacyi, po jej dobrodziejstwach, skoro ona właśnie zrodziła newrozę?

Przeciw takim właśnie krańcowo-pesymistycznym poglądom, wygłaszanym zarówno przez uczonych, jak i przez niepowołanych profanów, występuje autor „Wieku nerwowego.“ Pragnie on dowieść przedewszystkiem, że wiek dzisiejszy nie jest jakimś specyalnym wiekiem nerwowości, a tem samem klęsce, o której się mówi powszechnie, odjąć część przynajmniej osławionej grozy. „Jedyny wniosek — mówi dr. Wizel — do jakiego upoważnia nas bezstronna analiza faktów, jest tylko ten, że nerwowość jest dziś duża, — żadną miarą wszakże niepodobna dowieść, aby była dziś większa niż dawniej.“ Prawda, że dziś denerwująco działają na ludzkość warunki bytu, dawnej kulturze całkowicie obce, ale za to dawniej denerwujący wpływ wywierały na ludzkość czynniki, które dzisiaj nie grają w życiu najmniejszej roli. Przyznając, że neurastenia jest dzisiaj o wiele częstszem cierpieniem, niż w wiekach średnich, lub w starożytności, słusznie zwraca uwagę na wiele innych nerwic, które obecnie stały się bez porównania rzadszemi i łagodniejszemi niż były dawniej, — i wbrew rozpowszechnionemu poglądowi, twierdzi np. stanowczo, że właściwym okresem panowania wśród ludzkości newrozy histerycznej nie są bynajmniej czasy dzisiejsze, lecz były nim wieki ubiegłe, wieki ciemnoty i zabobonnych wierzeń.

Nie poprzestając na wygłoszeniu poglądów powyższych, potwierdza je autor całym szeregiem faktów, zaczerpniętych przeważnie z patologicznej kroniki społeczeństwa ludzkiego, sięgającej czasów najbardziej zamierzchłej przeszłości. W studyum swojem zastanawia się głównie nad różnorodnemi objawami nerwowości w czasach przeszłych, nad częstością i potęgą dawnych newroz i psychoz, nad przyczynami wreszcie, które wywoływały olbrzymią w samej rzeczy nerwowość w ubiegłych stuleciach, a z drugiej strony stara się zbadać genezę pesymistycznych poglądów dzisiejszych. Rzut oka na przeszłość stanowi zakończenie zajmującej ze wszech miar książki.

Nie mogąc w tych ciekawych poszukiwaniach iść krok w krok za autorem, poprzestaniemy na wskazaniu czytelnikom punktów wytycznych jego pracy i na zaznaczeniu faktów najwybitniejszych.

Przedewszystkiem więc, pomijając legendy i podania o obłąkanych i opętanych u Żydów, starożytnych Egipcyan i w mitologii greckiej, zauważyć należy, że już w dziełach Hippokratesa, który pierwszy wyraził pogląd, iż psychozy i newrozy wynikają z zakłócenia działalności mózgu, znajdują się liczne opisy chorób umysłowych i nerwowych, jakoto: histeryi, epilepsyi i nawet neurastenii, mającej wrzekomo stanowić wyłączny przywilej czasów dzisiejszych. Niczem jednak jest nerwowość starożytności klasycznej w porównaniu z nerwowością epoki, która bezpośrednio po niej nastąpiła. „Z wyżyn współczesnej neuropatologii, — mówi dr. Wizel, — padł olbrzymi snop światła, który nam oświecił tajemniczy świat średniowiecznych czasów, cudów i zabobonów“. Niewesoło świat ten wygląda. Z dawnych mistyków, proroków, ekstatyków, czarodziejów i opętanych analiza naukowa zdjęła piętno nadprzyrodzoności i ukazała nam ich rzeczywiste oblicze. W natchnionych wizyach odkryła halucynacye, w wyznaniach opętanych — chorobliwe bredzenie, w napadach ekstazy — ataki histeryczne, w dziwacznych pląsach — objawy newrozy. Analizując krytycznie i badając w świetle dzisiejszych pojęć owe tajemnicze zjawiska, których opis znajdujemy w literaturze średniowiecznej, a uplastycznienie we freskach, rzeźbach i obrazach średniowiecznych, uczeni uznali je za przejawy pewnych cierpień nerwowych i umysłowych. Zasługa tych odkryć należy do kilku znakomitych badaczy, jakoto: Calmeil, Littré, Valentiner, Charcot i Richter, Regnard i inni, którzy sąd swój opierali na dwojakiego rodzaju źródłach: literackich i artystycznych. Idea badania dzieł artystycznych celem dowiedzenia dawności chorób nerwowych zrodziła się po raz pierwszy w genialnym umyśle Charco'ta, który razem z uczniem swoim, Pawłem Richer, ogłosił w r. 1887 znakomitą pracę naukowo-artystyczną p. t. „Les démoniaques dans l'art“.

Uczucie zgrozy ogarnia czytelnika, dowiadującego się strasznych szczegółów, dotyczących epidemicznych zaburzeń nerwowych, które srożyły się przez długi ciąg wieków średnich w całej niemal Europie ówczesnej. W porównaniu z owemi pląsawicami masowemi, demonolatryami, demonopatyami, teomaniami, konwulsyonizmami, wampiryzmami etc., etc., których opisem przepełnione są kroniki współczesne, maleją dziwnie cierpienia dzisiejszych histeryczek i schyłkowców. A jednak wszystkie wymienione epidemie, jak stwierdziły badania najnowsze, niebyły niczem innem, tylko objawami tak zwanej wielkiej histeryi, której źródło ukrywało się naturalnie w warunkach ówczesnego bytu i w życiu psychicznem jednostek i tłumów. Nad ciemną i zabobonną ludzkością zapanował wszechwładnie demon. Szatan wędrował nieustannie po świecie i werbował dla siebie ofiary. Nikt nie był pewien jutra, bo duch ciemności mógł się zjawić lada chwila i na zawsze pochwycić w swoje szpony duszę nieszczęsnego człowieka. Wobec tego ogólna panika, ogólna obawa siły nieczystej stała się w życiu narodów zjawiskiem najpowszechniejszem. Jeżeli dzisiaj halucynacye prześladowcze chorych obracają się przeważnie około takich przedmiotów, jak policyanci, anarchiści, prądy elektryczne itp„ to wówczas najczęstszą ze wszystkich musiała być halucynacya szatana. „Współczesna histeryczka — mówi Regnard — widzi również demona, lecz demon zmienił nazwę: chore z Salpêtriere nie są to zakonnice, lecz najzwyklejsze mieszczki, a demon ich to nie Begandt, ani Asmodeusz, lecz postępuje z biegiem czasu i dwa razy, o ile mi wiadomo, nosił imię Alfonsa“. Wówczas chorzy opowiadali plastycznie o stosunkach swoich ze złymi duchami i dla oczyszczenia dusz, grzechem takim skalanych, szli tysiącami na stosy.

Aby dać pojęcie o środkach, jakiemi w wiekach średnich zwalczano choroby psychiczne dość przypomnieć, że podczas strasznej epidemii demonolatryi, która grasowała w Lombardyi od roku 1504—1523, skazano na śmierć w ciągu jednego roku około tysiąca chorych. A w r. 1589, podczas podobnej epidemii w Quedlinburg, spalono jednego dnia 133 „czarownic“. Stos i tortura były powszechnem lekarstwem na cierpienia duszy. To też słusznie utrzymuje Régnard, iż pogląd demonologiczny na istotę newrozy i obłędu spowodował dla ludzkości równie fatalne następstwa, jak najstraszniejsza broń palna i najokropniejsze wojny.

Nerwowość nie jest wcale wyłącznem cierpieniem inteligentnej klasy społecznej. „Faktem jest najoczywistszym — mówi Charcot w swoich Leçons du mardi à la Salpêtrière — że te same cierpienia panują na wielką skalę wśród proletaryatu, wśród biednych rzemieślników, wśród tych, którzy nie znają nic, prócz pracy fizycznej“. Słusznie więc zauważył dr. Wizel, że, jeżeli wśród warstw najniższych, warstw, doznających na sobie w słabym stopniu wpływów kultury dzisiejszej, spotyka się, i to nader często, te same absolutnie cierpienia nerwowe, co i w sferach, biorących czynny udział w „gorączkowem i nerwowem“ życiu czasów dzisiejszych, w takim razie nie mamy najmniejszego prawa winić kultury, iż ona to nerwowość wywołała. „Powolne działanie przeciążenia umysłowego — mówi Charcot — oraz gwałtowny wpływ nagłego wstrząśnienia psychicznego, jakkolwiek są to powody zupełnie odmienne, niemniej jednak mogą doprowadzić do jednego i tego samego rezultatu“. W słowach powyższych mamy również rozwiązanie zagadki, jakie czynniki wytworzyły tak rozpowszechnione w wiekach średnich cierpienia psychiczno-nerwowe. Niedola, oraz związanie z nią wzruszenia moralne, — oto najistotniejsze źródło dawnych newroz i psychoz, a głód, mór, wojny, pożogi, samowola klas uprzywilejowanych i ucisk nędzarzy stanowiły najważniejsze przyczyny niedoli.

Ciekawy jest wreszcie pogląd dr. Wizla na powody, które wywołały fałszywą, zdaniem jego, wiarę w wyjątkową nerwowość naszego wieku. Jest ona z jednej strony wynikiem olbrzymich postępów nauk wogóle, a zwłaszcza medycyny i w szczególności psychiatryi i neuropatologii w ciągu drugiej połowy bieżącego stulecia, a z drugiej — wpływu chorobliwych utworów beletrystycznych na masy. „Skutkiem nowych poglądów w psychiatryi — czytamy na str. 144 — medycyna ujrzała się nagle wobec bezmiernej ilości osób chorych umysłowo, przyczem jednak zapomniano, iż to tłumne ukazanie się osobników psychopatycznych nie jest bynajmniej wyrazem rzeczywistego wzrostu psychopatyi, lecz zmienionego punktu widzenia na istotę obłędu. Dawniej, gdy rozstrój psychiczny widziano jedynie w przypadkach wyraźnie zdeklarowanych chorób umysłowych, obłęd wydawał się względnie rzadkiem zjawiskiem; dziś, gdy skutkiem nowoczesnych pojęć, granice obłędu znacznie rozszerzono, medycyna rozpoznaje psychopatyę w niesłychanie wielkiej ilości przypadków“. Tym sposobem liczba psychopatów wzrosła w ciągu bieżącego stulecia, ale tylko nominalnie, faktycznie bowiem zawsze była wielka, może nawet większa, niż obecnie.

Chorobliwe prądy w beletrystyce współczesnej, która bądź to pod wpływem najnowszych wyników nauk psychiatrycznych i neurologicznych, bądź w celu zaciekawienia mas, dla których obłąkany jest zawsze zjawiskiem ciekawem i podniecającem wyobraźnię, czyni chętnie ludzi nienormalnych bohaterami swoich utworów — charakteryzuje prof. Ferrero w rozprawie p. t. Sommes-nous malades, zamieszczonej przed paru laty w jednym z paryskich Revues. „Choroba, degeneracya, newroza oto trójca — powiada uczony włoski — która się stała modną we wszystkich utworach beletrystycznych... Rodzina Rougon-Macquarts jest to pomnik, wzniesiony na cześć zwyrodnienia. Dostojewski stworzył potężną epopeę obłędu, w dziełach jego spotykamy samych przestępców, epileptyków, prostytutki, samobójców i idyotów. Dzieła Tołstoja moglibyśmy nazwać anatomią patologiczną współczesnego społeczeństwa, gdyż poeta ten wdziera się skalpelem swej krytyki do wnętrzności naszego bytu, odkrywając i opisując bezwzględnie wszystkie chore narządy. Ibsen, najmłodszy w gronie znakomitości europejskich, nie jest weselszy od swych towarzyszy; namiętny i niezmordowany poszukiwacz złego, sonduje bez wytchnienia w przepaściach występku i głupoty ludzkiej. Bracia Goncourt'owie pisali swe romanse, jak traktaty kliniczne. A Bourget jest do tego stopnia przeświadczony o stanie chorobliwym dzisiejszej generacyi, że nie widzi dla niej ratunku po za szekspirowską radą: wstąp do klasztoru!

Tak więc dr. Adam Wizel twierdzi stanowczo, że wiek nasz niesłusznie otrzymał nazwę nerwowego, że nerwowość jego jest może lepiej zbadaną i więcej znaną, niż nerwowość stuleci ubiegłych, ale w żadnym razie nie większą, niż tamta. Co do przyszłości, autor wierzy naturalnie, że pod wpływem postępów medycyny i hygieny, odpowiednich zmian ustawodawczych, reformy wychowania, poprawy stosunków społecznych, oraz warunków ekonomicznych bytu, nerwowość wśród ludzkości zmniejszać się będzie potężnie.

Praca dr. Wizla, napisana stylem gładkim i potoczystym, językiem żywym i obrazowym, chociaż miejscami grzeszy może optymizmem zbytnim, czyta się z korzyścią niewątpliwą. Do specyalistów należy ocena niektórych poglądów i wniosków autora. Z naszego stanowiska stwierdzić winniśmy tylko, że studyum niezależnie od swej czysto-naukowej wartości, zasługuje z punktu widzenia pedagogiczno-społecznego na uwagę, jako jeden z objawów reakcyi przeciw prądowi pseudo-dekadentyzmu, nurtującemu od niejakiego czasu w pewnych warstwach społeczeństwa naszego.

Władysław Bukowiński.

Z estrady i sceny.

(Popychadło. Komedya w 4 aktach p. Jana Szutkiewicza.)

Jeden z literackich wróżbitów ogłosił przed kilku laty proroctwo, że przyszłość sceny należy do krotochwili i melodramatu, bo oba te gatunki twórczości teatralnej są wyrazem sztuki demokratycznej, nie kochającej tyle prawdę i subtelność, ile cyrkowe pląsy i tkliwe wzruszenia, tryumfujące cnoty i karane zbrodnie, olśniewające błyskotki i słońca po burzy. Kto wie, czy nasz wróżbita nie jest jasnowidzem. Demokratyzacya teatru jest ściśle złączoną z demokratyzacyą społeczeństwa. Teatr staje się potrzebą tłumu i tłum mu prawa narzuca. Losami jego częściej kieruje przedsiębiorca-spekulant, niż

artysta kochający arystokratyczne wyżyny sztuki. Nie idzie za tem, aby teatr przyszłości miał zamknąć bramy swoje dla wyższych rodzajów poezyi dramatycznej, lecz łatwo być może, że grozi mu zalew pospolitości, że królestwo tłumu, a z nim królestwo krotochwili i melodramatu stanie się dominującą cechą jego fizyognomii. Już dzisiaj mnożą się objawy pewnego zwrotu w tym kierunku, — dość przez pryzmat porównawczej krytyki spojrzeć na charakter nowych przedsiębiorstw teatralnych, powstających, jak grzyby po deszczu, w miastach i miasteczkach Europy.

Farsa mianowicie wstępuje na scenę z butą dorobkiewicza, — melodramat jeszcze się ociąga, jeszcze nie zdobył siły zaborczej i jeszcze nie dość właściwych i nie dość licznych znalazł fabrykantów. W polskiej literaturze mniej niż w którejkolwiek zyskał ten gatunek poezyi władzę i znaczenie, a mianowicie melodramat mieszczański wykazać się może zaledwie kilku wątpliwej wartości utworami. Przed kilku miesiącami jednak rozległ się w warszawskiej prasie okrzyk tryumfu — na deski wstąpiło „Popychadło".

Treść tej sztuki, którą afisz niewłaściwie ochrzcił komedyą, znamion oryginalnej inwencyi posiada nie wiele. To jedna łyżka z tuzina. Świętość, nękana w ogniu ludzkich podejrzeń, pasierbica w szponach brutalnej macochy, bogaty baron nastający na uczciwość pracownicy igły, kopciuszek zamieniony w królewnę — ot, co sobotnia premiera opowiada widzom. Stare dzieje — a przecież słuchałem prostej opowieści bez przymusu, chwilami z natężoną uwagą, chwilami z prawdziwie artystycznem zadowoleniem. Reklama warszawska, od której zapach kłamstwa zalatuje, i tu oczywiście szczygła w kanarka zmieniła, ale ponieważ z tej strony przyzwyczajeni jesteśmy do fabrykacyi orłów z pospolitych wróbli, więc nas ani dziwi ani razi ten szczygieł-kanarek.

Najlepszym w sztuce p. Szutkiewicza jest niewątpliwie akt pierwszy, najsłabszą czwarta i piąta odsłona. Ekspozycya utworu przemawia do nas silnym realizmem, opromienionym chwilami tchnieniem rzewnej poezyi. Na scenie wesele córki rzemieślnika. Wszystko tu mówi życiem: ludzie warsztatu i poddasza, brutalne instynkty i jakieś źle przyswojone okruchy wyższej kultury, język i formy suteryn. I nie są to szablony gminu, spotykane tak często w sztukach ludowych, lecz fizyognomje o indywidualnej barwie i rysach. Czy to macocha — kłótnica, czy stary ojciec, zafukane zero, czy pan młody, żeniący się po pijanemu, czy drużba-orator, — każda z tych postaci ma coś swojego, ma swoją duszę, swoje czucie, swój temperament, — więcej portret niż fotografia. A na ciemnem tle tego nieco ponurego zbiorowiska gminnych natur, poziomych umysłów i przejawów bestyalności ludzkiej, ukazuje się niby promyk słońca Marynia — kopciuszek i młody student uniwersytetu — królewicz z bajki ludowej. Plusk błota i muzyka fantazyi łączą się w akord dziwnie przejmujący, a gdyby nawet, jak ktoś powiedział, realizm autora nie był przedmiotem bezpośredniej obserwacyi ludu, lecz zręczną mozaiką z obcych dramatów, to ślady cudzej własności tak zręcznie zatarła ręka autora i z pożyczonych skrawków utkała tak zajmujący szmat prawdziwego życia, że brak oryginalności winą być przestaje.

W drugiej i trzeciej odsłonie bledną zalety utworu. Nici sztuki nie plączą się w artystyczne wiązania, perypetya nie piętrzy się w groźne urwiska i szczyty, akcya rozwija się sztucznie, forsowana grą przypadku i zdradzająca co chwilę maszynistę suwającego po scenie postacie swoje. Ale i tu jeszcze są momenta niepośledniej wartości, że tylko wspomnę świetną charakterystykę starego Jana i wizytę zgorzkniałego mizantropa z pokostem żółci i niewygasłą iskrą, drzemiącą w popiołach życia. A przytem historya kopciuszka i królewicza w studenckiem mundurze znowu czar swój właściwy roztacza po scenie. Słucha się tego jak bajki, — niby stara babunia opowiada sierocie wiejskiej o śpiącej królewnie i złocistym rycerzu, a w koło brudne życie, złość ludzka i łzy.

Czwarta zasłona przenosi nas ze strychu do wytwornego salonu. Zmienia się scena i z tą samą chwilą łamie się autor. Dawny zmysł obserwacyjny gdzieś się zapodział i na scenę wstępuje zlepek bladych reminiscencyi, jakieś cienie perfumowane i zgrzytające fałszem sytuacye. A gdy po raz piąty kurtyna się podnosi i dramat zmierza ku końcowi, autor tak konwencyonalnie zabiera się do rozplątania węzłów i takie stare sztuczki z rupieci dobywa, że trudno oprzeć się wrażeniu rozczarowania. Żal dzieła skrzywionego w połowie, żal, że ten strumień życia i poezyi, co tak wartko płynął w trzech pierwszych odsłonach, zarył się w piasku i zginął.

Lękałem się nieco wykonania sztuki, bo w pamięci mi stoi „Kaśka Karyatyda" w nieudolnej interpretacyi teatru naszego z ubiegłego sezonu. Dziś jednak z prawdziwą satysfakcyą zapisuję, że gra artystów była nie tylko poprawną, lecz chwilami nawet wznosiła się do wyżyn subtelniejszego artyzmu. W pierwszym rzędzie zadziwiał p. Olszewski jednolitą i plastyczną charakterystyką; prostota, egoizm, zdziecinniałość starego Jana, cały styl tej z bruku wyrosłej, poddańczej, bardzo prymitywnej natury, znalazł w panu Olszewskim inteligentnego przedstawiciela, który ani jednej intencyi autora nie lekceważył, ani jednego rysu z tej interesującej postaci nie uronił. Na równe uznanie nieomal zasługuje p. Knapczyński jako Ignacy, ten wiecznie pijany rzemieślnik, zalewający wódką nieszczęśliwe małżeństwo i żal za straconą kochanką. Chwilami zdradzał prosty bohater knajpy okrągłe ruchy salonowca z francuzkiej komedyi, lecz całość roli skąpana w bezpretensyonalnym humorze wywarła nader korzystne wrażenie. Z innych artystów wymieniam jeszcze p. Karpowicza, pełnego dystynkcyi i swobody barona, p. Czerniaka, w dobrze pojętej i cieniowanej roli starego mizantropa, oraz pana Stróżewskiego, który z wielką brawurą odtworzył postać energicznego drużby. Z kobiet wyróżniała się soczystym realizmem p. Królikowska, a p. Tarasiewicz i p. Biernacka otoczyli czarem poezyi role studenta i szwaczki. Była tam rzewna melodya cichej miłości i wielkiej prostoty.

W. R.

TO I OWO.

„Do niej."

Jednym z ciekawszych wypadków bieżącego sezonu literackiego w Paryżu jest specyalny numer, poświęcony sprawie kobiecej przez słynną ilustracyę „La Revue Encyclopedique". W numerze tym przyjmują udział najwybitniejsze siły świata kobiecego. Można bez przesady użyć tu wyrazu „świat", ponieważ nie będzie, jak się zdaje, zakątka na kuli ziemskiej, gdzieby kwestya kobieca nie znalazła szermierki, któraby nie przyjmowała udziału w zbiorowym numerze, jakby w demonstracyi powszechnej kobiet, żądających swych praw. Tym razem cudzoziemki nie zostaną skrzywdzone i odsunięte na plan drugi przez żywioł francuski, co się tu często trafia w podobnych okolicznościach. A będą to zawdzięczały inicyatorce i redaktorce numeru, którą jest nasza znana rodaczka, pani Marya Szeliga.

W dziale piór kobiecych spotykamy rodzaj wyznania pt.: „Do Niej", pióra jednej z autorek polskich. To „Do Niej" stosuje się jednak nie do kobiety, lecz do ojczyzny ukochanej nad wszystko, obecnej w duszy autorki zawsze i wszędzie. Przytaczamy to westchnienie serdeczne, korzystając nie z francuskiego przekładu, lecz z oryginału polskiego:

* * *

„Do Niej.... ...Gdybyś była okryta purpurą, uwieńczona koroną, skąpana w chwale, wsparta na potędze — może niebo twoje byłoby niezbyt chmurnem, szumy wichrów zbyt smutnemi, gleba za mało żyzną i kwiecistą; możebym wtedy odleciała Cię, szukając w strefach szczęśliwszych słońca wiecznego, kwiatów-cudów i duchów-aniołów.

Lecz pod niebem chmurnem, na roli zlanej łzami leżysz w pocie męki. Purpura twoja podarta na szmaty, korona skruszona w proch, chwałę uniosły echa smętne w mglistą dal przeszłości, potęga... tę masz jeszcze, gdy pchana do niebytu, jesteś — lecz świat mniema, że już nie masz żadnej i nad grobem, który więzi twego ducha, wznosi hymn potężnych ciałem: „Vae victis!"

Więc — o zwyciężona, zdeptana, smutna — u twego nieba chmurnego i wzdychającego łona, u stóp skutych i głowy odartej z klejnotów, uwisłam od brzasków młodości do mroków mogiły i Ciebie przenoszę nad wszystko. Każdego dnia, od brzasków poranka do mroków wieczora, klęczę przed Tobą pokorna i oddana, wtedy tylko prostując się i głowę podnosząc dumnie, gdy światu, który pogardził Tobą, powiedzieć mogę, że jestem córką Twoją!"

Do tych cudnych słów uniesienia my dodać tylko możemy wyraz radości, że w tej pamiątkowej książce dążeń kobiecych, przez Polkę dla kobiet wszystkich krajów ułożonej, głos znanej nam autorki, o której nazwisku zamilczeć musimy, podniósł zwrotkę niemilknącej pieśni narodu.

NA WYŁOMIE.

(Teorya o „bezwzględnej uległości". — Galanterya polityczna. — Obłudnicy. — Prawo krytyki. — Co mówi „Post"?)

Wspominałem już nieraz, że nasze ugodowo-klerykalne stronnictwo zapisało w księdze rozumu politycznego przykazanie bezwzględnego posłuszeństwa nietylko wobec monarchy i kleru, lecz wobec każdej władzy narodowej, którą dzięki swej przewadze liczebnej, zręcznym intrygom lub apatyi społeczeństwa na tarczy w górę uniosło i okrzyknęło królem lub królikiem. Kult autorytetów! wołają jedni, — ukrócenie krytyki! powtarzają drudzy! — i rozpoczyna się po całym kraju apostolstwo fałszywej subordynacyi, niby to w imię dobra publicznego, w imię przeciwdziałania tradycyjnej anarchii, w imię solidarnej obrony sprawy narodowej, a w rzeczy samej w interesie koteryi i kliki, którą trzy czwarte społeczeństwa nienawidzi w głębinach duszy, ale której ludzie jeszcze się lękają, jak mściwej potęgi, lub tolerują wskutek zamarcia inicyatywy społecznej, w skutek wybujałej apatyi i naszego poznańskiego „co mi tam!" Milczeć i słuchać! To słowo rozbrzmiewa wszędzie. Czy to na walnych zebraniach wyborczych, czy na generalnych przeglądach spółek zarobkowych, czy w To-

warzystwie czytelni ludowych, czy przed zarządem Pomocy naukowej, — zawsze to samo, zawsze mądry i zacny kto zaryglował usta, a nieprzyzwoity „warchoł" i awanturnik, kto w śpiącą harmonią rzucił słowo negacyi.

Nowa redakcya „Dziennika Poznańskiego" postanowiła oczywiście zaraz w pierwszym numerze złożyć uroczystą przysięgę, że nie myśli ani jednej chwili zrywać ze starą zasadą subordynacyi niewolniczej tam, gdzie przemówiła „mądrość berlińska". Wysyłając pod adresem obu Kół polskich w sejmie i parlamencie wyrazy hołdu przy otwarciu nowej kadencyi, nie omieszkał brat Kuryerowy zalecić „b e z w z g l ę d n e j u l e g ł o ś c i" wobec przedstawicieli narodu, a dla zadokumentowania, że na wiatr nie rzuca dusérów swoich, ogłosił w piątkowym numerze drugi poddańczy artykuł. „My uchwałę Koła, j a k a k o l w i e k z a p a d n i e, uznamy za prawidłową", — zarzeka się „Dziennik Poznański" a w dodatku bije się w piersi i woła, że „wzywać" Koła do jakichkolwiek interpelacyi nie wypada, bo nam tylko przystoi „wyrażać życzenia".

Co? To brzmi jak muzyka galanteryi francuskiej z XVIII wieku. Jakaś słodka „Marivaudage" zmartwychstaje i gdy nos wyciera, spogląda w lustro, czy chustka w pięknie układa się fałdy. Niech was tylko, przyjaciele moi, nie łudzi ten miodowy śpiew politycznych rzezańców, niech was nie łudzi ta rzekoma zasadniczość „bezwzględnej uległości" wobec przedstawicieli polskich w sejmie i parlamencie. Dziś mówią oni o posłuszeństwie „quand même", bo wiedzą dobrze, że barwa „Koła" jest barwą „Dziennika" i „Kuryera", i że subordynacya nie będzie dla nich ofiarą, nie będzie zaparciem siebie w imię zasady „bezwzględnej uległości", — lecz wyrazom najgłębszych przekonań. Zasadę posłuszeństwa głoszą tak długo, dopóki ona dla nich jest wygodną, lecz rzucą ją na śmietnik z cynicznym uśmiechem, gdyby skład Koła się zmienił i „andere Vogel andere Lieder" nucić kiedyś zaczęły. Jakże gorąco „Kuryer Poznański" zalecał pietyzm i szacunek dla posłów, jakie on gromy ciskał na malkontentów i hyperkrytycyzm ludowców! Z tą samą chwilą jednak, gdy w gronie posłów pojawiła się opozycya, która tańczyć nie chciała w takt ugodowej piszczałki, wykrzywił usta i drwił i kąsał aż miło. Gdzież to się podział wtedy pietyzm, gdzie kult autorytetów? I niechaj mi pan dr. Łebiński raczy uprzejmie wybaczyć, że przypomnę mu wielki kałamarz żółci, wylany niegdyś pod maską Domarata na głowy tych samych powag politycznych, którym dzisiaj ofiaruje przywilej świętości. Wtedy mówiło się, że as kierowy i butelka szampana jest właściwym symbolem Koła polskiego, a dzisiaj zginą się z wyszukaną galanteryą kolana i woła: Święte, święte i po trzykroć święte!

Obłudo! grzybie trujący, jakże ty bujnie wyrastasz na niwach wielkopolskich. Kto ciebie pleni, ręce sobie pokrwawi i zginie, a przecież wolę śmierć taką, niż służbę w twojem królestwie.

Kłamstwem jest twoja teorya o „bezwzględnej uległości" w obliczu posłów, i fałszem zgrzyta twoje „padam do nóg" przed majestatem Koła polskiego. Podnosicie do wyżyn narodowej zasady to, co na czole swojem nosi piętno partyjnego oportunizmu, — pragniecie bizantyńską pokorę zamienić w dogmat polityczny, by onieśmielić rozbudzony krytycyzm. To cel ukryty waszego kuglarstwa, a byłoby źle z społeczeństwem, gdyby iść miało na lep tej komedyi.

Nie przeczyłem nigdy, że każdy naród musi mieć powagi swoje, którym powierza obronę swoich świętości i straż zaszczytną na szańcach, — lecz nie uznaję autorytetu, wobec którego społeczeństwo traci prawo sądu i prawo krytyki. Czy to kierownicy Czytelni ludowych, czy posłowie w Berlinie, czy ksiądz arcybiskup w tumskiem ministerstwie, żadna z tych powag praw nietykalności nie posiada, i choćby tysiąc razy oba Kuryery Poznańskie prawiły o anarchistycznych zakusach, my zawsze powołamy je do porządku tam, gdzie sumienie narodowe głos protestu podnieść nam rozkaże.

Tym głosem zapytujemy się dzisiaj, ile prawdy mieści się w sensacyjnem doniesieniu półurzędowego dziennika „Post", które tu w dosłownem podajemy brzmieniu:

„Wiemy — mówi dziennik berliński — że i ks. Arcybiskup Stablewski życzy sobie dla ciężko nawiedzonej prowincyi spokojniejszych czasów i dla tego podług zapewnień, jakich niedawno temu udzielił jednemu z redaktorów pisma naszego, który miał sposobność omówienia z nim obszernie s p r a w y p o l s k i e j, możemy przyjąć, że i dla polskich nie skrajnych kół zmiana barw prowincyi poznańskiej w porę przyszła i pożądaną była. gdyż koła te pragną ograniczyć otwartą propagandę polską, która tak łatwo może przybrać rewolucyjny charakter".

Tak mówi „Post". Wiadomość ta dzisiaj obiega już całe Księstwo i budzi wspomnienia owej chwili, w której berliński „Borsen Courier" ogłosił wynurzenia ks. Arcybiskupa Stablewskiego o emancypacyi narodowej Górnego Szląska. Wonczas „Kuryer Poznański" zamieścił coś w rodzaju bardzo elastycznego sprostowania dla uspokojenia wzburzonej opinii publicznej. Dziś ta opinia znowu spogląda ku wyspie tumskiej z niemem pytaniem na ustach. Czy żaden z „Kuryerów" naszych nie raczy przemówić?

Czekamy! *Sulla.*

KRONIKA POWSZECHNA.

— **Teatr i muzyka.** Dziś, w sobotę, ukaże się po raz pierwszy na poznańskiej scenie czteroaktowa komedya Sudermanna p. t. „Walka motyli". — W Sztokholmie wystawiono nowy dramat E. Hogmana p. t. „Weselny dzień lekarza". Publiczność i krytyka przyjęły sztukę z zapałem. — Nowy dramat Wiktora Leona „Die Unmoralische", który miał być przedstawionym w teatrze Rajmunda w Wiedniu, zakazany został ze względu na nakreśloną w nim postać księdza. — Do repertuaru warszawskiego teatru Rozmaitości wejdzie niebawem trzyaktowa komedya Lavadin'a p. t. „Książe D'Aurec" w przekładzie Gabryeli Zapolskiej.

— **Uroczystość Mickiewiczowska.** Uroczyste przedstawienie na cześć wiekopomnego wieszcza naszego A d a m a M i c k i e w i c z a odbędzie się w p o n i e d z i a ł e k d n i a 30 l i s t o p a d a r. b. w t e a t r z e p o l s k i m. Program: Część I: 1) Mazur „Czołem" — Zaremba (wykona Kółko muzyczne „Sokoła"). 2) Prolog: „Marzenia matki" — Walery Łebiński (wykonają pp. artyści sceny poznańskiej). 3) „O jakżebym klęczeć chciała" (solo śpiew sopran) — Moniuszko. 4) Scherzo Bmoll (fortepian) — Chopin. 5) „Cieniom Wieszcza" (chór męski) — B. Dembińskiego (wykona Koło Śpiewackie Polskie). 6) Żywy obraz: „Niedźwiedź Mospanie" z „Pana Tadeusza". — Część II: 7) Walc „Dzwony Kornewilskie" — Metre (wykona Kółko muzyczne „Sokoła".) 8) „Koncert nad koncertami" (deklamacya) — Mickiewicz. 9) „Taki los wypadł nam" (chór męski) — B. Dembińskiego (wykona Koło Śpiewackie Polskie). 10) „Valse de Concert" (fortepian) — Wieniawski. 11) Arya Racheli z opery „Żydówka" (śpiew solo) — Halévy. 12) a) „Loin du Bal" — Gillet, b) „Marzenia" — Szuman (wykona Kółko muzyczne „Sokoła"). 13) Żywy obraz: „Różeczce scyzoryk się kłania" z „Pana Tadeusza".

Ceny miejsc: Krzesło w loży prosceniowej parterowe i I piętra 3,10 m. Loże parterowe, I piętra i balkon I piętra 1,60 m., krzesło parterowe 1,10 m., loże II piętra 55 fen., balkon II piętra 2 pierwsze rzędy 65 fen., rząd trzeci i czwarty 55 fen., parter 35 fen., amfiteatr 25 fen., galerya 15 fen.

Biletów nabyć można w sobotę dnia 28 b. m. i w niedzielę dnia 29 b. m. u skarbnika Towarzystwa naszego p. Ziętkiewicza (firma Otmianowski) w Bazarze, w sam dzień przedstawienia zaś, w poniedziałek, przy kasie teatralnej. Dochód przeznaczony na cel tak szlachetny i humanitarny jak „Kolonie wakacyjne dla ubogiej dziatwy", mamy przeto nadzieję, że Szan. Publiczność zapełni teatr po brzegi, a tem samem przyczyni się do urzeczywistnienia celu, który sobie „Stella" założyła.

Uroczysta msza św. żałobna odbędzie się w p o n i e d z i a ł e k dnia 30 b. m. o godzinie 8 i pół w k o ś c i e l e ś w. M a r c i n a.

Z a r z ą d T o w a r z y s t w a „S t e l l a".
A. Andruszewski, prezes. St. Trzeciakowski, sekret.

HUMORYSTYKA.

W poznańskich recenzyach teatralnych pojawiają się często takie dziwolągi, że możnaby dla nich stworzyć osobną rubrykę w pismach humorystycznych. Zwracaliśmy już niejednokrotnie uwagę na te próbki mimowolnego humoru, któremi panowie recenzenci częstują publiczność, ale bicz satyry nie wypłoszył krzyczących nonsensów z teatralnych bajań panów „literatów". Przed rokiem śmiał się „Kraj" petersburski z recenzyi „Kuryera", śmieją się także inne pisma zakordonowe, śmieje się rozumniejsza publiczność, śmieją się artyści, ale „głupstwo — jak mówi Nik Słowackiego — jest wieczne", przynajmniej w Poznaniu. Tak n. p. jeden z recenzentów poznańskich lamentuje, że my Polacy dla tego zdobyć się nie umiemy na dobre komedye salonowe, ponieważ „komedyopisarze nasi pochodzą przeważnie z warstw mniej wykwintnych, a potem gustują w towarzystwie cyganeryi, gdzie bawią się „tłustemi dowcipami i aż nazbyt swobodną pogadanką". Wzrekłszy to wielkie słowo, tak pisze krytyk poznański:

„Czy humunculus takiego urodzenia i otoczenia może stworzyć rodzimą salonową komedyę, owianą urokiem przyzwoitego dowcipu? Nigdy. — Stworzy czasem dramat, tragedyą, wysnutą nie z środowiska własnego życia trywialnego,(!) ale przez odbicie się w twórczym jego umyśle cudzych znakomitych dzieł(!) lecz nie da nam salonowej komedyi....

„Ażeby napisać znakomitą komedyę salonową, któraby się dostała na europejskie sceny, trzeba badać życie w jego wielkoświatowym i kosmopolitycznym rozkwicie, gdzie różne narodowości swobodnie się mieszają, o k r y t e p u k l e r z e m g r z e c z n o ś c i p r z e d n i e n a w i ś c i ą m i ę d z y n a r o d o w ą.(!) Tam się poznaje charaktery dodatnie i ujemne przez porównanie różnych szczepów, co tak korzystnie oddziaływa na dramaturga. My Polacy takie salony mamy dziś tylko w stolicach mocarstw rozbiorowych, a królują nad niemi petersburskie polskie salony.(!!)"

Gotowa zatem recepta na salonową komedyę. Gdy wam panowie komedyopisarze przyjdzie kiedy ochota zabrać się do twórczej roboty, pamiętajcie przedewszystkiem zapukać do „petersburskich polskich salonów", gdzie spotkacie „różne narodowości okryte puklerzem grzeczności przed nienawiścią międzynarodową". Tam dopiero nauczycie się tworzyć, — bez tego pozostaniecie marnymi skrybentami.

Lecz recenzent poznański nie zadawala się prostą receptą, — on pragnie także zadokumentować, że bywał w „petersburskich salonach" i tam nauczył się pisać delikatnie, mówić słodko i dygać przed ludźmi, do których zwraca swe literackie oblicze. Tak tedy zamyka swe sprawozdanie teatralne:

„Kończąc, donoszę Pięknym Paniom i Szanownym artystom, iż, jeżeliby kto z nich uczuł się dotkniętym mojem sprawozdaniem, upraszam o piśmienne się zażalenie do redakcyi, (!) a ja się obszernie, listownie wytłomaczę. (!!) Pozostanie to wspólną tajemnicą, o której ani dyrekcya, ani publika nigdy się nie dowie. (!) — Nie jestem już rycerzem podwiązki, (!) lecz zawsze wyrozumiem drażliwość wrodzoną płci pięknej, choć staram się krytykować z oględnością w wysłowieniu. (!)

No, proszę! Nie jestże to „galantny facet" — jak mówią kucharki poznańskie.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

— **Mi — mi.** Za list sympatyczny dziękujemy serdecznie. Czy życzenia Pani się spełnią, dziś jeszcze powiedzieć nie możemy — ale zapewniamy, że najusilniejsze starania są w biegu.

— **Karol B.** Wierszyk wystosowany pod adresem ks. Laubitza i ks. dr. Warmińskiego jest bardzo dowcipny, lecz umieścić go nie możemy przez wzgląd na ewentualną kolizyę z prokuratorem.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego" w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej Nr. 28 (Telefon Nr. 334.)

Nr. 49. Poznań, niedziela 6-go grudnia 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański" wychodzi w każdą Sobotę. Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p. Administracya: Podgórna ul. Nr. 7. w podwórzu.

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi w Poznaniu 4,00 mrk. Przyjmuje Administracya: ul. Podgórna Nr. 7. w Niemczech i Austryi 5,00 mrk. (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 mk. — Prenumeratę przyjmują Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego. Pojedyńczy numer: w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen. Rękopisów drobnych niezwracamy.

TREŚĆ.

Kwestya interpelacyi.

W programowych artykułach prasy ugodowej powtarza się często twierdzenie, że era „szumnych interpelacyi" i „taniej opozycyi" w polityce Koła polskiego powinna zginąć bezpowrotnie, a w miejsce to wstąpić intenzywne współpracownictwo posłów naszych w mozolnych zabiegach państwa około rozwiązania spornych zagadnień ekonomicznych i polityczno-społecznych. Niejednokrotnie wykazywaliśmy już, że akcya w jednym kierunku nie wyklucza bynajmniej pracy w kierunku drugim, i niejednokrotnie dawaliśmy do zrozumienia, że stworzono tu tendencyjnie kontrast pozorny, aby utorować drogę tej polityce ugodowego byperlojalizmu, która każdy energiczniejszy protest narodowy przyjmuje, jeżeli nie z wyraźną niechęcią, to przynajmniej z oznakami niepokoju.

Czy zaniechanie najświeższej i najwięcej palącej interpelacyi w sprawie barw prowincyonalnych i awantury opalenickiej opiera się na tym systemie politycznym, który wszelkiej opozycyi lęka się jako czczej Donkiszoteryi, czy też dodatkowe motywy dyplomatycznej natury odegrały tu rolę, tego dziś jeszcze z bezwzględną stanowczością rozstrzygnąć nie możemy. O ile jednak wnioskować wolno z pewnych półsłówek i komentarzy, krążących w tych kołach, które posiadają blizkie stosunki z posłami, to owe dyplomatyczne względy, wysuwane w mgle tajemniczości przez „Dziennik Poznański", trącą silnie interesem koteryi ugodowej. Mówią nam, że lękano się Bismarckowskiego stylu, w którym rząd mógł powitać interpelacye Koła, — mówią nam, że tego stylu obawiają się ci przedewszystkiem, którzy przez długie lata opowiadali cudowne baśnie o sympatyach tronu dla uciśnionej polskości i dawali niedwuznacznie do zrozumienia, że sympatye te są zasługą dyplomacyi ugody. Wiemy bardzo dobrze, jak rząd niemiłosiernie rozwiewał jedną iluzyę po drugiej, — wiemy, jak na krytykę wygłoszoną przez Koło polskie o bractwie trzech liter odpowiedział błogosławieństwem dla krzyżackiej roty Hakatystów, — i wiemy wreszcie, jak ta rzeczywistość gasiła ułudne blaski „nowych horyzontów". Powtórne „Quos ego" rządowe nie poprawiłoby oczywiście nadszarpanej opinii stronnictwa ugody i dla tego pogrzebano zamiar ryzykownej interpelacyi.

Rozumiemy zupełnie całą doniosłość takiej porażki dla interesów partyjnych, dla interesów tej potężnej kliki, która kazała nam wierzyć, że skoro tylko krzesła poselskie ku skrajnej przesunie prawicy, to tron pruski w dobrotliwą wróżkę się zamieni, — ale trudno nam zrozumieć, o ile nowa „nauczka" w Bismarckowskim stylu może pogorszyć sytuacyę narodową. Nie łudziliśmy się nigdy, aby w ogniu interpelacyi polskich rząd obecny jak wosk się roztopił i giąć się pozwolił według naszych życzeń, nie łudziliśmy się, aby interpelacye polskie wobec panujących stosunków mogły mieć inne jak moralne znaczenie, — z drugiej strony jednak stwierdzamy tu wyraźnie, że tego moralnego znaczenia lekceważyć nie wolno i że ono siły swej nie traci, choćby mininistrom pruskim Friedrichsruh i Warcin dyktowały tenor odpowiedzi. Rzucono gdzieś przypuszczenie, że ostra odpowiedź rządu mogłaby rozzuchwalić zgraję hakatystów upokorzoną nieco klęską opalenicką, ale argument ten wydaje nam się już z tego względu podejrzanym, że rząd bez prowokacyi naszej przylepił im plaster na rany w znanym ukazie o barwach prowincyonalnych. Point de réveries, messieurs! Zaniechanie interpelacyi nie poprawi w niczem położenia naszego, bo rząd zawsze znajdzie sposobność, aby przed Hakatystami broń zaprezentować z okrzykiem „sempre avanti". Jeżeli zresztą strach przed wrogą odpowiedzią ministrów rozstrzyga o wystąpieniach Koła polskiego w sejmie lub parlamencie, to należałoby dla konsekwencyi w ogóle zaniechać wszelkiej skargi i wszelkiej krytyki dążeń germanizacyjnych, bo każdy opozycyjny akcent może spowodować grom Bismarckowski. Czy Koło w formę interpelacyi ubierze żale nasze, czy, jak zamierza podobno, w dyskusyi nad etatem skargi polskie wytoczy, to sytuacyi w niczem nie zmienia, bo okazya do twardej odpowiedzi zawsze się nastręczy rządowi. A jeżeli Koło istotnie zamilknie zupełnie, to rząd z własnej inicyatywy w tej czy owej formie po Bismarckowsku przemówi. Zdaje się, że takie zapatrywanie na sprawę podzielała niemal połowa naszych przedstawicieli sejmowych, bo jak „Dziennikowi Poznańskiemu" z Berlina donoszą, zaledwie jeden głos większości rozstrzygnął o zaniechaniu interpelacyi.

Skutki tej, zdaniem naszem, fałszywej ostrożności Koła polskiego już dzisiaj dają się we znaki, bo pisma Hakatystyczne kolportują wiadomość, że posłowie nasi ulękli się jakichś tam kompromitujących materyałów, zgromadzonych przez rząd i przygotowanych do strzału w razie interpelacyi polskiej. Dla ludzi znających stosunki doniesienie to piętnem kłamstwa świeci, ale dla tych, którzy zdaleka spoglądają na nas, ma ono pewien zapach prawdopodobieństwa, jest wygodnym, nimbem sensacyi opromienionym kluczem zagadki: Dla czego Koło polskie wbrew pierwotnym zamiarom nie interpeluje rządu pruskiego? I choćby prasa polska tysiąc razy zaprzeczyła fabrykantom fałszów, plotka pójdzie dalej, jątrząc umysły i roznosząc po Niemczech szerokich widmo „rewolucyi polskiej."

Powyższe oświetlenie sprawy polecamy uwadze „Koła polskiego", bo lubo na razie kwestyę interpelacyi za rozstrzygniętą uważać wypada, to każdej chwili można ją powtórnie wprowadzić na porządek dzienny i spowodować uchwałę odmiennej natury. Mamy konstytucyę, — korzystajmy więc z praw nam przysługujących, bo nieustanny strach przed drażnieniem rządu prowadzi na takie bezdroża i bagna, gdzie narodowi grozi wygłodzenie moralne.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

List barona St. Chłapowskiego.

W „Orędowniku" czytamy: „Pan baron Stanisław Chłapowski z Szółdr pod Czempiniem, członek sejmu prowincyonalnego, wydziału powiatowego i parlamentu, wystosował — w sprawie zgody — do Niemców list otwarty, o którym „Dziennik P." zapowiada, że go poda w oryginale jako dodatek.

Równocześnie wydrukował „Kuryer" list otwarty p. barona, zatytułowany: „Do mych niemieckich kolegów i przyjaciół", a noszący datę „Poznań w listopadzie".

Tytuł do takiej odezwy bierze p. St. Chłapowski z tego, że od lat 40 jest członkiem sejmu prowincyonalnego i liczy na to, że mu Niemcy koledzy nie odmówią świadectwa, iż zawsze uczciwie pracował w interesie zgody obydwóch narodowości.

Autor wykazuje niechrześcijański element w agitacyi Hakatystów, wzywa Niemców kolegów i przyjaciół, żeby ją zatamowali, inaczej zapowiada się dzielnicy naszej „smutna przyszłość, pokój nie będzie mógł być przywrócony, od czego niech nas Bóg zachowa.“

Cały list nosi na sobie wyraźną cechę, że był pisany pod naciskiem niepokoju i zwątpienia.

I to jest zupełnie naturalne. Pana St. Chłapowskiego, jak wielu innych, którzy uprawiali politykę partyi dworskiej, musi w wysokim stopniu niepokoić agitacya Hakatystów, bo ona jest żywem świadectwem, że rachunek przy tej polityce jest z gruntu fałszywy. Czują to wszyscy zwolennicy tak zwanej polityki ugodowej, że im Hakatyści rachunki popsuli, i ztąd pojawiają się w obecnej chwili te dziwne pomysły o „zgodzie narodowościowej“.

Choćby do takiej zgody nawet przyszło w najlepszym razie zyskaliby tylko zwolennicy partyi dworskiej, jak chcą inni, ugodowej, społeczeństwo polskie nie zyskałoby nic.

To przecież i po stronie partyi dworskiej powinniby przynajmniej niektórzy rozumieć, że szerokie masy ludu polskiego, jego warstwy średnie i niższe, zachowują się względem rządu, prawa i państwa tak, jak tego konstytucya wymaga. Wiedzą też o tem Niemcy bardzo dobrze i Hakatyści nie uderzają w te warstwy dla tego, że nie są dość „lojalne“, tylko dla tego, że się społecznie i narodowo podnoszą.

Na co i po co Niemcom zgoda, jeżeli ludności polskiej nie można zasymilować.

Forma walki przeciw żywiołowi polskiemu, jaka jest obecnie w modzie u Hakatystów, nie jest niczem nowem: wszystko już było; nie tak dawno jeszcze za czasów walki kulturnej. Jak się Hakatyści własnym żarem strawią — co prędzej czy później będzie musiało nastąpić, to po pewnej przerwie wystąpi ta sama stara walka i to się będzie powtarzało póty, dopóki ludność polska społecznie nie stanie tak, że Niemcy będą musieli sracić wszelką wiarę w wszelkie sposoby asymilacyjne.

I wtedy przyjdzie pora na „zgodę narodowościową“, ale — nie rychlej.“

*

Socyaliści przeciw stronnictwu ludowemu w Galicyi.

W „Przeglądzie Wszechpolskim“ czytamy:

„Jakkolwiek wybory do austryackiej rady państwa odbędą się prawdopodobnie dopiero za kilka miesięcy, dziś już zaczęła się na dobre agitacya przygotowawcza, którą najenergiczniej prowadzą stronnictwo ludowe i socyaliści. Można było przypuszczać, że pomiędzy temi dwoma stronnictwami, pomimo dzielących je różnic teoretycznych, nastąpi, chociażby ze względu na wybory w piątej kuryi, jakiś kompromis. Sądzimy, że kompromis był możliwym i bardziej byłby potrzebnym socyalistom, aniżeli stronnictwu ludowemu, które w dzisiejszym stanie rzeczy więcej bodaj mogłoby zdobyć okręgów, aniżeli ma odpowiednich kandydatów na posłów. Socyaliści jednak utrudnili bardzo kompromis, kto wie nawet, czy nie umożliwili go zupełnie prowadzoną do spółki z ks. Stojałowskim kampanią, mającą jeden cel widoczny — rozbijania wieców ludowych. Cała działalność przedwyborcza stronnictwa socyalistycznego polega głównie na walce ze stronnictwem ludowem, na wytworzeniu współzawodnictwa w okręgach wiejskich, kiedy w miastach, przedstawiających dla niej pole najwdzięczniejsze, nie wychodzi prawie poza kadry własnej organizacyi. Założono pismo specyalne dla włościan, wystawiono nawet w okręgu krakowskim, w czwartej kuryi przeciw domniemanemu kandydatowi do Rady państwa, posłowi sejmowemu Wójcikowi — innego kandydata włościanina. Tego rodzaju taktyka polegająca w gruncie rzeczy na wyrządzaniu psot współzawodnikom, tym ostatnim nie wiele zaszkodzi, a socyalistom nie da żadnych rezultatów. Przeciwnie, w tych nawet okręgach piątej kuryi, w których może udało by się im przeprowadzić swoich kandydatów, z pewnością będą pobici.

W tej polemice przedwyborczej socyaliści wygłosili hasło, które ks. Stojałowski powtórzył, że mandaty z piątej kuryi powinny przypadać kandydatom robotniczym. Jest to pretensya zgoła nieuzasadniona. Wygłaszając ją uznali socyaliści zasadę reprezentacyi interesów poszczególnych klas i grup ludności, zasadę, przeciw której słusznie protestowali nieraz. Zarzucają stronnictwu ludowemu kastowość chłopską, a sami chcieliby ją stworzyć dla klasy, której interesy pragną przedstawiać. Ale gdyby nawet przyjąć tę zasadę, to czyż istotnie robotnicza klasa w Galicyi przedstawia taką siłę, że należy się jej aż 15 mandatów? Przecież włościanie i to włościanie posiadacze rolni, w 13 przynajmniej okręgach piątej kuryi, w których może udało by się im przeprowadzić swoich kandydatów, z pewnością będą pobici. W tej polemice przedwyborczej socyaliści wygłosili hasło, które ks. Stojałowski powtórzył, że mandaty z piątej kuryi powinny przypadać kandydatom robotniczym. Jest to pretensya zgoła nieuzasadniona. Wygłaszając ją uznali socyaliści zasadę reprezentacyi interesów poszczególnych klas i grup ludności, zasadę, przeciw której nieraz słusznie protestowali. Zarzucają stronnictwu ludowemu, kastowość chłopską, a sami chcieliby ją stworzyć dla klasy, której interesy pragną przedstawiać. Ale gdyby nawet przyjąć tę zasadę, to czyż istotnie klasa robotnicza w Galicyi przedstawia taką siłę, że należy się jej aż 15 mandatów? Przecież włościanie i to włościanie posiadacze rolni, w 13 przynajmniej okręgach piątej kuryi, jeżeli nie w 15 stanowią przeważną część wyborców, daleko liczniejszą z właścicielami gruntów w miasteczkach, aniżeli robotnicy, nawet z dołą-

---

Gwiazdkowe zakupy.

(Z cyklu „Anatol“.)

(*Wieczór wigilijny, szósta. Śnieg z lekka pruszy na ulicach Wiednia.*)

Anatol. Łaskawa Pani, łaskawa pani!...

Gabryela. Co?... Ah, to pan!

Anatol. Tak to ja ścigam panią! Nie mogę patrzeć na to, byś pani szła tak obładowana! Proszę mi oddać choć część tych pakunków!

Gabryela. Nie, nie, dziękuję! Poniosę je już sama!

Anatol. Ależ pani, nie utrudniaj mi, proszę, skoro choć raz w życiu zapragnąłem okazać się uprzejmym...

Gabryela. No — to masz pan już tę jednę paczkę...

Anatol. Ależ to nic zgoła... Proszę dać więcej... ot tę... i tę jeszcze...

Gabryela. Dosyć, dosyć... bardzoś pan grzeczny!

Anatol. Skoro tylko wolno — toż to przyjemność!

Gabryela. Dajesz pan tego dowody, ale niestety tylko na ulicy i wówczas kiedy śnieg pada.

Anatol. ...i to późnym wieczorem — skoro w dodatku przypadkiem jest to w dzień wigilii Bożego narodzenia — nieprawdaż?

Gabryela. Bo też to cud prawdziwy zobaczyć pana!

Anatol. Tak, tak..... Chcesz pani przez to powiedzieć, żem tego roku ani razu nie złożył jej wizyty.

Gabryela. Tak, coś w tym rodzaju przeszło mi przez myśl!

Anatol. Ah, pani! Ja w tym roku nie składam wizyt — zgoła żadnych nie składam! A jakże zdrowie męża? Co robią milutkie dzieci?

Gabryela. Tych pytań możesz pan sobie oszczędzić! Wiem przecież, że to pana bardzo niewiele obchodzi!

Anatol. Przykro jest doprawdy natrafić na osobę, co tak dobrze zna ludzi!

Gabryela. Pana — znam dobrze!

Anatol. Nie tak dobrze jednak, jakbym tego pragnął.

Gabryela. Daj pan pokój uwagom! Dobrze?...

Anatol. O pani, tego przyrzec nie mogę!

Gabryela. Oddaj mi pan więc moje paczki!

Anatol. Nie gniewać się — nie gniewać! Już będę grzecznym....

(*Idą obok siebie w milczeniu*).

Gabryela. Mówić przecież o czemśkolwiek wolno panu.

Anatol. O czemśkolwiek — tak — ale cenzura pani tak jest srogą...

Gabryela. Opowiedz-że mi pan co. Wszakże nie widzieliśmy się tak dawno.... Co pan robi teraz właściwie?

Anatol. Nic, jak zwykle!

Gabryela. Nic?

Anatol. Nic najzupełniej!

Gabryela. Szkoda pana, doprawdy!

Anatol. Coprawda.... dla pani to rzecz arcyobojętna.

Gabryela. Jak pan możesz to twierdzić?

Anatol. Dla czego tracę na niczem życie? Kto temu winien? Kto?!

Gabryela. Oddaj pan paczki!

Anatol. Wszakżem nie oskarżał nikogo... rzuciłem pytanie ot tak, na wiatr...

Gabryela. Pan zawsze pewnie jak dawniej włóczysz się bez celu?

Anatol. Włóczysz! Takim wzgardliwym wymawiasz to pani tonem! Jak gdyby było coś piękniejszego nad tę włóczęgę! Jest coś wspaniale bezcelowego w tem słowie! Dziś wszakże nie da się ono zgoła do mnie zastosować, dziś jestem zajęty, najzupełniej tak samo jak pani!

Gabryela? Jakto?

Anatol. Ja także robię gwiazdkowe zakupy!

Gabryela. Pan?!

Anatol. Tylko nie mogę znaleźć nic stosownego! Z tego powodu od tygodnia już staję co wieczór przed wystawami sklepów po wszystkich ulicach! Ale kupcy nie mają nic gustu ani ducha wynalazczości.

Gabryela. Te powinien posiadać kupujący! Kiedy się ma tak mało do czynienia jak pan, myśli się, wynajduje — i zamawia podarki już w jesieni.

Anatol. Ah! do tego nie jestem stworzony! Alboż to wiedzieć można w jesieni kogo trzeba będzie obdarować na gwiazdkę? A teraz ot jest już zaledwie dwie godziny przed gwiazdką — a ja wciąż jeszcze ani wiem, ani wiem nawet!...

czeniem właściwych robotników wiejskich. Jakkolwiek bliżsi jesteśmy stronnictwa ludowego, niż innych stronnictw galicyjskich, stanowisko nasze jest w danej sprawie zupełnie objektywnem. Naszem zdaniem, byłoby z wielu względów bardzo pożądanem, żeby socyaliści zdobyli kilka mandatów i dla tego właśnie dotychczasowa ich taktyka wydaje się nam, co najmniej nieodpowiednią. Zmiana jej byłaby konieczną, chociaż, kto wie, czy nie przyszłaby już zapóźno, czy jakiś kompromis, nie dawno jeszcze względnie łatwy, nie byłby już teraz niemożliwym. W każdym razie zaznaczyć należy, że jeżeli klasa robotnicza w Galicyi nie będzie miała w Radzie państwa przedstawicieli, których mieć powinna, to odpowiedzialność za to spadnie niepodzielnie na kierowników ruchu socyalistycznego."

—ski.

LITERATURA I SZTUKA.

Z najnowszych powieści.

(Utwory Klemensa Junoszy).

Że Klemens Junosza kreśli obrazki powieściowe prawdziwie swojskie, pełne prawdy i życia; że pisze lekko zajmująco, niekiedy barwnie, częstokroć bardzo dowcipnie a zawsze charakterystycznie, jest to prawdą znaną i uznaną, nie potrzebującą zatem udowodnienia.

Obrazki te przedstawiają nam zazwyczaj ludzi pospolitych, spotykanych codziennie, nie nastręczających sposobności do rozwinięcia głębokich spostrzeżeń psychologicznych, gdyż dusza ich prosta i jasna, bez skrytek i tajni, sama przez się przejawia się w ich słowach i sposobie postępowania. Stosunki też, w które wplątują się ci ludzie, są nam wszystkim doskonale znane, bo z najzwyklejszych wzięte objawów, objawów istnienia w naszych wioskach, miasteczkach i miastach. Chłopi, żydzi, szlachta zagonowa, ziemianie średnio-zamożni, urzędnicy, nauczyciele, kobiety z wyliczonych tu sfer; walka o byt, dorabianie się grosza lub tracenie go, poszukiwanie zarobku i próżne w tym kierunku wysiłki, bieda, smutki, cierpienia, śmierć—oto bohaterowie naszego autora i wypadki, w których oni swój umysł, serce i charakter ukazują.

Nastrój, w jakim Junosza tworzy, najczęściej jest pogodny. Zna on i odczuwa smutki i zawody ludzkie, nieraz bardzo ciężkie, lecz nie chce utwierdzać czytelników swoich w mniemaniu, iżby lekarstwa na cierpienia zgoła znaleźć nie było można, iżby położenie choćby rozpaczliwe, nie mogło już wcale doznać polepszenia, bodaj chwilowego. Tragicznych sytuacyi Junosza malować nie lubi.

W związku z takim nastrojem pozostaje unikanie namiętności silnych,ześrodkowanych, trawiących się w sobie, lub też druzgocących istnienie tych, co im w swobodnem rozwinięciu się na przeszkodzie stają. Najpotężniejsza z namiętności, miłość, bywa też u Junoszy dodatkowym jeno czynnikiem w jego powikłaniach powieściowych; na niej nie osnuwa on wątku opowiadania, nie poświęca odtworzeniu jej wiele miejsca; czasami ledwie o niej wzmiankuje.

Tak zwane postaci „charakterystyczne" z odcieniem rubaszności i komizmu stanowią najsilniejszą stronę talentu Junoszy; w ich malowaniu jest on niewyczerpanym, a choć dopatrzyć można rodowego podobieństwa w licznej ich galeryi, to przecież w każdej z nich odnaleźć da się jakiś choćby drobny rys, wyróżniający jedną osobistość od drugiej. Żydzi, chłopi, wszelkiego rodzaju burczymuchy i oryginały roją się w obrazkach Junoszy i prawie zawsze wywołują zadowolenie estetyczne z powodu trafności i znamienności cech i umiejętngo ich uwydatnienia.

Weźmy np. opowiadanie pt. „Na bruku, powieść z życia miejskiego" (Warszawa, nakład księgarni Stan. Sadowskiego, 1897, str. 185). Cóż w niem jest najlepszego? Przedewszystkiem nie młoda, kochająca się para, przy końcu książki w stan małżeński wstępująca. Jeszcze Mania, jako poczciwa córka, dobra przyjaciółka, dziewczyna pracą usiłująca dopomódz rodzinie, trzyma się jako tako w swej małej i biernej roli. Ale Zdzisław, jako amant i jako młodzieniec, jest tak blado nakreślony, że najmniejszej na siebie uwagi zwrócić nie może. Zubożały ojciec rodziny, Kwiatkowski, zmuszony do wyprzedania się na wsi i mozolnego poszukiwania jakiejś roboty w Warszawie, chociaż najwięcej zajmuje miejsca w powieści, swojem dolegliwem jedynie położeniem, w jakiem tyle setek ludzi się biedzi, przemówić może do serca i budzić zastanowienie nad losem nieszczęsnych jednostek.

Natomiast żydzi na Pociejowie. popędliwy i wrzawliwy węglarz, żywa jak iskra, pomysłowa i rozmowna Wandzia, wciąż zapominająca i wciąż sobie przypominająca ciocia-magazynierka, wreszcie uczeń łakomem okiem spoglądający na bułki — to są postaci, zapisujące się dobitnie w pamięci, bo odmalowane plastycznie.

Podobnie rzeczy się mają w obrazku pt. „Z papierów po nieboszczyku czwartym" (Warszawa, nakład i własność W. Czajewskiego 1896, str. 168).

Bohater, opisujący swoje przygody, budzi zajęcie w początkach tylko, gdy mówi o swem dzieciństwie sierocem, o swej nauce u organisty, o swym stosunku do poczciwego księdza proboszcza; lecz gdy przychodzi do opowiadania o przygodzie, tworzącej właściwą osnowę, blednie, szarzeje; czytelnik bowiem dostrzega w kolizyi, na której jest oparta całość, koncept trochę naciągany.

Oto panna, społczując nudom ojca, nie mogącego złożyć partyi preferansa z powodu braku czwartej osoby, sprowadziła z War

---

Gabryela. Czy mam panu dopomódz?

Anatol. Pani łaskawa... Jesteś aniołem — ale nie odbieraj mi znowu paczek...

Gabryela. Nie, nie...

Anatol. Zatem aniele, wolno mi powiedzieć. Jak to ładnie — aniele!

Gabryela. Czy będziesz pan łaskaw milczeć!

Anatol. Już milczę!

Gabryela. A zatem — daj mi pan jakąś wskazówkę... Dla kogo to ma być podarek?

Anatol. To... to właściwie trudno powiedzieć...

Gabryela. Dla jakiejś damy oczywiście?!

Anatol. No... tak — że pani zna dobrze ludzi, tom już raz dziś przecież zaznaczył?!

Gabryela. Ale... dla jakiej damy? Rzeczywistej damy?!

Anatol. Musielibyśmy pierwej porozumieć się co do tego pojęcia! Jeśli pani myślisz o damie wielkiego świata, to nie dałoby się tu w zupełności zastosować to określenie...

Gabryela: Zatem... z małego świata?...

Anatol. Dobrze — powiedzmy: z małego świata.

Gabryela. Należało mi z góry to przypuścić!...

Anatol. Tylko bez sarkazmu!

Gabryela. Wszakże znam gust pański... Będzie to znów pewno coś z po za rogatki — szczuplutkie i jasnowłose!

Anatol. Jasnowłose — pozwalam!...

Gabryela. Tak, tak... blondynka... szczególna rzecz, że pan zawsze musisz mieć do czynienia z takiemi przedmiejskiemi damami — ale to zawsze!

Anatol. Łaskawa pani, nie moja w tem wina.

Gabryela. Daj pan temu pokój — mój panie! Dobrze zresztą, że pan pozostajesz wiernym swemu rodzajowi... byłoby niesłusznem porzucać widownię swych tryumfów...

Anatol: Ale bo i cóż zresztą mam robić — kochają mnie tylko po za miastem wyłącznie...

Gabryela: Ale czy pana rozumieją za miastem?

Anatol: Ani myśli! Ale, widzi pani... w małym świecie jestem tylko kochanym; w wielkim — tylko rozumianym — pani to wiesz przecie...

Gabryela: Ja nic nie wiem... i nie chcę wiedzieć nic więcej! Choć pan... Tu właśnie jest sklep najodpowiedniejszy... tu możemy kupić coś dla pańskiej małej.

Anatol: Pani!

Gabryela: Ależ tak... popatrz pan ot tu... naprzykład ta szkatułka z trzema różnorodnemi perfumami... albo ta z sześciu mydełkami... paczula... chypre... jockey-club — to właśnie byłoby coś właściwego — nie?

Anatol: Pani, pięknie to nie jest ze strony pani.

Gabryela: Albo czekaj pan, tu!... Widzisz pan. Ta broszka z sześcioma fałszywemi brylantami — pomyśl pan — aż z sześcioma! Jak to migocze! Albo ta śliczniuchna bransoletka, z takiemi rajskiemi breloczkami... ach jeden jest autentyczną główką murzyna! Cudne! To przecież olbrzymi efekt musi sprawić na przedmieściu!

Anatol: Łaskawa pani się mylisz! Nie znasz tych dziewcząt — inne one całkiem, niż to sobie pani wyobraża...

Gabryela. Albo tu... ah, jakże to urocze! Przyjdźże pan bliżej — no — i co pan mówisz na ten kapelusz?! Fason przed dwoma laty był wysoce modny! A pióra z jakim pewiewają wdziękiem — co, czy nie?! Toby kolosalne sprawiło wrażenie na Hernalsie?

Anatol. Pani łaskawa... o Hernalsie[1]) nie było zgoła mowy... a i w takim razie, zapewniam, że nie doceniasz pani również gustu mieszkanek Hernalsu...

Gabryela. Nie... doprawdy z panem rzecz trudna; — to pomóżże mi przynajmniej — daj mi jakąkolwiek wskazówkę.

Anatol. W jakiż mam ją dać sposób?... Pani uśmiechniesz się z pewną wyższością — w każdym razie.

Gabryela. O, nie, o nie! Naucz mnie pan tylko!... Czy jest próżną, czy skromną w wymaganiach? Wysoką czy małą? Czy ma zamiłowanie w jaskrawych kolorach?...

Anatol. Nie powinienem był przyjmować uprzejmej przysługi pani. Widzę, że pani drwisz tylko!

---

[1]) Dzielnica przedmiejska Wiednia, zamieszkana wyłącznie przez ludność roboczą.

przyp. tłom.

szawy filologa pod pozorem, że chce się uczyć łaciny. Panna była figlarna; na okładce Neposa nakreśliła karykaturę swego nauczyciela; lecz następnie spoważniała i uczyła się naprawdę nietylko łaciny, ale i historyi literatury. Domyślać się należy, iż miała serce dobre; tem dziwniej wygląda jej wyznanie zrobione filologowi, że przez trzy lata nauki był właściwie tylko „czwartym“ do kart. Czyżby tego zrozumieć i odczuć nie zdołała, że takiem oświadczeniem i to w dzień swego ślubu zrani serce skromnego a czułego filologa? Zdaje się, że taka panna, jaką wystawił Junosza, nie powinna popełnić tak wielkiej niedelikatności. A na tym właśnie mało prawdopodobnym postępku panny zasadza się dramat duszy poczciwego „czwartego“, dramat zresztą cichy, objawiający się stetryczeniem filologa, który w całem życiu swojem dojrzał szereg faktów, nasuwających bolesne przypuszczenie, że był tylko wiecznym zastępcą kogoś, a nie istotą samodzielną.

Jedyną charakterystyczną postacią w obrazku jest rządca, lubiący dosadne wyrażenia. Mógłby był zostać taką postacią i talmudzista Tobiasz Tupet, gdyby autor rozwinął był napomknienia, jakie o jego wiedzy i poglądach zaznaczył tylko nawiasowo.

W książce pod tyt. „Wnuczek i inne nowele i obrazki“ (Warszawa nakład i druk Emila Skiwskiego, 1896, str. 164) znajdujemy pięć drobnych utworów różnej wartości artystycznej.

Jeden pt. „Krokodyl“ ma znaczenie anegdoty, wykazującej szkodliwości przymuszania dzieci do pracy za pośrednictwem postrachu i kar nie pedagogicznie zastosowanych. Chłopak skazany przez ciocię na kilkogodzinne odgrywanie gam, wpadł w gorączkę, wyobraził sobie fortepian jako krokodyla o dwu klawiaturach zębów — i odtąd na całe życie pozostało mu nieprzyjemne wrażenie, gdy dźwięk fortepianu usłyszał.

„Marzyciel“ jest to ironiczna nazwa młodzieńca rojącego o zrobieniu grosza i karyery. Kocha niby panienkę niezamożną w nadziei, że jej wuj zapisze majątek! gdy się atoli ten wuj ożenił, młodzieniec wybiera podżyłą, ale bogatą wdowę, wyjaśniając jej w słowach bardzo wyraźnych rodzaj swego marzycielstwa. Nie wydaje mi się wyznanie to prawdopodobnem; karyerowicze umieją zazwyczaj piękną szatą słowa okrywać nędzotę swej duszy.

„Amoroso“ — to dzieje zawodu miłosnego, jakiego doznał ubogi kancelista, zakochany w córce swego pryncypała, dzieje opowiedziane w sposób napół żartobliwy.

W „Ciszy“ mamy kilka ślicznych krajobrazów wiejskich, na tle których rysuje się sympatyczna sylwetka panienki ze dworu i jej wujaszka-literata, napróżno szukającego na wsi spokoju, usposabiającego do pisania.

„Wnuczek“ to jeden z najpiękniejszych obrazków, jakie Junosza w ciągu swego dwudziestoletniego zawodu namalował. Treść jaknajprostsza: stosunek osłabionego już na siłach dziadka do malca, ledwo pełzać umiejącego, i zmiana tego stosunku wraz ze zwrostem wnuka: ale ta treść tak sympatycznie i tak harmonijnie rozwinięta została, że wywołuje największą rozkosz estetyczną.

Starość znużona już, ale jasna, pogodna poprzestająca na małem, po dokonaniu zadań życia t. j. po osadzeniu synów na gospodarstwie i wyposażeniu córek; oraz wiek dziecinny, niezaradny jeszcze, a rwący się do uciech właściwych stanowi i dobie rozwoju, z początku przystają do siebie jaknajlepiej: chłopczyna słucha uważnie słów dziadka prostych, podyktowanych uczuciem objaśniających objawy świata i uczących pieśni ładnych, początków czytania i pisania, wreszcie obowiązku w ogóle; a starzec znajduje przyjemność w widoku twarzy czerstwej, oczek ciekawie patrzących, ust uśmiechniętych. Starość i dzieciństwo dopełniają się wzajem i tworzą przecudną w zakresie sielskiego żywota harmonię.

Ale wnuczek podrasta, musi pójść do roboty, odpowiedniej wiekowi, spotyka towarzyszów zabawy i rozmowy, opuszcza więc dziadka, bo przed nim zaczyna się życie roztaczać dopiero. Starzec tęskni za gwarzeniem dziecka, jedynej ludzkiej istoty, do której swobodnie i szczerze mógł przemawiać, ale pojmuje, że inaczej być nie może i zwraca się z myślami swojemi i pragnieniami do Boga; niedługo przyjdzie mu spocząć w mogile.

A te wszystkie drobne szczegóły nakreślone są na tle cichego, spokojnego krajobrazu wioski naszej, ukochanej przez powieściopisarza, więc też z miłością odmalowanej. Czasami zdaje się, że mamy powrót sielanki zeszłowiecznej, lecz dobitne, realistycznie odtworzone wyrazy i zwroty przypominają zaraz, że mamy do czynienia z rzeczywistością, w miarę zidealizowaną. Ostatnie tylko słowa, kończące obrazek, choć w nastroju zharmonizowane z całością, mniej się wydają właściwemi pod względem formy, gdyż ich nie mógł chyba już dosłyszeć autor, obserwujący dziadka.

P. Chmielowski.

Walka z nauką.

Przykrą zadano mi pracę. Mam pisać o dwóch książeczkach drobnych wprawdzie objętością, ale tytułem szumnych. Takie książki wszakże i takie tytuły znam już dobrze. Są to naiwne zamachy na naukę, autorowie ich chcą cały gmach wiedzy dzisiejszej zburzyć, od podstaw aż do szczytu. Burzenie zresztą jest tu wyrazem zbyt silnym. Tacy pogromcy nauki taranami w nią nie biją, wydaje im się, że można ją poprostu zamachnąć. Z Kopernikiem i Galileuszem, z Keplerem i Newtonem, z Darwinem wreszcie załatwiają się bardzo łatwo. Ale ogół z zaciekawieniem przygląda się utworom takim. Jakież są autorów tych zarzuty, argumenty, dowody, pomysły? Należy ich przecież wysłuchać. Niestety, wy-

---

Gabryela. O nie, już słucham uważnie. Opowiedzże mi pan co o niej!

Anatol. Nie śmiem.

Gabryela: Odważ się pan!.. Odkąd?

Anatol. Dajmy temu pokój!

Gabryela. Obstaję przy swojem. Odkąd znasz ją pan?

Anatol. Od dłuższego już czasu.

Gabryela. Nie daj się pan w ten sposób indagować! Opowiedz mi nareszcie całą tę historyę!..

Anatol. Tu nie ma żadnej historyi!

Gabryela. Ale gdzie ją pan poznałeś, jak, kiedy i jakiego to w ogóle rodzaju jest osoba — to chciałabym wiedzieć!

Anatol. Dobrze, ale to nudne, ostrzegam panią!

Gabryela. Dla mnie to będzie zajmujące. Radabym doprawdy raz dowiedzieć się czegoś z tego świata! Jaki to świat właściwie? Toć ja go nie znam wcale.

Anatol. I nie zrozumiałabyś go pani zupełnie!

Gabryela. O, mój panie!

Anatol. Masz pani tak ryczałtową pogardę dla wszystkiego, co nie jest twoją sferą. Bardzo niesłusznie.

Gabryela. Ale jestem tak pojętna! Nie opowiadano mi nic przecież z tego świata! Jakże go mam znać?

Anatol. Macie panie jednak jakieś niejasne wyobrażenie, że wam coś tam zabierają. Cicha nieprzyjaźń.

Gabryela. Proszę; mnie nic nie odbiorą, jeśli coś tylko zatrzymać pragnę.

(Dokończenie nastąpi.)

Tylko nie poetę!...

Jednem swem spojrzeniem obróciła w niwecz moje nadzieje i ze śmiechem rzekła:

— Ja miałabym kochać poetę? — takiego dzieciństwa nie popełnię nigdy!

— Ale co uczynili poeci, że stracili szczęście u kobiet? Czyż nie potrafią oni tak kochać, jak i inni mężczyźni, a mają jeszcze tę przewagę, że w natchnionych poezyach mogą cuda miłości opiewać.

— Właśnie te poetyczne uniesienia są dla mnie okropne. One to odstraszają mnie najbardziej, gdyż nie chcę, aby i mnie spotkało to, co spotkało przyjaciółkę moją, Różę Laurier.

— A cóż spotkało pannę Różę Laurier? — zapytałem.

Dziewczyna bez serca zaczęła swą opowieść:

— Raz, gdy przyjaciółka moja, stojąc przed lustrem, ubierała się na bal, nagle pękł mały chiński wazonik i skorupki z brzękiem rozsypały się po podłodze, a na miejscu wazonu — o dziwo! — stała mała różowa istotka, nie większa od pszczółki, istotka, którą za czarnoksiężniczkę wziąć było można.

— Różo — odezwała się głosikiem, podobnym do brzęku komara — Różo, jak niektóre istoty nadziemskie w kieliszku kwiatu opierają sobie siedzibę, tak i ja umieszczę się w kwiatku, choćby z miękkiego pluszu i pachnącego jedwabiu, albo pod postacią maleńkiej figurki japońskiej, aby przebywać w buduarze twoim, w którym jest mi tak miło i przyjemnie. Już nieraz niewidziana przez ciebie śledziłam cię, gdy byłaś samą, jak i wtedy, gdy byłaś razem z kochankiem i byłam tak zachwycona, iż pragnęłam skorzystać z mocy czarodziejskiej, jaką posiadam, aby spełnić wszystkie twe życzenia.

I jakież może być pragnienie pięknej kobiety? — być jeszcze piękniejszą.

Róża Laurier, która — niestety — była rozkochaną w poecie, przypomniała sobie wszystkie poezye na cześć jej ułożone i.... zapragnęła być tak piękną, jaką ją kochanek w swych pieśniach opiewał.

— Dobrze — rzekła mała czarnoksiężniczka z uśmiechem — ubieraj się prędko. W chwili, gdy na balową salę wchodzić będziesz, spełni się twe życzenie.

To powiedziawszy, znikła.

Jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, skorupki wazonu spoiły się i stał on znowu na dawnem miejscu nad kominkiem.

Róża z gorączkową szybkością kończyła swoją toaletę, nie mogąc doczekać się chwili, kiedy, jaśniejąca pięknością, będzie mogła ukazać się na balu, wzbudzając zachwyt wszystkich obecnych.

Z sercem bijącem wkraczała do jasno oświetlonej sali, gdy w tem.... okropność! zaczęto ją sobie pokazywać palcami i stronić od niej.

Cóż się stało? Na Boga cóż się to stać mogło?...

Przerażona podbiegła do lustra i krzyknęła przeraźliwie....

wody te są zawsze tego rodzaju, tak błahe i niedorzeczne, że odpierać ich wcale nie można, zatrzymywać się nad niemi ani na chwilę nie warto. Nie żądajcie więc jakiegokolwiek rozbioru, sprawozdania. Otwórzmy zresztą książki te na chybi trafi, to wystarczy zupełnie. Nazwiecie może metodę taką niesumienną i podstępną, ale lwa przecież z pazura poznać można.

Pierwsza tedy z tych książek, w zalotnej okładce, ma już tytuł odrazu wymowny: „A ona jednak się nie obraca. Napisał 44." Tak jest, wyraźnie — imię jego czterdzieści cztery. Widocznie pseudonim ten oznaczać ma zbawcę wiedzy, a czego on uczy, poznamy z kilku urywków: „Każde ciało żyjące, każda jego część i cząstka oddycha, tj. ściąga się i rozdyma, każde i każda ma swój cieplik wewnętrzny, który przez oddech częściowo traci i zyskuje napowrót... Ziemia żyje, ziemia oddycha; czas jednego jej oddechu wynosi 365 dni, czyli jeden rok. W czasie tym jej ciało rozszerza się i ściąga raz jeden za pomocą falowanych drgań, z których każde odbywa swą drogę w ciele i na ciele ziemi w ciągu naszych dwudziestu czterech godzin... Na biegunie ziemi pokarmowym (północnym) znajduje się otwór, a raczej wielka ilość otworów skombinowanych w jeden, w jedno zagłębienie. Biegun płciowy (południowy) ma także coś podobnego. Raz na kilka milionów lat spotyka się ziemia ze swym lubym; wtedy dzieją się na niej okropne spustoszenia: wylewy morza, trzęsienia, zapadania się gór, krzyk, pisk, wycie, lament". Kto to jest tak rozkosznym „lubym", szukać nie będę, ale to wiem z pewnością, że nie jest nim słońce: „Cieplik uchodzący z biegunów koncentruje się po obu stronach stożkowo w kulę... Skoncentrowanie się tego olbrzymiego ciepła w jednym ognisku wytwarza żar... i z odległości przedstawia się naszym oczom w kształcie żarzącego białem światłem krążka średniej wielkości, który nazywamy słońcem". Wyjątki te wystarczą chyba.

Wręcz przeciwne pojęcie o słońcu ma p. Franciszek Wodecki, autor drugiej z łaskawie mi przez redakcyę nadesłanych książek, a zatytułowanej niemniej szumnie: „Księga Wszechświata i sposób jej czytania", nietylko bowiem pozostawia naszej gwieździe dziennej byt rzeczywisty, ale darzy ją nawet życiem: „Słońce jest stworzeniem żyjącem, ze świadomością siebie samego i z celem swej działalności. Jest rodzaju męskiego, przedstawicielem siły mocy z odpowiednim stosunkiem siły mądrości, dlatego ruchy, które odbywa, pochodzą z niego samego". A nieco dalej: „Ziemia nasza, wzięta jako ciało abstrakcyjne z pośród grona materyi nieświetlanych, hołdujących materyi świetlanej słońcu, przedstawia się jako stworzenie żyjące. Niechaj każdy z niedowierzających temu twierdzeniu zwróci uwagę na to, że w przestrzeni znajduje się tylko materya, a ta jest wynikiem usiłowań siły mądrości i w niej się przedstawia. Przeto gdzie jest materya, tam jest siła mądrości, czyli życie. Rośliny, owady, zwierzęta, ptaki i ludzie żyją. Przeto musiała je zrodzić materya żyjąca, gdyż one są jej dalszym rozwojem". Odwróćmy kartek kilkanaście: Gdyby rzeczywiście słońce przyciągało wszystkie materye nieświetlane, krążące w koło niego a tworzące jego system, jak również, gdyby planety nawzajem pragnęły przyciągnąć słońce ku sobie, to przez tyle milionów lat, jak wszechświat egzystuje, te planety byłyby doszły do wyznaczonego przez Newtona celu. Jeżeli zaś przez tyle wieków do tego nie przyszło, to znaczy, że Newton się mylił. Tak nie jest. Słońce nie posiada siły attrakcyjnej w tem znaczeniu, jak to przedstawia ten mąż nauki... Słońce może przyciągać planety v. materye nieświetlane i przyciąga, ale siłą płciową, jako rodzaj męski oddziaływający na żeński".

Nie sądzę, aby bzdurstwa takie rozśmieszyć kogo mogły; budzą one chyba niesmak tylko i gniew, że papier aż tak dalece cierpliwym być może. Tem bardziej, że zbyt często u nas dźwigać on musi ramoty tak nędzne. Kto choć pobieżnie obeznany jest z bibliografią polską, wie, że chwast ten rozrasta się w stosunku nadmiernym do liczby książek naukowych. Nie ma bodaj roku, w którymby nie pojawiło się kilka takich książek lub broszur. Jeżeli zapytamy o podniety, które autorów tych pchają do podobnych pomysłów i do ujawniania ich drukiem, to niewątpliwie pierwszą z nich jest absolutna niezuajomość nauki, z którą walkę podejmują. Autor „Księgi Wszechświata" chętnie się nawet do tego przyznaje: „Dla mnie niepotrzebną jest luneta, ani teleskop. Ja każdą z tych gwiazd zbliżam sobie myślą do takiej odległości, jaka mi jest potrzebna, czy to chcąc przedstawić ją sobie wielkości księżyca, czy też słońca". Otwartość tę pochwalić wypada autorowi, bo odsłania nam zarazem metodę jego, która jest też metodą tych wszystkich pogromców nauki. Wyobrażają sobie wszystko, jak im się podoba, jak im potrzeba, i to im wystarcza.

Nieznajomość zresztą nauki grzechem nie jest: bez astronomii być można bardzo porządnym i dobrym człowiekiem. Ale pogromca lekceważy wszystko, cokolwiek w nauce zdziałano, cokolwiek dotąd o niej napisano; pogardliwie spogląda na głupców, co z książek naukowych, z podręczników wiedzę zdobyć pragną: „Szukając rozwiązania tych niepojętych rzeczy, — czytamy znowu w „Księdze Wszechświata" — z pomocą podręczników i dzieł z tej dziedziny, po przeczytaniu takowych umysł jego (tj. każdego uczonego) do tego stopnia został utrudzony, że nie będąc zdolnym szukania innego punktu wyjścia, zaczyna tę samą piosnkę i na tę samą nutę śpiewać, co czytane podręczniki".

Nie do tych więc zwraca się pogromca nauki, co są z nią obeznani, co po jej dziedzinach wędrować przywykli, ale stara się stronników zdobyć śród ludzi, dla których nauka jest obca. Ze szczerą naiwnością z góry przyznaje, że kto z nauką pewną zabrał znajomość, będzie jego przeciwnikiem. Jest to znów taktyka wszystkim tym panom wspólna. Posiadam starą broszurę niemiecką, która dowodzi, że nauka Torricellego o ciśnieniu powietrza jest fałszywą, a zawiera ponętne przyrzeczenie, że kto zdoła rozumowania autora obalić, otrzyma dziesięć tysięcy talarów. Dodaje jednak ostrożny autor, że ponieważ wszyscy profesorowie i uczeni są jego przeciwnikami, on sam przeto tylko rozstrzygnąć może, czy pokonanym został.

Ta pewność, nieomylność, to osobliwe przecenianie samego siebie jest dalszą cechą podobnych autorów. Każdy z nich w głos wykrzykuje — nunc opus exegi. „Gdyby praca moja była podaną w języku francuskim, niemieckim lub angielskim, zwróciłaby wszystkich uwagę na siebie. Każdy ubiegałby się o przeczytanie i zapoznanie się z jej treścią. A że jest w języku polskim, musi czekać aż ją nowe pokolenie przetrawi". Nie zawsze jednak pogromca nauki ma dosyć cierpliwości, by zadawalniać się apelacyą do potomności; wtedy płaci za przekład swej roboty na język francuski i przesyła ją akademii nauk w Paryżu. Ale sekretarze akademii mają wzrok tak bystry, czy też czucie tak wyrobione, że wskroś okładki treść wyczytują i od razu na zagładę ją skazują. To nie uwłacza wszakże autorowi, — toć wiadomo, że wszyscy ci akademicy to stare osły, w rutynie zagrzęzłe.

Czy prócz nieuctwa i zarozumiałości inne jeszcze czynniki niezbędne są do wytworzenia reformatora, pogromcy nauki, wyjaśnić to mogą chyba psychologowie. Jeden z nich twierdzi podobno, że geniusz z obłąkaniem graniczy. Niekiedy zdaje mi się, że zdanie to pojmować zaczynam.

Oprócz psychologii autorów jest wszakże jeszcze psychologia czytelników, którym utwory takie do smaku przypadają. Imponuje im niewątpliwie najpierw osobliwa stanowczość autora, oszałamia wyniosły sposób wygłaszania twierdzeń, niedopuszczający zaprzeczenia, bawi też i paradoksalność pomysłów. W dalszym rzędzie podoba się zapewne i lekceważenie wielkich twórców nauki, odzieranie z uroku mężów, których czcić i wielbić przywykliśmy — zwykła słabostka ludzka, znajdująca zadowolenie w przypinaniu łatek bliźnim, zwłaszcza gdy na wyniosłym mieszczą się piedestale. Ale najwięcej waży tu wzgląd inny, to mianowicie, że w ogólności nie wiemy jasno, jak się nauka robi, nie znamy dróg, jakiemi ona kroczy, nie zdajemy sobie sprawy z mozołów badacza, jak z faktów starannie zbieranych snuje on prawa i jak na trwałej tej dopiero podstawie budują się hypotezy i teorye rozległy obszar zjawisk obejmujące. Wyobrażamy sobie, że pomysł szczęśliwy świta w głowie badacza i teorya odrazu staje gotowa. Wielcy uczeni przedstawiają się nam jakby autorowie aforyzmów w jednodniówkach na pogorzelców. Kopernik powiedział, że się ziemia obraca, Newton odgadł, że słońce przyciąga, a Darwin krzyknął, że człowiek od małpy pochodzi. Skoro zaś tak jest, to również łatwo wygłosić i zdanie wręcz przeciwne, aforyzm za aforyzm. Ziemia wcale się nie obraca, słońce nikogo nie pociąga, ani człowiek od małpy nie pochodzi, bo inaczej dawnoby już małp nie było w lasach afrykańskich. Nie — panowie — tak tanio nauka się nie robi i tak tanio nie wywraca się, ani nie odwraca.

Czytałem w starym życiorysie Ezopa, że nie masz nic równie nudnego, jak o głupstwach poważnie pisać. Mnie to dziś przypadło i za to czytelników przepraszam. Niech

---

Tak, rzeczywiście, stała się taką, jaką ją kochanek-poeta opiewał. Włosy nie były włosami, lecz „przędzą jedwabną w słońca promieniach", a oczy „gwiazdami lśniącemi". Szyja była rzeczywistą szyją łabędzią, a usta... usta — to dwa korale. Skrzydła anielskie powiewały u jej ramion, płeć była ze śniegu i alabastru...

Biedna moja Róża! Uciekła co prędzej z balu i w domu.... w domu znów jej czarnoksiężniczka wróciła dawną urodę.

Poecie, naturalnie, dała odprawę i dopiero miłość dla niej czterech inżynierów, trzech bankierów i kilku oficerów zatarła w jej pamięci to straszne rozczarowanie, jakiego doznała w swej pierwszej miłości.

Pojmujesz pan teraz, czemu się boję pokochać poetę...

* * *

I tak dała mi odkosza.

Pomimo jednak całej tej opowieści o czarnoksiężniczce, nie wierzę, aby to miało być przyczyną odrzucenia mojej miłości. Nie! — ja wiem dobrze, że odprawiła mnie z niczem dla tego tylko, iż kilka dni temu widziała na Plaza de Toros Tovera, którego wzrok palący przeniknął do jej małego serduszka i objął je płomieniem.

Ach! jak ja go nienawidzę — tego Tovera!

Catulle Mendez.

mnie jednak usprawiedliwi to, że książki takie zbyt często piśmiennictwo nasze naukowe zachwaszczają; dlatego może uwagi te zupełnie zbyteczne nie będą. *S. K.*

Nowy dramat Maeterlincka.

Ojciec i najwybitniejszy zarazem przedstawiciel kierunku symbolistycznego w literaturze, Maurycy Maeterlinck, stworzył w ostatnich czasach nowe dzieło, które świadczy o znakomitym rozwoju tego niepośledniego talentu. Jest to dramat p. t. „Aglavaine i Sélysette“, a treścią jego: walka dwóch kobiet o jednego mężczyznę. Temat ani nowy, ani nadzwyczajny — ale sposób przeprowadzenia jest zarówno nowy, jak niezwykły, tak dalece, że trudno w całej dotychczasowej literaturze znaleść dzieło do tego zbliżone. Treść jest następująca:

Meleander, wraz z żoną swą Sélysette pędzą spokojny i prawdopodobnie szczęśliwy żywot w starem zamczysku, w nieznanej okolicy. Przy nich spędza resztki wcale nie szczęśliwego życia staruszka babka, Meligrane, otaczana czułą opieką Sélysetty i jej młodziutkiej siostry Yssaliny. Wtem nadchodzi zapowiedź odwiedzin, które wszystkich wprawiają w jakiś niepokój. Ma przybyć Aglavaine, wdowa po bracie Sélysetty, z zamiarem stałego osiedlenia się w zamku Meleandra. Jest to piękność demoniczna, posiada jednak duszę dobrą i szlachetną. O zamiarach, z jakiemi przybywa do zamku, pisze w liście zapowiadającym jej odwiedziny. Zna ona Meleandra tylko z przypadkowego spotkania przed laty podczas jej wesela, kocha Sélysettę, jak własną siostrę i pragnie tylko tego, aby wszyscy razem ze sobą żyli, o ile możności jak najszczęśliwiej.

Ale Sélysette przeczuwa kobiecym instynktem, pomimo wszystkich słodkich zwrotów w liście, grożące jej niebezpieczeństwo. „Czy ona jest piękna?“ — Oto jej pierwsze pytanie. A Meleander poczyna w odpowiedzi na to rozpływać się w pochwałach nad pięknością Aglavainy, na co odpowiada Sélysette prosto: „Ja wiem, że nie jestem piękna“. Nadaremnie stara się Meleander wytłomaczyć jej to. „Kochaj ją tylko, jeżeli ją kochasz. Ja odejdę!“ Wtem blask pochodni z podwórza zapowiada, że Aglavaine już przybyła — i na tem kończy się akt pierwszy.

Drugi akt — w ośm dni później — daje nam już obraz płomiennej miłości Meleandra i Aglavainy w całej pełni. Oboje są czyści, jak dzieci, a uczucie ich jest tak głębokie, że wzrusza czytelnika. Mistrzowski dyalog poety odkrywa nam tu najtajniejsze głębie dwojga naiwnie, a jednak gorąco kochających się serc. Wyznawszy sobie wzajemnie swą tajemnicę, widzą przed sobą jedyną zaporę ich miłości, Sélysette. Aglavaine szuka wyjścia w miłości braterskiej i siostrzanej, ale sama czuje, że słaba to i krucha podpora.

Meleander nie odpowiada nic na to zaofiarowanie mu miłości siostrzanej. Oboje widzą przed sobą walkę i tęsknotę, te nieodłączne skutki każdego nieprawidłowego stosunku dwojga serc. Pozostaje im tylko walczyć i cierpieć; ale czy to wytrzymają i jak długo?

Byłoby jeszcze inne wyjście — rozłączyć się na zawsze, ale na to brak im obojgu siły. Pogrzebać coś tak pięknego, co dopiero powstało, wyrzec się tego na wieki — wydaje się im niemożebnością. Nie ma dla nich nic innego, jak tylko łzy i cichy uścisk, ale i w tem przerywa im okrzyk rozpaczy Sélysetty, która przyszła tu w ślad za nimi. Sélysette, zdradziwszy się okrzykiem, ucieka do zamku, Meleander udaje się za nią, aby ją uspokoić — Aglavaine opiera się o drzewo, a z piersi jej wyrywają się przytłumione łkania.

Sélysette słyszała część rozmowy Meleandra z Aglavainą, a szczególnie utkwiło w jej pamięci i pali ją w głębi duszy jedno zdanie: „Sélysette, mała Sélysette nie powinna płakać!“ Widzi, że ci obcje w szczęściu swej wzajemnej miłości odczuwają dla niej litość, a to dla kochającej kobiety jest czemś gorszem nawet, aniżeli nienawiść. Przechadzając się zamotnie, szarpana rozpaczą i najsprzeczniejszemi uczuciami, napotyka nagle Aglavainę, pogrążoną w śnie na ławce kamiennej nad brzegami sadzawki. Jakżeż łatwo mogłaby ją strącić i pozbyć się na zawsze rywalki! Zbliżyła się do uśpionej, podnosi okrywającą jej twarz zasłonę i przygląda się jej piękności. Wzruszona budzi Aglavainę, wskazuje jej grożące niebezpieczeństwo — i tu rozwija się między obiema kobietami dyalog, który stanowi prześliczną perłę całego dzieła. Ażeby dać wyobrażenie o piękności tego miejsca trzebaby poprostu przepisać tu całe ustępy, które brzmią, jak ciche westchnienia, pełne muzyki, na których dnie spoczywają wzruszenia największego ludzkiego bólu. Powiadają sobie wszystko — Aglavaine chce zwrócić Meleandra Sélyzecie, a sama oddalić się — ale Sélyzette, uniesiona szlachetnością, nie zgadza się na to. Rozchodzą się jak dwie siostry, mówiąc sobie, że ta wzajemna spowiedź je pocieszyła i wzmocniła, że w tej chwili szczerości i zgody były szczęśliwe. Ale cóż to wszystko pomoże — one są dwie, a Meleander jest tylko jeden.

W akcie trzecim jesteśmy świadkami walki tych trzech szlachetnych dusz. Z nadzwyczajną delikatnością ukrywają wszyscy troje wzajemnie przed sobą swe głębokie rany, starają się wmówić w siebie, że ich wszystkich wiąże jakaś jedna idealna miłość, prawią sobie psychologiczne niemożliwości, aby tylko zataić swój prawdziwy stan wewnętrzny. Ustawicznie przytem cierpią, a cierpienie to wzrasta z każdą chwilą. Robią sobie wzajemnie koncesye, ale czynią to tylko z wspaniałomyślności, która nie jest tu na miejscu i obraża więcej, aniżeli otwarte i energiczne postępowanie. Przytem mają wszyscy, a szczególnie obie kobiety chwile szczególnych szkopułów i wątpliwości, kto z nich tę lub ową osobę więcej kocha, chcą w swej szlachetności prześcigać się wzajemnie w dobroci i tylko coraz bardziej wikłają się w labiryncie swego uczucia.

W istocie wszyscy troje kochają się i zgadzają w tem, że nie mogą być szczęśliwymi, bo zawsze trzeci jest temu na przeszkodzie. Wszyscy troje nie mogą się w tej miłości zjednoczyć, a do rozłąki brak im sił i zdolności. W mistrzowsko nakreślonej psychologii dusz leży punkt ciężkości tego aktu, który wprawdzie akcyi nie posuwa naprzód, ale wybornie maluje nam miłość, ból i tęsknotę tych trojga udręczonych serc.

W duszy Sélysetty wylęga się tymczasem powoli myśl usunięcia się z drogi, ale w inny sposób, aniżeli te zamierzała uczynić Aglavaine. Sélysette ma w pobliżu zamku pewne ulubione miejsce. Jest to stara, dziś już opuszczona, a nad brzegiem morskim samotnie stojąca latarnia morska. Tam przepędza ona wiele chwil, pogrążona w dumaniu, bądź w towarzystwie młodszej swej siostry Yssaliny, bądź też sama. Posiada ona klucz od wieży, sterczącej wysoko ponad szumiące u jej stóp fale morskie, a służącej już dziś tylko jako mieszkanie wesołej rzeszy ptactwa morskiego i dzikich gołębi.

Sélysette wybiera się po raz ostatni odwiedzić wieżę, przedtem jednak żegna się z babką, mówiąc jej, że idzie na dłuższą przechadzkę, aniżeli zazwyczaj z swą siostrą Yssaliną. W drodze spotyka Meleandra, z którym rozmawia pół seryo, pół żartem — a w następnej scenie widzimy ją na szczycie wieży. Ale tutaj, na wspomnienie babki, która (naturalnie nic nie przeczuwając) nie pożegnała jej tak, jakby ona tego pragnęła — opuszcza ją odwaga i Sélysette wraca do domu. Żegna się tedy ponownie z babką i po raz wtóry wyrusza w drogę do latarni. Jak przedtem Meleander, tak teraz spotyka ją w drodze Aglavaine. Sélysette umie przed nią ukryć tak swe myśli i zamiary, że Aglavaine niczego nie podejrzywała i rozstają się w najlepszej zgodzie i przyjaźni. Ostatnia scena czwartego aktu rozgrywa się znowu za szczycie wieży.

Dyalog Sélysetty i Yssaliny jest w stylu czysto metterlinckowskim — pełny przeczuć zbliżającej się katastrofy. Scena, w której Sélysette pozbywa się zręcznie siostry i rzuca się na dół ze szczytu wieży — nakreślona jest po mistrzowsku, piórem wielkiego i znakomitego poety.

Ale biedna, zrezygnowana Sélysette nie wpadła w toń morską. Znaleziono ją u stóp wieży na wydmie piaszczystej. Na ciele jej nie ma żadnej rany, tylko z ust sączy się krew. Yssalina, którą zastano w wieży, zalewającą się łzami i przerażoną, opowiada, że Sélysetta spadła z wieży, gdy przechyliła się za mur, chcąc schwycić jakiegoś wielkiego, zielonego ptaka, który właśnie obok przelatywał.

Wypadek ten wstrząsa do głębi Aglavainę i Meleandra. Oboje czują, że Selysette chciała z siebie uczynić ofiarę na ołtarzu ich szczęścia. Pierwsza wpada na tę myśl Aglavaine, a później dopiero Meleander. Oboje chcą o tem nabrać pewności i w tym celu udają się do łoża biednej Selysetty. Ale Selysette z całą dyalektyką, na jaką może się zdobyć czułe serce kobiece, zbija przypuszczenia zamachu samobójczego, o którym zresztą wszyscy są przekonani. Nawet umierając, zapewnia, że śmierć jej jest wynikiem przypadku, nieostrożności, przechyliła się na brzeg muru i spadła w przepaść.

Ale zarówno Aglavaine, jak Meleander wierzą, że ona poświęciła się dla ich szczęścia. — Czy to szczęście wogóle jest możliwe dla takich charakterów, jak tych dwoje — to pytanie, na które już autor nie daje odpowiedzi, pozostawiając ją zupełnie czytelnikowi.

Taki jest pobieżny szkic dramatu, w którym Maeterlinck przedstawia się nam nietylko jako wielki poeta, ale także jako wielki psycholog i znawca serca ludzkiego. Charakterystyka postaci dramatu jest tak doskonałą, jak to dotychczas jeszcze w żadnej z prac Maeterlincka nie bywało. Szczególnie piękne są obie postacie kochających kobiet, wobec których nawet bohater Meleander ustępuje na drugi plan, a jakkolwiek obie są tak bardzo poetyczne, to jednak równocześnie są na wskroś ludzkie. Kontrast ich stanowią: staruszka babka, osoba jakby już z innego świata, Meligrane i mała, prawie dziecko jeszcze, siostrzyczka biednej Selysetty, Yssallina. Oba kontrasty uchwycone są po mistrzowsku, oba owiane tchnieniem prawdziwej, miejscami wzniosłej poezyi.

Jakkolwiek cały dramat jest — podobnie do wszystkich dzieł Maeterlincka — symbolistyczny, to jednak wszystko w nim jest jasne i zrozumiałe, z wyjątkiem jedynego drobniejszego szczegółu, mianowicie zielonego ptaka, o którym wspomina Yssaline. Domyślności czytelników pozostawione jest tu szerokie pole. Być może, ów

ptak ma wyobrażać nam owe prawdziwe, dla człowieka niemożebne do osiągnięcia szczęście, za którem goniąc, wszyscy prędzej czy później, spotykamy na swej drodze śmierć. *J. W.*

Z estrady i sceny.

(Walka motyli. Komedya w 4 aktach p. H. Sudermanna.)

Słuchając w ubiegłą sobotę „Walki motyli“ doznawałem bezustannie wrażenia, że ludzie na scenie mówią jakimś cudzym językiem, i często w myśli szukałem oryginału niemieckiego, przekładając sobie polskie tłomaczenie na język Sudermannowski, aby zrozumieć koloryt stylowy i gdzieniegdzie nawet znaczenie wyrazów. Tłomaczenie „Walki motyli“ nie odskakuje z natury rzeczy tak daleko od pierwowzoru jak przekład Honoru z jego żargonem suteryn, lecz i tu niepodobna było tłomaczowi skopiować w polskiej mowie tej typowej barwy berlińskiej, którą posiada język Sudermanna. I jak niegdyś w ocenie „Honoru“ wyraziłem obawę, że rodzina Heneków znajdzie mało właściwych przedstawicieli na polskich scenach, tak dziś, gdy po trzyletniem czekaniu mam wreszcie sposobność mówić o „Walce motyli“, to samo w przybliżeniu powtórzyć mogę o rodzinie Hergentheimów i Winkelmanów.

Sudermann, który dotychczas w dramatach Almy i Addy odsłonił nam naiwne zepsucie najniższych warstw berlińskiego społeczeństwa i rafinowaną rozpustę klasy miljonerów giełdowych, sięgnął w swym czwartym z rzędu utworze scenicznym do warstw „drobnomieszczańskich“ i odsłoniwszy „ropiejące rany“, podał w wątpliwość zdrowie tych żywiołów społecznych, które przeciętna opinia publiczna z ofiar ogólnej zgnilizny wyłącza, wierząc, że „der Mittelstand“ jeszcze nie grzęźnie w trzęsawiskach lepkich.

Bohaterkami sztuki są cztery kobiety: wdowa po wyższym urzędniku sądowym wraz z trzema córkami. Ojciec umarł i nie zostawił nic prócz skromnej pensyjki i wspomnień dawnej świetności. Rozpoczyna się życie nędzy tajonej, chleb z margaryną imitującą masło, wodnita kawa w porcelanowych filiżankach, głód spoczywający na pluszowych meblach. Wszystko w tym domu jest kłamstwem. Polip nędzy wyciąga ssawki potworne, a stara matka, która najsilniej czuje ich dotknięcie, chciałaby córkom własnego losu oszczędzić. Więc mówi im, że Bogiem ubogiej dziewczyny jest mąż bogaty i od dzieciństwa tresuje córki do umiejętnej pogoni za milionowem małżeństwem. Wyjść za mąż i jeździć karetą, to jedyna etyka tej rodziny. Głodzić się w domu, lecz błyszczeć tualetą na „balu jurystów“, wieść życie czcze i rozpustne, lecz kokietować mężczyzn udaną pracowitością i dumą niedostępną — to kodeks moralny w domu Hergentheimów. Najstarsza córka, Elżbieta, raz już zdobyła cel utęskniony, ale mąż stracił wszystko i życie sobie odebrał. Więc jako młoda wdówka rozpoczyna po raz drugi polowanie swoje, a ponieważ krew kipi i „wdowie więcej niż pannie uchodzi“, zatem szuka miłości w objęciach wesołego komiwojażera, a obrączki ślubnej w przywiązaniu poczciwego niedołęgi, Maksa Winkelmanna.

Siostra jej, Laura, bardzo ładna, bardzo głupia i nęcąca ród męzki flegmatyczną obojętnością, wierzy z fatalizmem Turczynki w gwiazdę swoją, którą wyobraża sobie w postaci oblubieńca składającego u nóg jej hrabiowską koronę i brylanty drogie; trzecia tylko z dorodnych panien Hergentheim, szesnastoletnia Rózia, wyrasta w tym domu fałszu, obłudy i grzechu, jak kwiat na bagnisku. Tresura matki nie wykrzywiła jeszcze tej duszy prostej i szczerej, a w nieco egzaltowanych i na dramatyczną nutę nastrojonych pojęciach znać świetnie podpatrzony wpływ tak zwanych „Leihbibliothek- und Colporteurromane“. Ta trójka „motyli“ jest prawdziwem arcydziełem charakterystyki, a około nich grupuje się cała galerya postaci żywych i wypukłych. Stara Hergentheimowa nie budzi odrazy. Spaczyła wychowanie córek, lecz wszystko co czyni, to czyni z wielkiej miłości. Po swojemu pojmuje szczęście i ku temu szczęściu dzieci swe prowadzi. Na błędy jej patrzy się raczej z litością niż wstrętem.

Jest w dramacie Sudermanna jeszcze drugie środowisko: kantor Winkelmanna. Środowisko to posiada dwie figury rysowane bardzo subtelnie i bardzo dokładnie, a mianowicie typ komiwojażera, znany dotychczas prawie wyłącznie z karykatury „Witzblatów“, wstąpił tu po raz pierwszy na scenę, żywcem wykradziony z bruku berlińskiego. Dyalogi tego pół-cynika i pół Donżuana z starym egoistą, chciwcem i terykiem Winkelmannem są potężne swą prawdą, misterne swem wykończeniem i porywające humorem swoim.

A przecież mimo portretowych znamion każdej postaci Sudermannowskiej komedyi, „m i l i e u“, jako takie, nie posiada dość intenzywnych kolorów. Tej siły, która łączy żywe figury w żywe środowisko, nie zdobył autor „Honoru“ w tym stopniu jak Ibsen. Wielki skandynawczyk umie z przedziwnym talentem malować tło i roztaczać atmosferę właściwą, — u Sudermanna żyją ludzie dramatu, ale scena często pozostaje głuchą i zgaszoną. I dla tego „Walka motyli“, mimo pierwszorzędnych zalet charakterystyki, żyje tylko w połowie, a połowiczność ta tem dotkliwiej uczuć się daje, że wielki mistrz fabuły i denerwującej intrygi zdradza w sobotniej premierze cechy pewnego omdlenia. Akcya rozwija się żywo, ale wyczerpana fantazya buduje rusztowanie sceniczne nieco jednostajnie, bez tych świeżych, oryginalnych pomysłów, któremi olśniewało „Gniazdo rodzinne“ i „Koniec Sodomy“.

Mimo tych usterek obniżających artystyczną wartość utworu, zajmuje „Walka motyli“ w dziedzinie sztuki niemieckiej niepoślednie miejsce. Humor tej komedyi nie płynie z zręcznych konfliktów sytuacyjnych i przylepionych dowcipów, z dziwacznych karykatur i hałaśliwych niespodzianek, lecz z głębi prawdziwych charakterów, rzuconych na tło prawdziwych stosunków. Oblicze sztuki nie wykrzywia się grymasem błaznów cyrkowych, lecz w uśmiechu podaje nam wielką powagę życia. Krok jeszcze, nieco głębszych dusz, nieco złośliwej gry przypadku, a komedya stanie się dramatem.

Ogólne wykonanie sztuki na scenie poznańskiej pozbawione było wszechstronniejszej interpretacyi charakterów i cech lokalnego realizmu czyli niemieckości typów. Nawet p. R y g e r, mimo właściwej talentowi swemu inteligencyi i intuicyi artystycznej, nie wchłonął w siebie całej duszy Winkelmanna. Były w grze tego artysty momenty znakomite, ale tu i tam błąkał się jakiś ułamek, coś niedopowiedzianego i spętanego. Winkelmann Rygera był oschły, kwaśny i brutalny w egoizmie swoim, lecz nie dość silnie akcentował chciwość i kramarski cynizm tej postaci. Pan K a r p o w i c z w roli Kesslera zrozumiał dobrze intencye autora. Lowelas, hulaka, efront — wszystkiego tam było po trochu, tylko może za mało berlińskim, za mało czelnym, za mało szerokim był ten komiwojażer p. Karpowicza. W ogóle jednak uważam tę kreacyę za szczęśliwą, nie pozbawioną życia i humoru. Gra p. T a r a s i e w i c z a w roli zafukanego niedołęgi Maksa miała dużo szczerości i prawdy, a p. S t r ó ż e w s k i odtworzył postać aptekarczyka, kradnącego dla pięknych kuzynek perfumy i cukierki, z bezpretensyonalnym humorem. Pan C z e r n i a k natomiast epizodyczną rolę bakałarza w niewłaściwym odegrał tonie. „F a d e u n d k o r r e k t“ — takim powinien być kawaler Laury.

Z ról kobiecych prym trzymała niewątpliwie panna W a j d o w s k a. Każdy jej ruch, i każde jej słowo, wyraz twarzy i gra ócz złożyły świetną charakterystykę flegmatycznej, obliczającej, rozkochanej w własnych wdziękach i głupiej kokietki. Gra panny T a ń s k i e j miała dużo finezyi i prawdy, szkoda tylko, że utalentowana artystka nie posiada tych efektownych wdzięków, które prawie niezbędne są dla roli Elżbiety. Braki te należałoby uzupełnić odpowiednią tualetą, ale tualeta panny Tańskiej przypominała niestety przyzwoitą nauczycielkę z przyzwoitego domu, zamiast charakteryzować rozbawioną wdówkę berlińską, goniącą za bogatym mężem i zatrącającą nieco półświatkiem. Wdzięczna rola Rózi spoczywała w rękach panny O g i ń s k i e j, a przyznaję chętnie, że co najlepszego talent artystki tej posiada, to zaprezentowała widzom w sobotniej premierze. Cenię staranność, cenię dokładne opracowanie roli, — mimo to jednak Rózia panny Ogińskiej była tylko połową Rózi Sudermanna. Naiwność jej trąciła lekką afektacyą i jakiemś „chcę być naiwną“, a pamiętać zawsze należy, że ideałem sztuki pozostaje zdanie Ottona Ludwiga: „T i e f s t e A b s i c h t u n d s c h e i n b a r v o l l s t ä n d i g e A b s i c h t s l o s i g k e i t“.

Na zakończenie podnoszę z uznaniem grę pani K r ó l i k o w s k i e j w roli starej Hergentheimowej, chociaż zataić nie mogę, że i tu za mało Niemka przemówiła do mnie.

W. R.

TO I OWO.

Krakowski „Arizona Kicker“.

Przez pewien czas obiegały prasę europejską rzekome cytaty z amerykańskiego pisma „Arizona Kicker“, parodjujące bezceremonialność, czepianie się osób i grubiaństwo prowincyonalnej prasy amerykańskiej. Parodye te budziły wszędzie ogromną wesołość groteskowym swoim tonem. Otóż wychodząc widocznie z zasady, że „śmiech jest dobry — śmiech jest zdrowy“, krakowscy jezuici postanowili wprowadzić w życie, co dotychczas było fantazyą, i „Arizona Kickera“, który był tylko wytworem dobrego humoru jakiegoś satyryka, wydawać na prawdę w Krakowie, zmieniwszy jedynie tytuł jego na niemniej humorystyczny: „Grzmot“. Posłuchajmy, co o „Grzmocie“ pisze organ tak konserwatywny jak „Kraj“: „Dawniej — czytamy — prym niewątpliwy w „energii słowa“ trzymał socyalistyczny „Naprzód“, aliści teraz, z przeniesieniem się do Krakowa na ulicę Zwierzyniecką antysocyalistycznego „Grzmotu“, zyskał on s z c z ę ś l i w s z e g o konkurenta w stylu. Wyznajemy szczerze, iż nie spodziewaliśmy się spotkać w piśmie, kierowanem przez ludzi poważnych, epitetów w rodzaju: „wściekły, podły, bezczelny“, kiedy o przeciwnikach mowa, albo też określeń podobnych, jak: „bydło — bydłem“, lub „trzoda nieproszona“. Rzecz to wątpliwa, aby język tego gatunku mógł się przyczynić do przekonania i uspokojenia „błądzących i wzburzonych“, z którymi walka jest przecież celem „Grzmotu“.

Na Wyłomie.

(Krytyk nad krytykami.)

Nie jestem Herodem i nie lubię mordować dzieci, ale jeżeli takie pacholęta wchodzą na trybunę dziennikarską i żółtemi dzióbkami ferują wyroki o literaturze i sztuce, jeżeli redaktorzy poznańscy lubują się w ćwierkaniu niewypierzonych piskląt i pozwalają im konsekwentnie przez lata całe pleść duby smolone o najpoważniejszych zagadnieniach artyzmu, to publicysta sumienny ma obowiązek moralny powołać do porządku nie tyle rozzuchwalonych niedorostków, ile tych, którzy im w naszej biednej prowincyi powierzyli straż piękna i dobrego smaku.

Jest w „Kuryerze Poznańskim“ recenzent teatralny, podpisujący artykuły swoje pierwszą sylabą imienia i pierwszą literą nazwiska. Któż nie zna tego panicza, którego karyera literacka przypomina znane słowo Wilhelma II o redaktorach i cechu dziennikarzy, — któż nie przypomina sobie, że „Kraj“ petersburski, przytaczając w dziale humorystyki wyjątki z recenzyi „małego Włodzia“, załączył ironiczny komentarz: „Czy to fryzyer pisał, czy fotograf?“ A przecież „Kraj“ to blizki kuzyn „Kuryera“ i przypuścić nie można, by przez wrodzoną złośliwość wziął się do rózgi na krewniaka swego. Mimo to literacki chłopczyk wciąż jeszcze trzaska biczykiem w „poważnym“ dzienniku, — mówi o Ibsenie i Sudermannie, o dekadentach i symbolistach, o Zoli i Bourgecie, — no! a od czasu do czasu grzmi na „libertynów“ poznańskich.

Gdybym kiedyś zabrał się do napisania podręcznika logiki dla młodzieży szkólnej i zbierał typowe przykłady fałszywych wniosków i błędnych argumentacyi, to krytyki teatralne „Kuryera“ byłyby dla mnie niewyczerpaną skarbnicą. Ot! chwytam pierwszy lepszy artykuł n. p. wielką ocenę Sudermannowskiej „Walki motyli“ i czytam na wstępie z przerażeniem, że wszystkie dramaty autora „Honoru“ są typem potwornych „Ehebruchskomodien“, bo lubo cudzołóstwa w rzeczywistem tego słowa znaczeniu tu i owdzie trudno się doszukać, to jednak „proste pożądanie wzrokiem jest już dokonanem cudzołóstwem.“ O! biedny recenzencie, uderz się w piersi, — ileż ty razy zgrzeszyłeś! Weź włosienicę i posyp głowę popiołem!

Ochłonąwszy nieco z przestrachu o duszę własną i duszę Kuryerową, zagłębiam się znowu w milowy traktat o „dokonanym“ i „usiłowanym“ zamachu na szóste przykazanie, przedzieram się przez gąszcze tysiącznych dziwolągów logicznych i wreszcie stoję wyczerpany przed sfinksowem obliczem takiej apokalipsy. Słuchajcie! Mały Włodzio mówi: „Autor interpretuje z cynizmem źródłosłów charakterystycznego miana „backfisch“ na podstawie płciowych popędów, ukazując nam trio cór mieszczańskich, będących dzięki fałszywemu wychowaniu na najlepszej drodze do histeryi“. Co to jest? Źródłosłów „backfischa“ i płciowe popędy? Histerya w „Walce motyli“? Gdzie? co? jak? Lampa zrodziła kota, a szczur makolągwę. Rozum mój stanął, — odetchnę!

Po ocenie sztuki, następuje ocena artystów. Stary Winkelmann został „ekslowelasem“ (!), a „pasowanie się (!) z swoim temperamentem umożliwiło panu Rygerowi popis (!) na wskroś oryginalną kreacyę“. Absurd za absurdem, nonsens za nonsensem, a na końcu wielka rakieta. Oto chłopczyk z Kuryera podnosi rączkę, i tak nam, „libertynom“, wygraża: „Publiczność sztukę przyjmowała bardzo chłodno; świadczy to, że nie jesteśmy jeszcze tak zblazowani, jakby to w nas wmówić chcieli zbankrutowani apostołowie libertyńskich idei, miotający co szabas klątwy na Beocyę poznańską.“

Co? Kręci wam się w głowie? Mnie także, czytelnicy moi. Bo jeżeli skarżę się na Poznań, że przypomina Beocyę, ten kraj bardzo prymitywnej kultury, to niemogę równocześnie „wmawiać“ w społeczeństwo, że duszę ma zblazowaną, albowiem taka dusza wyrasta tylko na gruncie hyperkultury. Coś tu skrzypi. Albo logika, albo styl i poczucie języka.

Wybacz chrześcijański kolego, że ja żyd mizerny, święcący „szabas“ starego testamentu, nie chylę czoła przed mądrością twoją, ale przekonałem się, że płomienie twego rozumu i dowcipu nie świecą, nawet tak jasno jak szabasówka żydowska. Nieszczęśliwi, którzy dużo czytają, z mało pojmują, nieszczęśliwi z których pożyczanej erudycyi wygląda zawsze brak elementarnego wykształcenia! Zanim zaczniesz innych uczyć, młody przyjacielu, naucz się sam abecadła estetyki i logiki, — zanim zaczniesz pisać o „przeczuleniach, histeryach, zblazowaniach i źródłosłowach“ zajrzyj do pierwszej lepszej encyklopedyi i przekonaj się o znaczeniu wyrazów.

Dziś może gniewać się będziesz, że dokonałem tak niemiłosiernej analizy twoich recenzyi, kiedyś jednak wdzięcznym będziesz starszemu koledze za te rózgi, któremi sam duch św. dziateczki bić każe. Zresztą nie jesteś osamotniony, nie odbijasz na tle tej bezsiły umysłowej, która panoszy się w dziennikarstwie poznańskiem, i stoisz ślepy między ślepymi. Ty i krytyk „Pracy“ to zaiste „par nobile fratrum“. Ty imputujesz Sudermannowi, że w „popędach płciowych“ szuka „źródłosłowu“ wyrazu „backfisch“, tamten ogłasza światu, że „Popychadło“, ten poczciwy, swojski melodramat Szutkiewicza, powstał „pod wpływem śledziennika Ibsena.“ Głupstwo obok głupstwa, głupstwo na tle głupstwa, głupstwo i na okół głupstwo.

Wstyd mnie ogarnia, że cały feljeton dzisiejszy poświęciłem naszym literackim idyotyzmom, lecz występują one codziennie z tak zuchwałą pretensyonalnością, że nie mogłem się oprzeć pokusie zaprezentowania ich w całej nagości. Daleki jestem od intencyi dokuczania komukolwiek, zmęczony trzyletnim czyszczeniem roli poznańskiej z chwastu i zielska, spragniony ciszy i odpoczynku, lecz „zbankrutowany libertyn“ kocha zanadto tę ziemię, która go wykarmiła, by dla towarzyskich względów i miłego spokoju zgodzić się na inwazyę i królestwo bezsensu. Społeczeństwo poznańskie pozostanie zawsze barbarzyńcą w dziedzinie sztuki i piękna, dopóki z literackiej katedry dzienników naszych przemawiać będzie nieuctwo i blaga.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA

„Dzieje Szląska“. Zasłużona księgarnia bytomskiego „Katolika“ przystąpiła do wydawnictwa „Dziejów Szląska“, opracowanych przez znanego historyka Dr. Konecznego. Książka ta wyjdzie w dziesięciu zeszytach, objętości 40 stronic, po 30 fen. Całe dzieło kosztować będzie zatem tylko 3 marki.

O ile z pierwszego zeszytu, nadesłanego redakcyi naszej, wnioskować wolno, to wydawnictwo „Katolika“ posiadać będzie niepoślednią wartość naukową i artystyczną Treść obfita, wykład jasny i piękne ryciny — oto zalety pierwszego zeszytu.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wieczór Mickiewiczowski.

Listopadowa uroczystość nasza, urządzona, jak zwykle, w teatrze poznańskim, staraniem zasłużonego Towarzystwa „Stella“, miała pod względem artystycznym urok niezwykły z powodu udziału pani Mierzwińskiej, która pierwsze swoje tournée koncertowe rozpoczęła czynem filantropijnym. Pani Mierzwińska, żona słynnego tenora, rozporządza ślicznym, znakomicie ułożonym głosem mezzo-sopranowym, a lubo siły wielkiej nie posiada, to świetnem frazowaniem, łatwością emisyi, czystością w nizkich i wysokich tonach, serdecznem ciepłem i last not least — ujmującą powierzchownością porywa słuchaczy.

Na wstępie wieczoru odegrali artyści poznańscy prolog ad hoc napisany przez redaktora „Wielkopolanina“ p. Walerego Łebińskiego. Autor w dramatycznej formie przedstawił doniosłość kolonii feryjnych dla dzieci miejskich Pariasów i tem samem scharakteryzował cel, któremu Tow. „Stella“ w najświeższym czasie wszystkie swoje siły poświeca i któremu też ofiarowano dochód z Mickiewiczowskiego obchodu. Humanitarna tendencya i entuzyazm dla sprawy, bijące z gorących słów i żywych obrazów prologu, wywarły korzystne wrażenie na licznie zgromadzonej publiczności, która autora wywołała na scenę. Umiejętną deklamacyą odznaczała się panna Tańska i p. Audran.

Z innych numerów programu zasługuje na szczególną wzmiankę silna deklamacya „Żalów Gustawa“ wykonana przez p. Rygera, oraz występ dobrze ułożonych chórów „Koła Śpiewackiego“ i kapeli Sokolskiej.

— **Teatr i muzyka.** Dziś, w sobotę, ukaże się na scenie poznańskiej głośny dramat Giaconettiego p. t. „Śmierć cywilna“. Sztuka ta zawdzięcza swój rozgłos głównie temu, że artyści wielkiego stylu, jak Rossi i Salvini, zaliczali ją do stałego repertuaru swego. Jest to utwór pełen dramatycznych efektów i wstrząsających momentów psychologicznych, które nastręczają aktorom znakomita sposobność do wykazania siły i techniki artystycznej. Główne role spoczywają w rękach p. Rygera i p. Audran. — Nagrodę Szyllera otrzymał w Berlinie p. E. Wildenbruch za dramat swój „Król Henryk“. Większa połowa sędziów oświadczyła się za nagrodą dla Hanusi G. Hauptmana, lecz cesarz Wilhelm rozstrzygnął na korzyść Wildenbrucha. Wyrok ten spowodował ustąpienie z jury Ericha Schmidta znanego profesora berlińskiego uniwersytetu. — Nowa sztuka ludowa Maksa Kratzera p. t „Der Lockvogel“, która miała być przedstawiona w Berlinie, wzbronioną została przez policyę; również wzbroniono przedstawienia w teatrze Lessinga francuskiej komedyi Maurycego Donnay p. t. „Podzielona miłość“. — „Chata za wsią“ grana jest obecnie w Kiszyniewie przez trupę mało-ruskę pod dyr. Saksagańskiego. Przed kilku laty w Petersburgu, z biblioteki goszczącej tam wówczas trupy polskiej wypożyczył egzemplarz „Chaty za wsią“ p. Starycki, dyrektor trupy mało ruskiej, w celu przetłomaczenia sztuki. Odtąd „Chata za wsią“ p. t. „Cyganka Aza“ znajduje się stale na repertuarze scen małoruskich, szkoda tylko, że na afiszach niema wzmianki nietylko o Galasiewiczu i Mellerowej, ale nawet o I. J. Kraszewskim. Tytuł brzmi dosłownie: „Cyganka Aza“ dramat ze śpiewami i tańcami z małoruskiego i cygańskiego życia w 5 aktach, przez Staryckiego; muzyka Dobrikowa.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

— **J. B. M.** Rzecz jest w biegu. Sprawę uregulujemy niebawem.

— **Fiołek.** Za wiele reminiscencyi z Heinego. Druga i trzecia zwrotka jest prawie dosłownym przekładem.

— **A. N.** O ile nam wiadomo, w rzeczy samej redakcya „Dziennika Pozn.“ krząta się około zbierania składek na portret ś. p. Fr. Dobrowolskiego, aby go zawiesić w biurze redakcyi. Bliższych szczegółów nie znamy. Radzimy jednak udać się wprost do obecnego redaktora „Dziennika“.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Wlniewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej Nr. 28 (Telefon Nr. 334.)

Nr. 50. Poznań, niedziela 13-go grudnia 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: Podgórna ul. Nr. 7. w podwórzu.

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Podgórna Nr. 7. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.). w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.
Rękopisów drobnych niezwracamy.

TREŚĆ.

Ciekawy dokument.

Znanym niezawodnie jest czytelnikom naszym „Diariusz sejmu unii Korony Polskiej i W. Ks. Litewskiego“, ogłoszony w r. 1856 przez hr. Tytusa Działyńskiego. Mało jednakże komu wiadomo, że autor ten, który w dziejach piśmiennictwa poznańskiego tak zaszczytne zajmuje stanowisko, zamierzał dzieło swoje poprzedzić przedmową, zwróconą w formie listu otwartego do cara Aleksandra II. Od zamiaru tego jednak odstąpił Tytus Działyński, a motywy tej rezygnacyi wyjaśnił później w krótkim komentarzu, umieszczonym w części III Dziejów Unii Lubelskiej na tej stronnicy, która zawierać miała dedykacyę. „Byłbym tu umieścił — mówi wydawca Diariusza — słowa niezgodne ani z wypadkami nowo zaszłemi w Polsce, ani nawet z zasadami wielu z najszanowniejszych moich spółrodaków, usunąłem więc takowe w hołdzie dla dobrych chęci, którym życzę skutków najpomyślniejszych“.

Słowa powyższe odnoszą się widocznie do pobytu Aleksandra II w Warszawie, gdzie „Car-oswoboditiel“ rzucił deputacyi polskiej pamiętne słowa: „Co ojciec mój zrobił, jest dobrze. Point de rêveries, messieurs!“

Nie zaginęła jednak owa odezwa do cara Aleksandra II, którą Tytus Działński skreślił pod wpływem marzeń i nadziei, budzących się zawsze na ziemi naszej, gdy na tron rosyjski nowy władca wstępuje. Autor ogłosił ją w kilku egzemplarzach jako ulotne pisemko i rozesłał najbliższym przyjaciołom swoim. W przekonaniu, że ciekawy ten dokument, nadesłany nam przez jednego z życzliwych przyjaciół „Przeglądu“, zaciekawi czytelników naszych, podajemy go poniżej w dosłownem brzmieniu:

* * *

NAJJAŚNIEJSZY CESARZU
WSZECH ROSSYI
etc. etc. etc.
KRÓLU POLSKI I WIELKI XIĄŻE LITEWSKI,
PANIE A PANIE MIŁOŚCIWY.

Gdyby wolność i niepodległość, te najdroższe narodów skarby, mogły być zakupione i trwale dochowane hojnym szafunkiem krwi i dostatków; gdyby poświęcenie, miłość kraju, nareszcie wiara i nadzieja w miłosierdzie Boże dostateczną były rękojmią samodzielności ludów, stałaby Polska pierwsza pomiędzy narodami, ozdobiona wieńcem tylokrotnych usiłowań swoich. Ale kiedy niezbadanem losem zrządzeniem przeszła i Polska i Wielkie Xięstwo Litewskie pod potężne berło Twoje, umyśliłem, Najjaśniejszy Panie, złożyć u stóp tronu Twojego wykaz czynności, jakie posłużyły niegdyś do skojarzenia związku i unii między temi dwoma narodami odrębnego szczepu i długo nawzajem sobie strasznemi. Najjaśniejszy Panie, ten związek przetrwał wieki, nie złamały go wspólne nam klęski — i dziś jeszcze jesteśmy sobie braćmi sercem i uczynkiem; ale, Najjaśniejszy Panie, takie ogniwa spajać jedynie może mądra i z wytrwałością przewiedziona moralna zasada łaski są przemijające. Polskę i Litwę łączyła jedna głowa, ale ziemie podległe przezornym rządom domu Jagiellońskiego cieszyły się ustawami narodowemi i zupełnie odrębnemi; wojsko, senat, statut, skarb, hierarchia, pieczęcie i buławy stały odosobnione, a indigenat był pierwszym warunkiem wszelkiego urzędowania. Wtenczas to, Najjaśniejszy Panie, ościenne ludy dobrowolnie cisnęły się pod błogi regiment dawnych królów naszych, bo żaden z pomiędzy tychże nie kusił się o nagięcie twardego konaru obcych narodowości — wróżył ludom samoistność i opiekę, a nie groził zagładą. I tak, Najjaśniejszy Panie, ręka ręce zaledwie podane, już zdołały pod Grunwaldem wstrzymać na długie lata pochód tego zgubnego dla ludów słowiańskich plemienia, które nurtując podstawy bytu naszego nie orężem, ale sztuką i podstępem, wszędzie z rodowitego gniazda wyparło starożytnych onego właścicieli. Najjaśniejszy Panie, Twoja rada i Twoi sąsiedzi odwodzić Cię będą od przykładów i Jagiellonów i Stryja Twojego. Ci to bowiem doradzcy wprowadzili władzę na drogę gwałtów i skazili piętnem fałszu chęci i słowa Cesarza Aleksandra I. Oni to polubiwszy prokonsularną władzę i obyczaje, niebaczni na przeszłość i na przyszłość, na dobro kraju i na sławę własnych swych panów, źli słudzy, rozżarzyli w polskim ludzie jak i u panujących nad nim wzajemną niechęć i nieufność. Twoi zaś sąsiedzi nie mogą Ci życzyć sławy, do jakiej sami nie dążą, a którąby chęci i nadzieje wszystkich ludów sławiańskich ku Tobie jedynie skierowała. Czołem oni wprawdzie bili przed Twym Rodzicem, ale niegdyś i nam się nisko kłaniali, zanim nas rozszarpali. I między naszymi znajdziesz, Najjaśniejszy Panie, odrodnych synów Polski, gotowych do ratowania z powszechnej toni siebie tylko samych. Ale na tak plugawej podstawie nie racz się opierać, Najjaśniejszy Panie, owoc bowiem zepsuty najprędzej opada. Cnoty są sobie pokrewne, a ktokolwiek znieważa cześć ziemi ojczystej, ten zdeptał lub zdeptać gotów i święte grono wszystkich cnót obywatelskich.

Najpotężniejszy władzco ludów sławiańskich, pogardź więc chciwymi, zazdrosnymi i podłymi, — niech odbudowanie a nie zagłada będzie celem wspaniałych usiłowań Twoich. Zagłada jest niepodobną tam, gdzie ludy w męczeństwie upatrują zasługę, chwałę, i jak pierwsi Chrześcianie palmę zapowiednią najtrwalszej nagrody. „Ostatni Polak żyjący ojczyzny wołać nie przestanie“.

Takim to usiłowaniom Twoim, Najjaśniejszy Panie, towarzyszyć będzie potęga, sława i miłość narodów: a tej słu[…]ej nagrody życząc Tobie z całego serca, [s]kładam pokornie u stóp Twoich, Najjaśniejszy Panie, Diariusz sejmu unii Korony Polskiej i W. X. Litewskiego.

Waszej Cesarskiej Mości
Najuniżeńszy sługa
A. T. HR. Z KOŚCIELCA WOJEWODZIC DZIAŁYŃSKI.

— Pisałem w zamku Kórnickim w W. X. Poznańskiem, dnia 15. Lipca 1856.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

O naszych dyplomatach

W „Przeglądzie Wszechpolskim“ czytamy:

Jakkolwiek „Kraj“ już wyznał, że polityka ugodowa w zaborze pruskim nie ma dziś punktu oparcia, bo „nadzieja poważniejszego polepszenia stosunków pierzchła ostatecznie“, zwolennicy tej polityki nie dają za wygraną i bałamucą dalej społeczeństwo a teraz zwyciężają w Kole polskiem. Było życzeniem powszechnem, które nawet „Dziennik“ już pod redakcyą p. Łebińskiego wyrażał, żeby posłowie polscy interpelowali rząd z powodu zmiany barw prowincyonalnych. Wyrażając swoje życzenie, opinia publiczna nie narzucała posłom formy interpelacyi, pozostawiała im wszelką swobodę w tym względzie, żądała tylko poruszenia spraw, żywo ogół obchodzących. Dzienniki hakatystowskie, które nie chciały dopuścić rozstrząsania tych spraw, zaczęły straszyć Polaków i odgrażać się, że interpelacye mogą dać powód do kompromitujących nas wyjaśnień i wywołać nowe środki represyjne. Pod wpływem tych pogróżek i wiecznie prześladującej posłów naszych obawy jątrzenia Niemców zwyciężyli w Kole stali i przygodni zwolennicy polityki ugodowej i większością jednego głosu zapadła właśnie uchwała, żeby spraw drażliwych nie poruszać. Naturalnie, „Dziennik“ zmienił natychmiast front i zaczął dowodzić, że społeczeństwo, które wybiera posłów, nie ma prawa narzucać im swych żądań, a nawet, że posłowie mogą nie liczyć się wcale z głosem opinii publicznej. Słowem, wygłasza „Dziennik“ zasadę bezwzględnej dyktatury posłów, którym społeczeństwo daje na cały czas trwania mandatu nieograniczone pełnomocnictwo. Posłowie, na mocy tej zasady, nie potrzebują wcale zdawać sprawy ze swych czynności i informować się o potrzebach i życzeniach społeczeństwa. Przez sam akt wyboru spływa na nich dar Ducha św., dar mądrości politycznej, której zwyczajni śmiertelnicy wyborcy pojąć nie są zdolni.

Nie mając gruntu pod nogami, polityka ugodowa może być tylko, jak w danym wypadku, polityką bierności i zupełnej abdykacyi z wszelkiego działania. To też posłowie polscy nie zabierali wcale głosu w parlamencie podczas rozpraw nad kodeksem karnym. A były to nieraz rozprawy, mające dla nas znaczenie bardzo doniosłe, w których można było dużo powiedzieć, nawet w pewnej mierze wpłynąć na zmianę wielu niekorzystnych dla nas postanowień tego kodeksu. To były przecie rozprawy rzeczowe, to była przecie znakomita sposobność wzięcia czynnego udziału w sprawie, dotyczącej interesów całego państwa i zarazem bardzo ważnej dla naszego społeczeństwa.

Warunków dla polityki ugodowej nie ma, a zwolennicy jej nie są zdolni do żadnej działalności pozytywnej, co się już nieraz okazało. Wymyślają więc dla bałamucenia społeczeństwa, że przecie coś robią, — nie praktyczne, a nawet czasem niedorzeczne projekty, jak np. ogłoszony niedawno w „Dzienniku Poznańskim“:

(Tu podaje „Przegląd Wszechpolski“ znany projekt jakiegoś dyplomaty z obozu „Dziennika“ w sprawie utworzenia polsko-niemieckiej ligi pokojowej. Przyp. Red.)

Sam „Dziennik“ wątpi i znakami zapytania to zaznacza, czy projekt znajdzie „na razie“ uznanie, ale autora jego nazywa świątłym mężem dobrej woli“. Te pochwalne epitety wzmacniają jeszcze śmieszność projektu, który wydaje się nam płodem zwiędłego ze starości mózgu polityka kawiarnianego. Zresztą może powagi poznańskie, matadarowie „partyi dworskiej“ wszyscy mają już takie mózgi, bo i list otwarty barona St. Chłapowskiego „do obywateli niemieckich,“ wzywający ich do wspólnego działania, ma wszystkie znamiona zdziecinnienia starczego. Trzeba zaznaczyć, że w obu tych manifestach odradzającej się polityki ugodowej brzmi ta sama nuta, którą niegdyś p. Kościelski wabił sfery dworskie. Bezimienny autor odezwy powiada, że „występkiem jest wprost w obec państwa rozniecać zwadę narodową w chwili, w której łączność sąsiadów z wschodu i zachodu w tak dobitny objawiła się sposób“, a p. Chłapowski dodaje, że z waśni pomiędzy Polakami i Niemcami „cieszy się ktoś trzeci“. Warto, żeby kraj raz wreszcie wytłómaczył tajemnicę dziwnej łączności, a nawet serdecznych sympatyi pomiędzy polityką ugodowców w zaborze rosyjskim, dowodzących konieczności pojednania się z Rosyą, w obec wspólnego niebezpieczeństwa, grożącego ze strony Niemiec, i ugodowców poznańskich — dowodzących, że Niemcy powinni pojednać się z Polakami w obec wspólnego dla nas i dla nich niebezpieczeństwa ze strony Rosyi.

Ważniejszą od wyżej przytoczonych elukubracyi ugodowych jest, podana w Dzienniku półurzędowym „Post“, wiadomość, której dotychczas nie zaprzeczono.

(Tu cytuje „Przegląd Wszechpolski“ znany Czytelnikom naszym komunikat o sensacyjnym interwiewie jednego z redaktorów czasopisma „Post“ z ks. arcybiskupem Stablewskim. Przyp. Red.)

Osoba arcybiskupa powinna być wyższą nad takie posądzenia, ale niestety, o ks Stablewskim pisano już, że w tym samym duchu wyraził się o odrodzeniu narodowem Slązka. Wtedy wprawdzie „Kuryer Poznański“ zaprzeczył, jednak w taki sposób, że nie uspokoił opinii publicznej, ale raczej potwierdził prawdziwość zarzutu. Polityka ks. Stablewskiego i pewnej części społeczeństwa, która się względami jego cieszy, daje wciąż powody do podobnych posądzeń. „Czyż można było przed kilku laty przypuszczać — pisze „Kuryer Lwowski“ — że patryotyczne na ogół duchowieństwo poznańskie, które tak świetnie zapisało imię swoje podczas walki kulturnej, zrzecze się ideałów narodowych i demoralizujący dając przykład, tworzyć będzie komitety dla stawiania na ziemi polskiej pomników Wilhelmowi I. protektorowi prześladującego Kościół polski Bismarcka? A przecież tego rodzaju smutny i oburzający fakt zdarzył się temi dniami w Inowrocławiu.“

* * *

Polskie gimnazyum w Cieszynie.

W „Kuryerze Lwowskim“ czytamy:

„Jakkolwiek niejedno daloby się powiedzieć na temat obojętności wpływowych kół polskich na sprawy szląskie, to jednak niezaprzeczonym jest faktem, iż Galicya była owym najgłówniejszym czynnikiem, który się przyczynił do powstania polskiego gimnazyum w Cieszynie. Galicya może być dumną z tego, iż prastarej dzielnicy polskiej, która dotąd leżała spowita więzami germanizmu, stworzyła zakład umożliwiający jej odrodzenie się i odpolszczenie. Gimnazyum cieszyńskie było też do niedawna owem najmłod-

---

Gwiazdkowe zakupy.

(Z cyklu „Anatol“.)

(Dokończenie.)

Anatol. Tak... ale, jeśli pani sama czegoś nie chcesz... gniewa cię to jednak, skoro to dostaje kto inny?

Gabryela. Oh!

Anatol. Łaskawa pani... To całkiem po kobiecemu — być może, że to bardzo piękne, wzniosłe i głębokie...

Gabryela. Zkądże pan nabrałeś tej ironii!

Anatol. Zkąd jej nabrałem? Powiem to pani. I ja niegdyś byłem dobrym i pełnym ufności — i nie było w słowach moich ani trochy szyderstwa... I niejedną ja ranę zniosłem cicho, w milczeniu...

Gabryela. Tylko nie wpadać w romantyzm!..

Anatol. Uczciwą ranę — tak! — „Nie“ w właściwej chwili, choćby z najbardziej kochanych ust — umiałem przenieść. Ale „nie“, wówczas kiedy oczy po setne razy mówiły „może“. Kiedy usta setne razy w uśmiechu powiadały „kto to wie!“. Kiedy ton głosu po setne razy brzmiał „z pewnością“ — takie „nie“ doprowadza człowieka.. do szaleństwa... Anatol jest skłonny...

Gabryela. Chcieliśmy przecież coś kupić!

Anatol. Takie „nie“ czyni z człowieka błazna... lub szydercę!

Gabryela. Miałeś mi pan przecież opowiadać.

Anatol. Dobrze — skoro pani koniecznie domagasz się opowiadania...

Gabryela. Oczywiście!.. Jakim sposobem ją pan poznałeś...

Anatol. Boże mój, tak jak się poznaje zazwyczaj! Na ulicy, na tańcującej zabawie, w omnibusie, pod parasolem...

Gabryela. Ale pan wiesz przecie, że zajmuje mnie ten specyalny przypadek. Dla tego specyalnego przypadku wszakże mamy coś kupować!

Anatol. Tam, w tym.. „małym świecie“ nie ma specyalnych przypadków, właściwie nie ma ich też i w wielkim... jesteście panie wszystkie tak typowe!

Gabryela. Mój panie! Teraz poczynasz...

Anatol. Nic w tem obrażającego przecież — nic najzupełniej. I ja jestem tylko typem!

Gabryela. Jakimże to?

Anatol. Lekkomyślnego melancholika!

Gabryela. A... a ja?

Anatol. Pani? — po prostu: światowej kobiety!

Gabryela. Tak... A ona?!

Anatol. Ona?... Ona... słodkiego dziewczęcia!

Gabryela. Słodkiego. Zaraz „słodkiego“. A ja — światowej kobiety, bez wszelkiego dodatku?

Anatol. Złej światowej kobiety, kiedy już pani chcesz koniecznie...

Gabryela. A więc... opowiedz mi pan wreszcie o... słodkiem dziewczęciu!

Anatol. Nie jest uderzająco piękną, nie jest osobliwie elegancką — a już co najmniej chyba genialną...

Gabryela. Nie chcę przecież wiedzieć, czem nie jest.

Anatol. Ale ma ten miękki wdzięk wiosennego wieczoru... gracyę zaczarowanej królewny... i skalę duchową dziewczyny, co kochać umie!

Gabryela. Ten rodzaj duchowego nastroju ma podobno być wielce rozpowszechnionym w pańskim małym świecie!...

Anatol. Nie możesz pani myślą zżyć się z tym światem!... Zbyt wiele przemilczano przed tobą, kiedy byłaś młodą dziewczyną — a za wiele znów mówiono ci, odkąd jesteś mężatką!... Ztąd ucierpiała naiwność pani poglądów.

Gabryela. Ale słyszysz pan przecie, że pragnę, by mnie pouczono.. Wszakże wierzę już w pańską „zaczarowaną królewnę“! Opowiedz mi pan tylko: jak wygląda ten ogród zaczarowany, w którym ona spoczywa.

szem dzieckiem, o którem się zawsze i wszędzie pamiętało: bawiono się, tańczono, urządzano wieczorki, grano w karty, robiono zakłady, wszystko na dochód gimnazyum cieszyńskiego.

To też składki wpływały obficie i wystarczyło wziąć do ręki pierwszy lepszy polski dziennik, by wyczytać całą litanię ofiarodawców.

Dziś rzecz ma się inaczej. Składki ustały, ogłaszane od czasu do czasu sprawozdania kasowe „Macierzy“ dowodnie nas o tem przekonują i zachodzi poważna obawa, iż niezadługo napocząć będzie trzeba fundusz zakładowy.

Pewna apatya opanowała naszą publiczność, której jednak przyczyny nie w Galicyi, ale w Szlązku samym szukać należy.

Rzecz jasna, iż Galicya podając dłoń Szląskowi, była przekonaną, iż ten ostatni będzie co najmniej tak ofiarnym jak ona, tymczasem zdumiona dowiedziała się, iż narodowi posłowie szląscy, ilekroć jechali gdzieś w sprawie gimnazyum, na setki złr. wystawiali następnie „Macierzy“ rachunki. Zeszłoroczne tłumne wydalenia uczniów z gimnazyum, którym oprzeć się zarząd Macierzy ani umiał ani chciał, rozgoryczeć musiały również w wysokim stopniu opinię w Galicyi. Wszak przez zbytnie dyplomatyzowanie zarządu „Macierzy“ i samego zakładu, synowie najlepszych patryotów, dla których przecież gimnazyum powołano do życia, znaleźli się w środku roku na bruku.

A co już najwięcej zdeprymować musi każdego to fakt, iż gimnazyum po dziś dzień nie ma prawa „publiczności.“ Cokolwiekbądź, winę w tym względzie złożyć musimy na naszych szlązkich posłów narodowych. Zasadzie „szukajcie a znajdziecie, pukajcie a będzie wam otworzono“ widocznie niestety jest im nieznaną. O, bo do „pukania“ było dość sposobności.

Ot niedawno w radzie państwa z całą zajadłością napadł na cieszyńskie gimnazyum bielski poseł dr. Haase. Posłowie galicyjscy, a szczególnie czcigodny poseł lwowski p. Lewakowski gorąco ujęli się za Szlązkiem i tylko szląski poseł narodowy nie uznał za stosowne dać temu polakożercy należną odprawę.

To też ogólna konsternacya jest między szląskimi narodowcami, a konsternacya ta objęła także Galicyę i zda się, iż ta ostatnia zapomniała o cieszyńskiem gimnazyum. Chciejmy wierzyć, iż się to zmieni na lepsze!

— ski.

„Mechweret“.

Mamy przed sobą francuskie wydanie „organu młodej Turcyi“, pod powyższym tytułem wychodzące w Paryżu. Numer ten, rozesłany przed kilku dniami przy „Figarze“, zawiera cały szereg artykułów, korespondencyi i informacyi, dotyczących obecnego położenia Turcyi, a stanowiących zajmujący i pouczający nawet materyał do wyświetlenia stosunków, nad któremi dyplomacya europejska nadaremnie łamie sobie głowę.

Z szeregu zawartych w tym numerze artykułów przytaczamy w skróceniu wysoce charakterystyczne wynurzenia pułkownika Szefik-beja, byłego adjutanta ministra wojny, a obecnie przebywającego na emigracyi w Paryżu.

Jeżeli ormianie skarżą się na rządy Abdul-Hamida, który pogrążył Turcyę w przepaść, to i muzułmanie nie są szczęśliwsi. Rządy to rzeczywiście okropne. Od 130 dni żaden z urzędników (oprócz pałacowych) nie otrzymał najmniejszej zaliczki na swoje zaległości. Na prowincyi oficerowie zmuszeni są sprzedawać ruchomości; żołnierze błądzą zaledwie do połowy okryci, a nędza zmusza ich do brania udziału w buntach. Ziemia wszędzie bogata i produkcyjna jest opuszczona, gdyż chłop pracując dla skarbu, woli zostawić pług w spokoju, niż trzy czwarte ze swoich zbiorów oddawać poborcom. A tymczasem w Ildiz-Kiosku marnują złoto nędzarzy; więżą wszystkich, co mają dusze prawe i szlachetne.

Wiem o tem — mówi Szefik-bej — że usiłowano obedrzeć Turcyę z honoru wobec ucywilizowanego świata, składając na jej fanatyzm całą odpowiedzialność za zaburzenia, które skrwawiły naszą nieszczęśliwą ojczyznę. Ale wcześniej czy później pokaże się to, że jedynie tylko w pałacu sułtańskim trzeba szukać winnych zabójstwa 100,000 ludzi, których poświęcono w ciągu jednego roku wstrętnym interesom. Twierdzenie to podtrzymuje już sam fakt, że wszyscy wielkorządcy, którzy wpływali uśmierzająco na nieporządki, popadli w niełaskę, ci zaś co pozwalali na okrucieństwa, zostali na swoich stanowiskach obdarzeni łaskami.

Czy można wątpić o tem po owej ohydnej wystawie bomb, nazajutrz po mordach w Konstantynopolu urządzonej, w celu pobudzenia tłumu do nowych zbrodni?

Przyczyna takiej polityki Ildiz-Kiosku jest tylko jedna i zawsze ta sama. zatrzymanie wszelkiemi sposobami władzy, która się z rąk wymyka. Pobudzają nienawiść giaurów i muzułmanów, ażeby się nie jednoczyli przeciwko tyranii, którą znoszą od tylu lat narówni.

„Jedźcie do Konstantynopola, zobaczcie systemat szpiegowski, a zbudujecie się tym widokiem. Każdego dnia dwieście do trzystu osób przychodzi do pałacu składać raporty sekretne Izel-bejowi, albo innym matadorom. Sułtan sam przegląda te raporty, zawierające przeróżne bajki i oszczerstwa wstrętne. Niektóre zachowuje sobie, inne odsyła do szambelanów. Następują zaraz aresztowania wszystkich nieszczęśliwych denuncyowanych. Nie jest to wcale przesadą.

Trzy osoby razem nie odważyłyby się przechadzać po ulicy; niewolno jest turkowi rozmawiać z ormianinem, pod groźbą, że będzie zaraz wezwany do ministra policyi: iść dwa albo trzy razy do jednej i tej samej osoby wystarczy, ażeby ściągnąć na siebie podejrzenie, a mieć znaczenie w Europie, to już prawdziwe nieszczęście.

Od góry do dołu drabiny wszyscy się szpiegują i zdradzają. Ministrowie, generałowie, urzędnicy, z chwilą zbliżenia się do pałacu muszą zostać szpiegami. Jedyne to zajęcie, za które tu płacą. Choćbyś pracował najgorliwiej i z poświęceniem, nie dostaniesz ani piastra, ale szpieguj, przynoś raport codziennie do Ildiz-Kiosku, wynajduj w miarę potrzeby niebezpieczne spiski, a za każdym razem dostaniesz trzy, pięć, albo i dziesięć funtów tureckich.

A n a t o l. Nie powinnaś tu sobie pani oczywiście przedstawiać świetnego salonu, kędy u drzwi spadają ciężkie portyery, salonu z makartowskiemi bukietami w rogach, z kosztownemi drogiemi świecznikami, matowym aksamitem... i przesadnem półświatłem zamierającego popołudnia...

G a b r y e l a. Toż ja nie chcę wiedzieć czego n i e mam sobie wyobrażać...

A n a t o l. A więc — wyobraź pani sobie — mały półmroczny pokoik — taki maleńki, o malowanych ścianach, a do tego jeszcze nieco za jasno pomalowanych. Kilka starych, nędznych sztychów z wybladłemi u spodu napisami wisi tu i owdzie. Wisząca lampa z abażurem. Z okna, kiedy zapada wieczór, widok na dachy i kominy, tonący we mgle!... A z nadejściem wiosny naogród przeciwległy, co zakwitnie kwieciem i ku nam słać będzie wonie...

G a b r y e l a. Jak pan musisz być szczęśliwym, kiedy w Boże Narodzenie myślisz już o maju!

A n a t o l. Tak — t a m czasami bywam szczęśliwym!...

G a b r y e l a. Dosyć, dosyć, dosyć! Już późno... trzeba jej coś kupić! Może coś do tego pokoiku o malowanych ścianach...

A n a t o l. Niczego tam nie braknie!

G a b r y e l a. Tak... dla niej — temu wierzę! Ale ja chciałabym dla pana — tak dla pana, przystroić ten pokoik na pański sposób!

A n a t o l. Dla mnie?

G a b r y e l a. W perskie dywany..

A n a t o l. Ale proszęż pani — tam za rogatką!

G a b r y e l a. Wiszącą lampę o łamiącem się czerwono-zielonem świetle?

A n a t o l. Hm!

G a b r y e l a. Z kilku wazonami, pełnemi kwiatów?

A n a t o l. Tak... ale ja d l a n i e j coś przynieść chciałbym.

G a b r y e l a. Ach prawda... dla niej — trzeba nam się zatem zdecydować — ona już tam pewnie czeka na pana?

A n a t o l. Niezawodnie!

G a b r y e l a. Czeka?! Powiedz pan... jak pana przyjmie?

A n a t o l. Ach, tak jak się przyjmuje w ogóle.

G a b r y e l a. Słyszy kroki pańskie już na schodach... nieprawdaż?

A n a t o l. Tak,.. czasami...

G a b r y e l a. I staje u drzwi?

A n a t o l. Tak!

G a b r y e l a. I rzuca się panu na szyję, i całuje pana i mówi... Co też mówi?...

A n a t o l. To, co się mówi w podobnych razach...

G a b r y e l a. No... naprzykład?

A n a t o l. Niewiem żadnego przykładu!

G a b r y e l a. Cóż mówiła wczoraj?

A n a t o l. Ah, nic osobliwego... to wygląda tak niedorzecznie, skoro się nie słyszy równocześnie brzmienia głosu!..

G a b r y e l a. Już ja go w duchu słyszeć będę: No — cóż powiedziała?

A n a t o l. „Taką szczęśliwą jestem, że cię mam znowu!“

G a b r y e l a. „Taką szczęśliwą jestem“ — jak?

A n a t o l. „że cię mam znowu!...“.

G a b r y e l a. ...to jest właściwie ładne, bardzo ładne!

A n a t o l. Prawda... to takie serdeczne i prawdziwe!

G a b r y e l a. I ona... zawsze jest sama? Możecie się widywać tak zupełnie bez przeszkód?

A n a t o l. Oczywiście — mieszka sama zupełnie — nie ma nikogo — ani ojca, ani matki, ani ciotki nawet!

G a b r y e l a. A pan... jesteś dla niej wszystkiem?

A n a t o l. Być może!... Dzisiaj przynajmniej... (milczenie).

G a b r y e l a. Późno już, widzisz pan jak już pusto jest na ulicach...

A n a t o l. Oh! a ja panią tak zatrzymałem! Musisz pani przecież wracać do domu.

G a b r y e l a. Naturalnie, naturalnie! Czekają mnie tam już pewno! A co zrobimy z podarunkiem?...

A n a t o l. O, znajdę przecież jeszcze jakąś drobnostkę!...

„Miałem sposobność dowiedzieć się z pewnych źródeł, ile kosztują usługi szpiegów. Przerażające to cyfry. Trzydzieści tysięcy funtów tureckich miesięcznie wpada w tę otchłań, bez dna; to znaczy siedemset tysięcy franków! Jakżeż chcecie ażeby cierpiano spokojnie taki rząd wstrętny. W pałacu rozumieją to, więc usiłują odwrócić uwagę“.

Dalej Szefik bej przypuszcza, że gdyby nie było wybuchów sierpniowych, które skrupiły się na ormianach, muzułmanie byliby sami podnieśli bunt przeciw sułtanowi i jego otoczeniu.

Charakterystyczne są żale patryoty tureckiego, który zazdrości losu ormianom. Oni przynajmniej mają współczucie świata, Europa ujmuje się za nimi, młodoturcy zaś, pragnący odrodzenia państwa, doznają tych samych co ormianie prześladowań i nawet nikt się o nich nie troszczy.

W tymże numerze „Mechwereta“ spotykamy korespondencyę z Konstantynopola, wyrażającą ten sam pogląd.

„Lepiej być ormianinem, niż wykształconym, uczciwym turkiem. Ormianina uwięzionego żałują przyjaciele europejscy, protegują ambasady; my nie mamy żadnej nadziei, gdy z powodu błachego podejrzenia znajdziemy się w więzieniu. A iluż to muzułmanów poznikało od dwudziestu lat! Wszystka młodzież turecka inteligentna i uczona zginęła podstępnie, po cichu. A jednakże ci ludzie mogliby dziś podnieść kraj. Odkąd sułtan Abdul Hamid zasiada na tronie, każdy turek swobodniej myślący jest podejrzany, jest człowiekiem straconym, który pewnego dnia znika i nie wiadomo co się z nim stało. — Niestety, wiadomo bardzo dobrze! Ale cisza zalega, gdyż rodzice lub przyjaciele, którzyby głosili o takiem zniknięciu, doznaliby tego samego losu“.

S.

LITERATURA I SZTUKA.

Dramaty Szyllera
w wykładzie pr hr. St. Tarnowskiego.

Ci, którzy słuchali wykładów hr. Stanisława Tarnowskiego, zachwycają się jego wymową. Być może, że mówi on pięknie; ta sama jednak rzecz w książce ogłoszona, traci wiele: pewien v e r b i a g e, pewna nadabundacya słów, pewna grandiloquentia — — rozwadniają niesłychanie wykwintny skądinąd styl hrabiego profesora i nie mało odbierają mu siły. Brak zwięzłości, może z warunków mowy publicznej wynikający, sprawia, że czytelnik, po przeczytaniu książki nic sam wnioskować nie może, gdyż wszystko mu podano. Autor widać nie uznaje sztuki ograniczania się i za swój obowiązek uważa p o w i e d z i e ć w s z y s t k o: stąd znany skutek; autor nie zostawia nic domyślności czytelnika, nic mu nie poddaje, nie budzi w nim żadnego fermentu: treści książki o dramatach Szyllera można się tylko nauczyć na pamięć; dla inteligencyi wydaje mi się ona jałową. Nie poruszam tu kwestyi, o ile się można zgodzić lub nie zgodzić z poglądami autora: jest to w gruncie rzecz obojętna: wszystkie poglądy mają racyę bytu, o ile działają, jak krzesiwo. Niema tego krzesiwa u autora rzeczy o Szyllerze: pomimo bardzo przenikliwej analizy wszystkich z kolei dramatów, hr. Tarnowski trzyma się tej dawnej metody krytycznej, która nie rozbierała duszy autora, tylko sądziła go jak delikwenta. To jest złe, a to jest dobre — tak wyrokuje hr. Tarnowski. W całej książce ani razu nie widać, aby się autor starał podnieść zasłonę duszy tego sentymentalnego Niemca i zarazem szlachetnego buntownika-marzyciela, który może błądził, ale zawsze był szczery, i prawdziwy, a zawsze niespokojny poszukiwacz harmonii, absolutu i człowieczeństwa. Autor, jako legitymista, nie odczuwa dokładnie tej zuchwałości bezładnej i szalonej, naiwnej a jednak pięknej, jaką się Szyller w latach młodzieńczych odznaczał. Dlatego w „Zbójcach“ widzi on raczej niedorzeczność, niż dziki wybuch organizacyi genialnej, która charakterystycznie odzwierciadla wiry epoki, już-już do ruchu wstające — i która w tym chaosie jednak pewną logikę kształtuje. Bardzo szczęśliwie natomiast uwydatnił prelegent stopniowy rozwój idei, które w kolejnych dramatach wyobraża Szyller. W „Zbójcach“ — to bunt szalony przeciw wszystkim więzom społecznym i rodzinnym; we „Fiescu — toż samo z jaskrawie odznaczoną sympatyą dla urządzeń republikańskich: tu i tam człowiek wyższy — Karol Moor i Fiesco, — w których wraz z walką o dobro masy, budzi się pogarda dla tejże masy i zarazem żądza panowania nad nią, dążenie do uzurpacyi, które we Fiescu zwłaszcza rozwija się z pewnym wallenrodyzmem; odtąd uzurpacya, walka o zerwanie więzów, wreszcie nienaturalne stosunki rodzinne stanowić będą główne motywy dramatów Szyllera. W „Kabale und Liebe“ widzimy despotyczny ustrój małego Księstwa niemieckiego, gdzie najświętsze uczucia i stosunki rodzinne są poniewierane. W „Don Carlosie“ — miłość pasierba do macochy, nienawiść ojca do syna z jednej strony, walkę Niderlandów przeciw Hiszpanii z drugiej, a na tem tle występuje patetyczny deklamator idei XVIII wieku, markiz Poza. — Następuje w twórczości poetyckiej Szyllera dziesięcioletnia przerwa, poczem talent jego w potężniejszym rozkwicie wydaje co roku niemal, jakby w przeczuciu śmierci, wspaniałe dzieła, z których „Wallenstein“ i „Marya Sztuart“ stanowią arcydzieła jego najwyższe. Wallenstein — to znów uzurpator w rodzaju Fiesca, tylko znacznie genialniejszy, jakby z postaci Napoleona malowany (dodać należy, że jest to jedyna tragedya historyczna Szyllera na tle niemieckiem: znaczy to, że ten narodowy poeta czerpał natchnienie patryotyczne ze wszystkich źródeł i mimo to zawsze pozostał narodowym). Jak Wallenstein jest najwyższym typem uzurpatora u Szyllera, tak znowu Marya Sztuart stanowi kwiat najwyższy śród jego postaci kobiecych: jest to do doskonałości podniesiona Amalja czy Luiza, tkliwa, piękna, szlachetna, kochająca i — bardzo nieszczęśliwa, zarysowana miękko, delikatnie, żywo i z odczuciem.

Po tych dziełach Szyller jeszcze raz maluje walkę narodu o wolność (Dziewica Orleańska) i znów do tegoż przedmiotu wraca (Wilhelm Tell). Tu spełnia Szyller dzieło patryotyczne: było to w okresie najazdu Francuzów i młodzież niemiecka gotowała się do walki; Szyller malując walkę Francyi przeciw Anglikom, Szwajcaryi przeciw Austryakom, występował jako Tyrteusz swego narodu. I jeszcze raz do tegoż motywu powrócił: wybrał on moment z dziejów Rosyi, w którym dostrzega wielkiego uzurpatora i walkę o wyzwolenie: rzecz ta pod tytułem „Dymitr Samozwaniec“ nie została dokończoną i posiadamy ją tylko we fragmencie; pomijając słabą znajomość historyi przedmiotu, Szyller dał tu jednak wspaniałe efekty dramatyczne i dzieło to zapowiadało się znakomicie. Godny uwagi też jest dramat „Narzeczona z Messyny“, w którym autor chciał stworzyć rzecz ściśle klasyczną: pomimo niektórych braków, jest to jedno z najpiękniejszych dzieł Szyllera: nieruchomość bohaterów, marmurowe patos ich przemówień, jakaś powaga przedziwna całej faktury — sprawia wrażenie, jakby te głosy szły z bezdennej głębi i przypomina nieruchomość dramatów Eschylosa. Hr. Tarnowski jest wręcz odmiennego zdania i ze wszystkich sztuk Szyllera najniżej stawia „Narzeczoną z Messyny.“ A. L.

G a b r y e l a. Kto wie, kto wie; ja zaś już sobie wbiłam w głowę, że muszę pańskiej... że tej... dziewczynie — coś wyszukam!...

A n a t o l. Ale proszę pani!

G a b r y e l a. Najprzyjemniej byłoby mi być przy tem, jak jej pan oddawać będziesz podarek gwiazdkowy!... Taka mnie zdjęła ochota zobaczyć ten pokoik i owo słodkie dziewczę! Ani pojmuje ona co posiada!

A n a t o l. ...!

G a b r y e l a. A teraz oddaj mi pan moje paczki! Tak już późno...

A n a t o l. To prawda! Tu są — ale...

G a b r y e l a. Proszę, zawołaj pan na tę dorożkę, co tu ku nam zmierza...

A n a t o l. Ten pośpiech tak naraz?!

G a b r y e l a. O proszę, bardzo proszę! (Anatol woła).

G a b r y e l a. Dziękuję panu!... Ale co będzie ze sprawunkiem?...

(*Dorożka zatrzymała się; on i ona stoją przed nią; on chce otworzyć drzwiczki*).

G a b r y e l a. Czekaj pan! Chciałabym jej coś od siebie posłać!

A n a t o l. Pani?!... Jakto pani, od siebie...

G a b r y e l a. Coby tu?! Ot... weź pan te kwiaty... po prostu tylko te kwiaty... Nie ma to być nic więcej nad pozdrowienie, nic więcej zgoła... Ale... musisz pan jeszcze do tego coś jej powtórzyć.

A n a t o l. Pani — jak jesteś dobrą...

G a b r y e l a. Przyrzecz mi pan, że jej oddasz te kwiaty... i ze słowami, które panu zlecę.

A n a t o l. Z wszelką pewnością!

G a b r y e l a. Więc mi pan przyrzekasz?

A n a t o l. Przyrzekam... z przyjemnością! Dlaczegóżby nie!

G a b r y e l a (*otwierając drzwiczki powozu*). A więc powiedz pan jej...

A n a t o l. Co?...

G a b r y e l a. Powiedz jej: „Te kwiaty... słodka moja dzieweczko, przysyła ci kobieta, która może tak samo jak ty kochać umie, ale której brakło tylko potrzebnej ku temu odwagi...“.

A n a t o l. Pani?!...

(*Gabryela wsiadła do powozu — dorożka odjeżdża, ulice są niemal zupełnie puste*).

(*On spogląda długo za oddalającym się powozem, dopóki tenże nie znika na zakręcie ulicy. Stoi przez chwilę jeszcze, potem spogląda na zegarek i szybko odchodzi*).

Pierwsze przedstawienie „Zatoniętego dzwonu“,

baśni dramatycznej (Märchendrama)

Gerharta Hauptmanna.

„Trudno się skarżyć, cześć mu oddali ziomkowie!“ Po każdym akcie oklaskom i wywoływaniom nie było końca. Czy i ilu znalazł jednakże poeta słuchaczów takich, którzy myśl jego w pełni zrozumieli i piękno dzieła odczuli, to pytanie otwarte. Kto chciał, ten mógł się nasłuchać różnych orzeczeń nie koniecznie świadczących o dobrem zrozumieniu, czasem wprost przeczących takim przepuszczeniom: „Nie rozumiem sztuki tak samo, jak tych ludzi, co klaszczą!“ albo dowcipniej(!): „Przecież tak docna głupi (so ganz borniert) nie jestem, a jak Bóg żyw, mię nie rozumiem!“ Słów uznania tak często nie było słychać; zapewne ten, kto odczuwał prawdziwie, kto wspiął się na wyżyny, gdzie wieszcz, jak orzeł skrzydła roztaczał, nie dawał uczuciu swojemu wyrazu w słowie nierozważnem, tylko pierś mu wzbierała, a oczy nieciły blaski zachwytu. A pozwolić się oczarować, nie było trudnem, trzeba było tylko ze sobą przynieść naiwność dziecka, naiwność artysty, naiwność słuchacza dobrej woli i świeżej wyobraźni nie kulejącej w pętach szkolniczych. Śmiesznem byłoby nowe dzieło przeć gwałtem w karby jakiejś może nowej szkoły. „Zatonięty dzwon“ jest dziełem symbolicznem, ale podobnie, jak pokrewne: „Faust“ Goethego, „Prometej rozpętany“ Shelleya, „Prometej i Syzyf“ Konopnickiej, drwi sobie z wszelkich szkół, jak drwi sobie z nich dzieło każdego artysty-geniusza. Szkoła niech sobie istnieje dla jakiego drugorzędnego sztuki adepta.

Jednakże, mimo wyżej wspomnianego pokrewieństwa, „Zatonięty dzwon“ staje na przeciwnym w zasadzie biegunie. Podczas bowiem gdy Faust Goethego szukając szczęścia dla siebie, znajduje je dopiero, gdy działa i pracuje dla drugich, a Prometej rozlicznych autorów całe życie i szczęście dla nich poświęca, u bohatera Hauptmanna w tem właśnie leży nieszczęście, że się od swoich, od ludzi oderwać nie może, i to też, że się za nadto z nimi związał, staje się jego grzechem, przyczyną upadku. Henryk, lejarz dzwonów, Hauptmanna, to mniej wieszcz, to twórca w ścisłem tego słowa znaczeniu. On dąży sam do światła, o nic innego się nie pyta, hasłem jego zda się, sztuka dla sztuki, byle wielka, czysta, górna. Poemat nowy to hymn wyzwoleń, drugi lot Ikara, to skwir orła, unoszący się ponad chmurami i gromem, groźnym dla wylękłych mieszkańców dolin. Tchnienie wyżyn wieje z całego dramatu górskim podmuchem, a podmuch to tak silny i świeży, że i tych, co sięgają gwiazd rękoma, nie tylko by siebie wyzwolić, ale by nabrawszy tam promieni i skier, rzucić je w dół, aż zabłysną błękitami i światłem nie gorzej od jeziór i rzek, rozbraja ta moc młodzieńcza i nęci ich i świetne budzi marzenia. Więc przebaczą poecie, że wyodrębnia się od tłumu, że śpiewa swój hymn dla kilku wybranych, że za Zaratustrą woła dumnie: „Jestem poręczą nad rzeką, niechaj mnie chwyta, kto chwycić mnie zdolny, krukwią — nie jestem!“

Osnowa sztuki niezupełnie odpowiada napisowi „ein deutsches Märchendrama“. To nie baśń ludowa jednolita, to raczej fantazya dowolnie i bez ścisłej uwięzi na tle podań ludowych z różnych czasów i miejsc wysnuta, bo jakby i trochę greczyzny tu się wkradło między te Elfy, Waldschraty Nickelmanny. Bohater dramatu Henryk, lejarz dzwonów, nowe swe dzieło, dzwon przeznaczony dla nowego kościoła zbudowanego w górach wciąga z pomocą ludzi na wyżyny. Przypadek czy przeznaczenie chciało, że lina, na której dzwon wisiał, pękła, a dzwon i Henryk za nim w przepaść runęli. Dzwon zniknął na dnie jeziora, Henryk, pokaleczony i potłuczony na śmierć, schronił się do chaty wiedźmy starej, Wittichen. Tu poznaje się z Rautendelein, uroczem albijskiem stworzeniem, znalezionem gdzieś śród górskiego ziela i wychowanem przez Wittichen. Jakby tajemne więzy zaplotły się między obojgiem, Henrykiem i Rautendelein. Lecz Henryka szukają pleban miejscowy, bakałarz i golibroda. Oni go unoszą ze sobą do domu, w dolinę. Rautendelein postanawia iść za nim między ludzi, nie bacząc na przestrogi starego Nickelmanna, króla żab, zakochanego w niej, lecz sromotnie przez nią odepchniętego.

Rautendelein przebrana jak dziewczę z ludu bieży w dół za Henrykiem. Zastaje go tu w chacie na posłaniu, a około niego żona stroskana, Magda, krząta się i płacze. Mężowi śmierć grozi, a co najgorsza, stracił on chęć do życia, klnie chwili przeszłej, klnie dziełom swym, niegdyś dumie jego żony i podziwowi ludzi. Za radą plebana postanawia Magda pójść do pewnej starej pobożnej kobiety, która modlitwą i lekami chorych uzdrawia. Tymczasem ma się Rautendelein chorym zająć. W Rautendelein bowiem pleban mylnie poznaje jakieś biedne, znane mu dawniej, nieme dziewczę. Napojem wedle przepisu babusi, tak zwykła zwać starą Wittichen, Rautendelein uzdrawia Henryka i zarazem przykuwa go czarami, jakie w napoju tkwią, do siebie, że może iść już w góry z tą pewnością, że najukochańszy za nią podąży.

I rzuca Henryk dom i żonę i dzieci. I idzie w góry za ukochaną. Ona mu daje miłość i siły do nowego zupełnie działania. Tu z Rautendelein, na wyżynach czuje się wolnym od wszelkich łańcuchów, tu duch jego swobodnie skrzydła rozwinie. Napróżno pleban przychodzi do niego, by go wrócić żonie, ludziom i „usłudze boskiej“. Henryk już teraz żyje dla siebie i tworzy dla siebie, dawniejszych jego dzwonów dźwięki „w dolinie brzmiały, w górach ech nie zbudzą.“ Zostaje więc tu, z Rautendelein, swojem natchnieniem, z przyrodą — królową, na szczytach, blizko nieba i słońca.

I bierze się do pracy, wytęża wszystkie swoje siły, że służą mu jak demony, kieruje niemi, kieruje dziełem, a jeśli ono w pierwszej próbie nie wyszło z pod rąk jego doskonałe, on je roztrąca i czeka na czas nowego natchnienia, idzie spocząć, by zbudzić się świeży i silny. Lecz sen dziś jakoś straszny, pełny przeczuć złych! Zrywa się i woła: „na pomoc! na pomoc!“ Zjawia się Rautendelein i przy jej boku znowu wiara wstępuje w niego i siła. Kiedy tłum mściwy z plebanem, bakałarzem i golibrodą na czele po górze się wspina, by jego dosięgnąć i strącić, on głazy na nich stacza i wraca zwycięzcą, gdy przeciwnicy się rozpierzchli. Lecz za ludźmi, jak wspomnienia dawniejszego życia, dzieci własne ukazują mu się w koszulinkach, z urną w dłoni. W urnie tkwi „coś słonego — coś gorzkiego — matki łzy“, matki, co za dzwonem poszła po śmierć na dno jeziora. Więc zrywa się Henryk, opuszcza Rautendelein i górskie wolne wyżyny i bieży w dół, zkąd odgłos własnego dzwonu go woła. Ale Rautendelein już schroniła się do wodnego pałacu króla żab, tęskna i smutna. Jeszcze raz ją ujrzy, gdy chce tak koniecznie, ale krótko to potrwa, gdyż go czeka śmierć. Wyjawia mu to Witichen. Trzy puhary mu stawia z odrobiną trojakiego wina cudownego. Po pierwszych dwóch puharach dawna siła i duch świetlany w niego wstąpi. Kto jednak te dwa puhary wypije, ten i trzeci spełnić musi, a w trzecim — śmierć. Henryk ani się nie zawahał: pije. Z tchnieniem harf eolskich ukazuje się Rautendelein. Ostatnia to godzina, godzina pożegnania. Jeszcze jeden uścisk, potem podaje Rautendelein Henrykowi puhar trzeci. I umiera na ręku uroczego dziewczęcia jej nad wszystko ukochany, a konające jego usta szepcą słowa: „Tam wysoko słonecznych dzwonów dźwięk! Słońce, słońce idzie! — Długą jest noc! —“

Taka w krótkich słowach osnowa pięcioaktowego dramatu. Kto żąda więcej, tego odsyłamy do dramatu samego, już wydanego drukiem. Będzie się on obracał w krainie piękna, a kto przyrodzie się przyglądać umie, kto umie słuchać muzyki i harfowego grania, kto zna góry, w szczególności może góry olbrzymie, kto zna i kocha lud i jego prostą, pełną poezyi duszę, kto zna lud z gór olbrzymich, w tem wszystko to się odświeży w arcydziele Hauptmanna, z niezwykłym czarem. Znawcę zaś zadziwi budowa dramatu, jasna nić przewodnia, doskonała technika twórcy „Tkaczów“, równie wiersz wykończony i piękność języka i obrazowanie zachwyci ucho wrażliwe na metrykę i muzykę słów.

A teraz przedstawienie pierwsze w Deutsches Theater“. Role były obsadzone najlepszemi siłami. To też zwłaszcza pierwsze trzy akty odegrano bez zarzutu. Ale już to Hauptmann był zawsze większym poetą, niż rolę głównego bohatera odgrywający Kainz aktorem. Gorzej było z czwartym i piątym aktem; tu właśnie Kainz zawinił, że zdawała się akcya w tych dwóch aktach być nierówną, jakby czasem przewlekłą. Dramatu zwątpień, wahania i upadku Kainz nie umiał odtworzyć. Reszta ról wypadła dość świetnie, uroczą była Sorma jako Rautendelein, doskonałym był Emanuel Reicher jako ksiądz, pysznym królem żab był nieco w rodzaju Böcklinowskim, Hermann Müller. Ale i on przyczynił się w piątym akcie razem z Rittnerem, Waldschratem, stworem podobnym do greckiego Fauna, któremu wogóle nie zawsze dostawało Mefistofelowego dowcipu, do dość znacznego dyssonansu. Scena, która każe się domyślać, że Rautendelein przebywa już w pałacu króla żab, na estradzie przedstawiła się słuchaczom w rodzaju, który z francuzka nazywamy „pikantnym.“ Tego wrażenia autor zapewne nie zamierzał wywołać.

Tego wrażenia też nie odbiera się przy czytaniu dzieła samego, zwłaszcza, że początek piątego aktu wydrukowany odmiennie niż go przedstawiono na scenie. Na scenie zstępuje Rautendelein do króla żab, słuchacz widzi to, w książce zaś dopiero z rozmowy pomiędzy królem żab a Faunem czytelnik ma się tego domyślać, więc odnośne akcentowanie domyślników zupełnie tu na miejscu. Inaczej sprawa stoi, gdy widz już wie o tem, że Rautendelein przebywa u króla żab.

Takie to spostrzeżenia można było zrobić podczas przedstawienia środowego w „Deutsches Theater“. Nie od rzeczy będzie wspomnieć o krytyce, jaką ogłosiły w dzień później dzienniki berlińskie Prawie wszystkie wyrażają się mniej lub więcej ujemnie o nowej kreacyi Hauptmanna, czasem są one wprost zjadliwe. Ale jest to szczekanie piesków, jak Heine taką krytykę nazwał. Tylko kilka dzienników objektywniejszych inne zajęło stanowisko. Najkorzystniej wypadły krytyki w „Berliner Tageblatt“ i „Vossische Zeitung“. „Vorwärts“, znakomicie redagowany organ socyalistyczny, podał tylko krótką treść, zapowiadając ocenę dłuższą na czas późniejszy i załączając uwagę, że w dramacie tkwi zapewne dobra cząstka historyi własnej autora. Któreś z wymienionych pism zaznacza, że w czwartym i piątym akcie działanie traci na jędrności. Już wyżej wspomnieliśmy, że wrażenie takie można było odebrać nie z winy autora, lecz

aktora. Żadnemu też z dzienników berlińskich nie przyszło na myśl, by dopatrzeć się tej winy w Kainzu; może to zaślepienie wobec ulubieńca krytyki i publiczności. Grę jego też wszyscy krytycy wychwalają i stawiają na pierwszem miejscu. Może i oni w roli jego później usterek się dopatrzą, a może i ten bądź co bądź znakomity artysta sam wżyje się lepiej w ducha poematu i więcej się wydoskonali.

Pozostaje nam jeszcze dać posłuch przez „Vorwärtsa" napomkniętej uwadze. Możnaby historyę poety nietrudno zespolić z fabułą dramatu. Po dramatach pierwszych, po „Tkaczach", tych dzwonach ulanych dla ludzi, dla prądów wśród nich nurtujących, Hauptmann wzniósł się w sfery czystej sztuki, stojącej po za w ogólnoludzkiemi dążnościami chwili w dziele swem „Hanusia". Tu po raz pierwszy hasło: „sztuka dla sztuki" rozbrzmiewa czarem czystego liryzmu. Lecz z wyżyn tych zstępuje wieszcz znowu między ludzi, skąd echo dawniejszego dzieła, tego potężnego, na podziw ludzki stworzonego dzwonu „Tkaczów" woła go przemożnie, zstępuje i wydaje podobny treścią utwór „Floryan Geyer". Ale to dzieło poronione nie znajduje uznania; więc autor znów powraca na wyżyny i tworzy nowe dzieło: „Zatonięty dzwon". Miałżeby to być śpiew na śmierć zranionego łabędzia, jak to zda się wypowiadać obrazek na karcie tytułowej książki, namalowany przez Ottona Eckmanna, tego ulubieńca czytelników czasopisma „Jugend"? O tem wątpimy, pieszcząc się nadzieją, że wieszcz jeszcze niepaz uniesie nas z sobą w sfery prawdziwej roczyi. *Paraklet.*

BADANIA NAUKOWE.

Lombroso i jego teorye.

Przekładu książki dr. H. Kurelli p. t. „Lombroso i jego teorye" nie możemy uważać za szczęśliwy nabytek dla naszej ubogiej literatury — nie dlatego, ażebyśmy prace o teoryach C. Lombrosa uważali za niepotrzebną, ale że przedrukowanie niektórych artykułów, zamieszczonych o badaczu włoskim w naszych czasopismach, dałoby napewno gruntowniejsze wyobrażenie, aniżeli ta praca. Zwłaszcza razi nas w autorze przetłomaczonej książki zupełny brak stanowiska krytycznego, tak iż czytający, skoro zawierzy jej zupełnie, poweźmie o przedmiocie pojęcie zgoła niewłaściwe. Pod piórem dr. H, Kurelli dorobek naukowy Lombrosa, którego wartości bynajmniej nie chcemy zbyt obniżać, nabrał rozmiarów niezasłużonych.

Przytoczymy parę próbek tego kadzidła. ...„Mamy tu przed sobą pracę, pod względem bystrej obserwacyi nieustępującą najlepszym, jakie wydała spółczesna psychopatologia. Lombroso istotnym okazuje się tu tłómaczem natury, geniuszem, któremu na punkcie subtelnego zgłębiania duszy ludzkiej z nowszych autorów dorównywa jeden Dostojewski, z dawniejszych tylko potężny psycholog kryminalny — Shakespeare".

..„Autora tego cechują zalety pierwszorzędnego badacza natury, jakie w Darwinie najwyższy swój znalazły wyraz: namiętność mianowicie połączona z cierpliwością zbieracza. Potrafi on też nagromadzone przez się szczegóły wyłożyć barwnie i z życiem. Zbywa mu wszakże na talencie umiejętnego przesiewania szczegółów, grupowania ich z punktu widzenia naturalnego!"

Przyjaciel zanadto gorliwy rzadko bywa dogodny! Istotnie, czem jest Lombroso? Czy geniuszem, którego przyszłość, pod względem subtelności rozbioru psychicznego, postawi obok Dostojewskiego i Shakespeare'a, jak to twierdzi autor zajmującej nas książki?

Nie obawiając się przesady, rzec śmiało możemy, że badacz włoski co do opracowania materyału faktycznego, jest typowym przedstawicielem nowoczesnej tandety w nauce. „Olbrzymiej masie zgromadzonych przezeń faktów nikt dysputą zaprzeczyć nie zdoła" — pisze dr. H. Kurella. Raczej wypowiedzielibyśmy zdanie zgoła odmienne.

W pracach Lombrosa toniemy w powodzi faktów i fakcików. Setki, nawet tysiące spostrzeżeń, są tam do naszego rozporządzenia. Atoli w całej pełni wyłazi z nich tendencya, właściwa obecnej chwili historycznej, mianowicie opieranie wywodów na ogromnej ilości faktów z upośledzeniem ich strony jakościowej. Książki C. Lombrosa są śmietniskiem, gdzie obok pomysłów oryginalnych mamy do czynienia z kupą chwastu, który na niwie nauki odegra tylko rolę mierzwy. Pomiędzy antropologami francuskimi, przyzwyczajonymi do ścisłości pomiarów i zwłaszcza do skrupulatnego szeregowania materyału faktycznego, a tandeckiem użytkowaniem przez Lombrosa pierwszej lepszej notatki lub spostrzeżenia doszło swego czasu do starcia, w którem zwyciężyli przedstawiciele dokładnej metody. Na każdej stronicy w dziełach kryminologa włoskiego można napotkać najpospolitsze ogólniki i najjaskrawsze sprzeczności. Przytem w potrzebie nie cofa się on przed zrobieniem z Chinczyka przedstawiciela człowieka pierwotnego, co ostatecznie nie przeszkodzi temu, ażeby gdzieś w dalszym rozdziale ów Chińczyk nie występował jako okaz wysokiej kultury. Studya antropologiczne nad zbrodniarzem muszą być oparte na wyróżnieniu naukowem typów rasowych, ażeby przymiotów tej kategoryi nie mieszać z cechami przypadkowemi, zbrodniczemi. Lombroso zgoła nie uwzględnia tego wymagania. „Rasa", pojęcie dzisiaj tak ściśle ustalone w nauce, jest tam wciąż używane w znaczeniu, w jakiem figuruje w artykułach polityków i publicystów. Trzeba jednak dodać, że badacz włoski obok lekkomyślności odznacza się uczciwością naukową w tem znaczeniu, że spłodziwszy pewną teoryę i po pewnym czasie spostrzegłszy, że zagalopował się zanadto jednostronnie, przyznaje się otwarcie do błędu i gotów pędzić tak samo nieopatrznie w nowym kierunku. Wogóle krytycyzm i gruntowność nie znajdują się w liczbie przymiotów Lombrosa. Jest on zaś wszędzie jednaki: w pracy o związku pomiędzy genialnością a obłąkaniem, w studyach nad zbrodniarzem urodzonym, lub źródłami rewolucyi. Wydał on sam dla siebie najwymowniejsze świadectwo.

„Gdy jeden z autorów niniejszej pracy (mianowicie o kobiecie zbrodniarce i prostytutce) począł pracować przed laty trzydziestu we wskazanym kierunku, wówczas wierzył on tylko w antropologię, zwłaszcza zaś w kraniometryę. Widział w niej rękojmię przeciw metafizyce i empiryzmowi, unoszącym się wszechwładnie nad studyami, które dotyczą człowieka. Upatrywał w nich już nie koronę, lecz trwały szkielet nowego obrazu człowieka, jaki miał być stworzony. Stało się to atoli, co zwykle dzieje się z zamiarami ludzkimi: użycie przeszło w nadużycie i wykazało płonność powziętych nadziei, zadało ciężki cios przesadnej ufności".

Szczerość to bezwarunkowo godna uznania i stanowiącą jeden z dodatnich rysów badacza włoskiego! Zresztą, wykazując jego strony ujemne, bynajmniej nie pragnęliśmy odmówić Lombrosowi wszelkich zasług. Jedynie chcieliśmy sprowadzić do godziwej miary niewłaściwe pochwały oraz zaznaczyć powierzchowność metody, której stale hołduje autor Zbrodniarza urodzonego. Natomiast podnieść należy inną stronę Lombrosa, niewątpliwie dodatnią. Jest to zapładniacz ideowy — w tem tkwi jego zasługa największa. Każde z jego twierdzeń zasadniczych wywoływało w nauce długie spory i rozprawy, wywiązywały się dysputy, rozpoczynały systematyczne studya. Idea zwykle była wygłoszona mocno niewyrobiona, poparta niedostatecznym materyałem, co do jego jakości. Ale umiała rozbudzać umysły i w ten sposób dokonywała rzeczy największej, tj. przyczyniała się do wprowadzenia fermentu do nieruchomych formuł i rutyny mężów wiedzy. Od lat dwudziestu Lombroso stoi wciąż na wyłomie i przeszkadza zastojowi. Do gruntu zburzył on wszystkie podstawy dawnej metafizyki kryminalistów, zamiast rozdziawiania ust na widok geniuszów, pierwszy wprowadził próbę poddania wyjątkowych uzdolnień twórczych analizie naukowej, skalpel zastosował do proroków i agitatorów wieków średnich. Tłomaczenie jego własne nie zawsze bywało szczęśliwe, ale zawsze otwierało nowe widnokręgi i zamiast utartych wzorów budziło nowe poglądy. *L. K.*

Z estrady i sceny.

(Śmierć cywilna. Dramat w 5 aktach przez S. Giacometiego.)

Pewien Francuz powiedział złośliwie, że sztuk dobrych w literackiem znaczeniu pisać się nie opłaci, bo o „nieśmiertelności" utworów scenicznych decyduje przedewszystkiem rola. Niech dramat będzie sobie marnym fabrykatem, byle tylko wielkiemu artyście lub wielkiej artystce nastręczał pole do gry efektownej a rozmaite Dusy i Sary Bernhardt, talent Rossich lub Salvinich zapewnią mu długowieczność na scenie. Do takich sztuk należy np. „Dama kameljowa" i „Fedora", — do takich także „śmierć cywilna.".

Sztuka Giacomettiego nie posiada głębszej literackiej wartości, a pod względem techniki i tendencyi od dawna już myszką trąci. Ani tu psychologia subtelna, ani budowa prawidłowa, ani akcya żywa, a w dodatku owa sporna kwestya, czy godzi się uważać śluby małżeńskie za nierozerwalne, gdy mąż lub żona umierają cywilnie, zamknięci na życie całe w więziennych murach, dziś już nie gorączkuje umysłów, bo rozwój prawodawstwa rozstrzygnął ją w pożądanym przez autora duchu. Prawodawcy patrzcie! woła dr. Palmieri na końcu dramatu, — to niegdyś brzmiało interesująco, w chwili obecnej jednak przypomina francuzkie przysłowie: „enfoncer une porte ouverte".

Mimo to „Śmierć cywilna" jest stałym gościem na scenach europejskich, bo ją ukochali wielcy artyści, bo Rossi i Salvini jaśnieli tu całą ogromną potęgą talentu swego. U nas w Poznaniu rolę Corrada objął p. Ryger, a od dawnego już czasu taką siłą dramatyczną i takiem mistrzostwem techniki artystycznej scena mi nie grała. Były momenta w grze p. Rygera o przedziwnej piękności, że tylko wspomnę opowieść o galerach i ucieczce więźnia, — było bardzo dokładne wykończenie szczegółów, cudowna muzyka głosu i cudowna gra ócz, tych wielkich ócz wyrazistych, które artysta umie zapalać, chmurzyć i w łzach roztapiać. Jeżeli zaś, mimo całej subtelności rysunku w tej

lub owej scenie, p. Ryger nie dość silnie nas elektryzował, jeżeli niepospolity wirtuoz olśniewał więcej techniką niż wzruszał prawdą głęboką, jeżeli sobotni Corrado był raczej świetną mozaiką niż w całem tego słowa znaczeniu człowiekiem, to przyczyny tego nie w braku psychologicznej inteligencyi i głębszej uczuciowości szukać należy, — bo te artysta nasz niewątpliwie posiada — ile w błędnej metodzie samej twórczości, w metodzie przyswajania sobie roli. Flavio Ando, wielki partner Dusy, wyspowiadał się niegdyś przed jednym z krytyków wiedeńskich, jak tworzy, jak wchłania w siebie postacie sceniczne. Nie pomnę nazwiska krytyka i nie pomnę dokładnie słów włoskiego aktora, ale myśl utkwiła mi w pamięci i podaję ją tu uwadze artystów naszych.

„Nie troszczę się zrazu wcale — mówił mniej więcej Ando — o tekst mojej roli. Przedewszystkiem muszę całe dzieło zrozumieć w najdrobniejszych szczegółach, przedewszystkiem muszę cały utwór *czuć*. Wtedy dopiero z jego ducha wyłaniają się zwolna poszczególne postacie i kształt zyskują i barwę. Gdy wreszcie w ten sposób zdobyłem sobie „swojego człowieka“, — gdy wreszcie zjawi się on przedemną tak wyraźnie, że słyszę każde słowo jego i widzę każdy ruch, natenczas usiłuję się w niego przemienić. Tekst sam odgrywa tu najmniejszą rolę i zwykle opanowuje go na samym końcu, po większej części dopiero na próbie“.

Taką jest metoda wielkiego Ando, — jest ona wręcz przeciwną przeciętnej metodzie naszych artystów. Tamten przechodzi z poczucia sztuki do poczucia roli, z poczucia roli do zdań pojedyńczych i gestów, tekst sam jest dla niego końcem. U nas tekst jest początkiem, a błędna ta zasada króluje także, jak mówi Herman Bahr, jeden z najlepszych znawców teatru, na wszystkich scenach niemieckich. Polscy i niemieccy artyści zaczynają od słowa, od pojedyńczych momentów roli i tak z kawałków tworzą całość, często bardzo piękną, ale zwykle mozaikową.

Rola Rozalii, żony Corrada, spoczywała w rękach p. *Andran*, o której zdolnościach dziś dopiero wydać mogę sąd jako tako stanowczy. W grze tej artystki znać niewątpliwie jeszcze brak rutyny, a mianowicie gra fizyognomii jest nieco sztuczna i wysilona. W opracowaniu roli zdradza jednak p. *Andran* prawdziwą inteligencyę artystyczną, akcentuje bardzo dobrze, cieniuje bardzo subtelnie i nie spekuluje nigdy na tani efekt błyskotliwości. Prostota, szczerość i staranność — oto zalety bohaterki sobotniej.

Z innych osób występujących zasługuje na wyróżnienie p. *Modrzewska*, której talent charakterystyczny powołał do życia nader udatny typ podstępnej bigotki, oraz p. *Tarasiewicz* w roli doktora Palmieri. Młody ten artysta, który, mówiąc nawiasem, maską swoją przypominał jednego z najwybitniejszych literatów warszawskich, odznaczał się filozoficznym spokojem, szlachetną powagą i siłą bijącą z połączenia wielkiego umysłu i wielkiego serca. Bladym natomiast był p. *Czerniak* w roli Joachima Ruvy, a postać ta stała się tem mglistszą, ponieważ dyrekcya zamieniła księdza w zwierzchnika gminy i tem samem stworzyła pewną niejasność i zagadkowość sytuacyi.

W. R.

TO I OWO.

Matka Vidrac.

W tych dniach literaturę francuzką powiększyła książka o krzykliwym nieco tytule: „Criminopolis,“ usprawiedliwionym jednak przez swą treść, ujawniającą ogrom nędzy galerników, skazanych za czyny przestępne na przymusowe roboty.

Autor jej, p. Mimande, w ciągu dłuższego czasu przeprowadzał studya w Nowej Kaledonii i dał obraz plastyczny, obfitujący w ciekawe szczegóły, bogaty niepospolitą obserwacyą.

Możnaby sądzić, że w smutnej tej miejscowości, oprócz administracyi, skazanej na przebywanie w niej z obowiązków służbowych mieszka jedynie zdziczenie obyczajów, zepsucie, gangrena moralna, pogarda wszystkiego, co posiada jakąkolwiek wspólność z uczciwością i szlachetniejszemi uczuciami.

A jednak w krainie tej p. Mimande odnalazł istotę jaśniejącą tak bezgranicznem poświęceniem, tak bezmiernem miłosierdziem, że wstrząsa do głębi potęgą tych uczuć, przepełniających jej duszę i skłania autora książki do wezwania akademii, aby przyznała jej tak zaszczytną nagrodę cnoty im. Montyona.

Nagroda Montyona na galerach? Tak, to rzecz niezwykła, ale też niezwykłem zjawiskiem jest Matka Vidrac, której nagroda ta będzie prawdopodobnie przyznaną.

Przed kilku laty mieszkaniec okolic Bordeaux, niejaki Vidrac, stanął przed sądem przysięgłych oskarżony o morderstwo. Prawdziwy typ kabotyna, obdarzanego względami kobiet, jedynie chyba za temperament południowca, posiadał matkę, która go ubóstwiała.

Matka Vidrac słynęła w całej okolicy, jako kobieta niepospolitych cnót: syn tyranizował ją, ohydnemi czynami kalał jej nazwisko, rozdzierał serce; tysiąckrotnie powinna była wyrzec się go, wyprzeć łączących ją z nim węzłów krwi, tysiąckrotnie powinien był umrzeć dla niej, a jednak zawsze była jego matką i pozostała nią nazawsze.

Kiedy Vidraca sądzono, przyszła do sali posiedzeń, ani na chwilę nie opuszczając swego syna. Kiedy go skazano, sprzedała graty, krowę, cztery kury i pojechała za jedynakiem do Nowej Kaledonii.

Kiedy przybyła do Numei, zapytała w porcie jednego z dozórców o skazanego nazwiskiem Vidraca.

Jesteś pani jego matką? — zapytał dozórca.

— Tak.

— Dobrze. Proszę za mną, spodziewał się pani.

Nazwisko Vidraca było na galerach bardzo popularnem, wkrótce bowiem po przybyciu na miejsce zamordował podczas kłótni jednego ze swoich towarzyszów, za co skazano go na śmierć. W chwili przybycia matki oczekiwał na spełnienie wyroku, ale przybycie jej ocaliło go. Rozpacz nieszczęśliwej wzbudziła litość dozorców; ułaskawiono go z przeznaczeniem do oddziału niepoprawnych.

Vidrac zakuty w kajdany pracuje przy rozbijaniu kamieni. Z nadejściem chwili odpoczynku do grupy skazańców zbliża się staruszka, wynędzniała, z twarzą porysowaną zmarszczkami nadludzkiej boleści, z oczyma wypłakanemi, i podaje młodemu galernikowi dzban napełniony posilną zupą.

Jeżeli pożywienie wystygnie przez drogę, staruszka zbliża się z wielką nieśmiałością, bo wie, że usłyszy obelgę, którą jednak zawsze znosi cicha, pokorna, wierząca, że wszystkie cierpienia będą jej policzone.

Jeżeli pożywienie smakuje skazańcowi, pozwala, aby matka pocałowała go, ale pocałunku tego nigdy nie oddaje, nie patrzy na swą karmicielkę, nie wita jej i nie żegna nawet skinieniem głowy. Gdy do niej mówi, nie nazywa jej matką, ale „starą,“ z odcieniem pogardy w głosie.

Tak! Autor „Criminopolisu“ ma słuszność: ta matka-męczenica zasługuje, aby przyznano jej nagrodę Montyona, ale czy istnieje na świecie tak potężna fantazya, któraby była w stanie obmyśleć karę dla potwora, którego nieszczęśliwa nazywa swem jedynem dzieckiem?

NA WYŁOMIE.

(Sprawa toruńska.)

O! i na partykularzach dzieją się czasem dramata i romanse. Taki n. p. Toruń! Dziś to sobie dziura aż miło, ponura na pozór i cicha, a przecież od czasu do czasu wszystkie oczy zwracają się ku tej mieścinie, tak, jak to niegdyś za lepszych czasów bywało, gdy Jagiełło zawierał tam dosyć głupi pokój z Krzyżakami, szlachta pieczętowała pańszczyznę chłopa i Jezuici wyrzynali protestantów. A później? no! później to pieczono toruńskie pierniki i zawarto przed paru laty drugi pokój z Krzyżakami, tylko jeszcze głupszy niż Jagielloński, bo tamten upewnił nam przynajmniej ziemię dobrzyńską i żmudzką, a ten przyniósł nam figę z octem, bardzo kwaśną figę w rodzaju Hakatystów i pamiętnej mowy cesarskiej, która jak policzek rozległa się na rynku toruńskim, — policzek na twarzach lojalistów naszych. Ach! ta mowa toruńska! Ileż ona krwi napsuła, ileż wyżłów w ruch wprawiła, tropiących za śladem intrygi! O! i ja niegdyś byłem Faryseusem, tj. chciałem powiedzieć wyżłem, ale odkryłem zaledwie drobne poszlaki i byłbym dziś jeszcze ciemny jak tabaka w rogu, gdyby panu Marschallowi nie była przyszła fantazya chwycić za gardło takich Lützowów i Tauschów.

Tu kończy się dramat i romans à la Born lub Gaboriau. Czegóż-bo tam nie ma w tej strasznej historyi?! Przedewszystkiem *cherchez la femme*! Jest agent policyjny z fałszywem nazwiskiem! Jest żonkoś, odgrywający rolę kawalera! Jest wykradanie tajemnic i fabrykacya oszczerstwa! Jest wielkie tło polityczne! Jest zdrada! Jest rozpacz! Jest proces sensacyjny! Boże! czemuż ja Bornem nie jestem?!

Lecz idźmy porządkiem rzeczy! Pani Ch., właścicielka jednego z pierwszorzędnych hotelów toruńskich miała córkę przedziwnej urody. Była to natura bujna, stęskniona cudów szerokiego świata, spoglądająca z goryczą na żelazne kraty małomiejskiej klatki i śniąca nieraz o królewiczu z bajki wśród toruńskiej prozy. I zdarzyło się, że gdy raz o zmroku smętnie dumała w izbie hotelowej, skarżąc się Bogu, że dał jej życie bez słońca, zaturkotało przed bramą. Po chwili drzwi się otwarły i przed nią stanął młody mężczyzna z niemieckiem słowem powitania. Gość jakich wiele! Rzuciła okiem niedbale i twarz zwróciła ku oknu. Wkrótce jednak ogarnął ją dziwny niepokój. Czuła, że przybysz wpatruje się w nią uporczywie, czuła, że wzrok jego pieści się jej profilem, jej włosem, jej figurą, czuła się przedmiotem podziwu. Zaambarasowana opuściła pokój, lecz przed udaniem się na spoczynek zajrzała w książkę hotelową. Nieznane nazwisko, zwykłe mieszczańskie nazwisko.

To było pierwsze spotkanie. Gość stale zamieszkał w hotelu i po dniach kilku zapukał do prywatnego mieszkania pani Ch., a po kilkunastu spędzał tam długie godziny, całując ręce prześlicznej dziewczyny i prosząc szeptem namiętnym o miłość. Mówił tak dziwnie, tak inaczej jak wszyscy Donżuani toruńscy. Muzyka jego głosu pieściła

ucho, słowa unosiły wyobraźnię dziewczęcia w jakieś inne, szersze krainy, — to on, ten wymarzony, ten rycerz z daleka! Nastąpiły zaręczyny, wprzódy jednakże wyznał szczęśliwy oblubieniec, że prawdziwe jego nazwisko jest baron von Lützow, że piastuje wysoki urząd w policyi politycznej i dla tego w interesie służby zrazu zataić je musiał. Krótka chwila wachania, jakiś błysk wątpliwości, jakiś lęk nieokreślony. Lecz baron miał syrenie śpiewy, korona jego lśniła tak ponętnie i serce panienki pukało tak silnie, że skrupuły utonęły w głębokich nurtach miłości.

Lützow wnet się otoczył szerokiem kołem znajomych, o których przecież tak łatwo w publicznym lokalu. Żywy, wytworny, dowcipny, inteligentny, stał się ulubieńcem miejscowej śmietanki polskiej. Gdy późnym wieczorem od stóp narzeczonej się oderwał, pękały korki szampańskie i on sam musował jak szampan. Opowiadał wiele i pięknie, lecz więcej jeszcze pytał towarzyszy. Interesowało go życie tego kraju, gdzie stała kolebka ukochanej kobiety, interesowały go stosunki polskie, które, jak mówił, cudzem są dla niego zjawiskiem. Przyjaciele polscy zachwyceni tą ciekawością sypali oczywiście informacye jak z roga obfitości, a ponieważ stronnictwo „ładu i porządku“ wymyśliło wonczas sensacyjną bajeczkę o polskim socyaliźmie, maskowanym firmą ruchu ludowego, więc nasłuchał się Niemiec straszliwych legend o żelaznym wilku. Uśmiechał się i pytał, a oni opowiadali i pili szampana.

W tym samym czasie zjawił się drugi przybysz nieznany na toruńskim bruku i obaj z Lützowem wspólnie długie odbywali narady. Potem zniknął „ten drugi“, a potem przyjechał cesarz i rzucił z konia owe twarde słowo, że Polacy toruńscy „nie postępują tak. jakby się tego spodziewać należało“. Zagrały trąby na alarm. Kto winien? Kto informował cesarza? Szukano napróżno.

A tymczasem narzeczony pięknej panny z hotelu śpiewał skowrończe pieśni o szczęściu i miłości, a ona zasłuchana w muzykę słów jego marzyła o mirtowym wianku. Praktyczniejszą matkę jednak zastanowiła pewna tajemniczość, którą ten człowiek zdaleka otaczał osobę swoją. Zaczęła pytać i oto razu pewnego oświadczył pan Lützow, że o małżeństwie na razie myśleć nie może, bo musiałby popełnić zbrodnię bigamii. Krzyk, łzy i rozpacz. Pan baron jednak miał czary w oczach i słowach. Mówił, że poślubił przed laty jedną z córek Bellachiniego, króla kuglarzy, że jednak dzisiaj nienawidzi tej kobiety, że nastąpiła już dawno separacya i wkrótce nastąpi rozwód. Po burzy słońce. Matka i córka godzą się czekać cierpliwie, przyjmują nadal w swoim domu barona i spędzają nawet w jego towarzystwie wesołe chwile nad brzegiem morza w Copotach.

Tragedya zbliża się ku końcowi. Służba woła Lützowa do Berlina. Wyjeżdża, odsyła pierścionek i nie wraca więcej.

Opowiadanie powyższe opieram na informacyach bądź to otrzymanych z samego Torunia w drodze prywatnej, bądź to zaczerpniętych z polskich i niemieckich dzienników. Ubrałem je tylko w lekki koloryt nowelistyczny, o który sam temat gwałtem się napraszał. Być może, że przyszłość odsłoni tu mnóstwo innych nieznanych jeszcze szczegółów, a wtedy uzupełnię opowieść moją, którą nie fantazya, lecz życie pisało.

Być może, że niedyskrecya ta dziennikarska zaboli interesowane osoby, lecz polityka nie zna miłosierdzia. Sądzę, że żaden z publicystów naszych nie byłby zdzierał kurtyny z tajemnic familijnych, gdyby proces berliński nie odsłonił tła politycznego całej awantury, gdyby Lützow i Tausch nie nasuwali silnych podejrzeń, że oni właśnie karmili cesarza niemieckiego baśniami o socyaliźmie polskim, pozbieranemi na toruńskim bruku. Kreatury bismarckowskie po bismarckowsku działały i uderzyły w najczulszą stronę monarchy, w jego wstręt do idei przewrotu społecznego.

Na koniec jedno jeszcze słowo. Dzienniki barwy ugodowej starają się z sensacyjnych tych rewelacyi bić kapitał dla polityki swojej i konsekwentnie kładą w głowę społeczeństwa, że gdyby nie Lützow i Tausch, to postępowanie rządu pruskiego w obec Polaków miałoby zgoła odmienne oblicze, a dyplomacya Kościelskich święciłaby niepospolite tryumfy. Jest to nowe kuszenie narodu, nowa próba plantowania złudzeń na sztucznym nawozie solistyki. Wierzę, że podszepty Lützowa i Tauscha mogły spowodować mowę toruńską, lecz trzeba mieć sporą dozę naiwności lub zaślepienia, aby przypuścić, że bajeczka o rzekomym socyaliźmie ruchu ludowego mogła aniołów rządowych zamienić w Drakonów, mogła wpłynąć zasadniczo na cały system polityczny Prus w obec Polski.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA

Zola w świetle psychiatryi. Psychiatra Edward Toulouse, szef kliniki fakultetu medycznego w Paryżu, przedsięwziął medyczno-psychologiczne badanie stosunku między wyższością umysłową a neuropatyą. Jako pierwszy przedmiot badania obrał sobie Zolę, któremu chce poświęcić cały tom obserwacyi psychologiczno-patologicznych. Znakomity pisarz poddał się z całą gotowością różnym eksperymentom, mającym dostarczyć lekarzowi materyału do jego wywodów; zaopatrzy on nawet książkę dra Toulouse przedmową, którą podaje Revue de Paris jednocześnie z urywkami z całego dzieła. „Dziękuję ci, kochany doktorze“, pisze Zola, „że wystudyowałeś i zaopatrzyłeś w etykietę moją ziemską powłokę. Zdaje mi się, że skorzystałem przy tem. Jeśli nie jest doskonałą, to przynajmniej jest to powłoka ziemska człowieka, który życie swoje poświęcił pracy i włożył w nią wszystkie swoje siły fizyczne, umysłowe i moralne“. Ustrój nerwowy Zoli, według obserwacyi dra Toulouse, przedstawia obraz chrobliwych objawów, drgawek sercowych, kurczów itp. Ulega ona zwłaszcza napadom bólów, które trwają od dwudziestego roku życia, a najpierw wystąpiły jako kolki nerwowe, następnie zaś jako zapalenie gardła, pęcherza, reumatym stawów. Słowem Zola jest prawdziwym neuropatą, albowiem cierpienia jego są niezależne od jakiejś widocznej zmiany organizacyi, ale neuropatya ta nie zbliża się ani do epilepsyi ani do do histeryi. Jego cierpienia nerwowe są wrodzone i rozwinęły się skutkiem pracy umysłowej. Dziwnemi bardzo zwłaszcza są próby lekarza z pamięcią i literackim „węchem“ Zoli, które wykazały, że głośny pisarz jest w tym kierunku bardzo słabo uposażony. Gdy mu doktór przeczytał urywek jego własnej krytyki, którą napisał w roku 1876-ym, nie poznał jej i wymienił z wahaniem jako autora Sarcey'a albo Lemaitre'a. Jedną ze swoich poezyi przypisał zrazu Musset'owi i poznał ją dopiero przy siódmym wierszu. Urywku ze słynnego romansu Balzac'a „Cousine Bette“ nie poznał wcale. Ustęp z Pascal'a przypisał Voltaire'owi albo Diderot'owi a urywek ze „Skąpca“ Molière'a — p. Prévost. Może wyniki tych badań dowodzą nietylko zboczenia ustroju nerwowego, ale także braku wykształcenia literackiego znakomitego pisarza?

KRONIKA POWSZECHNA.

— **Teatr i muzyka.** Dowiadujemy się, że dyrekcya teatru poznańskiego przygotowuje głośną sztukę Sawiczewskiego p. t. „Na bezdrożach“, premiowaną na konkursie krakowskim. — W najświeższym numerze czasopisma „Moderne Kunst“ znajdujemy wiadomość, że Modrzejewska zamierza przybyć na kilkanaście gościnnych występów do Berlina i występować mianowicie w Szekspirowskich rolach. Autentyczność tego doniesienia wydaje nam sie podejrzana ze względu na nadwątlony stan zdrowia wielkiej artystki. Pani Zalewska opuściła trupę teatru poznańskiego.

— **Koncert Śliwińskiego.** Nie ma przyjemniejszego obowiązku dla sprawozdawcy muzycznego, jak całą pełnią zasłużonych pochwał i uznania przywitać r daka-artystę, który na horyzoncie polskiej sztuki zajaśniał taką siłą pierwszorzędną jak Józef Śliwiński. Zrozumiała też tym razem nasza publiczność znaczenie występu artysty i zgromadziła się we wtorek dnia 8-go grudnia nader licznie na sali Lamberta, spłacając dług uznania, jaki się artyście właśnie ze strony polskiej należał, a który Poznań z okazyi dawniejszych u nas występów zaciągnął. Nie dopisała tylko niemiecka publiczność. Ale i my w koncertach wybitnych artystów niemieckich świecimy nieobecnością, nie mamy więc prawa robić innym ztąd zarzutu. Programu wspaniałego wysłuchało zgromadzenie w możliwem skupieniu ducha i z rzadką u nas uwagą i spokojem. O grze artysty pisaliśmy obszernie w numerze 8-ym „Przeglądu“. Dziś ograniczymy się tylko na kilku uwagach. Grę Śliwińskiego cechuje przedewszystkiem prawdziwa męskość, pełna zdrowia i jędrności, grze jego obcy jest wszelki sentymentalizm i ckliwość, tak przez nasze nadobne pianistki i pianistów poznańskich z powodzeniem uprawiane. To zdrowie i męzka energia przemawia prawie z wszystkich utworów Bethovena, a więc przemówiła w interpretacyi Asdur Sonaty tego najwyższego geniuszu muzycznego całą głębią uczucia do słuchaczy. Na tej jędrnej interpretacyi zyskał również sentymentalizm Mendelsohna w waryacyach i nie stracił nasz genialny Chopin, w którego muzyce, mimo całego ogromu geniuszu, mieści się dużo chorobliwego hyper-romantyzmu. Schubert z wyjątkiem może Tria w Menuecie, które dla nas było za rubasznie uchwycone, był prawdziwą ozdobą koncertu. W tysiącznych kolorach zajaśniała olbrzymia technika pianisty w walcu Rubinsteina, Spinnerlied Wagnera-Liszta i Marszu Mendelsohna w efektownym opracowaniu Liszta. Jeżeli w pierwszej połowie programu artysta fenomenalną swą wprawę oddał jedynie na usługi idei interpretowanych arcydzieł literatury muzycznej, tak, że słuchaczom olśnionym myślą głęboką, technika ta nie podpadała, to za to w ostatnich utworach programu techniczna wprawa wystarczyła sobie sama i czarowała prawdziwą poezyą, tak uduchowiona się ujawniała.

Miłą ostatecznie dzieliny się nowiną, mianowicie, że artysta nasz wystąpi w pierwszej połowie stycznia w Teatrze polskim, gdzie nam urządzi wieczór Chopinowski.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

— **A. N.** Informacye nasze co do składek na portret ś. p. Franciszka Dobrowolskiego były o tyle mylne, że jak się dowiadujemy z wiarogodnego źródła, obecny redaktor Dziennika nie poczuwa się do obowiązku przyjmowania składek na cel powyższy.

— **333 w Toruniu.** Dziękujemy serdecznie za informacye. Z drugiego listu nie korzystamy na razie, czekając na rozwój sprawy.

— **W Berlinie.** Z artykułu p. t. „Jeszcze o idyotyzmach recenzentów poznańskich“ skorzystamy przy sposobności. Chwilowo nie widzimy potrzeby, by powtórnie materyę tę poruszać.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej Nr. 28 (Telefon Nr. 334.)

Nr. 51. Poznań, niedziela 20-go grudnia 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: Podgórna ul. Nr. 7. w podwórzu.

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi w **Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Podgórna Nr. 7. w **Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.
Rękopisów drobnych niezwracamy.

TREŚĆ.

„Powaga prasy“
albo:
Kto jest pan Łebiński?

Gdyby u nas istniała opinia publiczna i gdyby ta opinia miała moc strącania w pył Falstaffów, pozujących na Katonów, i zer moralnych, wydętych w cyfry poważne, to runąć by dzisiaj musiał albo „Dziennik Poznański“ albo jego redaktor, p. dr. Łebiński.

Wiadomo wszystkim, że między dawniejszą redakcyą pisma tego a nami istniały tak poważne różnice ideowej natury, że bezustannie niemal wrzała walka zacięta, i wiadomo wszystkim, że sąd nasz o śp. Fr. Dobrowolskim jako publicyście, polityku i człowieku posiadał wiele akcentów ujemnych, rozsianych na stronnicach „Przeglądu“, — to jednak dzisiaj raz jeszcze stwierdzić musimy, że były redaktor „Dziennika Poznańskiego“ granic uczciwości dziennikarskiej nie naruszył nigdy i umiał pismo powierzone pieczy swojej ustrzedz przed charakterem dziennikarskiego bandytyzmu. Gdy po krótkiem interregnum pana Józefa Głębockiego objął rządy „Dziennika“ p. dr. Władysław Łebiński, owładnęły szerokie koła poważnie myślących obywateli przykre przeczucia. Lękano się, że spuścizna po ś. p. Franciszku pójdzie w niewolniczą służbę do Rzymu i fanatycznego lojalizmu, — lękano się jednak przedewszystkiem, że p. dr. Władysław Łebiński, dzięki swym moralnym kwalifikacyom, strąci „Dziennik Poznański“ z wyżyn przyzwoitości i etyki w proch rewolwerowej żurnalistyki. Przeczucia okazały się słuszne.

Po dłuższem milczeniu uważał „Dziennik Poznański“ za właściwe rozprawić się w artykule zatytułowanym „Powaga prasy“ z przeciwnikami swoimi, którzy — przyzna nam to nawet wróg najzaciętszy — występowali dotychczas jedynie przeciw programowym twierdzeniom i postulatom nowego „Dziennika“ pod kierunkiem p. Kościelskiego, a redakcyą p. Łebińskiego, nie naruszając nigdzie spraw osobistych, nie kując nigdzie brudnego oszczerstwa i niezamieniając nigdzie szabli uczciwej na nóż lub pałkę. Pan Łebiński szabli uczciwej w arsenale swoim nie znalazł i oto stał się fakt niesłychany w dziejach „Dziennika Poznańskiego,“ fakt licujący wprawdzie zupełnie z opinią, którą obecny redaktor tego pisma, a dawniejszy współpracownik „Kuryera“ posiada w szerokich kołach społeczeństwa, lecz zniesławiający dobre imię „najpoważniejszego“ organu Księstwa.

Nie będziemy się tu dłużej rozwodzić nad tym tonem śmiesznego dorobkiewicza, w którym „Dziennik Poznański“ zaczyna swój paszkwil, wywodząc, że w polemikę wdawać się nie myśli, bo musiałby „uznać przeciwników swoich za stronę wojującą, a to byłoby dla nich za wielkim zaszczytem“. O! takie zdanie wyczerpującej krytyki nie wymaga, bo wystarcza tu jedno pytanie: Kto zasługuje na większy szacunek, — czy ci, którzy nie szczędząc ofiar pieniężnych i nadstawiając głowy swoje pod grad kamieni, walczą zawsze jasno i otwarcie w imię idei swoich i drogę nowym prądom torują, czy też owi polityczni rzezańcy, którzy w najpoważniejszych kwestych narodowych kryją jak krety myśli swe pod ziemię i tchórzliwie gną się i łamią, — czy my, którzy podajemy społeczeństwu poglądy i przekonania w pełnych blaskach słońca, czy „Dziennik Poznański“, który w ostatnich latach dziesięciu mrokiem się otaczał, nigdy nie wiedząc, co powiedzieć krajowi, gdy bądź to żałoba narodowa, bądź polityka ugody, bądź stosunek Kościoła do narodu, bądź w najświeższych czasach kwestya interpelacyi sejmowej do bram poznańskich pukała.

Ten ton tuzinkowej fanfaronady maskuje tylko wewnętrzną nicość i poczucie własnej słabości. Znamy go dawno i słów nad jego wartością tracić nie myślimy. Ale pan Łebiński do starej fanfaronady przyłączył nową nikczemność i ona to staje się przyczyną, że osobą tego pana zajmować musimy czytelników naszych. Nóż i pałka nowej redakcyi „Dziennika Poznańskiego“ rozpoczęły rzemiosło swoje, bo oto pojawiło się w Nr. 286 „Dziennika Poznańskiego“ twierdzenie, że w polskiem dziennikarstwie przeciwnego obozu znajdują się ludzie „podejrzani o bliższe stosunki z polityczną policyą i podsycający to podejrzenie częstemi denuncyacyami osób i zbiorowisk całych“. I nie dość na tem. Po pierwszej następuje druga kalumnia, następuje jakieś niejasne, mgliste, a trujące jak strychnina oszczerstwo, że walczyć nie można z ludźmi, „którzy podobno mają wielce niewyrównane konta u instytucyi wdowiego grosza“. Nie powiedziano tu niczego wyraźnie, ale właśnie dlatego rzucono ziarno najpotworniejszych podejrzeń, stworzono atmosferę właściwą dla ludzkiej złości i nienawiści, wypowiedziano pierwsze słowo oskarżenia o jakiś tajemniczy szantaż i oszustwo. Zamiast walczyć rzeczowo z ideowemi postulatami przeciwników, mianuje się ich zgrają szpiegów pruskich i oszustów, zgrają zdrajców ojczyzny i rycerzy przemysłu, a kalumnie te fabrykuje się z zręcznością wytrawnych rzezimieszków tak, że uciśnieni nie mogą odwołać się do opieki prawa, — tak, że bandyta dziennikarski zasłania się jak tarczą formą dwuznacznych ogólników, które dla społeczeństwa i opinii mają tylko jedno znaczenie.

Oto metoda walki wprowadzona przez nowego redaktora do „Dziennika Poznańskiego“, metoda którą społeczeństwo mniej apatyczne od naszego postawiłoby pod pręgierz publiczny, metoda, która spycha „najpoważniejszy organ Księstwa“ w błoto dziennikarskiego rozboju i grozi zatruciem stosunków. Podnosimy głos nie w obronie obozu naszego i pokrewnych stronnictw, bo są oszczerstwa, na które odpowiada się tylko tak bezgraniczną pogardą, że ona, zamiast słów, ślinę ciśnie na usta, lecz w obronie społeczeństwa, któremu kapłani jego szczepić zaczynają gangrenę moralną, — podnosimy głos dla zbudzenia opinii publicznej i w tym celu prezentujemy tutaj w szkicowych rysach sylwetkę człowieka, którego rafinowane manipulacye kliki politycznej postawiły na czele „Dziennika Poznańskiego“. Przykra to robota i przykre zadanie, lecz po tem, co się już stało, i co się dziać będzie niewątpliwie w dalszym jeszcze ciągu, jesteśmy zniewoleni pokazać pana Łebińskiego takim, jakim jest, i rozstrzygnąć pytanie, jakie są moralne kwalifikacye człowieka, zajmującego takie stanowisko, do którego, zdawać by się mogło, uprawnia tylko głęboki umysł, nieskazitelna szczerość przekonań i wysoki poziom etyczny.

Przed mniej więcej 25 laty zjawił się pan dr. Wład. Łebiński na bruku poznańskim i wkrótce wystąpił na arenie publicznej jako fanatyczny szermierz najskrajniejszych dążeń radykalizmu. W czasie walki kulturnej, gdy nawet ta część społeczeństwa, która nie solidaryzowała się z przewagą Kościoła na ziemi naszej, stanęła w jego obronie z czysto narodowych względów i przez humanitarną sympatyą dla uciśnionych, wydawał p. Łebiński osławione pisemko „Wiarus“, popierające walkę rządu z Kościołem. Dla

scharakteryzowania programu, któremu służył wówczas obecny szampion ultramontanizmu, zalecający społeczeństwu, by „na wszystkie interesa narodowe patrzało wyłącznie przez pryzmat katolicyzmu“ cytujemy tu z rocznika III Nr. 73 ustęp następujący, ustęp z pożegnalnego artykułu umierającego czasopisma:

„Nasi politycy kościelni w tej walce interes nasz zespolili z mniemanym interesem rzymskim, a my ściągnęliśmy na siebie wszystkie gromy ultramontanizmu, twierdząc, że dla nas zupełnie w równej mierze nieprzyjaznym jest interes rzymski jak niemiecki rządowy. Nieprzyjacielem tym, rakiem zjadliwym jest ów zapamiętały ultramontanizm, który i tak już dochodzi kresów niedołęztwa i praktyki zatracena“.

Tak pisał późniejszy współpracownik „Kuryera Poznańskiego“, a jak daleko sięgały sympatye p. Łebińskiego do Kościoła i jego przedstawicieli, najlepszy stanowi dowód fakt, że ohydny paszkwil na duchowieństwo p. t. „Kuczma i Kossak, dwaj konfratrowie“ wydany został z jego inicyatywy i za jego pieniądze.

Z czasem jednak zrozumiał p. Łebiński, że radykalny liberalizm nie popłaca w naszem społeczeństwie i zamiast zysków tylko straty materyalne przynosi, więc z cechującą go elastycznością wykonał zdumiewające salto mortale i z przywódzcy obozu wolnomyślnego stał się rycerzem ultramontanizmu w najjaskrawszem tego słowa znaczeniu. Ile razy „Kuryer“ zamieścił w kierunku ultramontańskim lub lojalnym jaką ekscentryczność niezwykłą, czuć było pazur p. Łebińskiego, a nie mylił się społeczeństwo w przekonaniu, które obecnego redaktora „Dziennika“ mianuje autorem głośnego artykułu „Kuryera“ p. t. „W dzień urodzin cesarskich.“ Oto maleńka próbka lojalnego stylu:

„Obchodzimy dziś wraz z całem państwem urodziny cesarza Wilhelma II. Nie naszą rzeczą sądzić jego czyny, dzieła, zamiary, wolę i uczucia. Historya to sądzi. My jako czcimy w nim reprezentanta najwyższej władzy świeckiej, z woli Boga ustanowionej, tak zniewoleni jesteśmy z woli najlepszej, niczem nie zaćmionej, złożyć u stóp jego tronu najszczersze życzenia lojalnych poddanych, którzy bez fałszu i udawania wszelakiego, bo z Bożej myśli muszą mieć zaufanie do pomazańca Bożego. Wszystko inne złudne jest na świecie, dla tego my wierzymy wyłącznie w Boże powołanie monarchy, twierdzimy zawsze i dziś, w dzień tak uroczysty, że bramy piekieł takiego powołania skrzywić i spaczyć na trwałe nie potrafią. Źli ludzie, ogołoceni z ciepła płomieni Bożej łaski, mogą nami do czasu poniewierać, mogą usilnie pragnąć, żeby wola monarchy stała się stronnicza, dokuczliwa dla słabych, mogą zachodzić okoliczności, w których tryumf złych ludzi zdawałby się być blizkim i niewątpliwym, a jednak tryumf ten rozbić się musi o Boże powołanie monarchy i owo poczucie sprawiedliwości, które właściwem być może tylko tym, co najwyższe jej wswym ręku dzierżą szale“.

Oprócz współpracownictwa w „Kuryerze“ zasilał p. dr. Władysław Łebiński „Kraj“ petersburski i „Czas“ krakowski artykułami z kuźni ultramontańsko-lojalnej, a prusofilstwo jego zawsze było jaskrawe, niezręczne, jednostronne i w zaprawie osobistych niechęci podane. Artykuły p. Łebińskiego w krakowskich i petersburskich czasopismach były nieraz przedmiotem energicznej polemiki w „Dzienniku Poznańskim“ i zjednały mu w tem samem piśmie, którego redakcya obecnie w jego znajduje się rękach, stały a mało zaszczytny przydomek „brzuchomówcy“. Oczywiście człowiek tego rodzaju, co pan Łebiński, umie w razie potrzeby pogodzić wszystkie kierunki i n. p. w Poznaniu zalecać „bezwzględną uległość“, cześć i szacunek dla Koła polskiego, a w Petersburgu dla zaspokojenia swych osobistych uprzedzeń lub draśniętych ambic i to samo Koło piętnować mianem pijaków, karciarzy i zbijobruków. Oto, co pisze obecny redaktor „Dziennika Poznańskiego“ o posłach naszych w Nr. 37 „Kraju“ z r. 1888:

„Cóż począć w Berlinie, kiedy długo czekać trzeba na jakiekolwiek emocye (?) pracy, jeżli już nie pracę samą. Więc z szynku do szyneczku, obiadki, obiady, imieniny, whist, preferans i t. d. Potem się powie od czasu do czasu mówkę „w obronie zagrożonych praw“, która jeszcze większy ucisk sprowadza, — i honor narodowy uratowany, a ostatecznie i do takiego życia w Berlinie nawyknąć można“.

A dalej:

„Ambicyą naszych posłów było i jest pięknemi frazesami i matematycznemi argumentami zadowolić podniebienie ulicznych polityków i babskich wyznawców politycznej dewocyi“.

Zwracamy z naciskiem uwagę, że słowa powyższe odnoszą się do tej samej instytucyi i niemal do tych samych ludzi, których p. Łebiński stawia dziś na ołtarzu, jako nietykalne świętości, i w obec których odmawia dziennikarstwu wszelkich praw krytyki. Warto też przypomnieć, że „Dziennik Poznański“, na którego czele stoi obecnie pan dr. Łebiński, tak osądził korespondenta do „Kraju“ w Nr. 268 z r. 1888:

„Mamy tu na myśli ową niefortunną korespondencyę p. Domarata z Poznania do wychodzącego w Petersburgu „Kraju“, w której wszystkich posłów naszych odsądza nieomal od czci i wiary, z którym to zarzutem, jako schodzącym poniżej wszelkiej krytyki, rozprawiać się nie będziemy i t. d.“

Tak to osądził „Dziennik Poznański“ swojego obecnego redaktora, a lubo p. Łebiński wypierał się swego czasu publicznie pseudonimu „Domarata“ i nawet groził procesami za takie posądzenie, to chyba teraz procesu lękać się nie potrzebujemy, skoro sam „Kraj“ petersburski ogłosił, że korespondent jego „Domarat“ został naczelnym redaktorem „Dziennika“.

Oprócz dziennikarskiej działalności brał p. dr. Łebiński w sprawach publicznych nader skromny udział, a głośnem stało się tylko jego współpracownictwo w niemiecko-polskiem stowarzyszeniu dla zwalczania socyalizmu, który n. b. w naszych dzielnicach żadnych warunków rozwoju nie posiada. Wspominamy ten epizod społecznej pracy p. Łebińskiego jedynie z tego powodu, ponieważ rzuca on ciekawe światło na umysłowość, inteligencyę i „głęboki“ krytycyzm nowego redaktora „Dziennika“ który nie zdołał nic innego wykombinować, jak zwalczanie idei przewrotu przy pomocy wystawiania na widok publiczny jarmarcznych obrazów o tendencyi antysocyalistycznej i wypiekanie taniego chleba z kukurydzy dla zapełnienia głodnych żołądków, z których się rodzi socyalizm. Wygląda to na żart niewczesny, a jednak jest faktem oczywistym, świadczącym, jak tacy panowie w rodzaju pana Łebińskiego rozstrzygają palące kwestye społeczne i jak głęboko pojmują ten prąd olbrzymi, który z żywiołową siłą rośnie i rośnie bez końca. Nie dziw, że niemieckopolskie stowarzyszenie, które takich członków i takich lekarzy chorób społecznych posiadało, po krótkim czasie istnienia usnęło snem błogosławionych.

Jednej wielkiej zalety p. Łebińskiemu odmówić nie można, a mianowicie umiejętności gromadzenia grosza na wszelkie sposoby. Widzimy go właścicielem drukarni, sprze-

---

Kaźmierz Zdziechowski.

Zielone święta.

NOWELA.

Było to w sali klinicznej, wielkiej, urządzonej według ostatnich wymagań serca ludzkiego, dbałego o chorych bliźnich, zgodnie z ostatniemi ulepszeniami, które wynalazła myśl ludzka. Z sześciu olbrzymich okien lało się światło obficie i wypełniało ogromną przestrzeń dużego pokoju z wysokiemi sufitami. Łóżka stały pośrodku w wymierzonej od siebie odległości; podłoga lśniła, jak lód, ściany były białe i czyste, że nie dostrzedz na nich najmniejszego pyłku — wogóle salę tę przestronną zamieszkiwała światła i ciepła czystość; było to jednak, zresztą jak we wszystkich podobnych gmachach, nieswojsko i nawet smutno.

Sala szpitalna, czy kliniczna — to jakby człowiek, cały od stóp do głowy przykryty jednobarwną płachtą: z pod płachty nie widać twarzy, — niema oczu, a zatem wyrazu, duszy.

Jest pierwszy dzień Zielonych Świątek i maj. Nikt ścian nie umaił zielenią, wszyscy mają te same płaszcze żółte, a jednak znać od pierwszego wejrzenia, że to dziś święto. Twarze chorych mają jakiś inny niż zwykle wyraz: maluje się na nich oczekiwanie, trwożone obawą rozczarowania, i uroczysta powaga.

Nie; dzisiaj życie nie popłynie zwykłym torem: herbata, oczekiwanie doktora, albo profesora, obiad, wanny, zastrzykiwanie arszeniku, potem okna zawieszone firankami, elektryczność zapalona, długi pełny po kątach półmroku i bezczynności wieczór, a za nim noc, turbowana stękaniem, jękiem, chrapaniem... Nie! dziś musi się stać coś niezwykłego, niespodziewanego, a miłego.

Koło niektórych łóżek już siedzą goście! są to znajomi, albo krewni; rozmowa płynie, jak zazwyczaj w takich razach, półgłośna, nie bardzo wesoła, często urywana i znów nawiązywana; leżącemu z radości błyszczą oczy, w ożywieniu kręci się na posłaniu, jeśli może, siada, albo przynajmniej podnosi się i opiera na łokciu; ten zaś, co odwiedza, czuje się tu zaskoczony lękiem, jest nieśmiały, mówi z musu, wciąż szukając przedmiotu do gawędy, i od czasu do czasu spogląda na zegar ścienny, czy można już położyć kres wizycie.

Nr. 12 Andrzej Iwanowski leży, jak codzień, na plecach i oczy ma przymknięte. Kołdra zsunęła mu się do kolan i widać przez bieliznę, że ciało jest strasznie wyniszczone, ręce nieruchomo złożone wzdłuż ciała białe i aż przezroczyste z długiemi dawno nieobcinanemi paznogciami; pierś wąska i zapadła porusza się powoli w rzadkim i słabym oddechu; brzuch ogromny, jak duży garb biały i miękki, potwornie, chorobliwie wydęty; twarz jeszcze niestara, twarz człowieka między 3 a 4-tym dziesiątkiem lat wieku; policzki zapadłe, blade, usta białe. Na wysokiem czole wiele zmarszczek, zarost wątły ciemnawy, zwykły u ludzi słabowitych. Leży bez ruchu i z powiekami zamkniętemi, blady i wychudzony, ma pozór trupa. Pan Andrzej nie śpi i nawet myśli, wprawdzie bardzo wolno, z długiemi przestankami, z trudem, jak ludzie bardzo i długo chorzy, zawsze jednak myśli.

Jak on już dawno nie myślał! Tydzień, dwa tygodnie? gdzie tam! pewno już pół roku. Rozumie się zawsze i nawet dziś rano myślał, ale nie tak, jak kiedyś, bardzo dawno temu i jak teraz, — bo wciąż krążył około jednego:

Przed pierwszą operacyą był niespokojny, czy aby ona się uda; gdy minęła pomyślnie, pytał sam siebie, czy się odnowi guz w żołądku, a obecnie, kiedy znowu jest, czeka drugiej operacyi. To były wielkie przedmioty, leżące mu na mózgu, jakby generałowie wśród powszedniej rzeszy codziennych jego myśli; te zaś były następujące: co będzie na obiad? czy dadzą już mięso?

dającym za drogie pieniądze swój towar redakcyi Dziennika Poznańskiego, która później warsztat ten nabyła na własność. Dalej piastował p. Łebiński aż do ostatniej chwili urząd buchaltera w Towarzystwie zabezpieczeń „Westa", bawił się w spekulacye naftowe i pisywał czy też jeszcze pisuje za wysoką cenę artykuły programowe do tygodnika „Praca", stanowiącego taki zbiór najrozmaitszych dziwolągów literackich i ekonomiczno-politycznych, jakiego dotąd oko ludzkie nawet na poznańskim bruku nie widziało. Nie dziw więc, że przy takichspekulacyach finansowych, świadczących dodatnio o kupieckim talencie p. Łebińskiego, majątek tego pana mnożył się i rozrastał, — żal tylko, że tam, gdzie sprawa publiczna wołała o ratunek i pomoc, majątek ten krył się dyskretnie w szafach żelaznych a właściciel jego stawał przy drzwiach zamkniętych i deklamował, że bez ofiar zginąć musi ojczyzna.

Zdawać by się mogło, że człowiek z taką przeszłością i takiemi kwalifikacyami nawet na poznańskim gruncie nie odegra wybitniejszej roli, a już co najmniej nie obejmie zaszczytnej spuścizny po śp. Franciszku Dobrowolskim i niemal królującego w społeczeństwie stanowiska. Stało się jednak inaczej. Klika teroryzująca cały zabór pruski i dzierżąca w swym ręku losy „Dziennika Poznańskiego" potrzebowała człowieka tej kategoryi dla obrony swych dwuznacznych interesów politycznych. I zdarzył się fakt na oko nieprawdopodobny, że najzawziętszy wróg „Dziennika Poznańskiego", szkodzący pismu temu od lat już wielu z przedziwną konsekwencyą, objął panowanie nad przedmiotem nienawiści swojej. I zdarzył się fakt, że osobistemu, do ostatecznych granic wstrętu posuniętemu wrogowi śp. Dobrowolskiego, powierzono dziedzictwo zmarłego redaktora, a nominacyę zatwierdzili ci sami ludzie, którzy przed kilku zaledwie miesiącami wynieśli śp. Franciszka Dobrowolskiego do wyżyn narodowego bohatera, święcąc jego zasługi wspaniałą owacyą jubileuszową i żegnając zwłoki jego w asyście kilkutysięcznych tłumów tak, jak się żegna zagasłe gwiazdy niezwykłej wielkości i blasku, jak się żegna trumny wielkich męczenników, geniuszów lub dobroczyńców narodu.

Pan Łebiński został tedy redaktorem „Dziennika Poznańskiego" i zaprezentował nam kilkadziesiąt numerów z piętnem rosnącego z dnia na dzień niedołęstwa i niedbalstwa. Sarkano na ospałość, żółwie ruchy i bezbarwność starego „Dziennika", — dziś z jednego krańca Księstwa na drugi leci żal za starym „Dziennikiem". Pod względem układu pozostał „najpoważniejszy organ Księstwa dawnym inwalidą, pod względem treści skurczył się i zmalał, pod względem szybkości informacyjnej zstąpił do poziomu małych prowincyonalnych pisemek, pod względem jasności myśli politycznej jeszcze w gęstszą mgłę się otulił i przemawia niemal w takich hieroglifach, w jakich niegdyś p. Łebiński ułożył niedoszły adres do cesarza Wilhelma II, którego styl schlebiać miał germańsko-mitologicznym upodobaniom młodego monarchy i był w swoim rodzaju wręcz bezprzykładnym dziwolągiem. Na szczęście przeszkodzono wysłaniu kompromitującego naszą inteligencyę dokumentu.

Za to wprowadził pan dr. Łebiński jedną nowość do organu swego, wprowadził, zamiast rzeczowej polemiki, metodę opryszków dziennikarskich, wprowadził piętnowanie wrogów swoich kłamliwem mianem szpiegów pruskich i oszustów. Zaiste panie Łebiński! Gdyby ten potworny zarzut tajnych stosunków prasy polskiej z „polityczną policyą" miał chociaż cień prawdopodobieństwa, to przeszłość twoja cień ten zwróciłaby przedewszystkiem ku tobie. A jeżeli mówisz o wyzyskiwaniu „instytucyi wdowiego grosza" przez przeciwników swoich, to zapytujemy się, jakiem mianem nazwiesz, stutysięczny panie, korzystanie z wpływów „Dziennika" do uzyskania bezpłatnej loży w teatrze dla siebie i rodziny swojej, oprócz zwykłego biletu dla recenzenta. Takie rzeczy dzieją się po wielkich miastach, gdzie teatry obracają milionami, lecz nasza biedna świątynia sztuki jest prawdziwą „instytucyą wdowiego grosza", jest nędzarką, która z każdą marką liczyć się musi, bo nie zarabia nawet tyle, by chleb zapewnić dyrekcyi i artystom. A ty, panie Łebiński, jesteś bogaczem!

Oto sylwetka nowego Katona! Wiemy dobrze, że społeczeństwo nasze zanadto jest senne, by powszechny prawie szept protestu zamienił się w burzę, którąby panów tej kategoryi zwiała z wyżyn społecznych, zdobytych bezprawnie. Dla tych jednak, którzy z blizka przypatrzyli się panu Łebińskiemu, jasną jest rzeczą, że jego instynkty poziome prędzej czy później tak się dadzą we znaki społeczeństwu, że albo upadnie redaktor, albo upadnie pismo.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Zamach na „Gwiazdkę Cieszyńską."

Korespondent szląski „Nowej Reformy" donosi:

„Książę biskup wrocławski, otaczający zawsze czułą opieką swoich dyecezyan polskich, wydał ostatniemi czasy, za pośrednictwem generalnego wikaryatu w Cieszynie, do wszystkich księży na Śląsku rozporządzenie, które ogromnego narobiło hałasu. Rozporządzenie to w dosłownem tłomaczeniu opiewa:

Jego Eminencya, (ks. arcybiskup wrocławski kardynał Kopp), który w Nr. 41 „Gwiazdki Cinszyńskiej" widzi wyszydzanie zaprowadzonych w Karwinie urządzeń kościelnych zarządził w dniu 30 listopada br. Gk, 377, aby duchowni członkowie wystąpili niezwłocznie z katolickiego Towarzystwa prasowego, dopóki Towarzystwo to będzie stało w jakimkolwiek stosunku do wspomnianego dziennika.

Wskutek tego otrzymuje Wasza Przewielebność polecenie, aby wystąpił z tego Towarzystwa prasowego i doniósł tutaj o wystąpieniu najpóźniej do 26 bm.

Arcybiskupi wikaryat generalny.

Cieszyn dnia 3 grudnia 1896.

Arcyb. wikaryusz jeneralny
podp. *Karol Findiński.*

Kanclerz biskupstwa podp. *Jan Sikora.*

Przeczytałem skrzętnie cały 41 numer „Gwiazdki Cieszyńskiej", lecz na żaden możliwy sposób nie mogę dociec, gdzie i w czem

---

czy profesor zatrzyma się koło niego? czy starczy mu śmiałości prosić go o operacyę? może felczer zapomni zastrzyknąć arszeniku? zmienić bieliznę, powtórzy się, czy nie powtórzy wczorajszy atak bólów?.. W niedzielę i w święta szereg ten powiększał się jeszcze o parę pytań:

„Czy przyjdzie żona Anna? które z trojga dzieci przyprowadzi, może żadnego nie weźmie i sama zupełnie nie przyjdzie?"

Otóż te pytania dziś z powodu święta długi czas ważyły mu się w głowie, a potem nagle, nie wiedząc dlaczego, przeszedł do innych myśli, takich, jakich już bardzo dawno nie miał.

Prawdopodobnie dlatego, iż Anna nie przyszła dziś, wpadł w takie dumania.

W rzeczy samej, przed tygodniem także nie była, dziś taka wielka uroczystość — i znowu zapomniała o nim! dlaczego? „Zapewne ma gości; przyszły do niej ciotki, zagawędziły się, i z głowy im wyszedł zupełnie." Tu doświadczył goryczy, potem zawodu. nudy, jakiś czas nic nie myślał, próbował zasnąć, aż nagle wynurzyła mu się w głowie odpowiedź:

— Cóż dziwnego, że zapomnieli o mnie? znudziłem; tak dawno już leżę: osiem miesięcy!

Po raz pierwszy zestawił w myślach ten długi szereg dni, które tu przekwękał, zliczył i otrzymał taką groźną wielkość; nie omylił się wszakże: wrzesień (tak, 11 września po kilkodniowych krwotokach przywieziono go tu), październik, listopad, grudzień — to 4 miesiące; styczeń, luty, marzec, kwiecień — znowu 4, więc razem osiem; a dziś jest 12-go maja, więc nawet 9 miesięcy już choruje!...

Znowu przez jakiś czas p. Andrzej leżał, jak mu się to często zdarzało, przysłonięty półświadomością, aż potem nagle zamkniętemi oczami przeczytał w przestrzeni słowa, które profesor wyrzekł niegdyś do studentów przy nim i o nim; zapomniał był o nich całkowicie, a teraz stanęły przed nim wyraźnie, jak na tablicy dużemi literami wypisane: „Jeśli narośl takiego rodzaju po operacyi znowu się zjawia, chory umiera". Ostatnia część zdania była powiedziana po łacinie, zrozumiał ją przecież p. Andrzej. I przeczytawszy te słowa, uprzytomnił sobie, że guz ten ma już po raz drugi, wytłomaczył sobie, dlaczego koło niego stoi puste łóżko, a chory, co tam leżał uprzednio, zażądał, aby mu dano inne miejsce.

Całą siłą woli chciał teraz p. Andrzej zatrzymać w sobie dalszy bieg myśli, starał się przydusić, zagłuszyć, schować jedno słowo, krótkie i okropne, które tam gdzieś niezależnie zupełnie się tworzyło, i jednocześnie ujrzał jakby olbrzymi otwór, ogromną klapę, nagle otworzoną tuż koło niego, z której miał mrok zimny i straszny, bo niezgłębiony, konieczny... Usiłował mocno zamknąć oczy, chociaż miał je już zamknięte, aby nie widzieć tego, co mu się pokazało i ogarnął go najpierw strach potworny i nieopisany, a potem zaraz żal olbrzymi, niemający granic i miary; zda się, rzeka żalu, łez i smutku wpłynęła mu przez gardło w piersi, serce i zalała całe wnętrze... Chłód mroźny ściął mu skórę na stopach, popełznął dalej po nogach, dosięgnął kolan — i p. Andrzej szybko otworzył oczy, jak mógł najszybciej i rozejrzał się po sali. Nie radość, ale coś jakby ulgę poczuł, gdy zobaczył, że z okien leje się światło jasne i wesołe, że za oknami jest dzień błękitny i pogodny. W sali z przyjemnością spostrzegł też ruch większy, niż zwykle; prawie każdy miał gości, więc gwarzył; samotni uprzyjemniali sobie czas w inny sposób: „stary Piotr" (z chronicznem cierpieniem nerkowem) trzęsącemi się rękami ślepiąc zmęczone oczy, grał w szachy z tym młodym suchotnikiem, rumianym na twarzy; ten stary (z chorobą cukrową) krotochwilny, przekomarzał się z „nianiuszką" (tak nazywają tam usługujące siostry); cicho było tylko koło dziecka z chorem sercem, które już od kilku tygodni nie mówiło nic i poruszało się jak automat, i koło chłopa 20-letniego, skazanego na powolną śmierć. Wszystko to spostrzegł p. Andrzej i patrząc na tych ludzi, których widział ciągle od tak daw-

ksiądz Kardynał Kopp dopatrzył się „wyszydzania“ zarządzeń kościelnych w Karwinie. Chyba rozmowa „Jury z Jankiem“ mogła dać powód, że ktoś z niemieckiego otoczenia ks. Kardynała wrocławskiego, rozmyślnie źle przetłomaczył i wytłomaczył temu dostojnikowi kościelnemu biadanie „Janka“ na germanizacyą w Karwinie. Ale o urządzeniach kościelnych, a tem mniej o ich przekręcaniu, w tym num. „Gwiazdki“ ani słówkiem nigdzie nie wspomniano.

Wobec tego upada wszelki prawny powód i podstawa tego „ukazu.“ A trzeba wiedzieć, o co tutaj idzie. Oto przed kilku laty zawiązało się w Cieszynie „Towarzystwo prasowe“ polskie i katolickie, którego celem jest popieranie wydawnictwa „Gwiazdki Cieszyńskiej,“ gdyż byt jej w wysokim stopniu był materyalnie zagrożony. Że do Towarzystwa tego należą księża polscy, nic w tem dziwnego, a tem mniej gorszącego, gdyż, jak wszystkim wiadomo, „Gwiazdka Cieszyńska“ była zawsze pismem katolickiem, a nawet klerykalnem. Dla tego „ukazu“ tego nie można za nic innego uważać, jak tylko za prosty zamach na wolność stowarzyszania się, wykonany w tym celu, aby podciąć byt „Gwiazdki Cieszyńskiej.“ Na jakiej podstawie prawnej ks. biskup wrocławski, sam będąc poddanym pruskim, pozbawia astryackich poddanych praw, zagwarantowanych im sąsiedniczemi ustawami państwa, — to rzecz wytłomaczenia godna!

A rozporządzenie to ks. kardynała Koppa nie jest odosobnionem jakiemś zjawiskiem, lecz objawem metody, która przebija z całego postępowania jego z klerem polskim.

Przecież dość przypatrzeć się, jak ostatniemi czasy wszystkie większe probostwa na Śląsku cieszyńskim obsadzają się księżmi czeskimi i to więcej po niemiecku, niż po polsku myślącymi, — aby pojąć, o co tutaj idzie. Jeżeliby ks. Koppowi wolno było zakazywać (?)ktować księżom polskim, czy do którego z narodowych stowarzyszeń należeć im wolno, toż tylko kwestyą czasu będzie, kiedy ich zwierzchnik wrocławski rozkaże im wystąpić z „Macierzy szkolnej“ i t. p. stowarzyszeń.

Co do stosunków polskich w Karwinie to są one monstrualne. Nie dość, że ludność polska, zależna ekonomicznie od Niemców, gnębiona jest pod względem narodowym na każdym kroku, ale i kościół, nadzorowany przez ks. biskupa Koppa, zaczyna być środkiem wynaradawiającym. Książe kardynał wrocławski sprowadził tam, do Karwina, Jezuitów z Krakowa, niby to pod pozorem prowadzenia walki z socyalistami, a w gruncie rzeczy dla germanizowania ludności polskiej. Sprowadzono ich w porozumieniu z hr. Larischem i oddano im administracyę probostwa w Karwinie. Ojcowie Jezuici spełnili pokładane w nich nadzieje, i zaprowadzili zaraz w Karwinie kazania i nabożeństwa niemieckie, do czego poprzedni, zmarły proboszcz, ksiądz świecki, w żaden sposób nie dał się nakłonić.

Ks. biskup wrocławski rozpoczął więc grę bardzo niebezpieczną, mogocą narazić na szwank interesa kościoła w pierwszym rzędzie. Byłby też czas najwyższy, aby posłowie nasi zajęli się na seryo planem wyłączenia Księstwa Cieszyńskiego z pod jurysdykcyi biskupstwa wrocławskiego i przyłączenia go do biskupstwa krakowskiego.

* * *

O Mrzonkach „Dziennika Poznańskiego“

W „Dzienniku Kujawskim“ czytamy:

„Tak, jak rzeczy dziś się ukształtowały, nie możemy też i marzyć o jakiemkolwiek porozumieniu z spokojniejszemi i bezstronniejszemi żywiołami niemieckiemi w celu zwalczania zatruwające stosunki nasze kliki szowinistycznej. Nie brakło nigdy, a zwłaszcza w ostatnim czasie odnośnych prób z naszej strony. Przed tygodniem mniej więcej pojawił się projekt tego rodzaju w „Dzienniku Poznańskim„ zapewne w związku z tem ukazał się teraz list otwarty do Niemców pana barona Stanisława Chłapowskiego, a przed kilku dniami proponowała „Gazeta Toruńska“, ażeby włościanie polscy i niemieccy szli ręka w rękę w obronie interesów mniejszej własności ziemskiej, nawet przy wyborach, by włościanie niemieccy bardziej ufali polskim posłom w tym względzie, aniżeli np. broniącym tylko większej własności ziemskiej „bundowcom.„ Ostatni ten projekt uważamy za wręcz naiwny i śmieszny, bo w dzisiejszych stosunkach niemożliwy do zrealizowania. Prasa szowinistyczna tak bowiem obrabia i zatruwa opinią niemiecką, że nasi współobywatele niemieccy wolą raczej cierpieć z powodu wytworzonych tą hecą nieznośnych stosunków, niż przeciwko niej wystąpić, nie mając odwagi narazić się na zarzut zdrady niemczyzny.

Ale i możliwsza na pozór propozycya barona Chłapowskiego znalazła już cierpką odprawę w kilku organach niemieckich. Tak np. „Bromb. Tageblat„ drwi z niej, przedstawiając pokojowym zapewnieniom pana barona cały szereg zdań, wyrwanych z artykułów gazet naszych, a stwierdzających rzekomo, że Polacy zawsze jeszcze marzą tylko o oderwaniu się od Prus i wskrzeszeniu ojczyzny swej kosztem granic cesarstwa niemieckiego, że udają tylko lojalizm, a w gruncie rzeczy przejęci są nawet nienawiścią względem tronu.

Wywody bydgoskiego organu konserwatywnego nacechowane są taką złą wolą, obłudą i butą krzyżacką, iż przekonać muszą każdego, że z takim przeciwnikiem nawet wymiana zdań jest niemożliwą, a cóż dopiero jakiekolwiek porozumienie. Dość przytoczyć, że nawet w artykułach „Kuryera Pozn.„ dopatrzył się autor artykułu „Tageblatowego„ podobnych butowniczych zamiarów, a z całej treści artykułu tego wnosić można, że autora należy szukać między urzędnikami i że materyału do zwalczania pokojowych dążności naszych, zaczerpnął z biur rządowych...

LITERATURA I SZTUKA.

Asnyk w życiu politycznem.

W ubiegły poniedziałek święciła Polska 25-letni jubileusz działalności literackiej największego z współczesnych poetów polskich. Łącząc się w hołdzie najgłębszym z wszystkimi miłośnikami piękna i poezyi, przejęci czcią niewymowną dla wielkiego śpiewaka, wielkiego obywatela i wielkiego patryoty, wdzięczni serdecznie nieugiętemu obrońcy tych samych ideałów humanitarnych i narodowych, których straż w poznańskiej ziemi pismo nasze objęło, — pragnęlibyśmy numer dzisiejszy ozdobić wyrazistym portretem ducha i czynów poety. Z względów jednak niezależnych od redakcyi na razie uczynić tego nie możemy, przypominamy zatem tylko czytelnikom naszym, że „Przegląd Poznański“ zamieścił przed dwoma laty obszerną pracę Piotra Chmielowskiego p. t. „Fazy twórczości Asnyka“ a chcąc cenną tę rozprawę uzupełnić charakterystyką politycznej działalności znakomitego jubilata, podajemy poniżej sylwetkę skreśloną w „Słowie polskiem“ piórem Tadeusza Romanowicza, sejmowego i redakcyjnego kolegi Asnyka:

„Poeci nie lubią polityki. Mickiewicz wyraził się o niej bardzo niegrzecznie. Goethe pisał: *„Pfui! politisch' Lied — ein garstig' Lied“*. Polityka, choćby w celach była najwznioślejszą — w środkach i w wykonaniu musi być tak nieraz drobiazgową, tak poziomą, tak liczącą się z codziennością i z wszystkiemi słabostkami ludzi, że umysł poety niechętnie się do jej wymagań nagina. A jednak — Goethe był ministrem, a Mickiewicz „robił politykę“ we Włoszech i w Turcyi.

Nie obawiam się zaprzeczenia, gdy powiem, że Asnyk także polityki nie lubi. Rad chroni sie od niej do swego zacisza przy ulicy Łobzowskiej, do salonu sztuki

---

zrozumiał zaledwie teraz, że są oni mu bardzo drodzy, że on ich bardzo kocha; na wszystkich oczy jego zatrzymywały się z przyjemnością, z jakiemś szczególnem ciepłem uczuciem; chciałby, żeby oni wszyscy zbliżyli się do niego, stanęli koło łóżka, żeby każdy z nich mówił coś do niego, a on ich dotykał rękami. Widok łóżka pustego napełnił go smutkiem, żałował nieobecnego, niepokoił się o niego, pytał siebie, kiedy wróci. Żebyż prędzej! Jakby to dobrze było, gdyby to zaroiło się, gdyby przyszli chorzy z innych sal, gdyby tu wrzał gwar rozmowy i śmiechy. Myślał teraz niezmiernie prędko, jakby z pośpiechem, sam sobie ało..tował myśli, wypowiadał je półgłosem, głowę obracał to w jedną stronę, to w drugą, przypatrywał się uważnie każdemu przedmiotowi, skupiał na nim myśl, starał się nim tylko uwagę pochłonąć; bo tu gdzieś blizko, może koło samego wezgłowia, w jakimś kąciku jest coś nieopisanie okropnego, ogromnego, czego nie trzeba widzieć! Z kolei spostrzegł p. Andrzej, że wyszedł gdzieś student, z którym najbardziej lubił rozmawiać; zatęsknił do niego. A w tem samem oka mgnieniu przypomniał sobie wczorajsze dowodzenie tego studenta, że profesor „psa wart“, że jest „durniem“, często się myli. Ta ostatnia myśl, jak błyskawica, rozświetliła p. Andrzejowi mrok, który się nasu... klapy, i przez jedną chwilę poczuł się on niesłychanie szczęśliwym i lekkim, jakby ktoś wyjął z niego ciężar stopudowy i oblał ze wszystkich stron potokami światła; ale przez jedną chwilę tylko; niby krople deszczu, czy płatki śniegu, spadające na głowę, w mózgu zawirowało mu: „profesor jest najznakomitszym lekarzem w mieście i w kraju“, „wszystkich zawsze trafnie leczył“, „tracę na wadze“, „profesor p. Karola (studenta) „zciął“ na egzaminie,..“, ale p. Andrzej nie dopuścił dalszych wniosków, zrozumiał, że myśli o omylności profesora uczepić się musi, że musi ją koniecznie w każdej chwili mieć w mózgu, musi ją wszystkiemi siłami trzymać, aby nie uciekła; zupełnie jak więzień, co, siedząc w mrocznej celi, patrzy ustawicznie tylko na wąziutki promyk światła, przenikający przez szparę we drzwiach i mruży oczy, aby tylko w nich mieć światło.

— Panie Andrzeju, niech pan nas rozsądzi — odezwał się nagle koło niego suchotnik ów młody i różowy — niech pan nas rozsądzi: wygrałem u pana Piotra partyę szachów; graliśmy o dziesięć butelek piwa — musi więc dług swój spłacić! Czy tak?

(Dokończenie nastąpi.)

w Sukiennicach, do teatru, albo do partyjki wista. A kiedy i tam go ściga i spokoju mu nie da, ucieka na wieś — czasem i dalej: do Algieru, na Ceylon.

Bronił się jej walecznie przez czas długi. Po wielkiej „Sturm- und Drang-Periode“, po strasznym pogromie roku 1863, kiedy w Warszawie o chłodzie i głodzie po strychach i dachach wymykał się z domu do domu, aby ujść ścigającym go zbirom — zatopił się cały w nauce, szukając w niej ukojenia dla wielkiej boleści ducha po upadku sprawy, której siebie całego poświęcał. Wtedy głównie nagromadził te nieprzebrane skarby wiedzy — wiedzy przyrodniczej, ekonomiczno-politycznej, historycznej, filozoficznej i estetycznej, które w nim podziwiać musi każdy, kto tylko miał szczęście bliżej go poznać.

Taką wiedzą zbrojny, majątkowo niezależny — przybył do Galicyi w czasie, kiedy tu wrzało życie polityczne, w swoich początkach niejasne, w ruchach niezręczne, szukające dopiero dróg i środków. Zdala się trzymał od tego życia. Miał swoje wyrobione zdanie o prądach ówczesnych i stronnictwach, ze zdaniem tem się nie taił, czasem ujął je w poetyczną formę satyry („W przedpieklu“), ale żadnemu wpływowi porwać się nie dał, do żadnego stronnictwa się nie przyłączył, politycznie czynnym nie był. Bolała go reakcya porewolucyjna, już wówczas wysilająca się na teorye wyrzeczenia się i zapomnienia — bolał go zapleśniały konserwatyzm większości — odstręczał go brak politycznego wyrobienia i dojrzałości u stronnictw opozycyjnych. Zamknął się wyłącznie w nauce, poezyi, sztuce.

W wir życia politycznego wciągnęło go założenie „Reformy“, której pierwszy numer pojawił się z datą 1-go stycznia 1882. Stanął na czele pisma — dał mu swoją wysoką inteligencyę, swoje nieposzlakowane imię, swoją znakomitą literacką firmę, poświęcił mu swój spokój. Ze strony Asnyka przystąpienie do redakcyi „Reformy“ było prawdziwem poświęceniem, było zarazem czynem niemałej politycznej doniosłości. Waga jego nazwiska, rzucona na szalę, była od razu zapowiedzią powodzenia. Rzucił tym czynem rękawicę „powagom“ wydającym nieodwołalne wyroki w rzeczach literatury i sztuki — naraził się śmiało na ich nieprzyjaźń jawną i gorsze od niej szpilkowanie skryte — stanął do walki z tem wszystkiem, co wtedy w Krakowie miało władzę, wpływ, powagę, wziętość, co nadawało ton, co wznosić mogło ludzi i strącać. Asnyk się jednak nie zawahał — i ta natura na wskroś poetyczna, jak mimoza, tkliwa na szorstkie dotknięcie powszedniości, nałamać się potrafiła do twardych wymagań dziennikarskiego zawodu i praktycznych robót politycznych. Odczuł bowiem i zrozumiał, jak wielką jest doniosłość rozpoczętej przez reformę walki z dwojakiem złem, które się było wszechwładnie w Krakowie rozpanoszyło: ze stańczykowską doktryną historyczno-polityczną i z fałszywym konserwatyzmem w sprawach, dotyczących wewnętrznego rozwoju narodu. Zrozumiał, jak koniecznem było pismo, któreby utrzymywało w czystości myśl narodową i program, chroniąc je od skrajności na dwie strony szkodliwych — a zarazem krzewiło pojęcie prawdziwej demokracyi, tej, która nie spycha nikogo, a podnosi wszystkich.

Wszakże nie wystarczało stanąć tu na czele pisma, dać mu firmę swoją i swego ducha. Trzeba było działać na zewnątrz. Żeby zaś działać na zewnątrz, trzeba było przełamać w sobie właściwy poetom wstręt do praktycznej roboty politycznej, rzucić się w wir. W roku 1884 wchodzi do Rady miejskiej, wybrany z koła inteligencyi, pracuje i walczy w sekcyi szkolnej tejże Rady. W roku 1889, na usilne nalegania stronnictwa, przyjmuje kandydadaturę do Sejmu. Ówczesna jego mowa kandydacka była prawdziwie czynem politycznym. Nikt wtedy tak śmiało, jak on, nie rzucił rękawicy wszelkiemu wstecznictwu, egoizmowi, obłudzie. Warto go było widzieć i słyszeć, kiedy z trybuny sali radnej krakowskiej, z głębin swego tak bogatego umysłu wyrzucał szereg myśli doniosłego politycznego i etycznego znaczenia, z których każda starczyć mogła za temat do studyów, a które kamieniem padały na głowy osłupiałych przeciwników. Zwycięstwo w opinii było świetne — rychło przyszło po niem zwycięstwo przy wyborze samym, pomimo szalonych wysiłków strony przeciwnej, której tu szło już nietylko o jednego posła mniej lub więcej, ale też o ratowanie swojej powagi i powagi swego bardzo zresztą szacownego kandydata.

W sejmie wstąpił Asnyk do klubu lewicy, w którym głos jego ważył zawsze silnie na szali postanowień stronnictwa. Z sejmowej działalności jego podnieść wystarczy jeden fakt: wniosek o polepszenie płac nauczycieli ludowych, który jak zwykle u nas bywa, nie osiągnął od razu wszystkiego, do czego zmierzał, ale sprawę silnie pchnął na drodze, na której już uzyskano niejedną naprawę i na której niepowstrzymanie toczy się dalej. Motywowanie wniosku przez Asnyka, spokojne, poważne, logiczne, a jak wszystko, co od niego pochodzi, pełne głębokich myśli, zrobiło w sejmie silne wrażenie. To też tem bardziej ubolewać trzeba, że pogarszający się stan zdrowia poety nie pozwolił mu brać ciągłego udziału w pracach sejmowych, i skłonił go w roku zeszłym do stanowczej odmowy przyjęcia mandatu na drugie sześciolecie.

Odtąd skoncetrował swoją działalność publiczną w Towarzystwie szkoły ludowej — które mu wielką część swego dotychczas pomyślnego rozwoju zawdzięcza. Rozbudzić w całym kraju gorące a czynne zajęcie się sprawami szkolnictwa ludowego, — skierować ku niemu ofiarność, — ogółu bronić polskich mniejszości na kresach przez dopomaganie im do zakładania polskich szkół, gdzie większość tego nie chce. — walczyć z analfabetyzmem, — uzupełniać urzędową w sprawach szkolnych działalność, która nie może wszędzie dosięgnąć, a przez to wszystko przyczynić się do podniesienia ludu w obywatelstwie i patryotyzmie i do oparcia przyszłości na tej najsilniejszej podstawie — oto doniosłe cele Towarzystwa, szczycącego się tem — że ma Asnyka na swem czele.

Ten krótki, doryweczy szkic politycznej działalności jubilata — nie ma pretensyi do tego, by był wyczerpującym i zupełnym. Jedną ma tylko pretensyę: ma być wyrazem najgorętszego, serdecznego hołdu dla tego, który w piśmie jest pierwszej miary poetą, w czynach pierwszej miary obywatelem.

Asnyk udowodnił — że Goethe nie miał racyi. „Politisch' Lied“ bywa ein „schoenes Lied“ — gdy ma natchnienie tak gorącej miłości ojczyzny, a cel w sprawie tak świętej jak ta, której Asnyk służył.“

*

Książki na gwiazdkę.

Każdy utwor dla młodzieży musi być rozpatrywany pod dwoma względami: pedagogicznym i czysto-literackim. Dawniej zajmowano się przeważnie pytaniem, czy jakieś dzieło jest „odpowiedniem“ dla dzieci, t. j. czy nauka, zawarta w niem zaspokoić może moralne i umysłowe potrzeby niedojrzałych czytelników! dzisiaj przywykliśmy już baczyć pilnie na stronę estetyczną, bośmy się przekonali, że morał sucho wypowiedziany nie sprawia zazwyczaj wrażenia na duszy.

Z tego dążenia do przyodziania morału w szaty piękna może niekiedy wyniknąć zapomnienie o celu pedagogicznym, a przynajmniej takie osłonięcie tego celu, iż dojrzeć go trudno. Ta okoliczność wywołuje sarkanie poważnych a surowych pedagogów przyzwyczajonych do dawniejszego sposobu pisania, na niektóre nowsze przejawy belletrystyki dla młodzieży, w których dla odtworzenia prawdziwych rysów życia posłużono się czy to jakimś dobitniejszym wyrażem, czy sytuacyą, nie zawierającą w sobie bezpośredniej nauki moralnej.

Surowość w ocenie książek dla młodzieży jest niewątpliwie potrzebna, potrzebniejsza niż w krytyce dzieł dla dorosłych, ale nie powinna ona opierać się na zbyt ciasnej podstawie. Trzeba pamiętać, że nietylko poczucie moralne kształcić należy, lecz wogóle wszystkie potęgi ducha, a więc i fantazyę, a fantazya rozwinąć się nie może, jeżeli ją zanadto ściskać będziemy materacykami moralnemi.

Weźmy, dla przykładu, dwie książki, dość blizko spokrewnione ze sobą, bo przedmiotem obu jest kształcenie uczucia nie samolubnego, lecz zwracającego się ku celom ogólniejszym. Jedną z nich napisała p. Teresa Prażmowska, p. t. „Serce, powieść dla dorastającej młodzieży“ (Warszawa. T. Paprocki i Sp., 1896, str. 266); drugą p. Cecylia Niewiadomska, p. t. „Stracona, powieść“ (Warszawa, Gebethner i Wolff, 1897, str. 315).

W „Sercu“ — Hela, zamknięta w sobie, pogrążona w książkach nie ma w domu ani sposobności ani pobudek do rozwinięcia skarbów uczucia. Matka, schorowana, nie znosząca najmniejszego gwaru, ani żywszych objawów radości, nie żąda od Heli usług — ma bowiem krewną, której zachowanie się przy jej łożu jest jej najmilsze. Kłopoty gospodarskie zdane są w zupełności na starą, poczciwą sługę. Hela przywyka tedy do życia w sobie i dla siebie tylko; z bratem jedynie młodszym częściej rozmawia; nie rozumnie, żeby można się żywo interesować ludźmi biedniejszemi; nie rozumie potrzeby pracy. Wakacye przepędzone na wsi wśród rodziny, która wprost przeciwnemi rządziła się zasadami, której każdy członek miał jakieś pożyteczne zajęcie (gospodarstwo, ogrodownictwo, opiekę nad żłobkiem, dbanie o zdrowie służby dworskiej i wieśniaków i t. p.) — rodziny kochającej się serdecznie, ale nie zacieśniającej swego uczucia do obrębu najbliższego, działają na skrzepłe nieco serce Heli tak silnie, że odtąd nowa epoka w jej życiu się rozpocznie, odtąd zajmie się już i domem i pielęgnowaniem matki, która z kuracyi powróciła nieco zdrowsza.

Obraz rodziny idealnej w Laskowie jest niewątpliwie bardzo pouczającym, bardzo ładnie i serdecznie pomyślanym, ale gdyby mniej w nim było dydaktyzmu, a więcej prawdy życia, rodziłby zapewne silniejsze wrażenie. Obecnie zadużo w nim doskonałości; zadużo skupiono szczegółów, mających wskazać różne środki, jakiemi dni i lata najmłodszego nawet wieku wypełnićby można. Czytelnik zdziwi się może, iż autorka potrafiła taki wzorowy dwór odnaleźć, a może poczyta go za bajkę i do serca go nie weźmie. A szkodaby była, bo wiele a wiele dobrego nauczyć się w nim można.

P. Prażmowska starała się dydaktyzm ów ożywić za pośrednictwem odmalowania prędkiej jak iskra, roztrzepanej, drącej często sukienki, łamiącej parasolki, Kazi — i przyznać potrzeba, że ta osóbka interesuje rzeczywiście. Druga ładna postać w powieści — to Helena, która w młodości ratując

leńką Helę, wyskoczyła z powozu i została kaleką na całe życie, lecz nie stetryczała nie uważała się za nieszczęśliwą; owszem — wykazała wśród swych cierpień duszę prawdziwie anielską, a swojemi radami głównie wpłynęła na idealne urządzenie życia mieszkańców wiejskiego dworu, swojej rodziny. Jej też postępowanie oddziałało na ukochaną Helę. Niektóre sceny, do których wchodzi kaleka, są prześliczne, prawdziwie chwytają za serce.

„Stracona“ p. Niewiadomskiej jest to dziewczynka przecudnej piękności, pieszczona przez starszą siostrę, zastępującą matkę, psuta przez innych, co się z estetycznego punktu widzenia na życie zapatrywali. Wyrobił się w niej egoizm, dążący do zaspokojenia wykwintnych wymagań, szukający zadowoleń, zabaw, uwielbień. Nic nie pomogły przestrogi ludzi poważniej na zadania człowieka patrzących; nic nie pomogły przykłady poświęcającej się dla dobra siostry, ani też humanitarne dążenia brata, który potrafił przy bardzo szczupłych środkach materyalnych zająć się losem biednych chłopców i wykształcić ich na rzemieślników; nic nie pomógł wreszcie widok panienek, co się zdobyły na założenie szkoły rzemiosł dla dziewcząt; Celina pracy jąć się nie chciała i lubo uczucie ciągnęło ją ku młodemu i szlachetnemu Bolesławowi, wyszła za starego lecz bogatego człowieka do Francyi, ponieważ ten nie żądał od niej pracy i wszystkim jej zachciankom czynił zadość. Szczęśliwą nie była, lecz udawała zadowolenie, gdy się znalazła wśród swoich dawnych znajomych, co się zresztą bardzo rzadko zdarzało — stale bowiem mieszkała w Paryżu.

Nie chciała autorka nawracać Celiny; stwierdziła fakt w życiu nieraz spotykany, że samolubstwo nieczułem się okazuje na wpływy nawet bardzo umiejętnie wywierane. Czyż przez to książka p. Niewiadomskiej stała się nieodpowiednią dla młodzieży? Sądzę, że nie. Za dużo w niej jest usposobień i dążeń szlachetnych, ażeby nie miały przeciwważyć wrażenia niezbyt dodatniego etycznie, choć powabnego estetycznie, jakie sprawia historya Celiny. Te panienki, które się zgodzą na jej los udawanego zadowolenia, zapewneby się nie poprawiły, nawet wtedy, gdyby ujrzały nawrócenie bohaterki.

„Stracona“ obfituje w mnóstwo scen nadzwyczaj żywo, realistycznie kreślonych; rozmowy mianowicie młodzieży są kopiowane z natury. Powieść zajmuje, lecz dla przejrzystości lepiej podobno byłoby, gdyby autorka mniej osób wprowadziła.

Żywo również i barwnie, lubo z pewnem niezawsze estetycznem zaniedbaniem, pisane dwie nowe powieści dla młodzieży p. Walerego Przyborowskiego, który się już od lat wielu dał poznać jako zajmujmujący opowiadacz. Jedna z nich ma napis „Madejowe łoże, opowiadanie historyczne XI wieku, z 6-ciu rysunkami Tadeusza Cieślewskiego“ (Warszawa, Gebethner i Wolff, 1897, str. 55); a druga: „Na oceanie Spokojnym, powieść dla młodzieży z 9-ciu ilustracyami E. Lindemana (Petersburg, K. Grendyszyński, 1897, str. 293.)

„Madejowe łoże“ jest źle skomponowane. W pierwszej połowie książki główną rolę odgrywa rozbójnik Madej i wojewoda Sasław (rzecz się dzieje w chwili wyjazdu Ryksy z Polski); a w drugiej przedstawione zostały dzieje napadu Czechów na Polskę i powrotu Kazimierza Odnowiciela; Madej zaś schodzi tu na plan ostatni. Pierwsza część nie zadawalnia ani uczucia moralnego (wysłania, przekleństwa, zabójstwa ustawiczne), ani estetycznego (jednostajność sytuacyi). Z tej pierwszej części przy drugiem wydaniu stanowczo usunięta być winna scena, w której Staszek na rozkaz Madeja tak strzela do ludzi, jak do kaczek, bez okazania bodaj najlżejszego wstrętu do tych morderstw. Część druga bardziej jest urozmaicona, a mniej przedstawia lubowania się w rozlewie krwi.

„Na oceanie Spokojnym“ — to rzecz pod wpływem powieści Verne'a nakreślona. Chodziło autorowi o nagromadzenie przygód niebezpiecznych, z których bohaterowie wychodzą obronnie. Szkoda, że pomysł został oparty na tajemniczym proszku, króry dodany do ołowiu i siarki wytwarza złoto. Po co bałamucić umysł młody takiemi baśniami?

Trudno też powiedzieć, ażeby projekt młodego irlandczyka, co posiadłszy ów cudowny proszek, chce zniszczyć potęgę Anglii za pośrednictwem jednego, bodaj najlepszego okrętu, mógł choć na chwilę wydać się komukolwiek prawdopodobnym. Dodać trzeba, że autor bynajmniej nie pochwala idei zemsty, jaką jego bohater przeprowadzić się stara, owszem przy końcu książki każe mu się idei tej wyrzec, mówiąc bardzo słusznie, że „niszczenie nie jest budowaniem“...

Opowiadanie samo jest interesującem, lubo czuć na każdym niemal kroku, że autor traktuje przedmiot swój lekko, z ledwie tajonym uśmiechem drwiącym.

P. Chmielowski.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Nauki społeczne w uniwersytecie.

Uniwersytety mają w zasadzie do spełnienia dwa zadania: wykładają i wzbogacają wiedzę. Jeżeli zaś bliżej rozpatrzymy dwa te zadania, trudno będzie nam zataić, że pomiędzy niemi istnieje pewna ograniczona sprzeczność. W charakterze wszelkiego nauczania spoczywa dogmatyzm: od ucznia wymagamy przedewszystkiem wiary w prawdziwość słów naszych. Nauka wyklucza dogmat; jej hasłem jest — wątpić; celem jej bowiem prawda jest nie ta, która leży najbliżej nas i do której się dochodzi po drodze najmniejszego oporu, ale ta tylko, którą zdobywamy po długiej walce z sobą i ze światem. Widzimy więc, że dwa zadania uniwersytetu nie łączą się tak organicznie, jakby to się zdawać mogło. Jeżeli znowu nauczanie wymaga dogmatyzmu, to nie wielkie zdobycze wiedzy mogą być włączone do ogólnej listy prawd ogłaszanych z katedry, albo raczej takie tylko, co do których niema już „żadnych wątpliwości“, prawdy uznane, uszanowane, często już nawet nieco przestarzałe i przestałe. Albowiem to, co przed chwilą wyrzucił z siebie wulkan geniuszu ludzkiego, o co walczą ludzie z nakładem wszystkich sił swoich moralnych, a często i fizycznych, co kochają albo nienawidzą — to wszystko jest jeszcze nazbyt świeże, nazbyt młode i nieuznane, aby mogło znaleźć swą formę w skrystalizowanej „prawdzie“ uniwersyteckiej. Niechaj przejdą dziesięciolecia, niechaj uspokoją się namiętności, postarzeją się bojownicy, wtedy już spokojnie „z czystem sumieniem“ będzie można zarejestrować, przedmioty dawniejszych sporów między paragrafy odczytywanej z katedry starej zatabaczonej książki. Nie zapomnijmy, że Schopenhauer czuł organiczny wstręt do filozofii uniwersyteckiej i nie bez głębokiej ironii widział symbol profesorskiej powagi w peruce. I niezapomnijmy także o tem, że Spinoza pomimo wszystkich zaznanych w życiu tragedyi nie chciał przyjąć posady profesora i że Darwin jej nie zajmował. „Nowe horyzonty“ niepotrzebne snać są na obrazie tych studyów; niepotrzebne, bo jak wskazaliśmy wyżej, nie mogą one mieć miejsca obok głównego celu istnienia uniwersytetów, obok pedagogiki, dogmatyzmu.

Takie były przyczyny, dla których naukę o społeczeństwie, socyologię bardzo późno wprowadzono do programu wykładów uniwersyteckich. I dziś jeszcze, pomimo że udało się gdzieniegdzie pokonać wszystkie przeszkody, nie wszędzie uznano jej prawa obywatelskie. Pozostawiając na uboczu stosunki amerykańskie, o których mowa będzie niżej i parę „wolnych“ uniwersytetów (w Brukseli, w Paryżu) socyologia nie posiada nigdzie w Europie katedry „zwyczajnej“, jak prawo karne albo historya. Nie jest przedmiotem obowiązkowym, wykładają ją docenci prywatni, w rodzinie lekcyi jest kopciuszkiem. W Berlinie od lat dwóch dopiero zyskała sobie przedstawiciela w osobie Simmela, we Fryburgu (badeńskim) wywalczył ją Grosse, w Montpellier — zapoznaje z nią swych słuchaczy Lapouge, a po nim Bernes. Takie same funkcye w paru innych uniwersytetach francuskich pełnią Durkheim (w Bordeaux) — i Bertrand w Lugdunie. Są to atoli tylko luźnie z organizmem uniwersytetu powiązane objawy. Francuzi nie wiedzą nawet, do jakiego właściwie wydziału przyczepić mają nowy przedmiot: gdzieniegdzie wykładają go na wydziale literackim, gdzieindziej znowu na prawnym. Niedawno płodny redaktor „Przeglądu socyologicznego“ R. Worms wystąpił z projektem utworzenia w Paryżu osobnego wydziału nauk społecznych, opartego na bardzo szerokich podstawach, ogarniającego cały obszar nauk socyologicznych. Oto jego wywody. Odróżnia on dwie kategorye nauk społecznych. Jedne są opisowe i konkretne, drugie oderwane i porównawcze. Socyologia zupełna, powinna rozpatrzeć wszystkie społeczności w porządku ich pokrewieństwa, badając formy i funkcye każdej; następnie przystąpi do nakreślenia syntezy, obserwując rozwój każdej formy i każdej funkcyi we wszystkich społecznościach. Takiej podwójnej podróży umiejętności odpowiadać musi podwójna ilość katedr. Worms stara się tedy obliczyć ich przypuszczalną ilość. — Socyologia opisowa zaczyna od społeczeństw najniższych, szczątkowych i kończy na najwyższych szczeblach cywilizacyi. Będzie więc jedna katedra dla społeczeństw zwierzęcych, druga dla przedhistorycznych, trzecia dla afrykańskich, czwarta dla australijskich, piąta dla amerykańskich, szósta dla Japonii i Chin, siódma dla turańskich (Tatarzy, Turcy, Finnowie), ósma dla semitów (Arabowie, Fenicyanie, Żydzi, Asyryjczycy), dziewiąta dla starożytnych Aryan, dziesiąta dla społeczeństw europejskich od ery chrześciańskiej do Odrodzenia, jedenasta wreszcie obejmie społeczeństwa europejskie (i nowo amerykańskie) od XVI stulecia. Tyle dla socyologii opisowej. Przechodzimy następnie do porównawczej. Tutaj zalicza Worms anatomię porównawczą społeczeństw i ich fizyologię. W pierwszej przedstawi się je w oświetleniu porównawczem według warunków otoczenia fizycznego (gleba, klimat, bogactwa mineralne, roślinne i zwierzęce) i ludności rozpatrywanej ze stanowiska antropologicznego, demograficznego z podziałem na klasy i zawody. W ten sposób otrzymamy katedry geografii porównawczej (albo mesologii — nauki o środowisku — społecznej), antropologii porównawczej, psychologii, filologii i demografii porównawczej. Poza-

tem zostaje jeszcze drugi dział socyologii porównawczej, który rozpatruje grupy społeczne pod względem ich odżywiania, ich rozmnażania się, ich stosunków duchowych. „Odżywianie“ t. j. życie ekonomiczne wymagać będzie trzech katedr: jednej dla pracy (produkcya, bogactwo), drugiej dla podziału, trzeciej dla obiegu i spożycia bogactw. Rozmnażanie się obejmie w całokształcie swych zjawisk (miłość, małżeństwo, życie rodzinne, wychowanie dzieci) dwie katedry. Pozostają wreszcie stosunki duchowe: dzieje religii, idei moralnych i obyczajów, sztuk pięknych i literatury, nauk przyrodniczych, prawa i instytucyi politycznych. Do tych wyliczonych wyżej przedmiotów czyli do ogólnej cyfry 26 katedr dorzuca Worms jeszcze jedną, ostatnią: tutaj rozpatrzeć by należało kwestye metody i przedmiotu nauk społecznych, tutaj niby w ognisku optycznem zbiegałyby się promienie ze wszystkich poszczególnych oddziałów fakultetu socyologicznego.

Jestto, jak widzimy, plan obszerny, szeroko pomyślany i nierokujący z tych właśnie powodów prędkiego i dodatniego urzeczywistnienia. Po części już dzisiaj uniwersytety liczą pośród swych profesorów specyalistów w dziedzinach zaznaczonych w spisie powyższym. Są to jednak wypadki odosobnione, niepowiązane wspólną organizacyą, i wspólnym celem. Przed kilku laty utworzony uniwersytet wolny w Brukseli i kolegium społeczne w Paryżu, gdzie wykłada Tarde, są już słabą wskazówką drogi, którą kroczyć będzie przyszłość uniwersytetu socyologicznego.

Ale jestto zawsze „muzyka przyszłości“. Przypatrzmy się natomiast podobnym nieco organizacyom nauczania socyologicznego w Ameryce Północnej. Amerykanie to naród praktyczny, młody i niedźwigający ciężarów różnorakich tradycyi; dla nich niemasz zagadek i niemożebnych do rozwiązania węzłów gordyjskich. Odrazu, bez długich rozmyślań „biorą“, jak mówi przysłowie francuskie, „byka za rogi“, nie pytając wiele o historyę, o spokojny rozwój naturalny. Tu rozstrzygają przedewszystkiem cele praktyczne, bieżące i rozstrzyga logika potrzeby obecnie istniejącej. Racyonalizm historyi interesować może tylko narody mające „historyę“ w świecie materyalnych i duchowych stosunków. Yanke nie ma dziejów.

Zapoznamy w krótkich słowach czytelnika z organizacyą szkoły nauk politycznych istniejącą przy Columbia-College. Szkoła ta ma na celu przygotowanie młodych ludzi do wszelkich zawodów politycznych, ukształcić dziennikarzy, uzupełnić wykształcenie dostarczane przez fakultety prawne, przygotować nauczycieli nauk politycznych. Całokszałt przedmiotów wykładanych obejmuje trzy wielkie grupy: 1) historyę i filozofię polityczną, 2) prawo publiczne i prawoznawstwo porównawcze, 3) ekonomię polityczną i nauki społeczne w ścisłem znaczeniu tego wyrazu. Szemat ten atoli nie daje jeszcze dostatecznego wyobrażenia o lekcyach w szkole. I tak pod rubryką (1) historyi i filozofii politycznej rozumieć należy piętnaście rożnych umiejętności, jak dzieje Europy pojęte nadzwyczaj szeroko (ogólna historya konstytucyjna Europy, Anglii, Irlandyi, Francyi, historya prawa narodów europejskich, dyplomacyi, (geografia historyczna), jak dzieje Ameryki (historya konstytucyi, dzieje kolonii i rewolucyi amerykańskiej) itd., wreszcie „filozofia polityczna“ obejmuje dzieje ogólne teoryi politycznych od Braminów do Spencera oraz amerykańską filozofię polityczną. — Rubryka (2) prawa publicznego i prawoznawstwa porównawczego zawiera: prawo konstytucyjne porównawcze Stanów Zjednoczonych, Anglii, Francyi i Niemiec, prawo międzynarodowe, karne, administracyjne i rzymskie — wszystko w porównawczem oświetleniu, wreszcie teoryę prawa. Trzecia nareszcie sekcya (ekonomia polityczna i nauki społeczne) ogarnia: ekonomikę historyczną i praktyczną, historyę ekonomii politycznej, teoryę kolei żelaznych (ze stanowiska prawa i stosunków ekonomicznych) finanse i dzieje przemysłu amerykańskiego; następnie mamy socyologię i statystykę w 4 przedmiotach: 1) nauka statystyki, 2) teorye komunistyczne i socyalistyczne, 3) socyologia (dzieje socyologii i socyologia właściwa ze stanowiska antropologii, etnografii i demografii) 4) penologia (nauka o karach t. j. zbadanie specyalne warunków socyologicznych przestępstw i odpowiadających im kar. Zaznaczyć należy, że przedmioty wykładane są w szkole nader obszernie: kurs obejmuje 3 lata i 20 godzin lekcyi tygodniowych. Każdy przedmiot ma swoje seminaryum, gdzie słuchacze według wskazówek profesora opracowują różne specyalne zagadnienia z właściwej dziedziny.

Takie są główne rysy rozszerzania dotychczasowych ram wydziałów uniwersyteckich przy wprowadzeniu do grona umiejętności nowej siostrzycy: nauki o społeczeństwie.

Zen. Por.

TO I OWO.

Złote myśli z pism Asnyka.

Dziś naszym obowiązkiem, trwać w milczeniu głuchem,
Z karnością postawionych na czatach żołnierzy,
Nie zdradzając się żadnym okrzykiem lub ruchem,
Dziś tylko wolno naprzód poruszać się duchem,
I przysposabiać sobie siły zasób świeży,
Zanim nam Bóg obronę przyszłości powierzy!

(W oczekiwaniu jutra).

* * *

Idźcie! jak światła przystoi czcicielom,
Oświecać drogi ludzkiego pochodu!
Ku coraz wyższym i jaśniejszym celom.
Szukajcie prawdy dla swego narodu,
Ażeby przez nią posiąść mógł Helota
Stracone piękno i dobro żywota.

(W 25-tą rocznicę powstania z r. 1863.)

* * *

Z fizycznej siły wykwita
Sił wyższych czynność społeczna,
I mądrość w środki obfita
I miłość ludzi słoneczna
I wielkich poświęceń zdolność,
Za wiarę, ojczyznę, wolność!

(Do sokołów).

* * *

To, co było czynem wczora,
Dziś jest pieśnią lub legendą —
A gdy nowa błyśnie pora,
Pieśni w czyn się zmieniać będą.

(Krąg przemian).

* * *

To przywiązanie, które ludzie prości
Czerpią z cichego z naturą przymierza,
Stwarza ojczyznę, jako cel miłości.

(W Tatrach).

* * *

Żyje ten naród, co prawdziwą
Zasługę pojmie i ocenia
I w ślad za myślą idzie żywą
I zbierze świeżych kłosów żniwo
Na drogach swego odrodzenia.

(Na jubileuszu Kraszewskiego).

Każda epoka ma swe własne cele
I zapomina o wczorajszych snach...
Nieście więc wiedzy pochodnie na czele
I nowy udział bierzcie w wieków dziele,
Przyszłości podnieście gmach!
Ale nie depczcie przeszłości ołtarzy,
Choć macie sami doskonalość wznieść;
Na nich się jeszcze święty ogień żarzy
I miłość ludzka stoi tam na straży,
I wy winniście im cześć!

(Do młodych).

* * *

Kto żyje z plonu dawniejszych lat,
Przeżuwa przodków dostatki...
Takim dowództwo odbierze świat,
A mienie — wydrą wypadki!

(Dzisiejszym idealistom).

* * *

Przechowuj w sercu szlachetną marę
Przechowuj!
I żyj miłością swego narodu,
A w chwilach smutku, w chwilach zawodu
O idealną oprzej się wiarę
Jak powój!

(W albumie).

* * *

Póki w narodzie myśl swobody żyje,
Wola i godność i męstwo człowiecze,
Póki sam w ręce nie odda się czyje
I praw się swoich do życia nie zrzecze,
To ani łańcuch, co mu ściska szyję,
Ani utkwione w jego piersiach miecze,
Ani go przemoc żadna nie zabije —
I w noc dziejowej hańby nie zawlecze.

(Nad głębiami).

* * *

Co złość zniweczy, co występek zburzy,
To miłość z gruzów napowrót postawi.
Upadłą ludzkość z krwi i łez kałuży,
Gdzie ją spychają występni i krwawi,

Czyn poświęcenia podniesie i zbawi.
Myśl, która dobru powszechnemu służy,
Wiedzie za sobą duchów zastęp duży,
Jak łańcuch w niebo lecących żórawi.

(Nad głębiami).

* * *

Moralność mści się... a ma żądła węża.

(Upomnienie).

* * *

Minęły te czasy, w których dziewczęta stawały się ofiarami egzaltacyi uczuć; dzisiaj grozi im odwrotne niebezpieczeństwo. Ze wszech stron uczą je wierzyć w nieomylność ludzkiego rozumu, rządzić się zimnem wyrachowaniem i lekceważyć każdy poryw serca. Powiadają im, że miłość, to mrzonka i niepotrzebny zbytek w życiu, a główną podstawą szczęścia wygodny byt i znaczenie, jakie daje majątek . . . . Kobiecie nie wolno w żadnym razie wyrzekać się tego szczęścia, jakie daje prawdziwa miłość. Biada tej, która o tem zapomni; pomści się na niej własne jej serce, dopominając się po niewczasie o swe prawa i pozostanie jej na całą przyszłość niezapełniona niczem pustka życia, żal za dobrowolnie odepchniętem szczęściem i coraz uciążliwsze jarzmo obowiązku.

(Bracia Lerche.)

Na Wyłomie.

(W sprawie jubileuszu Asnyka. — Druga batalja lojalizmu.)

Najsmutniejsze doswiadczenia nie zdołały mi dotychczas odebrać optymizmu, i zdaje mi się, że z choroby tej nie wyleczy mnie żaden z uczniów Eskulapa, żadna dawka naszej a s a f o e t i d y dziennikarskiej, naszych emetykowych poezyi, naszej chloroformującej polityki i znieczulonego zapału dla sztuki i piękna. I tak przekonany byłem, spiesząc na Asnykowski wieczór do teatru, że ujrzę w lożach i krzesłach cały kwiat inteligencyi poznańskiej, że nawet wieś, udzieliwszy chwilkę wytchnienia tak prześladowanym w obecnej porze szarakom, pospieszy złożyć hołd zasłużony największemu z liryków współczesnych. Spotkało mnie jednak smutne rozczarowanie. W przedsionku cisza grobowa, przy kasie duma nad znikomością rzeczy ludzkich wogóle, a zupełnym brakiem nabywających bilety w szczególności skwaszona ministrowa skarbu. Smutne przeczucie zamienia się w pewność, gdy wkraczając do sali teatralnej, spostrzegam przeraźliwe pustki. W krzesłach i lożach pierwszego piętra naliczyłem co najwyżej 30 osób, nie wyłączając artystów, recenzentów i redaktorów, którzy jak wiadomo największy dochód przynoszą naszej kasie teatralnej. Tylko tam wysoko, w pobliżu nieba, czerni się garstka publiczności, — może 40, może 50 widzów.

Tak Poznań hołd składa wielkiemu mistrzowi, a „Kuryer Poznański" znalazł znowu temat do polemiki z tym „szabasowym" Sullą, który skarży się aż do znudzenia na wyjałowienie naszego życia, na zgrzybiałość społeczeństwa, na sen rozpaczliwy. I nie wątpię ani jednej chwili, że w gwiazdkowym numerze, zapowiedzianym przez redakcyę „Kuryera Poznańskiego", znajdzie się wierszyk „małego Włodzia" takiej mniej więcej treści:

„Mówi Sulla, że Beocyą
Jest nasz Poznań ukochany,
Lecz to znane, że pan Sulla
Kanikułą opętany.
Kto nie wierzy, niech zaglądą
Do przybytku naszej sceny,
A wykrzyknie wielkim głosem,
Że nasz Poznań to Ateny".

Wybaczy mi jednak „Kuryer Poznański", że ani jego proza, ani poezya nie wywiera na mnie silniejszego wrażenia, i dla tego bez oglądania się na ewentualną kanonadę moich najserdeczniejszych prezentuję ten pusty teatr w Asnykowski wieczór jako smutny dowód naszego wystudzenia, naszych zagasłych iskier poezyi i piękna.

A może obok typowej apatyi społeczeństwa Poznańskiego odegrały tu rolę jeszcze inne motywy? Niewątpliwie, — winną jest także nasza prasa codzienna, że nie umiała zareklamować jubileuszu słonecznego śpiewaka że nie zelektryzowała, nie rozgrzała sfilistrzałych Poznańczyków. W Krakowie i Lwowie przygotowywano ludność do uroczystości jubileuszowej jak do wielkiego święta, mówiono o płomiennych dźwiękach lutni Asnykowskiej, o jego rzewnym smutku i perłowym śmiechu, o tej myśli, co szukała najgłębszych zagadnień bytu, co u stóp krzyża narodowego się wiła, co nowe gwiazdy zapalała w górze, co łkała nad upadkiem poezyi, co skargę „młodych" i „starych" w gromowych wyśpiewała dźwiękach, pełnych ironii gryzącej, gniewu i żalu serdecznego, co ukochała lud, ojczyznę, ludzkość, swobodę i piękno. A u nas? Mój Boże, zaledwie jeden i drugi z dzienników bąknął, że Galicya gotuje dla Asnyka hołd jubileuszowy, zaledwie zamieścił komunikat nadesłany przez p. Rygera, że w teatrze odbędzie się wieczór Asnykowski. Nie umiano nawet słomianego ognia rozpalić w zimnej z natury publiczności, więc nie dziw, że teatr świecił pustkami.

A zresztą zwolennicy trzech lojalizmów uważali prawdopodobnie za niestósowne, by składać hołdy poecie, który był na tyle nieostrożnym, że piastował urząd naczelnego kierownika „Nowej Reformy" i przy wyborach do sejmu pobił Stańczykowskiego kandydata. Stronnictwo „Czasu" usunęło się w Krakowie demonstracyjnie od owacyi jubileuszowych dla czerwonego poety, a stronnictwo naszych obu Kuryerów podążyło śladem galicyjskich kolegów. Co tam poezya, co tam geniusz, co tam pieśń wspaniała i wielka miłość ojczyzny?! W królestwie trzech lojalizmów przed tym jedynie zgina się kolana, kto znak herbowy Koźmianów i Kościelskich przypiął do klapy surduta, a ktokolwiek nie przywdział liberyi tych mędrców politycznych, ten warchoł nie godzien pokłonu, chociażby blaskiem geniuszu rozświecał mroki ludzkości. Gdyby tak jaki Kuryerowy poeta święcił dwudziestopięciolecie swych rymów, ileż to surm potężnych grałoby po kraju, ileż to pism wołałoby z namaszczeniem, że oddanie hołdu „wielkiemu mężowi" to święty obowiązek narodowy.

O! biedna dyrekcyo teatru, biedny Rygerze! Któż ci podszepnął ten szalony pomysł, by czcić Asnyka na poznańskim bruku!

I jak na nieszczęście zjawia się jubileusz „czerwonego poety" w tej samej chwili, gdy skompromitowany lojalizm znów sprawia szyki w armii zmieszanej i onieśmielonej. Na wszystkich punktach życia naszego brzmi gromka pobudka „nowych horyzontów", i sztandar ugody tak niemiłosiernie zdeptany stopą niemiecką, tak poszarpany i oplwany, znów po mozolnem wypraniu i połataniu powiewa na szańcach polskich. Zdawało się, że umizgi Koła polskiego do pruskiej armii i marynarki stracą na zapałach i afektach po krzyżackiej zdradzie, — dziś jednak wieść inna idzie z Berlina, dziś dowiedział się naród, że posłowie jego nowe hołdy i nowe podarki pikelhaubie złożyli, że w obradach komisyi nad budżetem wojskowym wszystkie postulaty rządowe powitali kornym pokłonem, że nawet za powiększeniem kapel wojskowych głosy swe oddali, lubo tym kapelom zakazano grywać polskich melodyi i wygnano je z wszystkich koncertów, gdzie polskie figurują programy. Coraz lepiej! Drwią niemieckie dzienniki, drwi rząd, drwią wszystkie stronnictwa w parlamencie i sejmie, — a my coraz głębiej brniemy w trzęsawiskach politycznej ułudy. I nie dość na akcyi ugodowej w Berlinie, — tu na miejscu grają trąby i skrzypce i flety lojalne. Cudowna muzyka i cudowne tony! Tak mówi n. p. „Dziennik Kujawski": „Spodziewamy się, że Koło polskie uwzględniając interes państwa, będzie t a k ż e uwzględniało żywotne interesa swych polskich wyborców". Jak wam się podoba to „t a k ż e"? Państwo na pierwszem miejscu, a interes narodu polskiego to taki sobie gracik podrzędny. Ostatecznie i o nim wspomnieć wypada.

Sulla.

KRONIKA POWSZECHNA.

— **Teatr i muzyka.** W teatrze poznańskim odegrano w ubiegły wtorek na uczczenie jubileuszu Asnyka „Gałązkę heliotropu" i „Przyjaciół Hioba". Wykonanie obu utworów chromało mianowicie pod względem pamięciowym. Psuto wiersze Asnyka i komponowano na poczekaniu całe tyrady dla zamaskowania ambarasu. Z artystek wyróżniała się prawdziwie charakterystycznem zacięciem, elegancyą i swobodą p. A n d r a n w roli Estetyńskiej a panna T a ń s k a w roli Leoni, miała wiele szczerych dramatycznych akcentów. Z artystów zdobyli sobie uznanie pp. T a r a s i e w i c z i J a k u b o w s k i. W grze p. O l s z e w s k i e g o jako C y g a n k a było sporo humoru i prawdy, lecz za mało słów Asnyka, a za wiele samego artysty. — W ubiegłą środę wystąpiła po raz pierwszy z koncertem na scenie poznańskiej pani P o s i a d ł o w s k a, uczennica Lucci. Śpiewaczka głosem silnym, czystym i dobrze ułożonym zdobyła sobie sympatye publiczności, lubo widoczna trema nie pozwoliła jej rozwinąć wszystkich zasobów talentu. — We Wiedniu budzi szczerą wesołość nowa farsa Buchbindera p. t. „E i n k e c k e r S c h n a b e l". — W Krakowie wprowadzono istniejący gdzieniegdzie w Europie zwyczaj wygłaszania przed widowiskiem teatralnem objaśniających utwór prelekcyi. — Ibsena fantastyczny dramat „Peer Gynt" z muzyką Griega wystawiony został z powodzeniem na scenie amatorskiej „L'oeuvre" w Paryżu. — W teatrze berlińskim Lessinga zjednała sobie uznanie krytyki i publiczności sztuka Roberta Bracco p. t. „Maski". Tematem utworu jest wiarołomstwo, traktowane realistycznie.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

— **Abonent.** Życzeniu Pana stało się zadość w dzisiejszym artykule wstępnym. Nadmieniamy, że artykuł ten w kilku tysiącach odbitek rozszerzymy po Księstwie, Galicyi i Królestwie.

— **Drugi przyjaciel pana Goremykina**. Dziękujemy uprzejmie za wycinki, lecz w dalszą polemikę z tym panem wdawać się nie myślimy. Jest to przecież figura na wskroś humorystyczna i wystarcza posłuchać, co sobie ludzie opowiadają o jego śniadaniach, na których każdy z uczestników „zjadał 37 tuzinów ostryg", o jego tajemnicach politycznych, które, jak mówi, zatrząść mogą Europą, i o tej roli straszliwej, którą, jak zapewnia na ucho, odegrają jego wiadomości strategiczne w przyszłej wojnie europejskiej, by odłożyć pióro z uśmiechem politowania. Zresztą, na cóż by się zdały wszelkie lekcye literatury i logiki, kiedy ten pan redaktor nie rozumie najprostszego zdania, i gdy ktoś n. p. twierdzi, że ziemia obraca się około słońca, — on odpowiada, że małpa należy do zwierząt ssących.

— **Jedna z czytelniczek.** 1) „Biblioteka warszawska" rozporządza lepszemi siłami literackiemi, lecz „Ateneum" jest znacznie ruchliwsze i aktualniejsze. 2) Polecamy „Dzieje literatury powszechnej z ilustracyami", opracowane p. Edwarda Porębowicza Juljana Adolfa Święcickiego i Feliksa Jezierskiego. Dzieło te wyszło w Warszawie, nakładem S. Lewentala.

— **Z. G. Kraków.** Proponowanego tłomaczenia przyjąć nie możemy z powodów, które podamy w najbliższym numerze.

— **Stały czytelnik „Przeglądu Poznańskiego".** Dobrym zamiarom stanęły na drodze bardzo ważne przeszkody.

BIBLIOGRAFIA.

(Książki nadesłane redakcyi).

B. Korda. G r a w y o b r a ź n i. Poezye. Kraków 1897. Nakładem W. L. Anczyca i Sp.

Wincenty Pol. W y b ó r p o e z y i. Petersburg 1897. Nakł. K. Grendyszyńskiego.

Z powodu świąt Bożego Narodzenia wyjdzie następny numer „Przeglądu" dopiero we wtorek dnia 29-go grudnia.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego" w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej Nr. 28 (Telefon Nr. 334.)

Nr. 52. Poznań, wtorek 29-go grudnia 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę. **Redakcya:** Poznań, św. Marcin 22 II p. **Administracya:** Podgórna ul. Nr. 7. w podwórzu.

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Podgórna Nr. 7. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego. **Pojedyńczy numer:** w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen. **Rękopisów drobnych niezwracamy.**

TREŚĆ.

Zawiadomienie.

Z końcem bieżącego roku zawieszamy dalsze wydawnictwo „Przeglądu Poznańskiego“. W trzyletniem blizko istnieniu przekonaliśmy się, że dla poważnego tygodnika o charakterze polityczno-literackim nie ma w zaborze pruskim odpowiednich warunków bytu, że mianowicie t. zw. inteligencyi wyższej jest w kraju naszym za mało a ogólna niemoc finansowa zmusza często nawet tych, którzy uczuwają potrzebę lepszego pokarmu literackiego, do poprzestania na abonowaniu codziennych czasopism. Zresztą akcyonaryusze „Przeglądu Poznańskiego“, dążąc wytrwale do utworzenia wielkiej demokratyczno-postępowej partyi, nabrali przekonania, że wydawnictwo tygodniowe nie może dość skutecznie popierać interesów stronnictwa, spętane długością przestrzeni, dzielącej jeden numer od drugiego, i skazane z góry na szczuplejszą liczbę czytelników niż pisma codzienne. Mimo tych niekorzystnych warunków, ofiary finansowe, poniesione przez akcyonaryuszów „Przeglądu Poznańskiego“, nie poszły na marne i pozostawiły ślady wyraźne w społeczeństwie naszem.

Zdaje nam się, że bez przesady i bez fałszywej skromności możemy tu śmiało wyrazić przekonanie, że zasługą „Przeglądu“ jest spotęgowanie tego ruchu opozycyjnego, który obudził się w całym zaborze pruskim przeciw klerykalno-lojalnym zakusom kierujących stronnictw. I nasza działalność stała się niewątpliwie jedną z głównych przyczyn, że mury zbudowane przez miejscowe Dzienniki i Kuryery między inteligencyą demokratyczną a ruchem ludowym skruszały i coraz większemi świecą wyłomami. Ten prąd ożywczy, który od lat kilku bije z nizin narodu i wzbiera falą potężną, rozwijał się długo o własnych siłach, bo umiano go w tak ponurych obrazować barwach, że nasza wygodna, nieco apatyczna i trwożnie oglądająca się na opinię konserwatywnych gerontów inteligencya uważała go za chorobliwy objaw sztucznej agitacyi, psujący normalny rozwój stosunków poznańskich. Pod naciskiem krytyki naszej zwężył się przedział dzielący demokratyczną inteligencyę od ruchu ludowego, a gdyby nawet działalność „Przeglądu Poznańskiego“ nie mogła się wykazać żadnym innym rezultatem, prócz tego jednego, to już ofiary nasze nie były bezpłodne i warto było żyć, warto było działać.

Zdaje nam się jednak, że w rejestrach dorobku naszego historya literatury zapisze ponadto sumienną służbę w świątyni sztuki i piękna, która na poznańskiej ziemi opuszczoną była i pustą. Nie zaprzeczy nam chyba wróg najzaciętszy, że od lat wielu pismo nasze pierwsze usiłowało na kresach uprawiać ziemię pod zasiew literacki i w miejsce dotychczasowych dyletanckich zakusów stało się poważnym pośrednikiem między ruchem umysłowym Europy a naszą zamkniętą na cztery zamki prowincyą. Skupiliśmy około „Przeglądu Poznańskiego“ najwybitniejszych pisarzy polskich, nastręczaliśmy młodym talentom, mianowicie takim, które ściślejsza nasza wydała ojczyzna, sposobność wypowiedzenia się, budziliśmy krytycyzm literacki w wyjałowionych i przez fałszywych nauczycieli spaczonych umysłach, budziliśmy miłość dla sztuki tam, gdzie rozpolitykowanie społeczeństwa grozi kulturze narodowej zalewem jednostronności. I znajdzie się może garść bezstronnych krytyków, która poświeci przyjazne wspomnienie tej walce zaciętej, którą „Przegląd Poznański“ od samego początku istnienia swojego toczył z korupcyą prasy, obniżeniem ideałów etycznych i teroryzmem kliki rządzącej w kresowych prowincyach. Bicz satyry naszej był nieraz bardzo dotkliwy, lecz budził śpiących leniwców i karmił odwagą protestu tych, którzy z obawy przed gromem oligarchów poznańskich zaledwie lękliwym półszeptem rzucali słowo krytyki w bagienko naszych społeczno-ekonomicznych i politycznych stosunków. Dziś rozwiązane języki i dla każdej, choćby najsurowszej analizy, grunt uprawiony.

Mimo tych dodatnich wpływów pisma naszego, przekonaliśmy się, jak już wyżej wzmiankowano, że wydawnictwo organu tygodniowego na poznańskim gruncie wymaga zbyt wielkich ofiar finansowych a politycznym interesom stronnictwa tylko połowiczne oddaje przysługi. Z tego powodu zwijamy na razie „Przegląd Poznański“, dzieląc się jednak równocześnie z czytelnikami naszymi wiadomością, że usilne starania o powołanie do życia codziennego pisma o barwie postępowo-demokratycznej są w pełnym biegu i prawdopodobnie już w niedługim czasie skutek pożądany odniosą. Nie żegnamy się zatem na zawsze. — tylko: Do widzenia!

* * *

Zawieszając wydawnictwo nasze donosimy współpracownikom „Przeglądu Poznańskiego“, że po zaległe rękopisy zgłaszać się należy aż do 15 stycznia 1897 r. do prywatnego mieszkania dr. Władysława Rabskiego (ul. Św. Marcina 22 II.) Wszelkie rachunki z korespondentami i abonentami naszymi zostaną również załatwione w ciągu miesiąca stycznia.

W sprawie ogłoszonego przez pismo nasze konkursu na pracę „O życiu i działach Karola Marcinkowskiego“ komunikujemy, że dotychczas żadna praca nadesłaną nie została i dla tego ostateczny termin nadsyłania rękopisów odraczamy do 31-go grudnia 1897 r. Na przypadek, że i w nowym terminie starania nasze plonu nie wydadzą, zlecamy panu Dr. B. Krysiewiczowi, zawiadowcy funduszu konkursowego, i panu A. Niesiołowskiemu z Szarleja, inicyatorowi konkursu, aby zgromadzonym kapitałem według uznania rozporządzać raczyli. Prosząc wszystkie pisma polskie o powtórzenie tej wiadomości, podajemy poniżej raz jeszcze warunki konkursu:

1) Dzieło uznane za najlepsze otrzyma 1000 marek nagrody. Fundusz ten zebrała w drodze składek redakcya „Przeglądu Poznańskiego“.

2) Dzieło winno obejmować przynajmniej 10 arkuszy druku (8-vo).

3) Dzieło winno zawierać:

a) charakterystykę społeczno politycznych stosunków W. Ks. Poznańskiego w tej epoce, w której żył i działał Karol Marcinkowski; b) życiorys Karola Marcinkowskiego i dokładną charakterystykę jego społeczno politycznych i filantropijnych dążeń i działań; c) historyę instytucyi powołanych do

ycia p. Karola Marcinkowskiego lub z współudziałem jego stworzonych; d) charakterystykę wybitniejszych działaczy politycznych Księstwie z okresu Karola Marcinkowskiego.

4) Prace nadsyłane pod adrem Dr. Bolesława Krysiewicza (Poznań l. św. Marcina Nr. 57), powinny być bezmienne i zaopatrzone w godło, znajdujące się także na zamkniętej kopercie, zawierającej nazwisko i dokładny adres autora.

5) Ostateczny termin nadsyłania rękopisów upływa z dniem 31 grudnia 1897 r.

6) Premia uzyskana winna być przedewszystkiem użytą na ogłoszenie drukiem nagrodzonego dzieła.

7) Do składu jury konkursowej należą: pp. Bernhard Chrzanowski, Dr. Bolesław Erzepki, prof. Marceli Motty, A. Niesiołowski z Szarleja, Kaźmierz Puffke, Dr. Wł. Rabski, Dr. Józef Stasiński.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

O ks. biskupie Koppie.

„Przegląd wszechpolski“ tak charakteryzuje działalność ks. biskupa na Szląsku austryackim:

„Rozporządzenie ostatnie jest tylko nowym objawem systemu, który ks Kopp na Szląsku austryackim stosuje. Wszystkie większe parafie polskie obsadza on zniemczonymi księżmi czeskimi a księży polaków, nie ukrywających swego patryotyzmu, prześladuje. Obecnie zabronił księżom należenia do towarzystwa, które wydaje „Gwiazdkę“, wkrótce zabroni im należenia do „Macierzy szkolnej“ i innych towarzystw narodowych, nakoniec każe im agitować i głosować na liberałów niemieckich, jak to dziś czyni generalny wikaryusz ks. Findiński.

W tej sprawie zasługuje na szczególną uwagę zuchwalstwo biskupa wrocławskiego który, będąc sam poddanym pruskim, ośmiela się ograniczać prawa obywatelskie poddanych austryackich. Oddawna już wykazywano konieczność zniesienia tej anomalii, jaką jest zależność kościelna księstwa cieszyńskiego od stolicy biskupiej w Wrocławiu. Nadarza się teraz wyborna sposobność do ponownego i pomyślnego przeprowadzenia tej sprawy, ale trudno spodziewać się, żeby Koło polskie wystąpiło energicznie i żeby zażądało od rządu położenia tamy zamachom germanizacyjnym biskupa Koppa. Coraz więcej nabiera prawdopobieństwa wiadomość, podana niegdyś przez „Głos narodu“, że przewódcy stańczyków zawarli w sprawie śląskiej układ z Niemcami i pozostawili im zupełną swobodę działania. Inaczej niepodobna byłoby wytłomaczyć dziwnej obojętności posłów polskich w sprawie śląskiej, obojętności, za którą nawet „Kraj“ energicznie Koło strofuje. „Jeżeli prawdą jest wszystko co mówił p. Lewakowski“ — pisze „Kraj“, a my dodamy, że to tylko część smutnej prawdy — to niepodobieństwem jest pojąć „dlaczego Koło polskie i rząd austryacki tolerują taki stan rzeczy? Jakież rozsądne powody przemawiają za tem, żeby chłop polski na Szląsku stanowił jedyny wyjątek w całem państwie? Jakaż wyrafinowana kazuistyka potrafi wytłómaczyć włościanom z pod Cieszyna, że nie powinni rościć sobie praw do tego, co mają w Galicyi Rusini, do tego, co ma w Galicyi każda osoba niemiecka.“

LITERATURA I SZTUKA.

Na skrzydłach marzeń.

Na skrzydłach marzeń, na skrzydłach snu
Popłyńmy w czarów kraje
Niech zawieszone na skrzydłach snu
Przed nami szczęście staje.

Na skrzydłach marzeń, na skrzydłach snu
Kołysze się królewic,
I harfa złota na skrzydłach snu
I śpiewy cudnych dziewic.

Na skrzydłach marzeń, na skrzydłach snu
Miłości czar przebywa, —
Ach! nawet przyjaźń na skrzydłach snu
Piękniejsza niźli żywa!

Na skrzydłach marzeń, na skrzydłach snu
Lśnią dni minionych dzieje,
I „dziś“ nas wabi na skrzydłach snu,
I „jutro“ nam się śmieje. —

Na skrzydłach marzeń, na skrzydłach snu
Popłyńmy w czarów kraje, —
Spojrz! już przywiana na skrzydłach snu
Zapomnień mgła nam zostaje.

Jadwiga z Ciecierskich Jasieńska.

Dwa ideały kobiece Chopina.

Było to w r. 1829. Chopin wrócił niedawno z dłuższej zagranicznej wycieczki, w czasie której zwiedził Kraków, Wiedeń, Pragę, Drezno, Wrocław. Z wycieczki tej wracał, jak sam pisze, „mędrszym i doświadczeńszym o jakie cztery lata“

W stolicy nad modrym Dunajem, w siedzibie Haydna, Mozarta, Beethovena, spotkał się genialny młodzieniec z przyjęciem bardzo serdecznem, dalekiem od tych zawodów i rozczarowań, jakie go w dalszej karyerze artystycznej spotkać miały. Z sercem, prawdopodobnie, przepełnionem nadziejami różowej przyszłości, a skutkiem tego, czulszem i wrażliwszem na wszystko co piękne, wielki poeta tonów polskich, zjechał do Warszawy, z której niebawem miał odlecieć w obce kraje, by więcej już nie wrócić...

Konserwatoryum warszawskie występowało z popisem. Przed licznie zgromadzoną publicznością ukazywali się kolejno mniej lub więcej uzdolnieni uczniowie i uczennice tej szkoły muzycznej, karmiąc uszy słuchaczy falami dźwięków harmonijnych, nie budząc jednak zbytniego zapału.

Wtem na estradę wchodzi z wdziękiem niezrównanym, dziewczę jasnowłose. Na twarzy jej, barwy róży herbacianej, wykwitły dwa lekkie rumieńce, świadczące o gorączce jaką jej ten pierwszy popis publiczny sprawiał. Długie rzęsy osłaniały wielkie, ciemnoniebieskie oczy, z trwogą spoglądające przed siebie. Pierś szybko się wznosiła.

Kaźmierz Zdziechowski.

Zielone święta.

NOWELA.

(Dokończenie).

Pan Andrzej chciał odrzec coś bardzo wesołego, chciał uśmiechnąć się, ale usta wykrzywiły mu się jak do płaczu, głos uwiązł w gardle i nie powiedział nic.

— Pan dzisiaj smutny — rzekł doń młodzieniec — niech pan co przeczyta, mam wspaniałą książkę! albo, wiesz pan co, powiem, żeby pana przeniesiono do okna. Dobrze?

— Do...brze, bar...dzo tego chciałbym — drżącym i cichym głosem odpowiedział p. Andrzej, i ucieszył się wielce tym projektem; „zobaczę domy, ulice, wielu ruszających się ludzi, niebo, słońce“, — pomyślał z radością, ale jednocześnie coś, głos mroku zaszeptał: ostatni raz. Serce ścisnęło się w panu Andrzeju od słów tych, zagłuszył je jednak i znowu z całą usilnością wpatrzył się w wązki strumień światła, za który się uczepił.

Przyszły siostry i zaczęły go podnosić; p. Andrzej zamknął oczy, żeby nie widzieć swego ciała i głównie brzucha, którego się lękał, i drżał, by któraś z jego sióstr nie wypowiedziała jakiejś uwagi o stanie jego zdrowia. Sam chciał zacząć rozmowę, ale nic mu nie przyszło do głowy, więc milczał. Straszny tępy ból rozerwał mu wnętrzności, gdy podniósł się, jednocześnie okropniejszy od bólu strach szepnął: narośl wciąż się jeszcze powiększa — ale biedny przerażony człowiek z wysiłkiem woli, aby coś powiedzieć, odezwał się: „czy jutro... czy bardzo ciepło dziś na dworze?“ — Osiemnaście stopni.

Był już koło okna. Przez chwilę skupił się i cały wszedł we wzrok. Widok rzeczy dawno niewidzianych ogłupił go, olśnił oczy, przywykłe do jednostajnej białej ściany, aż bolały od rozmaitości przedmiotów, które się cisnęły do jego źrenic. Dzień był jasny, ogniście słoneczny; niebo spływało nad miastem w powodzi błękitu ciepłego i miękkiego; czasami sunęła biała chmura, pędzona wiatrem cichym; powietrze miało woń zapachów rozlicznych i świeżość rzeki.

Dachy, domy, szeregi okien, słupy kominów, wieże, kominy fabryczne, kopuły świątyń, sznury przechodniów, dorożki... Na chwilę p. Andrzejowi udzieliła się mocna radość bujnego życia: światłego promienia, błękitu, kąpiącego się w cieple słonecznym, wiatru wonnego, idących szybko ludzi, śpieszących dorożek; zapomniał o strasznym czarnym potworze, który go osłabił; chwycił go, ścisnął, objął i ciągnął w otwór niezgłębiony, — ale tu otoczył go inny świat, świat szeroki, jasny i żywy, na który nie wyjrzy mroczny potwór. A potem nagle p. Andrzej odczuł i pojął, że nigdy już nie będzie zdrowym, ten człowiek silny, zdrowy, który tam wśród domów ulicami chodził, pracował w biurze, kochał żonę, mieszkał w 4 ciasnych pokojach, pieścił i strofował dzieci, lękał się swej zwierzchności; ten człowiek wydał mu się bardzo dalekim, jakimś obcym, który kędyś poszedł i już nie wróci; wydało mu się niemożebnem, aby on znowu wszedł w to życie, którem żył — takie to wszystko dalekie, wszystko to gdzieś pozostało! I poczuł nie strach i grozę, nie chłód i mrok, ale żałość bezmierną, żal, co jak rzeka bez granic i brzegów, wszedł mu, w piersi i serce.

„Dobra Anna, dobra, stroskana, dzieci

Wszystkich oczy zwróciły się na to zjawisko urocze. Szeptano sobie, że dziewczę nie tylko urodą króluje, ale i talentem. Stanowi chlubę konserwatoryum.

Dziewczęciem tem, budzącem uwagę była panna Konstancya Gładkowska.

Opanowawszy wzruszenie śpiewać zaczęła.

Głos jej dźwięczny, pełen uczucia, przenikał do głębin duszy. Gdy skończyła — burza oklasków była odpowiedzią na śpiew jej uroczy.

Jeden tylko człowiek nie klaskał. Wysmukły, wdzięcznej postaci, młodzieniec stał wsparty o ścianę, wpatrzony w czarowne na estradzie zjawisko. Od czasu do czasu odgarniał, nieposłuszne, na czoło garnące się, bujne włosy, przeciągał ręką po głowie, jakby w zamiarze odegnania tej rozkosznej, a zarazem prawie bolesnej myśli, jaka w mózgu powstawała, dreszczem zachwytu młodzieńca wiotkiem ciałem wstrząsała, źrenice ciemnych oczu rozszerzała, świecąc w nich niezwykłym blaskiem...

Młodzieniec ten, to Fryderyk Chopin. Niedawno jeszcze uczeń tego samego konserwatoryum, zawitał znów w jego progi, jako widz i słuchacz, jako mistrz i sędzia tych, którzy po nim świat tonów w tej uczelni muzycznej badali.

Przyszedł i — nic nie widział po za jedną postacią. Przyszedł i — nic nie słyszał po za jej śpiewem. O niczem myśleć nie mógł tylko o niej, dla nikogo serce nie biło tylko dla niej. Kochał całą potęgą pierwszej miłości, kochał całym zapałem młodzieńczego uczucia.

Wróciwszy z popisu do domu, zasiadł do fortepianu i, jak to było jego zwyczajem, w ciemnościach nocy, przebierać zaczął palcami po klawiszach, szukając w dźwiękach, ze strun płynących, wyrazu uczuć miotających jego istotą.

Miłość dla pięknej śpiewaczki zawładnęła całem jego sercem. Szukał Konstancyi wszędzie i dziwne uczucie szczęścia wzbierało w jego duszy, gdy choć z daleka mógł ujrzeć jej postać ukochaną, jej złotem lśniące włosy, jej ciemne wielkie oczy.

On, taki z natury wesoły, tak towarzyski, tak łatwo wypowiadający swe myśli, nowe uczucie swe ukrywał zazdrośnie przed oczyma ludzkiemi, nikomu o niem nie mówił i jedynie do przyjaciela swego, Tytusa Wojciechowskiego, te słowa zagadkowe w liście z d. 3 października 1829 r. kreślił**).

„Sam zapewne uznasz potrzebę mego powrotu do Wiednia, nie dla panny Blahetki, o której, o ile mi się zdaje, pisałem, bo ja już, może na moje nieszczęście, m a m m ó j i d e a ł, któremu wiernie, nie mówiąc z nim, już pół roku służę, który mi się śni po nocach, na którego pamiątkę skomponowałem A d a g i o do mojego Koncertu, który mi inspirował tego Walca dziś rano, co ci posyłam. Uważaj jedno miejsce — naznaczone. O tem nikt nie wie, prócz ciebie. Jakżeby mi było słodko zagrać ci go, najdroższy mój Tytusie!..

I dalej w tym samym liście:

„Nie uwierzysz, jak dla mnie teraz Warszawa smutna; gdyby nie to, co rodzina mi uprzyjemnia pobyt, tobym w niej nie wysiedział. O jakże to mi przykro nie módz przyjść do kogo, podzielić się z nim smutkiem, radością; jak to niegodziwie, kiedy coś cięży na sercu, a niema gdzie ciężaru złożyć! Wiesz, do czego to alluzya. Fortepianowi gadam to, cobym tobie nieraz chciał powiedzieć..."

Pannę Gładkowską ciągnęły ku sobie deski sceniczne. Wstąpiła więc na nie w ówczesnym „Teatrze narodowym".

O pierwszym jej występie donosi Chopin przyjacielowi d. 21 sierpnia 1830 r:

„Naprzód zajęła mnie mocno A g n e s e, opera Paera, bo w niej wystąpiła po raz pierwszy Gładkowska. Lepiej jest ona na scenie, jak w sali. Nie mówię o grze tragicznej wybornej, bo niema co powiedzieć; co się zaś śpiewu tyczy, żeby nie te f i s i *g* u góry, nic trzebaby nam w tym rodzaju nic lepszego. Jak frazuje, tobyś się rozkoszował, a chociaż głos jej z początku trząsł się ze wzruszenia, jednak później bardzo śmiało śpiewała. Romans w drugim akcie — bardzo ładnie wykonała. Byłem zadowolony. Na końcu ją przywołano i rzęsistemi okryto oklaskami".

Niezadowolony jest jednak z wyboru opery, w której debiutowała ukochana, gdyż kończy list słowy:

„Nie przeczę, że Soliva mógł wybrać co lepszego dla Gładkowskiej. W e s t a l k a możeby jej więcej szczęścia przyniosła..."

**) Jak ten, tak i następne ustępy listów wyjęte z dzieła Maurycego Karasowskiego „Fryderyk Chopin". — Życie — listy — dzieła". Warszawa. Gebethner i Wolff. 1882.

Odtąd Chopin stał się teatru stałym gościem. Blady ze wzruszenia, zajmował miejsce, śledząc uważnie każdy ruch ukochanej, każdą nutę z ust jej płynącą.

Śpiewaczka zwróciła wreszcie na swego niemego wielbiciela uwagę. Często zdawała się śpiewać tylko dla niego... Chopin łowił jej spojrzenia i w chwilach tych czuł w pełni namiętną potęgę swej miłości.

Jakże szczęśliwym musiał się uczuć, kiedy nareszcie przyszedł dzień, w którym został pannie Gładkowskiej przedstawiony, kiedy mógł złożyć pocałunek na tej ręce, którą tak gorąco pragnąłby posiadać!

Nie było mu to jednak przeznaczonem!

Za występami jej śledzi wciąż z gorączkowem zajęciem i wciąż o nich w korespondencyi swej wspomina.

Tak biegną miesiące za miesiącami, wreszcie przychodzi dzień rozstania.

Zbliżająca się chwila wyjazdu z Warszawy, napełnia serce jego smutkiem... Przeczuwa, że już nie wróci, że oczy swe zamknie na wieki zdala od ziemi rodzinnej, od swoich. I tak skarży się d. 4 września 1830 r.

„Jeszcze nie próbowałem k o n c e r t u; jakkolwiek bądź, przed świętym Michałem porzucę wszystkie m o j e s k a r b y i będę w Wiedniu skazany na wieczne wzdychania. Co to jest, gdy serce obałamucone? Ty, co tak dobrze znasz siłę jego, wytłomacz mi, czemu się to człowiekowi zdaje, iż dzień jutrzejszy będzie lepszym od dzisiejszego? Nie bądź głupim! — to cała odpowiedz, na jaką się zdobyć mogę; jeżeli masz inną, przyślij mi!.."

D. 11 października 1830 r. daje Chopin swój ostatni, pożegnalny koncert w Warszawie. Panna Gładkowska przyjmuje w nim udział, a następnego dnia mistrz w liście donosi:

„Soliva dyrygował potem aryę panny Gładkowskiej, biało z różami na głowie, do twarzy prześlicznie ubranej, która odśpiewała C a v a t i n ę z L a D o n n a d e l L a g o z recitatiwem, tak jak (prócz aryi w Agnes), nic jeszcze nie śpiewała. Znasz to: O! q u a n t e l a g r i m e p e r t e v e r s a i. Powiedziała t u t t o d e t e s t o aż do *h* dolnego, tak, że Zieliński utrzymywał, że to jedno *h* tysiąc dukatów warte!"

Ciężkie było rozstanie. Z łzami w oczach dwoje młodych serc się żegnało. W chwili rozłąki Konstancya Gładkowska włożyła ukochanemu na palec pierścionek... Fryderyk uwoził go z sobą, jako skarb najdroższy...

---

te ciałka drobne i drogie! Dobre, kochane dobre, kochane!.." Czy to oni wszyscy od sunęli się w tę dal, której nie może prze być, żeby się z niemi połączyć, czy to on sam tak odszedł daleko, tak niepowrotnie daleko?... I w jednej chwili, jak na obrazie, ujrzał całe biedne życie swoje, wiernie odmalowane, ze wszystkiemi szaremi plamami, przypomniał każdy szczegół najdrobniejszy, każdy sprzęt zapylony, każdą przykrość małą i radość małą — i tak to wszystko ogromnie pokochał, tak pożałował!..

Biedne było życie, nędzne: 4 ciasne pokoje, pełne brudu skutkiem bezładu Anny; ona, zapracowana, wiecznie kwaśna, co chwilę wpadająca we wrzaskliwy gniew i wtedy czerwona na twarzy; długie godziny w biurze, z których miał taki mały zarobek; ta okropna nieśmiałość, która była mu zawadą w awansach... jak często było źle, a jak mu żal tego wszystkiego, nawet tych przykrych chwil, kiedy wobec wściekłego naczelnika czerwony, zmieszany nie mógł złapać ani jednej porządnej myśli!

Poszukał wzrokiem tej części miasta, gdzie było jego mieszkanko, ale dom zasłonił mu widok żony i trojga dzieci, tulących się koło wysokiej szafy do ubrania na dziedzińcu, która stała pierwej w ich pokoju sypialnym. Wyrzucili ich z mieszkania, i z całego dobytku pozostała tylko ta szafa. I przestał siebie żałować, zapomniał o śmierci, o strachu, o chłodnym mroku, serce zatroszczyło się z udręczeniem o tę biedną garstkę, tulącą się hen — daleko koło wysokiej szafy na dziedzińcu...

Łzy już od kilku chwil spływały po jego bladych zapadłych policzkach.

— Panie Andrzeju, przyniosłem to dla pana, proszę zobaczyć, jakie piękne, z pięknych rączek to otrzymałem, — i z temi słowami student, ów wróg profesora, podawał p. Andrzejowi kilka gałązek czeremchy. Ten nic zrozumiał, kto mówił do niego i co, ale kwiaty wziął. Poczuł woń mocną, jak uderzenie w mózgu, pociemniało mu w oczach — i stała się rzecz dziwna. Niema już sali klinicznej, fotelu, okna z widokiem na miasto i chorego ze łzami w oczach; rzeczywistość zdrobniała i jest tak małą, że ukryła się w jednym z kwiatów, natomiast gałęzie te rozrosły się i zamieniły się w krzewy i drzewa. Krzewów takich jest wiele, wszystkie kwieciem przetkane, rosną nad brzegiem wiszaru, koło ławki, gdzie siedzi p. Andrzej z żoną, młodszy, zdrowy, rok temu. Choroby żadnej nie było, w klinice nigdy nie leżał; chodzi co dzień do biura, a teraz wybrał się za miasto w niedzielę. Z wiszaru w dół spada dróżyna, obrosła bzem, która dotyka rzeki; za rzeką przestrzeń zielona daleko, daleko; w rzece przegląda się błękitne niebo, i ona cała błękitnie sunie całą piersią tam, gdzie zniża się słońce. Rzeka szemrze gwarem wody, krzaki, osypane kwieciem, chwieją się, a kwiaty pachną. Wszystkim jest ciepło, rozkosznie, wesoło. Dzieci u stóp wiszaru nad wodą hałasują, najgłośniej, jak zwykle, Piotruś, Anna, zapomniawszy o troskach, śmieją się, a p. Andrzejowi jest tak dobrze! Ale co to? Rzeki już nie widać, wiszaru niema, i dzieci niema, — tylko jakaś postać olbrzymia, czarna wyrasta z pod ziemi; rośnie, rośnie, a teraz zmienia się w dzwon ogromny; ten dzwon podnosi się do góry, wciąż rośnie, jest tak duży, że cały świat zakrywa, a teraz spuszcza się na p. Andrzeja powoli, powoli — ogromny dzwon, wypełniony jamą czarną... Okropny krzyk przeleciał przez salę kliniczną.

„Pan Andrzej zemdlał, felczera!" — zawołał do siostry ktoś z chorych.

K O N I E C.

Zagranicą miłość głęboka dla pięknej Warszawianki nie opuszczała go na chwilę. Tęsknił do niej całą siłą swej duszy, tak czcił, że uważał swe pióro za niegodne wypisywania jej imienia... Niejedna piękna Parzyczka uśmiechała się w Wiedniu zalotnie do smukłego młodzieńca, nie jedne oczy pragnęły go oczarować, lecz on, swemu uczuciu był wierny... Tam, w Warszawie, zostawił swą istotę ukochaną...

Rok zaledwie minął, gdy w tem wieść niespodziewana doleciała go z kraju. Ta, którą zwał swym ideałem, którą po nad wszystko ukochał — zapomniała o nim, oddała swe serce i rękę innemu, scenę na zawsze opuściła...

Burza boleści ogarnęła jego serce. Tarała niem i rwała je na strzępy. Zawiedziony w marzeniach uciekł od świata i ludzi i jak poprzednio wyrazu szczęścia i tęsknoty, tak teraz ukojenia bólu szukał w dźwiękach fortepianu. W dźwięki te raz rozdzierające jak dziki okrzyk grozy i rozpaczy, to znów ciche, jak smutek tłumiony — wlewał całą swą duszę, wszystkie swe niezniszczone pragnienia, aż wreszcie klawisze zagrały cudną piosnkę:***)

Muzykantów zaproszono,
Na godach śpiewałem,
Innego zostałaś żoną
Ja zawsze kochałem.
Dziś dziewczęta mnie wyśmiały,
Gorzko zapłakałem.
Próżnom wierny był i stały
Próżno pierścień brałem...

I powoli, powoli, fala dźwięków zalewała ból serce gnębiący, niosła muzykowi ukojenie...

Minęło lat parę.

Chopina znajdujemy w Paryżu.

Po pierwszych miesiącach niepowodzeń, niedostatku i zwątpienia, sprawiających, że chciał naprzód jechać do Ameryki, następnie zaś postanowił wracać do kraju — przyszły dni jaśniejsze, dni blasku i chwały.

Wprowadzony przez Walentego ks. Radziwiłła do salonu Rotszylda, zdobywa tam swą grą, wstępnym bojem, takie uznanie, że staje się naraz głośnym w stolicy Francyi wirtuozem, najbardziej poszukiwanym gry fortepianowej nauczycielem.

W liście, pisanym w r. 1832 do przyjaciela swego z lat dziecinnych, Dominika Dziewanowskiego, tak o swych tryumfach wczesnych donosi:

„Wszedłem w pierwsze towarzystwa, siedzę między ambasadorami, książętami, ministrami, a nawet nie wiem, jakim cudem, bom się sam nie piął. Dla mnie jest to dziś rzecz najpotrzebniejsza, bo ztamtąd niby dobry gust wychodzi: zaraz masz większy talent, jeżeli cię w ambasadzie angielskiej, albo austryackiej słyszano: zaraz lepiej grasz, jeżeli cię księżna Vaudemont (ostatnia ze starożytnego rodu Montmorency) protegowała".

Podwoje domów najwybitniejszej arystokracyi rodowej i pieniężnej otwierają się naoścież przed genialnym muzykiem, a Chopin, dla którego atmosfera salonów zawsze była nadwyraz miłą, odpowiadała jego miękkiej, wesołej, niewieściej niemal naturze, znalazł się w swym żywiole i tworzyć zaczął najpiękniejsze swe dzieła.

Wśród domów, w których Chopin częstym bywał gościem, znajdował się także dom państwa Wodzińskich.

Spotkał tu bawiącą u stryjostwa, z matką, pannę Maryę Wodzińską. Znał ją dzieckiem jeszcze, jako siostrę kolegów z pensyi ojca, profesora Mikołaja Chopina.

W ciągu lat kilku wdzięczny pączek rozwinął się w kwiat śliczny. Piękną twarz dorodnej, smukłej dziewicy otaczały sploty ciemnych włosów. a wielkie jej oczy patrzyły w dal, pełne wyrazu marzycielstwa i nieokreślonej jakiejś tęsknoty...

Zwykle zamknięta w sobie, milcząca, — wśród kółka bliższych znajomych, osób mocniej ją obchodzących, roztaczała prawdziwy czar wdzięku i słodyczy. Bywała wówczas rozmowną, wesołą. a śmiech jej serdeczny dźwięczał, gdyby srebrny dzwonek.

Ujmujące, dziecinnie niemal wdzięczne, żartobliwe, a przytem głęboko uczuciowe obejście Chopina przypadło jej niezmiernie do gustu.

Wkrótce stali się serdecznymi przyjaciołmi i ani się spostrzegli oboje, jak spokojna przyjaźń zwolna, zwolna przeradzać się zaczęła w inne, goretsze, zapalniejsze, głębsze uczucie..

Gdy Fryderyk grał, Marya siadała jaknajbliżej fortepianu, śledziła wzrokiem twarz natchnioną muzyka, uchem łowiła cudne dźwięki, rozumiała, odczuwała ich pełną uczucia bezmiernego i namiętności mowę...

Raz, kiedy byli w ścisłem kółku znajomych, Fryderyk poprosił, by co zaśpiewała.

Nie miała wykształcenia artystycznego, ale posiadała wysokie poczucie muzykalne, a głos jej, o niewielkiej skali, wybornie się nadawał do interpretacyi drobniejszych piosnek.

Zasiadła więc do fortepianu i wkrótce zabrzmiały w salonie słowa pieśni o pierścionku..

Na odgłos tych dźwięków Chopin zbladł. Marya spostrzegła odbijające się na jego twarzy wzruszenie...

Spytała go o powód.

Głosem cichym zwierzył się z doznanego w pierwszej swej miłości zawodu.

Oczy Maryi błysnęły płomieniem.

— I kochasz pan dotąd... tamtą? — spytała szybko.

Wstrząsnął głową.

—Doznany zawód zatarł miłość. Zapomniałem o potędze takiego uczucia, gdy oto — powstało nowe, potężniejsze...

Żywym rumieńcem zapłonęła twarz Maryi, a oczy obojga, spotkawszy się w długiem spojrzeniu, powiedziały więcej, niżby wypowiedzieć mogły całe słów potoki...

Odtąd widywali się niemal codziennie, to na spacerach, to w salonach wielkiego świata, którego oboje byli stałymi gośćmi. Uczucie coraz głębsze, coraz serdeczniejsze wiązało te dwie piękne dusze i zdawało się, że je zwiąże na zawsze..,

Nie było im jednak to sądzonem!...

Panna Marya radaby nigdy nie wyjeżdżać z tego Paryża, w którym serduszko jej zaznało po raz pierwszy co znaczy — miłość, z tego Paryża, którego bożyszczem salonów był jej ukochany — lecz okoliczności były silniejsze od tych pragnień dziewczęcych. Pani Wodzińska, wzywana przez męża, musiała wracać z córką do kraju,

Przyszła chwila smutnego rozstania. Młodzi obiecywali sobie niedługo się zobaczyć, lecz gdzie i kiedy?

— Sami nie wiedzieli.

Serca ich rwały się do siebie, ręce wiązały długim uściskiem, oczy pragnęły zbadać głębiny drugich oczu...

Wieczór był. W salonie, róże, stojące w wazonie, rozlewały zapach rozkoszny. Jedną z nich zerwała Marya i z niemem spojrzeniem, podała Fryderykowi.

Drżącą ręką schowawszy kwiat na piersi, on, który dźwiękami fortepianu najwymowniej wypowiadał co mu serce smutkiem, czy radością rozpierało, zasiadł przed klawiaturą i niebawem rozległa się nuta pięknego, rzewnego walca...

Marya z matką opuściły na drugi dzień Paryż, a Chopin pozostał ze swą różą i ze swą tęsknotą za ukochaną...

Niestety, brak nam listów z tej epoki, mogących scharakteryzować ówczesny stan jego duszy, przypuszczać wszakże można, iż tęsknota była silna, skoro w następnym (1834) r. przerywa w lecie lekcye, opuszcza Paryż, jedzie do Marienbadu.

Tu spotyka ukochaną swą Maryę, bawiącą z matką w gronie znajomych.

Rozpoczynają się wycieczki w piękne okolice tych wód czeskich, w romantyczne ustronia górskie, gdzie zawsze znajdzie się kącik samotny, dla dwojga serc kochających, pragnących wspólnie, wśród poważnej piękności przyrody wypowiedzieć wszystko co dusza drugiego piastuje.

Musiała wreszcie przyjść ta chwila przełomowa, w której poeta tonów wypowiedział ukochanej swe pragnienia tajone, to szczęście, jakiegoby doznał, mogąc ją nazwać swą żoną...

Jakież więc uczucie musiało nim ogarnąć, skoro usłyszał odpowiedź przychylną i ujrzał swe najdroższe marzenia blizkiemi ziszczenia!...

Marya ubóstwiana została jego narzeczoną.

Dni szczęścia i marzeń o nowem szczęściu w przyszłości, mijały szybko za dniami...

Wkrótce potem panie wyjechały do Marienbadu, a Chopin towarzyszył im do Drezna.

W stolicy Saksonii parotygodniowy pobyt minął jak oka mgnienie.

Szczęśliwy, całą pełnią swej wrażliwej duszy, Chopin już z natury usposobiona żywego, tu był wesoły jak nigdy. Ten jego wesoły nastrój udzielał się całemu otoczeniu. Zabawa, śmiech, wesele, roztoczyły tak potężnie swe panowanie, że nawet rozstanie nie wydawało się ciężkiem. bo tylko chwilowem.

Zdawało się, że niewiedzący nic jeszcze o narzeczeństwie córki. bawiący w kraju, ojciec przychyli się do próśb małżonki swej i dziecka, że nie będzie stawiał przeszkód związkowi dwojga szczerze kochających się istot.

Niestety, nadzieje to były zwodnicze!...

O ciosie, który spotkał Chopina, mówi biograf jego, Maurycy Karasowski co następuje:

„Niedługo po powrocie do Paryża zaczęły dochodzić go głuche, niepomyślne dlań wieści z kraju; w połowie zaś 1837 r. Chopin otrzymał wiadomość, że Marya, jego uwielbiana narzeczona, ulegając rozkazom ojca, niechcącego nawet słyszeć o małżeństwie swej córki z muzykiem, musiała zerwać z nim wszelkie stosunki..."

I — dodamy od siebie — wyjść za kogo innego.

Cios to był okropny. Dalsze życie genialnego muzyka wykazuje dowodnie, że wstrząsnął on do głębi tak duchową, jak i fizyczną istotą jego ustroju.

A jeżeli prawdopodobnie nieraz smutna piosenka

Muzykantów zaproszono,
Na godach śpiewałem,
Innego zostałaś żoną
Ja zawsze kochałem.

wybiegła w przestrzeń ze strun fortepianu, to dalsza jej zwrotka

Dziś dziewczęta mnie wyśmiały,
Gorzko zapłakałem,
Próżnom wierny był i stały
Próżno pierścień brałem...

brzmieć musiała już nie rzewnem uczuciem pierwszej, gorącej, lecz dającej się ukoić przez czas, miłości młodzieńca, lecz bólem strasznym miłości potężnej dojrzałego mężczyzny, któremu zawód podobny zawsze prędzej czy później grób kopie...

***) „Pierścień". Piosnka sielska Stefana Witwickiego. Muzyka Fr. Chopina. Warszawa. Gebethner i Wolff.

Czy następne, rozpaczliwe, rzucenie się w objęcia wielkiej powieściopisarki francuskiej — nie było dla Chopina takim grobem?...

Jun Barszczewski

Książki na gwiazdkę.

II.

Dla małych dzieci przybyło w roku bieżącym kilka wydawnictw.

P. Marya Weryho, dobrze znana wszystkim młodym czytelnikom, umiejąca opowiadać żywo i zajmująco, ogłosiła obecnie dwie nowe książeczki.

Jedna z nich, p. t. „W zimie“ (Warszawa. Gebethner i Wolff, ryciny St. Sawiczewskiego, str. 135 wyraźnym drukiem z interliniami), jest odpowiednikiem (*pendant*) względem dziełka wydanego w roku zeszłym p. t. „W lecie“. Mamy tutaj przedstawione głównie życie ptaków w zimie, oraz kilka innych powiastek, których akcya rozgrywa się w czasie śniegów i mrozów.

Obrazki, malujące nam sposób żywienia się ptasząt, niebezpieczeństwa, na jakie są narażone w poszukiwaniu pokarmu i ochrony od zimna, ujęła autorka w ramy opowiadania p. t. „Wybieg nowy.“ Sowa, zwoławszy ptaki na sejmik, wywołuje jednego po drugim i każe im szczegółowo przedstawiać sobie sposoby, jakich używają, by wyżyć wśród ogołoconych pól i lasów. Występują tedy po kolei: kuropatwa, sroka, dzięcioł, sójka, wrona, wróbel, cietrzew i głuszec i dają sprawozdania. Autorka umiała je zróżnicować; każdy z opowiadających ma właściwy sobie charakter i rodzaj mówienia: kuropatwa nieśmiała i wciąż na towarzyszki swoje się oglądająca, by stwierdziły jej słowa, — sroka gadatliwa i ustawicznie odstępująca od rozpoczętego wątku i t. d. W końcu spada jastrząb i choć to wielki rabuś — ostrzega ptaszęta, że sowa dlatego je wyciąga na słówka, by wiedzieć później, gdzie sobie szukać pokarmów na pożywienie.

Inne powiastki zawierają, prócz obrazków z życia zwierzęcego, drobne zdarzenia z życia ludzkiego, a mianowicie dziecinnego.

* *

Druga książeczka p. Maryi Weryho ma napis: „Opowiadania prawdziwe“, 56 powiastek dla dzieci od lat 6 do 10, z 20 ilustracyami T. Jaroszyńskiego“ (Petersburg K. Grendyszyński, str. 128). Zastanawia tu trochę oznaczenie lat dzieci, dla których książka została przeznaczona. Od lat 6? Czy to trochę nie zawcześnie! Wiem, że są dzieci umiejące czytać i czytające w wieku jeszcze młodszym, ale rzecz to pod względem pedagogicznym na pochwałę nie zasługująca. Niech dzieci mają czas przyglądania się rzeczom tego świata oczyma własnemi, a nie przez okulary autora; będzie to lepiej i dla ich zdrowia fizycznego i dla rozwoju ich umysłowości. Zbyt rychłe przypatrywanie się czarnym znaczkom w książce nie oddziaływa dobrze ani na oczy ani na ducha. Posuńmy tedy wiek dziecka samodzielnie czytającego choćby o dwa lata, a ponieważ p. Weryho swoją książeczkę zaleca i 10 letnim, więc nie uczyni się tem ujmy jej zamiarowi. I w „Opowiadaniach prawdziwych“, jak w ogóle w utworach naszej autorki, przemaga świat zwierzęcy: tchórz, sikora, wrona, skowronki, zające, króliki, wiewiórki i t. d., przewijają się przez te 16 powiastek, zaznajmiając nas ze swem życiem i przygodami. Jak Adolf Dygasiński w nowellach i powieściach dla starszych, tak p. Weryho w opowiadaniach dla dzieci wybrała sobie za specyalność świat zwierzęcy. Zna go widocznie dobrze, dużo widziała i dużo czytała o właściwościach tego świata. Czy wszędzie przedstawia rzeczy zgodnie z wiadomościami naukowemi, o tem przyrodnicy powinniby powiedzieć swe zdanie. Z pedagogicznego i literackiego punktu widzenia niewieleby jej obrazkom zarzucić można. Dawniejsze usterki i błędy, popełniane pod względem językowym i stylowym, zmniejszyły się znacznie, lubo nie znikły całkowicie. Dla przykładu zwrócę uwagę tylko na jeden frazes, wypowiedziany przez sowę do zgromadzonych ptaków: „Czyście źle w głowie podostawały?“ Widać sowa była trochę cudzoziemską; bo zwykłą formę „czy wam źle w głowie“ po swojemu a niefortunnie przerobiła.

* * *

Pp. S. Sempołowska i J. Unszlichtówna ułożyły „Zbiorek powiastek, opowiadań, wierszyków i ćwiczeń dla dzieci od lat 7 do 9 ciu“ (Warszawa, Gebethner i Wolff, str. 205, IV). Ma on służyć za pierwszą „czytankę“ po elementarzu i dać możność skupienia przy nauce języka zasobu tych wiadomości, jakich (prócz rachunków) dziecku udzielić należy w pierwszym roku nauczenia systematycznego. Autorki starały się o to, ażeby każda niemal powiastka mogła stanowić punkt wyjścia do pogadanki etycznej, historycznej, lub przyrodniczej. W samej nauce języka dały wskazówki, jak należy ją prowadzić, jak stopniowo zaznajamiać z formami dramatycznemi, z zasadami pisowni i stylu. Ułożyły ustępy do czytania bardzo starannie, poczynając od zdań, zawierających tylko podmiot i orzeczenie, a kończąc na opowiadaniu allegorycznem w zdaniach zupełnie rozwiniętych.

Co do materyału, korzystały wiele z istniejących już w naszej literaturze pedagogicznej opracowań, dużo jednakże napisały same lub przerobiły z obcych utworów.

Urozmaicenie w „Zbiorze“ jest dosyć znaczne; widać, że się nie dały pociągnąć jakiejś jednostronnej tendencyi. Szkoda, że nie ustrzegły się kilku przykrych błędów językowych i stylowych, tem dotkliwszych, że się znajdują w książce, mającej uczyć języka i stylu.

Zaraz na str. 6 znajdujemy przepis wyrażony nieprawidłowo: „wyszukać *wyrazów, oznaczających* przedmiot lub osobę.“ Używamy dopełniacza po słowie *szukać, doszukać* się, ale gdy ten czasownik zjawia się w formie *wyszukać*, posługujemy się przy nim biernikiem (wyszukać *wyrazy*). W dalszym ciągu uniknęły autorki tego szkopułu, zmieniając wyrażenie (*wypisz wyrazy*).

Pod względem stylowym kilka jest ustępów niepoprawnie ułożonych. Przestrzegamy od dzieciństwa, by uczniowie unikali powtarzania tych samych wyrazów blizko siebie, a więc nie możemy im za wzór dawać takiego zdania (str. 39): koń ma zgrabny łeb, duże żywe oczy, na szyi gęstą grzywę, pierś ma szeroką.“

Łatwo było usunąć to drugie ma, przestawiwszy wyrazy w poprzedniej części zdania (gęstą grzywę na szyi). W opisie „*Lipy*“ (str. 199) zbyt często spotykamy formy: *był, były* w jednym okresie. Nie można również uznać za wzorowy frazesu następnego: „Wojtuś, porządkując w gabinecie tatusia, *jak* machnął ręką, *tak* śliczna porcelanowa lampa spadła na biurko.“ Tutaj *tak* jest niepotrzebne zupełnie: lepiej też byłoby zamiast *jak* użyć spójnika *gdy*, bo chociaż w mowie potocznej używa się *jak* i w takiem znaczeniu, w języku literackim nie bardzo to uchodzi. Wreszcie stanowczo złem jest użycie spójnika *żeby* zamiast *gdyby*; w zdaniach warunkowych tylko ten drugi uważać można za poprawny, a więc nie należało pisać: „opowiedz, cobyś zrobiła *żebyś* była wróżką, (str. 205). Takie i tym podobne usterki wypadałoby poprawić na kartce osobnej i dołączyć ją do wydrukowanych egzemplarzy, zanim w drugiem wydaniu będzie je można, usunąć z tekstu.

W związku z tym „Zbiorem“ wymienić należy wypisy dla starszych dzieci, ułożone przez pp. Jadwigę Chrząszczewską i Jadwigę Warnkównę p. t. „Rok czytania“ (Warszawa. Maurycy Orgelbrandt, str. IV, 341). Książka ta składa się z artykułów podzielonych na 10 miesięcy nauki szkolnej, zaczynając od września, a kończąc na czerwcu. W każdym miesiącu znajduje się dobór urozmaicony opisów, opowiadań, wspomnień dziejowych, charakteryzujących przyrodę w danym okresie czasu, lub chronologicznie nań przypadających.

I tak np. we wrześniu, po wstępnej modlitwie za rodziców, mamy opis estetyczny września i wiersz o tym miesiącu, przedstawienie pasterstwa w Tatrach, wiadomość o grzybach i ustęp z „Pana Tadeusza“ o grzybobraniu, opowiadanie o odsieczy Wiednia we wrześniu r. 1863 i t. p. Ustępy wzięte są przeważnie z autorów nowszych; wybór po większej części jest trafny; przeplatanie prozy wierszami dokonane zostało umiejętnie.

Artykułów napisanych przez same pp. Chrząszczewską i Warnkównę jest kilka: dały się one już poznać ze swego talentu, a przeszłoroczne ich powieści dla młodzieży: „Słoneczko“ i „Młody grajek“ zyskały sobie rozgłos pochlebny.

W wydaniu „Roku“ zdałaby się była większa dbałość o korektę, a zwłaszcza o przestankowanie, które jest bardzo niestaranne. Na ostatniej kartce umieszczono „sprostowania“; są one dość liczne, a dotyczą głównie pisowni lub omyłek czysto drukarskich; tymczasem należałoby jeszcze dołączyć wykaz błędów językowych, np. niewłaściwego używania przysłówka *więcej* w zdaniach przeczących, gdzie albo go wcale nie potrzeba, albo należałoby go zastąpić wyrażeniami: *już, już nigdy* i t. p.

Nie wiem, dla czego autorki poprawiły *pędzel* na *pendzel*: jeżeli piszemy *ląd* przez *ą*, to nie widzę powodu, dla czegoby *Pinsel* nie miało się spolszczyć w sposób podobny?

W każdym razie, „Rok czytania“ należy do dobrych nabytków dydaktycznych.

P. Chmielowski.

TO I OWO.

Młodzież galicyjska.

Jeden z korespondentów „Przeglądu Wszechpolskiego“ tak charakteryzuje młodzież akademicką na uniwersytecie lwowskim i krakowskim:

„Skoro już o wychowaniu społecznem mowa, niech mi wolno będzie potrącić bodaj z lekka o temat drażliwy, który z tą kwestyą ściśle się wiąże. Mam na myśli produkt i wykwit społeczno-narodowego wychowania, dzisiejszą młodzież polską w Galicyi, a szczególnie ten jej odłam, który na ławach uniwersyteckich sposobi się do wzięcia czynnego za lat parę w publicznem i politycznem życiu udziału. Nazwałem temat drażliwym, bo o bezstronny i sprawiedliwy sąd w danej sprawie niezmiernie trudno. Sposób myślenia młodzieży, prądy, jakie w niej nurtują, ideały, które przyświecają zastępom młodego pokolenia, rokrocznie zasilającym się, wszystko to zasługuje raczej na poważne omówienie w obszernem studyum niż na pobieżną, kronikarską wzmiankę. Może też i galicyjska młodzież doczeka się kiedy podobnie wyczerpującej w Przeglądzie rozprawy, jak „Młodzież polska

w zaborze rosyjskim". Nie przesądzając wszakże o niczem, pragnę dziś jeno zwrócić uwagę na fakt niewątpliwej różnicy, jaka co do ogólnego nastroju i dążeń młodzieży galicyjskiej zachodzi między dwoma głównemi ogniskami jej życia umysłowego: Krakowem i Lwowem. Podczas gdy lwowska rzesza obywateli akademickich od szeregu lat stale przy każdej sposobności objawia na ogół przekonania patryotyczno postępowe i przedstawia jakby jeden wielki obóz, pod znakiem demokratycznych haseł narodowych skupiony, — w Krakowie od dłuższego czasu panują stosunki nienormalne, atmosfera niezdrowa, rozbicie wśród młodzieży kompletne. Do tego dziś doszło niestety, że to, co przywykliśmy rozumieć pod nazwą młodzieży polskiej, ideałami Mickiewiczów natchnionej, w siedzibie Jagiellońskiej wszechnicy prawie wcale nie istnieje. Na Mickiewiczowskich obchodach, chlubna tradycya pełnych zapału, polotu i ognia przemówień młodzieńczych, zda się bezpowrotnie zaginęła, zastępuje ją obecnie — koncert c. k. muzyki wojskowej i suchy, często gęsto banalny wykład profesorski. Młodzież krakowska hołduje dziś tylko skrajnościom w dwóch kierunkach przeciwnych: goretsza jej część zaprząta sobie głowy abstrakcyami międzynarodówki i praktyczną agitacyą socyalizmu, druga, mniej gorąca przejmuje się wcześnie klerykalnym konserwatyzmem i trójlojalnemi zasadami Koźmianów. Wyjątki, stosunkowo nieliczne, reprezentujące żywioł zdrowszy, kryją się gdzieś i na ogół kolegów widocznego wpływu nie wywierają. Stan taki trudno nazwać pomyślnym, przyczyn zaś jego szukać trzeba niewątpliwie po obu stronach, choć bezwarunkowo przeważa wielka wina tych, którzy mając być z powołania wychowawcami i do pewnego stopnia opiekunami młodzieży, ani jej nie znają, ani postępować z nią nie umieją. Nie może być zresztą mowy o lepszych objawach tam, gdzie częstokroć zamiast istotnej nauki i bezstronnej wyrozumiałości zasiada na katedrach profesorskich polityczne zacietrzewienie i ciasny pogląd stronniczy..."

NA WYŁOMIE.

(Nekrologi.)

Gdy „Przegląd Poznański" do snu się układa, chciałbym się zapisać w pamięci kolegów moich dobrym uczynkiem i bratnią przysługą. Wy, moi najserdeczniejsi, kochaliście pismo nasze tak gorąco, że musiałbym mieć chyba duszę czarną jak smoła, by wam sprawiać ambaras smarowania nekrologów. Teraz po świętach, gdy na żołądku jakoś niewyraźnie, gdy w głowie kłóci się węgrzyn z szampanem, gdy wreszcie Sylwester za pasem i myśl o noworocznych rozkoszach słodkim was dreszczem przejmuje, ja nie mam po prostu serca zaprzątać pióra leniwe takim tam „Przeglądem Poznańskim." Oszczędzę wam zatem kłopotu i napiszę dla każdego z was osobny artykulik „żałobny" o zwinięciu pisma naszego. Raczcie go wyciąć nożycami i wprost po odebraniu numeru tego wysłać do drukarni. Przyznacie, że to prawdziwie koleżeńska przysługa. Oto nekrologi.

Dla „Dziennika Poznańskiego".

Dowiadujemy się, że z dniem 1 stycznia 1897 r. „Przegląd Poznański" zakończy istnienie swoje. Nie wierzyliśmy od samego początku, by pismo tego rodzaju mogło w naszem katolickiem społeczeństwie byt swój utrwalić. „Fałszywe ambicye" powołały do życia organ Młodej Polski i w nich to szukać należy przyczyny, że „Przegląd Poznański" zrobił sobie prawdziwe rzemiosło z „malowania na czarno" całego społeczeństwa i „obrzucania błotem" najwybitniejszych powag politycznych Księstwa, nie wyłączając szanownej osoby naszego redaktora. Niezdrowa była to strawa, którą organ „postępowo-demokratyczny" karmił publiczność, — tem niezdrowsza dla tego, że podawano ją „w formie ponętnych i lśniących frazesów". Stronnictwo „młodych" skompromitowało się rzetelnie w oczach trzeźwo myślącego społeczeństwa swoim dziecinnym protestem przeciw „polityce rozumu", zapoczątkowanej z niewątpliwym sukcesem przez posłów naszych, swoją świętokradzką walką z Kościołem i przeszczepianiem na poczciwy nasz grunt poznański, literackich prądów „zgniłego Zachodu".

„Przegląd Poznański" burzył tylko i drażnił niepotrzebnie, rozdzierał społeczeństwo, nadwerężając solidarność i — Boże zmiłuj się! — objawiał niedwuznaczne sympatye dla ruchu ludowego. Wprawdzie bankructwo tego organu libertynizmu i demagogii jest podobno tylko czasowem, lecz wyrażamy nadzieję, że nowy organ codzienny, jeżeli powstanie i tym samym służyć będzie ideałom, położy się również niebawem do grobu. „Z licznych stron" odbieramy wyrazy radości z powodu upadku organu burzycieli. Nie publikujemy ich jednak z obawy, aby nam nie przypominano anegdotki o lwie upadłym i ośle.

Dla „Kuryera Poznańskiego".

Godzina sądu wybiła. Po trzech latach rozpasanego żywota upadł „Przegląd Poznański" organ masonów wielkopolskich. Exiit, evasit, effugit, erupit. Dziękujmy Bogu, że skończyło się to bezprzykładne zgorszenie, które „co szabas" z łamów tego pisma płynęło na niwy wielkopolskie. Społeczeństwo nasze wyparło się ateuszów i heretyków, społeczeństwo nasze drzwi pokazało zuchwałym libertynom. Niech sobie idą do żydowskich bóżnic „rozmaici Sulle i Stromy", bo chrześciańskie społeczeństwo unikać ich będzie jak trądu. Wierzymy jednak w bezgraniczne miłosierdzie boskie i przypuszczamy, że uzdrowi ono „owce parszywe" i pozwoli się nawrócić odstępcom wiary i Kościoła.

Dla „Gońca Wielkopolskiego".

Nie jest naszym zwyczajem pisać o „Przeglądzie Poznańskim", bo „mamy ku temu ważne powody". Dziś jednak, gdy pismo to upadło, przyznajemy chętnie, że miało ono sporo dobrych tendencyi, ale na nieszczęście było w rękach człowieka bez wiary, bez moralności, bez talentu, — i to je zgubiło. Dla przestrogi społeczeństwa ogłaszamy konkurs na sylwetkę tego pana. Kto go osmaruje najlepiej, otrzyma w nagrodę trzy książeczki o treści patryotycznej.

Dla „Orędownika".

Smutną nowiną dzielimy się z czytelnikami naszymi. Z dniem pierwszego stycznia przestaje wychodzić dla braku funduszów „Przegląd Poznański", organ tej demokratycznej inteligencyi, która zdrowo zapatrywała się na stosunki zaboru pruskiego. Niestety upadek „Przeglądu" stanowi wyraźne świadectwo, że wśród inteligencyi poznańskiej polityka dworska poczyniła straszne spustoszenia. Powtarzamy raz jeszcze, że w obecnej chwili ruch ludowy liczyć tylko może na siebie, lecz wyrażamy równocześnie przekonanie, że ruch ten pójdzie o własnej sile dalej i dalej, uzdrawiając zgniłe stosunki prowincyi naszej i spełniając z lepszym skutkiem to same zadanie, któremu „Przegląd Poznański" służył przez trzy lata wiernie i uczciwie.

Dla „Wielkopolanina",

Z dniem 1 stycznia przestało tu wychodzić pismo tygodniowe p. t. „Przegląd Poznański". Nie jest to żadna strata dla społeczeństwa, bo organ ten przymilał się bezustannie „Orędownikowi", największemu z wszystkich wichrzycieli.

Dla „Postępu".

„Przegląd Poznański" donosi, że na „Nowy Rok" przestanie wychodzić. Było to niezłe pismo, tylko nie dość energicznie jechało na żydów.

Dla „Pracy".

Moglibyśmy tu przytoczyć zdanie Taine'a i osobistego naszego przyjaciela Henrysia Sienkiewicza o literackich dekadentach. Wolimy jednak bez długich wstępów zaznaczyć, że „Przegląd Poznański" żyć przestał. Czytelnicy wiedzą, że jesteśmy bardzo dowcipni i chętka nas bierze „przejechania się na naszem osiełku redakcyjnem" po grzbietach dekadentów, ale nauczeni uprzejmości „w petersburskich salonach", gdzie jedynie taktu nauczyć się można, nie chcemy zbankrutowanych kolegów obrzucać szampańską pianką naszego wytwornego dowcipu.

* * *

Oto nekrologi „Przeglądu", które polecam szanownym panom redaktorom przedrukować w łamach swych cennych czasopism. Starałem się o ile możności uwzględniać nietylko charakter lecz i styl poszczególnych organów, dobierając nawet gdzieniegdzie ich ulubionych zwrotów i frazesów. Honoraryum żadnego nie żądam. Wyrażam tylko nadzieję, że za tę ostatnią przysługę przebaczą mi choć cząstkę moich grzechów śmiertelnych.

Cicho!

Ktoś puka do drzwi. To ty garstko duchów płomiennych, która w złych i dobrych chwilach nie skąpiłaś mi rady i serca. Tak stańcie przy mnie i gdy zgraja kretów i puszczyków piszczy z radości nad zwinięciem sztandaru naszego, nam jak hymn wielki brzmią słowa poety:

„A teraz rzućcie, gdy chcecie, kamieniem!
Ale zaprawdę! jeżeli ja wzruszę
Pieśnią choć jedną zakrzepłą w lód duszę,
Jeżli choć jedną łzę bratnią osuszę...
Kamień — u nóg mych upadnie ze drżeniem".

Sulla.

KRONIKA POWSZECHNA.

— **Teatr i muzyka.** W pierwsze święto powtórzono na scenie naszej sztukę ludową Sewera p. t. „Dla świętej ziemi". W zastępstwie panny Tańskiej objęła rolę Hanusi panna Andrau i wywiązała się z zadania swego wręcz z niespodziewanem powodzeniem. Ruchy, dykcya i koloryt roli złożyły całość doskonałą i zjednały artystce burzę oklasków. — Słynny utwór Hauptmanna p. t. „Przed wschodem słońca" doznał w teatrze medyolańskim Manzoniego chłodnego przyjęcia. — Dowiadujemy się, że dyrekcya teatru poznańskiego zaangażowała panią Gabryelę Zapolską na szereg gościnnych występów. — Młodziutkiego kompozytora Gustawa Brecher, ucznia gimnazyum lipskiego, utwór symfoniczny „Rosmersholm" (według dramatu Ibsena), grany na koncercie, wywołał podziw prawdziwy.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

— **Czytelnik.** Obstajemy stanowczo przy wszystkich twierdzeniach. Informacye nasze płyną z źródeł autentyczniejszych, niż się panom dygnitarzom „ładu i porządku" wydaje.

— **Gr.** Drugi nakład wiadomej odbitki ukaże się niebawem. Za słowa uznania dziękujemy serdecznie.

— **S. w Bytomiu.** Opóźnienie nastąpiło z powodu świąt. W poniedziałek rano wysłaliśmy dziesięć egzemplarzy ostatniego numeru.

— **B. B. w Gnieźnie.** Dzięki za serdeczne słowo i za wiadomości o powodzeniu wiadomego artykułu.